Ks. Waldemar Chrostowski

Konferencje biblijne

1998/1999 - 2005/2006

Ks. Waldemar Chrostowski

Konferencje biblijne 1998/99 — 2005/2006

(teksty do 2004/2005 włącznie spisywane pierwotnie z nagrań analogowych tzn. na taśmach; od połowy 2004/2005 — cyfrowych;

zaktualizowane/poprawione w latach 2012 - 2014)

Parafia Zwiastowania Pańskiego,
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis
na podstawie nagrań: J. Paczyński

Ostrzeżenie

Wykłady zostały spisane po raz pierwszy z nagrań podczas aktualnego roku akademickiego. Nagrania były dokonywane w wersji analogowej, na mikrokasetach. Dysponowałem również niektórymi nagraniami na kasetach standardowych dokonanymi przez p. Józefa Zwierko. Do stycznia 2014 r., po ponownym odsłuchaniu z wersji cyfrowej, dokonano korekty. Odczytywanie dźwięku przy pomocy komputera i programu edytora dźwięku pozwala na nieporównanie bardziej precyzyjny odczyt w porównaniu z magnetofonem taśmowym.

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisał by nieco inaczej. Ale dość szybko doszedłem do wniosku, że nie jestem upoważniony do istotnych interwencji redakcyjnych. Bowiem zauważyłem, że nawet dygresje mówią bardzo wiele o osobowości Księdza Profesora.
- Tytuły poszczególnych wykładów są tylko moim pomysłem.
- Podział na akapity, często nawet podział dłuższych zdań, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem.
- Na początku 2014 roku znalazłem w internecie bardzo ciekawą stronę stworzoną przez p. Cezarego Podolskiego pt. „BIBLIA APOLOGETY". Motto tej strony to:

  „Stwórcy, w podziękowaniu za Jego Słowo, dzieło to poświęcam",

  a adres sieciowy to:

  `http://bibliaapologety.com/`

  Jestem pod wielkim wrażeniem nakładu pracy twórcy tej strony, i pełen najwyższego uznania.

  Strona podaje m.in. polską transliterację tekstów Starego Testamentu. Z jej fragmentów — po uproszczeniu — skorzystałem w tej redakcji konferencji biblijnych 2004/05 (poprzednia wersja transliteracji pochodziła z jakiejś strony anglojęzycznej). Słowa hebrajskie należy wymawiać czytając sylaby po polsku.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia". Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stronę – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!".
- Sytuacja opisywana w poprzednim punkcie uległa pewnej poprawie. Mianowicie udało mi się nabyć „Zasady pisowni słownictwa religijnego", Biblos, 2004; Wyd. II, 2005. Ale stało się to dopiero wiosną 2005 r.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokowcem". Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją.

Jerzy Paczyński

Spis treści

1 1998/1999 — Przypowieści Jezusa Chrystusa **5**

1.1 *Przypowieści* w Nowym Testamencie (12 października 1998) 5
1.2 Przypowieść o czujnym słudze (9 listopada 1998) 13
1.3 Przypowieści z Ewangelii św. Łukasza, r. 15 (14 grudnia 1998) 21
1.3.1 Przypowieść o zaginionej owcy 22
1.3.2 Przypowieść o drachmie 24
1.3.3 Przypowieść o synu marnotrawnym 25
1.4 Ostatnia przypowieść Jezusa (11 stycznia 1999) 29
1.5 Przypowieść o siewcy — czy *o ziarnie*? (15 lutego 1999) 38
1.6 Przypowieści o odrzuceniu Jezusa (15 marca 1999) 46
1.7 Zmartwychwstanie Jezusa — a my (16 kwietnia 1999) 54
1.8 Znaczenie Zmartwychwstania dla nas (7 maja 1999) 62
1.9 VII Pielgrzymka Ojca Świętego Jan Pawła II do Ojczyzny — pierwsze impresje (7 czerwca 1999) 70

2 1999/2000 — Czytamy Stary Testament **77**

2.1 Pismo Święte — Jak powstało? Jak je czytać? (dn. 18 października 1999) 77
2.2 Księga Rodzaju (dn. 22 listopada 1999) 85
2.3 Księga Wyjścia (dn. 13 grudnia 1999) 94
2.4 Księga Kapłańska (dn. 17 stycznia 2000) 104
2.5 Księga Liczb i Księga Powtórzonego Prawa dn. 14 lutego 2000) 113
2.6 Odpowiedzi na pytania słuchaczy (dn. 6 marca 2000) 123
2.6.1 Jak w czasach proroków liczono upływ czasu, i w jaki sposób określano długość życia ludzi? 123
2.6.2 Dlaczego Talmud nie jest przetłumaczony na język polski? 126
2.6.3 Problem z nowym życiem 126
2.6.4 Problem z relacją o stworzeniu człowieka 128
2.6.5 Problem z grzechem pierworodnym 130
2.6.6 Rola Ewy i Adama w grzechu pierworodnym 130
2.6.7 Czy zamiarem Pana Boga w raju była nieśmiertelność ludzi? 131
2.6.8 Najważniejsze wydarzenie Starego Testamentu 131
2.7 Księga Jozuego — Izraelici z prześladowanych stają się prześladowcami (dn. 10 kwietnia 2000) 133
2.8 Religijność ludowa — Księga Jozuego i Księga Sędziów (dn. 8 maja 2000) 144
2.9 Pierwsza Księga Samuela (dn. 5 czerwca 2000) 153

3 2000/2001 — Siedem Kościołów Apokalipsy **163**

3.1 Apokalipsa św. Jana — Listy do 7 Kościołów (dn. 23 października 2000) 163
3.2 List do Kościoła w Efezie (dn. 20 listopada 2000) 174
3.3 List do Kościoła w Smyrnie (dn. 11 grudnia 2000) 183
3.4 List do Kościoła w Pergamonie (dn. 15 stycznia 2001) 192
3.5 List do Kościoła w Tiatyrze (dn. 12 lutego 2001) 200

3.6 List do Kościoła w Sardes; „Sprawa” Jedwabnego (dn. 12 marca 2001) . . . 210
3.7 List do Kościoła w Filadelfii (dn. 9 kwietnia 2001) . . . 221
3.8 List do Kościoła w Laodycei (dn. 14 maja 2001) . . . 230
3.9 Ks. kardynał Stefan Wyszyński — garść refleksji (dn. 18 czerwca 2001) . . . 240

4 2001/2002 — „Przekroczyć próg nadziei” 249
4.1 Wizerunek Jana Pawła II w „Przekroczyć próg nadziei” (dn. 15 października 2001) . . . 249
4.2 Czy Bóg istnieje? Czy Bóg nie jest zbyt daleko od człowieka? (dn. 12 listopada 2001) . . . 259
4.3 Dlaczego „historia zbawienia” jest tak skomplikowana? Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary swego Syna, by nas zbawić? (dn. 3 grudnia 2001) . . . 269
4.4 Co to znaczy „zbawić”? Zło w świecie (dn. 14 stycznia 2002) . . . 279
4.5 Problem gwałtu i przemocy w świetle Pisma Świętego (dn. 11 lutego 2002) . . . 289
4.6 Męka Pana Jezusa wg. św. Mateusza (dn. 18 marca 2002) . . . 298
4.7 Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa — spotkanie w drodze do Emaus (dn. 22 kwietnia 2002) . . . 308
4.8 Eucharystia (dn. 13 maja 2002) . . . 318
4.9 O przeżywaniu Eucharystii — I List św. Pawła do Koryntian (dn. 10 czerwca 2002) . . . 328

5 2002/2003 — Czytamy Nowy Testament 339
5.1 Od Ewangelii Jezusa do Ewangelii Nowego Testamentu (14 października 2002) . . . 339
5.2 Ewangelia św. Marka (4 listopada 2002) . . . 348
5.3 Ewangelia św. Mateusza (9 grudnia 2002) . . . 357
5.4 Ewangelia św. Łukasza (13 stycznia 2003) . . . 367
5.5 Dzieje Apostolskie (17 lutego 2003) . . . 376
5.6 Ewangelia św. Jana (17 marca 2003) . . . 385
5.7 I i II List św. Pawła do Koryntian (14 kwietnia 2003) . . . 395
5.8 List św. Pawła do Rzymian (12 maja 2003) . . . 406
5.9 List do Hebrajczyków (2 czerwca 2003) . . . 417

6 2003/2004 — Apostołowie Jezusa Chrystusa 427
6.1 *Apostołowie* w Starym i Nowym Testamencie (13 października 2003) . . . 427
6.2 Św. Piotr (cz. I) (17 listopada 2003) . . . 437
6.3 Św. Piotr (cz. II) (8 grudnia 2003) . . . 447
6.4 Św. Jan (12 stycznia 2004) . . . 457
6.5 Św. Filip i św. Bartłomiej. Zapowiedź filmu „Pasja” (16 lutego 2004) . . . 466
6.6 Judasz (15 marca 2004) . . . 476
6.7 O filmie „Pasja” (19 kwietnia 2004) . . . 487
6.8 Św. Paweł do Tymoteusza (17 maja 2004) . . . 498
6.9 Współczesny Apostoł: „Wstańcie, chodźmy!” (7 czerwca 2004) . . . 508

7 2004/2005 — Fragmenty P.Św.; Jan Paweł II — Benedykt XVI 519
7.1 Człowiek a cierpienie, cz. I — Ks. Hioba (18 października 2004) . . . 519
7.2 Człowiek a cierpienie, cz. II — Ks. Hioba (8 listopada 2004) . . . 529
7.3 Powołanie człowieka — Abraham (6 grudnia 2004) . . . 539
7.4 Mojżesz — od wiary do ufności (10 stycznia 2005) . . . 548
7.5 Pieśń nad Pieśniami (14 lutego 2005) . . . 557
7.6 Pieśni o Słudze Pańskim (21 marca 2005) . . . 566

7.7 Jan Paweł II i Benedykt XVI (25 kwietnia 2005) 577
7.8 Jan Paweł II oczami Benedykta XVI (16 maja 2005) 587
7.9 Benedykt XVI (30 maja 2005) 598

8 2005/2006 — Bohaterowie wiary Nowego Testamentu 607
8.1 Najświętsza Panna Maria — Zwiastowanie (10 października 2005) 607
8.2 N.M.P. — do odnalezienia Jezusa w świątyni (14 listopada 2005) 617
8.3 Trzej Królowie (9 stycznia 2006) 627
8.4 Nikodem (20 lutego 2006) 637
8.5 Piłat (20 marca 2006) 647
8.6 Łazarz (10 kwietnia 2006) 657
8.7 Kardynał Stefan Wyszyński jako ojciec dwóch papieży (15 maja 2006) 667
8.8 Jezus i Samarytanka (12 czerwca 2006) 677

Rozdział 1

1998/1999 — Przypowieści Jezusa Chrystusa

1.1 *Przypowieści* w Nowym Testamencie (12 października 1998)

Tematem naszych rozważań w tym roku będą *przypowieści Pana Jezusa.* Myślę, że znamy te przypowieści, znamy je bardzo dobrze. Wydaje się nam bardzo często, że moglibyśmy opowiadać je swoimi własnymi słowami. I myślę, że z tego względu dobrze będzie im przyjrzeć się jeszcze raz, ale w inny sposób, może jeszcze bardziej pogłębiony aniżeli ten, który otrzymujemy w kościele, zwłaszcza podczas mszy św. Przypowieści, które zachowały się na kartach Ewangelii to jest jednocześnie najlepszy sposób do tego, aby dotrzeć do nauczania Jezusa i powiedzieć coś więcej o samym Jezusie jako człowieku, który prawie 2000 lat temu nauczał w Palestynie. A to jego nauczanie zachowało się do dnia dzisiejszego właśnie w Ewangeliach, właśnie w Nowym Testamencie, i możemy je rozważać.

Bardzo chciałbym, żeby tegoroczne konferencje, te spotkania biblijne, były też naszym wspólnym przygotowaniem, skromnym zapewne ale jednak, do Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Bo skoro za nieco ponad rok — jeżeli dożyjemy — rozpoczniemy ten Wielki Jubileusz Roku 2000, jubileusz narodzin Jezusa Chrystusa, to zapewne dobrze jest przyjrzeć się również Jezusowemu nauczaniu. Przypowieści wydają się pozornie łatwe. Zresztą jako takie były pomyślane przez Jezusa Chrystusa. Ale zawierają w sobie przeogromną głębię. I przez te kilka miesięcy, które mamy teraz przed sobą, będziemy starali się przyglądać tym przypowieściom z różnych stron, i będziemy starali się wydobyć z nich zarówno ich historyczne znaczenie, tzn. przesłanie jakie miały dla ludzi tamtych czasów Jezusa, jak też ich aktualność, jaką przypowieści Jezusowe mają dla nas. Chciałbym zwrócić uwagę państwa na to, że przypowieści Jezusa były zdaniem Jego samego takim uprzywilejowanym i ulubionym przez Niego sposobem na to, aby komunikować ludziom bardzo ważne prawdy. Wyjdźmy od tekstu z Ewangelii św. Marka. Chciałbym dzisiaj powiedzieć ogólnie o przypowieściach, o ich sensie, o ich celu. Natomiast za miesiąc i później przejdziemy już do poszczególnych przypowieści. W Ewangelii św. Marka czytamy takie słowa (Mk 4, 33-34):

> W wielu takich przypowieściach Jezus głosił im naukę, o ile mogli ją rozumieć. A bez przypowieści nie przemawiał do nich. Osobno zaś objaśniał wszystko swoim uczniom.

W ten sposób mamy w przypadku przypowieści Jezusowych widoczne takie charakterystyczne napięcie, charakterystyczną biegunowość. Bo proszę popatrzeć — z jednej strony Jezus głosił tym, którzy Go słuchali, wszystko w przypowieściach, ale zdawał sobie sprawę, że uprzystępniając w ten sposób prawdy jednak nie mówi na tyle jasno, na tyle przejrzyście, żeby mogli Go do końca zrozumieć. Z drugiej strony nie przemawiał do nich bez przypowieści. Najwidoczniej ten przypowieściowy sposób myślenia, bardzo obrazowy – do czego wrócimy jeszcze za chwilę – był ulubiony nie tylko przez samego Jezusa ale również przez tych, którzy Go słuchali. Co więcej — musieli lubić ten sposób mówienia w przypowieściach także Apostołowie, i musieli dobrze go zapamiętać, skoro przypowieści zostały utrwalone na kartach czterech Ewangelii, skoro możemy je czytać i możemy je rozważać.

I jest tu jeszcze jeden wątek, który zasługuje na uwagę. Mianowicie:

Osobno zaś objaśniał wszystko swoim uczniom.

W przypowieściach Jezusowych są zatem dwa wymiary. Jeden wymiar to ten, który mogą zrozumieć wszyscy słuchacze przypowieści. Natomiast drugi wymiar to wymiar głębszy. Ten mianowicie, kiedy przypowieści Jezusowe wymagają czy też potrzebują jeszcze dalszego objaśnienia, takiego objaśnienia, które mogłoby być czytelne i które mogłoby przynieść coś więcej uczniom Jezusa Chrystusa. Przenosząc tę sytuację na nasze czasy moglibyśmy powiedzieć tak. Również i dzisiaj Jezusowe przypowieści może czytać każdy, kto sięga po Ewangelię. Również dzisiaj Jezusowe przypowieści mogą stać się przedmiotem rozważania, komentowania, objaśniania, a nawet przedmiotem przedstawiania np. w obrazach, albo nawet w balecie czy w muzyce. Ale obok tego swojego powszechnego, uniwersalnego przesłania przypowieści zawierają orędzie głębsze. I to głębsze orędzie jest w sposób szczególniejszy dostępne i zrozumiałe dla tych, którzy zaliczają się do uczniów Jezusa. Skoro tak, to również i naszym powołaniem jest próba sięgnięcia do tego głębszego pokładu Jezusowych przypowieści. Okazuje się bowiem, że w tej prostej, obrazowej formie można powiedzieć coś więcej niż tylko to, co ukazuje się na samej powierzchni Jezusowych przypowieści.

Jaki był cel przypowieści Jezusa Chrystusa? Myślę, że musimy tutaj zatrzymać się nad tekstem, który niejednemu z nas sprawia nie lada kłopoty. A to z tej prostej przyczyny, że jest to naprawdę trudny tekst. I myślę, że kiedy ten tekst jest czytany w kościele, to niejedno z nas zadaje sobie pytanie o sens, o znaczenie tego właśnie ewangelicznego epizodu. Otóż kontekst jest taki. Pewnego dnia Jezus opowiedział tłumom, i to słyszeli uczniowie, przypowieść o siewcy. Przypomnimy sobie kiedyś tę przypowieść ale myślę, że wszyscy ją dobrze znamy. Wyszedł siewca siać ziarno. Jedno padło na drogę, drugie na skały, trzecie na glebę żyzną. I los każdego ziarna był zupełnie odmienny. Wydawać by się mogło, że przypowieść jest absolutnie jasna, że przypowieść jest zrozumiała. Wydawać by się mogło że dla tych, którzy chodzili po palestyńskiej ziemi, którzy razem z Jezusem tę ziemię przemierzali, łatwo będzie odnieść znaczenie tej przypowieści do sensu, który Jezus zamierzył. Okazało się jednak, że było inaczej. Czytamy w Ewangelii św. Mateusza tak (Mt 13, 10-15):

> Przystąpili do Niego uczniowie i zapytali: «Dlaczego w przypowieściach mówisz do nich?» On im odpowiedział: «Wam dano poznać tajemnice królestwa niebieskiego, im zaś nie dano. Bo kto ma, temu będzie dodane, i nadmiar mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą również to, co ma. Dlatego mówię do nich w przypowieściach, że otwartymi oczami nie widzą i otwartymi uszami nie słyszą ani nie rozumieją. Tak spełnia się na nich przepowiednia Izajasza:
> *Słuchać będziecie, a nie zrozumiecie,*
> *patrzeć będziecie, a nie zobaczycie.*
> *Bo stwardniało serce tego ludu,*
> *ich uszy stępiały i oczy swe zamknęli,*
> *żeby oczami nie widzieli ani uszami nie słyszeli,*
> *ani swym sercem nie rozumieli: i nie nawrócili się, abym ich uzdrowił.*

Myślę, że każdy z nas ma tutaj ogromną trudność. Bo jak to? Jezus mówi przypowieści po to aby ci, którzy słuchają tych przypowieści, nie zrozumieli orędzia, jakie owe przypowieści zawierają? Zatem Jezus odwołuje się do przypowieści, aby zaciemnić swoje nauczanie? Aby nawet doprowadzić do pewnej zatwardziałości serc swoich słuchaczy? Gdyby tak było, to rola przypowieści byłaby co najmniej dziwna. Tymczasem z tych słów wynika coś znacznie głębszego i jednocześnie zupełnie innego niż to, co nam się wydaje na pierwszy rzut oka. Otóż Jezus nawiązuje do proroka Izajasza, który żył na ponad 700 lat przed Nim. Prorok Izajasz, który mieszkał w Jerozolimie gdzie ok. roku 730 do 700 przed Chr., całe swoje dorosłe życie poświęcił głoszeniu Słowa Bożego. I okazało się w jego przypadku, że tylko częściowo jego nauczanie było skuteczne. Natomiast ogromna większość mieszkańców Jerozolimy, tych adresatów nauczania Izajasza, tak dalece przyzwyczaiła się do jego napomnień, że później nie zwracała już na nie żadnej uwagi. I wtedy prorok uświadomił sobie, że porażka Słowa Bożego zależy w dużej mierze od usposobienia ludzkiego serca. I że można osiągnąć taki stan duchowy, w którym człowiek całkowicie zamknie się na wszystko, co do niego dociera. Zatem prorok Izajasz doszedł do niezwykle ciekawego i ważnego wniosku. Mianowicie że nie zawsze

jest tak, że głosząc nauczanie, w tym przypadku przypowieści, że zalecając dobre rzeczy spotkamy się z posłuchem, spotkamy się z posłuszeństwem, spotkamy się z pozytywną odpowiedzią. Możemy ludziom, słuchaczom naszego nauczania mówić rozmaite piękne i wzniosłe rzeczy, a oni i tak zrobią po swojemu. Czy to znaczy wtedy, że nasze nauczanie, że Słowo Boże pozostało bezowocne? Prorok Izajasz na ponad 700 lat przed Chr. powiada: Nie! To nie jest tak, że w przypadku tych, którzy trwają opornie przy swoim, również Słowo Boże pozostało bezowocne! Jest inaczej! To Słowo Boże obnażyło tajniki ich sumień, obnażyło ich wnętrze, pokazało ich zatwardziałość. Zatem to Słowo Boże tym mocniej uświadomiło ich odpowiedzialność za ten stan duchowy, do którego doszli. I w związku z tym prorok Izajasz powiada: Słuchać będziecie, a nie zrozumiecie. Nie zrozumiecie dlatego, że cokolwiek by się wam mówiło, to i tak do was nie trafi. Patrzeć będziecie, a nie zobaczycie, bo cokolwiek będziecie oglądać – jakiekolwiek cuda, znaki czy rzeczy dziwne – to zawsze znajdziecie jakieś wytłumaczenie, aby to zracjonalizować, aby to przekręcić, i aby nawet obrócić to przeciwko prawdziwemu znaczeniu tych słów, czy tego, co oglądacie. A dlaczego będziecie słuchać, a nie zrozumiecie, dlaczego będziecie patrzeć, a nie zobaczycie? Otóż dlatego – uzasadnia prorok – bo stwardniało serce tego ludu, ich uszy stępiały i oczy swoje zamknęli. I stało się tak, żeby oczami nie widzieli, a uszami nie słyszeli. Proszę zauważyć, że w tym pięknym obrazie prorok kładzie nacisk na dwa podstawowe zmysły człowieka, mianowicie oczy i uszy. Ale powiada, że można słyszeć i można widzieć, i patrząc i słuchając można nie usłyszeć i można nie zobaczyć tego, co jest dla człowieka rozstrzygające, co jest dla człowieka najważniejsze. A dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że temu słuchaniu i oglądaniu powinno towarzyszyć wewnętrzne otwarcie człowieka. I to ono uzdalnia człowieka do tego, aby zobaczył coś więcej i usłyszał coś głębszego niż tylko to, co słychać i widać na powierzchni słów. Jeżeli tak się rzeczy mają, to zaczynamy coraz głębiej rozumieć że Izajasz miał rację, kiedy kończył swoje nauczanie taką formułą:

> żeby ... swoim sercem nie rozumieli: i nie nawrócili się, abym ich uzdrowił.

Otóż ten brak nawrócenia pochodzi z wewnętrznego zepsucia, z takiej wewnętrznej zatwardziałości, która czyni człowieka nieczułym na wszystko, co do niego dociera. Z czymś takim podczas swojej publicznej działalności spotykał się również Jezus Chrystus. I Jezus nawiązując do tego proroka, który żył 700 lat przed Nim, do proroka Izajasza, podejmuje ten sam problem, który odżył w jego (tzn. w Jezusa) czasach. A podejmuje ten problem wtedy, kiedy przychodzą do Niego uczniowie. I uczniowie powiadają: „Dlaczego uczysz ich w przypowieściach?" Być może uczniowie woleliby, aby Jezus mówił bardziej wyraźnie, aby Jezus mówił bardziej klarownie. A Jezus powiada: „Wam dano poznać tajemnice Królestwa Niebieskiego, im zaś nie dano". Zawsze w świecie jest pewien podział między tymi, którzy głębiej przeżywają rzeczywistość religijną i Bożą, oraz tymi, którzy przeżywają ją znacznie płycej albo w ogóle stronią od stawiania sobie głębszych pytań. I przypowieści Jezusa ten podział ujawniały.

Istniało wiele prób zrozumienia czy wytłumaczenia tego ewangelicznego fragmentu. Część komentatorów mówiła przez wieki tak. Jezus nie chciał mówić otwarcie do tych, którzy Go słuchali, ze względu na to, że miał do czynienia z ludźmi prostymi. A zatem przez miłosierdzie dla nich posługiwał się obrazami. Bo innych prawd, czy prawd głoszonych wprost, nie byliby w stanie zrozumieć. Ale takie tłumaczenie jest niewystarczające i w żadnym wypadku nie może się ostać. Ktoś, kto czyta Jezusowe przypowieści, dobrze wie i bardzo szybko zauważy, że wymagały one sporo inteligencji. Wymagały one bardzo wnikliwej pamięci i wymagały one bardzo krytycznego umysłu i sporego rozeznania nie tylko o palestyńskich realiach, ale w ogóle o świecie, o jego obyczajach, o sposobie życia, o przeżyciach ludzi, a nawet znajomości psychiki człowieka. Nie można więc powiedzieć, że Jezus głosił przypowieści dlatego, że miał do czynienia z ludźmi prostymi. Otóż przypowieści, obrazy z jakimi tutaj mamy do czynienia, mają taką głębię, że trzeba być naprawdę człowiekiem bardzo otwartym, żeby do tych przypowieści sięgnąć.

Są zatem inni komentatorzy, którzy powiadają tak. Otóż Jezus głosił przypowieści dlatego, żeby wyraźnie, otwarcie nie mówić ludziom rzeczy trudnych, i żeby w ten sposób nie spotkać się z odmową z ich strony. Czyli Jezus chce jak gdyby w jakiś sposób ustrzec albo obronić tych, którzy słuchali jego przypowieści. W najbardziej skrajnej postaci nawet pojawiła się taka opinia, że Jezus celowo mówił w przypowieściach bo na ogół miał do czynienia z takimi, którzy nie mieli wielkiej ochoty, żeby Go słuchać i pójść za Nim. Otóż ta opinia wywodzi się ze środowisk szczególnie Żydom nieprzychylnych.

W tych środowiskach utrzymuje się, że zarówno dzisiaj, jak i w odległej starożytności, w czasach Jezusa, można mówić do Żyda swoje, a on i tak swoje myśli i swoje zrobi. W związku z tym Jezus znając swoich rodaków, bo przecież spośród nich się wywodził, mówił w przypowieściach po to, żeby jeszcze szybciej – jeżeli tak można powiedzieć – wyzwolić z nich to złe, czy też nikczemne wręcz, albo opieszałe nastawienie. Ale i to tłumaczenie, taka próba obrony Jezusa za cenę oskarżania jego rodaków Żydów, nie bardzo może się ostać. Bo przecież Jezus bardzo mocno podkreślał, że celem jego misji na ziemi jest konieczność i jest wola odszukania każdego człowieka i zbawienia każdego człowieka, a przede wszystkim odszukania i zbawienia narodu, do którego sam przynależał.

W Ewangelii św. Łukasza znajdujemy zdanie, które brzmi w ten sposób (Łk 19, 10):

> Syn Człowieczy przyszedł szukać i zbawić to, co zginęło.

Jeżeli więc przypisywałoby się tym Żydom sprzed 2000 lat jakąś zatwardziałość, która prowadziła ich do zguby, to tym bardziej należałoby powiedzieć, że celem Jezusa było uchronienie swoich rodaków przed tego rodzaju zatwardziałością, odnalezienie ich, pozyskanie, i również zapewnienie im zbawienia. Przypowieści nie mogły być po to — jeżeli można powiedzieć tak najprościej — żeby tych słuchaczy Jezusowych pogrążyć. Przeciwnie, dla wszystkich słuchaczy którzy byli, niezależnie od ich usposobienia, przypowieści miały być drogą do Boga i miały być sposobem na to, żeby złączyli swoje życie z Bogiem.

Jest jeszcze inna możliwość, inna ewentualność tłumaczenia celowości przypowieści. Mianowicie podkreśla się, że w przypowieściach mamy obrazy. Przypowieści są ciekawe, są zajmujące, mają nieoczekiwane pointy, mają w sobie jakiś taki dynamizm który sprawia, że zapadają łatwo w pamięć. I część komentatorów mówiła tak. Jezus opowiadał o prawdach Bożych w przypowieściach po to, żeby łatwiej je zapamiętali a później żeby mogli się nad nimi zastanowić. Żeby mogli jeszcze raz przeżyć, przetrawić, przemyśleć. Zatem – podkreślano – Jezus dawał swoim słuchaczom sposobność, okazję do refleksji. Nie jest to wykluczone. Dobrze wiemy, że jeżeli słuchamy czegoś zajmującego, czegoś interesującego, to z całą pewnością później w ciągu dnia wielokrotnie do tego wątku, do tych spraw wracamy. I na pewno niejedna z przypowieści Jezusa Chrystusa tak dalece pobudzała ciekawość, zainteresowanie i wyobraźnię słuchaczy, że wracali do tych przypowieści, zastanawiali się nad nimi. I również dzięki temu te przypowieści w Ewangeliach przetrwały.

Ale myślę że i to tłumaczenie, chociaż prawdziwe, nie jest do końca wystarczające. Dlatego że jeżeli przyjmiemy, że celem przypowieści było skłonienie do dalszej refleksji, to przecież mamy również i przypowieści bardzo krótkie, dosadne i wymowne, które od razu pobudzają człowieka do myślenia, od razu wywołują u niego reakcję. Te reakcje są bardzo różne, bo i bardzo różne są przypowieści. Zatem na pewno można było o przypowieściach myśleć później, po ich usłyszeniu. Ale z drugiej strony nie zawsze tę refleksję można było odkładać na później.

Dlaczego więc Jezus mówił w przypowieściach, jeżeli każdy z tych dotychczasowych powodów, i wszystkie razem wzięte, nie wystarczają, żeby objaśnić właśnie potrzebę i celowość tego sposobu mówienia. Sądzę, że trzeba tutaj zwrócić się ku Staremu Testamentowi, a potem zobaczyć tę przedziwną pedagogię Jezusa w przypowieściach. Bo przypowieści nie były przypadkiem. One były bardzo ważnym składnikiem owej Jezusowej pedagogiki w podejściu do swoich uczniów i do innych słuchaczy. Otóż kiedy sięgamy po Stary Testament, co samo w sobie jest zajęciem bardzo trudnym, to możemy bardzo rychło się przekonać, że Stary Testament stopniowo odsłania misterium Boga. Dlaczego? Bo Bóg nie może się w pełni objawić człowiekowi ze względu na to, że gdyby tak uczynił to byłoby to porażające. To tak, jak gdyby człowiek zobaczył przeogromne światło, wskutek którego zupełnie ślepnie. Albo gdyby usłyszał coś tak głośnego, wskutek czego traci zupełnie słuch. I z Bogiem jest podobnie. Objawia się człowiekowi stopniowo i powoli na tyle, na ile człowiek może znieść. I w Starym Testamencie Bóg stopniowo zapowiada przyjście Mesjasza, stopniowo ukazuje tę swoją radykalną, nową interwencję, jaką zamierzył w osobie Jezusa.

Ale w Starym Testamencie, prowadząc do tej prawdy o Wcieleniu Syna Bożego w osobie Jezusa Chrystusa, Bóg liczy się z tym, że ta prawda zostanie zakwestionowana i odrzucona. W książce „Przekroczyć próg nadziei" Jan Paweł II nazwał Wcielenie Syna Bożego, to znaczy fakt, że Bóg stał się Człowiekiem, „prowokacją pochodzącą od Boga samego". I ta prowokacja wywołuje w człowieku strach, lęk, a nawet opór i kontestację. Bo jak to? Bóg stał się człowiekiem? Ten oto mężczyzna, którego widzimy tutaj, który mieszka w Nazarecie, to miałby być Syn Boży? Czyż nie

jest to syn Maryi? Czy nie znamy jego rodziny? — pytali siebie nawzajem mieszkańcy Nazaretu. A kiedy Jezus rozpoczynając publiczną działalność powiedział: „Oto dzisiaj spełniają się słowa Pisma, które słyszeliście", to wtedy wyciągnęli Go z synagogi i zaprowadzili na stok góry, na której to miasto było zbudowane, i tam usiłowali Go strącić dlatego, że odebrali jego roszczenia jako bluźnierstwo. Stary Testament przygotowywał stopniowo naród Bożego wybrania do objawienia się Boga w Człowieku — Jezusie z Nazaretu. Stary Testament przygotowywał cierpliwie, ale jednocześnie była to tajemnica i nowość tak przeogromna, że zwłaszcza w pokoleniu Jezusa Chrystusa bardzo trudno, bardzo ciężko było mówić o tych sprawach. A daleko jeszcze bardziej ciężko było wtedy, kiedy trzeba było powiedzieć, że losem tego Boga – Człowieka, losem Syna Bożego ma być cierpienie i śmierć. Przypomnijmy sobie tutaj dobrze znany epizod pod Cezareą Filipową. Jezus przeprowadził tam, jeżeli tak można powiedzieć, badanie opinii publicznej. Zapytał swoich uczniów: „Za kogo uważają ludzie Syna Człowieczego?" I ci przedstawiali różne opinie. A potem: „A wy, za kogo mnie uważacie?" I Piotr odpowiedział: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga Żywego". Ta odpowiedź była jak najbardziej prawidłowa, była właściwa, stanowi wyznanie wiary na którym opiera się cała wiara, cała religia chrześcijańska. Ale chwilę po tym jak Jezus usłyszał to wyznanie wiary, zaczął zapowiadać swoje pojmanie, swoje cierpienia, swoją mękę i swoją śmierć. I wtedy ten sam Piotr, który uznał w Jezusie Mesjasza i Syna Bożego, wziął Go na bok, odciągnął od innych tak, żeby inni nie słyszeli, bo Piotr czuje się zgorszony. Wydaje mu się, że ten Mistrz w jakiś sposób umknął zdrowemu rozsądkowi. Wziął więc Piotr Go na bok dumny z tego, że złożył tak wspaniałe wyznanie wiary, i powiada do Jezusa: „Panie, nie przyjdzie to nigdy na Ciebie". Na co spotkał się z głośną reprymendą: „Zejdź mi z oczu szatanie, bo nie myślisz o tym co Boże, ale o tym co ludzkie". Zwróćmy uwagę, że o ile samo Wcielenie Syna Bożego w osobie Jezusa stanowiło zgorszenie, o tyle możliwość cierpienia Syna Bożego i zbawienia ludzkości przez krzyż i przez mękę, stanowiła granicę czy też sprawy wręcz nie do pokonania, nie do przekroczenia. I pamiętamy, że nawet po trzech latach publicznej działalności

Zmiana stron kasety

... to pokolenie próbowało uchronić Boga przed Nim samym. Tzn. wolałoby, żeby Bóg zbawił świat w każdy inny sposób, ale nie przez cierpienie. Bo jakże to tak? Bóg wspaniały, pełen majestatu, Bóg – który stworzył świat i człowieka, ma zbawiać, dokonać zbawienia w uniżeniu, w poniewierce, w cierpieniu, w męce i w bólach? To ma być droga Boga? Jan Paweł II w książce „Przekroczyć próg nadziei" napisał, że głośno zaprotestowano. I był to sprzeciw przygotowanych. I ten sprzeciw przygotowanych to sprzeciw Żydów, współczesnych Jezusowi Chrystusowi, przygotowanych przez Stary Testament, którzy w tym przypadku chcieli poprawić Boga i krzyczeli: „To nie przystoi Bogu, żeby Bóg cierpiał". I ten wielki protest nazywa się synagogą. A kilka wieków później pojawił się protest nowy, podobny do tego. I ten drugi protest nazywa się islamem. Istnieją więc te trzy wielkie religie monoteistyczne obok siebie — żydowska, chrześcijańska i islam, ale tylko chrześcijaństwo widzi miejsce dla Boga, który cierpi, dla Boga, który został powieszony na krzyżu, który przeszedł przez bramę śmierci. I tylko chrześcijaństwo, chociaż nie bez oporów, tę prawdę przyjmuje. Dla pozostałych dwóch religii jest to zbyt wielkie uczłowieczenie Pana Boga.

To, co powiedziałem, ma ogromny związek z Jezusowymi przypowieściami. Otóż los Jezusa Chrystusa, jego posłannictwo, było ogromną tajemnicą. Tajemnicą nie dlatego, że Jezus coś ukrywał, lecz dlatego — i na tym polega ten przeogromny paradoks — że im więcej i bardziej otwarcie o sobie mówił, tym bardziej był narażony na niezrozumienie, na odrzucenie, na kontestację i na protest. Bo chętnie oglądano znaki, które wykonywał. Z podziwem patrzono na wielkie dzieła, które czynił. Z uznaniem patrzono na uleczenia. Słuchano chętnie jego nauki. Z podziwem patrzono na wskrzeszenia. Zapamiętano ich bardzo dużo. Na to się zgadzano. Zgadzano się na obecność Bożą pośród ludzi, z której przebija się majestat, wielkość, blask, chwała, pewność siebie. Pojmowano Pana Boga na sposób ludzkiego władcy: jeżeli masz władzę, to z niej korzystaj. Jeżeli możesz coś robić, to rób do samego końca. A gdy Jezus powiadał, że prawdziwym zamiarem Boga jest uniżenie, prawdziwym zamiarem Boga – który zostanie urzeczywistniony – jest utożsamienie się z losem cierpiących i prześladowanych, samotnych i opuszczonych, i na rozmaite sposoby odczuwających zło i nieszczęścia tego świata — wtedy buntowano się przeciwko takiej wizji, przeciwko takim zapowiedziom obecności Pana Boga w świecie. I właśnie dlatego Jezus mówi w przypowieściach. W tych

przypowieściach są obecne dwa wymiary. Z jednej strony Jezus zapowiada to, co będzie. Odsłania los Boga który cierpi i będzie cierpiał wśród ludzi. To jest bardzo ciężka, bardzo trudna prawda dla człowieka. Proszę zwrócić uwagę w kontekście ostatnich sporów dotyczących obecności krzyża w Oświęcimiu. Zostawmy na boku to, co ma charakter czysto polityczny i co jest czystą ideologią – a tego jest w tych sprawach nazbyt wiele. Ale jest tam również pewien pierwiastek religijny ze strony żydowskiej. Mianowicie część Żydów powiada, że w Oświęcimiu, w Auschwitz, Boga nie było. Bo jakże zobaczyć Boga w piecach krematoryjnych, jakże zobaczyć Boga na placu apelowym? Gdzie był Bóg, kiedy były palone dzieci? Gdzie był Bóg, kiedy męczono niewinne kobiety i niewinnych mężczyzn? Gdzie był Bóg — pyta część Żydów. A pyta dlatego, ponieważ nie uznaje Jezusa. Dla chrześcijan ta odpowiedź na pytanie o obecność Boga w Auschwitz jest znacznie łatwiejsza. Bo na pytanie: „Gdzie był Bóg w Auschwitz?" chrześcijańska odpowiedź jest krótka i dramatycznie prosta: „Bóg był w piecu krematoryjnym, Bóg był na apelu, Bóg był tam, gdzie ludzie byli gazowani, Bóg był tam, gdzie byli cierpiący. A dlaczego tak było? Bo Bóg jest zawsze po stronie prześladowanych, niewinnie osądzonych i skazanych. Bóg jest zawsze tam, gdzie jest niesprawiedliwie cierpiący człowiek. I dla chrześcijanina ta prawda wynika wprost z Ewangelii. Byłem głodny, byłem spragniony, byłem więźniem, potrzebowałem, byłem samotny — a przyszliście, a odwiedziliście. Ale — „byłem". Kiedy widzieliśmy Cię głodnego, kiedy widzieliśmy Cię spragnionego, w więzieniu, czy gdzie indziej? Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili. Otóż ktoś, kto niósł pomoc w Auschwitz, niósł ją Jezusowi. Ale ktoś, kto zamęczył człowieka w Auschwitz, męczył raz jeszcze — kolejny raz w dziejach świata — samego Jezusa. Krzyżował Go w tej drugiej osobie.

Zwróćmy uwagę, że tę tak wzniosłą prawdę o obecności Boga zwłaszcza w cierpieniu zaczął objawiać, zaczął ukazywać Jezus Chrystus. Nie mógł tej prawdy mówić wprost — raz jeszcze ten moment powtarzam — bo dla jego słuchaczy było to zgorszenie. Tak jak dla Piotra, który zaczął Go upominać. Nie mogliby tego zrozumieć, bo to przekracza ludzkie siły. Dlatego Jezus posługuje się przypowieściami. I w tych przypowieściach zawarte jest już jakieś odsłonięcie tej tajemnicy Jego osoby i posłannictwa, a zarazem zawarte jest „jeszcze nie", „jeszcze nie wszystko". Można by powiedzieć, że przypowieści oszczędzają słuchaczy. To tak jak ktoś, kto głodnemu nie daje zbyt dużo jedzenia bo wie, że mu to zaszkodzi. Jak ktoś w nocy oszczędnie pali światło rzucając je gdzieś z boku a nie prosto w oczy bo wie, że oślepi człowieka na którego byłoby wprost skierowane. I przypowieści też są skierowane do ludzi, ale dają im szansę takiego spokojnego spotkania się z prawdą, którą zawierają. Bo prawda, którą niosą przypowieści, jest czasami porażająca. Głównym tematem przypowieści jest *Królestwo Boże*, Królestwo zapowiadane przez Jezusa. Kiedy słyszymy słowo „królestwo", kojarzy nam się ono z dworami, z monarchami, z przepychem, z fanfarami, ze służbą. Kiedy słyszymy słowo „królestwo", kojarzy nam się ono z królową, i królem, i dworem. Ze sługami i z tym wszystkim, co stanowi osnowę, i co stanowi kontekst życia ziemskiego króla. Myślimy sobie przez analogię tak: jeżeli ludzkie dwory królewskie są tak wystawne, to jakże wystawne musi być królestwo zamierzone przez Boga?

Pod tym względem myślimy dokładnie tak samo, jak myśleli owi słuchacze Jezusa 2000 lat temu. A tymczasem Jezus głosząc w przypowieściach Królestwo Boże zwraca uwagę, i bardzo mocno podkreśla, że to Królestwo, które On urzeczywistnia, jest zupełnie inne. Nawiązuje do proroków którzy mówili tak, jak Izajasz, Ezechiel czy Jeremiasz, że będzie to Królestwo miłości, sprawiedliwości i pokoju. Ale Jezus zaczyna to ukonkretniać i pokazuje, w jaki sposób ono zostanie zaprowadzone. I pokazuje, na czym polega ta natura przyszłej obecności Boga wśród ludzi. Gdyby powiedział wprost o tym, co Go czeka, i o tym, jaki będzie jego los, to być może nawet najbliżsi by Go opuścili. Bo nikt przecież nie lubi być świadkiem, a daleko bardziej nie znosi być uczestnikiem porażki. Zwróćmy uwagę — jesteśmy dzień po wyborach — że doskonale to widać w propagandzie. Jednym z elementów propagandy przedwyborczej, czy to u nas czy gdzie indziej, a szczególnie dobrze mają to przerobione w Stanach Zjednoczonych, jest to, że tuż przed wyborami daje się wysokie notowania komuś, kogo pcha się do rządów, natomiast na wszelki sposób obniża się notowania tych, których nie chce się mieć u władzy. Ma to taki psychologiczny skutek, że znaczna część ludzi nie idzie głosować na tych, którym się rokuje mniejsze notowania, bo nie chce być po stronie przegranych. Woli być tam, gdzie jest domniemana większość. Albo po prostu zdając sobie sprawę z tej domniemanej przegranej w ogóle nie bierze udziału w całym przedsięwzięciu głosowania.

Coś podobnego było w przypadku przypowieści Jezusowych. Jezus wiedział dobrze, że pełne odsłonięcie prawdy o sobie, o Nim samym, i pełne odsłonięcie prawdy o Królestwie Bożym, będzie dla jego słuchaczy porażające. Zwróćmy uwagę, że pod tym względem miał absolutnie rację. Czy przypominamy sobie słynny i dobrze znany epizod podczas Wniebowstąpienia na Górze Oliwnej? Przypominamy go zawsze wtedy, kiedy jesteśmy w Jerozolimie w miejscu, które znane jest jako *Viri Galilei*, *Mężowie Galilejscy*. To jest bardzo ciekawa scena, w Dziejach Apostolskich potraktowana bardzo krótko, bo autor Dziejów Apostolskich, św. Łukasz, dobrze wiedział, że podobnej pokusie będzie ulegało każde pokolenie chrześcijan. Otóż już po śmierci, już po Zmartwychwstaniu, już po 40 dniach ukazywania się Jezusa, Apostołowie pytają swojego Mistrza: „Panie, czy w tym czasie odnowisz królestwo Izraela?" Myśleli sobie w ten sposób. To, co przeżył jako Człowiek w życiu doczesnym, to jedno. Jego śmierć — to przeszłość. On zmartwychwstał żeby założyć królestwo, a w tym królestwie będzie odpowiednia rola dla nas. Teraz nasza kolej. Teraz dopiero doczekamy się tych zaszczytów, jakie są związane z królowaniem. Przypomnijmy sobie, że jeszcze za życia Jezusa przyszła do Niego matka synów Zebedeuszowych, czyli żona Zebedeusza, i powiada do Niego — nie ma w tym nic dziwnego, takie są i takie muszą być matki — „Panie, czy mógłbyś tak załatwić, żeby jeden z moich synów był po Twojej lewej stronie, a drugi po prawej?" Czyli jako matka próbuje załatwić im posadę w Królestwie Niebieskim. Na co Jezus odpowiada: „Nie wiecie, o co prosicie. Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić?" Kielich — to jest obraz, to jest symbol tego semickiego, blisko-wschodniego myślenia. Tzn. czy możecie przyjąć mój los? Los, który stanie się moim udziałem? Oni mówią: Tak, oczywiście. Bo wyobrażali sobie, że wszystko to będzie łatwe, lekkie i przyjemne. A Jezus powiada: „Być może w moim losie będziecie uczestniczyć" — co spełniło się później, gdy jeden i drugi stali się męczennikami. „Ale nie do mnie należy przyznawanie tych miejsc. Nie na tym polega Królestwo Boże, żeby przygotowywać się do chwały i do tego, by inni nam służyli."

I w przypowieściach mamy też tą samą biegunowość. Jezus zdając sobie sprawę z tej pokusy pojmowania obecności Boga na sposób ludzki, chce oszczędzić swoim słuchaczom mówienia wprost po to, żeby nie wywołać ich sprzeciwu. Gdyby mówił wprost o tym, co Go czeka, być może do Jerozolimy, do Ogrójca, a potem na krzyż dotarłby zupełnie sam. No, może nie sam, może z Maryją, Swoją Matką, i może jeszcze z kilkoma kobietami, które były Mu wierniejsze niż uczniowie, którzy widzieli to wszystko, czego dokonywał. Ale dlaczego ci uczniowie byli potrzebni? Czy mógł się bez nich obejść? Otóż nie — bo to właśnie oni zachowali pamięć o tym, co przeżyli. Oni tę pamięć utrwalili i to dzięki ich wahaniom, dzięki ich zwątpieniu, dzięki zaparciu Piotra, dzięki ucieczce reszty tych Apostołów — ale także dzięki odmianie, jaka się w nich dokonała wraz ze Zmartwychwstaniem — wiemy o Jezusie, znamy Jego los, i co więcej — znamy również Jezusowe przypowieści. Bo przecież te Jezusowe przypowieści zapamiętali ci, którzy odkryli ich pełne znaczenie dopiero po Zmartwychwstaniu. Przed Zmartwychwstaniem odkrycie pełnego znaczenia tych przypowieści, odkrycie tego, co one zawierają, odkrycie przesłania, jakie one niosły, było dla nich niemożliwe.

I jeszcze kilka uwag na koniec. W przypowieściach są zawsze dwa poziomy. Poziom pierwszy to poziom obrazu. Jezus odwołuje się zawsze do rzeczy znanych i prostych. Ale były to rzeczy, sprawy, rzeczywistości, osoby, epizody, sytuacje znane w Jego czasach. Kto dzisiaj, jeżeli nie postudiuje, nie poczyta, nie dowie się, wie co to takiego jest *drachma* i jaka była jej wartość? Kto dzisiaj wie, co to takiego *talent* jako miara wagi i jaka była jego wartość? Któż z nas, jeżeli nigdy nie był w Palestynie, wie rzecz, która dla nas jest absolutnie dziwna — mianowicie że w Palestynie najpierw się sieje ziarno, a następnie się dopiero orze? Podczas gdy u nas jest dokładnie odwrotnie! Któż z nas mógłby zrozumieć przypowieści, jeżeli nie ma pojęcia o tym, jak wygląda ziarnko gorczycy? I przykłady można mnożyć. Otóż ten poziom obrazu, zrozumiały dla dawnych słuchaczy, dla nas dzisiaj domaga się wytłumaczenia. Inna bowiem jest nasza mentalność, inna kultura, inna cywilizacja w jakiej żyjemy. Mamy zupełnie inne sposoby przemieszczania się, inaczej mieszkamy niż tamci ludzie. Inny jest status kobiety, inna jest rola rodziny. Zatem przypowieści nawet od tej strony wymagają wytłumaczenia. Oczywiście najlepszą byłoby rzeczą, aby czytać przypowieści wtedy, kiedy oglądamy Palestynę. Są one tak mocno osadzone w jej realiach, że nieraz będąc z grupami pielgrzymkowymi w Ziemi Świętej — jeżeli atmosfera jest ku temu sposobna — to albo w autokarze, albo nawet zatrzymując się gdzieś na Górze Błogosławieństw — czytamy kilka

przypowieści. I wtedy w oczach słuchaczy widać prawdziwe olśnienie. Zaczynają rozumieć rzeczy proste o których sądzili, że już rozumieją wszystko. Ale niestety — nie możemy w ogromnej większości podziwiać tego wszystkiego własnymi oczyma. Może więc pewną namiastką może być album, zdjęcia, fotografia. A mnie się wydaje — to jest taka moja sugestia — że dobrym kontekstem dla przeczytania przypowieści może być wzięcie Pisma Świętego Nowego Testamentu i poczytanie go choćby w parku, albo na wycieczce poza miasto. Bo przecież te przypowieści nawiązują do życia rolniczego, pasterskiego. Ale nawiązują również do uczty, do życia w mieście. Człowiek musi się wyciszyć, żeby ten obraz w przypowieściach mógł do niego trafić.

Mają jednak przypowieści poziom inny. I ten inny jest jeszcze ważniejszy. Mianowicie nie słuchamy przypowieści po to, aby poznawać dawne realia. Słuchamy przypowieści po to, aby dowiedzieć się czegoś więcej o Bogu i jednocześnie czegoś więcej o sobie. Grecka nazwa przypowieści, która doskonale oddaje charakter tego, o co nam chodzi, brzmi $\boxed{\text{parabol}\acute{e}}$. $\boxed{\text{Parabol}\acute{e}}$ to znaczy po polsku *coś położone obok siebie.* A więc możliwość porównania, możliwość zestawienia. Oto słyszysz o ziarnie — i porównaj to ze swoim życiem. Oto słyszysz o kobiecie, która zgubiła monetę — i porównaj to ze sobą. Oto słyszysz o synu marnotrawnym — i porównaj to ze swoją sytuacją. Oto słyszysz o mieście położonym na górze — i porównaj to ze swoim usposobieniem, ambicjami, marzeniami. Oto słyszysz o chwaście w roli — i porównaj to ze sobą. $\boxed{\text{Parabol}\acute{e}}$ — zestawienie! Przypowieść mówi o rzeczach codziennych po to, aby sięgnąć znacznie głębiej.

I naszym celem w tym roku będzie odsłanianie tych dwóch poziomów przypowieści. Będzie z jednej strony objaśnianie tych rzeczywistości, o których przypowieść mówi. A z drugiej strony ukazywanie wnętrza człowieka i zgłębianie samego siebie.

I jeszcze jedno. Przypowieść jest adresowana do uszu. Zatem przypowieść ma trafić do wyobraźni człowieka. Na szczęście nikt do tej pory nie próbował jeszcze sfilmować przypowieści. Bo przypowieści nie są po to, żeby odtwarzać z nich historyjki na podobieństwo historyjek, jakie mamy w telewizyjnych reklamach. Przypowieści są po to, żeby pobudzać naszą wyobraźnię. I tu, pod tym względem, chciałbym zwrócić uwagę państwa na specyficzną różnicę, o której kiedyś już mówiłem ale dobrze ją dzisiaj, na zakończenie tego spotkania, przypomnieć. Otóż my w kulturze europejskiej jesteśmy ludźmi telewizji, ludźmi obrazu, ludźmi figur, przedstawień. Chcemy widzieć, oglądać to, co mamy na myśli — nawet podczas modlitwy. Np. bardzo pomaga nam widok krzyża albo świętego obrazka. Bo nam wtedy łatwiej wyobrazić sobie Najświętszą Maryję Pannę, jeżeli widzimy twarz pięknej i niewinnej kobiety. Ten sposób myślenia, ten sposób życia, jest zupełnie nieznany na Bliskim Wschodzie. Tam, zarówno w kulturze żydowskiej jak i arabskiej, wszystko opiera się nie na oczach i nie na wzroku, tylko na uszach i na słuchu. Tam opowiada się — a człowiek, który opowiada, ma zamknięte oczy. I ci, którzy go słuchają, mają zamknięte oczy. I gdzieś tam w głębi swojej wyobraźni oglądają obrazy, które są im podsuwane. Oni to wszystko bardzo głęboko przeżywają — tak jak dziecko, któremu matka czy siostra opowiada przy zgaszonym świetle jakieś opowiadania. I to dziecko pomimo tego, że jest ciemno, widzi wszystko dlatego, że pracuje jego wyobraźnia. Przypowieści należą do tego drugiego sposobu myślenia, do tego drugiego sposobu postrzegania i przeżywania świata. Przypowieści są adresowane do uszu człowieka i trzeba je wysłuchiwać, jeżeli tak można powiedzieć, z przymkniętymi oczyma. I trzeba zastanowić się nad ich głębokim przesłaniem, bo one zawierają w sobie coś głębszego niż to, co jesteśmy w stanie pokazać. Proszę zwrócić uwagę, że jeden z najsłynniejszych obrazów Rembrandta pokazujących powrót syna marnotrawnego uchwycił tylko jeden epizod przypowieści. I są tacy, którzy kiedy widzą ten obraz w galerii albo reprodukowany w albumie, to patrzą na niego przez długie minuty. A przecież z tej przypowieści można stworzyć 30, 130 albo 330 obrazów ujmujących poszczególne etapy sytuacji w tej przypowieści przedstawionej.

Tak więc to byłby wstęp do naszej refleksji. Mam nadzieję, że zainteresuję państwa przypowieściami Jezusa. Być może dobrze będzie sięgnąć w domu już teraz do owych przypowieści i spróbować je sobie przeczytać nieco inaczej, niż czytaliśmy, niż czyniliśmy to do tej pory. Na następne spotkanie zapraszam w drugi poniedziałek listopada, 9 listopada. Wtedy przejdziemy już do konkretnych przypowieści i spróbujemy poznać je tak, jak o tym dzisiaj wstępnie mówiliśmy. Dziękuję bardzo.

1.2 Przypowieść o czujnym słudze (9 listopada 1998)

Przypowieści Jezusa. Wydaje nam się, że wiemy na ich temat wszystko. Słyszeliśmy je wielokrotnie i może być takie wrażenie, że jeszcze raz wysłuchanie przypowieści i że refleksja nad nimi jest już w jakiś sposób powtórzeniem tego, co znamy. Ale myślę jednak, że słuchając Jezusowych przypowieści — zarówno wtedy, kiedy Jezus wypowiadał je do tych, którzy byli w Jego najbliższym otoczeniu, jak i dzisiaj, każdy z nas wydobędzie z nich również pewne treści nowe. Przed miesiącem na pierwszym spotkaniu poświęconym przypowieściom Jezusa zwróciliśmy uwagę na ogólne sprawy, takie ogólne wprowadzenie, które przypowieści dotyczy. Dzisiaj przejdziemy do konkretnych Jezusowych przypowieści. I przejdziemy również do konkretnych problemów w życiu, których te przypowieści dotyczą. I to zarówno w życiu kiedyś słuchaczy Jezusa Chrystusa, jak też w życiu Kościoła tego wczesnego apostolskiego, jak go czasami nazywamy „pierwotnego Kościoła", oraz rzecz jasna w naszym własnym życiu. Trzeba bowiem, zanim przejdziemy dzisiaj do rzeczy nowych, przypomnieć sprawę którą państwo dobrze znają, zwłaszcza ci, którzy w tej refleksji nad Starym i Nowym Testamentem uczestniczą od lat. Mianowicie, że jeżeli Jezus czegoś uczył, o czymś mówił, to ma to z naszej dzisiejszej perspektywy swoje takie potrójne, trojakie osadzenie w życiu.

Otóż pierwsza płaszczyzna, pierwsza sprawa to to, że Jezus nauczał wąski i ściśle określony krąg ludzi, do którego należeli przede wszystkim jego apostołowie oraz ludzie z jego najbliższego otoczenia. Czasami tylko wokół Jezusa zbierały się prawdziwe tłumy, ogromne tłumy, rzesze ludzi, ale nie tyle po to i wyłącznie po to, aby Go słuchać, ile również aby być świadkiem Jego cudów. I to było to *pierwsze*, jak czasami je nazywamy, *środowisko życiowe*. Mianowicie tamci słuchacze sprzed 2000 lat, którzy mieli szczęście Jezusa widzieć, słyszeć, oglądać, podziwiać i na rozmaite sposoby być świadkami jego obecności. Otóż ci ludzie zapamiętali to, czego Jezus uczył. To jest bardzo ważne. Bo sam Zbawiciel nie napisał ani jednego słowa, które przetrwało by do naszych czasów. Wiemy, że umiał pisać bo pisał palcem po ziemi wtedy, kiedy przyprowadzono do Niego kobietę pochwyconą na cudzołóstwie. Ale wiemy, że takie pisanie na ziemi zbyt trwałe nie jest. Natomiast z samego nauczania Jezusa nie zachowało się nic.

Zwróćmy uwagę zatem na szczegół, który jest niesłychanie ważny. Mianowicie, że Jezus powierzył całe swoje nauczanie w ręce tych, którzy Go słuchali. A więc powierzył je pamięci tych, którzy byli świadkami jego życia. I nauczanie Jezusa znamy tak, jak zostało ono przez nich zapamiętane. I to jest to *drugie środowisko życiowe*. Mianowicie te umysły, pamięć i serca Jego uczniów, a zwłaszcza apostołów, którzy przeszedłszy tę wielką przygodę z Jezusem zapamiętali to, czego On uczył.

I wreszcie pozostaje trzecia płaszczyzna. Mianowicie kiedy ewangeliści pisali swoje Ewangelie, to pisali te Ewangelie nie w próżni, ani nie w próżnię, tylko te poszczególne Ewangelie miały swoich konkretnych adresatów. Ludzie w Jerozolimie, ludzie w Rzymie, ludzie w Aleksandrii czy ludzie w Antiochii, ci którzy stali się chrześcijanami, powiedzieli tak: zapiszcie nam to, co przeżyliście. I tak powstały cztery Ewangelie kanoniczne. I w tych czterech Ewangeliach kanonicznych, które są normą wiary Kościoła po dzień dzisiejszy, została utrwalona część wizerunku Jezusa Chrystusa. Została utrwalona część tej pamięci, którą apostołowie w sobie mieli. Zwróćmy uwagę, że cały Nowy Testament to jest książka, która wydrukowana dzisiaj wygląda tak. Jezus mówił, Jezus uczył, Jezus dokonał znacznie więcej. Ale zachowała się tylko część tego wszystkiego. Ta część, która była przeznaczona dla konkretnych odbiorców. Nie inaczej było z przypowieściami. Z całą pewnością Pan Jezus mówił, wypowiedział znacznie więcej przypowieści niż te, które zostały zapisane na kartach Ewangelii. Przypowieści było więcej, ale zostały zapamiętane chyba te, które najbardziej jakoś wryły się w pamięć. Zostały zapamiętane te, które najłatwiej można było zapamiętać i powtarzać. Oraz zostały zapamiętane te, które najbardziej trafiały do serc ludzi, a także najbardziej odpowiadały na aktualne potrzeby wierzących, którzy stanowili to pierwsze i drugie pokolenie chrześcijańskie. Wzgląd na te sprawy jest bardzo ważny zwłaszcza teraz, w perspektywie zbliżającego się Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Kończymy tzw. Rok Syna, który kończy się za 3 tygodnie, i wraz z pierwszą niedzielą Adwentu rozpocznie się Rok Ojca. I wracając do tamtego wielkiego wydarzenia, jakim było wejście Boga w ludzką historię, musimy chcąc lepiej poznać Ewangelie i chcąc być bardziej świadomym swojej wiary chrześcijanami, musimy po prostu również mieć lepsze wyobrażenie o powstaniu i o tych realiach Nowego Testamentu.

Przejdźmy teraz do konkretnych przypowieści. Ale tutaj jeszcze jedno zastrzeżenie, może jeszcze jeden obraz, jeszcze jedna rzeczywistość która stanowi tło tych przypowieści. Otóż drodzy państwo, kiedy apostołowie spotykali Jezusa przez 3 lata i byli z Nim na co dzień, to po Jego śmierci, a nawet po Jego zmartwychwstaniu, a zwłaszcza po Jego wniebowstąpieniu przeżyli prawdziwy szok. Można nazwać ten szok *szokiem samotności*. To jest tak, jak ktoś zwiąże się z bliskim sobie człowiekiem z którym przeżywa kilka, kilkanaście albo więcej lat, i nagle tego bliskiego człowieka zabraknie. I okazuje się, że w życiu tworzy się pustka, której nikt i nic nie zdoła zapełnić. I im ta miłość była większa, tym pustka staje się bardziej dokuczliwa a czasami bardziej nieznośna. Na kilka dni przed uroczystością Wszystkich Świętych, kiedy pojechałem na groby swoich bliskich w swoje rodzinne strony, znalazłem taki pomnik, zupełnie świeżo wykonany — w kwietniu zmarł w wypadku ten człowiek. I jego żona, czterdziestoparoletnia kobieta, pozostawiła mu na pomniku mniej więcej taki napis: „Wszystko już było, cokolwiek być mogło". W ten sposób chciała ta osamotniona nagle kobieta podkreślić, że właściwie w jej życiu wszystko wydarzyło się i ze dalsze życie ma sens, ale tylko w świetle tego, co już przeżyła. Wszystko już było, cokolwiek być mogło. Przeżyła prawdziwą miłość, wydała na świat dzieci, które jeszcze nie dorosły, miała męża z którym się związała ale przeżyła również dramat rozłąki, ból, cierpienie, samotność. Nic już życie jej nie dostarczy takiego, co by mogło dorównać temu, co przeżyła. Wszystko inne nie będzie już tak ważne, ani nie będzie tak piękne, ani nie będzie tak bolesne jak to, co przeżyła. Myślę, że to oddaje również tą przygodę apostołów z Jezusem Chrystusem. Mianowicie oni po odejściu Jezusa, po Jego zmartwychwstaniu i po Jego wniebowstąpieniu musieli nauczyć się żyć na nowo. Oni musieli przyzwyczaić się do tego, że oto Jezusa nie ma w ten widzialny sposób. Jest w inny, poprzez swojego Ducha, kiedy umacnia i uzdalnia swój Kościół. Ale nie mogli Go już oglądać na co dzień. Nie mogli wstać rano, i zobaczyć, i posłuchać. Nie mogli w południe powiedzieć: Słuchaj, objaśnij nam tę przypowieść. Na czym polega cały dramat? Że to, co oni przeżyli po rozstaniu z Jezusem, o tym Jezus wiedział wtedy, kiedy z nimi był na co dzień. Otóż Jezus wiedział, że któregoś dnia zostanie pojmany, zostanie osądzony, zostanie ukrzyżowany, stracony, i zdradzony również, i że któregoś dnia przyjdzie Mu przedwcześnie zakończyć ziemskie życie. I Jezus oglądając tych swoich najbliższych wiedział, że im mocniej się z nimi wiąże tym większy będzie dramat, któremu będą mogli sprostać. To jest jakaś część naszego ludzkiego losu. Że polega on na tym, że miłość, że ta bliskość wzajemna ludzi zawsze niesie ze sobą jakieś przeogromne ryzyko. A tym ryzykiem jest m.in. to, że musimy być gotowi do rozstania. Musimy wiedzieć, że im bardziej się angażujemy tym boleśniejsze jest to, co w niektórych przypadkach w życiu człowieka ma miejsce. Apostołowie musieli to przeżyć. To jest jedno tło przypowieści, które chciałbym dzisiaj rozważyć.

I drugie tło, na które musimy zwrócić uwagę, ma z tym pierwszym jakiś związek. Mianowicie każdy z nas, jak myślę, przeżył coś co można by nazwać zapałem, ale takim zapałem słomianego ognia. Jeżeli przeżyjemy coś pięknego np. wzniosłe rekolekcje, np. piękne kazanie, piękną naukę, odbędziemy piękną podróż i zobaczymy coś, co nas zachwyci. Jeżeli przeżyjemy coś bardzo wzniosłego, wtedy robimy sobie tzw. dobre postanowienia. I wtedy chcielibyśmy, żeby to nasze szczęście trwało jak najdłużej. Pewnie apostołowie z Jezusem czuli dokładnie to samo. „Panie, dobrze, że tu jesteśmy" wołali któregoś dnia na Górze Tabor, „zbudujemy Ci trzy przybytki". Kiedy Jezus zmartwychwstał i kiedy wstępował do nieba, wołali to samo. Było im przykro i smutno, że nadchodzi rozłąka, ale robili owe dobre postanowienia. I każdy z nas, myślę, przeżył to, że kiedy wracamy do zwyczajnego życia z tej wielkiej duchowej przygody – czy to pielgrzymki, cay to jakiejś lektury, czy to jakichś rekolekcji, czy jakiejś nauki – wtedy nieraz wpadamy tak jak pod zimny prysznic. A kiedy indziej do tego życia musimy się przyzwyczaić, za tydzień to wszystko zaczyna już nabierać coraz bardziej szarych kształtów, a za miesiąc robi się całkiem szare. A potem już nie pamiętamy o tej wzniosłości, którą przeżyliśmy. I życie staje się coraz bardziej szare.

Otóż coś podobnego wydarzyło się z apostołami, a także z założonymi przez nich pierwszymi wspólnotami chrześcijańskimi, pierwszymi Kościołami. Apostołowie obeszli, jak o tym wiemy, prawie cały ówczesny starożytny świat. Przemierzyli Palestynę, Syrię, Azję Mniejszą, Grecję, Kretę, Cypr, udali się na Bałkany, następnie do Italii, przemierzyli Afrykę Północną, być może dotarli do Hiszpanii i do Galii. A więc byli wszędzie tam, gdzie w starożytności mógł dotrzeć człowiek. Założyli pierwsze parafie i widzieli entuzjazm ludzi, których pozyskali dla Chrystusa. Widzieli ich radość. I to było dla nich natchnienie. Ale apostoł zostawiał ten Kościół, udawał się dalej, szedł

dalej, a ten Kościół, ta wspólnota, zostawała. I oczywiście ten duch gasł i wszystko wracało do normy – tak, jak dawniej. I pojawiały się stare wady i stare grzechy, i stare problemy, i rozmaite stare dylematy i wyzwania. I okazywało się, że życie robi się coraz bardziej szare. I ci apostołowie dowiadywali się, że oto ludzie, których pozyskali dla Chrystusa, stają się coraz bardziej letni i słabną w swojej wierze. To jest kontekst, w którym trzeba by osadzić przypowieści, jakie dzisiaj weźmiemy pod uwagę. Chciałbym zwrócić uwagę, że prócz tych przypowieści w nauczaniu apostołów, zwłaszcza w nauczaniu sw. Pawła, pojawia się ten motyw utwierdzania Apostołów innych, ale także utwierdzania tych zwykłych wierzących w wierze. Proszę posłuchajmy jednego z tych fragmentów, jeszcze nie przypowieści, tylko nauczania wyjętego z pierwszego listu, z pierwszego pisma, jakie kiedykolwiek zostało w chrześcijaństwie napisane, mianowicie z 1 Listu św. Pawła Apostoła do Tesaloniczan. Apostoł był w Tesalonikach, mówiliśmy o tym wiele miesięcy temu, kiedy mówiliśmy o Kościołach apostolskich. Założył tam Kościół, wszystko szło wspaniale, i wyjechał. A po dwóch czy trzech miesiącach, kiedy przebywa w Atenach i w Koryncie, dowiaduje się że ci, którzy byli tak pełni entuzjazmu, osłabli w tych swoich nadziejach. I wtedy Apostoł napisał do nich — zacytuję tylko jeden fragment owego 1 Listu do Tesaloniczan — napisał tak (1 Tes 5, 1 - 9):

> Nie potrzeba wam, bracia, pisać o czasach i chwilach. Sami bowiem dokładnie wiecie, że dzień Pański przyjdzie tak, jak złodziej w nocy. Kiedy bowiem będą mówić: «Pokój i bezpieczeństwo» - tak niespodzianie przyjdzie na nich zagłada, jak bóle na brzemienną, i nie ujdą. Ale wy, bracia, nie jesteście w ciemnościach, aby ów dzień miał zaskoczyć was jak złodziej. Wszyscy wy bowiem jesteście synami światłości i synami dnia. Nie jesteśmy synami nocy ani ciemności. Nie śpijmy przeto jak inni, ale czuwajmy i bądźmy trzeźwi! Ci, którzy śpią, w nocy śpią, a którzy się upijają, w nocy są pijani. My zaś, którzy do dnia należymy, bądźmy trzeźwi, odziani w pancerz wiary i miłości oraz hełm nadziei zbawienia. Ponieważ nie przeznaczył nas Bóg, abyśmy zasłużyli na gniew, ale na osiągnięcie zbawienia przez Pana naszego Jezusa Chrystusa,

Zwróćmy uwagę, że mamy tutaj ilustrację tego, o czym przed chwila mówiłem. Otóż wśród tych wierzących w Jezusa Chrystusa nastąpiła pewna stagnacja. Zaczęli wracać do swoich starych grzechów, upijali się, zapewne dopuszczali się innych rzeczy. I Apostoł nad tym boleje. Ale proszę zwrócić uwagę — nie karci ich, nie potępia. Apostoł ich rozumie, że taka pokusa istnieje w każdym człowieku. Że człowiek potrzebuje co jakiś czas jakiejś inspiracji, jakiegoś natchnienia, jakiegoś pobudzenia do działania. Otóż z natury dobry człowiek dopuszcza się słabości, dopuszcza się grzechu, wraca do starych spraw. Ale to nie jest jeszcze powód, żeby go potępić. To jest powód, ażeby przypomnieć mu jego godność i zachęcić go do innego życia. Ta pedagogika św. Pawła jest widoczna doskonale w Jezusowych przypowieściach. Widać bardzo dobrze, że Jezus od początku do końca wierzy w człowieka. Ponieważ bardzo dobrze zna ludzkie sumienie, mówili o tym ewangeliści wielokrotnie, ponieważ bardzo dobrze znał tajniki ludzkiej duszy, zatem próbował trafić do człowieka takiego, jakim ten człowiek jest. I kiedy widział, że ten człowiek, słuchacz, ma tendencje do tego, żeby osłabnąć w wierze, żeby niejako przyzwyczaić się do tej powszechności, wtedy Jezus nawołuje od ocknięcia się, do obudzenia się. Mało tego — Jezus powiada, że musisz pracować nad sobą, musisz zaczynać od nowa dzisiaj po to, aby w ten sposób przybliżać, ale także przygotować się na koniec, który wychodzi poza ramy tego świata. Jezus pokazuje więc w ten sposób znaczenie doczesności dla wieczności.

I teraz posłuchajmy jednej z przypowieści Jezusa, którą dobrze znamy. Najpierw tę przypowieść przeczytam. Jest ona wyjęta z Ewangelii św. Mateusza, bo ona wskazuje na pewne zniecierpliwienie, jakie istniało w tym pierwszym pokoleniu chrześcijan, a więc wśród tych słuchaczy Jezusa Chrystusa, ale i na zniecierpliwienie, które może dobrze zobrazować to, co istnieje w każdym z nas. Otóż Jezus powiedział tak (Mt 24, 23 - 24):

> Wtedy jeśliby wam ktoś powiedział: „Oto tu jest Mesjasz" albo: „Tam", nie wierzcie! Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy i działać będą wielkie znaki i wielkie cuda, by w błąd wprowadzić, jeśli to możliwe, także wybranych.

Popatrzmy, jaki jest kontekst tych słów, jakie jest ich znaczenie, żeby zaraz sięgnąć do Jezusowej przypowieści. Otóż Jezus ostrzega przed taką sytuacją, kiedy to zmęczony tą doczesnością czło-

wiek, kiedy ten człowiek, który ma wolę pracowania nad sobą, ten człowiek tęskniący za dobrymi postanowieniami, które poczynił, ten człowiek chce jak gdyby przyśpieszyć działanie Boga. Wtedy chciałby żeby ktoś, tak jak wtedy, kiedy Jezus żył, albo tak jak wtedy, kiedy jest ktoś kto ten Kościół prowadzi, żeby ktoś jasno i pewnie powiedział i poprowadził drogą, która usunie wszelkie wątpliwości. A w takiej sytuacji, kiedy pojawia się ten głód, to Jezus ostrzega, że gdy wyczuje się, że taki głód i takie swego rodzaju zagubienie wśród ludzi istnieje, to natychmiast pojawiają się tacy, którzy chcieliby wyjść naprzeciw temu głodowi, i korzystają, i podają się – jak powiada Jezus – za owych fałszywych mesjaszy dając łatwe odpowiedzi na bardzo trudne pytania. Jezus powiada: Nie wierzcie takim, którzy przychodzą do was z łatwymi odpowiedziami. Nie próbujcie przyśpieszyć działania Bożego! Ale dodaje jednocześnie: Nie traćcie ducha, nie upadajcie na duchu, bądźcie czujni! Otóż kiedy już człowiek straci zapał, straci entuzjazm – co jest bardzo ludzkie, bo nie możemy bez przerwy żyć w natchnieniu – kiedy straci tę pierwotną gorliwość, to jednego nie powinien stracić, mianowicie czujności, która wyznacza pewne minimum zarówno w naszej pracy nad sobą, jak i w przynależności do Kościoła i w przynależności do Boga.

To jest bardzo ważna uwaga. Bo proszę zwróćmy uwagę, że zarówno życie wewnętrzne, jak i praca nad sobą, to nie może być bez przerwy taki radosny poryw ducha. Są tacy, także zapewne wśród nas, którym modlitwa sprawia prawdziwą trudność, którzy modlą się ustami, ale ta modlitwa nie daje im żadnej satysfakcji. Otóż pamiętajmy, że sprawy ducha i sprawy Boże nie polegają na dobrym samopoczuciu. Gdyby religia, i religijność, i modlitwa wyzwalały zawsze u człowieka wewnętrzną radość, to wtedy przedmiotem wysławiania i powodem dla modlitwy byłby nie tyle Bóg, co osiągnięcie własnej satysfakcji, a więc samozadowolenie. Gdyby za każdym razem modlitwa przynosiła nam ulgę, gdyby modlitwa była czymś łatwym, to byśmy chętnie oddawali się modlitwie, podobnie jak chętnie oddajemy się temu, co lubimy. Jezus ostrzega nas. Powiada: Nie zawsze będziesz płynął na tej fali entuzjazmu. Ale wtedy zachowaj czujność przynajmniej, jeżeli już nie możesz mieć w sobie i nie masz tego entuzjazmu. I teraz posłuchajmy Jezusowej przypowieści, która to ilustruje (Łk 12, 41 - 46).

> Piotr zapytał: «Panie, czy do nas mówisz tę przypowieść, czy do wszystkich?» Pan odpowiedział: «Kto jest owym rządcą wiernym i roztropnym, którego pan ustanowi nad swoją służbą, żeby na czas wydawał jej żywność? Szczęśliwy ten sługa, którego pan powróciwszy zastanie przy tej czynności. Prawdziwie powiadam wam: Postawi go nad całym swoim mieniem. Lecz jeśli sługa ów powie sobie w duszy: Mój pan ociąga się z powrotem, i zacznie bić sługi i służące, a przy tym jeść, pić i upijać się, to nadejdzie pan tego sługi w dniu, w którym się nie spodziewa, i o godzinie, której nie zna; każe go ćwiartować i z niewiernymi wyznaczy mu miejsce.

Ta przypowieść jest bardzo mocna. Rzadko czytana, bo tylko w okresie Adwentu i w okresie Wielkiego Postu. Jej przesłanie może być dla nas na pierwszy rzut oka niejasne. Ale to przesłanie dobrze obrazuje to, co dzisiaj rozważamy. Mianowicie Jezus używa obrazu *sługi*. Ten obraz dla jego słuchaczy był doskonale zrozumiały. Dlatego, że sługą w czasach biblijnych, w czasach biblijnego Izraela, nazywano wielkich bohaterów wiary. Sługą został nazwany Abraham, Izaak, Jakub, Mojżesz, Izajasz. A więc ci najwięksi bohaterowie wiary. Ich powinnością było pełnienie woli Bożej. I dlatego zostali nazwani po hebrajsku w Piśmie Świętym, ta godność ich brzmi: Ezetz Adonai – *Sługa Pański*. Być Sługą Pańskim to był zaszczyt. Proszę zwrócić uwagę, że ten język metaforyczny, ten sposób pojmowania przeszedł choćby do określania posługi Ojca Świętego, każdorazowego papieża, którego podstawowym tytułem jest tytuł *Sługa Sług Bożych*. I obowiązkiem papieża jest, aby temu wielkiemu zaszczytnemu tytułowi sprostać. I proszę zwrócić uwagę — Jezus nawiązuje do dziejów biblijnego Izraela i powiada tak: Ci wielcy bohaterowie wiary, ci wielcy Słudzy Boga zadbali o to aby ludzi, którzy ich słuchali, którzy byli im powierzeni, prowadzić do Boga. To właśnie ci wielcy bohaterowie wiary zapobiegali temu, żeby ci ludzie nie upadali, nie tracili ducha, nie tracili swego entuzjazmu ale wciąż go od nowa rozpalali. I kiedy Piotr pyta Jezusa: Kogo Ty właściwie masz na myśli mówiąc o tych sługach wiernych? Czy do nas mówisz tę przypowieść, czy do wszystkich? Jezus nie daje tutaj jednoznacznej odpowiedzi. Nie powiada „do was" ani nie powiada „do wszystkich". Znaczy to, z tej dwuznaczności wynika jednoznacznie z kolei, że owa Jezusowa przypowieść kierowana jest i do Apostołów i do wszystkich.

Jakie jest zatem jej przesłanie? Otóż któż jest owym sługą wiernym i roztropnym, którego pan ustanowił nad swoją służbą, aby na czas rozdawał jej żywność? Proszę zwrócić uwagę, że ten obraz znaczy mniej więcej tyle. Wierzący w Boga – to jest ta służba, która potrzebuje pokarmu, która potrzebuje żywności. Ale wierzący w Boga potrzebują również tych, którzy by im służyli. Którzy tu, w nawiązaniu do starożytnych stosunków społecznych, są nazywani rządcami. Ale rządzenie nie polega tu na sprawowaniu władzy. Rządzenie polega na ty, żeby dostarczać żywność, dostarczać pokarm. Dodajmy, że rządzenie w takim ujęciu oznacza ogromną odpowiedzialność za powierzonych sobie ludzi. Nie chodziło jednak o pokarm fizyczny, o chleb. Na ten każdy może zapracować sam, jeżeli nie jest chory, jeżeli mu się również chce pracować i ma możliwość pracować. Chodzi o coś innego, o coś jeszcze głębszego. Mianowicie że żadna wspólnota, i wspólnota wierzących w Jezusa Chrystusa, nie może być zdana na samą siebie. Otóż potrzebuje pewnego pokarmu, którego sama nie osiągnie. I ten pokarm ma być rozdawany przez rządców przez tych odpowiedzialnych za tę wspólnotę. W czasach Starego Testamentu to byli ci wielcy bohaterowie wiary, wielcy patriarchowie, prorocy. W czasach Jezusa Chrystusa tym rządcą, który rozdawał pokarm i zapewniał go, był sam Jezus. Natomiast Jezus już wtedy mówi swoim Apostołom więcej i głębiej. Powiada: Wkrótce przyjdzie czas, gdy to wy będziecie tymi rządcami, którzy muszą dawać pokarm owym sługom, owym ludziom. I nie możecie tego zaniedbać

Zmiana stron kasety

żeby móc rozwijać swoje życie duchowe potrzebują wciąż nowego pokarmu. I dalej:

> Szczęśliwy ów sługa, którego pan powróciwszy zastanie przy tej czynności.

Proszę zwróćmy uwagę, że ten rządca rządzący ludźmi jest jednocześnie Sługą Boga. I szczęśliwy ów człowiek, który spełniając swoją posługę na rzecz wspólnoty przy takiej właśnie czynności zostanie zastany przez Boga. A ponieważ Bóg może przyjść w każdej chwili, to zatem powinnością sprawujących władzę w Kościele, rządzących w Kościele, jest ustawiczna służba na rzecz tych, którzy są powierzeni ich trosce. To zapobiega – powiada Jezus – temu, aby wierni nie tracili ducha, a z drugiej strony to nadaje sens owej posłudze rządzenia w Kościele.

> Prawdziwie powiadam wam: Postawi go nad całym swoim mieniem. Lecz jeśli ów sługa powie sobie w duszy: Mój pan ociąga się z powrotem, i zacznie bić sługi i służące, a przy tym jeść, pić i upijać się, to nadejdzie pan jego w dniu, w którym się nie spodziewa

Zauważmy, że Jezus dobrze znał tajniki ludzkiej duszy. Otóż wady i słabości, grzechy, a nawet zepsucie nie omija tych, którym powierzono pieczę nad ludźmi, nad wspólnotami wierzących. Jezus doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet ci, którym powierzono władzę nad innymi, mogą zejść znacznie niżej i mogą z tej władzy korzystać w ten sposób, że będą jeść, pić i upijać się, a nawet bić sługi, te owce które są im powierzone. Ta przypowieść Jezusa Chrystusa jest niesłychanie odważna i niesłychanie szczera. Ona stanowi ostrzeżenie przed nadużywaniem władzy nad ludźmi. Ona przypomina tym którzy rządzą, że dla przeciętnych wiernych jesteście rządcami, ale wobec Boga jesteście sługami. I jeżeli nadużyjecie swojej władzy, jeżeli będziecie schlebiać swoim własnym zmysłom, jeżeli nie tylko pójdziecie za słabością, tylko ulegniecie zepsuciu – to nadejdzie pora, kiedy pan tego sługi przyjdzie w dniu, w którym się nie spodziewa, i o godzinie, której nie zna, i każe go ćwiartować, i z niewiernymi wyznaczy mu miejsce.

Zwróćmy uwagę, że z tej władzy w Kościele, z rządzenia w Kościele, z rządzenia wierzącymi wynika przeogromna odpowiedzialność. Wobec nikogo Jezus nie użył tak mocnych słów jak wobec tych, którzy otrzymawszy władzę nad innymi mają za zadanie zapewniać im duchową strawę, chleb — jeżeli tego nadużyją, jeżeli staną się nikczemni, to czeka ich straszliwa kara. Zwróćmy zatem uwagę, że nakazuje to nam wszystkim w nowy sposób spojrzeć na siebie i w nowy sposób pojmować swoją odpowiedzialność za naszą własną wiarę. Z jednej strony powinniśmy słuchać tych, którzy są naszymi przełożonymi. Z drugiej strony przełożonym nigdy nie wolno nadużyć tego zaufania, jakie w nich ludzie pokładają, ani nie wolno zmarnować tego zaufania. Bo kara, jaka ich spotka, będzie bardzo ciężka, bardzo dotkliwa. Komu mało dano – powie gdzie indziej Pan Jezus – od tego

mało będą żądać. Ale komu wiele dano, od tego wiele żądać się będzie. Ta Jezusowa przypowieść odsłania zatem mechanizmy życia we wspólnocie. Najpierw we wspólnocie uczniów Jezusa, potem w Kościele Apostolskim, a następnie w Kościele w każdym pokoleniu. Mechanizmy, które wychodzą poza wąskie ramy jakiegoś określonego czasu czy przestrzeni.

Posłuchajmy zatem również innej przypowieści, która ma związek z tymi myślami, tym wątkiem, który poruszyliśmy. Skoro tak wielka jest odpowiedzialność sprawujących posługę rządzenia — proszę zwrócić uwagę na ten paradoks, którego używam: *posługa rządzenia*, *służba rządzenia*, bo rządzenie też jest służbą — otóż skoro tak wielka jest odpowiedzialność to jak należy popatrzeć na zadanie, na przeznaczenie, na rolę wszystkich wierzących? Posłuchajmy kolejnej Jezusowej przypowieści, zapisanej w Ewangelii św. Łukasza. Jezus powiedział tak (Łk 12, 35 - 40):

> Niech będą przepasane biodra wasze i zapalone pochodnie! A wy podobni do ludzi, oczekujących swego pana, kiedy z uczty weselnej powróci, aby mu zaraz otworzyć, gdy nadejdzie i zakołacze. Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie. Zaprawdę, powiadam wam: Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a obchodząc będzie im usługiwał. Czy o drugiej, czy o trzeciej straży przyjdzie, szczęśliwi oni, gdy ich tak zastanie. A to rozumiejcie, że gdyby gospodarz wiedział, o której godzinie złodziej ma przyjść, nie pozwoliłby się włamać do swego domu. Wy też bądźcie gotowi, gdyż o godzinie, której się domyślacie, Syn Człowieczy przyjdzie».

Otóż ta przypowieść to jest odpowiedź na zmęczenie. Słuchacze Jezusa, a później te pierwsze pokolenia wierzących, także w czasach apostolskich, mogły być zmęczone. Mogło być tak, że za tą wzniosłą nauką poszedł entuzjazm — a następnie pojawiła się ospałość i po prostu sytuacja stawała się coraz bardziej przyziemna i spowszedniała. I wtedy Jezus opowiada im tę przypowieść, przypowieść niezwykłą. Z jednej strony nawiązuje do sposobu ubierania się. Mężczyźni ubierali się tak, że biodra były przepasane. A jeżeli wyruszali w nocy, to mieli pochodnię, którą oświetlali ulicę albo drogę. To było takie niezbędne wyposażenie. Jezus powiada tak: Jeżeli chcesz wiernie wytrwać przy Mnie, to musisz być tak, jak ów sługa, który oczekuje na przyjście swojego pana. Raz jeszcze mamy tutaj nawiązanie do starożytnych stosunków społecznych. Ale zwróćmy uwagę, że mamy tu bardzo interesujący szczegół. Mianowicie, że Jezus odwraca realia. Bo najpierw powiada do wierzących: Czekając na Mnie musicie być zawsze gotowi. Musicie być tak, jak ten sługa, gotowy w każdej chwili do drogi. Dlaczego? Bądźcie podobni do sług oczekujących swojego pana, kiedy z uczty weselnej powróci, aby mu zaraz otworzyć kiedy nadejdzie i zakołacze. Mamy nawiązanie do tego życia codziennego, do wesela które przedłużało się do późnej nocy. I pan wróci zapewne zmęczony. A może nawet, jak to w życiu bywa, nie do końca dysponowany i wtedy będzie potrzebował szczególnej pomocy owego sługi.

Jezus używa tego odważnego i dziwnego obrazu do samego siebie oraz do tych, którzy w Niego wierzą. Oczywiście to jest tylko przypowieść i nie wszystkie elementy tego obrazu można przenosić na Jezusa. Chodzi o to, co najważniejsze. Mianowicie kiedy już brakuje wam entuzjazmu – zachowajcie czujność. Kiedy nie będziecie mieli owej wewnętrznej radości, żeby na Mnie czekać, to przynajmniej bądźcie gotowi. Szczęśliwi owi słudzy, których pan zastanie czuwających, gdy nadejdzie. I tutaj następuje to zupełne odwrócenie sytuacji. Mianowicie: Zaprawdę, powiadam wam: Przepasze się i każe im zasiąść do stołu, a on sam będzie im usługiwał. Zauważmy, że Jezus żył w świecie, gdzie istniało niewolnictwo. Ale nawet w przypowieści to niewolnictwo zostało przezwyciężone. Bo Jezus powiada: Jeżeli jesteś dobrym człowiekiem to potrafisz docenić dobro najprostszego człowieka, najprostszego sługi. Jeżeli to jest dobry pan i zobaczył, że ktoś na niego czeka i czuwa, to wynagradza go w ten sposób, że każe słudze usiąść a sam staje się jego sługą. Zauważmy, że Ewangelia w tym pogańskim świecie, gdzie niewolnik nie miał żadnych praw, daje światło, daje siłę, której nie dawał nikt inny. Bo przynajmniej temu niewolnikowi, temu słudze daje obraz, w którym on czuje się panem.

Ale nie chodziło tylko o zmianę starożytnych stosunków społecznych, chodziło o coś więcej i o coś głębszego. Mianowicie Jezus powiada tak, gdybyśmy chcieli to krótko streścić. Mówi: Jeżeli będziesz czujny, jeżeli będziesz czekał, to Ja ci to odpłacę. Nie licz na entuzjazm, nie licz na to, że będziesz zawsze przeżywał tę wzniosłość swojego ducha. Ale przynajmniej zachowaj czujność. A jeżeli zachowasz czujność, zwrócę ci w dwójnasób, kiedy wreszcie ze sobą się spotkamy.

Otóż ta przypowieść znów odkrywa coś z głębi, i jednocześnie z tej nadziei, jaka jest wypisana w ludzkim losie. Ona zachęca do gotowości na przyjście, na przyjście Jezusa. O co tutaj chodzi, jakiego rodzaju jest to przyjście? Jedno to jest to przyjście, którego spodziewamy się, którego czasu nikt nie zna, sam Bóg jeden, kiedy to nastąpi tzw. paruzja, powtórne przyjście Pana. Ale zanim ono nastąpi, to już setki pokoleń chrześcijańskich przeszły do Boga, bo przechodzi się do Boga poprzez swoją własną śmierć. Otóż ta śmierć jest przejściem, jest spotkaniem z Bogiem. I Jezus ukazuje nam tutaj nową perspektywę śmierci. Mianowicie powiada tak: Jeżeli potrafisz ze Mną czuwać, jeżeli potrafisz dać z siebie to minimum gotowości, to z całą pewnością nie możesz, nie musisz i nie powinieneś obawiać się tego spotkania ze Mną. Bo wtedy Ja przyjdę, Ja będę ci usługiwał. Otóż Jezus jawi się tutaj, zapowiada się tu jako ten, który podczas Ostatniej Wieczerzy, jak dobrze o tym pamiętamy, sam owinął się ręcznikiem, prześcieradłem, a następnie pochylił się przed każdym Apostołem i umywał im nogi. Piotr się buntował: Nie będziesz mi nóg umywał! Na co Jezus: Jeżeli cię nie umyję, to nie będziesz miał udziału ze mną. A Piotr na to: O Panie, nie tylko nogi, ale ręce i wszystko.

Otóż zauważmy, że mamy tutaj bardzo ciekawy obraz w tej przypowieści. Nie tylko ciekawy, tylko wprost nie do wiary. Mianowicie tym, którzy potrafią czuwać z myślą o Bogu, Chrystus — Bóg przecież — obiecuje, że będzie im usługiwał. Że wyjdzie im na spotkanie. Że wynagrodzi tę czujność. Bóg usługujący człowiekowi — to jest obraz, który się w głowie nie mieści. Ale to jest jednocześnie obraz, który, jeżeli trafi do naszego wnętrza, to jest dla nas wielką poręką spokoju i bezpieczeństwa. Także tego spokoju i bezpieczeństwa, jakie rodzi się zwłaszcza w perspektywie śmierci. Jezus nawiązuje tutaj do żydowskiego sposobu liczenia czasu. Mianowicie cała noc była podzielona na trzy tzw. straże. Ponieważ noc trwa ok. 12 godzin, to każda straż to jest 4 godzin. Mniej więcej od naszej 6-ej do 10-ej wieczorem, od 10-ej do 2-ej nad ranem i od 2-ej do 6-ej rano. I Jezus powiada: Czy o drugiej, czy o trzeciej straży przyjdzie, szczęśliwi oni, gdy ich tak zastanie. A więc czy przyjdzie koło północy, czy przyjdzie nad ranem — to warto czekać. Ten obraz nocy to jest obraz ludzkiego życia i stałej podatności na spotkanie Boga, stałej czujności. Myślę, że każdy z nas ma za sobą w życiu jakąś nieprzespaną noc, zwłaszcza przy pracy, czy na drodze przy kierowaniu. Wiemy dobrze, że najtrudniejsze godziny przychodzą nad ranem. Nad ranem też zdarza się najwięcej wypadków na drogach. Nad ranem najłatwiej zasnąć, jeżeli człowiek nie przespał nocy. Jezus powiada: Czy o drugiej, czy o trzeciej straży przyjdzie. Ten obraz tego czuwania do samego końca, tego najtrudniejszego czuwania, to jest obraz ludzkiego życia. Mianowicie paradoks polega na tym — i myślę, że na to trzeba zwrócić uwagę — że młodzi ludzie są pełni entuzjazmu. Dorośli ten entuzjazm tracą. A ludzie starsi potrafią być ironiczni, a nawet cyniczni, i to nawet w życiu religijnym i w życiu duchowym. Myślę, że również każdy z nas ma jakieś życiowe doświadczenia, które to potwierdzają. Młodego człowieka nieraz bardzo łatwo zmienić. Często bardzo łatwo zmienić, porwać, zachęcić. Dorosły jest bardziej odporny. A starszy, który ma za sobą całe życie, robi się niesłychanie odporny na jakiekolwiek próby podpowiedzenia mu, czy zmiany w życiu. I tutaj Jezus powiada: Pamiętaj, że twoje życie jest jak ta druga i ta trzecia nocna zmiana. Nie sztuka być entuzjastą, kiedy jesteś młody i silny. Nie sztuka być wierzącym, kiedy wszystko idzie ci pomyślnie i dobrze. Sztuką jest, i prawdziwym i najtrudniejszym wyzwaniem, zachować czujność na ten czas drugiej i trzeciej straży. A ten czas drugiej i trzeciej straży to czas życia dorosłego i czas życia starszego i starego zupełnie. To jest dopiero wyzwanie, któremu bardzo trudno sprostać i któremu trzeba wyjść naprzeciw.

Zauważmy, że te Jezusowe przypowieści, jeżeli czytamy je w ten sposób, odsłaniają nam — raz jeszcze powtarzam — głębokie prawdy o człowieku. Jeżeli przyjrzymy się tej logice Jezusowych przypowieści, to możemy się bardzo dużo o człowieku nauczyć. Ale nie myślmy, że te przypowieści odnoszą się do innych — one zawsze odnoszą się do nas. Bo to każdy z nas jest wezwany do odnawiania tej czujności. I kiedy przychodzi czas, że w życiu dorosłym i starszym brakuje entuzjazmu, to trzeba każdemu z nas zachować to minimum, które jest niezbędne, a mianowicie czujność. W ten sposób Jezus ukazuje nam drogę życia duchowego. Ukazywał ją tym, którzy szli za nim. Ukazywał tę drogę tym, którzy należeli do pierwszego pokolenia chrześcijan. Ale zwróćmy uwagę — te Jego przypowieści będąc bardzo głęboko osadzone w tamtym czasie są skierowane do nas. Pokazują nam mechanizmy życia i duchowego, i pracy nad sobą, i życia religijnego. Tak to dokładnie jest. Bardzo często chcemy dobrze, a kończy się na niczym, albo kończy się na czymś małym.

Otóż kiedy odchodzi nam ochota to pamiętać musimy, że trzeba osadzić przynajmniej minimum. Tym minimum, powtarzam raz jeszcze, jest czujność. Niech biodra wasze będą przepasane, pochodnie gorejące w waszych rękach a wy podobni do sługi, który oczekuje przyjścia, czy też oczekuje powrotu swojego pana.

W takim właśnie duchu na zakończenie posłuchajmy jeszcze fragmentu z Ewangelii św. Łukasza, który już nie będąc przypowieścią dokładnie dotyczy tej sprawy. Mianowicie Jezus na krótko przed swoją śmiercią, kiedy już zbliżał się do Jerozolimy, kiedy Jego nauczanie stawało się coraz bardziej skondensowane, powiedział do swoich uczniów tak (Łk 21, 34 - 36):

> Uważajcie na siebie, aby wasze serca nie były ociężałe wskutek obżarstwa, pijaństwa i trosk doczesnych, żeby ten dzień nie przypadł na was znienacka, jak potrzask. Przyjdzie on bowiem na wszystkich, którzy mieszkają na całej ziemi. Czuwajcie więc i módlcie się w każdym czasie, abyście mogli uniknąć tego wszystkiego, co ma nastąpić, i abyście mogli stanąć przed Synem Człowieczym.

Jezus powoli żegnał się z Apostołami. Wiedział dobrze i przeczuwał po ludzku, co Go czeka. Wiedział też dobrze, że kiedy ten zapał wśród Apostołów osłabnie, to będą mogli oddać się jedzeniu, piciu i spaniu. A ponieważ przygoda z Jezusem była tak wielka, to być może pójdzie nawet za tym rozczarowaniem i za tą pustką obżarstwo i pijaństwo. W ludzkich dziejach niejedna osoba, która straciła kogoś bliskiego, skończyła bardzo kiepsko, skończyła bardzo marnie. Bo utraciwszy sens swojego życia oddała się temu wszystkiemu, co sprzyjało zapomnieniu. Jezus ostrzega przed tym wiedząc, że taka siła, taka moc, takie ciągnienie w każdym z nas jest. Aby serca wasze nie były ociężałe. I zachęca do czujności. Czuwajcie i módlcie się w każdym czasie, abyście mogli uniknąć wszystkiego, co złe, i stanąć przed Synem Człowieczym. Tak więc siła naszej modlitwy nie zależy od naszego dobrego samopoczucia. I bardzo dobrze, że tak jest. Bo jak powiedzieliśmy na początku modlitwa, która dawałaby nam radość, byłaby modlitwą samouwielbienia. Uwielbienia siebie, a nie uwielbienia Boga. Trzeba modlić się nawet wtedy, kiedy to jest trudne. A może zwłaszcza wtedy, kiedy to jest trudne.

Trzeba również pracować nad sobą w tej powszedniości, która nie jest widowiskowa i która nie przynosi człowiekowi wielkiej radości. Trzeba być człowiekiem Bożym nie tylko wtedy, kiedy żyje w nas zapał i entuzjazm, ale również wtedy, kiedy wydaje nam się, że jesteśmy wygaśnięci i pozbawieni tego wewnętrznego żaru, który przedtem przysparzał nam tyle radości i dodawał skrzydeł. Zatem Jezus wzywa nas do stałości w wierze i w postępowaniu. To bardzo trudne, to chyba najtrudniejsze w wierze — być stałym. Ale chyba i w życiu to jest najtrudniejsze, żeby być stałym.

Wzięliśmy te przypowieści Jezusa, dobrze znane, króciutkie, jako pierwsze w naszej refleksji. Za miesiąc, w 2-gi poniedziałek grudnia, przejdziemy do kolejnych przypowieści, nawiązujących do czasu Adwentu, do Królestwa Bożego, i do wątków, które z tym Królestwem Bożym wiążą się bezpośrednio. Mam nadzieję, że wtedy też dotkniemy spraw, które rzucą nam wiele światła na nasze życie i pozwolą zrozumieć coś więcej.

Na koniec mam dwie uwagi już spoza przypowieści. Mianowicie w tym tygodniu ma przyjść książka będąca zapisem konferencji biblijnych sprzed dwóch lat, które miałem w „Radio Maryja", i będzie dostępna w sklepiku parafialnym. Książka nosi tytuł: *Biblijny Izrael. Dzieje i natura*. Wydaje mi się, że jest ciekawa. Kiedy pracowałem nad nią parę tygodni temu, to jakoś odkrywałem coś z tego, co może dzisiaj zainteresować i poruszyć.

I druga sprawa. Mianowicie od niedawna jest *Radio Plus*, 96.5 MHz. I tam co niedziela o godz. 14^{05} jest taka audycja biblijna „Słowo + muzyka". W tej audycji jest interesujący konkurs dla tych, którzy nigdy nie byli w Ziemi Świętej, i którzy sądzą że nigdy nie będą, a mają wyobraźnię. Do 30 listopada trzeba nadesłać refleksję *Ziemia Święta oczami wyobraźni*. Zwycięzca konkursu pojedzie w przyszłym roku na pielgrzymkę. Natomiast dwadzieścia najlepszych wypowiedzi zostanie wydrukowane w książce pod tym samym tytułem. Zachęcam państwa do udziału.

1.3 Przypowieści z Ewangelii św. Łukasza, r. 15 (14 grudnia 1998)

Mam nadzieję, że nasze dzisiejsze spotkanie z przypowieściami, a są to trzy przypowieści wybrane nie przypadkowo, bo są ze sobą połączone razem jedną myślą, wynagrodzi państwu ten trud, który został poniesiony po to, aby tutaj przyjść i wziąć udział w tym spotkaniu. Wybrałem trzy przypowieści,które pochodzą z Ewangelii św. Łukasza i są uważane, przynajmniej jedna z nich, za najpiękniejszą przypowieść Jezusa. Natomiast wszystkie trzy należą do najbardziej znanych. Poruszają też wątek, który bardzo żywo i żywotnie dotyczy ludzkiego życia, w pewnym sensie dotyczy również życia każdego z nas. I chociaż te przypowieści znamy od długiego czasu, właściwie od dzieciństwa, i doskonale je pamiętamy, i potrafimy je swoimi słowami opowiedzieć, to jednak zawierają one naukę, której rozważenie raz jeszcze powinno nam wszystkim uświadomić głębię Jezusowego nauczania i jego aktualność. Otóż te przypowieści pochodzą z 15 rozdziału Ewangelii św. Łukasza. Jest to przypowieść *o zaginionej owcy*, *o zagubionej drachmie* oraz przypowieść *o synu marnotrawnym.* Te trzy przypowieści występują razem, a to z tej przyczyny, że Jezus opowiedział je w tej samej sytuacji. I musimy zwrócić uwagę na tę właśnie sytuację po to, abyśmy sobie uświadomili całą głębię mądrości w tych przypowieściach zawartą. Sytuacja z pozoru jest błaha, ale tylko z pozoru. Dlatego, że jeżeli samych siebie postawimy tam, w miejsce tych ludzi, którzy byli adresatami Jezusowej przypowieści, to wtedy odkryjemy, że i w nas rodzi się swego rodzaju bunt, który pewnie był ich udziałem. A zatem i do nas ta nauka jest przeznaczona.

Posłuchajmy w jakiej sytuacji miało miejsce to nauczanie Jezusa w trzech przypowieściach. Czytamy tak:

> Zbliżali się do Jezusa wszyscy celnicy i grzesznicy, aby Go słuchać.

I tutaj już w tym pierwszym zdaniu dotykamy bardzo ciekawej sprawy. Mianowicie że ludzie, którzy prowadzą tryb życia uznany przez innych za grzeszny czy nawet za występny, że w tych ludziach tak na prawdę poza rzadkimi przypadkami nigdy nie gaśnie wola i chęć dobra. Nawet najgorszy człowiek chciałby być dobry. I nawet najgorszy człowiek nosi w sobie tęsknotę, której jeżeli nie potrafi sprostać, jeżeli nie potrafi jej zadość czynić, to również to gdzieś w głębi swojego serca przeżywa. Zatem jest wielkim nieszczęściem, jeżeli komuś powie się, że on jest tak zły i zepsuty, że nie ma dla niego nadziei. Otóż nie lubimy, jeżeli ktoś odnosi się do nas z pogardą czy z niechęcią. Natomiast w takiej ocenie, że jesteś zły, że jesteś występny, że jesteś grzeszny, że dla ciebie nie ma już żadnej szansy czy nadziei na poprawę — w takiej ocenie zawsze mieści się jakaś krzywda, która może spowodować, że ten rzeczywiście zły człowiek staje się jeszcze gorszy, bo traci wszelką nadzieję. Otóż jak państwo pamiętają w „Boskiej komedii" Dantego jest taka scena, jak to owe dusze wstępują do piekła. I otwarta brama prowadząca do piekła, przez którą tak wielu w końcu nie wchodziło. A nad nią znajduje się napis: „Porzućcie wszelką nadzieję". Właśnie zło piekła polega na tym, że tam człowiek już nie może mieć żadnej nadziei na odmianę swojego losu na lepsze. I jeżeli chcemy zaszczepić komuś to samo zło, jeżeli chcemy do czyjegoś serca sprowadzić piekło, to wystarczy mu powiedzieć, że dla niego nie ma już żadnej nadziei. To zawsze człowieka przygnębia, i to zawsze człowieka niszczy.

Zbliżali się więc do Jezusa celnicy i grzesznicy. Dlaczego celnicy są zestawieni z grzesznikami? Pamiętamy, że w czasach Jezusa Palestyna znajdowała się pod okupacją rzymską. Zatem celnicy byli postrzegani jako kolaboranci. Jako ci, którzy współpracują z władzami rzymskimi. Jako ci, którzy pobierają cło, wszelkiego rodzaju opłaty i uciskają swoich pobratymców na rzecz obcego okupanta. Zatem celników nie lubiano, a nawet ich nienawidzono. Co więcej — nawet nimi pogardzano. I w tej sytuacji ci celnicy i grzesznicy — ale na czym polegały ich grzechy, tego nie wiemy — przychodzili do Jezusa, bo chcieli Go posłuchać. Dlaczego chcieli Go posłuchać? Dlatego zapewne, że chcieli w Jego nauczaniu odnaleźć jakąś nadzieję dla siebie. Że szukali jakiejś pociechy i odpowiedzi na pytanie: Czy i oni mogą znaleźć się w normalnym ludzkim społeczeństwie i czy mogą w nim egzystować? Ale szukali zapewne również odpowiedzi na pytanie jeszcze głębsze. A mianowicie: Jaki jest ich los, jak należy go postrzegać i oceniać zważywszy na to, że i oni, tak jak wszyscy inni, staną któregoś dnia przed Bogiem. I następnie czytamy tak:

> Na to szemrali faryzeusze i uczeni w Piśmie: «Ten przyjmuje grzeszników i jada z nimi».

Proszę zauważmy, że mamy zatem do czynienia z dwoma różnymi, i to diametralnie, krańcowo różnymi postawami. Jedna postawa jest to postawa ludzi złych, grzeszników — którzy przyszli, żeby Jezusa słuchać. Przy Jezusie są też inni, mianowicie faryzeusze i uczeni w Piśmie. Ale ci nie zajmują się słuchaniem Jezusa. Ci zajmują się plotkowaniem na temat tego, dlaczego Jezus dopuszcza do siebie tych właśnie celników i grzeszników. Zwróćmy zatem uwagę, że mamy do czynienia z taką sytuacją, w której ci faryzeusze i uczeni w Piśmie, postrzegani przez ówczesnych Żydów jako elita duchowa i elita religijna narodu, mają w pogardzie tamtych. Ale ta sytuacja pogardy rodzi jeszcze większe zło. Mianowicie że nie słuchają tego, co Jezus mówi, nie przyjmują sobie tego do serca, ale sami Jezusa oceniają. Zatem przyszli do Jezusa nie po to, aby Go posłuchać, ale po to, aby Mu coś powiedzieć. Tymczasem nie mają odwagi powiedzieć Mu wprost, i w związku z tym zajmują się plotką, obmową. Mówią po cichu, knują intrygę. Oczywiście bardzo łatwo jest tę intrygę rozpoznać, bardzo łatwo jest ją wyczuć. Na pewno ta atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Bo z jednej strony ci, którzy przyszli jako grzesznicy, a z drugiej strony ci, którzy przyszli jako sprawiedliwi. Otóż ta pokusa podobnego zachowania grozi również i nam. Dlatego, że i w naszych czasach można dość łatwo wskazać tych, do których można przypiąć łatkę albo piętno owego biblijnego celnika i grzesznika, podczas gdy samych siebie chcielibyśmy postawić po stronie faryzeuszy i uczonych w Piśmie. Podobnie i dzisiaj gorszymy się dość często, że zbawcza oferta, jaka jest podawana w Kościele, jest adresowana do celników i grzeszników, podczas gdy inni żyją dużo lepiej i nie wykazuje się nimi równego zainteresowania. Zauważmy, że sytuacja jest taką sytuacją konfliktową. Sytuacją tych, którzy przychodzą z całą pokorą rozumiejąc własne położenie jako ciężkie i naganne, oraz sytuacją innych, którzy przychodzą z pewnością siebie przekonani o tym, że mają szczególne prawo do Boga i do jego łaski. I w tej właśnie sytuacji, w tej sytuacji – jak powiedzielibyśmy – polaryzacji, biegunowości, Jezus i jednym i drugim opowiada trzy przypowieści.

1.3.1 Przypowieść o zaginionej owcy

Posłuchajmy pierwszej z tych przypowieści. Jest bardzo krótka:

> Opowiedział im wtedy następującą przypowieść: «Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną dotąd, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: „Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła". Powiadam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nawrócenia nie potrzebują.

Do kogo Jezus zwraca się z tą przypowieścią? Otóż zwraca się do tych, którzy są symbolem owych posiadaczy owiec. A więc zwraca się do ówczesnej elity, do tych faryzeuszy i uczonych w Piśmie. Moglibyśmy powiedzieć dzisiejszym kościelnym językiem: zwraca się do biskupów i do kapłanów. Do tych, którzy skłonni są gorszyć się tym, że mają za dużo roboty ponieważ ludzie grzeszą. Może lepiej jest więc pracować z dobrymi? W każdym razie łatwiej jest pracować z dobrymi!

I Jezus wtedy powiada tak: „Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną ..." W ten sposób Jezus zwraca się przywołując obraz pasterza. Sto owiec to, jak na starożytne czasy, dość dużo. Również dzisiaj sto owiec to jest dość sporo. Liczy się mniej więcej tak, że jedna owca to jest równowartość trzech - czterech tygodni pracy, ok. miesiąca pracy. Jeżeli tak, w tamtych warunkach sto owiec jest to równowartość 100 miesięcznych pensji, czyli ponad sześć lat pracy. I wydawać by się mogło, że jedna owca jest wobec tego czymś mało ważnym. Że kiedy się ją zgubi, to lepiej się zająć tymi dziewięćdziesięciu dziewięcioma, aby nie stało się im coś złego i by nie stracić następnych. Ale Jezus odwołuje się tutaj – i na to zwróćmy uwagę – do ludzkiego doświadczenia. I powiada tak: „Dobry pasterz nigdy nie rezygnuje z tej jednej owcy". Dlaczego? Bo pasterz wiąże się ze swoją owczarnią. Nie chodzi tylko o jej materialną wartość, chodzi o coś więcej. Gdzie indziej, w Ewangelii św. Jana, Jezus powiada, że są tacy pasterze, którzy nazywają swoje owce po imieniu. I tak rzeczywiście po dzień dzisiejszy wśród Beduinów jest. Każda owca tak, jak człowiek, ma swoje imię. Podobnie jak nasze zwierzęta domowe mają swoje imiona. Ale nikt z nas nie ma w domu stu sztuk zwierząt domowych. Owiec można aż tyle mieć. Zatem: „Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich,

nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni?" Zauważmy, że mamy tutaj słowo „zgubić". A więc zakłada się, że jeżeli w tej owczarni ginie jedna owca, gubi się jedna owca, to jest w tym również jakaś wina, jakaś odpowiedzialność pasterza. Jeżeli wśród nas pojawiają się ludzie źli, to ci, którzy są dobrzy, z zwłaszcza ci, którzy są odpowiedzialni za innych, nie mogą wymawiać się od odpowiedzialności. Przegrana jednego człowieka jest zawsze przegraną wszystkich. Nie możemy więc odcinać się od tych, którzy są źli, bo każdy z nas ponosi jakąś cząstkę odpowiedzialności za ten stan rzeczy. Oczywiście ta odpowiedzialność rozkłada się przede wszystkim na rodzinę, na rodziców, na dzieci, na najbliższych, na wychowawców, na nauczycieli, na kapłanów – z których nie wszyscy mogli dopilnować troski o tego jednego człowieka. Ale ta odpowiedzialność w szczególniejszy sposób rozkłada się na tych, którzy odpowiadają za tę ludzką owczarnię. A więc nie pozostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zaginioną dotąd, aż ją znajdzie. Mówi Jezus o szukaniu. To szukanie może być krótsze, ale może być również bardzo długie. To szukanie wymaga wysiłku ze strony tego, który chce pozyskać grzesznika. Nie można znaleźć bez żadnego wysiłku. Zatem naszym obowiązkiem jest próba dotarcia do człowieka, który w jakiś sposób odpada od tych przyzwyczajeń i kanonów normalnego i dobrego życia. Zanim kogoś potępimy musimy najpierw próbować go zrozumieć. To jest bardzo trudne, czasami wręcz niemożliwe. Ale musimy starać się to robić. Proszę zwróćmy uwagę że nawet najgorszy zbrodniarz na procesie ma zawsze swojego obrońcę. Natomiast sąd robi wszystko, aby próbować dotrzeć do intencji, do okoliczności, do uwarunkowań które spowodowały albo przyczyniły się, albo sprzyjały co najmniej takiemu a nie innemu zachowaniu zbrodniarza. I szuka się każdej okoliczności łagodzącej, która mogłaby go w jakikolwiek sposób tłumaczyć. Podobnie powinno być w rodzinie, podobnie powinno być w Kościele lokalnym, we wspólnocie, wśród sąsiadów. I to samo jest już bardzo trudne. Dlatego, że przyzwyczajeni do tego, iż chcemy zło potępiać, to chcielibyśmy tak jak roślinę wyrywać zło z korzeniami. Powiada Jezus dalej:

> A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza sąsiadów i przyjaciół i mówi im: „Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła".

Mamy tutaj lekką przesadę. Nie ma tej przesady w pierwszym członie, kiedy Jezus mówi: „Kiedy ją znajdzie, bierze ją na ramiona". Otóż ta zgubiona owca jest zawsze pokrwawiona, okulawiona, może gdzieś tam nadszarpana przez dzikiego psa. Ta zgubiona owca jest jakoś okaleczona tą swoją wędrówką w nieznane. Każdy grzesznik, każdy celnik – również ten współczesny – jest człowiekiem okaleczonym, jest człowiekiem w jakiś sposób skrzywdzonym. Jest człowiekiem, który tak jak tamta owca cierpi, i o własnych siłach nie może wrócić do swojego dawniejszego stanu. Jezus powiada: Trzeba mu pomóc, trzeba go wziąć na ramiona, okazać mu serdeczność, życzliwość i dobroć. To nie jest łatwe. Właśnie tutaj zaczynamy rozumieć, jak trudna jest ta Jezusowa Ewangelia. Bo ona nam pokazuje tę pedagogię w podejściu do ludzi zepsutych i złych, która to pedagogia znacznie więcej wymaga od dobrych. I to jest właśnie trudne. Żeby temu złemu człowiekowi pokazać serce, żeby mu pomóc, żeby się nim zaopiekować. I co więcej — Jezus teraz posuwa się do swojego rodzaju przesady. Mianowicie mówi: Kiedy już tę owcę znajdzie, to zaprasza sąsiadów i przyjaciół, i wyprawia ucztę, i powiada „Cieszcie się ze mną, bo znalazłem tę owcę". Zauważmy — radość z odzyskania człowieka grzesznego i złego nigdy nie może być tylko radością jednostki. Powinna być radością wszystkich. Wszyscy powinniśmy się cieszyć z tego, że ktoś jeden został odnaleziony i przyniesiony do tej Chrystusowej owczarni. I tutaj, pod tym względem, znów dotykamy sprawy bardzo trudnej. Bo nieraz wysiłki tych, którzy w jakiś sposób pracują wśród ludzi złych i występnych, te wysiłki są doceniane przez małą garstkę ludzi. Podczas gdy pozostali patrzą na to z ironią albo z kpiną, albo wręcz z niechęcią. I ta przypowieść Jezusowa, tak prosta, uczy nas bardzo dużo o tajnikach ludzkich sumień. I powiada że to, czy ktoś zostanie znaleziony i przyprowadzony z powrotem, nigdy nie zależy od wysiłków jednego. Zawsze powinna mu towarzyszyć radość wszystkich. I Jezus konkluduje. Zatem:

> Zatem tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nawrócenia nie potrzebują.

To jest też bardzo ciekawe zdanie. Jezus nie mówi: „wśród was będzie taka radość". Jezus mówi: „w niebie będzie taka radość". Jezus jest realistą — wie, że trudno jest pokonać ludzkie uczucia.

Wie, że trudno jest zmienić człowieka. I to nie tylko człowieka złego. Jeszcze trudniej jest zmienić człowieka dobrego. To znaczy otworzyć go na większe dobro, które on mógłby osiągnąć. Jezus powiada, że ten powrót owcy, tej zagubionej, okaleczonej i przyniesionej z powrotem, ta radość z jej odnalezienia — że to wszystko tak naprawdę to jest radość Boga, to jest radość nieba. Bo na ziemi jest to zawsze pewien ideał, ku któremu możemy tylko zmierzać. Czyli proszę zauważmy — Jezus powiada: „Czyńcie tak, szukajcie, przebaczajcie, pozyskujcie". Ale Jezus zdaje sobie sprawę, że tym, który może przebaczać, przyjmować i cieszyć się z nawrócenia tak naprawdę jest tylko Bóg. Zatem etyka nasza, wedle której powinniśmy postępować, powinna być etyką naśladowania Boga. Żaden z nas, żadne z nas nie jest tak dobre, abyśmy mogli Pana Boga w jego przebaczaniu naśladować do samego końca.

1.3.2 Przypowieść o drachmie

Po tej pierwszej przypowieści Jezus przedstawia przypowieść drugą. Ta pierwsza — zwróćmy uwagę, to jest bardzo ważne, była adresowana przede wszystkim do mężczyzn. W starożytnym Izraelu to oni byli pasterzami, to oni przynosili te owce do owczarni. To oni troszczyli się o swoją trzodę. Druga przypowieść jest adresowana do kobiet. To nie jest przypadek. Otóż z tego adresu wnosimy że to, co mówi Jezus, adresowane jest do obojga płci. Dlaczego to jest ważne? Bo grzechy, występki mężczyzn mają inny charakter, niż występki kobiet. Niech się więc nie wydaje jednym albo drugim, że ktokolwiek ma zamknięty dostęp do Boga. I w tym, co się tyczy sytuacji kobiet, Jezus powiada tak:

> Albo jeśli jakaś kobieta, mając dziesięć drachm, zgubi jedną drachmę, czyż nie zapala światła, nie wymiata domu i nie szuka starannie, aż ją znajdzie? A znalazłszy ją, sprasza przyjaciółki i sąsiadki i mówi: „Cieszcie się ze mną, bo znalazłam drachmę, którą zgubiłam". Tak samo, powiadam wam, radość powstaje u aniołów Bożych z jednego grzesznika, który się nawraca».

Mamy tutaj odniesienie do sytuacji kobiet. Ale mamy tutaj również pewien bardzo ważny szczegół. Jezus powiada: „Jeżeli jedna kobieta mając jedną drachmę". Drachma to była, i po dzień dzisiejszy jest, moneta grecka. Ona pozostawała w użyciu na terenie Palestyny. Ale żydowska moneta nosiła nazwę, podobnie tak, jak dzisiaj, szekel. Jezus nie mówi o szeklach. Jezus mówi o pieniądzach obcych, o pieniądzach tej obcej kultury hellenistycznej, greckiej. Tu już mamy bardzo dyskretną aluzję. Jezus powiada tak: W tym, co dotyczy materialnej wartości to my tak mocno nie patrzymy, czy coś jest nasze, czy coś jest obce. Równie dobrze bierzemy do kieszeni nasze pieniądze, jak i pieniądze innych, którzy mogą być, albo są, naszymi wrogami. W tym, co materialne, nie zwracamy tak mocno uwagę na to, skąd pieniądze pochodzą. A więc jeżeli ktoś nam za coś płaci, to my mu nigdy nie zadajemy pytania: „A skąd ty masz te pieniądze? Czy żeś je nabył w dobry sposób? A może jesteś złodziejem?" Nie, o to nigdy nie pytamy. Ta kobieta żydowska ma drachmę, i pod tym względem nie ma żadnych wątpliwości. Mało tego — ona ma 10 drachm. Drachma w starożytności to była zapłata za jeden dzień pracy. Była równowartością rzymskiego denara. Zatem ta kobieta nie była bardzo bogata. Bo kobiety nie mogły mieć wiele pieniędzy, mężczyzna odpowiadał za kasę w domu. Ona miała 10 drachm czyli miała mniej więcej 10-dniowy zarobek, $\frac{1}{3}$ naszej dzisiejszej pensji. To mężczyzna robił zakupy, to mężczyzna za wszystko odpowiadał. A ona miała takie, nazwijmy to dzisiejszym językiem, kieszonkowe. Otóż jeżeli jakaś kobieta – mówi Jezus – mając dziesięć drachm zgubi jedną, to czy nie zapala światła, nie wymiata domu i nie szuka starannie, aż ją znajdzie? Te domy palestyńskie wyglądały inaczej niż nasze, podłoga była i jest gliniana. W związku z tym zamiatanie całego pomieszczenia, zmiatanie wszystkiego, co było w domu, to był najlepszy sposób na to, żeby tę drachmę znaleźć. A gdy ją znajdzie, to zaprasza przyjaciółki i sąsiadki i mówi: „Cieszcie się ze mną, bo znalazłam drachmę, którą zgubiłam".

Zauważmy — Jezus w ten sposób powiada mniej więcej tak: Czasami szukamy, tak jak owcy, istoty bardziej wartościowej. Kiedy indziej szukamy przedmiotów mniej wartościowych. Owca to jest mniej więcej miesiąc pracy. Drachma – to jest jeden dzień pracy. Ale przecież dla tamtego pasterza i dla tej kobiety zarówno owca jak i drachma mają ogromną wartość. Jezus powiada: Są tacy grzesznicy, którzy odpadają bardzo daleko. Są inni, których upadki i grzechy są mniejsze. Jedni

i drudzy mają szansę powrotu — pod warunkiem, że im się pomoże. Nikogo nie wolno przekreślać, każdego trzeba szukać. A to poszukiwanie zakłada wysiłek ze strony tych, którzy za te poszukiwania odpowiadają.

1.3.3 Przypowieść o synu marnotrawnym

I po tych dwóch przypowieściach następuje przypowieść trzecia, pod wieloma względami najważniejsza. Ta jest najpiękniejszą przypowieścią, jaką mamy w Ewangeliach, przypowieścią, która odsłania nam same tajniki Bożego Miłosierdzia. Jezus powiedział te dwie przypowieści, jedną dla mężczyzn, drugą dla kobiet. Wymowa jednej i drugiej jest klarowna. A teraz przechodzi do rzeczy najtrudniejszej. I mówi tak:

> Pewien człowiek miał dwóch synów. Młodszy z nich rzekł do ojca: „Ojcze, daj mi część majątku, która na mnie przypada".

Mamy tutaj nawiązanie znów do starożytnych stosunków w rodzinie. Podział majątku, jaki obowiązywał w starożytności, był taki. Jeżeli w jakiejś rodzinie było dwóch synów, to starszy dziedziczył $\frac{2}{3}$, a młodszy dziedziczył $\frac{1}{3}$ majątku. Na tym polegał przywilej pierworództwa, przywilej starszeństwa. Wśród ortodoksyjnych Żydów tak jest po dzień dzisiejszy. W związku z tym możemy zrozumieć, że między starszym a młodszym synem w rodzinie zawsze istniała swoista rywalizacja. I zawsze ten młodszy uważał siebie za nieco pokrzywdzonego. Ale do kogóż mógł mieć pretensje za to, że się później urodził? Była to pretensja wpisana niejako w naturę. Tutaj tego położenia nie można było odmienić.

Zatem ojciec miał dwóch synów. Ale podział majątku odbywał się zawsze przy śmierci ojca — nigdy wcześniej. Zatem kiedy ojciec umierał dopiero wtedy starszy dostawał $\frac{2}{3}$, a młodszy dostawał $\frac{1}{3}$. I tu nie było żadnej dyskusji. Okazuje się jednak, że w tej sytuacji jest pewne odstępstwo od tej ogólnej reguły. Mianowicie: „Młodszy z nich rzekł do ojca: «Ojcze, daj mi część majątku, która na mnie przypada»." Otóż w świetle ówczesnego prawa ojciec mógł mu odmówić. Powiedzieć krótko: „Jeszcze żyję, wobec tego zaczekaj". Zatem postępowanie tego młodszego syna jest, jeżeli tak można powiedzieć, prowokujące. On już dzisiaj chce mieć to, co dopiero dostanie w bliższej czy dalszej przyszłości. Ojciec mógł mu tego odmówić. Zauważmy, że coś podobnego może się dokonywać nie tylko w stosunkach pomiędzy ludźmi, ale także w stosunkach pomiędzy ludźmi i Bogiem. Kiedy to człowiek jakiś próbuje od Pana Boga wydusić jakby więcej. Kiedy ma pretensje do Pana Boga za to, że inni mają owe przywileje starszeństwa, bo zostali w jakiś sposób ...

Zmiana stron kasety

... nie było wtedy w zwyczaju. Podzielił majątek między tych dwóch, i ten młodszy otrzymał swoją jedną trzecią.

> Niedługo potem młodszy syn, zabrawszy wszystko, odjechał w dalekie strony i tam roztrwonił swój majątek, żyjąc rozrzutnie.

Jak wiemy nawet największy majątek rozejdzie się, jeżeli nie będziemy się troszczyć o jego pomnażanie, a zwłaszcza wrogiem wszelkiego dobrobytu jest rozrzutność. Zabrał więc to, co mu się należało, zabrał tą $\frac{1}{3}$, i wyglądało na to, że szybko mu się rozejdzie.

> A gdy wszystko wydał, nastał ciężki głód w owej krainie i on sam zaczął cierpieć niedostatek. Poszedł i przystał do jednego z obywateli owej krainy, a ten posłał go na swoje pole, żeby pasł świnie.

Pamiętajmy, że ta przypowieść jest opowiadana przez Jezusa w Palestynie dla Żydów, i to Żydzi słyszeli tę przypowieść. Dla Żyda świnia, wiemy o tym dobrze, jest symbolem nieczystości, jest symbolem czegoś złego. Żyd gardzi świnią, nie ma mowy o tym, żeby ją jadł. W Izraelu nie wolno hodować świń. Nie ma mięsa świńskiego w sklepach. Jest tam tylko wydzielone jakieś jedno czy drugie miejsce, gdzie można kupić świńskie mięso. Ja nie wiem – my nie mamy takich przyzwyczajeń

– ale to tak, jak gdyby ktoś kazał nam zjeść – nie, nie będę w kościele porównywał – ale jakąś istotę, padlinę, mięso, które jest wręcz dla nas obrzydliwe. I oto temu młodemu synowi,który roztrwonił wszystko, przypadło w udziale to, że musi paść świnie. Jest to symbol największego upodlenia. Jest to symbol największej, jeżeli tak można powiedzieć, klęski. Po prostu przestał znaczyć cokolwiek. Był od tej pory nikim, stał się nikim. Jemu, który dysponował i otrzymał $\frac{1}{3}$ majątku ojca, teraz przypadła w udziale najgorsza rola, jaką mógł pomyśleć słuchający tej przypowieści Żyd.

> Pragnął on napełnić swój żołądek strąkami, którymi żywiły się świnie, lecz nikt mu ich nie dawał.

Zatem Jezus doprowadza przypowieść do samego krańca. Powiada: Jego położenie było gorsze niż położenie świń, które doglądał. Bo tamte przynajmniej jadły strąki, a jemu nie wolno było tego jeść, tego mu odmawiano.

> Wtedy zastanowił się i rzekł: Iluż to najemników mojego ojca ma pod dostatkiem chleba, a ja tutaj z głodu ginę.

Zauważmy — ten zły, zepsuty, gnuśny syn zaczyna się zastanawiać. Jezus powiada, że nawet w sercu najbardziej zepsutego człowieka goszczą myśli służące jego poprawie. Trzeba tylko te myśli zauważyć, odszukać, rozpoznać, wydobyć i w jakiś sposób zachęcić do tego, aby one się rozwijały. To jest bardzo dziwne, bo nigdy nie jest za późno na poprawę. Nigdy nie jest za późno na nawrócenie. Z chwilą, kiedy człowiek zaczyna się zastanawiać nad tym, co robi, to już jest początek, a w każdym razie może to być już początek czegoś nowego i dobrego.

> Zabiorę się i pójdę do mego ojca, i powiem mu: Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie; już nie jestem godzien nazywać się twoim synem: uczyń mię choćby jednym z najemników.

Zauważmy, że motywacja tego młodszego syna, występnego, nie jest wzniosła. On nie szuka jakichś wzniosłych, duchowych spraw. On się chce po prostu najeść, najeść do syta. I dlatego chce wrócić do swojego ojca. Ponieważ w obcym kraju odmawiają mu tych strąków, które jedzą świnie, to myśli sobie, że w ojcowskim domu będzie przynajmniej jadł to, co jedzą najemnicy ojca. I przynajmniej tyle sobie poprawi. Otóż nie wszyscy źli ludzie mają od razu wzniosłą motywację. Czasami oni też są po prostu głodni, zapomniani, opuszczeni, pozostawieni gdzieś tam na marginesie, i chcieliby przynajmniej mieć raz ciepło, być raz najedzeni, żeby ktoś ich przygarnął, powiedział dobre słowo. Nie myślą od razu o zmianie wszystkiego. Myślą przynajmniej o takiej zmianie, jaką uważają za możliwą. Ale ta zmiana może być początkiem czegoś bardzo nowego.

> Wybrał się więc i poszedł do swojego ojca. A gdy był jeszcze daleko, ujrzał go jego ojciec i wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go.

Zauważmy — kto tu jest bohaterem? Czy ten marnotrawny syn? Nie, ojciec! To jest *przypowieść o miłującym ojcu.* To jest najbardziej wzruszający moment tej przypowieści. Okazuje się, że ojciec cały czas tęsknił za swoim synem, chociaż zapewne nigdy o tym nie mówił. Podobnie jak syn zatęsknił za ojcem, chociaż też pewnie tą tęsknotą z nikim się nie dzielił. Zachowanie ojca jest zupełnie irracjonalne. Bo tam, gdzie jest miłość, to miłość jest rzadko kiedy rozumna. Ona działa wbrew rozumowi. Jest czymś znacznie głębszym niż instynkt, który kieruje zwierzęciem. Miłość jest zdolna do zachowań, do postaw, których w żaden sposób nie można usprawiedliwić rozumem. Oto ojciec ujrzał swojego syna, kiedy ten był jeszcze daleko. Zatem rozpoznał go. Czyli musiał bardzo za nim tęsknić, i bardzo go potrzebować. Kiedy ten był jeszcze daleko — to znaczy, że cały czas w tym ojcu była potrzeba odzyskania własnego syna. Pewnie inni nie mogliby go jeszcze rozpoznać. Ale on go rozpoznał, bo miał w sobie jakby piąty zmysł. I co? I wzruszył się głęboko. To jest ta pierwsza rzecz, która umożliwia zmianę ludzkiego położenia, także położenia drugiego człowieka. Mianowicie jesteśmy ludźmi. I tym co mamy – niesłychanie głębokim i cennym – jest uczucie, przywiązanie. I to ono w tych najtrudniejszych chwilach dyktuje nasze zachowanie. To ono sprawia, że zaczynamy

się zachowywać zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy sobie coś tłumaczymy. Nieraz jest tak, że ojciec czy matka tłumaczą sobie, że już mają dość swego dziecka czy dzieci, brata albo siostry, ojca czy matki. Myślą sobie: Koniec! Przekroczył wszelkie granice! Ale oto wydarza się w życiu coś, kiedy ów ktoś, na kim postawiliśmy kreskę, pojawia się z powrotem w naszym życiu i kiedy dokonuje się w nas jakaś zmiana, na którą nie byliśmy zupełnie przygotowani. Ale ta zmiana nigdy nie dokonuje się przypadkowo. Otóż do tej zmiany trzeba dojrzewać całe życie. zwłaszcza przez to, że człowiek nie dopuszcza do swojego serca nigdy żadnej nienawiści czy wrogości. Ojciec więc

> wzruszył się głęboko; wybiegł naprzeciw niego, rzucił mu się na szyję i ucałował go.

Zauważmy — to przecież młodszy syn miał przepraszać swojego ojca. A to ojciec wybiega, ojciec rzuca się na szyję, ojciec go całuje. Czyli popatrzmy – ta logika miłości jest odwrotna niż logika rozumu. Ojciec postępuje niejako wbrew rozumowi. Ale właśnie to umożliwia ten rezultat, o którym będzie za chwilę:

> A syn rzekł do niego: „Ojcze, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem".

Popatrzmy — jaka dokonała się w nim zmiana w tej drodze do ojca, i w tym zachowaniu, które ojciec rozpoczął. Kiedy ten syn wracał do ojca, chciał się najeść do syta. Skoro nie dawano mu strąków, to chciał być jednym z najemników, żeby móc otrzymać łyżkę strawy. Ale kiedy zobaczył ojca, i kiedy ten ojciec wyszedł ku niemu z miłością i postąpił zupełnie inaczej, niż on się spodziewał, to w tym synu dokonała się głęboka duchowa przemiana. I syn powiada: „Ojcze, zgrzeszyłem przeciwko Bogu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem". Teraz kieruje nim nie głód, ale żal. Nie potrzeba najedzenia się, ale wstyd. Otóż okazując drugiemu człowiekowi, nawet człowiekowi złemu, dobroć, zrozumienie i miłość, najsilniej na niego oddziałujemy. A to z tej przyczyny, że on otrzymuje coś, czego się w ogóle nie spodziewał. Tak jest również i w tym przypadku. Ten miłosierny i dobry ojciec wyzwolił reakcję, której nie oczekiwał.

> Lecz ojciec rzekł do swoich sług: „Przynieście szybko najlepszą szatę i ubierzcie go; dajcie mu też pierścień na rękę i sandały na nogi! Przyprowadźcie utuczone cielę i zabijcie: będziemy ucztować i bawić się, ponieważ ten mój syn był umarły, a znów ożył; zaginął, a odnalazł się". I zaczęli się bawić.

Zauważmy — ojciec nie rozpoczyna rozmowy ze swoim synem. Wie, że to nie czas teraz na taką rozmowę. Daje synowi znacznie więcej, niż ten się spodziewał. Powiada swoim sługom: Przynieście ubiór, przynieście sandały. Czyli jak syn wyglądał? Był w podartych szatach, był bez sandałów, był boso. Mało tego, powiada: Sprowadźcie utuczone cielę i zabijcie. Nałóżcie mu również pierścień. A więc ojciec pozwala mu odzyskać jego godność. Nie wystarczy pomóc drugiemu człowiekowi. Trzeba mu jeszcze pomóc tak, żeby go nie upokorzyć. Są bowiem tacy pomagający, którzy wprawdzie pomagają, ale cały czas przypominają o tym, kto jest kim. I przypominają o swojej roli. I wobec tego pomoc w takim przypadku jawi się jako coś, co tego, komu pomagamy, bardzo krępuje.

Zwróćmy uwagę, że nawiążemy jeszcze raz do współczesnej praktyki, jednym z elementów karania zbrodniarzy, wielkich grzeszników czy złoczyńców, jest odbieranie im praw obywatelskich. Zazwyczaj na jakiś stosunkowo krótszy czas, częściej na bardzo długo. Ktoś taki jest pozostawiony poza nawiasem publicznego życia. I to jest dla niego najbardziej dotkliwa kara. Zatem umiejętność pomagania innym polega również na tym, żebyśmy umieli pozyskując ich dla dobra pomagać im jednocześnie odzyskiwać ich godność.

Właśnie tutaj ta przypowieść mogłaby się skończyć. Ale pamiętajmy, że braci było dwóch. I mamy teraz przypowieść o tym drugim bracie, bez której nie sposób byłoby poprzestać na rozważaniu całej przypowieści.

> Tymczasem starszy jego syn przebywał na polu. Gdy wracał i był blisko domu, usłyszał muzykę i tańce. Przywołał jednego ze sług i pytał go, co to ma znaczyć.

Popatrzmy — młody syn roztrwonił wszystko. Starszy spełnia swoje obowiązki, jest pod każdym względem dobry.

> Ten mu rzekł: „Twój brat powrócił, a twój ojciec kazał zabić utuczone cielę, ponieważ odzyskał go zdrowego".

A więc sługa tłumaczy, co się stało.

> Na to rozgniewał się i nie chciał wejść;

Zachowywał się sprawiedliwie. Gdyby poprzestać na sprawiedliwości, zachowywał się racjonalnie. Rzeczywiście ojciec był niesprawiedliwy. Bo jeden otrzymał swoją część, roztrwonił i się bawił. Drugi ciągle pracował na rzecz ojca, i pracował teraz, i wraca z owej pracy. Ale logika miłości jest zawsze czymś więcej, niż logika sprawiedliwości. Gdyby świat opierał się na sprawiedliwości, byłby nie do zniesienia. Bo tych, którzy popełnili zło, należałoby surowo karać dokładnie w taki sam sposób. Logika sprawiedliwości zakłada nagrody, ale zakłada również kary. Sprawiedliwa jest starotestamentowa zasada odpłaty: oko za oko, ręka za rękę, ząb za ząb, życie za życie, śmierć za śmierć. To jest sprawiedliwość. I w najodleglejszej starożytności były społeczeństwa, które poprzestawały na sprawiedliwości. Jezus idzie dalej. Powiada: Sprawiedliwość jest czymś, co znamy. Ale powinniśmy się starać o miłość.

> Na to rozgniewał się i nie chciał wejść; wtedy ojciec jego wyszedł i tłumaczył mu. Lecz on odpowiedział ojcu: „Oto tyle lat ci służę i nigdy nie przekroczyłem twojego rozkazu; ale mnie nie dałeś nigdy koźlęcia, żebym się zabawił z przyjaciółmi. Skoro jednak wrócił ten syn twój, który roztrwonił twój majątek z nierządnicami, kazałeś zabić dla niego utuczone cielę".

Ten starszy brat nie mówi: „Wrócił mój młodszy brat". Ten starszy brat już przekreślił swojego brata. Powiada: „ten syn twój". Zatem mówi z ironią, z kpiną, a może z bólem. Zapomniał już o tym, który otrzymawszy swoją część odszedł. A teraz musi się przyzwyczaić znowu do jego obecności. Tymczasem jego przekreślił. Zauważmy, że w tej postawie starszego brata, opartej przecież na sprawiedliwości, jest coś z postawy każdego z nas. Zapisujemy niektórych ludzi na straty. Nie ma ich! Wyrządziłeś mi krzywdę – nie chcę o tobie słyszeć! Nie chcę cię znać! To jest sprawiedliwe. Ale ojciec tłumaczy swojemu starszemu synowi, że sprawiedliwość to nie wszystko. I mówi:

> „Moje dziecko, ty zawsze jesteś przy mnie i wszystko moje do ciebie należy. A trzeba się weselić i cieszyć z tego, że ten brat twój był umarły, a znów ożył, zaginął, a odnalazł się".

Ojciec wymaga od swojego dobrego starszego syna więcej, niż wymagałoby się według natury. Wymaga od niego radości z odnalezienia się jego brata. Zauważmy, że ta Jezusowa przypowieść zatem dotyka tego, co w człowieku jest najtrudniejsze. Bo najtrudniej nam przeobrazić sprawiedliwość w miłosierdzie i miłość. Są tacy, którzy nigdy nie potrafią odejść od sprawiedliwości, którzy nigdy nie potrafią posunąć się tego kroku dalej, właśnie ku miłości. Sprawiedliwość jest czymś zasadnym i dobrym. Ale Jezus chce więcej.

Na koniec przypomnijmy raz jeszcze, do kogo była adresowana to przypowieść. Do tych sprawiedliwych, dobrych faryzeuszów i uczonych w Piśmie, którzy gorszyli się tym, że Jezus przyjmuje i naucza celników i grzeszników. A więc tych, którzy uchodzili za symbol zepsucia i zła. Otóż pod tym względem ta postawa faryzeuszy jest postawą, która i każdemu z nas w jakiś sposób grozi. Ta przypowieść została nie przypadkowo zapamiętana i przekazana na kartach Ewangelii św. Łukasza. Ona dla każdego chrześcijańskiego pokolenia jest zachętą do tego, aby wymagać od siebie więcej. I myślę, że kiedy rozważamy tę przypowieść teraz, w czasie adwentu, to być może warto w jakiś sposób przemyśleć i swoje życie. Może gdzieś tam w jego zakamarkach odnaleźć tych, których przekreśliliśmy. Może warto popatrzeć na innych również wg. tego klucza dobrego ojca, który raduje się powrotem marnotrawnego syna. Myślę, że czas Adwentu to czas, w którym ta przypowieść nabiera szczególnego znaczenia.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję za uwagę. Na następne spotkanie zapraszam w drugi poniedziałek stycznia, 11 I. A na zbliżające się święta Bożego Narodzenia i na Nowy Rok życzę wszystkim państwu dużo Bożego błogosławieństwa, dużo zdrowia, wsparcia ze strony Pana Boga, a także tej umiejętności, o którą tak bardzo trudno i o którą każdy z nas zabiegać powinien. Mianowicie umiejętności przeobrażania sprawiedliwości w miłosierdzie i w miłość. Dziękuję bardzo serdecznie.

1.4 Ostatnia przypowieść Jezusa (11 stycznia 1999)

Witam państwa tym goręcej, i na zewnątrz zimno, i tutaj w kościele też nie za gorąco. Mam zatem nadzieję, że to, co będziemy mówić, jakoś pozwoli nam przetrwać przez tę godzinę i że nie będą państwo żałowali czasu poświęconego na wspólną refleksję. W tym roku jest to refleksja nad przypowieściami Jezusa i wydaje mi się, że kiedy zaczynaliśmy kilka miesięcy temu te konferencje, wydawało nam się, że o przypowieściach Jezusa wiemy bardzo dużo, znamy je bardzo dobrze. I teraz nasze trudne zadanie, i państwa i moje, polega na tym, żeby wydobyć z nich jeszcze więcej.

Tak również jest i dzisiaj, kiedy zabieramy się do kolejnych przypowieści i jako przedmiot dzisiejszej medytacji i dzisiejszej konferencji wybrałem ostatnią przypowieść Jezusa, którą Pan Jezus wygłosił wobec swoich uczniów już pod koniec swojej publicznej działalności, kiedy znajdował się w drodze do Jerozolimy. Obok tej jednej ostatniej przypowieści przeczytamy jeszcze inne fragmenty, które nas w atmosferę tamtej przypowieści wprowadzają. I sam fakt, że wybieramy ostatnią przypowieść Jezusa i wybieramy to, czego Jezus nauczał już pod sam koniec swojej publicznej działalności, kiedy znajdował się w drodze do Jerozolimy, sam ten fakt jest bardzo znaczący. Bo dobrze wiemy, że kiedy człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że jego życie dobiega końca, to wtedy chciałby powiedzieć rzeczy bardzo ważne. Wtedy nie tylko waży słowa ale zdaje sobie sprawę z tego, że trzeba powiedzieć to, co jest jakoś najistotniejsze. Nie inaczej było z Jezusem.

Otóż po trzech latach publicznej działalności Jezus zmierza z uczniami do Jerozolimy. Kilka razy daje im poznać, że będzie to ostatnia podróż do Jerozolimy i zapowiada, że w Jerozolimie czeka go męka, a przedtem pojmanie, a następnie śmierć. Uczniowie są tą perspektywą przerażeni. Nie wszyscy z nich nawet mają ochotę do tej Jerozolimy pójść. Ale zapowiadając swoją mękę i śmierć Jezus zapowiada również, chociaż w sposób dla nich jeszcze niepojęty, swoje zmartwychwstanie. I okazuje się, że ta perspektywa zmartwychwstania jakoś sprawia, że uczniowie z Nim do Jerozolimy idą. Ale po drodze jest sporo wątpliwości, sporo wahań. Bo jeżeli zdają sobie sprawę z tego wszyscy, że jest to schyłek tej publicznej działalności, to rozumiemy dobrze, że atmosfera musiała być co najmniej trudna. I w Ewangelii św. Mateusza, bo to z niej pochodzą fragmenty, które będziemy dzisiaj czytać i rozważać, wyraźnie czuje się tę atmosferę ostatniej drogi Zbawiciela, tej drogi, która kierowała Go do Jerozolimy. Kto z państwa był kiedykolwiek w Ziemi Świętej to dobrze wie, że gdy się podróżuje do Jerozolimy — a w starożytności było to jeszcze bardziej widoczne, aniżeli dzisiaj — to skądkolwiek się idzie trzeba do Jerozolimy wstępować. A więc trzeba wchodzić do góry. Takie wchodzenie do góry, takie wstępowanie wytwarza zawsze taką atmosferę podniosłą. Ono zawsze wymaga pewnego wysiłku fizycznego, tak jak wtedy, gdy jesteśmy w górach i musimy wejść wyżej. Ale jednocześnie daje pewne poczucie ulgi. Bo kiedy człowiek jest wyżej i więcej swoim wzrokiem ogarnia, to jednocześnie jakby potrafi odejść od spraw błahych albo mało ważnych, i potrafi myśleć bardziej ogólnie. Potrafi również na swoje życie spojrzeć nieco inaczej.

Przejdźmy już do tekstu. Zacznijmy od fragmentu i będziemy omawiać fragmenty, które doskonale znamy. Ale może właśnie dlatego, że je doskonale znamy, może warto zastanowić się nad nimi jeszcze z innej, zapewne głębszej perspektywy. Otóż kiedy Jezus jest już niedaleko Jerozolimy, kiedy zbliża się do miasta świętego, to wtedy czytamy w Ewangelii św. Mateusza tak:

> A oto zbliżył się do Niego pewien człowiek i zapytał: «Nauczycielu, co dobrego mam czynić, aby otrzymać życie wieczne?»

Inni ewangeliści są tutaj bardziej dokładni niż Mateusz. Mianowicie powiadają, że ten człowiek, który zbliżył się do Jezusa, to był młody człowiek. Młodość ma to do siebie, że ma sporo zapału i sporo entuzjazmu. Ci wszyscy, którzy są dorośli i starsi, dobrze wiedzą, że z każdym rokiem tego entuzjazmu i zapału jest coraz mniej. I w naszym życiu obserwujemy pewien paradoks. Myślę, że w tym państwo się ze mną zgodzą. Otóż kiedy jesteśmy młodzi to myślimy sobie, że jeszcze mamy czas na to, żeby być dobrymi. Kiedy stajemy się dorośli, jesteśmy w sile wieku, zaczynamy coraz bardziej czuć, że nasze życie powinno mieć jakiś sens. Natomiast kiedy przekroczymy 40 - 50 lat to dzieje się coś takiego, co kiedyś opisał bardzo obrazowo ale i dość przejmująco rabin Kuszner, którego książki zostały wydane w języku polskim. On napisał tak, że ludzkie życie można porównać do słoika z kawą. Kiedy kupuję słoik kawy to pierwsze łyżeczki, które biorę, są pełne. Dlatego, że zdaję sobie sprawę z tego, że tej kawy w słoiku zostało jeszcze bardzo dużo. Ale kiedy dochodzę

do połowy tego słoika i kiedy zaczynam widzieć, że jest coraz mniej tej kawy, to zatem i używam jej też coraz mniej i te łyżeczki już nie są takie pełne jak wtedy, kiedy się zaczynało słoik. I on powiada — myślę, że bardzo mądrze — że w życiu człowieka, zwłaszcza przy okazji rocznicy urodzin, zwłaszcza przy okazji jakiegoś ważnego momentu, człowiek jest tak jak ten, który sypie tę kawę. Oto zdaje sobie sprawę z tego, że połowa życia jest już za nim. Że jeżeli nawet przeżyje drugie tyle, to już perspektywa się coraz bardziej skraca. Ale — i tutaj mamy pewien paradoks — im kto jest starszy, tym jednocześnie trudniej jest zmienić swoje własne życie. Tym bardziej okazuje się, że przyzwyczajenie, nawyki biorą górę nad entuzjazmem, który był tam gdzieś w młodości. I proszę mi wierzyć – mówię to również ze swojego własnego doświadczenia – znacznie łatwiej jest pracować z młodzieżą i osiągnąć coś dobrego z młodzieżą aniżeli z ludźmi dorosłymi. A już najtrudniej jest osiągnąć cokolwiek nowego z ludźmi starszymi czy starymi. Dlatego, że są już tak zmęczeni życiem, i jednocześnie tak pozbawieni tych wszystkich wzniosłych motywów, że raczej trzeba bazować na tym, czym żyli i kim byli przedtem.

Z tego wynika pewien ważny wniosek życiowy. Ja myślę, że ewangeliści również tutaj zwrócili na to uwagę. Mianowicie, nie odkładajmy pracy nad sobą, i troski o siebie, na później. Bo po pierwsze tego „później" może w ogóle nie być. A po drugie — nawet jeżeli to „później" przydarzy nam się, to już nie będzie tego entuzjazmu i tego zapału, który mamy w młodości. Otóż człowieka młodego stać jest na wielki heroizm i na wielkie bohaterstwo. Natomiast człowiek dorosły i starszy jest jakby bardziej wyrachowany. Wszystko bardziej kalkuluje. Co prawda nie popełnia wielkich błędów – ale bardzo często nie dlatego, że jest dobry, tylko ze zwykłego lenistwa. Bo również nie popełniając wielkich błędów i wielkiego zła nie czyni również jakiegoś wielkiego dobra. I myślę, że kiedy zgłębiamy własne życie, to możemy tę prawidłowość jakoś we własnym życiu rozpoznawać.

Do Jezusa zatem przychodzi człowiek młody. I człowiek młody zadaje pytanie, które jest niezwykle piękne i bardzo trudne. Mianowicie:

> Nauczycielu, co dobrego mam czynić, aby otrzymać życie wieczne?

Proszę zauważyć, że ten entuzjazm jest właściwy młodości również i w naszych czasach. Można obserwować całe grupy młodych ludzi, którzy naprawdę dokonują rzeczy wielkich, pracują nad sobą na rozmaite sposoby, i naprawdę chcą być dobrzy. W każdym pokoleniu było tak, nie tylko w naszym, ale i przedtem, że istniały pewne napięcia pomiędzy starszymi i młodymi. I zawsze zło jest krzykliwe, i będziemy słyszeć o grupkach ludzi złych – czy oni są młodsi, czy starsi. Natomiast dobro jest ciche. I o tych młodych ludziach, którzy są dobrzy, nie słyszymy, bo to dobro nie rzuca się w oczy.

Ten młody człowiek przychodzi i pyta co dobrego ma czynić, aby osiągnąć życie wieczne. Zauważmy, że on jest – jeżeli tak można powiedzieć, przedwcześnie dojrzały. Będąc młody patrzy już z takiej perspektywy, z której dostrzega konieczność już nie tylko pracy nad sobą, ale zapracowania na wieczność. I Jezus odpowiada mu tak:

> Dlaczego pytasz Mnie o dobro? Jeden tylko jest Dobry.

W ten sposób Jezus zwraca uwagę, że prawdziwym dobrem jest Bóg, i że wszelkie dobro od Boga pochodzi. Zatem Jezus zwraca uwagę temu młodemu człowiekowi, który zapewne rozumiał więcej niż inni, że jeżeli chcemy pracować nad sobą, jeżeli chcemy być dobrzy, to nasza dobroć nie pochodzi z naszego osobistego wysiłku, ale jest odwzorowaniem dobroci Boga. Proszę zwrócić zatem uwagę, że w tym, co mówi Pan Jezus, jest głęboka prawda o ludzkim życiu i o odniesieniu człowieka do Pana Boga. Mianowicie że dobro, które czynimy, nie jest naszym dziełem, ale jest dziełem Pana Boga, jakie Bóg dokonuje w naszym życiu. Jeden tylko jest Dobry — mówi Jezus, i prawda to o Bogu, o Ojcu. A zatem każdy, kto chce być dobry, to w swoim życiu naśladuje tę dobroć Bożą. Przy innej okazji mówiliśmy, że tego rodzaju etyka, moralność nosi nazwę — jeżeli tu użyjemy mądrego słowa — *etyki deomorficznej* czyli *etyki naśladowania Boga*. Chcemy być dobrzy zatem — jeżeli chcemy — nie po to, żeby mieć satysfakcję, nie po to, żeby osiągać samozadowolenie. Lecz chcemy być dobrzy — i na to Jezus zwraca uwagę — aby odwzorowywać dobroć samego Boga. Zatem Jezus, odpowiadając w ten sposób owemu młodzieńcowi, zwraca już jego uwagę na to, co w pracy nad sobą, co w tym wysiłku obrabiania własnego sumienia, jest najważniejsze.

A jeśli chcesz osiągnąć życie, zachowaj przykazania».

Przykazania prowadzą człowieka do życia, dają człowiekowi życie. Dają człowiekowi pełnię życia i dają człowiekowi jednocześnie życie wieczne. Zachowywanie przykazań narzuca człowiekowi pewne ramy. Ale człowiek pozbawiony wszelkich ram jest człowiekiem, który jest pozbawiony wszelkich wartości. Istnieje różnica pomiędzy wolnością a swobodą. Wolność jest czymś, co człowiek wybiera, co stara się osiągnąć. Jest jakimś zadaniem, które pozostaje do spełnienia. Swoboda oznacza takie pofolgowanie sobie, w którym człowiek nie ma żadnych ograniczeń, albo ma ich bardzo mało. Ale nie mając tych ograniczeń nie ma jednocześnie zadowolenia i radości, jaką daje życie. Otóż umiejętność dobrego życia polega na tym, żeby wybierając wolność stronić od swobody. Składnikiem wolności i drogowskazem dla wolności są przykazania. Te przykazania wyznaczają pewne normy, pewne ramy, pewne fundamenty, na których można budować. Te fundamenty mogą wydawać nam się uciążliwe. Ale umiejętność dobrego życia polega także na tym, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że oto przekroczyliśmy pewne ramy. Zatem możemy się poprawić, możemy żyć inaczej. Ktoś, kto nie ma tych ram narzuconych przez wolność i przez przykazania, żyje – jeżeli można tak powiedzieć – bezużytecznie. Jezus zwraca uwagę na owe przykazania.

Zapytał Go ów człowiek: «Które?» Jezus odpowiedział: «Oto te: Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie zeznawaj fałszywie, czcij ojca i matkę oraz miłuj swego bliźniego, jak siebie samego!»

Znamy dobrze te przykazania, bo zarówno w dawnym biblijnym Izraelu, jak i dzisiaj, one są fundamentem moralności. One są fundamentem moralności nie tylko dla chrześcijaństwa, dla religii żydowskiej, czy dla islamu, tylko one wyznaczają same fundamenty moralności człowieka jako takiego.

Odrzekł Mu młodzieniec:

Teraz dopiero Mateusz zwraca uwagę — bo z Ewangelii Mateusza pochodzi ten fragment — że rozmówca Jezusa jest człowiekiem młodym. I ten młody człowiek odpowiedział:

Przestrzegałem tego wszystkiego, czego mi jeszcze brakuje?

Proszę zauważyć — ten młody człowiek jest człowiekiem dobrym. Natomiast chce osiągnąć coś więcej. Cóż może być to „coś więcej", jakie może osiągnąć człowiek? Otóż chce osiągnąć doskonałość. Ogromna większość ludzi poprzestaje na tym, że jest dobra, że są dobrymi ludźmi – powiedzmy to sobie jasno. Wśród ochrzczonych, wyznających Jezusa Chrystusa ogromna większość ludzi, nawet jeżeli nasze sądy zewnętrzne mogą być inne, to ludzie dobrzy. Patrząc nawzajem na siebie nie po to, aby prawić komplementy ale po to, żeby po prostu mówić prawdę, czy patrząc na ulicy, czy patrząc w swoich domach widzimy ludzi dobrych. Ale część z tych ludzi dobrych, być może są tacy wśród nas, żywi potrzebę doskonałości. Chcieliby być jeszcze lepsi i pytają tak, jak ten młody człowiek Jezusa. Przy czym jeżeli są młodsi, to pytają częściej. Natomiast jeżeli stajemy się starsi, to i to pytanie jest coraz rzadsze. Pytają co trzeba zrobić, żeby być jeszcze lepszym? Co jeszcze z siebie mogę dać? I proszę zauważyć, że tutaj nasz opowiadanie ewangeliczne jakby się załamuje. Otóż za chwilę odkryjemy głęboką prawdę o człowieku.

Jezus odpowiedział mu: «Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj wszystko, co posiadasz, i rozdaj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i pójdź za Mną!»

Zwróćmy uwagę na to, że temu młodemu człowiekowi, kiedy przyszedł do Jezusa, wydawało się zapewne, że skoro jest dobry to łatwo również można osiągnąć doskonałość. Szukał jakiejś prostej i łatwej wskazówki. Otóż niektórym ludziom, zapewne i wielu spośród nas, być dobrym przychodzi stosunkowo łatwo. Dlaczego? Bo mamy naturalne podatności na to, żeby być uczciwym. Zostaliśmy dobrze wychowani, żyjemy i rozwijamy się we właściwym dobrym środowisku, mamy dobrą rodzinę. W związku z tym ta dobroć jest czymś naturalnym. To jest tak jak do dobrej gleby, właściwie nawodnionej, wsadzi się drzewo, i ono będzie rosło. Podobnie jest i z człowiekiem. Oczywiście są

też inni ludzi, którzy mają w sobie pewne skłonności do zła, albo do pewnych elementów zła. Którzy tych skłonności nabyli poprzez złe wychowanie. Którzy nie mieli dobrych wzorców do naśladowania, którzy mieszkają w złym środowisku itd. I tamci rzeczywiście muszą pracować nad czymś, co innym przychodzi bardzo łatwo. Zatem ktoś widząc wystawę sklepową może ją oglądać ot tak sobie, pod kątem np. estetycznym i podziwiać umiejętności, z jakimi ktoś tę wystawę ułożył. Ale są tacy ludzie, którzy oglądając wystawę sklepową mają w głowie tylko taką myśl, jak by sobie poradzić z szybą, która dzieli ich od tych dóbr.

Pozostańmy przy tych dobrych. Wśród tych dobrych jest chęć, żeby być jeszcze lepszymi. Ale trochę tak, jak z tym młodym człowiekiem, wydawać nam się może, że to przyjdzie bez żadnej specjalnej ceny, bez żadnego wysiłku. Skoro zachowywanie przykazań przychodzi łatwo, to i osiągnięcie doskonałości – tak sądzimy – może przyjść łatwo. I tutaj Jezus stawia poprzeczkę bardzo wysoko. I powiada: Jeśli chcesz być doskonały, to idź, sprzedaj wszystko, co masz, rozdaj ubogim, i przyjdź, i pójdź za Mną! Proszę zauważyć, że Jezus domaga się od niego ogromnego samowyrzeczenia, ogromnej ofiary. Powiada, że o ile dobroć przychodzi łatwo, niektórym przynajmniej, o tyle doskonałość wymaga od nas wyrzeczenia i wymaga od nas wysiłku. Zatem nie można być człowiekiem doskonałym bez tego wyrzeczenia i bez tej ofiary, która się z tym wiąże. Jaka była reakcja?

> Gdy młodzieniec usłyszał te słowa, odszedł zasmucony, miał bowiem wiele posiadłości.

Zwróćmy uwagę zatem, że istnieje ogromna przepaść pomiędzy tym, że ktoś jest dobry, i tym, iż ktoś chce być doskonały. Kiedy doskonałość ma nas coś kosztować to wtedy okazuje się, że nie mamy siły aby temu wymaganiu sprostać. Nie oskarżajmy tego młodego człowieka ponad miarę. On nadal pozostał dobry ale uświadomił sobie, że być doskonałym to jest coś znacznie więcej.

I w ten sposób zmierzając w stronę Jerozolimy, zmierzając ku wypełnieniu swego losu, Jezus odkrywa coś bardzo głębokiego w postawie tych, którzy już wtedy i później w ciągu wieków stawali się Jego wyznawcami. Odkrywa mianowicie to, że wśród tych, którzy Go wyznają, jest też bardzo głęboki podział pomiędzy tych, którzy są dobrzy, oraz innych, którzy dają z siebie więcej. I na to „więcej" pozostałych nie stać. I myślę że kiedy zastanawiamy się nad własnym życiem, to chyba coś z tej prawdy również musimy rozpoznać i we własnym życiu.

Ten epizod z bogatym młodzieńcem, który odszedł smutny, wprowadza nas do następnych wydarzeń oraz do przypowieści, którą dzisiaj chcemy rozważyć.

> Jezus zaś powiedział do swoich uczniów: «Zaprawdę, powiadam wam: Bogaty z trudnością wejdzie do królestwa niebieskiego, Jeszcze raz powiadam wam: Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego».

Znamy te słowa doskonale. Te słowa szokują nas równie mocno, jak szokowały uczniów Jezusa, o czym za moment. Ale Jezus zwraca uwagę na niebezpieczeństwo związane z bogactwami. Nie mówi, że bogaci nie mogą wejść do królestwa niebieskiego. Mówi, że trudno wchodzą do tego królestwa. Jeżeli tak, to sprawdzają się Jego słowa, wypowiedziane przy innej okazji, że „tam, gdzie jest skarb twój, tam i serce twoje". Jeżeli ktoś gromadzi wokół siebie wiele rozmaitych wartościowych rzeczy, to na ogół wkłada w to nie tylko swoją inwencję ale również i swoje serce. I to nie może się odbywać bez jakichś kosztów, które dotyczą i są związane ze sprawami religii i ze sprawami Boga. Jezus zwraca uwagę swoich uczniów na niebezpieczeństwo bogactw. To niebezpieczeństwo nie pochodzi z bogactwa jako takiego. Ono pochodzi z tego, że człowiek przywiązuje się do tego, co posiada. A skoro się przywiązuje, to może to odwrócić jego uwagę tak, że nie potrafi ważyć między rzeczami ważnymi, bardzo ważnymi i mało ważnymi. „Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne" — to oczywiście obraz. Wiemy, jak małe jest ucho igielne, jak duży jest wielbłąd. W komentarzach do tej Ewangelii zwracano uwagę, że być może chodzi o takie wąskie przejście w murach starej Jerozolimy, które nosiło nazwę „ucho igielne", i przez to ucho igielne, przez to przejście w murach wielbłądy przechodziły z ogromną trudnością. Ale archeolodzy nigdy nie znaleźli takiego przejścia, ani nawet jego śladów w murach starej Jerozolimy. Jezus po prostu używa porównania, obrazu, celowo przesadzając. Chce zwrócić naszą uwagę na to, że jeżeli coś posiadamy żebyśmy nie przywiązywali się do tego ponad miarę. Być człowiekiem zamożnym i bogatym nigdy nie jest i nie było

grzechem — pod warunkiem, że się dochodzi do tego uczciwie. Ale nawet wtedy, kiedy dochodzi się do tego uczciwie, trzeba zwracać uwagę nie tylko na to, jak przeżyć, ale na pytanie bardziej podstawowe — mianowicie jak żyć. Tu dotykamy rzeczy, która jest bardzo trudna. Trudna nie dlatego, że jej nie rozumiemy, tylko dlatego, że ją rozumiemy aż nadto dobrze. Mianowicie tu każdy z nas może sprawdzić samego siebie. I czasami ten dramat posiadania widać jest i w życiu chrześcijańskim również. Jakąś miarą – jeżeli tak można powiedzieć – religijności jest umiejętność rozporządzania tym, co się ma, i jednocześnie umiejętność znacznie trudniejsza: nie przywiązywania się do tego, co się posiada tak, iżby to zaślepiało zupełnie człowiekowi oczy. Tu bądźmy jednak szczerzy. Znacznie łatwiej jest o tym mówić, aniżeli przeżyć to w swoim własnym życiu.

> Gdy uczniowie to usłyszeli, przerazili się bardzo i pytali: «Któż więc może się zbawić?» Jezus spojrzał na nich i rzekł: «U ludzi to niemożliwe, lecz u Boga wszystko jest możliwe».

Otóż uczniowie, jak dobrze wiemy, mieli rozmaite rzeczy ze sobą. Kiedy trzy lata chodzili z Jezusem i byli z Jezusem, na pewno przyjęli niejeden upominek, niejedną monetę, niejeden dar. Wiemy dobrze, że mieli swoją kasę, że tę kasę trzymał Judasz. I kiedy usłyszeli od Jezusa to ostrzeżenie przed bogactwem, to słusznie zadali sobie pytanie: Kto może się zbawić? Otóż zadawali sobie pytanie dlatego, że ta sprawa również ich mocno dotyczyła. I otrzymali od Jezusa odpowiedź, że u Boga wszystko jest możliwe.

Przechodzimy powoli do tego tekstu, który jest centrum naszej dzisiejszej uwagi, a który wynika z tego, o czym mówiliśmy do tej pory.

> Wtedy Piotr rzekł do Niego: «Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą, cóż więc otrzymamy?»

Piotr jest wyrachowany aż do samego końca, można by powiedzieć — aż do bólu. Powiada tak: zostawiliśmy wszystko. Ale jednocześnie powiada: cóż więc otrzymamy? Widać jak człowiekowi, nawet takiemu, jak Piotr, przychodzi trudno wyzbyć się tej perspektywy, że nic nie będzie posiadał. Dzisiaj ta droga doskonałości, również tej przez wyrzeczenie się materialnych potrzeb i materialnych spraw, jest osiągalna zwłaszcza w zakonach. Ale nie w tych zakonach działających w świecie, jeżeli już to w zakonach kontemplacyjnych przede wszystkim. Ale nawet w tych zakonach kontemplacyjnych człowiek musi mieć coś swojego. Bo jeżeli nie ma dosłownie nic, to czuje się w jakiś sposób pozbawiony tego fundamentu, na którym żyje. Czuje się jakoś niebezpiecznie osadzony w tym, co odbiera mu jak gdyby przyszłość. I Piotr też chce wiedzieć: opuściliśmy wszystko, to co otrzymamy?

> Jezus zaś rzekł do nich: «Zaprawdę, powiadam wam: Przy odrodzeniu, gdy Syn Człowieczy zasiądzie na swym tronie chwały, wy, którzy poszliście za Mną, zasiądziecie również na dwunastu tronach, sądząc dwanaście pokoleń Izraela. I każdy, kto dla mego imienia opuści dom, braci lub siostry, ojca lub matkę, dzieci lub pole, stokroć tyle otrzyma i życie wieczne odziedziczy.

Ta perspektywa, o której mówi Jezus, jest równie trudna jak wahania i dylematy, z jakimi przyszedł do niego Piotr. Mianowicie Jezus powiada tak: Pójście za Bogiem, za Bożym powołaniem, nigdy nie oznacza tego, że dajesz Bogu jedno aby On mógł dać ci drugie, jeszcze zaraz w tym życiu. Otóż wyzbycie się czegoś ze względu na Boga oznacza przede wszystkim odbudowywanie nadziei. I tutaj zwróćmy uwagę na pewien szczegół. Mianowicie szczegół, który dotyczy życia religijnego i który znów – myślę – dotyczy życia każdego z nas. Otóż w religii i religijności ludzie zazwyczaj szukają pociechy, pocieszenia. Bardzo często jest tak, że przy kontaktach z księdzem wobec np. jakiegoś ciężkiego dramatu w życiu, wobec nieszczęścia, wobec cierpienia, wobec śmierci kogoś bliskiego — ktoś przychodzi, żali się, odczuwa to jako stratę, odczuwa to jako ból, a następnie szuka pociechy. Pociecha jest czymś ważnym, ale nie jest samym szczytem chrześcijaństwa.

Zmiana stron kasety

... pocieszanie ile wlewanie nadziei. Nadziei, która wychodzi poza ramy doczesnego życia, poza ograniczenia doczesności. Piotr powiedział Jezusowi: Opuściliśmy wszystko, co otrzymamy? Jezus odpowiada: Opuściliście wszystko, ale nikt, kto dla Mnie opuści choćby swoich najbliższych, nie pozostanie bez nagrody. Z tym, że ta nagroda jest owocem nadziei. A nadzieja jest związana z uwierzeniem Bogu w to, że śmierć jest tylko bramą, poza którą człowiek spotyka Boga i wtedy dopiero widzi pożytki z tego, czego dokonał za życia. Zauważmy, że tutaj dotykamy tego, co w naszej chrześcijańskiej wierze jest naprawdę najtrudniejsze. Bo zaczynamy pytać o sens naszego życia, a także dotykamy tej prawdy o życiu, które nas czeka później, którego kształtu nie znamy ale jesteśmy pewni, że ono jest.
I oto przypowieść, do której wreszcie dochodzimy. Jezus powiada tak:

> Wielu zaś pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi.

Jeszcze raz Jezus odwraca zwyczajne kategorie myślenia. Mianowicie jeżeli komuś się wydaje, że skoro przez całe życie był dobry, to dlatego ma szczególne prawo do posiadania Boga i do Jego nagrody, to Jezus powiada, że istnieje bardzo cienka granica, ale ma niezwykle dalekosiężne skutki, pomiędzy sprawiedliwością a hojnością. Bóg jest sprawiedliwy — to jest jedno. Za złe karze, za dobre wynagradza. Ale Bóg jest również hojny. Nam ludziom bardzo łatwo przychodzi godzić się ze sprawiedliwością Bożą. Bo pojęcie sprawiedliwości uważamy po prostu za zrozumiałe samo przez się, natomiast trudno nam przychodzi przyjąć Bożą hojność. Jeżeli komuś wydaje się to dziwne, to posłuchajmy teraz przypowieści Jezusowej, która pokazuje jak bardzo trudno jest przyjąć hojność, która wykracza poza sprawiedliwość a nawet – można by powiedzieć – tę sprawiedliwość znosi.

> Albowiem królestwo niebieskie podobne jest do gospodarza, który wyszedł wczesnym rankiem, aby nająć robotników do swojej winnicy.

Otóż zbieranie winogron w Ziemi Świętej odbywa się zazwyczaj w sierpniu. Ma do siebie to, że trzeba zbierać winogrona dość szybko. Nagle przychodzi czas, mniej więcej tydzień - dwa, w ciągu którego te winogrona powinny być zebrane. I każdy gospodarz troszczy się o to, aby nie przegapić tego okresu i winogrona zebrać. Zatem gospodarz tej winnicy wychodzi wczesnym rankiem, aby wynająć najemników, robotników do winnicy. Wczesnym rankiem – tzn. skoro tylko robi się widno, gdzieś koło godz. 6-ej rano. Ten zwyczaj jest po dzień dzisiejszy w Ziemi Świętej i w krajach Bliskiego Wschodu. Kto z państwa był w Egipcie, albo w Izraelu, albo w Jordanii, czy nawet w innych rejonach, choćby w Turcji, to mógł zobaczyć zwłaszcza rano, kiedy tam się podróżuje, mnóstwo młodych mężczyzn, którzy czekają przy drodze albo czekają na placu — czekają, aż ich ktoś wynajmie.

> Umówił się z robotnikami o denara za dzień i posłał ich do winnicy.

Denar to była mniej więcej dniówka. Jeżeli byśmy szukali jakiegoś materialnego przeliczenia, to jakaś równowartość współczesnego dolara. Oczywiście w naszej dzisiejszej sytuacji społeczno - gospodarczej to nie jest dużo. Ale pamiętamy, gdyby ktoś jakieś dwadzieścia lat temu płacił w Polsce dolara dziennie, to byłby to zupełnie godziwy zarobek. Tam denar był godziwym zarobkiem. Umówiono się zatem, że ci pracujący otrzymają denara. Z tego denara można było spokojnie żyć, spokojnie się utrzymać. Wiemy już, co dalej jest w tej przypowieści, bo tyle razy ją słyszeliśmy. Ale spróbujmy przyjrzeć się niektórym szczegółom.

> Gdy wyszedł około trzeciej godziny dnia, zobaczył innych, stojących na rynku bezczynnie,

Trzecia godzina dnia to jest ok. naszej 9-ej. Zwróćmy uwagę, że zapewne zastanowiło go to, że ci ludzie stoją. I mamy tutaj to podkreślenie, że „stali bezczynnie". A jemu chodziło przecież o to, żeby te owoce, te winogrona zebrać. Nie potrafimy powiedzieć, czy kierował się swoim własnym dobrem, czy kierował się przede wszystkim dobrem tych robotników. Otóż dobrze wiemy, że ten gospodarz to jest obraz Boga samego. Bóg kieruje się wobec nas sprawiedliwością i potrzebuje nas

do pracy – jeżeli tak można powiedzieć – w swojej winnicy. To jest chyba największa zagadka Pana Boga. Dlaczego Bóg potrzebuje człowieka? Dlaczego w ogóle Bóg stworzył człowieka? Myślę, że rzadko się nad tym zastanawiamy — noże to i lepiej — bo to jest jedno z najtrudniejszych pytań, jakie człowiek może postawić w swoim życiu. Właściwie po co Panu Bogu potrzebny jest człowiek? Po co Bóg stworzył człowieka gdzieś tam w prapoczątkach i po co Bogu w ludzkich pokoleniach te tysiące i miliony i miliardy ludzi, z których jedni są podobni do drugich ale — jeżeli wrócimy do Biblii — wśród których są i tacy, którym do Bożego podobieństwa i obrazu jest bardzo daleko? Na to pytanie „Dlaczego Bóg stworzył człowieka" nie będziemy dzisiaj odpowiadać. Nie ulega wątpliwości, że go potrzebuje:

> rzekł do nich: „Idźcie i wy do mojej winnicy, a co będzie słuszne, dam wam".

Zwróćmy uwagę, że tutaj nie obiecuje im denara. Obiecuje im „co będzie słuszne". Zatem wydaje się, że ten gospodarz będzie im się przyglądał, jak oni pracują. Poszli później, ale być może dlatego, że byli bezczynni, ta bezczynność ich znużyła, i ich praca była bardziej wydajna.

Tak dochodzimy do prawdy o ludzkim życiu. Mianowicie są ludzie, którzy od małego są dobrzy. Ale w tej dobroci są – jeżeli tak można powiedzieć — stali, tzn. równo są dobrzy. Są inni, którzy zaczynają być dobrzy jakby trochę później. Ale z chwilą, kiedy już zaczynają, to wkładają w to całe swoje serce, to widać różnicę pomiędzy poprzednim życiem a obecnym. To jest przypowieść, to są wszystko obrazy. Ale te obrazy odkrywają nam coś z prawdy o każdym człowieku.

> Oni poszli. Wyszedłszy ponownie około godziny szóstej i dziewiątej, tak samo uczynił.

Szósta godzina dnia to nasze południe. Dziewiąta godzina dnia to nasza 3-a po południu. Zwróćmy uwagę: jedni pracowali od samego rana, drudzy od dziewiątej rano, inni od południa, a jeszcze inni zaczęli pracować po południu. Wiemy dobrze, że sprawiedliwość nakazywałaby, aby tych pierwszych wynagrodzić inaczej, niż tych ostatnich. Tak jest normalnie w stosunkach pomiędzy ludźmi.

> Gdy wyszedł około jedenastej godziny dnia, spotkał innych stojących i zapytał ich: „Czemu tu stoicie cały dzień bezczynnie?"

Ta jedenasta godzina dnia to jest nasza 5-a po południu. A mniej więcej o 6 - 7 robi się w Ziemi Świętej ciemno. Gospodarz pyta: Dlaczego cały dzień stoicie bezczynnie? A pozostała jeszcze tylko godzina albo dwie godziny do pracy. Ale to jest obraz ludzkiego życia. Bywa tak, że ktoś zmarnował całe życie. I kiedy jest starszy i zupełnie stary, zaczyna ktoś inny uświadamiać mu, że przecież jest jeszcze szansa zacząć inaczej. Dlaczego nic nie robisz? Zacznij myśleć, pracować, żyć inaczej. Proszę zwrócić uwagę, że nie wolno przekreślać żadnego człowieka. Powiedzieliśmy na początku że są tacy, którym dobre życie przychodzi łatwo i bez wysiłku. Są inni, którym dobre życie przychodzi bardzo trudno. I być może cała umiejętność chrześcijańskiego życia polega na tym, żeby i tym innym ukazać perspektywę i możliwość zmiany. Nawet tym robotnikom ostatniej godziny:

> „Idźcie i wy do winnicy!"

A oni mu przedtem odpowiedzieli:

> „Bo nas nikt nie najął".

Otóż w tym „Bo nas nikt nie najął" jest jakaś głęboka rozpacz. Ja myślę, że w części ludzi, których oceniamy jako złych, leniwych i gnuśnych, jest też takie poczucie, że zmarnowali swoje dotychczasowe życie, bo nikt im nie ukazał perspektywy nowej. Bo nikt się nimi nie zainteresował, bo nikt nie dał im szansy, bo nikt ich nie potrzebował. Jeżeli tak, to ci robotnicy ostatniej godziny to jest obraz takich, którzy jakoś w życiu przeszli niedocenieni, niedowartościowani, niekochani i zapewne pozbawieni tych dobrych możliwości, jakie mieli inni. Sama umiejętność dobrego życia polega również na tym, żeby takich ludzi zauważać, żeby przychodzić im z pomocą, żeby powiedzieć i im — tak jak Jezus — idźcie i wy do mojej winnicy!

> A gdy nadszedł wieczór, rzekł właściciel winnicy do swego rządcy: „Zwołaj robotników i wypłać im należność, począwszy od ostatnich aż do pierwszych!"

Nikt nie mówił tak odważnie, jak Jezus Chrystus. Nikt nie napisał, nie pozostawił po sobie tak odważnej przypowieści, jak ta. Popatrzmy — Jezus postawił wszystko do góry nogami. Nie tylko, że zatrudnił tych ostatnich na krótko przed wieczorem, ale jeszcze od nich rozpoczyna wypłatę. Zauważmy, że pokonanie bariery sprawiedliwości jest zawsze szokujące. Jeżeli człowiek chce być hojny, na pewno narazi się na krytykę. Jeżeli człowiek chce być hojny, musi odstąpić od tego, co jest normalnością. Powiedzieliśmy na początku, że nasza etyka to jest etyka naśladowania Pana Boga. Tzn. jeżeli Bóg jest hojny i to w taki sposób, o jakim tutaj czytamy w tej przypowieści, to każdy z nas musi tę hojność wziąć na poważnie. I poważnie ją rozważyć — nawet, jeżeli to nas szokuje.

> Przyszli najęci około jedenastej godziny i otrzymali po denarze. Gdy więc przyszli pierwsi, myśleli, że więcej dostaną; lecz i oni otrzymali po denarze. Wziąwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: „Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzy znosiliśmy ciężar dnia i spiekoty".

Kiedy Jezus mówił swoim uczniom tę przypowieść — podkreślam to cały czas — zmierzał do Jerozolimy. Jest to ostatnia przypowieść Jezusa. Jezus chce swoim uczniom powiedzieć mniej więcej to. Oto jesteście ze mną trzy lata. Przeżyliście bardzo dużo. Byliśmy razem sponiewierani, wyszydzeni, wykpieni. Byliśmy wiele razy w opałach. Chodziliście ze mną w spiekocie dnia, w ciemnościach nocy. Oto teraz idziemy do Jerozolimy. Oto teraz mój los ma się dopełnić. Przyjdą inni, którzy uwierzą we Mnie tak, jak wy uwierzyliście. I ci inni, którzy się nie natrudzili, którzy uwierzą – jeżeli tak można powiedzieć – bez wysiłku, otrzymają taką samą nagrodę jak wy, którzy byliście ze Mną cały czas.

Uczniowie przeżyli ten dylemat jeszcze raz później, po zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Pamiętajmy, że oni wszyscy byli Żydami. Oni wszyscy mieli za sobą Stary Testament. Oni wszyscy mieli za sobą wiele pokoleń życia według Bożych przykazań. I oto po zmartwychwstaniu zaczęli widzieć, jak do Kościoła napływają poganie. I zadawali sobie pytanie: Skoro ci poganie wchodzą do Kościoła teraz i mają tę samą nagrodę, jaką miał biblijny Izrael, który przez pokolenia wyznawał Pana Boga — to czy warto było wyznawać Boga i posuwać się aż do męczeństwa, skoro ci nowonawróceni otrzymują dokładnie to samo?

Popatrzmy — w tej przypowieści nie chodzi o pieniądze. W tej przypowieści Jezusa chodzi o sens pracy nad sobą, zwłaszcza ze strony tych, którzy stają się świadkami nawrócenia innych, którzy w życiu swoim wcale nie byli tacy dobrzy, ale stają się robotnikami ostatniej godziny. Czyli przynajmniej koniec swojego życia zmieniają. Zauważmy więc, że ta przypowieść ma wiele warstw. Wskazuje z jednej strony na losy Izraela i losy pogan, którzy stają się chrześcijanami. A z drugiej strony na losy ludzi dobrych od dawna i losy tych dobrych, którzy stawają się dobrzy przez nawrócenie. Kilka razy mówiliśmy w naszych konferencjach, że istnieją dwa sposoby dochodzenia do Boga. Jedna droga to jest droga niewinności. Druga droga to jest droga nawrócenia. I czasami ci, którzy żyją niewinnie, mają pretensje do Boga, że wybacza innym, daje im szansę nawrócenia. I mają jakby pretensje do samych siebie, że może i oni powinni byli spróbować innego życia. To przeciwko takim pokusom ta przypowieść stanowi ostrzeżenie. Posłuchajmy jej zakończenia:

> Wziąwszy go, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: „Ci ostatni jedną godzinę pracowali, a zrównałeś ich z nami, którzyśmy znosili ciężar dnia i spiekoty".

Czy ich myślenie jest słuszne? Można powiedzieć: wedle sprawiedliwości — tak! Ale czy mają prawo szemrać przeciw gospodarzowi? Według tej samej sprawiedliwości – nie! Umówili się o denara i denara otrzymali! Gospodarz ich nie oszukał. Do kogo mogą mieć pretensję? Do tych, którzy przyszli później? Do samych siebie? Oni obracają to przeciwko gospodarzowi. Czasami jest tak, że będąc hojnym, będąc dobrym, można doświadczyć oburzenia i zazdrości ze strony innych. Ci, którzy są prawdziwie hojni, często doświadczają niewdzięczności. I zapewne na tym też polega jeden z paradoksów — że dając innym nie możemy szukać samozadowolenia. Nawet w rodzinie —

jeżeli damy dzieciom czy najbliższym, to może się okazać, że skutek będzie taki, iż powiedzą nam, że daliśmy za mało, że mogliśmy dać więcej. A jeżeli damy komuś, komu według sprawiedliwości się nie należy, to wtedy niezależnie od tego, jak obdzielimy, będzie to okazją do czynienia nam zarzutu. Otóż jeżeli ktoś chce być hojny, musi liczyć się z niewygodami, a nawet — jak powiedziałem — z niewdzięcznością.

> Na to odrzekł jednemu z nich: „Przyjacielu, nie czynię ci krzywdy; czyż nie o denara umówiłeś się ze mną? Weź, co twoje i idź! Chcę też i temu ostatniemu dać tak samo jak tobie. Czy nie wolno mi uczynić ze swoim, co chcę? Czy na to złym okiem patrzysz, że ja jestem dobry?" Tak ostatni będą pierwszymi, a pierwsi ostatnimi».

Jest to bardzo głęboka i bardzo mądra przypowieść. Tylko byłoby błędem, gdybyśmy nie odnosili jej bezpośrednio do siebie. Tzn. gdybyśmy nie zobaczyli, nie przekonali się, że ona ma coś ważnego do powiedzenia o nas samych. A chce nam powiedzieć to mniej więcej. Jesteście ludźmi dobrymi. Ale musicie pogodzić się z tym, że równą nagrodę otrzymają ci, których życie dalekie jest od ideału. Że równą nagrodę otrzymają ci, którzy żyją inaczej. Nie można złym okiem patrzeć na to, że ktoś jest dobry. Nie można złym okiem patrzeć na to, że Bóg jest dobry.

Tak dochodzimy do konkluzji, do pointy dzisiejszego spotkania. Myślę, że wszyscy tę pointę zaczynamy jakby lepiej rozumieć. Mianowicie istnieje napięcie miedzy sprawiedliwością a miłością. Otóż sprawiedliwość jest pewnym minimum. I tam, gdzie to minimum jest zachowywane, człowiek na nie się godzi. Ale miłość i hojność są pewnym maksimum. Otóż miłość i hojność zakładają przezwyciężenie, a nawet przełamanie sprawiedliwości i pokonanie jej. Tak może być w rodzinie, kiedy matka i ojciec obdarowują dzieci sprawiedliwie, bo chcą uniknąć waśni. Bo wiemy, że gdyby wobec jednego czy jednej z nich wykazali hojność, mogłoby to wzbudzić kłótnie. Ale z Bogiem jest nieco inaczej. Ponieważ Bóg jest samą miłością, zatem hojność bierze u Niego górę nad sprawiedliwością. I dlatego musimy pogodzić się z tym, że równą nagrodę u Pana Boga otrzymają robotnicy ostatniej godziny. Nie wolno nam się zatem gorszyć dobrocią Pana Boga. Gdyby był sprawiedliwy, to byłoby zbyt mało. Po tej przypowieści czytamy znamienne słowa:

> Mając udać się do Jerozolimy, Jezus wziął osobno Dwunastu i w drodze rzekł do nich: «Oto idziemy do Jerozolimy: tam Syn Człowieczy zostanie wydany arcykapłanom i uczonym w Piśmie. Oni skażą Go na śmierć i wydadzą Go poganom na wyszydzenie, ubiczowanie i ukrzyżowanie; a trzeciego dnia zmartwychwstanie».

To były ostatnie pouczenia Jezusa w drodze przed Jerozolimą, przed pojmaniem, przed aresztowaniem, przed męką i przed śmiercią. Jako ostatnie pouczenie Jezus wybrał właśnie to: hojność jest ważniejsza niż sprawiedliwość. Jeżeli tak, to zastosowanie tego w życiu narazi nas na dyskomfort, narazi nas na kłopoty. Ale dobrze, że tak jest, bo z tej samej hojności możemy również i my korzystać — zwłaszcza, gdy jej źródłem jest Pan Bóg.

Dzisiaj dziękuję bardzo serdecznie za uwagę. Na następną konferencję zapraszam w trzeci poniedziałek lutego, czyli 15 II.

1.5 Przypowieść o siewcy — czy *o ziarnie*? (15 lutego 1999)

Te 4 - 5 tygodni, które nas dzielą od poprzedniego spotkania, to dość długi czas, żeby się odzwyczaić nieco od tych rozważań. Ale tym bardziej cieszę się, że są państwo znowu obecni i że będziemy mogli dzisiaj zastanowić się nad kolejną Jezusową przypowieścią. Jednocześnie będziemy mogli zastanowić się, co z tej przypowieści dla nas i dla naszego życia wynika. Podkreślamy bowiem sobie na każdym kroku, przy każdej konferencji, że Jezusowe przypowieści mają wartość ponadczasową, ponadhistoryczną i chociaż opowiedziane przez Jezusa prawie 2000 lat temu i w innych realiach geograficznych, historycznych, społecznych, obyczajowych, to mimo to wciąż mają coś do powiedzenia, bardzo ważnego, człowiekowi każdej epoki, a więc także i naszej epoki. Niektóre z tych przypowieści są tak proste, że wydawać by nam się mogło, że rozumiemy je zaraz po przeczytaniu, albo nawet czytając je. Kiedy indziej – tak jak dzisiaj – weźmiemy taką przypowieść pod uwagę, która wydaje się, że czytając rozumiemy wszystko ale zaraz po przeczytaniu natrafiamy na trudności, jakie mieli uczniowie z jej zrozumieniem, a następnie na wyjaśnienie, które podaje Jezus. Jeżeli uczniowie nie mogli tej przypowieści zrozumieć, to znaczy że zawiera ona w sobie jakieś takie szczegóły, które być może wtedy było trudniej zrozumieć, niż dzisiaj. I my, ubogaceni dwoma tysiącami lat historii Kościoła, być może mamy łatwiejszy przystęp do tych przypowieści.

Dzisiaj zajmiemy się zatem przypowieścią o siewcy. To jest przypowieść bardzo prosta, chociaż i na tym poziomie nawet dotyczącym realiów mamy w tej sprawie rzeczy, które nie zawsze rozumiemy jeżeli mieszkamy, żyjemy w innym klimacie niż ten przypowieściowy palestyński. Dlatego trzeba nam się będzie zastanowić zarówno nad realiami, które są u podstaw tej przypowieści, jak następnie zastanowić się nad objaśnieniem tych słów, które podał sam Zbawiciel. Przypowieść jest zapisana we wszystkich trzech Ewangeliach, które noszą nazwę synoptycznych. Ta nazwa wzięła się stąd, że te trzy Ewangelie dają się ze sobą porównywać, zestawiać. Jest to Ewangelia św. Mateusza, Ewangelia św. Marka i Ewangelia św. Łukasza. Można je czytać razem, można je zestawić w takich trzech kolumnach, i jak nazwali to Grecy to sprawia, że są one *synoptikos* tzn. można je razem współoglądać, razem zestawiać. Jednak chociaż ta przypowieść została zapisana we wszystkich trzech Ewangeliach synoptycznych, to każdy ewangelista zapisał ją nieco inaczej. My ją przeczytamy w tym brzmieniu, w jakim przechowała się w pierwszej Ewangelii kanonicznej, mianowicie w Ewangelii św. Mateusza. Wydaje się, że zapisana przez św. Mateusza w 13 rozdziale jego Ewangelii jest najbliższa tym słowom, które Jezus wypowiedział. A najbliższa dlatego ponieważ – jak dobrze pamiętamy – Mateusz pisał swoją Ewangelię przede wszystkim dla chrześcijan pochodzenia żydowskiego. Pisał tę Ewangelię na terenie Palestyny. Szanował to wszystko, co w Palestynie wówczas było, wszystkie realia Palestyny. I w jego brzmieniu – chociaż ta Ewangelia zachowała się w języku greckim – to w tym brzmieniu zapisanym w Ewangelii św. Mateusza mamy ten semicki, żydowski sposób myślenia. Pozostali ewangeliści zapisali tę przypowieść nieco inaczej. I to jest zrozumiałe, bo przecież słowa Jezusa zostały utrwalone w Ewangeliach tak, jak zostały zapamiętane. Zwróćmy uwagę, że nasza chrześcijańska tożsamość opiera się na tej pamięci. Nie zostało po Jezusie żadne pismo. Nie mamy żadnego tekstu, który wyszedłby spod ręki samego Zbawiciela. Wszystko, co o Nim wiemy, a także Jego nauczanie znamy od tych, którzy Go osobiście znali, a następnie uwierzyli w Niego po Jego męce i po Jego śmierci, i zostawili nam pisma w których utrwalali swoją pamięć.

To słowo „pamięć" jest bardzo ważne. Bo różne osoby i wydarzenia żyją tylko wtedy, jeżeli zostaną zapamiętane. Ta pamięć jest fundamentem historii. Z tej pamięci rodzi się wszystko. I również przypowieści Jezusa są owocem pamięci, tej pamięci jego uczniów. Przyjrzyjmy się tej przypowieści. Wydaje się, że ona jest prosta, że nie mamy z nią żadnych kłopotów. Ale myślę, że kiedy będziemy ją czytać nie tylko zdanie po zdaniu, ale prawie słowo po słowie, zobaczymy, że jest tam znacznie więcej niż to, co możemy w niej zobaczyć za pierwszym razem czy przy pierwszym rzucie oka. Czytamy tak:

> Owego dnia Jezus wyszedł z domu i usiadł nad jeziorem.

I już to wprowadzenie jest bardzo ważne. Otóż Jezus mieszkał wtedy w Kafarnaum w domu, który należał do rodziny Piotra, do rodziny św. Piotra i św. Andrzeja — obaj byli braćmi. Ale wydaje się, że ten dom należał raczej do teściowej Piotra, bo Piotr, powołany przez Jezusa, był

mężczyzną żonatym. My tak na dobrą sprawę nie wiemy, co się stało z jego żoną. Już w Ewangelii o jego żonie nie ma najmniejszej wzmianki. Natomiast są wzmianki o jego teściowej. Dziwna to trochę sprawa, bo mówiąc nieco przekornie nigdy chyba specjalnie za teściowymi nie przepadano — inna rzecz czy słusznie czy niesłusznie. Natomiast w Ewangelii o żonie – nic, natomiast o teściowej – więcej. Tradycja starochrześcijańska powiada, że najprawdopodobniej Piotr bardzo wcześnie owdowiał. I w związku z tym był wprawdzie żonaty, ale był wdowcem. Taka sytuacja w starożytności wcale nie była rzadka. I stąd jego związek z matką swojej żony, i stąd jego częsta bytność w tym domu w Kafarnaum.

Wiemy, że Jezus to miejsce bardzo sobie upodobał. Są wśród państwa osoby, które były w Kafarnaum i doskonale wiedzą, że jest to miasto położone nad samym Jeziorem Galilejskim, dosłownie dochodzi do samego jeziora. A dom, w którym zatrzymywał się Zbawiciel, jest położony jakieś 80 - 100 m od jeziora, a więc bardzo blisko. W związku z tym można było bardzo łatwo wyjść z tego domu – nie był to duży dom – i pójść sobie nad jezioro. I taką sytuację mamy tutaj w Ewangelii, mianowicie Jezus wyszedł z domu i usiadł nad jeziorem.

> Wnet zebrały się koło Niego tłumy tak wielkie, że wszedł do łodzi i usiadł, a cały lud stał na brzegu.

Mamy więc do czynienia z dość osobliwą sytuacją. Jezus nie uczy z lądu, bo tylko ci by słyszeli z brzegu jeziora, którzy znajdowali się najbliżej Jego. Lecz metoda nauczania Zbawiciela polegała na tym, że wsiadał do łodzi, odpływał kilka czy kilkanaście metrów, i wtedy patrząc na tych zgromadzonych na brzegu ich nauczał. Możemy się domyślać że to nauczanie miało miejsce pod wieczór. Pod wieczór, kiedy upał jest znacznie mniejszy, przestaje być tak bardzo dotkliwy. Jak dobrze wiemy pod wieczór głos bardzo dobrze niesie się po wodzie. I w związku z tym ta woda niejako zwielokrotnia siłę oddziaływania tego głosu. I stąd głos Jezusa mógł być bardziej słyszany. Ale z tego wynika jeszcze jedna rzecz. Mianowicie, że Jezus zaczyna nauczać na zasadzie skojarzeń. Ludzie patrzą na Niego, te zgromadzone tłumy — nie potrafimy powiedzieć, ilu tych ludzi było — ale patrzą na Niego, On jest w tej łodzi na jeziorze. Natomiast On widzi przed sobą ludzi, a na horyzoncie daleko widzi pola i galilejskie wzgórza. Bo albo wiemy o tym z własnego doświadczenia, albo być może czytaliśmy o tym w przewodnikach po Ziemi Świętej, że Jezioro Galilejskie położone jest 212 m poniżej poziomu mórz, zatem w depresji. Dookoła tego jeziora, z której strony by nie popatrzeć — z wyjątkiem południowej, gdzie wypływa Jordan — są wszędzie góry. Przy dobrej widoczności z Jeziora Galilejskiego widać jest doskonale górę Hermon, która wznosi się na wysokość prawie 3 km nad poziomem morza. I o każdej porze roku można widzieć na Hermonie śnieg. Wrażenie jest niezwykłe, bo tu mamy jezioro, jest bardzo ciepło, a gdzieś w oddali widzimy śnieg. Bardziej na lewo widać jest góry Libanu, też przez sporą część roku pokryte śniegiem. Dlatego słowo *Liban* pochodzi od hebrajskiego laban tzn. *biały*. Bo kiedy patrzono na tę okolicę, to mniej więcej od grudnia aż do maja ona była biała, bo była pod śniegiem. Ale i na zachód, po lewej stronie, również widać góry, wzgórza i to w perspektywie dobrych kilkunastu a nawet kilkudziesięciu km.

Dlaczego to jest ważne? Bo możemy, przez chwilę zamknąwszy oczy, wyobrazić sobie Zbawiciela na tej łodzi siedzącego i oglądającego przed sobą tłum, i oglądającego kilometry kwadratowe terenu – bardzo dużo zieleni, wzgórza, pola, dalej na horyzoncie góry. I z tego właśnie widoku wyrosła, na tym tle powstała ta przypowieść. Ona nie wzięła się znikąd. Tylko Jezus uczy powołując się na coś, na obraz, który gdzieś tam pojawia się w Jego myśli. Dlatego dodajmy jeszcze jeden szczegół, jak mi się wydaje bardzo ważny. Pamiętajmy, że Pan Jezus wychowywał się w Nazarecie. I przez większą część swojego młodzieńczego i młodego życia tam przebywał. Kiedy miał lat ok. 30 to wiele razy – już później, kiedy powołał Apostołów – z Nazaretu przychodził nad Jezioro Galilejskie. Z Nazaretu nad Jezioro Galilejskie jest mniej więcej 45 - 50 km. Zatem żeby dojść trzeba mieć na to mniej więcej 2 dni. Wychodzi się jednego dnia rano, gdzieś po drodze trzeba przenocować, a na drugi dzień docieramy nad Jezioro Galilejskie. Mało tego. Jeżeli ktoś znał drogi przez pola, takie na skróty, to wtedy odległość z Nazaretu do Kafarnaum robiła się mniejsza i wynosiła ok. 30 km. Zatem idąc na skróty można było wyjść z Nazaretu wcześnie rano i dojść nad Jezioro Galilejskie na wieczór. Trzydzieści kilometrów dla człowieka młodego, silnego — a takim był Jezus, miał trzydzieści czy trzydzieści parę lat — to nie był jakiś ogromny wysiłek.

Do tego zważmy jeszcze jeden szczegół. Kiedy Jezus udawał się z Nazaretu nad Jezioro Galilejskie, to schodził do dołu. Droga była bardzo łatwa, bo Nazaret leży na wysokości mniej więcej 500 m npm, Jezioro Galilejskie 200 m poniżej pm. Zatem tylko na przestrzeni 30 km trzeba zejść 700 m w dół. Oczywiście jak się szło z powrotem do Nazaretu, droga była dużo cięższa. Wtedy w jeden dzień nie można było jej pokonać, bo trzeba było piąć się te 700 m do góry i te 30 - 40 km trzeba było tak samo pokonać, ale już pod górę. W związku z tym możemy się domyślać, że Jezus wielokrotnie przechodził wśród pól, wiele razy widział zboże, wiele razy widział siewców, wiele razy widział żniwa, jak one się odbywają. Dlatego, że ta okolica jest okolicą rolniczą, i tak jest po dzień dzisiejszy. Właśnie Jezus przebywając w Kafarnaum, przebywając nad Jeziorem Galilejskim, zwraca się do swoich uczniów i do zebranych tłumów. Ewangelista napisał tak:

> I mówił im wiele w przypowieściach tymi słowami: «Oto siewca wyszedł siać.

Zwróćmy uwagę na pewien szczegół. Kiedy rozpoczyna się przypowieść, rozpoczyna się od słów: „Oto siewca wyszedł siać" to wydaje nam się, że bohaterem tej przypowieści będzie siewca. Tymczasem zobaczymy, że bohater tej przypowieści, i cały nacisk tej przypowieści jest na czym innym. Siewca jest tu konieczny, bo to on jest autorem tego wszystkiego, co się dzieje. Ale Jezus nie zwraca uwagi na siewcę i stąd będzie kłopot, jaki będą mieli za chwilę Apostołowie. Posłuchajmy dalej.

> A gdy siał, niektóre [ziarna] padły na drogę, nadleciały ptaki i wydziobały je.

Muszą państwo wiedzieć, że ziemia w Palestynie jest bardzo gliniasta, bardzo lepka. Otóż ja po raz pierwszy przekonałem się o tym kiedy przyszła pora deszczowa, na jesieni, kiedy tam byłem 20 lat temu. Przyszły deszcze i okazało się, że ta ziemia staje się tak grząska, że normalnie nie można zejść z ubitej drogi bo w tej glebie dosłownie zostają buty – taka jest lepka. Tak jest gliniasta, że nie sposób tam chodzić. Nawet dzisiaj, jeżeli się tam pojedzie w porze deszczowej, to buty do samego końca a nieraz i nogi są w glinie. W związku z tym ogromne znaczenie spełnia droga. Dobrze, jeżeli ta droga jest ubita, jeżeli ta droga jest utwardzona, np. jeżeli jest to droga kamienna. Rzymianie zadbali o to już w odległej starożytności, żeby drogi na Bliskim Wschodzie były z kamieni, i wskutek tego mogli się łatwiej poruszać o każdej porze roku. Ale częściej jest tak, że nie można tych brukowanych dróg zrobić i w związku z tym chodzi się po jakichś określonych szlakach – ta glina jest bardzo mocno ubita i nawet wtedy, kiedy przychodzi pora deszczowa to nie jest podatna na nasiąkanie. Natomiast w porze suchej – a tutaj mamy do czynienia w wczesną porą suchą – ta ubita droga wygląda tak, jak nasze klepisko, jest po prostu niesłychanie twarda.

I zwróćmy uwagę, że pierwszym elementem tego obrazu jest to, że gdy siewca siał, to ziarno padło na drogę i jego los był taki, że nadleciały ptaki i wydziobały je. Ono po prostu leżało na samym wierzchu. To, że padło na drogę, to nic dziwnego. Siew odbywał się ręcznie, tak jak jeszcze dzisiaj w niektórych okolicach w naszej ojczyźnie. I jeżeli rolnik szedł obok tej drogi czy obok ścieżki udeptanej, to było rzeczą zrozumiałą, że część ziarna padała na drogę.

> Inne padły na miejsca skaliste, gdzie niewiele miały ziemi; i wnet powschodziły, bo gleba nie była głęboka.

Ktokolwiek był w Palestynie wie, że skał tam nie brakuje. Są albo takie okolice, gdzie są same skały np. Pustynia Judzka czy tereny nad Morzem Martwym, i są takie okolice, jak w Galilei gdzie na skale mamy cienką warstwę ziemi, humusu. I od czasu do czasu tam, gdzie skała się wybrzusza, ziemi nie ma deszcze i wiatry ją wypłukały. Oczywiście siewca nie zbiera ziarna, które padło na skałę, i nie przenosi go na ziemię uprawną bo to byłaby tytaniczna robota. Tylko ziarno tam zostaje. I co się z nim dzieje? Ono ma tam troszkę gleby, zatem bardzo szybko wschodzi. Bo Palestyna ma to do siebie, że jeżeli państwo pójdą np. na pustynię i wyleją w jakimś miejscu butelkę wody, to następnego dnia rano będzie już tam coś zielonego. Już jakieś kiełki — nie wiadomo skąd, nie wiadomo gdzie to jest — spalone, spieczone, ale trochę wody natychmiast daje wzrost jakiemuś życiu. Zatem te ziarna

> padły na miejsca skaliste, gdzie niewiele miały ziemi; i wnet powschodziły, bo gleba nie była głęboka. Lecz gdy słońce wzeszło, przypaliły się i uschły, bo nie miały korzenia.

Rzecz jasna, że różnica między temperaturą w dzień i w nocy jest bardzo duża. Nad ranem jest zawsze rosa. Więc to wszystko jest mokre. Jeżeli jest jakiekolwiek ziarno, szybko następuje wzrost. Ale temperatura od godz. 10 - 11 podnosi się bardzo, tak że w samo południe i tuż po nim jeżeli nie ma dostatecznie dobrych warunków, wszystko usycha. I taki był los tego właśnie ziarna. Uschło, bo nie miało korzenia. To jest to drugie ziarno.

> Inne znowu padły między ciernie, a ciernie wybujały i zagłuszyły je.

Ciernie to oczywiście chwasty. I znowu jeżeli ktoś z państwa był w Ziemi Świętej to zobaczył, że poczynając od maja i w czerwcu tam są chwasty tak duże, że mojego wzrostu bądź znacznie wyższe ode mnie, gdzieś 1.80 - 2 m. I oczywiście one są dużo wyższe, niż zboże. I to są głównie osty. One mają bardzo twardą łodygę i ciężko jest je wyrywać, bo bardzo kłują. W związku z tym jeżeli palestyńscy rolnicy nie wyrwą ostów, póki są małe, to już się za nie nie biorą, bo bardzo ciężko jest je wyplenić i można się przy tym nieźle pokaleczyć. Wygląda to przepięknie, jeżeli tych ostów jest bardzo dużo, bo mają one na ogół taki kolor wrzosowy. Wyglądają bardzo pięknie, ale pożyteczne na pewno nie są. Ale jeżeli to się trafi na urodzajnym polu, to żadnego pożytku z tego pola nie ma. Tak mamy i tutaj — ziarno padło pomiędzy te ciernie, pomiędzy te osty, i zagłuszyły to ziarno. Osty wybujały i ziarno nie miało możliwości wzrostu. I wreszcie ostatnia część:

> Inne w końcu ziarna padły na ziemię żyzną i plon wydały, jedno stokrotny, drugie sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!».

Zwróćmy uwagę, że w tej ostatniej części Jezus podkreśla ogromny plon, jaki wydały poszczególne ziarna. Ten plon był zróżnicowany: jedno stokrotny, drugie sześćdziesięciokrotny, a inne trzydziestokrotny. Oczywiście trudno jest wskazać roślinę, która jest stokrotnie płodna. Jezus używa tutaj przesady po to, żeby podkreślić że plony, które przyszły, były bardzo zróżnicowane.

Zatrzymajmy się w tym miejscu i spróbujmy sobie wyobrazić słuchaczy. Wydaje nam się, że wszystko rozumiemy. Że wszystko rozumiemy z tym siewcą, i z tym ziarnem, że możemy się obejrzeć i zobaczyć te pola, te wydeptane dróżki, te skały. Może kiedy się obejrzymy i będzie inna pora roku, to można będzie widzieć żniwa. I wydawać by się mogło, że wszystko jest jasne. Ale z Ewangelii wynika, że było inaczej:

> Przystąpili do Niego uczniowie i zapytali: «Dlaczego w przypowieściach mówisz do nich?»

Proszę zwróćmy uwagę, że Jezus albo przerwał swoje nauczanie, albo zbliżał się wieczór i udał się z powrotem do domu, w którym mieszkał. Przystępują uczniowie i pytają: Dlaczego w przypowieściach? Dlaczego nie mówisz im otwarcie? A Jezus na to:

> On im odpowiedział: «Wam dano poznać tajemnice królestwa niebieskiego, im zaś nie dano.

W ten sposób Jezus uświadamia swoim uczniom ich szczególną rolę. Mianowicie wskazuje im i podkreśla, że z tej bliskości, jaką mają w związku ze Zbawicielem, rodzi się szczególna odpowiedzialność, ale także możliwość zrozumienia czegoś więcej. Zauważmy, że Jezus wskazuje im, że ta zażyła bliskość uczniów z Mistrzem powinna ich zobowiązywać do głębszego zrozumienia tego, o co Mu chodzi. Bo ci ludzie, których spotyka przy każdej okazji, nie mogą mieć tej samej wiedzy, nie dojdą do niej, bo nie mają tej możliwości wytłumaczenia, tej możliwości towarzyszenia Jezusowi. A za chwilę Jezus powiada tak:

> Bo kto ma, temu będzie dodane, i nadmiar mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą nawet to, co ma.

W ten sposób Jezus wskazuje na pewną podstawową niesprawiedliwość, która nie ma charakteru materialnego, jeżeli tak można powiedzieć, ale ma charakter duchowy. Na czym polega ta niesprawiedliwość? Na tym, że uczniowie są głębiej wprowadzeni w tajemnicę Jezusa, natomiast inni ludzie są w tę tajemnicę wprowadzeni znacznie mniej. A dlaczego? Dlatego, że ta tajemnica niesie ze sobą pewną zagadkę. Mianowicie można by to streścić tak. Wszyscy są ciekawi, kim jest Jezus. Ale nie wszyscy są w stanie przyjąć prawdę o tym, kim On jest. I to jest właśnie ten problem, na który Jezus tutaj wskazuje. To coś podobnego — że użyjemy dzisiejszego języka i realiów, które dzisiaj są bardzo rzadkie — jak np. z cudem. Wielu jest ludzi, którzy twierdzą, że dostąpili jakiegoś cudu, albo zobaczyli, albo byli świadkami. Ale kiedy popatrzyć na ich życie, to wcale nie wynika z tego, żeby to, co przeżyli, miało rzeczywisty wpływ na ich życie. I są inni, którzy znacznie rzadziej mówią o tym, że doświadczyli coś cudownego. Ale patrząc na ich życie czujemy, że ocieramy się o tajemnicę. Otóż nie wszyscy myślą i żyją jednakowo głęboko. Są tacy którzy poprzestają na tym, co jest bardzo powierzchowne. I gdyby nawet dać im okazję wielkich przeżyć, to i tak nie sięgną, nie wyjdą ponad to i poza to, na co ich stać.

Do czego zmierza Jezus? Jezus przez całe swoje dorosłe, publiczne życie próbował mówić i najbliższym, i tłumom, kim On jest. Wszyscy czekali na to, żeby powiedział, że jest Mesjaszem, że jest tym Bożym Pomazańcem. Problem jednak polegał na tym, że nie wszyscy wiedzieli i byli gotowi przyjąć to, co to wyznanie, ta deklaracja Jezusa, ze sobą niosły. Posłuchajmy dalej:

> Dlatego mówię do nich w przypowieściach, że otwartymi oczami nie widzą i otwartymi uszami nie słyszą ani nie rozumieją. Tak spełnia się na nich przepowiednia Izajasza:
>
> > Słuchać będziecie, a nie zrozumiecie,
> > patrzeć będziecie, a nie zobaczycie.
> > Bo stwardniało serce tego ludu,
> > ich uszy stępiały i oczy swe zamknęli,
> > żeby oczami nie widzieli ani uszami nie słyszeli,
> > ani swym sercem nie rozumieli: i nie nawrócili się, abym ich uzdrowił.

Tutaj dochodzimy do bardzo trudnej prawdy o człowieku. Jest to prawda o każdym z nas. Są takie zakamarki naszego serca i sumienia, w które nie chcemy dopuścić innych ludzi — nawet, jeżeli są nam bardzo bliscy. Są takie tajemnice

Zmiana stron kasety

... być sobą. Ale z tego wynika jeszcze jedna sprawa. Mianowicie czasami dopuszczamy się w naszym życiu jakichś czynów, których nie chcemy sprawiedliwie i słusznie osądzić. Dlaczego? Bo one nas dotyczą albo dotyczą naszych bliskich. I wtedy nie jesteśmy w stanie obiektywnie i sprawiedliwie spojrzeć na siebie albo spojrzeć na tych, którzy są nam drodzy i których kochamy. Staramy się ich wybielić, i nas samych wybielić za wszelką cenę. Dam państwu jeden przykład z Biblii ale każdy, kto sięgnie do własnego życia, mógłby zapewne takie przykłady mnożyć. Otóż Dawid dopuścił się cudzołóstwa z Batszebą. Kiedy przyszła wiadomość, że spodziewa się dziecka, on ściągnął jej męża i zachęcał, żeby udał się do swojej żony. Plan Dawida był prosty, taki — powiedzmy sobie — męski. Myślał sobie tak: kiedy już Uriasz, mąż Batszeby, odjedzie, ona będzie mogła mu powiedzieć, że spodziewa się dziecka z nim, bo byli razem. Ściągnął Uriasza, powiada: idź do swojej żony. A Uriasz mówi: Nie, nie pójdę. Dlatego, że mój dowódca i moi żołnierze są w polu, oblegają Amman, dzisiaj stolica Jordanii. Dawid wziął — jak mówi się dzisiejszym językiem — na przetrzymanie. Na drugi dzień chciał upić Uriasza. Sądził, że z pijanym łatwiej sobie poradzi i Uriasz do żony wróci. Uriasz się upił, ale Dawid przesadził, bo Uriasz upił się za bardzo i nie był w stanie dalej pójść. Następnego dnia Dawid poprawił się, dał tyle, ile potrzeba, ale Uriasz zachował przytomność i powiada tak samo, jak pierwszego dnia: Nie, ja muszę być lojalny wobec swoich współtowarzyszy broni i wobec dowódcy. I wtedy dopiero Dawid wpadł na szatański pomysł. Mianowicie poleca Uriaszowi wrócić do Ammanu i daje mu list — zaklejony. Nie tak jak dzisiaj, że pewnie można było zobaczyć pod światło, tylko zapieczętowany, w glinianej kopercie. I ten list jest adresowany do jego dowódcy, do Joaba. I w tym liście jest polecenie, aby postawił Uriasza

w najtrudniejszym miejscu walki. Joab polecenie wykonał, Uriasz, mąż Batszeby, zginął. I wtedy Dawid wychodzi na obrońcę wdów i sierot. Mianowicie ściąga Batszebę do siebie, opiekuje się nią, a w oczach całego dworu uchodzi za dobrego króla, dobrego opiekuna, który to zaopiekował się młodą wdowa spodziewającą się dziecka. Dawid uważał, że sytuacja jest załatwiona.

I proszę popatrzeć — gdyby ktoś przyszedł i powiedział mu wprost że to, czego się dopuścił, jest złe, prawdopodobnie przypłaciłby to własnym życiem. I wtedy trzeba było użyć przypowieści. Mianowicie przychodzi prorok Natan i opowiada Dawidowi przypowieść. Że oto był pewien bogacz, który miał mnóstwo owiec, i był człowiek ubogi, który miał jedną małą owieczkę. I ta mała owieczka go grzała. I opiekował się nią i byli razem, i byli bardzo zżyci. Ale oto pewnego dnia do bogacza przyszedł jakiś gość. I bogaczowi nie chciało się wziąć z własnych owiec. Wobec tego posłał, aby zabrano owieczkę biedakowi, a następnie ją zabił, przyrządził i zjedli. I Dawid się wzburzył. Powiada: Jak tak można! Ten człowiek winien jest śmierci! Na to prorok Natan: To ty jesteś tym człowiekiem! I Dawid zrozumiał, że słysząc przypowieść potępił samego siebie.

Otóż taka sama była pedagogia Jezusa. Mianowicie Jezus wiedział, że jeżeli będzie mówił wprost do swoich słuchaczy, to każdy ma w sobie takie mechanizmy, które blokują to, co się mówi. I będzie odnosił to, co się mówi, do tego sąsiada, który stoi obok — mnie to nie dotyczy. Więc Jezus zaczyna mówić w przypowieściach po to, aby umożliwić – jeżeli tak można powiedzieć – obiektywny sąd. Co chce powiedzieć tym ludziom? Chce im wszystkim powiedzieć jak zróżnicowana jest ich odpowiedź na to, czego doświadczają. Jak zróżnicowana jest ich odpowiedź na obecność z Jezusem. Czytamy dalej:

> Ale szczęśliwe oczy wasze, że widzą, i uszy wasze, że słyszą. Bo zaprawdę, powiadam wam: Wielu proroków i sprawiedliwych pragnęło ujrzeć to, na co wy patrzycie, a nie ujrzeli; i usłyszeć to, co wy słyszycie, a nie usłyszeli.

Jezus znów przeprowadza rozróżnienie między tłumami a uczniami. Powiada do uczniów: Wy powinniście rozumieć więcej, bo widzicie i słyszycie więcej. A tamci ludzie rozumieją mniej, bo widzą i słyszą mniej. Zatem z tej większej wiedzy rodzi się większa odpowiedzialność. Od tych, którym więcej dano, więcej wymagać się będzie. Tak Jezus tłumaczy swoim uczniom, że powinni w bardziej sprawny sposób wyciągać wnioski z tego, co przeżywają. I posłuchajmy zakończenia tego epizodu:

> Wy zatem posłuchajcie przypowieści o siewcy!

I tak Jezus zwraca się do swoich uczniów, i sam zaczyna im tę przypowieść wyjaśniać. Dochodzimy do punktu, który nawiązuje do samego początku naszej dzisiejszej konferencji. *To w gruncie rzeczy nie jest przypowieść o siewcy!* Dlatego, że nie mówi się o tym, co siewca czuje, co przeżywa. To jest przypowieść o ziarnie i o losach tego ziarna! Zatem trzeba się zastanowić nie tylko nad tym, kto jest tym siewcą, ale daleko bardziej: *o co chodzi w porównaniu w przypowieści z tym ziarnem?* To jest ta wartość przypowieści. Jezus wyjaśnia:

> Do każdego, kto słucha słowa o królestwie, a nie rozumie go, przychodzi Zły i porywa to, co zasiane jest w jego sercu. Takiego człowieka oznacza ziarno posiane na drodze.

Zatem te ptaki, które to ziarno z drogi wydziobują, to symbol Złego. W Ewangelii ów Zły, pisany z dużej litery, oznacza diabła. Ludzie nie chcą słyszeć o diable — ani w starożytności, ani dzisiaj. Może to i dobrze, bo Ewangelia jest Ewangelią o Bogu, o zbawieniu, o Jezusie Chrystusie, a nie o diable i jego zastępach. Ale — jak to kiedyś powiedział znany nasz filozof Leszek Kołakowski — jednym z największych zwycięstw diabła jest to, że ludzie nie wierzą że on istnieje. I oto mu chodzi! Otóż Jezus nam tutaj przypomina, że istnieje osobowa siła zła, która jest nam przeciwna, która chce naszej szkody, i nie wolno jej lekceważyć. I że czasami w zetknięciu z tym Złym przegrywamy, ponosimy klęskę. Bo nie doceniamy niebezpieczeństw, które się z tym wiążą.

Tutaj chciałbym przez chwilę nawiązać do książki Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei". W tej książce mamy wątek, o którym już kiedyś raz mówiliśmy. Mianowicie sam papież mówi, że w świecie, obok ewangelizacji, istnieje potężna siła antyewangelizacji, która dysponuje ogromnymi

środkami, funduszami, i której możliwości są przeogromne. I dalej papież dodał, że na usługach tej siły pozostają również ludzie nauki, kultury i sztuki, którzy zaszczepiają innym pierwiastki zła. Te słowa Jana Pawła II są niesłychanie mocne, dosadne. Ale jeżeli papież dobre kilka lat temu pisał o owej potężnej antyewangelizacji, to z całą pewnością wiedział i rozumiał dobrze, co robi, i rozumiał dobrze, jakie to ma skutki dla człowieka.

Zatem Jezus wskazuje nam, tym, którzy Go słuchali — uczniom i nam, którzy również jesteśmy Jego uczniami — na niebezpieczeństwo, na zagrożenie jakie wiąże się z owym Złym. Już nie złem, ale Złym, czyli naszym wrogiem. Bo po hebrajsku satan znaczy *przeciwnik*, *wróg człowieka*. Podobnie jak greckie diabolos, które przeszło do łaciny i do języków nowożytnych jako *diabeł*. Zatem na samym początku w tej przypowieści Jezus wskazuje, można by powiedzieć — demaskuje, przeciwnika człowieka i powiada, że wiele z dobra, na które byłoby nas stać, nie dochodzi do skutku dlatego, że zostaje zaprzepaszczone na skutek zwycięstwa owego Złego.

Zauważmy — raz jeszcze to podkreślam — Jezus nie mówi tego do wszystkich ludzi. Dlaczego? Bo ludzie stronią od myśli o szatanie, nie chcą o tym myśleć w swojej masie. Wolą, żeby szatan, żeby diabeł był postacią bajkową, mitologiczną. Wolą, żeby osłabić siłę jego oddziaływania, żeby go przedstawić tak, żeby można było się z niego śmiać. Zatem ma ogon, ma wygląd intrygujący, ma widły, jest czarny, ma kozią skórę, ma oczy wybałuszone. I bardziej się z niego śmiejemy niż się go boimy. Odbywa się w każdym pokoleniu takie oswajanie diabła. I w końcu ta siła owego zła, owego przeciwnika wydaje się być jakby ujarzmiona. Bo jeżeli się czegoś naprawdę boimy — niech państwo sprawdzą to w swoim własnym życiu — to bardzo często nasz strach, nasz lęk przeradza się w kpinę, w czarny żart, w ironię. I wtedy śmiechem albo próbą śmiechu, czy kpiną próbujemy usunąć z własnego życia czy własnej psychiki zagrożenie. I z diabłem jest tak przez całe dzieje chrześcijaństwa, że on jest bez przerwy ośmieszany po to, żeby człowiek przestał się go bać. A z chwilą, kiedy już go rysujemy, to niektóre wyobrażenia czy ich większość są tak zabawne, że więcej mówią o inwencji artystów niż o potężnej mocy, czy zagrożeniach, które pochodzą od zła. To jest ta pierwsza grupa. Druga:

> Posiane na miejsce skaliste oznacza tego, kto słucha słowa i natychmiast z radością je przyjmuje; ale nie ma w sobie korzenia, lecz jest niestały. Gdy przyjdzie ucisk lub prześladowanie z powodu słowa, zaraz się załamuje.

Mamy tutaj zatem postawę, którą moglibyśmy określić naszą polską nazwą słomianego ognia. Ktoś się zapala, przyjmuje coś z entuzjazmem, a następnie zapomina o tym, odchodzi od tego. A zwłaszcza zaprzepaszcza pamięć o tym, czego doświadczył, kiedy przychodzą jakieś trudności. Użyjmy tutaj najbardziej znaczącego przykładu. Proszę wyobrazić sobie taką sytuację. Przychodzi do nas żebrak, i chce chleba. Więc mu dajemy. I na piwo — dajemy. I spodziewamy się od niego wdzięczności. Przychodzi na drugi dzień, i chce znowu chleba. Dziwi się, że tego dnia nie dostał na piwo. Więc zaczyna się robić niespokojny i oburzony. Przychodzi kolejny dzień. Znów dajemy mu chleb. I możemy go karmić przez dwa tygodnie, aż pewnego dnia – niech to nawet będzie po pół roku – przychodzi, a my mówimy: Słuchaj, mógłbyś się wziąć za jakąś robotę! Zrób cokolwiek — dzisiaj ci nic nie dam. Czy cały ten czas, kiedy go karmiliśmy, obudzi jego wdzięczność? Czy raczej rozbudzi jego irytację? Otóż właśnie te potrzeby materialne mają to do siebie, że liczy się zawsze ostatnie wrażenie. A jeżeli ktoś się wczoraj więcej najadł, to skutek tego jest tylko taki, że dzisiaj jest bardziej głodny bo ma większy żołądek. Z tego nie wynika, że nie możemy czynić dobrze. Z tego wynika jedno: *Nigdy nie liczmy na wdzięczność, zwłaszcza tam, gdzie coś dajemy materialnego.* Bo musielibyśmy tak rozłożyć wszystko, żeby nam starczyło do końca życia. Ten dramat często przeżywają rodzice którzy spodziewają się, że jeżeli dali dzieciom jakieś dobra materialne, to mogą liczyć na ich wdzięczność. I pierwsza reakcja, to reakcja wdzięczności. Ale po jakimś czasie przychodzi pytanie: Czy tata z mamą mają coś jeszcze? I jak się okaże, że nie, albo że nie daj Boże mają, ale nie mogą czy nie chcą w tej chwili dać, to wszystko to, co było przedtem, staje się tytułem do swarów, do kłótni.

Otóż podobne mechanizmy działają przy owej niestałości. Ktoś się zapala, podejmuje dobre postanowienia, ale po tym wszystkim nic nie następuje. Taki jest człowiek, każdy z nas jest taki.

Trzecia postawa:

> Posiane między ciernie oznacza tego, kto słucha słowa, lecz troski doczesne i ułuda bogactwa zagłuszają słowo, tak że zostaje bezowocne.

To też jest święta prawda. Mnóstwo ludzi, a dotyczy to również i nas, ma mnóstwo dobrych chęci. Można wysłuchać pięknych słów np. o potrzebie wstrzemięźliwości, pomagania innym, dzielenia się. Ale kiedy człowiek patrzy na to, co ma, albo patrzy na to, co zgromadził, zaczyna się wahać. Ktoś, kto zrobił postanowienie, że przeznaczy ileś tam na coś, z chwilą, kiedy przychodzi do dania, zaczyna sobie opuszczać poprzeczkę. A jeszcze gorzej jest z prawdziwie bogatymi. Proszę pamiętać, że dzieła charytatywne, że wielkie rzeczy w Kościele i wielkie rzeczy w życiu społecznym wspomagają nie najbogatsi, tylko biedni i średnio zamożni. Bogatym przychodzi bardzo trudno dzielić się z innymi. Bo oni są jak ci, o których mówi tutaj Jezus. Mianowicie troski doczesne i ułuda bogactwa zagłuszają słowo, tak że zostaje bezowocne. Bogactwo bowiem jest ułudą. Dlaczego? Można być bogatym, i żyć jak żebrak. I można być biednym, i żyć jak prawdziwy bogacz w wielkim tego słowa znaczeniu. Otóż bogactwo i bieda zależą nie tylko od tego, co mamy w banku czy obok siebie, tylko bardziej od tego, co mamy w sobie. W związku z tym nie można potępiać każdego bogatego ani też apoteozować, wychwalać każdego biednego. Bo bieda wcale nie jest ideałem, ale trzeba się liczyć z tym, że bogactwo czy też doczesne sprawy mogą człowieka odrywać od tego, co naprawdę wielkie. I wreszcie:

> Posiane w końcu na ziemię żyzną oznacza tego, kto słucha słowa i rozumie je. On też wydaje plon: jeden stokrotny, drugi sześćdziesięciokrotny, inny trzydziestokrotny».

Zauważmy raz jeszcze to zróżnicowanie. Plon jest różny, bo każdy z nas jest inny. Są tacy, którzy przyjmują owo Słowo Boże i owoc, który wydaje ich życie, jest przeogromny. Weźmy dzisiaj, w przeddzień 16 lutego, przykład Jana Pawła II. Zwróćmy uwagę – wiele razy o tym mówię, bo to jest naprawdę zastanawiające – przecież to człowiek, jak każdy z nas. Urodzony na naszej ziemi, wychowany w Wadowicach, wychowany w rodzinie średnio zamożnej. Wychowany bez matki. Mężczyzna, który przeżył śmierć swojego brata, wcześnie osierocił go ojciec. Przeżył okupację, pracował w kamieniołomach, w fabryce sody. Skończył tajne komplety, potem pojechał na krótkie studia. Później był zwyczajnym księdzem. Droga, jak wielu innych młodych chłopców w jego wieku, a potem jak wielu księży, jak wielu biskupów. A następnie Pan Bóg go prowadzi dalej. Nie on sam — to jest jeden wielki cud — tylko Pan Bóg go prowadzi dalej. I zauważmy, że ten 78-letni schorowany starszy człowiek jest na ustach, na widoku całego świata przez sposób, w jaki żyje. Czyż nie można powiedzieć, że posiew wiary wydał w jego życiu „plon stokrotny”? Z pewnością zrobił tyle, ile czyni 100 czy 1000 innych osób, które równie głęboko wierzą. Czasami mamy posiew mniejszy, czasami jeszcze mniejszy. Być może do tego najmniejszego należymy my wszyscy. Ale się liczy to, że ten posiew jest.

W tym miejscu Jezus kończy tę przypowieść i my też kończymy. O czym jest ta przypowieść? Czy o siewcy? Nie ma mowy o tym, czy on był zadowolony, czy nie. był Nie ma mowy o tym, czy on się napracował, czy nie. Mowa jest o tym, jaki był los ziarna. I mowa jest o tym, że te cztery odmiany gleby, skały, drogi są przyrównane do różnych typów ludzi, którzy szerzej bądź bardziej wąsko, albo wcale nie, otwierają się na Słowo Boże. Zauważmy, że jest to przypowieść o każdym z nas. W związku z tym ta przypowieść wymagałaby pewnego dopełnienia. A polegałoby ono na tym, żeby wziąć ten tekst do ręki — 13 rozdział Ewangelii św. Mateusza — przeczytać go sobie i przemyśleć, ale tak szczerze — po to jest przypowieść, więc powinniśmy sobie pozwolić na szczerość – która z tych postaw jest najczęstsza w moim życiu. Myślę że ostatecznie bilans nie będzie bardzo zły. Zapewne nie jesteśmy ową skała, ani cierniami. Zapewne jesteśmy gdzieś tam w tej czwartej kategorii — Bogu dzięki, że tak jest. Ale ta przypowieść uczy nas bardzo wiele o człowieku, chociaż mówi o ziarnach i warunkach, w jakich ono wzrasta.

Dzisiaj dziękuję bardzo serdecznie za uwagę. Następne nasze spotkanie będzie od dziś za cztery tygodnie, zatem nie w 2-gi poniedziałek marca. Bo 2-gi poniedziałek marca to będzie 8 marca — Dzień Pań. Zatem zapraszam na 15 marca, będziemy rozważać dalsze przypowieści.

1.6 Przypowieści o odrzuceniu Jezusa (15 marca 1999)

. . . na ten taki czas, kiedy człowiek w szczególniejszy sposób szuka Pana Boga, zastanawia się nad sobą, odbywają się doroczne wielkopostne rekolekcje w rozmaitych miejscach, wszędzie, w każdej parafii. Myślę zatem, że sposobności do tego, aby zastanowić się nad sobą, jest dużo więcej. Dzisiaj wracamy do przypowieści Jezusa. Podejmiemy przypowieści, które łączą się z Wielkim Postem i które łączą się z Wielkanocą, nawiązują bowiem do tego, co w życiu i losie Jezusa było najważniejsze — mianowicie do *Jego odrzucenia.*

Myślę, że zawsze wraca tak jak bumerang pytanie, dlaczego Jezus został odrzucony. I to odrzucony przez swój naród, i przez tych, którzy tak bardzo długo oczekiwali spełnienia obietnic Bożych. Tę świadomość odrzucenia widać jest również w nauczaniu Zbawiciela, widać jest także w jego przypowieściach. I to jest bardzo znaczące, że jeszcze na długo przed swoją męką i śmiercią Jezus, zarówno wprost, jak i w sposób bardziej pośredni, zwracał uwagę na dramat swojego losu. I dobrze będzie, jeżeli dzisiaj, w okresie Wielkiego Postu, zatrzymamy się nad tymi przypowieściami Jezusa, które jego współczesnym a także innym Żydom miały uzmysłowić kłopot związany z przyjęciem, bądź nie przyjęciem, Jezusa.

Ale zanim przejdziemy do samych przypowieści, powiedzmy sobie parę słów na temat oczekiwań mesjańskich w Starym Testamencie — bardzo krótko dlatego, że o tym już wiele razy mówiliśmy. Otóż to było tak, że kiedy Izraelici stali się narodem wybranym przez Boga — w czym nie mieli żadnej zasługi i co nie oznaczało, że są w czymkolwiek lepsi od innych, oznaczało natomiast ich powołanie do większej odpowiedzialności, do ustawicznego świadczenia o Panu Bogu — to zdali sobie sprawę z tego, że chociaż Bóg działa w każdym pokoleniu, to jednak sytuacja grzechu, sytuacja zła, sytuacja występku, która powtarzała się w ich życiu i w życiu narodu przez pokolenia powoduje, że potrzebna jest szczególniejsza interwencja Boża, bardziej radykalna interwencja Boża. Bo ani sam człowiek, ani ów naród Bożego wybrania sam z siebie nie zdoła się zbawić. Dochodzono do tego przekonania stopniowo. Dochodzono do tego przekonania również w spotkaniach z Panem Bogiem, zwłaszcza tych wielkich bohaterów wiary Starego Testamentu, którzy coraz częściej i coraz mocniej uświadamiali swoim rodakom, że Pan Bóg musi zadziałać w sposób tak inny od tego wszystkiego, co przeżywają, że można tylko zarysować kształt tego Bożego działania. I tak stopniowo z pokolenia na pokolenie przez wieki ukształtowała się pod wpływem również światła i natchnienia Bożego, nadzieja na przyjście Mesjasza. Wiemy już dobrze, że słowo *Mesjasz* pochodzi od hebrajskiego mashach tzn. *pomazać*, *namaścić*, a zatem Mesjasz to Pomazaniec Boży. To pomazanie to było przeznaczenie do określonej roli, do określonej funkcji. Oczywiście są to odległe czasy, bo przecież jest to ponad 2500 lat temu, a nawet więcej. Zatem życie tamtych ludzi różniło się od naszego pod każdym względem. I ten biblijny Izrael próbował sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał ów Mesjasz, którego Bóg ma zesłać. I były różne wątki tych oczekiwań.

Jedni mówili, że ponieważ król jest pomazany przez Boga, ponieważ król jest namaszczony, w związku z tym ten Mesjasz, który przyjdzie, to będzie król. A skoro król, to z królem łączy się władza, przepych, splendor, blask. I stąd już było krok do tego, żeby wyobrażać sobie Mesjasza i oczekiwania mesjańskie na kształt, na wzór polityczny. Myślano, że kiedy przyjdzie Mesjasz, to Izraelici zrzucą z siebie to brzemię podległości innym ludom i narodom, i że ten Mesjasz to będzie przede wszystkim Mesjasz pełen świetności, i pełen dostojeństwa, i pełen władzy.

Drugi nurt oczekiwań mesjańskich był taki, że skoro pomazańcem, namaszczonym jest kapłan, zatem ten Mesjasz, który przyjdzie, będzie miał cechy, przywileje, prerogatywy kapłańskie. Z tym jednak wiązał się pewien kłopot. Mianowicie ten, że doświadczenia z kapłanami starotestamentowymi wcale nie były najlepsze. Dodajmy tutaj od siebie, że również i w czasach Nowego Testamentu, w chrześcijaństwie, nie wszystkie doświadczenia z kapłanami są jednakowo dobre. W związku z tym te oczekiwania mesjańskie o wyznaczniku kapłańskim były bardzo mizerne i jednocześnie bardzo niejasne. Możemy tylko powiedzieć, że hołdowały im niektóre środowiska, jak np. w ostatnich stuleciach ery przedchrześcijańskiej była taka wspólnota w Qumran nad Morzem Martwym, gdzie oczekiwano przyjścia Mesjasza kapłana. Ale nawet i w tym przypadku kapłana w dalszym ciągu dominował ten wątek splendoru, przepychu, blasku, bo nie wyobrażano sobie, żeby Pan Bóg mógł zadziałać inaczej.

I dopiero — można by powiedzieć — na trzecim miejscu w proroctwach Starego Testamentu,

w wypowiedziach, prorokach, i w oczekiwaniach, pojawia się wątek, który z trudem przebijał sobie drogę do świadomości ówczesnych Izraelitów. A mianowicie wątek Mesjasza cierpiącego. Zapowiedzi, że Ten, który przyjdzie przysłany od Boga, będzie cierpiał. Ale ten wątek, jak powiadam, przyjmował się bardzo trudno, bardzo ciężko bo każdy człowiek wzdraga się przeciwko cierpieniu. A właściwie mówiąc to jest chyba tak – myślę że tutaj każdy z państwa może się zastanowić nad tym, czy mam rację. Mianowicie o cierpieniu można mówić bardzo ładne słowa, ładne konferencje. Można cierpienie przedstawiać z różnej perspektywy. Zapowiadać je, jako doświadczenie Bożej obecności, jako oczyszczenie. Ja niedawno, chyba wczoraj słuchałem radia, gdzie występował ktoś, kto mówił o cierpieniu jako oczyszczeniu. I miałem wrażenie, że ten ktoś, kto to mówił z taką pewnością siebie — że jest to oczyszczenie, że tak trzeba to przyjmować — chyba jeszcze nigdy nie był jeszcze w szpitalu, i chyba nigdy nie widział człowieka naprawdę chorego. Bo w przypadku niektórych cierpienie jest oczyszczeniem, jest przez nich tak przyjmowane. Ale przecież są tysiące ludzi, którzy buntują się przeciwko cierpieniu i których cierpienie wcale nie czyni lepszymi, a nawet odwrotnie — jest dla nich ogromną próbą wiary i ogromną próbą życia.

I w Starym Testamencie też był ten wątek Mesjasza cierpiącego. I Żydzi starotestamentowi byli gotowi zgodzić się, że Mesjasz będzie nawet cierpiał. Odmawiali przecież Psalm 22, czytali Księgę Izajasza, czytali inne księgi prorockie. Ale kiedy już zobaczyli Jezusa umęczonego, to wtedy to doświadczenie cierpienia okazało się ponad ich siły. Tutaj musimy powiedzieć, że cierpienie dla każdego jest najtrudniejszą próbą wiary.

Dopiero po tym, co powiedziałem, musimy wrócić do przypowieści Jezusa. Otóż przeczytamy dziś trzy przypowieści, wyjęte z Ewangelii św. Mateusza, zamieszczone w rozdziale 21. I wszystkie trzy następujące po sobie, a zatem mające pewne wątki wspólne, i co więcej, mające wspólną myśl.

Posłuchajmy pierwszej. Otóż Jezus wygłosił te przypowieści — to jeszcze muszę dodać — już po swoim tryumfalnym wjeździe do Jerozolimy. Wjechał do Jerozolimy w Niedzielę Palmową, natomiast w czwartek, po Ostatniej Wieczerzy miał być pojmany, a następnie w nocy z czwartku na piątek osądzony, skazany na śmierć, i w piątek miał zostać ukrzyżowany. Jezus przeczuwa, że jego koniec jest bardzo bliski. To są ostatnie dni jego ziemskiego życia. Dlatego jego nauczanie zyskuje takie szczególne napięcie. Jezus mówi wręcz z bólem. Z jednej strony obawia się tego cierpienia, które wkrótce ma przyjść. Z drugiej strony przeczuwa że nawet ci, którzy są mu najbliżsi, pewnie nie zdadzą egzaminu z tej próby wiary. A wreszcie – i chyba to jest najważniejsze – Jezus próbuje wytłumaczyć swoim rodakom także w przypowieściach, że oto teraz nadeszła decydująca chwila. Posłuchajmy pierwszej z tych przypowieści:

> Co myślicie? Pewien człowiek miał dwóch synów. Zwrócił się do pierwszego i rzekł: „Dziecko, idź dzisiaj i pracuj w winnicy!" Ten odpowiedział: „Idę, panie!", ale nie poszedł. Zwrócił się do drugiego i to samo powiedział. Ten odparł: „Nie chcę". Później jednak opamiętał się i poszedł. Który z tych dwóch spełnił wolę ojca?» Mówią Mu: «Ten drugi». Wtedy Jezus rzekł do nich: «Zaprawdę, powiadam wam: Celnicy i nierządnice wchodzą przed wami do królestwa niebieskiego. Przyszedł bowiem do was Jan drogą sprawiedliwości, a wyście mu nie uwierzyli. Celnicy zaś i nierządnice uwierzyli mu. Wy patrzyliście na to, ale nawet później nie opamiętaliście się, żeby mu uwierzyć.

To jest pierwsza przypowieść. Zauważmy, że mamy tu *ojca.* Ojciec – to na pewno Bóg. Zatem w przypowieściach, kiedy Jezus mówi o ojcu, ma na myśli Boga. Obchodzimy teraz *Rok Boga jako Ojca,* i na ten wątek zwraca się ogromną uwagę. Przypominamy sobie na czym polega owo ojcostwo Boga. I Bóg ma dwóch synów. Ci dwaj synowie — możliwe są dwa sposoby objaśniania tej przypowieści Jezusa. I myślę, że one obydwa są nie tylko możliwe, ale obydwa są uprawnione.

Pierwsze wyjaśnienie. Ci dwaj synowie symbolizują Żydów oraz nie-Żydów, czyli dwie części starożytnego świata. Żydzi, biblijni Izraelici, to są ci, do których Bóg powiada: Idź i pracuj w Mojej winnicy! Otóż życie Izraela, tego biblijnego, zawsze było porównywane do uprawy winnicy. Natomiast drudzy to są poganie, którzy żyli w starożytnym świecie, którzy nie mieli dostępu bezpośredniego do tych Bożych obietnic. I Pan Jezus ukazuje w ten sposób, że Bóg jest Ojcem Żydów i Bóg jest Ojcem pogan. I ten Bóg zwraca się do obydwu swoich synów. Bo i jedni i drudzy są Jego dziećmi. Otóż podstawą godności każdego człowieka jest akt stworzenia. To z dzieła stworzenia wynika nasza ludzka godność. Stworzenie jest przed zbawieniem! Zauważmy, że i dzisiaj nie

wszyscy ludzie mogą wysłuchać o Bogu, o Chrystusie. Są ogromne połacie świata, gdzie ludzie nie doświadczyli wiary chrześcijańskiej, i prawdopodobnie nigdy się z nią nie spotkają. Na pewno przychodzi nam do głowy, kiedy widzimy jakieś katastrofy gdzieś tam w Chinach, w Indiach, na Dalekim Wschodzie itd. — co z tamtymi ludźmi? Czy będą zbawieni? Odpowiedź jest przejrzysta — ależ tak! Jeżeli żyją ze swoim sumieniem, to przecież ich godność, ich wielkość pochodzi z tego, że są ludźmi czyli dziećmi Bożymi. To jest fundament! A obok nich są chrześcijanie, tak jak kiedyś w starożytności byli tamci biblijni Izraelici. A i dzisiaj są religie monoteistyczne, które to wybranie kontynuują.

Ale wróćmy do starożytności. Bóg zwraca się do tych obydwu synów. Mówi do pierwszego: Dziecko, idź dzisiaj i pracuj w winnicy! Ten pierwszy syn to oczywiście Izraelici. Ten odpowiedział: Idę, panie! W ten sposób Jezus nawiązuje do tego, że jeżeli chodzi o słowa, jeżeli chodzi o deklaracje, to Izraelici odpowiedzieli Bogu: „Tak". Ale nie poszli — nie poszedł on — i oni też poprzestali na słowach. Natomiast Bóg zwrócił się i do drugiego syna, do pogan: Idź i ty pracuj w mojej winnicy! Poganie odpowiedzieli: Nie chcę — bo nie znali Boga. Nie chcieli, bo nie mogli pójść za tym głosem Boga. Ale okazało się, że odpowiadając „Nie" w gruncie rzeczy żyli w sposób, który się Panu Bogu podobał. I że kiedy miała przyjść ta rozstrzygająca decyzja o Jezusie — kim On jest — to Żydzi odpowiedzieli „Nie", a poganie odpowiedzieli „Tak"! Ale już nie słowami, lecz czynem. Tak Jezus na kilka dni przed swoją śmiercią wskazuje na to, że w obliczu jego losu, w obliczu jego męczeństwa trzeba będzie dokonać tego ostatecznego wyboru. I że paradoks polega na tym że ci, którzy byli blisko Boga, wybrani przez Boga, prowadzeni przez Boga, odpowiadali Bogu: „Tak, tak, tak", ale kiedy przyszło co do czego, żyli w ten sposób, że okazało się, że „Nie"! Natomiast poganie, którzy byli poza marginesem tego bezpośredniego działania Bożego, odpowiadali Bogu „Nie", ale w tej decydującej chwili opowiedzieli się za Chrystusem. To jest jedna strona, jedna możliwość zrozumienia tej przypowieści.

Istnieje również druga. I do niej nawiązuje sam Jezus, niejako tłumacząc tę przypowieść. Powiada do nich tak po tej przypowieści:

> Zaprawdę, powiadam wam: Celnicy i nierządnice wchodzą przed wami do królestwa niebieskiego.

Zatem Jezus pokazuje, że ten podział przebiega nie tylko pomiędzy Żydami a poganami, lecz ten podział przebiega również pomiędzy samymi Żydami. I Jezus ukazuje coś, na co by się nie odważył nikt inny. Mianowicie zwracając się do faryzeuszy, zwracając się do uczonych w Piśmie, zwracając się do tej ówczesnej elity duchowej, religijnej i intelektualnej Jezus powiada: Jesteście jak ten pierwszy syn, którzy powiedział Bogu: „Tak, idę", ale nie poszedł. A obok was istnieje druga grupa. To są ci przysłowiowi „celnicy i nierządnice". Jednymi i drugimi pogardzano. Celnicy ściągali podatki na rzecz Rzymian, i byli postrzegani jako kolaboranci. Reputacja nierządnic była mniej więcej taka sama, jak w dzisiejszych czasach, a nawet jeszcze gorsza — bo mamy tutaj starożytność, i to Bliski Wschód. I Jezus powiada: Zobaczcie, że ci, którymi gardzicie, są bardziej otwarci na Boga, aniżeli wy! Czyli zwróćmy uwagę, jak Jezus jest tutaj odważny. Proszę sobie wyobrazić, że dotyczy to naszych czasów. To tak, jak gdyby ktoś dzisiaj powiedział tym, którzy są odpowiedzialni za życie religijne, że w gruncie rzeczy są na boku. Natomiast ci, których postrzegamy jako grzesznych, dokonali właściwego wyboru, bo oni w sercu pozostali wierni Panu Bogu i pójdą za Nim. I na pewno Jezus miał tutaj na myśli również konkretne przypadki. Przywołajmy tutaj na pamięć choćby słynną Marię z Magdali nad Jeziorem Galilejskim, znaną jako Maria Magdalena. Trudniła się ona tym, czym się trudniła. Mianowicie profesją, która – jak powiedziałem – nie cieszy się zbytnim poważaniem. Ale kiedy zerwała ze swoją słabością, kiedy skończyła żyć w ten sposób, to poszła za Jezusem całkowicie. I to ona stała się jednym z pierwszych świadków zmartwychwstania, bo przecież to ona była pod krzyżem, a następnie ona udała się do pustego grobu. I Jezus zwraca uwagę na to, że to właśnie ten powrót z dalekiej drogi sprawia, że ci ludzie są bardziej otwarci na Boże działanie.

To jest pierwsza przypowieść. Zaraz po niej następuje druga. Jezus mówi:

> Posłuchajcie innej przypowieści! Był pewien gospodarz, który założył winnicę. Otoczył ją murem, wykopał w niej tłocznię, zbudował wieżę, w końcu oddał ją w dzierżawę rolnikom i wyjechał.

Ile razy mówi się o winnicy w Starym i w Nowym Testamencie, jest to obraz biblijnego Izraela. Tym, czym dla nas jest pole pszeniczne, tym dla starożytnych Izraelitów była winnica. Prorok Izajasz na 700 lat wcześniej wołał, że winnicą Pańską jest dom Izraela. Nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że Jezus mówi o winnicy ale myśli o Izraelu. I że tak samo odbierają to jego słuchacze. To tak, jak gdyby ktoś dzisiaj ułożył przypowieść o białym orle. I mówił, jak to biały orzeł z miejsca piastowego poderwał się itd. Otóż rozumielibyśmy, że nawiązuje się w ten sposób do naszej polskiej historii i tożsamości. Tu winnica to jest na pewno Izrael. Więc był gospodarz, który założył winnicę. Ten gospodarz to rzecz jasna Bóg. To on wybrał Izraelitów. Wybrał ich — raz jeszcze powtarzam — nie dlatego, że byliby w czymkolwiek lepsi od innych. Tylko wybrał ich do świadectwa, do odpowiedzialności. Założył winnicę, czyli zatroszczył się o swój naród. Otoczył ją murem, wykopał w niej tłocznię, zbudował wieżę, w końcu oddał ją w dzierżawę rolnikom i wyjechał. Zauważmy, że mamy tutaj wszystkie czynności, które dotyczą prac przy założeniu winnicy. Ale chodzi też o troskę nad historią biblijnego Izraela. Chodzi o to żeby podkreślić, że sam Bóg się nim opiekował. Ale Bóg — i to jest ta myśl niesłychanie ważna — powierzył losy Izraela odpowiedzialnym za te losy przywódcom, których tutaj porównał do dzierżawców. Ta myśl jest niesłychanie ważna. Bóg czasami jakby wycofuje się z historii, wycofuje się z dziejów po to, abyśmy my pełnili Jego dzieło, abyśmy my przejęli Jego rolę. I to jest rzecz, która nam przychodzi bardzo trudno do głowy, i bardzo trudno nam się z tym pogodzić bo wolelibyśmy, żeby Bóg był stale i jednakowo obecny. I w dziejach biblijnego Izraela Bóg jakby się wycofał dając miejsce ludziom i wynikającej z tego odpowiedzialności.

Tak jest również i w naszych czasach. Kilka razy w przeszłości wspominaliśmy sobie o tym, że wiek XX to był wiek najkrwawszych prześladowań ludzi. Nigdy w historii świata nie dokonało się tyle zła, tyle przemocy, tyle gwałtu, tyle śmierci, tyle rozlewu krwi, takich niesprawiedliwości, takiej krzywdy jak w naszym stuleciu. Nie było stulecia, które byłoby bardziej krwawe niż nasze. Gdybyśmy zaczęli liczyć ofiary, to bilans jest przygniatający. W ub.r. we Francji ukazała się książka na temat ofiar komunizmu. Oblicza się, że było ich ok. 100 mln. Sto milionów zamordowanych ludzi w różnych częściach świata, od Kambodży przez Chiny, po Związek Radziecki, Ukrainę, Europę Wschodnią, Amerykę Południową — bo wszędzie tam komunizm zbierał swoje żniwo. Mamy nazizm, hitleryzm — w samym Związku Radzieckim zginęło ok. 20 mln. ludzi. Sześć milionów obywateli polskich, w tym 3 miliony polskich Żydów. I wiele różnych milionów na różnych frontach. Do tego dodajmy inne wojny — I wojnę światową, gdzie w długich bitwach, zwłaszcza tej pod Verdun, zginęło ponad milion ludzi. Dodajmy do tego rzeź Ormian dokonaną przez Turków w latach 1915 - 1916 — 1.5 mln. ludzi przez 1.5 roku. A niedawno w Rwandzie parę miesięcy, $\frac{1}{2}$ mln. ludzi wymordowanych. Kiedy się to wszystko pododaje, to wychodzą setki milionów zamordowanych ludzi. I człowiek pyta: „Gdzie jest Bóg?" A tymczasem Jezus wskazuje, że pytanie trzeba postawić inne, mianowicie: „Co stało się z człowiekiem, że dopuszcza się takich zbrodni?" Historia jest miejscem działania Boga, to prawda. Ale historia jest również sceną, na której Bóg pozostawił wolną rękę, wynikającą z wolnej woli danej człowiekowi. I jeżeli człowiek dopuszcza się takich nieprawości to znak, że jest tym dzierżawcą, który sprzeniewierzył się Bogu.

Posłuchajmy dalej Jezusowej przypowieści. Jezus nawiązuje do dziejów własnego narodu i powiada:

> Gdy nadszedł czas zbiorów, posłał swoje sługi do rolników, aby odebrali plon jemu należny. Ale rolnicy chwycili jego sługi i jednego obili, drugiego zabili, trzeciego zaś ukamienowali.

Jest to nawiązanie do dziejów biblijnego Izraela, kiedy to Bóg posyłał swoje sługi tzn. proroków, aby nawrócili jego lud ku Niemu, aby nawrócili ten lud ku Panu Bogu. I jaki był los tych proroków? Był nie do pozazdroszczenia. Izajasz został, jak głosi stara żydowska tradycja, przepiłowany drewnianą piłą. Jeremiasz zginął na wygnaniu w samotności. Ezechiel działał i przepowiadał przyszłość, oceniał teraźniejszość na wygnaniu. Prorocy cierpieli, aż do proroka Zachariasza, który został ukamienowany. Otóż cierpieli dlatego, bo mówili ludziom prawdę. Człowiek nie chce znać prawdy o sobie. I lud, i naród, i wspólnota religijna też nie chce znać prawdy o sobie. Wolimy takich proroków, którzy mówią nam rzeczy miłe, niż tych, którzy wyrzucają nam ciemne strony naszej duszy, bądź ciemne strony naszej tożsamości. Otóż prorok prawdziwie rzetelny nigdy nie cieszył

się uznaniem dlatego, że mówił rzeczy których trudno jest słuchać. Jezus nawiązuje do tego, że przychodzili ci prorocy, i ich los bywał okrutny.

Wtedy posłał inne sługi, więcej niż za pierwszym razem, ale i z nimi tak samo postąpili.

Otóż w tych dziejach biblijnego Izraela widać wyraźną niechęć do przyjmowania jakiejkolwiek krytyki. I teraz przypowieść Jezusa osiąga kulminację.

W końcu posłał do nich swojego syna,

Zauważmy, że tu trudno nam sobie wyobrazić, jaki był ton głosu Jezusa. Ale z pewnością chodziło o to, że Jezus ukazuje na swój niezwykły związek z Bogiem. Chce im uświadomić, że nie jest już jednym z proroków. Nie jest już jednym z tych, których przedtem odrzucono. Że jego relacja do Boga jest inna, że jest to relacja Syn — Ojciec. Więc Bóg posyła swojego Syna:

tak sobie myśląc: Uszanują mojego syna. Ale rolnicy zobaczywszy syna mówili do siebie: „To jest dziedzic; chodźcie zabijmy go, a posiądziemy jego dziedzictwo".

Na kilka dni przed swoim pojmaniem, przed męką i śmiercią, Jezus wskazuje na to, że złość ludzka, pycha ludzka, egoizm także przywódców może być tak ogromny, że nie uszanują nikogo, żeby zachować swoje wpływy i swoją rolę. Otóż okazało się

Zmiana stron kasety

...i uczonych na ten dramat odrzucenia, który dokona się za kilka dni. Zauważmy, że oni wszyscy te przypowieści zapamiętali. Bo przecież te przypowieści zostały utrwalone w Ewangeliach tylko dlatego, że i apostołowie te przypowieści zapamiętali. Nauka nie poszła na marne — tylko, że została odrzucona.

Chwyciwszy go, wyrzucili z winnicy i zabili.

Tutaj ta winnica to Jerozolima. Już nie tylko cała ziemia Izraela, tylko Jerozolima, która w szczególny sposób była miastem świętym. Słowo *miasto* brzmi po hebrajsku ir, jest rodzaju żeńskiego. Dlatego zawsze jest przedstawiane pod postacią kobiety, dziewczyny albo winnicy. Bo hebrajskie kerem — *winnica* też jest rodzaju żeńskiego. Więc Jerozolima porównana jest do winnicy. I zauważmy, że mamy tutaj subtelną aluzję do losu Jezusa wyrzuconego poza bramy Jerozolimy. Nie został ukrzyżowany w mieście! Ktoś, kto dzisiaj jedzie do Jerozolimy – to jest bardzo mylące. Bo dzisiaj Kalwaria, Bazylika Grobu Pańskiego jest w obrębie Starego Miasta. Ale w starożytności, w czasach Jezusa Chrystusa, Kalwaria znajdowała się jakieś 40 m za ówczesnymi murami Jerozolimy od strony zachodniej. Zatem wyprowadzono Jezusa przez bramę, już nieistniejącą, i następnie ukrzyżowano Go poza murami miasta. Dlaczego? Bo w murach miasta i w murach wiosek nie wolno było wykonywać żadnych wyroków śmierci — ani przez ukamienowanie ani w jakikolwiek inny sposób. Zatem wyrzucono Jezusa poza miasto również po to żeby podkreślić, że został wyrzucony z tej wspólnoty ludzi wierzących. I Jezus tu w tej przypowieści nawiązuje do tego. Mówi, wspomina wyraźnie: „Chwyciwszy go, wyrzucili z winnicy i zabili." Zatem na kilkadziesiąt godzin przed swoją śmiercią w sposób przypowieściowy opowiada o swoim losie. I teraz mamy pytanie. Pytanie skierowane do tych, którzy słuchali Jezusa:

Kiedy więc właściciel winnicy przyjdzie, co uczyni z owymi rolnikami?» Rzekli Mu: «Nędzników marnie wytraci, a winnicę odda w dzierżawę innym rolnikom, takim, którzy będą mu oddawali plon we właściwej porze».

Otóż ich odpowiedź na poziomie przypowieści była bardzo dobra, oprawna. Coś podobnego miało miejsce w Starym Testamencie, kiedy to Dawid uwiódł żonę Uriasza Batszebę. I przychodzi do niego prorok Natan i opowiada mu przypowieść o bogaczu, który zabrał biedakowi owieczkę. I wtedy Dawid zawołał: „Ależ ten człowiek jest winien śmierci!" Tam, gdzie chodzi o przypowieści, albo gdzie chodzi o innych, tam potrafimy być sprawiedliwi. Ale gdzie chodzi o nas samych, to nie chcemy w prawdzie popatrzeć na to, czego się dopuszczamy. Otóż taki jest człowiek. Dopiero kiedy prorok Natan powiedział Dawidowi: „To ty jesteś tym człowiekiem" zrozumiał, o kogo chodzi. I tutaj ci faryzeusze odpowiedzieli Jezusowi poprawnie. Ale Jezus dopowiedział tak;

> Jezus im rzekł: «Czy nigdy nie czytaliście w Piśmie: Właśnie ten kamień, który odrzucili budujący, stał się głowicą węgła. Pan to sprawił, i jest cudem w naszych oczach. Dlatego powiadam wam: Królestwo Boże będzie wam zabrane, a dane narodowi, który wyda jego owoce. Kto upadnie na ten kamień, rozbije się, a na kogo on spadnie, zmiażdży go».

Jezus daje zatem wyraźnie poznać słuchaczom, że oto nadszedł czas definitywnego rozstrzygnięcia. Że jeżeli oni, którzy przez tyle pokoleń byli przygotowywani na przyjście Mesjasza, nie przyjmą Go, jeżeli Go wyrzucą poza tę winnicę i skażą na śmierć, to będą inni, którzy zajmą ich miejsce. Zatem Jezus wyraźnie wskazuje na pogan, którzy wejdą na miejsce Żydów. Również wyraźnie wskazuje na tę tzw. gorszą część narodu Izraela, na owych celników i nierządnice, którzy zajmą miejsce owej elity. Jezus ich ostrzega. Czy to ostrzeżenie zostało przyjęte? Ewangelista Mateusz napisał tak:

> Arcykapłani i faryzeusze, słuchając Jego przypowieści, poznali, że o nich mówi. Toteż starali się Go pochwycić, ale bali się tłumów, ponieważ miały Go za proroka.

Faryzeusze i uczeni w Piśmie doskonale zrozumieli to, o co Jezusowi chodzi. Ale zauważmy, że ich odpowiedzią nie było nawrócenie, nie była chęć zmiany życia, nie była chęć zrozumienia tego, co Jezus chce powiedzieć, ale przeciwnie — wola prześladowania Go, i wola zamknięcia Mu ust. Skąd się w człowieku takie zło bierze? Skąd się takie zło bierze nawet w tych, którzy — powtarzam to bez przerwy dzisiaj — odpowiadali za życie religijne Izraela? Odpowiadamy: Nie wiemy! To jest tak, jak napisał to w przekładzie Wulgaty św. Hieronim: misterium iniquitatis — *tajemnica nieprawości*. Tak jak jednym dobro przychodzi — jeżeli tak można powiedzieć — swobodnie, bez żadnych zahamowań, spontanicznie, tak inni niestety mają w sobie ową skłonność do zła. I nieszczęście polega na tym, że granica pomiędzy tym dobrem a złem przebiega w sercu każdego z nas. I że ci, którzy postawieni są wysoko i wyżej — czy to w hierarchii społecznej, czy też we wspólnocie religijnej — wcale nie są przez to chronieni przed możliwością upadku, zarażenia i zła. Otóż reakcja tych uczonych w Piśmie i faryzeuszy jest zupełnie irracjonalna. Oni są po prostu zdecydowani wymazać Jezusa, który mówi im w twarz bardzo ciężkie prawdy, bardzo trudne prawdy. Nie chcą tego przyjąć i dlatego za kilka dni będą wołać na dziedzińcu pałacu Piłata: „Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj Go!"

Zauważmy, że już teraz, gdzieś w poniedziałek czy we wtorek po Niedzieli Palmowej, na 2 - 3 dni przed Ostatnią Wieczerzą i przed pojmaniem Jezusa, Jezus już w zasadzie został odrzucony i że jego los jest przesądzony. Oni tylko zastanawiają się, jak Go pojmać, a nie — czy Go pojmać! I jedyny ich dylemat polega na tym, żeby zrobić to w taki sposób, żeby nie wzburzyć ludu.

I ostatnia przypowieść:

> A Jezus znowu w przypowieściach mówił do nich: «Królestwo niebieskie podobne jest do króla, który wyprawił ucztę weselną swemu synowi.

Jest to jedna z najtrudniejszych przypowieści. I muszę państwu powiedzieć, że przez długie lata próbowałem zgłębiać, co ona znaczy. Czytałem różne komentarze, uczone i mniej uczone, przewaliłem wiele półek, bo ta przypowieść zawsze mnie jakoś intrygowała. I w końcu doszedłem do takiego rozumienia tej przypowieści, o którym chciałbym dzisiaj powiedzieć.

> «Królestwo niebieskie podobne jest do króla, który wyprawił ucztę weselną swemu synowi. Posłał więc swoje sługi, żeby zaproszonych zwołali na ucztę, ale ci nie chcieli przyjść. Posłał jeszcze raz inne sługi z poleceniem: „Powiedzcie zaproszonym: Oto przygotowałem moją ucztę: woły i tuczne zwierzęta pobite i wszystko jest gotowe. Przyjdźcie na ucztę!" Lecz oni zlekceważyli to i poszli: jeden na pole, drugi do kupiectwa, a inni pochwycili jego sługi i znieważywszy [ich], pozabijali. Na to król uniósł się gniewem. Posłał swoje wojska i kazał wytracić owych zabójców, a miasto ich spalić. Wtedy rzekł swoim sługom: „Uczta wprawdzie jest gotowa, lecz zaproszeni nie byli jej godni. Idźcie więc na rozstajne drogi i zaproście na ucztę wszystkich, których spotkacie".

Zatrzymajmy się nad tą pierwszą częścią przypowieści. Myślę, że tutaj nie ma większych trudności z jej zrozumieniem. Mianowicie Jezus opowiada o Bogu, który wyprawił ucztę weselną. Ta uczta weselna to jest znak, przypowieść o ostatecznym zaproszeniu Pana Boga wystosowanym do Izraelitów. Być może jest to jakiś daleki obraz Ostatniej Wieczerzy, tej uczty Jezusa, która miała miejsce podczas święta Paschy. Jezus chce powiedzieć: Oto Pan Bóg zaprasza was wszystkich do udziału w tym dziele zbawienia. Jaka jest odpowiedź? Każdy zajmuje się swoim, jedni na pole, drudzy do kupiectwa, a nawet więcej — odpowiedzią jest nie tylko obojętność, to jest jedna strona, lecz odpowiedzią jest również sprzeciw. Zauważmy, że obydwa te aspekty, obojętność i sprzeciw, istnieją po dzień dzisiejszy. Wiele ludzi jest obojętnych na to, co się dzieje. Można mówić im wzniosłe prawdy, wskazywać wzniosłe przykłady, dokonywać cudów — to nic nie da. Drudzy otwarcie się sprzeciwiają. Otóż ci, którzy się sprzeciwiali, zlekceważyli wysłańców Bożych, zlekceważyli Jezusa, pochwycili i znieważywszy, pozabijali. Na to król uniósł się gniewem. I Jezus powiada: Posłał wojska, kazał wytracić owych zabójców, a miasto ich spalić. Tak mamy aluzję do losu Jerozolimy. Otóż w roku 66 miało wybuchnąć powstanie żydowskie przeciwko Rzymianom. Wojska rzymskie wkrótce opanowały całą Galileę, podeszły pod Jerozolimę, w 70 r. otoczyły Jerozolimę ze wszystkich stron, a zwłaszcza od strony wschodniej, od strony Góry Oliwnej i Góry Skopus. Cały czas trzymały Jerozolimę w kleszczach. Wreszcie przyszedł sierpień, było bardzo gorąco, wszystko było wyschnięte, spalone, słońce mocno grzało. I wtedy przypadkowo jeden z żołnierzy rzymskich rzucił głownię na teren świątyni przez mur. Wybuchł nagle pożar, miasto zostało doszczętnie spalone. Rzymianie wdarli się przez mury, zburzyli Jerozolimę, zburzyli świątynię tak, że nie został kamień na kamieniu prócz tzw. Ściany Płaczu, która przetrwała po dzień dzisiejszy, jeszcze później przez Żydów odbudowana z tych kamieni połamanych, potłuczonych.

Jezus mówi w ten sposób: Ta zagłada Jerozolimy to jest w jakimś sensie Boża kara za odrzucenie Jego wysłańców i za odrzucenie Jego Syna. W ten sposób dobiegły końca czasy Starego Testamentu, Starego Przymierza. Otóż Izraelici odrzucili Pana Boga i doczekali się, sami na siebie ściągnęli ten wielki dramat, wielki kataklizm, który zakończył ich życie religijne takie, jakie prowadzili w Starym Testamencie.

I posłuchajmy drugiej części tej przypowieści. Król rzekł sługom; Idźcie i przyprowadźcie innych. To jest aluzja do pogan. Otóż Bóg powiada; Skoro ci, w których położyłem całą swoją nadzieję, odrzucili moje działanie, zapraszajcie pogan. I rzeczywiście – po zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa poganie masowo wchodzą do Kościoła. Żydzi nie, tylko niektórzy! Natomiast wśród pogan jest ekspansja chrześcijaństwa tak, że w ciągu 2 - 3 pokoleń były już setki tysięcy wyznawców. Oblicza się, ze ludność Jerozolimy w okresie Jezusa Chrystusa to było mniej więcej 20 tysięcy ludzi. Ludność całej Palestyny oblicza się na ok. 1 - 1.5 mln. Zauważmy, że ci ludzie w większości nie przyjęli Jezusa, ale na ich miejsce przyszły miliony innych. I ta przypowieść kończy się tak:

> Słudzy ci wyszli na drogi i sprowadzili wszystkich, których napotkali: złych i dobrych. I sala napełniła się biesiadnikami. Wszedł król, żeby się przypatrzyć biesiadnikom, i zauważył tam człowieka, nie ubranego w strój weselny. Rzekł do niego: „Przyjacielu, jakże tu wszedłeś nie mając stroju weselnego?" Ale on oniemiał. Wtedy król rzekł sługom: „Związcie mu ręce i nogi i wyrzućcie go na zewnątrz, w ciemności! Tam będzie płacz i zgrzytanie zębów". Bo wielu jest powołanych, ale mało wybranych».

Kim jest ten człowiek, który przyszedł na ucztę bez weselnego stroju i został tak srogo potraktowany przez króla? Królem nadal jest Bóg. Z kim Bóg obszedł się tak surowo?

Tu musimy zatrzymać się i powiedzieć parę słów o żydowskich zwyczajach weselnych. Otóż kiedy odbywało się wesele, to trwało przez wiele dni. Podobnie jest i dzisiaj w rodzinach tradycyjnie żydowskich. I na to wesele trzeba było przyjść w specjalnym stroju, odświętnym. Taką pozostałością tego jest nie strój weselny, nie wiem jak jest teraz w mieście, bo nie mam wiele okazji aby chodzić po weselach. Ale takie tradycyjne wesele, które pamiętam, i które od czasu do czasu można widzieć, polega na tym, że wszyscy mają poprzypinane białe kokardki. To jest znak, że to są goście weselni. Pewnie w mieście to spełniają taką funkcję: wpuścić, czy nie wpuścić do restauracji na przykład, ale na wsi tych problemów przecież nie było, bo wszyscy się znali. Otóż te kokardy to był znak uczestniczenia w tym święcie. I ten zwyczaj w kulturze polskiej został przejęty od Żydów,

z którymi przez długie lata żeśmy razem żyli. Z tym, że Żydzi zakładali cały strój, natomiast my poprzestawaliśmy tylko na tej kokardce.

Teraz wróćmy do tamtej przypowieści. Kim jest ten, kto się trafił na tej uczcie weselnej i nie ma tej kokardki, nie ma tego stroju? Otóż Jezus, jak sądzę, nawiązuje tutaj do tych Żydów, którzy po Jego śmierci i po Jego zmartwychwstaniu wchodzą jeszcze do tych obietnic Bożych, do tego domu obietnic Bożych i chcą współuczestniczyć w tych obietnicach, ale nie przyjęli Jezusa. Tzn. nie uznali w Nim Mesjasza. Nie potraktowali tego wydarzenia, tego Zmartwychwstania, jako wesele. Nie mają tego stroju, bo nie mają tej wiary. I Bóg powiada: Wraz z przyjściem Jezusa, które można porównać do uczty weselnej, wraz z Jego zmartwychwstaniem nigdy już nie będzie tak, jak przedtem. Albo musisz Go przyjąć, albo musisz uznać, że nie ma powrotu do dawnej sytuacji. Nie ma powrotu do religii Starego Testamentu. Nie można już na niej poprzestać. Trzeba uczynić krok do przodu. I jeżeli ktoś — powiada Jezus — będzie chciał brać udział w tym weselu, ale nie przeszedł przez tą barierę uznania Jezusa, nie poszedł w tym kierunku wskazanym przez Boga, zostanie z tej uczty weselnej, do której sobie uzurpuje prawo, wyrzucony. Otóż jeżeli takie przyjmowanie tej przypowieści jest zasadne — a wydaje mi się, że tak — to dotykamy tutaj niezwykle drażliwego problemu. Mianowicie wartości zbawczej religii żydowskiej po zaistnieniu chrześcijaństwa. Otóż Jezus chce powiedzieć bardzo wyraźnie, że ta wartość zbawcza religii żydowskiej musi zyskać nowy wymiar wraz z Jego śmiercią i zmartwychwstaniem. Czyli nie ma powrotu na dawne pozycje.

Ta przypowieść Jezusowa jest jedną z najtrudniejszych i najbardziej wymagających. Bo ona domaga się od Jego współczesnych, od współczesnych mu Żydów, zrobienia tego kroku naprzód. Czy zrobili? Jedni — tak, inni — nie. I musze państwu powiedzieć, że dzisiaj, zwłaszcza w naszym pokoleniu, powstał — nie, nie powstał, on zawsze był, ale teraz o tym głośniej mówimy — bardzo trudny problem. Pytanie, które brzmi tak: Jak się ma religia chrześcijańska do religii żydowskiej? Czy religia żydowska może być również drogą do Boga dla tych, którzy ją wyznają? Czy tylko i wyłącznie religia chrześcijańska? Jeżeli weźmiemy pod uwagę tę Jezusową przypowieść, to musimy zdać sobie sprawę z tego, że wraz ze śmiercią i zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa dokonało się coś nowego. I jak pogodzić ze sobą te dwie tradycje religijne? Czy idziemy do Pana Boga dwoma równoległymi drogami? Czy być może tylko jedna z tych religii ma rację, a wyznawcy drugiej absolutnie nie? To nie są pytania łatwe i nie można na nie odpowiadać w sposób bardzo powierzchowny. Na kilka dni przed śmiercią Jezus chce powiedzieć swoim rodakom, że oto coś się kończy, i zaczyna się coś nowego. To coś nowego to będzie wiara w Niego. To coś, co się kończy, to jest ta wiara biblijnego Izraela.

Jak wiemy, kilka dni później ten podział był bardzo wyraźny. Judasz Go zdradził, Piotr się Go wyparł, reszta Apostołów uciekła, i tylko później odnaleźli się przy zmartwychwstaniu.

Kończymy dzisiaj rzeczą, na którą wskazuję wielokrotnie. A mianowicie że tym, co jest decydujące w naszej religii, jest zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. To ono otworzyło oczy świadków Jego życia na to, kim naprawdę Jezus jest. Jezus mówił, zapowiadał, przygotowywał ich do tego, co miało się wydarzyć. Ale okazało się, że doświadczenie cierpienia i krzyża było ponad ich siły. Okazało się, że w tej decydującej chwili wszyscy zawiedli.

I przenieśmy to dwoma - trzema zdaniami do naszych własnych doświadczeń. Niedługo będziemy przeżywać Wielki Tydzień, ostatni Wielki Tydzień przed Jubileuszem Roku Świętego 2000. Warto zwrócić uwagę na to, co wspominamy o cierpieniach Jezusa. Warto zwrócić uwagę na nasze własne życie i nasze własne cierpienia, a także na to, co w ostatnim czasie przeżyliśmy w tym kontekście cierpienia. I warto w tej perspektywie raz jeszcze odnowić swoją wiarę w Zmartwychwstanie. Bo w gruncie rzeczy takie jest wezwanie tamtych Jezusowych przypowieści. One miały przygotować słuchaczy Jezusa do przeżycia tego, co się miało wydarzyć. Jedni przyjęli, drudzy byli obojętni, jeszcze inni odrzucili. I tak jest dzisiaj, dokładnie tak samo. Problem tylko polega na tym, po której stronie będziemy.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję za uwagę. Na następną konferencję biblijną chciałbym państwa zaprosić w kwietniu nie w poniedziałek, ale w piątek 16 IV, bo wszystkie poniedziałki mam zajęte. A dzisiaj jeszcze raz dziękuję za uwagę.
Chwała Ojcu ... Któryś za nas cierpiał rany ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

1.7 Zmartwychwstanie Jezusa — a my (16 kwietnia 1999)

Zwykliśmy spotykać się w poniedziałki, tym razem jest inaczej. Dlatego cieszę się, że jest tyle osób pamiętających o tym terminie. W tym roku przedmiotem naszej refleksji są przypowieści Jezusa. Ale chciałbym dzisiaj od tego tematu zrobić wyjątek zgodnie z sugestią, jaką mi przedłożono. Mianowicie pojawiła się prośba, aby zająć się nowotestamentowym tekstem, opisem okoliczności Zmartwychwstania Pańskiego. I myślę, że skoro tak niedawno mieliśmy Święta Zmartwychwstania, Święta Wielkanocne, to dobrą będzie rzeczą zatrzymać się nad ewangelicznymi opowiadaniami o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa i zastanowić się, i zobaczyć w nich to, co może być istotne także i dla naszej wiary, i dla naszego rozeznania o tym, co jest naszej wiary fundamentem. Chciałbym zatrzymać się nad jednym opisem ewangelicznym zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Można by powiedzieć, że jest on najłatwiejszy dlatego, że jest przeznaczony na użytek tych chrześcijan, którzy byli pogańskiego pochodzenia. Zatem zakłada, że trzeba mówić do nich językiem prostym, i mówić to, co w przypadku zmartwychwstania Jezusa było najważniejsze. Chodzi o Ewangelię św. Łukasza. I zatrzymamy się nad tekstem Ewangelii św. Łukasza i postaramy powiedzieć to, co czy i na ile można powiedzieć na temat zmartwychwstania, kiedy czytamy ten Łukaszowy opis, Łukaszowy tekst.

Zanim przejdziemy do Zmartwychwstania powiedzieć musimy rzecz bardzo ważną, chociaż wydawać by się mogło tak prostą, że aż banalną. Mianowicie powinniśmy zdać sobie sprawę, przyjąć — już nie tylko uwierzyć, ale przyjąć świadectwo — że Jezus naprawdę umarł. Otóż wszyscy czterej ewangeliści kładą bardzo mocno nacisk na to, że Jezus zawieszony na krzyżu naprawdę zmarł. Zaraz powiem, dlaczego to jest takie ważne. Ale ta śmierć Jezusa jest opisana w Ewangeliach bardzo szczegółowo. W ogóle ostatnia doba życia Jezusa Chrystusa została przedstawiona z dokładnością co do kilku godzin. I tak dowiadujemy się, że w przeddzień swojej śmierci Jezus spożył Ostatnią Wieczerzę ze swoimi uczniami. Po Ostatniej Wieczerzy udał się do odległego mniej więcej kilometr od Wieczernika Ogrodu Getsemani, znanego w polskiej tradycji pobożnościowej jako Ogrójec. Tam, w Ogrodzie Getsemani, zdał sobie sprawę z tego, że wkrótce zostanie pojmany, i modli się do Boga, aby Bóg Go utwierdził na chwile męki i na chwile śmierci. Rzeczywiście tam zostaje pojmany, a stało to się za przyczyną Judasza, jednego z dwunastu Apostołów, który Jezusa wydał. Pojmany Jezus zostaje zaprowadzony do pałacu arcykapłana Kaifasza. Tam wieczorem, wbrew żydowskiemu prawu, został przeprowadzony proces i sanhedryn orzekł, że winien jest śmierci. Tam Jezus został wtrącony do lochów i doczekał ranka. Rano wyprowadzono Go z pałacu Kaifasza do pałacu Piłata, do twierdzy Antonia, i tam robiono naciski na namiestnika rzymskiego Piłata, aby ten zatwierdził wyrok śmierci wydany przez sanhedryn. Z oporami Piłat się na to zgodził. I wydawszy Jezusa na śmierć kazał Go ubiczować, oraz polecił Go ukoronować cierniem. Wyglądało na to, że może w ten sposób wzbudzi litość tych, którzy tam byli zebrani na dziedzińcu pałacu, i może przestaną wołać „Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj Go!". Wiemy też, że kiedy dał im do wyboru: Jezusa bądź Barabasza, który był pospolitym przestępcą, to lud zgromadzony na dziedzińcu pałacu Piłata wybrał Barabasza. Jest to jeden z przykładów tego, co dzisiaj nazywa się socjotechniką, umiejętnością kierowania ludzkimi wspólnotami i grupami. Tak rozpoczęła się okrutna droga krzyżowa Jezusa Chrystusa. Ta droga krzyżowa zaprowadziła Go na górę, która nosiła nazwę hebrajską Golgota, a po łacinie znana była jako Kalwaria. I tutaj raz jeszcze przeczytajmy fragment opisu, który mają wszystkie Ewangelie, które podkreślają bardzo mocno to, że kiedy Jezus został przybity do krzyża, wtedy Jego konanie było stosunkowo krótkie.

Otóż krzyżowanie było w starożytności częste. Krzyżowano bardzo często niewolników. Była to kara bardzo okrutna. Takie największe ukrzyżowanie odbyło się w czasach powstania Spartakusa, kilkadziesiąt lat przed Jezusem Chrystusem, kiedy to na rzymskiej Via Appia ukrzyżowano kilkadziesiąt tysięcy zbuntowanych rzymskich niewolników. Człowiek ukrzyżowany cierpiał na krzyżu nieraz bardzo długo. Zdarzało się też, że kiedy chciano kogoś uśmiercić przez śmierć krzyżową, to nie przybijano go tylko przywiązywano go do krzyża po to, żeby nie tracił krwi i dłużej się męczył. Zatem były takie śmierci krzyżowe, które trwały po 2 - 3 dni. I wtedy cała rozpaczliwa sytuacja ukrzyżowanego polegała na tym, że zbiegało się ptactwo i pastwiło się nad tym ukrzyżowanym człowiekiem.

Mówię o tych wszystkich okrutnych realiach nie po to, żeby pobudzać naszą wyobraźnię i ciekawość,

ale po to, żebyśmy zdali sobie sprawę z tego najbardziej fundamentalnego faktu — Jezus naprawdę umarł, i to w ogromnym upodleniu. Ci, którzy na Niego patrzyli, widzieli, że jest to haniebna śmierć, przed którą się wzbraniali, od której odwracali oczy. Wiemy, że kiedy Jezus wisiał na krzyżu, jeden z rzymskich żołnierzy podał mu gąbkę umaczaną w occie. Nie była to wcale pomoc dla Jezusa. Ten ocet, kiedy dotknął ust czy twarzy, która przecież była poraniona, był straszliwie piekący. Jeżeli więc Jezus na krzyżu mdlał, to ta gąbka z octem winnym powodowała, że mimo woli się wzdragał, odzyskiwał świadomość. I chciano po prostu, żeby Jego męczarnia trwała dłużej, i żeby umierał świadomie. I wreszcie około dziewiątej godziny dnia, po trzech godzinach wiszenia na krzyżu, Jezus skonał. Według naszej rachuby czasu była to trzecia godzina po południu. I wtedy, kiedy Jezus skonał, trzeba zwrócić uwagę na bardzo ważną rzecz. Mianowicie setnik rzymski, czyli dowódca żołnierzy, którzy pilnowali egzekucji, musiał być przeświadczony, że skazaniec zmarł. Mógł bowiem np. zapaść w jakiś taki stan śmierci prawie klinicznej, czy podobny. Dlatego istniał zwyczaj, że aby się upewnić, że ktoś zmarł, aby go dobić, przebijano wiszących na krzyżu włócznią. I podobnie postąpiono z Jezusem, również Jezus został przebity włócznią. Co więcej – istniał jeszcze jeden sposób. Przykro mi, że muszę te wszystkie szczegóły mówić, ale to jest niesłychanie ważne dla naświetlenia okoliczności zmartwychwstania. Mianowicie uderzano mieczem w nogi wiszących skazańców, w golenie, łamano nogi, i wtedy ciało opadało do dołu. I jeżeli nawet ten człowiek jeszcze żył, to wtedy już się dusił i umierał. W przypadku Jezusa nie łamano Mu nóg, bo po wbiciu włóczni widziano, że Jezus na pewno umarł.

Dlaczego z takimi szczegółami opisuję państwu okoliczności tej śmierci? Dlatego, że zawsze pojawiają się tacy specjaliści od socjotechniki i od oszustw, którzy opierają swój sprzeciw wobec zmartwychwstania Jezusa Chrystusa na tym, że Jezus nie umarł. I także w tych latach, dosłownie w ub. roku, 1998, pojawiła się książka dwóch amerykańskich Żydów, którzy napisali, że z Jezusem było tak, że popadł w letarg. A kiedy ciało zdjęto z krzyża, to złożono Go w chłodnym grobie. A tam na skutek chłodu doszedł do siebie, a następnie wyszedł z Jerozolimy i udał się do Indii. Otóż żeby w starożytności udać się z Jerozolimy do Indii, trzeba było mieć nie lada zdrowie. I pewnie po takiej męce i wiszeniu na krzyżu wymagałoby to nie lada trudu, nie lada pomocy. Ale proszę zauważyć, że ciągle nie brakuje ludzi, którzy chcąc wzbudzić jakąś sensację albo bardziej jeszcze — chcąc wzbudzić wątpliwości w ludzkich sercach — gotowi są za wszelką cenę przekręcać Ewangelię. I dobrze jest, że wszyscy czterej ewangeliści bardzo mocno podkreślają te właśnie realia, te okoliczności śmierci Jezusa Chrystusa.

I zauważmy teraz tę sprawę z drugiej strony. Otóż Jezus na pewno umarł. A ponieważ umarł późnym popołudniem, około godziny trzeciej, zatem zanim przystąpiono do czynności pogrzebowych, to musiało upłynąć znów co najmniej kilkadziesiąt minut. Otóż jeden z obecnych tam faryzeuszy imieniem Nikodem poprosił o to, aby Piłat wydał mu ciało Jezusa. Tzn. niezupełnie Piłat tylko setnik, ale setnik był przedstawicielem Piłata. Normalnie biorąc było tak, że ciała skazańców były pozostawiane na krzyżu, i wtedy przez kilka dni budziły – jeżeli tak można powiedzieć – odrazę i jednocześnie strach i lęk wśród tych, którzy tam przechodzili. Albo też ciała skazańców były zdejmowane i wyrzucane byle gdzie — w każdym razie nie dopuszczano do sprawienia im pogrzebu. Nikodem poprosił, aby oddano mu martwe ciało. Ale zbliżało się żydowskie święto szabatu, dzień szabatu i to w tym roku wyjątkowo uroczysty, bo połączony ze świętem Paschy. I pozostało bardzo mało czasu, aby złożyć ciało Jezusa do grobu. Nam chrześcijanom po 2000 lat to wszystko wydaje się trochę dziwne. Bo przecież, jeżeli w naszych warunkach ktoś umiera w sobotę czy w niedzielę, to dokonujemy wszystkich niezbędnych posług wokół tego człowieka. Natomiast u Żydów po dzień dzisiejszy w ortodoksyjnym judaizmie jest zupełnie inaczej. Szabat jest takim dniem, w którym powstrzymują się absolutnie od wszystkiego, a zwłaszcza od czynności pogrzebowych. Do tego trzeba dodać jeszcze jeden niuans. Wszystko to, co mówię, to są rzeczy bardzo trudne, bardzo przykre, ale w końcu są częścią ludzkiego życia. Mianowicie w żydowskiej perspektywie, z żydowskiego punktu widzenia, każdy kontakt z ciałem zmarłego oznacza zaciągnięcie tzw. rytualnej nieczystości. To jest pojęcie, które dla nas, chrześcijan, jest zupełnie obce. Natomiast Żydzi kładą na to ogromny nacisk. Są wyznaczeni specjalni ludzie do tego, żeby troszczyć się o ludzkie ciało po śmierci. Natomiast nawet rodzina unika kontaktu z tym ciałem, pozostawiając je tym specjalistom. Wszystko to mówię po to, żebyśmy zrozumieli z jakim pośpiechem składano ciało Jezusa do grobu. Ten grób znajdował się bardzo blisko, mniej więcej w odległości 40 - 50 m od miejsca, gdzie Jezus został ukrzyżowany.

Ta bliskość byłą czymś normalnym, bo nigdy nie troszczono się o to, żeby ciała skazańców chować bardzo uroczyście. Zatem ciało Jezusa zostało owinięte tylko w takie żałobne płótno i pośpiesznie złożone w grobie, który sąsiadował z tą górą. A wszystko dlatego, żeby przed szabatem zdążyć z tymi czynnościami.

I popatrzmy teraz na to z drugiej strony. Proszę zauważyć, że tam pod krzyżem — mówimy o tym bardzo często i państwo doskonale o tym wiedzą — pod krzyżem nie ma najbliższych uczniów Jezusa. Nie ma Piotra, nie ma pozostałych Apostołów. Judasz w tym czasie przeżywa udrękę i wkrótce popełnia samobójstwo. Natomiast pod krzyżem był tylko św. Jan, jeden z uczniów Jezusa, dlatego, że był bardzo młody i nie groziły mu żadne represje. Ale Jan był jeszcze chłopcem, nie miał zapewne 13 lat. Miał gdzieś 11 - 12 lat, a więc był z naszej perspektywy dzieckiem. Z żydowskiej perspektywy był już dorastającym chłopcem. Zauważmy więc, że tych, którzy towarzyszyli Jezusowi przez całe 3 lata, w tym decydującym momencie losu Jezusa Chrystusa, to znaczy przy Jego śmierci, zabrakło. Co z tego wynika? Wynika z tego sprawa, która daje nam sporo do myślenia. Mianowicie, że oni tak naprawdę nie spodziewali się zmartwychwstania! Nie wiedzieli, na czym ono polega. Nie wiedzieli, co to takiego. I nie wiedzieli, co to znaczy. Dla nas to jest dziwne, bo ktoś z państwa może powiedzieć; Ale przecież widzieli tyle cudów! Uczestniczyli przez trzy lata w działalności Jezusa! Ale tu musimy dodać rzecz niezwykle ważną. Czym innym jest widzieć nawet mnóstwo niezwykłych rzeczy, natomiast czymś zupełnie innym jest stanąć wobec tajemnicy cierpienia i śmierci bliskiego człowieka, zwłaszcza człowieka, z którym wiążemy jakieś nadzieje. Otóż cierpienie i śmierć, a zwłaszcza śmierć w upokorzeniu, to jest tak ogromny wstrząs, że nie sposób jest, żeby człowiek z góry wiedział, że na pewno zda w tym czasie egzamin. Otóż cierpienie i śmierć, zwłaszcza kogoś bliskiego i — podkreślam — kogoś, z kim wiążemy nasze nadzieje na przyszłość, jest to dramat, którego skutków nie można przewidzieć, ani nawet nie można sobie wyobrazić. To prawda, że Apostołowie chodzili razem z Jezusem. To prawda, że pamiętali jego cuda, pamiętali jego znaki. Nawet więcej — to prawda, że pamiętali zapowiedzi męki i śmierci. Ale czymś innym jest pamiętać i wiedzieć, że śmierć przyjdzie. Natomiast czymś zupełnie innym jest ją przeżywać. I tu ja myślę, że każdy z nas będzie musiał wcześniej czy później tę perspektywę sprawdzić na sobie. Bo czym innym jest mówienie o cierpieniu, a czym innym jest przyjęcie cierpienia, i zmaganie się z cierpieniem własnym i najbliższych.

Pozostaje faktem, że Apostołów nie ma. Co oni przeżyli wcześniej? Wcześniej najważniejsze, najbardziej decydujące rzeczy, które przeżyli, to były trzy wskrzeszenia. Wskrzeszenie chłopca, syna ubogiej wdowy z Naim nieopodal Góry Tabor, wskrzeszenie dwunastoletniej dziewczynki, córki Jaira, a więc takiej już dorastającej panny, i wskrzeszenie Łazarza. Zauważmy jednak, że wskrzeszenie to jest powrót człowieka do tego samego życia. To znaczy kłopot polega na tym, że człowiek wskrzeszony musi jeszcze raz umrzeć. Pozostaje tajemnicą jak wyglądało życie tych trojga, o których słyszymy na kartach Ewangelii. Nie potrafimy na ten temat nic powiedzieć. Ale skoro raz przeszli przez śmierć, musieli jeszcze kiedyś w przyszłości bliższej czy dalszej znowu umrzeć. Zauważmy, że teraz Jezus umarł i Apostołowie zdawali sobie sprawę, że żaden z nich nie ma takiej władzy, żeby wskrzesić Jezusa z powrotem do tego życia. Bo to, czego Jezus dokonywał, było absolutnie wyjątkowe. Zatem śmierć Jezusa na krzyżu uznali za porażkę. Więcej — uznali ją za koniec! Uznali, że całe te trzy lata były piękne, wspaniałe, pełne ładnych nauk i pełne wzniosłych czynów, ale zakończyły się tragicznie, również tragicznie dla nich. I zapewne Apostołowie cieszyli się, że w tej sytuacji zdążyli uchronić i ocalić swoje życie.

Zatem ciało Jezusa zostaje złożone do grobu. I teraz posłuchajmy:

> W pierwszy dzień tygodnia poszły niewiasty skoro świt do grobu, niosąc przygotowane wonności.

Mamy tutaj w tym zdaniu wiele wątków. Otóż wątek pierwszy to ten, że musimy zatrzymać się raz jeszcze nad rachubą czasu. Zatem w piątek po południu Jezus umarł i został pogrzebany. Został pogrzebany pośpiesznie. Groby żydowskie wyglądają inaczej niż nasze. Nie grzebie się do ziemi, tylko w starożytności grzebie się w pieczarach układając ciało w specjalnej niszy. I tam, owinięte w płótno, ono po prostu leży. Ci, którzy byli najbliższymi Jezusa, wiedzieli, że wspaniałe życie i okrutna śmierć sprawiły, że nie doczekał się należytego pogrzebu. Szabat rozpoczyna się

wraz z zachodem słońca w piątek. Zatem w piątek już nic nie można było zrobić. W sobotę nic nie można było zrobić. Szabat skończył się z zachodem słońca w sobotę. Ale nie poszli wtedy do grobu, bo była po prostu noc, było ciemno i nikt przy zdrowych zmysłach nie chodził w nocy na cmentarz, do grobowca. Ale z chwilą, kiedy zrobiło się widno, o brzasku w niedzielę rano, w pierwszy dzień tygodnia po szabacie — Żydzi nazywają go jom liszom, *dzień pierwszy* — kobiety udają się do grobu, aby dopełnić czynności pogrzebowych. Zauważmy, że kobiety też nie oczekują zmartwychwstania. Kobiety chcą namaścić ciało. Był bowiem taki zwyczaj, i po dzień dzisiejszy jest, że o ciało zmarłego należy zadbać bezpośrednio po jego śmierci. Jednym z elementów było namaszczenie tego ciała wonnościami. Zauważmy, że te kobiety, o których tutaj mowa, musiały być bardzo mocno do Jezusa przywiązane, jeżeli wykorzystały pierwszą nadarzającą się sposobność, aby pójść do grobu, i już na trzeci dzień po Jego śmierci zająć się jeszcze tymi czynnościami przy ciele.

Zauważmy, że tymi kobietami kierowało uczucie przywiązania, wierność. I zauważmy, że w tej konfrontacji kobiet, które towarzyszyły Jezusowi, i Apostołów, mężczyzn, którzy z Nim byli, teraz po śmierci Jezusa wszystko przechyla się na korzyść kobiet. Okazało się, że decydujące znaczenie mają nie przeżycia, nie argumenty, nie rozum, nie racje, tylko decydujące znaczenie ma uczucie, ma miłość, ma przywiązanie, ma wierność. To jest bardzo znacząca sprawa. Mianowicie człowiek jest niepodzielny, ale w człowieku są rozmaite strony i struny. I raz dochodzi w nas do głosu rozum. Kiedy indziej dochodzą w nas do głosu uczucia – i to różne uczucia. I jedno i drugie jest niesłychanie ważne.

Kobiety idą, aby namaścić wonnościami ciało Jezusa.

Kamień od grobu zastały odsunięty.

Otóż znów musimy sobie wyjaśnić. Mianowicie do grobu wchodziło się tak, jak się wchodzi do małej komnaty. Trzeba się było nisko pochylić i następnie wchodziło się do pieczary. W związku z tym przed wejściem do grobu był umieszczony kamień. Ale nie taki sobie kamień z pola, tylko kamień okrągły. I ten okrągły kamień przylegał do ścian grobowca. Taki kamień zachował się w Jerozolimie niedaleko hotelu Króla Dawida. Co ciekawe, zachował się dokładnie z czasów Jezusowych przy grobowcu, który był wykorzystywany przez setki lat. I kiedy ktoś przychodził do tego grobu, to ten kamień odtaczał. A kiedy odchodził, to go zataczał z powrotem. A więc trzeba było ten kamień toczyć w jedną, bądź drugą, stronę. Kobiety martwią się, kto im ten kamień odtoczy. Boją się, że same są za słabe, aby mogły sobie z tym kamieniem poradzić.

A skoro weszły, nie znalazły ciała Pana Jezusa.

I tutaj dochodzimy do drugiej sprawy, która dotyczy Zmartwychwstania Pańskiego, i która staje się przedmiotem nieprzychylnych komentarzy. Mianowicie w Ewangelii św. Mateusza czytamy, jak postąpili ówcześni przywódcy żydowscy, zwłaszcza faryzeusze, ci, którzy skazali Jezusa na śmierć. Mianowicie wezwali żołnierzy rzymskich, dali im dużo pieniędzy, i następnie polecili im rozpowiadać: „Jego uczniowie przyszli w nocy i wykradli ciało, gdy myśmy spali". I ewangelista dodaje, że: „Rozeszła się ta plotka wśród Żydów i trwa aż po dzień dzisiejszy". Tu dochodzimy do tego, że za pieniądze można kupić prawie wszystko. Otóż za pieniądze można kupić fałszywe zeznania, można pozyskać przychylność. I w tym przypadku przekupiono również strażników po to, żeby mówili to, czego ci religijni przywódcy żydowscy chcieli. Zauważmy więc, że może dojść do tego, że człowiek nie zwraca uwagi, nie przejmuje się tym, czy było coś niezwykłego, czy nie. Chce za wszelką cenę przeforsować swój punkt widzenia. I jeżeli fakty temu przeczą, to tym gorzej dla faktów. I w tym przypadku ta plotka, która rozniosła się pomiędzy Żydami, bardzo mocno opłacona, jest jednym z takich przykładów, kiedy nie zawsze zależy ludziom na dochodzeniu do prawdy. Natomiast zawsze zależy na tym, żeby przepchnąć swój punkt widzenia i swoje zapatrywania.

Kobiety więc ciała Jezusa nie znalazły.

Gdy wobec tego były bezradne, stanęło przed nimi dwóch mężczyzn w lśniących szatach.

Zauważmy — z jednej strony mamy bezradność kobiet, które nie wiedzą, co się stało. Przyszły z całym oprzyrządowaniem, z wonnościami. Chciały być użyteczne przy tej ostatniej posłudze, chciały mieć spokój sumienia, że wykonały wszystko, co potrzebne — a tu ciała nie ma! I teraz dochodzi do objawienia. Mianowicie patrzą na dwóch mężczyzn w lśniących szatach i:

> Przestraszone, pochyliły twarze ku ziemi, lecz tamci rzekli do nich: «Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych? Nie ma Go tutaj; zmartwychwstał.

Zauważmy, że wieść o zmartwychwstaniu nie jest prostą pochodną, prostym rezultatem stwierdzenia, że nie ma w grobie ciała Jezusa — bo z tego jeszcze zmartwychwstanie nie wynika. Można bowiem poprzestać na tym, co głosili ci Żydzi, którzy nakazali opowiadać, że ciało zostało wykradzione. Ale wieść o zmartwychwstaniu jest tutaj dziełem Objawienia Bożego. Jest tu od samego początku przedmiotem wiary.

Tak dochodzimy do — można by powiedzieć — krytycznego punktu naszych rozważań. Otóż te kobiety, które poszły do grobu, nie były wcale w lepszej sytuacji niż my, którzy tutaj jesteśmy.

Zmiana stron kasety

...żeby dojść do prawdy o Zmartwychwstaniu. Otóż o tym, co dokonało się w tym pustym grobie, one zostały pouczone przez samego Pana Boga. To sam Bóg objawił im tajemnicę pustego grobu, rozstrzygnął tajemnicę pustego grobu. Zatem dla wszystkich — od samego początku — zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa jest przedmiotem uwierzenia Bogu, bądź — nie uwierzenia. Jedni — tak jak te kobiety, tak jak Apostołowie — uwierzyli. Inni — tak jak owi przywódcy żydowscy, rozmaite autorytety żydowskie, tej wiary, tej wieści nie przyjęli. W tym nie ma nic dziwnego. Otóż tak jest zawsze. Przy rozmaitych okazjach podkreślam państwu, że cuda wcale nie muszą być argumentem na rzecz wiary religijnej. Człowiek może się ocierać o cuda i pozostać taki sam, jak przedtem. To jest prawda w tym, o czym słyszymy w przypowieści o bogaczu i Łazarzu. Mianowicie kiedy już ten Łazarz ma po śmierci lepiej, a bogacz ma bardzo źle, to bogacz zwraca się do Pana Boga i powiada: „Panie Boże, to poślij tam kogoś na ziemię" — to taki obraz — „żeby ostrzegł moich braci, żeby nie trafili tutaj, gdzie ja jestem". To ten bogacz jeszcze nie był taki zły, skoro zabiegał o zbawienie swojej rodziny. Na co Bóg odpowiada, że: „Mają Mojżesza, Prawo i przykazania, to niech według nich żyją". A bogacz powiada: „Nie, poślij kogoś, to ich przekona". I odpowiedź: „Nawet, gdyby ktoś z umarłych poszedł, to nie uwierzą". Otóż proszę zauważyć, że ta — jak nazywamy to mądrze — *apologetyczna* bądź *przekonująca* funkcja cudu nie jest wcale do końca oczywista. Otóż każdy człowiek, nawet ten, który doznaje wręcz cudownych rzeczy, cudownych przeżyć, musi dać wiarę Panu Bogu, albo też nie chce dać wiary Panu Bogu. A wtedy, kiedy nie daje wiary Panu Bogu, to gotów jest nawet największy cud przekręcić tak opacznie, i wytłumaczyć go tak po swojemu, że zatraci on jakikolwiek zbawczy sens.

Kobiety doświadczyły zatem objawienia Bożego. Mogły to objawienie przyjąć, ale mogły je również odrzucić. Mogły wyjść i powiedzieć, że oto przeżyły coś, co im się wydaje. Albo, że nie dają wiary temu, co usłyszały. Ta wieść, którą usłyszały w pustym grobie: „Nie ma Go tutaj; zmartwychwstał." Czy one wiedziały, co znaczy „zmartwychwstanie"? Obawiam się, że nie! Dlatego, że zmartwychwstanie jest tak radykalną nowością, czymś tak nowym, że wykracza to absolutnie poza porządek naszego świata. My chrześcijanie, chociaż od 2000 lat mówimy o zmartwychwstaniu Pana Jezusa i wyznajemy je, też nie bylibyśmy w stanie tak łatwo przyjąć wiary właśnie w zmartwychwstanie. I kobiety też się wahają. Ale kiedy usłyszały tę wieść, usłyszały jeszcze słowa:

> Przypomnijcie sobie, jak wam mówił, kiedy był jeszcze w Galilei: „Syn Człowieczy musi być wydany w ręce grzeszników i ukrzyżowany, lecz trzeciego dnia zmartwychwstanie"».

W ten sposób, proszę zauważyć, że tym składnikiem Bożego objawienia jest to, że przerzucany jest pomost pomiędzy sytuacją pustego grobu a nauczaniem Jezusa Chrystusa. Przypomnijcie sobie to, czego słuchałyście wtedy, kiedy towarzyszyłyście Jezusowi. Otóż Jezus powiedział, Jezus zapowiedział, że będzie umęczony, że umrze, i że trzeciego dnia zmartwychwstanie. I to objawienie Boże, skierowane do tych kobiet, jest znakiem, że oto te zapowiedzi się spełniły. Oto teraz powinniście zrozumieć, że życie Jezusa, że los Jezusa zatoczył pewien krąg. Jak one zareagowały:

> Wtedy przypomniały sobie Jego słowa i wróciły od grobu, oznajmiły to wszystko Jedenastu i wszystkim pozostałym.

Zauważmy, że dla kobiet decydującym świadectwem zmartwychwstania Jezusa było przypomnienie sobie słów Jezusa. Nie fakt pustego grobu, bo można go było objaśniać i pojmować inaczej. Ale przypomnienie sobie tego, że Jezus to zapowiedział, i oto teraz zaczyna się to spełniać. I kobiety wracają do Jedenastu. Dwunastego już nie ma, bo się powiesił. Zatem oznajmiają to uczniom Jezusa.

> A były to: Maria Magdalena, Joanna i Maria, matka Jakuba; i inne z nimi opowiadały to Apostołom.

To są te trzy kobiety: Maria, Joanna i Maria, matka Jakuba. One pierwsze, jak świadczy o tym Łukasz, stały się świadkami zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Nie mężczyźni, nie Apostołowie, ale właśnie kobiety. Czyli w tej konfrontacji z Jezusową męką i śmiercią zwyciężyły nie argumenty, nie rozum, ale uczucie i przywiązanie.

Jak zareagowali Apostołowie?

> Lecz słowa te wydały im się czczą gadaniną i nie dali im wiary.

Proszę zauważyć, że nie jest to komplement dla Apostołów. Otóż okazuje się, że pusty grób nie był wystarczająco wymowny dla Apostołów. Nie dali wiary kobietom. W ogóle w starożytności, i dzisiaj na Bliskim Wschodzie świadectwo kobiet nie ma wielkiego znaczenia. Żeby to potwierdzić, chociaż przykro mi o tym mówić, to u Żydów ortodoksyjnych kobieta nie może być świadkiem w sądzie. Świadectwo kobiety się nie liczy, musi być mężczyzna. I tak jest od tysięcy lat. Apostołowie też nie biorą tego świadectwa kobiet na serio. Zauważmy więc, że męka i śmierć były takim dramatem dla nich, że nie mogą się z niego otrząsnąć. Ale jedno jest również ważne. Mianowicie oni po męce i śmierci się nie rozpierzchli! Oni trzymają się razem. I w tym miejscu czytamy:

> Jednakże Piotr wybrał się i pobiegł do grobu; schyliwszy się, ujrzał same tylko płótna. I wrócił do siebie, dziwiąc się temu, co się stało.

Od zdziwienia do wiary to jest bardzo daleko. Piotr się zdziwił: zobaczył płótna, zobaczył pusty grób. A przecież pamiętajmy, że był jednym z trzech, którzy na Górze Tabor oglądali przemienionego Jezusa. Tam był Piotr, Jakub i Jan. Mógł sobie to przypomnieć. Ale ta śmierć, ta męka, wywarły na nim tak ogromne wrażenie, że Piotr zapomniał o tym, co przeżył.

I w tym miejscu pojawia się nowy składnik, nowy element. Gdybyśmy tu zakończyli Ewangelię, to mniej więcej stan rzeczy byłby taki. Kobiety chciały namaścić ciało Jezusa. Przyszły do grobu, ale ciała nie było. Miały objawienie, że Jezus zmartwychwstał. Powiedziały to Apostołom. Ci wątpili. Piotr postanowił sprawdzić — zobaczył, że grób jest pusty i dziwił się temu, co się stało.

I oto dochodzimy do drugiego czynnika zmartwychwstania.

> Tego samego dnia dwaj z nich byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej sześćdziesiąt stadiów od Jerozolimy.

czyli około dwanaście kilometrów.

> Rozmawiali oni z sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali z sobą, sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi. Ale oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali.

Zaczynamy ocierać się o tajemnicę. Jezus idzie z dwoma uczniami, którzy dobrze Go znali, ale oni Go nie poznają! Czy dlatego, że On jest inny? Ewangelista dodaje, że oczy ich były niejako na uwięzi. Nie — to w nich dokonało się jakieś zahamowanie. To oni w ogóle nie liczyli się z możliwością,

że ktoś taki jak Jezus mógłby im towarzyszyć. Może w tym człowieku rozpoznali kogoś podobnego do Jezusa i dziwili się, że ktoś tak podobny idzie razem z nimi, ale nie przyszło im do głowy, że może to być sam Jezus? A może po prostu ciało Jezusa po zmartwychwstaniu wyglądało jakoś tak inaczej, że w żadnym wypadku nie mogli Go rozpoznać? Dochodzimy tutaj do pytań, na które nie jesteśmy w stanie dać odpowiedzi.

> On zaś ich zapytał: «Cóż to za rozmowy prowadzicie ze sobą w drodze?» Zatrzymali się smutni. A jeden z nich, imieniem Kleofas, odpowiedział Mu: «Ty chyba jesteś jedynym z przebywających w Jerozolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach stało». Zapytał ich: «Co takiego?» Odpowiedzieli Mu: «To, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i nasi przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali. A myśmy się spodziewali, że właśnie On miał wyzwolić Izraela. Tak, a po tym wszystkim dziś już trzeci dzień, jak się to stało.

Trzeci dzień — czyli ta niedziela, trzeci dzień po szabacie.

> Nadto jeszcze niektóre z naszych kobiet przeraziły nas: były rano u grobu, a nie znalazłszy Jego ciała, wróciły i opowiedziały, że miały widzenie aniołów, którzy zapewniają, iż On żyje. Poszli niektórzy z naszych do grobu i zastali wszystko tak, jak kobiety opowiadały, ale Jego nie widzieli».

Sam pusty grób nie wystarczy do wiary w Zmartwychwstanie! Ci dwaj uczniowie idący z Jerozolimy do Emaus pamiętali, wiedzieli o tym, co opowiadały kobiety. Tym nie mniej opuścili Jerozolimę, bo nie widzieli w tym mieście już dla siebie dłużej miejsca. Udają się poza miasto, prawdopodobnie tam, gdzie mieszkali. Do dzisiaj w Emaus jest kościół, a w kościele pokazywane są pozostałości domu Kleofasa. Zatem wracają, są rozczarowani, zgorzkniali, smutni. Pusty grób pozostał w Jerozolimie i cała sprawa Jezusa wydaje się zamknięta.

> Na to On rzekł do nich: «O nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swojej chwały?» I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykładał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego.

Możemy sobie oczami wyobraźni próbować wyobrazić tę scenę. Dwóch uczniów smutnych, wątpiących, zdesperowanych oraz ów tajemniczy nieznajomy, który cały czas opowiada im o Starym Testamencie, o proroctwach, o cierpiącym Słudze Pańskim, o Synu Człowieczym, który miał cierpieć. Oni słuchają, ale nic się w nich nie dzieje. Popatrzmy: można ludziom bardzo dużo tłumaczyć o Bogu. Ale między argumentami i perswazją, a wiarą, istnieje przepaść. Wiara jest czymś innym, niż pochodna argumentacji. Do Pana Boga nie dochodzi się na drodze perswazji ani przekonywania. Szybciej dojdzie się do Niego poprzez wnętrze, poprzez duchowość, poprzez modlitwę. Brzmi to trochę banalnie, ale dokładnie tak jest. Otóż jeżeli ktoś mówi, że nie wierzy, nie przekonamy go do Boga i do Bożych spraw naszą perswazją. Trzeba próbować trafić do niego inaczej. Odkryć w nim samym obecność tej iskry, którą później można by rozniecić w wielki ogień. Ci dwaj słuchają, ale z tego jeszcze niewiele wynika.

> Tak przybliżyli się do wsi, do której zdążali, a On okazywał, jakoby miał iść dalej. Lecz przymusili Go, mówiąc: «Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił». Wszedł więc, aby zostać z nimi.

Co by było, gdyby poszedł ów tajemniczy nieznajomy? A co by było, gdyby oni Go nie naciskali, żeby z nimi pozostał? Zapewne rozeszliby się, a oni doszliby do wniosku, że dobrze zna Pisma — i nic ponadto. Dlatego, że oni naciskali, to On pozostał. W tych sprawach duchowych i Bożych trzeba umieć naciskać na Pana Boga, trzeba umieć być wytrwałym. Bo może być tak, że nieraz ocieramy się o rzeczywistość Bożą, ale jeżeli brakuje nam wytrwałości, tej wytrwałej cierpliwości, to może się okazać, że to coś ważnego przechodzi obok nas, a my jesteśmy zajęci swoimi sprawami.

I raz jeszcze potwierdza się również waga cnoty gościnności. Ponieważ oni byli gościnni i zatrzymali swojego rozmówcę, to całe to wydarzenie przybrało zupełnie nowy obrót. Gdyby nie byli gościnni i nie byli Nim zainteresowani, prawdopodobnie nigdy byśmy nie wiedzieli, że coś podobnego się wydarzyło.

> Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy się im otworzyły i poznali Go, ale On zniknął im z oczu.

Zauważmy, że poznali Go podczas Eucharystii. Jezus im się ukazał. Takie ukazywania się zmartwychwstałego Jezusa noszą w języku teologicznym nazwę *chrystofanie*, od Christos i fanija — *ukazywanie się, objawienie się.* Jezus im się ukazał, ale oni Go nie rozpoznali. Rozpoznali Go dopiero z chwilą Eucharystii. Popatrzmy — w ten sposób ewangelista kładzie nacisk na silny związek Eucharystii ze zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa. To właśnie Eucharystia, w której dokonuje się przemiana chleba i wina w Ciało i Krew Pańską, jest objawieniem, ukazaniem, ponowieniem trwałej obecności Zmartwychwstałego Pana. W ten sposób ewangelista Łukasz chce nam wszystkim, którzy to czytamy, powiedzieć, że *i ty jesteś uczniem zdążającym do Emaus i rozpoznającym Jezusa zmartwychwstałego wtedy, kiedy bierzesz udział w Eucharystii.* To właśnie w Eucharystii obecność Chrystusa nabiera absolutnie wyjątkowego znaczenia. Jezus jest naprawdę obecny.

I zauważmy, że kiedy połamał chleb, odmówił błogosławieństwo, rozdawał go im mówiąc „Bierzcie i jedzcie" — jest to wszystko terminologia, słownictwo eucharystyczne. Wtedy

> On zniknął im sprzed oczu.

Tam, gdzie jest Eucharystia, Jezus nie musi objawiać się w inny sposób. Eucharystia jest Jego najpełniejszym objawieniem w każdym pokoleniu. I doświadczono tego już na trzeci dzień po śmierci Jezusa Chrystusa. Tak więc od tego momentu Eucharystia staje się znakiem obecności Zmartwychwstałego Pana. Nie można zrozumieć zmartwychwstania, zrozumieć to nie tyle – uwierzyć w zmartwychwstanie, przyjąć orędzie zmartwychwstania, bez Eucharystii. Otóż Eucharystia jest najkrótszą drogą do Zmartwychwstałego.

> I mówili nawzajem do siebie: «Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?»

Wtedy byli tylko zainteresowani słowem Jezusa. A teraz Eucharystia dopełniła tego, co najważniejsze. Mianowicie wzbudziła wiarę w Jego zmartwychwstanie.

> W tej samej godzinie wybrali się i wrócili do Jerozolimy. Tam zastali zebranych Jedenastu i innych z nimi, którzy im oznajmili: «Pan rzeczywiście zmartwychwstał i ukazał się Szymonowi». Oni również opowiadali, co ich spotkało w drodze, i jak Go poznali przy łamaniu chleba.

Zatem mamy dwa świadectwa o zmartwychwstaniu, z których żadne nie byłoby dostatecznie przekonujące. Pusty grób — ale możliwe są też inne interpretacje pustego grobu, i ukazywania się Zmartwychwstałego. Ale może się okazać, że oto Jezus nam się ukazał, przeżyliśmy spotkanie z Nim — i przeszedł mimo, bośmy Go nie rozpoznali! Zatem pozostaje to, co decydujące — Eucharystia.

I kończąc — jedno jest pewne. Że mając na względzie to, co powiedzieliśmy, każde pokolenie chrześcijan jest w takiej samej sytuacji, jak ci uczniowie zmierzający do Emaus. I że każde pokolenie chrześcijan, kiedy przeżywa Eucharystię, rozpoznaje obecność Zmartwychwstałego Pana. I po zmartwychwstaniu nie należy już oczekiwać na jakąś nową, radykalną interwencję Bożą. To właśnie w Eucharystii pozostał z nami do skończenia świata. I właśnie Eucharystia, jak wyznawaliśmy to 12 lat temu podczas Kongresu Eucharystycznego w naszej ojczyźnie, jest świadectwem, że Jezus do końca nas umiłował, bo jako Zmartwychwstały z nami pozostał.

Tyle refleksji, którą przygotowałem dla państwa dzisiaj. Mam nadzieję, że pasuje do okoliczności Świąt Wielkanocnych, które obchodziliśmy. Mam również nadzieję, że będzie dla nas sposobnością do tego, aby głębiej przeżywać Eucharystię i aby podczas komunii św., którą przyjmujemy, w szczególniejszy sposób doświadczyć bliskości Zmartwychwstałego Jezusa. Następna konferencja biblijna odbędzie się znów w piątek, dnia 7 maja.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

1.8 Znaczenie Zmartwychwstania dla nas (7 maja 1999)

Bardzo serdecznie państwa witam na naszym majowym spotkaniu, które przypada w porze trochę odbiegającej od normalnej. Otóż w tym roku przedmiotem naszych rozważań były przypowieści Jezusa. Jednak za wyjątkiem konferencji ostatniej, kwietniowej, kiedy to zatrzymaliśmy się nad zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa, nad prawdą o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, kiedy próbowaliśmy zgłębić biblijne korzenie tej prawdy, próbowaliśmy dociekać tego, co znaczy zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. I po tamtej konferencji sprzed kilku tygodni zostałem poproszony o to, żeby ten temat jeszcze raz podjąć odchodząc od przypowieści zatem. I żeby zastanowić się nad tym, *jakie prawda o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa ma znaczenie dla nas wierzących.* Co to znaczy, że jeżeli Chrystus zmartwychwstał, to jest fundament naszej wiary — o tym wiemy. Ale co to znaczy w przełożeniu na tych, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa? I myślę, że ta sugestia jest bardzo interesująca, ciekawa i dobra, i rzeczywiście zwłaszcza dla tych z państwa, którzy byli w kwietniu, pociągnięcie tej *biblijnej teologii zmartwychwstania,* ale teraz w odniesieniu do nas, może być bardzo interesujące i zarazem bardzo pożyteczne. Bo jeżeli wyznajemy w wierze, że Bóg wskrzesił Jezusa Chrystusa, i że Jezus nie powrócił — o czym doskonale wiemy — do tego doczesnego życia, tylko żyje w zupełnie nowy sposób, to jakie to ma znaczenie dla wszystkich wierzących, którzy z Jezusem związali swój los, a zatem jakie to ma również znaczenie dla nas?

Tutaj chciałbym uwrażliwić państwa na dwa aspekty tej problematyki, z których tak naprawdę rzadko zdajemy sobie sprawę, ale obydwa są bardzo ważne. A mianowicie zauważmy, że miliony i miliardy wierzących w Jezusa Chrystusa, zatem naszych braci i sióstr, którzy żyli w minionych stuleciach, już umarło. Zatem jak się ma los tych, którzy zmarli, do losu naszego, tzn. tych, którzy nadal żyjemy. Ciekawe, że te sprawy zajmowały niegdyś umysł apostoła Pawła. A zajmowały dlatego, że podobne dylematy, podobne problemy i wyzwania pojawiały się w tych wspólnotach wierzących, w których św. Paweł głosił swoją Ewangelię. Otóż wróćmy najpierw do spraw i rzeczy najbardziej podstawowych. Zatrzymamy się na początek na 15 rozdziale *1 Listu św. Pawła do Koryntian.* Jeżeli ktoś z państwa brał udział w konferencjach biblijnych jakieś 2, 3 lata temu, poświęconych poszczególnym Kościołom, pamięta, że wtedy jedna z tych konferencji była poświęcona Kościołowi w Koryncie. Korynt leży w Grecji. Paweł dotarł tam mniej więcej w 53 r., czyli 20 lat po śmierci i po zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Dotarłszy do Koryntu przebywał tam przez półtora roku. Przez półtora roku można dość dobrze poznać miasto i jego mieszkańców. Paweł pozyskał w Koryncie dla wiary wielu ludzi. Powstał tam bardzo silny, bardzo prężny Kościół, licząca się i dobra wspólnota wierzących w Jezusa Chrystusa. Paweł odniósł duże sukcesy apostolskie w tym właśnie Koryncie, który w tamtych czasach słynął z rozpusty, wyuzdanego sposobu życia — dlatego, że było to miasto portowe. Zresztą powiedzenie o Koryncie pozostało do dzisiaj. I w tym trudnym miejscu Paweł głosił Ewangelię, a po jakimś czasie po jego wyjeździe ci, których nawrócił na wiarę w Chrystusa, skierowali do niego list z prośbami, aby im wyjaśnił rozmaite trudne kwestie i trudne pytania. Oczywiście te kwestie i pytania dotyczyły chrześcijańskiego sposobu życia. I w odpowiedzi na to wszystko, mniej więcej 3.5 - 4 lata później św. Paweł z Efezu, w dzisiejszej Turcji, napisał 1 List do Koryntian. I w tym liście do Koryntian wykłada fundament wiary. I odnosi się również do tego, o czym dzisiaj powiedzieć chcemy, mianowicie do zmartwychwstania. Posłuchajmy:

> Przypominam wam bracia, Ewangelię, którą wam głosiłem, którą przyjęliście i w której też trwacie.

Zwróćmy uwagę, że życie chrześcijańskie ma to do siebie, i znajomość Ewangelii ma to do siebie, że trzeba do niej powracać, że trzeba rozwijać swoją wiedzę, trzeba ją pogłębiać. Tak, jak w rozmaitych dziedzinach życia staramy się pogłębić swoją wiedzę i staramy się — jeżeli tak można powiedzieć — specjalizować się coraz dokładniej, czytamy i rozwijamy się, tak również podobny rozwój jest konieczny w przypadku wiary religijnej. Jeżeli bowiem człowiek zatrzyma się w zgłębianiu swojej wiary, to grozi mu nie tylko stagnacja, ale grozi regres. Cztery lata po swoim nauczaniu w Koryncie Paweł przypomina Ewangelię, którą głosił. Otóż przypominanie ma to do siebie, że mówi się rzeczy znane, ale w okolicznościach nowych. A nowe okoliczności rodzą nowe wyzwania i nowe potrzeby. I okazało się, że wśród tych nowych wyzwań i potrzeb, na jakie natrafił Apostoł Paweł, było pytanie o zmartwychwstanie i było pytanie o życie wieczne. Trudno

się bowiem dziwić tym pierwszym chrześcijanom, że interesował ich los po śmierci. Przecież są to tzw. *pytania egzystencjalne.* Co prawda samo to określenie – pytania egzystencjalne – pojawiło się w naszym stuleciu i ukuł je myśliciel niemiecki Heideger, ale przecież zaczynamy — każdy z nas — rozumieć i wraz z wiekiem doceniać to, że są w naszym życiu pytania fundamentalne, pytania życiowe czyli takie, które dotyczą bezpośrednio naszej egzystencji, na które wciąż poszukujemy odpowiedzi. I jeżeli tę odpowiedź znajdujemy to wiemy, że ta odpowiedź może nas nawet trzymać przy życiu. I jedno w tych pytań dotyczy sensu naszego życia, a także naszego losu po śmierci. I Paweł przypomina Ewangelię nawróconym w Koryncie, którą przyjęli, i w której trwają. Mówi tak:

> Przez nią również będziecie zbawieni, jeżeli ją zachowacie tak, jak wam głosiłem.

Rzeczywiście, drodzy państwo, Ewangelia jest mocą i siłą do zbawienia. Nie znaczy to, że ludzie innych religii czy innych wyznań nie będą zbawieni. Otóż zbawiony będzie przez Boga każdy człowiek, który żyje wedle głosu swojego sumienia. Zatem nawet ci, którzy Boga nie znają. A nawet — i to jest paradoks — zapewne ci, którzy w Boga nie wierzą. Ale nie wierzą według najlepszego stanu swojego sumienia, które nie zostało znieprawione, czy też w jakiś sposób zepsute złem. Nawet ci ludzie znajdują się na drodze do Boga. Otóż wielokrotnie podkreślaliśmy w tych konferencjach i gdzie indziej to, co jest stałym nauczaniem Kościoła i co wynika z Pisma Świętego bardzo klarownie. A mianowicie, że *akt zbawienia świata i człowieka zasadza się i wynika z aktu stworzenia!* Otóż u początku miłości Bożej względem człowieka jest to, że zaistnieliśmy i żyjemy jako ludzie. A zatem każdy człowiek jest przedmiotem Bożej miłości i Bożej troski. Każdy człowiek jest zatem przedmiotem zbawienia i każdy człowiek jest powołany do zbawienia. Z tego powodu istnieje jakaś fundamentalna solidarność wszystkich ludzi. Jest to solidarność w grzechu niestety, w grzechu pierworodnym. Ale na tej samej zasadzie jest to również solidarność w łasce i solidarność w zbawieniu.

Na czym więc polega specyficzne życie chrześcijanina? Skoro wszyscy ludzie mogą być zbawieni, jeżeli żyją w zgodzie ze swoim sumieniem, to dlaczego warto i trzeba być chrześcijaninem? Otóż wartość chrześcijańskiego życia polega na tym, żebyśmy dawali wiarygodne świadectwo Jezusowi Chrystusowi. Przyjąwszy Jego Ewangelię stajemy się znakiem zbawienia, stajemy się poręką zbawienia, stajemy się zaczynem zbawienia, i powinniśmy stawać się znakiem tej zbawczej obecności Boga w świecie. To jest trudne i bardzo wzniosłe. Ale przecież nic, co jest wzniosłe, nie przychodzi łatwo ani nie można tego wyrazić w bardzo prostych formułach. Otóż Paweł przypomina chrześcijanom nawróconym przez siebie, że mocą ku zbawieniu jest przyjęcie Ewangelii, i życie, które jest z nią zgodne. I dalej:

> Chyba żebyście uwierzyli na próżno.

I teraz zacznie się ciekawa myśl. Bo zauważmy, że tutaj św. Paweł zaczyna dokonywać tego, co moglibyśmy nazwać *racjonalizacją wiary.* Najpierw mówi swoim wierzącym, swoim przyjaciołom, swoim nawróconym tak: Na pewno zostaniecie zbawieni mocą Ewangelii. A teraz dodaje: Chyba żebyście uwierzyli na próżno. Kiedy człowiek mógłby uwierzyć na próżno? Kiedy nasza wiara mogłaby się obrócić niejako przeciwko nam? Co powoduje, że nasza wiara mogłaby nie przynieść nam zbawienia? Tutaj dochodzimy do tego, co jest rozstrzygające w Liście św. Pawła, i co jest rozstrzygające w naszej dzisiejszej refleksji. Otóż *fundamentem skuteczności naszej wiary jest zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa.* Gdyby, jak za chwilę usłyszymy, Jezus nie zmartwychwstał, to całą nasza wiara jest pozbawiona sensu, to wtedy byśmy uwierzyli na próżno.

Proszę zauważmy, że tutaj dochodzimy do czegoś, co jest niesłychanie ważne. Mianowicie chrześcijanie, czyli wierzący w Jezusa Chrystusa, różnią się od innych wierzących w Boga, od Żydów i muzułmanów, a także od innych ludzi religijnych wszystkich pozostałych religii tym, że wyznajemy zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Mogą nas poruszać Jezusowe cuda. Mogą nas poruszać Jezusowe przypowieści i Jego nauczanie. Możemy podziwiać Jezusa jako wspaniałego nauczyciela, jako człowieka wielkiej wiary i wielkiej mocy. Możemy podziwiać Jezusa jako człowieka dobrego, jako mistrza. Możemy się wzruszać okolicznościami Jego przyjścia na świat. Możemy się wzruszać Jego drogą krzyżową i męką. Możemy się przejmować Jego śmiercią. Ale — i teraz muszę powiedzieć

dosadnie — wszystko to byłoby na próżno, gdyby Jezus nie zmartwychwstał. Na świecie bowiem stale istnieli, i po dzień dzisiejszy istnieją wspaniali nauczyciele wiary. Istnieją osoby, które potrafią porwać tłumy, i to nieprzebrane tłumy. Istnieją tacy, którzy potrafią dokonywać wręcz cudów. Są wreszcie tacy, którzy pięknie przemawiają, i którzy tworzą coś na kształt Jezusowych przypowieści. Są ludzie, którzy rodzą się w okolicznościach podobnych do Jezusowych, tzn. w nędzy i ubóstwie. Są ludzie, którzy cierpią jeszcze więcej, niż cierpiał Jezus. Bo Jego męka trwała kilkanaście godzin, natomiast męka niektórych ludzi jest rozłożona na tygodnie i miesiące. Są ludzie, którzy doznali jeszcze okrutniejszej śmierci. I moglibyśmy powiedzieć, że z tego punktu widzenia Jezus stał się uczestnikiem losu milionów ludzi. Ale nie podziwiamy Jezusa wyłącznie za to. Ani nie to powoduje, że jesteśmy chrześcijanami. Otóż jesteśmy chrześcijanami dlatego, że wyznajemy Jego zmartwychwstanie. A przez to wyznajemy Jezusa jako prawdziwego człowieka i prawdziwego Boga. Zatem żeby być chrześcijaninem — i to nas odróżnia od wszystkich innych — trzeba wyznawać bóstwo Jezusa Chrystusa. Bóg, który stał się człowiekiem w Jego osobie, to jednocześnie Bóg, który objawia bogactwo Swojego wewnętrznego życia. Bo objawia się nam i ludzkości jako Ojciec, Syn i Duch Święty. Żadna inna religia nie uczy o Bogu jedynym w Trójcy Świętej. Muzułmanie wyznają jedynego Boga. Żydzi wyznają jedynego Boga. Są inne religie wyznające jedynego Boga. Ale dla nas tą istotą wiary jest rozeznanie o Bogu, jakie mamy dzięki wcieleniu Syna Bożego. I wyznajemy Boga, który jest w Trójcy Świętej jedyny. A fundamentem, odniesieniem dla tej wiary jest Jezusowe zmartwychwstanie. Uwierzylibyśmy zatem na próżno, gdybyśmy tej prawdy o zmartwychwstaniu nie przyjęli.

I tutaj musimy wspomnieć o pewnym bolesnym paradoksie. Jak państwo dobrze wiedzą, od czasu do czasu są przeprowadzane rozmaite ankiety socjologiczne. Odpowiedzi bywają tam takie, jakie są pytania. Niektóre pytania są zadawane z kluczem tak, że one ukierunkowują odpowiedź. Ale co jest ciekawe — kiedy przepytano wierzących katolików w Polsce kilka lat temu, czy wierzą w Boga, odpowiedzieli: „Tak". Czy wierzą w Synostwo Boże Jezusa Chrystusa — już był mniejszy procent. A na końcu pojawiło się pytanie: „Czy wierzysz w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa?" I spośród tych, którzy deklarowali się jako chrześcijanie, tylko nieco ponad 60% przyznało, że wierzy w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. I ta ankieta objawia jedną z największych słabości wiary w naszej ojczyźnie. Mianowicie, że wielu ludzi deklaruje się jako chrześcijanie nie zdając sobie sprawy z tego, co to do końca znaczy. Bo nie jest chrześcijaninem ten, kto wyznaje tylko jedynego Boga. Otóż pełna tożsamość i przynależność chrześcijańska to jest uznanie zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Z tego wynika również, że wielka musi być słabość naszego nauczania i wielka słabość przepowiadania Kościoła, jeżeli prawda o zmartwychwstaniu nie znalazła jeszcze miejsca do ludzkich sumień i do ludzkich umysłów. I okazuje się, że po prawie 2000 latach wierzący dzisiaj w naszej ojczyźnie mają zupełnie podobne wątpliwości, dylematy i rozterki jak te, które mieli koryntianie. Ale różnica polega na tym, że tamci żyli w połowie I wieku, a my żyjemy ponad 1900 lat później. „Chyba żebyście uwierzyli na próżno". Wygląda na to że ci, którzy deklarują się jako chrześcijanie, a nie uznają zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, jakby „wierzą na próżno".

Posłuchajmy dalej. Teraz Paweł próbuje podkreślić prawdziwość zmartwychwstania. Otóż dla tych z państwa, którzy brali udział w kwietniowej konferencji na ten temat, wszystko to, co powiemy, układa się w pewien ciąg spójny i zrozumiały. Paweł powiedział tak:

> Przekazałem wam na początku to, co przejąłem: że Chrystus umarł — zgodnie z Pismem — za nasze grzechy,

Proszę zatem zauważmy, że śmierć Jezusa w porządku natury nie różni się od męczeńskiej śmierci innych ludzi. Są ludzie, którzy po dzień dzisiejszy cierpią ponad miarę. Ktoś, kto ciężko i śmiertelnie choruje, Dzisiaj wojska NATO-wskie zrzuciły bombę na miasto Nisz. Zginęło 10 czy 11 osób, kilkadziesiąt jest ciężko rannych bo bomby, które zrzucono — też to jest barbarzyństwo i z punktu widzenia człowieka wierzącego żal ogromny, że nasz kraj bierze w czymś takim udział — były takie, które rozrywają ludzkie ciało. A więc specjalny jakiś sposób na zadawanie męczeństwa. Z tych kilkudziesięciu osób wiele będzie cierpiało do końca życia jako kalecy, oszpeceni, czy pozbawieni możliwości poruszania się, czy samodzielnego życia. Zauważmy, że ich cierpienie na tym porządku natury przewyższa cierpienie Jezusa Chrystusa. Jezus został pojmany w Wielki Czwartek późnym wieczorem i na drugi dzień, w piątek o 3 po południu zmarł. Cierpiał bardzo, ale są ludzie, którzy

cierpią więcej. Dlaczego więc mówimy o śmierci Jezusa? Mówimy o niej dlatego, z tego powodu, jaki wzmiankuje św. Paweł. Mianowicie: Chrystus umarł — zgodnie z Pismem — za nasze grzechy. Otóż śmierć Jezusa Chrystusa została zapowiedziana, była przeczuwana w Starym Testamencie, chociaż przed myślą o tej śmierci zawsze się wzbraniano. W Starym Testamencie, zwłaszcza w Księdze Proroka Izajasza mamy cztery pieśni o Słudze Pańskim. One bardzo realistycznie zapowiadają, malują śmierć Sprawiedliwego. Apostołowie znali doskonale te pieśni. Żydzi współcześni Jezusowi znali doskonale te pieśni. Ale okazało się, że w decydującej chwili nie rozpoznali, że oto teraz się spełniają. I zwróćmy uwagę, ze co najmniej kilkuset współczesnych Jezusowi Żydów uczestniczyło w zadawaniu Mu katuszy i męki. Apostołowie, którym wielokrotnie zapowiadał Swoją mękę i śmierć, w tym czasie decydującym uciekli.

Zatem śmierć Jezusa była zapowiedziana. Ale co innego znać zapowiedzi, a co innego przeżywać jakiś dramat. Możemy np. liczyć się z tym, że zachorujemy. Możemy wiedzieć, jakże ciężką sprawą jest np. choroba nowotworowa. Możemy mieć dobre rozeznanie o przebiegu tej choroby. Możemy przygotowywać się przez całe życie do zniesienia tego ciężaru, tej dolegliwości, która może nam się pojawić. Ale jak zareagujemy wtedy, kiedy taka ewentualność się urzeczywistnia, tego nikt z nas nie może być pewny. I na tym polega dramat, ale i szczęście, ludzkiego losu. Że przygotowując się do przyszłości, której nie znamy, nawet tej najcięższej — zapewne dobrze, że jej nie znamy. Bo będzie czas się z nią zmagać wtedy, kiedy ona nadejdzie.

Jezus umarł – zgodnie z Pismem – za nasze grzechy.

I właśnie tu śmierć Jezusa ma coś, co jest specyficzne wyłącznie dla niej. A mianowicie — że umierając tak, jak wielu innych, także cierpiących niewinnie, *śmierć Jezusa miała wartość zbawczą, miała wartość przebłagalną.* Ludzie zawsze wiedzieli, że jeżeli obrażamy Boga, to powinniśmy Go przeprosić. W Starym Testamencie żyli tą prawdą i, mało tego, spełniali tę właśnie świadomość. W Starym Testamencie istniał cały system składania ofiar. A pośród nich były ofiary, które po hebrajsku nazywały się aszam i były to ofiary przebłagalne. Przynoszono je do świątyni jerozolimskiej i składano po to, aby przebłagać Boga. Jezus usunął cały ten system ofiarny Starego Testamentu. Zwróćmy uwagę, że Jezus został powieszony na krzyżu w roku 30 bądź 33. I niecałe jedno pokolenie później, w roku 70, świątynia jerozolimska przestała istnieć. Ofiary przestały być składane, i do dzisiaj tego systemu ofiarniczego w Jerozolimie nie ma. Zatem ten stary porządek ustanawiania pokoju pomiędzy Bogiem i ludźmi przeobraził się w porządek nowy, ustanowiony przez Jezusa Chrystusa. Paweł podkreśla, że Jezus umarł za nasze grzechy. I o tym powinniśmy jako chrześcijanie pamiętać, bo to rzuca rozstrzygające światło na całe wydarzenie na Kalwarii:

że został pogrzebany, a zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem:

Zauważmy więc — śmierć Jezusa była realna i prawdziwa. Nie można zatem poprzestawać na rozmaitych bzdurach, o które nieraz nasi wierni pytają, przynosząc i pokazując książki pisane po to, żeby zarobić, z których miałoby wynikać, że Jezus nie umarł, że Jezus umarł tylko tak na niby, że półżywe ciało zostało zdjęte z krzyża. A potem udał się do Indii, albo do Nepalu, albo do Pakistanu. I tam dokończył swojego żywota, tam miał jeszcze wiele przygód. Otóż ludzka fantazja jest niewyczerpana. Można pisać co się chce, bo papier jest cierpliwy i wszystko przyjmuje. Problem polega na tym, że jeżeli chrześcijanin te wszystkie bzdury czyta i z tego tytułu ma wątpliwości, to znaczy, że nie zna dobrze swojej wiary. Nie wie nawet tego, co w tej wierze jest najważniejsze. Jezus umarł naprawdę i został pogrzebany — Paweł podkreśla to bardzo mocno. Że pogrzebano ciało Jezusa tak, jak się grzebie ciało każdego zmarłego. Ten obowiązek grzebania jest obowiązkiem, który spoczywa na ludziach niezależnie od tego, kim są. I zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem. Zatem wydarzenie zmartwychwstania również zostało zapowiedziane w Starym Testamencie. Ale nie sposób zapowiedzieć w pełni nowości tak radykalnej, jak zmartwychwstanie. Zatem zmartwychwstanie było tylko przeczuwane. Ludzie używali słów, których znaczenia do końca nie rozumieli. Bo i dla nas zmartwychwstanie nawet dzisiaj, po 2000 lat, wykracza daleko poza jakiekolwiek możliwości wyobrażenia. Nie sposób sobie wyobrazić czegoś, co tak różni się od doczesności i od tego porządku, w jakim żyjemy. Kiedy dochodzimy do zmartwychwstania, dochodzimy do progu tajemnicy, której dalej pogłębić, wytłumaczyć, zrozumieć, objaśnić nie sposób. Tu rozum

ludzki, tutaj człowiek musi uznać swoją porażkę. Tutaj stoimy na progu, poza którym jest tylko moc Boża. I dlatego prawda o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa jest bardzo trudna dla ludzi pewnych siebie, zadowolonych z siebie, pysznych i chełpiących się używaniem swojego rozumu. Tak było w starożytności. Kiedy Paweł udał się do Aten to wszedł w pobliżu Partenonu, słynnego Partenonu, na Aeropag. I tam zaczął głosić Boga. I słuchano go z entuzjazmem. Ale gdy dotarł do zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, wtedy

Zmiana stron kasety

... na zmartwychwstaniu rozbija się wiara wielu ludzi. Że ci, którzy polegają na własnym rozumie, tu zmartwychwstania przełknąć ani przyjąć nie mogą. To jest przedziwne, ale właśnie w prawdzie o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa widać najlepiej to, czy człowiek przyznaje jakieś miejsce i jakąś rolę w świecie samemu Bogu, którego moc wykracza poza nasze możliwości poznawcze, a nawet więcej — poza nasze wyobrażenia. I dalej napisał Paweł:

> Jezus ukazał się Kefasowi,

czyli Piotrowi,

> a potem Dwunastu, później zjawił się więcej niż pięciuset braciom równocześnie; większość z nich żyje dotąd, niektórzy zaś pomarli.

Otóż Paweł powołuje się nie na pusty grób — dlatego, że grób może być pusty na rozmaite sposoby. Paweł powołuje się na to, co przed kilkoma tygodniami nazwaliśmy *chrystofanie* czyli *ukazywania się zmartwychwstałego Jezusa Chrystusa.* Jego objawienia się najbliższym. Piotr, Dwunastu, a potem więcej niż pięciuset braci równocześnie. Otóż te ukazywania się po zmartwychwstaniu stanowiły potwierdzenie tej nowej sytuacji Jezusa. Wspominaliśmy, że były to ukazywania przedziwne. One odbiegały od tego doczesnego porządku. Dwaj uczniowie – mówiliśmy o tym – szli do Emaus, rozmawiali z Jezusem, wyrażali swoje wątpliwości, ale poznali Jezusa po łamaniu chleba. Dlaczego nie poznali Go wcześniej? Nie wiemy! Porządek doczesny i porządek wieczny to są dwa różne od siebie porządki. Między pierwszym a drugim istnieje, na szczęście dla nas, bariera, której przekroczyć nie sposób. Czujemy zatem jakąś tajemniczą więź z naszymi bliskimi, którzy przeszli na drugą stronę życia. Ale zarazem jest coś, co powoduje, że ta granica, jaką jest śmierć, nigdy nie może zostać przekroczona, póki sami przez nią nie przejdziemy. I zapewne właśnie to zabezpiecza nas w tym życiu. Gdyby Bóg urządził świat tak, iż byśmy żyjąc tu na ziemi mieli jednocześnie ogląd nieba, to zapewne nie moglibyśmy żyć ani dobrze, ani długo, ani szczęśliwie. Bo używając jakichś ludzkich obrazów można by powiedzieć tak. To byłoby tak, jak gdyby dać człowiekowi największe bogactwa, największe piękno, największe możliwości — a następnie mu je zabrać i kazać mu żyć w sposób, który z tamtym nie ma nic wspólnego. Otóż między wiecznością a doczesnością jest ta bariera która powoduje, że nie możemy doznawać tej wieczności, bo byśmy nie byli w stanie żyć normalnie. Przypomnijmy sobie — jeden jedyny raz trzej Apostołowie doświadczyli tej niezwykłości. Było to na Górze Tabor wraz z przemienieniem Jezusa. I kiedy tam Jezus ukazał rąbek swojej niebiańskiej chwały, to natychmiast Piotr zawołał: Panie zbudujemy trzy namioty, jeden dla Ciebie, drugi dla Mojżesza, trzeci dla Eljasza. A ewangelista dodaje: Nie wiedział bowiem co miał mówić. I zapewne z każdym z nas byłoby właśnie tak. Zatem nasz los po zmartwychwstaniu pozostaje dla nas nieznany, bo taki być musi. Gdybyśmy go doświadczyli, to zapewne nie moglibyśmy normalnie funkcjonować.

Paweł zwraca uwagę na to, że Jezus ukazywał się swoim uczniom. Ale jednocześnie podkreśla, że te ukazywania należą do przeszłości. To nie będzie tak, że w każdym pokoleniu Jezus będzie się ukazywał potwierdzając jak gdyby swoje zmartwychwstanie. Aczkolwiek, dodajmy tutaj, że są wierzący w Jezusa Chrystusa, którzy doznają Jego szczególnej obecności. Widać to na przykładzie beatyfikowanego w niedzielę Ojca Pio, który przez większość swojego życia miał na rękach i na nogach stygmaty, czyli nie gojące się, krwawiące rany, które pojawiły się same w tych miejscach, w których przebite były nogi i ręce Jezusa Chrystusa. To jest na pewno cud. We Włoszech, gdzie znano stygmatyka, Ojciec Pio był tak popularny, że przybywały do niego dziesiątki i setki tysięcy

ludzi. W jego beatyfikacji wzięło udział ponad milion ludzi. A zgromadzić milion Włochów w jednym miejscu nie jest sprawą prostą. Otóż musieli doświadczyć tej niezwykłości. Ale dlaczego o tym mówię? Czy usunęło to ateistów albo wątpiących? Czy gdyby zobaczyli Ojca Pio z jego stygmatami, to by się nawrócili i zmienili swój sposób życia? Nie! Można ocierać się o cud, i pozostać sobą. Otóż siła wolnej woli, jaką ma człowiek, jest przemożna. Gdyby Jezus ukazał się dzisiaj w Warszawie raz jeszcze tak, jak kiedyś ukazywał się Piotrowi, to i tak jedni pojechaliby na weekend, drudzy by oglądali telewizję, inni wykorzystali bilety do teatru, jeszcze inni poszli na spacer z psem — aczkolwiek byliby na pewno i tacy, bardzo liczni, dla których byłoby to decydujące przeżycie w życiu. Zauważmy, że taka jest przedziwna tajemnica ludzkiego losu. Zatem wiedząc o tym musimy mieć na względzie to, że cud nie jest koronnym argumentem na rzecz wiary. Najważniejsze jest to, co wydarza się we wnętrzu człowieka, i co jest w sumieniu człowieka. Można być człowiekiem głębokiej wiary nie doświadczywszy nigdy żadnego cudu. I można ocierać się o cuda i pozostawać poza progiem religijnej wiary. Apostoł Paweł napisał dalej tak:

> Potem ukazał się Jakubowi, później wszystkim apostołom. W końcu, już po wszystkich, ukazał się także i mnie jako poronionemu płodowi.

Paweł nawiązuje tutaj do swojego doświadczenia życiowego, kiedy jeszcze był Saulem albo Szawłem, prześladowcą Jezusa Chrystusa. Nazywa siebie „poronionym płodem". Otóż ta samokrytyka to nawiązanie do prześladowań, które zgotował tym, którzy wierzyli w Jezusa Chrystusa. Jemu pod Damaszkiem objawił się Chrystus, pamiętamy tę scenę. „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?" „Kto ty jesteś, Panie?" „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz." I koniec. Szaweł oślepł, zaprowadzono go do Damaszku. Przez trzy dni przeżywał szok, a po trzech dniach został ochrzczony przez chrześcijanina imieniem Ananiasz. Kiedy przejrzał udał się na pustynię, aby przemyśleć swoje życie. I tutaj nawiązuje do swojego doświadczenia. I nawiązując do swojego doświadczenia pojawia się pytanie: *Dlaczego mnie wybrałeś? Czy nie było lepszych?* To pytanie stawia sobie każdy, kto odczuwa powołanie Boże. I powinien sobie postawić każdy chrześcijanin, który staje wobec tego samego dylematu. Dlaczego mnie wybrałeś? Czy nie miałeś lepszych? I Paweł był pierwszym, który to doskonale przeczuwał. Otóż wybranie i powołanie jest niezasłużonym darem łaski. Zatem i nasza chrześcijańska tożsamość jest niezasłużona. Ludzie rodzą się w każdym zakątku świata, od biegunów po równik. Ale tylko $\frac{1}{5}$ ludzkości, może $\frac{1}{4}$, przychodzi na świat w chrześcijańskich warunkach i chrześcijańskim kontekście, gdzie ma pełną możliwość poznania Jezusa Chrystusa. Dlaczego my? Czy nie ma lepszych? Czy w innych religiach nie ma ludzi, którzy żyją po Bożemu i którzy zasługują na to, aby od samego początku, od chwili swoich narodzin być wszczepieni w śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa? Na pewno są! A więc jest ta tajemnica wybrania — na poziomie zbiorowym i na poziomie indywidualnym. Paweł napisał:

> Jestem bowiem najmniejszym ze wszystkich apostołów i niegodzien zwać się apostołem, bo prześladowałem Kościół Boży.

Znajomość własnego życia, pamięć o własnym życiu, to jest coś, czego nigdy nie powinniśmy się pozbywać. Otóż pamięć zabezpiecza to, kim jesteśmy. Nawet zło, nawet wina może być błogosławiona, jeżeli umiemy ją i chcemy wykorzystać z wykorzystaniem łaski Bożej. Paweł pamięta o swoim ciężkim doświadczeniu prześladowania chrześcijan. Ale pamiętając o tym czyni z tego właściwy użytek. Wie, że jest niegodzien nazywać się apostołem, ale zaraz dodaje:

> Lecz za łaską Boga jestem tym, czym jestem, a dana mi łaska Jego nie okazała się daremna;

Zauważmy, że z poczuciem grzeszności idzie w parze poczucie należytego wykorzystania łaski Bożej. I właśnie na tym polega pokora. Nie na fałszu o sobie, nie na pomniejszaniu siebie, nie na jakimś dezawuowaniu własnej wartości, ale na znajomości prawdy o sobie. A skoro są w naszym życiu ciemne strony, to zatem z całą pewnością trzeba liczyć na wsparcie łaski Bożej, dzięki której i te ciemne strony można przetworzyć ku dobremu. Dlaczego to jest ważne? Bo Paweł powiada, że ta zmiana, która się w nim dokonała, nastąpiła za przyczyną tego, iż przeżył ukazanie się Jezusa Chrystusa. *Zatem i korzeniem jego nawrócenia było zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa.*

Tutaj dochodzimy do czegoś bardzo osobistego. I być może jest to jakaś recepta na życie. Jeżeli przychodzą w naszym życiu jakieś chwile bardzo trudne, jeżeli przychodzi jakiś bardzo głęboki kryzys duchowy albo religijny, jeżeli przychodzi jakieś załamanie wartości, którymi do tej pory żyliśmy, jeżeli przychodzi coś, czego nie jesteśmy w stanie sami znieść — ważną jest rzeczą i wielką umiejętnością wyznawanie, nawet wbrew sobie, wiary w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, i taka modlitwa, której fundamentem, dla której oparciem jest właśnie ta wiara. Otóż człowiek, który przyzwyczaja się, który przywykł do prawdy o zmartwychwstaniu, łatwiej znosi wszystko inne. Dlatego, że jak powiedział na innym miejscu św. Paweł Apostoł, śmierć, choroba, cierpienie, trudności życiowe, przeciwności stają się wtedy nie końcem, ale stają się bramą. Stają się czymś przejściowym, a przez to samo całe nasze życie nabiera wymiaru doczesności. Proszę zwrócić uwagę, że największa trudność, także współczesnych ludzi, polega na tym, że oni absolutyzują istniejący porządek. I nawet jeżeli wyznają Pana Boga, to tak naprawdę nie wierzą, żeby poza tą granicą śmierci było jeszcze coś innego i coś więcej. Trzymają się więc — a dotyczy to każdego z nas — tego życia kurczowo tak, jak gdyby poza nim nie było już nic innego. A wtedy cierpienie, a wtedy śmierć staje się dramatem. Otóż cały sens chrześcijaństwa polega na tym, że oswaja nas z myślą o tym końcu, który jest bramą, a przez to samo relatywizuje ten istniejący porządek i uzmysławia nam, ze on jest doczesnością. Zatem z prawdy o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa wynika nasza wiara, niezłomna pewność, że istnieją dwa porządki: doczesny i wieczny. Jesteśmy osadzeni w tym jednym. Ale jesteśmy również ugruntowani i przeznaczeni ku temu drugiemu. Zatem kiedy ktoś odchodzi, także z naszych bliskich, to nie odchodzi w nicość. Ale w chrześcijańskim tego słowa znaczeniu powtarza on los Jezusa — umiera, jest pogrzebany po to, żeby zmartwychwstać.

Stąd — i proszę zwróćmy na to uwagę — w praktyce pogrzebu cały nacisk kładzie się na zmartwychwstanie. Zachęcając uczestników do tego, żeby ponad tym bólem, ponad cierpieniem, które przeżywają, umieli dostrzec perspektywę nową. I wbrew łzom i wbrew nadziei umieli przyjąć tę rzeczywistość nową. Żeby to osiągnąć, to trzeba do tego dorastać. Niczego, co wielkie, nie dostaje się za darmo. To wszystko przychodzi za cenę nieustannego ćwiczenia swojego własnego sumienia i swojego własnego „ja". Jeżeli tak się dzieje, to możemy wtedy zobaczyć chrześcijan, których śmierć jest odejściem — a więc jest rozłąką. Ale zostawia za sobą pasmo nadziei, które utwierdza tych, którzy zostają. Ze zmartwychwstania Jezusa Chrystusa pochodzi niezłomna nadzieja na to, że los tych, którzy umarli, i nasz los, będzie taki sam, jak los Jezusa.

Paweł napisał dalej: „jestem tym, czym jestem za łaską Boga, a dana mi łaska Jego nie okazała się daremna". Otóż łaska to jest coś, co uzyskujemy gratisowo, łaskawie czyli darmowo. Ale z darmowością nie należy mylić daremności. To, co otrzymujemy, powinniśmy uczyć wykorzystywać. I tutaj chciałbym na jeden wątek zwrócić uwagę. Na ten mianowicie, że jeżeli mamy w sobie wiarę w życie wieczne, jeżeli mamy w sobie wiarę w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, jeżeli z tego tytułu nie przeżywamy trudności, to to również jest łaska! I trzeba uczynić wszystko, aby ta łaska nie była daremna! Ale co to znaczy: „żeby nie była daremna"? Otóż żeby ta wiara wystarczyła nam i była nam siłą na ten czas, kiedy będziemy jej potrzebować. Nie wystarczy wierzyć w Boga, w życie wieczne, kiedy człowiek jest młody, zdrowy i piękny. Prawdziwa próba wiary przychodzi wtedy, kiedy trzeba nam doświadczyć tego, co trudne, ciężkie i bolesne. I proszę zwrócić uwagę, że bardzo różna jest starość ludzi, także chrześcijan. Że bardzo różne jest ich odchodzenie, i bardzo różna śmierć. A to wszystko, jeżeli uważnie będziemy obserwować życie, ma bardzo silny związek z jakością ich życia i jednocześnie z jakością, ze świadomością, z ich wiarą w zmartwychwstanie Jezusa i ich własne życie wieczne. Między jednym a drugim istnieje charakterystyczna wzajemność. Wzajemność, która jest nie do przecenienia. I dojrzałość tutaj otrzymuje się nie na skutek liczby lat, nie dzięki starości, tylko miarą dojrzałości jest ufna wiara. I pod tym względem nieraz dzieci i młodzi ludzie mają nam bardzo wiele do zaoferowania. I warto od czasu do czasu śledzić losy tych, którzy przeżywają te egzystencjalne dylematy bardzo wcześnie. Paweł kończy ten fragment słowami, które i dla nas będą zakończeniem dzisiejszego rozważania:

> pracowałem więcej od nich wszystkich, nie ja, co prawda, lecz łaska Boża ze mną.

Jeżeli Paweł doświadczył zmartwychwstania Jezusa Chrystusa, to miał obowiązek dawać mu świadectwo. Jezus wiele razy podkreślał, że nikt nie zapala światła i nie stawia go pod korcem. Nie może się też ukryć miasto położone na górze. *Nie możemy być chrześcijanami na nasz prywatny*

użytek. Powtarzam tysiące razy — *religia, religijność, wiara nie jest sprawą prywatną człowieka, jest jego sprawą osobistą. A ponieważ jest sprawą osobistą, to wychodzi poza sferę prywatności i nabiera charakteru publicznego.* Mamy obowiązek świadczenia o swojej wierze. Jeżeli go zaniechamy, to sprzeniewierzamy się swojej chrześcijańskiej tożsamości. Z tego wynika, że tak jak Paweł powinniśmy mówić: „Pracowałem. Pracowałem także nad tym, żeby dawać świadectwo swojej wierze." Ale dodać: „Nie ja, lecz łaska Boża ze mną."

Zauważmy, jakże głębokim człowiekiem musiał być Apostoł Paweł. Przeżył bardzo dużo, ale podzielił się swoim doświadczeniem. Warto dzielić się swoim doświadczeniem po to, żeby dzięki temu mogły się budować losy i życiorysy innych ludzi. Czasami, zwłaszcza kiedy nasze życie jest intensywne i bogate, trzeba odsłaniać coś z tego po to, co się przeżywało, aby inni mogli doświadczyć obecności Bożej. „Tak więc", kończy Paweł:

> czy to ja, czy inni, tak nauczamy i tak wyście uwierzyli.

Otóż tak nauczać to jest obowiązek chrześcijański. I tak wierzyć jest również obowiązkiem chrześcijańskim. *Punktem wyjścia naszej wiary jest zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Punktem dojścia naszej wiary jest zmartwychwstanie każdego z nas.* Skoro Chrystus zmartwychwstał, to i my zmartwychwstaniemy. Przeczytam już tylko dalsze słowa bez komentowania, bo idą dokładnie po tej linii i są, myślę, w tym kontekście zrozumiałe i jasne. Paweł napisał tak:

> Jeżeli zatem głosi się, że Chrystus zmartwychwstał, to dlaczego twierdzą niektórzy spośród was, że nie ma zmartwychwstania? Jeśli nie ma zmartwychwstania, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara. Okazuje się bowiem, żeśmy byli fałszywymi świadkami Boga, skoro umarli nie zmartwychwstają, przeciwko Bogu świadczyliśmy, że z martwych wskrzesił Chrystusa. Skoro umarli nie zmartwychwstają, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara i aż dotąd pozostajecie w swoich grzechach.
>
> Tymczasem jednak Chrystus zmartwychwstał jako pierwszy spośród tych, co pomarli. Ponieważ bowiem przez człowieka [przyszła] śmierć, przez człowieka [dokona się] też zmartwychwstanie. I jak w Adamie wszyscy umierają, tak w Chrystusie wszyscy będą ożywieni, lecz każdy według własnej kolejności. Chrystus jako pierwszy, potem ci, co należą do Chrystusa, w czasie Jego przyjścia. Wreszcie nastąpi koniec, gdy przekaże królowanie Bogu i Ojcu i gdy pokona wszelkie Zwierzchności, Władzę i Moc.
>
> A gdy już wszystko zostanie Mu poddane, wtedy i sam Syn zostanie poddany Temu, który Synowi poddał wszystko, aby Bóg był wszystkim we wszystkich.

Tak Paweł, wychodząc z własnego doświadczenia, nakreślił samą istotę wiary chrześcijańskiej. Mam nadzieję, że nasza dzisiejsza konferencja pomoże nam lepiej przeżyć dalszy ciąg okresu wielkanocnego. I przypomnieć nam jeszcze trzeba to, o czym mówiliśmy kilka tygodni temu podkreślając, że *znakiem obecności zmartwychwstałego Chrystusa jest Eucharystia.* Podczas Eucharystii uczniowie poznali Go przy łamaniu chleba. I również my mamy przedsmak zmartwychwstania wtedy, kiedy bierzemy udział w Eucharystii.

Dziękuję bardzo serdecznie za uwagę. Mam nadzieję, że te trudne sprawy stały się nam nieco bliższe — nie po to, żeby je wytłumaczyć, ale po to, żeby poznać głębię Pawłowego myślenia. A na kolejną konferencję biblijną zapraszam państwa w poniedziałek 7 czerwca. Będzie to ostatnia przed wakacjami konferencja biblijna. Wtedy już będzie w Polsce Ojciec Święty Jan Paweł II. Zatrzymamy się nad zwieńczeniem przypowieści Jezusa, albo być może zatrzymamy się nad taką refleksją dotyczącą podróży apostolskiej Ojca Świętego. Na koniec zachęcam do tego, żebyśmy pomodlili się za Jana Pawła II, który właśnie przebywa w Bukareszcie, w Rumunii.
Pod Twoją obronę . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

1.9 VII Pielgrzymka Ojca Świętego Jan Pawła II do Ojczyzny — pierwsze impresje (7 czerwca 1999)

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że próbuję robić konkurencję samemu Ojcu Świętemu bo w czasie, gdy mamy tutaj swoją konferencję, odbywa się nabożeństwo czerwcowe oraz uroczysta beatyfikacja w Toruniu. Otóż zazwyczaj przedmiotem naszej refleksji było Pismo Święte. Dzisiaj natomiast, zgodnie z wczorajszą zapowiedzią i kończąc tegoroczny cykl, chciałbym na gorąco podzielić się myślami na kanwie dotychczasowego pobytu Ojca Świętego w naszej ojczyźnie. I chciałbym wskazać na te myśli, na te wątki, które wydają się szczególnie ważne, i być może w świetle których należy odczytywać to późniejsze pielgrzymowanie Jana Pawła II. Myślę, że ponieważ takie chwile są naprawdę historyczne, to tego rodzaju refleksja bardzo nam się przyda. Otóż chciałbym wyjść od słów, które Ojciec Święty wypowiedział wtedy, kiedy w Sopocie wygłosił homilię, swoją pierwszą homilię, która stanowi niejako wstęp i klucz do pozostałych. Zwróciłbym również państwa uwagę na to, co jest niesłychanie ważne. Mianowicie, że Ojciec Święty przybywając do swojej ojczyzny i naszej ojczyzny, bo to przecież nasza wspólna ojczyzna, *jest tym razem wyjątkowo głęboko radosny.* Nie jest to tylko kwestia dobrego samopoczucia, czy lepszego samopoczucia.

Myślę, że powody tego są głębsze, i również na nie chciałbym zwrócić uwagę państwu. Przypomnijmy, że jest to siódma wizyta Jana Pawła II. I do znudzenia chciałbym przypomnieć, że pierwsza odbyła się w r. 1979, druga w 1983, trzecia w 1987 i że każda z tych trzech pierwszych pielgrzymek była inna. Pierwsza to była taka pielgrzymka niedowierzania i — można by powiedzieć — narodzin Solidarności. Druga to była pielgrzymka umacniania i pocieszania po stanie wojennym. Trzecia to była pielgrzymka, która nas przygotowywała do zmian społecznych i politycznych, jakie nastały. Natomiast czwarta pielgrzymka stanowiła w jakiejś mierze kres tamtych, i wyznaczyła coś nowego. Otóż Jan Paweł II — mówiliśmy o tym często, ale jeszcze raz na to wskażmy — kiedy przyjechał do ojczyzny w 1991 r. wtedy pytano go o drogę, o sposób życia. I Ojciec Święty wskazał jako drogę, jako sposób życia dziesięć Bożych Przykazań. I wtedy, kiedy przyjechał do Polski i jeździł od jednego miasta do drugiego i omawiał na poszczególnych stacjach poszczególne przykazania. I okazało się, że ta czwarta pielgrzymka pozostawiła po sobie pewien niedosyt, aby nie powiedzieć nawet pewien niesmak. Otóż w tamtej sytuacji, która była sytuacją transformacji, sytuacji, kiedy zrezygnowano z rozliczeń z przeszłością, w sytuacji tzw. grubej kreski, sytuacji prezydentury Lecha Wałęsy, sytuacji napięć społecznych, które były bardzo różne, otóż w tamtej sytuacji wytknięto niejako Ojcu Świętemu, że jego pielgrzymka w Polsce dużo kosztuje polskiego podatnika. Celowała w tym *Gazeta Wyborcza,* powtórzył to *Tygodnik Powszechny* — jest to zresztą jedno i to samo środowisko — i ta wyliczanka, że ta pielgrzymka jest kosztowna, bardzo papieża dotknęła. Efektem tego było również i to, że odstąpił od pierwotnego zamiaru krótkiego, dwu- czy trzydniowego wypoczynku w Tatrach. Napisano bowiem w gazetach, co Ojciec Święty przeczytał, że nie stać nas na finansowanie takich pobytów, bo jesteśmy krajem biednym. Sęk w tym, że ci, którzy to pisali, do biednych nie należą. Ojca Świętego bardzo to dotknęło. Dotknęło również i to, że jego słowa wzywające do wierności dziesięciu Przykazaniom zostały przekręcone, zostały później nieomal wyśmiane a papież przedstawiony jako ktoś, kto uczy drogi, która już poszła w niepamięć. Oto proszę posłuchać, co na temat tej pielgrzymki powiedział sam Ojciec Święty – a więc to nie będą moje słowa, tylko samego papieża – w książce „Przekroczyć próg nadziei". Myślę że w tej książce napisanej i wydanej w roku 1993/94 ten fragment, którego za chwilę posłuchamy, jest bardzo bolesny. Nie znam żadnej innej wypowiedzi papieża odnoszącej się do Polski i Polaków, gdzie byłoby tyle goryczy. Posłuchajmy, papież napisał (RW KUL, 1994, str. 60):

> Kiedy podczas ostatnich odwiedzin w Polsce wybrałem jako temat homilii Dekalog oraz przykazanie miłości, wszyscy polscy zwolennicy „programu oświeceniowego" poczytali mi to za złe. Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności *persona non grata*.

Zwróćmy uwagę, że w tej książce, wydanej we wszystkich językach świata, te słowa pojawiały się i były wszędzie odczytywane. Podczas ostatnich odwiedzin w Polsce polscy zwolennicy „programu oświeceniowego"! Widać tutaj głęboką gorycz papieża, że okazało się w 1991 r, że nie ma proroka we

własnym kraju — nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie. I Ojciec Święty w tej samej książce dopisał jeszcze fragment, który wyjaśnia nam korzenie tej sytuacji. Ten pierwszy fragment nie stał się przedmiotem należytego namysłu. Ten drugi — również. Proszę posłuchajmy tego drugiego fragmentu (RW KUL, 1994, str. 96):

> Wciąż na nowo Kościół podejmuje zmaganie się z duchem tego świata, co nie jest niczym innym jak *zmaganiem się o duszę tego świata.* Jeśli bowiem z jednej strony jest w nim obecna Ewangelia i ewangelizacja, to z drugiej strony jest w nim także obecna *potężna anty-ewangelizacja,* która też ma swoje środki oraz swoje programy i z całą determinacją przeciwstawia się Ewangelii i ewangelizacji. Zmaganie się o duszę świata współczesnego jest największe tam, gdzie duch tego świata zdaje się być najmocniejszy. W tym sensie Encyklika *Redemptoris missio* mówi o *nowożytnych areopagach.* Areopagi te to świat nauki, kultury, środków przekazu; są to środowiska elit intelektualnych, środowiska pisarzy i artystów.

Zwróćmy uwagę na słowa, które nigdy potem w Polsce aż do tej pory nie stały się przedmiotem rachunku sumienia. Papież zwrócił bowiem uwagę na te środowiska, skąd przychodzi kontestacja papieża i skąd przychodzi kontestacja Kościoła. To się oczywiście podobać nie mogło. W związku z tym w 94 i 95 roku atmosfera, zwłaszcza w środkach naszego masowego przekazu, m.in. w telewizji opanowanej przez partie polityczne, w gazetach wysokonakładowych, była bardzo nieprzychylna. Nie może nas zatem dziwić, że w 1995 r. nastąpił pewien impas. Otóż Ojciec Święty przyjeżdżał do Polski co cztery lata. Pamiętam jak ks. Stefan Roguski, kapelan szpitala na Banacha, w 1987 roku napisał taki transparent, który trzymano na Żwirki i Wigury: „Co 4 lata kochany Tata". Jest to rym, który ks. Stefanowi bardzo się podobał. Ale ten rym wyraża coś, co przez kilkanaście lat było pewnym cyklem — co 4 lata przyjeżdżał papież. I oto w 1995 r. przypadło cztery lata i Ojciec Święty nie przyjechał! A prawdę mówiąc przyjechał z potrzeby własnego serca. Mianowicie kiedy przebywał w Czechach, m.in. w Pradze, wtedy przyjechał na krótko, dosłownie na jeden dzień do Skoczowa w diecezji bielsko-żywieckiej. I ten pobyt jednodniowy pochodził z głębokiej potrzeby serca samego papieża. Natomiast w Polsce zabrakło wtedy silnych i mocnych głosów, które by się odcięły od tych wszystkich wyliczaczy kosztów papieskich pielgrzymek. I Ojciec Święty poczuł, jak mi się wydaje, jak gdyby między Polakami a nim powstała jakaś przepaść niezrozumienia. Wmówiono zapewne mu, że Polska, która przeszła czas transformacji, to jest inna Polska niż ta, która była wcześniej. Zatem to bardziej Polska „Gazety Wyborczej", niż Polska kardynała Wyszyńskiego czy kardynała Glempa. I w 1995 r. kiedy przyjechał, powiedział również te gorzkie słowa w Skoczowie, wzywając środki przekazu, gazety i intelektualistów do opamiętania.

Upłynęło potem dwa lata. W 1997 r. Ojciec Święty przybył powtórnie. Otóż przedmiotem jego rozważań miały być wtedy błogosławieństwa. Ale Ojciec Święty tych błogosławieństw za przedmiot rozważań – jak się okazało – nie wziął. Przedmiot rozważań w poszczególnych miejscach był inny. I dwa lata temu – można by powiedzieć – w różnych miejscach naszej ojczyzny, papież ominął wtedy Warszawę, czy to był przypadek – trudno powiedzieć. Ale przebywając w różnych miejscach naszej ojczyzny Ojciec Święty po pierwsze gorzej się czuł, niż się czuje teraz. A po drugie, kiedy patrzył na ten kraj i ten naród, to jakoś wewnętrznie – jeżeli tak można powiedzieć – po ponad siedmiu latach, jakie upłynęły od poprzedniej pielgrzymki, jakby przyzwyczajał się na nowo do swojego własnego kraju. I w pewnym sensie, jeżeli dobrze odczytuję to, co się wtedy wydarzyło, coś pękło w nas wszystkich w Zakopanem. Kiedy Ojciec Święty pojechał do Zakopanego i kiedy tamci górale powitali go z sercem, jakiego nie doznał przez ostatnie lata od swoich rodaków w takim wymiarze, wtedy coś pękło w nas wszystkich i pojawiła się jakaś tęsknota, żeby uzupełnić to wszystko, czego przez kilka lat zabrakło. I te pieśni góralskie, ta serdeczność góralska,i to pożegnanie z Tatrami, którego papież wtedy doświadczył stało się jednocześnie zachętą do tego, żeby rozpocząć nową pielgrzymkę.

I nie jest sprawą przypadku, że ta jest najdłuższa. Otóż Ojciec Święty, kiedy przybył i wylądował, był szczerze wzruszony. Jeszcze nigdy papież nie płakał na samym początku swojego pielgrzymowania. A w Gdańsku na lotnisku miał widoczne łzy w oczach i rzeczywiście płakał, kiedy usłyszał „Boże, coś Polskę" I ta pielgrzymka jest ważna, a oto okazało się, że ci wszyscy inżynierowie dusz, którzy próbowali zepchnąć Kościół na bocznicę i zająć jego miejsce po to, żeby

drążyć ludzkie sumienia, że oto uzmysławiają sobie własną porażkę. Okazało się bowiem, że Polacy po 10 latach transformacji trudnej i bolesnej, że dzisiaj są dojrzalsi, mądrzejsi, bardziej krytyczni i jednocześnie bardziej otwarci na papieża niż, powiedzmy sobie, w 1991 r. Nigdy jeszcze Polska nie witała papieża tak serdecznie. Nigdy jeszcze dzień po dniu nie było tak ogromnych tłumów. Przedtem witano papieża w telewizorach bardziej. Natomiast w tych dniach, choćby dzisiaj, bezpośredni kontakt z papieżem ma milion ludzi jednego dnia. To jest jakieś ożywienie, które na samym papieżu robi przeogromne wrażenie. I można by powiedzieć, że dokonuje się podczas tej pielgrzymki, w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu, głębokie pojednanie, a w pewnym sensie narodowy rachunek sumienia wobec papieża, który przyjeżdża do nas w nowych okolicznościach i ogląda, w pewnym sensie, nowych ludzi. Uważam, że ta pielgrzymka zatem jest bardzo ważna, bo proszę zauważyć, że tym razem już nikt nie wystąpił, kto wylicza koszty. Bo gdyby wystąpił, to z całą pewnością tylko by się ośmieszył. A jednocześnie jest i taki wątek, że papież już nie spotyka się z tymi tzw. intelektualistami. Przedtem spotykał się z nimi, i nasyłano mu różnych, którzy byli na pierwszych stronach gazet, a następnie krytykowali samego papieża i nauczanie Kościoła. Teraz papież spotyka się z tymi, którzy naprawdę mają autorytet. I jak powiedział dzisiaj rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego podczas pobytu Ojca Świętego na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, papież jest autorytetem w świecie autorytetów. To bardzo piękne wyrażenie, bo autorytetu nie buduje się od razu ani na siłę. Otóż te autorytety, które mieliśmy na przełomie lat 80-tych i 90-tych, już nie chcę wymieniać nazwisk bo one się bez przerwy powtarzały, zeszły zupełnie na bok. Po prostu wyczerpały swoje możliwości. Dzisiaj Ojciec Święty spotyka się z tymi, którzy rzeczywiście mają szacunek społeczny i którzy rzeczywiście cieszą się zasłużonym autorytetem. Jeżeli to weźmiemy pod uwagę, to zrozumiemy początek homilii Ojca Świętego wygłoszonej przedwczoraj w Sopocie. Rozpoczynając tę homilię Ojciec Święty powiedział tak:

> Wiem, że pozostanę, i to pozostanę nadal dla was wszystkich, dla waszego postępu i radości w wierze, aby rosła wasza duma w Chrystusie przeze mnie, przez moją ponowną obecność u was.

Po ponad 20 latach pontyfikatu Ojciec Święty daje nam poznać, że w nim, w jego osobie, w jego posłudze, którą on pełni ze skromnością i z największym oddaniem, że my wszyscy przeżywamy coś zaszczytnego i chlubnego. Papież daje nam poznać, że nie jest tak, jak wmawiali nam ci zwolennicy programu oświeceniowego, że oto przybywa wielki Polak, sławna osoba tak jak kompozytor czy dziennikarz. Nie! Daje nam poznać, że on naprawdę jest kimś wyjątkowym z powodu wyjątkowej posługi, jaką pełni. A jest to posługa Piotra naszych czasów. Zatem to jest światło, w jakim powinniśmy na niego patrzeć. I papież doskonale wie, bo to jest jego 87-a podróż apostolska, a odwiedził do tej pory 150 krajów, że w tych 150-u krajach wiedzą o Polsce, bo znają Jana Pawła II. I on przybywa do nas, i powiada do nas: „Cieszmy się razem!" On uważa za dar Boży to, iż jest papieżem. A nam powiada; „Oto macie tytuł do chluby, oto macie tytuł do chwały! Być może już ostatni." W nauczaniu Jana Pawła II widać wyraźnie nawiązanie do św. Pawła Apostoła. Podczas tej pielgrzymki do tej pory Jan Paweł II bez przerwy przytacza św. Pawła. A zwłaszcza cytaty, które pochodzą z trzeciej, ostatniej pielgrzymki św. Pawła po krajach Morza Śródziemnego. Tak, jak św. Paweł żegnał się ze wspólnotami, które założył, tak Jan Paweł II w tych rozmaitych miejscach naszej ojczyzny chce podkreślić, że jest tutaj i drugi raz już go tu nie będzie. Na pewno nie przyjedzie do Pelplina, na pewno nie będzie w Elblągu, na pewno nie będzie w Bydgoszczy, na pewno nie będzie w Toruniu. A więc przejściowość, ulotność tej chwili, i jednocześnie jej waga. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek przyjedzie do Polski, to przyjedzie zapewne już do innych miejsc niż te wszystkie, które znalazły się na szlaku jego pielgrzymowania.

I proszę zwróćcie uwagę, jak telewizja pokazuje papieża, jak on w tych poszczególnych miejscach żegna się z morzem, z polami, z miastem, pamięta realia, wspomina je, nawiązuje do dzieciństwa, do swojej młodości. I nawiązuje do tego, co sam przeżył. I można by powiedzieć, że jest to również taka pielgrzymka do ziemi jego młodości, do ziemi, z którą przychodzi mu teraz powoli na swój ludzki sposób się żegnać. Jest to pielgrzymka pełna głębokiego uczucia. Gdziekolwiek jest to widać, że przeżywa to bardzo. I widać, że tęsknił za tą ziemią. Ktoś, kto był dłużej za granicą, wie dobrze, że jeżeli za granicą coś się śni człowiekowi, to na ogół śni się w kontekście jego dzieciństwa i młodości. I przypuszczam, że papież ma zupełnie podobne sny. I teraz, kiedy jest w Elblągu

i wspomina o Kanale Elbląskim, kiedy jest w Bydgoszczy i wspomina o rzece Brdzie, kiedy jest w Sopocie i wspomina o Kaszubach, gdzie przebywał jako młody człowiek, to w tym wszystkim jest ogromny ładunek uczucia. I wierni, ludzie, Polacy, odwzajemniają mu tym samym. To znaczy jest to spotkanie milionów ludzi, dla których Jan Paweł II jest rzeczywiście autorytetem, tu nas nikt przekonywać nie musi. I wydaje mi się, że z każdym dniem ta atmosfera będzie coraz lepsza i coraz głębsza. I również kiedy przyjedzie do Warszawy, to i w Warszawie wiele się zmieni, i będzie to miasto, które połączy się w tym wspólnym powitaniu człowieka, który jest na pewno największym spośród tych, jakich wydała nasza ziemia.

Z wątków dotychczasowego papieskiego nauczania zwróciłbym uwagę na częste odwoływanie się do historii. Zwróćmy uwagę na to, że w ostatnich latach historia, historia Polski, również i historia XX wieku, została nieomal zapomniana. Otóż nie mówi się o przeszłości. Zrobiono grubą kreskę i z tej grubej kreski zdawało by się wynikać, że nasze życie rozpoczęliśmy w 89 roku. To, co było przedtem — się nie liczy. Doszło do tego, że ci, którzy przedtem byli myśliwymi, i ci, którzy byli zającami, jadą na jednym wózku. W związku z tym nastąpiło zafałszowanie historii. Co więcej — nawet okres Polski Ludowej bywa przedstawiany jako sielanka, i w związku z tym nie wydarzyło się nic wielkiego. Nawet ten czas obecności radzieckiej w Polsce bywa przedstawiany jako nieomal przebywanie w kurorcie. I to wszystko było w porządku. O Polsce, tej do 89 r., mówi się z uśmiechem, w kawałach. A okazuje się, że prawdziwe zagrożenia to były dopiero później. Utarło się już, że żeby do czegoś dojść to nie trzeba już być człowiekiem moralnym. Ukuł się już slogan, że aby być bogatym, to trzeba pierwszy milion ukraść. I wszyscy się przyzwyczaili do tego, że to funkcjonuje. Są również tacy, którzy wyznając tę ideologię ten pierwszy milion kradną, i rzeczywiście potem otaczają się gromadami ochroniarzy.

I papież przyjedzie do takiej Polski. Niektóre z pytań, które stawiano przed pielgrzymką, były żenujące. Np. „Tygodnik Powszechny" rozpisał ankietę: „Czego się boimy?" No i odpisywano przez całe miesiące, czego się boimy. Wyszło na to, że najbardziej boimy się Kościoła! My wierzący, boimy się tego, w co jesteśmy wpisani! Otóż papież odwraca tę logikę. I zamiast „Czego się boimy?" — tego w jego przemówieniach w ogóle nie ma — Ojciec Święty buduje nam perspektywy nadziei. I dzisiaj na spotkaniu z rektorami w Toruniu powiedział o tym najmocniej i najwyraźniej. Powiada tak:

> Jeżeli człowiek będzie budował przyszłość bez nadziei, to taka przyszłość obraca się przeciwko niemu samemu. Nadzieję można budować na Bogu.

A więc religia, wiara w Boga, jest tym fundamentem budowania nadziei. Można bowiem mieć wszystko, ale tracąc nadzieję traci się sens życia. Nadziei jednak nie bierze się z rękawa. I dlatego codziennie Ojciec Święty nawiązuje do przeszłości. Nawiązywał do niej w Sopocie, kiedy podkreślał, że jesteśmy bardzo blisko Stuthof i bardzo blisko miejsc martyrologii narodu polskiego. Nawiązywał do niej w Pelplinie gdzie przypomniał, że w okresie II wojny światowej zginęło kilkuset kapłanów zamordowanych za to, że byli księżmi polskimi. Przypomniał o tym w Bydgoszczy dzisiaj rano, kiedy większa część jego homilii była poświęcona przeszłości i totalitaryzmom. Odszedł rano papież od przemówienia, które miał napisane, i wypowiedział słowa, które zupełnie przeczą polityce grubej kreski. Mianowicie powiada, że trzeba spisać martyrologium męczenników XX wieku. Tak, jak w pierwszych wiekach pisano martyrologia męczenników, i z tych martyrologii my czerpiemy dzisiaj siłę, tak i XX wiek, naznaczony krwawymi totalitaryzmami, domaga się zapisu pamięci. Bez tego zapisu pamięci nie da się budować nic nowego. I zwrócił się papież, odchodząc od tego napisanego kazania, do episkopatów z zaleceniem, aby takie martyrologie były spisywane. Abyśmy nie zapomnieli tego, co przeżyliśmy. Aby się nie okazało, że II wojna światowa to było coś w rodzaju westernu. Że cały okres powojenny to była taka w gruncie rzeczy zabawa, bo nic złego się nie działo itd. Otóż ludzie naprawdę cierpieli. Ludzie byli prześladowani, ludzie byli krzywdzeni. Ludzie byli zabijani, ludzie byli wywożeni. Nasi rodacy też. Ludzie mieli złamane życiorysy, mieli złamane kariery. Nie mogli się uczyć, nie mogli awansować – jeżeli nie poszli na współpracę. Mieli złamane życie rodzinne, musieli nieraz emigrować. Załamywały się rozmaite ludzkie losy, i my nad tym wszystkim nie możemy przejść obojętnie. To nie jest przedmiot do kręcenia filmów rozrywkowych. Tylko nadal żyją ludzie dotknięci tym męczeństwem. I papież na to zwraca uwagę. I wydaje mi się, że teraz wielkim zadaniem Kościoła będzie podjęcie właśnie tego wątku i próba odświeżenia

pamięci o naszej najnowszej przeszłości. Nie możemy tego zapomnieć! Popatrzmy, jak Żydzi mówią o swojej martyrologii. Ile na ten temat napisali, jak dbają o symbole. I to ich trzyma! Jeżeli my rozmyjemy swoją tożsamość, jeżeli nam będzie wszystko jedno, co przeżyliśmy, to oczywiście przestaniemy być sobą bo nie można budować budowli bez fundamentów. I na to zwrócił papież uwagę w Sopocie, i zwrócił uwagę na to również wczoraj w Elblągu i wcześniej — w Pelplinie, kiedy zaznaczał, że aby budować dom, to trzeba najpierw wznieść fundament. A ten dom to jest dom rodzinny, ale dom ojczysty i Kościół również. A fundament to jest pamięć o przeszłości, pamięć o tym, czego żeśmy doświadczyli. Historia Polski nie zaczęła się w 1989 r., ona tylko wtedy nabrała nowego kierunku który, nawiasem mówiąc, z dzisiejszej perspektywy mógłby być zupełnie inny. I papież nam to przypomina. Nikt inny, według mojej wiedzy, tego w takim wymiarze w Polsce nie robi. Natomiast jeżeli ktokolwiek nawołuje do pamięci o przeszłości, to jest natychmiast ośmieszany i mówi się

Zmiana stron kasety

Zatem powrót do przeszłości. I zwróćmy uwagę również dzisiaj, kiedy będziemy słyszeli krótkie sprawozdanie z dzisiejszego dnia, ile tam jest nawiązań do przeszłości. Znajomość historii jest warunkiem, na którym można budować dopiero dalej. Papież w Sopocie powiedział też tak:

> Przyszło nowe. Przyszło do tej ziemi. A Wojciech miał w tym zasadniczy udział.

Nawiązuje Ojciec Święty do postaci św. Wojciecha, sprzed tysiąca lat. Wiemy o nim stosunkowo mało, ale wiemy, że przelał krew, oddał życie za wartości, które wyznawał. I dzisiaj w Bydgoszczy papież powiedział tak:

> Trzeba dawać świadectwo swojej wierze. To świadectwo kosztuje. Będziecie ośmieszani, będziecie wykpieni, zostaniecie wyszydzeni, a być może trzeba będzie posunąć się do oddania również krwi i życia. Taka jest cena świadectwa dawanego Chrystusowi.

Zatem obok postaci św. Pawła Jan Paweł II przywołuje postać św. Wojciecha. I żąda od nas, zaleca nam drogę bezkompromisowości w wyznawaniu Jezusa Chrystusa. Na to też warto zwrócić uwagę. Bo dzisiaj właściwie, tak jak papież to powiedział przedwczoraj, ludzie żyją tak, jakby Boga nie było. Nie to, że są przeciwko Bogu, tylko po prostu Bóg ich nie obchodzi. I papież uważa to i uznaje za ogromne zagrożenie.

Można byłoby cytować bardzo wiele, ale przytoczmy konkluzję tej części homilii Ojca Świętego. Powiedział tak:

> Zawsze, gdy człowiek oddala się od Boga, doznaje w konsekwencji wielkiego rozczarowania, któremu towarzyszy lęk. A jest tak dlatego, że w wyniku oddalania się od Boga człowiek zostaje sam i zaczyna odczuwać bolesną samotność. Czuje się zagubiony.

Otóż ta samotność bez Boga bywa okrutna. Są społeczeństwa, które są zlaicyzowane mocno, np. Skandynawia, a w naszym rejonie świata – Węgry. Ale rzadko gdzie można odczytać, że w tych regionach świata jest jednocześnie najwyższy odsetek samobójstw. W tych bogatych społeczeństwach wielu ludzi odbiera sobie życie, bo nie potrafi żyć, bo nie ma sensu życia. I znamienne, że w społeczeństwach najbiedniejszych samobójstw nie ma prawie wcale, np. w Indiach albo w Afryce. Czyli znak, że posiadanie nie idzie w parze z jakością życia. Po prostu człowiek, jeżeli nie ma tego fundamentu Boga, na którym może budować swoje życie, to popada w rażącą i wyniszczającą go samotność. I papież przestrzega nas przed tą samotnością, która rodzi się wtedy, kiedy człowiek rezygnuje z Boga, albo kiedy mu się Boga odbiera. Pamiętamy już te słowa, które nagłośniły środki przekazu i prasa. Mianowicie:

> Nie ma szczęścia, nie ma przyszłości człowieka i narodu, bez miłości. Tej miłości, która przebacza choć nie zapomina, jest wrażliwa na niedolę innych, nie szuka swego ale pragnie dobra dla drugich. Miłości, która służy, zapomina o sobie i gotowa jest do wspaniałomyślnego dawania. Słyszałem w Gdańsku od was: „Nie ma wolności bez Solidarności". Trzeba dzisiaj powiedzieć: „Nie ma solidarności bez miłości".

Ta ocena to jest podsumowanie, a zarazem korzenie rachunku sumienia dla nas. Społeczeństwo jest bardzo podzielone dlatego, że zabrakło miłości. Budowaliśmy i budujemy nowe życie, ale zabrakło solidarności opartej na miłości. I podczas gdy jedni opływają we wszystko, drudzy cierpią ponad miarę i nie widzą perspektyw dla swojego życia. I obok tych, którzy mnożą wciąż nowe domy, wciąż nowe bogactwa i wciąż nowych ochroniarzy, są tysiące a może nawet miliony ludzi — w dawnych PGR-ach, na wsi, w małych miastach, którzy pozbawieni pracy i perspektyw wychodzą na drogi, stawiają brony i chcą w ten sposób zwrócić uwagę innych na siebie. Może nas to denerwować, może nas to gorszyć, może nam to przeszkadzać żyć, ale są ludzie, którzy są już naprawdę gotowi posunąć się do ostateczności. Bo jakże można żyć gdzieś w PGR-e, gdzie dostaje się jakiś głodowy zasiłek, gdzie nie stać człowieka na zaspokojenie podstawowych spraw, gdzie nie może o swojej krzywdzie nawet mówić głośno, bo jest spychany na margines życia. I zwróćmy uwagę, że pod tym względem bywa u nas tak, jak w krajach trzeciego świata. I papież zwraca uwagę na solidarność budowaną nie z wyrachowania, nie z przemyślności, tylko budowaną na miłości. Myślę, że to jest wielki program społeczny również dla Kościoła. Bo nie może być tak, że Kościół jest sprzymierzeńcem zamożnych i bogatych. Nie może być tak, że jedyną rzeczą, jaką ma do zaoferowania Kościół, jest reklama firmy ubezpieczeniowej która finansuje transmisje papieskiej wizyty, pokazywana w kontekście papieskiej wizyty w „publicznej", tzn. opłacanej za nasze pieniądze, telewizji. Ja uważam, że jest to wielki skandal. Bo jeżeli ta firma ubezpieczeniowa chciała opłacić transmisje, to mogła opłacić np. Telewizji Niepokalanów, która rzeczywiście potrzebuje pieniędzy. Ale telewizja państwowa, telewizja nasza, publiczna powinna mieć pieniądze na transmitowanie wizyty papieża, którą oglądają największe miliony ludzi w porównaniu z jakimkolwiek innym programem.

Więc nie można uczynić — i papież do tego czyni wyraźnie aluzję — z Kościoła sojusznika zamożnych. Kościół musi być po stronie biednych. Ta opcja na rzecz biednych jest obowiązkiem, ona jest również i naszym obowiązkiem. Myślę, że ten wątek w papieskim nauczaniu się jeszcze pojawi. Że Ojciec Święty powie to dobitnie i głośno, bo jego nauczanie dopiero się rozpoczęło.

Było w papieskim nauczaniu, w papieskich homiliach, wiele wątków ważnych. Wczoraj w Pelplinie, nawiązując do konieczności czytania i słuchania Pisma Świętego, Jan Paweł II zwrócił się z apelem o to, aby podejmować jego wiarygodną i dobrą interpretację. Ojciec Święty powiedział tak:

> Mówię to dlatego, że istnieje pokusa aby interpretować Pismo Święte w oderwaniu od wielowiekowej tradycji wiary Kościoła, stosując klucze właściwe dla współczesnej literatury czy publicystyki.

Jeżeli ktoś z państwa kupił wczoraj „Gazetę Wyborczą", to proszę zwrócić uwagę, że publicysta Wyborczej chciał wyprzedzić papieża. I na pierwszej stronie dokonał objaśnienia ośmiu błogosławieństw nie czekając, co powie papież. I co? Zacytuję dwa fragmenty, mogą państwo po nie sięgnąć, bo to jest przykład manipulacji. Publicysta powiada: „ubodzy w duchu" i wyjaśnia, że: „ubodzy w duchu to są ci dziennikarze, którzy piszą, ale piszą do szuflady. To są cierpiący, cierpiętnicy." Potem wyjaśnia, kim są „błogosławieni cisi". Otóż „cisi to są ci, co kiedyś siedzieli w więzieniach, a dzisiaj sprawują władzę." Wypisz wymaluj, dodaj nazwiska w naszej polskiej sytuacji i wyobraź sobie, że oni są cisi! I taka polityczna interpretacja błogosławieństw jest po prostu żenująca! Bo zanim papież cokolwiek powiedział, to oni już wiedzą. Już wiedzą, jak należy Ewangelię objaśniać. I czytają to tysiące ludzi i wyobrażają sobie tych dzisiejszych rządzących, tych redaktorów piszących niegdyś do szuflady, jako właśnie tych. I tu jeszcze jedna ciekawostka — komentator tej gazety wyjaśnia, że to wcale nie jest dobre słowo „błogosławieni" — bo on zna lepiej grecki. Tam powinno być słowo „szczęśliwi". Ma rację o tyle, że jeżeli rzeczywiście dzisiaj rządzą, to są szczęśliwi! Że jeżeli kiedyś pisali, a teraz mogą to publikować, to są szczęśliwi! Czyli wypacza całą myśl, kierując własne przesłanie uprzedzające to, co ma Ojciec Święty do powiedzenia. Papież dodał:

> Rodzi to niebezpieczeństwo uproszczeń, zafałszowania objawionej prawdy, a nawet naginania jej do potrzeb z góry przyjętej indywidualnej filozofii życia czy też ideologii.

Gdyby to nie powiedział papież, to każdego innego zniszczą! Ale ponieważ to mówi papież, to trzeba to będzie przemilczeć! I proszę śledzić, czy w komentarzach różnych gazet znajdzie się komentarz do tych słów Ojca Świętego. Głowę daję, że wielu komentatorom nie przejdzie przez

usta – dlatego, że będzie wymagało rozliczenia się z własnym pisarstwem. Bo to pisarstwo — jeżeli obserwujemy wyraźnie życie społeczne — jest takie, że publicysta czasopisma, które uważa się za katolickie, kończy w piśmie, które jest pornograficzne. A zastępca redaktora naczelnego zapytany, dlaczego tak się dzieje, mówi: „Jurek wie, co robi!"

Jeszcze jeden fragment. W Elblągu Ojciec Święty wczoraj powiedział tak:

> Zanim zaczniecie budować osiem błogosławieństw, to należy zwrócić uwagę na fundament dziesięciu przykazań.

I przypomina papież przykazania. W ten sposób w moim przekonaniu tworzy pomost pomiędzy pielgrzymką w roku 1991 a pielgrzymką obecną. Jeżeli chcesz pójść dalej, zachowaj przykazania. Tamta pielgrzymka, i jej treść, nie są wcale zdezaktualizowane. Ona wciąż pozostaje ważna i aktualna. Jeżeli chcemy budować teraz naszą tożsamość w duchu ośmiu błogosławieństw, to musimy wrócić do tamtych korzeni. Papież powiedział wczoraj:

> Oto zrąb moralności dany człowiekowi przez Stwórcę. Dekalog dziesięciu Bożych słów, wypowiedzianych z mocą na Synaju i potwierdzonych przez Chrystusa w Kazaniu na Górze w kontekście ośmiu błogosławieństw. Stwórca, który jest zarazem najwyższym prawodawcą, wpisał w serce człowieka cały porządek prawdy. One są naprawdę drogą dla człowieka. Sam porządek materialny nie wystarczy, musi być uzupełniony i ubogacony przez nadprzyrodzony. dzięki niemu życie nabiera nowego sensu, a człowiek staje się doskonalszy. Życie bowiem potrzebuje mocy i wartości Bożych, nadprzyrodzonych, wtedy dopiero nabiera pełnego blasku.

I te wątki z wczorajszego kazania, z wczorajszej homilii, były kontynuowane również dzisiaj. Najpierw rano widzieliśmy, jak w strugach deszczu poświęcił kościół Matki Bożej Bolesnej w Licheniu. To jest jakiś ogromny fenomen, że dzisiaj, ze składek pielgrzymów, którzy do tej wsi przybywają, jest wznoszona największa świątynia w Polsce. Papież powiedział parę lat temu: Chcę to zobaczyć. I zobaczył! I dzięki jego obecności ta świątynia na pewno zostanie dokończona!

Potem Ojciec Święty przebywał w Bydgoszczy. Pół miliona ludzi zgromadzonych w Bydgoszczy wysłuchało kazania nawiązującego do przeszłości. Później Ojciec Święty pojechał do Torunia. Wiadomo, że pomiędzy Bydgoszczą a Toruniem jest taki swoisty antagonizm. Więc kiedy w Bydgoszczy zaczęto krzyczeć dzisiaj Ojcu Świętemu, tradycyjnie już: „Zostań z nami!", papież odpowiedział: „Czekają w Toruniu!" Tamci odpowiedzieli chóralnie: „To jeszcze poczekają!" Otóż te dialogi papieża z tymi setkami tysięcy ludzi to jest sprawa, jakiej w naszej historii nie było. W tej podróży jest wszystko — i głęboka modlitwa, i refleksja, i rozczulenie, i radość, i odrobina humoru — wszystko. Dlatego sądzę, żeby nie mnożyć słów, bo to nie miałoby wielkiego sensu — że to, co przeżywamy podczas tego pielgrzymowania papieskiego jest czymś absolutnie niezwykłym. I bardzo serdecznie zachęcam do tego, żeby śledzić to pielgrzymowanie. Codziennie w gazetach można znaleźć treść homilii. Myślę że gdzieś za 2 - 3 tygodnie będą już te homilie w książce. Radziłbym taką książkę sobie nabyć, wziąć na wakacje albo, jeżeli ktoś nie wyjeżdża, wziąć do domu. Wziąć długopis czy flamaster, przeczytać, podkreślić, zastanowić się. Wtedy z całą pewnością wszyscy będziemy silniejsi.

I widać, jak papież cieszy się obecnością tych ludzi. Zapewne będzie cieszył się również obecnością każdego z nas. To jest wielka historyczna szansa i wielka historyczna chwila. Jeżeli ją wykorzystamy, to być może będzie to ważny zakręt naszych najnowszych dziejów.

Tyle na gorąco. Rzecz jasna można byłoby poruszać inne wątki. Można byłoby wskazywać również na uniwersalność przesłania Jana Pawła II, na jego troskę o każdego człowieka, na jego wolę jednania ludzi, budowania jedności. I na pewno na to trzeba będzie również wiele razy zwracać uwagę. Ale przede wszystkim papież mówi jedno: Żeby być kimś, to musisz być sobą! Żeby być kimś, również w dialogu, w spotkaniu z innymi ludźmi, to trzeba być dobrym chrześcijaninem!

Kończąc mam do państwa dwie sprawy. Pierwsza: w piątek po południu Ojciec Święty będzie na Umschlagplatz przy ul. Stawki, gdzie będzie modlił się za ofiary holocaustu. Mamy bardzo dobre wejściówki do sektora. Druga, bardziej osobista: w ubiegłym tygodniu wyszła moja książka: „Dialog w cieniu Auschwitz".

Rozdział 2

1999/2000 — Czytamy Stary Testament

2.1 Pismo Święte — Jak powstało? Jak je czytać? (dn. 18 października 1999)

Nie ogłaszałem do tej pory tematu tegorocznych konferencji, bo chciałbym go wyjaśnić nieco bliżej na ich początku. Otóż do tej pory omawialiśmy różne tematy, różne zagadnienia biblijne, albo różne sprawy, które nas dotyczą. I w Biblii próbowaliśmy szukać jakiegoś światła i jakiejś pomocy dla nas. Natomiast teraz, chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że jest to przedsięwzięcie karkołomne, chciałbym państwu zaproponować coś innego. Mianowicie chciałbym, aby poszczególne konferencje, które tutaj mamy, wprowadzały nas do samodzielnej lektury, do samodzielnego czytania Pisma Świętego w domu. Zatem ponieważ państwo wykazują już maksimum dobrej woli przychodząc i słuchając tych konferencji, i stawiacie mi wysoko poprzeczkę, to ja chciałbym tę życzliwość odwzajemnić i zrobić dokładnie to samo. A mianowicie każda konferencja będzie miała jakąś z góry obmyśloną treść i zawartość, ale na końcu każdej konferencji poproszę państwa, żeby w domu przeczytać fragment Pisma Świętego. Dlaczego to jest ważne? Proszę popatrzeć, to jest księga Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu. Mam nadzieję, że państwo mają tę Biblię Tysiąclecia w domu.

Dlaczego akurat Biblię Tysiąclecia? bo są również inne przekłady Pisma Świętego na język polski. Z nich najczcigodniejszy jest przekład księdza Jakuba Wujka. Mało kto już ma w domu ten przekład. Chociaż pamiętam panią, która niedawno brała udział w pielgrzymce. I kiedy byliśmy w Ziemi Świętej, w Jerozolimie, to ona wyjęła solidnie zabezpieczony przekład Jakuba Wujka Nowego Testamentu, wydany pod koniec ubiegłego stulecia, czyli ponad sto lat temu, który miał jeszcze jej dziadek – a ona jest już dorosłą, starszą panią. Z tym przekładem dziadek był w wojsku carskim, z tym przekładem dziadek był na Syberii, a następnie z tym Nowym Testamentem Jakuba Wujka powrócił do domu, do Polski, dał go własnej córce, a ta córka tej właśnie córce. I ta pani z taką pieczołowitością i troską zawiozła to Pismo Święte do Jerozolimy żeby tam, uświęcone jeszcze tą obecnością w Ziemi Świętej, przywieźć z powrotem do domu i podarować własnej córce. Otóż czym była Biblia Wujkowa, o tym jeszcze powiemy sobie. O tym świadczą również zapisy XVIII, XIX-wieczne, a także nowele Henryka Sienkiewicza. Państwo pamiętają zwłaszcza jedną z nich, jak to w Ameryce Południowej odnaleziony tam przypadkowo Polak przez wiele lat nie miał do czynienia z językiem polskim, i żeby nie zapomnieć ojczystego języka czytał codziennie Biblię w przekładzie Jakuba Wujka. I ta Biblia ukształtowała jego język. Ta Biblia ukształtowała również język Adama Mickiewicza. Tak się złożyło, że dzisiaj mamy premierę filmu „Pan Tadeusz", nakręconego na podstawie naszej wielkiej narodowej epopei. Biblia Wujka ukształtowała także myślenie i poezję Juliusza Słowackiego, Henryka Sienkiewicza, Konrada Korzeniowskiego, Józefa Kraszewskiego. A i w naszych czasach nie brak takich, którzy wyznają, że bez tej Biblii nie byliby sobą. Taki najnowszy przykład, to dwa tygodnie temu zgłosiły się do mnie panie z Instytutu Prymasa Tysiąclecia, które wydają dzieła Prymasa Tysiąclecia księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego. I tam w jednym z kazań, wygłoszonych jeszcze w latach sześćdziesiątych, ksiądz kardynał Wyszyński mówił o „głosie wołającego na puszczy". One wiedziały: w Biblii Tysiąclecia i gdzie indziej jest

wszędzie „na pustyni", i Jan Chrzciciel działał przecież na pustyni. W Palestynie nie ma żadnej puszczy! I przyszły spytać, skąd wzięła się ta „puszcza" w kazaniu księdza kardynała Wyszyńskiego. I okazało się, że ksiądz kardynał jako młodzieniec, a potem jako kleryk seminarium włocławskiego, i jako ksiądz, czytał Biblię Wujka, i tam właśnie jest ten „głos wołającego na puszczy", podobnie jak wiele innych sformułowań, które stamtąd przejął. Teraz obchodzimy 400-lecie wydania Biblii Wujka. Za tydzień rozpoczyna się w Lublinie wielkie sympozjum dla uczczenia tej rocznicy. Tak się złożyło, że wydawnictwo Vocatio wydało nawet tę Biblię, ale nie namawiam państwa zbytnio, żeby do niej sięgać. Bo jej język jest mimo wszystko archaiczny i tylko ci, którzy naprawdę kochają polszczyznę, znajdą w Biblii Wujka mnóstwo duchowego i intelektualnego pokarmu. Być może są takie osoby, które kochają ów stary polski język, i na Biblii Wujka można najpiękniejszej polszczyzny się nauczyć.

Jednak przekładem najczęściej dostępnym i najczęściej używanym jest Biblia Tysiąclecia. Istnieją jeszcze dwa inne pełne przekłady Pisma Świętego, mianowicie tzw. *Biblia Poznańska,* bardzo duża, trzytomowa, z szerokimi komentarzami, z obfitymi objaśnieniami. Ale właśnie z powodu tych komentarzy nie czyta się jej bardzo dobrze — bo tam jest tyleż komentarza, co i tekstu. Zatem czytelnik, który sięga po to Pismo Święte przetłumaczone w Poznaniu, spotyka się nie tylko z tekstem świętym, ale spotyka się również z komentarzem. I tego komentarza jest tak dużo, że jeżeli studiuje teologię czy biblistykę, to w porządku. Ale przeciętny zjadacz chleba, i przeciętny miłośnik Pisma Świętego, po prostu przez Biblię Poznańską przejść nie może.

W ubiegłym roku ukazało się jeszcze jedno tłumaczenie, a tłumacza porównuje się do współczesnego Wujka. Jest to tłumaczenie księdza biskupa Kazimierza Romaniuka, biskupa diecezji warszawsko-praskiej. Przyznać trzeba, że jest to dzieło ogromne dlatego, że jeden człowiek dokonał przekładu całego Pisma Świętego. Ale niestety powiedzieć również trzeba, nie jest to tylko moje subiektywne zdanie, że ten przekład pozostawia sporo do życzenia. Ostatnio na łamach Biuletynu Katolickiej Agencji Informacyjnej ukazały się wyniki ankiety przeprowadzonej wśród biblistów polskich, oceniającej przekłady Biblii. I z katolickich wydań Pisma Świętego to najnowsze wydanie zostało uznane za najsłabsze. A skoro tak, trudno je polecać. Miejmy nadzieję, że zostanie jeszcze jakoś udoskonalone, i wtedy będzie można z pożytkiem po nie sięgnąć. Na razie nie, bo jest po prostu niedopracowane. Tym niemniej istnieje, i zwłaszcza po drugiej stronie Wisły mogą państwo ów przekład prawie w każdym sklepie kupić, po naszej stronie jest go jakby mniej.

Zatem jeżeli ktoś z państwa chciałby zaopatrzyć się w Pismo Święte, a moim obowiązkiem powinno być zachęcanie do tego, to należałoby kupić Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu znane jako Biblia Tysiąclecia. Dlaczego właśnie to? Z tej prostej przyczyny, że to ten przekład jest czytany w kościołach, ten przekład jest zatwierdzony przez episkopat Polski, ten przekład jest używany w czytaniach liturgicznych, w katechezie, w kaznodziejstwie. Jest to po prostu oficjalny przekład Kościoła katolickiego w Polsce. Ten przekład po raz pierwszy ukazał się w roku 1966 dla upamiętnienia 1000-lecia chrztu Polski, natomiast teraz już jest w obiegu jego IV wydanie.

Dlaczego taki długi wstęp na temat Pisma Świętego i jego wydań? Otóż dlatego, że do tej pory czasami miałem takie wrażenie, jak gdybym zapraszał państwa tutaj na ucztę, na kolację, a następnie karmił państwa przepisami na poszczególne potrawy. Zwyczaj jest tak, że jeżeli kogoś zapraszamy na ucztę, na kolację, czy na cokolwiek, to dajemy mu jednak pokarm — przepis na jedzenie jeszcze nikogo nie nakarmił. Ja też nie mogę poprzestać na tym, żeby przez wiele lat mówić na temat Biblii, a nie zachęcać do czytania Biblii. I dlatego w tym roku postanowiłem to zmienić. I zapraszam państwa na te wieczory i wieczerzę, ale jednocześnie chcę dać pewne przepisy, pewne klucze do czytania Biblii, i będę państwu doradzał: od jednej konferencji do drugiej proszę przeczytajcie te fragmenty Pisma Świętego. I jeżeli ktoś z państwa na to odpowie, wówczas będzie to taka wymiana, która z całą pewnością przyniesie swoje owoce.

Przejdźmy zatem do rzeczy. Powiedzieć trzeba, że Pismo Święte jest jak zapis nutowy. Ponieważ wczoraj obchodziliśmy 150-lecie śmierci Fryderyka Chopina myślę, że każdy z państwa wyłuska melodie Chopina spośród innych melodii nawet, jeżeli nasz słuch nie jest najlepszy. Wczoraj stawało się jasne, że przy tej sposobności w Żelazowej Woli, w Paryżu, w innych miejscach świata, są urządzane uroczyste koncerty. I ci, którzy przychodzą na koncert, słuchają muzyki. Ale ci, którzy grają, którzy tę muzykę wykonują, odtwarzają coś, co istnieje w zapisie, mają przed sobą zapis nutowy. Chyba że są tak genialni, że ten zapis nutowy jest już w ich głowach, jak np. na Konkursach

Chopinowskich, kiedy ci grający grają po prostu z pamięci. Ale to, co nas urzeka, to jest muzyka. Nie urzekają nas nuty. Dlatego że patrzymy na te nuty, patrzymy na ten zeszyt z zapisem muzycznym, i przeciętny człowiek nic z tego nie rozumie, nic mu to nie mówi. I potrzebny jest specjalista, który odtwarzając ów zapis uczynił by muzykę. I oczywiście tak czyni tę muzykę, jak ją czuje. Stąd w tej muzyce ujawnia się zarówno coś z tego nutowego zapisu, jak też coś z człowieka, który tę muzykę wykonuje. I widzimy nieraz owych muzyków, którzy wykonując jakieś wielkie fragmenty muzyczne bardzo mocno to przeżywają — tak jak ci, którzy tę muzykę komponowali.

Coś podobnego jest z Pismem Świętym. Ta księga, którą państwo widzą, jest tak, jak zapis muzyczny, jak zapis nutowy. Jeżeli nie zaczniemy jej odtwarzać, jeżeli nie zaczniemy jej czytać, to ona pozostaje dla nas tajemnicza, i nigdy nie poznamy jej treści. Będziemy ją podziwiać, że jest ładnie wydana, natomiast problem będzie w tym i na tym polegał, że nigdy nie usłyszymy tego, co jest w środku. I powiedzieć trzeba, że większość katolików, że ogół katolików Pisma Świętego nie zna. A nie zna go dlatego, że jeszcze do Soboru Watykańskiego II, czyli 35 lat temu mniej więcej, Kościół zbytnio nie zalecał wiernym Pisma Świętego, zwłaszcza Starego Testamentu, ale również Nowego. Najwidoczniej nie było zbyt wiele zaufania do wiernych. Ale z drugiej strony przypuszczano, że te księgi, ten zapis, który tutaj jest w środku, jest zbyt trudny, żeby wierni mogli go zrozumieć. Zauważmy, że i w Kościele różne sprawy i rzeczy dojrzewają. A dojrzewają dlatego, że my wszyscy, którzy tworzymy Kościół, dojrzewamy. Jesteśmy w gruncie rzeczy pierwszym albo drugim pokoleniem, które nie tylko może lecz powinno zaopatrzyć się w Pismo Święte, i powinno je czytać. I chciałbym państwu w tym roku dać klucze do czytania Pisma Świętego, zarówno taki duży klucz, jak i takie zapasowe klucze, które nam pomogą po tę głębię i po to bogactwo sięgnąć. Być może ci z państwa, którzy byli w Grecji, pamiętają, że w klasztorze w Meteorach jest taki przedziwny fresk. Ten fresk przedstawia niebo. Niebo jest ze wszystkich stron otoczone murem, a na tym murze są krzyże. To znak, że do nieba można dostać się przez krzyż. Że do nieba nie można wejść ot tak sobie, że wejście do nieba wymaga wysiłku. I do nieba prowadzi jedna tylko brama, i klucz do tej bramy ma św. Piotr. Ale genialny XVI-wieczny malarz, pochodzący z Krety, wyobrażał sobie to niebo nieco żartobliwie. Mianowicie, jeżeli uważnie przypatrzeć się bramie, to na dole jest wbity gwóźdź i na tym gwoździu też wisi klucz. Więc gdyby Piotr wszedł do środka, albo gdyby gdzieś się zawieruszył, to wtedy ci, którzy wiedzą o tym małym kluczyku, mogą go użyć i sami do nieba wejść, zanim jeszcze Piotr wróci.

Coś podobnego jest z Biblią. Mianowicie są specjaliści, którzy dzierżą w rękach wielki klucz do Biblii. Którzy albo samych siebie uważają za znawców Pisma Świętego, albo też przez innych są za takich uznawani, i którzy piszą ogromne komentarze i ogromne objaśnienia do ksiąg świętych. Ale ja myślę, że każdy z państwa, jeżeli tylko zechce, to potrafi również przy tej bramie otwierającej Pismo Święte znaleźć ten mały gwóźdź, a na nim klucz, który będzie własnym kluczem do odczytania głębi i bogactwa ksiąg świętych. I moim zadaniem będzie, aby ten maleńki klucz, który każdy z nas powinien odnaleźć, znalazł się w naszych rękach. Nikt nie rodzi się ze znajomością Pisma Świętego, wszyscy ją nabywają. A skoro tak, to jedni mogą nabyć jej znacznie więcej, inni znacznie mniej. I od nas zależy, po której stronie się znajdziemy.

Przejdźmy zatem do uwag, które pozwolą nam zrozumieć, czym Pismo Święte jest. Dzisiaj postawimy sobie pytanie, które w rozmaitych aspektach wcześniej rozważaliśmy. Ale myślę, że kiedy dobierzemy się do tego od innej strony, to również to pytanie stanie się dla nas i ciekawe, i jednocześnie powie nam coś więcej o Piśmie Świętym. Otóż zadajmy sobie takie pytanie: „Mamy Biblię, tę Biblię daje nam Kościół do ręki. Mamy ją w Kościele od samego początku, od narodzin Kościoła. Istnieje ona w przekładach, znamy jej fragmenty, istnieje ona w malarstwie, w rzeźbie, w muzyce. Istnieje na mnóstwo rozmaitych sposobów. *A co było przed Biblią? A co było wtedy, kiedy Biblia jeszcze nie istniała?*

Słowo „Biblia" to liczba mnoga od greckiego rzeczownika tobiblion tzn. *książka,* a biblia — *księgi.*Ale ponieważ stała się nazwą własną, stąd ta liczba mnoga, „księgi", została użyta na opis tej księgi, która to księga składa się z wielu ksiąg. Bo w jej skład wchodzą aż 73 różne księgi. Zatem nie jest ona jednorodna, jest tak, jak orkiestra. W orkiestrze symfonicznej mogą grać tylko poszczególni członkowie, ale wtedy nie wydobędziemy całego bogactwa muzyki. Trzeba, żeby grali wszyscy razem, i wszyscy łącznie. Można przeczytać jedną księgę Pisma Świętego, dwie albo cztery. Ale żeby prawdziwie je przeczytać i zrozumieć, trzeba przeczytać je od początku do końca. Takich,

którzy to zrobili, nie ma zbyt wielu. Dlatego satysfakcja tych, którzy potrafili tego dokonać, musi być ogromna.

Co było przed Biblią? Bo żeby zrozumieć, czym jest Biblia, musimy próbować zrozumieć czasy, w których Pisma Świętego nie było. Czy nie było wtedy ludzi, którzy wierzyli w Boga jedynego? Czy nie było wtedy wierzących, którzy swoją wiarę przekazywali z pokolenia na pokolenie w inny sposób? Otóż odpowiadając na to pytanie, raz jeszcze powtarzam, przybliżymy się do tego, czym Pismo Święte jest, a zarazem przybliżymy się do czytania Pisma Świętego. Powiedzmy więc sobie na początek tej części naszych rozważań, że *u początków Biblii, kiedy jeszcze jej nie było, gdy nie była spisana, były pewne osoby i były pewne wydarzenia.* Otóż byli ludzie, którzy nie mieli jeszcze ksiąg, ani nawet nie umieli pisać. Ale ci ludzie doświadczyli Boga. Proszę zwrócić uwagę, że *Biblia nie zajmuje się dowodzeniem istnienia Pan Boga.* Są tacy ludzie, nawet wierzący i wierni, którzy myślą sobie tak: „Mam kłopoty z wiarą w Boga. Sięgnę do Biblii, może ona mnie przekona." Ale Biblia nie jest do przekonywania, że Bóg istnieje. Dla tych ludzi, którzy żyli zanim jeszcze Pismo Święte powstało, istnienie Boga było czymś tak oczywistym jak woda, powietrze, chleb, niebo, ciepło, zimno, czy pory roku albo ich własne istnienie. Charakterystyczne jest, że ateizm jest w gruncie rzeczy wynalazkiem nowożytnym. W starożytności ateizmu nie było, w starożytności była wiara w Boga jedynego, oraz była wiara w wielobóstwo, a więc tzw. politeizm. Co prawda w Grecji klasycznej były takie tendencje, które można by z naszego punktu widzenia oceniać jako ateizujące, ale to jeszcze ateizm nie był. „Ateizm" w pełnym tego słowa znaczeniu, jako postawa światopoglądowa, jako postawa filozoficzna, jako swoisty wybór, jest dzieckiem Rewolucji Francuskiej, ma więc około 200 lat. Przedtem świat był religijny. Tak między Bogiem a prawdą to pozostaje pytanie: „Czy ateiści są niereligijni?" Otóż paradoks polega na tym, że i ateiści też są religijni. Bo, jak to czasami powtarzam, my wierzymy, że Bóg istnieje, natomiast oni wierzą, że Boga nie ma. A więc i tu i tu jest wiara, i tu i tu jest religia. To nie jest tak, że my wierzymy, że Bóg istnieje, a oni wiedzą, że Boga nie ma. Oni też nie wiedzą, oni wierzą. Otóż mamy zatem do czynienia z dylematami, które są nasze. I jeżeli te nasze dylematy — wierzyć w Boga, czy nie — przenosimy do Biblii, to stajemy się, tak prawdę mówiąc, śmieszni. Bo Biblia tylko raz albo drugi na ten temat mówi, raz albo drugi o tym wspomina, kiedy to jeden z psalmów zaczyna się od takich osobliwych słów:

> „Nie ma Boga" rzekł głupi w sercu swoim

i dalej mamy psalm. Natomiast w innych miejscach ksiąg świętych nie ma żadnego dowodzenia, że Bóg istnieje. Istnienie Boga było czymś oczywistym. *Zatem czego uczy nas Biblia, i czego uczy nas doświadczenie tych ludzi, którzy żyli jeszcze przed Biblią?* Otóż Biblia chce nas nauczyć jak kochać Boga, jak być Mu posłusznym, jak wypełniać Jego wolę, jak iść Jego drogą, jak odpowiedzieć na Jego miłość. To są pytania, na które odpowiada Biblia. Zatem zanim Biblia powstała byli ludzie, którzy przeżywali Pana Boga, którzy doświadczali Boga. Sami stwierdzali, że jest to doświadczenie paradoksalne. Sami nie mogli Go zrozumieć, sami nie mogli Go pojąć. Niektórzy z nich próbowali się Bogu sprzeciwiać, próbowali z Bogiem dyskutować, próbowali się z Bogiem spierać, próbowali uciekać przed Jego wolą. Nawet więcej — próbowali się przeciwko Niemu buntować. Ale wszyscy uznawali swoją zależność, a w końcu wszyscy poddawali się tej woli. Czasami były jednak i wyjątki od tej reguły, kiedy ktoś nie mógł czy nie chciał dostosować się do owej woli Bożej.

Zatem, raz jeszcze powtarzam, byli ludzie. Czy znamy imiona tych ludzi? Często tak. Otóż wydaje się, że najstarszym, można by powiedzieć pierwszym z tych ludzi, był Abraham. Żył na ok. 1850 lat przed Chrystusem. Co było wcześniej — Biblia nam mówi, ale w inny sposób, wrócimy do tego przy innej okazji. Abraham jest pierwszą postacią historyczną w tym znaczeniu, że można go osadzić w realiach czasu i miejsca. Tzn. można wziąć do ręki mapę i wytyczyć szlak wędrówek Abrahama. Można wziąć do ręki kalendarz i próbować osadzić Abrahama w konkretnych realiach czasowych. Można śledzić zwyczaje starożytnego Wschodu, i tak się robi w archeologii i historii biblijnej, i porównuje się starożytną obyczajowość z tym, o czym czytamy w Księdze Rodzaju.

Abraham był na początku. Jego doświadczenie wiary było niezwykłe. Otóż jego ojciec miał na imię Terah i był politeistą. Tradycja mówi nawet, że zajmował się wyrabianiem figurek bożków. A więc, że był gorliwym politeistą. I ów Abraham pewnego dnia usłyszał przedziwne wezwanie. A więc przeżył coś. Jakie to było doświadczenie — czy były to słowa, które dochodziły do niego z zewnątrz, czy był to jakiś głos wewnętrzny, taki jak głos sumienia, czy był to jakiś wewnętrzny

imperatyw, który mu nakazał to robić — nie wiemy. Podobnie na przykład jak nie wiemy, jak wyglądało powołanie innych ludzi. Każdy z nas, kto doświadczył kiedykolwiek w życiu obecności albo bliskości Pana Boga wie, że bardzo trudno jest ująć ją w słowa. Bardzo trudno opisać to, czego się doznało. Otóż z Abrahamem było podobnie. Abraham posłyszał słowa, ale jakie one były — tego nie wiemy. „Wyjdź ty z twojej ziemi rodzinnej, i z domu twego ojca, i z twego miasta, do miejsca, do kraju, który ci ukażę." Tylko tyle. Opuść to, w czym teraz mieszkasz, pozostaw te sfery swojego bytowania, i idź w nieznane. W ten sposób otrzymujemy coś z istoty doświadczenia religijnego. Otóż zawsze kiedy człowiek chce zawierzyć Panu Bogu, to ma przed sobą jakąś nieznaną przyszłość. Ta przyszłość może być krótsza albo dalsza. Ale pewność polegania na Bogu polega właśnie, i zasadza się właśnie, na tej niepewności. Otóż wiara ma to do siebie, że człowiek czuje jakieś wewnętrzne przekonanie, jakiś wewnętrzny głos, a jednocześnie jest przed nim całe to morze wahania i niepewności. Nie inaczej musiało być z Abrahamem. Abraham usłyszał ów głos, który gdzieś tam zapewne był głosem w jego wnętrzu, a mieszkał w Ur chaldejskim na terenie dzisiejszego południowego Iraku. Jak państwo pamiętają Jan Paweł II bardzo chciał na początku grudnia tego roku Ur chaldejskie nawiedzić, właśnie ze względu na Abrahama. I ta podróż papieska do Ur była już w zasadzie ustalona. Ale rozlegają się głosy na świecie, a i na Bliskim Wschodzie sytuacja polityczna jest dość skomplikowana — i w ostatnich tygodniach podróż Ojca Świętego do Ur chaldejskiego stanęła pod znakiem zapytania. Charakterystyczne, że jeszcze żaden papież w tym Ur chaldejskim nie był. Jan Paweł II chce tam być, i to bardzo pragnie tam być. A może w tej woli, w tym pragnieniu Jana Pawła II jest coś z tego samego doświadczenia?

Zmiana stron kasety

...jak chce być Jan Paweł II. Abraham doświadczył tam tego powołania, niezwykłego powołania ze strony Boga. Odpowiedział na nie, zabrał swoich najbliższych, i przez tereny dzisiejszej południowej Turcji szedł w kierunku kraju, który od tej pory miał być krajem jego potomków. Droga w starożytności wynosiła ok. 2000 km. Możemy sobie wyobrazić tego wędrowca w otoczeniu najbliższych, w otoczeniu owiec, jeszcze nie wielbłądów — bo wielbłądy w czasach Abrahama nie były oswojone, chociaż księga Rodzaju o nich wspomina, ale o tym nieco później. I ten Abraham zdaje się na Boga, a jak później napisano w Nowym Testamencie: „Szedł tak, jakby widział Niewidzialnego". *Wiara w Boga to jest nagromadzenie paradoksów.* I u samego początku, zanim jeszcze powstały jakiekolwiek księgi święte, było to doświadczenie wiary. Wiary wymagającej od człowieka zaufania. Bóg niczego od nas tak nie potrzebuje, jak zaufania właśnie. Dlaczego jest ono Bogu potrzebne? Można by powiedzieć że zapewne dlatego, że właśnie w zaufaniu człowiek oddaje Panu Bogu naprawdę siebie. Tzn. ufając naprawdę zawierzamy siebie. Że pomiędzy Tym, któremu ufamy, a ufającym nawiązuje się bardzo intymna więź która sprawia, że ten związek, ta jedność jest z niczym nieporównywalna.

Abraham był pierwszy. Wywędrował do kraju, który wtedy nazywał się Kaanan, i tutaj osiadł. Osiadł tutaj ze swoją rodziną. Potem był jego syn Izaak, a następnie syn Izaaka Jakub. Ale kiedy przybył do tego kraju, jego wiara została znów wystawiona na próbę. Mianowicie usłyszał od Boga kolejne słowa. Czy słyszał je z zewnątrz, czy słyszał je wewnątrz, nie wiemy. Ale te kolejne słowa brzmiały tak: „Uczynię z ciebie wielki naród. Posiądziesz tę ziemię a twoje potomstwo będzie tak liczne, jak piasek na brzegu morza." Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie to, że Abraham nie miał syna i był już dorosły, by nie powiedzieć — starszy. Kiedy starszy człowiek słucha „Uczynię z ciebie wielki naród, wyprowadzę z ciebie wielkie potomstwo" — on, który nie ma swojego potomka, to z całą pewnością potrzeba nowego wielkiego zaufania Bogu. Okazało się, że ta obietnica się sprawdziła. Skąd my o tym wszystkim wiemy? Wiemy z kart Pisma Świętego. Ale w jaki sposób ta cała wiedza o przeżyciach Abrahama weszła w skład Pisma Świętego? Otóż ona weszła dlatego, że Abraham najpierw — i to jest podstawa Biblii — najpierw zapamiętał to, co przeżył. Otóż *fundamentem Pisma Świętego jest pamięć.* Pamięć o tym, czego się doświadczyło, pamięć o Bogu, który jest bliski. Pamięć o Bogu, z którym człowiek połączył swoje losy. A więc najpierw to, co przeżyli wielcy biblijni bohaterowie wiary zostało zapamiętane. Bez pamięci nie byłoby Pisma Świętego.

Dotyczy to nie tylko Starego Testamentu. W takim samym stopniu dotyczy to również, co łatwo wykazać, Testamentu Nowego. Przecież państwo doskonale wiedzą, że Jezus nie pozostawił

po sobie żadnych pism. Wiemy, że na pewno umiał pisać. Raz tylko, kiedy przyprowadzono do Niego niewiastę, którą pochwycono na cudzołóstwie, i chcąc Go wystawić na próbę — nie po to, aby przyjść z pomocą kobiecie, ale żeby Jezusa wystawić na próbę — zapytano: „Co z nią zrobić?" aby ewentualnie oskarżyć Go o okrucieństwo albo o zbyt wielką łagodność. Wtedy On nachyliwszy się pisał palcem po ziemi. A ci, którzy stali najbliżej, powiada Ewangelista, cofali się i odchodzili. Tradycja starochrześcijańska mówi, że pewnie pisał ich grzechy. Więc kiedy zobaczyli na piasku własne grzechy, własne występki, których nie chcieli wyznawać innym, wtedy cofali się. Nie potrafimy powiedzieć jak długo przetrwało tamto pismo Jezusa na piasku. Ale sam nic więcej nie napisał. A przecież wiemy, czego uczył. A przecież wiemy, o czym mówił. Znamy Jego słowa, znamy Jego naukę, znamy Jego kazania, znamy Jego losy. Jeszcze raz zauważmy, że fundamentem naszego rozeznania o Jezusie jest pamięć. Otóż zarówno On sam pamiętał to, co przeżył, i chętnie o tym opowiadał, jak też ci wszyscy, którzy z Nim byli, a zwłaszcza ten krąg najbliższych Mu ludzi, również nie tylko patrzył, ale starał się zapamiętać.

I tak dochodzimy do pewnej konkluzji, niesłychanie istotnej. Fundamentem tej księgi jest pamięć. Nie byłoby jej, gdyby dzieła, czyny, słowa zarówno Starego Testamentu, jak i bohaterów wiary Nowego Testamentu, nie zostały zapamiętane. I właśnie pamięć jest korzeniem wiary religijnej. I cała struktura naszej wiary, cała jej konstrukcja opiera się na pamięci. Proszę zauważyć, że pamięć jest również punktem odniesienia dla liturgii. My w strukturze liturgii upamiętniamy — od słowa „pamięć" — to, co się naprawdę wydarzyło: Boże Narodzenie, Środa Popielcowa, Wielki Post, Wielki Czwartek, Wielki Piątek, Wielka Sobota, Niedziela Wielkanocna, Wniebowstąpienie, Zesłanie Ducha Świętego, Przemienienie. Liturgia jako nośnik pamięci o tym, co się stało. Właśnie to odróżnia Pismo Święte i odróżnia naszą wiarę od rozmaitych mitologii pogańskich. W tych mitologiach czas nie miał znaczenia. Nie miało także wielkiego znaczenia to, co się wydarzyło. Ludzie snuli mity, w których ujmowali swoje doświadczenia przenosząc je w zaświaty. Struktura Biblii nie jest mityczna. Tzn. Biblia kładzie mocny nacisk na realia czasu i miejsca. I wiedzą państwo, dlaczego ona jest trudna? Otóż dlatego, że my tych realiów nie znamy. Dlatego, że kiedy mówimy: Ur, Charan, Kaanan, Jerozolima, Jerycho, a w Nowym Testamencie: Betlejem, Kafarnaum, Hebron itd., to te nazwy ogromnej większości z nas nic po prostu nie mówią. Są nazwami, które są tak, jak gdzieś tam mityczna kraina. Tymczasem jeżeli ktokolwiek ma możliwość konfrontacji Biblii z tą rzeczywistością geograficzną miejsca, natychmiast zaczyna ona do nas przemawiać innym głosem.

To nie jest tylko sprawa Biblii. Goethe kiedyś powiedział, że jeżeli ktoś chce zrozumieć poetę, to musi udać się do kraju poety. I z Biblią jest tak samo. Są wśród państwa osoby, które były razem kilka miesięcy temu na Litwie. I podczas tego naszego podróżowania po Litwie pojechaliśmy do Nowogródka. Jeszcze raz wracam dzisiaj do Mickiewicza, skoro w tej chwili jest premiera „Pana Tadeusza". I obejrzeliśmy w Nowogródku zrekonstruowany dworek, w którym Mickiewicz przyszedł na świat. Zwiedzaliśmy Nowogródek, i widzieliśmy Niemen, i wróciliśmy do Wilna i widzieliśmy miejsca związane z jego życiem. I byliśmy w Kownie tam, gdzie napisał tę część „Dziadów" nazywaną kowieńską. Kiedy potem jechaliśmy autokarem, wziąłem do ręki „Pana Tadeusza", zacząłem czytać — wszyscy słuchaliśmy go, jak nigdy w życiu. I rozumieliśmy go, jak nigdy w życiu. A to dlatego że te słowa, poczynając od Inwokacji, aż po opis przyjazdu Tadeusza do rodzinnego domu, i pierwsze spotkanie z Zosią, i opis tego domu, i opis Niemna, i opis okolicy — wszystko to było tak żywe, że kiedy w pewnym momencie przerwałem czytanie tego „Pana Tadeusza", to rozległy się głosy: „Jeszcze!" Coś podobnego dzieje się z Biblią. Mianowicie są osoby, niestety bardzo nieliczne i tak już zostanie, które miały możliwość zobaczyć Jezioro Galilejskie, i Pustynię Judzką, i Morze Śródziemne, i te miejsca opisywane w Biblii. I one kiedy sięgają po Pismo Święte, jest im znacznie łatwiej. Kiedy ktoś sięga po Dzieje Apostolskie, a był wcześniej w Turcji czy w Grecji i oglądał te miejsca biblijne, to dzisiaj to wszystko staje mu przed oczami. Ale niestety — tych jest bardzo mało. Chociaż i tak teraz więcej, niż kiedykolwiek dotąd.

A zatem, żeby móc owocnie czytać Pismo Święte, warto jest również albo sięgnąć po jakiś, choćby najbardziej popularny, atlas biblijny i popatrzeć sobie na mapy, albo po zdjęcia, po album biblijny. Mniej więcej za tydzień, dwa ukaże się taki album autorstwa pana Stanisława Markowskiego, znakomitego fotografika z Krakowa, o Ojczyźnie Zbawiciela, zatytułowany: „Ziemia Zbawiciela". I wyobrażam sobie że ktoś, kto nigdy tam nie był i nigdy nie będzie, to przynajmniej może sobie pozwolić na taki luksus, że oto ogląda te pejzaże, i przenosi się do tekstu, i jakby próbuje wejść

w ten inny świat, i próbuje go sobie wyobrazić. Bo Pismo Święte ma to do siebie, że ono musi oddziaływać na naszą wyobraźnię. Pojutrze będzie w Poznaniu sympozjum ku czci Brandstaettera. Brandstaetter był to Żyd, który nawrócił się na katolicyzm i przyjął go tak płomiennie, że stał się wielkim rzecznikiem wiary w Jezusa z Nazaretu. Zmarł w 1987 r. Otóz Brandstaetter opowiada, że kiedy był chłopcem, to Biblia nigdy u niego w domu nie leżała na półce, tylko zawsze leżała na stole. I dziadek brał do ręki Biblię, i czytał jeden rozdział. A potem o tym rozdziale, o jego zawartości, rozmawiali. Nie mogli pojechać do Ziemi Świętej, dla nich Ziemia Święta była w Tarnowie.

Mam przed sobą książeczkę, którą ewentualnie dzisiaj po konferencji będą sobie mogli państwo nabyć za 7 zł, zatytułowaną: „Ziemia Święta oczami wyobraźni". Otóż na tę książeczkę złożyły się 24 teksty osób, które nigdy w Ziemi Świętej nie były. I próbują sobie Ziemię Świętą wyobrazić. To jest plon konkursu ogłoszonego w Radio Plus. I opisują te osoby jak wyobrażają sobie Nazaret, jak wyobrażają sobie Jerozolimę, jak wyobrażają sobie Kalwarię. Do tego zrobiłem własną przedmowę zatytułowaną „Warto mieć marzenia". Jedna z tych osób, pani, która ów konkurs wygrała, pani Halina Pochwatka — nie wiem czy wygrała zasłużenie, bo wszystkie odpowiedzi były wspaniałe i o zasłużonej wygranej trudno w tym przypadku mówić. Ale z całą pewnością jest to kobieta bardzo wrażliwa, matka sześciorga dzieci, mieszka na wsi pod Lublinem. Napisała tekst „„Jak wyobrażam sobie Ziemię Świętą", a kiedy później w Ziemi Świętej byliśmy, wyznała, że poprzedniego roku straciła swoją córkę w wypadku samochodowym. I wtedy jedyną ucieczką dla niej było wyobrażanie sobie ziemi, po której stąpał Jezus. Najmłodsza uczestniczka ma 18 lat, najstarsza — 76. Do czego zmierzam? Kiedy rzeczywiście czytamy Pismo Święte, to zaczynamy wyobrażać sobie Ziemię Świętą na swój własny sposób, i Abrahama na swój własny sposób. I wtedy okazuje się, że ów Abraham, o których czytamy, przypomina postać naszego dziada lub pradziada, przypomina postać kogoś znajomego, czy jakiegoś przyjaciela. I zaczynamy widzieć, że te doświadczenia wiary z odległej przeszłości stają się również naszym udziałem, bo wciąga nas zupełnie inny, nowy świat. Drodzy państwo, raz jeszcze wrócę do Brandstaettera. Opisuje on, jak gdy był chłopcem, ojciec wynajął mu nauczyciela. Był wtedy jeszcze wyznawcą judaizmu. Nauczyciel uczył go sztuki czytania Pisma Świętego, kazał mu te same epizody czytać wiele razy. I w końcu ten chłopak się zbuntował, i powiada: „Ale ja tego nie rozumiem!" Na co nauczyciel: „Nie chodzi o to, żebyś rozumiał, chodzi o to, żebyś pamiętał! Mądrzejsi od ciebie nie rozumieli." Ktoś, kto czyta Pismo Święte, kto po nie sięga dzisiaj, też nie musi wszystkiego rozumieć. Nie mówię tego państwu kokieteryjnie tylko naprawdę to, co czuję, że im dłużej je czytam i wykładam młodzieży, i w różnych miejscach, i piszę o nim, tym bardziej mam wrażenie, że coraz mniej rozumiem. Bo kiedy już wydaje się, że człowiek dopływa jakąś rzeczką zrozumienia, to okazuje się, że ta rzeka wpada do większej rzeki. I kiedy się płynie tą większą rzeką, to ona jest tylko dopływem jeszcze potężniejszej od siebie. A potem, kiedy się człowiekowi wydaje, że już ten tekst zrozumiał i ten epizod rozumie, okazuje się, że te wszystkie rzeki płyną do morza, które jest bezkresne i nie sposób go objąć wzrokiem.

Więc to nie jest tak, że czytając Biblię my musimy zrozumieć. *Wiara nie jest do zrozumienia, wiara jest do pamiętania.* „Chodzi o to, żebyś pamiętał!" I te słowa są tak samo ważne w starożytności, jak i ważne dzisiaj. Otóż te przeżycia, które stały się udziałem owych starożytnych ludzi, zostały zapamiętane. I zaczęły żyć w czymś, co w naszym współczesnym języku otrzymało nazwę *tradycja.* Słowo „tradycja" pochodzi od łacińskiego czasownika tradere tzn. *przekazywać, podawać, utrwalać, pamiętać.* Traditio znaczy po polsku *przekaz, wspomnienie, pamięć.* Otóż dzięki temu, że te osoby w starożytności, te odległe postacie od Abrahama aż po Jezusa, Piotra, Jana, Jakuba, Marię Magdalenę i Najświętszą Maryję Pannę, że te wszystkie postacie pamiętały, zapamiętały — to z czasem mogło powstać Pismo Święte. Czy przypominają sobie państwo taki tekst w Ewangelii św. Łukasza, a mamy dzisiaj liturgiczne wspomnienie św. Łukasza, jak to Jezus, Maryja i Józef wrócili do Nazaretu, i „tam był im poddany", był im posłuszny. A „Maryja zachowywała wszystkie te słowa w swoim sercu". I dzięki temu, że zachowywała pamięć o Zwiastowaniu, o Nawiedzeniu, o Narodzeniu, to dzięki temu my to znamy. Przecież Apostołów tam nie było, bo jeszcze w ogóle nie doświadczyli powołania. Oni spotkali Jezusa jako dorosłego człowieka. Gdyby Maryja zlekceważyła to, co przeżyła, gdyby nie chciała tego pamiętać, albo nie mogła tego zapamiętać, skądże moglibyśmy wiedzieć o okolicznościach Zwiastowania i narodzin Syna Bożego, albo o nawiedzeniu Elżbiety, albo o okolicznościach narodzin w Betlejem, albo o ofiarowaniu w świątyni? Otóż ona jedna, i w gruncie rzeczy jedyna, stała się powierniczką Boga przez to, co przeżyła i przez to,

co zapamiętała. Otóż warunkiem przyszłości jest zabezpieczenie przeszłości. A to zabezpieczenie przeszłości odbywa się właśnie poprzez pamięć.

Myślę więc kończąc dzisiaj, że rozumieją państwo, że u początków Biblii stoi to, czego doświadczyli owi ludzie, zapamiętali. A potem o tym opowiadali. A następnie te opowiadania utrwaliły się na dobre w ludzkiej świadomości i w ludzkiej pamięci. Otóż te opowiadania przybrały taki określony kształt. O tym będziemy mówić na następnym spotkaniu, kiedy zwrócimy uwagę na różne ośrodki kształtowania się tej pamięci, różne ośrodki kształtowania się tej tradycji. I powiemy dlaczego w pewnym okresie doszło do zapisu tej tradycji. Na razie zapamiętajmy to jedno: że w Biblii możemy rozpoznać opowiadania. Opowiadania które, i to niech będzie swoista pointa dzisiejszego spotkania, które żeby zrozumieć, żeby ich doświadczyć, to człowiek powinien czytać głośno.

Wiem, że kiedy to mówię, to niektórzy z państwa uznają to wręcz za żart. W naszych małych domach, w rodzinach wielopokoleniowych nieraz, głośno czytać? Otóż nic tak nie kształtuje wyobraźni, jak głośne czytanie albo słuchanie. Proszę zwrócić uwagę że ludzie, którzy słuchają radia, to są ludzie z ogromną wyobraźnią. Są takie osoby, i na szczęście dzięki Bogu że są, które lubią słuchać radia. I radiowe słuchowisko, albo radiowy program, przenosi ich w zupełnie inny świat. Potrafi nieraz oderwać od wszystkiego. Telewizja z obrazem niestety tę wyobraźnię zabija. Dlatego, że już ktoś za nas pokazuje, jak to wygląda. A oczywiście pokazuje to, co chce widzieć, albo to, co on widzi.

Otóż Pismo Święte trzeba byłoby czytać głośno. Raz jeszcze wrócę do Brandstaettera, skoro o nim tak często wspominamy. On czytał Biblię głośno. Po hebrajsku Biblia nazywa się Mikra. Słowo pochodzi od czasownika kara — *czytać.* Mikra — *to, co należy czytać.* Tymczasem nie znano nigdy w tym starotestamentowym i żydowskim sposobie myślenia czytania cichego. Czytanie musiało być głośne, albo przynajmniej półmrukiem. Jeżeli ktoś z państwa pamięta, na szczęście jest co najmniej kilkanaście, a może kilkadziesiąt takich osób, jak się znajdziemy w Jerozolimie pod Ścianą Płaczu to słyszymy szum, jakby pszczoły w ulu. Każdy z nich czyta, i to czyta sobie, przerywa, i znów czyta. Z daleka to przypomina rój pszczół, ule. My takiej tradycji nie mamy. Ale jeżeli ktoś z państwa ma taką możliwość i może, wyzbywszy się wnuków albo dzieci i innych obowiązków, na 15 minut pozostać sam, niech spróbuje sobie przeczytać tekst Pisma Świętego półgłosem. Zobaczą państwo, że wtedy odkrywa on przed nami treści, których nawet nie przeczuwamy. Otóż polecałbym, zachęcałbym, aby przeczytać dziennie jeden albo dwa rozdziały. Prosiłbym, żeby na początek wziąć Księgę Rodzaju, pierwszą księgę Pisma Świętego, i przeczytać dwa rozdziały dziennie. Nie opuszczać niczego, nawet tego, czego państwo kompletnie nie rozumieją. Jeżeli przez ponad 3000 lat jest to przekazywane to znaczy, że musi mieć jakiś sens, tylko ja tego sensu nie widzę. Podobnie jak jakiś guzik w kabinie samolotu odrzutowego na pewno jest potrzebny, chociaż ja nie wiem, jakie jest jego zastosowanie. Ale do głowy mi nie przychodzi, żeby go bezkrytycznie włączyć albo twierdzić, że jest zupełnie zbyteczny. I w tekście Biblii jest tak samo — wszystko jest potrzebne.

Zachęcam zatem, żeby sięgnąć po Księgę Rodzaju i przeczytać ją do naszego następnego spotkania. Zwłaszcza zwrócą państwo uwagę na rozdziały 12 – 50. Bo do pierwszych jedenastu jeszcze krótko wrócimy, ale je też trzeba przeczytać. I kiedy państwo będą czytać tamte rozdziały, proszę sobie wyobrazić Abrahama, Izaaka, Jakuba, którzy to opowiadają. Proszę popatrzeć, że tam są pewne powtórzenia, że tam są pewne ciekawostki, osobliwości, skandale, kłopoty. Do tego wszystkiego jeszcze wrócimy. Nasze następne spotkanie będzie dopiero 22 XI. Mamy więc do tego spotkania 30 dni. Księga Rodzaju ma 50 rozdziałów. Jeżeli więc państwo zdecydują się czytać Księgę Rodzaju, to na pewno ją przeczytamy. Jeżeli uda się ją przeczytać, będzie to ogromna nagroda, i będzie to punkt wyjścia do rozważań 22 XI, na które bardzo serdecznie zapraszam. Na razie dziękuję bardzo serdecznie za uwagę i mam nadzieję, że to, co powiedzieliśmy, zachęci, żeby po Biblię sięgnąć.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

2.2 Księga Rodzaju (dn. 22 listopada 1999)

Bardzo serdecznie witam wszystkich państwa. A ponieważ jest nas tak dużo, to tym większa jest sposobność do satysfakcji, do zadowolenia. I tak myślę sobie patrząc na państwa, czyżby ten wzrost zainteresowania i napływ był podyktowany tym, że począwszy od ostatniego naszego spotkania sięgnęli państwo po Pismo Święte. Powiedzieliśmy bowiem, że w tym roku nasze konferencji biblijne tym będą różnić się od pozostałych, od tych, jakie miały miejsce do tej pory, że będę zachęcał państwa do tego, aby sięgnąć po Pismo Święte, aby je czytać. Natomiast moim zadaniem będzie to, żeby w tym dziele czytania Pisma Świętego i osobistego spotkania z Pismem Świętym pomagać. Domyślam się, że jakaś część z państwa, i to pewnie wcale znacząca, rozpoczęła swoje spotkanie z Pismem Świętym. Są na pewno tacy, którzy je kontynuują, bo już wcześniej zaczęliście czytać księgi święte. To wszystko wzięta razem powoduje, że sporo jest takich osób, które w ciągu ostatnich kilku tygodni wzięły sobie jednak na serio tę zachętę. I w związku z tym moja rola dzisiaj jest łatwiejsza, ale i trudniejsza zarazem. Łatwiejsza dlatego, że mając nadzieję na to, że sięgnęli państwo po Pismo Święte, będziemy dzisiaj opowiadać w nawiązaniu do konkretów, które państwo powinni już znać. Trudniejsza — proszę wybaczyć mi tę szczerość — dlatego, że im więcej chętnych bierze udział w tego rodzaju konferencjach, tym trudniej jest mówić, czy trafić temu, który mówi dlatego, że ta demokratyzacja wiedzy, czy jej upowszechnianie, zakłada także i to, żeby próbować dotrzeć do każdego człowieka, do każdego uczestnika. A tymczasem zarówno poziom naszego spotkania z Biblią jest odmienny, jak też rozmaite różne uwarunkowania powodują, że bardzo trudno jest tak wyważyć te konferencje, żeby przyniosły one coś dobrego zarówno tym, którzy wiedzą sporo na temat Biblii, jak i innym, którzy dopiero w tej wiedzy biblijnej raczkują.

Przejdziemy dzisiaj do następnego etapu. Otóż zakładam, że większość z państwa, a wiem to również po zainteresowaniu w naszym sklepiku, po pytaniach, które państwo mieli, sięgnęła po Pismo Święte. Zakładam również że ci, którzy tego nie zrobili, być może w najbliższym czasie tego dopełnią. Będzie można nawet dzisiaj zaopatrzyć się w Pismo Święte, i mieć je w swoim domu. I to jest jedna sprawa. I druga sprawa, którą chcielibyśmy wprowadzić w najbliższej przyszłości, to będzie to, że tutaj będzie taka taxa, ale tym razem nie na pieniądze, tylko zgodnie z sugestiami zgłoszonymi parę dni temu na jednym ze spotkań, będzie to taca na pytania. Otóż ci z państwa, którzy rzeczywiście wezmą sobie do serca lekturę Biblii, i w trakcie czytania Pisma Świętego pojawią się państwu jakieś pytania, jakieś trudności, jakieś sprawy — wtedy bardzo proszę na karteczce przynieść to pytanie i wrzucić je tutaj. Następnie ja się z tymi pytaniami, już po konferencji, zapoznam. A później, na następnym naszym spotkaniu — być może nawet jeżeli tych pytań będzie sporo, i będą one bardzo głęboko drążyły te sprawy, zrobimy sobie częściej te spotkania, np. co dwa tygodnie — wtedy będę państwu na te pytania, i na te trudności, odpowiadał. W ten sposób stworzymy coś w rodzaju kursu biblijnego. Być może na sam koniec uczestnicy tego kursu, a jest nas tutaj dobrze ponad 300 osób, otrzymają zaświadczenia o odbyciu kursu biblijnego. Będą również konkursy wiedzy biblijnej, i będą w takim razie nagrody. Skoro są państwo pilnymi studentami, to będziemy starali się, żeby to zainteresowanie w jakiś sposób odwzajemnić.

Przejdziemy dzisiaj do rzeczy. Otóż jeżeli przebrnęli państwo przez te rozdziały Pisma Świętego, które były wskazane podczas ostatniego naszego spotkania, to domyślam się, że są państwo w trakcie dobrze zaawansowanej lektury Księgi Rodzaju. I właśnie dzisiaj chciałbym do tego nawiązać, a jednocześnie posunąć krok naprzód. Wyjdźmy od spraw najbardziej ogólnych. Raz jeszcze zwróćmy uwagę na to, że oto ta księga staje się przedmiotem zainteresowania naszym, tutaj kilkuset osób, ale jest także przedmiotem zainteresowania tysięcy i milionów ludzi na całym świecie. Że na tej księdze wychowały się całe pokolenia, że ta księga zapładniała wyobraźnię artystów: pisarzy, malarzy, muzyków. Że spotkanie z tą księgą odbywa się od literatury poprzez szerokie spektrum ludzkiej kultury. Jeżeli ktokolwiek chce zrozumieć cywilizację, jeżeli ktokolwiek chce zrozumieć kulturę to musi przynajmniej podstawowe wątki Biblii znać. Powiedzieliśmy dobrze przed miesiącem, że jeżeli chodzi o naszą polską kulturę, to jej filary takie jak Mickiewicz czy Słowacki, byli wychowani na Biblii. Ale także i dzisiaj Biblią karmią się najwięksi tego świata, i określa ona ich życie, ich przyzwyczajenia itd. Myślę, że jeżeli ktoś z państwa sięgnie po Biblię, odczuje coś takiego samego, co odczuli ci, którym Biblia zapładniała wyobraźnię. Mianowicie jest to księga, która oddziałuje na wyobraźnię. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że jak powiedzieliśmy parę tygodni temu, ta księga

wyrosła z tradycji, wyrosła z opowiadania, wyrosła z przekazu. Powiedzieliśmy, że w tej księdze znajduje wyraz doświadczenie, doświadczenie spotkania Boga, przeżycia Pana Boga. I to doświadczenie zostało ujęte w opowiadania przekazywane z pokolenia na pokolenie. Powiedzieliśmy, że te opowiadania, przekazywane w tradycji, kształtowały tożsamość tamtych dawnych, starożytnych ludzi. I dzisiaj, kiedy od powstania Biblii upłynęło ok. 2000 lat i więcej, i my wracamy do Biblii pomimo tak ogromnego upływu czasu i pomimo takiej różnicy geograficznej, bo ona dotyczy przecież zupełnie innego regionu świata, to dlatego, że odnajdujemy nasze duchowe pokrewieństwo z tym dziedzictwem, z tymi postaciami, i z tym bogactwem, które na kartach Biblii rozpoznajemy.

Otóż można by powiedzieć tak, że na kartach Biblii spotykamy różnych ludzi, bardzo różnych ludzi, co jeszcze rozwiniemy za chwilę. Natomiast można by powiedzieć, że na kartach Biblii — i to jest ten paradoks, który sprawia, że ona jest zawsze żywa — my spotykamy również siebie, jeżeli w losach tych starożytnych postaci rozpoznajemy również swoje własne losy. I jeżeli uczynimy te starożytne postacie także częścią własnego życia. Dobrze byłoby wiedzieć, że cała Biblia, i Stary i Nowy Testament, to jest dziedzictwo, w które my wszyscy jesteśmy wszczepieni. Nie byłoby Kościoła, nie byłoby chrześcijaństwa, zatem nie byłoby nas takimi jakimi jesteśmy, gdyby nie to wszystko, co jest zawarte w Biblii i co z Pisma Świętego wypływa.

Powiedzieliśmy zatem, że tradycja, że pamięć. Pamięć o tym, co się wydarzyło. Powiedzieliśmy, że ta pamięć ukształtowała wtedy ten naród, ukształtowała tych ludzi Bożego wybrania. I powiedzieliśmy, że ważną nauką, jaka płynie z Biblii jest to, że i my dzisiaj, jeżeli chcemy pozostać sobą, to musimy mieć udział w tym żywym doświadczeniu Boga po to, żeby wiedzieć kim jesteśmy, i żebyśmy przeżywając, pamiętając to, kim jesteśmy, swoją tożsamość przekazywali z pokolenia na pokolenie.

Wróćmy jednak do spraw, które wiążą się z Księgą Rodzaju. Gdybyśmy sięgnęli do całego okresu Starego Testamentu i zadali takie pytanie: *Co było najważniejszym wydarzeniem przed narodzinami Jezusa Chrystusa?* Za niespełna miesiąc będziemy mieli Boże Narodzenie. I będzie to 2000 lat, Wielki Jubileusz, nasze pokolenie jest tutaj absolutnie wyróżnione, chociaż jest to wyróżnienie, w którym nie mamy żadnej zasługi. Bo jeżeli ten miesiąc jeszcze dożyjemy, wejdziemy w Wielki Jubileusz Roku 2000. I można by powiedzieć, że z chrześcijańskiej perspektywy to, co wydarzyło się 2000 lat temu, stanowi absolutnie przełomowe wydarzenie w dziejach świata. Oto Bóg dla nas i dla naszego zbawienia stał się prawdziwym człowiekiem. I od tej pory dzieje świata nigdy nie były takie, jak przedtem.

Ale wróćmy do naszego pytania. A co było najważniejszym wydarzeniem przedtem? Tzn. co stało się takim wydarzeniem, które przesądziło, odmieniło poniekąd losy świata? Odpowiedź będzie dość paradoksalna. Nie tylko paradoksalna, dla wielu z państwa nieoczekiwana, aczkolwiek większość z państwa, jak sądzę, już ma na ten temat podstawowe rozeznanie. *Otóż najważniejszym wydarzeniem czasów Starego Testamentu, czyli czasów sprzed przyjścia Jezusa Chrystusa, było wyjście Izraelitów z niewoli egipskiej.* I temu musimy się dzisiaj przyjrzeć dlatego, że w tym świetle trzeba czytać cały Stary Testament, i trzeba również w nowy sposób spojrzeć na Księgę Rodzaju, czyli tę księgę, która Biblię otwiera.

Wyjdźmy najpierw króciuteńko od historii. Mianowicie około roku 1250 przed Chrystusem, czyli ponad 3200 lat temu, lud niewolników wychodzi pod wodzą Mojżesza z Egiptu. Ten lud niewolników nie bardzo wie, kim jest. Ich wspólna nazwa tak, jak oni siebie wtedy określali, brzmiała: *hebrajczycy.* Ta nazwa pochodzi od rdzenia abar, który znaczy *z daleka, obcy, dalecy.* I prawdopodobnie ta nazwa odzwierciedla taką świadomość, że ci ludzie, których określano nazwą *hebrajczycy,* przyszli z bardzo dalekiego regionu. I następnie przeżyli jakiś czas na ternie Egiptu, gdzie zostali zniewoleni, upodleni, sponiewierani. I w tej sytuacji, kiedy utracili jakąkolwiek nadzieję na odmianę swojego położenia, zostali stamtąd wyprowadzeni.

Na czym polega doniosłość tego wyprowadzenia? Na tym, że dokonał tego jeden człowiek, który miał na imię Mojżesz. I ten jeden człowiek uwierzył Bogu — znów mamy doświadczenie Boga, absolutnie niesprawdzalne, jeżeli tak można powiedzieć, w sposób przyrodoznawczy czy matematyczny, bo każdy z nas przeżywa sprawy duchowe inaczej, i każdy z nas inaczej spotyka Boga. Mojżesz spotkał Boga w sobie tylko właściwy sposób i otrzymał polecenie, aby wrócił do kraju nad Nilem — bo stamtąd pochodził i ukrywał się na pustyni Synaj — i wyprowadził stamtąd swoich rodaków. Mojżesz się wzbraniał. Będą o tym państwo czytać na kartach Księgi Wyjścia, do której jeszcze

wrócimy następnym razem.

Natomiast posuńmy tutaj się dalej i streśćmy to, co najważniejsze. Mojżesz zbiera ten lud niewolników, gromadzi tych ludzi, którzy nie bardzo wiedzieli kim są i dokąd zmierzają, prowadzi ich do stóp góry Synaj, to jest dzisiaj na terenie Egiptu, na półwyspie Synajskim. I tam, kiedy Mojżesz chce powiedzieć Bogu: „Chciałeś, żebym ich wyprowadził – masz, proszę bardzo". Wtedy słyszy takie polecenie: „Oto teraz wejdź tutaj, wstąp do Mnie. I otrzymasz prawo, którymi oni będą się kierować". Po bardzo dramatycznym spotkaniu z Bogiem, które trwało 40 dni, Mojżesz schodzi z tablicami Prawa. Zostawmy na boku szczegóły. Najważniejsze jest jedno. Że ta gromada niewolników, ci wyprowadzeni stamtąd niewolnicy otrzymują podstawową konstytucję swojego życia. Tą konstytucją jest dziesięć Bożych Przykazań. I od tej pory to ma przesądzić o tym, kim oni są.

I te dziesięć przykazań stanowi po dzień dzisiejszy o tożsamości człowieka religijnego. Nie można sobie wyobrazić życia religijnego i społecznego bez przestrzegania dziesięciu przykazań. Trzy pierwsze wyznaczają stosunek do Boga. Siedem następnych wyznacza stosunki, układy pomiędzy ludźmi. Jedne podnoszą głowę człowieka w górę, jeżeli tak można powiedzieć, gdzie według naszych symbolicznych wyobrażeń mieszka Bóg. Inne nakazują rozejrzeć się dookoła i dostrzegać każdego człowieka.

Ten lud uświadamia sobie wtedy coś nowego. Mianowicie to, że dzięki tym przykazaniom przeobraził się w naród. Proszę zwrócić uwagę na tę charakterystyczną różnicę. *Lud* to jest zbiorowisko, gromada, jeszcze bez swojej wyraźnej tożsamości, bez świadomości tego, kim są, bez świadomości praw, przywilejów, ale również obowiązków. Tam, gdzie jest *naród,* jest coś, co jest jego spoiwem. A spoiwem tego narodu jest zarówno wspólny sposób życia, wspólne pochodzenie, wspólna ojczyzna czyli wspólne terytorium, ale także wspólny język, wspólna duchowość, i wreszcie, co w tym przypadku i w innych przypadkach jest również ważne, jeżeli to tylko możliwe — wspólna religia. Albo takie wymogi które sprawiają, że im jest więcej tego co łączy, tym poczucie narodowe jest silniejsze.

I ten naród otrzymuje nazwę *Izrael*. To był rok ok. 1250 przed Chrystusem. Kiedy weszli do nowej ziemi, co nastąpiło ok. 40 lat później, zaczęli tę ziemię stopniowo zajmować. Ta ziemia również otrzymała nazwę: ziemia Izraela. Proszą zwrócić uwagę, że takim najważniejszym — raz jeszcze powtarzam — wydarzeniem Starego Testamentu, było wyjście z niewoli egipskiej. W tym wyjściu, w tym wybawieniu, wyzwoleniu i wyjściu, mamy kilka elementów. Zwróćmy na to uwagę, proszę popatrzeć.

Pierwszy element to ten, że ta gromada niewolników znajdowała się w potrzebie, była opuszczona. Przebywała niejako na pustyni, była skazana na wyniszczenie. Wobec tego to, czego dokonał wobec nich Bóg, miało wartość zbawczą, wartość wyzwolenia.

Po drugie, że zostali wyprowadzeni z tej sytuacji, wybawieni z tej sytuacji, i otrzymali nową ziemię.

Po trzecie, że aby otrzymać tę ziemię i aby żyć, otrzymali przykazania. A więc coś, co normuje życie. Człowiek musi mieć jakiś drogowskaz. Może nas nie być stać, żeby żyć w ten sposób, o jakim wiemy, że żyć powinniśmy. Ale to nie znaczy, żeby odrzucać przykazania. Tylko wtedy jest obowiązek, żeby wyznać własną słabość.

Po czwarte: Kiedy zachowywali te przykazania, kiedy przestrzegali tych przykazań, Bóg dał im poznać, że będzie z nimi, zapewniał im błogosławieństwo i swoją obecność. I przeciwnie, jeżeli nie zachowywali tych przykazań, spotykały wtedy ich rozmaite nieszczęścia, rozmaite zagrożenia.

Te elementy, które wyliczyłem, są niesłychanie ważne dlatego, że ta świadomość, wzgląd na to, co się stało, stworzyła naród. I ten naród od tej pory zaczyna nie tylko żyć w zgodzie z Bogiem i w jedności z Bogiem, ale zaczyna oceniać swoje życie pod Bożym kątem widzenia. Poznał przykazanie, i stosownie do tych przykazań układa swoje własne życie.

Dlaczego to jest wszystko tak ważne? Dlatego, że te wydarzenia stworzyły pamięć. Ta pamięć trwa po dzień dzisiejszy. Otóż to, co się wydarzyło w rzeczywistości, te wydarzenia historyczne były bardzo szybko upamiętniane również w liturgii. W ten sposób stworzyło to podwaliny pod życie religijne tego narodu. Wyłoniły się trzy wielkie święta, zresztą zachowywane przez Żydów po dzień dzisiejszy, które przesądziły również o strukturze roku liturgicznego, zarówno żydowskiego, jak i chrześcijańskiego:

- Najważniejsze wydarzenie wyprowadzenia z Egiptu zaczęło być co roku upamiętniane jako *święto Paschy.* Słowo *Pascha* pochodzi od hebrajskiego pesah, znaczy *przejście, wyjście*. Co roku, kiedy przychodziła wiosna, a więc w tym czasie, kiedy ów lud niewolników, ta gromada niewolników wyszła znad Nilu, to każdego roku o tej porze wyobrażano sobie, że oto jeszcze raz wychodzimy z ziemi egipskiej, z domu niewoli. Raz jeszcze zabierano kije do ręki, zakładano sandały na nogi, robiono tylko gorzkie zioła, zabijano baranka na pamiątkę tego, co tam się stało, urządzano wspólną ucztę. Czyli dochodziło do tego, że przy okazji tych obchodów, które miały charakter rodzinny, były obchodzone w rodzinach, przy okazji tych obchodów najmłodsze dziecko, chłopiec, a jeżeli nie było chłopca, wtedy córka zadawała ojcu pytanie: „Tato, a dlaczego my to wszystko robimy?" I ojciec odpowiadał: „Uciskali nas Egipcjanie, byliśmy prześladowani, nasi przodkowie wyszli z Egiptu. Oto my wyszliśmy z Egiptu."

  Proszę zwrócić uwagę, że jeżeli każde pokolenie, aż po dzień dzisiejszy — tak jest u Żydów — w święto Paschy wyobraża sobie, że wychodzi z Egiptu, wobec tego każda sytuacja niesprawiedliwości społecznej jest postrzegana jako krzywda. Każda sytuacja jakiegoś zniewolenia, jakiegoś wykorzystywania drugiego człowieka w swoim własnym narodzie jest postrzegana jako rażąca niesprawiedliwość i jako wykroczenie przeciwko temu porządkowi, jaki Bóg ustanowił, kiedy wychodzili z Egiptu.

  To jest to pierwsze święto. Zwróćmy uwagę, że podczas święta Paschy celebrowano wybawienie. Chrześcijańskim odpowiednikiem święta Paschy jest rzecz jasna Niedziela Zmartwychwstania. Skąd to podobieństwo? Ano stąd, że Jezus Chrystus wydał siebie za nas, przejmując rolę baranka paschalnego, i zginął w wigilię Paschy, został zawieszony na krzyżu tak jak ten wąż na pustyni, którego Izraelici nieśli, i że dokonuje wybawienia. Ale tamto wybawienie dawne, z czasów Starego Testamentu, stało się obrazem tego wybawienia nowego. To nowe wybawienie to wyprowadzenie z niewoli znacznie głębszej. Mianowicie ukazanie człowiekowi, że jest pogrążony w sytuacji grzechu. I że ten człowiek zniewolony przez grzech, omamiony przez zło, potrzebuje wyzwolenia.

  Izraelici byli w niewoli, ale nie zawsze wiedzieli, co ta niewola znaczy. Dlatego, że niewolnik, jeżeli nie zna wolności, nie zna smaku wolności, nie potrafi też powiedzieć ani rozstrzygnąć, czym tak naprawdę jest niewola. Podobnie człowiek, który jest w więzach grzechu, jeżeli nie zna innego życia, wobec tego ta sytuacja, jaką tylko i wyłącznie zna, wydaje mu się normalną. Z tej niewoli wyzwolił nas Jezus Chrystus. I to jest wspominane w naszej liturgii wielkanocnej.

- Drugie święto, niesłychanie ważne z punktu widzenia Starego Testamentu, to jest pamięć o nadaniu prawa na Synaju, czyli pamięć o dziesięciu Bożych przykazaniach. I o tym, że te dziesięć przykazań stanowiło fundament życia. To święto, które upamiętnia nadanie dziesięciu przykazań nazywa się w tradycji żydowskiej Szawuot, znaczy to polsku *święto Tygodni.* Obchodzi się je na następny dzień po siedmiu pełnych tygodniach. Siedem pełnych tygodni to siedem razy siedem dni. Te siedem ma ogromną wartość symboliczną. Bo siódemka w mentalności semickiej, żydowskiej oznacza doskonałość, pełnię, coś najważniejszego i najwspanialszego. Siedem razy siedem to czas doskonały. I na drugi dzień, nazajutrz po tych siedmiu pełnych tygodniach, obchodzi się *święto Tygodni* znane również jako *święto Pięćdziesiątnicy,* bo jest to dzień pięćdziesiąty. Wtedy Izraelici dziękowali za dar Prawa. W ten sposób zawsze wiedzieli że to, co przesądziło o ich przetrwaniu, pochodzi od Boga.

  Naszym odpowiednikiem, chrześcijańskim odpowiednikiem święta Pięćdziesiątnicy jest *święto Zesłania Ducha Św.* czyli tzw. *Zielone Świątki.* Otóż właśnie tego dnia, w dzień Pięćdziesiątnicy, w pięćdziesiąty dzień po Zmartwychwstaniu, obchodzimy pamiątkę nowego zesłania Ducha Świętego, a więc nowego daru, który jest analogiczny do daru nadania Prawa na Synaju.

- I wreszcie trzecie święto, które Izraelici obchodzili a chrześcijanie go nie mają, bo to święto ma wymiar bardziej konkretny, jest to *święto Namiotów.* To święto obchodzone jest jesienią. Znane jest w polskiej tradycji jako *święto Sukkot,* jako *święto Kuczek,* albo *święto Namiotów.* I wtedy przez osiem dni Izraelici zamieszkiwali pod namiotami. I tak jest po dzień dzisiejszy, że budują sobie szałasy, *kuczki* albo w domu, albo na balkonie, albo nad łóżkiem, albo na podwórku, albo gdzieś na rynku i tam przez osiem dni spożywają posiłki, a nawet nocują.

„A gdy cię twój syn" mówią między sobą „zapyta, dlaczego to robisz, odpowiedz, że nasi przodkowie przechodzili kiedyś przez pustynię i tak właśnie mieszkali".

Zwróćmy zatem uwagę, że liturgia stała się nośnikiem pamięci. Że to, co się wydarzyło, było nie tylko wspominane, ale jest również przeżywane. Że co roku każdy jakby wychodzi z Egiptu, każdy otrzymuje dar przykazań, i każdy przechodzi przez pustynię. To są święta, to są obchody, do których bardzo często nawiązujemy w Biblii.

Tak dochodzimy do tego, co daje nam rozeznanie o Księdze Rodzaju. Mianowicie ci Izraelici, którzy wyszli z Egiptu koło roku 1250 przed Chrystusem, zadali sobie pytanie „A co było wcześniej? A co było przed tym wydarzeniem wyjścia z Egiptu? A co przedtem działo się? Kim my wcześniej byliśmy?" I zaczęli zbierać okruchy pamięci o tym wszystkim, co przesądziło o wyjściu z Egiptu. Oczywiście wiedzieli na ten temat bardzo mało dlatego, że pamięć ludzka jest zawodna i ułomna, a poza tym były to całe setki lat. I oczywiście były tylko okruchy pamięci. I w ten sposób zaczęli sobie przypominać o tych, o których pamiętali, ale którzy poprzedzili wyjście z Egiptu. Zaczęła się w ten sposób kształtować pamięć o patriarchach. I temu właśnie są poświęcone rozdziały 12 – 50 w Księdze Rodzaju. Proszę zauważyć: nie od początku, tylko od 12 rozdziału.

Cała ta część, rozdziały 12 – 50 Księgi Rodzaju, dotyczy tzw. *patriarchów.* Kim są patriarchowie? Samo słowo jest pochodzenia greckiego, od pater tzn. „ojciec", oraz arche tzn. „początek" — „ojciec, który był na początku". Po polsku: „praojciec", „protoplasta". Otóż ci Izraelici, wybawieni przez Boga, którzy wspominali o swoim wyjściu w Księdze Wyjścia oraz w następnych księgach Pięcioksięgu — o tym później — zaczęli przypominać sobie, co było wcześniej. I wtedy gdzieś tam z zakamarków zbiorowej pamięci wyłania się Abraham, Izaak i Jakub. I wspominają, opowiadają o Abrahamie, Izaaku i Jakubie, a także o dwunastu synach Jakuba, których uważają za protoplastów swojego własnego narodu. Bo początki, powiedzmy sobie wyraźnie, są legendarne. Ale trzeba dobrze znać znaczenie słowa „legenda". Bo „legenda" według naszego powszechnego sposobu myślenia to jest wymysł. Tymczasem inne jest znaczenie słowa „legenda" zarówno w Biblii jak i w historii ludzkiej kultury.

Legenda mianowicie to jest opowiadanie z uczuciem, z sercem, z zaangażowaniem. Legenda jest tam, gdzie jest miłość. Otóż o tych, których kochamy, nie jesteśmy w stanie myśleć w sposób absolutnie obiektywny, historyczny i spójny. Możemy myśleć o nich tylko z wielkim zaangażowaniem. I tak tworzy się legenda. Legenda powstaje tam, gdzie jest uczucie i przywiązanie. Legenda powstaje tam, gdzie jest wdzięczność. A więc wszystkie szczegóły tego wszystkiego, co przeżywamy, są wpisywane w legendę. Takie legendy, przekazywane z pokolenia na pokolenie, składają się na rodzinne sagi. Otóż te legendy tworzymy także w odniesieniu dla naszych rodziców, zwłaszcza jeżeli nie żyją, w odniesieniu do babć i dziadków, w odniesieniu do dawniejszych przodków. To jest element legendy. I próżno byłoby tutaj szukać jakiejś wiarygodności wszystkich szczegółów. To nie o to chodzi. Jeżeli ktoś naprawdę miłuje, to patrzy zupełnie innymi oczyma, i historyczna wiarygodność ma tutaj niewielkie znaczenie.

Te opowiadania o patriarchach to są zarazem legendy. Jeżeli państwo sięgnęli do Księgi Rodzaju, to widzieli tam postać Abrahama, postać Izaaka, postać Jakuba, o których opowiada się z ogromnym zaangażowaniem. Wygląda na to, że narrator, który o tym opowiada, jakby stał z boku. Ale to nieprawda, on opowiada o nich bardzo zaangażowany.

Skąd wzięły się te opowiadania? Skąd wzięły się ta pamięć? Skąd wzięły się te legendy? Otóż one wzięły się z tych okruchów opowiadań, przekazywanych gdzieś tam pod namiotem z pokolenia na pokolenie. Przyszedł czas, że postanowiono je spisać. Przyszedł czas, że nie można było dłużej polegać na pamięci. Dlatego, że przyszła katastrofa. Pismo natomiast było rozpowszechnione coraz bardziej, i należało zapisać. Wtedy zaczęto zbierać to, co zapamiętano o Abrahamie i połączono w jeden cykl dotyczący Abrahama. To, co zapamiętano o jego synu Izaaku połączono w jeden cykl dotyczący Izaaka. Wreszcie to, co zapamiętano o Jakubie i jego bracie Ezawie połączono w jeden cykl dotyczący Jakuba, gdzie on właśnie jest bohaterem. W tym połączeniu nie było sztywnych reguł logiki, jakie my tutaj mamy. Dlatego kiedy państwo czytają to możecie zobaczyć, że np. obok siebie są dwie wersje tego samego wydarzenia. Albo, że są pewne powtórzenia. Nie ma się co tym gorszyć ani przejmować. Bo zostały obok siebie zestawione różne fragmenty tej dawnej pamięci. I tutaj trzeba powiedzieć, że nasze myślenie jest inne niż dawne myślenie semickie, jak właśnie to

izraelskie, to żydowskie. Nasze myślenie jest bardziej sztywne, bardziej logiczne — jeżeli „tak" to tak, jeżeli „nie" to inaczej. Natomiast oni myślą na sposób dialektyczny, można powiedzieć, że nie ma dla nich alternatywy: „białe albo czarne" tylko „i białe i czarne". To jest inny sposób myślenia, inna mentalność. Tam zestawiono obok siebie różne okruchy tej pamięci.

Jeżeli ktoś chciałby najskuteczniej i najlepiej przedrzeć się przez te księgi, najwięcej z nich skorzystać, to skorzysta wtedy, kiedy będzie czytać je głośno. I był kiedyś taki zwyczaj z wieku XIX, i autorzy wspominają, ale również i w XX wieku

« Fragment złego nagrania »

Tak je czytano. Dziadek czytał dzieciom fragment Biblii, zwłaszcza krótki, a następnie wnuczek bądź wnuczka streszczali ten fragment i rozmawiali z dziadkiem na ten temat. W ten sposób w takiej rodzinie wyrastało dziecko dziecko które, kiedy dorastało i stawało się dorosłe, miało ogromną wiedzę biblijną. Bądźmy realistami — dzisiaj świat jest inny. Telewizor zabił rodzinne więzi. I telewizor spowodował, że ludzie nie opowiadają, nie czytają. I że widok dziadka, który czyta wnuczkom, byłby wzięty za co najmniej nie na miejscu. Nie da się wrócić do tego, co było. Może jednak są gdzieś rodziny, które to robią. Ale na pewno, jeżeli ktoś chce doświadczyć całej głębi Biblii, być może powinien spróbować takiej właśnie lektury. I być może są wśród państwa osoby, które nawet jeżeli nie mogą ściągnąć wnuków, to może jest mąż i żona. Najtrudniejszy będzie pierwszy raz, ale potem jakoś zaczyna to wchodzić w pewien zwyczaj gdzie można znaleźć czas, żeby spróbować to tak czytać.

Zmiana stron kasety

A czasami są to takie opowiadania, które nawet dorosłego człowieka zastanawiają, bo wcale nie są budujące. I tutaj chciałbym zwrócić państwu uwagę na szczegół, który nie zawsze rozumiemy. *Biblia,* mówię to z pełną odpowiedzialnością i proszę mnie dobrze zrozumieć, *nie jest księgą budującą.* To nie jest książka hagiograficzna. Jeżeli ktoś chce dobrych przykładów, to powinien sięgnąć po „Złotą legendę", po życie świętych, i starać się je naśladować. Aczkolwiek czasami przykłady wzięte z życia świętych mogą nas szokować. I nie zawsze, a czasami wręcz nie sposób ich naśladować, dam państwu jeden przykład. Parę dni temu obchodziliśmy wspomnienie liturgiczne błogosławionej Salomei, która wyszła za mąż, ale wcześniej ślubowała dziewictwo. I w związku z tym jej małżeństwo, Salomei i jej męża, księcia śląskiego, było dziewicze. W porządku – tylko jakbyśmy to wszyscy naśladowali, to by wszyscy chrześcijanie w tym pokoleniu wyginęli. I nie na tym polega małżeństwo, żeby ślubować dozgonną czystość. Więc jest to jakiś przykład, powiedzmy, świętości, ale jak człowiek jest szczery to musi jasno powiedzieć, że nie jest to świętość do naśladowania powszechnie, bo za 50, 80 czy 100 lat chrześcijan by w ogóle nie było.

Tu Biblia daje nam przykłady inne. Kiedy państwo czytają Księgę Rodzaju natrafiacie na opisy, które nieraz nas wręcz szokują. O co więc chodzi? Chodzi o to, żebyśmy zdali sobie sprawę z tego, że Biblia opisuje życie takie, jakie ono jest. Ze wszystkimi jego prawami, ale ze wszystkimi również jego pułapkami, i ze wszystkimi jego nieszczęściami i uwikłaniami. Można by powiedzieć, że my te uwikłania wszystkie znamy, my o nich słyszymy. Znamy je z gazet, z opowiadań, z życia, w rodzinie, wśród sąsiadów, gdzie indziej. Otóż w Biblii nie ma takich fragmentów życia, których byśmy nie znali. Czasami jednak Biblia potrafi nas zaskoczyć, bo sięga takich tajników ludzkiego sumienia i ludzkiego zachowania, że nawet jeżeli wiemy o życiu dużo, to Biblia mówi nam jeszcze więcej. Wprowadza nas w tereny, czy w obszary, których nawet nie przeczuwamy. I myślę, że jeżeli państwo sięgnęli po opowiadania o patriarchach, te zamieszczone w rozdziałach 12 – 50, to spotkaliście takie szokujące teksty. Takim szokującym tekstem jest na pewno opowiadanie o Sodomie i Gomorze na przykład. I o Locie, do którego przychodzi trzech nieznajomych przyjaciół. Przybywają do Lota, pukają do niego, Lot ich przyjmuje. A następnie pojawiają się mężczyźni sodomscy i powiadają: „Wyprowadź tych do nas!" Rzecz jasna, że występek, o którym mowa, otrzymał potem w kulturze nazwę „grzech sodomii", „grzech sodomski". Rzadko o tym mówimy, ale jest to również jakiś element rzeczywistości naszego życia też.

Proszę zwrócić uwagę, że Biblia jest niewygodna dla tych wszystkich, którzy chcieliby wprowadzić inne kanony moralności. Zwróćmy uwagę, że to nie jest debata, która przeszła absolutnie do

przeszłości. Jak państwo wiedzą dosłownie dwa czy trzy tygodnie temu we Francji zalegalizowano prawo do małżeństw homoseksualnych, a w Ameryce zalegalizowano prawo do tego, że małżeństwa homoseksualne mogą jeszcze wychowywać dzieci. Ciekawe czy takie „małżeństwo" dwóch kobiet, jeżeli to w ogóle jest małżeństwo, biorą dziewczynkę, to co z tego wynika dla wychowania? Czy „małżeństwo" dwóch mężczyzn, biorą chłopca, to co z tego wynika dla wychowania? Proszę zauważyć, że Biblia tu stoi na straży pewnego porządku. A kiedy ten porządek nie przystaje, wtedy Biblię się odrzuca i wtedy o niej się nie mówi — bo ona w jawny sposób mówi co innego. I my możemy udawać, że problemu nie ma, ale problem istnieje. My możemy krępować się, żeby o nim nie mówić, ale Biblia o tym mówi. Proszę popatrzeć, że jeżeli człowiek będzie wychowany na Biblii i jeżeli przebrnie przez ten przecież trudny fragment, trudny w takim znaczeniu moralnym i niesłychanie, aż do bólu szczery, to kiedyś w życiu staje wobec tych perspektyw. I to nie jest tak, że Kościół albo ci, którzy Biblię znają i starają się nią żyć, może tworzyć jakąś swoją własną moralność. Że to jest tylko widzimisię Kościoła, że Kościół może zrobić tak, albo Kościół może zachować się inaczej. Albo że ludzie wierzący są jacyś staroświeccy, bo życie poszło naprzód. Te tendencje istniały zawsze, i w starożytnym Rzymie, i w starożytnej Grecji, i w średniowiecznej Europie, i we Francji w epoce Rewolucji Francuskiej, i w XIX-wiecznych Włoszech, i wreszcie, jak doświadczenie wskazuje, także w naszych czasach. Więc zauważmy, że jeżeli Biblia nam o czymś opowiada, o czymś drastycznym, to nie po to, żebyśmy żywcem to naśladowali — bo się nie da, tylko po to, żebyśmy mieli własną, osobistą, dojrzałą ocenę tego, o czym tutaj się mówi. A mówi się tutaj o wszystkich aspektach ludzkiego życia. O tym, o czym nieraz krępujemy się mówić między sobą, Biblia o tym mówi.

Czasami Biblia jest szczera jeszcze bardziej, aż do bólu. Czasami są to epizody, że zastanawiamy się czy z tego płynie jakaś nauka. Proszę wziąć pod uwagę choćby taki epizod, jak mamy Lota, i mamy jego dorastające córki. I oto Lot jest, jak Biblia mówi, jedynym mężczyzną w tej okolicy. Dorastające córki posuwają się zatem do wybiegu, do fortelu. Mianowicie chcą mieć dziecko, i posuwają się do tego, że będzie to dziecko z ich ojcem. Jasne, że ta sytuacja jest rzadka, ale też się zdarza, zdarza się i dzisiaj. Ale tu mowa jest o czymś niesłychanie głębokim. Mianowicie Biblia chce nam powiedzieć, że wola posiadania dziecka przez dziewczynę czy przez młodą kobietę jest tak silna, że jest wręcz nierozumna. Być może w starożytności tamci ludzie czuli to jeszcze mocniej. W związku z tym jest tutaj jakaś wskazówka dla każdego człowieka, który to czyta i rozważa, żeby zwrócić uwagę na tę dziedzinę ludzkich potrzeb. Żeby zwrócić uwagę na tę sferę, żeby tej sfery nie lekceważyć, żeby jej nie pozostawiać na boku. Jest to wreszcie wskazanie na to, że nawet w tak intymnej komórce życia społecznego i tak małej, jaką jest rodzina, i w tak bliskim związku jak ojciec i córki, oczywiście również matka i synowie, może dochodzić do sytuacji, które należy przewidzieć. Więc nie można udawać, że problemu nie ma, bo problem moralny istnieje.

Proszę zwrócić uwagę, że Biblia nie zawsze ukazuje nam te osoby jako osoby, które są godne potępienia. Czasami ukazuje się je ze współczuciem, czasami ukazuje się je z przymrużeniem oka, czasami pokazuje się ich dalsze losy, kiedy indziej nie. Ale Biblia opowiadając o tym wszystkim jest też niesłychanie dyskretna. A na czym polega ta dyskrecja? Na tym, że daje się tutaj sposobność do naszej oceny tych epizodów, że tę ocenę się ustawia. Ostrzega się nas jak gdyby: „Zobacz, zdarza się coś takiego, i coś takiego, i to też się zdarza, i tamto się zdarza." Kiedy czytamy opowiadania o patriarchach to są to opowiadania o żywych ludziach, ze wszystkimi ich ułomnościami. Raz jeszcze powiadam, że największym zagrożeniem i największym nieporozumieniem byłoby to czytać jak „Złotą legendę". Ktoś z państwa, kto codziennie śledzi gazety, zwłaszcza te obliczone na tanią sensację, codziennie na pierwszych stronicach widzi podobne opowiadania o podobnych zdarzeniach. Ale te gazetowe są przedstawiane w tonie sensacji. Te natomiast tutaj są przedstawione z takim dystansem, który z jednej strony ukazuje ten problem, ale z drugiej strony daje nam pole do właściwego osądu.

Niech państwo zwrócą uwagę, może to nam się wydawać dziwne, ale te wszystkie opowiadania były czytane i rozważane w starożytności zarówno przez dorosłych, jak i młodzież, jak i dzieci. Można by powiedzieć, że był to rodzaj jakiejś edukacji, która rozpoczynała się bardzo wcześnie, i która nakazywała w różnych dziedzinach życia zachować czujność, ostrożność, a jednocześnie mieć pełne rozeznanie o tym, do czego mogą rozmaite zachowania i sytuacje prowadzić.

Ale nie jest to tylko księga wykroczeń. Jest to przede wszystkim księga obietnicy. Bo widzimy, jak Bóg kieruje, albo jak ci bohaterowie wiary pozwalają kierować się przez Boga, i być przez Niego

prowadzeni. Otóż widzimy, jak pomimo wszystkich słabości z tego wszystkiego wyłania się jakaś pewna myśl, pewien ciąg. Wyłania się coś co przesądza o tym, że jednak warto związać swoje losy z Bogiem. I że przegrywamy wtedy, kiedy tracimy nadzieję. I ta księga, choćby Księga Rodzaju, ale także inne księgi, pokazuje, *że największym wrogiem człowieka jest rozpacz.* I że tam, gdzie pojawia się rozpacz, tam już nie ma możliwości zmiany swojego postępowania.

To są opowiadania o patriarchach. Państwo przeczytają choćby takie opowiadanie, być może do niego już doszliśmy: Juda i Tamar. Niezwykle interesujący przypadek Judy oraz jego synowej Tamar. Poczuła się skrzywdzona, i w związku z tym postanawia dochodzić swoich praw. Postanawia dochodzić w sposób podstępny, to prawda, ale myśl jest taka: „Jeżeli chcesz kogoś przechytrzyć, musisz się liczyć z tym, że i ty zostaniesz przechytrzony. Że jeżeli chcesz kogoś pominąć albo kogoś jakoś zbagatelizować, musisz się liczyć z tym, że konsekwencje tego mogą być dalekosiężne." Więc kiedy to czytamy, dowiadujemy się o sytuacjach, które zapewne nigdy nie zdarzyły się w naszym życiu. Ale to nie znaczy, że one w ogóle się nie zdarzają albo, że nie zdarza się coś podobnego czy coś analogicznego.

I tak dochodzimy do ostatniej części dzisiejszych rozważań. Mianowicie kiedy istotą tej pamięci było wspominanie wyjścia z Egiptu, kiedy zadano pytanie o to, co było wcześniej, i na to pytanie przypomniano postacie Abrahama, Izaaka i Jakuba. I wskazano na tych wielkich bohaterów wiary, wydobyto ich z niepamięci, opowiadano o nich, zwłaszcza o Abrahamie, pokazując z jaką wiarą udał się on w obce strony ufając Bogu: „Wyjdź ze swojej ziemi rodzinnej, i z domu twojego ojca, i z miasta, w którym mieszkasz, do kraju, który ci wskażę!" I on wstaje i idzie. Jan Paweł II bardzo chce odwiedzić Ur chaldejskie, skąd wyszedł Abraham. Pielgrzymka była projektowana na grudzień tego roku, została, jak się wydaje, przełożona na styczeń roku 2000. Jan Paweł II chce udać się do tej ziemi Abrahama, żeby doświadczyć cząstki tego powołania. Otóż to powołanie jest niesłychanie indywidualne.

To potem Izraelici postawili sobie inne pytanie: „A co było wcześniej? Co było przed Abrahamem?" I w ten sposób powstały rozdziały 1 – 11 Księgi Rodzaju. Powstały one z refleksji nad tym, co było wcześniej. Przy czym proszę zauważyć, że tutaj rodzaj pamięci jest zasadniczo odmienny. Zdaję sobie sprawę z tego, że dla części państwa teraz powiem rzeczy trudne, czy bardzo trudne, i pewnie trzeba będzie jeszcze do nich wrócić w pytaniach, ale muszę w to wprowadzić.

Otóż nikt nie był świadkiem stworzenia świata, tylko Bóg. Podobnie nikt nie mógł widzieć, jak Kain zabijał Abla, bo nie było innych ludzi. Nikt nie mógł widzieć, jak wyglądało życie przed potopem dlatego, że jeżeli widział, to i tak wszyscy wyginęli, Noe tylko ocalał i jego najbliżsi. I potem, kiedy Noe składał ofiarę, to tylko jakby Noe o tym wiedział. Do czego zmierzam?

Te rozdziały, pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju, nazywane *prehistorią biblijną,* albo *historią początków,* mają inny charakter, inny typ, inny rodzaj. One zrodziły się z takiego spotkania z Bogiem, w którym człowiek zadaje sobie pytanie: „A co było przedtem" i odwołuje się już nie do pokładów własnej pamięci, bo tej nie miał, tylko do wyobrażeń. Rzecz jasna, że nie działo się to bez udziału Pana Boga. Tzn. Bóg tego człowieka, który zastanawia się nad tym, wspomaga. Jak? Nie wiemy! Ale proszę zwrócić uwagę, że w tym biblijnym opowiadaniu, choćby o raju i o upadku, rozpoznajemy elementy, które wskazaliśmy w pamięci o wyjściu. Zwróćmy uwagę!

Powiedzieliśmy, że Bóg znajduje ten lud niewolników w Egipcie, gdzieś tam na pustyni. A w księdze Rodzaju mówi się, że pierwszy człowiek został stworzony na pustynnej ziemi, której nikt nie uprawia, na ziemi bezowocnej, bezużytecznej.

Drugi element. W tej pamięci mówi się, że Bóg wyprowadził Izraelitów z Egiptu i osadził ich w nowym kraju, który przedtem nazywał się Kaanan. W opowiadaniu o pierwszych rodzicach mówi się, że Bóg bierze tych dwoje ludzi, których stworzył i powołał do istnienia, i osadza ich w ogrodzie Eden. Tak jak ziemia była darem, tak ogród Eden jest również darem.

W tej pamięci historycznej mówi się że ci, którzy zostali przez Boga obdarowani, otrzymali przykazania. Że dzięki tym przykazaniom stali się narodem. W opowiadaniu o ogrodzie Eden mówi się, że Bóg daje Adamowi i Ewie, tym pierwszym ludziom, przykazania. I że te przykazania mają dać im życie: „Zachowujcie te przykazania, abyście żyli".

Czwarty element. W opowiadaniu, w tej historycznej pamięci mówi się, że zachowywanie przykazań przyniesie błogosławieństwo i pomyślność. I w ogrodzie Eden mówi się dokładnie to samo: „Zachowujcie przykazania, abyście żyli i aby wam się dobrze powodziło."

I wreszcie ostatni element. Izraelici pamiętali, że jeżeli nie będą Bogu wierni, doświadczą rozmaitych nieszczęść. I tam mamy to samo ostrzeżenie: „Jeżeli nie będziecie Mi wierni, utracicie życie, utracicie to, czym was obdarowałem."

Do czego zmierzam? Proszę zauważyć, że w tym pierwszym opowiadaniu o rodzicach, o Adamie i Ewie, o prarodzicach ludzkości, znajduje wyraz doświadczenie, które mieli ze swoich własnych dziejów. Że to doświadczenie zostaje tutaj przeniesione. Że to doświadczenie jest projektowane na same początki. I można powiedzieć, że w tym doświadczeniu jest jeszcze jeden element, mianowicie: *coś podobnego odbywa się w życiu każdego człowieka.* Mianowicie każdy człowiek odczuwa zagubienie, każdy człowiek odczuwa swego rodzaju opuszczenie i pustkę, odczuwa w sobie pewien głód i tęsknotę, której nie jest w stanie sprostać. Każdy człowiek może otrzymać ów Boży dar, który go podnosi, i który ukazuje mu nowe horyzonty i wymiary życia. Każdy człowiek może poznać Boże przykazania, które dają życie, bądź ich nieprzestrzeganie prowadzi człowieka do nieszczęścia. Zatem w losie Adama i Ewy uzewnętrznia się coś z losu Izraela, ale również z losu każdego z nas. Można by powiedzieć: „I ty jesteś Adamem, i ty jesteś Ewą". To, co się wydarzyło pomiędzy nimi, powtarza się w każdym ludzkim pokoleniu.

Proszę popatrzeć, że jeżeli tak zwrócimy uwagę na Biblię, będzie to lektura pod wieloma względami nowa — ale jednocześnie lektura, która rozjaśnia nam te tajniki czy te zakamarki, które do tej pory stawały się trudne. Do czego zmierzam? Do tego, że *musimy czytać Pismo Święte oczami prawdziwego zaufania Panu Bogu.* To zaufanie zdobywa się nie tylko przez wierność historyczną czy historycystyczną, kiedy to pytamy: „Czy wszystko wydarzyło się dokładnie tak samo?" Tylko to zaufanie zdobywa się również przez wierność, która moglibyśmy nazwać psychologiczną bądź duchową. A wtedy czytamy Biblię inaczej. Ponieważ to, o czym opisuje Biblia, wyraża cząstkę mojego własnego życia, i życia każdego człowieka wierzącego.

Tak dochodzimy do pytania kluczowego: „To co, czyżby z tego wynikało, że Adama i Ewy nie było? Że nie było Kaina i Abla? Że nie było Noego?" Był! Bo Adam i Ewa jest w każdym z nas! Bo Kain i Abel jest w każdym z nas! Bo Noe jest w każdym z nas! Ale *był* także i z tego względu, że to doświadczenie wierności i niewierności Bogu jest tak stare, jak ludzkość. I że kiedy pierwszy człowiek pojawił się, i pierwsi ludzie zaistnieli, to gdzieś w nich rozegrał się ten dramat nieposłuszeństwa. Biblia go przedstawia w taki właśnie sposób, nadaje tym ludziom imiona Adam i Ewa. Zatem Adam *był* i Ewa *była,* chociaż ta pamięć nie jest tak historycznie wierna czy historycznie prawdziwa, że moglibyśmy grzebać gdzieś w Iraku, bądź w Iranie, bądź w Jerycho, i odnaleźć kości Adama i Ewy. Można by powiedzieć, że kości Adama i Ewy odnajdujemy zawsze wtedy, kiedy odnajdujemy kości człowieka. Bo ten Adam i Ewa byli pierwszymi ludźmi, prarodzicami naszymi, także w tym znaczeniu, że w ich losie, w ich życiu objawiło się coś, co jest udziałem każdego człowieka. Zwróćmy uwagę, że takie czytanie Biblii stwarza nam pewne nowe horyzonty.

Ponieważ nasz czas właśnie dobiegł kresu zachęcam państwa, żeby się nad tym zastanowić. Jeżeli będą państwo mieli pytania, to spróbuję się do nich odnieść. To myślenie z całą pewnością jest trudne, trzeba do niego wrócić, trzeba być może jeszcze raz sobie przeczytać, jeszcze raz przeanalizować. A nade wszystko również posuwać się dalej w czytaniu Pisma Świętego.

Dzisiaj, jak powiedziałem, czas dobiegł końca. Mam nadzieję, że poruszyłem wątki, które dają sporo do myślenia, i że w pytaniach państwa te sprawy powrócą.

Na następne nasze spotkanie zapraszam bardzo serdecznie od dziś za trzy tygodnie. Będzie to 13 grudnia — data symboliczna, i będzie się nam nieco kojarzyła. Posuniemy się w tej refleksji krok dalej. Zakładam jednak, że państwo znajdą czas, żeby dalej Biblię czytać. Wszystkim bardzo serdecznie dziękuję.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

2.3 Księga Wyjścia (dn. 13 grudnia 1999)

. . . Dorosłym i starszym nie trzeba przypominać. Młodzieży też chyba nie, tylko trochę raczej opowiedzieć w szczegółach. Data symboliczna. Spotykamy się na kolejnej konferencji biblijnej. Cieszę się bardzo, że państwo raz jeszcze znaleźli czas i siły, żeby na nią przyjść.

Widzę już tutaj pierwszą kopertę z napisem „Problemy i pytania". W międzyczasie dostałem kilka takich kopert. I dzisiaj mam nadzieję, że państwo mają swoje następne problemy i pytania. Otóż bardzo proszę — tam z tyłu jest taki stół. To ci z państwa, którzy mają te problemy i pytania, proszę je tam położyć. Ja je wezmę po konferencji, następnie je sobie uporządkuję. I na naszej najbliższej konferencji, na naszym najbliższym spotkaniu, tzn. w styczniu, zajmiemy się tymi właśnie pytaniami. Tzn. ułożę je sobie według jakiejś logicznej kolejności, a następnie postaram się do tych pytań odnieść. Myślę, że będzie to dla państwa bardzo ciekawa sprawa dlatego, że będą mogli państwo odnieść się do tych pytań i wątpliwości, które są, które po prostu państwu nastręczają jakieś problemy, albo sprawiają jakiś kłopot. Więc bardzo proszę, żeby te rzeczy potem położyć na stole. Zaraz je uporządkuję i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Dzisiaj posuniemy się jednak trochę do przodu. Otóż mam nadzieję, w wielu przypadkach jestem przekonany, że państwo rozpoczęli taką indywidualną lekturę Pisma Świętego. Że jest sporo osób, szacuję: co najmniej kilkanaście, bo tyle ze mną rozmawiało. Ale domyślam się, że więcej, może nawet kilkadziesiąt, które podjęły taką systematyczną lekturę Pisma Świętego. I jeżeli się nie mylę, jeżeli te nadzieje nie są płonne, to powinni państwo w ciągu mniej więcej pięciu miesięcy przejść przez cały Pięcioksiąg Mojżesza. Tzn. powinni państwo przeczytać Księgę Rodzaju, Wyjścia, Kapłańską, Liczb i Powtórzonego Prawa. Teraz, jeżeli rachuba mnie nie myli, ci z państwa, którzy od razu zaczęli swoją pracę domową, są już na końcu Księgi Rodzaju albo na początku Księgi Wyjścia, jeżeli czytają państwo jeden rozdział dziennie. I posuwając się w ten sposób będziemy mieli Księgę Wyjścia gdzieś w początku stycznia, czy w połowie stycznia za sobą. A następnie przejdziemy do tych ksiąg, których specyfika odbiega od wszystkich innych, tzn. do Księgi Kapłańskiej, Liczb i Powtórzonego Prawa. Jeżeli przeżyjemy ten eksperyment, i przeżyjemy początek roku 2000., to powinni państwo w połowie marca mniej więcej, czy do końca marca, mniej więcej w okresie Wielkiego Postu dojść do końca Pięcioksięgu Mojżesza. Z tym, że jeżeli po tych pytaniach będzie widać, że państwo to czytają, i że będę mógł się orientować, że rzeczywiście posuwają się państwo w tej lekturze, w styczniu zaproponuję rzecz pewną która, jak myślę będzie pewną ciekawostką daleko bardziej dla mnie, niż dla państwa. Ale również dla państwa będzie też czymś ciekawym. Mianowicie uprzedzając nieco z tym, że w styczniu wyjaśnię szczegóły bliżej, będę prosił państwa by ci, którzy podjęli się takiej lektury, zechcieli napisać na ten temat trzy – cztery strony. Tzn. żeby zechcieli podzielić się swoimi wrażeniami i przeżyciami ze swojej indywidualnej, osobistej lektury Pisma Świętego. Jeżeli to wszystko będzie miało ręce i nogi, tzn. jeżeli udało się tak państwa zachęcić, że będzie widać z tych odpowiedzi, że ta lektura rzeczywiście się odbywa, to właśnie w styczniu powiem państwu, co z tym zrobimy. I również dodam, że będą nagrody, i to cenne, a jedna być może bardzo cenna. Więc zachęcam do tego, żeby sobie iść spokojnie przez tekst Pisma Świętego, żeby czytać jeden rozdział dzienne, żeby próbować to przemyśleć na swój własny sposób i przeżyć. Potem zobaczymy, co z tym naszym, dość osobliwym eksperymentem uda się zrobić.

Ja mniej więcej wiem, co państwo czują, kiedy przedzierają się przez te rozdziały Pisma Świętego, jeden po drugim. Myślę że o tym doświadczeniu już nieco powiedziałem parę tygodni temu, kiedy proponowałem ten eksperyment. A mianowicie chciałbym tu przypomnieć przygodę, jaka przeżył mały Roman Brandstaetter, który urodził się w Tarnowie, i którego dziadek uczył lektury Pisma Świętego. A potem, ponieważ była to rodzina żydowska, zatrudnił mu młodego nauczyciela. Wspominałem o tym państwu, ale ponieważ to jest rzecz, która teraz każdego i każdej dotyczy jak myślę, to chciałbym to doświadczenie przypomnieć, żeby powiedzieć państwu, mocno wyrazić i podkreślić, na czym polega ta lektura Pisma Świętego. Otóż pewnego dnia ten mały Roman, który miał wtedy 10 – 11 lat, zbuntował się. I kiedy nauczyciel kazał mu czytać ten tekst i powtarzać niezliczoną ilość razy, to chłopiec zawołał do nauczyciela: „Ależ ja tego nie rozumiem". I wtedy nauczyciel, który cały czas patrzył w okno, odwrócił się do niego i powiedział: „Wcale nie chodzi o to, żebyś rozumiał. Chodzi o to, żebyś pamiętał." I tym z państwa, którym lektura Pisma Świętego sprawia jakiekolwiek trudności, chciałbym na progu tego eksperymentu powtórzyć dokładnie to

samo. Wcale nie chodzi o to, żebyśmy zrozumieli. Proszę mi wierzyć, siedzę nad Pismem Świętym mniej więcej ćwierć wieku, a więc dostatecznie długo. Ale gdyby mnie państwo zapytali, czy rozumiem Pismo Święte, to musiałbym ze szczerością odpowiedzieć, że nie! Ale pamiętam sporo.

Otóż są dwa rodzaje zrozumienia — i na to trzeba zwrócić uwagę. Jedno to jest zrozumienie, jakie osiągamy naszym umysłem, argumentami, racją. To zrozumienie może nawet nas pociągać. Na nim opierają się np. nauki przyrodnicze. Myślę, że każdy z nas ma za sobą takie przeżycie, kiedy starał się coś zrozumieć, coś odkryć — i nagle zrozumiał. Może to być np. odkrycie w samochodzie, gdzie zobaczył, w którym miejscu wlewa się paliwo, albo bardziej skomplikowane — jak można to naprawić. Albo jeszcze bardziej skomplikowane — jak to działa. I człowiek cieszy się, że zrozumiał. I wtedy, kiedy zrozumiał, wtedy pamięta. Pamięta, żeby w przyszłości tej swojej wiedzy użyć. Otóż w szkole podawano nam mnóstwo rozmaitej wiedzy. I oczywiście część z tego, czego się uczyliśmy na chemii, na matematyce, na fizyce, czy na astronomii, wydaje się, że bezpowrotnie uszła dlatego, że za tym zrozumieniem nie poszła pamięć.

I istnieje inny rodzaj zrozumienia, i tego nas uczy Pismo Święte. Mianowicie u początków jest pamięć, i dopiero ta pamięć rodzi zrozumienie. I jest to zupełnie inny rodzaj myślenia, i to jest zupełnie inny rodzaj zrozumienia. Najpierw człowiek coś sobie przyswaja. A kiedy coś sobie głęboko przyswoił, kiedy coś głęboko poznał i zapamiętał, to z tej pamięci, którą żyje, rodzi się coraz lepsze zrozumienie. Dam państwu przykład. Oto mieliśmy w rodzinie, każdy z nas, dziadka albo babcię, ojca albo matkę. Tak długo jak żył, nie potrafiliśmy go zrozumieć. Wydawało nam się, że jest to taki człowiek, jak każdy inny. Ale jeżeli zapamiętaliśmy mnóstwo z jego życia, jeżeli zapamiętaliśmy tego człowieka, to dopiero z tej pamięci rodzi się coraz głębsze zrozumienie. I potem dopiero, wraz z wiekiem, kiedy nawet już tego człowieka nie ma, odkrywamy rzeczy, o których nigdy przedtem nie mieliśmy pojęcia. Ten człowiek już nie żyje albo jest bardzo daleko od nas, a osiągamy nowe zrozumienie dzięki pamięci, którą w sobie rozwijamy.

I właśnie taką pamięć, która karmi się bardziej sercem, niż emocjami, rozwija nam Pismo Święte. Kiedy państwo czytają pierwszą księgę Pisma Świętego, Księgę Rodzaju, nie chodzi o to, żebyśmy zrozumieli każdy szczegół, albo żebyśmy się buntowali, że czegoś nie rozumiemy. Chodzi o to, żebyśmy zapamiętali — i w tej pamięci rozwijali później i pogłębiali zrozumienie, które będzie zrozumieniem tyczącym się również naszego własnego życia.

Dzisiaj chciałbym posunąć się krok naprzód w lekturze Pisma Świętego. Domyślam się bowiem, że doszli państwo do Księgi Wyjścia. A skoro tak, to trzeba nam się zastanowić nad tą księgą. I zwrócę uwagę państwu na kilka epizodów po to, żeby może dać jakiś klucz do lektury tej księgi, ale dać w ogóle klucz do zrozumienia Pisma Świętego. Powiedziałem państwu przed kilkoma tygodniami, że takim głównym wydarzeniem, które przesądziło o całym układzie i kształcie Starego Testamentu, jest wydarzenie wyjścia z Egiptu. To wydarzenie jest postrzegane przez biblijnych Izraelitów jako wybawienie, jako zbawienie. Oni widzieli w tym nie tylko przypadek ani zrządzenie losu, ale upatrywali w tym obecność, bliskość i skuteczne działanie Pana Boga. Dlatego ich spojrzenie na przeszłość to nie jest historia, ale to jest teologia historii. Czyli takie spojrzenie na własne dzieje, w którym widzi się perspektywę religijną, teologiczną. Powiedziałem, że to właśnie wydarzenie określiło ich sposób patrzenia na swoje własne początki jako narodu, a następnie ich nadzieje, także te mesjańskie, o których również będziemy mówić. Bo proszę państwa, jeżeli ktoś ma dobre zrozumienie przeszłości, to ma również zdrowe nadzieje i oczekiwania na przyszłość. Cała nasza przyszłość bowiem rodzi się właśnie z przeszłości. A mądrość człowieka, także ta osiągana poprzez pamięć, polega nie tyle na tym, żeby przyszłość przewidywać — zwłaszcza tak, jak czynią to wróżki — tylko żeby przyszłość kształtować. A to też zupełnie co innego niż przewidywanie.

Zatem tym fundamentalnym aktem zbawczym, jeżeli tak można powiedzieć, było wyjście z Egiptu. I powiedziałem państwu, że zadano sobie potem pytanie: „A co było przedtem?" I doszli do wspomnień o patriarchach: Abrahamie, Izaaku i Jakubie. Te wspomnienia były też pisane sercem, to znaczy pisane z pamięci. I dopiero, kiedy przyszło załamanie, kiedy przyszedł kryzys, co nastąpiło w szóstym wieku przed Chrystusem, te opowiadania zostały utrwalone na piśmie, i są one w takim kształcie, w jakim mamy je w Księdze Rodzaju. Myślę że pytania, które państwo dali, odkryją pewnie rozmaite trudności i zmagania się z tymi opowiadaniami.

Potem zaczęto pytać: co było jeszcze wcześniej, przed Abrahamem. I, odpowiadając na to, nie bez wsparcia Bożego przecież, zostały ułożone rozdziały 1 – 11, czyli te pradzieje ludzkości. A w

spojrzeniu na same początki rzutowano schemat z własnych dziejów. Bo przecież przy stworzeniu świata nie było nawet jeszcze ani Adama, ani Ewy. A i później, te wszystkie opowiadania dają nam pojęcie o czymś, co powtarza się w dziejach ludzkości i w dziejach każdego człowieka.

A teraz powrócimy do tego, co było ubiegłym razem punktem wyjścia. Mianowicie zatrzymamy się nad początkami Izraela, tego biblijnego Izraela, jako narodu. Państwo wiedzą, że on często jest przedstawiany jako *naród wybrany*. Ale niesłusznie — Izrael nie jest narodem wybranym, Izrael jest narodem Bożego wybrania. A to też coś zupełnie innego! „Naród wybrany" oznaczałby, że mają jakieś specjalne przywileje czy prerogatywy, jakieś specjalne względy albo specjalną zasługę u Boga. Natomiast „naród Bożego wybrania" oznacza, że ten wybór pochodził od Boga samego i że był to, i pozostaje to, wybór miłości. I takiego wyboru zracjonalizować się nie da.

Otóż ten wybór dotyczył Izraelitów jako narodu, i dzisiaj chciałbym zwrócić uwagę na to, co ten wybór poprzedziło. I chciałbym pokazać państwu coś, czego się w Biblii państwo zapewne nie spodziewają, tzn. chciałbym pokazać odrobinę humoru. Humoru w spojrzeniu na własne początki, na własne dzieje. I to humoru, który dotyczy takiego rozdziału i takiego epizodu Pisma Świętego, gdzie o humor trudno w ogóle autorów biblijnych, czy przedtem: tych opowiadających biblijnych, podejrzewać. Chodzi bowiem o sam pierwszy, otwierający Księgę Wyjścia, rozdział. I wszyscy, kiedy czytamy ten rozdział, traktujemy go bardzo poważnie. Nie znaczy, że mamy go poważnie nie traktować. Tylko chciałbym państwu przeczytać ten rozdział, jego obfite fragmenty, po polsku, i pokazać jak w opowiadaniu o własnym ucisku, własnej niewoli, jak są wplecione pewne elementy humoru. Co oznacza, że nawet w wierze religijnej, nawet w tym spojrzeniu z zakresu, z dziedziny teologii historii, człowiek musi się uczyć patrzeć na siebie, i na dzieje swojego własnego narodu, bądź swojej własnej wspólnoty religijnej, z pewnym dystansem, z pewnym przymrużeniem oka. Jest w Piśmie Św. wiele przykładów humoru, gdzie pisano: Pan Bóg czyni rozmaite humorystyczne rzeczy ludziom.

Taką najbardziej pełną humoru księgą biblijną, kiedyś o tym powiemy sobie więcej, jest Księga Jonasza. Ale zanim dojdziemy do Księgi Jonasza, spróbujmy zastanowić się nad tym rozdziałem, gdzie, jakby się mogło wydawać, tego humoru w ogóle nie ma. Posłuchajmy. Księga Wyjścia zaczyna się tak (Wj 1,1-4):

> Oto imiona synów Izraela, którzy razem z Jakubem przybyli do Egiptu. Każdy zaś przyszedł ze swoją rodziną: Ruben, Symeon, Lewi, Juda; Issachar, Zabulon i Beniamin; Dan, Neftali, Gad i Aser.

Mamy zatem dwunastu synów Jakuba. Tych dwunastu synów Jakuba ma swoje rodziny. I opowiadający autor biblijny chce tu powiedzieć, że u początków Izraela jako narodu jest te dwanaście filarów. Proszę zwrócić uwagę na przedziwną analogię. Tak jak początki Izraela jako narodu, jako wspólnoty religijnej, są związane z dwunastoma patriarchami, tak początki Kościoła są związane z dwunastoma Apostołami. Istnieje zatem paralela między tamtą wspólnotą wiary — *pierwszego Przymierza* — a między nami, jako wspólnotą wiary — nazywamy ją *nowego Przymierza*. Ale na razie nie interesują nas paralele z Nowego Testamentu. Interesuje nas to, o czym opowiada Księga Wyjścia. Mamy tych dwunastu oraz mamy ich rodziny. (Wj 1,5):

> Było zaś wszystkich potomków Jakuba siedemdziesiąt osób, Józef zaś już był w Egipcie.

Zatem nie była to jakaś ogromna rodzina. Siedemdziesiąt osób to jest, taka sobie niewielka wioska, powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem. I proszę popatrzeć, że zaraz nastrój się zmieni! I z tego trzeba wyciągnąć określone wnioski. Bo czytamy tak (Wj 1,6):

> Potem umarł Józef i wszyscy jego bracia, i całe to pokolenie.

Proszę popatrzmy, jest siedemdziesiąt osób. Te siedemdziesiąt osób stanowi pewien początek, ale autor powiada, że umarł i Józef, i dwunastu braci, i całe to pokolenie. W ten sposób księga święta uczy nas realizmu. Niech żadne pokolenie nie sądzi, że jest pierwsze, ani tym bardziej ostatnie. Otóż sensem ludzkiego losu jest jego przejściowość. Jesteśmy wszyscy osadzeni w doczesności. Aczkolwiek tamto pokolenie, które stało u początków, było bardzo ważne, to przecież oni wszyscy poumierali.

Każdy z nas — uczy ten, który tę księgę napisał, a przedtem ci, którzy ją opowiadali — musi się nauczyć żeby mieć pewność, żeby wiedzieć, że któregoś dnia odejdziemy i my, i całe to pokolenie, do którego należymy. Że trzeba będzie zrobić miejsce innym, nowym. Nie wolno absolutyzować ani siebie samego, ani swojego własnego losu, ani swojego pokolenia. Jeżeli ktoś cierpi, to inni cierpieli przed nami. Jeżeli ktoś był prześladowany, to inni byli prześladowani przed nami. Jeżeli ktoś czegokolwiek dokonał, jakichś ogromnych osiągnięć, to inni dokonali tych osiągnięć z myślą o nas. Któregoś dnia — a mamy tutaj obraz przedziwny, bo obraz namiotu — trzeba będzie zwinąć i nasz namiot, naszego pokolenia, i uczynić miejsca innym.

Otóż cała mądrość człowieczego życia polega na tym, żeby o tym wiedzieć. Żeby życie przeżywać tak, iżby spokojnie, bez rozpaczy, przygotowywać się do odejścia. Po nas przyjdą inni. Problem polega na tym, jaka ta przyszłość będzie. Zauważmy, że te słowa opowiadają o pokoleniu Józefa i jego braci. Ale one jednocześnie opowiadają o pokoleniu czytelników, odbiorców tego opowiadania. A jest to również i nasze pokolenie. Dalej czytamy (Wj 1,7):

> A synowie Izraela rozradzali się, pomnażali, potężnieli i umacniali się coraz bardziej, tak że cały kraj się nimi napełnił.

Zauważmy, że są aż cztery czasowniki: „rozradzali się, pomnażali, potężnieli i umacniali się". Jedni umierają, a przychodzą drudzy. I wtedy następuje rozwój, kiedy tych następnych jest więcej, kiedy oni są silniejsi. Zatem kiedy kładziemy podwaliny pod przyszłość, to musimy mieć na względzie tych, którzy przyjdą po nas. I na tych gruzach, na cmentarzach jednego pokolenia rodzi się następne pokolenie, a na nim następne pokolenie. I takie właśnie jest życie. Proszę popatrzmy, że w ten sposób w paru krótkich zdaniach zwraca się uwagę na przejściowość ludzkiego losu. Z naszej perspektywy nasze życie wydaje nam się straszliwie długie i niesłychanie ważne. Każdy z nas sądzi, że jest niezastąpiony. Aż któregoś dnia dowiadujemy się, że oto kogoś nie ma, kogoś, z kim byliśmy bardzo blisko związani — i życie toczy się dalej tak, jakby się nic nie stało. Wydaje się nam, że jeżeli kogoś z nas zabraknie, to wtedy będzie to luka absolutnie nie do zastąpienia. I czasami na pogrzebach są takie słowa, że tej luki nic nie wypełni. Może pod jakimś względem uczuciowym — tak, ale pod każdym innym — nie.

Więc trzeba się uczyć tego przyjęcia, zaakceptowania życia takim, jakie ono jest. Posłuchajmy dalej. Na razie tutaj nie ma nic humorystycznego, ale posłuchajmy dalej. To wszystko, z czym mamy do czynienia, jest bardzo poważne. Ale zauważmy, że z tych siedemdziesięciu osób rozrasta się powoli cały naród. Z tego też jest ważna konkluzja: każdy człowiek jest ważny. Każdy człowiek wnosi swój własny wkład do tego, co się w świecie dzieje, i co się dziać będzie. Chociaż więc jesteśmy przejściowi i docześni, to jednak jesteśmy nie do zastąpienia!

> Lecz rządy w Egipcie objął nowy król, który nie znał Józefa. I rzekł do swojego narodu: «Oto lud synów Izraela jest liczniejszy i potężniejszy od nas.

I za chwilę zaczyna się początek humoru. Na razie go nie słychać dlatego, że jest to humor niesłychanie głęboki i mądry. Ale ów faraon, ów król powiada tak: roztropnie przeciw niemu wystąpmy, ażeby się przestał rozmnażać. I jeżeli tu zaczniemy się zastanawiać, a nigdy tego tekstu nie czytaliśmy, to każdy z nas myśli sobie: jaki jest właściwy, roztropny sposób, żeby jakiś lud albo naród przestał się rozmnażać? To słowo *roztropny* jest ważne, bo ono wskazuje już punkt wyjścia. Więc każdy z nas jest ciekawy, jaką metodę wybierze faraon, żeby skutecznie i roztropnie powstrzymać Izraelitów od rozmnażania się.

> W wypadku bowiem wojny mógłby się połączyć z naszymi wrogami w walce przeciw nam, aby wyjść z tego kraju.

Zwróćmy zatem uwagę, że same obawy są roztropne. Faraon obawia się że ci, których zniewolił, którzy tak bardzo się rozmnożyli, mogą wystąpić przeciwko niemu.

> Ustanowiono nad nimi przełożonych robót publicznych, aby go uciskali ciężkimi pracami.

Zauważmy, że mamy tutaj odpowiedź. Tylko trzeba zadać sobie pytanie, czy ta odpowiedź jest roztropna. Faraon chce ich wyniszczyć przez pracę przymusową. Te słowa wracają teraz bardzo często w środkach masowego przekazu w związku z pracą przymusową naszych, jak nazywamy słusznie: niewolników, w III Rzeszy. Proszę zauważyć, że jest to nie pierwszy ale najlepiej udokumentowany w starożytnych dziejach, przykład eksterminacji przez ciężką pracę. Faraon zakłada, że jeżeli zmusi się kogoś do ciężkiej pracy to zmęczony człowiek będzie się powstrzymywał przed tym, co nazywamy, tak mówiąc biologicznie, reprodukcją. Zauważmy, że takie podejście było potem w dziejach, aż do naszych czasów, wielokrotnie wykorzystywane. Powstawały w różnych miejscach świata obozy pracy przymusowej. Mieliśmy je i na Wschodzie, mieliśmy i na Zachodzie. Państwo pamiętają tę bramę, która prowadziła do Auschwitz, i na górze napis: „Arbeit macht frei" — *Praca czyni wolnym.* Jak na ironię ten napis wykonał Polak, który tam w Brzezince mieszkał, i o ile wiem albo on sam, albo jego rodzina jeszcze żyje. I taka ciekawostka — kiedy część Żydów wystąpiła o to, żeby zwracać z Muzeum w Oświęcimiu rozmaite inne rzeczy, to on też powiedział, żeby mu oddali bramę — bo on ją robił. I słusznie! Jeżeli mieliby zwracać inne rzeczy, no to „Arbeit macht frei" jest jego, bo to on go wykonał. W ten sposób dał poznać że ci, którzy domagają się zwrotów tych wszystkich, dochodzą do nonsensów, bo należałoby wszystkie te baraki rozebrać, bo one są zrobione z drewna z rozebranych stodół, obór itd. W każdym razie Auschwitz początkowo też był obozem wyniszczenia przez pracę. W łagrach wyniszczeno przez pracę. Zwróćmy uwagę, że faraon wpisał się, i to w odległej starożytności, w nurt tych, którzy chcieli wyniszczyć przez pracę. (Wj 1,11 - 12):

> Ustanowiono nad nim przełożonych robót publicznych, aby go uciskali ciężkimi pracami. Budowano wówczas dla faraona miasta na składy: Pitom i Ramses. Ale im bardziej go uciskano, tym bardziej się rozmnażał i rozrastał, co jeszcze potęgowało wstręt do Izraelitów.

Okazuje się, że praca, nawet ta najcięższa, trudna, nie zawsze robi człowiekowi źle! To samo świadectwo dają np. łagiernicy, którzy byli w odległej Syberii. Otóż tam trzeba było doprowadzić do tego, że oddzielnie umieszczano mężczyzn, oddzielnie umieszczano kobiety. Bo gdyby było inaczej, to pomimo najcięższej pracy ludzie łączyli by się ze sobą, i rodziło by się jeszcze więcej dzieci. Okazywało się, że te wzajemne związki były rodzajem wytchnienia od ciężkiej pracy. I że człowiek na ogół jest tak skonstruowany, że choćby się najwięcej fizycznie napracował, to w tej dziedzinie jeszcze jest jakoś wydajny.

I w ten sposób mamy tu, w Księdze Wyjścia, wskazówkę zarówno dla tych, którzy uciskają innych, jak zwłaszcza dla tych, którzy są wyniszczani przez pracę. Że ostrożnie, uważajcie, nie bójcie się! Nie lękajcie się. Ciężka praca, nawet ta najbardziej wyniszczająca, nie jest w stanie człowieka zniszczyć, jeżeli on sam się nie złamie, jeżeli on sam pęknie. Zauważmy, że nawet dość paradoksalnie im bardziej ich uciskali, tym bardziej się rozmnażał. Posuwamy się dalej.

> Egipcjanie bezwzględnie zmuszali synów Izraela do ciężkich prac i uprzykrzali im życie uciążliwą pracą przy glinie i cegle oraz różnymi pracami na polu.

Prace przy glinie i cegle są rzeczywiście bardzo ciężkie. Natomiast prace na polu były dodatkowo uważane za upokarzające dlatego, że one się odbywały pod otwartym, palącym, piekącym słońcem. I takie prace uważano za bardzo dokuczliwe.

> Do tych wszystkich prac przymuszano ich bezwzględnie.

Okazuje się więc że prace, aczkolwiek ciężkie, nie były w stanie Izraelitów wyniszczyć. Można by powiedzieć tak. Jeżeli ktoś chciałby — niech państwo spróbują to sobie wyobrazić — nakręcić film, to mógłby przedstawić surowego faraona oraz surowych Egipcjan, którzy uciskają tych biednych Izraelitów. I biednych Izraelitów, którzy co prawda pracują, ale znajdują jeszcze czas na rozrywkę, i są zupełnie szczęśliwi. Posuńmy się dalej. Wydawać by się mogło, że kolejny krok faraona będzie skuteczny.

> Potem do położnych u kobiet hebrajskich, z których jedna nazywała się Szifra, a druga Pua, powiedział król egipski te słowa: Jeśli będziecie przy porodach kobiet hebrajskich, to patrzcie na płeć noworodka. Jeśli będzie chłopiec, to winnyście go zabić, a jeśli dziewczynka, to zostawcie ją przy życiu.

Faraon został tu przedstawiony jako zupełny przygłup. Dlaczego? Dlatego że jeżeli ktoś z państwa zna mentalność żydowską, a wcześniej biblijnego Izraela, żydowskość idzie po linii matki. Faraon uderzył, tylko nie w tą stronę, w którą powinien. Mianowicie każe położnym zabijać chłopów, a dziewczynki zostawić ją przy życiu. Tymczasem gdyby nawet udało mu się zabić wszystkich chłopców, to i tak Izraelici spokojnie trwaliby nadal, bo dzieci urodzone z dziewczynek — w przyszłości kobiet — byłyby i tak Żydówkami i Żydami. Zatem jest to taka swoista kpina z faraona prześladowcy. Jest on wrogiem Żydów, ale źle uderzył, źle trafił. Okazuje się, że żeby zniszczyć jakiś naród trzeba znać jego specyfikę, trzeba znać coś, co jest najbardziej dla niego newralgiczne. Jeżeli ktoś uderza na oślep, to wyrządza szkody, to prawda, w tym przypadku zabija, to prawda. Ale te szkody, tak naprawdę, na naród nie mają żadnego wpływu.

Chciałbym, żeby państwo zwrócili uwagę na ten moment. Raz jeszcze podkreślam, że według tego biblijnego i żydowskiego sposobu myślenia Żydem jest ten, Izraelitą jest ten, kto urodził się z matki Żydówki. Ojciec nie ma żadnego znaczenia. Jeżeli tak, to faraon miotał te ciosy zupełnie na oślep. Nie mógł im zrobić żadnej krzywdy bo, jak powtarzam raz jeszcze, gdyby wymordował wszystkich chłopców, to i tak zostałyby przy życiu dziewczęta. I zrodzone z nich dzieci wszystkie byłyby Izraelitami nawet, gdyby mężowie byli Egipcjanami. A trudno przecież przypuszczać, żeby ta fala kobiet izraelskich pozostała bezżenna, czy została pannami. Więc to jest taki specyficzny humor, specyficzne podejście, które pokazuje po pierwsze na wartość żydowskiej kobiety, po drugie to, na co wskazałem na samym początku. Mianowicie że faraon tak naprawdę nie wie, jak zniszczyć tych, którzy mu się nie podobają, i których postrzega jako wrogów.

> Lecz położne bały się Boga i nie wykonały rozkazu króla egipskiego, pozostawiając przy życiu nowo narodzonych chłopców.

To jest ta sama historia, widziana od ich strony. One należały do tego narodu, i to opowiadanie powiada: nie wolno wam stawać po stronie ciemiężców! Nie wolno stawać po stronie prześladowców. Nawet jeżeli można ocalić naród w inny sposób, ty nie powinnaś przykładać ręki do przelewania krwi.

> I wezwał król egipski położne, mówiąc do nich: Czemu tak czynicie i czemu pozostawiacie chłopców przy życiu? One odpowiedziały faraonowi: Kobiety hebrajskie nie są podobne do Egipcjanek, one są zdrowe,

bo Egipcjanki uważano za delikatne, przebywały cały czas w domu,

> toteż rodzą wcześniej, zanim zdoła do nich przybyć położna.

W ten sposób faraon czuje się jakby zupełnie bezsilny. Te kobiety, te położne go przechytrzyły. Powiadają, że być może chętnie by ulegały jego rozkazowi, ale nie zdążają. Dlaczego nie zdążają? Bo te nasze kobiety są silniejsze, niż te twoje kobiety. Zatem faraon z prześladowcy robi się biedakiem, którego wyprowadzono w pole. Mamy tutaj to specyficzne podejście, które potem i w Biblii będzie, i potem w mentalności żydowskiej, kiedy do własnej przeszłości, a zwłaszcza do trudnych chwil we własnych dziejach, podchodzi się, jak powiedziałem, z takim dystansem i z takim przymrużeniem oka. Otóż jeżeli człowiek nie nauczy się przeżywać swoich dramatów z taka pewną pobłażliwością, to może po prostu ulec pod ciężarem, jaki one ze sobą niosą. Ta księga biblijna chce nam powiedzieć: nauczcie się przeżywać to, co jest trudne, też z pewnej odległości. I dalej (Wj 1,20):

> Bóg dobrze czynił położnym, a lud izraelski stawał się coraz liczniejszy i potężniejszy.

Zatem prześladowania nie zdały się na nic. Tam, gdzie jest Pan Bóg i gdzie są ci, którzy Go wspomagają, także swoim sprytem, można dokonać bardzo wiele. Nie ma zatem sytuacji bez wyjścia, trzeba tylko wiedzieć, jak się w danej sytuacji zachować, jakie wyjście znaleźć. Ten rozdział uczy bardzo dużo w spojrzeniu na własne dzieje, na historię.

> Faraon wydał wtedy całemu narodowi rozkaz: Wszystkich nowo narodzonych chłopców Hebrajczyków należy wyrzucić do rzeki, a dziewczynki pozostawić przy życiu.

Tak mamy już przygotowanie do opowiadania o Mojżeszu. Rozkaz jest groźny, ale zobaczymy za chwilę, że pomimo tego rozkazu rzeka, która miała przynieść zgubę, staje się środkiem ocalenia. Wszystko na odwrót! Faraon kazał wrzucać do rzeki po to, żeby topić — więc wrzucono Mojżesza, ale w koszyku, który odpowiednio przygotowano. I ta rzeka, w której miał ponieść śmierć, stała się narzędziem ocalenia. Bo w tym koszyku przepłynął gdzie trzeba, i kto trzeba go odnalazł. Cały ten humor, delikatny i dyskretny, jest tutaj jaskrawo widoczny. Odnalazła go córka faraona! I narzędziem ocalenia stała się ta, której ojciec miotał takie właśnie groźby przeciwko Izraelitom.

Proszę zwróćmy uwagę, że jest to niezwykle mądra księga. Żeby ją zrozumieć trzeba ją przeczytać pewnie wiele razy, trzeba ją przemyśleć, i trzeba przykładać wagę do szczegółów. Bo tam, gdzie jest prawdziwa mądrość, to rzecz jasna każdy szczegół jest niesłychanie istotny. Bo ten szczegół dopiero, i zrozumienie tych szczegółów, rodzi taką mądrość, która będzie nam w życiu zawsze przydatna. Nie będę rzecz jasna streszczał Księgi Wyjścia — z nadzieją, że państwo tę księgę będą czytali. Następnie później opis znalezienia Mojżesza, opowiadanie o znalezieniu Mojżesza. Później opowiadanie o powołaniu Mojżesza. Potem opowiadanie o tym, jak Mojżesz staje przed faraonem, jak Mojżesz wyprowadza swoich rodaków z Egiptu, jak prowadzi ich do stóp góry Synaj — tam, gdzie sam został powołany — i jak tam otrzymuje przykazania.

I w tym punkcie chciałbym się zatrzymać. Bo kiedy państwo dojdą do drugiej części Księgi Wyjścia, co nastąpi za kilkanaście dni, czy powiedzmy za dwa - trzy tygodnie, to wtedy natrafią państwo na mnóstwo przepisów. Te przepisy zajmują cały koniec Księgi Wyjścia, a potem są centralne dla Księgi Kapłańskiej — w której prawie w ogóle nie ma żadnej narracji, a następnie dla Księgi Liczb. Dlaczego te przepisy są ważne, i czy w ogóle są ważne? Te przepisy dotyczą rozmaitych dziedzin, takich jak: jak zbudować sanktuarium, gdzie trzeba było oddawać cześć Bogu, jak wyglądają poszczególne sprzęty w sanktuarium, jak należy składać ofiary, jakiego rodzaju są ofiary, kto powinien składać ofiary, kiedy powinien składać ofiary, jak powinien się ubierać kapłan, jak powinni się ubierać jego pomocnicy, jak powinno wyglądać prawo rodzinne, jakie powinno być zachowanie mężczyzny wobec kobiety, męża wobec żony, jakie przepisy powinny regulować życie kobiety czy dziewczyny, jakie przepisy regulują nasz stosunek do środowiska. Nawet jest taki przepis — niech państwo zwrócą na niego uwagę — o którym się nigdy nie mówi. Przepraszam, że muszę powiedzieć, ale to jest ciekawa obyczajowa rzecz, jak oni idą przez tę pustynię. I jeden z przepisów brzmi tak. Że jeżeli chcesz pójść za swoją potrzebą, to wyjdź poza obóz, i tam to załatw. Możemy się dziwić, że aż takie rzeczy są regulowane. A przecież w ten sposób jest pokazane to, że prawdziwe przylgnięcie do Boga obejmuje nie tylko ludzkiego ducha, ale również ludzkie ciało. I że jeżeli żyjemy we wspólnocie, to musimy zadbać o takie rozmaite wymiary życia wspólnotowego, które zabezpieczają nas w przetrwaniu.

Tam są przepisy: zanim zaczniesz jeść — umyj ręce, i przepisy które szczegółowo to regulują. Czy to miało jakieś znaczenie, ktoś zapyta? Ogromne! Na przykład miało przeogromne znaczenie w średniowiecznej Europie. Tutaj musimy sobie powiedzieć jasno — w wielu ówczesnych państwach, czy w wielu regionach Europy, sprawy troski o czystość nie były wcale takie priorytetowe. Były więc dzielnice żydowskie, i były inne dzielnice. Ponieważ w dzielnicach żydowskich mieli obowiązek, żeby myć ręce przed jedzeniem, myć ręce przed przed wejściem do cudzego domu itd., to gdy wybuchała zaraza, zwłaszcza ta przenoszona przez pokarmy, to oszczędzała żydowskie domy, bo u nich to się nie przenosiło. Natomiast u innych ta zaraza zbierała krwawe żniwo. Inna sprawa, że czasem to się obracało przeciwko Żydom — bo mówiono, że są oni z diabłem sprzymierzeni, i dlatego śmierć się ich nie ima. I ci, co przeżyli tę zagładę, potem robili nagonkę na żydowską dzielnicę. Tak było,tak bywało w średniowiecznej Francji, a zwłaszcza w średniowiecznych Niemczech, gdzie z tego powodu niejedna wspólnota żydowska przeżyła niezłe kłopoty.

Ale zauważmy, że w każdym pokoleniu regulowały to te przepisy. I tak dochodzimy do czegoś co jest punktem wyjścia do naszej osobistej refleksji. Otóż nasza mentalność, nasz sposób pojmowania wiary i religii różni się od mentalności biblijnej, a także od mentalności, jaką do dnia dzisiejszego żyją Żydzi. Na czym polega różnica? Otóż my przykładamy ogromną wagę, największą wagę do *ortodoksji*, czyli do właściwego, prawidłowego sposobu wierzenia. Proszę zauważyć, że fundamentem

Kościoła, fundamentem katolicyzmu jest katechizm. Kiedy człowiek idzie do pierwszej komunii, to wkuwa mnóstwo rozmaitych formułek. W Każdym pokoleniu uczymy się pacierza, ale także prawd wiary. Te prawdy wiary musimy znać na pamięć. Musimy wszyscy się co do tego zgadzać. Proszę zauważyć, że przed ważniejszymi okolicznościami składamy wyznanie wiary. I to wyznanie wiary jest długie. Nic takiego nie ma w tamtej mentalności. Tam wyznanie wiary jest krótkie. Oni mówią:

Szema Izrael, Adonai Elohenu, Adonai Ehad	*Słuchaj Izraelu, nasz Pan jest Panem jedynym*

Koniec! Jeżeli któryś z nich to powie na łożu śmierci, jest to wystarczające wyznanie wiary.

Co zatem ich łączy? Nas łączy ortodoksja, nauczanie, prawdy wiary, jak mówimy. A tu, kiedy czytamy te przepisy to widzimy, że ich łączy coś, co naszym językiem możemy nazwać *ortopraksja*, czyli właściwy sposób postępowania. Nie to, w co wierzysz, ale to, jak żyjesz. I dopiero ze wspólnego życia rodzi się wspólna wiara. Odwrócone! Proszę zwrócić uwagę, że te wszystkie przepisy będą regulowały rozmaite rzeczy. One ich obowiązywały w starożytności, i wiele z tych przepisów obowiązuje ich po dzień dzisiejszy, np. przepisy pokarmowe dotyczące zwierząt tzw. czystych i nieczystych, sposobu przygotowywania tych zwierząt itd. Np. przepisy dotyczące szabatu. Ktoś z państwa, kto był w Ziemi Św. nieraz, zwłaszcza kiedy był w szabat, odczuwał szok. Oto widzi wyludnione ulice, widzi brak samochodów, nie ma ruchu, wszyscy w szabat spacerują, nie ma otwartych sklepów, nie dzieje się nic. Ludzie mówią: „Jak to, to dla nich jest ciężkie, uciążliwe — czy oni wierzą w to?" Połowa Izraelczyków deklaruje się jako ateiści. Ale jak przychodzi szabat, to zachowują się tak, jak głęboko wierzący, jak wszyscy inni. Dlaczego? Bo właśnie to ich łączy. Nie to, co myślisz, tylko to, jak żyjesz. To, że wszyscy, kiedy przychodzą te święte czasy, a rytm życia jest regulowany właśnie świętymi czasami, żyją i zachowują się podobnie. I to ich trzyma, to ich zbiera, to ich łączy, to ich scala, i to zabezpiecza ich przetrwanie z pokolenia na pokolenie. I kiedy w Piśmie Św. czytamy te rozmaite przepisy, to musimy zwrócić uwagę, że ich sens jest właśnie taki — tworzyć wspólnotę wiary, niekoniecznie przez wspólnotę przekonań, ile przez wspólnotę życia.

U nas tego nie ma. U nas jest odwrotnie. Składamy wyznanie wiary, każdy powinien żyć tak, jak wymaga wiara Kościoła. Ale jeżeli, powiedzmy sobie, przychodzi niedziela, robi coś, czego nie powinien robić — to my z tego powodu wielkich spraw, wielkich trudności nie robimy. Bardzo łatwo też potrafimy mieć rozmaite obejścia, zresztą Żydzi też mają. Przychodzi niedziela — możemy np. zbierać siano, bo idzie deszcz. Możemy robić żniwa, bo pora jest niewłaściwa. Możemy podróżować, możemy pracować, możemy w sklepie sprzedawać, możemy pociąg prowadzić, możemy ciężary dźwigać — no bo właśnie tak trzeba. U nich jest to ustawione inaczej. Kiedy państwo będą czytać te przepisy, to proszę sobie wyobrazić właśnie to życie, zarówno tamto starożytne, jak i życie dzisiejsze, pod tym właśnie kątem. Rozmaite drobiazgowe przepisy, które regulują to, jak człowiek żyje. I w tym sposobie życia są do siebie podobni.

Ktoś mógłby powiedzieć: to jeżeli nie ma wspólnych poglądów, takich samych poglądów, to co ich łączy? Raz jeszcze: łączy ich jedność, ale budowana, kształtowana w wielorodności poglądów; natomiast w podobieństwie zachowania, w podobieństwie postępowania. Proszę zauważyć, że również i u nas — jeżeli jest okazja, żeby przyjrzeć się Żydom — to zobaczą państwo, że oni w sobotę żyją inaczej. Niekoniecznie myślą tak, jak tamci, którzy są ortodoksyjni, ale zachowują się i postępują inaczej. I mają inny sposób życia niż ci, którzy Żydami nie są. I nawet ci z nich — bo i takie przypadki są — którzy jedzą wieprzowinę, to bardzo szybko się z tego usprawiedliwiają, albo podchodzą do tego z humorem, podchodzą do tego z takim dystansem, z którego wynika że jedzą, ale tak naprawdę to ona im nie smakuje. I ją tylko jedzą dla przekory żeby podkreślić, że tym bardziej stanowią jedność z tamtymi. To jest przedziwna mentalność, osiągana na zasadzie pewnej dialektyki. I tutaj w Księdze Wyjścia, i w Księdze Liczb, to jest doskonale widoczne. Właśnie taki sposób myślenia, gdzie człowiek powinien zachowywać się tak, jak jego współbracia. Ale jeżeli się tak nie zachowuje, jak jego współbracia, zachowuje się inaczej, to wie o tym, i sam do siebie podchodzi z takim przymrużeniem oka. I jednocześnie tak jak gdyby puszczał oko do Pana Boga: „Panie Boże, ja jem tę wieprzowinę ale ja dobrze wiem, że nie powinienem tego robić. Więc skoro już nie korzystam z tej prawości, jaką mi dałeś, to liczę na Twoje miłosierdzie. To znaczy, że jeszcze bardziej w Ciebie wierzę."

I kiedy tak państwo będą czytać te księgi przedziwne, to jak sądzę one ukażą coś w sobie takiego, co — jeżeli nawet nie jesteśmy w stanie naśladować, czy nie potrafimy naśladować — to

przynajmniej zaczynamy rozumieć, że nie zawsze człowiek jest w stanie żyć tak, jak by chciał żyć. I teraz dochodzimy do tego, co najważniejsze.

Tylko nie mu wolno usprawiedliwiać tego swojego nowego sposobu życia tłumacząc, że ono nie ma sensu! O nie! Jeżeli nie żyjesz tak, jak powinieneś, to musisz jeszcze głębiej wierzyć w Pana Boga! Bo właśnie wtedy On ci jest jeszcze bardziej potrzebny.

U nas tymczasem jest tak, że człowiek dorabia ideologię do swojego sposobu życia. I jeżeli nie jest w stanie żyć tak, jak powinien, to powiada, że takie życie, któremu nie jest w stanie sprostać, nie ma sensu, ani jest nikomu nie potrzebne. I w ten sposób nie tylko nie przeskakuje tej poprzeczki, którą powinien był przeskoczyć, tylko w ogóle tą poprzeczkę zdejmuje, i wcale nie chce skakać. I wskutek tego jego wiara więdnie. Dlaczego więdnie? Bo więdnie jego sposób postępowania. Bo wiara nie rodzi się z przekonania, ani z przekonywania. To nie jest tak, że my kogoś przekonamy, że Bóg jest, i w związku z tym on podejmie heroiczne czyny.

Wiara rodzi się ze słuchania, to prawda, ale wiara rodzi się przede wszystkim ze świadectwa. I można by wygłosić wiele pięknych homilii i kazań na temat świętowania niedzieli. I okazuje się że większą wartość niż one, mają jedne odwiedziny w parafii, gdzie ludzie świętują niedzielę, albo jedna pielgrzymka do Ziemi Św., gdzie oto człowiek widzi ludzi, którzy są siostrzanej wiary i którzy w swój dzień święty żyją tak że widać, iż nawet jeśli nie wierzą we wszystko, to żyją tak, jakby ten sposób życia był właśnie ich spoiwem. To też jest swoista mądrość. I myślę, że pod tym względem istnieje swoiste dopełnianie się. I dlatego lektura Starego Testamentu jest ważna. Wiem, że kiedy chrześcijanie czytają te późniejsze rozdziały Księgi Wyjścia, albo kiedy czytają Księgę Liczb, to mówią, że są znudzeni — a niesłusznie. Proszę zauważyć, że jeżeli ktoś z państwa nawet by chodził do kościoła codziennie przez całe życie, to nigdy nie usłyszy w kościele tych rozdziałów, o których wspominamy, bo one są nie czytane. Bo się zakłada, że chrześcijanie nie są w stanie słuchać o tym, że arka jest z drzewa akacjowego, i że ma pięć metrów w tę stronę, dwa metry w tę stronę. Że świątynia była budowana tak, że okna mają dwa łokcie wysokości, łokieć szerokości. Każdy myśli sobie: „Po co?"

A to jest fotografia! W starożytności nie było fotografii, potrzebna była fotograficzna pamięć — patrzono na tę świątynię i zapamiętano, że ona ma tyle łokci długości, tyle łokci szerokości. Tutaj jest drzewo akacjowe, tutaj jest drzewo cyprysowe. Tam jest wykładane złotem, tutaj srebrem. Tutaj są frędzle, te frędzle są żółte. Tam bisior jest przepasany na tych zasłonach.

Po co? Po to, że kiedy to zniszczą, spalą, zrujnują, to można ją będzie szybko odbudować. Bo świątynia jako taka legnie w gruzach, ale ona pozostanie w pamięci. Dzisiaj tę wartość spełnia dokumentacja fotograficzna. Państwo wiedzą, że przed II wojną sporządzono bardzo szczegółową dokumentację Zamku Królewskiego. I kiedy przyszło zniszczenie: spalenie, zburzenie, można go było wiernie odbudować. I mamy go dzisiaj, jako jeden z symboli naszego miasta. Gdyby się o to nie zatroszczono, nigdy nie zostałby odbudowany taki, jaki był.

Dziś mamy dokumentację, a oni mieli pamięć. I do tej pamięci przykładali ogromną wagę. Ofiary. Będziemy czytać o ofiarach, i będą państwo czytać przepisy dotyczące ofiar. Przepisy typu: weźmiesz garść mąki, do tego dodasz wodę, do tego dodasz jeszcze coś zrobisz ciasto, i te podpłomyki ofiarujesz Bogu. Jest to jak starożytna książka kucharska. Ale to jest przestrzegane. Podobnie jak np. dzisiaj — komunikanty, które bierzemy do mszy św. Są domy zakonne. Nie może być tak, że ksiądz pójdzie i szuka bułki w piekarni, i na bułce odprawia mszę św. Muszą być specjalne domy, gdzie jest przechowywana tradycja: jak to się robi. To nie może być tak, że się idzie i bierze pierwsze lepsze wino do sprawowania mszy św. To musi to być prawdziwe wino, to znaczy wino z winogron, bez żadnych domieszek, bez niczego. I dopiero na tym winie można sprawować mszę św. Zatem szczegółowe przepisy liturgiczne regulują nawet, jak się to wino robi. Człowiek o tym nie wie, ale z tego korzysta. Otóż państwo nie składają ofiar starotestamentowych. Ale korzystamy z tej tradycji, która żyła, przekazywana z pokolenia na pokolenie przez setki lat. I tak wszystko: oliwa do świecznika, świecznik, i cała reszta.

Na koniec dwie rzeczy, o których tutaj przeczytamy, a które mają już bezpośredni związek z czasem, w którym jesteśmy. Otóż kładziono ogromny nacisk na uświęcenie czasu. Wspominaliśmy o tym wielokrotnie, że to, co człowiek może naprawdę dać Bogu, to nie jest złoto ani srebro, ani drogie kamienie — bo to wszystko Bogu w niczym nie służy. Natomiast to, co człowiek może dać Bogu, i co przychodzi nam najtrudniej dać, to jest czas. Proszę zauważyć — w niedzielę ludzie nie mają

czasu. Każdy z nas nie ma czasu. Mówimy, że nie mamy na to czasu. To jest najtrudniejsze. Wyrzec się czegoś innego, to proste. Ale dać czas i rodzinie, i bliskim, i Bogu — to jest to! Więc dar czasu przychodzi nam najtrudniej. W związku z tym co tydzień obchodzono szabat. I nadal obchodzi się, państwo przeczytają przepisy regulujące szabat. Ale również był innego rodzaju szabat, mianowicie rok szabatowy. Rok szabatowy to był każdy siódmy rok. Sześć lat można było uprawiać ziemię. Sześć lat można było korzystać z jej dóbr. Kiedy przychodził rok siódmy, należało tego zaniechać. To, co się urodziło, było na rzecz biednych. Natomiast w roku siódmym trzeba było jeszcze darować długi i wypuścić niewolników. Jaka była motywacja? Bo byłeś sam niewolnikiem w ziemi egipskiej. Wszyscy byliście niewolnikami. Wszystkich was Bóg wyzwolił. Zatem co siódmy rok puszczasz tych, których zniewoliłeś, żeby nie odwracać porządku, którego żeś sam doświadczył.

Bardzo mądre! Każdy siódmy rok to był rok szabatowy. Ta instytucja żyje do dzisiaj np. na wyższych uczelniach, i to nie tylko na religijnych ale na świeckich — w Europie zachodniej, w Ameryce, wszędzie. Gdzie każdy siódmy rok wykładowcy to jest rok szabatowy, kiedy wykładowcy, nauczyciele nie uczą, tylko mają wolne. Gdyby to było wprowadzone powszechnie, to byśmy wszyscy z tego dobrodziejstwa korzystali.

Ale to nie wszystko. Wprowadzono jeszcze inną instytucję w Starym Testamencie, i o niej też państwo będą czytać. Mianowicie w następny rok po siedmiu pełnych latach szabatowych obchodzono rok jubileuszowy. Siedem pełnych lat szabatowych, czyli siedem razy siedem daje czterdzieści dziewięć lat. Następny rok, to jest rok pięćdziesiąty. W roku pięćdziesiątym obchodzono, nazywano to po hebrajsku: jubel. I ta nazwa przeszła też do języka polskiego, znaczy to po polsku *święto.* Jak byli u nas Żydzi i się bawili, to robili jubel. To jest z Biblii słowo, hebrajskie słowo. Ten rok nazywał się szmita ha jubel — *rok jubileuszowy, rok jubileuszu.* To słowo jubel brało się dokładnie od takiego słowa jobel, co oznacza *róg barani.* I kiedy rozpoczynał się ten rok jubileuszowy, to wtedy grano przeciągle na tym rogu baranim. I od tego rogu baraniego, od tego jubel, wzięło się określenie całego roku: jubel — *święto, jubileusz,* jak mówimy poprzez język łaciński.

Co lat 50 obchodzono jubileusz. Ta tradycja weszła do Kościoła jako tradycja lat jubileuszowych. I co 50 lat obchodzimy w Kościele jubileusz. Są to jubileusze w okrągłe liczby: 1800, 1850, 1900, 1950, a teraz jesteśmy na progu Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Dodajmy że do tego jubileuszu, bo i to warto wiedzieć, w naszym stuleciu papieże dodali jeszcze dwa inne jubileusze. Najstarsi z nas pewnie tego nie pamiętają, ale to przeżyli. Otóż było to w roku 1933, kiedy papież Pius XI ogłosił jubileusz 1900 lat od śmierci Jezusa Chrystusa, która miała miejsce w roku 33.

Za naszego życia, w roku 1983, Jan Paweł II ogłosił Rok Święty — jubileusz w 1950 lat od śmierci Jezusa Chrystusa. Nasz papież jest jednym z bardzo nielicznych w historii Kościoła, który teraz — jeżeli doczeka jeszcze te kilkanaście dni — będzie ogłaszał drugi jubileusz. Ten jeden — w 1983, a teraz Wielki Jubileusz Roku 2000. Tradycja tego jubileuszu sięga właśnie Starego Testamentu. Kiedy państwo będą czytali Księgę Wyjścia, zwłaszcza rozdział 25, a później Księgę Kapłańską i Księgę Liczb, to dojdą państwo do tych szczegółowych przepisów, które regulowały rok jubileuszowy.

Tyle byłoby na dzisiaj, jeżeli chodzi o te refleksje. Nadal życzę bardzo udanej lektury tych ksiąg. Mam nadzieję, że każdy rozdział dziennie to nie za dużo, i nie za mało. Że nie opuszczą państwo żadnego, nawet tych, które będą na pozór takie bardzo trudne, albo bardzo nudne dlatego, że to jest taki opis fotografii, która bardzo dużo nam powie.

2.4 Księga Kapłańska (dn. 17 stycznia 2000)

Witam państwa jeszcze raz, tym razem już w roku 2000., w roku Wielkiego Jubileuszu. Zatem to dodatkowa okoliczność, która sprzyja temu, żebyśmy rozważali Słowo Boże zawarte na kartach Pisma Świętego. Mamy przed sobą jeszcze kilka miesięcy takich rozważań. I mam nadzieję również, że mamy przed sobą kilka miesięcy, czy może kilka lat — jeżeli państwo będą wystarczająco cierpliwi i wytrwali — czytania Pisma Świętego, rozważania go. Taka lektura, jaką teraz uprawiamy, i takie konferencje, jakie mamy teraz, tzn. rozważania na temat Biblii, ale połączone, przynajmniej u większości z państwa, z czytaniem czy z równoległym czytaniem ksiąg świętych Pisma Świętego, to jest rzecz, o której można by tylko pomarzyć, i która, jeżeli dochodzi do skutku, to należy się cieszyć, że w takie właśnie duszpasterstwo biblijne jesteśmy włączeni, i że możemy je uprawiać.

Otóż dzisiaj chciałbym wyjść od okoliczności, które w jakiś sposób określa dzień dzisiejszy, a następnie przejść do księgi, która z dniem dzisiejszym, także z czytaniem państwa, ma szczególniejszy związek. A dodatkowo ma jeszcze ten walor, ze jest jedną z najtrudniejszych ksiąg biblijnych. Otóż jak wszyscy państwo zapewne wiedzą, dzisiaj w kościele katolickim w Polsce, podobnie w kościele katolickim we Włoszech, w Austrii, obchodzony jest Dzień Judaizmu. I z tego chciałbym uczynić punkt wyjścia dla naszych rozważań bo myślę, że jest to dobra również sposobność, okoliczność do tego, żeby uchwycić pewne trudne punkty, o jakie nam dzisiaj chodzi. Otóż, kiedy 18 listopada 1980 roku, czyli prawie 20 lat temu, Ojciec Św. Jan Paweł II pojechał do Niemiec, i tam przebywał w Moguncji, i tam spotkał się z przedstawicielami niemieckiej wspólnoty żydowskiej, było to jeszcze na początku pontyfikatu naszego papieża, to wtedy powiedział papież do nich takie znamienne słowa:

> Kto spotyka Jezusa Chrystusa, spotyka judaizm.

Zwróćmy uwagę, że te słowa są głęboko prawdziwe. Ile razy sięgniemy do Ewangelii, ile razy chcemy zrozumieć Jezusa Chrystusa, ile razy chcemy się nad Nim głębiej zastanowić, to tyle razy spotykamy liczne realia życia żydowskiego, tyle razy słyszymy o synagodze, o Świątyni, o ofiarach, o zrywaniu kłosów w szabat, o szanowaniu bądź nie szabatu, o Jerozolimie, o Ziemi Świętej. I można powiedzieć tak: rzeczywiście jest tak, że jeżeli ktoś wierzy w Jezusa Chrystusa i jeżeli ktoś Go spotyka, to musi zadać sobie pytanie również o judaizm.

A spróbujmy dzisiaj postawić pytanie odwrotne, które uczynimy punktem wyjścia do dalszych naszych rozważań, tzn.:

> *Kto spotyka judaizm, to czy spotyka Jezusa Chrystusa?*

I tak dochodzimy do istoty tego, o co w dzisiejszym dniu w Kościele chodzi. Jednocześnie do istoty tego, co określa naszą lekturę Starego Testamentu, którą właśnie teraz państwo uprawiają. Choć czasami panuje takie naiwne przekonanie, które jest powielane np. w środkach przekazu, a także w gazetach, polegające na tym, że ktoś pojedzie do Jerozolimy, robi zdjęcie Żyda bądź Żydówki pod Ścianą Płaczu, robi zdjęcie Żyda gdzieś tam na ulicach Jerozolimy. Zdjęcie następnie umieszcza się na okładce książki, twarzy nie widać dobrze, bo jest lekko niewyraźna — ale cała reszta dowodzi, czy świadczy o tym, że mamy do czynienia właśnie z Żydem. I mówi się: „O, tak wyglądał Pan Jezus" albo „Taki jest Pan Jezus". Gdzie indziej robi się zdjęcie Żydówki gdzieś tam w Haifie albo w Tel Awiwie czy w Jerozolimie, i mówi się: „Tak wyglądała Matka Boska". Czy tak można, i czy tak wolno podchodzić do całej sprawy — bo to, raz jeszcze podkreślam, jest sprawa, która określa również nasze spojrzenie na Stary Testament?

Otóż o ile prawdą jest, że *kto spotyka Jezusa Chrystusa, spotyka judaizm,* o tyle kiedy powiemy odwrotnie, tzn.

> *Kto spotyka judaizm, zwłaszcza współczesny judaizm i współczesne życie żydowskie, ten niestety spotyka bardzo zamazany, bardzo nieufny, bardzo niechętny, a czasami bardzo wrogi wizerunek Jezusa Chrystusa.*

I tak dochodzimy do istoty sprawy. Można by powiedzieć, że po 2000 lat istnienia chrześcijaństwa i religii żydowskiej doszło do tego, że *być chrześcijaninem — to znaczy nie być Żydem,* a

być Żydem — to znaczy nie być chrześcijaninem. W religii żydowskiej to odcinanie się od religii chrześcijańskiej zostało posunięte bardzo daleko. Ja już kiedyś państwu mówiłem, że takim najwyraźniejszym przejawem tego odcinania się jest fakt, że jeżeli ktoś jest urodzony z matki Żydówki — i jest ateistą, to Żydzi mówią o nim, że nadal jest Żydem, chorym, krnąbrnym, ale jest Żydem. Natomiast jeżeli ktoś jest urodzony z matki Żydówki — ale jest chrześcijaninem, to rabini mówią o nim, że to już nie jest Żyd. Z żydowskiej perspektywy, w żydowskim ujęciu, jest lepiej być ateistą, niż być chrześcijaninem. Skoro tak, to proszę zwróćmy uwagę, że to również rzutuje na wzajemny stosunek wyznawców obydwu religii, i na wzajemne postrzeganie siebie.

Pójdźmy w tym jeszcze dalej. To są problemy niezwykle trudne, o których rzadko się mówi, ale na takich konferencjach, jak nasze, akurat jest dobra sposobność, żeby je poruszyć. Jeżeli tak, ktoś z państwa może zapytać: „Na czym polega nasze zainteresowanie judaizmem? Dlaczego powinniśmy czytać Stary Testament, dlaczego powinniśmy zwracać uwagę na rozmaite aspekty życia żydowskiego?"

Co prawda, kto spotyka Jezusa Chrystusa, spotyka judaizm, ale skoro kto spotyka judaizm, może spotkać tylko wrogi wizerunek Jezusa Chrystusa — to czy warto w ogóle wdawać się w te sprawy? I oto dochodząc do tego, co w naszej dzisiejszej refleksji jest naprawdę najważniejsze, musimy sobie powiedzieć, że kiedy chcemy być naprawdę chrześcijanami, chcemy głębiej poznać samych siebie, chcemy samych siebie zrozumieć, chcemy dotrzeć do osoby i do posłannictwa Jezusa Chrystusa, to my nie możemy poprzestać li tylko na Nowym Testamencie, ponieważ Nowy Testament zakłada Stary Testament, a więc zakłada pierwszą część Biblii. I jeżeli chcemy głębiej siebie zrozumieć, to musimy zatem, próbować przynajmniej, sięgnąć po całe Pismo Święte i próbować w nim rozpoznać tą przedziwną obecność Jezusa Chrystusa, która jest i na kartach Nowego, i Starego Testamentu widoczna.

Potem drogi się rozeszły. Może jeszcze kiedyś do tego wrócimy. Natomiast dzisiaj chciałbym zatrzymać się z państwem nad księgą, która w odległej starożytności, w tej starożytności, w której żył Jezus Chrystus, a także wcześniej, określała bardzo głęboko ówczesne życie żydowskie. Potem drogi chrześcijan i Żydów rozeszły się. jedni, tzn. chrześcijanie, uznali w Jezusie Mesjasza i Syna Bożego. Drudzy, tzn. Żydzi, nie zrobili tego.I właśnie osoba Jezusa, która z jednej strony powinna nas łączyć, bo przecież przynależy On do świata Biblii, ta sama osoba Jezusa jednocześnie nas bardzo silnie podzieliła. I w tych obydwu religiach im bardziej dotkniemy czegoś, co nas łączy, to tym bardziej coś, co nas łączy, nas między sobą dzieli. Ktoś z państwa mógłby pomyśleć, że to jest niemożliwe, że taka ambiwalencja, taka biegunowość jest niemożliwa. Bo jakże to tak? Z jednej strony nas łączy, i jednocześnie nas to samo dzieli?

Dlatego kiedyś porównałem nasze stosunki pomiędzy tymi oboma religiami do układów, jakie panują pomiędzy mężem i żoną po rozwodzie. Otóż jeżeli ktoś z państwa zna to doświadczenie, choćby z życiowej obserwacji, to bardzo łatwo zauważyć, że jeżeli dochodzi do rozejścia się dróg mężczyzny i kobiety, którzy się bardzo miłowali, to nawet to, co ich mocno łączyło, zdarza się, później ich bardzo mocno dzieli. Że im trudniejsze rozejście, tym większa niechęć żeby patrzeć do tego, co przedtem było wspólne. Coś podobnego zachodzi pomiędzy chrześcijanami i Żydami. Mianowicie te różnice doktrynalne, które skupiają się wokół osoby i wokół misji Jezusa Chrystusa, również zaowocowały wielką przepaścią psychologiczną. Po prostu my się nawzajem nie lubimy. I to jest powód, dla którego przedsięwzięcia, zmierzające do wzajemnego zbliżenia, są tak bardzo trudne.

Chociaż się nie lubimy, to jednak Stary Testament pozostaje księgą jednych i drugich. I jest w Starym Testamencie księga, która jest bardzo trudna, do której państwo już powinni dojść, ponieważ zaczęli państwo lekturę na jesieni. Ja ostrzegałem przed tą księgą, a jednocześnie prosiłem, żeby nie opuszczać z niej niczego. I kiedy mamy doświadczenie czytania tej księgi za sobą, albo też — bo tutaj przepytywałem niektórych z państwa, i mówią państwo, że już doszliśmy do Księgi Liczb, albo czytamy koniec Księgi Kapłańskiej — to dzisiaj jest dobra okazja, żeby zatrzymać się nad tą księgą, która jest bardzo rzadko w liturgii czytana, bardzo rzadko komentowana, bardzo rzadko rozważana, bardzo rzadko czytana w czytaniach prywatnych — mianowicie nad Księgą Kapłańską. Przypominam sonie, że kiedy próbowałem, nie od dzisiaj przecież, zachęcać różne grupy wiernych do czytania Biblii, to bardzo szybko pojawiały się takie głosy, że Księga Rodzaju jest ciekawa, bo jest dużo przygód, dużo postaci, oddziałuje na wyobraźnię. Że Księga Wyjścia to jest ciekawa, a pod

koniec to się robi troszeczkę nudna, bo tam już jest o przybytku, o tych drążkach, o wyglądzie, o ołtarzu, o kadzi itd. Natomiast przez Księgę Kapłańską to już nie sposób przejść. Podobne trudności mają również studenci, którzy studiują teologię albo biblistykę i którym, kiedy się mówi z góry, przed jakimikolwiek wykładami: „Przeczytajcie Księgę Kapłańską", to przychodzą i powiadają: „Tego się nie da czytać". Natomiast kiedy się ich wprowadzi do lektury tej Księgi Kapłańskiej, to wtedy otwierają się im niejako oczy, coś podobnego, jak dwóm uczniom zmierzającym do Emaus, i widzą w tej księdze więcej.

Nasze trudności z Księgą Kapłańską nie przystają do oddziaływania tej księgi w odległej starożytności. Być może zdziwi państwa fakt, ale wśród najczęściej komentowanych ksiąg starożytności — oczywiście przez Żydów, bo to dla nich było przede wszystkim Pismo Święte — była właśnie Księga Kapłańska. Zapewne słyszeli państwo o odkryciach w Qumran, które miały miejsce w latach 1947 - 1956. Odnaleziono tam ponad 100 tysięcy rozmaitych fragmentów, rozmaitych tekstów, rozmaitych zapisów, które się składają na około tysiąc niegdyś kompletnych rękopisów biblijnych i poza-biblijnych. I co ciekawe: że wśród tych rękopisów, odnalezionych w Qumran ponad 50 lat temu, bardzo wiele to są komentarze do Księgi Kapłańskiej. Otóż jeżeli tak, to ona musiała się cieszyć ogromnym wzięciem. Ta Księga Kapłańska w tradycji żydowskiej nosi tytuł *Torat Kohanim,* znaczy to po polsku *Prawo Kapłanów.* Ponieważ kapłani później nie odgrywali wielkiej roli, bo po prostu wyginęli, zostali zgładzeni — do tego jeszcze wrócimy — jej tytuł w tłumaczeniu na grecki został zmieniony na *Leuitikon* czyli *Księga Lewicka, Lewitów*.

Tak czy inaczej ta księga wskazuje na sferę kultu, na sferę oddawania czci Bogu. Proszę zwróćmy uwagę na charakterystyczną biegunowość, jaka istnieje w religii, i jaka istnieje w Piśmie Świętym. Tę biegunowość moglibyśmy streścić tak. Księga Rodzaju, Księga Wyjścia, potem Księga Liczb, Księga Jozuego, Sędziów, Samuela, królewskie, Rut, księgi prorockie opowiadają o tym, jak Pan Bóg objawiał się człowiekowi, jak pozwolił siebie poznawać, jak pozwolił siebie doświadczać, jak pozwolił poznać coś ze swojej natury. A więc te księgi mają charakter głównie narracyjny, opowiadania, w którym dowiadujemy się czegoś o Bogu. Dowiadujemy się w obrazach, czasami bardzo dyskretnych i delikatnych. Raz Bóg jest przedstawiany jako ojciec, gdzie indziej jako matka, Bóg prowadzi człowieka, człowiek związał z Bogiem swoje losy.

A w Księdze Kapłańskiej mamy drugą stronę tej samej rzeczywistości wiary, mianowicie mamy ludzką odpowiedź na to Boże objawienie. Bóg objawia się człowiekowi i człowiek Boga poznaje, i dzięki temu może również łatwiej przeżywać swoje życie. Ale to nie wszystko. Otóż Bóg wymaga odpowiedzi. Gdzie pojawia się ta odpowiedź? I tutaj Stary Testament przynosi nam bardzo ciekawe rozeznanie. Mianowicie są dwie księgi, które zawierają odpowiedź człowieka na objawienie się Boga. Jedna to jest Księga Kapłańska, a druga jest to Księga Psalmów. Czyli chcąc to ująć inaczej moglibyśmy powiedzieć tak. Tą ludzką odpowiedzią na stopniowe objawianie się Boga są psalmy czyli modlitwa — do tego kiedyś wrócimy, oraz kult — to, z czym mamy do czynienia w Księdze Kapłańskiej, czyli liturgia. Czy Bóg potrzebuje kultu — nad tym się jeszcze zastanowimy.

Uprzedzając odpowiedź możemy powiedzieć krótko: ten kult jest bardziej potrzebny człowiekowi. Bo proszę zwróćmy uwagę, przypomnijmy sobie, że Księga Kapłańska zawiera różne szczegółowe przepisy: przepisy dotyczące ofiar, przepisy dotyczące oczyszczenia, przepisy dotyczące życia religijnego. I wszystkie te przepisy mają regulować rozmaite aspekty życia ludzkiego, i zwrócić uwagę człowiekowi na to, że:

Słuchaj, zobacz, popatrz! Całe twoje życie, wszystko, co robisz, a w szczególny sposób liturgia i kult, one przynależą do Pana Boga. Zatem wszystko możesz poddać, jeżeli tak można powiedzieć, temu wymiarowi świętości. I tak, jak Bóg się tobie objawia, tak ty powinieneś odpowiedzieć Panu Bogu.

Jeżeli tak spojrzymy na tę księgę, ona stanie się nam bliższa ale na tym, rzecz jasna, poprzestać nie można. Bo żeby ją zrozumieć, trzeba przyjrzeć się również jej strukturze. Potem, kiedy państwo będą czytali, lub kiedy teraz przypomnicie sobie, że ją czytaliście, to ta struktura wskazuje nam na głęboką logikę. Otóż proszę zwróćmy uwagę, że na samym początku księgę można podzielić na trzy duże części, oraz na trzy drobniejsze części. Tylko króciutko wprowadzę w treść tych części, żeby przypomnieć tym z państwa, którzy czytali tę zawartość, a jednocześnie ukazać jakieś takie horyzonty nowego zrozumienia.

Na pierwszą część Księgi Kapłańskiej składa się siedem pierwszych rozdziałów. Te rozdziały są

poświęcone ofiarom, rozmaite ofiary. Ktoś może zapytać: dlaczego ofiary? Odpowiedź jest taka:

Nie pytaj dlaczego! Bóg, który stworzył świat, ma prawo do tego, żebyś Mu dał część tego, co posiadasz, część tego, co masz. Ale nie próbuj dawać Bogu byle czego! Nie dawaj Panu Bogu tego, co ci zbywa! Nie dawaj Panu Bogu tego, co jest chore, pokaleczone, tego, co ma paść, co jest zepsute, i co jest niedobre.

Kiedy państwo czytają te fragmenty, to zastanawia to mocne podkreślanie tego, że mąka, która ma być przygotowywana na ofiarę, musi być czysta, że zwierzęta wybrane na ofiarę muszą być zdrowe, że to trzeba obejrzeć dokładnie. Dlaczego? Bo człowiek w przeciwnym wypadku miałby pokusę oszukania Pana Boga, dania Panu Bogu tego, co mu zbywa.

Tak właśnie było w przypadku, jak dobrze pamiętamy, Kaina i Abla. Obaj postanowili złożyć Bogu ofiarę. Abel złożył z dorodnych sztuk swojej trzody, a Kain, który był rolnikiem, złożył to, co miał pod ręką. Bóg przyjął ofiarę Abla, natomiast na ofiarę Kaina nie chciał patrzeć. Jak to się skończyło? Wówczas Kain zdenerwował się na brata swojego Abla. I zamiast wyciągnąć wnioski z tego, że oto oszukanie Pana Boga nie udało mu się, postanowił wyeliminować swojego brata Abla, i go po prostu zabił. Czyli ofiara, którą obaj złożyli, odsłoniła prawdziwe nastawienie ich serca. Serce Abla było dobre, ofiarne i czyste. Serce Kaina było zepsute egoizmem, pychą, i również zdolne nawet do bratobójstwa. I rzeczywiście na bratobójstwie się skończyło.

Czytamy w pierwszych rozdziałach Księgi Kapłańskiej o ofiarach szczegółowe przepisy po to — przypomina nam Stary Testament, przypominał zwłaszcza tamtym ludziom — że trzeba umieć zrezygnować z tego, co się ma, również z tego, do czego żeśmy się przywiązali. Trzeba umieć to ofiarować Panu Bogu po to, aby zrezygnować z cząstki samego siebie. Można bowiem doprowadzić do tego, że nawet kult sprawia nam przyjemność, i robi się czymś bałwochwalczym. Że nawet w religii opiewamy nie Pana Boga, ale uwielbiamy samych siebie. I tak jesteśmy zadowoleni z tego, co robimy, że najmniej chwały z tego ma właśnie Bóg. Zatem Księga Kapłańska zachęca nas do tego w pierwszych siedmiu rozdziałach, abyśmy dawali Panu Bogu nie to, co nam zbywa, ale to, co rzeczywiście ma jakąś wartość.

I proszę zwrócić uwagę, weźmy tylko pierwszy lepszy fragment, że mamy tutaj bardzo szczegółowe rozstrzygnięcia. Jeżeli chcesz, czytamy w jednym fragmencie, złożyć w darze jako ofiarę pokarmową ciasto pieczone w piecu, będą to placki przaśne z najczystszej mąki zaprawionej oliwą, albo przaśne podpłomyki pomazane oliwą. I tak moglibyśmy czytać. Myślę że ci z państwa, zarówno panie, jak panowie, którzy lubią kuchnię, przepisy kucharskie, w tej części zupełnie dobrze się czuli. Dlatego, że to do złudzenia przypomina taką właśnie książkę kucharską, ale z myślą o ofiarach składanych Panu Bogu. To jest coś takiego, wspominałem o tym kiedyś, jak gdybyśmy teraz określali szczegółowo jak się wyrabia opłatki. Ktoś musi o tym wiedzieć. Ktoś musi przestrzegać: ile wziąć mąki, ile wziąć wody, jak je robić, jak włożyć w formę, żeby one miały kształt opłatka. My spożywamy je gotowe, ale ktoś musi to wiedzieć.

Na pewno państwo zwrócili uwagę, że wśród tych ofiar są ofiary pokarmowe, a więc takie, które przypominają np. nasze ofiary z chleba, z ciasta, ale znaczną część ofiar stanowią ofiary krwawe. Dlaczego te ofiary krwawe? Jak Księga Kapłańska tłumaczy to, że w tym kulcie było tyle ofiar krwawych?

Otóż to wiąże się ze starożytnym przeświadczeniem, bardzo silnie utrwalonym, które głosiło że życie człowieka, to znaczy to, co my nazywamy jego duszą, jest we krwi. Że krew oznacza życie. Rzeczywiście bez krwi człowiek w żaden sposób żyć nie może. I w krwi upatrywano siedlisko wszystkich uczuć, siedlisko emocji, siedlisko życia. W związku z tym mówiono, że jeżeli człowiek chciałby odpokutować swoje winy, jeżeli chciałby odpokutować swoje grzechy, jeżeli dopuścił się czegoś bardzo złego, to powinno się zadośćuczynienie odbywać na zasadzie *życie za życie, krew za krew*. Ale ponieważ tego Bog nie chce, to w związku z tym rolę człowieka miały zająć zwierzęta albo ptaki. One stawały się tą ofiarą zadośćczynną za człowieka. Zauważmy, że nie tylko w kulcie, ale w ogóle w życiu, nie wolno było przelewać krwi. Po dzień dzisiejszy w religii żydowskiej, wśród Żydów, obowiązują szczegółowe przepisy dotyczące np. zabijania zwierząt, odprowadzania krwi, troski o krew, i również zakaz spożywania krwi. Trzeba tak dokonać uboju, żeby w mięsie nie było żadnej krwi. Otóż to jest skutek tamtego właśnie starożytnego wierzenia, które również na kartach Pisma Świętego znalazło swój wyraz.

Mamy więc ofiary krwawe, które składano np. za grzech arcykapłana, za społeczność, za na-

czelnika rodu, za zwykłych ludzi, ofiary przebłagalne za przywłaszczenie sobie jakiejś rzeczy. W ten sposób, zauważmy, że ofiary stawały się jakby drogą na przywrócenie zachwianej lub utraconej sprawiedliwości. Każdy występek, każde wykroczenie, to jest jakieś zachwianie porządku. I wtedy miejsce ludzi zajmują zwierzęta, zajmują ptaki. W ten sposób, można by powiedzieć, pomiędzy człowiekiem a światem, pomiędzy człowiekiem a naturą zawiązuje się jakaś bardzo intymna więź. Dla nas to jest więź niezwykle dziwna, my tego nie możemy zrozumieć, mamy inną mentalność. Ale dla tamtych ludzi ta więź była zrozumiała i oni, jeżeli moglibyśmy powiedzieć naszym językiem, tę więź bardzo głęboko przeżywali. Kiedy przyszło im ofiarować to zwierzę, to widzieli jakby w tym zwierzęciu swój własny los. Szli i składali na ołtarz tak, jak gdyby mieli składać swoje własne życie.

To jest pierwsza część, te ofiary. Zwróćmy uwagę na coś, co jest bardzo trudno widoczne. Że te wszystkie przepisy dotyczące składania ofiar otrzymują Izraelici w drodze spod góry Synaj do własnej ziemi. Zauważmy, że oni jeszcze do swojej ziemi nie weszli. I że wszystkie te przepisy mają zachowywać wtedy, kiedy znajdują się na pustyni, a następnie kiedy wejdą do własnego kraju. Skoro tak, to wniosek jest prosty:

Nie mów, że są jakieś okoliczności, które usprawiedliwiają to, że nie oddajesz czci Panu Bogu. Jeżeli chcesz uwielbić Pana Boga, możesz to zrobić w każdych okolicznościach. Jeżeli chcesz oddać Mu cześć, możesz to zrobić w drodze na pustyni. Jeżeli chcesz pamiętać o Nim, możesz i powinieneś pamiętać wszędzie.

Położony jest ogromny nacisk na pamięć, że jedną z naszych powinności jest ta powinność pamięci.

I niech ci się nie wydaje, że są takie okoliczności które powodują, że zbyt trudno jest oddawać chwałę Bogu. Nie ma — dla tego, który chce to robić.

Drugi zespół przepisów znajduje się w rozdziałach 11 – 15. Myślę, że z tymi przepisami są jeszcze większe trudności, a to dlatego że mamy tutaj tzw. *prawo czystości*. To prawo czystości najpierw dotyczy natury, potem dotyczy życia ludzkiego, i rozmaitych aspektów ludzkiego życia. Zwróćmy uwagę, że najpierw zwraca się uwagę na przepisy dotyczące żywności, pokarmu, pożywienia. Przeprowadza się rozróżnienie wśród zwierząt, istot wodnych, istot skrzydlatych, i wskazuje się na to, które z nich są właściwe, odpowiednie do jedzenia, do spożywania przez człowieka, a które nie. To słowo *odpowiednie, właściwe* po hebrajsku tu, w Księdze Kapłańskiej, brzmi koszer — *odpowiednie, właściwe, stosowne.* Stąd mówi się o żywności koszernej, o produktach koszernych. Księga zwraca uwagę na te istoty, które człowiek może i powinien spożywać, oraz te istoty, których spożywać nie może, nie powinien.

Jakie jest kryterium? Musimy odpowiedzieć szczerze: nie wiemy, po prostu nie wiemy. Jeżeli chodzi o niektóre istoty, gdzie nasze postępowanie rażąco odbiega to np. świnia — wieprzowina. Nie wolno jej spożywać! My takich problemów nie mamy. Inny przykład, to węgorze. O węgorzach mówi się tutaj: nie wolno ich spożywać, dla nas to prawie luksus.

Otóż nie zawsze możemy powiedzieć, jakie zasady kierowały tamtymi ludźmi. Ale jedno jest pewne — że jakaś logika w tym była. My tej logiki nie możemy rozeznać w szczegółach, ale ona istniała. A podstawą tej logiki jest również to, że nie wolno mieszać gatunków. I tu w Księdze Kapłańskiej mamy szczegółowe regulacje. Osobno mleko, osobno warzywa, osobno mięso. Coś, do czego my dochodzimy nieraz w życiu, albo wtedy, kiedy nam coś zaszkodzi, kiedy pomieszamy mleko z mięsem na przykład.

Tutaj reguluje się to z góry. Ktoś mógłby powiedzieć: „Ale po co te regulacje? Po co te przepisy dotyczące pożywienia?" I gdzieniegdzie znajdujemy uzasadnienie. I z tego uzasadnienia jest taka konkluzja:

Cały należysz do Boga. Twoje ciało jest bardzo ważne. Troska o twoje ciało i o twoje zdrowie ma wartość religijną. To nie jest tak, że Bóg dba tylko o zbawienie twojej duszy, Również twoje ciało jest własnością Boga, bo On je stworzył.

Św. Paweł napisze później, że: *świątynią Boga jesteśmy* i że *chwalimy Boga w swoim ciele.* Te przepisy zwracają uwagę na nasze ciało. Studiowali je antropolodzy, studiowali je psycholodzy, psychiatrzy, studiowali specjaliści od żywienia — i wszyscy odkrywają w nich przedziwne myśli. Ale z całości tych przepisów wynika jedno — mianowicie troska o ludzkie ciało.

Podobnie np. ma się rzecz również z tym, co dotyczy padliny, albo dotykania wszystkiego, co umarłe, dotykania zwłok. To są sprawy niesłychanie dla nas trudne, ale Księga Kapłańska to reguluje i powiada: „Jeżeli chcesz być czysty" — tak to nazywa, tak to określa — „unikaj tego

wszystkiego, co cię może skazić". Pamiętajmy, że mamy tutaj do czynienia z realiami starożytnymi, gdzie bardzo łatwo było o epidemię, o zarazę, o choroby. I właśnie tego wszystkiego można było uniknąć poprzez unikanie kontaktu z tym, co mogło nieść zagrożenie dla zdrowia człowieka. W dzisiejszym świecie pewne rzeczy wyglądają inaczej, ale wiele z nich odbywa się na dokładnie tych samych zasadach.

Mamy tutaj również przepisy, które dotyczą domów, domostwa. W tym przypadku mówi się o trądzie. Rzecz jasna, że ten trąd, o którym mowa w przypadku domów, to są rozmaite choroby. Mogą to być choroby drzewa, może to być choroba tynku, może to być choroba skóry, bo przecież elementy skóry tam były. I jeżeli coś takiego się przydarzy w domu, że ten dom jest niezdrowy, co trzeba było to stwierdzić, i są tu szczegółowe przepisy które regulują, jak należy to stwierdzić. Jeżeli w tym domu nie można mieszkać, albo niebezpieczne jest mieszkanie, wtedy trzeba się z tego domu wynieść.

I tutaj powiedzieć musimy, że na skutek przestrzegania przepisów zawartych w Księdze Kapłańskiej domy żydowskie zawsze były bardzo zdrowe, i zawsze wyglądały lepiej, niż domy ich nie-żydowskich sąsiadów. Proszę zwrócić uwagę, że to dobrze widać w języku polskim. W języku polskim mówimy: *dom, chałupa, izba,* ale mówimy również *mieszkanie. Mieszkanie* — czujemy w języku — to jest coś ładniejszego, lepszego. Słowo *mieszkanie* jest od hebrajskiego miszkan. Bo tak długo, jak długo na naszych ziemiach zamieszkiwało sporo Żydów, to Polacy mieli *chałupy, domy* a Żydzi mieli miszkanot — *mieszkania.* Ich były lepsze. Oczywiście, że my możemy powiedzieć: „bogatsi", to i tamto, nie wracajmy do tych sporów. Ale w tym była też inna logika. Tam należało dbać o higienę tego domu. A należało dbać na podstawie tego, że do tego zobowiązywała Księga Kapłańska.

Np. w żadnym żydowskim domu, do dzisiaj, nie znajdą państwo ubikacji obok kuchni. Dom musi być duży, kuchnia musi być z innej strony, niż ubikacja. Nie tak jak u nas, że jedno przez ścianę z drugim. To ciekawostka, ale wywodzi się z stąd, bo tutaj były regulowane szczegółowe rzeczy, które dotyczą ludzkiej fizjologii i wszystkiego, co jest z nią związane.

Dlatego, że zdawano sobie sprawę, że jeżeli człowiek troszczy się o duszę, o ducha, o wnętrze — to wtedy również troszczy się o ciało. Jeżeli człowiek troszczy się o ciało, to łatwiej jest troszczyć się o to, co jest we wnętrzu. My mówimy „W zdrowym ciele zdrowy duch" — i coś z tego jest. Kiedy czytamy te przepisy, niech państwo zwrócą na nie uwagę pod tym kątem. Niektóre z przepisów są wręcz żenujące, żenujące w czytaniu. Ale skoro je czytaliśmy, musimy zwrócić uwagę, między innymi, wszystko odnosi się do sytuacji Izraelitów wędrujących przez pustynię. W pewnym momencie pojawia się tutaj taki przepis, który reguluje sferę niezwykle intymną: „Jeżeli chcesz iść za swoją potrzebą, wyjdź poza obóz, na piasek, i weź ze sobą kij" itd. Po co je czytamy? Otóż po to, że taki jest człowiek, takie są jego potrzeby. Również ma pokusy takie, żeby niektóre fizjologiczne potrzeby jakby załatwiać zbyt blisko innych ludzi. Tu z tego robi się rzecz sakralną, wręcz świętą. Mówi się człowiekowi: „Uważaj! Nie wolno ci na innych ściągać jakiejś niedogodności, wynikającej z tych układów fizjologii dlatego, że w ten sposób grzeszysz, występujesz przeciwko tym regulacjom, które stanowią o zdrowiu całej wspólnoty." Zauważmy, że to jest niezwykle istotne, niezwykle ważne. Można by powiedzieć: jest to element kultury, ale tu się podkreśla, że kultura jest nieodłączna od religii i religijności.

Sporo z tych przepisów, które dotyczą tzw. oczyszczenia, ma związek z kobietami. Myślę, że czytaliśmy te przepisy i nie ma potrzeby rozważać szczegółów. Myślę, że czytali państwo zwłaszcza w 15. rozdziale te rzeczy, które dotyczą zarówno mężczyzn, jak i dotyczą kobiet. Ktoś mógłby pomyśleć: „Dlaczego? Skąd to?" Proszę sobie wyobrazić tych Izraelitów na pustyni, ponad 3000 lat temu. Piasek, gorąc, upał, podobnie jak dzisiaj na całym Bliskim Wschodzie. Zachowanie czystości, troska o ciało, jest sprawą niezwykle trudną. W związku z tym cała ta sfera, zarówno jeżeli chodzi o mężczyzn, jak i o kobiety, została bardzo drobiazgowo uregulowana. Jaki jest sens? Można by powiedzieć, taki. Otóż w pewnych okresach swojego życia intymność kobiety musi być zachowana. Kobieta jest zostawiona samej sobie, tzn. nie „samej sobie" — sama ze sobą, może lepiej. Otóż mężczyzna musi to uszanować. I po dzień dzisiejszy jest to nakaz religijny wśród Żydów. Przychodzi czas kiedy tak, jak mamy tu w Księdze Kapłańskiej, kiedy kobieta ma całą tę sferę ustrzeżoną. To ją zabezpiecza, daje jej jakieś poczucie, no, gwarancji tego, że może to przeżyć w sposób intymny. Ktoś mógłby powiedzieć: „Po co?" Ale ktoś, kto zna rozmaite uwikłania, które się z tym wiążą,

wie doskonale, że jest to sprawa niezwykle intymna i niezwykle ważna.

I to powodowało, znów nie jest to jakaś tylko plotka czy domysł — ale to sprawiało, że kobiety żydowskie w tamtych czasach były zdecydowanie zdrowsze, niż inne kobiety. To powodowało, że ta cała troska o tę sferę ludzkiego ciała, płciowości, cielesności, przyczyniała się do tego, że również od strony psychicznej one łatwiej znosiły wszystkie trudności i przeciwności dlatego, że zdawały sobie sprawę z tego, że nie są pozostawione same sobie. Jeżeli tak to przeczytamy, znajdziemy w tych rozdziałach głęboką mądrość.

Zdarza się też, że są rozmaite choroby, które dotyczą również mężczyzn. I w takim przypadku ten chory człowiek powinien być zostawiony sobie, to jedno, ale również należy go zobaczyć, należy stwierdzić, zbadać. Jednym słowem tym, czego w starożytności tak bardzo się wstydzono, to księgi święte zobowiązują do zasięgnięcia rady, postawienia diagnozy, zobowiązują do leczenia, a następnie do wyleczenia.

Tak raz jeszcze wracamy do tego, że troska o własne ciało, troska o higienę, ma wymiar religijny. Nie jest to tylko sprawa czysto zewnętrzna, nie jest to tylko sprawa mojego widzimisię. Można by powiedzieć tak. Z tym wiąże się pewien bardzo delikatny aspekt.

Że ten mocny nacisk na cielesność, na troskę o ciało, jest już powolnym przygotowywaniem faktu, że to sam Bóg stał się człowiekiem, że przyjął ludzkie ciało. Że ludzkie ciało nie jest czymś godnym pogardy, nie jest czymś godnym odrzucenia.

My wszyscy doskonale wiemy, i myślę że każdy z państwa to czuje, że ludzkie ciało jest atrakcyjne, jeżeli to jest ciało dziecka, kogoś młodego, ciało zadbane, ciało zdrowe. Ale natychmiast przestaje być atrakcyjne, kiedy wydarza się makabryczny wypadek, kiedy wydarza się jakaś tragedia, kiedy to jest człowiek kaleki, albo kiedy to jest człowiek starszy czy stary, schorowany, zjedzony, stoczony przez chorobę. To wtedy to ciało przestaje być pociągające.

Te przepisy z Księgi Kapłańskiej nakazują z jednej strony troskę o ciało wtedy, kiedy człowiek jest zdrowy, a z drugiej strony pomoc każdemu, wobec którego istnieje podejrzenie, że jest chory. I mamy tutaj coś w rodzaju takiego starożytnego rozeznania medycznego. Opisuje się te różne przypadki i powiada się: w tym przypadku zrobisz to, w tym przypadku zrobisz tamto. My nie jesteśmy na ogół do tego przyzwyczajeni, my myślimy inaczej. A to było czytane, rozważane, komentowane. I w ten sposób Księga Kapłańska, te rozdziały Księgi Kapłańskiej, stały się zaczątkiem sztuki lekarskiej w biblijnym Izraelu.

I jak państwo doskonale wiedzą, wśród Żydów jest bardzo dużo lekarzy. I w takich krajach, jak Ameryka, procentowo biorąc ich obecność jest przeogromna. Dlaczego? Nie tylko dlatego, że ten zawód przynosi pieniądze, ale również dlatego, że oni od małego — są to głównie mężczyźni — czytają, interesują się, myślą o tym ludzkim ciele, przyzwyczaja się ich do tego. Oni słyszą o tym w synagodze, w tej atmosferze wzrastają, a następnie podejmują te rzeczy — podobnie jak zawód prawnika, czy inne. Jest to pewna kultura, wyrosła z religii, a potem tę religię i religijność tworząca, i jeszcze bardziej tworząca tę kulturę.

Niezwykle ciekawa sprawa. Kiedy tak się przeczyta te rozdziały, odnajdujemy w tych rozdziałach znacznie więcej, niż tylko jakieś takie elementy, zwłaszcza niezdrowego zainteresowania ludzkim ciałem. Bo tu nie chodzi o sensację, tu nie chodzi o jakiś starożytny odpowiednik, nazwijmy to: współczesnej pornografii. Broń Boże! Tu chodzi o to, żeby pomóc człowiekowi wtedy, gdy on tej pomocy potrzebuje w najbardziej intymnych sferach swojego życia. I żeby stwierdzić, kiedy on już tej pomocy nie potrzebuje. Kiedy ją otrzymał, kiedy ją ma, i kiedy można spokojnie zostawić go sobie, i zająć się kimś innym.

Zanim przejdziemy do trzeciej części, kilka słów na temat rozdziału 16, który zajmuje tutaj miejsce osobne i jest poświęcony świętu, które w tradycji biblijnej nosi nazwę Jom Kippur. Jom Kippur znaczy po polsku *Dzień Przebłagania.* Zauważmy, że po tych przepisach dotyczących oczyszczenia następują szczegółowe regulacje dotyczące Dnia Przebłagania. Myśl jest taka.

Obrażasz Boga świadomie, i musisz o tym pamiętać. Boga oszukać się nie da! Pamiętaj o swoich grzechach. I pamiętaj także o tym, żeby złożyć Bogu godną ofiarę. Ale są takie sfery naszego życia, kiedy nie zauważymy, że zrobiliśmy komuś krzywdę. Nie zauważyliśmy, że kogoś żeśmy zranili, że kogoś dotknęliśmy, że wobec kogoś byliśmy niesprawiedliwi. Zdarza się tak w naszym życiu, myślę, że każdy z nas doświadczył, że oto ktoś ma do nas pretensje — a my się dziwimy. Bo do tego, co zrobiliśmy bądź powiedzieliśmy, nie przykładamy takiej wagi, i nie rozumieliśmy tego tak, jak

zrozumiał to ów ktoś, kogo to dotyczy.

Czyli jednym słowem są grzechy, są występki nieświadome. I te nieświadome występki, to nieświadome zło, to jest również jakiś potencjał zła, który istnieje w nas i obok nas. Nie wystarczy — mówi Księga Kapłańska — przepraszać Boga tylko za to zło, które popełniliśmy świadomie. Również to zło nieświadome domaga się ekspiacji, zadośćuczynienia. I temu właśnie służy ów dzień, on jest po dzień dzisiejszy obchodzony, znany jako Jom Kippur.

Tego dnia dokonuje się przebłagania za wszystkie grzechy, popełnione przez każdego człowieka, i przez całą wspólnotę. A także zadośćuczynienia za tych, którzy do żadnego żalu za grzechy przyznawać się nie chcą. Zatem raz w roku jest święto, jest uroczystość, w której następuje odnowienie kontaktów z Bogiem. Bo logika tego święta jest taka. Jeżeli zaniedbamy jakieś zło, i ktoś następny zaniedba jakieś zło, i ktoś następny zaniedba jakieś zło — to o ile dobro jest podzielne, o tyle zło się kumuluje i jest zaraźliwe. I jeżeli to zło będzie się nawarstwiało, to ono ma niszczycielskie skutki. I musi być dzień, w którym ludzie oczyszczają świat z tej masy zła nieświadomego.

Temu służy Jom Kippur. Tego dnia dokonuje się przebłaganie za grzechy arcykapłana. Proszę zwróćmy uwagę: wszyscy popełniają grzechy. Za grzechy arcykapłana najpierw, tak jest po dzień dzisiejszy. Państwo wiedzą zapewne, że i papież chodzi do spowiedzi. Zwracamy się do niego tytułem *Ojcze Święty,* ale on też ma swojego spowiednika. Arcykapłan też popełniał grzechy. Trzeba przebłagać za grzechy arcykapłana, trzeba przebłagać za grzechy ludu.

A następnie w starożytności był słynny obrzęd składania win na owego kozła, nazywanego *kozłem ofiarnym,* którego później usuwano na pustynię. Myślano tak: pustynia jest siedliskiem zła. To zło nazywano Azazel. I ten kozioł ofiarny wracał tam, skąd zło pochodziło, a ta wspólnota stawała się oczyszczona, mogła zacząć od początku. Człowiek musi zaczynać od początku, musi co jakiś czas systematycznie się odrodzić. I temu służył ów dzień. Kiedy państwo przeczytają 16. rozdział Księgi Kapłańskiej, rozpoznacie w nim głęboki sens.

I ostatnia część to jest tzw. *Kodeks Świętości.* Ten kodeks obejmuje rozdziały 17 – 26. Nad tymi rozdziałami pracowało mnóstwo uczonych, którzy starali się te rozdziały zrozumieć. Ja tylko chciałbym wspomnieć dwa nazwiska. Jeden to jest Niemiec, nazywał się Klosterman, już nie żyje, i nazwał te rozdziały Heiligkeitsgesetz, czyli *Kodeks* albo *Prawo Świętości.* Nad tymi rozdziałami strawił też sporo czasu polski uczony, też już nie żyje, kilkanaście lat temu zmarł, ks. prof. Alfred Cholewiński, jezuita, który mieszkał tutaj na Rakowieckiej, a ostatnie lata życia był również profesorem w Instytucie Biblijnym w Rzymie. I tym dwóm ludziom zawdzięczamy bardzo głęboką refleksję nad tymi rozdziałami dotyczącymi Prawa Świętości.

Otóż jaki jest motyw, jaka jest myśl, która wraca w tym Prawie Świętości? Wracają bez przerwy słowa, które brzmią tak:

> Świętymi bądźcie, bo Ja jestem święty

mówi Bóg. Czyli proszę zwrócić uwagę, że człowiek jest wezwany do świętości po to, żeby odtwarzać, odwzorowywać, nieć udział w świętości Boga. Czyli człowiek powinien naśladować Pana Boga. Etyka naszej religii, mającej korzenie w Starym Testamencie, to jest etyka, która w mądrym języku nazywa się *teomorficzna,* czyli *na podobieństwo Boga*: Theos — *Bóg,* morfe — *forma.* Więc człowiek powinien żyć na podobieństwo Boga. Ta etyka bywa również nazywana *teocentryczna,* czyli zogniskowana na Bogu. Wezwanie do świętości jest wezwaniem do naśladowania Pana Boga. Nie ma ważniejszego celu. Warto być świętym, trzeba być świętym, bo Bóg jest święty. Więc ci, którzy prowadzą święte życie, mają udział w życiu Bożym. Więc człowiek, który prowadzi święte życie, już teraz, w swoim ciele, doświadcza dobrodziejstw, których w pełni i w inny sposób doświadczy w wieczności.

Kiedy czytamy ów Kodeks Świętości, Prawo Świętości, ono reguluje różne aspekty życia. Jak osiągnąć świętość, jak ją osiągnąć w rodzinie, jak osiągnąć w układach pomiędzy mężem i żoną, jakie są obowiązki w układach z rodzicami, jakie są obowiązki w układach z dziećmi, jakie są obowiązki w układach z rodzeństwem, jak powinien wyglądać nasz stosunek do ubogich, jak powinien wyglądać stosunek do potrzebujących, czy należy pożyczać czy też nie, pod jakimi warunkami należy innym pożyczać swoje dobra, jaki ma być nasz stosunek do niewolników. Ktoś powie: dzisiaj niewolników nie ma! Są, tylko inaczej niż w starożytności, ale układy bywają podobne.

Jaki ma być nasz stosunek do natury. A więc np. czy wolno wycinać drzewa owocowe, czy wolno szkodzić drugiemu wchodząc w jego zasiewy, jakie są metody sprawiedliwości społecznej, jakie są kary za bałwochwalstwo, jaki powinien być nasz stosunek do zwierząt domowych. Ktoś mógłby powiedzieć, że to wszystko są szczegółowe regulacje. Ale jeżeli zaczniemy je czytać, to w tych wszystkich szczegółowych regulacjach jest pokazane, jak osiągnąć świętość w swoim życiu. Ktoś może bowiem tak chcieć się uświęcać że zapomina, że żyje w ciele, i zapomina, że ma rodzinę. Ktoś może tak się uświęcać, np. biorąc udział w kulcie, że zaniedbuje swoich najbliższych. I tu mamy nacisk, tę równowagę:

Dopóki żyjesz w ciele, i dopóki jesteś związany z innymi więzami rodzinnymi, masz wobec nich obowiązki. Nie dojdziesz do Boga inaczej, niż za pośrednictwem innych ludzi, zwłaszcza tych najbliższych.

Dalej mówi się o świętości kapłanów, o świętości arcykapłana, o tym, kto jest niezdolny do kapłaństwa w Starym Testamencie. Dalej mówi się o zwierzętach ofiarnych, które muszą być bez skazy. Mówi się o przestrzeganiu szabatu. Potem mówi się o trzech wielkich świętach pielgrzymich. Zatrzymajmy się przez sekundę choćby na przestrzeganiu szabatu. Po dzień dzisiejszy to jest wyznacznik tej religijnej tożsamości całego narodu. Po dzień dzisiejszy szabat jest czymś niesłychanie istotnym i ważnym. Dlaczego? Dlatego, bo zawsze te słowa traktowano bardzo poważnie. I można zauważyć ogromną różnicę, jaka istnieje w sposobie świętowania szabatu przez Żydów, oraz sposobie świętowania niedzieli przez chrześcijan. My pozwoliliśmy sobie na daleko idące ulgi. I koniec końców rozróżnienie między niedzielą, a dniem powszednim, bardzo często jest niewyraźne. Tu jest wyraźne!.

Mamy trzy wielkie święta pielgrzymie. Jeszcze raz przypomnienie *Święta Przebłagania.* A potem przepisy dotyczące oliwy do świecznika, chlebów, które składano na ołtarzu, roku szabatowego i roku jubileuszowego. O tym wspominaliśmy: rok szabatowy — co każdy siódmy rok, rok jubileuszowy — siedem razy siedem plus jeden, czyli w następnym roku po siedmiu pełnych latach szabatowych. Każdy pięćdziesiąty rok to jest rok jubileuszowy. I tak zostało również w Kościele. Obchodzimy każdy rok okrągły jako niezwykły jubileusz, ale korzenie są tu. Błogosławieństwo na rok szabatowy, wykup własności, prawa dotyczące domów, pomoc dla ubogich rodaków, niewolnicy, obcy niewolnicy — to tylko tytuły. Błogosławieństwo ziemi, obietnica pokoju i bezpieczeństwa. Zauważmy, jest to księga niesłychanie konkretna. Tak długo, jak długo żyjesz, oddajesz chwałę Bogu w swoim ciele, i w tym świecie, w którym jesteś osadzony.

Jeżeli tak, to Księga Kapłańska ma nam wiele do powiedzenia na dwa sposoby. Po pierwsze wiele z tych przepisów jest już nieaktualnych, stało się nieaktualnych. Dlaczego? Bo nie ma świątyni, gdzie sprawowano ten kult, nie ma kultu sprawowanego. Ale czy to znaczy, że w ogóle nie ma kultu? To znaczy, że na miejsce tych ofiar krwawych weszła ofiara krwawa Jezusa Chrystusa. To znaczy że to, co przedtem osiągano za pośrednictwem tego systemu ofiarnego, dzisiaj dokonuje się przez ofiarę bezkrwawą, przez Eucharystię.

Ale cały ten drugi dział, cała ta druga część, tzn. troska o ludzkie ciało, o higienę, o cielesność, o zdrowie, o drugiego człowieka, o rodzinę, o najbliższych — wszystko to pozostaje również aktualne. Problem polega na tym, że bardzo rzadko do tego wracamy. Problem polega na tym, że nie chcemy tego wziąć pod uwagę. To nie dotyczy tylko Księgi Kapłańskiej — myślę, że cała Biblia, całe Pismo Św. ma to do siebie, że jeżeli potraktujemy je naprawdę poważnie i naprawdę zrozumiemy jego ducha, jego wnętrze, to możemy mnóstwo nauczyć się również dla naszego życia.

Mam nadzieję, że to krótkie wprowadzenie do Księgi Kapłańskiej stanowi dla państwa jakiś klucz, który tym bardziej pomoże tę księgę zrozumieć. Zachęcam do lektury następnych ksiąg: Księgi Liczb, a potem Księgi Powtórzonego Prawa. I w ten sposób będzie koniec lektury Pięcioksięgu. Przejdziemy następnie do kolejnych ksiąg biblijnych.

Jak państwo widzą nie zdążyliśmy dzisiaj sięgnąć do pytań, odpowiedzieć na to, z czym państwo przyszli. Tych pytań, nawiasem mówiąc, nie było bardzo wiele. Dzisiaj dostałem następne. Więc złożę je wszystkie razem, i odniosę się do nich na koniec lektury Pięcioksięgu, czyli od dziś za cztery tygodnie. Wtedy wszystkie razem potraktuję, jak też nawiązanie do jednej jeszcze sprawy.

I zapraszam państwa na kolejne spotkanie biblijne, kolejną konferencję za cztery tygodnie, czyli to będzie 14 lutego. A dzisiaj już bardzo dziękuję, bo nasz czas się skończył.

Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

2.5 Księga Liczb i Księga Powtórzonego Prawa dn. 14 lutego 2000)

Dzisiaj dzień mamy taki — walentynki — że wszystko dookoła raczej sprzyja rozważaniom nad *Pieśnią nad pieśniami*, albo nad *Hymnem o miłości* z 1 Listu św. Pawła do Koryntian, albo czymś podobnym. Przyjdzie nam mówić o nieco innych tematach. Chciałbym, może uda mi się to zrobić, żeby państwo zobaczyli że nawet wtedy, kiedy będziemy mówili o innych tematach, bardziej na pierwszy rzut oka poważnych czy może mniej atrakcyjnych niż to, co wiąże się z tymi treściami dzisiejszego dnia — że to również prowadzi do tematu miłości. Aczkolwiek jest to najgłębsza spośród miłości, jakich może doświadczyć człowiek, bo jest to ta miłość, która łączy nas z Bogiem, i dopiero potem ustanawia jakieś więzy pomiędzy nami, pomiędzy ludźmi.

Otóż przypominam, że przedmiotem naszej refleksji w tym roku są głównie pierwsze księgi Pisma Świętego. A to dlatego bo staramy się, żeby ta refleksja tutaj, na konferencjach raz w miesiącu, szła w parze z samodzielnym czytaniem Pisma Świętego. Zalecałem państwu parę miesięcy temu mniej więcej jeden rozdział dziennie. jeżeli jeden rozdział dziennie, to tak sobie obliczam, że mniej więcej teraz jesteśmy na poziomie końca Księgi Kapłańskiej, Księgi Liczb, a ci, którzy czytają odrobinę więcej, być może Księgi Powtórzonego Prawa nawet. I właśnie nad tymi treściami dzisiaj przyjdzie nam się zastanowić.

Aczkolwiek, żeby mieć orientację głębszą, przypomnijmy sobie zawartość tych wszystkich pięciu ksiąg, które otwierają Biblię, i spróbujmy wyciągnąć z nich to, co się odnosi bezpośrednio do naszego życia, do życia człowieka wierzącego dzisiaj. Otóż pierwsze pięć ksiąg stanowi samo serce, jeżeli można powiedzieć, Starego Testamentu. Ten Pięcioksiąg, bo tak go nazywamy, jest tak, jak w Nowym Testamencie Ewangelie. To jest samo serce, sam trzon, sam fundament. Dość powiedzieć państwu, że tak jest zarówno w religii chrześcijańskiej, gdzie znajomość Pięcioksięgu Mojżesza powinna być najlepsza, najlepiej znamy zwłaszcza Księgę Rodzaju i Księgę Wyjścia, ale tak jest przede wszystkim w religii żydowskiej.

Otóż w religii żydowskiej, która przecież po dzień dzisiejszy się rozwija, jest tak, że w każdy szabat, czyli podczas zgromadzeń liturgicznych, które są takie, jak dla nas zgromadzenie liturgiczne niedzielne, odczytuje się fragment Pięcioksięgu, i to w takim cyklu, że po trzech latach mają przeczytany już cały. Jeżeli się założy, że człowiek ma ok. 60 lat — jeżeli jest zdrowy, i przy zdrowych zmysłach — dorosłego życia, takiego życia, w którym może coś zapamiętać i zrozumieć, to łatwo wyliczyć, że przeciętny Żyd słyszy Pięcioksiąg 20 razy w życiu. I z tego powodu zna go bardzo dobrze, a prócz tego rozważa go jeszcze na wiele innych sposobów. Kiedy my sięgamy po Pięcioksiąg, jest on dla nas znacznie trudniejszy. I trzeba przyznać że ci z państwa, którzy sięgnęli po Stary Testament, i którzy go czytają, stwierdzają że ten stopień trudności tych ksiąg bywa bardzo duży. I z tego powodu można by powiedzieć, że właśnie dlatego lektura tych ksiąg tym mocniej nas rozwija, i tym więcej nam daje.

Przypomnijmy sobie, że te pięć ksiąg Pisma Świętego obejmuje niewyobrażalnie długi okres czasu, od stworzenia świata i człowieka, o czym jest mowa na samym początku Starego Testamentu, aż do śmierci Mojżesza, o czym jest mowa na samym końcu Księgi Powtórzonego Prawa. Zwróćmy uwagę, że jeżeli chodzi o początki świata i człowieka, to my tego nie możemy osadzić w czasie dlatego, że nawet z naukowego punktu widzenia trwają wciąż spory, jak długo świat istnieje, jak długo w czasie powinniśmy się cofnąć do tych prapoczątków. Ostatnio obiegła świat wiadomość, chyba po raz pierwszy mająca taką elektryzującą skalę i treść, ta mianowicie, że uczeni poprzez cierpliwe łączenie czy też zwijanie ze sobą jąder pierwiastków ciężkich doszli do odtworzenia — taką przynajmniej mają nadzieję — jakiegoś ułamka sekundy z samego początku istnienia świata. Więc bez przerwy człowiek próbuje zrozumieć swoje początki, i początki świata również. Bez przerwy próbuje do nich sięgnąć, i na kartach Biblii ta tęsknota jest również obecna. I jest również wola zrozumienia prapoczątków świata i człowieka. I widać doskonale to przekonanie i tę wolę poznania tego, co wydarzyło się na początku. I kto z nas ma za sobą te pierwsze rozdziały Księgi Rodzaju, to widzi to starania, jakiemu próbowali dać wyraz autorzy biblijni. Potem mamy dzieje ludzkości u jej zarania, później mamy dzieje patriarchów. Po tym wszystkim następuje Księga Wyjścia, a w niej otrzymujemy panoramę dziejów biblijnego Izraela, a właściwie jego początków. Zwróciłem uwagę państwu na to, że aby zbudować tożsamość jakiegoś narodu, trzeba sięgnąć do jego prapoczątków. Trzeba przyjrzeć się, jeżeli w ogóle to jest możliwe, jak ten naród się ukształtował, skąd on się

wywodzi. I dlatego początki każdego narodu są w zasadzie legendarne, a legenda jest to historia plus uczucie. I w tamtym przypadku też. W Księdze Wyjścia widzimy, jak z tej masy niewolników, z tej masy wypędzonych i którzy sami wyszli z Egiptu, jak powoli kształtuje się świadomy swej tożsamości naród. Istnieje ogromna różnica pomiędzy ludem a narodem, pomiędzy rozmaitymi zbiorowiskami ludzkimi a taką społecznością, czy taką wspólnotą, która ma charakter narodu, która ma charakter wspólnoty religijnej.

I obserwujemy na kartach Księgi Wyjścia, jak ten naród biblijnego Izraela się kształtuje. Obserwujemy tam postać Mojżesza, która nas porywa, zachwyca, i jednocześnie obserwujemy wyniki, rezultaty jego pracy, jego działalności. Widzimy również jak sam Mojżesz, który stara się ukształtować swój naród, jak sam Mojżesz pewnego dnia przegrywa. A następuje to wtedy, kiedy są na pustyni. I na tej pustyni Mojżesz zwątpił, że może dać swoim rodakom wodę. I kiedy ogarnęło go zwątpienie uświadomił sobie coś, co wcześniej czy później każdy z nas będzie musiał sobie uświadomić. Mianowicie że nasz czas mija wtedy, kiedy jesteśmy niepewni co do przyszłości, kiedy zaczynamy mieć wątpliwości, kiedy zaczynamy tracić ducha. Jeżeli tak się dzieje to znaczy, że trzeba ustąpić miejsca innym. I w tym kontekście trzeba również sobie powiedzieć bardzo mocno, że nie ma ludzi niezastąpionych. Jeżeli ktoś sądzi, że nie sposób go zastąpić, że nie będzie kogoś, kto zajmie jego miejsce, to jest albo zarozumiały, albo pyszny, albo jedno i drugie. Otóż jeżeli zabraknie każdego z nas, przyjdzie ktoś w nasze miejsce, kto zrobi to samo. Zrobi lepiej albo gorzej, ale z całą pewnością zrobi. Otóż do istoty ludzkiego życia należy jego przemijalność, przejściowość, jesteśmy osadzeni w doczesności. I to jest cena jaką płacimy za to, że jesteśmy osadzeni w czasie, mianowicie że musimy któregoś dnia przeminąć. I ci, którym się wydaje że są niezastąpieni, któregoś dnia odejdą tak, jak odchodzą wszyscy inni, a w ich miejsce nowi ludzie podejmą ich zadanie.

Najważniejszą rzeczą, jaką Mojżesz sobie uświadomił jest to, aby samemu nie unicestwić rezultatów własnej pracy. Nie związać swojej pracy, dokonań, osiągnięć ze sobą do tego stopnia, żeby bez nas nie można było tej pracy kontynuować. Mojżesz to przeżył, to była jego wielkość, że uświadomił sobie pewien moment, w którym trzeba było odejść. I jeżeli czytaliśmy dalej Pięcioksiąg to żeśmy widzieli, jak Mojżesz stopniowo odchodzi. I dzisiaj właśnie temu się przyjrzymy.

Cztery tygodnie wstecz próbowałem państwa wprowadzić do lektury Księgi Kapłańskiej. I zarówno z pytań, które się później pojawiły, także dzisiaj tutaj doszły pytania nowe, jak też z reakcji, zwłaszcza tych doraźnych wiem, że ta poprzednia konferencja, nawet wbrew mojemu oczekiwaniu, zainteresowała państwa bo ukazała coś, co stanowi samego ducha Księgi Kapłańskiej. Mianowicie ukazała to, że w tych przepisach regulujących rozmaite aspekty życia, rozmaite dziedziny życia, nieraz bardzo intymne, nieraz bardzo osobiste, że w tym wszystkim zawarta jest nie tylko pewna myśl, ale zawarty jest ogromny dynamizm, zawarte jest ogromne uczucie, wola uregulowania wszystkiego po to, aby zapanował porządek.

A jeżeli porządek zapanuje w nas samych, i zapanuje we wspólnocie, to wtedy możemy wszyscy łatwiej zmierzać do określonego celu. Tym celem dla człowieka Starego Testamentu było zmierzanie do Pana Boga. Oni coraz lepiej uświadamiali sobie sprawę, którą i my też dzisiaj rozumiemy, tę mianowicie że niezależnie od tego jak długo żyją, to całe nasze życie nabiera wymiaru drogi, całe nasze życie ma przed sobą jakiś cel. I całe nasze życie zmierza ku jakiemuś punktowi krytycznemu który sprawi, że któregoś dnia to życie się skończy. I w związku z tym człowiek ma do wyboru: albo być optymistą z nadzieją, że ten koniec to jest jednocześnie brama, albo być pesymistą, i wtedy całe nasze życie, choćby najdłuższe i najpiękniejsze, przestaje mieć jakiś taki wiążący sens, bo zdajemy sobie sprawę, że każda chwila zbliża nas do tego końca.

Widzieliśmy w Księdze Kapłańskiej jak regulowano rozmaite dziedziny życia. Ktoś, kto przeczytał Księgę Kapłańską pod tym kątem widzenia, z tego punktu widzenia, to myślę że bardzo dobrze rozpoznał ten zamysł, aby człowiek — we wszystkim czym jest, we wszystkim co umie, i we wszystkim czego nie potrafi — przeżywał swoje życie świadomie. Przypomnijmy sobie też szczegółowe przepisy dotyczące ofiar, dotyczące domów, dotyczące sfery higieny i zdrowia człowieka, dotyczące układów rodzinnych, dotyczące układów pomiędzy mężczyznami i kobietami, pomiędzy dziećmi i rodzicami itd.

Otóż to wszystko miało ukazać, że całe nasze życie należy do Boga. Nawet więcej, to wszystko ma ukazać coś, na co na co dzień nie zwracamy uwagi — mianowicie ogromne znaczenie ludzkiej cielesności.

Co prawda przyzwyczailiśmy się mówić od dawna, że człowiek składa się z ciała, i z duszy, i że są to dwa pierwiastki w człowieku. I głównie, przynajmniej tak obiegowo, kładzie się nacisk na duszę. Pamiętamy rozmaite krzyże przydrożne i takie napisy: „Zbaw duszę swoją!". Ale musimy powiedzieć, że żadne z nas nie istnieje bez ciała, nie może być duszy, czy też ducha i duchowości bez ciała. I możemy powiedzieć sobie jeszcze więcej. W perspektywie chrześcijańskiej, a zwłaszcza mając na względzie zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, nasze ciało jest tak samo ważne, jak nasza dusza. I w związku z tym nie jest ono, jak twierdzili starożytni Grecy, więzieniem duszy, ale jest ono również tak, jak nasz duch, drogą do Boga. I stąd troska o ludzkie ciało, i o wszystkie wymiary tego ciała, ma charakter religijny. Dlaczego tak jest? Również dlatego, że sam Bóg stał się człowiekiem, i w ten sposób ludzkie ciało zostało uwznioślone do godności, której człowiek nigdy by nie przeczuwał.

Ten aspekt rzeczywistości Boga, który stał się człowiekiem, widać szczególnie dobrze w Roku Wielkiego Jubileuszu, w jakom teraz jesteśmy, w roku 2000. I na to położył nacisk Ojciec Św. Jan Paweł II w swojej bulli Incarnationis mysterium czyli *Misterium Wcielenia,* ukazując tam godność ludzkiego ciała. Człowiekowi trudno jest uznać godność swojego ciała. To jest jakiś paradoks dlatego, że bardzo często mamy do czynienia z kultem młodości, z kultem piękna, nawet ze swojego rodzaju idolatrią młodości. I łatwo jest nam uznać piękno ludzkiego ciała tak długo, jak długo jest ono młode i powabne. Natomiast cała dojrzałość chrześcijańska polega na tym, żeby uszanować każde ciało, a również to schorowane, stare, niedołężne, bo ono też jest obrazem Boga, i ono też — zwłaszcza ciało cierpiące — ma swój udział we współ-odkupieniu świata, bo takie właśnie było ciało Syna Bożego Jezusa Chrystusa, prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka. Kiedy czytamy więc Księgę Kapłańską i czytamy tę troskę o ludzkie ciało, to powinniśmy zdawać sobie sprawę z tego, że są to aspekty stopniowego wcielania się Syna Bożego, stopniowego wcielania się Słowa.

Dzisiaj posuniemy się kawałek dalej. Powiemy sobie parę słów na temat Księgi Liczb oraz Księgi Powtórzonego Prawa, i tych treści, które w tych księgach są. I w ten sposób zamkniemy, jeżeli tak można powiedzieć, panoramę, którą stanowią pierwsze pięć ksiąg Starego Testamentu.

Najpierw jeżeli chodzi o Księgę Liczb. Otóż ktoś, kto dojdzie do Księgi Liczb po Księdze Kapłańskiej, zobaczy, że ona jest zupełnie inna. Jej nazwa jest nieco myląca. Nieco myląca dlatego, że ta nazwa „Księga Liczb" pochodzi z języka greckiego. I ona została po raz pierwszy zaproponowana w połowie III w. przed Chr., kiedy to przetłumaczono Księgę napisaną po hebrajsku na język grecki. A ponieważ na początku tej księgi jest sporo liczb, więc powstała nazwa Aritmoj po grecku czyli *Liczby*. Od tego pochodzi, z tym jest związana również nazwa *arytmetyka.* Na początku bowiem tej księgi są rozmaite liczby. I te liczby tak urzekły tłumaczy greckich, że zwrócili na nie uwagę. Ale w oryginale hebrajskim ta czwarta księga Starego Testamentu ma tytuł inny, wywodzący się od jej pierwszych słów. A te pierwsze słowa brzmią po hebrajsku BeMidbar, znaczy to po polsku *Na pustyni.* I te pierwsze słowa tej księgi, używane jako tytuł w języku hebrajskim, najlepiej oddają zawartość tej księgi. Bo rzeczywiście jest to księga, której akcja dzieje się na pustyni.

I tutaj zatrzymajmy się nad symboliczną wymową tego tytułu, bo żeby tę księgę zrozumieć, żeby tę księgę zapamiętać i przyswoić sobie, trzeba zwrócić na to uwagę. Otóż popatrzmy — Mojżesz wyprowadził tę gromadę niewolników z Egiptu. Zaprowadził ją na Synaj, zaprowadził ich wszystkich do świętej góry Synaj. Zwróćmy uwagę, że za niecałe dwa tygodnie, od 24 do 26 lutego, w Kairze oraz na Synaju będzie przebywał Ojciec Św. Jan Paweł II. Jest to ogromne wydarzenie, i bardzo znaczące wydarzenie bo, jeżeli historycy mają rację, będzie to pierwsza wizyta głowy Kościoła katolickiego, pierwsza wizyta papieża na górze Mojżesza, na górze Dziesięciu Bożych Przykazań. Jak Jan Paweł II dostanie się na tę górę — to druga sprawa. Podejrzewam że prawdopodobnie będzie tak, iż nawiedzi klasztor Św. Katarzyny pod Synajem, a następnie helikopterem czy w jakiś inny sposób zostanie wzięty do góry, i będzie mógł tylko obejrzeć górę Synaj. Bo przecież tam nie wejdzie, bo to jest dla młodego człowieka duży wysiłek, a dla starszego człowieka wręcz niemożliwe. Mało się też wydaje prawdopodobne, żeby papież tam na samym wierzchołku góry Synaj wylądował, bo tam nie ma miejsca, nie ma lądowiska dla helikoptera. Więc zapewne Ojciec Św. tylko tę górę zobaczy, i będzie w klasztorze Św. Katarzyny. Ale będzie!

Zauważmy, że papież pojedzie tam, gdzie są korzenie moralności Starego Testamentu. Ale nie tylko Starego Testamentu. Papież pojedzie tam, gdzie są korzenie moralności religijnej jako takiej, moralności w ogóle.

Więc kiedy Mojżesz doprowadził swoich rodaków do góry Synaj, już miał ich dość. I powiada do Pana Boga: „W porządku! Chciałeś, przyprowadziłem ich tutaj, masz!" A Pan Bóg mówi: „To nie koniec! Masz jeszcze coś do zrobienia". I Mojżesz udaje się na tę górę, i tam jest przez 40 dni i 40 nocy. I schodzi stamtąd z niezwykłym upominkiem, z niezwykłym prezentem. Ci z państwa, którzy czytali, pamiętają, że Mojżesz znosi ze sobą dwie kamienne tablice. I na tych dwóch kamiennych tablicach jest Aseret ha-Dvarim, jak mówi Pismo Święte, *Dziesięć słów,* a my mówimy *Dziesięć przykazań.* Bo kiedy Bóg mówi, to jest wyraz woli Bożej. A więc to, co mówi Bóg do nas, to dla nas jest to przykazanie, dla nas jest to ważne zobowiązanie.

I Mojżesz dźwiga te tablice. I Mojżesz sądzi, że gdy te tablice podaruje, to już będzie koniec. Dlatego, że przywództwo jest czymś zawsze bardzo ciężkim, praca z ludźmi jest zawsze bardzo trudna. Wiedzą o tym doskonale wszyscy, którzy mają do czynienia z ludźmi. Jeżeli ktoś liczy na wdzięczność, nie powinien pracować bezpośrednio z ludźmi dlatego, że jest to zawsze ryzyko. Ryzyko, które polega na tym, że w pracy z ludźmi nie wolno szukać samozadowolenia. A Mojżesz ciągle jeszcze szuka samozadowolenia, Mojżesz jeszcze ciągle myśli, że on jest najważniejszy. I Mojżesz niesie te dwie kamienne tablice, schodzi na dół, i słyszy, że naród się sprzeniewierzył Bogu, że ten lud jest niewierny. I wtedy Mojżesz uważa, że przegrał, i że przegrał również Bóg. I uważa, że ci ludzie nie są godni, aby otrzymać ten Boży dar. I tłucze te tablice. Można by powiedzieć, że w tym miejscu Biblia powinna się zamknąć — potłukł, i koniec!

I okazało się, że wtedy dokonało się coś niesłychanie istotnego. Mianowicie Bóg proponuje Mojżeszowi — pamiętamy te zdania, bo są one bardzo poruszające i bardzo wiele dają do myślenia — pewien układ. Powiada: „W porządku, to ja tych wszystkich buntowników wytracę, a z ciebie wyprowadzę wielki naród". Czyli Bóg proponuje Mojżeszowi, aby stał się nowym Abrahamem, albo aby stał się nowym Adamem. Bóg chce tych buntowników wytracić, a Mojżesz ma stać się poprzez swojego syna, wnuków itd. ojcem nowego narodu.

I okazuje się wtedy, że Mojżesz po raz pierwszy w życiu wyraźnie sprzeciwia się Bogu. Powiada: „O nie! Ja nie chcę takiej wielkości! Ja nie chcę wielkości za cenę śmierci innych ludzi, a zwłaszcza za cenę śmierci współbraci. Nie chcę, żebyś ich karał śmiercią. Niech tylko ci zostaną ukarani, którzy rzeczywiście dopuścili się zła. Ja nie chcę być ojcem narodu za cenę życia tych ludzi".

Zauważmy, że w ten sposób Mojżesz daje poznać, jakie powinno być prawdziwe przywództwo. I co się staje? Dzieje się rzecz niezwykła, bo oto Bóg zgadza się na to stanowisko Mojżesza. Ale przecież nie ma Dziesięciu przykazań, bo tablice zostały rozbite. Okazuje się jednak, że są! Mojżesz siada i na dwóch innych tablicach zapisuje Dziesięć przykazań. Dlaczego je zapisał? Dlatego, że je zapamiętał. Dlatego, że miał je nie tylko na tych kamieniach, ale miał je w głowie, i miał je w sercu. Otóż to jest właśnie cecha, którą u przywódcy takiego jak Mojżesz doskonale widać. Mianowicie to, że jeżeli człowiek wymaga czegoś od innych, to powinien o tym sam pamiętać. Proszę zauważyć, że nie zawsze jest tak, iż ci, którzy dają dobre nauki, idą ta samą drogą. Mówi się nieraz złośliwie tak, a odnosi się to również do przywódców duchowych, choćby tych małego kalibru, jak np. biskupi czy kapłani. Mówi się że ci, którzy uczą innych, są jak drogowskazy. Drogowskaz pokazuje drogę, ale nigdy nie może tą drogą pójść. On musi stać w tym miejscu po to, żeby inni mogli pójść tam dalej. Nie można drogowskazu, który pokazuje nam drogę do Poznania, przenieść do Poznania, bo tam jest bezużyteczny. On jest potrzebny właśnie tu. Ale żeby człowiek mógł stać i pokazywać drogę, musi zapamiętać i powtarzać to, czego się nauczył, i co uznaje za swoje nawet, jeżeli nie jest w stanie zgodnie z tym żyć.

I Mojżesz doskonale to zrozumiał. Jeszcze nie miał możliwości praktykowania Dziesięciu przykazań. Jeszcze przecież nie dotyczyły go te przykazania, bo nie znalazł się we wspólnocie innych ludzi, nie wrócił jeszcze z Synaju na dobre. Ale zapamiętał te przykazania, bo wiedział, że mu się one przydadzą. I tak osią Pięcioksięgu, trzonem Pięcioksięgu jest coś, o czym państwu zawsze przypominam, mianowicie *pamięć.* Ta pamięć jest fundamentem. I tu całe nieporozumienie, także w naszych czasach, polega na tym, że często jest tak, że jeżeli ktoś nie dorasta do pewnych wymagań moralnych, do pewnych przykazań, to mówi, że one nie mają sensu. I to jest największa brednia, największe głupstwo, jakie może zrobić człowiek. Bo droga nawrócenia i droga ludzkiego życia jest tam, gdzie człowiek pamięta o tym, jaki być powinien — nawet, jeżeli nie jest w stanie zgodnie z tym żyć. A może właśnie wtedy, kiedy nie jest w stanie żyć zgodnie z tym ideałem to wie, że ten ideał jest potrzebny. Bo bez tego ideału, bez tej woli, byłby nikim, albo by się pogrążył w jeszcze

gorsze bagno niż to, w które popada. I Mojżesz — jego postawa, i nasze spotkanie z Mojżeszem są dlatego tak ważne. Mojżesz zapamiętał te przykazania, ponownie je zapisał, i ponownie daje je ludziom. Te pierwsze były napisane palcem Bożym, te drugie zostały napisane palcem Mojżesza.

I teraz przechodzimy do tej księgi, która nas już bezpośrednio dotyczy. Mianowicie z tych przykazań wyrastają wszystkie inne normy. Część z tych norm widzieliśmy choćby w Księdze Powtórzonego Prawa. Księga Liczb przynosi kolejne normy, przynosi ich rozwinięcia. Otóż Dziesięć przykazań to jest fundament, to jest minimum, to jest skrót. A teraz kolejno pojawiają się różne nowe okoliczności. I w Księdze Kapłańskiej mamy te rozmaite nowe okoliczności, i w Księdze Liczb też mamy te nowe okoliczności. Ale na czym polega problem, z jakim mamy do czynienia w Księdze Liczb? Otóż na tym, że gromada niewolników przeobraża się w naród w sytuacji przejściowej, w sytuacji niejako tranzytowej. Mianowicie oni jeszcze nie są u siebie, oni jeszcze nie doszli do ziemi obiecanej, oni są ciągle na pustyni. I teraz: jak kształtować swoją przyszłość, kiedy człowiek tej przyszłości tak na dobre nie zna? Jak stawać się czymś nowym, jeżeli nie ma żadnych doświadczeń? Jak pozostać wiernym Panu Bogu, i wiernym sobie — bo jedno łączy się z drugim — w sytuacji, kiedy nie mamy ziemi tak, jak oni nie mieli, nie mamy stolicy, nie mamy życia religijnego, wszystko jest przejściowe.

I Księga Liczb pokazuje nam religijność czasu przejściowego, religijność czasu kryzysu — ale w greckim tego słowa znaczeniu. *Kryzys* to znaczy jakiś taki radykalny, definitywny sąd, definitywna przemiana. Ta zmiana wtedy, w tamtym przypadku, polegała na tym, że oni dążą do ziemi obiecanej. Nigdy jej nie widzieli, i chcą ją zobaczyć najszybciej jak można. Chcą ją posiąść najprędzej, jak by się tylko dało. I w Księdze Liczb mamy bardzo ciekawy epizod. Otóż w pewnym momencie ci wędrowcy chcą przynaglić Pana Boga. W pewnym momencie chcą również przynaglić Mojżesza. I powiadają: „My idziemy do tej ziemi obiecanej, ale jaka ona właściwie jest? Jak ona wygląda?" I wtedy Mojżesz wysyła wywiadowców. Wysyła ludzi, po jednym z każdego pokolenia, którzy mają tę ziemię zobaczyć. I kiedy ją zobaczą, mogliby roztoczyć przed resztą obraz, dzięki któremu mogliby wejść do tej ziemi jak najszybciej. Reszta czeka.

Proszę zauważyć, że samo to doświadczenie to jest taki pewien wyraz zwątpienia w prawdziwość słów Bożych. Otóż człowiek zawsze chciałby Boga sprawdzić, chciałby Boga zweryfikować. Jedną z takich form to jest cud, kiedy to wymagamy od Pana Boga cudu jako potwierdzenia tego, że On jest. Otóż oni też chcą Pana Boga sprawdzić, chcą Go przynaglić. I Księga Liczb jest to taka próba przynaglenia Pana Boga, żeby zadziałał szybciej. Nieraz w naszym życiu też tak bywa, mamy takie okresy, kiedy chcielibyśmy to życie jakby skurczyć i przyspieszyć. I chcielibyśmy mieć szybciej to, za czym tęsknimy, niż nakazywałby normalny bieg rzeczy.

Mojżesz wysyła tych wywiadowców, oni idą, oglądają wszystko. I co się okazało? Spośród tych dwunastu ludzi dwóch zapamiętało to, co zobaczyło, z odwagą i z nadzieją. A reszta traci ducha, reszta mówi tak: „Wszystko jest tam wspaniałe. Są tam winnice, są tam drzewa oliwne, są tam piękne ogrody. jest tam deszcz, możemy tam żyć. Jest tylko jeden szkopuł. Mianowicie miasta są potężne, a tych miast bronią olbrzymy". Kiedy jeszcze dzisiaj pojedziemy do Ziemi Świętej, to w wielu miejscach można widzieć takie cyklopowe, potężne, wielkie mury. Że rzeczywiście, kiedy człowiek przygląda się i pomyśli, jak one wyglądały w starożytności, to ich zdobycie było mało prawdopodobne.

Dwóch uwierzyło, dziesięciu — nie. Na ogół takie są proporcje w każdym pokoleniu. Wiara jest sprawą bardzo trudną. Uwierzyć Panu Bogu, przyjąć życie z jego trudnościami — bo tutaj mamy nie tylko opis rzeczywistości historycznej, ale tu mamy pewne symbole — otóż uwierzyć Panu Bogu, i zawierzyć Mu w ten sposób, nie jest łatwo. Dwóch to przyjęło, dziesięciu waha się, wzbrania, przychodzi do Mojżesza i powiada, że my nigdy tego nie zdobędziemy.

Można by powiedzieć, że jest to kolejne zakończenie Pięcioksięgu. Bo gdyby było tak, że cały naród się ugnie, czy cała ta gromada wędrowców się ugnie, to w tym miejscu by się wszystko skończyło. I rzeczywiście wielu się ugięło. Zaczęto mówić: „Wróćmy do Egiptu. Tam przynajmniej mieliśmy cebulę, czosnek, mieliśmy pory. Tam były warzywa, ogórki i melony, a tutaj tylko pustynia i pustynia. A to, co nas czeka, jest niewiadome."

Otóż paradoks naszego życia polega na tym, że nawet, gdy przeżywamy coś bardzo trudnego, to z pewnej perspektywy czasowej wydaje nam się to nawet atrakcyjne. Proszę zwrócić uwagę że dochodzi do tego — czasami ten paradoks obserwujemy w naszych pokoleniach — że ktoś, kto

wspomina nawet obozy koncentracyjne albo wywózki, deportacje, wspomina je z przymrużeniem oka, albo wręcz z humorem. Ma do tego jakiś dystans dlatego, że udało mu się przeżyć. I wtedy nawet jest dumny z siebie i zadowolony, że w tak ekstremalnych warunkach udało mu się przeżyć. Taka typowa książka, która ukazuje, można by powiedzieć, piekło, jakie człowiek może zgotować innemu człowiekowi, ale ukazuje je z pewnym przymrużeniem oka, i dlatego jest znakomita, to jest *Inny świat* Herlinga-Grudzińskiego. On przez to przeszedł, ale jakby nie ma pretensji do swoich prześladowców. Przeszłość my zawsze jesteśmy w stanie oswoić — pod warunkiem, że ją przeżyjemy. Choćby ona była najtrudniejsza, to potrafimy sobie z nią jakoś poradzić. Natomiast zawsze boimy się przyszłości. I to jest pewien problem, który nosimy w sobie. I z tego tytułu, jeżeli ktoś potrafi zawierzyć na przyszłość, to jest dopiero prawdziwa siła wiary.

Tamci zwątpili co do przyszłości. Tymczasem właśnie przyszłość była najważniejsza, przyszłość trzymała tych wędrowców przy życiu.

I tu dochodzę do czegoś co chciałbym, żeby państwo w Księdze Liczb odczytali i zobaczyli swoimi własnymi oczyma. Mianowicie Mojżesz nie wspomina już pobytu w Egipcie, nie przypomina im: „Słuchajcie! Ile wyście się nacierpieli! Tamci bili was pejczami, przymuszali do pracy. Musieliście budować miasta, robić cegły itd. Zabijano wasze dzieci." Mojżesz o tym nie mówi. Dlaczego? Dlatego, że czasami wspomnienia przeszłości to są takie rozliczenia, które przychodzą straszliwie trudno. Które ludzi niekoniecznie muszą łączyć, ale mogą dzielić. Zwróćmy uwagę choćby na najnowsze dzieje Polski, i na związane z tym narodowe spory w spojrzeniu na przeszłość. Spojrzeniu na takie epizody, jak choćby stan wojenny, lata 70-te, 60-te, 50-te, a nawet czasami to się zdarza — na okres drugiej wojny światowej. Mamy tutaj bardzo szeroki rozstaw opinii na temat przeszłości, bo każdy ma jakąś swoją własną przeszłość. A bywa tak że, kiedy jest bardzo ciężko, bardzo trudno wszystkim, to ktoś może mieć swoje szczęśliwe chwile. I dla kogoś, kto w latach 50-tych zawarł szczęśliwe małżeństwo, miał wtedy dziecko itd., kto się wtedy mógł cieszyć, to cały ten okres nie był już taki strasznie trudny.

I coś podobnego było z biblijnymi Izraelitami, że Mojżesz nie mógł odwoływać się do przeszłości, musiał odwoływać się do tego, co będzie. I musiał wlewać w ich serca nadzieję na to, co będzie. Ale on też nie znał kształtu przyszłości. Więc wszyscy zdążali do ziemi, której nie znali. I łączyło ich coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyli. Żeby poszukać jakiejś analogii dla takiej rzeczywistości, to chciałbym państwu przypomnieć takie epizody z historii najnowszej — ale już nas nie dotyczące, żeby nam się zbytnio nie kojarzyły, tylko dotyczące współczesnego państwa Izrael. To jest bardzo ciekawa analogia. Część z państwa już tę analogię doskonale zna, bo o niej kiedyś przy jakiejś okazji mówiłem. Ale być może są tacy, dla których będzie to przypomnienie, a dla innych coś nowego.

Otóż w latach 90-tych do Izraela przyjechało ok. miliona Żydów ze Związku Radzieckiego. Oczywiście większość z tych ludzi nie mogła wykazać, że jest Żydami, i w ogóle nie była Żydami. Chciała się wyrwać stamtąd, gdzie mieszkali. Uznali, że tam jest ciepło, tam im będzie lepiej, i na tej fali emigracji przyjechali do Izraela. I wtedy rabini — to jest autentyczna historia z naszych lat, tylko u nas się o tym nie mówi — zwołali specjalne posiedzenie w Jerozolimie, i powiedzieli: „No dobrze. Co z nimi robić? Przyjechali jeden z Władywostoku, drugi ze Lwowa, jeden z Leningradu dawnego, drugi z Czerkas, jeden z Czelabińska, drugi gdzieś tam z Kazania. Jeden wygląda tak, drugi inaczej, jeden jest blondyn, drugi inny itd. Patrząc na nich widać, że to w ogóle nie Żydzi — a jednak są tutaj jako Żydzi. Co z nimi robić? Przeszłość ich nie łączy, bo każdy ma ją zupełnie inną. Co może ich połączyć? Dzięki czemu możemy ich tutaj trzymać? "

I wtedy doszli do takiego wniosku. Są dwa wyznaczniki żydowskości: być urodzonym z matki Żydówki, albo wyznawać judaizm. O wielu nie da się powiedzieć, że są urodzeni z matki Żydówki dlatego, że jest to niemożliwe. Więc na tej podstawie nie można ich tutaj mieć. O prawie wszystkich nie można powiedzieć, że wyznają judaizm, bo tworzyli w Związku Radzieckim partię komunistyczną, i z życiem religijnym nie mieli nic wspólnego. I rabini mieli poważny orzech do zgryzienia. Skoro przeszłość nie może łączyć, to na co położyć nacisk? I wtedy wydali takie rozporządzenie, i to rozporządzenie obowiązuje po dzień dzisiejszy od kilku lat. Mianowicie że w sytuacji, kiedy nie łączy matka, bo nie wiadomo, kim ona jest, kiedy nie łączy religia, bo człowiek nie był religijny, to Żydem jest ten, kto wychowa swoje dzieci na Żydów. Zatem cały nacisk został położony na przyszłość.

Proszę zauważyć, że to jest myślenie żywcem wyjęte z księgi Liczb, żywcem wyjęte z Pięcioksię-

gu. Mianowicie *to nas łączy, do czego wspólnie jesteśmy zdolni.* Kiedy nie może nas łączyć wspólna przeszłość, bo tę przeszłość ma każdy z nas inną, albo tej przeszłości nie znamy, albo nie możemy się nią chwalić, to wtedy powinna nas łączyć wspólna przyszłość.

Ale proszę zauważyć: *„Kto wychowa swoje dzieci na Żydów" — to pokolenie jest już stracone.* Dopiero pokolenie ich dzieci to będzie to, które nabywa nowej tożsamości. Zatem to pokolenie, które przeszło ogromne trudności — taka jest również logika Księgi Liczb — to pokolenie, które samo wyszło z niewoli, musi zdawać sobie sprawę, że buduje przyszłość dla tych, którzy przyjdą. I proszę zauważyć, że mamy tu do czynienia z przeogromnym paradoksem. Mianowicie ludzie zaczynają się buntować, to pokolenie zaczyna się buntować: „To co, to my nie jesteśmy ważni? To my się nie liczymy? To dopiero nasze dzieci?"

Wtedy musimy sobie uświadomić, podobnie jak Mojżesz w Księdze Liczb, i trzeba jego odpowiedzi sobie tam znajdować, że właśnie na tym polega prawdziwa miłość. Że właśnie polega ona na tym, że człowiek traci z oczu samego siebie, a zaczyna budować i kształtować przyszłość dla tych, którzy przyjdą po nas. Wielu ludzi nie chce tego robić, nie potrafi tego robić, nie potrafi sobie wyobrazić owoców, które dopiero przyjdą. To jest tak, jak w tej słynnej przypowieści — która nie jest z Biblii wzięta, ale na pewno ma w Biblii swoje korzenie — jak to starzec sadzi maleńkie owocowe drzewa. I przechodzi ktoś inny tą drogą, i powiada do niego: „Po co sadzisz te drzewa? Przecież ty nigdy nie doczekasz owoców z tych drzew. Dlaczego to robisz? Posiedź, i odpocznij. Po co się tym zajmujesz?" A ten odpowiada „Ja z nich jadł nie będę, bo jestem stary. Ale ci, którzy przyjdą po mnie, moje dzieci, moje wnuki, będą miały z tej jabłoni jabłka. Bo dla mnie też ktoś sadził drzewa!" To jest logika Księgi Liczb — sadzenie owocowych drzew dla tych, którzy przyjdą po nas.

Mojżesz i całe jego pokolenie budują przyszłość dla tych, którzy dopiero się urodzą. Gdzie się urodzą? Tam, na pustyni. Ci wywiadowcy wracają z tego kraju. Dziesięciu straciło ducha. Warto przeczytać ten rozdział z Księgi Liczb, bo on jest szczególnie wstrząsający. Snują taką wizję bardzo pesymistyczną. Bardzo często jest tak, że i w narodzie, czy jakiejś grupie społecznej, pojawiają się urodzeni pesymiści, którzy bez przerwy mówią, że „To się nie uda, to nie wyjdzie, to nie ma sensu" — i w ten sposób zatruwają ducha ludzi. Ci ludzie są bardzo niebezpieczni. I tamci też byli bardzo niebezpieczni. Tych pesymistów było dziesięciu, ale przyszłość zależała tylko od dwóch optymistów. I ci dwaj powiedzieli: „Słuchajcie! To prawda, że tam są mury grube. To prawda, że tam jest lud waleczny. Ale i my też nie jesteśmy byle kim! Więc wejdziemy, i będziemy tę ziemię mieli!"

I Mojżesz poszedł za tymi dwoma, którzy mieli nadzieję na to, że uda się przyszłość podporządkować i wykorzystać. I to jest właśnie ta logika, która w każdym pokoleniu przesądza o tym, że działamy na rzecz tych, którzy przyjdą po nas. Nie znamy ich, bo znamy ich wtedy, kiedy widzimy dzieci, kiedy widzimy to pokolenie, które rośnie. Ale czasami jest tak, czy często jest tak, że my działamy na rzecz tych pokoleń, które jeszcze się nie urodziły. Dopiero gdzieś tam kiedyś przyjdą. Sadzimy drzewa, również te w duchowym tego słowa znaczeniu, z których owoce będą jedli inni. I Księga Liczb nam bez przerwy pokazuje tę największą z miłości, kiedy to się działa na rzecz ludzi, którzy się jeszcze nie urodzili, którzy dopiero przyjdą.

Ta księga jest też niesłychanie istotna też z innego punktu widzenia. Mianowicie lud, który usłyszał opowiadanie tych wywiadowców, ten lud, który błąka się po pustyni, ten lud w pewnym momencie zwątpił i zaczyna szemrać. I powiada: „To my nie idziemy!". Bóg powiada: „Nie chcecie iść, nie idziecie — wasza sprawa. Nie wejdziecie, zostaniecie tutaj na pustyni. Natomiast z was urodzą się na pustyni nowi, i to oni wejdą." I tak rozpoczyna się dramat na oczach Mojżesza. Mianowicie Bóg zapowiada im czterdziestoletnią wędrówkę, wędrówkę po pustyni, błądzenie po pustyni. Dlaczego czterdzieści lat? Bo według starotestamentowego sposobu myślenia czterdzieści lat trwa życie jednego pokolenia. Otóż, jeżeli człowiek straci nadzieję, jeżeli człowiek zwątpi, to ten człowiek, można by powiedzieć, zabija przyszłość. Jego życie przestaje już mieć jakieś takie istotne znaczenie. I wtedy trzeba postarać się, żeby ta przyszłość należała do innych, którzy tego skażenia nie mają. I tam na pustyni rodzi się pokolenie nowe. Natomiast na tej samej pustyni zalegną kości tych, którzy wyszli z Egiptu, i którzy nie byli zdolni do tego, żeby podjąć wyzwania wolności.

Problem polega na tym, że ludzie mylą — i tak było w czasach Starego Testamentu — wolność ze swawolą. Ludzie sądzą, że jeżeli wolno — to wszystko wolno. Jeżeli wolno, to nie ma żadnych ograniczeń. Jeżeli wolno, to robię, co chcę.

Natomiast wolność nie polega na swawoli. Wolność to nie jest wybór pomiędzy dobrem i złem, jak nam się wmawia często. Wolność — i na to też kładzie ogromny nacisk Jan Paweł II — to jest wybór większego dobra! Wybieram pomiędzy tym, co dobre — i wybieram to, co jest lepsze. Więc unikanie zła to jest minimum. Natomiast wybór pomiędzy tym co dobre, i co lepsze, i co bardzo dobre — oto jest ta cena prawdziwej ludzkiej wolności.

I tam Mojżesz uczy ich wybierać to, co jest dobre, to, co jest lepsze. I czytamy, wystarczy sięgnąć do pierwszego lepszego fragmentu Księgi Liczb, żeby zobaczyć, jak Mojżesz uszczegóławia rozmaite aspekty ich życia. powiada raz jeszcze, jak mają wyglądać ofiary, jak ma wyglądać np. wynagrodzenie za grzechy nieuwagi. O tym w Księdze Kapłańskiej nie było mowy, tam mówiono: dobre albo złe. A tutaj mówi się: „Uważaj! Czasami może być tak, że popełniasz zło przez zaniedbanie. Czasami może być tak, że dopuszczasz się czegoś złego przez swoją nieuwagę. Że niedostatecznie dobrze przykładasz uwagę do tego, co jest wokół ciebie. I to też wymaga naprawy."

Modlimy się na początku każdej mszy św. przy spowiedzi powszechnej, że *zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem.* Ale z grzechu zaniedbania to już najmniej spowiadamy się najmniej. A to też jest słabość, bo można kogoś okaleczyć, można kogoś skrzywdzić właśnie na skutek zaniedbania.

W Księdze Liczb jest sporo o buntach, sporo o trudnościach. Najpierw przeciwko Mojżeszowi, potem przeciwko Bogu. Tu w tej księdze dopiero widzimy, że los Mojżesza nie był do pozazdroszczenia, buntowano się przeciwko niemu. Każdy przywódca, który porywa ludzi do czegoś nowego, musi się liczyć z tym, że w pewnym momencie przychodzi zmęczenie, przychodzi stagnacja, przychodzi rozczarowanie. Że człowiek myśli sobie, że kiedyś było lepiej. A choćby dlatego było lepiej, że byłem młodszy. Albo dlatego lepiej, że nie chorowałem. Albo było dlatego lepiej, że miałem kogoś bliskiego, a dziś coś tracę i przez to mi się pogarsza.

I Mojżesz, który stał się bohaterem, tu, na kartach Księgi Liczb staje się człowiekiem zmęczonym. Do tego stopnia zmęczonym, że i na niego samego przychodzi zwątpienie. Że on, widząc tych ludzi, którzy domagają się od niego wody, staje przed nimi i powiada; „Słuchajcie wy buntownicy, czyż Bóg może wyprowadzić wodę z tej skały?" Oni sądzili, że on ich pyta. Ale Bóg wiedział, że on zapytuje samego siebie. I skoro zapytywał samego siebie to znaczy, że zwątpił. A kiedy przywódca wątpi, przegrywają wszyscy. I w ten sposób Mojżesz sobie uświadamia, że nie nadaje się do ziemi obiecanej, że nigdy tam nie dojdzie. Nawet więcej, powiada do Pana Boga: „Słuchaj, moja rola jest skończona". I nie były to puste słowa, bo usłyszał od Boga: „Masz rację, tak jest. Nie nadajesz się, żeby wejść tam. Musi być ktoś młodszy, kto ich wprowadzi. A ty zobaczysz tylko ten kraj, i zostaniesz."

Po tej księdze, Księdze Liczb, następuje Księga Powtórzonego Prawa. Jeżeli ktoś z państwa przebrnie przez Księgę Liczb, a wcześniej przez Kapłańską, i dojdzie do Księgi Powtórzonego Prawa, będzie widział że mamy tutaj do czynienia z nowymi przepisami, rozporządzeniami. Dzisiejszy człowiek nie lubi rozporządzeń, nie lubi przepisów, chociaż bez przerwy mamy z nimi do czynienia. Buntujemy się przeciwko nim. Czasami one są wręcz takie ilustracyjne typu znaki drogowe: stań, zatrzymaj się, skręć w prawo, nie wolno ci skręcić w lewo, jedź tylko w tym kierunku, nie wyprzedzaj — cały czas to są rozporządzenia. Mamy kodeks drogowy. Kierowcy wiedzą, że jest, ale pewnie nie sięgają do niego z powodu tego, że gdybyśmy żyli tymi rozporządzeniami, to pewnie nie bylibyśmy w stanie poruszać się po drodze, gdybyśmy je wszystkie brali tak na serio.

I to samo przenosimy do życia religijnego. Tymczasem Księga Powtórzonego Prawa nakłada na ludzi mnóstwo różnych rozporządzeń. One wszystkie opierają się na jednym, a to jedno rozporządzenie brzmi po hebrajsku Szema Israel, Adonai Elohenu. Szema Israel Adonai Ehad. co po polsku znaczy *Słuchaj Izraelu, Pan, nasz Bóg, Pan jest jedyny.* To jest fundament, wyznanie wiary w jedynego Boga. To Szema Israel to jest wyznanie, które określa i trzyma ten naród przy życiu.

A teraz: co to znaczy w tej sytuacji, jak się zachować w tej sytuacji, jak być wiernym Bogu w tej sytuacji — to wszystko mamy tam uregulowane. I tak dowiadujemy się, i to znów jest sedno Księgi Powtórzonego Prawa, że miłować Boga, to znaczy Mu służyć. Zatem że miłość Boga to nie jest tylko wzniosłe poruszenie uczucia, to nie są tylko słowa, to nawet nie można poprzestać tylko na tym wyznaniu wiary, ale że miłość Boga wyraża się w czynie, wyraża się w sposobie życia, w

tym, że nasze życie staje się czytelnym, wyrazistym znakiem przynależności do Pana Boga. Kiedy? Księga Powtórzonego Prawa powiada: wszędzie, na tej pustyni również. I kiedy idziecie do tego kraju to pamiętaj, że nie ma takiej sytuacji, w której człowiek mógłby powiedzieć, że może sobie zapomnieć o Bogu. A jeżeli nie jesteś w stanie żyć tak, jak wymagają tego przykazania, to nie mów że to jest bez sensu, tylko wyznaj, że jesteś zbyt słaby. I kiedy nie jesteś w stanie żyć tak, jak tu tę drogę poznałeś, to wtedy przypomnij sobie, że Bóg jest jedyny, i nie wolno ci służyć innym bogom czy bożkom dlatego, że zatracisz swoją godność. Zatem nawet jeżeli nie potrafisz skakać wysoko, to nie mów, że to nie ma sensu. Bo są tacy, którzy przeskoczą tę poprzeczkę, a i ciebie, być może, któregoś dnia będzie na to stać.

I Księga Powtórzonego Prawa ukazuje nam rozmaite aspekty służby Panu Bogu: jak Mu służyć, jak do Niego przylgnąć, jak pozostać Mu wiernym, jak unikać bałwochwalstwa, jak unikać popadnięcia w rozmaitą niewolę. Księga Powtórzonego Prawa jeszcze raz zbiera rozmaite przepisy, rozporządzenia, przykazania, które były wcześniej, przypomina je, podkreśla je, i powiada: „Słuchaj, nie ma innej drogi życia, jak droga wierności. Zatem nie wolno poprzestawać na słowach, trzeba posunąć się dalej. A to *dalej* to znaczy trzeba żyć tak, jak Bóg przykazał."

I tak dochodzimy znów do czegoś, co zaledwie przeczuwamy. I tu mi się wydaje, że jako puentę, bo nasz czas się kończy, warto wskazać na coś, co państwo doskonale znają, i co pewnie ma jakiś związek z dzisiejszymi walentynkami. Otóż też kiedyś o tym mówiłem, a teraz przychodzi mi na myśl jako coś, co dobrze ilustruje ten problem z Księgi Powtórzonego Prawa. W naszych czasach w naszej kulturze jest tak, że młodzi ludzie, starsi ludzie, w ogóle chłopiec i dziewczyna mówią, że się zakochali, i w związku z tym nic innego się nie liczy. Tylko zakochali się — i to tłumaczy wszystko. Najpierw jest miłość, a potem jest problem, co z tym wszystkim zrobić. Bo przychodzi przyzwyczajenie, rutyna, a przyzwyczajenie jest postrzegane jako coś złego. I są całe podręczniki i wywody socjologów, psychologów zwłaszcza i psychoanalityków, którzy próbują nas zabezpieczyć na różne sposoby przed przyzwyczajeniem.

Biblijny sposób myślenia, i żydowski sposób myślenia, jest akurat odwrotny. Najpierw jest przyzwyczajenie, a potem jest miłość. My mówimy tak: „Nie będę wykonywał jakichś zobowiązań, nie będę wypełniał przykazań, nie będę wykonywał poleceń dlatego, że nie widzę ich sensu, nie widzę ich potrzeby, bo nie uznaję ich za swoje." Żydzi myślą inaczej, mianowicie: „Rób, co do ciebie należy — a jak się przyzwyczaisz, to uwierzysz, jak się przyzwyczaisz, będziesz kochał. Rób, co powinieneś." Dlatego jeżeli ktokolwiek z państwa był albo trafi choćby tam, gdzie życie zakorzenione w Starym Testamencie jest obecne, to doskonale widać czym życie w Izraelu, albo jakiejś żydowskiej dzielnicy amerykańskiej, różni się od życia u nas. Mianowicie są zdyscyplinowani. Przychodzi szabat — to widać, że to jest szabat. Przychodzi jakieś ważne wyzwanie to widać, że wszyscy są są między sobą skonsolidowani. Nikt nie zadaje pytania: „Czy ty wierzysz czy nie wierzysz?" — najważniejsze, żebyś w szabat siedział. Najważniejsze, żebyś nie pracował. A co ty o tym myślisz — to twoja sprawa. Oczywiście jak będziesz przez całe życie miał co rok te 50 szabatów, i załóżmy: żyjesz 40 lat dorosłego życia, to masz za sobą 2000 szabatów. To nawet jeżeli nie wierzysz w Boga, to musisz Go bardzo kochać — bo przecież 2000 razy siedziałeś, i 2000 razy powstrzymywałeś się ze względu na Niego i na innych ludzi od tych prac.

To jest ten sposób myślenia typowy dla Księgi Powtórzonego Prawa. Nie liczy się to, jaka jest doktryna. Liczy się to, co nazywa się w naszym języku *ortopraksja,* czyli właściwy sposób postępowania, przyjęty ogólnie sposób postępowania. Tam, gdzie chodzi o poglądy, możemy zachować daleko posunięte zróżnicowanie. Tam, gdzie chodzi o opinie, możemy się między sobą różnić i kłócić. Jedną z fundamentalnych norm, które wyrastają z Biblii, jest tzw. kultura sporów albo kultura kontrowersji. Żydzi sprzeczają się między sobą o wszystko. Ale jak przychodzi żyć i zadziałać, działają jednakowo. My natomiast chcielibyśmy się zgadzać co do poglądów, ala jak przychodzi działać to okazuje się, że każdy koń ciągnie w swoja stronę.

Na tym polega różnica pomiędzy tamtą mentalnością a tą mentalnością, która jest nam bliższa. Jeżeli o tym mówimy to niekoniecznie dlatego, żeby tamtą podjąć i naśladować, bo być może nie jesteśmy w stanie tego zrobić — ale wiedzieć o tym trzeba. I jeżeli czytamy Księgę Powtórzonego Prawa, i bez przerwy wracamy do tych przepisów, które są wręcz monotonne, powtarzają się bez

przerwy, to w tej monotonii jest jakaś logika. To jest coś takiego, jak w muzyce. Bywają takie fragmenty muzyczne, gdzie ciągle wraca ten sam motyw, ale rozwijany nieco w innym tonie, podawany z jakąś drobną zmianą i dlatego jest tak piękny jak choćby słynne *Bolero*. Otóż Stary Testament to takie swoiste, można by powiedzieć, religijne Bolero, gdzie jest jeden motyw, a ten motyw:

> Żyj po Bożemu. Ułóż wszystkie dziedziny swojego życia tak, żeby inni widzieli, że Bóg jest dla ciebie kimś bliskim. A czy ty wierzysz w Boga, czy nie — twoja sprawa. Jeżeli będziesz dawał świadectwo o Bogu, to z całą pewnością i Pan Bóg ciebie zauważy.

To jest ta przedziwna logika, moglibyśmy powiedzieć: logika obca nam, którzy jesteśmy wychowani w innych kategoriach myślenia. Ale taki właśnie jest Stary Testament. I żeby Stary Testament zrozumieć, to trzeba o tej logice wiedzieć — nie po to, żeby być takim, ale po to żeby wiedzieć, że taki sposób myślenia utrzymywał tych ludzi przy życiu. I taki sposób myślenia przesądził o tym, że oni sami nie weszli do ziemi obiecanej, ale ich dzieci — weszły. I że ten sposób myślenia przesądził o tym, że często jest tak, że trzeba wyrzec się siebie, aby umożliwić coś innym. A wtedy dopiero również to wyrzeczenie będzie miało jakiś sens.

Pięcioksiąg jest zamknięty niezwykle wzruszającą sceną. Jest to ostatni rozdział Księgi Powtórzonego Prawa, rozdział najkrótszy, trzydziesty czwarty, który opisuje śmierć Mojżesza. Mojżesz doszedł ze swoim narodem do góry Nebo, po drugiej stronie Morza Martwego patrząc od zachodu. Tam Pan Bóg pozwolił mu zobaczyć tę ziemię, do której szedł. Mojżesz cieszył się tym, co zobaczył. Czasami to też jest bardzo głęboka nauka, i tutaj Pismo Święte uczy nas czegoś bardzo ważnego. Nie wszystko możemy mieć. Nie wszystko możemy posiadać, nie wszystko może być nasze. Ziemia Święta nigdy nie stała się ziemią Mojżesza, nigdy nie postawił w niej nogi, nigdy jej nie miał. Nie zjadł ani jednego owocu z tej Ziemi Obiecanej, nigdy nie postawił w niej nogi. Widział! I widzenie, wiedza, rozeznanie to też korzyść, też przynosi swój pożytek, też daje ogromną satysfakcję. Jeżeli człowiek wie, że coś takiego istnieje, to tak jakby to po części posiadał. I być może ten rodzaj wiedzy i ten rodzaj posiadania, który osiągamy w taki duchowy sposób, jest bardziej wzniosły niż posiadanie, dotykanie czegoś materialnie.

I Mojżesz był chyba pierwszym człowiekiem, który osiągnął radość nie dlatego, że miał, ale dlatego że wiedział, że coś jest. Zobaczył to, przekonał się — a mieli mieć to inni. Proszę zauważyć że ten ostatni, zamykający Księgę Powtórzonego Prawa rozdział, uczy nas niezwykłej miłości, najtrudniejszej. Takiej mianowicie, kiedy człowiek podąża do czegoś i pragnie czegoś ze względu na innych, nie ze względu na siebie. I jeżeli do czegoś takiego się dochodzi, to idziemy w ślady tego biblijnego Mojżesza, i idziemy w ślady tamtego pokolenia, które zaległo gdzieś ziemie pustyni, ale ich synowie do ziemi obiecanej, do nowego kraju weszli.

Mam nadzieję, że te uwagi pomogą państwu przebrnąć przez Księgę Liczb i Księgę Powtórzonego Prawa. Księgi, które są bardzo monotonne, ale jak powiedziałem właśnie ta monotonia, i właśnie te powtarzające się bez przerwy przykazania, stanowią o wartości i o pięknie tych ksiąg. Do tego stopnia, że kiedy przeczytamy Pięcioksiąg i kiedy będziemy czytali bez przerwy te rozporządzenia, te przykazania, te wymagania, to tak się do tego przyzwyczaimy, że gdy przejdziemy do Księgi Jozuego, to będzie nam ich brak. Bo to jest tak z człowiekiem: jak się już do czegoś wdroży, do czegoś przyzwyczai, to okaże się że to przyzwyczajenie staje się cząstką jego tożsamości.

Przenosząc to na nasze chrześcijańskie zwyczaje najprostsze — jeżeli ktoś przez 40 lat chodzi co niedziela do kościoła, to nie straszne mu będą trudności w wierze. Ale jeżeli w którąś niedzielę nie pójdzie, będzie się czuł nieswojo. I jeżeli nawet się zbuntuje przeciwko Panu Bogu, to uzna, że jest to bunt przedziwny. Niedawno słyszałem o takim buncie. Opowiadała pewna kobieta, jak to pogniewała się na Pana Boga — dlatego, że jej nie wysłuchał i dlatego, że ją sponiewierał. I poszła do kościoła żeby Mu powiedzieć, że się na Niego gniewa, że tak się nie robi. I że ma do Niego żal, i robi Mu wyrzuty, że tak się nie postępuje. I upomniała Pana Boga, i skarciła Go. I powiedziała Mu, że nie zrobił jak się należy. I wtedy sobie uświadomiła, że właśnie podczas tej swojej obecności w kościele rozmawiała z Bogiem w tak żarliwy sposób, że niemożliwe jest, iżby Go nie było. A w ten sposób jej bunt przeobraził się w modlitwę. I tu, w Pięcioksięgu, mamy do czynienia właśnie z taką dialektyką, w której nasze trudności zbliżają nas do Boga bardziej jeszcze, niż spokojne życie.

2.6 Odpowiedzi na pytania słuchaczy (dn. 6 marca 2000)

Dzisiaj postanowiłem odpowiedzieć na pytania zgłoszone przez państwa w międzyczasie. Mam nadzieję, że te pytania i moje odpowiedzi na nie, zainteresują nie tylko tych, którzy te pytania bezpośrednio zadali, ale także inne osoby. I że będzie można spowodować, aczkolwiek będą to pytania i odpowiedzi, to jednak będzie to coś w rodzaju konferencji biblijnej, tzn. będzie tutaj jakaś spójna myśl, która będzie ożywiała naszą dzisiejszą refleksję.

Pytania dotyczące Biblii są zawsze bardzo trudne. Trudne dlatego, że zmagamy się z materią wiary, która jest zawsze dostatecznie trudna, i trudne również dlatego, że każdy z nas ma w sobie pewne wątpliwości, trudności, wyzwania, problemy, które wcale nie muszą być problemami innych ludzi — choćby nam najbliższych, ale my je nosimy gdzieś tam bardzo głęboko i nie zawsze potrafimy sobie z nimi sami dać radę.

Zanim przejdę do tych pytań — bo jest ich sporo, i chciałbym, jeżeli to będzie możliwe, poruszyć wszystkie lub większość — to chciałbym uczynić jeszcze jedno zastrzeżenie, i to nie z próżności, tylko oddające istotę sprawy. Otóż myliłby się ktoś kto by sądził, że w przypadku czytaniu Pisma Świętego możliwy jest jakiś taki rodzaj eksperta, który znał się na wszystkim. Podkreślam państwu wielokrotnie, że kiedy czytam Pismo Święte i kiedy je wykładam, to mam pytania głębsze niż te, które mają studenci i głębsze niż te, które miałem za poprzednim razem. I z tego powodu mam nadzieję, że również ci z państwa, którzy zadali pytanie, ale nie otrzymają zadowalającej odpowiedzi, niech nie sądzą, że tej odpowiedzi nie ma. Ta odpowiedź jest, tylko musimy do niej bardzo cierpliwie dochodzić.

Jest wreszcie coś, co ożywia wszystkie te pytania. Mianowicie widać, że ogromna większość tych pytań to jest owoc indywidualnego, osobistego czytania Pisma Świętego. Tzn. nie pojawiło by się takie pytanie gdyby nie spotkanie, nie lektura tekstu świętego. Skoro tak, to dochodzimy do rzeczy niezwykle cennej. Mianowicie tej, że pytania świadczą, że ogromna większość z państwa, a już na pewno zadający pytanie, czytają Pismo Święte i z tego powodu natrafiają na trudności, do których dzisiaj chciałbym się nieco odnieść. Jeszcze raz powtarzam że mam nadzieję, że i te pytania, i odpowiedzi, zainteresują wszystkich państwa. Ułożyłem te pytania w pewnej kolejności. Myślę że jest to kolejność, której sens rozpoznamy nieco później. I zaczynam od pytania pierwszego, brzmi ono tak:

2.6.1 Jak w czasach proroków liczono upływ czasu, i w jaki sposób określano długość życia ludzi?

Myślę, że to pytanie trzeba odrobinę doprecyzować. Mianowicie zamiast: „Jak w czasach proroków ...” trzeba powiedzieć „Jak w czasach Biblii, w czasach Starego i Nowego Testamentu liczono upływ czasu, i w jaki sposób określano długość życia ludzi?” Ale ciekawe jest tutaj, że czas Starego Testamentu został przez autora bądź autorkę tego pytania utożsamiony z czasem proroków. To jest bardzo ciekawe podejście, bardzo ciekawe zapatrywanie na Stary Testament — nawet, jeżeli go sobie nie uświadamiamy — mianowicie postrzeganie Starego Testamentu jako proroctwa, czyli wydobycie ze Starego Testamentu tego dynamizmu nadziei który tam rzeczywiście jest obecny.

Jak więc wtedy liczono upływ czasu? W użyciu były wtedy bardzo różne kalendarze. I ci biblijni Izraelici podzielali te kalendarze ze swoimi pogańskimi sąsiadami. W zasadzie jednak, upraszczając nieco i sprowadzając do tego, co najbardziej podstawowe, liczono czas według rachuby księżycowej. Miesiące były księżycowe. Zatem te miesiące były odrobinę krótsze, aniżeli nasze miesiące. I te dwanaście miesięcy składało się na rok. Ale ponieważ po pewnym czasie gromadziła się różnica pomiędzy biegiem słońca i biegiem księżyca, co jakiś czas, w starannie obliczonych momentach, dodawano jeden dodatkowy miesiąc. Taki rok miał aż trzynaście miesięcy. I w ten sposób rachuba kalendarza słoneczna i księżycowa zgadzały się ze sobą. Dodajmy do tego, że w starożytnym świecie przykładano ogromną wagę do rachuby czasu i astronomiczne wyliczenia, zwłaszcza Babilończyków, były niesłychanie dokładne. Podobnie astronomiczne wyliczenia Egipcjan. Wiele tysięcy lat temu potrafili oni przewidzieć np. zaćmienie słońca albo zaćmienie księżyca, i z tej wiedzy, nieraz bardzo tajemnej, korzystali. Przypomnijmy sobie motywy obecne na kartach „Faraona” Henryka Sienkiewicza, zekranizowanego wiele tat temu bodaj przez Jerzego Kawalerowicza. Tam ten motyw

zaćmienia słońca był. W biblijnym Izraelu liczono czas podobnie, mianowicie według księżyca.

Ale druga część pytania jest bardzo interesująca, i nawiązuje do konkretnego tekstu biblijnego. W jaki sposób określano długość życia ludzi? Otóż długość życia ludzi w starożytności określano tak, jak dzisiaj, latami. Pismo Św. wyraźnie mówi, zwłaszcza na kartach psalmów, że jeżeli człowiek jest silny, to żyje lat siedemdziesiąt. Natomiast jeżeli jest bardzo silny, to osiemdziesiąt. I proszę zwróćmy uwagę, że chociaż od tamtej pory upłynęło ok. dwa i pół tysiąca lat, to nie udało się wydłużyć tej zasadniczej, podstawowej długości życia ludzkiego. Oczywiście można sprawić, że poszczególne ludzkie pokolenia żyją nieco dłużej, ale ta granica 70 - 80 lat jest w zasadzie nieprzekraczalna. Jeżeli komuś udaje się ją przekroczyć, to jest to raczej przypadek. Tutaj chciałbym państwu zacytować tekst, który pochodzi z Talmudu. Tak się złożyło, że jest pytanie dotyczące Talmudu, o nim za chwilę, ale ten tekst daje nam sporo do myślenia. Otóż ten tekst pochodzi z około roku czterechsetnego, czyli ma ok. 1600 lat, i zawiera tradycję jeszcze starszą, i w wyraźny sposób nawiązuje do Pisma Świętego. I w Talmudzie czytamy takie słowa:

> Kto umiera przed pięćdziesiątym rokiem życia, został zabrany przedwcześnie.

Zwróćmy uwagę, że śmierć przed pięćdziesiątką uważa się za niesprawiedliwą, za przedwczesną — bez określania czy będzie to czterdzieści parę lat, czy siedemnaście lat. Po prostu w tamtej starożytności, biblijnej i bezpośrednio po-biblijnej, pięćdziesiąt lat życia było uznawane za tyle, ile się człowiekowi należy. Posłuchajmy dalej:

> W wieku lat pięćdziesięciu dwóch, to wiek Samuela z Rama.

Otóż Samuel był ostatnim sędzią i zarazem prorokiem, odszedł według tradycji żydowskiej właśnie w wieku pięćdziesięciu dwóch lat. I uważano, że śmierć człowieka w pobliżu 52. roku życia jest to taka śmierć, z którą w zasadzie można byłoby się pogodzić. Zauważmy, że dzisiaj ta granica przesunęła się nieco dalej. Lat sześćdziesiąt, to śmierć o której mówi Pismo Św.-

> dojrzały zejdziesz do grobu, jak snopy zbierane we właściwym czasie.

Zatem sześćdziesiątkę w czasach biblijnych uważano za czas dojrzały. I dzisiaj też chyba jest tak, że sześćdziesiątka to czas przechodzenia na emeryturę, czas kończenia w zasadzie aktywności życiowej. Zauważmy więc, że tysiące lat upłynęły, ale ten fundament pozostaje mniej więcej taki sam. I dalej:

> Lat siedemdziesiąt, to śmierć owoc miłości Bożej. Bowiem powiedziane jest: „Miarą naszych lat jest lat siedemdziesiąt".

Zatem, jeżeli ktoś odchodzi w wieku siedemdziesięciu lat, powinien być wdzięczny Bogu, bo to jest jakby, jak nazwane jest tu wyraźn5e, „owoc miłości Bożej". Ja tego nie oceniam, bo dzisiaj skłonni jesteśmy przesunąć kategorie nieco dalej. Ale ciekawy jest ten tekst do samego końca. Posłuchajmy następne etapy:

> Lat osiemdziesiąt, to śmierć mocnego.

bo mówi się: „a gdy jesteśmy mocni, to lat osiemdziesiąt". A co potem? A później to życie staje się już udręką. I Talmud tłumaczy to tak:

> Barzillaj powiedział Dawidowi

Barzillaj to był taki ponad osiemdziesięcioletni starzec, który w Piśmie Świętym do swojego władcy mówi tak (2Sam, 19, 36):

> Liczę obecnie osiemdziesiąt lat. Czy potrafię rozróżnić między tym, co dobre, a tym, co liche? Czy sługa twój potrafi zasmakować w tym, co zje lub wypije? Czy potrafi wsłuchiwać się w głos śpiewaków i śpiewaczek? Po cóż sługa twój ma być jeszcze ciężarem dla pana mego, króla?

Zauważmy — ta odpowiedź sługi dla swojego pana została potraktowana jako punkt odniesienia dla myślenia o długości ludzkiego życia. Co więcej ponad osiemdziesiąt lat, uważa ta tradycja, to już jest udręka. Czy się z tym zgodzimy, czy nie, warto tę starożytną mądrość mieć na względzie.

Myślę jednak, że osoba stawiająca to pytanie miała na uwadze jeszcze inny niuans, a mianowicie sam początek Księgi Rodzaju. Na początku Księgi Rodzaju mamy bowiem liczby, które w sposób oczywisty odbiegają od tego, co możemy powiedzieć o długości ludzkiego życia. Spotykamy tam bardzo duże liczby, np. (Rdz 5,3-4):

> Gdy Adam miał sto trzydzieści lat, urodził mu się syn, podobny do niego jako jego obraz, i dał mu na imię Set. A po urodzeniu się Seta żył Adam osiemset lat i miał synów oraz córki.

Czyli Adam miałby żyć lat dziewięćset trzydzieści. I potem (Rdz 5,6-8):

> Gdy Set miał sto pięć lat, urodził mu się syn Enosz. A po urodzeniu się Enosza żył osiemset siedem lat i miał synów oraz córki. I umarł Set, przeżywszy ogółem dziewięćset dwanaście lat.

I tak dalej: dziewięćset lat, ponad dziewięćset, osiemset, siedemset — co znaczą te liczby? Tutaj przechodzimy na znacznie trudniejszy poziom symboliki. To wcale nie znaczy, że Adam i jego kolejni następcy żyli po 900, 800, 700 kalendarzowych lat w takim znaczeniu, w jakim my dzisiaj przyjmujemy. Zwróćmy uwagę, że te wielkie liczby lat dotyczą tylko i wyłącznie czasu przed potopem, tzn. czasu jaki upłynął od stworzenia Adama i Ewy do potopu. Jaki jest sens tego? Mamy tutaj dwa znaczenia, gdyż musimy pamiętać, że starożytni Izraelici myśleli nie tylko na poziomie dosłownym, ale również na poziomie symbolicznym. Można to ująć najpierw tak:

- Ci Izraelici zdawali sobie sprawę z tego, że od stworzenia świata do wyboru Abrahama upłynął ogromnie długi okres czasu. Nie potrafili tego okresu inaczej nazwać, nie potrafili go inaczej ująć, nie byli w stanie myśleć na sposób nauk przyrodniczych tak, jak my to robimy — jakieś odległe epoki geologiczne, jakiś podział na miliony lat — dlatego, że tych liczb jeszcze nie mieli. Nie znali milionów, nie znali miliardów, bo niczego takiego tak wielkiego w swoim doświadczeniu nie mieli. Znali tysiące, i tysiące tysięcy, i poza to wyjść nie mogli. Konsekwentnie, kiedy myśleli o tamtym odległym czasie i wiedzieli, że jest długi, wtedy użyto tu w Księdze Rodzaju pewnego skrótu myślowego. Mianowicie wyodrębniono dziesięć pokoleń, bo dziesięć pokoleń tutaj mamy, następujących po sobie, a następnie tym poszczególnym pokoleniom dano bardzo długi okres życia nie po to, żeby pojmować go dosłownie, ale dlatego, że suma tych setek lat daje tysiące lat. I chciano w ten sposób powiedzieć, że od stworzenia świata do potopu upłynął bardzo długi okres czasu.

- Z tym wiąże się jeszcze jeden drobiazg, mniej zauważalny, ale przecież bardzo znaczący. Mianowicie, jeżeli państwo cofną się do piątego rozdziału Księgi Rodzaju, to zobaczymy, że poszczególne długości życia z biegiem czasu się skracają. Ci pierwsi żyli 900 lat, potem 800 lat, potem 700 lat, potem 600 lat i zatrzymują się na Noem, który był w dziesiątym pokoleniu i o którym mówi się, że żył sześćset lat. Kiedy złożymy to wszystko razem, daje to tysiące lat. Ale to skrócenie ma również swój sens. Na czym ten sens polega? Otóż równolegle mówi się, że ludzkość, że ci ludzie z każdym kolejnym pokoleniem dopuszczali się grzechów i zła. I kiedy dopuszczali się rozmaitego zła: Kain zabił Abla, potem były kolejne problemy przed potopem, potem tuż przed samym potopem zepsucie było powszechne. Więc ludzie żyją coraz krócej. Jaki jest wniosek? Ten autor natchniony chce powiedzieć, że kiedy człowiek popełnia zło, kiedy człowiek grzeszy, to te występki obracają się również przeciwko długości ludzkiego życia. Grzesznik żyje krócej, człowiek dobry i sprawiedliwy żyje dłużej. Ci na początku byli sprawiedliwi, żyli zatem bardzo długo. Ci później byli zepsuci, zatem życie się im skracało. Mamy tutaj więc taką charakterystyczną tendencję pouczającą.

I taki jest sens tych liczb. Nikt do tej pory nie dał lepszej odpowiedzi niż ta, a tę przedstawioną powyżej, czyli symboliczne tłumaczenie długości życia, znajdujemy już w najstarszych pokładach tradycji żydowskiej, która usiłowała zmagać się z tym problemem. Bo nie my jesteśmy pierwsi, którzy te pytania stawiali. A skoro Biblia została napisana w tym świecie i w tym kontekście kulturowym, to możemy się słusznie domyślać, że ci, którzy do tego kontekstu kulturowego należą, najlepiej wiedzą, o co w tego rodzaju symbolicznych miejscach chodzi.

Ponieważ zacytowałem fragment Talmudu, biorę teraz pytanie dotyczące Talmudu.

2.6.2 Dlaczego Talmud nie jest przetłumaczony na język polski?

Otóż Talmud nie jest tłumaczony z wielu powodów. Talmud, jak wiemy, jest dziełem, które dla Żydów jest tym, czym dla chrześcijan jest Nowy Testament. Zatem dzisiejszy judaizm, dzisiejsze życie żydowskie jest nazywane *judaizmem rabinicznym,* bo najważniejsze zdanie mają w nim rabini, albo *judaizmem talmudycznym,* bo punktem wyjścia jest Talmud.

Tutaj ważne dopowiedzenie. Bardzo często jest tak, że chrześcijanie myślą sobie, iż jesteśmy ludźmi Nowego Testamentu, natomiast Żydzi to są ludzie Starego Testamentu. Nic bardziej błędnego! Żydzi pojmują bowiem Stary Testament przez pryzmat właśnie Talmudu. Zatem jeżeli Talmud mówi co innego, niż jest w Starym Testamencie — a mówi tak bardzo często — to idą za rozstrzygnięciami Talmudu.

Skoro Talmud jest tak bardzo ważny, dlaczego nie jest przetłumaczony na język polski? Otóż po pierwsze są fragmenty Talmudu, przełożone na język polski, ale tylko fragmenty. One są dość trudno dostępne, bo w naszych czasach były przetłumaczone na Uniwersytecie Warszawskim. I tłumaczeniem pewnych partii Talmudu, a dokładniej Miszny, która składa się na Talmud, zajmował się nieżyjący już profesor Witold Tyloch. Jego studenci, którzy studiowali język hebrajski, mieli za zadanie tłumaczyć pewne wybrane fragmenty. I te fragmenty zostały w rozmaitych naukowych czasopismach opublikowane.

Cały Talmud został przełożony na język angielski, język niemiecki i język francuski, natomiast na inne nowożytne języki — nie. Przede wszystkim dlatego, że jest to rzecz bardzo duża, ogromnie obszerna. Talmud liczy sobie około czterdzieści tomów. Zatem żeby przetłumaczyć tego rodzaju dzieło potrzeba zespołowego ogromnego wysiłku. Po drugie, jeżeli ktoś sięga do Talmudu, a jest Żydem, na ogół zna język, w jakim on jest napisany. Natomiast Żydzi niechętnie tłumaczą swoje dzieła na użytek tych, którzy Żydami nie są. Nie są również specjalnie zainteresowani tłumaczeniem Talmudu. Jest to bowiem lektura bardzo ciężka. A ciężka dlatego, że rozstrzyga rozmaite aspekty życia żydowskiego, mnóstwo rozmaitych drobiazgów, które dla człowieka, który nie należy do tej tradycji religijnej, mogą być nawet śmieszne, gorszące, dziwne itd. Są w Talmudzie również fragmenty, które w jawny sposób, albo w ukryty, domyślny, obracają się przeciwko chrześcijanom. Z tego też powodu bardzo niechętnie te fragmenty są tłumaczone.

Są to mniej więcej względy, dla których Talmudu po polsku nie ma i nie zanosi się, żeby w najbliższej przyszłości mógł być. Kiedy do wojny mieszkało w Polsce parę milionów Żydów, nie widzieli potrzeby tłumaczenia Talmudu. A dzisiaj z kolei nie ma potrzeby dlatego, że życie religijne judaistyczne za mocne nie jest, i konsekwentnie po dzień dzisiejszy sami Żydzi nie są zainteresowani tym wysiłkiem przetłumaczenia Talmudu. A chrześcijanie nie są w stanie tego dokonać.

Posuńmy się nieco dalej. Te pytania teraz są bardzo trudne, są na wyższym szczeblu niż czytanie tylko Biblii, mianowicie dotyczą problemów filozoficznych. Proszę posłuchajmy pytania, bo jeżeli pytanie jest trudne, to jakże trudna musi być odpowiedź.

2.6.3 Problem z nowym życiem

Czy przy przekazywaniu życia przez rodziców, przekazują oni tylko życie w zakresie ożywionej materii, zaś duszę indywidualnie stwarza każdorazowo Pan Bóg? Czy też rodzice z przekazaniem życia materialnego przekazują również życie duchowe wspólnie, matka i ojciec?

To jest początek pytania. Bo z tego pytania płynie pewna ważna filozoficzna konsekwencja. Rodzi się mianowicie taka wątpliwość.Jeżeli dusza jest nowa, czyli stworzona przez Boga w nowym tworze, może lepiej w nowej istocie, ożywionej materii, a nie pochodzi od duszy rodziców, to chyba nie powinna mieć win tych ostatnich. Przecież Pan Bóg nie stwarza nowej duszy już obarczonej grzechem. Przekazanie dzieciom grzeszności rodziców może być dokonywane poprzez przekaz materialny, np. genetycznie, albo duchowy, np. wychowanie.

Pytanie jest, jak państwo widzą — nie na darmo ostrzegałem, niełatwe. Ale to pytanie ma pewną przesłankę, pewne założenie. Mianowicie to założenie brzmi tak: Człowiek składa się z dwóch elementów, ciała i duszy. Te dwa elementy są w zasadzie odmienne kompletnie od siebie, ciało jest czymś materialnym, dusza jest czymś absolutnie duchowym. Inaczej tego się nie da powiedzieć po polsku. Skoro tak, to pytanie brzmi:

Co stwarza Pan Bóg, a co dają rodzice?

Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że od rodziców otrzymujemy ciało. Natomiast Pan Bóg daje nam duszę. Jeżeli Pan Bóg daje nam duszę — mówi autor pytania — to jak przechodzi sprawa grzechu pierworodnego, bo przecież grzech pierworodny nie może być związany z ciałem, tylko musi być związany z duszą? To czyżby Pan Bóg, który daje nam duszę, był jednocześnie pośrednikiem przekazywania grzechu? Tak być nie może, bo Bóg jest bezgrzeszny. I w ten sposób, jak sądzę, sam autor udziela poniekąd odpowiedzi na swoje trudne pytanie. Otóż, ten filozoficzny podział na ciało i duszę — bo tu tylko próbujemy racjonalizować rzeczy, które są strasznie trudne — ten filozoficzny podział na ciało i duszę, chociaż myśmy do niego bardzo przywykli i chociaż znamy go doskonale, jest stosunkowo nowy. Mianowicie on na dobre utrwalił się w czasach średniowiecznych w filozofii św. Tomasza z Akwinu. To św. Tomasz przeprowadził takie rozróżnienie: ciało i dusza. Bo św. Tomasz był filozofem, który czerpał swoje natchnienie z dawnej filozoficznej myśli greckiej, zwłaszcza Arystotelesa.

Ale w Piśmie Św. nie ma rozróżnienia między ciało i duszę, w Piśmie Św. nie ma takiego podziału. To jest bardzo ciekawa i osobliwa sprawa. Z tym mają kłopot komentatorzy i zwłaszcza tłumacze Pisma Św. W Piśmie Św. zawsze mówi się: *człowiek.* W ten sposób Pismo Św. wskazuje na osobową głęboką jedność każdego człowieka. I my też rozumiemy, że nie może być duszy bez ciała, i że również ciało bez duszy jest czymś absolutnie martwym. Tzn. nasze ciało nie jest, jak kiedyś uczył Platon w czasach przedchrześcijańskich, więzieniem duszy, lecz jest warunkiem tego duchowego pierwiastka w człowieku.

Zatem co stwarza Pan Bóg, a co dają nam rodzice? Tu pytanie jest wysoce filozoficzne i wysoce trudne. I jeżeli chcemy szukać jakiejś odpowiedzi na tak trudne pytania, to można by powiedzieć najkrócej, że rodzice są narzędziami tej stwórczej mocy Boga. Otrzymujemy, jeżeli tak można powiedzieć, wszystko od rodziców, i wszystko od Boga. Te dwie moce nie wykluczają się nawzajem. Bo rodzice, którzy dają nam życie, *ciało i duszę* według tego naszego obiegowego sposobu myślenia, ale lepiej powiedzieć *życie,* dają je nam dlatego, że to sam Pan Bóg jest dawcą tego życia. I poza to, jak mi się wydaje, nie możemy specjalnie wyjść. Tzn. nie możemy posunąć się dalej, jesteśmy tutaj na progu naszej wiary, na progu naszych możliwości. Bo najtrudniej jest wytłumaczyć to, co najgłębiej nas dotyczy.

Co więc z grzechem pierworodnym? Sprawa jest równie trudna. Otóż grzech pierworodny oznacza jakąś fundamentalną słabość w człowieku, która jest niczym innym, jak podatnością na zło. Grzech pierworodny oznacza, że wybierając możemy wybrać zło, i co więcej, skłaniamy się do tego wyboru. Proszę zauważyć, że grzech pierworodny jest ceną ludzkiej wolności. Że grzech wdarł się na świat wtedy, kiedy człowiek był niewinny. Czy Pan Bóg mógłby uchronić człowieka przed grzechem pierworodnym? Mógłby — gdyby zabrał mu wolność! To znaczy, gdyby go zaprogramował tak, jak dzisiaj programuje się komputery. Programuje się komputer z takimi funkcjami, które chcemy potem za jego pomocą osiągnąć. Gdyby Bóg chciał ocalić, jeżeli tak można powiedzieć, człowieka od grzechu, musiałby go ubezwłasnowolnić. Więc ta cena wolności jest jednocześnie ceną miłości Bożej, który stworzył człowieka takiego, jaki człowiek jest. I konsekwentnie tą drogą przekazywania grzechu jest ta możliwość wolności, ten wybór wolności, to pole wolności, jakie każdy z nas ma. Grzech nie oznacza równej odpowiedzialności. To nie jest tak, że na skutek grzechu, chociaż św. Paweł mówi w ten sposób, że wszyscy podlegamy karze Bożej, ale to nie znaczy, że jeżeli człowiek nie dokona żadnego indywidualnego wyboru zła, jeżeli nie popełni czegoś złego, to też będzie przez

Boga potępiony jak ktoś, kto się zła dopuszcza.

Tutaj wchodzimy w bardzo trudne kwestie, jak choćby dotyczące tego, jaki jest los ludzi nie ochrzczonych. Przykładamy wielką wagę do tego, aby chrzcić dzieci, ponieważ chrzest gładzi grzech pierworodny. Ale co z tymi, którzy nigdy w życiu nie mieli możliwości ani szansy na chrzest,ani nigdy w ogóle nie zdawali sobie sprawę z tego, że chrzest w ogóle istnieje?

Tak dochodzimy do czegoś, o czym już kiedyś żeśmy mówili. Mianowicie, że fundamentem Bożej miłości do każdego człowieka jest dzieło zbawienia, którego Pan Bóg dokonał w Jezusie Chrystusie, w Jego krzyżu i Zmartwychwstaniu. Ale jeszcze bardziej fundamentalne jest *dzieło stworzenia.* To dzięki stworzeniu każdy człowiek jest jednocześnie dzieckiem Bożym. Tak dzięki stworzeniu każdy człowiek jest bliski i miły Bogu. I chociaż nosi w sobie ów potencjał zepsucia, i chociaż nosi w sobie również możliwości wyboru, a więc i wybrania zła, to jednak Bóg każdego człowieka miłuje, każdego człowieka pragnie, każdego człowieka chce zbawić, i mieć go dla siebie. Zatem potężniejsza niż grzech, niż śmierć, jest Boża miłość i Boże miłosierdzie. I właśnie takie jest przesłanie Pisma Św. I co do tego nie ma wątpliwości. „Tam gdzie jest grzech" — napisał św. Paweł — „jeszcze silniej rozlała się łaska". Konsekwentnie tym, na co mamy nadzieję, jest właśnie łaska Boża, która jest silniejsza od grzechu. A więc i ten grzech pierworodny, przekazywany z ojca na syna, przekazywany z jednego pokolenia na drugie, jest też słabszy niż owa łaska, która się rozlała w człowieku i w ludzkości.

Pytanie drugie z tej samej serii pytań brzmi tak.

2.6.4 Problem z relacją o stworzeniu człowieka

Z wersji odnośnie do relacji o stworzeniu człowieka, jahwistyczna i kapłańska — to znamy, i to jest również w komentarzu do Biblii Tysiąclecia — w orzeczeniu Komisji Biblijnej (chodzi o Papieską Komisję Biblijną z 1909 r.) uprzywilejowuje się wersję jahwistyczną i wskazuje się, że do prawd naszej wiary należy uznawanie, że: utworzenie pierwszej kobiety z pierwszego mężczyzny. Zapis w wersji kapłańskiej jest bardziej dojrzały teologicznie, nie daje podstawy do takiego stanowczego stwierdzenia i umożliwia interpretację uczynienia ludźmi jednej pary na raz.

O co chodzi? Autor naszego pytania powiada tak. Skoro są dwa opowiadania o stworzeniu, i skoro kiedyś Kościół odnosił się do obydwu opowiadań o stworzeniu, to dlaczego eksponować jedno, w którym mówi się, że kobieta została stworzona, uczyniona, zbudowana z pierwszego mężczyzny? Czy nie lepiej jest przyjąć, że kobieta i mężczyzna zostali stworzeni razem? I domyślnie — może byłoby lepiej tak przyjąć, ale niegdyś Papieska Komisja Biblijna dała jednak pierwszeństwo temu opowiadaniu bardziej obrazowemu.

Tak wracamy do dziejów biblistyki, czyli tej dyscypliny zajmującej się tłumaczeniem i komentowaniem Pisma Świętego, i musimy tutaj króciutko nawiązać do tego, co się działo sto lat temu. Otóż sto lat temu był czas, kiedy rozwijały się nauki przyrodnicze, i przede wszystkim pojawiła się i okrzepła teoria ewolucji. Ludzie, którzy wcześniej bardzo fundamentalistycznie pojmowali Pismo Święte, również wierzący, nie bardzo dawali sobie radę z pogodzeniem teorii ewolucji z opowiadaniami o stworzeniu świata. Przy tym nie mówiono „opowiadania o stworzeniu świata", tylko „opisy stworzenia świata" tak, jak gdyby to był rzeczywiście materialny opis tego, co się stało. I to właśnie wtedy została powołana Papieska Komisja Biblijna. Czas był bardzo trudny. Trudny dlatego, że pojawiły się tendencje, również takie rozłamowe w Kościele. Te tendencje nosiły nazwę *modernizmu*. I Papieska Komisja Biblijna zabrała głos i powiedziała: wszystko trzeba pojmować dosłownie. Skoro jest napisane, że Ewa została uczyniona, zbudowana z żebra Adama, należy to pojmować dosłownie — i dajmy sobie spokój z teorią ewolucji.

Otóż to rozstrzygnięcie Papieskiej Komisji Biblijnej odkrywa nie tylko drogi, ale również bezdroża myślenia o Piśmie Świętym. Bardzo szybko odstąpiono od tego rozstrzygnięcia, bo było to orzeczenie tylko pomocne, co pokazuje nam że tłumaczenie Pisma Św., nawet w samym Kościele, jest zadaniem niezwykle trudnym, niezwykle złożonym. I dodać do tego trzeba, że ostatni kościelny dokument, który ukazał się na ten temat, został wydany siedem lat temu. Jest to dokument znów Papieskiej Komisji Biblijnej z 1993 roku „Interpretacja Biblii w Kościele". Ten dokument został przełożony na język polski, ale nie doradzałbym państwu lektury, przynajmniej globalnie wszyst-

kim, gdyż jest to dokument bardzo trudny. Natomiast pana, który postawił te pytania, zachęcam do lektury tego dokumentu, który jest wydany po polsku i przetłumaczony aż dwa razy. Bo raz przetłumaczył go ks. biskup Kazimierz Romaniuk, a drugi raz przetłumaczył go i wydał ks. profesor Ryszard Rubinkiewicz z KUL-u.

Jeżeli chodzi o sedno tego pytania, pamiętać musimy to, na co wielokrotnie kładłem nacisk. Że są to opowiadania o stworzeniu świata i człowieka, opowiadania bardzo barwne, opowiadania symboliczne. Autora biblijnego przy stworzeniu nie było, on nie wiedział, jak to się dokonało. On próbuje na to odpowiedzieć w sposób taki bardzo obrazowy. I tam, gdzie jest mowa o tym, jak została stworzona Ewa, to widzimy coś, na co zwracałem już uwagę państwu, a teraz krótko powtórzę. Powiada ów autor biblijny, że kiedy Bóg miał świat jeszcze bezkształtny, chaos, kiedy nie było w tym świecie komu zająć się tym światem, uprawiać ten ogród, który Pan Bóg stworzył, to wtedy Bóg ulepił mężczyznę z prochu ziemi. Bóg jest tutaj porównany do garncarza. Jest to opowiadanie, które ma tło mezopotamskie. W Mezopotamii, na terenie dzisiejszego Iraku, jest sporo gliny. Ciągle tam się wyrabia po dzień dzisiejszy rozmaite naczynia i figury itd. Bóg jest porównany do garncarza. Ulepił mężczyznę, tchnął w jego nozdrza tchnienie życia i mężczyzna ożył.

Zauważmy, że jest to obraz, obraz — nie opis, tylko obraz. A więc oddziałuje to na wyobraźnię. I co się dzieje dalej? Bóg niejako wystawia mężczyznę na próbę. Mianowicie stwierdza najpierw, że niedobrze jest mężczyźnie być samemu. I mężczyzna się na to nie odzywa ani słowem. I Bóg poddaje go pewnej próbie. Przeprowadza przed nim rozmaite istoty żywe, a mężczyzna je nazywa — nadaje im różne nazwy. Przez to nadawanie nazw uświadamia sobie, kim jest. I jednocześnie uświadamia sobie, że różni się od tych wszystkich istot. W ten obrazowy sposób autor podkreśla, że człowiek jest kimś zasadniczo innym, niż pozostałe istoty. I ten opis kończy się taką konkluzją: „Ale właściwej, czy też dobrej, pomocy dla siebie nie znalazł". I widać jest swoiste rozczarowanie, widać jest dystans pomiędzy światem i pomiędzy człowiekiem.

I wtedy pojawia się obraz drugi. Mianowicie Bóg pogrąża tego mężczyznę we śnie. Zauważmy, że tutaj Pan Bóg staje się anestezjologiem. To też jest obraz. W starożytności znano sposoby usypiania, przeprowadzano operacje. W VII wieku przed Chrystusem, znamy to z odkryć w Lakisz, to jest niedaleko Jerozolimy, przeprowadzano bardzo skomplikowaną operację trepanacji czaszki. Oczywiście można to było tylko robić w głębokiej narkozie. Zatem znano sposoby usypiania ludzi. Bóg jest podobny do anestezjologa, porównany do anestezjologa. Usypia mężczyznę, i z żebra Adama — dosłownie jest po hebrajsku powiedziane: „buduje kobietę". Zwracaliśmy uwagę na to już kiedyś, a dziś przypominam, że kiedy Bóg zabierał się za stworzenie mężczyzny, to go ulepił z gliny. Natomiast kiedy stwarza kobietę, to ją zbudował z żebra. Zatem w stworzenie kobiety Bóg wkłada więcej inwencji, niż w stworzenie mężczyzny. W ten obrazowy sposób autor chce powiedzieć, że ciało kobiety jest inne — piękniejsze, bardziej złożone, bo Pan Bóg włożył w nie więcej wysiłku, niż w ciało mężczyzny. I chce powiedzieć, że kobieta została wzięta z ciała mężczyzny, a więc że ona jest równa pod każdym względem mężczyźnie.

Popatrzmy, że tutaj mamy drugi obraz: Boga jako chirurga. I kiedy Bóg wreszcie dokończył swojego dzieła, budzi Adama ze snu. I okazuje się, że eksperyment się skończył. Bo Adam woła: „Ta dopiero jest kością z moich kości, i ciałem z mojego ciała". Znajduje swoje dopełnienie. Proszę zwrócić uwagę, że to piękne opowiadanie ukazuje nam ogromnie ważne prawdy: prawdę o równości płci, prawdę o stworzeniu mężczyzny i kobiety, prawdę o tym, że jedno potrzebuje drugiego, itd. Również mamy tutaj zaraz potem dopowiedzenie, że „opuści mężczyzna ojca i matkę i połączy się ze swoją żoną, i będą odtąd dwoje jednym ciałem". Z tego wniosek, że powinność małżeństwa, czy też instytucja małżeństwa, wynika z dzieła stworzenia. Że ta niezwykła wola łączenia się mężczyzny i kobiety, pociąg, który czują ku sobie, wynika ze stworzenia. Proszę zatem popatrzmy, że w odpowiedzi na to pytanie trzeba się strzec myślenia na zasadzie „albo — albo", albo pierwsze opowiadanie — albo drugie opowiadanie. Gdyby było albo-albo, to już autorzy natchnieni by wyrzucili jedno z tych opowiadań. Natomiast mamy i jedno, i drugie. A skoro tak, to nie należy tych opowiadań brać dosłownie, lecz należy widzieć w nich symboliczne wyrażenie prawdy o stworzeniu świata i człowieka.

2.6.5 Problem z grzechem pierworodnym

Jakie są obecnie poglądy teologów w sprawie teorii monogenizmu i dogmatu o grzechu pierworodnym? Jan Paweł II uznał możliwość przyjęcia teorii ewolucji. Dlaczego, encyklika „Humani generis" papieża Piusa IX z 1950 r. wskazuje, że grzech pierworodny jest grzechem Adama a pierwszych rodziców Adama i Ewy?

Tutaj na końcu nie mogę dokładnie zrozumieć. Bardzo krótko. Kościół miał sporo kłopotów z teorią ewolucji. Można się temu dziwić, bądź nie. Te kłopoty brały się stąd, że sam Darwin czyli ten, który tę teorię wypracował, był bardzo ostrożny, i był człowiekiem wierzącym. Natomiast tak się zbiegło w czasie, że teoria ewolucji była bardzo silnie wykorzystywana przez marksistów, a później przez komunistów. Mówiono mniej więcej tak: „Skoro człowiek jest efektem pewnej ewolucji, to na pewno nie pochodzi od Boga. To nie jest stworzeniem Bożym" . Więc mówiono „albo-albo". I wtedy Kościół, reagując bardzo gwałtownie, a zwłaszcza teologowie katoliccy, mówili, że jeżeli „albo-albo", to opowiadamy się za wiarą, za stworzeniem, a nie za teorią ewolucji. Po dzień dzisiejszy mówimy *teoria ewolucji* a nie *pewnik ewolucji* dlatego, że pozostaje to ciągle teorią. Od mniej więcej 30 - 40 lat sposób postrzegania tych rzeczy się zmienił. Znów nie patrzy się na zasadzie „albo-albo" tylko patrzy się na zasadzie „i-i".

To znaczy nauki przyrodnicze przemawiają na korzyść teorii ewolucji. Ona ma dwa słabe punkty. Jeden — to jest moment, w którym zaistniało życie. Życie, czyli materia ożywiona, jest czymś absolutnie, diametralnie, jakościowo odmiennym od materii nieożywionej. Tzn. rzecz nieco upraszczając można powiedzieć tak. Ktoś, kto przyjmuje teorię ewolucji z tym momentem przejścia do życia, jest jak ktoś, kto by położył kamień i czekał, aż po jakiś niezwykłych przeobrażeniach ten kamień ożyje. Albo z tego kamienia wyłoni się życie, samo z niego. Otóż pojawienie się życia jest czymś, co teorii ewolucji absolutnie umyka. Nawet wczoraj jadąc słuchałem bardzo ciekawej audycji, w której nasz pierwszy i jedyny do tej pory kosmonauta, pan Mirosław Hermaszewski, mówił o swoich wrażeniach z kosmosu. I rozmawiający z nim pytali co czuje itd. A następnie zaczęto opowiadać, że wysyła się dzisiaj sondy już daleko poza Księżyc, np. na Marsa czy na Jowisza. Te sondy podróżują tam wiele lat. Odkryto bowiem, że jest tam woda. Jeżeli jest woda, to może być życie. Zauważmy, że życie związane jest właśnie z wodą. Ale sama woda nie oznacza przecież życia.

Więc to jest jeden słaby punkt teorii ewolucji. A drugi — to jest przejście od zwierząt do człowieka. Mianowicie ta jakość ludzkiego życia, ludzkiego umysłu, potencjał związany z ludzką duchowością jest zasadniczo inny niż to, co dzieje się ze zwierzętami. To już nie tylko kwestia budowy mózgu, nie tylko kwestia wzrostu — są bowiem mali ludzie, dużo mniejsi niż zwierzęta. Więc to nie jest kwestia np. wielkości. I w związku z tym teoria ewolucji natrafia na ten problem, na to pytanie, które jest zasadnicze i niesłychanie trudne. Mianowicie: kiedy dokonało się, i w jaki sposób dokonało się przejście od tej formy życia zwierzęcego, do życia ludzkiego. I sądzę na swój własny użytek, bo tutaj każdy z nas może się dzielić tylko swoją wiarą i wiedzą, że te dwa punkty — mianowicie zaistnienie życia i zaistnienie życia ludzkiego — to są punkty, w których teoria ewolucji nigdy sobie nie poradzi. Tu jest właśnie miejsce dla Boga. A czym Pan Bóg się posłużył, jak Pan Bóg to życie rozwijał, jak je prowadził, jak nim kierował — to już jest sprawa dla nauk przyrodniczych. Ale tu jest właśnie oparcie dla wiary religijnej. Tam, gdzie nauka nie może sobie dać rady, tam istnieje pole dla wiary. Można by powiedzieć, że sam ten potencjał ewolucji to jest właśnie dynamizm, siła, którą kieruje Pan Bóg. A więc że sama ewolucja, sam jej kierunek, to, że ona nie jest ślepa tylko, jeżeli to jest prawda, ma określone ukierunkowanie — to jest właśnie dzieło Boże. I w takim kierunku idzie dzisiaj Kościół. Jan Paweł II podczas swojego pontyfikatu co roku zwołuje posiedzenia uczonych należących do Papieskiej Akademii Nauk. Takie posiedzenia odbywają się w Castell Gandolfo. Również z Polski podróżują tam uczeni. I kilka z tych posiedzeń było poświęconych właśnie teorii ewolucji i problemowi stworzenia. Ukazały się one nawet drukiem, ale sami rozumiemy, że są to sprawy bardzo trudne, a więc niskonakładowe.

Następne pytanie będzie łatwiejsze.

2.6.6 Rola Ewy i Adama w grzechu pierworodnym

Czy można teologicznie wnioskować, że grzech pierworodny przyszedł tylko przez Ewę? Adam nie był kuszony przez diabła. Czyżby niewiasta była bardziej podatna na pokusy

szatana?

To nie jest tylko tak, że Ewa była kuszona. Ten motyw wraca bez przerwy, „To nie ja byłam Ewą" śpiewa któraś z naszych piosenkarek dodając do tego stereotypu swoje własne dwa grosze, i ściągając na Ewę winę za cały grzech. Pamiętajmy, że cały czas podkreśla się w biblijnym opowiadaniu, że wąż rozmawia z Ewą, ale świadkiem tej rozmowy jest Adam. A następnie, kiedy już dochodzi do tego obrazowego grzechu, to Adam też skosztował z tego właśnie owocu. I dopiero wtedy otworzyły się im oczy. Nawet autor biblijny próbuje Ewę odciążyć, bo mówi, że to Adam otrzymał pierwsze przykazanie, a nie ona! Zatem on miał większą świadomość. Jego udział natomiast polegał na tym, że on, mówiąc naszym obiegowym językiem, niejako „wpuścił kobietę w kanał" tej rozmowy z szatanem, a sam się usunął. Jedyne, z czym tutaj możemy mieć do czynienia, to być może delikatna aluzja, że kobiety są zbyt gadatliwe. I że gadatliwość czasami nie popłaca. Proszę zwrócić uwagę, że on milczy, natomiast ona rozmawia. Wiele lat temu żeśmy analizowali ten fragment, on jest bardzo ciekawy psychologicznie, bo on ukazuje anatomię kłamstwa i anatomię propagandy. Ale odpowiedzialność za to, co tam się stało, w jednakowej mierze spoczywa na obojgu. Zatem nie można kategorycznie wnioskować, że grzech pierworodny przyszedł tylko przez Ewę. Trzeba kategorycznie wnioskować, że oboje rodzice, czy też prarodzice ludzkości, mieli w tym skażeniu swój udział.

Posłuchajmy jeszcze jedno.

2.6.7 Czy zamiarem Pana Boga w raju była nieśmiertelność ludzi?

Na to pytanie znam odpowiedź: *nie wiem!* I nikt tego nie wie. Po prostu, gdyby pojmować nieśmiertelność w sensie absolutnie długiego, nigdy nie kończącego się życia, taka oferta wydaje się dość ciekawa, ale my nie bardzo potrafimy powiedzieć, co ona by znaczyła. Dlaczego? Bo my jesteśmy w czasie! Osadzeni jesteśmy w doczesności. I my nie możemy mówić o wieczności naszym ludzkim językiem, jesteśmy absolutnie bezradni. Gdybym chciał użyć jakiegoś porównania, to mógłbym powiedzieć tak. To jest tak, jak gdyby dwóch, trzech pięciu niewidomych od urodzenia kłóciło się albo sprzeczało o to, czym różni się kolor zielony od błękitnego. Otóż tego się nie da opisać, jeżeli człowiek tego nie widział. Jeżeli chodzi o wieczność i nieśmiertelność, jesteśmy skazani na bezradność. Mianowicie jest to przedmiot naszej nadziei.

I to samo dotyczy również tej pierwszej sytuacji w ogrodzie Eden, czyli w raju. My nie możemy powiedzieć, czy zamiarem Boga w raju była absolutna nieśmiertelność. Wiemy, że śmierć wdarła się na skutek grzechu. Ale to jest taka śmierć, jaką my znamy. Czy Bóg zamierzył jakieś przemijanie w raju — nie wiemy. Bo przecież tam, gdzie jest czas, tam musi być przemijanie. W przeciwnym wypadku musielibyśmy zakładać, że Adam i Ewa przez całe życie wyglądaliby jednakowo, i przez całą wieczność wyglądaliby jednakowo. Natomiast gdzie mamy czas i przemijalność, tam musimy mieć również jakieś przejście. Zatem sądzę na swój własny użytek, a państwo mogą mieć swoje odpowiedzi, że skutkiem grzechu w raju była śmierć taka, jak my ją teraz znamy. Chociaż nikt z nas nie zna śmierci, ale jak my się jej boimy, lękamy, obawiamy. Otóż śmierć jest niewiadomą. Może ten człowiek w raju różnił się od nas tym, że on też przechodził przez tę bramę. Tylko, że wiedział, dokładnie wiedział co jest później. Natomiast my musimy wierzyć, co jest później. Może właśnie skutkiem grzechu jest odebranie tej pewności, odebranie tej wiedzy. Człowiek chciał stać się jak Bóg, i oto Bóg odebrał mu coś ze swojego własnego przymiotu, mianowicie wiedzę o wieczności. I skutek tego całe nasze życie staje się doczesnością. I skutek tego zbliżając się do śmierci tylko ludzie prawdziwie święci idą tam z oddaniem, i idą tam z przeświadczeniem, że przechodzą przez bramę. A przeciętny człowiek wchodzi tak, jak gdyby wchodził do tunelu. Może na tym polega ów skutek grzechu pierworodnego? A może gdzie indziej należy szukać odpowiedzi?

I ostatnie pytanie.

2.6.8 Najważniejsze wydarzenie Starego Testamentu

Kiedy ksiądz na poprzedniej konferencji zadał pytanie, co było najważniejszym wydarzeniem przed narodzinami Jezusa Chrystusa, cisnęła mi się na usta następująca odpowiedź. Najważniejszym był dla mnie fakt, że Abraham uwierzył w jedynego Bo-

ga, a jednocześnie uwierzył w mojego Boga. Natomiast wyjście z Egiptu było ważnym wydarzeniem dla Izraelitów. Bardzo proszę o ustosunkowanie się do mojej wypowiedzi.

To jest bardzo trafna i doskonała intuicja. Mianowicie, jak państwo pamiętają, myśmy poświęcili wiele uwagi temu, żeby podkreślić znaczenie wyjścia z Egiptu jako momentu, w którym zaistniał naród Izraela. Ta gromada niewolników stała się narodem. Podkreślaliśmy to bardzo mocno dlatego, żebyśmy mogli zrozumieć proces powstawania Pisma Świętego. Bo to ten naród wydał te księgi święte. Ale jeżeli państwo oglądali transmisję z pobytu Ojca Św. na Synaju, i z nabożeństwa Słowa Bożego nieopodal klasztoru Św. Katarzyny, to Jan Paweł II w nawiązaniu do Synaju, gdzie mowa była o Dziesięciu Przykazaniach, o Dekalogu, wcale nie podkreślał, nie eksponował tego, że tam się utworzył naród Izraela. Bo to jest poniekąd, z dzisiejszej perspektywy patrząc, perspektywa wewnątrz żydowska. Zatem wyjście z Egiptu jest wydarzeniem bardzo ważnym dla Żydów — dla Izraelitów, i dla dzisiejszych Żydów. Dla chrześcijan ważniejsze jednak jest to, co się dokonało w *tajemnicy,* jak nazywamy ją, *paschalnej* Jezusa Chrystusa. A zatem dla nas ważniejszy jest również fakt, że znacznie wcześniej Abraham uwierzył w jedynego Pana Boga, i że — jak zauważa słusznie słuchaczka, uczestniczka konferencji — że ten Bóg, w którego uwierzył Abraham, jest to jednocześnie nasz Bóg.

W postaci Abrahama, w osobie Abrahama, w tym powołaniu Abrahama, każdy z nas może rozpoznać siebie. Natomiast w wyjściu z Egiptu Izraelici, czy dzisiejsi Żydzi, mogą rozpoznać siebie. My — mniej. Mniej dlatego, ponieważ to wyjście nie ma dla nas znaczenia materialnego, dosłownego, historycznego, tylko co najwyżej symboliczne. Proszę zwrócić uwagę, że i w Nowym Testamencie, jeżeli państwo czytali Ewangelię, Dzieje Apostolskie, Listy Apostolskie, kładzie się bardzo mały nacisk na wyjście Izraelitów z Egiptu. Natomiast często wspomina się o Abrahamie. Nawet nazywa się go, św. Paweł wręcz nazywa, *ojcem wierzących.* Bo w tym doświadczeniu powołania i pójścia za głosem Boga każdy z nas rozpoznaje cząstkę swojego własnego losu, i swojego własnego doświadczenia. Otóż Abraham wytrwał tak, jak gdyby widział Niewidzialnego. I do tego jesteśmy wezwani my wszyscy. Do takiej właśnie wiary, która pokonuje tę barierę niewidzialności. Abraham był tutaj pierwszy. I jestem przekonany, że jeżeli szukamy jakiegoś starożytnego, biblijnego, starotestamentowego punktu odniesienia i zaczepienia, to z całą pewnością postać Abrahama jest nam bliższa, niż wyjście Izraelitów z niewoli egipskiej. Ale mimo wszystko trzeba je znać, i to właśnie ono nastręcza najwięcej kłopotów.

Przeczytałem dzisiaj państwu i starałem się, dość ułomnie, odnieść do tych trudności, które były związane z Księgą Rodzaju. Podczas następnego spotkania zaproponuję zmagania z Księgą Wyjścia. Jej bowiem dotyczą pytania, które tutaj mi zostały. I one dotyczą tego właśnie wyjścia Izraelitów z Egiptu. Czasami są to pytania bardzo szczegółowe, kiedy indziej problemowe. Dzisiejsze kilka pytań, które otrzymaliśmy, na temat stworzenia, duszy i ducha, ciała itd. dają nam poznać, że niektóre osoby wychodzą daleko poza Biblię i sięgają również do tych kwestii teologicznych tak, jak one są w różnych miejscach rozwijane. To też jest bardzo dobrze.

Na następnym spotkaniu postaram się te pytania omówić do końca. Następne spotkanie odbędzie się 10 IV, w drugi poniedziałek kwietnia, i na nie bardzo serdecznie zapraszam. Zachęcam jednocześnie dalej do żmudnego, cierpliwego czytania Biblii.

Natomiast jeżeli ktoś czyta i czegoś nie rozumie — to przypominam to, o czym mówiliśmy parę miesięcy temu, a mianowicie doświadczenie Romana Brandstaedtera. Mianowicie sprowadzili mu rodzice do domu nauczyciela. Nauczyciel każe mu czytać: raz, i drugi raz, i trzeci. Ten wrzeszczy, że on nie rozumie. Na co nauczyciel odpowiada: „Nie chodzi o to, żebyś rozumiał. Chodzi o to, żebyś pamiętał."

I coś podobnego jest z nami. Mianowicie fundamentem naszej tożsamości nie jest zrozumienie, lecz pamięć. Jest wiele rzeczy, których nie rozumiemy i rozumieć nie będziemy dlatego, że rozum jest tylko jednym z wyznaczników ludzkiego życia i ludzkiego losu. Poza tym mamy jeszcze wolę, uczucia, emocje.

2.7 Księga Jozuego — Izraelici z prześladowanych stają się prześladowcami (dn. 10 kwietnia 2000)

Dzisiaj przechodzimy do księgi, która jest z rozmaitych powodów bardzo trudna, a problemy, które porusza, są jeszcze trudniejsze. Dotyczą jednak naszego życia, każdy z nimi się zmaga, i dlatego postaramy się to podjąć i im sprostać. Otóż chodzi o Księgę Jozuego. Mam nadzieję, że państwo, ci którzy zadają sobie trud regularnego, systematycznego czytania Pisma Świętego, dobrnęli do czytania Księgi Jozuego. Jedni być może są przy końcu Pięcioksięgu, inni właśnie przy Księdze Jozuego albo nieco dalej. Otóż jeżeli tak jest, to dla jednych będzie to wstęp, wprowadzenie w tę problematykę. Dla innych być może rozwiązanie jakichś trudności, które z tym się wiążą. I myślę, że rzecz cała jest dość ciekawa.

Otóż na czym polega główny problem księgi Jozuego? Jest to 6. księga w Starym Testamencie, która następuje po księdze Powtórzonego Prawa, po tzw. Pięcioksięgu, po Torze. I zasadniczy problem polega na tym, że oto Izraelici z prześladowanych, z uciemiężonych, stają się prześladowcami. Stają się tymi, którzy ciemiężą. Role się odwracają. I czytelnik Biblii, kimkolwiek jest, chce być nadal po stronie Izraelitów — ale okazuje się, że ma z tym niejakie problemy. Proszę zwrócić uwagę, że ta sprawa odżyła także w naszych czasach. Niech państwo zwrócą uwagę, że do 1948 roku Żydzi nie mieli swojego państwa, byli wszędzie uciemiężeni, rozproszeni, bardzo często poniewierani, w czym także niestety i chrześcijanie jakiś udział mieli. Natomiast od pół wieku Żydzi nie są specjalnie tymi, którzy są na pozycji przegranej. Przeciwnie, są ludzie których Izraelczycy, czy w ogóle Żydzi, dość mocno ciemiężą, dają się nieźle we znaki — Palestyńczycy czy Arabowie. Zatem można by powiedzieć, że Księga Jozuego jest dzisiaj bardziej aktualna, niż kiedykolwiek przedtem. Mało tego, muszę państwu powiedzieć, że amerykańscy Żydzi opuszczają co najmniej na kilka lat swoje spokojne amerykańskie pielesze, biorą w rękę Księgę Jozuego, jadą do Izraela, i księga Jozuego jest dla nich podręcznikiem do podboju Ziemi Obiecanej. Zatem pełni funkcję świętej księgi zachęcającej do wojny, zachęcającej do gwałtu, zachęcającej do przemocy.

Jak na to popatrzeć z chrześcijańskiej perspektywy? Nie sądzę, żeby nam się udało dzisiaj podjąć wszystkie problemy, zwłaszcza te o charakterze politycznym, które skądinąd są najciekawsze. Trzeba wiedzieć choćby, na przykład, że podczas rozmaitych wojen z Arabami w latach 1948, 1967, 1973, na czołgach izraelskich pojawiały się cytaty z Księgi Jozuego albo z psalmów, Księgi Izajasza, i żołnierze z tym szli do przodu. Otóż jak ma do tego podchodzić chrześcijanin, jak ma na to patrzeć? A jak ma patrzeć na fakt, że przemoc i gwałt, o których mowa jest na kartach w Księgi Jozuego, są rzeczywistością, do której powinniśmy się odnieść.

Tutaj dotykamy bardzo trudnej sprawy. Nie łudźmy się, że na trudne pytania można uzyskać łatwe odpowiedzi, bo tak nie jest. Otóż na trudne pytania trzeba uzyskiwać cierpliwe odpowiedzi, i przynajmniej częściowe odpowiedzi. Bo trudne pytania mają to do siebie, że gdyby komuś udało się je rozwiązać, to automatycznie przestałyby być trudne, i nikt by ich tak nie przedstawiał.

Na czym polega główna trudność? Główna trudność z Księgą Jozuego polega nie na tym, że Izraelici wchodzą do Ziemi Obiecanej i przetrzebili Kaananejczyków, bo z tym możemy się jakoś pogodzić. My doskonale wiemy, że podobnych sytuacji jest w świecie mnóstwo, o czym za chwilę. Główny problem, problem teologiczny czy też problem religijny, polega na tym, że te zachęty do pokonywania Kaananejczyków, do przetrzebiania Kaananejczyków, do podboju Kaananu, pochodzą z ust samego Boga. Tu jest problem! Mianowicie jak to się dzieje, pytają chrześcijanie — zwłaszcza ci, którzy mają spokojne dusze i sumienia, którzy mają pacyfistyczne nastawienia. Tu proszę zwrócić uwagę, że w Izraelu pacyfistów nie ma. Ale ci wszyscy, którzy mają tego rodzaju usposobienie, myślą sobie: jak to jest? A więc Pan Bóg zachęca do przemocy? Pan Bóg zachęca do wytępienia Kaananejczyków? Pan Bóg wspomaga Izraelitów w walkach z nimi? I tak zaczynają się problemy, które są trudniejsze, niż cokolwiek, z czym mamy do czynienia na kartach Starego Testamentu.

Odpowiadając na te pytania trzeba koniecznie zrobić pewien ogólniejszy rys, który ma charakter światopoglądowo-filozoficzny. Otóż zwróćmy uwagę że zło, które istnieje w świecie, przemoc i gwałt, z którym mamy i możemy mieć do czynienia, mają, upraszczając rzeczy bardzo, podwójny charakter, mają podwójny wymiar i podwójne odniesienie. Mianowicie jest takie zło, jest taka przemoc,

które jest wynikiem ludzkich decyzji. To dlatego, że ktoś decyduje się, czyli podejmuje decyzję albo po prostu chce, i jest zły, i uderza kogoś niewinnego — to tamten staje się kaleką bądź ginie. To dlatego, że ktoś wypił alkohol i prowadził zbyt szybko samochód, zabija jakieś dziecko po drodze, które jest zupełnie niewinne. W sposób oczywisty istnieje zło, istnieją nieszczęścia, istnieją klęski, istnieje gwałt zasłużony przez samych ludzi, tzn. nieomal chciany przez samych ludzi. Bo przecież zabójca czy morderca, który napada na kogoś żeby odebrać mu np.jakąś kwotę, przyjmuje również czy dopuszcza to, że może tego człowieka zabić. Proszę zwróćmy uwagę, że gdy słyszymy to, że jest takie zło, które jest chciane, zamierzone bądź wykonywane przez samych ludzi, to myślimy sobie „Ot, człowiek jest taki". Ale i z tym też jest pewien problem. Mianowicie zdarza się takie zło, które bezpośrednio nas dotyka, kiedy ktoś bliski cierpi z powodu cudzego zła. I wtedy zadajemy sobie pytanie: „Panie Boże, a nie mogłeś powstrzymać ręki tego łobuza? A nie mogłeś go powstrzymać przed takim właśnie działaniem?" I tu się zaczyna problem, problem teologiczny że wtedy, gdy myślimy o nieszczęściach, które spadają na innych, to potrafimy je sobie wytłumaczyć. Natomiast kiedy to nieszczęście czy zło nas dotyczy, to natychmiast mieszamy w to Pana Boga i chcielibyśmy, żeby Pan Bóg uchylał nawet prawa przyrody czy prawa natury, albo odebrał złym ludziom wolną wolę i zaprogramował ich tak, jak się programuje komputer, niezdolny — jak mi się wydaje — do popełnienia zabójstwa, chyba że się go tak właśnie zaprogramuje, że może uruchomić np. gilotynę.

Otóż tu jest jeszcze jeden szczegół, niesłychanie ważny. Mianowicie kiedy to zło, zawinione przez ludzi, przybiera masowe rozmiary, np. w okresie wojny, albo w okresie wielkich konfliktów, albo wtedy, kiedy mamy do czynienia ze ścieraniem się różnych, przeciwnych sobie wspólnot, albo wręcz z wyniszczaniem, z eksterminacją albo z ludobójstwem, to wtedy mówimy: „A gdzie tu jest Bóg?" I takie pytania pojawiają się np. w odniesieniu do Auschwitz, w odniesieniu do Treblinki, w odniesieniu do Majdanka. Pytają ludzie, „Nie ma Boga" mówią. „Bo tam Go nie było. Bo przecież nie powstrzymał ręki tych łobuzów, tych zabójców, tych morderców, tych katów. Cierpiały dzieci, cierpiały kobiety. Gdzie był Bóg w Katyniu?" Teraz mamy 60 lat od morderstwa katyńskiego, i przez cały czas panowało kłamstwo katyńskie. „Więc gdzie był Bóg w Katyniu, kiedy z samego rana rozstrzeliwano tych biednych oficerów? Czy nie mógł zrobić coś z ich prześladowcami?"

Tutaj musimy sobie odpowiedzieć, chociaż ta odpowiedź brzmi dziwnie — że Bóg jest bezsilny czasami wobec człowieka. To jest cena ludzkiej wolności. Jeżeli człowiek wybrał to, żeby być złym, to Bóg musiałby go albo unicestwić albo odebrać mu wolną wolę. Jeżeli odebrałby mu wolną wolę, to oczywiście uderzyłby w same podstawy godności człowieka. I proszę zwrócić uwagę, że kiedy pytamy o to, gdzie był Bóg w Auschwitz, czy dlaczego Bóg nie interweniował, to przed tym pytaniem należy postawić inne, mianowicie; „Co stało się z człowiekiem, że się takich okropności dopuszczał?" I dopiero po tym pytaniu możemy postawić pytanie: „A gdzie był Bóg?" I odpowiedź brzmi: „Bóg był w komorach gazowych. Bóg był tam, gdzie byli bici i prześladowani. Bóg był tam, gdzie byli ci nieszczęśnicy, których to dotykało. Bóg był tam z tymi oficerami w Katyniu, którzy wpadali do przygotowanych dołów po strzale w tył głowy." Tam był Bóg! A więc Bóg został rozstrzelany, Bóg został zagazowany, i w ten sposób chrześcijanin dochodzi do tajemnicy krzyża. Tak jak na krzyżu Syn Boży cierpiał i umarł, tak Bóg umiera wiele razy tam, gdzie jest ludzkie nieszczęście, ludzka krzywda i gdzie zwycięża ludzka podłość. I to jest odpowiedź najbardziej chrześcijańska. I z tej odpowiedzi zrezygnować nie można. Nie jest to odpowiedź, którą myśmy wymyślili albo którą ja wymyśliłem. Ta odpowiedź jest na kartach Pisma Świętego. Bo jak o tym wspominaliśmy kiedyś, Kain zabił Abla, ale Bóg był po stronie Abla; Ezaw prześladował Jakuba, ale Bóg był po stronie Jakuba; Egipcjanie prześladowali Józefa, ale Bóg był po stronie Józefa; ci sami Egipcjanie prześladowali Mojżesza, ale Bóg był po stronie Mojżesza. I tak możemy to kontynuować. Pokolenie Żydów współczesne Jezusowi i Rzymianie prześladowało Jezusa, ale Bóg był po stronie Jezusa. Dzisiaj ktoś, kto jest silniejszy, prześladuje słabszego, ale Bóg jest po stronie słabszego. Gdzie jest Bóg? Tam, gdzie jest ludzka krzywda. „Byłem głodny, byłem spragniony, byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie. Kiedy Cię takim widzieliśmy? Wtedy, gdy wspomagaliście tego drugiego człowieka".

To, myślę, jesteśmy gotowi racjonalnie zaakceptować. Natomiast jeżeli ktoś z nas ociera się o tajemnicę krzyża, ta odpowiedź o współcierpiącym Bogu, o Bogu obecnym w życiu cierpiącego człowieka, jest niesłychanie pocieszająca, podnosi na duchu — nigdy nie cierpimy sami. To jest pierwszy aspekt — mianowicie cierpienie, które przychodzi w sposób zasłużony albo chciany przez

ludzi. I Bóg nie może tego cierpienia unicestwić, Bóg nie może go wyrzucić ani zapobiec mu dlatego, że taka jest cena ludzkiej wolności. Skoro człowiek jest wolny, to może wybierać między dobrem — ale niestety może wybierać również zło i może za tym złem pójść. Gdyby Pan Bóg odebrał nam możność czynienia zła, wtedy musiałby stworzyć nas jako aniołów. Ale na to każdy z nas musi jeszcze trochę poczekać.

Istnieje jednak w świecie zło inne, i nad tym drugim zastanawiamy się rzadziej. Użyję paru przykładów. Żeby zrobić ołówek, to trzeba ściąć drzewo. To drzewo żyje. Niektórzy leśnicy mówią — sam kiedyś słyszałem, pewnie jest w tym sporo wyobraźni, ale ta wyobraźnia nie bierze się znikąd — że kiedy gajowy czy leśniczy chodzi po lesie i wyznacza drzewa, które mają być ścięte, to te drzewa, chociaż się ich nie ścina od razu, stają się jakby smutne. Może to tylko wyobraźnia tego człowieka mu to podsuwa. Chociaż jeden z gajowych, z którym rozmawiałem bardzo dawno temu, mówił, że kiedy wyznacza młode drzewa do ścięcia, np. choinki które wyznaczał całymi kwaterami w lesie, to miał wrażenie, że one przestawały rosnąć. Może to tylko jego wyobraźnia, a może rzeczywiście w naturze, ożywionej tylko na tyle, w jakim stopniu może być drzewo ożywione, istnieje jakieś tajemnicze, zupełnie nam nieznane przeczucie krzywdy i przeczucie śmierci.

To z drzewami zostawmy fantazji. Proszę zauważyć, żebyśmy mogli jeść chleb musimy ściąć zboże. Proces koszenia zboża czy trawy, która jest żywa, to też jest proces skazywania jej na śmierć. Oczywiście tej trawy nie boli to tak, jak boli człowieka, ale jest to jakieś obumieranie. I myślę, że każdy z państwa np. jeżeli ścina kwiat, zdaje sobie sprawę z tego, że oto przyspiesza coś. Chcemy się nacieszyć kwiatem, mieć do w domu w doniczce czy w jakimś naczyniu. Ale z drugiej strony musimy zdać sobie sprawę z tego, że w ten sposób przyspieszamy jego koniec. Jest to jakieś cierpienie, z którym nie każdy z nas może się pogodzić. A wznosząc to na inny poziom, bardziej dla nas widoczny, proszę zauważyć, że kot, żeby mógł być syty, zwłaszcza jeżeli nie zadbamy o niego w mieście, musi złapać mysz. Bawienie się kota myszą przysparza jej cierpienie. Lew czy pantera, żeby mogły się najeść, muszą złapać owcę, muszą ją schwytać i rozszarpać. Czasami na rozmaitych kanałach telewizyjnych pokazywana jest część tego, co się dzieje w świecie. Nie możemy na to patrzeć. Po czyjej stronie wtedy jesteśmy: jagnięcia czy lwa? Rozmaicie to bywa. Filmowiec chce pokazać nam siłę lwa. Ale my automatycznie współcierpimy z tym jagnięciem.

Do czego zmierzam? W świecie jest mnóstwo przemocy, mnóstwo gwałtu, które od nas całkowicie nie zależy, od nas ludzi to zupełnie nie zależy. Lis będzie chwytał kurczaka, bo taka jest natura lisa i trudno byłoby z niego zrobić kota. Powiedzmy sobie szakal będzie chwytał gęś, bo taka jest jego natura itd. Człowiek, jeżeli jest bardzo wrażliwy, zastanawia się nad tym, ciągnie to dalej. Mianowicie żebyśmy mogli zjeść kanapkę z mięsem, to mięso musi skądś pochodzić. Oczywiście zabijanie zwierząt jest skrzętnie ukrywane przed ludźmi i nikt z nas nie chodzi do rzeźni. Bo gdybyśmy poszli do rzeźni — ja raz w życiu byłem w rzeźni, i to nie u nas, tylko zagranicą, i widziałem to bardzo dawno temu — jak patrzyłem na te krowy i cielaki, które podchodziły i za chwilę miały być zabite, to wtedy jakby ochota na cielęcinę przechodziła. Ale świat ma to do siebie, że ta część jest ukrywana przed nami. Jeżeli jemy kurczaka, to ten kurczak żył. Przykłady można mnożyć. Chodzi tutaj o to, żeby pobudzić państwa wyobraźnię, że w świecie istnieje przemoc i gwałt, nad którym my się nie zastanawiamy. Ta przemoc i gwałt istnieje wszędzie. W powietrzu, bo jeden ptak drapieżny napada na drugiego ptaka, żeby przeżyć. Na ziemi, bo zwierzęta napadają nawzajem na siebie, ale najbardziej niebezpieczny dla zwierząt i dla innych ludzi jest człowiek. I pod ziemią to samo, tam rozmaite żyjątka też żyją jedno kosztem drugiego. I w morzu jedno żyje kosztem drugiego. Większe ryby drapieżne zjadają mniejsze. Taki jest świat. Proszę zatem zwrócić uwagę że w świecie takim, jakim go znamy, w którym żyjemy, mamy do czynienia z pewną przemocą.

Pismo Święte zajmowało się tą przemocą. Zadawało sobie pytanie o to, skąd ona się bierze. I powiedzmy sobie, że nam się wydaje czy my twierdzimy, że ta przemoc jest zupełnie od nas niezależna. Bo przecież nikt z nas nie tresuje lwa, żeby napadał na owcę, ani nikt z nas nie uczy lisa chwytać kurczaków, tylko lis ma to w swojej naturze. Nam się wydaje, że to jest całkowicie od nas niezależne. Tymczasem Pismo Święte mówi: niezupełnie jest od nas niezależne! Mianowicie cały ten porządek, ten porządek nieszczęścia, ten porządek przemocy i gwałtu, porządek przelewania krwi, jest związany z zamętem, z nieszczęściem, z grzechem, które człowiek sprowadził na świat — i w związku z tym jest konsekwencją tego straszliwego upadku. Proszę zwrócić uwagę, że skoro

Pismo Święte mówi, że człowiek jest koroną stworzenia, to wobec tego to, czego dopuszcza się człowiek, rzutuje na cały świat. A ponieważ człowiek dopuścił się wielkiej nieprawości popełniając nieposłuszeństwo wobec Boga, w związku z tym ten nieporządek, który wtargnął, jest w jakiejś części dziełem owego pierwotnego skażenia. Tu trzeba byłoby tę odpowiedź pogłębić, trzeba byłoby ją wyjaśniać, chociaż nigdy nie da się jej zracjonalizować do końca. Ale św. Paweł napisał bardzo ciekawą rzecz. Mianowicie, kiedy patrzył na chaos i nieszczęście, a św. Paweł był bardzo blisko natury, bo przecież wiele podróżował, wiele widział, w świecie starożytnym ta bliskość nieszczęścia i krzywdy, także tej ze strony zwierząt, była bardzo widoczna — napisał takie słowa:

> Całe stworzenie jęczy i wzdycha w bólu, oczekując odkupienia i przybrania człowieka za Syna Bożego.

W ten sposób Paweł dał do zrozumienia, że los stworzenia i los natury jest związany z losem zbawionego, odkupionego człowieka. Tzn. tak, jak stworzenie cierpi z powodu grzechu zaciągniętego przez człowieka, tak również zbawienie przyniesie wyzwolenie światu, i w ten sposób cały świat będzie przemieniony. W ubiegłym roku mówiliśmy o tym przy sposobności omawiania tekstów mesjańskich — jest taki piękny tekst z Księgi Izajasza, kiedy to pantera z koźlęciem razem leżeć będą, kiedy ich młode będą spacerować ze sobą, kiedy będzie wilk igrał razem z jagnięciem itd. To jest ta tęsknota za harmonią, za niewinnością, za pierwotną zgodą, za pokojem. A ta tęsknota, żeby mogła się spełnić, musimy oczekiwać aż przybrania nas za Synów Bożych, czyli ostatecznej przemiany świata, którą zdziałać może tylko Bóg.

Cały ten wstęp, nieco przydługi być może, jest po to, żebyśmy pewnie w nowym świetle — jeżeli to jest możliwe — spojrzeli na Księgę Jozuego. Powiedzieć trzeba bardzo mocno, że w świecie jest przemoc, w świecie jest gwałt. Wiedząc o tym odnosimy to w jakiś tajemniczy sposób do Pana Boga, odpowiedzi nie są bardzo łatwe ale tu, kiedy przyglądamy się temu musimy się pogodzić, że niesprawiedliwość, krzywda, płacz, okrucieństwa, są częścią naszego świata. Naszym zadaniem jest to, aby okrucieństwa nie przymnażać, by ich nie pomnażać, by nie było ich więcej. I to nie tylko w odniesieniu do człowieka, ale również w odniesieniu do tego, co nazywamy ostatnio środowiskiem — ekologia. Otóż nie jest niczym dobrym rwanie bez potrzeby roślin, niszczenie krzewów i drzew, bo to jest życie. Nie jest niczym dobrym zabijanie, polowanie, mord popełniany na przyrodzie. Człowiek powinien tylko tyle korzystać z przyrody, o ile mu jest naprawdę potrzebne. W przeciwnym wypadku robi się wyniszczająca gospodarka, która także wprowadza do środowiska straszliwy bezład. A ten bezład mści się, bo świat się buntuje przeciwko człowiekowi. I proszę zwrócić uwagę, że kiedy obserwujemy to, co się dzieje w przyrodzie, to możemy często widzieć jej bunt przeciwko awanturniczej, złej gospodarce. Powiedziałem kiedyś: „bestialskiej", ale ktoś mnie upomniał, że nie można mówić „bestialska" w odniesieniu do człowieka, bo czasami człowiek jest gorszy niż bestie. Że tylko niektóre zwierzęta mordują dla przyjemności, natomiast z człowiekiem zdarza się to częściej.

Przechodzimy zatem, dopiero teraz, do Księgi Jozuego. Skoro Izraelici chcieli wejść do Ziemi Obiecanej, to musimy być świadomi jednego — że musiało się to odbyć cudzym kosztem, czyimś kosztem. To trzeba powiedzieć jasno. Gdyby Ziemia Obiecana była pustynią, to wtedy wejście odbyłoby się kosztem mrówek i rozmaitych drobnych żyjątek, które przy tej okazji być może zostałyby podeptane. Być może odbyłoby się jeszcze kosztem jakichś innych żyjątek, które zostałyby schwytane i zjedzone, i byśmy pewnie tym żyjątkom nie współczuli. Natomiast ponieważ Izraelici mieli objąć w posiadanie nie pustynię, nie morze, gdzie się karmili rybami, ale ziemię, gdzie przedtem mieszkali ludzie, to z całą pewnością jakieś „koszta" tej operacji, tego wejścia być musiały. Bez przelewu krwi, bez przemocy, bez gwałtu nie mogło się obejść.

Teraz przechodzę do czegoś, co jest niesłychanie ważne. W Księdze Jozuego mamy do czynienia z bardzo dziwnym napięciem, z bardzo dziwną sytuacją. Mianowicie wcześniej, w Pięcioksięgu, słyszymy takie zachęty:

> Idźcie do Ziemi Obiecanej, zajmijcie ją, ona jest zamieszkiwana przez siedem narodów.

I tam są wyliczani: Chetyci, Peryzzici, Jebuzyci, Girgaszyci, Chiwwici itd. „Wyrzućcie ich!" Słownictwo jest bardzo mocne. Jak wiemy, ta myśl o wejściu do Ziemi Obiecanej cały czas ożywiała

Mojżesza. Mojżesz z góry Nebo tę ziemię oglądał. Widział na pewno Jerycho, bo Jerycho jest z góry Nebo dość dobrze widoczne, a przy dobrej pogodzie jest znakomicie widoczne. Oglądał zatem, gdzieś 15 km dalej, Jerycho, i zapewne wiedział, że tam jacyś ludzie są. Jerycho trzeba zająć — to trzeba będzie ich wypędzić. Gdyby nawet założyło się, że się ich wypędzi, to i tak zakłada się jakieś straty. Przy tej okazji na pewno jakiś przelew krwi musiałby być. Zatem z tym się liczono.

Ale na początku Księgi Jozuego, gdy Izraelici mają przejść przez Jordan i wejść do tej ziemi, nagle takich poleceń niszczenia nie ma, nagle ich zabrakło. W momencie, kiedy człowiek przechodzi do działania, wtedy te zachęty do gwałtu, do przemocy, stają się jakby mniejsze. Dlaczego? Może dlatego, że człowiek, który jest w takiej potrzebie, już ich nie potrzebuje? Może dlatego, że ta chęć zdobywania, podporządkowywania sobie, i życia cudzym kosztem, jest jakąś częścią naszej ułomnej natury? Może te właśnie skłonności w każdym z nas są, i nie wolno tym bardziej rozpalać? Nie ma co mówić i zachęcać do popełniania zła wtedy, kiedy już mamy tego rodzaju fizyczną możliwość. Zatem w Księdze Jozuego zapanowało swoiste milczenie, już się nie zachęca „Idźcie, bijcie się" itd. Sporadycznie to się pojawia w pewnych sytuacjach, państwo zwrócą uwagę w trakcie lektury: kiedy. Ale tak generalnie zachęt nie ma. A co więcej, jeżeli ktoś z państwa przeczytał całą Księgę Jozuego i zaczął czytać Księgę Sędziów, to okazało się, że chociaż w Księdze Jozuego mówi się o wielu bitwach, konfliktach, walkach itd., to w Księdze Sędziów mówi się, że tych, którzy mieszkali na terenie Kaananu, do których weszli Izraelici, tych Kaananejczyków, było ciągle bardzo dużo. Zatem ani podbój nie był całkowity, ani przemoc i gwałt nie były totalne, kompletne. Dlatego, że na końcu dowiadujemy się, że są całe połacie Ziemi Obiecanej jeszcze nie zajęte przez Izraelitów. A po drugie, że nawet wśród Izraelitów istnieją enklawy i całe terytoria zamieszkiwane przez Kaananejczyków. Takim najlepszym przykładem jest Jerozolima, która została podbita dopiero w czasach Dawida, zajęta podstępem prawie 250 lat później. Przez 250 lat pozostawała miastem kaananeńskim.

I tak przechodzę do sprawy najbardziej newralgicznej. Otóż chciałbym państwu pokazać — nie wiem, czy mi się to uda, ale może — jak Pismo Święte radzi sobie z taką sytuacją, kiedy musi opowiadać o przemocy, musi opowiadać o gwałcie. Otóż robi to albo krótko, bardzo lakonicznie, tak jak wtedy, kiedy opowiadało o zabójstwie Abla przez Kaina, tak jak wtedy, kiedy mówi o rozmaitych okrucieństwach, albo kiedy mamy do czynienia z planowaniem czegoś złego, to Pismo Święte nagle zmienia ton. I proszę posłuchać, jaka jest tonacja opowiadania o zajęciu Jerycha, o tym, co poprzedziło zajęcie Jerycha. To jest bardzo ciekawy epizod. I tutaj chcę państwu już na samym początku powiedzieć, że uwaga nasza musi być wyczulona. I że dojdziemy zaraz do pewnego paradoksu, którego wielu z nas się nie spodziewa.

Kontekst jest taki. Izraelici są po drugiej stronie Jordanu, są po wschodniej stronie Morza Martwego. Jest z nimi Mojżesz. Mojżesz wchodzi na górę Nebo, stamtąd ogląda to potężne miasto i mówi do Jozuego: „Ja już się zestarzałem. Ja straciłem nadzieję na to, że mogę się jeszcze do czegoś przydać. Teraz twoja kolej". I Księga Powtórzonego Prawa w ostatnim rozdziale, bardzo krótkim, opisuje śmierć Mojżesza. Autor dodaje, że nigdy już nie powstał w Izraelu prorok podobny do Mojżesza, który by poznał Pana twarzą w twarz, ani równy we wszystkich znakach i cudach, które polecił mu Pan czynić w ziemi egipskiej wobec faraona, wszystkich sług jego i całego jego ludu. Ani równy mocą swej ręki i całą wielką grozą, jaką wywołał Mojżesz na oczach całego Izraela. Proszę popatrzeć, że Mojżesz jest tym, który wywoływał grozę wśród własnego ludu, wśród własnego narodu. Żeby być przywódcą, to trzeba być człowiekiem z mocnym charakterem. Ktoś, kto liczy na komplementy, do przywództwa się nie nadaje. Mojżesz wiele razy cierpiał od swojego narodu, ale osiągnął to, że doprowadził go do granic Ziemi Obiecanej. I w tym momencie Mojżesz zwraca się do Jozuego: Teraz ty! I Jozue przejmuje więc inicjatywę. Mają wejść do Ziemi Obiecanej — ale żeby wejść muszą najpierw dowiedzieć się, muszą przeprowadzić wywiad. Proszę zauważyć, że w ten sposób mamy w odległej starożytności bardzo nowoczesne metody i sposoby walki. Rozmaite agencje wywiadowcze i służby specjalne mogłyby się wiele z tych metod. Mogłyby się wiele nauczyć, bo w tych wojnach mają swój udział także kobiety, o czym za chwilę usłyszymy (Joz, 2,1):

> Jozue wysłał potajemnie dwóch wywiadowców dając im polecenie: «Idźcie i obejrzyjcie Jerycho i jego okolice».

Mamy zatem do czynienia ze szpiegami, to jest szpiegowanie. Oni mają przyjrzeć się temu, jak wyglądają okolice Jerycha. Nawet, proszę popatrzeć, nie samo Jerycho, a tylko jego okolice.

Bo Mojżeszowi nie przyszło do głowy to, żeby oni weszli do Jerycha, bo przecież tam zbyt by się wyróżniali wśród jego mieszkańców. Przecież ci mieszkańcy Jerycha dobrze wiedzieli, że kilkanaście kilometrów dalej, za Jordanem, stoi jakaś potężna gromada Izraelitów i dlatego każdy obcy, jak się za chwilę przekonamy, był witany bardzo niemile. Jozue był realistą i powiada: rozejrzyjcie się tam dookoła. Tylko tyle! Ale dobry szpieg, dobry wywiadowca, ma to do siebie, że idzie dalej poza rozkaz mu wydany. I jeżeli tylko stwierdzi, że może posunąć się więcej, to oczywiście to robi i sam przejmuje inicjatywę.

Poszli więc — i zaraz nam się klimat zmienia. Mieli obejrzeć okolice Jerycha, a Pismo Święta nas zaskakuje. Mianowicie dowiadujemy się, że ich inicjatywa posunęła się znacznie poza polecenie, które otrzymali. Mianowicie:

> Poszli więc i przybyli do domu nierządnicy, imieniem Rachab, i udali się tam na spoczynek.

Pismo Święte jest tutaj dwuznaczne, bo jakiż to spoczynek może być w domu nierządnicy? Otóż nie mówi wprost, o co chodziło, daje tylko do zrozumienia, że ci dwaj wywiadowcy nie poszli tam na herbatę — i to nie tylko dlatego, że herbata jeszcze nie była w użyciu. Otóż zachowują się w pełni tak, jak wywiadowcy, ale proszę popatrzeć: wprowadzony tutaj jest pewien nowy, ciekawy element. Mianowicie jeżeli żeśmy nigdy tego opowiadania nie czytali, jesteśmy zaciekawieni, skąd nagle taka decyzja i co za zachowanie. Bo dwuznaczność polega na tym, że albo ci wywiadowcy są znakomici i obmyślili jakiś plan, albo ci wywiadowcy są do niczego, i wyszli, i kiedy już zostawili w domu własne żony, własne bliskie panie, i udało im się wejść do Jerycha, to zapomnieli po co ich posłano, i spoczynek, z jakim tutaj mamy do czynienia, ma niewiele wspólnego z poleceniem Jozuego. Więc albo są dobrzy, albo sprawa się za chwilę skończy. Ale jeżeli są dobrzy, to o co w tym wszystkim chodzi? Zauważmy zatem, że mamy tu taki typowy kawałek obyczajowy czy bardzo ciekawy fragment obyczajowy, gdzie pobudza się ludzką wyobraźnię. Otóż to jest doskonały fragment dla filmowca — wyobrazić sobie to, o czym Pismo Święte mówi bardzo krótko, ktoś, kto kręci film, musi przedstawić bardzo długo. Jozue powiada: „Idźcie i obejrzyjcie okolice Jerycha". Wychodzą, idą sobie, przekraczają Jordan, to wszystko trwa. Wchodzą do miasta, weszli do tego miasta niezauważeni. A następnie kierują się do domu Rachab, u której spoczywają. Ale jak pokazać ten spoczynek? Co oni tam robią? Idźmy dalej (Joz, 2, 2):

> Doniesiono o tym królowi Jerycha w tych słowach: «Oto mężowie z Izraelitów przybyli tej nocy, by wybadać kraj».

Proszę zauważyć, że wywiadowcy według naszego rozeznania próbują przechytrzyć mieszkańców Jerycha, ale mieszkańcy Jerycha nie są wcale tacy głupi. Jest to typowe opowiadanie z gatunku dzisiejszych kryminałów tak, jak się czyta dzisiejsze kryminały, tylko bardzo rozbudowane. Tamci cenili sobie materiał piśmienniczy, nie mogli pisać wielkich książek, musieli pisać na skróty, i pewnych rzeczy trzeba się domyślać. Zatem czytając trzeba widzieć, widząc — trzeba wyobrażać sobie, niektóre z tych kawałków są takie obrazowe.

Zatem wywiadowców zauważono. Więc mieszkańcy Jerycha donoszą królowi, że „Oto przyszli, żeby wybadać kraj". Proszę popatrzeć — fortel polegał na tym, że oni nie poszli do piekarni, piekarnie wtedy były. Nie poszli, powiedzmy, do kogoś, kto się zajmował garbowaniem skór ani kożuchów. Tylko poszli tam, gdzie mężczyzna mógł szybko zginąć. Nie „zginąć" w sensie „stracić życie", tylko nikt nie zwracał uwagi. Ot po prostu uważano że to, że tamci mężczyźni idą, to jest normalna sprawa. Oto jakichś dwóch obcych przyszło, i korzysta z usług miejscowej Rachab.

To ciekawe, że późniejsza tradycja żydowska, która znalazła wyraz w przekładzie tego fragmentu na język grecki, w Septuagincie, nie nazywała jej nierządnicą, bo to jakoś nie pasowało, żeby Żydzi korzystali z usług nierządnicy, tylko nazywała ją karczmarką. Więc to jakby drobna różnica. Kimkolwiek ona była — to Pismo Święte w hebrajskim tekście nie zostawia wątpliwości — poszli tam, żeby zatrzeć wszelkie ślady, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Chcieli zachować się tak, jak się zachowują „prawdziwi mężczyźni". Sądzili, że w ten sposób umkną jakimkolwiek podejrzeniom. Ale miejscowi mieszkańcy są sprytniejsi.

Proszę zauważyć, tutaj użyję tego słowa, że mamy tutaj do czynienia z pewnym humorem. Otóż jest tu pewna gra, w której musimy do tego podchodzić z pewnym takim przymrużeniem oka.

Otóż mamy tu do czynienia z taką dwuznacznością, gdzie nie każe nam się zadawać pytań: „Jak tak można?", „Dlaczego?" itd., tylko mamy słuchać tego opowiadania i iść po tej linii, którą ono pokazuje. Co dalej?

> Posłał więc król Rachab rozkaz: «Wydaj tych ludzi, którzy przyszli do ciebie i weszli do domu twego, bo przybyli oni w celu obejrzenia całego kraju».

Zatem król Jerycha, władca Jerycha jest doskonale zorientowany w ich intencjach, i zwraca się do swojej poddanej, aby wydała tych dwóch przybyszów. Można by powiedzieć tak: ona powinna być lojalna wobec swego władcy, i tutaj opowiadanie powinno się skończyć. Mianowicie Rachab odpowiedziała na wezwanie króla, oddała dwóch gości, i ich los jest nie do pozazdroszczenia. A Jozue z Izraelitami mogą czekać dalej. Tymczasem:

> Lecz kobieta wzięła tych dwu mężów i ukryła ich.

Czego tu się nie mówi? Przecież to nie było tak, że ona wzięła ich za szyję i ukryła, tylko musiała z nimi rozmawiać. Może wcześniej z nimi rozmawiała — o czym rozmawiali, możemy się tylko domyślać. W każdym razie ona zdecydowała się na to, że będzie współdziałała z nimi, a nie z rodakami, do czego zobowiązywała ją lojalność. Proszę dalej zauważyć, że mamy do czynienia z czymś — że jeżeli wejście Izraelitów do Ziemi Obiecanej jest faktem, jeżeli cała ta historia ma wartość paradygmatyczną, wzorcową, modelową, to zauważmy że w skuteczności tego wejścia Bóg posługuje się nielojalnością. Zatem i nielojalność można włożyć jakoś w ten plan, który się w ludzkości realizuje. Tak jest na kartach Pisma Świętego i w życiu. Proszę zwrócić uwagę: Judasz zdradził, wydał Jezusa, i stało się to elementem całego tego dramatu, który zakończył się na Kalwarii, ale który został przezwyciężony w Zmartwychwstanu. Piotr wyparł się Jezusa, ale to wyparcie ma błogosławione skutki. Mówimy: „błogosławiona wina". Zatem, i tutaj moja pierwsza dzisiejsza pointa, bardzo ważna: aczkolwiek zło, grzech, nieszczęście, nielojalność i podstęp są częścią tego świata, i uniknąć się ich nie da, to Bóg przezwycięża część tego nieszczęścia w taki sposób, że wyprowadza z tego jakieś dobro.

To jest jeden sposób istnienia Boga, jeżeli tak można powiedzieć, w świecie pełnym nieprawości. Że nawet złoczyńcy, nawet ludzie źli, mają jakieś przedziwne miejsce w tym łańcuchu ludzkich zdarzeń. I powiem tutaj coś, czego lepiej nie jestem w stanie wyrazić, chociaż brzmi to dwuznacznie — nawet ci ludzie, nawet to zło, nawet ten gwałt, nawet ta nielojalność jest w jakiś sposób potrzebna, żeby urzeczywistnić inne dobro. To nie znaczy, że bycie złym jest warunkiem dobra. To znaczy, że Bóg przezwycięża zło i podporządkowuje je na usługi dobra. Żeby to ująć w naszych kategoriach dzisiaj: Ktoś może np. przeżyć jakiś trudny, pełen zdrady, odstępstwa, nieszczęścia, zła, okres w swoim życiu po to, żeby w końcu odkrył, że oto wychodzi z tego pogłębiony, silniejszy, mocniejszy, i bliższy Boga, niż kiedykolwiek przedtem. Kossak-Szczucka nazywała to, używając określenia zapożyczonego z tradycji Kościoła, „błogosławioną winą".

Ta „błogosławiona wina" istnieje również w innej formie. Oto spieszymy się na samolot. Oto bardzo nam na tym zależało, ale spóźnił się pociąg i nie zdążyliśmy. Przeklinamy Polskie Koleje Państwowe tak długo, dopóki coś złego nie stało się z samolotem. I wtedy ta wina Polskich Kolei Państwowych staje się błogosławiona, i dziękujemy Panu Bogu za spóźnienie. I w życiu bywa tak, że coś, co doraźnie odczuwamy jako dramat czy jako nieszczęście, z pewnej perspektywy czasowej nabiera innego znaczenia. Można z tym mieć do czynienia w różnych aspektach naszego życia. Zatem proszę zauważmy, że ocena tego, co jest złe a co jest dobre, może być do pewnego stopnia względna. Z tego powodu że nawet zło, czy nawet jakiś brak, czy nawet jakaś ułomność, może z perspektywy czasowej okazać się dla nas swoistym błogosławieństwem, więc i swoistym dobrem.

I tu proszę popatrzeć, Rachab prowadziła życie takie, jakie prowadziła — powiedzmy sobie: karczmarki. Ale właśnie dlatego, że ta Rachab była, to ci dwaj mogli się u niej zatrzymać. I dlatego, że ta Rachab tam działała, to opowiadanie będzie się rozwijało tak, jak za chwilę będzie się rozwijać. To nie jest po to, żeby Rachab chwalić. Tylko skoro i tak takie dziewczęta, jak Rachab, są w świecie obecne, to czasami coś z tego dobrego wyniknąć może. Proszę zauważyć, w Ewangelii dzisiejszej był fragment o cudzołożnej kobiecie. Gdyby ta konkretna kobieta, której Jezus powiedział: „Idź, i więcej nie grzesz!", a przedtem: „Kto pierwszy rzuci w nią kamieniem?", gdyby ona prowadziła święte życie, to nigdy byśmy nie wiedzieli, że Jezus jest aż tak miłosierny. Więc była to jakaś

błogosławiona wina, która w tych Bożych planach ma coś do spełnienia. Zatem i grzesznik jest jakoś w tym świecie grzesznym potrzebny. Brzmi to strasznie dziwnie, i to trzeba bardzo pogłębić. To nie jest tak, że warto być grzesznikiem, albo trzeba być złym, bo to zakładałoby wtedy pewien perwersyjny wybór, od którego trzeba stronić. Posuńmy się dalej:

> Lecz kobieta wzięła tych dwóch mężczyzn i ukryła ich.

A co powiedziała wysłannikom swojego własnego władcy? Mówi im tak:

> «Rzeczywiście, odrzekła, przybyli do mnie ci ludzie, ale nie wiedziałam, skąd byli. Gdy jednak miano zamknąć bramy miasta o zmierzchu, oni wyszli i nie wiem, dokąd się udali.»

Z tego możemy wnioskować, że obecność naszych dzielnych bohaterów trwała cały dzień. Podczas tych kilkunastu godzin mogli ze sobą rzeczywiście sporo rozmawiać, no i może coś jeszcze ...., ale o tym tekst ani słowa. I ona kończy to tak:

> «Pośpieszczie za nimi jak najrychlej, a dosięgniecie ich».

Proszę zauważyć, że pokazuje się kobietę — pamiętajmy, że to wszystko ma miejsce 3200 lat temu, a ta księga została spisana 2.5 tysiąca lat temu, tego możemy być pewni — nie jako jakąś biedną istotkę, która nie wie o co chodzi, przestraszoną itd., tylko jako kobietę zorientowaną, bystrą, wyrachowaną, i która potrafi odwrócić uwagę od siebie i powiada: „Po co tu stoicie? Idźcie i tam szukajcie! Tam właśnie poszli." Skierowała uwagę w drugą stronę na zasadzie „łap złodzieja". Widzimy więc, że Rachab jest bardzo sprytna. Może dlatego, że miała dużo do czynienia z rozmaitymi sytuacjami, które ją tego nauczyły. Może to jest tak, że właśnie tego rodzaju kobiety jakoś łatwiej sobie dają radę w sytuacjach kryzysowych — nie wiemy. Ta psychologia jest ciekawa, można by się nad tym zastanawiać. Powstała nawet w Stanach Zjednoczonych taka praca z zakresu teologii feministycznej, napisała ją jedna z amerykańskich feministek, która z Rachab czyni patronkę ruchu feministycznego. Ja niestety nie mogę powiedzieć, czy Rachab może być, czy nie, bo feministki znam tylko z telewizji, ale coś z tego może być prawdą.
I teraz posłuchajmy dalej:

> Sama zaś zaprowadziła ich na dach

dachy były płaskie, i tak jest po dzień dzisiejszy

> i ukryła pod łodygami lnu, które tu rozłożyła.

Niech państwo na chwilę zamkną oczy i spróbują sobie to wyobrazić. Biedna, krucha kobieta prowadzi po schodach dwóch dzielnych szpiegów, a ci dwaj dzielni szpiedzy włażą pod len. Proszę to sobie wyobrazić, jak ona tam jeszcze im przykrywa nogi, jak oni się wiercą, ten len chodzi. I oni tam siedzą. Mamy tutaj do czynienia z odwróceniem ról. W starożytności, podobnie jak dzisiaj, mężczyzna uważa się za tego, który w żadnym wypadku nie może podlegać kobiecie, bo nie wypada. I niechętnie przyznaje się do takich sytuacji, gdy kobieta musiałaby go ukryć pod lnem.

Z tej aluzji wynika pewna rzecz też dość osobliwa. Dowiadujemy się w ten sposób, że w starożytności odległej w Ziemi Świętej był uprawiany len. Od półtora tysiąca lat tam nie ma ani jednej łodyżki lnu. Len potrzebuje dużo wody i potrzebuje stosunkowo chłodnego klimatu. dzisiaj tej wody w Palestynie nie ma za dużo, klimat się ocieplił. A dlaczego? Bo kiedy przyszli tam Arabowie w siódmym wieku, to Arabowie przeprowadzili masowy wyrąb drzew i masową hodowlę owiec i kóz. Te owce i kozy podjadały krzewy, drzewa wyrąbano. W ten sposób ziemia się wyjałowiła, nastąpiła erozja gleby, wody podskórne opadły, te rośliny przestały wodę ciągnąć. Ziemia się wyjałowiła i o lnie mowy być nie może. Temperatura się podniosła.

I dzisiaj jedną z podstawowych przesłanek politycznych w Izraelu jest to, że każdej wiosny i każdej jesieni sadzi się drzewa. I każdy jest tyle wart, ile drzew zasadził. Tak jak u nas było też zalesianie w latach 50., 60. Wożono dzieci ze szkoły na sadzenie lasu — państwa pewnie nie, bo z Warszawy to tylko kwiatki. I szkoda, że tego dzisiaj nie ma, bo by się to i dzieciom, i lasom przydało. W Izraelu robią to masowo, żeby te skutki zmniejszyć. Ale wróćmy do Rachab.

> Ludzie królewscy natomiast ścigali ich w kierunku Jordanu aż ku brodom, a bramę miasta zamknięto po wyjściu ścigających.

Czyli podstęp się udał. Dwaj mężczyźni leżą pod lnem, kobieta dominuje, bo wszystko bardzo ładnie poszło. Ale na czym polega tutaj swoista ironia, swoista kpina? Otóż z mentalnością Izraelitów jest trochę tak, jak z mentalnością Cyganów, przepraszam — teraz się mówi Romów. Z mentalnością Romów jest tak, że kiedy próbowano ich osadzić na siłę w blokach, to oni się buntowali. Ale nie tyle się buntowali dlatego, że im dawano bloki, tylko dlatego, że bloki mają piętra. A w mentalności Cygana nad Cyganem, nad mężczyzną, nie może być u góry kobieta. I przeciwko temu się buntowali. Po prostu to dla nich nie do pomyślenia, żeby nad nim chodziła kobieta, bo to mu przeszkadza, to go upokarza itd. I coś podobnego jest w mentalności narodów semickich — mentalności Żydów, mentalności Arabów. Państwo popatrzą jak oni chodzą, ale nie tylko w telewizorze, ale podczas podróży. Najpierw idzie Żyd lub Arab, później idą dzieci, a na końcu idzie Żydówka lub Arabka, która niesie resztę dzieci, które jeszcze same iść nie mogą. I nie ma tak, że ona idzie pierwsza. Są na ten temat całe kawały, całe opowiadanka. Zwłaszcza tam na Bliskim Wschodzie mówią, że kobieta wtedy idzie pierwsza, kiedy on musi przejść przez pole minowe. To wtedy ją daje. A tak to zawsze, zawsze z tyłu. I tu mamy do czynienia z taką właśnie mentalnością. Trzeba to wiedzieć, trzeba znać te niuanse, żeby odkryć niezwykły klimat tego opowiadanka. I dalej:

> Wywiadowcy tymczasem jeszcze nie zasnęli, gdy Rachab weszła do nich na dach

Dziwne byłoby, gdyby tej nocy w ogóle mogli spać. Więc Rachab idzie do nich. I kto jest górą? Oczywiście cały czas ona.

> i tak do nich powiedziała: «Wiem, że Pan dał wam ten kraj, gdyż postrach wasz padł na nas i wszyscy mieszkańcy kraju struchleli przed wami. Słyszeliśmy bowiem, jak Pan wysuszył wody Morza Czerwonego przed wami, gdy wychodziliście z Egiptu, i co uczyniliście dwóm królom amoryckim po drugiej stronie Jordanu, Sichonowi i Ogowi, których obłożyliście klątwą. Na wieść o tym zatrwożyło się serce nasze i zabrakło nam odwagi wobec was, ponieważ Pan Bóg wasz jest Bogiem wysoko na niebie i nisko na ziemi.

Proszę zauważyć, że Rachab nie jest już nierządnicą, ani karczmarką, lecz katechetką. Otóż doskonale streszcza to, co się dokonało w ostatnim okresie, wie o tym, i streszcza te dzieła zbawcze słowami samych Izraelitów. A na końcu składa wyznanie wiary i powiada do nich, bo Bóg jest na niebie wysoko i na ziemi nisko. Zatem daje im do zrozumienia, że to, czego dokonała, to, na co się zdecydowała, to nie tyle jest z sympatii dla nich, to jest z uznania Boga.

Zupełnie podobna struktura myślenia, zupełnie podobny schemat, istnieje w Księdze Jonasza. To króciuteńka księga. Mogą ją państwo przeczytać w dwadzieścia minut czy pół godziny. Cztery rozdziały. Tam też jest tak: Jonasz otrzymuje polecenie, żeby pójść do Niniwy. Wstaje i idzie, tylko, że w drugim kierunku. Więc był posłuszny, tylko że przewrotnie. Chce uciekać od Boga. Niniwa leżała na wschodzie, on ucieka na zachód. Na zachodzie jest morze. Zaokrętował się na statek i teraz jest bezpieczny. Ledwo odpłynęli — nigdy przedtem na morzu nie był, bo Żydzi nie są marynarzami, Arabowie też nie, więc nie wiedział, że na morzu są burze. Kiedy się burza pojawiła, to on schodzi na dół, bo nie chce tego wszystkiego oglądać. I wtedy się okazało, że właściwymi katechetami Jonasza stają się pogańscy żeglarze. I proszę przeczytać, jak oni go katechizują.

Proszę zatem zwrócić uwagę, że mamy tutaj do czynienia z pewną dwuznacznością, z jaką i dziś w życiu mamy do czynienia. Mianowicie, że katechetami ludzi wierzących w chwilach kryzysu mogą być niewierzący, mogą być nie chrześcijanie, mogą i inni ludzie, w których sercach czy sumieniach jest też zmysł Boży. My na co dzień mówimy tak: „No, nie mają ślubu, ale zobaczcie jak oni pięknie żyją. Mają jakieś tam trudności, ale zobaczcie, jak oni się kochają. Dałby Pan Bóg żeby ci, którzy wszystko mają załatwione, żyli w ten sposób." Proszę zauważyć, że dobro w świecie nie jest ograniczone tylko do tych, którzy przystają do pewnych schematów. Że Pan Bóg rozlał dobro w całym świecie, i wszędzie można je odnaleźć, i wśród różnych ludzi, i że zło w świecie nie jest zarezerwowane tylko dla tych ludzi, których dzisiaj uważamy za złych. Że w każdym człowieku drzemią pokłady dobra i pokłady zła. I bardzo często jest tak, że jedne ujawniają się częściej i więcej, i na ich podstawie oceniamy ludzi — a inne rzadziej i mniej, i na ich podstawie oceniamy ludzi. A więc to, co wiemy o człowieku wyrywkowo, rzutuje nieraz na jego całościową ocenę.

Ja dam państwu jeden przykład, o którym, mówiłem, będzie pewnie w Palmową Niedzielę w „Przeglądzie Katolickim". Jak było z Piotrem? Gdybyśmy wiedzieli tylko z Ewangelii o Piotrze, który był przy Jezusie, a następnie o Piotrze, który się Jezusa wyparł, i nie wiedzieli o tym, co się stało później, to byśmy do tej pory potępiali Piotra tak, jak potępiamy Judasza. Powiedzieli: „Zaprzaniec, odstępca!" A to przecież byłby tylko wyraz naszej niewiedzy. My nie wiemy, co się dzieje w sercach ludzi. Musimy być ostrożni z ocenianiem tych, którzy żyją, nazwijmy to, poza marginesem wspólnoty, która jest nasza. Otóż ta Rachab staje się tutaj katechetką dwóch Izraelitów. Skąd to w niej było? Nie wiem, tego się nie tłumaczy. Było! A więc i w takich ludziach złożone są pokłady dobra. Ale Rachab do końca była konsekwentna. Mówi tak:

> Dlatego teraz przysięgnijcie mi na Pana, że jak okazałam wam życzliwość, tak i wy okażecie życzliwość domowi mego ojca;

Proszę popatrzcie, ona nie prosi o życzliwość dla siebie. Ona prosi o życzliwość dla ojca i całej rodziny, to ma w głowie. Zatem nie jest tak zła, jak myśmy na początku sądzili. Nie patrzy egoistycznie. Nie chodzi jej tylko o wybawienie siebie samej, o ocalenie siebie samej. Ona ma na uwadze ojca i rodzinę. I dalej:

> dajcie mi znak jako rękojmię, że zostawicie przy życiu mego ojca i moją matkę, moich braci i moje siostry, że zachowacie wszystko, co do nich należy, i uchronicie od śmierci».

O sobie nie mówi wcale, mówi o rodzinie. Może uważała się za tak złą, że jest niegodna życia, że taka, jak ona, nie powinna wymagać? Może widziała dysproporcję pomiędzy jej rodziną, a swoim własnym postępowaniem? Nie wiemy. Ale myśl jest bardzo ciekawa, i ta kobieta zachowuje się bardzo ciekawie. Proszę zauważyć, że mamy na horyzoncie dramat wejścia, ale ten dramat wejścia został poprzedzony niezwykle sugestywnym i barwnym obrazem człowieka nieszczęśliwego, o którym zwykli jesteśmy mówić, że jest zły, a oto w tym „złym" człowieku odkrywamy ogromne pokłady dobra. I krótko na koniec:

> Odpowiedzieli jej wywiadowcy: «Życiem naszym ręczymy za was, jeśli tylko nie wydacie tej naszej sprawy. A gdy Pan odda nam tę ziemię, okażemy ci życzliwość i wierność».

Ona patrzy pod kątem rodziny, oni patrzą pod kątem jej. Tobie okażemy życzliwość i wierność. Ale ponieważ prosisz o resztę, no to jeszcze paru osobom też.

> Po czym opuściła ich po powrozie z okna, gdyż dom jej przylegał do muru miejskiego i jakby w murze mieszkała. «Udajcie się w góry — rzekła do nich — aby was nie spotkali ścigający i ukryjcie się tam przez trzy dni, aż do ich powrotu, po czym pójdziecie w swoją stronę».

Była tak sprytna, że swoich własnych ludzi skierowała w stronę brodu na Jordanie, czyli na wschód, natomiast wywiadowców skierowała w góry na zachód. Czyli w odwrotnym kierunku, żeby im się nic nie stało. Proszę zauważyć, znała geografię doskonale, lepiej niż ci, którzy korzystali z jej usług. I dalej;

> Wywiadowcy powiedzieli: «Tak wywiążemy się z tej przysięgi, którą kazałaś nam złożyć: gdy wejdziemy do kraju, uwiążesz powróz z nici purpurowych u okna, przez które nas spuściłaś, i zgromadzisz u siebie w tym domu: ojca twego, matkę twoją, braci twoich i całą rodzinę. Jeżeli ktokolwiek wyjdzie z drzwi tego domu, krew jego spadnie na jego głowę, a my będziemy niewinni. Kto jednak w domu z tobą pozostanie, krew jego spadnie na naszą głowę, jeżeli czyjaś ręka się go dotknie. Gdybyś jednak sprawę naszą zdradziła, będziemy wolni od przysięgi, którą od nas przyjęłaś». Na to odpowiedziała: «Niech tak będzie, jak mówicie» i zakończyła rozmowę, o oni się oddalili."

A więc ona tu jest cały czas górą.

> Wtedy ona uwiązała powróz purpurowy u okna.

Rzeczywiście, później Izraelici wracają — państwo przeczytają sobie w rozdziale szóstym Księgi Jozuego — i uszanowali to okno, gdzie był uwiązany purpurowy powróz, purpura to jest kolor krwi, i ocalili Rachab i jej rodzinę. Do czego zmierzam? Zwróćmy uwagę, że Księga Jozuego ma niezwykle ciekawy, osobliwy, i zarazem trudny schemat. Mianowicie tam, gdzie na horyzoncie jest gwałt i przemoc — bo przecież będzie o nim mowa, bo przecież Izraelici wejdą i będą dokonywać rozmaitych, nieraz ryzykownych posunięć w Ziemi Świętej, nazwijmy je nawet: nagannych, nie do pochwalenia. Kiedy się o takich rzeczach mówi, kiedy ma się do czynienia ze złem, z przemocą, z nieszczęściem, to trzeba też podchodzić do tego z pewnym dystansem. A ten dystans można osiągnąć między innymi przez humor, jakkolwiek bardzo trudno to zrozumieć.

Mamy jednak do czynienia z niezwykle ciekawą terapią. Mianowicie: kiedy nie zdołasz odmienić swojego losu, bo spotyka cię nieszczęście, dramat, to ten dramat i nieszczęście, choćby perspektywa choroby czy bliskiej śmierci, może nas zniszczyć, może nas zgniatać, może nas zżerać. A dzieje się tak wtedy, gdy nie potrafimy tego przezwyciężyć przez wewnętrzny dystans, jeżeli tego nie potrafisz, jeżeli nie potrafisz się do tego odnieść z rezerwą i z przymrużeniem oka. Ktoś pomyśli: ale przecież cierpienie, perspektywa śmierci, nieszczęście, nie jest niczym takim, z czego należałoby albo wypadałoby się śmiać. Jednak nie o śmiech tutaj chodzi. Chodzi o pewien wewnętrzny dystans, który umożliwia nam jakby wyjście z naszej cielesnej powłoki i jakby spojrzenie na siebie pod kątem wieczności, pod kątem tego, co zamierza dla nas Bóg. Zatem powtarzam: jest to trudne, nie przychodzi łatwo. Człowiek musi na to zapracowywać przez całe życie, żeby podchodzić do siebie w pewnym sensie samokrytycznie, ale z drugiej strony z jakąś dozą humoru — nawet nie radości, bo nie o radość tutaj chodzi.

Trzeba by zobaczyć w jakimś słowniku psychoanalitycznym, jak definiuje się humor. Ci z państwa, którzy mają do czynienia z chorymi, zauważyli pewne, że wielu z nich tak właśnie w sposób dojrzały przeżywa swoją chorobę, cierpienia, a nawet bliskość śmierci. Nie dlatego, żeby chcieli to bagatelizować, lecz dlatego, że jest to skuteczny sposób na przezwyciężenie własnego nieszczęścia bez dodawania do niego nowego, kolejnego nieszczęścia. Bo nieszczęście zaczyna się wtedy, kiedy nie potrafimy sobie z czymś trudnym poradzić.

Najnowszy przykład, który jest wstrząsem: mianowicie w tych dniach popełnił samobójstwo ambasador Polski w Ankarze. Wyskoczył z dziewiątego pietra szpitala psychiatrycznego, do którego go odwieziono na skutek ciężkiej choroby jego żony. Nie wiem, czy ta żona żyje, czy nie. I nie nam osądzać tego człowieka. Ale zauważmy że cierpienie, jeżeli nie jest przezwyciężone, może skończyć się takim właśnie dramatem. Jeżeli człowiek nie ma jakiegoś dystansu, poczucia możliwości okiełznania zła poprzez zapanowanie nad nim, to nieszczęście, które nas spotyka, jeszcze bardziej się zwielokrotnia.

I Księga Jozuego, choć to zapewne brzmi dziwnie, jest w wielu miejscach oparta na humorze. Mianowicie o wydarzeniach dramatycznych opowiada się z humorem. Najbardziej humorystyczny fragment to rozdział drugi, czyli opis zdobywania Jerycha. Został on sporządzony tak, że gdyby któryś z reżyserów pokusił się o nakręcenie tej historii, to oglądając perypetie dwóch biblijnych bohaterów moglibyśmy się w wielu miejscach się uśmiechać. I gdyby przy oblężeniu Jerycha, o którym mowa w rozdziale szóstym, gdyby ktoś poszedł tropem autora natchnionego, to okazałoby się, że naszą reakcją na to, co czytamy bądź słyszymy, jest uśmiech albo nawet śmiech.

Zatem zło, w którym mamy w świecie do czynienia, obok wszystkich innych sposobów na przezwyciężenie go musimy brać też pod uwagę i ten sposób, że skoro czegoś się nie da zmienić, skoro na coś nie ma wpływu, to by to okiełznać powinniśmy nabrać do tego wewnętrznego dystansu. I tak otrzymujemy wizję przedziwną. Mianowicie wizję człowieka cierpiącego, a mimo wszystko uśmiechającego się, czy nawet zabawiającego tych, którzy usiłują go pocieszyć. Bo jeżeli człowiek nabiera pewnego dystansu do swego życia, to nie tyle on potrzebuje pocieszenia, ile ci, którzy do niego przychodzą, a jeszcze tej szkoły życia się nie nauczyli.

Za miesiąc wrócimy do podobnej tematyki.

2.8 Religijność ludowa — Księga Jozuego i Księga Sędziów (dn. 8 maja 2000)

Zacznę nieco nietypowo. Bardzo dziękuję za życzenia imieninowe, za obietnice modlitwy. Mianowicie chciałbym wszystkim państwu a zwłaszcza tym, którzy pamiętali dzwoniąc na sekretarkę automatyczną, modląc się — bo wiem, że tak było — pamiętając o dniu imienin, chciałbym bardzo serdecznie podziękować za te wszystkie dowody życzliwości, serdeczności, dobroci — bardzo wysoko je sobie cenię. I powiem państwu, że czułem tą życzliwość tego dnia, w ten dzień imienin swoich. Tak Pan Bóg dał, że byliśmy w Jerozolimie i mogłem sprawować z samego rana, razem z innymi kapłanami i wiernymi, mszę świętą na Kalwarii. I proszę mi wierzyć, nie są to puste słowa, kiedy odprawialiśmy mszę świętą na Kalwarii pamiętałem również o tej grupie, polecając państwa Panu Bogu, mając ten widok w oczach. Bo jest to widok dość budujący i bardzo niezwykły dla mnie. Tam w Jerozolimie modląc się na Kalwarii pamiętałem. I z tego tytułu jakaś taka odrobina głębokiej radości — jeszcze raz za to wszystko bardzo, bardzo serdecznie dziękuję.

Wracamy do Biblii, do naszego zajmowania się Pismem Świętym. Jest tutaj sporo osób, które nie tylko rozumieją, ale same doświadczyły, że każdy pobyt w Ziemi Świętej ubogaca człowieka, że jest to — można by powiedzieć — druga Biblia, albo jest to według dawnej formuły *piąta Ewangelia.* I ile razy człowiek jest, doświadcza tej głębokiej bardzo mocy Pana Boga, i doświadcza piękna tej osobliwej ziemi. Jest takim wielkim pragnieniem — nie wiem, czy ono kiedykolwiek się ziści, ale parę pragnień się ziściło, więc może to też — aby ci, którzy są tak zainteresowani Pismem Świętym, którzy je czytają, rozważają, żeby mogli kiedyś tam właśnie pojechać. Otóż rodzą się nowe możliwości. Zostały zniesione wizy, nie ma już ograniczeń przy wyjazdach. Jest tylko bariera dość poważna, ale mimo wszystko i ona zaczyna się nieco łagodzić, mianowicie bariera finansowa. Być może w przyszłym roku będzie jakaś możliwość takiego tańszego wyjazdu. Nie będzie to oczywiście jakieś bardzo tanie, ale powiedzmy gdzieś w okolicach 600 $, coś takiego. Więc jeżeli są wśród państwa chętni do czegoś takiego, to mogę tylko zachęcić, żeby ewentualnie oszczędzać. I tak jak czytacie już teraz Pismo Święte, oszczędzać z myślą o tym, że jeżeli to się spełni, to byśmy pojechali. Jeżeli się nie spełni, to i tak uzbieracie pieniądze, i można będzie wydać na coś innego. Więc jedno i drugie będzie dobre, każde takie oszczędzanie przyda się. W tym roku otwierają się pewne nowe możliwości. Najdroższy jest przelot samolotem. Już w tym roku udało się to nieco zredukować, może w przyszłym roku uda się uzyskać coś więcej. Wtedy byłoby wielkim marzeniem, zwłaszcza marzeniem moim osobistym, żeby osoby które są tak zainteresowane tymi rzeczywistościami biblijnymi, mogły tam pojechać. Bo muszę państwu powiedzieć, że jedyny dyskomfort, jaki teraz odczuwam, to ten, że czasami mam wyrzuty sumienia, że jeździ się tam tyle razy podczas gdy są inni, którzy dużo bardziej na to zasługują, i widzieć tego, i przeżyć nie mogą. Miejmy nadzieję, że jakoś ta Jerozolima przybliży się do nas. A ci z państwa, którzy tam byli, dobrze wiedzą jak wielkim przeżyciem jest pobyt tam.

Wracamy do Biblii. Powiedziałem państwu i podkreślam cały czas, że żadna konferencja, żadna refleksja, żadne wprowadzenie i mówienie na ten temat nie robi tyle i nie ma takiej siły, nie powoduje tyle dobra, co indywidualne i osobiste czytanie Pisma Świętego.

To osobiste czytanie Pisma Świętego przynosi bardzo wielkie efekty i błogosławione owoce. I je widać także w naszej grupie. Dzisiaj chciałbym z imienia wymienić panią Lucynę, której bardzo serdecznie dziękuję za to, co napisała na kanwie osobistej lektury Biblii. Napisała słowa bardzo, bardzo głębokie i bardzo mądre. Nie znam jej, dostałem tylko ten tekst. Ale ten tekst, który napisała, dowodzi że nie tylko państwo mogą się czegoś ode mnie nauczyć, ale że tak samo ja mogę nauczyć się od państwa. I tego rodzaju doświadczenia są bardzo głębokie. Domyślam się, że ci, którzy sięgnęli po Pismo Święte, przeżywają wielką przygodę. Natomiast dla tych, którzy jeszcze nie sięgnęli, jakimś wyjściem jest przynajmniej chęć, pragnienie sięgnięcia po księgi święte, dzisiaj to jest możliwe i łatwiejsze niż kiedykolwiek, i osobistego spotkania z tą księgą. Nic nie zastąpi jej lektury. To prawda, że w trakcie czytania Pisma Świętego mamy mnóstwo pytań, czasami więcej pytań niż odpowiedzi. Ale nasze pytania — im bardziej postępujemy w czytaniu, tym bardziej są głębokie. A przez to samo my również stajemy się tym lepsi, tym mądrzejsi, tym głębsi, a nasza wiara tym bardziej staje się ufna.

Jaka jest podstawowa recepta na czytanie Pisma Świętego? Mówiłem o tej recepcie państwu,

a dzisiaj jeszcze raz chciałbym tę receptę przekazać — mianowicie czytać, i jeszcze raz czytać. Jeżeli ktoś zrośnie się z Pismem Świętym tak bardzo głęboko, że czytanie choćby po jednym rozdziale dziennie wejdzie mu w nawyk, wtedy okaże się, że ono bardzo głęboko zacznie przenikać jego życie, i zacznie w nas istnieć i przynosić owoce coś, co możemy nazwać kulturą biblijną. I człowiek, który będzie czytał Biblię, zwłaszcza będzie czytał ją codziennie, po kilku latach staje się zupełnie innym człowiekiem. Zupełnie innym dlatego, że poszerzają się w sposób dla innych niedostępny jego horyzonty duchowe, jego horyzonty religijne a także cały światopogląd i cała kultura.

Odnosząc się konkretnie do tych ksiąg, które teraz powinni państwo czytać, ci, którzy rozpoczęli lekturę jesienią, to będzie gdzieś Księga Jozuego, Księga Sędziów — księgi piękne, ale księgi trudne. Przypomnieć musimy podstawową prawdę — chociaż o niej wiadomo, to nie zawsze zdajemy sobie z niej sprawę ze wszystkimi konsekwencjami. Tę mianowicie, że w Piśmie Świętym są różne gatunki literackie, różne rodzaje literackie. Próbowałem państwu miesiąc temu pokazać, że jednym ze sposobów opowiadania w Piśmie Świętym, jednym ze sposobów wydobywania prawdy o ludzkim życiu, o jego bogactwie, o rozmaitych zaułkach z nim związanych, jest między innymi humor. Humor czasami dyskretny, kiedy indziej ten humor wyraźnie widoczny, czasami jest jakaś drobna kpina z naszych słabości, czasami nawet jest ironia adresowana ku tym, którzy przedkładają siebie ponad Boga. I cała nasza dojrzałość polega na tym, żeby nie traktować Biblii jako podręcznika teologii dogmatycznej, żeby nie podchodzić do niej z powagą, z takim namaszczeniem, które wyklucza wszystkie inne uczucia, tylko żeby podchodzić do ksiąg Pisma Świętego z tym, co mamy w sobie. A w sobie mamy mnóstwo uczuć, ta rozpiętość jest przeogromna. I oczywiście w tym wszystkim jest także miejsce na to, na co chcieliśmy zwrócić uwagę miesiąc temu — mianowicie także ten humor. Pamiętamy to opowiadanie o Rachab, oberżystce, jak ją nazywali Grecy, albo o nierządnicy, jak ją nazywa nasze tłumaczenie, i widzieliśmy, jak w tym opowiadaniu subtelnie rozwijała się pewna myśl, która odkrywała coś z życia tego dawnego Izraela, ale można by powiedzieć, że odkrywa również coś z życia każdego z nas. I Księga Jozuego oraz Księga Sędziów pod tym względem zasługują na wielką uwagę, bo ich nie można traktować z historyczną powagą, z historyczną ścisłością, z jaką my traktujemy opowiadania z przeszłości.

I dzisiaj chciałbym zająć się krótko, na podobieństwo tego, czym zajmowaliśmy się miesiąc temu, bardzo znanym opowiadaniem z Księgi Jozuego, które uczynimy punktem odniesienia dla tych, które znajdują się w Księdze Sędziów, opowiadaniem o zdobyciu Jerycha. Ci z państwa, którzy doszli do tego opowiadania, znają je na pamięć. Inni zapewne znają podstawowe motywy. Tak czy inaczej przeczytamy sobie krótko to opowiadanie i skomentujemy, bo tak jak w tym opowiadaniu są pewne wątki, które mogą nas dziwić, to w całej Biblii znajdujemy podobne opowiadania, do których trzeba podchodzić nie tyle z historyczną precyzją, ile raczej po to, żeby wydobyć głęboką, obecną w nich mądrość. Czytamy więc w szóstym rozdziale Księgi Jozuego (Joz 6,1), że:

> Jerycho było silnie umocnione i zamknięte przed Izraelitami.

Otóż Jerycho to jest miasto mniej więcej 28 km na wschód od Jerozolimy, leży w dolinie Jordanu, leży 400 m poniżej poziomu mórz. Jest tam zawsze bardzo gorąco — nawet zimą temperatura nie spada poniżej 15 - 20 stopni, bardzo silnie nasłonecznione, piękna oaza, dużo słodkiej wody. Najstarsze miasto świata — gdzie archeolodzy znaleźli szczątki zasiedlenia ludzkiego z ok. 9000 lat przed Chrystusem. A więc miasto, które liczy ok. jedenaście tysięcy lat. I o tym mieście w czasach Jozuego, czyli ok. roku 1200 przed Chrystusem, mówi się, że wtedy było już silnie umocnione i zamknięte przed Izraelitami. Archeolodzy badali to Jerycho wielokrotnie, najbardziej znanym badaczem jest nieżyjąca już pani Kathleen Kenyon, która odkryła ponad 20 warstw nakładających się na siebie miast. A więc to miasto żyło przez wiele tysiącleci. Popatrzmy, że sam początek już nas orientuje w kierunku tego, że trzeba zwrócić uwagę na to, że to miasto było ogromne. (Joz 6,1-2):

> Nikt nie wychodził ani nikt do niego nie wchodził. I rzekł Pan do Jozuego: «Spójrz, Ja daję w twoje ręce Jerycho wraz z jego królem i dzielnymi wojownikami.»

Zauważmy: z jednej strony jest przebiegłość, mądrość, zapobiegliwość ludzka. Zapobiegliwość człowieka nakazuje mu budować miasta, nakazuje człowiekowi budować mury, nakazuje człowiekowi podejmować starania obronne — a więc nikt nie wchodzi ani nikt nie wychodzi. To jest człowiek.

Więc człowiek ma określone nie tylko potrzeby, ale określone plany co do swojej przyszłości. A obok tego jest Bóg. I Bóg jest po stronie Izraelitów. Tutaj zwróćmy uwagę, że czasami wydaje się nam to krzywdzące. Kiedy czytamy Księgę Jozuego myślimy sobie tak: dlaczego Pan Bóg wybrał właśnie Izraelitów? Na to pytanie, odpowiedzmy sobie jasno — mówiliśmy o tym wielokrotnie przy innych okazjach — nie ma racjonalnej odpowiedzi. Otóż ten wybór Boga był wyborem miłości, i pozostaje wyborem miłości. Miłość nie jest racjonalna, miłość nie kieruje się matematyką ani statystyką. Miłość jest czymś, co wpisane jest w nas, co pochodzi od Boga. I ta miłość, która pochodzi od Boga, to była też miłość, która wybrała jeden naród. I oczywiście tego rodzaju wybór musiał się dokonywać kosztem innych narodów. Dlaczego? Dlatego, że tak długo, jak długo istnieje obecny porządek rzeczy, to w tym porządku świata mamy do czynienia z gwałtem i przemocą. Mamy do czynienia z brutalnością i agresją.

Na czym polega obecność Boga w tym porządku? Na tym, że nawet przemoc i gwałt uczynił narzędziem urzeczywistniania swojego planu zbawienia.

Ktoś mógłby powiedzieć: a czy ten porządek jest dobry,właściwy? Czy tak powinno być, że w świecie istnieje gwałt i przemoc? Czy Bóg nie mógłby urządzić świat inaczej? I odpowiedź jest znów banalnie prosta i dlatego bardzo trudna: mianowicie nie zawsze tak było! Bóg stworzył świat dobry. Bóg powołał świat do istnienia bardzo dobry. Czytamy w opowiadaniu o stworzeniu świata i człowieka, w tym pięknym poetyckim hymnie, że „wszystko, co Bóg uczynił, było bardzo dobre". Ale w ten świat wdarł się nieporządek. A nieporządek stanowił cenę, jaką świat i człowiek zapłacili za wolność, a dokładniej — nie za wolność, tylko za zły użytek z wolności. To grzech człowieka wprowadził do świata zamęt, to grzech czyli nieposłuszeństwo wobec Bożych przykazań, które pochodzi ze złego wyboru wolności, spowodowało zamęt, którego ceną jest także gwałt i przemoc. Na początku jednak było inaczej. A prorok Izajasz i Apokalipsa mówią, że na końcu również będzie inaczej. U proroka Izajasza mamy tę piękną wizję mesjańską, kiedy to (Iz 11, 6):

> wilk zamieszka wraz z barankiem,
> pantera z koźlęciem razem leżeć będą,

kiedy nie będą już czuć strachu ani lęku, kiedy nie będą zasadzać sideł ani pułapek, kiedy nastanie harmonia i pokój. Zatem początek był zdziałany przez Boga, i koniec zostanie zdziałany przez Boga. A to, co jest w środku, to jest ta doczesność, w której główny głos — i to jest pewien paradoks — należy do człowieka. I ceną ludzkiej wolności są wojny, są przemoce, są konflikty, są gwałty. I tak będzie tak długo, dopóki Bóg tego porządku nie przemieni. I dlatego, powiada św. Paweł (Rz 8), że to nie jest tylko sprawa człowieka, tylko „cały świat jęczy w bólach rodzenia, oczekując przybrania ludzi za synów Bożych".

A więc kiedy sytuacja człowieka będzie inna, kiedy człowiek się nawróci do Boga, to i dla całego świata będzie ulga. A na razie — są konflikty, są wojny. I tam pomiędzy Izraelitami i mieszkańcami Jerycha istniał konflikt. W tym konflikcie ktoś musiał zwyciężyć, i ktoś musiał przegrać. Ten konflikt należy do tej sceny doczesności, która właśnie jest taka. I nie można mieć wizji pacyfistycznej, że będzie inaczej. Bo nigdy tak długo, jak długo panuje w świecie nieporządek i grzech, nie będzie inaczej. Otóż jedni będą żyli kosztem drugich. Natomiast zadaniem tych, którzy wyznają Boga, jest tylko zmniejszać to panowanie zła i gwałtu w świecie.

Mamy więc z jednej strony ludzi, którzy snują swoje plany, i z drugiej strony Boga, który snuje swój plan. I zapowiada, że to Jerycho, którego mieszkańcy polegają na sobie i są przekonani o tym, że miasto nigdy nie zostanie zdobyte, zostanie jednak zdobyte przez Izraelitów (Joz 6, 3-4):

> Wy wszyscy, uzbrojeni mężowie, będziecie okrążali miasto codziennie jeden raz. Uczynisz tak przez sześć dni. Siedmiu kapłanów niech niesie przed Arką siedem trąb z rogów baranich. Siódmego dnia okrążycie miasto siedmiokrotnie, a kapłani zagrają na trąbach.

Najlepiej byłoby, gdybyśmy ten fragment postanowili zilustrować, tzn. gdybyśmy postanowili go np. zagrać tak, jak się gra w teatrze, albo narysować. Zauważmy, że myśl jest tutaj przedziwna. Mianowicie mamy to miasto, miasto silnie obwarowane, a Bóg powiada: «Codziennie będziecie obchodzić to miasto jeden raz w procesji. Natomiast siódmego dnia obejdziecie aż siedem razy. Proszę zauważyć: siedmiu kapłanów, siedem trąb, siedem dni, siedem razy. Jest nacisk na cyfrę

siedem. Otóż całe Pismo Święte i ludzie starożytnego Bliskiego Wschodu myślą bardzo symbolicznie, bardzo obrazowo. Dla nas skoro „siedem" — my to bierzemy jak na wadze. Dla nich — to są symbole. Siedem, jak wiemy, jest cyfrą doskonałości, jest cyfrą oznaczającą pełnię, jest cyfrą oznaczającą sukces, pomyślność, przekonanie o tym, że coś na pewno dojdzie do skutku.

Zatem w tym opowiadaniu mamy mniej więcej myśl taką. Miasto jest obwarowane. I są przekonani o własnej samowystarczalności. Ale Ja jestem Bogiem — zwraca się Bóg do Izraelitów. A skoro tak, polecam wam robić te rzeczy po siedem razy, i zaufajcie Mi! Pełnia, że tak powiem, sukcesu, pełnia zwycięstwa, doskonałość, jest po Mojej stronie.

Popatrzmy, że mamy z jednej strony potęgę militarną, poleganie na sobie, a z drugiej strony Bóg wymaga od Izraelitów zaufania. Bóg wymaga od Izraelitów wiary. I naprzeciwko siebie stają dwa światy: ten świat uzbrojony i polegający na sobie — a z drugiej strony świat zaufania, świat wiary. Z jednej strony, można by powiedzieć, staje polityka, natomiast z drugiej strony staje liturgia. Można by na początku tego opowiadania powiedzieć tak: przecież Izraelici mogli by ten rozkaz Boży, to polecenie uznać za bezsensowne. Co za sens ma okrążanie miasta, dzisiaj jeden raz, i jutro jeden raz, i pojutrze jeden raz, i czwartego dnia jeden raz, i piątego też, i szóstego znowu, a siódmego siedem razy okrążać? Przecież to jest polecenie bez sensu, można by powiedzieć. Co może przynieść liturgiczna procesja, bo o taką tutaj chodzi, kapłanów, którzy dmą w rogi baranie — szofary? Co może uczynić złego albo sprawić skutecznego miastu, które jest tak obronne?

I tu dochodzimy do pierwszej prawdy takiej, która dla nas, dzisiaj, może być ważna. Mianowicie że spotkaniu ze ślepą siłą, z przemocą, z gwałtem, również z egoizmem, z pychą, wydaje się, że religijność i wiara nie ma wielkich szans. Wydaje się, że te możliwości, które niesie ze sobą wiara, nie są wielkie. Że ci, którzy polegają na sile i na potędze, że to oni są pewniejsi siebie. A to opowiadanie kieruje naszą myśl na to, żeby nigdy się nie poddawał. Nigdy nie sądź, że wiara jest czymś małym. Wiara czyni cuda, wiara przynosi sukcesy, których się nie spodziewasz. Zatem człowiek głębokiej wiary może bardzo wiele. Posłuchajmy dalej (Joz 6, 5):

> Gdy więc zabrzmi przeciągle róg barani i usłyszycie głos trąby, niech cały lud wzniesie gromki okrzyk wojenny, a mur miasta rozpadnie się na miejscu i lud wkroczy, każdy wprost przed siebie».

Tej wizji potęgi, polityki, Bóg przeciwstawia wizję wiary. Zatem będzie to starcie dwóch światów. W tym starciu, w tym konflikcie ktoś przegra, ktoś wygra. Możemy powiedzieć tak. Że Izraelici na tym etapie mogli powiedzieć, że ta procesja, którą Pan Bóg im poleca, ta liturgia, którą nakazuje im celebrować, jest do niczego. Proszę zauważyć, że jest to również test dla czytelnika. Bo jeżeli czytelnik nie wie, co wydarzy się później, jeżeli czyta on tekst po raz pierwszy, myśli sobie: po co, o co tu właściwie chodzi? Co za żart Boga?

I w pewnym sensie jest to żart Boga. I w pewnym sensie trzeba się liczyć, że także w naszym życiu Pan Bóg sprawia nam rozmaite figle. Myśmy przyzwyczaili się do idei Boga, do wizerunku Boga, jako Kogoś spokojnego a nawet posępnego, smutnego i poważnego. Wizerunek Boga nam się jawi jako wizerunek sędziego, który zajmuje się trudnymi sprawami, i zapewne po części tak jest. Ale Bóg potrafi być również figlarny w stosunkach z człowiekiem. Potrafi się nami zabawić. Powiedzieliśmy kiedyś wielokrotnie, że także metodą na to, żeby człowiek mógł podejść do swojego życia, żeby mógł to życie podjąć, przemienić, stawić czoła rozmaitym trudnościom, jest pewna doza humoru. Że jest to jedyna odpowiedź, jaką możemy mieć w sytuacjach, które są kryzysowe i które są bardzo trudne. Że jeżeli wobec czegoś jesteśmy bezsilni, to wtedy jedyną odpowiedzią powinien być pewien wewnętrzny dystans. I wiara uczy nas takiego wewnętrznego dystansu, wiara daje nam okazję do tego, aby przetestować swoje poczucie humoru. (Joz 6, 6-7):

> Jozue, syn Nuna, wezwał kapłanów i rzekł im: «Weźcie Arkę Przymierza a siedmiu kapłanów niech weźmie siedem trąb z rogów baranich przed Arką Pańską». Po czym rozkazał ludowi: «Wyruszcie i okrążcie miasto, a zbrojni wojownicy niech idą przed Arką Pańską».

Bóg poleca Jozuemu, Jozue poleca ludowi. Proszę zauważmy na pierwszym etapie, że Jozue mógł zwątpić, na drugim etapie — lud mógł nie odpowiedzieć na polecenie Jozuego. Otóż wiara zakłada

zawierzenie. To zawierzenie ma rozmaite swoje liczne szczeble i odniesienia. My w życiu bardzo często szukamy pewności. Ale pewność nie jest jedyną rzeczywistością, która nasze życie określa. Czasami, często trzeba się zdać na niepewność, jaką życie ze sobą niesie. Jasna sprawa, że można przegrać. Ale bardzo prawdopodobne jest, że można też i wygrać. To jest trochę tak, jak w tym żydowskim kawale — a przecież Biblia powstawała w świecie żydowskim i to myślenie jest tutaj obecne. A ten kawał brzmi mniej więcej tak. Że oto uczony i pobożny Żyd przychodzi na modlitwę, i ma do Boga pretensję. Pretensję o to, że wszyscy dookoła wygrywają pieniądze, duże pieniądze, a on nic. I w pewnym momencie Bóg mu odpowiada to, co odpowiedzieć powinien: „przynajmniej kup los". I to jest właśnie ta sprawa, na którą w życiu trzeba zwrócić uwagę. My mamy pretensje do Boga i do innych, mamy pretensje o to, że w gruncie rzeczy sami niczego nie ryzykujemy. Że chcemy mieć absolutną pewność, również w tych sprawach religijnych i wiary. Jeżeli niczego nie ryzykujemy, to niczego też nie osiągamy. Tylko ten człowiek, który w stosunkach, układach z Bogiem, potrafi zdać się również na tę odrobinę niepewności, tylko ten człowiek może osiągnąć swój cel. Gdyby Izraelici nie chcieli ryzykować takiego właśnie nieracjonalnego zachowania, być może nigdy nie osiągnęliby tego celu. Zatem Pan Bóg potrafi nam spłatać rozmaite figle. Dlaczego? Czy dlatego, żeby się z nami bawił? Nie, to jest bardziej nam potrzebne, aniżeli Jemu. Posłuchajmy dalej:

> I stało się, jak Jozue rozkazał ludowi. Siedmiu kapłanów, niosących przed Panem siedem trąb z rogów baranich, wyruszyło grając na trąbach, Arka zaś Przymierza Pańskiego szła za nimi. Zbrojni wojownicy szli przed kapłanami, którzy grali na trąbach, a tylna straż szła za Arką, i tak posuwano się, stale grając na trąbach.

Słyszymy o tych trąbach, o tej procesji — i tu potrzebna jest bardzo duża wyobraźnia. Bo ten orszak wyglądał mniej więcej tak: straż przednia, kapłani z trąbami, straż tylna, i reszta ludu. Jest to typowa liturgiczna procesja, typowa procesja, jakie są dzisiaj organizowane w świecie chrześcijańskim, katolickim zwłaszcza, kiedy mamy w procesji ustawiony pewien orszak. Zwłaszcza w takiej procesji wielkanocnej — może nie w wydaniu warszawskim, gdzie to wszystko nieco inaczej wygląda, ale w wydaniu, powiedzmy wiejskim. Gdzie mamy procesję rezurekcyjną, tam idą strażacy z trąbami, tam jest Najświętszy Sakrament, tam są ministranci, tam są bielanki, tam jest reszta ludu. A więc pewien szyk procesyjny.

Ktoś mógłby powiedzieć, że mamy zatem taki pewien konflikt pomiędzy siłą a pobożnością. Siła — to są ci w Jerycho, pobożność — to są ci, którzy mają tylko Arkę Przymierza i trąby do grania. Dalej (Joz 6, 10):

> A Jozue dał ludowi polecenie: «Nie wznoście okrzyku, niech nie usłyszą głosu waszego i niech żadne słowo nie wyjdzie z ust waszych aż do dnia, gdy wam powiem: Wznieście okrzyk wojenny! I wtedy go wzniesiecie»

Proszę zauważmy, że zaczynamy czuć, że jest tutaj jakiś podstęp. My patrzymy na to z perspektywy trzech tysięcy lat. Ale niech państwo sobie teraz wyobrażą, jeżeli to jest w ogóle możliwe, mieszkańców Jerycha. Oto są tam gdzieś za murami, w silnie strzeżonym mieście, przekonani o tym, że im nic nie grozi. I widzą dookoła orszak, trąbiących trąbami, a lud idzie cicho. Pierwszego dnia musiało to być straszliwe zdumienie, zaskoczenie i zdumienie. Drugiego dnia — jeszcze większe zaskoczenie i zdumienie. Trzeciego dnia — znów. Ale czwartego dnia zaczyna to usypiać ich czujność. Piątego dnia już przyzwyczaili się do tego, nie zwracają uwagi. Szóstego dnia — tak samo. Czyli proszę zauważyć, że w tym odczuwamy również jakiś podstęp. Jaki — nie wiemy, możemy się tylko domyślać, bo tekst nam wszystkiego nie mówi. I dalej (Joz 6, 11-13):

> I tak Arka Pańska okrążyła miasto dokoła jeden raz, po czym wrócono do obozu i spędzono tam noc. Jozue wstał wcześnie rano, kapłani wzięli Arkę Pańską, a siedmiu kapłanów niosących siedem trąb z rogów baranich szło przed Arką Pańską, grając bez przerwy na trąbach w czasie marszu.

Hałas był — ten trąb, kiedy to kapłani trąbili bez przerwy, ale lud szedł cicho. (Joz 6, 13-14):

> Zbrojni wojownicy szli przed nimi, a tylna straż szła za Arką Pańską i posuwano się przy dźwięku trąb. I tak okrążyli miasto drugiego dnia jeden raz, po czym wrócili do obozu. Przez sześć dni codziennie tak czynili.

Sześć dni powtarzali to samo. Potrzeba byłoby mieć sporą wyobraźnię, żeby próbować to jakby zobaczyć własnymi oczami. (Joz 6, 15):

> Siódmego dnia wstali rano wraz z zorzą poranną

a więc wcześniej, niż kiedykolwiek, (Joz 6, 15-20):

> i okrążyli miasto siedmiokrotnie w ustalony sposób: tylko tego dnia okrążyli miasto siedem razy. Gdy kapłani za siódmym razem zagrali na trąbach, Jozue zawołał do ludu: «Wznieście okrzyk wojenny, albowiem Pan daje miasto w moc waszą! Miasto będzie obłożone klątwą dla Pana, ono samo i wszystko, co w nim jest. Tylko nierządnica Rachab zostanie przy życiu — ona sama i wszyscy, którzy są wraz z nią w domu, albowiem ukryła wywiadowców, których wysłaliśmy. Ale wy strzeżcie się rzeczy obłożonych klątwą, aby was chęć nie ogarnęła wziąć coś z dobra obłożonego klątwą, bo wtedy uczynilibyście przeklętym sam obóz izraelski i sprowadzilibyście na niego nieszczęście. Całe zaś srebro i złoto, sprzęty z brązu i z żelaza są poświęcone dla Pana i pójdą do skarbca Pańskiego» Lud wzniósł okrzyk wojenny i zagrano na trąbach. Skoro tylko usłyszał lud dźwięk trąb, wzniósł gromki okrzyk wojenny i mury rozpadły się na miejscu. A lud wpadł do miasta, każdy wprost przed siebie, i tak zajęli miasto.

Kiedy to czytamy wydawać by się mogło, że wszystko było cudem, że te mury upadły tylko od krzyku Izraelitów. Ale można by się domyślać czegoś innego, kiedyś zwracaliśmy na to uwagę. Otóż w Piśmie Świętym obok wątków, o których nam opowiada, są motywy, i wątki, i pytania, o których nam nie mówi. Pismo Święte zostawia tutaj pole dla domysłu, pole dla fantazji, a także pole dla myślenia. Gdzie tutaj mamy pole dla myślenia? Że ktoś, kto przeczyta ten opis, pyta w gruncie rzeczy o to, co tam się stało. I można domniemywać, że ta historyczna prawda o Jerychu, której my szukamy, wyglądała mniej więcej tak. Jednego dnia okrążano miasto, i oczy obrońców były zwrócone na tych chodzących z procesją. I słyszano tylko głos trąby. A ci dokładnie obejrzeli w tym czasie miasto, zobaczyli, które punkty są najsłabsze. I mogli to zobaczyć zupełnie spokojnie, bo tamci patrzyli na nich z ogromnym zdziwieniem. I drugiego dnia to samo, spenetrowano, jak to miasto wygląda. A trzeciego dnia, wśród tego szumu, zamętu i hałasu, być może zaczęto w tych najsłabszych murach miasta robić jakiś podkop, zaczęto te mury osłabiać. To czwartego dnia to samo, i piątego dnia to samo, i szóstego dnia to samo. A siódmego, kiedy trzeba było dokończyć robotę, wtedy chodzono już siedem razy dookoła i dęto w trąby. I tamci byli straszliwie zdziwieni. Zatem odwrócono uwagę od tego, co się naprawdę działo. A w decydującej chwili, gdy Jozue polecił wznieść okrzyk wojenny, można było te mury w jednym czy drugim miejscu ostatecznie podkopać, osłabić, i one runęły.

Ktoś powie: „To gdzie tu jest cud? Gdzie tu jest Bóg?" Otóż cud jest w tym, że oni wpadli na taki pomysł. Bo również same nasze myślenie, to, co od nas zależy, może być cudem. Otóż Pan Bóg działa cuda zwłaszcza wtedy, gdy my zadbamy o to, aby nasza działalność przynosiła owoce, aby była bardziej skuteczna. To nie jest tak, że gdy czekamy na cudowności ze strony Pana Boga, to one przychodzą w sposób całkowicie od nas niezależny. Pan Bóg miłuje tych, którzy z Nim współdziałają, którzy z Nim współpracują. Czyli jeżeli chcemy coś od Boga otrzymać, to trzeba Panu Bogu pomóc.

I proszę zwrócić uwagę, że to myślenie jest w księgach Pisma Świętego bardzo często obecne. Że wiara nie zwalnia nas ani od odpowiedzialności, ani od pomysłowości, ani właśnie od myślenia. Że w wierze potrzebne jest to, żeby człowiek również umiał brać sprawy w swoje ręce, a dzięki temu żeby mógł pomóc Bogu w tym, żeby wsparł go w jego potrzebach. Skoro tak, to każdej wierze religijnej spotyka się zawierzenie, ale jednocześnie spotykają się nasze możliwości, których nigdy zaniedbać nie wolno. I jeżeli czytamy Księgę Jozuego, to ten wątek, to ten motyw pojawia się bardzo często. Że tam widzimy, oglądamy rozmaite postacie, rozmaite osoby, które biorą sprawy w swoje ręce, i które realizują to, do czego zostały powołane, o czym myślą, które troszczą się o to. Zatem jeżeli tak można powiedzieć, Bóg przychodzi z pomocą wtedy, bo oni sami o to dbają.

Według takiego właśnie klucza, według tego sposobu myślenia została opracowana i napisana dla nas Księga Sędziów. Jest to księga wielce osobliwa. Proszę państwa, ja pamiętam, że gdy czytałem ją po raz pierwszy bardzo dawno temu, to miałem z nią bardzo duże kłopoty. Była to taka księga, której w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, tzn. nie mogłem dojść do tego, o co

właściwie w niej chodzi. Bo nie ulega wątpliwości, że w Księdze Sędziów mamy opowiadania, ale opowiadania z gatunku takich folklorystycznych, z gatunku takich opowiadań ludowych. Mamy tutaj, przypomnijmy, opowiadania o dwunastu sędziach, przy czym sześciu zostało potraktowanych bardzo krótko, tylko wymienieni są z imienia. Natomiast pozostałych sześciu sędziów, ich życie, ich dokonania, ale także ich porażki, zostało opisane bardzo obszernie. Niektórym poświęcono mnóstwo uwagi, takim jak Gedeon, jak Jefte, jak Samson. Otóż kiedy państwo sięgną po Księgę Sędziów, to żeby zrozumieć tę Księgę — chociaż „zrozumieć" to nie jest dobre słowo, tylko żeby przyswoić sobie tę Księgę — to chyba trzeba wczuć się w taką mentalność, która nie jest mentalnością ludzi miasta, nie jest mentalnością Europejczyków, nie jest mentalnością historii i historyków, tylko jest dla przykładu mentalnością wiejską, mentalnością ludzi prostych. Takie opowiadania jak te, jakie znamy z folkloru ludowego.

Otóż Księga Sędziów jest księgą, pod wieloma względami, takich właśnie ludzi prostych. Problem polega na tym, że nie jest czytana. Nie jest czytana przez tych, którzy wymagają i poszukują więcej, i nie jest czytana przez tych, którzy poprzestają na tym, co mniejsze. Jest to jedna z najbardziej zaniedbanych ksiąg w całym Piśmie Świętym. I właściwie można by powiedzieć coś więcej. Że każdy z nas podchodzi do tej księgi i czyta ją inaczej. I każdy z nas po jej przeczytaniu będzie miał zupełnie inne odczucia, czy zupełnie odmienne odczucia. Są tacy, którym ta księga się podoba. Są inni, którzy z ulgą oddychają, że ona się już skończyła, że jej lektura się skończyła. Ale w tej księdze jest pewien znamienny, powtarzający się schemat. I państwo bardzo łatwo ten schemat znajdą. Mianowicie mamy sytuację pomyślności, kiedy wszystko układa się dobrze. I nagle następuje pewien wyłom, tzn. grzech, nieposłuszeństwo. Wobec tego grzechu, nieposłuszeństwa przychodzi kara. Narzędziami tej kary są choćby sąsiednie ludy i narody: Ammonici, Moabici, Filistyni, Kananejczycy, którzy stają się narzędziami kary wobec Izraelitów. Bóg powołuje wtedy tzw. *sędziego,* po hebrajsku szofet. On sądzi i rozstrzyga, ocenia i prowadzi. Sędzia przywraca ustalony porządek taki, jaki być powinien. I z powrotem następuje harmonia, z powrotem następuje dobrobyt. A potem znowu następuje grzech, i znowu kara, i znowu wybawiciel. I tak bez przerwy.

Otóż w tym schemacie Księgi Sędziów, który został zilustrowany później przykładami wziętymi z folkloru, mamy do czynienia jak mi się wydaje, jeżeli intuicja w czytaniu Księgi Sędziów jest dobra, z wyrażeniem czegoś, co dotyczy każdego z nas. Mianowicie jest tutaj pokazany los pojedynczej osoby, los każdego człowieka, ale także los każdej zbiorowości ludzkiej, choćby takiej, jak naród. A ten los przypomina pewien cykl. Mianowicie chcemy być dobrzy i jesteśmy dobrzy, ale przychodzi czas słabości, czas upadku i grzechu, i trzeba ponieść konsekwencje zła, którego się dopuściliśmy. Ale zawsze istnieje możliwość poprawy, i zawsze istnieje możliwość nowego początku i zaczynania od nowa. I znów jesteśmy dobrzy, i znów przychodzi pokusa, i znów upadamy, i znów ponosimy konsekwencje, i znów wracamy. Zatem życie człowieka i życie zbiorowości to jest nieustanne nawrócenie, nawracanie się. Czyli życie ludzkie nie jest jakąś stagnacją, nie rozwija się po linii prostej, ale rozwija się jakby cyklicznie, powtarza się. Dlatego człowiek nie powinien się zniechęcać tym, że upada. Ani też człowiek, który dopuścił się jakiegoś zła, nie powinien sądzić, że w tym złu już będzie musiał tkwić. Ale też człowiek dobry niech nie sądzi, że jego sytuacja jest absolutnie nieodwracalna. Otóż w życiu te dwie strony przeplatają się ze sobą. W życiu istnieje to nieustanne napięcie, to nieustanne zmaganie się, ta biegunowość. Nie jesteśmy więc tylko dobrzy albo tylko źli, ale od nas samych zależy, co z naszym życiem zrobimy. I mamy w Księdze Sędziów ten nieustannie powtarzający się schemat. A ten schemat został pokazany bardzo obrazowo. Mamy przygody choćby Debory i Baraka. Też tutaj mamy tu do czynienia z przedziwną ironią, z kpiną wręcz. Bo proszę posłuchajmy. Jest sytuacja zagrożenia dla Izraelitów, jest sytuacja napaści ze strony wrogów, a to jest kara za zły sposób życia. I wtedy Izraelici zwracają się do mężczyzny, do Baraka, i powiadają: „Prowadź nas przeciwko naszym wrogom!" Ale on się lęka, on nie widzi możliwości pokonania tych wrogów. On nie widzi możliwości odmiany sytuacji. I kiedy on jest bezsilny — na czele narodu, na czele Izraelitów, staje kobieta, Debora. I to przez jej ręce przychodzi zwycięstwo . Raz jeszcze okazuje się, że większą siłę ma zawierzenie, niż pewność siebie, bądź też niepewność. Że większą siłę ma człowiek przekonany o tym, że coś da się zrobić, niż ktoś, kto albo jest przekonany o własnej samowystarczalności, albo też przekonany o tym, że niczego nie potrafi i nie uda mu się zrobić.

Gdy czytamy te opowieści powinniśmy zwracać uwagę nie tylko na te elementy folkloru, które tam są, ale także na przejawy głębokiej prawdy o każdym człowieku. Bo w każdym z nas jest coś

z Debory, jest coś z Baraka, coś z Jeftego, coś z Samsona, coś z Gedeona itd. Otóż te postacie są bardzo malownicze. I można by je porównać — myślę, że nie popełniam tutaj wielkiego błędu — do wiejskich opowiadań o siłaczach, co to jednym klaśnięciem potrafił świecę zgasić, co to potrafił czegoś tam dokonać wielkiego, oczywiście na miarę tej wioski albo gminy najwyżej, kto był znany ze swojej urody bądź ze swego stylu życia, ze swojej siły, albo ze swojej przemyślności. Teraz już takich opowiadań nie ma, nawet na wsiach nie ma, bo telewizja zabiła wszystko czy prawie wszystko, zabiła też wyobraźnię. Ale jeszcze do niedawna one były.

Co z tego wynika? Że narzędziem przekazywania prawdy o człowieku, i narzędziem przekazywania prawdy o stosunkach między Bogiem i człowiekiem może być również folklor, i taki sposób myślenia.

Zatem, i to jest pointa dzisiejszego rozważania, Księga Jozuego i Księga Sędziów uczy nas, że istnieją co najmniej dwa sposoby myślenia o Bogu. Jeden to jest erudycyjny, to jest oparty na intelekcie, na wykształceniu, oparty na mądrości, na filozofii. I z tym mamy do czynienia w gruncie rzeczy w całym Pięcioksięgu. Ale istnieje również inny sposób wyznawania Boga, to jest sposób wyznawania Boga przez ludzi prostych, sposób wyznawania Boga można by nazwać folklorystyczny. Jest to coś, co dzisiaj nazwaliśmy *pobożność ludowa.* Księgi Sędziów nie czyta się albo czyta się bardzo rzadko dlatego, że na ogół nie potrafimy cenić właśnie tej pobożności ludowej. Że nie potrafimy cenić tej drugiej strony życia, jaką jest właśnie folklor i rozmaite tradycje, obyczaje czy obrzędy. A one też przynależą do sfery religii i one też znajdują swoje ujście w wierze.

Można zatem, jeżeli chcemy rzecz uwspółcześnić, powiedzieć tak. Można opowiadać o Bogu na sali akademickiej. Można opowiadać o Bogu i o czytaniu Biblii tak, jak teraz dla państwa, którzy myślicie w sposób bardzo głęboki. Ale istnieje też pobożność inna. Ta pobożność babci, ta pobożność kapliczki, pobożność ludowa, pobożność procesji gdzieś tam w Kadzidle, w Myszyńcu czy na Podbeskidziu. Pobożność ludzi, którzy nie rozumieją, a mimo to wierzą i przyjmują Boga bardzo na serio. Istnieje pobożność tych, którzy potrafią zracjonalizować swoją wiarę, ale istnieje pobożność takich właśnie wiejskich osiłków, którzy wyznają Pana Boga, i wyznają wiarę w Niego w sposób, który nam może się wydawać śmieszny.

Proszę zwrócić uwagę zatem, że Księga Sędziów dotyka bardzo ważnej sprawy. Nam tę sprawę trudno jest zrozumieć, bo zbyt rzadko się nad nią zastanawiamy. Ale ta sprawa, ta biegunowość miała również swoje znaczenie w naszych czasach.

Mianowicie mówiło się o Kościele w Polsce, że on jakby znajduje się pomiędzy dwoma biegunami. To jest Kościół kardynała Wyszyńskiego, o którym mówiono, że jest Kościołem masowym, Kościołem ludowym, Kościołem folkloru. I mówiono, że obok tego Kościoła ludowego istnieje Kościół elit, istnieje Kościół czasopism, tygodników, telewizji. Nawet próbowano związać ten Kościół z kardynałem Wojtyłą. I przeciwstawiano sobie tych dwóch kardynałów; jeden dla mas, drugi dla elit. Religijność ludowa, religijność kapliczki — i religijność wyrafinowana. Na pewno religijność Księgi Jozuego i Sędziów jest to religijność ludowa. Ale ona też znalazła się na kartach Biblii.

I nawet jeżeli ta religijność, z jaką mieliśmy do czynienia w naszych czasach, była ludowa i pozostaje ludowa, to z całą pewnością ona przeszła bardzo trudną próbę — i wyszła zwycięsko. Bo co się okazało? Bądźmy szczerzy. W chwili decydującej próby to nie intelektualiści zdali egzamin z wiary, tylko ludzie prości. A intelektualiści bardzo często zeszli na manowce, i to dalekie manowce. Natomiast ten prosty człowiek ustrzegł wiary przed kapliczką, i śpiewając na majowym nabożeństwie, obnosząc chorągiew czy jakąś figurkę, i trwając wiernie przy tym, z czego tamci się śmiali. Ale tamci odrzucając folklor, bardzo często zdarzało się, że odrzucali również wiarę, podczas gdy ci ludzie prości za tymi pierwiastkami folkloru mieli bardzo głęboką wierność wobec Boga. I zwrócił na to uwagę również kardynał Karol Wojtyła — Jan Paweł II, kiedy powiedział w początkach swojego pontyfikatu znamienne słowa. Że w Polsce wiara po drugiej wojnie światowej przetrwała nie dzięki uczonym i intelektualistom, ale dzięki ludziom prostym. Bo właśnie ci ludzie prości przede wszystkim starali się o to, aby ona była ona zawsze żywa.

Jeżeli w tym świetle państwo przeczytają te księgi, myślę że zrozumiemy zarówno ich przesłanie, jak zrozumiemy coś, co nadal pozostaje bardzo ważne. A to przesłanie brzmi mniej więcej tak.

Są różne drogi do Boga, różne sposoby dochodzenia do Boga. I one wszystkie prowadzą w jednym kierunku, jeżeli pochodzą z głębi prawego ludzkiego sumienia. I jedni poszukują Boga i znajdują Go w książkach, czy w medytacji, w rekolekcjach, w studiowaniu gwiazd, w podróżach kosmicznych,

albo w refleksji nad człowiekiem. Drudzy nigdy takich możliwości intelektualnych i poznawczych mieć nie będą. Oni dochodzą do Boga w sposób bardzo prosty. Nie wolno jest gardzić tymi drugimi. Nie wolno jest uważać, że ten człowiek prosty wierzy gorzej, niż my. On wierzy inaczej. A jeżeli wierzy inaczej, trzeba tę jego wiarę uszanować. Są więc tacy, którzy organizują sympozja i wielkie konferencje teologiczne, i na nich dyskutują. Ale są tacy, którzy przez wiele dni, miesięcy i lat przygotowują wielkie palmy na procesję w Niedzielę Palmową, którzy przygotowują zwyczaje wielkanocne i bożonarodzeniowe. W maju, jadąc samochodem, możemy zobaczyć po drodze kobiety, dziewczęta, mężczyzn, dzieci, którzy gdzieś tam pod kapliczką modlą się i śpiewają do Boga litanię. To też jest droga do Boga. Nie wolno tej drogi folkloru, tej drogi ludowej, uważać za gorszą. Bo to tak, jakbyśmy z ksiąg Pisma Świętego usunęli Księgę Jozuego i usunęli Księgę Sędziów. Te księgi pokazują nam doniosłość tej właśnie formy religii, jej wartość.

Myślę, że sprawa, którą podjęliśmy, jest bardzo ważna. Bardzo ważna zwłaszcza teraz, w maju. Bo w czasie, w którym mamy nabożeństwa majowe, a potem czerwcowe, chyba najmocniej widać ludowy, folklorystyczny wymiar religii. I jeżeli o tym pamiętamy, to jak myślę uczy nas nieco pokory — nas, którzy żyjemy inaczej. A z drugiej strony pokazuje, że życie ludzi wierzących i życie Kościoła jest bardzo bogate. Bo do Boga, i niech to będzie pointa, można dochodzić drogą rozumu. I są tacy, którzy całe życie trawią w bibliotekach odkurzając książki, których długo przed nimi nikt nie czytał.

Ale do Boga można dochodzić również drogą uczucia, kiedy człowiek rozumie mniej, ale czuje więcej. I taka jest ta droga religijności ludowej, taka jest ta droga Gedeona, Samsona, Jeftego. Droga, w której człowiek buntuje się przeciwko Bogu w sposób śmieszny, ale w której jednocześnie ufa Panu Bogu bardziej, niż ktokolwiek inny.

To jest jakby próbka, jakby pryzmat, przez który serdecznie radziłbym państwu przeczytać tę księgę. Ale przeczytać nie tylko po to, aby ją zapamiętać i żeby zrozumieć coś z tego, co się wtedy działo, lecz przeczytać ją również po to, aby być może w nowy sposób spojrzeć na prostą wiejską kobietę, na zwyczajnego prostego mężczyznę, na dzieciaka, który z oddaniem się modli w sposób dla nas niedostępny. Na starą kobietę która odmawia różaniec i pewnie nie bardzo sobie zdaje sprawę z tego, co robi. Na wiejską kapliczkę. Na krzyż, który został przystrojony. Na jakieś girlandy, które ludzie robią przed kościołem, którymi ozdabiają swoje domy.

To wszystko też jest sposób na dochodzenie do Boga. Sposób ani lepszy od tego rozumowego, ani gorszy — tylko po prostu inny. I w Biblii mamy też tę rozmaitość obok siebie. Nie wbrew sobie — ale właśnie ze sobą i obok siebie.

Dziękuję państwu bardzo serdecznie. Na następne, ostatnie nasze spotkanie w tym roku bardzo gorąco zapraszam za cztery tygodnie, czyli w poniedziałek 5 czerwca. Dziś dziękuję bardzo z nadzieją, że nie był to czas stracony.

Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

2.9 Pierwsza Księga Samuela (dn. 5 czerwca 2000)

Bardzo, bardzo serdecznie witam państwa ostatni raz w tym roku, nazwijmy go akademickim bądź szkolnym dlatego, że mamy już prawie wakacje. Młodzież młodsza prawie ma już wakacje, natomiast studenci mają egzaminy. Państwu też by się przydał egzamin, albo co najmniej jakaś taka kartkówka z tej wiedzy, która była. Kto wie, czy nie miało by sensu zrobić kartkówkę po to, żeby zebrać te bogate doświadczenia i dać państwu cenzurki do następnej klasy w tych konferencjach biblijnych. Dlatego, że doświadczenie pokazuje, że część z państwa ma wiedzę biblijną naprawdę bardzo dużą. Widać to zarówno w pytaniach, które dowodzą, że te wątpliwości są nie byle jakie, jak też widać to przy innych okazjach, przy rozmaitych spotkaniach z państwem. Można mieć tylko życzenie, aby to wszystko było rozwijane. Dlatego, bo studium Pisma Świętego ma to do siebie, że właściwie trzeba je kontynuować przez całe życie.

I tak dochodzimy do pewnego pytania, które w pewnym sensie jest dla państwa zrozumiałe. Mianowicie dlaczego dzisiejszy człowiek z ogromnym zapałem sięga po Pismo Święte? Na to pytanie próbuję odpowiedzieć również i sobie, i to od wielu lat. I muszę państwu powiedzieć, że chyba dlatego, że w Piśmie Świętym, na jego kartach jest właściwie wszystko. Bo tutaj jest i religia, i wiara — a jak wiemy wiara nie zawsze pokrywa się z religią, można być człowiekiem głęboko wierzącym, ale mniej człowiekiem religijnym, tacy się zdarzają. To znaczy są tacy, którzy wierzą w Pana Boga, i ta wiara wydaje na pewno wielkie owoce w ich życiu, ale nie zawsze łączy się to z jakąś zinstytucjonalizowaną religią, choćby tak piękną, i wzniosłą, i jedyną w swoim rodzaju, jak nasza. Biblia trafia zarówno do tych, którzy głęboko wierzą, jak też do tych, którzy mają, a nawet nie mają jakichś odniesień religijnych. Pismo Święte zawiera bardzo głęboką wiedzę psychologiczną, społeczną, mnóstwo odniesień historycznych, geograficznych, topograficznych. W Piśmie Świętym mamy również okazję do przećwiczenia języków, swojej zdolności pamięci, analizowania, syntezy.

Zatem po Pismo Święte sięgają bardzo różni ludzie, i sięgają z ogromną fascynacją. I ogromna, jeżeli tak można powiedzieć, przygoda intelektualna i duchowa polega na tym, żeby w tego rodzaju grupach, jak nasza, te wszystkie takie zainteresowania wykorzystać a przede wszystkim rozwinąć je tak, żeby uczyć się cierpliwie samodzielnego sięgania po księgi święte. Również z doświadczenia wiem, bo przecież rozmawiam z wieloma z państwa przy najrozmaitszych okazjach, że każdy ma swój ulubiony wątek, każdy ma swój ulubiony epizod biblijny, każdy ma swoją ulubioną postać, i wreszcie każdy ma swoją ulubioną księgę. I kiedy pytamy która księga, postać, bądź jaki wątek Pisma Świętego podoba się najbardziej, to odpowiedzi są bardzo różnorodne. W ten sposób, można by powiedzieć, Pismo Święte odkrywa także coś, co siedzi w nas samych. Dlatego, że człowiek, który systematycznie, albo przynajmniej od czasu do czasu — ale dość często, sięga po Pismo Święte, jest to jednak człowiek inny od pozostałych, i tą inność widać na każdym poziomie naszego życia.

Dzisiaj posuniemy się krok dalej w naszej refleksji. Ona kończy tegoroczne spotkania. Ale chciałbym z jednej strony wziąć się za księgę, która z pewnego punktu widzenia wieńczy, zamyka pewien okres w dziejach biblijnego Izraela, a zarazem otwiera okres nowy. Zanim przejdziemy do tek księgi, chodzi o 1 Księgę Samuela, do której powinni państwo dojść w swojej lekturze, albo być bardzo blisko, musimy sobie powiedzieć coś takiego. Że upraszczając nieco z życiem społeczeństw, z życiem wspólnot, z życiem narodów, a także z życiem wspólnot religijnych jest trochę tak, jak z życiem poszczególnego człowieka. Otóż każdy z nas zaistniał w pewnym czasie. Był czas, kiedy żadnego z nas w ogóle nie było, świat był kompletnie bez nas. Następnie zostaliśmy poczęci w łonie matki i szczęśliwie żeśmy się urodzili. Następnie mieliśmy czas niemowlęcy i lata dzieciństwa. Potem mieliśmy czas młodości — niektórzy z państwa mają ten czas młodości — i czas dorosły, i wreszcie okres starszy. I to jest prawidłowość której zmienić nie sposób, bo ona jest wpisana w samą naturę. Otóż ta prawidłowość jest też wpisana w dzieje ludzkości i w dzieje poszczególnych narodów. Kiedy sięgamy daleko wstecz były czasy, kiedy biblijnego Izraela, tego, który Pan Bóg powołał, w ogóle nie było. Rozważaliśmy te czasy, o nich jest mowa w pierwszych jedenastu rozdziałach Księgi Rodzaju. Mówiliśmy o nich już dawno i kilkakrotnie. Następnie dokonało się coś, co można by nazwać, na wzór człowieczego życia, poczęciem biblijnego Izraela. To było wraz z powołaniem Abrahama. Jeszcze nie było Izraelitów, bo Abraham był tym protoplastą, był pierwszym, był praojcem. Dopiero się zanosiło na to, można by powiedzieć, że w jakimś sensie w swoim ciele on i Sara nosili dopiero tę możliwość, która się ziściła w ich synu Izaaku, a potem wnuku Jakubie. I oto ten Jakub w walce

samotnej z Bogiem nad potokiem Jabbok, dzisiaj to jest w Jordanii, otrzymuje nowe imię. I to imię brzmi Izrael. Można by powiedzieć, że jest to prototyp tych narodzin. I potem, te narodziny tak na dobre następują wraz z Mojżeszem, czyli w Księdze Wyjścia. Izrael biblijny konstytuuje się jako naród — przestaje być gromadą niewolników, natomiast staje się świadomym swojej misji narodem. Oczywiście ta świadomość przychodzi bardzo trudno, tak jak dziecku jest bardzo trudno poznawać i rozumieć świat. I kto z państwa przebrnął przez Księgę Wyjścia, widział doskonale jakie problemy miał ten, którego słusznie można uznać za ojca biblijnego Izraela, to znaczy Mojżesz. Jak cierpliwie wychowywał tych Izraelitów, jak przy tym miał różne porażki, rozmaite klęski. I tak dochodzimy do ważnego sformułowania, że klęski, upadki, porażki, trudności są częścią naszego życia — ich nie unikniemy. Natomiast najważniejszą rzeczą jest to, co my z nich zrobimy. Bo może się okazać, tak jak nazwała to kiedyś Kossak-Szczucka, że grzech, wina okazuje się błogosławiona. Więc i tam mamy rozmaite upadki, ale mimo wszystko ten biblijny Izrael, jak pamiętamy z Księgi Kapłańskiej i Księgi Liczb, ten biblijny Izrael otrzymuje prawa, przepisy, rozporządzenia, pewien rygor, dzięki którym ma stać się sobą. Oczywiście ten rygor dzisiaj wydaje się nam bardzo trudny, wydaje się nam czasami śmieszny. Próbowaliśmy, jak państwo zapewne pamiętają, ukazać sobie sens tych przepisów, które są w Księdze Kapłańskiej. Które dotyczą np. składania ofiar, wyrabiania ofiar, sposobu składania na ołtarzu, które dotyczą oczyszczania domów, życia ludzkiego ze wszystkimi jego subtelnościami, i spróbowaliśmy sobie pokazać, że całe życie świeckie jest w gruncie rzeczy życiem świętym, religijnym. W ten sposób ta granica pomiędzy świeckim a świętym w gruncie rzeczy nie istnieje i że cały człowiek, taki jaki jest, wychwala Pana Boga, i stara się uchronić, jeżeli tak można powiedzieć, przed tym, co najgorsze.

Potem Mojżesz odchodzi, Mojżesza nie ma. Zastępuje go ktoś nowy. Można by powiedzieć, że wraz ze śmiercią Mojżesza kończy się to dzieciństwo Izraela. Izraelici muszą stanąć na własnych nogach. Stają się w jakimś tego słowa znaczeniu taką młodą społecznością. I Mojżesz zostaje zastąpiony przez Jozuego. Poświęcona jest mu Księga Jozuego.

Księga Jozuego pokazuje ten biblijny Izrael w zmaganiach walki, starciach, konfliktach. Nie jest nam łatwo czytać tę księgę. Jeżeli państwo mieli trudności podczas czytania jej, proszę pamiętać o jednym. Że także my, którzy, jeżeli tak można powiedzieć, zawodowo wykładamy Pismo Święte i staramy się je pojąć, też mamy z tym trudności. To nie jest tak, że każdy, kto zajmuje się Pismem Świętym, ma gotowe łatwe odpowiedzi na trudne pytania. Nie! Księga Jozuego jest trudna i prowokująca. Dlatego zwłaszcza, że powołują się na nią, szczególnie w dzisiejszych czasach, niektórzy Żydzi, i próbują uczynić z niej podręcznik do dzisiejszego podboju terytorium i do działań politycznych dzisiejszego Izraela. Dlatego jest nam tak bardzo trudno przejść przez tę księgę.

Przyzwyczajeni też jesteśmy do tego, że Bóg jest spokojny, można by powiedzieć: Bóg jest bogiem pacyfistów, tymczasem w Księdze Jozuego ten obraz jest daleki od pokoju, od spokoju. Jest tam sporo przemocy i w związku z tym człowiek wierzący ma i będzie miał z tym trudności, bo one są pochodną tego pytania, które jest tak decydujące o kształcie naszej wiary. Mianowicie: *Jakie jest w ogóle odniesienie i miejsce dla przemocy w świecie, który jest rządzony przez Boga.*

Potem po czasach Jozuego nastąpił czas, który można by nazwać bohaterskim. Tak jak do pewnego stopnia bohaterska jest młodość, taka młodość w ścisłym tego słowa znaczeniu, powiedzmy sobie: ta młodość w wieku poborowym. To byli Izraelici, którzy musieli stanąć na własnej ziemi, zatroszczyć się o nią i zabezpieczyć ją — to był czas sędziów. Temu jest poświęcona Księga Sędziów. Zwróciliśmy uwagę na to, że cały ten epizod z historii Izraela jest opowiadany bardzo różnie, czasami wręcz folklorystycznie, czasami z przymrużeniem oka. Czasami czytamy te opowiadana tak, jak byśmy słuchali opowiadań jakiegoś miejscowego, naszego wiejskiego bohatera, który chwali się, jak to jednym klaśnięciem dłoni potrafi zgasić lampę, albo coś podobnego. Czytamy to z przymrużeniem oka, bo wchodzimy w świat folkloru. Możemy powiedzieć, że wchodzimy w świat ludowy. I próbowałem na poprzednim spotkaniu uczulić państwa na to, że ta religijność i tego rodzaju myślenie jest również uprawnione. Bóg nie jest tylko Bogiem intelektualistów i ludzi, którzy są zdolni do abstrakcyjnego myślenia, lecz Pana Boga wyznają również ludzie prości. Obliczano niedawno, że do tej pory na świecie żyło ok. 80 miliardów ludzi od momentu, kiedy człowiek pojawił się na ziemi. Jeżeli te obliczenia są jakoś bliskie prawdy, to proszę zwrócić uwagę, że z tego 6 miliardów żyje w tym pokoleniu teraz. Nigdy ziemia nie była tak zaludniona, jak jest zaludniona teraz. I na tej ziemi, tak zaludnionej dzisiaj i tak zaludnionej przedtem, ogromna większość ludzi myśli jednak

w sposób ludowy, w sposób pełen folkloru, pełen takich zwyczajnych odniesień. I z tymi ludźmi również należy się liczyć. I myślę, że gdyby te konferencje odbywały się gdzieś na wsi, na jakimś takim, nazwijmy go w cudzysłowie: „Katolickim Uniwersytecie Ludowym", to myślę, że Księga Sędziów tam szczególnie byłaby dobrze przyjmowana, bo to jest mniej więcej ten sam sposób myślenia. Natomiast dla człowieka wykształconego i wychowanego w innych warunkach, ta księga jest, czy może być, czymś trudnym.

Dzisiaj przechodzimy do księgi nowej, a właściwie tylko jedno spotkanie z bohaterem tej nowej księgi. I można by powiedzieć, że oto wkraczamy w wiek dojrzały biblijnego Izraela. Na czym ta dojrzałość polega? Minął bezpowrotnie Mojżesz, nie ma już Jozuego, który był jego następcą, nieomal skończyli się sędziowie, i dochodzimy do około roku 1050 przed Chrystusem. Izraelici, czyli naród Bożego wybrania, powinni wreszcie stanąć na własnych nogach w nowy sposób. I zwróćmy uwagę, że u początków tego nowego okresu jest epizod, który pod wieloma względami daje sporo do myślenia. Mianowicie skończyły się czasy bardzo trudne, a rozpoczną się jeszcze trudniejsze. I na progu tych jeszcze trudniejszych czasów pojawia się ktoś, kto przychodzi na świat w sytuacji jakby bezradności, w sytuacji swoistego niechcenia, w sytuacji, która nie jest zwyczajna ani nie jest normalna, odbiega od normy. Można by powiedzieć, że to opowiadanie daje nam poznać, jak dziwnymi drogami Pan Bóg ludzi prowadzi, ludzi pozyskuje, i jak Bóg buduje na ludzkiej bezradności i na ludzkiej bezsilności. Posłuchajmy tego epizodu, bo aczkolwiek jest on dość dobrze znany to myślę, że parę uwag, które sobie przedstawimy, będzie ważnych. Chodzi o Pierwszą Księgę Samuela, rozdział 1. Czytamy tak (1Sam, 1,1):

> Był pewien człowiek w Ramataim, Sufita z górskiej okolicy Efraima, imieniem Elkana, syn Jerochama, syna Elihu, syna Tochu, syna Sufa Efratyty.

Mamy przedstawienie mężczyzny dlatego, że żydowski sposób myślenia jest to sposób męski, sposób życia — męski, perspektywa — męska, z tego musimy zdać sobie sprawę. Tak jest po dzień dzisiejszy wśród wszystkich ludów semickich. Zarówno Żydzi, jak i Arabowie różnych denominacji różnią się i kłócą ze sobą, ale kłócą się również z męskiej perspektywy. To nie znaczy, że rola czy pozycja kobiety jest tam jakaś bardzo zła, jest tam inna niż w naszym świecie. Stąd cała uwaga koncentruje się na mężczyźnie, i czy nam się to podoba czy nie, musimy wiedzieć że tak również bardzo często jest w Biblii. Ma ona jednak, chociaż koncentruje uwagę na mężczyźnie, również perspektywę specyficznie kobiecą.

I teraz właśnie posłuchajmy jak Biblia zagląda do tego świata kobiet. Zwróćmy uwagę, że na początku został podany mężczyzna z całym swoim rodowodem, ale teraz okazuje się, że to wcale nie on jest bohaterem tego epizodu. Czyli zauważmy, że myślenie Pisma Świętego — można by powiedzieć w cudzysłowie, ale bez wielkiej przesady — jest nieco „przewrotne". Gdyby poprzestać na tym początku, można by powiedzieć, że mamy tu raz jeszcze jakiś swoisty starożytny, a może i współczesny, męski szowinizm. Ale kiedy posuniemy się dalej to zobaczymy, że to wprowadzenie mężczyzny ma tylko ukazać psychikę kobiety. A psychika kobiety będzie ważna, żeby pokazać nam innego mężczyznę, który dopiero się urodzi. I właśnie ten drugi stanie się dopiero bohaterem tej księgi, Księgi Samuela. Zatem nic dziwnego, że Pismo Święte staje się częstą lekturą psychologów, parapsychologów i psychiatrów. I jeżeli państwo znają te książki, choćby najwybitniejszych psychologów i psychiatrów, to bardzo często powołują się oni na Biblię dlatego, bo w księgach świętych znajdują doświadczenia, które powtarzają się w każdym pokoleniu. (1Sam, 1,2):

> Miał on dwie żony:

Myślę, że już nas nie zastanawia sprawa dwóch żon. Wielożeństwo na tym etapie dziejów biblijnego Izraela było czymś zwyczajnym. Po dzień dzisiejszy pozostało jeszcze w świecie arabskim. Arab może mieć co najwyżej cztery żony — pod jednym wszak warunkiem: że może je wszystkie utrzymać. I już tutaj kwestia pewnego wprowadzenia w ten epizod — mianowicie, że obowiązkiem męża jest takie traktowanie wszystkich żon, żeby jedna nie była zazdrosna o drugą, żeby jedna nie cierpiała z powodu drugiej. Na to kładzie się ogromny nacisk, trzeba o tym wiedzieć. Proszę zauważyć zatem, że położenie takiego Araba wcale nie jest łatwe — że musi on nieźle kombinować, jeżeli

ma dwie, trzy czy cztery żony, żeby jakoś balansować na granicy psychologicznie równouprawnionej dla każdej z żon. Coś podobnego będzie tutaj.(1Sam, 1,2-3):

> Miał on dwie żony: jednej było na imię Anna, a drugiej Peninna. Peninna miała dzieci, natomiast Anna ich nie miała. Corocznie człowiek ten udawał się z miasta swego do Szilo, aby oddać pokłon i złożyć ofiarę dla Pana Zastępów. Byli tam dwaj synowie Helego: Chofni i Pinchas - kapłani Pana.

Proszę państwa, kiedy dzisiejszy człowiek czyta ten fragment, to myślę, że nie do końca czuje pewne napięcie, które w tym fragmencie jest obecne. Mianowicie położenie tych żon: jedna miała dzieci, druga dzieci nie miała. Ja nie potrafię powiedzieć, bo niestety dzisiaj mniej się o tym otwarcie pisze, czy dla współczesnej kobiety brak dzieci jest jakimś dramatem, jest jakąś trudnością? Domyślam się, że w niektórych przypadkach jest wielkim kłopotem, wielką potrzebą, i że tej potrzebie stara się kobieta na rozmaite sposoby sprostać.

Ale trzeba również z drugiej strony powiedzieć, że dzisiaj, w takim przynajmniej obiegowym sposobie myślenia, zwłaszcza wiele dzieci nie jest specjalnie na czasie. I powiedzmy, dziecko w naszej kulturze, nawet więcej — w naszej religii, nie jest postrzegane aż z taką ostrością jako swoisty dar, jak w dawnym świecie starożytnym czy dzisiejszym świecie semickim. Ta rażąca różnica pomiędzy tym, co mamy u siebie, a tym, co dzieje się w rejonie Bliskiego Wschodu, w Afryce Północnej, przejawia się w tym, że wiele osób spośród państwa, które tam się udają, mają pierwsze spostrzeżenie: „Boże, ile tu jest dzieci! Ile tu jest dzieci na ulicach, ile tu jest dzieci przy domu!" itd, itd. I po Warszawie można chodzić — i nie słyszy się specjalnie jakiegoś gwaru dzieci, że dużo dzieci jest zebranych w jednym miejscu. Natomiast jak się chodzi po Jerozolimie czy Kairze, to bez przerwy te dzieci widać i słychać. A szkołę słyszy się z odległości stu metrów — już wiadomo, że tam są dzieci. Tam sprawa posiadania dzieci jest postrzegana zupełnie inaczej.

I proszę zauważyć, że ta trudność, jaką mamy w czytaniu Pisma Świętego, polega bardzo często na tym, że nasza mentalność jest inna, jest odmienna, i nie zawsze potrafimy cenić to, co jest cenione na kartach Pisma Świętego. (1Sam, 1,4-5):

> Pewnego dnia Elkana składał ofiarę. Dał wtedy żonie swej Peninnie, wszystkim jej synom i córkom po części ze składanej ofiary. Również Annie dał część, lecz podwójną, gdyż Annę bardzo miłował, mimo że Pan zamknął jej łono.

Zobaczmy, że ten mąż Elkana stara się zręcznie i sprawiedliwie lawirować. Jedna, Peninna, ma synów i córki, więc mąż i ojciec składając ofiarę daje każdemu dziecku także część tej ofiary, i powiada: „Idź i złóż!" To może jest coś takiego, jak rodzice przychodzą z dziećmi do kościoła i każdemu dają w rękę pieniążek: „Weź i połóż". Otóż doskonale wiadomo, że — pomijając już kościół, ale we wszystkich podobnych sytuacjach — uczymy w ten sposób dziecko ofiarności, rezygnacji. Bardzo często mogą państwo obserwować takie sceny jak ktoś się zbliża z tą tacą, że dzieciak bierze — a nie daje! Bo dzieciak jest przyzwyczajony do tego, że to on zawsze otrzymuje, on zawsze dostaje, i nieprzyzwyczajony jest do tego, że on coś daje. Tu, zauważmy, mamy element starożytnego wychowania. Elkana udaje się do sanktuarium i każdemu z dzieci swoich, które ma z żoną Peninną, daje jaką część tej ofiary. Anna nie ma dzieci, więc żeby podkreślić swoją z nią solidarność, bo ją „bardzo miłował", daje jej podwójną ofiarę. To są takie psychologiczne drobiazgi, ale księga święta jest tutaj bardzo wrażliwa. Ukazuje nam coś z psychiki i psychologii starożytnej rodziny, i takich związków społecznych, rodzinnych, z którymi dzisiaj nie mamy do czynienia. (1Sam, 1,6):

> Jej współzawodniczka przymnażała jej smutku

Oczywiście mamy tutaj pewien problem z tłumaczeniem dlatego, że druga żona nigdy nie była współzawodniczką, to nie była rywalizacja, to nie były zawody sportowe, trzeba by było użyć tutaj jakiegoś innego polskiego słowa ale zauważmy, że przetłumaczyć z hebrajskiego na polski jest bardzo trudno. Ale akcent jest dość ciekawy. Mianowicie te dwie kobiety w stosunku do swojego męża są żonami, ale między sobą są rywalkami. Otóż ukazuje się zatem coś ze świata psychiki kobiecej takiej, jaka była ona wtedy, a być może również takiej, jaka istnieje dzisiaj np. w świecie muzułmańskim,

gdzie w niektórych krajach nadal wielożeństwo jest dozwolone. One między sobą rywalizują. O co rywalizują? Może nie tyle o względy męża, dlatego że jedna miała już dzieci sporo, z czego wynika, że nie były pierwszej młodości. One raczej rywalizują ze zwyczajnego człowieczego egoizmu, każdy z nas ma to w sobie, jedna przed drugą chce pokazać, że jest lepsza. Może trochę podobnie jak kobieta, która idzie przed lustro, stroi się i upiększa nie ze względu na to, że ktoś ją będzie podziwiał. Ona chce podobać się sama sobie. Otóż ten mechanizm tutaj jest zupełnie podobny. Ale zauważmy, że ten mechanizm zaraz rodzi pewien konflikt. Na czym polega ten konflikt? Otóż (1Sam, 1,6):

> przymnażała jej smutku, aby ją rozjątrzyć z tego powodu, że Pan zamknął jej łono.

Bezdzietność postrzegana jest jako kara Boża. I w związku z tym ta kobieta bezdzietna staje się napiętnowana przez drugą żonę. Ta wykorzystuje swoją przewagę. Rzecz jasna musiała to być sytuacja niezwykle dotkliwa, bo dowiadujemy się (1Sam, 1,7):

> I tak działo się przez wiele lat.

Gdyby próbować nakręcić film z tego, co do tej pory zobaczyliśmy, to trzeba by nakręcić, opowiedzieć dużo, dużo więcej, pokazać na ekranie. I myślę, że trzeba mieć trochę wyobraźni, żeby sobie tę sytuację stałego upokorzenia przez wiele lat wyobrazić sobie i przeniknąć do psychiki jednej i drugiej kobiety. (1Sam, 1,7):

> Ile razy szła do świątyni Pana, [tamta] dokuczała jej w ten sposób. Anna więc płakała i nie jadła.

Jak człowiek jest smutny, to płacze. Jak człowiek jest smutny i przejmuje się, nie ma apetytu. Zwróćmy uwagę, że to są takie obserwacje psychofizyczne, psychosomatyczne. Można by powiedzieć: ukazujące zależność pomiędzy stanem ludzkiego ducha, a choćby potrzebami, które ma nasze ciało.

Otóż kiedy to czytamy, że Anna płakała i nie jadła, jeżeli to czytamy ot tak sobie, powiedzmy: frywolnie, najedzeni i nie współczujący jej, nie potrafimy tego do końca zrozumieć. Natomiast jeżeli zwrócimy uwagę na te współzależności pomiędzy stanem ducha i ciałem człowieczym, to na pewno pomoże nam to nieraz w inny sposób popatrzeć na tych, których mamy dookoła siebie. Że smutek wpływa na człowieka, smutek odbiera mu apetyt, odbiera mu chęć do życia. I w ten sposób autor biblijny chce podkreślić, że stan duchowy Anny był bardzo zły. (1Sam, 1,8):

> I rzekł do niej jej mąż, Elkana: «Anno, czemu płaczesz? Dlaczego nie jesz? Czemu się twoje serce smuci? Czy ja nie znaczę dla ciebie więcej niż dziesięciu synów?»

Zauważmy, że ten mąż, ten człowiek z odległej starożytności czuje co ją boli, współodczuwa z nią aż do samej głębi serca i sumienia. Zwróćmy uwagę, że podobne dramaty, czy podobne dylematy i podobne pytania mogą pojawić się również i dzisiaj. Bo i dzisiaj bywają kobiety, które nie rodzą dzieci. W starożytności nie bardzo znano te mechanizmy, a i dzisiaj nie są one do końca jasne. I proszę popatrzeć że w takiej sytuacji, kiedy kobieta ma z tego powodu trudności, usłyszenie od męża: „Dlaczego płaczesz? Dlaczego się smucisz? Czy ja nie znaczę dla ciebie więcej niż dziesięciu synów?" to jest wyraz ogromnej wrażliwości. Elkana współczuje. Ta głęboko ludzka sytuacja jest jednocześnie punktem wyjścia do czegoś radykalnie nowego. Popatrzmy, że Pismo Święte bardzo często ukazuje nam świat niesłychanie wrażliwy, gdzie wrażliwość na drugiego człowieka jest posunięta bardzo daleko. I dalej (1Sam, 1,9):

> Gdy w Szilo skończono jeść i pić, Anna wstała.

I teraz akcja przenosi się do Szilo, do sanktuarium, jego ruiny są zachowane po dzień dzisiejszy, i tam bohaterem jest Anna i kapłan. (1Sam, 1,9-11):

> A kapłan Heli siedział na krześle przed bramą przybytku Pańskiego. Ona zaś smutna na duszy zanosiła do Pana modlitwy i płakała nieutulona. Uczyniła również obietnicę, mówiąc: «Panie Zastępów! Jeżeli łaskawie wejrzysz na poniżenie służebnicy twojej i wspomnisz na mnie, i nie zapomnisz służebnicy twojej, i dasz mi potomka płci męskiej, wtedy oddam go Panu po wszystkie dni jego życia, a brzytwa nie dotknie jego głowy».

Zauważmy, że mamy do czynienia z niezwykłą prośbą. Mianowicie ta bezpłodna dotąd kobieta prosi o dziecko. Prosi w sanktuarium. Prosi, żeby nie musiała już być przedmiotem poniżenia. Prosi dla siebie, ale dodaje, że „jeżeli wyświadczysz mi tę łaskę, będę miała dziecko, to oddam je Tobie. A brzytwa nie dotknie jego głowy. To był akt ślubu nazireatu, podobnego do tego, jak np. dzisiaj mnisi prawosławni mają zapuszczone włosy, mają brody. I to był znaj jakby oderwania się od tego życia świeckiego i poświęcenia się Panu. Czyli mamy do czynienia z czymś niezwykle dramatycznym — ona prosi o dziecko, ale w gruncie rzeczy prosi o dziecko dla Boga. Ona ma być tylko narzędziem, ma być tylko środkiem do urzeczywistnienia tej niezwykłej prośby. Ona prosi o to, żeby oddać. I to jest niezwykłość tej sytuacji. Ludzie proszą dla siebie. Proszą o różne rzeczy i chcą mieć to, co zostało wyproszone. A Anna z góry się zgadza, aby tego, którego wyprosi, oddać z powrotem Bogu. Zatem nacieszy się nim krótko. Ta modlitwa jest bardzo znacząca, bo jest to jedna z tych modlitw, które powinny stanowić w jakimś znaczeniu fundament dla modlitwy każdego z nas. Otóż nie wystarczy prosić, trzeba jeszcze wiedzieć co zrobimy z tym, co wyprosimy. Można by tak powiedzieć, znów upraszczając sprawę. Jeżeli rzeczywiście Bóg wysłucha czyjejś prośby o to, żeby np. wygrał w Totolotka, to nie musi być to powodem do szczęścia dla tej osoby. Może stać się początkiem dramatu w rodzinie. Jeżeli prosimy nawet o zdrowie i otrzymujemy je, problem polega na tym, co zrobić z tym, co otrzymujemy. Więc to nie tylko: „Cóż masz, czegoś by nie otrzymał” — ale jeszcze głębiej: „Co robisz z tym, co otrzymałeś”. I ta modlitwa Anny jest trudna, ale każda modlitwa tego rodzaju powinna ukazać nam, że prosimy, żeby się dzielić. (1Sam, 1,12-13):

> Gdy tak żarliwie się modliła przed obliczem Pana, Heli przyglądał się jej ustom. Anna zaś mówiła tylko w głębi swego serca, poruszała wargami, ale głosu nie było słychać.

Anna modliła się po cichu. Tymczasem wszyscy starożytni ludzie modlili się głośno. I po dzień dzisiejszy Żydzi i Arabowie, czyli świat semicki, modli się głośno. Ci z państwa co mieli szczęście być pod Ścianą Płaczu, albo wejdą do synagogi, to mają wrażenie harmideru. Każdy mówi swoje, każdy mówi półgłosem, każdy przedstawia swoje własne prośby Bogu. Czasami modlą się wszyscy wspólnie, ale głośno. Modlitwy cichej prawie nie ma, czy w ogóle nie ma. Anna odchodzi od tego kanonu, od tego zwyczaju, od tego sposobu, i modli się po cichu. Zwróćmy zatem uwagę, że różne są sposoby modlitwy. Różne są zarówno, jeżeli chodzi o treść, jak też, jeżeli chodzi o formę. I trzeba być bardzo wyrozumiałym, trzeba być bardzo otwartym wobec ludzi, którzy znajdują się w kościele. My nigdy nie wiemy, co dzieje się w tym człowieku, który przychodzi do sanktuarium. I nigdy nie można sądzić, że ktoś inny musi modlić się dokładnie tak, jak ja. Są ludzie, którzy potrzebują zupełnie innych form modlitewnych, albo w ogóle nie lubią form modlitewnych czy pieśni, lecz modlą się po swojemu. I Biblia pokazuje nam te drogi modlitwy, i pokazuje nieporozumienia, które mogą być z tym związane. Bo posłuchajmy (1Sam, 1,13-14):

> Głosu jej nie było słychać. Heli sądził, że była pijana. Heli odezwał się do niej: «Dokąd będziesz pijana? Wytrzeźwiej od wina!»

Z tego wynika, że w starożytności zdarzały się kobiety, które nadużywały wina. Że pijaństwo nie było tylko domeną mężczyzn. Że w sanktuarium kapłan, który tam urzędował, spotykał kobiety, które przychodziły w tzw. stanie wskazującym. I on znał się na tym. Tylko na czym polega problem? Że postąpił bardzo formalistycznie, można by powiedzieć: bardzo rygorystycznie. Popatrzył na tę kobietę i ocenił ją tak, jak się ocenia wszystkie inne. I oceniając się w ten sposób potwornie ją skrzywdził. Tu znów szczegół, który ma znaczenie psychologiczne, i nie tylko. Każdego człowieka trzeba oceniać inaczej. Dlatego, że jeżeli będziemy do nas wszystkich przykładać jednakową miarę, możemy być tak, jak ten Heli. Może nam się wydawać, że oto ktoś zachowuje się w sposób, który urąga przyzwoitości czy sprawiedliwości — podczas gdy jest inaczej. I co dalej (1Sam, 1,15-16):

> Anna odrzekła: «Nie, panie mój. Jestem kobietą nieszczęśliwą, a nie upiłam się winem ani sycerą. Wylałam tylko duszę moją przed Panem. Nie uważaj swej służebnicy za córkę Beliala, gdyż z nadmiaru zmartwienia i boleści duszy mówiłam cały czas».

Więc płaczę i mówię po cichu nie dlatego, że jestem pijana, tylko dlatego, że wezbrał we mnie żal. Ona używa tutaj bardzo obrazowego powiedzenia: „jakby żal się ze mnie wylewa”. Ona nie ma

pretensji do Helego, że on ją skrzywdził. Ona prosi go, żeby zechciał uszanować i zobaczyć to, co się w niej dzieje. Ta scena jest doprawdy bardzo piękna i szkoda, że ta modląca się Anna, gdzieś tam ok. 1050 roku przed Chrystusem, jest tak mało znana. Bo również w tradycji chrześcijańskiej jest mało znana, bo ona zasługuje na większą uwagę. I dalej (1Sam, 1,17):

> Heli odpowiedział: «Idź w pokoju, a Bóg Izraela niech spełni prośbę, jaką do Niego zaniosłaś».

I w ten sposób to spotkanie zakończyło się szczęśliwie,zakończyło się błogosławieństwem. Anna otrzymuje to błogosławieństwo i otrzymuje obietnicę od kapłana, że sytuacja, z powodu której płacze, się zmieni. I dalej (1Sam, 1,18-20):

> Odpowiedziała: «Obyś darzył życzliwością twoją służebnicę!» I poszła sobie ta kobieta: jadła i nie miała już twarzy tak [smutnej] jak przedtem.
>
> Wstali o zaraniu i oddawszy pokłon Panu, wrócili i udali się do domu swego w Rama. Elkana zbliżył się do swojej żony, Anny, a Pan wspomniał na nią. Anna poczęła i po upływie dni urodziła syna i nazwała go imieniem Samuel, ponieważ [powiedziała]: Uprosiłam go u Pana.

To imię Samuel po hebrajsku brzmi Szmuel. szma znaczy *słuchać,* El — *Bóg,* więc Szmuel — *Bóg wysłuchał, dziecko uproszone.* Tak przychodzi na świat dziecko, które ma odmienić dzieje biblijnego Izraela. Zwróćmy uwagę: dziecko wyproszone przez matkę, dziecko, którego los był był przesądzony jeszcze zanim rozpoczęło swoje życie. Matka wypełniła ten ślub, który złożyła. Tzn. najpierw to dziecko było niemowlęciem. gdy ukończyło trzeci rok życia — tutaj pewna ciekawostka: trzeci rok życia to było odstawianie dziecka od piersi. Przez trzy lata matka karmiła dziecko piersią. Dzisiaj robi to mniej więcej przez dwa lata. Ma to rozmaite skutki, i psychologiczne i społeczne. I jest to również jeden z elementów, jeżeli tak można powiedzieć, regulacji urodzin. Przeprowadzono szczegółowe badania i wykazano że kobiety, które dłużej karmią piersią, w większości przypadków przez ten okres nie spodziewają się następnego dziecka. Zatem tego rodzaju karmienie jest jednym z elementów, ze sposobów regulacji urodzin. Czy tak jest, czy nie jest — to pewnie państwo lekarze lepiej mogliby powiedzieć, ale uczone komentarze do Księgi Samuela wskazują na to bardzo wyraźnie. I to nam jeszcze raz pokazuje rzecz, o której państwu wspomniałem na początku. Że żeby czytać Biblię, i czytać ją w sposób skuteczny, efektywny, to trzeba mieć wiedzę z bardzo różnych dziedzin, albo nabywać jej wiedzy stopniowo. Bo jest to kopalnia różnych rzeczy, niesłychanie interesujących które, gdybyśmy lepiej znali, być może i dzisiaj byśmy żyli nieco inaczej.

Samuel rodzi się, przez trzy lata pozostaje przy swojej matce. A kiedy przychodzi trzeci rok życia, zostaje odstawiony od piersi, i zostaje zaprowadzony do sanktuarium, i matka mówi do kapłana Helego: „O tego chłopca prosiłam, i obiecałam, że oto teraz należy on do Boga. Więc go Bogu daję." Co czuła wtedy, kiedy była w sanktuarium — nie wiemy. I tu jej rola się kończy. Już więcej o Annie nie ma ani słowa. Można by powiedzieć, że w tym widać pewien prototyp Anny jako matki. Otóż matka wydaje dziecko na świat, i w pewnym momencie życia swojego dziecka, syna czy córki, musi zejść na drugi plan. Jeżeli chciałaby zawłaszczyć swoje dziecko wyłącznie dla siebie, może je uczynić kaleką. Otóż cała umiejętność macierzyństwa polega również na tym, żeby w odpowiedniej chwili umieć z tego dziecka „zrezygnować", żeby ono mogło stanąć na własnych nogach, i żeby ono mogło żyć po swojemu. Niektórym matkom to przychodzi straszliwie trudno. Wiemy to z własnego doświadczenia, kiedy matce wydaje się, że to dziecko, już dorosłe, wymaga bez przerwy jej troski, jej decyzji, jej opieki. I nie potrafi zrozumieć tego, że taka właśnie jest cena macierzyństwa. W przypadku Anny odbyło się to bardzo, bardzo wcześnie.

Dlaczego o tym wszystkim mówimy? Bo ten Samuel, uproszony w tak niezwykły sposób, stanął później wobec arcytrudnego dylematu. Ten dylemat jest opisany w ósmym rozdziale Pierwszej Księgi Samuela i można by powiedzieć, że te dwa rozdziały: pierwszy i ósmy, stanowią klucz do przeczytania tej właśnie księgi. Posłuchajmy. Otóż Samuel dorósł, Samuel sprawuje władzę sędziowską, Samuel cieszy się zasłużonym autorytetem, przychodzą do niego Izraelici i słuchają jego rad, cieszy się zaufaniem. Może to modlitwa matki to sprawiła? Często powtarzam słowa, że modlitwa matki i ojca może wszystko, i tego mogą być państwo pewni. Niekoniecznie doraźnie, nie dziś, nie

już teraz, ale Bóg nigdy nie odrzuca, nigdy nie odmówi prośbie matki. Pismo Święte wskazuje na to jednoznacznie, choćby to wysłuchanie przyszło już bez tej doraźnej satysfakcji matki, ono na pewno przyjdzie. I kiedy ta matka została wysłuchania, i kiedy Samuel dorósł, czytamy tak (1Sam, 8,1-3):

> Kiedy jednak Samuel się postarzał, sędziami nad Izraelem ustanowił swoich synów. Pierworodny syn jego nazywał się Joel, drugiemu było na imię Abiasz: sądzili oni w Beer-Szebie. Jednak synowie jego nie chodzili jego drogą: szukali własnych korzyści, przyjmowali łapówki, wypaczali prawo.

Nie zawsze jest tak, że dobry ojciec ma dobre dzieci. Że ojciec i matka mają takie dzieci, jakie sobie wymarzyli, i na jakie, według ludzkich ocen, sobie zasłużyli. Również jednym z tych bólów, które stanowią część ojcostwa i macierzyństwa, często jest to, żeby przyjąć dzieci takie, jakie one są. Czasami one sprawiają przeogromne kłopoty, tak jak w tym przypadku. Te kłopoty były dramatyczne (1Sam, 8,4-5):

> Zebrała się więc cała starszyzna izraelska i udała się do Samuela do Rama. Odezwali się do niego: «Oto ty się zestarzałeś, a synowie twoi nie postępują twoimi drogami: ustanów raczej nad nami króla, aby nami rządził, tak jak to jest u innych narodów».

Po raz pierwszy w dziejach Izraela pojawia się dylemat, który w każdym pokoleniu, i pod każdą szerokością geograficzną będzie odżywał. Ten dylemat to jest napięcie pomiędzy religią a polityką, pomiędzy sferą wiary a sferą władzy. Otóż Samuel sprawował swoje rządy w sposób jak najlepszy, jego dzieci — nie. Charyzma, dar nie jest czymś, co przechodzi automatycznie z ojca na syna; albo się ma charyzmę, albo się jej nie ma. I tam gdzie tego charyzmatu brakuje, tam ludzie zaczynają się buntować. Izraelici po raz pierwszy mówią do Samuela coś, czego nigdy przedtem nie mówili: „Ustanów nad nami króla!" I dodają do tego: „Abyśmy byli jak inne ludy". Chcą zatem upodobnić się do swoich pogańskich sąsiadów.

W ten sposób w dziejach biblijnego Izraela pojawia się również inny dylemat. Mianowicie czy, żeby być sobą, potrzeba nastawić się na poczucie pewnej izolacji, na troskę o to, żeby zachować swoją dotychczasową tożsamość, czy też żeby być sobą to trzeba się asymilować, i w ten sposób upodobnić się do innych? (1Sam, 8,6):

> Nie podobało się Samuelowi to, że mówili: «Daj nam króla, żeby nami rządził». Modlił się więc Samuel do Pana.

Popatrzmy — znów bardzo ciekawa sprawa, dylemat jest polityczny. Ludzie przychodzą do Samuela i stawiają swoje żądania. Samuel nie wie, co zrobić. Nie podobało mu się to, o co proszą, zaczyna się więc modlić. To znów jest wielkie wskazanie. W momencie, gdy nie wiem czegoś, czegoś nie rozumiem, czegoś nie pojmuję, gdy spotykam coś, co przewyższa moje możliwości, potrzebna jest umiejętność modlitwy czyli polegania na Bogu. Myślę, że sporo z nas tę umiejętność posiada, ale nabywamy jej stopniowo. I nabywamy ją również dzięki Biblii, która pokazuje, jak ważną rzeczą jest modlitwa w życiu człowieka. Modlitwa, w której człowiek nie tylko uwielbia Boga, ale szuka konkretnych rozwiązań, rozstrzygnięć w swoim życiu. (1Sam, 8,7-93):

> A Pan rzekł do Samuela: «Wysłuchaj głosu ludu we wszystkim, co mówi do ciebie, bo nie ciebie odrzucają, lecz Mnie odrzucają jako króla nad sobą. Podobnie jak postępowali od dnia, w którym ich wyprowadziłem z Egiptu, aż do dnia dzisiejszego, porzucając Mnie i służąc innym bogom, tak postępują i z tobą. Teraz jednak wysłuchaj ich głosu, tylko wyraźnie ich ostrzeż i oznajmij im prawo króla, który ma nad nimi panować».

Zatem pojawia się pytanie o to, jaki ma być kształt tej przyszłości biblijnego Izraela. Czy królem Izraela ma być Bóg — tzn. czy punktem odniesienia dla życia ogólnego, także politycznego, ma być wiara w Boga, czy też punktem odniesienia ma być władza ludzka i poleganie na sobie. Po dzień dzisiejszy ten dylemat wraca w różnych okolicznościach, i w różnych krajach, i różnie

jest rozwiązywany. Pamiętamy kilka lat temu dyskusję w naszym kraju nad kształtem konstytucji. Pamiętamy na jakie opory natrafiała chęć, wola wprowadzenia do preambuły słowa *Bóg*. Z drugiej strony — na co się często powołuję, i co państwo doskonale znają — taka potęga o takim wysokim stopniu rozwoju ekonomicznego, jak Stany Zjednoczone, na banknotach mają formułę „In God we trust" — *W Bogu mamy nadzieję*. Na każdym dolarze jest to wyznanie wiary, ta deklaracja wiary. Zauważmy, że ta deklaracja wypisana na dolarze od jedynki po setkę — nie wiem, czy są większe banknoty — ta deklaracja wypisywana od kilkudziesięciu lat, niezmiennie krążąca po świecie w miliardach banknotów, jakoś nigdy nie powoduje, że ateiści wyrzucają banknoty z tego powodu. Przynajmniej nie widać tego. A z drugiej strony proszę popatrzeć, że gdyby to samo przyszło do głowy innym narodom, tak jak u nas, na pewno spotkało by się ze straszliwą krytyką. Wyobraźmy sobie nasze banknoty z napisem: „W Bogu ufamy!" albo „W Bogu mamy nadzieję!". Zauważmy, że istnieją jakieś delikatne granice, których nie sposób uchwycić, gdzie jedne narody budują swoją pomyślność z deklaracjami wyraźnie religijnymi, natomiast inne narody tego nie robią. I może początki tego dylematu są właśnie tutaj. Jak budować przyszłość? Czy budując swoją przyszłość, budując swoją tożsamość odwoływać się do Boga, uznawać Boga za Króla, czy też raczej ograniczyć się do tego świata tak, jak go znamy, i nie czynić z Boga jakiegoś ważnego punktu odniesienia.

I w gruncie rzeczy lektura ksiąg Samuela i ksiąg królewskich które, o ile państwo mieliby czas, trzeba by było czytać w okresie wakacji, to jest próba odpowiedzi na ten dylemat. Czy i jak religia jest do pogodzenia i do połączenia z polityką? Jaka jest domena religii, a jaka jest domena polityki? Proszę zwrócić uwagę, że politycy nie znoszą religii, trzeba to powiedzieć jasno. Nawet jeżeli sami deklarują się jako religijni, bardzo często dążą do tego, żeby religię zinstrumentalizować, a nie to, żeby działać na korzyść religii. I bardzo nie lubią, i to politycy wszystkich maści i wszędzie, jeżeli stają się przedmiotem krytyki religii, ze strony przywódców religijnych itd. Dlatego, że ta krytyka najczęściej sięga najgłębiej. Proszę również zwrócić uwagę, że ma to także brzemienne konsekwencje w naszych czasach. Otóż popatrzmy że to, z czym mamy obecnie do czynienia, to gdybyśmy chcieli upraszczając rzecz opisać to ma się trochę tak, że w tzw. poprzednim okresie, do 89. roku, udział Kościoła w życiu politycznym i społecznym był zdecydowanie bardziej widoczny niż obecnie. Natomiast dzisiaj ten udział Kościoła, przynajmniej głośny, jest zdecydowanie mniejszy. A tymczasem ludzie są też pod wrażeniem nędzy, ludzie przeżywają biedę, ludzie mają ogromne kłopoty. Są całe sfery ubóstwa posuniętego bardzo daleko. I problem polega na tym, czy ci ludzie czują solidarność Kościoła ze sobą. Zawsze istnieje taka pokusa, żeby dać się wyciszyć, albo żeby zepchnąć religię do sfery prywatności. I tu w czasach Samuela, w XI wieku przed Chr., te wszystkie dylematy były. Dzisiaj nie ma mądrego, który by te sprawy rozwiązywał, i to rozwiązywał skutecznie i raz na zawsze. Trzeba je rozwiązywać na co dzień, i za każdym razem trzeba je rozwiązywać inaczej. Pamiętamy, że ten dylemat stanął również przed Jezusem, kiedy Go zapytano (Mt 22,17 i 21; Mk 12,14 i 17; Łk 20,22 i 25):

> Czy wolno płacić podatek Cezarowi, czy nie? ...
> Oddajcie więc Cezarowi to, co należy do Cezara, a Bogu to, co należy do Boga.

I to napięcie po dzień dzisiejszy daje o sobie znać, i wychodzenie z niego nie jest takie łatwe. Czytamy dalej (1Sam, 8,10-18):

> I powtórzył Samuel wszystkie słowa Pana ludowi, który od niego zażądał króla. Mówił: «Oto jest prawo króla mającego nad wami panować: Synów waszych będzie on brał do swego rydwanu i swych koni, aby biegali przed jego rydwanem. I uczyni ich tysiącznikami, pięćdziesiątnikami, robotnikami na roli swojej i żniwiarzami. Przygotowywać też będą broń wojenną i zaprzęgi do rydwanów. Córki wasze zabierze do przyrządzania wonności oraz na kucharki i piekarki. Zabierze również najlepsze wasze ziemie uprawne, winnice i sady oliwkowe, a podaruje je swoim sługom. Zasiewy wasze i winnice obciąży dziesięciną i odda ją swoim dworzanom i sługom. Weźmie wam również waszych niewolników, niewolnice, waszych najlepszych młodzieńców i osły wasze i zatrudni pracą dla siebie. Nałoży dziesięcinę na trzodę waszą, wy zaś będziecie jego sługami. Będziecie sami narzekali na króla, którego sobie wybierzecie, ale Pan was wtedy nie wysłucha».

Cena każdej władzy politycznej jest taka, że niezależnie od tego, co deklaruje, stawia wymaganie wobec tych, którzy tej władzy podlegają. I dzisiaj mamy pobór do wojska, i dzisiaj mamy taką piramidę społeczną w której ci, którzy są wyżej, korzystają z pomocy innych, z troski, opieki, pracy na rozmaite sposoby. I dzisiaj mamy podporządkowanie urzędników, rozbudowaną administrację, hierarchię, strukturę itd. I dzisiaj narzekamy na władzę ale tak, jak mówił Samuel: „Możecie sobie narzekać na króla, którego sobie wybierzecie, ale Pan was wtedy nie wysłucha". Władza polityczna ma to do siebie, że wymaga posłuszeństwa. I wszędzie tak jest, od tego jakichś specjalnych ulg nie ma. Nikt jeszcze nie wymyślił prawdziwie dobrego systemu politycznego. A im ktoś bardziej chwali dany system polityczny, to należy domniemywać, ciągnie z tego, ma z tego przeogromne profity. Więc nie ma systemu, który byłby sprawiedliwy dla wszystkich. Otóż nawet te rewolucje, jak choćby rewolucje w naszym stuleciu, miały to do siebie, że zabierały bogatym, dawały biednym. Ale to była tylko odwrócona zasada sprawiedliwości, a nie przywrócona sprawiedliwość. I dalej (1Sam, 8,19-20):

> Odrzucił lud radę Samuela i wołał: «Nie, lecz król będzie nad nami, abyśmy byli jak wszystkie narody, aby nas sądził nasz król, aby nam przewodził i prowadził nasze wojny!»

Można zatem ludziom ukazywać wzniosłe perspektywy, ale ludzie widzą tylko doraźne korzyści. Albo też widzą przez porównanie do innych, widzą takie mechanizmy, które uznają za właściwe. Dlatego to, co było w Piśmie Świętym, jest przedstawione jasno. I dzisiaj mamy z tym do czynienia, to jest tzw. inżynieria społeczna. Każda władza ma mnóstwo psychologów, socjologów i rozmaitego rodzaju uczonych, którzy bardzo zręcznie próbują stymulować różne społeczne wybory, różne społeczne decyzje. Widać to dobrze również i u nas, widać to niestety coraz bardziej natarczywie. Stalin używał do tego zwłaszcza intelektualistów. Co prawda na spotkaniach z nimi używał wzniosłych słów i mówił, jakie mają zasługi w budowaniu Kraju Rad, ale w swoich pamiętnikach napisał, że intelektualista jest to pożyteczny idiota. Więc w ten sposób ta inżynieria społeczna ma swoich wykonawców, i to też trzeba wiedzieć. I proszę zauważyć zatem, jakże trudny jest ten balans między życiem politycznym a życiem religijnym. Biblia jest chyba pierwszym ludzkim i boskim dokumentem, w którym ten brak równowagi jest wyraźnie widoczny. I ostatnie zdania (1Sam, 8,21-22):

> Samuel wysłuchał wszystkich słów ludu i powtórzył je Panu. A Pan rzekł do Samuela: «Wysłuchaj ich żądania i ustanów im króla». Wtedy rzekł Samuel do mężów izraelskich: «Niech każdy wróci do swego miasta».

A potem następuje wybór pierwszego króla, Saula, i dramaty z tym związane. I potem następuje Dawid, potem Salomon. Potem podział monarchii. Potem opisuje się rządy kolejnych królów. I potem bez przerwy jak refren wracają słowa, że ten czy inny król nie postępował tak, jak powinien, i że nie podobało się Panu to, co on robił. Władza bowiem, każda władza, ma to do siebie, że może człowieka zepsuć. I tylko ci, którzy doświadczyli władzy, niechby to byłą tylko władza nad małą grupą, doskonale wiedzą jak wielka to jest pokusa tego, żeby dać upust swojemu egoizmowi i pysze, która w nas drzemie.

Księgi Samuela dotykają zatem takich bardzo newralgicznych punktów w życiu społecznym, ale także mentalności w sposobie myślenia pojedynczych ludzi. Jeżeli państwo zdecydują się na przeczytanie tych ksiąg, Samuela i królewskich, warto na to napięcie zwracać uwagę, napięcie miedzy religią a polityką. Mam nadzieję, że do tych spraw — jeżeli szczęśliwie dożyjemy — wrócimy, i będziemy je kontynuować.

Natomiast dzisiaj nasz czas dobiegł końca. Chciałbym państwu bardzo, bardzo serdecznie podziękować.

```
<<Informacje o konsultacji teologicznej filmu ,,Quo vadis",
ciekawostki z planu zdjęciowego --- na ścieżce dźwiękowej! >>

<<Podziękowania, pożegnania>>
```

Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

Rozdział 3

2000/2001 — Siedem Kościołów Apokalipsy

3.1 Apokalipsa św. Jana — Listy do 7 Kościołów (dn. 23 października 2000)

Często powtarzam, że kiedy państwa widzę to jest to dla mnie ogromne wyzwanie, ogromne zobowiązanie. Proszę wierzyć, że prowadzenie takiej konferencji biblijnej jest dla mnie trudniejsze niż prowadzenie wykładu akademickiego. Z tej prostej przyczyny, że tam studenci przychodzą niejako z obowiązku, że mają rozległą wiedzę i że jest to obowiązek, do którego są zobowiązani. Natomiast u państwa widać mnóstwo dobrej woli, pewną wiedzę również — ale przede wszystkim dobrą wolę, która pozwala pokonać rozmaite trudności. I pomimo stosunkowo późnej pory, a nieraz i dużej odległości od miejsca zamieszkania, pozwala brać udział w tych konferencjach. Dla mnie jest to wyzwanie i zobowiązanie dlatego, że bardzo chciałbym, żeby państwo mieli z nich jakiś konkretny duchowy, ale także intelektualny pożytek. I zawsze zastanawiam się, czy te słowa, które się mówi, i czy te treści, które podejmujemy, trafiają do państwa w ten sposób, żeby mogły oczekiwaniom i nadziejom sprostać. Ufam że tak jest, skoro raz jeszcze państwo tak licznie podejmują tę wspólną refleksję nad treścią Pisma Świętego. Jestem za to bardzo wdzięczny osobiście, ale myślę że jest to też jakiś ogromny znak czasów i ogromny trud całego Kościoła, dzięki któremu Pismo Święte, skoro zostało udostępnione i przekazane wiernym, to wywołuje takie właśnie błogosławione owoce już nie tylko zainteresowania, ale prawdziwego pogłębiania swojej wiary.

W tym roku chciałbym podjąć temat nowy. Temat, który będziemy kontynuować przez cały czas, do maja 8 konferencji. W czasie wakacji sporo myślałem nad tym, jaki temat by z państwem podjąć, i przyszło mi do głowy że tematem, który podejmiemy, będą **listy do siedmiu kościołów w Apokalipsie św. Jana**. Dlaczego ten temat podjąłem? Otóż dlatego, że Apokalipsa św. Jana jest dziełem napisanym w okresie wielkiego przełomu i w okresie wielkich trudności, które przeżywał Kościół, w okresie wielkich wyzwań, wobec których stanęli ówcześni chrześcijanie. I z tego powodu wydaje mi się, że Apokalipsa św. Jana jest również księgą do czytania na nasze czasy. To znaczy, że również nam ma coś ciekawego do powiedzenia, właśnie nam. I po drugie w Apokalipsie są teksty, jakże ciekawe, ale jednocześnie jakże trudne, które stanowią zapisy listów kierowanych przez autora Apokalipsy do siedmiu Kościołów na terenie Azji Mniejszej.

Mam również osobisty powód, żeby się tymi listami zająć. W lipcu tego roku wespół m.in. z ks. biskupem Gondeckim i ks. dyrektorem Tkaczem odbyliśmy taką właśnie pielgrzymkę po tych miejscach 7 Kościołów Apokalipsy. Zatem kiedy będę do państwa mówić na temat tych Kościołów, postaram się mówić tak plastycznie, żeby mniej więcej dać wyraz tym przeżyciom, które tam mieliśmy, a także tym obrazom, które zdołałem stamtąd zapamiętać. I dzięki temu myślę, że te siedem Kościołów Apokalipsy, chociaż odległe geograficznie, i odległe historycznie, stanie się nam bliższe. A mieć to powinno też i ten skutek, że Apokalipsa św. Jana, i te wypowiedzi św. Jana do poszczególnych Kościołów powinny nam uzmysłowić, że one są adresowane nie tylko do do tamtych chrześcijan, ale adresowane również do nas samych.

Zacznijmy zatem od samego początku. Dzisiejsza konferencja będzie miała w zasadzie charakter wstępny, charakter wprowadzający nas w problematykę Apokalipsy, i w problematykę tych 7 Kościołów. I właściwie tytułem pewnego wstępu chciałbym państwa tym tematem, tą problematyką zainteresować po to, żebyśmy później, w kolejne miesiące podejmowali poszczególne listy, i coś z tego mogli więcej skorzystać. Zacznijmy zatem od tego, czym jest apokalipsa i ta apokaliptyczna forma myślenia i mówienia, bo to jest bardzo ważne, i wokół tego panuje sporo nieporozumień.

I żeby wyjaśnić sobie czym jest *apokalipsa* i *apokaliptyka,* to musimy chyba najlepiej i najskuteczniej opisać to zjawisko poprzez porównanie z *proroctwem* i *prorokowaniem.* Otóż na temat proroctwa i prorokowania słyszeli państwo, zwłaszcza ci, którzy brali udział w tych konferencjach biblijnych wcześniej, bardzo dużo. Ja tylko króciutko streszczę to, kim jest prorok, i czym jest proroctwo w biblijnym tego słowa znaczeniu. Otóż dobrze wiemy, że prorok i proroctwo — inaczej, niż obiegowo myślimy — to nie jest zapowiadanie przyszłości, to nie jest odkrywanie tej przyszłości, nie jest jakby próba wywierania nacisku na przyszłość. Lecz proroctwo i misja proroka, zadanie proroka ma to do siebie, że prorok przygląda się rzeczywistości takiej, jaką ma wokół siebie, a więc przygląda się teraźniejszości, prorok również przygląda się przeszłości, i *obserwując to co się wydarzyło i także to co się dzieje, prorok usiłuje kształtować przyszłość.* Zwracam uwagę państwa na to słowo „kształtować". Bo ile razy bierzemy do ręki księgi proroków Starego Testamentu, poczynając od proroków wielkich jak Izajasz, Jeremiasz, Ezechiel czy Daniel, i przez tych proroków mniejszych, to tyle razy widzimy tam surowe napomnienia, ostrzeżenia, pochwały ale i groźby. Tyle razy widzimy tam wielkie wymagania moralne, stawiane pod adresem Izraelitów, ale także ostrzeżenia na przyszłość. I prorok chce powiedzieć jedno na ogół. Przyglądając się życiu tego społeczeństwa, tej społeczności, tej wspólnoty, w której żyje, prorok chce powiedzieć: „tak żyć nie wolno", „tak żyć nie należy", „trzeba żyć inaczej". I w związku z tym on skutecznie, efektywnie, kształtuje życie tych ludzi.

Ci ludzie przyjmują to jego proroctwo, bądź go nie przyjmują, ale jedno jest zawsze na ogół pewne. To mianowicie, że nawet jeżeli nie są w stanie sprostać jego wzniosłym wymaganiom, to umieją się do tego przyznać. A po drugie chcą zapamiętać to, czego prorok uczył. I w jakiejś perspektywie czasowej mówią nawzajem do siebie: „Tak, on miał rację. Jesteśmy źli, jesteśmy słabi, jesteśmy zepsuci, ale on nam to powiedział. Jesteśmy zbyt słabi, żeby się podnieść, ale on nam to uświadomił."

Proszę zatem zwrócić uwagę że prorok to człowiek, który nieustannie kieruje ludzi na drogę nawrócenia. Bo obok tej drogi niewinności, jak to wiele razy mówiliśmy, dla większości ludzi to jest właśnie droga nawrócenia. A skoro tak, to powinnością proroka jest to, by przypominać że można i trzeba żyć inaczej, że można i trzeba żyć lepiej. I dlatego z późniejszej perspektywy tak, jak to wiele razy widzimy na kartach Pisma Świętego, ludzie mówią; „Prorok był między nami. On miał rację w tym, czego uczył."

Zwróćmy uwagę, że to zjawisko proroctwa i prorokowania, w biblijnym tego słowa znaczeniu, wygasło właśnie wtedy. Ale że w każdym pokoleniu są ludzie, którzy podejmują to zadanie proroka napominając, kształtując, wzywając do właściwego sposobu życia, upominając, ostrzegając, zachęcając. W naszej polskiej sytuacji takim wielkim prorokiem poprzedniego i obecnego pokolenia jest z całą pewnością kardynał Stefan Wyszyński. I to właśnie kiedy się patrzyło na jego nauczanie, na jego słowa, pewnego dnia doszło do tego, czego rocznicę obchodziliśmy wczoraj, dwudziestą drugą rocznicę, do intronizacji Jana Pawła II, a dokładnie dzisiaj, 23 października mija 22 lata od słynnej audiencji dla Polaków, która miała miejsce w Auli Pawła VI w Watykanie, podczas której Jan Paweł II oddał największy hołd, jaki jest możliwy, kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu mówiąc, iż „Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka, gdyby nie Twoja, umiłowany księże Prymasie, wiara, Twoja niezłomność, Twoje bohaterstwo". To było stwierdzenie, że oto prorok był między nami. Wiemy doskonale, że niecałe trzy lata później ksiądz kardynał Wyszyński zmarł. I tamta epoka przeminęła, ale jej skutki ciągle trwają.

Czym jest apokalipsa i apokaliptyka? Powiedzieliśmy, że prorok kształtuje współczesną świadomość, wybiega myślą najwyżej do następnego, czy może jeszcze kolejnego pokolenia. A apokaliptyka i sama nazwa „apokalipsa' pochodzi z języka greckiego od słowa apokalypto tzn. *odkrywam, odsłaniam.* Apokaliptyka jest sięganiem w dalszą przyszłość, już nie tę wyznaczoną życiem jednego pokolenia, ani tym bardziej życiem jednego człowieka. Dobrze wiemy, że życie jednego człowieka

jest bardzo ulotne, dziś jesteśmy — jutro może nas nie być. Życie pokolenia jest trwalsze bo dotyczy tysięcy milionów ludzi. Ale też jest ulotne, bo przecież z dzisiejszej perspektywy patrzymy na pokolenia, których już nie ma, które już przeszły do historii. Apokalipsa próbuje wybiegać w przyszłość, już nie tę bliską, tylko tę odległą. Co z tego wynika? Że apokalipsa i apokaliptyka to taki sposób myślenia, w którym człowiek uświadamia sobie że rzeczywistość, w której żyjemy, to jest doczesność. To nie jest rzeczywistość absolutna. Że za tą rzeczywistością jest jak gdyby zasłona. Dla każdego z nas jest to zasłona śmierci, przez którą musimy przejść. Ale też istnieje jakaś zasłona dla całego rodzaju ludzkiego, dla wszystkich ludzi. Ta zasłona, jeżeli można to tak nazwać, bierze się stąd, że tak jak świat i człowiek miał swój początek, przyznaje to nawet teoria ewolucji, nawet nauki przyrodnicze które stwierdzają, że człowiek pojawił się w określonym momencie pradziejów. Otóż tak jak człowiek miał swój początek, tak człowiek i ludzkość mają również swój koniec. W tej apokaliptyce, w tym sposobie odsłaniania przyszłości, w sposobie odkrywania tego, co będzie, próbujemy sięgnąć poza tę zasłonę, która jest nieprzekraczalna i nieprzenikniona.

Tu zwróćmy uwagę na pewną ciekawą rzecz. O ile proroctwo jest zjawiskiem religijnym bardzo starym, bardzo wczesnym — byli nawet prorocy pogańscy, którzy poprzedzili biblijnego Izraela — o tyle zjawisko czy fakt apokalipsy i apokaliptyki jest nieco późniejszy. Dlaczego? Dlatego, że ci biblijni Izraelici, których świadectwo wiary mamy na kartach Starego Testamentu, stopniowo uświadomili sobie że rzeczywistość, w której żyjemy, ma to znamię, ten charakter przejściowy, że jest przejściowa. Że ta rzeczywistość prowadzi do jakiegoś punktu, który zaledwie przeczuwamy, i ten punkt to będzie przejście świata do jakiejś nowej formy istnienia. Niektórzy spodziewali się, że nastąpi ona bardzo szybko. Inni ostrzegali, że tego rodzaju oczekiwania są złudne, że to od Boga zależy, kiedy nastąpi ten fakt, który w obiegowym nauczaniu, czy w obiegowym postrzeganiu otrzymał nazwę końca świata. Ale to właśnie apokaliptyka, ta forma myślenia, ta forma pobożności, ta forma wiary, rozwinęła się i kładła nacisk na to, żeby ludziom uświadomić że to, w czym żyjemy, to, czym jesteśmy, to nie wszystko. Że przyjdzie rzeczywistość nowa. I ta apokalipsa i apokaliptyka rozpowszechniły się zwłaszcza w ostatnich wiekach ery przedchrześcijańskiej. Istniało wtedy przeogromne napięcie, oczekiwanie na jakąś Bożą interwencję. Doskonale wiemy, że nastąpiła ona w osobie Jezusa Chrystusa, ale kiedy nastąpiła w osobie Jezusa Chrystusa to pojawiło się zarazem — i może to brzmieć bardzo dziwnie ale wydaje się, że tak właśnie było — pewne rozczarowanie.

Na czym to rozczarowanie polegało? Otóż polegało ono na tym, że być może apostołom, a w każdym razie niektórym z nich na pewno, i tym pierwszym pokoleniom chrześcijan, tych którzy uwierzyli jako pierwsi, przyszła do głowy taka myśl: *Skoro Bóg zesłał swojego Syna, skoro Syn Boży stał się człowiekiem, skoro dokonał zbawienia, to jaki jeszcze ma sens istnienie świata i człowieka? Jaki jeszcze ma sens trwanie tego porządku? Czy przyjście Jezusa Chrystusa* — tak myśleli sobie — *nie powinno oznaczać spełnienia świata? Czy nie powinno być tak, że teraz Bóg dokończy już tego porządku, że doczesność skończy się i przejdzie w wieczność?* Z całą pewnością istniały w pierwszych pokoleniach chrześcijan takie bardzo silne nadzieje eschatologiczne tzn. nadzieje na eschaton co po Polsku znaczy *na koniec.* Spodziewano się, że skoro przyszedł Jezus, skoro widzieli na własne oczy Syna Bożego, skoro słyszeli to, czego nauczał, skoro dokonało się zbawienie w krzyżu i zmartwychwstaniu, to po co jeszcze świat istnieje? I po co jeszcze istnieje człowiek? I jaki jest sens istnienia chrześcijan w świecie, w którym nadal jest grzech, nieporządek, bałagan, zamęt? Myślano sobie tak: skoro przyszedł Jezus Chrystus, skoro Syn Boży stał się człowiekiem, to czy świat nie powinien w Niego uwierzyć? Czy wszyscy nie powinni pójść za Nim? Czy wszyscy nie powinni stać się dobrzy? I tak dobrzy, iżby ze świata zniknęłyby wojny, nieszczęścia, walki, zmagania, konflikty, zawiści, podstęp i rozmaitego rodzaju niesprawiedliwości!

To były dylematy tamtych ludzi. I co się okazało? Okazało się też i to, że kiedy czas upływał to niektórzy z tych chrześcijan, a nie były to tylko pojedyncze jednostki, tylko nawet całe wspólnoty, myśleli sobie tak: „A czy warto w ogóle czekać? A czy warto być chrześcijaninem? Co to znaczy być chrześcijaninem w świecie, w którym chrześcijanie są nadal prześladowani? Jaki jest sens Bożego czynu zbawczego w Jezusie Chrystusie, jeżeli ci, którzy w Niego wierzą, cierpią prześladowania?" Proszę zatem zwrócić uwagę, że pierwsze pokolenia chrześcijan stanęły wobec niezwykle trudnych pytań. Można by powiedzieć, że te pytania pod wieloma względami są podobne do pytań, które wcześniej czy później stawia sobie każdy z nas. Można by za egzystencjalnym filozofem Heidegerem nazwać te pytania egzystencjalnymi. Otóż każdy z nas dochodzi do jakiegoś punktu w życiu, kiedy

zadaje sobie pytanie: „A czy warto się trudzić? Czy warto się męczyć? Czy warto pracować, czy warto zbierać, czy warto odkładać, czy warto cierpieć, czy warto się poświęcać, czy warto żyć?" — zadaje sobie człowiek i to pytanie. Oczywiście ci, którzy nie znajdują na te pytania żadnych rozsądnych odpowiedzi, i którzy są bądź bardzo odważni bądź w ogóle im brakuje odwagi — niezgłębiona jest dusza takich ludzi — są tacy, których te pytania i brak odpowiedzi na nie popychają do samobójstwa. I kończą tak, jak gdyby jedyną ich matką była rozpacz i beznadziejność.

I coś podobnego działo się w tamtych pokoleniach. Coś podobnego dzieje się również i dzisiaj, zwłaszcza w tym okresie post-przemysłowym, w okresie przejścia od jednego stulecia do drugiego, i od jednego tysiąclecia do następnego tysiąclecia, zadajemy sobie pytanie o porządek świata, o sens świata, i o sens naszych w nim zaangażowań. Właśnie w odpowiedzi na te pytania pojawiła się Apokalipsa. Św. Jan próbuje odpowiedzieć chrześcijanom w jego czasach na te pytania, które dręczyły ich, i które się przed nami pojawiają. Próbuje im odsłonić przyszłość, już nie tę przyszłość bardzo bliską, chociaż jak zobaczymy w listach do 7 Kościołów będzie mówił również o ich obowiązkach na co dzień, na dziś, i na jutro. Ale próbuje również sięgnąć poza tę przyszłość doraźną, i próbuje powiedzieć im coś głębszego o nich samych, o Kościele, o roli Kościoła, o świecie. Ten gatunek nazywany apokaliptyką chce zrozumieć świat, próbuje zrozumieć świat, próbuje odkryć tajemnice świata, tajemnice kosmosu, ale jednocześnie próbuje odkryć tajemnice przyszłości.

Przyszłość bowiem ma to do siebie, że ponieważ jest całkowicie nieodgadniona, to potrafi człowieka niezwykle mocno zaprzątać. I to we wszystkich wymiarach — przyszłość jest czymś, czego nigdy nie możemy do końca przewidzieć i zaplanować. Tylko możemy zaledwie przeczuwać i możemy się cieszyć, jeżeli jest coś pomyślnego zgodnie z naszymi oczekiwaniami, bądź jeżeli unikamy czegoś złego, czego się obawiamy. Tajemnice świata i tajemnice przyszłości to są te dwa wymiary myślenia apokaliptycznego.

Powiedzmy najpierw o autorze Apokalipsy słów parę. Dookoła tego narosła bardzo obfita literatura. Są całe biblioteki, w których mądrzy komentatorzy sprzeczają się, kto był autorem Apokalipsy. Spróbujmy to wszystko streścić i zebrać w jedno. Wg. tradycji starochrześcijańskiej, której najstarsze świadectwa sięgają połowy II wieku, czyli ok. roku 150, czyli są to bardzo wczesne świadectwa, autorem Apokalipsy był św. Jan, autor czwartej Ewangelii kanonicznej, a więc św. Jan Ewangelista. Przypomnijmy sobie krótko jego życie, bo tylko wtedy, kiedy zwrócimy uwagę na jego życie będziemy mogli zrozumieć jego księgę. Otóż możemy wnosić o jego życiu na podstawie tego, co wiemy o nim z Ewangelii. Wiemy, że był najmłodszym spośród apostołów. Kiedy była Ostatnia Wieczerza, to Jan był chłopcem, który spoczywał na piersiach Jezusa. Taki powiedzmy sobie beniaminek wśród apostołów. Wiemy też, że kiedy Jezus został pojmany, i kiedy został następnie osądzony, i później prowadzony był na śmierć, apostołowie pouciekali — z wyjątkiem Jana, który był pod krzyżem. Już kiedyś państwu mówiłem, że w moim przekonaniu jest to znak, że kiedy był pod krzyżem, nie miał jeszcze 13 lat. Dlaczego? Bo z chwilą, gdy w świecie żydowskim chłopiec osiąga 13 lat, a dziewczynka — 12 lat, staje się pełnoletni i odpowiada za wszystko tak, jak odpowiada dorosły.

Ta granica jest w żydowskim prawie po dzień dzisiejszy. Ktoś powie tak: „Ależ dwunasto czy trzynastoletni chłopiec to zupełnie dziecko". W naszych warunkach tak, ale w warunkach Bliskiego Wschodu — proszę zwrócić uwagę na te dramaty, które dzisiaj rozgrywają się w Ziemi Świętej, że tam giną chłopcy dwunasto, trzynasto, czternasto i piętnastoletni. Oni jakby wcześniej dojrzewają. Podobnie jak u nas w okresie Powstania Warszawskiego 12 - 15 letni pełnili funkcje, zadania, których dzisiaj — w czasach spokoju — nie podjąłby się człowiek dorosły.

Otóż Jan był zbyt młody, żeby mogli go aresztować, żeby mogli go pojmać, żeby mogli go osądzić. Dlatego mógł bezkarnie, jeżeli tak można powiedzieć, być pod krzyżem, bo nikt nie chwyta, nie łapie, nie rozprawia się z dzieckiem — chyba że jest to tak rażąca niesprawiedliwość, z jaką mamy do czynienia choćby dzisiaj na Bliskim Wschodzie, kiedy do tych dzieci się strzela. Ale w starożytności tego nie było, przynajmniej to nie była zasada. Zasada była inna, nie wolno było dzieci w jakikolwiek sposób dręczyć. Jeżeli więc Jan miał ok. 12 - 13 lat w roku 33 czyli wtedy, kiedy Jezus umierał, to możemy się domyślać, że urodził się ok. roku 20. Zatem był najmłodszy w gronie apostołów. Możemy sobie wyobrazić też, że męka i śmierć Chrystusa, na które patrzył własnymi oczami, wywołały u niego bardzo silną reakcję i trwale zapadły mu w pamięć. Ślady tego widać w jego Ewangelii. Tam gdzie mowa o męce Jezusa widać, że ta Ewangelia św. Jana pełna jest emocji,

pełna jest wspomnień. Ale posuńmy się dalej. Gdy Jezus umarł, Jan miał kilkanaście lat. Następnie Kościół krzepnie, Ewangelia rozchodzi się po całym świecie, Jan rośnie. I kiedy chrześcijaństwo jest już na terenie Palestyny, Syrii, dzisiejszego Libanu, dzisiejszej Turcji, dzisiejszej Grecji, Jan jest mężczyzną, który ma 50 - 60 lat, jest mężczyzną dorosłym.

I na czym znów polega nowy paradoks? Otóż na tym, że ten dorosły mężczyzna patrzy na Chrystusa przez pryzmat dziecka, które widziało Jego mękę, ale jednocześnie przez pryzmat dorosłego chrześcijanina, który przez ogromną większość swojego życia przeżywa Jezusa dzięki sakramentom. Ewangelia św. Jana jest najbardziej sakramentalna ze wszystkich. Św. Jan podkreśla zwłaszcza rolę wody, która jest obrazem sakramentu Chrztu, oraz rolę krwi, która jest obrazem sakramentu Eucharystii. I przypominamy sobie wszyscy ten epizod — tylko św. Jan o tym wspomina — że gdy żołnierz rzymski podszedł do Jezusa i miał łamać Mu nogi po to, by ciało zwisło i szybciej umarł, ale stwierdził, że Jezus już nie żyje, to żeby się upewnić, że na pewno nie żyje, przebił włócznią Mu bok. „I natychmiast wypłynęła krew i woda." W ten sposób św. Jan chce powiedzieć, że na krzyżu Jezusa mają początek dwa podstawowe sakramenty: Chrzest i Eucharystia. Że Chrzest i Eucharystia czerpią swoją zbawczą moc ze śmierci Jezusa Chrystusa. Zwraca uwagę na rzeczywistość, ale jednocześnie zwraca uwagę na ten wymiar sakramentalny. Św. Jan przeżywał zatem Jezusa niesłychanie mocno, i związek z Nim, niesłychanie mocno.

Około roku 66 - 68 czyli wtedy, gdy Jan miał lat 46 - 48 lat, wybuchły bardzo silne prześladowania chrześcijan. Te prześladowania miały miejsce za Nerona. Był to pierwszy cesarz, który okrutnie z chrześcijanami się obszedł. To on również kazał wzniecić pożar w Rzymie, a odpowiedzialnością za pożar obarczył chrześcijan. Tych czasów dotyczy słynna powieść Sienkiewicza „Quo vadis" — *Dokąd idziesz?* Otóż na św. Janie, na jego psychice, te prześladowania musiały wywrzeć ogromny wpływ. Oto Jan widział że ci, którzy uwierzyli w Jezusa, muszą teraz przejść przez próbę krwi, przez próbę męczeństwa. Oczywiście część z tych ludzi traciła wiarę. Część z tych ludzi ulegała rozmaitym naciskom prześladowców czy oprawców. Ale znacznie większa liczba, jak się okazało z perspektywy czasu, stała się zaczynem chrześcijan. I w ten sposób, już wtedy, wykuła się taka formuła, iż *krew męczenników jest nasieniem chrześcijan*.

To prześladowanie za czasów Nerona skończyło się w r. 68 śmiercią samego Nerona. Potem trochę jakby się wszystko uspokoiło, ale uspokoiło się wszędzie, tylko nie w Palestynie. Bo oto w tym czasie w Palestynie wybuchło powstanie przeciwko Rzymianom, i w r. 70 Rzymianie oblegli Jerozolimę, oblegli świątynię, i po półtora roku oblężenia zajęli cały ten teren. Państwo wiedzą, że na tym terenie wybudowane są dwa meczety: jeden znany jako Kopuła Skały bądź Meczet Omara, a drugi jako Meczet El-Aksa. I dzisiaj państwo wiedzą, ponieważ nawiązujemy także do tego, co dzieje się w naszych czasach — bo to są te analogie, które wiążą nam tę historię i pozwalają ją zrozumieć — że właśnie te meczety czy to miejsce jest ogromną kością niezgody pomiędzy Żydami i Arabami. To właśnie do tych meczetów poszedł pod koniec września, bodaj 28 września, Ariel Sharon, który na początku lat osiemdziesiątych rozprawił się krwawo z kilkudziesięcioma tysiącami uchodźców arabskich na terenie Libanu. Zatem jest postrzegany jako bezwzględny prześladowca Arabów. Pod koniec września poszedł na teren meczetów, a intencja była jasna: zburzyć meczety, aby można było odbudować tamtą dawną świątynię. I na terenie Palestyny, na terenie Izraela dzisiaj, już podejmowane są bardzo poważne kroki, żeby odbudować świątynię. Ale odbudowa świątyni oznacza konieczność zburzenia tych meczetów. Przypominam, że konieczność zburzenia meczetów oznacza, w moim przekonaniu, wojnę na Bliskim Wschodzie, a być może i dalej. Dlatego, że meczety są świętością dla świata arabskiego. I kto wie, czy być może to zarzewie tego terenu świątynnego stanie się zarzewiem konfliktu, którego skutków nie sposób w ogóle przewidzieć. Więc jest to jeden z tych elementów, o których w naszych czasach bardzo mało się mówi, prawie w ogóle się nie pisze, a jeżeli się pisze, to tak między wierszami, a jest to jeden z istotnych zarzewi konfliktów i napięć, z którymi teraz w Ziemi Świętej mamy do czynienia.

Wróćmy do roku 70. Świątynia została zburzona, i chrześcijanom udało się przetrwać. Dlaczego? Dlatego, że przed oblężeniem przez Rzymian chrześcijanie schronili się do Pelli, na terenie dzisiejszej Jordanii. Tam przeżyli, przeczekali, i wydawało się, że można było powiedzieć tak: *Żydzi nie uwierzyli w Jezusa, Bóg ich ukarał. Natomiast myśmy uwierzyli w Jezusa* — tak myśleli chrześcijanie — *i Bóg pozwolił nam przetrwać.* Więc pojawił się jakiś oddech, ale ten oddech trwał niestety bardzo krótko. W r. 81 doszedł do władzy nowy cesarz – Domicjan. Pod koniec jego panowania,

które zakończyło się w roku 96, gdzieś ok. 94 roku, wybuchły nowe prześladowania. Chrześcijanie byli prześladowani tak, jak za czasów Nerona. Domicjana nazywano nawet drugim Neronem. I wtedy ci, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, przeżyli kolejny kryzys. Bo oto wydawało im się, że Pan Bóg pozwolił im przetrwać zagładę Jerozolimy po to, żeby ich teraz uśmiercić rękami siepaczy Domicjana. Jedni zaczęli wątpić, tak jak przedtem, inni zaczęli się łamać, jeszcze inni wiernie trwali przy tej wierze. A wszyscy zadawali sobie pytanie: *Jak to będzie? Czy losem chrześcijan będą bez przerwy prześladowania, i ulga w tych prześladowaniach? Jaki będzie los tych, którzy żyją i przeżyli, oraz los tych, którzy pomarli?*.

Pamiętajmy, że wiara w Jezusa Chrystusa miała wtedy zaledwie kilkadziesiąt lat. I właśnie w odpowiedzi na te dylematy, na te ciężkie czasy nowych prześladowań, pojawia się Apokalipsa. Św. Jan miałby wtedy, kiedy Apokalipsa powstawała — bo została napisana ok. roku 95 — miałby 75 lat. Uczeni sprzeczają się, czy siedemdziesięciopięcioletni starzec był w stanie zapisać słowa Apokalipsy — czy też, co jest równie prawdopodobne a może nawet bardziej prawdopodobne, w Apokalipsie znajdujemy jego intuicje, jego nauczanie, jego słowa. Natomiast ta Apokalipsa została napisana przez kogoś młodszego, kto był wyczulony na te słowa Jana Ewangelisty, kto znał dobrze jego nauczanie, kto wiedział dobrze, co Jan myśli. I to właśnie ów anonimowy redaktor, ów anonimowy autor, dokonał zapisu Apokalipsy. Tu musimy powiedzieć, że chociaż wylano morze atramentu, jeżeli chodzi o wyjaśnienie tej kwestii, to do dzisiaj nie ma zgody, czy to sam św. Jan napisał Apokalipsę, czy też ktoś z jego bliskiego otoczenia. Tradycja mówi o wyspie Patmos, i tak również mówi o tym Apokalipsa. Wyspa Patmos znajduje się przy wybrzeżu dzisiejszej Turcji, aczkolwiek należy dzisiaj do Grecji. Jest to niewielka wyspa, na którą w starożytności kierowano skazańców. Jeżeli kogoś skazywano na banicję, to go wywożono statkiem właśnie na wyspę Patmos. A następnie pilnowano, żeby stamtąd się nie wydostawali. I najprawdopodobniej św. Jan, autor czwartej Ewangelii, znalazł się na wyspie Patmos, i tam dopełnił swojego życia. Dzisiaj ci, którzy udają się na Patmos, mogą zobaczyć grotę św. Jana zamienioną przez Kościół prawosławny na kaplicę, gdzie czci się pamięć jego pobytu, i jego śmierci również. Tradycja wczesnochrześcijańska mówi, że był jedynym z apostołów, który umarł w sposób naturalny, a nie śmiercią męczeńską.

I zanim przejdziemy do poszczególnych listów, co zaczniemy dopiero za miesiąc, spróbujmy przyjrzeć się początkowi Apokalipsy. Dlatego, że z tego początku możemy znów wnosić bardzo wiele o tamtych chrześcijanach, i o nas samych. Apokalipsa rozpoczyna się takimi słowami:

> Objawienie Jezusa Chrystusa,
> które dał Mu Bóg,
> aby ukazać swym sługom, co musi stać się niebawem,
> a On wysławszy swojego anioła
> oznajmił przez niego za pomocą znaków
> słudze swojemu Janowi.

Zatem Apokalipsa oznacza *objawienie, ukazanie czegoś, czego inni nie widzą.* Jest to taka funkcja bardzo prorocka, bo przecież prorok był nazywany w Starym Testamencie *widzący.* Dlatego, iż widział więcej niż przeciętny człowiek, widział i rozumiał. I dlatego na tej podstawie mógł wyciągać wnioski. I tutaj też mamy *objawienie Jezusa Chrystusa, które dał Mu Bóg.* Zatem autor Apokalipsy odwołuje się do Boga, w którego niezłomnie wierzy, ale jednocześnie odwołuje się do Jezusa Chrystusa. Właśnie dlatego nie jest już tylko Żydem, który wierzy w Boga jedynego, lecz jest chrześcijaninem, który wyznaje Jezusa Chrystusa *aby ukazać swym sługom, co musi stać się niebawem.*

Otóż ten autor Apokalipsy widzi, że jego pokolenie jest zniecierpliwione. Tak prawdę mówiąc, to w każdym pokoleniu chyba pojawia się taka niecierpliwość. Każde pokolenie ludzi, zwłaszcza chrześcijan, ma swoje rozterki, dylematy, pytania. Przypomnijmy sobie choćby rozterki, dylematy pokolenia okresu międzywojennego, okresu wojny, albo okresu stanu wojennego itd. Otóż ludzie, zwłaszcza w czasach kryzysu, w czasach gwałtownej przemiany, przemian społecznych, politycznych, gospodarczych mają pytania, których kiedy indziej nie stawiają. I to jest odpowiedź na te pytania, które mieli współcześni św. Jana, co *oznajmił za pomocą znaków.*

Zawsze, kiedy jest mowa o przyszłości, musimy być pokorni. Dlatego, że nikt z nas, nawet prorocy, nawet ci, których Bóg do tego natchnął, nie znają przyszłości z tą oczywistością, z jaką znamy

teraźniejszość i przeszłość. Przyszłość zawsze niesie jakąś niewiadomą. Zatem co do przyszłości możemy mieć tylko pewne znaki. I te znaki możemy odczytywać, rozpoznawać. I autor też powołuje się na pewne znaki, św. Jan zwraca uwagę na pewne znaki. Podczas Soboru Watykańskiego Drugiego ten sposób myślenia o rzeczywistości otrzymał nazwę *znaków czasu*. Trzeba przyglądać się znakom czasu, żeby na ich podstawie nie tyle przewidywać, co raczej kształtować i rozpoznawać przyszłość.

> Ten poświadcza, że słowem Bożym
> i świadectwem Jezusa Chrystusa
> jest wszystko, co widział.

Zatem punktem wyjścia Apokalipsy jest przekonanie, że nauka tutaj zawarta, że sposób patrzenia tutaj zawarty, że wiara, która ożywia Apokalipsę, jest zakorzeniona w Bogu i w Jezusie Chrystusie. I na tym polega specyficznie chrześcijańskie podejście do przyszłości. Bez przerwy pojawiają się ludzie, którzy twierdzą, że mogą nam przyszłość przepowiedzieć. Dla nas jednak, jako chrześcijan, tylko to może być wiarygodne, co jest silnie zakorzenione w Bogu i w Jezusie Chrystusie. Jeżeli ktoś chce nam prawić rzeczy o przyszłości bez odniesienia do Jezusa Chrystusa, my jako chrześcijanie mamy obowiązek powiedzieć, że jest to zupełnie bezwartościowe, jest to sieczka. Dla chrześcijanina tym fundamentem dziejów we wszystkich wymiarach: przeszłości, teraźniejszości ale przyszłości zwłaszcza, jest Bóg i Jezus Chrystus. Bo w Nim, jak za chwilę zobaczymy, jest zakorzeniona nasza nadzieja. I tylko wtedy możemy ufnie popatrzeć w przyszłość, jeżeli opieramy się na takim właśnie trwałym fundamencie. I dalej czytamy:

> Błogosławiony, który odczytuje, i którzy słuchają słów Proroctwa,
> a strzegą tego, co w nim napisane,
> bo chwila jest bliska.

Z tego możemy wnosić, że Apokalipsa miała charakter listu, tak np. jak dzisiaj list pasterski. *Błogosławiony, który odczytuje* — w poszczególnych kościołach pojawiali się wierzący, wierni — ludzie, którzy odczytywali tekst Apokalipsy — robili to osobiście, jednostkowo; oraz błogosławieni są ci, którzy *słuchają* — ci są już w liczbie mnogiej. Tam w liczbie pojedynczej, a tutaj w liczbie mnogiej. Zatem Apokalipsa stanowiła swego rodzaju pismo okrężne. Tzn. był zwój, był rękopis, być może były zrobione rozmaite jego odpisy. I ci lektorzy poruszali się z kościoła do kościoła, i tam czytali te słowa. Te słowa miały przynieść umocnienie na czas kryzysu, na czas prześladowań, na czas zwątpienia, na czas beznadziejności. Punkt wyjścia jest jasny: *jeżeli chcesz znać przyszłość, zaufaj Bogu i Jezusowi Chrystusowi. I błogosławiony jest ten, który tak czyta, oraz błogosławieni są ci, którzy tak słuchają. I strzegą tego, co w nim napisane, bo chwila jest bliska.* Zatem Jan daje do zrozumienia, że każdy człowiek, który jest niepewny co do przyszłości, a może być słusznie niepewny, bo czasy są trudne, musi dokonać indywidualnego, osobistego wyboru. Że każdy człowiek jest wezwany do tego, by opowiedzieć się za Bogiem i za Jezusem Chrystusem. Wierzymy wspólnie, ale odpowiedź, którą dajemy Bogu, musi być osobista. I właśnie z tej osobistej wiary rodzi się wiara wspólnoty, rodzi się siła wspólnoty. I posłuchajmy dalej:

> Jan do siedmiu Kościołów, które są w Azji:

A więc Apokalipsa, te listy, którymi się będziemy w tym roku przyglądać, mają swój adres: do siedmiu wspólnot, które są w Azji. To jest Azja Mniejsza, dzisiejsza Turcja. Będziemy opowiadać sobie szczegółowo o lokalizacji poszczególnych Kościołów. Dlaczego siedem? Odpowiadam, że tak naprawdę nie wiemy. Ale *siedem* było w starożytności, podobnie jak dzisiaj, liczbą symboliczną. Mówiono, że jest siedem ciał niebieskich: słońce, księżyc i pięć planet. Mówiono, że jest siedem dni tygodnia, które regulują rytm życia człowieka. To siedem jest to znak pełni, znak błogosławieństwa, znak dostatku. Można by powiedzieć tak: te listy są do siedmiu Kościołów. Ale siedem — to znaczy do wszystkich Kościołów. Te siedem Kościołów jest jakby sednem całego Kościoła. Zatem trzeba będzie to czytać i rozważać wszędzie, i trzeba będzie to czytać i rozważać zawsze. Najpewniej tak właśnie Kościół pojął Apokalipsę św. Jana, skoro zachowała się w Kanonie po dzień dzisiejszy. I chociaż jest pismem bardzo trudnym, to każde pokolenie odkrywa w niej nowe treści. I czytamy tak:

Łaska wam i pokój
od Tego, Który jest, i Który był i Który przychodzi,
i od Siedmiu Duchów, które są przed Jego tronem,

Apokalipsa przynosi najpierw pozdrowienie pokoju. Proszę popatrzmy — to jest też bardzo znaczące — w czasie niepokojów, w czasie zamętu, w czasie kryzysu, w czasie niepewności, to, co można uzyskać dla drugiego człowieka, to, co można mu podarować, to jest błogosławieństwo pokoju. W świecie pełnym zamętu pokój jest wielkim darem. Ale dawcą pokoju jest Bóg, *Ten, Który jest, Który był i Który przychodzi.* Zatem jest tu bardzo silna wiara, że w tym świecie pełnym konfliktów, pełnym prześladowań w tamtych czasach chrześcijan, pokój można zachować wtedy, kiedy wiara człowieka jest mocno zakorzeniona w Bogu. Bo Bóg jest, i był, i nieustannie przychodzi. Tak autor nawiązuje do starotestamentowego objawienia się Boga Mojżeszowi, kiedy to Bóg u stóp Synaju mówi do Mojżesza: *Moje imię jest Jestem*. Jestem dla ciebie, jestem z tobą, przychodzę aby ci pomóc, przychodzę aby cię wesprzeć. I dlatego po tym objawieniu się tego imienia następują słowa: *Nie lękajcie się*. Przypomnijmy, że te słowa zostały podjęte na początku pontyfikatu Jana Pawła II, i stały się mottem tego pontyfikatu. I tu błogosławionym jest ten, kto otrzymuje tę łaskę i dar pokoju od Boga,

i od Jezusa Chrystusa, Świadka Wiernego,
Pierworodnego umarłych
i Władcy królów ziemi.

Drugie odniesienie. Jedno: Bóg, drugie: Jezus Chrystus. Pamiętajmy, że jeszcze teologia nie była tak rozbudowana jak w naszych czasach. Pamiętajmy, że istnieje różnica pomiędzy wiarą, a teologią. Wierzą ludzie najprostsi, wierzą dzieci, wierzą ludzie starsi, wierzą ludzie bardzo mądrzy — ale również ludzie, którzy nie mają wykształcenia. Wiara jest darem dla każdego. Teologami mogą być niektórzy. Teologia nie jest konieczna dla wiary, czasami może tej wierze nawet przeszkadzać albo ją utrudniać — wtedy jest nieporozumieniem. Na ogół jednak zadaniem teologii jest to, by wiarę uzasadniać, podbudować i rozwinąć. Ci pierwsi chrześcijanie nie mieli jeszcze rozbudowanej teologii. Jeszcze nie wiedzieli, jak nazywać Jezusa Chrystusa. Nie mieli jeszcze wykrystalizowanej koncepcji Trójcy Świętej tak, jak my mamy, bo dochodzili do niej stopniowo. Wiedzieli, że Bóg jest jedyny, i wiedzieli, że Jezus jest Bogiem. Ale nazywali Jezusa bardzo ostrożnie, bo nie wiedzieli jak pogodzić to z jedynością Boga. Pamiętajmy, że jeszcze kilka wieków później, w czasach św. Augustyna, trwały spory co do Trójcy Świętej — jak uczyć o Bogu, który jest, jeden, jedyny w trzech osobach. Powstawały traktaty De Trinitate — *Trójca Święta.*

Tutaj Jezus jest nazwany *Świadkiem Wiernym, Pierworodnym umarłych*. Proszę zwrócić uwagę, że tym chrześcijanom uciskanym, prześladowanym, wskazuje się na przykład Jezusa mówiąc: to jest Świadek Wierny. A więc Jezus w wierny sposób, w wiarygodny sposób zaświadczył o Bogu. W ten sposób dla tych umęczonych chrześcijan Jezus jest dawany jako przykład wierności, stałości. Tą cnotą, do której są wezwani, do której są powołani, jest właśnie cnota wytrwałej cierpliwości, wierności. I w tej cnocie przoduje Jezus, Pierworodny spośród umarłych. Męka Jezusa Chrystusa musiała wywrzeć na św. Janie ogromne wrażenie, skoro całą swoją Apokalipsę rozpoczyna od nawiązania, od aluzji, do śmierci Jezusa:

i który przez swą krew uwolnił nas od naszych grzechów,
i uczynił nas królestwem - kapłanami dla Boga i Ojca swojego,

Zwróćmy uwagę, że Jan podkreśla stałość Jezusa, wierność Jezusa, a jednocześnie ukazuje, na czym polegało dzieło zbawcze: *przez swą krew uwolnił nas od grzechów*. Potrzebna była krew Jezusa po to, aby ludzkość została odkupiona. Jan nie tłumaczy dlaczego tylko opisuje, jak to było. Działanie Boże nie do końca da się zracjonalizować. Tak samo jak w życiu człowieka nie wszystko da się zracjonalizować. *I uczynił nas królestwem — kapłanami dla Boga i Ojca*. Zatem skutkiem wybawienia od grzechów jest uczynienie nas królestwem kapłańskim dla Boga, a więc jest nowa godność człowieka. Proszę niech państwo zwrócą uwagę, że w ten sposób ten stary Jan Ewangelista w najgłębszym języku, jaki tylko jest możliwy, ukazuje sedno dzieła zbawczego Jezusa, i ukazuje sedno godności chrześcijanina. To niedługo później, w nawiązaniu do Apokalipsy, i w nawiązaniu do

Ewangelii św. Jana, tak zwani Ojcowie Kościoła będą wołać: *Poznaj swoją godność, chrześcijaninie!* I dalej:

> Jemu chwała i moc na wieki wieków! Amen.
> Oto nadchodzi z obłokami,
> i ujrzy Go wszelkie oko i wszyscy, którzy Go przebili.
> I będą Go opłakiwać wszystkie pokolenia ziemi.
> Tak: Amen.

Jan ukazuje na paradoks pomiędzy marną śmiercią Jezusa przebitego na krzyżu, a chwałą, która czeka Go od tych, którzy będą Go wyznawać. Oto Ten, który został przebity, wzgardzony i upokorzony, oto On będzie wyznawany przez nieprzeliczone rzesze ludzi. Zatem Jan daje poznać swojemu pokoleniu, że jego sytuacja, i sytuacja tego pokolenia, nie jest ostateczna, że po tych prześladowaniach przyjdą inni, i inni będą wyznawać Jezusa. I dalej:

> Jam jest Alfa i Omega, mówi Pan Bóg,
> Który jest, Który był i Który przychodzi,
> Wszechmogący.

Autor Apokalipsy, św. Jan, nawiązuje tutaj do alfabetu greckiego. Alfa (A) to jest pierwsza litera alfabetu greckiego, Omega (Ω) — ostatnia. Ja jestem początek i koniec — to jest symboliczny sposób mówienia. Pamiętajmy, że w tamtych czasach ludzie umieli cenić alfabet. Przecież ogromna większość była niepiśmienna, to byli analfabeci. Zatem w ten symboliczny sposób Jan wskazuje, że Jezus jest początkiem i końcem wszystkiego — Alfa i Omega. Nawiązanie do tego symbolu znajdujemy zwłaszcza w okresie Wielkanocy. Państwo pamiętają ten przepiękny ryt w Wielką Sobotę, kiedy to na potężnej świecy, na paschale wyryte są litery alfa i omega, początek i koniec. I właśnie ta nadzieja jest podstawą wszelkiej chrześcijańskiej nadziei. To znaczy Jezus Chrystus jest dla nas Początkiem — przez duże „P", i jest dla nas Końcem — przez duże „K". Więc wszelkie myślenie o przeszłości, i wszelkie myślenie o przyszłości, to jest myślenie pomiędzy tymi dwoma biegunami. Ale obydwa stanowi Jezus Chrystus. Proszę popatrzmy jak głęboko chrystologiczna, a nawet więcej — chrystocentryczna — jest ta wizja, którą ukazuje nam autor Apokalipsy. Ileż ten człowiek musiał mieć wiary! I zawsze muszą być tacy ludzie jak on, którzy zagrzewają innych wzbudzając nadzieję dzięki mocy swojej własnej wiary. Właśnie człowiek wiary potrafi, jak mówił o tym Jan Paweł II, *przekroczyć próg nadziei.* I dalej:

> Ja, Jan, wasz brat
> i współuczestnik w ucisku i królestwie, i wytrwałości w Jezusie,
> byłem na wyspie, zwanej Patmos,
> z powodu słowa Bożego i świadectwa Jezusa.

Ja, Jan, wasz brat. Proszę popatrzmy, że jeżeli komuś chcemy powierzyć swoje losy, jeżeli z kimś chce związać swoje nadzieje — zwłaszcza te, które dotyczą przyszłości — to on musi postrzegać samego siebie jako nasz brat. Jeżeli ktoś się wywyższa i wyróżnia, jeżeli ktoś mówi, że „wiem więcej", albo że „jestem zupełnie inny" — nie jest godzien zaufania. Otóż tylko tym możemy zaufać, którzy podzielają z nami do końca naszą ludzką kondycję, a więc i nasze rozterki, rozczarowania i trudności. *Współuczestnik w ucisku i królestwie.* To są te dwie strony egzystencji chrześcijan. Z jednej strony ucisk, z drugiej strony — nadzieja królowania. *Byłem na wyspie, zwanej Patmos*.

> Doznałem zachwycenia w dzień Pański
> i posłyszałem za sobą potężny głos
> jak gdyby trąby mówiącej:
> «Co widzisz, napisz w księdze
> i poślij siedmiu Kościołom:

Słyszał to wszystko w dzień Pański. Dzień Pański — to niedziela. Niedziela była od początku bardzo silnie związana z eucharystią. Zatem dla Jana punktem wyjścia jest eucharystia. Wszystko to, co ma do powiedzenia drugiemu człowiekowi, w tym braciom, współchrześcijanom, wynika, jest karmione eucharystią. To też jest jakiś punkt odniesienia również dla nas. Że jeżeli chcemy zaufać

komuś, to *wiedz Komu zaufałeś.* I tu ten punkt wyjścia jest niesłychanie istotny. Jan mówi: wszystko, do czego doszedłem, wszystko, co chcę wam powiedzieć, wynika z przeżywania dnia świętego — zatem z eucharystii i z modlitwy. Pisze do siedmiu Kościołów:

> do Efezu, Smyrny, Pergamonu, Tiatyry, Sardes, Filadelfii i Laodycei.

Kolejne siedem miesięcy to będzie każdy z tych Kościołów, po kolei tak, jak one występują tutaj. Opiszemy sobie, gdzie one się znajdują, jakie były ich dzieje i losy, przeczytamy sobie dotyczący ich fragment Apokalipsy. I spróbujemy rozpoznać, co z tego posłannictwa jest ważne. A to dlatego, że spróbujemy powiedzieć co z tych rozterek, jakie wtedy były, jest nadal aktualne.

> I obróciłem się, by widzieć, co za głos do mnie mówił;
> a obróciwszy się, ujrzałem siedem złotych świeczników,
> i pośród świeczników kogoś podobnego do Syna Człowieczego,
> obleczonego [w szatę] do stóp
> i przepasanego na piersiach złotym pasem.

Jan opisuje wizję, jaką miał. Ta wizja jest związana ze świątynią Jerozolimską — ale świątyni nie ma. Nie ma też już świeczników, bo wszystko zostało zburzone ponad dwadzieścia pięć lat wcześniej. Jan tęskni za tą świątynią, i widzi teraz już nie jeden świecznik, ale siedem. Daje w ten sposób poznać, że nowy porządek zbawienia, zapoczątkowany przez Jezusa Chrystusa, jest pełny i doskonały. Widzi postać, przepasaną złotym pasem — tak to opisuje. Ten opis jest podobny do opisu Przemienienia Jezusa na górze Tabor. Czytamy dalej:

> Głowa Jego i włosy - białe jak biała wełna, jak śnieg,
> a Jego oczy jak płomień ognia.

W takich samych słowach postać Syna Człowieczego opisywało proroctwo Daniela.

> Stopy Jego podobne do drogocennego metalu,
> jak gdyby w piecu rozżarzonego,
> a głos Jego jak głos wielu wód.
> W prawej swej ręce miał siedem gwiazd
> i z Jego ust wychodził miecz obosieczny, ostry.

Ten miecz obosieczny, który wychodzi z ust, to symbol słów. Słowa, które jest skuteczne, które napomina i karci, które pociesza i uczy. Słowo — mówi prorok Izajasz — jest jak miecz obosieczny, który sięga do wnętrza człowieka i tam wręcz rozdziela jego kości.

> A Jego wygląd - jak słońce, kiedy jaśnieje w swej mocy.
> Kiedym Go ujrzał,
> do stóp Jego upadłem jak martwy,
> a On położył na mnie prawą rękę, mówiąc:
> «Przestań się lękać!
> Jam jest Pierwszy i Ostatni i żyjący.

Jan w spotkaniu z Jezusem Chrystusem lęka się, boi — tak, jak każdy człowiek, który doświadcza głęboko Boga. Ale otrzymuje to polecenie *Nie lękaj się! Jam jest Pierwszy i Ostatni i żyjący.*

> Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków
> i mam klucze śmierci i klucze Otchłani.
> Napisz więc to, co widziałeś,
> i to, co jest, i to, co potem musi się stać.
> Co do tajemnicy siedmiu gwiazd, które ujrzałeś w mojej prawej ręce,
> i co do siedmiu złotych świeczników:
> siedem gwiazd - to są Aniołowie siedmiu Kościołów,
> a siedem świeczników - to siedem Kościołów.

Takie jest wprowadzenie do tych listów, które będziemy czytać. Co to wszystko znaczy? Znaczy to, że pouczenia, które przyjdą w listach, pouczenia bardzo konkretne, nie są wynikiem ludzkiej refleksji, nie są wynikiem człowieczego namysłu, nie są wynikiem doświadczenia ale są rezultatem, są owocem głębokiej wiary, i głębokiego spotkania za pomocą wizji Jezusa Chrystusa. Jan nam na ten temat już więcej nic nie powie. Zawsze, kiedy mamy do czynienia z mistycyzmem, stajemy na progu tajemnicy, której nie sposób przekroczyć. Tak było w życiu wielu mistyków chrześcijańskich, w doświadczeniu dzieci z Fatimy, w doświadczeniu siostry Faustyny Kowalskiej, i w doświadczeniu tylu innych ludzi, przez które dalej przeniknąć nie możemy. To jest coś takiego, jak nieraz doświadczenie w naszym życiu. Jest jakaś głębia, z którą chcemy podzielić się z innymi, ale w pełni tego odkryć nie możemy. Oto przeżyliśmy coś, co jest wręcz nieprzekazywalne.

Jan daje więc poznać nam że to, czego będzie nas uczył, to, o czym będzie pisał, jest wynikiem głębokiej pobożności, głębokiego spotkania z Chrystusem. W ten sposób, kończąc dzisiejszą konferencję, można powiedzieć jedno. Jan będzie odkrywał przyszłość, przyszłość przed tamtymi Kościołami. Ale chce dać poznać, że prawdziwe, wierne odkrywanie przyszłości tylko wtedy ma sens, gdy wynika z głębokiego spotkania z Bogiem, i z Chrystusem. I że to właśnie Bóg odkrywa Janowi jakieś sedno tego, czym powinna być, i czym powinna się karmić wiara chrześcijańska.

Być może podczas kolejnych miesięcy uda nam się to sedno odkryć, rozpoznać i nieco pogłębić. Na kolejne spotkanie zapraszam państwa w trzeci poniedziałek listopada, to będzie 20 listopada, o tej samej porze. Zajmiemy się wtedy pierwszym spośród listów, bardzo krótkim — dlatego warto będzie mu się przyjrzeć bardzo uważnie — listem do Kościoła w Efezie.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

3.2 List do Kościoła w Efezie (dn. 20 listopada 2000)

Tematem naszej refleksji w Roku Wielkiego Jubileuszu roku 2000 uczyniliśmy Apokalipsę św. Jana, a w Apokalipsy św. Jana stosunkowo krótkie teksty, mianowicie listy do siedmiu Kościołów. Najwidoczniej ten temat — przynajmniej sam temat, zobaczymy, co z treścią — podobał się państwu, skoro tyle osób przychodzi, i najwidoczniej oczekiwania z tym związane są bardzo duże. Proszę jednak zwrócić uwagę, że w tych nadziejach i oczekiwaniach jest pewien paradoks, którego tak naprawdę nie sposób zrozumieć. Przecież kiedy rozważamy, kiedy czytamy Apokalipsę, kiedy czytamy, kiedy rozważamy Listy do 7 Kościołów w Azji Mniejszej, to po pierwsze oddziela nas od tych Kościołów bardzo duża odległość geograficzna, bo to wszystko miało miejsce na terenie dzisiejszej Turcji, a po drugie zastanawiające jest to, że interesują nas te Kościoły pomimo znacznego dystansu czasowego. Przecież to jest ok. 1900 lat temu, kiedy Apostoł Jan kierował swoje listy do siedmiu Kościołów Apokalipsy.

Byłoby tak, jak powiedziałem na początku, wprowadzając w te konferencje, rzeczą zbawienną, gdybyśmy mogli oglądać przynajmniej np. na przezroczach to, co zostało z tych Kościołów, gdybyśmy mogli zobaczyć miejsca, do których się odnosi ta refleksja. Ale przynajmniej na razie nie można tego zrobić. Choć być może któregoś dnia to sobie zrobimy. Chciałbym jednak państwu zapowiedzieć, że za kilka miesięcy ukaże się w Krakowie album zatytułowany „Ziemia św. Pawła i św. Jana". Ten album autorstwa pana Stanisława Markowskiego, tego samego, który jest autorem albumu „Ziemia Zbawiciela", zapewne da nam pojęcie o tych miejscach, które teraz rozważamy. Pan Markowski podczas swojej bytności na terenie Turcji podczas pobytu robił również przezrocza, i może udałoby się go któregoś dnia tu ściągnąć na którąś z naszych konferencji. I wtedy mogliby państwo zobaczyć te miejsca tak, jak one wyglądają dzisiaj, po prawie 2000 lat. Rozmawiałem z nim na ten temat. I kiedy uporządkuje cały ten materiał fotograficzny, może udałoby się odbyć taką właśnie podróż i w przestrzeni, i w czasie.

Na razie jednak musimy się zadowolić jedynie wyobraźnią, i na razie bardziej polegać na spotkaniu z tymi ludźmi, do których Apostoł kierował swoje listy. Parę tygodni temu, kiedy spotkaliśmy się w tym roku po raz pierwszy, zrobiliśmy sobie ogólne wprowadzenie do tych listów. Powiedzieliśmy, że jest ich siedem. A siedem wyraża doskonałość, wyraża pełnię. Będziemy teraz, jeżeli Pan Bóg pozwoli nam wszystkim ten czas przeżyć, przez kolejne siedem miesięcy czytać jeden z tych listów.

Dzisiaj chciałem zwrócić uwagę państwa jeszcze na pewną rzecz ogólniejszą. Mianowicie te wszystkie listy są stosunkowo krótkie. Za chwilę przeczytamy pierwszy z nich, i długość wszystkich jest jednakowa. Można sobie wyobrazić, że gdyby przyszło je zapisać, zarówno dzisiaj, jak w starożytności, to do zapisania ich wystarczyłby kawałek papirusu albo pergaminu wielkości kartki papieru. Zatem były to króciutkie pisma. Możemy też sobie wyobrazić, że kiedy taki mały zwój pergaminu bądź papirusu trafiał do tego Kościoła, to trafiał tam do starszego, do przełożonego, do biskupa tego Kościoła. I ów biskup stawał przed ludźmi tak, jak teraz my jesteśmy, przed wiernymi, i czytał im list od Apostoła. Niech państwo sobie spróbują wyobrazić tę przedziwną atmosferę sprzed około 1900 lat. Musiało to być bardzo dziwne, i jednocześnie musiało to być bardzo wzruszające.

Oto wspólnota w danym mieście — dzisiaj będziemy czytali List do Kościoła w Efezie. Było to wielkie miasto, na czasy starożytne była to prawdziwa metropolia. Liczyła około milion ludzi. I w tym mieście portowym nad Morzem Śródziemnym zbiera się miejscowy Kościół, miejscowa wspólnota — może wyglądało to dokładnie tak, jak my tutaj teraz się zbieramy, kilkadziesiąt czy kilkaset ludzi — i staje przed nimi miejscowy biskup albo przełożony tego Kościoła, bo nie wszędzie jeszcze biskupi byli, w Efezie był na pewno — i czyta im list od św. Jana Apostoła. Św. Jan przebywa w tym czasie na wyspie Patmos, jest starcem. Dla nich jednak św. Jan jest absolutnym autorytetem. Dlaczego? Bo w tych czasach, a miało to miejsce ok. roku 95, za rządów cesarza Domicjana, św. Jan, ten starzec, był jedynym Apostołem, który przeżył, i który osobiście znał Jezusa Chrystusa. Zatem oni go traktowali z ogromną czcią, z ogromnym szacunkiem. Słuchali jego słów z ogromnym namaszczeniem. Wszystko co powiedział, było dla nich bardzo ważne. Cieszył się przeogromnym autorytetem. Nie wiemy, czy sam Jan odwiedził wtedy te siedem Kościołów. Jest to bardzo prawdopodobne, bo te wszystkie Kościoły leżą od siebie oddalone o ok. 70 – 100 km. Łącznie więc, żeby przebyć całą tą drogę i odwiedzić wszystkie siedem kościołów, trzeba by przebyć ok. 800

– 900 km. W czasach starożytnych podróżowano bardzo dużo. Oczywiście proporcjonalnie nie tyle, co dzisiaj, ale zważywszy na mizerne środki transportu podróżowano bardzo dużo. Dziennie można było pokonać ok. 30 km, i takie były trasy owych podróży. Jeżeli więc założymy, że Apostoł, ten starzec, sam objechał te Kościoły, to sama droga zajęła by mu miesiąc. A gdyby założyć jeszcze, że w każdej z tych wspólnot przebywał czas jakiś, zatem jego pobyt na terenie Azji Mniejszej, tam w zachodniej Turcji, trwałby może dwa, trzy, może cztery miesiące. A może pojechał tam wiosną i był do jesieni, czyli w okresie, kiedy pogoda sprzyjała. Bo tam też jest pogoda bardzo podobna do naszej teraz.

Albo możemy też założyć drugą możliwość. Mianowicie że Jan był już starcem około osiemdziesięcio - osiemdziesięciopięcioletnim, a więc jak na czasy starożytne bardzo posuniętym w wieku. I że był na wyspie Patmos i posłał młodszych od siebie, ale zaufanych ludzi. I prosił, żeby zobaczyli jak żyją ci, których pozyskał dla wiary, którzy zostali nawróceni, którzy byli chrześcijanami. Oni byli chrześcijanami od ok. 40 – 45 lat. Zatem byli chrześcijanami już w drugim pokoleniu. Mniej więcej perspektywa była taka, jakby w naszych czasach gdzieś tam od lat pięćdziesiątych. I może właśnie Jan wysłał kogoś młodszego, może całą grupę takich młodszych, zaufanych ludzi. A oni przyszli i opowiedzieli mu, co widzieli. I wtedy Jan dyktuje swoje listy. Te listy zostają zapisane na skrawkach pergaminu bądź papirusu. Może były bardzo małe dlatego, że trwały prześladowania, i taki papirus trzeba było dobrze zwinąć, wrzucić gdzieś tam do tuniki po to, żeby nie dostał się w ręce prześladowców, w ręce Rzymian, czy w ręce innych, którzy okrutnie obchodzili się z chrześcijanami. Bo przecież gdyby się taki papirus dostał w ich ręce, niechybnie by zginął. A nie zginął — skoro wszedł do Apokalipsy i do Nowego Testamentu, i skoro my po 1900 latach takie właśnie papirusy czytamy.

Spróbujmy zastanowić się, co czuł św. Jan, kiedy zapisywał ten papirus. Wydaje mi się, że czuł się jak starotestamentowy prorok. Dlatego, że w Starym Testamencie mamy takie wypowiedzi prorockie, jak np. w Księdze Amosa, Jeremiasza, Ezechiela, Izajasza, w których prorocy upominają swoich rodaków. Upominają ich nie po to, żeby ich karcić i pognębić, ale upominają ich po to, aby uzyskać od nich nawrócenie. To nawrócenie nosi po hebrajsku nazwę teszuwa, od czasownika szuw — *powrócić.* Teszuwa to jest *powrót, powrót do Pana Boga.* Myśl jest taka: każdy, kto grzeszy, odchodzi od Pana Boga, oddala się od Niego. Natomiast przezwyciężeniem grzechu jest bliskość z Bogiem. Skoro tak, to potrzebna jest ta teszuwa, aby wrócić. To samo, co w Starym Testamencie nazywało się „powrotem", to co w języku greckim, bo takim mówił i pisał św. Jan Apostoł, nazywało się metanoja, znaczy to po polsku *przemiana.* Otóż żeby wrócić do Pana Boga, trzeba się przemienić. Ale żeby się przemienić trzeba najpierw poznać to, co jest niewłaściwe, to co jest grzeszne i gnuśne. A następnie podjąć decyzję o poprawie i wrócić do Boga.

Jan więc czuje się jak prorok. Ale niech państwo przypomną sobie to, o czym mówiłem kilka tygodni temu. Że prorok to nie jest człowiek, który zapowiada przyszłość. To nie jest astrolog, to nie jest wróżka, to nie jest mag. Prorok to jest człowiek, który przyszłość kształtuje. Jeżeli prorok rozeznaje rzeczywistość, jeżeli ją poznaje, jeżeli chce mieć o niej pojęcie, jeżeli ją ocenia — to po to, by ją zmieniać. I św. Jan Apostoł albo sam, jak powiedzieliśmy, albo poprzez swoich wysłańców, przygląda się życiu w tych wspólnotach, w tych wspólnotach niewielkich Kościołów Azji Mniejszej, a następnie będzie ich — zaraz zobaczymy — napominał, karcił, będzie ich zachęcał i podnosił na duchu. Ale co jest najciekawsze — zwrócono na to uwagę od bardzo dawna — że te wszystkie listy, że każdy z tych listów ma swój lokalny koloryt, ma swoje lokalne zabarwienie.

Mówiłem państwu, że tegoroczne konferencje są pod wpływem podróży studyjnej, którą w lipcu tego roku odbyliśmy po tych Kościołach Azji Mniejszej z księdzem biskupem Stanisławem Gądeckim, z księdzem dyrektorem Romanem Tkaczem i fotografikiem i wydawcą tego albumu. I było to dla nas ogromnym zaskoczeniem i ogromnym przeżyciem. W wielu z tych Kościołów byliśmy nie po raz pierwszy, ale w dwóch byliśmy po raz pierwszy w życiu. Najbardziej zaskakująca była zbieżność pomiędzy skrawkiem czytanego słowa z kart Apokalipsy a tym, cośmy oglądali na własne oczy. Nic takiego nie dałoby się wymyślić, gdyby nie widzieć tych miejsc, gdyby nie widzieć ich topografii, ich geografii, ich usytuowania. Trzeba było w naszym przypadku siąść gdzieś na kamieniu, na chwilę przymknąć oczy, i jakby próbować wyobrazić sobie tych wiernych sprzed 2000 lat. Albo można było zrobić inaczej. Wyobrazić sobie wiernych dzisiejszych, bo w gruncie rzeczy te wszystkie dylematy i wyzwania, przed którymi stali tamci ludzie, tak dawno temu, są w gruncie rzeczy również i nasze.

Zatem św. Jan pisząc listy do tych wspólnot, oddalonych od niego o kilkaset kilometrów, próbuje sobie wyobrazić ludzi, których chce upomnieć, ale których chce również zachęcić. I św. Jan czuje się jak prorok. Ale te listy mają również inny kontekst. Żeby go znać, trzeba znać okoliczności, sytuację w czasach Imperium Rzymskiego. Otóż kiedy cesarz rzymski chciał coś ogłosić swoim poddanym, to wtedy na marmurowej płycie wykonywano napis i umieszczano gdzieś na publicznym budynku, przeważnie na rynku. Ogromna większość ludzi nie potrafiła oczywiście ani pisać ani czytać. Oblicza się, że w starożytności 80 - 90 % ludzi było analfabetami. Zatem sztuka czytania i pisania była stosunkowo rzadka. Zatem w jaki sposób dekrety cesarskie docierały do poszczególnych miejscowości? Przynoszono krótki tekst na papirusie. Następnie sadzano specjalnych rzemieślników — dzisiaj np. mamy takich fachowców na cmentarzach, którzy mają gotowe wzory liter i bardzo szybko mogą wykonać konkretne napisy — byli tacy, nazwijmy ich może trochę nieładnie kamieniarzami, i oni sporządzali kamienną inskrypcję z tekstu przyniesionego przez posłańca na papirusie czy pergaminie, a posłaniec jechał dalej. Przygotowywano to, i kiedy schodziło się więcej ludzi, to ktoś umiejący czytać czytał zebranym wolę cesarską.

Dopiero teraz możemy zrozumieć te listy, bo św. Jan czuje się trochę tak, jak cesarz, naśladuje go. Mianowicie pisze króciutkie listy do poszczególnych Kościołów z myślą o tym, żeby one były przepisywane. Nie potrafimy powiedzieć, czy one były pisane na jakichś marmurowych płytach. Może były, może te płyty nie dochowały się do naszych czasów, może te płyty bezpowrotnie zginęły. A może któregoś dnia jakiś szczęśliwy archeolog w Efezie, Smyrnie, czy w Pergamonie odnajdzie taką płytę. Na razie nie znaleziono. Ale musieli sporządzić sporo kopii tego listu, przysłanego przez Apostoła, skoro te listy zachowały się do naszych czasów. Więc Apostoł czuje się jak prorok, i jednocześnie Apostoł daje im poznać swoją wolę tak, jak czynił to cesarz. Dlaczego to było ważne? Dlatego, że pod koniec I wieku toczyła się bardzo ostra konfrontacja pomiędzy nową religią chrześcijańską, a cesarstwem. Wszędzie obowiązkowa była religia narzucająca kult cesarza. Cesarz był czczony jako bóg, przedstawiany wręcz jako bóg, albo przynajmniej jako półbóg. Każdy cesarz musiał mieć swoje figury, podobizny, portrety, przed którymi składano wieńce, ofiary, które ozdabiano, wysyłano wiernopoddańcze listy itd. Jeżeli św. Jan posługuje się taką samą formą krótkiej inskrypcji, to chce dać poznać, że prawdziwy Bóg i prawdziwa wola Boża jest nie w dekretach cesarskich, wieszanych gdzieś tam na Forum czy na Agorze, lecz prawdziwa wola Boża przychodzi właśnie na tym skrawku papirusu czy pergaminu, który wiernym przesyła.

Przeczytam państwu ten list najpierw w całości, a potem go krótko skomentujemy. Jest to tekst stosunkowo krótki, oczywiście przełożony na język polski. Pierwotnie był po grecku. Gdyby go czytać po grecku, brzmi bardzo ładnie, ta greka jest bardzo staranna. Widać, że jest to język grecki dojrzałego, starego człowieka. Widać w tym języku wielkie doświadczenie, staranny dobór słów. Widać, że autor, czyli św. Jan Apostoł, stara się powiedzieć to, co najważniejsze. Zawsze jest tak, że kiedy człowiek jest starszy, to staje się oszczędny w słowach i mówi tylko to, co najbardziej istotne. Jeżeli jest inaczej to znaczy, że robi niewłaściwy użytek ze starości. To tylko młody człowiek może mówić wszystko i wszędzie. Stary człowiek, starczy człowiek, dorosły człowiek, powinien mieć opamiętanie w mowie. Taką właśnie powściągliwość w mowie widać u Jana. Napisał tak:

Aniołowi Kościoła w Efezie napisz:
To mówi Ten, który trzyma w prawej ręce siedem gwiazd,
Ten, który się przechadza wśród siedmiu złotych świeczników:
Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość,
i to że złych znieść nie możesz,
i że próbie poddałeś tych, którzy zwą samych siebie apostołami, a nimi nie są,
i żeś ich znalazł kłamcami.
Ty masz wytrwałość:
i zniosłeś cierpienie dla imienia mego — niezmordowany.
Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości.
Pamiętaj więc, skąd spadłeś, i nawróć się,
i pierwsze czyny podejmij!
Jeśli zaś nie - przyjdę do ciebie
i ruszę świecznik twój z jego miejsca,

jeśli się nie nawrócisz.
Ale masz tę [zaletę], że nienawidzisz czynów nikolaitów,
których to czynów i Ja nienawidzę.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy dam spożyć owoc z drzewa życia, które jest w raju Boga.

Oto tekst tego listu. Przyjrzyjmy się temu listowi. Z całą pewnością jest mocno poruszający. Powiedziałem państwu, że w mowie greckiej brzmi o wiele bardziej dosadnie. Ten dobór słów jest taki, że rzeczywiście wywołuje emocje. Spróbujmy raz jeszcze wyobrazić sobie to miasto, Efez. To miasto Efez leży nad Morzem Śródziemnym, dzisiaj są to tylko ruiny. Ale jest to najlepiej zachowane do dziś miasto greckie, hellenistyczne w Azji Mniejszej. Prace wykopaliskowe podjęli tam Austriacy, i do dzisiaj prowadzi je Uniwersytet Wiedeński. Zatem sporo odkopano, sporo zrekonstruowano. Żeby zobaczyć dzisiaj teren wykopalisk w Efezie, to chodząc cały czas trzeba na to przeznaczyć dobre pół dnia. Są to obszarem największe wykopaliska na terenie całej Azji Mniejszej. Dzisiaj nawet, kiedy wchodzi się na teren Efezu, to dech w piersi zapiera. Kiedy się idzie doskonale zachowaną ulicą z tamtych czasów, ulicą, którą szedł Paweł czy Jan, i widzi się przed sobą Bibliotekę Celsusa, to wręcz człowiek chciałby pójść do tego budynku i zobaczyć te pergaminowe zwoje. Bo przecież nie książki, książek jeszcze wtedy nie było, a pergaminy i papirusy, które tam stały.

Efez był bardzo bogaty. Był miastem portowym i łączył ze sobą Italię, Grecję i Azję Mniejszą, a potem nawet Środkowy i Daleki Wschód. Przez Efez przewalał się cały handel. Jeżeli państwo dotąd tego nie zrobili, dobrze będzie wziąć atlas, nawet współczesny, i gdzieś tam w połowie zachodniego wybrzeża Azji Mniejszej odchylić się na południe od współczesnego Izmiru i odnaleźć Efez. Lokalizacja znakomita! Przeciągały tamtędy karawany wielbłądów, osłów, ludzi ze Wschodu, którzy przynosili z Dalekiego i Bliskiego Wschodu rozmaite rzeczy, i jednocześnie ludzi z Europy. Miasto, można by powiedzieć, kosmopolityczne. W połowie I wieku ono przeżywało okres przeogromnej świetności, było wspaniałe. To, co do dzisiaj się z niego zachowało, pokazuje, że był tam dobrobyt i daleko posunięta kultura. Przepiękny teatr, który może pomieścić 25 tysięcy ludzi, zachowany idealnie po dzień dzisiejszy. Przepiękny odeon, który może pomieścić 2 tysiące ludzi. I ten odeon, czyli miejsce do śpiewów, do występów indywidualnych, coś w rodzaju naszej opery, ale dla śpiewaków indywidualnych, był cały zakryty — miał zadaszenie robione na porę deszczową, albo na porę gorącą. Opis Efezu w przewodnikach archeologicznych zajmuje kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt stron. Przepiękne, wspaniałe miasto! Kiedy się szło od strony lądu, widziało się przed sobą miasto, natomiast dalej była Zatoka Efezka, i widziało się morze. Przypływały statki, rozładowywano je, załadowywano nowym towarem, i odpływały one dalej do Europy. Możemy sobie wyobrazić, jak życie tętniło w tym wspaniałym mieście.

Chrześcijaństwo doszło do tego miasta stosunkowo wcześnie. Św. Paweł trafił tam podczas drugiej podróży misyjnej, która miała miejsce w latach 51 - 52. Zatem udał się tam około dwadzieścia lat po śmierci Jezusa, zatem bardzo wcześnie. To taka perspektywa jak dzisiaj czasy powstania Solidarności. Jezus umarł, 20 lat później jest tam św. Paweł. Kiedy św. Paweł tam doszedł to okazało się, że są już tam uczniowie, wyznawcy Jezusa Chrystusa, i że jednocześnie są tam uczniowie Jana Chrzciciela. I ci uczniowie Jana Chrzciciela nie do końca, i nie wszystko, wiedzieli o Jezusie. Zatem cały trud apostolski św. Pawła polegał na tym, by im powiedzieć o Jezusie. Nawet doszło do tego, że chce im udzielić Ducha Świętego, a oni mówią: „My nawet nie wiemy, że Duch Święty istnieje!" Więc ich wiedza była bardzo kiepska. Najprawdopodobniej po śmierci Jana Chrzciciela, podczas prześladowań za czasów Heroda, musieli się wynieść z Palestyny, i trafili właśnie aż do Efezu.

Efez był znany jeszcze z jednej rzeczy — żeby ten tekst zrozumieć trzeba to koniecznie powiedzieć. Otóż była tam wspaniała świątynia cesarska, kult cesarza. W czasie, o którym mówimy, czczono tam Domicjana. Do tego obok tej świątyni był również kult Artemidy, którą nazywano Efeską. Otóż Artemida była boginią płodności. Przedstawiano Artemidę w sposób niezwykle osobliwy. Te przedstawienia mogą państwo widzieć również dzisiaj w nawiązaniach do sztuki klasycznej, greckiej czy rzymskiej. Otóż przedstawiano ją jako boginię płodności, boginię życia, boginię dobrobytu, boginię dzieci, boginię tych kobiet, które przekazują życie. I w związku z tym nazywano ją w tradycji greckiej polimaste. Poli znaczy *wiele,* mastoj znaczy *piersi,* polimaste — *wiele piersi.* Przed-

stawiano ją z wieloma piersiami. Tych piersi było kilkanaście, bądź na niektórych wyobrażeniach kilkadziesiąt. Znaczyło to, że ta bogini potrafi wykarmić każdego, ktokolwiek do niej przyjdzie. Mało tego. Wybudowano dla niej przepiękną świątynię. Świątynia Artemidy Efeskiej była jednym z siedmiu cudów starożytnego świata. Problem polega na tym że wkrótce po tym czasie, o którym czytamy, ta świątynia została dokładnie zburzona. Paradoks polega na tym że dzisiaj w miejscu, w którym wznosiła się ta świątynia, jest pole, jest łąka. A z całej świątyni, która miała kilkaset wspaniałych kolumn, zachowała się tylko jedna jedyna, która stoi pionowo. I żeby jeszcze była jakaś przekora losu, to na tej kolumnie od niepamiętnych czasów jest zawsze gniazdo bociana. Każdy, kto pojedzie do Efezu w czasie pomiędzy kwietniem a wrześniem i ogląda tę kolumnę, zawsze widzi tam na niej 2 - 3 bociany. I być może również w albumie, który państwo zobaczą, też te bociany będą. Jeżeli w naszej kulturze bocian jest symbolem płodności to widać, że ta tradycja Artemidy Efeskiej jest podtrzymywana.

Jeszcze jeden szczegół. Otóż ci pogańscy Grecy, którzy tam mieszkali, bo było to miasto greckie, hellenistyczne, wierzyli, że posąg Artemidy Efeskiej spadł z nieba. Zatem nie został wykonany przez ludzi, tylko jest darem samej bogini. W związku z tym otaczali ją ogromną czcią. Mało tego. To właśnie tam wprowadzono zwyczaj, który istnieje również w chrześcijaństwie, zwłaszcza w jego katolickim wydaniu. Mianowicie w Efezie było mnóstwo rzemieślników, którzy utrzymywali się z wyrabiania posążków Artemidy Efeskiej. Pielgrzymi przybywający do tego sanktuarium nabywali owe posążki, i brali je ze sobą do domu, podobnie jak my kupujemy wizerunki Matki Boskiej Częstochowskiej, czy obrazki Matki Boskiej Licheńskiej, czy inne takie figurki, w Ziemi Świętej czy gdzie indziej. W związku z tym w Efezie było mnóstwo rzemieślników, którzy żyli z wyrabiania tych figurek. Dodajmy jeszcze, mamy to opisane w 19 rozdziale Dziejów Apostolskich, kiedy św. Paweł dotarł do Efezu, i kiedy zaczął przekonywać miejscowych do tego, aby uwierzyli w Chrystusa, wtedy wybuchł przeciwko niemu bunt, wzniecony właśnie przez tych rzemieślników, którzy zwołali wielkie zgromadzenie do teatru — do tego teatru, o którym mówiliśmy — i powiedzieli do Pawła: „Wynoś się! My z tego kultu, my z tego rzemiosła żyjemy przez wieki. A chcesz nas go pozbawić?" I kazali się Apostołowi wynieść.

Po tym wstępie mogą sobie państwo wyobrazić, że być chrześcijaninem w samych początkach chrześcijaństwa w Efezie nie było łatwo. Że miasto z tak dużymi tradycjami handlowymi, kulturowymi, a przede wszystkim religijnymi pogańskimi, musiało być niesłychanie odporne na Ewangelię. A jednak chrześcijanie tam byli. Nie tylko byli, tam powstała bardzo prężna wspólnota chrześcijańska. I mamy czterdzieści lat mniej więcej po czasach św.

Zmiana stron kasety

najrozmaitsze budynki użyteczności publicznej, również domy uciech, które zachowały się do dzisiejszego dnia, i których reminiscencje mamy choćby w Liście św. Pawła do Efezjan, gdzie Paweł kładzie mocny nacisk na życie rodzinne, bo w Efezie było ono silnie zagrożone. Więc warto ten list napisany do Efezjan, gdzieś koło roku 60, a więc 10 lat po pobycie tam Apostoła, przeczytać.

Nadal mamy tam port, nadal mamy tam wszystko to, co było przedtem, nadal jest ta grupa chrześcijan. I do nich Apostoł napisał:

Aniołowi Kościoła w Efezie napisz:

Komentatorzy, których obowiązkiem jest spierać się między sobą, sprzeczają się, kto to jest ów „Anioł Kościoła w Efezie". Jedni powiadają tak: to jest ten, który czytał podczas zgromadzenia liturgicznego. On był po grecku nazywany angelus, po polsku *zwiastun, ten, który podaje nowinę, ten, który głosi, głosiciel.* A więc „Aniołowi Kościoła w Efezie napisz:" znaczy: „Napisz temu, który będzie ten tekst czytał". Inni komentatorzy mówią: nie, to jest za proste. Ten angelus to jest miejscowy biskup, przełożony tego Kościoła. To do niego było kierowane to słowo, i to biskup miał przeczytać wiernym to słowo tak, jak dzisiaj czyta się słowo pasterskie biskupów naszym wiernym. Inni mówią: Nie! Nie używano w Grecji określenia angelus ani do lektora, ani do biskupa. Tym, którego to dotyczy, jest Anioł Stróż Kościoła w Efezie. Każdy Kościół ma swojego Anioła tak, jak każdy człowiek ma swojego Anioła, tak i dana wspólnota ma swojego Anioła. Niezależnie od tego, o kogo chodzi, sens jest jasny. Sposób mówienia jest dość zawoalowany — zapewne dlatego, żeby

każdy mógł ten tekst odnieść po prostu do siebie. W ten sposób Apostoł chce skierować uwagę czytelników i powiedzieć: „To nie jest tylko tekst dla jednego pokolenia. To nie jest tekst dla małej grupy ludzi. To nie jest list do jednej wspólnoty. To jest list do każdego." Efez — powiada autor, św. Jan — jest wszędzie. Napisz:

> To mówi Ten, który trzyma w prawej ręce siedem gwiazd,
> Ten, który się przechadza wśród siedmiu złotych świeczników:

Mamy obraz. Ktoś, kto w prawej ręce trzyma siedem gwiazd. Oczywiście kiedy podniesiemy głowę i popatrzymy na gwiazdy, to one są małe. Ale mamy wyobrażenie, i starożytni też o tym wiedzieli, że gwiazdy są przeogromne. Któż więc trzyma owe siedem gwiazd? Siedem to cyfra oznaczająca pełnię. W Apokalipsie św. Jana cyfra siedem występuje 54 razy — tak często się powtarza, wyliczono to dokładnie. Otóż tym, który trzyma owe siedem gwiazd, czyli wszystkie gwiazdy, jest Bóg. Czyli tym, który przemawia, jest Bóg, który jest Panem natury. Jemu podlegają gwiazdy, i słońce, i księżyc. Jemu podlega świat. On więc, który rządzi całym światem, zwraca się do ciebie. I „ten, który przechadza się wśród siedmiu złotych świeczników". Tutaj jest nawiązanie do świecznika, hebrajskie menora, który był w świątyni jerozolimskiej. Otóż nie jeden, jak to miało miejsce w świątyni, ale wśród siedmiu świeczników się przechadza. Bóg jest Panem natury, Panem świata. Ale Bóg jest również Panem dziejów. Bo to Jemu oddaje się cześć w świątyni. Bóg jest Panem historii. I Ten, który rządzi światem, i Ten, od którego zależą dzieje, oto zwraca się do was i mówi wam, że:

> Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość,

Zaczyna się od nawiązania, od podjęcia starożytnej sztuki retoryki. Polegała ona na tym, że zanim kogokolwiek upomniano, to go najpierw pochwalono. Otóż tej sztuki niestety nie ma dzisiaj. Tzn. upomina się człowieka bardzo często po to, aby go jak mówią pospolicie „zdołować", pognębić, skarcić, upomnieć, i odbiera mu się przez to ochotę, ducha, zapał, jaki ma itd. W starożytności istniały specjalne szkoły retoryczne, w których wstępem do upomnienia było coś, co potem po łacinie nazywało się captatio benevolentiae czyli *pozyskanie przychylności, pozyskanie zaufania.* Otóż żeby człowieka albo wspólnotę upomnieć, najpierw zwracano uwagę na dobre strony. Po co? Aby nawiązać więź zaufania. A z chwilą kiedy ten człowiek widział, że nie tylko o upominanie tutaj chodzi, lecz chodzi o to, że dostrzega się w nim również dobre strony, wtedy był bardziej podatny na upomnienie. Za co więc św. Jan chwali wiernych, którzy byli w Efezie? Mówi do nich: „Znam twoje czyny", zatem wiem o was. Ten Kościół w Efezie jest spersonifikowany, traktowany jak jedna osoba. „Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość", pracę i wytrwałość. Państwo zwrócą uwagę, że mamy dwa aspekty: pracować, trudzić się, ale być w tym również wytrwałym. Kościół efezki jest chwalony za to, że trudzi się, ale posiadł również cierpliwą wytrwałość. Zatem, że jest to pewien proces. I za to jest pochwalony.

> i to że złych nie możesz znieść,
> i że próbie poddałeś tych, którzy zwą samych siebie apostołami, a nimi nie są,

Otóż okazuje się, że w tej młodej wspólnocie w Efezie byli tacy, którzy wprowadzali zamęt. Tak jest właściwie w każdej wspólnocie. Sekty, rozmaite grupy religijne, ruchy religijne, są w każdym pokoleniu. Można by powiedzieć, że w latach dziewięćdziesiątych w Polsce nastąpił nawet boom rozmaitych sekt. I tak było również w I wieku. Byli tacy w tym Kościele, którzy nazywali siebie apostołami, ale „nimi nie są". I tych wiernych Apostoł chwali za to, że „złych nie możesz znieść, i że próbie poddałeś" kłamliwych apostołów i:

> znalazłeś ich kłamcami.

Z tego wniosek, że w każdej wspólnocie trzeba przyglądać się tym, którzy przychodzą do nas z religijnym orędziem, którzy mówią o religii, o wierze, którzy pukają do drzwi naszych domów. Trzeba wiedzieć, że zwłaszcza religijność i sprawy moralne jest to tak delikatna struna w człowieku, że ona jest nie tylko używana, ale również jest nadużywana. Jeżeli ktoś o tym nie wie, może

paść bardzo łatwo takim łupem. Ten problem pojawił się w Efezie bardzo wcześnie, jeszcze w czasach apostolskich — podziały wśród wiernych spowodowane przez tych, którzy podawali siebie za apostołów, aczkolwiek nimi nie byli. I dalej:

> Ty masz wytrwałość:
> i zniosłeś cierpienie dla imienia mego —
> niezmordowany.

Chrześcijanie w Efezie zostali pochwaleni przede wszystkim za wytrwałość. Otóż wytrwałość jest wielką cnotą. Nie wystarczy coś postanowić, nie wystarczy czegoś chcieć, trzeba być w tym wytrwałym. I oni tę wytrwałość mieli. Najwidoczniej Apostoła zachwyciła ta wytrwałość. A dlaczego ją podkreśla? Ano dlatego, że mieli mnóstwo innych ofert. Mieli teatry pogańskie, mieli odeony, mieli rozmaite domy, mieli pogańską bibliotekę z tym wszystkim, co ona zawierała, mieli handel, mieli przepływ towarów — mieli mnóstwo możliwości. I wobec tych różnych możliwości w tym bardzo bogatym i zasobnym mieście ustrzegli własnej tożsamości. Pozostali sobą.

Tak sobie myślę czasami, że chyba coś podobnego powtarza się czy znajduje wyraz, w naszych miastach dzisiaj. Mieszkamy w największym w Polsce mieście. Kiedy się porównuje religijność w mieście, gdzie możliwości, opcje są bardzo różne, to można by powiedzieć chyba bez przesady, że jest to religijność dużo dojrzalsza niż na wsi czy w małych miasteczkach. Otóż tu ci, którzy trwają przy Chrystusie, są dużo bardziej wytrwali i dużo bardziej zdecydowani na to, aby przy tych swoich ideałach obstawać. Nie mówię tego po to, żeby dokładnie naśladować św. Jana, lecz po to, aby państwo zastanowili się nad sobą, że chyba dotyczy to zwłaszcza takich grup, jak nasza, jak podobne grupy, gdzie widać ogromną chrześcijańską dojrzałość. Że mając do wyboru bardzo wiele rzeczy człowiek wybiera to, co jest nieraz trudniejsze, co uznaje za szlachetne, i zachowuje tę właśnie cierpliwą wytrwałość. Apostoł mówi o nich, że: „zniosłeś cierpienie dla imienia mego — niezmordowany". Wniosek z tego — że Efezu też nie omijały prześladowania. Ale ci chrześcijanie wytrwali.

Aż do tej pory jest pochwała. Możemy sobie powiedzieć, że zapewne ten dobry stan moralny był również skutkiem Listu św. Pawła do Efezjan. Wiedzą państwo, że Apostoł napisał taki list. W tym Liście dał wielkie upomnienia. A sens tego listu jest taki: „We wszystkim bądźcie naśladowcami Jezusa Chrystusa. On to uniżył samego siebie, aby was wszystkich ubogacić." Najwidoczniej ten List św. Pawła został tam przeczytany, zapamiętany, rozważony, i był wdrażany w życie. Ale na tym pięknym obrazie pojawiają się również pęknięcia. Oto one:

> Ale mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości.

Kościół w Efezie zostaje porównany do człowieka. Do człowieka, który miłuje, do człowieka, który kocha. Ale miłość może płowieć, nie słabnąć ale płowieć. Ta pierwotna miłość może po prostu w jakiś sposób tracić tego dawnego wielkiego porywczego ducha. I Apostoł Jan mówi, że tak właśnie było z Efezjanami. Kochali Boga, miłowali Chrystusa, ale już nie tą pierwotną, gorącą miłością. W miejsce gorliwości pojawiło się przyzwyczajenie. Otóż w religijności bardzo często jest tak, że gorliwość, żarliwość jest zastępowana, a potem wypierana, przez przyzwyczajenie. Że robimy to, co robimy nie dla tego, że są w nas gorące porywy tylko dlatego, żeśmy do tego przywykli. Z Efezjanami było podobnie. Jan nie gani ich za to, bo przyzwyczajenie, przywyknięcie, nie jest złą rzeczą. Pewnie w każdej miłości jest to, że koniec końców przyzwyczajenie zaczyna grać tam ważną rolę. Ale Jan powiada, że „stać was na więcej", że powinno być inaczej. Że, żeby w ogóle ta miłość mogła przetrwać, to trzeba wracać do ideału, trzeba wracać do tej pierwotnej miłości. W ten sposób św. Jan przenosi do Kościoła w Efezie wizerunek małżeństwa. Bo czy nie jest tym samym to, że dwoje ludzi, zwłaszcza którzy są ze sobą bardzo długo związani, nie podgrzewają swojej miłości przez to, że wracają do wspomnień z młodości? Że przypominają sobie to, co wspólnie przeżyli, że mówią o tym, co było przedtem? Rzecz jasna, że nie da się tego wskrzesić, ani powtórzyć. Ale własna pamięć staje się tutaj nośnikiem tożsamości. I św. Jan zwraca uwagę na dzieje tego Kościoła i powiada: „Przypomnijcie sobie, jacy byliście w początkach". I dalej:

> Pamiętaj więc, skąd spadłeś,
> i nawróć się,

Tu mamy u św. Jana swoisty humor. Mianowicie on upomina, ale jednocześnie chce żeby ci, których upomina, uśmiechnęli się. Czy domyślają się państwo do czego Jan tutaj nawiązuje? Otóż nawiązuje do tych pogańskich wierzeń o tej bogini Artemidzie, która spadła z nieba. Chociaż nie mówi o niej wprost, bo nie chce o niej mówić, to daje im poznać, że ją właśnie ma na myśli. W związku z tym św. Jan jakby odwraca te role i przypisuje im, z przymrużeniem oka rzecz jasna, jakąś podobną sytuację. Można by powiedzieć, tak przynajmniej można by sobie wyobrazić, że kiedy ten lektor albo biskup stanął przed tymi wiernymi, i im czytał ten tekst, to bał się, że gdy odważnie powie: „Przestańcie czcić Artemidę Efezką, która spadła z nieba", a ten list trafi w ręce pogan, to wtedy wybuchnie prześladowanie, i wtedy będzie przelew krwi. Możemy więc sobie wyobrazić że ktoś, kto to czytał, czytał: „Pamiętaj więc, skąd spadłeś" i puścił oko. I wszyscy wiedzieli o co chodzi: „Pamiętaj, nie kieruj się tamtym! Ale jednocześnie pamiętaj o tym, że nie wolno ci powtarzać błędów pogan! To nie ty jesteś bogiem. Tylko twoje miejsce jest tu, musisz być wierny i wytrwały. Jesteś tylko człowiekiem." Jest to bardzo misterna polemika, gdzie każdy mieszkaniec Efezu dokładnie wiedział, o co chodzi. Podobnie np., że użyjemy jakiegoś przykładu nieco politycznego, jeżeli by ktoś 20 czy 30 lat temu napisał na płocie: „Czerwone jest brzydkie", to musiał się liczyć z reakcją milicjanta. Dlatego, że milicjantowi przychodziło do głowy, że nie o kolor sukienki mu chodzi, tylko że jest to deklaracja polityczna. Natomiast dzisiejszy młody człowiek nie musi już mieć wcale politycznych skojarzeń. I tu było podobnie — te skojarzenia były rozpoznawalne dla tych, których to bezpośrednio dotyczyło. I dalej:

> i nawróć się,
> i pierwsze czyny podejmij!

Zatem nawrócenie, w przypadku mieszkańców Efezu, chrześcijan z Efezu, jest to powrót do pierwotnej gorliwości. To jest powrót do tych pierwszych czynów. To jest przypomnienie sobie czynów młodości. Życie wiernych zostaje przyrównane do życia człowieka. Jest dzieciństwo, jest młodość, jest życie dorosłe, jest wreszcie starość. Starość nie jest już tak płomienna, życie dorosłe też coraz bardziej traci na blasku. Zatem trzeba wracać do młodości po to, żeby rozpoznawać te iskry, które kiedyś dodawały nam ducha i które przez cały czas w każdym człowieku powinny płonąć. I w Kościele jest podobnie. A więc Apostoł mocno podkreśla: „Nawróć się, i pierwsze czyny podejmij!" Jeżeli zaś nie — ostrzega:

> Jeśli zaś nie - przyjdę do ciebie
> i ruszę świecznik twój z jego miejsca,
> jeśli się nie nawrócisz.

Otóż ten świecznik to już nie świecznik siedmioramienny, nie ten świecznik do oddawania czci Bogu, ale znów subtelne nawiązanie i subtelna polemika z kultem pogańskim, i z jego świecami, i z jego ogniem. Zatem jest to również bardzo delikatne nawiązanie, że: „Nie uważajcie siebie za lepszych od innych. Nie sądźcie, że miejsce w Efezie daje wam absolutny priorytet czy pierwszeństwo. Jeżeli się nie nawrócicie, nie powrócicie do swojej pierwotnej gorliwości nie możecie być przykładem dla innych." „Wezmę i poruszę wasz świecznik", jeżeli się nie nawrócicie.

Tutaj nawrócenie to nie koniecznie zerwanie ze złem. Proszę popatrzeć, *to jest chyba jedna z najważniejszych nauk tego tekstu. Bo pojmujemy nawrócenie jako odwrócenie się od grzechu. Tutaj nawrócenie — to jest troska o większą gorliwość. Otóż ideałem nie jest być dobrym. Ideałem jest być coraz lepszym. Ideałem jest postęp.* Otóż nie można się zatem zatrzymać w drodze dojrzałości, w drodze chrześcijańskiej dojrzałości. Nie można powiedzieć, że: „Osiągnąłem już taki stan, że dalej pracować nad sobą nie muszę". Otóż każda stagnacja, tak jak w ogóle w życiu, jest czymś przeciwnym dla postępu, dla wzrostu w dobrym. Oni — ci chrześcijanie w Efezie — bliscy byli stagnacji. Przyzwyczaili się, i żyli po prostu według tych przyzwyczajeń. Apostoł mówi: To za mało! Musicie wykrzesać z siebie więcej. Nawrócenie w waszym przypadku polega na tym, żeby być lepszymi, niż jesteście. Ludzie bardzo często, wierni również, boją się grzechów. Ale *znacznie rzadziej mamy świadomość, że równie ważne jest to, aby starać się o duchowy rozwój, o duchowy wzrost. Bo obawa przed złem — to jedno, a postęp w dobrym — to drugie.* I zakończenie:

> Ale masz tę [zaletę], że nienawidzisz czynów nikolaitów,
> których to czynów i Ja nienawidzę.

Kim byli ci nikolaici? Nazwa pochodzi od „Nikolausa", zatem Mikołaja. Jakiś anonimowy Mikołaj, którego bliżej nie znamy, wprowadził do Efezu przedziwny zwyczaj. Mianowicie powiedział tak: „Wystarczy, że wierzycie w Boga. Natomiast możecie żyć tak, jak wam się żywnie podoba." Więc wprowadził swobodę obyczajów. O to nie było trudno. Dlatego, że jak kilkakrotnie podkreślałem, Efez był potężnym miastem, portowym miastem. W związku z tym możliwości rozmaitych nadużyć było sporo. I dlatego byli chrześcijanie, którzy byli gorliwi, aczkolwiek ochłodli w tej gorliwości, oraz byli tacy chrześcijanie, którzy wierzyli w Chrystusa, ale żyli na pograniczu przykazań, albo nawet łamiąc je. I w związku z tym występuje tutaj św. Jan i powiada, że również w tej wspólnocie Kościoła w Efezie przebiega pewna granica. I że trzeba odwrócić się od czynów owych nikolaitów, o których nic więcej nie wiemy. Że trzeba wziąć i potraktować na serio te przykazania, i to nauczanie, jakie Chrystus kieruje. A więc, że istnieje związek pomiędzy religią a moralnością. I ostatnie zdanie:

> Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
> Zwycięzcy dam spożyć owoc z drzewa życia, które jest w raju Boga.

Zatem zakończenie nawiązuje w oczywisty sposób do Księgi Rodzaju. Mianowicie można by powiedzieć tak. Tak jak w ogrodzie Eden pierwszy człowiek, pierwsi ludzie, zostali poddani próbie, otrzymali przykazanie, i wierność temu przykazaniu miała ich zabezpieczyć w przetrwaniu, tak również Kościół w Efezie zostaje poddany próbie. Jeżeli wyjdzie z tego zwycięsko: „zwycięzcy dam owoc z drzewa życia" — będzie żył i przetrwa. Została przypomniana temu Kościołowi sytuacja z prapoczątków. I w gruncie rzeczy *ta sytuacja wyboru powtarza się w każdym pokoleniu, także i w naszym.* Że mamy pewną drogę życia, i od nas samych zależy, co z nią zrobimy, w jakim kierunku pójdziemy, jak ją podejmiemy.

I takie jest przesłanie tego krótkiego, pięknego jak sądzę, listu. Wezwanie do pierwotnej gorliwości. Gdybyśmy chcieli go króciutko streścić, albo gdyby chcieli państwo coś z niego zapamiętać, to w każdym liście jest myśl, sentencja, która stała się wręcz przysłowiowa. W tym liście tą przepiękną sentencją są słowa:

> mam przeciw tobie to, że odstąpiłeś od twej pierwotnej miłości

Jeżeli chcemy zapamiętać ów Kościół w Efezie, warto zapamiętać te słowa. I jednocześnie warto przenieść je do swojego własnego życia. I uczynić jakieś motto, choćby na najbliższe tygodnie, zastanawiając się jakie przesłanie dla nas niosą.

Na następnej konferencji zatrzymamy się na drugim liście. Ten drugi list został przez św. Jana napisany do Kościoła w Smyrnie, to jest współczesny Izmir. Inny był to Kościół, inne były wyzwania, inny więc będzie list. Na tę konferencję zapraszam państwa za trzy tygodnie, w poniedziałek 11 grudnia.

I jeszcze jedno zaproszenie. Pojutrze w naszym Uniwersytecie ma miejsce sympozjum — XII z cyklu „Kościół a Żydzi i judaizm — 2000". Temat jest gorący, również z uwagi na to, co się dzieje w Palestynie — na to niemiłosierne obchodzenie się Żydów z Arabami. Są cztery krótkie wykłady, po pół godziny, więc nie powinny zanudzić: ks. biskupa Gądeckiego, ks. rektora Kroplewskiego z Koszalina, ks. prof. Warzyszaka z Warszawy i mój. To wszystko zaczyna się o godz. 10, o godz. 12 jest wręczenie księgi pamiątkowej ks. prof. Chmielowi z Krakowa.

Dzisiaj dziękuję bardzo serdecznie, i do zobaczenia za trzy tygodnie.
Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3.3 List do Kościoła w Smyrnie (dn. 11 grudnia 2000)

Na wstępie chciałbym bardzo serdecznie podziękować tym z państwa, którzy wzięli udział w sympozjum na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Mam nadzieję, że raz jeszcze państwo uświadomili sobie to, co i tak jest na ogół dobrze wiadomo — mianowicie że sprawy dialogu, zwłaszcza chrześcijańsko-żydowskiego, jak również katolicko-judaistycznego, są bardzo trudne. Są one trudne dla wyznawców religii, obydwu religii, które przecież wyrastają ze wspólnego korzenia — będziemy więcej mówić na ten temat również dzisiaj. Wyrastają też z faktu, że i po naszej stronie sporo jest jeszcze rozmaitych niejednoznaczności, niejasności. Dlatego rozmowa z wyznawcami judaizmu bywa bardzo trudna, i mieli państwo tego próbkę. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że wszelkie pojednanie, wszelkie zbliżenie to nie tylko sprawa racji, ale także sprawa zmiany nastawienia. Sprawa również modlitwy, bo bez tego żadne zbliżenie i pojednanie nastąpić nie może, ani się nie dokona. Ponieważ dzisiaj te problemy podejmiemy, jeszcze raz dziękuję tym z państwa, którzy znaleźli czas i siły na udział w naszym dorocznym sympozjum. Mam nadzieję, że to spotkanie z Uniwersytetem nie jest spotkaniem ostatnim, i będziemy państwa zapraszać częściej na inne tego rodzaju okazje.

Przechodzimy teraz do właściwego tematu. Wydawać by się mogło, że bardzo trudno jest zająć się jednym krótkim listem. Ale sądzę, że już przykład sprzed miesiąca, kiedy rozważaliśmy list do Efezjan, List do Kościoła w Efezie, dał państwu pojęcie, że takie szczegółowe objaśnianie Pisma Świętego pozwala na to, aby nie tylko każdemu zdaniu ale i każdemu słowu przyjrzeć się z osobna i wyciągać wnioski, które są ważne także i na dzisiaj.

Otóż dzisiaj przechodzimy do kolejnego listu, króciutkiego, mianowicie do listu do Kościoła w Smyrnie. Zanim powiemy o tej Smyrnie przypomnijmy sobie to, o czym mówiliśmy przed miesiącem. Mianowicie to, że te listy są bardzo krótkie, bo możemy sobie wyobrazić kawałek pergaminu, albo kawałek papirusu, dosłownie kawałek wielkości tej kartki, na którym umieszczano tekst. Następnie to było zwijane w rulon, odpowiednio zabezpieczane, i ktoś, kto miał przekazać ten list, trzymał go gdzieś w tunice. Następnie przybywał do tego Kościoła, ten list otwierano — zazwyczaj był opieczętowany, i następnie to krótkie pismo było publicznie odczytywane. Cały autorytet tego pisma zasadzał się na tym, że było to pismo kierowane przez Apostoła. W połowie lat dziewięćdziesiątych, bo w tym czasie te listy powstały, żył jeszcze tylko Jan Apostoł. Wszyscy pozostali apostołowie już umarli śmiercią męczeńską, on żył jako starzec. I oczywiście kiedy do poszczególnych Kościołów docierały takie listy, czytano je z wielkim namaszczeniem, z wielkim przejęciem, czytano je z największą uwagą. Gdybyśmy chcieli sobie wyobrazić nastrój, atmosferę tego spotkania, to była ona mniej więcej taka jak teraz. Różnica polegała na tym, że nie było światła elektrycznego, ale światło lamp oliwnych, lub światło jakichś głowni — zbierano się wieczorami, bo w dzień trzeba było przecież pracować. Nie obchodzono jeszcze niedzieli tak, jak dzisiaj się obchodzi, bo dla chrześcijan był to normalny dzień pracy. Gdzieś tam wieczorem, przy świetle tych lamp stawał ktoś, na ogół biskup tego kościoła, i czytał taki list. Aby wyobrazić sobie jego wrażenie na słuchaczach spróbujmy przyjąć, że do naszego zgromadzenia napisał list własnoręcznie Jan Paweł II. Gdybyśmy wiedzieli, że to jest list do tej parafii, do tego Kościoła, do tej wspólnoty. To dopiero daje nam pojęcie jakim szacunkiem, jaką czcią otaczano taki właśnie list, którego autorem był Apostoł.

Tym razem mamy Smyrnę. To jest współczesny Izmir, jedno z większych miast na terenie Turcji, liczące ok. 2 mln mieszkańców. Jest ono niezwykle pięknie położone. Zanim przeczytamy list musimy powiedzieć nieco o historii Smyrny, żeby lepiej zrozumieć kontekst żeby mieć pojęcie o tym, jak ci ludzie rozumieli i postrzegali samych siebie. Przede wszystkim położenie tego miasta. Dzisiaj można do niego przybyć z czterech stron. Najczęściej do niedawna przybywano od strony morza. Trzeba było wypłynąć na zatokę, która nosi nazwę Zatoki Smyrneńskiej bądź Izmirskiej. Zatoka ma to do siebie, że po wszystkich stronach są góry. Więc jest to miejsce niesłychanie malownicze. Zatoka jest bardzo bezpieczna, ma dobre położenie strategiczne, dzisiaj znajduje się tam wielka baza morska USA i NATO. Zalety zatoki były wykorzystywane również w czasach starożytnych. Jeżeli przybywa się od strony północnej, to trzeba przejechać przez góry. Po dzień dzisiejszy przebycie tych gór stwarza ogromne trudności. W tych górach dzisiaj sprzedają miód leśny, sprzedają płody rolne, sprzedają oliwę z oliwek i same oliwki. A więc jest to teren typowo rolniczy. Jedzie się tak dobre dwie godziny autokarem od strony Troady, od strony Cieśniny Dardanelskiej. I w pewnym

momencie góry się kończą, i jak na dłoni widać miasto Izmir. Bardzo pięknie położone, aczkolwiek losy tego miasta w XX wieku były bardzo tragiczne. Jadąc z kolei od centrum Anatolii, od środkowej Turcji, jedzie się takimi stepami, przez rozmaite wzgórza, mało rolnicze. I kiedy się dojeżdża do morza, czuje się ogromną ulgę. I wreszcie można tam przyjechać od południa, od strony Efezu, o którym tak wiele mówiliśmy przed miesiącem. Wtedy droga jest też niesłychanie ciekawa, bo ma się morze po lewej stronie.

Nie bez powodu opowiadam o położeniu Smyrny dlatego, że na początku pierwszego tysiąclecia, gdzieś ok. roku piętnastego, a więc w czasach, kiedy Pan Jezus był kilkunastoletnim młodzieńcem, geograf Stradon napisał, że Smyrna jest najpiękniej położonym miastem na świecie. Musiało to więc robić na starożytnych ogromne wrażenie. Oczywiście dzisiaj to piękno jest już jakby nieco przyćmione przez fakt, że jest to miasto ogromne. W związku z tym i tłok komunikacyjny, i sprawa smogu itd.

Otóż nie bardzo wiemy, co tam działo się w odległej starożytności. Najprawdopodobniej mieszkała jakaś lokalna ludność. Natomiast w X w. przed Chr., czyli ok. 3000 lat temu, na ten teren napłynęły plemiona, które później nazwano Grekami. A tam napłynęły plemiona, napłynęły szczepy, które otrzymały w historii nazwę Eolowie, mamy tam nawet Morze Eolskie niedaleko. Napłynęły od strony Grecji, czyli cały ten region został zasiedlony przez praprzodków późniejszych Greków. W VIII wieku napłynęło tu nowe greckie plemię, które tam już zostało właściwie na dobre. Potem te pokolenia tego plemienia usadowiły się już na długie stulecia, czy nawet na tysiąclecia. Byli to Jończycy, plemiona Jońskie. Mamy również jeden z fragmentów Morza Śródziemnego, to jest właśnie Morze Jońskie. Zarówno Eolowie jak i Jończycy łączyli ze Smyrną piękną legendę, piękne opowiadanie twierdząc, że właśnie ze Smyrny pochodził Homer, słynny Homer, autor „Iliady" i „Odysei". I pamięć o Homerze i o tym, że on wywodził się stamtąd, była tam zawsze bardzo żywa. Grecy mieszkali tam aż do roku 1923, i cały czas szczycili się tym, że jest to miasto pochodzenia słynnego Homera.

Przeprowadzono wykopaliska archeologiczne — z VIII w przed Chr., czyli gdzieś z ok. roku 750, odkryto dość gruby mur, i pozostałości ok. 500 domostw. Mając na względzie to, że w każdym domu mieszkało od pięciorga do dziesięciorga osób, możemy się domyślać że ok. 2750 lat temu to miasto liczyło kilka tysięcy mieszkańców — od dwóch do pięciu tysięcy mieszkańców. Zatem tradycja jest wspaniała, i jest bardzo piękna. Ale z tą tradycją związany jest również pewien dramat. Ok r. 600 przed Chr. to miasto greckie zostało zburzone przez miejscowe, tzn. anatolijskie — czyli z Azji Mniejszej, z dzisiejszej Turcji — plemię Lidyjczyków. Ci Lidyjczycy spustoszyli to miasto, złupili je, zburzyli to miasto kompletnie. Przez następne 200 - 250 lat miasto w ogóle nie mogło się podnieść. Dlatego też Smyrna w lokalnej tradycji greckiej była uznawana za miasto, które umarło. W tamtym regionie świata, zwłaszcza w starożytności, miasta postrzegano tak, jak ludzi — miasto żyje, albo miasto umiera. Jeżeli umiera, to już go nie ma, i najprawdopodobniej nigdy w tym miejscu nie będzie. A ponieważ inaczej, niż inne miasta, Smyrny przez ponad ćwierć tysiąca lat nie było, zatem ten stereotyp, że Smyrna umarła, utrwalił się bardzo silnie. I być może jego echa odnajdujemy także w liście Św. Jana do Kościoła, który przeczytamy za chwilę, i objaśnimy sobie później.

Nowa świetność Smyrny zaczęła się dopiero po roku 320 przed Chrystsem, czyli po podbojach Aleksandra Wielkiego. Sam Aleksander Wielki nie miał za wiele czasu, żeby zająć się odbudową tego regionu. Jak wiemy zmarł bardzo wcześnie. Miał tylko 33 lata, kiedy umarł w nieznanych do końca okolicznościach. Ale stworzył imperium, które rozciągało się od Grecji, aż po dzisiejsze Indie, czyli powiedzmy sobie: od Aten, aż po Ganges. Pozostała po nim pamięć, ale pozostała także Smyrna, która zaczęła być odbudowywana. I w III w przed Chr. zrobiło się to już zupełnie duże miasto greckie. Wtedy zaczęto mówić o wskrzeszeniu Smyrny, o jej zmartwychwstaniu, bo skoro przez kilkaset lat miasta nie było, i nagle z powrotem zaczęła istnieć, to był to powód do dumy.

W r. 189 przed Chr. ten region Azji Mniejszej zaczął być penetrowany przez Rzymian. Wtedy Smyrna sprzymierzyła się z innym znanym miastem, o którym będziemy mówić przy innej okazji, mianowicie z Pergamonem — od nazwy tego miasta pochodzi nazwa *pergamin.* Te dwa miasta sprzymierzyły się, ale dokonały też, jeżeli tak można powiedzieć, swoistej zdrady. Polegała ona na tym, że wyłamały się z koalicji miast greckich i prawie że dobrowolnie podporządkowały się Rzymowi.

Jeżeli wolno w ogóle w historii snuć takie rozważania: „co by było gdyby ...", to tutaj można zapytać się tak. Co by było, gdyby Pergamon dobrowolnie nie podporządkował się Rzymowi, i gdyby Smyrna zrobiła to samo? Otóż prawdopodobnie wtedy Rzymianie dalej w głąb Azji Mniejszej by nie poszli, nie zajęliby Bliskiego Wschodu, Imperium Rzymskie byłoby dużo mniejsze, i losy świata potoczyły by się zupełnie inaczej. A już na pewno nie byłoby Bizancjum, nie byłoby później tego Imperium Wschodniego ze stolicą w Konstantynopolu, które padło. Zapewne dzieje świata potoczyłyby się w innym kierunku. Zatem to dobrowolne poddanie się Pergamonu i Smyrny Rzymianom spowodowało jakieś takie zawirowanie, którego skutki w gruncie rzeczy trwają aż do naszych czasów.

To spowodowało, że Smyrna dość łatwo poddawała się wpływom rzymskim. I na krótko przed czasami Jezusa Chrystusa w Smyrnie wybudowano aż trzy świątynie, z których każda była poświęcona cezarowi, każdemu cezarowi — jeden następował po drugim. Wobec tego Smyrna była takim miastem cesarskim, w którym kult cesarza był obowiązkowy. I tutaj uwaga! Otóż od kultu cesarza zwolnieni byli w starożytności Żydzi. Żydzi zawsze z każdym cesarzem, może tylko z jednym czy dwoma wyjątkami, potrafili tak się ułożyć i tak dojść swojego, że wszyscy ludzie mieli obowiązek oddawania kultu cezarowi, religijnego kultu — natomiast Żydzi takiego obowiązku nie mieli, wyprosili sobie ten przywilej.

O tym, dlaczego to jest ważne, zobaczymy zaraz również w kontekście tego Listu. W czasach Jezusa Chrystusa miasto było już prężne, duże, przypomnijmy sobie: z licznymi więzami, które łączyły je z Rzymem. Był jeszcze jeden szczegół. Mianowicie kilkadziesiąt lat przedtem niektórzy mieszkańcy Smyrny zbuntowali się przeciwko Rzymowi. Rzymianie obeszli się z nimi bardzo niegrzecznie, nie okrutnie, ale niegrzecznie — mianowicie zmniejszyli status tego miasta, i podporządkowali je Efezowi. Smyrna przeżywała to bardzo mocno dlatego, że mieszkańcy Smyrny zawsze rywalizowali z mieszkańcami Efezu. O Efezie mówiliśmy przed miesiącem. Z Efezu do Smyrny jest ok. 110 km, to jest mniej więcej 2 - 3 dni drogi. A więc jedno i drugie miasto było stosunkowo blisko siebie, i stąd ta rywalizacja była posunięta bardzo daleko. Kiedy więc Rzymianie umniejszyli status Smyrny, Efez na tym zyskał, natomiast mieszkańcy Smyrny byli niepocieszeni.

W Smyrnie mieszkało też sporo Żydów. Oni przybywali tam w różnych okolicznościach, głównie w II i I wieku przed Chrystusem, i wchodzili dość wyraźnie, i dość mocno, w komitywę z Rzymianami. Wskutek tego zdobywali sobie liczne przywileje, wyjednywali dla siebie rozmaite ulgi, rozmaite łaski. I powodziło im się stosunkowo dobrze. Jeżeli to, co mówią archeologowie, jest prawdziwe, to w Smyrnie Żydzi odpowiadali za bite tam monety. A więc prowadzili m.in. mennicę, także bank, a więc trudnili się wymianą pieniędzy. A także trudnili się pobieraniem cła ze statków, które tam przypływały. czyli trzymali się bardzo blisko tych spraw finansowych.

Teraz, po tym wszystkim, spróbujmy przeczytać List, a następnie zabierzemy się za jego komentowanie. Myślę, że dzięki temu Smyrna i jej mieszkańcy stali się nam bliżsi. Natomiast właśnie do tych mieszkańców, tylko nie do wszystkich, lecz do mieszkających tam chrześcijan, Apostoł skierował następujący list.

Aniołowi Kościoła w Smyrnie napisz:
To mówi Pierwszy i Ostatni,
który był martwy, a ożył:
Znam twój ucisk i ubóstwo -
ale ty jesteś bogaty -
i [znam] obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami,
a nimi nie są, lecz są synagogą szatana.
Przestań się lękać tego, co będziesz cierpiał.
Oto diabeł ma niektórych spośród was wtrącić do więzienia,
abyście próbie zostali poddani,
a znosić będziecie ucisk przez dziesięć dni.
Bądź wierny aż do śmierci,
a dam ci wieniec życia.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy śmierć druga na pewno nie wyrządzi szkody.

Tyle list. Ten list różni się od wszystkich innych tym, że jest to jedyne pismo, obok listu do chrześcijan w Laodycei, w którym nie ma żadnego upomnienia. Jeżeli dobrze pamiętamy, to w liście do mieszkańców, do Kościoła w Efezie było upomnienie. Tutaj nie ma żadnego upomnienia, jest to wyłącznie pochwała tych chrześcijan, którzy byli w Smyrnie. A skąd oni tam się wzięli? Otóż w Dziejach Apostolskich, gdzie opisuje się podróże św. Pawła Apostoła, nie ma wzmianki o Smyrnie. Możemy się jednak domyślać, że kiedy Paweł Apostoł przebywał w latach 52 – 54 w sąsiednich okolicach, m.in. był w Efezie i Troadzie, a Smyrna leży między Efezem i Troadą, to Paweł był również w Smyrnie. Z tym że Łukasz, który napisał Dzieje Apostolskie, przeoczył bądź po prostu milczał na temat tej obecności Apostoła w Smyrnie. Możemy się też domyślać, że nawet jeżeli sam Paweł nie był w Smyrnie, to na pewno chrześcijańskie wpływy docierały tam z Efezu, położonego bardzo blisko. Faktem jest, że chrześcijanie musieli być tam bardzo wcześnie, czyli gdzieś od około roku 50, i najprawdopodobniej ogromna większość chrześcijan rekrutowała się, pochodziła z Żydów, z wyznawców judaizmu, którzy przyjęli Jezusa Chrystusa, wyznawali Jezusa jako Mesjasza i Syna Bożego, a zatem stali się chrześcijanami.

Co więcej, wygląda na to, że wielka fala emigrantów chrześcijańskich przybyła na teren Azji Mniejszej, a więc na pewno do Smyrny również, po przegranej przez Żydów wojnie i powstaniu, które wybuchło w r. 66 a zakończyło się w r. 70. Wtedy, kiedy Rzymianie zaczęli masowo dokonywać represji na terenie Judei i Galilei, czyli na terenie Palestyny, wówczas wielu chrześcijan przeniosło się do Azji Mniejszej, i zapewne trafili właśnie do Smyrny również. Zatem byli to ludzie o mentalności imigrantów. Byli to ludzie, którzy, jeżeli tam przybyli, przybyli 20 – 25 lat przed tym listem, który dzisiaj czytamy. I przyjrzyjmy się temu listowi.

Aniołowi Kościoła w Smyrnie napisz:

Wspominaliśmy o tym przed miesiącem, że już w przekonaniu św. Jana, i pierwszych pokoleń chrześcijańskich, nie tylko pojedynczy ludzie mają swoich aniołów, Aniołów Stróżów, ale także Kościoły mają swoich aniołów, swoich opiekunów. Ślady tej wiary pozostały do dnia dzisiejszego. Bo wiemy że każdy kościół ma swoje wezwanie, i każda parafia ma swoje wezwanie. I że to wezwanie, i ta okoliczność, jest jakimś szczególnym zwornikiem modlitwy, pobożności, pozyskiwania odpustów itd. W czasach Nowego Testamentu, i w czasach późniejszych, wiara poszła jeszcze dalej — w kierunku tego, żeby każdemu kościołowi przyznać już nie patrona, jak my to czynimy, ale właśnie anioła. Można by powiedzieć tak: kiedy ten list przychodzi, to nie jest to tylko list do tych mieszkańców, do tych chrześcijan, ale jest to list do anioła, który się nimi opiekuje. A więc ten anioł ma obowiązek dopilnować, aby słowa zawarte w liście się spełniły. Zatem nie jest to przypadkowe posłannictwo, ale jest to wyraz opieki Bożej. Kim bowiem jest anioł? Nazwa pochodzi od greckiego angello — *posyłać, wysyłać,* angelus — spolszczone *anioł* — to wysłannik, posłaniec Boga. I ten właśnie posłaniec Boga stoi na straży tej danej wspólnoty, aby ona mogła żyć, i aby mogła się rozwijać.

To mówi Pierwszy i Ostatni,
który był martwy, a ożył:

Tak, autorem tego listu jest sam Jezus Chrystus. *Pierwszy* — bo Słowo zrodzone u Boga, i *Ostatni* — bo ku Niemu zmierza historia, *który był martwy, a ożył*. Raz jeszcze, jak w tym liście, który czytaliśmy przed miesiącem, mamy silny nacisk na to, co w naszej wierze jest najważniejsze: męka, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. To jest samo sedno naszej wiary dlatego, że przez mękę, śmierć i zmartwychwstanie Jezus dokonał zbawienia. Zatem wiara w to, kim jest Jezus, jest tutaj bardzo żywa. Mało tego — to sam Jezus, który umarł i zmartwychwstał, sam Jezus staje się autorem tych listów, które wierni, wierzący w Niego, mają przyjąć, zrozumieć i starać się je wdrażać w życie.

Tak mamy subtelne nawiązanie do tego wszystkiego, co wydarzyło się pod Damaszkiem. Przypominamy sobie bowiem, kiedy prześladowca Szaweł udawał się z Jerozolimy do Damaszku, to wtedy w pewnym momencie przed osiągnięciem stolicy Syrii spadł z konia i usłyszał słowa: „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?" „Kim ty jesteś?" zapytał Szaweł. „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz." Szaweł zrozumiał wtedy, że prześladując chrześcijan, wyznających Jezusa Chrystusa, prześladuje samego Jezusa Chrystusa. Ta prawda została ujęta później w słynnej formule,

powtarzanej do dnia dzisiejszego i wyznawanej, o Kościele jako mistycznym ciele Jezusa Chrystusa. Że Chrystus jest obecny w każdym z tych, którzy w Niego wierzą, oraz w Kościele, który jest Jego Ciałem. I właśnie ta obecność Jezusa Chrystusa we wspólnocie jest tak bardzo mocno podkreślona. Przypominam, że jest to mniej więcej rok 95. Święty Jan apostoł znał Jezusa jako dziecko. Teraz jest już starcem i zdaje sobie sprawę z tego, że te wspólnoty, do których pisze swoje listy, nie są pozostawione same sobie. Że ich los jest jednocześnie losem Jezusa Chrystusa. I dalej czytamy tak:

> Znam twój ucisk i ubóstwo -
> ale ty jesteś bogaty -

*Ucisk i ubóstwo.*Ucisk dlatego, że najprawdopodobniej — możemy tutaj się domyślać, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa, położenie chrześcijan na terenie Smyrny było bardzo złe. Dlaczego było bardzo złe? Otóż wspomniałem państwu o tym, że od kultu Cezara zwolnieni byli tylko i wyłącznie Żydzi. Ale w każdym mieście Rzymianie ustanowili tzw. delatores, znaczy to po polsku *donosiciel.* Ludzie na usługach władzy, coś w rodzaju szpiegów, wywiadowców, którzy w każdym ustroju i w każdym państwie są. Ci ludzie donosili władzom rzymskim o tym, że ktoś nie chce oddawać czci Cezarowi. A oddawanie czci Cezarowi, obok płacenia podatków, było jedynym w gruncie rzeczy widocznym aktem lojalności, bądź być może zapowiedzią buntu wobec władz rzymskich.

Zatem pierwsi chrześcijanie na terenie Smyrny przeżywali ucisk dlatego, że owi delatores donosili władzom rzymskim, że chrześcijanie nie chcą oddawać czci Cezarowi. A skąd brali się delatores? Uczeni przypuszczają, że tymi donosicielami byli Żydzi, którzy nie uwierzyli w Jezusa Chrystusa. I ponieważ spośród tych, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, też większość była Żydami, to w związku z tym tamci, wyznawcy judaizmu, którzy pozostali przy swojej starej wierze, szli do Rzymian i wskazywali donosili na swoich współbraci, tych współbraci — żydowskich chrześcijan, że ci nie oddają czci Cezarowi, a przecież my z nimi nie mamy nic wspólnego.

Proszę zauważyć, że w ten sposób rozdział, pęknięcie w Smyrnie przebiegało wśród Żydów. Zrobiło się rozdwojenie między tymi, którzy uznali Jezusa Chrystusa, oraz między tymi, którzy nie uznali Jezusa Chrystusa. A ponieważ ci, którzy nie uznali Jezusa Chrystusa, byli w bliskich, zażyłych nieraz stosunkach z władzą rzymską, zatem mogli donosić na swoich współbratymców — ale chrześcijan. I w ten sposób chrześcijanie cierpieli prześladowanie z rąk Rzymian.

Teraz, jak państwo wiedzą przygotowywany jest film „Quo vadis". Dzisiaj nawet cała ekippa spotkała się z księdzem Prymasem. Otóż kiedy przychodziło do przemyśleń pewnych scen, wyłoniło się pytanie: „Skąd, jak i kiedy, jak często były prześladowania chrześcijan przez Rzymian?" Wydaje się, że to nie było tak, że Kościół był prześladowany non stop. Tylko w pewnych okolicznościach nasilały się te prześladowania. Wtedy, kiedy te prześladowania się nasilały, to rzeczywiście położenie chrześcijan było tragiczne. A w jakich okolicznościach one się nasilały? Otóż nasilały się wtedy, kiedy doniesiono władzom rzymskim, że chrześcijanie czczą Jezusa, a nie Cezara, i kiedy władze rzymskie niejako z urzędu musiały przeciwko temu reagować. I kończyło się to uciskiem chrześcijan.

I tutaj słyszymy : *Znam twój ucisk.* A więc Kościół w Smyrnie musiał przeżywać prześladowania. I znam również twoją biedę, twoje *ubóstwo.* Możemy się domyślać, że ci chrześcijanie, którzy przybyli tam z Palestyny po roku 70, osiedleni w tym mieście dopiero 20 – 25 lat, zostali odsunięci przez swoich pobratymców Żydów od rozmaitych możliwości zarabiania, a przede wszystkim bogacenia się. Było najprawdopodobniej tak, że Żydzi mieszkający w mieście od pokoleń, którzy nie przyjęli Jezusa Chrystusa, nie chcieli dopuścić tych nowych przybyszów, chrześcijan żydowskiego pochodzenia, do współudziału w dobrach, którymi dysponowali. W ten sposób chrześcijanie należeli do biedniejszej warstwy mieszkańców Smyrny. I apostoł zwraca się do nich z tymi wyrazami uznania: *Znam twój ucisk i twoją biedę.* Czyli przeżywacie prześladowania, i przeżywacie niedostatek. *Ale ty jesteś bogaty*. W ten sposób apostoł wskazuje na pewien paradoks. Że aczkolwiek prześladowania i bieda są czymś zewnętrznym, to jednak prawdziwe bogactwo bądź prawdziwe ubóstwo mieści się we wnętrzu człowieka. To znaczy można być bogatym, i duchowo być żebrakiem, i można cierpieć niedostatek, ale jednocześnie być w sytuacji uprzywilejowanej, bo przeżywać to w poczuciu wolności.

Mamy tutaj pierwszy wielki wyraz uznania wobec Kościoła w Smyrnie. Cierpicie, przeżywacie niedostatek, jesteście prześladowani — a przecież jesteście bogaci. Bo umiecie tę sytuację przeżyć,

umiecie tę sytuację znieść, umiecie w tej sytuacji trwać. Właśnie to, te słowa, które pojawią się za moment, będą najważniejsze — tzn. wytrwałość. Ten list jest wezwaniem do wytrwałości. Można by powiedzieć, że w jakimś sensie wytrwałość jest kluczem do zrozumienia położenia tego Kościoła. I zachęta do wytrwałości stanowi jego istotę i też klucz, wedle którego my powinniśmy ten list czytać. Dalej:

> i [znam] obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami,
> a nie są nimi, lecz są synagogą szatana.

Ten fragment Apokalipsy jest przytaczany jako jeden z najtrudniejszych tekstów w całych rozmowach i zbliżeniu chrześcijańsko - żydowskim. Ale jeżeli chcemy go zrozumieć, to my musimy nie tylko ustawiać się pod kątem tego, co jest lekkie, łatwe i przyjemne, i co strona żydowska chciałaby usłyszeć, lecz musimy starać się zgłębić znaczenie tego tekstu w tamtej sytuacji historycznej — a także i w naszym kontekście. Otóż: *Znam obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami, ale nimi nie są.* Obelga! A więc pomiędzy Żydami, którzy nie uznali Jezusa, a tymi Żydami, którzy stali się chrześcijanami, są napięcia, konflikty, i tamci względem chrześcijan miotają obelgi. Na czym one polegały? Otóż najprawdopodobniej na tym że ci, którzy nie uznali Jezusa, mówili o chrześcijanach żydowskiego pochodzenia, że to już nie są Żydzi. A skoro to nie są Żydzi, to nie mogą korzystać z przywilejów zwolnienia z czci, z kultu oddawanego Cezarowi. I w ten sposób zmuszano chrześcijan żydowskiego pochodzenia do pewnego wyboru: albo będą wyznawać Jezusa Chrystusa, i mimo to oddawać kult Cezarowi — religijny kult Cezarowi, a więc będzie się łamało ich sumienia, albo też będą wyznawać Jezusa Chrystusa, odmówią składania tego kultu Cezara, i wtedy będą przez Rzymian, przez pogan prześladowani. I tak właśnie było. Ta *obelga miotana przez tych, co samych siebie zowią Żydami* polegała właśnie na tym, że w sytuacji kryzysu, w sytuacji cierpienia, spychano chrześcijan na pozycje dużo trudniejsze. Zatem nastąpiło pęknięcie we wspólnocie żydowskiej.

Tak mówiąc prawdę to pęknięcie trwa po dzień dzisiejszy. Problem bowiem polega na tym, co to znaczy być Żydem. Wspominaliśmy o tym wielokrotnie. Być Żydem, to być urodzonym z matki Żydówki, oraz wyznawać judaizm. A jeżeli ktoś wyznaje np. islam i ma matkę Żydówkę, to jest Żydem? Jest Żydem, chorym, kalekim, ale jest Żydem! A jeżeli ktoś ma matkę Żydówkę, a jest zupełnie ateistą — te sytuacje są nam bliższe, niż z islamem? Dalej jest Żydem! Chociaż jest ateistą, ale jest Żydem, bo ma matkę Żydówkę.

A jeżeli ktoś ma matkę Żydówkę, a jest chrześcijaninem, to czy jest Żydem? Opinia rabinów jest zgodna — NIE! Zatem z żydowskiego punktu widzenia lepiej jest być ateistą niż być chrześcijaninem. Skoro tak się rzeczy mają — proszę zwrócić uwagę — to początek tej przepaści, która oddziela wyznawców judaizmu i chrześcijan był tutaj w pierwszym wieku. Dlatego, że już wtedy zaczęli odmawiać chrześcijanom żydowskiego pochodzenia tego, że są oni Żydami. Wskutek tego chrześcijanie żydowskiego pochodzenia byli pozbawiani przywileju zwolnienia z kultu Cezara, który mieli wszyscy ówcześni Żydzi. Zauważmy zatem, że chrześcijanie są tutaj na pewno w sytuacji prześladowanych. Powiedzmy też sobie jasno, że ci Żydzi, którzy nie uznali Jezusa, są w sytuacji prześladowców. Oczywiście kiedyś później, w następnych wiekach, te role będą się zmieniały w rozmaity sposób, ale tu w samych początkach mamy do czynienia z ogromnym problemem.

Którzy zowią siebie Żydami, ale nie są nimi, lecz są synagogą szatana. Otóż tutaj św. Jan idzie równie radykalnie, równie gwałtownie jak ci, którzy go kontestowali, którzy występowali przeciwko niemu. Bo św. Jan mówi tak: „Żydami są ci, którzy żyli według Starego Testamentu, i wyznają w Jezusie Chrystusa, wyznają w Jezusie Mesjasza. Skoro cały Stary Testament był ukierunkowany ku przyjściu Mesjasza, to oto Mesjasz przyszedł." A ci, którzy Go nie uznali? To św. Jan mówi krótko: *to jest synagoga szatana*. Bo odmowa uznania w Jezusie Mesjasza nie jest tylko jakąś prostą odmową, jakimś prostym „nie", ale zawiera w sobie wymiar zatwardziałości, którego lekceważyć nie wolno. W ten sposób św. Jan bardzo mocno stawia sprawę uznania, bądź nieuznania, Jezusa jako Chrystusa, Jezusa jako Syna Bożego.

Proszę popatrzmy, że w dzisiaj podejmowanych dialogach rozmaitych, także tych międzyreligijnych, nie ma pod tym względem klarowności. Czasami bywa tak, że mówi się wszystkie religie są jednakowe, wszystkie są takie same, wszystkie prowadzą w jednym kierunku, nie jet ważne kto kim jest itd. I kiedy kardynał Ratzinger na początku września ogłosił deklarację *Dominus Jezus*

przypominającą tradycyjną i przyjętą naukę Kościoła o prawdziwości i jedyności zbawczej Jezusa Chrystusa i Jego Kościoła, to powstała ogromna kontestacja względem tej deklaracji. Bo nadal jest taka wola pójścia w kierunku subiektywizmu — że właściwie nie ma jednej prawdy, tylko każdy ma swoją prawdę. A deklaracja została przecież podparta autorytetem samego papieża. Te reakcje i rozmaite gwałtowne wypowiedzi na razie osłabły, ale w przyszłym roku, jeżeli dożyjemy, przedmiotem tego sympozjum, które mamy zorganizować na uniwersytecie, będzie właśnie dialog międzyreligijny w świetle deklaracji Dominus Jezus. I ten problem jest już tutaj, na samym początku. Żydzi, którzy nie przyjęli Jezusa, odmawiają chrześcijanom uznania, że są Żydami mimo urodzenia z matki Żydówki. Św. Jan odpowiada tym samym — nie, to nie my nie jesteśmy Żydami, to wy przestaliście być Żydami, kiedy żeście zatracili właściwe odczytywanie Starego Testamentu. I staliście się, jak mocno tutaj nazywa, synagogą szatana.

Nie ma mocniejszych słów w całym Nowym Testamencie niż to jedno. Oczywiście gromady komentatorów, interpretatorów starają się te słowa złagodzić, wybielić, nieco pokolorować i obłożyć kwiatkami. Ale na niewiele to się zda, bo problem pozostaje. To znaczy wymowa tych słów jest ostra. Można by powiedzieć: a dlaczego św. Jan, z natury tak łagodny, był tak sarkastyczny i dosadny? Odpowiedź jest prosta — dlatego, że chrześcijanie smyrneńscy bardzo wiele wycierpieli. Dlatego, że przelewała się krew. Dlatego, że za tę krew obwiniali swoich współrodaków Żydów. W związku z tym, w tej sytuacji już nie tylko konfliktu ale przelewu krwi, okrucieństwa, prześladowań, apostoł nie wytrzymał, i powiada „Opamiętajcie się, tak nie wolno. To nie tylko, że kłócimy się wewnątrz własnej wspólnoty etnicznej, ale nie wolno dopuszczać do takiej sytuacji, w której bylibyśmy prześladowani. A skoro jesteśmy, to uświadomcie sobie," — mówił do swoich współrodaków — „co się z wami stało." Dalej:

> Przestań się lękać tego, co będziesz cierpiał.

Proszę zwrócić uwagę, że apostoł nie zapowiada, że cierpienia ustaną. Apostoł wzywa tych chrześcijan w Smyrnie do tego, aby przestali się lękać cierpień, które przyjdą. Myślę, że to wskazanie jest niesłychanie ważne dla każdego człowieka, dla każdego chrześcijanina. Chyba na tym polega dojrzałość chrześcijańskiego życia. Otóż każdy z nas ma przed sobą perspektywę różnych cierpień, utrapień, a wreszcie perspektywę śmierci. Psychologowie opisują, że i chrześcijanie przeżywają wątpliwości, że chrześcijanie przeżywają bunty, że chrześcijanie popadają w niewiarę, nawet w swoistą agresję wobec Pana Boga. A umiejętność dojrzałego życia właśnie na tym się zasadza, by przestać się lękać że to cierpienie przyjdzie. I te słowa padły właśnie tam, w Smyrnie. I dalej:

> Oto diabeł ma niektórych spośród was wtrącić do więzienia,
> abyście próbie zostali poddani,
> a znosić będziecie ucisk przez dziesięć dni.

W komentarzu Biblii Tysiąclecia *dziesięć dni* zostało objaśnione , że to jest krótka stosunkowo sprawa, mianowicie dziesięć dni to znaczy „w ogóle krótko" — napisał komentator. Niestety rzecz ma się *na odwrót.* Dziesięć dni, oraz zwielokrotnione dziesięć: dziesięć razy dziesięć, dziesięć razy sto, dziesięć razy tysiąc, a więc sto, tysiąc dziesięć tysięcy, oznacza w Piśmie Świętym *długo.* I mamy tutaj zapowiedź: „Będziecie cierpieć. Niektórzy z was zostaną wtrąceni do więzienia, i pozostaną tam długo. Wobec tego nie lękaj się tego, co będziesz cierpiał."

Ten Kościół w Smyrnie, ta wspólnota w Smyrnie otrzymuje zapowiedź, że będzie Kościołem męczeństwa. To przedziwna sprawa, ale to się bardzo spełniło. Otóż jednym z najbardziej znanych męczenników kościoła w Smyrnie jest św. Polikarp. On był drugim biskupem Smyrny. Poniósł śmierć męczeńską w roku 155. Kiedy umierał, był już starszym człowiekiem, starym, miał 82 lata. Wzięto go teatru w Smyrnie — teatr zachował się po dzień dzisiejszy — i tam poganie domagali się od niego, żeby się wyrzekł swojej wiary, żeby się wyrzekł wiary chrześcijańskiej. Uczyniono to na oczach zgromadzonego tłumu. I wtedy Polikarp, jak napisane jest w aktach męczenników, najpierw wysłuchał tego żądania a następnie zaczął się szyderczo śmiać. I podanie nie mogli zrozumieć, dlaczego on się śmieje, skoro stoi w przedsionku śmierci. A on im powiedział: „To ja 80 lat jestem chrześcijaninem od dziecka, i dzisiaj chcecie żebym ja wyparł się swojej wiary? Przecież niezależnie

od tego, czy będę żył dłużej czy krócej, to perspektywa tego, co przeżyję, jest już żadna. Ja miałbym dzisiaj wyprzeć się Chrystusa? Przenigdy!" I został zamordowany w Smyrnie.

Ilekroć później, przez dalsze jeszcze 150 lat, wybuchały prześladowania, to te prześladowania wyniszczały miejscowych chrześcijan. Zatem te słowa, które tutaj słyszymy, były w jakimś sensie proroctwem, zapowiedzią losu, który ich czeka. Ale nawet więcej. Na początku naszego stulecia był pewien badacz angielski, anglikanin, Ramsay (William Mitchell Ramsay, 1851-1939), który objechał Azję Mniejszą, opisał jak Azja Mniejsza, czyli dzisiejsza Turcja, wyglądała prawie sto lat temu, i badał ruiny, pozostałości rozmaitych Kościołów. I on, który doskonale znał dzieje tej ziemi, napisał w swojej książce na ten temat — jest to do dzisiaj sztandarowy podręcznik do poznawania dziejów tego regionu — że chociaż wszystkie Kościoły w Azji Mniejszej zachowywały wierność wobec Chrystusa, to Smyrna swoją wiernością przewyższyła pozostałe. Zatem ten list odniósł swój skutek. Apostoł, który wzywał mieszkańców do wytrwałości, spotkał się z ich odpowiedzią trwającą przez pokolenia.

I dalej — te słowa można uczynić mottem dzisiejszego spotkania, bo one są też najczęściej powtarzane w Smyrnie:

> Bądź wierny aż do śmierci,
> a dam ci wieniec życia.

Otóż wezwanie do wierności. To jest skierowane do mieszkańców Smyrny. Nie wystarczy słomiany zapał, nie wystarczy ot taki sobie ogień. Nie wystarczy tylko jakieś jedno czy drugie poruszenie serca. Wezwanie do wierności, i do wytrwałości. *Bądź wierny aż do śmierci, a dam ci wieniec życia.* I dalej:

> Kto ma uszy do słuchania, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
> Zwycięzcy śmierć druga na pewno nie uczyni szkody.

Otóż w przekonaniu apostoła każdy człowiek umiera dwa razy. Raz umiera w ciele tak, jak każda istota, każdy organizm musi obumrzeć. Ale potem stajemy przed Bogiem — i tam dopiero rozgrywają się nasze losy na wieczność. Stąd można by powiedzieć, że ci, którzy tam nie wybierają Boga, tam jak gdyby umierają po raz drugi. I ta druga śmierć podczas sądu, na spotkaniu z Bogiem, jest bardziej brzemienna w skutki, niż ta śmierć pierwsza. Bo ta pierwsza jest opuszczeniem ciała, ta druga jest natomiast skazaniem się na życie bez Boga. Ale apostoł mówi że zwycięzcy, więc temu, który wytrwa do końca, ta druga śmierć już nie wyrządzi żadnej szkody. Zatem nagrodą za wytrwałość będzie życie z Bogiem. W ten sposób apostoł w Smyrnie przenosi nacisk z życia doczesnego na wieczność.

Drodzy państwo, człowiek to, co ma jedno,to jest z pewnością życie. Zatem musi je cenić, musi się o nie troszczyć, musi zabiegać o zdrowie, chciałby żyć jak najdłużej. I każdemu z nas wydaje się, że jakby świat bez nas jest niemożliwy. Aczkolwiek dobrze wiemy, że ci, co odchodzili przed nami zostawili lukę, pustkę, ale wszystko biegnie dalej. Otóż cały nacisk z doczesności przeniesiony zostaje na wieczność. W ten sposób już w czasach apostolskich, w Kościele apostolskim, właśnie św. Jan ukazuje tę drugą perspektywę, tę poza bramą śmierci, perspektywę nieba.

Dzisiaj trzeba powiedzieć jedno, że jakby coraz rzadziej chrześcijanie, także w Kościele, także ci, którzy głoszą słowo Boże, mówią o niebie, o czyśćcu, o piekle — tak jak gdyby się wstydzili mówić o tym, jak gdyby to wszystko było staroświeckie. Ale przecież życie chrześcijanina o tyle tylko ma sens, o ile śmierć jest bramą a nie końcem. Jeżeli śmierć byłaby absolutnym końcem, to można by powiedzieć, że i nasze chrześcijańskie życie nie ma większego znaczenia. I tu jest silny związek pomiędzy zmartwychwstaniem Jezusa Chrystusa, a naszym zmartwychwstaniem. Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, napisał św. Paweł, to próżna jest nasza wiara. Ale Chrystus zmartwychwstał, dodaje apostoł. A apostoł Jan, którego pisma teraz czytamy, podkreśla bardzo mocno, że temu, który wytrwa do końca, śmierć druga już nie zaszkodzi.

Taką to właśnie perspektywę kreśli apostoł dla Kościoła uciśnionego, pośród prześladowań. Ten ucisk był tym większy, że pokłócili się ze sobą i spierali się ze sobą ci, którzy z pochodzenia byli Żydami. I ci chrześcijanie żydowskiego pochodzenia cierpieli tak ogromnie. Na koniec raz jeszcze posłuchają państwo tego listu. Teraz na bieżąco, na świeżo mamy w głowach to, co powiedzieliśmy.

I spróbujmy przypomnieć sobie to, co wiemy o Smyrnie, przypomnieć sobie to, o czym teraz była mowa. I spróbujmy posłuchać tych słów, które powinny być teraz bliższe również nam. Aczkolwiek nie jesteśmy w sytuacji Kościoła uciśnionego, to jednak są Kościoły uciśnione. Słyszeli państwo, że w ubiegłym tygodniu w Azji Środkowej znów zostało zamordowanych kilkudziesięciu chrześcijan dlatego, że nie chcieli przejść na islam. Okrutnie ich zamordowano. Zatem te problemy Kościoła w Smyrnie nie przeszły całkowicie do przeszłości.

Aniołowi Kościoła w Smyrnie napisz:
To mówi Pierwszy i Ostatni,
który był martwy, a ożył:
Znam twój ucisk i ubóstwo -
ale ty jesteś bogaty -
i [znam] obelgę wyrządzoną przez tych, co samych siebie zowią Żydami,
a nie są nimi, lecz są synagogą szatana.
Przestań się lękać tego, co będziesz cierpiał.
Oto diabeł ma niektórych spośród was wtrącić do więzienia,
abyście próbie zostali poddani,
a znosić będziecie ucisk przez dziesięć dni.
Bądź wierny aż do śmierci,
a dam ci wieniec życia.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy śmierć druga na pewno nie wyrządzi szkody.

Wspomniałem państwu, że ten list miał znaczenie również w naszym stuleciu. Otóż po pierwszej wojnie światowej, gdy powstała dwa lata później Republika Turecka na której czele stanął Atat'urk — ojciec Turków, który próbował na terenie Turcji szerzyć rewolucję bolszewicką, i który zmarł w 1938 roku na marskość wątroby, przepił się i umarł. Ale zanim to nastąpiło, Smyrna była oblegana przez Turków. A w Smyrnie mieszkała ludność wyłącznie grecka. Na odsiecz przybyła armia grecka, rozpoczęły się bardzo zacięte walki które miały miejsce w r. 1923. Smyrna została niemal całkowicie zniszczona, w 95 - 98%. Turcy wyparli Greków do morza. Natomiast ci Grecy, którzy tam byli — byli oczywiście chrześcijanami prawosławnymi — umierali tak, jak opowiadali i napisali świadkowie, właśnie z tym fragmentem Pisma Świętego, który zachęcał ich do wytrwałości.

Dzisiaj w Smyrnie są trzy kościoły. Kościół pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, jeszcze jeden kościół, oraz kościół pod wezwaniem św. Polikarpa, tego, o którym wspominaliśmy. W kościele św. Polikarpa jest również bardzo piękna tablica, która upamiętnia Paca, który trafił tam w okresie tuż po Wiośnie Ludów, na początku XIX gdzieś z terenów północno-wschodniej dawnej Rzeczypospolitej. Tablica trwa do dnia dzisiejszego jako świadek, i ślad jednocześnie tej odrobiny polskości. Taka jest Smyrna dzisiaj. Chrześcijan jest bardzo mało. Ale pozostaje faktem, że ten maleńki liścik stał się dla kilkudziesięciu pokoleń mieszkających tam chrześcijan wielką zachętą do wytrwałości, i że oni ten egzamin zdali.

Od dziś za miesiąc, a dokładniej w drugi poniedziałek miesiąca, czyli 8 stycznia, zapraszam państwa bardzo serdecznie na kolejną konferencję, kolejne spotkanie, poświęcone kolejnemu Kościołowi. Po drodze mamy oczywiście święta Bożego Narodzenia. Chciałbym życzyć państwu obfitych łask Bożych, wszystkiego co dobre, co najpiękniejsze. W niedzielę 24 grudnia będziemy mieli Wigilię. proszę pamiętać i wierzyć mi, kiedy my kapłani będziemy tutaj siadać do wigilijnego stołu, będziemy również pamiętać o każdej i każdym z państwa. I łamiemy się ze wszystkimi opłatkiem.

A najlepsze życzenia niech będą jednocześnie o tyle wyjątkowe, że jak państwo wiedzą za trzy tygodnie kończy się wiek XX, i kończy się drugie tysiąclecie. Ciągle jeszcze mamy tertio millennio adveniente czyli *zbliżające się trzecie tysiąclecie.* Ale jeżeli przeżyjemy do pierwszego stycznia, jeszcze trzy tygodnie, to będziemy mogli powtórzyć z Kościołem, że tertio millennio adventum est, że trzecie tysiąclecie rozpoczęło się i nadeszło. I życzę państwu na cały ten czas tego przejścia wieków i tysiącleci dużo łask Bożych, dużo siły, dużo pokoju i zdrowia.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3.4 List do Kościoła w Pergamonie (dn. 15 stycznia 2001)

Na samym początku jestem winien państwu przeproszenie także za to, że ten termin uległ zmianie. Mieliśmy się spotkać tydzień temu, tzn. w ubiegły poniedziałek. Ale niestety nie doszło to do skutku dlatego, że przez kilka dni przebywałem w Rzymie na zakończeniu Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Oczywiście ten pobyt był planowany wcześniej. Problem tylko polegał na tym, że uległa zmianie godzina przylotu samolotu. I samolot, który miał być w Warszawie w poniedziałek koło godziny drugiej, wylądował około godziny siódmej po południu. No i oczywiście już nie było mowy o odbyciu tej konferencji biblijnej.

Zatem kilka dni byłem w Rzymie. Myślę, że należy się państwu parę słów takiego, może nie tyle podsumowania, ile uwag i obserwacji związanych z zakończeniem Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Powiedzieć można kilka rzeczy. Myślę, że te najważniejsze dadzą się zebrać w kilku zdaniach. Otóż po pierwsze. Chociaż przedtem mieszkałem w Rzymie przez prawie 5 lat, ponad 20 lat temu, i później przebywałem w Wiecznym Mieście wiele razy, to nigdy nie widziałem w Rzymie takich tłumów, jakie były teraz na zakończeniu Roku Świętego. Mówiąc prawdę to i wcześniej, bo przebywałem w tym Wielkim Jubileuszu jeszcze dwukrotnie, było tam mnóstwo ludzi. Ale to, co się oglądało teraz na zakończeniu tego Wielkiego Jubileuszu, przerasta wszelkie wyobrażenia. Zarówno do poszczególnych bazylik większych, tzn. Maria Maggiore, św. Jana na Lateranie, św. Pawła za Murami, jak oczywiście do Bazyliki św. Piotra, były bardzo, bardzo długie kolejki. I te ostatnie dwa dni przed zakończeniem Wielkiego Jubileuszu, to kolejki były dosłownie już nie metrowe, ale kilometrowe. Np. żeby wejść do Bazyliki św. Piotra trzeba było czekać wiele godzin. Można było wejść tylko, kiedy się tam poszło rano, gdzieś ok. siódmej, wpół do ósmej. Czekaliśmy wtedy mniej więcej pół godziny. Natomiast jeżeli ktoś poszedł do tej bazyliki już po południu, to musiała ona być ostatniej nocy otwarta prawie do rana, żeby kolejka tych tysięcy ludzi mogła do bazyliki wejść.

Zatem ogromne poruszenie, ogromne zainteresowanie tym Wielkim Jubileuszem, i ogromna wiara. Jeżeli ktokolwiek z państwa będzie miał szczęście teraz pojechać do Rzymu, to zobaczą państwo wszystkie te marmury, które otaczają Drzwi Święte, na wysokości mniej więcej człowieka, ludzkich rąk i ludzkich twarzy widać ślady obecności tysięcy, setek tysięcy, a może milionów ludzi. Nawet na tych marmurach widać, że przez ten rok ostatni bardzo się zmieniły.

Druga taka uwaga, która się cisnęła, to bardzo duża liczba Włochów, ale nie tylko Włochów, jednak przede wszystkim oni, do sakramentu pokuty. Otóż jak wiemy był to Rok Jubileuszowy, a więc czas wielkiej łaski. I ja nigdy jeszcze nie widziałem takich kolejek do konfesjonałów tam, w tych wszystkich bazylikach i innych kościołach, jak te, które można było oglądać przez zakończeniem tego Wielkiego Jubileuszu. Jeżeli więc mówimy u nas o ożywieniu wiary, to z całą pewnością także w zachodniej Europie, a zwłaszcza we Włoszech, też się to obserwuje, i te dary Roku Świętego są prawdziwie błogosławione.

Wreszcie trzecia uwaga, myślę, że jakaś trochę osobista, taka zakorzeniona w życiu Kościoła. Można było oglądać, jak Ojciec Święty zamyka te Drzwi Święte. Myślę, że ponieważ była bezpośrednia transmisja telewizyjna, państwo oglądali dokładnie to samo. Będąc na placu św. Piotra można było ten moment oglądać tylko na dużych telebimach, ustawionych w kilku miejscach, gdyż samo to zamknięcie odbywało się przy wejściu do Bazyliki, gdzie mogła być tylko kamera telewizyjna. I muszę państwu powiedzieć że miałem takie wrażenie, że kiedy Ojciec Święty dopełnił zamknięcia tych Drzwi Świętych, że jednocześnie czuło się jakieś takie poczucie spełnionego obowiązku. Można byłoby chyba ten moment zatytułować, opatrzyć taką nazwą: „Spełniony pontyfikat". I tutaj przypominają mi się słowa, o których już państwu znacznie wcześniej mówiłem. Kiedy to Jan Paweł II został wybrany, i w kilka dni później kardynał Wyszyński powiedział mu — to są historyczne, prawdziwe słowa — że „teraz masz wprowadzić Kościół w trzecie tysiąclecie". I oczywiście to wprowadzenie Kościoła w trzecie tysiąclecie dokonało się w takim historycznym momencie szóstego stycznia tego właśnie roku poprzez zamknięcie tych Drzwi Wielkiego Jubileuszu, Drzwi Świętych. I myślę, że Ojciec Święty ma jakieś poczucie spełnionej misji. I można by powiedzieć że wszystko, co teraz obserwujemy, wszystko, co teraz widzimy, jest już jakimś zwieńczeniem i zamknięciem tego pontyfikatu. To się widzi, to się czuje. I myślę, że tę świadomość zwłaszcza my, Polacy, powinniśmy mieć.

Tu trzeba powiedzieć jasno że widać wyraźnie, że Jan Paweł II jest chory, że bardzo cierpi.

Oczywiście stara się przezwyciężać ten ból, który odczuwa, i stara się być aktywny, stara się być czynny. Ale rzecz jasna zarówno wiek, jak i te strzały niegdyś na placu św. Piotra, i wyczerpanie, robią swoje. I czuje się wyraźnie, że każda taka chwila, każdy taki czas przeżywania przysparza Ojcu Świętemu dużej trudności.

Więc było to wielkie święto, wielka uroczystość, nieprzebrane tłumy na placu św. Piotra, ogromne skupienie, ogromna uwaga, bardzo dużo modlitwy. Ludzie dosłownie z całego świata. Mnóstwo autokarów z całej Italii. Nie było tak bardzo wiele grup polskich. Może dlatego, że jest to czas zimowy, dojazd autokarami przez Alpy jest bardzo trudny. Natomiast dojazd samolotem jest mimo wszystko dość kosztowny, bardzo wielu pielgrzymów, czy chętnych do pielgrzymowania na to nie stać. I z tego powodu liczebność Polaków była stosunkowo skąpa. Ale cały plac, i przyległa ulica Conciliazione, były zajęte przez ludzi, i ogromne to było przeżycie. Oczywiście coś wielkiego się skończyło, coś wielkiego jest za nami.

Rozpoczęliśmy więc nowe stulecie, nowy wiek, nowe tysiąclecie. Każdy z nas rozpoczął pewnie na swój własny sposób, na różne sposoby żeśmy rozpoczęli. Z jednej strony oglądamy się wstecz, z drugiej strony na pewno wybiegamy myślą w przyszłość. I z całą pewnością jesteśmy ciekawi tego, co nas czeka. Możemy tylko — jeżeli wolno jeszcze na jedną refleksję — możemy sobie wyobrazić, że będzie to na pewno wiek jakiegoś przeogromnego przyśpieszenia technicznego i technologicznego. Jeżeli się porówna świat w roku 1900, i świat w roku 2000, to przez te sto lat ludzkość uczyniła szalony postęp, jakiego nie uczyniła nigdy przedtem w całych swoich dziejach. Natomiast gdyby to tempo było utrzymane, to wręcz nie sposób sobie wyobrazić, jaki będzie świat w roku 2100.

I uwaga druga. Ten mijający wiek, chociaż był ten bardzo wielki postęp techniczny i technologiczny, to jednak był to wiek najbardziej śmiercionośnych wojen i konfliktów w dziejach ludzkości. Wyginęły setki milionów ludzi na całym świecie w wojnach światowych, w konfliktach zbrojnych, w rozmaitych rewolucjach, przewrotach, gwałtownych wyniszczeniach, przesiedleniach ludności itd. Jeżeli pod tym względem sytuacja polityczna się nie zmieni, jeżeli człowiek nie zmądrzeje, jeżeli człowiek również nie stanie się lepszy — jeżeli pod tym względem ten wiek, który zaczęliśmy, będzie powtórzeniem wieku XX — to możemy się spodziewać straszliwych dramatów, straszliwych kataklizmów, których rozmiarów nie sposób przewidzieć. Być może nawet straszliwych wojen i wyniszczeń, których lepiej sobie nie wyobrażać. Miejmy nadzieję że tutaj, zarówno wśród ludzi wierzących, jak i wysiłki tych, którzy rządzą, być może tę perspektywę, straszną i taką śmiercionośną, zmienią.

Czy tak będzie — trudno powiedzieć. Trudno też powiedzieć, jaka będzie ta najbliższa perspektywa. Wydaje się, że w tej chwili najbardziej zapalnym punktem świata, tak patrząc z perspektywy trochę europejskiej, jest Bliski Wschód. I bardzo dużo zależy od tego, co dzieje się tam na Bliskim Wschodzie. Zdaje się, że tam następuje eskalacja konfliktu i eskalacja napięć, które mogą mieć bardzo złe skutki nie tylko dla tamtego rejonu, ale także dla innych rejonów świata.

Skoro tak, to na pewno potrzebna jest modlitwa o pokój, wołanie o pokój. I na tym również skupił się Jan Paweł II podczas swojego ostatniego spotkania z dyplomatami kilka dni temu, kiedy to podkreślił, że obowiązkiem dyplomatów jest właśnie troska na rzecz pokoju.

I jeszcze jedna refleksja, już powiedzmy sobie, bardzo poważna. Mianowicie przeżyliśmy Rok Jubileuszowy, Rok Święty. Następny taki Rok będzie w roku 2025. Oczywiście dla wielu spośród nas — trudno powiedzieć dla ilu, ale na pewno dla wielu osób tutaj obecnych — ten Rok, który przeżyliśmy, Rok Święty, był ostatni. I pewnie tylko część spośród nas doczeka tego następnego Roku Świętego 2025. A więc coś też się w naszym życiu bezpowrotnie skończyło.

Myślę, że teraz możemy przejść do kolejnego fragmentu Apokalipsy św. Jana. Będzie to list do Kościoła w Pergamonie, mieście, które ze wszech miar zasługuje na uwagę, i list do Kościoła, który ze wszech miar wart jest tego, by mu poświęcić nieco czasu. Najpierw przeczytam ten list, potem osadzimy go w kontekście geograficznym i historycznym. Później powiemy o Kościele, do którego ten list był skierowany, oraz o aktualności tej problematyki, która w liście św. Jana Apostoła jest zawarta. Otóż treść tego kolejnego, trzeciego już, listu brzmi tak:

> Aniołowi Kościoła w Pergamonie napisz:
> To mówi Ten, który ma miecz obosieczny, ostry.
> Wiem, gdzie mieszkasz: tam, gdzie jest tron szatana,
> a trzymasz się mego imienia
> i wiary mojej się nie zaparłeś,

nawet we dni Antypasa, wiernego świadka mojego,
który został zabity u was, tam gdzie mieszka szatan.
Ale mam nieco przeciw tobie,
bo masz tam takich, co się trzymają nauki Balaama,
który pouczył Balaka, jak podsunąć synom Izraela sposobność do grzechu
przez spożycie ofiar składanych bożkom i uprawianie rozpusty.
Tak i ty także masz takich, co się trzymają podobnie nauki nikolaitów.
Nawróć się zatem!
Jeśli zaś nie - przyjdę do ciebie niebawem
i będę z nimi walczył mieczem moich ust.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
Zwycięzcy dam manny ukrytej
i dam mu biały kamyk,
a na kamyku wypisane imię nowe,
którego nikt nie zna oprócz tego, kto [je] otrzymuje.

Trzeba powiedzieć po przeczytaniu tego listu, że jest on dla współczesnego słuchacza w Polsce, i gdzie indziej, bardzo trudny. Kiedy posłuchamy takich słów po raz pierwszy, albo kolejny raz — ale bez objaśnienia, to oczywiście musimy przyznać, że bardzo trudno odebrać z nich tę treść, która byłaby potrzebna i pożyteczna dla każdego z nas. Skoro tak, to dzisiejsze wyjaśnienie powinno się przydać. I mam nadzieję, że chociaż po części rozjaśni te problemy i jednocześnie pokaże doniosłość i potrzebę tego listu dla naszego życia.

Najpierw parę słów na temat Pergamonu. Cały czas jesteśmy na terenie Azji Mniejszej, czyli na terenie dzisiejszej Turcji. Dwa miesiące temu omówiliśmy list do Kościoła w Efezie, miesiąc temu omówiliśmy list do Kościoła w Smyrnie. Powiedzieliśmy, że jedno miasto od drugiego dzieli ok. 80 km, może do 100 km — w zależności od tego, jaką drogą się jedzie. A więc stosunkowo blisko. Ze Smyrny do Pergamonu jest mniej więcej 110 km. Pergamon jest przedziwnie położony, w linii prostej mniej więcej 20 km od morza. Ale od morza oddzielają go góry, zatem od strony morza nie widać Pergamonu. Również z Pergamonu nie widać morza, tylko góry. Całe miasto położone jest na wzgórzu, które wybija się 300 m ponad otoczenie. Kiedy się więc jedzie do Pergamonu z którejkolwiek strony, bardzo dobrze to wzgórze widać już z odległości kilkunastu kilometrów.

Właśnie na tym wzgórzu zostało założone pierwsze miasto. Teren jest bardzo sprzyjający człowiekowi, jest bardzo rolniczy. Płynie tam niewielka rzeka Kalikos, a do niej dopływają dwie mniejsze rzeczki, dwa potoki, które są całoroczne. Zatem i ta rzeka, która oczywiście potem daje swoje wody do morza, też jest całoroczna, co w tym rejonie świata znaczy bardzo wiele. Ziemie dookoła tego wzgórza są bardzo żyzne, oraz są dwa jeziora. Ale żeby dostać się na to wzgórze, trzeba piąć się te 300 m do góry. Skoro jedno piętro ma ok. 3 m, to jest to jakby wejście na stupiętrowy wieżowiec. Dzisiaj wjeżdża się tam autokarem, ale objeżdża się te wzgórze dookoła. Ten autokar serpentynami wjeżdża coraz wyżej i wyżej. Natomiast ostatnie mniej więcej 50 - 60 m, czyli mniej więcej 15 - 20 pięter, trzeba pokonać już na piechotę. Jeżeli tam sie pojedzie latem, to oczywiście wejście na Pergamon, na Akropol, pamięta każdy, kto się tam znalazł, bo jest to wejście bardzo trudne. Jeżeli jest gorąco, to jest ono oczywiście bardzo kłopotliwe.

W starożytności wybrano to miejsce na miasto ze względu na jego strategiczne położenie. Ze wzgórza można było doskonale obserwować okolicę — widać ją w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Zbudowano zatem gdzieś ok. r. 1000 przed Chr. taki warowny zamek i z tej warowni bardzo skutecznie kontrolowano okolicę. W późniejszych czasach wybudowano także inne miasto dlatego, że na wierzchołku wzgórza było za mało miejsca, żeby mogło tam mieszkać wielu ludzi, więc wybudowano jeszcze jedno miasto u podnóża. Na ruinach tego właśnie miasta u podnóża wierzchołka znajduje się współczesne miasto tureckie, które nosi nazwę Bergama. Liczy ono dzisiaj 50 - 60 tys. ludności. I możemy się łatwo domyśleć, że ta współczesna Bergama żyje z tego starożytnego Pergamonu, i z odwiedzających go turystów.

Największą świetność Pergamon miał w okresie hellenistycznym, po podbojach Aleksandra Wielkiego, tzn. mniej więcej po roku 320 przed Chr. Historia tego wzniesienia jest bardzo ciekawa. Można by powiedzieć nawet, że od dziejów tego wzniesienia zależały w jakimś sensie losy świata — bo proszę posłuchać. Otóż na początku IV wieku, czyli gdzieś ok. roku 300, teren należał do

syryjskiej dynastii Seleucydów, którzy kontrolowali ten teren z odległej Syrii. Jeden z władców syryjskich wyznaczył jako dowódcę Pergamonu człowieka o imieniu Filetajros, pochodzącego z małej osady o nazwie Hias, którego uważał za swojego zaufanego człowieka. Początkowo ten Filetajros był rzeczywiście bardzo lojalny wobec swojego władcy. Ale w r. 283 przed Chr. zbuntował się przeciwko niemu, wszczął powstanie, rebelię. Ponieważ był skarbnikiem swojego władcy, miał pewien zasób pieniędzy. I w skutek tej rebelii przeciw królowi Lizymachowi zupełnie uniezależnił się od niego. Wtedy Pergamon, ok. roku 280 przed Chr., stał się niezależnym miastem-państwem, i zaczęła rządzić dynastia wywodząca się od tego buntownika. Chcąc uniezależnić się od Syrii ów buntownik związał się z Rzymianami. Rzymianie wtedy parli coraz bardziej na wschód, zajęli już tereny dzisiejszej Grecji. Natomiast nigdy nie myśleli o tym, aby zajmować Azję Mniejszą. Nie przychodziło im do głowy, żeby iść na te tereny dlatego że uważali, że jest to już poza zasięgiem ich ekspansji. Jednak następcy owego Filetajrosa, a przede wszystkim Eumenes II, który rządził w latach 197 - 159 — a więc rządził przez 40 lat — wdał się w taki flirt z Rzymianami, związał się z Rzymianami. Wskutek tego, to państwo ze stolicą w Pergamonie bardzo okrzepło i bardzo urosło w siłę.

Wtedy, na początku II wieku przed Chrystusem, w świecie starożytnym pojawił się mit Pergamonu. Wszystko, co pochodziło z Pergamonu było naj...: było najlepsze, największe, najpotężniejsze, najładniejsze, najsolidniejsze. W ten sposób Pergamon zaczął dorównywać takim znanym miastom jak Aleksandria, Ateny, Rzym, Antiochia, Efez. Pergamon tak okrzepł i wzrósł w siłę, że to miasto-państwo podporządkowało sobie całe północno-zachodnie rejony dzisiejszej Turcji. Miasto było bardzo bogate. Wzbogaciło się dzięki rolnictwu, i dzięki eksportowi tych produktów rolnych. proszę sobie wyobrazić, że to maleńkie w końcu miasto było w starożytnym świecie drugim co do wielkości, po Egipcie, eksporterem zboża. Tutaj też ciekawostka — dzisiejszy Egipt jest krajem bardzo biednym, natomiast Egipt starożytny był największym w starożytnym świecie eksporterem zboża. A po Egipcie — właśnie Pergamon. W okolicach Pergamonu również hodowano owce. Rozwinął się przemysł tkacki, przemysł farbiarski. Wszystko to przyczyniało sie do zamożności Pergamonu.

Co więcej, z Pergamonem wiąże się jeszcze jedna nazwa, którą dobrze znamy — mianowicie pergamin. Otóż właśnie od nazwy tego miasta została urobiona nazwa materiału rękopiśmienniczego. Pergamin są to skory owcze albo kozie, specjalnie wyprawiane, następnie okrojone na których można było jednostronnie lub dwustronnie pisać. I te skóry obcinano specjalnymi nożami czyniąc z nich takie karty. I żeby te karty się nie gubiły, to zapisane skóry kładziono jedna na drugą, zszywano po jednym boku. I w ten sposób pojawiły się prototypy, pierwsze zalążki dzisiejszej książki. I w Pergamonie powstała jedna z pierwszych na świecie bibliotek. Liczyła ona około ćwierć miliona dzieł. Więc byłą to ogromna biblioteka, która swoją świetnością dorównywała słynnej bibliotece aleksandryjskiej. Losy tej biblioteki też były bardzo dziwne, ponieważ Antoniusz zajął Pergamon, właściwie szedł tam za przyzwoleniem tych, którzy tam mieszkali, i podarował całą bibliotekę Kleopatrze. I biblioteka została przewieziona do Egiptu, gdzie później została zniszczona podczas podbojów arabskich, ale to dopiero w VII w. po Chrystusie.

Zwróćmy uwagę, że Pergamon w starożytności był miastem, które miało się z czego szczycić. Nawet więcej — był miastem, które miało powody do tego, żeby się do pewnego stopnia chełpić. Szczyt świetności Pergamonu przypadł mniej więcej na lata 159 – 133 przed Chr. Rządziło tam wtedy dwóch władców, kolejno ojciec i syn: Attalos I i Attalos II. Ten drugi zmarł w roku 133. I tutaj rzecz jest bardzo ciekawa. Jak powiedziałem Rzymianie nigdy nie byli zainteresowani wcześniej Azją Mniejszą. Ale Attalos II miał wielki respekt dla Rzymian, i w swoim testamencie zapisał Pergamon, miasto i państwo, Rzymianom. Wskutek tego Rzymianie weszli do Pergamonu, a następnie rozpoczęli ekspansję na teren całej Azji Mniejszej.

Gdyby nie ten testament Attalosa II, to być może Rzymianie nigdy nie weszli by na obszar Azji Mniejszej. To by oznaczało, że losy świata potoczyły by się zupełnie inaczej. Bo nie byłoby później kultury hellenistycznej w głębi Azji Mniejszej, nie byłoby na pewno Cesarstwa Wschodniego, nie byłoby Konstantynopola, nie byłoby Bizancjum, nie byłoby kultury bizantyjskiej itd. Wszystko to, co się stało później, cała ta przeogromna i arcyciekawa historia, jest właściwie skutkiem tego jednego testamentu jednego umierającego człowieka, który tak zakochał się w Rzymie, że Rzymowi zapisał miasto i należące do niego terytoria. Skąd my to wszystko wiemy?

Otóż dzieje Pergamonu znamy bardzo dobrze. Dlatego, bo Pergamon był miejscem wykopalisk

archeologicznych, które prowadzili Niemcy. W latach 1878 – 1880 w Pergamonie pracował archeolog niemiecki Humann. Niedaleko pracował jeszcze Schliemann, który odkrył Troję. Humann na wzniesieniu wydobył na światło dzienne to, czym Pergamon się w starożytności chlubił, tzn. ołtarz Zeusa. Ten ołtarz to jest coś absolutnie wspaniałego. 120 m długości, ponad 2 m wysokości, taki potężny fryz, na którym przedstawiono gigantomachię czyli walkę gigantów, walkę bogów z gigantami, walkę bogów pomiędzy sobą, a wszystko to wykonane jest z białego marmuru. Ponieważ to się znajdowało wysoko nad ziemią i miało długość 120 m, zatem ten potężny ołtarz Zeusa widać było ze wszystkich stron, kiedy się podróżny zbliżał do Pergamonu. Ołtarz, gdy go Humann odkrywał, był oczywiście mocno zniszczony. Wtedy to rząd otomański, a czasy imperium otomańskiego zbliżały się powoli do końca, zawarł specjalną umowę z rządem pruskim, żeby ołtarz Zeusa przewieźć do Niemiec i poddać rekonstrukcji. Przewieziono więc go do Niemiec, z potłuczonych fragmentów złożono całość i ołtarz został udostępniony publiczności w r. 1930. Znajduje się w Berlinie, jest tam cały kompleks, który nosi nazwę Pergamonmuseum. Jeżeli ktoś z państwa chciałby zobaczyć ten ołtarz Zeusa i znaleziska z Pergamonu, to najwięcej znalezisk z Pergamonu jest nie w samym Pergamonie, a właśnie w Berlinie. W 1945 r. sowieci weszli do Berlina. Ołtarz praktycznie wrzucono do wagonów kolejowych, i wywieziono do Petersburga, ówczesnego Leningradu. Chciano włączyć go do muzeum Ermitażu, już nawet został wykazany w katalogu zbiorów. I, jak wieść niesie, na początku lat pięćdziesiątych, w okresie zimnej wojny, Niemcy wysłali delegację do byłego ZSRR, i tam za pieniądze i za wódkę ten ołtarz wykupili, i z powrotem pociągiem przywieźli do Berlina. W roku 1955 z powrotem został złożony, i do dzisiaj można go oglądać właśnie w Berlinie.

Tyle, jeżeli chodzi o znaleziska, i jeżeli chodzi o dzieje Pergamonu. Przejdźmy, po tym wprowadzeniu historycznym i geograficznym, do samego listu. Posłuchajmy, bo zapewne teraz łatwiej nam będzie zrozumieć myśl św. Jana.

Aniołowi Kościoła w Pergamonie napisz:

Skąd się wzięli chrześcijanie w Pergamonie? Otóż najprawdopodobniej jednym z pierwszych apostołów tego miasta był św. Paweł Apostoł. Wydaje się bardzo możliwe, że podczas swojej drugiej podróży misyjnej, która miała miejsce w latach 50 – 54, a poźniej podczas trzeciej podróży misyjnej, kiedy św. Paweł znajdował się na terenie Azji Mniejszej, to zaszedł również do Pergamonu. Ale chyba on tam tego Kościoła nie zakładał, bo wydaje się, że już przed nim byli tam chrześcijanie. To najprawdopodobniej byli Żydzi, którzy znaleźli się w Jerozolimie w dzień zesłania Ducha Świętego. Kiedy wrócili po tym żydowskim święcie Pięćdziesiątnicy do Azji Mniejszej, to oczywiście tam pozostali i w poszczególnych miastach, z których pochodzili, zakładali Kościoły, zakładali pierwsze wspólnoty chrześcijańskie. Gdy św. Paweł docierał na te tereny, to oczywiście już spotykał chrześcijan. A kiedy później, mniej więcej 30 – 35 lat po św. Pawle, pojawił się tam św. Jan Apostoł, to już te Kościoły, te wspólnoty chrześcijańskie, były bardzo okrzepnięte.

To mówi Ten, który ma miecz obosieczny, ostry.

Otóż mamy tutaj nawiązanie do Księgi Izajasza — to jest jedna strona, ale z drugiej strony mamy nawiązanie do realiów Pergamonu. Otóż w Pergamonie rezydował namiestnik rzymski. Przysługiwało mu tzw. ius gladii czyli *prawo miecza*. Polegało ono na tym, że tylko on mógł skazać kogoś na śmierć, mógł zatwierdzić wyrok śmierci, a także mógł wyrok śmierci cofnąć. I odbywało się to praktycznie tak, że gdy przyprowadzano do niego człowieka, przeprowadzano sąd, to wówczas namiestnik miał w ręku miecz. Ruchem tego miecza decydował, czy ten człowiek ma iść na śmierć, czy też zachowywał mu życie. I właśnie nawiązując do tego namiestnika św. Jan powiada: *To mówi Ten, który ma miecz obosieczny, ostry.* A więc nawiązując do namiestnika wskazuje, że taka władza rozstrzygania między życiem a śmiercią przysługuje tylko Bogu. I symbolicznie nawiązuje do tego miecza, i symbolicznie podkreśla, że ten miecz, który ma Bóg, jest mieczem obosiecznym. A więc jest jeszcze skuteczniejszy od tego, który ma rzymski namiestnik. Oczywiście dla nas taka aluzja jest trudna do zrozumienia. Ale dla tamtych ludzi, którzy na co dzień mogli oglądać to sprawowanie ius gladii, prawa miecza, nawiązanie do wydawania wyroków jest tutaj bardzo jasne. Mamy więc przedstawienie Boga, a szczególnie Chrystusa, Syna Bożego, jako sędziego. Sędziego, który rozstrzyga o ludzkich losach. I dalej:

Wiem, gdzie mieszkasz: tam, gdzie jest tron szatana,

Zwróćmy uwagę, że powiedzieliśmy tutaj sporo dobrego o tym, jak piękny i wystawny był ołtarz Zeusa. Ale dla chrześcijanina, dla chrześcijanina pierwszych wieków zwłaszcza, ten ołtarz Zeusa był przecież niczym innym, jak uosobieniem i wyrazem kultu pogańskiego. Przecież Zeus to było główne bóstwo w panteonie pogańskim. Można by powiedzieć, że Zeus stał na antypodach Jezusa Chrystusa. Dlatego to, co dla pogan było przedmiotem uwielbienia, dla chrześcijan było przedmiotem krytyki. I z tego powodu św. Jan zwraca się do tych chrześcijan, i wypowiada się o Pergamonie bardzo sarkastycznie, z wielką dozą ostrego sposobu patrzenia. Mianowicie: *Wiem, gdzie mieszkasz: tam, gdzie jest tron szatana.* Otóż ci mieszkańcy Pergamonu szczycili się, że mieszkają wysoko, że są niedostępni, że ich twierdza jest nie do zdobycia — a z drugiej strony, że jest zewsząd widoczna, że jest przedmiotem podziwu. I to pogańskie miasto staje się w Apokalipsie symbolem tronu szatana. To jest jedna strona. A druga:

> ale trzymasz się mego imienia
> i wiary mojej się nie zaparłeś,
> nawet we dni Antypasa, wiernego świadka mojego,
> który został zabity u was, tam gdzie mieszka szatan.

Z tych słów dowiadujemy się, że prześladowania chrześcijan, które trwały za czasów cesarza Domicjana, o których mówiliśmy w przypadku każdego Kościoła, nie ominęły również Pergamonu. I dowiadujemy się, że w Pergamonie był jakiś chrześcijanin, który miał na imię Antypas, który zostaje nazwany *wiernym świadkiem* Chrystusa, i który *został zabity u was,* zabity tam, w Pergamonie, gdzie jest tron szatana. Powiedzieliśmy, że ta konfrontacja pomiędzy poganami a chrześcijanami, pod koniec pierwszego wieku, była bardzo ostra. Elementy tej konfrontacji, czy obraz tej konfrontacji, zobaczymy wkrótce choćby na filmie „Quo vadis?" Także kiedy się jest w Rzymie, dobrze widać owe katakumby, do których chrześcijanie przez prawie trzy wieki się chronili, do których uciekali, aby ocalić swoje życie. Więc jeżeli słuchamy tego listu, jeżeli jest on tak dosadny, to musimy pamiętać, że chrześcijanie pierwszych wieków cudem nieraz ratowali swoje życie. Stąd napięcie między nimi, i poganami, było bardzo silne. Pergamon, tu nazwany tronem szatana, jest jednocześnie miejscem męczeństwa chrześcijan. I św. Jan daje poznać uznanie dla tego chrześcijanina, którego znamy z imienia — miał na imię Antypas — i który tam został zabity. Można by powiedzieć, że mamy tutaj do czynienia z myśleniem wręcz paradoksalnym. Możemy je streścić tak: namiestnik rzymski skazał na śmierć chrześcijanina, a uczynił tak dlatego, ponieważ miał to prawo miecza. A św. Jan mówi: prawo rozstrzygania o życiu i śmierci przysługuje tylko Bogu. A więc sam Bóg upomni się o swoich wybranych. Sam Bóg upomni się o tych, którzy Go wyznają. I dalej:

> Ale mam nieco przeciw tobie,
> bo masz tam takich, co się trzymają nauki Balaama,
> który pouczył Balaka, jak podsunąć synom Izraela sposobność do grzechu
> przez spożycie ofiar składanych bożkom i uprawianie rozpusty.

Mamy tutaj bardzo subtelną aluzję do epizodu znanego ze Starego Testamentu, z Księgi Liczb. Otóż Izraelici wyszli z Egiptu, doszli na pustynię Synaj, otrzymali dziesięć Bożych Przykazań. Idą następnie w kierunku Ziemi Obiecanej. W pewnym momencie, za Jordanem, kiedy mają wejść do Ziemi Obiecanej wychodzi na przeciwko nich prorok pogański Balaam, który stara się ich odwieść od zajęcia tej ziemi, który stara się unicestwić zamiar Boży. I tu św. Jan powiada: chociaż znosicie prześladowania, to macie między sobą takich ludzi, którzy usiłują was odwieść od Chrystusa, jak kiedyś Balaam Izraelitów. Jeżeli św. Jan używa takiego obrazu, nawiązującego do Starego Testamentu, to możemy się domyślać, że czyni to wobec ludzi, którzy pochodzili z Żydów. Bo przecież gdyby byli poganami przedtem, to by nie rozumieli tej aluzji do Starego Testamentu, bo Starego Testamentu jeszcze tak dobrze nie znali. Zatem domyślamy się, że wyznawcami Jezusa Chrystusa są tam przede wszystkim tzw. judeochrześcijanie. I na czym polega ich błąd? Otóż na tym, że wzorem tego starotestamentowego pogańskiego proroka usiłują teraz chrześcijan zwieść na manowce.

W jaki sposób? Przez spożywanie *ofiar składanych bożkom i przez uprawianie rozpusty.* Otóż ofiary składane bożkom to zapewne udział chrześcijan we wspólnych ucztach z poganami. W samej uczcie nie było nic złego. Ale problem polegał na tym, że to mięso, które było spożywane przez pogan, było ofiarowane bożkom pogańskim. A więc uczty miały w swoim podstawowym charakterze wymiar pogański. I apostoł daje poznać, że chrześcijanie nie mogą brać udziału w ucztach

pogańskich. I daje również poznać jeszcze jeden błąd, który się powtarzał w różnych wspólnotach, i który wcześniej św. Paweł tępił np. w Koryncie — ale nie tylko. Mianowicie wyznawali Jezusa Chrystusa, ale jednocześnie dopuszczali się rozpusty. Prawdopodobnie było tak dlatego, że byli to ludzie bardzo bogaci. Tak jak wszyscy inni mieszkańcy Pergamonu, tak i tamtejsi chrześcijanie mieli udział w bogactwie i ogólnej zamożności tego regionu. A ponieważ byli bogaci, sądzili, że mogą sobie na więcej pozwolić. I w ten sposób list, obok pochwały za to, że trwają przy wierze w Jezusa Chrystusa, zawiera również ich krytykę za ich pychę, ich butę, za ich pewność siebie, oraz za schlebianie swoim własnym żądzom.

I to jest właśnie problem, z jakim mamy do czynienia w tym liście. Można by go streścić tak. Że i dzisiaj mamy do czynienia z ogromnym rozwarstwieniem nie tylko społeczeństwa, ale także wyznawców Jezusa Chrystusa. Są wśród nich ludzie bardzo biedni, cierpiący z tego powodu i z wielu innych powodów, ale są również ludzie bardzo bogaci. I można by nieraz mieć wrażenie, że ci bogaci chrześcijanie ulegają pokusie takiego łatwiejszego chrześcijaństwa. Tzn. takiego, w którym mniej od siebie wymagają. W Pergamonie było właśnie tak. I z tego powodu chrześcijanie Pergamonu zostają upomniani. Apostoł powiada: to prawda, że jest wam dobrze. To prawda, że staracie się zachować wierność w tym mieście, które jest tronem szatana. Ale nie możecie sobie folgować. Nie wolno wam pozwalać sobie na niedopuszczalne kontakty z poganami, ani tym bardziej nie wolno wam dopuszczać się rozpusty.

> Tak i ty także masz takich, co się trzymają podobnie nauki nikolaitów.

Oprócz takich „praktycznych" nadużyć, mamy też nadużycia natury bardziej teoretycznej. Jak wspominaliśmy miesiąc temu, nikolaici była to sekta, która nie miała właściwego rozeznania co do natury Jezusa Chrystusa. Apostoł to widzi, nie wystarczy wierzyć — mówi — trzeba jeszcze wierzyć tak, jak należy. Trzeba mieć właściwy wizerunek Boga i właściwy wizerunek Jezusa Chrystusa. I teraz pojawia się wołanie:

> Nawróć się zatem!

Otóż list do kościoła w Pergamonie można by nazwać wezwaniem, zobowiązaniem do nawrócenia. Proszę zauważyć, że nie jest to zobowiązanie do tego, żeby poganie nawrócili się na chrześcijaństwo. Jest to zobowiązanie, żeby chrześcijanie nawrócili się, tzn. żeby chrześcijanie żyli zgodnie z zasadami Ewangelii. Można by powiedzieć, iż pod tym względem mamy bardzo daleko posuniętą analogię do sytuacji w naszych czasach, kiedy to Jan Paweł II wzywa do nowej ewangelizacji. A więc wzywa nas, którzy już jesteśmy wyznawcami Chrystusa. I dalej:

> Jeżeli zaś nie - przyjdę do ciebie niebawem
> i będę z nimi walczył mieczem moich ust.

Zatem — zapowiedź kary, zapowiedź sądu. Ale ten sąd będzie odbywać się *mieczem moich ust,* czyli przez upominanie. Sąd, który ma być wezwaniem do zmiany życia, i który ma być szansą na to, aby ci chrześcijanie żyli w nowy sposób.

> Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.
> Zwycięzcy dam manny ukrytej

To jest bardzo ciekawy motyw z tą ukrytą manną. Państwo pamiętają, że w Starym Testamencie, w Pięcioksięgu, mamy opowiadanie o tym, jak to Izraelici idąc przez pustynię wymogli na Panu Bogu, aby ich karmił manną. Stwierdzili, że nie mają co jeść i w związku z tym powiedzieli do Pana Boga: „Czy po to nas wyprowadziłeś na pustynię, żeby nas uśmiercić? My chcemy jeść!" I otrzymali mannę. Tą manną byli karmieni przez czterdzieści lat. Ale w tradycji żydowskiej, która była popularna w tamtych czasach, zachował się również taki wątek, taki motyw, że gdy Izraelici weszli do Ziemi Obiecanej, to wtedy do Arki Przymierza, przechowywanej w świątyni jerozolimskiej, Mojżesz włożył trochę manny. I że ta manna ukryta raz jeszcze stanie się pokarmem ludzi — wtedy mianowicie, kiedy przyjdzie Mesjasz.

Otóż do tego wątku manny ukrytej nawiązał Jezus w synagodze w Kafarnaum, kiedy zapowiedział ustanowienie Eucharystii. I pamiętamy ten fragment, opisany w ewangelii św. Jana w rozdziale 6, jak Żydzi dopominają się u Jezusa o chleb, bo przypominają, że Mojżesz karmił ich przodków

manną. „A Ty co nam dasz?" A Jezus odpowiada: „Tym pokarmem, który Ja wam dam jest Ciało moje". I kiedy teraz w liście do mieszkańców Pergamonu słyszymy *Zwycięzcy dam manny ukrytej,* to jest to oczywiście aluzja do Eucharystii. Mianowicie św. Jan mówi: ci, którzy są wierni, pomimo swojego bogactwa są wierni Bogu. Ci, którzy trwają przy Chrystusie — ich pokarmem jest Eucharystia. To jest ta manna ukryta, trzymana przez Boga na czasy mesjańskie. Te czasy mesjańskie się zaczęły. Jeżeli więc ktoś chce skutecznie trwać przy swojej wierze, to Eucharystia jest jego chlebem, jest ową ukrytą manną.

> Zwycięzcy dam manny ukrytej
> i dam mu biały kamyk,
> a na kamyku wypisane imię nowe,
> którego nikt nie zna oprócz tego, kto [je] otrzymuje.

Cóż to jest ten *biały kamyk*? Otóż w Pergamonie był teatr. Ten teatr zachował się do dnia dzisiejszego. Jest to najbardziej stromy teatr, jaki człowiek zbudował w starożytności. Nawet dzisiaj, kiedy patrzy się na ten teatr, tak bardzo stromy, to człowiek zastanawia się, jak było możliwe go zbudować. Akustyka jest wspaniała. W tym teatrze mieściło się ok. 15 tysięcy ludzi. Jak wyglądały bilety do teatru? Było tam dużo białego marmuru. Wobec tego bilet do teatru polegał na tym, że się szło do dzisiejszej kasy, dawało się pieniążek, a sprzedający dawał kamień, kawałek białego marmuru z napisanym numerem rzędu, albo numerem miejsca nawet, ale zazwyczaj numerem rzędu. I to było podzielone, np. pierwsze rzędy były dla urzędników. Rząd szósty w teatrach greckich zwyczajowo był dla Żydów. Dalej po Żydach szli następni, i na końcu niewolnicy. I wszyscy mieli takie białe kamienie z numerami. I kiedy wchodził do teatru, to stał sprawdzający. I oddawało się ten kamień, i wchodziło się do środka i siadało w tym rzędzie, który był zarezerwowany. Więc podobnie trochę do naszych.

Ten kamień potem wracał do kasy i był sprzedawany na następny występ. I właśnie aluzję do tego białego kamienia znajdujemy i tutaj. Dam *biały kamień,* a na nim *wypisane imię nowe.* A więc już nie numer rzędu w teatrze, ale imię nowe. A cóż to za imię? To jest imię Jezusa! Otóż ci, którzy przetrwają, którzy przezwyciężą samych siebie, otrzymają mannę ukrytą, karmić się będą Eucharystią, a także otrzymają jak gdyby bilet do nowego życia. A co jest tym biletem do nowego życia, do życia wiecznego? Jezus, Jezus Chrystus!

Tak oto, w nawiązaniu do teatru w Pergamonie, św. Jan nawiązuje czy też wyjaśnia sprawę ostatecznego losu i ostatecznego przeznaczenia wierzących w Jezusa Chrystusa. Ten kamień, na którym *wypiszą imię nowe, którego nikt nie zna oprócz tego, który [je] otrzymuje.* Czyli imię Jezusa staje się przepustką do życia wiecznego. Ale tylko ten je zna, czyli tylko ten je ceni, kto je przyjmuje.

Myślę, że po tych rozważaniach ten list jest choćby odrobinę państwu bliższy. Można, streszczając go w kilku słowach, wskazać na to, że do miasta butnego, wielkiego, wspaniałego, o długiej historii, do miasta, w którym była jedna z pierwszych wspólnot chrześcijańskich, apostoł pisze list zachęcając je do pokory, zachęcając do życia zgodnego z Ewangelią, zachęcając do znoszenia prześladowań. I pisząc to wzywa tamtejszych chrześcijan do nawrócenia. A jako fundament tego nawrócenia, jako źródło tego nawrócenia czyni Eucharystię i wiarę w Jezusa Chrystusa, imię Jezusa. Św. Paweł napisał w jednym ze swoich listów, że nie ma na świecie żadnego innego imienia, pod którym moglibyśmy być zbawieni, jak tylko imię Jezusa. I do tego samego nawiązuje tutaj św. Jan.

Chciałbym jeszcze raz przeprosić państwa za głos. Otóż gdyby nie to, że tydzień temu trzeba było odwołać, to pewnie dzisiaj zrobiłbym to samo. Ale w żadnym wypadku nie chciałem tego zrobić, więc proszę mi to wybaczyć. W szczególniejszy sposób chciałbym przeprosić tych z państwa — bo było co najmniej kilka osób, które tydzień temu przyszły jednak na tę konferencję — którzy nie mogli wiedzieć, że została przełożona. Więc tym bardziej przepraszam. I dziękuję pięknie za uwagę. A na następną — z nadzieją, że się nie wydarzy nic nieprzewidzianego, i że będzie już łatwiej mówić, a zatem i łatwiej słuchać — zapraszam w poniedziałek 12 lutego, czyli od dziś za cztery tygodnie. Dziękuję pięknie.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3.5 List do Kościoła w Tiatyrze (dn. 12 lutego 2001)

Cieszę się bardzo, że mamy jeszcze raz możliwość wspólnej refleksji. Dobrze pamiętamy, że przedmiotem naszego zainteresowania są listy do siedmiu Kościołów Apokalipsy. I cieszę się bardzo, że jest tak wiele osób. Dla mnie jest to zobowiązanie, i do pewnego stopnia krępujące. Powtarzam to państwu do znudzenia, prawie co miesiąc dlatego, że zawsze ufam że ten wykład, i ten trud związany z państwa podróżą, jest wart tego wysiłku, który państwo podejmują. Bardzo też przepraszam te osoby, które na początku stycznia w ustalonym terminie tutaj przybyły. Natomiast w ostatniej niemal chwili, w przeddzień, został tamten wykład odwołany, i przełożony na następny tydzień. Wiem, że były takie osoby. Więc jest mi bardzo przykro tym bardziej, że to była zima. I proszę mi wybaczyć również i tamtą sprawę.

Po tych wszystkich przeprosinach, które należą się państwu, przejdźmy teraz do rzeczy. I muszę państwu powiedzieć, że to jest naprawdę rzecz niezwykła, żeby listy do siedmiu Kościołów, napisane ok. 1900 lat temu, napisane do chrześcijan innych czasów, i w innym miejscu, cieszyły się takim zainteresowaniem ze strony państwa. Znak to, że istnieje jakaś taka podstawowa solidarność w wierze i ciągłość wiary która sprawia, że te problemy, przed którymi stawali nasi odlegli przodkowie w wierze są jakoś mimo wszystko także naszymi problemami. Byłoby rzeczą najlepszą, niestety jednak z rozmaitych powodów niewykonalną, aby po tego rodzaju spotkaniach biblijnych odbyć podróż biblijną. Jestem przekonany, że gdyby było dane zobaczyć te siedem miast Apokalipsy — od niedawna zaczęły się takie podróże — to z całą pewnością taka grupa, jak ta, przecież to jest kilkaset osób, przeżywałaby tam niezwykłe wzruszenia. A świadomość, że moglibyśmy zobaczyć te miejsca, byłaby czymś absolutnie porażającym. Na pociechę — nie po to, żeby można było to zastąpić — chciałbym przypomnieć państwu, że miej więcej za miesiąc, dwa powinien być gotowy album, który nosi tytuł: „Śladami Apostołów Pawła i Jana". Jest to album kolorowy, wydany w Krakowie, w którym będą dwa wprowadzenia: ks. biskupa Gondeckiego i moje, oraz setki fotografii, m.in. także ze wszystkich omawianych tu miejsc.

Pamiętają państwo, że po ogólnym wprowadzeniu, które miało miejsce w październiku, w listopadzie, grudniu i styczniu omówiliśmy pierwsze trzy listy do poszczególnych Kościołów — mianowicie do Kościoła w Efezie, do Kościoła w Smyrnie i do Kościoła w Pergamonie. Te nazwy, te Kościoły, te wspólnoty, jakże od nas geograficznie i historycznie odległe, stały się nam jednak jakoś bliższe.

Dzisiaj kolej na następny Kościół, na następną wspólnotę — myślę, że bardzo interesującą — mianowicie na list do Kościoła w Tiatyrze. O Tiatyrze powiemy sobie za chwilę, zaczniemy od przeczytania tego listu. Jest on bowiem pod wieloma względami osobliwy. Jego osobliwością jest także i to, że jest najdłuższy ze wszystkich listów. Podkreślałem państwu fakt, że one wszystkie były napisane na niewielkich fragmentach pergaminu albo papirusu. A wszystko dlatego, żeby można je było łatwo zwinąć i schować, żeby mogły przetrwać, i żeby było można na publicznych zgromadzeniach je czytać. Napisane były po grecku. Ten fragment Apokalipsy, z listem do Kościoła w Tiatyrze, w tłumaczeniu na język polski brzmi tak:

> Aniołowi Kościoła w Tiatyrze napisz:
> To mówi Syn Boży:
> Ten, który ma oczy jak płomień ognia,
> a nogi Jego podobne są do drogocennego metalu.
> Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość,
> i czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych,
> ale mam przeciw tobie to,
> że pozwalasz działać niewieście Jezabel,
> która nazywa siebie prorokinią,
> a naucza i zwodzi moje sługi, aby uprawiali rozpustę
> i spożywali ofiary składane bożkom.
> Dałem jej czas, aby się mogła nawrócić,
> a ona nie chce odwrócić się od swojej rozpusty.

Oto rzucam ją na łoże boleści,
a tych, co z nią cudzołożą - w wielkie utrapienie,
jeśli od czynów jej się nie odwrócą;
i dzieci jej porażę śmiercią.
A wszystkie Kościoły poznają,
że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca;
i dam każdemu z was według jego czynów.
Wam zaś, pozostałym w Tiatyrze, mówię,
wszystkim, co tej nauki nie mają, tym, co - jak mówią - nie poznali „głębin szatana":
nie nakładam na was nowego brzemienia,
to jednak, co macie, zatrzymajcie, aż przyjdę.
A zwycięzcy
i temu, co czynów moich strzeże do końca,
dam władzę nad poganami,
a rózgą żelazną będzie ich pasł:
jak naczynie gliniane będą rozbici -
jak i Ja to wziąłem od mojego Ojca -
i dam mu gwiazdę poranną.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Ci z państwa, którzy pamiętają poprzednie listy, teraz są upewnieni, że jest to pismo nieco dłuższe. Natomiast wszyscy z państwa, jestem tego pewny, wysłuchawszy tego listu mają zapewne nikłe pojęcie o tym, o co tutaj może chodzić. List jest rzeczywiście tajemniczy. Dominującym wątkiem listu jest symboliczna niewiasta Jezabel, i symboliczna rozpusta, która jest potępiona, i jednocześnie jest wezwanie do tego, aby owej rozpusty unikać. O co chodzi? Ten zawoalowany czyli ukryty i symboliczny sposób mówienia pozwala nam zrozumieć, że chodzi na pewno o rzecz ważną. Ale jednocześnie o rzecz tego rodzaju, o której apostoł, autor tego listu, nie chce mówić otwarcie. Mówi raczej właśnie w taki sposób symboliczny po to, żeby nie nazywać rzeczy po imieniu. Dlaczego tak? Może dlatego, żeby sobie tych słuchaczy nie zrażać. Może dlatego, że nie chciał pewnych rzeczy, z którymi tam miał do czynienia, właśnie po imieniu nazywać. Trudno nam powiedzieć. Ale spróbujmy przyjrzeć się temu listowi, bo przecież musi on mieć jakiś głęboki sens, skoro został napisany, a następnie był przepisywany, został zapamiętany, i mamy go dzisiaj włączonego do Apokalipsy.

Zacznijmy od samego początku, tzn. od miasta Tiaryra. Pierwsze historyczne wzmianki o tym mieście, położonym nad rzeką Lykos. To nie jest wielka rzeka, taka powiedzmy sobie, jak nasz Wieprz, albo Narew, albo Bug — ale nie tu, bliżej Warszawy, tylko znacznie dalej od Warszawy. Rzeka, która w porze deszczowej, czyli zimą, jest znacznie większa, a latem jest znacznie mniejsza. Nigdy nie była spławna, ale służyła zwłaszcza do nawadniania pól, i tak jest po dzień dzisiejszy. Przypomnijmy sobie, że apostoł porusza się zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ja często zastanawiam się nad tym, skąd ci starożytni ludzie tak dobrze znali geografię i topografię. Bo on porusza się po tym rejonie tak, jak gdyby oglądał ten rejon z lotu ptaka. Oczywiście oglądać go w ten sposób nie mógł. Więc jak on znał tę topografię, pozostaje tajemnicą tamtych starożytnych ludzi. Jest faktem, że znał doskonale.

Jan Apostoł zaczął od Efezu, posuwa się dalej na północ do Smyrny, następnie jeszcze dalej na północ do Pergamonu, a następnie skręca na wschód, i obraca się na południowy-wschód od Pergamonu, i dochodzi właśnie do Tiatyry. Może tak właśnie poruszali się pierwsi misjonarze chrześcijańscy. Może ich rozeznanie o Azji Mniejszej, tak zresztą jak i o innych regionach, opierało się na doskonałym rozeznaniu geografii i topografii tych rejonów. Wygląda na to, że był to ściśle ustalony szlak. A więc być może było i tak, że kiedy Jan Apostoł napisał te listy do poszczególnych Kościołów, to ten czy ci, którzy je zanosili, szli zgodnie z tym ruchem wskazówek zegara.

Miasto Tiatyra zostało założone ok. 300 roku przed Chr., aczkolwiek archeolodzy, którzy badali ten teren, odkryli tam znacznie wcześniejsze ślady zasiedlenia. Nie są one jednak poparte żadnymi inskrypcjami, nie ma żadnych napisów, żadnych informacji historycznych. Znaleziono tylko pozostałości budowli, i znaleziono trochę ceramiki. Natomiast wiadomo, że syryjski król Seleukos Nikator

założył to miasto ok. r. 300, i osiedlił tam Greków. Kraina, w której to miasto leżało, nazywa się Lidia, a jej mieszkańcy nosili w odległej starożytności miano Lidyjczyków. Był to naród nieznanego pochodzenia, nie zachowały się jego jakieś istotne zabytki piśmiennicze. Więc tak na dobrą sprawę nie wiemy, kim oni byli.

I dopiero kiedy osiedlili się na tym terenie Grecy, wiemy o tym mieście więcej. Miasto jest położone w dolinie przy drodze biegnącej ze wschodu na zachód, i z północy na południe. Dookoła jest okolica dość przychylna dla człowieka — jest woda, są pola uprawne, a także jest sporo pastwisk. Dlatego to miasto było w starożytności znane ze skór, z ich barwienia, z wyrobów futrzarskich. Ale także uprawiano tam len, i była oczywiście wełna, bo były owce. Zatem było tam już w odległej starożytności bardzo rozwinięte rzemiosło tkackie, włókiennicze, i rozwijał się handel. W związku z tym potworzyły się tam cechy kupców i rzemieślników, było to miasto kupców i rzemieślników. Ponieważ miejscowi kupcy i rzemieślnicy byli dość skonsolidowani, niechętnie dopuszczali do interesów pojawiających się tam Żydów. Tym niemniej, podobnie jak w innych miastach, jeszcze w epoce przedchrześcijańskiej w tej Tiatyrze Żydzi również byli. I pomiędzy jednymi i drugimi, jak to zresztą po dzień dzisiejszy w różnych miejscach świata, była bez przerwy spora rywalizacja.

W Tiatyrze, jak świadczą o tym starożytne dokumenty, był bardzo ciekawy zwyczaj. Tamtejsi rzemieślnicy byli zorganizowani w cechy tak, jak jest dzisiaj. I żeby się zintegrować, także przeciwko Żydom, żydowskim handlarzom, co miesiąc urządzały sobie posiłki, spotkania, wieczerze. Co miesiąc spotykali się przy stole, oczywiście przy jedzeniu i przy piciu. I bardzo niechętnie dopuszczali na te spotkania handlarzy żydowskich. Dla odmiany handlarze żydowscy bardzo chcieli na tych posiłkach być, bo uchodziło to za potwierdzenie wejścia do danego cechu. Rzemieślnicy byli różnego rodzaju, bo byli tam ci, którzy wyprawiali skóry, ci, którzy farbowali skóry, farbowali tkaniny. Byli ci, którzy zajmowali się wyrobem przedmiotów metalowych, zwłaszcza bardzo dużo było miedzi. Więc ci rzemieślnicy byli podzieleni na rozmaite cechy, i pomiędzy nimi była też hierarchia. Jedne cechy były lepsze, inne cechy były gorsze — była nieustanna konkurencja i rywalizacja. To wszystko jest ważne żebyśmy zrozumieli, przynajmniej na tyle, na ile da się zrozumieć, to, o czym mowa w niniejszym liście.

Zatem miejscowa społeczność pogańska była bardzo dobrze zorganizowana. Do tego stopnia, że handlarzy z Tiatyry spotykano w rozmaitych miastach Azji Mniejszej, a nawet Europy. Co więcej, wśród tych sprzedawców, wśród tych handlujących były również kobiety. Potwierdzeniem tego, co nam mówi bardzo dużo o statusie kobiety w starożytności, jest obecność kobiety, która miała na imię Lidia i mieszkała w Filippi, na terenie Grecji. Ona pochodziła z Tiatyry i była jedną z tych osób, które Paweł podczas swoich podróży misyjnych, a dokładniej drugiej wyprawy misyjnej do Europy ok. roku 51, spotkał jako pierwszą, i ochrzcił jako pierwszą kobietę, i pierwszego w ogóle człowieka w Europie. Proszę zwrócić uwagę, że ta ochrzczona w Europie kobieta nie była Europejką z pochodzenia, pochodziła z Azji Mniejszej, właśnie z tej Tiatyry. Ktoś może mieć wątpliwości – jak to możliwe, żeby w owych czasach nie tylko kupcy-mężczyźni, ale również i kupcy-kobiety, przemieszczali się tak daleko. Otóż droga z Tiatyry do Filippi w Grecji zajmowała w starożytności mniej więcej 4 - 5 dni. Wystarczyło zejść z Tiatyry do Smyrny, to było ok. 2 dni drogi. Następnie wsiąść na statek, popłynąć następne 2 dni i wysiadało się w Europie. Zatem te wodne szlaki były bardzo dobrze obsadzone i były bezpieczne. W tamtych okolicach działali także korsarze. Jeżeli więc chciano mieć z ich strony spokój, przekupywano jeden czy dwa statki korsarskie i czyniono z nich opiekunów danego statku, na którym płynęli zainteresowani. I wtedy ta mafia korsarska chroniła ich przed następną. I w ten sposób oni mogli spokojnie podróżować z jednego miejsca na drugie.

Co jeszcze było w Tiatyrze? W Tiatyrze były czczone dwa bóstwa. Jedno – to Apollo, bóg, który był czczony jako bóg wojny, i bóg męstwa, i bóg siły, i bóg sprytu, i bóg przebiegłości. Wiadomo, że te wszystkie cechy przydawały się kupcom i handlarzom. Apollona czczona tam jako syna Zeusa. Wybudowano dla niego piękną świątynię, jej pozostałości zachowały się do dzisiaj. Ale w Tiatyrze była również świątynia Sybilli. Otóż to, co być może znamy z dawnych opowiadań o wyroczni Sybilli, księgi Sybilli, jest związane z Tiatyrą. Kult Sybilli tym różnił się od innych kultów, że posługę sprawowali nie mężczyźni tylko sprawowały kobiety. Kobiety były kapłankami, i kobiety oddawały cześć owej bogini Sybilli. I być może na tym tle być może będzie nam łatwiej zrozumieć to, o czym mówi apostoł. Nie wiemy dokładnie, kiedy dotarło tam chrześcijaństwo. Jest bardzo prawdopodobne, że podczas drugiej podróży misyjnej był tam św. Paweł Apostoł. Ala na

ten temat wyraźnej wzmianki w Dziejach Apostolskich nie ma. Może, jeżeli próbujemy zgadywać, było tak, że gdy owa Lidia wróciła do domu z Filippi, ochrzczona przez Pawła, może stała się początkiem Kościoła w swoim rodzinnym mieście?

Tiatyra dzisiaj nosi w Turcji nieco inną nazwę — nazywa się Akhizar, i znajduje się mniej więcej przy drodze ze Smyrny w kierunku Ankary. Archeolodzy odkopali tą starożytną Tiatyrę, ona znajduje się w środku współczesnego miasta. Odkopano grecką agorę, dość dobrze zachowaną, odkopano pozostałości świątyni ku czci Apollona, ku czci Sybilli niestety nie znaleziono. Odkopano resztki kolumn, również jakieś budowle późniejsze, bizantyjskie. I gdyby kogokolwiek z państwa los rzucił w tam te rejony, to tam jest taka dość paradoksalna sytuacja, że trzeba dojechać do samego środka miasta, następnie jest piękny, zadbany deptak, który Turcy urządzili, i w samym środku miasta są te wykopaliska dawnej, starożytnej Tiatyry. Tutaj musimy powiedzieć to, co czasami sobie przypominamy, że Turcy wcale nie byli zainteresowani odkopywaniem pozostałości kultury greckiej dlatego, że między Turcją a Grecją bez przerwy toczy się rywalizacja o te regiony, i archeologia stoi tam na usługach polityki. Ponieważ jednak tych pozostałości archeologicznych nie było wiele, no to Turcy zdobyli się na to, że przeprowadzili tam dość gruntowne badania, i Tiatyra została odkryta.

Tyle na temat Tiatyry. Przyszło tam chrześcijaństwo, nie wiemy dokładnie w jakich okolicznościach. Wiemy jednak, że co najmniej od połowy pierwszego wieku byli tam wyznawcy Jezusa Chrystusa i gdzieś ok. roku 95 – 96, czyli już do drugiego pokolenia wyznawców, apostoł pisze list. I posłuchajmy raz jeszcze:

> Aniołowi Kościoła w Tiatyrze napisz:

A więc i Kościół w Tiatyrze też ma swojego patrona. Dlatego, że Pismo Święte stawia sprawę tak: każdy człowiek ma swojego anioła, każda wspólnota ma swojego anioła, każdy Kościół ma swojego anioła, i reminiscencją tej wiary jest nasza wiara w Aniołów Stróżów. Oczywiście dzisiaj, jak dobrze o tym państwo wiedzą, sprawy z aniołami związane są raczej odsyłane do legendy. Pobożność związana z aniołami jest mało rozpowszechniona. Chyba mało które dziecko dzisiaj zna wierszyk „Aniele Boży, Stróżu mój ...” — jeżeli, to pewnie babcia uczy. Natomiast jeżeli chodzi o młodsze pokolenia i o tych, którzy teraz wydają dzieci na świat, pewnie sądzą, że tych aniołów za dużo nie ma. Niezależnie od siły tej wiary musimy wrócić do świadectwa Biblii. Pismo Święte jest przeświadczone, że i ludzie i wspólnoty — każda i każdy — ma swojego anioła. Może więc, mając to na względzie, warto również ożywić i ten aspekt pobożności pamiętając, że nigdy nie jesteśmy sami. Zatem list jest skierowany jak gdyby do Tego, który opiekuje się kościołem w Tiatyrze, i który ma za zadanie przywrócić i naprawić to, co tam wydarzyło się ewentualnie złego.

> To mówi Syn Boży:
> Ten, który ma oczy jak płomień ognia,
> a nogi Jego podobne są do drogocennego metalu.

I tak już w tej przedziwnej aluzji mamy odniesienie do tego, co tam w Tiatyrze się działo. Otóż była tam świątynia Apollona. A w świątyni był potężny posąg Apollona. I ten posąg miał oczy *jak płomień ognia*. Tzn. w posągi w miejsce oczu wkładano drogie kamienie, które błyszcząc sprawiały wrażenie żywych. Można to jeszcze zobaczyć w niektórych muzeach. Więc ten posąg Apollona miał *oczy jak płomień ognia, a nogi Jego podobne do drogocennego metalu* — ponieważ jego nogi były najprawdopodobniej wykonane z miedzi. Miedź w starożytności była bardzo ceniona, podobnie dzisiaj – znajdują się tacy, którzy ją kradną. Proszę zatem zauważyć, że autor Apokalipsy w przedziwny sposób odwraca jak gdyby proporcje i powiada tak: „W Tiatyrze czcicie boga, który ma te szklane świecące się oczy, oraz ma miedziane nogi. Ale ów bóg, ten bożek, musi się skonfrontować z Synem Bożym. Otóż to Syn Boży w gruncie rzeczy jest jakby odzwierciedleniem, i odwróceniem, i wyzwaniem dla tej pogańskiej wiary. Gdybyście chcieli zrobić wizerunek Jezusa Chrystusa, to Jemu należało by włożyć te świecące oczy, i Jemu należało by dać te drogocenne nogi, wykonane ze szlachetnego metalu.”

To mówi Syn Boży, który ma oczy jak płomień ognia, a nogi Jego podobne są do drogocennego metalu. Zatem już następuje przedziwne przesunięcie akcentów z tego posągu, który tam był

czczony, na Jezusa. Jezus już nie żyje, Jezus zmartwychwstał. Ale ponieważ Grecy byli przyzwyczajeni do sztuk plastycznych, Grecy byli mistrzami w rzeźbie zwłaszcza, zatem apostoł powiada im: „gdybyście chcieli wykonać posąg Jezusa Chrystusa, to on by wyglądał tak, jak posąg waszego boga".

I że w gruncie rzeczy — i to jest chyba istota, najbardziej subtelna, jeżeli dobrze ten tekst rozumiem — że apostoł daje poznać chrześcijanom i mówi mniej więcej tak: „Jeżeli znacie tę piękną świątynię – a znacie, jeżeli widzicie ten piękny posąg – a widzicie, jeżeli jesteście czasami przymuszani do oddawania mu czci, to patrząc na ten posąg patrzcie tak, jak gdybyście widzieli przed sobą Jezusa Chrystusa. Zatem nie Apollona czcijcie, ale wizerunek i podobieństwo Syna Bożego. I tak mamy już to odniesienie, ten punkt zaczepienia dla tego, co było ważne dla miejscowych chrześcijan. A dalej:

> Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość,
> i czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych,

Otóż zwróćmy uwagę że tak, jak w każdym liście, tak i chrześcijanie w Tiatyrze zostają pochwaleni. Najpierw za miłość, ta z pewnością jest pierwsza. Pierwsza była w katalogu cnót u św. Pawła, ona jest również pierwsza w Ewangelii św. Jana, w listach św. Jana, i w Apokalipsie św. Jana. „Trwają teraz te trzy: wiara, nadzieja i miłość. Ale z nich największa jest miłość" napisał św. Paweł. Więc *Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość*. Zwróćmy uwagę na pochwałę za wytrwałość. Bo przecież żadna cnota nie może ostać się bez wytrwałości. Jeżeli nie ma wytrwałości, jest swoisty słomiany ogień i zapał, który szybko opada. A chrześcijanie zostają pochwaleni za to, że byli i pozostają wytrwali. Ale mamy tutaj również rzecz jeszcze ciekawszą. Mianowicie *czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych*. I tak mamy przeciwwagę dla innych Kościołów. Bo innym Kościołom Apostoł mówi: „byliście dawniej gorliwsi, a teraz nie". A tu odwrócona proporcja: „dawniej byliście mniej gorliwi, a teraz wasze dobre czyny są liczniejsze od pierwszych". Zatem okazuje się, że w tym środowisku pogańskich handlarzy, kupców, rzemieślników, pośród tych rozmaitych cechów wspólnota chrześcijańska umie zachować i rozwijać swoją tożsamość. Bardzo rzadko jest tak, że z pokolenia na pokolenie ludzie stają się lepsi. Zazwyczaj tendencja bywa odwrotna, zwłaszcza jeżeli mamy na względzie 2 - 3 pokolenia. Tutaj było tak, że ci chrześcijanie drugiego pokolenia byli lepsi niż chrześcijanie pierwszego pokolenia. I po tej niezwykłej pochwale nagle pojawiają się zastrzeżenia. Apostoł mówi:

> ale mam przeciw tobie to,
> że pozwalasz działać niewieście Jezabel,
> która nazywa siebie prorokinią,
> a naucza i zwodzi moje sługi, by uprawiali nierząd
> i spożywali ofiary składane bożkom.

Należy zakładać, że apostoł przemawia do chrześcijan żydowskiego pochodzenia. Dlaczego? Dlatego, że nawiązuje tutaj do Pierwszej Księgi Królewskiej ze Starego Testamentu, którą tylko oni mogli dobrze znać. Kim była ta prawdziwa niewiasta Jezabel, bo tutaj mamy do czynienia z imieniem symbolicznym? Otóż Jezabel żyła w IX w. przed Chrystusem i była córką króla Sydończyków, na terenie dzisiejszego Libanu, niedaleko granicy Libanu z Izraelem. Jej ojciec był władcą kaananeńskim, fenickim, poganinem. Ona wyszła za mąż za króla izraelskiego Achaba. Oboje mieszkali w Samarii. Po przyjściu do domu męża odwodziła go od wiary w Boga Jedynego na rzecz rozmaitych kultów pogańskich. W Pierwszej Księdze Królewskiej mamy opisane wiele przykładów jej występków, natomiast dwa są jakby najważniejsze.

Pierwszy jest związany z zamierzeniem Achaba posiadania winnicy, przylegającej do jego majątku, ale należącej do niejakiego Nabota. Achab chciał ją nabyć, ale Nabot powiedział, że nie sprzeda swojej ojcowizny. Achab wraca smutny do domu. Jezabel — Biblia opisuje to bardzo dokładnie i drobiazgowo — wchodzi do pokoju męża, pyta: „Dlaczego jesteś taki smutny i rozdrażniony?". Mąż tłumaczy, co się stało. Ona mówi: „To taki z ciebie król? Ja to za ciebie załatwię!" Wychodzi, przekupuje dwóch jakichś podłych ludzi. Każe im składać fałszywe świadectwo przed sądem.

Oni mówią, że Nabot obraził króla. Nabot zostaje skazany na śmierć. I kiedy Nabota ścięto, Jezabel przychodzi do Achaba i mówi: „Bierz winnicę, jest twoja!" W ten sposób była jedną z tych okrutnych kobiet starotestamentowych, na wspomnienie których człowiek może się wzdragać. Inny przykład z tejże samej Księgi Królewskiej, to jej spolegliwość wobec proroków pogańskich, wobec proroków Baala, z którymi musiał na górze Karmel rozprawić się prorok Eliasz. Ten epizod też dobrze znamy.

W całej tradycji Starego Testamentu owa niewiasta Jezabel stała się przykładem i synonimem podłości, grzechu, podstępu, zdrady. A tradycja żydowska dorzuciła do tego jeszcze jedno: mianowicie uprawianie nierządu. Około-biblijna tradycja żydowska twierdziła, że kobieta tak zła na pewno nie poprzestawała na związkach ze swoim mężem. W związku z tym pozwalała sobie na znacznie więcej. I widziano w niej symbol wszystkiego co najgorsze. Jeżeli więc chciano coś potępić, o czymś powiedzieć bardziej dosadnie, to zarówno w odniesieniu do indywidualnych ludzi, jak i do wspólnot, mówiono, że jest to niewiasta Jezabel. Nie wiem, czy my w polskiej tradycji i w polskiej kulturze mamy jakieś takie negatywne odniesienia, częściej sięgamy raczej po pozytywne. Być może, gdyby pogrzebać, znalazły by się i takie skojarzenia, kiedy człowiek zły i podły staje się symbolem zła i podłości w ogóle.

Więc apostoł powiada, że ma przeciw Tiatyrze to, że pozwala działać niewieście Jezabel. A więc albo jest jakaś jedna kobieta, ale bardziej prawdopodobne, że jest to grupa kobiet — najprawdopodobniej do kobiet to się odnosi — która *nazywa siebie prorokinią, i naucza i zwodzi.* Komentatorzy Nowego Testamentu, egzegeci, uczeni wypisali mnóstwo atramentu na ten temat. Z rozmaitych prób interpretacji jedna wydaje mi się najwłaściwsza. Mianowicie można się domyślać że chodzi tutaj o prorokinie i kapłanki związane z Sybillą. Otóż owa świątynia Sybilli była znana z dawania wyroczni, z wróżenia, z przepowiadania przyszłości. I najprawdopodobniej było tak, że chrześcijanie uwierzyli w Jezusa Chrystusa, oddawali Mu cześć i byli gorliwi, ale w wypadkach trudniejszych, rozmaitych losowych, a zapewne i innych, szli do wyroczni Sybilli, aby ta im powróżyła. Przypomina to do złudzenia dzisiejszą sytuację, nie rzadką w końcu, kiedy to są osoby głęboko wierzące, które biorą udział i we mszy św., i potrafią prosić Boga o pewne rzeczy we mszy św., ale na wszelki wypadek korzystają z pomocy wróżki, astrologa, jakichś przepowiedni, wyroczni. Czyli z jednej strony trwają w wierze, ale z drugiej strony dają chętnie posłuch przepowiadaczom przyszłości. I to jest najprawdopodobniej problem chrześcijan w Tiatyrze. Apostoł Jan wie, że ci, którzy uwierzyli w Jezusa, jednocześnie znajdują czas i siły, żeby pójść i pytać o porady Sybillę.

Charakterystyczne jest to, że wśród tych kapłanek Sybilli, i w tym sanktuariom Sybilli, silne były wpływy żydowskie. I kiedy później chrześcijaństwo na terenie Azji Mniejszej okrzepło, to najprawdopodobniej Żydzi zadbali o to, żeby rozmaite tego rodzaju wyrocznie zapisywać. I to dało najprawdopodobniej początek owym księgom Sybilli, które przetrwały aż do naszych czasów, i w rozmaitych wersjach były znane i w naszej ojczyźnie. Największą popularność księgi Sybilli w Polsce miały w XIX w., w czasie niewoli, zaborów — zawsze trudne czasy mnożą wróżbitów, magów, przepowiadaczy, czarnoksiężników rozmaitego rodzaju. I zawsze w trudnych czasach znajdują się liczniej niż kiedykolwiek tacy, którzy chcą nie tylko przepowiedzieć przyszłość, ale i na nią wpływać.

I tam apostoł nie zostawia żadnej wątpliwości co do tego, że ta niewiasta Jezabel — owa symbolicznie nazwana grupa kapłanek Sybilli *nazywa siebie prorokinią, a naucza i zwodzi moje sługi, by uprawiali rozpustę i spożywali ofiary składane bożkom.* Dwie są możliwości, jeżeli chodzi o to uprawianie rozpusty. W starożytności znana była tzw. prostytucja sakralna. Polegała ona na tym, że w bliskości sanktuariów pogańskich urzędowały i pracowały kobiety, które na sposób wręcz sakralny, uświęcony przez pogańską religię, świadczyły swoje usługi. Był to znak siły, męstwa, kobiecości, płodności itd. Oczywiście te kulty płodności były straszliwie niebezpieczne, i chrześcijaństwo je zwalczało, podobnie jak wcześniej zwalczał je Stary Testament i religia żydowska. Być może było tak, że przy tej świątyni Sybilli świadczono również takie frywolne usługi, z których chrześcijanie też korzystali. Albo — lub: i — było tak, że tam usług nie było, natomiast fakt, że chrześcijanie szli do świątyni Sybilli, korzystali z wróżby, z czarów, z magii, został nazwany nierządem, cudzołóstwem. Dlatego, że postrzega się Boga w kategoriach Starego Testamentu jako zazdrosnego o swoich wyznawców, jako Tego, który nie znosi miłości kierowanej względem Niego, i miłości kierowanej względem bóstw pogańskich.

I druga sprawa, za którą ci chrześcijanie zostają potępieni, to fakt, że *spożywali ofiary składane bożkom*. Kiedy oni mogli spożywać te ofiary składane bożkom? Prawdopodobnie na tych spotkaniach i ucztach organizowanych przez poszczególne pogańskie cechy. Byli rzemieślnicy, powiedzmy folusznicy, wyrabiający skóry, barwiący skóry, bili ci od wyrobów lnianych, wyrabiający rozmaite inne tekstylia, narzędzia i naczynia miedziane, żelazne. I wszyscy oni mieli swoje cechy, a także mieli swoje bóstwa opiekuńcze. Jeżeli chcemy szukać nieco ryzykownej analogii, to jest coś takiego, jak dzisiejsze cechy i zrzeszenia też mają swoich patronów — jedni tego, drudzy tego, trzeci innego itd. I tamci poganie też mieli zupełnie podobny zwyczaj. I kiedy zbierali się na te uczty, to na tych ucztach byli także chrześcijanie. Oni też byli rzemieślnikami. I wierzyli w Jezusa Chrystusa, ale przychodzili na te uczty, i solidaryzowali się ze swoimi pogańskimi kolegami. I kiedy ci poganie organizowali te uczty, np. ci, którzy wyrabiali wino, organizowali uczty ku czci Dionizosa, to i chrześcijanie jedli z nimi mięso, i chrześcijanie jak gdyby brali w tym udział. Zatem z jednej strony wierzyli w Chrystusa, i byli w tym rzetelni, ale Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. I ten podział, ta dwuznaczność, ta ambiwalencja apostoła bardzo drażni.

Nie muszę wyjaśniać, że kiedy przyglądamy się tym problemom kościoła w Tiatyrze to dobrze widać, że coś podobnego dzieje się i dzisiaj. Może niezupełnie chodzi o bóstwa pogańskie, a jeżeli tak — to inaczej nazywane. Ale też nie brakuje ludzi, którzy jak gdyby chwieją się na obie nogi. Co prawda robią to, co do nich należy w Kościele, ale jednocześnie mają czas, siły i środki, aby spożytkować je także jakby obok swojej wiary.

Więc chrześcijaństwo tam żyło, a nawet krzepło, ale było to takie chrześcijaństwo czasami połowiczne. I dalej:

> Dałem jej czas, żeby mogła się nawrócić,
> a ona nie chce się odwrócić od swojej rozpusty.

Zatem najprawdopodobniej było tak, że czy to jedna kobieta, czy bardziej prawdopodobnie owe kapłanki w świątyni Sybilli, zetknęły się z Ewangelią, zetknęły się z głosicielami Słowa Bożego, otrzymały możliwość nawrócenia. Ale nie chciały tego uczynić. Tak jest i dziś. Jeżeli słabnie wiara, to wiara jest zastąpiona przez astrologię. Tam, gdzie brakuje zdrowej i rzetelnej wiary religijnej, tam pojawiają się sekty, rozmaite grupy pseudoreligijne, tam pojawiają się czary, magia, wróżenie z kart, i na rozmaite inne sposoby człowiek chce wpłynąć na przyszłość. Tymczasem chrześcijaństwo jest taką religią, w której człowiek nie tyle wpływa na przyszłość, ile raczej ją kształtuje z Bożą pomocą. I tutaj mamy też bardzo dosadne potępienie tych środowisk pogańskich w końcu, które omamiały chrześcijan. I te środowiska, te kręgi pogańskie zostają przyrównane przez apostoła do cudzołożnicy. Problem polega na tym, że tak jak w życiu, tak również na poziomie symbolicznym, bardzo trudno jest z tą kategorią zła czy słabości zmagać się, bardzo trudno jest z nią zerwać. I te kapłanki pogańskie najwidoczniej też nie były zbyt podatne na głoszenie Ewangelii.

> Oto rzucam ją na łoże boleści,
> a tych, co z nią cudzołożą - w wielkie utrapienie,
> jeśli od czynów jej się nie odwrócą;
> i dzieci jej porażę śmiercią.

Zapowiedź zatem udręki i fatalnego końca zarówno tych, którzy udzielają tych rozmaitych czarnoksięskich wróżb, przepowiadają przyszłość, jak i tych, którzy z tego korzystają. Właśnie ta aluzja do tego, że *dzieci jej porażę śmiercią*, może wskazywać na to, że nie tylko o teoretyczne wróżby tam chodziło, ale że to sanktuarium pogańskie było w gruncie rzeczy również miejscem rozpusty. I że nawet przychodziły tam na świat dzieci. Potępienie jest bardzo dosadne, potępienie jest bardzo mocne. Bo przecież trwa ciągle tam rywalizacja pomiędzy wiarą w Boga Jedynego, a pogańskim sposobem życia. W tej rywalizacji ktoś wygrywa, ktoś musi przegrać. Na razie chrześcijaństwo jest jak gdyby rozdwojone. Ciągle jeszcze chrześcijanie korzystają z tych rozmaitych usług. Ale apostoł zapowiada, że tak być nie może, ani tak nie będzie.

> A wszystkie Kościoły poznają,
> że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca;
> i dam każdemu z was według waszych czynów.

A tu mamy zwrócenie uwagi na to, że tego rodzaju rzeczy, tego rodzaju czyny, są na ogół popełniane indywidualnie, w odosobnieniu. Tzn. nikt się nie pcha na świecznik korzystając z takich usług, albo lecąc do astrologa czy wróżbity. Raczej opowiadamy o tym wąskiemu kręgowi osób. Chcemy zachować tutaj swoją intymność, chcemy to pozostawić w tajemnicy. Mało kto chwali się, że z tego korzysta, albo że wierzy w tego rodzaju rzeczy.

Więc apostoł powiada tak: *wszystkie Kościoły poznają, że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca*. Nerka, w biblijnym sposobie myślenia, to jest symbol sumienia. Otóż nerka jest znakiem tego, co najbardziej ukryte, a jednocześnie niesłychanie ważne. Starożytni przykładali ogromną wagę do nerek, bo choroby nerek były w starożytności nieuleczalne. Jeżeli nerki źle pracowały, to w organizmie odkładały się rozmaite nieczystości, człowiek bardzo cierpiał, i szybko umierał. Było bardzo mało specjalistów od nerek. Zatem sądzono że to, co najbardziej ukryte, dokonuje się w nerkach, ponieważ nie znano, tak na dobrą sprawę, sposobu ich funkcjonowania. Wiedziano, że mają one funkcje oczyszczające ale nie wiedziano, jak to się dzieje. Więc „Bóg zna nerki" tzn. Bóg zna wszystko, co się dzieje we wnętrzu człowieka. Ale Bóg zna również serce. Serce było w starożytności traktowane nie tyle jako siedziba miłości, tak jak w naszych kulturach, tylko jako siedziba rozumu.

Zatem można by powiedzieć tak: „Ja, Pan, znam to, co najbardziej tajemne w tobie, i to, co zamierzasz". Czyli — jeżeli są tacy chrześcijanie, którzy korzystają z usług tych kapłanek, jeżeli są chrześcijanie, którzy biegają do astrologów, wróżek i do rozmaitych czarnoksiężników, jeżeli są chrześcijanie, którzy czytają Ewangelię i Sybillę — to niech wiedzą, że Pan Bóg zna ich sumienia, i zna ich zamysły. I że da każdemu według jego czynów. Zatem każdy chrześcijanin powinien wiedzieć, że przed Bogiem nie ma nic ukrytego. Że zaufanie Panu Bogu zakłada nie tylko powierzenie mu swojego życia teraz, ale również zaufanie i powierzenie mu swojej przyszłości. Na nic więc Sybilla, na nic więc wróżki. Sposób życia, który chrześcijanin powinien przyjąć, to sposób życia zakorzeniony w Ewangelii. Jeżeli ktoś sądzi, że może jedną nogą, jedną połową ciała być przy Ewangelii, a drugą połową być przy Sybilli, niech pamięta, że Bóg wie o wszystkim.

> Wam zaś, pozostałym w Tiatyrze, mówię,
> wszystkim, co tej nauki nie mają, tym, co - jak mówią - nie poznali
> „głębin szatana":
> nie nakładam na was nowego brzemienia,
> to jednak, co macie, zatrzymajcie, aż przyjdę.

Otóż chrześcijanie tam mieli dziwny zwyczaj, może nie tyle zwyczaj, co dziwne podejście, dziwne nastawienie, które i nam nie jest obce. Na czym ono polegało? Kiedy zobaczyli takiego wysłannika apostoła, to przedstawiali się przed nim w jak najlepszym świetle. Przedstawiali się tak, jakby nic złego się wśród nich nie działo. A nawet mówili: „Wymagaj od nas więcej. My chcemy być jeszcze lepsi. Co mamy robić, abyśmy byli jeszcze lepsi?" Oczywiście nie mówili głośno o swoich wadach ale chcieli, aby stawiać im poprzeczkę jeszcze wyżej. Twierdzili, że stronią od poznawania „głębin szatana" — bo Sybillę w starożytności również kojarzono z szatanem — i mówili apostołowi, chcąc pozyskać jego przychylność „Daj nam nowe zadania, abyśmy mogli je wykonać". Apostoł mówi *nie nakładam na was nowego brzemienia*. Nie chcę, abyście żądali ode mnie coś nowego. Bądźcie wierni temu, co znacie, do czasu *aż przyjdę*. **Cały czas mówi tu Chrystus i apostoł**. Zatem nie szukajcie czegoś więcej, tylko poprzestawajcie na tym, co powinniście robić.

To znów bardzo ważny i bardzo ciekawy wątek. Dlatego, że też jest jakiś aspekt chrześcijańskiej duchowości, również współczesnej, że człowiek chciałby aby nakładano na niego dodatkowe jarzmo. Już nie wystarczy, że pości w piątek. Chciałby jeszcze i w środę, i w poniedziałek. I ma za złe wszystkim innym, którzy nie postępują tak jak on, bo wydaje mu się, że działanie w świecie, i świadectwo w świecie polega na tym, żeby innych uczynić siłą dobrymi. Ażeby ich upodobnić do siebie. Apostoł mówi „nie, nie nakładam na was nowego brzemienia". Zachowywanie przykazań jest zawsze trudne. Jeżeli człowiek podejmuje się zbyt wiele, może zrezygnować ze wszystkiego. Lepiej podejmować mniej ale zachować wierność, niż stawiać sobie poprzeczkę tak, że nie będziemy w stanie tej poprzeczki przeskoczyć. I dalej:

> A zwycięzcy
> i temu, co czynów mych strzeże do końca,

dam władzę nad poganami,
a rózgą żelazną będzie ich pasł:
jak naczynie gliniane będą rozbici -
jak i Ja to wziąłem od mojego Ojca -
i dam mu gwiazdę poranną.

Apostoł cały czas mówi językiem Pisma Świętego. Tutaj cytuje Psalm II. Mamy tam słowa: „a rózgą żelazną będzie ich pasł, i jak naczynie gliniane będą stłuczeni". Apostoł daje poznać, na czym polega konfrontacja pomiędzy chrześcijanami, a poganami. Otóż polega ona na tym że tak, jak Psalm II odnosił się do władzy królewskiej Chrystusa i ją zapowiadał, tak chrześcijanie w konfrontacji z poganami mają być naśladowcami Chrystusa, i mają mieć współudział w jego władzy królewskiej. Tzn. chociaż siła i przewaga polityczna jest po stronie pogan, to przewaga moralna jest po stronie chrześcijan. Chociaż poganie narzucają swój styl życia, to jednak chrześcijanie powinni być naśladowcami Chrystusa, którego Psalm II, napisany na długo przed Jego przyjściem, przepowiadał. Jeżeli więc chcesz pozostać sobą w tych warunkach zorganizowanego pogaństwa, pamiętaj o Chrystusie i przykładzie, jaki On dał. Zatem językiem Starego Testamentu zwraca się apostoł do chrześcijan. Raz jeszcze przypominam: prawdopodobnie, przynajmniej w większości, byli to chrześcijanie żydowskiego pochodzenia, skoro ten język rozumieli. Najprawdopodobniej byli to nawróceni z judaizmu, do których ten język trafiał. I właśnie to oni ulegali wpływom pogańskim, ale zarazem oni otrzymali upomnienie, aby w tej trudnej sytuacji, w tej sytuacji, która ich pociągała do niewierności, pozostać naśladowcami Chrystusa.

Ja wziąłem to od mojego Ojca -
i dam mu (*czyli: temu Kościołowi*) gwiazdę zaranną.

Gwiazda zaranna dla człowieka starożytności, i dla człowieka Wschodu dzisiaj, jest symbolem nadziei, radości, nowego dnia, symbol pewności i życia, i życia wiecznego. Zatem apostoł mówi: „Jeżeli chcecie ustrzec swojej nadziei, jeżeli chcecie otrzymać życie wieczne, jeżeli chcecie współuczestniczyć w tym, co przeznaczył dla was Pan Bóg, musicie iść tą drogą, którą ja wam wskazuję. Bo tylko wtedy możecie zobaczyć tę gwiazdę zaranną, czyli symbol życia danego przez Chrystusa." Mówiąc inaczej: „Tylko wtedy możecie mieć prawdziwą nadzieję na życie z Bogiem, kiedy żyjecie po Bożemu, tzn. kiedy całą nadzieję pokładacie w Bogu. Jeżeli natomiast wasza nadzieja rozkłada się między Boga i Sybillę, między Boga i bożków, między wierność Bogu a wpływy pogańskie, to ta nadzieja jest słaba, a zatem pewność zbawienia jest mniejsza."

Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Taki jest ten list. Jeszcze raz go przeczytam z nadzieją, że teraz jest jakby bardziej zrozumiały. Posłuchajmy:

Aniołowi Kościoła w Tiatyrze napisz:
To mówi Syn Boży:
Ten, który ma oczy jak płomień ognia,
a nogi Jego podobne są do drogocennego metalu.
Znam twoje czyny, miłość, wiarę, posługę i twoją wytrwałość,
i czyny twoje ostatnie liczniejsze od pierwszych,
ale mam przeciw tobie to,
że pozwalasz działać niewieście Jezabel,
która nazywa siebie prorokinią,
a naucza i zwodzi moje sługi, by uprawiali rozpustę
i spożywali ofiary składane bożkom.
Dałem jej czas, by się mogła nawrócić,
a ona nie chce się odwrócić od swojej rozpusty.
Oto rzucam ją na łoże boleści,
a tych, co z nią cudzołożą - w wielkie utrapienie,
jeśli od czynów jej się nie odwrócą;
i dzieci jej porażę śmiercią.

A wszystkie Kościoły poznają,
że Ja jestem Ten, co przenika nerki i serca;
i dam każdemu z was według waszych czynów.
Wam zaś, pozostałym w Tiatyrze, mówię,
wszystkim, co tej nauki nie mają, tym, co - jak mówią - nie poznali
„głębin szatana":
nie nakładam na was nowego brzemienia,
to jednak, co macie, zatrzymajcie, aż przyjdę.
A zwycięzcy
i temu, co czynów mych strzeże do końca,
dam władzę nad poganami,
a rózgą żelazną będzie ich pasł:
jak naczynie gliniane będą rozbici -
jak i Ja to wziąłem od mojego Ojca -
i dam mu gwiazdę poranną.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

I tak, drodzy państwo, przebrnęliśmy przez ten list. Tiatyra była pełna kupców i handlarzy. Była bardzo otwarta na obce wpływy, i to udzielało się chrześcijanom. I w tym świecie pogańskim, który tam silnie oddziaływał na chrześcijan, apostoł zachęca wyznawców Jezusa Chrystusa aby ustrzegli swojej tożsamości, aby pozostali sobą, aby nie ulegali bałwochwalstwu, aby nie chwiali się na dwie strony, i nie dzielili serca i sumienia pomiędzy to, co pogańskie i to, co chrześcijańskie. Tylko w ten sposób, powiada do nich, możecie osiągnąć nadzieję na życie z Bogiem, kiedy zachowacie wierność do czasu, aż przyjdę.

Dlatego ten list jest tak piękny, tak bardzo przemawiający również i do nas. Bo tamte problemy przecież są aktualne również i dzisiaj.

Tyle, jeżeli chodzi o ów list do Kościoła w Tiatyrze. Na koniec kilka rzeczy. Państwo pamiętają jeszcze z ubiegłego roku, że planowaliśmy jakąś pielgrzymkę do Ziemi Świętej, zwłaszcza taką bardziej tanią. Cały czas przyglądamy się sytuacji w Ziemi Świętej, i niestety na pewno w tym roku akademickim ta pielgrzymka nie może dojść do skutku ze względu na to, że tam sytuacja jest straszliwie skomplikowana. Wygląda na to, że izraelscy Żydzi poszli na całość. W tej chwili jeżdżą bardzo nieliczne grupy. Jeżeli chodzi o duszpasterstwo pielgrzymkowe księży palotynów, to tylko z ks. Tkaczem, czy z jego zastępcą ks. Wójtowiczem. Natomiast to, co sporadyczne — grupy parafialne, zintegrowane — normalnie biorąc: nie! No i oczywiście zdarza się, że nie wszystko widzą. Nie można przecież, tak przynajmniej sądzę, pojechać do Ziemi Świętej, i nie przeżyć tego jak się należy, tylko widzieć tam sytuację niepokoju itd. Całe stare miasto jest w gruncie rzeczy zamknięte, wiele rzeczy jest nieczynnych, wiele miejsc jest niedostępnych, dróg nieprzejezdnych. No i nie możemy niestety — przynajmniej na razie — niczego planować.

Trudno powiedzieć w jakim kierunku ta sytuacja pójdzie, ale nic dobrego na razie to nie wróży. Wygląda po prostu na to, moim skromnym zdaniem, że część Żydów, zwłaszcza ultraortodoksyjnych i związanych z tzw. Instytutem Trzeciej Świątyni, postanowiła odbudować Trzecią Świątynię. Co by to znaczyło? Znaczyło by to, że zamierzają wysadzić — bo innej możliwości nie ma — Kopułę Skały czyli meczet Omara, i sąsiedni meczet Al-Aksa, i wybudować tam świątynię, w której chcieliby wskrzesić kult. Znamienne, że kiedy parę dni temu Szaron objął rządy, to pierwsze poczynanie to było pójście pod Ścianę Płaczu. I tam powiedział, że wzgórze świątynne jest ich! Szaron jest potomkiem białoruskich Żydów, zdecydowanych w gruncie rzeczy na wszystko. Trudno powiedzieć, jak to się dalej potoczy. Ale gdyby na to się zdecydowali, należy się liczyć z tym, że sytuacja tam jest na granicy wojny. Właśnie dlatego Arabowie są tak straszliwie wyczuleni. Bo dla nich — jeżeli chcemy szukać jakiegoś języka — to byłoby coś takiego, jak gdyby Niemcy weszli do Polski, chcieli wysadzić Jasną Górę, i wybudować coś tam. Dla nich jest to miejsce absolutnie święte. Musimy zatem zaczekać, obserwować to. Charakterystyczne też, proszę państwa, że w środkach masowego przekazu o tym religijnym wymiarze konfliktu nie mówi się w ogóle. Rozmaite polityczne kombinacje, ale nie idzie to w dobrym kierunku.

3.6 List do Kościoła w Sardes; „Sprawa" Jedwabnego (dn. 12 marca 2001)

Cieszę się bardzo, że państwo znowu tak licznie biorą udział w kolejnym spotkaniu. To dzisiejsze nasze spotkanie będzie podzielone w gruncie rzeczy na dwie części. Część pierwsza będzie dotyczyła kolejnego Kościoła, mianowicie listu do Kościoła w Sardes. Ten list jest krótszy od innych, i pod wieloma względami łatwiejszy, chociaż też bardziej dramatyczny. Myślę, że starczy nam czasu w ramach tej godziny, aby odnieść się jeszcze do tematu niezwykle aktualnego, również nawiązującego do tych treści, o których mówiliśmy przed tygodniem z tymi z państwa, którzy byli na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. A więc temu poświęcimy ostatnie jakieś dwadzieścia minut, czy kwadrans. Natomiast zaczniemy od tego, co jest bezpośrednio treścią naszego spotkania, czyli listu do Kościoła w Sardes.

Zapowiadam państwu od początku, że bardzo rychło ma ukazać się album: „Śladami Apostołów Pawła i Jana". Mam nadzieję, że będzie bardzo piękny, bo widziałem już jego przedwydaniowe wersje. Powinien być wydany do końca tego miesiąca. Jeżeli tak, to na spotkaniu 9 kwietnia mogliby państwo go zobaczyć i ewentualnie nabyć album, który jest poświęcony miejscom świętym na terenie Azji Mniejszej. Otóż w tym albumie znajdą państwo te miejsca, które omawiamy, tak, jak one wyglądają dzisiaj. Być może to nieco uplastyczni wszystkie Kościoły, do których tak bardzo często nawiązujemy, które są tak daleko od nas i w przestrzeni, i w czasie.

A dzisiaj zacznę od pewnej ciekawostki, ale niesłychanie wymownej. Otóż na przełomie XIX i XX wieku po ówczesnej Turcji, która stanowiła samo serce imperium otomańskiego, pielgrzymował, podróżował i badał ją brytyjski archeolog i historyk William Ramsay. Był to protestant rozmiłowany w Pismie Św., jego ulubione teksty to były Listy św. Pawła i Apokalipsa. Ramsay uzyskał specjalne pozwolenie od sułtana, aby podróżować po Turcji, i rozpoznawać miejsca związane z chrześcijaństwem. Oczywiście zadał sobie również trud, aby odwiedzić siedem Kościołów Apokalipsy, o których my w tym roku rozważamy. Udał się do Efezu, udał się do Smyrny, do Pergamonu, do Tiatyry — o tych Kościołach już mówiliśmy. Udał się również do Sardes, a następnie do Filadelfii i do Laodycei. Podróżował też po innych rejonach ówczesnej Turcji i pozostawił po sobie wspaniałą książkę, która — chociaż od jej napisania upłynęło 100 lat — stanowi nadal fundamentalny podręcznik do chrześcijańskiego zwiedzania Azji Mniejszej. W tej książce zwrócił uwagę na bardzo charakterystyczną rzecz. Mianowicie napisał tak: spośród tych siedmiu Kościołów, Kościoły w Sardes i Laodycei zostały przez Apostoła Jana potraktowane z największą powściągliwością. I znamienne jest to, że tam, gdzie były te wspólnoty, dzisiaj nie zachowało się niemal kompletnie nic." Apostoł odniósł się do nich z takim dużym dystansem, i – napisał Ramsey — "kiedy zwiedza się okolice Sardes, i okolice Ladycei, to mamy tylko skąpe pozostałości z dawnej przeogromnej świetności."

Otóż dzisiaj przychodzi nam zająć się jednym z tych Kościołów, po którym nie zostały prawie żadne szczątki. Natomiast list do tego Kościoła jest bodaj najkrótszy spośród tych siedmiu listów, które my sobie czytamy. Posłuchajmy najpierw tego listu, potem krótko przedstawię państwu dzieje Sardes, dzieje tamtejszej wspólnoty, i wreszcie zajmiemy się treścią tego listu. Apostoł Jan do Kościoła w Sardes napisał tak:

> Aniołowi Kościoła w Sardes napisz:
> To mówi Ten, co ma Siedem Duchów Boga i siedem gwiazd:
> Znam twoje czyny:
> masz imię, [które mówi], że żyjesz,
> a jesteś umarły.
> Stań się czujnym i umocnij resztę, która miała umrzeć,
> bo nie znalazłem twoich czynów doskonałymi wobec mego Boga.
> Pamiętaj więc, jak wziąłeś i usłyszałeś,
> strzeż tego i nawróć się!
> Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej,
> i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.
> Ale w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;

będą chodzić ze Mną w bieli, bo są godni.
Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca,
i z księgi życia imienia jego nie wymażę.
I wyznam imię jego przed moim Ojcem i Jego aniołami.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Tak pisał Jan do Sardes. Sardes leży w Azji Mniejszej na terenie dzisiejszej Turcji, ok. 100 km na wschód od Morza Śródziemnego, mniej więcej 100 km na wschód od współczesnego Izmiru, w krainie bardzo zielonej, bardzo pięknej, żyznej. Obok rozwiniętego rolnictwa również bardzo dobrze jest tam rozwinięta hodowla owiec i kóz. W związku z tym zarówno w starożytności, jak i teraz, jest tam rozwinięty przemysł włókienniczy, jak zresztą w całej tamtejszej okolicy. Jest tam obfitość wody, często padają deszcze, łagodny klimat. Nic zatem dziwnego, że w tych okolicach ludzie osiedlali się od bardzo dawna.

Sardes jest znane w starożytności przedchrześcijańskiej z tego, że w VI w. było stolicą króla Lidyjczyków, który miał na imię Krezus. Rządził on w latach 560 – 547 p. Chr. czyli ponad dwa i pół tysiąca lat temu, i słynął z przeogromnego bogactwa. Lidyjczycy wynaleźli, jak się sądzi, monety, i wprowadzili je do powszechnego obiegu. Ich monety były bardzo poszukiwane, ponieważ były wyrabiane z czystego złota, i były rozpowszechnione w rozmaitych regionach basenu Morza Śródziemnego. Imię Krezusa weszło do historii i legendy jako synonim kogoś opływającego we wszystkie dostatki. W Sardes pozostała pamięć o niezwykle bogatych początkach. Stąd utarło się takie przekonanie, że nigdy później Sardes nie osiągnęło już takiej świetności, jaką osiągnęło w VI wieku przed Chrystusem.

Już w VI w. przed Chrystusem, tzn. w okresie wygnania babilońskiego, trafili do Sardes pierwsi Żydzi. Tak przynajmniej uważają niektórzy komentatorzy, którzy tłumaczą aluzję w Księdze Abdiasza, najkrótszej księdze Starego Testamentu, z obecnym tam hebrajskim słowem szarpa(?), jako właśnie aluzję do Sardes. Jest dość prawdopodobne, że podczas wygnania babilońskiego część Żydów uciekła z terenów nad Tygrysem i Eufratem, poszła bardziej na północ, gdzie było dużo spokojniej. I wydaje się prawdopodobne, że już od VI w. była tam prężna wspólnota żydowska. Dodatkowym argumentem są liczne związki, nie tylko dzisiaj, ale i w starożytności, Żydów z pieniędzmi i systemem bankowym, który się w starożytności tworzył. Już w czasach przedchrześcijańskich te związki w Sardes były bardzo mocno potwierdzone.

Kiedy upłynęło 100 lat Sardes zostało zajęte przez Persów, i było stolicą satrapy perskiego. Zatem znowu było bardzo zamożnym miastem. Żydom nadal powodziło się bardzo dobrze. Później, kiedy nastały czasy syryjskich Seleucydów, gdzieś na przełomie III i II w. przed Chr., kolonia żydowska w Sardes była tak znacząca, że sława o niej rozchodziła się po całej Azji Mniejszej. To samo było w czasach rzymskich. W I w. przed Chr. doszło nawet do niezwykłych rzeczy, które opisuje Józef Flawiusz, jeden z najbardziej znanych historyków starożytności, który zresztą był Żydem. Otóż Flawiusz pisze, że Żydzi z Sardes słali wiernopoddańcze listy do cezara, upraszając u niego o łaski dla siebie — o wyjęcie ich spod obowiązków, do których należało oddawanie boskiej czci cezarowi, a więc o możliwość własnej modlitwy. Cezar na to wszystko się zgodził. Otrzymali zatem możliwość własnej modlitwy, mieli zatem w Sardes własny zarząd, własne pieniądze, własną administrację. Po uzyskaniu takiej wolności wybuchły w Sardes zamieszki antyżydowskie — uważano że ulgi, jakie otrzymali Żydzi, są zbyt duże — i wówczas znowu napisali list do cesarza w którym zwrócili się o jeszcze jeden przywilej. Mianowicie żeby cesarz pozwolił im wysyłać część pieniędzy do Jerozolimy na utrzymanie świątyni. Cesarz również na to się zgodził tak, że z Sardes wysyłano regularnie podatki na rzecz świątyni jerozolimskiej.

Proszę zauważyć, że miasto było zamożne, jego historia długa, a położenie tamtejszej wspólnoty żydowskiej było co najmniej dobre, lub nawet bardzo dobre. Na taki grunt również trafiło chrześcijaństwo. Zwróćmy uwagę, że ponieważ Żydzi mieli tam bardzo dużo do powiedzenia, i mieli bardzo dobre kontakty z Jerozolimą, to apostołowie do Sardes się nie udawali. Św. Paweł, który kręcił się w pobliżu podczas swoich podróży misyjnych, zdaje się do Sardes nie wchodził. Dlaczego? Dlatego że zdawał sobie sprawę, że gdyby tam poszedł — a ci miejscowi Żydzi mają dobre układy z Jerozolimą — natychmiast spotkały by go takie same prześladowania, jakie czekały na niego w Jerozolimie. Więc w gruncie rzeczy nie wiemy, kto przyniósł wiarę chrześcijańską do Sardes. Faktem jest, że ok.

r. 96, za czasów cesarza Domicjana, kiedy apostoł Jan pisze swój list, w Sardes była bardzo mała grupa chrześcijan.

Ci chrześcijanie byli, jeżeli tak można powiedzieć dzisiejszym językiem, pomiędzy młotem a kowadłem. Bowiem z jednej strony byli bardzo bogaci poganie, którzy mieli tam swoje przepiękne wystawne świątynie. Była tam świątynia Artemidy, była tam świątynia Chybele — to było takie lokalne, anatolijskie bóstwo, była tam świątynia Demetry, i była wreszcie świątynia Persefony. Proszę zwrócić uwagę na nazwy tych bóstw — to są wszystko kobiety, to były bóstwa żeńskie. W związku z tym Sardes słynęło również, mówiąc delikatnie, z „niefrasobliwego" trybu życia. Obok czcicieli miejscowych przybywały tam również rozmaite kobiety podające się za kapłanki, i dochodziło do rozmaitych nadużyć, także na tle seksualnym. Tak że Sardes było miastem o dwuznacznej reputacji. Do Sardes dojechać, nawet dzisiaj, jest bardzo trudno. Jest ono bowiem położone tak na uboczu od głównych dróg. Do dzisiaj zachowały się pozostałości wspaniałej świątyni Artemidy. Ta świątynia rzeczywiście budzi prawdziwy podziw. Zbudowana u stóp wzgórza, otaczającego ją od strony południowo-wschodniej, jest prawie zawsze w cieniu. Dookoła jest zielono. Biały marmur powoduje, że kiedy patrzy się na tę świątynię z odległości kilkuset metrów, kilometra a nawet dwóch, to ten biały marmur na tle zielonego wzgórza budzi prawdziwy podziw. To jest świat pogański: świątynie pogańskie, kulty bogiń pogańskich, i wystawność tego kultu — to jest jedna strona.

Druga strona — to są Żydzi. Zachowała się wielka synagoga. Pochodzi ona dopiero z III w. po Chrystusie ale należy domniemywać, ponieważ Żydzi budowali synagogi zawsze na jednym miejscu, to znajduje się ona — podobnie jak synagoga w Kafarnaum — na miejscu synagogi starszej. Należy ona do największych synagog, jakie znaleziono w późniejszej starożytności na terenie świata śródziemnomorskiego. Przypomina ona do złudzenia dzisiejszy wielki kościół. Była to synagoga bardzo bogata. Zresztą w ostatnich latach została odnowiona staraniem Żydów amerykańskich, którzy łożyli na to duże pieniądze, i rządu tureckiego, który został nakłoniony przez amerykańskich Żydów, aby również wyłożył fundusze na ratowanie tej synagogi.

Obok tej synagogi znajduje się gimnazjum, a dokładniej: gimnazjon. To też jest znacząca sprawa. W starożytnym świecie, świecie pogańskim, poza Izraelem, Żydzi budowali synagogi na uboczu — nie w środku miasta, tylko na uboczu. Sardes stanowi wyjątek dlatego, że synagoga została zbudowana niedaleko gimnazjonu. Z tego wniosek, że Żydzi w tym mieście byli wspólnotą dominującą. Że w gruncie rzeczy to oni nadawali ton temu, co tam się działo. I druga sprawa. Ponieważ synagoga sąsiaduje z pięknym gimnazjonem, a w gimnazjonie odbywały się ćwiczenia fizyczne, biegi sportowe, tam odbywały się zapasy, i również pobierano naukę np. pogańskiej retoryki, oraz wystawiano sztuki, podobnie jak w teatrze, bądź śpiewano — ponieważ synagoga przylega niemal do gimnazjonu to możemy wnosić, że ci Żydzi z Sardes oprócz tego, że byli bogaci, byli również w bardzo dobrych kontaktach z poganami. Nawet można by powiedzieć, że byli to Żydzi dalece przystosowani do życia w pogańskim świecie. I chociaż utrzymywali ścisłe kontakty z Jerozolimą, to na miejscu u siebie pozwalali raczej na życie dość dalekie od ortodoksji.

I ten paradygmat żydowskiego zachowania na obczyźnie można obserwować nie tylko w starożytności, ale i dzisiaj. Również dzisiaj tym, co łączy amerykańskich Żydów, nie jest religia, nie są przekonania, nie jest wiara — ale między innymi wspólnie łożone środki na utrzymanie państwa Izrael. Zatem ta tradycja ma bardzo długi rodowód, i Sardes jest jednym z jej potwierdzeń.

Myślę że teraz, na tym tle mogą państwo nieco lepiej zrozumieć ten list. Chrześcijaństwo przyjmowało się tam z trudem. Ludzie byli bardzo bogaci, ideał wyrzeczenia tam nie trafiał, mówienie o wierze w Jezusa Chrystusa nie było zbyt pociągające. W dodatku ta zażyłość pogan i Żydów powodowała, że był to teren wyjątkowo trudny do rozprzestrzeniania się Ewangelii. Ale przecież jacyś chrześcijanie tam byli. I to właśnie do nich Jan napisał tak:

Aniołowi Kościoła w Sardes napisz:

Zatem i kościół w Sardes ma niejako swojego Anioła Stróża. To, co apostoł pisze, przeznaczone jest nie tyle dla wiernych, ale jakby świadkiem tego ma być sam Bóg, i z Bożą pomocą należałoby te zachęty Jana wdrożyć.

To mówi Ten, co ma Siedem Duchów Boga i siedem gwiazd:

Siedem, jak już dobrze wiemy, to jest cyfra symboliczna oznaczająca pełnię, doskonałość. Zatem apostoł w ten zawoalowany sposób, bo przecież był to czas prześladowań, chce powiedzieć tak: „To, co wam mówię, nie pochodzi ode mnie, ale jest przejawem mądrości Bożej, nauki Bożej. Jest jakby pełnią tej mądrości, którą chciałbym się z wami podzielić. Przyjmijcie ją zatem. W tym jest siedem darów Ducha, i w tym jest siedem gwiazd jako symbol natury, symbol stworzenia, symbol tej mądrości, którą Bóg wlał w dzieła stworzenia." I czytamy:

> Znam twoje czyny:
> masz imię, [które mówi], że żyjesz,
> a jesteś umarły.

Otóż mamy tu prawdopodobnie nawiązanie do tego, że wszyscy mieszkańcy Sardes wciąż żyli tą bardzo bogatą przeszłością. Chełpili się, że z ich miasta pochodził Krezus. Chełpili się, że zawsze było to miasto bardzo bogate. Zatem twierdzili, że żyją pełnią życia. Mają świątynie pogańskie, mają pieniądze, mieli przemysł włókienniczy, mieli handel. I pomiędzy nimi są chrześcijanie. Apostoł mówi: „Mówisz, że żyjesz. A przecież jesteś umarły." A więc apostoł mówi, że pod tą osłoną blichtru, tego bogactwa mieści się jakaś rozpacz, jakiś dramat tych ludzi. I dalej:

> Stań się czujnym i umocnij resztę, która miała umrzeć,
> bo nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec mego Boga.

Co to znaczy „stać się czujnym"? Także i pod tym względem Sardes miało bardzo ciekawą historię. Akropol, czyli główny punkt miasta, był położony dość wysoko, i był trudno dostępny. Sardes przez kilkaset lat przed Chrystusem nigdy nikt nie oblegał, nikt nie najeżdżał, nikt nie rujnował. Ale dwa razy zostało to miasto splądrowane, zwłaszcza najbliższe otoczenie Agory – tam, gdzie gromadzono pieniądze, bogactwa itd. Dwa razy w ciągu dziejów pod osłoną nocy, zimą, w bardzo złą pogodę najechali jacyś złodzieje i splądrowali dwukrotnie skarbiec miasta. Po tych splądrowaniach w Sardes panowała swoista gorączka. Wystawiano „ochroniarzy", mało tego — w Sardes, podobnie jak w Rzymie, zatrudniono do pilnowania gęsi. Jak państwo wiedzą gęsi są bardzo czujne na obcych, zatem w rozmaitych punktach miasta poumieszczano zagrody dla gęsi. O ile psa można uśpić, albo otruć, albo pozyskać — chociaż w starożytności psy nie były tak wykorzystywane, jak dzisiaj, do tych celów — o ile ludzi również można zwieść, o tyle kilkadziesiąt gęsi jest niezawodne. Z kilkuset metrów wyczuwają obcych ludzi. Nawet dzisiaj w niektórych okolicach Polski, zwłaszcza tam, gdzie są rozmaite zakłady pracy albo bardzo bogate domy itd., coraz częściej oprócz rozmaitych czujników elektronicznych zatrudnia się właśnie gęsi.

I w Sardes panowała taka atmosfera wiecznej czujności. Mianowicie pilnowano, żeby nikt w nocy już nie przyszedł i nie przerzedził zasobów Sardes. W nawiązaniu do tego apostoł mówi: *Stań się czujnym.* Tylko czyni tutaj aluzję już nie do tych skarbów, i zapewne nie do tych gęsi, tylko czyni aluzję do troski o siebie. I *umocnij resztę, która miała umrzeć.* Otóż chrześcijanie w ten sposób mają się stać znakiem dla pozostałych. Dla pogan, i dla Żydów, którzy z różnych względów, i bardzo długo nie przyjęli Ewangelii. Chrześcijanie są zachęcani do tego, aby tak, jak poganie i Żydzi, być czujnymi, ale dla innych celów. Tak jak tamci pilnują swojego skarbu, tak chrześcijanie w Sardes maja się troszczyć o własne wnętrze i dawanie świadectwa Ewangelii.

Bo nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec mego Boga. Okazuje się, że chrześcijanie w Sardes należą do tych nielicznych Kościołów w Apokalipsie, które zostały przez apostoła upomniane. Apostoł mówi te słowa z bólem: „nie znalazłem twych czynów doskonałymi wobec Boga." Zatem wygląda na to, że w tym bogatym mieście również chrześcijanie byli bogaci. I w związku z tym praktykowanie wiary chrześcijańskiej przychodziło im strasznie trudno. Wygląda na to, że ci miejscowi chrześcijanie brali jakoś udział w tej ogólnej atmosferze pewnego luzu, w której poruszali się i poganie, i Żydzi. I na to właśnie zwraca uwagę apostoł. Popatrzmy, że znacznie trudniej jest być chrześcijaninem w dobrym położeniu, aniżeli w położeniu trudniejszym. Że znacznie trudniej wierzyć w Pana Boga w okresie pomyślności, niż w okresie kryzysu, czy jakiś cierpień i kłopotów. Ja myślę, że my wszyscy tego uczymy się, każdy na swój sposób. I że dopiero jakaś bieda powoduje, że dokonujemy przewartościowania swojej wiary. Wiemy dobrze, że to podejście znalazło wyraz w naszym starym powiedzeniu, przysłowiu, które też zawiera jakąś głęboką mądrość: „jak trwoga

to do Boga". Natomiast jeżeli tej trwogi nie ma, to i Bóg jest jak gdyby mniej potrzebny. Wydaje się, że to był problem Sardes. Można by powiedzieć, że pod wieloma względami Sardes jest jakimś symbolem i zapowiedzią tych wspólnot chrześcijańskich, w których panuje pewien luz: ekonomiczny, moralny, duchowy. I dalej:

> Pamiętaj więc, jak wziąłeś i usłyszałeś,
> strzeż tego i nawróć się!

Jan nawołuje chrześcijan w Sardes do nawrócenia. Prosi ich, aby przypomnieli sobie początki swojej wiary: „Przypomnijcie sobie, jak was uczono". Zwróćmy uwagę, że nie ma tutaj żadnego imienia. Nie mówi się ani o Pawle, ani Jan o własnej pracy misyjnej nie wspomina. Nie wiemy więc skąd wzięło się chrześcijaństwo w Sardes. Ale mają wrócić do korzeni, mają zastanowić się nad swoją tożsamością, i mają się nawrócić. Państwo popatrzą: zaledwie rok 96; od śmierci Jezusa upłynęło około 60 lat — zatem stosunkowo niedawno — a już pojawiają się bardzo silne wezwania do nawrócenia. Zatem w każdym pokoleniu chrześcijańskim te wezwania się pojawiają, i one w każdym pokoleniu są ważne. To nie jest tak, że są pokolenia zdecydowanie lepsze, albo zupełnie złe. Myślę że dylematy, przed którymi stali chrześcijanie w Sardes, przypominają również te liczne dylematy, wobec których stają Kościoły dzisiaj, np. Kościoły zwłaszcza bogatych krajów, bogatych państw Europy i Ameryki, gdzie być chrześcijaninem w głębokim tego słowa znaczeniu jest naprawdę bardzo trudno. Gdzie istnieje bez przerwy pokusa upodobnienia się do otoczenia.

> Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej,
> i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.

Wygląda na to, że nawiązując tutaj do słów Jezusa Chrystusa, św. Jan nawiązuje jednocześnie do losów, do historii Sardes. Powiada: „Jeżeli nie będziecie czuwać, jeżeli się nie nawrócicie, to przyjdę do was tak, jak ci złodzieje, którzy złupili tamte bogactwa. Otóż musicie pamiętać, że troska o własne wnętrze, troska o siebie, wymaga takiej właśnie czujności. Że troska o dobra duchowe jest tak samo ważna, jak troska o dobra materialne." Że *nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.* Z tego wniosek: „Nie wolno odkładać nawrócenia. Każda godzina może być ostatnim darem łaski. Odkładanie nawrócenia na jutro — może się okazać, że jutra żadnego już nie będzie. Wezwanie do nawrócenia jest to wezwanie do nawrócenia dziś i teraz. Otóż skoro tak, to i pod tym względem te nawoływania, te zachęty w Liście do Kościoła w Sardes, są dla nas bardzo pouczające. I dalej:

> Lecz w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;

Co to znaczy „splamić swoje szaty"? Kiedy przybywali czciciele bóstw pogańskich do pogańskiej świątyni, to przybywali nieraz z daleka, to oczywiście mieli po takiej podróży brudne ubrania. Należało zatem te ubrania zdjąć, i przebrać się w czyste ubrania. To samo pozostało w pobożności również chrześcijańskiej gdzie przywykliśmy do tego, że idąc do kościoła ubieramy się inaczej niż wtedy, kiedy chodzimy po domu, idziemy do pracy, czy kiedy odpoczywamy. Otóż przyjście do kościoła wymaga, jeżeli tak można powiedzieć, również tego splendoru, który jest widoczny w odzieży, uroczystego, odświętnego ubrania. Widać to bardzo dobrze zwłaszcza na wsiach i w miasteczkach, kiedy jedno ubranie — bo zazwyczaj na więcej nie stać — to jest ubranie do kościoła. Widać było jeszcze do niedawna w niektórych okolicach Polski. A z tych przekazów jak się jeździ po Polsce, i ze wspomnień, można ułożyć bardzo ciekawy obraz jak to zwłaszcza kobiety kiedy szły do kościoła, to szły w jednych butach, bo po drodze pole albo błoto, zwłaszcza wiosną. Natomiast kiedy wchodziły do kościoła, to miały ze sobą inne, eleganckie buty, i tam je zakładano. Z ubraniami podobnie — z tym, że w domu.

W świątyni jerozolimskiej był też inny zwyczaj. Mianowicie kiedy wchodzono na teren świątyni jerozolimskiej to kapłani, którzy mieli składać tam ofiary, a także mężczyźni, którzy mieli być bliżej na dziedzińcu, zakładali białe ubrania. Te białe ubrania były symbolem odświętności, ale także symbolem czystości, nie tylko tej fizycznej, ale również duchowej. Państwo zwrócą uwagę, że kiedy dzisiaj od czasu do czasu widzimy przekaz telewizyjny np. spod Ściany Płaczu, to mogą tam państwo zobaczyć na biało ubranych modlących się Żydów. Ale nie tylko Żydów to dotyczy. Proszę

popatrzeć również na księży sprawujących mszę świętą Alby, w których sprawuje się mszę świętą, są właśnie białe. Zatem biel jest symbolem stanięcia przed Panem Bogiem z czystym sercem. I my tutaj czytamy:

> Lecz w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;
> będą chodzić ze Mną w bieli, bo są godni.

Zatem pośród chrześcijan w Sardes, jakoś tam zepsutych i wymagających nawrócenia, byli jednak tacy, którzy zachowali gorliwość. I w gruncie rzeczy to jest też zobowiązanie i wyzwanie, przed którym staje każde chrześcijańskie pokolenie. Im trudniej jest być chrześcijaninem, tym bardziej potrzeba takich którzy wiedzą, co to znaczy, i chcą żyć po chrześcijańsku. I te kilka osób w Sardes, a Sardes liczyło wtedy około 15 - 20 tysięcy ludzi, te kilka osób zostaje pochwalonych. Z tego wniosek — warto być człowiekiem dobrym, bo dobro jest podzielne. Chociaż jest mało widoczne na pozór, to jednak dobro stanowi zawsze przykład, który pociąga i daje do zastanowienia. Jeden dobry człowiek może stanowić wyrzut sumienia dla setek, i dla tysięcy innych. Jeden dobry człowiek może stanowić również zachętę do rachunku sumienia. Tamta wąska grupka dobrych osób została pochwalona.

> Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca,
> i z księgi życia imienia jego nie wymażę.

Szaty przywdzieje zwycięzca. To już jest nawiązanie do przejścia do Boga. W Apokalipsie mówi się o tych, którzy stoją przed Bogiem i przed tronem Baranka, że stoją w białych szatach — symbolu niewinności. I mamy tutaj również nawiązanie do *księgi życia.* W starożytności w miastach greckich i rzymskich istniał ciekawy zwyczaj. Co jakiś czas sporządzano spisy obywateli. I każdy człowiek, który był obywatelem swojego miasta, był z tego dumny. Jeżeli wyjechał gdziekolwiek i powiedział, że pochodzi z Sardes, bądź z Tiatyry, bądź z Efezu, wtedy będąc obywatelem swojego miasta był traktowany jako gość i ktoś znaczący. Gdy popadł w jakieś tarapaty, to pozostali obywatele musieli mu pomóc. Byli zobowiązani łożyć na jego utrzymanie, wyciągnąć go z tych tarapatów kłopotów pod warunkiem, że nie były to jakieś rzeczy kryminalne, wspomóc go w chorobie itd. Zatem ta księga była taka, jak księga życia.

Ale w starożytności była też i inna księga. Mianowicie jeżeli ktoś źle się sprawował, jeżeli ktoś żył w sposób niegodny, dopuszczał się bezprawia i nie było na niego sposobu, był np. notorycznym złodziejem, to była druga księga, mianowicie księga wyrzutków, wypędzonych. Takiego wypędzano z miasta, i nigdy mu nie było wolno do tego miasta wrócić. Była to taka księga śmierci. Pozostawiony sam sobie był skazany nie tylko na liczne niebezpieczeństwa, ale również był pozbawiony jakiejkolwiek pomocy ze strony swoich ziomków. Bano się tej księgi śmierci jak ognia. To była ostateczność, jeżeli kogoś wpisano do takiej księgi wyrzutków. Proszę zwrócić uwagę, że było to czasami gorsze, niż pójście do więzienia, bo więzienie dało jeszcze jakąś szansę na przywrócenie praw obywatelskich. Natomiast taki wyrzucony człowiek był bez miasta, bez ojczyzny, bez przynależności, bez papierów, w gruncie rzeczy bez rodziny. Nigdy nie mógł wrócić do tego miasta.

Nawiązując do tego autor napisał: *Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca, i z księgi życia imienia jego nie wymażę.* Mamy więc nawiązanie do tego, że ci, którzy są wierni Panu Bogu, są zapisani w księdze życia, napisanej palcem Bożym. Że nigdy nie trafią pomiędzy tych, którzy do Boga nie doszli. I dalej:

> I wyznam imię jego przed moim Ojcem i Jego aniołami.

Nawiązanie do tego znamy z Ewangelii: „Każdy kto się przyzna do Mnie teraz przed ludźmi, to Ja przyznam się do niego przed Moim Ojcem, który jest w niebie". Apostoł zachęca: „Jeżeli wy, ta mała grupka, będziecie cierpliwi, będziecie wytrwali w swojej wierze, zostaniecie wpisani do tej Bożej księgi życia. I tak jak wy dzisiaj przyznajecie się do Boga, tak w przyszłości Bóg przyzna się do was." Popatrzmy że ten list, jakże krótki i jakże prosty, jest pod wieloma względami niesłychanie aktualny.

> Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Taka jest treść listu do Kościoła w Sardes. Co tam wydarzyło się później? Najwyraźniej słowa z Apokalipsy św. Jana odniosły swój skutek, ponieważ w II w. była tam już dość prężna i pokaźna wspólnota chrześcijańska. Ta wspólnota była niestety bardzo mocno prześladowana przez pogan i Żydów. Największe prześladowania przypadły na lata 150 - 160 po Chrystusie. W tamtym czasie w Sardes żył niejaki Meriton, wielki starochrześcijański myśliciel, człowiek ogromnego serca i ogromnego umysłu. Pozostały do dzisiaj jego homilie zapisane, zwłaszcza homilie o Męce Pańskiej. Są przetłumaczone na język polski, i wydane. Można je czytać, chociaż nie jest to lektura łatwa. I Meriton rozważał bardzo często sprawę śmierci Jezusa Chrystusa. I zadawał to pytanie, które my zadajemy sobie po dzień dzisiejszy: „Jak to się stało, że naród Bożego wybrania, przygotowywany tak cierpliwie przez Boga do uznania Mesjasza, z chwilą, gdy ten Mesjasz przyszedł, nie uznał Go, lecz Jezus został zabity, został ukrzyżowany?"

I Meriton pisząc te homilie stawiał te pytania Żydom, z którymi polemizował. Te polemiki były bardzo ostre, konfrontacja bardzo silna. Tak było w II wieku. W III wieku chrześcijan było nieco więcej, ale Żydzi zdecydowanie dominowali. Z tego okresu pochodzi ta synagoga, o której wspominałem na samym początku, niesłychanie wystawna i niesłychanie bogata. W IV wieku, kiedy prześladowania ustały, wybudowano tam pierwszy kościół. Do VII wieku chrześcijanie i Żydzi mieszkali obok siebie. W VII wieku ten teren najechali Persowie. Zburzyli wszystko, co było do zburzenia, splądrowali, co było tylko do splądrowania — i Sardes popadło w ruinę. Jeszcze na krótko odżyło w wieku VIII i IX, kiedy to w Sardes było biskupstwo, w nawiązaniu do Meritona. Ale potem przyszli Turcy Seldzuccy i od wieku XI Sardes stało się ruiną. Zatem przez prawie tysiąc lat Sardes pozostaje w takim stanie, w jakim możemy je oglądać dzisiaj, przy czym dzisiaj dokonano już tam rozmaitych rekonstrukcji.

Na koniec więc proponuję, żebyśmy raz jeszcze posłuchali tego listu. I każdy z państwa zapewne skojarzy te treści, o których mówiliśmy, ze słowami tego listu, które brzmią tak:

Aniołowi Kościoła w Sardes napisz:
To mówi Pan, co ma Siedem Duchów i siedem gwiazd:
Znam twoje czyny:
masz imię, [które mówi], że żyjesz,
a jesteś umarły.
Stań się czujnym i umocnij resztę, która miała umrzeć,
bo nie znalazłem twoich czynów doskonałymi wobec mego Boga.
Pamiętaj więc, jak wziąłeś i usłyszałeś,
strzeż tego i nawróć się!
Jeśli więc czuwać nie będziesz, przyjdę jak złodziej,
i nie poznasz, o której godzinie przyjdę do ciebie.
Ale w Sardes masz kilka osób, co swoich szat nie splamiły;
będą chodzić ze Mną w bieli, bo są godni.
Tak szaty białe przywdzieje zwycięzca,
i z księgi życia imienia jego nie wymażę.
I wyznam imię jego przed moim Ojcem i Jego aniołami.
Kto ma uszy, niech posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Taki to jest list pełen głębokiej symboliki, dość tajemniczy, i można by powiedzieć list, w którym słychać pewne rozgoryczenie apostoła. A rozgoryczenie bierze się stąd, że wspólnota, do której pisze, jest maleńka i postawiona w sytuacji w której, jeżeli nie będzie troszczyć się o siebie, to grozi jej rozpłynięcie w nieprzyjaznym otoczeniu. Okazało się, że list pomógł przetrwać chrześcijanom w Sardes. Ale całe miasto nie przetrwało za długo. I dlatego miał rację Ramsay, który ponad sto lat temu, jak powiedzieliśmy na początku, odwiedzając te miasta powiedział, że jest jakiś przedziwny paradoks — tam, gdzie apostoł Jan pisał bardzo krótko, i z taką goryczą, tam dzisiaj w gruncie rzeczy nie ma żadnych śladów. Tyle na temat Sardes. Zostały nam dwa Kościoły: Filadelfia i Laodycea. O jednym powiemy w kwietniu, o Filadelfii, o drugim, o Laodycei, powiemy w maju.

Natomiast teraz, jeżeli państwo pozwolą, chciałbym powiedzieć kilka słów na tematy, które po pierwsze – podjęliśmy z wieloma osobami tydzień temu w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego mówiąc o „Drogach i bezdrożach dialogu katolicko-żydowskiego". Po drugie – było kilkanaście co najmniej osób które prosiło, żeby odnieść się do tego, co obecnie się dzieje. I wreszcie były osoby, które nawet przelały na papier swoje myśli i swoje wspomnienia. Chodzi, jak państwo się łatwo domyślają, o Jedwabne i to, co jest z tym związane. Ponieważ tematu niektórzy z nas, i poniekąd słusznie, mają po dziurki w nosie, to ja nie będę dochodził do rozmaitych szczegółów, tylko chciałbym państwu zwrócić uwagę na to, co najistotniejsze. Bo z całą pewnością osoby takie, jak państwo, wierzący tacy, jak państwo, muszą mieć na ten temat pełniejsze rozeznanie. A w tej sprawie w ubiegły piątek, cztery dni temu, odbyło się również posiedzenie Komitetu Episkopatu Polski ds. Dialogu z Judaizmem. I stanowisko, które tam przedstawiłem, również w rozmowie z księdzem biskupem Stanisławem Stefankiem, biskupem łomżyńskim, było mniej więcej takie. Myślę, że dla każdego z państwa przynajmniej jakieś myśli z tego mogą się okazać pożyteczne.

Otóż po pierwsze. Sądzę, drodzy państwo, że cała ta sprawa pokazuje jak niesłychanie ważną rzeczą jest historia, i jej znajomość. Otóż w Polsce przez ostatnie ponad pół wieku byliśmy karmieni wypaczoną wersją historii. Najbardziej wypaczone okresy to od września 1939 do czerwca 1941, a później okres po tzw. wyzwoleniu przez Związek Radziecki, poczynając od lipca 1944, aczkolwiek można byłoby zacząć już wcześniej, kiedy wojska sowieckie weszły na teren Rzeczypospolitej w jej granicach przedwojennych. Ale już tak się nam utrwaliła granica na Bugu, że nawet sobie specjalnie dzisiaj do serca nie bierzemy Wilna, Lwowa czy tamtych terenów wschodnich.

Tu jednak skupmy się na jednym — że cały czas był bardzo fałszywy wizerunek tej okupacji sowieckiej po 17 września 1939 roku. Na ten temat nie wolno było mówić, na ten temat nie wolno było pisać. Oficjalna wersja była taka, że Sowieci weszli, żeby zabezpieczyć interesy na Białorusi. Tymczasem że granica przebiegała pod Ostrołęką, i że nigdy to nie była Białoruś — tego już nikt nie mówił, i nikt nie chciał o tym pamiętać. Nie wolno było o tym pisać.

To się wiązało również z postawą ludności żydowskiej. Tematem tabu jest mówienie o postawie ludności żydowskiej wobec obydwu okupantów, którzy w 1939 roku najechali Polskę. Tak się złożyło, że po stronie niemieckiej w wielu miastach Żydzi wręcz entuzjastycznie, bądź na pokaz — ich sprawa, witali Niemców. Tak było np. w Łodzi, gdzie udekorowana została na wejście Niemców ulica Piotrkowska.

Dla odmiany na wschodzie, na terenach zajętych przez Sowietów, Żydzi entuzjastycznie witali Armię Czerwoną. I kiedy tamci weszli, stanęli po stronie okupantów. To jest temat tabu. Przy sposobności Jedwabnego zaczęto o tym temacie mówić, aczkolwiek bardzo niechętnie, i aczkolwiek do dzisiaj jest to sprawa, i dzisiaj też której nie wolno ruszać. A każdy, kto jej dotknie, natychmiast bywa okrzyczany jako antysemita.

Proszę zwrócić uwagę, że w tej aktualnej kampanii myślenie jest takie. Żydzi stanęli po stronie Niemców, i po stronie Sowietów dlatego, że Polacy byli dla nich bardzo źli. Tak pisze Maria Janion, tak pisze środowisko Tygodnika Powszechnego, tak pisze Gazeta Wyborcza, tak również wypowiadają się bardzo nieliczni duchowni z ks. prof. Michałem Czajkowskim włącznie. Że ta reakcja Żydów to była reakcja na niechęć, czy na nienawiść Polaków. Że przed wojną były narodówki, że były wystąpienia antyżydowskie itd.

Gdybyśmy zaczęli odpowiadać tymi kategoriami, to moglibyśmy powiedzieć tak. Że ani wystąpienia antyżydowskie, ani ekscesy, ani nastroje antyżydowskie nie brały się z powietrza. Tylko one znów były uwarunkowane sympatiami Żydów dla komunizmu, one były uwarunkowane syjonizmem i wyjazdami Żydów do Palestyny i do Ameryki, wywózką dóbr narodowych, wywózką kapitału itd. Więc jedno nakręcało drugie. Tu nikt nie przypomina w dzisiejszym kontekście listu kardynała Hlonda z 1936 roku, w którym kardynał Hlond zwrócił się do Żydów i pisał mniej więcej tak. W Niemczech ówczesnych sytuacja Żydów była bardzo zła. Kardynał współczuje, że tam ta sytuacja jest tak trudna. I mówi do Żydów tak: „Żyjemy z wami od stuleci. Mamy z wami liczne więzi, liczne związki, i to sobie bardzo cenimy. Ale — pamiętajcie, że nie wolno dopuścić do penetracji obcej kultury — chodziło tutaj i o bolszewizm, i o pornografię w okresie międzywojennym, związaną z wynalezieniem i rozpowszechnieniem fotografii, której było coraz więcej itd. Nie wolno wam tego robić w Polsce!" Z tego listu kardynała Hlonda, który jest długi i ciekawy, wybrano tylko drugi akapit podkreślając, że to jest list o wydźwięku antysemickim. I po dzień dzisiejszy list jest nieznany.

Oczywiście oskarżanie go o antysemityzm jest wierutną bzdurą, ponieważ list jest wyważony. Ale dotykał w bardzo dokładny sposób tych nastrojów i jednocześnie zaszłości polsko-żydowskich.

Do czego zmierzam? Że oto dowiadujemy się o okresie, który był straszliwie krwawy i ponury, i który tylko najstarsi z nas, jeżeli mieszkali na tamtym terenie, znają z autopsji. Bo było to mniej więcej tak. Niemcy ułożyli się z Sowietami, wyznaczyli granicę jeszcze zanim tam weszli — pakt Ribentrop - Mołotow. Następnie Niemcy zajęli kawał tej ziemi więcej, niż przewidywał ten pakt. Niemcy się wycofali w 39 r. na wielu odcinkach, weszli Sowieci. I oczywiście zaprowadzanie nowego porządku odbywało się również na bagnetach NKWD. Brali w tym udział Sowieci, brali w tym udział Żydzi, brali w tym udział również Polacy. A więc są to niesłychane zawiłości. Tych Polaków nie było za dużo, zdarzali się jednak. Ilu było Żydów? Na pewno było ich więcej, niż wynika to ze statystyki. I to jest pewien problem, bo się wtedy zaczęło Polakom kojarzyć. No i oczywiście powstały ogromne dramaty. Jesień, zima 39 i 40 roku, wywózki, deportacje, polowania na nauczycieli, na księży.

W Jedwabnem w tym czasie nie było proboszcza, ponieważ proboszcz został wywieziony na wschód i zamordowany. Kto o tym mówi? W tym czasie biskup tylko wysłał administratora do Jedwabnego, czyli księdza, który pełnił posługę zamiast proboszcza. Ale proboszcza nie było.

Więc w wielu osadach nastroje antyżydowskie były bardzo silne. Ja sam się z tym spotykałem wielokrotnie także teraz, np. podczas pielgrzymek, kiedy jeżdżą ludzie z całej Polski. Jeżdżą do Izraela i wspominają tamte czasy. Bardzo wielu wspomina z ogromnym bólem.

Więc doszło do tego, że kiedy Sowieci w czerwcu 1941 r. wycofali się, a mieli przyjść Niemcy — bo tam było kilka dni takiej przerwy akurat w tych okolicach — to oczywiście te nastroje antyżydowskie były bardzo silne. W Jedwabnem Żydzi nawet wznieśli pomnik Lenina, i kazali Polakom zdejmować czapkę przed tym pomnikiem. Kiedy więc Sowieci się wycofali a pomnik został, to Polacy dla odmiany kazali Żydom z tym pomnikiem chodzić po rynku. To było właśnie 10 lipca 1940 r.

Co wydarzyło się 10 lipca 1940 r., ustalają to komisje rozmaite. Ja jestem przekonany, że pełnej prawdy nie wyświetlą, nie tylko z powodów obiektywnych, ale również z powodów subiektywnych. Jedno nie ulega wątpliwości. Niemcy zgonili miejscowych Polaków i nakazali im z kolei — ponieważ jedni drugich znali, w Jedwabnem mieszkało 60% Żydów — żeby zgonili Żydów na rynek. I następnie Niemcy zapowiedzieli, że nauczą Żydów porządku. Dali im łyżki stołowe, i kazali im tymi łyżkami czyścić rynek. Na tym rynku były kamienie, i oni tymi łyżkami ten rynek czyścili.

Oczywiście można się domyślać jaka była reakcja tych, którzy na to patrzyli. Wczoraj jedni dominują, dzisiaj inni są górą. Wtedy do Jedwabnego, właśnie 10 lipca, przyjechała grupa Niemców. Z całą pewnością tam byli, ponieważ jest zrobiony film — żaden Polak nie robił przecież takiego filmu! Ten film jest przechowywany w Niemczech, być może już jest w tej chwili w Ameryce, lub w Kanadzie, trudno powiedzieć. Niemcy zaczęli rzecz filmować. W pewnym momencie nakazano, żeby Polacy, część tych Polaków przepędziła Żydów do stodoły. Mieli pójść do jednej stodoły, ale jej właściciel uprosił Niemców — chyba znał niemiecki, nie wiem — żeby jego stodoły na to nie ruszali. Nie wiem, czy mu chodziło o Żydów, czy mu chodziło o stodołę — tego nie wiem. Tylko że uprosił, żeby jego stodoły nie ruszano. I wówczas była taka stodoła na boku, gdzieś 200 metrów od tej wsi. Jakaś część tych Polaków — nie wszyscy, broń Boże — jakaś część tych mieszkańców Jedwabnego spędziła, czy zgoniła, tak się przynajmniej wydaje, owych nieszczęśników do tej stodoły. Tamta stodoła została podpalona.

Proszę państwa, jakiś udział tych mieszkańców, którzy tam wtedy żyli, jest niezaprzeczalny. Trzeba powiedzieć, że to jest dramat. Nie jest to ani chrześcijańskie — bo nie wolno żadnemu chrześcijaninowi przyłożyć ręki do śmierci drugiego człowieka — ani nie jest to polskie. Rozciąganie winy na chrześcijan, czy na Polaków jest nieporozumieniem. Otóż nie ma odpowiedzialności zbiorowej! Zrobili to ci konkretni ludzie, którzy się tego mordu gwałtownego tam dopuścili. Inspiracja niemiecka jest niewątpliwa. Oczywiście mógłby ktoś powiedzieć: „No, ale mogli odmówić Niemcom". Ale to tylko ci mogą tak mówić, którzy nie znają realiów okupacyjnych, nie wiedzą, co to znaczy. Więc trudno jest tu sądzić, ale z całą pewnością usprawiedliwiać tego nie można.

Zatem jaka jest pointa? Od początku — proszę zwrócić uwagę — kiedy Niemcy weszli na kresy wschodnie, od początku chcieli zaaranżować mordowanie Żydów tak, żeby wyszło, że to robiono polskimi rękami. To jest właśnie jedno z głównych nieszczęść, że Niemcom udało się poróżnić, po-

kłócić między sobą również Żydów i Polaków. Oni wiedzieli, że te wzajemne stosunki są trudne. Natomiast aranżując, przygotowując takie mordy, takie pogromy, jak ten, i filmując je, i puszczając je później światu, doskonale wiedzieli, co robią. Że zostanie zła żydowska pamięć o Polakach bardziej, niż o Niemcach. I myślę, że tu w stosunkach z Żydami też trzeba o tym głośno mówić.

Sprawa druga. Otóż z chrześcijańskiej perspektywy zawsze dla każdego z nas każdy taki dramat jest wielkim dramatem, i wielkim bólem — to nie ulega wątpliwości. Zatem musimy się do niego odnieść – jakby to powiedzieć — po prostu z bólem. No bo innej drogi nie ma. Śmierć każdego człowieka, człowieka niewinnego, kobiety, dzieciaka, cywila, to jest zawsze jakiś dramat. Tylko pamiętajmy o tym, że te dramaty rozgrywają się bez przerwy, również we współczesnym Izraelu. Nie wolno traktować sprawy Jedwabnego, izolować go, wyrywać z realiów wojennych, i izolować go od wszystkiego innego. Bo traktujemy wówczas go jako temat zastępczy! I dzisiaj kiedy patrzymy na to, co się dzieje w Izraelu — a przekazy stamtąd są bardzo skąpe — możemy być pewni, że niejeden podobny dramat w ciągu 50 lat Izraela miał tam miejsce. Tam też Żydzi i Palestyńczycy są obok siebie sąsiadami. Zwrócił na to uwagę ks. Prymas w swoim liście, że sąsiedzi to nie jest tylko problem polsko - żydowski, jest to również problem Albańczyków i Serbów, problem Żydów i Palestyńczyków, problem w Irlandii, problem w Hiszpanii z Baskami, problem w Stanach Zjednoczonych itd. Całe Stany Zjednoczone, ich pomyślność, zostały zbudowane na wymordowaniu Indian, ale się o tym nie mówi. Robi się Muzeum Holokaustu, natomiast nie ma Muzeum Martyrologii Indian!

Do tej pory, tzn. kilka lat wstecz, zazwyczaj przedstawiano taki „trójkąt": Niemcy - Żydzi - Polacy, strona żydowska tak przedstawiała. Niemcy — to są prześladowcy, Żydzi — to są ofiary, Polacy — to są świadkowie. Myśmy na to odpowiadali: „Nie, moi drodzy!" Niemcy są prześladowcami, Żydzi są ofiarami, i Polacy są ofiarami. Bo przecież w okresie II wojny światowej zginęło sześć milionów obywateli polskich: około trzech milionów Żydów, i trzech milionów Polaków. Tylko o trzech milionach Polaków w podręcznikach historii nie ma mowy! Nawet w naszych podręcznikach historii!

Więc ten trójkąt: ofiary i prześladowcy, w ostatnich latach zaczął być zmieniany na nowy, i Jedwabne temu służy. Mianowicie: Niemcy — prześladowcy, Żydzi — ofiary, Polacy — prześladowcy. Tak się zmienia paradygmat, wzór II wojny światowej. Staje się to wojną Niemców i wszystkich innych przeciwko Żydom. Tak się uczy o wojnie w Ameryce, i w Kanadzie. A jeżeli o Jedwabnem Polacy nie będą mówić pełnej prawdy, i nie staną w obronie własnej godności, to bardzo szybko zostaniemy sprowadzeni do parteru i zrównani z Niemcami.

Jedwabne jest tutaj pewnym testem. Jeżeli się uda z Jedwabnem, uda się i dalej. Dlatego postawienie sprawy wyraźnie w tym przypadku jest niesłychanie ważne dla ustrzeżenia polskiej tożsamości i polskiej godności. Na to trzeba również zwrócić niesłychanie uwagę.

A ponadto, proszę państwa, dyskusja o Jedwabnem uczy nas, że aby zrozumieć te rzeczy, to nie można się poruszać w trójkącie: Polacy - Żydzi - Niemcy, tylko trzeba zrobić kwadrat: Polacy - Żydzi - Niemcy - Sowieci. I dopiero wtedy zrozumiemy, czy przynajmniej pojmiemy po trosze antagonizmy, niechęci, urazy itd. Dopiero wówczas!

A więc jeżeli Polacy mają odnieść się szczerze do własnej historii i zobaczyć w niej również to, czego winniśmy się wstydzić, to to samo muszą zrobić i Niemcy — i to nie na poziomie politycznym, tylko na poziomie głębokim duchowym, i Żydzi, i Sowieci. Tymczasem po stronie żydowskiej, i po stronie sowieckiej — strony sowieckiej mówią, że nie ma, bo jest tylko Rosja, a więc Sowieci się rozpłynęli — po stronie żydowskiej nie ma nikogo, kto by chciał podjąć rzetelny obrachunek z żydowską historią. Czyli z żydowskim uwikłaniem w komunizm, z żydowską współpracą z NKWD podczas wojny i później, również z żydowską partyzantką walczącą z Polakami, z Żydami, którzy w 39 roku tak, jak w Grodnie, stanęli przeciwko Polakom, a nie przeciwko Sowietom. A więc byli to sąsiedzi — to prawda — którzy też mają sobie coś do wyrzucenia.

I dwie krótkie ostatnie uwagi. To, co obserwujemy dzisiaj, to nie jest żadna debata historyczna. Książka „Sąsiedzi" miała być wydana w Ameryce, i lada dzień będzie, ale tytuł w Ameryce miał być inny. Miał brzmieć nie „Sąsiedzi", tylko „Zapomniane

`Przełożenie kasety magnetofonowej`

. . . byli przedstawiani obok Niemców jako ci, którzy sprawili Żydom Holokaust. Jeżeli jakiś tytuł układa światowa organizacja, to z całą pewnością nie o beletrystykę, ani o historię chodzi —- chodzi

o politykę. I tego powinniśmy być świadomi.

I ostatnia uwaga. Można by powiedzieć tak: „O co w tym wszystkim chodzi?" Jeżeli ktoś mówi, że powinniśmy przeprosić Żydów, to w moim przekonaniu odpowiadam: „Zdecydowanie nie!" Dlaczego? Ponieważ istnieje różnica pomiędzy przeproszeniem, a pojednaniem. Kiedy człowiek zaczyna przepraszać, to można mu codziennie dać okazję do przeprosin. Wczoraj Auschwitz, dziś Jedwabne, jutro Radziłów, pojutrze jeszcze coś, za rok jeszcze coś itd. Otóż przeprosiny to jest postawa jednej strony. Ona nic nie daje. Nie daje tam zwłaszcza, gdzie jest zła wola.

To, czego naprawdę potrzeba, to jest pojednanie. Pojednanie to jest wola dwóch stron. Wtedy możemy i powinniśmy przeprosić wyciągając rękę, kiedy ta ręka spotyka drugą rękę. Kiedy ta ręka rzeczywiście jest wyciągnięta w geście pojednania, po którym mówimy: „Zaczynamy nową przyszłość!" Tak jest w rodzinie, kiedy dziecko przeprasza rodziców, tak jest między mężem i żoną. Nie jednostronne przeprosiny li tylko, tylko właśnie pojednanie. I pomiędzy narodami podobnie. Pojednanie zakłada dobrą wolę z dwóch stron — ze strony i jednej, i drugiej. Czy ta wola pojednania jest po obydwu stronach — zostawiam to raczej państwu pod refleksję. Obawiam się, że nie. Że jest to ciągłe wzywanie nas do przeprosin. Dlaczego do przeprosin? Dlatego, bo przeprosiny można łatwo przełożyć później na żądania finansowe i ekonomiczne. Natomiast tam, gdzie jest pojednanie, to oczywiście żądania stają się kłopotliwe. I z tego tytułu jest bardzo bolesne, że wielu polskich polityków — a rząd mamy, jak się wydaje, centrowy czy prawicowy, i który w gruncie rzeczy został wybrany głosami katolików, tak to trzeba nazwać — że wielu polskich polityków dzień w dzień prawie zaczyna mówić o przeproszeniu: przeprośmy, przeprośmy! Do Prymasa idą delegacje zachęcające do przeproszenia, do biskupa łomżyńskiego, do nas — „Przepraszajcie!" I ks. Prymas bardzo dobrze powiedział parę dni temu. Że proszę nie przysyłać do mnie delegacji polityków, i nie instrumentalizować Kościoła dla takich rzeczy. Przeprosiny bowiem są głęboką postawą duchową.

Zatem sądzę, że jakby to bilansując możemy powiedzieć tak. Jeżeli chcemy zdecydować się na nową przyszłość w tych wzajemnych stosunkach, to muszą to zrobić obie strony. I wtedy warunkiem pojednania jest najpierw powiedzenie pełnej prawdy, jedna i druga strona, jest wyciągniecie ręki do zgody, są przeprosiny — jest właśnie pojednanie. Czy to nastąpi? Trudno powiedzieć. Wydaje się, że w najbliższej przyszłości raczej nie.

Na następne nasze spotkanie bardzo serdecznie zapraszam państwa na 9 kwietnia. Dzisiaj na koniec tego bolesnego również tematu myślę, że będzie dobrą rzeczą, jeżeli pomodlimy się do Pana Boga za zmarłych, poległych, pomordowanych. Także tych, którzy zostali zamordowani w Jedwabnem i gdzie indziej, za Polaków, Żydów, Rosjan, Niemców, i każdego innego człowieka, który w rozmaitych okolicznościach przeszedł do Pana Boga, nieraz w sposób, który urągał ludzkiej godności. Pomodlimy się za nich wszystkich. Pomodlimy się również, żeby Pan Bóg strzegł nasze serca i nasze wnętrza od wszelkiej nienawiści, od obłudy, i od uprzedzeń, zwłaszcza takich, które miałyby powodować krzywdę naszych bliźnich.

Ojcze nasz ... Zdrowaś Maryjo ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3.7 List do Kościoła w Filadelfii (dn. 9 kwietnia 2001)

Zanim przejdziemy do Kościoła w Filadelfii, najpierw do tekstu z Apokalipsy św. Jana, a następnie do objaśnienia tego tekstu, zanim uda nam się wydobyć z tego tekstu coś być może ważnego również i dla nas, to chciałbym nawiązać do tego wątku, do tego motywu, z którym prawie zawsze rozpoczynam te konferencje — zwłaszcza te dla państwa, i który, kiedy staje się przed państwem zwłaszcza, na samym początku narzuca się z taką oczywistością, że nie sposób o nim nie wspomnieć. Mianowicie wydaje mi się, że w starożytności, kiedy powstawały te pierwsze wspólnoty chrześcijańskie, kiedy powstawały pierwsze parafie w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, to te pierwsze zgromadzenia liturgiczne i obok-liturgiczne wyglądały właśnie mniej więcej tak. Nie było przecież jeszcze świątyń, nie było dużych kościołów, raczej były większe domy. I w tych domach, a może nawet na otwartej przestrzeni, zwłaszcza w pobliżu rzeki czy w pobliżu źródła, gdzieś pod drzewami w cieniu, po południu czy wieczorem, zbierali się tamtejsi chrześcijanie, aby rozważać Słowo Boże — najpierw w Ewangeliach, a następnie to, które kierowali do nich apostołowie którzy przecież sami byli świadkami życia, i działalności, męki i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. I skoro tak się działo, że rozważano to Słowo Boże, i że kierowali apostołowie listy, które były odczytywane i rozważane tak, jak my teraz to rozważamy, to możemy, kiedy się zbieramy tak, jak dzisiaj, możemy czuć się spadkobiercami tamtej dawnej tradycji wczesnochrześcijańskiej.

Wiele do myślenia daje to, że zarówno wtedy jak i dzisiaj przychodzą dziesiątki i setki osób, które chcą głębiej zrozumieć siebie, odnieść swoje życie do Pana Boga, i głębiej żyć wiarą niż kiedykolwiek przedtem. To jest właśnie jakaś ta życiodajna moc Słowa Bożego, które — jak mówił już Stary Testament — jest skuteczniejsze niż wszelki miecz obosieczny. Bo to Słowo Boże pomaga nam odróżnić rzeczy ważne od mniej ważnych, rzeczy zasadnicze od tych, nad którymi możemy przejść do porządku dziennego.

Wspominałem państwu, że kiedy dzisiaj wracamy myślą do tamtych listów, możemy sobie wyobrazić takiego wysłańca apostoła, który przybywa z króciutkimi listami do poszczególnych wspólnot, tam je odczytuje w języku greckim — bo grecki był językiem tych właśnie Kościołów apostolskich — a następnie rozpoczynała się dyskusja. Rozpoczynała się rozmowa, zadawano mu pytania, odpowiadał na te pytania. Pytano: „Jak mamy żyć? Co mamy robić? Jak mamy się zachowywać?" Również zgłaszano rozmaite wątpliwości itd. Były więc to na pewno długie wieczory, ale ślady tego wszystkiego zachowały się tylko w skąpych listach. I to, co my możemy dzisiaj zrobić, to po pierwsze przeczytać te listy bardzo dokładnie — niestety tylko po polsku, i możemy z każdego słowa zaczerpnąć jakąś naukę dla siebie. Nie tylko po to, żeby te listy lepiej zrozumieć, ale przede wszystkim po to, żeby lepiej zrozumieć samych siebie.

Dzisiaj mamy następny list, jeden z najdłuższych spośród tych siedmiu listów. I jak państwo pamiętają wspominałem również o tym, że te listy są ułożone do poszczególnych Kościołów według ruchu wskazówek zegara, zaczynając mniej więcej gdzieś od godziny dziewiątej. Na wysokości tej godziny dziewiątej to byłby pierwszy list, do Efezjan. Następnie drugi list, to gdzieś nasza godzina dziesiąta. Około południa mielibyśmy list do Kościoła najbardziej wysuniętego na północ w Pergamonie. Potem przesuwamy się na mapie na prawo, czyli w topografii Azji Mniejszej bardziej na wschód, mamy Kościół w Tiatyrze. Następnie Kościół w Sardes. I gdzieś na wysokości naszej trzeciej - czwartej godziny po południu mamy Kościół w Filadelfii. I tam, w tamtejszych okolicach, będzie jeszcze Kościół w Laodycei. To dziwne, przynajmniej mi zawsze wydaje się bardzo dziwne, jak to jest możliwe, żeby starożytni ludzie, którzy przecież nie mieli takich map, jakie my mamy dzisiaj, nie mogli wzbić się w powietrze i podróżować gdzieś tam nad ziemią — skąd mieli takie doskonałe rozeznanie o geografii i o topografii? Próbują to dzisiejsi geografowie zgadywać. Rzecz jasna istnieją pewne domysły, ale wiele na ten temat powiedzieć się nie da. Wiemy tylko, że to rozeznanie było naprawdę znakomite. I wyobrażamy sobie takiego wysłańca przybywającego do kościoła w Filadelfii. Cóż to było za miasto?

Musimy zacząć od krótkiej historii tego miasta, bo ta historia jest pod wieloma względami bardzo interesująca. To miasto, w starożytności nazywające się Filadelfia, miało jeszcze dwie inne nazwy greckie — o których za moment. Natomiast dzisiaj turecka nazwa tego miasta brzmi Alasehir. Jeżeli ktokolwiek wybiera się do dzisiejszej Turcji i powie, że chciałby jechać do Filadelfii, w

żadnym wypadku tam nie trafi. Trzeba by było mieć jakąś bardzo dobrą mapę, zwłaszcza z odniesieniami biblijnymi, żeby ową Filadelfię znaleźć. Normalnie biorąc trzeba szukać Alasehir. Położenie owego Alasehir jest dość osobliwe. Ono znajduje się nad rzeką. Nie jest to wielka rzeka, taki, powiedzmy sobie, nasz Wieprz albo coś podobnego, i to nie tam, gdzie wpływa do Wisły, tylko dużo wcześniej. Ale jest to rzeka całoroczna. I z jednej strony, od zachodu, są wzniesienia, które potem przechodzą w zupełnie duże góry. Natomiast od wschodu owego Alasehir jest bardzo żyzna dolina. Tam w starożytności było rozwinięte rolnictwo. I co ciekawe, w starożytności sadzono tam bardzo dużo winnic. Do tego stopnie było ich mnóstwo, że sam cesarz, o czym zaraz powiemy, zaczął się obawiać, że te winnice z Azji Mniejszej mogą zagrozić winnicom w Italii. I w związku z tym wydał karygodne rozporządzenie, które po dzień dzisiejszy budzi zdumienie i przerażenie. Ale o tym za moment. Również w starożytności, tak jak i dzisiaj, oprócz winnic rosły tam zboża, przede wszystkim pszenica. Ponieważ ziemia była bardzo dobra, okolica była zawsze dostatnia.

Ale Filadelfia miała jeden mankament. Mianowicie była położona na płycie geologicznie niepewnej, i narażona była w starożytności, a zapewne także i dzisiaj, na trzęsienia ziemi. Jeżeli we współczesnej Turcji było trzęsienie ziemi, to w Filadelfii dawało się nieźle we znaki.

Mamy wątpliwości co do założenia tego miasta. Albo nastąpiło to za króla Pergamonu Eumenesa II, który rządził w latach 197 – 159 przed Chrystusem czyli pierwsza połowa II wieku, albo też jest drugie domniemanie, drugie przypuszczenie: zostało założone w okresie rządów jego brata, który przeżył tamtego i miał na imię Attalos. A ponieważ rządził jako drugi o tym imieniu, nadano mu przydomek Drugi, Attalos II. On też był królem Pergamonu, w latach 159 – 138 przed Chrystusem. Jedno zatem nie ulega wątpliwości — że Filadelfia została założona w I połowie II wieku, bądź na samym początku II połowy II wieku przed Chrystusem, czyli mniej więcej gdzieś w latach 180 – 140 przed Chrystusem. Dokładnie niestety tego nie wiemy, ale i tak wiemy bardzo dużo.

Jeżeli założył to ów pierwszy król, Eumenes, to nazwał je ku czci swojego brata, z którym bardzo się kochali — nazwał je Filadelfia, co po polsku znaczy *braterska miłość, miłość bratnia.* Jeżeli dla odmiany założył to ów młodszy brat, to uhonorował w ten sposób swojego starszego brata. Tak czy inaczej w nazwie tego miasta mamy wyraźną aluzję do silnej braterskiej miłości, która łączyła dwóch kolejnych władców Pergamonu, Eumenesa i Attalosa. Zatem dzieje bardzo piękne, wręcz legendarne — taka legenda o miłości dwóch braci, i stąd nazwa tego miasta. Popatrzmy, że miasto jest stosunkowo późnego pochodzenia. Dlatego, że jeżeli na terenie Azji Mniejszej, bądź na Bliskim Wschodzie, miasto pochodzi z drugiej połowy drugiego wieku przed Chrystusem, to takie miasto ma już obok, po sąsiedzku, wiele innych starszych miast. Efez miał już za sobą kilkaset lat historii, to samo Pergamon, to samo Sardes — z tych miast, o których żeśmy do tej pory wspominali.

Więc Filadelfia była miastem stosunkowo młodym, nie było tam żadnych przedgreckich, przedhellenistycznych skojarzeń. To spowodowało, że w czasach Jezusa Chrystusa, i w czasach apostolskich, Filadelfia rozwijała się niesłychanie prężnie. Filadelfia dała też początek pewnemu zwyczajowi, który utrzymał się w świecie starożytnym. Mianowicie ta miłość obydwu braci stała się tak znana, i samo miasto Filadelfia cieszyło się takim uznaniem, że inni naśladowali tych obydwu braci — nie wiadomo, czy w miłości, ale na pewno w nadawaniu takich nazw. I jeżeli państwo znają taką nazwę *Rabbat Ammon* albo *Ammon* — to jest miasto, które dzisiaj jest stolicą Jordanii, Amman, to ono na początku I wieku również zostało nazwane Filadelfia, na wzór tej Filadelfii w Azji Mniejszej. I przez kilkaset lat, aż do podbojów arabskich, Ammon, dzisiaj Amman, nosił nazwę Filadelfia. Nie potrzeba dodawać, że nazwę *Filadelfia,* jako nazwę biblijną, przeniesiono również na kontynent amerykański. Tam w wieku XVII i XVIII ton nadawali Żydzi i protestanci. Jedni i drudzy dobrze znają Pismo Święte, i mnóstwo nazw na terenie Ameryki to są nazwy żywcem przejęte z Pisma Świętego. I mamy zatem i w Stanach Zjednoczonych nazwę *Filadelfia,* i tę Filadelfię amerykańską bardzo dobrze znamy. Natomiast Filadelfię na terenie Azji Mniejszej i Jordanii znamy jak gdyby mniej.

Zatem w II wieku założono miasto, które bardzo prężnie się rozwijało. Było ono założone na planie normalnego miasta hellenistycznego. Różniło się tylko tym, że nie miało swojego portu, nie miało wody — Grecy byli raczej przyzwyczajeni do wody, do portu, bądź w najgorszym wypadku do rzeki. Filadelfia czegoś takiego mieć nie mogła, była miastem lądowym, stąd jej rozwój był mimo wszystko dość ograniczony. Leżała na bardzo ważnym szlaku handlowym. Wystarczyło by zerknąć na mapę, zobaczyć dzisiejszy turecki Alasehir, aby zobaczyć, iż w starożytności ona łączyła

Wschód z Zachodem. Tamtędy biegła droga z Sardes i Pergamonu w kierunku Laodycei i Hierapolis (dzisiejsze Pamukkale). Ta droga łączyła zatem wybrzeże Morza Śródziemnego ze środkową Azją Mniejszą, a dalej biegła do Kapadocji, czyli do wschodniej dzisiejszej Turcji, a potem dalej na tereny dzisiejszego Iranu czy Iraku. Z tego położenia Filadelfia czerpała ogromne zyski. Przewalały się tamtędy i karawany, i oddziały wojskowe, i kupcy, i handlarze. I to dla Filadelfii było czymś bardzo pożytecznym.

Tam również był starożytności tak, jak i dzisiaj, w przemysł skórzany, i przemysł tekstylny, ponieważ było zarówno mnóstwo owiec i kóz, jak też uprawiano rozmaite rośliny. Dzisiaj zwłaszcza uprawia się tam bawełnę. W starożytności oczywiście bawełny tam nie było, została sprowadzona dużo później, ale był tam len w starożytności. Z tego powodu Filadelfia była znana również jako ośrodek przemysłu tekstylnego.

Ja w Alasehir byłem tylko dwa razy, chociaż w Turcji znacznie więcej razy dlatego, że dzisiaj Alasehir jest nie bardzo po drodze. Dzisiaj trzeba nadrobić mniej więcej 40 - ro km od wielkiej drogi, która tamtędy przebiega. I dzisiaj, kiedy się jedzie do Alasehir, to wrażenie jest dość osobliwe. Przede wszystkim w lecie jest tam strasznie gorąco dlatego, bo klimat się nieco zmienił. W czasach Ataturka, i później, przeprowadzono melioracje, to jest jedna sprawa. Opadł poziom wód gruntowych. Po drugie ziemia się nieco wyjałowiła, rzeka zrobiła się mniejsza, niż była przedtem. W związku z tym klimat jest dużo bardziej gorący, natomiast w zimie jest chłodniej. Ponadto można tam dojechać tylko autobusem, i to autobusem tureckim, lub prywatnym samochodem.

I dzisiaj na terenie Alasehir właściwie z odległej starożytności zachowały się jedynie pozostałości jednego z kościołów bizantyjskich, który jeszcze pod koniec pierwszego tysiąclecia, czyli gdzieś w latach 900 - 1000, był używany, a następnie został zburzony. I dziś pozostały tylko skąpe mury tej jednej świątyni, i resztki chrześcijańskich mozaik. Poza tym nie zachowało się nic!

Albo inaczej: zapewne zachowało się coś ze starożytnego miasta. Tylko problem polega na tym, że na tych ruinach, na tych pozostałościach wybudowano miasto tureckie. I dzisiaj archeolog nie może tam łopaty włożyć, bo wszędzie mieszkają ludzie. Ulice są wąskie, domy są nie wyższe niż dwupiętrowe — bo jest to strefa sejsmiczna.

Więc dziś nie można niestety odszukać tam nic z odległej starożytności. Można tylko zobaczyć te skąpe pozostałości jednego bizantyjskiego kościoła. W związku z tym problem: czy opłaci się jechać do Alasehir? Zapewne opłaci się. Jeżeli ktokolwiek miałby możliwość, to warto zobaczyć ten kościół, te ruiny, które zostały zamienione na muzeum. Trzeba tam zapłacić bilet. Jest taka rodzina turecka, która pilnuje tego, żeby bez biletu nie wejść. Ale rzecz jasna wszystko, co można oglądać, zmieści się na 5 - 6 fotografiach. To wszystko, co pozostało z chwały dawnej Filadelfii.

Dwie rzeczy zasługują jeszcze na uwagę. Pierwsza to ta że, jak państwu mówiłem, miasto jest położone w rejonie, gdzie zdarzają się trzęsienia ziemi. Największe z nich miało miejsce w 17 roku naszej ery, czyli kiedy Jezus prowadził tzw. życie ukryte w Nazarecie. W 17 roku trzęsienie było tak przeogromne, że zburzyło całe to miasto, które wtedy miało za sobą ok. 150 lat istnienia. Do tego stopnia zburzyło, że przez pięć lat pozostawało niezamieszkałe. Oczywiście w starożytności budowanie domów wyglądało inaczej, niż dzisiaj. One nie były tak trwałe. Ale i dzisiaj na terenie Turcji jakość tych domów jest kiepska. W starożytności zapewne była jeszcze gorsza. Przez pięć lat miasto było zupełnie opuszczone.

Dlatego w starożytnej świadomości tych ludzi — to będzie ważne do tego, żeby zrozumieć tekst, który przeczytamy — było takie poczucie zagrożenia, poczucie przejściowości jak u kogoś, kto mieszka pod wulkanem. Właśnie tak samo u kogoś, kto przeżył trzęsienie ziemi. Otóż jeżeli ktoś przeżył duże trzęsienie ziemi, zostawia to na nim trwałe ślady gorsze, niż jakiekolwiek inne wydarzenie. Dlatego, że dla człowieka jest jakąś wielką traumą przeżyć ruszanie się gruntu pod nogami. Normalnie grunt jest czymś najbardziej trwałym. Wydaje nam się, że nic nam na gruncie nie grozi. Boimy się w powietrzu, lękamy się na wodzie, natomiast ziemia, być na ziemi, jest to jakieś poczucie bezpieczeństwa. Tamci przeżyje straszliwe trzęsienie ziemi. Każdy, kto je przeżyje, traci to poczucie bezpieczeństwa, ma poczucie takiej przejściowości i poczucie lęku.

Otóż rzymski cesarz Tyberiusz, panujący w czasach, kiedy żył Jezus Chrystus, kilka lat po tym trzęsieniu ziemi wydał polecenie odbudowania Filadelfii, i przeznaczył na to pewne środki finansowe. I właśnie wtedy mieszkańcy Filadelfii, chcąc uczcić cesarza, nazwali swoje miasto *Neocezarea* czyli jak gdyby *Nowe Cesarzowo.* A ponieważ raz zmieniono nazwę, to potem było łatwo zmienić

znowu. I za rządów cesarza Wespazjana, ok. 60 roku po Chrystusie, czyli nieco ponad 30 lat później, jeszcze raz zmieniono tę nazwę. Wtedy miasto otrzymało nazwę *Flavia.* A więc: Filadelfia, Neocezarea, Flavia — wszystko to były nazwy tego samego miasta. Zmiany nazw spowodowały, że w świadomości tamtejszych mieszkańców poczucie przejściowości jeszcze bardziej się nasiliło. Nie mieli takiego poczucia bezpieczeństwa. Bo mieszkali gdzieś, gdzie w każdej chwili grozi trzęsienie ziemi. I jednocześnie mieszkali w mieście, które za życia jednego pokolenia miało aż trzy nazwy — może trochę tak, jak było z Katowicami, albo trochę tak, jak w wielu miastach byłego Związku Radzieckiego, gdzie trzeba było się przyzwyczajać do nowych nazw, co oczywiście szło z oporami.

I druga rzecz zasługuje jeszcze na uwagę, ta, o której wspomniałem. Za chwilę już przejdziemy do Listu, ale musimy o tym powiedzieć. W okolicach Filadelfii były bardzo urodzajne winnice. Były sławne, i wyrabiano tam wino. Dopiero, jak państwo się domyślają, kiedy przyszli Arabowie na tamte tereny, a potem Turcy, którzy są muzułmanami, i nie ma tam kultury wina, ani kultury picia wina, wszystkie winnice zostały zniszczone. I dzisiaj w krajach muzułmańskich, nawet jeżeli można uprawiać winorośl, to na ogół się wina nie produkuje, bo alkoholu nie piją. Otóż w I wieku tych winnic było całe mnóstwo.

I w roku 92, czyli na kilka lat przed napisaniem Apokalipsy, rzymski cesarz Domicjan — ten sam, za którego rządów zostały te Listy napisane — wydał polecenie wycięcia winnic w okolicy Filadelfii. Historycy sprzeczają się, co kierowało cesarzem, iż wydał takie szatańskie polecenie. Nakazał wyciąć połowę winnic. Ale kto dokładnie zmierzy, ile jest połowa w takim przypadku. I te winnice zostały zdziesiątkowane. Jedni historycy mówią, że wyciął winnice na terenie Azji Mniejszej, żeby nie było konkurencji tamtego wina dla wina włoskiego, italskiego. Drudzy mówią, że powód tej decyzji cesarskiej był inny. Mianowicie cesarz wiedział, że gleba w tych okolicach jest urodzajna. I winnic mieli u siebie pod Rzymem pod dostatkiem. W związku z tym postanowił przeznaczyć tę ziemię na uprawy pod pszenicę. Nakazał więc wykarczować winnice, i zasiać tam pszenicę i inne zboża, żeby uczynić z tych terenów spichlerz dla Rzymu. Jakkolwiek by było, to właśnie w połowie lat 90. te okolice przeżyły wielki dramat dlatego, że dla starożytnego człowieka wycięcie drzew, i to masowo, na wielu kilometrach kwadratowych, graniczyło z prawdziwą katastrofą.

Dopiero teraz, jak myślę, możemy przeczytać nasz list, i przejść do jego objaśnienia. Bo oto do ludzi, którzy mieszkali w Filadelfii, i mieszkali w takim właśnie kontekście, apostoł Jan napisał tak:

> Aniołowi Kościoła w Filadelfii napisz:
> To mówi Święty, Prawdomówny,
> Ten, co ma klucz Dawida,
> Ten, co otwiera, a nikt nie zamknie,
> i Ten, co zamyka, a nikt nie otwiera.
> Znam twoje czyny.
> Oto postawiłem jako dar przed tobą drzwi otwarte,
> których nikt nie może zamknąć,
> bo ty chociaż moc masz znikomą,
> zachowałeś moje słowo
> i nie zaparłeś się mego imienia.
> Oto Ja ci daję [ludzi] z synagogi szatana,
> spośród tych, którzy mówią o sobie, że są Żydami -
> a nie są nimi, lecz kłamią.
> Oto sprawię, iż przyjdą i padną na twarz przed twoimi stopami,
> a poznają, że Ja cię umiłowałem.
> Skoro zachowałeś nakaz mojej wytrwałości
> i Ja cię zachowam od próby,
> która ma nadejść na cały obszar zamieszkany,
> by wypróbować mieszkańców ziemi.
> Przyjdę niebawem:
> Trzymaj, co masz,
> by nikt twego wieńca nie zabrał!
> Zwycięzcę uczynię filarem w świątyni Boga mojego

i już nie wyjdzie na zewnątrz.
I na nim imię Boga mojego napiszę
i imię miasta Boga mojego,
Nowego Jeruzalem, co z nieba zstępuje od mego Boga,
i moje nowe imię.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

List jest trudny, pełen symboliki, pełen zawoalowanego sposobu myślenia. Ale myślę że po tym, co powiedzieliśmy, jesteśmy w stanie lepiej go zrozumieć. Musimy bowiem zacząć od pewnego pytania, którego do tej pory nie postawiliśmy sobie. Kto mieszkał w starożytnej Filadelfii? Na pewno mieszkali Grecy, być może nawet trochę Syryjczyków. Ale bardziej prawdopodobne jest, że najwięcej było Greków osadzonych przez obydwu władców Pergamonu, ponieważ ten teren był właśnie pod kontrolą władców Pergamonu.

Ale mieszkali tam również Żydzi. Ile ich było – trudno powiedzieć. Nie ulega jednak wątpliwości, że było ich sporo. Mieszkali oni w każdym z miast Azji Mniejszej, i tutaj też. Nawiązanie do ich obecności w Filadelfii mamy również w naszym tekście. Apostoł Jan kieruje ten tekst do chrześcijan. Ale ci chrześcijanie, do których kieruje swój list, to byli nowo nawróceni Żydzi. Zatem najważniejszy konflikt, największy konflikt, który tam był, i napięcia, które tam istniały, były pomiędzy tymi Żydami, którzy uwierzyli w Jezusa i byli chrześcijanami, oraz tymi Żydami, którzy nie uwierzyli w Jezusa. Oczywiście spór był o to, kto jest prawdziwym spadkobiercą Starego Testamentu. Kto jest Mesjaszem: Jezus, który już przyszedł, czy być może Mesjasz, który jeszcze w ogóle nie przyszedł.

A także spór o to, jakie jest miejsce pogan, którzy stają się wyznawcami Boga Jedynego. Otóż ci Żydzi, którzy nie chcieli uwierzyć w Jezusa, nie uwierzyli w Jezusa, ściągali pogan do siebie, bo judaizm był wtedy religią misyjną. Ściągali pogan do siebie — ale po to, żeby uczynić z nich pod każdym względem Żydów, uczynić ich Żydami. Poddawali ich wszystkim żydowskim zwyczajom, włącznie z obrzezaniem, tak, aby w drugim i trzecim pokoleniu pamięć o tym, że byli poganami, zupełnie przepadła. Mówiąc prawdę coś podobnego dzieje się i w naszych czasach. Mianowicie Żydzi, po początkowych oporach, chętnie przyjmują w swoje szeregi zwłaszcza ludzi młodych, chłopców i dziewczęta. Chętnie przyjmują w swoje szeregi i przygotowują do tego, żeby stali się wyznawcami judaizmu bądź Żydami, i zapomnieli o swoim pochodzeniu. Każdy zastrzyk świeżej krwi jest mile widziany. W starożytności było właśnie tak samo.

Chrześcijanie dla odmiany, ci żydowskiego pochodzenia, przyjmowali pogan do Kościoła, ale nie wymagali od nich podporządkowania się wszystkim żydowskim zwyczajom. I w Filadelfii, jak możemy wnosić, wewnętrzne napięcia między Żydami, tymi nie-chrześcijanami i chrześcijanami, były bardzo silne. Państwo zwrócą uwagę, że te napięcia były także w innych Kościołach, wspominaliśmy o tym bardzo często. A największe z nich, mówiliśmy o tym kilka miesięcy temu, były w Smyrnie, w dzisiejszym Izmirze.

W tekście czytamy:

Aniołowi Kościoła w Filadelfii napisz:
To mówi Święty, Prawdomówny,
Ten, co ma klucz Dawida,
Ten, co otwiera, a nikt nie zamknie,
i Ten, co zamyka, a nikt nie otworzy.

Mamy tutaj nawiązanie do dawnej, starożytnej idei miasta. Czym się różniło miasto od wsi? Otóż tym, że miasto było otoczone murami, nic poza tym. Natomiast wsie i osady nie miały murów obronnych. Mogło być więc tak, że miasto było w gruncie rzeczy bardzo małe, ale miało mury i przez to stawało się miastem, bo dawało obronę. Natomiast wsie czy rozmaite osady mogły być nawet bardzo rozległe, ale pozbawione murów pozostawały wsiami. W języku hebrajskim istnieje słowo ir oznaczające miasto, przy czym ir jest rodzaju żeńskiego, bo miasto jest jak matka, która daje życie. Miasto jest jak matka, która zapewnia poczucie bezpieczeństwa. Natomiast osady dookoła miasta, wsie dookoła miasta są nazywane banot, znaczy to po polsku *córki.* Mówi się zatem, jest to bardzo piękny obrazowy język, np. Jerozolima i jej córki, Hajfa i jej córki, Tyberiada i jej córki. Podaje się nazwę, i mówi się *córki.* To znaczy po polsku: Jerozolima i przedmieścia, Hajfa

i przedmieścia, Tyberiada i przedmieścia. Tak zwraca się uwagę na to, że w momencie niebezpieczeństwa, w momencie zagrożenia ci, którzy mieszkali w tych wioskach i osadach, mogli chronić się do miasta. I wtedy zamykano bramy. A gdy było spokojnie, bramy otwierano. Ponieważ Filadelfia była miastem stosunkowo młodym, powiedzieliśmy, że miała ok. 150 lat, i przeżyła trzęsienie ziemi w którym została całkowicie zburzona, zatem odbudowano ją od podstaw, to w świadomości mieszkańców istniało przekonanie, że mieszkają w nowym mieście. Że mieszkają w mieście, z którego są dumni. Że tutaj są bezpieczni, mogą w każdej chwili zamknąć bramy do miasta albo je otworzyć, mogą wejść bądź wyjść, że to daje im gwarancję bycia u siebie. I tu Apostoł, który doskonale wiedział o tej mentalności mieszkańców Filadelfii, nawiązuje do tego i mówi tak: *To mówi Święty, Prawdomówny.* Nawiązuje do tego że to, co powie, jest prawdziwe. Że jest to zapowiedź, są to słowa, które nie wynikają z kłamstwa, z obłudy, z fałszu, tylko że są to słowa prawdy.

Ten, co ma klucz Dawida. Słowa „klucz Dawida" wskazują, że przemawia przede wszystkim do ludzi żydowskiego pochodzenia. Bo dla pogan, dla Greków było by to zupełnie niezrozumiałe. *Ten, co otworzy, a nikt nie zamknie, i Ten, co zamyka, a nikt nie otworzy.* Św. Jan nawiązuje tu jednocześnie do Księgi Izajasza, bo tam jest zapowiedź Mesjasza w rozdz. 22 — Mesjasza, który będzie otwierał to, co zamknięte, zamykał to co zostało otwarte. I jest to aluzja do jego władzy, i mocy przebaczania grzechów.

Tak więc św. Jan w ten zawoalowany sposób chce powiedzieć tak: „Mieszkacie w nowym mieście. Ale klucze do was, do waszej tożsamości, do tego, kim jesteście, ma Chrystus. Otóż jeżeli chcecie zrozumieć siebie będąc chrześcijanami, musicie polegać na Chrystusie, którego posłannictwo wam głoszę. To On zamyka to, co było do tej pory otwarte i otwiera to, co pozostawało zamknięte. A więc On ma władzę kluczy, jeżeli można tak powiedzieć. On przesądza, On decyduje o teraźniejszości, i o przyszłości. Mało tego. To w Nim macie przystęp do Boga. To dzięki Chrystusowi możecie spotkać Boga. Czas oczekiwania — ten w Starym Testamencie — się skończył. Chrystus ma władzę kluczy."

W ten sposób św. Jan — to bardzo dziwne skojarzenie, my dzisiaj tego nie rozumiemy — nawiązuje i do miasta, które było na każdą noc zamykane, i na każde rano otwierane, i nawiązuje do wielkiego, bogatego, dostojnego domu jakiegoś rzymskiego dostojnika, w którym zawsze był klucznik. Klucznik był najbardziej zaufanym sługą owego bogacza. To on miał klucze do całego domu, do spichlerzy, do skarbca. Św. Jan mówi: „Chrystus jest takim waszym klucznikiem." Oczywiście przenosi to na poziom wewnętrzny, na poziom ich sumienia i ich wnętrza. „Jeżeli więc chcecie zrozumieć siebie" — mówi św. Jan — „polegajcie na Chrystusie, który ma klucz do waszych sumień." I co dalej:

> Znam twoje czyny.

A my znamy tą formułę — bo się kilkakrotnie powtarza. Najpierw apostoł patrzy na życie tych chrześcijan, i ocenia życie tych chrześcijan. Daje im poznać, że ich sprawy, ich problemy nie są mu obce. Jeżeli rzeczywiście chcemy do kogoś skutecznie trafić, jeżeli również chcemy głosić Słowo Boże, jeżeli chcemy komuś pomóc, jeżeli chcemy kogoś naprawić, to musimy najpierw starać się go zrozumieć. Spojrzeć na niego jego oczami, znać jego czyny.

> Znam twoje czyny.
> Oto postawiłem jako dar przed tobą drzwi otwarte,
> których nikt nie może zamknąć,
> bo ty chociaż moc masz znikomą,
> zachowałeś moje słowo
> i nie zaparłeś się mego imienia.

Dowiadujemy się, że chrześcijan w Filadelfii było bardzo mało, bo *moc mieli znikomą*. Ale mimo tego, że było ich mało, że stanowili tylko garstkę w obliczu żywiołu pogańskiego i żywiołu żydowskiego, to okazali się wierni wobec Chrystusa. Dlatego św. Jan mówi, że zostawia im *dar otwartych drzwi.* Próbowano przez wieki odgadywać, co znaczy ów dar otwartych drzwi. Jak się wydaje, najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie polega na tym, że ów dar otwartych drzwi oznacza możliwość podejmowania decyzji, możliwość takiego decydowania, jak dyktuje to ich sumienie. Gdzie

indziej chrześcijanie otrzymywali szczegółowe nakazy: róbcie to, zachowujcie się tak, wykonujcie to czy tamto. Tutaj mogą skorzystać z daru wolności dlatego, że tę wolność już odpowiedzialnie kształtowali.

I tak dochodzimy do pewnego paradoksu. Niech państwo zauważą, że te wspólnoty chrześcijańskie w odległej starożytności były najsilniejsze nie tam, gdzie chrześcijan było najwięcej, tylko tam, gdzie chrześcijan było najmniej. Otóż siłą Kościoła nie jest masowość, liczby i statystyki, lecz siłą Kościoła jest jakość wiary i jakość życia tych, którzy do niego należą.

To nam nakazuje spojrzeć zupełnie inaczej także na tzw. pobożność masową. Dlatego że w masie, tam, gdzie jest bardzo dużo ludzi, zdarza się tak, że stawia się kult ponad moralność. Tymczasem to, co decyduje o wartości chrześcijańskiego życia, to jest właśnie moralność. Chrześcijanie w Filadelfii otrzymali dar otwartych drzwi. A więc, można by powiedzieć, decydowania o swoim życiu w świetle tego, kim już byli, i w świetle tych wyborów, które już dokonali. To jest bardzo trudna sprawa. Bo bardzo często koniec końców zdarza się tak, że wierni w spotkaniu z tymi, którzy ich kształtują, chcą gotowych rozwiązań. Tak się zdarza np. szczególnie często — aczkolwiek to bardzo delikatna dziedzina — w sakramencie pokuty: „Co ja mam robić?", albo podczas rozmaitych porad: „Co ja mam robić?" I wtedy ksiądz, duchowny czy ktoś, kogo pytają, przeobraża, się jak gdyby w psychologa, psychoanalityka, albo we wróżkę, i ma dać dokładne rady, dokładne wskazówki, wręcz ma być drogowskazem. Tymczasem cała trudność i dojrzałość chrześcijańska polega na tym, żeby człowiek dokonywał sam trudnych wyborów. *Mając trwały fundament, którym jest Chrystus, żeby sam decydował o swoim własnym życiu. Taka właśnie jest cena wolności, na tym polega dar wolności. Wolność zasadniczo różni się od swawoli, od swobody. Jest darem, który wymaga od człowieka odpowiedzialności.*

I tu *Oto postawiłem jako dar przed tobą drzwi otwarte.* Możesz wejść, możesz wyjść, możesz postąpić tak, możesz postąpić inaczej. Uważam, że jesteś dojrzały — więc zrobisz tak, jak uważasz. Ktoś może pomyśleć: „No, ale to może narazić człowieka, chrześcijanina, na grzechy, na upadki, na złe wybory — i co wtedy?" Ano wtedy przypomnijmy sobie to, o czym już państwo wiedzą, i co w Piśmie Świętym bardzo wyraźnie widać.

Istnieją dwie drogi życia: droga niewinności i droga nawrócenia. Tam, gdzie jest wolność, można korzystać z jednej bądź drugiej. Człowiek może popełnić błędy, grzechy, występki, ale nie one przesądzają o jego klęsce. O jego klęsce przesądza to, jeżeli nie potrafi się z nich podnieść. Natomiast jeżeli człowiek potrafi się podnieść z tego, co jest złe i gnuśne, to wtedy wina, którą zaciągnął, staje się błogosławiona. I znają państwo to wyrażenie o *błogosławionej winie*.

Tak więc w Kościele żyją obok siebie jedni i drudzy — ci, którzy kroczą drogą niewinności, i ci, którzy kroczą drogą nawrócenia. Tam, gdzie jest dar wolności, tam obie drogi są możliwe. Zostawiam *przed tobą otwarte drzwi* licząc, że potrafisz iść jedną bądź drugą drogą, *których nikt nie może zamknąć,* bo jeżeli człowiek jest naprawdę wolny, nic mu nie stanie na przeszkodzie do realizacji tego, co postanowił.

> chociaż moc masz znikomą,
> zachowałeś moje słowo
> i nie zaparłeś się mego imienia.

To był ten największy sukces chrześcijan filadelfijskich. Było ich mało, mogli robić tak, jak uważali, i pozostawali w tym wszystkim wierni Chrystusowi. Nie zaparli się Jego imienia.

> Oto Ja ci daję [ludzi] z synagogi szatana,
> spośród tych, którzy mówią o sobie, że są Żydami -
> a nie są nimi, lecz kłamią.
> Oto sprawię, iż przyjdą i padną na twarz przed twoimi stopami,
> a poznają, że Ja cię umiłowałem.

Są to bardzo mocne słowa, których w Apokalipsie jest więcej. Mianowicie apostoł Jan czyni tu aluzję do konfliktów między chrześcijanami żydowskiego pochodzenia a tymi, *którzy mówią, że są Żydami,* ale w gruncie rzeczy są synagogą szatana. To wyrażenie *synagoga szatana* nawet weszło do języka chrześcijańskiego, i przez Żydów jest traktowane jako jedno z nowotestamentowych źródeł

antysemityzmu. Nie ma wątpliwości, że wyrażenie jest bardzo dosadne. Ale nie ulega też wątpliwości, że w pierwszym wieku między chrześcijanami a Żydami spory były bardzo silne, i że w tamtym okresie prym w tym wszystkim wiedli Żydzi. To oni oskarżali chrześcijan, donosili na chrześcijan do władz pogańskich, oni wszczynali prześladowania chrześcijan bardzo często. I w ten sposób to silne słownictwo to jest również skutek ówczesnych bardzo silnych konfliktów. Apostoł mówi, że oni *mówią o sobie, że są Żydami.* Ale prawdziwymi Żydami tak, jak wyjaśnia to w swojej Ewangelii, są nie ci, którzy mówią o sobie, że są wedle ciała dziećmi Abrahama, lecz ci, którzy są wierni Panu Bogu i jego obietnicom.

Tak zaczyna się konflikt, który trwa po dzień dzisiejszy. Kto jest spadkobiercą Starego Testamentu? Kto jest kontynuatorem obietnic Bożych? Kogo nadal Bóg miłuje? Jest to spór tak jak w rodzinie, który na poziomie dzieci bywa bardzo trywializowany: „Kogo mama bardziej kocha — Jasia czy Małgosię?" Kogo Bóg bardziej kocha — Żydów czy chrześcijan? Żydzi wciąż mówili o sobie wtedy, że pozostają nadal przedmiotem miłości Bożej. A chrześcijanie mówili; „Nie, to my, którzy uznaliśmy Jezusa Chrystusa, jesteśmy teraz umiłowanymi dziećmi Boga." Św. Jan podpowiada: oto *poznają, że Ja cię umiłowałem.* Zapowiada, że w przyszłości — trudno powiedzieć, bliskiej czy odległej — ci Żydzi, którzy nie uznali Jezusa Chrystusa będą musieli uznać hegemonię chrześcijan. Tak się stało, ale od IV wieku dopiero. Wtedy role się odwróciły. Ponieważ chrześcijaństwo stało się oficjalną religią Imperium Rzymskiego, Żydzi mieli coraz mniej do powiedzenia. Ton wzajemnym stosunkom zaczęli nadawać chrześcijanie. Było w ciągu wieków kilka odstępstw od tej reguły. Najważniejszy wyjątek to były lata 360 - 362, kiedy to cesarz Julian, nazwany później Apostatą (odstępcą), za namową Żydów, którzy byli w jego bliskim otoczeniu, nakazał odbudowę świątyni jerozolimskiej. Ale Julian bardzo szybko zmarł, po niecałych dwóch latach rządów, od tego zamiaru odstąpiono. I od tamtej pory, można by powiedzieć, hegemonia w tych wzajemnych stosunkach należała do chrześcijan. Dalej:

> Skoro zachowałeś nakaz mojej wytrwałości
> i Ja cię zachowam od próby,
> która ma nadejść na cały obszar zamieszkany,
> by wypróbować mieszkańców ziemi.

Cóż to za próba? Otóż komentatorzy zgadzają się, że próba, o której tutaj mowa, to jest owa katastrofa związana z wycięciem winnic. Miała ona miejsce w r. 92 - 93, kiedy to cesarz polecił te winnice wyciąć. I oczywiście nad miejscową ludnością zawiało widmo zagłady. Chrześcijanie otrzymują tutaj zapowiedź, że ponieważ okazaliście się wytrwali, *zachowam wad od tej wielkiej próby.* Była to rzeczywiście bardzo ciężka próba dla ludności zamieszkałej w Filadelfii i bezpośrednich okolicach. Ona spowodowała, że wielu ludzi stamtąd się wyniosło. Jednak chrześcijanie w Filadelfii pozostali. A potem byli nawet tak silni, że w V i VI wieku wybudowali tam wspaniałe kościoły, których resztki zachowały się do dnia dzisiejszego. Filadelfia stała się miastem typowo chrześcijańskim. Zatem w czasie tej klęski, tego masowego wycinania winnic, kiedy ludzie tracili środki do życia, i nie mogli się przekwalifikować na inne dochody, chrześcijanie w Filadelfii się ostali.

> Zwycięzcę uczynię filarem w świątyni Boga mojego
> i już nie wyjdzie na zewnątrz.
> I na nim imię Boga mojego napiszę
> i imię miasta Boga mojego,

Tak mamy nawiązanie do Jerozolimy, mamy nawiązanie do Jeruzalem Nowego. Otóż cały czas apostoł, który myślał bardzo głęboko i bardzo symbolicznie, obraca się między tym jednym małym miastem, do którego pisze, a Jerozolimą, którą bardzo umiłował i której nigdy nie zobaczy. Jerozolima leżała w gruzach, więc apostoł powiada: Jerozolima może być wszędzie. Tam, gdzie są wierzący w Boga jedynego, tam jest miasto święte. Zatem zwracając się do chrześcijan filadelfijskich mówi im: „Ponieważ okazaliście się wierni Bogu, wierni Chrystusowi i jego woli, to przejęliście jak gdyby wszystkie przywileje Jerozolimy. Zatem wam przysługuje również przywilej tego zwycięstwa." Zwróćmy uwagę że ta wizja, którą maluje apostoł, tym mieszkańcom niewielkiej w końcu Filadelfii mogła, czy musiała, się wydać utopijna. Ale przecież było zupełnie inaczej. Wzięli ją za swoją, skoro zachowała się na kartach Apokalipsy. I dalej:

Nowego Jeruzalem, co z nieba zstępuje od mojego Boga,
i moje nowe imię.

Otóż tu mamy znów bardzo zawoalowaną aluzję do tej częstej zmiany imienia Filadelfii. Pamiętamy: nazywała się Nowocezarea, nazywała się Flavia. A apostoł mówi: „Otrzymacie nowe imię. Moje nowe imię. Żebyście mieli pewność, że wierność zostanie zawsze wynagrodzona." I na zakończenie myślę, że takie jest w gruncie rzeczy najbardziej fundamentalne przesłanie tego listu. Że wierność Bogu zawsze się opłaci. Że wierność Panu Bogu nie przechodzi bez echa, nie pozostanie bez nagrody. Że wierność nie zależy od siły, wierność zależy od pojedynczego człowieka. I dopiero wierność pojedynczych ludzi przesądza o wierności całej wspólnoty. Mieszkańcy Filadelfii w niczym nie zostali upomniani. Jest to właściwie jedyny list do Kościoła, w którym nie ma żadnego napomnienia. Ta wspólnota była tak mała, że starała się żyć jak najlepiej. Zatem sensem tego listu jest zachęta do dalszej wierności. Proszę zauważyć, że tak proste przesłanie w gruncie rzeczy pozostaje aktualne we wszystkich czasach. Dlaczego tak jest? Bo jeżeli człowiek jest dobry, jeżeli wszystko idzie dobrze, to wydaje się to jak gdyby nudne. Zło jest bardziej widowiskowe zło jest głośniejsze. Mówimy, jak w tym słynnym przysłowiu, że jeżeli w jakimś mieście żyje jedna zła dziewczyna czy mężczyzna, to wszyscy o nich wiedzą. Ale o dziewięciuset dobrych nie mówi się nic!

I w związku z tym człowiek dobry czuje się jakby niedowartościowany i niezauważony. To jest też cena dobroci, mianowicie swoista pokora. I ci chrześcijanie filadelfijscy, z tego miasta „Braterska Miłość", są zachęcani do wytrwałości w dobrem. Takie w gruncie rzeczy jest przesłanie tego pięknego listu. Myślę, że na progu Wielkiego Tygodnia to przesłanie jest szczególnie ważne, i możemy je sobie wziąć do serca. Bądźmy dobrzy, bo to Bóg widzi, i to Bóg nagradza. I właśnie tego na progu Wielkiego Tygodnia chciałbym państwu bardzo serdecznie życzyć.

Zanim złożę życzenia, dwie krótkie sprawy. Na dzisiaj zapowiadałem, że będzie juz ten album o Azji Mniejszej, ale niestety byłem zbytnim optymistą. Album drukuje się za granicą, jeszcze go nie oprawili. I ma być, przynajmniej tak zapowiadają, na maja. Na nasze następne spotkanie zapraszam bardzo serdecznie w drugi poniedziałek maja, czyli 14 V. I wtedy album zapewne będzie. Zobaczą tam państwo Filadelfię, zobaczą również inne miejscowości, o których tak wiele powiedzieliśmy.

Natomiast dzisiaj można zaopatrzyć się w broszurę, która stanowi zapis wykładu, który miesiąc temu miałem w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego „Drogi i bezdroża dialogu katolicko-żydowskiego". Ponieważ bardzo dużo osób prosiło, żeby to spisać, zostało to spisane i wydane w formie broszury.

Życzę państwu zdrowych, błogosławionych, wspaniałych Świąt. Najpierw głębokich przeżyć w Wielki Czwartek, Piątek i Sobotę, a później błogosławionych Świąt Wielkanocnych. Dużo radości, dużo łask od Boga, zdrowia, i tego, co najlepsze.

3.8 List do Kościoła w Laodycei (dn. 14 maja 2001)

Dzisiaj to nasza przedostatnia konferencja, na ostatnią zaproszę państwa w czerwcu. I tamta będzie kończyła tegoroczny cykl. Będzie to połączone z takim pomysłem – niespodzianką. Natomiast dzisiaj zabieramy się do ostatniego listu z nadzieją, że jego lektura przyniesie nam duchowe owoce. Oczywiście w maju czyta się te listy zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy była jesień i zima. Ja zawsze państwa podziwiałem w listopadzie, grudniu, styczniu, lutym, kiedy to jest naprawdę dość późna pora dnia — a jednak państwo przybywali na te konferencje. Myślę więc, że po całym cyklu jakiś owoc z tego będzie.

Te konferencje dzięki życzliwości jednego z panów, bądź też jego rodziny, zostały spisane. Trzeba by je opracować od strony językowej. I jeżeli udałoby się, można by do tej lektury wrócić. Ale domyślam się że i państwo wiedzą, że tych rozmaitych obowiązków jest sporo. I czasami dobre chęci nie wystarczają, bo brakuje po prostu czasu na różne rzeczy. Teraz też przychodzi czas bardzo trudny, bo jest to koniec roku akademickiego, przyjęcia na nowy rok, egzaminy itd. Więc dopóki z tym mam do czynienia, to trzeba i temu poświęcać sporo czasu.

Zatem dzisiaj list do Kościoła w Laodycei. Jest to jeden z najpiękniejszych listów w Apokalipsie. O Laodycei powiemy sobie za kilka chwil. Natomiast jak państwo pamiętają zawsze schemat naszych konferencji był mniej więcej taki. Najpierw kilka słów na temat danej miejscowości. Oczywiście, ja to powtarzam do znudzenia, że byłoby teraz najlepiej, gdyby się udało zorganizować wyjazd śladami Siedmiu Kościołów Apokalipsy, to nie byłoby lepszej grupy. Takie podróże nazywają się *podróże studyjne.* Nie byłoby lepszej grupy, niż grupa właśnie państwa. Na pewno byśmy przeżywali tam to zupełnie inaczej.

Więc ta znajomość realiów bardzo pomaga. I ta znajomość realiów, czyli to przedstawienie poszczególnych miast, również nam pokazuje że ci, do których apostoł Jan pisał niegdyś swoje listy, byli ludźmi z krwi i kości, takimi samymi, jak my.

Mówiłem państwu kilkakrotnie, i dzisiaj na koniec tych listów raz jeszcze ten obraz przywołuję, że pewnie to zgromadzenie liturgiczne, dla którego czytano listy janowe, wyglądało mniej więcej tak, jak nasze zgromadzenie. Ktoś odczytywał na środku list, natomiast te kilkadziesiąt bądź kilkaset osób go słuchało. Rozmawiano na ten temat, dyskutowano, starano się zapamiętać treść tego listu. A to wszystko dlatego, aby — gdy wybuchną prześladowania — żeby móc powtórzyć treść nauki, a przede wszystkim zachować wierność Ewangelii. Tamte prześladowania to były w latach 90-tych I wieku za rządów cesarza Domicjana. Dzisiaj, dzięki Bogu, takich prześladowań otwartych nie ma, przynajmniej w naszym rejonie Europy, ale świadectwo osób, które chcą pozostać autentycznie wierne Ewangelii, jest chyba tak samo potrzebne, jak było zawsze potrzebne w dziejach Kościoła. Kiedy więc mówimy o tych miejscowościach, chcę państwu pokazać, że to są rzeczy, które miały swój kontekst historyczny, geograficzny, topograficzny.

Potem druga część to zawsze o początkach chrześcijaństwa w tych miejscach. I wreszcie trzecia część to jest list. Dzisiaj też będziemy słuchać wg. tego samego schematu, i będziemy zgłębiać treść listu do Kościoła w Laodycei według tych trzech części. Najpierw chciałbym państwu przeczytać ten list. Myślę, że te osoby, które go ostatnio nie czytały, natychmiast rozpoznają pewne motywy, które weszły na stałe do pobożności, ale także weszły do na stałe teologii, do myślenia religijnego — bowiem ten list do mieszkańców Laodycei zrobił przeogromną karierę. Posłuchajmy go:

> Aniołowi Kościoła w Laodycei napisz:
> To mówi Amen,
> Świadek wierny i prawdomówny,
> Początek stworzenia Bożego:
> Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś.
> Obyś był zimny albo gorący!
> A tak, skoro jesteś letni
> i ani gorący, ani zimny,
> chcę cię wyrzucić z moich ust.
> Ty bowiem mówisz: "Jestem bogaty", i "wzbogaciłem się", i "niczego mi nie potrzeba",
> a nie wiesz, że to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości,
> i biedny i ślepy, i nagi.

Radzę ci kupić u mnie
złota w ogniu oczyszczonego,
abyś się wzbogacił,
i białe szaty,
abyś się oblókł,
a nie ujawniła się haniebna twa nagość,
i balsamu do namaszczenia twych oczu,
byś widział.
Ja wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę.
Bądź więc gorliwy i nawróć się!
Oto stoję u drzwi i kołaczę:
jeśli kto posłyszy mój głos i drzwi otworzy,
wejdę do niego i będę z nim wieczerzał,
a on ze Mną.
Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie,
jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z moim Ojcem na Jego tronie.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Taki jest ten piękny siódmy list, ostatni. A teraz parę słów na temat jego adresatów, i na temat historii miasta. To miasto, o którym dzisiaj mówimy, istniało już w połowie pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem, czyli gdzieś ok. 500 – 400 lat przed Chrystusem, i było wtedy niewielką, ale znaczącą mieściną, i nazywało się Diospolis. W ten sposób w nazwie znalazło wyraz przekonanie, że jest to miasto Zeusa. I czczono tam właśnie główne bóstwo Panteonu greckiego i rzymskiego, czyli właśnie Zeusa. Tym nie mniej było to miasto dość prowincjonalne. Ono jest położone w krainie, której historyczna nazwa brzmi Frygia. Jest to północno-zachodnia Azja Mniejsza, dzisiejsza Turcja, mniej więcej 220 km od Morza Śródziemnego, a więc w głębi lądu. Położone jest nad rzeką Lykos — wspominaliśmy już o niej kilkakrotnie. Rzeka jest niewielka, ale bardzo ważna. Bo cała jej dolina, w której położone jest to miasto, jest bardzo żyzna. I zawsze słynęła z tego, że były tam dobre uprawy, ale także owce. Po dzień dzisiejszy na terenie Turcji istnieje przekonanie, że są trzy regiony, z których owce dają najlepszą wełnę: rejon Ankary (starożytna nazwa miejscowości brzmiała Ancyra, Angora — stąd mówimy o *rasie angorskiej* — stamtąd właśnie się wywodzi), rejon Miletu — nad samym Morzem Śródziemnym, przy ujściu rzeki Meander, i właśnie rejon Laodycei. Dlaczego te owce są tak cenione? Cenione są dlatego, ponieważ wszędzie tam, gdzie się wypasają, jest dużo wody. I to jest bardzo dobra woda, bardzo zdrowa woda. Konsekwentnie ci pasterze, i wytwórcy rozmaitych materiałów tekstylnych uważają, że właśnie ta woda przesądza o zdrowiu owiec, i przesądza o jakości tamtejszej wełny.

Laodycea słynęła zatem z takiej wełny. Po dzień dzisiejszy w okolicach jest mnóstwo wytwórni tekstyliów, wiele z nich utrzymuje dobre stosunki z Polską. Nieopodal tego miejsca, gdzie znajdowała się starożytna Laodycea, jest nawet taki duży sklep tekstylny, skąd regularnie odchodzą transporty tamtych towarów do naszych miast, głównie do niedawana do Torunia, do Bydgoszczy, na Śląsk — bo tam ponawiązywali rozmaite kontakty. Zatem miasto i miejsce, które ma dobrą tradycję rolniczą, ale także hodowlaną.

Ale nie tylko to. Otóż miasto zostało założone w latach 261 – 253 przed Chrystusem przez króla Antiocha II, który był władcą z dynastii Seleucydów z siedzibą w Syrii. Ów Antioch świeżo poślubił żonę, która miała na imię Laodice albo Laodike (w r. 261 przed Chr.). I następnie ku czci swojej żony założył to miasto i nazwał jej imieniem. Dobrze, że zrobił to niedługo po ślubie dlatego, że 8 lat później się rozwiedli, i prawdopodobnie taki pomysł by już mu do głowy nie przyszedł. To nam pokazuje, że jeżeli chce żona coś osiągnąć od męża, to im szybciej po ślubie, tym lepiej pewnie. Więc to miasto jest dowodem tego, że pośpiech się opłaci. W każdym razie jej się opłacił. Osiem lat później się rozwiedli, Antioch ją oddalił, ale nazwa miasta została. A to z tej prostej przyczyny, że była to nazwa, która bardzo ładnie brzmiała w języku greckim i łacińskim: gr. Laodikeia, łac. Laodicea. I po polsku też ta nazwa bardzo ładnie brzmi. Tak, że utrwaliła się, i na dobre weszła do tamtego języka.

Po sąsiedzku znajdowały się jeszcze dwa duże miasta, mianowicie Kolossy, mniej więcej 15 km od

Laodycei, oraz Hierapolis, mniej więcej 10 km od Laodycei. Te trzy miasta to był trójkąt w którym rozgrywało się wszystko, co najważniejsze, w tym regionie Frygii. Był to trójkąt niesłychanie bogaty, o czym za chwilę, trójkąt z miast, które miały swoją historię, znane były przede wszystkim ze swoich wód. Do tych wód mamy również nawiązanie w tym fragmencie, o czym za moment.

Ok. roku 220 przed Chrystusem syn Antiocha II, który też miał na imię Antioch, a więc nazywany był III, obraził się na Laodyceę nie tylko z powodu tego, że jego macocha już nie była żoną ojca, ale daleko bardziej z tego powodu, że był tam niejaki Acheusz, który nie należał do rodziny królewskiej, który zbuntował się przeciwko Antiochowi III i ogłosił się w Laodycei królem. Laodycea była więc przez jakiś czas na cenzurowanym. Właśnie wtedy Antioch III, który miał pretensje do mieszkańców Laodycei, że ten uzurpator chciał tam się stać królem, zrobił mieszkańcom Laodycei i okolicy pewien kawał, którego skutki okazały się później brzemienne.

Mianowicie sprowadził z terenu Mezopotamii, a więc dzisiejszego Iranu, dwa tysiące żydowskich rodzin i osiedlił je wśród miejscowej ludności. Już miał w głowie to, że jak się gdzieś Żydów osiedli w dużej liczbie, to będą z tego kłopoty. I on mając tego rodzaju przekonanie, mając takie przeświadczenie ściągnął te 2000 rodzin żydowskich — opisują to bardzo dokładnie historycy starożytni — polecił im osiąść w Laodycei, w Hierapolis, w Kolosach i w całej tej okolicy. I oni bardzo szybko doszli do ogromnych wpływów. Mianowicie przejęli system bankowy, finansowy w Laodycei. I Laodycea stała się siedzibą banków, taką Szwajcarią albo Nowym Jorkiem starożytności. Z tego tytułu Laodycea była wszędzie znana, bo miała nawet swoją mennicę. Co więcej, tam dokonywanos wymiany jednych pieniędzy na drugie. Było więc mnóstwo instytucji, które w dzisiejszym języku można by nazwać kantorami.

Dzięki tym Żydom mamy pojęcie także o tym, co się tam w starożytności działo. Tak jak w jednym z miast, o którym mówiliśmy uprzednio, Żydzi nałożyli na siebie podatek. Każdy dorosły mężczyzna, a dorosły Żyd to jest ten, który skończył 13 lat, czyli przeszedł obrzęd Bar-Micwa, miał obowiązek płacić rocznie pół szekla na świątynię jerozolimską. To powodowało napięcia pomiędzy ludnością żydowską a miejscową ludnością frygijską i grecką dlatego, że ci Frygijczyci twierdzili, że Żydzi wywożą im kapitał do Jerozolimy. Ale Żydzi się tym specjalnie nie przejmowali i już kilkanaście lat później okazało się, że wpływy z tego tytułu były bardzo duże. Do naszych czasów szczęśliwie zachował się przekaz z roku 62 przed Chrystusem. Żydzi zebrali wtedy wśród siebie 20 tysięcy funtów rzymskich, które zostały odesłane do Jerozolimy. Obliczono, że wobec tego w okolicach żyło ponad 9 tysięcy mężczyzn, czyli Żydów powyżej 13 roku życia. Jeżeli do tego się doda kobiety: matki, żony, siostry, i jeżeli do tego się doda dzieci, to liczbę Żydów pod koniec ery przedchrześcijańskiej na tym niewielkim terenie szacuje się na 50 tysięcy. Jeżeli tak, to możemy wnosić, że ta populacja była nie tylko bardzo liczna, ale miała również silne wpływy, o których wiadomo również skądinąd.

Zwróćmy uwagę, że właśnie na takie środowisko miała natrafić tam Ewangelia. Od r. 188 przed Chrystusem cały ten region podlegał królowi Pergamonu, a w r. 129 przed Chrystusem region ten przejęli Rzymianie. Kiedy Rzymianie przyszli na te tereny, ludność żydowska wymogła wtedy na cesarzu rzymskim zgodę na swobodne przestrzeganie szabatów oraz wszystkich swoich praktyk religijnych, a także na wysyłanie pieniędzy na rzecz świątyni jerozolimskiej. Ludność ta miała więc dość duże wpływy.

Św. Paweł przybył na te tereny ok. roku 50. Nie wiemy, czy był w samej Laodycei — raczej nie, natomiast przebywał w Efezie, oddalonym o ok. 200 km. Natomiast do Laodycei i do Hierapolis posłał swojego współpracownika, który miał na imię Epafras. I w liście św. Pawła do Kolosan, a Kolossy — jak powiedziałem — znajdują się 15 km od Laodycei, mamy również nawiązanie do Laodycei i tamtejszych chrześcijan. Wnosimy z tego, że już ok. roku 51 – 52, czyli ok. 20 lat po śmierci Jezusa, na terenie Laodycei była wspólnota chrześcijańska, byli chrześcijanie. Skąd oni się rekrutowali? Tutaj nie potrzeba specjalnie zgadywać, oni się rekrutowali spośród tych Żydów, którzy na tym terenie mieszkali. Być może część z tych Żydów była nawet obecna w Jerozolimie w dzień Zesłania Ducha Świętego. Potem Żydzi systematycznie odbywali pielgrzymki do Jerozolimy. I właśnie w Jerozolimie stykali się z wiarą w Chrystusa, wracali do siebie, i tutaj stawali się chrześcijanami.

Można zatem powiedzieć, że kiedy św. Jan pisze swoje listy w połowie lat dziewięćdziesiątych, to mamy tutaj do czynienia z chrześcijanami drugiego pokolenia. Pierwsze pokolenie było w latach

pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, i gdzieś tam w latach osiemdziesiątych zaczynało się już powoli wykruszać. Wtedy dochodziła do głosu wiara ich synów i córek. I właśnie w Laodycei mamy do czynienia z problemami, z dylematami drugiego pokolenia chrześcijan. A więc to są tacy chrześcijanie, których wiara pochodzi już ze słyszenia, podobnie jak nasza, pochodzi od innych. A więc nie bezpośrednie świadectwo apostołów, tylko już pośredni sposób przejmowania tej wiary.

Cyceron, który był prokonsulem w Cylicji (to sąsiednia kraina) w latach 51 i 50 przed Chrystusem tzn. na sto lat przed tymi wydarzeniami, opisywał, że Laodycea słynie przede wszystkim z wielkiego skumulowania finansów i banków. Jeżeli dzisiaj jedzie się do Laodycei, a na ogół każda pielgrzymka, która udaje się śladami św. Pawła tam jest — do niedawna nie sposób było trafić, bo nie było drogowskazów. Parę lat temu zostały zrobione, i dzisiaj nie nastręcza już to żadnych problemów. Otóż tam się jedzie przez taką turecką wieś, przejeżdża się tory kolejowe. Przed drugimi torami kolejowymi trzeba niestety wysiąść, i przejść z autokaru jakieś 600 m na to miejsce, gdzie była Laodycea.

I zawsze można tam spotkać tureckich chłopców, takich nastolatków, którzy oferują monety. Otóż zawsze sprzedają za 5, 10, 15, 20, 50 $ starożytne monety. Są to wszystko monety autentyczne, bo tam bardzo łatwo je znaleźć. W latach 1961 - 63 penetrowali ten teren archeologowie kanadyjscy, ale oni zbadali tylko ok. 5% powierzchni. Natomiast pozostałe 95% jest bez przerwy penetrowane przez tych miejscowych chłopaków. Liczba wydobywanych monet wskazuje, że musiało to być miasto bardzo zamożne. Żadne inne miasto na terenie Azji Mniejszej, na terenie Turcji, nie ma tylu monet po prawie 2000 lat, ile znajduje się na terenie Laodycei. Zatem zamożność daleko posunięta.

Tam odbywały się również walki gladiatorów. To nam też pokazuje, że było to miasto specyficznie rzymskie, urządzone według rzymskich prawideł. Wspominałem już o wełnie, wspominałem o tekstyliach, ale słynęła Laodycea również z bezpośredniej bliskości Hierapolis. Otóż Hierapolis — ale dzisiaj nazywa się Pammukale — w starożytności i dzisiaj znane jest ze źródeł gorącej wody. Ma ona ogromne wartości terapeutyczne. Z Laodycei doskonale widać to Hierapolis, taką białą skałę. Wystarczy jeszcze dzisiaj pojechać do Hierapolis, do Pammukale, i w tej gorącej wodzie można sobie chodzić, można się kąpać. Jest to woda, która od niepamiętnych czasów tam płynie, i znana jest z tego, że przywraca zdrowie, albo raczej podtrzymuje zdrowie.

Pewnie to drugie, bo obok gorących źródeł jest bardzo duży starożytny cmentarz — dowód, że nie wszystkim ta woda pomogła. Więc jak się tam jedzie do tych źródeł gorących, to trzeba przejechać najpierw przez cmentarz. To jest bardzo oczyszczająca rzecz. Niech państwo to wyobrażą, że jedziecie do sanatorium, i najpierw przejeżdżacie przez środek cmentarza, a dopiero potem sanatorium. A tam dokładnie tak właśnie jest. Nie ma żadnej innej drogi, nie można się inaczej dostać — tylko trzeba koniecznie przejechać przez ten cmentarz. I dopiero jak człowiek zobaczy ten cmentarz, może rozpocząć kurację. Cmentarz jest bardzo wystawny po dzień dzisiejszy. Są tam groby greckie, groby rzymskie, groby miejscowe frygijskie. Widać, że ludzie przyjeżdżali z całego świata.

Hierapolis utrzymywało również bardzo dobre kontakty z greckimi Delfami. Nawet w Hierapolis urzędowała również wróżka. Ponieważ wody tamtejsze zawierają bardzo dużo fosforu, on odpowiednio pachnie. Tam jest taka szczelina w ziemi, nazywało się to w starożytności Plutonium. Wróżka wąchała opary z tej szczeliny, następnie wpadała w ekstazę taj, jak po naszych narkotykach, i udzielała odpowiedzi na rozmaite pytania. Odpowiedzi zawsze były dwuznaczne tak, że każdy znalazł dla siebie to, co chciał — i zawsze mu się sprawdzało. Z tego też Laodycea i Hierapolis były znane.

Wreszcie jeszcze jedna sprawa. W samej Laodycei było też centrum medyczne, największy w starożytności ośrodek okulistyczny. Leczono tam choroby oczu. Jest tam rodzaj kamienia, zresztą wykorzystywany po dzień dzisiejszy, z którego wyrabiano bardzo delikatny proszek. Następnie ten proszek kładziono na oczy tak, jak i dzisiaj bywa przy rozmaitych zabiegach tego typu. I po kilku czy kilkunastu tego rodzaju zabiegach wzrok stawał się ostrzejszy, człowiek lepiej widział.

Pamiętajmy, że w starożytności kiepski wzrok oznaczał i kiepskie życie. Bo przecież nie było tego rodzaju ułatwień, jakie są dzisiaj. I wyobraźmy sobie — zwłaszcza ci, którzy mają kłopoty ze wzrokiem — jakby przyszło im żyć, gdyby nie było okularów i rozmaitych pomocy. W starożytności tego wszystkiego nie było. Zwłaszcza dla przeciętnego człowieka nie było to dostępne, bo jeszcze królowie mieli jakieś tam możliwości, żeby cokolwiek powiększyć, ale przeciętny człowiek

nie. I w związku z tym ta Laodycea była bardzo ceniona właśnie za ten proszek. I wyrabiano tam również czarny barwnik. Używany był przez kobiety do barwienia rzęs, do barwienia włosów. I stamtąd ten barwnik rozchodził się na cały starożytny świat.

Taki jest kontekst tego miasta, gdzie wszystko ze sobą się miesza. Natomiast na plan pierwszy wysuwa się na pewno bogactwo. Spora liczba ludności żydowskiej, która stała się chrześcijanami, oraz bogactwo. I to właśnie do tych ludzi, których dzieje i których charakter starałem się państwu przedstawić, św. Jan Apostoł napisał swój list. Posłuchajmy teraz tego listu, bo z niego będziemy starali się te szczegóły, o których już wiemy, powiązać z treścią tego listu i zaczerpnąć z niego naukę na dzisiaj. Więc zaczynamy tak:

Aniołowi Kościoła w Laodycei napisz:

Raz jeszcze mamy zatem myśl, że każdy Kościół, każda wspólnota, ma niejako swojego Anioła Stróża. Że nie wystarczy tylko przekonać ludzi, ale trzeba również niejako prosić o Boską opiekę, o anielską obecność i anielskie wsparcie dla człowieka. Wspominałem państwu kiedyś, że dzisiaj wiara związana z aniołami, i pobożność związana z aniołami, nie są w zbytniej cenie. Aniołowie stali się niemodni. Dzisiaj bardzo mało dzieci zna wierszyki w rodzaju: „Aniele Boży, Stróżu mój ...", i bardzo mało wierzących polega na obecności Aniołów Stróżów. Czytając Apokalipsę warto zwrócić uwagę na ten szczegół i pamiętać, że jest to jakiś zapomniany składnik naszej pobożności i naszej wiary. W Apokalipsie obecność Anioła Stróża, którego ma każdy człowiek i każda wspólnota, jest bardzo eksponowana.

Być może kiedy czytamy Apokalipsą, to warto zwrócić uwagę na ten właśnie szczegół. I pamiętać także o tym, że jest to jakiś zapomniany składnik naszej pobożności i naszej wiary, który winien być przypomniany.

To mówi Amen,
Świadek wierny i prawdomówny,
Początek stworzenia Bożego:

Zwróćmy uwagę, że Tym, który mówi, jest Chrystus. Chrystus został tutaj nazwany po prostu *Amen* — w nawiązaniu do *Alfa* i *Omega*, *Początek* i *Koniec* — język jest symboliczny. Zatem to, co mówi Jezus, ma wartość rozstrzygającą. Słowa Jezusa nie są tak, jak słowa innego człowieka. Słowa Jezusa to nie jest przedmiot do dyskusji. Słowa Jezusa to jest *Amen* — mówimy czasami w przysłowiu: „jak Amen w pacierzu", czyli na pewno tak. Amen to słowo hebrajskie, które po polsku znaczy *tak*, *niech się tak stanie*. A więc: „To mówi Amen" czyli „Tak mówi Jezus". Apostoł mówi: „Nie od siebie was upominam, i nie od siebie do was piszę, ale piszę do was w imieniu Jezusa". *Świadek wierny i prawdomówny* — wierność człowiekowi, i prawdomówność. *Początek stworzenia Bożego* — to słowo „Początek" nawiązuje pewnie do tytułu rzymskich imperatorów, którzy w starożytności nazywali siebie *princeps*, a zatem „pierwszy", „zwierzchnik". Tu w sposób zawoalowany – bo ciągle trwają prześladowania – Jezus Chrystus jest nazwany „Princeps", czyli jest nazwany „Początkiem", jest nazwany „Zwierzchnikien".

A więc chrześcijanom w Laodycei przypomina się, że powinni wierzyć Chrystusowi — nie polegać na cezarach. Dlaczego było to ważne? Dlatego, że wielu Żydów przedtem przyzwyczaiło się do dość bliskiej współpracy z rzymskimi cesarzami, bardzo często kosztem miejscowej ludności. W ten sposób uzyskiwali przywileje dla siebie, rozmaite przywileje, których inni ludzie nie mieli. I ten sposób postępowania przeszedł również do wspólnot judeochrześcijańskich, tzn. chrześcijanie żydowskiego pochodzenia też wykazywali taką tendencję do pewnej uległości. W związku z tym apostoł powiada: „Nie możecie służyć Bogu i mamonie. Nie możecie stawiać na jednym poziomie Chrystusa i cesarza. To Chrystus jest ten, który jest Ostatni, Amen. Chrystus jest tym, który jest prawdziwym waszym władcą, owym Princeps, Zwierzchnikiem." I dalej:

Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś.
Obyś był zimny albo gorący!

Obraz nawiązuje do położenia Laodycei. W Hierapolis, w odległości ok. 10 km były (i są) wody gorące. W Kolossach, które też widać z Laodycei, woda była zimna. Bo Kolossy leżą u stóp potężnej

góry, której wysokość dochodzi do 2000 m. Zatem woda w Kolossach jest zawsze zimna, i zawsze znakomita do picia. Woda gorąca służyła do kąpieli. Woda zimna służyła do picia. Wodę gorącą miało Hierapolis, zimną — Kolossy. A Laodycea? A Laodycea miała z wodą problem, do Laodycei Rzymianie wybudowali wodociąg. Trzeba było ściągać wodę z odległości ok. 10 km z kierunku Kolossów. Tam jest dzisiaj tureckie miasto Denizli. Zachowały się nawet fragmenty tego potężnego wodociągu. Na czym polegał problem? Otóż wodociąg zrobiono nad powierzchnią ziemi, bo tak było najtaniej. Ale to powodowało, że kiedy przychodziło lato i słońce operowało bardzo mocno, to woda, która płynęła przez te 10 km, kiedy przypływała do Laodycei, to nie była już ani zimna, ani gorąca — tylko ona była letnia. Dlatego jeżeli mieszkańcy Laodycei, ci bogaci, chcieli się wykąpać, to musieli udać się do Hierapolis. Jeżeli chcieli się napić dobrej wody, musieli udać się do Kolossów. Natomiast u siebie mieli wodę letnią.

I do tego nawiązuje św. Jan Apostoł i mówi im: „Znam twoje czyny". A więc czyny ich są takie, jak ta woda, którą mają na co dzień: *że nie jesteś ani zimny, ani gorący.* Więc lepiej, żebyś był albo bardzo gorliwy, albo żebyś był nawet chłodny — ale tak, iżby można do ciebie trafić. A więc nie macie wody ani do kąpieli, ani do picia, i takimi samymi jesteście chrześcijanami. Ani z wami tak, ani siak. *Obyś był zimny albo gorący!*

Proszę zwrócić uwagę, że największym zatem problemem tego drugiego pokolenia chrześcijan była obojętność. A obojętność pochodziła przede wszystkim z ich bogactwa. Apostoł mówi, że znacznie lepiej, jeżeli człowiek jest gorliwy. Albo lepiej już jest, jeżeli człowiek mówi „Nie", bo przynajmniej można go czymś zainteresować. Natomiast jeżeli jest obojętny, to jest najgorzej. W naszych czasach zjawisko obojętności nazwano mądrze *indyferentyzmem religijnym*. To znaczy jest to takie postępowanie, na które nieraz zwracaliśmy uwagę, że człowiek nie przejmuje się, czy Bóg jest, czy też Boga nie ma, tylko żyje tak, jak gdyby Boga w ogóle nie było. Oczywiście do tych ludzi jest najtrudniej trafić. Zatem myślę że problem, z jakim się zmagał św. Jan w Laodycei, jest problemem niejednego chrześcijanina i niejednej wspólnoty chrześcijańskiej, również dzisiaj. Właśnie obojętność! To, że ani zimny, ani gorący nie jesteś! I czytamy dalej:

> A tak, skoro jesteś letni
> i ani gorący, ani zimny,
> chcę cię wyrzucić z mych ust.

Otóż człowiek obojętny jest w gruncie rzeczy nieprzydatny, nie sposób do niego trafić. Bezowocne jest to, cokolwiek się z nim próbuje przedsięwziąć. A więc obojętność stanowi największe zagrożenie dla wiary. Nawet nie ateizm, tylko właśnie obojętność! Tak na to patrzy św. Jan Apostoł, a przecież podobne słowa powiedział również Jezus Chrystus. Więc na pewno jest to problem, który trzeba wziąć bardzo poważnie pod uwagę. Ale państwo zwrócą uwagę, do jakiego stopnia ten apostoł, autor listu, był wprowadzony w te realia, jak bardzo ładnie przekładał położenie tego miasta, jego usytuowanie, na problemy teologiczne i moralne, skoro w nawiązaniu do wody tłumaczy im o ich sposobie życia, i wypomina sposób życia, który jest zupełnie obojętny.

Jesteście tacy, jak wasza woda — ani się w niej wykąpać, ani ją pić. Może takie było doświadczenie przybyszów do Laodycei? Szybko przekonywali się, że za zimna, żeby się kąpać, za ciepła, żeby ją pić. I patrząc na tę wodę patrzyli na mieszkańców i stwierdzili, że i z nimi dzieje się coś podobnego. Otóż to bardzo ciekawy obraz, który daje nam również pojęcie o wrażliwości autora tego listu. I dalej:

> Ty bowiem mówisz: "Jestem bogaty", i "wzbogaciłem się", i "niczego mi nie potrzeba",

Są tutaj trzy kategorie ludzi. Jedni mówią: „Jestem bogaty". A więc urodziłem się jako bogaty, urodziłem się jako zamożny, nie potrzebuję pracować, mogę wyłącznie polegać na sobie, bo przejąłem majątek. Inni mówią: „Wzbogaciłem się". A więc sam doszedłem do tego, co mam, swoją zaradnością. Mówi się to w dzisiejszym języku mówi się *nowobogacki*. Porównując jednych i drugich stwierdzamy, że są to zupełnie odmienne mentalności. Na ogół ci bogaci od urodzenia są też dość oszczędni. Natomiast tym drugim oszczędność przychodzi dość trudno. I wreszcie jest trzecia kategoria: „niczego mi nie potrzeba".

Otóż żeby powiedzieć „niczego mi nie potrzeba" wcale nie trzeba być bogatym, ani nie trzeba być bardzo zamożnym. Ot po prostu, gdybyśmy wyszli na ulicę, albo popatrzyli na kogoś pod jakąś tam budką, powie nam dokładnie to samo, że „ma wszystko". To nie znaczy, że ma wszystko, co można mieć, tylko że ma wszystko, co chciałby mieć. A ponieważ jego aspiracje i ambicje są bardzo małe, to oczywiście i to, co posiada, jest kiepskie. Ale jemu to zupełnie wystarcza. Może mu wystarczyć coś bardzo przyziemnego i prostego, po prostu na dzisiaj.

W ten sposób apostoł daje nam poznać, że wśród chrześcijan w Laodycei są trzy kategorie: zamożni od urodzenia, nowobogaccy, oraz tacy, którzy specjalnie o nic nie zabiegają dlatego że twierdzą, że wszystko mają. I do tych trzech kategorii apostoł zwraca się i mówi:

> a nie wiesz, że to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości,
> i biedny i ślepy, i nagi.

Powiedzieć ludziom bogatym, że są nieszczęśni, godni litości, nadzy, biedni i ślepi — to nie jest popularne. Otóż też problem polega na tym, że bardzo rzadko traktujemy ludzi bogatych w kategoriach nieszczęśników. A jednak coś z tego jest. *Nie wystarczy mieć* — jak mówi Jan Paweł II — *trzeba jeszcze być*. Nie wszystkim bogactwo jednakowo dobrze służy. To wcale nie znaczy, że ideałem chrześcijaństwa jest być biednym. Ideałem chrześcijaństwa jest mieć, ale również będąc człowiekiem, czyli także umieć się dzielić.

Dowiadujemy się, że drugi problem, jaki stanął przed tą wspólnotą w Laodycei, to było to, że ich obojętność brała się, w gruncie rzeczy, z dobrobytu. Albo posiadali wszystko, co im było potrzebne, albo do tego doszli, albo nie mieli wielkich aspiracji. Prawdopodobnie tych ostatnich było najwięcej. Ale ten dobrobyt powodował, że stawali się obojętni. Właściwie to jest taki paradygmat, wzór, który sprawdza się w każdym pokoleniu. Że swoisty paradoks polega na tym, że pobożność jest większa tam, gdzie są przeciwności, gdzie jest ucisk, również gdzie jest bieda. Co nie znaczy, że pobożność jest towarzyszką biedy — broń Boże!

Ale z drugiej strony widać pewien objaw, że społeczeństwa bogate bardzo często polegają wyłącznie na sobie. Zamykają się na sobie, i w sobie, i zamykają się również na Pana Boga i na te wartości, które od Niego mogą pochodzić. I myślę, że kiedy obserwujemy zmiany, także po tym wszystkim, co wydarzyło się po roku 1989 w naszej Ojczyźnie, zobaczymy, że u nas też się to potwierdza. Apostoł Jan doskonale to widzi. Widzi tych bogatych i nowobogackich, oraz tych, którzy nic więcej specjalnie nie chcą. I próbuje im uświadomić ich rzeczywiste położenie — nie położenie materialne, lecz położenie duchowe. Myślę, że każdy z państwa rozumie, że pomyślność materialna nie zawsze idzie w parze z samopoczuciem duchowym. Zdarza się tak, i to niestety bardzo często, że ci, których pomyślność materialna, których dostatek jest bardzo duży, często wewnątrz są tymi ludźmi, o których Jan mówi, że *to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości, i biedny i ślepy, i nagi.* I dalej:

> Radzę ci kupić u mnie
> złota w ogniu oczyszczonego,
> abyś się wzbogacił,

Do posiadaczy kantorów, banków, których tam było takie mnóstwo, setki albo i tysiące, apostoł zwraca się z zachętą „Kupcie u mnie złota w ogniu oczyszczonego". Zatem to złoto, które pochodzi od Chrystusa, jego nauka, jego przykazania, jego sposób życia — ono dopiero stanowi o prawdziwym bogactwie człowieka. Proszę zwróćmy uwagę, że nauka jest trudna. Apostoł wcale nie zachęca tych bogatych, żeby zbiednieli, albo rozdali to, co mają. Apostoł ich zachęca, żeby będąc bogatymi stali się innymi ludźmi. Żeby opierali swoje życie na fundamencie Jezusa Chrystusa, bo przecież o to chodzi w tym wyrażeniu o złocie w ogniu wypróbowanym.

> i białe szaty,
> abyś się oblókł,

Komentatorzy tego fragmentu zamykają oczy, ci, którzy nie byli w Laodycei, i widzą dookoła miasta pasące się owce. Ale tamtejsze owce są czarne — i to są tak czarne, jak najciemniejsza

noc, ta wełna ich aż się błyszczy. Powiedziałem na początku: na skutek dobrej wody, która płynie tam w rzece, i urodzajnych pól, owce są rzeczywiście pierwszej klasy. I patrząc na te owce apostoł powiada, że „białe szaty, abyś się oblókł". Nie możecie polegać tylko na tym, co tutaj macie — białych szat tam praktycznie nie produkowano. Białe szaty, wyprodukowane z lnu, sprowadzano z innych części Azji Mniejszej. Zatem w taki symboliczny sposób Apostoł daje poznać, że nie możecie polegać tylko na tym, kim sami jesteście, i na tym, co sami możecie zdobyć. Tylko musicie się otworzyć na innych, którzy też są w stanie was ubogacić. Pamiętajmy cały czas, że to jest kontekst prześladowań, on nie może mówić prosto. On mówi takim językiem, że oni go doskonale rozumieli — a my musimy to rozumienie dzisiaj, prawie po 2000 lat, odtwarzać.

abyś się oblókł,
a nie ujawniła się haniebna twa nagość,

Wiele razy podkreślałem, że dla człowieka starożytności — ale nie tylko starożytności, dla człowieka Bliskiego Wschodu po dzień dzisiejszy — nagość jest objawem upodlenia, upokorzenia. Tam, w tamtym rejonie świata po dzień dzisiejszy nie ma czegoś takiego, jak obnażanie się, pokazywanie, i publiczne rozbieranie. Jeżeli ktoś z państwa pojedzie do Turcji na wakacje, to są zupełnie osobne plaże dla turystów zagranicznych, dla przybywających z Europy, i tylko europejczycy tam są, i ewentualnie lokalna obsługa. Natomiast zupełnie odmienne plaże dla Turków, jeżeli oni przychodzą się kąpać. I jeżeli się pójdzie dalej od tej plaży międzynarodowej, można bardzo łatwo zobaczyć widok, który dla nas jest dziwny. Mianowicie chłopcy rozbierają się do kąpieli, ale nie tak jak nasi, tylko dużo skromniej, natomiast dziewczęta i kobiety kąpią się w sukienkach. Czyli tak, jak przychodzą nad morze, tak się kąpią. Dla nich publiczne rozebranie się to byłby wyraz upokorzenia.

Zatem zupełnie inne pojęcie nagości niż to, które u nas mamy. Jeżeli chodzi o mężczyzn, to jest też ciekawa sprawa. Miałem do czynienia z wieloma Arabami, wieloma Turkami. Okazuje się że tak, jak dla Europejczyka mamy zakodowane, że rozmaite elementy kobiecego ciała są powabne, o tyle oni kobietę, która się odsłoni za bardzo, traktują w sposób, który już żadnego szacunku nie wywołuje. Tak na nią patrzą, po prostu mają to od dziecka To jest przedziwna sprawa, ale zupełnie inna mentalność, niż ta mentalność nasza. Więc ich nagość nie pociąga, wręcz przeciwnie. Do tego mamy nawiązanie także w tym liście, kiedy czytamy: kiedy się nie ubierzesz, odsłoni się haniebna twoja nagość. I wreszcie trzeci element: radzę ci kupić

balsamu do namaszczenia twych oczu,
abyś widział.

Wspomnieliśmy o tym balsamie, wyrabianym w Laodycei. Ale Jan powiada: „Jeżeli chcecie naprawdę przejrzeć, to nie możecie polegać wyłącznie na tym balsamie, tylko musicie zaopatrzyć się w balsam, który pochodzi od Chrystusa. Ten balsam otworzy wam oczy". To dzięki tej nauce Chrystusa, i dzięki zaufaniu Chrystusowi staniecie się nowymi ludźmi. Zwrócą państwo uwagę: „Radzę ci kupić u mnie złota, białe szaty i balsam". Złota mieli dużo, białych szat nie mieli, bo mieli na ogół czarne szaty albo ciemne szaty, i balsamu mieli sporo. Ale Jan powiada: nie o takie złoto, nie o takie szaty, i nie o taki balsam chodzi. Musicie sięgnąć głębiej. Czyli myśl jest znów bardzo głęboka. Nie poprzestawaj na tym, co tylko przyziemne, i co ziemskie, ale próbuj dociekać, doszukiwać się tego i pozyskiwać to, co wartościowe. Tym ludziom, którzy są obojętni, stawia się jeszcze większe zadanie.

Niech państwo sobie przypomną list Jana Pawła II wydany na początku tego roku, podpisany publicznie przez Ojca Świętego 6 stycznia 2001 roku na Placu Świętego Piotra, którego podstawowe hasło brzmi: „Wypłyń na głębię!", po łacinie: Duc in altum. Czyli tym ludziom, naszemu pokoleniu, nam wszystkim, którzy możemy być obojętni, znużeni, i zmęczeni, papież powiada: „Głębiej!" I Jan też powiada: „Głębiej! Nie to złoto, nie te szaty, nie ten balsam! Jest jeszcze inne złoto, inne szaty, inny balsam!" I dalej:

Ja wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę.

Otóż nie jest łatwo upominać. Nie znosimy upomnień, nie chcemy ich. Ale jeżeli do mieszkańców Laodycei apostoł zwraca się ze słowami upomnienia, to czyni to dlatego, że ich kocha.

„Ja wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę." Zatem mamy tutaj prawzór dobrze pojętego duszpasterstwa. Nie polega ono na tym, żeby odwzorowywać ludzkie opinie, żeby odwzorowywać wyniki ankiet socjologicznych. Nie polega ono na tym, żeby, powiedzmy, kardynał Glemp był równie popularny jak Violetta Villas. Otóż polega to na tym, że jeżeli chce spełnić swoją misję, musi mówić prawdy niepopularne. I mówienie tych trudnych prawd jest obowiązkiem wypływającym z miłości. „Ja wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę." Nie zawsze to rozumiemy. I dlatego kiedy widzimy rozmaite ankiety socjologiczne, w których zestawiana jest popularność rozmaitych postaci, nie przejmujmy się, że ktoś z Kościoła ma tak bardzo niską niską popularność. Raczej należałoby się przejmować wtedy, kiedy ma popularność wysoką — to jest bowiem problem. Chodzi bowiem o to, żeby nie odwzorowywać ludzkich opinii, ale żeby je kształtować. Jeżeli tak, to na tym właśnie polega profetyczna funkcja w Kościele, której w żaden sposób zaprzepaścić nie można.

Bądź więc gorliwy i nawróć się!

Zatem całe te słowa, skierowane do mieszkańców Laodycei, służą nie temu, żeby ich potępiać, nie temu, żeby ich wyłącznie karcić, tylko po to, żeby ich zachęcić do gorliwości i do nawrócenia. I cała nasza pedagogia w postępowaniu z drugim człowiekiem, poczynając od rodziny i najbliższych, polega nie na tym, żeby upominać dla upominania, ale na tym, żeby zachęcać do lepszego sposobu życia. To jest cel każdej takiej pedagogii. I dalej:

Oto stoję u drzwi i kołaczę:

Przypominają sobie państwo popularne dawniej, ale i dzisiaj spotykane, obrazy Chrystusa, który stoi u drzwi i puka. Kiedyś te obrazki były częściej widoczne. Dzisiaj ta sztuka nowoczesna ma swoje własne kanony, i bardzo często trudno dopatrzyć się tam nawet postaci, a co dopiero tak wyraźnego nawiązywania do obrazów biblijnych, i do motywów biblijnych. Ale ten obraz jest wyjątkowo poruszający. Myślę, że od czasu do czasu można go spotkać.

*Oto stoję u drzwi i kołaczę.*Na drzwiach starożytnych była kołatka. Jak się podchodziło pod drzwi, to oczywiście nikt nie pukał palcami, bo nikt by tego nie usłyszał. Tylko metalową kołatką walono w drzwi. I tamci w środku wiedzieli, że ktoś kołacze.

jeśli kto posłyszy mój głos i drzwi otworzy,
wejdę do niego i będę z nim wieczerzał,
a on ze Mną.

Chrystus mówi: „To, czy staniecie się gorliwi, czy się nawrócicie — to nie zależy od was wszystkich, zależy od każdego z osobna. Ja chodzę od drzwi do drzwi i kołaczę. Ktoś posłyszy mój głos i mi otworzy, Ja wejdę i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną." A więc jest to nawiązanie w oczywisty sposób do Eucharystii. Ale jednocześnie Jan daje mocno poznać, że Chrystus będzie także kołatał do drzwi, gdzie Mu nie otworzą, gdzie będzie musiał pójść dalej. Zatem wiara prawdziwa, i pobożność prawdziwa to jest rezultat indywidualnej odpowiedzi każdego z nas, indywidualnej odpowiedzi dawanej Chrystusowi. Odpowiedź w grupie może mieć jakąś wartość jako świadectwo, ale wymaga indywidualnego, osobistego zaangażowania. Człowiek, który słyszy głos Chrystusa, nie może się zniechęcać tym, że inni go nie słyszą. Nie można się zniechęcać tym, że inni nie otworzą. Liczy sie postawa każdego z nas. „Oto stoję u drzwi i kołaczę". I dalej:

Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie,
jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z mym Ojcem na Jego tronie.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

Zatem to ostateczne wywyższenie Chrystusa, z Ojcem, staje się symbolem, znakiem i zapowiedzią wywyższenia chrześcijan. Jezus raz jeszcze daje poznać, że życie ziemskie nie wyczerpuje wszystkich możliwości. Że śmierć nie jest końcem, jest bramą. Że poza bramą śmierci rozpoczyna się rzeczywistość nowa. Zmartwychwstały Chrystus już jej doświadczył. I powiada: „Losem chrześcijan jest to samo, co Ja przeżywam. Wywyższenie u Ojca." W ten sposób cała ta wiara, którą

buduje św. Jan Apostoł, osiąga swój szczyt. Kierując ten list do mieszkańców Laodycei podnosi jednocześnie ich wzrok poza bramę śmierci, i ukazuje im perspektywę życia wiecznego z Chrystusem. Zatem ostateczną normą, ostateczną przyczyną, ostateczną racją, która usprawiedliwia i wymaga dobrego sposobu życia, jest wzgląd na Boga i na życie z Nim. Chcemy być dobrzy, chcemy żyć po Bożemu, ponieważ Bóg na nas czeka. Zatem nasza moralność ma charakter *teologalny,* czyli chcemy naśladować Pana Boga w jego miłości wobec każdego człowieka, i chcemy w tej miłości współuczestniczyć.

Na koniec posłuchajmy tego listu w całości. Myślę, że po krótkim objaśnieniu o mieszkańcach Laodycei, i po krótkim objaśnieniu treści tego listu, zabrzmi on teraz trochę inaczej, niż na początku.

Aniołowi Kościoła w Laodycei napisz:
To mówi Amen,
Świadek wierny i prawdomówny,
Początek stworzenia Bożego:
Znam twoje czyny, że ani zimny, ani gorący nie jesteś.
Obyś był zimny albo gorący!
A tak, skoro jesteś letni
i ani gorący, ani zimny,
chcę cię wyrzucić z moich ust.
Ty bowiem mówisz: "Jestem bogaty", i "wzbogaciłem się", i "niczego mi nie trzeba",
a nie wiesz, że to ty jesteś nieszczęsny i godzien litości,
i biedny i ślepy, i nagi.
Radzę ci kupić u mnie
złota w ogniu oczyszczonego,
abyś się wzbogacił,
i białe szaty,
abyś się oblókł,
a nie ujawniła się haniebna twa nagość,
i balsamu do namaszczenia twych oczu,
abyś widział.
Ja wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę.
Bądź więc gorliwy i nawróć się!
Oto stoję u drzwi i kołaczę:
jeśli kto posłyszy mój głos i drzwi otworzy,
wejdę do niego i będę z nim wieczerzał,
a on ze Mną.
Zwycięzcy dam zasiąść ze Mną na moim tronie,
jak i Ja zwyciężyłem i zasiadłem z moim Ojcem na Jego tronie.
Kto ma uszy, niechaj posłyszy, co mówi Duch do Kościołów.

W ten sposób przeczytaliśmy wszystkie siedem listów z Apokalipsy św. Jana. Gdyby zebrać wszystkie te myśli, z całą pewnością będzie to podręcznik gorliwego życia chrześcijańskiego nie tylko dla tamtego pokolenia, ale również i na nasze czasy. Mam nadzieję, że te myśli będą wydawały swoje plony, i że państwo od czasu do czasu sięgną w Nowym Testamencie do Apokalipsy, rozdziałów 2 i 3, i od czasu do czasu sobie te listy przeczytają. Zwłaszcza wtedy, gdy sytuacja duchowa spowoduje, że taka lektura może być szczególnie owocna.

Na następne, ostatnie spotkanie w tym roku akademickim chciałbym zaprosić państwa dopiero w poniedziałek 18 VI. Zobaczymy, o czym sobie powiemy. Może w nawiązaniu do Apokalipsy, może poza to wyjdziemy. Może ten czas, który teraz będziemy przeżywać, przyniesie jakieś nowe rzeczy, do których trzeba będzie się odnieść. Ale do końca maja będzie gotowy ów album o Azji Mniejszej. Wszystko się strasznie przedłużyło. Uroczysta promocja została zapowiedziana na 1 czerwca w Krakowie, nawet z udziałem kardynała Macharskiego, który napisał przedmowę.

Dzisiaj dziękuję pięknie i za uwagę, i za udział.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3.9 Ks. kardynał Stefan Wyszyński — garść refleksji (dn. 18 czerwca 2001)

Ja jestem prawdziwie szczęśliwy, że na sam koniec tegorocznych spotkań możemy sobie powspominać, powiedzieć i pomyśleć o kardynale Stefanie Wyszyńskim. Cały czas te konferencje miały charakter biblijny, staraliśmy się zgłębiać księgę Apokalipsy — listy do siedmiu Kościołów Azji Mniejszej. I należało się tylko cieszyć z tego, że tak liczna obecność dowodziła, że jest to problematyka, która państwa interesuje. Ale dzisiaj, na sam koniec tych konferencji dobrze się składa, że chcemy dotknąć fragmentu naszych ojczystych dziejów i chcemy zastanowić się nad postacią, która na te dzieje miała niezwykle trwały i niezwykle aktualny wpływ.

Otóż chciałbym dzisiaj przedstawić państwu tę postać od strony, na tyle na ile to mi się uda, najbardziej ludzkiej, jak to tylko możliwe. Jestem przekonany, że dowiedzą się państwo faktów, o których z pewnością nie wiecie. Jestem przekonany, że dowiedzą się państwo o takich rysach jego osobowości, i takich wydarzeniach z życia kardynała Stefana Wyszyńskiego, które są wspominane bardzo rzadko i w trudno dostępnej literaturze. Nie chciałbym mówić o rozmaitych uwikłaniach społecznych i politycznych, bo na te tematy powiedziano bardzo wiele. Natomiast *chciałbym ukazać państwu kardynała Wyszyńskiego jako człowieka, jako jednego spośród nas, i pokazać, jak od samego początku, od jego dzieciństwa, kształtowała się jego droga życiowa.* I z całą pewnością niejedna czy niejeden z nas będzie mógł porównać tamtą drogę życiową z własnym życiem. A ponieważ życie kardynała Wyszyńskiego pokrywało się, w dużej mierze czasami, z życiem wielu spośród nas, to zapewne będziemy mieli jakiś punkt odniesienia do tego, żeby zastanowić się nad sobą.

Jest wśród nas i pokolenie młode, dziewczęta i chłopcy, który mają lat kilkanaście albo dwadzieścia kilka — dla nich to już jest absolutnie historia. Chcielibyśmy zatem w ten sposób złożyć hołd Słudze Bożemu i przypomnieć, że w tym roku przypada 20 rocznica jego śmierci, która miała miejsce 28 V 1981 r., w święto Wniebowstąpienia Pańskiego. Natomiast za kilka tygodni przypada 100 rocznica jego urodzin. Urodził się bowiem 3 VIII 1901 r. I ten bieżący rok został przez sejm Rzeczypospolitej ogłoszony *Rokiem kardynała Stefana Wyszyńskiego.* I jak państwo dobrze wiedzą, prawie dwa lata temu najpierw ustawą sejmową podpisaną przez Prezydenta RP, został również utworzony Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Zacznijmy od samego początku. Myślę, że żeby zrozumieć tę osobę, tę postać niezwykłą, trzeba się cofnąć rzeczywiście do samych początków. Stefan przyszedł na świat 3 VIII 1901 r. Urodził się w Zuzeli, ok. 70 - 80 km na północny wschód od Warszawy, w miejscowości, którą być może część z państwa zna. Ja bym bardzo serdecznie zachęcał do tego, aby w tym roku odwiedzić tę Zuzelę, żeby zobaczyć tę ziemię rodzinną młodego Stefana Wyszyńskiego. Jedzie się w kierunku na Ostrów Mazowiecką i skręca się w prawo, albo jedzie się w kierunku na Małkinię, i tam się odpowiednio skręca. Wystarczy pierwsza lepsza mapa samochodowa, żeby zobaczyć tę ziemię rodzinną młodego Stefana Wyszyńskiego. Myślę też, że na 3 sierpnia my tutaj w naszej parafii urządzimy wspólną pielgrzymkę do Zuzeli po to, żeby oddać mu hołd.

Ojciec był organistą w Zuzeli i mieszkał dosłownie po drugiej stronie drogi — kościół jest po prawej stronie drogi, natomiast organistówka po lewej. Można zatem powiedzieć, że mały Stefan wychował się bezpośrednio w sąsiedztwie kościoła. Pod tym względem jest przedziwna analogia do okoliczności narodzin i życia Karola Wojtyły. Również Karol Wojtyła urodził się w domu, który przylegał bezpośrednio do kościoła Narodzenia NPM w Wadowicach, zatem w bardzo bliskim sąsiedztwie kościoła. Rozmaicie tego rodzaju bliskość młodym ludziom służy. Nie zawsze jest tak, że ci, którzy rodzą się i mieszkają w bliskości kościoła, są gorliwi — bywa odwrotnie. Tutaj jednak mamy do czynienia z takim zbiegiem okoliczności, który na pewno przesądził o charakterze jednego i drugiego.

Miał trzy siostry urodzone z tej samej matki, i rzecz jasna z tego samego ojca. Matka jego zmarła, kiedy miał 9 lat. Wkrótce ojciec powtórnie ożenił się i urodziła się jeszcze jedna siostra przyrodnia. Ponieważ miał cztery siostry często później wspominał, że bywał rozpieszczany. Z drugiej strony często wymagano od niego więcej, niż od dziewczynek. Wspominał takie to wydarzenie z bardzo dziecinnych lat, w którym musiał przyznać się do tego, że jak mówił „był psotny". Pewnego dnia pozbierał wszystkie lalki swoich sióstr, rozpruł je i wyrzucił. To wywołało oburzenie wszystkich sióstr. Natomiast kiedy ojciec z pasem zbliżał się, żeby go ukarać, wtedy wszystkie

dziewczynki osłoniły go własnymi sukienkami, spódnicami, nie pozwalając go bić. Od tamtej pory nabrał wielkiego szacunku dla swoich sióstr, nigdy więcej nie psuł im lalek, i powiedział, że „zrozumiał przedziwną naturę kobiety, która jest gotowa dostąpić jakiejś krzywdy, a mimo to jej miłość jest silniejsza niż to poczucie krzywdy". To wspominał kardynał Wyszyński później przez całe życie, zatem musiało to być dla niego wydarzenie bardzo ważne.

Urodził się w rodzinie, gdzie ojciec ciążył ku Jasnej Górze, odbywał pielgrzymki na Jasną Górę. Natomiast w kościele parafialnym w Zuzeli był obraz najświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym jego ojciec często się modlił. Natomiast jego matka pielgrzymowała do Ostrej Bramy w Wilnie. W związku z tym rodzina była jak gdyby podzielona. Sam wspominał później, że urodził się w rodzinie mickiewiczowskiej wręcz z Inwokacji do „Pana Tadeusza" o Pannie Świętej co w Ostrej świeci Bramie i Jasnej broni Góry. Urodzony, i to też jest przedziwna zbieżność, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Wilnem a Częstochową. Do Częstochowy z Zuzeli jest mniej więcej 300 km, a do Wilna ok. 350 km. Ponieważ rzecz jasna urodził się w okresie zaborów, więc granice były zupełnie inne, niż są teraz, podobnie w okresie międzywojennym. Dlatego Ostra Brama była mu bliska, i bliska mu była również Jasna Góra. Mówił, że jego pobożność rozwijała się pomiędzy tymi dwoma ośrodkami.

Tam, na wsi w Zuzeli, rósł jako dziecko, jako chłopiec. Wspominał, że bardzo lubił atmosferę wsi, że bardzo lubił zieleń, przyrodę, czuł tę przyrodę. Przez całe życie mógł naśladować śpiew ptaków, który ciągle jeszcze pamiętał. I że w różnych miejscach później brakowało mu choćby rechotania żab. W 1910 r., kiedy mały Stefan miał 9 lat, zmarła mu matka. Było to dla niego przeogromne przeżycie. Opowiadał później, raz i drugi, że matka zwracała wielką uwagę na córki, na dziewczynki. Wskutek tego on czuł się jakby troszeczkę na boku, ponieważ zostawiała jego wychowanie bardziej ojcu. Ale to nie chodziło o to, że wychowywał go ojciec, tylko chodziło o to, że matka jakby wstydziła się nadmiaru czułości wobec chłopca. W związku z tym on jako mały chłopiec bardzo lubił siedzieć na kolanach matki. A zdarzało się, że ta największa bliskość była wtedy — i to wspominał — kiedy nabił sobie guza. Wtedy matka brała go na kolana i przykładała mu do czoła nóż, taki zimny nóż, który miał tego guza na czole ściągać. I kardynał wspominał, że zawsze myśl o matce kojarzyła mu się z tym zimnym nożem przyłożonym do czoła, który łagodził ból. I mówił, nie bez takiego smutku i nostalgii, że potem wiele razy miał taką myśl, żeby jeszcze raz tak się fortunnie przewrócić, żeby znów znaleźć się na kolanach matki.

Stracił matkę mając 9 lat. Było to dla niego ogromne przeżycie, wywołało bunt dziecka, które poczuło się mocno osierocone. Wkrótce ojciec ożenił się z bliską przyjaciółką matki, która bardzo starannie i z całym sercem zajęła się wychowaniem tych czworga dzieci. I urodziła jeszcze jedną córkę. Wspominał tę drugą matkę zawsze z ogromnym szacunkiem i z ogromnym oddaniem. Znał zatem i życie w rodzinie, i sieroctwo, i przyrodnią siostrę, i matkę przybraną — przeszedł przez wszystko to, przez co nie wszystkie dzieci przechodzą. To spowodowało, że zapewne był nieco wcześniej dojrzały, niż wiele innych dzieci w jego wieku.

Wspominał, że kiedy był dzieckiem ojciec brał go wieczorami i nocami na przejażdżki. Początkowo sensu tych przejażdżek nie rozumiał. Pamiętajmy, że to są pierwsze lata XX wieku. Zuzela znajdowała się pod zaborem rosyjskim, Kościół był bardzo dotkliwie prześladowany. Księża musieli mieć zgodę żandarma rosyjskiego, żeby podróżować z jednej do drugiej parafii. Żeby mogli np. pojechać na spowiedź do sąsiedniej parafii, żandarm musiał się zgodzić. Żeby ksiądz mógł pojechać z jakąś posługą poza teren swojej parafii, musiał mieć zgodę. Księgi metrykalne były prowadzone w języku rosyjskim. Ponieważ jego ojciec był organistą, i ojciec pisał księgi metrykalne, wobec tego mały Stefan zetknął się bardzo wcześnie z językiem rosyjskim. Ale jednocześnie bardzo wcześnie powstawał w nim bunt, że to nie jest w ojczystym języku. Wspominał, że ojciec zabierał go wieczorami i jeździli po parafii, a nawet poza teren parafii, i stawiali przydrożne krzyże. Działo się to w bardzo ścisłej konspiracji. Dopuszczane do tego były tylko 2 - 3 osoby, zaufani mężczyźni, i nieraz byli dopuszczania mali chłopcy, którzy w ten sposób uczyli się patriotyzmu. Podróżowali razem, i tam, gdzie były rozstaje dróg, gdzie jakiś krzyż był podniszczony. Był taki zwyczaj, że wszystkie drogi wyjazdowe z każdej wsi miały krzyż po każdej stronie. Do tego krzyża odprowadzano zmarłych na przykład, dopiero potem prowadzono do kościoła parafialnego. Tak zresztą jest na wsi polskiej po dzień dzisiejszy. Stawiano te krzyże w lasach, na drzewach umieszczano krzyżyki, tam gdzie ktoś zmarł, gdzie ktoś miał wypadek. I on bardzo wcześnie, jako dzieciak, uczył się takiej

postawy głęboko patriotycznej.

Na tym tle możemy zrozumieć epizod, który przesądził o jego życiu. Mianowicie kiedy miał prawie 11 lat zbuntował się przeciwko swojemu nauczycielowi. W tym czasie ojciec przeniósł się już do niedalekiego Andrzejewa, i tam też był organistą. Była to nowa szkoła dla małego Stefana, matka zmarła — i on był taki zbuntowany. Był tam wyjątkowo gorliwy nauczyciel, który kazał im się uczyć po rosyjsku rozmaitych wierszy. Pewnego dnia przyszła pora na Stefana Wyszyńskiego, nauczyciel kazał mu recytować wiersz po rosyjsku. Stefan odmówił. Wówczas nauczyciel kazał mu wyciągnąć łapę i linijką wlał mu kilka czy kilkanaście razy. Stefan wyszedł z tej szkoły i powiedział, że do niej więcej nie wróci. Ojciec miał wielki problem, bo syn zaparł się i powiedział, że do tej szkoły więcej nie pójdzie. Miało to ten szczęśliwy skutek, że ojciec miał w Warszawie przyszywaną ciotkę i ten 11-letni chłopiec został skierowany do Warszawy. I znalazł się w Warszawie, gdzie uczył się w Gimnazjum Górskiego. Bawił się wtedy w okolicach Ogrodu Saskiego. Tu miało miejsce wydarzenie, które później wspominał w niezwykłych okolicznościach. Otóż kiedy miał 12 - 13 lat, w Ogrodzie Saskim była usypana pryzma piachu, coś w rodzaju kopca. W sąsiedztwie był garnizon rosyjski. I na ten kopiec przychodziły również dzieci rosyjskie, chłopcy rosyjscy. Polscy chłopcy spotykali się pod tym kopcem i z chłopcami rosyjskimi regularnie staczali bitwy. Bardzo często, wyznawał Stefan Wyszyński, wracał do swej ciotki nieźle posiniaczony i obdarty. A pewnego dnia, wspominał też, że kiedy zdobyli ten kopiec to zerwał z siebie białą koszulę, miał również na sobie czerwony krawat — to nie były czasy PRL-u, więc się czerwień nie kojarzyła — zatknął koszulę na kiju, dodał czerwony krawat i w ten sposób dał poznać, że Polacy zdobyli ten kopiec.

Dlaczego to jest takie ważne? Kiedy w czerwcu 1979 roku przyjechał do Polski Ojciec Święty Jan Paweł II, i kiedy odprawił mszę świętą na Placu Zwycięstwa, wtedy ksiądz Bronisław Piasecki, wówczas kapelan księdza kardynała Wyszyńskiego, obecnie proboszcz parafii Najświętszego Zbawiciela, przekazał następujące wspomnienie. Msza święta pontyfikalna się skończyła, Ojciec Święty wrócił do siebie i przebierał się, a kardynał Wyszyński kierował się w stronę Miodowej. I kardynał Wyszyński zwrócił się do księdza prałata Piaseckiego; „O czym teraz myślisz?" Prałat Piasecki, jak sam wyznaje, szukał jakiejś religijnej, teologicznej, pobożnej odpowiedzi. I coś tam bąknął, o czym on myśli. A kardynał Wyszyński mówi: „Wiesz co? A ja to myślę teraz o tym, jak jako chłopaki żeśmy zdobyli tutaj ten szaniec na Rosjanach i jak wywiesiłem tutaj tę biało-czerwoną flagę z mojej koszuli. A dzisiaj Pan Bóg jeszcze raz wywiesił tutaj biało-czerwoną flagę."

Proszę zwrócić uwagę, jak głęboko musiało to zapaść w jego pamięć, skoro na Placu Zwycięstwa w 1979 roku, a więc on sam miał 78 lat, połączył tamto wydarzenie z dzieciństwa z wielkim wydarzeniem, które miało miejsce wraz z przybyciem Ojca Świętego Jana Pawła II. Zwróćmy uwagę na to niezwykle niepodległościowe, patriotyczne nastawienie. Cały czas miał niechęć do języka rosyjskiego, bo kojarzył mu się z zaborami. Ale nie oznaczało to wcale niechęci do Rosjan, nie miał żadnych urazów do ludzi innej kultury czy rasy. Jednak było w nim to, że urodził się i wychował właśnie w czasach zaborów.

W latach 1912 – 1914 był gimnazjalistą w Gimnazjum Górskiego w Warszawie. Kiedy wybuchła I wojna światowa, opuścił Warszawę i ojciec zabrał go do Łomży. Tam przebywał przez trzy lata. Tam też poczuł, co to znaczy patriotyzm. Wspominał m.in. zakaz mówienia polskich wierszy publicznie. Wspomina, że był taki okres, w którym za mówienie o Polsce policja karała młodych ludzi karą chłosty pejczami — od 10 do 25 razów. I on zarobił kiedyś 15. Stwierdził, że to było jego pierwsze świadome cierpienie, które odbył za Polskę.

Zwróćmy uwagę, że ten życiorys jest bardzo charakterystyczny. To nie jest jakieś spokojne dziecko, wiecznie przy zakrystii, przy księżach. Tego w nim nie było. Była pobożność, ale jednocześnie głęboki patriotyzm, i niezwykle żywy człowiek. Kiedy miał 16 lat wyznał ojcu, że chciałby pójść do seminarium duchownego. Ojciec mu nie tyle odradzał, co zapytał czy wie, co to znaczy. Ojciec przecież całe życie pracował z księżmi, wobec tego znał realia pracy kapłańskiej i kapłańskiego stanu, i dobrze wiedział, że nie jest to ani łatwe, ani tak proste, jak wyobraża to sobie 16-letni chłopak. Oczywiście młody Stefan nie bardzo wiedział, co to znaczy, stwierdził jednak, że jest zdecydowany. Ojciec przeciw tej decyzji specjalnie nie oponował, nie przeciwstawiał się. Zatem tuż pod koniec I wojny światowej wstąpił do seminarium duchownego. Ta nauka, ten pobyt w seminarium trwał do 1924 r. Ciekawe jest, jak wspomina swoją podróż do Płocka. Najpierw furmanką do Małkini, później pociągiem do Warszawy, a później statkiem do Płocka — tak się wtedy podróżowało. Tak

mu ta podróż utkwiła, że zawsze wydawało mu się, że Płock to jest strasznie daleko, bo podróżował i furmanką, i pociągiem, i statkiem — aż wreszcie do tego Płocka dotarł. W Płocku był w tzw. niższym seminarium, które wtedy istniały, potem przeniósł się do Włocławka, gdzie było wyższe seminarium.

Tutaj zaczyna się swoisty, jeżeli tak można powiedzieć, dramat tego młodego człowieka. Kiedy zbliżały się święcenia kapłańskie miał 23 lata i trzeba było starać się o zgodę biskupa na otrzymanie tych święceń. Prawo kościelne przewiduje bowiem, że święcenia kapłańskie może przyjąć mężczyzna 24-letni. Natomiast dla młodszego potrzebna jest zgoda biskupa, coś takiego, jak do małżeństwa. Z tą zgodą biskupa zaczęły być problemy dlatego, że zapadł na zdrowiu. Otóż zachorował na gruźlicę. I w związku z tym kiedy jego koledzy zbliżali się do święceń kapłańskich, jemu święceń kapłańskich odmówiono. I nie miał święceń kapłańskich razem ze swoimi kolegami.

Przeżył to niesłychanie mocno dlatego, że bardzo chciał być księdzem, i bardzo się do tych święceń przygotowywał. Było to jednocześnie głębokie przeżycie dla jego ojca i dla jego rodziny. Bo rozumieją państwo, przychodzi termin święceń, prawie wszystko gotowe, inni święcenia otrzymują, natomiast on nie. Otrzymał święcenia 3 sierpnia 1924 roku, otrzymał je sam jeden w kaplicy seminaryjnej, skromnie. Dlatego nie miał tak doraźnie kolegów z kursu, kolegów z roku, bo ci już byli księżmi, już nawet zostali skierowani na parafie. Natomiast on czekał jako diakon, wreszcie doczekał się i na początku sierpnia z rąk biskupa Owczarka te święcenia kapłańskie otrzymał. Miał mieć mszę świętą prymicyjną, ale właściwie w jego bezpośrednim otoczeniu była tylko jedna z jego rodzonych sióstr. I z tą siostrą udał się na Jasną Górę, gdzie dwa dni później odprawił mszę świętą prymicyjną.

Ta msza święta prymicyjna na Jasnej Górze przesądziła o jego późniejszych związkach z Jasną Górą. Nigdy wcześniej pobożność jasnogórska jakoś nie była mu szczególnie bliska. Aczkolwiek ojciec pielgrzymował na Jasną Górę, to jednak on wcześniej w sobie tej pobożności nie miał. Dopiero msza święta sprawowana samotnie na Jasnej Górze jakby ukazała mu rąbek tej tajemnicy, która z czasem stała się jego losem. Wspominał, że kiedy sprawował mszę świętą, to modlił się do Pana Boga, żeby chociaż rok pozwolił być mu księdzem. Natomiast zakrystianin, patrząc na niego — gruźlica, był bardzo chudy, i niezbyt szlachetnego wyglądu – powiedział: „Proszę księdza, po co się ksiądz do tego pcha? Po to tylko, żeby tę jedną mszę odprawić i umrzeć?" I kardynał powtarzał też te słowa zakrystianina, który tak wyprawił go w dorosłe życie. Najwidoczniej nie zrobiło to na nim wielkiego wrażenia, skoro dane mu było żyć dużo dłużej.

Przez sierpień i wrzesień biskup nie bardzo wiedział, co z nim zrobić, bo był wątłego zdrowia. I właściwie tak podróżował pomiędzy Włocławkiem, a ojcem, i rozmaitymi przypadkowymi plebaniami. W październiku 1924 r. dostał papiery na wikariusza w katedrze włocławskiej. W ten sposób otrzymał pierwszy przydział pracy. Był to okres bardzo trudny. Wcześniej I wojna światowa, następnie najazd bolszewików w 1920 roku. Nie dotarli oni w tamte rejony, ale byli bardzo blisko. To spowodowało wielką traumę. Natomiast lata 20-te to był wielki wpływ prądów komunistycznych, zwłaszcza od strony Białegostoku, Grodna, tam dalej Moskwa itd. Komuniści mieli w głowie ideę fix, że połączą się z tymi na zachodzie, w Niemczech, „i związek nasz bratni ogarnie ludzki ród". I we Włocławku nastroje prokomunistyczne były dość silne, bo dysproporcje społeczne były przeogromne. Z jednej strony była dość bogata szlachta i chłopstwo, zwłaszcza na Kujawach. Natomiast z drugiej strony była masa bardzo biednych ludzi, którzy głodowali na wsi, uciekali zatem do Włocławka. Tam była słynna Celuloza, pchali się do tego przemysłu, i oczywiście wchodzili również w struktury komunistyczne. Tam Wyszyński poznał problemy społeczne, widział je na własne oczy. Jednocześnie mianowano go redaktorem naczelnym „Słowa Kujawskiego". To był tygodnik wydawany przez Kościół, w którym poruszano rozmaite lokalne problemy. Biskup poznał się na nim bardzo szybko. Okazało się, że jego zdrowie nagle się poprawiło, w czym zawsze upatrywał swoisty cud. Jego biskup w 1925 r. skierował go na studia na Katolicki Uniwersytet Lubelski. KUL miał wtedy za sobą dopiero niecałe 6 - 7 lat istnienia. Został stworzony przez słynnego Radziszewskiego jako wyższa uczelnia, uniwersytet, a zarazem kościelna, która miała przygotowywać nowe kadry dla niepodległej Polski. Była to więc zupełnie świeża uczelnia. Stefan Wyszyński zaczął studiować na Uniwersytecie prawo kanoniczne oraz katolicką naukę społeczną. Jego studia trwały 4 lata. Ten okres lubelski zawsze wspominał z wielkim entuzjazmem i z wielką serdecznością dlatego, bo był wtedy stosunkowo młody, 26 - 28 lat. Druga sprawa: już skończyły się te problemy ze zdrowiem,

odzyskał zdrowie, stanął już na nogi. I w 1929 roku przyszło do obrony jego pracy doktorskiej. Nosiła ona tytuł: „Prawa rodziny, Kościoła i państwa do szkoły" — problem, który potem odżył w okresie PRL-u i w latach 90-tych.

Ta praca doktorska i jej obrona to zupełnie osobny rozdział, o którym mało kto wie. Otóż doszło do niemałego sporu, który byłby się zakończył dramatem dla Stefana Wyszyńskiego. Bowiem Stefan Wyszyński wygłosił tezę podczas obrony rozprawy doktorskiej, że biskupi nie podlegają jurysdykcji sądów cywilnych, sądów świeckich. Na to jego promotor sprzeciwił się temu bardzo ostro i zapytał, a skąd on to wie, jak on tak może mówić. Młody doktorant z kolei odpowiedział, że jest tego pewny. A kiedy przyparto go do muru i uczyniono z tego powód do niemałej kontrowersji, powstało spore wzburzenie na tej Radzie Wydziału, wtedy młody Stefan Wyszyński stwierdził, że ma dostęp do tajnej klauzuli, tajnego dokumentu, z którego jednoznacznie wynika takie rozstrzygnięcie, jakie przedstawił. Wywołało to furię jego promotora który uznał, że przecież jajko nie może być mądrzejsze od kury. Zarządzono głosowanie. I za tę niesubordynację, że wiedział więcej, niż jego promotor, obniżono mu stopień. Miał dostać piątkę, dostał czwórkę.

Zmiana stron kasety

... mu się krzywda. I ten list przedstawił ojcu Korniłowiczowi, z którym miał później współpracować w latach 30-tych, a zwłaszcza 40-tych, w których wówczas był związany z Laskami. Ojciec Korniłowicz, wielki duszpasterz i wielki przewodnik duchowy, powiedział najpierw, że chętnie ten list przeczyta, a potem powiedział, że ten list wyśle. Wysyłka polegała na tym, ze przeszedł do sąsiedniego pokoju i wrzucił list do kosza. Powiedział: „Zamiast tego masz napisać drugi list. I w tym liście masz napisać, że jesteś wdzięczny promotorowi i Radzie Wydziału, że doprowadzili cię do doktoratu, i że dziękujesz za to, co się wydarzyło." Stefan Wyszyński buntował się, ale drugi list z podziękowaniem za studia i za doprowadzenie do doktoratu napisał. I wtedy, gdy ten drugi list został wysłany i doręczony, Korniłowicz powiedział do Wyszyńskiego: „Zrobiłeś dwa doktoraty. Jeden ten, którym uzyskałeś stopień, a drugi ten, którym okazałeś się silniejszy od swojej słabości." To też miało dla niego ogromne znaczenie, bo później zawsze podkreślał, że jeżeli człowiek do czegoś dochodzi to nie ze względu na egoizm, któremu to, co uzyskujemy, ma sprzyjać, tylko ze względu na to, że przygotowywali nas do tego inni, i że stajemy się kimś ze względu na innych. To wywarło wielki wpływ na niego, miało wielkie znaczenie.

W 1929 roku, kiedy był już młodym doktorem, odbył — to tez jest pewna ciekawa analogia — pierwszą swoją podróż zagraniczną do Włoch, Francji, Holandii, Belgii i Niemiec. Polska była świeżo po kryzysie ekonomicznym. Ta podróż trwała jeden rok. W tym czasie przyglądał się życiu w zachodniej Europie. Dokładnie coś takiego było w życiu Karola Wojtyły. On też kiedy miał lat 26 - 27 udał się na studia do Rzymu i odbył podróż mniej więcej tam, gdzie przedtem Stefan Wyszyński, czyli Francja, kraje Beneluksu i Niemcy. To pozwoliło mu się zetknąć z tamtymi kulturami. Później, po wielu latach mówił, że ta podróż miała dla niego ogromne znaczenie. Bo pozwoliła mu zrozumieć duszę Wschodu i duszę Zachodu. Pozwoliła mu również zrozumieć pewne prawidłowości polityczne. Już po II wojnie światowej powiedział tak: „Na Wschodzie bez przerwy mówią o pokoju. Na Zachodzie bez przerwy mówią o prawach człowieka. A jednym i drugim chodzi dokładnie o to samo." Więc już na początku lat trzydziestych zobaczył, że to mówienie o prawach człowieka służy również, w dużej mierze, podporządkowaniu tego człowieka i przejęcia swoistego rządu dusz, tylko robione bardziej w białych rękawiczkach niż to, co się działo na Wschodzie. Zatem nigdy nie miał entuzjazmu ani wobec Wschodu, ani wobec Zachodu. Zawsze umiał dowartościować i docenić to geopolityczne położenie Polski, i traktował Polskę jako swoiste przedmurze, w którym te wpływy wzajemnie się ze swoją ścierają.

W tamtych też latach, tzn. w 1930 r., odbył specjalistyczne studia z zakresu prawa kanonicznego w Rzymie. Na tych studiach miało miejsce niesłychanie znaczące wydarzenie. Mianowicie w tamtych latach na uczelni kościelnej studiowali Murzyni. Ale biali z Zachodu, również księża, nie chcieli czy nie mogli siadać koło Murzynów, bo nadal była segregacja w Ameryce, w Zachodniej Europie itd. Więc Murzyn sam siedział w ławce, a biali siedzieli oddzielnie w ławce. I Wyszyński dał się poznać z tego, że siedział koło Murzynów przełamując te wszystkie bariery, jakie jeszcze w ówczesnym świecie istniały. Zawsze więc koledzy kojarzyli go z Murzynami, a Murzyni go uwielbiali. Bardzo go lubili, że oto że wbrew wszelkim zwyczajom, stereotypom i urazom siada koło nich i z nimi

razem słucha wykładów. Wspominał to także później, po latach, że przychodziło mu to zupełnie normalnie, spontanicznie, chociaż — jak mówił — wtedy po raz pierwszy widział Murzyna. Bo przecież w przedwojennej Polsce okazji do zobaczenia Murzynów za wiele pewnie nie było.

Wrócił do Polski w 1931 r. Został mianowany profesorem prawa kanonicznego w seminarium we Włocławku, i jednocześnie redaktorem naczelnym czasopisma, które ukazuje się po dzień dzisiejszy, i nosi tytuł „Ateneum kapłańskie". Te osiem lat — do roku 1939 — wspominał jako następny piękny czas w swoim życiu. Wykładał dla alumnów prawo kanoniczne i problemy społeczne. Natomiast w „Ateneum kapłańskim" wprowadził, inaczej niż przedtem, dużo problematyki społecznej. Wołał, aby bogaci dzielili się z biednymi. Wołał o usuwanie niesprawiedliwości społecznej. A jako redaktor był znany z tego, że zapraszano go na odpusty w rozmaite miejsca, do różnych parafii. I na tych odpustach głosił kazania. Był przecież profesorem seminarium, był redaktorem naczelnym pisma kapłańskiego, był człowiekiem, który miał za sobą otarcie o zagranicę, wobec tego bardzo go szanowano.

Wspominał, jak to pewnego razu w połowie lat 30-tych został zaproszony na bogatą wieś kujawską. I tam podczas kazania powiedział, że nie może być tak, że bogaci właściciele ziemscy opływają we wszystko, natomiast biedota żyjąca gdzieś tam w czworakach nie ma chleba i mleka dla własnych dzieci. Że należy to przełamać i przezwyciężyć, że należy dzielić się z tymi biednymi. Kiedy msza się skończyła, i wrócili na plebanię na obiad, proboszcz zaprosił — nie pierwszy i nie ostatni — samych tylko bogatych, a biedni poszli do domu. Wtedy bogaci poczuli się pewniejsi siebie i przy obiedzie powiedzieli mu tak: „Gdybyśmy zastosowali to, o czym ksiądz doktór mówił, to byśmy wszyscy z torbami poszli." A on do nich: „I tak pójdziecie!" Trzeba było czekać parę lat, i te słowa się spełniły. Wspominał to z wielkim, jak by to powiedzieć, smutkiem, rozrzewnieniem — dlatego, że nie chciał być takim prorokiem. Ale kiedy przyszła reforma rolna w 1945 r., przyjął to z wielkim zrozumieniem. Bo wiedział, że na wsi przedwojennej było mnóstwo krzywdy. W związku z tym umiał docenić także to nowe, które przyszło po 45 roku.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, diecezja włocławska i chełmińska znalazły się pośród tych, w których księża byli prześladowani w sposób najbardziej okrutny. W ciągu okresu wojennego na terenie tych diecezji zginął, został zamordowany, wywieziony do Dachau, do innych obozów śmierci, prawie co drugi ksiądz. Zatem jest to znów element męczeństwa, aspekt męczeństwa, o którym my zbyt mało wiemy. Przypomnijmy sobie, co Jan Paweł II powiedział parę lat temu w Bydgoszczy — że Polska też potrzebuje napisania księgi polskich męczenników z okresu II wojny światowej. Te elementy, te aspekty historii znamy za mało. Biskup przewidział, że praca duszpasterska będzie tam niemożliwa, i w 39 r. polecił Stefanowi Wyszyńskiemu opuścić Włocławek. Zdawał sobie bowiem sprawę, że o ile duszpasterze muszą tkwić na parafii, nie mogą zostawić ludzi, to skoro zostało zamknięte seminarium, pobyt Stefana Wyszyńskiego na terenie Włocławka groził jego natychmiastowym aresztowaniem i wywiezieniem do obozów. Uniknął więc tego aresztowania, i od 39 r. mieszkał w kilku kolejnych miejscach, m.in. we Wrociszewie, gdzie jego ojciec był później organistą. Ocierał się o Warszawę, trochę w diecezji łomżyńskiej — wszędzie pracował jako ksiądz, ale nie zdradzano, że jest profesorem seminarium. Bano się, że zostanie aresztowany, zamordowany bądź co najmniej wywieziony. A wiadomo, że kształcenie nowego profesora zawsze trwa wiele lat. Bo o ile kogoś, kto ma ręczne zdolności, można wykorzystać już dziś, to żeby wykształcić potrzeba długiego czasu. Był więc chroniony.

W 1942 roku znalazł się w Laskach. Tutaj spotkał ponownie, i bardzo się związał z księdzem Korniłowiczem. Posługiwali ludziom, zwłaszcza tym, którzy potrzebowali pomocy. Od 1944 r. był kapelanem okręgu wojskowego Żolibórz - Kampinos. Wtedy pełnił wszystkie funkcje kapelana na przedmieściach Warszawy, pomiędzy Laskami a Żoliborzem. Jedna z jego powinności to było chodzenie po lasach, niby dla spaceru, ale po to, żeby nawiązywać czy podtrzymywać kontakty, wyszukiwać rannych. Tych rannych ściągać, zabierać do Lasek. M.in. w jego wspomnieniach znalazł się taki epizod, jak to pewnego dnia przyniesiono na noszach młodego chłopaka. Był on bardzo bitny, bardzo waleczny, rwał się do walki. Jednak zrobiono mu bardzo ciężką operację wewnętrzną, jakaś resekcja jelit czy coś takiego, było to bardzo bolesne bo nie było znieczulenia. I operacja się nie udała. On oczywiście o tym nie wiedział, jednak lekarze wiedzieli, że jego dni są policzone. On był cały czas przytomny, rwał się do walki. Wybuchło Powstanie Warszawskie. On twierdził, że chce nadal walczyć, i że „Trzeba, żebym na Matkę Boską, 26 sierpnia, był z powrotem pod murami".

Ksiądz Wyszyński wiedział, że na Matkę Boską będzie on pod murami, ale nie tu, tylko w niebie. Nikt nie chciał tego chłopakowi powiedzieć, bo on się rwał do życia. Ksiądz zdawał sobie sprawę, że nie można go wiecznie oszukiwać i musiał mu przekazać, że właściwie jego stan jest coraz bardziej krytyczny. I wspominał, że ten młody chłopak mówi: „Co też ksiądz mówi! Ależ ja jestem silny!" I podał mu rękę: „Niech ksiądz patrzy, jaki ja jestem silny!" Kardynał wspominał: wziąłem go za rękę, a ta ręka była już prawie umierająca. To już był człowiek, który już jedną nogą był po drugiej stronie życia, i rzeczywiście wkrótce umarł. To była taka posługa, którą ksiądz Stefan Wyszyński pełnił.

Z okresu Powstania Warszawskiego przeżył dwie rzeczy. O jednej i drugiej mówił ksiądz prałat Bronisław Piasecki, który jest jednym z najwierniejszych świadków tego wszystkiego, co wówczas Stefan Wyszyński przeżywał. Mianowicie pewnego dnia pod koniec Powstania, gdy Niemcy podpalili Warszawę — to była druga połowa września 1944 r. — w stronę Lasek kierowały się dymy palonego miasta. Wiatr był dość silny i niósł, poza dymem, rozmaite rzeczy, resztki książek, gazet, papierów, jakichś tkanin. Oni wychodzili i patrzyli w stronę Warszawy. Wyszyński wspominał, że modlił się za tych, którzy ginęli. I pewnego dnia wyszedł bardzo smutny i bardzo zły na Niemców, że coś takiego zrobili żywemu miastu. I wspominał, jest to bardzo mało znany epizod, głęboko symboliczny, jak to wiatr przyniósł w jego stronę kartki papieru. I okazało się, że te kartki to były jakieś księgi kościelne. I podniósł taką kartkę, spaloną ze wszystkich stron, ale w środku zachowały się tylko dwa słowa. A te dwa słowa brzmiały: „będziesz miłował". I wziął tę kartkę, spaloną ze wszystkich stron, patrzył na nią i odczytał ją jako znak, jako symbol, jako przesłanie, które ma Pan Bóg dla niego. Dla niego, który jest księdzem, i buntuje się, i przeklina tych Niemców, i otrzymuje, wśród wszystkiego spalonego, przesłanie „będziesz miłował!"

Kiedy Powstanie upadło, na początku października 1944 r., mógł wreszcie udać się do Warszawy. I następne wspomnienie, jakże znaczące. Dotarł na Krakowskie Przedmieście, w okolice kościoła św. Krzyża. I tam Chrystus, strącony przez hitlerowców, poniewierał się na ulicy. I ręka tego Chrystusa była uniesiona ku górze. I Stefan Wyszyński wspomina, że naprzeciw niego — a on był w sutannie, pojawiło się trzech żołnierzy niemieckich, dwóch oficerów i jakiś podoficer. I tylko byli oni i on. Oni szli z naprzeciwka, a on szedł w stronę ich i w stronę Chrystusa, z tą podniesioną ręką. I w pewnym momencie, kiedy się spotkali już przy tym zwalonym Chrystusie, oficer niemiecki najwyższy rangą, pyta go: „Znasz niemiecki?" „Znam." A oficer mówi: „Ist doch Polen nicht verloren!" czyli „Jeszcze Polska nie zginęła!" To był dla niego szok. Oto Niemiec na krótko przed klęską, ale już zniszczywszy Warszawę — bo oni odpowiadali za tę zniszczoną Warszawę, patrząc na wizerunek Chrystusa, na rzeźbę Chrystusa mówi: „Jeszcze Polska nie zginęła!" To było dla niego wielkie przeżycie. Powiada, że mu to jakoś otworzyło oczy na to, że nie ma ścisłego podziału: Polacy – Niemcy. Że dużo dobrego dzieje się w sercach i tych, których postrzegamy jako prześladowców.

I połączył ze sobą te dwa wydarzenia, te kartkę spaloną: „będziesz miłował" i to niemieckie „Ist doch Polen nicht verloren!" — „Jeszcze Polska nie zginęła!" Przedziwna rzecz, prawda? Kiedy człowiek się nad tym zastanawia, co mógł przeżyć, to warto żebyśmy wiedzieli, że jest to podglebie na którym on dorastał, rozwijał się i na którym dojrzewał.

W 1945 r. wojna się skończyła. Część z państwa pamięta realia powojenne. Dnia 25 maja 1946 roku, w święto Zwiastowania Pańskiego, dowiaduje się, że został mianowany biskupem lubelskim. Miał wtedy 45 lat. Jak na okres bezpośrednio powojenny był biskupem bardzo młodym. Został mianowany nie biskupem pomocniczym, lecz od razu biskupem ordynariuszem, czyli biskupem diecezji lubelskiej. Pamiętajmy, że Karol Wojtyła z kolei, czyli Jan Paweł II, został mianowany biskupem mając 38 lat, ale był wtedy biskupem pomocniczym. Stefan Wyszyński stał się od razu biskupem ordynariuszem. Mówił, że bardzo wzbraniał się przed przyjęciem tej nominacji. Na co kardynał August Hlond powiedział mu, że papieżowi się nie odmawia. Nominację przyjął, i 12 maja 1946 r. miał konsekrację biskupią na Jasnej Górze. To kolejny jego związek z Jasną Górą. Czterdziestopięcioletni człowiek w maju, w miesiącu maryjnym, na Jasnej Górze przyjmuje święcenia biskupie, i stamtąd pisze list do księży diecezji lubelskiej. I w tym liście wykłada sens swojej misji, swojej obecności. Czterdziesty szósty rok! Jeszcze i bandy, i przemoc, przeróżne walki, konflikty, i AK, i komuniści, i spory z Ukraińcami, którzy tam byli niedaleko Lublina — strasznie trudna sytuacja. Wszedł w tą sytuację i zjednał sobie w gruncie rzeczy wszystkich. Biskupem lubelskim był stosunkowo krótko, tylko dwa lata. Dnia 12 XI 1948 r. został na wyraźne życzenie umierającego kardynała Augusta

Hlonda, poprzedniego prymasa Polski, przez papieża Piusa XII mianowany prymasem Polski.

Mówiąc prawdę był to powód do wielkiego zdziwienia. Bo uważano, że jest za młody. Było wtedy sporo biskupów starszych od niego o 20 lat, czuli się lepiej przygotowani do tej nowej roli i nie sądzili, że czterdziestoparoletni świeży biskup będzie dobry do funkcji prymasa Polski. W związku z tym przyjęto go z pewną rezerwą. Na szczęście nie było miejsca na dużo rezerwy, bo prześladowania Kościoła w latach 47 - 48 były tak silne, że nie było mowy o jakiś widocznych rażących podziałach. I objął swoją stolicę prymasowską w Gnieźnie i w Warszawie. Kiedy przybył do Warszawy w 1948 roku powiedział, że jest tutaj na dobre po raz trzeci. Pierwszy raz — kiedy bronił tego szańca przed kolegami rosyjskimi, drugi raz — kiedy był w okresie Powstania, a teraz los przysłał go po raz trzeci i zatem na pewno ostatni. Kiedy udał się do Gniezna z ingresem i objął katedrę prymasowską w Gnieźnie, wtedy po raz pierwszy użył sformułowania, które później pozostało jego zawołaniem, jego zwrotem aż do końca jego życia: „Umiłowane dzieci Boże, dzieci moje". W ten sposób dał poznać z jednej strony, że „dla was jestem biskupem, z wami jestem chrześcijaninem". Ta niezwykle bliska więź, która tak bardzo zjednywała mu serca ludzi, a jednocześnie poczucie, że nie jest pierwszym lepszym w szeregu, tylko że ci, którzy go słuchają, są powierzeni jego pasterskiej trosce. Te słowa później pozostały jego słowami.

Rok 1949 był dla niego bardzo trudny, ponieważ sytuacja polityczna i społeczna pogarszała się coraz bardziej. Był to czas, kiedy przenoszono na grunt polski rozmaite poczynania Stalina. I próbowano uczynić Polskę jedną z republik Związku Radzieckiego, co znalazło również wykonawców także w samej Polsce.

Na koniec dzisiaj jeszcze tylko kilka krótkich wątków. Mianowicie bardzo utrudniał mu pracę brak konstytucji. Pierwsza konstytucja pojawiła się w r. 1952. Natomiast nie było żadnych podstaw prawnych, na których można byłoby ułożyć stosunki miedzy państwem a Kościołem. I dlatego 14 kwietnia 1950 r. zawarł porozumienie z władzami komunistycznymi. Dlaczego zawarł to porozumienie? Do końca życia o tym mówił — dlatego, że uczyniono z tego powód do ataków na niego. Zawarł to porozumienie z kilku powodów. Po pierwsze dlatego że nie wierzył, że Zachód przyjdzie nam z pomocą, i że będzie nas wyzwalał spod sowieckiej supremacji. Otóż zdawał sobie sprawę, że Zachód w sprawie Polski nic nie zrobi. Zatem, że sytuacja polityczna, która pojawiła się po II wojnie światowej, to nie jest sytuacja przejściowa, na parę miesięcy, tylko to jest sytuacja na wiele lat.

Po drugie, w momencie gdy nie można było osiągnąć wiele, ,chciał osiągnąć przynajmniej trochę. Co oznaczało „trochę"? Ocalić substancję Kościoła, i zabezpieczyć Kościół w przetrwaniu tego najgorszego okresu. I po trzecie wreszcie, traktował swoich rozmówców na tyle poważnie, że im wierzył. Natomiast później stwierdził, że nie było komu wierzyć, nie było z kim rozmawiać. On jednak podchodził do nich z jakimś dużym zaufaniem. Zawarł porozumienie, wskutek czego nazwano go nawet „czerwonym prymasem". Odczuwał to niesłychanie mocno. Cała złożoność polegała na tym że ci, którzy zawarli z nim porozumienie w 1950 r., oskarżali go jednocześnie na Zachodzie czy puszczali fałszywki, że on współpracuje z komunistami.

W związku z tym jego sytuacja była straszliwie trudna. Został wezwany do Watykanu, po raz pierwszy jako biskup i jako prymas, pozwolono mu tam pojechać. Spotkał się osobiście z papieżem Piusem XII, który był wielkim przeciwnikiem komunizmu, i komunizmu bał się jak ognia. I w osobistej rozmowie z papieżem Piusem XII Stefan Wyszyński wyjaśnił okoliczności, powody i motywy swojej decyzji. Wyjaśnił, że w sytuacji polskiej nie można liczyć na jakiś stan przejściowy, bo to zupełnie wyniszczy Kościół. Papież przyjął tę argumentację i dał mu w tych warunkach wszystkie pełnomocnictwa, zastrzeżone dla Stolicy Apostolskiej.

Okazało się to błogosławieństwem. Dlatego kiedy za rok, dwa sytuacja zaczęła się coraz bardziej pogarszać i komuniści zamknęli granice, i prymas nie mógł wyjeżdżać do Rzymu, wtedy miał wszystkie pełnomocnictwa do rozstrzygania spraw, które musiały być w Polsce robione. Komuniści sądzili, że mają do czynienia z młodym biskupem i że uda im się go wykiwać. Starali się podzielić biskupów na tych, którzy im sprzyjają, i na tych, którzy są absolutnie nie do przezwyciężenia. I starali się robić wrażenie istnienia podziału — zawsze „dziel i rządź"!

W roku 1952 postawili jako jeden z warunków, że premier będzie mianował biskupów, natomiast wojewoda będzie mianował proboszczów. I chcieli dla tej sprawy pozyskać prymasa. Na to prymas powiedział: „Non possumus!" — „Nie możemy!" Koniec, dalej ani kroku! Wywołało to furię z ich

strony. Bo spodziewali się, że uda im się stworzyć w Polsce, przetestowany później w Chinach, model Kościoła narodowego. Do dzisiaj w Chinach istnieje Kościół narodowy. Że uda się stworzyć struktury kościelne podległe premierowi i wojewodom. A kto nie będzie chciał należeć do tego Kościoła, będzie współpracownikiem Zachodu, współpracownikiem Watykanu, Ameryki itd. i trzeba go będzie zepchnąć na boczne tory. Wobec tych prób uchińszczenia Polski Stefan Wyszyński powiedział „Nie!" W Boże Ciało 1953 r., na procesji na Krakowskim Przedmieściu, powiedział mocne swoje „Nie", że Kościół już w żaden sposób nie może pertraktować. Że nie może uczynić żadnego kroku więcej, ponieważ wykazał mnóstwo dobrej woli, i to zostało sprzeniewierzone. Aresztowanie było kwestią czasu. Komuniści zastanawiali się, czy zrobić to przed wakacjami, czy po wakacjach. Doszli do wniosku, że ze względu na nieco napiętą sytuację lepiej to będzie zrobić po wakacjach, po wrześniu. Nie wiem, jak wtedy wyglądały wakacje, na pewno nie tak, jak dzisiaj. Ale widocznie była to jakaś cezura, nie tyle dla ludzi, ile dla tzw. elit politycznych. Po prostu ci komuniści wyjeżdżali wtedy do Bułgarii, do ZSRR, do Czechosłowacji itd. i woleli na ten czas nie mieć kłopotów.

We wrześniu 1953 r. zapadła decyzja o jego aresztowaniu. Scenariuszy było kilka. Nie brakowało głosów, że należy się go po prostu pozbyć. Bano się tego zrobić. Pojawiła się koncepcja, że należy go aresztować i w więzieniu powoli doprowadzić albo do złamania, albo do wyniszczenia organizmu i do jego śmierci. Pojawiła się wreszcie koncepcja, że należy go izolować. Kiedy go aresztowano, potem ze smutkiem i żalem stwierdzał, w jego obronie stanął tylko pies i Niemiec. Pies Baca ugryzł ubeka, który wyciągnął rękę w stronę prymasa, w rękę. I rzeczywiście wyraźny protest zgłosił tylko ówczesny zarządca diecezji warmińskiej, olsztyńskiej, który był Niemcem. Podczas gdy inni milczeli, ów Niemiec upomniał się głośno o Polaka, o prymasa. Prymas do końca życia wspominał, że to był najtrudniejszy czas w jego życiu. Nie z powodu tego, że został aresztowany, ale z powodu tego, że w aresztowaniu pozostał samotny. Aresztowanie odbyło się pod osłoną nocy, i w jego obronie nikt nie stanął, z wyjątkiem zwierzaka i Niemca.

Nie sposób państwa trzymać dalej, bo mamy już za sobą godzinę. Być może trzeba będzie wrócić, i jakby dokończyć tego niezwykłego życia.

Prymas był w czterech miejscach odosobnienia. Najpierw Rychwałd, później Stoczek Warmiński, później Prudnik, potem Komańcza. Wszystkie cztery miały jedno wspólne. Mianowicie były bardzo blisko granic Polski. A to oznaczało, że w przypadku jakichkolwiek niepokojów można było internowanego prymasa przerzucić poza granice, czy to na teren Czechosłowacji, czy do ówczesnego Związku Radzieckiego.

Rozdział 4

2001/2002 — „Przekroczyć próg nadziei”

4.1 Wizerunek Jana Pawła II w „Przekroczyć próg nadziei” (dn. 15 października 2001)

Bardzo serdecznie wszystkich państwa witam. Widzę twarze tych, którzy już w ubiegłych latach brali udział w tych konferencjach, które noszą nazwę biblijnych. Widzę, że są także osoby zupełnie nowe. Witam państwa z nadzieją, że podejmując temat tegoroczny, konferencje tegoroczne też będę mógł coś państwu zaoferować takiego, co zainteresuje, być może pobudzi do refleksji, do myślenia, co przyczyni się do wzrostu naszej wiary. Zawsze na początku tych konferencji, co roku, a odbywają się one od kilkunastu lat, powtarzam myśl którą, mam nadzieję że państwo dobrze rozumieją. Mianowicie dla mnie jest to zawsze wielka radość, wielka przyjemność, wielkie szczęście — ale jednocześnie wielkie zobowiązanie. Taka świadomość, że ktoś zostawia na kilka godzin dom, żeby tu się wybrać, często przyjeżdża z daleka, bywa dla mnie wręcz porażająca. Bo zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo trudno jest sprostać oczekiwaniom, i jak wiele bardzo rozmaitych ofert pojawia się dzisiaj. I jeżeli ktoś wybiera tą ofertę to znaczy, że czyni to bardzo świadomie.

Mam nadzieję, że tegoroczny temat również państwa zainteresuje, aczkolwiek w tym roku nie będą to w ścisłym tego słowa znaczeniu konferencje biblijne. Bardzo długo myślałem, właściwie przez całe wakacje wracałem do tego pomysłu. I pod koniec sierpnia będąc w Rzymie, kiedy to mieliśmy również możliwość osobistego kontaktu z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, utwierdziłem się w tym, że pomysł na ten rok jest bardzo dobry. Otóż przedmiotem naszej refleksji comiesięcznej będą fragmenty książki Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”. Ci z państwa, którzy brali udział w poprzednich konferencjach, wiedzą, że dość często wracałem do tej książki, dość często o niej wspominałem. I muszę państwu powiedzieć, że dla mnie jest to jedna z najważniejszych książek, jakie przeczytałem w swoim życiu.

Natomiast wizerunek Ojca Świętego, który z tej książki się wyłania, jest absolutnie wyjątkowy. Dobrze więc, że wczoraj obchodziliśmy po raz pierwszy w skali ogólnopolskiej *Dzień papieski*. Powiedziałem przy jakiejś okazji, że to jest 22 lata za późno, należałoby takie dni papieskie robić od samego początku, czyli od 1979 roku, ale lepiej późno niż wcale. Dobrze, że nareszcie taki ogólnopolski Dzień papieski mamy. Tak się składa, że jutro jest 23 rocznica wyboru Jana Pawła II. I tak się składa, że ten rok pod wieloma względami jest przełomowy. I bardzo chciałbym, żeby państwo na podstawie lektury i refleksji nad tą książką odkryli jak gdyby wnętrze Ojca Świętego. Wszyscy znamy jego twarz, znamy jego sylwetkę, znamy jego portrety, znamy jego podobizny, i to wykonywane na tysiące sposobów: od fotograficznej do malarskiej, i wszystkie inne. Natomiast myślę, że ciągle mało znane jest wnętrze Ojca Świętego. Żadna książka, żadna wypowiedź papieża nie odsłania tak jego wnętrza, jak właśnie ta książka. Jeżeli mi się uda choćby po części odsłonić to wnętrze i sumienie, jego tajniki, Jana Pawła II, to myślę, że będzie to zupełnie fascynująca przygoda.

Byłbym bardzo rad, gdyby państwo w tej przygodzie wzięli udział, i towarzyszyli mi. I niejako zadawali sobie pytanie, które ja bez przerwy sobie zadaję: czy ten wizerunek, czy ten klucz do wnętrza, do osobowości Jana Pawła II, czy to jest klucz trafny i dobry? Z całą pewnością nie

będzie to klucz pełny. Dlatego, że jest to osoba, której bogactwa zgłębić nie sposób. Ale myślę, że skoro jesteśmy pokoleniem, które żyje w jego czasach, z całą pewnością zrozumieć go powinno być dla nas czymś ważnym. I myślę, że będzie to dla nas czymś ważnym bo bardzo chciałbym, *żebyśmy przy tej sposobności lepiej również zrozumieli samych siebie. Nie jest to więc tylko próba zgłębienia wnętrza Jana Pawła II, ale jest to próba sięgnięcia do wnętrza każdego z nas.*

Książka jest nader osobliwa. Są to zapisy rozmów, jakie przeprowadził włoski dziennikarz Vittorio Messori z Janem Pawłem II na początku lat dziewięćdziesiątych. Książka zatem utrwala rozmowy przeprowadzone mniej więcej dziesięć lat temu. Nie jest to pierwsza tego rodzaju książka. Zapewne słyszeli państwo, że za pontyfikatu Pawła VI również ukazała się książka — zapis rozmów dziennikarza z papieżem Pawłem VI, ale tamta dotyczy pewnych problemów wiary chrześcijańskiej, natomiast ta jest książką nie tylko o wierze, ale również książką o papieżu. Są tutaj pytania tak zupełnie wyjątkowe i odpowiedzi tak zupełnie wyjątkowe, że żeby zrozumieć współczesny Kościół to z całą pewnością tę książkę trzeba znać. Postaramy się więc przez nią przebrnąć. Są to zapisy rozmów z papieżem, zapisy, które zostały autoryzowane przez Ojca Świętego. Te rozmowy odbywały się ustnie, dziennikarz zadawał pytania i papież odpowiadał ustnie. Ale kiedy pojawił się tekst, wówczas papież przejrzał ten tekst i dokonał jego autoryzacji. Będziemy więc widzieli zarówno ślady języka mówionego, jak i ślady głębokiej refleksji wtedy, kiedy trzeba było doprecyzować każde słowo.

Myślę też, że skoro podejmujemy tę refleksję dosłownie w wigilię rocznicy pontyfikatu, i skoro ta refleksja będzie nam towarzyszyła przez cały rok — jeżeli dożyjemy wszyscy do czerwca 2002 r. — to będzie również jakieś *homagium,* jakiś hołd złożony Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. Zanosi się również na to, że nasz Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego ma w grudniu tego roku, dokładnie 15 grudnia, wręczyć Ojcu Świętemu doktorat honoris causa. Mogę więc państwu obiecać, że jeżeli będę miał możliwość bezpośredniego kontaktu, to powiem Ojcu Świętemu, że mamy takie konferencje poświęcone jego książce. Ojciec Święty przyjmuje tego rodzaju gesty zawsze z wielkim zainteresowaniem i z wielką wdzięcznością. Być może poproszę księdza biskupa Dziwisza, żeby przekazał wszystkim państwu jakieś, choćby drobne, pamiątki od Ojca Świętego, żeby to był żywy ślad naszej refleksji w tym roku, i naszej łączności z Janem Pawłem II. Pamiętajmy, że są to ostatnie lata tego pontyfikatu. Bez względu na to, czy jeszcze będzie rok jeden, czy trzy, czy siedem, to z całą pewnością już ten pontyfikat został przepołowiony. Jeżeli możemy towarzyszyć papieżowi to myślę, że w naszym gronie jest to wielka sprawa.

Posłuchajmy pytania pierwszego, bo na nim się dzisiaj skupimy, i nad odpowiedzią na to niezwykłe pytanie. Powtórzę tylko państwu to, co mówiłem przedtem. Mianowicie, że nikt jeszcze papieżowi takiego pytania nigdy nie zadał. Proszę wsłuchać się w to pytanie dlatego, że to pytanie jest wyrazem niezwykłej poufałości — to za duże słowo i niegrzeczne — ale dowodem niezwykłej intymności tej rozmowy Jana Pawła II z Vittorio Messorim. Zwracając się do papieża dziennikarz mówi tak:

> Ojcze Święty, pierwsze pytanie chce dotknąć samych korzeni, jest więc rzeczą zrozumiałą, że będzie nieco dłuższe od pozostałych.

I rzeczywiście jest to najdłuższe z pytań, które postawił dziennikarz. Pytanie, które wprowadza w całość tych rozmów.

> Oto znajduję się przed człowiekiem ubranym na biało, zgodnie z dawnym zwyczajem, i noszącym na piersi krzyż. Muszę stwierdzić, że człowiek, którego nazywamy Papieżem (po grecku: ojciec), niezależnie od tego, jakie nosi imię, sam w sobie jest jakąś tajemnicą i znakiem sprzeciwu lub wręcz prowokacją w świetle tego, czym dla wielu naszych współczesnych są kryteria racjonalności czy zwykłego zdrowego rozsądku.

Bardzo ciekawe postawienie sprawy. Samo spotkanie z tym człowiekiem ubranym na biało to dla współczesnego człowieka jakaś prowokacja. Dlaczego? Możemy się domyślać, że prowokacja rodzi się z wyjątkowości roszczeń związanych z papieżem. Normalnie w świecie, jeżeli ktoś cieszy się autorytetem, to dlatego, że został wybrany przez innych ludzi, na przykład na drodze głosowania. Wskutek tego jest np. prezydentem, wskutek tego może być premierem, albo też zyskuje autorytet dzięki swoim uznanym osiągnięciom tak, jak laureaci nagrody Nobla. Natomiast papieżem zostaje

się w inny sposób, i zostaje się dożywotnio. I ten człowiek wybrany papieżem, z greckiego: „papa" znaczy „ojciec", stanowi głębszą prowokację w tym znaczeniu, że są tacy, którzy zadają pytanie „Czy to roszczenie związane z papieżem ma sens? Czy rzeczywiście ten człowiek może sobie rościć prawo do tego, kim jest?" Istotnie — pyta dalej dziennikarz:

> wobec Papieża trzeba wybierać. Wiara określa Głowę Kościoła Katolickiego jako Namiestnika Jezusa Chrystusa (i jako takiego przyjmują Go wierzący). Papież uważany jest więc za człowieka reprezentującego na ziemi Syna Bożego, za człowieka „występującego w imieniu" Drugiej Osoby Trójcy Świętej.
>
> Tak mówi o sobie każdy Papież, oczywiście z wymaganą pokorą, ale z nie mniejszą pewnością. Tak wierzą katolicy, którzy nieprzypadkowo nazywają Go Ojcem Świętym, Świątobliwością.
>
> Jednak wielu innych ludzi twierdzi, że to roszczenie jest absurdalne i bezsensowne. Dla nich Papież nie jest przedstawicielem Boga, lecz jakimś przeżytkiem dawnych mitów i legend, których dzisiaj człowiek „dojrzały" nie może akceptować.

I pointa tego — proszę zobaczyć, to była osobista rozmowa z papieżem. Z jednej strony wiara, że oto mamy przed sobą reprezentanta, przedstawiciela Syna Bożego, z drugiej strony odrzucenie, że oto mamy przed sobą relikt jakiejś odległej starożytności czy średniowiecza, który uzurpuje sobie miejsce i rolę, jakiej żaden inny człowiek uzurpować już sobie dzisiaj nie chce, czy nie odważa się. Jaka jest konkluzja tego pytania?

> Otóż, w obliczu Waszej Świątobliwości — podobnie jak w obliczu każdego Jego poprzednika i następcy — trzeba zrobić „zakład", jak powiedziałby Pascal: Ojciec Święty albo jest tajemniczym znakiem Boga Żywego, albo też jest wyrazem iluzji trwającej od dwóch tysięcy lat.

Prawda, że bardzo odważne? I teraz końcówka:

> Jeśli więc można zapytać: czy Wasza Świątobliwość nigdy się nie wahał i nie waha w pewności co do swego szczególnego związku z Jezusem Chrystusem, a więc z Bogiem? Czy nie miał nigdy — oczywiście nie wątpliwości — ale przynajmniej pytań i problemów (a to jest rzecz ludzka) co do prawdziwości tego Credo, które powtarza podczas Mszy św. — Credo głoszącego przecież wiarę niesłychaną, której Wasza Świątobliwość jest najwyższym gwarantem?

Nikt, nigdy nie zapytał tak papieża! Czy papież nie waha się co do swojej godności, do tożsamości, i do tych roszczeń, które są z tym związane? Mówiąc innymi słowy, czy papież wierzy w to, kim naprawdę jest? Jak papież to przyjmuje, i jak papież to przeżywa?

Powiedzmy sobie, że nie jest to tylko pytanie papieża, i ta kwestia nie dotyczy tylko tożsamości papieża. Przekładając to na inny język, na inne okoliczności, można by powiedzieć tak: *jest to pytanie które,* jak państwo zobaczą, *dotyczy każdego z nas.* Wyobraźmy sobie przyjmowanie komunii świętej. Oto przyjmują państwo komunię świętą. I podchodzi ktoś i pyta: „Czy ty naprawdę wierzysz w to, że oto przyjąłeś czy przyjęłaś w tej chwili Syna Bożego? Czy nie jest to tylko opłatek, taki jak inne? A jeżeli naprawdę wierzysz że to, co przyjąłeś, to przyjąłeś Syna Bożego, i się Nim karmisz — czy nie masz co do tego wątpliwości?"

To pytanie można by skierować nam. Może ktoś z państwa zapytać — na pewno jest mnóstwo osób, które mają takie same: „Czy ksiądz wierzy w to, co sprawuje? Czy kiedy odprawia mszę świętą, i podnosi chleb, i podnosi wino, i mówi: «To jest Ciało, to jest Krew», to czy ksiądz wierzy, że od tej pory ma w ręku Ciało i Krew Syna Bożego? A jeżeli ksiądz w to wierzy, to czy może normalnie żyć z tą świadomością, że oto każdego dnia może sprawować coś takiego?" Złośliwi dodaliby: doświadczenie mówi co innego. Wystarczy popatrzeć na szafarzy Eucharystii, przynajmniej niektórych i niekiedy, aby domyślać się, że nie jest to dla nich wielka tajemnica wiary, jak to głoszą we mszy świętej. Dlatego wydaje się, że nie jest to dla nich wielka tajemnica wiary, jak to głoszą we Mszy św. Zobaczmy więc, jak Ojciec Święty odpowiedział na to niezwykłe pytanie. Pytanie, które samo w sobie stanowi prowokację. I proszę posłuchać odpowiedzi, bo jest to odpowiedź tak głęboko chrześcijańska, że z całą pewnością pomoże każdemu z nas zrozumieć również cząstkę swojej tożsamości i związanych z nią wyznań, które musimy podjąć. Papież powiedział tak:

> Myślę, że musimy zacząć od wyjaśniania słów i pojęć. Pańskie pytanie przeniknięte jest z jednej strony żywą wiarą, a z drugiej strony pewnym niepokojem. To muszę zaraz na początku stwierdzić, a stwierdzając to, muszę odwołać się do wyrażenia, które stało u początku mojego posługiwania na stolicy św. Piotra: „Nie lękajcie się!”

Ten początek w moim przekonaniu jest wspaniały. Papież mówi tak. Ktoś, kto stawia sobie takie pytanie, jest człowiekiem wierzącym. Bo jeżeli nie wierzy, to tego rodzaju pytania nie przychodzą mu do głowy. A z drugiej strony jest człowiekiem, w którym odzywa się lęk. Lęk o prawdziwość Bożej obecności w świecie. I papież mówi: „Ważną rzeczą jest to, by przełamać, pokonać ten lęk”. Ten lęk pojawia się bardzo często. Sam papież przypomina, że na początku pontyfikatu, na mszy św. inaugurującej jego pontyfikat 22 października 1978 roku na Placu św. Piotra wołał „Nie lękajcie się!” Nie lękajcie się stawiać pytań, ale również nie lękajcie się szukać odważnych odpowiedzi. I dalej:

> *Chrystus wielokrotnie kierował to wezwanie „Nie lękajcie się!” do ludzi, których spotykał.* Tak mówił Anioł do Maryi: „Nie lękaj się”. Tak samo mówił do Józefa: „Nie lękaj się”. Tak mówił Chrystus do Apostołów, do Piotra, w różnych okolicznościach, a zwłaszcza po swoim zmartwychwstaniu. Mówił: „Nie lękajcie się!” Czuł bowiem, że się lękają. Nie byli pewni, czy Ten, kogo widzą, jest tym samym Chrystusem, którego znali. Lękali się przy Jego pojmaniu, lękali się jeszcze bardziej po Jego zmartwychwstaniu.
>
> Słowa, które wypowiedział Chrystus, powtarza Kościół. *A wraz z Kościołem powtarza je Papież,* a czyni to od pierwszej homilii na Placu św. Piotra: „Nie lękajcie się”. Są wypowiedziane „na kredyt”. Jak widać, są one głęboko zakorzenione w Ewangelii. Są to po prostu słowa samego Chrystusa.

Na początku każdej wiary, i wierząc w Boga, tłumaczy Papież, i zastanawiając się nad swoją tożsamością, trzeba wyzbyć się lęku. Ten lęk może człowieka paraliżować. Jeżeli bowiem kapłan, że przejdziemy na ten poziom, sprawujący Mszę św., będzie podlegał lękowi, że to, co sprawuje, to jest ?? to natychmiast przegrywa. Jeżeli papież na samym początku nie pokonałby i nie pokonuje codziennie tego lęku, którego pokonywanie przychodzi mu zawsze ??, bo Chrystus umacnia człowieka do pokonywania tego lęku, to nie mógłby być sobą. Kardynał Wyszyński wspominał kiedyś, że kiedy po kilku głosowaniach na konklawe wreszcie stało się jasne, że papieżem może zostać wybrany Karol Wojtyła, to Karol Wojtyła spytał kardynała Wyszyńskiego, czy ten wybór może przyjąć. Czy ten wybór nie przerasta jego sił. I kardynał Wyszyński odpowiedział, że nie tylko może, ale musi. I to samo mówił również kardynał König z Wiednia. Utwierdzali Karola Wojtyłę jeszcze inni kardynałowie, że przy tym wyborze odmówić nie może. I kiedy doszło do decydującej chwili, gdy musiał zaakceptować wybór na konklawe, powiedział, że ten wybór przyjmuje.

Wielce pouczające jest zobaczenie na wideo czy w telewizorze zachowania Ojca Świętego 16 października 1978 roku w loży Bazyliki św. Piotra. Papież stanął przed ludźmi, przed tłumem, przed tysiącami Rzymian, i pierwsze jego słowa: „Przybyłem do was z dalekiego kraju”. Dla Włochów bowiem wtedy Polska była bardzo daleko, za żelazną kurtyną, której kształtu absolutnie sobie nie wyobrażali. Od początku pontyfikatu Ojciec Święty zrozumiał, wiedział, a musiał to oczywiście wiedzieć wcześniej, że sprawowanie tej posługi oznacza, mówiąc innymi słowy, głębokie zawierzenie Bogu. A głębokie zawierzenie Bogu pokonuje lęk. Proszę państwa, my często stajemy wobec lęku. Natomiast każdemu z nas przyjdzie stanąć wobec lęku, kiedy pojawia się choroba, zwłaszcza bardzo ciężka, kiedy wreszcie pojawia się perspektywa śmierci. W człowieku istnieje wówczas ten egzystencjalny, jak nazwali go filozofowie, lęk. Ten lęk może człowieka sparaliżować kompletnie. I są ludzie, których ten lęk rzeczywiście paraliżuje i absolutnie wyniszcza. Gdyby papież podlegał takiemu samemu lękowi nie byłby w stanie pełnić swojej misji. Gdyby ksiądz sprawujący Eucharystię nie przemógł tego lęku, nie mógłby pełnić swojej posługi. Gdyby przeciętny wierzący, idąc do komunii świętej, że pozostaniemy przy tym przykładzie, nie pokonał w sobie zupełnie świadomie tego lęku przed przyjęciem Boga, przed karmieniem się Bogiem, nie byłby w stanie tego uczynić. Zapewne są tacy, którzy powstrzymują się przed praktykowaniem wiary także z tego powodu, że jest w nich niepokonany do końca lęk. Tajemnica, zwłaszcza tak wielka, zawsze u człowieka rodzi lęk. Więc papież powtarza: „Nie lękajcie się”. I dalej:

> *Czego nie mamy się lękać?* Nie mamy się lękać *prawdy o nas samych.* Tę prawdę zobaczył naocznie Piotr pewnego dnia i powiedział do Jezusa: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny".
>
> Myślę, że nie sam Piotr tę prawdę dostrzegł. Dostrzega ją każdy człowiek. Dostrzega ją każdy Następca Piotra.

Czyli każdy człowiek ma pokusę powiedzieć: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny". Ileż to razy możemy usłyszeć, że ktoś nie przystępuje do komunii świętej, bo jest grzeszny. Że ktoś nie ociera się o te święte tajemnice wiary, bo ma poczucie grzechu. To samo mogłoby paraliżować papieża. Świadomość, że jest grzeszny, a z drugiej strony, że sprawuje tak wielkie posłanie. I dalej:

> Każdy z nas jest *wdzięczny Piotrowi* za to, co powiedział owego dnia: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny". Chrystus odpowiedział mu: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił". *Nie lękaj się ludzi!* Człowiek jest zawsze taki, jaki jest. Systemy, które człowiek tworzy, są zawsze niedoskonałe, a tym bardziej są niedoskonałe, im człowiek jest bardziej zadufany w sobie. Skąd się to bierze? To bierze się z ludzkiego serca. Nasze serce jest niespokojne. Jego niepokój zna najlepiej sam Chrystus. „On wie, co jest w człowieku".

Tu papież wyraził niezwykle ciekawą i głęboką myśl. Człowiek jest zawsze taki, jaki jest. I musimy to z pokorą przyjąć. W swojej pierwszej encyklice Jan Paweł II wypowiedział słynne słowa:

> Każdy człowiek jest drogą Kościoła,
> drogą Kościoła jest każdy człowiek,
> taki, jaki jest: grzeszny, ułomny, słaby, upadający
> ale przecież to ten człowiek jest drogą Kościoła.

Gdyby świadomość grzechu, świadomość słabości miała odwieść nas od Boga, albo miałaby spowodować, że czujemy się tak niegodni, iż rezygnujemy z Bożego daru miłosierdzia i przebaczenia, to taki lęk byłby porażający i wyniszczający. Otóż mamy obowiązek pokonać ten lęk. Bóg miłuje nas takimi, jakimi jesteśmy.

> Tak więc wobec Pańskiego pierwszego pytania pragnę odwołać się do słów Chrystusa, a zarazem do moich pierwszych słów z Placu św. Piotra. A więc: „Nie lękaj się!", gdy cię ludzie nazywają *Namiestnikiem Chrystusa*, gdy mówią do ciebie: *Ojcze Święty*, albo też *Wasza Świątobliwość*, lub używają tym podobnych zwrotów, które zdają się być nawet przeciwne Ewangelii. Przecież Chrystus sam powiedział: „Nikogo [...] nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, ten w niebie. Nie chciejcie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus". Jednakże zwroty te wyrosły na podłożu długiej tradycji. Stały się pewnego rodzaju przyzwyczajeniem językowym i również tych zwrotów nie trzeba się lękać.

Papież zwraca uwagę na to, że gdy zwracają się do niego ludzie, wierni: „Wasza Świątobliwość", „Ojcze Święty", czy nazywają go „Namiestnikiem Chrystusa", to są tytuły. W języku polskim przez 23 lata nie nauczyliśmy się jeszcze pisać słów „Ojciec Święty". Dopiero ostatnio jest pod tym względem lepiej. Bardzo często pisano „Ojciec" — z dużej litery, „święty" — z małej litery. Jest to oczywistym błędem, bo taki napis *zakłada świętość* papieża, świętość osobistą tak, jak święty Jan od Krzyża albo święta Teresa. „Ojciec Święty" — oba wyrazy trzeba pisać dużymi literami, bo to jest tytuł, sposób zwracania się, który utrwalił się w tradycji. Papież tego nie chce zmieniać. Przyjmuje to, i przyjmuje to z odwagą.

Tutaj wydaje mi się, że jeden z kluczy do wnętrza papieża to ten, że *on od samego początku, od pierwszego dnia jest papieżem.* To nie jest tak, że on się przyzwyczajał do bycia papieżem. To nie jest tak, że on jakoś grał, czy musiał wpisywać się w tę rolę. W momencie, kiedy powiedział „Tak" i od chwili, kiedy stanął przed kamerami na balkonie, a kamery przekazywały ten obraz na cały świat, cały świat zobaczył nowego papieża. Nowego nie tylko dlatego, że wybrano nowego człowieka. Nowego dlatego, że on sam miał wewnętrzną świadomość i wewnętrzne niezłomne przekonanie, że

oto stał się Namiestnikiem Jezusa Chrystusa. Proszę zwrócić uwagę, że od tamtego momentu jest absolutnie wolny we wszystkim, co robi. I zachowuje się tak, jak zachowuje się człowiek świadomy swojej godności i swojej misji. A jednocześnie człowiek wolny, pełen ??.

Tuż po wyborze zachorował, i to bardzo ciężko, kardynał Deskur. Nazwisko jest jakby nie polskie, ale jest to polski kardynał, bardzo osobisty przyjaciel Jana Pawła II. I wkrótce po swoim wyborze Jan Paweł II udał się do szpitala. Gdy został postrzelony, gdy tylko odrobinę doszedł do siebie, nakazał zrobić pewną rzecz na terenie Watykanu. Jest taki zwyczaj, że każdy papież pozostawia po sobie pamiątki w Watykanie. Są to pamiątki noszące jego herb, jego imię. Jan Paweł II kazał zrobić noclegownię. Jest to pierwsze niewielkie pomieszczenie, w którym zbierają się rzymscy bezdomni, i przychodzą systematycznie od tamtej pory — my też już wiemy, co to znaczy — i są utrzymywani z osobistych pieniędzy papieża, jeżeli w ogóle można powiedzieć, że papież ma jakieś osobiste pieniądze. A więc z wielką troską — tak zachowuje się od początku. W ten sposób widzimy go w rozmaitych sytuacjach, w których papieże do tej pory się nie pokazywali, nie byliśmy do tego przyzwyczajeni. Papież w każdej sytuacji jest sobą.

> Ile razy Chrystus wzywa: „Nie lękajcie się!”, ma na myśli zawsze i Boga, i człowieka. Chce powiedzieć: *Nie lękajcie się Boga,* który, według filozofów, jest transcendentnym Absolutem. Nie lękajcie się Boga, owszem, mówcie do Niego wraz ze Mną: „Ojcze nasz”.

Jest z wykształcenia filozofem. Nie ma w języku polskim trudniejszych książek filozoficznych niż te, które napisał Karol Wojtyła. Napisał m.in. „Osoba i czyn”. I nie wiem, czy jest kilkanaście osób w Polsce, które przedarły się owocnie przez tę książkę. Myślę, że gdybyśmy ją zaczęli czytać dzisiaj, po kilkudziesięciu latach od jej ukazania się, to tylko naprawdę heroiczny ?? Ale ten papież patrzy na filozofię i do swojego rozmówcy puszcza oko, bo mówi tak.

Filozofowie nazywają Boga transcendentnym Absolutem. Ale, powiada papież, jakkolwiek nazywają Go filozofowie, to Bóg jest dla człowieka Ojcem. Świadomość, że Bóg jest Ojcem, pozwala nam pokonać, przezwyciężyć lęki, które nas trapią. Jeden z owoców dzisiejszego tekstu powinien być taki. Żebyśmy dopuścili do głosu ten intymny, osobisty związek człowieka z Bogiem, który pozwala nam zapomnieć, że jest On Absolutem transcendentnym, wielkim, wspaniałym, a pozwala mówić do Niego: „Ojcze!” Skierowanie do Boga przezwycięża lęk i otwiera nas na te możliwości, które Pan Bóg daje.

> *Nie lękajcie się mówić: Ojcze!* Pragnijcie nawet być doskonali, tak jak On i dlatego, że On jest doskonały. Owszem — „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski”.

To znaczy: przechodzimy na płaszczyznę, na wszystkie pytania można uzyskać odpowiedź rozumu. Jeżeli tak przezwyciężyć swoje lęki, także ten związany z moją papieską tożsamością — zwraca się do tych, którzy to czytają — jeżeli chcecie przezwyciężyć swoje lęki przez tajemnicą, w której bierzecie udział, przed cierpieniem, przed śmiercią — najlepszym lekarstwem, mówi papież, ?? nawiązując głęboką, osobistą więź z Bogiem, która umożliwia nam najgłębszą wiarę i przezwyciężenie tego lęku. Nie na drodze rozumowych kombinacji, ale na drodze modlitwy i zawierzenia Panu Bogu pokonuje człowiek to, co w życiu najtrudniejsze. I dalej:

> Chrystus jest *sakramentem niewidzialnego Boga.* Sakrament oznacza obecność. Bóg jest z nami. Bóg nieskończenie doskonały, nie tylko jest z człowiekiem, ale sam stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie. *Nie lękajcie się Boga, który stał się człowiekiem!* To właśnie wypowiedział Piotr w pobliżu Cezarei Filipowej: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Pośrednio mówił: Ty jesteś Syn Boży, który stał się człowiekiem. Piotr nie lękał się tego powiedzieć, chociaż słowa te nie pochodziły od niego. Słowa te pochodziły od Ojca. „Tylko Ojciec zna Syna i tylko Syn zna Ojca”.

To jest największa tajemnica naszej wiary. I mówi tak: Jeżeli chcemy mówić do Boga: „Ojcze” i jeżeli ta więź wiary ma pozostać ??, to musimy być świadomi, musimy pamiętać. Doświadczył tego św. Piotr, wyznając to w wierze. Ale chrześcijanie tym różnią się od innych, że wyznają Boga, który nie tylko jest transcendentny, wspaniały, w niebie, daleko od nas, ale wyznają Boga, który stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie. I tutaj papież stawia także siebie, i stawia nas, wobec tego pytania: „Kim jest dla ciebie Jezus Chrystus?”

> „Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie". Słowa, które wypowiedział Piotr, wypowiedział je w mocy Ducha Świętego. Kościół także te słowa stale w mocy Ducha Świętego wypowiada.

Zatem jeżeli ktoś wyznaje boską i mesjańską godność Jezusa Chrystusa, to czyni to umocniony i oświecony przez Ducha Świętego. W związku z tym ktoś, ktoś wyznaje Jezusa Chrystusa, i jest oświecony tą mocą Ducha Świętego, nie musi się niczego bać, ani nie musi się lękać. Powinien sobie uświadomić, że w swoim życiu nie jest sam, bo Bóg jest z nami. To On uzdalnia nas do tego niezwykłego wyznania wiary. Sami z siebie nie moglibyśmy takiego wyznania wiary złożyć. Zatem papież mówi: Kiedy odpowiadam na to pytanie, jak przeżywam to, że jestem papieżem, to muszę Panu powiedzieć, że czuję obecność Boga, który mnie wspomaga do tego, i uzdalnia do tego, abym swoją misję pełnił.

> Tak więc Piotr nie lękał się Boga, który stał się człowiekiem.

I teraz mamy ciekawą myśl, jakże trudną.

> Natomiast lękał się o Syna Bożego jako człowieka. Nie mógł bowiem przyjąć, iż będzie On biczowany i cierniem ukoronowany, i w końcu ukrzyżowany. Tego Piotr nie mógł przyjąć. Tego się lękał.

Tak dochodzimy do największej tajemnicy naszej wiary. W Jezusie Chrystusie Bóg stał się człowiekiem. To Piotr przyjął. Ale kiedy Jezus zapowiedział mu, że będzie cierpiał, że poniesie śmierć męczeńską, to wtedy, jak pamiętamy, Piotr zaprotestował. I wołał: „Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!" Ludzie wyobrażają sobie Boga tak, iż sądzą, że On zawsze zwycięża wtedy, kiedy wokół siebie możemy odkryć Jego splendor i wszechmoc. Że z Bogiem jest tak, jak z ludźmi. Jeżeli ktoś jest silny, to z mocą dochodzi swoich racji. I wyobrażamy sobie Pana Boga jako potężnego, który gromi swoich nieprzyjaciół, który poraża swoich wrogów. W gruncie rzeczy taki wizerunek Boga dominował w Starym Testamencie, zwłaszcza w Psalmach. Tam biblijny Izrael modląc się wyznawał wszechmoc Boga, który umiał dowieść swoich racji i umiał upomnieć się o swoje miejsce. A kiedy Jezus zapowiedział, że będzie cierpiał, to Piotr zaprotestował. Ojciec Święty powiada:

> Tego Piotr nie mógł przyjąć. Tego się lękał.

Lękamy się zobaczyć moc Boga w słabości. Lękamy się dostrzec moc Boga w cierpieniu. Lękamy się dostrzec upokorzonego Boga. I Ojciec Święty zakończył tak:

> I Chrystus za to Piotra surowo skarcił.

Pamiętamy, że skarcił go słowami: „Odejdź precz, szatanie! Bo nie myślisz o tym, co boskie, lecz o tym, co ludzkie". Nikogo Jezus nie nazwał szatanem! Tylko samego Piotra wtedy, kiedy próbował Go odwieść od tej zbawczej misji. Ojciec Święty mówi więc, raz jeszcze przeczytam to zdanie, bo drugie zdanie jest absolutnie ??. Papież powiedział tak:

> I Chrystus za to Piotra surowo skarcił. Ale go *nie odrzucił.*

Oto jest klucz do zrozumienia Boga w ??. Bóg człowieka upomina. Ale nikogo nie odrzuca. A więc ci wszyscy, którzy mają problem ze zrozumieniem obecności Bożej w sytuacji upokorzenia, cierpienia, niech pamiętają, że powinni mieć ?? Piotra, który miał dobrą wolę, i gorące serce. Zauważmy — papież filozof, człowiek, który całe życie spędzał nad książką i mądrymi przemyśleniami, nie mówił o rozumie — ale o Piotrze, który miał dobrą wolę i gorące serce. Być może Piotra wola i gorące serce wyprzedzają rozum, a może nawet go zastępują. Być może na samym rozumie polegać nie można. Jan Paweł II wypowiedział to później w swojej encyklice „Fides et ratio", kiedy podkreślił, że człowiek na dwóch skrzydłach unosi się do Boga, tak jak ptak. A te dwa skrzydła to jest *rozum* i *wiara.* Nie ma ptaków, które mogłyby latać o jednym skrzydle. Samym rozumem do Boga dojść nie sposób. A i samą wiarą, może też ?? najlepiej i jedno i drugie znajduje dopełnienie. A dzieje się to wtedy, gdy człowiek ma dobrą wolę i gdy ma gorące serce. I dalej:

> Nie odrzucił tego człowieka, który miał dobrą wolę i gorące serce. Tego człowieka, który w Ogrójcu jeszcze dobył miecza, aby bronić swego Mistrza. Jezus powiedział mu tylko: „Szatan pożądał was — a więc i ciebie — aby przesiać was jak pszenicę, ale Ja prosiłem za tobą [...]. Ty nawróciwszy się, utwierdzaj swoich braci w wierze”. A więc Chrystus nie odrzucił Piotra, docenił jego wyznanie w okolicach Cezarei Filipowej i mocą Ducha Świętego przeprowadził go poprzez swoją własną mękę oraz jego własne zaparcie się.

Męka była Chrystusa, zaparcie było Piotra, ale z obydwu Piotr wyszedł zwycięsko prowadzony mocą Chrystusa. Jeżeli człowiek sądzi, że rzeczywistości wiary go przerastają, to papież mówi: „Pamiętaj, że nie jesteś sam! Z tobą jest Bóg. I to nie tylko ten Bóg odległy i transcendentny, ale Bóg w osobie Jezusa Chrystusa, który przeszedł przez mękę i śmierć poniósł krzyżową”. Jeżeli przystępując do komunii świętej masz pokusę zwątpienia, czy ta wielka święta tajemnica aby ciebie nie przerasta, to pamiętaj, że to zwątpienie można przemóc ze świadomością Bożego wsparcia i Bożej obecności, i obecności Jezusa Chrystusa, który cię usprawnia do tego, aby przez wzgląd na Jego mękę i przez pamięć na Jego śmierć przemóc to, co najtrudniejsze. Do tego rozum nie wystarczy, potrzebna jest dobra wola i gorące serce.

> Piotr, jako człowiek dowiódł, że nie jest zdolny pójść za Chrystusem wszędzie, a zwłaszcza na śmierć. Po zmartwychwstaniu jednak on był pierwszym spośród Apostołów, który przybiegł do grobu wraz z Janem, by stwierdzić, że nie ma ciała Chrystusowego.
>
> Po zmartwychwstaniu też Chrystus potwierdził Piotrowi jego misję. Powiedział mu to w sposób bardzo wymowny: „Paś baranki moje! [...] Paś owce moje!” A przedtem pytał Piotra, czy Go miłuje. Piotr, który zaparł się Chrystusa, nie przestał Go jednak miłować i mógł odpowiedzieć: „Ty wiesz, że Cię miłuję”.

Jeżeli się chwilę zastanowimy, jest to porażające. Proszę posłuchać: Piotr, który zaparł się Chrystusa, nie przestał Go jednak miłować! A więc i ci, którzy idą drogą Piotra, i którzy w rozmaitych okolicznościach swojego życia, przynajmniej po ludzku sądząc,

`Zmiana stron kasety`

ufność, którą obdarza każdego człowieka. A więc niewierność ludzka, widziana tak z zewnątrz, nie zawsze oznacza brak Bożej miłości. Jakże dobrze papież musi znać serce człowieka! Jakże dobrze musiał głęboko zastanawiać się nad własnym życiem, żeby wypowiedzieć słowa tak głębokie. Przypomnę je raz jeszcze, bo *być może te słowa stanowią jedną z najcenniejszych myśli w naszej dzisiejszej refleksji.*

> Piotr, który zaparł się Chrystusa, nie przestał Go jednak miłować i mógł odpowiedzieć: „Ty wiesz, że Cię miłuję”.

Czy przypominają sobie państwo tę formułę, którą mówiłem przy innej okazji. Są dwie drogi życia, droga niewinności i droga nawrócenia. My zazwyczaj za drogę świętości uznajemy drogę niewinności. Ale i na drodze nawrócenia człowiek również, a może nawet daleko bardziej, spotyka Pana Boga. Dlatego, że doświadcza Jego przebaczającej miłości i miłosierdzia. Ileż razy zdarza się tak, że jeżeli przejdziemy na poziom najzwyczajniej ludzki — proszę mi wybaczyć taką szczerość, nie odnoszę się do żadnej konkretnej sytuacji tylko do ogólnej sytuacji, ale jakże ukonkretnianej czasami w naszym życiu — że możemy zobaczyć ogromne pokłady wiary, miłości, zawierzenia, żalu, skruchy, otwarcia na przebaczenie u osób, które żyją w związkach niesakramentalnych, albo u osób, o których sądzić można, że odeszli od Boga. Kiedy człowiek popatrzy na to, co się dzieje w ukryciu, widać, że jest tam ta tajemnica, że wciąż Boga miłują, i być może głębiej niż ci, którzy idąc drogą niewinności nie zawsze umieją sobie cenić wielkość i głębię Bożego miłosierdzia.
Ale wtedy, kiedy Piotr zapewniał o miłości, papież mówi:

> Ale nie powtórzył już: „Choćby mi przyszło umrzeć z Tobą, nie wyprę się Ciebie”. *To już nie była sprawa samego Piotra* i jego zwykłych ludzkich sił; to pozostało sprawą Ducha Świętego, obiecanego przez Chrystusa temu, który miał Go zastępować na ziemi.

Jeżeli więc człowiek, nawet który wierzga przeciw Bogu, odkrywa w sobie pokłady miłości wobec Boga, niech nie sądzi, że to jest jego własna zasługa. W tym widać jest miłość Boga, który pierwszy nas umiłował. „Istotnie”, mówi dalej papież:

> W dzień Pięćdziesiątnicy Piotr pierwszy przemówił do zgromadzonych Żydów i przybyszów z różnych stron, mówił o winie, jaką popełnili ci, którzy Chrystusa przybili do krzyża, oraz potwierdzał prawdę Jego zmartwychwstania. Wzywał też do nawrócenia i do chrztu. A więc dzięki działaniu Ducha Świętego *Chrystus mógł zawierzyć Piotrowi, mógł oprzeć się na nim*

I znowu dotykamy czegoś, co jest paradoksem. My mówimy „Człowiek wierzył w Boga". A papież mówi: „Bóg wierzy człowiekowi". A więc wiara religijna to jest spotkanie dwóch miłości: naszego Boga i ??. To, że możemy odpowiedzieć Panu Bogu z wiarą, dzieje się dlatego, ponieważ Bóg nam zawierzył. Jeszcze raz:

> [...] dzięki działaniu Ducha Świętego *Chrystus mógł zawierzyć Piotrowi, mógł oprzeć się na nim* — na nim i na wszystkich innych Apostołach — wraz z Pawłem, który jeszcze wtedy był prześladowcą chrześcijan i nienawidził imienia Jezusa.

I mówi: Paweł jeszcze był prześladowcą Chrystusa. Ale do tego Pawła skierował słowa: «Pawle, Pawle, dlaczego Mnie prześladujesz?» I jeszcze jedno zdanie. A więc każdy z nas jest wezwany do tego, by zawierzyć Bogu.

> Na tym tle, a jest to tło historyczne, wszystkie takie wyrażenia, jak „Zastępca Chrystusa", „Wasza Świątobliwość", „Ojciec Święty" — są mało ważne.

Słucha ich, bo taki jest ludzki obyczaj, ludzkie prawo, ludzki zwyczaj. Nie będzie zmieniał czegoś, co utrwalił język przez 2000 lat. Owe wyrażenia, słowa są mało ważne, papież ma tego świadomość.

> Ważne jest to, co wynika ze śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Ważne jest to, co pochodzi z mocy Ducha Świętego. W tej dziedzinie Piotr, a wraz z nim inni Apostołowie, [...] stali się *autentycznymi świadkami Chrystusa aż do przelania krwi.*

Papież mówi więc: Nie jest ważne, jak się do mnie zwracacie. Ważne jest, abym ja, jako papież, mógł być wiernym świadkiem męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa — aż do przelania krwi. Jeżeli popatrzymy na 13 maja 1981 roku to wiemy, że Jan Paweł II nie był w tym gołosłowny. Dał świadectwo wiary posuniętej aż do męczeństwa. Ale Pan Bóg przeprowadził go niejako przez śmierć, o czym w swoim wspaniałym wykładzie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim mówił tak pięknie biskup Stanisław Dziwisz.

> Ostatecznie więc Piotr jest tym, który nie tylko nie zaparł się już więcej Chrystusa, nie powtórzył swego nieszczęsnego: „Nie znam tego Człowieka", ale *do końca wytrwał w wierze.* „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego". W ten sposób stał się „skałą", chociaż jako człowiek był może lotnym piaskiem. *Skałą jest Chrystus sam,* a Chrystus buduje swój Kościół na Piotrze. Na Piotrze, Pawle i Apostołach. *Kościół jest apostolski* w mocy Chrystusa.

Papież więc mówi, że jego urząd, jego misja, jego posłannictwo, zbudowane zostały na wierze Piotra. I że dla niego najważniejsze są nie zwroty, których codziennie słucha, ale obowiązek świadczenia o Bogu, który stał się Człowiekiem, który umarł i zmartwychwstał. A powinnością papieża jest dać temu świadectwo aż do męczeństwa.

Tyle byłoby przemyślenia, które są przeznaczone na dzisiaj. Jeżeli udało mi się chociaż trochę ukazać państwu wnętrze tego papieża, jego sposób myślenia, zawarty w jego własnych słowach, to byłaby wielka sprawa. Proszę zwrócić uwagę na liczne paradoksy w myśleniu papieża i na to, jak odkrywa on przed nami wciąż nowe drogi. Po tych drogach wielu wierzących w Jezusa jeszcze nigdy nie poszło. Ale jeżeli poznajemy te drogi, to z całą pewnością warto tą drogą pójść. Jest to droga zawierzenia Bogu i droga świadomości, że Bóg wierzy człowiekowi. Jest to również droga ??, że Piotr zaparł się Jezusa, ale to ostatnie słowo powinno należeć do miłości i do zawierzenia Panu Bogu.

> Zapytacie mnie: „Jak ja przeżywam to, że jestem papieżem? To ja proszę Pana Boga o to, aby uzdolnił mnie do wiernego świadectwa Bogu, posuniętego aż do męczeństwa. Cały czas należę do Boga.

Oto jest odpowiedź, tak mówi papież na to: „Czy wierzę w to, kim jestem?” ?? głębsze świadectwo swojej misji. Będziemy kontynuować te myśli, te wątki, będziemy się im przyglądać, i będziemy starać się jeszcze głębiej papieża poznać. Na następne spotkanie zapraszam bardzo gorąco w drugi poniedziałek listopada.

Odmówmy za papieża modlitwę, którą on sam lubi, i którą odmawia codziennie, mianowicie „Anioł Pański”. To będzie również nasza wieczorna modlitwa. A świadomość tego, co dzisiaj usłyszeliśmy, niech nam naszą modlitwę ożywi.

Anioł Pański ... Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

4.2 Czy Bóg istnieje? Czy Bóg nie jest zbyt daleko od człowieka? (dn. 12 listopada 2001)

... żeby pojawiło się więcej tego otwarcia, które być powinno. Bo bez tego widzimy, że ten stosunkowo spokojny koniec XX wieku, mówię stosunkowo spokojny, bo zawsze gdzieś tam na świecie były różne wojny, że ten stosunkowo spokojny koniec skończył się, a weszliśmy w wiek XXI niestety nie najlepiej. Nie chodzi tutaj o to, żeby mnożyć czarne scenariusze ani je powiększać, ale chodzi o to jednak, żeby być realistą i obserwować to, co dzieje się w świecie. A tam, gdzie jest realizm, to u człowieka wierzącego jest również głęboka pewność polegania na Panu Bogu. I głęboka pewność, że dzieje świata zależą ostatecznie właśnie od Niego.

Posuwamy się dzisiaj krok dalej w naszej refleksji nad książką Jana Pawła II, nad jego odpowiedziami zawartymi w tej książce „Przekroczyć próg nadziei". Dzisiaj zatrzymamy się nad dwoma pytaniami. One są najczęściej zadawanymi pytaniami różnym ludziom, i to są również zadawane pytania samym sobie. Pamiętam z własnego również życia, i z doświadczenia, że te pytania zazwyczaj pojawiają się w młodości. Potem wiek dorosły niesie swoje własne sprawy, a później, kiedy człowiek już powoli zbliża się do kresu, to znów pojawiają się podobne pytania, te, które staną się dziś przedmiotem naszych rozważań.

Mówiliśmy kilka tygodnie temu na pierwszym spotkaniu, że rozmówca Jana Pawła II, Vittorio Messori, najpierw zwrócił się do niego z niezwykłym pytaniem, mianowicie: „Co to znaczy być papieżem? Czy Ojciec Święty wierzy, jest przekonany o tym, co sobą w świecie reprezentuje?" I zgłębialiśmy tamtą odpowiedź. Odpowiedź papieża, w której zawarta była ogromna pokora.

A teraz będziemy słuchali dwóch innych pytań, których papieżowi, o ile znamy pontyfikaty, nikt nigdy nie zadawał. A te pytania padły i Ojciec Święty je podjął i zobaczymy, jak na nie odpowiedział. Bo w tych świadectwach, w tych odpowiedziach wyraża się również świadectwo jego własnej wiary. I zastanawiamy się jaka jest ta wiara Jana Pawła II, jak on żyje. A skoro żyjemy ciągle w jego czasach, jesteśmy świadkami jego pontyfikatu, to na pewno łatwiej nam będzie, niż innym, skonfrontować także nasze własne dylematy i problemy z tym, co możemy widzieć, obserwować z pontyfikatu Jana Pawła II. Otóż Vittorio Messori zgłosił się do Ojca Świętego i po dłuższym wstępie, którego nie będę cytował, stawia papieżowi bardzo konkretne pytanie. Mianowicie mówi tak (Rozdz. 4):

> Zacznijmy więc od początku: Ojcze Święty, chcąc pozostać — jeśli to możliwe, przynajmniej na razie — w perspektywie ludzkiej, czy człowiek może — i w jaki sposób — dojść do przekonania, że Bóg naprawdę istnieje?

Słyszeliśmy to pytanie — rodzice pewnie dziesiątki albo setki razy, nauczyciele również, katecheci — tysiące razy: „Czy Bóg istnieje? Czy możemy dojść do przekonania, że Bóg istnieje? Bo jeżeli Boga nie ma?" Tutaj wracamy do tradycyjnej odpowiedzi, którą kiedyś stary Żyd dał swojemu synowi, który zbuntował się. I zapewne dobrze będzie tytułem pewnego wstępu i pewnego humoru tę odpowiedź przytoczyć. Otóż syn przyszedł do ojca i powiada, że usłyszał w szkole, do której chodzi, że Boga nie ma. Ojciec nie buntował się, nie karcił, tylko zwrócił się do niego ze słowami krótkiej odpowiedzi:

> Jeżeli Boga nie ma, to dzięki Bogu. Ale jeżeli Bóg jest, to nie daj Boże!

Otóż ta prosta formuła ujmuje, zdaje się, istotę sprawy, i chyba w taki sposób, w jaki postrzega ją Ojciec Święty. Mianowicie trzeba nam wiedzieć, że w odległej starożytności i gdzieś do czasów średniowiecza nie było problemu istnienia Boga. W starożytnym świecie nikt nie podnosił pytania, czy Bóg istnieje. Starożytny świat aż roił się od różnych bogów i bóstw. A ci, którzy tak, jak Izraelici, wierzyli w Boga jedynego, byli przekonani, że istnieje. I tylko tym różnili się od innych, że inni mieli wielobóstwo, a oni wyznawali Boga jedynego. W jednym z psalmów mamy nawet taką przedziwną reminiscencję tego stanu rzeczy. Mianowicie ten psalm rozpoczyna się od słów:

> Nie ma Boga ...

Ale zaraz trzeba dodać:

... rzekł głupi w sercu swoim.

Otóż to jest podejście starożytnych — że mówienie, iż Boga nie ma, jest głupotą. Dlatego, że Bóg — tak utrzymywali starożytni — jest kimś bardziej oczywistym, niż człowiek. Można zwątpić w świat, w jego porządek. Można zwątpić w sens życia człowieka. Człowiek staje wobec rozmaitych kłopotów i wyzwań — ale nie Pan Bóg. Przypomnijmy sobie, że sam początek Pisma Świętego, pierwsza księga Biblii, Księga Rodzaju rozpoczyna się od słynnego zdania, które znamy bardzo dobrze, mianowicie:

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.

Zatem w Piśmie Świętym nie ma ani jednego słowa wątpliwości, nie ma ani jednego słowa wyjaśnienia — skąd Bóg, czy Bóg istnieje? Tylko na samym początku Pisma Świętego jest to niezłomne przeświadczenie, że istnieje Bóg, i że od Niego pochodzi świat stworzony. Ten stan rzeczy trwał w gruncie rzeczy przez całą starożytność, aczkolwiek w starożytnej Grecji rozległy się głosy, że bogów nie ma. Ale one nie tyle były protestem przeciwko Bogu jedynemu, ile przeciwko wielobóstwu, które starożytnym filozofom greckim wydawało się co najmniej niemrawe i ryzykowne. Uważali oni, że ci wszyscy bogowie, i każdy z nich wezwany, powołany do ochrony nad rozmaitymi aspektami ludzkiego życia, że ci wszyscy bogowie nawzajem się wykluczają. Że oni są raczej odzwierciedleniem ludzkiego świata. Więc starożytni filozofowie zaczęli się buntować przeciwko tej mitologii greckiej i rzymskiej. Mówili, że świata bogów w takim znaczeniu nie ma. Ale nawet oni byli ludźmi religijnymi. Zatem religijność przynależała, jeżeli tak można powiedzieć, do istoty człowieka. Stanowiła samo sedno jego posłannictwa. Nie było wahań co do religijności.

To pytanie „Czy Bóg istnieje?” pojawiło się stosunkowo późno, pojawiło się mniej więcej w średniowieczu. I to jest bardzo dziwne, że pojawiło się w czasach, które uważamy za bardzo religijne. I po raz pierwszy próbował na nie odpowiedzieć — i właśnie to przywołuje Ojciec Święty Jan Paweł II — św. Tomasz z Akwinu, który żył w XI i XII wieku. Otóż papież odpowiadając na to pytanie „Czy Bóg istnieje?” powołał się zarówno na tę starożytną religijność — nie będziemy tego fragmentu czytać szczegółowo, ale nawiązał do tego starożytnego stanu rzeczy, oraz do św. Tomasza. Ojciec Święty zaczął od ważnego rozróżnienia. Mianowicie wskazał, że trzeba rozróżnić pomiędzy bogiem filozofów a Bogiem Jezusa Chrystusa. Co to znaczy? Otóż nawet jeżeli człowiek dojdzie do przekonania albo do wiary, że Bóg istnieje, ale nic nie wynika z tego dla jego życia, to konsekwentnie taka wiara, takie przekonanie nie znaczy zbyt wiele. Są bowiem ludzie, którzy twierdzą, że istnieje jakiś Absolut, Transcendencja, Ktoś Najwyższy, jakaś Istota, jakiś Duch — to wszystko pisane z dużych liter. Natomiast nie wynika z tego to, co jest najważniejsze, i to, co człowieka religijnego dotyczy najbardziej. Mianowicie: „Czy świat jako taki, i czy człowiek jako taki, obchodzi Pana Boga? Czy Pan Bóg jest zainteresowany nami?” I taki właśnie wizerunek Boga, który jest mocno zainteresowany człowiekiem, pojawia się na kartach Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu. Pismo Święte mówi nie tylko, że Bóg istnieje, tylko idzie dalej — że Bóg miłuje człowieka i że stworzył go dla Siebie. Bo miłość ma to do siebie, że wymaga wzajemności. A skoro tak, to właśnie Bóg spełnił Siebie w stworzeniu człowieka, i oczekuje od człowieka tej wzajemności, która i Panu Bogu przyniosłaby jakąś głęboką radość. Do tego wątku za chwilę wrócimy.

Więc w średniowieczu pojawia się to pytanie i papież powiada tak:

Św. Tomasz w pewnym sensie nie opuścił drogi filozofów.

Czyli nie opuścił drogi tych ludzi, którzy próbowali dociekać istnienia jakiegoś wyższego Absolutu, jakiejś Istoty przez duże I.

Zaczął *Summę teologiczną* od pytania: „An Deus sit?” — „Czy Bóg istnieje?”, to jest od tego samego pytania, które i Pan tutaj stawia.

zwraca się tak papież do dziennikarza.

I to pytanie okazało się bardzo potrzebne. To pytanie stworzyło nie tylko teodyceę, ale także i całą cywilizację zachodnią.

Otóż człowiek, który po raz pierwszy postawił pytanie „Czy Bóg istnieje?" w ten sposób zaczął szukać jakichś argumentów usprawiedliwiających istnienie Boga, i dających większe o Nim rozeznanie.

Drodzy państwo, jeżeli człowiek stawia sobie to pytanie, to nie jest jeszcze nic złego. Tutaj mówimy to również pod kątem rodziców, nauczycieli i wychowawców, pod kątem także ludzi dorosłych. Samo postawienie pytania „Czy Bóg istnieje?" wyzwala takie moce intelektualne i duchowe, dzięki którym człowiek zastanawia się nad swoją wiarą, zastanawia się nad Bogiem. Problem polega na tym, żeby w tych poszukiwaniach i w odpowiedzi na to pytanie człowiek starał się być rzetelny, starał się być uczciwy, starał się wydobyć wszystkie możliwości, które z tym pytaniem się wiążą. Otóż wiara również rodzi się z pytań i z poszukiwania. Jeżeli te poszukiwania są, to dzięki tym pytaniom i poszukiwaniom wiara staje się głębsza. Papież mówi:

> Tak rodzi się teodycea.

Teodycea jest to nauka usprawiedliwiająca, jeżeli tak można powiedzieć, istnienie Boga, i starająca się Go zgłębić i lepiej poznać.

Ale z tego pytania rodzi się również cywilizacja zachodnia. Tzn. ta kultura, w którą i my wszczepieni jesteśmy, rodzi się z pytania „Czy Bóg istnieje?" Miliony ludzi, i to w każdym pokoleniu, starały się na to pytanie odpowiedzieć, i to na bardzo rozmaite sposoby. Właśnie z tego poszukiwania, z tego pytania o Pana Boga, rodziły się wielkie wynalazki, wielkie odkrycia. Jeżeli człowiek dokonywał czegokolwiek wielkiego, naprawdę wielkiego, to zawsze tam było pytanie o Pana Boga. Cały XIX wiek, cały wiek XX był wielkim pytaniem o Pana Boga. Ile razy dokonywano nowych odkryć, choćby elektryczności, choćby później rozbito atom, nowych technologii komputerowych, podboju kosmosu, podróż na Księżyc — wszędzie tam pojawiało się pytanie o Boga. I nie mogło być inaczej. Dlatego, że w konfrontacji ze sobą, ze swoim rozumem, widząc swoje nieogarnione możliwości człowiek widział jednocześnie ograniczenia. I widząc jedno i drugie pytał o Pana Boga. Przypomnijmy sobie najbardziej wymowne świadectwa zwłaszcza kosmonautów i rosyjskich, i amerykańskich, którzy wracali z kosmosu i dawali wyraz swojemu przeświadczeniu, że ta całość, którą widzieli jako jedyni na świecie, woła o Pana Boga i o Jego istnienie. To pytanie zrodziło całą zachodnią cywilizację.

> Cywilizacja ta, rzekomo najbardziej rozwinięta, *poszła w rytmie tego pytania.* I chociaż dzisiaj, niestety, odłożono *Summę teologiczną* na półki, to jednak wyjściowe pytanie *Summy* trwa w naszej cywilizacji i nadal rozbrzmiewa.

Charakterystyczne, że to pytanie „Czy Bóg istnieje?" pojawia się w Europie, w Ameryce i w świecie tzw. zachodnim. Tego pytania nie ma ani w islamie, ani w judaizmie, ani w buddyzmie, ani w hinduizmie. Tam ludzie są, jeżeli tak można powiedzieć, z natury religijni. A w naszym kręgu kulturowym, cywilizacyjnym człowiek posunął się dalej. I papież mówi: „Nie jest rzeczą błahą, że te pytania stawiamy. I nic złego nie wynika z tego, że je stawiamy. problem tylko polega na tym, w jakim kierunku pójdziemy. I dodaje papież tak. Żeby zrozumieć, żeby poszukiwać odpowiedzi na to pytanie, trzeba cofnąć się do konstytucji soborowej *Gaudium et spes* — „Radość i nadzieja" Soboru Watykańskiego II.

Dokumenty soborowe, tak między Bogiem a prawdą, są w Polsce bardzo słabo znane, nie tylko wśród zwyczajnych wiernych, ale wśród duchowieństwa i wśród biskupów mało kto ma pojęcie o tym, czego sobór uczył. Pewnie jest tak dlatego, że przez kilkadziesiąt lat byliśmy zajęci innymi sprawami. Pewnie nie było czasu, żeby zgłębiać naukę soborową. Dlatego tym bardziej daje do myślenia to, że papież odwołuje się tutaj do nauczania Soboru Watykańskiego II. Przypomnę, że Sobór Watykański II miał miejsce w latach 1962 - 1965, czyli niecałe 20 lat po II wojnie światowej, kiedy to wyrosło nowe pokolenie tych, którzy już II wojny nie pamiętali i trzeba było w nowy sposób podejść do człowieka. I w tej Konstytucji Sobór pozostawił takie właśnie słowa:

> Człowiek przyciągany wielu ponętami, musi wciąż wybierać między nimi i wyrzekać się niektórych. Co więcej, będąc słabym i grzesznym, nierzadko czyni to, czego nie chce, nie zaś to, co chciałby czynić. Stąd cierpi rozdarcie w samym sobie, z czego z kolei tyle i tak

> wielkich rozdźwięków rodzi się w społeczeństwie. [...] Mimo to, wobec dzisiejszej ewolucji świata, z każdym dniem *coraz liczniejsi stają się ci, którzy bądź stawiają zagadnienia jak najbardziej podstawowe, bądź to z nową wnikliwością rozważają: czym jest człowiek;*

Papież zamiast podejmować dowody na istnienie Pana Boga, zamiast próbować przekonać swojego rozmówcę i nas, że Bóg istnieje, wskazuje na pewne rozdarcie, które istnieje w człowieku. Nie jest to rozdarcie nowe, bo wspominał o tym już św. Augustyn, człowiek jak wiemy, wielce zasłużony dla zgłębiania życia duchowego. Sam bardzo długo szedł drogą grzechu, i to takiego bardzo znaczącego — bo i odstąpił od wiary, i miał wiele innych przygód, których wyliczanie nie jest specjalnie pedagogiczne. Ale kiedy się nawrócił, to był już później w swoim nawróceniu tak gorliwy jak sam św. Paweł, również najpierw prześladowca, a później gorliwy wyznawca Jezusa Chrystusa. Jeden i drugi poszli drogą nawrócenia. Jeden i drugi wskazywali na to, że istnieje w człowieku charakterystyczne rozdarcie. Rozdarcie polegające na tym, że „będąc słabym i grzesznym nierzadko czynię to, czego nie chcę, nie zaś to, co chciałbym czynić”. Myślę że każdy z nas doświadczył tego rozdarcia. Mianowicie mamy w sobie dobrą wolę z jednej strony, i chcielibyśmy pójść za tymi ideałami, które gdzieś tam, w naszym sumieniu, są wypisane, i dobrze wiemy jak powinniśmy postępować. Z drugiej strony czynimy to, czego nie chcemy. Jeżeli to rozdarcie w człowieku się pogłębia — wyjaśnia Ojciec Święty — to i wskutek tego rozdarcia, i wskutek niemożności odpowiedzi na to pytanie pogłębia się również pytanie o istnienie Pana Boga.

I tak dochodzimy niejako do tego rozumowania, które przedstawił ów stary Żyd swojemu młodemu rozmówcy. Mianowicie spora część ludzi gotowa jest twierdzić, że Pana Boga nie ma, dlatego, że z ich perspektywy, z perspektywy ich życia, po prostu lepiej jest, żeby Go nie było. Otóż tak dalece nie przystaje do ich życia, tak dalece kłóci się ze sposobem życia, który prowadzą, że wygodniej byłoby dla nich, gdyby wszystko kończyło się bez Pana Boga. Zatem Ojciec Święty pokazuje bardzo ciekawą intuicję. Można by ją streścić w ten sposób. Otóż człowiek z natury jest religijny, i człowiek zazwyczaj nie ma pytań o Pana Boga. Te pytania pojawiają się wtedy, kiedy nasze życie nie przystaje do ideału takiego, jaki dobrze znamy, ale nie jesteśmy w stanie w ten sposób żyć. Otóż wtedy rodzi się w nas to wielkie napięcie, w skutek którego byłoby lepiej, żeby Pana Boga nie było.

Czy tak jest? Tu musimy się zastanowić. Musimy się zastanowić przede wszystkim w tym, co dotyczy naszego własnego życia. To jest bardzo ciekawe zastanawiać się, czy są ludzie którzy z jednej strony stawiają sobie pytanie o istnienie Pana Boga, ale z drugiej strony — i to jest ważniejsze — czy sa tacy ludzi, którzy mogą z całą pewnością wiary, bo i oni też wierzą, mówić że Pana Boga nie ma? Wiele razy wskazywaliśmy na to, że jedni wierzą że Bóg istnieje, drudzy wierzą że Boga nie ma. Ale czy można tak bardzo łatwo, jak wierzących, spotkać również tych którzy wierzą, że Boga nie ma? Wspominałem o tym państwu kiedyś, o pewnym człowieku, którego spotkałem dość dawno temu w Rzymie, i który mówił że wierzy, że Boga nie ma. I że zazdrości wszystkim wierzącym, bo nasze życie musi być łatwiejsze. A on zmaga się z samym sobą i nosi w sobie czarną rozpacz. Nosi w sobie jakąś straszliwą czarną dziurę, i nie może tego przezwyciężyć. Więc prosił Pana Boga, żeby jeżeli Pan Bóg istnieje, dał mu jakiś znak, choćby mały. Ale tego znaku, przynajmniej do tamtej pory, nie otrzymał. To jest bardzo ciekawe, ta postawa, ta sytuacja ludzi, którzy wierzą że Boga nie ma. Tu nie możemy polegać — wracam do myśli, którą kiedyś przedstawiłem — na obiegowych stwierdzeniach, jak to nieraz młody czy dorosły człowiek mówi: „Oh, Pana Boga nie ma!” i na tym sprawę kończy. W takich przypadkach nie chodzi o przeświadczenie, że Boga nie ma, tylko chodzi o zwyczajną obojętność. Po prostu — czy On jest, czy Go nie ma — mnie to nie interesuje. A obojętność, to też trzeba mocno podkreślić, jest znacznie gorsza, znacznie bardziej brutalna, znacznie bardziej niebezpieczna niż niewiara. Obojętność bowiem, tak jak w każdej dziedzinie życia, może zabijać. Zatem jeżeli już ktoś dochodzi do niewiary, to być może pod wieloma względami jest to sytuacja lepsza, niż sytuacja obojętności. Z tą drugą sytuacją, obojętności, mamy niestety częściej do czynienia, niż z sytuacją niewiary. Zauważmy, że jedna i druga ma swoje źródło nie tyle w jakiś zewnętrznych przesłankach, ile we wnętrzu człowieka. Papież powiada, że jeżeli nasze życie rażąco różni się od ideałów, które poznaliśmy, to wtedy i nasze myślenie o Bogu natrafia na trudności. I dalej Ojciec Święty konkluduje to pytanie w ten sposób:

> Widać z tego soborowego dokumentu jasno, że *odpowiedź na pytanie: „An Deus sit?”*

jest nie tylko sprawą intelektu, jest również sprawą całej ludzkiej egzystencji.

Drodzy państwo, mogę powiedzieć z licznych rozmaitych doświadczeń, że te słowa Ojca Świętego są głęboko prawdziwe. Nie udało się jeszcze — przynajmniej ja nie znam takich przypadków — nikomu przekonać kogoś rozumowymi racjami, logiką do istnienia Pana Boga. Opracowywano wprawdzie rozmaite dowody na istnienie Pana Boga, wskazywano na związki pomiędzy przyczynami, a skutkami. Mówiono, że jak w świecie każdy rezultat musi mieć przyczynę, tak również świat jako taki musi mieć swoją pierwszą przyczynę, czyli Pana Boga. Ale nic z tego jeszcze dla wiary religijnej naprawdę się nie zrodziło. Wspominałem też kiedyś ten najbardziej podstawowy przykład, że mamy przecież różne dowody na istnienie Pana Boga, ale żadnej z tych książek kapelan nie weźmie do szpitala, i nie czyta jej na łóżku chorego. To nie jest tak, że jeżeli ktoś ma wątpliwości co do istnienia Pana Boga, i do Jego dobroci, to otwieramy taką książkę i przez lekturę dochodzimy do niezłomnego przekonania, że Bóg istnieje. To nie sprawa intelektu! Człowiek to nie jest tylko rozum. Uznanie Pana Boga, przezwyciężenie tego pytania, jest sprawą całej ludzkiej egzystencji. Stąd istnieje bardzo silny związek pomiędzy wiarą a sposobem życia, pomiędzy wiarą a moralnością. Pomiędzy tym, że Bóg istnieje, a tym, że człowiek stara się żyć tak, iżby w tym życiu widać było pamięć o tym istnieniu. Papież dodaje tak:

Zależy od wielorakich sytuacji, w których człowiek szuka znaczenia i sensu tejże egzystencji.

Otóż żeby dojść do Pana Boga, sugeruje Ojciec Święty, człowiek musi zastanawiać się nad sobą. Tylko człowiek, który szuka sensu swojej egzystencji, znaczenia tego, co przeżywa, znaczenia różnych wydarzeń, które mają miejsce w naszym życiu, ten człowiek w sposób łatwiejszy i pewniejszy dochodzi do Pana Boga. Nie rozum się zatem liczy, ale całe życie. I w tym życiu otwartość na Pana Boga, który jest życzliwy człowiekowi.

Być może państwo pamiętają, jak to kiedyś w szkołach w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na katechizacji były takie próby. Młodzieży, która pytała „Czy Bóg istnieje?" katecheta poddawał wizerunki różnych sławnych uczonych, poczynając od starożytnych, średniowiecznych, następnie dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych z takimi sławami jak Einstein, czy Volta, czy Amper itd. Wszyscy oni byli ludźmi religijnymi, więc konkluzja była taka: „Jeżeli oni, tacy mądrzy, byli ludźmi religijnymi, to co dopiero ty, młody człowieku! Naśladuj ich w ich mądrości!" Otóż było to podejście, które z jednej strony szło na skróty, ale z drugiej strony pokazywało, że uznanie Pana Boga to nie jest tylko sprawa rozumu, ale to jest sprawa głębokiej mądrości, która bardzo często ma związek z darem rozumu. Ale bywa tak, że mądrość, którą człowiek osiąga, wcale nie jest mądrością rozumu, ale jest mądrością serca. I wielu z nas dochodzi do Pana Boga nie przez mądrość racji i argumentów, ale przez mądrość serca i sposobu życia. Dzieje się więc zazwyczaj tak, że człowiek dobry nie ma wielkich problemów z wiarą i nie ma wielkich kłopotów z odpowiedzią na pytanie, czy Bóg istnieje. Ponieważ Bóg jest w niego wpisany tak jak wszystko, czego dokonuje w swoim życiu. Pan Bóg jest jednym z elementów jego życia.

I tak dochodzimy do pierwszej dzisiaj, bardzo ważnej — chociaż jak zawsze to, co ważne, jest zarazem proste — więc bardzo prostej konkluzji. Że jeżeli chcemy żyć w przeświadczeniu wiary, że Bóg istnieje, to powinniśmy starać się żyć po Bożemu. Czyli powinniśmy starać się żyć, jak mówi polskie słowo, pobożnie. Otóż taką ochroną przed niewiarą jest właściwy sposób życia. Natomiast jeżeli człowiek ryzykuje w życiu w sposób, który nie ma związku z Bogiem, to ryzykuje jednocześnie pytania i wątpliwości, które się w nim pojawiają. Bo wtedy lepiej jest, przynajmniej z jego perspektywy, żeby Boga nie było.
Czy więc Bóg istnieje? Ojciec Święty odpowiada:

Jest to sprawa odpowiedzi na to pytanie całym ludzkim życiem, całą ludzką egzystencją.

Otóż do tego dochodzi się przez wszystko, czym człowiek jest, i jak człowiek żyje. Wydaje się że jest to prosta odpowiedź, ale jakże istotna w ustach papieża, który jest jednym z nas.

Po tym pytaniu i po tej odpowiedzi Vittorio Messori przeszedł do następnej kwestii. Mianowicie zwrócił się do Ojca Świętego z takim pytaniem (Rozdz. 6): No dobrze,

A więc Bóg istnieje.

Opuszczam fragment pytania. Ale konkluzja jest następująca: *Czy nie byłoby rzeczą prostszą, gdyby istnienie Boga było bardziej oczywiste? Dlaczego Pan Bóg tak się ukrywa przed człowiekiem, skoro istnieje? Nie mógłby dać nam wyraźniej do zrozumienia, że istnieje? Nie mógłby nas mocniej przekonać do swojej obecności w świecie i do samego faktu, że istnieje?*

Bardzo ciekawe postawienie sprawy. Myślę, że każdemu z nas od czasu do czasu przychodzi do głowy. Dlaczego Pan Bóg jest tak niewidoczny? No dobrze, jest duchem. Ale nawet będąc duchem nie mógłby zapukać do drzwi naszego serca i sumienia, i powiedzieć: „Tu jestem!”? Papież podjął i to pytanie. Ojciec Święty mówi tak: To pytanie powracało zawsze. Nie jest ono pytaniem stawianym wyłącznie dzisiaj, ono pojawiało się również na kartach Pisma Świętego, pojawiało się u starożytnych ludzi z których każdy chciał, każdy domagał się od Pana Boga, żeby Pan Bóg był bardziej widoczny w ludzkim życiu, albo co najmniej żeby bardziej przekonująco ukazywał ludziom swoje istnienie. Więc ludzie zawsze mieli taką pokusę. Wtedy, kiedy był świat pogański, próbowali tych rozmaitych bogów przybliżyć do siebie sporządzając ich podobizny, i usiłując ich na rozmaite sposoby sobie podporządkować. Kiedy pojawiła się wiara w Boga jedynego, sytuacja się nieco zmieniła, bo ten Pan Bóg jest zupełnie niewidzialny. Ale też ludzie zaczęli mieć pretensje do Pana Boga, że Go nie widać, i że powinien być widoczny. Tu przypomnijmy sobie pewną prawdę, która ma związek z tekstem Pisma Świętego. Zwracano na tę prawdę uwagę w długiej tradycji judeochrześcijańskiej

<<zmiana stron kasety>>

„Nie będziesz Go malował, nie będziesz Go rzeźbił”. My wiemy, że ponieważ w Kościele w katolickim wydaniu istnieją przedstawienia Pana Boga, nawiązujące zresztą do Jezusa Chrystusa, więc to przykazanie jest trochę omijane. Z tym mamy mnóstwo trudności, już kiedyś o tym mówiliśmy. Dlatego, że ile razy próbujemy sobie Pana Boga przedstawić, a zwłaszcza przedstawić Go dzieciom, to tyle razy mnożymy rozmaite trudności, które później ci ludzie mają. Wyobraźmy sobie, przypomnijmy sobie — jeżeli katechetka daje małemu dziecku zeszycik, książkę, i tam są tylko kontury przedstawiające stworzenie świata, i tam jest zajączek, myszka, królik, konik, hipopotam, słoń, i wszystko inne, a obok stoi starzec w długiej szacie, z długą brodą. I katechetka pyta dzieci: „Kto to?” „To jest Pan Bóg!” „No to teraz weźcie kredki i malujcie Pana Boga.” Dzieci biorą kredki i malują szatę podobną do tej, które widzą w telewizji, w jakiej chodzą Arabowie. Ta szata ma rozmaite kolory. A potem katechetka mówi: „Pan Bóg jest duchem niewidzialnym.” No to po co Go malować? Po co Go przedstawiać? Jak duch niewidzialny może mieć, powiedzmy, brązową, długą szatę i wyglądać jak franciszkanin? Albo niebieską, czy czerwoną, czy żółtą? To samo jest z aniołami, dla przykładu. Mówiliśmy o tym wielokrotnie — uczymy dzieci, że aniołowie to są duchy niewidzialne, a następnie, choćby nad łóżkiem dziecka mamy obrazek: mostek, rzeczka, dziewczynka i chłopczyk i anioł ze skrzydłami pilnuje, żeby oboje przeszli bezpiecznie na drugą stronę. Otóż sama ta myśl, bardzo piękna, i sama ta koncepcja, niesłychanie wzruszająca, ma tę jedną słabość, że ten anioł ani tak nie wygląda, ani tak wyglądać nie może — skoro w ogóle nigdy ciała nie miał.

Wróćmy do Pana Boga i do Jego bliskości bądź odległości, czy nie-bycia nawet, nieobecności w świecie. Pan Bóg dał przykazanie: „Nie będziesz sporządzał żadnego wizerunku Pana Boga swego.” I jednocześnie Pan Bóg jako jedyny i jako pierwszy to przykazanie pogwałcił. Bo w Księdze Rodzaju czytamy, że gdy stworzył świat i poszczególne elementy tego świata, to wtedy zastanawia się i mówi:

> Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam

I następuje tekst:

> Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz,
> na podobieństwo Boga go stworzył
> stworzył mężczyzną i niewiastą.

Zatem w świecie, w którym Bóg zabronił sporządzania wizerunków Boga, jedynym obrazem Boga jest człowiek. I to człowiek w zróżnicowaniu płci. Dlatego, że tekst hebrajski nie zostawia

żadnej wątpliwości: „Stworzył na obraz Boga", stworzył nie „mężczyznę i kobietę", tylko trzeba to po polsku przełożyć: „mężczyzną i kobietą". Mężczyzna i kobieta to są dwa oblicza człowieczeństwa. Dwa oblicza, w których spełnia się człowiek jako taki. Zatem jeżeli do istoty ludzkiej płciowości należy cielesność, to i ludzka cielesność w jakiś przedziwny sposób jest odwzorowaniem Pana Boga. Chociaż Pan Bóg nie ma ciała, i chociaż Pan Bóg jest duchem absolutnym, to w wyglądzie człowieka, w ludzkiej cielesności i płciowości jest odwzorowany wizerunek Pana Boga. Tutaj nawet w długiej tradycji komentowania tego tekstu szło się dalej. Tę myśl podjął niedawno Jan Paweł II w jednej ze swoich katechez, i uznano to za jedną z najbardziej przełomowych myśli obecnego pontyfikatu. Jan Paweł II powiedział tak:

> Jeżeli człowiek jest obrazem Boga, jest nim jako mężczyzna i kobieta, zatem we wzajemnej miłości, we wzajemnej więzi mężczyzny i kobiety spełnia się, czy uwidacznia się, znajduje wyraz to, że Bóg jest miłością. W ten sposób ludzka cielesność i ludzka płciowość byłyby dla człowieka odwzorowaniem Boga, który jest miłością.

Tego nikt w katolickiej tradycji, w chrześcijańskiej tradycji do tej pory tak nie mówił. Dlatego, że z tego wynikają niezwykle istotne konsekwencje dla przeżywania ludzkiej cielesności, dla przeżywania małżeństwa, i dla wszystkiego, co ma związek z ludzką płciowością i cielesnością.

W ten sposób, myślę, że zrobiliśmy sobie wstęp do prawdy, o której mówi Ojciec Święty wtedy, kiedy chce odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Bóg jak gdyby się ukrywa. Dlaczego, jak to powiedział Messori: „Czy nie byłoby rzeczą prostszą, gdyby Jego istnienie było bardziej oczywiste?" Otóż w jaki sposób Bóg objawił się człowiekowi? Papież mówi tak:

Bóg objawił się człowiekowi najpierw przez to, że człowieka stworzył. I w każdym stworzonym przez Boga człowieku znajdujemy odbicie, odzwierciedlenie Boga, który jest miłością. Człowiek jest obrazem Boga. Nie szukaj więc Boga gdzieś w zaświatach. Tam Go nie znajdziesz, bo znaleźć nie możesz, bo On przynależy do innej rzeczywistości. Szukaj Go w sobie, i szukaj Go w drugim człowieku. Tajemnica człowieka powinna prowadzić do tajemnicy Boga. Refleksja nad człowiekiem, myśl nad człowiekiem powinna nam odsłonić bezmiar Pana Boga. Tajemnica dobra i miłości, które są złożone w sercu człowieka, jest niczym innym jak obrazem, jak wizerunkiem miłości Pana Boga. Nie mógłby człowiek — tłumaczy papież — *być ani dobry, ani sprawiedliwy, ani miłosierny, czy nie mógłby praktykować miłości, gdyby nie Ten, który go stworzył i który jest miłością.*

Zatem, raz jeszcze to podkreślam, bo jest to paradoks myślenia Jana Pawła II, kiedy szukasz Pana Boga i szukasz Go daleko od siebie, próbujesz dojść do Niego na rozmaite sposoby to szukaj Go najpierw w sobie i szukaj Go w drugim człowieku. Bo w nich, to znaczy w każdym z nas, zawiera się obraz Boga. Ale to nie wszystko. Otóż Bóg, który stworzył człowieka, powołuje go do życia ze sobą. Ale człowiek, tłumaczy papież, popadł w grzech. W człowieku pojawiło się rozdarcie, człowiek zbuntował się przeciwko Panu Bogu. Bóg, który jest miłością, nie mógł tak człowieka zostawić. Co to znaczy widać zwłaszcza na przykładzie rodziców, którzy jeżeli są prawdziwie dobrymi, nigdy nie zostawiają swojego dziecka w sytuacji, która wydaje się być absolutnie beznadziejna. Oni zawsze wierzą w to, że można zaczynać od nowa. Bóg też nieustannie wierzy człowiekowi, że człowiek może zacząć od nowa. Ale co to znaczyło: „Zacząć od nowa"? Otóż znaczyło to, że Pan Bóg nie tylko zawarł w człowieku tę swoją iskrę, nie tylko człowiek jest Jego obrazem i wizerunkiem, ale chcąc przezwyciężyć to rozdarcie, które w nas się pojawiło przez grzech, i chcąc ukazać nam swoją bliskość, swoją obecność i chcąc potwierdzić, że nasza wiara ma sens, to Bóg sam stał się człowiekiem. A więc najpełniejsze objawienie Pana Boga,

> samo-objawienie się Boga łączy się z Jego uczłowieczeniem.

To są bardzo głębokie słowa. I to jest bardzo głębokie nauczanie i bardzo głębokie patrzenie, wręcz mistyczne. Coś takiego wymaga w gruncie rzeczy codziennej refleksji. Rzeczywiście, jeżeli się zastanowimy, że w osobie Jezusa Chrystusa Bóg stał się człowiekiem, zatem nie możemy mieć do Boga pretensji, że stał się niewidoczny, tylko musimy szukać drogi do Boga przez Jezusa Chrystusa. I to na dwa sposoby:

- przez Jezusa Chrystusa, który żył na ziemi;

- przez Jezusa Chrystusa, który żyje w swoim Kościele.

Ale papież określa to jeszcze odważniej. To czego dokonał Pan Bóg, czyli to, że Bóg stał się człowiekiem, nazwał „prowokacją ze strony Boga”. Ta

> prowokacja pochodzi od Boga samego. Bo przecież On naprawdę stał się człowiekiem w swoim Synu, i narodził się z Dziewicy, i właśnie w tym narodzeniu a w szczególności poprzez mękę, krzyż i zmartwychwstanie, samo-objawienie się Boga w dziejach człowieka osiągnęło swój zenit: objawienie się niewyrażalnego Boga w widzialnym człowieczeństwie Chrystusa.

Zatem Bóg nie jest daleko od każdego z nas. Bo każdy z nas stanowi Jego obraz i wizerunek, a możemy Go odnaleźć i rozpoznać w Jezusie Chrystusie. Jeżeli chcemy wiedzieć, kim jest Pan Bóg, jakie są Jego drogi, to drogą do Pana Boga jest Jezus Chrystus. To jest tak jak ci Grecy, którzy w czasach Jezusa przybyli do Jerozolimy na święto, znaleźli następnie Apostołów, bo wiedzieli, gdzie Jezus przebywa, przyszli do jednego z Apostołów, Filipa, i powiadają: „Słuchaj, pomóż nam dostać się do Jezusa, bo tam jest mocno zajęty.” Filip mówi: „W porządku! Dobrze! Proszę bardzo. A co chcecie?” „Chcemy po pierwsze Go zobaczyć, a po drugie wysłuchać, co On ma do powiedzenia o Bogu.” I przychodzą do Jezusa i zwracają się do Niego z pytaniem: „Pokaż nam Ojca!” W spotkaniu z Jezusem dają poznać, że mają w sobie bardzo głęboki głód Pana Boga.

Papież podjął ten wątek w swoim najnowszym liście, wydanym 6 stycznia, „Novo millenio ineunte”. Powiada tak: „Ten sam głód rodzi się w każdym człowieku dzisiaj.” Pokaż nam Ojca! Jak wygląda Pan Bóg? Gdzie On jest? Gdzie Go można odnaleźć? I odpowiedź zawsze jest ta sama: Można Go odnaleźć w Jezusie Chrystusie. Ale jak Go odnaleźć w Jezusie Chrystusie? A papież odpowiada: „Można Go odnaleźć poprzez świadectwo tych, którzy już w Jezusa Chrystusa uwierzyli, i już Jezusem Chrystusem żyją.”

Takie perspektywy papież daje nam na progu nowego, rozpoczętego właśnie XXI stulecia. Przypomina wierzącym, że każdy z nas jest odpowiedzialny za to, żeby współczesnemu człowiekowi pokazać oblicze Pana Boga. Że nasza wiara ma wspomagać tych, dla których wiara w Boga jest trudna i dla których obecność Boża w świecie nie jest taka jednoznaczna. Czyli raz jeszcze popatrzmy, że droga do Pana Boga prowadzi, wiedzie przez człowieka, tutaj — przez człowieka wiary. I z tego powodu papież zwracając się do wierzących mówi: „Najważniejszym zadaniem, które przed nami staje na progu tego nowego stulecia i nowego tysiąclecia, jest to, aby być wiarygodnymi świadkami oblicza Boga w Jezusie Chrystusie. Oblicza, która także jest obliczem Cierpiącego i Zmartwychwstałego.” Ten wątek podejmiemy kiedy indziej, kiedy raz jeszcze do tych myśli wrócimy.

Ale każdy z państwa, kto tego słucha, może sobie pomyśleć tak: to są bardzo wzniosłe, ale jakże trudne myśli. I to jest święta prawda. Nie wszyscy przez ten prog nadziei przechodzą. Są tacy, którzy wręcz się przeciwko tej obecności Pana Boga w drugim człowieku, i obecności Boga w Jezusie Chrystusie, buntują i protestują. Którzy podnoszą swój radykalny sprzeciw i wołają głośno: „Nie!” I papież jest tego świadomy. Ojciec Święty powiada tak: „Można by oczekiwać, iż Pan Bóg mógł pójść jeszcze dalej. Ale czy mógł pójść jeszcze dalej?” Nie sposób tych słów streścić, trzeba je po prostu przytoczyć. Papież mówi:

> Czy *jednak* — starajmy się być bezstronnymi w naszym rozumowaniu — *Bóg mógł pójść dalej w swoim zbliżaniu się do człowieka,* do jego ludzkiej kondycji, do jego możliwości poznawczych?

A więc czy Bóg mógł uczynić jeszcze więcej niż to, że stał się człowiekiem? Czy na przykład nie byłoby dobrze, żeby każdy z nas, kiedy tylko ma na to ochotę albo wątpliwości, żeby poczuł przy sobie palec Boży? Może by nam to zaoszczędziło wielu wpadek?
Papież odpowiada:

> Wydaje się, że Bóg *poszedł najdalej, jak tylko mógł, dalej już iść nie mógł.* Poszedł w pewnym sensie za daleko!... Czyż Chrystus nie stał się „zgorszeniem dla Żydów a głupstwem dla pogan”? Właśnie przez to, że Boga nazywał swoim Ojcem, że tego Boga tak bardzo objawiał sobą, iż zaczęto odnosić wrażenie, że za bardzo!... W pewnym sensie człowiek nie mógł już tej bliskości wytrzymać i zaczęto protestować.

Tak dochodzimy do kolejnego ważnego paradoksu. Chcielibyśmy mieć Pana Boga bliżej siebie, chcielibyśmy Go odczuwać bardziej namacalnie, chcielibyśmy być ciągle przekonani, że On istnieje i że ma realny wpływ na nasze życie. Ale kiedy Pan Bóg jest zbyt blisko człowieka, człowiek tego nie może znieść. W osobie Jezusa Chrystusa i w Jego posłannictwie znalazła wyraz nie tylko wiara w Niego, ale także odrzucenie Go. Przypomnijmy sobie te epizody, w Jerozolimie i nie tylko w Jerozolimie, kiedy to przychodzili do Jezusa różni ludzie i pytali Go: „A kim Ty jesteś? Za kogo Ty siebie masz?" Jezus daje im poznać, że jest kimś, kto pochodzi od Boga. A oni mówią: „Kim ty siebie robisz? Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś? Ty mówisz o sobie takimi słowami, jakbyś był Bogiem?" I chwytali za kamienie, żeby Go ukamienować. Otóż w człowieku, którego widzimy — buntujemy się przed myślą, że może w nim być obecny żywy Bóg. Już nie jako obraz i wizerunek tego Boga, ale jako jego Wcielenie. Jezus też spotkał się z protestem. Pan Bóg już dalej iść nie mógł — tłumaczy papież. Pan Bóg dokonał to, co przesądziło iż poszedł w pewnym sensie nawet za daleko. Stał się dla nas człowiekiem. Jeżeli człowiek odnajduje w Jezusie Chrystusie Pana Boga, to jest to to, o co Bogu chodziło. Jednocześnie w Jezusie Chrystusie spełnia się jakiś protest wobec Pana Boga. Bo ludzie zaczynają wołać: „To Panu Bogu nie przystoi!" Przenoszą więc na Pana Boga coś, co znamy dobrze z naszych ludzkich stosunków. Nie przystoi, żeby król, żeby prezydent, żeby ktoś ważny wyglądał tak i wykonywał takie posługi. Mamy swój własny wizerunek ludzi i ich funkcji, i mamy swój własny wizerunek Boga. Bóg dla nas niech będzie Bogiem pełnym majestatu, ale nie tym, żeby w jakimś człowieku objawiał siebie i swoją moc. Papież dodał, że ten protest, na który natrafił Jezus, został zinstytucjonalizowany. Że to nie była tylko reakcja pojedynczych ludzi, ale stała się to reakcja całych wspólnot. Papież dodaje tak:

> *Ten wielki protest nazywa się naprzód Synagogą, a potem Islamem.* I jedni i drudzy nie mogą przyjąć Boga, który jest tak bardzo ludzki. Protestują: „To nie przystoi Bogu". „Powinien pozostać absolutnie transcendentny, powinien pozostać czystym Majestatem — owszem, Majestatem pełnym miłosierdzia, ale nie aż tak, żeby sam płacił za winy swojego stworzenia, za jego grzech".

Właśnie w Jezusie Chrystusie, w sporze wokół Jezusa Chrystusa, rozchodzą się nie tylko drogi wierzących i niewierzących, ale rozchodzą się również drogi wierzących w Boga. Właśnie w Jezusie Chrystusie, który jest prawdziwym człowiekiem i prawdziwym Bogiem, dzięki Niemu, rodzi się wiara tych, którzy tak jak my, chrześcijanie, przyjmujemy w Nim żywą obecność Boga, ale rodzi się także protest. Jest to protest Żydów, którzy pozostają dzisiaj Synagogą, zaprzeczając możliwości stania się przez Boga człowiekiem w Jezusie, i jest to protest islamu, muzułmanów, którzy też mówią, że Bóg jest absolutny, transcendentny, święty, ponad światem i poza światem, i nie mógł stać się człowiekiem. Żydzi mówią, że Jezus był nieudanym prorokiem. Muzułmanie mówią, że Jezus był udanym prorokiem. Ale i jedni i drudzy nie przechodzą tego progu wiary, który mógłby ich pociągnąć ku tej obecności żywej i prawdziwej Boga w Jezusie Chrystusie.

Zauważmy więc, że kiedy człowiek stawia pytanie, czy Pan Bóg nie powinien nam bliżej odkryć siebie, to Bóg już na to pytanie człowieka odpowiedział w Jezusie Chrystusie. I okazało się, że człowiek też tej odpowiedzi nie podjął. Że podjęli ci jedni, którzy uwierzyli, ale podjęli równie liczni, którzy tej wiary nie przyjęli. Więc jedni i drudzy, i wyznawcy judaizmu, i islamu, nie mogą przyjąć Boga, który jest tak bardzo ludzki. Właśnie to jest jakby kamień zgorszenia, o który potykają się i Żydzi, i muzułmanie — Bóg, który w Jezusie stał się człowiekiem.

To jest właśnie ta specyficzna cecha religii chrześcijańskiej, która odróżnia nas, i to absolutnie, od tamtych religii. My wszyscy wyznajemy Boga jedynego. Ale tylko my, chrześcijanie, wyznajemy, że Bóg w Jezusie stał się człowiekiem objawiając nam siebie i swoją miłość. Żydzi gotowi są przyznać tak jak my, że człowiek jest obrazem Pana Boga. Ale nie pójdą tak daleko, iżby powiedzieć, że Bóg stał się człowiekiem. Do czego doszło? W czym tamte religie wskutek tego różnią się od naszej? Otóż różnią się od naszej także i tym, że jedna i druga religia, judaizm i islam, to są religie szczepowe, plemienne. Judaizm jest religią Żydów, islam jest religią Arabów. Chrześcijaństwo, które za fundament ma Jezusa Chrystusa jako Syna Bożego, jest religią wszystkich ludzi. Każdy może być chrześcijaninem niezależnie od narodowości, od koloru skóry, od rasy. Wspominaliśmy o tym wielokrotnie, że kiedy do rabina przychodzi człowiek, który nie jest Żydem, i mówi, że chce przyjąć judaizm, rabin mu to stanowczo odradza. Kiedy do imama w islamie przychodzi człowiek, który nie

jest Arabem, i powiada, że chce przyjąć islam, imam mu to stanowczo odradza. Ale kiedy do księdza przychodzi człowiek i powiada, że chce przyjąć chrześcijaństwo, ten się cieszy, i po jak najszybszym przygotowaniu bierze go do siebie. Zwróćmy uwagę zatem, że przyjęcie czy nieprzyjęcie Jezusa Chrystusa rzuciło również światło na samą naturę religijności, na samo przeżywanie religijności. To właśnie dzięki temu, że Bóg stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie, bliźnim chrześcijanina jest każdy człowiek. Bliźnim Żyda jest drugi Żyd, bliźnim Araba jest drugi Arab, a bliźnim naszym jest każdy, również Żydzi i Arabowie.

Jeżeli nawiążemy do współczesnej konfrontacji, to możemy zrozumieć, że istota tych napięć, z którymi teraz mamy do czynienia, które istnieją, w dużej mierze mają swoje źródła i korzenie w Ziemi Świętej i na Bliskim Wschodzie. Tam bowiem odbywa się konfrontacja i religijna i etniczna zarazem. A ponieważ ona nie może być zbyt widoczna, do tej konfrontacji wciągany jest również świat zachodni, również chrześcijanie. Ale wobec tej konfrontacji, która się odbywa i która kosztuje życie tylu tysięcy istnień ludzkich, my chrześcijanie, dlatego, że wierzymy w Jezusa Chrystusa, musimy jednocześnie głośno mówić, że naszymi bliźnimi i braćmi są wszyscy ludzie, a więc i ci, którzy cierpią tam, kimkolwiek są — Żydami czy Arabami, jednakowo. Jeżeli tego chrześcijańskiego wymiaru, obecnego przez Jezusa Chrystusa, nie ma, to wtedy rozlega się protest: „To nie przystoi Bogu! Nie przystoi Bogu, żeby Bóg stał się konkretnym człowiekiem. A jeżeli Bóg pozostanie tylko transcendentny, czystym majestatem, jeżeli Bóg jest daleko poza światem, to wtedy jak gdyby granice pomiędzy ludźmi, granice wytyczone również przez przynależność rasową i religijną, te granice się powiększają. Bóg, który stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie, przełamuje granice pomiędzy ludźmi. Dlatego chrześcijaństwo, które odwzorowuje Boga, który jest Miłością, samo powinno być religią miłości i miłosierdzia.

Zwróćmy zatem uwagę na sam koniec, że to, o czym mówi Ojciec Święty, jest tak niesłychanie istotne, niesłychanie ważne. Że pozwala nam lepiej zrozumieć siebie, pozwala również lepiej zrozumieć to, co się w świecie dzieje. Z tego powodu, chociaż nie są to treści łatwe, dobrze jest wziąć je sobie do serca i mieć żywą świadomość tego powołania, któremu winniśmy sprostać jako chrześcijanie.

Więc dwa pytania dzisiaj:

Czy Bóg istnieje? I odpowiedź: Istnieje, bo widzisz Go w sobie i w drugim człowieku. Nie istnieje wtedy, kiedy twoje życie jest rażąco odmienne od tego, jakim chciałbyś być, jakim powinieneś być.

Czy Bóg nie jest zbyt daleko od człowieka? I odpowiedź: Nie jest zbyt daleko, bo obrazem Boga jest każdy człowiek. A ponadto Bóg stał się człowiekiem. Jeżeli więc chcesz poznać Boga, przyglądaj się sobie i drugiemu człowiekowi. Jeżeli chcesz zgłębić, kim jest Bóg w swoim miłosierdziu i miłości, patrz na postać Jezusa Chrystusa. I nie gorsz się, że są tacy, którzy przeciwko temu się zbuntowali. Bo ta prawda jest trudna. I właśnie dlatego, że jest trudna, tym bardziej jesteśmy zobowiązani do wierności tej prawdzie.

Dziękuję państwu bardzo. Na następną konferencję zapraszam za trzy tygodnie, 3 grudnia.

Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

4.3 Dlaczego „historia zbawienia" jest tak skomplikowana? Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary swego Syna, by nas zbawić? (dn. 3 grudnia 2001)

Jest to spotkanie ostatnie w tym roku kalendarzowym. Witam państwa bardzo, bardzo serdecznie. Przedmiotem naszej refleksji, jak państwo dobrze wiedzą, jest książka „Przekroczyć próg nadziei" Jana Pawła II — rozmowy z Janem Pawłem II, które przeprowadził Vittorio Messori na początku lat dziewięćdziesiątych, a więc prawie dziesięć lat temu. Staramy się jakby poznać duszę papieża, jego sposób myślenia, jego sposób myślenia o Bogu, również jego sposób przeżywania Pana Boga. Ale staramy się także podczas tegorocznych spotkań zastanowić się nad swoją własną wiarą, i być może poszukać odpowiedzi na takie pytania, które nosimy w sobie. Myślę że niektóre z tych pytań mają to do siebie, że nie mamy nawet odwagi je sobie stawiać, a cóż dopiero szukać odpowiedzi. W tej książce słyszymy takie bardzo odważne pytania, skierowane wprost do Ojca Świętego z nadzieją, że papież podzieli się swoim doświadczeniem wiary. I rzeczywiście Jan Paweł II dzieli się tym doświadczeniem wiary chrześcijańskiej. Pokazuje nam, w jaki sposób można również *przekroczyć próg nadziei,* która z tą wiarą jest nierozłącznie związana, i która z tej wiary wynika.

Temat dzisiejszy jest trudny, podobnie jak są trudne albo bardzo trudne inne tematy, które mieliśmy w tym roku, oparte na tej książce, oraz takie, do których jeszcze wrócimy, które będziemy mieli. W ogóle wiara w Pana Boga, jeżeli traktuje się ją poważnie, nie jest sprawą łatwą — bo ona dotyczy naszego całego życia i sięga najgłębszych pokładów naszego serca i sumienia. Jeżeli więc chcemy naprawdę zgłębiać swoją wiarę, to musimy pokonać rozmaite poziomy lenistwa, i musimy również dołożyć pewnego wysiłku, który nie jest tylko wysiłkiem intelektualnym, rozumowym — bo ten przychodzi niektórym dużo łatwiej — ale jest pewnym wysiłkiem duchowym, a ten przychodzi każdemu człowiekowi dość trudno. Bo ten wysiłek duchowy wymaga od nas przełamywania się przez różne poziomy naszej świadomości a także wymaga tego, żebyśmy popatrzyli szczerze, rzetelnie na swoje własne życie, zarówno to teraz, jak i to, które było, i na to, które ewentualnie nas jeszcze czeka — a to też nie jest sprawa bardzo prosta, jeżeli chcemy być uczciwi.

Pytanie, które dzisiaj stawia dziennikarz, jest bardzo ciekawe. Myślę, że każdy z państwa wcześniej czy później do tego pytania dochodził. Jest to pytanie typowo biblijne. Jeżeli więc w tym roku nasze konferencje jakby od Pisma Świętego odchodzą, to na każdej z tych konferencji wracamy do ksiąg świętych, a dzisiaj otrzymamy za chwilę taką *syntezę spojrzenia na Pismo Święte i na przedstawioną w nim historię zbawienia.*

Vittorio Messori zwraca się do Ojca Świętego z następującą kwestią. Mówi tak (Rozdz. 8):

> Korzystając ze swobody, jaką mi Ojciec Święty daje, proszę pozwolić o zadanie dalszych pytań, które mogą wydawać się dość osobliwymi.

Zwracałem uwagę państwa już dwa miesiące temu, że nikt jeszcze do tej pory w historii papiestwa nie przeprowadził takiej rozmowy z papieżem. Otóż Ojciec Święty rzeczywiście daje dziennikarzowi pewną swobodę myślenia, i pewną swobodę w podejściu do wiary, i do problemów z wiarą związanych. Wygląda na to, że ten dziennikarz jakby z godziny na godzinę stawał się coraz śmielszy. Wygląda na to, że pytania są coraz bardziej odważne, i że jednocześnie są coraz trudniejsze. My chyba takich pytań, chociaż nosimy je w sobie, to jednak głośno nie stawiamy. To będzie brzmiało tak:

> Są to jednak pytania, które – jak Wasza Świątobliwość sam zauważył – stawiam w imieniu licznych współczesnych nam ludzi.

Za moment wysłuchamy tego pytania i proszę się zastanowić, czy i kiedy państwo sobie to pytanie stawiali. Zapowiem z góry, że jeżeli ktoś rzetelnie twierdzi, że takie pytanie sobie w życiu stawiał, to w moim przekonaniu swoją wiarę traktuje poważnie. Otóż dziennikarz zapytał:

> Wobec orędzia ewangelicznego zdają się oni nieraz pytać: dlaczego „historia zbawienia", jak nazywają ją chrześcijanie, jest tak skomplikowana? Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary swego Syna, by nam przebaczyć, by nas zbawić?

Muszę państwu powiedzieć, że chociaż to pytanie pojawiało się we mnie kiedyś po rozpoczęciu studiów teologicznych, później przy ich pogłębianiu, to nigdy nie przychodziło mi do głowy, żeby takie pytanie zadawać komuś ze swoich nauczycieli. Wydawało mi się, że jest zbyt słaby, żeby na nie odpowiedzieć, tzn. nie miałem zaufania, że pośpieszy z odpowiedzią, która może być wyczerpująca. Wydawało mi się, że jest to takie pytanie, że odpowiedź na nie przerasta możliwości człowieka, bo i samo pytanie jest bardzo śmiałe. Powtórzę:

> Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary swego Syna, by nam przebaczyć, by nas zbawić?

Jednym słowem, czy Pan Bóg nie mógł nas zbawić w jakiś inny sposób? Może lżej, albo nawet radośniej? Czy potrzebna była ta ofiara krwawa Jezusa Chrystusa na Golgocie, abyśmy mogli dostąpić zbawienia? Myślę, że po wysłuchaniu tego pytania każde z państwa, kiedy zastanowi się, to stwierdzi, że w gruncie rzeczy to pytanie, tę kwestię, tę wątpliwość nosiło w sobie.

Tylko problem polega na tym, że bardzo często żeśmy nawet samo to pytanie od siebie odpychali, albo pomijali milczeniem czując, że chyba nie damy rady stanąć w prawdzie wobec kwestii tak trudnej, jak ta. Posłuchajmy, jak na to pytanie odpowiedział Ojciec Święty. Odpowiedział na to pytanie w dwóch częściach. Co do pierwszej — moglibyśmy się w ogóle nie spodziewać, że ona będzie przebiegała w tym kierunku. Zacytuję tylko niektóre fragmenty, ponieważ odpowiedź papieska jest nieco dłuższa, i miejscami — trzeba powiedzieć — jest bardzo trudna. Papież zaczął tak:

> Pańskie kolejne pytanie dotyczy *historii zbawienia*, najgłębszego sensu zbawienia odkupieńczego. Zacznijmy od spojrzenia *na dzieje myśli europejskiej już po Kartezjuszu.*

Zwróćmy uwagę, że Ojciec Święty rozumiejąc, że to pytanie jest bardzo prowokujące, że to pytanie nosi w sobie człowiek wierzący, ale że to pytanie również stawiają nie-chrześcijanie — przyglądając się religii chrześcijańskiej pytają, czy rzeczywiście ta krwawa ofiara Syna, w którą wierzymy, była potrzebna Ojcu — papież ogląda się wstecz i patrzy, jak na to pytanie próbował odpowiedzieć człowiek w przeszłości. Ale człowiek, który stoi jak gdyby z boku tej problematyki, który stara się tę problematykę zracjonalizować. Mówiąc inaczej, jak na to trudne pytanie starał się odpowiedzieć człowiek, który kieruje się wyłącznie rozumem.

I tu stawiamy zaraz pytanie dodatkowe, kwestię dodatkową. Mianowicie *Ojciec Święty daje nam w ten sposób do myślenia, że musimy się zastanowić, czy na tak postawione pytanie da się w ogóle rozumowo odpowiedzieć.* Czy to jest kwestia dla rozumu, czy być może jest to kwestia dla głębszych i dla innych tajników naszego człowieczeństwa? Papież mówi:

> Dlaczego wysuwam tu na plan pierwszy Kartezjusza? Nie tylko dlatego, że jest on początkiem nowej epoki w dziejach myśli europejskiej, ale także dlatego, że ten jeden z największych filozofów, jakiego wydała Francja, zainaugurował *wielki zwrot antropocentryczny w filozofii.*

Pojęcie jest trudne, natomiast sprawa jest prostsza. Mianowicie Ojciec Święty powiada, że wraz z Kartezjuszem, który żył kilkaset lat temu, nastąpił pewien zwrot w myśleniu człowieka europejskiego, Europejczyka. Ten zwrot polegał na tym, że w myśleniu o sobie, o świecie, o Bogu — czyli w filozofii, a filozofia jest umiłowaniem mądrości, czyli w całej mądrości rozwijanej przez ludzki rozum nastąpił zwrot antropocentryczny. Antropos — *człowiek,* centrum — *środek.* Zwrot antropocentryczny polega na tym, że oto w środku swojego rozumowania, w środku swojego myślenia, człowiek postawił sam siebie. Że człowiek uznał siebie za najważniejszą istotę na świecie. Tego, mówi papież, do czasów Oświecenia, do czasów Kartezjusza nie było. Otóż wtedy myślenie o świecie było zasadniczo religijne, teologiczne. Tzn. byli ludzie, którzy wierzyli w Boga jedynego, byli poganie, którzy wyznawali rozmaite bóstwa — ale jedni i drudzy byli ludźmi religijnymi.

Na czym polega nowość związana z Oświeceniem? Że oto w miejsce Boga pojawił się człowiek. Że człowiek zajął miejsce Boga. Że człowiek uznał, że nie musi już dłużej na Bogu polegać, a nawet — że Go nie potrzebuje. To nie znaczy, że człowiek zanegował wyłącznie istnienie Boga, nie. Jedni co prawda zanegowali istnienie Boga, ale byli tacy, i na to bardzo często zwracamy uwagę, którzy

stwierdzili, że to, czy Bóg istnieje, czy Bóg nie istnieje, to ich w gruncie rzeczy nie obchodzi. Twierdzili, że może nawet Bóg istnieje ale i tak najważniejszym sensem, najważniejszym przesłaniem jest człowiek, tzn. każdy, którzy nad tymi problemami myśli.

Zwróćmy uwagę, że Ojciec Święty nazywa to „zwrot antropocentryczny w filozofii". Czyli zogniskowanie się, skupienie się na człowieku. I dodaje: *Myślę, więc jestem* — mówi papież cytując słowa Kartezjusza —

> to program nowożytnego racjonalizmu.

Otóż ten racjonalizm, musimy to sobie wytłumaczyć, zrodził się ze zwątpienia. I kiedy człowiek myśli o Bogu, to również tę postawę zwątpienia bardzo często przenosi na Pana Boga. I nie przyjmuje Objawienia Bożego takim, jakim ono jest, nie przyjmuje Pana Boga takiego, jaki On objawia siebie na kartach Pisma Świętego i w ludzkich dziejach — tylko wątpi. I uważa człowiek współczesny, karmiony taką mentalnością, że samo wątpienie jest cnotą. Mało tego — uważa, że u podstaw wszelkiej nauki, i u podstaw wszelkiego światopoglądu jest właśnie programowe zwątpienie.

Otóż jeżeli tak się mają rzeczy ze współczesnym człowiekiem, to Ojciec Święty sugeruje, że w tej współczesnej mentalności można w gruncie rzeczy zwątpić we wszystko. I że są tacy, którzy podważają wszystko na samym początku. A jeżeli tak, to ich cały światopogląd, ich całe myślenie o człowieku, o świecie, o Panu Bogu jest względne, relatywne. To znaczy nie sądzą, żeby istniała jakakolwiek wiążąca opinia, jakikolwiek pogląd wspólny, nie uznają autorytetu, nie uznają czegoś, co wyznają wszyscy inni — ponieważ programowo podchodzą do całej rzeczywistości, i do rozmaitych jej aspektów właśnie z tym zwątpieniem, które w sobie noszą. I to, jak sugeruje Ojciec Święty, przenoszą również na Pana Boga.

> Cały racjonalizm ostatnich stuleci, czy to w wydaniu anglosaskim, czy później kantyzm, heglizm oraz filozofia niemiecka XIX i XX wieku razem z Husserlem i Heideggerem — to wszystko jest poniekąd dalszy ciąg i rozwój poglądów kartezjańskich.

Sam Ojciec Święty cytując te wielkie autorytety filozoficzne pokazuje pewną wspólną drogę współczesnego człowieka, zakorzenioną w myśleniu racjonalistycznym, polegającym wyłącznie na rozumie i karmionym zwątpieniem. Otóż do czego Ojciec Święty zmierza? Można już teraz powiedzieć tak. Kiedy Pan Bóg objawia siebie na kartach Pisma Świętego, kiedy pokazuje siebie jako Miłość, która sama siebie ofiaruje, kiedy objawia siebie jako Ojca, Syna i Ducha Świętego, kiedy dokonuje się krwawa ofiara Jego Syna, to człowiek chrześcijanin aż do czasów Oświecenia przyjmował to z wiarą. Natomiast od czasów Kartezjusza pojawiła się mentalność, gdzie i te podstawowe prawdy naszej wiary zostają zakwestionowane. Zakwestionowane, dodajmy, nie dla tego, że one przerastają ludzki umysł, albo że są z tym umysłem niezgodne, lecz zakwestionowane dlatego, ponieważ zwątpienie stało się częścią naszego światopoglądu. Ponieważ wątpliwości stały się niejako programem współczesnego człowieka pojedynczego, i programem współczesnych zbiorowości, i współczesnych całych społeczeństw.

Jeżeli tak — tu musimy sobie myślenie Ojca Świętego nieco streścić — to wprawdzie są różne drogi, które prowadzą do Boga, które prowadzą do istnienia Pana Boga, które potwierdzają to istnienie Pana Boga, ale programowe zwątpienie powoduje, że nawet jeśli coś jest oczywiste, to i tak zostaje przez współczesnego człowieka zakwestionowane. Zatem Pan Bóg również. Samo Jego istnienie jest zakwestionowane, albo — jeżeli nawet Bóg istnieje — to człowiek żyje tak, jakby Boga nie było.

Ojciec Święty mówi dalej tak: „W ten sposób

> znajdujemy się na progu *nowoczesnego immanentyzmu i subiektywizmu.*

Są to słowa bardzo trudne, ale rzeczywistość znów jest prostsza. Mianowicie znajdujemy się na progu takiego przekonania, w którym w gruncie rzeczy każdy uważa, że może wierzyć i przyjmować to, co mu jest wygodne, to co jest dla niego subiektywnie ważne — i na tym może poprzestawać. Zatem te tradycyjne wyobrażenia o Panu Bogu i ta wiara w Boga, utrwalona przez wiele stuleci, przez wiele pokoleń, na progu epoki nowożytnej została poddana w wątpliwość. Każdy pojedynczy

człowiek ma taką tendencję do tego, żeby swój punkt widzenia monopolizować, absolutyzować, i żeby swój punkt widzenia uznać za najważniejszy. W ten sposób pojawia się taka mentalność, takie myślenie, które możemy bardzo często znaleźć w dzisiejszych gazetach, czasopismach: ty masz swoją prawdę, ja mam swoją prawdę, ktoś jeszcze inny ma swoją prawdę. Wobec tego żyjmy obok siebie w zgodzie, bo nigdy nie dojdziemy do tego, jaka jest Prawda przez duże P, ponieważ takiej Prawdy nie ma. A nawet jeżeli ona istnieje, to i tak każdy z nas ma na jej temat swoje własne subiektywne wyobrażenie. W ten sposób traci się z pola widzenia dążenie do prawdy, natomiast absolutyzuje się i podkreśla swój własny punkt widzenia i swoje własne przekonania. W ten sposób duchowe, tłumaczy Ojciec Święty, a w szczególności moralne dziedzictwo chrześcijaństwa, zostało wyrwane ze swojego podłoża ewangelicznego, do którego trzeba go znów doprowadzić, aby odnalazło swoją pełną żywotność. Więc Jan Paweł II tłumaczy nam, że na progu czasów nowożytnych filozofowie, a za nimi człowiek współczesny, odszedł od religii Objawienia, odszedł od uznania autorytetu Boga, samego siebie monopolizując i swój punkt widzenia uznając za najważniejszy.

Ktoś z państwa pomyśli, że na razie Ojciec Święty nie odpowiada bezpośrednio na pytanie, które postawił dziennikarz. Ponieważ dziennikarz pytał, dlaczego Pan Bóg zbawił świat i ludzkość w tak skomplikowany sposób. Dlaczego Pan Bóg potrzebował krwawej ofiary Swojego Syna, żeby człowiek mógł być zbawiony? Otóż o tym, że Bóg dokonał zbawienia w taki a nie inny sposób, wiemy z kart Pisma Świętego. Ojciec Święty mówi, przez wieki ta wiara była przyjmowana jako coś oczywistego. Ale kiedy współczesny człowiek zakwestionował, podał w wątpliwość, różne aspekty rzeczywistości, to również podał w wątpliwość takie działanie Pana Boga, jakie przez kilkanaście stuleci wspólnie wyznawali nasi przodkowie. Otóż dalej Ojciec Święty pointuje tę część rozważań mówiąc tak:

> *Racjonalizm oświeceniowy wyłączył prawdziwego Boga, a w szczególności Boga Odkupiciela poza nawias.*

A więc to pytanie, które my stawiamy, nabiera również nowego znaczenia w świetle tego przyzwyczajenia do kwestionowania wszystkiego, do podawania wszystkiego w wątpliwość. Poczynając od XVIII w., od czasów oświeceniowych, jakby wyłączono prawdziwego Boga – tak jak On się objawia człowiekowi, natomiast zaczęto myśleć o Panu Bogu i zaczęto wyznawać Pana Boga tak, jak każdy z nas Go sobie wyobraża. A więc w sposób, który każdy z nas uznaje za stosowny. Cóż to oznacza? Oznacza to, że człowiek powinien żyć i kierować się tylko własnym rozumem tak, jakby Bóg nie istniał.

W ten sposób Ojciec Święty wskazuje na upowszechnienie się w dzisiejszym świecie, zwłaszcza w Europie, w krajach bogatych, ale i w naszej Ojczyźnie, takiego właśnie przekonania, takiego przeświadczenia, że ludzie nie zastanawiają się czy Bóg istnieje, czy Bóg nie istnieje, czy to jest ważne, czy nie ważne — tylko żyją tak, jakby On nie istniał, jakby Go w ogóle nie było. W ten sposób stawiają jakby siebie w miejsce Pana Boga.

> Nie tylko wypada poznawać świat obiektywnie, tak jakby Bóg nie istniał, gdyż założenie istnienia Stwórcy czy Opatrzności nie jest nauce na nic potrzebne, ale trzeba również postępować tak jakby Bóg nie istniał, to znaczy tak, jakby Bóg się światem nie interesował.

Takie jest podejście współczesnego człowieka. Zarówno w teorii, jak i w praktyce, zostawia się Pana Boga w Jego własnym świecie, natomiast człowiek próbuje obyć się bez Boga. Jeżeli więc taki jest współczesny człowiek, sugeruje Ojciec Święty, to przyjęcie prawdy chrześcijańskiej wiary o Bogu, który się objawia i udziela człowiekowi, o Bogu, który dał swojego Syna, jest tym trudniejsze, ponieważ ten człowiek po-oświeceniowy jakby zamyka się na Boga i na to, kim Pan Bóg naprawdę jest. Koniec tej części rozważań jest taki:

> *Racjonalizm oświeceniowy mógł się zgodzić na Boga pozaświatowego, zwłaszcza że jest to tylko pewna niesprawdzalna hipoteza. Konieczne jednak było, by takiego Boga wyeliminować ze świata.*

Chyba nie ma głębszej analizy tego, co się dokonało w XVIII - XIX w. niż te słowa papieskie. Jan Paweł II ma niesłychaną zdolność do syntezy i kilka ostatnich wieków naszego rozwoju zostało tutaj zebrane bardzo krótko. Ojciec Święty wskazuje na to, że dzisiejszy człowiek może się zgodzić na istnienie jakiegoś Boga pozaświatowego — zwłaszcza, jeżeli to traktuje jako niesprawdzalną hipotezę. Ale bardzo mu zależy na tym, żeby takiego Boga wyeliminować ze świata. I dwie ideologie, które zrodziły się na tym podłożu, które były najbardziej brutalnymi ideologiami, jakie kiedykolwiek znała ludzkość — to jest w Rosji komunizm, i w Niemczech hitlerowskich narodowy socjalizm. Jedna i druga próbowała wypchnąć Boga poza ten świat. Nie to żeby Go kwestionować, aczkolwiek zdarzało się, zwłaszcza w ujęciu komunistycznym, że z Bogiem walczono. Ale bardziej jeszcze Go po prostu przemilczano.

Jeżeli się więc Pana Boga wypycha poza nawias tego świata, jeżeli się programowo o Nim milczy albo programowo w Niego wątpi, to i przyjęcie tego Boga, który objawia się nam na kartach Pisma Świętego, tego Boga, którego wyznajemy w naszej wierze, jest straszliwie trudne. Czyli — żeby to powiedzieć raz jeszcze, ale z innej strony — Ojciec Święty mówi, że zanim odpowiemy na to pytanie jak zrozumieć, na tyle na ile to jest możliwe, sedno chrześcijańskiej wiary, to musimy sobie uzmysłowić, że zasadnicza trudność tkwi w człowieku. W człowieku, który chce absolutyzować, uogólniać i przeforsować swój własny punkt widzenia i który niechętnie chce widzieć miejsce Boga we współczesnym świecie. W człowieku, który wątpi w istnienie Boga, albo w człowieku, który stwierdza, że Pan Bóg go nie obchodzi. W tym miejscu dziennikarz powiedział tak:

> Słucham z wielką uwagą tego wywodu filozoficznego. W jaki sposób jednak łączy się on z pytaniem, jakie zadałem Waszej Świątobliwości na temat „historii zbawienia"?

Otóż Vittorio Messori jest cały czas bardzo przytomny. Myślę, że i państwo do tej pory nie znaleźli odpowiedzi na to pytanie, postawione przez dziennikarza na początku. Ale Ojciec Święty stworzył pewien fundament, na którym można zbudować całą resztę. Otóż każda dziedzina — i teologia również — ma to do siebie, że najpierw trzeba mieć dobre podstawy, tak jak fundamenty domu, żeby można było później zbudować dom. Nie sposób na trudne pytania udzielać łatwych odpowiedzi. Łatwe odpowiedzi to są tylko wykręty. Natomiast jeżeli pytanie jest trudne, to odpowiedzią może być to, że samą sztuką i uprawianiem teologii jest stawianie mądrych pytań. Jeżeli bowiem człowiek stawia mądre pytania, to zabezpiecza go to przed powierzchownymi bądź głupimi odpowiedziami. A skoro tak, to już może powiedzieć, że w swoim myśleniu o sobie i o Bogu uczynił znaczący krok naprzód.

A więc jak to się ma do tego pytania o historię Zbawienia? A papież mówi:

> Chcę właśnie do tego dojść.

Jest to więc rozmowa, żywa rozmowa dziennikarza z Ojcem Świętym.

> Chcę właśnie do tego dojść. Poprzez tego rodzaju program myślenia i postępowania racjonalizm oświeceniowy godzi w całą *chrześcijańską soteriologię*, czyli refleksję teologiczną o zbawieniu (po grecku: *soteria*).

Proszę zwróćmy uwagę, że Ojciec Święty stawia sprawę jasno. Chrześcijańska soteriologia (soter znaczy zbawca, zbawiciel, *soteriologia* — nauka o zbawieniu) zakłada pewne elementy. Mianowicie:

- Bóg stworzył człowieka dobrym,
- człowiek żył w niewinności,
- człowiek źle wykorzystał swoją wolność, i zgrzeszył,
- ale Bóg nie zostawił człowieka samemu sobie,
- Bóg prowadził ludzkość ku zbawieniu,
- przygotowywał na przyjście Swojego Syna,
- Zbawicielem okazał się sam Syn Boży, który dla nas i dla naszego zbawienia przyjął mękę i śmierć krzyżową,
- Jezus Chrystus zmartwychwstał, Jezus Chrystus żyje.

Oto synteza chrześcijańskiej soteriologii. Ale papież mówi tak. Skoro współczesny człowiek wątpi w istnienie Boga, skoro współczesny człowiek chciałby postawić Pana Boga poza światem, nic dziwnego, że kwestionuje wszystkie poszczególne elementy tej soteriologii, i że podważa również całość chrześcijańskiej nauki o zbawieniu. Jeżeli bowiem ktoś programowo kwestionuje Pana Boga i Jego istnienie, to rzecz jasna przenosi te wątpliwości także na sposób działania Boga w historii.

Stąd sugestia Ojca Świętego jest następująca. W każdym myśleniu o Bożej obecności w świecie, w każdym ludzkim myśleniu o sposobach działania Bożego z ludźmi i dla ludzi, człowiek powinien zachować pokorę, w której uczyni miejsce dla Boga. Jeżeli ktoś polega tylko na tym racjonalizmie, jeżeli ktoś dowartościowuje i docenia wyłącznie swój rozum, jeżeli ktoś szuka tylko rozumowej, a więc wynikającej z jego możliwości odpowiedzi na tak trudne pytania zwłaszcza, jeżeli pielęgnuje w sobie te programowe wątpliwości, to nigdy nie dojdzie do odpowiedzi na pytania te, które żeśmy sobie postawili. A Ojciec Święty przypomina słowa z Ewangelii św. Jana, które stanowią jeszcze krótszą syntezę soteriologii:

> „Tak [...] Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3, 16).

Właśnie to wyznanie wiary w absolutnie unikatową miłość Boga Ojciec Święty będzie starał się rozwinąć. Będzie starał się wytłumaczyć, dlaczego Bóg ofiarował Swojego Syna, dlaczego potrzebował krwawej ofiary Syna, aby człowieka zbawić. Fundament tego działania Bożego jest przejrzysty — mianowicie Bóg działał z miłości. A jest tak dlatego, ponieważ sam jest Miłością. Tak więc tutaj, na wstępie Jan Paweł II przekreśla wszystkie tego rodzaju podejścia w patrzeniu na Boga, w których Boga by się przedstawiało jako okrutnika, jako kogoś straszliwego, mściwego, jako kogoś kto jest bezduszny, kto może patrzeć na śmierć swojego Syna w taki właśnie sposób. Otóż papież wyjaśnia i podkreśla, że sednem Bożego działania była i pozostaje zawsze miłość.

> Każde słowo tej Chrystusowej odpowiedzi w rozmowie z Nikodemem jest właściwie kamieniem obrazy dla umysłowości zrodzonej z przesłanek Oświecenia, i to nie tylko francuskiego, również angielskiego i niemieckiego.

Otóż jeżeli człowiek mówi, że Bóg być może istnieje, ale Bóg go nie obchodzi, i jeżeli człowiek programowo w Boga wątpi, to mówienie mu, że Bóg jest Miłością, może sprawić reakcję ze strony tego człowieka. Reakcję, w której jego egoizm staje się jeszcze bardziej widoczny, i staje się jeszcze bardziej dramatyczny, i ma jeszcze bardziej bolesne skutki. Otóż skoro człowiek nie chce słuchać o Bogu i Jego obecności w świecie, to nie jest też w stanie przyjąć prawdy o Bogu, który jest Miłością i który tak umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał.

Zatem Ojciec Święty mówi: jeżeli chcemy zrozumieć sedno wiary chrześcijańskiej, musimy wyzbyć się takiej pychy, takiego egoizmu, w którym człowiek monopolizuje swój punkt widzenia. Musimy otworzyć się na prawdę pochodzącą od Pana Boga, musimy ją przyjąć, i musimy ją uznać.

A więc pierwsze zdanie, tłumaczy papież: „Bóg umiłował świat”. I zaraz dodaje: dla umysłowości oświeceniowej światu nie jest potrzebna miłość Boga, świat jest samowystarczalny.

Czy nie zwrócili państwo uwagę, że ta głęboko prawdziwa diagnoza papieża sprawdza się także w innych dziedzinach naszego życia? Otóż dla wielu współczesnych ludzi niepotrzebna jest miłość Boga, podobnie jak sądzą, że niepotrzebna jest im miłość drugiego człowieka. Nie mają potrzeby odwzajemniania miłości ani doznawania miłości, ponieważ uznają siebie za w pełni samowystarczalnych. Otóż to nastawienie jest widoczne w stosunku do Boga. Ale to nastawienie może być przenoszone także na drugiego człowieka.

I można odnieść wrażenie, że ta postawa bywa częstsza, niż nam się wydaje. Ludzie zamykają się na Pana Boga nawet jeżeli mówi się, że Bóg jest miłością, ponieważ twierdzą, że nie potrzeba im miłości, że mogą i powinni polegać na sobie. A z kolei Bóg jest przede wszystkim miłością. Dalej Ojciec Święty tłumaczy:

> Taki właśnie samowystarczalny świat, przejrzysty dla ludzkiego poznania, coraz bardziej wolny od tajemnic w wyniku działalności naukowej, coraz bardziej staje się poddany człowiekowi jako niewyczerpalne tworzywo, *człowiekowi – demiurgowi* nowoczesnej techniki. *Taki właśnie świat ma uszczęśliwić człowieka.*

To znów bardzo ważne zdanie. Papież powiada, że do tej pory człowiek szukał szczęścia, które pochodziło z miłości Bożej, z odwzajemnionej miłości. Człowiek oświeceniowy szuka szczęścia wyłącznie w sobie i w świecie. Człowiek współczesny uważa, że będzie miał takie szczęście, jakie zdoła sobie sam zapewnić, jakie zdoła sam wykuć. W takim szczęściu niepotrzebny jest wizerunek Pana Boga, ani obraz Pana Boga, ani wiara w Pana Boga. Skoro tak — człowiek zamyka się na Boga i zamyka się również na prawdę o tym, jak Bóg działał wobec człowieka, i jak działa nadal. Jeżeli Chrystus mówi o miłości, jaką do świata ma Ojciec, to w Jego słowach zawiera się ta sama pierwotna afirmacja stworzenia, jaka towarzyszy opisowi z Księgi Rodzaju: „Bóg widział, że wszystko było dobre, że wszystko było bardzo dobre".

Papież powiada tak: nie ma wyboru, Bóg czy świat. Nie musimy wybierać między miłością Boga, a przywiązaniem do osób i rzeczy tego świata. Bóg stworzył świat dobry i bardzo dobry. Zatem można i trzeba być głęboko zakorzenionym w tym świecie. Można i trzeba otwierać się na miłość, jaką można otrzymać także w tym świecie i ją odwzajemniać. Ale to wcale nie znaczy, że musimy zamykać się na Pana Boga. Otóż jedno i drugie, tzn. związek z Bogiem, i silne osadzenie w świecie, to jest warunek życia prawdziwie chrześcijańskiego. Otóż ta afirmacja świata, mówi Ojciec Święty, nie jest nigdy soteriologiczną absolutyzacją. Tzn. jeżeli człowiek przyjmuje świat i możliwości, jakie świat daje, nie może uważać, ze na tym powinien poprzestać. Nawet jeżeli ktoś dozna w pełni korzyści, pożytków i wszystkich dóbr, które daje świat, nie może powiedzieć, że w ten sposób osiągnął pełne szczęście. Jest bowiem w człowieku głód, którego świat — zarówno osoby jak i rzeczy — zaspokoić nie mogą. I przywiązanie do świata powinno i może iść w parze z przywiązaniem do Boga, i z poleganiem na Bogu. Świat nie jest zdolny ocalić człowieka od zła, od wszystkich jego odmian i postaci: chorób, epidemii, kataklizmów, katastrof itp. Ten cały świat, ze swoim bogactwem i ze swoimi ograniczeniami, sam potrzebuje zbawienia i scalenia.

Tak powoli dochodzimy do tego, co w dzisiejszym rozważaniu jest najważniejsze. Mianowicie Ojciec Święty mówi tak: Istnieje we współczesnym człowieku taka pokusa, żeby zupełnie wyeliminować Pana Boga i polegać na tym, co jest na świecie. Otóż nie można przekreślać świata, trzeba żyć w świecie, trzeba w nim działać, można się do niego przywiązywać, trzeba go rozwijać, trzeba go ubogacać. Bo on jest dobry. Ale trzeba jednocześnie wiedzieć, że w świecie są wielkie pokłady zła i nieszczęścia, gwałtu i przemocy. W związku z tym ten świat, na którym chcemy polegać, potrzebuje zbawienia i ocalenia. Otóż grzech, który popełnił człowiek, nie dotyczył tylko naszych prarodziców, Adama i Ewy. On nie dotyczy tylko również ludzi, którzy wg. Pisma Świętego od nich pochodzą. Struktury grzechu i sam grzech ma to do siebie, że dotyczy całego świata. Św. Paweł powiedział: „Aż dotąd całe stworzenie jęczy w bólach rodzenia oczekując przybrania ludzi za Synów Bożych". Co to znaczy? Wskutek grzechu w całym świecie istnieje cierpienie, nieszczęście, zło, przemoc. Widać to na przykładzie zwierząt. Widać to na wszystkich innych przykładach, gdzie widzimy ogromne pokłady krzywdy, przemocy, gwałtu. I tak, jak wiemy to dobrze z biologii, ale przecież nie tylko z biologii: „Prawda silniejszego zawżdy lepsza bywa". Papież mówi: ta niesprawiedliwość, ten gwałt woła o zbawienie! Dlatego Pan Bóg musiał takiego zbawienia dokonać. Zbawienia nie tylko pojedynczego człowieka, ale także zbawienia całego świata. Miłość Boża uznała grzech tego świata, zauważyła go, dostrzegła, i musiała to zło przezwyciężyć. W jaki sposób? No właśnie w taki, w jaki Bóg tego dokonał. Ojciec Święty dalej mówi:

> Świat nie jest zdolny wyzwolić człowieka od cierpienia, nie jest w szczególności zdolny wyzwolić go od śmierci.

Papież mówi więc, że największym złem tego świata, największą jakąś niesprawiedliwością, wobec której się buntujemy a niektórzy z nas nie mogą tej perspektywy znieść, jest perspektywa śmierci. Otóż żeby można było przezwyciężyć śmierć, która jest skutkiem grzechu, trzeba było przezwyciężyć to w sposób, w którym mógł tylko działać Pan Bóg. Ponieważ ta obecność zła jest tak głęboka, to i siła miłości Bożej musiała przerastać wszystko, cokolwiek człowiek jest sobie w stanie wyobrazić. I dalej:

> *Świat cały poddany jest „znikomości",* jak mówi św. Paweł w Liście do Rzymian. Poddany jest zniszczeniu i śmiertelności. Również człowiek jest poddany temu w wymiarze

> cielesnym. Nieśmiertelność nie należy do tego świata. Ona może tylko przyjść do człowieka od Boga.

Zatem ta perspektywa śmierci, której wszyscy podlegamy. Ciekawe jak człowiek przeżywa bliskość śmierci. Być może ktoś z państwa ma takie doświadczenie. Ale każdy z nas w którymś momencie swojego życia stanie wobec tej perspektywy. Ciekawe jest patrzeć, jak zwierzęta przeżywają bliskość śmierci. Zwierzęta wiedzą, że ta chwila nadchodzi. Oczywiście wiedzą na swój zwierzęcy, instynktowny sposób. Ale ją przeczuwają i w przedziwny sposób na to reagują.

Podobnie z człowiekiem. Nie jesteśmy w stanie pokonać tej strony naszej rzeczywistości. Aby można było przezwyciężyć śmierć przez nieśmiertelność, musiał tutaj zadziałać Pan Bóg. Sam Pan Bóg musiał nas przed tym złem, które niesie śmierć, uchronić. Dlatego Chrystus mówi o miłości Bożej, która wyraża się w posłaniu Jednorodzonego Syna, aby człowiek nie zginął, ale miał życie wieczne. Właśnie dlatego, że człowiek jest poddany marności i śmierci, Bóg dał Swojego Syna, ponieważ to nasze nieszczęście i nieszczęście świata było tak wielkie, że i owoc miłości Bożej musiał być przeogromny.

Papież ukazuje takie horyzonty Bożej miłości, które — właściwie nie pozostaje nam nic innego — jak z wiarą i z pokorą przyjąć. Jeżeli ktoś powie: wątpię w to, nie uznaję tego, albo nie obchodzi mnie to, staje się w ten sposób dzieckiem owego oświeceniowego myślenia, które kwestionuje wszystko. Jeżeli ktoś otwiera się na tę miłość Bożą, która ujawnia się nam w Jezusie Chrystusie, ten człowiek wraca do ewangelicznych korzeni i przyjmuje nie tylko istnienie Pana Boga, ale także Jego działanie wobec nas. Działanie posunięte do ofiary z Syna Bożego. Życie wieczne może być tylko dane człowiekowi przez Boga, może być tylko Jego darem. Nikt z nas nie przeszedł by tej bariery śmierci ku życiu wiecznemu, gdyby nie Bóg sam ingerował w losy świata i w nasze własne losy. I dalej:

> „Syn Boży nie przyszedł na ten świat, żeby świat potępić, ale żeby świat zbawić” (por. J 3, 17). Ten świat, jaki zastał Syn Boży stając się człowiekiem, zasługiwał na potępienie, a to z *racji grzechu*, który w nim zdominował dzieje człowieka, poczynając od upadku pierwszych ludzi.

Zatem tajemnica miłości Bożej jest wielka, ponieważ wielka jest tajemnica obecności grzechu w świecie. A tam, gdzie jest grzech, musiała też ponad miarę być obecna łaska. I tak okazuje się, że przyjęcie Pana Boga i zbawczej, krwawej śmierci Jezusa Chrystusa sprowadza nas do innego problemu.

Mianowicie do uznania grzechu i jego obecności w świecie. Dzisiejszy człowiek próbuje przezwyciężyć zło na rozmaite sposoby. Również do grzechu podchodzi na rozmaite sposoby. Traktuje to np. w kategoriach psychologicznych i myśli sobie tak: To nie jest grzech dlatego, że czego się dopuściłem, i dobrze się czuję. To nie mam żadnych wyrzutów sumienia, nie przeżywam tego źle.

Albo odwrotnie — ktoś przychodzi, wyznaje jakiś grzech, i szuka nie przebaczenia tego grzechu, tylko szuka komfortu psychicznego. Żeby wydobyć, go czy ją, z pewnego dyskomfortu, który czuje, żeby go pocieszyć, podtrzymać, żeby powiedzieć, że to nic takiego. Więc nie o przebaczenie i pojednanie z Bogiem chodzi, tylko chodzi o odzyskanie duchowej równowagi albo psychicznego zadowolenia.

Dlatego bywają tacy wierni, którzy korzystają nie tyle z pomocy spowiednika, co psychologa, psychiatry, wróżki lub sąsiadki. I uważają że skoro psycholog, powiedzmy, odbudował samozadowolenie, to jest dużo bardziej potrzebny, niż spowiednik. Że skoro sąsiadka powiedziała coś, co przyniosło święty spokój, co stanowi o świętym spokoju, to jest bardziej pożyteczna niż psychiatra, czy niż spowiednik.

Dochodzimy więc do bardzo ważnej kwestii, że nawet w życiu wewnętrznym człowiek może tak zamknąć się na Pana Boga, że traktuje życie duchowe tylko w kategoriach dobrego samopoczucia. I zdarzają się tacy penitenci, którzy przy spowiedzi szukają nie pojednania z Bogiem, nie przebaczenia grzechów, tylko pocieszenia, wsparcia duchowego. Takiego, żeby wyszli, i żeby mogli się cieszyć. Że kamień z serca spadł. Natomiast istota tego, co najważniejsze, pozostała w gruncie rzeczy nienaruszona.

Bywa też podejście socjologiczne, polegające na tym, że ktoś sobie tłumaczy, że to, czego się dopuszcza albo to, co robi, to nic złego, ponieważ wszyscy tak robią, albo większość tak robi.

Skoro tak, to czym mam się przejmować? Inni kradną, to i ja kradnę. Różnica taka, że inni być może więcej. Inni robią to czy tamto, to i ja mogę robić to czy tamto. Bo przecież tamten ktoś zaczął wcześniej. I to też podaje się jako usprawiedliwienie. Jeżeli więc patrząc na innych próbuje się siebie usprawiedliwić, to oczywiście nie ma to nic wspólnego z przezwyciężaniem grzechu, ani z jakimś powrotem do Pana Boga. Człowiek, który szuka wsparcia na poziomie psychologicznym czy socjologicznym w gruncie rzeczy pozostaje poza obrębem prawdziwej wiary chrześcijańskiej w tym, co dotyczy przebaczenia grzechów.

Ktoś z państwa może powiedzieć: rzeczywiście, każdy z nas takie pokusy przeżywał i każdy z nas coś podobnego w sobie nosi. Szukamy łatwych usprawiedliwień w trudnych bardzo sprawach.

I w tym miejscu Ojciec Święty powiedział Messoriemu coś, co dotyczy sytuacji w Polsce. **Nigdy nigdzie, ani przedtem, ani później, Jan Paweł II nie wygłosił tak gorzkich słów jak te**, które za chwilę przeczytam. Ojciec Święty powiedział tak:

> Kiedy podczas ostatnich odwiedzin w Polsce wybrałem jako temat homilii Dekalog oraz przykazanie miłości, wszyscy polscy zwolennicy „programu oświeceniowego" poczytali mi to za złe.

Ojciec Święty prowadził tę rozmowę w 1992 r. Kilka miesięcy wcześniej, w 1991 roku, Ojciec Święty był w Polsce, była to jego IV pielgrzymka do Ojczyzny. Przypadła mniej więcej $1\frac{1}{2}$ roku po zmianach społeczno-politycznych. Wszyscy — zwłaszcza gazetowo — zachwycali się wolnością i jej perspektywami. Wydawało się, że wolność oznacza swobodę. I że wolność, która jest swobodą, w gruncie rzeczy pokrywa się ze swawolą. Przyjechał papież, objeżdżał Polskę i w każdym mieście, w którym był, omawiał jedno przykazanie Dekalogu.

I Ojciec Święty zwrócił uwagę, że kiedy był w Polsce i mówił o Dekalogu, i mówił o miłości, to polscy zwolennicy „programu oświeceniowego" poczytali mu to za złe. Trzeba sięgnąć do ówczesnej prasy, do komentarzy, do rozmaitych autorytetów i pseudo-autorytetów z których część nadal żyje — w jak dyskretny, delikatny i pokrętny sposób krytykowano wtedy papieża. Mówiono, że przyjechał, ale nie zna sytuacji w Polsce. Już tyle lat jest w Watykanie. Tutaj daje nam jakieś programy, mówi o Dekalogu — to jest sprawa przestarzała. My to potrzebujemy nowych możliwości, nowych horyzontów, to będzie Europa itd. Te komentarze bardzo Ojca Świętego dotknęły. Papież powiedział tak, mówi o sobie:

> Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności *persona non grata*.

Zwróćmy uwagę — Ojciec Święty odbył już wtedy ok. 60 podróży apostolskich. Ale jako przykład wybrał Polskę. Dlaczego? Nie odważył się tego powiedzieć o innym kraju czy narodzie nie tylko dlatego, że ta diagnoza nie dotyczyła innych — bo dotyczyła, tylko dlatego, że refleksję nad stanem duchowym i moralnym własnego narodu, Polaków, uznał za najbardziej niezbędną dla siebie. **I Ojciec Święty stwierdził tu najbardziej gorzką prawdę swojego pontyfikatu, przeżytą na początku lat 90-tych w Polsce**. Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności persona non grata.

I wtedy w Polsce, w 1991 r., po wyjeździe Ojca Świętego zapanowała atmosfera krytyki papieża polegającej na tym, że — jak to spointowano w jednej z gazet, w jednym z tygodników — papież powiedział swoje i pojechał do Watykanu, a my zostajemy ze swoimi problemami i ze swoimi wyzwaniami. Ale nie chciano uznać, że to zło, które jest najgorsze na przyszłość, i które okaże się bardzo dotkliwe w skutkach, tkwi nie obok nas, tylko tak — jak mówił Ojciec Święty — tkwi w nas. Że to jest święta prawda, to z perspektywy dziesięciu lat widać doskonale. Proszę zwrócić uwagę, że gdy przyjrzymy się życiu publicznemu, społecznemu i indywidualnemu w naszej ojczyźnie przez następne 10 lat to widać, że zaprzepaściliśmy mnóstwo szans i mnóstwo możliwości, niezależnie od strony politycznej i lewej, i prawej, stronnictwa takiego czy innego. A to dlatego, że okazało się, że główne podziały pomiędzy dobrem a złem przebiegają nie między ludźmi, tylko przebiegają w człowieku. I okazywało się bardzo często że ci, którzy przyjmowali odpowiedzialność za innych, którzy byli wybierani do sprawowania odpowiedzialnych funkcji, sami w środku pozostawali i być może pozostają bardzo zepsuci.

Gdybyśmy jako przedmiot refleksji wybrali w 91 r Dekalog i gdybyśmy dokonali jakichś narodowych rekolekcji ogólnych pod tym właśnie kątem, to być może — na pewno — nasze życie społeczne

i polityczne wyglądałoby inaczej. **Nic takiego się nie stało, ponieważ krytycy papieża znaleźli się nawet w Kościele, i na jego obrzeżach**. I ci krytycy uznali papieża za persona non grata.

Miało to wtedy jeszcze i ten dodatkowy wymiar, zapewne państwo to pamiętają, że w 1991 roku Ojciec Święty bardzo chciał odpocząć w Polskich Tatrach. I zamierzał, kiedy skończy się oficjalna pielgrzymka, kilka dni pozostać w Tatrach. I wtedy w naszych gazetach, w Wyborczej, w Tygodniku Powszechnym, pojawiły się artykuły, że nie stać nas, ponieważ jesteśmy w okresie transformacji, na utrzymanie papieża, i na to, żeby gościć papieża gdzieś tam w Tatrach, że to kosztuje bardzo dużo, ile, jak i gdzie.

Te głosy dotarły do Ojca Świętego, i oczywiście do wypoczynku w Tatrach nie doszło. Papież czuł się bardzo wtedy dotknięty. I trzeba było czekać kilka lat. Jak pamiętamy później odbył króciutką, jednodniową tylko wizytę na południu Polski. Trzeba było czekać kilka lat, żeby na nowo do swojej Ojczyzny przyjechał. I na dobrą sprawę dopiero w roku 97, a potem w roku 99, w Wadowicach, przy tych kremówkach Ojciec Święty raz jeszcze przekonał się, że Polacy go bardzo kochają. Raz jeszcze zauważył że to, co jest w gazetach, nie pokrywa się z tym, co jest w sercach ludzi. I od tamtej pory jakby jest znowu spokojniejszy.

A tu papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla takiej mentalności persona non grata. Papież, który przyjechał do Polski, sam siebie odbierał jako człowieka, którego nie chcieliśmy słuchać. A nie chcieliśmy słuchać, kiedy mówił o grzechu. A mówił o grzechu dlatego, aby pokazać Bożą miłość. Aby w ten sposób pokazać, dlaczego Bóg stał się człowiekiem i dlaczego Bóg nas zbawił. Tak więc ta pointa prowadzi nas do krótkiej syntezy.

Otóż rzeczywiście drogi Boże, drogi Zbawienia są skomplikowane, są złożone. Rzeczywiście Bóg mógłby zbawić człowieka w inny sposób. Ale jeżeli dał Swojego Syna, i dał Go z miłości, to dlatego, że obecność grzechu w świecie jest bardzo głęboka. I jeżeli uznamy ten grzech, i jeżeli otworzymy się na miłość Bożą, to wtedy stanie się również jasne, dlaczego Bóg zbawił świat przez krwawą ofiarę Swojego Syna. Tam, gdzie wielki jest grzech, gdzie wielkie jest zło, tam musi być również przeogromne dobro, które mogłoby to zło pokonać.

Mam nadzieję, że ta refleksja nieco nam wszystkim wyjaśniła, a może bardziej przybliżyła do tej prawdy o Bogu, który stał się człowiekiem. Tę prawdę będziemy przeżywali wkrótce, w okresie Adwentu i potem w okresie Bożego Narodzenia, kiedy będziemy mówili o Jezusie Chrystusie, który „stawszy się człowiekiem przyjął postać sługi, uniżył się” i to uniżył się tak, jak uniżyć się Bogu na rozmaite sposoby nie wypada.

Spotkamy się w drugi poniedziałek stycznia, 14 stycznia. Zapraszam państwa bardzo gorąco i bardzo serdecznie. Następnym razem posuniemy się do jeszcze trudniejszego problemu, mianowicie *zła w świecie.* Jak się ma dobry Bóg do zła, które w świecie istnieje, i co na ten temat mówi Ojciec Święty.

Dzisiaj jako adwentową lekturę zachęciłbym państwa do książeczki, która nosi tytuł „Pan Bóg nie robi błędów”. Jest to dziesięć rozmów z różnymi teologami, m.in. prof. Michał Wojciechowski, ks. Jan Sikorski, ks. Zięba, ks. Sochoń, ks. prof. Dziuba, ks. Paweł Góralczyk, również ze mną, na temat poszczególnych przykazań Dekalogu. Ponieważ mówiliśmy dzisiaj o dekalogu, ta książeczka jest w jakimś sensie owocem papieskiej wizyty, tylko że nieco późniejszym. Myślę, że najlepiej jest teraz, w Adwencie, czytać po jednym rozdziale dziennie, jeżeli ktoś się zdecyduje. Czyli jedno przykazanie na jeden wieczór. To jest też forma rozmowy, dziennikarka zadaje pytania — my odpowiadamy. Myślę, że rzecz zasługuje na uwagę, jako dopełnienie tej papieskiej katechezy.

Natomiast na Święta Bożego Narodzenia wszystkim państwu i ich rodzinom życzę dobrych, błogosławionych, radosnych Świąt. Życzę wszystkiego, co najlepsze. Również wszystkiego, co najlepsze. Również pomyślności w nowym roku, z nadzieją, że w nowym roku się spotkamy.

Muszę państwu powiedzieć, że nasz Uniwersytet, i ja, mamy taką wyjątkową radość. W przyszłym tygodniu, w czwartek udajemy się do Rzymu. Jan Paweł II zgodził się przyjąć doktorat honoris causa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. I 15 grudnia odbędzie się ta uroczystość.

4.4 Co to znaczy „zbawić”? Zło w świecie (dn. 14 stycznia 2002)

Czas płynie bardzo szybko. Tak niedawno przygotowywaliśmy się do obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Myślę, że pamiętamy uroczyste otwieranie Drzwi Świętych, przeżywanie Wielkiego Jubileuszu. Rok temu nastąpiło zamknięcie tego Wielkiego Jubileuszu, mamy za sobą rok 2001, jak Państwo doskonale wiedzą, bardzo trudny i dla historii świata wielce znaczący. I dwa tygodnie temu rozpoczęliśmy rok 2002, już zdążyliśmy się do niego przyzwyczaić, i prawdę mówiąc zdążył już się nieco zestarzeć. Tak jak mówiłem półtora miesiąca temu na naszym ostatnim spotkaniu w tym okresie ogromnie ważnym wydarzeniem dla mojego Uniwersytetu, dla mnie również, była audiencja u Ojca Świętego i wręczenie Janowi Pawłowi II, przyjęcie przez Jana Pawła II doktoratu honoris causa naszej uczelni.

Dzisiaj zanim przejdziemy do książki „Przekroczyć próg nadziei” dosłownie parę zdań na ten temat. Myślę, że na pewno coś z tego państwa zainteresuje. Mianowicie z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, który w ubiegłym roku miał ten swój czas, iż był obchodzony Rok Kardynała Stefana Wyszyńskiego, pamiętamy to: 20-lecie jego śmierci, 100-lecie jego urodzin. I w tym właśnie roku, dokładniej: pod koniec roku, Jan Paweł II przyjął doktorat honoris causa wszystkich wydziałów naszej uczelni. Był to czwarty doktorat honoris causa, nadany Janowi Pawłowi II przez uczelnie w Polsce, oczywiście chętnych byłoby znacznie więcej. Dosłownie kilka dni temu Ojciec Święty przyjął też, przy naszym pośrednictwie nawiasem mówiąc, doktorat honoris causa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego wygłaszając bardzo piękne przemówienie do profesorów tejże Szkoły, i również do rolników.

I myśmy też mieli swoje półtorej godziny w Watykanie, które polegało na tym, że w sobotę 15 grudnia zostaliśmy przyjęci przez Ojca Świętego w Sali Klementyńskiej Pałacu Apostolskiego. To jedna z najpiękniejszych sal. Pojechała duża delegacja naszego Uniwersytetu, łącznie 130 osób, poczynając od władz rektorskich aż do studentów, i oczywiście pracowników dydaktycznych, naukowych i administracyjnych. Ojciec Święty wygłosił do nas bardzo piękne przemówienie, tak piękne, że ciągle nie możemy się z tego otrząsnąć. M.in. powiedział, że czym jest stolica prymasowska w Gnieźnie dla kultury polskiej, tym — chciałby papież — żeby stał się Uniwersytetu Kardynała Wyszyńskiego od strony religijnej, teologicznej, dla wiary w Polsce, dla Kościoła katolickiego w Polsce. Jest to wielki, zobowiązujący, zaszczytny program. Te słowa Jana Pawła II stanowią fundament, na którym cała przyszłość Uniwersytetu będzie budowana. Ojciec Święty pobłogosławił też opłatki, które mieliśmy na naszym uczelnianym opłatku — a mamy w tej chwili 14 tysięcy studentów, więc to już jest dość pokaźna liczba. To piękne przemówienie Ojca Świętego to jest nie tylko wielkie zobowiązanie, ale również dla nas jest to przeogromna zachęta, żeby wsłuchując się w głos papieża rozwijać te wszystkie wspaniałe treści. Ale jeżeli chodzi o mnie, muszę państwu powiedzieć, że jeszcze większym przeżyciem było, gdy na drugi dzień Ojciec Święty zaprosił rektora i prorektorów do siebie na obiad.

I w niedzielę 16 grudnia miałem szczęście mieć obiad z Ojcem Świętym w bardzo wąskim gronie. I dwie sprawy, którymi chciałbym się podzielić. Jedna, to byłem sam zdumiony i zaszokowany, do jakiego stopnia papież zna sprawy polskie, jak bardzo interesuje się tym wszystkim, co w Polsce się dzieje, jak bardzo dokładnie pyta o wszystko, co się tutaj dzieje, jak bardzo głęboko mu leży na sercu zwłaszcza sprawa bezrobocia i cierpień z tym związanych. Ojciec Święty ze dwa czy trzy razy pytał o to, jak wygląda ta sprawa bezrobocia, czy Kościół robi coś dla tych ludzi pozbawionych pracy, czy robi coś dla rodzin. Czy to jest sprawa, którą Kościół jakoś rozumie. Więc to był jeden wątek rozmowy, bardzo długi.

Drugi wątek dotyczył spraw wewnątrzchrześcijańskich, ale także rozmaitych dialogowych. Mianowicie Ojciec Święty dawał do zrozumienia, że wielką troską napełniają go żądania zgłaszane pod adresem Polski, żądania dotyczące m.in. restytucji mienia, także żydowskiego. Jan Paweł II sam zauważył, że są w świecie siły, które chciałyby obarczyć Polaków współodpowiedzialnością za to, co się tutaj stało. A po tej współodpowiedzialności mają pójść roszczenia i żądania. Papież był wyraźnie zainteresowany tą problematyką, wiele na ten temat słuchał. Prosił, żebyśmy powiedzieli jak to przedstawia się według naszego sposobu widzenia i przeżywania tych rzeczy. Widać, że sprawy polskie są Ojcu Świętemu niesłychanie drogie, niesłychanie bliskie.

Druga ważna sprawa, która nas zastanowiła i zaskoczyła, to jego ogromne zainteresowanie

szkolnictwem wyższym, także Uniwersytetem. Bardzo szczegółowe pytania o poszczególne wydziały, o kierunki, o studentów, ich zainteresowania, i ich zaangażowanie w proces dydaktyczny. Więc jednym słowem było to bardzo piękne, i jednocześnie bardzo wzruszające spotkanie. Bo zdają sobie państwo sprawę z tego, że niemal półtorej godziny trwał ten obiad u Ojca Świętego. I przez te półtorej godziny na odległość dosłownie dwóch metrów można było nie tylko siedzieć, patrzeć, ale również rozmawiać.

Kiedy patrzyłem na Ojca Świętego tak bardzo blisko — proszę mi wierzyć, nie są to jakieś puste słowa — myślałem także o tych konferencjach. I powiedziałem papieżowi, że staramy się w takiej grupie zgłębiać jego nauczanie, zastanawiać się nad tym nauczaniem. Papież patrzył bardzo wnikliwie, chwilę trwał w zastanowieniu, a potem powiedział: „To dobrze!”

Może niech „To dobrze!” zostanie również jako pochwała dla państwa, jako wyraz satysfakcji, że w Polsce nie tylko kochamy papieża, co nam się często zarzuca, ale również usiłujemy go zrozumieć, jego nauczanie w życie wcielić, i starać się to nauczanie i wiarę głębiej przeżyć.

Bardzo ciekawy był komentarz ks. biskupa Dziwisza, którego bardzo cenię, od długiego czasu mam zaszczyt również znać. Kiedy wychodziliśmy stamtąd, było z nami tylko sześć osób — oprócz władz rektorskich Uniwersytetu był ks. biskup Stefanek, biskup ordynariusz łomżyński, oraz ks. biskup Jarecki, to jest nasz biskup z Warszawy — powiedział słowa z pewnością głęboko prawdziwe. Mówi że musimy rozumieć, że był czas aż do 1978 r., kiedy te mury watykańskie bardzo rzadko słyszały język polski, a w sali, w której jada papież, i w której jadali papieże przedtem, widok Polaka był absolutną rzadkością. Że teraz, od 23 lat, jest tam więcej Polaków. Ale — mówił biskup — pamiętajcie, że przyjdzie znowu czas, i pewnie nie za bardzo długo, że znów języka polskiego tam nie będzie. I trzeba starać się, żeby ta obecność Polski w Watykanie, w Stolicy Apostolskiej została jak najlepiej wykorzystana.

Jak państwo wiedzą Ojciec Święty w grudniu, w styczniu dał wiele dowodów bardzo ścisłych kontaktów z Polską. Bo był tam i wielki koncert muzyczny, i przyjął doktorat honoris causa, i spotykał się z Polakami, i był inny koncert muzyczny, koncert kolęd, gdzie była taka lżejsza muzyka, i był niedawno nasz wybrany głosami ludu premier, byli inni. Tak, że to wszystko, co w ciągu półtora miesiąca można tylko sobie wymarzyć, to wszystko było. I widać, że sprawy Polski bardzo leżą papieżowi na sercu.

Nawiasem mówiąc na słowo „premier” państwo się poruszyli, pewnie nie bez racji. Trzeba powiedzieć, że wg. tych wiadomości, które stamtąd napływają, było to ogromne przeżycie również dla samego premiera, dla jego żony, syna, synowej, i bardzo wielkie przeżycie dla wnuczki. No więc widać, że Jan Paweł II przez takie kontakty stara się również niejako oswoić władzę w tym znaczeniu, żeby każdego, kto ma coś w Polsce do powiedzenia, a wiadomo, że władze polityczne mają do powiedzenia, żebyśmy wszyscy przyczyniali się do budowania wspólnego ojczystego domu — jak mówimy szumnie — a co w przełożeniu na codzienny trud oznacza możliwość solidarnej współpracy wszystkich. Więc Ojciec Święty stara się jak może i trzeba powiedzieć, że sprawy polskie są mu bardzo, bardzo bliskie. Być może nawet niektórzy z tych, którzy tam są na co dzień, Włosi, inne narodowości, może nawet patrzą na to ze swoistą zazdrością. Ale Jan Paweł II stara się tak to wszystko godzić, tak łączyć i tak każdemu czas swój dawać, żebyśmy wszyscy, i my Polacy, i inni, byli zadowoleni.

Przeżycie naprawdę wielkie. Bo sama świadomość, że się w czymś takim uczestniczy, to jest rzecz bardzo wielka. Ja na najbliższym naszym spotkaniu postaram się rozdać państwu pamiątkę stamtąd polegającą na tym, że otrzymają państwo wydrukowane osobno w takiej specjalnej ozdobnej broszurce przemówienie Ojca Świętego Jana Pawła II do naszego Uniwersytetu. Drobiazg to jest, ale przynajmniej tyle. Jest to przemówienie bardzo piękne, bardzo głębokie. I być może znajdą państwo czas, żeby później po nie sięgnąć. No ale to dopiero wtedy, kiedy się spotkamy następnym razem, czyli za cztery tygodnie. Dlatego, że do tej pory wydrukowaliśmy parę tysięcy, i to wszystko poszło — najpierw dla studentów, i dla pracowników związanych bezpośrednio. A teraz przyjdzie czas również na to, żeby wyjść z tym poza mury uczelni.

Przechodzimy do książki. A konkretnie przechodzimy do pewnego bardzo ważnego tematu, zasadniczego dla naszej wiary, który związany jest z pytaniem postawionym papieżowi. I nad tym pytaniem my się również dzisiaj zastanowimy. To pytanie jest niesłychanie interesujące i niesłychanie głębokie. Wszyscy z państwa dobrze wiedzą, że kiedy rozważamy nauczanie Jana Pawła

II zawarte w „Przekroczyć próg nadziei", to jest to nauczanie trudne — ale dlatego, że dotyka spraw, które są dla naszej wiary i dla naszego bytowania najważniejsze. Vittorio Messori zadał Ojcu Świętemu następujące pytanie (R. 12, str. 68):

> Jak wiadomo w dzisiejszej kulturze nam, „zwykłym ludziom", grozi ryzyko, że nie zrozumiemy prawdziwego i głębokiego znaczenia chrześcijańskiej perspektywy.

Rzeczywiście, to co się dzieje dzisiaj na świecie nazywa się macdonaldyzacją kultury. Polega to na tym, że jak szybkie i łatwe jest jedzenie przygotowane w mikrofalówce, jadąc samochodem zjeżdża się na parking i nawet nie potrzeba wysiadać z samochodu, podają jedzenie przez okno — ta technika została opanowana wręcz do perfekcji, jedzenie stało się takim samym towarem, jak każdy inny. Z tym związana jest daleko posunięta banalizacja całej tej sfery. Więc podobnie ludzie wyobrażają sobie i religię — taką łatwą, lekką i przyjemną. I sądzą, że można zadawać bardzo trudne pytania, na które szybciutko — tak właśnie w oknie samochodowym — można otrzymać łatwą odpowiedź. Jest to popularne zwłaszcza w Ameryce, gdzie są rozmaitego rodzaju kaznodzieje, zwłaszcza protestanccy, którzy gotowi są załatwiać najważniejsze ludzkie problemy już nie tylko przez radio i telewizję, ale ostatnio nawet przez telefon i internet.

Jeżeli ktoś ma wielkie życiowe sprawy, łączy się tylko przez internet lub telefon. I tam w 5 minut ma otrzymać receptę na całe życie. Dziennikarz włoski nawiązuje do tego w rozmowie z Ojcem Świętym, i powiada, że są rzeczy bardzo trudne, i że grozi nam bez przerwy powierzchowne traktowanie naszej wiary. Ale, powiada do Ojca Świętego tak:

> Chciałbym więc zapytać, co to znaczy konkretnie dla wiary „zbawić"? Czym jest to „zbawienie", o którym Wasza Świątobliwość mówi, że stanowi sam rdzeń chrześcijaństwa?

Rzeczywiście bez przerwy mówimy: „Zbaw nas od złego", mówimy o zbawieniu, mówimy w przypadku żyjących, w przypadku zmarłych „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie". Co to znaczy „zbawić"? Oczywiście nie szukamy odpowiedzi typu McDonald'a, łatwej i przyjemnej. Ojciec Święty zastanowi się i za chwilę usłyszymy jego odpowiedź na to węzłowe i kluczowe, stanowiące sam rdzeń wiary chrześcijańskiej, pytanie. Co to znaczy „zbawić"? Przecież w życiu podejmujemy mnóstwo wysiłków, mnóstwo trosk, mnóstwo wyrzeczeń, musimy sobie odmawiać, podejmujemy rozmaitą ascezę, dobre postanowienia, chodzimy do kościoła, staramy się żyć dobrze — a wszystko po to, żeby osiągnąć zbawienie. Więc co to znaczy „zbawić"? Ojciec Święty na to kluczowe pytanie — być może bardzo rzadko zastanawiamy się nad tą rzeczywistością zbawienia — odpowiedział tak:

> Zbawić, to znaczy wyzwolić od zła.

To jest najkrótsza definicja zbawienia. Zaraz papież ją rozwinie.

> Chodzi tu nie tylko o zło społeczne, takie jak niesprawiedliwość, zniewolenie, wyzysk; nie tylko o choroby, katastrofy, klęski żywiołowe i wszystko, co nazywa się nieszczęściem w dziejach ludzkości.

Otóż tak uświadamiamy sobie, że dookoła nas istnieją ogromne pokłady zła. Bo rzeczywiście istnieją. Gdybyśmy zaczęli wyliczać rozmaite przykłady zła, i rozmaite sposoby istnienia zła w świecie, to można by popaść w swego rodzaju defetyzm. W swego rodzaju przekonanie, że wszystko dookoła jest zepsute, złe, gnuśne, niedobre, i że w gruncie rzeczy nie warto żyć. Otóż niestety ostatni rok, 2001, przyniósł bardzo wiele takich radykalnych przykładów zła, i to zła posuniętego bardzo daleko. Zła, które weszło gdzieś tam w struktury społeczne, które przeniknęło do polityki, i które na rozmaite sposoby dotyczy losu pojedynczych ludzi. Bez przerwy słyszymy, że świat po 11 września nie jest taki sam, jak przedtem. To jest prawda. Z tym że to zło, o którym myślimy w kontekście 11 września, Waszyngtonu i Nowego Jorku, pozostaje ciągle zagadkowe, ukryte, nieznane. To zło wyzwala nową falę zła. Bo ze złem jest trochę tak, jak ze sprężyną. Kiedy zaczyna się zło, to powstaje samonakręcająca się spirala. I trzeba rzeczywiście starać się, żeby to pasmo zła przerwać. Bo jeżeli człowiek, czy jeżeli ludzkie społeczności, to zaniedbają, to wtedy zło zagarnia i pożera coraz to nowe obszary. Bo zło ma to do siebie, że jest nienasycone.

Powróćmy raz jeszcze do wątku, który państwo dobrze znają, kiedy to papież prosił, aby jeden z piątków Adwentu był obchodzony jako dzień postu i modlitwy w intencji pokoju na świecie. Wiemy, że za kilka dni w Rzymie i w Asyżu odbędą się wielkie modlitwy w intencji pokoju. Przypominamy sobie od czasu do czasu, że pokój na świecie jest naprawdę zagrożony. Że już bardzo dawno świat nie stał na skraju takiej przepaści, na jakiej znajduje się teraz. Gdybyśmy więc chcieli wyliczać zło, to jest tego zła sporo. Są ludzie, którzy nie wytrzymują ciężaru tego zła w świecie. Są tacy, którzy mają albo delikatniejszą konstrukcję psychiczną, albo mniejszą wiarę, i w związku z tym przeżywają ogromne konflikty sumienia, a także przeżywają ogromne załamania. Nie opisujmy dalej zła, żeby nie popaść w ów defetyzm, ale spróbujmy — bo Ojciec Święty zauważył to zło — posunąć się krok dalej. Papież tłumaczy:

> Zbawić, to znaczy wyzwolić od *zła radykalnego, ostatecznego.*

W świecie jest bowiem przedziwny paradoks polegający na tym, że nawet to, co złe, może się człowiekowi przeobrazić w jakiś rodzaj dobra. Że coś, co przeżywamy dzisiaj jako złe, jutro może się okazać zupełnie dobre, mające zupełnie dobre skutki. Powiedzmy ktoś spóźnił się na pociąg i nie pojechał, i okazało się, że dzięki temu wrócił do swojej rodziny, czy do swoich bliskich, i spotkało go coś tak miłego, czego by w przeciwnym przypadku nie przeżył. Powiedzmy sobie: ktoś dzisiaj dokonał czegoś złego w swoim przekonaniu złego, ale tak go to zastanowiło i skłoniło do refleksji, że jego życie wskutek tego zmieniło się diametralnie. Dlatego też słusznie mówimy, i to pojęcie przejęła zwłaszcza niegdyś Zofia Kossak-Szczucka, że istnieje coś takiego jak *błogosławiona wina.* A więc, że można zło przeobrazić w dobro. Na tym też polega siła człowieka, którą każdy z nas dysponuje. Albo też na tym polega ta przemożna siła dobra, która nawet zło jest gotowa sobie podporządkować. Ale obok takich przejawów zła istnieje zło inne, radykalne, głębokie. Istnieje skażenie i zepsucie, które ogarnia nas w sposób nieunikniony. I papież dalej mówi tak:

> Takim złem nie jest sama tylko śmierć. Śmierć już nie jest takim złem, skoro przychodzi po niej zmartwychwstanie. A zmartwychwstanie przyszło za sprawą Chrystusa. *Za sprawą Chrystusa śmierć przestaje być złem ostatecznym — zostaje podporządkowana mocy życia.*

Otóż człowiek postrzega śmierć jako zło najgorsze, najbardziej radykalne. I papież widząc to niebezpieczeństwo postrzegania śmierci jako zła, którego nie sposób przezwyciężyć, mówi tak: *Śmierć jest złem. Ale nie jest najgorszym złem. W każdym razie nie dla chrześcijanina. Dlaczego? Ponieważ chrześcijanin przeżywa śmierć przez pryzmat wiary w zmartwychwstanie. Śmierć jest zatem przejściem. W ten sposób następuje codzienne chrześcijańskie oswajanie śmierci.* Oczywiście są wśród nas ludzie zupełnie młodzi, dla których mówienie o śmierci jest czymś absolutnie odległym. Są ludzie starsi, którzy być może z zupełnie innych powodów myśl o śmierci od siebie odsuwają. Nie ma żadnej reguły, która pozwoliła by nam przewidzieć, kto z nas, jak tu jesteśmy, będzie pierwszy. Kiedyś na pogrzebach — teraz tego zaniechano, bo to robiło duże wrażenie — jak już składano ciało do grobu, to jedno z wezwań modlitwy powszechnej brzmiało; „Módlmy się za tę albo tego spośród nas, którego jako pierwszego czy pierwszą Pan Bóg powoła przed swój sąd”. I to zawsze robiło wrażenie, bo nikt nie może być pewny, czy przypadkiem właśnie teraz nie modli się za siebie. Ta myśl o śmierci jest jednak czymś, co powinno nam towarzyszyć. A Jan Paweł II ustawia ją w perspektywie zmartwychwstania. Zdaje sobie bowiem z tego sprawę, że dla chrześcijanina nie mają sensu takie rozważania o śmierci, które nie są połączone, czy są wyizolowane, od prawdy o zmartwychwstaniu. I dalej:

> Świat nie ma takiej mocy.

Bo skoro dawcą zmartwychwstania jest Chrystus, to oczywiście świat takiej mocy nie ma.

> Świat, który może ulepszać swoje techniki terapeutyczne w różnym zakresie, nie ma mocy wyzwolenia człowieka od śmierci.

Wiemy, że medycyna wykonała w ostatnich dziesięcioleciach przeogromny postęp. Ale jednocześnie ta sama medycyna niesie przeogromne pułapki etyczne. Wiedzą o tym doskonale lekarze, wiedzą pielęgniarki, wiedzą ci, którym przychodzi zmagać się zwłaszcza z tzw. fazą terminalną. Nigdy do tej pory ludzkość nie dysponowała takimi możliwościami podtrzymywania ludzkiego życia, jak obecnie. Otóż medycyna może bardzo wiele. Ale medycyna nie może tego, co jest najważniejsze — może przedłużyć życie, czasami przedłużyć jakąś egzystencję człowieka, może odsunąć śmierć, ale nie może jej usunąć.

> I dlatego świat nie może być dla człowieka źródłem zbawienia. *Tylko Bóg zbawia,* a zbawia ludzkość całą w Chrystusie.

To zdanie jest niesłychanie ważne. Każdemu z nas przychodzi myśl o złu takim najbardziej radykalnym, jakim jest śmierć. Ale pamiętać musimy, że moc zbawienia ma tylko Pan Bóg. Ale papież dodaje więcej: „Bóg zbawia całą ludzkość”. To bardzo ważne dla nas. Na świecie są różne religie, różne sposoby wyznawania Pana Boga i dochodzenia do Pana Boga. Są również różnego rodzaju ateizmy, które negują czy kwestionują Pana Boga. Ale Bóg pragnie zbawić całą ludzkość i każdego człowieka. Musimy pamiętać, że chociaż chrześcijaństwo jest religią zbawienia i słusznie jesteśmy dumni, że jesteśmy chrześcijanami, to podstawowa godność człowieka wynika z dzieła stworzenia. Każdy człowiek przez sam fakt, że został stworzony przez Boga, jest Jego dzieckiem. I Bóg nie może odepchnąć ani odsunąć od Siebie żadnego swojego dziecka. Bo w tej fundamentalnej godności ludzkiej jesteśmy wszyscy na jednym poziomie. My później przez chrzest, a następnie przez wychowanie chrześcijańskie i życie chrześcijańskie, zyskujemy ten wymiar który sprawia, że zmierzamy do Boga przez Chrystusa. Ale są miliardy innych ludzi, którzy tak samo jak my żyją. I kiedy patrzymy na nich, w żadnym wypadku nie możemy stawiać ich poza nawiasem zbawienia. Zatem słusznie trzeba wyeksponować uniwersalizm zbawczy. Ile razy oglądamy ludzi z Afryki, z Azji, rozmaitego rodzaju Afganów, Talibów, Chińczyków, Japończyków czy kogokolwiek jeszcze - australijskich Aborygenów czy mieszkańców Grenlandii, to wszystko to są ludzie — i Bóg zbawia całą ludzkość. Każdy człowiek jest miły Panu Bogu.

Nie ma chyba prawdy radośniejszej, niż ta. Bo skoro Bóg w osobie Jezusa Chrystusa stał się człowiekiem, stał się jednym z nas, to właśnie ten fakt, że jesteśmy ludźmi, każdego z nas do Pana Boga pociąga i każdego z nas ku Panu Bogu wiedzie. Można by powiedzieć, że z ludzkością, i z religiami, jest tak, jak ze ścieżkami w lesie. Kiedy wchodzimy do znajomego nam lasu, to wiemy którędy iść, żeby dojść w określone miejsce. Może pamiętamy to z dzieciństwa czy młodości, może pamiętamy z grzybobrania. Natomiast dobrze wiadomo również, że jeżeli ktoś nie zna tego lasu i wejdzie w jakąś ścieżkę leśną, to dojdzie z czasem do swojego celu, wyjdzie z lasu, aczkolwiek może to być droga mozolna czy nawet bardzo ryzykowna. Droga, po której błądzi dlatego, że tej ścieżki właściwej ścieżki nie zna. Ale ona istnieje, ona jest.

Każdy człowiek ma wypisaną swoją drogę życia, każdy człowiek jest powołany do zbawienia. Ojciec Święty kładzie na to nacisk, bo bez tego nie zrozumiemy nigdy, co to znaczy „zbawić”. Nie możemy pojmować zbawienia jako swoistego kaprysu Pana Boga. A więc Pan Bóg zbawia ciebie, ciebie, mnie, i jeszcze kogoś — ale tamtych to już nie zbawi! Absolutnie nie! Byłoby krzywdzącym mieć taki wizerunek Pana Boga, w którym byśmy przypisywali Panu Bogu to, że kocha jedne swoje dzieci lepiej, a drugie kocha mniej. Albo, że są wśród ludzi tacy, których z góry chce skazać na potępienie. Otóż urągało by to wizerunkowi Pana Boga i obrazowi Pana Boga gdybyśmy sądzili, że zbawienie jest związane z jednymi, a z góry wyklucza innych.

Jeżeli zbawienie Pana Boga ma sens, a przecież ma, to ono dotyczy wszystkich ludzi. Ten uniwersalizm zbawczy jest już podkreślany na kartach Starego Testamentu, zwłaszcza w Księdze proroka Izajasza, a później wiele razy na kartach Nowego Testamentu. „Idźcie i czyńcie uczniami wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego”. Musimy więc czynić uczniami wszystkich, ale nie wszystkim udzielimy chrztu. Wszyscy jednak są dziećmi Bożymi, i do wszystkich Chrystus chrześcijan posyła. Papież mówi dalej tak:

> *Samo imię Jezus,* Jeshua, „Bóg, który zbawia”, mówi o tym zbawieniu.

Rzeczywiście imię Jezus pochodzi od „Jehoshua” — „Jahwe shua”, „Jahwe zbawia”, „Bóg zbawia”. Samo imię Jezus niesie ze sobą, jako imię teoforyczne, czyli imię zawierające pierwiastek

imienia Bożego, obietnicę i zapowiedź zbawienia. Otóż Jezus, który jest Zbawicielem par excellance, ma ten wymiar zbawienia, ten dynamizm zbawienia wpisany w samo imię, które od początku nosił.

> Imię to nosili w dziejach różni Izraelici, ale można powiedzieć, że imię to czekało na Tego jedynie syna Izraela, który miał potwierdzić jego prawdę: „Czyż nie Ja jestem Pan, a nie ma innego Boga prócz Mnie? Bóg sprawiedliwy i zbawiający nie istnieje poza Mną” (Iz 45,21).

Tylko Bóg może zbawić człowieka. Ale dobrze wiemy, od czasów wcielenia Syna Bożego, że Bóg jest nie tylko jeden, ale jest w trzech Osobach. Dobrze wiemy o tym bogactwie życia Bożego, dzięki któremu istnieje Ojciec, i Syn, i Duch Święty. Mówimy o tej prawdzie Trójcy Świętej w naszym ludzkim języku, bo innego języka mieć nie możemy. Ale tego jesteśmy pewni, że Bóg jest Miłością. Bo On, jeden jedyny i najwyższy łączy w sobie, zespala w sobie, w jednej Boskiej naturze te trzy Osoby. I wolą trójjedynego Boga jest zbawienie ludzi, których powołał do życia ze Sobą. W średniowieczu powstał kiedyś spór między franciszkanami a dominikanami. Jak państwo wiedzą, wiara zawsze potrzebuje teologii. Można wierzyć bez teologii. Bez teologii wierzą na przykład dzieci, zwłaszcza małe, wierzą osoby starsze, osoby prostsze. Są to osoby, których przemyślenia specjalnie nie interesują. I polegają one na tradycji, na przywiązaniu, na przyzwyczajeniach itd. Ale tam, gdzie jest to możliwe, trzeba przechodzić od wiary do teologii. A teologia jest próbą zrozumienia wiary i przeżywania tej wiary w sposób racjonalny, a więc rozumowy.

I kiedy w średniowieczu przechodzono od wiary do teologii, to franciszkanie z dominikanami, dwa wielkie i wspaniałe zakony, pokłócili się wręcz między sobą. A przedmiotem ich sporu było to, dlaczego Pan Bóg stworzył świat i dlaczego Jezus Chrystus, Syn Boży, stał się człowiekiem. Dominikanie mówili, że Pan Bóg stworzył świat z miłości, przeznaczył go do życia ze Sobą. A dawszy wolność przewidział co prawda upadek ludzi, ale gdyby nie upadek, to Syn Boży nie stał by się człowiekiem. Zatem dlatego, że ludzie upadli, to Bóg stał się człowiekiem aby nas wyzwolić, aby nas wybawić. Zatem można by powiedzieć, że ceną za upadek stało się zejście Boga do nas, i stało się wcielenie. A franciszkanie mówili: nie, jest zupełnie inaczej. Otóż Bóg stałby się człowiekiem nawet wtedy, gdyby człowiek nie zgrzeszył. Dlatego, że Pan Bóg stworzył ludzi i powołał nas do życia ze Sobą. I od początku zamierzył wcielenie, czyli to, że Syn Boży stanie się człowiekiem. Nawet gdyby człowiek nie zgrzeszył, to mielibyśmy jako brata Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. Oczywiście na to pytanie po dzień dzisiejszy nie ma odpowiedzi. Pytanie jest interesujące. Kto z państwa chce, może pójść szkołą teologii dominikanów, kto inny teologii franciszkanów, w zależności od usposobienia, ale samo postawienie tego pytania daje wiele do myślenia. Mianowicie daje nam poznać, że Bóg stworzył ludzi dla Siebie, przeznaczył ludzi dla Siebie. A kiedy ludzie upadli — na to zgadzają się i franciszkanie, i dominikanie, i wszyscy inni — Bóg nie pozostawił człowieka sobie, ale przeznaczył nas do życia ze Sobą, dając nam Swojego Syna jako ofiarę za grzechy. Na ten moment wskazywaliśmy półtora miesiąca temu. Papież mówi dalej tak:

> Zbawić, to znaczy *wyzwolić od zła radykalnego.* Takim złem jest nie tylko stopniowe wyniszczanie się człowieka z upływem czasu i jego końcowe unicestwienie przez śmierć.

Rzeczywiście, czas jest naszym przyjacielem — ponieważ w czasie możemy wykonywać różne rzeczy, możemy coś sporządzić, przygotować, powstają wielkie owoce ducha, i powstają wielkie wytwory pracy naszych rąk. Ale czas jest również naszym wrogiem. Dobrze o tym wiemy. Dobrze wiemy, że z każdym dniem, tygodniem, miesiącem, rokiem zmieniamy się nieuchronnie i nieustannie. Zwłaszcza wiemy o tym wtedy, kiedy widzimy kogoś po długim okresie, zwłaszcza po kilku latach. Dobrze wiemy, że czas tak jak gdyby nas trawił, jak gdyby nas pożerał. I że jest to tak nieuchronna sprawa, jednocześnie tak definitywna i tak głęboka, że gdyby człowiek nad tym się zastanawiał i nie widział jakiegoś sensu, to być może nawet by stracił zmysły. W końcu czas prowadzi nas do swoistego unicestwiania, bo człowiek czuje, że coś w nim się nie tylko zmienia, ale obumiera, że zmienia się nieuchronnie.

> Takim złem, jeszcze bardziej radykalnym, jest odrzucenie człowieka przez Boga, czyli *potępienie wieczne* jako konsekwencja odrzucenia Boga ze strony człowieka.

To zdanie stanowi klucz do dzisiejszych naszych rozważań. Niech państwo zwrócą uwagę na swoistą dialektykę. Jej dwa bieguny są takie. Ojciec Święty mówi: „Najgorsze, co może człowieka spotkać, to nie jest nieuchronność czasu, nie jest wyniszczanie przez czas, ani nawet nie jest śmierć jako taka. Najgorsze, co może człowieka spotkać, to jest odrzucenie człowieka przez Boga. Ale" — dodaje papież, i tu przenosimy się na drugi biegun — „czyli *potępienie wieczne* jako konsekwencja odrzucenia Boga ze strony człowieka." Okazuje się więc, że Ojciec Święty uczy nas, iż Bóg odrzuca człowieka, *odrzuca* pisze w cudzysłowie, wtedy, kiedy człowiek odrzuca Boga. I tylko wtedy! Otóż są wśród nas osoby, które bardzo boją się potępienia wiecznego. To widać na rozmaitych dziedzinach duszpasterstwa, i na rozmaite sposoby. Są osoby szczególnie wrażliwe, które boją się potępienia przez Boga. Papież przypomina prawdę, która od początku jest wielką prawdą, wielkim wyznaniem wiary Kościoła, mianowicie że **Bóg nie odrzuci człowieka, jeżeli wpierw człowiek nie odrzuci Boga.**

Przekładając to na inny język — otóż piekło, o którym tak wiele mówimy w tradycji, istnieje dla człowieka wtedy, kiedy się je świadomie wybiera, kiedy człowiek odrzuci Boga. Bóg jest Miłością. I Bóg czyni wszystko, żeby człowieka na rozmaite sposoby pozyskać i mieć dla siebie. Ale, zaraz przejdziemy do tej kwestii, jeżeli są ludzie, którzy odrzucają Boga, to oczywiście ktoś, kto odrzuca, kto wzgardzi miłością, kto jej nie chce, stawia się poza jej nawiasem. Stawia się jakby poza nią, i poza możliwością oddziaływania tej miłości, w tym przypadku Boga, który jest Miłością.

Jeżeli tak, to jest to jedna z najważniejszych prawd naszej wiary. Bo ona powinna przynieść człowiekowi pewien spokój, pewną błogość, pewność zbawienia. Nie jest żadnym nadużyciem przekonanie, że Bóg nas zbawia i powołuje do życia ze Sobą. Powtarzam państwu od bardzo długiego czasu, że są w życiu dwie zasadnicze drogi, którymi kroczymy. I jedna, i druga prowadzą do Boga. Jedna jest to *droga niewinności*. Zazwyczaj mówi się, że prowadzi ona do Pana Boga, bo jest ona droga świętości par excellence, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ale jest też inna droga prowadząca do Boga — *droga nawrócenia*. I to też jest droga świętości. Jak niegdyś św. Piotr, jak św. Paweł, jak Ignacy Loyola, jak tylu świętych, którzy doczekali się kanonizacji i beatyfikacji, i jak miliony i miliardy innych świętych, którzy szli do Pana Boga drogą nawrócenia. Bóg nikogo nie odrzuci, jeżeli człowiek nie odrzuci definitywnie Pana Boga. Zatem żadne nasze słowo zaufania wobec Boga nie będzie bezowocne. Nie jest tak, że ktoś prosi Pana Boga o zbawienie: „Zbaw nas ode złego, przyjmij mnie do Siebie, daj mi życie wieczne" a Bóg mu odpowie: „O nie!" Bóg nie jest taki, jak człowiek. Wśród ludzi zdarza się, że przebaczyliśmy komuś siedem razy, siedemdziesiąt siedem razy, a potem mówimy: „Nie, dość, stop, nie chcę mieć z tobą do czynienia".

Bóg nie jest taki, nigdy taki nie był, i nigdy taki nie będzie. To powinno przynieść człowiekowi wielką radość. Ile razy mam przebaczyć swojemu bratu, czy aż siedem razy? Nie aż siedem, ale aż siedemdziesiąt siedem razy — mówił Jezus, czyli zawsze. To daleko bardziej Pan Bóg nam zawsze przebacza, jeżeli jesteśmy na tej drodze nawrócenia. I daleko bardziej na nas spokojnie czeka, gdy my spokojnie do Niego idziemy drogą niewinności. Otóż każdy wierzący powinien mieć w sobie wewnętrzną pewność, płynącą z głębokiej niezłomnej nadziei, że naszym przeznaczeniem jest Pan Bóg, który pragnie naszego zbawienia, i który czyni wszystko, aby to zbawienie się urzeczywistniło. Nikt z nas zatem nie może się bać, zwłaszcza w momencie tych radykalnych wyborów związanych z cierpieniem, ze śmiercią. Nie może się bać, że oto chce Pana Boga, pragnie Pana Boga, chce się z Nim złączyć, chce być Jego dzieckiem, ale Bóg go odrzuci czy postanowi inaczej. Nic z tych rzeczy! Ojciec Święty mocno podkreśla, raz jeszcze to przeczytam:

> Takim złem, jeszcze bardziej radykalnym, jest odrzucenie człowieka przez Boga, czyli *potępienie wieczne* jako konsekwencja odrzucenia Boga ze strony człowieka.

Zatem to drugie jest logicznie i chronologicznie pierwsze. Można to odwrócić i powiedzieć: „Jeżeli człowiek odrzuca Boga, stawia się poza nawiasem tej Bożej miłości, której mógłby i powinien doświadczyć. I którą Pan Bóg go obejmuje, ale człowiek tej miłości nie chce." I dalej:

> Potępienie jest przeciwstawne zbawieniu. Jedno i drugie łączy się z przeznaczeniem człowieka do życia wiecznego. Jedno i drugie zakłada, że istota ludzka jest nieśmiertelna. Śmierć doczesna nie może zniszczyć przeznaczenia człowieka do życia wiecznego.

A więc to życie, które Pan Bóg nam dał, to jest przedziwna tajemnica, że to życie prowadzi nas, wiedzie do życia innego, życia wiecznego, którego natury nie znamy. Człowiek zawsze, w każdym pokoleniu, stara się na rozmaite sposoby oswoić życie i oswoić śmierć. Już w starożytności szukano rozmaitych eliksirów młodości. Szukano rozmaitych wywarów i sposobów najrozmaitszych, od farmakologicznych poprzez psychoterapeutyczne, przedłużania człowiekowi zdrowia, młodości, życia. Wszystko w życiu ludzkim się zmieniło od starożytności. Jego uwarunkowania, jego możliwości, aspiracje, możliwości techniczne i technologiczne. Jedno nie zmieniło się wcale — mianowicie samo życie i jego uwarunkowania. Dwa i pół tysiąca lat temu psalmista ułożył psalm, że miarą lat ludzkich jest lat siedemdziesiąt, jeżeli jesteśmy mocni to osiemdziesiąt. A reszta — to już dodatek. Od tamtej pory nie zmieniło się nic. Nadal miarą jest lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, a reszta to dar.

Pod tym względem zmiany nie ma. W naszej rzeczywistości, w naszych czasach funkcję starożytnych różnych sposobów usiłuje przejąć inżynieria genetyczna. Zaczęto od owcy. I parę lat temu jakiż to był sukces, kiedy wreszcie dokonano sklonowania owcy. Wyobrażano sobie, że ta owca jakby na nowo się narodziła. Wyobrażano sobie, że to jest jak gdyby ona rozpoczęła na nowo swoje życie. A więc że jest to jakiś rodzaj nieśmiertelności, bo we wszystkim ma być taka sama, jak ta jej „siostra”. Bardzo szybko okazało się, że nie. Bo chociaż urodziła się wczoraj, to jednak ma tak samo pięć lat jak tamta, z której dokonano sklonowania. A więc Pan Bóg, natura, genetyka nie daje się oszukać. Ostatnio okazało się również, że jest chora, podobnie jak i tamta była chora. Jeżeli więc człowiek myśli — jest to znak i ostrzeżenie — że kogoś wielkiego współczesnego czy urodziwego da się sklonować, i tamta się zestarzeje a będziemy mieli drugą czy drugiego, to nic takiego nie jest możliwe. Natura, okazuje się, ma w sobie zakodowane życie, którego barier, którego możliwości człowiek nie przeniknie. Nie zrobił tego do tej pory. I można z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że nie przeniknie tego nigdy. Jedyne, co może zrobić, to sprowadzić na siebie i na świat nieszczęście poprzez takie eksperymenty, które są zupełnie nieodpowiedzialne.

Zatem człowiek musi być przygotowany do tej perspektywy przejścia. I papież tłumaczy, że ta perspektywa przejścia to jest perspektywa życia z Bogiem, jak nazywamy to — życia wiecznego. A co jest tym życiem wiecznym — pyta papież. Jest nim szczęśliwość, która pochodzi ze zjednoczenia z Bogiem. Zatem naszym przeznaczeniem jest zjednoczenie z Bogiem.

Powiedzieć, że naszym przeznaczeniem jest zjednoczenie z Bogiem, to jest tak, jak gdyby próbować opisać bezmiar morza, głębię oceanu, albo piękno kwiatu, czy cokolwiek, co jest właściwie nie do opisania. Otóż *zjednoczenie z Bogiem,* gdybyśmy chcieli to oddać jakimś innym językiem, może bliższym nas ludzi, *to jest spełniona miłość.* Miłość bowiem, wiemy o tym dobrze, ma to do siebie, że wtedy jest szczęśliwa, gdy doczeka się wzajemności. Wtedy dopiero staje się źródłem niezwykłego szczęścia. Otóż kiedy Pan Bóg doczeka się wzajemności ze strony człowieka, i człowiek Mu odpowie, następuje to zjednoczenie z Bogiem.

My, w naszym ziemskim życiu, nie możemy dojść do takiej kondycji zjednoczenia z Bogiem. Dochodzą do tego tylko ludzie naprawdę święci, nieliczni, można by powiedzieć — mistycy. Ale i doświadczenie mistyków umyka naszym możliwościom poznania, recepcji, opisywania, przedstawiania. Dlatego, że ktoś, kto jest mistykiem, żyje wprawdzie w ciele, ale duchem, duszą, wnętrzem jest już w świecie, którego my nie rozumiemy i zrozumieć nie możemy. Jest w człowieku jakiś przedziwny pierwiastek duchowy, jakaś tajemnica, jakiś głód i tęsknota, którą bez przerwy na rozmaite sposoby w sobie odkrywamy, i która znajdzie swoje spełnienie wtedy, kiedy zjednoczy się z Bogiem. „Niespokojne jest serce człowieka” mówił św. Augustyn, a przeżył w swoim życiu sporo, bo przecież nie od początku był świętym, najpierw popadł w młodzieńcze tarapaty, potem odstąpił od wiary, później miał masę innych przygód, ale gdy się już nawrócił, to powiedział „Niespokojne jest serce ludzkie, dopóki nie spocznie w Tobie, Boże”. I to zbawienie to jest zjednoczenie z Bogiem, którego kształtu nie znamy, a które możemy tylko porównać do spełnionego, odwzajemnionego zakochania się. Jeżeli są wśród państwa osoby, które ten stan znają, to być może lepiej możemy wyobrazić sobie na nasz ludzki sposób niebo.

Można zatem powiedzieć, że przeżywanie nieba to jest ten ustawiczny stan spełnionej, spokojnej szczęśliwości. Że oto człowiek osiągnął wszystko, czego pragnął. Że oto człowiek nie jest sam. Bo skoro największym wrogiem człowieka jest samotność, to ta spełniona miłość z Bogiem sprawia, że cała wieczność będzie taka. Ojciec Święty tłumaczy dalej, co to znaczy. Tłumaczy, że takie życie wieczne stanowi pełnię życia. Że do tego Pan Bóg nas przeznaczył. Ja opuszczam cały ten fragment,

nie mamy czasu, żeby się nim zająć. Natomiast zostaje tutaj jeszcze jedno pytanie, niesłychanie istotne, bardzo interesujące i bardzo ważne. Papież mówi tak:

> Według św. Mateusza zmartwychwstanie ma poprzedzić *sąd* według uczynków miłości lub ich zaniedbania.

Zatem człowiek umiera, człowiek dostępuje sądu. Kryterium są uczynki miłości, bądź ich zaniedbanie. „Byłem głodny, a daliście Mi jeść. Byłem spragniony, a daliście Mi pić. Byłem głodny, a nie daliście Mi jeść, nie daliście Mi pić, nie przyszliście do Mnie” — a więc to jest miarą sądu. Potem odbywa się to definitywne rozstrzygnięcie o naszej wieczności. Wynikiem sądu sprawiedliwi zostają przeznaczeni do życia wiecznego. Istnieje także przeznaczenie na mękę wieczną. A męka ta to nic innego, jak definitywne odrzucenie od Boga, definitywne zerwanie komunii z Ojcem, i Synem, i Duchem Świętym. I papież konkluduje:

> *To nie tyle Bóg odrzuca człowieka, ile człowiek odrzuca Boga.*

Otóż przez całe swoje życie przygotowujemy się do tego definitywnego wyboru, który nastąpi wraz ze śmiercią. Jeżeli teraz przyjmujemy Boga, liczymy na Pana Boga, potrzebujemy Go, prosimy Go, modlimy się do Niego, to tak już zostanie. Natomiast jeżeli teraz dla człowieka sprawy Boże nie są ważne, może się okazać, że nie będą ważne również wtedy, kiedy doświadczy Bożej obecności. Co prawda Bóg i Jego miłość są niesłychanie atrakcyjne, i może kiedy człowiek doświadczy Pana Boga, może jego wybór będzie inny niż teraz. Ale tylko „może”.

Otóż pewni możemy być tego, że w naszym późniejszym wyborze przedłużą się wszystkie nasze dobre wybory. Ale jeżeli chodzi o złe wybory, o odrzucenie Boga, może też istnieje możliwość odrzucenia Boga w wieczności. Może są ludzie tak źli, tak zepsuci, że odrzucają nie tylko teraz Pana Boga, kiedy Go poznają w sposób bardzo zawoalowany, ale może również, kiedy człowiek zobaczy Boga twarzą w twarz, może odrzuci Go. Ktoś z państwa powie: to jest chyba niemożliwe. Oby było niemożliwe!

Ale czy w naszym ludzkim życiu nie zdarza się i tak, że miłość bywa podeptana? Że wielka miłość bywa wzgardzona? Czy nie znamy niewdzięczności dzieci wobec rodziców? Czy nie znamy niewdzięczności w małżeństwie? Czy nie znamy rozmaitych innych niewdzięczności? Tam, gdzie powinna być przecież miłość, gdzie ona kwitła a nawet krzepła, a potem coś w jakimś człowieku pęka? Czy nie jest tak, że w niektórych przypadkach — na szczęście są to rzadkie rzeczy — dobroć, miłość i wszystko to, co szlachetne, wywołuje furię i rozgniewanie ze strony złych? Czy nie bywa tak, że dobroć bywa nie tylko wyśmiewana, ale wręcz zwalczana, nie tylko wykpiona, ale wystawiona na bardzo ciężką próbę? Jeżeli coś takiego możliwe jest w życiu, tym doczesnym, to może i w wieczności jest zupełnie podobnie? Że są jednak ludzie, którzy doznawszy, a w każdym razie poznawszy Bożą miłość, mówią Bogu „Nie!”? I jeżeli tak powiedzą, to sami skazują się na życie bez Boga.

Oczywiście nie możemy sobie piekła wyobrażać tak, jak wyobrażali je sobie zwłaszcza średniowieczni i późniejsi malarze. Tutaj wyobraźnia artystów była niesłychanie rozbudowana. Ogień, i kotły, i smoła, i widły, i diabły, i wszystkie najbardziej ponure i najciemniejsze rzeczy — pewnie nie tak. Ale co to znaczy życie w wieczności bez Boga? Tu musimy zatrzymać się na progu tajemnicy. Na progu tajemnicy, której być może lepiej nie zgłębiać. Bo o ile dobrze jest zgłębiać tajemnicę miłości, o tyle lepiej jest nie zgłębiać tajemnicy nienawiści, czy najbardziej ponurego czy najczarniejszego zła. Bo to byłoby tak, jak zgłębiać naturę absolutnych ciemności, znając światło i wiedząc, że może być inaczej.

Bierzemy więc pod uwagę istnienie takiej możliwości, że człowiek odrzuca Pana Boga, i wskutek tego sam stawia się poza nawiasem Bożego miłosierdzia. Ale zadajemy sobie pytanie, czy to jest możliwe. Czy są tacy ludzie? Proszę zwrócić uwagę, że w swojej prawie dwu tysiącletniej historii Kościół dokonał beatyfikacji i kanonizacji tysięcy świętych. Natomiast nigdy o nikim Kościół nie stwierdził, nie powiedział, nie zawyrokował, że ktoś jest w piekle — chociaż w historii świata było wielu morderców i ludzi prawdziwie złych, których imiona aż nadto dobrze znamy, i w dawniejszej historii, i w obecnej historii, takich, którzy mają na swoim sumieniu tysiące i miliony istnień ludzkich. O nikim Kościół nie powiedział, że ten człowiek jest na pewno w piekle.

Może więc — bywa i takie rozumowanie — może więc ten stan nazywany piekłem istnieje, ale może nie ma takich ludzi, którzy doświadczywszy Pana Boga twarzą w twarz mówią Mu „Nie”? Tego przeniknąć nie możemy, tego nie wiemy. Wiemy, że Bóg zbawia ludzi, i powołuje ich do życia ze Sobą. Ale czy ktoś decyduje się na potępienie? I przez to samo czy ktoś jest odrzucony od Boga? Tego nie wiemy. Wiemy, że taka możliwość istnieje. Ale czy ktoś, mówiąc trochę perwersyjnie, z tej możliwości korzysta? Tajemnica dobra jest zawsze godna zgłębiania, podejmowania i naśladowania. Tajemnica zła zawsze stawia nas wobec jakiejś granicy, której lepiej nie podejmować, i którą lepiej się nie zajmować. Również ta tajemnica odrzucenia Pana Boga przez człowieka to jest taki próg, przed którym człowiek powinien się zatrzymać, licząc na Bożą miłość i miłosierdzie. Przypomnę więc jeszcze raz — to nie tyle Bóg odrzuca człowieka, ile człowiek odrzuca Boga. I papież — na zakończenie naszej konferencji — mówi słowa, które potwierdzają tę intuicję, którą państwu tutaj przedstawiłem. Ojciec Święty powiedział tak:

> Potępienie wieczne jest z pewnością zapowiedziane w Ewangelii. O ile jest ono jednak realizowane w życiu pozagrobowym? To ostatecznie wielka tajemnica. Nie da się jednak zapomnieć, że Bóg „pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy” (1 Tm 2,4)

Więc Ojciec Święty mówi: „W Ewangelii, w Piśmie Świętym jest wiele zapowiedzi potępienia wiecznego. Ale czy ktoś doprowadza siebie aż do tego stanu, by potępić się na wieki przed Bogiem?” Papież mówi: „To ostatecznie wielka tajemnica.” Tego nie wiemy. I przypomina, że ostatecznym celem Boga jest zbawienie każdego człowieka.

Tak więc Ojciec Święty staje się wielkim głosicielem prawdy o zbawieniu. I myślę, że na progu roku 2002, jeżeli przypomnieliśmy sobie tą wielką soteriologiczną, czyli zbawczą, prawdę, to jest bardzo dużo. Bóg pragnie, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy. Jeżeli tak, to pragnie tego również w odniesieniu do każdego z nas. Nasz modlitwa wobec Niego może być bardziej ufna, niż kiedykolwiek do tej pory. Możemy być spokojniejsi, niż kiedykolwiek przedtem. Pan Bóg pragnie zbawienia każdego z nas. „Nikt, kto zaufał Panu Bogu, nie będzie zawiedziony” mówił psalmista, i to samo podejmuje Nowy Testament. I każdy z nas może być pewny, że skoro pragnie zbawienia i pragnie Boga, to stanie się jego uczestnikiem. Jeżeli tak, to można by powiedzieć, że życie i jego przykrości a nawet śmierć, tracą swoją ostrą wymowę, i stają się tylko drogą do zjednoczenia z Panem Bogiem. Ta perspektywa jest wzniosła, ale wierząc w Jezusa Chrystusa przyjmujemy ją i z nadzieją jej wyczekujemy.

Dziś dziękuję państwu bardzo serdecznie. Zapraszam za cztery tygodnie, w drugi poniedziałek lutego.

Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus . . .

4.5 Problem gwałtu i przemocy w świetle Pisma Świętego (dn. 11 lutego 2002)

...Zatem przyjście dzisiaj tym większym jest bohaterstwem. Cieszę się bardzo, że państwo są. I kolejne nasze spotkanie, kolejna konferencja, która nie tylko z tytułu będzie bardziej biblijna, Chciałbym bowiem dzisiaj trochę wyjątkowo, kierując się dwoma okolicznościami, odstąpić nieco od czytania „Przekroczyć próg nadziei" Jana Pawła II i komentowania tej książki, a zamiast tego spróbować odpowiedzieć na problem, który został postawiony przez kilka osób, który również pojawił się w listach, mianowicie *problem gwałtu i przemocy w świetle Pisma Świętego*. Temat ten był już poruszany parę lat temu, przy omawianiu Księgi Rodzaju. Ale nie od rzeczy będzie, żeby się tą problematyką zająć tym bardziej, jeżeli zwrócimy uwagę na współczesny kontekst, w którym się znajdujemy.

Wyjdźmy więc od tego kontekstu który, jak mi się wydaje, jest niezbyt różowy. I dlatego tym więcej człowiek wierzący w Boga, chrześcijanin, zwłaszcza ten, który stara się nie tylko zrozumieć ale i pogłębić swoją wiarę, to tym więcej każdy chrześcijanin, a więc i każdy z nas powinien się nad tymi okolicznościami zastanowić, bo one również mają związek z naszą wiarą, i mają związek z naszym doświadczeniem religijnym, które tutaj teologicznie staramy się pogłębić. Nie ulega wątpliwości — i myślę, że to jest również przyczyna tych pytań, kierowanych pod naszym adresem — że w ostatnich miesiącach w świecie zmieniło się coś, że zmieniło się także sporo w naszej ojczyźnie.

Także stan duchowy, a po części i psychiczny wielu ludzi jest inny niż pół roku temu, czy wcześniej. Na pewno po zamachach terrorystycznych w dn. 11 września świat jest inny, niż był przedtem. I w związku z tym te pytania, które sobie stawiamy, także pytania, które kierujemy pod adresem Boga i siebie samych, te pytania i problemy są dzisiaj inne, niż przedtem, chyba bardziej natarczywe. Sądzę, że odczuwa się jakiś rodzaj napięcia, któremu każdy z nas się poddaje. I nie jest to tylko sprawa pory roku, nie jest to tylko sprawa naszych emocji związanych z taką czy inną pogodą, tylko jest to sprawa pewnego kryzysu, którego jesteśmy świadkami. I zapewne trzeba będzie sobie z nim w sposób dojrzały z chrześcijańskiej perspektywy poradzić.

Otóż musimy cofnąć się nieco, i musimy sobie uzmysłowić, że po wielkich osiągnięciach technicznych i technologicznych XIX wieku wydawało się, że wiek XX będzie wiekiem tylko i wyłącznie niebywałych sukcesów. Kiedy kończył się wiek XIX, w którym dokonano wielu odkryć i wynalazków, w którym człowiek posunął się bardzo do przodu — było to nie tylko wynalezienie elektryczności, ale także wtedy wynalezienie komunikacji, która później miała być lotniczą, telefonu, telegrafu. Wydawało się, że człowiek może wszystko. I wydawało się, że im człowiek jest sprawniejszy od strony technicznej i technologicznej, te osi osiągnięcia spowodują, że będzie mu lżej żyć, i z całą pewnością świat lepszy będzie. Wiek XX te rachuby całkowicie przekreślił.

Wiemy dobrze, że wiek XX był naznaczony wieloma tragediami. Już nie chcemy ich przypominać, na ogół są to sprawy bardzo dobrze znane. Kiedy zakończyła się II wojna światowa, znów ludzie nabrali pełniejszego oddechu. U nas co prawda lata 50-te były bardzo trudne, bo Polska nie do końca wygrała wojnę. Natomiast lata 60-te i 70-te przyniosły znaczniejsze ożywienie. I do dzisiaj mamy tego ślady w rozmaitej twórczości, także artystycznej, w piosenkach, w rozmaitych zespołach, które pamiętamy z tamtego okresu. Tamte lata są okresem wejścia do powszechnego użycia telewizji. I wraz z telewizją został przetworzony świat. I to tak znacznie, że ani żeśmy się obejrzeli kiedy to jedno pokolenie ludzi weszło w dorosłe życie w jednym świecie, natomiast przeżywa te życie w świecie zupełnie innym.

Mianowicie świecie, gdzie władzę niepodzielnie sprawuje telewizja, komputer, wysoka technologia, szybkie komunikacje, również szybka informacja, z którą świat nie może sobie dać rady. I to wszystko ma bardzo duży wpływ na nasze życie, i jak zauważono to pod koniec lat 80-tych, cały świat stał się jedną globalną wioską, jak został nazwany. Pojawiły się międzynarodowe i międzykontynentalne sieci telewizyjne. W tym samym czasie ludzie są karmieni tymi samymi obrazkami, i tymi samymi wiadomościami w różnych częściach świata.

Istniała nadzieja na to, zwłaszcza po roku 1989, że świat będzie lepszy wtedy, kiedy w Europie pękły pewne granice i podziały polityczne. Z tym wszystkim ma ogromny związek Ojciec Święty Jan Paweł II. Ale oto w latach 90-tych okazało się, że sytuacja nie jest tak prosta. Jeszcze dalszy postęp techniki, dalszy postęp technologii, a zarazem wyłoniła się pewna nowa jakość, o której

dzisiaj chciałbym powiedzieć, i którą dzisiaj chcielibyśmy nieco zrozumieć, również w świetle Pisma Świętego.

Ta nowa jakość, to jest sprawa bardzo zawoalowana, bardzo trudno o niej mówić. I znów trzeba odrobinę cofnąć się i powiedzieć, że w wieku XX toczona była bardzo silna walka z religią. W Rosji sowieckiej toczona była przez komunizm, gdzie religia była bardzo silnie prześladowana. Ukuto taką formułę, że „religia jest opium dla ludu”. religia jest jak narkotyk. Należy ten narkotyk ludowi zabrać, i uszczęśliwić go w nowy sposób. Oczywiście to uszczęśliwianie odbywało się w formie silnie zideologizowanej. Wskutek tego uszczęśliwiania miliony ludzi były bardzo źle traktowane, a nawet poniosły śmierć.

W tych dniach obchodzone są w Polsce rocznice — chyba od niedawna obchodzone, i od niedawna się o tym głośno mówi — rocznice deportacji, choćby Polaków na Wschód, w sumie deportowanych było dwa miliony Polaków, z których znaczna część nigdy tutaj nie wróciła. Próbowano budować świat bez Boga. Również z innej strony, ze strony nazizmu, czyli narodowego socjalizmu, też była próba zbudowania świata bez Boga. Wiemy, że jedna i druga próba pochłonęły miliony ludzkich istnień.

I oto w latach 80-tych i 90-tych, czyli już w naszym pokoleniu, toczy się rywalizacja skierowana przeciwko religii na nowy sposób, kiedy to jedną z prób przejęcia władzy nad człowiekiem jest próba skłócenia wielkich religii świata. Już nie tylko skłócenia ludzi w ramach jakiegoś wyznania chrześcijańskiego, jak np. skłócenie katolików i protestantów w Irlandii Północnej, jak skłócenie katolików i prawosławnych na terenie byłego Związku Sowieckiego. Ale jeszcze silniejsze globalne konflikty, kiedy to rywalizacji są poddawane całe wielkie wspólnoty — a w naszych czasach jest próba wzniecenia silnego konfliktu chrześcijańsko - islamskiego, chrześcijańsko - muzułmańskiego. Tak dochodzimy powoli do istoty rzeczy. Oto konflikty polityczne, czy rywalizacja o władzę i o wpływy, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie — jest to dzisiaj najbardziej newralgiczny punkt świata, bo jest tam ropa, bez której nie można będzie się obyć w dającej się przewidzieć przyszłości. Prowadzona jest zatem polityka globalna polegająca na tym, że oszczędzane są źródła ropy na terenie Stanów Zjednoczonych, na terenie innych kontynentów. Natomiast masowo eksploatowana jest ropa na Bliskim Wschodzie.

I tam, gdzie chodzi o ropę, nie ma żadnych sentymentów. Chodzi o przejęcie wpływów, ale ponieważ walka polityczna jest nazbyt widoczna i nie wszyscy chcieli by się bić o ropę, została m.in. przeniesiona na płaszczyznę religijną. I to, co się wydarzyło w Stanach Zjednoczonych, przedstawiane jest jako konflikt pomiędzy chrześcijanami i muzułmanami. Dzisiaj doszło do tego, zaledwie po kilku miesiącach takiej indoktrynacji, że kiedy zobaczymy na ulicy muzułmanina, zwłaszcza ubranego w tradycyjny strój — u nas bardzo rzadko, ale w innych miejscach Europy częściej — od razu podchodzimy do niego z nieufnością, i widzimy w nim jeszcze jednego terrorystę. Ale z kolei kiedy w krajach Afryki Północnej, muzułmańskich, zobaczą chrześcijanina, patrzą na niego dokładnie tak samo. A więc rywalizacja polityczna została przeobrażona w rywalizację na polu religijnym. Przedstawia się to, co wydarzyło się w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza zamachy na Światowe Centrum Handlu i na Pentagon w Waszyngtonie, jako dzieło sprawców, którzy byli muzułmanami, i jako zamach świata muzułmańskiego na świat chrześcijański. Zatem konsekwentnie trzeba by zorganizować jakąś chrześcijańską krucjatę przeciwko muzułmanom.

Jest tu przedziwny paradoks polegający na tym, że krucjaty ze średniowiecza są przez tych ludzi, którzy dzisiaj próbują wzniecić te konflikty, bardzo surowo potępiane. Samo słowo „krucjata” jest bardzo obciążone. Natomiast jeżeli chodzi o przeniesienie tej rzeczywistości w nasze czasy, odbywa się to bardzo chętnie, nawet można by powiedzieć: zbyt chętnie. Zostawiam na boku dociekania, które na świecie wciąż trwają, kto jest sprawcą tego terroryzmu w Stanach Zjednoczonych. Na pewno rzecz nie jest tak prosta, że jakiś człowiek gdzieś tam siedzący w jakimś miejscu na ziemi zorganizował to wszystko, zaraz go znajdziemy, ukarzemy i na tym koniec. Na pewno tak zorganizowana akcja terrorystyczna miała swoje głębokie korzenie, ma swoich głębokich prowodyrów i sprawców. I na pewno nigdy, ani nasze pokolenie, ani następne, nie dowiedzą się, kto dokonał tego haniebnego, okrutnego aktu terroru, wskutek którego zginęło wiele niewinnych ludzi. Na pewno sprawców nie poznamy. Bo przecież ci, którzy bezpośrednio uderzyli, którzy prowadzili samoloty, byli tylko narzędziami. Oczywiście można karać ślepe narzędzie — w tym przypadku też nie bardzo, bo oni nie żyją — natomiast ważniejszą rzeczą jest ukarać rękę, która to narzędzie prowadzi. A ukaranie

tej ręki nie jest sprawą łatwą, bo każdy dobrze pomyślany akt terroru właściwie pozostaje nigdy nie zbadany do końca.

Natomiast nie można dopuścić do tego, aby ludzie wierzący w Boga, chrześcijanie czy muzułmanie, byli obciążani za takie akty i dali się zantagonizować jedni przeciwko drugim. Zwróćmy uwagę że w tej całej grze jest pewien niuans — Żydzi są zupełnie z boku, tak jakby ich to w ogóle nie dotyczyło. O wyznawcach judaizmu na razie nie mamy żadnego, jeżeli tak można powiedzieć, jasnego ustosunkowania się ich, ani jasnej obecności w tym wszystkim. To też daje sporo do myślenia, bo to powoduje dalsze zantagonizowanie tylko chrześcijan i muzułmanów, co w dalszej perspektywie może mieć katastrofalne skutki dla jednych, i dla drugich.

W tym kontekście trzeba by postawić modlitwę Ojca Świętego w Asyżu, która niedawno miała miejsce, modlitwę na życzenie Ojca Świętego. I próbę zbratania wyznawców różnych religii w zadaniu wspólnego świadczenia o Panu Bogu i jednocześnie przeciwstawienia się tym niewierzącym, tym ateistom, którzy chcieli by upiec polityczną pieczeń kosztem religii i wyznawców Pana Boga. I tutaj dochodzimy do dwóch bardzo ważnych spraw. Po pierwsze, chrześcijanie — bo teraz pomówmy o sobie, zostawmy na boku inne religie — muszą być bardzo czujni na tym punkcie, żeby wyznawać swoją wiarę w sposób godny Pana Boga i w sposób, który daje Bogu wiarygodnie, dobre, przekonujące świadectwo. Jeden z problemów polega bowiem na tym, że ludzie mówią, że są świadkami Pana Boga, mówią o Nim, że chcą Go naśladować. Natomiast w gruncie rzeczy to naśladowanie można w wielu przypadkach nazwać przedrzeźnianiem Pana Boga. Otóż nie żyjemy tak, jak żyć powinniśmy. W związku z tym nasza religijność, nasza wiara, nie są przekonywujące i nie przynoszą tych owoców, które przynosić powinny.

Pod tym względem jeżeli mamy posunąć się do jakiejś samokrytyki, to widać doskonale mechanizmy tego przedrzeźniana Pana Boga w naszej Ojczyźnie. Zwróćmy uwagę na to, że niezależnie od tego, kto sprawuje władzę polityczną, to są te same afery, te same nadużycia, te same problemy. W gruncie rzeczy nie jest takie bardzo ważne, czy ktoś jest z lewej czy prawej strony. Bo okazuje się że pokusy, i uleganie tym pokusom, zwłaszcza finansowym, odbywa się i po jednej i po drugiej stronie bariery, i po jednej i po drugiej stronie sporów politycznych. To nam pokazuje, że człowiekowi wierzącemu w Boga, i deklarującemu się przy wartościach religijnych i chrześcijańskich, nie są oszczędzone żadne pokusy, które przeżywają inni ludzie. I oczywiście tutaj mamy pewnie sporo do zrobienia w tej dziedzinie.

Druga rzecz, chyba jeszcze ważniejsza, na tym polega, że za przemoc i gwałt, który dokonuje się w świecie, jest oskarżany Pan Bóg. Otóż ludzie mówią, i w tym kierunku idzie myślenie — i do niego chciałbym się dzisiaj odnieść: „Pana Boga nie ma, skoro takie rzeczy w świecie się dzieją. Skoro można bezkarnie robić tak wielkie rzeczy, to gdzie jest Bóg, który by się ludźmi opiekował? Gdzie jest Jego wszechmoc, która by ludzi chroniła przed złem? Gdzie jest Jego miłość i miłosierdzie, które by współczuło cierpiącym?"

W ten sposób mnożą się tacy, także w kontekście ostatnich ataków terrorystycznych, którzy stają się oskarżycielami Pana Boga. Czyli problem z płaszczyzny polityki zostaje przeniesiony w sferę religii, a następnie zostaje przeniesiony w sferę tzw. *teodycei.* I ci, którzy widzą zło popełniane przez ludzi, oskarżają za nie Pana Boga. Bo mówią: „Albo Bóg nie jest wszechmocny, skoro do tego wszystkiego dochodzi, albo Bóg nie jest miłosierny, skoro tak złe rzeczy się dzieją. A jeżeli nie jest wszechmocny, to nie jest Bogiem. Jeżeli nie jest miłosierny, to też nie jest Bogiem." I takie rozmyślania pojawiają się i trafiają także do głów ludzi wierzących.

Zastanówmy się zatem dzisiaj krótko, ponieważ o tej sprawie bardzo często mówi Ojciec Święty. Jednak jego „Przekroczyć próg nadziei" zostało napisane już 8 lat temu, gdzie ten kontekst był mimo wszystko inny. Ojciec Święty zwraca tylko uwagę na to, że w świecie są wciąż siły, takie areopagi, które usiłują Pana Boga przedrzeźniać i pokazywać Go w fałszywym świetle. Więc spróbujmy na ten problem spojrzeć od strony Pisma Świętego. I spojrzeć od strony pewnego epizodu, który jest na samym początku Pisma Świętego, i który na pewno oświetla nam te problemy na tyle dobrze, że powinniśmy — nawet jeżeli nie zrozumiemy wszystkiego do końca — to mieć świadomość jednak, że nie wolno oskarżać Boga za grzechy, za zło, za nieprawości, których dopuszcza się człowiek.

Tak dochodzimy do słynnego opowiadania, znanego opowiadania, które kiedyś, dobre parę lat temu czytaliśmy i komentowaliśmy, a dzisiaj do niego właśnie w tym kontekście chciałbym wrócić, opowiadania o Kainie i Ablu. To powiadanie o dwóch braciach, z których jeden zabił drugiego, i to

wszystko działo się w obecności Bożej, doskonale pasuje do tych wyzwań, przed którymi stoimy na progu XXI wieku. Paradoks polega na tym, że wiek XXI zapowiada się tak, jak w niego weszliśmy, jako wiek mroczny, trudny, ciemny, gdzie przyszłość maluje się w barwach ciemniejszych niż kiedykolwiek dotąd.

Powiedział o tym Ojciec Święty Jan Paweł II 8 grudnia ub. r., a więc dwa miesiące temu, na Placu Hiszpańskim w Rzymie, gdzie przed figurą Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej — stąd ten związek z dzisiejszym świętem — zauważył, że na horyzoncie świata pojawiły się czarne chmury. Jeżeli papież powiedział coś takiego **po raz pierwszy w całym swoim pontyfikacie**, to na pewno Ojciec Święty wie, co mówi.

I stąd nasza refleksja nad obecnością Boga w świecie, w którym dochodzi do podziałów, do konfrontacji, do rywalizacji, do walki, a nawet do bratobójstwa, być może pozwoli nam również wnieść swój własny wkład do tego, żeby w tym świecie znaleźć swoje własne miejsce. Nie chodzi tutaj przy tym, jeszcze dodam, o jakąś wizję katastroficzną — pamiętajmy, że panem historii jest Pan Bóg, to On prowadzi ludzkość przez wszystkie wichry, On pozwala z nich wyjść zwycięsko, jednak bardzo wiele zależy od człowieka. I posłuchajmy właśnie, to proste opowiadanie odkrywa nam mechanizmy, które pozwalają lepiej tę trudną rzeczywistość zrozumieć. Czytamy tak:

> Abel był pasterzem trzód, a Kain uprawiał rolę.

Zwróćmy uwagę, że wracamy do prozaicznych starożytnych stosunków społecznych, które zresztą istnieją po dzień dzisiejszy. W świecie istnieje podział ról, związany z wiekiem, z płcią, wykształceniem, z zadaniami, których się podejmujemy sami, z tym, co nazywamy powołaniem. Upraszczając wszystko, Pismo Święte mówi, w świecie zawsze są ci, którzy uprawiają rolę, są ci, którzy pasą trzody, żyją obok siebie, żyją ze sobą, i każdy ma swoje miejsce w tym świecie. Normalnie biorąc nie powinno być konfliktów, nie powinno być rywalizacji, bo mogłoby starczyć miejsca dla wszystkich i dla każdego człowieka. Ale to opowiadanie jest usytuowane tuż po biblijnym opowiadaniu o upadku pierwszych ludzi. Grzech, którego dopuścili się pierwsi rodzice, spowodował zachwianie ich kontaktu z Bogiem, zachwianie ich kontaktów między sobą, spowodował utratę zaufania do siebie nawzajem, i wreszcie spowodował nieporządek w ich wnętrzu. I zło pojawia się wszędzie tam, i przemoc pojawia się tam, gdzie człowiek niszczy swoje więzi z Bogiem, gdzie człowiek niszczy to dobro, które jest w nim, i gdzie człowiek niszczy więzi z innymi ludźmi. Zatem siedlisko zła jest gdzieś w głębi naszego serca i sumienia. To, co dzieje się w świecie, ma swoje jakieś źródło, które trzeba odkrywać, i to źródło mieści się na ogół, najczęściej w człowieku. To z jednej ludzkiej decyzji może potem wychodzić pasmo zła i nieszczęść, które przynoszą katastrofalne skutki. Ale na początku tego opowiadania mamy klimat zupełnie spokojny.

> Gdy po niejakim czasie Kain składał dla Pana w ofierze płody roli, zaś Abel składał również pierwociny ze swej trzody i z ich tłuszczu, Pan wejrzał na Abla i na jego ofiarę; na Kaina zaś i na jego ofiarę nie chciał patrzeć.

Z tym fragmentem opowiadania wiążą się oskarżenia kierowane po dzień dzisiejszy pod adresem Boga. Można by je sprowadzić mniej więcej do takich stwierdzeń. Dlaczego jest tak, że jednym powodzi się dobrze, jedni są bogaci, jednym Pan Bóg zdaje się schlebiać i sprzyjać, natomiast innym — nie? Czyżby Pan Bóg w postępowaniu z człowiekiem kierował się kaprysami? Czy tutaj postępowanie Kaina i Abla, i zachowanie Pana Boga, to był wyłącznie kaprys Boży? Bo posłuchajmy: jeden i drugi składał ofiarę dla Boga. I Bóg przyjął ofiarę jednego, natomiast na drugiego i na jego ofiarę nie chciał patrzeć. Czyżby Pan Bóg był kapryśny? Jeżeli Pan Bóg jest kapryśny, to nie ma o czym mówić, to człowiek nie ma żadnych szans. Bo wtedy skąd możemy wiedzieć, czy Jego kaprys akurat mnie dotyczy, w dobrym tego słowa znaczeniu. Część wizerunków Pana Boga, część wizji, część obrazów jest sprowadzanych do takiego właśnie kaprysu, gdzie przedstawia się nie wizerunek Boga, nie Jego obraz, tylko Jego karykaturę. I tam, gdzie mamy do czynienia z karykaturą Pana Boga, niewiele da się zrobić.

Żeby zrozumieć świat i swoje miejsce w świecie, trzeba mieć prawidłowy wizerunek Pana Boga. Trzeba Go należycie rozumieć na tyle, na ile w ludzkim języku ludzki sposób i na ludzki sposób zrozumieć i pojąć Go możemy. Mnóstwo trudności religijnych bierze się stąd, że obraz Boga jest wypaczony, że myślenie o Bogu jest karykaturalne. Sprowadzając to znów do naszego poziomu i do naszych spraw nieraz jest tak, że człowiek jest bardzo wykształcony w swojej

dziedzinie, dokonuje jakichś zupełnie wielkich rzeczy, natomiast jego wiedza religijna, jego rozeznanie o Bogu jest na poziomie małego dziecka. I dysproporcja pomiędzy technicznymi możliwościami i pomiędzy wiedzą, jaką ma, a tą wiedzą o Panu Bogu, powoduje, że oczywiście odrzuca wiarę jako coś dziecinnego, naiwnego. I w ten sposób odrzuca Pana Boga. Ale on właściwie nie odrzuca Boga, bo on Boga nie znał, nie poznał takim ,jakim Pan Bóg jest. On odrzuca ten naiwny wizerunek Boga, na który przystać nie może, z którym pogodzić się nie może, i którego nie może przyjąć.

I dodajmy, że bardzo często może to być po prostu jego wina. Dlatego, że rozwój człowieka, pełny, integralny rozwój człowieka powinien brać pod uwagę wszystkie aspekty rzeczywistości. Zatem tak ważną sprawą jest to, aby pogłębiając swoją wiedzę o świecie, o człowieku, o tym wszystkim, co w świecie się dzieje, jednocześnie pogłębić swój wizerunek Pana Boga i nie doprowadzić do wielkiej dysproporcji pomiędzy wiedzą a wiarą. Jan Paweł II powiedział, że człowiek unosi się jak gdyby na dwóch skrzydłach, na skrzydłach wiedzy i wiary. Oddycha jak gdyby dwoma płucami: wiedzą i wiarą. Tam, gdzie zabraknie jednego z nich, to człowiek żyje jak gdyby połową swoich możliwości.

Wróćmy do tego obrazu. Otóż Kain był rolnikiem i składał Panu ofiary z roli. I Kain przynosi do Pana Boga to, co ma pod ręką. Bóg chce ofiary, trzeba Bogu oddać ofiarę. Wobec tego Kain zabiera to, co ma — „Chciałeś, to masz!" **Niestety jest sporo takich ludzi wierzących, którzy w stosunku do Boga zachowują się tak, jak Kain. Muszą coś zrobić, to robią.** Takie jest prawo, taki jest przepis, tak go nauczono, taka jest tradycja — w porządku, zrobię. Chciałeś — masz. Taka religijność „na odczep się". Ona niestety bywa dość popularna, zwłaszcza w świecie, gdzie wszystko jest nastawione na używanie, na korzystanie. I człowiek jest jakoś obowiązkowy po swojemu z tym, że ten obowiązek pojmuje po najmniejszej linii oporu. Tak właśnie czynił Kain. Wiedział, że ma złożyć Bogu ofiarę, przyniósł i złożył.

Abel też wiedział, że ma złożyć Bogu ofiarę. Ale składając tę ofiarę składał pierwociny ze swojej trzody, z ich tłuszczu. Tu jest właśnie różnica. Żeby złożyć pierwociny ze swojej trzody, trzeba te pierworodne zwierzęta znaleźć, trzeba je odszukać, trzeba je odróżnić. I z ich tłuszczu, a więc tego, co w przekonaniu starożytnych semickich nomadów było najważniejsze, Abel składa ofiarę. Składa z tego, co ma najcenniejsze, co ma najdroższe w swoim posiadaniu. Wie, że musi oddać Bogu chwałę, ale nie uznaje religijności „na odczep się", która była religijnością jego brata. Wybiera i daje Panu Bogu to, co ma najcenniejsze, nawet więcej, to, co go kosztuje.

Być może wyda się to państwu osobliwe, ale kiedy przez wieki tłumaczono to biblijne opowiadanie, zwracano uwagę na pewien fakt, który być może i my będziemy w stanie zrozumieć. Otóż nawet człowiek uprawiający rolę, człowiek, który ma związek ze światem roślinnym, jest w stanie do roślin w jakiś sposób się przywiązać. Proszę wziąć pod uwagę np. ogrodników, rolników, leśników z których ci, którzy są naprawdę najlepsi, potrafią z drzewami rozmawiać, potrafią czekać cierpliwie na owoce. Widać to we Włoszech czy we Francji np. w winnicach, gdzie jakość owoców w najlepszych winnicach bierze się z jakości troski człowieka, który chodzi wokół tej winnicy. U nas sady, last itd.

Daleko bardziej ten przedziwny proces psychiczny dotyczy człowieka i zwierząt. Zwłaszcza pasterze potrafią przywiązywać się do trzody, do tych sztuk, które są najlepsze, potrafią nazywać je po imieniu, rozpoznawać. Każdy, kto miał, czy ma w domu jakiekolwiek zwierzę, wie doskonale, jakie nieraz intymne więzi nawiązują się pomiędzy zwierzęciem i człowiekiem. Człowiek dzięki niemu staje się lepszy, a zwierzę, jakiekolwiek ono jest, jest w stanie bardzo wiele nas nauczyć. To jest ważne również do zrozumienia tego fragmentu.

Abel ofiarował Panu Bogu to, co miał najcenniejsze. Dlatego Bóg spojrzał na Abla i na jego ofiarę i ją przyjął; na Kaina zaś i na jego ofiarę nie chciał patrzeć. Abel ofiarował Bogu to, co miał najcenniejsze i jego ofiara odsłoniła tajniki jego serca. Natomiast Kain ofiarował Bogu to, co miał pod ręką i jego ofiara również odsłoniła tajniki jego serca. Na zewnątrz wszystko wyglądało w porządku. Natomiast to, co najważniejsze, działo się w sercu obydwu tych ludzi. To nam odsłania istotę kultu, sprawowanego także w Kościele. Na zewnątrz może wszystko wyglądać jak najlepiej. Wszyscy jesteśmy w Kościele, są nas setki czy tysiące, i wydaje się, że stoimy jeden obok drugiego. Ale pobudki, intencje, które nas ożywiają, to, co nami kieruje, kiedy tak stoimy obok siebie, zna tylko Pan Bóg. W związku z tym należy się spodziewać, że każdy z nas inaczej jest przez Niego postrzegany, i że nie każda nasza obecność jest Panu Bogu tak miła, jak obecność tego, który stoi obok. I Ewangelia wiele razy potwierdza, że tak jest w istocie, choćby w słynnej przypowieści o fary-

zeuszu i celniku. Na zewnątrz faryzeusz wydawał się dużo bardziej religijny, ale to co najważniejsze działo się we wnętrzu człowieka.

I w religijności właśnie wnętrze jest najważniejsze. Również w dzisiejszym świecie, jeżeli ma się dokonywać nieustannie jakaś odnowa religii i religijności, jeżeli mamy nie dopuścić do tego, żeby Pana Boga przedrzeźniać, to to, co najważniejsze, ma się dokonywać w naszych sumieniach. Raz jeszcze wracamy do nauczania Jana Pawła II, które znamy tutaj aż nadto dobrze, kiedy to od początku pontyfikatu papież wzywał, żebyśmy byli *ludźmi sumienia.* I to wezwanie do tego, żeby być człowiekiem sumienia było ponawiane także i w Polsce. Bo to właśnie według sumienia i tego, co jest w naszym wnętrzu, jesteśmy postrzegani przez Boga. W Starym Testamencie czytamy takie słowa: „Człowiek widzi to, co jest odkryte dla oczu. Bóg natomiast patrzy w serce”. Kiedy Kain i Abel składali swoją ofiarę, można było powiedzieć, że z zewnątrz wyglądało to równie dobrze. Ale Bóg patrzy w serce — przyjął ofiarę Abla, natomiast na Kaina i na jego ofiarę nie chciał patrzeć. Czyli już zwróćmy uwagę, że w sercu Kaina, we wnętrzu Kaina, dokonuje się jakieś zło. Nigdy nie możemy postrzegać wszystkich ludzi jako dobrych, chcących dobrze dlatego, że niestety od czasu, gdy pierwsi rodzice ulegli przemożnej sile zła, zło rzeczywiście jest w świecie. I mówić, że go nie ma, jest zwyczajną naiwnością. Myślę, że każda chwila, każdy dzień przynosi nam niestety ciemne, mroczne potwierdzenie prawdy o obecności zła. I dalej:

Smuciło to Kaina bardzo i chodził z ponurą twarzą.

Kaina smuciło to, że Bóg nie chciał patrzeć na niego i na jego ofiarę. Proszę zauważyć: **nie smuciło go to, że źle zachował się wobec Boga, i że jego intencje zostały odkryte. Tylko smuciło go to, że Pan Bóg nie zachował się tak, jak on chciał, żeby się zachował**. Otóż to jest problem w religii, w religijności, po dzień dzisiejszy. Bo zwróćmy uwagę, że Kain i Abel byli ludźmi religijnymi. Jest to problem ludzi wierzących. Po dzień dzisiejszy ludzie, jeżeli Pan Bóg się nie zachowa wobec nich tak, jak oni by chcieli, są z tego powodu zasmuceni, s tutaj jest słowo hebrajskie mocniejsze, bo ono brzmi po polsku coś w rodzaju: „wściekł się Kain”, albo „rozjuszył się Kain i chodził z ponurą twarzą”. A więc i dzisiaj jeżeli Pan Bóg nie zachowa się tak, jak powinien, to wywołuje to u ludzi złość na Boga. Bywa to taka religijność okazjonalna, albo taka religijność bardzo interesowna. Tak długo, dopóki w życiu układa się wszystko w porządku, no to jest miejsce dla Pana Boga. Natomiast kiedy się coś w życiu załamuje, to i Pan Bóg okazuje się niepotrzebny, bo nie postąpił tak, jak byśmy chcieli. **Gdyby Pan Bóg,** mówiliśmy o tym wielokrotnie i myślę, że dzisiaj też to trzeba przypomnieć, **odpowiadał zawsze na wszystkie nasze potrzeby, to nie byłby żadnym Bogiem, lecz byłby po prostu naszym narzędziem.** I wtedy jedni by Go prosili o to, drudzy o tamto, a pewnie największe wzmocnienie wiary w naszych warunkach przypadałoby zwłaszcza w środę, czyli w okolicy losowania Toto-Lotka. Gdyby Pan Bóg odpowiadał na wszystko to, co chcemy, to niestety przekreślał by swoją Boską Istotę.

Proszę zwrócić uwagę, że **jedna ze stron wyznawania Pana Boga na tym polega, że musimy z góry założyć, że nie wszystkie nasze prośby wysłucha i że musimy przyjąć w niektórych przypadkach życie i jego przebieg taki, jaki on jest. Nie możemy również wierzyć w Pana Boga tak, żeby Go sobie podporządkowywać. Bo wtedy taka wiara byłaby parodią religijności, byłaby zabobonem, magią.** I są w świecie religie czy też pseudoreligie, które mają sposoby wywierania nacisku na Boga. W religijności obiegowej, popularnej, ludowej, nieraz takie sposoby wywierania nacisku na Pana Boga są. I wiemy dobrze, że w każdej obyczajowości, także tej religijnej, są rozmaite formuły, za pomocą których staramy się Pana Boga jak gdyby zakląć i przymusić Go do takiej działalności, jak by nam odpowiadała.

Kain więc smucił się z tego, że Pan Bóg nie przyjął jego ofiary. Nie smucił się w tym znaczeniu, iżby podjął rachunek sumienia, tylko smucił się w tym znaczeniu, że fortel się nie udał.

Pan zapytał Kaina:

Zwróćmy uwagę, że inicjatywa należy do Pana Boga. Kiedyś podkreślaliśmy, że Boża obecność w życiu człowieka zaczyna się od pytania. Tak było z Adamem i Ewą, gdzie Bóg pytał Adam: «Adamie, gdzie jesteś?», tak jest z Kainem, kiedy to z inicjatywą wychodzi Pan Bóg. We wszystkich sytuacjach krytycznych w naszym życiu musimy wsłuchać się w głos sumienia. I tam zazwyczaj pojawia się jakaś wątpliwość, jakieś pytanie, na które człowiek powinien udzielić odpowiedzi. I tutaj też to pytanie kieruje Pan Bóg. Powiada do Kaina tak:

«Dlaczego jesteś smutny i dlaczego twoja twarz jest ponura?»

Otóż istnieje bardzo ścisły związek, o tym wiedziano w starożytności, między stanem duchowym a wyglądem fizycznym. Człowiek zmartwiony, z kłopotami, knujący podstęp czy zło wygląda inaczej niż człowiek spokojny, dobry, mający poczucie dobrze spełnionego obowiązku, czy człowiek dobrego sumienia. Niestety, a może na szczęście jest tak, że jakby zwierciadłem serca, czy zwierciadłem wnętrza, jest ludzka twarz, ludzkie oczy. Wiemy dobrze, że z twarzy każdego człowieka można bardzo dużo odgadnąć, można zobaczyć w jakim jest nastroju, co przeżywa. Ale także inaczej wyglądają twarze ludzi złych, zwłaszcza tych permanentnie złych. Wiemy dobrze, że od czasu do czasu pokazywane nam są twarze tych, którzy dopuścili się wielkich nieprawości czy wielkiego zła. I wtedy możemy zobaczyć, że ten drama jest również wypisany w ich twarzach właśnie.

Pan Bóg dojrzał w twarzy Kaina jakiś dramat. Myślę, że dzisiaj, gdy mamy wiek telewizji, wiek obrazu, warto i od tej strony popatrzeć na rozmaitych przywódców politycznych, na zabierających głos, na decydujących o losach świata. Warto jest na niektórych z nich popatrzyć. To znaczy warto patrzyć na wszystkich, ale zwłaszcza na tych, gdzie jest najbardziej niespokojnie. Proszę zwrócić uwagę na rozmaite miejsca na świecie, zwłaszcza te najbardziej zapalne, i popatrzeć na wygląd twarzy tych, którzy odpowiadają nieraz za losy milionów ludzi. To jest bardzo znaczący eksperyment. Tylko czasami możemy się mylić. Na ogół widać to bardzo dobrze. Na pewno twarz Szarona różni się od twarzy, choćby krańcowo, Jana Pawła II. Na pewno twarz jakiegoś jednego prezydenta różni się od twarzy innego człowieka. Rola twarzy jest zauważona w tym biblijnym opowiadaniu, które powiada, że zła tak do końca nie da się ukryć, że ono jednak jest wypisane również w ludzkim ciele. I teraz dalej Bóg mówi do niego:

> Przecież gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną; jeżeli zaś nie będziesz dobrze postępował, to grzech leży u wrót i czyha na ciebie.

Bóg zwraca uwagę Kainowi, że powinien przemyśleć swoje życie, że powinien przemyśleć swoje postępowanie. Zapewne wielu ludzi złych czuje w sobie taki głos, skłaniający ich do przemyślenia. To przemyślenie ma bardzo prosty schemat. Gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną, dobrą. Ale skoro postępujesz źle, to grzech leży u wrót i czyha, żeby się wedrzeć. Ten grzech jest porównany tutaj do węża, który w każdej chwili może się wślizgnąć niepostrzeżenie do domu człowieka, i może mu wyrządzić niepowetowane szkody. Po tym przepięknym obrazie pojawia się niezwykłe ostrzeżenie. One po hebrajsku, bo przecież Pismo Święte jest napisane po hebrajsku, brzmi tak: Weatta timszol bo.

W powieści Johna Steinbecka „Na wschód od Edenu" jest taki przejmujący epizod ja to pewien człowiek, bohater, stara się zrozumieć to hebrajskie wyrażenie i stara się zrozumieć, co to znaczy „timszol". Próbuje zasięgnąć rady rabinów. I ci przez długi czas studiują ten fragment Pisma Świętego. Minęło wiele lat. Przychodzą do niego i powiadają: „Słuchaj, wydaje nam się, że chyba wiemy, jak należy to przetłumaczyć." „Jak?" „Otóż grzech czeka u wrót, a przecież ty możesz nad nim panować". I wtedy, dodaje Steinbeck, mieli poczucie dobrze spełnionego obowiązku, że właściwie zrozumieli święty tekst. A przecież grzech czeka u wrót, a ty możesz nad nim panować. Nigdy nie jest tak, że moce zła są absolutnie nie do odwrócenia. Nigdy nie jest tak, że człowiek w konfrontacji ze złem jest absolutnie przegrany.

Na szczęście ceną wolności jest to, że możemy wybierać pomiędzy dobrem a złem. I na szczęście ceną wolności jest to, że w konfrontacji ze złem możemy wybrać dobro. A więc człowiek jest silniejszy, a w każdym razie może być silniejszy niż te okoliczności, a także jakiś wewnętrzny imperatyw, przymus, który go popycha do złego. Więc jeżeli *ty możesz nad nim panować,* zatem ostatnie słowo należy do ciebie.

Proszę zwrócić uwagę, że Bóg mógł stworzyć człowieka ubezwłasnowolnionym, pozbawionym wolnej woli. Tylko cóż to byłby za człowiek? I jakaż z tego byłaby chwała dla Pana Boga? Bóg stworzył człowieka wolnym, a ceną tej wolności jest także to, że możemy dokonywać wyborów przeciwko Panu Bogu. *Możemy dokonywać wyborów przeciwko Panu Bogu!* Ale nie musimy tego robić, możemy nad złem panować. Zatem jeżeli zbierają się rozmaite czarne chmury na horyzoncie ludzkości, to nigdy nie jest tak, że świat jest w tym momencie przegrany. Nigdy nie jest tak, że nie ma żadnej iskierki nadziei na to, że można inaczej, można lepiej.

Temu poświęcona jest w gruncie rzeczy cała końcówka — bo niestety musimy tak mówić, tak to przedstawiać — pontyfikatu Ojca Świętego Jana Pawła II. Otóż Ojcu Świętemu przyszło rządzić Kościołem i odgrywać rolę pierwszoplanową w świecie w okresie, gdy świat doznaje jakiegoś potwornego wstrząsu. Ale wobec tego potwornego wstrząsu, który jak się wydaje od czasu do czasu się nasila — już w tej chwili są zapowiedzi, że wiosną ma być kolejny konflikt, i to zakrojony na szeroką skalę — gdyby człowiek patrzył tylko w tych kategoriach, to utracił by wszelką nadzieję, a nawet poczucie planowania czy jakiejś pewności siebie.

Jan Paweł II zwraca uwagę na to, że nie wolno tracić nadziei w świecie, który się wydaje jej pozbawiony. „Ty możesz nad nim panować". I bez przerwy podejmuje wysiłki dyplomatyczne wobec wielkich przedstawicieli politycznych, a jednocześnie podejmuje wielki wysiłek modlitewny względem ludzi wierzących, przede wszystkim chrześcijan, ale także ludzi innych wyznań i religii. W tych dniach zostało opublikowane tzw. *Annuario Pontificio* — „Rocznik papieski", z którego wynika, że w świecie 1/6 ludzkości to są katolicy. To można by powiedzieć dużo, ale i mało po 2000 lat. Ale nie ma żadnej innej religii, żadnego innego wyznania, które byłoby tak wielkie, tak znaczące, jak katolicyzm. I do tych katolików, do tego co szóstego człowieka na świecie, Jan Paweł II próbuje trafić, i próbuje ukazać nam wartość i wielkość modlitwy o pokój, troski o pokój, starań o pokój, i starań o przezwyciężenie tego wszystkiego, co jest takie złe.

Tu zwróćmy uwagę, że Bóg daje Kainowi szansę. Mówi do niego „Gdybyś dobrze postępował, miałbyś twarz pogodną, byłoby wszystko w porządku. Ale kiedy postępujesz źle, to jeszcze nie jesteś na absolutnie przegranej pozycji. Bo grzech czyha u wrót i chce się wedrzeć do twojego środka, a przecież ty możesz nad nim panować." **I największym zadaniem, największym powołaniem, jakie chrześcijanie mogą wnieść i przynieść współczesnemu światu, to jest przesłanie nadziei polegające na tym, że człowiek nigdy nie jest tak zepsuty, żeby się nie mógł z tego podnieść. Że świat nigdy nie jest na tak przegranej pozycji, żeby się nie mógł z tego wydostać.** To przesłanie nadziei jest chyba największym wkładem, jaki człowiek wierzący w Chrystusa może wnieść w dzieje świata. To jest niesłychanie wzniosłe powołanie. Nam, zwyczajnym ludziom, może się wydawać, że ono nas bezpośrednio nie dotyczy. A cały pontyfikat Jana Pawła II jest to jedno wielkie przypomnienie wkładu, jaki pojedynczy, zwykły człowiek może wnosić w dzieje świata.

Kiedyś, podczas jednego ze spotkań w Afryce, Ojciec Święty użył takiego przykładu, który zapewne znamy również ze swojego dzieciństwa, z czytanek bodajże w elementarzu. Kiedy był pytany o to, co mogą zrobić afrykańskie dzieci gdzieś tam w jakimś buszu, Ojciec Święty poprosił, żeby mu przyniesiono patyczek. Wziął ten patyczek przed sobą, i go złamał. Następnie poprosił o trzy patyczki. Złamanie już nie przyszło łatwo. Potem pięć — i było coraz trudniej. A potem wziął garść patyczków i powiedział „Spróbujcie teraz to złamać". I w ten sposób pokazał murzyńskim dzieciom, że siła polega na tworzeniu jedności, tworzeniu wspólnoty. I że decyzja każdego pojedynczego człowieka znaczy tak bardzo wiele, bo układa się w pewien splot rozmaitych decyzji. I każdego z nas łatwo jest złamać. Kilkoro — trudniej. Ale kiedy tworzymy większą wspólnotę — to jest bardzo trudno, albo wręcz niemożliwe. Że są granice oddziaływania na człowieka. I w dzisiejszym świecie, w którym rola religii bywa na rozmaite sposoby pomniejszana, właśnie dlatego każda indywidualna decyzja człowieka wierzącego, i cały nasz wkład w wyznawanie wiary staje się szczególnie ważny wtedy, kiedy nabiera wymiaru społecznego. Kiedy tworzymy zbiorowość, w której już nikt nas tak łatwo złamać nie może. Jak kończy się to biblijne opowiadanie?

> Rzekł Kain do Abla, brata swego: «Chodźmy na pole».

Zwróćmy uwagę, że Kain nie odpowiedział Bogu w ogóle. Bóg skierował do niego przesłanie, ofertę, pytanie, które spotkało się z brakiem jakiejkolwiek odpowiedzi. Również i dzisiaj bywa tak, że ci, którzy są źli, zepsuci, w gruncie rzeczy nie podejmują rozmowy z Bogiem. Tam gdzie brakuje religijności, tam również i sumienie jest utwardzone, niedostępne, i jest kłopot z tym, żeby człowieka zmienić. Tu wypadki nabierają teraz niesłychanego przyśpieszenia.

> A gdy byli na polu, Kain rzucił się na Abla i zabił go.

Okazało się, że Pan Bóg był cały czas obecny. Moglibyśmy powiedzieć tak: a czy Pan Bóg nie mógł powstrzymać ręki Kaina? Tak, jak później powstrzymał rękę Abrahama? Otóż Abrahama Bóg sam wystawił na próbę. Natomiast Kain był wolny. Dlatego w każdym pokoleniu mogą być tacy,

którzy, jak Kain, podnoszą rękę na swojego brata i niestety go ugodzą i zabiją. Skoro Bóg obdarzył człowieka wolnością, powtórzmy to raz jeszcze, to ceną wolności jest również cena odrzucenia Pana Boga, i cena podeptania ludzkiej godności. Taka jest wolność, bez tego byśmy nie byli wolni. Gdyby wszystko zamykało się w ramach tego świata, z pewnością człowiek byłby istotą nieszczęśliwą. Na szczęście perspektywa życia, to jest perspektywa doczesności, za którą rozciąga się perspektywa wieczności, w której ostatnie słowo należy do Boga. Tu, w doczesności zdarza się, że ostatnie słowo należy do człowieka. I jeżeli jest to człowiek zepsuty i zły, wtedy to ostatnie słowo człowieka jest słowem gwałtu i przemocy. Niestety taki jest również los Pana Boga. **Gdzie był Pan Bóg wtedy, kiedy Kain zabijał Abla? Otóż Pan Bóg był razem z Ablem. Pan Bóg był po stronie Abla, ale nie sposób było przeciwstawić się tej wolności człowieka**. Jeszcze dalej:

Wtedy Bóg zapytał Kaina: «Gdzie jest twój brat, Abel?»

Zauważmy, że Bóg nie opuścił zbrodniarza. Że nawet wtedy, kiedy Kain zabił Abla, Bóg nie potępił Kaina, tylko pyta: „Gdzie jest twój brat, Abel?" Istniała jeszcze taka możliwość, żeby Kain powiedział: „Panie Boże, zobacz, co zrobiłem! Zabiłem swojego brata! Przebacz mi to, czego się dopuściłem!" Ale nic takiego się nie stało. On odpowiedział:

On odpowiedział: «Nie wiem. Czy jestem stróżem mojego brata??»

A więc w dalszym ciągu ten, który dopuścił się bratobójstwa kieruje swoje oskarżenie pod adresem Pana Boga. Czego ode mnie chcesz? A na to Pan Bóg:

Cóżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!

Otóż ten napis „Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!" wszędzie pojawia się tam, gdzie jeden człowiek przelewa krew drugiego człowieka, gdzie popełniany jest gwałt, przemoc, gdzie próbuje się oskarżać Pana Boga za zbrodnie i za zło popełniane przez człowieka. To opowiadanie jest bardzo przejmujące. **Ono pokazuje, że w świecie, w którym jest gwałt i przemoc, jest obecny Pan Bóg. Ale obecny nie tak, że miałby zmieniać wydarzenia, tylko tak, że chce zmienić ludzkie sumienie, ludzkie serce.** Jeżeli się to Panu Bogu uda, wtedy świat, przynajmniej w tej mniejszej skali, zostaje zabezpieczony przed złem i przemocą. Jeżeli Pan Bóg poniesie porażkę, to wtedy i człowiek dopuszcza się zła, które zaplanował, i wówczas — można by powiedzieć — że jedyna sprawiedliwość, jaka jest, polega na tym, że Bóg jest po stronie prześladowanych. Kain zabił Abla, ale Bóg był po stronie Abla.

Tradycja żydowska umieszcza ten epizod w Jerozolimie na górze, na której później Abraham miał złożyć swojego syna, obok góry, na której później Syn Boży Jezus Chrystus poniósł mękę i śmierć krzyżową. Abel stał się w ten sposób w Starym Testamencie zapowiedzią, jak mówimy to mądrze: *prefiguracją* ofiary Jezusa Chrystusa. W konfrontacji przed Kaifaszem, później przed Piłatem, znów spotkały się dwa punkty widzenia. Ci zgromadzeni przed Piłatem wołali „Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj Go!" „A cóż On złego uczynił?" „Ukrzyżuj Go! Nie chcemy nad sobą nikogo, tylko cesarza!" Znów płaszczyzna religijna i polityczna zostały zręcznie ze sobą przemieszane.

Natomiast w losie Chrystusa uzewnętrzniło się raz jeszcze to, co niegdyś dokonało się w losie Abla w samych początkach ludzkości. I w każdym pokoleniu będą Ablowie, którzy cierpią niesprawiedliwość, którzy cierpią prześladowania ze strony Kaina nawet, jeżeli jest to ich własny brat.

Problem polega na tym, po której stronie my jesteśmy. W żadnym wypadku nie wolno nam być Kainami, ani stać po stronie Kaina. W każdym wypadku powinniśmy być solidarni z Panem Bogiem, który domaga się zmiany ludzkiego wnętrza. I w tym dzisiejszym świecie również to wołanie o zmianę ludzkiego wnętrza jest wołaniem, któremu każdy z nas powinien starać się na swój sposób sprostać. I to jest sens pontyfikatu, taki jest również sens nauczania Jana Pawła II w tym trudniejszym czasie, w którym żyjemy. Miejmy nadzieję, że te chmury, które pojawiły się na horyzoncie ludzkości, rozejdą się. Ale one nie rozejdą się wtedy, kiedy tylko będziemy na to czekać, tylko one rozejdą się wtedy, kiedy uświadomimy sobie my, ludzie różnych religii, że grzech waruje u wrót, zło czyha i chce się wedrzeć, a przecież *ty możesz nad nim panować.*

Dzisiaj dziękuję bardzo państwu za uwagę. Gorąco zapraszam na następną konferencję, za cztery tygodnie w marcu, 11 w marca chyba, że będą u nas w tym terminie rekolekcje parafialne. Wtedy konferencja byłaby tydzień później, czyli 18 marca. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję i zapraszam za cztery tygodnie.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

4.6 Męka Pana Jezusa wg. św. Mateusza (dn. 18 marca 2002)

Przedmiotem naszej tegorocznej refleksji było zazwyczaj zastanowienie się, nowe przemyślenie, nowe odczytanie fragmentów książki Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”. Dzisiaj jednak zrobimy sobie małe odstępstwo. Tzn. odstępstwo będzie duże, ale koniec końców Ojciec Święty też traktuje o tym, o czym dzisiaj chcielibyśmy sobie powiedzieć. Dlatego że dzisiaj z uwagi na to, że mamy okres Wielkiego Postu, chciałbym przedmiotem naszej refleksji uczynić ewangeliczne u św. Mateusza opowiadanie o pojmaniu, o procesie, o męce i o śmierci Jezusa Chrystusa.

Chciałbym tak zrobić po pierwsze dlatego, ponieważ mamy czas Wielkiego Postu, i właściwie biorąc nie pamiętam, żebyśmy nad tym ewangelicznym opowiadaniem w ostatnich latach się zastanawiali. Po drugie były głosy, kilka co najmniej głosów sugerujących to, żeby zatrzymać się nad ewangelicznymi opowiadaniami o męce Zbawiciela. I po trzecie wreszcie, że te motywy męki i śmierci zajmują sporo miejsca także w książce „Przekroczyć próg nadziei” Jana Pawła II, i one stanowią o naszym chrześcijańskim istnieniu, o tym, kim jesteśmy. I myślę, że na progu Wielkiego Tygodnia, który rozpoczynamy za kilka dni, zatrzymanie się nad Ewangelią, jej lektura i krótki komentarz do niej, dobrze nam zrobią.

Wyjdźmy najpierw od rzeczy ogólniejszych, aby później przejść do bardziej szczegółowych. Otóż państwo dobrze wiedzą, że w kanonie Nowego Testamentu, który stanowi księgę świętą naszą, są cztery Ewangelie: św. Mateusza, św. Marka, św. Łukasza oraz św. Jana. Każda z nich ma swoją własną specyfikę, każda ma swój własny profil, była pisana w w określonej sytuacji, i każda również ma swoich adresatów. Jeżeli chcemy te ewangelie czytać z pożytkiem, to musimy mieć podstawowe wiadomości o poszczególnych Ewangeliach, i o ewangelistach. Wiele lat temu zastanawialiśmy się właśnie nad specyfiką każdej z Ewangelii. Dzisiaj trzeba byłoby ewentualnie tylko tytułem wprowadzenia powiedzieć krótko o Ewangelii św. Mateusza, i uzasadnić ten wybór, którego dokonaliśmy.

Ewangelia św. Mateusza została napisana przez człowieka imieniem Mateusz albo przez kogoś bardzo mu bliskiego, kogoś z jego kręgu. Najprawdopodobniej jednak to on sam napisał tę Ewangelię. Wiemy o nim, że był celnikiem, czyli pracował jako poborca podatkowy. Wiemy, że został powołany przez Jezusa prosto z komory celnej. Świadectwem i śladem jego profesji jest fakt, że w żadnej innej Ewangelii nie ma tylu nazw pieniędzy i monet. Można by powiedzieć, że miał mentalność dzisiejszego pracownika kantoru. Jeżeli się czyta Ewangelię św. Mateusza, to tam widać doskonale, że wspomina monety i żydowskie, i greckie, i rzymskie, i syryjskie, i odróżnia jedne od drugich, i zna wartość tych monet. Czyli to by nam bardzo dobrze przystawało do wizerunku jego profesji.

Był Żydem, i swoją Ewangelię pisał, i to jest bardzo ważne, dla tych chrześcijan, którzy nawrócili się z judaizmu, przyjęli Jezusa Chrystusa jako Żydzi. Właśnie ten wzgląd przesądzi o tym, że zastanowimy się dzisiaj nad tą Ewangelią. Bo chcielibyśmy dotrzeć jak najbliżej do tych realiów, związanych ze skazaniem Jezusa na śmierć, oraz z Jego męką i z Jego śmiercią. I te realia w Ewangelii św. Mateusza zostały bardzo dobrze pokazane.

Jeżeli chodzi o pozostałe Ewangelie, to tylko słów kilka. Ewangelia św. Marka jest to w gruncie rzeczy Ewangelia św. Piotra Apostoła, ponieważ Marek był jego bardzo bliskim towarzyszem. I gdy czytamy Ewangelię św. Marka to tak, jakby gdybyśmy oglądamy Jezusa oczami św. Piotra, który mu zawsze towarzyszył. Potwierdzeniem tego jest fakt, że tylko w Ewangelii św. Marka tak bardzo ostro i bardzo surowo mówi się o św. Piotrze, i o jego zaparciu. Bo tylko sam Piotr, kiedy zastanawiał się nad swoim życiem, mógł podjąć taki głęboki rachunek sumienia. Inni ewangeliści starali się na wszelkie sposoby Piotra wybielić, a niejako usprawiedliwić. W Ewangelii św. Marka tego nie ma.

Trzecia Ewangelia kanoniczna to jest Ewangelia św. Łukasza. Jest to jedyna Ewangelia napisana przez kogoś, kto nawrócił się z pogaństwa, i kto nie był bezpośrednim świadkiem życia Jezusa Chrystusa, tylko to, co zapisał, znał z opowiadań tych, którzy Jezusa bezpośrednio znali. Ponieważ była to mentalność grecka, sposób myślenia grecki, to i Ewangelia św. Łukasza jest nam najbliższa, bo i my jesteśmy wychowani w tej samej kulturze. Wielokrotnie przy innych okazjach wspominałem państwu, że ta Ewangelia ma zupełnie inne zapatrywania np. na kobiety, jest bardzo przychylna kobietom. Ponieważ Łukasz był lekarzem, to ta Ewangelia jest jednocześnie bardzo mocno wyczulona na rozmaite choroby, słabości, na ludzkie ciało, na ludzki organizm. Jest to, jak się ją często nazywa również, *ewangelia miłosierdzia.* O ile np. w Ewangelii św. Marka czy św. Mateusza mówi

się, że Jezus uzdrowił człowieka, który miał uschłą rękę, to Łukasz zawsze w takim przypadku dopowiada, która to była ręka, czy choroba dotyczyła tej czy innej części ciała — więc bardziej to precyzuje, bo przecież dla lekarza to była sprawa ważna.

Wreszcie czwarta Ewangelia jest to Ewangelia umiłowanego ucznia Jezusa, Jana, który towarzyszył Jezusowi jako młody chłopak. Natomiast swoją Ewangelię pisał pod koniec życia. I jest to Ewangelia człowieka, który zapamiętał Jezusa z młodości, natomiast przeżywał Go przez kilkadziesiąt lat na rozmaite sposoby, a przede wszystkim w sakramentach świętych. Ta Ewangelia jest najpełniej sakramentalna, tam zwłaszcza podkreśla się bardzo mocno wartość Eucharystii oraz wartość chrztu. *Symbolem chrztu jest woda, symbolem Eucharystii jest krew.* I pamiętamy epizod, przedstawiony tylko przez św. Jana, że jeden z żołnierzy przebił włócznią bok Jezusa, a wtedy wypłynęła krew i woda. W ten sposób Jan daje poznać, że na krzyżu mają swój początek dwa sakramenty: chrzest i Eucharystia.

Po tym wprowadzeniu pozostaniemy przy Ewangelii św. Mateusza. Jest to Ewangelia bardzo trudna. Trudna dlatego, bo jest napisana przez Żyda dla Żydów, którzy przyjęli Jezusa Chrystusa, a więc bardzo często nawiązuje do świata żydowskiego, który nam jest obcy, pod wieloma względami go nie znamy. Zawiera również słowa hebrajskie, słowa aramejskie. Wspominałem kiedyś państwu epizod z 1994 r. Mianowicie przebywałem wtedy w Chicago, gdzie w ramach wymiany wykładowców miałem wykłady w Spertus College of Judaica — uczelni kształcącej rabinów. Słuchaczami studium doktoranckiego była grupa stosunkowo młodych rabinów żydowskich. Ponieważ oni chcieli poznawać chrześcijaństwo, poznawać Nowy Testament, uznałem, że powinni przeczytać ewangelie, a w szczególniejszy sposób Ewangelię św. Mateusza. Więc mówię im, że powinni sobie kupić Nowy Testament. Na to usłyszałem, co było dla mnie zaskoczeniem bo wiedziałem o nich sporo ale nie wszystko, że oni nie mogą kupić Nowego Testamentu. Dlaczego? Bo oni, jako Żydzi, zwłaszcza jako rabini, nie mogą wydawać swoich pieniędzy na chrześcijańskie wydawnictwo, żeby chrześcijańskich wydawnictw nie wspierać. Nie mogą tego nabyć, więc nie mogą tego mieć w domu. Byli bardzo szczerzy w swojej odpowiedzi. Więc mówię: „No to co, nie możecie tego w ogóle przeczytać?" No nie, w zasadzie moglibyśmy pójść do biblioteki, ale tam nie będzie. Ale jest wyjście, mówią. Żebym to ja kupił, nawet za pieniądze instytutu, i im dał, to wolno. W ten sposób nie wspieraliby bezpośrednio, tylko wspierali pośrednio.

Proszę zauważyć tę mentalność, niezwykle mądrą. Bo z jakim brakiem odpowiedzialności wielu z nas kupuje rozmaite rzeczy, dając w ten sposób swój grosz na rozwój tych rzeczy. Nie byłoby przecież jakichś tam pism, czasopism i nie wiadomo czego, kaset czy czegokolwiek, gdyby nie było tych, którzy to kupują. A my przykładamy do tego mniejszą wagę, albo żadnej wagi. Ale zostawmy to na boku, to jeszcze nie koniec wszystkiego.

Kiedy dostali w końcu Ewangelie poprosiłem ich, żeby przeczytali Ewangelię św. Mateusza, mieli na to tydzień. Ewangelia św. Mateusza ma 28 rozdziałów. Zabrali się więc dzielnie do czytania, zresztą rabini nawykli do czytania, i za tydzień wrócili. I muszę państwu powiedzieć, że był to jeden z najbardziej wartościowych wykładów i przeżyć, jakie kiedykolwiek miałem w życiu. Bo kiedy przyszli to widziałem, że prawie wszystkim błyszczą się oczy. I czekali, od czego ja zacznę, i myśleli, że to będzie taki wykład, w którym ja będę im coś mówił. Tymczasem ja wolałem czegoś się dowiedzieć od nich, bo po raz pierwszy w życiu miałem przed sobą grupę ponad 20 rabinów, którzy przeczytali Ewangelię. Kiedy zapytałem ich o wrażenia, to wrażenie było takie. Mówię: „Czy zrozumieliście to, o czym Ewangelia mówi?" „Tak, oczywiście." „A macie jakieś pytania, czy macie jakiś problem?"

I wtedy pierwszy głos, który był, to jeden z nich powiedział: „Ja nie mogę zrozumieć, że wy, chrześcijanie, rozumiecie tę Ewangelię. Przecież ona jest taka żydowska, że żeby ją zrozumieć, żeby ją pojąć, trzeba być Żydem! Jak wy to rozumiecie?" On podejrzewał, że nasze kłopoty z czytaniem Ewangelii św. Mateusza są znacznie większe niż ich kłopoty z czytaniem Ewangelii św. Mateusza. I tak jest w istocie. Bo proszę sobie przypomnieć choćby sam jej początek.

> Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama. Abraham zrodził Izaaka; Izaak Jakuba; ...

Gdy chrześcijanin to czyta, zadaje sobie pytanie — po co to komu? Ale gdy Żyd to czyta, czy to Żyd chrześcijanin, czy Żyd wyznawca judaizmu, ma to dla niego całkiem inny sens, bo on przywykł

do takiego myślenia w kategoriach rodowodów. Mówiłem państwu kilka razy, że chrześcijańska pamięć o przodkach kończy się na naszych dziadkach, rzadko kiedy na pradziadku. Jeżeli zapytać młodego człowieka: „Jak nazywają się twoi dziadkowie, jak mają na imię od strony ojca i od strony mamy?”, to jeszcze z biedą — pod warunkiem, że żyją — potrafi ich wyliczyć. Ale żeby powiedział coś więcej: kiedy się urodzili, jak się nazywali pradziadkowie — koniec! Natomiast kiedy państwo w rodzinie żydowskiej się zapytają, to oni potrafią wywodzić przodków do piątego, do ósmego, do dziesiątego pokolenia i natychmiast potrafią sięgać tak, jak w naszych warunkach, do XVII - XVIII wieku. Czyli pamięć o przeszłości jest zachowywana tam zupełnie inaczej.

Mówię o tym także dlatego, żeby być może w tym świetle popatrzeć na fragment Ewangelii, który będziemy dzisiaj czytali. Jest to bardzo ważne, w tej Ewangelii jest bardzo wiele nawiązań do żydowskiego sposobu pojmowania sprawy, bo przecież Mateusz pisał do takich którzy tak, jak on, stali się uczniami i wyznawcami Jezusa Chrystusa będąc wcześniej wyznawcami judaizmu. Zatem Ewangelia Mateusza dla nas jest trudna, wymaga jakiegoś komentarza, tam się mówi o dziesięcinach z mięty, z kminku, z ruty, tam się mówi o prawie żydowskim, tam się mówi o Starym Testamencie, cytatach biblijnych. Nas to niejako nuży, podczas gdy dla Żyda, starożytnego i dzisiejszego, jest to świat, w którym się obraca.

Dla nas natomiast najłatwiejsza jest Ewangelia św. Łukasza, bo przedstawia Jezusa właśnie według takiej mentalności, według takiego sposobu postrzegania świata, który i nam jest właściwy. Jeżeli więc się zaleca przeczytanie Ewangelii człowiekowi, który chciałby po raz pierwszy przeczytać Ewangelię, to najlepiej zaczynać od Ewangelii Łukasza, Mateusza powinna być na końcu.

Przechodząc do tej konkretnej Ewangelii parę słów na temat Palestyny w czasach Jezusa Chrystusa. Musimy mieć wzgląd na kilka spraw. Otóż po pierwsze Palestyna była wtedy pod okupacją rzymską, która trwała już kilka dziesięcioleci. Okupacja rozpoczęła się w r. 63 przed Chr., kiedy to Rzymianie zajęli Jerozolimę, i zajęli Palestynę. W momencie śmierci Jezusa, co miało miejsce ok. roku 30 bądź 33, w zależności od sposobu rachuby czasu, już mieli za sobą ponad 90 lat okupacji. Można by powiedzieć: 90 lat zaborów.

Jeżeli więc chcielibyśmy zrozumieć *Palestynę i jej uwarunkowania w czasach Jezusa, to moglibyśmy porównać do sytuacji Polski pod zaborami pod koniec XIX wieku.* Można by powiedzieć, że istniały zupełnie podobne reakcje, zupełnie podobne tendencje, i zupełnie podobne problemy. Otóż byli tacy Żydzi, którzy nieźle się ułożyli z Rzymianami i czerpali z tego tytułu rozmaite zyski. Byli tacy Żydzi, którzy ciągle liczyli na to, że okupacja rzymska się skończy, i wobec tego nie chcieli się z nią pogodzić. Byli wreszcie tacy Żydzi, którzy zbrojnie sprzeciwiali się okupantom rzymskim, a także przeciwstawiali się innym Żydom, którzy kolaborowali z Rzymianami. Tak więc podziały nie biegły tylko pomiędzy Żydami a Rzymianami, tylko również wewnątrz żydowskiego świata. Znakiem tych podziałów jest bardzo silne zróżnicowanie w ówczesnym judaizmie, o którym powiemy sobie jeszcze parę słów za moment. Więc jedna sprawa to jest okupacja, i oczywiście rozmaity stosunek do tej okupacji rzymskiej.

Druga sprawa, którą trzeba znać, to była wielojęzyczność w tym okresie, i wielokulturowość. Co to znaczy wielojęzyczność? W Palestynie były wtedy w użyciu trzy języki. Język hebrajski, który był starym językiem ogółu Żydów, ale w czasach Jezusa Chrystusa był używany przede wszystkim w synagodze, przede wszystkim w liturgii, przede wszystkim do czytania ksiąg świętych. Natomiast czy i na ile na co dzień mówili po hebrajsku, tego nie wiemy. Bo problem polega na tym, że znajdujemy księgi święte z tamtego okresu, ale one przynależą do kanonu Pisma Świętego, i one z konieczności musiały być hebrajskie. Językiem popularnym, mówionym na co dzień, był język aramejski, który jest bardzo bliski hebrajskiemu. Z nim Żydzi zetknęli się na wygnaniu babilońskim, potem go sobie przyswoili. Ten język w starożytności był bardzo rozpowszechniony. I wreszcie od ok. dwóch stuleci przed Jezusem w całym basenie Morza Śródziemnego upowszechnił się język grecki. Pełnił on taką funkcję, jaką dzisiaj pełni język angielski, np. w takich krajach jak Dania, jak Holandia, Skandynawia w ogóle, każdy mówi dobrze lub bardzo dobrze po angielsku. W Palestynie było podobnie. Przeciętny Żyd mówił po aramejsku, znał hebrajski, bo to był język modlitwy. Ale przeciętny Żyd mówił również po grecku, bo był to język, który przynieśli ze sobą Rzymianie. Paradoks polegał na tym, że na terenie Palestyny łacina wtedy była bardzo rzadka. I tylko niektórzy, którzy przybywali z Rzymu, mówili po łacinie. Ona była językiem oficjalnym, kancelaryjnym, natomiast po łacinie tam wtedy nikt nie mówił — mówiono po grecku.

Ta wielojęzyczność powodowała wielokulturowość. Podziały przebiegały mniej więcej tak. Hebrajski i aramejski były używane w Jerozolimie i okolicy, natomiast grecki był używany w dużej części na terenie Galilei, czyli bardziej na północ, ku granicy z Libanem. Tam, gdzie wychował się Jezus, w Nazarecie, używany był częściej grecki, niż aramejski i hebrajski. Ale Jezus najprawdopodobniej mówił na co dzień po aramejsku. Skąd o tym wiemy? Mówiliśmy o tym kiedyś, ja tylko państwu przypomnę. Wskazują na to te teksty ewangeliczne, w których mowa jest o cierpieniu Jezusa, zwłaszcza o cierpieniu na krzyżu. Ci z państwa, którzy mają cokolwiek do czynienia ze sztuką medyczną, wiedzą, że każdy człowiek cierpi w języku swojej matki. Można znać wiele języków. Natomiast kiedy nas coś bardzo boli, to wtedy okazuje się, który język jest matczyny, który język jest rodzinny. Otóż Jezus na krzyżu rozpięty modlił się po aramejsku. Kiedy mówił: „Eli, Eli, lema sabachthani?" (Boże mój, Boże mój, czegoś Mnie opuścił?), co stanowi początek psalmu, modlił się po aramejsku. Możemy z tego zasadnie wnosić, że ten język był Mu najbliższy. Ale z drugiej strony dobrze wiemy, że np. z Piłatem, czyli rzymskim urzędnikiem, rozmawiał bez żadnego tłumacza, czyli znał grecki. I wreszcie na pewno znał hebrajski, bo kiedy poszedł do synagogi w Nazarecie, wtedy podano Mu zwój księgi proroka Izajasza. On czytał z tego zwoju tekst, a następnie ten tekst komentował. Zatem można o Jezusie jako o człowieku domniemywać, że znał wszystkie te trzy języki, i to znał bardzo dobrze.

Po tym wstępie jeszcze jedna uwaga. Otóż życie żydowskie było wtedy bardzo silnie zróżnicowane. Istniały różne grupy, które bardzo często kłóciły się między sobą, a nawet do pewnego stopnia się zwalczały, ale mimo to tworzyły taką jedność w różnorodności. Najważniejsze grupy, to byli tzw. *faryzeusze,* którzy ukształtowali się od ok. 150 lat przed Chrystusem. To była bogatsza warstwa społeczeństwa, można by ich porównać — z pewnym ryzykiem, bez złośliwości, przyszło mi do głowy takie porównanie, chciałbym, żeby państwo to dobrze zrozumieli — do takich Klubów Inteligencji Katolickiej. Mianowicie to byli ludzie przekonani o swoich możliwościach umysłowych, intelektualnych. jednocześnie nieco separowali się od takich zwyczajnych, prostych ludzi, uważali siebie za nieco lepszych, sporo pisali, sporo uczyli, sporo mówili itd. Na ogół byli podziwiani, ale jednocześnie niezbyt lubiani, aczkolwiek ich słuchano. Wśród nich byli specjalni nauczyciele, cieszący się szczególnym autorytetem, i do nich zwracano się mówiąc „rab", czyli „nauczyciel" albo „mistrz". Kiedy zwracano się w formie bardzo osobistej, mówiono do nich „rabbi" czyli „mój mistrzu", „mój nauczycielu" — tak, jak po polsku „proszę pana" albo „proszę pani" do nauczycielki w szkole. Ten sposób zwracania się „rabbi" bardzo szybko stał się tytułem, i bardzo szybko zaczęto używać określenie „rabbi" jako nazwy własnej. Tak powstała nazwa „rabin", która przez grecki język przeszła również do języka polskiego.

Druga grupa to byli tzw. *sadyceusze.* Otóż to była grupa o pochodzeniu kapłańskim. Kapłaństwo przechodziło tam z ojca na syna, w naszym wyznaniu było by to niemile widziane. Tam był to obowiązek: kapłanem mógł być tylko syn kapłana, córka niestety nie, pod tym względem sprawiedliwości nie było. Oczywiście tych kapłanów było bardzo dużo, były ich tysiące. I mieli bardzo duży wpływ na ówczesne życie. Trzeba dodać jeszcze jedną sprawę, że i faryzeusze i sadyceusze, mniej lub bardziej, w sposób otwarty bądź nie, kolaborowali z Rzymianami. Dlatego, że mieli za dużo do stracenia. I wydaje się, że tak przyzwyczaili się do okupacji — choć starali się robić inne wrażenie — prawda była taka, że nieźle się z Rzymianami układali.

Była jeszcze jedna grupa, mianowicie tzw. *zeloci.* Nazwa jest pochodzenia greckiego, od zeleo czyli „gorliwy". Odrzucali oni jakąkolwiek kolaborację, jakąkolwiek współpracę z Rzymianami. Mało tego! Wśród nich najbardziej radykalnym odłamem byli tzw. *sykaryjczycy* od słowa łacińskiego oznaczającego miecz. Oni pod płaszczami nosili krótkie miecze, można by powiedzieć: duże noże. I bardzo się ich bano, bano się ich jak ognia, bo byli to tacy starożytni żydowscy terroryści. Ich udział w życiu publicznym na tym polegał, że jeżeli tylko mogli, to zabijali skrycie zarówno Rzymian jak i kolaborujących Żydów. W Ewangelii mamy też ślady tych obaw, tego lęku.

I wreszcie czwarta grupa ówczesnego życia żydowskiego to byli tzw. *essеńczycy.* Ci uznali, że faryzeusze są za bogaci, sadyceusze są za układni, sykaryjczycy i zeloci są zbyt krwawi, zatem najlepszą rzeczą będzie zostawić całe to towarzystwo, usunąć się i szukać Pana Boga w ciszy, w odosobnieniu, nie w Świątyni, nie w mieście tylko na indywidualnej modlitwie i we wspólnocie, którą założyli nad Morzem Martwym w Qumran. Tam mieszkały ich setki, a być może tysiące ludzi, którzy izolowali się od życia publicznego. Można by powiedzieć, że byli to starożytni żydowscy mnisi.

Dodajmy tylko jedno zdanie, że w roku 70 po Chr., w trakcie powstania żydowskiego przeciwko Rzymianom, które wybuchło 4 lata wcześniej, Rzymianie wtargnęli na teren Palestyny i wszystkie te grupy zlikwidowali w okrutny sposób. Wymordowali kogo się dało. Jeżeli ktoś poszedł na układy z Rzymianami tak, jak Józef Flawiusz, który to wszystko opisał, to ten przeżył. Natomiast reszta musiała albo uciekać, albo poniosła śmierć. Po roku 70 przetrwały tylko niedobitki faryzeuszów. I właśnie ten nurt faryzejski dał później początek temu życiu żydowskiemu, które trwa po dzień dzisiejszy. Ponieważ wśród faryzeuszy prym wodzili rabini, to konsekwentnie ten judaizm nosi nazwę judaizmu rabinicznego i istnieje po dzień dzisiejszy.

Po tym długim wstępie przejdźmy do Ewangelii. Otóż w Ewangelii św. Mateusza obserwujemy, jak bardzo wyraźnie narasta napięcie pomiędzy różnymi grupami Żydów, a Jezusem. Największe napięcie narastało pomiędzy faryzeuszami i sadyceuszami z jednej strony, a Jezusem i jego uczniami. Faryzeusze i sadyceusze kłócili się między sobą, ale w tym jednym byli zgodni — mianowicie i jedni i drudzy przeciwstawili się otwarcie Jezusowi. Dlaczego? Odpowiedź jest bardzo złożona i bardzo trudna. Przede wszystkim dlatego, ponieważ Jezus zakwestionował w wyraźny sposób ich sposób przeżywania religijności, ich pobożność, ich wpływ na ludzi. I zwrócił uwagę na to, że religijność, jaką oni reprezentują, ma więcej w sobie z ludzi, niż z Boga. I wiele razy im wskazywał, że tak rozbudowali rozmaite przykazania, i każą ich przestrzegać prostym ludziom, że ci prości ludzie nie są w stanie wywiązać się z wszystkich tych wymogów. Proszę sobie przypomnieć te słowa Jezusa, które słyszymy od czasu do czasu w kościele, w których Jezus ostro upomina faryzeuszy i sadyceuszy. Mówi, że „wiążecie ludziom ciężary wielkie, ale sami palcem nie chcecie ich tknąć”. Takie słowa musiały wywoływać reakcję, narastał coraz większy konflikt.

Ale jeszcze większy konflikt narastał z arcykapłanami i z tymi, którzy w owym czasie byli przywódcami religijnymi. Przyczyną tego konfliktu w dużej mierze był stosunek Jezusa do świątyni jerozolimskiej, a także to, za kogo Jezus przedstawiał siebie tym, którzy Go słuchali, i tym wszystkim, których nauczał. *Otóż Jezus wskazywał, że świątynia jerozolimska nie jest niezbędną częścią życia religijnego.* Wskazywał i uczył, że wyznawcą Boga można być wszędzie pod warunkiem, że człowiek ma prawe sumienie, prawe serce, że jest dobry, że przestrzega przykazań. Oni natomiast mocno podkreślali rolę świątyni jerozolimskiej. Ten konflikt osiągnął szczyt, kiedy Jezus zbliżał się do Jerozolimy i zapowiedział, że z tego, na co patrzą, nie zostanie kamień na kamieniu. I wtedy powstało oburzenie.

Jeżeli komuś z państwa się wydaje, że to ot taka prosta sprawa, to wyobraźmy sobie sytuację, w której ktoś zbliża się do Jasnej Góry i zapowiada, że Jasna Góra zostanie zburzona — proszę sobie wyobrazić reakcję paulinów. Otóż coś podobnego było tam, w Jerozolimie. Reakcja tych arcykapłanów była straszliwie żywa, mocna, dosadna. Oni nie ukrywali, że Jezusa szczerze nienawidzą. Te przesłanki — muszę skracać, bo niektóre motywy pojawią się zaraz w Ewangelii św. Mateusza — przesądziły o tym, że coraz bardziej zastanawiano się co z Jezusem zrobić.

I wtedy pojawiły się dwie frakcje. Jedna wśród faryzeuszy, którą reprezentował m.in. Gamaliel (znamy jego imię z Dziejów Apostolskich) oraz Nikodem (który wcześniej spotkał się z Jezusem, i z Jezusem rozmawiał) mówiła mniej więcej tak: „Zostawmy tę sprawę. Zostawmy tego człowieka. Jeżeli ta sprawa jest z Boga, to ona przetrwa, jeżeli jest z ludzi, to sama przepadnie.” A druga frakcja wśród arcykapłanów, faryzeuszy i sadyceuszy była o wiele bardziej radykalna, i o wiele wyraźniej formułowała swoje żądania — postanowili Jezusa zgładzić. Oczywiście mogli to zrobić w sposób skrytobójczy, ale najwyraźniej nie mieli ku temu okazji, bo Jezus zawsze był w otoczeniu Apostołów. Wobec tego postanowiono doprowadzić do pojmania Jezusa i do przeprowadzenia jego procesu, wskutek którego można byłoby Jezusa skazać na śmierć. Z tym, że proszę zauważyć tutaj taki podstęp, fortel — za chwilę będziemy widzieli jego szczegóły. Mianowicie doszli do wniosku, że ponieważ oni byli w tym czasie pod okupacją rzymską i nie mogli wykonywać wyroków śmierci, to wobec tego wydawszy wyrok śmierci na Jezusa musieli mieć zatwierdzenie Rzymian po to, aby to według systemu prawnego rzymskiego, czyli według systemu okupanta, przeprowadzić następnie egzekucję.

Posłuchajmy. Wiemy dobrze, że żaden moment z życia Jezusa nie jest tak dobrze opisany, jak ostatnie godziny Jego życia, Jego męka i Jego śmierć. Znaczna część każdej Ewangelii jest poświęcona tym kilkunastu godzinom, ostatnim godzinom w życiu Zbawiciela. Dlaczego Apostołowie przykładali do tego taką wagę? Można by powiedzieć — z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego,

że oni na co dzień byli bardzo blisko z Jezusem, bardzo przyjaźnili się z Jezusem, i bardzo mocno przeżyli Jego śmierć. Konsekwentnie więc to wszystko, co przeżyli, wywarło na nich trwałe piętno. I po drugie oni doskonale wiedzieli, że całe życie Jezusa nabiera znaczenia właśnie w świetle Jego męki, Jego śmierci, i później Jego zmartwychwstania. Oni wiedzieli, że Jezus dokonał wielu cudów, nauczał, robił co mógł, ale najwięcej uczynił wtedy, kiedy został pojmany i kiedy to, co się działo, nie zależało od Jego woli.

I w związku z tym właśnie te ostatnie godziny Jego życia zostały opisane bardzo dokładnie. Pamiętamy, że w czwartek, w ostatnim tygodniu życia Jezusa, miała miejsce Ostatnia Wieczerza — tak nazywamy ostatni posiłek Jezusa. Jezus miał świadomość, że to jest Jego ostatnie spotkanie z Apostołami. Na tej Ostatniej Wieczerzy ustanowił zatem sakrament Eucharystii, sakrament kapłaństwa i sakrament pokuty. Otóż dał poznać, że to jest koniec i w związku z tym zostanie z Apostołami, ze swoimi wyznawcami w zupełnie nowy, sakramentalny sposób. Podczas Ostatniej Wieczerzy — pamiętamy to — w pewnym momencie Jezus zapowiedział dość dramatycznie, że „jeden z was, którzy tutaj siedzicie, Mnie zdradzi". Wszyscy zaczęli pytać „Czy to nie ja?", tak samo zapytał Judasz. Jezus odpowiedział „Tak, ty". Wtedy Judasz wstał i wyszedł. Ewangelista dodaje „a była noc", czyli był już wieczór, taka mniej więcej pora, jak w tej chwili.

Ta noc to jest również symbol jakiegoś wejścia w niewiadomą, w którą udał się Judasz. I kiedy skończyła się Ostatnia Wieczerza, a miała miejsce tam, gdzie po dzień dzisiejszy wznosi się tzw. Wieczernik, Jezus zszedł do podnóża Góry Oliwnej, do Ogrodu Oliwnego, aby się modlić. Wziął ze sobą tylko trzech uczniów: Piotra, Jakuba i Jana. Tych, którzy byli najbliżej niego. Tych, którzy towarzyszyli Mu również podczas Przemienienia na górze Tabor. Tych, którzy zdawali sobie najlepiej sprawę z tego, kim On jest. I dobrze wiemy, że kiedy oni Mu towarzyszyli w tej modlitwie, to wtedy Jezus modlił się — a oni usnęli. Zatem był to już taki późnawy wieczór, trudno mówić o godzinie, ale może dziewiąta, może w pół do dziesiątej. Pamiętajmy, że rytm dnia w starożytności był inny niż dzisiaj. Nie było prądu elektrycznego, nie było światła, zatem ludzie wstawali ze słońcem, i kładli się spać niedługo po zachodzie. Była wtedy wiosna, obliczono, że najprawdopodobniej śmierć Jezusa miała miejsce 3 kwietnia 30 roku. W Palestynie zmrok zapada ok. godz. 18, więc to wszystko było 2 - 3 godziny później. I teraz ewangelista napisał tak:

> Gdy On jeszcze mówił, oto nadszedł Judasz, jeden z Dwunastu, a z nim wielka zgraja z mieczami i kijami, od arcykapłanów i starszych ludu.

Otóż Mateusz nie zostawia żadnej wątpliwości, że to, co dokonało się w Ogrodzie Oliwnym, było zorganizowane przez arcykapłanów i starszych ludu. O ich niechęci do Jezusa powiedzieliśmy już nieco. Ta niechęć osiąga teraz swój szczyt. Udało się im pozyskać rozmaitych ludzi prostych, również jakąś grupę posłusznych im strażników, i wreszcie Judasza, który otrzymał od nich pieniądze. Dlaczego Judasz był potrzebny? Otóż przede wszystkim dlatego, że ci strażnicy, którzy szli Jezusa aresztować, w nocy nie bardzo wiedzieli, który to jest, nie bardzo zdawali sobie sprawę, kogo mają pojmać. Zadaniem Judasza było wskazać Go. I Judasz, jak wiemy, zrobił to w sposób, który do tej pory pozostał w języku jako „judaszowski pocałunek". Mianowicie umówił się ze strażnikami że to Ten, do którego podejdzie pierwszego, i z Kim się przywita. To powitanie będzie znakiem dla strażników, kogo mają chwytać. I Judasz podchodzi do Jezusa, i się z Nim wita. A na starożytnym Bliskim Wschodzie witali się mężczyźni między sobą, i kobiety między sobą w taki sposób obejmując się i pochylając nad sobą. Wtedy usłyszał Judasz od Jezusa „Judaszu, pocałunkiem zdradzasz Syna Człowieczego?" (Łk 22,48) Judasz przekonał się, że Jezus bardzo dobrze rozpoznał jego intencje. I gdy tylko powitanie się skończyło, natychmiast dopadli ci, którzy przyszli razem z Judaszem, i Jezus został przez nich pojmany.

> Zdrajca zaś dał im taki znak: «Ten, którego pocałuję, to On; Jego pochwyćcie!». Zaraz też przystąpił do Jezusa, mówiąc: «Witaj Rabbi!», i pocałował Go. A Jezus rzekł do niego: «Przyjacielu, po coś przyszedł?» Wtedy podeszli, rzucili się na Jezusa i pochwycili Go. A oto jeden z tych, którzy byli z Jezusem, wyciągnął rękę, dobył miecza i ugodziwszy sługę najwyższego kapłana odciął mu ucho.

Wspominaliśmy o tych zelotach, a nawet sykaryjczykach. I w gronie Apostołów był jeden, który był takim właśnie gorliwcem, zelotą. Ten Apostoł nosi imię Szymon Gorliwy — ale nie chodzi

o gorliwość w modlitwie, chodzi o gorliwość o profilu, nazwijmy to umownie patriotycznym. Najprawdopodobniej to on z mieczem wystąpił w obronie Jezusa.

> Wtedy Jezus rzekł do niego: «Schowaj swój miecz, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Czy myślisz, że nie mógłbym poprosić Ojca mojego, a zaraz wystawiłby Mi więcej niż dwanaście zastępów aniołów? Jakże więc spełnią się Pisma, że tak się stać musi?»
> W owej chwili Jezus rzekł do tłumów: «Wyszliście z mieczami i kijami jak na zbójcę, żeby Mnie pojmać. Codziennie zasiadałem w świątyni i nauczałem, a nie pochwyciliście Mnie. Lecz stało się to wszystko, żeby się wypełniły Pisma i Prorocy».

Zwróćmy uwagę, że Jezus daje im poznać, że oto tego wieczoru ludzie, którzy przedtem krzyczeli „Witaj królu!”, którzy Go podziwiali — w ciągu jednego wieczoru wszystko zmieniło się przeciwko Jezusowi. Mówi „Wiele razy byłem w świątyni, na terenie świątyni, mogliście Mnie pojmać. A dzisiaj przychodzicie z mieczami i kijami, jak na chuligana. Dlaczego to robicie?” A jak zachowali się Jego uczniowie?

> Wtedy wszyscy uczniowie opuścili Go i uciekli.

Była noc. Więc w tym tłumie w nocy mogli jakoś uciec. Jezus został sam ze swoimi prześladowcami. Tak rozpoczyna się opis męki, któremu chcemy się teraz, na krótko przed Wielkim Tygodniem, jeszcze raz przyjrzeć.

> Ci zaś, którzy pochwycili Jezusa, zaprowadzili Go do najwyższego kapłana, Kajfasza, gdzie zebrali się uczeni w Piśmie i starsi.

Ten wiersz, te słowa stały się przedmiotem silnych kontrowersji, zwłaszcza w minionym XX wieku, kiedy to uczeni żydowscy powiedzieli tak: „To jest niemożliwe, żeby tak się stało dlatego, ponieważ najwyższy kapłan i sanhedryn, czyli wysoka rada żydowska, nigdy nie obradowali wieczorami. A jeżeli nawet obradowali wieczorami, to nigdy wieczorami nie wydali wyroku śmierci. Nie było takiego zwyczaju. Przepisy były inne.” I tak dochodzimy do pewnego paradoksu, jaki istnieje między teorią prawa, a prawną praktyką.

Kiedy w 1984 r. został porwany ksiądz Jerzy Popiełuszko, to na drugi dzień — znamy ten epizod ze zwierzeń samego biskupa Kazimierza Romaniuka — zadzwonił do biskupa generał Kiszczak i zakomunikował biskupowi, że wczoraj mężczyźni przebrani za milicjantów porwali księdza Popiełuszkę. Biskup zapytał „A skąd pan wie, że oni byli przebrani za milicjantów?” Na to generał odpowiedział: „No chyba ksiądz biskup nie przypuszcza, że mogli to zrobić milicjanci.” Otóż procedury milicyjne nie przewidywały porwań ludzi, nie przewidywały mordowania ludzi w nocy ani wrzucania tych ludzi do rzeki, przywiązywania im kamieni itd. Nie znajdzie się żadnego spisu procedur milicyjnych, które by takie metody dopuszczały, czy by na takie metody pozwalały.

Podobną sytuację mamy tutaj. Czym innym są procedury, a czym innym może być faktyczny stan rzeczy. W normalnych procedurach wysoka rada nie wydawała wyroków śmierci, ani nie zbierała się późną nocą. Ale w tym przypadku, jak świadczą Mateusz, Marek, Łukasz i Jan, było inaczej. Mianowicie sąd nad Jezusem odbył się późnym wieczorem w czwartek. Jak ten sąd wyglądał?

> A Piotr szedł za Nim z daleka, aż do pałacu najwyższego kapłana. Wszedł tam na dziedziniec i usiadł między służbą, aby widzieć, jaki będzie wynik.
> Tymczasem arcykapłani i cała Wysoka Rada szukali fałszywego świadectwa przeciw Jezusowi, aby Go zgładzić.

Zatem wyrok faktycznie już zapadł. Szukano tylko pretekstu, żeby ten wyrok uwiarygodnić. To nie po raz pierwszy niewinny człowiek zostaje skazany na śmierć, a zadaniem sądu jest tylko wydać wyrok skazujący. Takie sądy odbywały się w starożytności, takie sądy odbywają się po dzień dzisiejszy. Mamy tutaj przykład solidarności Jezusa z niewinnie skazanymi, i z niewinnie prześladowanymi. Zatem wyrok był wcześniejszy, niż cała procedura. I dalej:

> Ale nie znaleźli, jakkolwiek występowało wielu fałszywych świadków. W końcu stanęli dwaj i zeznali: «On powiedział: „Mogę zburzyć przybytek Boży i w ciągu trzech dni go odbudować"».

Otóż i tak wracamy do tego, co posłużyło za pretekst do skazania Jezusa, mianowicie *stosunek Jezusa do świątyni jerozolimskiej*. Wszystko to działo się w bliskim sąsiedztwie świątyni, dosłownie w odległości kilkuset metrów. I oto ci świadkowie powołują się na faktyczne słowa Jezusa, zapowiadające zburzenie świątyni jerozolimskiej z tym, że mówią, że Jezus zapowiadał, że to On zburzy tę świątynię — nie „że zostanie zburzona", tylko „On ją zburzy".

> Wtedy powstał najwyższy kapłan i rzekł do Jezusa: «Nic nie odpowiadasz na to, co oni zeznają przeciwko Tobie?» Ale Jezus milczał. A najwyższy kapłan rzekł do Niego: «Poprzysięgam Cię na Boga żywego, powiedz nam: Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży?»

To pytanie arcykapłana jest jednym z najważniejszych miejsc w Ewangelii. Jeżeli państwo czytają uważnie Ewangelię to wiecie, że do Jezusa przychodzili ludzie i pytali „Kim Ty jesteś?", „Powiedz, kim Ty jesteś". Jan Chrzciciel wysyłał posłańców: „Kim Ty jesteś? Czy Tym, który miał przyjść, czy też mamy oczekiwać kogoś innego?" Czasami Jezus pytał swoich uczniów: „Za kogo Mnie uważają ludzie?", „A wy, za kogo Mnie uważacie?". Ale nigdy Jezus nie mówił o sobie „Ja jestem Synem Bożym". Dlaczego? Bo zdawał sobie sprawę z tego, że zostało by to odebrane jako swoiste bluźnierstwo. Bo przecież był człowiekiem, nie mógł im ukazać tej boskiej części Swojej tożsamości. Bo jedyne, co mógł robić, to cuda, znaki, piękne nauki. Ale z tego jeszcze nie można było wnosić, że On jest Bogiem. Bo ci ludzie, tak jak i my dzisiaj, byśmy tego do siebie nie dopuścili, nie mogli przyjąć.

Użyjmy jeszcze jednego przykładu. Gdyby Najświętsza Maria Panna, Matka Jezusa, powiedziała, że poczęła Jezusa w dziewiczy sposób, stała by się przedmiotem kpin. To była Jej tajemnica, o której można było mówić tak na dobre dopiero po Zmartwychwstaniu, gdy Zmartwychwstanie rzuciło zupełnie nowe światło na całe życie Jezusa.

Otóż Jezus przez całe życie wzbraniał się przed mówieniem, że jest Bogiem. Natomiast kiedy arcykapłan zadał Mu pytanie:

> «Poprzysięgam Cię na Boga żywego, powiedz nam: Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży?» Jezus mu odpowiedział: «Tak, Ja Nim jestem.

To jest sedno Ewangelii. Właśnie wobec arcykapłana, najwyższego ówczesnego religijnego autorytetu, Jezus wyznaje swoją tożsamość. Jezus mówi „Tak, Ja Nim jestem", i dodał:

> Ale powiadam wam: Odtąd ujrzycie Syna Człowieczego, siedzącego po prawicy Wszechmocnego, i nadchodzącego na obłokach niebieskich». Wtedy najwyższy kapłan rozdarł swoje szaty i rzekł: «Zbluźnił. Na cóż nam jeszcze potrzeba świadków? Oto teraz słyszeliście bluźnierstwo. Co wam się zdaje?» Oni odpowiedzieli: «Winien jest śmierci».

Otóż Jezus zostaje skazany na śmierć dlatego, że wyznał wobec arcykapłana, że jest Synem Bożym. To zostało Mu poczytane za bluźnierstwo. **Po dzień dzisiejszy spór o Jezusa to jest spór o to, kim On jest**. Każdy kto powie, że Jezus był wielkim nauczycielem, dobrym człowiekiem, Mistrzem z Nazaretu, wspaniałym rabbim, miłosiernym itd. **nie jest jeszcze chrześcijaninem. Otóż być chrześcijaninem, to znaczy uznać bóstwo Jezusa Chrystusa**.

I tutaj się różnimy. Przede wszystkim różnimy się od Żydów. Ojciec Święty Jan Paweł II w „Przekroczyć próg nadziei" napisał, że właśnie ten moment, to wyznanie, stało się jakby kamieniem obrazy. Że właśnie z tego wyznania zrodził się protest, który trwa po dzień dzisiejszy. I ten protest nazywa się synagogą i nazywa się islamem. Jedni i drudzy mówią, że Bóg jest wzniosły, transcendentny, absolutny, wszechmogący, pełen majestatu i *kocha ludzi. Ale nie na tyle, żeby stać się jednym z nas.*

Tutaj nasze drogi radykalnie się rozchodzą, drogi chrześcijan, wyznawców Jezusa Chrystusa, oraz drogi wyznawców judaizmu i drogi wyznawców islamu. I proszę zauważyć, że ta scena przesłuchania przed najwyższym kapłanem była decydująca dla całego losu Jezusa, i jest również decydująca dla tego, kim my jesteśmy. **Być chrześcijaninem to znaczy przyjąć tę deklarację**

Jezusa przed arcykapłanem, jako swoją. Natomiast jeżeli się tej deklaracji nie przyjmuje, to oczywiście nie należymy też do grona Jego wyznawców. Arcykapłan zawołał o Jezusie „Zbluźnił!" I dalej:

> Co wam się zdaje?» Oni odpowiedzieli: «Winien jest śmierci». Wówczas zaczęli pluć Mu w twarz i bić Go pięściami, a inni policzkowali Go i szydzili: «Prorokuj nam, Mesjaszu, kto Cię uderzył?»

Czyli Jezus staje się przedmiotem kpin, przedmiotem drwin i przedmiotem udręczenia. Skoro jesteś zapowiadanym Mesjaszem, skoro jesteś posłany od Boga — urządzono z Niego brzydką zabawę bijąc Go i każąc Mu wskazywać, kto Go uderzył. Jezus zostaje sponiewierany. Odpowiedzią na deklarację Jezusa jest właśnie sponiewieranie Go.

Dalej następuje epizod zaparcia się Piotra. Zostawmy ten epizod na moment, znamy go bardzo dobrze, być może kiedy indziej trzeba będzie się nad nim zatrzymać. Natomiast zauważmy, co się działo później. Wyrok śmierci na Jezusa zapadł przed arcykapłanem Kajfaszem. Ale ponieważ Palestyna była pod okupacją rzymską, to Żydzi mogli wydawać wyroki śmierci za trzy przestępstwa: bluźnierstwo, cudzołóstwo, nadużywanie imienia Bożego. Ewangelie świadczą, że wszystkie te przypadki były wykorzystywane. I kiedy Jezus zostaje skazany na śmierć, należało dopełnić obowiązku potwierdzenia tego wyroku przez namiestnika rzymskiego Piłata. On musiał ten wyrok zatwierdzić, aby mógł być wykonany. I dlatego:

> A gdy nastał ranek, wszyscy arcykapłani i starsi ludu powzięli uchwałę przeciw Jezusowi, żeby Go zgładzić.

Proszę zwrócić uwagę na moment, który zaznaczyłem nieco wcześniej. Mianowicie niektórzy krytycy, zwłaszcza żydowscy, powiadają, że sanhedryn nie wydawał wyroków śmierci wieczorem. I w gruncie rzeczy ewangelista Mateusz powiada, że *oficjalny wyrok śmierci na Jezusa zapadł dopiero wtedy, kiedy nastał ranek.* Bo, raz jeszcze przeczytam: „wszyscy arcykapłani i starsi ludu powzięli uchwałę przeciw Jezusowi, żeby Go zgładzić". Otóż wiedzieli, że noc nie jest dobrym czasem na podejmowanie sądów, takie sądy były nielegalne. Więc to przesłuchanie, które dokonało się w nocy, dopełniono wyrokiem śmierci wydanym na drugi dzień rano. Możemy się tylko domyślać, jak wyglądała ostatnia noc w życiu Jezusa. W Jerozolimie, w dawnym pałacu arcykapłana Kajfasza, w miejscu które nosi nazwę *św. Piotra o pianiu koguta,* w kościele bardzo ładnym, bardzo zadbanym, są lochy pokazywane jako miejsce, gdzie Jezus przeżył ostatnią noc swojego ziemskiego życia. Nazajutrz:

> Związawszy Go zaprowadzili i wydali w ręce namiestnika Poncjusza Piłata.

W ten sposób Jezus stanął przed namiestnikiem rzymskim. Piłat był namiestnikiem w latach 26 – 36. Jeszcze do niedawna, do lat siedemdziesiątych, imię Piłata znane było tylko z *Wyznania Wiary,* i podawano w wątpliwość, czy on w ogóle istniał. W Cezarei Nadmorskiej, w teatrze zbudowanym przez Rzymian, odnaleziono kamień, który został wykorzystany jako stopień przy wejściu do teatru. Został ten kamień położony odwrotnie. I na jego spodniej stronie znaleziono inskrypcję, że budowla została zapoczątkowana w czasach, kiedy namiestnikiem rzymskim był właśnie Piłat. W ten sposób mamy spoza Biblii potwierdzenie o Poncjuszu Piłacie. Jezus stanął przed Piłatem.

> Jezusa zaś stawiono przed namiestnikiem. Namiestnik zadał Mu pytanie: «Czy Ty jesteś królem żydowskim?» Jezus odpowiedział: «Tak, Ja nim jestem». A gdy Go oskarżali arcykapłani i starsi, nic nie odpowiadał. Wtedy zapytał Go Piłat: «Nie słyszysz, jak wiele zeznają przeciw Tobie?» On jednak nie odpowiedział mu na żadne pytanie, tak że namiestnik bardzo się dziwił.

Oskarżenia Jezusa przed arcykapłanami miały charakter religijny. Oskarżenia Jezusa przed namiestnikiem rzymskim mają charakter polityczny. Tam został skazany na śmierć za to, że przedstawił siebie jako Syn Boży. To nie mogło być tytułem do skazania Go na śmierć przez Piłata. Zatem zamieniono to oskarżenie twierdząc, że podaje się za króla, a więc jest przeciwko porządkowi prawnemu. I ostatnie zdania:

> A był zwyczaj, że na każde święto namiestnik uwalniał jednego więźnia, którego chcieli. Trzymano zaś wtedy znacznego więźnia, imieniem Barabasz. Gdy się więc zebrali, spytał ich Piłat: «Którego chcecie, żebym wam uwolnił, Barabasza czy Jezusa, zwanego Mesjaszem?» Wiedział bowiem, że przez zawiść Go wydali. A gdy on odbywał przewód sądowy, żona jego przysłała mu ostrzeżenie: «Nie miej nic do czynienia z tym Sprawiedliwym, bo dzisiaj we śnie wiele nacierpiałam się z Jego powodu». Tymczasem arcykapłani i starsi namówili tłumy, żeby prosiły o Barabasza, a domagały się śmierci Jezusa. Pytał ich namiestnik: «Którego z tych dwóch chcecie, żebym wam uwolnił?» Odpowiedzieli: «Barabasza». Rzekł do nich Piłat: «Cóż więc mam uczynić z Jezusem, którego nazywają Mesjaszem?» Zawołali wszyscy: «Na krzyż z Nim!»

Wszystko było przygotowane wcześniej. Ukrzyżowanie było karą specyficznie rzymską. Poza zadaniem śmierci miało skazańca dodatkowo upokorzyć i przysporzyć męki. Takiej śmierci domaga się ten tłum, podjudzony przez arcykapłanów i starszych ludu. Nie tylko chcą, żeby Jezus umarł, ale chcą mieć widowisko z Jego śmierci. A więc na krzyż z Nim.

> Namiestnik odpowiedział: «Cóż właściwie złego uczynił?» Lecz oni jeszcze głośniej krzyczeli: «Na krzyż z Nim!» Piłat widząc, że nic nie osiąga, a wzburzenie raczej wzrasta, wziął wodę i umył ręce wobec tłumu, mówiąc: «Nie jestem winny krwi tego Sprawiedliwego. To wasza rzecz».

Ten gest Piłata to próba zrzucenia z siebie wszelkiej odpowiedzialności. Od tego człowieka zależał los Jezusa. Gdyby miał dość siły, mógł powiedzieć „Oskarżenia, z którymi przychodzicie, są za małe, żeby Go skazać na śmierć". Mógł Jezusa uwolnić. Nie zrobił tego.

> A cały lud zawołał: «Krew Jego na nas i na dzieci nasze». Wówczas uwolnił im Barabasza, a Jezusa kazał ubiczować i wydał na ukrzyżowanie.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przed tym okrzykiem: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze". Zdarzało się w przeszłości, a i dzisiaj się zdarza, że są chrześcijanie którzy uważają, że w ten sposób Żydzi wydali na siebie jakby nieustający wyrok śmierci — przyjmując zbiorową odpowiedzialność za śmierć Jezusa. Deklarując „Krew Jego na nas i na dzieci nasze", czyli odpowiedzialność za śmierć Jezusa spada na nich i na tych, którzy będą żyli w bliższej i dalszej przyszłości.

Otóż to spojrzenie nie bierze pod uwagę zwyczajnej prawdy, że nie ma odpowiedzialności zbiorowej. Że każdy ponosi winę za swoje grzechy, za swoje słabości. I że nie może być tak, że odpowiedzialnością za zło, za przestępstwo, czy za zbrodnię obarcza się innych ludzi.

W 1546 roku sobór trydencki uczył, i warto na sam koniec przypomnieć to nauczanie, **że bardziej niż ci, którzy na dziedzińcu Piłata wołali „Krew Jego na nas i na dzieci nasze" a nie rozumieli, kim jest Jezus, winni są Jego śmierci ci, którzy są chrześcijanami, a przez zło wydają ten wyrok śmierci po raz wtóry**. Przez czynienie zła raz jeszcze skazują Jezusa na śmierć. On bowiem umarł za nasze grzechy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas wszystkich.

Zatem na sam koniec trzeba powiedzieć, że na dziedzińcu pałacu Piłata była nie tylko grupa około 400 Żydów, by tylu mogło się tam zmieścić, którzy krzyczeli „Ukrzyżuj, ukrzyżuj", **ale właściwie byliśmy i my wszyscy — dlatego, że śmierć Jezusa ma wartość zbawczą za każdego człowieka.** I w tym, co krzyczeli tamci ludzie, tylko jakby znalazło wyraz to, co uzewnętrznia się w złych uczynkach, kiedy je popełniamy, które muszą być odkupione przez krew, i mękę, i śmierć Zbawiciela. Taki jest najgłębszy sens, zbawczy sens tej śmierci, że myśmy wszyscy tam byli.

I może właśnie te słowa niech zostaną nam jako przesłanie na koniec Wielkiego Postu.

4.7 Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa — spotkanie w drodze do Emaus (dn. 22 kwietnia 2002)

Kilka tygodni temu, w okresie Wielkiego Postu, zgłębialiśmy ewangeliczne opowiadanie o męce i śmierci Jezusa Chrystusa. Próbowaliśmy w okresie Wielkiego Postu dojrzeć to, co jest ważne dla naszej wiary, i co pozwala nam zrozumieć okoliczności męki i śmierci zbawczej Jezusa Chrystusa. Natomiast dzisiaj przejdziemy do tematu, który też ma związek z rokiem liturgicznym, aczkolwiek ma związek także z książką Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”.

Mianowicie przejdziemy do tematu Zmartwychwstania. Punktem wyjścia uczynię fragment wg. Ewangelii św. Łukasza. Natomiast punktem wyjścia jest również refleksja Ojca Świętego, który, tak jak niegdyś św. Paweł, czy jak w historii Kościoła wielu innych myślicieli i wierzących, bardzo mocno podkreślił, że Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa jest punktem centralnym naszej wiary. Że nie sposób być chrześcijaninem bez Zmartwychwstania, bez wiary w Zmartwychwstanie Chrystusa. Stąd dobrze będzie, jeżeli dzisiaj, w okresie wielkanocnym, przyjrzymy się prawdzie o Zmartwychwstaniu i spróbujemy powiedzieć, spróbujemy dojść do tego, co z tej prawdy o Zmartwychwstaniu także i dla nas wynika.

Otóż wyjdźmy od obserwacji bardzo prostej, ale niesłychanie ważnej — dobrze to wiemy, że rzeczy proste zawsze są najważniejsze. Otóż zadajmy sobie pytanie: *Dlaczego Jezus jest tak bardzo ważny dla naszego życia, i dla naszej wiary?* Można byłoby szukać i czekać na rozmaite odpowiedzi. Myślę, że wśród tych odpowiedzi, których byśmy sie spodziewali, pojawiłyby się następujące. Ktoś mógłby powiedzieć, że Jezus jest kimś bardzo ważnym dlatego, bo był człowiekiem dobrym, był też Synem Bożym. Że tym Synem Bożym pozostaje. A jako Bóg i Człowiek wyznacza, jeżeli tak można powiedzieć, fundament naszej wiary.

Ta odpowiedź jest prawdziwa, aczkolwiek nie jest to pełna prawda o Jezusie Chrystusie. Ktoś inny mógłby powiedzieć, że Jezus jest ważny, ponieważ uczył nas bardzo ważnych rzeczy. Uczył nas kochać człowieka, kochać świat, uczył nas miłości nieprzyjaciół. A ta cała Jego nauka jest na tyle heroiczna, że można uznać w Nim, i widzieć w Nim kogoś niezwykłego. Ale tutaj natychmiast można byłoby dodać, że w dziejach świata, a także i dzisiaj jest wielu takich myślicieli i nauczycieli, którzy uczą bardzo wzniosłych rzeczy. I gdybyśmy tylko z powodu ich nauki mieli pójść za nimi, albo ich naśladować, czy mieli wierzyć w nich, to nie byłoby jeszcze wystarczająco.

Ktoś mógłby powiedzieć, że powinniśmy wierzyć w Jezusa, i przyjąć Jego nauczanie dlatego, że On oddał za nas swoje życie. Poniósł mękę, został niesprawiedliwie skazany na śmierć, i ofiarował swoje życie za innych ludzi, że potrafił wspaniałomyślnie przebaczyć. Ale i to w ostatecznym rozrachunku nie jest jeszcze dostateczny powód do tego, by w Jezusa tak bezgranicznie wierzyć. Przypominamy sobie bowiem te fakty z dziejów ludzkości, i także współczesnego świata, kiedy jedni ludzie oddają swoje życie za innych ludzi. Przypominamy sobie o bezgranicznym heroizmie i bohaterstwie. Nieraz jesteśmy świadkami takiego bezgranicznego poświęcenia i heroizmu. I można by powiedzieć, że gdyby tylko życie Jezusa zasadzało się na takim właśnie heroizmie, to i też byłoby za mało. Nawet Jego życie, posunięte aż do śmierci za innych ludzi, to jeszcze za mało, żeby w Jezusa uwierzyć, i z kolei poświęcić Mu całe swoje życie, zwłaszcza jeżeli czynią tak miliony i miliardy wierzących na całym świecie i to w różnych okresach.

I tak dochodzimy do tej części odpowiedzi, która naprowadza nas na właściwy trop. Mianowicie musimy powiedzieć, że chociaż Jezus był dobrym człowiekiem, aczkolwiek Jezus jest Synem Bożym, aczkolwiek wzniośle nauczał, aczkolwiek posunął się do ofiary za innych ludzi posuniętej aż za cenę życia — to jednak najważniejszą prawdą o Jego losie, i najważniejszym wydarzeniem dla nas, pozostaje Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Pozostaje Zmartwychwstanie dlatego, że ono wyprowadza życie Jezusa poza perspektywę tego życia ziemskiego, doczesnego. Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa sprawia, że także życie każdego z nas, i życie każdego człowieka nie wyczerpuje wszystkich swoich możliwości pomiędzy poczęciem a naturalna śmiercią, lecz kieruje nasz wzrok w stronę rzeczywistości kompletnie nowej.

Można by powiedzieć, że jeżeli chcemy zrozumieć na czym polega ta definitywna, ostateczna i najważniejsza interwencja Boga w dzieje ludzkości i w dzieje każdego człowieka w Zmartwych-

wstaniu Jezusa Chrystusa, to możemy się przyglądać temu Zmartwychwstaniu także po to, żeby zrozumieć coś z naszego przeznaczenia i z naszego losu. To właśnie dzięki Zmartwychwstaniu my też traktujemy śmierć jako przejście i wierzymy, że ten nasz los na ziemi, choćby był najdłuższy, liczył sobie osiemdziesiąt, sto a nawet więcej lat, jest tylko jakimś przelotnym epizodem w bezgranicznej historii świata i człowieka napisanej przez Pana Boga, która wykracza poza bramę śmierci.

I tak dochodzimy do kolejnej bardzo ważnej rzeczy. Otóż każdy z nas chciałby wiedzieć jak wygląda to życie po śmierci. Każdy z nas chciałby jakby namacalnie się przekonać albo osiągać pewność, że to życie po śmierci nie tylko jest, ale mówiąc po ludzku, wręcz ekonomicznie, że będzie nam się opłacało życie z Bogiem. Chcielibyśmy wiedzieć, że warto jest teraz żyć tak czy inaczej również po to, żeby to życie, które daje nam Pan Bóg, nas w niczym nie zwiodło, nie oszukało, nie okłamało tak, jak tyle innych rzeczy w świecie, w którym żyjemy. Żeby to było życie „warte" — jak powiedzielibyśmy w obiegowym języku — zachodu, a więc takiego trudu, dzięki któremu moglibyśmy je osiągnąć.

I dzisiaj, kierując się także wskazaniami w książce „Przekroczyć próg nadziei", bo papież podjął tę perspektywę Zmartwychwstania, chciałbym z państwem zatrzymać się nad bardzo dobrze znanym tekstem, który kieruje naszą myśl ku Zmartwychwstaniu Jezusa, i ku naszemu zmartwychwstaniu. Jest to tekst o ukazaniu się Jezusa uczniom udającym się do Emaus (Łk 24). Jeżeli przeczytamy ten tekst bardzo wnikliwie, a będziemy chcieli zrobić to właśnie dzisiaj, to myślę że uchylimy rąbka tajemnicy dotyczącej tego życia, którego — słusznie — z Jezusem Chrystusem i dzięki Niemu się spodziewamy.

Otóż zanim zacznę czytać chciałbym zwrócić uwagę czy przypomnieć pokrótce to, co mówiliśmy przed paroma tygodniami mocno podkreślając, że ostatnie dni, a zwłaszcza ostatnie godziny życia Jezusa Chrystusa, są w Ewangeliach opisane bardzo szczegółowo. Przypomnijmy tylko to, co jest najważniejsze. Po pojmaniu w Wielki Czwartek, po aresztowaniu Jezusa, po doprowadzeniu Go do pałacu najwyższego kapłana przed sanhedryn, tam zapadł wyrok śmierci ze strony najwyższej rady żydowskiej. Ten wyrok śmierci miał charakter religijny. Zarzucono bowiem Jezusowi bluźnierstwo pytając Go przez usta arcykapłana: „Czy Ty jesteś Synem Bożym? Czy Ty jesteś Mesjaszem, który miał przyjść, Synem Najwyższego?" I wtedy wobec najwyższego kapłana, wobec najwyższego autorytetu Starego Testamentu, Jezus wyznał „Tak, Ja nim jestem". I padł za to wyrok śmierci: „Zbluźnił, na cóż jeszcze trzeba nam świadków". Okazało się, że w tym zapytaniu arcykapłan nie chciał dowiedzieć się o Jezusie, ale pytanie potraktował jako pretekst do skazania Go.

Tak rozpoczęły się liczne upokorzenia, które pewnie trwały całą noc z Czwartku na Piątek. I po tej ostatniej nocy ziemskiego życia Jezus rano w Piątek został zaprowadzony przed rzymskiego namiestnika Piłata, który miał potwierdzić ten wyrok śmierci. Piłat wyrok śmierci potwierdził pomimo rozmaitych wahań. Na końcu co prawda umył ręce i powiedział „Nie jestem winien krwi tego sprawiedliwego", ale faktem jest, że nie miał na tyle odwagi, aby od tych nacisków i od tych żądań odstąpić. I czytamy w Ewangelii, że późnym rankiem Jezus rozpoczyna swoją drogę krzyżową, i kieruje się na Kalwarię. Ta chronologia jest bardzo ważna, ponieważ nie mamy żadnych wątpliwości co do tego, że przed swoją śmiercią Jezus w okrutny sposób został upokorzony i cierpiał. I z tym krzyżem, w otoczeniu tych, którzy na Niego patrzyli, tych którzy Mu ewentualnie tak, jak Szymon Cyrenejczyk czy Weronika pomagali, Jezus udaje się na Golgotę.

Około godziny szóstej dnia, czyli około południa, został zawieszony na drzewie krzyża. I ewangeliści bardzo mocno podkreślają, że Jezus umarł na krzyżu ok. dziewiątej godziny dnia, czyli około naszej trzeciej po południu. Z tego wnosimy, że wisiał na krzyżu przez ok. trzy godziny. Wspominałem państwu parę tygodni temu, że te trzy godziny męki na krzyżu, w porównaniu do innych tego rodzaju męczarni, jakie musieli znosić ukrzyżowani, nie było tak bardzo długo. Otóż po powstaniu Spartakusa, powstaniu niewolników przeciwko rzymskim panom, Rzymianie ukrzyżowali tysiące niewolników przy słynnej rzymskiej drodze Via Apia. Ukrzyżowali ich po obydwu stronach drogi i ci nieszczęśnicy, jak opisują starożytni historycy, męczyli się po dwa, trzy dni padając również łupem drapieżnego ptactwa, upału. Ponieważ byli to ludzie młodzi, niewolnicy przyzwyczajeni do prac bardzo ciężkich, ich śmierć upływała w okrutnych męczarniach. Zostawmy na boku tę całą krwawą scenerię. Śmierć Jezusa nastąpiła szybciej.

Ale tutaj bardzo mocno podkreślam to, na co wskazują Ewangelie, mianowicie — Jezus naprawdę umarł. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ewangeliści mocno podkreślają, że Jezus

przeszedł przez śmierć. Po tym względem świadectwo ewangelistów jest absolutnie zgodne. Podają oni nawet ostatnie słowa Jezusa, które wypowiedział na krzyżu, aż do tych, o których pisze św. Jan: „Wykonało się, wypełniło się”. A więc Jezus umierał zupełnie świadomie, i świadomie też przyjmował Swój los jako spełnienie Starego Testamentu. Ewangelista dodaje że kiedy Jezus zmarł, chciano się upewnić że tak rzeczywiście było. Wobec tego przebito Mu włócznią bok. Był bowiem taki zwyczaj wśród Rzymian, zwłaszcza wtedy, kiedy odchodzili od ukrzyżowania, kiedy musieli wracać do domu, albo kiedy mówiąc trywialnie nie chciało im się pilnować skazańców, że wtedy przebijano im bok, albo też łamano ich nogi powyżej kolan. Łamanie nóg, uderzając mieczem czy włócznią, odbywało się po to, żeby ciało pod swoim naturalnym ciężarem opadło. Wtedy taki ukrzyżowany człowiek po prostu się dusił.

Przepraszam, że mówię o takich szczegółach. Ale mówię o tym dlatego, żebyśmy byli bardzo wrażliwi na różnego rodzaju takie tendencje, które pojawiają się od czasu do czasu także dzisiaj, pseudosensacje i pseudodomysły pojawiające się w publikacjach czy filmach przeznaczonych na użytek wielu, gdzie sugeruje się że Jezus umarł pozornie, albo że popadł w letarg, a następnie, kiedy ochłonął lub powrócił do życia, uczniowie wykradli jego ciało, przenieśli gdzieś do Jordanii, albo w Himalaje. Tam doszedł do siebie, i — jak sugeruje jeden z pseudobiblistów — nawet ożenił się z Marią Magdaleną, żyli długo i szczęśliwie itd. Otóż ludzka fantazja nie ma granic. I ludzka wola, żeby zasłynąć, albo w jakikolwiek sposób zasugerować coś nowego, jakieś nowinkarstwo czy plotkarstwo, też nie ma żadnych ograniczeń.

My musimy być świadomi, że podstawą, że punktem wyjścia do prawdy o Zmartwychwstaniu jest pewność, że Jezus rzeczywiście na drzewie krzyża umarł. I co do tego Ewangelie są absolutnie zgodne. I to przeświadczenie stanowi również punkt wyjścia do epizodu ewangelicznego, który chcielibyśmy dzisiaj sobie przeczytać. Bo trzeba nam uznać ten fakt w przypadku Jezusa, podobnie jak trzeba nam przyjąć do wiadomości, że taki sam los — tzn. dojście do śmierci, umieranie, i przejście przez śmierć — jest przeznaczeniem każdego z nas. I chociaż w życiu i w losach ludzi bywają różne sytuacje, i zdarzają się rozmaite letargi od czasu do czasu także dzisiaj, które mają być wykluczone przez odpowiednie stwierdzenia lekarskie choćby, to jednak powiedzieć trzeba, że śmierć wciąż zbiera swoje żniwo. I pod tym względem śmierć jest nieuchronna. Są tacy, którzy mówią, że jest sprawiedliwa, ale chyba mimo wszystko i w śmierci jest pewna niesprawiedliwość. Bo chociaż wszyscy umierają, to nie każdy umiera w taki sam sposób. A więc i w śmierci też jest jakaś nierówność, ale to już jest tajemnica, której na pewno nie zgłębimy.

Przyjmujemy więc za Nowym Testamentem pewność, że Jezus Chrystus umarł. I z taką pewnością wracamy do dnia Jego ukrzyżowania i śmierci. Ta śmierć nastąpiła ok. godziny trzeciej po południu. Ponieważ to był piątek, a wraz z zachodem słońca rozpoczynał się szabat — czyli następny dzień, a w dodatku był to dzień świąteczny, dzień Paschy, to konsekwentnie powinnością Żydów było dopełnienie choćby szybkiego pogrzebu Jezusa przed zachodem słońca. Zachód słońca w Palestynie o tej porze następuje ok. godziny 18.30 - 19. A Jezus umierał, jak wyliczyli historycy, na początku kwietnia, prawdopodobnie 3 kwietnia 30 roku. Zatem około 3 kwietnia ciemno robiło się ok wpół do siódmej wieczorem. Szabat zaczyna się kilka minut wcześniej, czyli na pogrzebanie ciała Jezusa było ok. 3 godzin. Zdjęto wic ciało z krzyża, pośpiesznie obmyto. Zwyczaj przewidywał, że powinno być również namaszczone specjalnymi olejkami, przeznaczonymi dla ciał zmarłych. Tego obowiązku jednak kobiety nie zdążyły dopełnić, i złożono ciało Jezusa w pobliskim grobowcu należącym do Józefa z Arymatei.

Złożenie w grobowcu właśnie tego człowieka nie było przypadkowe dlatego, że Józef należał do uczniów Jezusa, a w każdym razie był zainteresowany Jego nauką. I możemy się domyślać, że on sam dobrowolnie ofiarował swój grobowiec dla założenia ciała Jezusa. Zapewne wszyscy wiemy, że groby w starożytnej Palestynie wyglądały inaczej, niż grzebanie ciała zmarłych w naszych warunkach dzisiaj. Że te groby były zrobione w skalnych pieczarach. Że tam wykuwano takie skalne ławy, na których składano ciało owinięte prześcieradłami. I to ciało było już powierzone własnemu losowi. Następnie zataczano kamień do grobu. Nawet zachował się do dnia dzisiejszego taki kamień do grobowca, który był przy grobowcu króla Heroda. I mamy bardzo dobre pojęcie, jak ta tradycja grzebalna w tamtych czasach wyglądała.

I teraz możemy przejść do naszego tekstu. Bo to wszystko, co powiedziałem, można by streścić w jednym zdaniu: Jezus cierpiał, Jezus umarł, Jezus został pogrzebany. Gdyby na tym Jego los

się skończył, to można by powiedzieć, że był dobrym człowiekiem, wspaniałym nauczycielem, kimś niezwykłym. Ale można by również powiedzieć, że pod tym względem nie różnił się od wielu, pewnie tysięcy czy milionów dobrych ludzi, którzy żyli szlachetnie, którzy uczyli wzniosłych spraw, i których los jest właśnie taki. I właśnie tu zaczyna się ta nowość Ewangelii. W Ewangelii św. Łukasza czytamy takie słowa:

> Tego samego dnia dwaj uczniowie byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej sześćdziesiąt stadiów od Jerozolimy.

„Tego samego dnia" — chodzi o niedzielę, około południa. Dlatego, że ciało Jezusa złożone w piątek po południu było przez cały szabat, czyli przez sobotę, w grobie. Nikt tam do grobu nie chodził zgodnie z żydowskim zwyczajem, zakazującym kontaktu z ciałem zmarłego w szabat, i zakazującym jakichkolwiek czynności przy ciele zmarłego. Natomiast w samą niedzielę rano, czyli w pierwszy dzień tygodnia według żydowskiej rachuby czasu, te kobiety, które na co dzień posługiwały Jezusowi, były Mu tak oddane, że i po śmierci chciały Mu oddać ostatnią przysługę polegającą na namaszczeniu Jego ciała. Proszę zwróćmy uwagę na pewien szczegół, który jest bardzo wzruszający — mianowicie na bezgraniczne oddanie tych kobiet. Apostołowie tej powinności nie dopełnili. Natomiast kobiety, które były z Jezusem i z Apostołami, były do tego stopnia przywiązane do swego Mistrza, że postanowiły aby Jego ciało, spoczywające w grobie, doznało tych wszystkich tradycyjnych i zwyczajowo przyjętych obowiązków, powinności, które ciału zmarłego się należały. I wiemy, że kiedy przybyły do grobu, ciała nie zastały. Zobaczyły tylko te opaski. I wiemy, że przerażone udały się do Apostołów obwieszczając im, że ciała nie ma.

Nie powiedziały oczywiście, że Jezus zmartwychwstał, aczkolwiek miały widzenia. To przecież Apostołowie nie byli w stanie zrozumieć, co to jest zmartwychwstanie, bo przecież nigdy zmartwychwstania nie przeżyli, ani nie mieli pojęcia, co ono znaczy. Kiedy wrócili do Piotra i Jana, Piotr i Jan udali się do grobu i tam doświadczyli znowu, że ciała nie ma, oraz doświadczyli, czy też usłyszeli, wieść o zmartwychwstaniu Jezusa. Byli pełni zakłopotania dlatego, że ta wieść była dla nich czymś radykalnie nowym. I możemy się dalej domyślać, że nawet jeżeli tego samego dnia opowiadali o tym innym, to po pierwsze — na pewno inni Apostołowie odnosili się do tej wieści sceptycznie, a po drugie — nie wszyscy Apostołowie i uczniowie w ciągu kilku godzin mogli się o tej prawdzie o zmartwychwstaniu dowiedzieć.

I tu w naszym epizodzie mamy dwóch uczniów, którzy udają się z Jerozolimy do Emaus, miejscowości oddalonej o ok. 11 - 12 km. Tradycja starochrześcijańska umiejscawia to Emaus we wsi, która dzisiaj nosi nazwę arabską al-Qubebeih, po polsku *kopułka, mała kopuła.* Najprawdopodobniej kiedyś była tam albo świątynia chrześcijańska, albo meczet, w kształcie kopuły, albo jakieś wzgórze przypominało kopułę. I tak ta nazwa się przyjęła, że została do dzisiaj. Nawiązując do tego, co dzisiaj dzieje się w Ziemi Świętej, to jest to osada arabska, znajdująca się na peryferiach żydowskiej części Jerozolimy. Kiedy byłem tam ostatni raz we wrześniu 2000 roku, to w tej osadzie była straszliwa bieda, urągająca jakimkolwiek ludzkim warunkom dlatego, że Żydzi zablokowali jakąkolwiek możliwość kontaktów miejscowej ludności z sąsiadami, także z arabskimi sąsiadami. Rodziny arabskie mają dużo dzieci, po cztery, po sześcioro, po ośmioro dzieci. Tym dzieciom trzeba dać jeść — tymczasem nie ma co jeść. Same miejscowe winnice, sady oliwne, czy pola nie wystarczą do wykarmienia tej ludności. I ta wieś aż gotowała się z takiej biedy. Kiedy tam byliśmy,wyglądało to nie najlepiej. Widać było to wzburzenie, tę krzywdę tych ludzi. Myślę, że ci z państwa, którzy byli w Ziemi Świętej, pamiętają zapewne przejazd przez to Emaus zaniedbaną drogą pełną dziur, i ludzi, patrzących na przybywających turystów i pielgrzymów z poczuciem pewnego dystansu. A w tym dystansie była też ich krzywda. Taka jest ta dzisiejsza rzeczywistość Ziemi Świętej. A teraz, jak wiemy, ta rzeczywistość jest o wiele bardziej krwawa.

Więc ci dwaj uczniowie zmierzają do tej wsi, która w starożytności nosiła nazwę Emaus. Skoro to było 11 - 12 km, to możemy się domyślać, że droga zajmowała ok. 3 godzin. Teren jest bardzo pagórkowaty. Podróże w Palestynie, tak dawniej, jak i dzisiaj, zaczynano w takiej późniejszej porze poobiedniej, gdzieś tak koło godziny trzeciej, wpół do czwartej. A więc rozpoczynano podróżowanie w momencie, gdy słońce nie prażyło już tak mocno, jak w południe. Przy drodze około 12 km wystarczyło wyjść koło trzeciej po południu, by przed wieczorem dojść do Emaus. I ci dwaj idą.

> Rozmawiali oni z sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali ze sobą, sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi.

Otóż treścią rozmowy uczniów było to, co się wydarzyło w Jerozolimie. Oczywiście chodziło o to, co się wydarzyło z Jezusem. Z całą pewnością w tej rozmowie był jakiś rodzaj zakłopotania, zawodu, zdesperowania. Bo oto uczniowie chodzili z Jezusem, słuchali Jego słów, oglądali Jego czyny. Być może widzieli Jego cuda, słyszeli o wskrzeszeniu Łazarza. Domyślali się, że wraz z Nim będą mogli przeżyć jakąś część ludzkiej chwały. A to wszystko okazało się płonne, złudne. I oto przekonali się, że los Jezusa legł całkowicie w gruzach. I na pewno w ich zachowaniu, w ich rozmowie był jakiś rodzaj zakłopotania, a na pewno też, jak dowiemy się za chwilę, również rodzaj zwątpienia. I tu dochodzimy do rzeczy, do sprawy niezwykle tajemniczej. Bo gdy rozmawiali i rozprawiali, a więc dyskutowali ze sobą, może jeden przekonywał drugiego, przedstawiali rozmaite racje,

> sam Jezus przybliżył się i szedł z nimi.

I tu aż się prosi — bo dochodzimy do tajemnicy, która również i nas dotyczy — aż się prosi zadać pytanie: No dobrze, skoro Jezusa tyle czasu znali, skoro towarzyszyli Mu, skoro szli za Nim, no to przecież musieli od samego początku Go rozpoznać! Musieli rozpoznać w tym tajemniczym nieznajomym Mistrza, z którym przeżyli jakiś czas swojego życia. I tu okazuje się, że było zupełnie inaczej, bo czytamy:

> Lecz oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali.

Otóż dochodzimy do jednej z największych tajemnic, dotyczących zmartwychwstania Chrystusa, i zmartwychwstania naszego. Jezus ukazuje się w swoim ciele. Ale jednocześnie rozpoznanie Jezusa zależy od swoistego wzroku, który potrafi wyjść poza ludzkie uwarunkowania. Ich „oczy były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali.” Jezus pozostawał sobą, ale jednocześnie musiał być kimś innym, skoro ono go nie poznali. Jakie to ma znaczenie dla nas? Otóż ma to znaczenie w odpowiedzi na pytanie: jak będziemy wyglądać, jakie będzie ciało, kim będzie człowiek po zmartwychwstaniu.

Jeżeli chcemy tę sprawę maksymalnie uprościć, to moglibyśmy powiedzieć tak. Cisną się człowiekowi na usta rozmaite pytania. Mianowicie jakimi zmartwychwstaniemy? Czy takimi, kiedy byliśmy w najpiękniejszym okresie swojego życia? Czy takimi, jakimi znali nas nasi najbliżsi wtedy, kiedy wiązali się z nami na całe życie? Czy może takimi, jakimi żeśmy umierali, czyli starszymi czy wręcz starymi i schorowanymi? Czy zmartwychwstając pozostaniemy w swojej płci, i w swojej urodzie, i całej reszcie swoich uwarunkowań? Czy też będzie inaczej? A jeżeli mielibyśmy zmartwychwstać, bo przecież mamy zmartwychwstać z duszą i ciałem, to czy nie będzie wielką niesprawiedliwością to, że jeżeli ktoś jest kaleką to aby mógł pozostać sobą, to i po zmartwychwstaniu jego fizyczny wygląd wiele się nie zmieni? Czy zmartwychwstanie miałoby polegać na tym, że piękni i przystojni pozostaną piękni i przystojni, a ci, których fizyczny wygląd się nie powiódł, nawet nie zdążyli się do niego przyzwyczaić, tak przy tym pozostaną? A jak będzie z wyglądem tych, którzy umarli jako maleństwa czy też w łonie matek? A jak będzie z wyglądem tych, których ciała zostały tragicznie czy dramatycznie oszpecone?

Proszę zwróćmy uwagę, że tych pytań nigdy głośno nie stawiamy — z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że boimy się odpowiedzi. Że nie znamy odpowiedzi. A po drugie dlatego, że sami przeczuwamy że w tych pytaniach, i w odpowiedzi na te pytania, tkwi jakaś nie dająca się przezwyciężyć pułapka, tkwi jakieś nie dające się przezwyciężyć napięcie. Sami czujemy, że w ten sposób nie można sprawy stawiać. Bo chociaż zmartwychwstaniemy z duszą i ciałem, to jednak przykładanie wagi do ciała w sposób zbyt wyraźny, zbyt dosłowny, może się okazać dla nas wszystkich zwodnicze. I ten epizod z uczniami, do których przyłączył się Jezus, jest pod tym względem bardzo wymowny. Bo oto Jezus idzie ze swoimi dwoma uczniami, którzy Go doskonale znają, ale jednocześnie oni Go nie mogą rozpoznać. *Najwyraźniej więc On jest sobą, ale nie fizyczny wygląd przesądza o tym, że oni Go rozpoznają.* Normalnie rozpoznajemy człowieka po jego sylwetce, po jego wyglądzie, po ruchach, po sposobie poruszania się, po twarzy czy po sposobie mówienia.

A tu po zmartwychwstaniu dochodzimy do przedziwnej tajemnicy polegającej na tym, że ciało i wszystko to, co dotyczy ciała, okazuje się niewystarczające, a nawet zawodne. I w tym, co się

przytrafiło, co się przydarzyło dwóm uczniom zdążającym do Emaus, jest jakaś odpowiedź na to pytanie, na tę tajemnicę, którą również i my nosimy w sobie. *Mianowicie my wraz ze śmiercią, i po niej, pozostaniemy sobą. Ale tajemnicą samego Pana Boga jest to, jak po zmartwychwstaniu ciała będzie wyglądała nasza osobowa tożsamość.* Uczniowie rozpoznają Jezusa. Ale rozpoznają Go nie dzięki temu, jak wyglądał, tylko na innej drodze. Przypomnijmy sobie, że to nie była sprawa wyjątkowa, ponieważ w wielu innych opisach Chrystofanii, czyli ukazywań się zmartwychwstałego Jezusa, mamy tą samą sytuację. Mianowicie dopiero po jakimś czasie, dopiero w skutek jakichś nowych okoliczności uczniowie rozpoznają, że to jest Pan, to jest Jezus. Natomiast za pierwszym razem oczy ich były jakby na uwięzi.

Co z tego wynika? Raz jeszcze podejmijmy to pytanie i dla nas. Otóż zdarza się że w naszej refleksji, zwłaszcza tej najtrudniejszej, gdy i teologowie, i księża są bezsilni, zadaje się najprostsze pytania. Jak będzie w życiu przyszłym? Czy będą tam ci, których ja kocham? Czy będą tam ci, z którymi jestem teraz związany bądź związana? Bo jeżeli miałoby to być niebo bez nich, no to co mi z takiego nieba! Co z nieba dla matki, która nie mogłaby tam rozpoznać i przeżywać szczęścia z własnymi dziećmi? Co z nieba dla kochającego się męża i żony, gdyby któregokolwiek z nich brakowało w tym życiu przyobiecanym przez Boga? Cóż to byłoby za szczęście, gdyby się okazało, że byłoby to szczęście samotnych, albo w jakimś sensie opuszczonych? Myślę, że każdy z nas stawał wobec takich pytań, że nie są to wcale pytania wydumane. Otóż żeby być szczęśliwymi my potrzebujemy nie tylko Pana Boga, aczkolwiek Jego na pewno, ale potrzebujemy również innych ludzi — bo jesteśmy ludźmi. Żeby być szczęśliwymi to możemy osiągnąć to szczęście w zjednoczeniu z Bogiem, ale nie za cenę zapomnienia o innych ludziach. Ani nie za cenę odrzucenia, czy też utraty pamięci o naszych najbliższych.

Więc ten epizod wskazuje nam na prawdę, której do końca naszym rozumem i naszymi zmysłami przebić w żaden sposób nie możemy. A prawda ta brzmi tak: Zmartwychwstałe ciało pozostaje sobą, zmartwychwstały człowiek pozostaje sobą, ale rozpoznanie go i uznanie go to nie jest tylko sprawa zmysłów. To nie jest tylko sprawa tego poznawania, tego sposobu percepcji, tego sposobu postrzegania świata, jaki towarzyszy nam, jaki jest nieodłącznym składnikiem dzisiaj.

Otóż dzisiaj wszystko dociera do nas przez zmysły. A po śmierci pozostaniemy sobą, ale jednocześnie jest coś, jakiś nowy wymiar, który przynależy tylko do Pana Boga. My nie możemy tego wymiaru opisać inaczej, niż uczynił to ewangelista: „oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali." Być może więc wieczność, czy życie z Bogiem, polega także na nieustannym i posuwającym się rozpoznawaniu wszystkich, którzy towarzyszą nam dzisiaj i wszystkich, którzy nam kiedykolwiek towarzyszyli. Raz jeszcze powtarzam — żeby człowiek mógł przeżywać szczęście to paradoksalnie nie wystarczy mu sam Pan Bóg, lecz potrzebni są także inni, stworzeni jako dzieci Boże, jako obraz Boży. I ci wszyscy inni będą nam w życiu przyszłym towarzyszyć. Posuńmy się krok dalej.

> On zaś ich zapytał: «Cóż to za rozmowy prowadzicie z sobą w drodze?» Zatrzymali się smutni. A jeden z nich, imieniem Kleofas, odpowiedział Mu: «Ty jesteś chyba jedynym z przebywających w Jerozolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach stało». Zapytał ich: «Cóż takiego?» Odpowiedzieli Mu: «To, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu;

Zwróćmy uwagę, że ten tajemniczy nieznajomy przybliża się do dwóch swoich uczniów i rozpoczyna z nimi rozmowę na tematy, które ich mocno interesowały i ich mocno dotyczyły. Rozpoczyna tę rozmowę, ale można by powiedzieć, że ją w pewien sposób prowokuje i ustawia, ukierunkowuje. Mianowicie udaje ignorancję, udaje niewiedzę. Chce z nich wyciągnąć ich własne doświadczenie. To nas naprowadza na kolejną prawdę o życiu wiecznym, i o życiu zamierzonym przez Pana Boga. Mianowicie my wszyscy patrzymy na nasze życie przez pryzmat śmierci, która je kończy. Dla człowieka żyjącego na tym świecie śmierć jest ostateczną granicą, poza którą nie możemy wyjść. Możemy upatrywać sensu każdego ludzkiego życia i możemy go objaśniać tylko właśnie od czasu, kiedy ono zaistniało, do śmierci. Natomiast śmierć stanowi ten absolutny koniec, zarówno jeżeli chodzi o życie innych, jak i każdego z nas. Uczniowie są dokładnie tacy, rozprawiają o tym, co się wydarzyło, uznając śmierć za nieprzekraczalną barierę. Otóż jeżeli ktokolwiek uznaje śmierć za absolutny koniec, to oczywiście musi życie objaśniać i pojmować w tych ramach od poczęcia bądź

narodzin, do śmierci. Zatem można by powiedzieć, że ten najbardziej podstawowy i najważniejszy spór dotyczący sensu ludzkiego życia jest także sporem, który dotyczy *natury śmierci.* I dotyczy tego, czym ona jest: czy jest zwieńczeniem ludzkiego życia, czy ona jest absolutnym końcem, czy też jest przejściem, bramą. Dla tych dwóch uczniów śmierć była absolutnym końcem.

Tak śmierć pojmował, w gruncie rzeczy, Stary Testament. W Starym Testamencie znajdujemy tęsknotę za życiem wiecznym. W Starym Testamencie znajdujemy tęsknotę za nieśmiertelnością. Ale Stary Testament przyjmował, że śmierć stanowi naturalne zakończenie ludzkiego życia. A co jest potem? Stary Testament odpowiadał, że jest kraina, którą nazywał Szeol. I w tej krainie są ci, którzy żyli kiedykolwiek, jak swoiste cienie, jak w greckim Hadesie, ale los ich jest kompletnie nieznany, i nie do przeniknięcia. I dla tych dwóch uczniów los Jezusa był nie do przeniknięcia. Oni stanęli przed tą śmiercią jak przed jakąś zasłoną, która uniemożliwia jakikolwiek wgląd w to, co jest później — nawet, jeżeli to coś istnieje. Jezus włącza się w tę logikę, postrzegającą śmierć w taki właśnie sposób, i zadaje im pytanie: „Co stało się w tych dniach?” A oni Mu tłumaczą dzieje męki i śmierci Jezusa.

> Zapytał ich: «Cóż takiego?» Odpowiedzieli Mu: «To, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i nasi przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali.

Zatem dla nich Jezus to jest dobry człowiek, nauczający wzniosłych rzeczy, który przez arcykapłanów i starszych został wydany na śmierć i ukrzyżowany. Oni patrzą w kategoriach tego, co moglibyśmy dzisiaj nazwać *eschatologią doczesną.* Oni myślą sobie mniej więcej tak. Jeżeli Pan Bóg istnieje, to dobremu człowiekowi powinno powodzić się dobrze. Jezus był dobrym człowiekiem, nauczał pięknych i wzniosłych spraw, zatem jego śmierć była czymś bardzo niesprawiedliwym. Gdyby Bóg istniał, i gdyby Bóg był sprawiedliwy, powinien Go uchronić przed taką nędzną śmiercią. I dodają jeszcze:

> A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela. Tak, a po tym wszystkim dziś już trzeci dzień, jak się to stało.

Zwróćmy uwagę: oni znają zapowiedzi Starego Testamentu. Ale zapowiedzi Starego Testamentu pojmują bardzo dosłownie, tzn. w odniesieniu do tego życia. Spodziewają się, że jeżeli Bóg chce człowiekowi pomóc, to powinien mu pomóc w tym życiu. *Sądzę, że chyba na tym polega największy dylemat ludzi wierzących do dnia dzisiejszego, największy dylemat każdego z nas.* I to jest największa słabość naszej wiary. Bo my mamy dokładnie tę samą pokusę, myślimy mniej więcej tak samo. Boże, jeżeli jesteś, jeżeli chcesz mi pomóc, jeżeli jesteś dla mnie dobry — to pomóż mi dzisiaj! Powodzi mi się źle — więc daj! Dzieje się mi krzywda — przywróć sprawiedliwość! Zachorowałem — daj mi zdrowie! Zbliżam się do śmierci — wydłuż mi życie! Zatem chcielibyśmy sprowadzić skuteczność Pana Boga do ram tego życia, jakie teraz mamy. Mówiąc prawdę to nie ma w tym nic dziwnego — dlatego, bo innego życia nie znamy. Dlatego, bo to, które mamy, potrafimy z małymi wyjątkami bardzo cenić.

Mówię „z małymi wyjątkami”, bo zdarzają się ludzie, którzy tego życia nie cenią i ci posuwają się do samobójstwa, czy jakichś innych form targnięcia się na własne życie czy zdrowie. Są tacy! A więc człowiek jest tak aż tajemniczy i tak niezgłębiony, że nawet nie musi być tak mocno przywiązany do swojego życia. Ale ogromna większość z nas widzi całą skuteczność i owocność Bożej pomocy właśnie w tych ramach, które śmierć definitywnie zamyka. Jeżeli więc Pan Bóg nie da nam pomyślności, jeżeli Pan Bóg nie odpowie na nasze modlitwy i potrzeby, jeżeli Pan Bóg nie da nam zdrowia w chorobie, jeżeli Pan Bóg nie odłoży chwili śmierci, to nie tylko się przeciwko Niemu buntujemy, ale jesteśmy gotowi w Niego zwątpić. Jesteśmy gotowi zwątpić w Jego dobroć. Tak w gruncie rzeczy było z tymi dwoma uczniami. Oni mieli za złe Panu Bogu, że Pan Bóg ich w jakimś sensie zwiódł, czy wręcz oszukał. Bo mówią: „a myśmy się spodziewali ... A dzisiaj już trzeci dzień mija, jak się to wszystko stało.”

Dochodzimy, raz jeszcze powtarzam, do największego problemu wiary religijnej, wiary chrześcijańskiej. Jeżeli nasza wiara w Boga miała by nam służyć tylko do układania sobie życia na ziemi, to musielibyśmy uznać jakąś przegraną, jakąś porażkę. Ale wtedy musielibyśmy również uznać jakąś

przegraną Pana Boga. Bo gdyby Bóg odpowiadał na wszystkie prośby dotyczące tego życia, to byłby nikim więcej, jak tylko narzędziem w naszym ręku. I można by powiedzieć, że każda religia byłaby swoistą formą magii usiłującej wywrzeć presję na Panu Bogu, i odkładać naturalny porządek rzeczy bądź go diametralnie zmieniać. Natomiast religijność, religia, wiara chrześcijańska kieruje nasz wzrok poza granicę śmierci. Posłuchajmy dalej:

> Tak, a po tym wszystkim dziś już trzeci dzień, jak się to stało. Nadto jeszcze niektóre z naszych kobiet przeraziły nas: były rano u grobu, a nie znalazłszy Jego ciała, wróciły i opowiedziały, że miały widzenie aniołów, którzy zapewniają, iż On żyje.

Zwróćmy uwagę na to ważne słowo „przeraziły nas". Kobiety opowiadały, że ciała nie ma, i miały widzenie aniołów, ale uczniowie nie uwierzyli w zmartwychwstanie. Byli raczej przerażeni, że oto wydarzyło się coś, czego oni nie rozumieją. I tak dochodzimy do drugiego aspektu wiary. Mianowicie wiara w Jezusa Zmartwychwstałego stawia nas wobec rzeczywistości, której nie rozumiemy. Człowiek ma to do siebie, że chciałby wszystko zrozumieć, ująć w definicje, opisać, wyjaśnić. Bo w ten sposób wydaje się nam, że potrafimy przyrodę i to, co nas otacza, po prostu ujarzmić. Jeżeli potrafimy wykorzystać rozmaite prawa przyrody, potrafimy dzięki temu prowadzić samochód, jechać samochodem, budować autostrady, ale potrafimy dzięki temu latać samolotem, lądować na księżycu i wracać stamtąd, budować statki itd.

I ta racjonalność, ta wola racjonalności w odniesieniu do stworzonego świata chce nam towarzyszyć również, czy chce ożywiać również nasze własne życie. Chcemy, żeby w naszym życiu wszystko było zrozumiałe. Więc jeżeli w naszym życiu wydarza się coś, czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć, to nawet jeżeli to jest dobre, to budzi w nas przerażenie. Bo jeżeli człowiek czegoś nie rozumie to nawet, gdy przeżywa dobro, to spodziewa się że po nim może nastąpić zło, którego również nie będzie rozumiał. Albo że to dobro ostatecznie nie będzie miało takich rezultatów, jakie ma dzisiaj.

I uczniowie też usłyszeli, że ciała Jezusa nie ma. Usłyszeli, że kobiety opowiadają, że On żyje — ale wywołało to w nich przerażenie. I dalej:

> Poszli niektórzy z naszych do grobu i zastali wszystko tak, jak kobiety opowiadały, ale Jego nie widzieli».

A więc jedyne co wiedzą ci dwaj uczniowie to to, że ciała Jezusa w grobie nie ma. I nie mogą sobie z tą prawdą poradzić. I wtedy:

> Na to On rzekł do nich: «O nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swojej chwały?» I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykładał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego.

Znamy postawę uczniów. A teraz popatrzmy na postawę Jezusa. Nazywa tych dwóch „nierozumnymi". Otóż okazuje się zatem, że rozum człowieka ma to do siebie, że obok tych rzeczy, które są racjonalne i wytłumaczalne, powinien zaakceptować również takie rzeczy, których nie da się zrozumieć. *A więc rozumne jest uznanie braku wystarczających możliwości poznawczych rozumu.* Sprawą rozumu, powołaniem rozumu jest uznać własną niewystarczalność. Ktoś z państwa powie: jak to możliwe?

Otóż doświadczamy tego w naszym codziennym życiu, tylko nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego. Otóż obok tego, co jest logiczne i rozumne, uznajemy taki system wartości i takie aspekty życia, które z rozumem mają niewiele wspólnego. To jest dobroć, to jest miłość, to jest ofiara, to jest poświęcenie, to jest altruizm, to jest służba drugiemu człowiekowi. I wszystkie inne wartości, które w żaden sposób racjonalne nie są. Otóż kiedy matka sama głodna, ma kawałek dobrego pożywienia, i nie spożywa go, nie je go, żeby dać go dziecku, to odczuwa przy tym ogromną radość, ogromną satysfakcję. Nie dlatego, że sama się najadła, tylko dlatego, że widzi szczęście swojego dziecka. Kiedy kochamy drugiego człowieka, to odejmujemy coś sobie — co nie jest racjonalne, bo rozumne to byłoby zatroszczyć się o własne sprawy — ale wychodzimy naprzeciw temu drugiemu człowiekowi i odnajdujemy radość właśnie w czynieniu dobra, miłości, w miłosierdziu czy poświęceniu.

Otóż w naszym życiu już teraz jest w jakiś tajemniczy sposób zapisany przez Pana Boga ten nowy wymiar rzeczywistości, który w pełni poznamy i odkryjemy dopiero wtedy, gdy przejdziemy przez granicę, przez barierę śmierci. *My dziś kierujemy się rozumem, ale — dzięki Bogu — nie wyłącznie rozumem.* Ci dwaj zostali nazwani przez Jezusa „nierozumnymi”. A ich „nierozumność” polegała na tym, że nie umieli uznać ograniczeń rozumu. Że chcieli zrozumieć wszystko, co wydarzyło się z Jezusem. Tymczasem tego zrozumieć do końca nie można. I cała wielkość ludzkiego życia na tym polega, by uczynić w nim miejsce dla wartości innych niż rozum. I dalej Jezus mówi:

> Nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy!

Otóż człowiek, nawet jeżeli wierzy, to chciałby wybierać w tym życiu coś, co przychodzi mu łatwo uwierzyć, i ma inne sprawy, które odkłada na bok. Nasza wiara, podobnie jak nasza moralność, bywa bardzo selektywna. Z wielu przykazań chcielibyśmy wybierać te, którym wierności jest nam bardzo łatwo dochować. I w wierze jest podobnie. Kiedy dotykamy łatwych spraw, to gotowi jesteśmy przyjmować wszystko. Natomiast kiedy dotykamy spraw bardzo trudnych, wtedy i nasza wiara staje się ponad miarę trudna.

Zwróćmy uwagę na swoistą modę, która w ostatnich latach dzięki Bogu minęła, ale pamiętają państwo jak w pewnych okresach była moda na cuda. Matka Boska, albo jakiś święty czy Pan Jezus miał się ukazać na drzewie, na błocie, w kapliczce — płacze, porusza rączką itd. I ludzie gotowi byli to wszystko akceptować. Udawali się do Oławy, gdzieś tam, gdzieś tam, gdzieś tam — już nie chcę wymieniać wszystkiego, i gotowi byli ponosić ogromne nieraz wyrzeczenia po to, żeby taki cud przeżyć. Ale co z tego wynikało dla ich życia?

W większości przypadków — nic. Bo wracali do domu i twierdzili, że widzieli Matkę Boską płaczącą, ale nadal w stosunkach rodzinnych, w układach z najbliższymi nie zmieniało się nic. Jak można widzieć cud i pozostać normalnym? To nam pokazuje tę przedziwną złożoność ludzkiego życia, o której Jezus mówi w spotkaniu z tymi dwoma: „Jak nieskore są wasze serca do wierzenia w to, co mówią prorocy!” A my odwracając to: *„Jak skore są do wierzenia we wszystko inne”,* co jest zupełnie łatwe, i wiary nie wymaga!

> Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?»

I tu dochodzimy do trzeciego spostrzeżenia, które w moim przekonaniu jest niesłychanie istotne. *Mianowicie drogą Jezusa do nowego życia było cierpienie. Cierpienie ma jakąś przedziwną wartość w Bożych planach zbawienia.* My uciekamy od cierpienia, nie chcemy go. Ale to właśnie cierpienie ma jakąś wartość oczyszczającą, której znaczenia i której skutków nie sposób przecenić. I wiele razy wskazywałem państwu na ten wymiar naszego ludzkiego losu zawsze opowiadając, że ktoś z nas, a może bardzo wielu spośród nas, któregoś dnia stanie wobec cierpienia. I trzeba będzie zweryfikować, że tak powiem: na sobie, stosunek do cierpienia. Skoro Jezus przez cierpienie wszedł do swojej chwały, to na pewno drogą wielu wierzących jest cierpienie — i to takie, które stanowi współcierpienie z Jezusem. Jego zbawcza wartość nie ulega wątpliwości. Jeżeli ktoś sobie wyobraża wiarę w Chrystusa bez cierpienia, to wyobraża sobie coś, co nie ma wielkiego sensu, ani wielkiego znaczenia. I jeżeli są chrześcijanie — a przecież dobrze wiemy, że są, bo i nas to dotyczy — którzy wyobrażają sobie wiarę naszą, ale bez cierpienia, i unikają cierpienia, stronią od niego całkowicie, albo wobec cierpienia się załamują, to trzeba powiedzieć — o czym mówimy bardzo często — że *stosunek do cierpienia jest najważniejszym i najbardziej wymownym znakiem, i potwierdzeniem bądź zaprzeczeniem naszej wiary.* I epizod nasz kończy się tak:

> Tak przybliżyli się do wsi, do której zdążali, a On okazywał, jakoby miał iść dalej. Lecz przymusili Go, mówiąc: «Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił». Wszedł więc, aby zostać z nimi.

Aż do tej pory go nie poznali. Byli z Nim wiele lat, a teraz byli z Nim kilka godzin, ze dwie - trzy godziny, i nie wiedzieli, że to jest Jezus. Po zmartwychwstaniu będziemy ci sami, ale nie tacy sami. Na czym to polega? Pan Bóg wie. Ale tak będzie. Bo gdybyśmy mieli być tacy sami, to wtedy byśmy zadawali te pytania, które zadaliśmy wcześniej: czy będziemy tacy, jak mieliśmy

6 lat, 16 czy 60? Czy będziemy tacy sami jak wtedy, kiedy żeśmy stawali na ślubnym kobiercu, czy też wtedy kiedy byliśmy w szpitalu, gdy nam coś amputowano? Czy będziemy tacy sami jak wtedy, kiedy podobaliśmy się innym, czy wtedy, kiedy woleliśmy już nie patrzeć do lusterka?

Otóż takie pytania, jak widzimy, nie mają wielkiego sensu, bo rzeczą tajemniczą samego Boga jest nasza tożsamość w ciele, a jednak wolna od tych ograniczeń, które są z ludzkim ciałem w tym życiu związane. Kiedy więc poznali uczniowie Jezusa? Dobrze znamy ten epizod, każdy z nas, więc tylko krótka pointa.

> Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, ale On zniknął im z oczu.

Poznali Go przy łamaniu chleba. Poznali Go przy Eucharystii. Sama ta terminologia, samo to słownictwo, ma charakter eucharystyczny. *Otóż poznali Jezusa nie po fizycznym wyglądzie, lecz łuski z oczu spadły w doświadczeniu duchowym, które przeżywa człowiek przeżywający i przyjmujący Eucharystię.* Zauważmy: paradoks polega na tym, że sytuacja tych dwóch uczniów, którzy znali Jezusa osobiście, nie była wcale lepsza, niż sytuacja nasza, którzy Jezusa osobiście w jego ziemskim życiu nie spotkaliśmy. Dla nich zmartwychwstały Jezus był rozpoznawalny przez Eucharystię. Jeżeli tak, to rozpoznawanie Jego obecności odbywa się właśnie w Eucharystii. Istnieje tajemniczy związek między Zmartwychwstaniem a Eucharystią.

Ktoś może powiedzieć tak — na tym może dzisiejsze rozważania zakończmy po to, żeby je podjąć w maju — to jak to jest możliwe, że Eucharystia jest takim wielkim nośnikiem, znakiem, świadectwem Zmartwychwstania? Jak to się dzieje i czy to jest możliwe, żeby zwyczajny człowiek, taki, jak każdy z nas, przeżył tajemnicę Eucharystii tak mocno, żeby doświadczył w niej życia ze Zmartwychwstałym Chrystusem?

Zostawmy — tak proponuję — to rozważanie na kolejny poniedziałek, drugi poniedziałek maja, czyli 13 maja. Ponieważ będziemy się zbliżać do święta Bożego Ciała, właśnie wtedy będę starał się ukazać państwu związki między Eucharystią a Zmartwychwstaniem — z nadzieją, że to się jakoś uda. Natomiast dzisiaj w pamięci niech nam zostanie ta jedna podstawowa prawda.

Bóg jest panem życia i panem śmierci. Poza granicą śmierci każdy z nas pozostanie sobą, chociaż w inny sposób niż dzisiaj. Ale pozostaniemy sobą i dlatego będziemy potrzebować Boga, ale będziemy potrzebować też innych ludzi, takich, jakimi ich znamy i kochamy dzisiaj. A więc tajemnicą miłości Bożej jest także i to, i owocem miłości Bożej jest także i to, że kiedy pogrążymy się w Jego miłości to nie stracimy nic z tego, czym żyjemy dzisiaj jako ludzie. Bo miłość ludzi, drugiego człowieka, i miłość Boga, są nie tylko możliwe, i nie tylko są do pogodzenia, ale jedna bez drugiej istnieć nie może.

Mam nadzieję, że nie było to na tyle trudne, żeby prawdę o zmartwychwstaniu, i o życiu wiecznym, całkowicie miało państwu zaciemnić. Mam nadzieję że to, co powiemy o Eucharystii, później nam to jeszcze dalej rozjaśni.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękują.

4.8 Eucharystia (dn. 13 maja 2002)

Nie sposób dzisiaj pominąć zdarzenie sprzed 21 lat, czyli zamach na życie Ojca Świętego Jana Pawła II. Proszę zwróćmy uwagę, że dla znaczącej większości z państwa, którzy są ludźmi dorosłymi, jest to po prostu część naszego życia. Oczywiście inaczej dla młodzieży czy dla ludzi jeszcze młodych, którzy w tamtym okresie byli zupełnie dziećmi. Natomiast nie ulega wątpliwości, że gdyby 13 maja 1981 r. wydarzenia potoczyły się inaczej, na pewno my wszyscy żylibyśmy i w innej Polsce, i w innej Europie.

Ja kilkakrotnie przy tej sposobności opowiadałem państwu — raz jeszcze do tego krótko nawiążę — swoje własne wspomnienia z tego dnia, bo one są bardzo, jak mi się wydaje, wymowne. Mianowicie to było popołudnie, środa, i byliśmy wtedy na wykładach w Papieskim Instytucie Biblijnym. Otóż te wykłady odbywały się także po południu, od godz. 16. I gdzieś tak około godz. 17.30, w trakcie jednego z wykładów nagle do tej sali wszedł profesor Liounelle. To jest Francuz który dobrze wiedział, że w tej grupie było nas trzech Polaków — wszystkich osób tam było ze 40 - 45. I on otworzył drzwi bez pukania, co było absolutnie czymś niezwykłym, wszedł i oznajmił grobowym głosem, że papież został zastrzelony, papież nie żyje. Ten wykład został przerwany, każdy z nas udał się tam, gdzie mieszkał. Myśmy się udali do Instytutu Polskiego, to jest jakieś 15 - 20 minut drogi na piechotę. Okazało się po drodze, że już Rzymianie powtarzali, że papież nie zginął, tylko jest ranny, i że właśnie znajduje się w drodze do szpitala.

Potem na bieżąco te transmisje telewizji włoskiej, pokazujące bez przerwy klinikę Gemelli, bez przerwy komunikaty. Natomiast wieczorem, ok. 19.30 poszliśmy na Plac Św. Piotra. Było tam już bardzo dużo ludzi pogrążonych w modlitwie. I wiedzieliśmy, że trwa operacja w klinice Gemelli. Mnóstwo osób, i świeckich i zakonnych, Polaków, przybyszów z innych krajów, ale przede wszystkim Włochów. Ci wszyscy ludzie, którzy byli przejęci bardzo, modlili się o ocalenie życia Ojca Świętego. Dopiero trzeba było czekać, na drugi dzień rano podano, że papież tą bardzo ciężką operację przeżył. I że pierwsze rokowania pozwalają mieć nadzieję, że stan zdrowia Ojca Świętego poprawi się. Pamiętajmy, że było to wtedy zaledwie po dwóch latach jego pontyfikatu, sam początek, inne jeszcze były te wszystkie układy. Pojmano strzelającego do Ojca Świętego. Okazało się, że to jest Turek. Natomiast został schwytany dość przypadkowo przez siostrę zakonną, która obok niego stała, i ona widziała jak on wyjął pistolet i strzelał. Kiedy próbował uciekać i robić zamieszanie, krzyczeć, żeby tam kogoś gonić, został schwytany, i znaleziono przy nim broń, której nie zdążył porzucić. Więc tak to wyglądało 21 lat temu.

Parę tygodni później, kiedy wydawało się, że stan Ojca Świętego jest już zupełnie dobry, nagle papież bardzo gwałtownie zachorował. Pojawiła się straszliwie wysoka gorączka, stracił przytomność. Lekarze byli zupełnie bezsilni, nie mieli pojęcia co się stało. Zaproszono wtedy wielu lekarzy z różnych części Europy, m.in. lekarza z Londynu, który rozpoznał w organizmie Ojca Świętego obecność tzw. bułgarskiej choroby. To naprowadziło na ten bułgarski ślad. Mianowicie znaleziono skąpe pozostałości trucizny, która była już w Anglii znana, ponieważ była używana przez komunistyczną Bułgarię, ale nie tylko, do likwidowania dysydentów. Polegało to na tym, że kogoś ukłuto parasolką lub w jakiś inny sposób, w autobusie czy gdzieś na ulicy. Przez tydzień, dwa nic nie było. Następnie pojawiały się te objawy zatrucia organizmu, i była to śmiertelna choroba. Ponieważ już to Brytyjczycy znali, więc i papież został z tego wyciągnięty. Można by powiedzieć, że po raz drugi się narodził.

I trzeci motyw, bardzo ważny w tym wszystkim. Musimy pamiętać, dwa tygodnie po zamachu na życie Ojca Świętego, w dniu 28 maja tegoż samego roku zmarł kardynał Stefan Wyszyński. I zamach na papieża nie był kwestią przypadku. Ci, którzy wyznaczyli zamachowca, dobrze wiedzieli, że kardynał Wyszyński jest umierający. I zdawano sobie sprawę z tego, że gdyby te strzały okazały się celne i kardynał Wyszyński zmarł, to oczywiście Polska byłaby wtedy zupełnie pogrążona — nie tylko w żałobie, ale też opuszczona na wszelkie sposoby. Tutaj państwo pewnie pamiętają także doniesienia i specjalne świadectwo ks. prałata Piaseckiego, który wspominał po latach ostatnią rozmowę papieża z kardynałem Wyszyńskim.

Wyglądało to tak, że kiedy Ojciec Święty doszedł nieco do siebie i powiedziano mu, że kardynał Wyszyński jest praktycznie umierający, zapragnął zadzwonić do kardynała Wyszyńskiego. Problem polegał na tym że w pokoju, w którym kardynał Wyszyński leżał, nie było telefonu, trzeba było

poprowadzić linię telefoniczną. Nie chciano wtedy wpuścić specjalistów nieznanych sobie obawiając się, że założą rozmaite podsłuchy itd. Więc wzięto zaufanego człowieka, który tę linię podciągnął do łóżka konającego prymasa. I obaj tak resztkami sił pożegnali się. I to już właściwie był testament kardynała Wyszyńskiego, który na drugi dzień, 28 maja około piątej nad ranem zmarł, tzn. po kilkunastu godzinach od tej rozmowy z papieżem.

To tyle żebyśmy odczuli, jeżeli tak można powiedzieć, nastrój tego dzisiejszego dnia. Myślę, że dla całego pokolenia Polaków, i dla tych pokoleń, które przyjdą, będzie to dzień niesłychanie ważny który nam uzmysławia, jak bardzo Pan Bóg potrafi pisać w prosty sposób na krzywych liniach ludzkiego życia, jak te zakusy zamachowców dzięki Bogu nie spełniły się.

Od tamtej pory o zamachu napisano sporo książek, napisano sporo artykułów. Ale zamiast przybliżać się do prawdy można odnieść wrażenie, że jesteśmy od tej prawdy coraz dalej. W sposób widoczny nie zależy na tym, żebyśmy tę prawdę odkryli. Widocznie jest jeszcze za wcześnie. Mówi się powszechnie, że to była sprawa wywiadu sowieckiego, który ściśle współpracował z bułgarskim. Ale z kolei Bułgarzy i Rosjanie te oskarżenia odrzucają. I też zwracają uwagę, że na Zachodzie w liberalnych krajach, państwach papież też miał swoich wrogów. Tak że to wszystko na razie się załamuje, i nie sposób — przynajmniej na obecnym etapie — dojść prawdy.

Państwo wiedzą, że jeżeli chodzi o zamachowca, to mniej więcej półtora roku temu został przewieziony do Turcji, gdzie odsiaduje wyrok za inną zbrodnię, którą popełnił. Mianowicie kilka lat wcześniej zastrzelił dziennikarza w Stambule, i odbywa tam wyrok w jednym z tureckich więzień. Natomiast tutaj został po odsiedzeniu kilkunastu lat ułaskawiony. Taki to dodatek do dzisiejszego dnia.

Pamiętajmy jeszcze, że dokładnie jeden rok później, dnia 13 maja 1982 r. Jan Paweł II udał się do Fatimy. I tam w sanktuarium przy figurze Najświętszej Maryi Panny zostawił kulę, którą wyjęto z jego ciała, jako znak dziękczynienia Panu Bogu za cudowne ocalenie życia. Natomiast dzisiejszy dzień jest o tyle ważny — chociaż szkoda, że w naszych kościołach o tym się nie mówiło, ale to takie trochę lenistwo nas, duchownych, którzy w tych kościołach mamy więcej do powiedzenia. Ale dzisiaj po raz pierwszy święto Matki Bożej Fatimskiej zostało rozciągnięte na cały Kościół. I po raz pierwszy w całym Kościele czci się właśnie pamięć Matki Bożej Fatimskiej. Został wprowadzony specjalny formularz modlitewny. I od tej pory 13 maja każdego roku będzie świętem Matki Bożej Fatimskiej. Takie to właśnie święto wprowadził Jan Paweł II.

I ostatnia myśl — myślę, że dla państwa najzupełniej zrozumiała. Mianowicie kiedy dzisiaj patrzymy na papieża i doskonale zdajemy sobie sprawę z jego stanu zdrowia, doskonale widzimy jak cierpi, ile cierpi, pamiętamy, że za kilka dni kończy 82 lata, to już jest taki wiek, w którym nie można wymagać za wiele — ale ile razy przychodzi nam do głowy myśl na temat jego cierpienia, jego wyglądu, jego postawy, zachowania itd. to pamiętajmy, że to są również bardzo dramatyczne skutki tego zamachu, który się niegdyś wydarzył. Że ten zamach pozostawił ogromny ślad, psychiczny również, w życiu Ojca Świętego. I tak że z cała pewnością z postępem lat, i wieku, i doświadczenia, papież to doświadczenie, które go spotkało, przeżywa coraz głębiej. Pamiętajmy również, że tego samego dnia zostało postrzelonych, przy sposobności strzałów do papieża, dwoje ludzi, dwie kobiety. Otóż jedna i druga od czasu do czasu odwiedzają papieża. One też były w szpitalu. I to też jest jakaś cena tego wszystkiego, co 21 lat temu się wydarzyło.

Myślę, że po tym wstępie możemy przejść do właściwego tematu. Natomiast wgląd na święto Matki Bożej Fatimskiej, i na życie Ojca Świętego, na stan jego zdrowia, chyba usprawiedliwia tę krótką refleksję. Pamiętajmy też, że za kilka dni papież udaje się do Azerbejdżanu, gdzie — to jest też pewna ciekawostka — po raz pierwszy w całym swoim pontyfikacie będzie mieszkał w zwyczajnym hotelu. Dlatego, że tam katolików w Azerbejdżanie praktycznie, liczebnie biorąc nie ma. Nie ma jakiegoś kościoła czy katedry. Jest tylko kaplica w Baku, którą obsługuje dwóch Słowaków, Polak i czasami dojeżdżający Włoch. I po raz pierwszy w dziejach pontyfikatu, i w ogóle w dziejach papieży, papież zamieszka w zwyczajnym hotelu, oczywiście przystosowanym dla niego, i odpowiednio przygotowanym. Stamtąd po raz pierwszy w swoim pontyfikacie Ojciec Święty udaje się do Bułgarii. Papież bardzo chciał być w tej Bułgarii ze względu na te powiązania, o których była mowa od początku zamachu na jego życie. I trzeba mieć na względzie to, że jest to taka swoista podróż życia do kraju, który jakoś z tym pontyfikatem jest w tajemniczy sposób związany. W Bułgarii liczba katolików jest większa. Również prawosławni, którzy tam są, są bardziej przychylni

na tę ekumeniczną jedność z Kościołem katolickim. Więc ta pielgrzymka powinna też wydać takie błogosławione owoce. Myślę, że warto przyglądać się tej pielgrzymce. Dwa różne kraje, jeden islamski, drugi prawosławny. I papież już schorowany i cierpiący, który jednak uda się, aby raz jeszcze przeżyć pielgrzymkę. I jeżeli to tylko możliwe, to utwierdzić w wierze ludzi, którzy tam żyją.

Jeżeli Pan Bóg pozwoli, to jeszcze w tym roku Ojciec Święty odbędzie setną podróż apostolską. Sto podróży apostolskich — to tylko tak łatwo powiedzieć, ale mogą sobie państwo wyobrazić co to znaczy sto razy przebywać z daleka od Watykanu, na wielodniowej pielgrzymce, mieć do czynienia z milionami ludzi. I oczywiście to też jest taki charakterystyczny rys tego niezwykłego pontyfikatu.

Przechodzimy do wątku, który zostawiliśmy trzy tygodnie temu na ostatniej konferencji biblijnej. Jak państwo pamiętają wtedy przedmiotem naszej rozwagi i refleksji był tekst opowiadający o uczniach zdążających do Emaus. Gdybyśmy chcieli streścić krótko ten tekst, moglibyśmy go zatytułować: „I poznali Go przy łamaniu chleba”. Zapowiedziałem państwu, że kiedy dzisiaj spotkamy się, to podejmiemy temat Eucharystii, który ma ścisły związek ze Zmartwychwstaniem. Otóż chciałbym ten trudny, i można by powiedzieć: pod wieloma względami niezbyt wdzięczny temat podjąć. Niezbyt wdzięczny dlatego, że co innego słowa, a co innego przeżywanie Eucharystii, co innego duchowość eucharystyczna. To nie jest kwestia rozumowa. Jest to bardziej kwestia duchowości chrześcijańskiej i zakorzenionej w tej duchowości duchowości eucharystycznej. Eucharystia jednak, podobnie jak Zmartwychwstanie, to nie jest tylko kwestia jakiejś takiej refleksji rozumowej, ale bardziej jest to kwestia duchowości, duchowości chrześcijańskiej i zakorzenionej w tej duchowości właśnie duchowości eucharystycznej.

Jeżeli chodzi o te sprawy duchowe, to w ostatnich pokoleniach zmienia się bardzo dużo, także w Kościele. Także sposób wychowania wiernych, przygotowania do Eucharystii, do przeżywania Eucharystii, jest zupełnie inny.

Jeżeli chodzi o moje przeżywanie Eucharystii, być może jest to również cząstka doświadczenia państwa, to jest to jedno z pierwszych wspomnień z dzieciństwa. Pamiętam bowiem, że moja mama miała bardzo stary modlitewnik — z początku wieku, który należał do mojej babci, gdy była jeszcze mała. I w tym modlitewniku oprócz modlitw przewidzianych na rozmaite okoliczności życia były także opisy różnych cudów i zjawisk, które miały chrześcijanina w wierze utwierdzać. Pamiętam bardzo dobrze, że kiedy tylko nauczyłem się czytać, to to czytałem, a wcześniej jeszcze oglądałem. Może jako punkt wyjścia do dzisiejszej refleksji eucharystycznej jest bardzo znaczący.

I tam był duży dział poświęcony Eucharystii, poświęcony komunii świętej. Poświęcony temu, czym jest tabernakulum, czym jest Ciało Pańskie przechowywane w tabernakulum. I pośród tych rozmaitych cudów, które tam zostały opisane, opisano następujące wydarzenie. Mianowicie pewien kapłan — tam nawet podany był rok i miejsce, ale tego już nie pamiętam — kiedy sprawował mszę świętą zaczął mieć wątpliwości co do tego, czy podczas Przeistoczenia chleb, nad którym się modli, i wino, który podnosi, stają się rzeczywiście ciałem i krwią Pana. I kiedy te wątpliwości zagościły w jego sercu podczas sprawowania mszy św. na oczach wiernych, wtedy okazało się, że na trzymanej w ręku hostii pojawiła się tak jakby kropla krwi. Tak więc Pan Jezus dał mu poznać, że jest rzeczywiście cieleśnie obecny w sakramencie Eucharystii. Przypominam sobie, że nigdy nie zastanawiałem się specjalnie, czy to wydarzenie miało miejsce naprawdę, czy też jest raczej wynikiem swoistego pragnienia, czy jakiejś wewnętrznej duchowej projekcji wątpliwości, które każdy z nas ma — to nie jest takie bardzo ważne. Ale to wydarzenie dla mnie jest jakimś kluczem do zastanawiania się nad Eucharystią.

Często zdarza się tak, że kiedy sprawuję mszę świętą, kiedy dochodzi do momentu Przeistoczenia, to zadaję sobie to samo pytanie — nie to, żeby tak samo wątpić, bo być może te wątpliwości czasami są jeszcze większe, ale przypominam sobie tamto wydarzenie jako swoisty klucz do osobistego spotkania z tajemnicą Eucharystii. Myślę, że ono dobrze streszcza istotę tego napięcia, które tak czy inaczej czuje każdy z nas: mianowicie czy naprawdę pod postaciami chleba i wina obecny jest Zbawiciel ze swoim Ciałem i ze swoją Krwią? A jeżeli jest obecny, to co to dla nas znaczy?

Przejdziemy do tekstów z Pisma Świętego, ale najpierw zastanowimy się jeszcze króciuteńko nad tym wydarzeniem, któremu tyle uwagi poświęciliśmy trzy tygodnie temu. Przypominamy sobie

— obserwowaliśmy ten rozwój akcji krok po kroku — że kiedy ci dwaj uczniowie i ów tajemniczy przechodzień dotarli do Emaus, wtedy zwrócili się do Niego ze słowami: „Zostań z nami, bo ma się ku wieczorowi, i dzień się już nachylił".

Otóż punktem wyjścia do tego, co się wydarzyło, była zwyczajna gościnność, zwyczajna życzliwość, dobroć ze strony tych dwóch, którzy osiągnęli cel i którzy chcieli, by również i ten tajemniczy nieznajomy z nimi pozostał. U początków każdej wiary, zwłaszcza wiary religijnej, zwłaszcza wiary chrześcijańskiej, jest życzliwość i dobroć dla drugiego człowieka. Nie może być religii, która to pomija. Jeżeli istnieje jakaś wiara oderwana od wrażliwości na drugiego człowieka, to trzeba zastanowić się nad jej sensem. Otóż wiara w Boga, i związek z Bogiem, wynikają przede wszystkim z otwartości na drugiego człowieka, zwłaszcza tego człowieka, który jest w potrzebie. Jeżeli w naszych wspólnotach, czy gdziekolwiek, dzieje się inaczej, to jest to podważenie, i to najgłębsze, samej istoty wiary religijnej. W ten sposób przekonujemy się, że każda droga, która prowadzi do Boga, prowadzi przez drugiego człowieka. Godność każdego człowieka jest tak wielka dzięki Bożemu dziełu stworzenia, że Bóg wyszedł naprzeciw człowiekowi nawet wtedy, kiedy człowiek zgrzeszył i od Boga odszedł. W ten sposób dzieło zbawienia, dokonane w Jezusie Chrystusie, dopełniło dzieło stworzenia. Można by powiedzieć, że to drugie dzieło — dzieło zbawienia — objawiło miłość jeszcze większą niż ta, która stała się widoczna w dziele stworzenia.

Dzięki temu Pan Bóg objawił nam bardzo ważną prawdę — o Sobie, ale także i o nas. Mianowicie że istnieje, może istnieć *błogosławiona wina* — wtedy, kiedy człowiek dopuszczając się jakiegoś grzechu, jakiegoś zła, potrafi go przeobrazić w łaskę. I każda wiara religijna to jest wiara otwarta na wielką łaskę Bożą.

I w tym świetle należy patrzeć także na Eucharystię. Otóż Eucharystia, jej nowość, jest tak wielka, że nigdy człowiekowi nie przyszłoby do głowy wymyślenie czegoś tak rażąco odmiennego od naturalnego porządku rzeczy. W Eucharystii Pan Bóg działa wobec nas w sposób, który jest absolutnie unikatowy i niedościgniony. Zatem tego misterium, tej tajemnicy, która dokonuje się w Eucharystii, nie można z niczym porównać. Tak więc — tutaj mamy paradoks, takie napięcie bardzo ważne — byłoby rzeczą dziwną, gdyby chrześcijanin przyjmujący Eucharystię nie miał wątpliwości, gdyby chrześcijanin przyjmujący Eucharystię nie stawiał sobie żadnych pytań. Właśnie w Eucharystii nasza wiara uzewnętrznia się, czy znajduje wyraz, w sposób najgłębszy — a to z tej przyczyny, że tajemnica Bożego działania jest większa, niż gdziekolwiek. I jeżeli nasza wiara, zawierzenie Panu Bogu może znaleźć gdzieś swój żywy i głęboki wyraz, to właśnie wtedy, kiedy z pokorą się pochylamy, aby przyjąć ten biały opłatek, jak mówimy: *komunię,* która jest Ciałem Pańskim.

Tamci dwaj otworzyli się na drugiego człowieka i dlatego doświadczyli tej niezwykłej obecności Boga. Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go, i dawał im. Zwróciłem uwagę na to, że jest to terminologia eucharystyczna. Te same słowa, te same czasowniki: wziął chleb, połamał, błogosławił, rozdawał, rozpoznajemy w Kanonie mszy św., bo one opisują misterium naszej wiary.

> Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, ale On zniknął im z oczu.

Eucharystia mogła zaistnieć wtedy, kiedy Chrystus umarł, i Chrystus zmartwychwstał. Możemy powiedzieć, że Eucharystia jest owocem Zmartwychwstania, a jednocześnie Eucharystia rodzi wiarę w Zmartwychwstanie, i tę wiarę umacnia. W Eucharystii chodzi o swoisty pokarm duchowy, na mocy którego człowiek rozwija się coraz bardziej, i przyjmuje tę tajemnicę Bożego działania, której w żaden inny sposób by nie pojął — nie tylko przyjmuje, ale staje się coraz bardziej dojrzały, i staje się coraz bliższy Pana Boga.

Dlatego refleksja na temat Eucharystii nie ma wielkiego znaczenia ani wielkiego sensu tam, gdzie człowiek nie doświadcza dobrodziejstw przyjmowania Ciała i Krwi Pana. Dopiero wtedy, kiedy doświadczamy tych dobrodziejstw, kiedy przyjmujemy Komunię św., kiedy staramy się o eucharystyczną duchowość, to możemy się nad tym zastanawiać. Odwrotna kolejność mija się z celem. I właśnie to chciałem wskazać dzisiaj, zabierając się do innego tekstu z Nowego Testamentu, który jest bardzo znaczący, i na pewno każdy z nas ten tekst zna. Mianowicie jest to słynna mowa eucharystyczna, wygłoszona przez Jezusa w synagodze w Kafarnaum. Otóż ta mowa eucharystyczna i reakcja ówczesnych Żydów bardzo dobrze oddają napięcia związane z Eucharystią. I może warto,

żebyśmy tę mowę sobie dzisiaj przeczytali i króciuteńko rozważyli. I przed uroczystością Bożego Ciała, która powoli się zbliża, żebyśmy jeszcze głębiej zrozumieli też te związki, czy przyjęli te związki pomiędzy Zmartwychwstaniem a Eucharystią.

To przemówienie Jezusa miało miejsce w Kafarnaum. Ja muszę państwu powiedzieć, że ile razy czytam ten tekst, to wystarczy tylko przymknąć nieco oczy aby natychmiast zobaczyć Kafarnaum, aby zobaczyć Jezioro Galilejskie, nad którym leży Kafarnaum. I ponieważ wśród państwa jest sporo osób, które znają Ziemię Świętą, to myślę że bardzo łatwo mogą sobie przypomnieć ten epizod, jak to będąc razem czy z jakimś innym przewodnikiem zatrzymujemy się niedaleko synagogi w Kafarnaum pod jednym z tamtejszych drzew. Najczęściej są to drzewa laurowe, zwłaszcza jeżeli jest gorąco to tam, pod tymi drzewami laurowymi czuje się ulgę. I tam właśnie, albo w samej synagodze, czyta się tekst, do którego za moment przejdziemy. Jest to jedno z większych wrażeń podczas pobytu w Ziemi Świętej. Jak wiemy na razie to są tylko wspomnienia, ponieważ praktycznie od ponad półtora roku pielgrzymki do Ziemi Świętej zostały wstrzymane. A dzisiaj sytuacja polityczna tam jest niesłychanie złożona, i na razie jakichś specjalnie dobrych wiadomości nie widać. Miejmy nadzieję, że może się coś zmieni, ale na razie wspomnienia z Ziemi Świętej pozostają tylko wspomnieniami.

Przypomnimy sobie króciutko kontekst tego wydarzenia, o którym dzisiaj przeczytamy. Mianowicie Jezus nakarmił tłumy chlebem i rybami. Najedli się do syta i byli Mu szczerze wdzięczni. Ale dobrze wiemy, że w takim przypadku człowiek jest tak długo wdzięczny, jak długo nie jest znowu głodny. Ponieważ nie można się najeść na tydzień, a tym bardziej na dłużej, zatem nazajutrz, na drugi dzień dał znać o sobie głód, i ten tłum, który Jezus nakarmił chlebem i rybami, zaczął Jezusa z powrotem szukać. I wreszcie znaleźli Go właśnie w Kafarnaum nad Jeziorem Galilejskim. Przybyli do Jezusa, a On mówi do nich: „Szukacie Mnie nie dlatego, że interesuje was moja nauka, moje nauczanie, czy że jesteście jacyś pewni podziwu dla Mnie. Tylko szukacie Mnie dlatego, żeście się najedli do syta. Tymczasem trzeba, żebyście szukali innego pokarmu.” I w ten sposób ten naturalny głód, oraz sprostanie temu głodowi, którego dokonał Jezus, stało się punktem wyjścia do zapowiedzi Eucharystii. I w Ewangelii św. Jana w 6 rozdziale czytamy tak:

> «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Szukacie Mnie nie dlatego, że widzieliście znaki, ale dlatego, że jedli chleb do sytości. Troszczcie się nie o ten pokarm, który ginie, ale o ten, który trwa na wieki, a który da wam Syn Człowieczy; Jego to bowiem pieczęcią swą naznaczył Ojciec»

W ten sposób Jezus daje poznać, że istnieje w człowieku głód, któremu staramy się sprostać szukając codziennie pożywienia i troszcząc się o pożywienie. I ten głód jest bardzo ważny. I na pewno trzeba wszelką pomoc człowiekowi zacząć od tego, aby wyjść naprzeciw jego głodowi, jego pragnieniu. Ale Jezus podkreśla, że istnieje w człowieku również drugi głód, którego nie zawsze sobie uświadamiamy, nie zawsze wiemy, że on w nas istnieje. trzeba niejako w nas ten głód obudzić, uświadomić nam. Dopiero wtedy uświadamiamy sobie, że taki głód rzeczywiście jest. I Jezus powiada, że ten drugi głód, ten duchowy, może spełnić Pan Bóg, może spełnić dzięki Niemu, dzięki Jezusowi, którego posłał. W ten sposób Jezus, nauczając dalej o Eucharystii, mocno podkreśla że Eucharystia jest darem Bożym. Że Eucharystia wychodzi naprzeciw najgłębszym potrzebom człowieka.

Ludzie, także wierzący w Boga, mówią bardzo często, że są osamotnieni, że czują się zawiedzeni, że przeżywają kryzysy, potrzebują psychologa, psychiatry, pomocy sąsiadki, że potrzebują zwierzenia, otuchy, pocieszenia — szukają tego na rozmaite sposoby. Ale trudność i problem na tym polega, że jeżeli wierzą w Boga, jeżeli są to chrześcijanie, to nie szukają tej dojrzałości duchowej tam, gdzie ona być powinna, czyli w samych sobie. I w ten sposób starają się na bardzo trudne pytania uzyskać łatwe odpowiedzi. I takie doraźnie uzyskują. Ale w dłuższej perspektywie czasowej okazuje się, że te odpowiedzi tylko jeszcze bardziej pogłębiają ich frustrację. Natomiast jeżeli człowiek by sobie uświadomił, że istnieje w nim bardzo głęboka siła, wynikająca z otwarcia na Boga i współpracy z Panem Bogiem, i że narzędziem tego jest niejako Eucharystia, z całą pewnością będzie o wiele silniejszy, o wiele mocniejszy, i nie będzie skazany, jeżeli tak można powiedzieć, na nieustanną pomoc ze strony innych. Eucharystia odpowiada na pewien głód, który jest w człowieku, przynosząc nam ulgę i pocieszenie. Posłuchajmy, jak ujmuje to dalej Jezus:

«Cóż mamy czynić, abyśmy wykonywali dzieła Boże?»

Zwróćmy uwagę, że takie pytanie stawiają Izraelici, którzy wierzą w Boga. Natomiast u pogan zawsze jest tak samo: Co mamy czynić, abyśmy mogli być jak najlepszymi wierzącymi ludźmi? To samo pytanie pojawia się również i w naszych czasach, również i u nas, chrześcijan. Dobrze wiemy, że wobec tego pytania bywają rozmaite odmiany bezsilności. Co mamy czynić? Okazuje się, że duszpasterze, z biskupami i kapłanami włącznie, bywają wobec tego pytania bezsilni. „Przyjedzie Ojciec Święty, to nam powie!" I dlatego żyjemy od pielgrzymki do pielgrzymki. Lecz nieszczęście polega na tym, że nasza refleksja nad nauczaniem papieskim trwa parę miesięcy czy rok, a potem wspomnienia pielgrzymki jakby się rozmywają, i później znów wyczekujemy na to, co będzie. Teraz też czekamy na pielgrzymkę papieża, której hasło brzmi „Bóg bogaty w miłosierdzie". A znakiem Bożego miłosierdzia, którego symbolem jest sanktuarium w Łagiewnikach, jest na pewno Eucharystia.

> «Co więc mamy czynić, abyśmy wykonywali dzieła Boże?» Jezus odpowiadając rzekł do nich: «Na tym polega dzieło [zamierzone przez] Boga, abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał».

Fundamentem Eucharystii, bo o niej będzie mowa, jest wiara. Eucharystia jest dla ludzi wierzących. Dlatego staramy się już małe dzieci wdrażać nie tylko do pobożnego przeżywania czy do porządku podczas przyjmowania pierwszej komunii św., ale wdrażać je do wiary. Dlatego taką wielką uwagę przykłada się do uczenia dzieci pierwszych formuł wiary, wyznania wiary, pierwszych modlitw, w których ta wiara się wyraża. I jak sądzę istnieje zależność, a nawet współzależność między stopniem wiary, poziomem wiary, a intensywnością przeżywania Eucharystii. Otóż jeżeli człowiek żyje głębiej swoją wiarą, to i jego tęsknota za Eucharystią jest, tej tęsknocie częściej wychodzi naprzeciw. Natomiast jeżeli wiara jest płytka czy powierzchowna, to odbija się to również na Eucharystii. *A więc ta wzajemna więź: Eucharystii jest darem dla tych, którzy wierzą.* Jeżeli człowiek nie wierzy, jeżeli nie przyjmuje jakiegoś pierwszego poziomu cudu, to odrzuca to, co ze swojej samej istoty jest największym cudem, jaki oferuje nasza wiara.

> Rzekli do Niego: «Jakiego więc dokonasz znaku, abyśmy go widzieli i Tobie uwierzyli? Cóż zdziałasz?»

Zwróćmy uwagę — bo to znów brzmi tak, jak paradoks, z którym każdy z nas ma do czynienia. Wczoraj najedli się do syta. Dzisiaj Jezus mówi: „Słuchajcie! Szukaliście Mnie nie dlatego, że Mnie kochacie, ale dlatego, żeście się najedli do sytości." A oni Mu odpowiadają: „To co zrobisz dzisiaj, abyśmy Ci uwierzyli?" To jest ta wieczna pokusa cudowności. Ta wieczna pokusa znaków, o które prosi człowiek, albo których żąda człowiek, jako potwierdzenia dla swojej wiary. I Jezus też zetknął się z tą pokusą, i nawet nie próbuje jej sprostać. Jezus nie próbuje z nimi dyskutować na tym poziomie, tylko otwiera przed nimi horyzonty jeszcze głębsze. I te właśnie głębsze horyzonty, to będzie właśnie nauka o Eucharystii. Oni mówią tak:

> Ojcowie nasi jedli mannę na pustyni, jak napisano: Dał im do jedzenia chleb z nieba.

Więc nawiązują do wyjścia z Egiptu i przypominają, że Bóg karmił Izraelitów manną, i że to cudowne działanie miało miejsce codziennie. Oczywiście jeżeli jakiś cud zdarza się codziennie, to przestaje być cudem. Gdybyśmy mieli cokolwiek wielkiego, ważnego, wzniosłego, co nam się zacznie powtarzać, to rychło się do tego przyzwyczaimy. Izraelici też przyzwyczaili się do cudu, i w związku z tym Jezusowi stawiają podobną perspektywę. Mówią Mu: „Słuchaj, kiedyś nasi przodkowie jedli chleb codziennie, a może dokonasz takiego cudu?" I właśnie to jest punktem wyjścia do nauki o Eucharystii.

> Rzekł do nich Jezus: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Nie Mojżesz dał wam chleb z nieba, ale dopiero Ojciec mój da wam prawdziwy chleb z nieba. Albowiem chlebem Bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i życie daje światu».

Tutaj mamy dwa poziomy myślenia, które naszą refleksję czynią trudną. Jezus mówi: „Ja jestem wielkim darem Boga dla was. Ale przyjdzie czas, że moja obecność wśród was będzie innego zupełnie rodzaju, niż ta teraz w ziemskim życiu.” Więc Jezus wskazuje na dwa wymiary. Na swoje życie — ziemskie, doczesne oraz na nową formę istnienia, która będzie umożliwiona wraz ze Zmartwychwstaniem. I wtedy obecność Jezusa wśród wierzących będzie miała miejsce właśnie w Eucharystii. Przypominamy sobie hasło Kongresu Eucharystycznego, który 15 lat temu miał miejsce w Polsce podczas III pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny: „Do końca ich umiłował”. Właśnie w Eucharystii Jezus zostaje z nami w sposób, w który nikt inny zostać nie może, bo w stosunku do żadnego innego człowieka Pan Bóg nie działa tak głęboko i tak cudownie, jak w tym przypadku.

> Rzekli więc do Niego: «Panie, dawaj nam zawsze tego chleba!» Odpowiedział im Jezus: «Jam jest chleb życia. Kto do Mnie przychodzi, nie będzie łaknął; a kto we Mnie wierzy, nigdy pragnąć nie będzie. Powiedziałem wam jednak: Widzieliście Mnie, a przecież nie wierzycie. Wszystko, co Mi daje Ojciec, do Mnie przyjdzie, a tego, który do Mnie przychodzi, precz nie odrzucę, ponieważ z nieba zstąpiłem nie po to, aby pełnić swoją wolę, ale wolę Tego, który Mnie posłał.

Jezus zatem mówi: „Punktem wyjścia do tego daru, który zapowiada, jest wiara w Niego. Wiara w Jezusa i jego Boską i mesjańską tożsamość. Ci, którzy przyjmują Eucharystię, muszą, czy powinni, wyznać w Jezusie Syna Bożego. Otóż Eucharystia jest czymś absolutnie specyficznym dla wiary chrześcijańskiej. Żadna inna religia, nawet monoteistyczna, jak religia żydowska, jak islam, nie mają czegoś takiego jak Eucharystia, bo nie mają Jezusa Chrystusa, którego wyznawaliby jako Syna Bożego. Ponieważ w Jezusie Bóg stał się człowiekiem, i to jest wielki cud Wcielenia, to na przedłużeniu tego Wcielenia jest jeszcze Eucharystia, czyli nowa forma obecności Boga pośród ludzi. Do tego stopnia, że Bóg już nie tylko tak, jak we Wcieleniu, staje się jednym z nas, tylko idzie jeszcze dalej w swoim uniżeniu się. Mianowicie staje się niejako pokarmem ludzi. Żeby to zrozumieć — tego nie da się zrozumieć — ale żeby to przyjąć należycie trzeba otworzyć się na absolutnie cudowną moc Pana Boga, i przyjąć do wiadomości jego miłość względem człowieka. Miłość, która wykracza poza wszelkie granice, które moglibyśmy sobie wyobrazić.

> Jest wolą Tego, który Mnie posłał, abym ze wszystkiego, co Mi dał, niczego nie stracił, ale żebym to wskrzesił w dniu ostatecznym.

Proszę zwróćmy uwagę, że Jezus kładzie nacisk na to, *że Eucharystia, która jest pokarmem dla człowieka w tym życiu, jest jednocześnie pokarmem ku życiu wiecznemu.* W ten sposób Jezus daje poznać, że śmierć jest przejściem. A zatem życie, w którym teraz jesteśmy osadzeni, to jest doczesność, która stanowi wstęp do wieczności. I tutaj właściwie ktoś, kto karmi się Eucharystią, kto przyjmuje Eucharystię, ma już przedsmak życia Bożego. I to nie tylko tego życia Bożego, którego teraz możemy doświadczyć, tylko życia Bożego, które jest wejściem w wieczność. Każdy z nas, a zwłaszcza ten, kto takie rzeczy mówi, musi uznać swoją niemoc. Tutaj każdy z nas, zamiast mnożyć słowa, powinien raczej zastanowić się i próbować przypomnieć sobie, czy zdarzyło się choćby raz, żeby po przyjęciu Komunii Świętej doświadczyć na nasz ułomny i ograniczony sposób owego cudu wieczności. Czy to jest możliwe w przypadku każdego człowieka — naprawdę nie wiem. Tutaj jakieś zwierzenia nasze na niewiele się zdadzą. Bo może będą trochę tak, jak opowiadanie o tym cudzie wspomnianym na początku. Człowiek ma wątpliwości, na te wątpliwości kapłańskie odpowiada Pan Bóg. Oto ukazuje mu się ta kropla krwi — i co z tego? Czy przez to doświadczył już nieba? Czy przez to doświadczył tajemnicy życia Bożego? Czy też może uświadomił sobie, że taka refleksja, takie wątpliwości nie mają sensu?

Ale po usunięciu wątpliwości życie wcale nie staje się łatwiejsze. Otóż życie z Panem Bogiem to jest nie tylko to, że nie mamy wątpliwości. To są jeszcze głębsze pokłady naszego wnętrza, głębsze niż unikanie wątpliwości. I Eucharystia albo wydobywa z nas to bogactwo, albo też, być może, tego nie czyni. I może się wydarzyć tak, że są wśród nas osoby, które przyjmują Komunię św., które nigdy nie przeżyły owego styku z wiecznością. Nie dlatego, że są niezdolne to przeżyć, tylko może dlatego, że nigdy nie patrzyły na to aż tak głęboko.

Mnie się wydaje — jeżeli mam rację, bo jak mówię dotykamy tutaj niezwykle intymnych sfer, gdzie nawet jedno słowo wypowiedziane nieopatrznie może się okazać za dużo — że tę uzdrawiającą i oczyszczającą wartość Eucharystii bardzo dobrze jest widać w przypadku ludzi chorych, cierpiących, a zwłaszcza umierających. Otóż kapelani szpitalni, a także spowiednicy i duszpasterze osób umierających, mogą opowiadać bardzo wiele o ludziach, o chorych, którzy są bardzo niespokojni. Są niespokojni o swój los, niespokojni o swoje życie, są niespokojni o swoją przyszłość – zarówno tę pojmowaną w chorobie, jak i o inną przyszłość. Przeżywają rozmaitego rodzaju lęki egzystencjalne. I oto, nawet jeżeli przeżywają przedtem potworne wątpliwości — przyjmują Eucharystię, i diametralnie wszystko w nich się uspokaja. Diametralnie wszystko w nich się zmienia. Stają się zupełnie inni, znacznie spokojniejsi. Można by powiedzieć: jakby przygotowani, jakby wchodzili na tę drugą stronę życia. I to się zdarza bardzo często. Może właśnie — można by tak konkludować — że w gruncie rzeczy ci przeżywają głęboko Eucharystię, którzy tak naprawdę stoją na progu wieczności.

A na progu wieczności staje się na dwa sposoby. Jeden sposób — to jest świętość. Tam, gdzie człowiek prowadzi święty tryb życia, gdzie żyje świętością, to ociera się o tę wieczność obiecaną przez Boga. A drugi sposób, dostępny zapewne większości z nas — to jest dopiero wtedy, kiedy człowiek uświadamia sobie, że zbliża się nad jakieś morze, które trzeba będzie mu przepłynąć, a którego zupełnie nie zna. I wtedy Eucharystia pozwala mu jakby na przejście ku wieczności. I Jezus zwraca bardzo mocno uwagę na ten eschatologiczny wymiar Eucharystii. Czyli na to, że staje się ona pokarmem ku życiu wiecznemu.

> To bowiem jest wolą Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, nie zginął, ale miał życie wieczne. A ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym.

A więc niezbywalna więź między przyjmowaniem Eucharystii, a życiem wiecznym i wskrzeszeniem przez Boga do nowego życia. W ten sposób Eucharystia z jednej strony stanowi pamiątkę męki, śmierci i Zmartwychwstania Jezusa, a z drugiej strony stanowi zapowiedź naszego przejścia do Boga, i naszego zmartwychwstania. *Żeby więc Eucharystię przyjmować owocnie trzeba być człowiekiem nie tylko głębokiej wiary ale także głębokiej nadziei.* Ta nadzieja to jest przede wszystkim nadzieja, że nasze życie ma sens, że nasze życie ma swój kierunek. Ale także nadzieja na to, że sensem i kierunkiem tego życia jest Pan Bóg, który na nas czeka. A to właśnie przychodzi nam najtrudniej. Wielu jest ludzi, którzy są nawet wewnętrznie przekonani, że Bóg istnieje, tylko niestety niewiele z tego wynika dla ich życia. *Otóż za wiarą musi pójść nadzieja, bo wiara bez tej nadziei jest zupełnie martwa.* I dalej:

> Ale Żydzi szemrali przeciwko Niemu, dlatego że powiedział: «Jam jest chleb, który z nieba zstąpił». I mówili: «Czyż to nie jest Jezus, syn Józefa, którego ojca i matkę my znamy? Jakżeż może On teraz mówić: "Z nieba zstąpiłem"».

Otóż ci Żydzi, którzy słuchali Jezusa w synagodze w Kafarnaum, znali Jego rodzinę. Im najtrudniej było przyjąć tajemnicę Eucharystii. Bo oto widzieli przed sobą człowieka, a słyszeli zapowiedzi, które przekraczały ich wyobraźnię. My nie możemy, ani nie powinniśmy się gorszyć tamtą niewiarą. Temu pokoleniu, które oglądało Jezusa, było znacznie trudniej uwierzyć niż nam. Dlatego, że jedno z podstawowych wyzwań wiary na tym polega, że łatwiej człowiekowi uwierzyć w coś czy kogoś, kogo nie widzi i nie zna, niż przyjąć nadzwyczajną misję w przypadku osoby, którą dobrze znamy. I właśnie tamci ludzie przeżyli mniej więcej to samo.

> Jezus rzekł im w odpowiedzi: «Nie szemrajcie między sobą! Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli go nie pociągnie Ojciec, który Mnie posłał; Ja zaś go wskrzeszę w dniu ostatecznym.

Proszę zwróćmy uwagę, że w tej mowie Jezusa bez przerwy wracają dwa wątki:

- Eucharystia jest pokarmem na dziś,
- Eucharystia jest pokarmem na wieczność.

Eucharystia utrzymuje naszą wiarę dzięki teraz, ale Eucharystia podtrzymuje naszą nadzieję na życie z Bogiem. To również było bardzo trudno przyjąć Żydom, którzy byli współcześni Jezusowi. Dlatego, że oni jeszcze nie mieli pojęcia, co to znaczy zmartwychwstanie, wskrzeszenie do nowego życia. Dla nich wszystko kończyło się wraz ze śmiercią. A Jezus ukazuje perspektywę nową. Można by to powiedzieć innymi słowami w następujący sposób: „Jakże bardzo Bóg kocha ludzi, jeżeli stwarzając ich powołuje ich do życia wiecznego ze sobą.” I z tego można wyprowadzić jeszcze inną konkluzję, zdaje się zupełnie błahą, ale wcale tak nie jest. Mianowicie *Bóg nie jest samotny.* Dlatego, że będąc jedyny trwa w troistości Osób jako Ojciec, Syn i Duch Święty. Ale to wewnętrzne bogactwo życia Bożego wymaga jeszcze, że Bóg potrzebuje także innych istot przez Siebie stworzonych, żeby nie istnieć nawet w tej, w cudzysłowie, samotności Trójcy Świętej. A więc Bóg potrzebuje ludzi, którzy by odwzajemnili Mu jego miłość. I dlatego na tej drodze do odwzajemniania miłości daje nam najpierw swojego Syna — w Ciele, a potem swojego Syna — w Ciele i Krwi. Otóż kiedy wypowiadamy takie słowa, to już ocieramy się naprawdę o granice naszych ludzkich możliwości, żeby tę tajemnicę w ogóle w słowach ująć. I dalej:

> Napisane jest u Proroków: Oni wszyscy będą uczniami Boga. Każdy, kto od Ojca usłyszał i nauczył się, przyjdzie do Mnie. Nie znaczy to, aby ktokolwiek widział Ojca; jedynie Ten, który jest od Boga, widział Ojca. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto we Mnie wierzy, ma życie wieczne.

Bez przerwy w tej mowie eucharystycznej jest bardzo silny nacisk na życie wieczne. A to życie wieczne, jego kształt, został ukazany przez zmartwychwstałego Jezusa. Jeszcze za swego życia Jezus ukazuje na zmartwychwstanie i na Eucharystię, która się bardzo silnie ze zmartwychwstaniem wiąże. Zwróćmy uwagę na charakterystyczny rys pobożności chrześcijańskiej, i na pewne zmiany, które istnieją pomiędzy wyznaniami chrześcijańskimi. Jeżeli chodzi o katolicyzm, o nasze wyznanie, to my bardzo silnie eksponujemy śmierć Jezusa Chrystusa. I to na każdym kroku. Widać to na krzyżykach, które nosimy na sobie, widać to na krzyżach przydrożnych, widać to w kaplicach, widać to na znaku krzyża, który mamy w naszych domach. Widać w naszej modlitwie, w naszej pobożności: „Któryś za nas cierpiał rany ...”, w naszej pobożności pasyjnej, wielkopostnej, w przeżywaniu Wielkiego Postu. Można by powiedzieć, że katolicyzm jest religią krzyża.

W prawosławiu natomiast bardzo mocno eksponuje się Zmartwychwstanie. Widać to dobrze w nazwie *niedzieli.* Np. w języku greckim *niedziela* brzmi kriaki czyli *dzień Pana, dzień Eucharystii.* W języku rosyjskim woskresienie czyli *zmartwychwstanie.* Otóż w pobożności prawosławnej dominuje Zmartwychwstanie, a wraz ze zmartwychwstaniem, wiara w życie wieczne. Oczywiście cała umiejętność koegzystencji chrześcijan różnych wyznań, a także ekumenizm, czyli dar budowania jedności na tym polega, żebyśmy jedni od drugich uczyli się bardzo wiele. I żebyśmy jedni dostrzegali te wartości, które czczą z takim oddaniem inni. Myślę, że w ostatnich dziesięcioleciach dokonuje się także i w Polsce ogromne dowartościowanie Zmartwychwstania, zarówno święta Zmartwychwstania, jak i wiary w Zmartwychwstanie. Mowę eucharystyczną kończą słowa:

> Jam jest chleb życia. Ojcowie wasi jedli mannę na pustyni i pomarli. To jest chleb, który z nieba zstępuje: kto go spożywa, nie umrze. Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata.

Zatem Eucharystia ukazana jako pokarm — pokarm na drodze ku wieczności, i jednocześnie jako swoisty zadatek wieczności. Skoro tak, skoro istnieje taki silny związek między Zmartwychwstaniem a Eucharystią, to dla nas wypływają dwa praktyczne wnioski. Jeden to ten, że:

> Okres wielkanocny, w którym teraz jesteśmy, jest szczególnym świętem Eucharystii.

Drugi wniosek, może jeszcze ważniejszy:

> Każda niedziela ma dwa wymiary: jeden moglibyśmy nazwać *chrystologiczny* czy *chrystusowy.* On się bardzo silnie wiąże z upamiętnianiem Zmartwychwstania. Byłoby dobrze, żeby wierzący w Chrystusa czyli my, mieli świadomość, że każda niedziela to jest pamiątka tego pierwszego dnia po szabacie, kiedy kobiety przyszły do grobu i najpierw one, a później Apostołowie, stwierdziły, że grób jest pusty, bo Pan zmartwychwstał. Niedziela jest dniem, który wyróżnia nas chrześcijan właśnie ze względu na to, że przypomina nam Boską godność Jezusa, który pokonał śmierć. Ale ta sama niedziela, która tak jednoznacznie wskazuje na Zmartwychwstanie, jest jednocześnie dniem sprawowania Eucharystii.

I można by powiedzieć na poziomie czysto legalnym w ten sposób. Otóż o ile chrześcijanin może sobie w dniu powszednim „odpuścić" Eucharystię czy o niej w jakiś sposób nie myśleć, o tyle niedziela jest takim dniem, który stanowi uprzywilejowany czas przeżywania Eucharystii. I bardzo bym państwa zachęcał — będzie to z pewnością jeden z najlepszych owoców tej konferencji, tej refleksji biblijnej — żeby właśnie tak przeżywać każdą niedzielę jako dzień Eucharystii. Bo czas poświęcony na Eucharystię nie jest nigdy czasem straconym. To my często pojmujemy liturgię eucharystyczną, mszę św. tak, jak gdybyśmy w tym czasie wyrzekali się dla Pana Boga czegoś, czego sensu do końca dobrze nie znamy. Otóż istotnie wyrzekamy się: dajemy Panu Bogu swój czas, swój bardzo cenny czas. Ale w tym właśnie uprzywilejowanym czasie łaski możemy doświadczyć, jeżeli tak można powiedzieć, czy być wprowadzeni w wielki Boży dar wieczności. I ktoś, kto należycie przeżywa niedzielę, i kto należycie przeżywa mszę św., to wychodzi z niej coraz to bardziej ubogacony, i przede wszystkim rozwija swoją nadzieję. I przede wszystkim doznaje przedsmaku tej rzeczywistości, której ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło to, co Bóg przygotował tym, którzy Go miłują. I może to niech będzie również klucz do naszego przeżywania niedzieli.

Tyle byłoby na temat Eucharystii i jej związków ze Zmartwychwstaniem. A ponieważ czas zbliża się taki, że ta pamięć Eucharystii będzie nam szczególnie bliska, to chciałbym żebyśmy w tym duchu przeżyli zwłaszcza uroczystość Bożego Ciała, która przypada pod sam koniec maja — no i cały ten czas liturgiczny, w którym jesteśmy.

Na koniec mam dla państwa zaproszenie, wielu z państwa już to zna. To jest cykl sympozjów teologicznych „Kościół a Żydzi i judaizm", organizowanych w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. I takie najbliższe sympozjum ma się odbyć 22 maja od godz. 10 w gmachu Uniwersytetu w Lasku Bielańskim. Bardzo serdecznie państwa zapraszamy, bo zwłaszcza dla osób zainteresowanych Pismem Świętym to sympozjum zawiera bardzo cenny materiał. Będą tam trzy referaty. jeden będzie miał ks. prof. Ryszard Rubinkiewicz z KUL-u, i tytuł jego referatu brzmi: *Biblia chrześcijańska, a Biblia żydowska.* Czy jest to ta sama Biblia, czy jednak nie? Ks. prof. Henryk Witczyk, również z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, będzie miał referat: *Stare a Nowe Przymierze,* czyli Stary a Nowy Testament. I ja na koniec będę miał referat: *Żydzi jako starsi bracia chrześcijan — kilka niezbędnych dopowiedzeń.* Zwykło się bowiem powtarzać, że to są nasi starsi bracia. Ale co to znaczy? I pod jakimi warunkami? I kiedy? I dlaczego trzeba tutaj również zachować pewną ostrożność? A wszystko to będzie w oparciu o dokument Papieskiej Komisji Biblijnej, który ukazał się kilka miesięcy temu: „O ludzie żydowskim i jego Pismach świętych". Tekst tego dokumentu będzie tam również do nabycia. Sympozjum otworzy nowy metropolita poznański ks. abp Stanisław Gądecki. Są państwo bardzo gorąco zaproszeni.

Następna konferencja odbędzie się od dziś za cztery tygodnie, 10 czerwca. To już będzie ostatnia w tym roku. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Natomiast na koniec proponuję, żebyśmy króciutko pomodlili się w intencji Jana Pawła II.

4.9 O przeżywaniu Eucharystii — I List św. Pawła do Koryntian (dn. 10 czerwca 2002)

Na akademiach i uczelniach rok dobiega końca. I nasze dzisiejsze spotkanie jest w tym roku ostatnie. Jeżeli Pan Bóg pozwoli nam przeżyć wakacje, doczekać do października, wtedy rozpoczniemy nowy cykl, który będzie również bardziej spójny. Ale o tym na sam koniec dzisiejszego spotkania.

Natomiast teraz jeszcze jedno. Bardzo serdeczne podziękowania tym spośród państwa, i paniom, i panom, którzy znaleźli czas i siły do udziału w sympozjum teologicznym, które odbyło się kilkanaście dni temu w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Obecność państwa była bardzo wyraźnie widoczna, i to bardzo dobrze. Widzieli też państwo naszych studentów. Czas teraz pod koniec maja już niezbyt fortunny, bo jest to czas przedegzaminacyjny i egzaminacyjny. Pewnie w przyszłości trzeba będzie te sympozja robić nieco wcześniej, i nie czekać do tak późnej pory. Ale jestem wszystkim państwu, którzy przybyli, bardzo wdzięczny. Mam nadzieję, że ta problematyka zainteresowała państwa chociaż mi wiadomo, że wielu ma na ten temat zupełnie dobre rozeznanie. Te referaty, te wystąpienia będą wydrukowane. Jeżeli kogoś te zagadnienia interesują, będzie można spokojnie do tego wrócić i przemyśleć. Ale nawet jeżeli ktoś nie będzie miał czasu na tego rodzaju powrót, to samo takie uczestnictwo jest niesłychanie ważne.

I na sam koniec tych spotkań, z których ostatnie właśnie się rozpoczęło, chciałbym dorzucić jeszcze jedną uwagę, którą państwo wysłuchali już bardzo często. Ale i dzisiaj nie mogę się oprzeć, żeby tego nie powiedzieć. Otóż jak państwo wiedzą ja wykładam w różnych miejscach. Przede wszystkim systematycznie na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, a także na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, dokąd trzeba jeździć co dwa tygodnie. I wykłady dla studentów mają swój profil, mają swój układ. Wiadomo że student to jest osoba, która niejako musi studiować, dla której studiowanie jest niejako powinnością, ale powinno być przyjemnością także. Chociaż jest to obowiązek, to miły obowiązek. I wykłady dla studentów są pod wieloma względami znacznie łatwiejsze.

Do tego mam różne wykłady okazjonalne, tzn. jestem zapraszany w rozmaite miejsca w Polsce i gdzie indziej. Przychodzi wygłaszać różne wykłady do różnego audytorium. Ale muszę państwu powiedzieć, że do tych tutaj przykładam szczególną wagę. Jestem bardzo szczególnie przywiązany, nie zawsze to można powiedzieć tak wyraźnie. Przywiązany dlatego, że szczerze mówiąc ja państwa podziwiam. Otóż poczynając od października przez wszystkie miesiące raz w miesiącu przyjść tutaj i posłuchać — a nie zawsze dzień jest taki długi, jak w maju i czerwcu, nie zawsze pogoda jest tak sprzyjająca, jak dzisiaj — a przecież wszyscy z państwa biorą w tym udział. Otóż to jest powód do ogromnej dumy, i to jest powód do ogromnego zadowolenia.

Bo to nam pokazuje, jak przeogromny jest potencjał ludzki tkwiący w naszych wiernych. I jak można i trzeba trafiać do ludzkich umysłów i do ludzkich serc, i jak istnieje głębokie zapotrzebowanie na wszelką prawdę, a prawdę o Panu Bogu w szczególniejszy sposób. Dlatego te konferencje dla mnie samego są o tyle trudne, że za każdym razem rozpoczynam je z takim przekonaniem, że trzeba dołożyć wszelkich starań, aby tym oczekiwaniom sprostać. A to nie jest bardzo łatwe, proszę mi wierzyć. Bo znacznie łatwiej jest pojechać gdzieś, powiedzmy sobie raz czy drugi, i przeprowadzić wykład dla osób, które się widzi raz w życiu, niż systematycznie przez wiele miesięcy.

A w tej parafii, podobnie jak w parafii Opatrzności Bożej przy ulicy Dickensa, przez wiele lat prowadzę takie właśnie pogłębione studium religijne i teologiczne. Tak się składa, że w tym roku za kilkanaście dni będę obchodził już dziesięć lat obecności i pracy w tej parafii, przedtem było siedem lat pracy w parafii Opatrzności Bożej na Dickensa. Zatem to jest już siedemnaście lat tutaj na Ochocie. A ponieważ konferencje zacząłem w drugim roku pracy kapłańskiej, to jest w gruncie rzeczy szesnaście lat takich konferencji, które niegdyś odbywały się co 2 tygodnie, potem co miesiąc — ale w sumie to już jest pokaźna liczba takich spotkań. Mówię o tym, przypominam nie tylko dlatego, żeby ćwiczyć pamięć, ale przede wszystkim żeby uzmysłowić państwu trudność moją polegającą na tym, że za każdym razem trzeba przecież starać się powiedzieć coś, co jest przynajmniej w jakimś tego słowa znaczeniu „nowe”, i unikać powtarzania się po to, żeby państwa w żaden sposób nie zniechęcić.

Mam nadzieję, że dzisiejszy temat, aczkolwiek podejmiemy wątek, który już rozważaliśmy przez ostatnie dwa razy, zainteresuje państwa również dlatego, że on dotyczy bardzo bezpośrednio każ-

dego z nas. *Chodzi* — mówiąc najogólniej — *o sposób wspólnotowego, ale także osobistego, przeżywania Eucharystii.* Posłużymy się zarówno tekstami z Pisma Świętego, wyjętymi przede wszystkim z I Listu św. Pawła do Koryntian, jak też słowami Jana Pawła II zawartymi w jego książce „Dar i tajemnica", którą papież napisał na 50-tą rocznicę swojego kapłaństwa, która została wydana kilka lat temu, i która jest dobrym świadectwem tego jak papież — najpierw kapłan, potem biskup, kardynał i wreszcie papież przeżywa kapłaństwo, i jak postrzega Eucharystię.

Państwo pamiętają, że wszystko, co można powiedzieć o Eucharystii można streścić tak.Dwa miesiące temu zwróciliśmy sobie uwagę na ścisły związek między Eucharystią a Zmartwychwstaniem, i rozważaliśmy epizod uczniów udających się do Emaus. I rozważaliśmy fakt, że uczniowie poznali Zmartwychwstałego Jezusa dopiero wtedy, kiedy wziął do ręki chleb, i kiedy zaczął go łamać. Dopiero wtedy rozpoznali, z kim mają naprawdę do czynienia. Otóż Eucharystia jest wyróżnikiem chrześcijaństwa. Tylko chrześcijanie mają taki posiłek, posiłek wspólnotowy, który nie jest posiłkiem, który ma zaspokoić głód fizyczny, bo ten zaspokajamy w domu, lecz jest posiłkiem, który ma zaspokoić głód duchowy. O tych dwóch rodzajach głodu powiemy sobie za chwilę kilka słów w nawiązaniu do I Listu św. Pawła do Koryntian.

Otóż Eucharystia zaspokaja nasze najgłębsze potrzeby i na to zwróciliśmy uwagę dwa miesiące temu — na obecność Chrystusa Zmartwychwstałego, i ten ścisły związek między Zmartwychwstaniem a Eucharystią. Na ostatniej naszej konferencji zwróciliśmy uwagę na to, co moglibyśmy nazwać *istotą Eucharystii*. Mianowicie zwróciliśmy się ku zapowiedzi ustanowienia Eucharystii, której dokonał Jezus w synagodze w Kafarnaum, kiedy to zapowiedział, że stanie się pokarmem dla tych, którzy w Niego uwierzą i że w ten sposób pozostanie z nami zawsze. Oczywiście to wywołało konsternację, wzburzenie, a u części słuchaczy wywołało nawet odrzucenie. „Jakże to" mówili, „może On dać nam Swoje ciało na pożywienie? Czyż nie znamy Jego rodziny? Czy nie wiemy, kim On jest? Za kogo On Siebie ma?" I na końcu tego epizodu Jezus zwrócił się do również do swoich apostołów, i zapytał „Czyż i wy chcecie odejść?" I wtedy usłyszał wyznanie Piotra, które było jednocześnie przyznaniem, że stanął na progu tej tajemnicy Eucharystii. Piotr odpowiedział „Panie, do kogóż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego". I w gruncie rzeczy nasze trudności z Eucharystią bywają podobne. Kiedy jest sprawowana msza święta, wielu z nas może zadawać sobie pytanie o rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystii. Są tacy wierni i tacy ludzie z zewnątrz, którzy jakby rozbijają się o tę tajemnicę Eucharystii, nie mogą w nią uwierzyć. I wtedy odchodzą. I są tacy, dla których Eucharystia jest takim pokarmem wręcz życia codziennego. Bo przecież są osoby, wierni, którzy przyjmują ją bardzo często.

Problem z Eucharystią można by streścić w ten sposób. Otóż bardzo trudno przychodzi wielu ludziom uwierzyć w Boga. Już samo istnienie Boga wymaga rozmaitych dowodów, uzasadnień, przekonywania, przykładów, świadectwa. I są ludzie, którzy nie mogą przekroczyć tego progu wiary. Mamy świadomość, że jeżeli każdy żyje w zgodzie ze swoim własnym sumieniem, to w jego życiu Pan Bóg jest w jakiś przedziwny sposób obecny. Bóg bowiem daje poznać siebie właśnie gdzieś tam w tajnikach naszego sumienia. Dlatego ufamy że nie tylko ci, którzy uwierzyli w Boga bardzo mocno, ale również ci, którzy zmagają się ze sobą, w końcu, kiedy doświadczą tej rzeczywistej obecności Pana Boga, to opowiedzą się po Jego stronie. Ale faktem jest, że w tym życiu wielu ludzi odczuwa ogromne trudności z uznaniem Pana Boga. I już jakby na tym rozbija się człowiek. Do tego dochodzi trudność następna w naszej wierze chrześcijańskiej. Mianowicie ta trudność to prawda głoszona przez Kościół, że Bóg, w osobie Jezusa Chrystusa, stał się człowiekiem. Kolejny paradoks bowiem na tym polega, że łatwiej nam uwierzyć w Boga, który jest odległy, niewidzialny, duchowy, jak mówimy: transcendentny — w pewnym sensie nieobecny, niż uwierzyć w Boga, który stał się człowiekiem w osobie Jezusa z Nazaretu.

Chcemy poznawać realia, w jakich żył Jezus z Nazaretu. I wiele osób, także spośród państwa, odbyło niegdyś pielgrzymkę do Ziemi Świętej, i oglądało miejsca uświęcone Jego obecnością. Z wieloma mieliśmy szczęście oglądać wspólnie te miejsca i przeżywać, pamiętając na słowa Jezusa, że gdy „wy przestaniecie mówić, to kamienie wołać będą". To był prawdziwy przywilej, pojechać do Ziemi Świętej i móc widzieć to konkretne uobecnienie w geografii, w przestrzeni, tej obecności Syna Bożego. Ale są tacy, którzy nigdy do Ziemi Świętej nie pojadą z rozmaitych powodów, którzy tych realiów nigdy nie zobaczą, i którzy też wierzą, bądź trudno im przyjąć, że Bóg stał się człowiekiem.

A z Eucharystią trudność jest jeszcze większa. Bo należy przyjąć nie tylko, że Bóg istnieje, nie

tylko to, że Bóg stał się człowiekiem i przez 33 lata był jednym z nas w ziemskim życiu, a następnie zmartwychwstał i został uwielbiony, ale trzeba nam posunąć się dalej. Mianowicie, że ów Bóg, który stał się człowiekiem, Syn Boży, pozostał z nami aż do skończenia świata, i to pozostał pod postaciami chleba i wina. Nie ma drugiej religii na świecie, która posunęła by się tak daleko. Ale jak powiedział jeden z wielkich mędrców, a te słowa były w gruncie rzeczy powtarzane w każdym pokoleniu, żaden człowiek nie wymyślił by takiej prawdy. Żaden człowiek nie wymyślił by Eucharystii, gdyby nie została ona objawiona przez Jezusa Chrystusa. Otóż to, że Bóg zostanie z nami pod postaciami Chleba i Wina, i że możemy się Nim karmić, to jest tak, jak gdyby człowiek już nie tylko uwierzył w Pana Boga, ale niejako Nim dysponował, a w pewnym sensie Go zawłaszczył.

To wprowadzenie jest bardzo potrzebne, żeby przejść do I Listu św. Pawła Apostoła do Koryntian. Apostoł udał się do Koryntu ok. roku 51, czyli zaledwie 18 lat po śmierci Jezusa. Pamiętamy, że był człowiekiem nawróconym, który sam doświadczył rzeczywistej obecności Chrystusa pod Damaszkiem, gdy usłyszał słowa „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?” „Kto Ty jesteś Panie?” „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz!” Te słowa, a następnie przyjęty chrzest z rąk chrześcijanina Ananiasza odmieniły go bardzo gruntownie. Tak daleko musiał przemyśleć swoje życie, że udał się na pustynię, a właściwie zbiegł z Damaszku, ponieważ jego współrodacy, Żydzi, czyhali na jego życie. Na pustyni doszedł do siebie, przemyślał to doświadczenie Chrystusa, udał się do Jerozolimy. Ale Apostołowie byli wobec niego nieufni. Odprowadzili więc go na statek, do Cezarei Nadmorskiej, i stamtąd odpłynął do Tarsu, do swojej rodziny, może nawet do rodziców. Zapewne to właśnie on do Tarsu, skąd pochodził, zaniósł jako pierwszy Ewangelię Chrystusową. Tam, przypomnijmy sobie nasze konferencje sprzed dwóch lat, odnalazł go inny Apostoł, Barnaba.

Jutro w liturgii Kościoła jest święto św. Barnaby, towarzysza św. Pawła Apostoła. Barnaba przygarnął Szawła, nawróconego Pawła, udał się z nim do Antiochii — na terenie dzisiejszej Turcji — i stamtąd rozpoczęli pierwszą podróż misyjną, najpierw na Cypr, a następnie do Środkowej Azji Mniejszej, do krainy, która nosi nazwę Galacja. Obeszli tę krainę, założyli pierwsze Kościoły, wrócili. Problem polegał na tym, że do Kościoła weszli ludzie pogańskiego pochodzenia. Powstał spór, powstał konflikt. Bo ci chrześcijanie, którzy byli Żydami, taj jak Piotr, sądzili, że należy nawróconych najpierw obrzezać, zobowiązać do zachowywania Prawa i przestrzegania zwyczajów żydowskich, i dopiero wtedy mogą stać się wyznawcami Jezusa Chrystusa. Paweł powiedział „Nie!” „Nie” dlatego, że jeżeli jest Jezus Chrystus, Syn Boży, to nie potrzeba już zachowywać starotestamentowego prawa. Te rozstrzygnięcia padły na Soborze Jerozolimskim, który odbył się w roku 50.

Wtedy Paweł wyruszył w drugą podróż apostolską, znów po Azji Mniejszej, a stamtąd udał się do Europy. Najpierw był w Filippi, potem w Tessalonice, później w Berei, w Atenach, a z Aten dotarł do Koryntu. Przypominamy sobie ubiegłoroczną pielgrzymkę Jana Pawła II, który z wielkim przejęciem stanął na Areopagu w Atenach, tuż obok Akropolu, i po raz pierwszy w dziejach biskup Rzymu i biskup Aten siedzieli obok siebie, i wyznawali wspólnie wiarę w Jezusa Chrystusa i przypominali, że Kościół oddycha dwoma płucami, tym zachodnim – łacińskim, i tym wschodnim – greckim.

Wróćmy do Pawła. Paweł udał się do Koryntu. To było miasto nadmorskie, z dwóch stron jest morze. Leży na wąskim przesmyku, gdzie w czasach nowożytnych został wykopany Kanał Koryncki. Było to miasto portowe, a więc miasto z portową opinią również. Paweł przebywał tam aż półtora roku. Przez ten czas założył Kościół, pozyskał wielu chrześcijan, był z Koryntian dumny. A stamtąd udał się z powrotem do Jerozolimy.

Wkrótce, duchem był bardzo niespokojnym, rozpoczął trzecią podróż apostolską, wyruszył znów do Azji Mniejszej i na trzy lata zatrzymał się w Efezie. I wtedy to do Efezu doszły wieści z Koryntu. Zaczęto opowiadać Pawłowi że ci wierni, których nawrócił kilka lat wcześniej i których umacniał, nie żyją tak jak powinni. Że zdarzają się wśród nich nadużycia, że zdarzają się wśród nich rozmaite spory, konflikty. Że zdarzają się wśród nich rzeczy, które w żadnym przypadku chrześcijanom przydarzać się nie powinny. I właśnie wtedy, po tych doniesieniach, Paweł pisze do Koryntian list.

I ten list, napisany około roku 55 bądź 56, czyli 5 lat po pobycie Pawła w Koryncie, zachował się i wszedł do kanonu Nowego Testamentu. Bardzo piękny, bardzo głęboki, i jednocześnie bardzo mądry list. W tym liście Paweł odnosi się do sytuacji chrześcijan korynckich. I zaczyna ich upominać, zaczyna ich prosić, aby wyplenili u siebie zło. Prosi ich, aby byli porządnymi ludźmi. Zwraca im uwagę, że skoro uwierzyli w Chrystusa, to nie mogą żyć tak, jak poganie. I prosi, aby stanowili

jedno dlatego, że były wśród nich podziały i rozłamy. I mówi do nich mniej więcej tak: „Czyż takiej Ewangelii was uczyłem? Czyż o to chodziło w moim nauczaniu? Przypomnijcie sobie, co wam mówiłem."

A po tych licznych napomnieniach, i po tych wszystkich wskazówkach dotyczących życia, również małżeńskiego i rodzinnego, Apostoł przechodzi do sprawy Eucharystii. I w rozdziale 11 tego listu czytamy takie słowa:

> Udzielając tych pouczeń nie pochwalam was za to, że schodzicie się razem nie na lepsze, ale ku gorszemu.

Otóż okazuje się, że chrześcijanie korynccy zbierali się razem, i mieli dwa rodzaje spotkań. Jedne spotkania to były takie, jak my teraz, i była wspólna wieczerza, wspólna uczta, wspólna kolacja powiedzielibyśmy naszym językiem. Ale kiedy przychodziła niedziela, bądź przychodził jakiś inny dzień, najprawdopodobniej jeszcze święta żydowskie dlatego, że oni ciągle byli wpisani w tę religię Starego Testamentu, to posiłki nabierały innego charakteru, bo właśnie wtedy sprawowali Eucharystię. I okazuje się, że pośród tych wszystkich nadużyć zdarza się także i to, że ci chrześcijanie zbierali się razem, ale zbierali się nie dla wspólnego dobra, ale ku gorszemu.

Otóż tak widzimy, że trudności w Kościele istnieją od samego początku jego istnienia. Musimy nauczyć się takiej podstawowej prawdy, że od początku istnienia ludzkości dobro i zło istnieją obok siebie, bo istnieją w człowieku. One nie istnieją obok, i jak wielokrotnie podkreślam, podział między dobrem a złem nie przebiega między ludźmi, lecz przebiega w sercach ludzi. Bo w każdym z nas trwa to odwieczne zmaganie się jednego i drugiego. Pisał o nim również św. Paweł kiedy mówił, że „pożądam dobra, ale czynię to, co jest złe". I w związku z tym Paweł jest wymagający — ale wyrozumiały.

I na tym właśnie polega pedagogia chrześcijańska, którą trzeba przenosić i do swoich rodzin, i którą trzeba przenosić również do Kościoła. Trzeba wymagać, ale jednocześnie nie można wymagać za wiele, bo wtedy nie otrzymamy nic. Trzeba wymagać, ale i być wyrozumiałym wobec ludzkich słabości. To znaczy dać człowiekowi szansę. Jeżeli bowiem odbierze się komuś nadzieję, to oczywiście nie ma wtedy żadnej możliwości czy szansy poprawy. To jest ważne w życiu rodzinnym, ale to jest ważne również w życiu Kościoła. I kiedy otworzymy Stary Testament, to wiedzą państwo dobrze, jak różne epizody tam są obok siebie. Obok świętości, bohaterstwa, poświęcenia są epizody gwałtów, rozpusty, przemocy — wszystkiego, na co tylko stać człowieka. W Nowym Testamencie, kiedy Jezus powołał Apostołów, to zdradził Go nie ktoś z zewnątrz, tylko jeden z tych, którzy towarzyszyli Mu na co dzień. I ta zdrada była tym bardziej dotkliwa. Kiedy Jezus powołał apostołów, to zaparł się Go nie jakiś człowiek, którego spotkał przypadkowo czy przypadkowo uzdrowił, ale wyparł się Go ten, który Mu najwięcej zawdzięczał.

Zatem już Jezus na sobie doświadczył tej przemożnej siły zła. A przecież wiemy, że *różnica między Judaszem i Piotrem tylko na tym polegała, że Judasz stracił nadzieję. I to doprowadziło go do tego, że się powiesił. Podczas gdy Piotr zapłakał, i były to już łzy nawrócenia.* I później w początkach Kościoła dzieje się nie inaczej, niż w czasach Starego Testamentu, i niż za życia Jezusa Chrystusa. Mianowicie od początku są rozmaite nadużycia, od początku są rzeczy, które dzisiejszym językiem moglibyśmy nazwać zgorszenia. I tak w gruncie rzeczy trwa w każdym pokoleniu chrześcijan. *I dojrzały chrześcijanin o tym doskonale wie.* Oczywiście przeżywa to, i każdego z nas boli to zło, które ewentualnie w Kościele się dzieje. Ale zdajemy sobie sprawę, że i każdy z nas ma w tym złu jakiś swój mniejszy czy większy udział. I że tylko ludzi prawdziwie świętych i niewinnych stać na życie, które ze złem nie ma nic do czynienia.

Więc Paweł upomina i powiada do nich: „zbieracie się, ale nie na lepsze, ale ku gorszemu". Na czym polegają te niebezpieczeństwa, związane z gromadzeniem się pierwszych chrześcijan na wspólne posiłki i na wspólne sprawowanie Eucharystii? Mówi tak:

> Przede wszystkim słyszę — i po części wierzę — że zdarzają się między wami spory, gdy schodzicie się razem jako Kościół.

Niech państwo zwrócą uwagę, na tę głęboką, ja bym powiedział: niedoścignioną mądrość Apostoła. Apostoł napisał: „Przede wszystkim słyszę — i po części wierzę". Bardzo często bywamy bezkrytyczni wobec tego, co słyszymy. Bardzo często przyjmujemy za dobrą monetę to, co się mówi o innych ludziach, zarówno o jednostkach, jak i o różnych zbiorowościach. Otóż jeżeli chodzi

o mówienie zła o innych ludziach, musimy być bardzo ostrożni. Bo jedną z cech zła jest to, że ono jest zaraźliwe. Że się powiększa, że obrasta w obmowę, w plotkę, w oszczerstwo i we wszystko inne. Dobro, i mówienie o dobrym człowieku, jest znacznie bardziej ciche. Zło jest zawsze bardzo krzykliwe. Jeżeli więc chcemy żyć w sprawiedliwy, prawy sposób, powinniśmy być bardzo ostrożni wobec tego wszystkiego, co mówi się źle o innych ludziach. Zapewne w takich sytuacjach może tam być jakaś część prawdy.

Ale Apostoł jest ostrożny. „Przede wszystkim słyszę — i po części wierzę — że zdarzają się pomiędzy wami spory, gdy schodzicie się razem jako Kościół.” Otóż największym wrogiem Kościoła jako wspólnoty są spory, są konflikty, są napięcia, jest brak jedności. Niestety to rozkładało Kościół, zagrażało Kościołowi przez całe wieki. Dotykało Kościół, raniło Kościół przez całe wieki istnienia. Te spory kończyły się rozmaitymi podziałami w pierwszych wiekach. Podziałami, które znamy tylko z podręczników historii, zwłaszcza historii pierwszych wieków Kościoła. Ale te spory zakończyły się również w dramatyczny sposób wtedy, gdy w r. 1054 patriarcha Konstantynopola i biskup Rzymu obrzucili siebie nawzajem klątwą, i w ten sposób nastąpił przedział pomiędzy Kościołem zachodnim i Kościołem wschodnim. Przedział i podział, który istnieje aż po dzień dzisiejszy. Te podziały istnieją w prawosławiu, gdzie, jak państwo dobrze wiedzą, Kościoły mają charakter bardziej narodowy, po linii języka, czasami polityki. I powiedzmy sobie — sytuacja Kościoła prawosławnego w Grecji jest zupełnie inna niż w Bułgarii, w Bułgarii jest inna niż w Rosji, w Rosji jest inna niż na Ukrainie.

I dobrze widzimy, jak polityczne rozmaite uwarunkowania doprowadzają do antagonizmów, do konfliktów, które są niezwykle gorszące. Bo jeżeli dla nas, chrześcijan, na przykład niechęć Kościoła prawosławnego w Rosji do nas jest czymś bolesnym, to myślę, że dla niechrześcijanina taki stan rzeczy jest nie tylko niezrozumiały, ale jest wręcz niebezpieczny. Bo myśli sobie, że skoro są tak skonfliktowani to żadne z nich nie trwa przy prawdzie. Te podziały, o których Paweł mówi w początkach Kościoła, z początkiem XVI wieku doprowadziły do rozłamu w Kościele zachodnim. Mamy reformację, kościoły protestanckie, mamy Kościół Rzymsko-katolicki.

I dobrze wiemy jaka przepaść dzieli protestantów i katolików. Dobrze wiemy co się dzieje np. w Irlandii, gdzie jedni z drugimi walczą. I to walczą już nie tylko w sposób gorszący, tylko aż do krwi, aż do śmierci. Dobrze wiemy wreszcie o tym — i to jest chyba najbardziej tragiczna spośród czarnych kart Kościoła — że czasami jedno wyznanie drugiemu wyznaniu przysparzało męczenników. Czyż nie taki jest przypadek Andrzeja Boboli? Przecież Andrzej Bobola został zamordowany nie przez niewiernych, nie przez ateistów, nie przez nie wiadomo kogo, ale przez Kozaków, którzy byli w tamtym okresie już prawosławni. A to, czego od niego wymagano, to odejście od wyznania katolickiego, przejście na wyznanie prawosławne. Ale przecież i tu i tu jest Chrystus! I tu i tu jest ta sama Eucharystia! I tu i tu jest to samo wyznanie wiary! Więc gdzie jest problem? Problem jest w ludzkim sercu i ludzkim sumieniu!

Paweł przestrzega, że przede wszystkim pilnujcie jedności. Otóż niezgoda, brak jedności najbardziej Kościół burzy. I myślę, że ten dramat podziału daje o sobie znać także i w naszych czasach, w jakiejś mierze także i w naszym Kościele, w Kościele katolickim w Polsce. Kiedy pojawiają się rozmaite trudne sprawy, wtedy dopiero widać nie tylko skonfliktowanie, ale także bardzo silne napięcia i spory, które doprowadzają do tego, że jedni na drugich patrzymy krzywo. A to wszystko sprzeciwia się samej istocie Eucharystii.

Z tego wynika prosty wniosek. Mianowicie trzeba starać się o budowanie jedności. Z tym, że budowanie jedności w ramach całego Kościoła jest czymś wzniosłym i odległym. Natomiast budowanie jedności w ramach rodziny, i z najbliższymi, jest czymś bliskim, i czymś jednocześnie straszliwie trudnym. Żeby to jakoś uszczegółowić to wydaje mi sie, że trzeba by chyba powiedzieć tak. Idąc na Eucharystię, idąc na mszę św. trzeba zostawić w domu i wyrzucić z siebie wszelką niechęć, wszelką wrogość, wszelką zazdrość, wszelkie kłótnie, wszelkie konflikty. Człowiek, który udaje się na mszę św. powinien być pogodzony z innymi ludźmi, i z samym sobą. To jest bardzo trudne do osiągnięcia, ale tylko w ten sposób można budować jedność w Kościele i w ten sposób można budować jedność w tej wspólnocie wierzących, która karmi się Eucharystią.

Ja myślę, że są w domach państwa takie zwyczaje — niestety wiele tych starych polskich zwyczajów odchodzi w niepamięć, a bardzo często to jest szkoda — zwyczaje polegające na tym, że gdy się

Zmiana stron kasety

Otóż jeżeli ktoś umie to robić, jeżeli ktoś chce to robić, jeżeli ktoś nauczył się trudnej sztuki przebaczania i budowy jedności, można by powiedzieć, że — czy się o tym wie, czy nie wie — osiągnął same szczyty świętości chrześcijańskiego życia. Można by powiedzieć, że doszedł do tego, co jest w życiu chrześcijanina najważniejsze. Mianowicie do pojednania z samym sobą, do umiejętności przebaczania, która sama w sobie jest darem. Apostoł napisał dalej tak:

Zresztą nawet muszą być wśród was rozdarcia, żeby się okazało, którzy są wypróbowani.

Możemy mieć najlepsze chęci, najlepsze pragnienia, ale może się okazać, że to wszystko za mało. Jedna ze stron małżeństwa, albo ktoś w rodzinie, może chcieć naprawdę dobrze. Ale może się okazać, że to trafia w pustkę, a nawet jątrzy i rozbudza jeszcze większą niechęć. Tak bywa, to się zdarza. Apostoł szuka ideału, ale jest realistą. I każda świętość, a ta chrześcijańska zwłaszcza, na tym polega, żeby pragnąć dobra, ale mieć właściwe rozeznanie o życiu, o człowieku, o samym sobie. Mianowicie nie chcemy podziałów, nie chcemy rozdarcia, ale jesteśmy świadomi, że one się zdarzają. Jeżeli to jest obok nas, przychodzi nam to łatwiej znosić. Ale jeżeli to dzieje się wśród naszych bliskich, wtedy dopiero rozpoczyna się owa droga krzyżowa.

I może być tak, państwo pamiętają te niezwykłe słowa Jezusa, że „jeżeli ktoś miłuje swojego ojca, matkę, brata, siostrę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien". A odbywa się to w takiej sytuacji, gdy ktoś staje po stronie swoich najbliższych wtedy, gdy powinien stanąć po stronie Chrystusa, Jego Ewangelii i Jego prawdy. Czasami bowiem trzeba opowiedzieć się za Bogiem i za Jego przykazaniami nawet, jeżeli odbywa się to za cenę więzi z najbliższymi. I to jest chyba największy dramat religijnego i chrześcijańskiego życia, kiedy człowiek musi być sobą, musi być chrześcijaninem, musi być człowiekiem sumienia także w tym środowisku, z którym wiążą go więzi krwi. Zatem wyrozumiałość — ale zarazem stanowczość. Nie pobłażliwość tylko rodzaj otwarcia, gdzie osiąga się jedność przez przebaczenie. Paweł napisał dalej:

Tak więc, gdy się zbieracie, nie ma u was spożywania Wieczerzy Pańskiej.

Otóż Apostoł zwraca uwagę, że Eucharystia — a były to same początki Kościoła — stawała się dla tych chrześcijan pretekstem tylko. Oni twierdzili, że idą przeżywać Eucharystię, a w gruncie rzeczy poprzestawali tylko na wspólnych posiłkach. Pamiętajmy, że ten problem dzisiaj pozornie tylko nie istnieje. Dlaczego mówię „pozornie tylko"? Nie istnieje w sposób dosłowny. Dlatego, że tamci ludzie zbierali się w domach. Nawet zrekonstruowano takie pierwsze domy. Niektóre mogły pomieścić 30 osób, inne 50, inne 100 osób, ale nie więcej. Nie było w starożytności domów tak okazałych, żeby mogły pomieścić tyle osób, ile tutaj jest państwa. Te zebrania, te wspólnoty eucharystyczne były dużo mniejsze. Więc ci ludzie gromadzili się razem.

My dzisiaj idziemy do kościoła i nie może być tak, że przyjdziemy, wyjmiemy kanapki i sobie zjemy. Bo sama budowla nas usposabia do zupełnie innego zachowania. Ale problem pozostaje. Dlaczego? Dlatego, że może być tak, że ktoś przychodzi na mszę św. ale w gruncie rzeczy jego prawdziwe intencje, albo jego prawdziwa postawa jest zupełnie inna. I z tym, co się dzieje, z Eucharystią nie ma nic wspólnego. Czy nie zdarza się tak, nie tylko w środowiskach wiejskich, ale także miejskich, że msza św. to okazja, żeby się pokazać? Okazja, żeby gdzieś na wsi pokazać swój samochód, kiedyś po prostu konie i wóz? Dzisiaj, żeby pokazać swoje ubranie? Żeby pokazać się we dwoje? Żeby pokazać, jak mi się powodzi? Żeby popatrzeć na innych, żeby zobaczyć, jak wyglądają. I w gruncie rzeczy te 45 minut czy godzina to jest takie lokalne, miejscowe wydanie rewii, w której Eucharystia jest tylko oprawą. Natomiast to, co się dzieje w środku człowieka, odbiega daleko od tego, co się dzieje przy ołtarzu. Podczas niedzielnej Eucharystii musimy bardzo zważać na to, żeby sednem naszej obecności było to, co jest naprawdę najważniejsze.

Oczywiście można by powiedzieć, że w mieście — a mieszkamy w mieście — w grę wchodzą inne przesłanki, niż na wsi. Dzisiaj zresztą, w ciągu ostatniego pokolenia czy dwóch, zmieniła się mentalność ludzi w skutek telewizji i środków masowego przekazu. Jesteśmy zupełnie innym pokoleniem niż to, które żyło pięćdziesiąt lat temu. Ale mimo wszystko mamy swoje rozmaite słabości, a bardzo często dzieje się tak, że przenosimy — i to jest chyba w mieście najczęstsza sprawa — że przenosimy i przynosimy do kościoła cały ten rozgardiasz i zamęt, który mamy czasami

w głowach z powodu wielkiego szumu, jaki mamy w swoim własnym mieszkaniu. Może to być szum wynikający z telewizora, z radia, z jakichś innych doznań. Wychodząc z domu i idąc do kościoła nie zdążymy jeszcze z tego wszystkiego ochłonąć. I stoimy w kościele, jesteśmy obecni, ale gdy wracamy do domu stwierdzamy, że właściwie duchem, duszą, byliśmy gdzieś zupełnie indziej. I na to zwraca uwagę Paweł. Że Eucharystia jest tak wielką tajemnicą, że człowiek musi dołożyć starań, aby przeżywał to, co się rzeczywiście dzieje. I czytamy tak:

> Każdy bowiem już wcześniej zabiera się do własnego jedzenia, i tak się zdarza, że gdy jeden jest głodny, to drugi jest nietrzeźwy.

Tak było w pierwszych wspólnotach. Dzisiaj dzięki Bogu takie rzeczy się nie zdarzają. Ale to nie zdarzają dlatego, że my jesteśmy lepsi niż pierwsi chrześcijanie — nie, nie — tylko dlatego, że mamy kościoły, mamy świątynie. Gdyby Eucharystii towarzyszyły kolacje, to z całą pewnością mielibyśmy rozmaite pokusy tak jak te, przed którymi ostrzegają proboszczowie i pozostali księża, kiedy proszą wiernych: „Zróbcie pierwszą komunię bez alkoholu! Zróbcie bierzmowanie bez alkoholu! Zróbcie wigilię bez alkoholu! Pośćcie w piątki! Trzeba zachować post w Środę Popielcową, albo w Wielki Piątek! itd.” I okazuje się, że kiedy się o tym przypomina, to sporo wiernych stwierdza, że to strasznie trudno zachować. Kiedyś mnie kiedyś jedna osoba wyznała, że nigdy nie miała takiej ochoty na wędlinę, jak w Wielki Piątek, i dlatego uległa. Dlatego, że jeżeli się czegoś zakazuje, to wtedy w człowieku wyłania się taki mechanizm, jak z tym psem Pawłowa, że wystarczy zadzwonić, i leci ślina. Jak się mówi, że w piątek nie trzeba jeść, to przez pozostałe dni tego mięsa się nie chce. A właśnie w piątek ten czas przychodzi.

Otóż rzecz nie polega na tym, że Pan Bóg chce nas powstrzymać przed mięsem, czy przed winem. Problem polega na czymś zupełnie innym — że człowiek potrafi, bądź nie potrafi, zapanować nad sobą. I wśród pierwszych chrześcijan na posiłkach, na których się gromadzili, bywało tak, że jeden był głodny, a drugi był nietrzeźwy. Tak wyglądały te pierwsze wspólnoty również. Zauważmy, że Kościół opowiada o nich, listy św. Pawła opowiadają, bardzo szczerze. I nie sądźmy, raz jeszcze powtarzam, że my jesteśmy od tamtych ludzi jakoś diametralnie inni. I dalej:

> Czyż nie macie domów, aby tam jeść i pić? Czy chcecie znieważać Boże zgromadzenie i zawstydzać tych, którzy nic nie mają?

Proszę zwróćmy uwagę: Eucharystia w nauczaniu św. Pawła jest bardzo mocno połączona z dobroczynnością. Podczas Eucharystii musi być przywracana sprawiedliwość. Wiadomo, że są wśród nas zamożniejsi i mniej zamożni. Wiadomo, że są wśród nas mający większe, i mniejsze możliwości. Wiadomo, że zdarzają się wśród nas bogaci, ale i biedni. Ale nie wolno nam dopuścić do jednego. Tego mianowicie, żeby na naszych zgromadzeniach byli ludzie głodni. A nie oznacza to tylko głodnych podczas mszy św. Oznacza to także głodnych w naszych domach, w naszych miastach, w naszych osadach, osiedlach itd. Uważam, że ten właśnie punkt, ten obowiązek przywracania sprawiedliwości jest największym wyzwaniem, przed jakim staje Kościół katolicki w Polsce. Sądzę, że jest to punkt, który nie jest należycie widziany, dostrzegany ani urzeczywistniany. Otóż w naszej Ojczyźnie wskutek tego, że istnieje przeogromne bezrobocie — w niektórych regionach kraju ono jest wręcz tragiczne, ok. 40% ludzi pozostaje bez pracy, bez zarobków, z frustracją, z poczuciem tego, że są niepotrzebni itd. — nie brakuje ludzi głodnych, nie brakuje głodnych dzieci, nie brakuje głodnych osób starszych itd. Podczas gdy wiele żywności po prostu się marnuje. Podczas gdy z wielu rzeczy, także tych, które my mamy, korzystamy bez należytego przemyślenia.

Paweł mówi, że tak nie może być. W naszych czasach też tak nie może być. Kościół jest tym miejscem, w którym spotykamy się z Bogiem. Ale to jest także to miejsce, w którym uczymy się wrażliwości na drugiego człowieka. A uczymy się jej nie tylko przez dobre słowa, ale przede wszystkim przez dobre uczynki.

I musimy pod tym względem popatrzeć jeszcze inaczej także na nasze otoczenie i na nasze środowisko. Może szukając jakiś praktycznych wskazań trzeba byłoby powiedzieć, że niedziela jest jakimś szczególniejszym dniem dobroczynności. Nie musi to wcale oznaczać, powiedzmy sobie, dawania na tacę, ale może i powinno to oznaczać jakąś większą wrażliwość — czasami to może być sąsiad, czasami może być ktoś nieznany, czasami może być ktoś przypadkowy, któremu trzeba po prostu przyjść z pomocą. Paweł napisał o tym bardzo wyraźnie:

> Czy chcecie znieważać Boże zgromadzenie i zawstydzać tych, którzy nic nie mają?

Otóż jednym ze skutków biedy jest to, że ona człowieka upokarza. Ja myślę, że jeżeli ktoś z nas przeżył kiedykolwiek w życiu jakiś dotkliwy brak, biedę, nędzę, to wtedy przede wszystkim czuł się nie tyle głodny, co sponiewierany i upokorzony. I nie wolno nam dopuścić do tego, żeby takie rzeczy miały miejsce wśród chrześcijan. Paweł mówi:

> Cóż wam powiem? Czy będę was chwalił? Nie, za to was nie chwalę!

Zwróćmy uwagę, Apostoł od konkretnej sytuacji, tej sytuacji, z jaką miał do czynienia wśród Koryntian, przechodzi teraz do nauczania o Eucharystii. I napisał tak:

> Ja bowiem otrzymałem od Pana to, co wam przekazuję, że Pan Jezus tej nocy, kiedy został wydany, wziął chleb i dzięki uczyniwszy połamał i rzekł: «To jest Ciało moje za was [wydane]. Czyńcie to na moją pamiątkę». Podobnie, skończywszy wieczerzę, wziął kielich, mówiąc: «Ten kielich jest Nowym Przymierzem we Krwi mojej. Czyńcie to, ile razy pić będziecie, na moją pamiątkę».

Specjalnie nie przerywałem tego fragmentu żeby państwo zdali sobie sprawę, że podczas każdej mszy św. uobecniamy słowa z Ewangelii i słowa św. Pawła. Powtarzamy właśnie ten fragment, w którym Paweł powiada, że jego wiara w Eucharystię, i w obecność Jezusa Chrystusa w Eucharystii, jest rezultatem, jest owocem przekazu od innych, od Apostołów, od Piotra, od pozostałych, którzy widzieli Zmartwychwstałego. I wskutek tego on bierze do ręki chleb, bierze do ręki wino, i sprawuje Eucharystię. Otóż Eucharystia jest największą tajemnicą naszej wiary. Ta tajemnica w Kościele katolickim rozgrywa się, można by tak powiedzieć, na oczach wiernych. To znaczy widzimy kapłana, który podnosi chleb, który bierze wino, który dokonuje konsekracji.

Natomiast chciałbym tutaj, może trochę przekornie, powtórzyć to, co przedwczoraj usłyszałem od jednego z panów tu mieszkających. Mówił, że w prawosławiu to jest chyba lepiej, bo tam Przeistoczenie jest zupełnie ukryte przed wiernymi. W związku z tym nie muszą widzieć tego, czego i tak nie rozumieją. Otóż ta prosta formuła zawiera w sobie coś z prawdy. Kiedy my coś widzimy, chcemy to zrozumieć. Chcemy również zrozumieć Eucharystię. Eucharystia jest tak wielką tajemnicą, że oglądanie wcale nie powoduje zrozumienia. Kiedy patrzymy na kapłana, kiedy dokonuje Przeistoczenia, nie widzimy wcale więcej niż to, gdyby się to wszystko odbywało za jakąś zasłoną tak, jak w prawosławiu. Paweł podkreśla, że Eucharystia jest tajemnicą, w której rzeczywiście obecny Jezus udziela się ludziom. I dalej:

> Ilekroć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pańską głosicie, aż przyjdzie.

Otóż istnieje ścisły związek między Eucharystią a śmiercią Jezusa na krzyżu. Państwo przypominają sobie ten motyw obecny w Ewangelii św. Jana, kiedy to jeden z żołnierzy włócznią otworzył bok jego, a natychmiast wypłynęły krew i woda. Krew — to symbol Eucharystii, woda — to symbol chrztu. W ten sposób św. Jan podkreśla, że na krzyżu mają swój początek dwa podstawowe sakramenty Kościoła: Eucharystia i chrzest. I ile razy przeżywamy Eucharystię, ile razy spożywamy ten chleb i pijemy kielich, śmierć Pańską głosimy, aż przyjdzie.

Tak dochodzimy do sprawy bardzo delikatnej. Mianowicie słyszymy: „spożywamy chleb, pijemy kielich". Tymczasem pod dwoma postaciami przyjmuje Eucharystię w Kościele katolickim tylko kapłan. Kiedy są mniejsze wspólnoty, jest inaczej. I być może są wśród państwa osoby, zapewne całkiem sporo, które przyjmowały komunię świętą pod dwoma postaciami. Otóż sądzę, że należy powoli pójść w tym kierunku, żeby Komunia św. była dla wszystkich wiernych pod dwoma postaciami. Nie ma żadnych innych trudności, niż pewne trudności praktyczne wynikające stąd, że dwie postaci to jest postać chleba, postać Ciała w chlebie, postać Krwi Jezusowej w winie. Jest pewna trudność ze spożywaniem tego wina. Wydłużało by to liturgię. Trzeba byłoby zatroszczyć się o to, żeby mieć szacunek dla tej odrobiny, kropli wina, którą będziemy pić itd. To są trudności praktyczne. Przy takim duszpasterstwie masowym, jakie mamy teraz w Polsce, gdy na mszę świętą przychodzi kilkaset osób, gdy msza święta trwa maksimum godzinę, bo o następnej okrągłej godzinie jest znowu msza święta, przyjmowanie komunii pod dwoma postaciami jest, można by

powiedzieć, niemożliwe z tych względów porządkowych. Ale w mniejszych wspólnotach, tam, gdzie nie ma tych rygorów czasu ani tego nacisku, wierni mogą i powinni spożywać komunię świętą pod dwoma postaciami.

W ubiegły piątek, trzy dni temu, ingres do katedry siedleckiej miał nowy ksiądz biskup, ksiądz biskup Zbigniew Kiernikowski. On przykłada ogromną wagę go przeżywania mszy świętej, przeżywania Eucharystii. Muszę państwu powiedzieć, że chociaż z nim razem studiowałem w Rzymie ćwierć wieku temu, to jednak w dalszym ciągu od niego bardzo wiele uczę się przeżywania mszy świętej. I kiedy on sprawuje mszę świętą z udziałem wiernych, Eucharystia zawsze odbywa się pod postaciami chleba i wina. Przykłada do tego ogromną wagę. Na to też wskazuje św. Paweł. Być może jest to taka rzecz, którą trzeba wspólnie przemyśleć, i wspólnie dołożyć starań, żeby i pod tym względem pójść w kierunku, który jeszcze bardziej zbliży nas do zamysłu Jezusa Chrystusa.

> Ilekroć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pańską głosicie, aż przyjdzie.

Można więc spożywać Eucharystię pod postacią chleba i wina, ale cały Chrystus obecny jest w chlebie, i obecny jest w winie. Dlatego św. Paweł mówi „spożywacie chleb albo pijecie kielich”. I u nas, w naszym duszpasterstwie istnieje to „albo, albo”. Ale należy dobrze przemyśleć, czy nie dołożyć starań, żeby takiej alternatywy nie było.

> Dlatego też kto spożywa chleb lub pije kielich Pański niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej.

To są bardzo surowe słowa Apostoła. Te słowa Apostoła wiele razy powstrzymują nas przed przyjęciem komunii św. Wiele razy mamy rozmaite trudności w przyjęciu komunii św. sądząc, że być może w naszym życiu popełniliśmy coś, co sprzeciwia się godności Eucharystii. Na pewno niezbędna jest pod tym względem daleko posunięta ostrożność i wyczulenie. Na pewno komunia św. jest tym darem, do którego powinniśmy podchodzić z szacunkiem. Z drugiej strony jednak pamiętajmy, że każdy z nas jest niegodny tego, by przyjmować ciało i krew Pana. Paweł ostrzega przed nadużyciami, które są już krańcowo niebezpieczne. Ale trzeba dokładać starań, żeby pod tym względem mieć sumienie dobrze ukształtowane. „Niech przeto” — kończy św. Paweł

> Niech przeto człowiek baczy na siebie samego, spożywając ten chleb i pijąc z tego kielicha. Kto bowiem spożywa i pije nie zważając na Ciało [Pańskie], wyrok sobie spożywa i pije. Dlatego to właśnie wielu wśród was jest słabych i chorych i wielu też umarło. Jeżeli zaś sami siebie osądzimy, nie będziemy sądzeni.

Apostoł zwraca uwagę na to, że musimy samych siebie osądzić z usposobienia, z zachowania, z postawy wtedy, gdy bierzemy udział w Eucharystii. To właśnie dlatego każda msza św. rozpoczyna się od słów, które po łacinie brzmią:

Agnoscámus peccáta nostra, ut apti simus ad sacra mystéria celebránda.	*Uznajmy naszą grzeszność przed Bogiem, abyśmy godnie przystąpili do sprawowania świętych obrzędów.*

Uznanie swojej grzeszności to jest warunek godnego sprawowania Eucharystii. Uznanie swojej grzeszności otwiera nas na Pana Boga ponieważ ono zabezpiecza nas przed pokusą samowystarczalności. W każdym z nas jest taka pokusa, że wystarczę sam sobie. Skoro starałem się być dobry, to mam teraz prostsze życie. Otóż nie! My wszyscy, nawet najlepsi spośród nas, potrzebują Bożego miłosierdzia. I dopiero korzystanie z tego miłosierdzia otwiera nas na możliwość owocnego korzystania z Eucharystii.

> Lecz gdy jesteśmy sądzeni przez Pana, upomnienie otrzymujemy, abyśmy nie byli potępieni ze światem. Tak więc bracia moi, gdy zbieracie się, by spożywać wieczerzę, poczekajcie jedni na drugich! Jeżeli ktoś jest głodny, niech zaspokoi głód u siebie w domu, abyście się nie zbierali ku potępieniu waszemu. Co do reszty, zarządzę, gdy do was przybędę.

Paweł napisał te słowa w dwadzieścia kilka lat po śmierci Jezusa. Pokazuje wierzącym w Chrystusa, jak należy przyjmować Eucharystię. Że nie można dopuszczać do nadużyć. Że należy zatroszczyć się o sprawiedliwość przy Eucharystii. I należy mieć poczucie własnej grzeszności, by otworzyć się na dobroć Boga. A oto co w naszych czasach napisał Jan Paweł II. Ta książka jest o tyle szczególna, ponieważ papież napisał te swoje zwierzenia i wspomnienia na pięćdziesiątą rocznicę swojego kapłaństwa, czyli w roku 1996. Ta książka nosi tytuł „Dar i tajemnica". I w tym, co dotyczy paragrafu „Kapłan a Eucharystia" Ojciec Święty mówił, a jego biograf zanotował, następujące słowa. Przeczytam je w całości (str. 72), abyśmy wiedzieli jak głęboko Jan Paweł II postrzega te tajemnice, do których przyjmowania usposobił nas Apostoł Paweł.

> „Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztropnymi, a objawiłeś je prostaczkom... Nikt też nie wie, kim jest Syn, tylko Ojciec, ani kim jest Ojciec, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić." (Łk 10, 21-22) To słowa z Ewangelii św. Łukasza, które wprowadzają nas w głębię misterium Chrystusa i pozwalają nam również zbliżyć się do tajemnicy Eucharystii. W niej to Syn współistotny Ojcu, Ten którego tylko Ojciec sam zna, składa temuż Ojcu siebie samego w ofierze za ludzkość i całe stworzenie. W Eucharystii Chrystus oddaje Ojcu wszystko to, co od Niego pochodzi. Realizuje się w Eucharystii jakieś dogłębne *misterium sprawiedliwości stworzenia wobec Stwórcy*. Trzeba bowiem, aby człowiek oddawał Stwórcy cześć z wdzięcznością i uwielbieniem za wszystko, co od Niego otrzymał. *Człowiek nie może stracić poczucia tego długu*, który tylko on jeden spośród ziemskich istot może rozpoznać i spłacać jako stworzenie uczynione na obraz i podobieństwo Boga. A zarazem, biorąc pod uwagę jego ograniczoność jako stworzenia oraz fakt, że naznaczony jest grzechem, człowiek nie byłby zdolny do tego aktu sprawiedliwości wobec Stwórcy, gdyby sam Chrystus, współistotny Ojcu Syn i prawdziwy Człowiek, nie podjął tej eucharystycznej inicjatywy.

Popatrzmy na to, jak Jan Paweł II przeżywa Eucharystię. Rozpoczął od modlitwy. Każdy, kto chce zastanawiać się nad Eucharystią, jest chrześcijaninem, powinien rozpocząć od modlitwy. Tylko modlitwa otwiera nas na należyte przeżywanie i przyjęcie tej tajemnicy. Nie jest to bowiem sprawa rozumu lecz sprawa uznania Bożej obecności w naszym życiu. Ale papież, kiedy rozpoczął od modlitwy, to przechodzi do tego, co jego zdaniem stanowi sedno Eucharystii. Mianowicie mówi, że przyjmowanie Eucharystii, karmienie się Komunią świętą to jest znak wdzięczności Bogu za Jego dobra. Jakże bowiem inaczej człowiek mógłby podziękować, człowiek wierzący w Chrystusa, niż wtedy, kiedy przyjmuje do siebie Boga, który mu się udziela. W ten sposób Eucharystia staje się znakiem komunii, a komunia to jest wspólnota — między Bogiem i człowiekiem. Skoro w Eucharystii Bóg udziela się nam, i skoro dokonuje się ta komunia między Bogiem a człowiekiem, to zadaniem ludzi Eucharystii jest również budowanie komunii, wspólnoty, pomiędzy ludźmi. A więc żaden sakrament nie łączy nas mocniej z Bogiem i żaden sakrament nie łączy nas mocniej między sobą. Eucharystia powinna być tym spoiwem Kościoła, zarówno w wymiarze wertykalnym, pionowym, jak i w wymiarze horyzontalnym, poziomym.

To są wzniosłe sprawy. Ale powiedziałem na początku, że tylko to, co jest wzniosłe, jest prawdziwie warte i godne wysiłku i trudu. I skoro Bóg otwiera przed nami takie perspektywy i takie możliwości, to na pewno daje nam również siły, żebyśmy je przyjęli i potrafili im sprostać. I na wakacje, które się niedługo rozpoczną, chciałbym wszystkim państwu, i każdej i każdemu z osobna, życzyć, pośród wielu dobrych spraw, które są państwu potrzebne, a wśród nich najważniejsza na pewno: zdrowie i wszelka pomyślność, chciałbym życzyć także tego, żeby państwo znaleźli odrobinę czasu na przemyślenie i należyte przeżycie tajemnicy Eucharystii. Może już przebywając na wakacjach, przebywając z dala od domu, może biorąc udział w jakiejś mszy św. sprawowanej w innym kościele, będzie nam jeszcze łatwiej przeżyć to, co jeszcze głębiej sięgnie naszych serc i sumień.

Bardzo, bardzo serdecznie dziękuję. A na następne spotkanie zapraszam na drugi poniedziałek października. Jeżeli szczęśliwie dożyjemy, to będzie to cykl wykładów o profilu biblijno-historycznym.

<<Podziękowania dla Księdza Profesora>>

Rozdział 5

2002/2003 — Czytamy Nowy Testament

5.1 Od Ewangelii Jezusa do Ewangelii Nowego Testamentu (14 października 2002)

. . . bardzo serdecznie dziękuje za tak liczną obecność. Znowu tak, jak w poprzednich miesiącach i latach, moim zadaniem będzie to, żeby w miarę możliwości odpowiedzieć na to zamiłowanie do Pisma Świętego, i zapotrzebowanie na wiedzę biblijną. Postaram się to zrobić aczkolwiek dobrze państwo wiedzą, że po tylu latach konferencji biblijnych, wykładów biblijnych, nie jest to sprawa taka bardzo prosta. Ale widzą też państwo patrząc po sobie nawzajem, że potrzebna jest także w naszym Kościele w Polsce, dla naszych wiernych, to zjawisko, które nosi nazwę *duszpasterstwa biblijnego.*

Do takiego duszpasterstwa wielokrotnie zachęcał Jan Paweł II. Ostatnio uczynił to w Liście Apostolskim *Novo millenio ineunte,* wydanym na początek nowego stulecia i nowego tysiąclecia. I myślę że dobrze się stało, że jeszcze dawniej, uprzedzając nauczanie Jana Pawła II wyłożone tak bardzo wyraźnie, rozpoczęliśmy tę inicjatywę konferencji biblijnych, i że jesteśmy tej inicjatywie wierni. Oczywiście nie byłoby tych konferencji, gdyby nie państwo, gdyby nie zapotrzebowanie, nie zamiłowanie z państwa strony. I należy się zatem wdzięczność wszystkim, i paniom i panom, którzy zdecydowali się, aby w poniedziałkowe wieczory w tych konferencjach brać udział. Również chciałbym na samym początku bardzo serdecznie podziękować księdzu prałatowi, proboszczowi tutejszej parafii Zwiastowania Pańskiego, który cały czas mnie dopinguje do tych konferencji. Jemu też one leżą bardzo na sercu, bardzo mu zależy. Jest dumny z tej obecności państwa w swojej świątyni, którą razem ze swoimi parafianami wybudował. I myślę, że na początku jemu też należą się największe wyrazy uznania.

Zastanawiałem się od wielu tygodni, oczywiście nie bez przerwy, tylko przy różnych okazjach, jaki miałby być temat tegorocznych konferencji. Muszę państwu powiedzieć, że było kilka rozmaitych koncepcji. Nie chciałbym ich przedstawiać, bo to zajęłoby zbyt dużo czasu, to pewnie by się złożyło na swoisty wykład biblijny, bo próbowałem i spojrzeć na to, o czym do tej pory mówiliśmy, zwrócić uwagę na już przerobione tematy, księgi, problemy, zagadnienia. I pomyślałem sobie, że spośród wielu możliwości najprostsza i chyba najbardziej owocna powinna być ta, która wprowadzi nas — ale nie tylko wprowadzi, tylko zobowiąże nas do przeczytania Pisma Świętego, a dokładniej Nowego Testamentu.

Do tej pory bywało tak, że omawialiśmy krótsze fragmenty Pisma Świętego krótsze teksty biblijne. Natomiast rozpoczynając tegoroczne konferencje chciałbym państwa zachęcić do tego, abyśmy poczynając od najbliższych dni, jeżeli to tylko możliwe sięgnęli państwo w domu po Nowy Testament i przeczytali go w kolejności, którą na konferencjach zasugeruję. Moje zadanie będzie polegało na tym, żeby zrobić wprowadzenie do lektury Nowego Testamentu, żeby również odnieść się do tych przeczytanych tekstów Nowego Testamentu, które były „zadane" na następne tygodnie. Natomiast zadanie państwa polegałoby na tym, żeby sięgnąć do Nowego Testamentu, i żeby przeczytać we wskazanym porządku jeden rozdział dziennie. O tym wspominaliśmy już kiedyś wielokrotnie przy

różnych okazjach, że takie czytanie jednego rozdziału dziennie bardzo dobrze zrobi. Natomiast jeżeli państwo zdecydują się właśnie na przeczytanie jednego rozdziału dziennie — tylko jednego rozdziału, i aż jednego rozdziału — i jeżeli będą państwo w tym systematyczni, to gdy szczęśliwie dożyjemy do czerwca 2003 r., powinniśmy wtedy mieć za sobą większość Nowego Testamentu przeczytanego.

Byłoby ogromną satysfakcją dla nas wszystkich gdyby mogło się okazać, że te kilkaset osób biorących udział w konferencjach biblijnych nie tylko słucha na temat słowa Bożego, ale że stara się Nowy Testament czytać. Jest bowiem na ogół tak — ja tego doświadczyłem wielokrotnie podczas różnych wykładów, spotkań, konferencji biblijnych, że słuchacze chętnie słuchają na temat tego, co się o Piśmie Świętym mówi. Natomiast niezależnie od tego jak byłoby atrakcyjne czy ciekawe, co się na temat Pisma Świętego mówi, nic nie zastąpi osobistego kontaktu z tekstem Pisma Świętego.

Dlatego zachęcałbym właśnie państwa, to taka jedna z nielicznych tego rodzaju inicjatyw. Można ją zrealizować tylko dlatego, że jesteśmy wszyscy na miejscu, że spotykamy się mniej więcej co cztery tygodnie, że spotykamy się dość regularnie, że można zatem zadać określony materiał. Ale także zakłada to, że każde z państwa ma w domu swój egzemplarz Nowego Testamentu, przynajmniej Nowego Testamentu. Najlepiej w tłumaczeniu Biblii Tysiąclecia, która jest przyjętym tekstem liturgicznym Kościoła katolickiego w Polsce. Trzeba jeszcze zaopatrzyć się w jakąś zakładkę, i potem sobie spokojnie każdego dnia po jednym rozdziale czytać. W jakiej kolejności — powiem państwu pod koniec tej konferencji. Natomiast byłoby idealnie, gdyby państwo przeczytali jeden rozdział, a na drugi dzień powtórzyli rozdział z poprzedniego dnia i przeczytali nowy. Bardziej szczegółowe uwagi później.

Na razie zróbmy sobie dzisiaj ogólniejsze wprowadzenie do Ewangelii, bo Ewangelie będziemy czytali na samym początku, żebyśmy z tym wprowadzeniem weszli do osobistej, indywidualnej lektury Pisma Świętego w domu. Ewangelia Marka — bo od niej zaczniemy — ma 16 rozdziałów, żeby ją przeczytać potrzeba nieco ponad 2 tygodnie. Potem będą państwo czytali Ewangelię Mateusza, która ma 28 rozdziałów — a więc 4 tygodnie. Ewangelia Łukasza — 24 rozdziały, nieco ponad 3 tygodnie, Ewangelia Jana — 22 rozdziały, znowu 3 tygodnie. Czyli w ciągu najbliższych 4 miesięcy mielibyśmy za sobą Ewangelie. Potem przechodzimy do Dziejów Apostolskich, to zajmie nam jeden miesiąc. Następnie Listy do Tesaloniczan, Listy do Koryntian itd., ja podam kolejność. Powinniśmy w czerwcu przebrnąć przez znaczącą część Nowego Testamentu.

W ten sposób można też będzie powiedzieć, że te konferencje mają o tyle sens, bo wprowadzają nas w bogaty świat Pisma Świętego. A pewny jestem, że wśród państwa jest sporo osób, które Pismo Święte czytają. Jeżeli więc ktoś już wcześniej rozpoczął czytanie, i czyta księgi święte w innym miejscu, niech tamto sobie spokojnie kontynuuje, i ewentualnie na bieżąco do tego zajrzy.

Mogą sobie państwo potraktować to czytanie wieczorem jednego rozdziału, i jednego powtórzonego, jako również rodzaj wieczornego pacierza. Jeżeli człowiek się króciutko pomodli przed czytaniem Pisma Świętego, następnie przeczyta ten tekst, który ma na dzisiaj, zastanowi się nad nim — jest to bardzo piękna forma modlitwy biblijnej. Nie po to, żeby zaniedbywać inne formy modlitwy, ale zwłaszcza jeżeli ktoś ma problemy z modlitwą, kłopoty ze skupieniem się, albo szuka jakiejś pomocy modlitewnej, to czytanie Pisma Świętego może stanowić właśnie dobrą modlitwę wieczorną. Zwłaszcza wieczorną — ale można to czytać również i rano, można czytać w południe, pora dnia jest obojętna. Ważne jest jedno: żeby te 5 – 15 minut to był czas, kiedy mogę się skupić. Zatem radio, telewizor wyłączone, jest to czas dla siebie i na spotkanie ze Słowem Bożym. Jeżeli się to państwu uda, to można będzie powiedzieć, że jest to nie tylko swoista przygoda biblijna, ale jest to również jakiś element pracy nad sobą polegający na tym, że człowiek ćwiczy systematyczność, cierpliwość, wytrwałość, bo wszystko to są cnoty, które same w sobie są cenne, i o które warto też zabiegać.

Po tym wstępie chciałbym dzisiaj omówić z państwem temat, który stanowi wprowadzenie do Ewangelii. Gdyby to był wykład typowo studencki, musieliby napisać sobie u góry temat:

Od Ewangelii Jezusa do Ewangelii Nowego Testamentu

Czyli w jaki sposób nastąpiło przejście od tego, jak żył i nauczał Jezus, do tego, jak Ewangelie zostały zapisane. Ci z państwa, którzy są najwytrwalsi, pamiętają, że kilkanaście lat temu, jeszcze w parafii na Dickensa, ten temat poruszaliśmy. Zatem można będzie sobie nieco przypomnieć. Pewnie po kilkunastu latach zdołam również wykrzesać z siebie coś nowego, uzupełnić to, co było

wtedy. Ale każdy z tych tematów jest na tyle niezbędny, na tyle potrzebny, że nawet jeżeli wrócimy do niego po tak długim okresie — będzie nam teraz towarzyszyło czytanie Nowego Testamentu — to można będzie rzecz całą uznać za owocną i za udaną.

A więc od Ewangelii Jezusa Chrystusa do Ewangelii Nowego Testamentu. Chcemy odpowiedzieć na takie pytanie: oto przejście od Jezusa do czterech portretów Jezusa, które mamy utrwalone na kartach Nowego Testamentu. Bo Jezus żył w określonym miejscu i czasie, jego życie znamy z grubsza, w zarysie, właśnie dzięki Ewangeliom. Natomiast wszystko to, co o Nim wiemy, w każdym razie ogromna większość, zostało zawarte w czterech Ewangeliach, które weszły do kanonu Nowego Testamentu. I konsekwentnie musimy sobie wyjaśnić, jak do tego doszło, dlaczego do tego doszło. I jak, mając do dyspozycji Ewangelie, Ewangelię Marka, Mateusza, Łukasza i Jana, możemy cofnąć się do życia Jezusa Chrystusa, i możemy zobaczyć to życie oczami ewangelistów.

Bo są to cztery odmienne portrety Zbawiciela. Ewangeliści mówią co prawda o tej samej osobie, mówią o tym samym życiu, mówią o tym samym nauczaniu, ale każdy z nich patrzy na Jezusa własnymi oczami. To jest tak, jak człowiek pójdzie do fotografa, i u czterech różnych fotografów wykona sobie portrety. Nawet fotografia, która przecież jest tak wierna — jak sądzimy, będzie każda inna, na każdym zdjęciu wychodzimy inaczej. Ten sam człowiek został zaobserwowany przez każdego fotografa w innym jakby ujęciu. I można by powiedzieć, że także od życzliwości fotografa, lub jej braku, zależy nasz wizerunek. Wszyscy czterej Ewangeliści byli z pewnością Jezusowi życzliwi. Ale każdy z nich był inny. Zastanówmy się właśnie nad tym, jak doszło do tego sportretowania Jezusa. Rozpocznijmy od rzeczy najbardziej podstawowej.

Gdyby nie Ewangelie, zawarte na kartach Nowego Testamentu, być może byśmy — musimy to sobie uświadomić — o Jezusie nawet nie wiedzieli, już nie mówiąc o tym, że byśmy w Niego nie uwierzyli. Bo w związku z Jezusem mamy do czynienia z wieloma paradoksami. Pierwszy z nich polega na tym, że Jezus nie pozostawił po sobie żadnego pisma. Nie pozostał po Nim żaden tekst, żaden list — nic, co by wyszło z Jego własnej ręki. W związku z tym nie brakowało takich uczonych i takich dociekań, którzy zadawali sobie pytanie, że może Jezus nie znał sztuki czytania i pisania? Takie twierdzenia trzeba zdecydowanie odrzucić — Jezus znał sztukę czytania i pisania. Wiemy o tym także z Ewangelii. Przypomnijmy sobie kilka wybranych epizodów. Kiedy Jezus wrócił do swojego rodzinnego miasta, do Nazeretu, kiedy wszedł do synagogi, to wtedy ludzie — ucieszeni i zainteresowani, że oto wraca do nich rodak, który jest coraz bardziej znany, ziomek, o którym tyle słyszeli — mówią do Niego: „Słuchaj, masz tutaj zwój, przeczytaj nam fragment Pisma Świętego, a następnie go skomentuj". To był zwyczaj bardzo częsty u Żydów w czasach Jezusa Chrystusa. Zresztą on istnieje także po dzień dzisiejszy.

Istnieje także i u nas, w kościele katolickim, chociaż w nieco innej formie. To jest mniej więcej coś takiego, jeżeli próbujemy tę sytuację opisać w naszych kategoriach. Jeżeli ksiądz z Warszawy pojedzie w Bieszczady, do Krynicy Morskiej, albo pod Gorzów Wielkopolski, i pójdzie w niedzielę do tamtego kościoła, to proboszcz się bardzo cieszy nie tylko z powodu, że ma gościa, tylko z tego powodu, że kazanie go ominie. Od razu mówi do swojego gościa, że mnie słuchają co tydzień, dobrze, że ksiądz jest, a więc proszę coś im powiedzieć. Oczywiście gość, jeżeli ma cośkolwiek do powiedzenia, zabiera głos i rzecz jasna bardziej przyciąga uwagę słuchaczy, bo to jest jakaś nowa twarz.

Z Jezusem było podobnie. Jezus przybywa do rodzinnego miasta. I tam proszą Go, żeby przeczytał ze zwoju. I trafia na zwój księgi Izajasza. Tam odczytuje te słowa. Następnie mówi do nich: „Dziś spełniły się słowa Pisma, które słyszeliście." I tu oni zaczynają się burzyć dlatego, że dotknął tekstu mesjańskiego, przez który ukazuje rodakom Swoją mesjańską i boską tożsamość. Do tych, którzy Go znali, mówi, że jest kimś niecodziennym, niezwykłym. I wtedy oni zaczynają się burzyć, i buntować, i mówić: „Czyż my Go nie znamy? Czy to nie jest Jezus, syn Józefa? Czyż Jego matka nie mieszka z nami, i Jego rodzina? Za kogo On siebie ma?" I postanowili Go z tej synagogi wyrzucić. I chcieli Go strącić uznając za bluźniercę, ale On wyszedł spośród nich. I wtedy padły te gorzkie słowa, które przetłumaczone na język łaciński stały się przysłowiem: Non est propheta in patria sua (*Nikt nie jest prorokiem we własnej ojczyźnie*). I Jezus doświadczył gorzkiej prawdy, że mówić do swoich, mówić do najbliższych jest najtrudniej.

A więc na pewno umiał czytać. Tutaj dochodzimy do pytania, z jakiego zwoju czytał? Czy czytał ze zwoju hebrajskiego, czy czytał ze zwoju aramejskiego, czy wreszcie — nie jest to pytanie

zupełnie banalne — czytał ze zwoju napisanego po grecku? W czasach Jezusa Żydzi traktowali język hebrajski jako język święty, jako język synagogi. A więc wydaje się najbardziej prawdopodobne, że czytał po hebrajsku. Ale już w tym czasie istniały przekłady tekstu hebrajskiego na bardzo zbliżony język aramejski, zresztą mówiony po dzień dzisiejszy na terenie Syrii, zwłaszcza w okolicach Damaszku, gdzie pewne wspólnoty chrześcijańskie mówią po aramejsku. A więc mówią tym językiem sprzed 2000 lat. I wydaje się możliwe, że ten zwój był pisany po aramejsku, bo takie zwoje były.

I wreszcie istnieje domniemanie, że tamtejsi Żydzi mogli posługiwać się greckim przekładem Starego Testamentu, który istniał już od ponad 200 lat. Była to tzw. Septuaginta, czyli przekład Starego Testamentu na język grecki, dokonany na terenie Egiptu, na terenie Aleksandrii, który następnie stał się przekładem przyjętym nie tylko w tzw. diasporze, a więc żydowskim rozproszeniu, ale również na terenie Palestyny. Do niedawna to się wydawało zupełnie nieprawdopodobne, ale ok. pół wieku temu odnaleziono niedaleko Jerozolimy, na Pustyni Judzkiej, w sąsiedztwie osady Qumran nad Morzem Martwym, fragmenty Starego Testamentu zapisane po grecku. Jeżeli tak mała wspólnota ludzi, którzy na pewno znali język hebrajski, miała takie teksty, nie można wykluczyć, że i w innych rejonach Palestyny, a zwłaszcza na północy Palestyny, w Galilei, język grecki był na tyle rozpowszechniony, że być może używany był także w służbie Bożej.

Jedno nie ulega wątpliwości — Jezus był trójjęzyczny. Na pewno mówił po hebrajsku, po aramejsku, i po grecku. Po hebrajsku i po aramejsku, bo to był język Jego rodziców, język Jego matki. W języku matki cierpiał na krzyżu — kiedy się modlił: „Elli, Elli, lama sabahtani", to jest Psalm 22, to wypowiadał ten psalm po aramejsku, nie po hebrajsku. Wiemy, że zawsze człowiek cierpi i umiera w języku matki. Może znać wiele języków, ale język matki jest decydujący w takich krytycznych chwilach. Ale z drugiej strony, kiedy rozmawiał z rzymskim namiestnikiem Piłatem, rozmawiał bez tłumacza. Czyli musiał z nim rozmawiać po grecku. Dlatego że Rzymianie, to też jest paradoks, mówili wtedy nie tylko po łacinie, tylko częściej mówili po grecku ponieważ Imperium Rzymskie zajęło cały świat, ale ta silna polityczna potęga jako język mówiony miała język grecki, a nie język łaciński. Łacina rozpowszechniła się kilka wieków później, i to dzięki chrześcijaństwu, dzięki Kościołowi, kiedy powstał przekład Pisma Świętego na język łaciński stworzony przez św. Hieronima w IV i V wieku, i znany jako *Wulgata.* Wcześniej łacina nie była językiem tak powszechnie mówionym, jak właśnie grecki.

A więc Jezus umiał czytać, to pewne. Jezus również umiał pisać. Przypomnijmy sobie epizod, kiedy to pochwycono kobietę na cudzołóstwie. Przyprowadzono ją do Jezusa nie po to, żeby wysłuchać Jego sądu, ale by Go pochwycić, żeby mieć powód do oskarżenia Go. I sądzono, że są tylko dwie możliwości. „Co mamy z nią zrobić?" Gdyby odpowiedział: „Postąpcie według surowego żydowskiego prawa", czyli musiałaby zostać ukamienowana, powiedzieliby: „Zobaczcie, jaki okrutny! Jak On nie ma litości! Niesprawiedliwy, może jeszcze mogłaby się poprawić! On mówi o miłosierdziu, a tutaj w spotkaniu z tą konkretną kobietą taki jest!" Gdyby powiedział z drugiej strony: „Puśćcie ją wolno", powiedzieliby: „On nie zachowuje Prawa! Prawa Mojżesza, i prawa religijnego, i prawa państwowego! Wprowadza — mówiąc dzisiejszym językiem — jakiś liberalizm. Do czego On nas prowadzi?" Więc odpowiedź „Tak" i odpowiedź „Nie" — obie były złe.

W tej sytuacji Jezus nachyliwszy się pisał palcem po ziemi. Kiedy ci z najbliższego otoczenia zobaczyli, co On tam pisze, zaczęli się wycofywać i odchodzić. Oczywiście komentatorzy Nowego Testamentu zawsze dochodzili, co Jezus pisał na ziemi. Od starożytności powtarzane jest takie domniemanie, że Jezus patrzył na tych, którzy byli najbliżej i pisał ich grzechy. Wtedy ten w drugim rzędzie wolał się cofnąć, by nie doczekać się czegoś takiego. Tak komentatorzy to tłumaczyli od czasów Nowego Testamentu.

A kiedy już odeszli dalej, Jezus zwrócił się do kobiety tymi słowami: „Niewiasto, nikt cię nie potępił?" „Nikt". „To i Ja cię nie potępiam, idź i więcej nie grzesz!" Jedna z najpiękniejszych scen Nowego Testamentu, ale nas interesuje o tyle, że pokazuje nam Jezusa, który pisał palcem po ziemi. Oczywiście to nie było trwałe, nikt nie odczyta już tego, co Jezus wtedy napisał. Faktem jest, że nie zachował się jakikolwiek fragment papirusu, pergaminu czy czegokolwiek innego, o czym można byłoby powiedzieć, że został napisany ręką Zbawiciela.

Wiemy dobrze, że w przeszłości odległej i bliższej istniały tendencje, żeby przypisywać jakieś napisy Panu Jezusowi. Może to napisał Pan Jezus, może ma z Nim związek. Oczywiście są to rzeczy bardziej fantazyjne, bardziej wskazują na ludzką potrzebę takich pamiątek, niż mają związek

z rzeczywistością. Nawet zupełnie niedawno pokazywano mi napis hebrajski bądź aramejski (bo litery są takie same): „Jeshua" — inskrypcja pochodzi z I wieku — z sugestią, że to jest podpis Jezusa. Otóż gdyby coś takiego było, bylibyśmy na pewno szczęśliwi, ale w żaden sposób udowodnić się tego nie da. Jest to po prostu imię Jezus napisane po hebrajsku lub aramejsku, które być może odnosi się do Jezusa Chrystusa, bo pochodzi z grobowca, i może wskazywać na jakiegoś chrześcijanina, który z imieniem Jezusa na ustach został pochowany.

Zatem Jezus nie pozostawił po sobie — niestety, czy na szczęście — żadnego pisma. Komuś mogłoby przyjść do głowy takie pytanie: „Dlaczego? Przecież jacy byśmy byli szczęśliwi, gdybyśmy mieli jakieś pisma Jezusa?" Chciałbym, może trochę przekornie, pokazać państwu, że zawsze człowiek ma to do siebie, że zawsze chciałby mieć to, czego nie ma. Natomiast jak już ma to, co nawet jest bardzo ciekawe czy bardzo ważne, to rozmaicie się z tym obchodzi.

Weźmy jako punkt odniesienia nauczanie Jana Pawła II, dla przykładu to, co pisze Jan Paweł II. Przecież jest to w historii Polski absolutny ewenement, absolutnie nowe zjawisko. Oto mamy pisma papieża Polaka, po raz pierwszy w naszych dziejach. I jakoś nie widać, żeby te miliony wierzących rzucały się na każdą encyklikę, adhortację, na każde przemówienie Ojca Świętego, żeby je rozważały. Oczywiście są ludzie, którzy to robią, są wierni, którzy się na to decydują. Jestem przekonany, że i wśród państwa większość do takich osób należy. Ale nie jest tak, że zapisane słowo Jana Pawła II traktowane jest jako coś bezcennego. Aczkolwiek z drugiej strony powiedzieć trzeba, że taki podpis Ojca Świętego jest to kawał historii, znaczy bardzo wiele. Ja muszę państwu powiedzieć, że mam taki autograf Ojca Świętego, jego własnoręczny podpis, co jest rzecz jasna wielką pamiątką historyczną. I trzeba troszczyć się, żeby tego rodzaju pamiątki przetrwały dlatego, że one są potrzebne późniejszym pokoleniom, kiedy papieża zabraknie.

Takiego podpisu Jezusa nie ma, nie ma żadnego fragmentu Jego nauczania. Dlaczego nie ma? Dlatego, ponieważ w czasach Jezusa ogromną rolę odgrywała tradycja ustna, przekaz ustny, nauczanie ustne. Pod tym względem Żydzi wtedy byli narodem zupełnie wyjątkowym. Oblicza się, że na terenie Palestyny zamieszkiwało w owym czasie ok. 1.5 mln Żydów. Dzisiaj mieszka 4.5 mln. Zatem już w czasach Jezusa było to bardzo dużo, jak na tamte czasy. W tym proporcja liczby mężczyzn do kobiet była mniej więcej 45:55, tzn. 45% mężczyźni, 55% kobiety. Kobiet zawsze było nieco więcej dlatego, że mężczyźni częściej umierali, częściej podróżowali, młodziej umierali itd. I ta prawidłowość jakoś się utrzymuje. Oszacowano, że około 80% do 90% młodych i dorosłych mężczyzn żydowskich umiało czytać i pisać. Taki odsetek w Europie został osiągnięty dopiero w XX wieku! My nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo literacki był to naród. Dlaczego tak było? Dlatego, że każdy mężczyzna musiał być zdolny do czytania Pisma Świętego, ksiąg świętych. Każdy mężczyzna musiał być zdolny do tego, żeby poszedłszy do synagogi, i widząc zwój księgi świętej, mógł go przeczytać go i po swojemu objaśnić. Żeby mógł również uczyć swoje dzieci tekstu świętego.

Zatem przytłaczająca większość mężczyzn umiała czytać i pisać, i był to w starożytności najbardziej wykształcony naród. Proszę zwrócić uwagę: pod tym względem ta prawidłowość, ta sztuka czytania i pisania — niezależnie od tego, co myśliwy w ogóle o możliwościach Żydów, czy jakie mamy tutaj zapatrywania, bo one mogą być bardzo różne — weszła jakby w geny. I po dzień dzisiejszy naród żydowski należy on do najbardziej oczytanych, najbardziej literackich. W gruncie rzeczy był to pierwszy naród, który zlikwidował u siebie zjawisko analfabetyzmu. Oni dwa tysiące lat temu osiągnęli to, co w Europie zostało osiągnięte dopiero tak na dobrą sprawę gdzieś koło połowy XX wieku. Jezus był częścią tego narodu. Stąd ta umiejętność czytania i pisania była bardzo ważna.

A z drugiej strony właśnie dlatego, że mieli owe teksty święte, które musieli czytać i tłumaczyć, był to również naród, jak się to nazywa: *egzegezy biblijnej.* Naród, który komentował Pismo Św. Bardzo ciekawe jest posłuchanie współczesnych dysput żydowskich. Kiedy oni mówią o sobie, to jedni mówią, że są *narodem Księgi.* A inni mówią: *nie, my nie jesteśmy narodem Księgi, my jesteśmy narodem objaśniania tej Księgi. Jesteśmy narodem egzegezy biblijnej.* To właśnie dlatego tak mocno rozwinęli również myślenie dialektyczne, i w ogóle myślenie. Kiedy śledzimy rozmaite dokonania Żydów, także w naszych czasach, to trzeba powiedzieć, ze od strony intelektualnej i duchowej jest to potencjał bardzo duży.

Jezus był częścią tego świata. I Jezus polegał na zwyczaju nie tylko czytania Pisma Świętego, ale również objaśniania go, tłumaczenia. I w związku z tym zebrał wokół siebie grono uczniów,

których wybrał spośród tych, którzy Go słuchali. Szły za nim setki ludzi, czasami może nawet tysiące — jak wtedy, kiedy np. doszło do nakarmienia kilku tysięcy nad Jeziorem Galilejskim. Ale w decydującej chwili, na początku swojej publicznej działalności Jezus ...

Zmiana stron kasety

... obok tego ludu Pierwszego Przymierza kładzie Jezus podwaliny pod lud Nowego Przymierza, pod lud tego Przymierza, które On sam zawarł z Bogiem przez krew na krzyżu. Przypomnijmy sobie, że wśród tych wielu setek i wielu tysięcy byli ludzie, którzy przeżywali bardzo ciężkie kryzysy. Najtrudniejszy przyszedł wtedy, kiedy w synagodze w Kafarnaum Jezus wygłosił, w nawiązaniu do pobytu Izraelitów na pustyni, tzw. *mowę eucharystyczną.* Zapowiedział wtedy ustanowienie Eucharystii, tzn. chleb ma być Jego Ciałem, wino ma być Jego Krwią. I wtedy bardzo wielu słuchaczy zaczęło się burzyć i buntować. Mówili: „Jak to jest możliwe?" Pojmowali to jako rodzaj swoistego kanibalizmu. „Jak On może nam dać swoje ciało na pożywienie?" Jezus im cierpliwie tłumaczył, że moc Boża jest większa niż wszystko, co są w stanie pomyśleć. Ale oni, jak konkluduje św. Jan ewangelista, się zbuntowali i już za Nim nie chodzili. I wtedy Jezus zwraca się tam, nad Jeziorem Galilejskim, do tych dwunastu, których wybrał, i zadaje im to bardzo dramatyczne pytanie: „Czy i wy chcecie odejść?" I wtedy Piotr w imieniu pozostałych jedenastu mówi do Jezusa: „Panie, do kogo pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego. A myśmy uwierzyli, myśmy poszli za Tobą."

Otóż tych dwunastu staje się kanałem, jeżeli tak można powiedzieć, nurtem pamięci o Jezusie. Oni na co dzień patrzyli na Jezusa, oni codziennie słuchali Jego nauczania. Oni codziennie byli świadkami jego cudów. Można by powiedzieć tak. A może robili sobie jakieś notatki, na papirusie czy na pergaminie? Może niektórzy z nich, zwłaszcza ci, o których na pewno wiemy, że umieli pisać, jak np. Mateusz, który był celnikiem, może sporządzali sobie takie drobniuteńkie zapisy? Ale przecież na to nie było wiele czasu. Przecież w starożytności nie było tak jak dziś — bierzemy do ręki długopis, ołówek czy pióro, i w ciągu minuty możemy zapisać całe zdania. W starożytności materiał piśmienniczy był bardzo drogi. Jeden zwój taki, na którym można by zapisać najkrótszą Ewangelię, kosztował równowartość kilkunastu owiec. To jest bardzo kosztowne, owca była wtedy w cenie. Są bardzo dokładne badania ekonomiczne, socjologiczne itd. — za owcę trzeba było zapłacić trzy do pięciu dniówek. Zatem taki stosunkowo niedługi zwój mógł nawet kosztować równowartość miesięcznej pensji. To dość dużo, nie każdego było stać na takie zwoje. A poza tym apostołowie wiecznie chodzili, podróżowali, przemieszczali się. I w związku z tym nawet, jeżeli któryś z nich sporządzał jakieś zapisy, to i tak mogły one przepaść. Do tego trzeba dodać, że to wszystko, o czym teraz mówimy, to są czyste domysły. Bo w Ewangeliach nie mamy żadnej wzmianki o tym, żeby któryś z nich takie zapisy sporządzał. Tym nie mniej jest również takie myślenie, nazywane w logice *ex silentio* czyli „z milczenia", bo nie ma też żadnej wzmianki o tym, iżby takich notatek nie sporządzali. Więc przynajmniej hipotetycznie taka możliwość istnieje.

Jezus był bardzo czynny, państwo o tym doskonale wiedzą. Niektóre z jego dokonań, niektóre z jego dzieł były bardzo poruszające. One były nawet wstrząsające. Proszę sobie wyobrazić sytuację, że oto Jezus dokonał wskrzeszenia 12-letniej dziewczynki. Dziewczynka umarła, ojciec przyprowadza Jezusa. Jezus bierze ze sobą trzech tylko apostołów, podchodzi do ciała dziecka, i mówi do niej: «Talitha kum». To też jest po aramejsku, znak, że obraca się w świecie mówiącym po aramejsku. Czyli *dziewczynko* — talitha, *wstań* — kum. I dziewczynka wstaje! Otóż wyobrażamy sobie, że szok był tak wielki że nie sposób, żeby w najbliższych godzinach ktoś usiadł i miał o tym pisać. Musiało to być ogromne poruszenie. Podobnie przy wskrzeszeniu Łazarza. Podobnie przy rozmaitych uzdrowieniach, których Jezus dokonywał. Otóż ta pamięć musiała okrzepnąć, bo czasami czegoś, co przeżywamy, nie jesteśmy w stanie przelać na papier.

Więc tym nośnikiem pamięci o Jezusie stawała się tradycja ustna. Stawało się to, co o Jezusie mówiono. Oczywiście to, co o Jezusie mówiono i opowiadano, szło różnymi kanałami. Ale Jezus troszczył się o to żeby ci, którzy byli z Nim najbliżej, pamiętali to najlepiej. Mamy przypowieści Jezusa, np. Jezus mówi przypowieść o ziarnie. Siewca zaczął siać ziarno. Jedno padło na rolę, drugie na drogę, trzecie padło na skałę. Los innych był lepszy, bo padły na glebę urodzajną i wydały plon 30-krotny, 60-krotny i 100-krotny. Oni wysłuchali przypowieści, wrócili do domu i pytają: „O co Ci chodziło w tej przypowieści?" A Jezus mówi: „Nie zrozumieliście tego?" — „Nie!" — „To jak zrozumiecie co innego, jeżeli takich prostych rzeczy nie rozumiecie?" I mówi: „Siewca to ten, kto

sieje Słowo Boże. I Słowo Boże pada na glebę twardą, pada na glebę podatną, przynosi rozmaity owoc. Teraz rozumiecie?" „Teraz rozumiemy!" A więc Jezus dokonywał egzegezy, objaśniania, komentowania, wyjaśniania tego, czego swoich apostołów uczył. Musiał w tym być bardzo, bardzo cierpliwy, i musiał przyzwyczaić się także do porażek. Bo zdarzało się tak, że kiedy na drugi dzień działo się coś nowego, np. płyną po Jeziorze Galilejskim, nagle zrywa się burza, Jezus śpi, oni przychodzą: „Nic Cię nie obchodzi, że giniemy!" A On mówi: „Dlaczego się boicie? Zapomnieliście to, co przeżyliście?" I uciszył wszystko. I oni dopiero widzą, że dzisiaj jest tak, jak wczoraj.

A więc cierpliwie apostołów wychowywał. Jak oni się do Niego zwracali? To też bardzo ciekawe. Otóż tacy uczniowie w czasach Jezusa zwracali się do swojego nauczyciela, do swojego mistrza nazywając go *raw* — pisze się rab a wymawia *raw,* to znaczy *mistrz*, *nauczyciel*. Jest to słowo tak czcigodne w tamtej kulturze, jak słowo aw czyli *ojciec.* Nazywano nauczyciela *raw* — proszę zauważyć, że podobnie to brzmi — po to, żeby podkreślić, że on jest ojcem — bo ojciec dał życie fizyczne, natomiast nauczyciel daje życie duchowe. Ojciec dał życie z krwi i ciała, natomiast nauczyciel daje człowiekowi przyszłość, sprowadza go w zupełnie inne światy niż te, które może dać tylko zwyczajne, fizyczne bytowanie. Uznanie dla nauczycieli, uznanie dla wiedzy, dla mądrości, dla owych mistrzów było i jest w świecie semickim, żydowskim i arabskim, przeogromne. Mogą to państwo widzieć nawet dzisiaj, obserwując życie współczesnych Żydów, albo współczesnych Arabów, gdzie ci nauczyciele, mistrzowie są otoczeni ogromnym szacunkiem, ogromnym autorytetem, ogromną estymą, i dbają o to, żeby nic z tego nie stracić, ani w jakikolwiek sposób nie zmarnować.

Zatem apostołowie nazywali Jezusa Raw. Ale to określenie czasami miało charakter bardziej osobisty. Zwracali się wtedy do Niego Rabbi, tzn. *Mój Mistrzu.* To tak brzmi jak awi czyli *mój tatusiu.* Kiedy żydowskie dziecko dzisiaj zwraca się do swojego ojca, mówi awi, mój tatusiu. Kiedy zwraca się do mamy, mówi imi, moja mamusiu. To „moja" i „mój" jest pełne emocji, pełne przywiązania. Również „Rabbi" jest pełne przywiązania. Dlatego, że między uczniem a nauczycielem była więź zaufania, więź przywiązania. Otóż nauczyciel miał obowiązek troski o swoich uczniów, a uczniowie mieli obowiązek szacunku dla swojego nauczyciela. Mamy w Ewangeliach owo określenie Rabbi, które z czasem stało się określeniem w ogóle zawodu nauczyciela, czy też powołania nauczycielskiego, i w związku z tym w świecie żydowskim ukształtował się tytuł *rabin* czyli nauczyciel, mistrz. I tak jest po dzień dzisiejszy. To właśnie w czasach Jezusa pojawili się pierwsi rabini. A później, poprzez nauczanie coraz to nowych, do dnia dzisiejszego.

Tutaj jeszcze jedno. Czasami, zwłaszcza w relacjach z kobietami, mamy do czynienia z jeszcze większym zdrobnieniem. Państwo pamiętają ów epizod, kiedy Maria Magdalena po Zmartwychwstaniu udała się do grobu, tam nie zastała ciała Jezusa. Nagle zobaczyła za sobą jakąś postać, myślała, że to ogrodnik, mówi: „Gdzieś Go położył? Gdzie Go przeniosłeś?" A Jezus mówi do niej po imieniu: „Mario". A ona mówi do Jezusa: „Rabbuni". To znaczy po polsku zdrobniale *Mój Mistrzuniu* — tak to dokładnie brzmi po polsku. „Mój Nauczycielku" — to nie brzmi ładnie po polsku, lepiej tak nie tłumaczyć, ale *Mój Mistrzuniu!* Otóż wkłada w to całe swoje kobiece przywiązanie. Daje poznać, ze jest mocno do Jezusa przywiązana. To pokazuje, jak inne są reakcje mężczyzn, a inne reakcje kobiet, również w spotkaniu ze Zbawicielem.

Znakiem i gwarantem tego, że nauczanie Jezusa miało być przekazane, byli apostołowie, dwunastu apostołów. Wiemy dobrze, że jeden z tych apostołów się wykruszył i znamy dobrze okoliczności, w jakich się to stało. To był Judasz. Do dzisiaj naukowcy próbują zmagać się z przyczynami tego. Jedni idą za Ewangelią św. Jana, i mówią tak. Judasz to był złodziej, potrzebował pieniędzy, każdy pieniądz był dla niego dobry, umówił się o 30 srebrników, za 30 srebrników sprzedał. W tym Judasz jest podobny do każdego Żyda! I ile razy w tym myśleniu nieprzychylnym Żydom przedstawiano Judasza, np. na wyobrażeniach Ostatniej Wieczerzy, to go przedstawiano w strojach ówczesnych Żydów, i zawsze z sakiewką przy boku.

Wydaje się jednak, że to jest zbyt proste, żeby mogło być prawdziwe. Trzydzieści srebrników to była miesięczna pensja. W końcu nie jest to chyba pieniądz, za który można zdradzić przyjaciela. Zwłaszcza w tamtej sytuacji, chociaż może takie rzeczy się zdarzają. Inni więc mówią, że Judasz zdradził Jezusa dlatego, że się na Nim srodze zawiódł. Oczekiwał, że Jezus założy królestwo niebieskie, że w tym królestwie Jezus będzie przywódcą, apostołowie będą obok, przypadną im rozmaite urzędy. A więc wyobrażał sobie coś w rodzaju startu na prezydenta Warszawy. I kiedy okazało się, że się rozczarował, zrobił się zły, poszedł i Jezusa wydał. Jeszcze inni doszukują się innych przy-

czyn i pobudek. Ta postać Judasza jest bardzo ciekawa, stała się przedmiotem różnych powieści, apokryfów, domysłów.

Mnie się wydaje, że jego postać i skomplikowana i tragiczna, i żadna z tych prostych okoliczności nie była dość wystarczająca. Bo trzeba zwrócić uwagę na to, co się stało, kiedy Jezusa wydał. Mianowicie, kiedy zobaczył, że Jezus został pojmany, wtedy poszedł do arcykapłanów i oddał im pieniądze. Wydaje mi się zatem, że można iść po takiej linii. Judasz bardzo w Jezusa wierzył. Judasz uważał po wszystkim, co Jezus do tej pory zdziałał, wykombinował sobie tak. Że weźmie pieniądze, ale jak dojdzie do pojmania — to Jezus i tak się obroni, da sobie radę. Więc pieniądze zostaną, a Jezusowi się nic nie stanie. Wyobrażał sobie, że w konfrontacji pojmania, aresztowania, Jezus raz jeszcze okaże swoją moc. A ponieważ nie wie, że został w ogóle zdradzony — tak Judasz myślał, bo przyszedł, pocałował Go, i mówi do Niego „Rabbi". Jezus mówi: „Pocałunkiem zdradzasz Syna Człowieczego?" — otóż Judasz uświadomił sobie swoją porażkę, uświadomił sobie, że Jezus wszystko wie. I okazało się, że Jezus został pojmany, że cudu nie było. W związku z tym wraca do arcykapłanów, próbuje odwrócić całą sytuację, oddaje im pieniądze. Oni mówią: „Co nas to obchodzi! To twoja rzecz!" I wtedy Judasz nie spotkał już tak, jak Piotr, Jezusa, który by na niego popatrzył przebaczającym wzrokiem, nie zaczekał, tylko poszedł i powiesił się. Otóż widać, że słabością Judasza, czy tym, co określiło los Judasza, była zwyczajna rozpacz. I ta rozpacz, po tym złem, które popełnił, popchnęła go do samobójstwa.

Ale nas interesuje co innego. Mianowicie kiedy Judasz popełnił samobójstwo, na początku Dziejów Apostolskich mamy taką scenę, jak w Wieczerniku zbierają się apostołowie, wstaje Piotr, i mówi tak: „Musimy wybrać dwunastego, skoro tego jednego brakuje wśród nas." I wtedy wyznacza kryterium — że apostołem może być ktoś, kto „chodził z nami od początku", i kto „zna Jezusa", kto zna Jego czyny, i kto zna Jego nauczanie. I wtedy wskazano dwóch, powiedziano: Maciej i Barnaba. Pokazano dwóch, którzy od początku chodzili z apostołami, ale do grona dwunastu nie należeli. I wyznaczono losy. I jak wiemy, bo to stało się przysłowiem, los padł na Macieja. I Maciej został włączony do grona dwunastu. Ale kryterium było to, żeby znał Jezusa osobiście.

Proszę zatem zwróćmy uwagę, że nośnikiem pamięci stali się apostołowie. I wśród Ewangelistów mamy dwóch apostołów, Mateusza i Jana. Pierwsza i czwarta Ewangelia kanoniczna są Ewangeliami apostołów. A dwie pozostałe? Otóż Ewangelia druga, ta najkrótsza, Marka, jest w gruncie rzeczy Ewangelią człowieka, który napisał ją na polecenie, i w sąsiedztwie, i na — jeżeli tak można powiedzieć — sugestię Piotra.

W Ewangelii Marka odczytujemy najlepiej obraz Jezusa tak, jak go widział i przeżywał Piotr. Chciałbym państwa poprosić dzisiaj, żebyście w najbliższym czasie, tzn. w najbliższych tygodniach — następne spotkanie będziemy mieli w pierwszy poniedziałek listopada, nie w drugi, bo w drugi przypada Święto Niepodległości, więc chciałbym państwa zaprosić na 4 XI — chciałbym prosić o przeczytanie Ewangelii Marka. Ma ona 16 rozdziałów, a my mamy 3 tygodnie, czyli 21 dni. można zatem spokojnie Ewangelię Marka przeczytać. Czytając niech państwo pamiętają, że jest to w gruncie rzeczy Ewangelia Piotra. Proszę wziąć do ręki flamaster czy coś innego, i zaznaczyć sobie w tekście wzmianki o Piotrze. I zobaczyć, jak jest przedstawiany Piotr w Ewangelii św. Marka.

Za trzy tygodnie, kiedy państwo przeczytają tę Ewangelię Marka, ja zrobię do niej wprowadzenie ex post, po lekturze. Spróbuję jeszcze wydobyć rzeczy, na które państwo na pewno zwrócili uwagę, i być może inne, które być może przeoczyliście. W ten sposób spojrzymy na Jezusa oczami Piotra. Proszę zwrócić uwagę na przykład, jak tam jest przedstawione zaparcie się Jezusa. Albo jak tam są przedstawione sceny z Piotrem. Powiem tylko jedno. W innych Ewangeliach Piotr jest oszczędzany. W tej Ewangelii — nie! Dlaczego? Bo on sam wspomina swoje życie i swoją przygodę z Jezusem.

Ewangelia Mateusza to Ewangelia celnika apostoła. Ewangelia Marka to w gruncie rzeczy Ewangelia Piotra. Ewangelia Jana to Ewangelia Jana apostoła. A Ewangelia Łukasza? Ta jest najciekawsza, najosobliwsza, o niej powiemy sobie bliżej. Ale jest to Ewangelia, która ma związek z Pawłem, św. Pawłem. Ale przecież św. Paweł nie znał Jezusa! To jaki mógł Łukasz napisać tę Ewangelię? Zobaczymy, kiedy dojdziemy do tego tematu. Zobaczymy, na czym polega jej specyfika. Bo o ile te trzy Ewangelie, Marka, Mateusza i Jana zostały napisane przez chrześcijan nawróconych z judaizmu, czyli przez Żydów, o tyle Ewangelia Łukasza została napisana przez chrześcijanina nawróconego z pogaństwa. A więc jest to inny sposób patrzenia na Jezusa, inny sposób postrzegania Jezusa.

Zwróćmy uwagę, że Ewangelie powstały dlatego i dzięki temu, że apostołowie zapamiętali

Jezusa. A zapamiętali Go, ponieważ szczerze Go miłowali, przywiązali się do Niego — ale decydujące o wszystkim okazała się śmierć Jezusa i zmartwychwstanie. Otóż śmierć w jakimś sensie przekreśliła nadzieje apostołów. Zwróćmy uwagę zwłaszcza na ten szczegół, który omawialiśmy parę miesięcy temu. Mianowicie uczniowie zdążają do Emaus, rozmawiają między sobą, już po śmierci Jezusa, po ukrzyżowaniu. I treść tej rozmowy jest taka: „A myśmy się spodziewali, że On odkupi Izraela. Tymczasem już trzeci dzień mija. I kobiety mówią nam, że nawet Jego ciała nie ma w grobie." I wtedy Jezus tłumaczy im, co w Starym Testamencie odnosiło się do Niego. Oni są coraz bardziej tym zafascynowani, ale nic się specjalnego nie dzieje. Dochodzą do Emaus, dochodzą do domu, On okazuje, jakoby miał iść dalej, a oni — przypomnijmy sobie tę piękną scenę — przymuszają Go i mówią: „Zostań z nami, bo dzień się ma ku wieczorowi, dzień się już nachylił." Jezus z nimi zostaje. I gdy siadają do kolacji, do wieczerzy, bierze chleb, łamie, rozdaje im. A oni rozpoznają, że to są gesty Eucharystii, gesty z Ostatniej Wieczerzy. Rozpoznają, że to Jezus — ale On zniknął im z oczu. I z tego Emaus biegną do Jerozolimy, to jest 11 - 12 km, byli młodzi, to zajęło im ze dwie godziny. Przybiegli do Jerozolimy, pozostałym apostołom mówią: „Widzieliśmy Pana". A tamci mówią: „Myśmy Go też widzieli".

Otóż decydujące okazuje się zmartwychwstanie. Poprzez zmartwychwstanie, dzięki zmartwychwstaniu, oni inaczej patrzą na całe życie Jezusa. Zmartwychwstanie nadało życiu Jezusa Chrystusa zupełnie nowy sens, zupełnie nowy blask. I my też, kiedy będziemy omawiać poszczególne Ewangelie, zwrócimy uwagę na to światło zmartwychwstania. Gdyby Jezus nie zmartwychwstał — napisał potem św. Paweł — no to byłby wielkim bohaterem, męczennikiem, kimś, kto oddał życie za innych, cudotwórcą, nauczycielem, Rabbim itd. Ale zmartwychwstał — i przez zmartwychwstanie ukazuje drugą stronę tego, kim jest. Mianowicie jest prawdziwym człowiekiem, i co do tego nie mieli wątpliwości. A ukazuje, że jest prawdziwym Bogiem. I dlatego Ewangelia św. Marka rozpoczyna się od słów: „Początek Ewangelii o Jezusie Chrystusie, Synu Bożym". Żeby już nikt nie miał wątpliwości, o Kim czyta. Ale oni do tej świadomości Syna Bożego dochodzili stopniowo, dochodzili na rozmaite sposoby. Aż wreszcie decydujące okazało się zmartwychwstanie. I w świetle zmartwychwstania patrzą na Jezusa.

Zatem mam nadzieję, że praca domowa jest przejrzysta. Że sięgną państwo po Ewangelię św. Marka, drugą Ewangelię — nie pierwszą w Kanonie, tylko drugą. Pierwszą na razie opuścimy, wrócimy do niej. Ta druga powstała najwcześniej. Kiedy zaistniała Ewangelia Marka, to w oparciu o nią, przy jej użyciu, powstały dwie następne: Mateusza i Łukasza. Bo już mieli punkt odniesienia, mieli tę Ewangelię Piotra. Zaczęli więc Jezusa wspominać, uzupełniać, dodawać itd.

Ta Ewangelia Marka ma to do siebie, że jest to spojrzenie męskie. Tam nie ma specjalnie uczuć, wzruszeń. Jeżeli ktoś chce poznać psychikę apostoła mężczyzny, to z tej Ewangelii widać to jasno. Otóż Marek się specjalnie nie rozdrabnia na szczegółach, nie ma u niego wielu wzruszeń, opisuje tak, jak to było. Inaczej niż Łukasz. I inaczej również niż Jan który wtedy, kiedy to przeżywał, był bardzo młody. Natomiast Piotr był już dorosłym, silnym mężczyzną, który miał za sobą sporo — że tak powiem — doświadczeń życiowych. I wobec tego patrzył na to wszystko chłodnym okiem. A jednocześnie wiedział, co jest naprawdę najważniejsze.

Na koniec jeszcze raz zachęcam do przeczytania tej Ewangelii. Mamy na to trzy tygodnie. I jestem przekonany, że państwo z tego się wywiążą. Dziękuję państwu bardzo serdecznie za uwagę. Oby to był dobry początek!

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

5.2 Ewangelia św. Marka (4 listopada 2002)

Ewangelia św. Marka, którą państwo przeczytali, jest najkrótszą z czterech Ewangelii kanonicznych, zamieszczonych w Nowym Testamencie. Przeczytanie tej Ewangelii zajęło państwu 16 dni, jeżeli czytaliście systematycznie jeden rozdział dziennie. Jak dokładnie wyliczono liczy ona 661 wierszy. Dla porównania Ewangelia św. Mateusza liczy 1068 wierszy, Ewangelia św. Łukasza liczy 1149 wierszy, więc jest dwa razy dłuższa. Czytaliśmy ją jako pierwszą nie tylko dlatego, że jest najkrótsza — to ma pewne konsekwencje, o których powiemy sobie później — lecz przede wszystkim dlatego że, jak powiedzieliśmy trzy tygodnie temu, jest to obraz Jezusa, wizerunek Jezusa widziany oczami świętego Piotra. Bo chociaż Ewangelię napisał św. Marek, to napisał ją, nie tylko w obecności, ale można by powiedzieć: ze wspomnień świętego Piotra apostoła. Na potwierdzenie tego mamy zarówno źródła zewnętrzne, informacje zewnętrzne, które za chwilę państwu przeczytam, jak też pewne informacje wewnętrzne, które są w samej Ewangelii, i które, myślę, dzisiaj będzie nam łatwiej wydobyć. Otóż jeżeli chodzi o informacje z zewnątrz, to bardzo ciekawe jest świadectwo biskupa, który miał na imię Papiasz. On zmarł w 130 roku po Chr., czyli należał do pierwszych pokoleń wyznawców Jezusa Chrystusa, i pozostawił po sobie bardzo ciekawy zapis, który dotyczy m.in. Ewangelii św. Marka. Oto tłumaczenie tego tekstu na język polski. Papiasz napisał tak:

> To zaś powiedział prezbiter starszy Jan Marek, który był tłumaczem Piotra.

To bardzo ciekawe sformułowanie. Otóż biskup Papiasz opisuje okoliczności powstania tej Ewangelii i mówi, że Marek był tłumaczem Piotra. Z tego możemy wnosić, że tak długo, jak długo Piotr działał na terenie Palestyny, to jako rybak mówił po hebrajsku, mówił po aramejsku, i dawał sobie nieźle radę. Być może potrafił również mówić po grecku. Tutaj niech państwo sobie przypomną bardzo ciekawy epizod, który miał miejsce na dziedzińcu pałacu Kajfasza. Otóż kilka razy zwracaliśmy przedtem uwagę na ten epizod, a dzisiaj musimy do niego wrócić. Otóż w pewnym momencie przychodzi do Piotra jakaś kobieta, wieczorem, przy ognisku. Rozpoznaje go. W tym czasie odbywa się przesłuchanie Jezusa przed Sanhedrynem. A ta kobieta mówi do Piotra: „I ty byłeś jednym z nich!" Piotr mówi: „Nie, absolutnie nie, nie znam tego człowieka!" Podchodzi ktoś drugi i mówi: „Ty jesteś jednym z nich! Ty jesteś Galilejczykiem, bo nawet mowa twoja cię zdradza!" Piotr mówił zatem po aramejsku albo po hebrajsku, ale bardziej prawdopodobnie po aramejsku — z galilejskim akcentem, w galilejskim dialekcie.

Państwo doskonale wiedzą: język polski jest co prawda jeden, ale różni się w wymowie w okolicach Białegostoku, różni się na Lubelszczyźnie, różni się na Podhalu, różni się na Kaszubach, różni się na Śląsku, różni się w Wielkopolsce. I jeżeli ktoś dostatecznie uważnie słucha owej polszczyzny, to potrafi rozróżnić z jakiego regionu pochodzi mówiący.

Piotr zatem mówił po aramejsku, ale kiedy wyszedł poza Palestynę, to miał wtedy problemy, żeby dogadać się, żeby głosić Ewangelię. I potrzebował kogoś, kto mu w tym pomagał, być może nawet tłumaczył. To jest tak, jak w dzisiejszych czasach. Otworzono w Kijowie Instytut Teologiczny. Ponieważ nie mają swoich własnych teologów, nie mają swoich własnych wykładowców, wobec tego przybywają tam wykładowcy z Polski. I wykład wygląda w ten sposób, że słuchają tego Ukraińcy, Rosjanie. Wykładowca mówi po polsku, ale na miejscu jest tłumacz, który przekłada to na ukraiński, bądź na rosyjski. W związku z tym studenci robią notatki po rosyjsku, bądź po ukraińsku. Egzamin potem zdają po ukraińsku, czy po rosyjsku. I oczywiście Polakowi łatwiej jest zrozumieć egzamin, kiedy mówią w swoim języku, niż im zrozumieć tę polską terminologię. Stąd potrzebny jest tłumacz.

Wnosimy więc, że Jan Marek, którego Ewangelię państwo przeczytali, również pomagał Piotrowi głosić Ewangelię w tych rejonach, w których mówiono przede wszystkim po grecku. I biskup Papiasz, którego tekst zachował się do naszych czasów — a przypominam państwu: to jest rok sto trzydziesty, a więc bardzo wczesny tekst — napisał tak:

> To zaś powiedział prezbiter starszy Jan Marek, który był tłumaczem Piotra. Spisał dokładnie wszystko, co przechował w pamięci, ale nie w tym porządku, w jakim następowały po sobie słowa i czyny Pańskie. Ani bowiem Pana nie słyszał, ani nie należał do Jego orszaku, a tylko później, jak się rzekło, był towarzyszem Piotra. Otóż Piotr stosował nauki do potrzeb słuchaczy, a nie dbał o związek słów Pańskich. Nie popełnił

> więc Marek żadnego błędu, jeśli w szczegółach tak pisał, jak to się w jego przechowało pamięci. O jedno się tylko bowiem starał, o to, by nic nie opuścić z tego, co słyszał, oraz by nie napisać jakiej nieprawdy.

Zatem Ewangelia, którą państwo przeczytali, Ewangelia Markowa, została napisana przez człowieka, który sam Jezusa nie widział. Ale opisuje Jezusa, wspomina Jego słowa tak, jak mu opowiadał Piotr. A Piotr, jak zaznacza biskup Papiasz, przemawiał w różnych konkretnych okolicznościach, w różnych konkretnych sytuacjach. I zachowało się sporo tych opowiadań, które w Ewangelii zostały połączone.

Drugie świadectwo, na które warto zwrócić uwagę, to jest wypowiedź Ireneusza, biskupa Lionu. Był biskupem na terenie dzisiejszej południowej Francji. Zmarł w roku 215, ale bardzo dobrze znał tradycję tych biskupów, od których sam otrzymał biskupią posługę. Ireneusz napisał tak:

> Po ich, apostołów Piotra i Pawła, śmierci, Marek, uczeń i tłumacz Piotrowy, przekazał nam również na piśmie to, co Piotr głosił.

Zatem z tych źródeł, ale także z innych źródeł, których nie ma czasu w szczegółach cytować, wiemy, że Ewangelia Marka to Ewangelia Piotra. Gdy czytamy tę Ewangelię, jej styl jest bardzo charakterystyczny. Otóż niestety czytając po polsku nie mogą państwo uchwycić wszystkich niuansów tego stylu dlatego, że tłumacze, którzy dokonali przekładu Ewangelii św. Marka na język polski, już część tej pracy translatorskiej wzięli na siebie. Ale kiedy się czyta tę Ewangelię po grecku, czyli w języku, w którym oryginalnie została napisana, to tam rozmaite epizody i wydarzenia są wprowadzane przez taki spójnik, który po grecku brzmi kai. I mówi się: Kai lege cho Jesus — *I powiedział Jezus,* Kai erponton Jesus — *Jezus rzekł.* I tak dalej: kai, kai, kai. Skąd to kai po grecku?

To jest grecki odpowiednik hebrajskiego bądź aramejskiego wyrażenia, które brzmi po prostu W. gdy ktoś coś opowiada, to mówi zawsze po hebrajsku wajomer, wajetaber — i to w jest na początku. Kiedy to w się pojawia? Wtedy, kiedy ktoś coś opowiada. Jaki z tego wniosek? Że częstotliwość tego łącznika, tego spójnika kai jest świadectwem, że ta Ewangelia, chociaż napisana po grecku, miała swój pierwowzór w jakimś języku semickim. Ale nawet więcej — ten język jest językiem opowiadania. Można więc sobie wyobrazić, że Piotr mówił mniej więcej tak, jak byśmy po polsku mówili: „A pewnego dnia ...", „A wtedy ..."„ „A potem ..." „I znowu ...". I ten spójnik świadczy, że były to pojedyncze opowiadania, które ewangelista Marek połączył później w jedną całość. Zatem jest to styl który wyrósł z opowiadań ustnych, z tradycji ustnej. To jest bardzo ważne żeby pamiętać, że ta Ewangelia wobec tego nie powstała jako dzieło literackie, tylko powstała jako zapis tradycji, jako zapis pamięci. Kiedy ta pamięć została zagrożona, kiedy pokolenie tych, którzy znali Jezusa, wymierało, to wtedy podjęto decyzję o zapisie tych opowiadań, i połączono je w jedną całość.

I jeszcze jedna rzecz, która daje o sobie wyraźnie w tej Ewangelii znać. Mianowicie gdy czytamy tę Ewangelię po grecku, to jest w niej czas, który nosi nazwę łacińską *praesens historicum,* czyli czas teraźniejszy opisujący czynności, jakie miały miejsce dawniej. Wyobraźmy to sobie w języku polskim. Ktoś opowiada o tym, co się wydarzyło np. parę lat temu. Widział np. wypadek drogowy. Albo ktoś opowiada jakieś przeżycia z wojny. I wtedy opowiada tak: „Biorę go, owijam. rozmawiam z nim. On do mnie mówi, ja mu odpowiadam. Biorę go na ręce, niosę go. Przyjeżdża lekarz." Coś, co było dawno temu, opisuje się w czasie teraźniejszym. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że w ten sposób daje się poznać, że ta dawna czynność ciągle we mnie żyje. A po drugie dlatego, że daje się w ten sposób poznać, że ta czynność jest dla mnie bardzo ważna, i chcę zwiększyć, chcę przyciągnąć uwagę słuchacza.

Po polsku tego nie widać w przekładzie tej Ewangelii, bo nie wszystko można przełożyć dobrze, wiernie. Włosi mówią traductore tradictore, czyli *każdy tłumacz jest zdrajcą.* Ale gdyby czytać to w oryginale, to w tym *praesens historicum,* w tym czasie teraźniejszym, jest całe opowiadanie o męce Jezusa Chrystusa. Kiedy Marek opowiada o pojmaniu Jezusa, o sądzie nad Nim, o kolejnych etapach tego sądu, wreszcie o Drodze Krzyżowej, o ukrzyżowaniu — to mówi to w czasie teraźniejszym tak, jak gdyby to się teraz rozgrywało. A dlaczego tak czyni? Bo najwidoczniej Piotr zawsze to opowiadał tak, jak gdyby miał to wszystko przed oczyma.

Otóż dla Piotra męka Jezusa Chrystusa była wydarzeniem najważniejszym. Można by powiedzieć, że wszystko to, co było przedtem, prowadziło ku męce. I wszystko to, co się wydarzyło w Jerozolimie w Wielkim Tygodniu, wywarło na Piotrze tak niezapomniane wrażenie, że później patrzył na Jezusa cały czas przez pryzmat męki. Otóż jeżeli chcemy tak naprawdę odczuć całą żywiołowość tego opowiadania ewangelicznego, to trzeba nam wiedzieć, że dla Piotra życie Jezusa odbywa się w cieniu krzyża. Dlaczego tak?

Najwidoczniej dlatego, że kiedy Piotr poszedł za Jezusem, wiązał z tym wielkie nadzieje. Wiązał z tym, być może, jakąś ziemską wizję. Wydawało mu się, że będzie to dobra sposobność do tego, żeby w jakiś sposób, po ludzku biorąc, zaistnieć. Natomiast życie okazało się inne. Mianowicie Jezus jest Mesjaszem — ale nie takim, jak Piotr Go sobie wyobrażał. Jest Mesjaszem, ale jednocześnie Piotr zrozumiał, że obraz Jezusa, wizerunek Jezusa, życie Jezusa wyraźnie odbiega od tego, czego się spodziewał.

Stąd w Ewangelii św. Marka, czyli tak, jak Piotr widział Jezusa, dominują trzy elementy. Te trzy elementy to są *trzy zapowiedzi męki Jezusa.* Żadna inna Ewangelia tak mocno nie eksponuje zapowiedzi męki Jezusa. Posłuchajmy pierwszą zapowiedź, zamieszczoną pod koniec ósmego rozdziału, którą państwo czytali. Ona brzmi tak:

> I zaczął ich pouczać ...

Proszę zwrócić uwagę na ten spójnik kai — „I" na samym początku.

> I zaczął ich pouczać, że Syn Człowieczy musi wiele cierpieć, że będzie odrzucony przez starszych, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; że będzie zabity, ale po trzech dniach zmartwychwstanie. A mówił zupełnie otwarcie te słowa. Wtedy Piotr wziął Go na bok i zaczął Go upominać.

Wyobraźmy sobie tę scenę. Jezus zapowiada swoją mękę, swoją śmierć, ukrzyżowanie. A Piotr bierze Go na bok, i zaczyna Go upominać. Otóż z innej Ewangelii wiemy że to, co powiedział Piotr, brzmiało mniej więcej: „Panie, nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!"

> Lecz On obrócił się i patrząc na swoich uczniów, zgromił Piotra słowami: «Zejdź Mi z oczu, szatanie, bo nie myślisz o tym, co Boże, ale o tym, co ludzkie».

W żadnej Ewangelii nikt nie został nazwany szatanem, nawet Judasz nie został nazwany szatanem przez Jezusa. Co ciekawe: inni ewangeliści, którzy ten epizod opisują, nie wspominają o tych słowach. Dlaczego? Najwyraźniej chcieli je przemilczeć jako niestosowne wobec Piotra, który już w czasie, kiedy pisali Ewangelie, sprawował swój urząd, swoją posługę w Kościele, jako jego głowa. Piotr jednak zawsze opowiadał o tym, i Marek to utrwalił. Bardzo ciekawą refleksję na ten temat znajdujemy w książce „Przekroczyć próg nadziei" Jana Pawła II. Otóż papież odnosi się do tego epizodu, wspomina ten epizod upomnienia Piotra i mówi tak (str. 28):

> Tak więc Piotr nie lękał się o Boga, który stał się człowiekiem. *Natomiast lękał się o Syna Bożego, jako człowieka.* Nie mógł bowiem przyjąć, że będzie on biczowany i cierniem ukoronowany, i w końcu ukrzyżowany. Tego Piotr nie mógł przyjąć.

I teraz następuje zdanie bardzo ciekawe, bardzo głębokie. Papież powiedział tak:

> Tego się lękał. I Chrystus za to Piotra surowo *skarcił.* Skarcił, ale go *nie odrzucił.*

To jest właśnie, można by powiedzieć, klucz do życia św. Piotra. Piotr pamiętał, że został skarcony, ale nie został odrzucony. I na tym polega chrześcijańska pedagogia, żeby — jak mówił później św. Augustyn — potępiać zło, ale jednocześnie pomagać człowiekowi, który jest grzeszny. Jezus umiał rozróżniać pomiędzy tym, czego dopuścił się Piotr, a jego dobrą wolą, dzięki której Piotr starał się Jezusa w jakiś tajemniczy, dla siebie tylko właściwy sposób chronić. Więc Jezus go upomniał, ale go nie odrzucił. I Piotr pamiętał o tym cały czas.

To była pierwsza zapowiedź męki. Ci z państwa, którzy czytali Ewangelię św. marka, pamiętają również, że potem następuje druga zapowiedź męki. Mianowicie w rozdziale 9 czytamy następujące słowa:

> Po wyjściu stamtąd podróżowali przez Galileę. Jezus jednak nie chciał, żeby kto wiedział o tym. Pouczał bowiem swoich uczniów i mówił im: «Syn Człowieczy będzie wydany w ręce ludzi. Ci Go zabiją, lecz zabity po trzech dniach zmartwychwstanie». Oni jednak nie rozumieli tych słów, a bali się Go pytać.

Otóż najwyraźniej po pierwszej zapowiedzi męki, i po tym upomnieniu Piotra, obawiali się pytać Jezusa o to, co dotyczyło Jego dramatycznej przyszłości. Jezus powtarza, że będzie musiał przejść przez cierpienie. Oni już więcej Go nie upominają, ale z drugiej strony nie rozumieją tego, o czym mówi. Proszę zwróćmy uwagę, że w ten sposób następuje jakieś dramatyczne rozejście ze Starym Testamentem. Na czy ono polega? W Starym Testamencie mamy zapowiedzi Mesjasza. Mamy wizerunek Mesjasza jako kapłana, jako króla, jako proroka nawet. Mamy rozmaite aspekty tej zapowiedzi Mesjasza, którego ma posłać Pan Bóg. W Starym Testamencie mamy również niezwykłe pieśni o Słudze Pańskim, gdzie mamy wyraźną zapowiedź Mesjasza cierpiącego. Ale co charakterystyczne — ci Żydzi, którzy żyli w czasach Jezusa, odsuwali od siebie myśl o Mesjaszu cierpiącym. I również apostołowie nie chcieli przyjąć Mesjasza cierpiącego. Woleli, żeby ten Mesjasz był tryumfujący.

Myślę, że to jest chyba takie napięcie, które w religii istnieje po dzień dzisiejszy. Dzisiaj też chcielibyśmy, żeby Kościół, żeby wiara, żeby wyznawanie wiary przynosiło nam jakiś rodzaj splendoru, zaszczytu, blasku. Natomiast kiedy przychodzi z powody wiary, czy za wiarę, cierpieć — zaczynamy się buntować. I nie myślmy od razu o cierpieniach, które gotują nam prześladowcy, albo, często tak nazywani: „wrogowie Kościoła". Pomyślmy o czymś znacznie głębszym i intymniejszym, i trudniejszym. Mianowicie wiele razy sobie mówimy o tym, że „cierpiący człowiek jest drogą Kościoła", że „cierpienie wszczepia nas w mękę i śmierć Zbawiciela", że „cierpienie jest drogą do Boga".

Skłonni jesteśmy to wszystko przyjąć — tak długo, dopóki cierpienie nas nie dopadnie, i nas nie dotyczy. Natomiast w momencie, kiedy przychodzi na nas jakieś cierpienie, a zwłaszcza to cierpienie, które w nieuchronny sposób prowadzi do śmierci, np. ciężka i nieuleczalna choroba, to i wierzący ludzie zaczynają się buntować. Mianowicie wyobrażają sobie drogę do Boga, która byłaby pozbawiona tego elementu cierpienia.

I u apostołów było dokładnie to samo. Stąd wielka dojrzałość chrześcijańska, podobnie jak w życiu apostołów, polega na tym, abyśmy byli w jakiś sposób przygotowani do przyjęcia wszystkiego, co nas w życiu spotyka — cierpienia także. Ono jest najsilniejszym, najbardziej wymownym znakiem dojrzałości wiary. Jeżeli bowiem człowiek buntuje się przeciwko tej wizji cierpienia, przypomina Piotra, który mówił: „Panie, nie przyjdzie to nigdy na Ciebie", albo przypomina apostołów, którzy w takim przypadku przyjęli strategię milczenia: nie rozumieli o czym Jezus mówi, ale bali się Go pytać.

I wreszcie św. Marek kładzie nacisk na jeszcze jedną zapowiedź męki. Mianowicie w rozdziale 10 pojawia się trzecia zapowiedź męki Jezusa Chrystusa. Ona brzmi tak:

> A kiedy byli w drodze ...

Raz jeszcze to „A". Mamy „i", „a", „Lecz" itd. Jest to świadectwo opowiadania, tego, że to wszystko było opowiadane.

> A kiedy byli w drodze, zdążając do Jerozolimy, Jezus wyprzedzał ich tak, że się dziwili.

To jest świadectwo świadka, Piotra. Bo Piotr myślał sobie tak: „Skoro On mówi, że w Jerozolimie czeka Go cierpienie, czeka Go śmierć, to dlaczego On tam się tak śpieszy?" Żaden człowiek nie śpieszy się, żeby cierpieć. Więc apostołowie dziwią się tej woli Jezusa pójścia do Jerozolimy. Jezus szedł na ich czele, oni szli za Nim.

> Ci zaś, którzy szli za Nim, byli strwożeni.

Otóż żaden ewangelista nie wspomina, że gdy apostołowie szli do Jerozolimy to się bali. I Piotr również się bał. Jezus szedł pierwszy, szedł przed nimi, wyprzedzał ich. Proszę to sobie wyobrazić,

gdyby przyszło nam nagrać taką scenę filmową: Jezus pierwszy, a ono gdzieś tam z tyłu próbują za Nim iść — ale się boją!

Widzimy tu pewną charakterystyczną rzecz w religijności zawsze spotykaną. Widzieli cuda, widzieli znaki, słuchali mądrych i głębokich nauk, widzieli moc Jezusa. Ale tam, gdzie w grę wchodzi życie człowieka, jego zdrowie, jego dobre samopoczucie, to człowiek może przeżyć dużo wspaniałych rzeczy — ale w momencie, gdy chodzi o życie bądź o zdrowie, zaczyna się załamywać i zaczyna patrzeć na to wszystko pod zupełnie innym kątem. Z tego wynika jedno: cuda, choćby największe, nie mogą być jedynym, ani nawet najważniejszym probierzem naszej wiary. Gdybyśmy koło siebie widzieli wielkie cuda, to po pierwsze one mogły by nam spowszednieć, a po drugie — nawet, gdyby było to coś absolutnie wyjątkowego, to wcale nie znaczy, że ludzie by zmienili swoje postępowanie.

Już parę lat temu zwróciliśmy uwagę na to, że gdy była w Polsce taka swoista moda na cuda: Pan Jezus czy Matka Boska ukazał się to tu, to tam, to jeszcze gdzieś — to ci, którzy mieli widzieć te zjawiska wracali zupełnie nie zmienieni. Nie zmieniali swojego życia tak, jakby się nic nie stało, tak, jakby to była tylko przygoda dla przygody. Tymczasem gdyby ktoś rzeczywiście doświadczył Bożej obecności w taki najgłębszy sposób, to przecież powinien przeżyć to zupełnie inaczej.

Apostołowie widzieli mnóstwo. Ale okazało się, że gdy zdążali do Jerozolimy, to się bali. I o tym mówi tylko Piotr. Z tego, że się bali wynikło to, że się wkrótce Jezusa zaparł. Bo gdy raz drugi i trzeci powiedziano: „I ty jesteś jednym z nich", to mówił „Nie znam tego człowieka". Zwróćmy więc uwagę na to, jaka jest przepaść między dobrymi chęciami, a między rzeczywistością. Zwróćmy uwagę, że ile da człowiek za to, żeby ocalić swoje zdrowie, żeby przedłużyć swoje życie, że właściwie troska o swoje życie nie ma dla nas żadnej ceny. Czytamy dalej tak:

> I wziął znowu Dwunastu i zaczął mówić im o tym, co miało Go spotkać:

Popatrzmy: tylko apostołów, tych dwunastu apostołów Jezus cierpliwie przygotowuje. I Piotr słowami św. Marka bardzo mocno to podkreśla. I Jezus powiedział:

> «Oto idziemy do Jerozolimy. Tam Syn Człowieczy zostanie wydany arcykapłanom i uczonym w Piśmie. Oni skażą Go na śmierć i wydadzą poganom. I będą z Niego szydzić, oplują Go, ubiczują i zabiją, a po trzech dniach zmartwychwstanie».

Zwróćmy uwagę, że Jezus w szczegółach zapowiada to, co miało Go spotkać. Ale okazuje się, że czym innym jest wiedzieć, a czym innym jest przeżyć. Apostołowie wiedzieli i spodziewali się, lękali się pójścia do Jerozolimy. Ale kiedy już przyszło to cierpienie — to dobrze wiemy, czym ono się skończyło. Piotr się Go wyparł, Judasz wcześniej Go zdradził, a pozostali uciekli. W tym zachowaniu apostołów widać, jeżeli tak można powiedzieć, pełną ludzką naturę. Św. Marek po tej trzeciej zapowiedzi męki dodaje jeszcze ciekawy epizod:

> Wtedy zbliżyli się do Niego synowie Zebedeusza, Jakub i Jan, i rzekli: «Nauczycielu, chcemy, żebyś nam uczynił to, o co Cię poprosimy». On ich zapytał: «Co chcecie, żebym wam uczynił?» Rzekli Mu: «Daj nam, żebyśmy w Twojej chwale siedzieli jeden po prawej, drugi po lewej Twojej stronie».

Zwróćmy uwagę na tę zapobiegliwość, można by z nutą pewnej złośliwości powiedzieć: wręcz żydowską. Skoro przyjęli słowa Jezusa o tym, że zostanie ukrzyżowany, i skoro przyjęli słowa Jezusa, że zmartwychwstanie, to próbują swoje ambicje przenieść na drugi świat, do tego innego życia. I mówią: „Spraw, żebyśmy tam byli jeden po lewej, a drugi po prawej stronie". I wtedy, jak dalej czytamy, pozostali uczniowie i apostołowie są zgorszeni. Oburzeni są na tych dwóch, że mają tego rodzaju ambicje. Najprawdopodobniej oni wszyscy myśleli podobnie, albo tak samo. Ale głośno odezwali się ci dwaj, i ci dwaj z tego powodu musieli również ponieść konsekwencje swojej odwagi.

Zwracają zatem państwo uwagę na tę prawidłowość, która w Ewangelii św. Marka tak mocno jest widoczna: trzy zapowiedzi męki. Czy mamy jeszcze coś, co pojawia się tutaj trzy razy? Oczywiście, że tak! Mamy trzykrotne wyparcie się Jezusa ze strony Piotra. Otóż Piotr pokazuje, Piotr opowiadając o sobie mówi, że w gruncie rzeczy przez całe życie tak długo, jak długo chodził z Jezusem, był słabym, tchórzliwym człowiekiem. I Piotr się do tego przyznaje. Że Jezus uprzedzał ich o męce. Że znali te słowa. Ale próbowali Jezusa upominać, zamiast przyjąć te słowa do wiadomości.

A kiedy męka nadeszła, to Piotr należał do tych, którzy zachowali się w sposób najbardziej pozbawiony lojalności wobec swojego Mistrza. Tylko Piotr mógł o tym tak opowiadać, bo pozostali apostołowie krępowali się, żeby z taką otwartością mówić o tym, co wydarzyło się w życiu Piotra. Więc popatrzmy, że jest to Ewangelia człowieka, który opowiadając o swoim życiu chce wskazać na to, co to życie przemieniło.

Co wpłynęło na zmianę nastawienia Piotra? Co przesądziło o tym, że ten lękliwy człowiek, który przez całe życie trzymał się raczej z daleka od dramatycznych przygód, a koniec końców się Jezusa wyparł, stał się Jego gorliwym wyznawcą? Odpowiedź jest jedna. Najpierw: śmierć, a następnie: zmartwychwstanie. Otóż pierwsza zmiana pojawiła się wtedy, kiedy Piotr wyparłszy się Jezusa uświadomił sobie swój błąd. A uświadomił to sobie wtedy, gdy Jezus wychodząc z przesłuchania spojrzał na Piotra. I zobaczył Piotr wzrok Jezusa, i gorzko zapłakał. Już ten płacz był początkiem nawrócenia, początkiem skruchy, początkiem żalu. Już dokonywało się w nim coś bardzo głębokiego. Dlaczego zapłakał? Zdał sobie sprawę z własnej niewierności, z braku lojalności, ze słabości. Zobaczył przed sobą kilka lat życia przeżytego razem z Jezusem, które zakończyło się taką tragiczną porażką.

Wspominaliśmy kiedyś, że gdyby Piotr był bardzo małej wiary albo gdyby Piotr popadł w rozpacz, byłby wtedy poszedł i uczynił to, co uczynił Judasz — poszedł i powiesił się. Otóż rozpacz jest największym wrogiem człowieka, podobnie jak samotność. Piotr na szczęście nie popadł w rozpacz. I tym różni się od Judasza, aczkolwiek i uczynek jednego, i uczynek drugiego, był mocno niewierny i nielojalny. Natomiast miary nawrócenia, miary tego wszystkiego, co się stało, dopełniło zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Dopiero zmartwychwstały Jezus ukazał Piotrowi sens całego życia, które razem przeżył. I cała ta Ewangelia prowadzi do męki, do śmierci i do zmartwychwstania, widać to bardzo wyraźnie. Jej schemat, jej budowa — skoro już jej lekturę mamy za sobą — jest bardzo prosta. Mianowicie: przygotowanie do działalności Jezusa, działalność Jezusa w Galilei, działalności poza Galileą, a potem pojmanie, męka, śmierć i zmartwychwstanie.

Czego w ogóle nie ma w Ewangelii św. Marka? Nie ma wzmianki o okolicznościach narodzenia Jezusa, o Jego dzieciństwie, o Jego młodości. Gdybyśmy mieli tylko Ewangelię św. Marka, to byśmy nie wiedzieli o okolicznościach narodzin Zbawiciela. Ktoś z państwa może się zdziwić i powiedzieć: „Ale to dziwne!" Właśnie to nie jest dziwne bo myślę, że z tej strony Ewangelia Marka czy Ewangelia Piotra bardzo dobrze oddaje psychikę mężczyzn. Otóż dorośli mężczyźni, jeżeli coś ich w życiu łączy, jeżeli mają jakieś wspólne zadanie do wykonania, jeżeli np. wspólnie pracują czy wspólnie podróżują, nie zwykli rozmawiać o narodzinach, których i tak nie pamiętają, ani o dzieciństwie, ani o tym, co było w samych początkach. Tylko po prostu pojmują swoje życie w tych kategoriach, które mogą przybliżyć cel, ku któremu zmierzają.

Popatrzmy na przykład na życie Karola Wojtyły, mamy dzisiaj akurat jego dzień. Też zwracaliśmy kiedyś uwagę na ten szczegół. Ja pamiętam 16 października 1968 r., kiedy już kardynał Felici ogłosił, że papieżem został Wojtyła, i kiedy z Instytutu Polskiego potem udałem się na Plac św. Piotra, to pierwsze pytania Włochów były: „To Murzyn?" Odpowiedź: „Nie, to nie Murzyn, to Polak". I wtedy telewizja włoska i włoskie radio chodziło pytać księży, którzy tam studiowali — wyszukiwano i księży, i ktokolwiek się trafił — pytać o Karola Wojtyłę. I co się okazało? Że mało kto z Polski miał pojęcie o jego życiu. Dlatego że po prostu my, będąc tam jako tako dorośli, nie zajmowaliśmy się dzieciństwem, młodością, czy dotychczasowym życiem kardynałów. Każdy wiedział, że jest to kardynał z Krakowa, każdy wiedział, że to jest arcybiskup. Jeszcze ktoś tam wiedział, że bywał w Gnieźnie razem z Kardynałem Prymasem. Ale żeby zajmować się dzieciństwem, żeby wiedzieć, jak mieli na imię rodzice, albo żeby wiedzieć, że pochodzi z Wadowic, a nawet ile ma lat — to tego nikt specjalnie nie wiedział. Ot po prostu to nikogo specjalnie wtedy, na tym etapie, nie interesowało.

Z Piotrem było podobnie. Piotr był człowiekiem trudnej pracy, rybakiem. Był twardym człowiekiem, najprawdopodobniej przypominającym dzisiejszych robotników, rolników, rybaków. I on o dzieciństwie nie rozmawiał. Jego mały Jezus nie obchodził. Jego nie obchodziło ani Betlejem, ani Nazaret, bo on myślał zupełnie innymi kategoriami. W Ewangelii św. Marka całego dzieciństwa Jezusa nie ma. Jest to Ewangelia dorosłego człowieka, który opisuje swoją przyjaźń, swoją lojalność i nielojalność wobec innego dorosłego przyjaciela, którym był Jezus Chrystus.

Tu wszystko zaczyna się od działalności publicznej. Mamy początek tej działalności publicznej,

mamy później powołanie apostołów — i to na samym początku Ewangelii, działalność na terenie Galilei, mamy drogę do Jerozolimy, mamy mękę, śmierć i zmartwychwstanie. Jest to opowiadanie człowieka twardej pracy, człowieka surowego, człowieka dorosłego, mężczyzny, który nie roztkliwia się nad sobą, i nie wypytuje o szczegóły, które mogłyby interesować innych. Mogłyby np. interesować kobiety, albo mogłyby interesować kogoś, kto zadaje pytania później już, jak mówimy to po łacinie *ex post,* czyli z pewnej perspektywy.

Odnosząc to do papieża: dopiero wtedy, gdy Karol Wojtyła został wybrany papieżem, dopiero wtedy zaczęto się interesować kim on jest, gdzie leżą Wadowice, w którym kościele został ochrzczony, gdzie jest cmentarz, gdzie pochowani są jego rodzice, jaka była jego rodzina, kto ma jakiekolwiek zdjęcia, które go dotyczą — dopiero wtedy to zaczęło mieć znaczenie.

W starożytności też zbierano okruchy pamięci o dzieciństwie Jezusa, ale one znalazły się w innych Ewangeliach: w Ewangelii św. Mateusza, oraz w Ewangelii św. Łukasza. W Ewangelii św. Mateusza dzieciństwo Jezusa zostało opisane z perspektywy mężczyzny, w Ewangelii św. Łukasza — z perspektywy kobiety, Najświętszej Maryi Panny. Więc Ewangelia Mateusza odzwierciedla żydowski sposób myślenia, Ewangelia Łukasza odzwierciedla hellenistyczny, grecki sposób myślenia. Taki był świat, taki ten świat jest po dzień dzisiejszy. O specyfice tych dwóch Ewangelii powiemy sobie jeszcze później.

Natomiast Piotra interesował dorosły, dojrzały Jezus. I temu dorosłemu Jezusowi poświęcił całą swoją uwagę. Wydaje mi się, że do mężczyzn ta Ewangelia przemawia bardziej, bo ona jest taka faktograficzna, nie wartościuje, tylko po prostu opisuje życie Jezusa takie, jakie ono było. Kobiety będą znacznie bardziej wolały Ewangelię św. Łukasza, którą przeczytamy w dalszej kolejności, bo ona przedstawia Jezusa z innej perspektywy.

Otóż jakie jest sedno tej Ewangelii? Niech to będzie ostatni wątek, który dziś poruszymy. Gdybyśmy chcieli tę Ewangelię streścić najkrócej, to jakie aspekty moglibyśmy w niej wskazać? Otóż w Ewangelii św. Marka dwie prawdy są na planie pierwszym, mianowicie:

- Jezus to jest prawdziwy Bóg,
- Jezus to jest prawdziwy człowiek.

Czyli zbierając razem: Jezus to prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. *To jest pierwsze chrześcijańskie wyznanie wiary, pierwsze Credo,* jeżeli tak można powiedzieć, dotyczące Jezusa Chrystusa. Otóż Piotr uświadomił sobie, po męce, śmierci i po zmartwychwstaniu, że Osoba, z którą miał do czynienia, to jest prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. Gdy sięgniemy po Ewangelię, to przypominają sobie państwo sam początek tej Ewangelii. Otóż na początku tej Ewangelii, uprzedzając wszystko inne, czytamy:

> Początek Ewangelii o Jezusie Chrystusie, Synu Bożym.

A więc wszystko zostaje rozstrzygnięte. Ten, o którym będziemy czytali, to jest Syn Boży, to jest Bóg. W ten sposób Piotr wskazuje swoim współwyznawcom, pierwszym chrześcijanom, a także tym Żydom, którzy jeszcze nie uwierzyli w Jezusa, na wewnętrzne bogactwo życia Bożego. Żydzi w Starym Testamencie cały czas podkreślali jedyność Boga. Podstawowe żydowskie wyznanie wiary po dzień dzisiejszy brzmi Shema Israel Adonai Elohim Adonai ehad. Powtarza się Żydom, że mogą w życiu popełnić mnóstwo niewierności, popełnić mnóstwo grzechów, popełnić mnóstwo występków. Lepiej, żeby ich nie popełnił. Ale jeżeli już je popełni, jeżeli nawet będzie apostatą, odejdzie od swojej wiary — to jeżeli tylko na łożu śmierci powie Shema Israel Adonai Elohim Adonai ehad, czyli *Słuchaj Izraelu, Pan nasz Bóg jest Panem jedynym,* to to gładzi wszystkie grzechy. Jest to podstawowe wyznanie wiary biblijnego Izraela.

I Jezus też, kiedy Go zapytano: „Jakie jest pierwsze i najważniejsze przykazanie" odpowiedział „Pierwsze i najważniejsze przykazanie jest: «Słuchaj Izraelu, Pan nasz Bóg jest Panem jedynym. Będziesz miłował Pana Boga swego z całego swojego serca, z całej swojej duszy». A drugie: «Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego». Na tych dwóch przykazaniach" mówił Jezus "opiera się prawo i prorocy."

Więc Jezus zdawał sobie sprawę z tego, jak trudno będzie ówczesnym Żydom, i późniejszym Żydom, przyjąć prawdę o Nim jako Synu Bożym. I dlatego wskazuje na to wewnętrzne bogactwo

życia Bożego. Ukazuje, że Bóg jest miłością. A miłość nie może istnieć bez wzajemności. Otóż dobrze wiemy, że świat został stworzony przez Boga, przez co została zapoczątkowana doczesność, w której my teraz jesteśmy. Ale Bóg istnieje zawsze, przed założeniem świata. I chociaż jest jedyny, to nigdy nie jest sam, tzn. nie jest samotny! W Bogu samym — tutaj nasz język jest niestety ułomny — jest owo bogactwo wewnętrznego życia. Bóg istnieje jako Ojciec, jako Syn i jako Duch Święty. I spoiwem tych Osób Boskich jest miłość.

Dlatego — dodaje później św. Jan, apostoł ewangelista — Bóg jest Miłością — przez duże M. Św. Piotr i Marek, który zapisywał jego Ewangelię, nie wiedział jeszcze jak to ująć, nie wiedział jeszcze jak to przekazać. Więc nie wiedział jak to wyrazić słowami. Tajemnica, którą przeżył, była znacznie większa niż jego możliwości wypowiadania się. Dlatego mówi: „Początek Ewangelii o Jezusie Chrystusie, Synu Bożym." Zwróćmy uwagę, że to samo wezwanie pojawia się w samym środku Ewangelii. Mianowicie Jezus zwraca się do apostołów, ta słynna scena kiedy pyta: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?" I apostołowie opowiadają za kogo. «A wy za kogo mnie uważacie?» I wysuwa się Piotr i mówi: «Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga Żywego». Ponowne wyznanie bóstwa Jezusa Chrystusa! I wtedy Jezus go pochwalił „Błogosławiony jesteś Szymonie, bo nie objawiły ci tego ciało i krew, tylko sam Bóg". Więc Piotr został pochwalony za to wyznanie wiary.

Wreszcie trzecie wyznanie bóstwa — pamiętają państwo z tej Ewangelii — pojawia się w momencie śmierci Jezusa. Mianowicie Jezus umiera, wtedy dzieją się rzeczy, które odchodzą od normy. Ale patrząc, jak Jezus umiera, rzymski setnik, a więc już nie Żyd tylko poganin, mówi „Zaprawdę ten człowiek jest Synem Bożym". Trzy razy w tej Ewangelii jest wyznana wiara w bóstwo Jezusa. I czytelnik tej Ewangelii ma cały czas pamiętać, że Jezus jest to prawdziwy Bóg. Na tym opiera się wiara chrześcijańska.

Ale w tej samej Ewangelii mamy też drugą stronę tejże rzeczywistości. Mianowicie wskazuje się, że Jezus jest to prawdziwy człowiek. W Ewangelii św. Marka mamy więc wyeksponowane rozmaite strony ludzkiej tożsamości Jezusa. Mianowicie zwróćmy uwagę na takie dziwne zachowania Jezusa, które gdzie indziej w Ewangeliach nie są opisane. Pod koniec rozdziału czwartego czytamy tak. Jest burza na jeziorze. Okazuje się, że Jezus śpi. Zbudzili Go i powiedzieli do Niego: „Nauczycielu, nic Cię nie obchodzi, że giniemy?" On wstał, rozkazał wichrowi i rzekł do jeziora „Milcz, ucisz się!" Wicher się uspokoił, i nastała głęboka cisza. Wtedy rzekł do nich „Dlaczego tak bojaźliwi jesteście? Jakże wam brak wiary." Otóż mamy tutaj tę ludzką stronę Jezusa, którą dziwi to, że jego apostołowie, którzy przeżyli już jakieś cuda, tracą ufność w takim momencie.

To przypomina troszeczkę sprawę z rozmnożeniem chleba i ryb. Raz Jezus rozmnożył chleb i ryby, najedli się do syta. A na drugi dzień stawiają Mu takie pytanie, jakby się nic nie wydarzyło. Bo człowiek, który wczoraj się najadł, dzisiaj odczuwa jeszcze większy głód. Tak jest w naszym życiu, tak było w życiu apostołów. I Jezus upomina apostołów. To jest bardzo ludzkie, że czuje że sprawili Mu zawód.

Weźmy inny jeszcze tekst. Pochodzi on z rozdziału szóstego, i też daje nam poznać bardzo ludzkie odczucia Jezusa (Mk 6,56):

> I gdziekolwiek wchodził do wsi, do miast czy osad, kładli chorych na otwartych miejscach i prosili Go, żeby choć frędzli u Jego płaszcza mogli się dotknąć. A wszyscy, którzy się Go dotknęli, odzyskiwali zdrowie.

Skoro wysiedli z łodzi, zaraz Go poznano. Ludzie biegali po całej okolicy i zaczęli znosić na noszach chorych tam, gdzie jak słyszeli, przebywa. Otóż Jezus jawi się tutaj jako cudotwórca, który zwłaszcza przyciąga tych, którzy potrzebowali uzdrowienia, albo w których rodzinach byli chorzy. Mamy tę ludzką atmosferę, ludzki klimat tego wszystkiego, co się z Jezusem działo. Jeszcze jakiś jeden przykład który pokazuje, jak bardzo z bliska Piotr patrzył na Jezusa, i z jakim ludzkim nastawieniem do Niego podchodził. W dziewiątym rozdziale czytamy (Mk 9,9-10):

> A gdy schodzili z góry, przykazał im, aby nikomu nie rozpowiadali o tym, co widzieli, zanim Syn Człowieczy nie powstanie z martwych. Zachowali to polecenie, rozprawiając tylko między sobą, co znaczy „powstać z martwych".

Otóż cały czas mamy tę ludzką stronę tych wątpliwości, tego zmagania się: „Kim jest Jezus?" To pytanie, które przez cały czas nurtowało Piotra, i które znalazło swoje wyjaśnienie w momencie,

kiedy Jezus umarł i kiedy Jezus zmartwychwstał. Zwróćmy zatem uwagę na to, że Ewangelia, którą przeczytali państwo, to była pierwsza Ewangelia utrwalona oczami apostoła Piotra. Co ciekawe: kiedy ta Ewangelia się pojawiła, kiedy ona zastała zapisana, to uznano w Kościele, że ona nie wystarczy. Że ona jest zbyt szczupła, że jest zbyt skrótowa, za zwięzła. Że brakuje tam jeszcze wielu innych epizodów i wielu innych słów Jezusa.

I wtedy postanowiono napisać jeszcze jedną Ewangelię — Mateusza, i jeszcze jedną — Łukasza. Ale co ciekawe, od czasów starożytnych porównywano ze sobą Ewangelie Mateusza, Marka i Łukasza. Po grecku taki zabieg nazywa się synchorao tzn. *razem oglądam.* A imiesłów od tego brzmi synoptikos (jak nasza *optyka*) — *oglądany razem.* I te trzy Ewangelie były oglądane razem, porównywane razem. I do czego doszli już w starożytności? Że ktoś, kto pisał Ewangelię Mateusza, i ktoś, kto pisał Ewangelię Łukasza, musiał mieć przed sobą Ewangelię Marka. Że Ewangelia Marka jest jednym ze źródeł dwóch pozostałych Ewangelii. W tym znaczeniu ona jest najstarsza i pierwsza, w znaczeniu chronologicznym. Jeżeli tak to znaczy, że powstałaby najwcześniej. Najkrótsza, i jednocześnie pierwsza. Na niej opierali się pozostali Ewangeliści. Kiedy oni pisali swoje Ewangelie, Mateusz i Łukasz, to mieli już przed sobą tą właśnie Ewangelię.

I kiedy państwo będą czytali następną Ewangelię, a chciałbym żeby to była Ewangelia św. Mateusza — moim zdaniem najtrudniejsza ze wszystkich Ewangelii. Najtrudniejsza — bo najbardziej żydowska. Żeby ją zrozumieć, to właściwie trzeba znać świat semicki. To jest pierwsza Ewangelia w kanonie Nowego Testamentu. Ale kiedy będą państwo to czytać, to proszę zwrócić uwagę na to, co już znamy, co już pamiętamy. Na to, o czym czytaliśmy w Ewangelii św. Marka. Jeżeli będzie trochę czasu, warto porównać jak to opisuje jeden i drugi. Wtedy okaże się, że są to jakby dwie fotografie Jezusa.

Ewangelia św. Mateusza ma 28 rozdziałów, żeby ją przeczytać potrzeba cztery pełne tygodnie. Jeżeli zaczną państwo czytać po rozdziale dziennie od jutra, to za cztery tygodnie czyli pod koniec listopada, z początkiem Adwentu, Ewangelia powinna być przeczytana. A ponieważ nasze spotkanie, na które chciałbym państwa zaprosić, będzie w drugi poniedziałek grudnia, 9 XII, to mamy przed sobą 35 dni, pięć tygodni. Czyli z całą pewnością dość czasu, żeby przeczytać Ewangelię św. Mateusza.

I wtedy na początku Adwentu — jeżeli wszyscy szczęśliwie dożyjemy — omówimy sobie tę właśnie trudną Ewangelię św. Mateusza. I zobaczymy, że tam jest inny wizerunek Jezusa, już nie Piotrowy, tylko Mateusza, który był celnikiem i np. znał rozmaite rodzaje pieniędzy. Niech państwo w ramach wnikliwego czytania zwrócą uwagę na to, ile rodzajów pieniędzy on wspomina — tego nie ma w żadnej innej Ewangelii.

Dodajmy wreszcie, że gdy powstała jeszcze Ewangelia Łukasza, upłynął czas jakiś — pierwsi chrześcijanie doszli do wniosku, że potrzeba im jeszcze jednej Ewangelii, takiej, która ma charakter głęboko sakramentalny. Mianowicie już to obejrzenie się na Jezusa wstecz, z perspektywy całego życia. I tak powstała Ewangelia św. Jana. I te cztery Ewangelie tworzą kanon Ewangelii Nowego Testamentu.

Na razie przed nami Ewangelia św. Mateusza. Mam nadzieję, ze po Markowej będzie to również bardzo ciekawe zajęcie. Dzisiaj dziękuję bardzo serdecznie wszystkim państwu. Nasz czas minął.

Chwała Ojcu ...

5.3 Ewangelia św. Mateusza (9 grudnia 2002)

Nasze spotkania trwają już 16 lat, jest to ogromny szmat czasu. Można by to rzeczywiście nazwać takim swoistym studium biblijnym. Bo z całą pewnością wiedza biblijna tych z państwa, którzy biorą udział już od jakiegoś dłuższego czasu, jest znacząca. Widać to także po pytaniach, które państwo postawili miesiąc temu. te pytania będą bardzo użyteczne, bardzo pożyteczne, ale z tym jeszcze troszeczkę zaczekamy. Te pytania dają również pojęcie o trudnościach, na jakie natrafiamy przy czytaniu Pisma Świętego.

Natomiast w tym roku, jak państwo dobrze wiedzą, tej refleksji towarzyszy nam również czytanie Pisma Świętego, czytanie Nowego Testamentu. Można by zatem tegoroczny cykl zatytułować właśnie tak: *Czytamy Nowy Testament.* Mamy już za sobą Ewangelię św. Marka, a także refleksję nad Ewangelią św. Marka. Natomiast dzisiaj ci z państwa, którzy to bardzo poważnie traktują — a myślę, że to są wszyscy — mają za sobą lekturę Ewangelii św. Mateusza, i dzisiaj czas na Ewangelię św. Mateusza.

Na początku tej konferencji chciałbym przypomnieć państwu pewien epizod, który dobrze oddaje charakter Ewangelii św. Mateusza, i który zapewne już raz i drugi wspominałem dlatego, że dla mnie samego była to duża przygoda. Przeżyłem go ponad osiem lat temu w Stanach Zjednoczonych. Otóż od stycznia do marca 1994 roku prowadziłem w Spertus Institute of Jewish Studies wykłady dla chrześcijan, ale także dla mieszkających w Chicago amerykańskich Żydów, wśród których była grupa rabinów. Było to w ramach wymiany pomiędzy Amerykańskim Komitetem Żydowskim a Komitetem Episkopatu Polski do Dialogu z Judaizmem. Ksiądz Prymas i Przewodniczący Komitetu wysłali mnie, aby w ramach tej wymiany również przedstawić katolicki i polski punkt widzenia. I jedne z konferencji były poświęcone chrześcijańskiemu czytaniu Nowego Testamentu. Była to dla mnie sytuacja trudna. Bo trzeba było to mieć w obcym języku, do obcego audytorium, i zresztą bardzo wymagającego — bo to przecież rabini, a więc doskonale znający Pismo Święte. Jednak nie myślałem, że ona w pewnym stopniu stanie się zabawna.

Otóż oni zapragnęli, żeby przedstawić im jakieś fragmenty Nowego Testamentu, Ewangelii, i żeby Ewangelia stała się przedmiotem wspólnej refleksji. Przygotowując właśnie te wykłady pomyślałem, że najlepszą Ewangelią dla nich, dla tych żydowskich rabinów, będzie Ewangelia św. Mateusza. I kiedy rozpoczął się ten cykl, na pierwszym wykładzie zrobiłem im wstęp do Ewangelii na poziomie bardziej akademickim niż to, które robię z państwem, a następnie pod koniec wykładu powiedziałem, że jeżeli mamy wspólnie zastanawiać się nad Nowym Testamentem, to powinni przeczytać Ewangelię św. Mateusza.

Wtedy jeden z nich wstał i mówi, że oni nie mają Ewangelii św. Mateusza. Dlatego, bo oni nie są chrześcijanami. Skoro tak, powiedziałem, to sobie kupcie. Przecież jesteście w Chicago w samym środku miasta, w samym środku Ameryki, więc nie ma żadnego problemu. Na to ten sam wstał i mówi, że oni nie mogą tej Ewangelii kupić. Dlaczego? Bo oni są Żydami. To dlaczego nie możecie kupić? Bo nie możemy dawać naszych pieniędzy na chrześcijańskie publikacje. Wobec tego jak możecie czytać Ewangelię, skoro nie możecie jej mieć? Nie, mieć to my możemy — mówią — tylko nie możemy kupić. Więc jakie wyjście? Mówią: „Byłoby dobrze, gdyby nam ktoś kupił". Wymusiłem zatem na władzach Instytutu zakup 30 egzemplarzy Nowego Testamentu, żeby każdy z nich mógł otrzymać egzemplarz, zgodnie z zasadami swojej wiary, otrzymać a nie kupić.

Proszę zwrócić uwagę na tę mentalność, która daje dużo do myślenia. Ileż to chrześcijańskich pieniędzy i katolickich pieniędzy jest wydawane na publikacje, które są z gruntu antykatolickie albo antykościelne! Sądzimy, że moje dwa złote, trzy złote czy pięć złotych nic nie znaczy, ale pomnożone przez sto tysięcy czytelników daje kwotę ćwierć czy pół miliona złotych. I to są już pieniądze, za które to wydawnictwo czy ta gazeta może wychodzić. Oni nie chcieli swoich pieniędzy przeznaczyć na Ewangelię, nie mogli, bo wiara im zabraniała, i dostali tę Ewangelię za darmo.

Po tygodniu spotkaliśmy się znowu, i wtedy przeszliśmy do rozmowy na temat Ewangelii św. Mateusza. Moje pierwsze pytanie było, jak wyglądała ta lektura, co sądzą po przeczytaniu Ewangelii św. Mateusza. Cały czas podkreślam państwu, że nie byli to pierwsi lepsi ludzie, ale rabini którzy mieli za sobą długie studia, a więc odpowiednik naszych duchownych. Każdy z nich miał swoją kongregację, swoich wiernych. Występował tam co sobota, i co święto. Więc byli to ludzie starannie dobrani. I kiedy poprosiłem ich o refleksję, to jeden i drugi powiedzieli to samo. Mówi: „Problem

nie polega na tym, co myśmy z tego zrozumieli. Problem polega na tym, czy wy chrześcijanie, kiedy czytacie tę Ewangelię, to wy coś z niej rozumiecie!"

Otóż on rzeczywiście dobrze oddał istotę sprawy. Bo wśród czterech Ewangelii kanonicznych Ewangelia św. Mateusza jest Ewangelią najbardziej żydowską. Nie sposób tej Ewangelii zrozumieć, jeżeli chociaż po trosze nie znamy mentalności żydowskiej, nie znamy stosunków społecznych, które panowały w owym czasie w społeczeństwie żydowskim, nie znamy historii żydowskiej, czy nie znamy geografii i topografii Ziemi Świętej, czy geografii i topografii Jerozolimy.

Dlatego ta Ewangelia, umieszczona na samym początku Nowego Testamentu, jest odrobinę kłopotliwa. Bo ile razy zachęcamy kogoś: „Niech Pan czy Pani przeczyta Nowy Testament" i ten ktoś zaczyna od Ewangelii św. Mateusza, to natrafia na ogromne trudności i mówi: „Ale ja tego nie rozumiem. Ja nie wiem, o co tam chodzi, ja nie wiem dlaczego to jest." I to dotyczy już pierwszych wierszy tej Ewangelii, mianowicie rodowodu Jezusa, który raz tylko jeden jest czytany w liturgii Kościoła, to jest 17 grudnia, w Adwencie. I musze państwu szczerze powiedzieć z pewną pokorą, że kiedy księża mają czytać te czternaście imion, i czternaście imion, i czternaście imion, i patrzą na wiernych, którzy są w kościele, to niejeden kapłan czytając „Ten był ojcem Tego, Ten był ojcem Tego" opuszcza po trzy, po cztery, po pięć — i tak nikt nie zauważy, myśli sobie, i tak nic wielkiego się nie stanie, jeżeli z czterdziestu dwóch zrobi się np. dwadzieścia pięć. Więc w ten sposób przeskakują, ja już nieraz tę praktykę widziałem, z imienia jednego na drugie. A i tak w końcu ogólny bilans czytają. I do tego bilansu dojdziemy za jedną chwilę.

Zwróćmy zatem uwagę: jest to zatem Ewangelia głęboko żydowska. Nawet zwykło się mówić, uczeni dość dobrze to wykazali, że jest to Ewangelia, którą bardzo łatwo można przetłumaczyć na język hebrajski. Chociaż zachowała się w Kanonie w języku greckim, i jest tłumaczona na języki nowożytne właśnie z języka greckiego, to gdyby ją tłumaczyć na hebrajski ma ona hebrajską, semicką strukturę jeżeli chodzi o słownictwo, jeżeli chodzi o składnię, jeżeli chodzi o o styl, jeżeli chodzi o o sposób myślenia. Jeżeli więc ktoś zna bardzo dobrze język hebrajski, to wystarczy zdania greckie przełożyć na hebrajskie, dokonać tzw. retranslacji czyli odwrotnego przekładu, i otrzymujemy Ewangelię, która bardzo dobrze brzmi w tym języku hebrajskim. Z tego dowód, że ta Ewangelia musiała być pierwotnie napisana albo po hebrajsku, albo po aramejsku. Bo musimy pamiętać, że w czasach Jezusa Chrystusa językiem mówionym wśród Żydów, i przez Żydów, był przede wszystkim język aramejski. Wiele razy o tym mówiliśmy, że języki hebrajski i aramejski są do siebie bardzo zbliżone. Ten sam krój pisma, ten sam sposób pisania, ta sama struktura. Jeżeli mamy szukać jakiś analogii, to coś takiego jak np. języki polski i słowacki. Kiedy Słowak mówi, to my go na ogół rozumiemy, on nas jeszcze lepiej rozumie. Bo tak jest struktura słowackiego, że oni Polaków jeszcze lepiej rozumieją, szybko też polskiego się uczą. I z hebrajskim i aramejskim było podobnie.

Zatem ta Ewangelia jest głęboko żydowska. I można by powiedzieć, że jeżeli ktoś chce poznać kulturę żydowską w czasach Jezusa Chrystusa, jeżeli chce dobrze to zaplecze kulturowe, duchowe, religijne zrozumieć, to powinien tę Ewangelię czytać wielokrotnie. Bo z tej Ewangelii bardzo dobrze uwidacznia się żydowska mentalność, o czym jeszcze będziemy za chwilę mówić. Zatem możemy się domyślać, że jest to Ewangelia, która pierwotnie była napisana do Żydów, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, nazywanych judeochrześcijanie, czyli chrześcijanie wywodzący się z judaizmu. I dla tych właśnie chrześcijan miała służyć utwierdzeniem, pomocą. Miała być katechezą o Jezusie Chrystusie. Ale była adresowana nie tylko do nich. Była również adresowana do tych Żydów, którzy w czasie pisania tej Ewangelii nie uwierzyli w Jezusa, albo byli w drodze do uwierzenia w Niego. I ich również miała pozyskać dla wiary w Jezusa Chrystusa.

Autorem tej Ewangelii według zgodnej tradycji starochrześcijańskiej jest Mateusz, ten sam, którego Jezus powołał nad Jeziorem Galilejskim. Opis jego powołania, i to nawet dość dokładny, znajduje się w dziewiątym rozdziale tej Ewangelii. Ale fakt, że ten opis jest opracowany w trzeciej osobie dowodzi, że albo sam Mateusz wspomina to powołanie tak, jakby to się działo obok niego, albo też o powołaniu Mateusza pisze ktoś, kto bardzo dobrze Mateusza zna, ale opisuje to już z pewnej czasowej perspektywy. Czytamy tak:

> Odchodząc stamtąd [czyli z okolic Kafarnaum], Jezus ujrzał człowieka, siedzącego w komorze celnej, imieniem Mateusz, i rzekł do niego:«Pójdź za Mną!» On wstał, i poszedł za Nim.

Otóż to, co nas uderza, to nagłość pójścia za Chrystusem. Proszę zwrócić uwagę że Mateusz, zanim spotkał Jezusa, był człowiekiem ustabilizowanym. Można by powiedzieć, że tak jak nasz

bankier pracował w banku, miał dobrą pracę. Czy też jako poborca podatkowy i celny tak, jak nasz celnik pracujący na granicy czy na lotnisku. Miał bardzo dobre dochody, miał bardzo dobre zarobki. Jedyna niedogodność, jaką odczuwał, to fakt, że do jego powinności należało również ściąganie podatków, które były płacone na rzecz rzymskich okupantów — ponieważ Ówczesna Palestyna znajdowała się pod wpływami Rzymu. Z tego powodu celnicy byli znienawidzeni. Przypominało to może trochę sytuację w okresie okupacji, kiedy były rozmaite kontyngenty nakładane przez sowietów, czy przez hitlerowców. I oczywiście jeżeli ktoś zajmował się ściąganiem tych kontrybucji, kontyngentów, to specjalnie na wdzięczność nie mógł liczyć. Zresztą nawet jeżeli jest państwo w pełni suwerenne i niepodległe, to i tak zawód pracownika urzędów skarbowych, czy celnika nie cieszą się szczególną sympatią ze zrozumiałych powodów, bo tam w grę wchodzą pieniądze, a także i możliwości nadużyć. Ale także ściąganie od ludzi należności, których nikt sam dobrowolnie specjalnie płacić nie chce. Mateusz na pewno nie cieszył się szczególnym wzięciem. Natomiast nie ulega wątpliwości, że było mu dobrze.

Co nastąpiło później? Ewangelia mówi tak:

> Gdy Jezus siedział w domu za stołem, przyszło wielu celników i grzeszników, którzy siedzieli wraz z Jezusem i Jego uczniami. Widząc to faryzeusze mówili do Jego uczniów: «Dlaczego wasz Nauczyciel jada wspólnie z celnikami i grzesznikami?» On, usłyszawszy to, rzekł: «Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają.

Otóż można by powiedzieć, że ten epizod powołania Mateusza, opisany przez niego samego w jego Ewangelii, to jest również jakiś klucz do jego serca, do jego sumienia, czy do jego wnętrza. Otóż można by zakładać że on, człowiek Starego Testamentu, wychowany w duchu biblijnego Izraela, ale jednocześnie wychowany w bliskości pieniędzy, w bliskości napływu rozmaitych środków materialnych, ciągle odczuwał jakąś niedogodność, ciągle odczuwał jakiś rodzaj braku. I w związku z tym, kiedy Jezus przyszedł i najpierw go dowartościował, a następnie powołał, nie widział żadnych trudności ani przeszkód, żeby za Jezusem pójść. Można by powiedzieć, że w osobie Mateusza jakby ta ekonomia zbawcza Starego Testamentu zyskała swoje spełnienie, i w pewien sposób zyskała również swój kres. Bo tak jak później Natanael, zwany przez Jezusa Bartłomiejem, tak i Mateusz mógł doczekać się takiej pochwały, ze: „Zobaczcie, oto jest prawdziwy Izraelita". Faktem Jest, że za Jezusem poszedł.

O Mateuszowym autorstwie tej Ewangelii wspominają autorzy starochrześcijańscy tacy jak Papiasz, który o tym pisze w II wieku, biskup Ireneusz z Lionu, który pisze około roku 200. Więc jesteśmy tutaj, jeżeli tak można powiedzieć, na styku Starego Testamentu, do którego Mateusz przynależał, i Nowego Testamentu, w który wszedł wtedy, kiedy w Jezusa Chrystusa uwierzył. Jeżeli ktoś z państwa wnikliwie czytał Ewangelię św. Mateusza, to są w niej wyraźne ślady i wyraźne świadectwa tego, że Mateusz myślał tak jak człowiek, który ma do czynienia z pieniędzmi. W jego Ewangelii naliczono ok. dziesięciu wzmianek, aluzji o rozmaitych rodzajach pieniędzy: a to mamy drachmy, a to mamy dwudrachmy, a to mamy sykle, a to mamy pół sykla, denar, a to mamy srebrniki. Rozmaite nazwy pieniędzy używanych w Syrii, w Palestynie, w Grecji, przez Rzymian. Oczywiście taką wiedzę mógł mieć ktoś, kto na co dzień miał do czynienia z pieniędzmi, i ze ściąganiem podatków. W tej Ewangelii mamy też ogromne przywiązanie do cyfr, do liczb, do ich symbolicznego znaczenia. To jest myślenie arytmetyczne, które jest właściwe tym, którzy na co dzień muszą dokonywać rozmaitych zestawień, bilansów, podsumowań, wykazów itd. I taki właśnie był Mateusz. Ale powiedziałem, że od początku do końca, nawet wtedy, kiedy uwierzył w Jezusa Chrystusa — bo przecież inaczej być nie mogło — był nadal w swojej mentalności, w swoim myśleniu, Żydem.

Dwa przykłady dam państwu, które tę mentalność bardzo dobrze obrazują. Myślę, że przy innych okazjach państwo z tymi przykładami się spotkali, ale nie od rzeczy będzie raz jeszcze poświęcić im nieco uwagi. Otóż przykład pierwszy to jest sam początek Ewangelii wg. św. Mateusza. To, co dla nas jest trudne, to dla Żydów jest jak najbardziej zrozumiałe. Już kiedyś państwu mówiłem, że nasza pamięć historyczna, a widać to dobrze na przykładzie młodzieży, kończy się na naszym dziadku i na naszej babci. Rzadko kto jest w stanie wymienić imiona pradziadka i prababci z obojga stron — to już naprawdę trzeba szukać ze świecą. Natomiast tych, którzy potrafią sięgnąć gdzieś do połowy XIX wieku, czy do XVIII wieku, i którzy mają jakieś rodzinne pamiątki, albo

którzy w ogóle wiedzą, gdzie jest pochowany np. dziadek swojego dziadka — to żeby znaleźć takich, trzeba przemierzyć nieraz pół miasta, a poza wielkimi miastami: pół Polski. Otóż nie mamy niestety ukształtowanej pamięci rodzinnej, rodowej. Tylko te rody, które są bardzo zamożne, tam jakaś ciągłość istnieje. Natomiast tak na ogół nawet nas nie interesuje, czy np. żyją jacyś potomkowie Mickiewicza, czy Chopina, czy Kraszewskiego, czy Sienkiewicza. Nie zadajemy sobie tego pytania. A nawet gdy się dowiemy, że oto mamy do czynienia z wnuczką Żeromskiego, to jakoś specjalnie wrażenia to wielkiego nie robi.

W świecie żydowskim jest zupełnie inaczej. Otóż jeżeli państwo zapytają — i to nie jest sprawa wyjątkowa, wyjątkiem jest co innego — jakiegoś człowieka o pochodzenie, to każdy potrafi wywieść pochodzenie. Potrafi mówić o babci, i o babci babci, i jeszcze o babci tamtej babci. I potrafi sięgnąć nawet do XVIII, czy XVII wieku. I przykładają do tego ogromna wagę. Dla mnie było szokiem, gdy przy sposobności tamtego pobytu zaprowadzono mnie do jednej z instytucji żydowskich, i pokazano dokładne spisy ludności z terenu przedwojennej Polski. Każda miejscowość, poczynając od najmniejszych poprzez większe, i poprzez miasteczka, miała wykazy — ile mieszkało rodzin, ile polskich, ile żydowskich, jak one się nazywały, jakie miały zawody, i skąd się wywodzili, i jakie tam były powiązania pomiędzy nimi — wszystko opisane. Tak więc dzisiaj można bardzo łatwo odtworzyć ich życie np. na początku XVIII wieku, czy na początku XIX wieku. Jest to więc zupełnie inne myślenie.

U nas, powtarzam, imiona ojca i mamy znamy, są nam potrzebne do dowodu. Natomiast już babci i dziadka są niepotrzebne, więc trzeba nieraz długo myśleć, jakie mają. Bądźmy szczerzy: w pewnym wieku zaczynamy się tym interesować. Ale wtedy już albo babcia nie żyje, albo nie słyszy, albo nie pamięta. Natomiast jeżeli chodzi o dzieci, o młodzież, to tej praktyki niestety nie ma, i nikt tego specjalnie nie uczy — i to nawet w Kościele.

Dlaczego poświęciłem temu dużo miejsca? Dlatego, że w społeczeństwie żydowskim człowiek to jest ktoś zakorzeniony w przeszłości. Jeżeli ktoś nie ma przeszłości, jeżeli nie ma historii, jeżeli nie ma rodowodu, jeżeli nie ma pochodzenia, to można by powiedzieć, jest nikim. A zatem jeżeli chcesz coś o sobie powiedzieć, a twoi rodzice byli bardzo prości, i dziadkowie byli prości, i jeszcze ich dziadkowie byli prości, ale znasz ich imiona — to jesteś kimś. Ale z drugiej strony oni też żyją w twojej pamięci. Jeżeli nie pamiętasz ich imion to znaczy, że zmarli — i to nie tylko dla ogółu ludzi, ale również zmarli dla ciebie. Ten nacisk na to, żeby pamiętać swoich przodków, jest tam bardzo silny. Widać go również na początku Ewangelii wg. św. Mateusza. Państwo pamiętają, że pierwsze słowa tej Ewangelii brzmią:

> Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama.

Proszę zwrócić uwagę, bo to jest bardzo ciekawa struktura. Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida — ale Dawid żył 1000 lat przed Chrystusem, i syna Abrahama — ale Abraham żył 1800 lat przed Chrystusem. Zatem od razu, 2000 lat temu, mamy tak silną świadomość historyczną, że ten rodowód posuwa się 1000 lat do tyłu, i jeszcze 800 lat do tyłu. Zatem próbuje ustalić więzi pomiędzy Abrahamem, Dawidem i Jezusem. Próbuje pokazać, że Jezus wywodzi się z konkretnego narodu, że Jezus ma za sobą całe dzieje narodu Bożego wybrania, że Jezus wyrósł ze Starego Testamentu, że całe zbawcze działanie Boże w dziejach biblijnego Izraela nie było na próżno, że ono spełniło się właśnie w Jezusie.

Ale za chwilę ta struktura, zamiast — powiedzmy sobie — zstępować gdzieś tam w głąb czasu, staje się wstępująca. Otóż Mateusz natychmiast zmienia ten sposób myślenia, i zaczyna się ten ciąg imion. Mówi tak: Abraham zrodził Izaaka, Izaak Jakuba, Jakub Judę i jego braci, itd, itd, itd. I posuwa się od najdalszych czasów, aż dojdzie do Jezusa Chrystusa.

Co tu jest bardzo ciekawe? Że całe 1800 lat dziejów biblijnego Izraela zostało podzielone na trzy odcinki. Mogło by się wydawać, że te odcinki są sobie równe, że liczą po mniej więcej 600 lat. Ale tak nie jest. Gdy czytamy bardzo wnikliwie, i gdy zestawimy to z tablicą chronologiczną, która znajduje się na końcu tego wydania Nowego Testamentu, to przekonujemy się, że poszczególne odcinki liczą różną liczbę lat. Bo mamy: od Abrahama do Dawida około 800 lat, od Dawida do przesiedlenia babilońskiego około 400 lat, bo przesiedlenie babilońskie miało miejsce w roku 587 przed Chr. I od przesiedlenia babilońskiego do Jezusa mamy prawie 600 lat. Zatem 800, 400, 600 lat — a w każdym z tych przypadków mówi się o tej samej liczbie pokoleń: czternaście.

> od Abrahama do Dawida jest czternaście pokoleń; od Dawida do przesiedlenia babilońskiego czternaście pokoleń; od przesiedlenia babilońskiego do Chrystusa czternaście pokoleń.

Zatem jest bardzo silny nacisk na liczbę czternaście. Za to chrześcijanom, jeżeli o tym nie wiemy, nie znamy tej mentalności, ta liczba nic nie mówi — ot tak sobie czytamy i myślimy: czternaście to czternaście. Ale sam spotkałem się z pytaniami, jeszcze kiedyś w szkole średniej, kiedy religia była przy kościele i uczono się chętniej, bo przychodzili ci, co naprawdę chcieli.

Kiedy ta młodzież czytała Pismo Święte, to pytała: „Proszę księdza, to jak to jest możliwe, że 800 lat i czternaście pokoleń, oraz 400 lat i czternaście pokoleń? To co, jedni żyli dłużej, a drudzy żyli krócej?" Otóż wszystkie te trzy liczby są symboliczne w tym znaczeniu, że Mateuszowi wyraźnie nie zależy na odtworzeniu wszystkich przodków Jezusa, bo niektórych opuszcza i przechodzi np. z ojca na wnuka, i potem znowu z wnuka na jego wnuka, więc pomija niektóre pokolenia — ale chce osiągnąć liczbę czternaście. Dlaczego mu tak na tej liczbie zależy?

Tu dochodzimy do kolejnej rzeczy, która jest po dzień dzisiejszy istotna w myśleniu żydowskim. Mianowicie w alfabecie hebrajskim są 22 litery, 22 znaki. One wszystkie mają wartość spółgłoskową, samogłosek nie ma. Samogłoski są w głowie, samogłosek człowiek się domyśla. A jest to możliwe dlatego, że inna jest struktura języka. Hebrajski jest zupełnie inny, niż struktura języków naszych, indoeuropejskich. Dam państwu jeden przykład. Takie rdzenie składają się z trzech spółgłosek, czasami z dwóch. Ale rdzeń orb znaczy *czarny.* Więc: orew znaczy *kruk,* bo jest czarny; erew znaczy *wieczór,* bo jest czarno; aruw znaczy *czarny,* bo czarny.

A więc w różnych kombinacjach do tych spółgłosek dodaje się różne samogłoski, i one wszystkie związane są z ideą czerni. Inny przykład: adm znaczy *czerwony* („a" jest spółgłoską!). Zatem: adama znaczy *gleba, ziemia,* bo ona na większości terenów Ziemi Świętej jest czerwona; adam znaczy *człowiek,* bo kiedy się rodzi, jest czerwony, we krwi; edom — kraina, która jest czerwona, bo ona znajduje się na wschód od Morza Martwego. A więc jak słońce z zachodu na nią świeci, na te góry, to one przed wieczorem są czerwone.

Język hebrajski jest pod tym względem bardzo ciekawy, zresztą wszystkie języki semickie. I te spółgłoski, te litery, mają wartość liter, ale mają również wartość cyfr. Więc jeżeli się napisze „alef" — to może znaczyć „a" (takie twarde, spółgłoskowe) albo znaczy „1", jeden. „beth" znaczy „b" albo „2", „g" może znaczyć „3", „d" znaczy również „4", „h" znaczy również „5", „w" znaczy również „6", itd. Proszę popatrzeć, pierwsze litery alfabetu hebrajskiego to: a,b,g,d,h,w. Z wyjątkiem „w" ten alfabet hebrajski, poprzez Fenicjan, przejęli Grecy. I Grecy w VIII wieku przed Chrystusem dodali samogłoski, i stworzyli alfabet: alfa, beta, gamma, delta, eta, itd. $(\alpha, \beta, \gamma, \delta, \epsilon \ldots)$ Od Greków przejęli go Rzymianie, od Rzymian — my. W związku z tym rodowód naszego alfabetu znajduje się nie gdzie indziej, jak w Syropalestynie. Abecadło wcale nie z pieca, tylko bardziej z Synaju spadło.

Tu pewna ciekawostka, w 1908 roku przeprowadzono zupełnie przypadkowo badania archeologiczne na Synaju w miejscowości Syr Al El Quaden. I podczas tych wykopalisk, które prowadził Anglik sir Flinders Petrie, odkryto inskrypcje, odkryto figurki z inskrypcjami, które są traktowane jako pierwsze znane nam przypadki pisma alfabetycznego. Te inskrypcje znane są jako tzw. *inskrypcje protosynajskie,* i datowane są na 1500 lat przed Chrystusem. Uważa się, że właśnie na Synaju, gdzieś nad Morzem Czerwonym, wynaleziono alfabet. I jego wynalazca musiał być geniuszem.

Wracamy do Ewangelii św. Mateusza. Żeby napisać imię Dawid potrzeba trzech znaków: „dwd", a samogłoski są w głowie: "ai", Dawid. Zatem trzeba napisać znaki, które mogą znaczyć litery „dwd". Ale one mogą znaczyć również cyfry: 4, 6, 4. Po dodaniu otrzymujemy 14. Otóż czternastka była symbolem króla Dawida, z którym były związane mesjańskie obietnice Starego Testamentu. Kiedy Mateusz mówi: „od Abrahama do Dawida pokoleń czternaście; od Dawida do przesiedlenia babilońskiego pokoleń czternaście; od przesiedlenia do Jezusa Chrystusa pokoleń czternaście" — to mówi: „Dawid, Dawid, Dawid". W ten sposób Żydom swoich czasów, ale także Żydom czasów późniejszych, uświadamia że Boże działanie zbawcze, i zapowiedzi mesjańskie związane z dynastią Dawida oto się wypełniają. To trzykrotne powtórzenie zwraca uwagę na Jezusa, jako na syna Dawida.

Państwo pamiętają z lektury tej Ewangelii, że kiedy Jezus wjeżdżał do Jerozolimy, to gromadzące się tam tłumy wołały: „Hosanna Synowi Dawidowemu". Dlatego, że istniało przekonanie, że obietnice mesjańskie mogą się spełnić tylko wśród potomków dawidowych. Więc od samego

początku temu żydowskiemu czytelnikowi, który uwierzył w Chrystusa, bądź znajdował się w drodze do Chrystusa, Mateusz mocno podkreśla: „Nie czekaj dłużej. Nie szukaj kogoś innego. Oto Jezus jest spełnieniem tych obietnic związanych z Dawidem." Ten rodowód, oprócz tego, że stanowi syntezę, skrót Starego Testamentu, skrót rozmaitych pokoleń Izraela, stanowi również *wyznanie wiary w dawidowe pochodzenie Jezusa Chrystusa, a więc wyznanie wiary w Jego mesjańską godność i mesjańską tożsamość.* Proszę zwróćmy uwagę zatem, jak inaczej ten rodowód czyta chrześcijanin pochodzenia pogańskiego, go których to my należymy, oraz chrześcijanin pochodzenia żydowskiego, zwłaszcza jeżeli bardzo dobrze tę mentalność zna. Dla niego jest to czymś najbardziej zrozumiałym, bo oto odnajduje w Jezusie Chrystusie spełnienie i uwieńczenie całego Starego Testamentu.

Proszę też popatrzeć, że cały ten rodowód idzie po linii męskiej. Dlatego, że chociaż nosicielką żydowskości jest kobieta, tzn Żydem jest ten, kto urodził się z matki Żydówki, to jednak całe myślenie żydowskie, semickie w ogóle, jest głęboko androcentryczne, zorientowane ku mężczyźnie. I to mężczyzna jest cały czas eksponowany. Tutaj Mateusz, niestety czy na szczęście, nie mógł siebie przeskoczyć. Jest to Ewangelia, w której znajduje wyraz męski punkt widzenia. Gdyby ktoś szukał tutaj jakichś wzruszeń albo np. szczególnych komplementów wobec kobiet, to ich tu nie ma. Znajdzie to wszystko w Ewangelii św. Łukasza, u Mateusza tego nie ma. U Mateusza liczy się tylko to, co myśli mężczyzna, jak czuje mężczyzna, jak przeżywa te sprawy mężczyzna — natomiast kobiety są na drugim planie. To jest tak, jak dzisiaj w świecie żydowskim, w świecie arabskim, gdzie życie religijne prowadzą mężczyźni, a kobieta może się modlić — ale nie musi. Bo po to jest mąż, czy ojciec czy syn, aby się za nią modlił. Wiemy że w naszej kulturze, która ma korzenie greckie i łacińskie, jest zupełnie inaczej.

Przypomną sobie państwo, że kiedy św. Paweł podczas swej drugiej podróży misyjnej postawił pierwsze kroki na terenie Europy, co miało miejsce na terenie Grecji, w mieście Filippi, to przypominamy sobie ten fragment z Dziejów Apostolskich, że udał się nad rzekę, bo był szabat. Spodziewał się, że ponieważ nie było synagogi, to spotka tam modlących się mężczyzn. Bo Żydzi wówczas modlili się nad wodą, ponieważ mogli tam rytualnie umyć ręce, oczyścić się. Okazało się, że nie spotkał mężczyzn, tylko spotkał kobiety. I kobiety zaczęły z nim rozmawiać, co dla niego było szokiem. Po dzień dzisiejszy w Egipcie, czy w krajach Bliskiego Wschodu, nie wolno zaczepić nieznajomej kobiety — a tam kobiety z nim rozmawiają jak gdyby nigdy nic! Co więcej, te kobiety zainteresowane przybyszami zaproponowały później, że skoro nie mają się gdzie podziać, to mogą pozostać właśnie w domu Lidii. I jak dodał Łukasz: „I wymusiły to na nas". Pisze, jak gdyby to było wbrew nim. Ale jest faktem, że poszli i skorzystali z tej gościny. Coś takiego na terenie Palestyny, Syrii czy Bliskiego Wschodu było absolutnie nie do pomyślenia.

Zatem ta Ewangelia odzwierciedla męski punkt widzenia. Abraham zrodził Izaaka, Izaak ... itd. I w pewnym momencie ten ciąg nagle załamuje się. Państwo muszą zwracać uwagę na każde słowo, bo oto w wierszach 15 - 16 czytamy, że:

> Eliud ojcem Eleazara; Eleazar ojcem Mattana; Mattan ojcem Jakuba; Jakub ojcem Józefa, męża Maryi, z której narodził się Jezus, zwany Chrystusem.

Proszę zatem zauważyć, że o ile 41 razy mówi się „ten był ojcem tego", to w tym jednym przypadku mówi się „męża Maryi, *z której* narodził się Jezus, zwany Chrystusem." Zatem nie mówi się o ojcu. W ten sposób Mateusz kieruje uwagę swoich żydowskich rodaków na dziewicze poczęcie Jezusa Chrystusa. Wskazuje, że w przypadku Maryi jej poczęcie Jezusa odbyło się inaczej, niż w całych dziejach biblijnego Izraela. Otóż ogniskuje to na Maryi. Ale za chwilę znowu zwycięża męska perspektywa. Jest to doskonale znany tekst, który zwłaszcza w okresie Adwentu jest czytany i rozważany, i dobrze będzie, jeżeli go dzisiaj również przypomnimy sobie, kiedy to mówiąc o Zwiastowaniu Mateusz zupełnie pominął to, co przeżyła Maryja, natomiast przedstawia to, co przeżył Józef. Podczas gdy Łukasz opisuje to, co przeżyła Maryja, natomiast go nie interesowało to, co przeżył Józef. Mateusz napisał tak:

> Z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem, wpierw nim zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego.

Otóż Mateusz zna doskonale okoliczności dziewiczego poczęcia przez Maryję Jezusa Chrystusa, ale natychmiast przenosi uwagę na Józefa. I napisał te słowa, które budzą w nas zaciekawienie albo rodzaj niedowierzania, czy po prostu nie są przez nas rozumiane:

> Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem sprawiedliwym i nie chciał narazić Jej na zniesławienie, zamierzał Ją potajemnie oddalić.

I myślimy teraz, co to za sprawiedliwość, jeżeli mężczyzna oddala od siebie żonę, która spodziewa się dziecka? „Na czym polega ta sprawiedliwość?" pyta dzisiejszy chrześcijanin. Tymczasem według żydowskiego sposobu myślenia było mniej więcej tak. Otóż Józef na tym etapie jeszcze dowiedział się, że Maryja spodziewa się narodzin dziecka ale wiedział, że to nie jest jego dziecko. Zapewne Maryja mówiła mu o okolicznościach, w jakich do tego doszło. Ale wygląda na to, że Józef jej nie wierzył. I trudno oczekiwać, żeby było inaczej. Bądź co bądź dziewicze poczęcie zdarzyło się raz w dziejach świata, a tak inne dziecko ma swojego ojca. Zatem jakie Józef miał wyjście? Mógł albo udać, że się nic nie stało, ale tego nie bardzo był w stanie zrobić sam osobiście, a po drugie nie wolno mu tego było. Bo gdyby się okazało, że zgłosi się jakiś inny mężczyzna i powie, że to jest jego dziecko, to wtedy odium spada również na Józefa. A ponadto w grę wchodziła jeszcze jedna sprawa: „wpierw nim zamieszkali razem". Zatem wyglądało na to, że dziecko będzie takim, nazwijmy go umownie: „wcześniakiem", a więc że Józef zaczął współżycie małżeńskie jeszcze zanim oboje zamieszkali razem. Dzisiaj, w naszych polskich warunkach, nie jest to wielka sprawa, przynajmniej w naszej obyczajowości. Bo duża liczba dzieci rodzi się w warunkach, które raczej do ślubu prowadzą, niż są owocem ślubu. Ale na Bliskim Wschodzie po dzień dzisiejszy jest to przestrzegane bardzo rygorystycznie.

Ale miał jeszcze inne wyjście polegające na tym, że mógł pójść do starszych miasta Nazaret i powiedzieć im: „Ja oświadczam, że nie jestem ojcem tego dziecka". To by znaczyło, że Maryja według starożytnego prawa żydowskiego zostałaby ukamienowana. A że nie były to praktyki nieznane, to słyszymy o nich po dzień dzisiejszy, ponieważ z prawa żydowskiego przejęli je muzułmanie, i jeszcze w niektórych rejonach świata praktykują. Słyszą państwo od czasu do czasu wezwania, żeby jakąś biedną muzułmańską kobietę ocalić. Ale nie mówi się, gdzie jest rodowód tej praktyki — rodowód jest w Starym Testamencie, ponieważ żywcem i Żydzi ortodoksyjni, i muzułmanie biorą to ze Starego Testamentu.

Zatem co w tych warunkach tragicznych postanowił Józef? Postanowił oddalić się. To znaczy: gdyby wyszedł z Nazaretu, to całe odium spadłoby na niego. Powiedzieliby wtedy w mieście: „Słuchajcie, zobaczcie, zostawił tutaj kobietę z dzieckiem, natomiast sam się wyniósł. I zrobił jej ogromną krzywdę." I on zdecydował się na coś takiego. Żeby w sytuacji, kiedy nie wierzył w cudowność tego, co się stało, nie przyjął tego do wiadomości, cały ciężar wziąć na siebie.

> Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: «Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło.

Józef utwierdzony, że okoliczności tych narodzin są niezwykłe, przyjmuje Maryję, i przyjmuje Jezusa. I staje się ojcem, aczkolwiek w oczach mieszkańców Nazaretu uchodził rzecz jasna za fizycznego ojca Jezusa. I cały czas pytali: „Czyż nie jest to syn cieśli? Czyż jego ojciec i matka nie mieszkają pośród nas?"

Proszę zwrócić uwagę — to nas interesuje — że w tym epizodzie widać jest bardzo dobrze męski sposób myślenia Mateusza. Jego nie bardzo obchodzi, co czuła Maryja. A zwróćmy uwagę, że sytuacja Maryi była bardzo trudna. Dzisiaj mamy Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny. Już państwu kiedyś mówiłem ze 2 - 3 lata temu, że my uwielbiamy Najświętszą Maryję Pannę, cieszymy się że Ona przyjęła Słowo Boże, że tak zaufała, i są piękne kazania rozwijane na ten temat. Natomiast Jej sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Bo Ona przeżyła cud, o którym wiedziała tylko Ona. I musiała tą tajemnicą podzielić się najpierw z Józefem, z najbliższymi. A oczywiście nie daj Boże, żeby o tej tajemnicy mówiła w Nazarecie, czy innym — bo by po prostu Ją wyśmiewali. Wyobraźmy sobie dzisiaj dziewczynę czy młodą kobietę która by obwieszczała, że oto poczęła za sprawą Ducha Świętego. Wiadomo, że mogłaby skończyć z rozmaitymi szykanami, i śmiechem tak, że to byłby los również Maryi.

Żeby zakończyć ten wątek zapytajmy, kiedy Maryja mogła spokojnie opowiedzieć o tajemnicy, którą przeżyła? Odpowiedź brzmi: dopiero po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Dopiero kiedy Jezus zmartwychwstał, kiedy objawił swoją chwałę, Ona mogła się wiarygodnie podzielić z apostołami, z uczniami wiedzą o tym, co się naprawdę wydarzyło. Była to tajemnica Jej

życia, którą za życia Jezusa dzielić się zbytnio nie mogła. Może rozmawiała o tym z Elżbietą, może rozmawiała w jakimś gronie najbliższych, ale tu spuszczamy zasłonę na wszystkie te sprawy. Bo one stanowią swoiste misterium Najświętszej Maryi Panny.

Zatem bilansując jakby to, co powiedziałem do tej pory, jeżeli chcemy zrozumieć tę Ewangelię powinniśmy znać mentalność żydowską, albo przynajmniej ją poznajemy. I również poznajemy męski punkt widzenia. I tak jest w całej Ewangelii, od początku do końca. Ta Ewangelia zawiera najwięcej cytatów ze Starego Testamentu. Ale uważne przeczytanie tej Ewangelii — a mam nadzieję, że takie państwo uczynili — prowadzi jeszcze do dwóch obserwacji, które są również bardzo ważne.

Mianowicie w Ewangelii św. Mateusza mamy określony schemat życia Jezusa Chrystusa. Ten schemat można by przedstawić tak. Część pierwszą stanowi swoisty wstęp. To są pierwsze cztery rozdziały. A na ten wstęp składają się dwie części, mianowicie okoliczności narodzin i dzieciństwa Jezusa, a następnie przygotowanie do działalności publicznej. Natomiast sam trzon Ewangelii stanowi działalność publiczna Jezusa. I to jest działalność publiczna w Galilei, a następnie poza Galileą. Proszę zwrócić uwagę, że Mateusz, który spotkał Jezusa już jako dorosły człowiek, i znał Jezusa jako dorosłego człowieka, skupił się przede wszystkim na tym, co przeżył.

Ale pewnego dnia i on zadał sobie pytanie: „A co było wcześniej?" Przecież Jezus kiedy rozpoczął trzydziesty rok życia wystąpił publicznie, to ludzie pytali: „A coś Ty robił przedtem?" Dlaczego Jezus wystąpił mając trzydzieści lat? Odpowiedź jest prozaiczna — dłużej już czekać nie mógł. Mianowicie żydowskie prawo zobowiązuje do małżeństwa mężczyznę, który skończy trzynaście lat i ma co najwyżej trzydzieści lat. A więc między trzynastym a trzydziestym rokiem życia mężczyzna musi się ożenić. Jeżeli ma trzydzieści lat — tak było w starożytności —i się nie ożenił, to muszą mu znaleźć taką samą jak on, czy chce, czy nie chce — nie będą specjalnie pytać, taką samą pod względem urody, równie piękną, równie elokwentną, równie bogatą – albo odwrotnie, i muszą wziąć ślub. Nie znano w gruncie rzeczy w starożytności, podobnie jak i w dzisiejszym świecie żydowskim, stanu bezżenności — z jednym wyjątkiem.

Mianowicie wtedy, że ktoś trzydziestoletni oświadcza, czy widać to, że poświęcił się w widoczny sposób służbie Bożej. Zatem i we wspólnocie w Qumran nad Morzem Martwym byli ludzie bezżenni, i niektórzy rabini byli bezżenni. I Jezus też dłużej nie mógł czekać, tylko musiał wystąpić z publiczną działalnością żeby dać dowód, że Jego misja, że Jego dzieło, różni się od obowiązków każdego innego człowieka. Mateusz więc opisuje tę misję, opisuje to dzieło, ale jednocześnie przedstawia co działo się wcześniej, i przedstawia okoliczności, w jakich Jezus przyszedł na świat, w jakich Jezus przeżywał swoje dzieciństwo, i wzmiankuje te 30 lat tak zwanego życia ukrytego. Ono nie było ukryte dlatego, że Jezus przed kimkolwiek się chował, tylko ono było ukryte dlatego ponieważ ci, którzy nawet dobrze Jezusa znali, o tym życiu za dużo nie wiedzieli.

Proszę zwrócić uwagę, że taki zresztą jest schemat po dzień dzisiejszy. Życie człowieka znamy, lepiej czy gorzej, na ogół dobrze wtedy, gdy on już coś znaczy. Jeżeli zaczyna znaczyć, to cofamy się wstecz, próbujemy odtworzyć to, co działo się w jego dzieciństwie i młodości. Ale nie są to sprawy proste. mamy choćby przykład naszego Jana Pawła II, naszego kardynała Wyszyńskiego, i wielu innych wybitnych Polaków, o których dzieciństwie i młodości wiemy stosunkowo niewiele. Zatem i o dzieciństwie, i młodości Jezusa nie dało się wiele powiedzieć.

Mamy więc działalność na terenie Galilei. Mateusz bardzo mocno podkreśla w rozdziałach aż do połowy Ewangelii, do rozdziału 14, że miejscem działalności Jezusa była Galilea. Dlaczego tak to mocno podkreśla? Bo on tę Galileę doskonale znał. Sam Mateusz pracował na cle w komorze celnej w Kafarnaum nad Jeziorem Galilejskim. Galilea jest stosunkowo niewielką krainą, wielkości powiedzmy jednego naszego dużego powiatu. Więc można było pracując nad Jeziorem Galilejskim znać bardzo dobrze topografię, geografię Galilei, i stąd mamy szczegółowy opis.

Później opisuje działalność poza Galileą, drogę do Jerozolimy. Następnie opisuje mękę i śmierć w Jerozolimie. Wreszcie opisuje zmartwychwstanie. W ten sposób Ewangelia św. Mateusza ułożyła schemat życia Jezusa, który my znamy po dzień dzisiejszy. Mianowicie: życie ukryte, działalność publiczna, a działalność publiczna najpierw w Galilei, potem w Jerozolimie, pojmanie, męka, śmierć i zmartwychwstanie. Otóż Mateusz, który był człowiekiem przyzwyczajonym do myślenia bardzo systematycznego, ułożył takie spojrzenie na życie Zbawiciela, które trwa po dzień dzisiejszy. A więc to, co zawarł w swojej Ewangelii, wywarło ogromne piętno, ogromne znamię na całej świadomości chrześcijańskiej.

I jeszcze dwie krótkie uwagi. Otóż najważniejszą księgą dla Mateusza był z pewnością Pięcioksiąg Mojżesza, była Tora. To jest najświętsza część religii żydowskiej po dzień dzisiejszy. Czym w kościele katolickim jest tabernakulum, tym w synagodze zwój Tory. Z Torą odbywa się procesja. Tora jest przechowywana w specjalnej arce, zasłoniętej zasłonami tak jak nasze tabernakulum. Przed Torą pali się wieczne światełko tak, jak przed naszym tabernakulum. Tora jest obnoszona uroczyście w procesji i uroczyście odczytywana. A więc ma wszystkie cechy takiego nabożeństwa, jakie my żywimy wobec Ciała i Krwi Pańskiej, nabożeństwa wręcz eucharystycznego. Mateusz był na pewno takim człowiekiem.

I oto co mamy w jego Ewangelii? Jeżeli państwo tę Ewangelię wnikliwie czytają, ale potrzebny jest jeszcze trochę dokładniejszy komentarz, to można rozpoznać tam wyraźnie dwie rzeczy. Mianowicie mamy pięć cykli cudów, oraz pięć cykli mów Jezusa. Cuda zostały ułożone w pięciu cyklach po trzy w każdym. A więc dla przykładu zacytuję państwu bo to musi być zanotowane, żeby w każdej chwili móc łatwo znaleźć.

Otóż pierwszy cykl pojawia się w rozdziale ósmym i mamy tam: uzdrowienie trędowatego, następnie setnik z Kafarnaum — uzdrowienie sługi setnika, i później uzdrowienia w domu Piotra. Trzy cuda, i to jest pierwsza grupa.

Potem jest przerywnik, nawołujący do potrzeby wyrzeczenia. A później mamy: uciszenie burzy na morzu, uzdrowienie dwóch opętanych, uzdrowienie paralityka. Potem mamy o powołaniu Mateusza, i znów mamy trzy: uzdrowienie córki Jaira i kobiety cierpiącej na krwotok, uzdrowienie dwóch niewidomych, i uzdrowienie opętanego i chorych.

Następnie mamy wybór Dwunastu, i potem znowu trzy cuda, i jeszcze raz trzy cuda. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Co z tego wynika? Że Mateusz pisze, w swoim przekonaniu, nową Torę!

Ta poprzednia Tora, to poprzednie prawo było prawem Starego Testamentu. Mateusz je zna, i bardzo ceni. Ale teraz pisze Torę Nowego Testamentu. Jeżeli pisze nową Torę, jeżeli tak traktuje swoją Ewangelię, to Chrystusa przedstawia jako nowego Mojżesza. Bo przecież centralną postacią Tory starotestamentowej był Mojżesz. U Mateusza Jezus staje się prawodawcą, Jezus staje się cudotwórcą, Jezus jest wybawicielem, Jezus jest nauczycielem.

Mateusz zatem mówi Żydom w jego czasach, i Żydom późniejszym, tak. Słuchajcie. W dawnej, w pierwszej ekonomii zbawczej mieliście Mojżesza. W drugiej ekonomii zbawczej macie Jezusa. On dokonywał cudów. Jego cuda można podzielić na takie właśnie kategorie po pięć, jak gdyby tworząc *Pięcioksiąg Cudów.* W Ewangelii Mateusza, a potem Jana, Jezus mówi: «Jeżeli Mi nie wierzycie, to uwierzcie Moim cudom i temu, co dokonuję.»

Ale nie tylko cuda. Mamy również wszystkie przemówienia Jezusa, wszystkie mowy Jezusa, nauczanie Jezusa, zebrane w pięć cykli mów. A więc one są znów uporządkowane. Mowy są zebrane w grupy po pięć. Znów trzeba byłoby wyraźnie podać poszczególne rozdziały i miejsca. Np. pierwszy cykl to jest rozdział 9, wiersz 35 do 10.42. Następny cykl to jest rozdział 13, następny cykl to jest rozdział 18, itd.

Na czym polega trudność? Na tym, że w polskich przekładach nie jest to dobrze widoczne. Tłumacze nie zadbali o to, żeby choćby przez śródtytuł wyeksponować te pięć mów, podobnie jak przedtem pięć cykli cudów. Dlaczego? Może sami tego nie czuli. A może uważali, że była by to nadmierna interwencja interpretacyjna. Ale faktem jest, że mamy pięć cykli mów, pięć przemówień, z czego wynika, że Jezus jest również nowym Nauczycielem, Nauczycielem Nowego Testamentu.

Zatem Mateusz, którego Jezus go powołał i za którym on poszedł, przedstawia Jezusa jako nowego Mojżesza. Proszę popatrzeć, że w ten sposób Nowy Testament staje się nie tylko wypełnieniem, ale i uzupełnieniem Starego Testamentu. Tamten staje się pierwszy, ten staje się nowy. A te wszystkie przywileje, i to miejsce w dziejach Zbawienia, które miał Mojżesz, to w Ewangelii św. Mateusza zajmuje Jezus.

Myślę na koniec, że nie mogą się państwo dziwić, że ci żydowscy rabini z Chicago byli zdziwieni, że my możemy to zrozumieć. Jak my możemy do tego dojść? To właśnie oni skierowali moją uwagę też na te pięć mów, na te pięć cykli cudów. Podkreślili, że to jest nowy starotestamentowy Pięcioksiąg. I kiedy tak czytali tę Ewangelię, a trwało to dwa miesiące, to zadawali mi pytania: „A czy nasi wierni wiedzą, co to są dziesięciny, śluby, przyrzeczenia, sykle, mięta?" „Co znaczą przykazania, przykazania te i tamte, co oznaczają odwołania do Starego Testamentu?" Wreszcie któryś zapytał, czy wiemy, jakie jest pierwsze i najważniejsze przykazanie, o którym jest też mowa:

„Słuchaj Izraelu, Pan, Bóg Twój, jest Panem jedynym." I mówią mi: „Jak wy chrześcijanie możecie tę Ewangelię czytać nie znając tej mentalności?" I mówiłem im: „Znamy. Robimy co możemy, żeby tę mentalność poznawać. Ale jest faktem, że gdybyśmy znali tylko i wyłącznie Ewangelię Mateusza, i nie mieli żadnego innego wizerunku Jezusa, byłoby nam Go bardzo trudno zrozumieć. Podobnie, jak bardzo trudno jest nam np. czytać Pięcioksiąg ze Starego Testamentu. Ale na szczęście mamy inne portrety Jezusa: Markowy, Łukaszowy i Janowy. Dlatego mając ogólną wiedzę, czerpaną także z innych Ewangelii, możemy tę Ewangelię sobie przyswoić."

I na koniec jeszcze. Kiedy tak śledzili tę Ewangelię przez dwa miesiące, co tydzień razem żeśmy się spotykali po dwie godziny — więc to było dostatecznie dużo, żeby się naczytać — to przy zakończeniu kursu powiedzieli, że ta Ewangelia bardzo ich poruszyła. Że obraz Jezusa, który czerpią z tej Ewangelii, bardzo do nich trafia i bardzo do nich przemawia. Że nie wszystko rozumieją, ale przecież nie o rozumienie chodzi.

Tutaj przypominam państwu słynny epizod innego Żyda, który nawrócił się na chrześcijaństwo, Romana Brandstaettera, który też był synem rabina. On pochodził z Tarnowa, a później przeniósł się do Poznania. I w okresie II wojny światowej był w Ziemi Świętej. I tam, w klasztorze Krzyża Świętego, przeżył wielkie nawrócenie, o którym zresztą bardzo zdawkowo, ale napisał. I wspomina m.in. ze swojego dzieciństwa taki epizod, jak to ojciec zawołał żydowskiego nauczyciela, kazał mu czytać, czytać i czytać. I w pewnym momencie mały Roman się zbuntował i mówi: „Ale ja tego nie rozumiem!" Ojciec odpowiedział: „Nie chodzi o to, żebyś rozumiał! Chodzi o to, żebyś pamiętał!"

Otóż i dla nas też musi to być klucz do czytania Ewangelii — mianowicie pamięć! Dlatego, że rozum to nie wszystko. W człowieku są rozmaite pokłady świadomości, które z rozumem często mają mniej wspólnego.

Wracam jeszcze raz do tamtych rabinów. Kiedy już to wszystko się kończyło, i powiedzieli, że obraz Jezusa jest bardzo atrakcyjny, wtedy ich pyta nieco podstępnie — a trzeba było być bardzo ostrożnym — „Co wobec tego przeszkadza im, żeby przyjąć wiarę w Jezusa Chrystusa. Powiedzieli, że jednak przeszkadza, bo gdybyśmy uwierzyli w Jezusa, to przestali byśmy być Żydami. No dobrze, powiedziałem. Przestali byście być Żydami w waszym mniemaniu. A tak co będziecie robić? „Zajmujemy się szukaniem Mesjasza." I długo będziecie szukać? „Aż Go znajdziemy." „A jeżeli będzie tak, że to będzie trwało do śmierci?" „Będzie trwało do śmierci!" „A jeżeli się okaże, że tam później, po śmierci, spotykamy się — daj Boże — wychodzi Jezus i widzicie, że to jest Mesjasz? To co powiecie?" Mówi: „To powiem, że byliśmy głupi." „No, wystarczy to Panu Bogu powiedzieć, że byłem głupi? To Pan Bóg wam przebaczy?" I wtedy jeden z nich zasępił się i mówi: „O, ty jesteś księdzem, i ty nas pytasz, czy Pan Bóg nam przebaczy? Przecież On po to jest."

Otóż ten obraz Boga, jako Kogoś, kto jest pełen miłosierdzia, z całą pewnością i w jednej, i w drugiej tradycji jest obecny. Może się więc okazać że Jezus, którego my wyznajemy, i Chrystus, Mesjasz, na którego oni czekają, to jest ten sam Mesjasz, którego my już staramy się poznać, a którego oni poznają, jeżeli są religijnymi i dobrymi ludźmi, w inny sposób. Te dwie wiary jakoś być może się spotykają.

Tyle na temat Ewangelii św. Mateusza. Myślę, że gdyby państwo sięgnęli teraz do tej Ewangelii, może byłoby troszeczkę łatwiej ją czytać. Ale przed nami Ewangelia kolejna. I zapraszam państwa do lektury Ewangelii św. Łukasza. Ona ma 24 rozdziały. A my mamy spotkanie 13 stycznia, czyli mamy 5 tygodni, 35 dni. To można sobie nawet pozwolić na drobne wagary, ale te 24 rozdziały powinny być na 13 stycznia przeczytane.

Ewangelia św. Łukasza jest dużo łatwiejsza, niż Ewangelia św. Mateusza. Zobaczą państwo że dla nas, żyjących tutaj w Europie, po Ewangelii Mateusza Ewangelia Łukasza to wręcz raj. A szczególnie niesie pociechę dla kobiet, bo z kolei Łukasz patrzy na wszystko, czy stara się patrzeć, właśnie z perspektywy kobiecej. Więc pod tym kątem trzeba go przeczytać.

Za zbliżające się Święta Bożego Narodzenia chciałbym — ponieważ Ewangelia św. Łukasza też do nich prowadzi — życzę wszystkim państwu dobrych, spokojnych, błogosławionych Świąt, wszystkiego, co dobre, w rodzinach, dla państwa szczególnie. A później i wszystkiego dobrego na Nowy Rok, już 2003! Niedawno obchodziliśmy Wielki Jubileusz Roku 2000, teraz to już historia. Żebyśmy mogli doczekać roku 2003, i w miarę możliwości go przeżyć! Więc wszystkim wszystkiego dobrego! Szczęść Boże!

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

5.4 Ewangelia św. Łukasza (13 stycznia 2003)

Dzisiaj kolejna konferencja biblijna z cyklu poświęconego Ewangeliom. Bardzo cieszę się, że państwo mają nadal tyle zapału. Tegoroczne konferencje są dwutorowe. Polega to na tym, że z jednej strony mamy tutaj refleksję, która stara się naszą wiedzę uporządkować. Natomiast z drugiej strony mam nadzieję, że państwo czytają Ewangelie w domu według tego klucza, który żeśmy sobie wskazali, który przyjęliśmy w październiku ub.r. Otóż ta dwutorowość sprawia, że być może te tegoroczne konferencje są rzeczywiście nie tylko interesujące, ale w jakimś sensie dla państwa zdecydowanie bardziej owocne. Otóż nawet gdyby zdarzyło się tak, że nie wszyscy, ale połowa, albo daj Boże większość z państwa codziennie sięga po Nowy Testament, w tym czasie po Ewangelie, to i tak byłby to bardzo błogosławiony wysiłek, i owoce tego byłyby bardzo pocieszające. jestem zresztą przekonany, pewny, bo rozmaite głosy dochodzą: nieraz własne obserwacje, przemyślenia, a także pytania, które otrzymuję, ale również w inny sposób dowiaduję się, że państwo po Nowy Testament sięgają. Otóż jest to bardzo ciekawe, i można by powiedzieć, ubogacające doświadczenie. Jeżeli uda nam się w tym trwać, to, jak powtarzam to od początku października, jest to nie tylko element solidniejszej wiedzy biblijnej, jest to również jakiś znaczący składnik pracy nad sobą.

Za sobą mamy przeczytane trzy Ewangelie, tak przynajmniej ufam: Ewangelię św. Marka, Ewangelię św. Mateusza, i ostatnio Ewangelię św. Łukasza. Dzisiaj nasza refleksja będzie poświęcona tej ostatniej. Ale zanim do niej przejdziemy, to cofniemy się jeszcze na kilka chwil do Ewangelii Marka. Przypomnijmy, że ona miała swoją specyfikę. Że to w gruncie rzeczy jest obraz Jezusa tak, jak przeżywał go św. Piotr Apostoł. Podkreślałem państwu bardzo mocno, że jest to obraz dorosłego mężczyzny, że nie ma tam zbyt wiele miejsca na czułości, na jakąś tkliwość, na serdeczność, że to spojrzenie jest dość chłodne, można by powiedzieć: właśnie męskie. I kiedy czytaliśmy Ewangelię św. Marka, to patrzyliśmy na Jezusa oczami tego, który za Jezusem poszedł, ale który się Go też wyparł. I tego, który później do Niego przylgnął całym sercem. A w końcu, jak głosi tradycja wczesnochrześcijańska, w 63 roku poniósł za Jezusa śmierć męczeńską ukrzyżowany głową do dołu, bo, jak wyznawał, nie jest godny cierpieć tak, jak jego Zbawiciel. Taka była Ewangelia św. Marka. Jeżeli kiedykolwiek państwo znowu po nią sięgną czytając ją w całości, jeżeli słyszymy jej fragmenty w kościele, to pamiętajmy o tym podstawowym kluczu, że tak naprawdę powinna się ona nazywać Ewangelia św. Piotra.

Druga Ewangelia, o której mówiliśmy kilka tygodni temu, na początku grudnia, to była Ewangelia św. Mateusza. Powiedziałem państwu wtedy rzecz, którą każdy z państwa dobrze odczuwał, i mam nadzieję — rozumiał, że jest to Ewangelia głęboko żydowska. Napisana przez Mateusza, który był celnikiem, zdradza mentalność poborcy podatkowego — mamy tam wzmiankowanych kilkanaście rodzajów monet, mamy tam sporo cyfr, mamy tam sporo statystyki, mamy taką mentalność liczydła — można by powiedzieć, bo przecież nie komputera. Mateusz przykłada wagę do szczegółów, wagę do ilości, wagę do liczby, wagę do miary. A wszystko to dlatego, ponieważ z tym zrósł się przez całe życie. Przykłada też ogromną wagę do żydowskich zwyczajów, do żydowskich praw, obyczajowości, rozporządzeń. Oczywiście komuś, kto nie zna tego świata albo zna go mało, nieraz jest bardzo ciężko przedrzeć się przez Ewangelię św. Mateusza. Starałem się dać państwu klucz do tej Ewangelii pokazując, że nawet jeżeli jej nie rozumiemy, albo nie rozumiemy jej do końca, to Ewangelia Mateusza ma nam bardzo wiele do powiedzenia, bo ukazuje to, co Niemcy nazywają Sitz im Leben Jesu czyli *środowisko życiowe Jezusa.* Otóż jeżeli chcemy dobrze Zbawiciela zrozumieć, jeżeli chcemy Jezusa Chrystusa poznać, to musimy Go poznać jako człowieka w tych realiach palestyńskich sprzed dwóch tysięcy lat tak, jak On żył. Bo jeżeli inaczej będziemy sobie Jezusa wyobrażać, to wyjdzie na to, że będzie podobny do Włocha, do Greka, do Hiszpana, do Araba, może nawet do Polaka. I wyjdzie na to, że jest to jakiś człowiek, który żył gdzieś, za siedmioma górami, czy za siedmioma lasami, jakiś bajkowy wręcz człowiek. I wtedy to, co naprawdę ważne w Jezusie, mianowicie Jego człowieczeństwo oraz Jego bóstwo, umykają naszej uwagi. Mówiliśmy również, że ta Ewangelia odzwierciedla specyficznie żydowski sposób postrzegania świata, bo przecież Mateusz stając się chrześcijaninem nie przestał być w żadnym wypadku sobą.

Jeżeli chodzi o Ewangelię Łukasza, do której przechodzimy dzisiaj, to tak między Bogiem a prawdą można byłoby powiedzieć, że komentarze na jej temat są zbyteczne. I na tym konferencję w gruncie rzeczy zakończyć. Bo sądzę, że państwo odczuli, jeżeli czytaliśmy ją rozdział po rozdziale,

że ta Ewangelia jest stosunkowo łatwa dla nas, którzy jesteśmy wychowani w kulturze europejskiej, zwłaszcza tej, która ma swoje korzenie greckie, i korzenie łacińskie. Z wielu powodów ta Ewangelia jest nam najbliższa. I wspomniałem państwu już w październiku, kiedy robiliśmy sobie wstęp do Ewangelii, że jeżeli kogoś chcemy zachęcić do czytania Ewangelii, i jeżeli chcemy komuś dać najłatwiejszą Ewangelię, to powinna to być właśnie Ewangelia św. Łukasza. W trakcie jej lektury mamy najmniej trudności, czy najmniej pytań, bo obraz Jezusa jest w niej dla nas najwyraźniejszy. Mówię „dla nas" — którzy jesteśmy zakorzenieni w kulturze europejskiej. Dlatego że, powiedzmy sobie, dla Żydów, o ile ich interesuje osoba Jezusa, to Ewangelia Łukasza już taką łatwą nie jest. Oni, jak mówiliśmy parę tygodni temu, zdecydowanie wolą Ewangelię Mateusza.

Dlaczego ta jest nam bliższa? Otóż przedstawia ona jeszcze jeden portret Jezusa. Powiedzieliśmy w październiku, że cztery Ewangelie kanoniczne to tak, jak cztery portrety Jezusa zrobione przez czterech fotografów. W każdym przypadku obiekt fotografii jest ten sam. Ale jak dobrze wiemy nawet w fotografii, która wydaje się być bardzo wierna, można bardzo wiele zobaczyć z duszy, z wnętrza fotografa. Więc jeżeli fotografowi podoba się fotografowana osoba, to zdjęcie wygląda zupełnie inaczej, niż wtedy, gdy takiej sympatii nie czuje, albo wtedy, gdy sam jest zmęczony, albo gdy do swojej pracy się nie przykłada. To bardziej jeszcze dotyczy wizerunku literackiego, bo przecież Ewangelie są takimi literackimi wizerunkami Zbawiciela.

Na czym polega specyfika Ewangelii św. Łukasza? Dlaczego, kiedy ją czytamy, ona dla nas jest łatwiejsza, niż pozostałe? Otóż dlatego, ponieważ jej autor nie był Żydem, tak jak Piotr, który o Jezusie opowiadał, tak jak Mateusz, który o Jezusie pisał, lecz był z pochodzenia poganinem. Tradycja wczesnochrześcijańska mówi, że pochodził z Antiochii nad Orontesem. Jest to miasto, które dzisiaj znajduje się w Turcji, mniej więcej 10 - 12 km od granicy turecko-syryjskiej. Dzisiaj to miasto nazywa się Antakia. Jest ono wciśnięte pomiędzy Morze Śródziemne a góry, bardzo malowniczo położone. Właśnie z Antiochii, która jest bardzo starym miastem, jej początki sięgają daleko w erę przedchrześcijańską, ale nazwa została urobiona dopiero w III wieku przed Chrystusem ku czci króla syryjskiego Antiocha. Tenże Antioch, to też pewna ciekawostka, w rozmaitych miejscach swojego imperium albo budował miasta od nowa, albo nakazał stare miasta nazywać swoim imieniem. W sumie na terenie Syrii, Palestyny i Azji Mniejszej było ok. 70 miast, które nosiły nazwę Antiochia. Nazywał je tak, aby upamiętnić swoje imię — co jak widać dobrze mu się udało.

Antiochia, z której pochodził Łukasz, znajduje się nad rzeką Orontes. Jest to jedna z większych rzek Bliskiego Wschodu. W starożytności jej znaczenie było przeogromne, w ogóle woda na Bliskim Wschodzie to jest ogromny skarb. Dzisiaj ta rzeka płynie przy granicy turecko-syryjskiej, i trzeba powiedzieć, że dzisiaj gospodarka wodna w tamtym rejonie wygląda zupełnie inaczej, niż w starożytności. Ta rzeka, która w starożytności była całoroczna, teraz od końca czerwca do września jest w gruncie rzeczy wyschniętym korytem, rzeka zrobiła się okresowa. Ale miasto Antiochia przez cały czas z tej rzeki żyło, z jej korzystało. Jeżeli ktoś z państwa od dłuższego czasu bierze udział w naszych konferencjach, pamięta, że kilka lat temu, gdy omawialiśmy rozmaite Kościoły lokalne chrześcijańskie, poświęciliśmy sporo uwagi właśnie Antiochii.

Otóż do Antiochii jako apostoł trafił najpierw święty Piotr, następnie był tam św. Barnaba, i był tam św. Paweł. Paweł nauczał w Antiochii od ok. 49 roku, a potem w latach 50-tych. Na początku lat 50-tych Antiochia stała się tak ważnym centrum życia wczesnochrześcijańskiego, że jak państwo być może pamiętają, to właśnie stąd Paweł Apostoł rozpoczynał swoje kolejne wyprawy misyjne w rozmaite rejony starożytnego świata. Antiochia była wtedy tak ważna, jak Jerozolima, również dlatego, że przebywał tam dość długo św. Piotr. I prawdopodobnie w Antiochii św. Paweł pozyskał Łukasza dla wiary chrześcijańskiej i tam Łukasz stał się bardzo gorliwym chrześcijaninem. Tenże Łukasz zainteresował się życiem Jezusa Chrystusa, co było oczywiste, ale jako lekarz posiadał również doskonałą umiejętność pisania. Greka, oryginalny język Ewangelii św. Łukasza, podobnie jak Dziejów Apostolskich, jest tam najlepsza, najpiękniejsza w całym Nowym Testamencie. Z językowego punktu widzenia można ją porównać w języku polskim do twórczości Henryka Sienkiewicza, czy poezji Adama Mickiewicza, że są to same kanony polszczyzny. A Łukasz dał prawdziwy przykład i dowód znajomości pięknego języka greckiego. Oczywiście w tłumaczeniu na język polski to piękno greki przestaje być widoczne.

Ale raz jeszcze powtarzam, że gdybyśmy choćby przeczytali fragment tej Ewangelii nieraz, jak będąc w Grecji zwłaszcza z pielgrzymką, jeżeli jest czytana przez Greków Ewangelia św. Łukasza,

to ona brzmi niesłychanie pięknie. Można by powiedzieć: tak bardzo plastycznie oddziałuje na wyobraźnię. Widać, że Łukasz był prawdziwym mistrzem słowa.

Pisarze wczesnochrześcijańscy mówią, że był lekarzem. Zbadano jego Ewangelię także pod tym kątem widzenia. I co się okazało? Że w tej Ewangelii jest obecnych ponad 40 rozmaitych bardzo fachowych spostrzeżeń, obserwacji, diagnoz medycznych. Otóż kiedy Łukasz opisuje chorych, którzy przychodzili do Jezusa, to zawsze stawia jakąś diagnozę, zawsze zauważa na co ten człowiek cierpiał, zawsze dodaje uwagę, że to była lewa ręka albo prawa, była lewa noga albo prawa, było np. gardło, a nie coś innego. I stawiając taką diagnozę w pewnym momencie jest dość uszczypliwy wobec lekarzy. Mógł sobie na ten krytycyzm pozwolić. Bo pewnie państwo pamiętają: jest w Ewangelii Łukasza taki epizod, jak to do Jezusa przychodzi kobieta, która bardzo długo cierpiała na krwotok. I że przez cały czas szukała porady u rozmaitych lekarzy, i „wszystkie pieniądze wydała na lekarzy, ale żaden jej nie pomógł".

Otóż ta drobna uszczypliwość ze strony Łukasza dowodzi, że on będąc lekarzem znał również ograniczenia, granice sztuki lekarskiej. Zdawał sobie dobrze sprawę, że czasami lekarz nie jest w stanie człowiekowi pomóc albo, że nie każdy lekarz może pomagać równie skutecznie. I w jego Ewangelii mamy rys wielkiej wrażliwości na sprawy zdrowia.

W jego Ewangelii mamy również jeszcze jeden rys charakterystyczny, który państwo na pewno zauważyli. W starożytności byli naprawdę dobrzy lekarze dlatego, że i w świecie pogańskim, i w świecie żydowskim istniały całe szkoły, w których przygotowywano specjalistów. My patrzymy nieraz na starożytność w sposób uproszczony, bo patrzymy przez pryzmat dziejów ziem polskich, na których tysiąc lat temu nic wielkiego się nie działo, nie mówiąc już: półtora tysiąca lat temu. Tymczasem dwa tysiące lat temu na terenie dzisiejszej Turcji, Syrii, Palestyny istniały potężne ośrodki, potężne sanatoria, potężne szpitale, potężne szkoły dla lekarzy. Jedne kształciły okulistów, inne kształciły pediatrów, inne kształciły odpowiedników dzisiejszych ginekologów. Jeszcze inne kształciły ludzi, którzy zajmowali się złamaniami kości, i zestawiano te kości. Dokonywano bardzo specjalistycznych operacji chirurgicznych. Proszę sobie wyobrazić, że dwa tysiące lat temu dokonywano tak skomplikowanych operacji, jak np. trepanacja czaszki. Zaglądano gdzieś tam wgłąb człowieczego organizmu, przeprowadzano skomplikowane operacje. Wszystko to było już wtedy znane. I oczywiście lekarz był człowiekiem bardzo wykształconym.

Ale istniała w Grecji — Łukasz ukształtował się w kulturze greckiej — bardzo interesująca zasada, która być może dzisiaj nie zawsze jest dostatecznie podkreślana, aczkolwiek lekarze i pielęgniarki powinni ją doskonale znać. Mianowicie że pomoc ludzkiemu ciału rozpoczyna się najpierw od pomocy skierowanej, przeznaczonej dla ludzkiego ducha. Obowiązkiem starożytnego lekarza było rozmawiać z pacjentem. Nie tylko po to, aby dowiedzieć się o przyczynach czy o przebiegu jego choroby, ale również po to — na ten temat również istnieją starożytne podręczniki — żeby nawiązać z nim więź zaufania, żeby go bliżej poznać, żeby oswoić go z cierpieniem. Bo starożytni lekarze wiedzieli, że nie każdego człowieka można uzdrowić, nie każdemu człowiekowi można pomóc. Nie każda choroba kwalifikuje się do skutecznej pomocy medycznej. W związku z tym kiedy lekarz stwierdzał, że nie pomoże w danym wypadku poprzez skuteczną fachową pomoc lekarską, to wtedy z lekarza bardziej stawał się psychoterapeutą, psychologiem, a może nawet swoistym, chociaż pogańskim, duszpasterzem. I myślę, że ten wymiar zna każdy z nas, kto kiedykolwiek poważnie chorował, albo kto odczuwał lęk przed cierpieniem czy przed perspektywą śmierci. Że w tych krytycznych sytuacjach obecność lekarza sprowadza się bardziej do obecności i do wrażliwości, niż do czegokolwiek innego.

Dlaczego o tym wszystkim mówię? Nie ma innej Ewangelii, gdzie byłaby większa wrażliwość na ludzki ból, na ludzką biedę, na ludzkie potrzeby, niż Ewangelia św. Łukasza. Jeżeli państwo czytali ją wnikliwie, to państwo zauważyli, że tylko w niej są takie fragmenty jak przypowieść o zaginionej owcy, to jest 15 rozdział Ewangelii Łukasza, gdzie tej dobroci, tej wrażliwości jest najwięcej. I całe wyobrażenie Jezusa, który szuka owieczki, która jest zraniona. To wyobrażenie, które mamy również w naszej mentalności i w naszej wyobraźni chrześcijańskiej, pochodzi właśnie z Ewangelii św. Łukasza.

Tylko u Łukasza mamy przypowieść o zagubionej drachmie, którą kobieta cierpliwie szuka. Tylko u Łukasza mamy Jezusową przypowieść o synu marnotrawnym. Tej przypowieści nawet Piotr nie odnotował, nie odnotował jej Mateusz — może obraz Jezusa i obraz Boga wydawał im się za dobry.

Bóg okazywał się tam za miłosierny. Może doszli do wniosku, że Jezus co prawda tę przypowieść powiedział, ale jakoś nie widzieli potrzeby, dla której mieliby tę przypowieść spisywać. Zatem cały 15 rozdział Ewangelii św. Łukasza to są przypowieści, które są właściwe tylko dla niego.

Z tego względu Ewangelia Łukasza została nazwana *Ewangelią Miłowsierdzia*. Jeżeli ktoś szuka wątku Boga jako miłosiernego Ojca, jeżeli komuś potrzeba pociechy, która wynika ze świadomości, że Pan Bóg jest nie tylko blisko nas, ale że nam pomaga, że się nami opiekuje, że nas strzeże, że nas prowadzi, to wtedy szukamy takiego wsparcia i takiego światła w Ewangelii św. Łukasza. W tych fragmentach doskonale widać, że Łukasz był człowiekiem, który był wrażliwy wobec potrzeb ludzkiego ciała, ale także był bardzo wrażliwy wobec potrzeb ludzkiego ducha. Widać w tej Ewangelii wielką serdeczność, wielką czułość.

Widać, że Łukasz był lekarzem z powołania, z zamiłowania, i że nawet w swoim spojrzeniu na Jezusa podkreślał wszystkie te elementy, w których mógł również w wizerunku Jezusa doszukać się cech wrażliwości. Żeby to wesprzeć jakimś przykładem, który może nam to potwierdzić. Ewangeliści opowiadają, relacjonując jeden z cudów, jak to Jezus przebywa w synagodze. I w synagodze stawiają na środku człowieka, który miał uschłą rękę, którą oczywiście nie mógł się posługiwać. Ewangelista Marek, ewangelista Mateusz, relacjonują to bardzo sucho — ot przyszedł człowiek, który miał uschłą rękę. Natomiast ewangelista Łukasz podchodzi do tego w inny sposób. Wspomina, że miał uschłą prawą rękę, to jest dla lekarza ważne, a następnie dodaje: „i Jezus zdjęty litością rzekł do niego: «Stań na środku»". *Zdjęty litością !*

Tamci dwaj nie wspominają o tym, że Jezus żywił takie ludzkie uczucie litości. Natomiast u Łukasza mamy wiele razy, że Jezus wzruszył się głęboko, że Jezus zdjęty litością, że Jezus pocił się krwawym potem w Getsemani, że Jezus czegoś się lękał. Otóż dla lekarza cała ta sfera emocjonalna, cała ta sfera uczuć, była bardzo ważna. Dlatego wizerunek Jezusa, który mamy w Ewangelii św. Łukasza, jest taki niesłychanie bliski. Można by powiedzieć, że Jezus jest tutaj najbardziej człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu.

Rzecz jasna Łukasz ma cały czas świadomość, kim jest Jezus. Cały czas podkreśla, że jest Synem Bożym. Cały czas podkreśla Jego wyjątkowy związek z Ojcem. Ale jednocześnie pokazuje, że od początku do końca Jezus jest prawdziwym człowiekiem, który dzieli z nami całą ludzką kondycję z jednym tylko wyjątkiem, mianowicie z wyjątkiem grzechu.

Jeżeli państwo dobrze, wnikliwie tę Ewangelię czytali, to zauważyli państwo również, że jako ilustrację i potwierdzenie tej wrażliwości mamy scenę pod krzyżem. Otóż kiedy powieszono Jezusa, i powieszono z Nim łotrów, to Marek i Mateusz relacjonują bardzo sucho: „po lewej i po prawej stronie powieszono łotrów, którzy Mu urągali". Natomiast Łukasz przedstawia to inaczej. Mianowicie, że: „Jeden z tych łotrów urągał Jezusowi, ale drugi — nie. Że jeden przyłączył się do bluźnierstw, natomiast drugi wyszeptał «Panie, wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do Swojego królestwa»."

Tamci dwaj Ewangeliści puścili to mimochodem: skoro łotr to łotr, powieszono łotra i w porządku, cierpi swoje, bo zasłużył. Natomiast Łukasz umie nie tylko ludzi obserwować, ale umie również ich wartościować, i umie rozróżniać. I to właśnie dzięki Łukaszowi wiemy, że obok tego łotra, który do końca łotrem pozostał, mamy jeszcze *dobrego łotra.* Później tradycja wczesnochrześcijańska znalazła nawet na terenie Palestyny miejsce, z którego ów dobry łotr pochodził. W kościele prawosławnym ów dobry łotr jest czczony jako święty. Również w naszym Kościele łacińskim też w marcu mamy święto dobrego łotra. Tradycja nadaje mu imię Dyzma, św. Dyzma. I wieść głosi, jak państwo wiedzą, że ów dobry łotr jest patronem mężczyzn. Kiedyś nawet, poczynając od czasów średniowiecza, potem w Odrodzeniu, w Oświeceniu, w dzień dobrego łotra odbywały się specjalne nabożeństwa przewidziane dla mężczyzn. W naszych czasach tych nabożeństw zaniechano, może i słusznie. Ale cały ten obraz dobrego łotra mamy właśnie w Ewangelii św. Łukasza. Skoro i łotr, i skoro wrażliwość, i skoro serdeczność i dobroć,to nie musimy wyjaśniać, że Ewangelia św. Łukasza, podobnie jak jej autor, mają też szczególny stosunek do kobiet.

W żadnej innej Ewangelii obraz, wizerunek kobiet, i miejsce kobiet, nie jest tak wyeksponowane, nie jest tak podkreślone, jak w Ewangelii św. Łukasza. Jak wiemy w świecie żydowskim, w ogóle w świecie semickim, a więc i żydowskim i arabskim dzisiaj, stosunek do kobiet podobnie jak relacja do mężczyzn, mają swoją specyfikę, której podstawowym kryterium jest segregacja, izolacja płci. Świat mężczyzn to jeden świat, świat kobiet — to drugi świat. I konsekwentnie wychowanie polega na tym, żeby już od małego dziewczynki przygotowywać do życia wśród kobiet i do zajęć kobiecych,

natomiast chłopców przygotowywać do zajęć specyficznie męskich.

Ten męski punkt widzenia widzieliśmy doskonale w Ewangelii św. Mateusza. Mateusz opowiadał o wszystkim z perspektywy mężczyzny. I nawet kiedy przedstawiał życie Świętej Rodziny, to przedstawiał je z perspektywy św. Józefa. Dlatego, że Józef był dla niego, jako dla Żyda, głową rodziny. Natomiast Maryja była, bo była, bo musiała być. Ale jakiegoś specjalnego entuzjazmu w jego Ewangelii dla kobiet nie ma. Może się to nam podobać czy nie, ale tak to jest po dzień dzisiejszy. W gruncie rzeczy ktoś, kto był na Bliskim Wschodzie, albo ktoś, kto obserwuje choćby życie żydowskie, to dobrze wie, że po dzień dzisiejszy w synagogach, przede wszystkim tych ortodoksyjnych — już nie mówiąc o ultraortodoksyjnych, oddzielnie modlą się mężczyźni. Kobiety modlą się na górze — nie mogą modlić się ze sobą. Nie można też zaczepiać kobiety, której się nie zna, nie można z nią rozmawiać. Tak po dzień dzisiejszy jest w świecie arabskim.

Tej całej specyfiki doświadczają np. nasi żołnierze. Niedawno jedna z agencji podała między wierszami, że jeden z naszych żołnierzy w Afganistanie miał przykrości dlatego, że na swoje nieszczęście gdzieś na granicy bazy wojskowej zaczepił kobiety, które szły do pracy. I to spowodowało natychmiast reakcję miejscowej ludności. On być może nie wiedział o konsekwencjach, które z tego tytułu grożą, ale tak to po dzień dzisiejszy wygląda. Podobnie na terenie Bliskiego Wschodu zaczepiać kobiety nie można.

W Ewangelii Łukasza tego podziału, tej izolacji, nie ma. Ta Ewangelia przedstawia życie tak, jak postrzegali je Grecy. Państwo przypominają sobie zamiłowanie Greków do rzeźby, do sztuki, do mozaik — mniej może do malarstwa, zamiłowanie do ludzkiego ciała, przepiękne posągi, które zachowały się ze starożytności, przedstawiające mężczyzn i kobiety, przedstawiające również zwierzęta, podziw dla natury. Otóż właśnie taki był Łukasz. On miał w sobie te cechy specyficznie greckie i w związku z tym w jego Ewangelii mamy szczegóły, których nie ma nigdzie indziej.

Najważniejsze z tych szczegółów dotyczą Najświętszej Maryi Panny. To Łukasz właśnie opowiada o Zwiastowaniu w Nazarecie. To Łukasz opowiada o Nawiedzeniu w Ein-Karem św. Elżbiety przez jej krewną, Maryję. To Łukasz opowiada o okolicznościach narodzin Jezusa w Betlejem, ale podkreślając rolę Maryi. To Łukasz opowiada o życiu Świętej Rodziny w Nazarecie, i o dwunastoletnim Jezusie w świątyni jerozolimskiej. Wreszcie tylko Łukasz — żaden inny ewangelista — wspomina o tym, że w bliskim otoczeniu Jezusa obok mężczyzn, zwłaszcza apostołów, były też kobiety. I kilka tych kobiet wymienia z imienia, np. Zuzanna, i jeszcze inne: i Maria, i Maria Magdalena. I wspomina, że sprawowały one rozmaite kobiece posługi przychodząc Jezusowi i jego uczniom z pomocą. To wszystko mamy tylko u Łukasza.

Zatem jeżeli chcemy spojrzeć na Jezusa, jeżeli tak można powiedzieć, naszymi oczyma, tymi przyzwyczajonymi do naszej kultury, to pod tym względem wizerunek Jezusa jest w Ewangelii św. Łukasza, z tej strony biorąc, nam najbliższy. Kiedy my czytamy choćby o owych kobietach w Nowym Testamencie, w Ewangelii św. Łukasza, w otoczeniu Jezusa, to dla nas nie jest to nic specjalnie nowego bo taki jest świat, w którym żyła Europa, może z wyjątkiem pewnych okresów, gdzie też izolacja płci była. Ale jeżeli tą Ewangelię czytają np. Semici — Arabowie czy Żydzi, to dla nich istotne jest pytanie dlaczego Jezus mógł posuwać się np. do rozmowy z kobietą, do bliskości z kobietą, do tego, że kobiety były pod krzyżem, albo kobiety przyszły do Jego grobu. Zdaniem tamtych ludzi, czytających Ewangelię w inny sposób, raczej lepiej byliby tu widziani mężczyźni. A więc Ewangelia, która wnosi nowe zupełnie rysy do wizerunku Jezusa, i z tego powodu jest bardzo ważna.

Ta specyfika Ewangelii, tzn. lekarz, jego wrażliwość, również jego wrażliwość na ludzkie choroby, na słabości, na miłosierdzie, na ludzkie potrzeby, i na kobiety, bierze się także stąd, że kobiety w starożytnym świecie — ich rola, ich status nie zawsze były właściwe. Być może i dzisiaj są takie rejony świata, gdzie pozycja kobiety jest drugorzędna. W czasach Łukasza też były przejawy takiej dyskryminacji. I Łukasz, widać, wobec tego jest bardzo wrażliwy, podobnie jak jest wrażliwy na dolę np. niewolników czy służących. Tam, gdzie jakiekolwiek cierpienie wchodziło w rachubę, to widać że Łukasz rozumie, jakie z tego wynikają dylematy, jakie z tego wynikają konsekwencje. Obraz Chrystusa to obraz Chrystusa miłosiernego. Obraz Boga, który objawia się człowiekowi w Ewangelii św. Łukasza, to obraz Boga pełnego miłosierdzia. Jeżeli nawiążemy na chwilę do pielgrzymki Jana Pawła II, która miała miejsce kilka miesięcy temu, i przypomnimy jej hasło „Bóg bogaty w miłosierdzie", to najlepszą ilustracją do tego hasła pielgrzymkowego Ojca Świętego byłaby

właśnie lektura, przeczytanie, rozważenie Ewangelii św. Łukasza.

Łukasz, i tutaj dochodzimy do sprawy bardzo ważnej, prawdopodobnie Jezusa nigdy nie widział. Skoro pochodził z Antiochii, skoro był poganinem, skoro przyjął chrzest gdzieś około pięćdziesiątego roku, może pięćdziesiątego pierwszego, to przecież Jezus zmarł ok. osiemnaście lat wcześniej, i osiemnaście lat wcześniej zmartwychwstał. Skąd więc Łukasz wiedział o Jezusie? Skąd znał rozmaite szczegóły? Jak i dlaczego mógł to wszystko opisać? I dlaczego go to wszystko w ogóle interesowało? Odpowiedź na te pytania znajdziemy na samym początku Ewangelii św. Łukasza. Mam nadzieję, że państwo ten początek pamiętają, bo on jest bardzo charakterystyczny. Otóż otwierając swoją Ewangelię Łukasz napisał tak:

> Wielu już starało się ułożyć opowiadanie o zdarzeniach, które dokonały się pośród nas,

W ten sposób Łukasz daje poznać, że już przed nim, zanim on podjął się zapisu Ewangelii, byli tacy, którzy opisywali zdarzenia, których bohaterem był Jezus Chrystus. Tutaj państwo zwrócą uwagę na to, o czym mówiliśmy dużo wcześniej: że na samym początku podstawowym nośnikiem pamięci o Jezusie była tradycja ustna. Ale kiedy powolutku pokolenie tych, którzy znali Chrystusa osobiście, zaczęło się starzeć, kiedy też zaczęły wybuchać prześladowania, kiedy chrześcijan przybywało i apostołowie nie mogli ogarnąć wszystkich wierzących w Chrystusa, wtedy zaczęto dokonywać pierwszych zapisów.

Ale pamiętajmy, że w starożytności materiały piśmiennicze były bardzo drogie. Pisano wtedy na papirusach, które sprowadzano z Egiptu — i wyłącznie z Egiptu, bo tylko tam nad Nilem rosła roślina papirusowa, i tam wyrabiano papirus — zatem był to towar importowany. Natomiast tutaj, na terenie Syro-Palestyny dużo bardziej popularny był pergamin, czyli specjalnie wyprawiane skórki zwierzęce: owcze, koźlęce, czasami cielęce. Tak wyprawione i tak przygotowane, że można było pisać po obydwu stronach skóry. Ale taki płat, domyślamy się, był bardzo drogi — dlatego, że kosztował życie zwierzęcia, i poza tym należało go zapisu przygotować. Oblicza się — przeprowadzono takie szacunki — żeby można było zapisać Ewangelię takiej długości, jak Ewangelia św. Łukasza, to wartość pergaminu była wartością sporej osady. A więc to było bardzo drogo. Owce nie były bardzo drogie, ale wyprawianie tego było bardzo drogie, przygotowanie tego materiału było bardzo drogie. I bardzo drodzy byli również pisarze. Otóż Łukasz, jako lekarz, znał sztukę czytania i pisania. I wspomina, że już przed nim wielu starało się ułożyć opowiadania o Jezusie, i kontynuuje tak:

> ale tak jak nam je przekazali ci, którzy od początku byli naocznymi świadkami i sługami słowa.

W ten sposób Łukasz podkreśla, że od samego początku ci, którzy zapisywali Ewangelię, polegali na osobistym świadectwie apostołów oraz tych, którzy byli świadkami życia Jezusa. To jest bardzo ważne. Na to samo wskazują także pozostali apostołowie, np. św. Jan w swoim Pierwszym Liście mówi tak:

> Piszę do was o tym, co widziałem na własne oczy, co słyszałem na własne uszy, i czego dotykały nasze ręce. A więc piszę jako naoczny świadek tych zdarzeń, żebyście i wy uwierzyli.

I Łukasz powiada: „Wielu już starało się ułożyć opowiadania. Są to ludzie, którzy są wiarygodni, ponieważ byli świadkami tego, co się wydarzyło." A państwo przypominają sobie wobec tego dylemat św. Pawła apostoła. Św. Paweł apostoł kiedy pozyskiwał uczniów, kiedy chrzcił, kiedy miał wciąż nowych wyznawców, spotkał się z takim zarzutem: „To ty nas nauczasz, przybywasz tutaj do Efezu czy do Koryntu, a przecież ty Jezusa nie widziałeś! Nie widziałeś Go za Jego ziemskiego życia. Jakże więc możesz Go głosić?" I wtedy Paweł odpowiadał: „Ja nie widziałem Go za Jego ziemskiego życia, byłem za młody. A ponadto byłem Jego prześladowcą, kiedy On już umarł. Ale doświadczyłem Go na drodze pod Damaszkiem."

I na przykład w Liście do Galatów, i w innych swoich pismach, Paweł szczegółowo opisuje to doświadczenie przeżyte pod Damaszkiem. I powiada że właśnie przez to, co przeżył pod Damaszkiem, przez to objawienie się Chrystusa Pawłowi, wartość jego apostołowania nie jest wcale mniejsza, niż

wartość apostołowania pozostałych apostołów. Łukasz, chociaż sam Jezusa nie widział, to i w tej dziedzinie, w tym miejscu, idzie po linii św. Pawła. Mianowicie polega na tych, którzy Jezusa bardzo dobrze znali. A on wypytuje tych ludzi, dowiaduje się od nich. Mało tego, ma już do dyspozycji jakieś zapisy, zestawia to, porównuje — i teraz pisze swoją własną Ewangelię. Przeprowadzono bardzo dokładne badania Ewangelii Łukasza pod względem językowym, stylistycznym, gramatycznym, składni, słownictwa, i czego tylko można było — przecież to są setki lat takich gruntownych badań, a celują w nich zwłaszcza Niemcy, cały wiek XIX i XX był czasem bardzo dokładnej analizy Ewangelii zwłaszcza od strony językowej — wyszło wtedy, że u początków Ewangelii Łukasza leżała na pewno Ewangelia Marka, oraz że Łukasz miał do dyspozycji jakieś źródło, które się nie zachowało, którego natury nie znamy, i z tego źródła czerpał również wieści o Jezusie. *Źródło* to po niemiecku Quelle. Dlatego w biblistyce nowotestamentowej, i w tych szczegółowych badaniach Ewangelii mówi się tak: Łukasz miał do dyspozycji Ewangelię Marka, oraz Q — pierwsza litera od Quelle. I jeżeliby państwo sięgnęli po fachowe opracowania, to naukowcy łamią tam sobie zęby, i oczy, i pióra, i próbują zgadnąć, odtworzyć to źródło. Co to było za źródło? Jedni mówią, że to były opowiadania ustne. Drudzy mówią, że to były jakieś zapisy, maleńkie papirusiki, czy małe pergaminy, które Łukasz układał, zbierał, i na ich podstawie odtwarzał wizerunek Jezusa.

Ale chociaż na razie nie jesteśmy w stanie rozstrzygnąć, czym było to źródło, na podstawie którego Łukasz pisał, to jedno nie ulega wątpliwości. Mianowicie Łukasz musiał mieć jakiś bezpośredni albo pośredni, ale bardzo bliski, kontakt z Najświętszą Marią Panną, Matką Jezusa. Otóż tylko w Ewangelii Łukasza mamy takie szczegóły, które wyłącznie Ona mogła znać. Zresztą takie sceny, jak choćby scena Zwiastowania w Nazarecie, mogły być opowiedziane wyłącznie przez Maryję. Odwiedziny Elżbiety mogły być opowiedziane wyłącznie przez Maryję. Okoliczności spisu w Betlejem mogły być znane tylko od strony Świętej Rodziny. I w Ewangelii Łukasza dwa razy mamy takie dziwne sformułowanie. Mianowicie Łukasz pisze, że: *Maryja zachowywała wszystkie te sprawy w Swoim sercu.* W ten sposób otrzymujemy taką delikatną, dyskretną aluzję do tego, że to, co Łukasz wie, to, co Łukasz przedstawia, to przedstawia z perspektywy Maryi, która to wszystko przeżyła i zapamiętała.

Można by zatem powiedzieć, że Ewangelia Łukasza jest w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu Ewangelią Maryi. Tak jak Marek pisał oczami Piotra, tak Łukasz pisał oczami Maryi. W tradycji starochrześcijańskiej zawsze podkreślano ścisłe więzi Ewangelii Łukasza z Najświętszą Maryją Panną. Państwo wiedzą, że przeniesiono to nawet na dziedzinę inną, niż sztuka medyczna. Mówiono mianowicie, że Łukasz był nie tylko lekarzem, ale że był również wspaniałym malarzem. W związku z tym w Ewangelii odmalował literacki wizerunek Maryi, ale poza tym miał jeszcze zdolności malarskie i to on miał namalować pierwsze portrety Najświętszej Maryi Panny. Kiedy się pojedzie do Egiptu, to w Muzeum Koptyjskim, w starym Kairze, pokazywane są najstarsze wizerunki Chrystusa i Najświętszej Maryi Panny, pochodzące wg. badań z II, III i IV wieku. Natomiast lokalna tradycja chrześcijan egipskich, zwanych Koptami, głosi, że autorem najstarszych wizerunków Maryi jest święty Łukasz.

Ta legenda, a legenda jest to opowiadanie sercem, głosi, że także wizerunek Najświętszej Maryi Panny na Jasnej Górze został namalowany przez św. Łukasza na desce, która miała pochodzić ze stołu Świętej Rodziny. Otóż tam, gdzie brakuje wiedzy, tam pojawia się wyobraźnia, wyobraźnia bardzo piękna, i tworzy bardzo piękne podania. Ale faktem jest, że wizerunek, który mamy na Jasnej Górze, należy do tej samej ręki, do tej samej szkoły na pewno, do której należy najstarszy wizerunek rzymski czczony w kościele Santa Maria Maggiore. Więc te dwa wizerunki mają wspólną przeszłość, a ich ślady wiodą do Konstantynopola. A w Konstantynopolu mówią, że oni takich obrazów Najświętszej Maryi Panny mieli sporo, ponieważ Łukasz pod tym względem nie był leniwy. I w ten sposób mamy tę piękną legendę, która przypisuje Łukaszowi nie tylko portret Maryi literacki, ale również portret artystyczny.

Skąd więc Łukasz wiedział o Jezusie? Być może, jest to bardzo prawdopodobne, od samej Maryi albo z Jej bezpośredniego otoczenia. Przecież tradycja łączy Maryję z Azją Mniejszą. Na pewno znał inne osoby, które znały Jezusa, na pewno znał św. Piotra, bo Piotr był a Antiochii ponad rok. Na pewno znał innych apostołów, takich jak Barnaba, którzy również zetknęli się z Jezusem. I Łukasz tą pamięć utrwalił. Dalej czytamy:

> Postanowiłem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać ci po kolei, dostojny Teofilu, abyś się mógł przekonać o całkowitej pewności nauk, których ci udzielono.

Okazuje się, że Ewangelia Łukasza jest jedyną Ewangelią napisaną na indywidualne zamówienie. Wygląda na to, że był jakiś Grek, Teofil. Teofil jest to imię specyficznie greckie, Teos – *Bóg,* filos – *miłować, kochać,* Teofil to *miłujący Boga,* po polsku: „Bogumił" albo „Bogusław" — to są staropolskie odpowiedniki greckiego Teofila. Otóż ów Teofil stał się chrześcijaninem, był zamożny. A następnie poprosił, żeby ktoś napisał mu więcej o Jezusie, aby mógł przekonać się o pewności nauk, których mu udzielono. I tym kimś był Łukasz. Wygląda na to, że Teofil opłacił to przedsięwzięcie, zapłacił za pergaminy, zapłacił za pracę Łukasza, utrzymywał Łukasza, i dzięki temu ta Ewangelia powstała.

Kiedy ona powstała? Szacunki są różne. Jedni umieszczają powstanie Ewangelii Łukasza już ok. roku 60 czy 65. Inni około roku 70. Jeszcze inni około roku 75, 80, oczywiście wszystko w I wieku. Zatem umieszcza się powstanie tej Ewangelii w latach 60-tych, bądź 70-tych, bądź na początku lat 80-tych I wieku. Czyli mniej więcej w ciągu 20 lat. Chyba nigdy nie będziemy dokładnie wiedzieli, czy Łukasz pisał tę Ewangelię parę miesięcy czy kilka lat. Spór o datę powstania zależy od tego, w jaki sposób, i czy łączy się Ewangelię Łukasza ze zburzeniem Jerozolimy.

Jak państwo wiedzą w roku 66 wybuchło powstanie żydowskie przeciwko Rzymianom. To powstanie wybuchło na terenie Galilei, potem przerzuciło się na południe, do Judei. Rzymianie oblegali Jerozolimę, oblegali w sposób bardzo bezwzględny. I wreszcie w sierpniu, kiedy pora była najgorętsza, jakiś żołnierz rzymski, jak pisze historyk Józef Flawiusz, wrzucił płonącą głownię na teren świątyni jerozolimskiej. Świątynia zajęła się ogniem, zaczęła się palić. Wtedy żołnierze rzymscy wdarli się do środka. Świątynia została splądrowana, spalona, zniszczona.

Jerozolima również została zburzona. I wszystko zależy od tego, czy wzmianki o zburzeniu Jerozolimy i świątyni traktujemy jako zapowiedź tych wydarzeń, czy też, jak mówią uczeni bardziej sceptyczni, bo takich nigdy nie brakuje, Łukasz napisał swoją relację jakby *ex post,* czyli z późniejszej perspektywy. Otóż Jerozolima mogła być już zburzona, o on przedstawia to wszystko tak, jakby to się dopiero miało dokonać. Musimy rozłożyć ręce, i musimy powiedzieć, że z historycznego punktu widzenia nie rozstrzygniemy, czy ta Ewangelia powstała przed rokiem 70, czy po nim. Ale moim skromnym zdaniem raczej przed 70 rokiem. Dlatego, że widać w niej ogromne przywiązanie do Jerozolimy. Bo chociaż Łukasz był poganinem i nie miał specjalnych racji, dla których do Jerozolimy miałby być przywiązany, to jednak to przywiązanie w Ewangelii wyraźnie widać.

Na koniec parę słów na temat struktury tej Ewangelii, budowy tej Ewangelii. Mają już państwo za sobą jej lekturę, więc będzie bardzo łatwo przypomnieć sobie to, co przeczytaliśmy. Mianowicie mamy tam na samym początku rozdziały wstępne, które dotyczą okoliczności przyjścia na świat Jezusa, Jego poczęcia, Jego narodzin, Jego dzieciństwa, Jego młodości. W Ewangelii Łukasza wszystko to, co dotyczy okoliczności dzieciństwa Jezusa, jest najbardziej rozbudowane. Można by powiedzieć, że to, co znamy w naszej pobożności, to, co opiewamy w kolędach, nasze bożonarodzeniowe szopki, nasze Betlejem, wyobrażenia, to jest w gruncie rzeczy Betlejem Łukasza.

Gdyby Łukasz nie istniał, nie pozostawił nam tych zapisów o Betlejem, kto wie, czy święta Bożego Narodzenia miałyby takie znaczenie, i taką oprawę, jak mają. To właśnie Łukaszowi zawdzięczamy ten radosny, serdeczny, rodzinny klimat, który stał się podstawą do świąt Bożego Narodzenia. Bo kiedy na początku IV wieku, dokładniej w roku 313, ustały prześladowania chrześcijan w Imperium Rzymskim po wydaniu tzw. Edyktu Mediolańskiego, to wtedy do Palestyny udała się cesarzowa Helena, matka Konstantyna Wielkiego. I poruszona Ewangelią Łukasza ok. roku 315 - 320 szukała Betlejem, i szukała miejsca narodzin Zbawiciela. I na miejscu, które wtedy czczono, poleciła wznieść bazylikę Narodzenia, która, przebudowana później w VI wieku przez Justyniana, istnieje po dzień dzisiejszy. Państwo wiedzą, że od prawie dwóch miesięcy Betlejem jest strefą wojskową, całkowicie zamkniętą. Bazylika jest dostępna tylko dla zakonników. I podczas tegorocznych świąt Bożego Narodzenia chyba po raz pierwszy w dziejach chrześcijaństwa do Betlejem, i do Bazyliki Narodzenia Pańskiego nie można było pojechać.

To wszystko zawdzięczamy Łukaszowi. Potem następuje część opisująca działalność publiczną Jezusa na terenie Galilei. Łukasz opisuje ją bardzo dokładnie. A później opisuje, jak Jezus udawał

się w stronę Jerozolimy. Wiele razy w jego Ewangelii mamy ten kierunek: *w stronę Jerozolimy.* Apostołowie ociągają się, nieraz nie chcą, ostrzegają Jezusa, mówią: „Spotkają Cię tam rzeczy przykre, smutne, bolesne" — ale Jezus do Jerozolimy idzie. Myślenie Łukasza jest takie: to, co najważniejsze, ma się dokonać w Jerozolimie. To, co najważniejsze, ma swoje źródło, swoje centrum, właśnie tam. Zatem Łukasz przykłada ogromną uwagę do opowiadania o pojmaniu Jezusa, o Jego męce, śmierci, i wreszcie o zmartwychwstaniu. Nazwa „Jerozolima" występuje u Łukasza z wielkim ładunkiem emocjonalnym.

Ale, jak państwo wiedzą, Ewangelia św. Łukasza to zaledwie pierwszy tom Łukaszowego dzieła w Nowym Testamencie. Z tego samego otoczenia, z tej samej ręki, spod tego samego pióra, od tego samego człowieka wyszły również *Dzieje Apostolskie.* Ewangelia Łukasza to jest tom, który opowiada o Jezusie. Dzieje Apostolskie, wrócimy do nich na następnej konferencji, rozpoczynają się od następujących słów — przypomnijmy je sobie, żeby zauważyć związek między Ewangelią i Dziejami Apostolskimi. Rozpoczynając Dzieje Apostolskie Łukasz napisał tak:

> Pierwszą księgę napisałem, Teofilu, o wszystkim, co Jezus czynił i czego nauczał od początku aż do dnia, w którym udzielił przez Ducha Świętego poleceń Apostołom itd.

Pierwsza księga dotyczyła Jezusa. Druga księga dotyczy początków Kościoła. Zatem Łukasz oprócz tego, że był lekarzem, że był wrażliwy, że był bardzo otwarty na potrzeby człowieka, był również doskonałym geografem. U niego w Ewangelii mamy mnóstwo geograficznych nazw. Jeżeli weźmiemy w rękę Ewangelię Łukasza, a potem Dzieje Apostolskie, to możemy bardzo precyzyjnie pielgrzymować po Ziemi Świętej i po pozostałych krajach biblijnych. Wystarczy wziąć do ręki Dzieje Apostolskie, pojechać np. do Turcji, żeby z jednego miasta przejeżdżać do drugiego, z Iconium do Derbe, z Derbe do Listry, z Listry do Antiochii, z Antiochii do Perge, i po kolei odwiedzać wszystkie miejsca, gdzie był św. Paweł. Można wziąć Dzieje Apostolskie, pojechać do Grecji, i mamy znów to samo: mamy Cavalla, mamy Filippi, mamy Appolonia, Amfipolis, Saloniki, Berea, Ateny, Korynt, Kerchry — wszystko to znamy wyłącznie od Łukasza.

Dzięki Łukaszowi, a na ten aspekt zwrócił uwagę Ojciec Święty Jan Paweł II w *Liście o pielgrzymowaniu do miejsc świętych,* mamy nie tylko *historię Zbawienia,* ale mamy również *geografię Zbawienia.* Otóż gdybyśmy mieli tylko pozostałe Ewangelie, to musielibyśmy je czytać z kalendarzem. Natomiast mamy Ewangelię Łukasza i Dzieje Apostolskie, i żeby je zrozumieć dobrze, to trzeba je czytać z mapą. Bo spotykamy tam różne nazwy i możemy te miejsca odwiedzić, albo przynajmniej zobaczyć na fotografii, czy zobaczyć w jakiś inny plastyczny sposób. To jest właśnie dzieło św. Łukasza. Wskazał na to Boże działanie w świecie, którego wymiarem i którego skutkiem jest geografia Zbawienia.

Tak więc, skoro państwo mają za sobą Ewangelię Łukasza, to teraz, jako następną księgę bardzo proszę przeczytać Dzieje Apostolskie. Nie Ewangelię Jana, tę zostawiamy za miesiąc — jeżeli szczęśliwie dożyjemy — ale właśnie Dzieje Apostolskie. Dlatego, że Ewangelia Łukasza i Dzieje Apostolskie tworzą całość. Dzieje Apostolskie liczą 28 rozdziałów. Żeby je przeczytać, potrzeba nam pełne 4 tygodnie. Natomiast nasza następna konferencja będzie miała miejsce za 5 tygodni, w trzeci poniedziałek lutego, 17 lutego.

Otóż 17 lutego zapraszam. I wrócimy do Dziejów Apostolskich, i przyjrzymy się jak Jerozolima, do której zmierzał Jezus, stała się centrum, z którego rozprzestrzeniało się chrześcijaństwo i ci, którzy w Jezusa wierzyli. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. I w takim razie do zobaczenia za 5 tygodni.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

5.5 Dzieje Apostolskie (17 lutego 2003)

Jeżeli państwo są wiernymi studentami i wykonują zadania domowe, to mają za sobą przeczytane Ewangelie Marka, Mateusza, Łukasza, i ostatnio Dzieje Apostolskie. Dzisiaj zatrzymamy się właśnie nad Dziejami Apostolskimi. Muszę państwu powiedzieć, że ja z wykształcenia nie jestem nowotestamentalistą. To znaczy bardzo rzadko wykładałem Nowy Testament, tylko w awaryjnych sytuacjach akademickich. Natomiast zasadniczo wykształcenie, które otrzymałem kiedyś, to jest wykształcenie w zakresie Starego Testamentu. Dlatego moje czytanie Nowego Testamentu pod wieloma względami przypomina to, co uprawiają państwo. Mówię o tym celowo, bo spośród wszystkich ksiąg Nowego Testamentu właśnie Dzieje Apostolskie stanowią, jeżeli tak można powiedzieć, moją ulubioną lekturę. I chciałbym dzisiaj podzielić się tym doświadczeniem czytania Dziejów Apostolskich i powiedzieć, dlaczego tak jest.

Mówiąc najkrócej jest tak dlatego, ponieważ *Dzieje Apostolskie stanowią przejście — od życia Jezusa, od Jego działalności, od Jego losu: męki, śmierci, zmartwychwstania i wniebowstąpienia przejście do narodzin, do okrzepnięcia i rozpowszechniania się Kościoła.* Można by powiedzieć, że te dwa Łukaszowe dzieła można by sprowadzić do takiego wspólnego mianownika: Ewangelia ukazuje nam czas Jezusa, natomiast Dzieje Apostolskie ukazują nam czas Kościoła. Z tego powodu obydwa te dzieła są nam bardzo bliskie, bo będąc osadzeni w Kościele, członkowie Kościoła, wierzymy jednak w Jezusa Chrystusa, i z tego tytułu chętnie sięgamy po Ewangelie kanoniczne, i również Ewangelię św. Łukasza. W obydwu tych dziełach, w obydwu tych tomach — jeżeli tak można powiedzieć — jednego dzieła, widać wyraźnie to uwarunkowanie życiem Jezusa i życiem Kościoła.

Na rozmaity sposób próbowano do tej pory czytać Dzieje Apostolskie. Jeden z najbardziej popularnych kluczy do czytania tej księgi to jest tzw. klucz geograficzny. Mają państwo za sobą świeżo przeczytaną tę księgę, i można by powiedzieć tak. Całą jej zawartość da się sprowadzić do trzech potężnych regionów, natomiast pod koniec Dziejów Apostolskich pojawia się czwarty. Te trzy regiony to kolejno: najpierw Palestyna, a w niej w szczególniejszy sposób Jerozolima. Tam rozgrywa się akcja pierwszych 10 - 11 rozdziałów Dziejów Apostolskich. Następnie akcja przenosi się do Antiochii, na dzisiejszym pograniczu Turcji i Syrii. Dzisiaj to miasto nosi nazwę Antakia, znajduje się po stronie tureckiej. Stamtąd przenosi się na Cypr i do Azji Mniejszej, na terenie dzisiejszej Turcji. I czytamy wiele o tym, co wydarzyło się na terenie Azji Mniejszej. A następnie, jako trzeci biegun Dziejów Apostolskich akcja przenosi się do Macedonii i do Grecji. Dopiero pod sam koniec przenosi się aż do Rzymu, gdzie przeżywa swoje ostatnie dni św. Paweł.

Tak więc trzy regiony świata starożytnego: Palestyna, Azja Mniejsza, Grecja. I można by powiedzieć, że nie ma drugiej księgi w Nowym Testamencie, która byłaby tak mocno osadzona w realiach przestrzeni. Zwrócił na to uwagę również Ojciec Święty Jan Paweł II, który w 1994 roku przygotowując obchody Wielkiego Jubileuszu Roku Dwutysięcznego wydał słynny list apostolski „Tercjo Millenio Adweniente" czyli „W oczekiwaniu na trzecie tysiąclecie" i podkreślił tam wymiar czasu. „Zbliżamy się do Wielkiego Jubileuszu Roku Dwutysięcznego" napisał Ojciec Święty, „i musimy uświadomić sobie niesłychaną wartość czasu." Natomiast w czerwcu 1999 roku Jan Paweł II wydał drugi list apostolski, który nosi tytuł: „O pielgrzymowaniu do miejsc związanych z historią zbawienia". I tam papież bardzo mocno podkreślił wymiar przestrzeni, wymiar miejsca. „Skoro Bóg stał się człowiekiem, i skoro Kościół podjął misję Jezusa Chrystusa, to należy zwrócić uwagę nie tylko na dystans 2000 lat, które nas dzielą od tamtego wydarzenia, ale należy zwrócić uwagę na miejsca, w których tajemnica Wcielenia Syna Bożego, i początków Kościoła, się dokonała."

Są wśród państwa osoby, które miały szczęście być w Ziemi Świętej. Teraz, jak wiemy, jest to całkowicie niemożliwe. Są wśród państwa również osoby, chociaż znacznie mniej liczne, które miały szczęście być na terenie Azji Mniejszej, były e tych miejscach wyliczanych w Dziejach Apostolskich. Są wreszcie i takie osoby, które były na terenie Macedonii i Grecji, i również podróżowały śladami św. Pawła.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, które pozostawił Karol Wojtyła w swoich zapiskach, w 1964 roku poczynionych. Wtedy papież miał zaledwie 44 lata, i jako młody biskup podjął pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Owocem tej pielgrzymki jest jeden z poematów ówczesnego biskupa krakowskiego, później metropolity, kardynała, i dzisiaj papieża. Ten poemat jest niesłychanie poruszający, bo papież mówi o tym piętnie, jakie miejsca biblijne wyciskają w człowieku, a jednocześnie o piętnie,

jakie człowiek wyciska w miejscach biblijnych. M.in. papież mówi, że są takie miejsca w Ziemi Świętej, gdzie się klęka, i na ziemi zostaje ślad kolana. I to jest ten odcisk obecności pielgrzyma, która to obecność łączy się z modlitwą, i też stanowi ubogacenie tych miejsc świętych. Jest tam też taki wzruszający fragment w którym papież mówi, że kiedy chodził po kamieniach Nazaretu, to tak sobie myślał, że może po którymś z nich stąpała Najświętsza Maryja Panna. Może zdarzyło się tak, że pośród tych milionów kamieni był taki, który został dotknięty Jej stopą, jest uświęcony Jej obecnością.

Coś podobnego możemy czuć, i o czymś podobnym możemy myśleć, w trakcie lektury Dziejów Apostolskich. Otóż kiedy czytamy Dzieje Apostolskie, zwracałem na to państwa krótko uwagę miesiąc temu zapowiadając tę lekturę, to w gruncie rzeczy powinniśmy ją czytać nie tylko z kalendarzem, ale przede wszystkim z atlasem. Wziąć do ręki atlas geograficzny, i śledzić niejako palcem te poszczególne etapy narodzin Kościoła, a później rozprzestrzeniania się tego Kościoła. Proszę zwrócić uwagę, że to jest doświadczenie niezwykłe, kiedy człowiek ma możliwość w tych miejscach świętych być. Ci z państwa, którzy przeżyli takie spotkanie z Ziemią Świętą, czy z Azją Mniejszą, czy z Grecją, dobrze wiedzą co przy takiej okazji można przeżyć, i czego można doświadczyć. Dodam tylko odwołując się do tego, co dobrze znamy, że w ramach albumów, które ukazały się w ostatnich latach: „Świat Biblii dzisiaj", ukazały się albumy pokazujące i Ziemię Świętą, i Azję Mniejszą, i Grecję. I to zainteresowanie, które państwo okazują tym właśnie publikacjom, nie jest przypadkowe. Bo przecież być może są wśród państwa takie osoby, które czytały Dzieje Apostolskie i sięgnęły do tych zdjęć. I zobaczyły, że te fotografie wyrażają coś ze świata, w którym żyjemy, że można to wszystko śledzić, można to zobaczyć. A więc jeżeli tak można to streścić jednym słowem, Dzieje Apostolskie czynią ze swoich czytelników pielgrzymów do miejsc świętych. Nawet, jeżeli nie pojedziemy tam fizycznie, to możemy tam podróżować duchowo i mamy świadomość, że wszystko to jest mocno zakorzenione nie tylko w historii, ale także w geografii i topografii.

Istnieje jednak i drugi klucz do lektury Dziejów Apostolskich. Można by powiedzieć: że mimo wszystko może nie aż tak narzucający się, ale pod wieloma względami bardziej owocny. Klucz, który moglibyśmy nazwać *religijny* albo *teologiczny.* O cóż bowiem chodzi w trakcie czytania Dziejów Apostolskich? O cóż chodzi wtedy, kiedy oglądamy się do samych początków Kościoła? *Chodzi o to, jak dokonało się przejście do wiary w Jezusa jako Mesjasza, i jako Syna Bożego.* Na tym musimy dzisiaj głównie się skupić, posługując się Dziejami Apostolskimi tylko jako pewną pomocą, która nam to pomoże zrozumieć.

Cofnijmy się do czasów Starego Testamentu. Wiemy doskonale, że w okresie Starego Testamentu, który poprzedził narodziny Jezusa Chrystusa, żyli wielcy bohaterowie wiary. Wiemy doskonale, że byli wielcy prorocy: Amos, Ozeasz, Izajasz, Micheasz, potem Jeremiasz, Sofoniasz, następnie Ezechiel, Daniel, Malachiasz, Zachariasz. Nie tylko oni, ale także inni: Eliasz, Elizeusz. Ci, którzy pozostawili po sobie dzieła, ale także ci, którzy na zawsze pozostali bezimienni. Oni mieli jedną rzecz wspólną, mianowicie wszyscy nawoływali do wiary w Boga. Wszyscy nawoływali do tego, żeby tak ustawiać swoje życie, żeby było ono czytelnym znakiem przynależności do Boga. Już dwa i pół tysiąca lat temu ówcześni Izraelici odchodzili od Boga, już były rozmaite pokusy pogaństwa. Na rozmaite sposoby odczuwali pokusy do tego, żeby nie żyć po Bożemu. I ci prorocy niestrudzenie wzywali ich do wiary w Boga.

Na czym polega nowość Jezusa? I na czym polega nowość Nowego Testamentu? Jezus również nawoływał do wiary w Boga. Jezus również nawoływał do życia moralnego, dogodnego, do czystego, do dobrego, do ofiarnego, do sprawiedliwego, do miłosiernego. Ale w życiu Jezusa pojawia się również nowy wątek, który zyskuje coraz więcej miejsca, i który w Dziejach Apostolskich w pełni dochodzi do głosu. Mianowicie nawołując do wiary w Boga, i do nadziei, którą człowiek powinien w Bogu pokładać, Jezus zwraca uwagę również na siebie, dokonując takich dzieł, dokonując takich cudów, i nauczając w ten sposób, że ludzie zaczynają się zastanawiać: «Kimże On jest, że takie rzeczy czyni?» «Kimże On jest, że nawet wichry i jezioro są mu posłuszne?» «Kimże On jest, że przywraca zdrowie opętanemu?» «Kimże On jest, że wskrzesza zmarłych?» «Kimże On jest, że wyrzuca przekupniów ze świątyni, czego do tej pory nigdy nie było?» «Kimże On jest, że głosi tak wielką Ewangelię miłosierdzia?»

I Jezus coraz bardziej widzi to napięcie, i pewnego dnia zadaje Swoim apostołom to kluczowe pytanie: «Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?» Coś w rodzaju dzisiejszej socjologicznej

ankiety. I apostołowie odpowiadają: za Eljasza, za Jana Chrzciciela, za któregoś z proroków. Inni mówią, że jakiś dawny nauczyciel, prorok zmartwychwstał — tak, jak to ludzie. Każdy mówi to, co ma w sobie. A wtedy Jezus zwraca się do nich z pytaniem: «A wy, za kogo Mnie uważacie?» I wówczas występuje Piotr, i mówi: «Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga Żywego». I najpierw Jezus go pochwalił, ale nie za to co powiedział, tylko mówi do Piotra: «Błogosławiony jesteś, bo nie ciało i krew ci to objawiły» — czyli nie doszedłeś do tego własnym swoim pomysłem, tylko jest to dar Boży, który otrzymałeś, rozeznanie, które otrzymałeś od Boga. Ale potem następuje od razu zakaz mówienia na ten temat: «Nie rozpowiadajcie o tym nikomu, nie mówcie». To jest ów słynny *sekret mesjański,* tajemnica mesjańska. Dlaczego?

I tu dochodzimy do istoty sprawy. Cały Stary Testament kładł mocny nacisk na to, że Bóg jest jedynym i najwyższym Bogiem. Że istnieje Bóg, który jest jeden, jedyny, i niepodzielny. Gdyby Jezus, będąc człowiekiem, zwracał uwagę na Siebie, mówiąc swoim współczesnym, że oto jest Bogiem, który przybrał ludzką postać, Żydzi, tak jak to stało się później, poczytaliby to za bluźnierstwo. A poganie wpletli by Jezusa do panteonu swoich rozmaitych bóstw i bogiń których, jak wiemy z mitologii greckiej, mitologii rzymskiej, mitologii perskiej, mitologii egipskiej, i innych mitologii, nie brakowało.

Żyjąc na ziemi Jezus nie mógł mówić o Sobie, że jest Bogiem. Dlaczego? Bo natychmiast zadano by sobie pytanie, które i my zadajemy. Mianowicie: „Jak można zmieścić bóstwo w ułomnym człowieku? Ułomnym choćby z tego powodu, że podlega wszystkim ludzkim przypadłościom. Że jeżeli Bóg stał się człowiekiem, to co — gdy pozostaniemy przy tych dawnych wyobrażeniach kosmologicznych — czyżby niebo pozostało puste?" Jeżeli chcemy szukać jakiegoś porównania, to moglibyśmy powiedzieć tak: to jak, jak gdyby powiedzieć, że można przeogromny ocean zamknąć w szklance wody. Bóstwo, boskość, Bóg jest czymś tak niepojętym, przeogromnym, duchowym, niewyobrażalnym, jak mówimy to: transcendentnym. Więc powiedzenie, że ten człowiek jest Bogiem nie może wywołać nic innego, jak sprzeciw. I za ziemskiego życia Jezusa wiele razy mieliśmy do czynienia z takim sprzeciwem.

Takim kluczowym momentem w Ewangeliach, na który zwrócili państwo na pewno uwagę, jest przesłuchanie przed żydowskim Sanhedrynem. Otóż w pewnym momencie, chociaż cała sprawa była ukartowana przeciwko Jezusowi, staje najwyższy arcykapłan i mówi do Jezusa: «Zaklinam Cię na Boga Żywego, powiedz, kim Ty jesteś. Czy Ty jesteś Synem Błogosławionego?» I wtedy Jezus odpowiada: «Tak powiedziałeś. Tak, jestem.» I wówczas arcykapłan nie przyjął tego wyznania, lecz mówi: «Zbluźnił». Rozdarł swoje szaty i rozpoczął się sąd nad Jezusem, który doprowadził do skazania Go na śmierć.

Paradoks polega na tym, że tak długo, jak długo Jezus był człowiekiem, prawdziwym człowiekiem, to przecież mówienie o sobie jako o Bogu prawdziwym tak naprawdę nie wchodziło w rachubę. I apostołowie musieli przeżyć to zasadnicze przejście, które stanowi o nowości Nowego Testamentu. Mianowicie *tak długo, jak Jezus żył, to oni wierzyli Jezusowi.* Tak, jak ich przodkowie wierzyli Amosowi, wierzyli Izajaszowi, wierzyli Jeremiaszowi, wierzyli Ezechielowi itd. Mianowicie ta radykalna nowość polega na tym, że po raz pierwszy i ostatni w dziejach zostali wezwani, wręcz zobowiązani, **już nie do wiary Jezusowi — lecz do wiary w Jezusa**. I to jest ta zasadnicza różnica. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, żeby Izajasz wstał i powiedział: «Wierzcie we mnie!», Jeremiasz: «Wierzcie we mnie!», Ezechiel: «Wierzcie we mnie!» Byli wielkimi prorokami, ale zawsze kierowali wzrok na Boga. Natomiast z Jezusem jest inaczej. Jezus kieruje wzrok na Boga, Jezus przyprowadza ludzi do Boga, prowadzi ludzi do Boga, ale zarazem zwraca w tajemniczy sposób uwagę na to, że Bóg jest w Nim obecny inaczej, niż w jakimkolwiek innym człowieku.

Przed jakim więc dylematem stanęli ci, którzy uwierzyli w Jezusa jako pierwsi? W Dziejach Apostolskich widzimy doskonale to napięcie. Otóż stanęli przed takim dylematem, że oto ludzie wychowani na Starym Testamencie, przyzwyczajeni do wyznawania wiary w Boga jedynego, muszą teraz sobie zadać pytanie: kim jest Jezus? I jak to wyrazić w języku Starego Testamentu, w tym dotychczasowym języku religijnym. Można by powiedzieć, że stanęli wobec zadania, żeby przelać ocean do szklanki. W przypadku oceanu i szklanki jest to niemożliwe, bo jedno i drugie ma wymiar fizyczny, i tutaj nie zmienimy praw fizyki. Natomiast jak wyrazić to, kim jest Jezus, to jest pytanie, to jest kwestia natury duchowej. Jedyna ułomność, jaka pozostaje, jest to ułomność naszych wyobrażeń, ułomność naszego języka, i również ułomność języka Starego Testamentu.

Państwo zwrócą uwagę, i myślę, że w Dziejach Apostolskich jest to doskonale widoczne, że ci, którzy uwierzyli **w Jezusa** jako pierwsi, wszyscy byli Żydami. Wszyscy byli ludźmi Starego Testamentu. Jeżeli w późniejszych pokoleniach, a i dzisiaj również, Żydzi, którzy nie uwierzyli w Jezusa, ci Żydzi rabiniczni, mówią, że nie sposób przyjąć Jezusa zachowując wierność Staremu Testamentowi, to przykład apostołów i pierwszych uczniów mówi coś zupełnie innego. Dlatego we wszystkich współczesnych dyskusjach między chrześcijanami a Żydami trzeba się cofnąć do pierwszych pokoleń apostolskich i odpowiedzieć w sposób najprostszy, ale zarazem najtrudniejszy, że nie jest prawdą, iż Żyd nie może uwierzyć w Jezusa i zachować wiarę w jedynego Boga. Ponieważ ci, którzy uwierzyli jako pierwsi, byli w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, ludźmi Starego Testamentu, i ludźmi kultury żydowskiej.

Nazywamy ich judeochrześcijanami, czyli chrześcijanami nawróconymi, czy też pozyskanymi z judaizmu. Nawet nie nawróconymi — to słowo w odniesieniu do Żydów nie jest dobre. Bo oni nie musieli się nawracać, oni byli wyznawcami Boga jedynego. Tylko chrześcijaństwo, wiara chrześcijańska polegała na tym, że *powinni byli uznać i przyjąć nowy wymiar Boga.* A na czym ta nowość polega? *Na tym, że powinni uznać i przyjąć wewnętrzne bogactwo życia Bożego. Że Bóg jest jedyny — to prawda — ale że nie jest jeden. Że skoro Bóg jest miłością tak, jak nauczał tego Chrystus i to zawsze podkreślał, to miłość nie może zaistnieć w samotności.*

To znaczy odniesieniem dla miłości musi być ktoś odmienny. Niekoniecznie inny zupełnie, ale odmienny. W ten sposób apostołowie dochodzili do wniosku, że jeżeli Bóg jest miłością, to jest takie bogactwo życia Bożego, które pozwala Bogu być miłością w tym wiecznym doświadczeniu wzajemności. Dalej już nasz język ludzki zawodzi. Apostołowie też nie mogli się nad tym zastanawiać.

Ale na pewno państwo zwrócili uwagę na sam początek Dziejów Apostolskich. Mamy tam dwie charakterystyczne sceny. Pierwsza wtedy, kiedy Jezus w niebo wstąpił i apostołowie uświadomili sobie, że coś się skończyło. Co? Mianowicie obecność Jezusa pośród ludzi w ludzki sposób. Wniebowstąpienie oznacza, że Wcielenie, w tym ludzkim wymiarze, dobiegło kresu. Że nie należy się spodziewać, że raz jeszcze będą mogli z Jezusem chodzić, spacerować, rozmawiać — tak, jak się rozmawia z człowiekiem. Skoro Jezus jest prawdziwym człowiekiem, to również przeszedł przez śmierć tak, jak przechodzi każdy z nas. Możemy śnić o naszych zmarłych. Możemy sądzić, że nam w taki czy inny sposób się ukazali. Być może możemy nawet korzystać z ich rady, czy z ich duchowej obecności. Takie rzeczy się zdarzają, takich rzeczy nie wolno lekceważyć. Myślę, że są osoby, które mają takie właśnie doświadczenia owej bliskości zmarłych, zwłaszcza tych, którzy są nam w życiu bardzo bliscy. Ale nie możemy liczyć na to, że ktokolwiek ze zmarłych wróci do uwarunkowań tego świata, do czasu i przestrzeni. I Wniebowstąpienie oznacza, że coś się definitywnie skończyło. Że już nie będzie można więcej Jezusa słuchać, z Nim chodzić. Że Jezus żyje, ale nie przynależy do tego świata.

I uświadomili sobie, że trzeba wrócić jeszcze do ziemskiego życia Jezusa, i na miejsce Judasza wybrać kogoś, kto go zastąpi. Bo zawsze jeżeli ktoś popełnia zły uczynek, to musi być dobro, które by przywróciło zachwianą sprawiedliwość. Gdyby tego dobra zabrakło, to by świat stawał się piekłem. I na miejsce Judasza szukają kogoś, kto znał Jezusa od samego początku. Szukają kogoś, kto towarzyszył Mu przez całe trzy lata. I znaleźli dwie takie osoby. Rzucili losy. I los padł na Macieja, który został przyłączony do grona dwunastu. To jest jeden epizod.

A więc zaczyna się czas Kościoła. Kościół potrzebuje ludzi, którzy będą głosić Jezusa Chrystusa. Apostołowie otrzymali to zobowiązanie. I apostołowie nie tylko głoszą Jezusa, ale również uzupełniają swoje grono. W ten sposób zaczyna się to, co zwykło się nazywać w naszych czasach *sukcesją apostolską* polegającą na tym, że jeżeli ktoś z tego grona głosicieli słowa Bożego, zwłaszcza biskupów, się wykrusza, to musi być ktoś inny, kto zajmuje jego miejsce, i kto podejmuje jego dzieło. Można by więc dość paradoksalnie powiedzieć, że to głoszenie Jezusa Chrystusa, głoszenie Boga w Jezusie Chrystusie, też jest tajemniczym przedłużeniem Wcielenia. Na czym to polega? Otóż Wcielenie oznacza, że Bóg przybrał ludzkie ciało, stał się człowiekiem. Kiedy ten Człowiek umarł, kiedy nastąpiło Jego zmartwychwstanie, to gdy Jezusa już nie ma na świecie, musi Boga głosić ktoś inny, inny człowiek. Los Boga — zauważmy ten przedziwny paradoks — jest złożony w ręce ludzi. Gdyby ludzie przestali mówić o Bogu, przestali wierzyć w Niego, przestali głosić Go, można by powiedzieć, że Bóg stawałby się wielkim nieobecnym w świecie, który powołał do istnienia, i wśród ludzkości, którą sam stworzył. A więc Bóg złożył swoje losy w ręce człowieka. I można by

powiedzieć, właśnie mocno to podkreślam, losy Boga zależne są od naszej dobrej, lub od naszej złej woli.

Maciej będzie głosił Jezusa. Ale co mają mówić o Jezusie? Jak mają Go nazwać? Jak mają określić to, co się wydarzyło? I tutaj pierwszym tekstem, na który chciałbym zwrócić uwagę państwa, to jest pierwsze wystąpienie Piotra w dzień Pięćdziesiątnicy, opisane w 2 rozdziale Dziejów Apostolskich, wtedy kiedy Piotr przemawia do Żydów zebranych w Jerozolimie na górze Syjon. Żydzi w czasach Jezusa, podobnie jak dzisiaj, mają trzy główne święta. Pierwsze to święto Paschy. Wiemy że tuż przed świętem Paschy, w jego wigilię, został ukrzyżowany Jezus. Święto Paschy upamiętnia wyjście Izraelitów z Egiptu. Drugie bardzo ważne święto przypada nazajutrz po siedmiu pełnych tygodniach po święcie Paschy. Siedem pełnych tygodni to jest 49 dni, nazajutrz to jest dzień 50-ty. Zatem jest to Pięćdziesiątnica. Żydzi nazywają to święto świętem Tygodni. I w tym czasie upamiętniają nadanie Prawa na Synaju, nadanie Mojżeszowi przykazań na Synaju. Zbierali się w Jerozolimie, i właśnie do tych zgromadzonych Żydów przemówił wówczas Piotr. Trzecie święto, również bardzo ważne, jest obchodzone jesienią. To jest święto Namiotów, zwane w staropolskim języku świętem Kuczek lub świętem szałasów. Obchodzi się je w drugiej połowie września, i upamiętnia ono pobyt Izraelitów na pustyni w drodze do Ziemi Obiecanej.

Przy okazji święta Pięćdziesiątnicy, gdy Żydzi się zebrali, Piotr wychodzi do swoich rodaków, i pragnie im mówić o Jezusie. Myślę, że teraz lepiej państwo zrozumieli trudność jego sytuacji. Otóż z jednej strony Piotr zdaje sobie sprawę z tego, że w Jezusie Bóg w przedziwny i tajemniczy sposób wszedł w dzieje ludzkości. Ale z drugiej strony Piotr nie może powiedzieć otwarcie, że oto Jezus jest Bogiem. Bo jego słuchacze mogliby zrozumieć że on sugeruje, iż obok jednego Boga istnieje jak gdyby drugi Bóg. W związku z tym w swoim przemówieniu — jest to pierwsze przemówienie głowy Kościoła — Piotr najpierw cofa się do czasów Starego Testamentu i ukazuje ich mesjański dynamizm. To znaczy ukazuje, że czasy Starego Testamentu były czasami oczekiwania na wielką ingerencję Bożą, że były czasami tęsknoty, że były czasami pragnienia. Że prorocy zapowiadali to przedziwne wejście Boga w ludzkie dzieje, chociaż nie umieli go do końca wyrazić słowami. Następnie przychodzi do przypomnienia życia Jezusa Chrystusa. Proszę pamiętać, że to wszystko wyraziło się zaledwie w siedem tygodni po ukrzyżowaniu. I Piotr bardzo mocno mówi o tym ukrzyżowaniu, i wręcz powiada do zebranych tak:

> Mężowie izraelscy, słuchajcie tego, co mówię: Jezusa Nazarejczyka, Męża, którego posłannictwo Bóg potwierdził wam niezwykłymi czynami, cudami i znakami, jakich Bóg przez Niego dokonał wśród was, o czym sami wiecie, tego Męża, który z woli postanowienia i przewidzenia Bożego został wydany, przybiliście rękami bezbożnych do krzyża i zabiliście.

Otóż Piotr ukazuje współczesnemu sobie pokoleniu, tym słuchaczom, ich odpowiedzialność za to, co się stało na Kalwarii. Można by powiedzieć, że to jest szczyt uniżenia Boga. Otóż ten mąż, od dawna oczekiwany, ten prorok, ten wspaniały cudotwórca, został przybity do krzyża i ukrzyżowany. Można by powiedzieć, że był to prorok, któremu się nie powiodło. Można by powiedzieć, że był to prorok, którego nie posłuchano. I Szczepan w swojej mowie późniejszej wytyka rodakom, i mówi tak:

> Wy zawsze sprzeciwialiście się Duchowi Świętemu.

Tak jak ojcowie wasi zabijali proroków, i wyście jeszcze raz przyłożyli gwóźdź do trumny Jezusa. Na to oburzeni rodacy porwali się na niego, zaczęli zgrzytać zębami, wołać przeciwko niemu. W końcu wywlekli go za miasto, i ukamienowali.

Gdyby Piotr skończył na śmierci Jezusa, to można by powiedzieć, że osoby wrażliwe by się wzruszyły, inne by się obruszyły, i na tym by się skończyło. Ale tutaj Piotr przechodzi do tego, co stanowi o absolutnej nowości, i mówi:

> Lecz Bóg wskrzesił Go, zerwawszy więzy śmierci, gdyż niemożliwe było, aby ona panowała nad Nim, bo Dawid mówi o Nim: ...

Otóż Piotr mocno akcentuje zmartwychwstanie. Ale zmartwychwstanie jest czymś tak nowym, że Piotr mówi do swoich rodaków: „Już w Starym Testamencie, już w Psalmach dawidowych, była nadzieja na zmartwychwstanie. Już wtedy, kiedy Dawid układał swoje psalmy w X wieku przed Chrystusem, wskazywał na Bożego posłańca, który pokruszy więzy śmierci. Zwróćmy uwagę — bez przerwy to sobie przypominamy, niemal na każdej konferencji — tym, co przesądziło o nowym spojrzeniu na Jezusa było Jego zmartwychwstanie. To mówi Piotr, to mówił Paweł, to mówili inni apostołowie: „Gdyby Chrystus nie zmartwychwstał, próżna jest nasza wiara". Z wiary w zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa bierze się również, i na niej się opiera, wiara w nasze zmartwychwstanie.

Kim więc był Jezus, który umarł, i który zmartwychwstał? Jak to wyrazić w języku Starego Testamentu przemawiając do Żydów zebranych w Jerozolimie? Mamy tutaj pierwszą katechezę, którą moglibyśmy nazwać katecheza judeochrześcijańska, czyli katecheza adresowana do chrześcijan pozyskanych z judaizmu. Piotr, zwracając się do nich, cały czas podkreśla tę nowość zmartwychwstania, a jego przemówienie kończą znamienne słowa. Piotr powiedział tak:

> Niech więc cały dom Izraela wie z niewzruszoną pewnością, że tego Jezusa, którego wyście ukrzyżowali, uczynił Bóg i Panem, i Mesjaszem.

To jest sedno wystąpienia Piotra: *Niech dom Izraela wie z niewzruszoną pewnością, że tego Jezusa, którego wyście ukrzyżowali, Bóg uczynił Panem, i Mesjaszem.* Przyjrzyjmy się temu. Piotr nie mógł na tym etapie, siedem tygodni po zmartwychwstaniu, powiedzieć „Ukrzyżowaliście Boga". Bo ukrzyżowano człowieka. Świadomość, że w tym człowieku został ukrzyżowany Bóg, musiała z trudem torować sobie drogę do sumień i serc ówczesnych Izraelitów. Ale Piotr mówi: „ten Jezus, którego wyście ukrzyżowali, Bóg uczynił Go" — a to słowo greckie, Dzieje Apostolskie są napisane po grecku, jest niezwykle tajemnicze. Można by je przetłumaczyć na polski *Bóg uczynił Go,* albo *Bóg sprawił, że stał się, Bóg sprawił, Bóg dokonał, Bóg urzeczywistnił, Bóg dał* — na rozmaite sposoby można to przetłumaczyć, że On jest Panem i Mesjaszem.

I tu w języku greckim mamy dwa słowa. Mianowicie to brzmi po grecku, że uczynił Go: Kyrios i Kaj Christos. „Kyrios" — tak jak mówimy «Kyrie Elejson» — znaczy dosłownie po grecku „Pan". W greckim przekładzie Starego Testamentu Kyrios oznaczało zawsze Boga. Ono było odpowiednikiem hebrajskiego Jahwe — Pan. „Jahwe" nie wolno było wymawiać, po dzień dzisiejszy ortodoksyjni Żydzi tego imienia nie wymawiają, zastępują je słowem „Adonai". Natomiast greckim odpowiednikiem hebrajskiego Adonai jest Kyrios.

Piotr po raz pierwszy, zwracając się do rodaków, mówi że Jezus, którego ukrzyżowaliście, to Kyrios. Oraz to Christos czyli Mesjasz, to Pomazaniec, to Bóg i Mesjasz. Nie wyjaśnia jeszcze, jak to było możliwe. Dlaczego nie wyjaśnia? Bo sam tego nie rozumiał. Sam musiał dochodzić do tej wiary i myśleć, jak to jest możliwe, żeby Bóg stał się człowiekiem, i co to oznacza. Ale zdawał sobie sprawę, że przez zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa miał do czynienia, i odtąd będzie miał do czynienia, z kimś niezwykłym.

W ten sposób Piotr zachęca swoich rodaków *nie do uwierzenia Jezusowi*, bo to było za mało, tylko do pójścia dalej, *do uwierzenia w Jezusa*. W Jezusa jako Pana, jako Kyriosa, jako Boga. Jezus, mówi Piotr, to Bóg i Mesjasz. To Bóg i ów Boży Posłaniec, którego Bóg zamierzył. Później wierzący będą się zastanawiać jak to jest możliwe, jak to wyrazić, że *Bóg zrodził i posłał.* I używając ludzkiego języka mówią: jest Bóg Ojciec, i jest Syn Boży. Rodzą się powoli zręby teologii, którą nazywamy trynitarną: trzy Osoby Boskie, bo dochodzi jeszcze wiara w Ducha Świętego, którego żywą, osobową obecność coraz bardziej czują. W ten sposób tworzą się zręby, podstawy tego, co nazywamy dzisiaj *chrystologią.* A więc nauczaniem, pojmowaniem, przyjęciem Chrystusa. Kim jest Chrystus? Piotr mówi: jest Bogiem, jest Mesjaszem. Jaka była odpowiedź?

> Gdy to usłyszeli, przejęli się do głębi serca.

Zwróćmy uwagę, że taka była reakcja pierwszych Żydów. Przejęli się do głębi serca. I dalej:

> «Co mamy czynić, bracia?» — zapytali Piotra i pozostałych Apostołów. «Nawróćcie się — powiedział do nich Piotr — i niech każdy z was ochrzci się w imię Jezusa Chrystusa na odpuszczenie grzechów waszych, a weźmiecie w darze Ducha Świętego.

Tak rodzi się w Jerozolimie pierwszy Kościół. Do tej pory to było tylko grono Dwunastu, Najświętsza Maria Panna, może jeszcze ktoś – ale nieznany z imienia. A teraz, po tej katechezie skierowanej do Żydów, do tych Judejczyków mieszkających w Jerozolimie, i przybyszów słuchających Piotra, rodzi się Kościół złożony z judeochrześcijan. Tego dnia przyjęło chrzest trzy tysiące osób. Narodziny Kościoła to jest dzień Pięćdziesiątnicy, dzień Zesłania Ducha Świętego. Ile razy przychodzą Zielone Świątki, ile razy przychodzi dzień Zesłania Ducha Świętego, można by powiedzieć: *to jest dzień narodzin Kościoła.* Czas Jezusa się skończył, rozpoczyna się czas Kościoła.

Ale co to za Kościół? Otóż jest to Kościół złożony z Żydów, i tylko z Żydów na tym etapie. Ten Kościół złożony z Żydów, z judeochrześcijan, miał przedziwne losy, przedziwne dzieje. Oni w tym pierwszym pokoleniu zastanawiali się bardzo mocno, bardzo głęboko, kim jest Jezus. Jak to wyrazić w języku Starego Testamentu.

Parę tygodni temu ukazała się w Wydawnictwie Apostolstwa Modlitwy w Krakowie książka „Teologia judeochrześcijańska". Jej autorem jest Jean Danièlou. Książka napisana ponad trzydzieści lat temu, autorem jest dominikanin, zmarły prawie trzydzieści lat temu. Książka jest znakomita, wspaniała. Napisana jest trudnym językiem francuskim. I kiedyś, dwadzieścia parę lat temu, kiedy zacząłem ją czytać, nie mogłem przez nią przebrnąć. Natomiast kiedy została wydana po polsku, w ubiegłym tygodniu przeczytałem ją całą. Jest to lektura fascynująca, niestety nie łatwa. Nie jest tak, że każdy może po nią sięgnąć, i każdego ona zainteresuje, bo wymaga ona jakiegoś przygotowania teologicznego.

Sens jej jest mniej więcej taki. Jean Danièlou próbuje odtworzyć wierzenia tych, którzy uwierzyli w Jezusa jako pierwsi. I próbuje pokazać, dotrzeć do zachowanych różnych świadectw z I i II wieku, a takie świadectwa na szczęście istnieją, i próbuje odtworzyć, poznać, w jaki sposób oni wyrazili swoją wiarę w Jezusa. Czyli jak w kategoriach mentalności żydowskiej wyrazić nowość chrystologiczną, czyli nowość osoby i posłannictwa Jezusa Chrystusa.

I Jean Danièlou przygląda się, jakie były rozmaite trudności, jakie były kłopoty, jakie były spory — jak nazwać Jezusa? W końcu byli tacy Żydzi, którzy pozostali przy tym, że Jezus jest wielkim prorokiem. Jest wspaniałym człowiekiem, jest wielkim mężem, że jest Mesjaszem. Ale nie przeszli przez tę barierę, która była dla nich nie do pokonania — mianowicie nie uznali w Nim Syna Bożego. Bo nie mogli tego pogodzić z jedynością Boga. I w ten sposób — pokazuje Danièlou — judeochrześcijaństwo podzieliło się na dwa odłamy. Mianowicie na judeochrześcijan ortodoksyjnych, którzy uznali, przyjęli i wyznawali w Jezusie i Boga, i Mesjasza, oraz jak ich nazywa, chrześcijan heterodoksyjnych czyli takich, którzy przez barierę synostwa Bożego nie przeszli, i zatem w gruncie rzeczy nie stali się chrześcijanami. A to z tego względu, że aby być chrześcijaninem trzeba uwierzyć w Boże Synostwo Jezusa, a więc przyjąć również prawdę o Bogu, który jest w Trójcy Świętej jedyny.

Książka jest znakomita, bo pokazuje też jak te wierzenia przełożyły się na ich życie, jak wyglądało życie pod koniec I wieku, i w II wieku. Jakie były wówczas tendencje, między innymi tendencje ascetyczne, tendencje również w życiu małżeńskim, powiedzmy sobie: do ofiarowania swojego życia itd. A wszystko to jest bardzo ciekawe, nie możemy się niestety nad tym skupić. Ale myślę, że z pierwszej części Dziejów Apostolskich państwo zapamiętali jedno najważniejsze: mianowicie rozprzestrzenianie się Ewangelii wśród Żydów.

Otóż Żydzi coraz chętniej i coraz częściej przyjmowali Ewangelię. I wtedy też, w pierwszej części Dziejów Apostolskich widać to doskonale, nastąpił sprzeciw ze strony władz żydowskich. Owe władze obróciły się przeciwko Apostołom, obróciły się przeciwko głosicielom dlatego, że uznali to za swoisty zamach, także na swoją hegemonię w ówczesnym życiu religijnym. Nastąpił konflikt. I ślady tego konfliktu, elementy tego konfliktu są widoczne zarówno w nauczaniu i w losie św. Szczepana, jak i później wtedy, kiedy dochodzi do napięć między Piotrem i między tymi, którzy w jego czasach żyli.

I wówczas — i to jest drugi punkt kluczowy w Dziejach Apostolskich — Piotr wychodzi z Jerozolimy. Bo w Jerozolimie zaczęły się prześladowania tych chrześcijan, którzy stali się wyznawcami Jezusa Chrystusa. Piotr uchodzi nad Morze Śródziemne. Jest tam słynny epizod, kiedy Piotr zatrzymał się w Jaffie, w Joppe — jak ją nazywano w starożytności, i do drzwi Piotra pukają posłańcy. Okazuje się, że przybyli z Cezarei Nadmorskiej, od setnika rzymskiego Korneliusza. I proszą Piotra, żeby przybył do domu Korneliusza. Piotr się wzbrania. Ma sen, w którym widzi rozmaite pokarmy, czyste i nieczyste, koszerne i niekoszerne. Bóg mówi: «Spożywaj to, co masz». Piotr się wzbrania,

mówi: «Panie, ja w życiu nie spożyłem nic nieczystego». A Bóg odpowiada, czy ów głos odpowiada: «Nie nazywaj nieczystym tego, co Bóg oczyścił». I Piotr się budzi. Za chwilę to pukanie do drzwi. I uświadamia sobie, że ten sen jest znakiem, jest symbolem tego, co właśnie przeżywa. Że powinien zwrócić się nie tylko do świata Żydów, ale również do świata pogan. Bo do tej pory do nich nie szedł. I przełamując się idzie z tymi dwoma wysłańcami Korneliusza, udaje się czterdzieści kilometrów na północ, do Cezarei, staje przed setnikiem i powiada: «Przybyłem tutaj. Wiesz dobrze, że Żyd nie powinien wstępować do domu poganina. Dlaczego mnie tu wezwałeś?»

Otóż to jest kolejny kluczowy moment Dziejów Apostolskich — rozdział 10. Kiedy Piotr staje przed poganinem i dowiaduje się, że ten poganin jest sprawiedliwym i dobrym człowiekiem. Okazuje się więc, że ziarna dobra, i przychylności wobec dobra, są w ludziach niezależnie od ich religii, niezależnie od ich wierzenia. I Piotr przekonuje się, że oto teraz trzeba zwrócić się ku poganom, i im również głosić Ewangelię. Przeczytajmy fragment tego przemówienia Piotra:

> Piotr przemówił w dłuższym wywodzie: «Przekonuję się, że Bóg naprawdę nie ma względu na osoby. Ale w każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje sprawiedliwie.

Dalej Piotr pokazuje, na czym polegało wybranie Izraela. Na czym polegała ekonomia Starego Testamentu. Przypomina osobę Jezusa Chrystusa. A kiedy to wszystko przypomniał, to mówi tak:

> Bóg wskrzesił Go trzeciego dnia i pozwolił Mu ukazać się nie całemu ludowi, ale nam, wybranym uprzednio przez Boga na świadków, którzyśmy z Nim jedli i pili po Jego zmartwychwstaniu. On nam rozkazał ogłosić ludowi i dać świadectwo, że Bóg ustanowił Go sędzią żywych i umarłych. Wszyscy prorocy świadczą o tym, że każdy, kto w Niego wierzy, przez Jego imię otrzymuje odpuszczenie grzechów».

A więc zbawia wiara w Jezusa Chrystusa. I wiara w Jezusa zyskuje odpuszczenie grzechów. Piotr zaczyna dostrzegać, że o ile ekonomia Starego Testamentu była ograniczona do Izraelitów, o tyle zbawienie przyniesione przez Jezusa Chrystusa wychodzi poza ramy Izraela i staje się udziałem całej ludzkości. Piotr doszedł do tego nie własnymi siłami, doszedł do tego pouczony i przekonany przez Boga. I wtedy:

> Kiedy Piotr jeszcze mówił o tym, Duch Święty zstąpił na wszystkich, którzy słuchali nauki. I zdumieli się wierni pochodzenia żydowskiego, którzy przybyli z Piotrem, że dar Ducha Świętego został wylany także na pogan.

Państwo popatrzą, pierwsze wylanie Ducha Świętego miało miejsce w Jerozolimie, a jego uczestnikami stali się Żydzi, którzy byli tam zgromadzeni. Drugie wylanie Ducha Świętego miało miejsce w Cezarei Nadmorskiej, a jego uczestnikami stali się poganie. Jakby dwa zesłania Ducha Świętego, i zespolenie dwóch części podzielonej ludzkości — Żydów i pogan. Można zatem powiedzieć, że nasze korzenie — chrześcijan, którzy wywodzimy się z praodległych przodków z pogaństwa — są właśnie w Cezarei, tutaj, kiedy Piotr doświadczył tego zesłania Ducha Świętego na pogan. A jego skutki?

> Słyszeli bowiem, że mówią językami i wielbią Boga. Wtedy odezwał się Piotr: «Któż może odmówić chrztu tym, którzy otrzymali Ducha Świętego tak samo jak my?» I rozkazał ochrzcić ich w imię Jezusa Chrystusa.

W ten sposób pierwsi poganie stali się chrześcijanami. Kościół, który do tej pory składał się z judeochrześcijan, zaczyna składać się również z poganochrześcijan, chrześcijan pochodzenia pogańskiego. Doprowadzi to wkrótce do bardzo silnych konfliktów. Bo jaki problem się pojawi? Widzieli to państwo w 15 rozdziale Dziejów Apostolskich. Problem będzie polegał na tym, że oto część chrześcijan żydowskiego pochodzenia naucza, że aby stać się chrześcijaninem to człowiek, będący przedtem poganinem, musi poddać się wszystkim przepisom żydowskim. Ku tej opinii przychyla się również Piotr, i przychyla się Jakub. Natomiast tej opinii przeciwny jest wielki apostoł pogan

św. Paweł. W tych warunkach dochodzi do pierwszego zgromadzenia Apostołów, do Soboru Jerozolimskiego. Po długich debatach następuje rozstrzygnięcie. Poganie, którzy wchodzą do Kościoła, nie muszą poddawać się rygorom Starego Testamentu. Mężczyźni nie muszą być obrzezani, mężczyźni i kobiety nie muszą zachowywać żydowskich przepisów pokarmowych.

Dlaczego? Dlatego, że *dostępujemy zbawienia nie dzięki żydowskiemu prawu, lecz dzięki wierze w Jezusa Chrystusa.* Gdy — tam było takie piękne zdanie — wierni pochodzenia pogańskiego dowiedzieli się o tym, przyjęli to rozstrzygnięcie z radością. I wówczas Paweł wraca z tym rozstrzygnięciem do Antiochii i powiada tamtejszym chrześcijanom pogańskiego pochodzenia: „Nie musicie stawać się Żydami! Zbawił was Jezus Chrystus, i potrzebna jest wiara w Niego. Ona wystarczy, ale ona też jest niezbędna."

I tak misje chrześcijańskie, zwłaszcza te, których dokonywał św. Paweł, nabierają impetu. Nabierają rozpędu, szybkości, której nigdy przedtem nie miały. Kiedy Paweł dowiedział się, że już nie musi podróżować i namawiać do wierności żydowskiemu prawu, to wtedy wychodzi poza ramy synagogi, i do Kościoła wchodzą poganie.

Zdarzało się, jak w Antiochii w Pizydii, że Żydzi stawali się o to bardzo zazdrośni. Przypominają sobie państwo ów epizod, jak to Paweł z Barnabą wylądowali w Azji Mniejszej, poszli właśnie do Antiochii, weszli do synagogi. Tam nauczają. Przychodzą do nich zainteresowani Żydzi oraz tzw. prozelici, czyli poganie zainteresowani religią żydowską, i mówią: „Przyjdźcie jeszcze za tydzień". Apostoł przychodzi za tydzień, wtedy zebrało się jeszcze więcej ludzi. Paweł i Barnaba ich nauczają. I wówczas inni Żydzi ogarnięci zazdrością napuszczają pobożne a wpływowe kobiety. I te na skutek plotek doprowadzają do tego, że Paweł i Barnaba muszą się wynieść. I muszą pójść dalej.

I potem ten schemat będzie się powtarzał bardzo często. W różnych miastach ci Żydzi, którzy nie uwierzyli w Jezusa, organizują sprzeciw wobec apostołów, i na rozmaite sposoby ich przepędzają. Pewnego dnia, jak czytalismy w Dziejach Apostolskich, Paweł został nawet ukamienowany, to miało miejsce w Listrze. W gruncie rzeczy później Dzieje Apostolskie są to dzieje sprzeciwu wobec misji Apostoła.

Taki więc jest sens Dziejów Apostolskich — przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej. Przejście od wiary żydowskiej do wiary chrześcijańskiej. Przejście od wiary w Boga Jedynego do wiary w Boga Jedynego, który jest Ojcem, i Synem i Duchem Świętym. Jan Paweł II, kiedy w 79 roku, w rok po wyborze na Stolicę Piotrową, udał się do Efezu w Azji Mniejszej, to w swojej przepięknej homilii powiedział, że przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej dokonało się najpierw w Najświętszej Maryi Pannie. To Ona przyjęła Jezusa jako Syna Bożego i Ona uwierzyła w Niego jako pierwsza. A potem drogą Maryi poszli apostołowie, uczniowie, a wreszcie my. To z tego względu, że Maryja uwierzyła jako pierwsza, jest Ona Matką Kościoła. Ona była również obecna w dzień Zesłania Ducha Świętego, kiedy Kościół się rodził. Z tego względu Jej wiara jest natchnieniem dla naszej wiary, dla wiary nas, którzy również przyjmujemy Boga w Trójcy Świętej jedynego. Kiedy tak popatrzymy na Dzieje Apostolskie, to wszystko inne to szczegóły. **Bo to co najważniejsze, to radykalne przejście do nowości wiary w Jezusa**.

Inne aspekty tego przejścia zobaczą państwo w Ewangelii św. Jana. Zapraszam na następne spotkanie za cztery tygodnie, 17 marca. Jak powiedziałem, będzie to czas Wielkiego Postu, Zostało nam 28 dni, a Ewangelia Jana ma 21 rozdziałów. Zapewne starczy więc czasu, żeby przekartkować sobie Dzieje Apostolskie, zwłaszcza rozdział 2-gi, 10-y, 15-y, bo to są takie kluczowe miejsca. I starczy czasu, żeby sięgnąć po Ewangelię św. Jana. Kiedy państwo będą ją czytać, proszę mieć w głowie myśl tylko jedną. Mianowicie Jan, kiedy spotkał Jezusa i chodził z Jezusem, był kilkunastoletnim chłopcem. Przez całe życie zastanawiał się kim Jezus jest. Gdy pisał swoją Ewangelię, był starcem. W jego Ewangelii znajdujemy już dojrzałą refleksję na temat tego, kim jest Jezus.

I proszę zatem zwrócić uwagę jak Jan dochodził od zawierzenia Jezusowi do wiary w Jezusa. W tej Ewangelii jest to widoczne. Jest to Ewangelia bardzo głęboka, i z tego powodu bardzo piękna — bo ona wyrosła z wiary, i ma tę wiarę budować. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. I do zobaczenia za cztery tygodnie.

5.6 Ewangelia św. Jana (17 marca 2003)

Pamiętają państwo, że jako przedmiot do czytania i do medytacji w ostatnim miesiącu, w ciągu tych czterech tygodni, które minęły od ostatniego spotkania, uczyniliśmy Ewangelię św. Jana. Można powiedzieć, że pod wieloma względami jest to najtrudniejsza z Ewangelii kanonicznych. Ale z innego punktu widzenia można by powiedzieć, że zawiera ona takie treści, które nam chrześcijanom, po już dobrych dwudziestu wiekach wiary chrześcijańskiej, najłatwiej jest zrozumieć. Bo ma ona strukturę nieco inna, niż tamte trzy pozostałe Ewangelie, które czytaliśmy wcześniej, i które noszą nazwę synoptycznych — a więc takich, które można razem oglądać, porównywać, które można zestawiać ze sobą. Ta jest inna. I bardzo chciałbym dzisiaj tę jej inność wydobyć, pokazać. Jednocześnie chciałbym żeby państwo, zwłaszcza ci — a takich jest z pewnością więcej — którzy przeczytali tę Ewangelię, mogli również znaleźć, spotkać te treści, o których będziemy mówili, i przypomnieć je sobie z własnej, osobistej lektury czwartej Ewangelii kanonicznej.

Dlaczego ta Ewangelia różni się od pozostałych? Wspominaliśmy o tym przy innych okazjach, i dzisiaj od tego trzeba zacząć. Powstała ona najpóźniej ze wszystkich, pod koniec I wieku. Rozmaicie jest datowana. Jedni mówią, że jeszcze w latach osiemdziesiątych, może 85. pierwszego wieku. Inni mówią, że bliżej roku setnego, może gdzieś około roku 95. Czyli mniej więcej 50 – 60 lat po śmierci i po zmartwychwstaniu Zbawiciela. To jest dostatecznie długi okres, żeby nie polegać już tylko na szczegółach, ale żeby zastanowić się nad znaczeniem tego, co się przeżyło, nad znaczeniem tego, czego człowiek doświadczył. Stara chrześcijańska tradycja mówi, że autorem tej Ewangelii jest św. Jan — Apostoł i Ewangelista.

Aczkolwiek w tradycji jest również także, że był to Jan Prezbiter. I przez wiele stuleci trwała dyskusja uczonych, czy Jan Apostoł i Ewangelista — ten najmłodszy, który spoczywał na piersi Jezusa podczas Ostatniej Wieczerzy, i Jan Prezbiter, to jedna i ta sama osoba, czy też są to dwie osoby. Nas ta dyskusja dzisiaj tak mocno nie interesuje, bo jedno nie ulega wątpliwości. Mianowicie ta Ewangelia, nazwana Ewangelią św. Jana, nie została nazwana tak przypadkowo, ponieważ ona powstała — jeżeli tak można powiedzieć: jeżeli nie z ust świętego Jana, to w jego najbliższym środowisku. I to właśnie wpłynęło na niezwykły charakter tej Ewangelii. Bo wiedzą państwo że Jan, ten apostoł, kiedy przebywał z Jezusem, to był chłopcem zaledwie kilkunastoletnim, najmłodszym spośród Apostołów. On jako jedyny nie przeżył śmierci męczeńskiej, została mu oszczędzona, dożył późnej starości. Jak mówi tradycja starochrześcijańska najpierw przebywał w Efezie, gdzie zresztą znajduje się jego grób, ale dopełnił swojego życia na pobliskiej wyspie Patmos. Stamtąd jego ciało zostało później sprowadzone do Efezu. Do dnia dzisiejszego w Efezie, dzisiaj jest to tureckie miasto Seldzuk, znajduje się potężna świątynia wybudowana w VI wieku po Chrystusie, później kilkakrotnie burzona. Dzisiaj jej ruiny są nadal bardzo imponujące. W centralnym miejscu tej potężnej świątyni, która górowała nad całą okolicą, jest właśnie grób św. Jana.

Zastanówmy się teraz: jaka jest percepcja, jaki jest sposób przeżywania młodości przez człowieka starszego? Tu odwołam się do pewnego doświadczenia, które zawarł w jednym ze swoich wierszy ksiądz Jan Twardowski. On zwrócił uwagę na to, że dzieci biegają gromadami. Młodzi i dorośli chodzą parami. Natomiast ludzie starsi i starcy chodzą samotnie. I właśnie to przejście od dzieciństwa, kiedy człowiek biega gromadą, do młodości i do dojrzałości, gdy chodzimy parami, do czasu, kiedy człowiek jest stary i ma wreszcie sposobność, jeżeli dożyje tej starości, zastanowić się nad sobą, właśnie ta rzeczywistość i ta alegoria, ta metafora pod pewnymi względami, może nam służyć jako punkt wyjścia do naszej refleksji.

Otóż Jan jako młody chłopiec biegał za Jezusem. Dlaczego mówię „młody chłopiec”? Zwróciłem już kiedyś państwu uwagę, że Jan był jedynym Apostołem, który przebywał pod Krzyżem. Jednym można to tylko wytłumaczyć — nie tylko jego odwagą, a nawet nie jego odwagą, ale czymś odmiennym. Mianowicie: pozostali Apostołowie pouciekali, ponieważ byli dorośli. W świetle żydowskiego prawa dorosłym i odpowiedzialnym za swoje czyny jest chłopiec, który skończył 13 lat. Wygląda na to, że Jan pod krzyżem Jezusa nie skończył jeszcze 13 lat. Może miał ich 11, 12, może zbliżał się do tych 13, ale prawo żydowskie jakby go nie dotyczyło. W przeciwnym bowiem wypadku zostałby potraktowany tak, jak pozostali Apostołowie, a może nawet jak sam Jezus.

Można by powiedzieć naszym językiem, że był dzieckiem. Ale ci z państwa, którzy byli na Bliskim Wschodzie i którzy znają kraje śródziemnomorskie, wiedzą, że tam 12 - 13 letni chłopiec,

podobnie jak dziewczyna, to już nie jest dziecko, ale właśnie młodzieniec. To jest tak, jak nasz początek wieku gimnazjalnego, ale na południu wygląda to jeszcze inaczej, i jeszcze dojrzalej.

Kiedy więc Jan był z Jezusem, to możemy powiedzieć, że razem ze swoimi rówieśnikami, ale także w gronie Apostołów, za Nim biegał. To również tłumaczy fakt, że w decydujących momentach Jan był najbliżej Jezusa, że był traktowany jako swoisty beniaminek tak, jak, powiedzmy, najmłodsze dziecko w grupie kolonijnej czy na wakacjach. Był traktowany jak taki, powiedzmy sobie, ulubieniec Jezusa. I w decydujących momentach był tak bardzo blisko Niego, że ta bliskość dawała bardzo wiele do myślenia, i była bardzo serdeczna. Podczas Ostatniej Wieczerzy właśnie Jan oparł głowę na pierś Jezusa, na skroń Jezusa. Ten obraz uwiecznił w swojej artystycznej pięknej wizji Leonardo da Vinci, i tylu innych artystów.

I ten właśnie młody chłopak, dla którego wtedy Jezus okazał się wszystkim, stał się również, i to jest też bardzo ważne, jednym z pierwszych świadków zmartwychwstania Jezusa. Przypomną sobie państwo taki epizod z Ewangelii — który będziemy raz jeszcze słyszeć, jeżeli dożyjemy do świąt Zmartwychwstania Pańskiego — jak to kobiety, które poszły rano namaścić ciało Jezusa rano po szabacie, wracają przerażone mówiąc, że ciała nie ma, i że miały widzenie, że Jezus zmartwychwstał. Ta wieść staje się udziałem Piotra i Jana. Wyruszają oni w kierunku pustego grobu. I Jan pobiegł pierwszy, a Piotr szedł z tyłu. Piotr był już dorosłym człowiekiem, a Jan był jeszcze młodym chłopcem. I kiedy Jan doszedł do grobu, to do grobu nie wszedł, tylko zaczekał na Piotra. I Piotr stał się pierwszy świadkiem pustego grobu, a Jan — zaraz po Piotrze. A więc Jan, który był przy śmierci Jezusa, i Jan, który jako jeden z pierwszych ujrzał pusty grób, i otrzymał tę wieść o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa.

Te dwa wydarzenia, tak bardzo istotne obok tylu innych, mianowicie obecność na Kalwarii, i obecność przy pustym grobie, wywarły trwały wpływ na życie Jana Apostoła. To właśnie w świetle tych dwóch wydarzeń on patrzył na wszystko, co przeżył przedtem. I można by uprzedzając to, co powiemy na temat tej Ewangelii, powiedzieć tak: jest to Ewangelia, która patrzy na całe życie Jezusa przez pryzmat krzyża, i przez pryzmat zmartwychwstania. Krzyż i zmartwychwstanie, Golgota i pusty grób — to są te dwa wymiary, które zdecydowały o tym, że życie Jezusa jest oglądane właśnie z tej perspektywy. Jan zastanawiał się nad tym i głosił tego Jezusa, którego tak przeżył, wszędzie tam gdzie poszedł. A pamiętamy, że nauczał na terenie Azji Mniejszej, zwłaszcza w okolicach Efezu. A później już w samotności kontemplował to, co przeżył.

Pewnie mało kto spośród nas tutaj ma takie doświadczenie późnej starości. Jeżeli zdrowie nam sprzyja i jeżeli sprzyjają nam siły duchowe, to późna starość zawsze powinna być czasem refleksji, medytacji, kontemplacji nad tym, co człowiek przeżył i czego doświadczył. Taką na pewno była starość św. Jana. Widać to z pism, które są związane z jego imieniem: nie tylko z Ewangelii, ale także z Apokalipsy i z trzech Listów św. Jana. Gdy czytamy te listy, to dominuje tam jedno wezwanie: mianowicie pamięć o Chrystusie, i wezwanie do bratniej miłości. Nad czym więc, możemy się domyślać, zastanawiał się Jan przez całe życie, czemu poświęcił swoją Ewangelię, komu? Otóż zastanawiał się z pewnością nad tym, kim jest Jezus, którego on doświadczył. Kim jest Jezus, którego on zobaczył. Na to pytanie odpowiadali wszyscy Apostołowie. Ci, którzy stali się Ewangelistami, bądź którzy podyktowali swoją Ewangelię innym. Na to pytanie również odpowiadał św. Jan. Otóż wywarło to na nim ogromne wrażenie. Przypomnę państwu sam początek Pierwszego Listu św. Jana Apostoła, w którym napisał on tak:

> To wam oznajmiamy, co było od początku,
> co słyszeliśmy o Słowie życia,
> co ujrzeliśmy własnymi oczami,
> na co patrzyliśmy
> i czego dotykały nasze ręce

Otóż początek Pierwszego Listu św. Jana jest to zarazem dobry klucz do odczytania Ewangelii św. Jana. Mianowicie św. Jan daje poznać że to, co mówi o Jezusie, rodzi się z osobistego przeżycia. Jakie to jest przeżycie? Takie przeżycie, w które zaangażowane są wszystkie zmysły. Mianowicie *co usłyszeliśmy o Słowie życia, co ujrzeliśmy własnymi oczami, na co patrzyliśmy,* i *czego dotykały nasze ręce.* Pamiętam — żeby tutaj dać państwu jakąś analogię tego, odległą co prawda, ale mimo wszystko znaczącą — że do największych wydarzeń w moim życiu należał dzień 16 grudnia 2001

roku. Wtedy byliśmy w Rzymie z delegacją Uniwersytetu Kardynała Wyszyńskiego, i tam Ojciec Święty przyjął doktorat honoris causa. I jednym z punktów pobytu mieliśmy zaszczyt, kiedy ks. bp Dziwisz zaprosił przedstawicieli władz Uniwersytetu na niedzielny obiad z Ojcem Świętym. Czekaliśmy w pokoju przylegającym do jadalni jakieś pół godziny, bo przyszliśmy odpowiednio wcześniej. Przyszedł do nas ks. bp Dziwisz. W pewnym momencie zaproszeni rozpierzchli się, oglądali obrazy, jakieś widoki z okna itd., bo wszystko było bardzo ciekawe. I rozmawiałem z biskupem Dziwiszem. I zapytałem go, jak on, po 23 latach pobytu w Watykanie przeżywa to, co wydarzyło się w dziejach Polski po raz pierwszy i zapewne, w jakiejś perspektywie czasowej bardzo długiej, jedyny. Jak on czuje się tam przez 23 lata. On mówi: „Wie ksiądz, tak się czuję, jakbym tutaj był od godziny. Tak się czuję, jakby to wszystko było zupełnie nowe. Ja nie mogę w to wszystko uwierzyć, że to jest prawda. Ja nie mogę uwierzyć, że my tu jesteśmy." Po 23 latach biskup, który codziennie sprawuje posługę z papieżem, nie może uwierzyć, że tam jest! Proszę zwrócić uwagę, że gdybyśmy przenieśli to przeżycie niezwykłe, przeżycie biskupa i przeżycie tych, którzy mogą to oglądać, gdybyśmy przenieśli na spotkanie z Jezusem pierwszych jego uczniów i wyznawców, to myślę, że to zaskoczenie było jeszcze większe.

Mianowicie Jan Apostoł opowiada o tym co widział, co słyszał, na co patrzył, i czego dotykały jego ręce. Jakież musiało to być doświadczenie owego Jana, najpierw dorosłego, a później starca, który wracał pamięcią do swojego dzieciństwa i swojej młodości i odtwarzał to, co przeżył. Ale nad tym wszystkim dominowało pytanie: „Kim jest Jezus?" Jan, jak już państwu powiedziałem, nauczał w Efezie. Tam była wspólnota złożona z Żydów, ale byli to Żydzi bardzo silnie shellenizowani, to znaczy Żydzi pod silnymi wpływami kultury greckiej, myśli greckiej. Oni nie znali hebrajskiego, nie znali aramejskiego, oni mówili wyłącznie po grecku, obracali się w kręgu greckiej kultury. I jako swoje Pismo Święte czytali Biblię Grecką czyli Septuagintę — przekład, którego dokonano mniej więcej 200 lat wcześniej w Aleksandrii. W czasach Jezusa, a potem w I wieku stał się on Pismem Świętym Żydów w diasporze, jak np. Biblia Tysiąclecia jest naszą Biblią. Otóż my nie znamy hebrajskiego, nie możemy czytać Pisma Świętego po grecku, do nas słowo Boże dochodzi w polskiej szacie językowej. I dla nas Pismem Świętym jest Biblia Tysiąclecia.

Dla św. Jana i dla jego greckich i żydowskich słuchaczy Pismem Świętym była Biblia Grecka, była Septuaginta. Oni myśleli o Bogu po grecku, oni wyrażali swoją wiarę po grecku. Ale państwo dobrze wiedzą, że ówczesna kultura grecka miała swoją rozwiniętą mitologię, swój sposób myślenia, swoje wspaniałe dzieła, swoich pisarzy, swoich artystów, swoich filozofów, wielkie sztuki teatralne, wielkie teatry, przedstawienia. To była kultura niedościgniona. Bo nawet dzisiaj jeszcze kiedy podróżujemy po Azji Mniejszej, to w odległości kilku, czasami kilkunastu kilometrów, widzimy teatry, które są obliczone np. na 10 tysięcy, na 15 tysięcy, na 20 tysięcy miejsc. Jeżeli tych teatrów było kilkadziesiąt na obszarze kilkuset kilometrów to znaczy, że kultura była częścią codzienności. Czy państwo mogą sobie wyobrazić np. dzisiaj teatry? Proszę zwrócić uwagę, że w naszej polskiej rzeczywistości mamy teatr w Warszawie, najbliższy na północy będzie w Olsztynie, i w Białymstoku albo w Gdańsku. Inny będzie w Łodzi albo w Poznaniu. Ale do tego teatru wejdzie kilkaset osób, a do niektórych mniejszych kilkadziesiąt osób. A tam kilkanaście tysięcy ludzi! Te teatry musiały być wypełnione. Dopiero później, kiedy Rzymianie zajęli całe to terytorium, zmieniono funkcję teatrów — stały się one nie tyle miejscami przedstawień, nie tyle sztuki, ile raczej rozmaitego okrucieństwa, zapasów, boksu, różnych innych okrutnych sportów. Ale to było później. W czasach św. Pawła, i w czasach św. Jana, ta kultura była bardzo wysoka.

Jaki był problem Jana Ewangelisty? Jak to, co przeżył z Jezusem i obok Jezusa, wyrazić w języku kultury greckiej, w języku kultury hellenistycznej. Ale w takim języku, który nie byłby adresowany wyłącznie do pogan, ale również do Żydów. Jak powiedzieć Żydom i jak powiedzieć poganom: *kim jest Jezus?* Proszę zauważyć — ja nie mówię: *kim był Jezus* dlatego, że Jezus dla św. Jana nie przeszedł do przeszłości. Jan nie traktował Jezusa jako człowieka, który umarł, i jego historia zakończyła się. Dla Jana Jezus był wciąż żywy, bo Jan doświadczył Jego zmartwychwstania. Jan był świadkiem Jego zmartwychwstania. Jan był świadkiem i uczestnikiem Chrystofanii, tych ukazywań się Jezusa, które miały miejsce w Wieczerniku. Więc dla Jana przejście przez śmierć, i jakby wyjście Jezusa z tego świata, nie było do końca spełnione, bo on wiedział, że Jezus, który umarł, żyje!

Jak to wyrazić, jak to powiedzieć? Można było o tym mówić tak, jak my teraz mówimy, opisowo. I w gruncie rzeczy czytając Ewangelię św. Jana zauważyli państwo na końcu, że tam są opisy wła-

śnie tych ukazywań się Jezusa zmartwychwstałego, i opisy Jego obecności. *Ale Jan jako pierwszy dokonał czegoś znacznie więcej. Mianowicie swoją wiarę wyraził w pewnym systemie myślenia. Czyli swoją wiarę zamienił w teologię.* Proszę zwrócić uwagę, to nie jest łatwe. Bo czasami coś czujemy, coś przeżywamy bardzo głęboko. Np. może to być przywiązanie do drugiego człowieka, może to być jakieś wielkie cierpienie, może to być jakieś wielkie przeżycie duchowe. Ale wyrazić to w sposób zrozumiały dla innych nie jest rzeczą prostą. Tymczasem Jan przeżył niezwykłe spotkanie z Jezusem, o który wiedział, że jest prawdziwym człowiekiem, i że jest prawdziwym Bogiem. I to spotkanie z prawdziwym człowiekiem i prawdziwym Bogiem ma wyrazić w języku kultury hellenistycznej.

Pamiętają państwo, że taki sam dylemat miał również pierwszy Ewangelista, czyli św. Marek. Na początku Ewangelii św. Marka, o której mówiliśmy, że jest to Ewangelia św. Piotra, czytamy słowa: „Ewangelia o Jezusie Chrystusie, Synu Bożym". Tak to wyraził Marek. A Jan, kilkadziesiąt lat później, może 30, może 40 lat później, chce to wyrazić jeszcze głębiej. Ale jak? Ma do dyspozycji tylko słowa. Te słowa, które były znane w jego kulturze. A jakie miał niebezpieczeństwa czy zagrożenia z tym związane?

Zagrożenia były dwa. Myślę, że po tych konferencjach państwo to dobrze rozumieją, zwłaszcza pierwsze z nich, bo przedtem poświęciliśmy mu sporo uwagi. Mianowicie Jan mógł nauczać, że Jezus jest Bogiem. Ale Żydzi zarzuciliby mu, że Bóg jest jeden jedyny. W jaki sposób Jezus jest Bogiem, skoro Bóg jest jedyny? I tutaj Jan staje na progu trudności, jak to wyjaśnić Żydom, żeby ich uchronić przed zagrożeniem politeizmu. Żeby nie zarzucili Janowi pogaństwa.

Z drugiej strony Grecy mogli bardzo łatwo zgodzić się na to, że Jezus jest Bogiem. Skoro mieli tyle rozmaitych bóstw, mają i Artemidę, i Zeusa, i bóstwa od tego czy innego aspektu życia — to dołożyć jeszcze jednego boga nie jest sprawą trudną. Przypomną sobie państwo taki epizod w Atenach, kiedy św. Paweł udał się do Aten. Spaceruje pod Akropolem, ogląda rozmaite miejsca, pomniki, i ogląda rozmaite bóstwa. I w pewnym miejscu jest tylko podstawa pod pomnik. A na niej napis: Ignoto Deo (łac.) — *Nieznanemu Bogu.* Czyli gdyby się jakiś nowy Bóg objawił, to mu Ateńczycy powiedzą: „My przecież na ciebie czekaliśmy, tu jest twoje miejsce." Taka pokusa mogła sprawić, że kiedy św. Jan mówi, że Jezus jest Bogiem, to Grecy powiedzą: „Oczywiście, że jest bogiem. Takim, jak inne bóstwa, które czcimy." To były zagrożenia związane z głoszeniem przekonania, przeżytego przekonania, że Jezus jest Bogiem.

A jednocześnie pod koniec I wieku pojawiło się nowe zagrożenie, wręcz herezja. Mianowicie pojawili się ludzie, i to chrześcijanie, którzy doszli do wniosku, że nie jest rzeczą możliwą żeby Bóg, który stał się człowiekiem, był pod każdym względem taki, jak inny człowiek. Mówili że niemożliwe, że Jezus jadł — wydawało się, że jadł. Jezus pił – ale wydawało się, że pije. Jezus przenosił się z miejsca na miejsce, miał rozmaite ludzkie potrzeby — ale to się wydawało, że to jest człowiek. Jezus cierpiał — ale to się wydawało, że to jest człowiek. Bo przecież Bóg nie może być przebity, nie może być biczowany, Bóg nie może mieć krwi. Ta herezja nosi nazwę *doketyzmu* od greckiego dokeo czyli *sądzę, mniemam, wydaje mi się.* Doketyzm to przekonanie, że Bóg nie tyle stał się człowiekiem, co Bóg jakby udawał człowieka. To właśnie przeciwko doketystom, którzy nigdy nie widzieli Jezusa, nie przeżyli Go, bo urodzili się już później, i zaczęli głosić rozmaite tego rodzaju poglądy, św. Jan tak mocno występuje i tak mocno podkreśla, że „opowiadamy wam o tym, co widzieliśmy, opowiadamy wam o tym, na co patrzyliśmy, opowiadamy wam o tym, czego dotykały nasze ręce".

I proszę popatrzeć, wobec tych dwóch potrzeb: głoszenia Jezusa jako Boga i głoszenia Jezusa jako człowieka, Jan ujął to we wspaniały hymn. Ten hymn nawiązuje, jak państwo dobrze wiedzą, do samego początku Pisma Świętego Starego Testamentu. Nie mamy czasu, żeby przeczytać cały hymn, ale przynajmniej jego pierwsze słowa. Wyrażając tajemnicę Jezusa, Jego misterium, Jan napisał tak:

> Na początku było Słowo,
> a Słowo było u Boga,
> i Bogiem było Słowo.

Całe doświadczenie Jezusa zostało nazwane *Słowo,* a po grecku Logos. Określenie Logos pochodzi z Biblii Greckiej, z Septuaginty. Tam było odpowiednikiem aramejskiego słowa Memra,

które opisywało słowo, ale to jest to słowo, które pochodzi od Boga. Przypominają sobie państwo sam początek opowiadania o stworzeniu świata i człowieka: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię". „A potem Bóg rzekł ..."

Otóż to stwórcze Słowo, ono sprawia to, czego dotyczy. I już w czasach Starego Testamentu istniała przedziwna intuicja, że to słowo wypowiedziane przez Boga to jest jakby część samej Bożej istoty. Było to bardzo trudno tym ludziom starotestamentowym wyrazić. Ale przypominają sobie państwo między innymi taki epizod, opisany w Księdze Rodzaju, jak to Abraham siedzi przy wejściu do namiotu, i z naprzeciwka widzi trzy postacie, które się do niego zbliżają. Wychodzi im naprzeciw, wita je bardzo serdecznie. Pochyla się przed nimi, oddaje im hołd. Później uświadamia sobie, że to spotkanie z trzema jest to spotkanie z Jedynym. W ostatnio wydanym *Tryptyku rzymskim* napisanym przez Jana Pawła II — wspaniałym, bardzo chciałbym, żebyśmy znaleźli jakiś czas, żeby nad nim się zatrzymać i go wspólnie przemyśleć, omówić — jest taki rozdział „Tres vidit et unum adoravit" — „Widział trzech, ale uczcił jednego". Otóż już w Starym Testamencie była intuicja o tym przedziwnym bogactwie życia Bożego. Mówiono „Bóg jest jedyny", ale jednocześnie było to tajemnicze objawienie Boga, który jest bogaty w sobie, jeżeli tak można powiedzieć. I św. Jan, nawiązując do początku stworzenia, napisał „Na początku było Słowo", owo Logos, przez duże „S", i przez duże „L" w języku greckim. I:

Słowo było u Boga,
i Bogiem było Słowo.
Ono było na początku u Boga.
Wszystko przez Nie się stało,
a bez Niego nic się nie stało,
co się stało.

Jan chce powiedzieć tak: *Nowość Jezusa Chrystusa, samo życie Jezusa Chrystusa, wejście Jezusa Chrystusa w świat można porównać tylko do Nowego Stworzenia. Przez Jezusa Chrystusa, dzięki Jezusowi Bóg jakby stworzył świat na nowo. Dlatego, że go odnowił. Wejście Słowa, wejście Boga samego w dzieje ludzkości ma taki sam duchowy potencjał, taki sam skutek, jak gdyby Bóg stworzył świat od nowa.*

Zauważmy, że nie może być bardziej genialnej intuicji, niż właśnie taka. Kiedy nie można w słowach wyrazić tego, co niewyrażalne, kiedy nie można obrazem przedstawić Tego, który jest nie do przedstawienia, który nie da się ująć, to wtedy na granicy już wyobraźni i na granicy ludzkich możliwości pojawia się to nawiązanie do samych początków Stworzenia. Można by powiedzieć tak: *rozdział pierwszy Księgi Rodzaju to jest hymn o Stworzeniu. A rozdział pierwszy Ewangelii św. Jana to jest hymn o Zbawieniu.* Tamten został napisany w języku hebrajskim. Ten został napisany w języku greckim.

Ale, co ciekawe, w latach pięćdziesiątych Roman Brandstaedter, syn rabina z Tarnowa, który będąc dwa razy w Ziemi Świętej w roku 1936, a potem w okresie II wojny światowej, tam nawrócił się i stał się chrześcijaninem, a nawrócił się — to też istotne — przy Bazylice Krzyża Świętego, która stoi w miejscu, skąd wg. tradycji pochodziło drzewo na krzyż Jezusa. Otóż Roman Brandstaedter, który tam odnalazł Jezusa, wrócił do Polski i będąc Żydem stał się chrześcijaninem, mieszkał w Poznaniu, i tam dożył swoich lat. On znał doskonale język hebrajski, i ów hymn o Zbawieniu z początku Ewangelii św. Jana z greckiego przełożył z powrotem na hebrajski. Czyli dał poznać że św. Jan, który też myślał po hebrajsku, myślał właśnie w swoim ojczystym języku, a wyraził wiarę w Jezusa w języku greckim. To było bardzo ciekawe doświadczenie dla niego.

Też być może państwo znajdą książkę „Krąg biblijny" Romana Brandstaedtera. Tam Roman Brandstaedter przetłumaczył również na swój własny sposób ten hymn św. Jana na język polski. I też brzmi to bardzo pięknie, bardzo uroczyście i bardzo podniośle.

Hymn o Słowie. Jezus zostaje przez Jana nazwany Słowem Bożym. I w ten sposób zaczyna się na dobre rozwijać ta myśl teologiczna, która w późniejszej teologii otrzyma nazwę *chrystologia,* czyli nauka o Chrystusie. Kim jest Jezus? Jest Synem Bożym, jest Słowem Bożym. W tym hymnie mamy przedziwne napięcie, państwo pamiętają, że: „Wszystko przez Nie się stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało." A więc mamy obecność Słowa Bożego, obecność tej drugiej Osoby

Trójcy Świętej od prawieków, od zawsze, także przy stworzeniu. I Jan ten piękny hymn rozwija, a w pewnym momencie ten hymn załamuje się. Bo czytamy tak:

> Była światłość prawdziwa,
> która oświeca każdego człowieka,
> gdy na świat przychodzi.
> Na świecie było Słowo,
> a świat stał się przez Nie,
> ale świat Go nie poznał.

Zwróćmy uwagę, że ten hymn jakby gwałtownie się załamuje. Słowo Boże, które stwarza świat, Słowo Boże, które powołało wszystko do istnienia, przyszło jakby do świata — ale świat Go nie poznał, świat Go nie przyjął. Taki jest los Boga wśród ludzi, których stworzył. Taki jest los Boga wśród ludzi, których powołał do życia. Otóż taka jest cena ludzkiej wolności, którą zostaliśmy obdarowani. Polega ona na tym, że niesie ze sobą nie tylko możliwość przyjęcia Boga, ale także dramat Jego odrzucenia.

Tutaj w tych słowach widzimy już nawiązanie do krzyża, i do tego doświadczenia krzyża. Jan pamiętał o tym doświadczeniu krzyża, przeżył je jakże głęboko, i w tym doświadczeniu krzyża, doświadczeniu Kalwarii, widzi odrzucenie Boga przez ludzi. Za chwilę mamy jeszcze mocniejsze słowa:

> Przyszło do swojej własności,
> a swoi Go nie przyjęli.

Tak wyraził prawdę o Wcieleniu Syna Bożego, i o losie Boga wśród ludzi. „Przyszło do swojej własności, a swoi Go nie przyjęli." I gdyby to był koniec prawdy, to byłaby ona dość żałosna. Rzeczywiście, te słowa odnoszą się w pierwszym rzędzie najpierw do Żydów. Bo oni w dużej części, w dużej mierze owego Słowa, Boga, który się objawił w Jezusie, nie przyjęli. Gdyby więc na tym poprzestać, brzmiałoby to bardzo dramatycznie. Ale Jan mówi dalej:

> Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli,
> dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi,
> tym, którzy wierzą w imię Jego —
> którzy ani z krwi,
> ani z żądzy ciała,
> ani z woli męża,
> ale z Boga się narodzili.

W ten sposób Jan podkreśla, że obok tych, którzy odrzucili Jezusa, są ci, którzy Go przyjęli. I on do nich należy. Ale wiara w Jezusa nie jest sprawą krwi. Nie jest sprawą przekazywania naturalnego. To nie było tak, że jeżeli Żydzi przez wieki czekali na Mesjasza, i teraz któryś z nich uwierzył, to wiara w Mesjasza będzie odtąd udziałem każdego Żyda. Otóż wiara nie idzie tak jak ojcostwo i macierzyństwo naturalne po linii krwi. Wiara jest darem, wiara jest łaską, wiara pochodzi od Pana Boga. Człowiek, który wierzy, „narodził się z Boga".

Tak św. Jan ujmuje istotę całego swojego doświadczenia wiary. Wszystkiego tego, czego doświadczył jako człowiek młody, jako człowiek dorosły, jako człowiek starszy. Tak daje poznać, że wiara w Jezusa to są nowe narodziny. Można więc powiedzieć, że istnieje taka analogia. *Tak, jak osoba Jezusa oznacza nowe stworzenie świata, tak uwierzenie w Jezusa stanowi nowe narodziny człowieka.* Chrzest rodzi człowieka do nowego życia. Ten motyw, zaraz do niego wrócimy, będzie się pojawiał bardzo często w Ewangelii św. Jana.

On jest najwyraźniej obecny w trzecim rozdziale. Przypominają sobie państwo rozmowę Jezusa z Nikodemem. Jak to przychodzi do Jezusa żydowski mędrzec, dobrze usposobiony, i też już starszy człowiek, i Jezus tłumaczy mu tę właśnie prawdę, którą teraz rozważa św. Jan. Mianowicie Jezus mówi do Nikodema: „Trzeba, żebyś się powtórnie narodził." A on pyta: „Jak to jest możliwe, żeby człowiek dorosły mógł się powtórnie narodzić? Czy ma jeszcze raz wejść do łona swojej matki?

Czy to jest możliwe?" Jezus mówi: „Nie o takie narodziny chodzi. Chodzi o to, byś się powtórnie narodził z wody, i z Ducha Świętego."

W ten sposób Jezus, a za nim św. Jan, wskazują, że nasze nowe narodzenia dokonują się przez wodę, i przez Ducha Świętego. Czyli dokonują się przez chrzest. Chrzest jest przedstawiony jako sakrament wody. Niech państwo zwrócą uwagę, że aluzje do chrztu pojawiały się już i we wcześniejszych Ewangeliach, ale one były jeszcze bardzo odległe. Mówiono tam pod koniec Ewangelii: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego." Ale nie zastanawiano się jeszcze, co z tego chrztu wynika. A już w drugim i trzecim pokoleniu chrześcijan właśnie ów starzec, św. Jan, zastanawia się czym jest chrzest. I chrzest przedstawia jako nowe narodziny. Chrzest jest dla niego czymś zasadniczo nowym. Skoro takie jest znaczenie sakramentu chrztu, to jeszcze raz, na zakończenie tego hymnu, słyszymy takie poruszające słowa:

> A Słowo stało się ciałem
> i zamieszkało wśród nas.
> I oglądaliśmy Jego chwałę,
> chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca,
> pełen łaski i prawdy.

To jest ten szczyt zachwytu Jana Apostoła i Ewangelisty, „Słowo stało się ciałem". Bóg stał się człowiekiem. To już nie tylko Bóg stworzył człowieka na swój obraz. Ten motyw stworzenia, stworzenia człowieka na swój obraz, zajmuje wiele miejsca w „Tryptyku rzymskim" Ojca Świętego Jana Pawła II. Jeżeli ktoś z państwa już przedzierał się przez ten Tryptyk, pamięta, że tam cała jego druga część poświęcona jest temu wątkowi człowieka jako obrazu Bożego. Ale na tym poziomie pozostawał Stary Testament. Mówił: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył, stworzył go mężczyzną i niewiastą".

A Nowy Testament przez Ewangelię św. Jana i pozostałe pisma czyni krok do przodu. To już nie tylko Bóg stworzył człowieka, ale Bóg stał się człowiekiem. Słowo stało się ciałem! W ten sposób Jan dotyka, porusza, mówi o tym, co w naszej chrześcijańskiej wierze jest najtrudniejsze, i co decyduje o tym, że jesteśmy chrześcijanami. Jan Paweł II napisał w książce „Przekroczyć próg nadziei", że właśnie wobec tej prawdy o Bogu, który stał się człowiekiem, o Słowie, które stało się ciałem, wobec tej prawdy rozlega się protest.

I napisał papież: „Ten protest nazywa się najpierw synagogą, a potem islamem. Jedni i drudzy nie mogą przyjąć Boga, który jest tak bardzo ludzki." — to są słowa Jana Pawła II. Nikt od czasów św. Jana, w moim przekonaniu, nie ujął tego równie wyraziście i równie zwięźle, jak Jan Paweł II. Właśnie jedni i drudzy nie mogą przyjąć prawdy o Bogu, który stał się człowiekiem. Chcą, żeby Bóg był daleki, odległy, transcendentny, absolutny, wielki, pełen majestatu, ale nie aż tak, jak napisał Jan Paweł II, żeby stał się jednym z nas, żeby pozwolił się biczować, krępować, cierniem koronować i ukrzyżować. To nie przystoi Bogu — wołali.

I tak zrodził się ów protest, który trwa do dzisiaj jako judaizm i jako islam. A z tych, którzy tę prawdę przyjęli, myśmy się narodzili przyjmując ją i przeżywając, będąc wszczepieni w tę prawdę przez chrzest. Więc chrzest to jest pierwszy sakrament, na który Jan kładzie ogromny nacisk.

Ale jest tu również sakrament drugi, do którego Jan nawiązuje. I obecność tego sakramentu jest w czwartej Ewangelii kanonicznej wyraźnie widoczna. Pamiętają państwo niezwykle piękny, głęboki, poruszający szósty rozdział Ewangelii św. Jana. Pamiętamy, że jest to scena w synagodze w Kafarnaum. Są wśród państwa osoby, które tam były i zapewne pamiętają, że czyta się tam zazwyczaj ów fragment Ewangelii św. Jana. U św. Jana, nie możemy niestety tego opisu czytać w całości, ale kontekst jest taki. Otóż Jezus dokonał rozmnożenia chleba i rozmnożenia ryb. Kiedy jego słuchacze się najedli, na drugi dzień wstali. I człowiek dobrze najedzony ma to do siebie, że nazajutrz jest bardziej głodny. Bo ma po prostu większy żołądek. I oni też zaczynają szukać Jezusa. I wreszcie znajdują Go w Kafarnaum. Pełni entuzjazmu biegną do Niego, a Jezus mówi: „Szukacie mnie nie dlatego, że chcecie Mnie posłuchać. Tylko dlatego, żeście się najedli do syta. A więc liczycie na to, że dziś będzie to samo." Mówi: „Nie szukajcie tego chleba, który przemija. Tylko szukajcie chleba, który pochodzi od Boga."

To ich zdenerwowało, i mówią Mu: „Jakiego znaku dokonasz, żebyśmy Ci uwierzyli?" Wczoraj się najedli, dziś są głodni. Wczorajszy cud się nie liczy. Jeżeli ktoś chciałby czynić cuda i sprzyjać

ludziom tylko na tym poziomie, to musiałby codziennie karmić, i to coraz lepiej! I mówią do Niego: „Ojcowie nasi jedli na pustyni mannę, a Ty co nam dasz?" Jezus odpowiada: „Ojcowie wasi jedli na pustyni mannę, i poumierali. Weźcie tego chleba, który Ja wam daję." „A co to za chleb?" „Chlebem, który Ja mam wam dać, jest Ciało moje za życie świata." I wtedy powstała konsternacja. Jak On może nam dać swoje Ciało na pożywienie? Następuje rozdwojenie. Jak my możemy spożywać jego Ciało?

Mówiąc prawdę to zdziwienie nie jest specjalnie gorszące. Może przyszło im do głowy coś, co nasuwało im myśl o jakimś kanibalizmie, że mają spożywać żywe ciało Jezusa. I Jezus wtedy tłumaczy o owym Ciele i o Krwi. I dochodzi do zapowiedzi tajemnicy Eucharystii. I mówi do nich w ten sposób:

> Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Nie Mojżesz dał wam chleb z nieba, ale dopiero Ojciec mój da wam prawdziwy chleb z nieba.

I dodaje:

> Ja jestem chleb życia. Ojcowie wasi jedli mannę na pustyni i pomarli. To jest chleb, który z nieba zstępuje: kto go spożywa, nie umrze. Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata.

Jezus zapowiada już owoce swojej krwawej ofiary. Krwawej ofiary ze swojego życia. Jezus zwraca już uwagę na swoje ostateczne przeznaczenie. Jego słuchacze jeszcze tego nie rozumieją, jeszcze nie mogą pojąć tych słów. Jezus zapowiada Eucharystię. Powstaje wśród nich rozdwojenie, powstaje wśród nich dyskusja, a Jezus mówi tak:

> Jeżeli nie będziecie spożywali Ciała Syna Człowieczego i nie będziecie pili Krwi Jego, nie będziecie mieli życia w sobie. Kto spożywa moje Ciało i pije moją Krew, ma życie wieczne, a Ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym. Ciało moje jest prawdziwym pokarmem, a Krew moja jest prawdziwym napojem. Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przeze Mnie. To jest chleb, który z nieba zstąpił - nie jest on taki jak ten, który jedli wasi przodkowie, a poumierali. Kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki.

I Jan dodaje:

> To powiedział ucząc w synagodze w Kafarnaum.

Jezus zapowiada ustanowienie Eucharystii. To ustanowienie Eucharystii spełniło się w Wieczerniku, na krótko przed Jego męką. Chrzest — to sakrament wody. Eucharystia — to sakrament krwi, Ciała i Krwi Zbawiciela. Czy przypominają sobie państwo główną scenę z Ewangelii św. Jana? Jest to scena Ukrzyżowania Zbawiciela. Jest tu epizod, jest tu wydarzenie, na które tylko Jan zwraca uwagę, i tylko Jan o nim wyraźnie wspomina. Mianowicie, kiedy Jezus został powieszony na krzyżu, wówczas przebito Jego bok i z otwartego boku Zbawiciela wypłynęły krew i woda.

Otóż ta rzeczywistość wypłynięcia krwi i wody z przebitego boku Jezusa to jest jednocześnie wskazanie na sakramentalny wymiar Jezusowego życia, i na sakramentalny wymiar życia chrześcijanina. Jest to powiedzenie, że zbawcza wartość chrztu, i zbawcza wartość Eucharystii, pochodzi z krzyża. To właśnie krzyż Jezusa sprawił, że sakrament wody staje się sakramentem odrodzenia, a sakrament krwi, sakrament wina, staje się sakramentem Krwi Pańskiej. A więc całe życie Jezusa zmierzało do krzyża, i na krzyżu znalazło swoją kulminację. Całe życie Jezusa tam znalazło swoje wyjaśnienie. W świetle krzyża, i w świetle tego, co się na krzyżu wydarzyło, trzeba patrzeć na wszystko, kim był Jezus, ale także trzeba przeżywać Jezusa.

Dzisiaj więc, mówi Jan, nie możesz już zobaczyć Jezusa. Nie możesz Go dotykać tak, jak myśmy Go dotykali. Nie możesz patrzeć na Niego tak, jak myśmy na Niego patrzyli — mówi do swoich

słuchaczy. Jezus był prawdziwym człowiekiem, i jako prawdziwy człowiek przeszedł do historii. Nie może pojawiać się w następnym pokoleniu. Ale jako Bóg prawdziwy żyje w każdym pokoleniu, i mamy do Niego dostęp przez sakramenty święte.

A wśród sakramentów świętych dwa są najważniejsze: sakrament odrodzenia i sakrament życia, chrzest i Eucharystia. Dlatego właśnie ta Ewangelia tak mocno ukazuje gdzie ci, którzy nie widzieli Jezusa i nigdy Go nie zobaczą, mogą Go doświadczyć, gdzie mogą Go spotkać, gdzie mogą Go przeżywać. Już nie na drogach Galilei, już nie w synagogach Judei, już nie gdzie indziej — tylko w sakramentach świętych. W sakramencie chrztu, i w sakramencie Eucharystii, jest Jezus.

Tak więc Ewangelia św. Jana to jest przede wszystkim Ewangelia dla dojrzałych chrześcijan. Ci mogą tę Ewangelię czytać z największym pożytkiem, którzy prowadzą głębokie życie sakramentalne. Nic więc dziwnego, że Ewangelia św. Jana jest umiłowana przez mistyków, przez ludzi ascezy, w zakonach kontemplacyjnych, że jest czytana w największe uroczystości i święta. Natomiast każdy wierzący, nazwijmy to ogólnie — przeciętnie wierzący, odniesie z niej największą korzyść wtedy, kiedy czytaniu tej Ewangelii towarzyszy przyjmowanie sakramentów świętych. Przeżywanie sakramentu chrztu, świadomość jego wielkości, świadomość wynikających stąd zadań, i jednocześnie przyjmowanie Eucharystii. Czytana w tym kontekście, chrztu i Eucharystii, ona daje największy duchowy pożytek. Nic zatem dziwnego, że są takie osoby, które czytając Ewangelię św. Jana traktują to, jak mówiono w średniowieczu, jako swoistą *lectio Divina,* czyli czytanie duchowne, czytanie Boskie, czytanie Pańskie. I rzeczywiście ta Ewangelia przemawia do nich zupełnie innym głosem.

Gdybyśmy raz jeszcze ogarnęli oczyma tę Ewangelię, to ona składa się z dwóch części. Byłoby zapewne dobrze, gdyby państwo na te części na spokojnie zwrócili uwagę. Mianowicie pierwszą część możemy nazwać: *Obecność i działalność Jezusa w świecie.* To jest pierwsze 12 rozdziałów. Druga część Ewangelii, od rozdziału trzynastego do końca, ukazuje nam jak Jezus stopniowo wraca do Ojca. Jak Jezus przez swoją mowę arcykapłańską, przez ustanowienie Eucharystii, i wreszcie przez przejście przez tajemnicę krzyża, jak wraca do Boga, którym sam jest i od którego pochodzi. Czyli mamy w Ewangelii św. Jana takie napięcie, w starożytności mówiono po grecku *kenoza* czyli uniżenie Jezusa, gdy stał się człowiekiem, i wywyższenie Jezusa na prawicę Ojca, na prawicę Majestatu Bożego. Te dwa wymiary Bożej obecności: Bóg staje się jednym z nas, i dlatego, jak mówili Ojcowie Kościoła, człowiek staje się dzieckiem Bożym — przez chrzest i przez Eucharystię.

Tu jest jeszcze jedna ciekawa rzecz. W Ewangelii św. Jana jest opis siedmiu cudów. Mam tutaj je wyliczone, i przypomnę państwu. Mianowicie mamy opis cudu w Kanie Galilejskiej, mamy opis uzdrowienia syna setnika w Kafarnaum, mamy uzdrowienie paralityka w Jerozolimie przy sadzawce Siloe, mamy cud rozmnożenia chleba — to już czwarty, mamy spacer po jeziorze czy chodzenie po wodach Jeziora Genezaret — to piąty, mamy uzdrowienie niewidomego w Jerycho — to cud szósty, i mamy wskrzeszenie Łazarza — to cud siódmy. Te siedem cudów, które opisuje Jan, przedstawia Jan, przypomina Jan, to również wymiar i wymowa sakramentalna. Nawiązanie do już ukształtowanej praktyki siedmiu sakramentów świętych.

Jan daje nam poznać, że Jezus jest żywy we wspólnocie tych, którzy wierzą, przez sakramenty święte. I te cuda nawiązują do rozmaitych wymiarów chrześcijańskiego życia. Zwróćmy uwagę, że o dwóch z tych cudów wspominają inne Ewangelie. To jest rozmnożenie chleba, i to jest chodzenie po Jeziorze Galilejskim. Natomiast pięć z tych cudów jest wspominane tylko w Ewangelii Jana: wesele w Kanie Galilejskiej, uzdrowienie sługi setnika w Kafarnaum, uzdrowienie paralityka w Jerozolimie, uzdrowienie niewidomego w Jerycho, i wreszcie najważniejszy, i pod wieloma względami najbardziej barwnie opisany cud wskrzeszenia Łazarza w Betanii pod Jerozolimą.

Ten ostatni cud odsłania jednocześnie, można by powiedzieć, to, co w życiu Jezusa najważniejsze. Zauważyli pewnie państwo, że ten cud został bardzo drobiazgowo opisany. Zawsze kiedy mieliśmy możliwość jeżdżenia do Ziemi Świętej — już od ponad dwóch lat takiej możliwości nie ma, nie wiadomo kiedy będzie — to zawsze kiedy byliśmy w Betanii i kiedy czytaliśmy ten 12 rozdział Ewangelii św. Jana o wskrzeszenia Łazarza, to przychodziła mi taka myśl do głowy, że najbardziej poszkodowany w tym cudzie był Łazarz. Bo przecież on umarł, i został przez Jezusa przywołany, powołany do tego samego życia. Jezus go nie wskrzesił tak do zmartwychwstania, tylko do tego życia, które on już znał. Musiał więc w przyszłości raz jeszcze przejść przez śmierć. Ciekawe, że w tradycji prawosławnej Łazarz jest zawsze przedstawiany jako smutny, wychudły, ascetyczny tak, jak gdyby miał za złe Jezusowi, że go z powrotem przywrócił do tego życia, i że raz jeszcze

postawił go przed koniecznością śmierci. Czy zauważyli państwo, że Łazarza potem już nie ma ani na Drodze Krzyżowej, ani pod krzyżem, ani w pierwotnym Kościele? Nie ma go wśród Apostołów ani głosicieli, o Łazarzu nic więcej nie wiemy. A może było tak, że właśnie miał Jezusowi za złe, iż to on, Łazarz, stał się przedmiotem takiego, nazwijmy to w cudzysłowie, eksperymentu? Może całe jego życie upływało już w cieniu śmierci, którą przeżył? Faktem jest, że nigdzie na kartach Nowego Testamentu już go później nie ma.

Może więc św. Jan tak mocno podkreślając nam ten cud chce przekazać jeszcze jedną prawdę? Mianowicie chce nam powiedzieć: „Nie wymagajcie od Boga za wiele!" Nie wymagajcie, a przecież w pierwszych pokoleniach chrześcijańskich były takie próby, żeby Jezus już zadziałał, żeby Paruzja już nastąpiła, żeby przynaglić Boga. Jan daje poznać: „Uważajcie! Trzeba przyjąć życie z tym, co ono niesie, takie, jakie ono jest." Czasami przejście zbyt radykalne, a do takich należy przejście przez śmierć, niesie dla człowieka wielkie ryzyko. Otóż zbawieni przez Boga pozostajemy ciągle ludźmi. Pod tym względem się nic nie zmieniło. Zatem i tajemnicę Boga, misterium Boga, trzeba przeżyć i przyjąć na tym poziomie, na jakim się znajdujemy." Jaki to jest poziom, jaki to jest dar? To są sakramenty.

Właśnie ten sakramentalny wymiar obecności Boga wśród ludzi jest w Ewangelii św. Jana najważniejszy. I myślę, że ten wymiar dla czytelników Ewangelii św. Jana jest najbardziej pocieszający. Bo skoro nie możemy Go widzieć, oglądać, dotykać, to możemy pod pewnymi względami coś więcej — możemy Go przyjąć, możemy się Nim karmić, możemy Go przeżywać, możemy być przez Niego przemieniani, i przyjąć nasz los taki, jaki on jest. Nie czekając, żeby Pan Bóg nas wskrzeszał, czynił cuda, które mogłyby tylko, jak dla Łazarza, być przyczyną utrapień. Może takie jest paradoksalne przesłanie tej Ewangelii również? Pewnie będzie dobrze, jeżeli państwo też nad tym jej wymiarem się zastanowią.

Dziś dziękuję bardzo serdecznie. Następne spotkanie jest za cztery tygodnie. Zapraszam bardzo gorąco 14 kwietnia, to będzie poniedziałek Wielkiego Tygodnia. Jako kolejne zadanie do czytania w okresie Wielkiego Postu mamy I i II List św. Pawła do Koryntian. Pierwszy ma 15 rozdziałów, drugi 13, razem — 28. Spotykamy się za 28 dni, lepiej tego nie można wymyślić. Zaczynamy jutro, kończymy tuż przed następnym spotkaniem. Zatem w Wielkim Tygodniu przeniesiemy się właśnie do Koryntu, i powiemy sobie, przygotujemy się: tajemnica krzyża, i tajemnica zmartwychwstania.

I pozostaje ostatnia sprawa. Państwo wiedzą, że to już jest jakby odliczanie godzin przed atakiem, i praktycznie agresją, na Bliskim Wschodzie. Czas jest bardzo trudny. Miejmy nadzieję w Bogu, że skoro modlitwy Jana Pawła II, i tylu chrześcijan, i tylu ludzi, i taki sprzeciw idzie, jakoś jest zniweczony — bo wobec siły modlitwy staje z drugiej strony siła przemocy, gwałtu, ciemności. Można by powiedzieć: jakby ta modlitwa, i wołanie o pokój, wywołują odwrotne reakcje. Tak jak w Środę Popielcową: świat modli się o pokój — zrobiono naradę wojenną. Teraz papież wzywa do pokoju — coraz mocniej narada wojenna. Wygląda to wszystko bardzo źle, bardzo groźnie.

Prośmy Pana Boga, żeby ludzie, których to dotknie — właściwie o co się modlić? Żeby oszczędził im tego, jeżeli to tylko możliwe, i płaczu, i łez, i krzywdy. I żeby cała ta tragedia nie przeobraziła się w jakąś wielką tragedię także i dla całego tamtego regionu, i dla nas. Bo wszędzie, gdzie cierpi człowiek, to i nas też jakoś dotyka.

Więc kończąc konferencję pomódlmy się do Pana Boga raz jeszcze z ufnością prosząc o dar pokoju. I prosząc o to, żeby serca ludzkie przemieniał, zwłaszcza tych, którzy rządzą, dał im nowe usposobienie.

Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi ... Zdrowaś Maryjo ... Jeszcze jedna uwaga. Są wśród państwa osoby które pytały, czy nie prowadzę gdzieś rekolekcji. Już prowadziłem, na początku Wielkiego Postu miałem rekolekcje w Seminarium Gdańskim dla tamtejszych kleryków. Natomiast innych rekolekcji nie prowadzę, bo w przyszłym tygodniu wyjeżdżam na wykłady — jeżeli się w świecie nie zawiruje zbyt mocno — do Kijowa, na Ukrainę. Tam jest Instytut Teologiczny, oni potrzebują wykładowców z Polski, żeby ich wspierali. I przychodzi na mnie kolej, żeby tam na kilkanaście dni, na takie bardzo intensywne wykłady jechać.

Bardzo serdecznie państwu dziękuję. Dobrych, radosnych, błogosławionych Świąt,
i szczęść Boże!

Pochwalony Jezus Chrystus ...

5.7 I i II List św. Pawła do Koryntian (14 kwietnia 2003)

W Imię Ojca ... Stolico Mądrości... Pochwalony Jezus Chrystus...

Dobry wieczór państwu.

Zanim przejdziemy do właściwej konferencji biblijnej, do właściwego tematu, to jak państwo wiedzą w minionym miesiącu miałem przyjemność i radość być na Ukrainie, w Kijowie. Tam były wykłady w Instytucie Nauk Religijnych, który ma związek z tamtejszym uniwersytetem. Gdybym zaczął państwu opowiadać, to by tej godziny zabrakło. Więc tylko krótko na ten temat, bo było to dla mnie wielkie przeżycie. Sama świadomość, że na terenie dawnego Związku Radzieckiego, i to jeszcze w Kijowie, można wykładać Biblię, biblistykę, jest czymś bardzo znaczącym. Wykłady były bardzo intensywne, bo prawie dwa tygodnie po 6 - 8 godzin dziennie, głównie po południu i późnym wieczorem, bo taki jest rytm tych studiów. Oni w ogóle nie mają swoich wykładowców, wykładowcy przyjeżdżają z wielu krajów, m.in. z Polski, ale nie tylko, również z Francji, z Włoch, ze Szwajcarii, z Belgii, z Niemiec.

I tylko kilka uwag, które pewnie państwu wydadzą się ciekawe. Wykłady miały być po angielsku. Okazało się jednak, że nie tylko stopień znajomości angielskiego nie jest jeszcze wśród studentów duży, ale jest dodatkowa trudność polegająca na tym, że w języku ukraińskim nie ma w ogóle wielu pojęć, które wiążą się z religią, z teologią, z biblistyką. I że lepiej jest mówić po rosyjsku i po polsku, i przekładać na język ukraiński, żeby można było jakoś choćby opowiedzieć, o co dokładnie w danym słowie chodzi.

W jednej grupie było sześćdziesięcioro studentów, w drugiej grupie około trzydzieści osób. I wśród tych sześćdziesięciorga studentów nie sposób było zapytać kto jest kim, dlatego bo matka Rosjanka - ojciec Ukrainiec, ojciec Ukrainiec - matka Polka, Polak i Rosjanka, Żyd i Ormianka, Gruzin i i Ormianka, wszystkie kombinacje, jakie można sobie wyobrazić. Więc kiedy się zapytało, kim są, to z miejsca zaczynały się też kłótnie. Odpowiadali w rodzaju: „Rano to byłeś Ukraińcem, a teraz to jesteś Polakiem", tego rodzaju rzeczy. Natomiast kiedy ich zapytałem w jakim języku robią notatki, to ok. 2/3 robiło notatki po ukraińsku, prawie 1/3 po rosyjsku, i kilka osób w różnych językach — ale po polsku nikt notatek nie robił. Były dwie osoby, które polski znały dość dobrze jak na tamtejsze warunki, ale śladów polskiej obecności czy polskiej kultury tam niestety — z naszego punktu widzenia — nie było.

Natomiast cechowała ich ogromna chłonność, wielce ciekawi tego wszystkiego. Domagali się, żeby nie robić przerw, co u nas studentom się nie zdarza. Żeby w ciągu sześciu godzin wykładów zrobić tylko dwie przerwy, takie po 15 - 20 minut, a dalej mówić, mówić, i mówić. Więc pod tym względem to było doświadczenie bardzo niezwykłe.

Jeżeli chodzi o sam Kijów, to przez prawie dwa tygodnie nie widziałem tam żadnego polskiego samochodu, ani żadnego Polaka nie spotkałem. Chociaż od granicy do Kijowa jest 510 km — można by powiedzieć, że stosunkowo niedaleko — to jednak tam Polacy, przynajmniej o tej porze roku, w ogóle nie jeżdżą.

Sam Kijów jest przepiękny, dolne miasto nad Dnieprem, górne miasto na wzgórzach, które do Dniepru od strony zachodniej dochodzą. Stare miasto bardzo duże, większe od naszego Krakowa. Bardzo odbudowali je w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Wiele cerkwi jest wzniesionych na nowo, zadbanych. Wzniesionych — bo przedtem sowieci zburzyli. I sporo jeszcze do zrobienia. I przepiękne kamienice, setki kamienic, które są przepiękne. To musiało być bardzo bogate miasto gdzieś w XIX, na początku XX wieku, bo te kamienice są oczywiście sprzed rewolucji. To nie są dziesiątki, ale setki, a może nawet tysiące przepięknych domów. Niektóre mają swoich właścicieli, więc zostały odrestaurowane, inne nie. Ale samo miasto niezwykle piękne, chociaż zaniedbane. I ogromny kontrast: mała grupa ludzi bardzo bogatych, bardzo zamożnych, których stać na wszystko, i ogromna bieda. Tych biednych jest bardzo dużo. Jeszcze w mieście tej biedy tak mocno nie widać. Natomiast przejeżdżałem przez Wołyń i zatrzymałem się na takiej wołyńskiej wiosce. to gdyby przyszło kręcić film z XVI, XVII, XVIII wieku — to nie potrzeba nic zmieniać, tylko puścić kamerę i kręcić, jak to jest. Bieda, która nie mieści się w głowie. Tam jest chyba gorsza bieda niż w Afryce dlatego, że w Afryce jest przynajmniej ciepło. A tutaj zimno, i dla tych ludzi to dodatkowy powód do cierpienia.

Sam przejazd był bardzo ciekawy. Łuck bardzo piękny, bo tam się zatrzymałem. Później Równe,

dalej Żytomierz — to są wszystko nazwy, które nam cokolwiek mówią. Dalej Korzec — to dawna granica polsko - sowiecka do 17 IX 39 r., jeszcze do dzisiaj są ślady tamtej granicy.

No i oczywiście tam na miejscu dopiero widać, jakie jest nastawienie tych ludzi do nas, i nasze z nimi związki. U nas opowiada się rozmaite bajki, jaka to współpraca polsko - ukraińska itd. Otóż ta granica polsko - ukraińska w moim przekonaniu przypomina dawną granicę NRD - RFN. Oddzielnie odprawa polska, potem ziemia niczyja, potem odprawa ukraińska. Kontakty handlowe to widać, bo ci ludzie po jednej i po drugiej stronie granicy nawzajem z siebie żyją. Natomiast jakichś większych kontaktów nie widać.

Jednym z ciekawych przeżyć było, kiedy jadąc z powrotem zatrzymałem się. Na odcinku 500 km były tylko dwa, i to bardzo mizerne, bary, w których można było zjeść chleb, masło, jajko smażone, no i wypić kawę czy herbatę. Dwa przy drodze na 500 kilometrów!

Zatrzymałem się przy tym drugim, między Sarnami — to też dawne przedwojenne polskie miasto — a Kowlem. Dwie kobiety jadły śniadanie, zrobiły te jajka i dla mnie. Zacząłem z nimi rozmowę, mówię, że tu przed wojną była Polska. Na to jedna z nich mówi, że tu Polski nigdy nie było. Tu byli Polacy, ale Polski nigdy nie było. A co się z nimi stało? „A wyriezali! I w porządku, więcej tu Polaków nie ma."

Rzeczywiście, jak się tamtędy, przez ten Wołyń przejeżdża, to można gdzieniegdzie ślady dawnej polskiej obecności czuć, zwłaszcza na jakimś opuszczonym strasznie cmentarzu. Niektóre cmentarze przypominają tak, jak kiedyś cmentarze żydowskie czy poniemieckie u nas. I tam są jakieś polskie resztki. Natomiast tak generalnie nic nie ma.

Ale samo doświadczenie bardzo bogate, bardzo ciekawe. I jeżeli tego rodzaju wykłady, czy w ogóle takie spotkania, na takim troszeczkę innym poziomie by były, to na pewno i stosunek Ukraińców, zwłaszcza młodych, do nas, do Polaków, by się zmienił. A i my możemy popatrzeć na nich też nowymi oczami. Mnóstwo można by o tym opowiadać, bo właściwie co parę minut był jakiś szczegół, jakieś wspomnienie, jakaś rzecz niesłychanie ważna.

Natomiast tylko jeszcze jedna taka ciekawostka. Mianowicie Kijów był budowany jako Nowy Konstantynopol. A pamiętamy, że Konstantynopol był budowany jako Nowy Rzym. Więc Konstantynopol, czyli dzisiejszy Stambuł, budowano na wzór Rzymu, Kijów na wzór Konstantynopola. W związku z tym Kijów bywa nazywany Trzecim Rzymem. Miasto piękne, i orientalne, i prawosławne, i trochę zachodnie. I trochę jak Odessa, i trochę jak Moskwa, i trochę jak Rzym. I mają piękne prospekty, widoki, ładnie to wszystko wygląda. Ale kiedy podzieliłem się tą refleksją za studentami, że właściwie to jest Trzeci Rzym, to od razu ci mówiący po rosyjsku mówią: „Nie żaden Trzeci Rzym. Trzeci Rzym to jest Moskwa. To może być co najwyżej Czwarty Rzym." Na to ci mówiący po ukraińsku mówią, że historycznie rzecz biorąc Kijów jest to Trzeci Rzym. A politycznie rzecz biorąc to Moskwa jest Trzecim Rzymem. Różne takie zagadki sobie rozstrzygali.

Więc jest to ciekawy kawałek świata, i na prawdę bardzo piękny. A gdyby się wzięło pod uwagę szmat polskiej historii, który tam się rozegrał, na tych ziemiach, my to nazywamy Wschodnią Małopolską, oni — Zachodnią Ukrainą, to wszystko, co się rozegrało, na pewno warte byłoby jeszcze lepszego, głębszego poznania. Ale widać, że jest to dopiero początek przełamywania lodów w tym wzajemnym poznawaniu się.

Jeżeli chodzi o sytuację gospodarczą, to w mojej ocenie Polska w porównaniu do Ukrainy to jak Ameryka. Oni nam zazdroszczą. Przeciętnego człowieka nie stać na to, żeby tutaj przyjechać. Natomiast marzeniem studentów są studia w Polsce. I gdyby mieli jakąkolwiek pracę, to zarobki takie, jak w Polsce. U nich nauczyciel zarabia 200 - 300 grzywien, to jest mniej więcej 40 - 50 $ na miesiąc, a ceny są mniej więcej takie, jak u nas. Jak oni tam żyją, to sam Pan Bóg wie. Natomiast emerytura wynosi miesięcznie 80 - 100 grzywien, to jest 20 $. Jak ci starsi ludzie sobie dają radę, to naprawdę nie mam pojęcia, bo ceny są zupełnie jak u nas. Chyba, że się pójdzie na najtańszy bazar. Tam jest oczywiście dużo taniej, ale i wybór jest też dość mizerny.

Jak mówię, doświadczenie bardzo dobre z tego powodu, że nie tylko ta ziemia jest ciekawa, ale ciekawi są również ludzie. No i oczywiście ogromne wrażenie robi Dniepr. Ten Dniepr, który kiedyś opisywał Henryk Sienkiewicz, o którym pisał, że „tam leniwie swoje wody toczy". Rzeczywiście ten Dniepr jest leniwy. Natomiast będąc nad tym Dnieprem pomyślałem również, że i moje życie zatoczyło pewien krąg. Dlatego, że pierwszy raz widziałem Dniepr w październiku 1989 r., kiedy po raz pierwszy udałem się z Rodzinami Katyńskimi na pielgrzymkę na groby ich bliskich do Katynia.

I właśnie koło Katynia, koło Smoleńska płynie Dniepr, jest tam oczywiście dużo mniejszy. A teraz widziałem Dniepr po przepłynięciu setek kilometrów, gdy jest już bardzo dużą rzeką, ze dwa razy taką, jak Wisła. I ma potężne wyspy. Niezwykle piękna rzeka, to też robi swoje wrażenie. Za Dnieprem zaczyna się już inna Ukraina, Wschodnia Ukraina — jak oni mówią, i właściwie zaczyna się też inny świat. Geograficznie jest to ciągle Europa, ale mentalnościowo to już zaczyna się powoli Azja.

Taki jest ten Kijów. Ceny strasznie wysokie. Nie mając znajomych zatrzymać się w hotelu jest bardzo trudno — nie dlatego, że nie ma miejsc, tylko nocleg w pierwszym lepszym hoteliku kosztuje 80 – 100 – 150 $. Więc to straszna drożyzna. Podobnie jeżeli chodzi o jedzenie. Jakieś restauracje czy bary też bardzo drogie. Raczej trzeba kupić sobie chleb, masło, wędlinę, jakieś tam wody, herbatę, itd., i robić sobie jedzenie samemu. Mam w oczach obrazek tych studentów. Są to ludzie dorośli, najmłodsi mieli po 18 - 19 lat, bo oni wcześniej maturę zdają. Ale najwięcej po 20 - 22 - 24 lata. Kiedy przychodzi przerwa to, jedno wyjmuje chleb, drugie wyjmuje ser, trzecie wyjmuje kawałek masła, czwarte jajko na twardo, piąte jabłko. I tak między sobą dzielą to jajko na cztery, chleb na kilka części, masłem smarują. Do tego mają jeszcze jakąś kuchenkę, gotują wodę, i robią sobie kawę, herbatę. I tak ich to integruje. Przy tym jedzeniu są dla siebie bardzo życzliwi. To jest ichniejsza przyszła elita. To są ludzie, którzy chcą się uczyć.

Natomiast to, co zrobiło na mnie jeszcze wrażenie to to, że miasto jest bardzo spokojne. To znaczy, że tam praktycznie milicji czy policji nie widać, ale chuliganów również nie widać, i pijanych nie widać. To chyba jeszcze spuścizna czasów Związku Radzieckiego. Wykłady kończyły się po godz. 9 wieczorem, już wtedy było ciemno – tam robi się ciemno wcześniej, niż u nas. Wychodzą dziewczyny, pytam: „Gdzie mieszkają?" Podały jakąś miejscowość na wschód od Kijowa. Ile będziecie jechały? Prawie dwie godziny, mówią, najpierw autobusem, potem metrem, później autobusem podmiejskim. Czyli do domu zajadą gdzieś koło jedenastej w nocy, wpół do dwunastej. „Nie boicie się?" Nie, tu się nic nie dzieje, tu jest spokojnie. Pod tym względem są, że tak powiem, godni naśladowania. Rzeczywiście po mieście można spokojnie chodzić. Jeżeli ktoś z państwa będzie kiedykolwiek miał możliwość, żeby ten Kijów zobaczyć, to naprawdę warto.

No i oczywiście jeszcze Ławra Kijowsko - Pieczerska, ale to zupełnie osobne opowiadanie. Mianowicie jest to ta część kościoła ukraińskiego, która pozostaje wierna Moskwie. Bo jest tam również kościół autokefaliczny, który jest, że tak powiem, wierny Ukrainie. Na tym tle też są wzajemne napięcia. Ale jeżeli chodzi o usytuowanie, i o klasztory tej Ławry, to jest bajka, to jest coś przepięknego. I ta mentalność, ta religijność, ta pobożność, ten typ pobożności, jaki tam jest, jest naprawdę zadziwiający. Można patrzeć na nich i rzeczywiście zobaczyć, że rzeczywiście jest to już chrześcijaństwo wschodnie, i to wschodnie lojalne wobec Moskwy.

Ich pobożność, z jednej strony bardzo wewnętrzna, bardzo nobliwa — ale nie przeszkadzała, kiedy papież przyjechał na Ukrainę do Kijowa na zaproszenie tego autokefalicznego Kościoła ukraińskiego prawosławnego, to ci mnisi w Ławrze Kijowsko - Pieczerskiej, jak mi opowiadano, modlili się całym sercem, a to, żeby papieski samolot spadł, a to, żeby papież zginął, a to, żeby nie przyjechał. Więc pojemna jest, jak widać, ich pobożność, i obejmuje również także działki nieco ryzykowne. Więc ich stosunek do papieża, czy do katolików, jest, mówiąc łagodnie, dość powściągliwy, a mówiąc wręcz — po prostu bardzo wrogi. Skąd to się wzięło? Trzeba by tamtych historycznych korzeni szukać.

Jeszcze Sobór św. Zofii, budowany na wzór Hagia Sofia w Konstantynopolu, również coś pięknego. Ale to daje pojęcie o sytuacji na Ukrainie. Ponieważ kościół prawosławny miejscowy, ten ukraiński nie mógł się dogadać z kościołem prawosławnym prorosyjskim, to główna świętość Ukrainy, mianowicie sobór św. Zofii, pozostaje nadal muzeum. I cerkiew, kościół, który powinien tętnić życiem modlitewnym, jest po prostu pusty, jest nadal muzeum. To nam pokazuje jak kruchą rzeczą jest ludzka religijność, ludzka pobożność, i jak sprawy Boże mogą ludzi bardzo dzielić do tego stopnia, że dom Boży staje się przedmiotem handlu, konfrontacji, i rywalizacji. I tak właśnie jest z tym Soborem.

Na dzisiaj państwo mieli przeczytać Pierwszy i Drugi List do Koryntian. I zajmiemy się dzisiaj właśnie tymi listami św. Pawła. Mam nadzieję, że lekturę tych Listów mamy za sobą. Myślę, że uda

się tylko powiedzieć rzeczy najważniejsze. I że skoro państwo zupełnie niedawno zakończyli lekturę tych Listów, to będzie nam łatwiej o Listach św. Pawła do Koryntian mówić.

Otóż przypomnijmy sobie kilka rzeczy oczywistych, które znamy z Dziejów Apostolskich. Mianowicie że św. Paweł przebywał w Koryncie w latach 51 - 52, inni mówią: 52 - 53. Nie jest to takie bardzo istotne. Istotne jest to, że było to mniej więcej 18 - 19 lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa. Jest to perspektywa i długa i krótka zarazem. Bo to jest taka perspektywa, początek lat osiemdziesiątych. Dla człowieka dorosłego to jest część jego życia. I tak było dla św. Pawła, miał za sobą kilkanaście lat życia jako chrześcijanin. Miał za sobą takie bogate doświadczenie chrześcijańskie. I pamiętamy, że przybył on do Koryntu w dość niezwykłych okolicznościach. Bo to było podczas jego II podróży misyjnej. Rozpoczął ją w Antiochii nad Orontesem, następnie odwiedził Azję Mniejszą, dzisiejszą Turcję. Odwiedził te Kościoły, które założył podczas I podróży misyjnej.

Potem przeprawił się do Europy. Rozpoczął od Filippi, później przeniósł się do Tesalonik, następnie przeniósł się do Berei. Stamtąd udał się do Aten. I pamiętamy, że w Atenach zaczął przemawiać na Areopagu, pod samym Partenonem. Słuchano go bardzo gładko — do czasu, gdy zaczął mówić im o zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa. Wtedy ateńczycy, wśród których było mnóstwo filozofów, i to znanych, powiedzieli mu: „Posłuchamy cię innym razem". Wówczas dołączyło się do Pawła tylko małe grono ateńczyków, wśród nich Dionizy, którego nazywają Areopagita, czyli ten, który nawrócił się na Areopagu, a z nim kobieta imieniem Damaris i kilka innych osób, które dały początek wspólnocie ateńskiej. Dlatego do dzisiaj katedra ateńska, główny kościół Aten, jest pod wezwaniem św. Dionizego Areopagity.

Stamtąd Paweł udał się do Koryntu. I kogo zastał w Koryncie? — bo to jest bardzo ważne, żeby zrozumieć te Listy. Idąc do Koryntu mamy po lewej stronie Zatokę Sarońską, inaczej nie można z Aten do Koryntu się dostać. To jest ok. 80 - 90 km. I jednym z głównych punktów orientacyjnych Zatoki Sarońskiej jest słynna wyspa Salamina. Kto z państwa zajmował się historią starożytną to wie, że tam właśnie, nieopodal Salaminy, miała miejsce w V wieku przed Chrystusem jedna z największych bitew morskich starożytności pomiędzy Grekami a Persami. Bitwa ta pochłonęła mnóstwo statków i mnóstwo ludzi. I jeszcze w czasach św. Pawła istniała żywa legenda tej bitwy pod Salaminą. Możemy się domyślać, że kiedy apostoł udawał się do Koryntu, i kiedy patrzył na Salaminę, bo ją dość dobrze z lądu widać, to na pewno znał historię, bo ta bitwa była wielokrotnie opisywana przez historyków starożytnych. I na pewno miał wzgląd na to, co tam się wydarzyło.

Następnie trafił do Koryntu, i kogo tam zastał? Zastał tam, jeżeli można rzecz nieco uprościć, cztery kategorie ludzi. Zastał pogan różnego pochodzenia: Greków, Rzymian, Scytów, Dalmatyńczyków czyli mieszkańców Dalmacji na terenie byłej Jugosławii, i innych. I zdecydowana większość ludzkości Koryntu to byli właśnie poganie. Ale Paweł zastał również chrześcijan, którzy stali się chrześcijanami, zanim on przybył do Koryntu. Dlatego że Paweł nie był pierwszym apostołem w Koryncie, już przed nim głosili inni Ewangelię.

A Korynt był miastem portowym. Miał dwa porty, jeden od strony Morza Egejskiego, drugi na stronę Adriatyku, na zachód. Korynt miał też osobliwą sławę miasta portowego, taką mniej więcej, jak w Polsce Szczecin albo Rotterdam w Holandii. Tam się przewijał nie tylko handel, ale także mnóstwo ludzi, mnóstwo marynarzy. I był cały przemysł, jak i rozrywki z marynarzami związane.

Nieopodal był wąski przesmyk, dzisiaj to jest Kanał Koryncki, przekopany w XIX wieku. W starożytności, nie chcąc opływać statkami całego Peloponezu, położono na długości 8 km drewniane okrągłe bale. I kiedy jakiś statek przypłynął od wschodu, od strony Azji Mniejszej, i chciał dostać się szybko na Adriatyk, to wtedy niewolnicy wciągali statek na bale, a potem linami ciągnęli przez te 8 km. Trwało to zapewne 2 - 3 dni, ale nie musieli opływać tych kilkuset kilometrów, tylko od razu znajdowali się na Adriatyku. I odwrotnie, z Adriatyku przeciągali te statki na Morze Egejskie.

Ziemia był tam wyrobiona do tego stopnia, i do tego stopnia ciężar statków wywołał takie zapadlisko, że kiedy w XIX wieku kopano Kanał Koryncki, to wtedy wykopano go na tych starożytnych śladach, bo to była najkrótsza trasa z jednego morza na drugie morze.

Korynt był w pobliżu. Więc mnóstwo marynarzy, i takie dość frywolne życie. I te dwie grupy: poganie, głównie Grecy, oraz chrześcijanie pogańskiego pochodzenia. Do tego dochodzą jeszcze dwie grupy.

Mianowicie mieszkali tam również Żydzi, którzy mieszkali już z dziada pradziada, i zajmowali się głównie handlem, oraz — i to jest czwarta grupa — oraz tacy Żydzi, którzy stali się chrześcijana-

mi, którzy przyjęli chrześcijaństwo. Oni głównie stali się chrześcijanami podczas pielgrzymowania do Jerozolimy na rozmaite święta żydowskie. Być może niektórzy z nich uwierzyli i przyjęli chrzest w pierwszy dzień Pięćdziesiątnicy, w dzień zesłania Ducha Świętego, wtedy, kiedy Kościół się narodził.

I zwróćmy uwagę, że kiedy Paweł tam przybył, to miał już te cztery kategorie ludzi: chrześcijan pochodzenia pogańskiego i pogan, oraz chrześcijan pochodzenia żydowskiego i Żydów. I oczywiście następowały różne spięcia pomiędzy nimi, rozmaite konfrontacje pomiędzy nimi. Największe były między poganami a chrześcijanami. Ale można się również domyślać, że bardzo silne napięcia, silne spory, istniały także pomiędzy Żydami a chrześcijanami. I w I i w II Liście do Koryntian znajdujemy ślady jednych i drugich napięć. Mianowicie chrześcijaństwo, wiara w Jezusa Chrystusa spotykała się ze sprzeciwem nie tylko ze strony pogan, ale także ze strony Żydów. Paweł musiał jakby stanąć wobec jednych i wobec drugich.

Do tego dochodziła jeszcze jedna rzecz, która w tych Listach jest wyraźnie widoczna. Mianowicie chrześcijanie mieszkający w Koryncie zostali ochrzczeni przez różnych apostołów, i przez ich uczniów. Jeden mówił: „Mnie ochrzcił Piotr", inny mówił: „Mnie ochrzcił Paweł", jeszcze inny:„Mnie ochrzcił Apollos", mnie ochrzcił ten czy ktoś inny. To powodowało podziały między nimi. Wyglądało bowiem na to, że Kościół jest podzielony. Że liczy się ranga tego, kto udzielił sakramentu chrztu. I Paweł też do tego musiał się odnieść.

Otóż Paweł przebywał w Koryncie przez półtora roku. W żadnym innym mieście wcześniej podczas swych podróży misyjnych Paweł nie przebywał tak długo. Wszędzie przebywał najwyżej kilka tygodni, czy powiedzmy sobie: dwa – trzy miesiące, to była góra. Natomiast w Koryncie zatrzymał się na półtora roku. Półtora roku to dostatecznie długo, żeby Korynt poznać. Ale możemy się domyślać, że on wypuszczał się także poza Korynt, na Peloponez — z jego Listów do Koryntian można wnosić, że takie wyprawy miały miejsce. Również ci ludzie, którzy mieszkali w pobliżu i przybywali do Koryntu, na pewno tam spotykali się z chrześcijanami, i zanosili tę nową wiarę w Jezusa Chrystusa w różne rejony Grecji, zwłaszcza w pobliże Koryntu.

Po półtora roku, w okolicznościach dość osobliwych, Paweł opuścił Korynt. Żydzi, którzy nie uwierzyli w Jezusa, urządzili przeciwko Pawłowi spisek. Ale nie wystąpili otwarcie, nie sprzeciwili mu się otwarcie, lecz napuścili na Pawła władze pogańskie. Mianowicie zrobili donos do miejscowych władz pogańskich, do władz greckich mówiąc, że Paweł jest wichrzycielem, który burzy stary porządek, dawny porządek religijny i moralny. Paweł, z grupą pierwszych wyznawców Jezusa Chrystusa, zostali wezwani na takie centralne miejsce Koryntu, zachowane zresztą po dzień dzisiejszy. To miejsce nazywa się Bema, dzisiaj Grecy czytają to jako Bima. To była potężna trybuna. Tam zaciągnięto apostołów, i chciano ich przykładnie ukarać. Paweł tego uniknął dlatego, bo skrył się — inni chrześcijanie odradzili mu pójście na rynek. I kiedy rozruchy ustały, to apostoł zszedł do portu i odpłynął z powrotem do Antiochii, skąd prawie trzy lata wcześniej rozpoczął swoją II podróż misyjną.

Zatem zwróćmy uwagę, że Paweł był bardzo związany z Koryntem — bo był tam półtora roku. A jednocześnie przeżył tam kolejne odrzucenie przez tamtejszych Żydów tak, jak to miało miejsce wcześniej w Filippi, w Tesalonice, w Berei, i w Atenach. To nam pokazuje, że sprzeciw wobec chrześcijaństwa, i sprzeciw wobec Pawła, na terenie Grecji nie pochodził od pogan, lecz pochodził od mieszkających w miastach greckich Żydów.

Gdy upłynął jakiś czas, a dokładniej — jak się oblicza — około trzech do czterech lat, Paweł jest w trakcie III podróży misyjnej. Przebywa w Efezie, na terenie Azji Mniejszej. Tam dochodzą do niego różne wiadomości na temat tego, co dzieje się w Koryncie. On zna tam wielu ludzi, wie, na czym polegają problemy. Przychodzą do niego specjalni wysłannicy, w liście mówi o nich, że są to „ludzie Chloe". Chloe — to jest imię, a więc ludzie wysłani przez tę Chloe przynoszą mu wiadomości o tym, co dzieje się w Koryncie. Paweł słucha tego z wielkim przejęciem i postanawia wyruszyć do Koryntu. Ale nie może od razu wyruszyć, musi zatrzymać się jeszcze w Efezie. I w związku z tym pisze do Koryntian swój pierwszy List. I przypomnijmy sobie, jak wygląda początek tego Listu. Napisał tak:

> Paweł, z woli Bożej powołany na apostoła Jezusa Chrystusa, i Sostenes, brat, do Kościoła Bożego w Koryncie, do tych, którzy zostali uświęceni w Jezusie Chrystusie i powołani do świętości wespół ze wszystkimi, którzy na każdym miejscu wzywają imienia Pana naszego Jezusa Chrystusa, ich i naszego [Pana].

Zwróćmy uwagę, że Paweł tu mocno podkreśla swoją rangę, rolę i misję apostoła. Zwraca się do nich nie tylko jako przyjaciel, nie tylko jako ten, z którym byli związani również więzami serdeczności, znajomości, ale zwraca się jako apostoł. Dlaczego tak? Bo najwyraźniej przez te 3 - 4 lata jego nieobecności zakwestionowano jego apostolat. Podano w wątpliwość jego osobę. Wiedziano, że jeżeli chce się uderzyć w jakąś naukę, czy w nauczanie, to najlepiej jest uderzyć w osobę. Najlepiej jest ośmieszyć, albo umniejszyć autorytet tego, który nauczał. W związku z tym sprzeciw nie dotyczy nauki o Jezusie Chrystusie, tylko sprzeciw dotyczy osoby św. Pawła. I Paweł bardzo mocno podkreśla, że on jest apostołem, którego powołał Jezus Chrystus. I zwraca się do nich z takim pozdrowieniem:

> Łaska wam i pokój od Boga Ojca naszego, i od Pana Jezusa Chrystusa!

A zaraz następują bardzo wzruszające słowa:

> Bogu mojemu dziękuję wciąż za was, za łaskę daną wam w Chrystusie Jezusie. W Nim to bowiem zostaliście wzbogaceni we wszystko: we wszelkie słowo i wszelkie poznanie, bo świadectwo Chrystusowe utrwaliło się w was, tak iż nie brakuje wam żadnego daru łaski, gdy oczekujecie objawienia się Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Paweł zaczyna od podziękowania za dar tych wiernych. Rozpoczyna korespondencję z nimi od wielkiego dziękczynienia Panu Bogu za to, że oni uwierzyli, że on mógł ich spotkać, i że był Bożym narzędziem względem ich. To na pewno im przypomina osobę apostoła. Dlatego, że on tam nawrócił wielu ludzi, pozyskał wielu ludzi. I z całą pewnością oni przypominają sobie o nim. I teraz dochodzimy do pytania, co było najtrudniejszą rzeczą w Koryncie dla apostoła. Co jest fundamentem listu św. Pawła, zwłaszcza Pierwszego ale także Drugiego, do Koryntian? Gdzie rozpoczął się ten kłopot, i na czym on polegał? Otóż Paweł wyjaśnia to tak:

> Skoro bowiem świat przez mądrość nie poznał Boga w mądrości Bożej, spodobało się Bogu przez głupstwo głoszenia słowa zbawić wierzących.

Otóż z tych słów wynika, że Grecy w czasach św. Pawła słusznie chełpili się kulturą — była to kultura hellenistyczna, chełpili się historią, chełpili się mądrością, zwłaszcza filozofią. Dobrze wiemy, że nie można dzisiaj uprawiać filozofii bez znajomości filozofii greckiej. Dobrze wiemy, że filozofia grecka od V wieku przed Chr. do czasów Chrystusa osiągnęła wręcz szczyty doskonałości. Właściwie w myśli ludzkiej nie pojawiło się, gdyby rzecz trochę uprościć, nic nowego poza tym, co powiedział Platon, i co powiedział Arystoteles. Otóż Platon i Arystoteles byli potem tylko rozwijani, komentowani, dopowiadani. I tak w gruncie rzeczy jest po dzień dzisiejszy. Grecy więc z trudem przyjmowali Ewangelię dlatego, że twierdzili, że ich kultura, ich religia, ich filozofia są największą mądrością.

Paweł zwraca uwagę na pewien paradoks. Mianowicie na to, że kiedy głosił Ewangelię Grekom, to ta Ewangelia dla nich była głupstwem. To głupstwo Ewangelii starło się, spotkało się z mądrością grecką. Ale ta mądrość grecka została przez Ewangelię przetworzona, i przeniesiona na nowy poziom. Otóż w konfrontacji z filozofią grecką Ewangelia nie przegrała. Na ten moment spotkania Ewangelii z kulturą grecką zwrócił ogromną uwagę patriarcha Christodulos, patriarcha Aten, podczas spotkania z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, kiedy w maju 2001 roku Ojciec Święty przebywał w Atenach. Tak patriarcha jak i papież zwrócili mocno uwagę na to, że Grecja i Ateny są miejscem spotkania Ewangelii i kultury. I że od tamtej pory rozwija się dialog pomiędzy sztuką i ludzką kulturą, a Ewangelią. I Paweł dopowiada tak:

> Tak więc, gdy Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości,

Przypomina Paweł te dwie grupy oponentów, dwie formy sprzeciwu. Dla Żydów potwierdzeniem wiarygodności Ewangelii miały być wciąż nowe cuda. Przypomnijmy sobie, że te żądania nowych cudów były już obecne na kartach Ewangelii. „A czego dokonasz" — pytano wielokrotnie Jezusa — „abyśmy mogli Ci uwierzyć?" I gdy apostołowie głosili Ewangelię w rozmaitych miastach, także rozmaitych miastach greckich, Żydzi mówili to samo: „Poprzyjcie to cudami". A więc Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości. I Paweł mówi:

> my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan,

To są jedne z najmocniejszych słów z całego Nowego Testamentu. Można by powiedzieć, że jest to podstawowy dylemat związany z głoszeniem Ewangelii Chrystusowej. Jedni czekają na cuda. I zauważmy, że te żądania cudowności nie są właściwe tylko Żydom. Także i chrześcijanie im ulegają. Mamy pewnie w pamięci czasy niezbyt odległe, kilka lat temu, kiedy to od czasu do czasu, i to wcale nie rzadko, wciąż ogłaszano nowe cuda. A to tu się coś dzieje, a to tam się coś dzieje, ktoś płacze, a to tu ktoś się uśmiecha, a to rusza palcem, a to powiedział czy powiedziała itd. I mieliśmy liczne przykłady, od Warszawy aż po Oławę, kiedy ludzie szukali cudów. Po tym wszystkim nie zostało nic, albo prawie nic. Okazało się, że ta pobożność jest bardzo płytka. Ale to, czego żądali starożytni Grecy, starożytni Żydzi, okazuje się nad wyraz trwałe.

Otóż można by powiedzieć tak: *Cuda są potrzebne niewierzącym.* Natomiast wierzący nie potrzebują cudów. Św. Paweł idzie dokładnie po tej linii. Tłumaczy że ci, którzy uwierzyli w Jezusa Chrystusa, i którzy z Nim związali mocno swoje życie, nie potrzebują cudowności. Cuda są dla innych. Ale jednocześnie Paweł daje poznać, że cudów nie da się wymusić Bo gdyby Boga zmusić do cudowności, do działania cudów, to Bóg byłby, tak jak w magii, tylko zwyczajnym narzędziem ludzkiej manipulacji.

Zatem Paweł ostrzega przed pokusą cudowności, natomiast zachęca do wiary. *Bo tam, gdzie jest wiara, to cudem jest codzienność. Cudem jest powszechność. Cudem jest rytm tego, czym na co dzień żyjemy.* To samo mówił również Grekom. Przypomnijmy sobie raz jeszcze te słowa, bo przypomniał je również Jan Paweł II w Atenach:

> Tak więc, gdy Żydzi żądają znaków, a Grecy szukają mądrości, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan, dla tych zaś, którzy są powołani, tak spośród Żydów, jak i spośród Greków, Chrystusem, mocą Bożą i mądrością Bożą.

Otóż dla chrześcijanina, dla wierzącego w Jezusa Chrystusa, Jezus jest Chrystusem, czyli Mesjaszem, oraz mocą i mądrością Bożą. On, który został ukrzyżowany, jest mocą. On, który jest głupstwem dla pogan i dla Żydów, jest jednocześnie mądrością dla tych, którzy Go przyjmują. *Tak Paweł ukazuje samą istotę Ewangelii. Pokazuje, że sednem Ewangelii jest przylgnięcie do Jezusa Chrystusa, jest przylgnięcie wiary.* I ta wiara, jeżeli jest mocna, nie potrzebuje już innych impulsów, których zazwyczaj człowiek by szukał.

Po kilku latach Paweł staje wobec rozmaitych trudności. Mówi o mądrości krzyża. Żeby zobrazować istotę tego problemu przypomnę coś, co przeżyłem na początku lat dziewięćdziesiątych na Synaju. Tam była wtedy budowana taka wioska beduińska. Zapewne są wśród państwa osoby, które tam były, kiedy podróżowaliśmy jeszcze na Synaj. I w ciągu dnia, kiedy zrobiło się tak spokojnie — ci, którzy byli na górze Synaj, spali, inni szukali rozmaitych ziół — wyszedłem na zewnątrz, i była tam grupka beduińskich dzieci. Dzieci przychodziły i o coś prosiły. Najbardziej zależało im na kremie Nivea, bo używały go do nóg i do rąk. A to jakieś kapcie, zwłaszcza lekkie sandały — ludzie to mieli. A to cukierki, a to coś takiego. I były przyzwyczajone do tego, że przy pielgrzymach czują się bardzo bezpieczne. Z tymi dziećmi można było oczywiście rozmawiać tylko po polsku, a one po beduińsku — wtedy się najszybciej dogadało. W pewnym momencie jedna z dziewczynek patrzy na krzyżyk, który miałem, i pokazuje: „Co to?". Ja byłem przekonany, że skoro dostała od tego to, od tego tamto, to przyszło jej do głowy, że teraz chce łańcuszek. Więc jej tłumaczę, że nie, że to za duże i jej niepotrzebne. Ale za chwilę trafił się robotnik, który trochę znał angielski, i zapytałem go, co ona chce, bo ona mocno nalegała. On mówi: „Ona nie chce tego łańcuszka". A o co ona pyta?

„Ona pyta: kto to jest na tym krzyżyku! Co to za człowiek na tym krzyżyku wisi?" To ją uderzyło. Ona po raz pierwszy w życiu zwróciła uwagę na człowieka powieszonego na krzyżu.

Otóż my na to nie zwracamy żadnej uwagi. Ja wtedy zrozumiałem, że dla kogoś, kto nie zna w ogóle chrześcijaństwa, a ona miała 10, może 12 lat, dla kogoś, kto pierwszy raz spotyka się ze znakiem krzyża, to wizerunek człowieka na krzyżu jest czymś szokującym. Ona nie mogła zrozumieć, co to jest. Oczywiście nie można jej było nic wytłumaczyć z powodu języka, i mentalności.

Ale taki sam problem, jak myślę, miał Paweł na terenie Koryntu. Bo oto i miejscowi Żydzi, i miejscowi Grecy, miejscowi poganie zadawali mu pytanie o Chrystusa ukrzyżowanego. O Chrystusa, który jest zgorszeniem dla Żydów, bo Żydzi mówili: „A cóż to za Bóg, który dał się ukrzyżować!", i głupstwem dla pogan, a poganie mówili: „A cóż to za Bóg, który dał się ukrzyżować!" Jedni i drudzy mówili to samo, aczkolwiek z różnego punktu widzenia. Dla Żydów Bóg to ktoś wielki, potężny, transcendentny, mocny, pełen majestatu. Dla pogan najrozmaitsze bóstwa chroniły rozmaite sfery życia. W mitologii pogańskiej jeżeli jakiś bóg przegrywał to znaczy, że był mało ważny. To znaczy, że nie liczy się. Jeżeli więc chrześcijanin wiąże swoje życie z Bogiem, a Jezus jest ukrzyżowany, to znaczy, że Ukrzyżowany przegrał. Nie mogli tego zrozumieć.

Niech państwo zwrócą uwagę, że w drugim rozdziale I Listu do Koryntian Paweł stara się jednym i drugim ukazać sens krzyża, znaczenie krzyża, jak on to nazywa — „mądrość krzyża". Może dobrze będzie teraz w Wielkim Tygodniu, zwłaszcza w Wielki Piątek, przeczytać ten pierwszy i drugi rozdział I Listu do Koryntian raz jeszcze, bo te problemy stają się również naszymi problemami. Chociaż my przeżywamy je głębiej i wznioślej, bo jesteśmy przyzwyczajeni i opatrzeni ze znakiem krzyża. Ale dlaczego Bóg stał się człowiekiem, i dlaczego Bóg-człowiek musiał cierpieć, musiał przejść przez krzyż, taką hańbę?

I Paweł cierpliwie tłumaczy tę właśnie mądrość krzyża. A potem przechodzi do zachowania, do postawy, do postępowania. Dlatego, że skoro cały czas uczył Koryntian o Jezusie Chrystusie, to z tego musiał wynikać określony sposób życia. I Paweł oczekiwał od nich bardzo wiele. Ale po 3 - 4 latach od jego wyjazdu ich entuzjazm osłabł. Oni już nie byli tak pełni entuzjazmu, ani tak pełni chęci do takiego dobrego życia, jak to mieli wcześniej. Ta wytrwałość zaczęła gasnąć. Paweł zaczyna im więc od rozdziału trzeciego mówić o ich niedojrzałości. A na czym polegała największa niedojrzałość? Apostoł napisał tak:

> A ja nie mogłem, bracia, przemawiać do was jako do ludzi duchowych, lecz jako do cielesnych, jak do niemowląt w Chrystusie.

Okazuje się po kilku latach, że oni mało zrozumieli z chrześcijaństwa. Dlaczego mało?

> Mleko wam dałem, a nie pokarm stały, boście byli niemocni; zresztą i teraz nie jesteście mocni. Ciągle przecież jeszcze jesteście cieleśni. Jeżeli bowiem jest między wami zawiść i niezgoda, to czyż nie jesteście cieleśni i nie postępujecie tylko po ludzku? Skoro jeden mówi: «Ja jestem Pawła», a inny: «Ja jestem Apollosa», to czyż nie postępujecie tylko po ludzku? Kimże jest Apollos? Albo kim jest Paweł? Sługami, przez których uwierzyliście według tego, co każdemu dał Pan.

Otóż ci, których zostawił Paweł, sprzeczają się między sobą: mnie ochrzcił Paweł, mnie ochrzcił Apollos — to ja jestem ważniejszy, ty jesteś mniej ważny. Zaczynają między sobą rywalizować. Nam ta rywalizacja wydaje się dziwna. Ale przypomnijmy sobie, to byłoby coś takiego — gdyby była taka możliwość, sprzeczali się między sobą: „A my jesteśmy małżeństwem i nam dał ślub Jan Paweł II", „A nam kardynał Glemp", „Nam tylko zwyczajny proboszcz". Otóż między nimi ta rywalizacja była. I Paweł próbuje to wszystko osłabić, próbuje im tłumaczyć, że nie liczą się ci, którzy sieją słowo Boże, tylko liczy się ten, który jest głównym siewcą. I zwraca ich uwagę na Chrystusa.

I potem wyprowadza rozmaite wnioski praktyczne. Są one bardzo ciekawe, ale też wskazują, jak dalece życie chrześcijan w Koryncie odbiegło od ideałów. Przypominają sobie państwo na pewno rozdział piąty. I tam niesłychanie mocne potępienie kazirodztwa. Otóż Paweł zwraca się do tych, których pozyskał dla Chrystusa, do chrześcijan, i zwraca uwagę na to, że zdarzają się między nimi takie przypadki, o których nawet nie słychać wśród pogan. A więc wiara w Jezusa Chrystusa nie zabezpiecza do końca przed wyborami, które są złe. I wskazuje na jeden z takich przypadków.

Mianowicie, że ktoś z tych chrześcijan żyje z żoną swojego ojca. Na pewno nie chodzi o jego matkę, chodzi o jakąś drugą czy trzecią żonę ojca, być może nawet ojca poganina i żonę pogankę. Ale okazuje się, że ten chrześcijanin, do którego zwraca się Paweł, prowadzi życie uznane za wysoce niemoralne, że nawet poganie tak nie postępują, tłumaczy Paweł. I mówi: „Jeżeli się nie poprawi, macie go wyłączyć ze swojej wspólnoty. Bo on nie może nam przynosić takiego wstydu, takiej hańby."

Dalej jednym z nadużyć było to, że gdy chrześcijanie tamtejsi posprzeczali się między sobą, to udawali się do sądów pogańskich. A Paweł powiada: Najlepiej byłoby, żebyście się nie kłócili, żebyście się nie sprzeczali, żebyście żyli po Bożemu i w jedności z Chrystusem. Ale jeżeli już się poróżniliście, nie chodźcie do sądu pogańskiego. Załatwiajcie te sprawy między sobą. Dlatego, że nie może być zgorszenia.

Następna sprawa dotyczy małżeństwa. Otóż to bardzo ciekawy rozdział, rozdział siódmy Pierwszego Listu do Koryntian, bo on *ujmuje sedno chrześcijańskiej nauki o małżeństwie*. Tu są bardzo ciekawe fragmenty. Paweł, jak się wydaje, nie zalecał specjalnie małżeństwa. Może oczekiwał bliskiego końca świata? Może oczekiwał, że ten porządek jest bardzo przejściowy? On rozpoczyna ten rozdział tak:

> Co do spraw, o których pisaliście, to dobrze jest mężczyźnie nie łączyć się z kobietą. Ze względu jednak na niebezpieczeństwo rozpusty niech każdy ma swoją żonę, a każda swojego męża.

A więc małżeństwo postrzega jak antidotum na rozpustę. Oczywiście dalej jego nauka o małżeństwie jest bardziej pogłębiona. Dalej ma więcej dobrych słów do powiedzenia. Ale tutaj mamy też takie słowa:

> Lepiej, żebyście pozostali tak, jak ja

z czego można wnosić, że Paweł był bezżenny. W tej nauce o małżeństwie jest też pewien fragment, który do dzisiaj ma wielkie znaczenie w prawie kanonicznym. Napisał apostoł tak:

> Tym zaś, którzy trwają w związkach małżeńskich, nakazuję nie ja, lecz Pan: Żona niech nie odchodzi od swego męża! Gdyby zaś odeszła, niech pozostanie samotną, albo niech się pojedna ze swym mężem. Mąż również niech nie oddala żony.

Otóż to była nauka dla Żydów, dla Greków, i dla pogan zupełnie nowa. Bo zarówno poganie, jak i Żydzi, dopuszczali rozwody. Paweł mówi, że nie. Ale dalej:

> Pozostałym zaś mówię ja, nie Pan:

Bo to była nauka wprowadzona od Chrystusa. A teraz, mówi, moje wskazanie. Jest to tzw. *przywilej Pawłowy*, który i dzisiaj bywa wykorzystywany. Na czym on polega?

> Jeśli któryś z braci ma żonę niewierzącą i ta chce razem z nim mieszkać, niech jej nie oddala! Podobnie jeśli jakaś żona ma niewierzącego męża i ten chce razem z nią mieszkać, niech się z nim nie rozstaje! Uświęca się bowiem mąż niewierzący dzięki swej żonie, podobnie jak świętość osiągnie niewierząca żona przez „brata" — przez męża. W przeciwnym wypadku dzieci wasze byłyby nieczyste, teraz zaś są święte.

I czytamy teraz:

> Lecz jeśliby strona niewierząca chciała odejść, niech odejdzie! Nie jest skrępowany ani „brat", ani „siostra"

— chodzi o: „brat" i „siostra" jako wierzący w Jezusa Chrystusa —

> w tym wypadku. Albowiem do życia w pokoju powołał nas Bóg.

Otóż ten tekst z Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian przekładany na dzisiejsze okoliczności brzmi dokładnie tak samo. Jeżeli dwoje młodych się zwiąże ze sobą, a jedno występuje jako niewierzące, a drugie wierzące, i okazuje się, że życie się im nie układa z powodu tej rozmaitości, tej rozbieżności, wówczas Kościół pozwala skorzystać z owego przywileju Pawłowego. Tzn. jeżeli strona niewierząca chce odejść, to strona wierząca nie jest związana ślubem z tą stroną niewierzącą, małżeństwem, i może powtórnie wstąpić w związek małżeński.

Zapewne znaczna część z państwa słyszała o tym przywileju Pawłowym. Natomiast nie wszyscy słyszeli, nie wszyscy wiedzą nawet, bo się w kościołach mówi o tym rzadko, może czasami nawet za rzadko, a problem wcale nie jest w naszym świecie wyimaginowany. Bo przecież małżeństwa wierzących z niewierzącymi się zdarzają. I jeżeli taki związek nie jest trwały, to wydaje się bardzo często, że nic się w tej dziedzinie nie da zrobić. Tymczasem nieprawda! Jest ów przywilej Pawłowy, wyprowadzany z Pierwszego Listu do Koryntian.

I jeszcze jeden szczegół tutaj mamy w siódmym rozdziale, który wskazuje nam na pewien zwyczaj, który w pierwszym Kościele się pojawił. Otóż Paweł zalecał, żeby młodzi ludzie, i w ogóle mężczyźni i kobiety, raczej się nie żenili i wychodzili za mąż, ponieważ Chrystus wymaga życia całkowicie sobie poświęconego. Na tej podstawie można wnosić że spodziewał się, że przyjście Chrystusa będzie rychłe. I pojawił się taki zwyczaj, który polegał na potrzebie psychicznej, psychologicznej, duchowej bardziej, niż jakiejkolwiek innej, że mężczyźni i kobiety łączyli się ze sobą w związki — ale nie tworzyli małżeństwa, ani nie podejmowali współżycia. Tylko mężczyzna opiekował się kobietą. Kobieta była natomiast związana z tym mężczyzną, i wskutek tego mogła czuć się bezpieczniejsza.

To trwało stosunkowo krótko. Bo jakie jest życie — wiemy, jaka jest natura ludzka — wiemy, jakie są ludzkie potrzeby — dostatecznie dobrze wiemy. I już po trzech latach okazało się, że te tzw. umownie białe małżeństwa, albo małżeństwa duchowe, przechodzą pewien kryzys. Mianowicie dziewczyna robi się coraz starsza, u mężczyzny to tak mocno nie widać, ale u dziewczyny tak, i pojawił się problem jak to rozwiązać. Paweł napisał tak:

> Jeżeli ktoś jednak uważa, że nieuczciwość popełnia wobec swojej dziewicy, jako że przeszły już jej lata i jest przekonany, że tak powinien postąpić,

czyli ją poślubić,

> niech czyni, co chce: nie grzeszy; niech się pobiorą!

A więc już Paweł na tym etapie staje się realistą, i wie, że zalecenie takiej miłości wysublimowanej, duchowej, w zetknięciu z codziennością zaczyna tracić swoje barwy. W związku z tym Paweł widzi, że to może doprowadzić do nadużyć. I jeżeli mają trudności, mówi do nich: pobierzcie się, tak będzie lepiej.

> Lecz jeśli ktoś, bez jakiegokolwiek przymusu, w pełni panując nad swoją wolą, postanowił sobie mocno w sercu zachować nietkniętą swoją dziewicę, dobrze czyni. Tak więc dobrze czyni, kto poślubia swoją dziewicę, a jeszcze lepiej ten, kto jej nie poślubia. Żona związana jest tak długo, jak długo żyje jej mąż. Jeżeli mąż umrze, może poślubić kogo chce, byleby w Panu. Szczęśliwszą jednak będzie, jeżeli pozostanie tak, jak jest, zgodnie z moją radą. A wydaje mi się, że ja też mam Ducha Bożego.

Sprawy małżeńskie, jak widać, zajmowały sporo uwagi apostoła. I w tej wspólnocie korynckiej była to rzecz niesłychanie istotna. A to z tego powodu, że jej struktura pogańsko - żydowsko - chrześcijańska takie rzeczy wywoływała.

Nasz czas niestety się skończył, nie możemy omawiać tego listu dalej. Tylko kilka zadań o tym, co w gruncie rzeczy jest najważniejsze. Paweł mówił o męce i krzyżu. Paweł mówił o konsekwencjach praktycznych. Ale Paweł się na tym nie zatrzymuje, i tłumaczy, na czym polega istota prawdziwej miłości, oraz jaka jest droga do świętego życia. Jako drogę świętego życia dla chrześcijan wskazuje Eucharystię. I wiele miejsca zajmują jego wskazania dotyczące Eucharystii, dotyczące jej właściwego sprawowania, a następnie wskazania dotyczące prawdziwej miłości. Tu mamy tę słynną *Pieśń nad pieśniami Nowego Testamentu,* czyli trzynasty rozdział Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian.

Jeżeli się młodym, zawierającym związek małżeński, powie: „Poszukajcie sobie jakiegoś tekstu, którego chcielibyście posłuchać podczas zawierania małżeństwa", to wybierają zazwyczaj właśnie 13 rozdział Listu św. Pawła do Koryntian:

> Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku,

itd. Otóż przepiękny hymn o miłości!

Ale najważniejsze następuje na samym końcu. Mianowicie Paweł ukazuje tam perspektywę zmartwychwstania. Kiedy już wytłumaczył mękę i śmierć, kiedy zachęcił do ofiarnego życia, kiedy wskazał Eucharystię jako pokarm do tego życia, to ukazuje zmartwychwstanie. Jednak ten wątek zmartwychwstania, akurat teraz też bardzo aktualny, musimy sobie zostawić na nieco później. Połączymy go razem z omówieniem Listu do Rzymian. Chciałbym bowiem, aby państwo w najbliższym czasie przeczytali właśnie List św. Pawła do Rzymian.

Nasze następne spotkanie za cztery tygodnie, to jest 12 maja. List do Rzymian ma 16 rozdziałów. Po drodze są jednak Święta, później jest ten długi weekend majowy. Ale 16 rozdziałów nie powinno sprawić kłopotów w przeczytaniu tego Listu.

List do Rzymian jest trudny, by nie powiedzieć bardzo trudny. Dlatego znajdą się może wśród państwa osoby, które poczytają go sobie 2 albo 3 razy każdego dnia, rano, czy wieczorem jeszcze do niego trzeba będzie wrócić. I połączymy refleksję nad Listami do Koryntian właśnie z refleksją nad Listem do Rzymian. Bo *w Liście do Rzymian Paweł spina śmierć i zmartwychwstanie, i zastanawia się nad istotą dzieła zbawczego, którego dokonał Jezus Chrystus.* I nad tym, jeżeli tylko szczęśliwie doczekamy, za cztery tygodnie się zatrzymamy.

Dzisiaj chciałbym państwu złożyć najlepsze serdeczne życzenia. Życzenia świąteczne, dużo łask Bożych, wielu przeżyć w Wielkim Tygodniu. Dobrych, radosnych, spokojnych, błogosławionych Świąt Wielkanocnych. I wszystkiego dobrego, zdrowia i wszelkiej pomyślności.

I na koniec jeszcze krótko się pomodlimy, prosząc zwłaszcza o Boże wsparcie również dla naszych bliskich i rodzin.

Pod Twoją obronę ... I zachęcam też państwa do stałej modlitwy o pokój. Już widzimy, że kiedy coś stało się w Iraku, już pojawiają się głosy, że następna w kolejce jest Syria. Nie daj Boże, żeby ta wojna miała tam dalej trwać, i kolejne ofiary przynosić. Trzeba to też pamiętać, i włączyć się w wielkie wołanie papieża o modlitwę o zmianę ludzkich serc.

Więc dziękuję pięknie, dobrych Świąt. Pochwalony Jezus Chrystus ...

5.8 List św. Pawła do Rzymian (12 maja 2003)

Bardzo serdecznie witam. Jest to nasze ósme spotkanie z kolei. Czyli osiem wspólnie przeżytych, spędzonych godzin. Osiem godzin czytania i rozważania Pisma Świętego, refleksji nas Pismem Świętym Nowego Testamentu. Do tych ośmiu godzin dochodzi znacznie więcej godzin, co najmniej kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt, czytania i rozważania Pisma Świętego w domu.

Dzisiaj rozpoczynając kolejną naszą konferencję muszę ją rozpocząć od podziękowań. Chciałbym państwu bardzo serdecznie podziękować za wiele życzliwości, którą państwo okazali, pamięci, modlitwy, kwiatów, ale także życzliwości przez telefony, poprzez spotkania i rozmowy. A także wiem, że z całą pewnością są takie osoby, które z jakichś powodów przyjść nie mogły, a z całą pewnością gdzieś tam z życzliwością pamiętały w związku z imieninami, które miałem tydzień temu. Jestem bardzo serdecznie państwu wdzięczny, ujęty tą serdecznością, i bardzo zobowiązany. Proszę wierzyć że dla nas kapłanów, którzy na co dzień pracujemy z państwem, takie dowody serdeczności, życzliwości, są bardzo ważne. Trudno powiedzieć: potrzebne, chociaż na pewno w jakimś sensie bardzo potrzebne. Ale są bardzo ważne dlatego że potwierdzają, że istnieje, jest sens, znaczenie tego, co robimy, kim jesteśmy. Więc bardzo gorąco składam to staropolskie „Bóg zapłać!" również z modlitwą. Bo zawsze, ile razy jest msza święta, i później, i przy innych okazjach, każdy z nas stara się, żeby w modlitwach tych wszystkich wiernych ogarniać również przed Panem Bogiem. Więc bardzo, bardzo dziękuję. To jest dowód takiej właśnie wielkiej serdeczności, którą możemy tylko odwzajemnić, i staram się to czynić.

Otóż państwo w ostatnich tygodniach mieli do przeczytania List św. Pawła do Rzymian. Jest to nie tylko list bardzo trudny, jest to jedno z najtrudniejszych pism Nowego Testamentu. Ja myślę, że trudniejszy od niego jest, może być, tylko List do Hebrajczyków oraz Apokalipsa św. Jana. Ale on jest bardzo trudny nie dlatego, iżbyśmy nie rozumieli, o co chodzi, tylko dlatego że sprawy, które rozważa, św. Paweł rozważa bardzo głęboko. I będę się starał, żeby temu Listowi przyjrzeć się jakby z drugiej strony, tzn. dać pewne objaśnienie, pewien komentarz do tego Listu, żebyśmy wrócili jeszcze przez godzinę do treści, które państwo przeczytali i zdali sobie również sprawę z tego bogactwa teologicznego, głębi tej myśli teologicznej, która w tym Liście jest zawarta.

Wyjdźmy od sprawy, od której dość często rozpoczynam nasze konferencje. Mianowicie jedną rzeczą jest wierzyć w Boga, w Jezusa Chrystusa, i w prawdy Boże. I ludzi wierzących są miliony, poczynając od małych dzieci, przez dorosłych, aż po osoby starsze. I ta wiara jest bardzo różna. Może być bardzo prosta, może być bardzo wyrafinowana, może być szukająca, pytająca, wątpiąca, buntująca się pewna, utwierdzona, silna. Ile jest ludzi, tyle jest rozmaitych sposobów wiary w Pana Boga. Natomiast czymś innym, jakimś równoległym nurtem, jest próba zrozumienia, próba poznania swojej wiary, zastanowienia się nad tą wiarą i nad tymi Bożymi rzeczywistościami, które dla wiary stanowią odniesienie.

I oczywiście św. Paweł we wszystkich swoich listach, i w Liście do Rzymian również, zastanawia się nad wiarą, nad jej potrzebą. A przede wszystkim zastanawia się nad potrzebą wiary w Jezusa Chrystusa. Dla nas jest to sprawa oczywista dlatego, bo my jesteśmy wychowani w tradycji chrześcijańskiej. I wydawać by nam się mogło, że nas nie trzeba przekonywać do wiary w Jezusa Chrystusa, ani do tego, że usprawiedliwienie pochodzi właśnie od Niego. Gdyby nas trzeba było przekonywać, to znaczyłoby, że jeszcze nie jesteśmy chrześcijanami. Ale w czasach św. Pawła trzeba było o tym mówić, i wydaje mi się dość paradoksalnie, dzisiaj też państwo odkryją, że kiedy zgłębiamy ten starożytny list, to i dla nas są tutaj prawdy, które mogą nam wiarę lepiej pozwolić zrozumieć. A przez to samo lepiej wierzyć, bo możemy umiłować naprawdę tylko tego, którego dobrze poznaliśmy. Ponieważ miłowanie, również Boga, które byśmy nie znali, to jest raczej miłowanie wyobrażenia o Bogu, które w sobie posiadamy. Natomiast dojrzała wiara polega na tym, żeby poznawać Pana Boga takiego, jaki On jest i umiłować Go takiego, jaki On jest. Bo może się okazać, że o ile w całym życiu wystarcza nam wiara dość powierzchowna, to przyjdzie w życiu jakiś kryzys albo jakaś trudność, kiedy potrzebna nam będzie wiara głęboka. I dzisiaj, o czym wielokrotnie mówi Ojciec Święty Jan Paweł II, potrzeba takich ludzi sumienia, którzy mają głęboką wiarę i są świadkami Jezusa Chrystusa.

Wyjdźmy najpierw od rzeczy prostych. We wstępie do Listu św. Pawła do Rzymian mogli państwo przeczytać, że List został napisany w r. 58 podczas III podróży misyjnej św. Pawła, kiedy to

Paweł przebywał na terenie Grecji. Dokładniej: przebywa na terenie Koryntu. Z Koryntu zamierza wrócić do Jerozolimy, zamierza skończyć swoją podróż apostolską, ale ma w planach wielką podróż do Rzymu, a nawet wielką podróż do Hiszpanii. Właśnie o tych planach apostoła mogli państwo przeczytać na samym końcu Listu. Ja przypomnę te słowa, bo w kontekście tych planów, tego, co apostoł wówczas zamierzał, możemy lepiej zrozumieć to, o co mu w Liście chodziło. Otóż pod koniec listu, w 15 rozdziale, czytamy takie słowa:

> I stąd to wielokrotnie napotykałem przeszkody w dotarciu do was.

Okazuje się, że Paweł wiele razy myślał o dotarciu do Rzymu, i do tamtejszej wspólnoty chrześcijańskiej. Ale kim byli ci chrześcijanie w Rzymie w roku 58? Otóż oni, tak jak w ogóle wtedy chrześcijanie, składali się z dwóch grup. Jedna to byli ludzie pozyskani z judaizmu, czyli Żydzi, którzy stali się chrześcijanami. Bardzo wielu z nich przybywało do Jerozolimy przy sposobności rozmaitych świąt. I choćby w zesłanie Ducha Świętego, a także później, przyjmowali chrzest, wracali do Rzymu i tam, w ówczesnej społeczności żydowskiej, powstało rozdwojenie. Byli tacy Żydzi, którzy uwierzyli w Jezusa, i byli tacy Żydzi, którzy w Jezusa nie uwierzyli.

I ta pierwsza grupa, to jest jedna grupa adresatów tego listu. Była również druga grupa adresatów, czyli chrześcijanie nawróceni z pogaństwa. I znów mieliśmy do czynienia z dwoistością. Mianowicie byli tacy poganie, którzy słyszeli o chrześcijaństwie, ale się nie nawrócili, oraz tacy poganie, którzy niedawno, w rozmaitych okolicznościach się nawrócili.

Proszę popatrzeć, do jakiego stopnia sytuacja była tam złożona. Bo napięcia, konflikty, trudności były najpierw pomiędzy poganami, a Żydami. Potem były także pomiędzy tymi Żydami, którzy uwierzyli, i tymi, którzy nie uwierzyli w Jezusa. A także między tymi poganami, którzy uwierzyli w Jezusa, i tymi, którzy nie uwierzyli. A więc rozmaite były odniesienia dla tych konfliktów, napięć. Paweł zamierza do Rzymu, do tego wielkiego, nazwijmy go trochę niełądnie: kotła, przyjechać. Wiele razy chce przyjechać, ale wiele razy nie może. Dlaczego nie może? Najprawdopodobniej musiał liczyć się ze sprzeciwem. Bo przecież doskonale wiedziano, że przedtem był prześladowcą. Ale także musiał liczyć się z tym, że podziały były tam bardzo niejasne. Tym niemniej chce udać się do Rzymu.

I do tego musimy dodać jeszcze jeden wątek. Otóż Rzym to była stolica starożytnego świata. Stolicą kulturalną były Ateny, i taką pozostawały w gruncie rzeczy przez całą późną starożytność. Natomiast stolicą administracyjną, i stolicą polityczną, był właśnie Rzym. To w Rzymie rezydował cesarz, to w Rzymie był senat, tu rozstrzygały się najważniejsze sprawy imperium. I chociaż — to też paradoks — współcześni Rzymianie mówili po grecku, a tylko w małej liczbie po łacinie, to jednak serce było właśnie w Rzymie.

Paweł pochodził z Tarsu na terenie Azji Mniejszej, wychował się w Palestynie, znał Azję Mniejszą, znał Grecję. Ale oto teraz miał się udać pierwszy raz w życiu do Rzymu. Otóż Rzym jest stolicą, i on z całą pewnością wahał się. Bo wyobrażał sobie Rzym na wiele różnych sposobów, trudno nam powiedzieć jak, ale na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że jest to prawdziwe centrum polityczne i społeczne ówczesnego świata. I napisał tak dalej:

> Teraz jednak, nie znajdując już w tych stronach pola pracy, od kilku lat pragnę gorąco wybrać się do was,

Otóż Paweł już działał na terenie Azji Mniejszej, działał na terenie Grecji, przebywa teraz w Koryncie, pozyskał dla wiary tych, których zamierzał pozyskać. Są tu już silne wspólnoty chrześcijańskie. I Paweł pragnie udać się do Rzymu. Zdaje sobie sprawę, że nie będzie tam pierwszym chrześcijaninem, że tam są już chrześcijanie. I napisał tak:

> gdy będę podążał do Hiszpanii.

Jakiż to musiał być lotny duch, skoro już przebywszy parę tysięcy kilometrów, zamierza jeszcze udać się do Hiszpanii. Nie wiemy, czy ta podróż do Hiszpanii doszła do skutku. Źródła starochrześcijańskie nie są pod tym względem zgodne. Na terenie Hiszpanii twierdzi się, że Paweł tam był. Ale jest to raczej wyraz życzenia, niż rzeczywistości. Najprawdopodobniej odwiedziny Hiszpanii pozostały dla Pawła tylko przedmiotem marzenia. Hiszpania dla człowieka ówczesnego Bliskiego

Wschodu oznaczała koniec świata. Bo jeżeli państwo popatrzą na basen Morza Śródziemnego, to jest Hiszpania, jest Gibraltar, i oczywiście dalej jest już tylko Ocean Atlantycki. Oni nie mieli pojęcia, że gdzieś tam, za parę tysięcy kilometrów, jest jeszcze jakiś kontynent. Dla nich się wszystko kończyło na Gibraltarze i Hiszpanii. Najwidoczniej Paweł wziął sobie do serca słowa Zbawiciela, że „będziecie Mi świadkami aż po krańce ziemi". Dla niego krańce ziemi to była Hiszpania.

Hiszpanie wiele razy w swoich tradycjach — ta współczesna katolicka Hiszpania, ale także dawniejsza — mówią o pobycie św. Pawła. Ale jest to chyba bardziej sprawa legendy. Zwróćmy uwagę, że podobnym duchem jest Jan Paweł II. A jak państwo wiedzą zaledwie półtora tygodnia temu Ojciec Święty przebywał właśnie w Hiszpanii, i to po raz piąty za swojego pontyfikatu, powołując się również na to pragnienie św. Pawła odbycia podróży do Hiszpanii. I dalej:

> Mam bowiem nadzieję, że w czasie tej podróży was nawiedzę i że wy mnie tam dalej wyprawicie, gdy się już trochę wami nacieszę.

Bardzo osobista perspektywa. Najwidoczniej Paweł znał już w Rzymie niektórych chrześcijan. I liczył na to, że będzie mógł ich odwiedzić, i że oni go dalej wyprawią w podróż. Skoro w Rzymie jest już chrześcijaństwo, to on uda się tam, gdzie tego chrześcijaństwa jeszcze nie było.

Uprzedzając wszystko, co wydarzyło się później, możemy powiedzieć tak. Po napisaniu tego listu w Koryncie w 58 roku, Paweł wrócił do Jerozolimy. Ale w Jerozolimie został pojmany na terenie świątynnym. Z Jerozolimy został skierowany do Cezarei Nadmorskiej. Tam przebywał dwa lata w areszcie domowym. I później odbył długą morską podróż przez Kretę w kierunku Rzymu. Pamiętamy, że tę podróż rozpoczęto za późno, była już jesień. Wypadły jesienne wichry, statek się rozbił, i Paweł z innymi rozbitkami znalazł się na Malcie. Stąd Malta to również jest kraj biblijny. Tam przezimowali, i kiedy nadeszła wiosna dostali się na Półwysep Apeniński, a stamtąd do Rzymu. W Rzymie był jeszcze dwa lata w areszcie domowym, a następnie został ścięty. Pragnienie podróży do Rzymu spełniło się Pawłowi — ale nie dlatego, że sam tam pojechał, tylko dlatego, iż jak w przypadku Piotra, tak w przypadku Pawła, Rzym był miejscem, w którym obaj zakończyli swoje pracowite długie życie. Więc podróż do Hiszpanii pozostała tylko w planach.

Dodajmy jeszcze — w liście mamy wyraźne wzmianki o tym, że ten list był dyktowany. Otóż Paweł nie napisał go własnoręcznie. Był to rok 58, Paweł miał wtedy około 45 - 50 lat. Jak na czasy starożytne był to już wiek dojrzały. Ale to nie wiek powodował, że Paweł w tym czasie nie mógł samodzielnie pisać. Spowodowały to jego bolesne przygody, które miał na terenie Azji Mniejszej, gdzie — jak państwo pamiętają — musiał uciekać z Ikonium do Derbe i Listry. I tam został ukamienowany. Rzucano w niego kamieniami i sądzono, że nie żyje. Ale okazało się że kamienowanie na szczęście było nieskuteczne, i że Paweł doszedł do siebie. Ale od tamtej pory skarżył się na bóle głowy, a przede wszystkim na oczy. Otóż oczy w starożytności, podobnie jak zęby, to był ogromny problem. Dzisiaj sobie nawet tego nie wyobrażamy jakie trudności miał człowiek, który słabo widział, który był krótkowidzem. Albo człowiek, który nie miał zębów. Możemy to tylko sobie wyobrazić. Dzisiaj, już od jakiegoś czasu mamy metody, sposoby, żeby człowiekowi pomagać. Ale w starożytności było to bardzo duże kalectwo.

Paweł więc już nie mógł samodzielnie pisać — skarżył się w jednym i w drugim liście, że cierpi z tego powodu bardzo, głównie ma jakąś chorobę oczu. Sprzeczano się później, co to za choroba, ale najprawdopodobniej powstała w trakcie tego ukamienowania. Jakiś kamień rzucony w głowę wystarczył, żeby mu z jednej strony odebrać świadomość, ale z drugiej strony pozostawił trwałe skutki. Dlatego pod koniec listu czytamy takie słowa:

> Pozdrawiam was w Panu i ja, Tercjusz, który pisałem ten list.

Okazuje się więc, że Paweł ten list dyktował. Natomiast pisał go jakiś Tercjusz, chrześcijanin, najprawdopodobniej greckiego pochodzenia, bo imię jest greckie. Najprawdopodobniej młody człowiek, doskonale obznajmiony ze sztuką pisania, który pod dyktando ten List do Rzymian napisał. I kiedy już kończy ten cały list, dodaje również swój podpis: że to ja, Tercjusz, pisałem ten list, i ja was pozdrawiam. Zauważą więc państwo, że mamy do czynienia z koncepcją dyktowania, czy z rzeczywistością dyktowania, która rzuca nam również trochę światła na natchnienie ksiąg świętych.

Ono dotyczy nie tylko tych, którzy są ich autorami rzeczywistymi, ale także tych, którzy mieli swój udział w powstawaniu tych pism Starego i Nowego Testamentu przez dyktowanie.

Jeszcze jedna ciekawa informacja. Na samym początku ostatniego rozdziału:

> Polecam wam Febę, naszą siostrę, diakonisę Kościoła w Kenchrach.

Otóż to właśnie ta Febe, kobieta, chrześcijanka, zawiozła list Pawła z Koryntu do Rzymu. Kenchry to jest jeden z dwu portów Koryntu, drugim jest Lechajon. Stamtąd pochodziła Febe, która pełniła funkcję diakonisy, i została wysłana, bądź sama udawała się do Rzymu i zawiozła właśnie ten list.

Po tych uwagach wstępnych możemy przejść do rzeczy. Musimy mieć w pamięci, że od śmierci Jezusa upłynęło ok. 25 lat. Ćwierć wieku to dostatecznie dużo, żeby zastanawiać się nad znaczeniem tego, co przeżyliśmy. Już człowiek nie tylko odtwarza szczegóły, niektórych szczegółów już nie możemy sobie dokładnie odtworzyć. Mamy rok 2003. Niech państwo pomyślą sobie o roku 1977, 78, 79 — niekoniecznie teraz, może w domu — i spróbują państwo odtworzyć, co wtedy robiliście. Jeżeli to było coś bardzo ważnego, to się nam to nasuwa. Ale też bardziej widzimy znaczenie i skutki, niż sam przebieg tego wszystkiego.

Zatem pojawia się drugie pokolenie wierzących w Jezusa Chrystusa. Pojawia się wtedy drugie pokolenie tych, którzy już przejmują wiarę od innych, którzy uwierzyli dużo wcześniej. I zaczynają się zastanawiać nie tylko, kim był Jezus Chrystus, ale jakie jest znaczenie tego dzieła, którego On dokonał. To jest jedna rzecz.

Druga rzecz. Również św. Paweł przeżył już około dwadzieścia kilka lat od swego nawrócenia. W tym czasie odbył trzy wielkie podróże misyjne, w tym czasie przygotowywał się do swojej posługi, w tym czasie poznał apostołów z Piotrem włącznie — przyjęli go początkowo nieufnie, potem coraz lepiej. W tym czasie przeżył już kamienowanie, prześladowania, wypędzania, i Bóg wie co jeszcze. I zaczyna się nie tylko starzeć, ale przede wszystkim zaczyna cierpieć z powodu tego wszystkiego, co mu życie przyniosło. I on też zaczyna się zastanawiać nad znaczeniem Jezusa Chrystusa dla człowieka. Kim jest Jezus? Dlaczego trzeba w Niego wierzyć? Czy nie ma łatwiejszej albo innej drogi do Boga?

I tak dochodzimy do tego, co w tym liście jest najistotniejsze. Raz jeszcze wróćmy na chwilę do wątku, który podjęliśmy na początku. Otóż w Rzymie były zatem jakby trzy grupy ludzi, trzy kręgi ludzi. Jeden to poganie, drugi to Żydzi, trzeci — chrześcijanie pochodzenia pogańskiego i pochodzenia żydowskiego. Do kogo pisze Paweł swój list? Oczywiście przede wszystkim pisze do chrześcijan. Dlaczego do nich pisze? Żeby ich utwierdzić w wierze. Część z nich zna, ale znacznie więcej nie zna. W związku z tym w Liście do Rzymian Paweł chce wykazać potrzebę chrześcijaństwa, potrzebę wiary w Jezusa Chrystusa. Mówi mniej więcej tak: „Dlaczego poganie mają się nawracać na chrześcijaństwo? Dlaczego Żydzi mają nawracać się na chrześcijaństwo? A może — to jest domyślne — a może lepiej, żeby każdy pozostał przy swoim? Może niech będzie tak, jak do tej pory, że każdy swoją drogą? Poganie swoją drogą czy swoimi drogami, a Żydzi swoją drogą zmierzają do Boga? Dlaczego trzeba wierzyć w Jezusa Chrystusa? Dlaczego trzeba Jezusa Chrystusa głosić? Czy to jest kaprys, czy to jest konieczność?

Jeżeli tak popatrzymy na ten list, to zaczynają państwo zdawać sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy jest to dylemat, **jest to problem, który jest również stawiany dzisiaj**. Mianowicie jest to pytanie o sens misji chrześcijańskich, o sens głoszenia Jezusa Chrystusa tam, gdzie Go jeszcze nie znają. Czy nie spotykali się państwo czasami z takimi głosami, że właściwie gdzieś w Azji, w Afryce, czy gdzie indziej, skoro poganie żyją, wyznają jakieś bóstwo czy jakiegoś boga, to nie lepiej zostawić ich samych sobie?

Albo czy nie spotkali się państwo z głosami, w ostatnich latach u nas w Polsce bardzo licznymi i donośnymi, kiedy się mówi: „Po co robić jakiekolwiek misje wobec Żydów? Żydzi nie chcą żadnych misji! Niech oni będą tacy, jacy są.” Jeden z nich, Franz Rosenzweig, w latach 20-tych XX wieku powiedział tak, że: „Chrześcijanie zmierzają do Ojca przez Syna. Ale Żydzi nie potrzebują Syna, bo zawsze byli z Ojcem.” On dokładnie streścił ten sam problem, który stawiano św. Pawłowi.

Po co Żydzi mają uwierzyć w Jezusa? Czy nie wystarczy, że wierzą w Boga? Po co poganie mają uwierzyć w Jezusa? Czy nie wystarczy, jeżeli trwają przy swoich bóstwach? I można by powiedzieć tak, że sytuacja Żydów jest tym lepsza, że wyznają Boga Jedynego. A sytuacja pogan jest gorsza.

Ale skoro żyją zgodnie ze swoim sumieniem, to czy nie lepiej ich zostawić? Zostawić tak jak są? Po co im głosić Jezusa Chrystusa?

To jest właśnie główny temat tego niezwykłego, z tego powodu trudnego, ale z tego powodu również bardzo aktualnego listu. Aktualnego bo to, o czym pisze św. Paweł nie jest wcale kwestią tylko odległej przeszłości, tylko, jak państwo widzą, to wciąż żyje. W gruncie rzeczy ten List daje odpowiedzi na pytania:

- Dlaczego trzeba głosić Jezusa Chrystusa?
- Dlaczego trzeba Go głosić poganom i dlaczego trzeba Go głosić Żydom?
- Dlaczego powinni Go przyjąć poganie i dlaczego powinni Go przyjąć Żydzi?

Gdyby się chciało uzyskać jednozdaniową odpowiedź, to ona brzmi tak: *Usprawiedliwienia przez wiarę w Jezusa Chrystusa potrzebują zarówno poganie, jak i Żydzi. Poganie poniekąd więcej, bo nie wyznają prawdziwego Boga. Trzeba ich pozyskać najpierw dla Boga. Ale potrzebują Go również Żydzi, którzy dochodzą do Boga sądząc, że można poprzestać tylko na dobrych uczynkach.*

Tymczasem, mówi św. Paweł, dobre uczynki nie wystarczają. Gdyby człowiek sądził — i to jest bardzo szczególna treść tego listu — *gdyby człowiek sądził, że dostępuje zbawienia tylko dzięki temu, że jest dobry, dzięki temu, że żyje niewinnie, to znaczyłoby, że sami zasługujemy na zbawienie. To znaczy, że sami jesteśmy w stanie się zbawić — bez Boga i bez zbawczego dzieła Jezusa Chrystusa.*

A Paweł tłumaczy: *Tak nie jest. My nie jesteśmy w stanie zbawić się sami. Dobre uczynki są niezbędne, są potrzebne. Ale przed dobrymi uczynkami stoi przede wszystkim dzieło Jezusa Chrystusa, którego On dokonał przez swoją mękę, przez swój krzyż i przez swoje zmartwychwstanie.*

I tu znów dochodzimy do rzeczy, która jest niesłychanie ważna, i niesłychanie aktualna. Czy państwo czasami nie przeżyli takiej pokusy, a być może lepiej obserwujemy wszystko, co nie jest klarowne — to lepiej widać u innych niż u siebie. Kiedy dochodzimy do wniosku, że właściwie jeżeli człowiek dobrze żyje, to po co mu mówić o Chrystusie? To po co miałby Go jeszcze wyznawać? To po co go niepokoić? W najbardziej uproszczonym stereotypie można by powiedzieć tak. „Nie chodzi do kościoła, nie obchodzi go to, co się dzieje w Kościele, nie obchodzi go Chrystus, nie bierze udziału w życiu liturgicznym — ale zobaczcie: to dobry człowiek." I chcąc jakby jeszcze powiększyć to zdziwienie dobrym człowiekiem, dodajemy: „A zobaczcie, są inni, którzy modlą się, chodzą do kościoła, wysiadują w kościele itd., a zobaczcie jak oni żyją! On jest lepszy, niż ci!"

I w ten sposób, czy zdajemy sobie sprawę z tego, czy nie, zaczynamy kwestionować samo sedno zbawczego dzieła Jezusa Chrystusa. Bo rzeczywiście można być dobrym człowiekiem, zwłaszcza wtedy, jeżeli los nam sprzyja. Można być dobrym człowiekiem w takim znaczeniu, że nie popełnić zła bez żadnego wysiłku — bo ktoś ma takie okoliczności życiowe, które go w żaden sposób nie zmuszają, czy nie skłaniają do jakiegoś szczególnego złego sposobu prowadzenia się. Ale to wcale nie znaczy, że taki człowiek może się obyć bez Chrystusa. *Chrystusa potrzebują wszyscy!* Również i ci, którzy żyją dobrze, i to jest właśnie ten paradoks.

Niech nikt nie myśli, tłumaczy w tym Liście św. Paweł, że może się zbawić własnymi siłami, że może się zbawić za pomocą własnych uczynków. Trzeba być dobrym, trzeba pełnić dobre uczynki, ale one mają swoją wartość nie dlatego, że pochodzą od nas, lecz dlatego, że wpisują się w zbawcze dzieło dokonane przez Jezusa Chrystusa.

Dlaczego więc tak jest, że to dzieło Jezusa Chrystusa jest tak niesłychanie ważne? Państwo zwrócą uwagę — raz jeszcze podkreślam — że ten List jest bardzo aktualny, bo kiedy dwa lata temu kardynał Józef Ratzinger wydał deklarację „Dominus Jesus", o której państwo na pewno słyszeli, czyli "Pan Jezus", w której raz jeszcze przypomina chrześcijanom konieczność Jezusa Chrystusa do zbawienia, konieczność wiary w Jezusa Chrystusa, to spotkało się to z bardzo ostrą krytyką. I zaczęto mówić: „Co, to wy uzurpujecie sobie prawo do tego, że jesteście jedyną słuszną religią?"

Na to kardynał Ratzinger odpowiedział: „Nie, nie uzurpujemy sobie prawa do tego, ani roszczeń do tego, że jesteśmy jedyną słuszną religią. My nie chcemy pogardzać nikim, kto nie jest chrześcijaninem: jest Żydem, jest muzułmaninem, jest buddystą, jest wyznawcą jakiejś innej religii. My nie pogardzamy tymi ludźmi. My tylko mówimy" — odpowiedział kardynał Ratzinger — „że Jezus Chrystus jest zbawcą każdego człowieka. I że ci, którzy idą do Boga zmierzając wg. własnej tradycji

religijnej, że oni też są ogarnięci zbawczą mocą Jezusa Chrystusa." I tu powoływał się na List św. Pawła do Rzymian.

Przyjrzyjmy się więc zasadniczym częściom tego Listu. Na samym początku Paweł pozdrawia tych chrześcijan, do których ma się udać. Można by powiedzieć, że czyni to z pewną nieśmiałością której przyczyny, jak powiedziałem, są dwie. Po pierwsze tylko część z nich zna osobiście. Po drugie pisze przecież do mieszkańców stolicy ówczesnego świata. A więc pisze z wahaniem. Państwo pamiętają, że w Atenach, kiedy zaczął przemawiać, został przyjęty z rezerwą. Otóż on doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że stolica ma swoje prawa, że ludzie w stolicy są na ogół bardziej dumni, a może nawet pyszni, niż gdzie indziej. Dla porównania niech państwo wezmą opinię, jaka panuje w różnych zakątkach Polski o warszawiakach. Otóż w wielu miejscach jest pewien dystans. Paweł pozdrawia tych ludzi i mówi:

> Do wszystkich przez Boga umiłowanych, powołanych świętych, którzy mieszkają w Rzymie: Łaska wam i pokój od Boga, Ojca naszego, i Pana Jezusa Chrystusa!

Pisze więc do chrześcijan rzymskich. I wita ich tradycyjnym chrześcijańskim pozdrowieniem, które ma swoje żydowskie korzenie. Bo „Łaska i pokój", greckie słowa Toi charis kajirene to jest nic innego, jak prawie dosłowny odpowiednik hebrajskiego Szalom wraha czyli *Pokój i błogosławieństwo, pokój i błogosławieństwo od Boga.* Więc Paweł dyktuje po grecku, ale myśli tak, jak myśli człowiek osadzony w kulturze Starego Testamentu. I napisał tak:

> Na samym początku składam dzięki Bogu mojemu przez Jezusa Chrystusa za was wszystkich; ponieważ o wierze waszej mówi się po całym świecie.

Skoro to stolica, to wiara tych ludzi jest bardzo ważna. Wiara tamtejszych chrześcijan jest przykładem. Przy różnych okazjach zwracałem uwagę państwa na to że sam fakt, że człowiek, który przybywa ze stolicy, jedzie do jakiegoś sanatorium, na wieś, do małego miasteczka — i przychodzi niedziela, i ten człowiek idzie do kościoła — sam ten fakt ma ogromną wartość ewangelizacyjną, ma ogromną wartość świadectwa. Dlatego, że dla miejscowych ludzi ten człowiek jest kimś, kto jest brany za wzór. To, jak żyli chrześcijanie rzymscy, miało ogromne znaczenie dla chrześcijan na całym świecie.

> Bóg bowiem, któremu służę w [głębi] mego ducha, głosząc Ewangelię Jego Syna, jest mi świadkiem, jak nieustannie was wspominam, prosząc we wszystkich modlitwach moich, by kiedyś wreszcie za wolą Bożą nadarzyła mi się dogodna sposobność przybycia do was.

Paweł chce więc udać się do Rzymu i pisze do tych, których bardzo chce zobaczyć. I teraz rozpoczyna się pierwsza część tego listu. Mianowicie można by powiedzieć tak. Dlaczego trzeba być chrześcijaninem? Dlaczego poganie mają się nawracać? Dlaczego Żydzi mają się nawracać? Zwracając się do chrześcijan Paweł zatem chce uzasadnić, że warto i trzeba być chrześcijaninem. I temu poświęcone są rozdziały: pierwszy od wiersza 18, aż prawie do końca trzeciego rozdziału, do wiersza 20. Praktycznie cała pierwsza część będzie dotyczyła uzasadniania potrzeby bycia chrześcijaninem. Napisał tak:

> Bo ja nie wstydzę się Ewangelii, jest bowiem ona mocą Bożą do zbawienia dla każdego wierzącego, najpierw dla Żyda, potem dla Greka.

Z tego zdania możemy wywnioskować pewną ciekawą rzecz. Mianowicie, że w Rzymie byli chrześcijanie, którzy wyznawali Jezusa Chrystusa, ale czasami się Go wstydzili. Czasami ze swoją wiarą nie chcieli się nie tyle obnosić, ile nie chcieli o niej świadczyć. Dlaczego? Bo to stolica, bo to jakiś wstyd. Tak by mi się wydawało. Czy nikt z państwa czegoś podobnego nie przeżył? Myślę, że każdy z nas przeżył. Zwłaszcza gdy mieszkamy w dużym mieście, to pewne zachowania religijne, albo pewne sytuacje religijne, zaczynają być dla nas krępujące. Oto przechodzimy koło kościoła, ale idziemy z kimś z pracy. Zawsze zdejmowaliśmy czapkę — to mężczyźni, kobieta się żegnała —

ale tym razem nie, bo jesteśmy z kimś nieznajomym, nie wiadomo co pomyśli. Zachowujemy się w określony sposób, ale bywają takie sytuacje, w których wstydzimy się Ewangelii. A Paweł mówi: „A ja nie wstydzę się Ewangelii". A więc najwidoczniej dotarły do niego głosy, że wiara w stolicy jest nieco wybiórcza, taka okazjonalna. I mówi dalej:

> jest bowiem ona mocą Bożą ku zbawieniu

Siłą Ewangelii jest Pan Bóg, a celem Ewangelii jest zbawienie. I teraz państwo popatrzą na kolejność: „najpierw dla Żyda, potem dla Greka". Grek to oczywiście symbol poganina, symbol tego, który wówczas przynależał do kultury hellenistycznej. I to spojrzenie jest bardzo ciekawe, mianowicie Paweł mówi: „Wiary w Jezusa Chrystusa potrzebują najpierw Żydzi". Dlaczego? Bo zostali do niej odpowiednio przygotowani, i powinno im łatwiej uwierzyć w Jezusa Chrystusa, niż poganom. Bo oni znają Boga Jedynego. Ale nie można poprzestać na wierze w Boga. Trzeba zrobić krok naprzód, uwierzyć w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. A więc od Boga pochodzi ta moc, dzięki której człowiek staje się chrześcijaninem. I dodaje dalej: „W niej bowiem" — czyli w wierze

> objawia się sprawiedliwość Boża, która od wiary wychodzi i ku wierze prowadzi, jak jest napisane: a sprawiedliwy z wiary żyć będzie.

Zatem *List św. Pawła do Rzymian to jest wielkie wołanie o wiarę.* Być może państwo wiedzą, że był to ulubiony list Marcina Lutra. W gruncie rzeczy ten list, jego lektura, jego sposób rozumienia, jego sposób przeżywania legł u początków reformacji. O co bowiem chodziło na początku XVI wieku? Otóż w Kościele pojawiło się bardzo wiele rozmaitych „dobrych praktyk": a to odpusty, których udzielano aż nazbyt hojnie, a to rozmaite formy modlitwy, o których mówiono, że z całą pewnością prowadzą do Boga, do nieba, a to różne inne formy pobożności. Tak, że na początku XVI wieku ktoś mógł odnieść wrażenie, że w gruncie rzeczy człowiek zbawia się własną mocą. Bo jeżeli jest dobry, to zbawienie jakby przychodzi przez nasze uczynki. Lutrowi to się nie podobało. I powołuje się na L:ist św. Pawła do Rzymian i mówi: „Nie! Możesz starać się być dobrym, powinieneś być dobrym, ale zbawienie, ale usprawiedliwienie przed Bogiem pochodzi przede wszystkim z wiary". I w pierwszym rozdziale swojego Listu najpierw Paweł tłumaczy, że usprawiedliwienia potrzebują poganie. I mówi tak:

> Albowiem gniew Boży ujawnia się z nieba na wszelką bezbożność i nieprawość tych ludzi, którzy przez nieprawość nakładają prawdzie pęta. To bowiem, co o Bogu można poznać, jawne jest wśród nich, gdyż Bóg im to ujawnił.

I zaczyna tłumaczyć, mówić mniej więcej tak. Patrząc na świat człowiek powinien dojść do wiary w jedynego Boga. Skoro poganie wyznają wielu bogów to znaczy, że zlekceważyli świat jako dowód na istnienie Boga. Czyli niech państwo zwrócą uwagę, że św. Paweł kładzie podwaliny pod to, co ponad 1100 lat później napisał św. Tomasz, traktując świat jako drogę do Boga. Wyjdź, popatrz na przyrodę, popatrz na drzewa, popatrz na zwierzęta, popatrz na naturę, popatrz na cykl roku, popatrz na wschody i zachody słońca — i powinieneś dojść do Boga! Skoro każdy obraz ma swojego mistrza, który go sporządził, to dlaczego świat, który jest najpiękniejszym z obrazów, miałby być sprawą jakiegoś ślepego przypadku? I św. Paweł tłumaczy, że poganie własnymi siłami, własnym rozumem mogli dojść do Boga. A dlaczego nie doszli? Bo nałożyli prawdzie pęta. Otóż zatem Paweł sugeruje, że pogański sposób życia, głównie rozwiązłość, której w Rzymie nie brakowało, ale także brak sprawiedliwości i szacunku społecznego, spowodował, że poganie w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu stali się ślepi. Że ponieważ żyli źle, to nie chcieli przyjąć do wiadomości tego, dzięki czemu czy skutek czego musieliby się nawrócić.

Czyli Paweł sugeruje, że poganie nie doszli do wiary w Boga jedynego dlatego, bo żyli tak, iżby lepiej, żeby Go nie było. I to znów jest dylemat który pozostaje aktualny i dzisiaj. Bo i dzisiaj są ludzie, którzy żyją tak że lepiej, żeby Boga nie było. I nie mogą przekroczyć owego progu wiary w Boga nie dlatego, że świat nie skłania ich ku tej rzeczywistości Bożej, tylko dlatego, że ich sposób życia nie pozwala im zauważyć tego, co najważniejsze, i tego, co do Boga prowadzi.

I jeżeli państwo jeszcze raz przeczytaliby ten rozdział pierwszy, bo niestety nie mam czasu, żeby dalej go tłumaczyć, to będzie to wielka, jeżeli tak można powiedzieć, apologia Boga Stworzyciela. Św. Paweł napisał m.in.:

> Dlatego wydał ich Bóg poprzez pożądania ich serc na łup nieczystości, tak iż dopuszczali się bezczeszczenia własnych ciał. Prawdę Bożą przemienili oni w kłamstwo i stworzeniu oddawali cześć, i służyli jemu, zamiast służyć Stwórcy, który jest błogosławiony na wieki. Amen.

Nie doszli do poznania Boga służąc stworzeniu zamiast Stwórcy. Dlatego potrzebują Chrystusa, tłumaczy Paweł. A Żydzi? Żydzi są wobec tego w lepszej sytuacji. Żydzi nie byli politeistami, Żydzi nie byli bałwochwalcami. Nie oddawali czci najrozmaitszym siłom natury ani zwierzętom, ani jakimś innym ziemskim uwarunkowaniom. To może wobec tego nie trzeba głosić Żydom Ewangelii? Skoro zawsze byli z Ojcem, to może mogą obejść się bez Syna? Ta sugestia pojawia się wielokrotnie na łamach np. Tygodnika Powszechnego. Wielu z chrześcijańskich autorów w Tygodniku Powszechnym sugeruje, że po co głosić Żydom Chrystusa? Zostawcie ich tak, jak są. Wyznają Boga, to wystarczy. Co na to św. Paweł?

> Przeto nie możesz wymówić się od winy, człowiecze, kimkolwiek jesteś, gdy zabierasz się do sądzenia. W jakiej bowiem sprawie sądzisz drugiego, [w tej] sam na siebie wydajesz wyrok, bo ty czynisz to samo, co osądzasz.

A więc Paweł zwraca się teraz do swoich rodaków. I mówi tak: „Łatwo nam, Żydom, przychodzi osądzać pogan. Ale wejrzyjcie teraz na swoją własną sytuację. Wy, którzy byliście przez Boga przygotowywani do uwierzenia w Jego Syna, a którzy tego nie zrobiliście! „Czy myślisz człowiecze" — proszę zwrócić uwagę, że zwraca się tutaj w drugiej osobie liczby pojedynczej. A więc każe tę sprawę przemyśleć każdemu Żydowi samodzielnie.

> Czy myślisz, człowiecze, co osądzasz tych, którzy się dopuszczają takich czynów, a sam czynisz to samo, że ty unikniesz potępienia Bożego?

Sugeruje zatem, że położenie Żydów w gruncie rzeczy wcale nie jest dużo lepsze, niż położenie pogan. Że w tym, co najważniejsze, główna wina Żydów, którzy jeszcze nie przyjęli Jezusa, polega na tym, że Go właśnie nie przyjęli. I że pod tym względem upodabniają się do pogan. I tłumaczy dalej:

> Oto przez swoją zatwardziałość i serce nieskłonne do nawrócenia skarbisz sobie gniew na dzień gniewu i objawienia się sprawiedliwego sądu Boga, który odda każdemu według uczynków jego: tym, którzy przez wytrwałość w dobrych uczynkach szukają chwały, czci i nieśmiertelności - da życie wieczne; tym zaś, którzy są przekorni, za prawdą pójść nie chcą, a oddają się nieprawości - odda gniew i oburzenie.

Paweł mówi tak: Można nie uznać Boga i Jego zbawczego działania w Jezusie Chrystusie z przekory. I z tego, że człowiek za prawdą pójść nie chce. Nie tylko dlatego, że nikt mu jej nie głosił, tylko dlatego, że chce pozostać przy swoim. Zatem Żydom, którzy odrzucają Jezusa, Paweł, sam Żyd, zarzuca pychę. Zarzuca brak otwarcia się na Boga, który tak daleko wyszedł wobec człowieka. Ale dalej jeszcze:

> Ucisk i utrapienie spadnie na każdego człowieka, który dopuszcza się zła, najpierw na Żyda, a potem na Greka. Chwała zaś, cześć i pokój spotka każdego, kto czyni dobrze - najpierw Żyda, a potem Greka. Albowiem u Boga nie ma względu na osobę.

Otóż każdy człowiek indywidualnie powinien opowiedzieć się za Chrystusem. Bo Chrystus każdego, czy Bóg każdego rozliczy z jego przyjęcia bądź nieprzyjęcia wiary w Syna Bożego. Kładzie więc Paweł nacisk na indywidualną odpowiedzialność. I dalej:

> Bo ci, którzy bez Prawa zgrzeszyli, bez Prawa też poginą,

Poganie, którzy nie znali Prawa Mojżeszowego, nie mogą być sądzeni wg. kryteriów tego Prawa, bo go nigdy nie znali. Więc ta ich słabość, ta ich zła sytuacja, obywa się jak gdyby nie tylko obok Prawa, ale bez Prawa Mojżeszowego. Ale:

a ci, co w Prawie zgrzeszyli, przez Prawo będą sądzeni.

Paweł zatem sugeruje, że samo Prawo Starego Testamentu wskazywało na Jezusa Chrystusa. Zatem jeżeli ktoś będąc Żydem, znając to Prawo, nie przyjmuje Chrystusa, to jest najpierw potępiony przez wewnętrzną siłę samego tego Prawa.

Nikt przed Pawłem nie czytał tak Starego Testamentu! Ponieważ Paweł sugeruje, że Chrystus jest wpisany w Stary Testament, że jest tam obecny. Że można Go tam się doszukać, że Stary Testament jest ukierunkowany ku Nowemu. Że bez Nowego Testamentu Stary pozostaje w jakimś sensie niespełniony. A więc tłumaczy św. Paweł swoim rodakom, że mają uwierzyć w Chrystusa nie tylko dlatego, że Chrystus jest im głoszony, bądź nie. Ale mają w Niego uwierzyć dzięki wnikliwej refleksji nad Starym Testamentem. Stary Testament, mówi Paweł, nie dopełniony przez Nowy, pozostaje jakby zawieszony w próżni. Pozostaje tak, jak powieść bez epilogu. Pozostaje jak niedokończona robota.

I tak jest w gruncie rzeczy. Czy państwo zwrócili uwagę na to, że judaizm współczesny, życie żydowskie, które nie uznało Jezusa Chrystusa, bywa nazywany religią Starego Testamentu. A mówi się, że chrześcijaństwo jest religią Nowego Testamentu. Otóż judaizm współczesny, ten judaizm, który się ukształtował przez ostatnie dwa tysiące lat, *nie jest religią Starego Testamentu!* Jak dla nas punktem odniesienia, względem którego czytamy Stary Testament, jest Nowy Testament, tak dla Żydów punktem odniesienia do czytania Starego Testamentu jest Talmud, i cała wyrastająca z niego żydowska tradycja. Dlatego ten judaizm jest nazywany rabinicznym, bo opracowali go, stworzyli go rabini. Nazywany jest też talmudycznym, bo zakorzeniony jest w Talmudzie.

Zatem Żydzi nie czytają Starego Testamentu dosłownie, tylko czytają go tak, jak został on objaśniony w Talmudzie. Dla nich punktem odniesienia jest Talmud. Zatem współczesne życie żydowskie jest to życie według Talmudu. To jest żydowski odpowiednik Nowego Testamentu.

Co z tego wynika? Że nawet sami Żydzi przez wieki zauważyli, że Stary Testament, gdyby na nim poprzestać, jest pozbawiony epilogu. Jakby do niczego nie prowadzi. W związku z tym, ponieważ nie uznali Jezusa i nie przyjęli Nowego Testamentu, to wypracowali swoją tradycję nieprzyjęcia Jezusa, odrzucenia Go i ujęli to w formy, które znajdują się w Talmudzie. I Talmud jest żydowskim dokończeniem Starego Testamentu, tak jak Nowy Testament jest chrześcijańskim dokończeniem Starego Testamentu.

Na ten fakt wskazał Paweł jeszcze zanim zaczęto o tym myśleć! Mianowicie 25 lat po śmierci Jezusa Chrystusa Paweł pokazał, że Stary Testament, czytany bez Jezusa, pozbawiony jest znaczenia. I że samo czytanie Starego Testamentu winno było Żydów ukierunkować ku Jezusowi.

Czyli wiary w Chrystusa potrzebują poganie. Wiary w Chrystusa potrzebują również Żydzi. Trzeba głosić Go i jednym i drugim, tłumaczy Paweł chrześcijanom w Rzymie. Mówi: „Nie wstydźcie się Ewangelii, ale dawajcie jej świadectwo wobec jednych, i wobec drugich". Państwo popatrzą — jak głębokie to jest myślenie! To czy sytuacja pogan i Żydów nie różni się? To po co było objawienie Starego Testamentu, skoro jedni i drudzy potrzebują Chrystusa? Czy Żydzi nie są w lepszej sytuacji, niż poganie? Paweł podejmuje i ten temat. I napisał na początku trzeciego rozdziału tak:

Na czym więc polega wyższość Żyda?

Bardzo ciekawe pytanie! Dlaczego Bóg wybrał Żydów? Czy rzeczywiście są oni wyżsi niż poganie? Można ty powiedzieć tak: są dwie drogi owej *preparatio Evangelica*, przygotowania do Ewangelii, droga pogańska i droga żydowska. To czy warto było być Żydem? Warto było przestrzegać Prawa? Warto było przestrzegać tych przykazań?

Na czym więc polega wyższość Żyda? I jaki jest pożytek z obrzezania?

pyta Paweł w nawiązaniu do żydowskiego zwyczaju dotyczącego mężczyzn. I odpowiada tak:

Wielki pod każdym względem. Najpierw ten, że zostały im powierzone słowa Boże.

Wyższość Żydów nad poganami polega na tym, że stali się depozytariuszami Bożego Objawienia. To Bóg im się objawił, i pod Bożym natchnieniem zostały spisane słowa Boże w księgach świętych. Wyższością Żydów nad poganami jest Stary Testament, który mają, czytają, i rozważają. Oni są *ludem Księgi*, a Księga jest wielkim darem Bożym. I przez Żydów tę Księgę otrzymują także inni.

> Bo i cóż, jeśli niektórzy stali się niewierni, czyż ich niewierność miałaby zniweczyć wierność Boga?

W gruncie rzeczy *to zdanie stanowi klucz do stosunków chrześcijańsko-żydowskich dzisiaj.* Paweł mówi tak. Przez to, że część Żydów nie przyjęła Jezusa Chrystusa, stali się niewierni. Ale czy to, że oni stali się niewierni, czy to podważa wierność Boga? Ci Żydzi są niewierni Bogu, ale Bóg jest wierny sobie. W ten sposób wielkość dzieła zbawczego dokonanego w Chrystusie, i przez Chrystusa, objawia się w tych, którzy uwierzyli w Jezusa. Ale ona również objawia się w tajemniczy sposób także w tych, którzy Go odrzucili.

Bo ci, którzy odrzucili Jezusa, Żydzi, tym bardziej są obrazem wierności Boga. Bo wierność staje się jeszcze wyraźniejsza w konfrontacji z niewiernością. Taki w gruncie rzeczy, tłumaczy potem Paweł, jest los Boga w spotkaniu z człowiekiem. Nie tylko Żydzi, również my, którzy jesteśmy chrześcijanami, wiele razy sprzeniewierzamy się Bogu, jesteśmy niewierni. Ale Bóg jest wierny sobie, i dlatego możemy do Niego w każdej chwili wracać.

Zatem Paweł tłumaczy: sprzeciw Żydów wobec Ewangelii jest przedziwnym, tajemniczym obrazem sprzeciwu, niewierności każdego człowieka wobec Boga. *Jeżeli chcecie zrozumieć siebie,* mówi Paweł do chrześcijan, *popatrzcie na tych Żydów, którzy nie uwierzyli w Jezusa. Bo i wam zdarza się to samo, gdy Mu się sprzeniewierzacie.*

W ten sposób dokonuje Paweł bardzo głębokiego spojrzenia na ów żydowski sprzeciw. I tłumaczy, że na tym właśnie polega wyższość Żydów nad poganami, że w tym żydowskim sprzeciwie uwypukla sie tym mocniej wierność Boga wobec człowieka. I jeszcze raz to samo zdanie:

> Bo i cóż, jeśli niektórzy stali się niewierni, czyż ich niewierność miałaby zniweczyć wierność Boga?

I odpowiada:

> Żadną miarą! Bóg przecież musi okazać się prawdomówny, każdy zaś człowiek kłamliwy, zgodnie z tym, co napisane:
> Abyś się okazał sprawiedliwy w słowach Twoich
> i odniósł zwycięstwo, kiedy Cię sądzą.

Zatem w tej niewierności wobec Boga, której obrazem jest niewierność Żydów, którzy nie uwierzyli w Jezusa, widoczna jest tym mocniej wierność Boga. I o tej wierności Boga mówił cały Stary Testament. I dodaje jeszcze Paweł tak:

> Lecz jeśli nasza nieprawość uwydatnia sprawiedliwość Bożą, to cóż powiemy? Czy Bóg jest niesprawiedliwy, gdy okazuje zagniewanie? - wyrażam się po ludzku. Żadną miarą! Bo w takim razie jakże Bóg sądzić będzie ten świat? Ale jeżeli przez moje kłamstwo prawda Boża tym więcej się uwydatnia ku Jego chwale, jakim prawem jeszcze i ja mam być sądzony jako grzesznik?

Zauważmy, trudno spotkać kogokolwiek, kto by myślał tak głęboko. Paweł mówi tak: „Skoro wierność Boga uwypukla się, staje się lepiej widoczna przy niewierności człowieka, to może lepiej być niewiernym? To czyżby Bóg potrzebował niewierności, żeby tym mocniej podkreślać swoją wierność?" Powiada: „Nie, Żadną miarą!" Dodaje: „Ja myślę po ludzku. U Boga jest inaczej." I dopowiada tak:

> I czyż to znaczy, iż mamy czynić zło, aby stąd wynikło dobro? - jak nas niektórzy oczerniają i jak nam zarzucają, że tak mówimy. Takich czeka sprawiedliwa kara.

I dodaje:

> Cóż więc? Czy mamy przewagę? Żadną miarą! Wykazaliśmy bowiem uprzednio, że tak Żydzi, jak i poganie są pod panowaniem grzechu,

I teraz Paweł rozpoczyna — a my musimy kończyć — rzecz zupełnie nową. Mianowicie tłumaczy, wyjaśnia, i może do tego wątku trzeba będzie przy jakiejś sposobności wrócić, że i Żydzi, i poganie, potrzebują jednakowo usprawiedliwienia, ponieważ u początków rodzaju ludzkiego leży grzech. Grzech Adama, grzech pierwszych rodziców, który dotyczy nas wszystkich. I wszyscy potrzebują Bożej łaski, ponieważ wszyscy zgrzeszyli. Dlatego dalej rozwija naukę o grzechu pierworodnym. Jest to najpiękniej wyłożona nauka w całym Piśmie Świętym. A z tej nauki Paweł wyprowadza wniosek.

Skoro wszystkich nas dotyczy rzeczywistość grzechu, nazwanego później w teologii chrześcijańskiej pierworodnym, to wszyscy potrzebujemy odrodzenia, które przychodzi przez chrzest. I dlatego chrztu potrzebują i poganie, i Żydzi. I jego list zamienia się w piękną katechezę chrzcielną, kiedy to tłumaczy i jednym, i drugim, że powinni się nawrócić do Jezusa, powinni uwierzyć w Niego, i powinni w Jego imię się ochrzcić. I to jest w gruncie rzeczy cała pierwsza część Listu.

A zachęciwszy do chrztu staje wobec jeszcze jednego pytania. No dobrze, a jeżeli mimo to są Żydzi, którzy nie chcą się ochrzcić? To co z nimi? Temu poświęcone są rozdziały 9 – 11. I Paweł stawia tam takie pytanie, w nawiązaniu do tych Żydów, którzy nie chcą się ochrzcić:

> Czyż Bóg odrzucił lud swój?

I odpowiada:

> Żadną miarą!

Otóż także w przypadku tych, którzy mówią Bogu „Nie”, aczkolwiek są przygotowani do uznania Jezusa Chrystusa, uwypukla się w nowy sposób wierność Boga.

Ale tu musimy już przerwać, bo byłby to temat na drugi, równie obszerny wykład. Zresztą tymi wątkami myśmy się już przy innych okazjach zajmowali. I ci z państwa, którzy brali udział systematycznie, z pewnością rzecz pamiętają.

Na dzisiaj bardzo dziękuję. Natomiast ponieważ ten List był trudny, ale jak państwo widzą niesłychanie ważny, to zapraszam na ostatnią w tym roku konferencję biblijną za trzy tygodnie, 2 czerwca. I będę bardzo wdzięczny, jeżeli państwo przeczytają jeszcze trudniejszy list, List do Hebrajczyków. W tym liście wrócimy do sprawy kultu Starego Testamentu.

Tamten List, uprzedzam, jest trudny. Ale po całym roku takich doświadczeń już państwo sobie na pewno z tym poradzą. Więc bardzo gorąco do lektury tego Listu zapraszam.

Dzisiaj bardzo gorąco państwu dziękuję. Jeszcze raz dziękuję za tę ogromną życzliwość, której doświadczyłem i doświadczam.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

5.9 List do Hebrajczyków (2 czerwca 2003)

Bardzo cieszę się że sporo osób spośród państwa znalazło kilkanaście dni temu czas na to, aby wziąć udział w sympozjum poświęconym Janowi Pawłowi II, które miało miejsce w Uniwersytecie Kardynała Wyszyńskiego i którego tematem była refleksja nad *Tryptykiem rzymskim*. Medytowaliśmy nad myślą Ojca Świętego. Sądzę że osoby, które wzięły udział w tych medytacjach, nie uważają tego czasu za stracony.

Dzisiaj mamy ostatnią konferencję z cyklu, który rozpoczęliśmy w tym roku. Ten cykl moglibyśmy objąć nazwą *Czytamy Nowy Testament*. Dwa dni temu miałem możliwość, żeby obejrzeć się nieco wstecz. Okazało się, że w naszej parafii Zwiastowania Pańskiego prowadzę dla państwa te konferencje nieprzerwanie już od 11 lat. Natomiast przedtem były 2 czy 3 lata, kiedy dochodziłem z sąsiedniej parafii Opatrzności Bożej. Tam, w parafii na Dickensa, było kilka lat poprzednich konferencji.

Tu mamy dzisiaj koniec jedenastego roku. Jedenaście lat po kilka, a czasami było nawet kilkanaście konferencji, bo na początku były one nawet co dwa tygodnie — to jest spora porcja refleksji, spory wysiłek państwa. Jednocześnie duża sposobność do tego, żeby z tego bogactwa Pisma Świętego zaczerpnąć jak najwięcej.

W tym roku przedmiotem naszej refleksji było czytanie Nowego Testamentu. I wprowadziliśmy zwyczaj zadawania lekcji. Mam wrażenie, że ogromna większość z państwa dobrze wywiązywała się z tego obowiązku, że sięgali państwo po wskazane lektury. I tylko rzucając okiem wstecz na to, co przerobiliśmy, przypominam, że powinniśmy już mieć za sobą czytanie, a także refleksję, nad wszystkimi czterema Ewangeliami kanonicznymi. Ta refleksja była poprzedzona wstępem. A potem omawialiśmy Ewangelię Marka, Ewangelię Łukasza, Mateusza, Jana. Omawialiśmy Dzieje Apostolskie, omawialiśmy również I i II List św. Pawła do Koryntian, List do Rzymian, a dzisiaj jest czas na List do Hebrajczyków. Zatem jeżeli traktowaliśmy rzecz poważnie, mamy za sobą znaczącą część Nowego Testamentu. I mamy za sobą pewien klucz do lektury ksiąg świętych Nowego Testamentu, która powinna nam być pomocna i owocna w lepszym zrozumieniu także naszej wiary, a przez to samo również naszego życia.

Przypominam państwu te słowa Jana Pawła II, które od początku stanowią motto naszych konferencji, słowa wypowiedziane w 1987 roku w Łodzi, kiedy to papież powiedział, że najlepiej, najskuteczniej ewangelizują świat ci, którzy najpierw ewangelizują samych siebie przez cierpliwe czytanie i zgłębianie słowa Bożego, przez modlitwę, i wreszcie przez Eucharystię. Staramy się uprawiać to, co w dawnej kościelnej tradycji było nazywane lectio divina, czyli *czytanie święte, czytanie natchnione.* Pamiętamy te słowa Jezusa, że „tam, gdzie jest dwóch lub trzech zgromadzonych w imię moje, Ja jestem pośród nich". I z tego powodu wspólnotowe medytowanie nad Pismem Świętym ma znaczenie szczególne. Myślę że również państwo czują to, że kiedy omawiamy tutaj treści Pisma Świętego, to w jakimś sensie zapadają w nas myśli, których gdzie indziej, przy innych okazjach pewnie byśmy z siebie nie wydobyli.

Jest takim szczególnym przywilejem widzieć to, co ja stąd widzę, mianowicie te kilkaset twarzy, i mieć świadomość, że oto ta medytacja nad Pismem Świętym staje się udziałem każdego z nas. I oczywiście jest to głębokie pole do wielkiej Bożej łaski, która nas wspiera. I z całą pewnością są takie osoby, które w trudniejszym czasie w swoim życiu nieraz już z tego bogactwa Pisma Świętego zaczerpnęły, zarówno umocnienie, jak i pociechę, jak i siłę. I wtedy, kiedy było trudniej, wracaliśmy myślami i sercem do tych medytacji po to, żeby się umocnić.

Dzisiaj przechodzimy do ostatniego pisma, które mamy przeczytać przed wakacjami. Z *Listem do Hebrajczyków* związany jest w Kościele pewien paradoks. Mianowicie jest to list rzadko czytany w liturgii, a także bardzo rzadko zalecany do czytania wspólnotowego, a tym bardziej do czytania indywidualnego. Dlatego, że panuje powszechne przekonanie, że jest to List trudny, by nie powiedzieć bardzo trudny. Jeżeli zadajemy studentom pytanie po przeczytaniu Nowego Testamentu, które z ksiąg są dla nich najtrudniejsza, to zazwyczaj wśród odpowiedzi pojawia się Ewangelia św. Mateusza, List do Hebrajczyków i Apokalipsa św. Jana.

Zostawmy na razie Apokalipsę św. Jana, być może będzie sposobność, żeby do niej wrócić. Natomiast nie ulega wątpliwości, że właśnie Ewangelia św. Mateusza i List do Hebrajczyków dla nas, chrześcijan dzisiaj, w tych konkretnych polskich i katolickich uwarunkowaniach, są najtrudniejsze.

Dlaczego one są najtrudniejsze? Z tych powodów, na które zwracam uwagę państwa prawie na każdej konferencji. Mianowicie te dwa pisma powstały w bardzo specyficznym środowisku. Mówiąc prawdę, w tym specyficznym środowisku powstały wszystkie pisma Nowego Testamentu, ale te dwa są szczególnie hermetyczne.

Cóż to było za środowisko? Było to środowisko Żydów, którzy jako pierwsi uwierzyli w Jezusa Chrystusa. A więc środowisko chrześcijan, powiedzielibyśmy, pochodzenia żydowskiego, którzy mieli za sobą bardzo długą tradycję czytania i objaśniania Starego Testamentu. I oto teraz, kiedy przeżyli nowość osoby Jezusa Chrystusa, to chcieli zrozumieć Jezusa Chrystusa, przedstawić Jezusa Chrystusa w kategoriach i języku Starego Testamentu. I co się okazało? Okazało się, jak zwrócili na to niedawno uwagę, w ubiegłym roku, autorzy dokumentu wydanego przez Papieską Komisję Biblijną, dotyczącego właśnie tych spraw, że pomiędzy Starym i Nowym Testamentem, pomiędzy wiarą biblijnego Izraela i wiarą Kościoła, zachodzi potrójna relacja.

Mianowicie istnieje **ciągłość** dlatego, że przecież ci, którzy pierwsi uwierzyli w Jezusa Chrystusa, byli Żydami: Piotr, Jakub, Jan, Paweł, inni apostołowie, całe wspólnoty chrześcijańskie były żydowskiego pochodzenia. A więc istniała ciągłość, oni wszyscy byli dziećmi Pierwszego Przymierza, oni wszyscy — jeżeli tak można powiedzieć — byli zakorzenieni w tradycji Synaju, w tradycji Dekalogu, w tradycji Bożych Przykazań, w tradycji proroków. I w związku z tym mieli za sobą bardzo długie dzieje Objawienia Bożego. I to jest pierwszy aspekt, pierwszy wymiar: *ciągłość.*

Ale istniał też drugi wymiar, druga perspektywa — mianowicie **brak ciągłości**. Na czym polegał ten brak ciągłości? On wynikał z osoby, z dzieła, z nauczania Jezusa Chrystusa. Mianowicie Jezus podczas swego ziemskiego życia odwoływał się do Starego Testamentu — ale zarazem podkreślał, że oto dokonuje się z jego osobą coś, co wychodzi poza ramy Starego Testamentu. I oni to widzieli. Państwo przypominają sobie z Ewangelii takie epizody, jak to Jezus łuska kłosy w szabat. I uczniowie biorą te ziarna z kłosów, i jedzą. Zauważył to ktoś spoza ich grona i mówi: „Dlaczego twoi uczniowie robią to, czego w szabat nie wolno?" A Jezus odpowiada: „Przecież to szabat został ustanowiony dla człowieka, a nie człowiek dla szabatu". Pokazuje zatem pewien brak ciągłości. I możemy wiele przykładów takich wskazać, w których Jezus wychodzi poza sztywne ramy Starego Testamentu, np. jeżeli chodzi o dziesięcinę, jeżeli chodzi o przysięgi, jeżeli chodzi o mycie rąk, o te rytualne obmycia. Zarzucają Jezusowi raz i drugi, mówią np. „Dlaczego my pościmy, a Twoi uczniowie nie poszczą?" itd. To jest drugi wymiar który sprawiał, że zawsze zadawano pytania „Dlaczego?", „Dlaczego?".

Istnieje jeszcze trzeci wymiar, i ten wymiar jest najważniejszy. Mianowicie obok ciągłości, obok braku ciągłości, trzeba podkreślić **nowość osoby Jezusa Chrystusa**. Zasadniczą radykalną nowość tego, co się w Jezusie dokonało. Już parę razy zwracałem państwu uwagę na to, na czym ta nowość polegała. Ta nowość w gruncie rzeczy przesądza o różnicy między chrześcijaństwem a judaizmem, między Kościołem a Synagogą. Otóż polegała ona na tym, że w czasach Starego Testamentu wszyscy prorocy nawoływali do wiary w Boga. Żądali nawrócenia, żądali powrotu do Boga, żądali rewizji swojego życia, nawoływali do swoistych starotestamentowych rekolekcji. I przedstawiali wiarę w Boga, i cały czas mówili o wierze w Boga jako o czymś najważniejszym. Jeżeli Izraelici odchodzili od Boga, prorocy przypominali im o konieczności tej wiary.

W Nowym Testamencie, wraz z Jezusem, mamy pewną nowość. Mianowicie Jezus już nie tylko nawołuje do wiary w Boga i do wierności Bogu, ale zwraca uwagę na siebie, na to, kim On jest. *I żąda, czego żaden starotestamentowy prorok nie wymagał, wiary w siebie*. Jeżeli chcemy zrozumieć nowość Jezusa, to musimy to właśnie mocno podkreślić. Jezus wymaga wiary w siebie ponieważ tłumaczy, mówi, że jest Kimś niezwykłym. Nie człowiekiem, nie jeszcze jednym prorokiem, tylko zadaje im pytanie: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?", i „Wy za kogo Mnie uważacie?" Ludzie uważają Go za jednego z proroków, a Piotr mówi: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego". I zostaje pochwalony przez Jezusa: „Błogosławiony jesteś Szymonie, bo nie ciało i krew ci to objawiły", czyli nie doszedłeś do tego własną mocą, naturalną mocą, ale mocą Boga. Jezus przedstawia się jako Syn Boży. I to sprawia, że granice Starego Testamentu zostają jakby rozepchnięte. Jeżeli byśmy porównali Stary Testament do balonu, to ten balon musi pęknąć. Dlatego, że to mesjańskie i boskie roszczenie, ta mesjańska i boska godność Jezusa jest czymś tak wielkim, że w języku Starego Testamentu nie można było jej wyrazić.

Myślę, że po tym wstępie łatwiej państwo zrozumieją List, który właśnie przeczytali, *List do*

Hebrajczyków. Przedziwny to list. Gdyby państwo znali język grecki, dialekt grecki, który nazywa się koine czyli *wspólny,* który był w obiegu w I wieku naszej ery, to z pewnością by się państwo przekonali, że mają rację uczeni bibliści którzy mówią, że List do Hebrajczyków został napisany najpiękniejszą greczyzną, jaką mamy na kartach Nowego Testamentu. Ewangelia św. Łukasza jest piękna po grecku, Dzieje Apostolskie są piękne po grecku, ale List do Hebrajczyków jest najpiękniejszy. Greka tego listu jest zdumiewająca. Ktoś, kto napisał ten list, musiał ten język znać doskonale. I to jest jedna sprawa, która musimy mieć na uwadze, jeżeli chcemy ten List zrozumieć. Bardzo trudno jest ten List tłumaczyć na języki nowożytne, także na polski, bo ta greka jest tak bogata, tak starannie dobrana, że trzeba znać świetnie nie tylko grecki ale również swój własny rodzimy język, żeby znaleźć dobre, wierne odpowiedniki dla poszczególnych greckich słów i zwrotów.

Ale istnieje drugi aspekt tego Listu. Mianowicie w tym Liście jest mnóstwo odniesień i aluzji do Starego Testamentu. Można by powiedzieć, że człowiek, który napisał ten list, oddycha Starym Testamentem. On myśli na sposób starotestamentowy, używa obrazów starotestamentowych, nawiązuje do Starego Testamentu. Nie tylko to! Kiedy zaczęto bardzo uważnie analizować List do Hebrajczyków, a od kilkunastu lat dzieje się to z pomocą techniki komputerowej, która pozwala w ciągu kilku minut zgłębić rzeczy, do których ludzie dochodzili przez całe pokolenia, i kiedy policzono wszystkie greckie słowa w tekście, dokonano bardzo wnikliwej statystyki, okazało się że grecki język Listu do Hebrajczyków, tak silnie zakorzeniony w Starym Testamencie to nic innego, jak greka Biblii Greckiej czyli Septuaginty.

Jak państwo wiedzą był to przekład sporządzony przez Żydów i dla Żydów na terenie Aleksandrii, poczynając od ok. 250 do ok. 100 roku przed Chrystusem. Otóż po podbojach Aleksandra Macedońskiego, dokładniej po roku 332 przed Chrystusem, kiedy to ów wielki wódz podbił Egipt, na jego terenie założył miasto, które polecił nazwać ku czci własnego imienia Aleksandrią. Wkrótce Aleksander umarł w niewyjaśnionych okolicznościach mając zaledwie 33 lata, jego grobowiec znajduje się w Muzeum Starożytności w Stambule. Po jego śmierci imperium rozpadło się na dwie części, właściwie na trzy ale tylko dwie się liczyły. Dzieci Aleksandra były bardzo małe, imperium przejęli jego dowódcy wojskowi. Jedni osiedlili się na terenie Egiptu — to byli tzw. Ptolomeusze, dali początek dynastii ptolomejskiej. Natomiast inni osiedlili się na terenie Syrii i to byli tzw. Seleucydzi, ponieważ ich władcy nosili imiona Seleukos — Seleukos I, Seleukos II, Seleukos III itd. A więc potężne imperium Aleksandra Wielkiego rozpadło się na dwie części, na część egipską, ptolomejską, oraz część syryjską, seleucką.

Ale spoiwem obu była kultura hellenistyczna. Mianowicie język grecki ok. roku 300 - 250 przed Chrystusem zastąpił całkowicie mówione tam rozmaite lokalne języki. Bardzo popularnym językiem był tam np. aramejski — prawie przestał być mówiony. Był też wcześniejszy język egipski — przestał być mówiony. Były różne języki semickie — powoli wyszły z użycia. Wszystko to zastępowała greka. Do tego Aleksandria, która była znakomicie położona, burzliwie się rozwijała. Założona ok. roku 330, masowo napływali do niej Żydzi z Palestyny. Z Palestyny do Aleksandrii jest ok. 400 km, czyli powiedzmy sobie, odległość z Warszawy gdzieś za Poznań.

Wkrótce kolonia żydowska była tak silna, że jeszcze w czasach przedchrześcijańskich mieszkało tam milion Żydów. To jak na czasy starożytne było bardzo dużo. Właśnie ci Żydzi mieli ogromną potrzebę, żeby mieć Pismo Święte w języku, w którym oni na co dzień mówili. Hebrajski wyszedł u nich z użycia, aramejskiego w drugim, trzecim, czwartym pokoleniu nie znali. Językiem Żydów aleksandryjskich stała się greka. Greka, którą mówili także inni otaczający ich ludzie.

Właśnie wtedy dokonano przekładu ksiąg świętych Starego Testamentu na język grecki. Dokonali tego Żydzi, i dla Żydów. Jest na ten temat piękna legenda, opisana w liście Arysteasza, który pochodzi z ok. 130 roku przed Chrystusem i szczęśliwie zachował się do naszych czasów. I ta legenda mówi tak. Kiedy Żydzi w Aleksandrii mieli wielką potrzebę czytania słowa Bożego w języku, którym mówili, wysłali prośbę do Jerozolimy do tamtejszych kapłanów przy świątyni prosząc, by przysłali im tłumaczy, którzy wiernie przełożą Słowo Boże z języka hebrajskiego i aramejskiego na zupełnie inny, bo przecież indoeuropejski, język grecki.

I wówczas kapłani odpowiedzieli na prośbę swoich rodaków z emigracji, i wysłali po 6 tłumaczy z każdego pokolenia, a pokoleń jak wiemy było 12. Czyli łącznie 72 czcigodnych starców. Kiedy ci starcy przybyli z Jerozolimy do Aleksandrii, wtedy aby upewnić się, że Pismo Święte zostanie przetłumaczone wiernie, zamknięto każdego z tych staruszków w osobnym domku nad morzem —

taki rodzaj starożytnego konklawe. Z tym, że nie byli razem, tylko każdy z osobna miał zabrać się do przetłumaczenia Pięcioksięgu. Po 70 dniach praca była zakończona. 72 starców wyszło ze swoich eremów, i okazało się, że przekłady są jednobrzmiące. Taka jest owa żydowska, przedchrześcijańska legenda.

Z tej legendy wynika jedno. To mianowicie, że ta Biblia Grecka została przyjęta jako natchniona, jako kanoniczna, jako święta, jako chciana przez Boga, i zamierzona przez Boga. A ponieważ dokonało ją 72 starców w 70 dni, a 70 to dla Semitów liczba szczęśliwa, bo dziesięć razy siedem, liczba oznaczająca doskonałość, przekład został nazwany po grecku Septuaginta, czyli *Siedemdziesięciu, Przekład Siedemdziesięciu.*

Ten przekład stał się w czasach przedchrześcijańskich biblią Żydów mówiących po grecku. Jest bardzo prawdopodobne, że kiedy Paweł uczył w różnych rejonach świata, i zachodził do synagog w Azji Mniejszej albo Grecji, to spotykał tam Żydów, którzy czytali w synagodze słowo Boże po grecku. Jest bardzo prawdopodobne, że nawet na terenie Palestyny w wielu środowiskach czytano Pismo Święte po grecku. Kiedy pod koniec lat 40-tych XX wieku odkryto w Qumran nad Morzem Martwym, oraz w innych rejonach nad Morzem Martwym, rękopisy pochodzące z początków ery chrześcijańskiej, wówczas okazało się, że chociaż większość stanowiły co prawda teksty aramejskie i hebrajskie, ale są także rękopisy greckie. Jeżeli więc 25 - 30 km od Jerozolimy czytano Pismo Święte po grecku, to było ono bardzo rozpowszechnione.

Dlaczego poświęciłem temu tak wiele uwagi? Dlatego, żeby zasugerować państwu rzecz, która wydaje się bardzo prawdopodobna — że List do Hebrajczyków powstał w środowisku chrześcijan żydowskiego pochodzenia mieszkających na terenie Egiptu, mieszkających w Aleksandrii, albo w jej pobliżu. Jeżeli nie był to Egipt, to mogła to być Azja Mniejsza albo Grecja, ale musiało to być środowisko tych chrześcijan, którzy jako Żydzi znali Biblię Grecką prawie na pamięć. Dlatego, że mamy tam wiele cytatów, które mają typowy charakter pamięciowy. Przywołują Biblię Grecką z pamięci, więc czasami są też pamięciowe błędy. Jednak jest coś, co wskazuje na Aleksandrię. A mianowicie charakterystyczny tylko dla tego Listu sposób rozumienia Starego Testamentu. Ten sposób rozumienia Starego Testament, to objaśnianie Starego Testamentu, interpretowanie Starego Testamentu *odbywa się w sposób alegoryczny*. Nie dosłownie, tylko starotestamentowe osoby i wydarzenia są przedstawiane jako alegoria, jako zapowiedź, jako odniesienie dla wydarzeń historiozbawczych związanych z osobą Jezusa Chrystusa i z Nowym Testamentem.

Otóż ta egzegeza alegoryczna, czyli ten alegoryczny sposób myślenia, był typowy dla Aleksandrii. Być może państwo pamiętają, że wkrótce, tzn. w II i III wieku, właśnie w Aleksandrii była bardzo silna szkoła chrześcijańska, której szefem, jeżeli tak można powiedzieć, był słynny uczony i wielki myśliciel Klemens Aleksandryjski, która to szkoła objaśniała Pismo Święte w sposób alegoryczny. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że ta szkoła aleksandryjska stała na przedłużeniu Listu do Hebrajczyków. A więc że List do Hebrajczyków ma swoje korzenie właśnie we wspólnocie chrześcijan egipskich. A trzeba państwu wiedzieć, że chrześcijanie egipscy byli od samego początku, niemal od śmierci i zmartwychwstania Jezusa. Dlatego, że kontakty między Palestyną i Egiptem były bardzo silne. Pierwszą wzmiankę o nich mamy już w opisie Zesłania Ducha Świętego, który będziemy czytali w najbliższą niedzielę, bo mamy uroczystość Zesłania Ducha Świętego, gdzie mówi się o Żydach, którzy przybyli do Jerozolimy właśnie z terenu dzisiejszego Egiptu.

A więc byli tam chrześcijanie. Ci chrześcijanie byli bardzo prężni, i ci chrześcijanie byli wychowani na Biblii Greckiej. Jaki był więc podstawowy problem tych chrześcijan, jak była ich wielka potrzeba? Mianowicie ta: „Jak wyrazić wiarę w Jezusa, tak radykalnie nową w kategoriach Starego Testamentu. Jak językiem Biblii Greckiej, którym mówili na co dzień, opowiedzieć, kim jest Jezus Chrystus. W jaki sposób, mając do dyspozycji księgi święte, opowiedzieć o Jezusie." Nie można było powiedzieć, że: „Tego nie da się zrobić. Bo Jezus jest Kimś tak nowym, że absolutnie potrzeba nowego języka." Nie można było tak powiedzieć. Dlaczego? Bo trzeba było wykazać ciągłość Starego i Nowego Przymierza. Ciągłość objawienia Bożego w Starym Testamencie, i tego samego objawienia w Jezusie Chrystusie i w Nowym Testamencie. Otóż oni jako pierwsi odczuli, że trzeba na przedłużeniu Starego Testamentu wypowiedzieć w nowy sposób tę radykalną nowość — ale tak, żeby Stary Testament był do tego przydatny.

Więc jak być Żydem i chrześcijaninem zarazem? To nie jest problem teoretyczny! Państwo doskonale wiedzą, że w dzisiejszych czasach Żydzi, którzy trwają jako wyznawcy judaizmu, twierdzą,

że chrześcijaństwo dla nich jest nie do przyjęcia. Twierdzą, że muszą istnieć dwie drogi zbawienia — jedna dla Żydów, druga dla chrześcijan. Nie brakuje takich chrześcijańskich teologów, którzy w tym względzie są wobec Żydów spolegliwi. Więc wychodziło by na to, że Jezus Chrystus jest tylko Mesjaszem pogan. A Żydzi jakoby owego Mesjasza nie potrzebowali, albo nie mogliby Go uznać ze względu na swój radykalny monoteizm.

Ale wbrew tym tendencjom takim pacyfistycznym, które usiłują iść na rękę współczesnym rabinom i dawnym rabinom, którzy zawsze odcinali się od chrześcijaństwa, wbrew temu wszystkiemu musimy cofnąć się do Nowego Testamentu. I właśnie w Nowym Testamencie, w Ewangelii św. Mateusza, w Liście do Hebrajczyków, w Apokalipsie, w innych pismach Nowego Testamentu, znajdujemy solidne potwierdzenie, że wiara chrześcijańska, czyli wiara w Jezusa Chrystusa najpierw zapuściła korzenie i miała swoje życiodajne soki w środowisku żydowskim. Jeżeli ci, którzy uwierzyli jako pierwsi byli Żydami i przyjęli Jezusa, wobec tego inni, którzy nastąpili po nich, nie mogą mówić, że jest to religia albo wierzenia wyłącznie dla „gojów". Otóż wiara w Jezusa Chrystusa, chociaż nowa, to jednocześnie da się wypowiedzieć w języku Starego Testamentu.

Kiedy został ten list napisany? Warto pamiętać, że List do Hebrajczyków, jako jedno z pierwszych pism Nowego Testamentu, jest cytowany w liście Klemensa Rzymskiego napisanym w r. 95. Zatem nie ulega wątpliwości, że w tym roku ten List na pewno istniał. Ale nawet więcej — że miał charakter normatywny, charakter kanoniczny, skoro z niego przy uzasadnianiu prawd wiary korzystano. Otóż istnieje zgoda uczonych biblistów, że List do Hebrajczyków ma związek z wydarzeniami roku 70. W tym roku Rzymianie zburzyli świątynię jerozolimską. Te skutki zburzenia trwają po dzień dzisiejszy w postaci tzw. Ściany Płaczu. I dyskusja dotyczy tego, czy List do Hebrajczyków został napisany na krótko przed zburzeniem świątyni, czy został napisany na krótko po zburzeniu świątyni.

Tak czy inaczej List do Hebrajczyków wyraźnie się do świątyni odnosi. Wyraźnie odnosi się również do ofiar, i wyraźnie przedstawia Chrystusa jako nowego arcykapłana. Moim zdaniem, kiedy przyglądam się temu listowi i porównuję go z realiami roku 70, to mam wrażenie, że został napisany tuż po roku 70-tym. Gdzieś może po upadku Massady w roku 73, może ok. r. 75. Ale wygląda na to, że klęska powstania żydowskiego, katastrofa Jerozolimy, zagłada świątyni, i ustanie kultu ofiarniczego były już faktem.

I ta część Żydów, która nie uwierzyła w Jezusa, liczyła jeszcze na to, że świątynia zostanie odbudowana, że kult zostanie wskrzeszony. Być może państwo pamiętają, że w długich dziejach żydowskich, późniejszych pobiblijnych, podjęto dwie próby odbudowy świątyni. Jedna miała miejsce w latach 132 - 135 po Chrystusie za czasów powstania Bar-Kochby, czyli mniej więcej 60 lat po jej zburzeniu. Otóż wtedy Żydzi wzniecili drugie powstanie przeciwko Rzymianom. I jednym z punktów centralnych była wola przywrócenia kultu i odbudowy świątyni. Wypuszczono nawet monety. Mam jedną z takich monet żydowskich, autentyczną, z II wieku, którą kiedyś podarowano mi w Ziemi Świętej w arabskim sklepie. Pochodzi ona z r. 133 albo 134, przedstawia dwie kolumny świątyni, i nawiązuje do chęci odbudowy świątyni jerozolimskiej. To pragnienie się nie spełniło. Powstanie upadło, i ten wzór świątyni pozostał tylko na monetach.

Drugi raz podjęto próbę odbudowy świątyni w latach 360 - 362. Wtedy cesarzami byli już chrześcijanie, ale pośród cesarzy trafił się jeden, który był pod silnymi wpływami tych Żydów, którzy w Jezusa nie wierzyli. Miał na imię Julian. Jego żydowscy doradcy namówili go, żeby udzielił pozwolenia na odbudowę świątyni jerozolimskiej. Julian się zgodził, i rozpoczęto prace przygotowawcze do odbudowy. W tradycji Chrześcijańskiej ten Julian nosi nazwę „Odstępca" albo Julian Apostata. Na nieszczęście dla Żydów rządził bardzo krótko, bo tylko 2 lata. Zmarł w bardzo niejasnych okolicznościach, wskutek czego odbudowa świątyni musiała zostać przerwana.

W roku 630 na te tereny przybyli Arabowie. I na miejscu, gdzie wznosiła się świątynia jerozolimska wzniesiono Kopułę Skały, którą państwo przynajmniej z fotografii znają, z tą słynną złotą kopułą, znaną jako Meczet Omara. Od tamtej pory, od ok. r. 680, ta Kopuła Skały wznosi się w Jerozolimie. Dodam tylko, że od kilkunastu lat istnieje w Izraelu i w Stanach Zjednoczonych Instytut Trzeciej Świątyni, który postawił sobie za cel odbudowę świątyni. Ale oczywiście żeby to mogło się dokonać, trzeba byłoby najpierw zburzyć Kopułę Skały.

Dlaczego taka długa dygresja? Żebyśmy zrozumieli, że autor Listu do Hebrajczyków stanął wobec pytania: Czy ten kult, który ustał, i świątynia, która została zburzona, to są sprawy tylko

przejściowe? Czy jest to ostateczna sytuacja? Czy świątynia zostanie odbudowana, i kult zostanie wskrzeszony? Czy kult Starego Testamentu przeszedł już absolutnie do przeszłości?

I jaka jest odpowiedź w Liście do Hebrajczyków? Odpowiedź jest dla ówczesnych Żydów, i po dzień dzisiejszy dla Żydów szokująca. Ona brzmi tak:

Kult ustał, bo utracił swój sens. Świątyni nie ma, bo jest niepotrzebna. Ofiary nie są składane, bo jest Ten, który złożył ofiarę najdoskonalszą. Kapłanów nie ma, bo jet jeden jedyny arcykapłan Przymierz Nowego, Jezus Chrystus. W związku z tym — mówi List do Hebrajczyków — *porządek ofiar, kultu i świątyni Starego Testamentu należy do przeszłości, skończył się. Miejsce kultu, miejsce świątyni, miejsce ofiar krwawych zajmuje teraz bezkrwawa ofiara Jezusa Chrystusa. To On jest Barankiem Ofiarnym, to On jest arcykapłanem, który raz na zawsze wszedł do miejsca Świętego Świętych. Nie trzeba już więcej przelewać krwawych ofiar. Nie trzeba, żeby w Jerozolimie był słyszany krzyk zwierząt składanych na ofiarę, a przedtem uśmiercanych. To wszystko się skończyło. Jezus Chrystus rozpoczął zupełnie nowy etap Bożego planu zbawienia.*

I to jest najważniejsze przesłanie Listu do Hebrajczyków. Rozumieją zatem państwo, że List do Hebrajczyków z ogromną niechęcią, by nie powiedzieć: wręcz z wrogością, odbierają rabini. Twierdzą, że to jest pismo antyżydowskie, antysemickie. Że ponieważ mówi o skończeniu kultu, o skończeniu ofiar, o skończeniu kapłaństwa, zamyka tamtą sytuację jako należącą do przeszłości. Wobec tego — mówią — nie ma o czym rozmawiać.

Ale List do Hebrajczyków, jako punkt wyjścia i punkt oparcia dla takiego stawiania sprawy, daje nam nowość osoby Jezusa Chrystusa. List do Hebrajczyków mówi tak:

Dopóki była ekonomia zbawcza Starego Przymierza, to kult odbywał się tak, jak się odbywał. Ale kiedy jest Jezus Chrystus, to krwawe ofiary są niepotrzebne. I w tym liście, w kilkunastu rozdziałach mamy rozwinięty następujący tok myślenia. Z konieczności muszę go bardzo streścić. Ale sądzę, że państwo rozpoznają te myśli, które tak czy inaczej się pojawiały. Najpierw jest Wstęp. Czytamy tak:

> Wielokrotnie i na różne sposoby przemawiał niegdyś Bóg do ojców naszych przez proroków, a w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna. Jego to ustanowił dziedzicem wszystkich rzeczy,

Proszę państwa, to pierwsze zdanie: „wielokrotnie i na różne sposoby przemawiał niegdyś Bóg do ojców naszych przez proroków, a w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna” — *to jest skrót Starego i Nowego Testamentu.* Bóg wielokrotnie mówił do Izraelitów przez proroków. Od Abrahama, przez Izaaka, Jakuba, Mojżesza, przez sędziów, przez proroków, przez królów aż po Zachariasza, Aggeusza, Malachiasza, Joela, Ozeasza. Wielokrotnie Bóg mówił. To, co łączyło Stary Testament, to były owe prorockie nawoływania do wierności Bogu. A autor Listu mówi:

> w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna.

Jezus jest nie tylko prorokiem, Jezus jest nie tylko dobrym człowiekiem, Jezus jest nie tylko mężem z Nazaretu, Jezus jest nie tylko rabbim, nie tylko Kimś godnym podziwu. Jezus jest Synem Bożym. Jest wyjątkowym sposobem, wyjątkową drogą, w jakiej Pan Bóg objawił się człowiekowi. Ale najpierw objawił się Izraelowi. Między Nowym Testamentem Jezusa, a Starym Testamentem i prorokami, istnieje owa zasadnicza różnica. A więc autor Listu do Hebrajczyków, chrześcijanin żydowskiego pochodzenia, mówi do innych chrześcijan żydowskiego pochodzenia tak: „Czas Starego Testamentu się skończył. A skończył się dlatego, ponieważ Bóg przemówił do nas w nowy sposób. Przemówił do nas przez swojego Syna. W związku z tym jesteśmy wezwani nie tylko do tego, by wierzyć w Boga, który jest Ojcem, ale także by uwierzyć w Jezusa, który jest Synem Bożym. I synostwo Jezusa jest inne, niż to Boże dziecięctwo, które ma każdy z nas.”

A więc od początku mamy wyraźnie chrystologiczny, by powiedzieć: chrystocentryczny, wizerunek i obraz. Głównym bohaterem jest Jezus Chrystus. Skoro w Jezusie Bóg przemówił do nas w wyjątkowy sposób, zatem to, co stare, się skończyło. Zaczyna się nowe. I tłumaczy tak:

> Jego to ustanowił dziedzicem wszystkich rzeczy, przez Niego stworzył wszechświat.

Żeby nie było żadnej wątpliwości, że Jezus jest jakimś Synem Bożym tak, jak bogowie pogańscy, jak bóstwa greckie albo rzymskie, perskie albo jakieś inne, mocno się podkreśla, że Jezus zawsze jest z Bogiem, zawsze jest z Ojcem. Tu autor Listu do Hebrajczyków mówi to, co św. Jan powiedział w prologu swojej Ewangelii:

> Na początku było Słowo,
> a Słowo było u Boga,
> i Bogiem było Słowo.
> Ono było na początku u Boga.

A autor Listu do Hebrajczyków:

> Jego to ustanowił dziedzicem wszystkich rzeczy, przez Niego stworzył wszechświat.

A więc od początku Bóg istniał jako Ojciec, Syn i Duch Święty. Od początku jedyny Bóg objawiał się najpierw Izraelowi, objawiając, ukazując swoją jedyność. Ale zarazem możemy mówić o wewnętrznym bogactwie życia Bożego. Ponieważ Bóg jest miłością — zwracałem kiedyś państwu na to uwagę — musi istnieć w relacji do kogoś. Bo miłość do siebie samego byłaby egoizmem. Wobec tego w Bogu samym, bo Bóg jest miłością, jest zróżnicowanie Osób Bożych po to, żeby miłość Boża mogła się spełnić we wzajemności. A więc Bóg istnieje jako Ojciec, Syn i Duch Święty. I autor Listu do Hebrajczyków mówiąc, iż czasy Starego Testamentu się skończyły, mówi, że Jezus Chrystus, którego widzieliście, a w którego teraz wierzymy, jest Synem Bożym, który istnieje od założenia świata. Bo przez Niego świat został stworzony. W ten sposób *tajemnica zbawienia zostaje połączona z tajemnicą stworzenia.* I nie ma innego Boga, niż Bóg w Trójcy Świętej jedyny. W Starym Testamencie były intuicje tej prawdy. A w Nowym Testamencie ona została w pełni objawiona. I dalej:

> Ten [Syn], który jest odblaskiem Jego chwały i odbiciem Jego istoty, podtrzymuje wszystko słowem swej potęgi, a dokonawszy oczyszczenia z grzechów, zasiadł po prawicy Majestatu na wysokościach.

Zwróćmy uwagę: „Ten Syn podtrzymuje wszystko słowem swej potęgi, a teraz zasiada po prawicy Boga na wysokościach." Tak autor wyraża prawdę, o której my teraz mówimy i którą przeżywamy jako *Wniebowstąpienie Jezusa Chrystusa.* Gdzie jest Jezus? Tam, gdzie był zawsze! Tam, gdzie przebywał zawsze — z Ojcem. Otóż tylko, kiedy stał się człowiekiem, był osadzony w ramach czasu, i geografii, i historii, i topografii, i psychologii, i wszystkich uwarunkowań człowieka — wtedy pozostawał jednym z nas. Teraz jego człowieczeństwo zostało wywyższone. Jego boska natura sprawia, że cały czas pozostaje tam, gdzie jest jego miejsce. Autor mówi używając tutaj języka obrazowego: „zasiada po prawicy Ojca". Dlatego, że nie ma innego sposobu, żeby przedstawić sprawy niebiańskie na ludzki sposób. I jeszcze:

> On o tyle stał się wyższym od aniołów, o ile odziedziczył wyższe od nich imię.

W tym mamy pewną ukrytą polemikę. Mianowicie część chrześcijan żydowskiego pochodzenia mogła myśleć tak. Owszem, Jezus jest kimś wspaniałym, Jezus jest kimś wielkim. Ale przecież Bóg jest jeden. To kim jest Jezus? Jezus jest aniołem tak, jak byli aniołowie w Starym Testamencie. A więc to jest anioł, bo nie może być Bogiem. I wobec takich tendencji, które upatrywałyby w Jezusie tylko kogoś wyższego od człowieka, a niższego od Boga, autor Listu do Hebrajczyków mówi wyraźnie: „On o tyle stał się wyższym od aniołów, o ile odziedziczył wyższe od nich imię." A cóż to za imię jest wyższe, niż imię aniołów? Wyższe jest imię Boga! Ponieważ jest Bogiem, wobec tego jest wyższy od aniołów. Nie można przedstawiać Jezusa jako anioła, który zstąpił na ziemię, i z powrotem wrócił do sfery swego anielskiego bytowania. Jezus nie jest aniołem, jest Bogiem.

Po tym wstępie, jakże brzemiennym w treść, autor rozwija trzy myśli. Te trzy myśli znajdują się w trzech poszczególnych częściach tego listu. Teraz już tylko w telegraficznym skrócie. W pierwszych trzech rozdziałach List do Hebrajczyków tłumaczy na czym polega wyższość Jezusa Chrystusa. Ale nie tylko tłumaczy. Wyjaśnia, że Stary Testament ucząc o Bogu jedynym, zapowiadał wyższość Jezusa Chrystusa. Czyli że Stary Testament przeczuwał to bogactwo wewnętrzne życia Bożego. Czytamy m.in. tak:

> Dlatego jest konieczne, abyśmy z jak największą pilnością zwracali uwagę na to, cośmy słyszeli, abyśmy przypadkiem nie zeszli na bezdroża. Jeśli bowiem objawiona przez aniołów mowa była mocna, a wszelkie przekroczenie i nieposłuszeństwo otrzymało słuszną zapłatę, jakże my unikniemy [kary], jeśli nie będziemy się troszczyć o tak wielkie zbawienie? Było ono głoszone na początku przez Pana, a umocnione u nas przez tych, którzy je słyszeli. Bóg zaś uwierzytelnił je cudami, znakami przedziwnymi, różnorakimi mocami i udzielaniem Ducha Świętego według swej woli.

Autor mówi tak do chrześcijan: „Trwajcie w wierze, którą przyjęliście. Ona pochodzi od Jezusa, i została uwierzytelniona jego cudami i znakami. Trwajcie w wierze, że Jezus jest Synem Bożym. Nie idźcie za łatwymi poglądami, herezjami i rozmaitymi doktrynami, które usiłują Jezusa i Jego prawdziwą tożsamość wypaczyć. Trwajcie w tym, co żeście usłyszeli. Dlatego, ponieważ istnieje w nas zawsze pokusa, aby poprzez jakieś własne myślenie, albo tylko cząstkowe czy wybiórcze podejście, eksponować jedne prawdy, czy cząstkę rzeczywistości, kosztem innej. I w spojrzeniu na Jezusa Chrystusa też mogło się to odbywać — i odbywało, skoro przez 2000 lat powstało tyle rozmaitych herezji, i tyle rozmaitych błędnych nauk. Nieco dalej w Liście czytamy:

> Uważajcie, bracia, aby nie było w kimś z was przewrotnego serca niewiary, której skutkiem jest odstąpienie od Boga żywego, lecz zachęcajcie się wzajemnie każdego dnia, póki trwa to, co "dziś" się zwie, aby żaden z was nie uległ zatwardziałości przez oszustwo grzechu. Jesteśmy bowiem uczestnikami Chrystusa, jeśli pierwotną nadzieję do końca zachowamy silną.

A więc wezwanie do silnej nadziei, że Jezus jest Synem Bożym, a my jesteśmy uczestnikami tej samej chwały, dla której On stał się człowiekiem. Więc na początku, w pierwszej części podkreśla się wyższość Chrystusa. Dla nas dzisiaj to jest oczywiste, bo my jesteśmy chrześcijanami od urodzenia. Ale dla chrześcijan pierwszych pokoleń to nie było takie jasne. Trzeba było pokazać, dlaczego Chrystus różni się od osób Starego Testamentu, dlaczego jest od nich wyższy i ważniejszy. Nie tylko od bohaterów Starego Testamentu, ale również od aniołów. Żeby nikt nie sądził, że oto miał do czynienia tylko z aniołem.

W drugiej części Listu do Hebrajczyków mamy mocne wskazanie na wyższość kapłaństwa Chrystusowego. Jak państwo wiedzą, w całym Starym Testamencie wraca myśl, że Izraelici to jest lud Przymierza, to jest lud kapłański. Mieli przecież kapłanów, składali ofiary, uwielbiali Pana Boga, chodzili do świątyni, modlili się w świątyni, przeżywali święta liturgiczne. I oto pojawia się teraz nowy wymiar pobożności. Ten mianowicie, w którym uwielbiamy Chrystusa. Czym różni się kapłaństwo Chrystusa od kapłaństwa Starego Testamentu? W drugiej części Listu autor cierpliwie to tłumaczy. Tak zaczyna:

> Mając więc arcykapłana wielkiego, który przeszedł przez niebiosa, Jezusa, Syna Bożego, trwajmy mocno w wyznawaniu wiary. Nie takiego bowiem mamy arcykapłana, który by nie mógł współczuć naszym słabościom, lecz doświadczonego we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu. Przybliżmy się więc z ufnością do tronu łaski, abyśmy otrzymali miłosierdzie i znaleźli łaskę dla [uzyskania] pomocy w stosownej chwili.

Więc List do Hebrajczyków mówi nam tak. Chrystus jest wielkim Bożym Arcykapłanem. A dlaczego był tak słaby? Dlaczego przeszedł przez cierpienia? Dlaczego przeszedł przez śmierć? Dlaczego tak się uniżył? Grecka tradycja nazywa to Katabasis — *Zstąpienie Syna Bożego.* Dlaczego to wszystko? Odpowiada List: „Doświadczony we wszystkim na nasze podobieństwo z wyjątkiem grzechu, by mógł współczuć naszym słabościom". Jezus stał się człowiekiem, żeby — co za paradoks — Bóg mógł lepiej człowieka zrozumieć.

Jan Paweł II, kiedy zastanawiał się nad tymi słowami, to podziwiał przeogromną pokorę Boga. Bo przecież nie o intelektualne zrozumienie chodzi, ale o to, że Bóg przeszedł przez cierpienie i śmierć drogą, którą przechodzi każdy człowiek. A czymś innym jest znać prawdę intelektualnie, a czymś innym jest przejść przez to. Lekarze mają ogromną wiedzę o postępach choroby, i o nieuchronności starości. Wiedzą na ten temat wszystko, co może wiedzieć człowiek. Np. znakomity chirurg czy

onkolog wiedzą wszystko na temat przebiegu choroby nowotworowej. Ale czym innym jest być lekarzem, i tę samą drogę przejść.

Otóż Bóg zna człowieka, i tajniki naszego serca. Ale w Chrystusie, najwyższym arcykapłanie, przeszedł tę drogę sam. On już nie tylko współczuje cierpiącym. On sam zna, co to jest cierpienie. Nikt nie wyraził tej prawdy tak mocno, jak właśnie autor Listu do Hebrajczyków. Mianowicie w uniżeniu arcykapłana Jezusa Chrystusa rozpoznaje pokorę Boga, który chce być pod każdym względem solidarny z człowiekiem. To, co było zgorszeniem dla Żydów — jak Bóg może cierpieć? — to w ustach autora Listu do Hebrajczyków staje się wezwaniem do wdzięczności Panu Bogu, i do wytrwałości w wierze. I tu po kolei cały środek Listu to jest wykazywanie wyższości Kapłaństwa Chrystusowego. Ukazuje więc, że Chrystus jest kapłanem na wzór Melchizedecha, kapłana starotestamentowego. Ale jednocześnie ukazuje, że daleko go przerasta. Ukazuje, że ofiara Chrystusa nawiązuje do ofiar Starego Testamentu. Ale tamte były krwawe, wymagały cierpienia zwierząt, i krwi. A teraz już cierpienie zwierząt jest niepotrzebne. Bo sam Bóg przeszedł jako człowiek przez cierpienie, wziął na siebie to cierpienie, ten ból.

Nie potrzeba więc składać Bogu krwawych ofiar. Trzeba ponawiać, uobecniać tę jedną ofiarę z Kalwarii. Przeto i zbawiać na wieki może całkowicie tych, którzy przez Niego zbliżają się do Boga, bo On zawsze żyje i wstawia się za nami. A więc ofiara Jezusa Chrystusa nie była bezsensowna, to nie był jakiś pokaz. To nie było coś pokazowego, czy coś widowiskowego. Sensem ofiary Jezusa Chrystusa jest to, że ona nas zbawia. Ponieważ On żyje na wieki, więc możemy korzystać z jej błogosławionych owoców. Jeżeli tak, to w *nowy sposób możemy również spojrzeć na Mszę Świętą — jako na możność korzystania ze zbawczych owoców ofiary Jezusa Chrystusa.*

I ostatnia część, trzecia część Listu do Hebrajczyków, to wezwanie do ufności w wierze, oraz do gotowości do cierpień. Skoro Chrystus wyszedł poza ekonomię zbawienia Starego Testamentu, skoro Jego ofiara krzyża ma wartość zbawczą, wobec tego nie możemy pozostać bierni. Powinniśmy uwierzyć w Jezusa, i w tej wierze trwać. Powinniśmy zachować niezłomność, nawet — tłumaczy autor Listu do Hebrajczyków — jeżeli wiara wymaga cierpień i poświęcenia. Jeżeli spotyka się ze sprzeciwem, spotyka się z konfrontacją, i z niechęcią, i z wrogością. Potrzeba nam cierpliwej wytrwałości. Przypominają sobie państwo słynny rozdział 11 Listu do Hebrajczyków, a w nim różne przykłady wiary ludzi Starego Testamentu: popatrz na Abrahama, popatrz na Izaaka, popatrz na Jakuba, popatrz na Mojżesza, popatrz na Samsona, na proroka, na króla, na tego, na tamtego. Popatrz na nich! Oni byli silni, chociaż nie znali Chrystusa. A wyście, mówi autor Listu do Hebrajczyków, poznali Chrystusa, który współcierpiał z wami. Więc powinniście być jeszcze silniejsi. Więc powinniście być silniejsi, niż bohaterowie wiary Starego Testamentu. Tutaj mamy bardzo obrazowe reminiscencje mąk, jakich doznawali. Przypomnijmy sobie:

> Dzięki dokonanym przez nich wskrzeszeniom niewiasty otrzymywały swoich zmarłych. Jedni ponieśli katusze, nie przyjąwszy uwolnienia, aby otrzymać lepsze zmartwychwstanie. Inni zaś doznali zelżywości i biczowania, a nadto kajdan i więzienia. Kamienowano ich, przerzynano piłą, kuszono, przebijano mieczem; tułali się w skórach owczych, kozich, w nędzy, w utrapieniu, w ucisku - świat nie był ich wart - i błąkali się po pustyniach i górach, po jaskiniach, i po rozpadlinach ziemi.

Taka jest cena wierności Bogu! Świat nie jest wart tych, którzy są wierni Bogu do końca. Tak było w czasach Starego Testamentu. Więc autor pointuje:

> A ci wszyscy, choć ze względu na swą wiarę stali się godni pochwały, nie otrzymali przyrzeczonej obietnicy, gdyż Bóg, który nam lepszy los zgotował, nie chciał, aby oni doszli do doskonałości bez nas.

Sens jest taki. Ludzie Starego Testamentu, wierni Bogu, wycierpieli wiele. Ale my mamy lepiej, bo mamy przykład Chrystusa. I Chrystus swoją zbawczą męką i śmiercią ogarnia także bohaterów wiary Starego Testamentu. Jeżeli oni są zbawieni, to są zbawieni dzięki Chrystusowi. A my mamy nad nimi tę wyższość, że o tym wiemy. Oni wszyscy przeczuwali Chrystusa, ale Go nie znali. A my Go poznaliśmy. I z tego wynika wielkie zobowiązanie. Jakie ono jest? *Trwajcie w miłości, w wytrwałości i w wierze!* Oto wezwanie Listu do Hebrajczyków. Skoro doświadczyliście Chrystusa,

skoro Go poznaliście, skoro uwierzyliście w Niego, to jesteście zdecydowanie bardziej wyróżnieni, niż wszystkie pokolenia Starego Testamentu. A zatem jesteście wezwani do wierności Bogu.

Takie jest przesłanie tego, jak widzimy, przepięknego pisma. Myślę, że dobrze będzie, jeżeli w okresie wakacji i urlopów, który rozpoczynamy, sięgną państwo do tych pism Nowego Testamentu, które już przeczytaliśmy. Zachęcam żeby ktoś, kto już czytał Nowy Testament, sięgnął jeszcze do tego, co rozważaliśmy. Może, żeby w najbliższym czasie przeczytać raz jeszcze List do Hebrajczyków, do Rzymian, do Koryntian, Dzieje Apostolskie, czy którąś z Ewangelii.

Jeżeli Pan Bóg pozwoli nam szczęśliwie doczekać, za cztery miesiące, w październiku, znów spotkamy się na kolejnych konferencjach z kolejnego cyklu. Myślę, że wrócimy wtedy do Starego Testamentu. Podejmiemy jakiś wątek z tego Pierwszego Przymierza. I że pozostaniemy przy tej metodzie, którą mamy w tym roku. Mianowicie oproszę państwa, żeby również w domu coś czytać.

Albo może się odmieni, i przeczytamy te fragmenty Nowego Testamentu, których jeszcze nie czytaliśmy. W takim razie za rok mielibyśmy przeczytany cały Nowy Testament. A nie jest sprawą błachą go znać! Trzeba będzie jeszcze się zastanowić nad tym, pomyśleć. I na pewno coś wybierzemy.

W każdym razie już dzisiaj na październik, bodajże na drugi poniedziałek października, bardzo serdecznie państwa zapraszam. A dzisiaj bardzo dziękuję. Dobrych radosnych, spokojnych miesięcy letnich, zdrowia i tego, co dobre.

`<<Podziękowania dla księdza Profesora>>`

Bardzo państwu dziękuję. Myślę że to dobry czas, żeby również się pochwalić. Mianowicie do tej pory miałem stanowisko profesora na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, i na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie mój przyjaciel i kolego, ks. bp Suski, poprosił, żebym pomógł zorganizować studia biblijne właśnie w Toruniu. Jak państwo pewnie wiedzą, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu to jest głównie kontynuacja Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Więc chętnie się tego zadania podjąłem.

Otóż w ostatnich miesiącach odbyły się procedury zarówno na poziomie uczelni, jak na poziomie Centralnej Komisji ds Stopni i Tytułów Naukowych. I właśnie w tych dniach procedury dobiegły końca, otrzymałem tytuł profesora.

`<<Oklaski>>`

Bardzo dziękuję. Ja też, szczerze mówiąc, cieszę się dlatego, bo to jest moja droga życiowa. ... Jestem państwu bardzo wdzięczny za to, że również przez te konferencje, i spotkania, i refleksje, zmuszacie mnie do myślenia. Dziękuję bardzo!

Pomódlmy się na koniec dziękując Panu Bogu za owoce jego łaski.

Pod Twoją obronę ... Chwała Ojcu ...

Są i tacy, którzy znaleźli się po drugiej stronie życia. Nieco ponad miesiąc temu tutaj odprawiałem mszę świętą pogrzebową za jedną z pań, która wiernie przez całe lata brała udział w tych konferencjach. Tych osób już jest więcej po tej drugiej stronie życia. Tam mają już konferencje takie — nie tylko dźwięk, ale i oglądanie! Pomódlmy się w ich intencji również.

Wieczny odpoczynek ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

Rozdział 6

2003/2004 — Apostołowie Jezusa Chrystusa

6.1 *Apostołowie* w Starym i Nowym Testamencie (13 października 2003)

. . . [pomódlmy się za] żyjących, za naszych bliskich. A potem także króciutko za zmarłych, zwłaszcza tych, którzy w ciągu tych kilkunastu lat brali udział także w naszych konferencjach. A teraz już pewnie mogliby nas uczyć, bo uczą sie u Pana Boga.

W Imię Ojca . . . Ojcze nasz . . . Stolico Mądrości . . . Wieczny odpoczynek . . .

Drodzy państwo! Bardzo gorąco witam na inauguracji tegorocznych konferencji biblijnych. I patrząc teraz stąd na państwa mam wrażenie, że czas zatrzymał się na kilka miesięcy. Bo wszystko wygląda tak, jak w czerwcu, jak w maju, jak w kwietniu. Siłą przyzwyczajenia nawet państwo siedzą na swoich miejscach, albo w pobliskim rejonie. Dlatego mam wrażenie, jak byśmy od późnej wiosny, czy od wczesnego lata, z tego kościoła nie wychodzili.

Na początek trzy rzeczy, zanim przejdziemy do konferencji. Pierwsza to ta, że mieszkam teraz na terenie parafii św. Jakuba. I muszę tutaj wobec państwa bardzo serdecznie podziękować księdzu prałatowi. Tu, w domu parafialnym mieszkałem przez jedenaście lat. Przedtem w parafii Opatrzności Bożej na Dickensa — siedem lat. Razem osiemnaście lat życia przeżyte tutaj, w tym rejonie. Ale również parafia św. Jakuba jest bardzo bliska i wygląda na to, że na Starej Ochocie i na Rakowcu dopełni się moje życie. Więc jestem bardzo wdzięczny księdzu prałatowi, okazywał zawsze serdeczność, życzliwość, gościnność, pod każdym względem było tutaj dobrze, i jest nadal dobrze. I będziemy konferencje biblijne kontynuować jak długo starczy sił i możliwości. Pod tym względem zmiany nie ma.

Na początku września mieliśmy możliwość być wspólnie z księdzem prałatem w Rzymie. Byliśmy również na audiencji u Ojca Świętego. Było to bardzo wielkie przeżycie, mogą państwo oglądać zdjęcia księdza prałata, bo wręczał Ojcu Świętemu *Encyklopedię Jana Pawła II,* i jest to pokazywane wielokrotnie. Było to dla nas obydwu wielkie przeżycie. Był z nami jeszcze jeden nasz wspólny kolega i przyjaciel, starszy od nas ksiądz z diecezji łomżyńskiej.

Rzecz druga, bardzo ważna. Otóż na ostatniej konferencji biblijnej, tuż przed wakacjami, zechcieli państwo obok podziękowań, i życzeń, i kwiatów, dołączyć również sumę pieniężną. Było to dla mnie bardzo krępujące, bo było to sporo pieniędzy, coś koło 1500 zł. W związku z tym postanowiłem, i chciałem to państwu powiedzieć, że te pieniążki przeznaczymy na stypendium dla dziewczyny, która podjęła studia na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego a pochodzi z Ukrainy. Otóż ona pochodzi z miasta Szarogród, niedaleko Winnicy z rodziny dość biednej. Mają czworo dzieci, ona jest najstarsza w domu. Matka jest Polką, ojciec jest Rosjaninem. Matka uczyła ją języka polskiego i przykładała wagę do tego, żeby dzieci mówiły po polsku. I mówi po polsku może nie najlepiej, ale dostatecznie dobrze, żeby mogła rozpocząć studia. I gdy byłem w Kijowie na początku kwietnia ona już próbowała się z tego Szarogrodu wyrwać i szukała jakiejś nauki w Kijowie. To tak się złożyło, że kontakt został nawiązany.

Przeszła tutaj pomyślnie przez egzaminy, i rozpoczęła studia na naszym Uniwersytecie. Za-

mieszkała w Łomiankach na stancji z inną dziewczyną, która pochodzi z kolei ze Lwowa. Matka ją przywiozła do Polski, bardzo przeżywały to, że może w Warszawie studiować. Bardzo chce te studia podjąć i skończyć, z nadzieją, że później wróci na Ukrainę. Szarogród jest to miasto założone przez Zamojskich. Jest to jedyne miasteczko w tamtym rejonie, gdzie nawet w okresie sowieckim czynny był kościół parafialny. W związku z tym mieszkający tam Polacy, którzy uniknęli represji komunistycznych, i potem uniknęli również ukraińskich rozmaitych represji, gromadzili się wokół tego kościoła. Kościół był dla nich taką ostoją polskości, nie tylko wiary katolickiej. I jest tam kilkanaście rodzin, które są z tym kościołem parafialnym związane, mówią po polsku dość dobrze. I do nich ta rodzina należy.

I postanowiłem te pieniądze przeznaczyć na comiesięczne stypendium dla niej, na opłatę jej mieszkania. Mówię to państwu dlatego, żeby państwo mieli świadomość, że dzięki takiej życzliwej szczodrobliwości młoda Polka podjęła studia. Ja jej zresztą to powiedziałem, jako swoiste zobowiązanie — matka prosiła, żeby przyglądać się jej postępom w nauce, i żeby jej pomóc przejść przez te kilka lat studiów. Więc bardzo serdecznie państwu dziękuję. I myślę, że ze spokojnym sumieniem można jej utrzymanie na tej stancji opłacić.

I sprawa ostatnia. Rzecz jasna że nasze tegoroczne konferencje rozpoczynamy dzisiaj niejako w cieniu, albo lepiej i dokładniej mówiąc — w blasku — 25 rocznicy pontyfikatu Jana Pawła II. Za trzy dni, parę minut po 17, minie ćwierć wieku od czasu, kiedy papież został ogłoszony, ukazany światu. Natomiast o godzinie 18.18 ukazał się w loggi Bazyliki św. Piotra. Jestem przekonany, że jest to wydarzenie absolutnie historyczne. Jest to coś, co w Polsce nie tylko za naszego życia, ale i w przyszłych pokoleniach — trudno wyrokować, ale najprawdopodobniej się nie powtórzy. Jesteśmy absolutnie uprzywilejowani, nasze pokolenie. Z drugiej strony widzą państwo, że z tygodnia na tydzień, z dnia na dzień stan zdrowia Ojca Świętego, przynajmniej kiedy się patrzy to mamy wrażenie, że jest coraz trudniejszy. Pokazywano w telewizji jego zdjęcia z 99 roku. Państwo pamiętają, że wtedy martwiliśmy się o zdrowie papieża. Natomiast kiedy się ogląda zdjęcia sprzed trzech lat to ma się wrażenie, że papież był wtedy bardzo rześki. Dzisiaj możemy już go oglądać, patrzeć na niego, posłuchać go tylko bardzo rzadko. I jest pod każdym względem oszczędzany. Muszę państwu powiedzieć, że kiedy miałem możliwość bliskiej rozmowy z Ojcem Świętym, o czymś kiedyś mówiłem na homilii w którąś niedzielę, i kiedy trzymałem rękę Ojca Świętego to zwróciłem uwagę, że jest bardzo pokłuta, najprawdopodobniej od kroplówek. I z całą pewnością cierpi pod każdym względem. Mogli się też państwo przekonać o prawdziwości jednej z wypowiedzi, którą tutaj od paru lat powtarzam, że każdy człowiek cierpi w języku swojej matki, czyli cierpi w języku ojczystym. I widzieli państwo prawie dwa tygodnie temu na audiencji, kiedy Ojciec Święty mówił po włosku, w pewnym momencie przerwał i powiedział: „Jezus Maria". Otóż widać, że papież bardzo cierpi. Trudno powiedzieć, nie jesteśmy lekarzami, co tam się dzieje, ale bardzo cierpi. I ten blask 25-lecia pontyfikatu to zarazem czas, aby o papieżu ciągle pamiętać. I zachęcam i państwa, i siebie również, do tego, żeby w tych dniach złożyć Bogu szczególne dziękczynienie, i jednocześnie otaczać papieża szczególną modlitwą.

Opowiem dwie rzeczy, jedną jakby weselszą, która pochodzi sprzed kilkunastu miesięcy, którą opowiadał mi rektor Instytutu Polskiego w Rzymie. Jak to do Ojca Świętego przybył taki ksiądz z diecezji krakowskiej, podszedł do papieża bliżej, rozmawia z Ojcem Świętym, mówi: „O, Ojciec Święty teraz po tej operacji to tak ładnie wygląda. Przedtem, to mniej, ale teraz widać, że ta operacja dobrze zrobiła. Jest zupełnie inaczej." A papież mówi do niego: „To i ty się zoperuj!" Papież w tym wszystkim potrafi zachować humor i siłę ducha. No bo jeżeli rzeczywiście operacja tak dobrze robi, to może warto spróbować? To żebyśmy wyszli z tej bardzo ciężkiej atmosfery.

Wszyscy patrzymy, wszyscy się martwimy. Ale zdajemy sobie sprawę, tak jak powiedział kardynał Korzec podczas wizyty Jana Pawła II na Słowacji, że wszyscy są w rękach Boga, i papież też. I niech to będzie dla nas motto na czas, który przeżywamy.

Otóż na ten okres, to ostatnia uwaga związana z pontyfikatem, na ten czas srebrnego jubileuszu pontyfikatu Jana Pawła II dzieje się w Polsce bardzo wiele dobrych rzeczy. Widać, że ludzie się cieszą. Widać, że ta rocznica nas integruje. Są państwo świadkami rozmaitych wydarzeń. Ale też musimy też dołożyć starań żeby wszystko, co związane z pontyfikatem, odpowiednio zabezpieczyć. W tej chwili w Krakowie jest bardzo piękna wystawa osobistych pamiątek związanych z Janem Pawłem II. To jest około 400 pamiątek, z których co najmniej kilkadziesiąt ma bezpośredni związek

z papieżem. Ta wystawa ma w grudniu przyjechać do Warszawy, zachęcam państwa do zobaczenia tych pamiątek. Pochodzą one z różnych miejsc globu ziemskiego — dary składane papieżowi, a także osobiste rzeczy papieża. Są tam tłumy zwiedzających — szkoda, że tak mało się o tym mówi.

Muszę państwu powiedzieć, że — jak mi się wydaje — i ja swoją drobną cząstkę do dokumentacji tego pontyfikatu wniosłem. Otóż przez 25 lat zbierałem wszystkie znaczki i, jak mówią filateliści, pochodne wobec znaczka pocztowe formy wydawnicze — czyli rozmaite bloki, arkusiki, zeszyciki, i Bóg wie co jeszcze — wszystko, co poczta wydała w związku z Janem Pawłem II. Nagromadziło się tego ponad 1600 znaczków i różnych form pochodnych z ponad 120 krajów. Zatem bardzo bogaty materiał, są to 364 emisje. Żaden człowiek za swojego życia nie doczekał się tak ogromnej liczby walorów pocztowych. Ta rzecz została odpowiednio opracowana na wystawę, i w ostatni piątek ta wystawa została otwarta w Galerii Prezydenckiej na Krakowskim Przedmieściu. Otwierał ją prezydent ze swoją żoną, byli też inni urzędnicy. Wystawa jest czynna do końca grudnia. Jeżeli państwo chcą ją zobaczyć, to można pójść do Galerii Prezydenckiej pod warunkiem, że nie ma tam jakiś przedstawicieli, oficjeli rządowych i nie jest chwilowo czy czasowo zamknięta. Trzeba tylko mieć ze sobą dowód osobisty lub legitymację szkolną. Ta galeria jest obok kościoła Seminaryjnego w pałacu Prezydenckim. Trzeba wejść koło pomnika Poniatowskiego i zapytać o Galerię, o wystawę znaczków, bardzo serdecznie zapraszam. Ponieważ jest to materiał bardzo unikatowy, bo niektóre rzeczy istnieją w Polsce nawet w jednym egzemplarzu — chociaż ludzie zbierają znaczki, to do niektórych jest bardzo ciężko dojść — podarowałem całą tę kolekcję Muzeum Narodowemu w Warszawie. Muzeum Narodowe bierze to po zakończeniu wystawy, i ma za zadanie to zabezpieczyć, skatalogować, i oczywiście przetrzymywać. Jak się wydaje jest to rozsądny krok, bo parę godzin po momencie, w którym to zrobiłem, pan prof. Władysław Aleksiejewicz z Poznania, który z kolei zbiera wszystko to, co w Polsce dotyczy papieża — już nie tylko znaczki ale rozmaite stemple, kasowniki, frankatury, jakieś przejazdy pocztą balonową, samolotową, dyliżansową itd, postanowił pójść w te ślady, i również całą swoją zgromadzoną kolekcję ofiaruje Muzeum Narodowemu. Chcemy zobowiązać Muzeum Narodowe, pan dyrektor Ruszczyc to obiecał, że uczynią z tego początek systematycznego gromadzenia tych walorów, które papieża dotyczą a których za 20 - 30 - 50 lat po prostu zebrać nie będzie można, bo nie sposób dotrzeć do Palau, do Nowej Gwinei, na Wyspy Cooka, czy do Boliwii, czy gdziekolwiek, bo te rzeczy stają się później coraz bardziej rzadkie. Nawet nie tyle drogie, co po prostu niedostępne. Jest też piękny katalog, wydany przy tej okazji, wielka pamiątka 25-lecia tego pontyfikatu. Muszę jeszcze dodać, że siostrzana wystawa zostanie w sobotę otwarta w Rzymie w Instytucie Kultury Polskiej.

A wszystkich państwa raz jeszcze zachęcam do tego, co każdy może robić — mianowicie do modlitwy za papieża. Dam tutaj przykład kobiety, którą spotkałem niedawno, rozmowa miała miejsce 2 lub 3 dni temu. Mianowicie pytam o zdrowie starszą panią, którą znam z widzenia. Ona mówi: „Wszystko do tej pory było dobrze, ale ostatnie dni strasznie cierpiałam." I zaczęła opisywać swoją chorobę, rzeczywiście cierpiała ogromnie. „Ale" mówi „niech się ksiądz nie przejmuje. Bardzo mnie to boli, ale ja się cieszę." Dlaczego pani się cieszy? „No bo ja mogę swoje cierpienie ofiarować za papieża. I powiedziałam Panu Bogu tak, że z powodu tego cierpienia, które tak mnie nagle dopadło, niech przynajmniej o sekundę przedłuży życie papieżowi. A ponieważ takich ludzi na świecie są tysiące, to papież jeszcze trochę pożyje." Otóż niezależnie od tego, jaka jest wola Boska, widać, że są ludzie, i to skromni, zwyczajni, prości ludzie, którzy umieją w swoim życiu dokonywać rzeczy heroicznych, bohaterskich. I myślę że jeżeli nam się przytrafi trochę cierpienia — a jeżeli nie, to inną drogą, a zwłaszcza modlitwą powinniśmy Ojca Świętego wesprzeć. Bardzo, bardzo tego potrzebuje. Można by powiedzieć, że właśnie modlitwa jest jego siłą. Teraz, w tych dniach to jest szczególnie ważne, bo tej siły szczególnie potrzebuje. W niedzielę jest beatyfikacja Matki Teresy, z pewnością będzie bardzo wyczerpująca. Bo papież jest cały czas na widoku publicznym, wszystkie kamery na niego — więc może ta nasza odrobina modlitwy doda mu trochę siły i mocy, która mu jest potrzebna.

Przechodzimy do konferencji. Cykl tegoroczny, jak państwo wiedzą, nosi tytuł *Apostołowie Jezusa Chrystusa.* Doszedłem do wniosku, że będzie przystawał do tego, o czym mówiliśmy do tej pory. To jest dwunasty rok konferencji w Parafii Zwiastowania Pańskiego, natomiast to już jest

osiemnasty rok konferencji prowadzonych na Ochocie, bo przedtem były na Dickensa. Zatem jest to szmat czasu. I na pozór trudno jest wybrać jakiś spójny temat, który byłby zwieńczeniem tego wszystkiego. Ale przyszedł mi do głowy ten temat z dwu powodów.

Po pierwsze po to, żebyśmy zobaczyli tych, którzy wiernie Jezusowi towarzyszyli, bądź niewiernie — bo i to się zdarzało, i przyjrzeli się wszystkim dwunastu Apostołom. Najpierw dokonali takiego ogólnego rzutu oka na to, co to znaczy być apostołem Jezusa Chrystusa. A potem żebyśmy przyglądali się poszczególnym Apostołom, a więc Piotr, Jakub, Jan, później synowie Zebedeusza, również Judasz. Judasza sobie zostawimy na Wielki Post, bo w każdym z nas jest coś z Judasza, więc dobrze będzie wtedy to rozważyć. I po kolei rozważymy wszystkich dwunastu Apostołów, żebyśmy mieli lepsze pojęcie.

Bo o Jezusie wiemy sporo, o Piotrze może też, o Jakubie już mniej, o Janie Ewangeliście pewnie jeszcze trochę mniej. I będziemy chcieli sięgnąć do tego, jak poszczególni Apostołowie są przedstawiani w Ewangeliach, jak przedstawiani są w Nowym Testamencie, a także jak są przedstawiani w tradycji Kościoła. Dlatego, że jest ciekawą rzeczą, jeżeli wybiegniemy myślą troszeczkę naprzód, że np. w Kijowie mówią, że to jest miasto św. Andrzeja. Bo św. Andrzej, kiedy płynął po Morzu Czarnym, to potem miał odbyć według miejscowej tradycji, tradycji na Rusi, Rusi Kijowskiej, podróż w górę Dniepru. I że właśnie Andrzej wypatrzył sobie to miejsce, na którym leży teraz Kijów.

Opowiemy o różnych takich podaniach, legendach, tradycjach starochrześcijańskich. Bo do Andrzeja przyznają się jeszcze i na Kaukazie, i w Grecji w Patras jest jego grób, i Grecja mieni się właśnie „ziemią św. Andrzeja". Ale są także inni apostołowie, np. Bartłomiej, Filip i inni, którzy są czczeni w rozmaitych zakątkach świata, zwłaszcza Europy. I warto będzie przyjrzeć się tym poszczególnym sylwetkom, zwrócić na nie uwagę, i mieć o nich lepsze pojęcie, niż do tej pory.

Drugi powód, dla którego wybrałem ten temat, to jest jakby jeszcze jeden rodzaj hołdu dla Jana Pawła II, i dla jego apostolstwa i posługi ewangelizacji, a także zwrócenie uwagi na te powinności, które mogą stać się naszym udziałem. Bo kiedy mówimy i myślimy o tych starożytnych apostołach, to nie czynimy tego tylko z pobudek historycznych ani z czystej ludzkiej ciekawości, lecz chcielibyśmy żeby pewne motywy, wątki, uwarunkowania, które apostołów dotyczyły, żebyśmy również mogli przenosić do swojego życia, czyli żebyśmy mogli być dojrzalszymi, lepszymi chrześcijanami.

Zaczynamy zatem od samego początku. Otóż „być apostołem" i „tradycja apostołów" — zaraz wyjaśnimy to słowo „apostoł" — sięga czasów Starego Testamentu, a nawet czasów przedbiblijnych, zanim jeszcze powstawała Biblia, zanim powstawały księgi święte. Sięga zwyczajów i sytuacji życia na Bliskim Wschodzie, w Mezopotamii, i w Palestynie, kiedy to każdy człowiek, który miał władzę, sprawował władzę, jakakolwiek ona była: polityczna, religijna, finansowa, nawet rodzicielska, to miał do dyspozycji czy posługiwał się innymi ludźmi, którzy go wspomagali.

Państwo zdają sobie sprawę, że w starożytności zwłaszcza dłuższe podróże — bo to było głównie w kontekście dłuższych podróży — wymagały wiele czasu. Np. żeby się dostać kilkadziesiąt kilometrów potrzeba było dzień, dwa, trzy dni, żeby kilkaset — więcej dni. Czasami odbywano podróże, które trwały całe lata, zarówno podróże morskie jak i podróże lądowe. Kiedy więc z Mezopotamii udawano się do Egiptu, wyruszano więc o wczesnej porze suchej, czyli gdzieś marzec - kwiecień. W Egipcie w porze deszczowej, czyli jesienią i zimą, załatwiano rozmaite sprawy. I dopiero w przyszłym roku, na następne lato, ktoś udawał się z powrotem. Mając na względzie te długie podróże, mając na względzie to, że nie było nowożytnych środków komunikacji, ci, którzy mieli do przekazania jakieś posłannictwo, mieli do dyspozycji osoby, które nazywały się w językach semickich, w hebrajskim również, szalijah.

Otóż ten szalijah tłumaczy się po polsku: *wysłaniec, posłaniec, przedstawiciel.* To słowo pochodziło od hebrajskiego, i w ogóle semickiego czasownika szalah, czyli *posłać, wysłać.* Szalijah to był wysłaniec, wysłannik. I ranga owego szalijaha, owego wysłannika, była tak znacząca, tak duża, jak ranga tego, który go wysłał. Jeżeli więc by się zdarzyło, że ktoś nie przyjął jego słów albo nie przyjął jego orędzia, to oczywiście gardził tym, który go posłał. Proszę sobie przypomnieć słowa Jezusa: „Kto wami gardzi, Mną gardzi. A kto gardzi Mną, ten gardzi Tym, który Mnie posłał."

Proszę zatem zwrócić uwagę, że apostołowie byli owymi szalijah, tymi wysłannikami Jezusa Chrystusa, natomiast Jezus — co bardzo ważne — przedstawia siebie i postrzega siebie jako wy-

słannika, jako posłańca Ojca, Boga jedynego. I konsekwentnie jeżeli ktoś gardzi Jezusem, gardzi Bogiem. Jeżeli ktoś gardzi apostołem, gardzi Jezusem, który posłał apostołów. Więc mamy tutaj osadzenie w realiach starożytnych. Ów szalijah, ta instytucja wysłannika była silnie zakorzeniona, była znana, była dość powszechna. I traktowano wysłannika króla, czy wysłannika książąt, czy wysłannika kapłanów, czy wysłannika ojca, czy wysłannika matki tak, jak gdyby była obecna osoba, która ją wysyła. I w Starym Testamencie najbardziej znani posłańcy to np. przypomną sobie państwo epizod, jak to Abraham szukał żony dla swego syna Izaaka. A ponieważ chciał, żeby ta żona pochodziła z jego rodzinnych stron, to wysłał tam swojego posłańca, aby tę żonę znalazł. I udał się sługa i znalazł tam dziewczynę, która miała na imię Rebeka, potem spolszczone jako Rywka. I przyprowadził tę dziewczynę do swojego pana, a pan z kolei przekazał ją do zamążpójścia swojemu synowi. I wiele razy na kartach Starego Testamentu mamy takich właśnie posłańców.

Ale mamy również na kartach Starego Testamentu wysłanników Bożych — tych, których nazywa się szalijah Elohim albo szalijah Adonai — *wysłannik Boga* albo *wysłannik Pana, posłaniec Pana.* Kim byli ci posłańcy Pana? Oczywiście to byli przede wszystkim prorocy. Czyli ci ludzie, którzy występowali w imię Boga, którzy odczuwali Boże powołanie, którzy napominali innych, którzy dokonywali takiej religijnej oceny rzeczywistości religijnej i moralnej. I na tej podstawie, jak to wiele razy podkreślaliśmy, nie tyle przepowiadali przyszłość co tę przyszłość kształtowali.

Na kartach Starego Testamentu mamy też hebrajskie wyrażenie szlah dabar — *posłać słowo.* Otóż Bóg posyła swoje Słowo, a ponieważ Słowo Boże nie może istnieć bez ludzi, którzy będą narzędziami tego Słowa, to właśnie prorocy są postrzegani i przedstawiani jako narzędzia Słowa Bożego, jako owi szalijah Adonai, posłannicy Pana Boga. Dzięki ludziom zatem, można by powiedzieć, Pan Bóg może skutecznie w ludzkim świecie działać. Człowiek staje się wysłannikiem Boga, czyli jakby przedłużeniem Bożej mocy, Bożego ramienia. Bóg, aby mógł być skuteczny, posługuje się ludźmi jako narzędziami Swojej wszechmocy. A więc objawia się nie wszystkim jednakowo, bo nie wszyscy jednakowo mogliby Jego obecność i Jego wolę przyjąć i znieść, lecz objawia się każdemu na swój sposób. A żeby to objawienie było skuteczne, to posługuje się niektórymi ludźmi, którzy są z Nim w szczególnej zażyłości. I właśnie ci, którzy tę zażyłość Boga odczuwają najgłębiej, mogą stać się jego wysłannikami.

Otóż teraz, że na chwilę wrócimy do naszych współczesnych realiów, słyszą państwo wielokrotnie opinie, jakże słuszne, że papież jakby ciągle żyje w Bożej obecności. Że cały jego autorytet bierze się z tego, że papież jest tym przedstawicielem, tym wysłannikiem, można by powiedzieć posłańcem Boga, który w świecie, w którym jest także wiele zła, jest sumieniem świata, a jednocześnie narzędziem przekazywania Bożej woli.

Kiedy więc przyszedł na świat Jezus, to nawiązał do tej starotestamentowej tradycji. Najpierw sam siebie długo przygotowywał jako człowiek, przygotowywał do podjęcia publicznej misji. Państwo dobrze wiedzą, bo wspominaliśmy o tym kilka razy omawiając Ewangelie, że gdy Jezus wystąpił publicznie to miał lat trzydzieści. A uczynił to wtedy z tego względu, i po dzień dzisiejszy tak jest w judaizmie, tak jest wśród Żydów, że do 30 roku życia mężczyzna może być nieżonaty. Natomiast kiedy osiąga trzydziestkę, to musi się ożenić. Od tego był w starożytności jeden jedyny wyjątek. A mianowicie jeżeli poświęcił się całkowicie służbie Bożej, wtedy był zwolniony z obowiązku ożenku. Zatem ci, którzy odpowiadali na głos Boga, mogli pozostać bezżenni. Później, ponieważ tradycja żydowska rabiniczna jest z gruntu antychrześcijańska, i ponieważ w chrześcijaństwie istnieje celibat czyli swoiste naśladowanie bezżenności Jezusa, wobec czego rabini w ogóle wykluczyli bezżenność. I w religii żydowskiej wyznawcy judaizmu mają obowiązek ożenku. I nie ma takiej formy bezżenności, jaka znana jest np. w Kościele katolickim, czy również w Kościele prawosławnym gdzie, żeby być biskupem to trzeba być bezżennnym, natomiast zwyczajny ksiądz może się ożenić. Jezus rozpoczął swoją publiczną działalność kiedy osiągnął 30 lat, ale całe te 30 lat wykorzystał na to, aby się do tej publicznej działalności odpowiednio przygotować.

Jeżeli chodzi o samego Jezusa to ciekawy fragment, który już ze dwa razy czytaliśmy przy innej okazji, znajdujemy na początku Listu do Hebrajczyków. Są to słowa, które otwierają list napisany do tych chrześcijan, którzy byli pochodzenia żydowskiego, a także do tych Żydów, którzy byli zainteresowani wiarą w Jezusa Chrystusa w I wieku, ale jeszcze chrześcijanami się nie stali. A więc w tym wczesnym żydowskim kontekście autor Listu do Hebrajczyków napisał tak:

> Wielokrotnie i na różne sposoby przemawiał niegdyś Bóg do ojców przez proroków, a w tych ostatecznych dniach przemówił do nas przez Syna.

A więc w Starym Testamencie wysłannikami Boga byli prorocy. Natomiast w Nowym Testamencie najważniejszym wysłannikiem Boga jest Jezus Chrystus. Ponieważ Jezus Chrystus przerasta proroków, ponieważ jest kimś innym, niż ci prorocy, to wobec tego i Boże objawienie się w Jezusie Chrystusie ma absolutną wartość i jest zobowiązujące. Jeszcze czytamy tak:

> Jego to ustanowił dziedzicem wszystkich rzeczy, przez Niego też stworzył wszechświat. Ten [Syn], który jest odblaskiem Jego chwały i odbiciem Jego istoty, podtrzymuje wszystko słowem swej potęgi, a dokonawszy oczyszczenia z grzechów, zasiadł po prawicy Majestatu na wysokościach. On o tyle stał się większym od aniołów, o ile odziedziczył większe od nich imię.

Okazuje się więc, że w Jezusie Chrystusie Bóg przemówił w absolutnie szczególny sposób. A więc i Jezus Chrystus jest też owym szalijah, wysłannikiem Boga. Hebrajskie szalijah, kiedy tłumaczono Stary Testament na język grecki, przetłumaczono apostolos. I Nowy Testament, ponieważ jest napisany cały po grecku, zawiera słowo „apostolos". Słowo „apostolos" pochodzi od czasownika apostello, czyli *posyłam, wysyłam.* „Apostolos" znaczy *wysłannik, posłaniec, ktoś, kto został wysłany.* To greckie słowo „apostolos" występuje w całym Nowym Testamencie ponad 80 razy, i dotyczy przede wszystkim grupy wybranych uczniów Jezusa.

Natomiast raz jeden, właśnie w Liście do Hebrajczyków, odnosi się ono do samego Jezusa. Jezus został nazwany Apostolos Deum, „Apostoł Boga" czyli „Wysłannik Boga", ktoś absolutnie unikatowy, kogo Bóg posłał, zesłał na świat.

Jezus więc, ów wyjątkowy wysłannik Boga, cierpliwie przygotowywał się do podjęcia swojej misji. A kiedy ją rozpoczął, to bardzo wcześnie zaczął od powołania uczniów. Od powołania tych, którzy by Mu towarzyszyli. Ale proszę zwrócić uwagę — nie mówimy „od powołania apostołów", bo do tego zaraz przejdziemy, ale „od powołania uczniów"! Bo skoro On sam, jako człowiek, dojrzewał do podjęcia swojej misji, to także ci, którzy Mu towarzyszyli w ziemskim życiu, i którzy mieli później zanieść i Jego słowo, i wieść o Nim, i wiarę w Niego, mieli zanieść gdzie indziej, to musieli się do tego odpowiednio przygotować.

Wniosek z tego taki. *Nie jest nieważne, kto nam głosi Słowo Boże.* Otóż ci, którzy występują w imieniu Boga powinni być do tego odpowiednio przygotowani. To nie może być tak, że występowanie w imieniu Boga odbywa się np. spontanicznie, albo tylko z impulsu. Potrzebne do tego jest przygotowanie po to, żeby najpierw samemu przeżyć te prawdy Boże, żeby je przetrawić, przemyśleć, żeby zdawać sobie sprawę co oznacza owa dojrzałość, która ma swoje korzenie z wiary. I ci ludzie stają się później w szczególniejszy sposób uwiarygodnieni i mogą apostołować, czyli być wysłannikami Boga. Jeżeli chodzi o uczniów powołanych przez Jezusa, to wystarczy sięgnąć do samego początku Ewangelii św. Marka, którą w ubiegłym roku akademickim państwo przeczytali, i przypomnieć sobie jeden tekst, który w 3 rozdziale, wiersz 13 i dalej, się znajduje. Ten tekst, z małymi wariantami, znajdujemy także w pozostałych Ewangeliach synoptycznych. Czytamy tak:

> Potem Jezus wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego.

Proszę zwrócić uwagę na trzy człony. Jezus wyszedł na górę. A więc to jest jakieś odejście Jezusa od tych wielu uczniów, którzy Mu towarzyszyli. A towarzyszyły Mu na pewno dziesiątki, a może w niektórych przypadkach setki osób. Jezus więc odchodzi, pewnie tak na odległość głosu. Następnie przywołuje tych, których sam chciał. Otóż zawsze być apostołem to jest jakaś tajemnica powołania. A „oni przyszli do Niego", a oni na to odpowiedzieli. Mogą sobie państwo to wyobrazić, gdyby to trzeba było przedstawić na planie filmowym. Oto Jezus odchodzi gdzieś na górę, następnie w jakiś sposób woła tych, których sam chce, i ci wstają ze swoich miejsc, i przychodzą do Jezusa. Otóż mamy w tym apostołowaniu ten element powołania, który zakłada wolny wybór ze strony Boga, i wolną odpowiedź człowieka. Przecież mogło się zdarzyć i tak, że Jezus wołał tego, i tego, i tego,

a on nie wstał i nie poszedł. Tak się również zdarzyć może do dnia dzisiejszego, że chrześcijańskie powołanie nie zawsze może znaleźć dopełnienie w człowieku, który na nie odpowiada.
Gdy więc „przywołał do siebie tych, których sam chciał", to:

> I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki, i by mieli władzę wypędzania złych duchów.

Ustanawia Dwunastu. Oni jeszcze nie są nazwani Apostołami. Ta dwunastka to nawiązanie do dwunastu plemion biblijnego Izraela, starotestamentowego Izraela. Można by powiedzieć tak: że Jezus odwołuje się tutaj do symbolu i powiada tak: „Jak w Starym Testamencie znakiem jedności powołanego przez Boga ludu, ludu wybrania, ludu Bożego, było dwanaście pokoleń, dwanaście szczepów, tak w Nowym Testamencie fundamentem tej nowej Bożej ekonomii zbawienia stanie się dwunastu ludzi, dwunastu apostołów tak, jak niegdyś tych dwunastu patriarchów, którzy potem się rozrośli. Zatem Apostołowie, tych Dwunastu wybranych przez Jezusa, odpowiada dwunastu synom Jakuba, dwunastu patriarchom.

Jezus daje poznać, że wraz z jego działalnością rozpoczyna się coś radykalnie nowego. Że On, który jest Mesjaszem i Synem Bożym, zapoczątkowuje jednocześnie nowy etap w historii zbawienia. Etap, którego nowość i którego charakter można porównać tylko z tym, co wydarzyło się w samych początkach starotestamentowego Izraela, kiedy to Jakub miał 12 synów, a ci rozrośli się w 12 szczepów. A więc teraz od Apostołów będą pochodzili ci, którzy w przyszłości staną się fundamentem Kościoła.

Na czym polega jednak różnica pomiędzy Starym a Nowym Testamentem? Otóż w Starym Testamencie pochodzenie od patriarchów, pochodzenie od 12 synów Jakuba, miało charakter fizyczny. A więc było ich dwunastu: Juda, Benjamin, Zabulon, Issachar itd. Każdy z nich miał syna i córki. Potem synowie i córki dawali życie kolejnym synom i córkom. I w związku z tym miało to charakter fizyczny. Po dzień dzisiejszy być Żydem to być urodzonym z matki Żydówki, wiele razy wskazywaliśmy na ten element przynależności fizycznej. Natomiast w Nowym Testamencie zaczyna to mieć charakter inny, mianowicie charakter duchowy. Nacisk został przełożony z pochodzenia krwi na pochodzenie ducha, na pochodzenie bardziej wewnętrzne. Kiedy Jezusowi z tego powodu czyniono zarzuty mówiąc, że przecież Żydzi są synami Abrahama: „Synami Abrahama jesteśmy!", to wtedy Jezus odpowiedział dość dosadnie, że Bóg jest mocen wskrzesić synów Abrahama nawet z tych kamieni. Czyli Bóg jest mocen kamienie obdarować życiem czy ludzką tożsamością. Oczywiście był to tylko pewien obraz, obraz mocy Bożej podkreślający, że w Nowym Testamencie nacisk z pochodzenia fizycznego zostaje przeniesiony na pochodzenie duchowe.

Jakie to ma znaczenie dla nas? Otóż ma to znaczenie niesłychanie ważne. Dlatego, że w Kościele ustanowionym przez Jezusa Chrystusa dominującym elementem jest to, co się nazywa *sukcesja apostolska,* tzn. następstwo apostolskie. Otóż być biskupem tzn. być konsekrowanym, być uzdolnionym do posługiwaniu ludowi Bożemu poprzez człowieka, który otrzymał swoje święcenia biskupie od poprzednika, a ten jeszcze od poprzednika. Natomiast najodleglejszy z nich otrzymał od apostołów. To jest sukcesja apostolska, czyli sprawowanie władzy w Kościele od biskupów, tych pierwszych, sięgających czasów apostolskich. Sukcesja apostolska to jest również związek z biskupem Rzymu. Proszę zwrócić uwagę zatem, że w Kościele prawosławnym, w Kościele katolickim, tak silną wagę przykłada się do sukcesji apostolskiej. Ile razy widzimy biskupa w prawosławnym Kościele i w Kościele katolickim, to mamy pewność absolutną, że on wywodzi się w kolejnym, kilkudziesiątym pokoleniu od Apostołów. Inaczej jest u protestantów. Dlatego w całym tym ekumenizmie, ponieważ protestanci nie podkreślali tej sukcesji apostolskiej, nie dołożyli starań, żeby ich biskupi wywodzili się od ustanowionych wcześniej apostołów, w związku z tym ekumenizm z protestantami jest straszliwie trudny, żeby nie powiedzieć, że w niektórych rzeczach wręcz niemożliwy. Zwłaszcza wtedy, kiedy posuwają się tak daleko, iż nie tylko nie dbają o sukcesję apostolską, ale np. wyznaczają kobiety do posługi biskupiej. Otóż to nie ma oparcia w Nowym Testamencie, nie ma oparcia w tej sukcesji apostolskiej, i konsekwentnie bardzo utrudnia jakikolwiek ekumenizm i dialog. Bo prawosławni są w ogóle na to zamknięci, a katolicy są nieco bardziej otwarci, ale jest to trudność, która jest w dialogu z protestantami niesłychanie ważna.

Więc Jezus powołał tych, których sam chciał, ustanowił Dwunastu, oni odpowiedzieli — i jaki był cel tych Dwunastu? Cele są trzy.

Ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli — to jest pierwszy cel. Towarzyszyli — to znaczy przede wszystkim byli obok. Także to „towarzyszenie" w Nowym Testamencie ma wyraźne znaczenie tego, żeby się uczyli, żeby patrzyli, żeby słuchali nauczania Jezusa, słuchali słów Jezusa, zapamiętywali słowa Jezusa. Czyli pełnią rolę uczniów, to się po grecku nazywało mathetai — *uczniowie; ci, którzy się uczą, którzy sobie przyswajają.* I to właśnie przede wszystkim dzięki tym Dwunastu mamy wiadomości o Jezusie. Nie było żadnych środków współczesnego przekazu, nie było innego rejestrowania mowy, nie było magnetofonów, wideo, nawet pismo było znacznie mniej rozpowszechnione. I ci Apostołowie przyglądali się Jezusowi, patrzyli na Niego, zapamiętywali, i to oni stali się dla nas narzędziami czy sposobem wiedzy o Nim.

Aby Mu towarzyszyli. Towarzyszyć drugiemu człowiekowi, to być przy nim, żyć jego życiem. Myślę że jeżeli szukamy w dzisiejszych czasach jakiejś ilustracji, to proszę mieć wzgląd na arcybiskupa Stanisława Dziwisza i jego wierne towarzyszenie przy Janie Pawle II. Można by powiedzieć, że jest odwzorowaniem jednego z tych Dwunastu. Niemal od początku, kiedy Karol Wojtyła został kardynałem, ma przy sobie właśnie księdza Stanisława Dziwisza, od kilku dni arcybiskupa Stanisława Dziwisza, który mu wiernie w tym wszystkim towarzyszy. Dlatego, jeżeli jest to ktoś tak bardzo bliski, to oczywiście może też w imieniu swojego mistrza, przełożonego podejmować rozmaite decyzje.. Bo należy się spodziewać, że bardzo dobrze zna intencje, sposób myślenia swojego przełożonego.

Drugie: *By mógł ich wysyłać na głoszenie nauki.* Tam, gdzie Jezus sam nie dojdzie, tam potrzebni będą Dwunastu. To oni będą uczyć, oni będą przekazywać. Oni, którzy dojrzewają w bliskim otoczeniu Jezusa, w jego sąsiedztwie, mają do Niego szczególne prawo, jeżeli tak można powiedzieć, oni dalej będą przekazywać wieści o Nim. Do dzisiaj jest tak, że chociaż mamy środki masowego przekazu: radio, telewizję, teraz internet itd. to obowiązkiem Kościoła i obowiązkiem chrześcijan jest ustne głoszenie Jezusa Chrystusa, jest mówienie o Nim własnymi słowami. Ważne jest radio, ważna jest telewizja, ale nic tak nie przemawia do człowieka tak, jak żywe słowo. W związku z tym, pomimo tych rozmaitych środków nowoczesnej techniki, każdy z nas ma również obowiązek o Bogu i o Jezusie Chrystusie mówić. To nie jest tylko powołanie tych, którzy są duchownymi, aczkolwiek ich przede wszystkim. Bo dodajmy do tego, co powiedzieliśmy o biskupach, że być kapłanem, czy być księdzem, to znaczy być z kolei być ustanowionym, być wyświęconym przez legalnego biskupa, który ma sukcesję apostolską. Jeżeli byłby jakiś biskup, który tej sukcesji apostolskiej nie ma, to i święcenia kapłańskie byłyby po prostu z gruntu nieważne. Jednak do głoszenia Słowa, i do mówienia o Jezusie, i dzisiaj są zobowiązani ci, którzy zostali do tego odpowiednio przygotowani.

I trzecie: *By mieli władzę wypędzać złe duchy.* Otóż jednym z zadań Apostołów, tych Dwunastu, jest także zwalczanie mocy zła. W starożytności nazywano to „złe duchy", ktoś jest „pod wpływem złego ducha". Ale obecność zła przejawia się w świecie na wiele rozmaitych sposobów. I powinnością tych, którzy zadanie Chrystusa podjęli, jest zwalczanie zła, a przysparzanie dobra.
I czytamy jeszcze tak:

> Ustanowił więc Dwunastu: Szymona, któremu nadał imię Piotr; dalej Jakuba, syna Zebedeusza, i Jana, brata Jakuba, którym nadał przydomek Boanerges, to znaczy synowie gromu; dalej Andrzeja, Filipa, Bartłomieja, Mateusza, Tomasza, Jakuba, syna Alfeusza, Tadeusza, Szymona Gorliwego i Judasza Iskariotę, który Go zdradził.

Będziemy przyglądali się wszystkim Dwunastu, na razie jednak ogólnie. Żeby mieć pojęcie, co dokonało się za życia Jezusa niesłychanie ważnego, co z tych uczniów uczyniło Apostołów, co sprawiło, że stali się kimś nowym, musimy na chwilę sięgnąć do Ewangelii św. Jana, do epizodu przemiany wody w wino podczas godów weselnych w Kanie Galilejskiej. Nie ma potrzeby czytać całego tego tekstu, bo wszyscy go dobrze znamy. Jest czytany zawsze na Jasnej Górze, więc ile razy jesteśmy w Częstochowie, to możemy o tym wstawiennictwie Maryi słuchać. Natomiast to opowiadanie, ten opis kończą takie słowa:

> Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie.

Proszę popatrzmy, że w Kanie Galilejskiej następuje coś nowego. Do tej pory uczniowie wierzyli Jezusowi — tak, jak się wierzy drugiemu człowiekowi. Natomiast wraz z tym pierwszym cudem

uwierzyli w Niego Jego uczniowie. To jest inna jakość wiary. Jezus jest dla nich kimś absolutnie wyjątkowym. Oni jeszcze nie wiedzą, kim jest, nie potrafią tego ująć w słowa, nie potrafią wyrazić. Ale wiedzą, że mają do czynienia z kimś niezwykłym. Z uczniów powoli stają się apostołami. Dojrzewają dzięki temu, że byli świadkami cudu Jezusa, ale także dzięki temu, że ten cud przyjęli, właściwie zrozumieli, pojęli, zinterpretowali, objaśnili, i uwierzyli w Jezusa — *uwierzyli w Niego Jego uczniowie*. Później Jezus wiele razy będzie nawiązywał do tego, co dokonało się w Kanie Galilejskiej. Państwo pamiętają, że kiedy już upłynął czas jakiś, i kiedy Jezus szedł z Dwunastoma gdzieś tam po Galilei, i doszli na północ, aż pod górę Hermon, to mówi do nich: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?" Taka ankieta socjologiczna, tak, jak dzisiaj się nieraz robi. I oni mówią: „Jedni za Eljasza, drudzy za Jeremiasza, jeszcze inni za jednego z proroków." Jesus tego wszystkiego słucha, i zadaje pytanie: „A wy, za kogo Mnie uważacie?" Uwierzyli w Niego Jego uczniowie. Ale co to znaczy, za kogo Mnie uważacie? I wtedy Piotr przemówił w imieniu pozostałych, i mówi:

> «Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego».

A Jezus mówi: „Błogosławiony jesteś Szymonie, bo nie ciało i krew ci to objawiły". Nie doszedłeś do tego własną mocą, ani własnym rozumem, ale objawił ci to Ojciec mój, który jest w niebie. Rozpoznanie tożsamości Jezusa, tego, kim Jezus jest, to jest zawsze dzieło Boże. Wiara nie jest naszym li tylko dziełem, chociaż w wierze odpowiadamy Bogu. Wiara jest łaską. Tę łaskę można przyjąć, można nią wzgardzić. Tę łaskę można i trzeba rozwijać. Wiarę swoją trzeba rozwijać. Jestem przekonany, że państwo w tej chwili rozwijacie swoją wiarę. I zawsze, ile razy się modlicie, ile razy czytacie, myślicie, zastanawiacie się, podziwiacie świat, różne rzeczy, różne sprawy, czytacie Pismo Święte, myślicie o tym wszystkim — to jest wzrost, dojrzewanie wiary.

Więc Piotr wyznał: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego". A Jezus mu powiedział: „Ale to nie jest twoja konstatacja, to jest dar Boży. I przyjmij to właśnie jako dar". Więc być apostołem, okazuje się już wtedy, to znaczy uwierzyć w Jezusa — ale przyjąć Go takim, jaki On jest.

Bo można uwierzyć w Jezusa, i mieć o Nim fałszywe wyobrażenie. Można uwierzyć w Jezusa i nie wiedzieć, kim On jest naprawdę. Może być tak, że kiedy zapytamy dzisiejszych chrześcijan: „Kim dla ciebie jest Jezus?" to powiedzą: „Wielki nauczyciel, dobry człowiek, wspaniały prawodawca, dobry przykład, człowiek prześladowany i cierpiący". Powiedzą tak jak ci, którzy są włączeni w dialog chrześcijańsko - żydowski: „To jest rabin z Nazaretu, to jest mąż Boży".

A to nie jest jeszcze chrześcijaństwo. To są wszystko piękne tytuły, wzniosłe, ale być chrześcijaninem to uwierzyć w Jezusa jako Syna Bożego. I dopiero na tej podstawie można budować swoją apostolską tożsamość.

Co się tyczy Apostołów, to mamy dwie ważne rzeczy, które dotyczą ich życia, dwa bardzo ważne etapy. Mówią o nich Dzieje Apostolskie. I ten fragment też państwo już znają, dlatego wystarczy go tylko krótko przeczytać i skomentować. Otóż przypominamy sobie, że jeden z apostołów sprzeniewierzył się Bogu. Moim skromnym zdaniem Judasz jest najciekawszy spośród apostołów, Judasz i Piotr. Poświęcimy Judaszowi całą konferencję, będziemy próbowali go zrozumieć — nie oskarżać, ale poznać. Judasz jest symbolem zła. Ale będziemy próbowali zobaczyć, czy w złym człowieku jest jakiś zasiew dobra. Z pewnością jest. Zobaczymy tragedię Judasza — wiemy już, że Judasz poszedł i powiesił się. Otóż kiedy się powiesił, wtedy apostołowie, pozostałych jedenastu, zebrali się razem, i czytamy w pierwszym rozdziale Dziejów Apostolskich tak:

> Wtedy Piotr w obecności braci, a zebrało się razem około stu dwudziestu osób, tak przemówił: «Bracia, musiało wypełnić się słowo Pisma, które Duch Święty zapowiedział przez usta Dawida o Judaszu. On to wskazał drogę tym, którzy pojmali Jezusa, bo on zaliczał się do nas i miał udział w naszym posługiwaniu. Za pieniądze, niegodziwie zdobyte, nabył ziemię i spadłszy głową na dół, pękł na pół, i wypłynęły wnętrzności jego. Rozniosło się to wśród wszystkich mieszkańców Jerozolimy.

I dalej:

> Trzeba więc, aby jeden z tych, którzy towarzyszyli nam przez cały czas, kiedy Pan Jezus przebywał z nami, począwszy od chrztu Janowego aż do dnia, w którym został wzięty od nas do nieba, stał się razem z nami świadkiem Jego zmartwychwstania.

Kiedy mówimy „apostołowie Jezusa Chrystusa", to to określenie zakłada dwa etapy w ich życiu. Mianowicie wierne towarzyszenie Jezusowi od początku jego działalności, od chrztu w Jordanie aż do śmierci — to jest jeden etap. Ale być Apostołem oznacza również, a nawet przede wszystkim, być świadkiem Jego zmartwychwstania. A więc życie Jezusa — to jedno, zmartwychwstanie Jezusa — to drugie. Jedno i drugie uzupełniają się między sobą. Otóż za życia Jezusa apostołowie jak gdyby zgadywali, kim On jest. Piotr miał tę bezcenną dobrą intuicję. Ale wiemy, że gdy przyszła męka, to Piotr się Jezusa wyparł. Wyznał: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego". Ale gdy jedna z kobiet, najwyraźniej z dobrą fotogeniczną pamięcią, mówi: „I ty jesteś jednym z nich!", to on mówi: „Nie znam tego człowieka!" Już nie mówił o Synu Bożym: „Nie znam tego człowieka".

Strach ma wielkie oczy. Człowiek w zamian za swoje życie gotów oddać wszystko, zwłaszcza w wielu okolicznościach swojego życia. Nawet bohaterowie stają się tchórzami. Wspominałem kiedyś o człowieku, który przeszedł więzienia i łagry sowieckie. To był ksiądz, stary człowiek, któremu udało się to dość szczęśliwie koniec końców przetrwać, aczkolwiek stracił tam zdrowie całkowicie. I pewnego dnia wrzucono do celi, w której siedział, młodego księdza, który był prawie całkowicie załamany. I najbardziej dokuczliwą rzeczą były pchły, które dawały im się mocno we znaki, a nie mogli zmienić odzieży. I ten młody, który zresztą pochodził z bardzo zamożnej, znanej rodziny, bardzo z tego powodu cierpiał. Któregoś dnia bardzo skarżył się. Siedzieli obaj zamknięci na paru metrach kwadratowych. I tamten mówił, że teraz za komuny to jest gorzej, niż na początku było. Bo apostołowie to byli uprzywilejowani. A byli uprzywilejowani dlatego, bo byli rzucani na pożarcie zwierzętom. Ginęli inaczej, przynajmniej jakoś honorowo. Byli rzucani lwom na pożarcie, a tutaj — pchły. Na to ten stary ksiądz powiedział: „Jaki męczennik, takie lwy".

Wracając do Piotra — właśnie na jego przykładzie dobrze widać, że człowiek ma wielkie postanowienia, składa wielkie wyznania. Natomiast w momencie, kiedy przychodzi to, co trudne i ciężkie, brakuje mu wiary. I apostołowie, z wyjątkiem Jana, pouciekali.

Co dokonało przełomu? Już państwo doskonale wiedzą — zmartwychwstanie. Po zmartwychwstaniu stali się innymi ludźmi. Otóż być apostołem Jezusa Chrystusa, to być przede wszystkim świadkiem Jego zmartwychwstania. I kończąc dzisiaj, będziemy się przyglądać poszczególnym apostołom, jak wyglądało ich życie podczas ziemskiego życia Jezusa, i jak zmieniło się po Jego zmartwychwstaniu. I w ten sposób dojdziemy jeszcze raz do przekonania, z innego punktu widzenia, z innej perspektywy, że być chrześcijaninem, i być dzisiaj głosicielem Chrystusa, to również znaczy uwierzyć, przyjąć Jego zmartwychwstanie i być świadkiem zmartwychwstania. Tylko ci, którzy przyjmują, traktują na serio, na poważnie, w swoim życiu prawdę o zmartwychwstaniu gotowi są przyjąć życie ze wszystkimi jego uwikłaniami i ze wszystkimi trudnościami, i gotowi są, i zdolni są do tego, aby być gorliwymi apostołami Jezusa Chrystusa. Nawet jeżeli przydarza się zło, to zmartwychwstanie i światło, które ono daje, jest silniejsze niż zło. I wtedy nawet zło, nawet grzech, staje się łaską.

Tyle byłoby na dziś tytułem wprowadzenia. Na następną konferencję zapraszam państwa w trzeci poniedziałek listopada dlatego, że drugi przypada dziesiątego, a więc między niedzielą a Świętem Niepodległości. Żeby się państwo w domu nie nudzili, na pewno warto wziąć do ręki Ewangelie raz jeszcze, może inne pisma Nowego Testamentu, których nie przeczytaliśmy. I warto codziennie, ubiegłorocznym zwyczajem, czytać jeden rozdział dziennie. Wiem, że wiele osób ten zwyczaj praktykuje cały czas. Wówczas to, co mówimy o apostołach Jezusa Chrystusa, stanie się jeszcze bardziej wyraziste. Dzisiaj bardzo dziękuję. I na koniec pomodlimy się za Jana Pawła II, i za nas.

Pod Twoją obronę ... Pochwalony Jezus Chrystus ... I dobranoc!

6.2 Św. Piotr (cz. I) (17 listopada 2003)

Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

Dobry wieczór państwu. Bardzo serdecznie witam. Ostatni czas jest jesienny, państwo widzą, co się dzieje. Dlatego z pełnym podziwem patrzę na państwa i zastanawiam się czy ja, gdybym miał pójść na konferencję głoszoną przez kogoś, czy bym z równym entuzjazmem wychodził w ten jesienny listopadowy wieczór. Więc szczere wyrazy podziwu, i podziękowania za wytrwałość. Jeżeli jest gdzieś na świecie grupa podobnie wytrwała, państwo by w porównaniu z nią zdobyli złoty medal.

Ten ostatni okres, zwłaszcza ostatni tydzień, był dla mnie pełen przeżyć. Część z państwa wie, że byłem w Ziemi Świętej po raz pierwszy od ponad trzech lat. W piątek wróciłem po tygodniowym pobycie w Ziemi Świętej. Muszę państwu powiedzieć, może to do jesiennego przygnębienia nie jest zbyt stosowne, ale wróciłem w nastroju bardzo minorowym, bardzo smutny, wręcz przygnębiony. Bo to, co się tam dzieje, niestety nie wróży nic dobrego. Przez te trzy lata zmieniło się bardzo wiele. Tzn. atmosfera, która tam panuje, atmosfera duchowa, atmosfera społeczna, atmosfera polityczna, zrobiła się aż gęsta od napięcia. I wszystko to robi bardzo przygnębiające wrażenie. Wszędzie, w całej Ziemi Świętej, pełno żołnierzy, pełno wojska, pełno policji, pełno rozmaitych tajnych służb. Mnóstwo rozmaitych kontroli, zatrzymywań, sprawdzań, których do tej pory nie było. Wejścia do budynków użyteczności publicznej, czy do miejsc publicznych, bardzo silnie strzeżone, kontrolowane. Więc cały czas człowiek czuje się jak w jakiejś strefie przyfrontowej. Widać też, że pomiędzy Izraelczykami, Żydami i Arabami, Palestyńczykami nie tylko nie ma żadnej poprawy, ale w porównaniu do tego co było kilka lat temu, sytuacja daleko bardziej się zaostrzyła. W związku z tym odnosi się takie przykre wrażenie, że tam coś złego wisi w powietrzu.

Druga sprawa to są miejsca święte. Sporo osób spośród państwa było w Ziemi Świętej, być może pamiętają te miejsca święte, jedne lepiej, drugie gorzej. Natomiast ogólne wrażenie jest takie, że na tych miejscach świętych brakuje chrześcijańskich pielgrzymów. Brakuje po prostu tych, którzy by je odwiedzali, którzy by się modlili. Proszę sobie wyobrazić, że w takim miejscu jak Bazylika Narodzenia w Betlejem nie ma prawie w ogóle nikogo. Ale i sam wjazd do Betlejem jest bardzo silnie strzeżony. Trzeba pokazywać paszporty, czego do tej pory nie było. Przepuszczą — nie przepuszczą? Bazylika Grobu Pańskiego, miejsce święte dla chrześcijan, również praktycznie puste. Chyba pierwszy raz w życiu byłem w takiej sytuacji, że kiedy wszedłem na Kalwarię to przez dłuższy czas, przez kilkanaście minut, nie było ani jednego człowieka. Proszę sobie wyobrazić — na Kalwarii, gdzie zawsze tętniło życie i było co najmniej dziesiątki, setki czy tysiące pielgrzymów, którzy się modlili. I można by tak te miejsca święte wyliczać. Po prostu jest taki nastój, że w tych miejscach uświęconych obecnością Jezusa, obecnością początków Kościoła, teraz chrześcijan odwiedzających te miejsca nie ma. Gdzieniegdzie widać jakieś grupki, sześć — osiem — dziesięć — dwanaście osób z jakimś przewodnikiem, zazwyczaj księdzem, ale to jest mało widoczne, bo to są tak jakby grupki rodzinne. A tak atmosfera jest dość ciężka, dość przykra, można powiedzieć: dość nawet smutna. Trudno powiedzieć, jak to się dalej rozwinie, ale widać, że ta bliskość geograficzna i polityczna Iraku też robi swoje, i tam jest takie sprzężenie zwrotne. Więc można by powiedzieć: duchowa przygoda z nowym wymiarem.

Jest jeszcze jeden szczegół, który mi się rzucił w oczy. Mianowicie przez te trzy lata wybudowano mnóstwo osiedli, całych miast, dla Żydów przybyłych ze Związku Radzieckiego. Zrobiono również autostrady, zrobiono obwodnicę dookoła Jerozolimy. Więc jeżeli chodzi o postęp urbanizacyjny, to jest on ogromny. Ale za to się płaci. Otóż do tego doszło, że zrobiono tunel pod Górą Oliwną. Zrobiono również autostradę dookoła świętego miasta. I wskutek tego jest takie nieodparte wrażenie, że Jerozolima, która zawsze była miastem mistycznym, pełnym duchowego uroku, duchowego ciepła, oto staje się metropolią podobną do miast europejskich albo zwłaszcza amerykańskich. I wskutek tego zatraca swój mistyczny, duchowy charakter, który do tej pory był tam bardzo dobrze wyczuwalny. Państwo pamiętają np. takie chwile, jak panorama Jerozolimy z Góry Oliwnej, czy sam wjazd do Jerozolimy, czy podróżowanie po Jerozolimie. Otóż to wszystko robiło zawsze bardzo duże wrażenie, bo to była Jerozolima taka, jakby się człowiek cofnął w czasie.

Natomiast dzisiaj, taka włożona w XXI wiek ze wszystkimi jego technicznymi możliwościami, sprawia, że pojawiają się widoki zupełnie osobliwe. Np. widok Żyda, który ubrany w tradycyjny

strój modlitewny stoi gdzieś na autostradzie, i modli się w stronę Jerozolimy. Tylko o ile w tradycyjnym kontekście to on wyglądał pobożnie, to w kontekście współczesnej metropolii to on wygląda jakoś dziwnie śmiesznie. I oni sami zaczynają zwracać uwagę na to, że przesadzili z wprowadzaniem tej nowoczesności do świętego miasta, bo za dużo betonu, za dużo techniki, za dużo świateł, za dużo ułatwień. I to wszystko powoduje, że miasto traci ten swój mistyczny charakter, który zawsze miało. Czym i w tym względzie się to skończy — bardzo trudno powiedzieć.

Więc zmiany są duże i nie ulega wątpliwości, że wielką troską chrześcijan powinna być nasza stała obecność w Ziemi Świętej. Dlatego, że bardzo wielu chrześcijan z Betlejem, z Nazaretu, również z Jerozolimy, zwłaszcza arabskiego pochodzenia, emigruje z Ziemi Świętej. I staje się to powoli krajem bez chrześcijan, aczkolwiek dla nas jest on tak bardzo ważny. Takie są wrażenia na gorąco.

Można byłoby robić zdjęcia — ale okazało się, że tym razem robienie zdjęć to praktycznie fotografowanie wojska. Oni są na to bardzo wrażliwi, zabraniają tego. Do tego stopnia, że przy wjeździe do Betlejem była taka scena. Kobieta robiła zdjęcia z fleszem. Zauważył to żydowski strażnik, podoficer, przyszedł i zabrał aparat. Kazał zlikwidować wszystkie zdjęcia — aparat był cyfrowy, więc mógł mieć podgląd. Więc człowiek czuje się trochę tak, jak niegdyś w byłym Związku Radzieckim — wszystko mogą bezkarnie nakazać, zlikwidować, zabrać itd. Nie jest to niestety pocieszające. I o tym w naszych środkach masowego przekazu niestety się nie mówi, albo mówi się bardzo mało, czy bardzo zdawkowo, lakonicznie. A tymczasem problemy istnieją, problemy przy wjeździe, przy wyjeździe itd. Bardzo długo to trwa, i bywa czasami bardzo upokarzające. Pielgrzymowanie, które odbywało się w latach 90-tych, chyba należy, przynajmniej na razie, do przeszłości. Natomiast czy jeszcze kiedyś odżyje ruch pielgrzymkowy, to sam Pan Bóg wie.

Przejdźmy do treści naszych tegorocznych konferencji. Państwo pamiętają, że ich przedmiotem są apostołowie Jezusa Chrystusa. Zrobiliśmy sobie ogólne wprowadzenie do tego tematu apostołów. Dzisiaj mamy zając się pierwszym, i z wielu względów najważniejszym z apostołów, mianowicie świętym Piotrem. Kiedy zastanawiałem się jak państwu przedstawić ten temat, to początkowa myśl była taka, że uda się przedstawić całe życie św. Piotra podczas jednej konferencji, uda się je ogarnąć wzrokiem. Gdy jednak zrobiłem sobie, jak zawsze, pewien schemat, według którego trzeba byłoby się posuwać, doszedłem do wniosku że na jednej konferencji nie damy rady omówić całego życia św. Piotra. W związku z tym poświęcimy mu również naszą adwentową konferencję, dzisiaj zatrzymując się nad tym, co o Piotrze wiemy na podstawie Ewangelii.

Natomiast za cztery tygodnie będziemy kontynuować obraz Piotra już po zmartwychwstaniu Jezusa Chrystusa, będziemy się przyglądać życiu Piotra i napięciom z nim związanym, i wreszcie śmierci św. Piotra w Rzymie — czyli przejdziemy drugi okres życia tego apostoła, który jest wśród apostołów głową.

Oczywiście, jeżeli szukamy źródeł do poznania św. Piotra, to najważniejszym pozostają Ewangelie. Państwo dobrze wiedzą, że mamy cztery Ewangelie kanoniczne, ale postać Piotra była tak barwna — wrócimy do tego za cztery tygodnie, jeżeli szczęśliwie doczekamy — że pojawiło się także, i to nie jedna ale kilka, tzw. *ewangelii apokryficznych,* czyli ewangelii, których autorstwo nie jest znane, które pochodzą z końca I oraz z II wieku. Te ewangelie apokryficzne przypisywane są różnym apostołom. A ponieważ wśród nich Piotr był pierwszy, to jedną z ważniejszych ewangelii apokryficznych, tych, które nie weszły do kanonu, ale były bardzo znane, jest ewangelia Piotra. Za cztery tygodnie przeczytamy fragmenty tej ewangelii żeby zobaczyć, jaki obraz apostoła mamy poza pismami kanonicznymi. Powinno to być dla państwa bardzo ciekawe, bo ewangelie apokryficzne są raczej trudno dostępne, chociaż ich polskie przekłady istnieją. I wydobędziemy to, co o Piotrze mówi tradycja pozakanoniczna.

Dzisiaj jednak skupiamy się na Ewangeliach, a dokładniej na jednej spośród czterech Ewangelii, dlatego, że chciałbym aby obraz Piotra, który sobie przedstawimy, był jak najbardziej zwarty, jak najbardziej spójny. Gdybym państwa zapytał, którą Ewangelię wybiorę jako najbliższą Piotrowi, jako najwierniejszą — jeżeli tak można powiedzieć — tego historycznego Piotra, która zachowała najbardziej pierwotny wizerunek Piotra, to sądzę że ogromna większość z państwa odpowiedziałaby po ubiegłorocznych konferencjach, że taką Ewangelią jest Ewangelia św. Marka. To przecież Marek jako bliski towarzysz Piotra, na pewno pod jego okiem, na pewno na jego zamówienie, z jego wspomnień zapisał Ewangelię.

Zapis ten odbył się najprawdopodobniej w Rzymie, tam gdzie Piotr dokończył swojego ziemskiego

życia. Wobec tego ta Ewangelia Markowa przekazuje wizerunek Piotra nie tylko najwierniej, tylko można by powiedzieć: najbardziej po ludzku. W pozostałych Ewangeliach: Mateusza, Łukasza i Jana wizerunek Piotra jest ubarwiony, jeżeli tak można powiedzieć, czy ubogacony ogromnym szacunkiem wobec tego apostoła. Zatem tamte Ewangelie, chociaż podają niemal wszystkie szczegóły o których wspomina Ewangelia św. Marka, to jednak w kluczowych miejscach starają się Piotra wybielić, wytłumaczyć — zwłaszcza w tym, co dotyczy jego słabości, albo pokazać go z lepszej strony, albo wyakcentować jego wielkość itd. Traktują go z wielkim szacunkiem. Natomiast Marek, który był bardzo blisko Piotra, przedstawia Piotra tak, jak z nim przebywał na co dzień, i przedstawia Piotra jakby jego własnymi oczami. Oczywiście nasza refleksja skupi się nie na treści Ewangelii św. Marka, nie na okolicznościach jej powstania, nie na jej konstrukcji literackiej, teologicznej — tylko skupi się na tym, żeby na podstawie tej Ewangelii, która opowiada o Jezusie, namalować portret św. Piotra.

Tutaj jest pewna ciekawostka. Mianowicie byłoby rzeczą dobrą, gdybyśmy mogli rzucić na ścianę portret św. Piotra. Czy my mamy portret, który byłby sporządzony gdzieś tam, w jego czasach? Oczywiście z I wieku nie mamy żadnego świadectwa ikonograficznego, żadnego portretu św. Piotra. Ale istnieje bardzo ciekawa rzecz, dająca wiele do myślenia. Mianowicie wizerunki św. Piotra, które sięgają wieku IV, V i VI, i które mają to do siebie, że na nich twarz św. Piotra jest bardzo do siebie podobna, można by powiedzieć: wręcz identyczna. Najprawdopodobniej pojawiła się bardzo wcześnie w Kościele tradycja przedstawiania Piotra z jakiegoś jednego wczesnego portretu, być może portretu tych, którzy go zapamiętali. Piotr przypomina na tym obrazie człowieka w sile wieku, człowieka stanowczego, człowieka z twarzą pełną powagi i godności która, jeżeli mam szukać jakiejś analogii, może nieco zbyt odważnej ale może to państwu da pewne pojęcie o tym, z kim mi się kojarzy św. Piotr — to gdybym kręcił film o św. Piotrze i szukał jakiegoś aktora, który by tę postać odtworzył, najbliższego portretom, jakie się zachowały, to myślę — chociaż to jest po czasie — należałoby tę rolę powierzyć ś.p. Jerzemu Bińczyckiemu. Państwo go chyba pamiętają. Otóż wydaje mi się, że on jakby najlepiej z mojej osobistej perspektywy by przystawał do roli Piotra. Jest najbardziej podobny do tych portretów, które zachowały się zwłaszcza na terenie Azji Mniejszej, ale także na terenie starożytnego Rzymu. Kiedyś, ponad dwa lata temu widziałem, i pewnie państwo też pewnie widzieli, jak w rolę Piotra próbował wcielić się Franciszek Pieczka. Ale sądzę, że ten pierwszy wymieniony jest do tego bardziej odpowiedni. Nie poruszam jakichś kwalifikacji ani moralnych, ani innych, ani urody. Tylko jeżeli chodzi o twarz to myślę, że Piotr był kimś takim, kto jest z jednej strony poważny, a z drugiej strony jakoś dostępny i jakoś otwarty.

Co my wiemy o Piotrze, co wiemy o najwcześniejszych latach jego życia? Otóż naszą niewiedzę uzupełniają ewangelie apokryficzne, za cztery tygodnie do nich wrócimy. Rzecz jasna trzeba je przyjmować z powściągliwością, czasami nawet z przymrużeniem oka. Dzisiaj polegamy tylko i wyłącznie na Ewangelii kanonicznej. Kiedy spotykamy po raz pierwszy Piotra w Ewangelii św. Marka? Otóż te okoliczności są bardzo ważne. Spotykamy go na samym początku Ewangelii, w rozdziale pierwszym, kiedy to mowa jest o pierwszym wystąpieniu Jezusa. I tutaj musimy posłużyć się pewną dedukcją. Mianowicie kiedy Jezus rozpoczął swoją publiczną działalność, miał ok. 30 lat. Możemy się domyślać, tak po ludzku sądząc, że kiedy poszukiwał uczniów i tych, którzy odpowiedzieliby chętnie na Jego naukę, to poszukiwał rówieśników, albo jeszcze chętniej osoby młodsze. Na ogół bowiem jest tak, że mistrzem, czy jakimś wzorem do naśladowania jesteśmy dla tych, którzy są od nas młodsi. Jeżeli ktoś jest starszy to ma jakby w sobie taki swoisty bunt albo swoistą ciekawość co do tego, czy może się od młodszego czegoś nauczyć. W związku z tym już to samo pozwala nam przypuszczać, pozwala nam sądzić, że Piotr w momencie, kiedy Jezus go powoływał, miał co najwyżej tyle lat, co Jezus. Ale mnie się wydaje, że mógł być nawet młodszy, i to być może sporo, w tamtych kategoriach starożytności — gdzieś nawet do 10 lat. Po raz pierwszy spotykamy Piotra w takiej sytuacji:

> Przechodząc obok Jeziora Galilejskiego, ujrzał Szymona i brata Szymonowego, Andrzeja, jak zarzucali sieć w jezioro; byli bowiem rybakami.

Zatem pierwsza sytuacja to jest Jezioro Galilejskie. Ma ono kształt harfy, dlatego po hebrajsku nazywa się Jam Kineret — Morze Harfy. Wystarczy wejść na wyższe wzgórza, które te jezioro otaczają, by tej harfy się dopatrzeć. Nie jest to jezioro wielkie, ma 21 km długości, w najszerszym

miejscu ma 12 km szerokości. Można bardzo łatwo ogarnąć to jezioro wzrokiem — przy dobrej pogodzie jest doskonale widoczne, a przy bardzo dobrej widać jeszcze kilkadziesiąt kilometrów dalej. Zatem Jezioro Galilejskie ma, podobnie jak Jerozolima, taki swoisty mistycyzm, wyrastający z wody. My w naszym klimacie dopiero zaczynamy cenić wodę jako skarb natury, jako bogactwo natury. Natomiast w starożytności i na Bliskim Wschodzie cały czas woda jest w wielkiej cenie. O wody Jeziora Galilejskiego toczy się po dzień dzisiejszy wielki spór między Syrią a Izraelem. To z powodu wody w roku 1967 wojska izraelskie uderzyły na Syrię, zajęły wzgórza Golan, zajęły całe Jezioro Galilejskie. I dzisiaj przedmiotem konfliktu między Izraelem, Syrią i Jordanią jest woda Jeziora Galilejskiego. Syria i Jordania zarzucają Izraelowi, że przywłaszczył sobie całe zasoby wodne, wskutek czego Jordańczycy i Syryjczycy nie mogą z tych wód Jeziora Galilejskiego korzystać. Mówię o tym dlatego, bo obok tej użyteczności jezioro ma swój urok niezwykły, który sprawia, że ono przyciąga do siebie. Każdy, kto był nad Jeziorem Galilejskim, albo kto choćby widział jakiś film, mógł odrobinę tego mistycyzmu odczuć.

Jezus chętnie przebywał nad Jeziorem Galilejskim. Podczas trzech lat swojej publicznej działalności większość czasu spędził nad tym jeziorem. Najwidoczniej też i ludzie nad tym jeziorem byli łagodniejsi, spokojniejsi. Dlatego, że trzeba nam wiedzieć, że w Palestynie od kwietnia do listopada nie pada w ogóle deszcz, dopiero od listopada do kwietnia zaczynają się deszcze. Teraz, kiedy byłem nad Jeziorem Galilejskim, to w pewnym momencie pojawiły się gęste chmury, i następnie tuż po południu w ubiegłą niedzielę spadł pierwszy deszcz. I widziałem jaka była radość ludzi, którzy akurat w sąsiedztwie się znajdowali. U nas czegoś takiego nie ma, nawet do głowy nam to nie przychodzi. Natomiast oni mają specjalną modlitwę przewidzianą na pierwsze deszcze, którą odmawiają jako znak dziękczynienia Bogu. I stawali obok siebie Żydzi i Arabowie, bo w tamtym regionie oni ciągle dzięki Bogu ze sobą pracują, i jedni modlili się po hebrajsku, drudzy po arabsku, i dziękowali Panu Bogu za deszcz. Stali i bardzo cieszyli się, że pada deszcz. Tak to wygląda w tamtym regionie.

Stąd możemy sobie wyobrazić, że ten spacer Jezusa nad Jeziorem Galilejskim też wpisywał się w tę duchową atmosferę. Jezioro daje poczucie obfitości, spokoju. Tam dookoła jest zielono, zawsze ciepło — nawet w porze zimowej. Roślinność jest tam bardzo bujna. To jest kontekst, w jakim Jezus ujrzał swoich pierwszych uczniów: „ujrzał Szymona i brata Szymonowego, Andrzeja, jak zarzucali sieć w jezioro; byli bowiem rybakami." Otóż być rybakiem w starożytności w Galilei oznaczało przynależność do tzw. klasy średniej. Być rybakiem to było tak, jak być pasterzem. Pasterze mieli swoje owce, rybacy mieli swoje łodzie i mieli swoje sieci. Zarabiali poprzez łowienie ryb. Ryby w starożytności były dość drogie, podobnie jak są drogie dzisiaj. Wiele gatunków ryb jest dużo droższych niż mięso. Ryby były wtedy o tyle w cenie, że spożywali je nie tylko Żydzi, którzy mieszkali na terenie Palestyny, ale także Grecy, którzy z natury swojej bardzo lubią ryby bo są ludźmi morza, oraz Rzymianie, których na terenie Palestyny było sporo. Rzymianie nie koniecznie przybywali z Półwyspu Apenińskiego, oni przybywali także z Germanii, z dzisiejszej Francji, z dzisiejszej Szwajcarii. Zapotrzebowanie na ryby było spore. Zachowały się ze starożytności do dzisiaj rozmaite rachunki za ryby, które są jakby kwitami używanymi przy sprzedaży ryb. I z tego wynika, że ryby z Jeziora Galilejskiego były bardzo cenione. To jest ważne żeby zrozumieć że Piotr przynależał do klasy średniej, że miał zabezpieczenie ekonomiczne, finansowe. Że miał z czego żyć, miał ustalony zawód. To nie był człowiek biedny, ani to nie był człowiek bezrobotny — on był ustabilizowany w życiu. W związku z tym on i jego brat Andrzej zarzucali sieć w jezioro. Zwróćmy uwagę, że Piotr jeszcze ma hebrajskie imię Szymon, to jest jego pierwotne imię. Dopiero później Jezus zmieni jego imię, używając tego pochodzącego z łaciny: Petrus od *Skała*. Ale pierwotne imię Piotra brzmi właśnie Szymon. I to, co jest ciekawe, Jezus widzi obydwu braci, jak pracują, zarzucają sieć w jezioro. I właśnie w tym momencie odbywa się to pierwsze spotkanie Jezusa z Piotrem.

Jezus rzekł do nich: «Pójdźcie za Mną, a sprawię, że staniecie się rybakami ludzi».

Mamy tu myślenie symboliczne i słowa symboliczne. W nawiązaniu do tej konkretnej treści, do tej czynności, która dzieje się na Jeziorze Galilejskim, Jezus mówi: „Nie przestaniecie być rybakami". Być może Piotr nie wyobrażał sobie wtedy być kimkolwiek innym, niż rybakiem. Ponieważ i przyzwyczaił się do tego, i przywykł — w związku z tym nie zamierzał zmieniać zawodu. Jezus, i to jest też Jego geniusz, wyszedł na przeciw tej naturalnej potrzebie stabilizacji. Mówi: „Pójdźcie za Mną, nie przestaniecie być rybakami. Ale będziecie rybakami innymi, już nie ryb, lecz ludzi.":

«... sprawię, że się staniecie rybakami ludzi».

Zwróćmy uwagę na ten czasownik „sprawię". On pokazuje czy zapowiada, że to sam Jezus, jeżeli Piotr odpowie pozytywnie na to wezwanie, będzie dokonywał powolnej ale skutecznej transformacji, przemiany Piotra. I w gruncie rzeczy cała Ewangelia św. Marka pokazuje, jak ta wewnętrzna przemiana Piotra się dokonała. On nie został powołany, jeżeli tak można powiedzieć, jako ktoś gotowy, kto w dojrzały sposób odpowiedział na głos Chrystusa. Zobaczymy zaraz, jak odpowiedział. Odpowiedział bardzo impulsywnie, odpowiedział jakby od razu. Ale to nie znaczy, że miał w sobie dojrzałe powołanie. Otóż wiele razy jest w naszym życiu tak, że podejmujemy sprawy odważne, sprawy bardzo trudne. Później, kiedy oglądamy się wstecz, to dziwimy się, żeśmy przeszli takie sytuacje. Natomiast stwierdzamy również że do tego, co najważniejsze, trzeba dojrzeć, trzeba się przygotować, trzeba nabierać jakiejś wewnętrznej siły. Nie należy się zaraz poddawać. Nieraz czujemy rozmaite powołania do różnych życiowych zadań i sytuacji i zdajemy sobie sprawę, że na początku nie dorastamy ale że będzie taki duchowy proces dojrzewania i przemiany.

Tutaj autorem tego duchowego procesu, sprawcą tej przemiany, jest sam Chrystus. I to, co najważniejsze w życiu chrześcijanina, dokonuje się dzięki Chrystusowi. To musimy sobie uświadomić z wielką mocą, że być człowiekiem powołanym to nie znaczy odpowiadać własnymi siłami i własnymi możliwościami, ale to znaczy uczynić w sobie, i stale czynić w sobie, takie miejsce na odpowiedź, w której ostateczne słowo należałoby do Chrystusa. Tutaj przypomnijmy sobie słynne słowa św. Pawła Apostoła, które zawarł w Liście do Galatów. Który ogląda się na swoje własne życie, na to, co w tym życiu się dokonało. Przypomina, jak niegdyś był prześladowcą Chrystusa, a potem stał się Jego gorliwym wyznawcą. I w końcu wyznaje:

Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus.

I dojrzałość nas wszystkich, niezależnie od tego, w jakim stanie naszego życia i jaki rodzaj powołania spełniamy, polega na tym żebyśmy byli świadomi, że sprawcą dobrego w nas jest Pan Bóg. I że: „Wystarczy ci Mojej łaski" bo, i to są słowa które stanowią klucz do powołania i do ewangelizacji: „moc w słabości się doskonali". Otóż moc, która od Boga pochodzi, jest oparciem dla naszej słabości. Jeżeli nam się często wydaje, że nie jesteśmy w stanie sprostać temu, co przed nami stoi, to pamiętajmy że własnymi siłami z pewnością nic! Ale otwarcie się na Boga sprawia, że wszystko w życiu staje się łaską, nawet błędy, grzechy, upadki, trudności, kłopoty, problemy. Wszystko to staje się tak, jak drzwi uchylone i otwierające się coraz bardziej do królestwa łaski.

«Pójdźcie za Mną, a sprawię, że się staniecie rybakami ludzi».

Jeżeli Piotr miałby odpowiedzieć pozytywnie — gdybyśmy nie wiedzieli, co stało się dalej — to proszę zauważyć, że odpowiedź Piotra jest to w gruncie rzeczy odpowiedź na to „sprawię". Piotr zaufał Jezusowi, że On ma moc aby uczynić z niego nowego człowieka, a jednak przy uszanowaniu tego, czym Piotr żył do tej pory. Piotr pozostanie rybakiem, tylko jest to inny rodzaj zajęcia niż to, które sprawował do tej pory. Stąd najczęstsze ikonograficzne przedstawienia Piotra to przedstawiamy go w sieci. Natomiast część z państwa zna i pamięta, jest w Tyberiadzie nad Jeziorem Galilejskim taki przepiękny kościółek. On upamiętnia powołanie Piotra. Jest postawiony w miejscu symbolicznym. Ten kościół jest bardzo mały. Wykonany został w środku, zwłaszcza jego ołtarzowa absyda, w kształcie łodzi tak, jakby ktoś łódź wbił w ziemię. I tam, w tym ołtarzu, w tej symbolicznej łodzi został przedstawiony Piotr na podstawie tych ikonograficznych wyobrażeń, którymi dysponujemy. I Piotr jet w łodzi ale, co ciekawe, ta łódź ma żagiel, jest na Jeziorze Galilejskim. A na żaglu widnieją klucze św. Piotra, czyli symbol Stolicy Apostolskiej. Piotr jako rybak zajmujący się łowieniem ryb, i jednocześnie Piotr jako rybak zajmujący się łowieniem ludzi: „Odtąd ludzi będziesz łowił, nie ryby".

Przy tym jeszcze jedno słowo na temat tego kościoła, bo przy nim jest bardzo przejmujący pomnik postawiony przez żołnierzy polskich, którzy tam byli. Pomnik, który upamiętnia gehennę Polaków podczas II wojny światowej. Oni wyszli z byłego Związku Sowieckiego, zostali stamtąd wypuszczeni. Szli przez Persję, później przez Palestynę. W Palestynie przygotowywali się do dalszej misji wojennej. Później byli pod Tobrukiem, później Monte Cassino, Loretto, później Ancona,

Bolonia. Tam zginęły ich tysiące. A kiedy wojna się skończyła to oni uświadomili sobie, że są największymi przegranymi tej wojny. Bo pochodzili z kresów wschodnich, i oczywiście nie mieli domów, do których mogliby wrócić. I postawili tam obok kościoła św. Piotra przepiękny pomnik, i napisali:

> Tobie, Królowo Korony Polskiej, z wiarą niezłomną i nadzieją, że przywrócisz wolność i wielkość Twojego Narodu i Państwa, skromne dzieło rąk swoich żołnierze polscy na Środkowym Wschodzie poświęcają.

Pomnik jest bardzo przejmujący, bo tam jest woj Bolesława Chrobrego, jest tam żołnierz z II wojny światowej, jest tam harcerz jako symbol wiary, harcerka jako symbol miłości, i wreszcie są tam godła miast polskich. I z tymi godłami jest cały kłopot, bo z jednej strony jest Warszawa, Poznań i Kraków, a z drugiej strony jest Gdański, Wilno i Lwów. I o to Wilno i Lwów chodzi, przedstawione tam jako miasta polskie. Do 1989 roku na temat tego pomnika nie wolno było w ogóle ani pisać, ani mówić. Dzisiaj dla nas jest to lekcja historii która przypomina, jaka była wrażliwość, jaki był kształt Rzeczypospolitej przed II wojną światową. To taki fragment naszej polskiej obecności w pobliżu miejsca, gdzie został powołany Piotr. I czytamy dalej:

> I natychmiast zostawili sieci i poszli za Nim.

Jeżeli się głębiej zastanowimy nad tym fragmentem, nad tym zdaniem, to ono szokuje. Bo proszę wyobrazić sobie dwóch mężczyzn, dwóch braci, Szymona i Andrzeja, którzy zarzucają sieć w jezioro. Spotykają oto przypadkowego przechodnia, jakim był Jezus — bo widzieli Go po raz pierwszy. On zwraca się do nich ze słowami: „Pójdźcie za Mną, a uczynię was rybakami ludzi". I oto oni zostawiają wszystko, i idą za nim. To nie jest logiczne, tak się w życiu nie zdarza, tak się w życiu nie dzieje! Proszę sobie wyobrazić — czy ktoś przy zdrowych zmysłach , jeżeli kieruje się tylko ludzką logiką, zostawia swoje miejsce pracy i idzie za kimś, kogo dopiero poznał? Proszę zwróćmy uwagę że ten początek, to powołanie, jest naprawdę niezwykłe. Czym ono mogło być umotywowane, ta skuteczność tego powołania? Pewnie, trzeba sobie powiedzieć, siłą osobowości i oddziaływania Jezusa. Ale to jest tylko jedna strona. Druga strona musiała być taka, chociaż tego nie sposób zracjonalizować, że i w Szymonie i w Andrzeju musiała być jakaś podatność na nowość, na zmianę, na coś nieznanego. A może po prostu oni sądzili, że to jest tylko przygoda na dziś? Może sądzili, że jeżeli dzisiaj tych ryb nie złowią a pójdą za Nieznajomym, to będą mogli do swoich łodzi wrócić pod wieczór, albo ponowić ten połów jutro? Może zatem byli w tym wszystkim bardzo, jeżeli tak można powiedzieć, konsekwentni i rzeczowi. Tylko nam się wydaje, że to było specjalnie trudne. A oni, przyzwyczajeni codziennie do łowienia ryb, a tam łowi się ryby przede wszystkim rano i to wczesnym rankiem, myśleli sobie, że jeżeli stracą jednodniowy dochód, to się nic wielkiego nie stanie. Faktem jest, że zostawili sieci i poszli za Jezusem.

Proszę zwrócić uwagę na każde słowo, bo ono w Piśmie Świętym nie jest przypadkowe. *Oni nie poszli Z Jezusem, oni poszli ZA Jezusem.* Więc przez to autor podkreśla — tu nie chodzi o to, jak wyglądał kształt tego pójścia: że Jezus pierwszy a oni za Nim, nie! Oni mogli iść i na pewno szli i rozmawiali z Jezusem, i szli z Nim równo. Tylko problem polega na tym, że w tym „pójściu z Jezusem" już wyraziła się ich wiara, ich zaufanie wobec Jezusa. Już wyraziło się coś nowego, co się w jednym i drugim działo. I w gruncie rzeczy można powiedzieć, że ta odpowiedź na głos powołania w przypadku Piotra to będzie stałe weryfikowanie zaufania wobec Jezusa. I będzie stałe weryfikowanie tej odpowiedzi: kim On jest i jakie miejsce zajmuje w życiu Szymona.

> Idąc dalej, ujrzał Jakuba, syna Zebedeusza, i brata jego Jana, którzy też byli w łodzi i naprawiali sieci.

Następuje następne powołanie. Tamtemu powołaniu przyjrzymy się za jakiś czas, kiedy dojdziemy do następnych apostołów. Ale okoliczności powołania Piotra i brata jego Andrzeja były właśnie takie. I zaraz potem spotykamy Piotra, i Jezusa wraz z Piotrem, w nowej sytuacji. Ta nowa sytuacja jest nieco kłopotliwa z naszego katolickiego punktu widzenia. W związku z tym niechętnie i nie często bywa przedmiotem komentarzy. Ale ona rzuca bardzo wiele cennego światła na to,

kim był Piotr. Otóż bezpośrednio po tym powołaniu nad Jeziorem Galilejskim Jezus udał się wraz z Szymonem i Andrzejem do Kafarnaum.

Kafarnaum jest to miasto na północnym wybrzeżu Morza Galilejskiego. To jest jedna z najstarszych osad na tamtym terenie. Nazwa tej osady pochodzi od hebrajskiego Kfar"— czyli *osada* albo *wieś,* Nahum — to jest imię. Kfar Nahum to jest *Osada Nahuma, Wieś Nahuma.* To jest takie nazewnictwo, jak powiedzmy: w języku polskim mamy Janowo, Stanisławów, Zofiówka itd. — nazwy miejsc urobione od imion. Prawdopodobnie to jest tradycja dość stara, sięgająca w naszych warunkach kilkaset lat, że mieszkał tam jakiś Jan, który cieszył się poważaniem, i zostało Janowo. Kto z państwa trochę zna amerykańskie życie, zwłaszcza w Chicago, to doskonale pamięta, że tam całe rejony zamieszkałe przez Polaków są nazywane od patronów parafii. Więc mamy Jackowo, mamy Marianowo od Marii Panny, mamy Stanisławowo, mamy Władysławowo. I jeżeli ktoś mieszka na stale w Chicago, to nigdy nie mówi, że jedzie na jakąś ulicę czy do jakiejś dzielnicy i używa amerykańskiej nazwy, tylko jedzie do Stanisławowa, albo będzie w Jackowie — chociaż miasto jest typowo amerykańskie.

I tu nad Jeziorem Galilejskim mamy podobny styl. Jest Kafarnaum, czyli można by powiedzieć po polsku: Nahumowo. Archeolodzy zbadali dokładnie to Nahumowo, to Kafarnaum, i doszli, że początki tego miasta sięgają gdzieś VIII – VII w. przed Chr. Można się domyślać nawet, że była to osada założona przez wygnańców ściągniętych z Mezopotamii na teren Ziemi Świętej dlatego, że od początku mamy tam rozmaite wpływy, a nie tylko izraelską obecność.

Pozostałości tego miasta zachowały się do dnia dzisiejszego, można je zwiedzać. Oczywiście to są ruiny po dwóch tysiącach lat, i nie można szukać tam miasta w dzisiejszym sensie. Ale zachowało się dość dobrze. Obliczono, że w czasach Jezusa liczyło ono 800 – 1000 mieszkańców. Zważywszy, że rodzina w dawnym Izraelu było to 5 – 8 osób, zamieszkiwało tam ok. stu rodzin. To zwyczajnie duża osada rybacka. W dodatku na przedmieściach Kafarnaum, poza murami, mieściła się celnica, pobierano cło. Do tego wrócimy wtedy, kiedy będziemy mówili o powołaniu celnika Mateusza.

I Jezus z Szymonem i Andrzejem udali się do Kafarnaum. Najpierw poszli do synagogi. Także do dzisiaj zachowały się pozostałości synagogi, która została tam wybudowana w III albo w IV wieku. Ale została wybudowana na fundamentach synagogi z czasów Jezusa. Więc zwróćmy uwagę na taki charakterystyczny rys, że ci mężczyźni są ludźmi modlitwy. Obok pracy zawodowej mamy tam pójście do synagogi, pójście na modlitwę. To wydaje się czasami nam oczywiste. Ale trzeba mieć na względzie taki fakt, prosty ale dający sporo do myślenia, że religia żydowska podobnie jak islam czyli muzułmanie, religia Arabów, to są religie mężczyzn. Podczas gdy chrześcijaństwo, zwłaszcza w katolickim wydaniu w Polsce, jest przede wszystkim religią kobiet. Otóż na tym polega zasadnicza różnica. Tam do synagogi albo do meczetu idą mężczyźni, i oni się modlą. Dlatego ta religia jest bardzo silna. Więcej, ona ma silny wydźwięk polityczny. Proszę zwrócić uwagę choćby na przekazy telewizyjne, i na widok tych setek i tysięcy modlących się mężczyzn zgromadzonych razem. Otóż bardzo częsty jest taki widok w Ziemi Świętej i poza nią, kiedy zbliża się pora modlitwy samochód hamuje dość ostro, zjeżdża na pobocze i to nie zawsze tam, gdzie wolno, wychodzi muzułmanin, rozkłada mały dywanik, patrzy w stronę Mekki, w stronę słońca gdzie jego zdaniem jest Mekka, i zaczyna się modlić.

Nam się to wydaje dziwne, ale to dlatego, że u nas religia i religijność są głównie sprawą kobiet. Może w ostatnim okresie to też zaczyna się zmieniać, ta świadomość religijna jest większa. Przypomnijmy sobie czas jak wyglądała msza święta, w Warszawie to może mniej, ale powszechnie na wsi wyglądała tak, że przy ołtarzu był ksiądz i paru małych ministrantów, potem były kobiety, dzieci, zwłaszcza dziewczynki. Natomiast mężczyźni na wsi stali poza kościołem na cmentarzu. Stała ich oczywiście cała masa, i zazwyczaj palili papierosy, rozmawiali. I tylko upewnili się, o czym tam ksiądz mówi. I z chwilą, kiedy skończył mówić, to natychmiast szli za mur kościelny i załatwiali tam swoje inne sprawy. Tak było do niedawna, i tak do dzisiaj jeszcze zdarza się po wsiach. Dopiero tam widać, jak ta religijność ludowa wygląda.

Tu mamy mężczyzn, którzy się modlą To też jest ważne, bo ta cecha będzie później zawsze widoczna w życiu Piotra. I czytamy tak:

> Zaraz po wyjściu z synagogi przyszedł z Jakubem i Janem do domu Szymona i Andrzeja.

Zwróćmy uwagę, że Jezus rozstał się z Szymonem i Andrzejem, ma już jeszcze innych dwóch

uczniów, Jakuba i Jana, i w ich towarzystwie przychodzi do domu Szymona i Andrzeja. Zatem dostał do tego domu zaproszony, inaczej przecież być nie mogło. Czyli popatrzmy — powołanie, to nad Jeziorem Galilejskim, nie okazuje się takie radykalne. To nie było tak, że Szymon zostawił sieć, poszedł za Jezusem czy z Jezusem, i już więcej do swojego domu nie wrócił. Nie! On wyraził zgodę na obecność przy Jezusie, ale ta obecność przy Jezusie oznaczała jeszcze również i obecność w jego domu, powrót do jego rodziny itd. Otóż zanim człowiek podejmie takie bardzo radykalne decyzje, to musi do tego dojrzeć. To się dokonywało stopniowo. Piotr, Szymon odpowiedział na powołanie, ale jednocześnie znacząca część jego życia była dalej jego udziałem.

Jezus udaje się więc do domu Szymona i Andrzeja. Ten dom zachował się, przynajmniej tak świadczą o tym starochrześcijańska tradycja i zapisy, do dnia dzisiejszego. Oczywiście zachował się w ruinach, to dotyczy fundamentów. Struktura tego domu jest bardzo ciekawa. Ten dom był przede wszystkim jednoizbowy. Jedna duża izba o wielkości podobnej do części naszej sali zajętej przez państwa w pierwszych rzędach. To był mniej więcej taki dom otoczony jeszcze mniejszymi pomieszczeniami. Ta izba główna była wspólna, tam zbierała się cała rodzina. Natomiast mniejsze pomieszczenia były przeznaczone dla rodziców, dla dziewcząt, dla chłopców, dla gości wreszcie. Były też pomieszczenia, w bardzo wielu osadach, przeznaczone dla udomowionych zwierząt, zwłaszcza takich jak owce, które były razem z ludźmi. I ten dom Piotra wyglądał zatem jak przeciętny, ale wcale nie biedny, dom palestyński w owym czasie.

W IV wieku, to też jest ciekawostka wielce znacząca, ten dom wkomponowano w kościół. A więc wybudowano kościół, który był na planie ośmioboku. Pozostałości tego kościoła zachowały się do dnia dzisiejszego. Co ciekawe, kiedy przeprowadzono tam prace archeologiczne, a prowadził je Włoch Bagatti, odnaleziono w tym domu skorupy pochodzące z IV, z V wieku, z napisami: „Piotrze, módl się za nami!", „Piotrze, oręduj za nami!" Napisane przede wszystkim po grecku, czasami również w języku łacińskim. Otóż jeżeli po ponad 1500 latach znaleziono takie skorupy, i jest ich nie mało — to znaczy, że to miejsce było miejscem pielgrzymkowym bardzo wcześnie.

A więc istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z domem tego historycznego Piotra i Andrzeja. Więc w ostatnich latach, tzn. w latach 80-tych XX wieku, nad tym domem i nad tym starożytnym kościołem wybudowano świątynię nowoczesną, ale wybudowano ją w taki sposób, że gdy się do niej wejdzie to dom i to, co najważniejsze, są niżej i w środku — tak, że zachowano cały ten pierwotny układ owego domu Piotra w Kafarnaum. Jest to jedna z najbardziej przejmujących pamiątek w Ziemi Świętej. Czytamy dalej:

> Teściowa zaś Szymona leżała w gorączce.

Ważna tu jest i gorączka i teściowa. Otóż ważna jest dlatego, że na tej podstawie dowiadujemy się, że Piotr - Szymon na tym etapie swojego życia był żonaty. Tylko że ewangelie kanoniczne wspominają o teściowej, natomiast nic nie wspominają o jego żonie. I to jest problem, który przed komentatorami objaśniającymi Pismo Święte stoi od prawie dwóch tysięcy lat. Dlaczego nie ma wzmianki o żonie? Oczywiście rozwiązania idą w dwóch kierunkach. Nie ma wzmianki o żonie, mówią jedni komentatorzy, ponieważ w tym kontekście wzmianka o niej nie była potrzebna. Żona była bezradna wobec gorączki swojej matki, albo też żona nie mogła udzielać się, czy być obecna publicznie tam, gdzie byli mężczyźni. Otóż ja w ostatni czwartek zostałem zaproszony na kolację do arabskiej rodziny na Górze Oliwnej. Być może państwo wiedzą, że teraz Arabowie mają tzw. Ramadan. To jest post który polega na tym, że od świtu do zachodu słońca nie wolno nic jeść, nie wolno nic pić, nie wolno palić papierosów, nie wolno przyjmować żadnych używek, po prostu całkowita abstynencja. I to trwa przez miesiąc księżycowy, czyli 28 dni. Mogą zatem jeść dopiero kiedy zapadnie zmierzch, kiedy się upewnią że na pewno słońca nie ma. Mają specjalne potrawy na okres tego ramadanu, są tzw. ciastka ramadanowe, specjalne słodycze — bo są głodni. Ramadan jest ruchomy, jeżeli przypada teraz, to nie jest nic wielkiego. Ale jeżeli wypadnie latem, i słońce wstaje o piątej a zachodzi o 20^{30}, to rzeczywiście trzeba być bohaterem, żeby zachować ramadan przez 28 dni. Muszę powiedzieć, że widziałem tamtych ludzi, z którymi mieliśmy na co dzień do czynienia, że wszyscy zachowywali ten ramadan. I twierdzili, że jest to im bardzo potrzebne, że są z tego dumni, wcale nie cierpią itd. Więc to było bardzo budujące. Ale nie o tym.

W nawiązaniu do tej teściowej odbywa się ta kolacja. Na tej kolacji jest gospodarz, jest jego znajomy, jeszcze jeden mężczyzna, a do obsługi pojawia się tylko córka gospodarza. Nie ma żony,

nie ma drugiej córki, nie ma nikogo innego — tylko córka podaje. Zresztą ich szacunek wobec rodziców jest godny najwyższego podziwu, patrzyłem na to z zazdrością. Dziewczyna dorosła, pracuje w amerykańskim konsulacie. A więc jest zupełnie samodzielna, niezależna. Prawie 30 lat, a do ojca odnosi się z takim szacunkiem, jakby miała lat 6, albo 8 w naszych warunkach. I co ojciec powie, to jest święte. Jest to naprawdę inny świat niż ten, w którym żyjemy.

W nawiązaniu do tej teściowej trzeba powiedzieć, że nie ma wzmianki o żonie może dlatego, że kiedy mężczyźni przychodzili do domu, to kobiety miały obowiązek przechodzenia do swojej kobiecej części. Tak jest po dzień dzisiejszy w tradycyjnych, ortodoksyjnych domach żydowskich, i tak jest w tradycyjnych domach arabskich. Dopiero wtedy, jeżeli to jest ktoś bardzo bliski, bardzo zaprzyjaźniony, wtedy kobiety biorą udział we wspólnych spotkaniach. Może więc dlatego nie ma tutaj wzmianki o żonie Piotra, bo jej miejsce pod obecność innych mężczyzn było gdzie indziej.

Ale część komentatorów mówi, że powód owego milczenia może być inny. Mianowicie z dwóch skarbów, które nabył Piotr — żona i teściowa — została mu już tylko teściowa. Czyli mogło być tak, że żona nie żyła, że Piotr już na tym etapie był wdowcem. Więc nie jest to wykluczone. Jest nawet taki apokryf, taka ewangelia, taki przekaz, taka tradycja, że żona Piotra zmarła przy urodzeniu dziecka, które przeżyło, i miała to być dziewczynka. Jesteśmy tutaj zdani całkowicie na domysły. Piotr był żonaty, to pewne. Natomiast czy jego żona w tym czasie żyła, czy też Piotr był wdowcem — to już jest sprawa, na którą jakiejś przekonywującej odpowiedzi nie ma. Jedno jest jeszcze wymowne, że w Ewangeliach nigdzie później nie mówi się o żonie Piotra. Zatem być może nie żyła, być może była już tylko teściowa.

Otóż charakterystyczna jest jeszcze jedna sprawa. Mianowicie Jezus udaje się do domu Piotra i Andrzeja, a w tym domu jest teściowa Piotra, która choruje. Otóż to też jest nawiązanie do starożytnego obyczaju podtrzymywanego do dzisiaj tam, gdzie jest to spojrzenie tradycyjne, które nakazuje opiekę nie tylko nad żoną, ale również nad jej ojcem i nad jej matką. U nas też w swoim czasie taki obowiązek był, dzisiaj wygląda to zupełnie inaczej. Nie ma co tłumaczyć, jak to dziś wygląda, bo dobrze wiemy. Ale na Bliskim Wschodzie po dzień dzisiejszy córka ma obowiązek troski o swoją matkę i o swojego ojca, a więc ma obowiązek wzięcia ich do swojego domu, do domu męża, jeżeli nie mają żadnych innych sposobów ani środków utrzymania. Tu pamiętać jeszcze trzeba, że w starożytności ludzie żyli na ogół znacznie krócej, niż my żyjemy. Żeniono się wcześniej, wychodzono za mąż wcześniej, babcią zostawano w wieku ok. trzydziestu - trzydziestu paru lat. Jeżeli ktoś miał koło pięćdziesiątki to już mógł być prababcią, pradziadkiem. A co ponadto — to już był prawdziwy dar Boży. Więc tu mamy taką sytuację, która dobrze do tych realiów pasuje. I jeszcze dalej:

> Zaraz powiedzieli Jezusowi o niej.

Czyli o gorączce teściowej, bo to poprzedza bezpośrednio to zdanie. O teściowej Jezus wiedział, tylko nie wiedział, że ona choruje. Powiedzieli więc, że choruje teściowa Szymona. I Jezus udaje się do jego domu, aby jej pomóc, aby jej przynieść ulgę.

> On podszedł do niej i podniósł ją ująwszy za rękę tak, iż gorączka ją opuściła.

A Marek dodaje:

> A ona im usługiwała.

Więc jak mówią złośliwi, Jezus nie był w tym zupełnie bezinteresowny, bo przecież chora wstała i okazała się przydatna zarówno zięciowi, jak i jego gościom. Tak czy inaczej zauważmy, że to są początki przygody Piotra z Jezusem. I ile Piotr miał wtedy lat, gdybyśmy tak próbowali sobie wyobrazić? Chłopak mógł się żenić w starożytności, gdy skończył lat 13, dziewczynka — 12. W społecznościach bardzo tradycyjnych żydowskich, np. w Jemenie, chociaż tam już jest bardzo mało Żydów, czy w innych rejonach Bliskiego Wschodu do dzisiaj jest tak, że panna młoda i pan młody mają po kilkanaście lat. Oczywiście w nowoczesnych, współczesnych społeczeństwach ta granica została przesunięta znacznie wyżej. Dzisiaj dochodzi do tego, że dziewczęta w Izraelu mają po 30 lat, nie powychodziły za mąż — i to dla wszystkich jest powodem sporego kłopotu. Bo to

odchodzi od tradycji, od sposobu przeżywania tych rzeczy, od obyczajowości. Ale to jest ich kłopot, a nie nasz.

Piotr, jeżeli się żenił to możemy przypuszczać że wzorem innych ówczesnych kawalerów miał kilkanaście do dwudziestu lat. Trudno bowiem przypuszczać, aby wszyscy czekali na 13 lat, i od razu się żenili. Jeżeli miał ok. 20 lat kiedy poznał Jezusa, to ile lat był po ślubie, ile lat cieszył się teściową i żoną — tego nie wiemy. W każdym razie wygląda na to, że był od Jezusa kilka, może do dziesięciu, lat młodszy. I tak zostawiamy Piotra właśnie na tym etapie. Myślę, że jego wizerunek staje się nam bliższy.

Niektórzy komentatorzy zwracają uwagę na to, że po tym cudzie uzdrowienia Piotr nie podziękował Jezusowi. Jeszcze złośliwsi, których przecież nie brakuje i wśród objaśniających Biblię, mówią, że co więcej — nie tylko Mu nie podziękował, tylko właśnie dlatego później się Go zaparł! Ale to są takie tłumaczenia, których w Piśmie Świętym wprost nie ma. Więc one raczej opierają się na doświadczeniach komentatorów, i na złośliwości komentatorów. I tych państwo poważnie brać pod uwagę nie muszą. Na pewno nie istnieje ścisły i bezpośredni związek pomiędzy uzdrowieniem teściowej Piotra i zaparciem się Piotra, tego się nie da wykazać.

Ale proszę zwrócić uwagę, że Ewangelia jest czytana na bardzo różne sposoby, także z dozą humoru, w którym widać nie tylko zawartość Ewangelii, ale także efekty i rezultaty doświadczeń tych, którzy tę Ewangelię czytają. I tak jest w każdym przypadku, również w naszym przypadku, że gdy próbujemy odtworzyć epizody i osoby ewangeliczne, to również z tego sporo dowiadujemy się o nas samych.

Dzisiaj czas już minął. Bardzo serdecznie zapraszam państwa za cztery tygodnie, to będzie 15 grudnia. Dokończymy wtedy spotkanie z Piotrem. Dzisiaj dziękuję pięknie.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6.3 Św. Piotr (cz. II) (8 grudnia 2003)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dobry wieczór państwu. Witam bardzo serdecznie.

W Imię Ojca ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ...

Na początek chcielibyśmy jeszcze raz bardzo serdecznie państwa przeprosić za tę zmianę terminu spowodowaną tym, że za tydzień w parafii odbywają się doroczne rekolekcje adwentowe. W związku z tym byłoby dużo trudniej urządzić tego rodzaju konferencję, bo rekolekcjonista będzie miał swój własny program. Stąd ta zmiana. Mam nadzieję, że na przyszłość będziemy to przewidywać łatwiej. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie wszyscy z państwa mieszkają na terenie parafii Zwiastowania Pańskiego. Dlatego mogą być osoby, które przyjdą jeszcze za tydzień przyjdą. To byłoby szczególnie przykre gdyby ktoś, zwłaszcza z daleka, przyszedł w ten trudny grudniowy czas, i jakoś się zawiódł. Więc bardzo serdecznie przepraszamy.

Dzisiaj mamy uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny, dlatego widzimy tutaj ołtarz gotowy do liturgii. Jeszcze po naszej konferencji odbędzie się tutaj liturgia neokatechumenalna ku uczczeniu dzisiejszej uroczystości. i stąd taka uroczysta oprawa.

Przechodzimy dzisiaj znowu do tematu, który rozpoczęliśmy dwa miesiące temu, mianowicie do przedstawienia wg. tego, jak pokazują to Ewangelie, apostołów Jezusa Chrystusa, z których jako pierwszego wybraliśmy św. Piotra. Można by powiedzieć, że siłą tych konferencji jest oddziaływanie Słowa Bożego. A Ono, to Słowo czytane i rozważane, Ono szczególnie wtedy silnie i mocno na nas oddziałuje, gdy pozwalamy również działać naszej wyobraźni. Bo nie mając obrazu, nie mając żywego wizerunku tego, co działo się 2000 lat temu, próbujemy namalować portret Piotra słowami. A także to wszystko, co on przeżył, próbujemy odmalować słowami i wyobrazić sobie, jak to było. Ale nie jest to tylko przygoda historyczna, tak jak zawsze podczas naszych konferencji, tylko staramy się pokazać i wyobrazić sobie Piotra jako osobę żywą, podobną pod każdym względem do nas. I myślę, że zwłaszcza dzisiaj ten słowny portret Piotra powinien być szczególnie dla nas ważny i przydatny, bo dzisiaj zobaczymy losy tego człowieka powołanego, wybranego przez Jezusa, i przez Jezusa cierpliwie prowadzonego aż po mękę i śmierć Zbawiciela. I te losy Piotra przedstawione wg. Ewangelii św. Marka są nam szczególnie bliskie — a to dlatego, że Marek był bliskim współpracownikiem Piotra, a nawet jego uczniem. Dlatego przedstawia Piotra jakby własnymi Piotra oczami. Stąd ten obraz jest bardzo ludzki, bardzo szczery, czasami aż do bólu szczery, bo Piotr również opowiada Markowi o swoich potknięciach, wadach, jak zobaczymy dzisiaj także o tym, że był czas, kiedy w swoim życiu Jezusa się wyparł. Przypomnijmy, że przed miesiącem mówiliśmy o pochodzeniu Piotra. O tym, że pochodził znad Jeziora Galilejskiego, że był rybakiem, co oznaczała ta profesja, oraz o okolicznościach, w jakich poszedł za Jezusem.

Zazwyczaj w Ewangeliach są tytuły. Te tytuły nie pochodzą z oryginału, one pochodzą od tłumaczy. I ten epizod, kiedy to Jezus wezwał Piotra do pójścia ze sobą, nazywa się „Powołaniem Piotra". Ale mówiąc prawdę to powołanie w ścisłym tego słowa znaczeniu nastąpiło później. I myślę teraz, kiedy przyjrzymy się okolicznościom i przebiegowi powołania, że jest to także ważne dlatego, ponieważ każdy z nas powinien zdać sobie sprawę z jakiejś analogii, która dokonuje się i w naszym życiu. Dlatego, że my też idziemy za Jezusem w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu, idziemy dość długo. Natomiast samo powołanie odbywa się w każdym z nas na odmienny sposób. A u Piotra przebiegało ono tak. Marek napisał w swojej Ewangelii w 3 rozdziale następujące słowa:

> Potem wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego.

Jezus wyszedł na górę. Otóż zwróćmy uwagę, że bezpośrednie powołanie Piotra zostało poprzedzone taką koniecznością odosobnienia, koniecznością swoistej samotności. Drodzy państwo, ja sądzę, że wielkim nieszczęściem dzisiejszych czasów, a także dzisiejszego człowieka jest to, że nie potrafi cenić ciszy, wyciszenia się i samotności. Nie tej samotności, która jest wrogiem człowieka, tylko tej samotności, która pozwala nam lepiej zgłębić siebie, lepiej siebie poznać, zastanowić się, zatrzymać, nabrać dystansu do tego, co robimy, a także dystansu do samego siebie. Dopiero wtedy, kiedy dopada nas w życiu coś bardzo trudnego, to ta wymuszona samotność dopiero skłania nas do zadawania pytań, których zaniechaliśmy wcześniej. Jezus nagle jakby przerywa swoją publiczną działalność. Otóż trzeba umieć być człowiekiem czynu, to prawda, ale trzeba również umieć być

człowiekiem kontemplacji. Człowiekiem, który potrafi działać, ale także człowiekiem, który potrafi myśleć. Który chce zastanowić się nad sobą i nad tym, kim jest. Jezus więc wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał. W tym wyborze, którego dokonuje, jest — można by powiedzieć — jakiś swoisty kaprys Boga. Nie potrafimy powiedzieć, dlaczego droga jednych ludzi jest taka, a droga innych ludzi jest inna. I nie chodzi tutaj wcale np. o powołanie kapłańskie, które może się realizować w tym kapłaństwie zwyczajnym, ale także w biskupstwie czy, już bardzo rzadko, w papiestwie. Chodzi tutaj o te aspekty chrześcijańskiego powołania, które mogą być trudniejsze, niż powołanie kapłańskie. Np. powołanie do wychowywania kalekiego dziecka, powołanie do zniesienia i do zmagania się z chorobą, powołanie do zniesienia zdrady czy jakiegoś poczucia opuszczenia. Powołanie do tego, żeby bardzo długo w swoim życiu zmagać się z czymś bardzo trudnym. Otóż to wszystko jest powołanie. Pan Bóg nie doświadcza nas bardziej niż to, na co nas stać. Jak mówią wielowiekowi nauczyciele duchowości, Bóg doświadcza tych, których miłuje. I to jest właśnie paradoks owego powołania. Paradoks łączy się zawsze z jakimś wyrwaniem z tego, co jest normalnością i zwyczajnością. Ci, którzy są powołani, muszą dać Panu Bogu więcej, aniżeli inni. Jeżeli ktoś się przeciwko temu buntuje to znaczy, że nie rozumie również istoty Chrystusowego powołania.

Te słowa są tylko słowami tak długo, jak długo o tym mówimy. Natomiast przychodzi któregoś dnia każdemu z nas przejść przez taką swoistą próbę powołania, kiedy to Pan Bóg wymaga od nas więcej, niż do tej pory. I albo jesteśmy w stanie Mu dać, albo się buntujemy. Otóż w tych dniach słyszałem o człowieku, który przez całe życie do tej pory był, nazwijmy to, religijnym działaczem czy nawet więcej. Był bardzo blisko Bożych spraw, a nawet je sprawował. I oto przychodzi nagle choroba, ciężka choroba. Jedna operacja, druga operacja, trzecia operacja — i człowiek zamyka się nagle w sobie. Zamyka się w sobie, zamyka się przed otoczeniem, zamyka się również w jakimś pewnie głębokim tego słowa znaczeniu, chociaż to nie sposób sprawdzić, na te impulsy, które mogą przychodzić właśnie od Chrystusa, w jakiś przynajmniej widoczny dla nas sposób. W żadnym wypadku nie chodzi o to, żebyśmy dziwili się, że taka postawa jest możliwa, i broń Boże oceniali tego człowieka. Bardziej musimy zdać sobie sprawę z tego że ci, którzy uważają się za najsilniejszych, to w takich chwilach okazują się nader słabi. I wobec tego trzeba nam być przez całe życie także gotowym do tego, żeby umieć przechodzić od aktywności do kontemplacji, do refleksji nad sensem i znaczeniem naszego życia po to, żeby jeżeli przyjdzie coś trudnego, wyjść z tej próby zwycięsko.

Jezus bierze więc ich osobno, tych, których sam chciał. Nie potrafimy zracjonalizować, wytłumaczyć dlaczego Bóg od jednych wymaga tego, a od innych wymaga czegoś innego. Otóż niezbadane są drogi Boże. I czasami możemy się przeciwko nim buntować. Ale nawet w tym buncie powinna być taka żywa świadomość, że to On jest panem ludzkiego losu. On, Jezus powołał tych, których sam chciał a oni przyszli do niego. Proszę zwrócić uwagę, że to słowo jest również ważne. Bo przecież Jezus mógł ich powołać, a oni by do Niego nie przyszli. Jezus oddalił się na górę i powołał tych, których sam chciał. Na pewno ludzi było więcej, mężczyzn było więcej, osób było więcej, a Jezus wybiera tych, których za chwilę imiona przeczytamy. I oni na to powołanie odpowiadają. Otóż jest jakaś tajemnicza wymiana między tym, czego chce Bóg, i tym, czego chce człowiek. I dopiero kiedy te dwie miłości, Boża i ludzka, współpracują ze sobą, dopiero wtedy jest jakiś owoc owego powołania. W przeciwnym wypadku powołanie może zostać zawieszone, można też zająć się innymi sprawami, można wreszcie to powołanie odrzucić. I czytamy dalej w Ewangelii:

> I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, aby mógł wysyłać ich na głoszenie nauki,
> i by mieli władzę wypędzać złe duchy.

Zauważmy, z powołaniem łączy się ustanowienie. To ustanowienie Dwunastu, wśród których będzie Piotr, jest początkiem ustanowienia, które trwa po dzień dzisiejszy. To ustanowienie w starożytności u Żydów odbywało się przez nakładanie rąk na człowieka. To nakładanie rąk było symbolem przechodzenia mocy, znakiem przechodzenia jakby władzy. Ale również znakiem poddaństwa i odpowiedzi, znakiem więc współpracy. Jezus ich ustanowił. I zauważmy trzy cele apostołowania:

- *Aby Mu towarzyszyli.* A więc jeszcze raz się okazuje, że Jezus nie chciał działać sam. Nie chciał nauczać sam, nie chciał być sam. Potrzeba mu było towarzyszy. Oczywiście słowo „towarzysz", zwłaszcza nam starszym, źle się kojarzy. Nie chodzi też o towarzystwo w codziennym tego słowa znaczeniu. Chodzi o przyjaciół, którzy mieli Jezusowi się przyglądać, i mieli być

świadkami wszystkiego, co się dzieje. Pamiętajmy, że w starożytności była to jedyna forma dokumentacji wydarzeń i słów związanych z Jezusem. Przecież innych form utrwalenia nie było.

- A także *wysyłać ich na głoszenie nauki.* Otóż najpierw trzeba Jezusa poznać, a następnie należy Go głosić — nie odwrotnie, ani nie inaczej. Dlatego, że aktywność bez należytego rozeznania może sprowadzić się do tego, że opowiadamy o Bogu i o Jego sprawach głupstwa. I nie brakuje takich, którzy są aktywni, którzy działają, którzy są skłonni do wielkich poświęceń. Problem tylko polega na tym, że niezupełnie wiedzą, co należy poprawnie mówić, jak należy głosić. Otóż zwłaszcza Sobór Watykański II, który odbył się jak wiemy 40 lat temu, położył wieli nacisk na ten, jak to się mądrze mówi, *kerygmatyczny* charakter chrześcijańskiego przepowiadania. Czyli jeżeli chcemy poznać, jeżeli chcemy głosić Jezusa, to powinniśmy Go najpierw dobrze poznać. Jedną z form takiego poznawania, nie ulega żadnej wątpliwości, są choćby takie konferencje, takie spotkania, taka refleksja jak ta, którą teraz przeżywamy. Otóż w tym poznawaniu dokonuje się głębszy związek z Jezusem, bo ukochać możemy tylko tych, których na prawdę znamy. W przeciwnym wypadku to miłujemy jakąś ideę, jakieś wyobrażenie. A to nie wystarczy, żeby rzeczywiście głosić Słowo Boże.

- I wreszcie: *wypędzać złe duchy.* To jest trzeci wymiar. To było również zadanie Piotra. Otóż przeznaczeniem tych, którzy idą za Jezusem, jest walka ze wszystkim, co złe. A ponieważ zło ma również osobowy charakter, czyli jest ktoś, kto do zła popycha, to w związku z tym stale powinniśmy być czujni i na ten wymiar, by przeciwstawiać się złu i być narzędziami dobra.

I teraz dalej czytamy:

> Ustanowił więc Dwunastu: Szymona, któremu nadał imię Piotr; dalej Jakuba,

i tak dalej. Piotr jest wymieniony jako pierwszy. Ale mówi się o nim, że jego imię hebrajskie brzmi Szymon. Natomiast otrzymuje nowe imię. Otóż nowe imię to znak nowej misji. Nowe imię to znak nowego powołania. Ten zwyczaj pozostał w Kościele zwłaszcza w odniesieniu do papieży. Dobrze wiemy, że kiedy 16 października wyszedł kardynał Felici obwieszczając nam wybór papieża, to powiedział: *Anuncio vobis gaudum magnum* — „Zwiastuję wam radość wielką" i powiedział, że mamy teraz papieża, nowego papieża, Karola kardynała Wojtyłę *qui sibi nomen imposuit* — „który przybrał sobie imię" Jana Pawła II. To nowe imię to jest powołanie do nowej misji. Otóż w życiu Piotra zaczyna się nowy rozdział. Ten nowy rozdział wraz z ustanowieniem Dwunastu, i Piotr wyliczony wśród nich jako pierwszy.

Tutaj jak wiemy tradycja Kościoła zaczyna się dzielić. Państwo wielokrotnie przy okazji rozmaitych spotkań zadają pytanie: Co dzieli Kościół prawosławny i Kościół katolicki? Czy mamy jakieś różnice co do poglądów w wierze? Dlaczego jedni separują się tak od drugich? Dlaczego papież może np. jechać do Damaszku i wchodzić do meczetu, dlaczego papież spotyka się z młodzieżą muzułmańską tak, jak miało to miejsce w Casablance, a nie może pojechać do Rosji, i nie może wejść do cerkwi w Moskwie? Dlaczego podróż do Kijowa, czy do Bułgarii, czy do Rumunii, czy do Grecji była tak bardzo trudna? Dlaczego tak trudna była podróż do Armenii, czy do Gruzji, gdzie są kościoły prawosławne?

Tutaj taka ciekawostka z własnego podwórka. Otóż kiedy Ojciec Święty był w Gruzji, przygotowano specjalny znaczek pocztowy, który miała wydać poczta Gruzji. I projektant umieścił na tym znaczku papieża, miejscowego gruzińskiego patriarchę, oraz tamtejszego prezydenta o którym wiemy, że został niedawno odsunięty od władzy. I znaczek nie ukazał się, nie został puszczony do obiegu — chociaż był gotowy i wydrukowany. Bo znaleźli się tacy, którym nie odpowiadała obecność papieża i patriarchy na jednym znaczku.

Dlaczego między jednym Kościołem, katolickim, a drugim Kościołem, prawosławnym, jest tyle niechęci? Czym się różnimy? Paradoksalna odpowiedź brzmi tak: w doktrynie to nie różnimy się niczym, albo prawie niczym. Otóż jedyna różnica doktrynalna polega na tym, że *katolicy mówią, że Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna,* natomiast *Kościół prawosławny twierdzi, że Duch Święty pochodzi od Ojca przez Syna.* Czyli pochodzenie Ducha Świętego upatruje się w pochodzeniu od

pierwszej Osoby Boskiej albo od pierwszych dwóch Osób Boskich. Nie jest to wielki problem, nie jest to powód do tego, żeby istniała tego rodzaju wrogość. Ale jeżeli ona istnieje, ma swoje źródła historyczne, ma swoje źródła w czymś zupełnie innym — w tym, co moglibyśmy nazwać *nastawieniem pastoralnym.*

Otóż jedna z różnic polega na tym, że Piotr i jego następcy są w Kościele prawosławnym traktowani jako — jest taka łacińska formuła: primus inter pares — *pierwszy między równymi.* Natomiast w Kościele łacińskim, czyli naszym — po prostu *pierwszy.* Mówi się o prymacie Piotra. Patriarchowie prawosławni twierdzą, że są równi Piotrowi we wszystkim, w sprawowaniu władzy również. Natomiast w Kościele katolickim przypisuję się Piotrowi rolę decydowania o życiu Kościoła. I w jakimś sensie patriarchów, pozostałych apostołów, uważa się za — trudno powiedzieć niższych, ale nie mających tak równej władzy, jak władza Piotra. To nas poróżniło. Właśnie w roku 1054 schizma, podział na Kościół wschodni i zachodni, wynikła z tego, jaka jest rola następcy św. Piotra. I czy Piotr był równy wszystkim pozostałym Apostołom, czy też nie. A potem pęknięcie poszło po linii kultury i języka. Kościoły wschodnie to były Kościoły greckie, mówiące i piszące po grecku, oraz w językach wywodzących się od greki. Natomiast Kościół zachodni to był Kościół łaciński. I liturgia grecka, oraz potem związane z nią liturgie narodowe, i liturgia łacińska, i wynikające z niej liturgie narodowe. I potem coraz bardziej dochodziło do tego, że prawosławni i katolicy nie rozumieli się ze sobą. Aż w końcu przyszedł zupełnie gorszący zakaz tego, by katolicy wchodzili do cerkwi, a prawosławni przychodzili do naszych świątyń. Ten zakaz został usunięty, został cofnięty dopiero kilkadziesiąt lat temu.

Zauważmy, że Kościół jest narzędziem łaski, ale Kościół może także stawać się jakimś znakiem poróżnienia oraz zwaśnienia ludzi — wtedy, kiedy to, co ludzkie, bierze w nim górę nad tym wszystkim, co boskie. Stąd ekumenizm to jest wielkie dzieło Boga. I pierwsza powinność w ekumenizmie to jest budowanie wspólnego świadectwa o Bogu. Bo nie ma nic bardziej gorszącego, bardziej złego, niż to gdy ci, którzy wierzą w Chrystusa, poróżnieni są między sobą, albo zwalczają siebie nawzajem.

Piotr był pierwszy. A później Jakub, który stał się, będziemy o tym mówić w przyszłości, znakiem Kościoła wywodzącego się z Żydów, oraz Andrzej, brat Piotra, który stał się patronem Grecji i patronem prawosławia, patronem Kościoła wschodniego — o tym będziemy też mówić przy innej sposobności. Ewangelia Marka zajmuje się Piotrem następny raz w nowych okolicznościach. Mianowicie mowa jest o tym, że do Jezusa przychodzą ludzie od przełożonego synagogi w Kafarnaum i mówią do niego: „Twoja córka umarła. Dlaczego więc trudzisz Nauczyciela?" Przychodzi bowiem ten przełożony synagogi i prosi Jezusa, aby przybył i uzdrowił mu córeczkę. Jezus początkowo raczej odwleka tę decyzję przyjścia. I po niejakim czasie przychodzą ci i zawiadamiają, że dziewczynka nie żyje. Po co trudzisz Nauczyciela?

> Lecz Jezus słysząc, co mówiono, rzekł przełożonemu synagogi: «Nie bój się, wierz tylko».
> I nie pozwolił nikomu iść ze sobą z wyjątkiem Piotra, Jakuba i Jana, brata Jakubowego.

Pojawia się więc wzmianka o Piotrze jako o tym, który bardzo blisko towarzyszy Jezusowi w tym, co jest najbardziej intymne, najtrudniejsze, i najbardziej poruszające. Zauważmy — apostołowie zostali wybrani spośród wielu uczniów. Uczniowie byli wybrani spośród wielu innych ludzi. Ale także w gronie apostołów nie ma takiego parytetu — są ci, którzy są dopuszczeni do większej zażyłości z Jezusem, ci, którzy widzą więcej, ci, którzy wiedzą więcej. I pomiędzy nimi jest także Piotr. Kiedy Jezus idzie by uzdrowić, a szybko okazuje się: wskrzesić dziewczynkę, to towarzyszy mu Piotr, Jakub i Jan. Ci trzej będą świadkami tego niezwykłego cudu. Otóż cud nie był po to, żeby ich poruszyć, zadziwić, zaskoczyć, przestraszyć. Ten cud był po to, by ich zastanowić, by ich skłonić do najbardziej podstawowego pytania — mianowicie do pytania „Kim jest Jezus?"

To pytanie oni musieli sobie zadawać na pewno wielokrotnie. Kiedy widzieli, co Jezus czyni, kiedy słyszeli to, czego Jezus uczył, to na pewno zadawali sobie pytanie „Kim On jest?" I tutaj dotykamy sedna, istoty problemu Piotra, ale także problemu Jezusa. Otóż przez cały czas Starego Testamentu Bóg posyłał swoje sługi, proroków i innych ludzi, którzy nawoływali innych do wierności Bogu. Natomiast w Jezusie ukazuje się ktoś radykalnie nowy. To już nie chodzi tylko o wiarę w Boga, ale chodzi o coś więcej, o pytanie „Kim jest Jezus?" Ten właśnie epizod, to pytanie „Kim jest Jezus?" powraca w samym środku Ewangelii sw. Marka, w jej ósmym rozdziale. Można by powiedzieć, że tutaj Ewangelia osiąga swoje apogeum. Znamy ten tekst aż nazbyt dobrze. Do tego

stopnia żeśmy się do tego tekstu przyzwyczaili, i gdy jest czytany to to, co najważniejsze, może ujść naszej uwadze. Dzisiaj przeczytajmy go raz jeszcze.

Potem Jezus udał się ze swoimi uczniami do wiosek pod Cezareą Filipową.

Otóż to jest daleko na północy Palestyny, dzisiaj przy granicy Izraela, Syrii i Libanu, nieopodal góry Hermon. To jest najwyższa góra na Bliskim Wschodzie, przez cały rok pokryta śniegiem. Do tego stopnia, że w maju i czerwcu, kiedy jest dobra widoczność, to już z okolic Jerycha, mniej więcej 180 - 200 km widać Hermon pokryty śniegiem. Bo góra ma prawie 3 km wysokości.

Jezus więc bierze swoich uczniów, udaje się z nimi na same krańce Ziemi Świętej. Tam, gdzie bardzo rzadko rozgrywały się epizody historii zbawienia. Udaje się z nimi, i w drodze pyta uczniów:

«Za kogo uważają Mnie ludzie?»

Taka pierwsza, można by rzec, ankieta socjologiczna w Nowym Testamencie. Tak jak dzisiaj staje reporter i z mikrofonem w ręku czy z kamerą przy głowie zapytuje: co pan albo pani sądzi o tym albo o tamtym? Jezus pyta: „Co ludzie o Mnie mówią?" Ale nie tyle chodzi o to „co mówią", jak odbierają mnie, tylko za kogo Mnie uważają. Kim Ja jestem dla ludzi? Dlaczego Jezus o to pyta? Dlatego, że jest człowiekiem tak, jak każdy z nas. Jaka była boska świadomość Jezusa, tego my nigdy nie dojdziemy, nie będziemy tego wiedzieć. Natomiast ludzka świadomość była taka, jak świadomość każdego z nas. Jezus chce więc przejść do czegoś nowego w swoim życiu. Zauważmy — dopuszczał apostołów do tego, co w Jego życiu było najważniejsze, ale w pewnym momencie czas jakby Mu się kurczy. Otóż istnieje takie powiedzenie biblijne, zakorzenione w tradycji biblijnej, że kiedy człowiek osiągnie wiek Samuela, to powinien zdawać sobie sprawę z tego, że już pół szklanki jego życia zostało na pewno opróżnione. Jaki jest więc ów wiek Samuela, po którym człowiek powinien zastanowić się nad swoim życiem? Mówi się bowiem, że dopóki jest młody, jest dorosły ale ciągle młody, to nie ma czasu, aby myśleć o swoim życiu. Ale przychodzi ów wiek Samuela, i Żydzi na to zwracają mocno uwagę, jest to w ich tradycji bardzo silne — wiek, w którym należy zapytać o sens swojego życia. Ten wiek to jest 54 lata. Otóż już po tym okresie, kto osiągnie 54 lata, to powinien zdać sobie sprawę, że z całą pewnością jego ścieżka robi się coraz węższa.

Proszę zauważyć, że Jezus nie miał 54 lat. Ani Piotr nie miał 54 lat. Ale Jezus uświadamia sobie, że oto Jego czas jest coraz bliższy. Że oto jego życie nabiera nowego tempa. Wobec tego trzeba postawić pytanie najbardziej zasadnicze. I to pytanie stawia najpierw drogą okrężną:

Oni Mu odpowiedzieli: «Za Jana Chrzciciela,

Otóż była to taka wiara, wśród Żydów dość częsta, że jeżeli umarł jakiś wielki człowiek to mówiono — ale on się wciela, i znowu żyje. Jan Chrzciciel został stracony przez Heroda, umarł śmiercią męczeńską, więc sądzono, że oto teraz jest ktoś taki, jak Jan Chrzciciel.

inni za Eliasza, jeszcze inni za jednego z proroków».

Patrzono więc na Jezusa, widziano Jego cuda, i Jego znaki, i dochodzono do odpowiedzi, że jest to szczególny wysłannik Boży. I tutaj mamy apogeum tego epizodu:

On ich zapytał: «A wy za kogo Mnie uważacie?»

Otóż tu jest, można by powiedzieć, sam szczyt Ewangelii. Za kogo uważają Jezusa ci, którzy towarzyszą Mu na co dzień? I wtedy:

Odpowiedział Mu Piotr: «Ty jesteś Mesjasz».

To jest, można by powiedzieć, owoc żmudnej pedagogii Jezusa. Jezus pozwolił Piotrowi oglądać to, co najważniejsze, ale doczekał się wyznania, które jest również najważniejsze. Otóż Piotr prawidłowo rozpoznał to, kim jest Jezus. Rozpoznał to i wyznał. Czy wyznaliby inni apostołowie? Nie potrafimy powiedzieć, odpowiedział jako pierwszy Piotr. I od tej pory ta właśnie odpowiedź Piotra nabiera szczególnego znaczenia:

Wtedy surowo im przykazał, żeby nikomu o Nim nie mówili.

Jezusowi nie chodzi o rozgłos. Nie chodzi o to, żeby pojmować Jego mesjańską funkcję na sposób polityczny. Nie chodzi o to, żeby ludzie upatrywali w Nim jakiegokolwiek króla albo kogoś, komu należą się hołdy. Przykazał im: „Nie mówcie!" Jest to ów słynny, tak bardzo mocno w Ewangelii św. Marka podkreślany, *sekret mesjański*. Otóż są sprawy tak wielkie, tak znaczące, o których mówić nie trzeba. Jednym z elementów ludzkiego życia jest również dyskrecja. Związana z intymnością, ale także związana z tym, co jest bardzo, bardzo ważne. Nie znajduję tutaj lepszej analogii, niż nasze odniesienia do Jana Pawła II. Osobiście uważam za nieodpowiedzialne, i z wielkim niesmakiem przyjmuję rozmaite zwierzenia czy wspomnienia o Karolu, o Lolku, o tym, co się przeżywało, gdy byli młodzi, albo o jakimś tam spacerach pod drzewami. One wszystkie były, ale Lolek przestał być Lolkiem gdy został Janem Pawłem II.

Otóż trzeba znać granice, w jakich człowiek ociera się o wielkość, i ociera się o tę Bożą tajemnicę. Trzeba znać granice i mieć pewien umiar w podejściu do tego, czego człowiek nie jest w stanie wyrazić słowami. Również w naszym życiu dzieją się takie chwile, takie epizody, takie wydarzenia, którymi nie możemy się dzielić z innymi, bo byśmy to spłaszczyli. Bo tak naprawdę nikt nie może tego przeżyć ani zrozumieć, zwłaszcza jeżeli otarliśmy się o bliskość czy obecność Boga.

Jezus więc przykazał, żeby nikomu o tym nie mówili. Przyjął to oświadczenie Piotra, przyjął to wyznanie Piotra, ale jednocześnie stroni od tego, co dzisiejszym językiem byśmy mogli nazwać sensacją. I tutaj, w tym kulminacyjnym punkcie, dokonuje się coś nowego. Coś, co doskonale pokazuje nam Jezusa, i pokazuje nam Piotra. Znamy również te słowa:

> I zaczął ich nauczać, że Syn Człowieczy musi wiele cierpieć, że będzie odrzucony przez starszych, arcykapłanów i uczonych w Piśmie; że będzie zabity, ale po trzech dniach zmartwychwstanie.

Zauważmy — drogą Jezusa miała być droga cierpienia. A nie ma cięższej próby dla człowieka, niż próba cierpienia, i przejście przez śmierć. Otóż zauważmy, że ten dylemat, ten dramat powtarza się także, że raz jeszcze odniesiemy się do Jana Pawła II, również i w naszych czasach. Tak długo, jak papież był żywotny, jak papież działał, podróżował, nauczał, chodził, brał dzieci na ręce itd., tak długo był przedmiotem podziwu i mówiono, że jest fotogeniczny. Natomiast kiedy przyszła próba cierpienia, to pojawiły się głosy, tak jak głosy później wobec Jezusa: „zejdź z krzyża a uwierzymy Ci", „Innym pomagał, sam sobie pomóc nie może". Otóż ludzie nie lubią cierpienia, nie lubią patrzeć na cierpienie dlatego, że cierpienie jest jakimś wyrzutem sumienia. Jezus zapowiada swoje cierpienie, ale stwarza również perspektywę zmartwychwstania. Czytamy dalej:

> A mówił zupełnie otwarcie te słowa. Wtedy Piotr wziął Go na bok i zaczął Go upominać.

Zauważmy — ten, który wyznał mesjańską godność Jezusa teraz staje się nauczycielem Jezusa! Bierze inicjatywę w swoje ręce. Uznał, że jest Mesjaszem. Ale możemy sobie to łatwo wyobrazić, że oto gdzieś tam, na tej galilejskiej drodze, kiedy Jezus otwarcie zapowiada swoje cierpienia, to Piotr bierze Go na bok, bo uważa siebie za bliższego Jezusowi, niż pozostali, i zaczyna tam Jezusa upominać. To upomnienie pewnie było łagodne, albo mocniejsze: „Ale Ty tak nie mów!", „Oni nie mogą tego znieść, ja też nie mogę tego znieść!", „Po co to mówić?" Otóż cierpienie, perspektywa śmierci jest zawsze jakimś takim kamieniem, o który potyka się człowiek.

> Ale On obrócił się i patrząc na swoich uczniów, zgromił Piotra słowami: «Zejdź Mi z oczu, szatanie, bo nie myślisz o tym, co Boskie, ale o tym, co ludzkie».

Nikt nie został w Ewangeliach nazwany szatanem, nawet Judasz. To Ewangelia św. Jana mówi, że szatan wstąpił w niego, ale nie mówi się, że Judasz był szatanem. Myślę, że postaci Judasza, jeżeli szczęśliwie doczekamy, poświęcimy konferencję w Wielkim Poście. Bo to znacząca i ważna postać. Piotr został nazwany szatanem:

> Zejdź Mi z oczu, szatanie

A mówił tak Jezus patrząc na swoich uczniów. Nie pozostawiał zatem żadnej wątpliwości jak traktuje, jak ocenia te dobre rady Piotra. Otóż okazało się że ten, który ma rację jeżeli chodzi o doktrynę, to zupełnie nie ma racji jeżeli chodzi o sposób postępowania. Że jedno z drugim nie musi iść w parze. Otóż Piotr miał właściwe rozeznanie, ale nie chciał przyjąć drogi, którą przewidział Jezus. Przewidział dla siebie, a Piotr uważał ją za gorszącą. Więc:

> «Zejdź Mi z oczu, szatanie, bo nie myślisz o tym, co Boże, ale o tym, co ludzkie».

Nie wiemy jak Piotr zareagował na te słowa. Tu możemy sobie tylko wyobrazić, że może odszedł, może się zawahał, może miał Jezusowi za złe, może się wzbraniał, może zapłakał — nie potrafimy tego powiedzieć, nie wiemy co działo się w duszy Piotra. Chciał dobrze wtedy, kiedy wyznał mesjańską godność. Chciał dobrze wtedy, kiedy Jezusa napominał. A wyszło źle! Otóż tak w życiu bywa. I trzeba to z godnością przyjąć. Ale dlaczego to wszystko wiemy? Od kogo to wiemy? Od Piotra właśnie! To, co przeżywamy w życiu, dobre i złe, temu należy się pamięć. Tylko wtedy możemy życie cenić, kiedy umiemy zachować w pamięci jedno i drugie. Kiedy umiemy wyciągnąć wnioski z tego, co było właściwe, i z tego, co było trudne. Bez tego, jeżeli ktoś chce zapominać, to z całą pewnością traci jakąś część swojego życia. W książce „Przekroczyć próg nadziei" komentując to wydarzenie Jan Paweł II napisał tak:

> I Chrystus za to Piotra surowo *skarcił*. Ale go *nie odrzucił*.

To jest niesłychana głębia papieskiego rozważania tego właśnie epizodu. Skarcić, upomnieć, ale nie odrzucić! Gdyby Jezus odrzucił Piotra na tym etapie, może Piotr poszedłby drogą Judasza? A więc skarcić, ale w taki sposób, który jednocześnie człowiekowi pozwala zachować jego godność. Skarcił go, ale go nie odrzucił. Dzięki temu Piotr przy Jezusie trwa. I to jest bardzo ważne.

> Potem przywołał do siebie tłum razem ze swoimi uczniami

a więc i z Piotrem też,

> i rzekł im: «Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech Mnie naśladuje!

Droga Jezusa to nie jest więc droga łatwa. Ale piękne jest naprawdę to, i przede wszystkim to, co jest trudne. Czytamy w tejże Ewangelii:

> Po sześciu dniach Jezus wziął ze sobą Piotra, Jakuba i Jana i zaprowadził ich samych osobno na górę wysoką.

Dobrze wiemy, że teraz przedmiotem ewangelicznej narracji będzie Przemienienie Jezusa na górze Tabor. Zauważmy — a może to było tak, że Jezusowi zrobiło się żal Piotra? Może to było tak, że Jezus doszedł do przekonania, że przesadził w upomnieniu go? Może powiedział takie twarde słowa: „Zejdź Mi z oczu, szatanie" i przekonał się, że powiedział to zbyt mocno? I żeby złagodzić to, co się stało, a jednocześnie utwierdzić apostołów co do tego, co ich czeka, bierze ich na górę wysoką osobno, i:

> Tam przemienił się wobec nich.

Tam pozwala apostołom i Piotrowi obejrzeć rąbek swojej chwały. Nie potrafimy znów powiedzieć, bo tu wyobraźnia zawodzi, na czym to przemienienie w szczegółach polegało. Tylko wiemy, że Piotr w imieniu pozostałych mówi:

> «Dobrze, że tu jesteśmy, dobrze nam tu być. Wybudujemy tutaj trzy przybytki: Tobie jeden, Mojżeszowi jeden, i Eliaszowi jeden.»

Do dzisiaj na górze Tabor znajduje się świątynia poświęcona Przemienieniu Pańskiemu, a z tyłu tego kościoła są jeszcze dwie kaplice ku czci Mojżesza i ku czci Eljasza. A więc Jezus daje Piotrowi coś więcej, by go utwierdzić. Piotr był tym wybranym, który rzeczywiście otrzymał od Jezusa więcej niż inni. Czy uchroniło go to przed wszystkimi błędami, przed wszystkimi trudnościami? Dobrze wiemy, znając Ewangelie, że nie! I że bardzo często jest tak w ludzkim życiu, że chcemy dobrze, a tak, jak u Piotra, wychodzi rozmaicie. Czasami wręcz wychodzi źle.

Jezus kieruje się do Jerozolimy. Ustanawia Eucharystię podczas Ostatniej Wieczerzy. I wchodzimy w okres, który i dla Jezusa i dla Piotra będzie najtrudniejszy.

> A kiedy przyszli do ogrodu zwanego Getsemani, rzekł Jezus do swoich uczniów: «Usiądźcie tutaj, Ja tymczasem będę się modlił».

Modlitwa to jest rozmowa z Bogiem. Ci, którzy lubią aktywność, powinni również lubić modlitwę. Aktywność bez modlitwy może się przeobrazić ot po prostu w takie zaangażowanie tylko na poziomie czynów. A zwłaszcza modlitwa jako rozmowa z Bogiem jest nam potrzebna wtedy, kiedy przeczuwamy, że czeka nas coś ciężkiego. Zauważmy — Jezus jako człowiek lęka się cierpień, lęka się męki i lęka się śmierci. Nie może być inaczej! Są to bowiem te rzeczywistości, które w sposób najbardziej dotkliwy dotykają naszego wnętrza. Mówi do swoich uczniów:

> «Usiądźcie tutaj, Ja tymczasem będę się modlił». Wziął ze sobą Piotra, Jakuba i Jana i począł drżeć, i odczuwać trwogę.

Piotra, Jakuba i Jana widzimy przy wskrzeszeniu dziewczynki. Piotra, Jakuba i Jana widzimy przy Przemienieniu. Piotra, Jakuba i Jana widzimy w Ogrójcu. Tam pokazał im swoją moc. Potem pokazał swoją chwałę. A tutaj pokazuje swoją niemoc. I to jest właśnie ta tajemnica Jezusa. Kiedy szuka wsparcia w chwili, którą sam przeżywa jako bardzo trudną. Znacznie łatwiej, myślę że każdy z państwa ze swojego życia to doświadczenie ma, jest być z przyjaciółmi w czasach chwały, czegoś pięknego, wzniosłego, w okresie sukcesu. Natomiast przeżywać to, co trudne — to już dobieramy sobie szczególnych przyjaciół. Przeżywać czas upadku, czas drżenia, czas lęku — to już jest tylko rzecz dla najbliższych. Wtedy dopiero widać, kto jest naprawdę w naszym otoczeniu nam najbliższy. I nie tylko dlatego, że ktoś deklaruje nasze odwiedziny, tylko bardziej dlatego, że sami zaczynamy przeżywać i czuć, że czyjaś bliskość jest nam potrzebna. Jezus

> począł drżeć, i odczuwać trwogę. I rzekł do nich: «Smutna jest moja dusza aż do śmierci; zostańcie tu i czuwajcie!» I odszedłszy nieco dalej, upadł na ziemię i modlił się, żeby - jeśli to możliwe - ominęła Go ta godzina. I mówił: «Abba, Ojcze, dla Ciebie wszystko jest możliwe, zabierz ten kielich ode Mnie! Lecz nie to, co Ja chcę, ale to, co Ty [niech się stanie]!» Potem wrócił i zastał ich śpiących. Rzekł do Piotra: «Szymonie, śpisz? Jednej godziny nie mogłeś czuwać?

Otóż ten Piotr, który przeżył tak dużo, w momencie kluczowym dla Jezusa zasypia! **To chyba obraz postępowania niejednego z nas, może nawet każdego z nas!** Człowiek nieraz przesypia to, co w naszym życiu jest najważniejsze, To, co dzieje się istotnego, chcielibyśmy jakby się wyłączyć.

> «Szymonie, śpisz? Jednej godziny nie mogłeś czuwać? Czuwajcie i módlcie się, abyście nie ulegli pokusie; duch wprawdzie ochoczy, ale ciało słabe». Odszedł znowu i modlił się, powtarzając te same słowa. Gdy wrócił, zastał ich śpiących, gdyż oczy ich były snem zmorzone, i nie wiedzieli, co Mu odpowiedzieć. Gdy przyszedł po raz trzeci, rzekł do nich: «Śpicie dalej i odpoczywacie? Dosyć! Przyszła godzina, gdy Syn Człowieczy zostanie wydany w ręce grzeszników. Wstańcie, chodźmy, oto zbliża się mój zdrajca».

Można by powiedzieć, że w tej chwili, kiedy Jezus potrzebuje obecności swoich najbliższych, ci najbliżsi zawodzą. Piotr nadal jest powołany, to prawda, odpowiedział na Boże powołanie, ale jest skoncentrowany na sobie. Można być powołanym i można być egoistą. Można być powołanym i można być egocentrykiem. Można być powołanym i sądzić że to, czego się doświadczyło, to jest jakiś swoisty przymiot albo przywilej tylko ze względu na mnie samego. Więc to nam pokazuje, że i powołani ludzie, którzy są bardzo blisko spraw Bożych, że też są narażeni na niebezpieczeństwa, wobec których wydają się być bezsilni, czy też na zagrożenia, na które są dość podatni. Piotr spał — nie dlatego, żeby był złym człowiekiem, po prostu chciało mu się spać. Otóż myślę, że często jest właśnie tak, że postępujemy tak czy inaczej nie dlatego, że jesteśmy źli, tylko dlatego, żeśmy coś zaniedbali. Albo że jesteśmy obojętni, albo nie potrafimy ocenić wagi tego, co się właśnie dzieje.

Oczywiście najważniejszy moment w Ewangeliach, za ziemskiego życia, który Piotra dotyczy, to jest zaparcie się z jego strony Jezusa.

> Kiedy Piotr był na dole na dziedzińcu, przyszła jedna ze służących najwyższego kapłana. Zobaczywszy Piotra grzejącego się, przypatrzyła mu się i rzekła: «I tyś był z Nazarejczykiem Jezusem».

Tutaj właściwie każdy komentarz jest zbędny. Bo możemy sobie wyobrazić nocne przesłuchanie. Piotr poszedł za Jezusem na dziedziniec pałacu Piłata, gdzieś tam to przesłuchanie się odbywa. Już Piotrowi na szczęście przestało się chcieć spać. Siedzi gdzieś przy ognisku i się grzeje, bo to wszystko dzieje się w marcu - kwietniu, a więc nocami jest jeszcze bardzo zimno. I przychodzi kobieta i w blasku tego ogniska rozpoznaje Piotra:

> «I tyś był z Nazarejczykiem Jezusem». Lecz on zaprzeczył temu, mówiąc: «Nie wiem i nie rozumiem, co mówisz». I wyszedł na zewnątrz do przedsionka, a kogut zapiał. Służąca, widząc go, znowu zaczęła mówić do tych, którzy tam stali: «To jest jeden z nich». A on ponownie zaprzeczył. Po chwili ci, którzy tam stali, mówili znowu do Piotra: «Na pewno jesteś jednym z nich, jesteś także Galilejczykiem». Lecz on począł się zaklinać i przysięgać: «Nie znam tego człowieka, o którym mówicie». I w tej chwili kogut powtórnie zapiał. Wspomniał Piotr na słowa, które mu powiedział Jezus: «Pierwej, nim kogut dwa razy zapieje, ty trzy razy Mnie się wyprzesz». I wybuchnął płaczem.

Jedna z najbardziej poruszających scen. Bo ten silny mężczyzna, rybak z Galilei który tak wiernie towarzyszył Jezusowi i był przez Niego wybrany do wzniosłych rzeczy, zaparł się Go. Ale jednocześnie ten występek, ten grzech stał się początkiem nawrócenia. Wybuchnął płaczem, bo zdał sobie sprawę z tego, co w jego życiu się stało. Ten płacz to już początek tego, co z nim się będzie działo po zmartwychwstaniu, i później w życiu. Wiemy dobrze, że takiego płaczu nawrócenia zabrakło Judaszowi. I jeden i drugi zdradził Jezusa. Można by powiedzieć, że zdrada Piotra była nawet trudniejsza. Ale to właśnie Piotr umiał, czy też zdał sobie sprawę z tego, że postąpił źle, i że zawsze jest czas na nawrócenie, zawsze jest czas na poprawę.

Ewangelia przedstawia później Piotra w drodze do pustego grobu. I Ewangelia przedstawia Piotra jak biegnie tam z Janem, który był młodszy od niego. W związku z tym Jan dobiegł pierwszy. Ale uszanował ten starszy wiek Piotra tak, że to Piotr wszedł do grobu pierwszy. I on stał się pierwszym świadkiem Zmartwychwstania. I później pokazuje nam Ewangelia, a zwłaszcza Dzieje Apostolskie, Piotra po Zmartwychwstaniu. Jakże już innego człowieka. To, co było w jego życiu złem, ten grzech, staje się jednocześnie fundamentem, na którym on buduje całe swoje późniejsze życie. Dlatego, że przeobraża winę w błogosławioną winę. Czyli umie wyciągnąć wnioski z tego, co się w jego życiu wydarzyło. I spotykamy Piotra w Wieczerniku, kiedy na czele innych apostołów modli się, oczekuje zesłania Ducha Świętego, i przemawia w dzień zesłania Ducha Świętego. Spotykamy później Piotra, kiedy jest w Kościele w Jerozolimie, a stamtąd udaje się — omawialiśmy to kilka lat temu czytając Dzieje Apostolskie — do Jaffy, a potem do Cezarei Nadmorskiej. I w Cezarei Nadmorskiej chrzci poganina Korneliusza. Tak otwiera się Kościół nie tylko na Żydów, ale także na ludzi pochodzących z pogan. Piotr zmienia się powoli, coraz bardziej dojrzewa, i staje się potem filarem tego Kościoła, tego Kościoła z obrzezania i Kościoła z pogan.

Piotr z Palestyny udaje się w latach czterdziestych I wieku po Chr. do Antiochii Syryjskiej nad Orontesem, dzisiaj na terenie Turcji. Po dzień dzisiejszy w Antiochii pokazywany jest w skałach mały kościół pod wezwaniem św. Piotra, który według tradycji apostolskiej, tradycji wczesnochrześcijańskiej, był miejscem, gdzie Piotr nauczał i miejscem, dokąd się schodzono. Opowiadaliśmy o tym wtedy, kiedy omawialiśmy Kościoły apostolskie, i mówiliśmy właśnie o Antiochii nad Orontesem. Tam w Antiochii Piotr staje wobec wielkiego dylematu. Jak ma się zachować w Kościele, jak ma się zachować wobec chrześcijan żydowskiego pochodzenia, i chrześcijan pochodzenia pogańskiego? Tam dochodzi do kontrowersji z Pawłem, który już przeżył swoje nawrócenie. Ale ta kontrowersja zaowocowała Soborem Jerozolimskim i rozstrzygnięciem, że w Kościele jest miejsce dla jednych i dla drugich. Dlatego w uroczystość św. Piotra i Pawła, 29 czerwca, wspominamy o dwóch filarach Kościoła, tego Kościoła wywodzącego się z Żydów, i Kościoła wywodzącego się z pogan.

Następnie Piotr przenosi się, prawdopodobnie przez Grecję, być może przez Korynt bo i tam jest tradycja o jego pobycie, do Rzymu. I jest Piotr tam, gdzie jest samo serce imperium rzymskiego. Tam naucza, tam działa, tam zostaje pojmany, tam zostaje uwięziony. Tradycja starochrześcijańska mówi, że żył po śmierci Jezusa jeszcze ponad 30 lat. Prawdopodobnie 33 albo 34 lata. Kiedy więc umierał miał ok. 65 - 68, może do 70 lat gdyby założyć, że był starszy od Jezusa. Ale prawdopodobnie był młodszy. Był więc mężczyzną ponad 60-letnim, na pewno wiek Samuela miał już dawno

za sobą. I pamiętamy, że z jego śmiercią, z jego odejściem związany jest epizod, który utrwalił Henryk Sienkiewicz w słynnej powieści „Quo Vadis". Otóż w Rzymie następuje niejako raz jeszcze powtórzenie się tego, co dokonało się w Jerozolimie. Nigdy człowiek nie jest tak silny, żeby mógł być do końca być pewny siebie. Kiedy wybuchają prześladowania za rządów cesarza Nerona, Piotr postanawia opuścić Rzym. Czyni to za namową innych chrześcijan. I gdy wychodzi z Rzymu, widzi za murami miasta — znamy te drogę Via Apia przynajmniej z fotografii — zbliżającą się postać. Kiedy podchodzi bliżej rozpoznaje w niej Jezusa. I zadaje to słynne pytanie: „Quo vadis Domine?" — „Dokąd idziesz Panie?" I słyszy w odpowiedzi: „Wracam do Rzymu, by dać się tam powtórnie ukrzyżować, skoro ty stamtąd uchodzisz". Piotr wraca. I na wzgórzu Watykańskim, tam, gdzie dzisiaj wznosi się Bazylika św. Piotra, zostaje ukrzyżowany. A dodaje tradycja, że przed śmiercią prosi oprawców, by ukrzyżowali go głową w dół. Bo nie jest godzien cierpieć tak, jak jego Zbawiciel, bo się Go wyparł. I oprawcy uczynili zadość tej prośbie. W małym kościółku Quo Vadis, kościele który jest tak bardzo polski, tuż obok murów starego Rzymu, mamy obraz przedstawiający ukrzyżowanie Piotra. A relikwie Piotra znajdują się pod samym głównym ołtarzem Bazyliki św. Piotra w Rzymie. Gdy dwadzieścia parę lat temu przeprowadzono tam bardzo skomplikowane prace wykopaliskowe, zamykając ten rejon pod ołtarzem — i archeolodzy dokładnie go przekopali, wówczas znaleziono skorupki z greckimi i łacińskimi napisami „Piotr jest tutaj" — tam jest grób św. Piotra. Rybak z Galilei trafił właśnie tam. Tę niezwykłą tajemnicę przeniesienia Piotra z Galilei do Rzymu rozważał Jan Paweł II, upatrując w tej tajemnicy jakiś przedziwny wzór własnego przeniesienia z Wadowic do Rzymu. I cały czas Jan Paweł II rozważa swoje życie i swój pontyfikat według paradygmatu osoby Piotra Apostoła. Tutaj szczególnie wymowne jest przemówienie papieskie wygłoszone 16 października 2003 roku na uroczystości 25-lecia pontyfikatu. W tym przemówieniu zawarł papież niezwykłą wdzięczność i wielkie zdumienie, że taka droga, po ludzku mówiąc — taka kariera — jest możliwa. Że coś podobnego mogło się w życiu człowieka dokonać. I z Piotrem było zupełnie podobnie. Wyrwany znad Jeziora, przebył tysiące kilometrów by zaświadczyć o Chrystusie właśnie w Rzymie. Ile razy oglądamy Bazylikę św. Piotra, jemu poświęconą, to jest to bazylika na miejscu jego grobu.

Tyle byłoby na temat tego apostoła, który został ukrzyżowany w roku 66 bądź 67. A od jego czasów upłynęło prawie 2000 lat. Jest 263-ci następca św. Piotra, 264-ty papież. I cała wielkość, czy też nasze zbawienie płynie także i stąd, że jeszcze potem tylko dwóch papieży żyło równie długo. Pius IX w latach 1846 - 1877, Leon XIII, jego następca do roku 1903, i teraz Jan Paweł II, który ma już 26-ty rok pontyfikatu. Jeżeli ktoś szuka cudów, powiedział kiedyś biskup Dziwisz, to to jest cud. Jeżeli ktoś szuka cudów, to rzeczywiście Jan Paweł II jest tego cudu pełnym potwierdzeniem. Droga tamtego i droga tego papieża są do siebie bardzo podobne. Może więc dla nas, którzy żyjemy w tym błogosławionym czasie, i osoba Piotra i osoba obecnego papieża to jest jakiś wielki znak i wielkie zobowiązanie.

Tyle byłoby, jeżeli chodzi o Piotra. Zapraszam państwa bardzo serdecznie w drugi poniedziałek stycznia, 12 I. Obierzemy sobie wtedy nowego apostoła jako przewodnika po naszej refleksji. Zrobimy to już w sposób bardziej skondensowany niż z Piotrem.

Jest jeszcze jedna rzecz. Ponieważ mamy czas Adwentu, zbliżamy się do uroczystych świąt Bożego Narodzenia, chciałbym złożyć wszystkim państwu uroczyste, świąteczne, dobre, pomyślne bożonarodzeniowe i noworoczne życzenia. Niech Pan Bóg wszystkich, i wszystkie rodziny, napełni swoją łaską, swoją dobrocią, swoim miłosierdziem. Niech także ta refleksja i ten czas, który państwo przeznaczają na refleksję o Bożych sprawach, niech będzie źródłem jakiegoś duchowego wsparcia i siły. Życzę wszystkiego, co najlepsze, na Święta, na cały nadchodzący rok — 2004-ty już, już kawał XXI wieku za nami. I kiedy będziemy w okresie Bożego Narodzenia przeżywać te wszystkie radosne rzeczy, to pamiętajmy też nawzajem o sobie w modlitwie. Więc wszystkim państwu: Szczęść Boże!

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6.4 Św. Jan (12 stycznia 2004)

W Imię Ojca ... Ojcze Nasz ... Stolico Mądrości ...

Dzisiaj dwunasty dzień nowego roku. Więc tym bardziej na progu nowego roku raz jeszcze powtarzam życzenia, które sobie składaliśmy i wcześniej, i w starym roku, i na początku nowego roku. Chciałbym życzyć państwu obfitości wszelkich Bożych łask, i zdrowia, i pomyślności. Żeby rok 2004 był co najmniej tak pomyślne, jak najpomyślniejsze w kalendarzu, które do tej pory przeżywaliśmy.

Druga sprawa — żebym nie zapomniał! To są jeszcze raz bardzo serdeczne przeprosiny dla tych z państwa, a wiem że takie osoby były, które w ubiegłym miesiącu były tydzień później, w tej porze, którą zapowiedzieliśmy wcześniej, w listopadzie. Natomiast pamiętamy, że potem konferencja odbyła się tydzień wcześniej, a to z powodu rekolekcji w parafii. Ten termin był zmieniony na $1\frac{1}{2}-2$ tygodnie przedtem. Nie wszyscy z państwa, zwłaszcza ci, którzy mieszkają dalej, o tym wiedzieli. Więc te osoby, które przyjechały i które się rozczarowały, bardzo gorąco przepraszam.

Dzisiaj po pogodzie sądząc, a może nie po pogodzie — również po poruszaniu się po Warszawie, jest naprawdę tragicznie, kto z państwa jechał dalej, to doskonale zdaje sobie sprawę, jaka jest dzisiejsza jazda po mieście. Bardzo ślisko, miejscami w ogóle nie podsypane na wiaduktach. Więc kiedy patrzę na państwa, to rzeczywiście są państwo miłośnikami Biblii, Pisma Świętego, jeżeli i w taki dzień szczęśliwie dotarli tutaj, i bierzemy udział w kolejnej konferencji biblijnej.

Dzisiejsza konferencja będzie poświęcona św. Janowi Apostołowi. Skoro omawiamy różnych Apostołów, a do tej pory skupiliśmy się na św. Piotrze, na tym który jest najważniejszy, który jest głową, który jest fundamentem, i powiedzieliśmy na temat św. Piotra sporo, kierując się Nowym Testamentem. To dzisiaj powiemy o św. Janie. Oczywiście nie będzie to — żeby nie mylić tych dwu osób — św. Jan Chrzciciel. Wiemy, że to jest inna osoba, niż św. Jan Apostoł i Ewangelista. Że to nie jest takie proste, i że czasami te dwie osoby są łączone, albo czasami nawet dochodzi do tego, że buduje się kościół dla św. Jana a potem się pyta: „A który to Jan?" — i nie wiadomo! My mamy w Polsce doskonały precedens, który nam pokazuje ile może być wokół tego zamieszania. Być może państwo znają odrobinę Toruń, a tam jest katedra pod wezwaniem św. Janów, a więc Jana Chrzciciela i Jana Ewangelisty. W ten sposób obaj zostali połączeni. I oczywiście, jeżeli ktoś do tego nie przykłada należytej uwagi, to może mu się Jan Chrzciciel z Janem Ewangelistą pomylić. W Toruniu nie tyle są pomyleni, co są połączeni. I tak nawiasem mówiąc, jeżeli kiedykolwiek drogi państwa zaprowadzą do Torunia, to oprócz rynku, oprócz pomnika Kopernika, tuż obok rynku, dosłownie 100 – 150 m, jest katedra pod wezwaniem św. Janów. Warto ją zobaczyć, w ogóle warto zobaczyć Toruń, bo to jedno z najpiękniejszych miast w Polsce, zwłaszcza od strony Wisły. Szczyci się więc Toruń i Janem Chrzcicielem i Janem Apostołem, a my skupimy się na Janie Apostole.

Być może zwrócili państwo uwagę na pewien drobiazg, ale liczący się. Otóż o ile mamy sporo wyobrażeń św. Piotra, mamy nawet sporo wyobrażeń np. św. Mateusza, to jeżeli chodzi o malarskie czy rzeźbiarskie pokazywania św. Jana Ewangelisty, to one są stosunkowo rzadkie. Rzadko mamy wyobrażenia tego, jak wyglądał św. Jan Apostoł. Jeżeli już się pojawiają, to zazwyczaj w kościołach bardzo rzadko, i pojawiają się głównie w Kościele prawosławnym. Natomiast w naszym rzymsko - katolickim Kościele tych wyobrażeń św. Jana Apostoła za dużo nie ma. Dlaczego tak jest? Otóż jest tak z powodu, który ma pewną nośność teologiczną, i który niech stanowi już bezpośrednie wprowadzenie do naszej dzisiejszej konferencji. Myślę, że jeżeli zrozumiemy ten powód, to również zrozumiemy coś z takiej charakterystyki religijności, religii, sposobu wyznawania Boga, w tym przypadku sposobu wyznawania Chrystusa.

Otóż o co chodzi? Bardzo często, kiedy mówimy o przeszłości, czy kiedy mówimy o sprawach, które nas interesują, to chcielibyśmy odtworzyć ludzi. Chcielibyśmy wiedzieć, jak oni wyglądali, jak wyglądał św. Piotr, jak wyglądał św. Mateusz, jak wyglądał św. Paweł, jak wyglądał św. Jan. I chcemy o tych ludziach wiedzieć jak najwięcej. Ale zdarza się również i tak, że są tak ważne sprawy, tak ważne przeżycia, tak ważne problemy, tak ważne zagadnienia, że ludzie, którzy z nimi mają do czynienia, schodzą jakby na plan dalszy. Że ci ludzie przestają się liczyć, przestają być ważni. A to, co jest istotniejsze, to jest sam problem, sama sprawa. W tym przypadku, o którym my mówimy, jest to, jak nazywały to Dzieje Apostolskie, *sprawa Jezusa z Nazaretu*. I chcemy zobaczyć Jezusa oczami apostołów, oczami św. Piotra, i wiedzieć kim on był, dzisiaj oczami św. Jana i wiedzieć, kim

był Jezus ale także kim był św. Jan. Tymczasem o ile portret św. Piotra na podstawie Ewangelii jest bardzo klarowny, o tyle portret św. Jana na podstawie Ewangelii jest bardzo drugoplanowy. To znaczy Jan nigdy nie jest na pierwszym planie w tym znaczeniu, iżbyśmy mogli dowiedzieć się o nim bardzo dużo. On nie mówi o sobie także w swojej Ewangelii. Również inne Ewangelie tylko wspominają o Janie. Natomiast to, co ma do powiedzenia, to przede wszystkim Jezus oraz to, co Jezusa dotyczy. Spróbujmy więc na podstawie tego, co mówi Jan o Jezusie, powiedzieć coś o Janie. Troszeczkę jest to przewrotne myślenie, ale sądzę, że do zrealizowania. Czyli będziemy przyglądać się temu, jak Jan opowiada o Jezusie, co Jan ma do powiedzenia o Jezusie, ale będziemy chcieli z tego uchwycić jakiś portret psychologiczny Jana.

Otóż przede wszystkim trzeba nam również podkreślić na samym początku, że Jan, w odróżnieniu od wszystkich pozostałych apostołów, nie poniósł śmierci męczeńskiej. To jest bardzo ważny rys. Pozostałych jedenastu Apostołów zmarło śmiercią męczeńską — Piotr w Rzymie, Andrzej w Grecji, inni w rozmaitych miejscach starożytnego świata. Natomiast Jan — nie, Jan dożył późnej starości. I to jest drugi jego rys. A więc jeżeli dożył późnej starości i zmarł gdzieś pod koniec I wieku, to domyślamy, się że kiedy znał Jezusa czy kiedy chodził z Jezusem, to był bardzo młodym chłopcem. Swoją Ewangelię napisał późno, by nie powiedzieć najpóźniej ze wszystkich Ewangelistów. Na ten temat już kiedyś mówiliśmy sporo, że Ewangelie Mateusza, Marka, Łukasza powstały w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych I wieku, natomiast Ewangelia Jana powstała gdzieś 15 – 20 – 25 lat później. To jest oczywiście bardzo dużo zważywszy, że 20 – 25 lat to jest życie jednego pokolenia. A więc Jan zastanawia się nad swoją przygodą z Jezusem wtedy, kiedy sam jest już człowiekiem starszym, by nie powiedzieć starcem. Oczywiście zastanawiał się nad tym przez całe życie. Ta tajemnica Jezusa była z nim zawsze. Ale kiedy powoli zbliżał się kres jego życia, wtedy Jan dochodzi do takiego miejsca, że postanawia utrwalić pamięć o tym, co przeżył.

I na co kładzie nacisk? Żeby zrozumieć, czy jakoś wziąć sobie do serca to, co chce Jan wyeksponować, i dojść do tego, kim on był, myślę, że powinniśmy odwołać się do własnego doświadczenia. Otóż zdarza się nam w życiu przeżyć coś ważnego, jakieś bardzo ważne wydarzenie, wielką przygodę, spotkać kogoś niezwykłego. Przeżywamy to na gorąco, nieraz przeżywamy to jak gdyby w transie, nie zdajemy sobie sprawy z wielkości tej chwili, albo nawet jeżeli zdajemy sobie sprawę, to ją przeżywamy niezwykle intensywnie. Wracamy, chcemy o tym opowiadać i opowiadamy. A kiedy upłynie czas jakiś — im więcej czasu tym bardziej się to nasila — to zadajemy sobie pytanie: „A co się właściwie zdarzyło? Czy rzeczywiście to, co przeżyłem, czego doświadczyłem, miało miejsce? Czy jest możliwe, żebym przeżył czy przeżyła coś takiego? Czy to nie jest jakiś rodzaj snu, albo jakiejś projekcji moich marzeń czy moich potrzeb?" Otóż z Janem było zupełnie podobnie. Mamy w Nowym Testamencie *Pierwszy List św. Jana*, który zwracając się do adresatów rozpoczyna list w ten sposób:

> [To wam oznajmiamy], co było od początku,
> co usłyszeliśmy o Słowie życia,
> co ujrzeliśmy własnymi oczami,
> na co patrzyliśmy
> i czego dotykały nasze ręce

Otóż Jan im bardziej był starszy, a kiedy pisze ten list jest już bardzo dorosłym człowiekiem, tym bardziej zadaje sobie pytanie o realność, o rzeczywistość tego, co przeżył. Myślę, że największa tajemnica Apostoła Jana polegała na tym, że przeżył wielkie rzeczy, wielkie sprawy, będąc jeszcze chłopcem, będąc kilkunastoletnim chłopcem. Dane mu było przeżyć życie, tak na dobrą sprawę jeszcze, zanim się ono zaczęło. To może trochę tak, jak z chorymi dziećmi. Zwłaszcza z tymi dziećmi, które są w drodze na drugą stronę życia, które zawsze są nie tylko bardziej dorosłe od swoich rówieśników, ale one są również doroślejsze od wielu dorosłych. Dlatego, że one jakby śpieszą się w przeżywaniu życia, które zaczyna im się kurczyć. I jakby w dwójnasób, a nieraz wielokrotnie więcej przeżywają to, co przychodzi im w życiu spotkać. Z Janem było podobnie. Jan jako młody człowiek, jako chłopak, spotyka Jezusa, i później się całe życie nad tym zastanawia. Być może są wśród państwa takie osoby, dla których najważniejsze rzeczy wydarzyły się w dzieciństwie i młodości. I potem już nic nie było ważne. W moim przekonaniu w Polsce takich osób jest bardzo dużo, czy inaczej: to pokolenie już powoli się kruszy. To jest pokolenie, którego młodość, dzieciństwo może

mniej, przypadło na lata II wojny światowej. Wiele osób, wtedy dziewcząt i chłopców, zwłaszcza u mężczyzn to widać bardzo dobrze, to co im pozostało i wywarło największe piętno i trwałe znamię na całe życie, to właśnie wydarzenia i wypadki wojenne. I jeżeli mają o czym mówić, mają o czym wspominać, mają co opowiadać, mają co odtwarzać, to właśnie tamten czas, który dla nich był najważniejszy. Wszystko to, co było potem, było już jakby cieniem tego, co się wówczas wydarzyło. Ja sam spotkałem bardzo wielu takich ludzi, jeszcze w latach 60-tych, 70-tych. Wtedy był taki zwyczaj, że kombatanci wojenni, wtedy jeszcze w sile wieku, dzielili się w szkołach średnich swoimi przeżyciami, doświadczeniami, pisano pamiętniki, wspomnienia — zresztą to trwa do dzisiaj. I wiele razy spotykałem ludzi dla których to, co najważniejsze, wydarzyło się w młodości. Oczywiście im więcej było tych przygód w młodości, np. jeżeli ktoś przeszedł front gdzieś od Lenino do Berlina, albo gdzieś z Syberii przez Monte Cassino do Anglii czy gdziekolwiek, to dla niego całe życie w gruncie rzeczy rozegrało się wtedy.

I myślę, że z Janem Apostołem było właśnie tak, że wszystko rozegrało się w samym początku. W związku z tym jego Ewangelię mogą zrozumieć ci, i jego sposób myślenia mogą zrozumieć ci, którzy mają zupełnie podobne doświadczenia. Bo później człowiek nie tylko wspomina, ale również pyta o sens tego, co się wydarzyło, pyta o znaczenie tego, co się wydarzyło. I zadaje sobie pytanie: czy to możliwe, żeby on przeżył coś takiego? Więc Jan był pierwszy tym zdziwiony, co przyszło mu przeżyć jeszcze zanim na dobre rozpoczął życie.

> [To wam oznajmiamy], co było od początku,
> co usłyszeliście o Słowie życia,
> co ujrzeliśmy własnymi oczami,

Otóż Jan, już wtedy stary człowiek, po kilkudziesięciu latach zadaje sobie pytanie: „Kim był Jezus, na którego on patrzył? Kim był Jezus, z którym on miał na co dzień do czynienia?" A teraz, bo przecież to było 40, 50, może nawet 60 lat później, Jan bierze udział w Eucharystii, i wypowiada słowa: „Bierzcie i jedzcie", „Bierzcie i pijcie" — a przecież ten Jezus Eucharystyczny to jest ten sam Jezus, którego on oglądał. A więc Ewangelia Jana jest to ewangelia o tym, czego doświadczył w młodości:

> na co patrzyliśmy
> i czego dotykały nasze ręce -

bo Życie objawiło się, myśmy Je widzieli. O tym świadczymy, i głosimy wam życie wieczne, które On miał w Ojcu, a nam zostało objawione. Otóż Jan Apostoł ma pełną świadomość tego, że przychodzi mu mówić, przychodzi opowiadać, przychodzi wyznawać sprawy bardzo trudne, które Jezusa dotyczą, i których on w słowa tak naprawdę nie potrafi ująć, nie może ująć. Ale chce się tym doświadczeniem dzieciństwa i całego swojego życia podzielić. Tylko na czym polegała różnica między Janem Apostołem a kimś, kto później, wtedy i dzisiaj, wspomina swoją młodość? Otóż na tym przede wszystkim, że dla *Jana Apostoła ta młodość z Jezusem była zawsze uobecniana w sakramentach, i uobecniana w Kościele.* To nie było tak, że on przeżył przygodę z Jezusem, którego już nie ma. On przeżył przygodę z Jezusem, z którym on wciąż żyje. Otóż jego myślenie, myślenie Jana, jest najbardziej sakramentalne — zwracaliśmy uwagę na to wtedy, kiedy omawialiśmy Ewangelię św. Jana. I dlatego, to powiedziałem również wtedy, ta Ewangelia jest tak dobra dla wspólnot czy dla mniejszych grup, gdzie już nie tylko słyszymy o wydarzeniach, ale również zastanawiamy się nad sensem tego, co miało miejsce, nad sensem tego, co się wydarzyło.

Tak więc Jan próbuje zgłębiać tajemnicę Jezusa. Próbuje zastanawiać się nad tym, kim był Jezus. Ale co wiemy o samym Janie? Otóż kiedy chcemy sięgnąć do początków jego życia, to one były pod wieloma względami podobne do początków innych apostołów. Jan został powołany razem ze swoim bratem Jakubem nad Jeziorem Galilejskim, podobnie jak Piotr i Andrzej, którzy wtedy łowili ryby i zostali powołani. Różnica w przypadku Jana polegała na tym, że razem z nimi był ich ojciec. A więc to by nam też wskazywało, że Jan był jeszcze młodym chłopakiem. Gdyby był starszy, to najprawdopodobniej by łowił ryby na własny rachunek. A tu – skoro był ojciec – wobec

tego też wizerunek zupełnie młodego Jana wydaje się nam pokrywać z tym wszystkim, co mamy później. I Jan pozostawia te sieci, ale pozostawia również i ojca, i idzie za Jezusem.

I tu jeszcze raz musimy wrócić do pytania, które żeśmy postawili bodaj dwa miesiące temu, mianowicie pytania o Jezusa. Jaką siłę musiał On mieć w sobie jeżeli ktoś, kogo zastał przy codziennych czynnościach, pozostawiał to, czym żył do tej pory, i rozpoczynał zupełnie nowe życie? Jaką siłę przyciągania musiał mieć Jezus, jeżeli Jan pozostawia również swojego ojca, i idzie za Jezusem? Jeżeli szukamy jakiegoś modelu powołania, takiego powołania, które polega na oderwaniu człowieka od dotychczasowego stylu życia, to oczywiście ta postać Jana bardzo dobrze do tego modelu pasuje. Oczywiście, że gdy dzisiejszy człowiek słucha — zresztą nie tylko dzisiaj, pewnie w każdym pokoleniu było tak — że gdy słuchamy, że Jan zostawia ojca, to nasze uczucia są mieszane. Dlatego, że jesteśmy zdolni czy skłonni aby sądzić, że więzi pomiędzy ojcem a synem były wtedy luźniejsze, skłonni jesteśmy oceniać z naszej własnej perspektywy. Tu w Ewangelii nie ma ten temat żadnej oceny. Jest po prostu stwierdzenie, że Jan pozostawił swego ojca, pozostawił sieci i poszedł za Jezusem. A więc jego osoba od początku tchnie takim radykalizmem. I okaże się, że przez całe życie św. Jana będzie to radykalizm, jak byśmy to nazwali, *radykalizm niewinności*. Otóż nie ma nic specjalnego w jego życiu, takiego, co by wskazywało, że przeżywał jakieś wielkie burze, czy trudności, czy kłopoty. Przeciwnie, jego życie wydaje się dość spokojne, można by powiedzieć: do pewnego stopnia nawet nudne. Bo kiedy jako młody związał się z Jezusem i poszedł za Nim, i później przez całe życie przeżywał to co się wydarzyło wraz z męką, śmiercią i zmartwychwstaniem, to i życie swoje zakończył taką właśnie spokojną refleksją nad tym, kim był Jezus.

Jeden jest jednak epizod w Ewangelii, który od tego schematu odstępuje. Ten epizod znamy dobrze, bo słyszeliśmy go wielokrotnie także w kościele, i wielokrotnie skłonni jesteśmy traktować go jakby z pewnym dystansem. Posłuchamy tera, bo jest dość wymowny. Jest to fragment z Ewangelii św. Marka z rozdziału 10, który właśnie dotyczy św. Jana. Otóż kiedy Jezus zapowiedział mękę po raz pierwszy, po raz drugi i po raz trzeci, to po trzeciej zapowiedzi męki rozegrała się następująca scena:

> Wtedy zbliżyli się do Niego synowie Zebedeusza, Jakub i Jan, i rzekli: «Nauczycielu, chcemy, żebyś nam uczynił to, o co Cię poprosimy».

To jest bardzo ciekawy fragment dlatego, że mówi się o Janie i o Jakubie, że podchodzą do Jezusa i proszą, żeby coś dla nich wykonał. W innej Ewangelii, może chcąc wybielić tych dwóch uczniów, a może dlatego, że i to drugie wydarzenie też miało miejsce, to matka synów Zebedeusza przychodzi do Jezusa, i o coś Go usilnie prosi, i na coś nalega. Może było więc tak, że i synowie przyszli raz, i matka przyszła przy innej okazji, chociaż trudno powiedzieć, kto był pierwszy. Ale okoliczność czy przyczyna tej prośby była dość prozaiczna. Mianowicie:

> On ich zapytał: «Co chcecie, żebym wam uczynił?» Rzekli Mu: «Użycz nam, żebyśmy w Twojej chwale siedzieli jeden po prawej, a drugi po lewej Twojej stronie».

To nam pokazuje, że tak długo, jak długo uczniowie chodzili z Jezusem w jego ziemskim życiu, to pojmowali Jego misję i Jego rolę w sposób bardzo ziemski, by nie powiedzieć wręcz, że szukali zaszczytów albo szukali nagrody. Z tym, że jest różnica między Piotrem, i między Janem. Trudno powiedzieć którego z nich oceniać lepiej, ale państwo przypominają sobie, że kiedy Jezus zapowiedział mękę, to wtedy przychodzi Piotr do Niego, bierze Go na bok i mówi: „Panie, nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!" I został wtedy surowo upomniany. Natomiast tu czytamy w Ewangelii św. Marka, który był najbliżej tych spraw, bo to cały czas oczami św. Piotra, kiedy Jezus zapowiedział mękę po raz trzeci, to Jan powiada: „Spraw, użycz nam, daj nam abyśmy, kiedy zasiądziesz w chwale, to jeden usiadł po Twojej prawej, drugi po Twojej lewej stronie". Czyli Jan myśli mniej więcej tak: „Jeżeli chcesz, żebyśmy podzielili z Tobą twój dramatyczny, twój bolesny los, to jesteśmy w stanie to zrobić. Tylko coś za coś. Otóż jesteśmy w stanie Ci towarzyszyć, ale kiedy już będziesz w chwale to pamiętaj o nas w szczególniejszy sposób. Bo być może są też inni, którzy będą Ci towarzyszyć, i chodzi o to, żebyśmy już wcześniej nasze sprawy jakoś wygrali."

Jest religijność bezinteresowna, ale jest również, jak widać, religijność interesowna. I tutaj z taką mamy do czynienia. Jeżeli ta postawa Jana i Jakuba wydaje nam się dziwna to *pamiętajmy,*

że religijność każdego z nas jest w gruncie rzeczy interesowna, nawet jeżeli do tego przyznać się nie chcemy. Otóż modlitwa prośby, czy modlitwa błagania, zajmuje w naszych modlitwach zawsze więcej miejsca i czasu, niż modlitwa dziękczynienia czy uwielbienia. My też prosimy Boga o rozmaite rzeczy, i też chcielibyśmy być wysłuchani. A jeżeli spełnienie naszych próśb nie przychodzi, to zadajemy sobie wtedy pytanie o sens religijności.

Więc Jan i Jakub próbują dla siebie załatwić dobre miejsca w chwale, aczkolwiek nie wiedzą, na czym ta chwała polega. I to jest również jakiś klucz do postaci św. Jana Apostoła. Klucz polegający na tym że powinniśmy zrozumieć, że ten młody chłopak, który doświadczył przeżycia z osobą Jezusa, który spotkał Jezusa, który towarzyszył Jezusowi cały czas, otóż ten młody chłopak który wiązał z Jezusem swoje nadzieje, także te w życiu przyszłym, którego kształtu przecież nie znał, że on później — po śmierci, po zmartwychwstaniu Jezusa przeżywając całe swoje życie przeszedł ogromną wewnętrzną ewolucję. Otóż on zrozumiał, czy przez całe lata dojrzewał do tego, żeby zrozumieć i żeby przyjąć, że *być z Jezusem i zachowywać wierność Jezusowi to niekoniecznie znaczy również czerpać z tego pożytki i korzyści,* zwłaszcza te, jakich się spodziewał. Więc on sam przez dziesięciolecia potem dochodził do tego, że Jezus daje człowiekowi nagrodę, tylko że kształtu tej nagrody tak na prawdę nie znamy. I jeszcze dalej:

> Jezus im odparł: «Nie wiecie, o co prosicie. Czy możecie pić kielich, który Ja mam pić, albo przyjąć chrzest, którym Ja mam być ochrzczony?» Odpowiedzieli Mu: «Możemy». Lecz Jezus rzekł do nich: «Kielich, który Ja mam pić, pić będziecie; i chrzest, który Ja mam przyjąć, wy również przyjmiecie. Nie do Mnie jednak należy dać miejsce po mojej stronie prawej lub lewej, ale [dostanie się ono] tym, dla których zostało przygotowane».

Jezus tutaj prostuje temu młodemu Janowi, zanim jeszcze było to doświadczenie męki, cierpienia i śmierci, prostuje wyobrażenia o życiu przyszłym. Nie mówi nic więcej nad to, co sobie Jan i Jakub wyobrażali. Ale daje im poznać, że jeżeli chodzi o tę przyszłość zamierzoną przez Boga, to ona rzeczywiście jest Bożym darem, i pozostaje dla nas tajemnicą. I to nie jest tak, że człowiek już na ziemi może sobie wysłużyć lepsze miejsce w niebie. Otóż zwróćmy uwagę, że ten element interesownej religijności jest na różne sposoby w Kościele obecny. Może być obecny tak, że ktoś funduje coś, i ma swoje nazwisko utrwalone. Ktoś, do niedawna to była powszechna praktyka, a jeszcze i teraz niekiedy się ją spotyka, zakupuje sobie miejsce w kościele, miejsce w ławce — bo chce być bliżej, chce, żeby to było jego miejsce. Teraz już w Warszawie tego nie ma, ale poza Warszawą mogą się państwo z tym jeszcze spotkać. A czasami nawet doświadczyć co to znaczy, kiedy ktoś przychodzi i pokazuje, że tutaj nie można, bo to jest jego miejsce.

Więc my na wszelkie sposoby chcemy, żeby tutaj przed Bogiem jakoś się urządzić. Są w Kościele różne godności, które też schlebiają ludzkiej próżności, i próżności księży również. Mamy różne godności, które mają jakoś wyjść naprzeciw tej potrzebie wyróżniania. Jeżeli chodzi o życie przyszłe, to Jan dowiedział się, że tam takich godności i wyróżniania nie będzie. Że tam, jeżeli tak można powiedzieć, miejsca rozdaje Pan Bóg. I Jan później przez całe życie musiał się do tego przyzwyczaić. Musiał się przyzwyczaić do ciężaru bycia wyznawcą Jezusa Chrystusa. I tutaj dochodzimy jak sądzę do kolejnego klucza do osoby, do sylwetki św. Jana Apostoła.

Otóż bardzo często wydaje się nam, że najtrudniejszą formą życia religijnego, i najtrudniejszą formą bohaterstwa, jest męczeństwo. Że męczeństwo to jest prawdziwy heroizm. Tymczasem jeden z paradoksów wiary polega na tym, że trudniej jest być wyznawcą przez długi czas, niż męczennikiem, zwłaszcza jeżeli to jest bardzo krótkie. Dlatego, że decyzja o męczeństwie może być jakimś porywem wewnętrznym, może być jakimś przeżyciem danej chwili, danego czasu, nawet jeżeli ten czas jest dłuższy. A być wyznawcą to znaczy być wytrwałym w wyznawaniu wiary — zakłada wielką potrzebę cierpliwości. A tej bardzo wielu ludziom brakuje. Są więc tacy, którzy są skorzy do bohaterstwa, nawet jeżeli mają ryzykować czy poświęcić swoje życie. Natomiast nie ma w nich bohaterstwa polegającego na żmudnej codziennej pracy, na żmudnej codziennej ofierze czy poświęceniu.

Myślę, że rozważając tę specyfikę Jana Apostoła, który przez całe swoje życie był wyznawcą, możemy chyba przez chwilę zastanowić się, czy odnieść to do naszych narodowych cnót, ale zarazem wad. Wydaje się, kiedy śledzimy naszą historię, kiedy zastanawiamy się nad sobą, to wydaje nam się, że jesteśmy bardzo skorzy do takiego bohaterstwa widowiskowego nawet, jeżeli kosztuje ono

życie. Ale gdy przychodzi do mozolnej pracy, do cierpliwości, do wytrwałości — z tym bywa gorzej. Mamy więc chyba bardziej mentalność męczenników, niż mentalność wyznawców, czyli mentalność św. Jana. Daję to bardziej pod rozwagę, bo rzecz jasna od każdej reguły są wyjątki, i każdy z nas przeżywa swoje życie na własny sposób.

Kiedy przyglądamy się postaci św. Jana, to musimy zwrócić uwagę na dwa szczegóły. Otóż jeden ma związek z obecnością Jana pod krzyżem. Już wspominałem państwu o tym wtedy, kiedy mówiliśmy o Ewangelii św. Jana, że najprawdopodobniej dlatego, że był stosunkowo młodym człowiekiem, że był młodzieńcem, to mógł bezkarnie pod krzyżem przebywać. Pozostali apostołowie byli starsi. W związku z tym, jeżeli zostaliby rozpoznani tak, jak Piotr został rozpoznany, to czekał by ich kiepski los, być może nawet podobny do losu Jezusa. Jan mógł otwarcie być pod krzyżem. Stąd najczęstsze wyobrażenia św. Jana Apostoła przedstawiają go właśnie pod krzyżem w towarzystwie Matki Jezusa Maryi, oraz innej Maryi. W Ewangelii św. Jana czytamy na ten temat bardzo krótko:

> A obok krzyża Jezusowego stały: Matka Jego i siostra Matki Jego, Maria, żona Kleofasa, i Maria Magdalena.

A więc aż trzy Marie, te kobiety, które w tej krytycznej chwili, w tym krytycznym czasie Jezusowi towarzyszyły.

> Kiedy więc Jezus ujrzał Matkę i stojącego obok Niej ucznia, którego miłował, rzekł do Matki: «Niewiasto, oto syn Twój».

Otóż te słowa Jezusa, przeżywane przez św. Jana, i powtórzone tylko w Ewangelii św. Jana zapisanej znacznie później, dają bardzo wiele do myślenia. One ustanawiają związek pomiędzy dwoma światami. Jeden to jest świat doczesnego życia Jezusa, w którym Jezus potrzebował Matki i Matka cieszyła się swoim Synem. I drugi — to jest czas Kościoła. I w tym czasie Kościoła Maryja ma za swojego syna Jana. Ale jednocześnie Jan otrzymuje w Niej Matkę. Jan jest tu symbolem i znakiem wszystkich wyznawców, wszystkich, którzy wyznają Jezusa Chrystusa. I dla tego, kierując się właśnie tym pięknym obrazem pod krzyżem, Maryja od tego czasu jest czczona jako Matka Kościoła. Skoro Jan jest obrazem wszystkich wyznawców, i skoro Maryja staje się jego Matką a on Jej synem, to synostwo przenosi się na wszystkich, którzy w Jezusa wierzą.

Ta prawda nie jest łatwa, bo nie przynależy do naszej ludzkiej logiki. Ona przechodzi do logiki wiary, a więc przechodzi do logiki wyznawania Jezusa Chrystusa. Żeby więc tę prawdę jakoś zrozumieć, to trzeba najpierw ją przyjąć. Otóż są takie rzeczywistości w naszym życiu, które najpierw przyjmujemy czy przeżywamy, a dopiero potem dokonujemy racjonalizacji, czyli staramy się zrozumieć to, co przeżywamy. I pod krzyżem dokonało się właśnie takie *przejście od czasu Jezusa do czasu Kościoła.* I to przejście spina się w osobie św. Jana Apostoła.

Z Janem wiąże się jeszcze jeden epizod, zaraz po ukrzyżowaniu, a dotyczy zmartwychwstania. Otóż on też rzuca nam trochę światła na relacje pomiędzy Piotrem i pomiędzy Janem. Pokazuje nam, że Jan, obok Piotra, stał się pierwszym świadkiem zmartwychwstania. Bo czytamy tak:

> A pierwszego dnia po szabacie, wczesnym rankiem, gdy jeszcze było ciemno, Maria Magdalena udała się do grobu i zobaczyła kamień odsunięty od grobu. Pobiegła więc i przybyła do Szymona Piotra i do drugiego ucznia, którego Jezus miłował, i rzekła do nich: «Zabrano Pana z grobu i nie wiemy, gdzie Go położono». Wyszedł więc Piotr i ów drugi uczeń i udali się do grobu. Biegli oni obydwaj razem, lecz ów drugi uczeń wyprzedził Piotra i przybył pierwszy do grobu. A kiedy się nachylił, zobaczył leżące płótna, jednakże nie wszedł do środka. Nadszedł potem także Szymon Piotr, idący za nim. Wszedł on do wnętrza grobu i ujrzał leżące płótna oraz chustę, która była na Jego głowie, leżącą nie razem z płótnami, ale oddzielnie zwiniętą na jednym miejscu. Wtedy wszedł do wnętrza także i ów drugi uczeń, który przybył pierwszy do grobu. Ujrzał i uwierzył.

Zauważmy, że dojrzewanie do wiary u Jana Apostoła odbywało się przez całe ziemskie życie Jezusa, ale osiągnęło swój punkt kulminacyjny pod krzyżem, a następnie przy pustym grobie.

Można by powiedzieć, że obok Piotra właśnie Jan jest pierwszym świadkiem zmartwychwstania Jezusa. I w związku z tym u niego, bardziej niż u innych apostołów, mamy tę żywą świadomość zmartwychwstania. Świadomość nowości zmartwychwstania Jezusa. Oto znał Jezusa, był z Nim na co dzień przez prawie trzy lata, i jest pierwszym, który biegnąc do grobu zauważył rzeczywistość pustego grobu. „Ujrzał i uwierzył". A Jan dodaje jeszcze:

> Dotąd bowiem nie rozumieli jeszcze Pisma, [które mówi], że On ma powstać z martwych.
> Uczniowie zatem powrócili znowu do siebie.

A więc centralną prawdą o Jezusie Chrystusie jest Jego zmartwychwstanie. A więc to, że Jezus przezwyciężył śmierć, i że żyje w nowy sposób. To nie jest wskrzeszenie do życia, które mamy, ale zmartwychwstanie do życia, którego kształtu nie znamy. Jan jest świadkiem pustego grobu. Nie samego zmartwychwstania, bo zmartwychwstania nie sposób było zobaczyć ani go doświadczyć, ale świadkiem pustego grobu, i pierwszym, można by powiedzieć, wierzącym. Dla niego zmartwychwstanie staje się czymś decydującym o kształcie całego życia. I to zmartwychwstanie, tak jak to mówiliśmy kiedyś omawiając Ewangelię św. Jana, Jan przeżywa przede wszystkim w sakramentach: w sakramencie chrztu i w sakramencie Eucharystii. I w jego Ewangelii mamy ciągły nacisk na te dwa sakramenty.

A tajemnica, z którą nieustannie Jan się zmagał, to oczywiście była tajemnica: kim jest Jezus? Kim jest Jezus, że można z Nim związać życie, że można za Nim pójść, że można dla Niego wszystko poświęcić? Kim jest wreszcie Jezus, że tak głęboko przemienił jego życie? Oraz kim jest Jezus, który przez jednych został przyjęty a przez innych został odrzucony? Już nie tylko nie przyjęty — ale odrzucony! Jak państwo wiedzą na pytanie: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?" inna jest odpowiedź Kościoła, a inna jest odpowiedź Synagogi. Jan był Żydem i dał odpowiedź, jaką udziela Kościół. Bo on sam jest fundamentem Kościoła.

Ale ponieważ był Żydem i chrześcijaninem, to zadawał sobie również pytanie o to, dlaczego inni, którzy tak jak on byli wszczepieni w Pierwsze Przymierze, nie przyjęli Jezusa i nie wyznają Go. I właśnie temu tematowi *Kim jest Jezus?* oraz *Jakie są losy Jezusa w świecie?* poświęcony jest hymn, który otwiera Ewangelię św. Jana. Chyba ten hymn jest najkrótszą drogą do tego, jak Jan przeżywał i Jezusa, i własne życie, i odrzucenie Jezusa przez znaczną część swoich żydowskich rodaków. Ten hymn czytaliśmy niedawno w niedzielę w Kościele. Zresztą państwo go dobrze znają, bo jest jednym z najbardziej znanych tekstów ewangelicznych. Ale raz jeszcze dobrze będzie temu hymnowi się przyjrzeć od tej strony, jeżeli tak można powiedzieć, wnętrza św. Jana Apostoła. Jest to hymn, który w teologii nosi nazwę *hymnu chrystologicznego*, a więc takiego, który usiłuje zgłębić tajemnicę Chrystusa. Jan napisał:

> Na początku było Słowo,
> a Słowo było u Boga,
> i Bogiem było Słowo.

Otóż zastanawiając się nad tym, kim jest Jezus, Jan już nie opisuje Go w kategoriach zwykłego człowieka, ale zaczyna Go opisywać w kategoriach prawdziwego Boga — prawdziwego Człowieka i prawdziwego Boga. Tylko brakuje mu języka, żeby o tym mówić. I dlatego Jan odwołuje się do Starego Testamentu, i przywołuje pierwsze opowiadanie o stworzeniu świata i człowieka. Pan Bóg stwarza wszystko Słowem. Wystarczy Słowo Boże żeby sprawić to, czego Słowo dotyczy. Bóg nakazał, żeby stała się światłość — i stała się światłość. Nakazał, żeby wody rozdzieliły się — i tak się stało itd. Otóż ta sprawcza moc Słowa Bożego jest dla Jana możliwością ujęcia Jezusa jako Boga. Nazywa Go w naszym ludzkim języku Słowem. „Na początku było Słowo." Tak daje poznać, że — mówiłem o tym wiele razy – Bóg jest jedyny, ale nie jest samotny. Bóg jest jedyny, ale jest Ojcem — tak mówimy w naszym ludzkim języku. W Starym Testamencie mamy też obrazy, że Bóg jest Matką. Oczywiście Bóg nie jest ani ojcem ani matką, bo płci nie ma, tylko my używamy naszego ludzkiego języka do opisu Boga. I ponieważ nie mamy innego lepszego sposobu niż powiedzieć, że Bóg zrodził Słowo, więc zaczynamy opisywać Jezusa — Słowo Boże — jako Bożego Syna.

Znów kolejny paradoks języka religijnego i teologii na tym polega, że zawsze rodzi matka, nie ojciec, ale do Boga odnosimy język ojca i język matki. Ojciec, który rodzi Słowo. Nasz ludzki

język jest ułomny. Jan był pierwszym, który tej ułomności bardzo mocno doświadczył. Bo oto jak w ludzkim języku opisać tajemnicę Boga? Zatem *zejście Jezusa między nas* przedstawia Jan *jako nowe stworzenie*. Jedno stworzenie było w samych początkach, a wraz z Jezusem rozpoczęło się stworzenie nowe. Jesteśmy powołani do nowego życia. Na czym polega jego istota? „‚Ono", czyli „Słowo":

Ono było na początku u Boga.
Wszystko przez Nie się stało,
a bez Niego nic się nie stało,
co się stało.

Ten mały Jezus, urodzony w Betlejem, którego wspominamy, przedstawiamy, wyobrażamy sobie jako niemowlę, to zarazem potężne Słowo Boże, bo Syn Boży. Jan musiał być przepełniony tą świadomością tajemnicy Jezusa. Musiał być przepełniony świadomością, że oto przyszło mu we wczesnej młodości spotkać Boga samego. I Jan jest pierwszym. I od tamtej pory chrześcijanie idą w jego ślady zmagając się z tajemnicą Boga, który stał się człowiekiem.

W Nim było życie,

tłumaczy dalej:

a życie było światłością ludzi,
a światłość w ciemności świeci
i ciemność jej nie ogarnęła.

Do opisania wcielenia Syna Bożego używa obrazu światła i ciemności. Otóż tak jak jedno maleńkie światełko sprawia, że staje się widoczne w ciemności, choćby ciemności były nieogarnione, to tak wejście na świat Syna Bożego — tłumaczy Jan — spowodowało nową jakość świata. I on był jednym z pierwszych, którzy tej nowej jakości doświadczyli, który doświadczył tej jakości Boga, który jest światłością. I dalej:

Pojawił się człowiek posłany przez Boga -
Jan mu było na imię.

Tym razem chodzi o Jana Chrzciciela.

Przyszedł on na świadectwo,
aby zaświadczyć o światłości,
by wszyscy uwierzyli przez niego.
Nie był on światłością,
lecz [posłanym], aby zaświadczyć o światłości.

Jan Ewangelista wskazuje na Jana Chrzciciela. Przypomina, że Jan Chrzciciel zapowiadał Jezusa, głosił Jezusa. Sam nie był tą światłością, którą Jezus głosił, ale przygotowywał. Niestety to przygotowanie nie przyniosło takiego rezultatu, takich owoców, takich sukcesów, jakich można byłoby się spodziewać. Zawsze w spotkaniu z człowiekiem Pan Bóg może przegrać. Taka jest cena ludzkiej wolności. Skoro stworzył nas wolnymi, to musi przygotować się także na przegraną w tej konfrontacji z ludzką wolnością. Jan musiał bardzo przeżywać to, że wielu jego rodaków nie przyjęło Boga, który tak cierpliwie przygotowywał ich do tej rzeczywistości Wcielenia. Obok św. Jana tę rzeczywistość odrzucenia, tę trudność odrzucenia, można by powiedzieć: tę boleść odrzucenia, równie mocno przeżywał św. Paweł Apostoł. Paweł wiele razy nawiązywał do tego, że dla niego jakimś misterium, jakąś zagadką, jakąś ciemnością jest to, że Jezus został odrzucony przez swoich. I jeszcze jedno:

Na świecie było [Słowo],
a świat stał się przez Nie,
lecz świat Go nie poznał.
Przyszło do swojej własności,
a swoi Go nie przyjęli.

A więc Słowo obecne w początkach świata i Słowo obecne w Jezusie. W Jezusie, który został jednak wzgardzony i odrzucony. Jeżeli mówić o pokorze Boga, to Jan Apostoł tę pokorę Boga przeżył chyba najgłębiej, najmocniej, najdosadniej, najbardziej wyraziście. Bo przecież widział pokorę Boga zawieszonego na krzyżu. My bardzo często podkreślamy pokorę Boga w Jezusie w Betlejem. Bardzo często, zwłaszcza teraz w okresie Bożego Narodzenia, opiewamy te skromne warunki, w jakich Jezus przyszedł na świat. Ale znacznie większym ogołoceniem było to, co wydarzyło się na krzyżu. Jan nie był w Betlejem, bo tam być nie mógł, natomiast był pod krzyżem. I oto jakby musiał w całym swoim życiu rozważać ten silny kontrast między Bogiem, który stał się Człowiekiem, i Człowiekiem

– Bogiem, który pozwolił siebie ukrzyżować. To zgorszenie krzyża w przypadku Jana Ewangelisty jest przeżywane bardzo mocno. Zostało ono później w tej słynnej łacińskiej formule powtarzane przez wieki jako scandalum crucis — *skandal krzyża, zgorszenie krzyża.* Krzyż, jeżeli się nad nim zastanowimy tak głęboko, rzeczywiście jest jakimś zgorszeniem. Bo to, że wieszają złoczyńców na krzyżu, wydawało się w starożytności oczywiste. Ale żeby powiesić niewinnego człowieka — to był skandal. A ten niewinny człowiek to jest zarazem Bóg — to jest właśnie ten próg wiary, przez który bardzo wielu przejść nie mogło. Jan przez ten próg wiary przeszedł, bo stał się świadkiem Zmartwychwstałego. Ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że dla wielu jego rodaków był to próg zbyt trudny.

Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli,
dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi,
tym, którzy wierzą w imię Jego -
którzy ani z krwi,
ani z żądzy ciała,
ani z woli męża,
ale z Boga się narodzili.

i dalej te słynne słowa, które są również na frontonie Bazyliki Zwiastowania w Nazarecie:

A Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami.

I można by powiedzieć, że te właśnie słowa, ta formuła, to wyznanie wiary: „Słowo Boże stało się ciałem ludzkim i zamieszkało między nami", że ta formuła to jest jakby całe streszczenie długiego życia św. Jana. A jak mówi tradycja, było ono rzeczywiście bardzo długie. Początkowo żył w Jerozolimie. W Jerozolimie był z Najświętszą Maryją Panną. W Jerozolimie był w Wieczerniku, był w dzień zesłania Ducha Świętego. Następnie, kiedy sytuacja w Jerozolimie się skomplikowała, zwłaszcza na pewno już po roku siedemdziesiątym, wtedy kiedy Rzymianie zburzyli Jerozolimę, Jan udał się aż do Azji Mniejszej czyli na teren dzisiejszej Turcji, w okolice Efezu. I tam osiadł na wyspie Patmos. Patmos jest bardzo blisko tureckiego wybrzeża, jedna z najpiękniejszych greckich wysp. I tam Jan dożywał późnej starości. Tam pisał swoje listy, oczywiście nie sam, ale przez sekretarzy. Tam snuł wspomnienia o Jezusie, na kanwie których jest oparta czwarta Ewangelia kanoniczna Janowi przypisywana. Tam również, w środowisku Janowym, powstawała Apokalipsa — na temat Apokalipsy mieliśmy kiedyś konferencje poświęcone poszczególnym Kościołom, do których zwracał się św. Jan Apostoł.

Zatem wczesna młodość z Jezusem w Palestynie, późna starość samotnie gdzieś tam na Patmos, w otoczeniu tylko najbliższych uczniów. Kiedy go po śmierci pochowano, zapamiętano dobrze jego grób. I gdy można było tylko na terenie Azji Mniejszej budować kościoły, wtedy w Efezie, w sąsiedztwie starożytnego Efezu, powstała Bazylika św. Jana. Pozostałości tej bazyliki i grób św. Jana są tam po dzień dzisiejszy pokazywane i zachowywane. Kiedy papież Paweł VI, a później Jan Paweł II przebywali w Efezie, to i jeden i drugi papież udali się na grób św. Jana. W ostatnim okresie ten grób św. Jana w pozostałościach dawnej bazyliki, potężnego kościoła położonego wysoko na wzgórzu, jest nawet przedmiotem czci i muzułmanów, dla których Jan jest jednym ze świętych, jest świętym mężem. Można by powiedzieć, że znów zatoczyło się jakieś koło, od Jeziora Galilejskiego do Efezu. Gdyby zatem chcieć zapamiętać osobę, sylwetkę św. Jana Apostoła, to te słowa, które dobrze znamy:

A Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami.

bardzo dobrze oddają napięcia i dylematy jego życia. Dylematy człowieka, który przeżył spotkanie z Bogiem, zastanawiał się nad tym spotkaniem z Bogiem Jezusem, uczynił je — można by powiedzieć — częścią swojego życia i cały dar z tym związany, a jednocześnie obowiązek, powinność, której musiał sprostać, na tym polegała, że z tą tajemnicą musiał się zmagać nie przez męczeństwo, tylko przez całe swoje długie życie. A więc również dał przykład cierpliwej wytrwałości.

Myślę, że tyle na temat św. Jana Apostoła. Za ponad miesiąc, 16 lutego, zapraszam na kolejne spotkanie, które poświęcimy kolejnemu apostołowi. Natomiast kiedy zacznie się post, w marcu, na marzec odkładam spotkanie z Judaszem, bo on też był apostołem. W marcu będziemy starali się przyjrzeć temu, o którym mówimy, że przegrał. Ale uprzedzając wszystko inne przegrana Judasza, gdyby rzeczywiście do niej doszło, to byłaby też w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu, przegraną Jezusa. A o tym raczej myśleć nie chcemy. Więc być może i na niego trzeba będzie spojrzeć nowymi oczami. Póki co bardzo serdecznie dziękuję.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6.5 Św. Filip i św. Bartłomiej. Zapowiedź filmu „Pasja" (16 lutego 2004)

W Imię Ojca ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ...

Kolejne nasze tegoroczne spotkanie. Dzisiaj luty. Nie tylko luty, ale i 16 lutego, zatem dzień papieski. Ta świadomość też nam w ciągu całego dnia towarzyszy. Staramy się o papieżu pamiętać. Również staramy się w jego intencji modlić. I myślę że teraz, kiedy rozpoczynamy konferencję, to też wzgląd na ten 16 dzień miesiąca jest bardzo ważny.

Tematem tegorocznym są apostołowie Jezusa Chrystusa. Staramy się przyjrzeć zatem Ewangeliom z drugiej strony, z innej strony, niż przyglądaliśmy się rok temu czy dawniej. I staramy się przyjrzeć nie tylko Jezusowi, ale teraz bardziej tym, dzięki którym Jego Ewangelia jest znana, i dzięki którym również my jesteśmy chrześcijanami. Kiedy czytamy poszczególne Ewangelie, i kiedy czytamy w ogóle księgi Nowego Testamentu to myślę, że państwo zauważyli, że wiadomości na temat apostołów są bardzo skąpe. I wydawać by się mogło, że niewiele możemy o nich powiedzieć. Do tej pory powiedzieliśmy jednak dość sporo, dość dużo o św. Piotrze, powiedzieliśmy dużo — tyle, ile można — o św. Janie Apostole. Dzisiaj kolej na następnych apostołów.

I wybieramy sobie dwóch mniej znanych, którzy są ze sobą jakoś związani w początkach swojego powołania. Zatrzymamy się nad ich sylwetkami i uświadomimy sobie raz jeszcze, że *nie tylko człowiek potrzebuje Pana Boga, ale także Pan Bóg w tym świecie potrzebuje człowieka.* I że apostołowie byli do tego potrzebni, aby wieść o Jezusie zanieść w różne strony świata. Zresztą uczynili to bardzo skutecznie, bo mamy dzisiaj znacznie ponad miliard chrześcijan na świecie, czyli ponad miliard tych, którzy są Jezusa Chrystusa wyznawcami.

Chciałbym dziś zatrzymać się nad dwoma mniej znanymi apostołami. Ale jak się wydaje zobaczą państwo, że z pomocą Ewangelii można o nich mieć jakiś obraz, jakieś pojęcie — chociaż oczywiście zawsze chcielibyśmy wiedzieć więcej. Ci dwaj apostołowie to Filip i Bartłomiej. Co można powiedzieć na ich temat, kiedy korzystamy z Ewangelii? Co można wywnioskować z czytania Ewangelii, i jaki oraz tych dwóch apostołów nam się wyłania? Tych wzmianek o Filipie i o Bartłomieju na kartach Ewangelii nie ma zbyt wiele. Ale jednak te, które mamy, są dla nas bardzo pouczające. I myślę, że taki wiarygodny wizerunek Apostołów nam się wyłoni.

Charakterystyczne, że do odtworzenia portretu tych dwu Apostołów najbardziej przydatna będzie nam Ewangelia św. Jana. Państwo wiedzą, że do tej pory korzystaliśmy głównie z trzech tzw. Ewangelii synoptycznych, które są pod wieloma względami łatwiejsze, niż Ewangelia św. Jana. A więc bardzo często cytowaliśmy Ewangelię św. Mateusza, Ewangelię św. Marka, Ewangelię św. Łukasza. A oto dzisiaj jest inaczej dlatego, że portret Filipa i Bartłomieja możemy nakreślić zwłaszcza w oparciu o Ewangelię św. Jana. Pozostali ewangeliści wspominają tych apostołów, ale wspominają ich tylko w katalogach, w wykazie dwunastu apostołów. Natomiast z Ewangelii św. Jana możemy wnosić, kim ci dwaj apostołowie byli. I już to samo jest bardzo znaczące. Można by postawić takie pytanie: „A dlaczego apostołowie w Ewangeliach zajmują tak stosunkowo mało miejsca? Czy nie powinni być opisani bliżej? Czy nie powinni być opisani lepiej? Czy nie powinni być opisani dokładniej, skoro tego oczekujemy?"

I odpowiedź na to pytanie jest mimo wszystko dość prosta. Mianowicie w centrum Ewangelii stoi osoba i posłannictwo Jezusa Chrystusa. To On jest najważniejszy. I jeżeli dowiadujemy się czegokolwiek o Jego apostołach, to tylko w kontekście tego silnego podkreślania, kim jest Jezus, czego Jezus uczy, czego wymaga, czego żąda od swoich uczniów, co chciałby od nich otrzymać, również w kontekście wiadomości o Jego cudach, wreszcie o Jego męce, o Jego śmierci i zmartwychwstaniu. On jest na pierwszym miejscu. Gdybyśmy szukali — często to robimy — jakiejś analogii w czasach dzisiejszych, to moglibyśmy powiedzieć że to jest trochę tak, jak z papieżem Janem Pawłem II oraz z tymi, którzy towarzyszą papieżowi, i to towarzyszą mu na co dzień. Otóż papież ma na co dzień grono osób bardzo mu bliskich i bardzo silnie z nim związanych. Jedni są bardziej widoczni, tacy, jak obecny arcybiskup Stanisław Dziwisz. Inni mniej widoczni, są zawsze na drugim planie, ale już też przyzwyczailiśmy się do widoku ich twarzy. Jeszcze innych osób w ogóle nie znamy. Np. nie znamy, chyba że może czasami z jakiegoś wywiadu, który jest udzielany bardzo rzadko, sióstr polskich, które na co dzień gotują papieżowi posiłki, przygotowują śniadania, obiady, kolacje, podadzą herbatę, czy wodę, czy cokolwiek innego. One od ponad 25 lat są bez przerwy przy papieżu. Niektóre

z tych sióstr to już są staruszki. Ale ponieważ i papież nie jest pierwszej młodości, to postanowił je wszystkie zatrzymać tak, jak były na samym początku. Ale my oczywiście tych ludzi nie znamy. Wyobrażamy sobie, że każda z tych osób to jest kopalnia wiadomości o papieżu. Marzyła by nam się rozmowa z siostrami, które od 25 lat posługują papieżowi — zapytać, co lubi, co szczególnie lubi itd. Ale oczywiście takiej rozmowy zapewne nie odbędziemy.

I coś podobnego dzieje się z apostołami. Apostołowie byli bez przerwy na drugim planie. I stąd jeżeli buntujemy się czasami, że wiemy o nich tak mało, to pamiętajmy, że mimo wszystko nie oni byli najważniejsi. Zacznijmy więc omawiać te dwie postacie, dwie sylwetki, Filipa i Bartłomieja, zacznijmy od opisu ich powołania. Ten opis znajduje się w Ewangelii św. Jana, rozdziale 1, wierszu 43 i następnych — podaję to, żeby sobie w domu ewentualnie zajrzeć i raz jeszcze ten tekst przeczytać — tuż przed opowiadaniem o pierwszym cudzie, którego Jezus dokonał w Kanie Galilejskiej. To powołanie Filipa i powołanie Bartłomieja jest bardzo niezwykłe, bardzo osobliwe. Może warto zwrócić na nie uwagę, bo to nam pokazuje w jak dziwnych okolicznościach ludzie zostawiają wszystko i podejmują to, co odczytują jako głos Boży i znak od Boga. Czytamy tak:

Nazajutrz [Jezus] postanowił udać się do Galilei.

A czytamy wcześniej, że powołał swoich pierwszych uczniów, mianowicie Piotra i brata jego Andrzeja. Uczynił to nad Jeziorem Galilejskim. Teraz Jezus postanawia opuścić rejon Jeziora Galilejskiego i udaje się wgłąb Galilei. A zatem udaje się nieco na zachód. Ponieważ sporo osób spośród państwa było w Ziemi Świętej, i te informacje to bardzo często tylko przypomnienie widoków, które znamy, to pamiętamy, że Jezioro Galilejskie leży 212 m poniżej poziomu mórz, zatem leży w bardzo dużej depresji. I jeżeli ktoś chce wyjść wgłąb Galilei, to musi iść najpierw bardzo do góry, potem wychodzi się na taki obszar, gdzie są dzisiaj pola uprawne, w starożytności były też i lasy, głównie sosnowe, piniowe, i następnie kieruje się w stronę gór Karmel. Po północnej stronie, a więc idąc w stronę Morza Śródziemnego mamy góry Libanu. Widać te góry bardzo dobrze, jeżeli jest wiosna albo zima, to na tych górach jest zawsze śnieg. Ta okolica jest bardzo malownicza. I dowiadujemy się, że Jezus opuszcza okolice jeziora, i udaje się wgłąb tej zielonej, pięknej, bogatej w wodę — tak jest po dzień dzisiejszy — Galilei.

I spotkał Filipa.

Zwróćmy uwagę, że nie ma żadnych okoliczności, w jakich Jezus spotkał Filipa. Ot po prostu spotkał go, można by powiedzieć – po drodze. Zwróćmy uwagę, że spotkał go samego. Nie wiemy, czy spotkał go przy pracy, czy spotkał go na spacerze, czy spotkał go w drodze, czy spotkał go gdzieś przy załatwianiu jakichś spraw, czy spotkał go w trakcie odpoczynku — nie potrafimy na ten temat nic powiedzieć. Tylko: „spotkał go". Ważne jest to słowo „spotkać", bo ono przetłumaczone z greckiego na polski mówi nam także coś o tej sytuacji. Mianowicie to nie był zwyczajny kontakt dwóch nieznajomych do tej pory osób, ale była to najprawdopodobniej rozmowa, której pointa, której koniec brzmiał tak:

Jezus powiedział do niego: «Pójdź za Mną!».

Zwróćmy uwagę, że te słowa «Pójdź za Mną!» pojawiają się w kilku innych kontekstach, gdzie Jezus powołał Piotra, Jezus powołał Andrzeja, Jezus powołał Jana. I do wszystkich zwraca się «Pójdź za Mną!» I do Filipa zwraca się podobnie. Może zaraz uda nam się coś więcej powiedzieć na temat Filipa, bo z Ewangelii to coś więcej wynika. Ale na razie nic więcej nie wiemy. Dziwne jest nieco imię Filip — dlatego, że nie jest to imię hebrajskie, jest to imię greckie. Na pewno ten, którego Jezus powołał, był Żydem — to nie ulega żadnej wątpliwości. Ale fakt, że nosi greckie imię, może nasuwać nam podejrzenie, że pochodził z rodziny zasymilowanej, takiej rodziny ulegającej greckim wpływom. To nie znaczy rodziny pogańskiej, ale na pewno takiej rodziny, i dość otwartej.

Prawdę mówiąc taka właśnie była wtedy Galilea. Wiemy, że Palestyna składa się z trzech części: u samej góry, na północy Galilea, środkowa Samaria, na południu Judea. Judea, ze stolicą w Jerozolimie, była zawsze najbardziej zamknięta. Można by powiedzieć — była najbardziej ortodoksyjna, najbardziej tradycyjna — i tak jest po dzień dzisiejszy. W Samarii mieszkali Samarytanie, których Żydzi uważali za mieszańców, więc na ogół omijali Samarię. Natomiast jeżeli chodzi o Galileę, to mieszkający tam Żydzi byli bardzo otwarci, i byli dość kosmopolityczni. I takim zapewne był Filip, co będzie wynikało także z innych tekstów ewangelicznych. I bardzo ciekawe że ten człowiek,

na pewno znający kulturę grecką i otwarty na kulturę grecką, podejmuje to powołanie i idzie za Jezusem. Nie wiemy na ten temat nic, jak to się odbywało. Ale ta gwałtowność odpowiedzi jest zdumiewająca. I dalej:

> Filip zaś pochodził z Betsaidy, z miasta Andrzeja i Piotra.

A może to było tak, że kiedy Jezus spotkał Filipa, to spotkał go i rozmawiał z nim dlatego, ponieważ on był znajomym Piotra i Andrzeja, których Jezus już wcześniej powołał? Tamci pochodzili z Betsaidy. Otóż Betsaida to jest miasto, które znajduje się nad samym Jeziorem Galilejskim. Nawiasem mówiąc od 3 lat w Betsaidzie pracuje ekipa wykopaliskowa z Uniwersytetu Łódzkiego. Pracownia archeologiczna Uniwersytetu w Łodzi otrzymała koncesję na wykopaliska w Betsaidzie, w tym mieście Piotra, Andrzeja, a także Filipa. Może więc Jezus spotkał Filipa i rozmawiał z nim, wdał się z nim rozmowę dlatego, że już był znany dwóm pozostałym uczniom Jezusa, których powołał wcześniej? Proszę zwróćmy uwagę, że w życiu są przypadki, ale te przypadki układają się też w pewną logiczną całość. Fakt, że pochodził z Betsaidy, przesądził o tym, że był podatniejszy na słowo Jezusa. Wygląda zatem na to, że skoro Piotr i Andrzej odpowiedzieli pozytywnie na wezwanie Jezusa, to także ich znajomy, Filip, poszedł za Jezusem tym łatwiej, tym bardziej ochoczo, i tym skuteczniej. Zwróćmy uwagę, że także w tych sprawach, które dotyczą wnętrza człowieka, które dotyczą sumienia, losu, przyszłości człowieka, bardzo dużo znaczą przyjaźnie i życzliwości. Że można zrobić bardzo wiele dobrego oddziałując na innych, stanowiąc dla innych przykład, czasami przykład do naśladowania. Że te przyjaźnie, które mamy, które pielęgnujemy, mogą wpływać na ludzkie życie. Że nie jest rzeczą błachą to, że mamy przyjaciół i że w różnych sytuacjach możemy wpływać na koleje życia naszych przyjaciół. Ten fragment w każdym razie sugeruje taki rozwój sytuacji. I czytamy dalej:

> Filip spotkał Natanaela

A więc kolejny znajomy, kolejny przyjaciel, Natanael. Spotkał kogoś, kogo już znał. Ktoś z państwa pomyśli sobie: „Czy to nie za dużo tych znajomych? Piotr, Andrzej, Filip, Natanael?" Tamci pochodzą z Betsaidy, Natanael — na razie nie wiemy. Uprzedzę tylko: pochodził z Kany Galilejskiej. Czy nie za dużo tych znajomych? Otóż musimy pamiętać, że cały ten obszar jest stosunkowo mały. Kiedy Jezus był nad Jeziorem Galilejskim, to w jakimkolwiek miejscu stał, to choćby przy miernej pogodzie zawsze widział Betsaidę. Dlatego, że całe Jezioro Galilejskie ma 21 km długości, 12 km szerokości, zatem Betsaidę widać jak na dłoni. Kiedy udawali się wgłąb Galilei, spotykali rozmaitych znajomych, bo kraj jest stosunkowo mały, powiedzmy sobie wielkości naszego powiatu. Trudnili się handlem, trudnili się kupiectwem, trudnili się wymianą. Na pewno ci, którzy byli rybakami, sprzedawali swoje ryby tam, w głębi kraju. Ci z kolei, którzy tam mieszkali, przybywali nad jezioro dla różnych celów. Więc ci ludzie się znają. I Natanael jest jeszcze jednym znajomym, przede wszystkim Filipa.

> Filip spotkał Natanaela i rzekł do niego: «Znaleźliśmy Tego, o którym pisał Mojżesz w Prawie i Prorocy — Jezusa, syna Józefa z Nazaretu».

Zwróćmy uwagę, jak bardzo głęboko Filip przemawia do swojego przyjaciela: «Znaleźliśmy Tego, o którym pisał Mojżesz w Prawie i Prorocy». To nam wskazuje, że w czasach Jezusa, w tych czasach, w których żyli również apostołowie, bardzo silne były oczekiwania i nadzieje mesjańskie. Ówcześni Żydzi czytali Stary Testament, objaśniali Stary Testament, i oczekiwali Tego, który na kartach Starego Testamentu był zapowiadany. Wiemy, że Stary Testament w tym kanonie hebrajskim, żydowskim, to są trzy zbiory: Prawo, które inaczej nazywa się Tora, Prorocy, i Pisma. I mamy tutaj nawiązanie do dwóch pierwszych zbiorów. Mianowicie do Tory, czyli Pięcioksięgu Mojżesza, oraz do ksiąg prorockich. I mówi Filip, że znaleźliśmy Tego, o którym Tora — Prawo, i Prorocy mówią. Że tym kimś, na kogo czekaliśmy, kogo potrzebowaliśmy, jest Jezus, syn Józefa z Nazaretu.

Zwróćmy uwagę, że jeden jedyny raz w Ewangeliach mamy tutaj wyraźne odniesienie: Jezus — nie syn Maryi, tylko syn Józefa. Otóż jeszcze Filip, podobnie jak Piotr, jak Andrzej, jak Natanael, którego tutaj powołano, którego drugie imię to Bartłomiej — o tym za chwilkę — otóż ci ludzie jeszcze nie wiedzieli, jeszcze nie mieli pojęcia o okolicznościach poczęcia i narodzin Jezusa. Spotykali Jezusa tak, jak się spotyka każdego innego człowieka. A w żydowskim sposobie przedstawiania się, podobnie jak np. do dzisiaj w kulturze rosyjskiej przedstawia się według ojca. Tzn. po linii ojca —

zawsze przedstawiano kogoś dodając czyim jest synem. Jezus powszechnie uchodził za syna Józefa. Jeszcze nie byli wprowadzeni w tajemnicę dziewiczego poczęcia. Dopiero publiczna działalność Jezusa się zaczynała. Więc Jezus zostaje przedstawiony według swojego ojca, Józefa z Nazaretu. I bardzo ciekawa jest reakcja:

Rzekł do niego Natanael:

Zatrzymajmy się najpierw nad tym „Natanael". Otóż imię Natanael jest hebrajskie. Natan — *dał,* El — *Bóg,* Natanael — *Bóg dał,* po polsku: „Bogdan" albo „Bożydar" — to polski odpowiednik „Natanaela". Greckim odpowiednikiem tego imienia według naszego obiegowego sposobu używania, to jest „Bartłomiej". Otóż to „Bart" pochodzi od hebrajskich słów oznaczających Bar czyli po polsku *syn* — „syn Tymeusza". A więc dla jednych to jest Natanael, czyli jego imię jest Natanael. Ale inni przedstawiali go również — tak jak o Jezusie mówiono: syn Józefa, tak o Natanaelu — syn Tymeusza. A więc Bar Tolomeus — „Bartłomiej". I Natanael i Bartłomiej to są dwa imiona, czy powiedzmy: jedno imię a drugie przydomek, tego samego człowieka.

Rzekł do niego Natanael: «Czyż może być co dobrego z Nazaretu?»

Te słowa nas zaskakują. A jeżeli nawet słyszymy je w kościele, to czasami szokują. O co chodzi? Otóż najprawdopodobniej o to, że w ówczesnej Galilei, a tam rozgrywają się te wydarzenia, Nazaret nie cieszył się najlepszą sławą. Nie potrafimy powiedzieć, dlaczego tak się dzieje, nie mamy na ten temat jakichś historycznych przekazów, które by nam to tłumaczyły. Ale jak państwo wiedzą są takie okolice, czy również takie okresy w dziejach, kiedy jakieś miasto, miasteczko, czy wieś w danej okolicy cieszą się złą sławą. Nie chciałbym nikogo urazić, ale żeby nawiązać do topografii Warszawy no to, powiedzmy, wystarczy powiedzieć, że ktoś mieszka po drugiej stronie Wisły, zwłaszcza gdzieś tam na Targówku, na Zaciszu — od razu mówią, że tam mieszkania są tańsze. Jeżeli dziewczyna przyjdzie do domu i powie, że spotyka się z chłopakiem, który pochodzi — przepraszam — z Wołomina czy z Pruszkowa, to pierwsze skojarzenie: a to mafia! Czy to jest słuszne czy nie, to zupełnie osobna sprawa. Ale w głowie są takie skojarzenia. Skojarzenia, że ta ulica jest niebezpieczna, że ta dzielnica jest lepsza niż inne, że z tym miastem związana jest jakaś zła sława. Oczywiście może się zdarzyć tak, że za 15 - 20 lat kiedy ktoś powie „mafia pruszkowska" albo „mafia wołomińska", to ludzie nie będą wiedzieć o czym on mówi, bo to będzie zupełnie nie aktualne. Ale póki co, na razie jest aktualne. Wygląda na to, że coś podobnego było w czasach Jezusa z Nazaretem. Mianowicie Nazaret był także miastem przysłowiowym. Dlatego Natanael zagadnięty przez Filipa, że tamten znalazł Mesjasza, syna Józefa z Nazaretu, odpowiada zupełnie szczerze: „Czyż może być co dobrego z Nazaretu?" A więc daje wyraz jakiejś rezerwie wobec tego miasteczka.

Odpowiedział mu Filip: «Chodź i zobacz!»

Zamiast tłumaczyć — sprawdź! Zauważmy, że zawiązuje się cała akcja. Możemy sobie nawet wyobrazić tych dwu mężczyzn, Filipa i Bartłomieja czyli Natanaela, jak ze sobą rozmawiają. Chodź i zobacz! I teraz Filip staje się tym, który przyprowadza Natanaela do Jezusa. Zwróćmy uwagę, że są takie sytuacje w życiu, kiedy można pomóc drugiemu człowiekowi przyprowadzając go. Nie zawsze przekonując słowami, ale raczej pozwalając mu zobaczyć, pozwalając sprawdzić, pozwalając widzieć. I tutaj mamy z czymś takim do czynienia. To jest coś takiego, jak — powiedzmy — warto pójść w niedzielę na mszę św. Można kogoś przekonywać bardzo długo, a można też mu powiedzieć: „Słuchaj, chodź ze mną w tę niedzielę, i zobaczysz". I tu mamy jakiś zupełnie analogiczny mechanizm.

Jezus ujrzał, jak Natanael zbliżał się do Niego, i powiedział o nim: «Patrz, to prawdziwy Izraelita, w którym nie ma podstępu».

Teraz inicjatywa przechodzi do Jezusa. Zwróćmy uwagę na to, że Natanael wyraził się o Nazarecie, a więc i o Jezusie, dość pogardliwie. Jezus odpowiada zupełnie inaczej: «Spójrz, to prawdziwy Izraelita, w którym nie ma podstępu». Może to ta szczerość Natanaela spowodowała, że Jezus docenił, że wypowiedział się on tak dosadnie — ale po prostu powiedział to, co myśli. Są tacy, którzy skrywają swoje prawdziwe myśli. Są inni, którzy po prostu mówią to, co myślą Nie zawsze jedno i drugie jest dobre, czasami pierwsi powinni się otworzyć, drudzy powinni wykazać więcej cierpliwości. Ale w tej sytuacji Natanael doczekał się pewnej pochwały. Jezus był zganiony, a Natanael otrzymuje, jeżeli tak można powiedzieć, zielone światło.

A może Jezus użył tutaj pewnej figury, zabiegu retorycznego, o którym kiedyś mówiliśmy sobie, i który w świecie rzymskim, a w Palestynie byli wówczas Rzymianie, nosił nazwę captatio benevolentiae czyli *pozyskanie przychylności.* Otóż jeżeli się chce pożytecznie, skutecznie, szybko, owocnie załatwić jakąś sprawę, to dobrą jest rzeczą nie nachalnie, ale delikatnie, zasugerować swojemu rozmówcy, zwłaszcza jeżeli go zupełnie nie znamy, jakąś pochwałę czy wręcz komplement. To od razu tworzy atmosferę, w której ludzie stają się bliżsi sobie. Może więc tutaj Jezus użył, jeżeli tak można powiedzieć, pewnego zabiegu chcąc pozyskać przychylność tego nieznajomego? Tu komentatorzy Nowego Testamentu sprzeczają się o to, a my zostawmy to do własnego uznania.

Powiedział do Niego Natanael: «Skąd mnie znasz?»

To logiczne pytanie. Jeżeli mnie chwalisz, to co o mnie wiesz? Skąd mnie znasz? Jeżeli powiedziałeś mi: „Oto prawdziwy Izraelita, w którym nie ma podstępu, w którym nie ma zdrady", to skąd to wiesz? I wtedy:

Odrzekł mu Jezus: «Widziałem cię, zanim cię zawołał Filip, gdy byłeś pod drzewem figowym».

Kiedy czytamy ten fragment i zastanawiamy się nad nim, zawsze z nim są kłopoty. Co to znaczy owe drzewo figowe? Tu bardzo ciekawe są komentarze, które dawano już w starożytności. A wiadomo, że starożytni komentatorzy mieli znacznie lepsze intuicje niż te, które my mamy. Na pewno część z państwa widziała drzewo figowe. Ono ma bardzo duże, rozłożyste liście, dość grube, zatem daje bardzo dużo cienia. Zwłaszcza kiedy jest pora sucha i gorąca, to można pod drzewem figowym znaleźć przemiły cień. W dodatku pod drzewem figowym, podobnie jak u nas pod lipą albo pod orzechem, nie ma robaków, bo robactwo nie lubi drzewa figowego. I drzewo figowe ma też bardzo dobre, soczyste i bardzo słodkie, bardzo pożywne owoce. Otóż wszystko to powoduje, że w starożytności drzewo figowe cieszyło się szczególnym upodobaniem ze strony różnych mędrców albo takich, którzy siebie za mędrców uważali, oraz było bardzo dobrym miejscem do studiowania Pisma Świętego. Rabini w starożytności też robili sobie takie zielone lekcje. I kiedy przychodziła sprzyjająca pora, to opuszczali synagogi, opuszczali te *bet midrasze,* w których studiowano Torę, i udawali się pod drzewa. I tam pod drzewami siedzieli, rozmawiali, dyskutowali, bo to było takie bardzo sprzyjające środowisko. I szczególnym upodobaniem cieszyło się drzewo figowe.

Zwróćmy zatem uwagę że wiedząc to, możemy dojść do pewnej sugestii, do pewnej myśli, że Natanael zajmował się studiowaniem Pisma Świętego. Bardzo wielu mężczyzn w ówczesnej Palestynie, żydowskich mężczyzn, poświęcało się takim studiom. Ja kiedyś wspominałem — ale to jest niewiarygodne — że 2000 lat temu, czyli w czasach Jezusa, w Palestynie wśród Żydów (mężczyzn) prawie wcale nie było analfabetów. Otóż już wtedy znano powszechnie sztukę czytania i pisania. Zatem każdy mężczyzna żydowski, kiedy pokazano mu zwój tekstu świętego, to mógł go czytać, mógł go objaśniać. I również kiedy został zaproszony do synagogi, to w synagodze mógł publicznie tekst czytać. Jaki z tego wniosek? Że w Palestynie 2000 lat temu osiągnięto, podkreślam — wśród mężczyzn, stan, który w Europie osiągnięto w połowie XX wieku, czyli dopiero kilkadziesiąt lat temu, kiedy udało się zlikwidować analfabetyzm.

I dzisiaj w zasadzie każdy człowiek w naszej Ojczyźnie zna sztukę czytania i pisania. Ale na pewno dorośli z państwa pamiętają ze swojej młodości jeszcze takie osoby, które nie umiały czytać i pisać. Ja pamiętam, że kiedy byłem na pierwszej parafii, to zdarzyły się przynajmniej 2 - 3 takie przypadki, kiedy przy wypełnianiu jakiś dokumentów kościelnych zainteresowany podpisywał się krzyżykiem. Były to starsze osoby, ale to była II połowa lat 70-tych XX wieku! Natomiast u Żydów sztuka czytania i pisania została opanowana już w czasach Jezusa Chrystusa. To jest zupełnie niewiarygodna sprawa. To się dokonało oczywiście za sprawą czytania Pisma Świętego.

I wygląda na to, że powołany przez Chrystusa Natanael zajmował się pod tym drzewem figowym, prawdopodobnie w wolnym czasie, czytaniem Pisma Świętego. Stąd u niego, podobnie jak u Filipa, był ten silny mesjański nastrój, silne mesjańskie oczekiwanie. I to właśnie ono przesądziło o tym spotkaniu z Jezusem Chrystusem. Że jeżeli Jezus spotykał się z tymi ludźmi, to oni byli podatni dlatego, że oni mieli w sobie tą nadzieję, i ta nadzieja była bardzo silna. Nie jest zatem rzeczą obojętną, kim jesteśmy. Jeżeli człowiek jest ciekawy Boga, ciekawy świata, ciekawy tych spraw religijnych i duchowych, to oczywiście ma w sobie pewien głód. Wystarczy później jakaś iskra, która spowoduje swoisty pożar. A ten z kolei sprawia próbę, czy wolę, czy chęć zaspokojenia tego

głodu. Natomiast jeżeli człowiek w sobie tego nie ma, to rzecz jasna obok wielu rzeczy, obok wielu wydarzeń może przechodzić zupełnie obojętnie.

> «Widziałem cię, zanim cię zawołał Filip, gdy byłeś pod drzewem figowym». Odpowiedział Mu Natanael: «Rabbi, Ty jesteś Synem Bożym, Ty jesteś Królem Izraela!»

Ta odpowiedź wydaje się nieproporcjonalna do całej sytuacji. Oto pierwszy raz Natanael widzi Jezusa, przyjmuje Go z rezerwą, a następnie, kiedy sam został przez Jezusa pochwalony, kiedy sam przekonał się, że Jezus wie o nim więcej, niż mu się wydawało, wtedy składa takie wyznanie wiary. Może więc Natanael był takim człowiekiem bardzo porywczym? Takim który, kiedy mu się coś nie podobało, to mówił otwarcie i od razu? A kiedy mu się coś podobało czy go zafascynowało, to posuwał się dalej niż powinien? Bo przecież z samych tych słów to wyznanie wiary w Jezusa jeszcze by nie wynikało, z samej tej sytuacji. Ale Natanael do tego się posuwa. Natanael mówi: „Rabbi". A więc upatruje w Jezusie, powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem: rabina, nauczyciela, mistrza, i tak Go traktuje. Więc ma w sobie tę podatność na studiowanie Pisma Świętego: „Ty jesteś Synem Bożym, Ty jesteś Królem Izraela!"

Te oczekiwania mesjańskie szły zawsze w dwóch kierunkach. Mesjasz, który ma przyjść, ma wyjątkowe więzi z Bogiem, i jednocześnie ma wyjątkową misję do spełnienia w Izraelu. Pamiętamy, że Piłat kpiąc niejako, albo prowokując arcykapłanów żydowskich, nad głową Jezusa kazał umieścić napis: „Jezus Nazarejski, Król Żydowski". A wtedy podszedł arcykapłan i mówi: „Ty nie pisz, że to jest Król, tylko że on się podawał za króla". Na to Piłat: „Com napisał, napisałem". I tutaj też zostaje wyznana ta niezwykła godność Jezusa, zupełnie spontanicznie. I dalej:

> Odparł mu Jezus: «Czy dlatego wierzysz, że powiedziałem ci: Widziałem cię pod drzewem figowym? Zobaczysz jeszcze więcej niż to». Potem powiedział do niego: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Ujrzycie niebiosa otwarte i aniołów Bożych wstępujących i zstępujących na Syna Człowieczego».

Odwołuje się tutaj Jezus do tego słynnego obrazu snu Jakuba w Betel. Jakuba, praojca biblijnego Izraela, Jakuba, który śnił o drabinie do nieba, i po tej drabinie wchodzili i schodzili aniołowie ustanawiając nowe więzi pomiędzy Bogiem i pomiędzy ludźmi. Jezus sugeruje więc, że w jego osobie spełnia się coś, unaocznia się coś, uzewnętrznia się coś, co pozwala ludziom nawiązać nowy kontakt z Bogiem. Co sprawia, że Bóg schodzi do ludzi, a ludzie jak gdyby wchodzą do Boga? Bóg stał się człowiekiem, abyśmy mogli stać się, tak mówili Ojcowie Kościoła, synami Bożymi.

To jest epizod z Natanaelem, z Bartłomiejem. Ciekawe, że później na kartach Nowego Testamentu o Bartłomieju już nic nie wiemy. Tutaj niesłychanie gorliwy, tutaj taki spontaniczny, ale potem nie ma go na kartach Ewangelii. Jest tylko w wykazach, kiedy się wspomina apostołów, to wspomina się: Natanael, bądź wspomina się: Bartłomiej. W tym miejscu to, czego nie wiemy z Ewangelii, dopowiada nam tradycja. Tradycja Kościoła prastara, bo sięgająca I wieku. Otóż ta tradycja mówi, że kiedy Jezus został ukrzyżowany i zmartwychwstał, to apostołowie rozeszli się w różne strony świata.

I Natanael czyli Bartłomiej udał się najpierw do Mezopotamii, na teren dzisiejszego Iraku, a stamtąd aż do Indii. Pamiętamy, że pochodził z Kany Galilejskiej. Być może państwo przypominają sobie — to jest do tych osób, które miały szczęście Kanę widzieć — że idąc do kościoła, w którym czci się przemianę wody w wino, jest również niewielki ale bardzo nastrojowy kościół, w którym czci się pamięć św. Bartłomieja. Bartłomiej zawędrował więc do Indii i tradycja starochrześcijańska mówi, że tam poniósł śmierć męczeńską. Ta śmierć męczeńska była według tradycji okrutna. Dlatego, że został odarty ze skóry, a więc śmierć niesłychanie brutalna i bolesna.

I tu proszę mi wybaczyć, że również dosadne będzie to, co powiem. Otóż w średniowieczu każdy cech, każdy zawód, każde rzemiosło chciało mieć swojego patrona. I w związku z tym szukano także patronów wśród apostołów. Mając na względzie tę okrutną śmierć Bartłomieja wybrano go na patrona rzeźników i weterynarzy. I przez wieki, zwłaszcza dzisiaj we Włoszech albo we Francji, odbywają się wielkie uroczyste targi czy święta dla tych zawodów 24 sierpnia, czyli w liturgiczne wspomnienie św. Bartłomieja, kiedy to przeżywają swój patronalny czas nawiązując do tej okrutnej śmierci Bartłomieja w Indiach. Ten fakt, że Bartłomiej — Natanael został odarty ze skóry sprawił, interpretując to na innej płaszczyźnie, że Natanael jest też patronem wikariuszy. Otóż i oni w chwilach ucisku odwołują się do Natanaela.

O Filipie wiemy więcej, niż o Natanaelu. Dlatego, że Filipa spotykamy jeszcze kilkakrotnie na kartach Pisma Świętego. Natanaela czyli Bartłomieja więcej już w zasadzie nie spotykamy. Przedstawiany on jest w sztuce wczesnochrześcijańskiej na rozmaite sposoby. Pokazywany w trakcie swojej śmierci męczeńskiej, pokazywane jest jego bohaterstwo, pokazywany jest z Hindusami. Dzisiaj jest patronem Kościoła w Indiach. Także w Polsce od czasu do czasu spotyka się kościół pod wezwaniem św. Bartłomieja. W mojej rodzinnej parafii, gdzie mieszkałem jako dziecko, kościół parafialny był właśnie pod wezwaniem św. Bartłomieja. Rzadka to nazwa, rzadkie to wezwanie, ale jednak jest.

A Filip? O Filipie słyszymy jeszcze kilkakrotnie. Mianowicie w tej samej Ewangelii św. Jana czytamy tak w rozdziale 6:

> Potem Jezus udał się za Jezioro Galilejskie, czyli Tyberiadzkie. Szedł za Nim wielki tłum, bo widziano znaki, jakie czynił na tych, którzy chorowali. Jezus wszedł na wzgórze i usiadł tam ze swoimi uczniami. A zbliżało się święto żydowskie, Pascha. Kiedy więc Jezus podniósł oczy i ujrzał, że liczne tłumy schodzą do Niego, rzekł do Filipa: ««Skąd kupimy chleba, aby oni się posilili?»

Wygląda na to, że w tym gronie Dwunastu, kiedy już Jezus rozpoczął na dobre swoją publiczną działalność, to Filip odpowiadał za aprowizację. Odpowiadał za to, żeby apostołowie, i sam Jezus, mieli co jeść. A więc Jezus prowokuje, widząc ten ogromny tłum, prowokuje niejako rozmowę z Filipem i powiada: „Skąd kupimy chleba, żeby nakarmić tych ludzi?"

> A mówił to wystawiając go na próbę. Wiedział bowiem, co miał czynić. Odpowiedział Mu Filip: «Za dwieście denarów nie wystarczy chleba, aby każdy z nich mógł choć trochę otrzymać».

Zatem Filip ma dość dobre rozeznanie, a my dowiadujemy się, ile kosztował chleb w Palestynie w czasach Jezusa. Otóż denar to była dniówka robotnika. Wiemy, że wokół Jezusa zgromadzone było pięć tysięcy mężczyzn, i jeszcze kobiety i dzieci. Czyli, powiedzmy, około dziesięć tysięcy ludzi. Dwieście denarów nie wystarczyło, żeby dla tylu ludzi kupić chleba. Możemy wywnioskować, ile ten chleb mniej więcej kosztował. Ale widzimy też, że właśnie Filip odpowiadał za tę stronę działalności. Dlatego w średniowiecznej Francji i w średniowiecznych Włoszech Filip był patronem handlarzy, patronem sprzedawców, patronem kupców. Naszym dzisiejszym językiem powiedzielibyśmy: patronem tych, którzy uprawiają handel na bazarze. Filipa czczono bardzo. Powiemy zaraz o okolicznościach jego śmierci, bo to również miało wpływ na kult św. Filipa. Ale do Filipa zwracano się również w średniowieczu w takich sprawach, które dotyczyły handlu, kupiectwa czy wymiany. Zwróćmy zatem uwagę, że wzgląd na to prostuje nam troszeczkę wizerunek innego apostoła, o którym mamy powiedzieć w marcu, mianowicie Judasza. Bo przywykliśmy do tego, że to Judasz nosił trzos przy Jezusie, i że to on odpowiadał za te sprawy, które dotyczyły utrzymania. Ale ten tekst Ewangelii św. Jana sugeruje, że kimś takim był nie Judasz, tylko właśnie Filip. Natomiast powody zdrady Judasza były w takim razie inne — ale o tym później.

Kolejny raz spotykamy Filipa w nowych okolicznościach, w nowej sytuacji. Czytamy w rozdziale 12 Ewangelii św. Jana następujące słowa:

> A wśród tych, którzy przybyli, aby oddać pokłon [Bogu] w czasie święta, byli też niektórzy Grecy.

Otóż rzecz teraz dzieje się w Jerozolimie. Jezus przybył do Jerozolimy. Jezus jest już znany, wszyscy Go znają. A ci, którzy Go nie widzieli osobiście, chcieliby Go zobaczyć. Przybywają więc Żydzi i szukają wstawiennictwa apostołów. Ale do Jerozolimy przybywają również Grecy. To bardzo ciekawa wzmianka która pokazuje nam, że oprócz Żydów wyznających jedynego Boga, w czasach Jezusa Chrystusa byli również Grecy, którzy wyznawali jedynego Boga. A skąd u nich ta wiedza, czy ta wiara w Boga jedynego? Oczywiście nośnikiem był grecki przekład Starego Testamentu, znany jako Septuaginta, Biblia Grecka. To właśnie dzięki temu przekładowi, dokonanemu w latch ok. 250 – 150 przed Chrystusem, a więc w czasach Chrystusa już bardzo dobrze znanemu, także część Greków uznawała Boga. Dlatego później chrześcijaństwo mogło się rozpowszechniać tak szybko dzięki Septuagincie, i dzięki tym Grekom. Przybywają więc Grecy do Jerozolimy.

> Oni więc przystąpili do Filipa, pochodzącego z Betsaidy Galilejskiej, i prosili go mówiąc: «Panie, chcemy ujrzeć Jezusa».

To bardzo ciekawy fragment pokazujący, że Filip staje się pośrednikiem między Jezusem, a Grekami. To już nie tylko sprawa przyjścia do Jezusa Żydów, ale właśnie Greków. Dlaczego właśnie Filip? Jan dodaje: bo pochodził z Betsaidy Galilejskiej, pochodził z Galilei. Tam ludzie znali język grecki, więc i Filip znał język grecki. Dlatego mógł się z tymi Grekami łatwiej domówić. Charakterystyczne, że właśnie do tego fragmentu, do tego epizodu nawiązał Jan Paweł II w swoim liście „Nuovo millenio ineunte" czyli „Wchodząc w nowe tysiąclecie". Tam papież powiedział tak. Tak jak niegdyś przyszli do Filipa ludzie, którzy tylko słyszeli o Bogu, i prosili go: «Panie, chcemy ujrzeć Jezusa», tak i dzisiaj do współczesnych chrześcijan zwracają się ludzie z tą samą prośbą. I naszym obowiązkiem jest wychodzić naprzeciwko temu zainteresowaniu. A więc Filip staje się niejako patronem tych wszystkich, którzy zainteresowanych ludzi mają do Chrystusa prowadzić. Co zrobił Filip?

> Filip poszedł i powiedział Andrzejowi. Z kolei Andrzej i Filip poszli i powiedzieli Jezusowi. A Jezus dał im taką odpowiedź: «Nadeszła godzina, aby został uwielbiony Syn Człowieczy. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeśli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeśli obumrze, przynosi plon obfity.

Jezus znajduje się już na progu swojej męki i śmierci. Kiedy przybywają do Niego Andrzej i Filip, i mówią: „Przybyli Grecy, którzy chcą Cię zobaczyć", to Jezus daje poznać, że spotka ich nie po to, żeby zadośćuczynić ich ciekawości, tylko dlatego, że Jego czas jest już policzony. I dlatego chce spotkać każdego, który chce Go widzieć. Filip więc jest narzędziem tej właśnie ciekawości, tego szukania. Tego szukania przez ludzi, którzy są dalecy ale jednak mają w sobie głód zobaczenia tej niezwykłej osoby, którą był Jezus. Zwróćmy uwagę zatem, że Filip odgrywa na kartach Ewangelii znaczącą, i to bardzo znaczącą rolę.

I jeszcze jedna wzmianka w Ewangeliach o Filipie. Też pochodzi z Ewangelii św. Jana, z rozdziału 14. Czytamy tak. Jezus modli się, i pod koniec tej modlitwy mówi:

> Gdybyście Mnie znali, znalibyście i mojego Ojca. Ale teraz już Go znacie i zobaczyliście».

Czyli kto chce poznać Boga, który jest niewidzialny, powinien przyglądać się i poznawać Jezusa, który jako Syn Boży stał się w ciele widzialny. Jezus jest wizerunkiem Boga, Jezus jest obrazem Boga.

> Rzekł do Niego Filip: «Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy». Odpowiedział mu Jezus: «Filipie, tak długo jestem z wami, a jeszcze Mnie nie poznałeś? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca.

Otóż Filip od samego początku, od początku, kiedy został powołany, stara się poznać Boga poprzez osobę Jezusa Chrystusa. Na krótko przed męką otrzymuje zapewnienie, że właśnie przyglądanie się Jezusowi jest najprostszą drogą do poznania Boga. Bo w Jezusie, w sposobie Jego życia, przejawia się najmocniej i najwyraźniej miłość i mądrość Boża. Tak długo jesteś ze Mną, a jeszcze Mnie nie poznałeś? To nie jest wyrzut tylko zachęta do tego, żeby Filip zastanowił się nad tym, co przeżył. Aby dokonał refleksji nad tym wszystkim, co w ciągu ziemskiego życia Jezusa stało się jego udziałem. Teraz Jezus stoi na progu swojej męki, na progu swojej śmierci. A więc najwyższy czas, aby zastanowić się: kim jest Jezus, i kim jest Bóg, od którego Jezus został posłany.

To jest ostatnia wzmianka o Filipie na kartach Ewangelii. Jeszcze w Dziejach Apostolskich, kiedy mowa jest o uczniach i o apostołach, którzy gromadzą się w Wieczerniku, wspomina się, że był tam również Filip. Natomiast tradycja wczesnochrześcijańska dorzuca jeszcze bardzo ważną informację. Mianowicie gdy apostołowie z Palestyny rozchodzili się w różne strony świata, to Filip, który mówił po grecku, udał się do Azji Mniejszej, czyli na teren dzisiejszej Turcji. Apostołował na terenie Frygii, to jest dzisiaj środkowa Turcja. Dokładniej są to okolice Konyi, tego miasta, o którym państwo słyszeli w ubiegłym tygodniu, że zawalił się dom grzebiąc ludzi.

Tam działał św. Filip, tam też poniósł według tradycji śmierć męczeńską — został ukamienowany podobnie jak św. Szczepan, pierwszy męczennik chrześcijaństwa. Grób św. Filipa znajduje się obok słynnego Pammukale, starożytnego Hierapolis. Otóż Pammukale to jest dzisiaj uzdrowisko. Pammukale znaczy „bawełniane wzgórza", ludzie jeżdżą tam podreperować sobie zdrowie. W starożytności też było uzdrowiskiem, nosiło nazwę Hierapolis czyli „Święte miasto". Tradycja mówi,

że kiedy nauczał w Hierapolis, został pojmany, został ukamienowany. I w V wieku za teatrem Hierapolis, u góry, wybudowano duży kościół ku czci św. Filipa. Ruiny tego kościoła zachowały się do dnia dzisiejszego. I jeszcze dzisiaj można, jeżeli ktoś jest w Hierapolis i ma siłę wejść do góry, żeby go obejrzeć, to można go oglądać.

Poniósł śmierć męczeńską przez ukamienowanie. I tutaj znowu pewna ciekawostka, połączenie religii z folklorem, z którym to połączeniem bardzo często mamy do czynienia. Otóż w jednej z legend starochrześcijańskich mówi się, że przed swoją śmiercią miał Filip na głowie nakrycie głowy, które chroniło głowę przed kamieniami. Chroniło w sposób wręcz cudowny a nie tak, jak zwykłe nakrycie głowy. Dlatego jego śmierć trwała dłużej, aby mógł tym bardziej odpuszczać, jak niegdyś Szczepan, swoim prześladowcom. A on ochotnie tę sytuację przyjął. I właśnie z powodu tego szczegółu, że miał nakrycie głowy podczas męki, w średniowiecznej Francji i Włoszech, kiedy wybierano sobie patronów, to Filip został patronem tych, którzy wyrabiają czapki i kapelusze. Powiedziałem, że jest to splot religii z folklorem. Dlatego, że średniowiecze, zresztą bardzo bogate w skojarzenia, w przeżycia, w obrazy, było właśnie takim czasem, kiedy splot był bardzo silny. I wzgląd na niektóre zawody, i na połączenie ich z postaciami apostołów, jest bardzo znaczący.

Tyle więc na temat Bartłomieja i na temat Filipa. Grób Filipa, jak powiedziałem, jest na terenie dzisiejszej Turcji. Tam jest kościół pod jego wezwaniem, aczkolwiek Filip jest także czczony i w innych krajach. Bardzo serdecznie dziękując zapraszam państwa na spotkanie 15 marca.

Natomiast chciałbym państwa gorąco i z pełnym przekonaniem zachęcić do pójścia po 5 marca na film „Pasja". Jest znakomity! Otóż jest to męka Jezusa zrobiona w sposób, której nikt do tej pory nie zrobił. W związku z tym spotyka się także ze sprzeciwem. Sprzeciw ma inne powody niż te, o które chodzi w filmie. Natomiast ponieważ miałem szczęście ten film widzieć, a nawet opracować tekst polski do tego filmu — co jest zupełnie osobną przygodą i zupełnie osobnym przeżyciem — to mogę państwu z czystym sumieniem ten film polecić. Będą miejsca, w których osoby wrażliwe będą musiały przymknąć oczy. Ale to jest normalne, tak jak człowiek widzi sytuację, gdy ktoś jest chory, gdy ktoś cierpi, gdy komuś się zadaje męki czy widzi sytuację jakiegoś wypadku — nie każdy może na to patrzeć. I na filmie też trzeba będzie raz czy drugi zamknąć oczy. Ale mogę państwu powiedzieć tak. Dla ludzi, dla nas Polaków, gdzie bardzo silna jest pobożność pasyjna, gdzie mamy nabożeństwo Gorzkich Żali, i w tym nabożeństwie śpiewamy o poszczególnych elementach męki — to będą mogli państwo zobaczyć, jak najprawdopodobniej męka Jezusa wyglądała. To jest coś nieprawdopodobnego.

Reżyser zrobił to tak jak gdyby ci, którzy oglądają ten film, brali w tym udział. Ja nie mam pojęcia, jak to technicznie jest do zrobienia, bo nie znam się na sztuce kinowej. Natomiast kiedy ogląda się ten film zarówno na ekranie, jak też w telewizorze, przy zgrywaniu napisów, to człowiek ma wrażenie, że sam jest w środku. A więc te postacie są wspaniałe. Ja czytam Ewangelie, staram się również państwu tłumaczyć — gdybym miał to zrobić, gdybym umiał to zrobić, to bym zrobił to dokładnie tak. Nie ma tam żadnego szczegółu, który bym zmienił na inny. Natomiast niektóre pomysły są zupełnie genialne. Na przykład genialne przedstawienie końca Judasza. Otóż trzeba rzeczywiście mieć ogromną wiedzę teologiczną, historyczną, żeby coś takiego zrobić. Ja nie chciałbym mówić szczegółów, bo to nie ma sensu, trzeba to po prostu zobaczyć. Ale film jest wstrząsający.

To nie jest tylko męka. Film zaczyna się w Ogrójcu, a więc modlitwa Jezusa w Ogrójcu. Później jest pojmanie. Wszystko wiemy, wiemy co nastąpi. Natomiast sposób przedstawienia jest absolutnie wyjątkowy. Później przesłuchanie w nocy przed arcykapłanem. I tam jest ta wspaniała scena: „Powiedz nam, czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego?" I Jezus odpowiada „Ja jestem".

I tu muszę przerwać streszczanie. Bo usłyszą państwo, chyba po raz pierwszy w życiu, język Jezusa. Dlatego, że film jest w języku aramejskim, którym mówią dzisiaj tylko nieliczni chrześcijanie z Syrii, w okolicach Damaszku. Tym językiem aramejskim mówili Żydzi w I wieku. I film jest w języku łacińskim. Jeżeli ktoś miał liceum klasyczne czy studia klasyczne, nie będzie miał żadnego problemu ze zrozumieniem tej łaciny. Są niektóre momenty, na niektóre zwrócę uwagę. Tuż przed biczowaniem, wyznaczeni do tego oprawcy zabierają się do tego. Siedzi pisarz, który nakazuje, żeby razy nie były zbyt mocne — bo chodzi o to, żeby bić ale nie zabić. Dialogi odbywają się po łacinie a nie wszystkie są tłumaczone — za chwilę wyjaśnię dlaczego. No i jeden żołdak mówi:

Faciamus musica — *No to zagrajmy* — i zaczynają „grać" z Jezusem, czy na Jezusie. Ta scena jest potem wstrząsająca. Otóż język aramejski, to bardzo ważne, i język łaciński — reżyser miał taki pomysł, że powiedział tak: „Ten film jest dla chrześcijan. Dla chrześcijan głęboko wierzących. Oni znają Ewangelię, więc oni nie potrzebują tłumaczenia. Wiedzą, o co chodzi, wiedzą, co się mówi. Znają Ewangelie, bo słyszeli je wielokrotnie." Jednak dla potrzeb dystrybutorów w Ameryce, w Europie Zachodniej, u nas, wymogli na reżyserze, że zostały wprowadzone napisy. Napisy są tylko tam, gdzie być muszą. Zatem słyszą państwo aramejski, słyszą państwo łacinę, i w naszym przypadku są polskie napisy. Starałem się, żeby napisy były przekładem z aramejskiego i z łaciny. Otrzymałem ścieżkę dźwiękową angielską, ale angielska różniła się od aramejskiego i łaciny — po prostu nie była tak głęboka, nie miała takiego rozłożenia akcentów, jakie powinno być. Może to była pierwsza wersja, może następna będzie lepsza, nie wiem. W każdym razie nasza polska odwołuje się bezpośrednio do oryginału. I starałem się, żeby oddawała sposób myślenia i sposób wyrażania się tamtych ludzi. Zdania są krótkie, urywane, bo cały czas jest to sytuacja cierpienia, sytuacja napięcia, sytuacja konfliktu, sytuacja zmagania się z bliską śmiercią itd.

Zdjęcia są wspaniałe. Dla mnie największe wrażenie — kiedy trzeba było zamknąć oczy — to końcowe sceny biczowania, a później oczywiście ukrzyżowanie. Ale są też sceny, które uspokajają całą atmosferę. Bo to są takie kilkunastosekundowe albo półminutowe reminiscencje, które nawiązują do wcześniejszych etapów z życia Jezusa. Nie mogę mówić państwu szczegółów, żeby nie powiedzieć za dużo. Ale na przykład Jezus wisi na krzyżu, i jest scena z Ostatniej Wieczerzy — coś wspaniałego. Pokazane jest znaczenie krzyżowej śmierci Jezusa. Mnie wyciskał łzy z oczu upadek Jezusa pod krzyżem. I znów rzutowanie tego wstecz — zobaczą państwo, na jaką scenę.

Czasami są nawet elementy humoru, raz jeden. Oczywiście jest to humor niezwykle wyrafinowany, bardzo głęboki. Mianowicie jest taki moment, kiedy Jezus przypomina sobie, czy pojawia się reminiscencja z wychowania, z pobytu w Nazarecie. Jest Maryja, jest Jezus. Jezus zajmuje się wyrabianiem stołów, bo jest cieślą. I Maryja woła Go na obiad, a zarazem mówi: „Co Ty robisz?" „Stół". Maryja patrzy i mówi: „Taki wysoki?" Dlatego, że Żydzi w starożytności nie jedli przy takich stołach, jak my, nie siedzieli tak, jak my. Tylko albo siedzieli na dywanach, albo też na sposób rzymski opierali się na boku. A więc takich stołów, jakie my mamy, nie było.

„Taki wysoki?" Jezus mówi: „Tak, dla jakiegoś bogacza." Maryja: ‚To co, on je na stojąco?" „Nie na stojąco, bo jeszcze będę robił krzesła. Ale jeszcze nie zrobiłem wszystkich." Maryja siada na jednym z tych krzeseł — to bardzo piękna scena — patrzy, że to tak jakoś dziwnie, bo stół wysoki, krzesło wysokie, i mówi do Jezusa: „To się nie przyjmie!"

Więc przepiękny film! I film, który na czas Wielkiego Postu — zastąpi, to za duże słowo, ale powinien towarzyszyć rekolekcjom. Kiedy film się kończy, zawsze panuje bardzo głęboka cisza. Premiera jest 1 marca, ale to jest premiera uroczysta, więc tam nie sposób się dostać. Natomiast od 5 marca film rusza w kinach. Bardzo serdecznie państwa do niego namawiam. Nie namawiam — zachęcam! A można by powiedzieć nawet, że nie widziałem w życiu lepszego filmu na temat związany z Pismem Świętym, niż ten. Jest naprawdę znakomity. I na czas Wielkiego Postu będzie to ogromne przeżycie. Być może niektórzy z państwa będą chcieli zobaczyć go jeszcze raz, żeby przeżyć go w nowy sposób. Bo ja, im więcej go oglądałem, tym więcej widziałem — więc bardzo zachęcam. Może już nawet będzie tak, że kiedy się spotkamy 15 marca, to część z państwa będzie już po swoich przeżyciach z filmem „Pasja".

Dzisiaj dziękuję bardzo. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6.6 Judasz (15 marca 2004)

Pochwalony Jezus Chrystus ... Dzisiaj praktycznie jak na rekolekcjach, okres Wielkiego Postu swoje zrobił. Bardzo się cieszę — oby tylko sprostać oczekiwaniom i potrzebom państwa!

Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ...

To nasza kolejna konferencja biblijna. W tym roku, nazwijmy go akademickim, już siódma. Tematem tegorocznym, jak państwo pamiętają, są apostołowie Jezusa Chrystusa. Przyglądaliśmy się najpierw wszystkim powołanym przez Zbawiciela, a następnie pojedynczym osobom. Zanim przejdę dzisiaj do tematu — mam nadzieję, ze to również ten temat wzbudził takie zainteresowanie państwa — zanim zajmiemy się postacią Judasza, jedną z najbardziej dramatycznych w całym Piśmie Świętym, spróbujemy go przedstawić, spróbujemy go też na swój sposób zrozumieć, może również zrozumieć dramat samego Judasza — to chciałbym na krótko odwołać się do naszej ostatniej konferencji biblijnej.

Mam nadzieję że część z państwa ma za sobą oglądanie tego filmu „Pasja", wobec którego na pewno nie można przejść obojętnym. Jest to film bardzo mocny, bardzo dosadny tak, jak powiedziałem przy jednej czy drugiej okazji — takie filmowe Gorzkie Żale. Jeżeli ktoś zna nabożeństwo Gorzkich Żali i pamięta, jak rozważa się tam poszczególne etapy, epizody męki Jezusa, nieraz nawet trudno nam jest śpiewać o tych poszczególnych epizodach, to tutaj zostało to pokazane językiem filmu, językiem obrazu. A język obrazu zawsze mocniej przemawia do naszej wyobraźni aniżeli słowo, język obrazu zawsze jest bardziej konkretny. Mamy również w naszej katolickiej polskiej tradycji nabożeństwa wielkopostne, mamy pieśni wielkopostne o krzyżu, o krwi Jezusa. Niektórzy mówią, że w filmie jest dużo krwi. Nie jest to jednak krew przypadkowa, jest to krew Zbawiciela. Tam jest taka wstrząsająca scena, kiedy Najświętsza Maryja Panna chustą otrzymaną od żony Piłata wyciera posadzkę pretorium, gdzie kilka chwil temu był przeciągany umęczony, ubiczowany Jezus. Scena bardzo mocna, ale przecież jeszcze parę minut temu w kaplicy śpiewaliśmy o krwi Jezusa. Jeżeli więc wszczepieni jesteśmy w tę tradycję katolicką, gdzie rozważamy rozmaite epizody męki i śmierci Jezusa, to ten film ma człowiekowi wierzącemu zdecydowanie więcej do powiedzenia, niż komukolwiek innemu. Jeżeli rozważamy bolesne tajemnice różańca: modlitwę w Ogrójcu, ubiczowanie, cierniem ukoronowanie, dźwiganie krzyża, wreszcie śmierć Zbawiciela, to stanowi właśnie zawartość, treść tego filmu „Pasja". Tego właśnie dotyczy. Jeżeli ten film skupia się na ostatnich około 18 godzinach życia Jezusa, przy czym kilka godzin to była ta ciemnica, do której został wrzucony w pałacu arcykapłana, i trzy godziny później wisiał na krzyżu, więc jeżeli się to wszystko streści to nic dziwnego, że w filmie, reżyser tak to wybrał, jest pokazane wiele z męki Zbawiciela. Ale nie tylko z jej przebiegu ale także, co jest bardzo ważne, z jej znaczenia, z jej sensu.

Muszę państwu powiedzieć bilansując to krótko, bo mógłbym całą konferencję na ten temat mówić, bądź co bądź ta praca nad filmem wydaje rezultaty także w moim życiu, ale mogę państwu powiedzieć tylko z własnego doświadczenia, że aczkolwiek siedzę dość głęboko w Piśmie Świętym, to byłem pełen podziwu dla twórców tego filmu, którzy mają tam tak głębokie aluzje, wzmianki i osadzenia biblijne, które nam tłumaczy tę mękę i śmierć Zbawiciela. Część krytyków filmowych z pewnością trudno nagonić do kościoła nawet na Wielki Piątek. I na pewno nie znają, nie czują, nie mają tej wrażliwości, obserwują tylko i wyłącznie przebieg cierpienia.

Natomiast ci z państwa, którzy byli, pamiętają te wzruszające sceny, kiedy nagle jakby kamera się zatrzymuje i pokazuje nam a to Jezusa w Nazarecie, a to Jezusa jeszcze jako dziecko z Najświętszą Maryją Panną. Ta wspaniała scena upadku Jezusa pod krzyżem, i biegnącej Matki — jeszcze w Jego dzieciństwie. A to mamy scenę Kazania na Górze, a to mamy scenę Ostatniej Wieczerzy, i jeszcze raz Ostatniej Wieczerzy. A to nawiązanie do niedoszłego ukamienowania cudzołożnej kobiety. I wiele innych epizodów, które nas cofają w czasie. Mamy wreszcie epizody dające nam powiązania ze scenami Starego Testamentu. Mamy więc nawiązanie do tzw. Protoewangelii w księdze Rodzaju, o tym zdeptaniu głowy węża na samym początku, gdzie jest ta scena kuszenia Zbawiciela. Mamy dowiązanie do proroctwa Izajasza, mamy nawiązanie do żydowskiej tradycji wypędzenia Azazela przy sposobności śmierci Judasza, do czego wrócimy.

Zatem ci wszyscy, którzy widzą tam tylko przebieg cierpienia, najprawdopodobniej nie potrafią, nie umieją, a może czasami nie chcą dociec do tego, co jest bardzo ważne, mianowicie ukazanie sensu tego cierpienia, znaczenia tego cierpienia.

Myślę, że każdy z państwa, kto widział film, i modli się: „Któryś za nas cierpiał rany", to po obejrzeniu filmu ma pojęcie o tym, czym rzeczywiście były rany Zbawiciela. Mamy też nabożeństwo, obok Krwi Pańskiej również do Ran Zbawiciela, więc dla nas nie są to rzeczy zupełnie obce. Oczywiście film wymaga dużej wrażliwości. Czasami trzeba przymknąć oczy albo je zamknąć, bo tak jest zawsze wtedy, kiedy mamy do czynienia z wielkim cierpieniem. Ale myślę, że jest to ogromne przeżycie nie tylko artystyczne, ale także duchowe, także religijne. Gdyby ten film był miałki, płaski, powierzchowny, który by nic nie znaczył, to oczywiście nie byłoby o nim żadnej dyskusji. A ponieważ w Ameryce obejrzało go kilkanaście milionów ludzi, a w Polsce do tej pory prawie półtora miliona, to oczywiście jest także i ta dyskusja czy wręcz, jak można odnieść wrażenie w niektórych przypadkach, zwyczajna nagonka.

Polemika nie z filmem, ale z Ewangelią. Polemika nie z tym konkretnym obrazem, ale w ogóle z chrześcijańskim przeżywaniem męki i śmierci Zbawiciela. Jak silna jest ta polemika można przekonać się obserwując to, co się wokół tego filmu dzieje. Więc można odnieść wrażenie, że często film jest bardziej pretekstem, aniżeli powodem. Jednak bardzo wielu ludzi, szczególnie nas wierzących, wychodzi z tego filmu nie tylko głęboko poruszonych, ale i prawdziwie odmienionych. Żeby to zbilansować — na pewno nie jest to film z gatunku „Czy to się Panu albo Pani podoba". To nie jest film do podobania się. To nie jest film do jakiegoś aplauzu, to nie jest film do oklasków.

To jest po prostu głębokie przeżycie religijne, dla innych — parareligijne czyli obok-religijne. Natomiast jak sądzę, dla wszystkich ludzi myślących, dobrej woli, jest to bardzo głębokie przeżycie duchowe. Bo nawet jeżeli ktoś nie rozumie, czy nie zna wszystkich scen filmu albo wszystkich postaci filmu, to oczywiście widząc ten bezmiar cierpienia i jednocześnie widząc siłę ducha, widząc tę miłość, która jest silniejsza niż śmierć, zadaje sobie pytanie również o sens swojego życia, i o to, kim jest Jezus w naszym życiu. Sądzę, że jeżeli ktoś nie ma takich wewnętrznych zahamowań, np. może być ktoś bardzo wrażliwy, kto nie może oglądać takich dosadnych scen, jeżeli ktoś nie ma takich zahamowań, to z całą pewnością ten film powinien zobaczyć, bo jest to dzieło sztuki filmowej, które od tej pory zmienia nam sposób patrzenia na Zbawiciela, i na Jego mękę. To, że cierpienia jest dużo, to mówi sam tytuł: „Pasja", po angielsku: „Passion of Christ" — „Pasja Chrystusa". Po polsku, żeby nie odmieniać tego słowa „Chrystus", żeby go nie nadużywać, zwłaszcza w złych kontekstach, w niedobrych skojarzeniach, kiedy się go miliony razy powtarza to może również powodować niedobre konteksty, została tylko ta nazwa „Pasja". I na pewno jest to wielkie pasyjne przeżycie tegorocznego Wielkiego Postu.

A przedmiotem naszych rozważań dzisiaj jest Judasz. Postać pod wieloma względami niesłychanie ciekawa, niesłychanie interesująca. I postać która, jak myślę, stała się ofiarą naszych stereotypów, naszego patrzenia bardzo uproszczonego. Dlatego, że całe nasze patrzenie na Judasza bierze się, czy powstaje przez pryzmat tego, co wiemy o okolicznościach jego śmierci. Już nawet nie tylko zdrady, bo po zdradzie Judasz mógł jeszcze jakoś z tego wyjść. Piotr również zdradził Jezusa. Ale końcem Judasza była samobójcza śmierć. Otóż samobójcy, a przecież mamy ich w każdym pokoleniu, i w naszym również, zawsze wywołują taką swoistą rezerwę, można by powiedzieć: wywołują swoisty lęk. Dlatego, że sama śmierć jest dla nas wielką tajemnicą, sama śmierć jest wielką zagadką, sama śmierć jest wielkim progiem. Ogromna większość z nas wzdryga się przed myślą o śmierci. Natomiast jeżeli słyszymy, albo jeżeli mamy do czynienia z człowiekiem, który targnął się na własne życie, to wtedy czujemy, że zostało przekroczone jakieś tabu, została przekroczona czy nadużyta albo zerwana jakaś tajemnica, jakieś misterium. Przeciętny człowiek, zwyczajny człowiek nie rozumie mentalności samobójcy. Nie potrafi powiedzieć, co w tym człowieku działo się takiego, co go pchnęło do tego, co się wydarzyło. Czy był to długo przygotowywany proces, czy też był to impuls, który trwał sekundy, minuty, bądź parę godzin, i zakończył się właśnie taką decyzją, kiedy człowiek z własnej woli nie tylko staje wobec rzeczywistości śmierci, ale wręcz przyjmuje rzeczywistość śmierci, chce tej śmierci. Tak właśnie było z Judaszem.

Judasz więc w naszej świadomości jest na przegranej pozycji. Dlatego, że nie widzimy powodów, i nie widzimy możliwości, żeby w czymkolwiek Judasza naśladować. Nie widzimy też powodów, żeby mieć jakiekolwiek uznanie dla postawy Judasza. A sądzę, że być może podczas tej dzisiejszej konferencji uda nam się spojrzeć na Judasza także nieco inaczej. Nie po to, broń Boże, żeby go

odbrązowić. Nie po to, żeby dokonać wybielenia przysłowiowego czarnego charakteru. Ale po to, żeby powiedzieć i przekonać się o prostej prawdzie.

Tej mianowicie, że *granice między dobrem i złem nie przebiegają wyłącznie między ludźmi. Że nie jest tak, że świat dzieli się na dobrych i złych. Nie jest to jedyny podział. Otóż granice między dobrem i złem przebiegają również w człowieku.* I czasami ta granica między dobrem i złem jest bardzo delikatna. Czasami jest tak, jak nitka. Wystarczy jakiś silniejszy ruch, by ją zerwać, by coś w nas pękło. I by człowiek dobry stał się zły, by zły stał się dobry, i by możliwy był również powrót do poprzedniego stanu. Tego, który nazywamy nawróceniem, albo tego, który nazywamy odejściem od Boga, i utratą wiary w Niego, czy może lepiej utratą zaufania Bogu. Dlatego, że Judasz przecież cały czas wierzył w Boga. Tylko problem polega chyba na tym, jak to zobaczymy, że stracił do Boga zaufanie.

A więc Judasz odchodził na tamten świat jako człowiek wierzący. Ale widocznie sama wiara nie wystarczy, żeby zabezpieczyć człowieka przed tym, co najgorsze, w momencie silnego życiowego kryzysu.

Co wiemy o Judaszu? Wiemy stosunkowo dużo. Bo gdybyśmy wyizolowali, wyjęli te teksty z Ewangelii, które dotyczą Judasza, to by się okazało, że jest ich niewiele mniej niż tekstów, które opowiadają o Piotrze. Natomiast zdecydowanie więcej niż tekstów, które opowiadają o innych apostołach. W tym gronie Dwunastu Judasz był postacią bardzo znaną, był postacią, o której się często wzmiankuje. A później w kontekście męki i śmierci Zbawiciela o Judaszu mówi się dość dużo. Otóż pierwsza wzmianka o Judaszu pochodzi z tekstów Ewangelii, które mówią nam o wyborze Dwunastu, mówią o wyborze apostołów. Już ta wzmianka jest bardzo interesująca. Przeczytam tę wersję, która pochodzi z najstarszej spośród Ewangelii, mianowicie Ewangelii św. Marka o której wiele razy podkreślaliśmy, że jest to w gruncie rzeczy Ewangelia św. Piotra, Ewangelia, która ogląda Zbawiciela oczami Piotra. Ten fragment znajdujemy w 3 rozdziale, gdzie czytamy tak:

> Potem Jezus wyszedł na górę i przywołał do siebie tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego.

Zwróćmy uwagę na te słowa. Kiedyś na nie zwracaliśmy uwagę, ale jeszcze dwa zdania na ich temat. Jezus wychodzi na górę. A więc oddala się od całego mnóstwa ludzi, którzy przychodzą do Niego, i na Niego naciskają. Jezus potrzebuje pewnej osobności, nie ze względu na siebie, tylko dlatego, że chce powołać uczniów, którzy będą podzielali z Nim, a później podejmą, Jego posłannictwo. I Jezus odchodząc na osobność przywołuje uczniów, których sam chciał. Proszę popatrzeć — Judasz jest w gronie powołanych przez Zbawiciela. Judasz na razie nie różni się od tych pozostałych jedenastu, którzy z nim razem poszli za Jezusem. Otóż Judasz miał w sobie coś co spowodowało, że Jezus powiedział do niego tak, jak powiedział do pozostałych apostołów: «Pójdź za mną!» Otóż u początków wiarołomności, która może nam się w życiu przydarzyć na rozmaite sposoby, stoi — tak, jak w tym przypadku — najpierw Boże powołanie, Chrystusowe powołanie, Chrystusowa obecność i zaufanie.

Więc Jezus przywołał tych, których sam chciał, a oni przyszli do Niego. Judasz, tak jak pozostali, odpowiedział na to powołanie. Byli inni, przypomnijmy to krótko, którzy nie zawsze Jezusowi odpowiadali pozytywnie. Przychodzili z dobrym usposobieniem, jak choćby bogaty młodzieniec, którzy pytali Jezusa: «Co mam czynić, abym osiągnął życie wieczne?» A kiedy Jezus mu powiedział: «Znasz przykazania?», i kiedy pochwalił go za znajomość przykazań i mówi: «Jednego ci brakuje. Teraz idź, sprzedaj to, co masz i pójdź za Mną», to odszedł zasmucony, miał bowiem wiele posiadłości. Wybrał — ale ten, którego wybrał, to nie był Jezus. Judasz został przez Jezusa wybrany, i na ten wybór odpowiedział pozytywnie.

> I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki, i by mieli władzę wypędzać złe duchy. Ustanowił więc Dwunastu: Szymona, któremu nadał imię Piotr; dalej Jakuba, syna Zebedeusza, i Jana, brata Jakuba, którym nadał przydomek Boanerges, to znaczy synowie gromu; dalej Andrzeja, Filipa, Bartłomieja, Mateusza, Tomasza, Jakuba, syna Alfeusza, Tadeusza, Szymona Gorliwego i Judasza Iskariotę, który Go wydał.

Judasz zostaje wymieniony na końcu. Ale nie dlatego, że w tej grupie Dwunastu szedł za Jezusem ostatni. Być może nawet szedł pierwszy, nie sposób nam odtworzyć ten epizod. Lecz został

wymieniony jako ostatni ze względu na to, czego w życiu dokonał. Ewangelia jest pisana z perspektywy ex post. Już nie tylko z perspektywy męki i śmierci Jezusa oraz Jego zmartwychwstania. Ewangelia św. Marka powstała jakieś 25 - 30 lat po wydarzeniach, których dotyczy. Już była dobrze znana pamięć o Judaszu, który Jezusa wydał, który poszedł i powiesił się. A więc na Judasza patrzy się przez pryzmat jego całego życia, a zwłaszcza końca jego życia. Taki w gruncie rzeczy bywa los wielu ludzi, w tym także los samobójców. Ci, którzy odchodzą na drugą stronę życia w takich właśnie okolicznościach, sprawiają, że pamięć o nich nabiera jakiegoś nowego wymiaru. Można by powiedzieć w ludzkim języku: jest jakoś wstydliwa, jest jakimś tabu, jest jakąś tajemnicą, jakimś misterium. I ta pamięć rzutuje na wszystko, czego w życiu dokonali, i czym byli.

Państwo wiedzą, że pod tym względem ci, którzy żyją, potrafią być bardzo niewyrozumiali wobec tych, którzy umarli śmiercią samobójczą. Jeszcze do niedawna, a w niektórych rejonach naszej ojczyzny być może jeszcze do dzisiaj, na cmentarzach samobójcy mają swój osobny kwartał. Na ogół są to miejsca pod murem, gdzieś zupełnie w kącie. Bywa, że w rogu cmentarza, w miejscu jak najdalszym od bramy żeby ci, którzy przychodzą oglądać cmentarz i modlić się za swoich zmarłych nie musieli obok tych grobów przechodzić. Bywały i takie zwyczaje, godne nie tylko refleksji ale godne również głębokiego zastanowienia i poprawy, kiedy to samobójcom — i to jeszcze do niedawna — nie stawiano mocnych krzyży, kiedy krzyże były tylko drewniane po to, żeby pamięć o człowieku nieomal odeszła wraz z nim. Dość często uważano samobójców za potępionych, co jest bardzo ryzykowne i wielu przypadkach bardzo niesprawiedliwe. Dlatego, że to Pan Bóg jest dawcą zbawienia, On jest dawcą łaski. I nigdy nikt z nas nie może powiedzieć co dzieje się w sercu, we wnętrzu człowieka, który odchodzi do Boga także w takich dramatycznych okolicznościach.

Więc zauważmy — kiedy Marek wymienia Judasza na końcu, to jest w tym bardzo podobny do nas, którzy też, jeżeli chodzi o samobójców, jesteśmy, albo przynajmniej byliśmy — chociaż staramy się tę mentalność zmieniać — bardzo krytyczni i bardzo wymagający. Znacznie mniej, bardzo często, wymagamy od siebie. Otóż trzeba zatem spojrzeć również na tę rzeczywistość śmierci w nowy sposób.

Z drugiej jednak strony byłoby jakąś niesprawiedliwością zupełne wybielanie Judasza. Więc musimy przyjrzeć się — na tyle, na ile jesteśmy w stanie — temu, co wydarzyło się w jego życiu. W Ewangeliach on jest nazywany Judasz Iskariota. Nie wiadomo dokładnie, nie ma pewności, nie ma zgody co znaczy ten przydomek „Iskariota". „Judasz" — jest nieco łatwiejsze. „Judasz" to po prostu „Juda". „Iskariot" jest to najprawdopodobniej grecki, a potem polski, odpowiednik słów Isz Kariotes. Isz znaczy *człowiek, mężczyzna,* Kariotes to nazwa miejscowości, nazwa osady. A więc „Judasz" — to jest pierwsza możliwość, pierwsza ewentualność — to *człowiek z Kariotu.* Jak mówimy: „Stanisław Krakowski", „Stefan Lwowski" — urabiamy nazwisko od miejscowości, z którą dany człowiek jest związany. I to wskazywałoby na pochodzenie Judasza. Jeżeli tak, to ta miejscowość znajdowałaby się na terenie Judei, czyli w niedalekim sąsiedztwie Jerozolimy.

Inni mówią, że słowo „Iskariota" trzeba tłumaczyć inaczej. Że nie pochodzi ono od „Isz Kariotes", nie od „człowiek z Kariotu", tylko pochodzi od hebrajskiego i greckiego określenia sucharios tzn. *sykaryjczyk,* natomiast mniej ładnie to znaczy *nożownik.* Kto to byli sykaryjczycy? Jak wiemy w czasach Jezusa w Palestynie było bardzo duże wrzenie. I wśród wielu grup religijnych i grup politycznych były także ugrupowania, które chciały siłą wyrzucić Rzymian okupujących Palestynę. Można by powiedzieć używając dzisiejszych wzorców, że byli to tacy starożytni terroryści. Ponieważ nie mogli stanąć twarzą w twarz rzymskim żołnierzom, bo byli za słabi, wobec tego posuwali się do metod skrytobójczych, do metod które dzisiaj nazywamy terrorystycznymi. Widzimy to doskonale choćby w tych dniach, doskonale — ale zarazem tragicznie, w sposób niezwykle krwawy, kiedy to dowiadujemy się, że walka z Iraku czy Afganistanu przerzuciła się na ulice Madrytu. Ta skrytobójcza śmierć to jest i zemsta, i odwet, i rozpacz — trzeba to tak również powiedzieć — z powodu tego wszystkiego, co dzieje się na froncie wojennym. Ponieważ tam czują się bezsilni, to szukają jakiegoś miejsca, gdzie mogliby swoją krwawą obecność zaznaczyć.

I w Palestynie było podobnie. Zatem jest dość możliwe, że Judasz przynależał do takiego ugrupowania, które próbowało wyzwolić Ziemię Świętą siłą. I być może — jeżeli tak było — to przyłączył się do Jezusa z nadzieją, że być może Jezus w nowy sposób zdoła uwolnić Ziemię Świętą, zdoła uwolnić Palestynę od Rzymian, i Judasz przy Jezusie się zatem przyda. Zatem jego miejsce byłoby zawsze przy Nim.

To są w gruncie rzeczy dwie możliwości bo nie widać innego sposobu, żeby jego pochodzenie wyjaśnić, czy jego obecność zrozumieć. Jeszcze jedna rzecz jednak jest bardzo interesująca. Mianowicie Judasz jest jedynym apostołem Jezusa pochodzącym z Judei. To bardzo ważne, wszyscy pozostali apostołowie pochodzili z Galilei. To nam też mówi coś o ówczesnym życiu żydowskim. Jak państwo wiedzą cała Palestyna dzieli się na trzy części, i dzieliła w przeszłości: na północy Galilea, w środku Samaria, na południu Judea. Otóż Żydzi omijali Samarię kołem, bo uważali Samarytan za mieszańców. Separowali się od nich murem — nie tyle takim, jaki dzisiaj budują w Ziemi Świętej, ale murem bardziej psychologicznym, i unikali jakichkolwiek kontaktów z Samarytanami. Otóż rdzeń życia żydowskiego to była Jerozolima i okolice. Nawet mieszkańców Galilei uważano za swoiście niebezpiecznych, bo byli za bardzo otwarci, za bardzo reformatorscy, za bardzo — powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem — liberalni. Ci w Judzie byli bardzo ortodoksyjni.

Zauważmy, że na apel Jezusa, na wezwanie Jezusa, na powołanie Jezusa odpowiedzieli nie ortodoksyjni, nie ci najskrajniej wierzący, ale odpowiedzieli ci, którzy mieszkali w Galilei. W Galilei również odbywała się działalność Jezusa. To nam bardzo wiele mówi o całej grupie apostołów — z jednym wyjątkiem. Właśnie Judasz pochodził z Judy. Można by powiedzieć, że w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu nie przystawał do reszty apostołów, odbiegał od nich. Oni wszyscy urodzili się w promieniu kilkunastu, czasami najwyżej 30 kilometrów. Bo tylko Bartłomiej, czyli Natanael, pochodził z Kany Galilejskiej, reszta urodziła się w Betsaidzie i bliskich okolicach Jeziora Galilejskiego. Natanael przyszedł na świat 30 km stamtąd, a Judasz przyszedł na świat 150 - 160 km od Galilei. Był w Galilei kimś innym, kimś odmiennym. I tutaj widzimy, że im bardziej zagłębiamy się w te sprawy, tym natrafiamy na więcej pytań.

Pojawia się proste pytanie: „Skoro pochodził z Judy, to w jaki sposób znalazł się w gronie galilejskich uczniów Jezusa, czyli w gronie dwunastu apostołów?" I znów możliwości sensowne są dwie. Albo było tak, że podczas jednego z pierwszych pobytów na jakieś święto żydowskie w Jerozolimie Jezus pozyskał Judasza, i Judasz za Jezusem poszedł. Albo — co wydaje się bardziej prawdopodobne — Judasz z jakichś powodów musiał opuścić Jerozolimę, i znalazł się w Galilei. I w związku z tym znalazł się również w gronie uczniów Jezusa. A skoro tak, to mamy — niech państwo mi wybaczą tę dialektykę — mamy znowu dwie możliwości. Albo znalazł się wśród uczniów Jezusa dlatego, że poszedł z czystym sumieniem, z czystym sercem, z chęcią, z pragnienia poznania Jezusa, naśladowania Jezusa i przyswojenia sobie Jego nauki. Albo też — pomyślmy również o najgorszym — znalazł się przy Jezusie dlatego, że został z Jerozolimy przysłany. Że mając te kontakty judzkie — od początku Jezus wywoływał kontrowersje, wywoływał opór przywódców religijnych i politycznych w Jerozolimie — wobec tego Judasz mógł być w Galilei wysłańcem z Jerozolimy, który od samego początku był posłany czy obecny po to, żeby w gronie tych Dwunastu Jezusa śledzić, żeby wiedzieć o Nim wszystko. I w gronie tych Dwunastu był kimś innym.

Tego rozstrzygnąć nie potrafimy. Proszę zauważyć, ile w ludzkim życiu może być dwuznaczności. Albo od początku był bohaterem, wielkim bohaterem, który Jezusa głęboko ukochał, i za Nim poszedł. Albo od początku był zdrajcą nasłanym po to, żeby Jezusa śledzić. Na jedno i na drugie mamy pewne potwierdzenia. Otóż dowodem tego, że Judasz cieszył się zaufaniem, mogło być to, że sprawował pieczę nad funduszami dwunastu apostołów. Takiej pieczy nie powierza się byle komu, powierza się człowiekowi zaufanemu. I to on sprawował nadzór nad pieniędzmi, nad tymi dobrami, które były potrzebne do codziennego życia. Można by więc z tego wywnioskować, że pozostali uczniowie mieli do niego zaufanie, także Jezus. Ale można też wnosić coś przeciwnego. Mianowicie łatwość, z jaką udawał się do arcykapłanów jerozolimskich, na krótko przed pojmaniem Jezusa, może świadczyć, że sprawa była od początku ukartowana. I że tylko na końcu chciał jakby jeszcze zyskać coś na zdradzie, której dokonywał przez całe życie. Nie potrafimy więc powiedzieć tak naprawdę, czy Judasza należy od początku podziwiać, a potem coś złego wydarzyło się w jego życiu, czy też Judasz od samego początku był zdrajcą. A to, czego dokonał ze Zbawicielem, było tylko przedłużeniem i potwierdzeniem jego złej postawy.

Zauważmy, że skoro tak jest w życiu Judasza prawie 2000 lat temu, to z jaką ostrożnością musimy patrzeć w ogóle na ludzi po to, żeby nie wydawać ani niesprawiedliwych ocen, ani niesprawiedliwych sądów. A z drugiej strony — żeby nie grzeszyć swoiście pojętą naiwnością. Otóż czasami musimy zdać sobie sprawę że to, co się dzieje w ludzkim sercu, i to, do czego zdolny jest człowiek, jest nie do pojęcia, i nie do wyjaśnienia. Zwróćmy uwagę, że także w naszych czasach mamy afery i aferzystów,

gdzie próbuje się dociec prawdy. I im więcej się na ten temat mówi, tym bardziej wydaje się, że prawda się oddala. I znamy tylko pozory albo domysły, natomiast od prawdy jesteśmy dalsi, niż na początku. Być może z Judaszem było zupełnie podobnie. Otóż to wszystko, co działo się przez trzy lata publicznej działalności Jezusa, nie było w końcu aż tak bardzo istotne. Dlatego nie było istotne, ponieważ Judasz niczym specjalnym nie wyróżniał się w gronie Dwunastu. Jeżeli patrzono na niego z tej późniejszej perspektywy jako na zdrajcę, to ten fakt — podkreślmy to raz jeszcze — rzutował na całe jego życie.

Sprawa zaczyna nabierać rumieńców na krótko przed pojmaniem Jezusa. Otóż przez te trzy lata działalności galilejskiej Judasz, czy to z dobrej i własnej woli, czy być może jako nasłany człowiek, zachowywał się pod każdym względem poprawnie. Ktoś z państwa może powiedzieć: „A czy to możliwe, żeby przez rok, albo dwa, albo trzy udawać kogoś innego?" Otóż to jest możliwe. Można tylko powiedzieć, że w najnowszych dziejach Kościoła w Polsce w okresie powojennym, do końca lat 80-tych bywało tak, że do seminariów duchownych byli przysyłani młodzi mężczyźni, którzy potrafili być w seminarium rok, dwa, trzy, którzy obserwowali życie od środka, którzy dostarczali wiadomości swoim mocodawcom, którzy stosowali się do regulaminu, i to nawet przykładnie, nawet otrzymywali tu mniejsze święcenia i całą resztę — a więc nie zwracali na siebie specjalnie uwagi. Czasami ktoś z nich pękł, czasami wydarzyło się coś, co przekroczyło jakieś granice. A czasami odchodzili, i dopiero po latach dowiadywano się, kim naprawdę byli. Otóż sposoby pozyskiwania wiadomości są naprawdę bardzo wyrafinowane. Czy z Judaszem tak było? Nie możemy być pewni, ale i nie możemy tego z góry wykluczyć.

Jest w Ewangeliach epizod na krótko przed pojmaniem Jezusa, który rzuca na Judasza nowe światło. Czytamy tak:

> Gdy Jezus przebywał w Betanii, w domu Szymona Trędowatego, podeszła do Niego kobieta z alabastrowym flakonikiem drogiego olejku i wylała Mu olejek na głowę, gdy spoczywał przy stole.

Otóż jest taki zwyczaj do dzisiaj. Część z państwa była w Egipcie parę lat temu, pamiętają państwo w Kairze te słynne sklepy z perfumami. Tam są po dzień dzisiejszy takie flakoniki. Najcenniejsze flakoniki są wyrabiane z alabastru. Wlewa tam się perfumy, nie są to zwyczajne perfumy, ale wyciąg z płatków kwiatów — a więc rzecz bardzo droga, i to jest zamykane. Jeżeli przychodzi do użycia, to trzeba ten flakonik alabastrowy złamać. Wtedy wiadomo, że nie jest to żadna podróbka, jest to rodzaj gwarancji bo są to perfumy bardzo drogie. I taki właśnie alabastrowy flakonik drogiego olejku przyniosła ze sobą kobieta wylewając go na głowę Jezusa.

> Widząc to, uczniowie oburzali się, mówiąc: «Na co takie marnotrawstwo?

Zauważmy — jest to męskie podejście, nie ukrywajmy. Otóż dzisiaj, żeby dać państwu pojęcie jakiego rzędu to są ceny, taki flakonik kosztowałby ok. 100 - 200 $. To jest sporo pieniędzy dla ludzi na Bliskim Wschodzie. W starożytności też był to bardzo drogi produkt. Mężczyźni myślą po swojemu — po co takie marnotrawstwo? Otóż co prawda czują zapach, korzystają z zapachu tego drogiego kwiatowego olejku, ale doskonale wiedzą, że jest to rzecz zupełnie przejściowa, i że można było z tym olejkiem zrobić zupełnie inny użytek:

> oburzali się: «Przecież można było drogo to sprzedać i rozdać ubogim».

Przeczytałem państwu fragment z Ewangelii św. Mateusza. To jest bardzo ważne. Dlatego, że w innych Ewangeliach mamy tutaj obraz, który nie jest do końca klarowny, i jak się wydaje, nie jest sprawiedliwy. Bo tym, który miał się oburzać, jest w innych Ewangeliach Judasz. To o nim się mówi, że się gorszył. To o nim się mówi, że oburzył się na tę kobietę, która zużyła ten olejek wylewając Jezusowi na głowę. Mateusz, jak się wydaje, jest sprawiedliwszy. Powiada mianowicie, że podobne uczucia mieli pozostali Apostołowie. Zatem nie można swoistej chciwości, albo swoistego męskiego szowinizmu, zrzucać na karb Judasza. Jeden z Ewangelistów dodaje nawet tak: „A mówił to nie dlatego, że chodziło mu o ubogich" — tak mówi św. Jan o Judaszu — „tylko dlatego, że sprawował pieczę nad kiesą, nad portmonetką z pieniędzmi". Wydaje się, że w tym przypadku Jan, chociaż święty, był wobec Judasza dość kąśliwy. Bo skoro Mateusz przypisuje to oburzenie wszystkim to nie widać powodów, żeby zrzucać całą winę na Judasza. Raz jeszcze okazuje się, że

wizerunek Judasza ucierpiał przez to, czego się Judasz później dopuścił. Mianowicie zdradę — ale to nawet mniej — tylko samobójstwo. Otóż samobójstwo, jeżeli tak można powiedzieć, przekreśliło go w oczach współczesnych. Tutaj mamy oburzenie wszystkich uczniów. I dalej:

> Lecz Jezus zauważył to i rzekł do nich: «Dlaczego sprawiacie przykrość tej kobiecie? Dobry uczynek spełniła względem Mnie.

Proszę popatrzmy. Jezus przeniósł punkt ciężkości w genialny sposób. Uczniowie zwrócili uwagę na wartość olejku. Natomiast Jezus powiada, że zwracanie uwagę na wartość olejku sprawia przykrość, czyli krzywdzi tę kobietę. Otóż dla niej największym szczęściem było to, że mogła służyć tym, co miała. Nie wartości materialne ale to, co przy tym czuła. Ja myślę że ci z państwa, którzy są szczególnie wrażliwi — zapewne wszyscy — rozumieją, że bardzo należy uszanować ludzką wrażliwość, również wrażliwość naszych najbliższych, ich poświęcenie, ich wolę, ich chęci, ich pragnienia — nawet jeżeli one od strony materialnej dużo kosztują. Dlatego że jeżeli ktoś wkłada całe swoje serce, to wtedy wartość materialna staje się drugorzędna. I Jezus zwraca na to bardzo mocno uwagę.

> Dobry uczynek spełniła względem Mnie. Albowiem zawsze ubogich macie u siebie, lecz Mnie nie zawsze macie.

Otóż ubodzy są priorytetem. Ale ci, którzy chcą sprawować posługę miłosierdzia wobec ubogich, zawsze będą mieli okazję to czynić. Nigdy nie będzie świata bez ubóstwa, bez potrzebujących, bez cierpiących. Oni zawsze będą towarzyszyć w każdym ludzkim pokoleniu. Mamy obowiązek wspomagać ubogich, ale czasami przychodzą w życiu takie okazje i chwile, kiedy trzeba dokonać swoistego „materialnego marnotrawstwa" po to, żeby osiągnąć dobro duchowe, które jest znacznie większe. Ci, którzy chcą pomagać ubogim, będą mieli wiele okazji, żeby to czynić. A czasami nawet kosztem tego czy innego ubogiego trzeba się posunąć do czynienia takiego dobra, które przynosi pożytek innego rodzaju. Jezus mówi:

> Wylewając ten olejek na moje ciało, na mój pogrzeb to uczyniła.

W ten sposób Jezus kieruje uwagę swoich najbliższych na bliską swoją śmierć. Zbliżają się do Jerozolimy, są już na przedmieściach Jerozolimy, w Betanii. To jest tylko około 3 - 3.5 km od centrum Jerozolimy. Jerozolimę będzie widać ze szczytu Góry Oliwnej jak na dłoni. I Jezus powiada: „To, co się wydarzyło, to jest zapowiedź mojej śmierci. Oraz przygotowanie Mnie niejako na okoliczności pogrzebu." Jak wiemy, te okoliczności pogrzebu były dramatyczne. Jezus zmarł na krzyżu około trzeciej godziny po południu. Potem zdjęto Jego ciało, a ponieważ zbliżało się już żydowskie święto szabat, i święto Paschy, i koniecznie na jakieś 20 - 30 minut przed zachodem słońca trzeba było już być w domu, bezwzględnie być w domu, bo rozpoczynał się szabat i Pascha, to na pogrzeb Jezusa pozostało zaledwie 1.5 - 2 godziny.

Ciało złożono w pobliskim grobie, w ogrodzie. Nie zostało namaszczone, nie dopełniono wobec ciała Jezusa tego, co było obowiązkiem na starożytnym Bliskim Wschodzie, i co jest obowiązkiem po dzień dzisiejszy. Dlatego pamiętają państwo, że gdy tylko szabat minął, to na trzeci dzień, czyli w niedzielę rano, kobiety udały się z olejkami do grobu Jezusa, aby ciało namaścić. Dlatego, że czuło się jakiś dyskomfort z tego powodu, że oto ktoś umiłowany odszedł na drugą stronę życia w okolicznościach odbiegających absolutnie od ojczystych zwyczajów. Udały się, żeby namaścić ciało Jezusa — ale Go nie znalazły, bo Jezus zmartwychwstał.

Gdyby nie uczynek tej kobiety, tak to powiedzmy, to Jezus w ogóle nie doczekałby się owego namaszczenia. To przedziwny epizod, i kończy on się tak:

> Gdziekolwiek na całym świecie głosić będą tę Ewangelię, będą również opowiadać na jej pamiątkę to, co uczyniła».

Że jest to prawda — doświadczamy tego i dzisiaj. Otóż to alabastrowe naczyńko z cennym olejkiem przysporzyło pamięci i sławy owej kobiecie, którą mało starożytnych ludzi cieszy się aż do dnia dzisiejszego.

> Wtedy jeden z Dwunastu, imieniem Judasz Iskariota, udał się do arcykapłanów i rzekł:

Zastanawiająca jest ta łatwość udania się do arcykapłanów. Czy udał się tam dlatego, że był już znany i odpowiednio przygotowany? Czy też coś dokonało się w Judaszu nowego? Raz jeszcze stajemy na progu tajemnicy. Ta pierwsza możliwość wydaje się dość prawdopodobna. Otóż śledzi Jezusa, a kiedy Jezus zapowiada własną śmierć, Judasz zaczyna podejrzewać na zasadzie: „na złodzieju czapka gore", że Jezus domyśla się, że jego obecność nie jest bezinteresowna. I w związku z tym chce dopełnić tego, co się stało, idąc do arcykapłanów i próbując położyć kres swojej misji. To jest jedna możliwość.

Inna możliwość jest dla Judasza bardzo pozytywna, albo znów co najmniej dwuznaczna. A może było tak, że Judasz udaje się do arcykapłanów ze względów polityczno - religijnych? To znaczy kiedy dowiedział się, że Jezus zapowiada już swój bliski pogrzeb, czyli swoją śmierć — a przedtem Jezus czynił to wielokrotnie, i zapowiadał również swoje zmartwychwstanie — może Judasz w jakiś dla nas niezrozumiały sposób chce przyśpieszyć ten moment? Chce jakby w tym momencie żywo współuczestniczyć? Może chce jakby położyć kres tej niepewności, którą w sobie miał? To druga możliwość. Czy tak było — nie wiemy. Faktem jest, że udaje się bezpośrednio do arcykapłanów

i rzekł: «Co chcecie mi dać, a ja wam Go wydam».

Zwróćmy uwagę, o jakie wydanie chodziło. Chodziło o to, że Jezus nie mógł być pojmany publicznie dlatego, że Jego popularność była zbyt wielka. Gdyby posunięto się do do aresztowania w dzień, do pojmania w dzień, należało się liczyć z rozruchami. Wobec tego dokonano tego nocą. Można by powiedzieć, że jakąś analogią do tej sytuacji — odległą, ale przecież analogią — jest sytuacja z porwaniem księdza Jerzego Popiełuszki. W okresie, kiedy został porwany, cieszył się ogromną popularnością, wielkim duchowym autorytetem. W dzień nie było możliwości, żeby uczynić mu krzywdę. Wobec tego obmyślano plan nocny, i ten plan nocny spełnił się, jego dramatyczne szczegóły znamy.

A oni wyznaczyli mu trzydzieści srebrników.

Te trzydzieści srebrników to jest w Piśmie Świętym zapłata za niewolnika. Jeden srebrnik to był dzień pracy, zapłata za dzień pracy. Trzydzieści srebrników to jest zapłata za miesiąc pracy. Tyle kosztował niewolnik, taki pierwszy lepszy niewolnik, którego można było sobie nabyć. Jezus został potraktowany więc przez arcykapłanów jako niewolnik. To też ma znaczenie symboliczne.

Odtąd szukał sposobności, aby Go wydać.

Stajemy wobec pytania, jakże ważnego — czy dopiero odtąd szukał tej sposobności? Czy też odtąd szukał sposobności tylko ku temu, by Jezusa wydać? Czy do tej pory żywił te same myśli, czy też jego usposobienie teraz gwałtownie się zmieniło? Ten problem, jak sądzę, pozostanie nierozstrzygnięty. Musimy tylko wiedzieć, że taka ewentualność istniała, istniało jedno i drugie. Bodaj najbardziej nieprzychylny wobec Judasza był św. Jan. Dlaczego? Dlatego, że św. Jan, Apostoł i Ewangelista, był w gronie apostołów najmłodszy. Powiedzieliśmy, że był również niewinny. Tamci to byli w miarę dorośli ludzie, w wieku mniej więcej Jezusa, czyli około 30 lat — może trochę mniej, może czasami trochę więcej. Natomiast Jan miał kilkanaście lat. Wobec tego będąc niewinnym, będąc dobrym, był też mało wyrozumiały dla tych, którzy dopuścili się jakiegoś zła. Jest to jeden z takich aspektów psychologicznych, które do dzisiaj są bardzo ważne. Mianowicie, że jednym z przymiotów ludzi dobrych jest brak wyrozumiałości dla innych. Sądzą, że inni powinni żyć tak, jak oni. A ponieważ oni nie przeżywają większych trudności, pokus, kłopotów, jakichś wyzwań, to w związku z tym swoją sytuację duchową projektują, rzutują na każdego innego człowieka. I paradoks polega na tym, że ludzie źli albo grzeszni wybaczają łatwiej, niż ludzie dobrzy. Bo ci ostatni, zastanówmy się także i z tej strony, też mają jak gdyby do Boga pretensje, że oto oni są przez długi czas albo całe życie dobrzy, a wybaczając złym Pan Bóg traktuje tych złych tak, jak gdyby się nic nie stało. Przypomnijmy sobie zwłaszcza przypowieść Jezusa o robotnikach, którzy pracowali w winnicy. Jedni rano, drudzy przed południem, trzeci w południe, inni po południu. Wreszcie przyszli i ci, którzy byli zaproszeni o 5-tej po południu, popracowali godzinę — bo o szóstej robi się ciemno — i wszyscy otrzymali jednakową zapłatę.

Niebo jest jednakowe dla wszystkich. I czasami ludzie dobrzy i niewinni są tym rozczarowani. Woleliby, żeby ich niebo było inne, żeby ich nagroda była większa. I mają niejako pretensję do

Pana Boga, że grzeszników traktuje z taką wyrozumiałością. Jezus powiedział: „Czy macie Mi to za złe, że Ja jestem dobry?" I ten wzorzec przenosimy na św. Jana również. Myślę że — nie upraszczając sprawy — Jan jest wobec Judasza bardzo wymagający. Czytamy tak — mamy Janową relację o Ostatniej Wieczerzy, a więc już po uczcie w Betanii:

> To powiedziawszy Jezus doznał głębokiego wzruszenia i tak oświadczył: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Jeden z was Mnie zdradzi». Spoglądali uczniowie jeden na drugiego niepewni, o kim mówi. Jeden z uczniów Jego — ten, którego Jezus miłował

czyli właśnie Jan

> spoczywał na piersi Jezusa. Jemu to dał znak Szymon Piotr i rzekł do niego: «Kto to jest? O kim mówi?»

Zauważmy, że mamy swoistą „zmowę" apostołów. Najbliżej Jezusa jest Jan. Jezus zapowiada, że jeden z uczniów Go zdradzi. Piotr boi się spytać, żeby nie zostać skarcony. I w związku z tym gdzieś tam kiwa na Jana: „Zapytaj, zapytaj o kogo chodzi". Nie mówi, tylko pokazuje mu. Więc Jan pyta, temu najmłodszemu wypada: „Ten" — czyli Jan —

> oparł się zaraz na piersi Jezusa i rzekł do Niego: «Panie, kto to jest?» Jezus odparł: «To ten, dla którego umaczam kawałek [chleba], i podam mu».

Otóż tu dotykamy zwyczaju na Bliskim Wschodzie istniejącego po dzień dzisiejszy, a dla nas niezrozumiałego. Ci z państwa, którzy pamiętają dawniejsze obyczaje w naszej Ojczyźnie, pamiętają że jadało się w rodzinie ze wspólnej miski. Były na środku kartofle ze słoniną, obok załóżmy zsiadłe mleko, każdy dostawał łyżkę w rękę, i od swojej strony te kartofle jadł. Dzisiaj w mieście jest to rzecz raczej trudna do pojęcia, ale tak było. Na Bliskim Wschodzie największym wyrazem gościnności, serdeczności jest to, jeżeli jest się zaproszonym na przyjęcie np. w rodzinie arabskiej — wiele razy czegoś takiego doznawałem na różne sposoby, kiedy to gospodarz już nie tylko podsuwa talerz z jedzeniem, ale bierze, łamie kawałek chleba — bo do chleba nie używa się noża. Ani Żydzi ani Arabowie nie używają noża bo mówią, że kiedy się chleb kroi nożem, to chleb płacze tak ,jak człowiek. Więc chleb się łamie, chleb się odrywa — macza go w sosie, i podaje ten chleb gościowi. To jest wyraz zażyłości, to jest wyraz przyjaźni, wyraz serdeczności. Dla nas wychowanych w innej kulturze może to być trudne. Dla nich jest to przejaw największej gościnności.

Zauważmy, że Jezus zamierzając wskazać tego, który zdecydował się na zdradę, dokonuje tego gestu przyjaźni. Co chce przez to osiągnąć? Chce przez to dać do zrozumienia, że poznał zamysł Judasza. A więc chce go skłonić do opamiętania, do refleksji, do zawrócenia. Judasz mógł zawrócić z tej drogi, którą wybrał. Czytamy tak:

> Umoczywszy więc kawałek [chleba], Jezus wziął i podał Judaszowi, synowi Szymona Iskarioty.

A więc Judasz mógł się przekonać, że oto Jezus daje mu poznać, że zawsze jest czas na nawrócenie, zawsze jest czas na poprawę, zawsze jest czas na zawrócenie z tej drogi. Ale stało się inaczej.

> A po spożyciu kawałka [chleba] wszedł w niego szatan.

To semickie wyrażenie, hebrajskie wyrażenie, które daje poznać, że właśnie wtedy, w obliczu tego gestu przyjaźni, w obliczu tego gestu zażyłości, Judasz jeszcze bardziej się usztywnił. Bywa tak, myślę że niejeden z państwa to przeżył, i niejedna, że dobro wobec jakiegoś człowieka może spowodować u niego nie wdzięczność, lecz wściekłość. Że dobro, które względem niego wykonujemy, może spowodować jego usztywnienie się i reakcję bardzo nieprzychylną. Otóż nie zawsze jest tak, że odpowiedzią na dobro jest dobro. Bywa, że czynienie dobra staje się jak wyrzut sumienia. Że gdzieś tam z człowieka wydobywa pokłady, które dają poznać to, co w nim najgorsze. I wtedy:

> Jezus zaś rzekł do niego: «Co chcesz czynić, czyń prędzej!». Nikt jednak z biesiadników nie rozumiał, dlaczego mu to powiedział. Ponieważ

i teraz te słynne słowa Jana:

> Judasz miał pieczę nad trzosem, niektórzy sądzili, że Jezus powiedział do niego: «Zakup, czego nam potrzeba na święto», albo żeby dał coś ubogim. A on po spożyciu kawałka [chleba] zaraz wyszedł. A była noc.

Judasz wyszedł w noc. Tam, gdzie jest zdrada, tam rozpoczyna się przed człowiekiem noc. Nie jest to tylko noc fizyczna, w sensie ciemności fizycznych, ale również noc duchowa. Ten mrok, który ogarnia człowieka wtedy, kiedy zaczyna działać w złych intencjach, i ze złymi celami. Potem, kiedy dobiega kresu Ostatnia Wieczerza, Jezus udaje się do Ogrójca. I czytamy:

> Gdy On jeszcze mówił,

rozmawiał z uczniami,

> oto nadszedł Judasz, jeden z Dwunastu, a z nim wielka zgraja z mieczami i kijami, od arcykapłanów i starszych ludu. Zdrajca dał im taki znak: «Ten, którego pocałuję, to On; Jego schwytajcie!».

Otóż była noc, oświetlana tylko pochodniami. W związku z tym żeby pokazać, która z modlących się osób to jest Jezus, Judasz wybiera tradycyjną formę powitania. Otóż i mężczyźni i kobiety na Bliskim Wschodzie witając całują się ze sobą. Nie ma — że tak powiem — całowania się na krzyż, to znaczy tak jak jest u nas, mężczyźni z kobietami, również kobiety z mężczyznami. Nie, kobiety z kobietami, mężczyźni z mężczyznami. A więc pod tym względem jest daleko posunięta segregacja. I Judasz, chcąc dać poznać, że ten, o którego chodzi, to właśnie Jezus, wybiera ten symbol, który jest znakiem czułości, znakiem przyjaźni, Sądzi, że być może inni nie rozpoznają tej zdrady, którą zamierzył.

> Zaraz też przystąpił do Jezusa, mówiąc: «Witaj Rabbi!», i pocałował Go. A Jezus rzekł do niego: «Przyjacielu, po co przyszedłeś?» Wtedy podeszli, rzucili się na Jezusa i pochwycili Go.

Znak przyjaźni, symbol zażyłości, ten pocałunek wymieniany pomiędzy zaprzyjaźnionymi osobami, staje się tutaj znakiem zdrady. Judasz podeptał pewne konwenanse, pewne obyczaje, zwyczaje, podeptał to, co szlachetne i drogie. Jezus zwraca się do niego ze słowami: „Przyjacielu, po coś przyszedł?" To jest jeszcze jedna szansa, jeszcze jedno opamiętanie. Tak jak kiedyś Kain i Abel. Kiedy Bóg zwraca się do Kaina: „Gdzie jest brat twój Abel?" mógł Kain powiedzieć: „Zabiłem brata mojego, żałuję!" Ale odpowiedział inaczej: „Czy ja jestem stróżem mojego brata?" Otóż nawet w obliczu tej zdrady Jezus daje Judaszowi szansę.

Zwróćmy uwagę że ostatecznie wydaje się, że ten epizod okazał się przełomowy. Mianowicie w Judaszu pojawiła się iskra, która za kilka godzin miała zaowocować początkiem jego nawrócenia. Otóż kiedy Jezus został pojmany i postawiony przed Wysoką Radą, kiedy wreszcie zapadł na Jezusa wyrok śmierci, wtedy z powrotem oczy ewangelisty kierują się na Judasza. I czytamy:

> Wtedy Judasz, który Go wydał, widząc, że Go skazano, opamiętał się, zwrócił trzydzieści srebrników arcykapłanom i starszym, i rzekł:

Proszę, zwróćmy uwagę na to zdanie, bardzo istotne dla zrozumienia postaci Judasza. Widząc co wydarzyło się z Jezusem, widząc okrucieństwo, którego Jezus stał się ofiarą, Judasz opamiętał się. Srebrniki straciły dla niego wartość. A może decydujące były te słowa: „Przyjacielu, po coś przyszedł?" Podobnie jak dla Piotra, który Jezusa się wyparł, decydujący był wzrok Jezusa. Znakomicie ta scena jest pokazana na filmie „Pasja", gdy wzrok Jezusa i wzrok Piotra spotykają się ze sobą. Na filmie pokazana jest również scena owego opamiętania się Judasza, kiedy przybywa do arcykapłanów i mówi:

> «Zgrzeszyłem, wydawszy krew niewinną». Ale oni mu odparli: «Co nas to obchodzi? To twoja sprawa».

Zwróćmy uwagę: czasami, żeby się nawrócić, to człowiek potrzebuje innych. Także tych, którzy z nim współdziałali w złem. Ale okazało się, że tutaj tej pomocy ze strony wspólników w złem nie było. Arcykapłani mówią: „To twoja sprawa". Zostawili Judasza w tym krytycznym momencie

samego. Gdyby powiedzieli w tym momencie: „Tak, żałujesz tego, co zrobiłeś? Przyjmujemy twój żal i twoją skruchę" zapewne losy Judasza potoczyły by się inaczej. Ale oni mówią: „To twoja sprawa". Wielkim nieszczęściem jest pozostawić człowieka, który dopuścił się zła, samego. Dlatego, że w ludziach złych również dzieje się wiele dobra. I wtedy potrzeba obecności kogoś życzliwego, żeby z tej iskry rozniecić płomień. Judasz się tego nie doczekał. Zatem:

Rzuciwszy srebrniki ku przybytkowi, oddalił się, potem poszedł i powiesił się.

Ta scena jest w filmie przedstawiona w nawiązaniu do żydowskiej tradycji wypędzenia Azazela. Jest to jeden z najgłębszych motywów w „Pasji". Wygląda ona tak, że kiedy Judasz rzucił srebrniki arcykapłanom, ci odwrócili się i odeszli tak, jakby się nic nie stało. A Judasz wychodzi, i pogrąża się w coraz większą samotność. I oto spotykają go bawiące się dzieci. Dzieci, które są zupełnie dobre, niewinne, zaczynają się bawić. Przyglądają się mu i widzą, że Judasz jest zupełnie zmieniony. I zaczynają mówić: „Co ci jest? Potrzebujesz pomocy?" Ale to, że przed chwilą pomocy nie dostał, sprawiło, że i teraz na pomoc się zamknął. I jeden z tych dzieciaków mówi do drugiego: „Zobacz, krew! Krew na jego ustach, krew na jego twarzy! Popatrz na niego!" I zaczynają wołać: „Przeklęty, przeklęty!" I ten okrzyk narasta. Można by powiedzieć, że to jest symboliczny wyraz tego, że w losie Judasza spełnia się jakby ten dramatyczny los wszystkich zdrajców, którzy nawet wtedy, gdy szukają drogi nawrócenia, są odrzuceni przez swoją wspólnotę. I to im uniemożliwia jakikolwiek powrót do dobrego. I zaczyna narastać ten krzyk dobrych dzieci, mianowicie: „Przeklęty, przeklęty, przeklęty!" I Judasz wije się tam w tym krzyku, aż w końcu dostrzega daleko drzewo i suchą gałąź. I jego koniec jest taki, jak mówi Ewangelia.

Na pewno gdyby Judasz znalazł choćby cień zrozumienia w tej najbardziej dramatycznej chwili, jego los być może mógłby być taki, jak los Piotra. Nawrócony byłby dalej sprawował swoją apostolską posługę. Ale najpierw sam nie skorzystał z propozycji, którą dawał mu Jezus, a później inni nie pomogli mu wrócić na drogę dobra. Więc jego losem stała się samobójcza śmierć. Ale jaki jest los po tej śmierci — to już jest sprawa Boga. Jak państwo wiedzą także w Kościele jest długa praktyka, sięgająca samych początków Kościoła, wynoszenia na ołtarze, beatyfikacji, kanonizacji świętych. Natomiast nigdy nie było w Kościele, żeby stwierdzać o kimkolwiek, że nie dostąpił Bożego zbawienia, że jest w piekle. Więc i o Judaszu też nigdy nie głoszono takiej nauki. Los Judasza, tak jak los wszystkich, pozostaje w ręku Boga.

Potem na miejsce Judasza został wybrany inny apostoł, Maciej. Rzucono losy, i los padł na Macieja. Maciej zastąpił go w tym, z czego Judasz nie zdążył się wywiązać. Myślę że po dzisiejszej konferencji ta prawda, na którą zwróciliśmy uwagę na samym początku, jawi nam się w nowym świetle. Granica między dobrem a złem jest bardzo cienka. Bardzo łatwo jest pójść w kierunku zła. I bywa że trudny, albo wręcz niemożliwy, staje się powrót do dobra. Potrzebna jest pomoc innych. Kiedy jej nie ma, to siostrą człowieka, który nie doświadczył pomocy innych, jest samotność. A siostrą samotności jest rozpacz. A rozpacz popycha człowieka także ku śmierci. Tam, gdzie jest samotność i rozpacz, tam los człowieka jakby uchodzi możliwościom zarządzania przez niego samego swoją przyszłością. Tak stało się z Judaszem. Można by powiedzieć, że jest ofiarą samotności i ofiarą rozpaczy. Jaki jest jego wieczny los — to już jest rzecz czy sprawa, która umyka możliwościom naszej wyobraźni. Ale ponieważ właśnie w tej sprawie też nie wiemy wszystkiego, to pozostaje tak jak zawsze przekonanie płynące z wiary, że ostatnim słowem Boga jest zawsze zbawienie.

Tyle byłoby na konferencji w okresie Wielkiego Postu. Bardzo serdecznie dziękuję państwu za uwagę. Na następną konferencję zapraszam 19 IV, w trzeci poniedziałek kwietnia. Za przedmiot będziemy mieli kolejnego apostoła bądź apostołów, i będziemy rozważać tajemnice apostołowania i ewangelizacji z Nowym Testamentem związane.

Dzisiaj bardzo państwu dziękuję. Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6.7 O filmie „Pasja” (19 kwietnia 2004)

Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

Zaczynamy naszą kolejną konferencję z tym, że ta dzisiejsza refleksja jak gdyby odejdzie dość daleko od cyklu, który żeśmy w tym roku podjęli — mianowicie *Apostołowie Jezusa Chrystusa.* Chciałbym odpowiedzieć na postulaty, a po części prośby i życzenia niektórych z państwa, żeby odnieść się na konferencji biblijnej do filmu „Pasja”. Co najmniej kilkanaście osób prosiło, żeby powiedzieć na ten temat więcej. I dzisiaj kiedy wiem, że wiele osób spośród państwa obejrzało ten film, chciałbym żebyśmy odnieśli się — ale nie wyłącznie do filmu jako takiego, tzn. nie badając jego wartości artystyczne czy filmowe — tylko żebyśmy na podstawie tego filmu zastanowili się nad pewnymi prawidłowościami, które dotyczą naszej wiary, i nad pewnymi prawidłowościami, które dotyczą naszego sposobu przeżywania męki i śmierci Jezusa Chrystusa. Myślę więc, że to, o czym będziemy dzisiaj mówić, w jakiś sposób zainteresuje tych spośród państwa, którzy widzieli film — dlatego, że będę do tego filmu się odnosił. Ale być może zainteresuje także tych spośród państwa, którzy tego filmu nie widzieli, i nie będą się nudzić — taką przynajmniej mam nadzieję. Być może też, chociaż to nie jest mój cel, będzie to dla tej czy innej osoby, która jeszcze filmu nie zobaczyła, jakieś wprowadzenie do ewentualnego obejrzenia. Dlatego, że w moim przekonaniu warto jest tą ekranizację męki i śmierci Jezusa zobaczyć.

Ale zacznijmy po kolei. Otóż wspominałem państwu wielokrotnie przy rozmaitych okazjach że jeżeli o mnie chodzi, to specjalnie nie oglądam filmów biblijnych, ani za nimi nie przepadam. Mówiąc tak szczerze, to w ogóle bardzo mało oglądam filmów, czy bardzo mało oglądam telewizję. Jeżeli już wiem, że jest jakiś film bardzo dobry, to na ten film pójdę. Natomiast generalnie biorąc jakoś wystarcza mi wyobraźnia i ten sposób myślenia i postrzegania i przeżywania świata, który kształtuje się zwłaszcza na podstawie czytania i na podstawie słuchania. Mówię o tym na samym początku, żeby państwo mieli również mój osobisty klucz do przeżywania tego filmu. Czyli mówiąc dokładniej jestem bardziej człowiekiem radia, aniżeli człowiekiem telewizji. To znaczy zdecydowanie bardziej wolę włączyć radio i wyobrażać sobie te światy, o których się opowiada, te światy, o których mówi spiker, muzykę dochodzącą do nas, i to oddziaływanie na wyobraźnię, aniżeli oglądać gotowe obrazy. Jeżeli już gotowe obrazy, to bardziej w naturze. To znaczy zdecydowanie wolę podróże, aniżeli oglądanie filmów podróżniczych. Aczkolwiek z mojego punktu widzenia za najcenniejsze uważam właśnie filmy przyrodnicze, filmy podróżnicze, filmy geograficzne bo sądzę, że one dają najwięcej. Natomiast jeżeli chodzi już o ekranizacje powieści, to czasem odnoszę takie wrażenie że ten wewnętrzny świat, który wiąże się z tą powieścią, jest jakoś bogatszy niż to, co można zobaczyć na ekranie.

Po tym wstępie muszę przejść do tego filmu „Pasja”. Otóż w latch 90-tych, zwłaszcza w połowie lat 90-tych, Telewizja Polska przygotowywała kilka albo kilkanaście nawet rozmaitej wartości i jakości filmów, które miały związek z Pismem Świętym. I sporo z tych filmów konsultowałem. Otóż były one bardzo różnej, jak powiadam, jakości. Ale na ogół tam, gdy dochodziło do filmów fabularnych, typu „Mojżesz” czy jakieś inne, to specjalnie do tej konsultacji się nie paliłem, i raz czy dwa nawet odmówiłem. Dlatego, bo nie czułem się na siłach. Bo mnie samemu ten ten sposób narracji, ten sposób opowiadania nie odpowiadał. Otóż Pismo Święte w moim przekonaniu jest bardziej przeznaczone do tego, by go słuchać. To jest Pismo, a więc bardziej przeznaczone do tego, by je czytać. Hebrajska, żydowska nazwa Pisma Świętego brzmi Mikra. I ten rzeczownik jest urobiony od czasownika kara czyli *czytać.* Pismo Święte jest po to, żeby czytać. I kiedy je czytamy, zwłaszcza kiedy czytamy je głośno, to ono odkrywa przed nami ten świat spotkania Boga z człowiekiem. Również Pismo Święte jest po to, żeby je — jak mówią Żydzi — iszmoa czyli *słuchać.* Wtedy, kiedy słuchamy Pisma Świętego, wtedy przemawia do nas bardziej to orędzie Boga, i jednocześnie ten świat człowieka sprzed dwu i więcej tysięcy lat.

Kiedy więc zaproponowano mi parę miesięcy temu pracę nad tym filmem, to oczywiście jako jeden z podstawowych warunków powiedziałem, że trzeba ten film zobaczyć. To był warunek, żeby ewentualnie zająć się później przygotowywaniem polskich napisów do tego filmu. Tej pracy z polskimi napisami prawdę mówiąc nie było bardzo wiele. To była bardziej praca koncepcyjna niż praca ilościowa. Bo liczba tych napisów jest stosunkowo ograniczona, natomiast mają one niezwykle silną, wielką nośność. I po raz pierwszy prezentacja tego filmu odbyła się w bardzo wąskim gronie,

w Warszawie, brało w tym udział 25 zaproszonych osób. I właśnie po tej prezentacji, jeszcze w języku aramejskim i w języku łacińskim, z napisami które były po angielsku, postanowiłem włączyć się w spolszczenie tego filmu. Dlatego, bo ten film zrobił na mnie ogromne wrażenie.

I tu musimy się przenieść jakby na inny poziom. Otóż państwo wiedzą, że teraz w związku z filmem „Pasja" dokonywano rozmaitych obliczeń i przypomniano nam, że od momentu, kiedy powstało kino i kiedy zaczęto produkować filmy, do dzisiaj powstało kilkanaście filmów poświęconych Jezusowi Chrystusowi. Powstały one jeszcze w okresie filmu niemego, potem były to filmy czarno-białe, później kolorowe. I niektóre z tych filmów zrobiły dość dużą karierę, są dość popularne, czasami – zwłaszcza przy okazji świąt – pokazywane w telewizji. Część z tych filmów jest przeznaczona do kina, dwie do dwóch i pół godziny. Część produkcji są to filmy przeznaczone dla telewizji, a więc filmy w odcinkach.

Na czym więc polega specyfika tego filmu, specyfika „Pasji"? Otóż pierwszy raz w historii kina — i to jest aż dziwne, że nikt do tej pory się na to nie zdecydował — pokazano tylko mękę i śmierć Jezusa Chrystusa. Ten wybór jest zupełnie świadomy. Tytuł tego filmu po angielsku brzmi „The Passion of Christ" czyli „Męka Chrystusa". I pierwotnie nawet zastanawialiśmy się, czy nie lepiej będzie przetłumaczyć ten tytuł dosłownie na polski, czyli „Męka Chrystusa". Ale, jak już państwu kiedyś wspominałem, doszliśmy do wniosku, że gdyby tytuł filmu brzmiał w ten sposób to byłby odmieniany setki tysięcy i miliony razy. I to grozi takim trochę zbyt pospolitym używaniem słowa „Chrystus" w rozmaitych kontekstach, które nie zawsze są bardzo dobre. I dlatego odstąpiono od tego, żeby nie mówić: „Byłeś na Męce Chrystusa?", „Widziałeś Mękę Chrystusa?", „Ja nie widziałem Męki Chrystusa", „Mnie się nie podoba Męka Chrystusa" i takich różnych skojarzeń, które mogłyby to wszystko spłaszczyć i w jakiś sposób może nawet zbanalizować.

Więc pozostał po polsku tytuł „Pasja". I w tym tytule „Pasja" są dwa wymiary, bo jak wiemy słowo *pasja* po polsku jest dwuznaczne. Otóż *pasja* znaczy *męka*. Mówimy przecież *pobożność pasyjna*, *czas pasyjny*, *okres pasyjny*, mamy na stole *pasyjkę* czyli krzyż z podobizną Jezusa Chrystusa ukrzyżowanego — i to jest jeden wymiar tego słowa *pasja*. Drugi wymiar: *pasja* znaczy jakieś silne zaangażowanie, coś bardzo związanego z emocjami, jakieś bardzo mocne emocje człowieka. A więc *ktoś ma jakąś pasję*. I ten wymiar też w tytule dochodzi do głosu. Ale ważniejsze jest to, że reżyser i producent zdecydowali się na to, żeby pokazać — był to celowy wybór — tylko mękę i śmierć Chrystusa.

Reżyser przygotowywał się do tego przez kilkanaście lat. Trudno nam dociekać, dlaczego to zrobił. Najwidoczniej miał w sobie jakąś potrzebę. Jedno nie ulega wątpliwości — że w tym filmie męka Chrystusa, śmierć Chrystusa są bardzo starannie przemyślane. Do tego wątku jeszcze wrócę. Musze państwu powiedzieć, że znając Nowy Testament, czytając Nowy Testament byłem zaskoczony do jakiego stopnia te aluzje biblijne nowo- i starotestamentowe są w tym filmie obecne. Do jakiego stopnia jest tam obecna również mentalność chrześcijańska, i mentalność żydowska, bo to też jest tutaj bardzo ważne. Otóż widać, że nie jest to film który powstał w ciągu paru miesięcy dlatego, że ten człowiek chciał go zrobić. Widać, że jest to film dojrzały, owoc dojrzałej wiary człowieka który wie, co to znaczy być chrześcijaninem, i który bardzo to przeżywa. Oczywiście musimy zdać sobie sprawę z tego, że jest to wiara człowieka, który przynależy do kultury anglosaskiej. A więc nieco innej niż nasza, niż kultura polska. Ale przecież pod wieloma względami mogliśmy tam odnaleźć również te elementy przeżywania wiary, które są i nam bliskie.

I druga sprawa, w tym wszystkim również bardzo ważna. Jak państwo wiedzą — żeby nakręcić film, trzeba mieć pieniądze. Dzisiejsze filmy kosztują bardzo dużo. Wiemy, że jest cała tzw. produkcja hollywoodzka, amerykańska, gdzie film, który kosztuje mniej niż kilkadziesiąt milionów dolarów, w ogóle nie liczy się. Film musi być drogi z zasady. W związku z tym ludzie, którzy pracują przy filmach, zarabiają ogromne pieniądze, jest to cały przemysł. A jeszcze więcej zarabiają ci, którzy się opiekują tymi aktorkami, aktorami, zawierają umowy itd. To jest zupełnie osobna sprawa. Gibson, autor tego filmu, nakręcił ten film za swoje własne pieniądze. Tych pieniędzy miał sporo, to jest jednak Ameryka, i człowiek bogaty — ale ten film kosztował stosunkowo mało. Chociaż państwo zapewne wiecie ile — suma dla przeciętnego człowieka jest zupełnie mitologiczna. Otóż ten film kosztował około 25 milionów $, co jak na filmowe warunki amerykańskie nie jest kwotą strasznie dużą. A więc ten film został zrobiony, jeżeli tak można powiedzieć, po cenach stosunkowo niewygórowanych według tamtych standardów. Reżyser zrobił go za własne pieniądze dlatego,

że Hollywood, te oficjalne wytwórnie odmówiły, nie chciały produkcji takiego filmu. Nie wiadomo czy ze względów ideologicznych, czy też bardziej może obawiały się jakiegoś krachu finansowego – trudno to powiedzieć. W każdym razie jest to film zrobiony z osobistym ryzykiem tego, który się na zrobienie tego filmu zdecydował.

Nowość polega na tym, że postanowił pokazać mękę i śmierć, czyli postanowił pokazać ostatnie kilkanaście godzin życia Jezusa. Niech państwo zwrócą uwagę – jeżeli powstawały filmy na temat Jezusa, to np. w $2\frac{1}{2}$ godzinnym skrócie pokazywano całe życie Jezusa — od poczęcia przez narodziny, działalność publiczną, potem mękę i śmierć. Zatem w takim filmie mękę i śmierć zajmowały np. 5 - 7 albo 12 - 15 minut. Powstawały też filmy inne, mianowicie zaczynały się w Niedzielę Palmową, i dotyczyły ostatniego tygodnia życia Jezusa. A więc wjazd Jezusa do Jerozolimy, a więc wskrzeszenie Łazarza, a więc uczta w Betanii, Maria i Marta, spory na terenie świątyni, oczyszczenie świątyni jerozolimskiej i dopiero później sekwencje z Ostatniej Wieczerzy, i po kolei te epizody z męki i śmierci Jezusa, które w filmie zajmowały np. 20 albo 25 minut — ale nigdy więcej. Natomiast przedmiotem tego filmu jest męka i śmierć — poczynając od Ogrójca. Uwaga zwrócona jest na ten lęk Jezusa, na ten strach Jezusa, tę obawę Jezusa. A później pojmanie, i następne epizody aż do Jego ukrzyżowania. To przesądza, że już ze swojej natury, ze swojej genezy, jeżeli tak można powiedzieć, ten film jest w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu ryzykowny. Otóż każdy, kto idzie na ten film, wie, że w dwugodzinnym skrócie będzie oglądał ostatnie kilkanaście godzin życia Jezusa. Ale jeżeli się weźmie pod uwagę, że z tych kilkunastu godzin nie pokazuje się kilkugodzinnego pobytu czy wrzucenia do lochu, już po skazaniu Jezusa na śmierć, nie pokazuje się drogi do Piłata, drogi do Heroda, nie pokazuje się trzygodzinnego konania na krzyżu — bo Jezus został zawieszony w południe, a zmarł o trzeciej po południu — więc tych trzech godzin nie ma. Jeżeli się to wszystko weźmie pod uwagę to okazuje się, że skrót, z jakim mamy do czynienia w filmie, nie jest bardzo wielki. I stąd mamy epizody, które niejako musimy oglądać.

Niech państwo zastanowią się nad takim pewnym doświadczeniem, albo taką hipotezą. Proszę sobie wyobrazić, że oto mieszkamy w Jerozolimie prawie 2000 lat temu. I ktoś proponuje nam, że oto będziemy świadkami tego wszystkiego, co wydarzy się z Jezusem. Otóż są ludzie, którzy powiedzą: „Nie, ja tego nie chcę oglądać, ja tego nie mogę oglądać”. Podobnie jak są osoby, które nie mogą oglądać ludzi ciężko chorych. Są osoby, które nie pójdą w szpitalu na tzw. OIOM czyli Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, bo nie mogą patrzeć na te wszystkie aparatury, na te sprzęty, i na człowieka, który mocno cierpi. Są osoby, które nie mogą patrzeć na okaleczonych, na oszpeconych, na ludzi po wypadku samochodowym czy jakimś innym — możemy tutaj mnożyć. Są osoby, które nie lubią odwiedzać chorych nie dlatego, że są źli — broń Boże — tylko dlatego, że mają taką wrażliwość. Są inne osoby, którym przychodzi to bez większego trudu. W końcu pracują lekarze, pracują pielęgniarki, personel medyczny. Są przecież ci, którzy opiekują się ludzkim ciałem od urodzenia aż do śmierci, a nawet po śmierci — to są osoby, które pracują w prosektoriach itd., moglibyśmy to kontynuować. Więc proszę zwrócić uwagę, że nie jest rzeczą dziwną, ani nie jest rzeczą naganną jeżeli ktoś powie: ja mam taką konstrukcję psychiczną, że ja męki i śmierci Jezusa wolę nie oglądać. Dlatego, że na mnie oddziałuje to za silnie, albo za mocno. Ja przeżywam to zbyt głęboko, czy zbyt dosłownie. Jeżeli są takie osoby, musimy z całą pewnością to uszanować.

Są jednakże inni, którzy chcieliby tę filmową rekonstrukcję zobaczyć. Bo proszę pamiętać, że **jest to tylko**, a można powiedzieć **aż**, *filmowa rekonstrukcja tego, co się wydarzyło w Jerozolimie prawie 2000 lat temu.* To, co oglądamy, to jest film. To, co oglądamy, to jest próba pokazania tego. Można by powiedzieć, to jest swoiste misterium pasyjne tak, jak są pokazywane misteria pasyjne w Kalwarii Zebrzydowkiej, Kalwarii Pacławskiej, w seminariach duchownych, w niektórych zakonach, gdzie możemy zobaczyć jakby odgrywanie tego, co się dzieje. Różnica tylko polega na tym, że w tym filmie to wszystko jest bardziej dosłowne, jest bliższe rzeczywistości, bo dzisiejsza sztuka filmowa pozwala na to, żeby być bardziej dosłownym. I stąd na samym wstępie musimy wiedzieć, że reakcje mogą być różne. I musimy być dla siebie nawzajem wyrozumiali. Ale na jedną rzecz nie można się zgodzić — jeżeli ktoś, kto nie może, czy nie chce oglądać, również przenosił to swoje nastawienia na innych mówiąc, że w ogóle tego rodzaju twórczość nie ma sensu.

I tu dochodzimy do kolejnej rzeczy. Otóż ten film nie jest rekonstrukcją ściśle historyczną, bo nią nie zamierzał być. W tym znaczeniu historyczną, jak mamy np. filmy historyczne albo jakieś filmy o wydźwięku dydaktycznym, które kręci BBC – zwłaszcza ta telewizja brytyjska jest z tego znana.

Powstawały takie filmy oparte o archeologię, o historię — również o Jezusie, które próbują pokazać to, co jest świadectwem życia Jezusa, świadectwem Jego nauczania sprzed 2000 lat. Pokazuje się więc np. monetę z czasów Klaudiusza. Pokazuje się schody w Jerozolimie, którymi mógł iść Jezus. Pokazuje się miejsca związane z życiem Jezusa, z Jego śmiercią. Pokazuje się jakieś pozostałości architektury czy inne rzeczy, które pochodzą z tamtych czasów. I mówi się: „Zobaczcie, to jest ten świat w którym żył Jezus. Tylko tyle możemy pokazać dlatego, że żadna fotografia — poza opowiadaniami ewangelicznymi — do dzisiaj się nie zachowała."

Ten film, o którym mówimy, *nie jest filmem dokumentalnym, to jest film fabularny.* A więc jest to film, który próbuje pokazać nam Jezusa tak, jak go widzi twórca, i jak go widzą ci, którzy biorą udział w tym filmie. Ale z drugiej strony ten film bardzo wyraźnie respektuje Ewangelię. To znaczy nie tylko odnosi się do Ewangelii, ale polega na Ewangeliach, i to na wszystkich czterech Ewangeliach: Ewangelii Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. W starożytności był taki zwyczaj, że tworzono tzw. *synopsy.* Otóż słowo „synopsa" pochodzi od greckiego słowa synorao. Syn — *razem,* np. „synchronizacja". „Sympatia" — sympateo czyli *razem czuję, współczuję;* ale również „synopsa": syn — *razem, wspólnie,* orao — *oglądam, widzę.* „Synopsa" — *razem coś oglądać* czyli *porównywać.* Układano tekst Ewangelii w cztery kolumny i pokazywano, jak dany epizod przedstawia Mateusz, jak dany epizod przedstawia Marek, jak dany epizod przedstawia Łukasz, i jak dany epizod przedstawia Jan. Otóż przypominało to trochę sytuację, w której np. cztery osoby robiły zdjęcia na jednej wyprawie. A potem spotykają się razem, i pokazują sobie zdjęcia. Miejsca są te same, osoby na fotografiach są te same, a każda z tych fotografii jest inna. I mówimy: „Zobacz, tobie to się udały" — nie tylko chodzi o wartość techniczną tylko bardziej o wartość merytoryczną — „ty to umiesz robić, a moje są takie czy inne". Więc to jest ta synopsa.

I mamy tutaj filmową synopsę. Mianowicie autorzy tego filmu wzięli za punkt odniesienia cztery ewangeliczne relacje o męce i śmierci Jezusa. Zestawili je ze sobą, i na tej podstawie próbują dać nam wiarygodny opis tego, wiarygodną prezentację tego, co wydarzyło się w Jerozolimie. Ale — tu rzecz niesłychanie istotna. *Dają nam tę prezentację nie po to, żeby odtworzyć Ewangelie dosłownie, pokazać je tak, jak je można zrekonstruować, lecz dają nam te Ewangelie przez pryzmat wiary, która ukształtowała się przez 2000 lat.* Czyli pokazują nam te Ewangelie od strony historyczno - krytycznej, nie od strony archeologicznej, tylko pokazują nam te Ewangelie jako owoc wiary, jako prowadzące do wiary i jako dzieła, które ukształtowały współczesną wiarę. Tutaj przykład. Ci z państwa, którzy byli na filmie, pamiętają, że film rozpoczyna się sceną w Ogrójcu. Mianowicie Jezus modli się samotnie, zanosi do Boga swoją prośbę: „jeżeli to możliwe, oddal ode Mnie ten kielich". I zwrócili państwo uwagę na to, że cała ta sekwencja dotycząca Ogrójca została zrobiona w kolorze niebieskim, granatowym, przechodzącym w fioletowy. Dlaczego? Otóż myślę, że znają państwo, a może w niektórych domach jest jeszcze po dzień dzisiejszy obraz Jezusa w Ogrójcu. Ten obraz Jezusa w Ogrójcu jest zawsze w kolorze granatowym, albo w kolorze fioletowym — proszę zwrócić na to uwagę, mamy go nieraz w kościołach. Reżyser wiedząc o tym, że konwencja myślenia o Ogrójcu, chrześcijański sposób myślenia jest właśnie taki, pokazuje nam Ogrójec w barwach, które przypominają nam te obrazy, które znamy z kościołów, obrazy, które znamy z rodzinnych domów, wreszcie obrazy czy barwy, które przypominają nam czas Wielkiego Postu. Bo Wielki Post to jest właśnie kolor fioletowy, również kolor granatowy. A więc pokazuje nam Ogrójec, ale przez pryzmat przeżywania tego Ogrójca. Czyli można by powiedzieć tak, już teraz: jeżeli ktoś nie żyje życiem liturgicznym Kościoła, czy jeżeli ktoś nie patrzy dostatecznie uważnie, to może w ogóle tego nie zauważyć, może nad tym przejść do porządku dziennego.

Natomiast jeżeli w ogóle do kościoła nie chodzi, jeżeli dla niego Wielki Post nie różni się od Wielkanocy, to oczywiście i te barwy dla niego nie mają żadnego znaczenia. Uważa je tylko za jakąś konwencję artystyczną, natomiast nie potrafi się w nich dopatrzeć głębszego znaczenia. Tego znaczenia, które kieruje naszą uwagę właśnie ku liturgii. I tak jest tam bardzo często. Mianowicie pokazanie męki i śmierci Jezusa Chrystusa tak, jak one były przeżywane przez 2000 lat, i tak, jak są one przeżywane przez chrześcijan dzisiaj. Więc wprowadzenie także do tych ewangelicznych opowiadań o męce osób, postaci, które są znane w chrześcijańskiej tradycji, o których chrześcijańska tradycja mówi. Taką postacią jest np. Weronika. Otóż w Ewangeliach nie ma nic o Weronice. Natomiast w tradycji Kościoła, i to tej sięgającej pierwszych wieków, a potem rozwijanej zwłaszcza w średniowieczu, Weronika stała się niesłychanie ważną uczestniczką Drogi Krzyżowej. To imię jest

symboliczne. Imię „Weronika” pochodzi od słowa vera ikon czyli *prawdziwe odbicie, prawdziwy obraz.* Weronika jest to imię symboliczne na oznaczenie kobiety, która otarłszy Jezusowi pot i krew z twarzy doczekała się odbicia tej twarzy na chuście, którą posłużyła się, by przynieść Mu ulgę. Ponieważ imienia tej kobiety tradycja starochrześcijańska nie znała, nazwała tę kobietę „Weronika” od owego vera ikon. I na filmie też mamy tę Weronikę, jak ona podchodzi do Jezusa, i jak przynosi ulgę Jezusowi, a potem ze zdumieniem patrzy na odbicie Jego twarzy na chuście.

Zatem jeżeli są osoby, które mówią że: „Film nie jest ściśle wierny wobec Ewangelii, bp zawiera inne motywy”, to jest to prawda. Z tym, że jest to efekt zamierzony. Bo tradycja chrześcijańska jest znacznie bogatsza niż Ewangelie, które opowiadają nam o męce i śmierci Jezusa. To samo dotyczy np. upadków Zbawiciela. W tradycji chrześcijańskiej, w nabożeństwie Drogi Krzyżowej, mamy trzy upadki Jezusa. Ewangelie nie mówią nam o trzech upadkach Jezusa, ale w tradycji chrześcijańskiej tak się to ukształtowało. I można by powiedzieć tak — że ten film rozumieją najlepiej, czy przeżywają najgłębiej ci, którzy znają tradycję chrześcijańską, znają np. nabożeństwo Drogi Krzyżowej, przeżywają to nabożeństwo Drogi Krzyżowej. I wtedy łatwo rozpoznają poszczególne elementy, które czczą właśnie w Drodze Krzyżowej. Zwróćmy też uwagę, że nasza polska pobożność jest specyficznie pasyjna.

Muszę państwu powiedzieć, że ten film zmotywował mnie do drobnych poszukiwań w literaturze staropolskiej. Otóż okazało się, a są to rzeczy o których na ogół wiemy bardzo mało, że kiedy chrześcijaństwo przyszło na ziemie polskie, to najbardziej znane u nas wątki pobożnościowe to były wątki maryjne, czyli związane z Najświętszą Maryją Panną, oraz wątki pasyjne, czyli związane z męką i śmiercią Jezusa Chrystusa. Z okresu średniowiecza, czyli mniej więcej do końca XV wieku, zachowało się w języku polskim ok. 200 pieśni, z których zdecydowana większość to jest opiewanie męki i śmierci Jezusa. Później część tych pieśni została przerobiona albo wykorzystano ich motywy, zwłaszcza w wieku XVIII i XIX. I z tego ducha zrodziło się np. nabożeństwo Gorzkich Żali, które po raz pierwszy zostało wykonane w kościele św. Krzyża w Warszawie — jest to więc nabożeństwo specyficznie, jeżeli tak można powiedzieć, mazowieckie. Ale znów — z tego samego ducha zrodziła się pieść, którą też dobrze znamy: „Ludu, Mój ludu, cóżem ci uczynił”.

Ale proszę państwa — co było bardzo ciekawe — że inspiracją dla tych polskich pieśni wielkopostnych, dla tych polskich pieśni o męce i śmierci Jezusa, była Biblia. Bo np. pieśń „Ludu, Mój ludu, cóżem ci uczynił” to jest nic innego, jak dokonana pod kątem Chrystusa modyfikacja fragmentów ze starotestamentowej Księgi Micheasza. Otóż w Księdze Micheasza mamy cały fragment, w którym właśnie Bóg ustami proroka dopomina się, jeżeli tak można powiedzieć, u ludzi o swoje. I ta Księga Micheasza przeszła w wiekach średnich do kultury polskiej, i pozostaje do dzisiaj.

Zresztą ta pieśń „Ludu, Mój ludu, cóżem ci uczynił” jest też bardzo popularna np. we Włoszech. W tegorocznym Wielkim Tygodniu byłem we Włoszech, i tę pieśń śpiewano po łacinie i po włosku, wykonywał chór Bazyliki św. Piotra w Rzymie w Wielki Piątek. Nie jest to więc li tylko pieśń specyficznie polska. Czyli pobożność pasyjna, to rozważanie poszczególnych etapów, momentów męki Jezusa i tych rozmaitych epizodów, które pochodzą z Ewangelii ale są także pozaewangeliczne — otóż to rozważanie ma swoją bardzo długa tradycję.

W filmie pokazane są dwie warstwy, obecne są dwie warstwy. Jedna pokazuje przebieg męki Jezusa. I trzeba powiedzieć że na tym poziomie ten film oddziałuje najsilniej na naszą wyobraźnię. Do tego stopnia silnie, że komuś, kto ogląda ten film, może ujść uwadze warstwa druga, mianowicie pokazanie znaczenia męki Jezusa. Otóż czasami pojawiają się zarzuty, że w filmie jest dużo okrucieństwa. I że nie wiadomo w gruncie rzeczy, dlaczego Pan Jezus cierpiał. Pani prof. Świderkówna w wywiadzie w jednym z tygodników opatrzonym tytułem „Zginął, bo chciał zginąć” czy też „Umarł, bo chciał umrzeć”. Otóż jest to skrót, który nazbyt stereotypowo pokazuje los Jezusa. To nie było tak, że Jezus był kimś w rodzaju samobójcy, szukającym śmierci. Otóż Jezus przez całe życie przygotowywał się do podjęcia tego krzyża, tej męki. Ale pamiętajmy, że to nie był człowiek, który nie widział sensu życia, albo który był ukierunkowany tylko i wyłącznie na krzyż. On przygotowywał uczniów i apostołów do tego, co miało nastąpić, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że i dla nich, i dla Niego, będzie to czas ogromnej próby. I w filmie ten wymiar znaczenia męki i śmierci Jezusa Chrystusa jest obecny. Oczywiście można byłoby powiedzieć, że mógłby być obecny jeszcze bardziej. Ale każdy ma prawo do tworzenia takiego filmu, jakiego ideę, jakiego zamysł nosi w swojej głowie.

Jeżeli chodzi o pierwszą płaszczyznę, to mamy tam następujące elementy. *Modlitwa w Ogrójcu.* Proszę sobie przypomnieć Różaniec, albo proszę sobie przypomnieć — tej tajemnicy nie ma na Drodze Krzyżowej, ale w Różańcu jest. Tajemnica bolesna: *modlitwa w Ogrójcu.* A potem *przesłuchanie przed Sanhedrynem,* nocne przesłuchanie i skazanie na śmierć. Następnie zaprowadzenie Jezusa do namiestnika rzymskiego Piłata, i przesłuchanie przed Piłatem. Piłat wzbrania się przed skazaniem Jezusa, więc wysyła Jezusa do Heroda, który był władcą Galilei – a Jezus pochodzi z Galilei. I Piłat wykombinował sobie, że to Herod się zajmie Jezusem. Tylko innym było to nie na rękę — bo Herod nie mógł wydawać ani zatwierdzać wyroków śmierci. Stąd przyjęto to odesłanie do Heroda bardzo nieufnie. Herod potraktował spotkanie z Jezusem jako swoistą zabawę. Chciał, żeby Jezus dokonał jakiegoś cudu, jakiejś sztuczki. Mówi do Jezusa – to się mniej więcej zgadza z Ewangelią: „Dokonujesz różnych cudów, wskrzeszasz umarłych, rozdajesz żywność itd. Zrób coś dla mnie, zrób jakiś cud." Jezus nie odpowiada, wobec tego Herod machnął ręką: „Wracaj z powrotem do Piłata".

Przesłuchanie przed Piłatem, wyrok śmierci wymuszony na Piłacie. Oczywiście tu zawsze pojawia się problem moralny, bardzo ważny: czy i na ile przywódca musi ustąpić przed wolą tłumu? Pamiętajmy, że Piłat długo wzbraniał się przed skazaniem Jezusa na śmierć, a potem kluczowe okazały się słowa: „Jeżeli Go nie skażesz na śmierć, nie jesteś przyjacielem cezara. Bo On mieni siebie, przedstawia siebie jako króla." Więc zarzuty przeciwko Jezusowi nie są religijne, tylko są polityczne. I wtedy Piłat na filmie w rozmowie ze swoją żoną mówi tak: „Zobacz! Ja tu siedzę w tej zapadłej prowincji. A cesarz powiedział mi: jeżeli jeszcze raz wybuchną tu jakieś rozruchy, to ja ryzykuję nie tylko swoją władzą, ale swoją głową. Bo cesarz nie życzy sobie tutaj żadnych kłopotów."

Więc myśli sobie jak polityk. Natomiast jak wygląda myślenie polityków, mogą państwo zobaczyć choćby teraz. W tych dniach aż nadto wyraźnie widać, że ono jest niesłychanie doraźne, niesłychanie koniunkturalne, i dyktowane bardzo różnymi względami. Piłat więc skazuje Jezusa na śmierć. I mamy dalej Różaniec: *biczowanie,=, cierniem ukoronowanie, dźwiganie krzyża,* wreszcie *śmierć na krzyżu.* Albo mamy nabożeństwo Drogi Krzyżowej: *Jezus bierze krzyż na swoje ramiona, Jezus pierwszy raz upada pod krzyżem. Jezus spotyka swoją Matkę, Szymon Cyrenejczyk pomaga dźwigać krzyż Jezusowi, Weronika ociera twarz Jezusa, Jezus po raz drugi upada pod krzyżem, Jezus spotyka niewiasty płaczące, Jezus trzeci raz upada pod krzyżem, Jezus z szat obnażony, Jezus przybity do krzyża, Jezus umiera na krzyżu.* To jest Droga Krzyżowa. I na filmie te sekwencje, te poszczególne stacje Drogi Krzyżowej są bardzo wyraźnie widoczne.

Najbardziej rozbudowana została scena, epizod biczowania. Można by powiedzieć że każdy, kto obejrzał ten film, pozostaje przede wszystkim pod przemożnym wpływem biczowania. Chyba nawet ukrzyżowanie, może z jednym czy drugim wyjątkiem, nie robi tak wielkiego wrażenia, jak biczowanie. Reżyser, jak się wydaje, wybrał to świadomie. Dlatego że chciał pokazać, że biczowanie to była okrutna rzymska kara. Otóż w polskich przekładach Pisma Świętego, także w tych, których używamy w Kościele, nie mówi się „biczowanie", mówi się „chłosta": „Jezus został skazany na chłostę". Jak wyobrażamy sobie chłostę? Mniej więcej jakieś gałązki wierzbowe, albo coś innego. Wyobrażamy sobie, że chłosta jest dość bolesna, ale nie na tyle dotkliwa, żeby zrobić człowiekowi jakąś wielką krzywdę. Tymczasem to, czego doświadczył Jezus, i o czym Ewangelie mówią wyraźnie, to nie była żadna chłosta, tylko to było biczowanie, i to było biczowanie rzymskie! Kto z państwa był w Jerozolimie i kto pamięta – zwłaszcza jeżeli byliśmy razem i byliśmy w Bazylice Grobu Pańskiego – zasadniczy program pobytu tego dnia, kiedy po nabożeństwie Drogi Krzyżowej wchodziliśmy najpierw na Kalwarię, a potem do pustego Grobu, a później do Kaplicy Znalezienia Krzyża Świętego św. Heleny, a później pokazywałem państwu w jednej z kaplic taki niski kamienny słup. I na końcu tego słupa było metalowe kółko. I mówiłem, że kamień z tym kółkiem to jest właśnie nawiązanie do biczowania.

I na filmie to biczowanie zostało pokazane bardzo wiernie. Mianowicie Jezus, przywiązany za ręce do metalowych kółek, początkowo stoi przy tym kamieniu, a następnie jest bardzo ciężko, bardzo dotkliwie bity. Bito rzemieniami, na końcu których były metalowe kulki. Albo też bito łańcuchami podobnymi do tych, jakie mamy dzisiaj. To zależało od tego, co było do dyspozycji. Otóż biczowanie bardzo często stanowiło karę śmiertelną. Zwłaszcza wtedy, kiedy oprawcy byli tak okrutni, że bili np. po głowie, po twarzy czy po piersiach, co i tutaj na filmie też zostało pokazane. Biczować według ówczesnego prawa, czyli uderzać, można było 40 razy bez jednego, czyli 39 razy.

Nie można było więcej, nie można było mniej — chyba że człowiek nie wytrzymał. Jeżeli państwo oglądali ten film — mówię, scena jest bardzo ciężka do oglądania — to państwo widzieli, że tam był taki pisarz jak gdyby, który siedział z boku i liczył: raz, dwa, trzy,... siedemnaście, osiemnaście. Ci zmęczeni i wściekli zmienili później te bicze na narzędzia bardziej bliższe łańcuchów, i dalej bili. Aż w końcu tamten mówi po łacinie: sapis — *dość*. Czyli zrobili to, co do nich należy. Ta scena trwa długo, by nie powiedzieć: bardzo długo. I ona, niezależnie od tego, czy mogliśmy oglądać tę sekwencję, czy nie, powinna dać nam jedno do myślenia. Mianowicie, że biczowanie, które przeżył Jezus, to była kara straszliwie okrutna. To była kara, która mogła kończyć się śmiercią. Jezus to przeżył, Jezus to przetrwał, bo był człowiekiem stosunkowo młodym, był człowiekiem silnym. Ewangelie nie zostawiają żadnej wątpliwości, że Jezus biczowanie przetrwał, że mógł jeszcze później dźwigać krzyż.

Pytają ludzie, jak to jest możliwe. Różni ludzie mają bardzo różną konstrukcję. Widzieliśmy przedwczoraj jakiś mecz bokserski Gołoty z kimś tam. Gdyby postawić zwyczajnego człowieka, to wystarczyłby jeden cios, żeby go później przez trzy dni reanimować. Dla kogoś, kto na ten ring przychodzi często, te ciosy nie są aż tak dotkliwe. W starożytności, też trzeba to powiedzieć jasno, ludzie generalnie byli bardziej wytrzymali. Natomiast jeżeli chodzi o stopień wytrzymałości, i na co stać człowieka, to mamy dokumenty z okresu II wojny światowej. Także to, co wyrabiano z Polakami, na przykład w obozach, w miejscach kaźni — i sowieckich i niemieckich. Kiedy się czyta świadectwa na ten temat, to są one absolutnie przejmujące. Jedni wytrzymywali mniej, drudzy wytrzymywali ponad wszelką ludzką miarę. Jezus, jak się wydaje, wytrzymał bardzo dużo. Więc ta scena rzutuje, jeżeli tak można powiedzieć, na inne. Ktoś może powiedzieć — można by ją skrócić. Oczywiście, zapewne można było ją skrócić. Tylko musimy wiedzieć, że to były te 39, czterdzieści razy bez jednego, po których właściwie człowiek był skazany na dobicie, czy wręcz na śmierć. A Jezus jeszcze został cierniem ukoronowany tak, jak mówi Ewangelia, a następnie zmuszony do dźwigania krzyża. Z tym, że nie mógł tego krzyża nieść, więc trzeba było Mu pomóc.

I tu proszę zwrócić uwagę, że my oglądamy pod kątem tego, co się z Jezusem działo. Ale państwo zwrócą uwagę, że w tym filmie są obecne takie króciutkie przerywniki. I te przerywniki to jest owoc głębokiej wiary, bo one nam pokazują jakie jest znaczenie, jaki jest sens tych cierpień Jezusa. Proszę popatrzeć na kilka z nich. Np. na samym początku, kiedy Jezus modli się w Ogrójcu, pokazana jest kilkusekundowa sekwencja księżyca w pełni. Ktoś pomyśli sobie – księżyc jak księżyc. Co to ma za znaczenie? Ot po prostu jest noc, jest księżyc. Otóż — nie! Pokazanie tego księżyca okrągłego, tak okrągłego, jak to może być najbardziej, to jest pokazanie czy uświadomienie widzowi, że noc, którą ogląda, jest nocą szczególną. Że jest to noc właśnie tego przesilenia, noc Paschy, noc wyjątkowa.

I zaraz potem następuje ta niezwykłą rozmowa Maryi z Marią Magdaleną. Pojawia się pytanie: czym ta noc różni się od wszystkich innych nocy? A Maryja mówi: bo byliśmy niewolnikami w Egipcie. Ale wybawił nas stamtąd Pan, Bóg nasz. Proszę państwa, te słowa to jest fragment żydowskiej haggady paschalnej, odmawianej i używanej po dzień dzisiejszy. Otóż *te słowa pokazują, że dramat, który będziemy oglądać, ten dramat na filmie, to jest nowa Pascha, nowe wyjście.* Tak jak przy wyjściu z Egiptu Izraelici zostali odkupieni, wykupieni, uchronieni krwią baranka — każda rodzina musiała tego baranka zabić, żeby później krwią baranka pomazać odrzwia domów, i anioł zagłady omijał te domy, i Izraelici, gdy minęła północ, wyszli z domów i poszli w kierunku Morza Czerwonego — tak Maryja tu na filmie przypomina nam, że oto Nowy Baranek, który zostanie zaraz zabity w okrutny sposób, że Jego krwią jesteśmy wybawieni, jesteśmy naznaczeni. Byliśmy niewolnikami, ale wybawił nas Pan, Bóg nasz. W Starym Testamencie Izraelici byli niewolnikami faraona. A w Testamencie Nowym byliśmy niewolnikami grzechu. Ale już nimi nie jesteśmy, wybawił nas Pan, Bóg nasz. Jan nas wybawił? Ano zobaczcie, oglądajcie dalej, jak Bóg wybawił nas z niewoli grzechu. Modlimy się: „Któryś na nas cierpiał rany, Jezu Chryste zmiłuj się nad nami”.

I oto przyjdą te rany, które ukazują nam Baranka Paschalnego. Dlatego na samym początku filmu jest sekwencja pokazująca tekst z Księgi Izajasza „On został przebity za nasze grzechy, spadła nań chłosta zbawienna dla nas”. To jest klucz, w świetle którego trzeba ten film oglądać. Oto co oznacza być przebitym za nasze grzechy. Oto co oznacza, że spadła nań chłosta zbawienna dla nas. Wiele razy mówiłem państwu, bo to jest najbardziej podstawowa prawda naszej wiary, że w Starym Testamencie Bóg uprzytamniał Izraelitom, że istnieje cierpienie niewinnych, i że Bóg jest po stronie cierpiących, Bóg jest po stronie prześladowanych. A w Nowym Testamencie zasadnicza

nowość osoby i misji Jezusa polega na tym, że Bóg jest nie tylko solidarny z cierpiącymi, ale w Osobie Jezusa Chrystusa Bóg cierpi. Bóg przeszedł przez ludzki los, sam Bóg doświadczył męki i śmierci krzyżowej w osobie Jezusa Chrystusa. Dlatego oglądamy ten film jako ilustrację tego, jak to wyglądało, tego, jak bardzo było to dosłowne.

Ale nie tylko tego rodzaju elementy. Czy zauważyli państwo inne, na pozór drobiazgi, które mają ogromną wartość, ogromną nośność? Otóż pojawia się taki moment, kiedy Jezus ma być biczowany, i Piłat rozmawia ze swoją żoną. Jej imię znamy z apokryfów, czyli z tych pism, które nie weszły w skład Nowego testamentu. Klaudia, żona Piłata, przychodzi do niego i prosi, żeby nie wyrządzał Jezusowi krzywdy. Tyle mówi Ewangelia. Ale przychodzi ona również do Matki Najświętszej, do Maryi, i przynosi jej taką białą tkaninę. Maryja bierze tę tkaninę od niej, bierze w sposób pełny szacunku tak, jak się bierze korporał, który rozkłada się na ołtarzu, na którym potem będzie sprawowana Eucharystia. Jak państwo wiedzą ołtarz jest przykryty białym obrusem. Ale kiedy ma być wystawienie Najświętszego Sakramentu, albo kiedy ma być przeistoczenie podczas mszy świętej, to jeszcze jest dodatkowa biała tkanina nazywana właśnie korporałem od łacińskiego słowa corpus czyli *ciało*. Czyli na tej tkaninie ma spocząć sakramentalnie obecne Ciało Jezusa. I naszym obowiązkiem jest obchodzić się z korporałem w sposób niezwykle pełny szacunku. I Maryja bierze tę białą tkaninę tak, jak się bierze korporał. Czy wiedziała na co się Jej przyda? W Ewangeliach tego elementu nie ma, ale w pismach apokryficznych, w literaturze apokryficznej jest. Jezus został ubiczowany i został wywleczony, wyprowadzony z pretorium, i tam dalej żołnierze naigrawają się z Niego. Natomiast Maryja przychodzi — i to jest ta niezwykle poruszająca scena, kiedy Maryja wyciera posadzkę, na której jest krew Jej Syna.

Czy zwrócili państwo uwagę na szczegół taki — że wyciera tę krew białą tkaniną, ale ta tkanina nie barwi się na czerwono? Normalnie gdy mamy tyle krwi, to natychmiast tkanina staje się krwawa. A tutaj nie! Otóż te trochę tkaniny wystarczyło, by wytrzeć całą posadzkę, wytrzeć całą podłogę. Dlaczego tak? Otóż reżyser nawiązuje w ten sposób do motywu, który obecny jest w Księdze Apokalipsy: „Wybielili swoje szaty we krwi Baranka" — tak mówi się o świętych. „Wybielili szaty we krwi Baranka" — krew przecież nie bieli! Krew jest krwista, czerwona! Ale inaczej jest z krwią Zbawiciela, dzięki której człowiek odzyskuje niewinność, dzięki której człowiek dostępuje zbawienia. Więc Maryja sprząta tę krew tak, jak się dba o każdą cząstkę Krwi w kielichu podczas mszy świętej. Ale zarazem wybiela te szaty. Ona jest pierwszą, można by powiedzieć w ten symboliczny sposób, która doświadczyła owoców cierpienia Zbawiciela. Ona jest pierwszą wśród świętych, która jest zbawiona.

Ojciec Święty powiedział, że w Niej dokonało się przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej. I w tym geście zmywania tej krwi jest to wyraźnie widoczne. Państwo wiedzą, że istnieje nabożeństwo do Krwi Jezusa, litania do Krwi Jezusa, że jest zgromadzenie, które czci Krew Jezusa. Zatem cały ten epizod to nie jest sprawa o jakimś błachym znaczeniu. To jest rzecz, sprawa, epizod, który ma bardzo głęboką nośność teologiczną, religijną. On nam ukazuje Pierwszą Zbawioną, doświadczającą owoców tego, co się dokonało, owoców zbawienia.

Oczywiście takim nośnikiem pokazującym znaczenie męki i śmierci Jezusa są też nawiązania do Jego wcześniejszego życia. O niektórych wspominałem miesiąc temu, więc nie będę wracał. Ale mamy np. nawiązanie do Kazania na Górze. Jezus jest prześladowany, Jezus cierpi, i w pewnym momencie przywołuje przykazanie miłości nieprzyjaciół. Pokazany jest na górze, kiedy naucza swoich uczniów i mówi: „Nie ma nic dziwnego w tym, gdy człowiek dobrem odpłaca za dobro. Natomiast powołani jesteście do tego, aby dobrem odpłacać za zło — miłujcie nieprzyjacioły wasze." Nawiązanie na krzyżu, takie decydujące, to nawiązanie do Ostatniej Wieczerzy. Ci z państwa, którzy oglądali, pamiętają: Jezus umiera i w pewnym momencie przenosi nas kamera do Wieczernika — „Bierzcie i jedzcie, to jest Ciało Moje". I za chwilę Jezus znów cierpi, umiera: „Bierzcie i pijcie, to jest Krew Moja". Zostało podkreślone bardzo mocno, że msza św. to jest bezkrwawa ofiara Jezusa Chrystusa. To, co na Kalwarii dokonało się w sposób krwawy, to we mszy św. dokonuje się już bez krwi, i bez męki. Ale ten eucharystyczny wymiar śmierci Zbawiciela — to właśnie na Kalwarii Eucharystia ma swój początek, tam zrodziło się również kapłaństwo.

Tych aluzji jest znacznie więcej. Niektóre nawiązują do Starego Testamentu, jak choćby scena w Ogrójcu, kiedy Jezus w pewnym momencie depce głowę węża — nawiązanie do Księgi Rodzaju, do rozdziału trzeciego, ten słynny tekst znany jako *protoewangelia* czyli zapowiedź zbawienia:

Tak jak mężczyzna i kobieta wprowadzili na świat grzech, nieposłuszeństwo Adama i Ewy, tak posłuszeństwo nowego Adama – Jezusa – i posłuszeństwo nowej Ewy – Maryi – sprowadzi na świat odkupienie. I ten motyw mamy obecny na filmie. Szatan, jego pokusy, są obecne tam bodaj pięć razy, cztery razy, sześć razy — w zależności od tego, jak dokładnie śledzić sposób myślenia, czy jak rozdzielać poszczególne epizody. Ale w jednym momencie jest to szczególnie dosadne. I co do tego było najwięcej pytań. Przypominają sobie państwo, że oto Jezus jest biczowany. Kończy się biczowanie. Biczowanie zaczęło się jako zabawa.

Tutaj taka ciekawostka. Wtedy, kiedy rzymscy żołnierze na filmie przygotowywali się do biczowania, mówią cały czas po łacinie. Można to było przetłumaczyć na polski, ale reżyser się nie zgodził. Powiedział, że i na inne języki też się nie zgodził. Powiedział, że chodzi mu o to, żeby przekazać atmosferę tego biczowania, i że każdy, kto się uważnie wsłuchuje, to będzie wiedział, o co chodzi. I ci żołdacy zaczynają, i traktują biczowanie jako zabawę. Mówią do siebie nawzajem: „Zagrajmy”, „zabawmy się”. Potem biczowanie staje się coraz bardziej okrutne. W końcu ci, którzy mieli się bawić, kończą jako sadyści. Pokazane jest, jak w człowieku rodzi się okrucieństwo. I pod koniec tej sekwencji słychać tylko świst pejczów. Jezus ma bielmo na oczach, i praktycznie traci przytomność.

I wtedy pojawia Mu się pokusa. Ta niezwykła pokusa, którą można interpretować na wiele sposobów. Mianowicie ukazuje Mu się szatan, ale już nie tak powabny, jak na samym początku, z dzieckiem na ręku. I przypominają sobie państwo, że to dziecko w ciągu kilku sekund – ono początkowo jest pokazywane z tyłu, wygląda tak, jak każde ludzkie niemowlę, a potem ten dzieciak odwraca się i jego twarz staje się z miejsca stara i bardzo brzydka. I wszyscy pytają: co to znaczy ta okrutna scena, bo tak bardzo porusza wyobraźnię wielu ludzi? Myślę, że można iść dwoma tropami. Pierwszy — przypomina nam to ikonę, wyobrażenie, obraz Najświętszej Maryi Panny z Dzieciątkiem na ręku. Ale jest to odwrócenie, i pokazanie tak jak gdyby szatana z dzieciątkiem na ręku. A więc sugestia: Bóg ma swoje dzieci, ale i szatan ma swoje dzieci. Bóg ma swoich wyznawców, ale i szatan ma tych, którzy idą jego tropem. Może to jest jedna ścieżka do wytłumaczenia tego fragmentu. Ale jest możliwość druga, moim zdaniem chyba bliższa prawdy. Ta mianowicie, że Jezus cierpiąc ponad ludzką miarę przeżywa jeszcze jedną pokusę. A ta pokusa — można by ją streścić tak: ukazuje Mu się szatan w tym momencie, kiedy Jezus traci przytomność, i ukazuje Mu się szatan z ludzkim dzieckiem. To dziecko rodzi się, jest, żyje jako dobre. Ale w tym kilkunastosekundowym skrócie ukazany jest jak gdyby cały skrót ludzkiego życia. Mianowicie to dobre dziecko staje się złe. To przecież z dobrych niemowląt, pieszczonych przez matki, karmionych piersią matek, hołubionych na kolanach, wyrastają złoczyńcy, zabójcy, i różni źli ludzie. Ci, którzy Jezusa chłoszczą, są na pewno źli. Jezus słyszy te bicze, i pojawia Mu się pokusa: czy warto cierpieć, skoro ludzie są tak źli? Czy warto cierpieć i ponosić śmierć także za tych, którzy Cię chłoszczą, którzy tak Cię biją? Bo przecież Jezus poniósł śmierć za wszystkich, nie tylko za dobrych. Tak, jak chciała w XVII/XVIII wieku sekta jansenistów — tylko za wszystkich ludzi, za złych szczególnie. Jezus cierpi również za tych, którzy tak okrutnie Go biczują. Więc pojawia się pokusa: czy warto być dobrym w świecie, który jest tak zły?

Jest tam jeszcze jedna sekwencja, która wymaga pewnie kilku słów komentarza. To dotyczy Judasza. Mówiliśmy o Judaszu kilka tygodni temu w okresie Wielkiego Postu. Ci z państwa, którzy oglądali film, przypominają sobie, że oto Judasz przychodzi do arcykapłanów i rzuca im pieniądze. Mówi: „Zgrzeszyłem wydając krew niewinną. Weźcie te pieniądze!” Gdyby byli przyjęli jego skruchę, zapewne pozostałby do końca apostołem, który przeszedł na drogę nawrócenia. Ale oni mówią: „Co nas to obchodzi? To twoja rzecz.” I Judasz popada w rozpacz. A rozpacz spycha go w samotność. I gdzieś tam zwinięty pod murem, nagle widzi dzieci, które przychodzą. Interesują się nim i mówią: „Co ci jest?” On nie odpowiada, przyglądają mu się bliżej; „Krew, krew!” I jeden z tych dzieciaków mówi: „Przeklęty!” I od tej pory jest nawiązanie do żydowskiej tradycji wypędzenia Azazela. To była tradycja wypędzania kozła ofiarnego w Jom Kipur, w Dzień Przebłagania. Polegała ona w czasach Starego Testamentu na tym, że kiedy przychodził Dzień Przebłagania, a był on przeżywany na jesieni, wtedy brano kozła, przełożeni i kapłani nad tym kozłem wyciągali ręce – był to symbol, że grzechy całego ludu przechodzą na tego kozła – i następnie ten kozioł był wypędzany na pustynię. A pustynia była postrzegana jako siedziba zła, siedziba Azazela. Ten kozioł był wypędzany dla Azazela i tam ginął, jak gdyby wynosząc grzechy ludzi. I Judasz został tu przedstawiony jako

taki kozioł ofiarny. Oto grzechy tych, którzy nie chcą przyznać się do swojej zbrodni, którzy nie chcą przyznać się do swojej nieprawości, oto grzechy ich przeszły na Judasza. I te dzieciaki są jak ci, którzy w Starym Testamencie wypędzali kozła ofiarnego — Judasz zostaje wypędzony poza miasto. Można by powiedzieć: obarczony grzechami tych, którzy nie chcą, nie znają skruchy. I w tym momencie widzi tę gałąź, to drzewo. I tam się wiesza, pozbawiony jakiejkolwiek nadziei.

Tam był jeszcze jeden motyw, bardzo ciekawy i bardzo przejmujący. Mianowicie kiedy już powiesił się, to pod drzewem, na którym wisiał, zauważyli państwo zupełnie świeże zwłoki osła. Pokazany jest ten osioł tak, jak gdyby niedawno padł. I chyba najlepszą interpretację tego przedstawiła jedna z moich studentek, kiedy zastanawialiśmy się, co to znaczy. Mówi: „A czy to przypadkiem nie jest osioł, na którym Jezus wjechał do Jerozolimy?" Gdyby takie było symboliczne znaczenie, to byłoby bardzo przejmujące. Bo rzeczywiście parę dni przedtem były te tryumfy, te okrzyki nie tylko dla Jezusa, ale i dla osła, który stąpał po tym wszystkim. Nie wiemy, co się z osłem stało. A może los Zbawiciela podzieliło i to zwierzę? Może reżyser nie przypadkowo nam pokazał to padłe, świeże jeszcze zwierzę, które też było owocem tego dramatu, czy uczestnikiem tego dramatu? Pamiętajmy, że w ludzkich grzechach, w złu, którego się dopuszczamy, ma swój udział również świat zwierząt. U złych ludzi zwierzęta cierpią ponad wszelką miarę. U dobrych ludzi mają lepiej. Ale tak czy inaczej w obecnym porządku świata zwierzęta są w jakimś sensie ofiarami losów ludzi. Może tutaj było to ukazane? Dlatego św. Paweł mówiąc o ostatecznym odkupieniu mówił, że całe stworzenie oczekuje wyzwolenia dzieci Bożych, i oczekuje chwały całe stworzenie. A więc nie tylko ludzie, ale również zwierzęta oczekują przybrania nas za dzieci Boże po to, żeby także ich los mógł się odmienić. Gdyby tak było, to ten film jest bardzo, bardzo przejmujący.

I ostatni motyw, bo już nasz czas naprawdę się skończył. Kiedy oglądali państwo pod koniec – wiele osób tego nie zauważyło dlatego, że byli tak pod wrażeniem biczowania i ukrzyżowania, że takie szczegóły uchodziły ich uwagi – ale kiedy Jezus umarł, oto z nieba spadła łza, spadła na ziemię. Kto może płakać w niebie? Ten który jest, po ludzku mówiąc, jego mieszkańcem, Pan Bóg. Ta łza to łza Boga. Otóż Bóg nie jest nieczuły na to, co się dzieje na ziemi. Bóg nie był nieczuły na los swojego Syna. I w tym filmie ta łza płaczącego Boga jest też bardzo poruszająca. „On" — mówi św. Paweł — „który własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wydał". Ale z drugiej strony to nie okrucieństwo, ani nie brak miłosierdzia, ale ojcowska miłość Boga, która przedtem, w Starym Testamencie została uobecniona w ofierze Abrahama i Izaaka. A tutaj ta kropla, ta łza spadająca na ziemię i spadająca gdzieś tam, hen, do otchłani.

I ten motyw Jezusa, który jakby zstępuje do otchłani, skąd ma wyprowadzić tych, którzy umarli przedtem. Jeżeli ktoś z państwa był w Stambule, Konstantynopolu, to pamiętamy, że jest tam kościół św. Zbawiciela in Chora, czyli Na Wsi, poza murami starego Konstantynopola. W tym kościele są średniowieczne, XI - XII wieczne mozaiki. I najbardziej znana z tych mozaik przedstawia Chrystusa zmartwychwstałego, który jedną ręką wyprowadza z grobu Adama, a drugą ręką wyprowadza z grobu Ewę. Chrystus jest przemieniony, złocisty, można by powiedzieć: przejrzysty. A Adam i Ewa są wyciągani z grobu. Oto nowa jakość tego życia.

Ten motyw zstąpienia Jezusa do otchłani — i to być może warto również wiedzieć — to jest prapoczątek polskiego zwyczaju znanego jako rezurekcja, jako procesja rezurekcyjna. Dlaczego jest rezurekcja? Otóż w dawnej Polsce przy każdym kościele był cmentarz, i to cmentarz bardzo blisko, groby bardzo blisko. Mogą to państwo zobaczyć jeszcze zwłaszcza np. u prawosławnych, u protestantów. Bo potem wyszło takie prawodawstwo, że cmentarze muszą być poza miastem, i to przesądziło. Natomiast w starych parafiach, w starych kościołach sama nazwa „cmentarz, cmentarz kościelny" oznacza cały ten teren, chociaż grobów już nie ma. A kiedyś były groby i cmentarz. Czyli kościół stał właśnie pośród grobów, oczywiście te groby były w pewnym oddaleniu. Procesja rezurekcyjna ma ten rodowód, że oto zanim się zacznie msza Zmartwychwstania Pańskiego, to wychodzą żyjący z figurą Zbawiciela, i z Najświętszym Sakramentem, i zwiastują, oznajmiają zbawienie tym swoim bliskim zmarłym. Chodzą dookoła kościoła i śpiewają, żeby tym wiernym zmarłym powiedzieć: „Chrystus zmartwychwstał, Chrystus żyje!". Takie liturgiczne przypomnienie zstąpienia do otchłani. I na filmie ono też jest obecne, tylko nie jako rezurekcja, tylko na wzór tej mozaiki w Konstantynopolu jako wyciąganie zmarłych z otchłani.

A na sam koniec — pusty grób. Chusty związane i pusty grób. Dlatego, że zmartwychwstania już na filmie się nie pokaże. Zmartwychwstanie umyka jakiejkolwiek racjonalizacji. I właśnie ten pusty

grób, Chrystus, który z martwych powstał, oznacza jednocześnie koniec tego wydarzenia pasyjnego. I ci z państwa, którzy film oglądali, wiedzą, że dopiero wtedy pojawiają się napisy: kto kogo grał. I te napisy trwają pięć minut. Oczywiście w naszych kinach jest tak, że zapalają światła, ludzie wstają, bardzo wiele osób tego nie ogląda. Natomiast to jest zamierzone. Normalnie wszystkie informacje są na początku filmu. W tym filmie na początku był tylko tytuł, i wprowadzenie ze Starego Testamentu. A na końcu jest te pięć minut napisów, kto kogo grał, kto przygotowywał, kto robił to czy tamto.

Po to, żeby nam przypomnieć, że oto obejrzeliśmy film. Że nie byliśmy w Jerozolimie na Drodze Krzyżowej. To, co najważniejsze, dzieje się w twoim sercu, i w Kościele. Obejrzałeś film, teraz dojdź do siebie i przenieś się do zwyczajnego świata! Wyjdź na ulicę i pamiętaj — to film! Że cierpienie Zbawiciela było jeszcze trudniejsze. Że nie da się tego odtworzyć. Że oto próbowaliśmy dokonać rekonstrukcji, ale Jezus cierpiał jeszcze bardziej. Jeżeli więc komuś wydaje się, że tego cierpienia było bardzo dużo, to musi pamiętać, że Bóg naprawdę stał się człowiekiem, i w męce i śmierci przeszedł przez najbardziej mroczne strony losu cierpiących, prześladowanych, męczonych i krzyżowanych. Może taki właśnie niech będzie również klucz do tego, co oglądaliśmy.

Myślę, że okres wielkanocny ma już swoje prawa i swoje przywileje. Ale jeżeli kiedyś doczekamy kolejnego Wielkiego Postu, to być może warto będzie popatrzeć na to, na ten film, na tę rekonstrukcję, od innej strony – właśnie jakby nieco ubogaceni o ten klucz. Bo kiedy mamy klucz do jakiegoś domu, to nie tylko szybciej wchodzimy i skuteczniej, ale również mamy większy pożytek z tego, że oto tam się znaleźliśmy. I myślę, że ten film nie powinien przejść bez echa, bo oto pokazuje nam mękę i śmierć Jezusa tak, jak możemy ją odtworzyć, ale pokazuje że Jezus cierpiał i umarł naprawdę.

Bardzo, bardzo państwu dziękuję. Zapraszam serdecznie na trzeci poniedziałek maja, tj. 17 V. Wtedy wrócimy do motywu apostołów. Natomiast dzisiaj muszę państwu powiedzieć, że jeszcze o godz. 22^{40} w drugim programie polskiej telewizji ma być dyskusja na temat tego filmu, w której również mam brać udział. To jest na żywo, będą bardzo różne osoby. Tak na dobrą sprawę nie wiem w jaki sposób, jak to będzie przebiegało. Więc jeżeli ktoś z państwa będzie chciał jeszcze sobie cokolwiek odświeżyć, nie będzie spał, to można zerknąć. Tak, że dzisiaj cały dzień i wieczór byłby pod znakiem „Pasji”.

I jeszcze jedna zapowiedź. Otóż na najbliższym spotkaniu będę miał książkę, która stanowi zapis naszych konferencji sprzed kilku lat. Ci z państwa, którzy brali w tym udział, to pamiętają: mianowicie „Kryzysy w Biblii”. Tam były różne postacie biblijne, i omawiane różne aspekty kryzysu. Ten cykl konferencji miałem również w Toruniu, i tam się właśnie ta książka ukazuje. Robiliśmy to we dwóch, z filozofem ks. prof. Mirosławem Mrozem w Toruniu, i teraz, w tych dniach, to się ukaże. Tak, że za 5 tygodni ta książeczka będzie dostępna. I kto z państwa będzie chciał wrócić do tego, to będzie można to zrobić. Zresztą mam nadzieję, że te inne konferencje wreszcie też powoli znajdą swój finał. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6.8 Św. Paweł do Tymoteusza (17 maja 2004)

Pochwalony Jezus Chrystus ... W Imię Ojca ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ...

To nasze ósme tegoroczne spotkanie przypadające teraz w maju. Ósme — a więc przedostatnie. Ostatnie będzie czekało nas za trzy tygodnie w czerwcu. Ja raz jeszcze powtarzam to, od czego zawsze w gruncie rzeczy zaczynam te konferencje biblijne. Że kiedy patrzę na państwa, kiedy tutaj przychodzę to miotają mną dwa uczucia. Pierwsze to jest uczucie wielkiej radości, że jest tyle osób, które chcą słuchać refleksji nad Słowem Bożym. Natomiast drugie uczucie, chyba silniejsze mimo wszystko, to jest pewne zażenowanie. Dlatego, że za każdym razem trzeba starać się sprostać temu duchowemu zapotrzebowaniu, i zapotrzebowaniu intelektualnemu, co oczywiście nie jest łatwe. Zdają sobie państwo sprawę z tego, że kiedy zaczynamy taką konferencję, kiedy się wspólnie zbieramy, to i państwo mają swoje oczekiwania, i ja jakieś możliwości, żeby tym oczekiwaniom wyjść naprzeciw. I chodziłoby o to, żeby nikt nie wyszedł zawiedziony. A przeciwnie, żeby każdy czuł się ubogacony i, powiedzmy, jakoś podniesiony na duchu. Albo żeby każdy, i każda, miał okazję do tego typu refleksji. A ponieważ te konferencje trwają już od wielu lat, zatem za każdym razem trzeba wydobywać też jakieś nowe treści, bądź odwoływać się do tych, o których już mówiliśmy, ale które są szczególnie ważne. Więc bardzo cieszę się, że państwo są. I mam nadzieję, że w jakiejś części chociaż będę mógł sprostać tym nadziejom i potrzebom, z którymi tutaj państwo przybyli.

Tematem tegorocznej refleksji są *Apostołowie Jezusa Chrystusa.* I próbowaliśmy zastanawiać się kim jest apostoł. Mówiliśmy o najważniejszych czy najbardziej znanych apostołach, takich jak Piotr, Andrzej, Jan, Filip, Bartłomiej. Mówiliśmy również o Judaszu, najbardziej tragicznym spośród tych apostołów. I z głosów, które do mnie docierają – zresztą to nie tylko głosy państwa, ale także i studentów, i rozmaitych innych środowisk, jeżeli takie konferencje i refleksje mają miejsce, z głosów tych jedno jest pewne: że ten tragiczny Judasz jest jakoś większości z nas dość bliski. Dlatego, że w jego losach rozpoznajemy też coś z własnego losu, czasami dość pokrętnego, dość trudnego. I mamy tylko nadzieję, że ponieważ jego życie było tak tragiczne, to może również na skutek jego przykładu my w życiu mamy zaoszczędzone podobne wybory, i nie pójdziemy tą samą dramatyczną drogą.

Dzisiaj, po refleksji sprzed kilku tygodni poświęconej odbiorowi, naszemu wspólnemu odbiorowi filmu „Pasja", chciałbym zatrzymać się nad innym aspektem apostołowania, bycia apostołem, i posługi apostolskiej. Właśnie chciałbym, abyśmy zatrzymali się nad posługą apostolską we wczesnym Kościele, i byśmy wrócili raz jeszcze do I wieku. Oczywiście wracamy oczyma wyobraźni. To jest ogromny dystans czasowy, dystans geograficzny, inne warunki niż te, w których żyjemy dzisiaj. Ale jednak w losach tamtych postaci opisywanych na kartach Nowego Testamentu rozpoznajemy także bardzo dużo wspólnego z tym, co dzieje się dzisiaj w Kościele, i również z naszym miejscem w Kościele.

Chciałbym żebyśmy dziś cofnęli się właśnie dziewiętnaście wieków wstecz. I żebyśmy zobaczyli jak wtedy budowano wspólnotę Kościoła, z jaką troską Apostołowie odnosili się do tych, którzy przewodzili innym, i wreszcie ostatnia kwestia: jakich rad udzielali swoim wiernym. To są same początki Kościoła, a więc normatywne dla naszej wiary. Myślę że ten przedmiot naszej refleksji jest o tyle interesujący, że zawsze chcemy zastanawiać się i myśleć o naszych biskupach, o kapłanach, o diakonach, a więc o tych którzy w wierze nam przewodzą. Stawiamy zawsze biskupom, kapłanom i diakonom bardzo wysokie wymagania: wymagania etyczne, wymagania moralne, również wymagania co do wiary. Chcemy, żeby sprostali tym wymaganiom. Chcemy żeby byli jak najlepsi, jak najświętsi, jak najbardziej gorliwi.

I także z tego względu, że te tematy dzisiaj są bardzo aktualne, tzn. dzisiaj tak jak w każdym czasie potrzeba jest takich dobrych duszpasterzy, to cofnijmy się do czasów apostolskich i zobaczmy jak apostołowie, a w tym przypadku jak św. Paweł umacniał w wierze tego, który miał umacniać innych. Bo jedno z wyzwań, bodaj najtrudniejsze, polega na tym, że ci, którzy umacniają innych w wierze, sami jeszcze bardziej potrzebują umocnienia. Ci, którzy innych prowadzą do Pana Boga, nieraz drogami bardzo zawiłymi — przychodzi czas, że sami też potrzebują dochodzenia do Pana Boga, potrzebują siły, potrzebują wsparcia, potrzebują życzliwości i przede wszystkim potrzebują silnej wiary.

Jeżeli to przeniesiemy na czasy dzisiejsze, państwo dobrze wiedzą, zatrzymamy się nad tą

posługą, która jest najbliższa nam, np. posługa kapłana. Proszę sobie wyobrazić zwłaszcza młodego człowieka, rok, dwa, trzy po święceniach, który w okresie Wielkiego Postu siada do konfesjonału, i przez cały Wielki Post spowiada. I ma rekolekcje, potem przychodzi Wielki Tydzień. Spowiada setki ludzi, słyszy o najrozmaitszych rzeczach, o najrozmaitszych trudnościach i grzechach. I w końcu jest takie wrażenie, że świat, w którym on żyje, i że ludzie, którzy do niego przychodzą, każdy ma mnóstwo zła, z którego potrzebuje obmycia.

Ale kto będzie obmywał tych, którzy myją innych? Ale kto będzie obmywał tych, którzy właśnie ze swoją posługą przychodzą z pomocą innym? Ja mogę państwu powiedzieć z własnego doświadczenia, że już wielokrotnie prowadziłem rekolekcje dla księży w różnych diecezjach, w różnych miejscach Polski, i zawsze problem jest ten sam. Właśnie wtedy, kiedy kończy się Post, albo kiedy Post ma się zacząć, albo gdy jest Adwent, albo rzadziej o innej porze roku — właśnie księża potrzebują takiego duchowego umocnienia. I też mają ogromne problemy dlatego, że ten ładunek emocji i ładunek tych rozmaitych trudnych spraw jest tak duży, że niejeden sam ze sobą nie może sobie poradzić.

To samo dotyczy przygotowania do kapłaństwa, i przypuszczam: to samo dotyczy również biskupów. Przecież biskupi mają też ogromną wiedzę nie tylko o tym, co dobre i pomyślne, szlachetne i godne naśladowania, ale mają też ogromną wiedzę o tym, co złe, co gnuśne, co niedobre, o wadach, o błędach, o występkach, o tym wszystkim, do czego są zdolni ludzie, i to na rozmaitych szczeblach. I w związku z tym potrzebna jest im również taka pomoc, która nosi charakter apostolski.

Po tym wstępie, który wykazuje — jak mi się wydaje — przydatność tego rodzaju refleksji, chciałbym zapowiedzieć, że dzisiaj zatrzymamy się nas *Pierwszym Listem św. Pawła Apostoła do Tymoteusza.* Nigdy do tej pory nie czytaliśmy tego listu, nie rozważaliśmy tego listu. A myślę, jeżeli chcemy zgłębić właśnie początki naszej wiary, jeżeli chcemy zobaczyć, na czym polega ta posługa duchownych w Kościele, na czym polega rola tych, którzy umacniają innych, to dobrze będzie temu właśnie Listowi uważnie się przyjrzeć. I bardzo chciałbym, żebyśmy ten list dzisiaj rozważyli wspólnie. I myślę, że każdy z państwa znajdzie w nim jakieś natchnienie także dla swojej refleksji.

Kim był Tymoteusz, adresat tego listu? Otóż był to młody człowiek, którego spotkał Paweł, i który pochodził z tzw. mieszanego małżeństwa. Jego matką była Żydówka, a ojcem był Grek. I w związku z tym Tymoteusz tak, jak każdy człowiek z pogranicza, z małżeństwa mieszanego zwłaszcza, czuł w sobie i te dwie krwie, i te dwie kultury, i te dwie historie, zarówno żydowską jak i pogańską. Ponieważ jego matką była Żydówka, Tymoteusz był bardzo bliski św. Pawłowi, który sam, jak dobrze wiemy, był Żydem. Znajdowali wspólny język. Otóż Paweł znalazł go na terenie Azji Mniejszej. Tam Tymoteusz przyjął wiarę chrześcijańską, towarzyszył Pawłowi w jego podróżach misyjnych, był z nim razem, a później został ustanowiony przez Pawła biskupem w Efezie. Został ustanowiony jak mówi to język grecki episkopos, bo to po grecku odpowiednik polskiego „biskup". Episkopos znaczy po polsku *nadzorca,* może lepiej: *ten, który dogląda, ten, który patrzy, ten, który dopatruje.* Otóż zadaniem biskupa jest troska o ludzi przedstawianych obrazowo jako jego owczarnia. Zadaniem biskupa jest doglądanie.

Kto z państwa zna obrazy albo rzeczywistość pasterską, to chyba to jest najlepszy obraz. Bo dobrze wiemy, że właśnie zadaniem pasterza jest troska o te zwierzęta, które pasterzowi bezgranicznie ufają. I ten obraz pasterski, zwłaszcza obraz owiec czy kóz, zostaje przeniesiony do życia ludzkiego, i mówimy o „dusz pasterstwie" czy o „dusz pasterzowaniu". Czyli o tym, kiedy to człowiek ma doglądać, ma troszczyć się o innych, którzy powierzeni są jego pasterskiej trosce. Będziemy czytać ten List, i komentować pewne zjawiska które pokazują nam, jak apostołowie patrzyli na tę trudną rzeczywistość kierowania wspólnotą. Ale nie tylko kierowania wspólnotą — jak umacniali tych, którzy właśnie tą wspólnotą kierowali.

Paweł pisze swój list już w późnej starości. Jest człowiekiem, który przeszedł bardzo wiele. Jest człowiekiem, który bardzo wiele wycierpiał dla wiary chrześcijańskiej. Natomiast Tymoteusz, do którego on się zwraca, jest człowiekiem jeszcze stosunkowo młodym, zapewne gdzieś w wieku 35 - 40 lat. I tak był traktowany, że patrzono na jego młody wiek, chociaż wtedy nie była to taka pierwsza młodość, ale patrzono ciągle z pewną nieufnością. Bo trzydziestoparoletni nadzorca, trzydziestoparoletni biskup, któremu powierzono całe duże miasto, a takim miastem był Efez, oczywiście potrzebował autorytetu i potrzebował zaufania. Paweł pisze do niego list gdzieś ok. lat

sześćdziesiątych, dokładna data napisania tego listu nie jest znana. I rozpoczyna ten list tak:

> Paweł, apostoł Chrystusa Jezusa według nakazu Boga naszego, Zbawiciela, i Chrystusa Jezusa, naszej nadziei - do Tymoteusza, swego prawowitego dziecka w wierze.

Proszę zwróćmy uwagę, że Paweł rozpoczyna swój list powołując się na Boski autorytet. Na autorytet Boga, i na autorytet Chrystusa. Drodzy państwo, jeżeli jakikolwiek człowiek w Kościele ma powierzonych sobie ludzi, i taką troskę przejmuje, musi polegać na Bogu. Nie ma duszpasterzowania bez odniesienia do Pana Boga, bez głębokiego życia modlitwy, bez polegania na modlitwie. Jeżeli człowiek nie potrafi się modlić, i nie potrafi ufać Panu Bogu i wiązać z Nim, łączyć z Nim swojego życia – nie powinien, nie może owocnie prowadzić innych ludzi. Paweł też tutaj daje poznać, że jego wiara jest zakorzeniona w Bogu. Otóż każdy człowiek, jeżeli chce umacniać innych, państwo to widzą nawet w rodzinie kiedy chce się uczyć dzieci, kiedy chce się wychowywać kogoś bliskiego, to któregoś dnia przychodzi zwątpienie, któregoś dnia przychodzi zmęczenie, znużenie itd. I każdy wtedy potrzebuje umocnienia. I ci, którzy prowadzą innych, zwłaszcza jeżeli tych innych są setki i tysiące, muszą być zakorzenieni w Bogu i w Jezusie Chrystusie. A więc siłą tych, którzy stoją na czele Chrystusowej owczarni, jest sam Chrystus. Tu nie pomoże żadna elokwencja, nie pomoże żadna erudycja, nie pomoże wykształcenie. To, co się naprawdę liczy, pochodzi od Pana Boga. I tak Paweł to widzi.

Paweł nazywa Tymoteusza „swoim prawowitym dzieckiem w wierze" dlatego, że to właśnie wiara, wyznawanie wiary, tworzy wyjątkowo silne więzi pomiędzy ludźmi. Te więzi w takich warunkach, jak nasze polskie, są mniej odczuwalne. Bo my wszyscy, nawet ci, których nie znamy, w gruncie rzeczy wyznajemy tą samą wiarę. Więc do niej myśmy się przyzwyczaili. Ale gdyby nas postawiono w warunkach innych od naszych, to wtedy wyznawanie tej samej wiary staje się spoiwem. I Paweł nazywa Tymoteusza takim prawowitym dzieckiem, synem w wierze. Czy państwo pamiętają postać wielkiego Prymasa Tysiąclecia, o którym od czasu do czasu mówimy, zapewne za rzadko, ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego? Otóż używał on wyrażenia, które czasami wydaje się jakieś takie zbyt mocne, zbyt dosadne. Ale kiedy stawał przed tysiącami ludzi to mówił: „Ukochane dzieci Boże, dzieci moje". I to w tamtym okresie ludzie, którzy go słuchali, nieraz dziesiątki i setki tysięcy ludzi — zwłaszcza w okresie obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski — doskonale wiedzieli że to nie są puste słowa, to nie jest jakiś grzecznościowy zwrot, tylko że on rzeczywiście w człowieku, który na niego patrzy, widzi dziecko Boże, i widzi swoje dziecko, zrodzone poprzez wiarę. Nie według ciała i krwi, ale właśnie zrodzone z tej samej wiary. I to świadomość tego niezwykłego ojcostwa jest jednym z przymiotów duszpasterzowania. I jeżeli spotkają państwo człowieka, zwłaszcza biskupa czy kapłana, który ma taką świadomość właśnie ojcostwa względem tych, z którymi jest, tak jak widzi ją apostoł i mieli ją najwybitniejsi ludzie w Kościele, to jest właśnie ten korzeń wiary, na którym Kościół budowany być może.

To właśnie dlatego zwracamy się nieraz, do zakonników częściej, ale do księży również: „Ojcze". Jest to pewna grzecznościowa formuła, ale nie tylko. Kiedy używana jest świadomie, i kiedy ci, do których jest adresowana, świadomie na to odpowiadają, z wiarą na to odpowiadają, jest to formuła niesłychanie zobowiązująca. I mogę państwu powiedzieć, że rozmaici wierni, rozmaici ludzie w różnych zakątkach świata, może nawet u nas mniej, ale np. we Włoszech czy w Stanach Zjednoczonych, gdzie społeczeństwo jest mocno złożone, wielokulturowe, wielopostaciowe, to bardzo dużo oczekują od człowieka, do którego zwracają się przez „Ojcze".

Ta świadomość owego ojcostwa Pawła wobec Tymoteusza jest tutaj na początku listu bardzo wyraźnie obecna. A ja cieszę się, że raz jeszcze mogliśmy wspomnieć kardynała Wyszyńskiego. Bo teraz po czasie, który upłynął od jego śmierci, właśnie to, kim był i czego nauczał, jawi się w szczególnie dobrym świetle. Państwo pamiętają że niedługo, 28 maja, będzie przypadała 23 rocznica śmierci księdza kardynała. A dodajmy sobie, już zupełnie na marginesie, że zamachowiec, który otrzymał zlecenie zabicia Jana Pawła II, dobrze wiedział, jaka jest sytuacja w Polsce. Jego zleceniodawcy bardzo dobrze wtedy wiedzieli. Gdyby zamach na życie Ojca Świętego się udał, tzn. gdyby Ojciec Święty poniósł śmierć, dwa tygodnie później zmarł kardynał Wyszyński — i możemy być jednego pewni: mianowicie, że losy Polski i Polaków potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ale to jest tylko taka dygresja na marginesie naszego głównego tematu. Czasami jednak warto mieć wzgląd i na tę dygresję. Paweł napisał tak:

> Łaska, miłosierdzie, pokój od Boga Ojca i Chrystusa Jezusa, naszego Pana!

Zauważmy: „Łaska, miłosierdzie i pokój" — trzy wielkie dary Ducha Świętego. Boża *łaskawość* czyli Boże wsparcie, Boże *miłosierdzie* czyli Boże przebaczenie, i *pokój* czyli jedność z Bogiem, i jedność ze sobą. Ci, którzy kierują innymi, tak jak w tym przypadku Tymoteusz, tak jak apostołowie, tak ja ci, którzy kierują dzisiaj, muszą być otwarci na łaskę, muszą wiedzieć co to znaczy miłosierdzie i go doświadczyć. I wreszcie muszą być sprawcami czy dawcami pokoju. Tak to było od początku, tak jest również po dzień dzisiejszy. Myślę, że gdybyśmy częściej — zwłaszcza biskupi, kapłani, diakoni — zastanawiali się nad treścią tych listów pasterskich, to na pewno duszpasterzowanie byłoby o wiele lepsze.

I teraz Paweł przechodzi do konkretnych zaleceń. Niech państwo zwrócą uwagę, co — zdaniem apostoła, skoro tę pedagogikę apostoła rozważamy — jest największym zagrożeniem dla wspólnoty, co jest największym zagrożeniem dla wierzących? Paweł napisał:

> Jak prosiłem cię, byś pozostał w Efezie, kiedy wybierałem się do Macedonii, [tak proszę teraz], abyś nakazał niektórym zaprzestać głoszenia niewłaściwej nauki, a także zajmowania się baśniami i rodowodami bez końca.

Zauważmy — podstawowa troska apostoła to jest troska o czystość wiary. Zawsze bowiem istnieje niebezpieczeństwo, że ludzie — a dotyczy to nas wszystkich — odwracają się od prawdziwej wiary na rzecz zabobonów, przesądów, plotek, rozważań, jakichś rozstrzygań, dywagacji. I proszę zwrócić uwagę na to, że jest to również zagrożenie i w naszych dzisiejszych czasach. Tam, gdzie człowiek nie znajduje oparcia w religii i w religijności, wyjściem bardzo szybko staje się sekta. I widać to w rozmaitych dużych miastach. Mówi się, że w Paryżu jest więcej wróżek i wróżów aniżeli kościołów, i to znacznie więcej. Tak jest w Ameryce, gdzie ludzie przyjeżdżają z rozmaitych stron świata, i jeżeli nie mają silnego fundamentu, to zaczynają w Kościele, a kończą u wróżki czy u jakiegoś czarodzieja, i na różne sposoby pozwalają się zwodzić. Tak również jest niestety i u nas. Czasami aż można się dziwić — nie są to zjawiska, które widać na co dzień, ale od czasu do czasu też spotykam się z taką sytuacją kiedy to ktoś, kto jest w Kościele, kto był w Kościele całe lata, przechodzi do Świadków Jehowy, idzie do jakieś grupy albo do sekty, szuka jakiś natchnień w religiach Orientu, raptem odpowiada mu duchowość indyjska, chińska, dalekowschodnia, Bóg wie co! I człowiek zadaje sobie pytanie: jak to jest możliwe w Polsce w okresie, kiedy mamy wielkiego nauczyciela, mamy wielki autorytet duchowy, mamy Jana Pawła II — a jak gdyby ludzie tego nie widzieli, albo tego nie zauważali, czy tego nie cenili.

Otóż to nie jest nic nowego. Paweł zwracając się do Tymoteusza mówi: „Zajmij się tym. Upomnij tych, którzy zwodzą innych." Otóż bardzo ważną rzeczą jest wiedzieć, w co się wierzy. „Wiem, Komu zawierzyłem" – to nieraz hasło z obrazka prymicyjnego. Ale również ważniejsze bodaj hasło, to „Wiem, w Kogo wierzę!" Otóż drodzy państwo, jedną z wielkich słabości wiary jest słabe rozeznanie o niej. Święty Tomasz, wielki autorytet średniowieczny, mówił, że teologia to jest fides quaerens intellectum czyli teologia jest to *wiara szukająca zrozumienia.* I dlatego zachęcał, zalecał, wręcz zobowiązywał, żeby człowiek wierzący zawsze zastanawiał się nad swoją wiarą, zawsze próbował ją zgłębić, pogłębić, zrozumieć, zawsze próbował poszerzyć swoje horyzonty. I myślę, że jeżeli takie zgromadzenie, jak to, które teraz oglądamy, też świadczą, że w człowieku jest głód, który trzeba zaspokoić. Jeżeli się tego nie zrobi, to możemy popaść w rozmaitego rodzaju dywagacje i rozważania jak te, przed którymi tutaj ostrzega św. Paweł. Apostoł pisze dalej:

> Służą one raczej dalszym dociekaniom, niż planowi Bożemu zgodnie z wiarą.

Otóż wtedy refleksja nad wiarą ma sens, jeżeli jej służy. Natomiast jeżeli człowiek zajmuje się jakimiś sprawami religijnymi, ale bez odniesienia do Pana Boga i bez używania zdrowego rozumu, to może go to zwieść na manowce. Otóż podstawą dobrego postępowania jest dobre rozeznanie. Mówimy że tym, co nas ocenia, jest nasze sumienie. Nawet, jeżeli to sumienie jest fałszywie ukształtowane. Tylko, że każdy z nas ponosi odpowiedzialność za to, żeby nasze sumienie było dobrze ukształtowane. Stąd rozwijanie wiary to jest taki sam obowiązek, jak rozwijanie nadziei i miłości, które też należą do cnót kardynalnych. Paweł tłumaczy:

> Celem zaś nakazu jest miłość, płynąca z czystego serca, dobrego sumienia i wiary nieobłudnej.

A więc sensem wszystkiego jest miłość. Miłość, która pochodzi z dobrego serca, z prawego sumienia, z nieskazitelnej wiary. Jeżeli nasze rozważania, jeżeli sama wiara nie prowadziłaby do miłości, może być zwodnicza. A zdarza się tak, kiedy popatrzymy w swoje życie, kiedy popatrzymy wokół siebie. Może się zdarzyć — bywają takie sytuacje — że człowiek wierzący wcale nie jest tym narzędziem miłości, którym być powinien. I dalej:

> Zboczywszy od nich, niektórzy zwrócili się ku czczej gadaninie. Chcieli uchodzić za uczonych w Prawie nie rozumiejąc ani tego, co mówią, ani tego, co stanowczo twierdzą.

Otóż przeciwnikiem prawdy jest pewność siebie. Przeciwnikiem prawdy jest pycha. Jeżeli człowiek w nauczaniu i w refleksji nad swoją wiarą jest pyszny, to może go to zaprowadzić na manowce. Ale może także zaprowadzić na manowce wielu innych ludzi. Otóż siostrą prawdy jet pokora, czyli rzetelna wiedza o sobie, rzetelna wiedza o innych ludziach, a także rzetelne rozeznanie o Bogu. Apostoł ostrzega, kierując się swoją pedagogią, swojego młodszego kolegę przed pychą. Kontynuuje:

> Wiemy zaś, że Prawo jest dobre, jeśli je ktoś prawnie stosuje, rozumiejąc, że Prawo nie dla sprawiedliwego jest przeznaczone, ale dla postępujących bezprawnie i dla niesfornych, bezbożnych i grzeszników, dla niegodziwych i światowców, dla ojcobójców i matkobójców, dla zabójców, dla rozpustników, dla mężczyzn współżyjących z sobą, dla handlarzy niewolnikami, kłamców, krzywoprzysięzców i [dla popełniających] cokolwiek innego, co jest sprzeczne ze zdrową nauką, w duchu Ewangelii chwały błogosławionego Boga, którą mi powierzono.

Jaki jest sens tego długiego zdania? Paweł mówi tak: Trzeba uczyć ludzi prawa. Czyli trzeba uczyć ludzi przykazań. Ale najważniejszym celem przykazań jest to, że chronią nas one przed złem, przed tymi występkami, które tutaj wyliczył. Mamy tutaj występki nawiązujące do Dekalogu, nieraz bardzo ciężkie typu ojcobójstwo cay matkobójstwo, bo nawet to się zdarzało w starożytności, podobnie jak niestety zdarza się w każdych czasach, również i dzisiaj. Są tu inne grzechy, inne zbrodnie. I Paweł mówi: trzeba ludzi odpowiednio wcześniej uczyć, ostrzegać przed tym, żeby takich rzeczy nie popełniali. Ale budowa tego zdania jest taka, że apostoł sugeruje, że na tym nie można wyczerpać nauczania wiernych. Dlatego, że takich ostrzeżeń potrzebują tylko ci, którzy balansują na krawędzi moralności. Natomiast ci, dla których to nie są problemy, bo nie popełniają tak złych rzeczy, tak złych czynów, potrzebują umocnienia, potrzebują siły innego rodzaju. Nie tyle potrzebują prawa, co potrzebują pełnienia uczynków miłości.

Tak więc państwo zauważą, że mamy tutaj do czynienia z bardzo ważną rzeczą, która dotyczy specyfiki pracy duszpasterskiej, także w dzisiejszych parafiach. Otóż można by powiedzieć, że ta praca duszpasterska idzie dwutorowo. Z jednej strony trzeba ostrzegać przed tym, co złe. Trzeba piętnować tych, którzy łamią przykazania, którzy grzeszą itd. Z drugiej strony trzeba malować, roztaczać przed ludźmi dobrą drogę życia. Dlatego, że bogobojność nie polega tylko na unikaniu zła — to jest minimum. Bogobojność polega na osiąganiu radości z czynienia dobra. Ileż to razy powtarzaliśmy sobie, że największą nagrodą za dobroć jest sama dobroć, i związana z nią prawość, szlachetność, spokój sumienia, i pokój wewnętrzny. Otóż tych, którzy popełniają wielkie zbrodnie i wielkie zło, na szczęście jest mało. Tych, którzy potrzebują umocnienia, którzy potrzebują wsparcia, jest o wiele więcej.

Tylko na czym polega paradoks? Że kiedy przychodzimy do świątyni, i przychodzą właśnie ci lepsi, to słyszą ostrzeżenia kierowane pod adresem tych gorszych. Że ile razy stajemy i wysłuchujemy nieraz kazania, homilii, objaśnień, zachęt i rozmaitych ostrzeżeń, to one nie kierowane są bezpośrednio do tych, którzy stoją pod amboną, tylko do tych, których w kościele nie ma, a bardzo często w ogóle nie ma. Może więc jest tak, że to właśnie ci, którzy słyszą te ostrzeżenia i przestrogi przed złym życiem, mają być tym narzędziem, tą drogą, tym sposobem na przeniesienie ich dalej. Może to jest tak, że duszpasterze bardzo często nie mają możliwości sięgania czy docierania do tych, którzy są najgorsi, ale ostrzegają tych, którzy są najlepsi albo dobrzy. I apostoł też wskazuje właśnie na ten przedziwny paradoks. Powiada: „Nie wystarczy, nie można poprzestać na ostrzeżeniach

przed złem. Trzeba uczyć ludzi dobrej drogi życia, chociaż ostrzeżenia przed złem są konieczne." I dalej:

> Dzięki składam Temu, który mię przyoblekł mocą, Chrystusowi Jezusowi, naszemu Panu, że uznał mnie za godnego wiary, skoro przeznaczył do posługi mnie, ongiś bluźniercę, prześladowcę i oszczercę.

Zauważmy — mówiąc, ostrzegając przed tymi głosicielami fałszywych nauk Paweł zastanawia się nad sobą. I powiada z całą pokorą tak: „Dzięki składam Bogu za to, że powołał mnie do takiego dzieła. Ale z całą pokorą pamiętam, kim byłem, i kim jestem." Powiedzieliśmy, że wierzący oczekują od biskupów, i od kapłanów, i od diakonów bardzo dużo, i słusznie oczekują. Ale zdarzają się i biskupi, i kapłani, i diakoni, których droga życiowa jest drogą Pawłową. Niekoniecznie dlatego, że popełniali aż tak okrutne rzeczy, jak np. prześladowania. Ale taką że sami też przeżywali wielokrotnie nawrócenie. Że nie wszystko w ich życiu jest do powtórzenia przez innych. I wtedy cała prawda o ich życiu może być ich tajemnicą, ale muszą mieć oni żywą świadomość tego, że dziękować winni Panu Bogu przede wszystkim za to, że sami doświadczyli łaski. I zdarza się, że ci, którzy sami doświadczyli wielkiej Bożej łaski, potem z większą ufnością, z dojrzałością, i z wyrozumiałością patrzą również na innych. Zauważmy: Paweł ostrzega przed fałszywymi nauczycielami. Ale Paweł zwraca się również ku własnemu życiu, ogląda się wstecz i dziękując Bogu mówi: „Ja sam zostałem przeznaczony do posługi. Ja — ongiś bluźnierca, prześladowca i oszczerca." Głośno mówić o swoim życiu, głośno dokonywać rozrachunku ze sobą — nie jest sprawą łatwą. A proszę zwrócić uwagę, że to wyznanie Pawła dochodzi do nas po prawie dwóch tysiącach lat. I dalej:

> Dostąpiłem jednak miłosierdzia, ponieważ działałem z nieświadomością, w niewierze. A nad miarę obfitą okazała się łaska naszego Pana wraz z wiarą i miłością, która jest w Chrystusie Jezusie!

A więc ci, którzy są dawcami miłosierdzia, sami tego samego Bożego miłosierdzia doznają i doświadczają. Paweł, który stał się narzędziem pojednania z Bogiem, sam doświadczył tego, czym pojednanie jest. I on sam stwierdza, że ponad miarę obfitą okazała się łaska Boża. Tam, gdzie jest grzech i słabość, tam ponad miarę rozlewa się łaska. I można by powiedzieć, że w życiu wszystkich wierzących, a zwłaszcza w życiu tych, którzy przewodzą innym, stale pojawiają się, powracają słowa, które powracały z pokolenia na pokolenie, mianowicie: „Wystarczy ci Mojej łaski!"

Te słowa usłyszał Paweł, i daje im świadectwo na kartach swoich listów. I te słowa słyszą ci wszyscy, którzy przeżywszy w życiu trudne chwile i trudne przełomy stwierdzają, wiedzą, że silniejsza nad grzech jest Boża łaska i Boże miłosierdzie. Dobrze wiemy, że ten przymiot Bożego miłosierdzia w naszych czasach jest szczególnie cenny i potrzebny. I wiemy, że w krakowskich Łagiewnikach powstała świątynia, w której rozpamiętuje się, rozważa i przeżywa Boże miłosierdzie. Dodajmy jeszcze, że ten przymiot Bożego miłosierdzia jest bardzo mocno podkreślany w religii żydowskiej i w islamie, gdzie Boga nazywa się El Malei Rahamim, czyli *Bóg Miłosierny, Bóg Miłosierdzia.* Myślę, że jako chrześcijanie też coraz bardziej jesteśmy tego świadomi.

> Nauka to zasługująca na wiarę i godna całkowitego uznania, że Chrystus Jezus przyszedł na świat zbawić grzeszników, spośród których ja jestem pierwszy.

Zauważmy — tak pisze stary, cierpiący apostoł, który ma za sobą całe swoje życie, do młodego biskupa, którego nawrócił na wiarę chrześcijańską. On, wspominając swoje własne życie, mówi, że „Chrystus przyszedł na świat zbawić grzeszników, z których ja jestem pierwszy." To jest pokora apostoła. Nie tylko umiejętność oglądania się na swoje życie, ale również świadomość swojej grzeszności. Gdybyśmy my wszyscy mieli tę świadomość dostatecznie pogłębioną, z całą pewnością umielibyśmy także w prawdzie, z szacunkiem, z wyrozumiałością, patrzeć na innych ludzi. Trzeba bowiem jako zasadę swojego życia starać się obierać jedno wskazanie niesłychanie ważne.

Mianowicie, że należy potępiać grzech, ale należy z wyrozumiałością i miłosierdziem podchodzić do grzesznika. Otóż to jest zasada św. Augustyna — potępiać grzech i być wyrozumiałym, miłosiernym dla grzesznika. Bo istnieje przedziwna rozdzielność, rozłączność między grzechem,

a grzesznikiem. Co prawda grzech bez grzesznika by nie zaistniał, ale na tym polega siła człowieka, że może z grzechem zerwać. A wtedy nawet to, co wydarzyło się złego, staje się łaską. Apostoł wyznał swoją grzeszność.

Ja chyba państwu wspominałem, że raz jeszcze nawiążę do osoby kardynała Stefana Wyszyńskiego. Otóż w swojej bibliotece mam książkę, która jest cenniejsza dla mnie, niż wszystkie książki razem wzięte, i jeszcze te, które mógłbym kiedykolwiek kupić, dostać i przeczytać. Jest to książka, którą otrzymałem 8 września 1978 r., w tydzień po przyjeździe do Rzymu, kiedy miałem rozpoczynać studia w Instytucie Biblijnym. Ta książka została wydana w Stanach Zjednoczonych w roku 1966. Jest to album, który opowiada o życiu kardynała Wyszyńskiego. Przedstawia zdjęcia z jego dzieciństwa, jego rodziców, rodzeństwo. Potem młodość, później święcenia kapłańskie, potem kapłaństwo, później biskupstwo, potem prymasostwo, więzienie i cała reszta. Był tok 1978 i kardynał Wyszyński miał wtedy 77 lat. A ja byłem młodym księdzem, rozpoczynającym studia. I kardynał zrobił tam taką dedykację. Mówię to państwo broń Boże nie ze względu na siebie, bo to nie ma żadnego znaczenia, tylko ze względu na to, żeby pokazać że to Pawłowe podejście mówiące „Chrystus przyszedł zbawić grzeszników, z których ja jestem pierwszy", że jakże ono głęboko towarzyszyło Prymasowi Tysiąclecia, który w dedykacji napisał: „Księdzu" – imię i nazwisko –„z błogosławieństwem na studia na Instytucie Biblijnym w Rzymie, i z życzeniami, by nie popełnił błędów, których ja nie mogłem uniknąć, których ja nie zdołałem uniknąć." Tak pisze Prymas Tysiąclecia pod koniec swojego życia.

Dzięki składam Chrystusowi – pisał św. Paweł – który wybawił grzeszników, z których ja jestem pierwszy. Oto jest prawdziwa wielkość. Jeżeli szukamy wielkich i wzniosłych przykładów, to mamy często te przykłady na wyciągnięcie ręki. I jeżeli państwo szukają ludzi, którzy są godni do prowadzenia innych, do przewodzenia innym, to ich pierwszym przymiotem powinna być pokora oraz świadomość tego, że sami jako pierwsi doznają Bożego miłosierdzia. Z tego powodu ten list pasterski Pawła do Tymoteusza jest tak bardzo ważny. I dalej:

> Lecz dostąpiłem miłosierdzia po to, by we mnie pierwszym Jezus Chrystus pokazał całą wielkoduszność jako przykład dla tych, którzy w Niego wierzyć będą dla życia wiecznego.

Zgrzeszyć — to jedno, trwać w grzechu — to znacznie gorsze. Natomiast dostąpić Bożego miłosierdzia, i być dla innych znakiem tego miłosierdzia — oto jest gwarancja tej wielkoduszności, która od Boga pochodzi. I jeżeli byśmy mieli takich przełożonych, takich przewodników na naszej drodze, to przychodzą na myśl słowa z Listu do Hebrajczyków, gdzie o Chrystusie mówi się, że On pierwszy nam w drodze przewodził, także w tym co jest trudne. A tam chodziło o cierpienie. A tu Paweł eksponuje drugi element, mianowicie tą trudną stroną ludzkiego życia jest grzeszność. Ale przezwyciężona przez Boże miłosierdzie.

> A Królowi wieków nieśmiertelnemu, niewidzialnemu, Bogu samemu - cześć i chwała na wieki wieków! Amen.

Zwróćmy uwagę, że to nawiązanie do własnej grzeszności, nawiązanie do miłosierdzia Bożego, do Bożego przebaczenia, przeobraża się u apostoła w modlitwę. Czy państwo zauważyli, że dokładnie taki sam jest schemat myślenia Ojca Świętego Jana Pawła II? Że takie są jego homilie? Że papież wyznaje swoją wiarę, dzieli się swoją wiarą, a nagle przechodzi w modlitwę i to, co mówi, przeobraża w dziękczynienie. Tu – skoro jesteśmy przy papieżu w przeddzień jego rocznicy urodzin — od jutra będzie rozpowszechniana książka, w której Ojciec Święty wspomina swoje lata biskupie, swoją posługę kardynalską w Krakowie. Nie widziałem jeszcze tej książki chociaż wiem, że już istnieje, jutro zacznie się jej wielka sprzedaż. Bardzo serdecznie zachęcam państwa do tego, żeby tę książkę znaleźć. Bo podobnie jak inne, jak „Przekroczyć próg nadziei", jak „Dar i tajemnica", jak „Tryptyk rzymski" w ubiegłym roku, jest to teraz czwarta rzecz, gdzie Ojciec Święty odsłania przed nami swoją duszę, swoje sumienie, swoje serce. Na pewno to lektura bardzo piękna i bardzo budująca. Opowiadał mi ksiądz, który w Krakowie jest odpowiedzialny za drukowanie tej książki, że jest tam wiele fragmentów bardzo wzruszających, kiedy to papież wspomina np. ten moment, kiedy został kardynałem, kiedy otrzymał paliusz. Miał wtedy zaledwie 44 lata, a potem pisze: „A później

mogłem to robić wielokrotnie czyniąc to samo wobec innych". I jako papież wspomina swoją życiową drogę. Na pewno warto po to dziełko sięgnąć.

Paweł napisał tak:

> Ten właśnie nakaz poruczam ci, Tymoteuszu, dziecko [moje], po myśli proroctw, które uprzednio wskazywały na ciebie: byś wsparty nimi toczył dobrą walkę, mając wiarę i dobre sumienie.

Otóż popatrzmy, Paweł mówi: Broń tych, których ci powierzono przed złymi naukami. Miej wzgląd na mnie, który sam doświadczyłem Bożego miłosierdzia. Czyli domyślnie: potrafią dobrze uczyć ci, którzy sami żyją głęboką wiarą. Więc teraz Tymoteuszowi powiada, jaki on ma być, żeby pożytek, korzyści z jego posługi mieli ci, dla których jest biskupem. I mówi: „Powierzam ci, Tymoteuszu, dziecko moje, w myśl proroctw. Otóż te proroctwa – tak przełożono to na język polski – ale to jest nawiązanie do tego, że w życiu młodego człowieka powinno być coś, musi być coś, co wskazuje na jego powołanie, na jego życiową drogę. Otóż pójście drogą kapłaństwa, czy potem biskupstwa, nigdy nie jest sprawą przypadku. Zawsze dzieje się w człowieku coś, co służy za swoisty znak. Paweł mówi: „Zastanów się nad swoim życiem i zobacz, co w twoim życiu doprowadziło cię do Chrystusa. Abyś wsparty tą refleksją toczył dobrą walkę mając wiarę i dobre sumienie."

Proszę popatrzmy — fundamentem tych, którzy kierują innymi, jest wiara i dobre sumienie. Gdyby biskup, ksiądz, kapłan, diakon pozbawiony był wiary, nie powinien sprawować swojej funkcji, swojej posługi. Gdyby nie miał dobrego sumienia, poprzestał tylko na wierze, też wydawałby mylne sądy. Wiara i dobre sumienie. O jedno i drugie mają się troszczyć ci, którzy odpowiadają za innych. Ale przenosząc to na poziom mniejszych grup trzeba by powiedzieć, że w gruncie rzeczy na tym polega powołanie ojca, powołanie matki, powołanie rodziców, powołanie nauczycieli, powołanie wychowawców, że aby mogli skutecznie je spełniać, powinni mieć wiarę i prawe sumienie.

> Niektórzy odrzuciwszy je ulegli rozbiciu we wierze; do nich należy Hymenajos i Aleksander, których przekazałem szatanowi, ażeby się oduczyli bluźnić.

Otóż Paweł nawiązuje tutaj do tych osób, którym zabrakło i wiary i dobrego sumienia. Wymienia ich po imieniu, i nawiązuje do rodzaju starożytnej ekskomuniki. Otóż ci, którzy chcieliby w Kościele sprawować władzę, a pozbawieni są wiary i prawego sumienia, zasługują na bardzo surowe potępienie. Dlatego, że źli przewodnicy mogą zaprowadzić tych, którzy im są powierzenie, na bardzo błędną drogę, mogą ich bardzo zwieść. I Paweł zachęca Tymoteusza i zobowiązuje go, by taką drogą nie szedł. I dalej:

> Zalecam więc przede wszystkim, by prośby, modlitwy, wspólne błagania, dziękczynienia odprawiane były za wszystkich ludzi: za królów i za wszystkich sprawujących władzę, abyśmy mogli prowadzić życie ciche i spokojne z całą pobożnością i godnością.

Teraz Apostoł przechodzi do tego, jak powinno wyglądać życie wspólnoty. Skoro przełożony ma być człowiekiem wiary i prawego sumienia, to jak powinni żyć wierzący w Chrystusa? I powiada: powinni się modlić, powinni wspólnie błagać Boga, powinni wspólnie dziękować, i powinni modlić się za wszystkich ludzi. Zwróćmy uwagę, że taka w gruncie rzeczy jest struktura chrześcijańskiej modlitwy, mszy świętej, ale także modlitwy powszechnej. Modlimy się za Kościół, za tych, którzy rządzą, za wszystkich potrzebujących, za innych ludzi, w intencjach Ojczyzny, modlimy się za rządzących. A dlaczego? Również dlatego, żebyśmy mieli spokój potrzebny do dobrego wyznawania Boga. Skoro pokój jest wielkim Bożym darem, trzeba zawsze o niego się modlić. Ale nie ma pokoju — jak to napisał Jan Paweł II — bez sprawiedliwości. A nie ma sprawiedliwości bez przebaczenia. Warunkiem pokoju jest przebaczenie. Gdy brakuje przebaczenia, nie może być ani sprawiedliwości, ani pokoju. Kiedy obserwujemy to, co dzieje się we współczesnym świecie, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, skąd docierają do nas dzień w dzień dramatyczne wiadomości, to państwo widzą, że pokoju tam nie ma, bo nie ma sprawiedliwości, i nie ma też umiejętności przebaczenia. Apostoł wzywa do takiego życia, w którym byłby budowany pokój na drodze modlitwy. I dalej:

> Jest to bowiem rzecz dobra i miła w oczach Zbawiciela naszego, Boga, który pragnie, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy.

Otóż modlimy się jako chrześcijanie, zbieramy się jako uczniowie Chrystusa. Ale modlimy się za wszystkich, bo wszyscy są dziećmi Bożymi. Tym różni się wspólnota wiary od sekty. Sekta zamyka się, sekta zamyka nawet klucz w drzwiach. Sekta jest hermetyczna. Sekta twierdzi, że wie więcej, że wierzy więcej. Sekta nie chce mieszać się z innymi. Natomiast prawdziwa wspólnota wiary gromadzi się przed Bogiem z myślą o innych. Po to, żeby modlić się za tych, którzy się nie modlą. Po to, aby zanosić do Boga prośby i dziękczynienia za tych, którzy tego nie czynią.

Otóż musimy mieć świadomość włączenia i wszczepienia, jak mówił kardynał Wyszyński, w jedną wielką rodzinę dzieci Bożych. My jesteśmy dziećmi Bożymi przez zbawienie, którego doświadczamy od Boga, przez miłosierdzie, którego doświadczamy. Ale są dzieci Boże, i tych jest znacznie więcej, dzięki dziełu stworzenia. Otóż Bóg jest ich Ojcem dlatego, że żyją jako ludzie, a Bóg jest Ojcem każdego człowieka. I naszym obowiązkiem jest mieć wzgląd na całą ludzkość, i na każdego człowieka. Kiedy więc się modlimy, to modlimy się z myślą o wszystkich ludziach, gdziekolwiek żyją, bo Bóg chce zbawienia wszystkich ludzi, by wszyscy doszli do poznania prawdy. Więc kiedy osiągniemy ten cel, który Pan Bóg nam wyznaczył, spotkamy tam nieprzeliczone rzesze ludzi, którzy nawet nigdy o Chrystusie nie słyszeli. Bo Boże dzieło zbawienia jest oparte, zakorzenione w Bożym dziele stworzenia. I dalej:

> Albowiem jeden jest Bóg, jeden też pośrednik między Bogiem a ludźmi, człowiek, Chrystus Jezus, który wydał siebie samego na okup za wszystkich jako świadectwo we właściwym czasie.

Bóg jet Ojcem wszystkich, a Jezus Chrystus jest wszystkich Pośrednikiem. Na to zwrócił uwagę w naszych czasach kardynał Joseph Ratzinger, prefekt watykańskiej Kongregacji Wiary, w wydanej trzy lata temu deklaracji „Dominus Jesus". Przypomniał tam o powszechności zbawienia, i o wyłączności zbawienia dokonywanego przez Jezusa Chrystusa. Zbawienie jest powszechne, ponieważ dotyczy wszystkich ludzi. I narzędziem zbawienia, tym pośrednikiem zbawienia, jest Jezus Chrystus nawet wobec tych, którzy o tym nie wiedzą. Dlatego, że nie potrzeba być świadomym, żeby doznawać Bożego miłosierdzia tego, które płynie w zbawieniu przyniesionym przez Jezusa Chrystusa.

Popatrzmy — to jest nauka apostoła już w samych początkach naszej wiary. Później nieraz działo się tak, że katolikom czy chrześcijanom wydawało się, że Bóg przemówił tylko do nas. Pojawiła się nawet formuła, że „poza Kościołem nie ma zbawienia". Dzisiaj ta formuła, przemyślana na nowy sposób, Otóż Bóg nie ogranicza się tylko do ram widzialnego Kościoła. Zbawienie, przyniesione przez Chrystusa, jest powszechne. I dalej:

> Ze względu na nie ja zostałem ustanowiony głosicielem i apostołem - mówię prawdę, nie kłamię - nauczycielem pogan we wierze i prawdzie.

A więc ci, którzy przewodzą innym w Kościele, przewodzą ze względu na ich zbawienie. Władza w Kościele, jeżeli ma jakikolwiek sens, to jest władza, która służy zbawieniu innych ludzi. Jeżeli ktoś szuka we władzy swoistego sposobu na zaspokojenie egoizmu, pychy, chciwości i rozmaitych innych rzeczy, to sprzeniewierza się temu, co jest w Kościele najbardziej podstawowe. I mogą państwo się domyślać, że musimy my kapłani, biskupi wielokrotnie wobec tej prawdy stawać, i musimy ją sobie nieustannie przypominać. I nawzajem, kiedy zbieramy się na rozmaitych rekolekcjach zamkniętych, przypominamy sobie te duszpasterskie wskazania św. Pawła, że sensem naszego życia — jeżeli ono ma sens — jest to, by zachowywać wierność zbawieniu.

I ostatnie rozważania na dzisiaj z tego Listu:

> Chcę więc, by mężczyźni modlili się na każdym miejscu, unikając gniewów i sporów. Podobnie kobiety - w skromnie zdobnym odzieniu,

Zauważmy, apostoł teraz zwraca uwagę już na konkretny przebieg takiego zgromadzenia liturgicznego. Już nie mówi o całości wspólnoty, tylko zwraca się do mężczyzn, i zwraca się do kobiet.

Powiada: mężczyźni mają modlić się wszędzie tam, gdzie to jest możliwe. Kobiety mają zwrócić uwagę na skromny strój. Otóż wiedzą państwo, że zasada, o której mówi się również w Kościele i w liturgii, która jest zasadą dużo głębszą, niż tylko odniesienia religijne, to brzmi tak, że do kobiety trafia się przez uszy, do mężczyzny trafia się przez oczy. I w Kościele też trzeba mieć to na względzie, stąd zalecenia św. Pawła idą dokładnie w tym kierunku.

I już w starożytności było zalecenie, żeby w Kościele mężczyźni stali po swojej stronie, kobiety po swojej stronie, bo przemieszanie modlitwie nie sprzyja. Jeżeli państwo pamiętają, jeszcze kilkanaście, kilkadziesiąt lat temu to było wyraźnie przestrzegane w kościołach. Dzisiaj mniej. Otóż ja nie próbuję tego oceniać, wskazuję tylko państwu na silne sprzężenie między psychiką, psychologią, znajomością ludzkiego wnętrza, ludzkiej duszy, ludzkiego serca, człowieczych uwarunkowań — a także liturgią, modlitwą, pobożnością. Otóż już w starożytności apostoł miał na względzie to, że obok rzeczy wzniosłych trzeba ludzi uczyć rzeczy prostych. I trzeba czasami przypomnieć jak powinni się modlić, jak powinni wyglądać, jak powinni się zachować, bo to też jest niesłychanie ważne. I ten moment, ten motyw apostoł rozwija dalej w swoim liście:

> Podobnie kobiety - w skromnie zdobnym odzieniu, niech się przyozdabiają ze wstydliwością i z umiarem, nie przesadnie zaplatanymi włosami albo złotem czy perłami, albo kosztownym strojem, lecz przez dobre uczynki, co przystoi kobietom, które się przyznają do pobożności.

Popatrzmy że apostoł, będąc mężczyzną, więcej uwagi poświęca kobietom. Ale te rady nie są wcale zupełnie nieaktualne. Do dnia dzisiejszego bywa tak, zwłaszcza na wsi, że msza święta i uczestnictwo w niej, to dla wielu sposobność do pokazania się bardziej, niż do modlitwy — przynajmniej złośliwi mogą takie wrażenie odnosić. Paweł o tym wiedział, bo w starożytności człowiek był taki sam jak dzisiaj, zadziwiająco do nas podobny pod każdym względem.

Takie są więc te Pawłowe zalecenia. Myślę, ponieważ nasz czas minął, że powrócimy jeszcze do tej pedagogii apostolskiej za 3 tygodnie. Będziemy kontynuować to, co w nauczaniu św. Pawła jeszcze pozostało, i na co warto zwrócić uwagę. Apostołowie tak zwracali się do pierwszego pokolenia biskupów, którzy w taki właśnie sposób mieli troszczyć się o swoich wiernych. Myślę, że jakieś koncepcje, myśli, jakaś rzeczywistość duchowa i jakieś zbudowanie i okazja do refleksji, z tego tekstu dla nas także płynie.

Zapraszam państwa na ostatnie w tym roku spotkanie, mianowicie wyjątkowo za 3 tygodnie, 7 czerwca, i wtedy nasze tegoroczne konferencje zakończymy. Zanim jeszcze państwu podziękuję, to zgodnie z zapowiedzią dzisiaj jest taka książeczka „Oblicza kryzysu w Biblii". Otóż jest to zapis konferencji, które miałem parę lat temu w Warszawie, i które miałem również w Toruniu. I w Toruniu one miały trochę inny schemat — dlatego, że było nas dwóch. Najpierw mówił filozof, ksiądz prof. Mirosław Mróz, a potem mówiłem ja. I znajdą państwo tutaj takie rozważanie filozoficzne, i rozważanie moje. Jeżeli chodzi o postacie, które wtedy omawialiśmy, to mamy takie tytuły: *Ewa – kryzys posłuszeństwa Bogu, Kain i Abel – kryzys tożsamości, Abraham – kryzys świadków cierpienia, Mojżesz – kryzys przywódcy, Jeremiasz – kryzys instytucji religijnych, Hiob – kryzys dotkniętego cierpieniem, Jonasz – kryzys poczucia Bożej sprawiedliwości.* Są to proste rozważania, książka kosztuje 20 zł, i jest tutaj ewentualnie do nabycia.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję, i zapraszam za trzy tygodnie.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6.9 Współczesny Apostoł: „Wstańcie, chodźmy!" (7 czerwca 2004)

Pochwalony Jezus Chrystus ... W Imię Ojca ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ...

Bardzo serdecznie, a także — ze względu na porę roku — bardzo ciepło wszystkich państwa witam. To dziewiąte spotkanie w tym roku akademickim, dziewiąte, i oczywiście przed wakacjami ostatnie. Mam nadzieję, że zainteresuje państwa także dlatego, że ono w jakimś prawdziwym tego słowa znaczeniu wieńczy tegoroczny cykl poświęcony *Apostołom Jezusa Chrystusa.* Rozpoczęliśmy go jesienią, omawialiśmy tych, którzy żyli z Jezusem na co dzień, którzy stali się Jego apostołami. Próbowaliśmy tę tajemnicę, te misterium apostołowania i apostolstwa zgłębić. Zastanawialiśmy się również nad tym, co z tego można wziąć do naszego życia. Natomiast dzisiaj tak się szczęśliwie złożyło, że nie cofamy się do czasów Nowego Testamentu, ale za przedmiot naszej refleksji obieramy sobie najnowszą książkę Ojca Świętego Jana Pawła II opatrzoną tytułem: „Wstańcie, chodźmy!" Książkę, która ukazała się w dzień urodzin Ojca Świętego, a więc nieco ponad dwa tygodnie temu — bardzo świeża książka. I która to książka umożliwia spojrzenie na apostolstwo i na apostołowanie oczami apostoła naszych czasów, właśnie Jana Pawła II.

Mówiliśmy o Piotrze, o Jakubie, o Janie, o synach Zebedeusza, o Filipie, o Bartłomieju. Cofaliśmy się więc do realiów z I wieku naszej ery. A oto dzisiaj mamy zastanowić się, mamy wspólnie – nie sposób przeczytać książki, ale weźmiemy sobie pewne myśli, pewien klucz do lektury tej książki – będziemy chcieli odkryć, poznawać jeszcze lepiej tajemnicę apostołowania tego, który jest następcą św. Piotra i zastępcą, namiestnikiem Chrystusa na ziemi. To świadectwo jest bezcenne. Zwracam uwagę państwa, że po raz pierwszy w długich dziejach pontyfikatu, bo liczących przecież prawie 2000 lat, mamy do czynienia z sytuacją kiedy papież odkrywa przed nami swoją duszę. I czyni to już nie po raz pierwszy, czyni to kolejny raz. Obok nauczania papieskiego, obok encykliki, adhortacji, przemówień papieskich, obok tych przemówień na audiencjach generalnych i podczas pielgrzymek, papież dzieli się z nami swoimi wspomnieniami, swoimi przemyśleniami.

A jeżeli dobrze odbieram te wspomnienia i przemyślenia, to u podstaw tych wszystkich wspomnień jest jedno, zawsze powraca jedno — mianowicie zdziwienie. I wdzięczność. Papież jest zdziwiony, że on jest papieżem. On, który wyszedł z Polski, z Wadowic, ze zwyczajnej rodziny. Z kraju i narodu tak bardzo ciężko doświadczonego. To jest zdziwienie: jak to się stało, że właśnie ja — myśli o sobie Jan Paweł II — jestem papieżem. Ale nigdy nie jest to zdziwienie, które płynie z ciekawości ani takie zdziwienie, które próbuje jakby szukać przyczyn innych, niż wybranie Boże i tajemnicze zrządzenie Boże. Dlatego temu zdziwieniu towarzyszy zawsze dziękczynienie, idzie w parze wdzięczność. Kiedy papież cofa się do swojej młodości, do swojego dzieciństwa, do swojej posługi biskupiej — o czym za chwilę — to Ojciec Święty zawsze przeobraża swoje wspomnienia w modlitwę. I pod tym względem jest bardzo podobny do apostoła Pawła. Kto z państwa czytał Pawłowe listy, poczynając od Listu do Rzymian, obydwa do Koryntian, do Galatów, do Filipian, do Kolosan, do Tesaloniczan, do Tymoteusza, do Tytusa, to tam Paweł opisuje najpierw albo wspomina swoje dzieje.

Ale natychmiast, nawet nie potrafimy zauważyć kiedy, jego wspomnienia przeobrażają się w modlitwę. Pamięć, która jest dziękczynną modlitwą. Drodzy państwo, jeżeli możemy się czegoś uczyć od papieża na tym poziomie najbardziej ludzkim, ogólnym, to myślę, że powinniśmy tego nieustannie się uczyć. Oglądać się wstecz na swoje życie, ale oglądać się nie tylko z ciekawością, ale właśnie z wdzięcznością. Rozpoznawać obecność Boga w swoim życiu. Oczywiście nikt z nas nie powtórzy drogi Jana Pawła II. Bylibyśmy zarozumiali i nierozsądni gdybyśmy sądzili, że ktokolwiek z nas może przeżyć podobną łaskę, tak wielką łaskę. Ale przez analogię możemy to, co nas w życiu spotykało i to, co przeżyliśmy, również przeżywać tak, jak przeżywa to Jan Paweł II.

Państwo pamiętają że papież po raz pierwszy otworzył swoje serce w rozmowie z Vittorio Messorim w książce zatytułowanej „Przekroczyć próg nadziei", która ukazała się 10 lat temu. Ja muszę państwu powiedzieć, że pośród tych książek, które w życiu czytałem, „Przekroczyć próg nadziei" czytałem najczęściej, czytałem wielokrotnie. A lektura tej książki dała mi bodaj najwięcej spośród wszystkich innych książek, jakie kiedykolwiek przeczytałem. Otóż ta książka na półce stoi zawsze pod ręką, żebym mógł ją w każdej chwili znaleźć i w każdej chwili wykorzystać. I przydawała mi się zarówno tutaj, na konferencjach z państwem, jak na auli uniwersyteckiej, na rekolekcjach dla kleryków, na rekolekcjach dla księży, do własnych przemyśleń, do homilii, do najrozmaitszych

okoliczności — do prowadzenia dialogu, do ekumenizmu, do spotkań z ludźmi innych religii, innych wiar, do spotkań z obcokrajowcami. Ja sam z tej książki uczyłem się sposobu myślenia o Panu Bogu, ale myślenia takiego, którego głębia i źródło są zakorzenione głęboko w sercu człowieka.

Więc książka „Przekroczyć próg nadziei" to jedno. Potem przyszła książka druga, wydana na 50-lecie święceń kapłańskich Ojca Świętego Jana Pawła II, wydana zatem w 1996 r. Ta książka nosiła tytuł „Dar i tajemnica". Muszę państwu powiedzieć, że z tą książką z kolei jest związane życie bardzo wielu księży. Kilka, a może nawet kilkanaście razy w ostatnich latach miałem możliwość, sposobność, obowiązek prowadzenia rekolekcji dla kapłanów. Ja bardzo lubię rekolekcje dla kapłanów. Bardzo lubię dlatego, że one są bardzo trudne, i stanowią ogromne wyzwanie. Oto stanąć i mówić do tych, którzy formują innych. I podczas rekolekcji dla księży, a prowadziłem je w diecezji łódzkiej, gdańskiej, elbląskiej, sosnowieckiej itd., więc w bardzo różnych miejscach naszej Ojczyzny, jest taki zwyczaj, że kiedy księża przyjeżdżają na rekolekcje — to są rekolekcje zamknięte — to jeszcze ciągle się cieszą, że się spotkali, jeden stąd drugi stamtąd, wspominają, rozmawiają, i zanim się wyciszą, to rekolekcje się już kończą. I dlatego — wiedząc, że taka jest zazwyczaj praktyka — podczas tych rekolekcji, które prowadziłem, zawsze postanawiałem – prowadząc rekolekcje można nawet nakazać, jest taki przywilej – żeby panowało milczenie podczas całych rekolekcji.

A nawet więcej, kiedy były posiłki, tzn. obiady i kolacje, to, żeby nie było próżnej rozmowy i jakichś głupich rozmów, wtedy jeden z księży czytał głośno książkę „Dar i tajemnica". Wrażenie wszędzie było piorunujące. Bo oto księża zaczęli odnosić wspomnienia papieskie do swojego własnego życia. Papież opisuje tam jak był młodym chłopcem, jak poszedł na studia, wstąpił do seminarium, przeżywał seminarium, otrzymał święcenia, poszedł na pierwszą parafię, został biskupem, sprawował swoją funkcję biskupią. I okazało się, że księża, którzy nie zawsze mieli czas, albo siły, albo chęci przeczytać tę książkę w domu — a w okresie rekolekcji przeczytaliśmy ją całą, i byli szczerze wdzięczni, że otrzymali taki właśnie klucz do duszy papieża. Jeżeli państwo pamiętają, kilkakrotnie do tej książki robiliśmy aluzje, a oto teraz otrzymujemy książkę nową, kolejną.

Dla kogo jest ta książka? Otóż jeżeli dobrze ją przeczytałem, to jest książka dla biskupów, i to jest bardzo ważne. Myślę, że biskupi przeczytają ją jako wielkie zobowiązanie. Ale to nie znaczy że ci, którzy biskupami nie są — tak jak państwo, tak jak ja, jak inni kapłani — z tej książki nie odniosą żadnego pożytku. Nie! To jest książka przede wszystkim dla biskupów, ale także dla wszystkich, którzy chcą zastanowić się nad tajemnicą apostolstwa. Dlaczego to jest książka dla biskupów? Dlatego, że po pierwsze wskazuje na to jej tytuł: „Wstańcie, chodźmy!" Tytuł został zapożyczony z 14 rozdziału Ewangelii św. Marka, o której przy różnych okazjach sporo powiedzieliśmy. Ten 14 rozdział opowiada o tym, jak to na krótko przed swoją męką Jezus ze swoimi najbliższymi uczniami udał się do Ogrójca, do ogrodu Getsemani. Tam zabrał ze sobą Piotra, Jakuba i Jana. I tam modlił się do Boga o to, aby z godnością przyjąć los, który Go czeka. Modlił się również, że jeżeli to możliwe, jeżeli Bóg tak chce, niech ominie Go ten kielich. Zachęcał swoich uczniów, apostołów, do czujności. Ale kiedy wracał do nich, to stwierdzał że spali — bo był już późny wieczór. Zatem budził ich, a „oczy ich były znużone" jak mówi ewangelista, i znowu zasypiali.

I w pewnym momencie, kiedy Jezus już skończył swoją modlitwę, wraca do nich i mówi: „Wstańcie, chodźmy, oto zbliża się mój zdrajca." I zaraz nadeszła zgraja, a na jej czele Judasz, i Jezus został pojmany. Proszę zwróćmy uwagę, jaki głęboki jest ten tytuł. Może on coś wskazuje z przemyśleń papieża i z jego losów w okresie, kiedy jest papieżem? Może pokazuje, że ten papież mocno cierpiący, że ten papież pogrążony na modlitwie — próbuję to interpretować, zgadywać, mogę nie mieć racji, ale mogę ją mieć — że ten papież czuje się w jakiś sposób osamotniony, albo potrzebuje bliskości tych, którzy powinni być najbliżej, tzn. biskupów?

Otóż dobrze wiemy, że Kościół stoi przede wszystkim na tych, którzy są jego filarami, czyli na następcach apostołów, na biskupach. Jeżeli jakiś kryzys zagraża Kościołowi, to jest to przede wszystkim kryzys, albo są to przede wszystkim trudności, które idą ze strony biskupów i kapłanów. Świeccy nigdy jeszcze Kościoła nie zniszczyli, ani nawet go nie nadwyrężyli, ani nie nadszarpnęli. Jeżeli w Kościele pojawiały się pęknięcia, schizmy, herezje, jeżeli pojawiały się wielkie grzechy i wielkie nadużycia, to pojawiały się przede wszystkim niestety ze strony duchowieństwa. A im wyżej — tym pęknięcia, i tym grzechy były głębsze i były większe. My dobrze pamiętamy, że w ostatnich latach Kościół katolicki, także w Polsce, przeżył z tej strony biorąc, takie potężne tąpnięcia, potężne trudności. O tym Ojciec Święty nie wspomina ani słowa. Ale można się domyślać

że to, co się wydarzyło od strony biskupów — już pomijam i nazwiska, i miejsca, i miasta, bo to nawet nie jest ważne — ale co się wydarzyło w Polsce, musiało sprawić papieżowi wielki ból. Że musiała to być dla papieża bardzo dotkliwa rana. Bo i dla nas, mieszkających w Polsce, to, co żeśmy przeżywali, było bardzo trudne — dla świeckich, dla duchownych. Daleko bardziej dla papieża. Papież nie powiedział w tym czasie w tych sprawach głośno ani jednego słowa. Nikogo nie potępił, na nikogo nie pokazał palcem. Ale dobrze wiadomo że cena, jaką się płaci za takie trudności, musi być bardzo duża.

Zatem papież przeznacza swoją refleksję dla biskupów, kierują ją do biskupów. Zapożycza ten tytuł z Ogrójca, z Ogrodu Oliwnego po to, żeby uprzytomnić biskupom „Wstańcie, chodźmy!" Bo teraz, dziś, jutro, pojutrze może być jeszcze trudniej, niż do tej pory. Nie wolno zatem spać, nie wolno się pogrążać w apatii, nie wolno się pogrążać w jakimś spokoju nader bezpiecznym, ale obowiązkiem biskupów jest towarzyszenie papieżowi. I tu w tej książce wielokrotnie papież do biskupów się zwraca, i wielokrotnie się do biskupów odwołuje. Oczywiście nie będą to tylko biskupi polscy. Dlatego że trudności, które może mieć Kościół w Polsce, to są trudności, które także ma w innych krajach Europy, i w innych rejonach świata. One jak w soczewce wszystkie spotykają się w Rzymie.

I papież — i to jest ta druga strona — chce zwrócić się do biskupów, chce powiedzieć coś ważnego biskupom nie po to, żeby ich pouczyć, ale przede wszystkim po to, żeby podzielić się z nimi cząstką swojej własnej tożsamości. Żeby powiedzieć jak było, kiedy on sam był przez 20 lat biskupem Krakowa, najpierw biskupem pomocniczym, później biskupem metropolitą, i następnie kardynałem. Chce powiedzieć jak wyglądało jego biskupstwo, jakim biskupem starał się być. I chce również popatrzeć na doświadczenie biskupstwa ze strony Namiestnika Chrystusowego, więc ze strony papieża. Dwadzieścia lat był biskupem Krakowa, dwadzieścia pięć lat jest biskupem Rzymu. 45 lat jest biskupem! To jest doświadczenie zupełnie unikatowe. Mało kto na świecie, praktycznie nikt — bo nikt nie był papieżem 25 lat w naszym stuleciu. Państwo wiedzą, że w tej chwili papież jest na trzecim miejscu, jeżeli chodzi o długość trwania pontyfikatu. Najpierw św. Piotr, tradycja mówi: 33 lata. Potem papież Pius IX, który w I połowie XIX wieku był papieżem: 31 lat, i to jest najdłuższy pontyfikat historycznie udokumentowany. A od paru miesięcy za nim jest właśnie Jan Paweł II — już dłużej, niż następny w tym wyliczaniu papież Leon XIII. Zatem nikt nie ma takiej perspektywy, jak ma ją Jan Paweł II.

Jak powstawała ta książka? Otóż można się nie tylko domyślać, ale wręcz wiemy, że powstawała z osobistych wspomnień papieża, z jego refleksji, którą dzielił się słowami. Ta refleksja nagrywana była na magnetofon a następnie została przelana na papier. I za redakcję odpowiadają tutaj dwie osoby, a przede wszystkim z Sekretariatu Stanu bardzo Ojcu Świętemu oddany ksiądz z diecezji katowickiej, ks. prałat Paweł Ptasznik, bardzo miły, bardzo dobry i zacny człowiek. Oni dokładali starań, żeby tę pamięć papieża zweryfikować, sprawdzić. Bo przecież coś mogło Ojcu Świętemu nie tyle umknąć, tylko zmienić się w pamięci. Przecież ma za sobą 25 lat pontyfikatu. Czasami zdarzają się potknięcia. I tu jest takie jedno potknięcie, które nawet w druku przeszło, kiedy to papież mówi, że nawet po wyborze na stolicę biskupią w Krakowie nadal jeszcze udawał się na kajaki, i pływali po rzekach Mazowsza. Otóż nie były to rzeki Mazowsza, były to rzeki Mazur. Ale Ojcu Świętemu mogło to umknąć, albo się przejęzyczył, albo może ktoś to źle zapisał, może papież dobrze powiedział — źle zapisano. Albo po prostu Ojciec Święty się przejęzyczył tak, jak się wspomina jakiś mazowiecki krajobraz, bo na pewno Mazur z Mazowszem by świadomie nie pomylił. Czasami więc takie drobne lapsusy się zdarzają. I w drugim wydaniu na pewno zostaną poprawione, ale to są drobiazgi.

To nam pokazuje, że książka jest żywa, że książka stanowi żywy zapis wspomnień papieża, który ma za sobą ćwierć wieku pontyfikatu i dwadzieścia lat biskupstwa. Pisanie takich książek jest bardzo niebezpieczne. Dlatego, bo są w nich imiona, i są nazwiska. W związku z tym obok tych, którzy zostaną w jakikolwiek sposób uhonorowani, są tacy, którzy nie zostali wspomnieni. Dlatego, że akurat papieżowi nie przyszło na myśl, żeby wspomnieć tę czy inną osobę. I mówił mi przedwczoraj mój kolega, który przyjechał z Krakowa, że w Krakowie co najmniej dwie osoby są obrażone dlatego, że papież o nich nie wspomniał — a powinien! Dlatego, że były obecne w latach 70-tych i 60-tych w życiu papieża. Dlatego, ze starali się jak mogli — a nie ma ani słowa. Pisanie więc takich książek jest trudne. To jest tak, jak dziękowanie. Kiedy mamy bardzo dużą grupę,

to pewnie podziękujemy 17 różnym osobom i wspólnotom, przepuścimy dwie — i zrobimy sobie rozmaite trudności! Papież też na pewno nie uniknął jakiegoś potknięcia. Ale nie ma w tej książce nikogo, kto czułby się w jakiś sposób dotknięty dlatego, że Ojciec Święty wspominał go nie tak, jak powinien. Z jednym może wyjątkiem – kiedy papież wspomina, nawiązuje do swoich rozmów w Urzędzie ds. Wyznań. I wspomina, że spotykał tam człowieka, który owszem był grzeczny, ale bardzo Kościołowi i biskupowi krakowskiemu nieżyczliwy. Więc papież mówi o tym otwarcie. Ma prawo, w końcu też dzieli się swoim własnym doświadczeniem.

Ale w takich książkach jest jeszcze jeden aspekt. Mianowicie takie książki czy wspomnienia jeżeli są nieopatrzne, to mogą mieć charakter zbliżony do plotkowania. Od wspomnień do plotek można przejść bardzo szybko. Kto z państwa próbował wspomnień, to dobrze zna plotki. Jeżeli chodzi o plotki, to nasuwa mi się tutaj przykład św. Franciszka Salezego. Może warto ten przykład znać, bo pokazuje on nie tylko czego należy unikać we wspomnieniach, ale pokazuje też pewną koncepcję i pewną technikę spowiedzi. Otóż do św. Franciszka Salezego przyszedł mężczyzna, który wyznał mu na spowiedzi, że strasznie plotkował. I że plotkując wyrządził sporo krzywdy dlatego, bo plotkował bardzo źle. I teraz za to żałuje, i chciałby to naprawić. I św. Franciszek mówi: „Chcesz to naprawić?" „„Tak". „Na pewno się zdecydowałeś na naprawienie tych plotek i obmów?" „„Tak". „To ja ci dam pokutę w dwu częściach." „Proszę bardzo." „Pierwsza część, to masz jeszcze dzisiaj pójść do domu, wziąć poduszkę z pierzem, wejść na dach swojego domu, rozpruć poduszkę i wysypać pierze. A za tydzień przyjdź do mnie. Ja ci powiem jaka jest druga część tej pokuty." Ponieważ była to spowiedź i obowiązek, więc ten wszedł na dach z poduszką, rozpruł, i pierze poleciało. Za tydzień wrócił przekonany, że otrzyma drugą część. „Teraz" mówi spowiednik „teraz jest druga część. Teraz idź i to zbierz." „Przecież to niemożliwe!" „Widzisz – plotkowanie, obmowa, to jest zupełnie taki sam grzech. Nie sposób odwrócić tego, co się powiedziało. Krzywdy wyrządzone przez plotki są nie do odwrócenia."

Daję państwu ten przykład, bardzo dosadny, również po to, żebyśmy zawsze mieli w głowach to, iż jeżeli mówimy o innych, to nasza pokuta może być właśnie taka, jak owego penitenta. Niewiele ona da, bo niewiele już można naprawić. Złe słowa wyrządzają bardzo dużo krzywdy. Dobre słowa mogą czasami hołubić i wynagradzać tych, którzy są tego nie warci. Ja myślę, że Jan Paweł II jest doskonale tego przykładu, i tej zasady, świadomy. Mianowicie bardzo oszczędnie używa tutaj imion i nazwisk, chociaż oczywiście bez nich obyć się nie można było. I jeżeli ktoś z państwa zdecyduje się sięgnąć po tę książkę, jeżeli ktokolwiek będzie ją czytał, to oczywiście spotka tutaj rozmaite imiona i nazwiska, co najmniej kilkanaście. I oczywiście już osoby wzmiankowane cieszą się, i przyznają się do przyjaźni z papieżem itd., a osoby nie wzmiankowane mają papieżowi brak pamięci za złe.

Otóż klucz do czytania tej książki znajduje się na samym końcu. Co nam odkrywa? Pewną prawidłowość którą, jeżeli się pisze książki, to się ją zna. Otóż jeżeli ktoś pisze książkę, także wspomnienia, to najpierw mówi bądź pisze środek, natomiast wstęp i zakończenie tworzy na samym końcu. Bo dopiero wtedy widzi, co w tzw. międzyczasie powiedział. I papież na samym końcu zawiera taki rozdział czy rozdzialik, który rzuca nam światło na to, dlaczego Ojciec Święty zdecydował się na te wspomnienia. Mianowicie ten krótki rozdzialik kończący całą książkę nosi tytuł *Abraham i Chrystus: „Oto idę pełnić Twoją wolę".* Co jest bardzo ciekawe — że postać Abrahama jest Janowi Pawłowi II bardzo bliska. Przypominają sobie państwo utwór poetycki papieża *Tryptyk rzymski*. Otóż w tym utworze, wydanym w ub. roku również w maju, jedną z wiodących ról odgrywa Abraham. Dlaczego papież tak umiłował Abrahama? Dlatego, że Abraham został powołany przez Boga w Ur chaldejskim, na terenie dzisiejszego Iraku, i udał się do kraju, którego nie znał, do kraju dalekiego. Udał się — jak mówi *List do Hebrajczyków* — tak, jak gdyby widział Niewidzialnego. Kiedy papież Jan Paweł II dnia 16 października 1978 roku wyszedł na balkon loggii Bazyliki św. Piotra w Rzymie, i wypowiedział swoje pierwsze słowa do Włochów, to one brzmiały: „Przybyłem do Was z dalekiego kraju". Ten kraj był wtedy rzeczywiście daleki. To jest nasz kraj. Przez 25 lat Polska jest bliżej Rzymu, niż kiedykolwiek w swojej historii do tej pory. Natomiast papież przybył – nawiązując nie tylko do dystansu geograficznego — ale nawiązując gdzieś tam, w głębi swojego serca, do przygody Abrahama. To też był daleki kraj. Abraham i Chrystus. Abraham, który opuścił Ur chaldejskie, i który musiał jeszcze raz przeżyć próbę wiary na Górze Moria, gdy Bóg zażądał od niego ofiary z jego syna. Mogli państwo także przypomnieć to sobie w książce *Oblicza kryzysu w Biblii*. Chrystus — który właśnie tam, w bliskim sąsiedztwie Góry Moria, na Kalwarii ofiarował

samego siebie. I papież napisał takie słowa (str. 160):

> Te słowa autor Listu do Hebrajczyków wypowiada w związku z powołaniem Abrahama, ale odnoszą się one do każdego człowieczego powołania, także do szczególnego powołania, które realizuje się w posłudze biskupiej: powołania do pierwszeństwa w wierze i miłości.

Co to znaczy być biskupem? Papież tu odpowiada: być biskupem to jest powołanie do tego, aby przewodzić w wierze i miłości. Te słowa, powiedziałem, są skierowane przede wszystkim do biskupów. Otóż pierwszeństwo, które mają w Kościele, polega nie na tym, aby zajmować pierwsze miejsca, aczkolwiek słusznie je zajmują, ale żeby przewodzić w wierze, i przewodzić w miłości. Papież wzywa współczesnych biskupów, duchownych, i świeckich do odnowy wiary, do odnowy miłości, ale biskupi mają być w tym pierwsi: pierwsi chronologicznie, i pierwsi logicznie. Być biskupem to być człowiekiem wiary, i być człowiekiem miłości. Myślę, że jeżeli tak biskupi przeczytają tę książkę, to oczywiście odkryją w niej jak ona ten motyw rozwijania wiary i rozwijania miłości, jak ona ten motyw rozwija i uzasadnia. Ja nie mogę czytać wszystkiego, bo nie sposób te 165 stron przeczytać w godzinę. Podam państwu tylko niektóre myśli, które są najbardziej uderzające, i które jakoś sobie zaznaczyłem. Bo w tym samym rozdziale, odnosząc się do tego misterium biskupstwa papież powiedział tak (str. 161):

> Można powiedzieć, że jest to podwójna tajemnica. Przede wszystkim jest to tajemnica pamięci o tym, co z miłości Bożej już stało się w ludzkich dziejach. Zarazem jest to tajemnica przyszłości, a to znaczy nadziei:

Nikt do tej pory – na tyle, na ile znam nauczanie papieży – nie mówił w ten sposób. Tajemnica — z jednej strony zakorzeniona w tym, czego Bóg już dla nas dokonał, tajemnica przeszłości, a więc tajemnica pamięci. A z drugiej strony — tajemnica przyszłości, czyli nadziei. Pamiętamy o Bożym działaniu w naszym życiu, o Bożej obecności w życiu Kościoła, o Bożej obecności w życiu świata po to, żeby na tym solidnym fundamencie budować przyszłość. „Przekroczyć" – jak napisał Jan Paweł II w tak zatytułowanym liście apostolskim — „próg nadziei". Otóż wielkim wrogiem człowieka jest beznadziejność. Bo ona prowadzi do rozpaczy. Brak nadziei to jest jeden z największych dramatów współczesnej ludzkości, i współczesnych ludzi branych z osobna. I paradoks na tym polega, że brak nadziei, kryzys nadziei, to nie jest kryzys, który dotyka społeczeństwa najuboższe i ludzi najbiedniejszych. Otóż beznadzieja, beznadziejność, czasami wręcz rozpacz, dotyka społeczeństwa zamożne, bogate. Ludzi, którzy opływają we wszystko, albo którzy nie muszą się martwić o sprawy materialne. I oni przeżywają głęboki kryzys ducha.

Państwo dobrze wiedzą, że przedwczoraj i wczoraj Jan Paweł II był w Szwajcarii. Nawet nasze środki przekazu, nawet katolickie o tym wcześniej nie pisały — bo się wszyscy bali. A czy papież jest w stanie się podnieść? A czy papież jest w stanie coś powiedzieć? A jak to będzie, jak papież będzie? A czy ktoś przyjdzie — Szwajcarzy to są ludzie bardzo bogaci, bodajże najbogatszy kraj na świecie, opływają we wszystko, a młodzież szwajcarska itd.? Już nawet o tym nie pisano — do tego stopnia bali się, że te czarne prognozy mogą się sprawdzić, że zapanowało milczenie. W sobotę Ojciec Święty do Szwajcarii pojechał i okazało się, że odpowiedzią młodych, i odpowiedzią tamtejszych katolików i chrześcijan, stał się entuzjazm wiary. A papież mówił im o miłości. Mówił: „Kto wstanie", a zapożyczył te słowa ze słów, którymi Jezus zwracał się do umarłego, aby się ożywił, aby powstał, aby zaczął od nowa. I kilkanaście tysięcy młodych katolików, kilkadziesiąt tysięcy Szwajcarów zgromadzonych na mszy św. wysłuchało starego, bo przecież 84-letniego, papieża, który ma trudności z mówieniem, ale o którym napisano, że emanuje ciepłem, jakiego nikt nie posiada. Właśnie to ciepło pociąga. A to ciepło rodzi się na fundamencie pamięci i na fundamencie nadziei. Być osadzonym silnie w przeszłości — wtedy dopiero człowiek potrafi pojąć to, co go czeka. Jeżeli ktoś dobrze przemyśli swoje życie, jeżeli ktoś jest Bogu wdzięczny za to życie, jeżeli ktoś dopatrzył się znaków Bożej obecności w swoim życiu, nie musi się niczego obawiać. Otóż z pamięci rodzi się nadzieja. I papież podkreśla to, mówi o tym biskupom. Że pierwszeństwo wiary i pierwszeństwo miłości są możliwe tam, gdzie jest nadzieja.

Proszę zatem zauważyć, że Ojciec Święty na pozór nie mówi nic nowego. Mówi o trzech cnotach kardynalnych: wiara, nadzieja i miłość. Ale nowość papieskich słów polega na tym, że o rzeczach dobrze znanych mówi w nowy sposób. A mówi o tym dlatego, ponieważ nie rozpatruje tej rzeczywistości od strony teologicznych i dogmatycznych schematów i formuł, lecz podchodzi od strony własnego życia. To jest naprawdę człowiek głębokiej wiary. A przez to samo człowiek miłości, i to jest również człowiek bardzo głębokiej nadziei. Właśnie te trzy cnoty umożliwiają coś, na czym winna się opierać posługa biskupów, i biskupia tożsamość. Papież opowiedział o tym tak (str. 161):

> W tej tajemnicy łączy się zatem wszystko, co było *od początku,* co było *przed założeniem świata,* i to, co *jeszcze ma być.*

Zmieniają się ludzie, przechodzą ludzkie pokolenia, zmienia się historia, zmieniają się koleje losu ludzkości, ale trwa Bóg, który jest spoiwem tych losów, który jest Panem historii i który zna wszystko, co było przed założeniem świata i zna to, co jeszcze ma być. Skoro tak, to papież mówi (str. 161):

> Wiara, odpowiedzialność i odwaga każdego z nas zostaje w ten sposób wpisana w tajemnicę wypełnienia Bożego planu.

Stary papież — używam tego słowa świadomie, i z największym szacunkiem — wypowiada się tak, jak nie wypowiadają się generałowie na wojnie. Powiada: żeby można było rozwijać swoją chrześcijańską tożsamość, to trzeba ją oprzeć na trzech filarach: wiara, odpowiedzialność i odwaga. Z wiarą łączy się odpowiedzialność. Papież napisał kiedyś książkę jako kardynał krakowski: „Miłość i odpowiedzialność". A do tego dodaje jeszcze „odwaga". On, który zbliża się nieuchronnie do końca życia, podkreśla rolę odwagi. I jeszcze dodaje — na samym końcu Ojciec Święty zamieszcza takie słowa (str. 163/164):

> Boża miłość nie nakłada na nas ciężarów, których nie moglibyśmy unieść, ani nie stawia nam wymagań, którym nie moglibyśmy sprostać. Jeśli wzywa, przychodzi z konieczną pomocą.

Te słowa można uczynić mottem życia niejednej i niejednego z nas, zwłaszcza w trudnym położeniu czy w trudnych warunkach. Ileż razy jest tak, że jesteśmy pobożni, gdy jest nam dobrze. Natomiast gdy przychodzi jakaś wiadomość o chorobie, o cierpieniu, kiedy przychodzi perspektywa swojej choroby, swojego cierpienia, jakieś załamanie, jakaś trudność — okazuje się, że pryska również i ta siła wiary, i nie ma tej odpowiedzialności i odwagi, która w takim czasie jest potrzebna. Mówimy, że jesteśmy za słabi albo że Bóg składa na nas ciężary nie do uniesienia. A papież powiada: „Miłość nie nakłada na nas, ta miłość Boża, ciężarów, których nie moglibyśmy unieść". I z innej strony: „ani nie stawia nam wymagań, którym nie moglibyśmy sprostać". Jeśli wzywa — przychodzi z konieczną pomocą. Jeżeli Bóg powołuje, powołuje do rzeczy trudnych, to daje łaskę. Jeżeli wymaga od nas czegoś, to daje nam jednocześnie moc, byśmy temu wyzwaniu sprostali. To są słowa, które wręcz zamykają tę papieską książkę. Jakże bardzo ważne jako świadectwo wiary, także na dzisiejsze czasy.

Teraz więc możemy cofnąć się do samego początku. Już tylko w telegraficznym skrócie zawartość tej niezwykłej książki. Jej pierwsza część nosi tytuł *Powołanie*. Papież, tak jak każdy powołany do kapłaństwa, a on do biskupstwa, i to jeszcze do biskupstwa Rzymu, zastanawia się skąd pochodzi jego powołanie. To tak jak dzieci i młodzież, którzy pytają księdza: „Dlaczego ksiądz jest księdzem?" Oczywiście niektórzy mają łatwiejsze odpowiedzi, inni mają trudniejsze. Ale papież tu daje odpowiedź, która chyba najlepiej oddaje doświadczenie każdego powołanego. Bo wspomnienia Jana Pawła II rozpoczynają się od zdania (str. 10):

> Szukam źródła mojego powołania. Ono pulsuje tam . . . w jerozolimskim Wieczerniku.

Dwa są odniesienia. Jedno to odniesienie do osoby Jezusa Chrystusa. Wszak w jerozolimskim Wieczerniku Jezus ustanowił sakrament kapłaństwa i sakrament Eucharystii. Papież mówi: „To, że jestem powołany, to jest dzieło Chrystusa". Zatem całe nastawienie papieskie jest głęboko chrystocentryczne. Tu wszędzie, na każdej stronicy, w każdym zdaniu, w każdym słowie jest obecny Chrystus. Ale z drugiej strony jest tutaj również odniesienie geograficzne, mianowicie nawiązanie do jerozolimskiego Wieczernika. Papież był tam w Wieczerniku dwa razy. Raz w latach 60-tych, kiedy Wieczernik znajdował się w rękach arabskich, kiedy był bardzo zaniedbany i zapuszczony. A drugi raz w marcu 2000 roku, gdy podczas Wielkiego Jubileuszu roku 2000 sprawował po raz pierwszy od setek lat w Wieczerniku mszę św. Było to wielkie przeżycie, transmitowane także w naszej telewizji. Ja myślę, że te wszystkie filmy i nagrania z papieskich podróży są dostępne, i że kiedyś karmić się nimi będą pokolenia.

Papież udawał się do Jerozolimy, i bardzo chciał być w Wieczerniku. Ja muszę państwu powiedzieć — oczywiście zachowując proporcje, żeby nie było żadnych niewłaściwych porównań — że jeżeli w swoim życiu chciałem pojechać do Jerozolimy po raz pierwszy w latach 70-tych, to pragnienie było dokładnie takie samo — być w Wieczerniku. To znaczy sądzę że każdy ksiądz nawet, jeżeli tego sobie wyraźnie nie uświadamia, to rozumie, że tajemnica tego powołania, źródła tego powołania znajduje się tam, w Jerozolimie. Wiele razy, prowadząc wiele pielgrzymek, w których zawsze byli księża, a czasami sami księża, widziałem jak odprawiali msze święte w Wieczerniku. Ta msza św. w Wieczerniku, i przy Bożym Grobie, i na Kalwarii, robiła zawsze na kapłanach największe wrażenie. Zawsze działo się tak, że gdy dotarli do Wieczernika, pogrążali się w modlitwie. Widać było, że między Wieczernikiem a ich losem, ich życiem jest jakaś głęboka nić, której nie sposób przerwać. Warto więc przeczytać tę książkę i pod tym kątem. A kto z państwa miał możliwość kiedykolwiek być w Jerozolimie, warto przypomnieć sobie ten jerozolimski kościółek *ad Coenaculum* czyli *przy Wieczerniku*, z palmą przed nim, ze schodami do góry, dość długi aby ocalić każdą piędź ziemi, i oczywiście ołtarz, na którym znajduje się wyobrażenie Chrystusa i apostołów.

Rozdział drugi: *Wezwanie*. Papież wspomina w jaki sposób został biskupem. Chyba nikt w Polsce nie został biskupem w takich okolicznościach. Mianowicie przebywał na wakacjach, przebywał na spływie kajakowym razem z grupą swoich przyjaciół, z młodzieżą. Tam doszła go wiadomość, że ma zgłosić się do Prymasa Polski, do kardynała Stefana Wyszyńskiego. Pisze o tym tak:

> Kiedy wszedłem do gabinetu Ks. Prymasa, usłyszałem od niego, że Ojciec Święty mianował mnie biskupem pomocniczym arcybiskupa Krakowa. W lutym w tym samym roku (1958) zmarł ks. biskup Stanisław Rospond, który przez wiele lat był biskupem pomocniczym w Krakowie w czasie ordynariatu księcia metropolity kardynała Adama Stefana Sapiehy.
>
> Słysząc słowa Ks. Prymasa zwiastujące mi decyzję Stolicy Apostolskiej, powiedziałem: „Eminencjo, ja jestem za młody, mam dopiero 38 lat".
>
> Ale Prymas na to: „To jest słabość, z której się szybko leczymy. proszę się nie sprzeciwiać woli Ojca Świętego".
>
> Więc powiedziałem jedno słowo: „Przyjmuję". „No, to pójdziemy na obiad", zakończył Prymas.

To są bezcenne świadectwa. Pokazują atmosferę tych lat — 1958 rok, 38-letni nowo mianowany biskup. I proszę zwrócić uwagę na tę odpowiedź Prymasa, który gdy nowy biskup mówi: „Eminencjo, ja jestem za młody, przecież ja mam dopiero 38 lat". Przypomnijmy sobie powołanie Samuela w Starym Testamencie, i powołanie innych wielkich proroków wiary, choćby Jeremiasza, albo Mojżesza, który się wzbraniał. Bodaj powołanie Mojżesza jest najbliższe, bo Mojżesz mówił do Pana Boga: „Panie Boże, dlaczego ja? Przecież ja się jąkam! Zanim skończę to faraon się odwróci ode mnie!" A Bóg mówi: „To nie ty będziesz mówił, to Ja". A tu mamy tę prostą odpowiedź: „To jest słabość, z której się szybko leczymy", z której się szybko wyrasta — młodość. Ileż to razy jest tak, że nie ufamy młodym ludziom. A zwróćmy uwagę — gdyby nie tamta decyzja, zaaprobowana przez Prymasa Polski, czy mielibyśmy papieża? Przecież musiał jeszcze czekać 20 lat, zanim został wybrany. Kiedy kilka tygodni temu w Polsce został mianowany biskup nowy, biskup pomocniczy lubelski, i ogłoszono, że ma 39 lat, ogłoszono, że to jest najmłodszy biskup na świecie – 39 lat.

A Wojtyła miał 38 lat. A że młodość to jest słabość, z której się szybko leczymy, to ogromna większość z nas bardzo dobrze wie.

Dalej papież tłumaczy, co to znaczy być następcą apostołów. Opisuje swój związek z Wawelem. Czasami mówi się o papieżu, że to nie jest papież polski, tylko to jest papież krakowski. I Kraków i krakowianie robią bardzo dużo, by papieża sobie zawłaszczyć. Inni wierzgają na tyle, na ile mogą, lecz z tych słów Ojca Świętego wynika jednoznacznie, że Kraków i Wawel naprawdę miłuje. Trudno zresztą i Krakowa i Wawelu nie kochać. Papież wspomina tutaj, warto przeczytać te fragmenty, o tym, że właśnie tam w Krakowie, pod Wawelem i na Wawelu, kształtowało się jego biskupstwo. I teraz papież opisuje dzień konsekracji biskupa: *Dzień konsekracji: pośrodku Kościoła.* Pisze o swoich konsekratorach czyli o tych, od których przyjął sakrę biskupią. Wspomina *Gesty liturgii konsekracji.* Wspomina znaczenie *Krzyżma,* które przyjmuje biskup, *Pierścienia i racjonału,* który przypada w Polsce tylko arcybiskupowi krakowskiemu. Następnie odwołuje się do słów z Listu do Tymoteusza *„Strzeż depozytu".* Potem mówi o znaczeniu *Mitry i pastorału.* Tu między innymi napisał takie słowa:

> Historia zbawienia jest historią całego Ludu Bożego, a zarazem historia ta przebiega poprzez życie poszczególnych ludzi – osób.

Zawsze u papieża mamy te dwa spojrzenia. Bóg, który działa w dziejach ludzi, w historii wszystkich ludzi, ludzkości — i Bóg, który działa w losach poszczególnego człowieka. Któż tego doświadczył lepiej niż on, który przebył całą karierę, jaką uczeń Chrystusowy przebyć może, od chrztu aż po Stolicę Piotrową. Dalej *Pielgrzymka do sanktuarium Maryi* — tłumaczy, wyjaśnia jakim wielkim dobrem dla biskupów jest modlitwa do Matki Najświętszej.

I na tym kończy się część pierwsza: *Powołanie.* Myślę że inaczej tę pierwszą część czytają biskupi. Papież wspomina tutaj, że ile razy zakłada krzyż biskupi, to tyle razy, od samego początku, kiedy został biskupem, tyle razy się przy tym modli zdając sobie sprawę z tego, że ten krzyż jest wielkim zobowiązaniem. Może to jest takie przypomnienie biskupom, by tego krzyża nie zakładali bezrozumnie? Ani też go nie zdejmowali? Zdarzało się bowiem tak, o czymś kiedyś państwu wspominałem, że np. na spotkaniach dialogu chrześcijańsko - żydowskiego biskup szedł do jakiejś grupy żydowskiej. I tam — „żeby nie razić uczuć" — chował krzyż. I gromada klakierów mówiła, że to bardzo dobrze, bo uczuć nie razi! *Jeżeli widok krzyża na piersi biskupa ma kogokolwiek razić to — przepraszam — jaka jest inna zasada, fundament czy podstawa, która może być fundamentem umiłowania drugiego człowieka? Inna i ważniejsza niż krzyż?* Otóż w żadnym wypadku — w moim przekonaniu — nie wolno nikomu tego podstawowego znaku, symbolu chrześcijańskiej godności zakrywać. W spotkaniu z każdym człowiekiem właśnie pod tym względem trzeba być sobą. Papież tutaj dokłada ogromnej troski, wielu starań, by podkreślić tę wagę krzyża. Nie po to, żeby się nim chełpić. Nie po to, żeby on miał być narzędziem jakichkolwiek przykrości. Ale z drugiej strony po to również, aby dać poznać innym ludziom, że jeżeli możemy być dobrzy, to możemy być naprawdę dobrzy dzięki krzyżowi Jezusa Chrystusa.

Część druga nosi tytuł: *Działalność biskupa.* Papież wspomina tutaj o swoich *Biskupich zadaniach.* Mówi co to znaczy *Pasterz.* Mówi *„Znam owce moje",* i tutaj znajdujemy bardzo głębokie wyznanie. Państwo posłuchają:

> Zainteresowanie drugim człowiekiem zaczyna się od modlitwy biskupa, od jego rozmowy z Chrystusem, który mu powierza *„swoich".* Modlitwa przygotowuje nas do spotkań z drugimi. Są to spotkania, w których dzięki duchowemu otwarciu możemy się wzajemnie poznawać i rozumieć także wtedy, kiedy czasu jest niewiele.

I teraz:

> Ja za wszystkich po prostu modlę się dzień w dzień. Gdy spotykam człowieka, to już się za niego modlę i to zawsze pomaga w kontakcie z nim.

Nikt tak do tej pory nie mówił: „Gdy spotykam człowieka, to już się za niego modlę i to zawsze pomaga w kontakcie z nim." Jeżeli ktoś z państwa miał możliwość rozmowy z papieżem albo

dotknięcia papieża, dowiaduje się z tej książki, że też papież się za tego człowieka modlił! To właśnie dlatego między papieżem a tymi milionami ludzi, którzy go nawiedzają, nawiązuje się ta intymna więź dzięki której ci, którzy otarli się o papieża, mają wrażenie, jak gdyby te pół sekundy należało wyłącznie do nich. Kiedy spotykam człowieka, to już się za niego modlę. Warto popatrzeć także na zdjęcia z audiencji, i na przekazy w telewizyjne z audiencji, właśnie pokazujące papieża. **Gdyby to jedno wyznanie stanowiło treść tej książki, to warto byłoby je znaleźć!** A potem: *Sprawowanie sakramentów, Wizytacje duszpasterskie.* Ojciec Święty ciekawie dla nas, interesująco opowiada o niektórych grupach wiernych. Posłuchajmy przykładu. Zawsze podczas wizytacji:

> Potem była Msza św. i odwiedziny w domach, przede wszystkim u chorych, ale nie tylko. Niestety do szpitali komuniści nie wpuszczali. Byli także chorzy, przywożeni do kościoła na osobne spotkanie. To w diecezji organizowała sługa Boża Hanna Chrzanowska. Zawsze czułem, że osoby cierpiące stanowią fundamentalne oparcie w życiu Kościoła. Pamiętam, że przy pierwszych kontaktach chorzy mnie onieśmielali. Potrzeba było sporo odwagi, aby stanąć wobec cierpiącego i niejako wniknąć w jego ból fizyczny i duchowy, aby nie ulegać zakłopotaniu i okazać przynajmniej odrobinę pełnego miłości współczucia.

„Chorzy mnie onieśmielali!" Papież jeszcze dwa lub trzy razy w życiu to powtórzył. A nieśmiałość względem chorych minęła papieżowi ostatecznie 13 maja 1981 r. Od tamtej pory jest już wobec chorych śmiały.

W następnym rozdziale *Walka o kościół* czytamy m.in. o proboszczach. Dotyczy to tych, którzy w tamtych trudnych latach 60-tych, 70-tych budowali kościoły. Papież napisał:

> Z wielką wdzięcznością i szacunkiem myślę o proboszczach, którzy budowali w tamtych czasach kościoły. Tą wdzięcznością obejmuję wszystkich budowniczych kościołów, gdziekolwiek są na świecie.

A więc ukłon także i w stronę naszego księdza prałata, i wszystkich państwa, i sąsiadów. Papież dobrze wiedział jak wielką ofiarę, ile poświęceń wymagała wtedy budowa kościoła.

Część trzecia: *Obowiązki naukowe i duszpasterskie*. Muszę powiedzieć, że to czytałem ze szczególnym zainteresowaniem — również ze względu na to, że można pewne rzeczy porównywać i odnosić do swojego życia. Napisał Ojciec Święty tak:

> W tych zmaganiach umacniało mnie przeświadczenie, że nauka, obejmująca różnorakie dziedziny, jest nieocenionym dziedzictwem narodu.

Dowartościowanie nauki i ludzi nauki. Otóż naród stoi wykształceniem swoich obywateli! Jeżeli tego wykształcenia brakuje, można ludzi poprowadzić w tę stronę, w którą nie chcą, której nie rozumieją, z której nie zdają sobie sprawy. Otóż nauka — podkreśla papież, a przecież mówi to pod koniec swojego życia — jest nieocenionym dziedzictwem narodu. Jeżeli ktoś chce uderzyć w naród, to ugodzi najpierw w naukę. Pamiętamy, że w 1939 r. Niemcy i Rosjanie zaczęli od eliminowania elit. To właśnie wtedy, w październiku 1939 r. wymordowano profesorów Krakowa, niedługo potem profesorów Lwowa. Uderzano także w profesorów na Uniwersytecie Warszawskim. Wreszcie takie nazwy jak Katyń, Starobielsk, Charków, Miednoje. I bliżej nas: Auschwitz i wszystkie inne obozy śmierci, które były w dużej mierze skierowane przeciwko tym, którzy byli kręgosłupem narodu.
„Osobisty kontakt ze światem nauki" i

> przypominanie naukowcom, że mają obowiązek służyć swoją wiedzą prawdzie, a przez to pomnażać dobro wspólne.

Służyć prawdzie! Jeżeli nauka, podobnie jak każda inna dziedzina, nie służy prawdzie, wtedy i nie służy dobru! *Książki i studium.* Ojciec Święty mówi o książkach, o tym, jak jego ojciec dawał mu książki do czytania. Jak na tych książkach kształtowało się jego dzieciństwo. I pod koniec tego rozdziału napisał: Trzeba

łączyć sprawy wiary, sprawy myślenia i sprawy serca.

Wiara, myślenie i serce! A to jest dopiero ta podwalina, fundament uprawiania nauki. Potem o *Dzieciach i młodzieży* — bardzo wzruszająco. Następnie o *Katechezie*, później o pełnieniu dzieł miłosierdzia.

I przechodzimy do części, która nosi tytuł *Ojcostwo biskupa.* A w niej: *Współpraca ze świeckimi,* następnie: *Współpraca z zakonami.* Tutaj wobec zakonów papież pozwolił sobie na ciekawą wypowiedź. Proszę posłuchać, Jan Paweł II powiedział tak:

Zakony nie utrudniały mi życia.

Ciekawe: zakony nie utrudniały mi życia! Więc warto przeczytać, co ma dalej do powiedzenia, jako biskup. Przypuszczam, że kiedy papież mówił te słowa, to do zapisujących puszczał oko — tylko że w tekście tego nie widać. Chodziło o to, że papież zawdzięcza zakonom więcej, niż mogłoby nam się wydawać. Opierał się na ich modlitwie, na rekolekcjach, na samotnej modlitwie i w Warszawie, i w Krakowie, i w Zakopanem, i w innych miejscach. Więc daje poznać, że te miejsca, w których modlił się, i gdzie korzystał z tego ogromnego kapitału modlitwy, wywarły ogromny wpływ na jego życie. Tylko jak to rozwinąć tak, żeby było również widoczne to przymrużenie oka?

Prezbiterium czyli solidarność z innymi kapłanami. I tu proszę państwa znajdujemy zdanie, które może być mottem dla każdego i każdej z nas. Papież rozważa sprawę: czy warto poświęcić się Bogu? I odpowiada:

Nie ma miłości ponad Miłość, tę pisaną przez duże M!

Nie ma miłości ponad Miłość! I rozwija to bardzo głębokie stwierdzenie. Żeby powiedzieć te proste kilka słów trzeba być naprawdę człowiekiem najgłębszej wiary. Potem o *Domu biskupim,* później o *Ojcostwie na wzór św. Józefa.* Tutaj podaje również racje, które stoją za praktyką celibatu, bardzo ciekawe. Nie mam niestety czasu tego rozwinąć, bo by nam to zajęło pół konferencji albo dłużej, ale podejście Ojca Świętego jest bardzo interesujące. Dalej: *Być ze swoim ludem*, później *Kaplica przy Franciszkańskiej 3*, gdzie Ojciec Święty mieszkał. I wyznaje tak:

W domowej kaplicy nie tylko się modliłem, ale także siedziałem i pisałem. Tu pisałem swoje książki,

Nie przy biurku, nie w bibliotece, ale w kaplicy! Książki kardynała Wojtyły są pisane w kaplicy! Część piąta: *Kolegialność biskupia*. *Biskup w diecezji*, jaką wymowę ma *Paliusz*, *Biskup w swoim Kościele lokalnym*. Porównuje Jan Paweł II drogę biskupa i kapłanów, oraz drogę świeckich. I powiedział tak:

Być może wielu zwykłych chrześcijan zdąża do Boga drogą łatwiejszą od naszej,

czyli od drogi biskupów i kapłanów

idąc tym szybciej, im mniejszy ciężar odpowiedzialności spoczywa na ich barkach.

Świeccy idą do Boga szybciej, bo na ich barkach spoczywa mniej odpowiedzialności. Więc być może wielu zwykłych chrześcijan zdąża do Boga drogą łatwiejszą od naszej. Bardzo to głębokie, i jeszcze bardziej prawdziwe. Potem o *Kolegialności,* potem *Ojcowie soborowi,* później *Kolegium kardynalskie.* Potem *Synody,* potem *Rekolekcje dla Kurii za pontyfikatu Pawła VI* — o rekolekcjach, które prowadził, i czym w ogóle są rekolekcje, papież powiedział tak:

Rekolekcje, to praktyka, która jest wielkim dobrodziejstwem Bożym dla każdego, kto je odprawia.

A ma tu przede wszystkim na względzie praktykę rekolekcji zamkniętych. Potem *Realizacja Soboru,* później o *Polskich biskupach* — to bardzo ciekawe. Ale zakończę nawiązaniem do części szóstej, która nosi tytuł *Bóg i odwaga*. I tutaj, w tej części Ojciec Święty przywołuje na pamięć, na naszą pamięć również, postać Prymasa Tysiąclecia kardynała Stefana Wyszyńskiego. I przywołuje jego słowa, które wypowiedział, a dokładniej zapisał, dnia 16 marca 1956 roku w swoich *Zapiskach więziennych*. Czytamy tak:

> „Brak męstwa jest dla biskupa początkiem klęski. Czy jeszcze może być apostołem? Przecież istotne dla apostoła jest świadectwo Prawdzie! A to zawsze wymaga męstwa."

To są słowa kardynała Wyszyńskiego. Biskup musi być mężny. Jeżeli zabraknie mu męstwa, jest to dla niego największe zagrożenie. I pod koniec tej książki, napisanej dla biskupów, Jan Paweł II przypomina to samo. I dodaje jeszcze jeden fragment nauczania Prymasa Tysiąclecia:

> „Największym brakiem apostoła jest lęk. Bo budzi nieufność do potęgi Mistrza, ściska serce i kurczy gardło. Apostoł już nie wyznaje. Czy jest apostołem? Uczniowie, którzy opuścili Mistrza, dodali odwagi oprawcom. Każdy, kto milknie wobec nieprzyjaciół sprawy, rozzuchwala ich. Lęk apostoła jest pierwszym sprzymierzeńcem nieprzyjaciół sprawy. «Zmusić do milczenia przez lęk» — to pierwsze zadanie strategii bezbożniczej.

Czyż te słowa kardynała Wyszyńskiego sprzed prawie 50 lat nie są prorocze? Czy i dzisiaj nie taka jest, jeżeli tak można powiedzieć, cena sprzeciwu? Zastraszyć wierzących, zepchnąć do narożnika, wzbudzić poczucie lęku po to, żeby rozzuchwalić tych, którzy są przeciwko prawdzie? Żeby rozzuchwalić tych, którzy są sprzymierzeńcami kłamstwa? Zmusić do strachu? Bo wtedy można z ludźmi zrobić wszystko.

> „Terror, stosowany przez wszystkie dyktatury, obliczony jest na lękliwość apostołów. Milczenie tylko wtedy ma swoją apostolską wymowę, gdy nie odwraca oblicza swego od bijącego. Tak czynił milczący Chrystus. Ale w tym znaku okazał swoje męstwo. Chrystus nie dał się sterroryzować ludziom. Gdy wyszedł na spotkanie hałastry, odważnie powiedział: «Ja jestem»"

I Jan Paweł II dodaje:

> Istotnie nie wolno odwracać się od prawdy, zaprzestać jej głoszenia, ukrywać, nawet jeśli to jest prawda trudna, a jej wyjawienie wiąże się z wielkim bólem.

Te słowa to zapewne zadanie także i dla nas w Polsce, która jest Ojczyzną papieża. Wierność prawdzie. Odwagi, nie lękajcie się! Największym sprzymierzeńcem tych, którzy usiłują sobie podporządkować innych, jest lęk. Tak raz jeszcze wracamy do cnoty męstwa.

I takie przedziwne, głębokie jest to przesłanie Jana Pawła II. Tyle można wydobyć z tej książki przy bardzo krótkiej, i mimo wszystko pobieżnej, lekturze. Mam nadzieję że państwo dobrze pojęli, dobrze zrozumieli, że na tle tej poprzedniej refleksji i ta refleksja nosi dalej tytuł *Apostołowie Jezusa Chrystusa*.

Dzisiaj bardzo dziękuję. Zapewne, jeżeli nie wydarzy się nic niezwykłego, zaprosimy państwa — ksiądz prałat i ja — do kolejnych konferencji, poczynając od października. Wtedy raz jeszcze wrócimy do tych spraw, które być może okażą się przydatne i budujące. Dzisiaj życzę państwu dobrych, spokojnych, udanych, pięknych, w miarę zasobnych, a na pewno pełnych głębokich przeżyć wakacji i urlopów. I bardzo dziękuję za tę refleksję wspólną, za obecność, za cierpliwość, za tę wielką porcję wiary i pozostałych cnót, które państwo wykazali.

`<<Podziękowania; oklaski>>`

Także wśród siebie mamy takich, którzy już są po drugiej stronie życia. Jest już sporo osób, które w ciągu tych dwunastu lat tutaj, i przedtem siedmiu lat w parafii na Dickensa, już przeszły do wieczności. Więc polećmy ich Panu Bogu.

Raz jeszcze wszystkim państwu wszystkiego dobrego z nadzieją, że się zobaczymy w październiku. A teraz pomódlmy się za tych, którzy i za nas mogą się wstawiać.

Wieczny odpoczynek ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

Rozdział 7

2004/2005 — Fragmenty P.Św.; Jan Paweł II — Benedykt XVI

7.1 Człowiek a cierpienie, cz. I — Ks. Hioba (18 października 2004)

Rozpoczynamy, drodzy państwo, nowy rok akademicki w naszej wspólnocie z grupą bardzo liczną. Takiej liczby studentów to można tylko pozazdrościć. I witam państwa jeszcze raz bardzo gorąco i bardzo serdecznie. Ja bardzo cieszę się, że po wakacyjnej przerwie wznawiamy nasze konferencje biblijne. Wznawiamy je już kolejny rok. Tutaj na Ochocie są prowadzone dwudziesty rok, tutaj w naszej parafii bodaj szesnasty rok. A więc to już jest kawał czasu. Są takie osoby wśród państwa, które biorą w nich udział od samego początku. Część naszych uczestników jest już po drugiej stronie życia. I wreszcie każdego roku dochodzi ktoś nowy. I wszystkich bardzo serdecznie witam.

Chciałbym na początku dziś podziękować gorąco księdzu prałatowi za jego modlitwę i życzliwość, której przejawem była także obecność licznej grupy przedstawicieli parafii Zwiastowania Pańskiego na pogrzebie mojego taty. Ojciec — zawsze to jest ojciec. Chociaż miał 85 lat to zawsze się wydaje, że przedwcześnie, i zawsze się wydaje, że niespodziewanie — przeżyłem to bardzo. Na szczęście — nie jest to jakieś szczęście, bo trudno to tak nazywać — jeżeli wolno podzielić się, to byłem przy śmierci ojca. To jest dla syna, zwłaszcza dorosłego, jakieś przeżycie bardzo duże, zwłaszcza dla księdza. Więc było to wszystko dość niespodziewanie. Natomiast jest w tym jakiś znak Bożej Opatrzności, bo moja mama odeszła do Pana Boga w drugi wtorek października, a cztery lata później, w ubiegłym tygodniu, w drugi wtorek października również ojciec. A więc odeszli, jeżeli tak można powiedzieć, w jeden dzień. I tam gdzieś po tej drugiej stronie, w wieczności, zapewne ze sobą się też połączyli. Państwo mają też za sobą takie przeżycia, ogromna większość na pewno. Więc doskonale wiemy, czym jest zawsze odejście ojca, odejście matki. To są przeżycia bardzo duże. Jestem wdzięczny za tę obecność, za modlitwę, za serdeczność, za życzliwość której na rozmaite sposoby doświadczyłem. I dzisiaj składam z serca bardzo głębokie staropolskie „Bóg zapłać", starając się również, aby w podobnych chwilach odwzajemnić również to, co każdy z nas przeżywać może.

Kiedy przygotowywaliśmy się do tegorocznych konferencji — państwo przez to, że zdecydowaliście się na nie przychodzić, ja przez to, że szukałem tematu — przyszedł mi do głowy pewien eksperyment. Przeglądałem mianowicie tematy, które przerabialiśmy do tej pory. Otrzymałem na Uniwersytecie nawet taki tekstowy zapis, za który bardzo serdecznie dziękuję, konferencji odbytych w ostatnim roku. Przeglądałem to, co już udało nam się przerobić. I przyszedł mi do głowy pomysł taki, abyśmy w tym roku posunęli się krok dalej, niż do tej pory, i dokonali czegoś, w czym państwo jeszcze zapewne nie braliście udziału. Które być może gdzieś tam w Polsce było albo czasami jest, ale na pewno nie jest systematyczne ani nie jest na pewno częste — mianowicie abyśmy zetknęli się z tekstem biblijnym, z Pismem Świętym nie w języku polskim, ale w języku oryginalnym. Tzn. żebyśmy posłuchali go po hebrajsku, czy aramejsku, czy grecku, dokonali tłumaczenia na język polski, i postarali się skomentować pewne wybrane fragmenty Pisma Świętego. Bo przecież zawsze słyszymy Pismo Święte w języku polskim.

A posłuchamy je w tej mowie, w jakiej one zostały utrwalone. Oczywiście nie sposób, żebyśmy przeczytali tak całe Pismo Święte. Ale mam nadzieję, że zobaczą państwo że to jest również bardzo interesująca przygoda — posłuchać po hebrajsku, przełożyć to na polski i następnie skomentować to, co słyszymy. Oczywiście będą to, jak podkreślam, wybrane fragmenty Pisma Świętego. Chciałbym, żebyśmy w ciągu tego roku wybierali rozmaite fragmenty. A więc bardziej poważne, nastrojowe, ale żebyśmy wybierali również fragmenty lżejsze, żeby to były teksty opowiadające, ale także teksty modlitewne. Żeby w tych tekstach była zaduma, ale także żeby w tych tekstach był humor, bo i to na kartach Pisma Świętego jest obecne. I żebyśmy dotknęli tej mowy hebrajskiej tak, jak ona rzeczywiście brzmi. Bo przecież Pismo Święte czytane w tej ojczystej mowie — a była to również ojczysta mowa Pana Jezusa — brzmi zupełnie inaczej, niż czytane w językach nowożytnych. Kiedy więc będę starał się przeczytać fragmenty Pisma Świętego w językach oryginalnych, to mogą państwo pomyśleć sobie także i to, bardzo ważną rzecz, że tak właśnie brzmiało Pismo Święte — oczywiście piękniej, ładniej, bardziej potoczyście — w ustach Jezusa Chrystusa. Przecież On czytał je w oryginale, i rozumiał je również w oryginale. Zobaczą też państwo, że chociaż nie znamy tych języków – nie wiem, może jest ktoś, kto zna hebrajski czy aramejski — to odpowiednio skomentowane odkryją przed nami takie bogactwo Pisma Świętego, którego żeśmy się nie spodziewali. Ponieważ mam za sobą to ubiegłotygodniowe przeżycie, dlatego dzisiaj wybrałem fragment, który niejako pozostaje w zgodzie z tym nastrojem, z którym trzeba było jakoś sobie poradzić. I fragment, który podejmuje jeden z najtrudniejszych problemów, przed jakimi staje człowiek, mianowicie problem cierpienia.

Na rozmaite sposoby żeśmy od czasu do czasu zajmowali się tym problemem, ale nigdy nie zgłębialiśmy go w ten sposób, w jaki podejdziemy do tej sprawy dzisiaj. Dlatego postanowiłem, że na dzisiejsze nasze spotkanie, inaugurujące tegoroczny cykl, przeczytamy sobie sam początek biblijnej Księgi Hioba. A wybieramy tę Księgę — czytając ją w oryginale i komentując, przekładając na język polski po to, żebyśmy zobaczyli również jakie bogactwo treści kryje się na kartach Pisma Świętego. Otóż proszę popatrzeć. Mam tutaj przed sobą wydanie Pisma Świętego, taki zeszycik, który został wydany w Niemczech, w Stuttgarcie. I to jest Księga Hioba oraz Księga Przysłów tak, jak wyglądają one w języku hebrajskim. Ponieważ hebrajski pisze się z prawej strony do lewej, więc inaczej niż po polsku, to i książka — chociaż tutaj mamy stronę tytułową, to początek książki jest tutaj. I czytamy od końca, i posuwamy się coraz bardziej do początku. Więc tu mamy stronę tytułową, mamy rozmaite wprowadzenia po łacinie czy po niemiecku, które mają nas do tekstu wprowadzić, a następnie rozpoczyna się tekst. Oczywiście kiedy go widzimy to nam się wydaje, że są to takie znaczki, które nam nic nie mówią. Bo zawsze, gdy czegoś nie znamy, to wydaje się to straszliwie trudne. I mogą państwo mieć takie dziwne wrażenie, że oto można czytać te znaki bez większego problemu, a nawet może komuś przyjdzie pokusa jakiegoś podziwiania tych, którzy hebrajski znają. Ja mogę państwu powiedzieć z pełnym przekonaniem, że hebrajski jest językiem łatwym. Trudno powiedzieć: bardzo łatwym, ale łatwym. Ma 22 znaki spółgłoskowe, trzeba się ich nauczyć. Ma kilka samogłosek — trzeba się ich nauczyć. I jest językiem, który potrzebuje wyobraźni dlatego, że jest językiem budowanym na tzw. rdzeniach. Ma dwie albo trzy spółgłoski rdzenne, i wokół nich tworzy się rozmaite wyrazy. Nie chciałbym teraz wdawać się w te konstrukcje języka hebrajskiego, języka Biblii, bo cały czas zeszedł by na omawianiu zasad tego języka, który jest bardzo piękny. Chciałbym, żeby państwo go posłuchali, posłuchali przekładu na polski, a jednocześnie żebyśmy zrozumieli, albo próbowali przynajmniej dobrać się do jednego z najtrudniejszych dylematów, przed jakimi staje człowiek.

Otwieramy zatem starotestamentową Księgę Hioba, i czytamy ją w języku Jezusa. Takim językiem Jezus mówił, to był Jego ojczysty język. To jest język Starego Testamentu — Bóg przemówił po hebrajsku, zanim przemówił w językach nowożytnych. Posłuchajmy więc tego języka oryginału, zdanie po zdaniu, by zajmować się później tym, o co chodzi autorowi natchnionemu. Czytamy tak:

isz haja weerec uc ij jow szemo

To bardzo ciekawe złożenie. isz haja weerec uc to po polsku *Człowiek pewien żył w ziemi Uc.* jow szemo — *a na imię miał Hiob.* Proszę niech państwo zwrócą uwagę, że ta księga rozpoczyna się od rzeczownika isz — *człowiek pewien.* Normalnie kiedy opowiadamy, to mówimy gdzie się

akcja dzieje, np. za górami, za lasami żył ktoś itp. A tu jest nacisk na *człowiek.*

isz haja weerec uc. Pewien człowiek, jakiś człowiek, żył w ziemi Uc. To jest przypowieść, tak się zaczyna przypowieść. Otóż ta przypowieść chce nam powiedzieć że to, co przydarzyło się Hiobowi, o czym zaraz będziemy słyszeć, przydarza się milionom ludzi na całym świecie. Przydarza się w każdym pokoleniu. **Może przydarzyć się również i tobie**. Człowiek pewien żył w ziemi Uc. Gdzie jest ta ziemia Uc? Pismo Święte kilka razy wspomina tę nazwę, i ta ziemia Uc ma tylko charakter symboliczny. Znaczy, że gdzieś jest — a skoro może być wszędzie, to może być również i tutaj. Nie ma na mapie ziemi Uc. Szukano jej w Arabii, szukano jej na terenie dzisiejszej Jordanii, szukano jej na terenie Mezopotamii, zwłaszcza w Iraku. Szukano jej na terenie Syrii, szukano jej bardzo daleko. A z tej księgi Hioba wynika, że ziemia Uc jest wszędzie tam, gdzie jest człowiek. Ta ziemia Uc ma znaczenie symboliczne.

jow szemo — *A na imię miał Hiob.*

To imię też nie znaczy nic specjalnego, nie ma żadnej szczególnej etymologii. To znaczy Hiobem może być każdy człowiek. I dalej czytamy:

wehaja haisz hahu wejaszar wire elohim wesar mera

A był ten człowiek — teraz kładzie się nacisk na „ten człowiek" — *człowiekiem prostym, i sprawiedliwym, bojącym się Boga, i stroniącym od zła.* Proszę zwrócić uwagę: ile komplementów pod adresem jednego człowieka. Ile pochwał pod adresem jednego człowieka! Był to człowiek prosty — w znaczeniu prostolinijny. Tutaj jest takie hebrajskie słowo jaszar. jaszar to jest tak jak droga, jak prosta droga, jak ścieżka, która biegnie przez pustynię — nie schodź ani w lewo, ani w prawo, żebyś się nie błąkał. I życie człowieka powinno być takie, jak mówił Jezus: „Niech wasze słowa będą «Tak, tak, nie, nie, a co jest więcej – od Złego pochodzi»". A więc człowiek prosty, to człowiek prostolinijny. Człowiek, który trzyma się w życiu prostej wytyczonej drogi. wire elohim — *i bojący się Boga.* Proszę zwrócić uwagę, że można być człowiekiem dobrym, i niekoniecznie bogobojnym. Są bowiem tacy, którzy są dobrzy, ale niekoniecznie oznacza to wierność Bogu. Hiob był i dobry, i wierny Panu Bogu. wesar mera — a dodatkowo jeszcze *stronił od złego, uciekał od złego.* A więc zło było mu zupełnie obce.

Mamy więc na początku taki obraz. Gdzieś, czyli wszędzie, jest człowiek, człowiek sprawiedliwy, człowiek dobry, człowiek bojący się Boga, któremu może się przytrafić to, co przydarzyło się Hiobowi. I w tym miejscu muszę państwa poprosić o odrobinę wyobraźni. Proszę sobie wyobrazić, że mamy przed sobą scenę. I że będziemy oglądać za chwilę takie widowisko, taki teatr. Ten teatr rozgrywa się na naszych oczach — my będziemy oglądać to, co tam się będzie działo. Ale niekoniecznie tego, co my wiemy, są świadomi bohaterowie. A więc będziemy wiedzieli więcej, niż wie Hiob. I niech państwo sobie wyobrażą, że ten teatr ma scenę dolną i scenę górną. I na razie jesteśmy na dole, patrzymy co się dzieje na tej scenie dolnej. Widzimy tam człowieka, który ma na imię Hiob, i który pod każdym względem jest dobry.

wajjiwwaldu lo sziwa wanim weszalosz banot — *A urodziły mu się, urodziło mu się, siedmiu synów i trzy córki.*

wajjiwwaldu lo — *A urodziły mu się.* To jest strona bierna która znaczy, że co prawda w poczęciu dziecka bierze udział ojciec i matka, ale narodziny dziecka to już jest sprawa Boża. A więc te dzieci były darem Boga. Mamy siedmiu synów i mamy trzy córki. Otóż w przekonaniu starożytnych Semitów synowie byli znacznie mniejszym kłopotem, niż córki. Dlatego większym błogosławieństwem było mieć więcej synów, niż więcej córek — tak uznawano. Społeczeństwa były patriarchalne, możemy nawet powiedzieć: androcentryczne, czyli skupione na mężczyznach. Nie wiem, może dzisiaj mają państwo doświadczenia, czy łatwiej jest wychować syna czy córkę — oni byli przekonani, że z synami jest mniej kłopotów. I mamy tutaj też symbolicznie siedmiu synów — to jest cyfra symboliczna czyli taka pełnia — siedem, jak siedem darów Ducha Świętego, jak siedem sakramentów świętych. Trzy córki — to jest również cyfra symboliczna. Razem dziesięcioro dzieci — znowu cyfra symboliczna. Czyli autor tej przypowieści chce nam powiedzieć: „Nie szukaj Hioba, nie proś o jego adres. Hiob jest wszędzie tam, gdzie jest człowiek. Hiob jest wszędzie tam, gdzie mu się rodzą synowie i córki. Hiob jest wszędzie tam, gdzie jest dobroć, gdzie jest bogobojność, i gdzie człowiek stroni od zła."

Więc mamy na razie taki obraz pełen spokoju i pełen Bożego błogosławieństwa. Nie tylko błogosławieństwa, ale pomyślności, której przejawem jest dobra rodzina.

Wajehi miknehu sziwat alfe tzon uszeloszet alfe gemallim wahamesz meot cemed bakar wahamesz meot atonot waawudda rabba mehot	*A jego trzoda to było siedem tysięcy owiec,* *i trzy tysiące wielbłądów,* *i pięćset jarzm wołów,* *i pięćset oślic,* *i liczna służba.*

Proszę zauważmy — ma dzieci, i ma bardzo dużą trzodę. Siedem tysięcy owiec, trzy tysiące wielbłądów — oczywiście to jest typowo wschodnia przesada. Niech państwo sobie wyobrażą takie siedem tysięcy owiec gdzieś tam na pustyni! Trzy tysiące wielbłądów — podczas gdy normalnie za duże stado wielbłądów uważa się na Bliskim Wschodzie od 100 do 200 - 300 sztuk. A tutaj trzy tysiące — więc chce się podkreślić jego ogromną pomyślność. I jeszcze do tego nie był to typowy człowiek pustyni, bo miał przecież woły, które pracowały w jarzmach. Do tego miał jeszcze liczną służbę.

wajehi ha isz hahu gadol mikkol benei kedem	*A ten człowiek, a ten mąż, był największym spośród synów Wschodu.*

Kiedy mówi się „synowie Wschodu", znów nie określa się dokładnie, gdzie ten Wschód jest. Chce się powiedzieć: „Zobaczcie! Macie przed sobą człowieka, który jest bogobojny. Macie przed sobą człowieka, który ma dziesięcioro dzieci." Tutaj tradycja żydowska dodawała takie dopowiedzenie, że skoro miał dziesięcioro dzieci, to miał już na pewno ponad trzydzieści lat. A jeżeli miał ponad trzydzieści lat, to był człowiekiem, który w pełni – jeżeli tak można powiedzieć – był dorosły, i w pełni odpowiadał za siebie, i mógł cieszyć się tym wszystkim, co w życiu osiągnął. Ma więc dzieci, ma więc trzodę, ma ogromny majątek, i ma sławę największego pośród wszystkich synów Wschodu. Jeżeli mamy wyobraźnię, to niech państwo sobie pomyślą, że w tym przedziale na dole widzimy takiego właśnie Hioba. Proszę sobie pomyśleć, że oto przyszło nam wyreżyserować film albo sztukę, i próbujemy Hioba przedstawić. Więc Hiob jest dostatnio ubrany. Hiob jest zamożny, ma te trzody. Hiob jest człowiekiem dobrym, ma te dzieci, Hiob jest spokojny, Hiob jest sławny. Czego więcej może potrzebować człowiek?

wehalhu wanaw weasu miszte bet isz jo mo	*A jego synowie zbierali się, gromadzili się,* *i urządzali ucztę, wydawali ucztę, każdego dnia w swoim czasie, w swoim porządku.*

Czyli każdego dnia wydawali uczty. Nam może to się wydawać rozrzutnością, natomiast tutaj jest to pochwała gościnności. Że ta zamożna rodzina cieszyła się nie tylko dostatkiem, ale także gościnnością. I czytamy:

wekaru liszloszet ahjotehem leehol welisztot immahem	*I zapraszali swoje trzy siostry, aby jadły* *i piły razem z nimi.*

Zwróćmy uwagę: jesteśmy na starożytnym Bliskim Wschodzie. To nie kobiety zapraszają do siebie mężczyzn, lecz mężczyźni — nawet, jeżeli jest to w rodzinie, jeżeli to są bracia — zapraszają do siebie kobiety, w tym przypadku siostry. Więc tych siedmiu synów jest bardzo gościnnych. Wydają uczty, zapraszają innych ludzi, ale są też, powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem, bardzo rodzinni, i zapraszają do siebie swoje trzy siostry. Mamy więc pełną sielankę rodzinną, mamy obraz rodzinnego szczęścia, obraz pomyślności, dostatku, i gościnności.

wajehi ki hikkifu jeme hammiszte wajjiszlah ij jow waje kad deszem wehiszkim babboker weheela olot mispar kullam	*A zawsze było tak, że gdy kończyły się dni ucztowania, to wtedy posyłał Hiob* *i ich uświęcał, jakby dokonywał za nich przebłagania* *i wstawał rano* *i składał ofiary za wszystkich.*

Zwróćmy uwagę, że wśród przykazań Bożych jest przykazanie: „czcij ojca swego i matkę swoją". A tu sprawiedliwość Hioba polegała na tym, że gdy kończyły się uczty każdego dnia — każdy przyjmował w swoim dniu, czyli gościli się przez cały tydzień, to wszystko jest przypowieść, to wszystko jest obraz — wtedy Hiob nazajutrz, z samego rana wstawał, składał ofiarę, dokonywał przebłagania, składał ofiary całopalne Bogu. Dlaczego?

ki amar ij jow	*Bo mówił Hiob:*
ulaj hatu wanaj	*A może moi synowie zgrzeszyli*
uwerahu elochim bilwawam	*I może czymś zgrzeszyli przeciwko Bogu?*

Zauważmy, że — jak powiedziałem — mamy „czcij ojca i matkę", i to określa powinności dzieci wobec rodziców. Ale także rodzice wobec dzieci mają swoje powinności. Otóż rodzice mając doświadczenie powinni przewidzieć, że dzieci mogą dopuszczać się czegoś, co jest naganne. I może nawet im to do głowy nie przychodzić, że to jest złe albo naganne. I w związku z tym rodzice muszą pamiętać o dzieciach nawet w tych dobrych sytuacjach, żeby się za nich modlić, i żeby dokonać za nich przebłagania. Bo mówił Hiob: „Może moi synowie zgrzeszyli, i powiedzieli coś złego, i złorzeczyli w swoich sercach?" Nie uczynili nic złego na zewnątrz. Zawsze zadawano pytanie, czym mogli zgrzeszyć synowie i córki Hioba, skoro byli pod każdym względem dobrzy, skoro rodzina była porządna. I odpowiadano: nie grzeszyli złymi czynami, bo byli gościnni, przyjmowali innych, prowadzili dostatnie i spokojne dobre życie. A czym może zgrzeszyć człowiek dobry? I odpowiadano: człowiek dobry może zgrzeszyć zaniedbaniem. I mówiono w komentarzach do tego fragmentu, że grzech, że słabość dzieci Hioba polegała na zaniedbaniu. Że kiedy bawili się, kiedy ucztowali, mogli zapominać o Panu Bogu, bo przecież jedli i pili. I dlatego ojciec wiedząc, że zapominanie o Bogu jest przywilejem młodości, rano próbował przywrócić zachwiany porządek. I przepraszał Pana Boga, bo mówił sobie: „A może moi synowie zgrzeszyli?" Proszę popatrzmy zatem, że modlitwa za dzieci, i troska o dzieci — nie tylko ta doraźna, ale także ta przewidująca, że mogą dopuścić się zaniedbania — jest obowiązkiem rodziców. A my na początku mszy świętej mówimy, że zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem. Ale o tym zaniedbaniu pamiętamy najmniej. I ten fragment kończy się słowami:

kacha jaase ij jow kolhajjamim	*Tak postępował Hiob przez wszystkie dni.*

Mamy więc obraz spokojnej, dostatniej, bogobojnej, prawej i szlachetnej rodziny. Mamy obraz dobrego człowieka, który pamięta o swoich dzieciach we wszystkich okolicznościach ich życia. To dzieje się wszystko w tej scenie na dole.

A teraz podnosimy oczy do góry. Cały czas podkreślam, że to jest przypowieść. Akcja przenosi się wyżej. I czytamy takie słowa:

wajehi hajjom wajjawou bene ha elochim lechitjaccew al adonaj	*A oto pewnego dnia przybyli Synowie Boży, aby oddać pokłon Panu.*

Przenosimy się na górę. Wyobrażamy sobie Boga, który siedzi może na wyniosłym tronie, albo w jakikolwiek inny sposób wg. naszych ludzkich wyobrażeń. I oto hebrajski tekst mówi: *przybywają* bene ha elochim — *Synowie Boży,* takie było zazwyczaj określenie tych istot, które myśmy zwykli nazywać aniołami, i te osoby przybywają lechitjaccew al adonaj. To lechitjaccew to takie specjalne słowo, które po polsku ma taki bardzo mocny akcent: *aby pokłonić się Panu, aby uwielbić Pana.* Więc na górze, wedle naszej wyobraźni, mamy Boga który odbiera cześć od istot niebiańskich. A końcówka tego zdania brzmi: wajjawo gamhas satan betocham. satan to polskie *szatan. I przybył także,* można by powiedzieć po polsku *zakradł się także, szatan* betocham — *w ich środku, pośrodku nich.*

Podkreślam po raz czwarty — to jest przypowieść. Zawsze nam przychodzi do głowy takie pytanie: jak to jest możliwe, że przed Bogiem, który jest sprawiedliwy, dobry, i prawy, nagle staje szatan? A tekst święty mówi, że on przybył, ale się zakradł. To możemy sobie wyobrazić tak. Oto są te istoty ubrane na biało — to nasza wyobraźnia, bo przecież aniołowie nie mają szat ani białych, ani żółtych, ani niebieskich, ani różowych — tak, jak przedstawiają je dzieci. Tylko przybywa mnóstwo aniołów, a pomiędzy nimi zakradł się szatan. Nie widać go niby z daleka. Proszę zwrócić uwagę, że mamy tu bardzo ciekawą intuicję. Że nawet tam, gdzie jest samo dobro, że i tam może się zakraść ktoś zły i coś złego. Że nawet do Boga ma dostęp ten, który z natury swojej jest Bożym przeciwnikiem. Słowo hebrajskie satan znaczy po polsku *przeciwnik* albo *oskarżyciel* — przeciwnik, oskarżyciel, wróg. Szatan jest przeciwnikiem Boga, ale szatan jest również oskarżycielem. Kogo szatan oskarża? Oskarża i Boga, i oskarżać może również ludzi. Ponieważ jest przeciwnikiem, nie liczy się z nikim. I tu, w tym miejscu, dochodzi do ciekawej rozmowy.

waiomer adonai el has satan	*A wtedy rzekł Pan do szatana*

Otóż tego szatana nie dostrzegli inni, ale dostrzegł go Bóg. Zauważył to — używajmy tu wyobraźni — to małe czarne pośród tej całej tysięcznej bieli. I Bóg zwraca się do niego, i mówi tak:

meajin tawo?	*Skąd przybywasz?*

Można by to również przełożyć: *A co ty tu robisz? Skąd przybywasz? Skąd jesteś?* Bóg rozpoczyna tę przypowieściową rozmowę z szatanem od pytania: Jak ty się tu znalazłeś? Skąd jesteś? Skąd przybywasz? A potem następują takie słowa:

wajjaan has satan et adonaj	*I odpowiedział szatan Bogu*
wajomar	*i rzekł*
miszszut baarec	*z badania, z oglądania ziemi*
umehithallech	i z takiego *plądrowania* po niej, z takiego *łazikowania* po niej.

Mamy więc obraz szatana jako takiej istoty, która łazi po ziemi i patrzy — patrzy tu, patrzy tam, tutaj zajrzy, tam pójdzie. I to hebrajskie słowo umehithallech — państwo widzą, że ono tak dziwnie brzmi. To jest specjalna forma od czasownika hallach, który znaczy *chodzić.* A umehithallech to znaczy *chodzić, łazikować, wszędzie zaglądać, rozpatrywać się* itd. Więc szatan mówi: „Chodziłem sobie po ziemi i przyglądałem się to tu, to tam".

wajomer adonai el has satan	*Powiedział pan do szatana*
hasamta libbecha al awdi ij jow?	*A zwróciłeś uwagę na mojego sługę Hioba?*

W tym hebrajskim wyrażeniu słychać dumę. Bóg wie, że ma zdecydowaną przewagę nad szatanem. Bóg wie, że świat jest własnością Pana Boga. Więc Bóg chwali się przed szatanem swoim wyznawcą, i stawia mu takie pytanie:

hasamta libbecha plew	*Czy zwróciłeś swoje serce*

Plew to po hebrajsku *serce*. Czy zwróciłeś swoje serce? A my po polsku mówimy: „Czy zwróciłeś uwagę"

al awdi ij jow?	*na sługę mojego Hioba?*

Bóg jest dumny ze swojego czciciela. Ten czciciel w ustach Bożych został nazwany awdi czyli *Mój Sługa.* Otóż wszyscy ci, którzy żyją bogobojnie, prawo, szlachetnie, którzy stronią od zła, są mili Bogu. Taki komplement „Mój Sługa" — w Piśmie Świętym doczekał się go Mojżesz, doczekał się go Jozue, doczekał się go Sługa Cierpiący, doczekał się prorok Jeremiasz — tylko wybrane osoby zostały nazwane Sługami Pańskimi. I Hiob jest również nazwany Sługą Pańskim. A więc: „Czy zwróciłeś uwagę na sługę mojego Hioba?"

ki en kamohu baarec	*Bo nie ma nikogo jak on na ziemi*
isz tan	*człowiek niewinny*
wejaszar	*prawy*
jere elohim	*bojący się Boga*
wesar mera	*i unikający złego*

To, co na początku powiedział autor natchniony o Hiobie, teraz mówi o Hiobie sam Pan Bóg. „Zwróciłeś uwagę na sługę mojego Hioba, że jest on prawy, szlachetny, że czci Mnie, i że unika zła?" Widać poczucie dumy. Dobrze jest być człowiekiem dobrym po to, żeby się Bogu podobać. Po to, żeby Bóg mógł być dumny z tych, którzy są dobrzy. Proszę zwrócić uwagę, że Pan Bóg zwraca uwagę na tych, którzy są mu w szczególny sposób bliscy.

wajjaan has satan et adonai	*Wtedy odpowiedział szatan Panu*

Tutaj mamy bardzo ciekawą rzecz. Kiedy się ją wyjaśnia studentom, to jest może trochę łatwiej, bo znają hebrajski. Tu jest gra słów polegająca na tym, że kiedy mówi Bóg, to mamy słowo amar — *mówi.* Bóg mówi. Natomiast kiedy szatan ma coś powiedzieć, to wprowadza to czasownik jaan — *odpowiada.* Otóż szatan zawsze odpowiada Bogu, natomiast Bóg nigdy nie odpowiada szatanowi. Bóg mówi to, co uważa. Bóg mówi niezależnie, autonomicznie od szatana. To Bóg dyktuje warunki tej rozmowy, ale szatan zręcznie się wplata i ukierunkowuje ją w tę stronę albo w inną. Bóg mówi, szatan odpowiada Bogu. Nie ma żadnej wątpliwości, że szatan nie jest partnerem Boga. Szatan jest kimś, kto Bogu podlega. Kimś, kogo — my nie wiemy dlaczego — Bóg w jakiś tajemniczy sposób toleruje. Którego istotą jest to, że jest Bożym przeciwnikiem i jest oskarżycielem. Więc odpowiedział szatan Panu:

wajjomar	*i rzekł*
hachinnam jare ij jow elohim	*A to za darmo Hiob czci Boga?*

Mamy w tym ironię, mamy w tym cynizm, mamy w tym kpinę z Pana Boga, i z Hioba również.

Tę sytuację pomyślności, w jakiej żył Hiob, szatan obraca przeciwko Hiobowi, i obraca przeciwko Bogu. Bóg mówi tak: „Zwróciłeś uwagę na sługę mojego Hioba? Zwróciłeś uwagę, że jest dobry, prawy, szlachetny, czci Mnie, i unika złego?" A szatan na to: „A to co? To on za darmo to robi?" Otóż szatan sugeruje, że jeżeli człowiek jest bogaty, to ma powody, żeby czcić Boga. Ma powody, żeby Mu dziękować. Natomiast człowiek biedny ma tych powodów znacznie mniej. Proszę niech państwo popatrzą, że mamy tutaj odwrócenie tych kategorii, które są popularne w naszych czasach. Bo w naszych czasach jest tak, że zazwyczaj biedni są pobożni, a bogaci pobożni nie są. A tu w starożytności i wśród ludów semickich, po dzień dzisiejszy wśród Żydów i Arabów, bogactwo, pomyślność to jest sposobność do tego, by podziękować Bogu za dary, które od Niego pochodzą. I szatan kontynuuje:

halo at atta sachta waado	*Czy to nie Ty*

zwraca się do Boga

uwe adbeto	*go otoczyłeś*

i nie otoczyłeś też jego domu

uwead kolaszerlo	*i wszystkiego co on posiada*
missawiw	*z każdej strony.*
maase ja daw berachta	*Dziełom jego rąk pobłogosławiłeś*
umiknehu parac baarec	*a jego trzoda mnoży się na ziemi.*

Szatan zatem powiada: „Ponieważ mu pobłogosławiłeś, ponieważ jest zamożny, ponieważ prowadzi dostatnie życie i trzody jego się rozmnażają, to ma za co Ci dziękować. Ma za co Ci być wdzięczny. Nie jest więc niczym nadzwyczajnym być pobożnym w sytuacji, gdy się jest bogatym." I szatan kontynuuje — bo zazwyczaj szatan jest bardzo rozmowny, tak jest zawsze w Piśmie Świętym. Szatan mówi sporo, żeby Pana Boga przekonać, i Panu Bogu sugeruje tak:

we ulam szelachna jadecha	*A może wyciągnij swoją rękę*
wega behol aszerlo	*i dotknij wszystkiego, co do niego należy*
imlo alpanecha jewaracheka	*jeżeli w twarz nie będzie Ci złorzeczył.*

Szatan sugeruje zatem Bogu, żeby dotknął Hioba, wyciągnął Swoją rękę. Żeby dotknął Hioba, pozbawił go tego, co ma. A gdy do tego dojdzie, gdy Hiob już będzie z tego wszystkiego ogołocony, to szatan sugeruje: „Wtedy zobaczymy, czy będzie nadal pobożny". I dalej:

wajomer adonai el has satan	*Rzekł Pan do szatana*
hinne chol aszerlo bejadecha	*oto wszystko, co on posiada, jest w twoich rękach.*

Czy państwo zwrócili uwagę na pewien szczegół, który jest niesłychanie ważny? Szatan mówił tak do Boga: szelachna jadecha — *wyciągnij swoją rękę i uderz go.* A Bóg mówi: hinne — *Oto on jest w twoich rękach,* w rękach szatana. Zło, które spotka Hioba, nieszczęścia, które Hioba dotkną, nie pochodzą od Boga, pochodzą od szatana. To szatan próbuje przedstawić Boga jako sprawcę nieszczęść. A więc szatan próbuje zmienić obraz Boga. Ale Bóg mówi: „Uważaj, to nie Ja go dotykam. Oto jest w twoich rękach, oto od ciebie pochodzi zło, które go spotyka." Zwróćmy uwagę, że to ma ogromne znaczenie dla prawidłowego zrozumienia kim jest Pan Bóg. Zło, którego doświadczamy, nieszczęścia, które możemy przeżywać, nie są od Boga jako źródła, aczkolwiek Pan Bóg je dopuszcza, przyzwala na nie. Od Niego zło nie może pochodzić. Ale On takie sytuacje dopuszcza.

Tu w świetle Nowego Testamentu, bo i o tym trzeba powiedzieć, że moglibyśmy z tego tytułu oskarżać Pana Boga i powiedzieć tak: No dobrze, zło nie pochodzi od Boga, ale Pan Bóg je dopuszcza. Dlaczego je dopuszcza? Przecież jest wszechmogący, mógłby je w ogóle nie dopuścić. Ale patrząc z perspektywy Nowego Testamentu to nie jest tylko tak, że Bóg dopuszcza zło na ludzi dobrych, na ludzi prawych i szlachetnych. Ale że i sam doświadczył tego zła w osobie Jezusa Chrystusa. To nie jest tylko tak, że Bóg jest po stronie prześladowanych i cierpiących. Ale sam był prześladowany i cierpiał. **A więc Bóg uwiarygodnił cierpienia sprawiedliwych w cierpieniu Swojego Syna, w cierpieniu Jezusa Chrystusa**. Na ten aspekt Bożej tajemnicy, tajemnicy Bożej miłości, która dopuszcza w świecie zło, zwracał wiele razy uwagę Ojciec Święty Jan Paweł II pisząc, przede wszystkim w swojej książce „Przekroczyć próg nadziei", że Bóg sam uwiarygodnił się wobec człowieka przez to, że przyjął nasz ludzki los do samego końca.

Więc rzekł Pan do szatana: „Oto wszystko, co on ma, jest w twoich rękach".

rak elaw al tiszlach jadecha	*Ale przeciwko niemu nie wyciągnij swojej ręki*

Czyli nie możesz dopuścić tego, żeby ofiarą twojego zła, twojej szatańskiej podłości, padł sam Hiob. Musisz Hioba zostawić przy życiu. Po co? Także po to, żeby się spełnił ten swoisty zakład, żeby można było zobaczyć, czy Hiob będzie błogosławił Bogu także w sytuacji nieszczęścia. I czytamy:

waijetze has satan melm penei adonai	*I wyszedł* a po polsku: *i wybiegł szatan sprzed oblicza Pana*

Czyli szatan śpieszy się, żeby teraz swój plan zrealizować. Śpieszy się, żeby zobaczyć kto w tym zakładzie odniesie zwycięstwo. Proszę państwa — widzieliśmy scenę na dole, tę scenę dobrego, bogobojnego Hioba. Teraz widzieliśmy scenę na górze — Bóg rozmawiał z szatanem. Wszystko to jest przypowieść tak np., jak przypowieść o bogaczu i łazarzu. Co my wiemy? Otóż wiemy, że na Hioba spadną prawdopodobnie nieszczęścia. Że sprawcą tych nieszczęść jest szatan. A kontekstem tych nieszczęść jest rozmowa między Bogiem i szatanem. Zatem wiemy coś, czego Hiob nie wie. Wiemy więcej od Hioba, bo on nie wie o tym, co się działo tam na górze. I dlatego będziemy obserwować teraz, jak się Hiob zachowa. Kto w tym zakładzie wygra, Bóg czy szatan? Możliwe są dwa scenariusze. Mianowicie Hiob zostanie dotknięty nieszczęściami, i nadal pozostanie wierny Bogu, albo Hiob zostanie dotknięty nieszczęściami i tak, jak mówi szatan, w twarz Bogu będzie złorzeczył.

Więc jest pytanie — **jakie są motywy pobożności?** Czy pobożność nie odbywa się na zasadzie odpłaty? Jestem bogaty, jest mi dobrze, jestem zasobny. Wobec tego dziękuję Bogu za wszystko — jestem pobożny. I wzrok przenosi się z powrotem na dół. I czytamy tak:

wajehi hajjom	*A pewnego dnia*
uwanaw uwenotaw ochlim weszotim jajin	*A jego synowie i córki jedzą i piją wino*
bewet ahihem habbehor	*w domu najstarszego brata*

`Zmiana stron kasety`

A więc taka sielanka, taka radość. I nagle:

wattippol szewa	*I oto spadł Sabejczyk*

po polsku – *Sabejczycy.* To taki lud koczowniczy.

wattikahem	*i porwał je*
weet hanneharim hikku lefi harew	*a sługi, a chłopców pobił ostrzem miecza*
waimmalta rakani	*Zostałem tylko ja sam*
lewaddi lehaggid lach	*ażeby ci to powiedzieć*

Woły orały, oślice się wypasały, wszystko było spokojne, nie było żadnych powodów do niepokoju. I nagle spadają Sabejczycy, jakaś taka banda koczowników, porywa zwierzęta, zabija sługi. Pozostaje tylko jeden sługa, aby Hiobowi to oznajmić. Zwróćmy uwagę, że szatan miał dotknąć Hioba, miał skrzywdzić Hioba, ale nie zrobił tego bezpośrednio — posłużył się Sabejczykami. Nieszczęścia, które nas dopadają, chociaż pochodzą od szatana, mają po drodze narzędzia sprawcze w postaci — tu w tym przypadku — innych ludzi. My mamy chęć, aby winić ludzi — ale one pochodzą od Złego, a ludzie są tylko narzędziami tego zła. Szatan działa czasami wprost, jak to zobaczymy później. Ale szatan działa również pośrednio. Kiedy spotyka nas coś złego, musimy mieć na względzie to, że ci, którzy tego zła się dopuszczają wobec nas, są narzędziami Złego — pisanego z dużej litery. I czytamy tak:

od ze medabber weze ba wajjomar	*Kiedy ten jeszcze mówił oto drugi przychodzi i mówi*

Proszę zauważyć – to jest opowiadanie, trzeba to sobie wyobrazić plastycznie. Oto Hiob siedzi spokojnie w swoim dostatku. Przybiega zdyszany sługa, mówi: „Woły orały, oślice się wypasały. Wpadli Sabejczycy, porwali to wszystko, ja sam zostałem, żeby ci to powiedzieć". Ledwo skończył, przybiega drugi i mówi:

esz elohim nafla min haszszamajim	*Ogień z nieba spadł*
wattiwar batcon	*i uderzył w trzodę*
uwannearim watlochelem waimmalta	*i w chłopców, służących i ich pożarł, i ich strawił.*

Ogień z nieba to jest nawiązanie do piorunów, tak się nazywa w języku biblijnym pioruny. Sługa mówi: „Oto wypasały się trzody, wypasały się owce. I nagle burza, nagle pioruny — i te pioruny zabiły owce, i zabiły także pasterzy. I dodaje:

rakani lewadi lehaggid lach	*A pozostałem tylko ja sam, aby ci to powiedzieć*

Państwo popatrzą — pierwsze nieszczęście wskazywało na Sabejczyków jako jego sprawców. Ale w drugim nieszczęściu szatan jest bardziej przewrotny. Ogień, który strawił owce i pasterzy, jest z nieba. Wobec tego sugeruje się Hiobowi: Ty popatrz w niebo, bo stamtąd pochodzi zło, które cię dotknęło. Sugeruje się Hiobowi, że to Pan Bóg jest sprawcą zła, nieszczęść, które spadły na niego. Ileż razy jest tak, że kiedy przychodzi na nas coś ciężkiego, to mamy ochotę obwiniać za to Boga. I tak do jednego nieszczęścia — tego, które nas trawi — dochodzi drugie nieszczęście. Mianowicie to, że jako przyczynę zła upatrujemy Pana Boga. I szatan też sugeruje, że skoro zginęła trzoda na skutek piorunów, a pioruny są z nieba, to wobec tego Bóg jest za to odpowiedzialny. I sugeruje się w ten sposób Hiobowi: „Zobacz, komu ty składałeś te ofiary! Dlaczego ty jesteś taki dobry skoro zło, które cię spotkało, przychodzi właśnie stamtąd?"

od ze medabber wezeh ba wajjomar	*Jeszcze ten mówił, a oto następny przychodzi i woła tak*
kasdim samu szelosza raszim	*Chaldejczycy w liczbie trzech oddziałów*
wajjifszetu alhagggemallim wajjikkahum	*napadli na wielbłądy i zabrali je*
weet hannearim hikku lefi charew waimmalta	*a chłopców, a służbę pobili ostrzem miecza.*

Były woły, które orały, oślice, które się pasły. Mieliśmy trzodę, te owieczki, które poginęły od pioruna, a teraz wielbłądy. Państwo wiedzą że wielbłąd to duże zwierzę. Mówiło się, że było ich trzy tysiące. I oto wszystkie wielbłądy zostały porwane przez Chaldejczyków, a chłopców, służących, tych, którzy się nimi opiekowali, zabito.

rakani lewadi lehaggid lach	*A pozostałem tylko ja, żeby ci to powiedzieć*

Pierwszy posłaniec, drugi posłaniec, trzeci posłaniec. Ten jeszcze mówi, a przychodzi następny. Ten jeszcze mówi, a przychodzi następny. Proszę popatrzeć: mówimy po polsku, że nieszczęścia chodzą parami. A tutaj nawet nie para, tylko już trzy, a za chwilę będzie czwarte. Otóż nieszczęście jest szczególnie dolegliwe, szczególnie bolesne wtedy, kiedy pojawia się jedno po drugim. Zanim człowiek jeszcze ochłonął z jednego — następne. Znają państwo powiedzenie *Hiobowe wieści* — to jest ten tzw. biblizm w języku polskim. Hiob otrzymuje wiadomości, z których każda następna jest gorsza. I po raz czwarty się powtarza:

ad ze medabber weze ba wajjomar	*Kiedy ten jeszcze mówił następny przybywa i woła tak*
banecha uwenotecha ochlim weszotim jajin	*twoi synowie i córki jedli i pili wino*
bewet ahihem habbechor	*w domu twojego najstarszego syna*
wehinne ruach gedolo	*A oto wieli wiatr*
bea	*nadszedł*
meewer hammidbar	*od strony pustyni*
wajjigga bearba pinnot habbajit	*i uderzył w cztery rogi ich domu.*
wajjippol alhannearim wajjamutu	*I spadł ten dom, zapadł się ten dom na tę młodzież i wszyscy zginęli.*

Mieliśmy woły, oślice, trzody, wielbłądy — a teraz synowie i córki. Raz jeszcze szatan nie działa wprost. Teraz „sprzymierzeńcem szatana" — w cudzysłowie — stają się siły natury. Potężny wiatr, który rozwalił ten dom i pogrążył synów i córki. Nie ma już ani bogactwa, ani dzieci. Nie ma już ani majątku, ani najbliższej rodziny. Z rodziny pozostała żona, o której będzie mowa później.

waimmalta rakani lewaddi lehaggid lach	*A zostałem tylko ja, aby ci to powiedzieć*

Każdy z tych posłańców staje się posłańcem nieszczęścia. Każdy z tych posłańców obwieszcza coraz gorsze zło. I nas interesuje jedno: jak zachowa się Hiob. Jak Hiob wobec tych czterech kolejnych wiadomości postąpi? Czy będzie złorzeczył Bogu? Czy będzie przeklinał Boga tak, jak sugerował to szatan? Czy Hiob zachowa się inaczej? Posłuchajmy:

wajjakom ij jow	*Wtedy wstał Hiob*

Wstał — to jest bardzo ważne: wajjakom. Otóż kiedy człowiek stoi, wstaje, to jest znak godności, siły, mocy. Kiedy człowiek tej mocy nie ma, to wtedy skręca się w sobie, kuli się, siada, leży, upada na ziemię. A Hiob wstał. Stanął Hiob i:

wajjikra elmeilo	*rozdarł swój płaszcz*

Taki był zwyczaj na Bliskim Wschodzie obchodzenia żałoby. Po dzień dzisiejszy tak jest, że kiedy ojcu — matka nie, bo matka inaczej zachowuje się względem swoich dzieci — umrze dziecko,

to zakłada najlepszą szatę, i następnie okazując swoją żałobę rozdziera tę szatę na piersiach. Jest to znak żałoby. Że Pan Bóg go ogołocił, że on czuje się ogołocony. Hiob wstał, rozdarł swój płaszcz,

wajjagoz etroszo	*ogolił swoją głowę*

To był też zwyczaj żałoby — ogolenie głowy przez mężczyznę

wajjippol arca	*i wtedy upadł na ziemię*
wajjisztachu	*i pokłonił się* albo *ukląkł*

Najpierw wstał, rozdarł szatę, ogolił głowę, a dopiero wtedy upadł na ziemię i uklęknął, albo też pokłonił się.

wajjomer	*Powiedział*

Posłuchają państwo, bo to, co powiedział Hiob, brzmi po hebrajsku tak:

Arom jacati mibbeten immi	*Nagi wyszedłem z łona mojej matki*
wearom aszuw szama	*i nagi tam powrócę*

Hiob uświadamia sobie, że ludzki koniec jest taki, jak ludzki początek. I myślę, że każdy z nas, kto doświadczył rzeczywistości utraty bliskich, doskonale to rozumie. Że koniec końców kiedy człowiek odchodzi, to odchodzi taki, jaki się narodził. Ale Hiob dodaje jeszcze takie słowa. Te słowa, które mówi Hiob, są przejmujące, bo one się rymują. To jest przysłowie. Można się ich nauczyć na pamięć, i wielbić Pana Boga w sytuacjach trudnych w mowie hebrajskiej. One brzmią tak:

adonaj natan,	*Pan dał,*
adonai lakach,	*Pan wziął,*
jehi shem adonai meworach.	*niech Imię Jego będzie błogosławione.*

Proszę zwrócić uwagę, że musiała to być w dawnym biblijnym Izraelu formuła modlitewna w obliczu nieszczęścia. Widocznie tak modlili się ci, którzy utracili swoich najbliższych. *Pan dał, Pan wziął, niech Imię Jego będzie błogosławione.* I ostatnie zdanie:

behol zot lochata i jow	*A w tym wszystkim Hiob nie zgrzeszył*
welonnatan tifla elohim pe	*I nie wypowiedział przeciw Bogu żadnego głupstwa.*

Bo przecież człowiek dotknięty nieszczęściem może co prawda Bogu nie bluźnić, ale przychodzą mu do głowy różne głupstwa. A Hiob ani nie zgrzeszył, ani nie mówił rzeczy głupich. Moglibyśmy powiedzieć tak: w tym miejscu Księga Hioba mogłaby się skończyć. Bo oto mamy pointę, oto okazuje się, że Hiob jest przykładem człowieka, który był bogaty i bogobojny, był biedny — i pozostał bogobojny. Kto wygrał zakład? Pan Bóg! Kto go przegrał? Szatan! Można by tutaj Księgę zakończyć. Ale Księga się tutaj nie kończy!

Za trzy tygodnie wrócimy do następnej odsłony tego fragmentu. Zobaczymy że tu, gdzie jak się wydaje może być koniec, jest dopiero nowy początek. I dopiero podjęty zostaje kolejny problem. A z dzisiejszego spotkania zostaje jedno. To nieprawda, że wszyscy ludzie, albo ludzie zamożni, czczą Boga tylko dlatego, że im się dobrze powodzi. Są tacy sprawiedliwi, którym powodzi się dobrze, i pozostają bogobojni także w sytuacji zła.

adonaj natan,	***Pan dał,***
adonai lakach,	***Pan wziął,***
jehi shem adonai meworach.	***niech Imię Jego będzie błogosławione.***

Zapraszam państwa bardzo serdecznie na następną konferencję, na której podejmiemy dalej ten wątek. To będzie 8 listopada. Mam nadzieję, że dzisiejszy hebrajski nie był za trudny.

7.2 Człowiek a cierpienie, cz. II — Ks. Hioba (8 listopada 2004)

I także dzisiaj bardzo serdecznie państwa witam. Listopad to czas jesienny. Jak zawsze powtarzam, zdajemy sobie bardzo dobrze sprawę, że wielkim wysiłkiem jest przyjście do kościoła i na konferencję. Niemałym wysiłkiem jest branie udziału w tych konferencjach. Miejmy nadzieję zatem, że te treści, które i dzisiaj będziemy poruszać, jakoś przemówią do naszej wyobraźni, do naszych serc, do naszych sumień, i poruszą nas, i pozostaną, i sprawią, że ten czas nie będzie w żadnym wypadku zmarnowanym ani straconym. Ale że ten wysiłek, który państwo podjęli, na tym poziomie duchowym będzie się opłacał, i że przyniesie błogosławione pożytki i korzyści.

Temat, którym zajmiemy się dzisiaj, to kontynuacja tematu sprzed trzech tygodni. A ponieważ mamy listopad, kilka dni temu była uroczystość Wszystkich Świętych, wczoraj natomiast od czterech lat obchodzony jest Dzień Hospicjów i dzień troski o ludzi, którzy w hospicjach przebywają, i ludzi, którzy się nimi opiekują, zatem i temat dzisiejszy też jest listopadowy, bo wrócimy raz jeszcze do lektury starotestamentowej Księgi Hioba. Trzy tygodnie temu rozpoczęliśmy wspólnie ten eksperyment — nie wiem, czy gdzieś w Polsce ma podobny miejsce. Mianowicie czytamy Pismo Święte w oryginale, czytamy niewielkie jego fragmenty, przekładamy na język polski. I staramy się to skomentować i zrozumieć mając na względzie tę treść w oryginale. Dobrze wiemy, że Stary Testament został napisany w języku hebrajskim oraz w języku aramejskim, ale w aramejskim są tylko małe części, małe partie. Ponieważ jednak hebrajski i aramejski są do siebie bardzo podobne, to słysząc hebrajski mają państwo również pojęcie o tym, jak wyglądał język aramejski. Przypominam, że w aramejskim języku była ścieżka dźwiękowa filmu „Pasja", w aramejskim, i w greckim. Tam Jezus i ci wszyscy, którzy byli z Nim związani, mówili po aramejsku, natomiast w kontaktach między Jezusem a Rzymianami mówiono po grecku. My natomiast i dzisiaj będziemy czytać po hebrajsku i przekładać na język polski.

Przypomnijmy sobie ten wątek, który podjęliśmy przed trzema tygodniami, który jest niesłychanie ważny, dotyczy bowiem cierpienia, i to cierpienia niezasłużonego, cierpienia niewinnego. Cierpienie zasłużone to jest wtedy, kiedy ktoś sam siebie wystawia na ewentualność cierpienia. Kiedy to doprowadza do jakiejś sytuacji, która może się dla niego skończyć tragicznie albo źle — czy to na poziomie duchowym, czy na poziomie materialnym, czy jeżeli chodzi o jego ciało. Otóż wiele razy bywamy tak nieroztropni, że wystawiamy się na rozmaite ewentualności, które mogą zakończyć się dla nas źle. I wtedy inaczej się temu człowiekowi współczuje, i inaczej się korzenie i przyczyny tego cierpienia rozumie, niż w przypadku, gdy to cierpienie jest cierpieniem niewinnym, czy w ogóle wynika z obecności cierpienia w świecie. Mamy bowiem tak ogromne pokłady tego cierpienia, że wiele razy zadajemy sobie te pytania, które wracają na kartach Księgi Hioba.

Państwo przypominają sobie, że przed trzema tygodniami czytaliśmy wstęp do Księgi Hioba, który nas wprowadził niejako w misterium tego, co dzieje się w niebie. Przy czym jest to tylko przypowieść, przypowieść która opowiada o spotkaniach Boga z szatanem. O tym, jak ten szatan wiecznie okrąża ziemię i szuka na niej możliwości popełniania zła, i o tym, co się dzieje na ziemi. A mianowicie kiedy to człowiek dobry, prawy, bogobojny, prowadzący życie ze wszech miar godne pochwały, został poddany bardzo ciężkiej próbie. Ta pierwsza próba dotyczyła jego majątku. Szatan bowiem sugerował, że jeżeli ktoś jest pobożny, to ma powody, aby Panu Bogu dziękować — jest pobożny dlatego, że jest bogaty. Ponieważ jest bogaty albo zamożny, ponieważ mu się dobrze wiedzie, to ma powody, by być wdzięcznym Panu Bogu. Natomiast automatycznie sugeruje, że gdyby bogatego, zamożnego dotknąć utratą jego majątku, to wtedy będzie Bogu w twarz złorzeczył. Jest zatem i taka sugestia, że biedni nie muszą być pobożni, bo nie mają za co być Panu Bogu wdzięczni.

I wtedy po tej sugestii — pamiętamy, że Pan Bóg dopuszcza cierpienie Hioba, ale ostrzega szatana: „Życie mu tylko zachowaj". I przypominamy sobie, że Hiob traci wszystko: najpierw traci swój dobytek, potem traci swoje dzieci, swoje domostwo. I wciąż przybywają do niego posłańcy spośród sług, z których tylko jeden ocalał, i obwieszczają mu wiadomość, że traci coś po kolei. Pointa była taka, że gdy Hiob dowiedział się o ostatnim swoim nieszczęściu, jakim była utrata dzieci, wtedy bez rezygnacji, tylko z pełną ufnością Panu Bogu wypowiedział te słynne słowa, które zapewne stanowią przysłowie, i które w Starym Testamencie tak bardzo dobrze było znane, i po dzień dzisiejszy jest znane tym, którzy po hebrajsku mówią. Mianowicie:

adonaj natan, adonai lakach, jehi shem adonai meworach — *Pan dał, Pan wziął, niech Imię Pańskie będzie błogosławione.* W ten sposób Hiob dał poznać, że był wierny Panu Bogu i w dostatku, i w pomyślności, ale także i w biedzie. Myślę, że już ta pierwsza scena mogłaby nas nauczyć bardzo wiele — mianowicie wierności Panu Bogu w każdej sytuacji naszego życia. Ale po tej pierwszej scenie następuje odsłona druga, nad nią się dzisiaj zatrzymamy, i również wyjaśnię państwu — na tyle, na ile to możliwe w krótkiej konferencji — całościowy sens tej starotestamentowej Księgi Hioba. Na następnej konferencji przejdziemy już do tekstu nowego.

W rozdziale drugim Księgi Hioba czytamy następujące słowa — czytam je specjalnie po hebrajsku, żebyśmy mieli jakby smak tego języka biblijnego, języka w którym Pan Bóg przemówił objawiając siebie i objawiając swój zamysł zbawienia. Czytamy:

Waihi hajom wajohu onej Elohim elidiacew al Adonai waiamo dam hassa betehan lehidunam Adonai.

Tak brzmi ten hebrajski język, i mniej więcej tak czytają go Izraelici w synagodze, czy też czytają ojcowie – a czasami i matki – swoim dzieciom.

wajehi hajjom	*Oto pewnego dnia, oto pewnego razu*
wajjawou bene ha elohim lehitjaccew	*przybywają synowie Boży aby pokłonić się*
al adonai	*Panu*

Przypominam, że *synowie Boży* to jest takie sformułowanie hebrajskie, które w Septuagincie, w greckim tłumaczeniu Pisma Świętego, zostało przetłumaczone jako *angelos — Boży posłańcy,* a dla nas to są po prostu *aniołowie.* Jesteśmy w czasach Starego Testamentu, mniej więcej 2500 lat temu, kiedy pojęcie o Panu Bogu było jeszcze bardzo ogólne. I mamy takie obrazowe przedstawienie Pana Boga oraz istot, które Go otaczają na podobieństwo dworu królewskiego. Bóg jest królem — to jest taki język antropomorficzny, na podobieństwo człowieka i ludzkich instytucji. I na dworze króla są istoty, które Pana Boga otaczają i które przybywają, aby oddać Mu pokłon.

wajjawo gamhas satan betocham	*I przybył też szatan z nimi*

Zauważmy, że nasze *szatan* jest pochodzenia hebrajskiego. Otóż szatan jest to przeciwnik, to jest wróg Pana Boga. Ale zwróćmy uwagę raz jeszcze na ten obraz — do niego wracam, bo on jest bardzo ważny, że oto jest ta wielka rzesza aniołów, którzy przybywają oddać Bogu pokłon, a pomiędzy nimi gdzieś tam zawieruszył się czy też zakręcił się szatan. Tak jak gdyby niepostrzeżenie, ale koniec końców jest obecny, i koniec końców z jego obecności będzie wynikało bardzo wiele.

Więc *przybył pośrodku nich* tak jak gdyby niezauważony, tak jak gdyby się wkręcił. Otóż miejsce tego szatana na pewno nie jest przed Bogiem. Ale okazuje się, że według tych pojęć starotestamentowych ma też do Boga jakiś dostęp, a nawet może z Bogiem rozmawiać.

lehitjaccaw al adonai	*więc przybył pośrodku*

Ale wszyscy przybyli, żeby pokłonić się Panu. On też przybył, aby pokłonić się Panu. Zatem szatan, jako ta istota stworzona przez Boga, ale przeciwko Bogu zbuntowana, też musi uznać władzę Boga. Jest jednak ze złem coś takiego, że wyrywa się ono niejako możliwościom Pana Boga. Zło może obrócić się przeciwko Panu Bogu. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że ów szatan, ów — jak mówi później tradycja i żydowska i chrześcijańska — upadły anioł, to jego wybór przeciwko Panu Bogu to jest skutek jego wolności. Pan Bóg stworzył istoty nadziemskie, stworzył człowieka, którego obdarował wolnością. I ta wolność ma to do siebie, że może to być również wolność przeciwko Bogu. A wtedy, rzecz jasna, to jest bardziej swoboda czy też swawola. I ta wolność przeciwko Panu Bogu to jest zło, które łamie porządek przez Niego ustanowiony. A więc to zło w tajemniczy sposób istnieje w świecie jako rezultat wolności. Dlatego w naszych czasach mówiło się czasem czy pisało: nieszczęsny dar wolności. I byli tacy filozofowie, a czasami także teologowie czyli ci, którzy rozważali Pana Boga, którzy stawiali pytanie: „A może byłoby lepiej, gdyby Pan Bóg nie stwarzał istot wolnymi? Skoro ten dar wolności doprowadził do upadku, doprowadza do grzechu, to może byłoby lepiej bez wolności się obyć? Może byłoby lepiej, gdyby Bóg stworzył istoty niezdolne do wybierania zła?" Ale właśnie w odpowiedzi na to pytanie staje się wtedy jasno widoczne, jakie są zalety wolności, oraz staje się widoczne to, że Bóg nie chce mieć niewolników, nie chce mieć służących, którzy bezwolnie wypełniają Jego wolę. Ale chce aby ci, którzy wypełniają Jego wolę, czynili to z pełnym zaangażowaniem, i w sposób, który od nich pochodzi. A więc jest wolny. I dlatego również jest ten satan, ten przeciwnik, który może do Boga przyjść.

wajjomer adonai el has satan	*Wtedy rzekł Pan do szatana:*
e mizze tawo	*Skąd przybywasz, skąd przychodzisz*

Państwo pamiętają, że tak samo zapytał Bóg szatana na początku pierwszej rozmowy.

wajjawo has satan et adonai wajjamar	*Odpowiedział szatan Panu i rzekł:*
miszszut baarec umehithallech ba	*z chodzenia*

miszszut baarec — to jest *z takiego badania ziemi, z myszkowania, ze szpiegowania, z wywiadu po niej.* Już tłumaczyłem miesiąc temu, bo obydwa słowa występowały. miszszut to jest *przyglądać się bacznie, przyglądać się uważnie,* a umehithallech — *chodzić to tu, to tam, zaglądać, rozglądać się, przypatrywać.* A więc szatan bacznie przypatruje się temu, co jest na ziemi i tak zerka, to tu to tam. Oczywiście zerka nie z ciekawości, tylko aby — jak się okaże — szukać sukcesów dla siebie, a mówiąc po polsku: kusić.

wajjomer adonai el has satan	*Wtedy powiedział Pan do szatana*
hasamta libbecha elawbi ij jow?	*A zwróciłeś uwagę na sługę mego Hioba?*

hasamta libbecha — to jest takie wyrażenie hebrajskie. hasam to *zwrócić się, obrócić.* elaw libbecha — *twoje serce.* Czy zwróciłeś swoje serce? Po polsku mówimy: *zwrócić uwagę.* A tu: „Czy zwróciłeś swoje serce na mojego sługę Hioba?" Otóż Pan Bóg jest raz jeszcze dumny ze swojego sługi. Nazywa Hioba, już dotkniętego próbami ze strony szatana, sługą. To wyrażenie *sługa* pojawia się w Piśmie Świętym w odniesieniu do Mojżesza — zwróciliśmy na to uwagę — oraz w odniesieniu do *sługi cierpiącego.* Tak więc już mamy pewien aspekt, który jest bardzo ważny. Mianowicie Bóg nazywa *sługami* tych, którzy w jakikolwiek sposób cierpią dla Niego. Albo którzy przewodzą innym, albo którzy są drogowskazem dla innych. Więc jest to tytuł zaszczytny, który wskazuje na szczególną bliskość pomiędzy Bogiem, a tymi jego wybranymi, którzy są Jego wiernymi świadkami. A więc: „Czy zwróciłeś uwagę na mojego sługę Hioba?"

ki en kamochu baarec	*Bo nie ma nikogo innego na ziemi,*
	nie ma nikogo takiego na ziemi
isz tam	*człowiek niewinny*
wejaszar	*prostolinijny*
jere elohim	*bojący się Boga*
wesar mera	*i uciekający, stroniący od złego.*

Wszystkie te cztery określenia, mianowicie: niewinny, prawy, bojący się Boga, stroniący od złego, były już wcześniej. Wtedy, kiedy Hiob był zamożny, kiedy był bogaty. A teraz Pan Bóg tak samo chwali Hioba w momencie, kiedy Hiob już stracił wszystko. Proszę zwrócić uwagę — można stracić cały majątek, ale w oczach Bożych Hiob jest tak samo ważny, jak wtedy — a nawet, jak za chwilę zobaczymy — teraz właśnie Pan Bóg jest jeszcze bardziej z niego dumny. Bo dopowiada Pan Bóg tak:

weodennu mahazik betummato wattesite-	*On dalej trwa przy Mnie, dalej jest Mi*
ni wo	*wierny, chociaż namówiłeś mnie* czy *wy-*
	próbowałeś mnie przeciwko niemu
lewalelo	*ale na darmo*
hinnam	*na próżno*

Otóż w ten sposób Pan Bóg daje poznać szatanowi, że ta próba, którą został dotknięty Hiob, że ta próba dowiodła — raz jeszcze, czy tym mocniej — jego prawości, jego szlachetności, jego dobroci. Że to nie było tak, że Hiob czcił Pana Boga dlatego, że był zamożny. Że teraz, dotknięty przez Boga, czci Go tak samo. A więc na próżno zdała się ta próba, którą szatan zamierzał.

I w tym miejscu posuwamy się krok dalej. Okazuje się, że szatan wcale nie ustępuje. I że dowiemy się, że Hiob zostanie poddany następnej próbie, znacznie cięższej.

wajjaan has satan et adonai	*Wtedy odpowiedział szatan Panu*
wajjomar	*i rzekł Mu:*
or beador	

or beador — to jest przysłowie. Po polsku: or — *skóra,* bead — *za. Skóra za skórę.* Otóż tak w starożytności najprawdopodobniej mówiono w świecie semickim. A to przysłowie odnoszono pewnie najpierw do zwierząt, które były zabijane, albo było to takie przysłowiowe szacowanie wartości zwierząt, ale także stosowane do ludzi. Skóra za skórę.

wechol aszer la isz	*A wszystko, co ma człowiek*
jitten bead nafszo	*odda za swoje życie*

Skóra za skórę, a wszystko, co ma człowiek, odda za swoje życie. Szatan zatem proponuje kolejną próbę. Skoro Hiob wyszedł zwycięsko z utraty majątku to proponuje, aby dotknąć Hioba utratą zdrowia. Sugeruje bowiem, że człowiek odda wszystko za swoje życie, za swoje zdrowie. Oczywiście że pod tym względem, w każdym pokoleniu — i w starożytności i dzisiaj — szatan ma bez wątpienia rację. Wszystko oddamy za swoje zdrowie, za swoje życie. I dobrze wiadomo, że jeżeli chodzi o lekarzy i o wszystkich, którzy mogą nam pomóc, to w krytycznym momencie naszego życia jesteśmy gotowi wyzbyć się wszystkiego. Przynajmniej bardzo wielu jest ludzi takich, którzy uczynią wszystko, aby ocalić albo podtrzymać swoje życie. I czytamy dalej:

ulam szelach na jadecha wegal el acmo	*A może* – sugeruje szatan – *wyciągnij swoją rękę i uderz w jego kości*

acmo — to jest dosłownie *kość,* ale ona oznacza również *ciało,* w szerszym znaczeniu oznacza *człowieka.* A może więc wyciągnij swoją rękę i uderz w niego

weelbesaro	*i w jego ciało*
imlo elpanecha jewarachekka	*jeżeli w twarz nie będzie Ci złorzeczył*

Zatem szatan posuwa nową próbę krok dalej. Proponuje Panu Bogu, aby uderzył Hioba w jego kości, w jego ciało. I liczy, że następstwem tego będzie złorzeczenie ze strony Hioba. To, że stał się ubogi, nie wystarczyło. Jeżeli będzie chory, jeżeli zostanie dotknięty nieszczęściem, które dotyczy jego ciała, jego kości — to powinno wystarczyć, by go złamać.

wajjomer adonai el has satan hinno wejadecha ach et nafszo szemor	*Wtedy rzekł Pan do szatana*

Otóż Bóg odwraca tę logikę, którą zaproponował szatan. Bo szatan powiedział: Wyciągnij rękę, i uderz w jego kości i ciało. A Bóg odpowiada: Oto on jest w twoich rękach, tylko życie mu zachowaj. Zwróćmy uwagę — Bóg nie chce cierpienia Hioba, nie zsyła cierpienia na Hioba — ale je toleruje. Można by powiedzieć — ale je dopuszcza. Szatan sugeruje, że sprawcą tego nieszczęścia będzie Bóg. Mówi do Boga: wyciągnij przeciwko niemu rękę. Ale Bóg odpowiada: Nie, oto jest w twoich rękach. Ileż to razy jest tak że mówimy, że zło czy nieszczęście, utrata zdrowia, która kogoś dotyka, pochodzi od Boga? Otóż to jest jakiś rodzaj tajemniczego dopustu Bożego, ale żadne zło, żadne nieszczęście od Boga pochodzić nie może. Bóg wyraźnie wskazuje, że w tym czasie utrapienia, który już nastąpił, który już się dokonał i który jeszcze nastąpi, że oto Hiob jest w jakimś głębokim tego słowa znaczeniu w rękach szatana. Ale Bóg zastrzega: „Tylko życie mu oszczędź, tylko jego życia nie ruszaj". Dosłownie:

ach et nafszo szemor	*Tylko jego życia*

nefer — to jest *duch, tchnienie, życie.* Tego życia mu strzeż. Tutaj przy okazji zwrócenie uwagi na specyfikę języka hebrajskiego, gdzie jedno słowo ma bardzo wiele znaczeń. Bo dzieje się tak, że jest to język bardzo konkretny. Zbudowany jest na konkretach, i z tych konkretów są rozbudowywane inne pojęcia. Np. nefesz znaczy dosłownie *wiatr, tchnienie, oddech.* A ponieważ oddech wyraża to, że człowiek żyje, wobec tego nefesz to także jakby *dusza, wnętrze człowieka,* a przez to samo również *życie.* Bo dopóki człowiek oddycha, to żyje — to był miernik zwłaszcza w starożytności. Więc życie mu zachowaj.

wajjece has satan meet pene adonai wajjach et ij jow biszhin ra	*I wyszedł szatan sprzed oblicza Pana* *i uderzył Hioba, dotknął Hioba wrzodami*

Tutaj jest takie mocne słowo hebrajskie wajjach. To jest forma od czasownika nachab — *uderzyć, cisnąć, powalić.* A więc uderzył szatan Hioba wrzodami. Zwróćmy uwagę, że sprawcą zła, które spotyka Hioba, sprawcą wrzodów, które go dotykają, jest szatan. biszhin ra — dodaje jeszcze Pismo Święta, czyli *wrzodami złymi, niedobrymi.* I czytamy dalej:

mikkaf raglo ad wead kadekado	*Od czubka jego nogi* – możemy powiedzieć: *od dużego palca*

kadekad to jest *czaszka,* wead kadekado — *aż do końca, do wierzchu jego czaszki* Hiob został okryty złośliwymi wrzodami. Zastanawiano się, jaka jest natura tych wrzodów, cóż to były za wrzody. Otóż w Sepuagincie, czyli w greckim przekładzie Starego Testamentu przetłumaczono to jako *trąd.* I przyjmuje się, że był to trąd, złośliwy trąd, który na tym polega, że ciało człowieka zaczyna powoli gnić. Co jest największym utrapieniem przy trądzie? Obok tego, że jest to choroba wywołująca u dotkniętego nią człowieka ogromny wstyd, jest również dla niego bardzo nieznośna,

bo straszliwie swędzi. Początkowo skóra robi się pełna ropy, która obejmuje coraz większe połacie. Potem ta skóra zaczyna odpadać. Cały czas to straszliwie swędzi. A ciało gnije i odpada kawałkami.

Muszą państwo zrozumieć, że są jeszcze dwa inne wymiary trądu — niesłychanie ważne. Otóż kiedy w starożytności — podobnie jak dzisiaj — ktoś zachorował na trąd, albo kiedy podejrzewano, że choruje na trąd, to natychmiast go usuwano spośród ludzi zdrowych. Dlatego, że trąd uważano — raczej słusznie — za chorobę zakaźną. Uważano więc, że pierwszym posunięciem ma być izolacja chorego. Zatem człowiek trędowaty był skazany na samotność. Nawet najbliższa rodzina miała obowiązek usunąć trędowatego już nie tylko poza dom, ale poza obóz, poza osadę, czy poza miasto. I tam były specjalne miejsca dla trędowatych. Do dzisiaj na Bliskim Wschodzie to się zdarza, że są osobne miejsca dla trędowatych. Praktycznie biorąc dzisiaj są bardziej zadbane, typu leprozoria jak choćby to, które odwiedził Jan Paweł II w Indiach. Ale nie wszędzie są one jeszcze na wysokim poziomie.

I druga dotkliwość tej ciężkiej choroby — państwo zwrócą uwagę, że Hiob składał zawsze ofiary Panu Bogu. Zawsze pod każdym względem starał się być czysty, i Panu Bogu wierny. Oto teraz, jako człowiek trędowaty nie może Bogu składać ofiar. On, który codziennie składał ofiary Bogu, teraz musi zaprzestać pobożności. Niech państwo zwrócą uwagę, bo to jest bardzo ważny wątek w utrapieniach Hioba. Nie chodzi tylko o to, że cierpi na trąd. Ale chodzi o to, że przeżywa izolację, separację od ludzi, i również – w pełnym tego słowa znaczeniu – od Boga. Nie może sprawować tych religijnych funkcji, tych swoich modlitw i ofiar, które składał do tej pory. Zatem będzie religijny — ale dla ludzi przestanie być pobożny. Nie będą go już sąsiedzi i inni ludzie widzieli przy składaniu ofiar.

Zwróćmy zatem uwagę, że istnieje napięcie między religijnością, a pobożnością. Ktoś może być bardzo religijny, ale przejawów jego pobożności nie widzimy. Dotyczy to także ludzi chorych, ludzi przebywających np. w szpitalach, albo ludzi ciężko obłożnie chorych. Albo ludzi kalekich, albo ludzi ciężko dotkniętych jakąś niemocą, którym – jak często się zdarza – chcemy zapewnić jakąś opiekę duszpasterską w naszych czasach. Ale częściej takiej opieki nie ma. Oto np. ktoś przyzwyczaił się, że codziennie bierze udział we mszy świętej, czy przyjmuje komunię świętą, czy klęka do odmawiania pacierza czy różańca. I przeżywa jakiś rodzaj takiej choroby, dolegliwości, która uniemożliwia mu kontynuowanie przeżywanego przez lata życia religijnego.

I tak było właśnie z Hiobem. Zwróćmy uwagę, że ta jego choroba to jest dodatkowy kryzys jego religijności i pobożności. Bo oto znalazł się w sytuacji zupełnie innej niż ta, w której był do tej pory. Na razie był biedny, ale mógł chwalić Boga. A teraz nawet tego nie będzie mu wolno, aby składać ofiary, bo sam będzie wyrzucony poza osadę, poza siedzibę, w której przebywał.

wattomer lo iszto	*Wtedy rzekła do niego jego żona*

Zwróćmy uwagę, że żona jest zawsze kimś najbliższym mężowi, i z oczywistych powodów dla niego najważniejszym. I na pewno jesteśmy ciekawi, co żona powie mężowi w takiej bardzo trudnej sytuacji. Oczywiście, jak zawsze, są dwie krańcowe możliwości. Ale znamy już Księgę Hioba i wiemy, jak zachowała się jego żona. Tym niemniej przeczytajmy to po hebrajsku:

wattomer lo iszto	*Jeszcze trwasz w swojej niewinności?*
odecha machazik betummaatecha	
barech elohim wamut	*złorzecz Panu* *wamut*

wamut to jest słowo, które po polsku można tłumaczyć na dwa sposoby. Ale tutaj pasuje niestety bardzo brzydkie słowo. Mianowicie żona mówi: *Jeszcze trwasz w swojej prawości? Złorzecz Bogu i zdychaj!* Po polsku tłumaczą to *umieraj* dlatego, że to pierwsze jest tak bardzo mocne i tłumacze uważają że jakoś nie pasuje do przekładu na język polski. Zwróćmy uwagę, że żona to osoba, która powinna Hiobowi towarzyszyć w tym najbardziej krytycznym momencie jego życia. A ona zadaje mu najpierw pytanie:

odecha machazik betummaatecha	*Jeszcze trwasz, jeszcze jesteś silny w swojej prawości?*

Otóż ma mu niejako za złe, że wciąż pozostaje wierny Bogu. Ona dochodzi do wniosku, że wierność Bogu się nie opłaca. Że skoro ktoś taki, jak Hiob — sprawiedliwy, prawy, składający ofiary — cierpi coś takiego jak to, co go spotkało, mianowicie trąd, który go zupełnie izoluje, to coś w tym jest nie w porządku. Albo Bóg jest niesprawiedliwy, albo też Bóg jest sprawiedliwy i ukarał Hioba za coś, o czym ona nie wie. Wobec tego namawia go niejako, czy sugeruje mu, żeby odstąpił od swojej prawości. I powiada do niego:

barech elohim wamut	*złorzecz Bogu i umieraj*

Znów komentatorzy przez wieki zastanawiali się, co właściwie żona radzi swojemu mężowi. Czy go po prostu przeklina, tak jak my możemy w naszym języku nieraz mówić takie dosadne słowa. Czy może doradza mu, tak sugerowano, samobójstwo? Że teraz już jego życie nie ma żadnego znaczenia, nie ma żadnego sensu, więc go namawia do popełnienia samobójstwa. Natomiast w komentarzach, które powstają dzisiaj, w naszych czasach, zwłaszcza w Europie Zachodniej, jest sugestia, że żona doradza mu eutanazję, czyli doradza mu taką spokojną śmierć. Tak czy inaczej pewnie nigdy się nie dowiemy tego, co żona Hioba radziła mężowi. Jedno nie ulega wątpliwości — że w tej krytycznej chwili rozerwana została więź Hioba nie tylko z tym, co miał, nie tylko z jego majątkiem, nie tylko z jego dziećmi, nie tylko z jego sąsiadami, krewnymi, bliskimi — ale stracił również żonę, z którą miał szczęśliwą rodzinę. Bo pamiętamy, że miał siedmiu synów i trzy córki. I tak jak byliśmy ciekawi, jaka będzie reakcja żony, tak jeszcze bardziej wymowna jest reakcja Hioba.

wajjomer eleha kadabber ahat hannewalot tedabber	*Odpowiedział do niej: Mówisz tak, jak jedna z tych szalonych, jak jedna z tych niespełna zmysłów*

Co Hiob ma na myśli? Otóż w starożytności, podobnie jak dziś w niektórych rejonach świata, sporo było ludzi psychicznie chorych. I ci ludzie psychicznie chorzy — widzimy ich niestety i teraz, zwłaszcza w warunkach naszej bardzo trudnej transformacji pojawia się coraz więcej takich osób, zdanych wyłącznie na siebie. I ci ludzie nie byli izolowani o ile nie szkodzili innym. I w każdej osadzie kręciło się ich sporo. Wynoszono im chleb, dawano im resztki jedzenia. Dbano tylko o to, żeby kobiety psychicznie chore nie zbliżały się do psychicznie chorych mężczyzn bo uważano, że to powiększałoby liczbę psychicznie chorych. Dlatego izolowano jedną płeć od drugiej, i było np. tak, że w jednej osadzie były kobiety, a w innej psychicznie chorzy mężczyźni. Można by powiedzieć, że był to jakiś przedświt tego co mamy dzisiaj, szpitali psychiatrycznych, aczkolwiek tutaj o szpitalach mowy być nie może.

Hiob zwracając się do swojej żony mówi tak: „Mówisz jak jedna z tych szalonych, tych pomylonych". Czyli ma na względzie doświadczenie tych osób psychicznie chorych. I co przypisuje swojej żonie? To, że postradała zmysły. A może właśnie tak było, że słowa żony wcale nie pochodziły z jej serca dlatego, że ona była zła? Może nie była zła? Wcale nie pochodziły dlatego, że ona przestała męża kochać? Wcale nie mogą być powodem do tego, byśmy ją mieli oskarżać. To oskarżenie nam się ciśnie, kiedy chcemy powiedzieć: „Jak ona mogła tak się zachować! Jak mogła powiedzieć do cierpiącego męża: «Ty złorzecz Bogu i umieraj!»" A Hiob mówi: „Mówisz tak, jakbyś postradała zmysły, jak jedna z tych, które postradały zmysły". A może rzeczywiście żona Hioba po prostu postradała zmysły? Przecież nieszczęście, które stało się udziałem Hioba, było także jej nieszczęściem. Ten dobytek, który stracili, to był także jej dobytek. Dzieci, które stracili, były również jej dziećmi. I utraciła męża. Więc Hiob zauważa, że z jego żoną dzieje się coś niedobrego. Czyż nie jest tak, że pod wpływem ogromnych, trudnych przeżyć człowiek, choćby najsilniejszy, może stracić zmysły? I dla Hioba jest to usprawiedliwienie pod adresem jego żony. Hiob zwraca uwagę że ci, którzy tracą zmysły, nie tracą ich bez powodu. I że jego żona mówi teraz tak, jak szalona, jak taka, która postradała zmysły. Ale on ją rozumie: „Mówisz tak jak ktoś, kogo dotknął wielki ból". I teraz Hiob próbuje jej odpowiedzieć, czyli niejako zracjonalizować to, co się stało. Mówi tak:

gam ethattow nekabbel meet ha elohim weethara lo nekabbel	*Jeżeli dobro przyjęliśmy od Boga a zła mielibyśmy nie przyjąć*

Otóż Hiob próbuje pomóc swojej żonie tłumacząc jej, że skoro przyjmowali dobro z ręki Boga, to czyż zła też nie powinni przyjąć? **Oto jest pytanie!** Nie wiemy co ona odpowiedziała. Nie wiemy, jak się ona zachowała. W tej Księdze o żonie Hioba pozostało tylko milczenie. A może to była dla niej skuteczna terapia? Może już więcej go nie lżyła, ani nie przeklinała? Może zmieniła swoje usposobienie? Może ucichła? Proszę zwrócić uwagę, że więcej żona Hioba nie przemawia w księdze. A skoro tak, to milczenie przemawia na jej korzyść, świadczy o niej dobrze. A pod koniec Księgi dowiadujemy się, w tym słynnym epilogu w 42 rozdziale — uprzedzając wszystko, o czym będzie mowa — kiedy Hiob odzyskał majątek, to miał również synów i córki. Przecież musiał je mieć z żoną. A więc nie tylko on przeżył to ciężkie doświadczenie, ale także i ona. Proszę zwrócić uwagę że ten fragment daje nam bardzo wiele do myślenia. On pokazuje, że w decydującej chwili cierpienia Hiob, mocno dotknięty cierpieniem, jest wyrozumiały dla swojej żony, która mówi w taki sposób, jakby postradała zmysły. Nie oskarża, tylko próbuje ją zrozumieć. I próbuje jej wytłumaczyć, że

skoro dobro przyjęliśmy z ręki Boga, to dlaczego zła przyjąć nie możemy? I dodaje tekst święty taką formułę:

bechol zot lohata ij jow bisfataw pe	*W tym wszystkim Hiob nie zgrzeszył swoimi ustami*

W tym wszystkim Hiob nie powiedział nic nierozsądnego. W tym wszystkim Hiob nie zgrzeszył niczym takim, co mogłoby Pana Boga obrazić. Czyli Hiob jest dalej człowiekiem sprawiedliwym.

I przechodzimy do nowego wątku, wprowadzającego w treść Księgi, którą będziemy musieli sobie tylko streścić. Ale ten wątek też jest bardzo ciekawy.

waiszmeu szeloszet ree ij jow kolharaa haz- zot habbaa alaw	*I usłyszeli trzej przyjaciele Hioba o całym* *nieszczęściu, które spadło na niego*

Zaraz będziemy słyszeli o reakcji tych przyjaciół Hioba. Ale proszę zwrócić uwagę że jeżeli usłyszeli, to znaczy, że doszła do nich ta wieść. O nieszczęściu Hioba zaczęto opowiadać. Już nie wiemy, jak dalej reagował Pan Bóg, i jakie były Jego rozmowy z szatanem. Teraz całość schodzi na ziemię. Trzej przyjaciele dowiedzieli się, że ich przyjaciel cierpi.

wajjawou isz mimmekomo	*I przyszli każdy ze swojego miejsca*
elifaz hattemani uwildad haszszuhi	*Elifaz z Temanu. Bildad z Szuach*
weafar itsfar hannamati	*i Sofar z Naamy*
wajjiwwadu jachdaw	*i zmówili się razem, i uradzili razem,*
lawo lanudlo	*aby pójść do niego by go odwiedzić*
ulenahamo	*i go pocieszyć*

Ten wiersz można by komentować bardzo długo. Ja zwrócę uwagę państwa na kilka rzeczy, które są istotne, by go dobrze zrozumieć. Mamy imiona tych trzech towarzyszy: Elifaz, Bildad i Sofar. Mamy krainy, z których oni pochodzą — ale są to krainy bardzo odległe od Ziemi Świętej, bardzo odległe od Us, z którego pochodził Hiob. Zatem musimy zdać sobie sprawę, że zanim oni się dowiedzieli o sytuacji, o położeniu Hioba, to upłynęło bardzo wiele czasu. Upłynęło sporo czasu, a więc Hiob cierpiał długo. Oni, każdy, dowiedzieli się tam, gdzie przebywali, gdzie mieszkali. Następnie się naradzili, i postanowili pójść i odwiedzić swojego przyjaciela. Odwiedzić go i pocieszyć. Oto jest dobry cel wszystkich odwiedzających ludzi dotkniętych chorobą, cierpieniem czy nieszczęściem. Odwiedzić czyli zobaczyć, na własne oczy przekonać się, jak ten człowiek wygląda. I druga sprawa: ulenahamo. naham to znaczy pocieszyć, wyrazić współczucie. Ta obecność przy ...

Zmiana stron kasety

wajjitsu	*Gdy podnieśli*
etenehem merahok	*swoje oczy z daleka*
welo hikkiruhu	*i nie mogli go poznać*
waiseukolam	*i podnieśli swój głos*
wajjisu kolam	*i zapłakali*
wajjikreu isz me ilo	*i rozdarli swoje szaty*
wajjizreku afar	*i sypali popiół, proch*
alraszehem	*na swoje głowy*
haszszamajma	*ku niebu, w górę*

Popatrzmy na zachowanie przyjaciół Hioba, bo to bardzo często przypomina nam zachowanie osób odwiedzających i dzisiaj ciężko chorych w szpitalach. Być może ktoś z państwa ma takie traumatyczne doświadczenie za sobą. A być może kiedyś doświadczymy czegoś tak trudnego, jak odwiedziny kogoś, kto jest bardzo chory. Wiemy, że w szpitalach są specjalne Oddziały Intensywnej Opieki Medycznej, tzw. OIOM-y, gdzie człowiek chory może być podłączony do respiratora, i do jakichś maszyn. Bardzo często widok niektórych chorych jest naprawdę trudny do zniesienia. I tu musimy sobie wyobrazić właśnie tego Hioba, tego Hioba zupełnie oddalonego od miasta, siedzącego gdzieś tam na śmietniku, i jednocześnie reakcje tych przyjaciół. Ta reakcja została opisana kilkoma słowami. Mianowicie: Podnieśli swój wzrok z daleka, podnieśli z daleka swoje oczy — czyli z daleka przypatrywali się temu, co widzieli, i:

waiseukolam	*nie mogli go rozpoznać*
wajjisu kolam	*i podnieśli swój głos i zapłakali*

To są trzej mężczyźni. Kiedy mężczyzna płacze, to ma swoją wymowę. Kiedy trzej mężczyźni, trzej przyjaciele płaczą, to też ma swoją wymowę. Otóż w płaczu mężczyzn jest na ogół bezsilność,

tak jak w płaczu kobiet jest na ogół współczucie. Otóż kobieta płacze dlatego, że ją to porusza, ona współczuje. Natomiast mężczyzna płacze dlatego, że nic nie może zrobić. Bo jeżeli może coś zrobić, to stara się to robić. A płacz jest wyrazem bezsilności. Tak chyba trzeba byłoby to widzieć, każdy z państwa ma tutaj własne doświadczenie. Wiemy, że o ile porusza nas płacz kobiet, to płacz mężczyzn porusza nas daleko bardziej. I on ma swoją wymowę, którą ciężko wyrazić w słowach. A ci trzej podnieśli swój głos i zapłakali, i:

wajjikreu isz me ilo	*rozdarli każdy swój płaszcz*

To jest znak żałoby, znak rozpaczy. Płaszcze były tkane. Wobec tego kiedy rozdzierano taki płaszcz, to praktycznie niszczono go. Nie robiono tego na co dzień, to był znak żałoby. Znak, że oto coś nieodwracalnie się kończy. Rozdzierano go tutaj na piersiach, czyniono to przy okazji pogrzebu. A tutaj — można by powiedzieć — oni widząc swojego przyjaciela przeżywają to tak, jak gdyby był pogrzebany żywcem. I dalej:

wajjizreku afar alraszehem haszszamajma	*i rzucali popiół na swoje głowy ku niebu*

Ten ryt — popiół, proch ziemi, brali i rzucali ku niebu — nam wydaje się to dziwne. Ale być może państwo czasami widzieli, chociaż rzadko to pokazują — żałobę w Iraku. Bo jesteśmy tutaj w realiach semickich. Otóż one dzisiaj są takie same, jak u starożytnych Hebrajczyków. Tzn. polegają na rzucaniu tego piasku, tego popiołu w górę ku niebu. W ten sposób dają poznać swój żal, swoją rozpacz, swoje opuszczenie — ale sypią to w stronę nieba. haszszamajma — czyli jest to jakby wyzwanie rzucone Bogu. Ci przyjaciele próbują dociec, dlaczego Bóg dopuścił takie cierpienie, takie nieszczęście na ich towarzysza.

wajjszwu itto laarec	*siedzieli z nim na ziemi*
sziwat jamim	*siedem dni*
wesziwat letot	*i siedem nocy*
weendower elaw dawar	*a nikt nie wypowiedział do niego słowa*
ki rau kigadal hakkew meod	*bo widzieli, że jego ból jest wielki*

Popatrzmy — przyszli go odwiedzić, i przyszli mu współczuć. Ale to, co zobaczyli, uświadomiło im, że współczucie jest czymś zbyt trudnym, że współczucie jest czymś zbyt małym wobec tego, co widzą. Zatem usiedli, towarzyszą. Obecność przy cierpiącym! Obecność przy cierpiącym to bardzo ważna rzecz. Siedzieli siedem dni i siedem nocy. Siedem to jest cyfra symboliczna — czyli siedzieli tyle, ile mogli. Siedzieli tyle, ile wytrzymali. Usiedli, i nie mówili nic. Obecność i milczenie. Milczenie też jest mową, milczenie też jest wymowne. W ten sposób dali mu poznać swoją solidarność, dali mu poznać swoją miłość, a jakiś sposób także swoją bezradność. Nie wypowiedzieli ani słowa, a to wszystko dlatego, bo widzieli, że jego ból jest wielki, że jego cierpienie jest wielkie. Rzeczywiście tam, gdzie cierpienie jest wielkie, to milczenie wydaje się wyjściem najlepszym. I my również, jeżeli przychodzi nam oglądać bardzo wielkie cierpienie, to pamiętajmy że łatwe słowa pociechy to może być pociecha dla nas samych! Często zdarza się tak, że ci, którzy odwiedzają chorych, mówią słowa, które ich samych mają uspokoić. A nawet obecnym przy chorych zdarza się i to, że chcą aby to chory ich uspokoił i pocieszał, tak bowiem są roztrzęsieni. Zatem chory, jeżeli ma taką świadomość, to życzyłby sobie, żeby ta wizyta, te odwiedziny się skończyły. Bo to, co ogląda, przysparza mu dodatkowego bólu. Oto widzi, że wskutek jego cierpienia inni, czasami bliskie mu osoby, cierpią bardzo — i w ten sposób jego cierpienie staje się jeszcze większe. Ten mechanizm dobrze znają i pielęgniarki, i lekarze, i osoby pracujące z chorymi. Dlatego są takie przypadki, kiedy to chorym chcą oszczędzić odwiedzin bliskich, bo zdają sobie sprawę z tego, jakie są skutki takiej obecności. Ci milczeli bo widzieli, że jego cierpienie jest wielkie.

I tak przechodzimy do zasadniczej części Księgi, którą musimy już potraktować bardzo krótko. Jedno tylko zdanie jest bardzo ważne. Bo proszę zwrócić uwagę, że do tej pory my wiemy że to, co się stało, zostało dopuszczone przez Boga. My wiemy, że ono jest wynikiem pewnego zakładu pomiędzy Bogiem a szatanem. Ale Hiob tego nie wie, Hiob nie wie dlaczego cierpi. Hiob wie tylko, że jest niewinny, i że starał się być dobrym człowiekiem, i że jako dobry człowiek cierpi. I wtedy:

acharechen patach ij jow etpihu wajekallel et jomo po	*A po tym wszystkim otworzył Hiob swoje usta i lżył swój dzień*

Siedem dni i siedem nocy trwało milczenie Hioba i milczenie przyjaciół. To milczenie przerwał Hiob. W tłumaczeniu Biblii Tysiąclecia jest, że *otworzył Hiob swoje usta i przeklinał swój dzień.* Tu nie ma słowa *przeklinał*, tu jest słowo

wajekallel	*lżył swój dzień*

Chodzi o dzień jego poczęcia, i o dzień jego urodzenia. I kiedy przetłumaczy się to, że *przeklinał swój dzień,* natychmiast się mówi, że „Hiob stracił wiarę", albo mówi się: „Zobaczcie, taki był dobry a oto teraz zaczyna złorzeczyć! A więc — w cierpieniu stał się zły!" Nie mamy czasu, aby tym zajmować się blisko. Ja tylko chciałbym państwu uświadomić pewną, można by powiedzieć prostą, i dlatego arcytrudną prawdę. Kiedy po tym wszystkim otworzył Hiob swoje usta i lżył swój dzień, to czytamy jak zachował się w cierpieniu.

wajjaan ij jow wajjomar	*odpowiedział Hiob, i powiedział tak*

Komu odpowiedział? Odpowiedział sobie, odpowiedział przyjaciołom, odpowiedział żonie, odpowiedział Bogu. I odpowiedział mówiąc tak:

jowad jom iwwaled bo	*Niech przepadnie dzień, oby przepadł dzień, w którym się urodziłem*
wehallajla amar hora gawer	*i noc, w której powiedziano «poczęty mężczyzna»*

Nie możemy czytać dalej. Ale sens tego, co zaczął mówić Hiob, jest taki. Obym się w ogóle nie narodził! Oby ci, którzy tak mocno cierpią, w ogóle się nie urodzili! Dlaczego człowiek zostaje poczęty? Dlaczego człowiek się rodzi, żeby przeżywać coś tak trudnego? I potem stawia bez przerwy pytania: dlaczego daje się człowiekowi życie, żeby tak cierpiał? Tam dalej, np. w wierszu 12-ym: *Dlaczego pieściły mnie kolana* — kolana matki oczywiście. Dlaczego matka wychowuje swoje dziecko po to, żeby wcześniej czy później tak straszliwie cierpiało?

umaszsza dajim ki inat	*i dlaczego karmiły piersi, karmią piersi*

takiego człowieka, który będzie cierpiał? Po co się pieści, po co się bawi dzieci, po co się karmi dzieci, żeby później tak cierpiały? Żeby ktoś cierpiał tak, jak ja? **Co robi Hiob? Czy przeklina swój dzień? Nie, Hiob się skarży!** Hiob skarży się przed Bogiem że to, co znosi, jest ponad ludzką miarę. I proszę zwrócić uwagę, jeżeli państwo mają teraz w listopadzie czas, żeby tę Księgę przeczytać chociaż — jak powiedziałem — niestety polski przekład miejscami nie jest dobry, i nie zawsze myśl jest klarowna, ale oczywiście można przeczytać z wielkim pożytkiem — zobaczą państwo, że kiedy Hiob, człowiek cierpiący, się skarży, to przyjaciele nie mogą tego znieść i zaczynają go potępiać. Tymczasem powinniśmy zawsze pamiętać, że cierpiący ma prawo do skargi. Cierpiący ma prawo do zadawania trudnych pytań. Do pytania o sens życia, o sens cierpienia, o sens tego, czego doświadcza. Bo cierpiący stawia te pytania mocniej, niż ktokolwiek inny. To są pytania przede wszystkim do Boga. Po co się daje życie złamanym na duchu – pyta Hiob. Przyjaciele później zaczną Hioba oskarżać. Będą mówili: „Co ty mówisz? Dlaczego ty tak mówisz? Przecież byłeś cały czas sprawiedliwy. Dlaczego teraz mówisz inaczej?" Ale Hiob nie przestaje być sprawiedliwy, gdy się skarży! Hiob mówi: „Te moje słowa pochodzą z bólu. Te moje słowa płyną nie dlatego, że straciłem nadzieję, tylko dlatego, że ciężar, który niosę, jest ponad moje siły." Hiob zadaje pytanie o sens cierpienia. Czyli Hiob daje poznać, że jeżeli człowiek pozna sens cierpienia, jeżeli człowiek odpowie sobie na pytanie „Dlaczego cierpi?", to łatwiej może cierpienia znieść, to łatwiej może je przyjąć. Że największym nieszczęściem w cierpieniu jest poczucie jego bezsensu, poczucie braku znaczenia tego cierpienia. Wtedy człowiek dopiero cierpi ponad miarę.

Hiob zadaje pytanie, jaki jest sens cierpienia. Przyjaciele odpowiadają mu: „Cierpisz, bo chociaż uchodziłeś za dobrego, to w gruncie rzeczy grzeszyłeś, i Pan Bóg cię dotknął." I w ten sposób z pocieszycieli stają się jego oskarżycielami. Bo widząc cierpiącego swojego przyjaciela zadają sobie pytanie: „Czym on zgrzeszył, że Pan Bóg go tak ukarał?" A Hiob powtarza: „Niczym nie zgrzeszyłem." Kto ma rację w tym sporze, który trwa przez prawie 40 rozdziałów? My czytelnicy wiemy, że Hiob. Że Hiob był człowiekiem dobrym, prawym, szlachetnym, nieskazitelnym. A teraz się skarży — on, który usprawiedliwiał własną żonę, teraz się skarży, bo ten ciężar jest ponad jego siły.

I na końcu Księgi zabiera głos Pan Bóg, i rozstrzyga ten przedziwny spór pomiędzy Hiobem a jego przyjaciółmi. Jest to 39, 40 rozdział Księgi Hioba, kiedy to Pan Bóg występuje i im wszystkim, Hiobowi i przyjaciołom, mówi tak. Popatrzcie na świat dookoła siebie! Czy rozumiecie tajemnice tego świata? Czy rozumiecie wschód słońca i jego zachód? Czy rozumiecie rozmaite zjawiska przyrody, zorze i deszcze? Czy rozumiecie wegetację, rośliny i zwierzęta? Czy rozumiecie — i tam są dwa przepiękne opisy hipopotama i krokodyla, a więc zwierząt nilowych — co nam rzuca światło na kontekst powstania tej Księgi, pewnie w Egipcie. Czy rozumiecie to wszystko, co was otacza?

Np. dzikie zwierzęta rodzą się gdzieś, wychowują swoje małe, tylko Pan Bóg się nimi opiekuje, nikt więcej! Hiob i przyjaciele mówią: „Nie, nie rozumiemy tego, i tego. Nie rozumiemy świata, który widzimy."

I Pan Bóg stawia wtedy pytanie, jak gdyby zawiesza: „A cierpienie niewinnych chcecie zrozumieć? Nie rozumiecie tylu rzeczy, które was otaczają! A chcecie zrozumieć to, co jest najtrudniejsze — mianowicie obecność cierpienia w świecie?"

I komentatorzy powiadają, że wobec tego pytanie o sens cierpienia pozostaje bez odpowiedzi. **A to jest nieprawda!** Dlatego, że pytanie o sens cierpienia uzyskuje odpowiedź, która jest tajemnicza, ale która otwiera pole dla nadziei, dla ufności Bogu. Mianowicie kiedy Bóg mówi: „Chcecie zrozumieć sens obecności cierpienia w świecie?" Tymczasem — i to jest właśnie pointa Księgi — ta Księga wskazuje, sugeruje, podaje pod rozwagę, że **sens cierpienia niewinnych to jest tajemnica znana tylko Bogu**. Cierpienie niewinnych ma sens. Cierpienie sprawiedliwych ma znaczenie. Jest potrzebne w tym przedziwnym świecie. Ale tylko Bóg wie, dlaczego! Tylko Bóg zna odpowiedź na to najtrudniejsze z pytań. Właśnie tutaj wiara człowieka zostaje wystawiona na najwyższą próbę. Właśnie tu ufność człowieka zdaje najtrudniejszy egzamin. Cierpienie ma sens — ale zaufaj Bogu! Zaufaj Bogu, że jest Mu potrzebne.

W zakończeniu tej Księgi znajduje się motyw, kiedy to Bóg zwraca się do przyjaciół Hioba i mówi tak: „A teraz idźcie do Hioba, bo on miał rację skarżąc się i wołając, i złóżcie ofiarę. I proście Hioba, by się wstawiał za wami." I Elifaz, Bildad i Sofar tak uczynili.

Z tego wniosek, że cierpiący sprawiedliwi, cierpiący niewinnie, mają szczególną moc wstawienniczą. Że ich modlitwa ma wartość szczególną. Modlitwa chorych i cierpiących. Że nikt na świecie nie może tak skutecznie się wstawiać, jak chorzy i cierpiący. Czy przypominają sobie państwo wielokrotne słowa Jana Pawła II, który w rozmaitych miejscach świata prosi chorych i cierpiących o modlitwę za Kościół? Ostatnio zwłaszcza w Lourdes. I który sam chory i cierpiący, kiedy mu się woła dzisiaj: „Zejdź z krzyża, a uwierzymy ci! Złóż to wszystko!", to sam chory i cierpiący staje się znakiem, że cierpienie ma wartość wstawienniczą.

Jak Chrystus, który dokonał najwięcej wtedy, gdy był ukrzyżowany między niebem a ziemią. Właśnie Chrystus jest najlepszym dopowiedzeniem do Księgi Hioba. Bo zwróćmy uwagę, że Pan Bóg nie tylko dał nam poznać, że cierpienie sprawiedliwych ma sens, że On ten sens zna, i że ten sens przyjmuje. Ale On w Synu Bożym sam stał się człowiekiem, i przeszedł przez ludzki los z cierpieniem włącznie. On nie tylko jest świadkiem wartości cierpienia ludzi, ale On sam stał się uczestnikiem tego losu. Zatem dopowiedzeniem do tego śmietnika, na którym siedział Hiob, jest Golgota, i Chrystus, Syn Boży, który cierpiał. On nam pokazał, że nie tylko uczy, że cierpienie niewinnych ma sens, ale sam uczynił z cierpienia znak, wartość, i narzędzie zbawienia. Zbawienie przyszło przez krzyż! Oto najważniejsza prawda objawiona w Starym i Nowym Testamencie. Radziłbym państwu i prosił, jeżeli można, żeby właśnie w listopadzie tę Księgę Hioba pod tym kątem przeczytać.

Dzisiaj dziękując bardzo serdecznie zapraszam na następną konferencję, która będzie w pierwszy poniedziałek grudnia, czyli 6 grudnia. Bo potem są parafialne rekolekcje adwentowe.

7.3 Powołanie człowieka — Abraham (6 grudnia 2004)

Rozpoczynamy zatem trzecią w tym roku konferencję biblijną. Szczerze państwa podziwiam, że nie odstraszył nawet język hebrajski, który mamy za punkt oparcia w naszej refleksji. Chociaż zdaję sobie sprawę z tego, że z jednej strony to jest ciekawe, natomiast z drugiej strony pewnie nie jest łatwe słuchać języka oryginału tekstu świętego, przekładanego później na polski. Ale myślę, że jako przygoda dla intelektu, i przygoda dla ducha, warto taki wysiłek podejmować. Pytałem swoich kolegów, czy gdzieś jeszcze w Polsce są takie konferencje, na których punktem wyjścia jest język hebrajski i na które każdy może przyjść. Na razie wygląda na to, że chyba nie. Ale kto wie, może w nasze ślady pójdą inni, i może to się upowszechni, i znajomość Pisma Świętego będzie promowana także i z tej strony.

Podczas spotkań październikowego i listopadowego za punkt wyjścia wzięliśmy trudną księgę biblijną, mianowicie Księgę Hioba, i trudny problem, bo problem cierpienia. Dzisiaj też poniekąd wrócimy do podobnych wątków, ale myślę że i osoba i tekst będą dużo łatwiejsze. Dzisiaj zabieramy się za kolejną postać Starego Testamentu, postać bardzo znaną, którą możemy w pewnym sensie nazwać patronem adwentowego oczekiwania. Dlatego, że jest to człowiek, który wykazał heroiczną wiarę. Czas adwentu, jak w ogóle czas Nowego Testamentu, to jest czas takiej heroicznej wiary. Tę postać znamy dobrze. Dlatego tylko przeczytamy dwa króciutkie teksty dotyczące epizodów, które też państwo dobrze znają. Ale postaramy się je przemyśleć pod kątem spotkania z tekstem hebrajskim, przełożonym na język polski. Żeby nie trzymać państwa w niepewności — będziemy czytać maleńkie fragmenty pierwszej księgi Starego Testamentu, mianowicie Księgi Rodzaju, a przedmiotem naszego zainteresowania będzie oczywiście osoba Abrahama. Abraham jest u początków naszej wiary, i chcielibyśmy dzisiaj te początki zobaczyć. Chciałbym, żeby każdy z nas, i państwo i ja, porównali niejako swoją wiarę do wiary Abrahama. Żebyśmy też zobaczyli na czym polega prawdziwa wiara religijna. A dodam tylko, że te ten motyw, dwa teksty które wybierzemy, te wątki które dzisiaj są przedmiotem naszej refleksji, to są również ulubione wątki Jana Pawła II, który w swoich medytacjach nad Księgą Rodzaju również zastanawiał się nad tymi fragmentami, i które uznał za jedne z najważniejszych dla jego życia i dla jego wiary.

Otóż chciałbym, żebyśmy skupili się dzisiaj na dwóch fragmentach. Pierwszy to będzie powołanie Abrahama, drugi to będzie słynny epizod złożenia ofiary z abrahamowego syna, który miał na imię Izaak. Za punkt wyjścia weźmiemy dosłownie kilka wierszy. Zobaczą państwo raz jeszcze jak intensywny jest tekst święty. Jak jest nasączony treścią, jak bardzo ważne jest każde słowo, które jest w Piśmie Świętym. Jak bardzo ważne są także puste przestrzenie pomiędzy literami i pomiędzy wyrazami. Bo ważne jest nie tylko to, o czym się opowiada, ale również ważne jest to, o czym się nie mówi. Tak jak w życiu, tak jak w naszych rozmowach. Jeżeli się spotykamy ze sobą, to są takie rzeczy, o których mówimy bardzo chętnie, i są takie rzeczy, których unikamy, omijamy. I obie strony wiedzą, że o tym nie rozmawiamy, wiedzą dlaczego nie rozmawiamy. Ktoś nie chce tej drugiej osoby urazić, albo ktoś nie chce budzić wspomnień, dobrych czy złych — ale zwłaszcza złych — i wtedy właśnie nie mówimy. Do tej komunikacji, do tego porozumiewania się słownego dochodzi również aspekt komunikacji czy porozumiewania się pozasłownego. Dobrze wiemy, że wystarczy jedno spojrzenie, wystarczy jeden gest, wystarczy choćby mrugnięcie oka, wystarczy poruszenie ręki, aby druga osoba wiedziała, o co nam chodzi.

Trzeba powiedzieć, że coś podobnego dzieje się w naszych relacjach z Bogiem. Dobrze to widać na przykładzie Abrahama. Niech państwo posłuchają początku jednego z najsłynniejszych, z najbardziej znanych, najczęściej komentowanych tekstów Pisma Świętego. Ten tekst nosi nazwę w tradycji żydowskiej Lechlecha. To są pierwsze słowa tego fragmentu. Jeżeli jeden Żyd do drugiego powie: „Przeczytaj mi Lechlecha" to wiadomo, że chodzi o ten fragment, którego za chwilę wysłuchamy. To lechlecha znaczy po polsku *wyjdź, wyjdź ty, wyjdź właśnie ty.* Jest to wspaniały, bo bardzo krótki, bardzo lakoniczny opis powołania, przedstawienie powołania. I myślę, że na tej podstawie dobrze widać losy każdego człowieka powołanego, a także na czym polega nasze zawierzenie Panu Bogu. To jest początek 12 rozdziału Księgi Rodzaju. Gdybyśmy sięgnęli do naukowej bibliografii dotyczącej tych kilku wierszy, to mogę państwa zapewnić, że całe półki bibliotek są nasączone komentarzami do tego fragmentu. Komentatorzy w każdym pokoleniu dosłownie łamali sobie głowę, żeby wydobyć jak najwięcej treści z tych słów, które państwo usłyszą. Rzeczywiście te

słowa stawały się natchnieniem dla osób powołanych. Po dzień dzisiejszy są natchnieniem podczas rekolekcji prowadzonych dla kapłanów, dla sióstr zakonnych, dla osób świeckich. Dla wszystkich, którzy przeżywają swoje powołanie — jakiekolwiek ono jest, takie czy inne — to jest to wzór powołania. Tak było odczytywane w Nowym Testamencie, tak było odczytywane w czasach Ojców Kościoła. Ten fragment był bardzo żywy w czasach średniowiecznych, w okresie Odrodzenia, potem w okresie Oświecenia, w wiekach XIX i XX, po dzień dzisiejszy. A w naszych czasach swój komentarz do tego tekstu napisał Jan Paweł II. Ten tekst po hebrajsku brzmi tak:

wajjomer adonaj el awram

wajjomer znaczy *wtedy rzekł, wtedy powiedział.* To bardzo ciekawe słowo. amar znaczy *mówić.* Wtedy powiedział Pan do Abrama. „Wtedy" — to znaczy kiedy? Bo nigdy Bóg nie działa w próżni. Zawsze Bóg działa w odniesieniu do osób w określonym kontekście. Jest to kontekst naszego życia, jest to kontekst, w jakim znajdujemy się. Jeżeli chodzi o ten fragment, to dotyczy Abrahama, który opuścił Ur chaldejskie i udał się ze swoją rodziną do Charanu. Jest to miejscowość na pograniczu dzisiejszej Turcji i Iraku. Ur znajduje się na południu Iraku. W naszych czasach w pobliżu Ur jest potężne lotnisko wojskowe, skąd teraz startują samoloty, które bombardują Irak. W latach 80-tych było tam lotnisko irackie, i zwiedzanie części Ur było niemożliwe ze względu na bliskie instalacje wojskowe. Stamtąd Abraham wyszedł, i udał się do Charanu. Charan leży na terenie Turcji, tuż przy granicy z Irakiem, i teraz jest też niedostępny ze względu na wojnę, która w Iraku się toczy. Jan Paweł II w kontekście Wielkiego Jubileuszu Roku 2000 bardzo chciał udać się do Ur. Miał nawet zaproszenie władz irackich do odbycia tej pielgrzymki. Ale narastało coraz bardziej widmo wojny i podróż papieża do Ur nie doszła do skutku. Jest to jedyne miasto, które papież bardzo pragnął odwiedzić jako miejsce powołania Abrahama, i do którego się nie udał, te plany się nie spełniły. Podobnie jak nie spełniło się dotąd wielkie papieskie pragnienie udania się na teren Rosji. Na terenie dawnego Związku Radzieckiego był — bo był w Kazachstanie, w Ukrainie, w innych państwach, ale w Rosji do tej pory nie. Ur i Rosja pozostały jakby obok tego pontyfikatu.

Bóg więc powiedział do Abrama, Pan powiedział do Abrama. Proszę państwo popatrzą: mamy tutaj słowo „powiedział". Ale za chwilę zobaczymy, że dalej to słowo jest traktowane nieco inaczej. Bo kiedy Bóg mówi do człowieka, to nie jest to zwyczajna informacja. Tylko kiedy Bóg mówi do człowieka, to jest to polecenie, by nie powiedzieć: rozkaz. Otóż jeżeli człowiek czuje w sobie głos Boży, jeżeli czuje to Boże wezwanie, to to Boże wezwanie jest zawsze zobowiązaniem. Jeżeli ktoś nie pójdzie za tym wezwaniem, nie pójdzie za tym zobowiązaniem, zdarza się, że może się sprzeniewierzyć w swoim życiu temu, co właśnie dla jego życia jest najważniejsze. Więc z Abramem mamy podobną sytuację. Bóg do niego mówi. I co powiedział? Czytamy znów w oryginale:

lechlecha mearcecha umimoladtecha umibbet awicha elhaarec aszer arekka

Państwo słyszą tu nie tylko rytm, ale słyszą państwo rym — mianowicie powtarza się cha ... cha ... cha na końcu. Otóż kiedy słyszymy Pismo Święte w oryginale, to oczywiście ono ma nam znacznie więcej do powiedzenia, niż w naszym ojczystym języku. Bo kiedy ono jest w oryginale, to jest ten język, w którym nie tylko należy przykładać znaczenie do treści, ale także do formy. Bo na usługach tej treści stoi również forma. Otóż język święty ma to do siebie, że przekazuje także swoistą mentalność. A w tej mentalności, w tej formie, jest też coś z działania i z piękna Boga. Więc raz jeszcze:

lechlecha mearcecha

lechlecha znaczy po polsku *wyjdź ty, wyjdź właśnie ty.* mearcecha — *z twojej ziemi.* Można by po polsku przetłumaczyć: *z twojej ojczyzny.* Eres to jest *ziemia, kraj, ojczyzna.* Wyjdź właśnie ty. Zwróćmy uwagę, że bardzo mocno — nie wiem, jak to jest przetłumaczone w Biblii Tysiąclecia czy w innych polskich przekładach, nie zawsze to jest podkreślone tak mocno — tu się akcentuje indywidualne powołanie. Wyjdź właśnie ty — żebyś nie miał wątpliwości, że chodzi o ciebie! Więc wyjdź właśnie ty mearcecha — *z twojej ziemi, z twojego kraju.* Otóż pierwszy krąg, który Abraham ma opuścić, to jest krąg własnej ojczyzny. Dobrze wiemy, że ojczyzna to jest język. Dobrze wiemy, że

ojczyzna to jest kultura, ojczyzna to jest tradycja, ojczyzna to jest ziemia — i wreszcie jak dodajemy bardzo często i słusznie — ojczyzna to są groby, czyli te miejsca, gdzie leżą nasi przodkowie. Abraham otrzymuje polecenie opuszczenia swojej ojczyzny. Żeby wszystko było jasne, to jest tu podkreślone bardzo mocno, że to jest jego ojczyzna. I on musi tę swoją ojczyznę opuścić, właśnie on, ten kraj, który jest jego umiłowanym krajem. Więc:

lechlecha mearcecha umimoladtecha

umimoladtecha to rzeczownik, który pochodzi od czasownika hajdad — *rodzić, urodzić się.* umimoladtecha znaczy po polsku: *miejsce twego urodzenia.* Otóż kiedy mówimy „miejsce urodzenia", to zawsze podajemy miasto, osadę, albo wioskę, w której przyszliśmy na świat. Abraham ma opuścić swoją ojczyznę, Abraham ma opuścić swoje miasto, miejsce swojego urodzenia — to jest ten drugi krąg. Państwo zdają sobie doskonale sprawę, że jesteśmy przywiązani do miejsca swojego urodzenia, zwłaszcza jeżeli to było również miejsce naszego dzieciństwa. Nie zawsze tak jest, bo nieraz miejsce urodzenia może być przypadkowe — wtedy tych skojarzeń nie ma, chociaż też pozostaje zawsze ciekawość, gdzie przyszliśmy na świat. Abraham był związany z Ur, był związany z miejscem, z którego pochodził, bo tam się przecież wychował. Ma opuścić ojczyznę — to jest najszerszy krąg, ma opuścić miejsce swego urodzenia czyli miasto — to jest krąg węższy, i wreszcie trzeci element: umibbet awicha — *i z domu twojego ojca.* A więc ma opuścić swoją rodzinę.

To jest w gruncie rzeczy los każdego człowieka, którego Pan Bóg przeznacza do własnych zadań, każdego człowieka powołanego w najściślejszym tego słowa znaczeniu. Opuszczenie ojczyzny, opuszczenie miasta, opuszczenie rodziny. Od tych, którym Pan Bóg powierza specjalną misję, wymaga bardzo wiele. Wymaga znacznie więcej, niż wymaga od przeciętnego człowieka. Jan Paweł II napisał w swojej ostatniej książce, którą mam nadzieję znamy, takie słowa: „Nie ma miłości ponad Miłość" — to drugie z dużej litery. Otóż rzeczywiście Bóg jest Miłością. I jeżeli komuś daje łaskę powołania, to go również uzdatnia do wierności wobec tej łaski. I dlatego w każdym pokoleniu nie brakuje ludzi, którzy opuszczają ojczyznę, opuszczają miasto, opuszczają rodzinę, aby wypełniać te zadania, do których Pan Bóg ich przeznacza. W naszych czasach weźmy zwłaszcza misjonarzy. Weźmy innych, także ludzi powołanych na rozmaite sposoby, którzy opuszczają te kręgi dające poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa, żeby rozpocząć nowe życie. Otóż *być powołanym* to jest przede wszystkim zaufać Panu Bogu. Ktoś z państwa może pomyśleć, że w związku z tym ten ideał powołania nie przystaje do życia pojedynczego człowieka, zwyczajnego człowieka, że dotyczy ludzi w szczególny sposób wybranych. Otóż to nie jest tak. Abraham był zawsze traktowany jako ojciec i prawzór każdego powołania. Nie zawsze to powołanie jest tak radykalne, jak w przypadku Abrahama. Ale zawsze ono ma przed sobą jakiś cel, jakieś przeznaczenie. Otóż powołanie jest zawsze *ku czemuś.* Nie chodzi bowiem o to, że opuszczamy tylko te kręgi, tylko musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: *Dlaczego to robimy?* Jaki to ma sens, jakie ma znaczenie to, co podejmujemy czy to, czego Pan Bóg od nas wymaga? Więc Abraham ma opuścić te trzy kręgi, i:

elhaarec	*udać się do kraju*
aszer arekka	*który Ja ci wskażę, który Ja ci pokażę*

Abraham ma udać się do kraju, którego nigdy nie znał. Nawet do tej pory nie wiedział, gdzie on jest. Pan Bóg mówi mu, że pokaże mu ten kraj, do którego ma pójść. Otóż wiara to jest zawsze jakaś przygoda z Bogiem, która polega na przyjęciu nieznanego. Otóż wiara niesie zawsze ze sobą przyszłość, której kształtu nie potrafimy przewidzieć. I właśnie tu w tym miejscu wiara. I ta tajemnica, to misterium wiary i misterium powołania, dotyka praktycznie każdego człowieka. Bo i w życiu małżeńskim, i w życiu rodzinnym, można i trzeba zaufać Panu Bogu przyjmując od Niego przyszłość taką, jaką ona jest, czy jaką On dla nas przewidział. Otóż każdy z nas ma swoje plany, każdy ma swoje zamiary. I wiary brakuje tam, gdzie próbujemy swoje plany przeforsować za wszelką cenę. I gdzie ewentualne odejście od tych planów uważamy za tragedię albo za własną przegraną. Tymczasem zaufanie Panu Bogu to przyjęcie życia takim, jakim ono jest, również z jego wyzwaniami, trudnościami, kłopotami, których kształtu na razie nie możemy przewidzieć. I w związku z tym ceną powołania może być np. życie samotne, czy tak, jak dzisiaj życie kapłańskie i biskupie, ale cena powołania to może być również życie małżeńskie i to wszystko, co niesie ze sobą życie we dwoje, i życie rodzinne, które wcale nie musi być łatwiejsze ani bardziej przewidywalne niż inne

formy życia. Pamiętajmy, że Abraham miał żonę i miał rodzinę, i realizował to swoje oddanie się Panu Bogu właśnie w kontekście rodzinnym. Tylko problem polegał na tym, i wyzwanie na tym polegało, że został powołany, by przyjąć przyszłość nie taką, jaką on dla siebie wyznaczył, ale taką, jaką Pan Bóg dla niego przewidział.

Więc pójdź do ziemi, którą ci wskażę. Tutaj cały czas powtarza się to cha ... cha ... cha — po polsku należy to tłumaczyć: *twój, twego, ciebie, tobie, z tobą ...* Otóż pięć razy powtarza się ten zaimek drugiej osoby liczby pojedynczej. W ten sposób Bóg daje poznać Abrahamowi że to, co mówi, jest przeznaczone do niego. A więc los każdego człowieka niesie w sobie coś, co dotyczy tylko tego człowieka. Nie ma dwóch takich samych życiorysów, nie ma dwóch takich samych powołań, nie ma dwóch takich samych dróg życiowych. Każdy człowiek zmierza do Boga swoją własną drogą. I powinniśmy pamiętać również, że odpowiadając Panu Bogu każdy z nas musi być sobą. I w tym zdaniu zawsze komentatorzy bardzo mocno podkreślali ten charakter powołania, przeznaczonego do tego właśnie człowieka. I dalej:

weeescha	*I uczynię z ciebie*
legoj gadol	*wielki lud*
waawarechecha	*i będę ci błogosławił*

Znów państwo słyszą: weeescha, waawarechecha — ciągle to cha ... cha ... cha. *Uczynię z ciebie, będę ci błogosławił.*

waagaddela szemecha	*wywyższę cię, uczynię cię wielkim*
weheje beracha	*twoje imię będzie błogosławieństwem*

Zwróćmy zatem uwagę, że odrywając Abrahama od codzienności, od przeszłości, Bóg wyznacza Abrahamowi nową przyszłość. A ta nowa przyszłość to ta, że ma stać się dla ludzi beracha — *błogosławieństwem.* Otóż to powołanie nie jest ze względu na niego, ze względu na jego dobre samopoczucie. Tylko to powołanie jest po to, by przyniosło duchowe pożytki innym ludziom. Otóż tak jest z każdym powołaniem. Ono nie jest wyrazem egoizmu, czy egocentryzmu, czy wybrania z powodu jakiś zasług tego określonego człowieka, tylko sensem i celem powołania jest służba innym ludziom.

Komentatorzy się zastanawiali kim był Abraham, którego Pan Bóg wybrał. Próbowano dociekać — bo Pismo Święte o tym nie mówi — próbowano uzupełnić Pismo Święte. Jedni mówili, że Abraham był zasłużonym i dobrym człowiekiem. Inni mówili, że w tym świecie pogańskim on jeden wyznawał jedynego Boga. Jeszcze inni mówili, że niszczył posągi bóstw pogańskich — dlatego Pan Bóg go zauważył i docenił. Ale Pismo Święte na ten temat milczy. Abraham był zapewne takim człowiekiem, jak inni, tylko bardziej otwartym na przyszłość, a więc dlatego bardziej otwartym na Boga. Pamiętajmy, że Pan Bóg wybiera bardzo różnych ludzi. Jednych, o których wiadomo, że do takiego wyboru się nadają. Innych, o których sądzimy, że się nadają — ale zawodzą. Jeszcze innych, o których sądzimy, że się nie nadają — a okazuje się, że wiernie trwają przy Bogu. I na kartach Starego i Nowego Testamentu mamy rozmaite postacie. Zwłaszcza w otoczeniu Jezusa były różne postacie, rozmaite gamy powołań, wachlarze powołań, poczynając od Piotra, przez Judasza, aż do Pawła. Dobrze wiemy, że ten ostatni był prześladowcą Chrystusa, a przecież stał się Jego wyznawcą, i to najgorliwszym.

Nie wiemy więc, kim był Abraham. A bardzo wielu spośród komentatorów wyprowadzało z tego taki wniosek: *Niech nikt nie sądzi, że nie nadaje się na człowieka powołanego przez Boga.* Otóż powołanie jest adresowane, skierowane do każdego. Każdy z nas może podjąć jego brzemię. Każdy z nas może starać się być błogosławieństwem dla świata. A dzieje się tak wtedy, kiedy w życiu nie zasklepiamy się w sobie, tylko staramy się przysparzać dobra innym ludziom. Otóż być powołanym tzn. właśnie sprowadzać na świat dobro. To dobro jest tutaj nazwane berachah — *błogosławieństwo.* Dodam tylko, że tak samo nazywa się po hebrajsku *deszcz,* też berachah. Dlatego że tam, w tamtym klimacie, w tamtym rejonie, deszcz, który spada na pustynną ziemię, jest prawdziwym błogosławieństwem. I jeszcze czytamy:

waawaracha mewarchecha umekallelcha a or	*będę błogosławił tym, którzy ciebie błogosławią. A tych, którzy ciebie będą przeklinać, którzy tobie będą złorzeczyć, ja przeklnę*

Otóż słowa są bardzo mocne. Ale one dowodzą, że Bóg jest zawsze po stronie powołanych. Że nie ma takich okoliczności które by sprawiły, że człowiek powołany zostaje sam. Że siła tych,

którzy są powołani, pochodzi od Pana Boga. To Bóg błogosławi tym, dla których stają się oni błogosławieństwem, i Bóg udaremnia zamysły tych, którzy chcieliby to powołanie przekreślić. Tu najlepszym dowodem są słowa, które zapisał kardynał Stefan Wyszyński w swoich „Zapiskach więziennych", i które powtórzył Jan Paweł II w swojej najnowszej książce. Kardynał Wyszyński napisał, że największą wadą człowieka powołanego jest lęk. Jeżeli ktoś, kto jest powołany przez Boga, się boi, jeżeli się lęka, to już przegrał. I że wiedzą o tym wszyscy ci, którzy starają się te plany Pana Boga wobec człowieka, i wobec innych ludzi, przekreślić. I kardynał Wyszyński był pierwszym, który podkreślał konieczność odwagi. I państwo wiedzą, że do tego motywu nawiązał Jan Paweł II w początkach swojego pontyfikatu, kiedy to 22 października na mszy świętej intronizacyjnej w Rzymie wołał: „Odwagi, nie lękajcie się!" To jest właśnie wydobycie tego głównego znamienia osoby powołanej.

weniwrechu wecha kol miszpechot haadama	*i otrzymają błogosławieństwo w tobie,* czy też: *otrzymają błogosławieństwo dzięki tobie, wszystkie rodziny ziemi*

Można by powiedzieć: *wszystkie ludy ziemi.* Abraham ma stać się narzędziem Bożego błogosławieństwa. Zaraz dowiadujemy się, że Abraham — dosłownie tak:

wajjelech awram kaaszer dibber elaw adonaj	*wyruszył Abraham tak, jak mu Bóg polecił*

Wróćmy na chwilę do tego czasownika, o którym mówiłem na początku. Tam było: *Bóg powiedział.* A tutaj: *tak, jak mu Bóg polecił.* Otóż kiedy Bóg mówi — tak mówi psalmista — nie gardź Jego słowem. Słowa Boga to są przykazania. Bóg nie mówi do nas po to, by nas informować. Bóg mówi po to, by nam uświadomić nasze zobowiązania, nasze powinności. Abraham zrozumiał że to, co przeżył, to indywidualne powołanie, to jest zobowiązanie. Wyruszył więc tak, jak mu Bóg polecił. Nie ma dyskusji, nie ma rozmowy, nie ma wahania — taki jest ideał powołania. Absolutne zaufanie Panu Bogu. Potem w Nowym Testamencie, kiedy zastanawiano się nad powołaniem Abrahama, to napisał autor nowotestamentowy, że „Abraham szedł tak, jakby widział Niewidzialnego". Właśnie to „widzenie Niewidzialnego", na tym zasadza się odwaga powołania.

I po tym powołaniu następuje opis życia Abrahama, życia bardzo burzliwego, bardzo dramatycznego. Bo oto Abraham dociera do Ziemi Obiecanej, którą Pan Bóg przyrzekł, że mu ukaże. A ma tutaj żonę, z którą niestety nie może mieć syna, oboje są już starsi. Wtedy odwołują się do zwyczaju, który kiedyś na Bliskim Wschodzie był popularny, a prawdę mówiąc to i dzisiaj jest popularny w wielu tamtejszych regionach. On polega na tym, że jeżeli w rodzinie nie doczekali się dziecka, to mąż prosi kogoś bliskiego, kobietę krewną czy z rodziny, żeby ona stała się matką jego dziecka. Bo bardzo mocno kładą nacisk na to, że musi być dziecko by zapewnić trwałość rodziny. I Abrahamowi rodzi się syn z jego niewolnicy Hagar. A kiedy mu się urodził okazuje się, że także i żona spodziewa się dziecka. I przychodzi inny syn, który ma na imię Izaak. Oczywiście jak należało się spodziewać, pomiędzy jedną kobietą a drugą, i pomiędzy jednym synem a drugim, wybucha rywalizacja.

Rozpoczyna się rywalizacja, która ma dramatyczne skutki. I w pewnym momencie Hagar i syn, który ma na imię Ismael, muszą opuścić rodzinny dom, rodzinny namiot, i szukać miejsca dla siebie poza domem Abrahama. Abraham bardzo mocno to przeżywa, nie chce dopuścić do czegoś takiego — jest to w końcu kobieta, z którą był związany, i również jego syn. Ale też zostaje przez Boga pouczony — jak mówi Księga Rodzaju — że Bóg przewidział dla Ismaela oddzielny los, i z całą pewnością nie pozostawi go bez opieki. Jak państwo zapewne wiedzą ta barwna opowieść z Księgi Rodzaju to jest jednocześnie wyjaśnienie pochodzenia dwóch narodów. Od Ismaela wywodzą się Arabowie, od Izaaka, syna zrodzonego z żony Abrahama, wywodzą się Izraelici, Żydzi. Pomiędzy jednymi i drugimi zawsze istniała wrogość, zawsze istniała niechęć. Historyczne wzmianki o Arabach sięgają pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem. Natomiast po dzień dzisiejszy ta wrogość trwa, i mówi się, że jest to wrogość w rodzinie, pomiędzy braćmi. Oczywiście ta wrogość jest najtrudniejsza do przezwyciężenia.

Ale my zwrócimy uwagę na inny epizod, mianowicie na początek 22 rozdziału Księgi Rodzaju. Wydawać by się mogło, że wszystko dla Abrahama odbywa się tak, jak to Pan Bóg przewidział. Mianowicie Abraham ma teraz swojego syna, ten syn stanie się powiernikiem obietnicy. Ten syn

stanie się również znakiem jego przyszłości. Abraham jest już *syty lat* — jak mówi Pismo Święte, jest już człowiekiem starym. I w pewnym momencie dochodzi do ogromnej próby. Ta ogromna próba to jest oczywiście próba wiary. Tak jak tam wydawało się nam, że powołanie to jest przede wszystkim zaszczyt, tak okazuje się, że powołanie to jest przede wszystkim trud, to jest ogromne brzemię, to jest cierpienie. Abraham został powołany i przeżył swoje życie po to, żeby przeżyć coś takiego, o czym za chwilę będziemy słuchać. Czytamy tak:

wajehi achar haddewarim haelle weha elohim nissa et awraham	*A stało się, że po tych wszystkich wydarzeniach* *że Bóg wypróbował Abrahama*

Otóż popatrzmy — oba człony są bardzo ważne, można by o nich mówić cały wieczór. Ja z konieczności zwrócę uwagę naprawdę na to, co najważniejsze. *Po tych wszystkich wydarzeniach*. Otóż Abraham na za sobą całe życie, jest człowiekiem starym, I po tym wszystkim, co przeżył, Bóg go doświadczy. Otóż jeżeli przeżywamy coś trudnego to musimy mieć wzgląd na to, co przeżyliśmy do tej pory. Bo kiedy człowiek dorosły przeżywa jakieś trudne wyzwania, to nie jest tak, jak dziecko, że dopiero rozpoczyna swoje życie, tylko ma za sobą cały bardzo duży bagaż rozmaitych doświadczeń. Zatem jeżeli przychodzi na nas coś trudnego, bolesnego — bądź też radosnego, wzniosłego — to musimy zawsze odnieść to do tego, co było do tej pory. *A po tych wszystkich wydarzeniach*. Otóż człowiek – bardzo często o tym mówimy — powinien mieć dobrą pamięć. W tej dobrej pamięci powinniśmy zwracać uwagę na wszystkie nasze przeżycia. Otóż te wszystkie przeżycia rzucają światło na to, co zdarza się dziś, co może zdarzyć się jutro. Jeżeli któregoś dnia dowiadujemy się, że jesteśmy ciężko chorzy, jeżeli któregoś dnia spotyka nas nieszczęście czy dramat, musimy odnieść to do tego, co było do tej pory. Musimy odnieść to do wszystkiego, co mamy za sobą. I postawić to jako jeszcze jedno ogniwo w długim łańcuchu całego życia.

Proszę zauważyć, że nie mamy tej umiejętności. Że bardzo często np. doświadczamy Bożej dobroci, a potem spada na nas coś trudnego. I tak jak człowiek, który do tej pory bardzo dobrze jadł, którego karmiono, gdy nagle któregoś dnia obiad się opóźnił ma do wszystkich pretensje. Nie cieszy się, że przez parę lat był doskonale karmiony, tylko jest zły, bo dzisiaj jest głodny. I w naszym nastawieniu wobec Boga jesteśmy dokładnie tacy sami. Nie cieszymy się z tego dobra, którego doświadczyliśmy, tylko mamy pretensje o jakieś nieszczęście czy jakąś próbę, wobec której przychodzi nam stanąć dziś. *Więc po tych wszystkich wydarzeniach* — to bardzo ważne słowa, które nam pokazują, że ważną rzeczą jest odnosić to, co dzisiaj przeżywamy, do tego, co było wcześniej. A więc trzeba także to „wcześniej" zapamiętać.

I drugie: nissa et awraham. nissa znaczy *wypróbował.* Otóż będzie to dla Abrahama próba. Kto o tym wie? My! Kto nie wie? Abraham! To jest tak, jak na początku Księgi Hioba. Otóż to my wiedzieliśmy, że Bóg doświadcza Hioba, natomiast Hiob o tym nie wiedział. Na Hioba to spadało, i musiał zadawać sobie pytanie o sens tego, co go spotyka. I w naszym życiu też bywa tak, że gdy przeżywamy coś, to inni widzą, odnajdują, rozpoznają sens tego. Natomiast człowiek, którego to dotyczy, nie potrafi tego sensu rozeznać — albo nie ma siły, albo nie chce, albo nie może. Jednym słowem — nie potrafi. Otóż Abraham nie wie, że to jest dla niego próba; my wiemy, że to jest próba. Oczywiście państwo wiedzą że przedmiotem tej próby będzie ofiarowanie własnego syna Bogu. I natychmiast pojawiają się komentarze. Jak to, Pan Bóg chce takiej krwawej ofiary! Cóż to za Bóg! Czego On wymaga! Bo zapominamy, że jest to próba. Otóż Bóg stawia Abrahama wobec tej trudnej próby, ale to On jednocześnie żądając od Abrahama takiego wyrzeczenie sprawi, że ręka z nożem zawiśnie w powietrzu. I stało się tak dzięki wierze Abrahama, dzięki temu, że Abraham uwierzył. Otóż to dziwne, że Pan Bóg od tych, których wybiera, potrzebuje czasami tak dramatycznego potwierdzenia wierności. To przedziwna sprawa — do czego Bogu potrzebna jest wierność człowieka? Czy mógłby bez tej wierności się obyć? Okazuje się że Bóg, który stworzył człowieka z miłości, cały czas potrzebuje, żebyśmy Mu jako ludzie wolni odpowiadali, czyli tę miłość odwzajemniali. Dlaczego Bogu potrzebna jest ludzka miłość? Czy nie można byłoby powiedzieć: Każdy z nas i wszyscy razem jesteśmy tak słabi, tacy mali, tacy kiepscy. Po co nas Pan Bóg potrzebuje, jeżeli my sami siebie nawzajem nie zawsze potrzebujemy? A Bóg nas potrzebuje, bo stworzył nas i przeznaczył dla siebie. Więc najwyraźniej najważniejszym wymiarem i wartością miłości jest właśnie sama miłość która wtedy, kiedy jest odwzajemniona, to dopiero przynosi błogosławione owoce.

Więc Bóg chce, żeby Jego miłość, dzięki której wybrał Abrahama, została przez Abrahama odwzajemniona. I będziemy świadkami tego, jak to się będzie dokonywało.

wajomer elaw	*I powiedział do niego*
awraham wajomer hinneni	*Abrahamie. Odpowiedział: oto jestem*

Proszę zwrócić uwagę na krótkie słowa. Tam, gdzie dzieją się wielkie rzeczy, tam rozmowy i słowa są krótkie. Tam, gdzie mamy do czynienia z rozgadaniem, tam zazwyczaj nic wielkiego i wzniosłego nie wynika. Tam, gdzie ocieramy się o tajemnicę, o misterium, tam człowiek porozumiewa się, i między sobą, i z Bogiem, tylko za pomocą króciutkich słów. Kiedy państwo zdają sobie czasami sprawę z tego, że trudno jest rozmawiać z Bogiem tzn. trudno jest się modlić, to proszę pamiętać, że wzniosłą formą modlitwy jest także cisza przed Bogiem. Nieumiejętność modlitwy to też jest modlitwa. To tak, jak nieumiejętność rozmowy z człowiekiem, którego bardzo cenimy albo którego bardzo kochamy. To tak jak brak słów wtedy, kiedy czujemy, że słowa nas zawiodą albo że nie możemy powiedzieć tego, co najważniejsze. I w naszym spotkaniu z Bogiem może być dokładnie tak samo. Nie liczy się tylko wielomówstwo, nawet krasomówstwo, liczy się tylko nasze zwrócenie się do Pana Boga. Bóg mówi do Abrahama: „Abrahamie!" Abraham odpowiada: hinneni — *oto jestem.*

Otóż modlitwa to jest wyraz gotowości człowieka przed Bogiem. To słowo hinneni — *oto jestem* to w gruncie rzeczy słowo każdego człowieka, który jest gotów spełnić wolę Bożą. Proszę niech państwo popatrzą, że przy pierwszym powołaniu — tym, kiedy to Bóg wymagał od niego opuszczenia ojczyzny, miasta i domu — tam nie było tego hinneni. Może Abraham nie był jeszcze pewny siebie? Może odpowiadał bez słów? Tu odpowiada już słowami: „Oto jestem". I czytamy:

wajomer kachna et bincha	*powiedział: weź proszę twojego syna*
et jechidecha	*twojego umiłowanego, twojego jedynego*
aszer ahawta	*którego miłujesz*
et jichak	*Izaaka*

Proszę niech państwo popatrzą — tak jak tam mieliśmy podkreślenie: *ojczyzna* — mearcecha, umimoladtecha — *dom twojego urodzenia,* detecha — *dom twojego ojca* czyli *twoja rodzina,* tak tutaj ten syn Izaak jest nazwany na trzy sposoby: po pierwsze to jest et bincha — *twój syn.* Otóż podkreślony jest związek ojca z synem. To jest twój syn — weź twojego syna. Drugi: et jechidecha — *twojego jedynaka, twojego jedynego syna.* I trzecie: aszer ahawta — *którego kochasz.* **Otóż Abraham jest proszony nie o to, żeby złożyć ofiarę z syna — jest proszony przez Boga o to, żeby złożyć ofiarę z miłości, którą żywi względem własnego syna**. Syn ocaleje. Otóż Jan Paweł II napisał w swoim rozważaniu, że Abraham usłyszawszy rozkaz Boży, usłyszawszy polecenie Boga, widział już siebie ojcem martwego syna. Złożył ofiarę z miłości wyobrażając sobie że to, do czego Bóg go powołuje to już się staje, że to już się zdarzyło, że to już jest.

Proszę państwa, dotykamy tu chyba najtrudniejszej, najbardziej bolesnej części człowieczej egzystencji, kiedy to wbrew prawom natury rodzice przeżywają własne dzieci, muszą pogrzebać własne dzieci. Nie jest to normalny porządek, jest to coś, co przeczy normalnemu porządkowi. I Abraham jest wezwany do tego, by od tego normalnego porządku odszedł. Ma złożyć ofiarę z miłości, jaką żywi względem własnego syna. **Oczywiście ta ofiara z miłości to jest również ofiara z przyszłości**. Państwo zauważyli przedziwne wymagania Pana Boga? Otóż kiedy Abraham został powołany, to musiał złożyć ofiarę z przeszłości: zostaw ojczyznę, zostaw miasto, zostaw rodzinę. Zostaw wszystko, co cię do tej pory wiąże. Przed tobą jest nowa przyszłość. A teraz, pod koniec swojego życia, kiedy już starszy czy wręcz stary człowiek potrzebuje stabilizacji i pewności, Abraham jest powołany, by złożyć ofiarę z przyszłości. Tak jak gdyby ten, z którym związał swoje życie, jego syn, nie miał już przed sobą żadnej przyszłości. Bóg zatem wymaga od niego wszystkiego.

Dlaczego Panu Bogu potrzebne są takie wymagania? Dlaczego człowiek musi wyzbyć się wszystkiego, żeby poświęcić się Bogu? Czy państwo nie zauważają — ja się nad tym zastanawiałem, ostatnio również na rekolekcjach kapłańskich które prowadziłem — nad przedziwnym życiem Jana Pawła II. Kiedy miał 9 lat, umarła mu matka. Kilka lat później umarł mu brat. Kiedy miał zaledwie 21 lat, umarł mu ojciec, pozostała tylko dalsza ciotka. I już jako papież napisał, że w tamtym momencie uświadomił sobie, że został sam. Że nie łączą go już żadne bliskie więzi z bliskimi, bo tych bliskich już nie ma. Że wszyscy odeszli, i że przed nim otwiera się przyszłość nowa. I zwróćmy uwagę, że ta przyszłość to jest ten prawdziwy cud. Że oto ten chłopiec pochodzący z Polski, pracujący gdzieś tam na Solvay'u, wychowywany później przez dalszą rodzinę, który podjął studia polonistyczne,

idzie krok po kroku i zostaje papieżem. **Czy nie jest to Abraham XX i XXI wieku?** Przedziwny jest Pan Bóg. Kiedy się zastanawiamy nad niektórymi losami, nad niektórymi życiorysami, to doskonale widzimy, że chce od niektórych ludzi wszystkiego, aby oddali Mu wszystko bez reszty — i przeszłość, i przyszłość. Można by powiedzieć nawet, że Pan Bóg jest zachłanny.

Tak o Bogu również myślał Hiob, kiedy to skarżąc się przed Bogiem — nie czytaliśmy tych fragmentów, ale one w Księdze Hioba są — Hiob zwraca się do Boga i woła do Niego mniej więcej tak: „Dlaczego Ty chcesz ode mnie wszystkiego? Dlaczego swoje oczy wtopiłeś we mnie i domagasz się, żebym Ci oddał wszystko? Czy nie możesz znaleźć sobie kogoś innego? Albo czy nie możesz tej części osiągnąć od kogoś innego? Musisz tak na mnie patrzyć? Czy musisz być moim stróżem, nie mógłbyś dać mi spokoju? ” Otóż popatrzmy — Hiob nie bluźnił, Hiob się skarżył. Hiob traktuje Pana Boga jako partnera. I są ludzie, którzy bywają przez Boga doświadczeni ponad wszelką ludzką miarę. Tzn. którzy doznają takiego ładunku trudności w życiu i przeciwności, że można byłoby tymi przeciwnościami obdarzyć kilka albo kilkanaście osób. Że tym, co przeżywają, można by obdarzyć wiele innych osób i starczyłoby na niejeden płacz, i na niejedno życie. A dzieje się tak, że następuje ta kumulacja.

Zawsze w Piśmie Świętym zadawano sobie pytanie: Dlaczego tak jest? Dlaczego Bóg od jednych wymaga znacznie więcej, niż od drugich? Ale jest to pytanie, które w gruncie rzeczy pozostaje **bez odpowiedzi**. Może odpowiedź znajduje się na kartach Apokalipsy, w Liście do Kościoła w Laodycei, gdzie pojawiają się słowa, że: „Ja wszystkich, których kocham, karcę i ćwiczę”.

Przedziwny jest Pan Bóg w spotkaniu z człowiekiem. Znakiem jego miłości jest umiejętność znoszenia doświadczeń. Abraham doświadczył tego, przeżył to — można by powiedzieć — w każdym calu. Otóż ma złożyć ofiarę ofiarę ze swojej przyszłości, ma złożyć ofiarę z Izaaka.

we lechlecha elerec hammorijja wehaalehu szam leola al ahad heharim aszer omar elecha	*I udaj się, idź właśnie ty, do ziemi Moria* *i złożysz go tam na ofiarę całopalną* *na jednym ze wzgórz, które Ja ci wskaże,* *o którym Ja ci powiem*

A więc to kolejne powołanie to jest powołanie do ofiary z miłości polegającej na tym, że na górze Moria Abraham ma złożyć swojego syna na ofiarę całopalną. Wiemy już dobrze — bo znamy ten fragment — że Bóg powstrzymał rękę Abrahama. Ale Jan Paweł II napisał w swoim „Tryptyku rzymskim” że to, czego Bóg nie wymagał od Abrahama, tego wymagał od samego siebie. I że On, Bóg, własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wydał. Bo przecież góra Moria to jest góra świątyni jerozolimskiej. I to właśnie w sąsiedztwie świątyni został skazany na śmierć Syn Boży, i tam został ukrzyżowany. Więc Abraham staje się znakiem miłości samego Boga. A Izaak, który miał być ofiarowany, staje się znakiem ofiary ze strony Chrystusa. **To, czego Bóg nie wymagał od Abrahama, wymaga od siebie**. Zatem to jest znak — to też są słowa papieża — znak solidarności Boga z ludźmi. Że Bóg pokazuje nam, że On jest nie tylko po stronie cierpiących i prześladowanych, ale że także sam Bóg wie, co to znaczy cierpienie i prześladowania.

I tak dochodzimy do tego, co w naszej wierze najtrudniejsze. Bo sama myśl o cierpieniu Boga, o Bogu cierpiącym, wydaje się absurdalna. A przecież na kartach Pisma Świętego są także słowa, są także odniesienia, że Bóg w jakiś dla nas zupełnie niepojęty sposób przeżywa całe to zło, i nieszczęścia, i brzemię, i cierpienie całego świata. Że Bóg, który jest Miłością, nie jest nieczuły, że nie jest niewrażliwy. Że cierpi z cierpiącymi. Ten motyw, jak państwo pamiętają, został ukazany w sposób bardzo sugestywny, bardzo dyskretny, ale bardzo wymowny, na filmie „Pasja”. Kiedy to tuż po śmierci Zbawiciela, po śmierci Jezusa na krzyżu, kamera nagle jakby kieruje się w niebo, i tam z nieba spada łza. Nawiązanie, czy aluzja, czy taka myśl, taka intuicja, której nie sposób zracjonalizować — że oto Bóg zapłakał, że ta łza Boża spada, bo przecież Bóg nie jest nieczuły wobec tego, co się dzieje. I ten motyw współczującego Boga, Boga miłosiernego, odnajdujemy także i tu. Bóg wymaga od Abrahama poświęcenia, ale jednocześnie sam zna cenę tego poświęcenia. Bóg wymaga od Abrahama wszystkiego, ale jednocześnie daje poznać, że nie jest nieczuły. I zaraz czytamy dalej:

wajjaszkem awraham babboker	*Wtedy wstał Abraham rano*

i mamy konkretne czynności, które opisane są w ten sposób:

wajjahawosz et hamoro	*osiodłał swojego osła*
wajjikah et szene nearaw itto	*i wziął dwóch chłopców*
weet jichak beno	*i Izaaka swojego syna*

Na jeden tylko moment zwrócę jeszcze raz uwagę pod sam koniec. Mianowicie Abraham wstał rano. A więc między powołaniem, a realizacją tego powołania, minęła noc. Ileż to już razy zwracaliśmy uwagę na tę noc Abrahama. Była to na pewno noc zmagania się z Bogiem, noc nieprzespana, noc, gdzie Abraham zadawał sobie pytanie — czy to, co usłyszał, to na pewno jest głos Boży? Czy na pewno ma za tym głosem pójść? Otóż ta noc była najtrudniejszą, najciemniejszą nocą w życiu Abrahama. Potem więc mistrzowie duchowi wskazywali, że niejeden człowiek w swoim życiu takie właśnie ciemne noce przeżywa. Taki właśnie mrok, w którym mu się wydaje, że jest absolutnie sam. Ale okazało się, że po tej najtrudniejszej nocy swojego życia Abraham zabiera się za realizację tego, do czego został powołany. Zaczyna od osła, potem dwóch służących, potem swojego syna, potem bierze krzemień, potem drzewa, które mu będą potrzebne — i tak wspólnie wyruszą.

Podkreślano zawsze, że w tym losie Abrahama, w tym przeznaczeniu Abrahama i Izaaka brało udział również zwierzę, brał udział również osioł. Że Pan Bóg tak świat stworzył, że ludzie grzeszą — ale zwierzęta cierpią. Zwracano na to uwagę, że w Starym Testamencie było tak, iż ludzie popełniali grzechy, ale ofiary składano ze zwierząt. I w związku z tym świątynia jerozolimska była napełniona tym cierpieniem zwierząt, które ponosiły konsekwencje, ponosiły skutki ludzkich grzechów i ludzkich występków. Bo tam, gdzie były ciężkie grzechy, tam potrzeba było większych zwierząt, które składane były na ofiarę. I dopiero Jezus także i z tej strony przyniósł wytchnienie światu, bo kult krwawy został zastąpiony przez kult bezkrwawy. I nie możemy już, czy nie musimy już owych zwierząt na ofiary składać. Dlatego św. Paweł napisał, że „stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia oczekując przybrania ludzi za Synów Bożych". A więc w odnowionym świecie wszystko będzie odnowione — i los ludzi, i przeznaczenie ludzi, i przeznaczenie całego świata. Ufamy także, że i przeznaczenie zwierząt — o tym bardzo rzadko się mówi, również w Kościele bardzo rzadko się mówi, podczas gdy dobrze wiemy, że jest to jeden z tych aspektów teologii stworzenia, który wciąż wymaga pogłębienia i pamięci.

Abraham — bilansując to wszystko — uwierzył Bogu we wszystkim, i zaufał Panu Bogu wtedy, kiedy Bóg od niego wszystkiego wymagał. To jest właśnie ideał wiary. Dlatego w Starym Testamencie nazywany jest „ojcem wierzących", w Nowym Testamencie — „ojcem wierzących", w tradycji religijnej Żydów, chrześcijan i muzułmanów — nazywany „ojcem wierzących". Dlatego wszyscy są o niego zazdrośni. Ale chociaż wszyscy jesteśmy zazdrośni, to znacznie mniej jest takich osób, które chciałyby go we wszystkim naśladować. No bo powołanie jednak kosztuje! I myślę, że wzgląd na to powołanie, zwłaszcza teraz, w okresie Adwentu, daje nam sporo do myślenia. A jeżeli się państwu uda po powrocie do domu znaleźć „Tryptyk rzymski" i przeczytać te fragmenty, które dotyczą Abrahama, na które już kiedyś zwracaliśmy uwagę, to pewnie będzie to dobre dopełnienie dzisiejszej konferencji. Parę zdań zatem, które przeczytaliśmy, komentarz — koniec końców, proszę mi wierzyć, powierzchowny — który daliśmy, i treści, które wydobywamy: Abrahama sprzed ponad 3800 lat przywołujemy jako wzór wiary na dzisiaj. Ale przywołujemy go nie tylko, żeby o nim myśleć, ale także a może przede wszystkim po to, żeby go naśladować.

Jeżeli więc przyjdzie i nam stanąć przed jakąś próbą wiary to pamiętajmy tak, jak Abraham to, cośmy już przeżyli, i bierzmy pod uwagę to, co jeszcze z Bożą pomocą przeżyć możemy, jeżeli to brzemię podejmiemy, z odwagą i bez lęku.

Dziękuję państwu bardzo serdecznie. Nasz czas dobiegł końca. Zapraszam na następną konferencję w drugi poniedziałek stycznia, 10 stycznia 2005 r. A przed świętami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem życzę państwu dużo Bożych łask, Bożego błogosławieństwa, sił od Pana Boga, wszelkiej pomyślności, sił na ten czas, kiedy tych sił potrzeba. Pomyślności we wszystkim, żeby można było także część czasu przeznaczyć dla innych, wszelkiego wsparcia i błogosławieństwa. A na nowy już 2005 rok — ten czas tak leci, że można się tylko dziwić — też wszelkiej pomyślności, i Bożych łask, i dla rodzin, i dla państwa. Dziękuję bardzo.

7.4 Mojżesz — od wiary do ufności (10 stycznia 2005)

Bardzo serdecznie witam w Nowym Roku. To 2005-ty rok już zdążył nam się nawet zestarzeć, bo kończymy 10-ty dzień, a wczoraj rozpoczęliśmy już trzeci tydzień — pierwszy tydzień miał tylko jeden dzień, potem normalny tydzień, i nowy od wczoraj – tak to szybko leci.

W Imię Ojca ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ...

I tak raz jeszcze zaczęliśmy od Modlitwy Pańskiej, od wezwania do Najświętszej Maryi Panny prosząc, żeby Ich obecność i błogosławieństwo nam towarzyszyły nie tylko podczas konferencji biblijnych, ale w ogóle w życiu, w tym roku, który rozpoczęliśmy. I na jego progu raz jeszcze składam państwu najlepsze, bardzo serdeczne, ciepłe, dobre życzenia wszelkiej pomyślności i wszelkiego Bożego błogosławieństwa, z nadzieją że rzeczywiście ten rok będzie dla każdej z pań, i każdego z panów, rokiem dobrym. Takie życzenia sobie składamy na początku każdego roku mając właśnie nadzieję, że Pan Bóg wyjdzie naprzeciwko naszym potrzebom i naszym oczekiwaniom i marzeniom, które mamy. Rzeczywistość bywa rozmaita — dobrze wiemy, że te ostatnie tygodnie bardzo pobudziły nas do poważniejszego podejścia do życia. Rzeczywistość przyniosła sporo zawirowań, także w skali globalnej, pogodowych anomalii. Ogromny wylew morza, to się zdarza ale nie w takim kształcie i nie w takich proporcjach, w taki sposób, jak to miało miejsce. Trzęsienie ziemi, rozmaite inne rzeczy. Gdyby tylko poprzestać na tych wiadomościach, to oczywiście obraz byłby dość ponury. Na szczęście są jaśniejsze strony życia. I właśnie na progu Nowego Roku życzę, żeby tych jaśniejszych było znacznie więcej.

Zabieramy się do konferencji biblijnych. Jak państwo pamiętają postanowiłem, żeby punktem odniesienia był tekst biblijny — taki, jak on brzmi. Słyszę głosy, że jest jest to dla państwa interesujące, że chętnie państwo słuchają tych słów czytanych w języku świętym, w języku hebrajskim, przełożonych na język polski i skomentowanych. Do tej pory przeczytaliśmy sobie trzy teksty. Dwa pierwsze dotyczyły Księgi Hioba i postaci biblijnego Hioba — od niego rozpoczęliśmy refleksję w tym roku. Następny dotyczył Abrahama. Natomiast na dzisiaj przewidziana jest refleksja nad tekstem wziętym z Księgi Wyjścia, który dotyczy Mojżesza. Otóż Mojżesz jest jedną z najbardziej znanych postaci Starego Testamentu. Do niego mamy również wiele wzmianek i nawiązań w Nowym Testamencie. On jest wielkim biblijnym bohaterem wiary. Wiem, że są wśród państwa osoby, które są bardzo przywiązane do postaci Mojżesza, bo on jest takim wielkim filarem, wielkim zwornikiem nie tylko historii biblijnej ale także wiary biblijnej. I dzisiaj zobaczymy na czym ta wiara Mojżesza polegała, a może lepiej — na czym się ona zasadzała, jaki był jej fundament.

Zanim rozpoczniemy lekturę tekstu przewidzianego na dzisiaj, przypomnijmy sobie króciutko kim był Mojżesz, zanim został powołany przez Boga. Bo nawet w tym miejscu rzeczywistość Pisma Świętego odchodzi od naszych przyzwyczajeń i od naszych stereotypów. Zazwyczaj my postrzegamy powołanie przez Boga jako swoistą nagrodę za dobre życie. Uważamy, że jeżeli ktoś jest powołany, to został powołany dlatego, że jest człowiekiem pod każdym względem dobrym, a może nawet wzorowym czy wzorcowym, idealnym. I dlatego wybór Boży jest swoistą nagrodą za dobre życie. Spotykają się jakby, tak przynajmniej sądzimy, dwie wierności. Ktoś jest wierny Panu Bogu, a z kolei Pan Bóg jest wierny temu człowiekowi i wzywa go do spełnienia jakichś zadań. Postrzegamy powołanego i powołanych jako osoby, o których chcielibyśmy żeby były bezgrzeszne, żeby były bez winy. I sądzimy, że Pan Bóg ma upodobanie przede wszystkim w ludziach dobrych. I zapewne tak jest, ale bywają wyjątki. I także historia Mojżesza, zwłaszcza dzieje jego młodości, jest potwierdzeniem tego, że drogi Boże są nieodgadnione. I że Pan Bóg powołuje do wypełniania zadań ludzi, którzy według ludzkiej miary nie zawsze są do tego dobrze przygotowani. A można by nawet powiedzieć — nie zawsze po ludzku biorąc na to zasługują.

Dzieciństwo i młodość Mojżesza znamy z pierwszych dwóch rozdziałów Księgi Wyjścia. Dobrze wiemy, że jeżeli chodzi o dzieciństwo to państwo znają te podstawowe motywy, podstawowe wątki. Mojżesz urodził się w rodzinie Izraelitów. Izraelici przebywali w ziemi Goszem, a potem nad Nilem. A ponieważ ówczesny władca Egiptu zarządził wytępienie hebrajskich chłopców, to między nimi był również i Mojżesz. Na pewno zwrócili państwo uwagę, że mamy tutaj swoisty element biblijnego, a potem żydowskiego humoru. Jest to humor dość dramatyczny, ale jednak humor. Otóż jak dobrze wiemy żydowskość idzie po linii matki — to jest jedna sprawa. A więc zabezpieczeniem żydowskości jest przede wszystkim kobieta. Jeżeli faraon nakazał wymordować chłopców, to oczywiście skierował

swój gniew w niewłaściwą stronę. Dlatego, że dziewczynki, a potem kobiety i tak zostały, i tak żyły, więc naród żydowski nie zostałby wytępiony. W komentarzach żydowskich pojawia się taki wątek, że mamy tutaj do czynienia z antysemitą, który chciał dokuczyć Żydom, tylko uderzył nie w tę stronę, w którą powinien. Mianowicie uderzył w mężczyzn, a nie w kobiety.

Więc to jest takie sarkastyczne podejście do dzieciństwa Mojżesza, do okoliczności narodzin Mojżesza i jego ocalenia. Puszczony w koszyku na wody Nilu został znaleziony pośród sitowia. Na brzegu była również kąpiąca się córka faraona razem z orszakiem innych dziewcząt. Serce jej zmiękło jak młodej dziewczynie, postanowiła ocalić tego chłopca. Tutaj mamy kolejny element humoru — okazało się, że ocalenie przyszło od samej matki. Bo siostra Mojżesza Miriam obserwowała to wszystko, podeszła właśnie w tym czasie i mówi: „Jeżeli chcesz, to weźmiemy to dziecko i wykarmimy dla ciebie". Więc obiecała córce faraona mamkę, a tą mamką okazała się własna matka.

Kiedy Mojżesz podrósł, trafił na dwór faraona. Ileż to tomów zostało napisane na temat tego, z czym mamy tutaj do czynienia — czy jest to historycznie wierne odbicie dzieciństwa Mojżesza, czy mamy raczej do czynienia ze swoistą barwną, piękną legendą. W XIX wieku na terenie Mezopotamii odnaleziono kroniki asyryjskie i babilońskie, które zostały odczytane. Dzisiaj to pismo klinowe jest już nam znane. Pośród rozmaitych zabytków odnaleziono m.in. takie opowiadanie o narodzinach władcy starożytnej Asyrii, który miał na imię Sargon. I okoliczności narodzin Sargona bardzo przypominają okoliczności narodzin Mojżesza. Zasugerowano, że być może było tak, że okoliczności narodzin Mojżesza były stylizowane na wzór tamtych. Że mamy do czynienia z taką piękną rozbudowaną legendą, a legenda to jest pamięć karmiona uczuciem.

Mniejsza o to, czy była to legenda, i w jakim stopniu była to legenda. Faktem jest, że Mojżesz istnieje, że przeżył to wszystko. Państwo doskonale wiedzą, że pominąwszy takie okoliczności, kiedy na świat przychodzą ludzie w naprawdę wielkich rodach, to na ogół jest tak, że o okolicznościach naszych narodzin chcielibyśmy wiedzieć znacznie więcej, niż wiemy. I o okolicznościach narodzin wielu sławnych ludzi też chcielibyśmy wiedzieć znacznie więcej. To, co nastąpiło później, było ważniejsze. Mianowicie Mojżesz jest wychowywany na dworze egipskim. Jako młody chłopak staje się nadzorcą robót. Po prostu dogląda Egipcjan, a także Izraelitów, którzy pracowali w polu. I pewnego dnia zobaczył Egipcjanina, który bił Izraelitę. Tutaj mamy jeden z kluczowych punktów całej Księgi Wyjścia. Mianowicie poruszony odruchem solidarności ze swoim ziomkiem uderzył Egipcjanina tak nieszczęśliwie, że ten człowiek zmarł. Proszę zatem zwrócić uwagę, że Mojżesz stał się zabójcą. Co prawda nie chciał tego zabójstwa, nie chciał zabić, ale stało się. Stał się zabójcą nieumyślnym. Czy jest to dobra okoliczność do wyboru przez Boga? Jak jednak się okazuje, mimo wszystko Mojżesz został przez Boga do tego posłannictwa wybrany.

A więc Mojżesz ma za sobą taki ciężki, ponury epizod. I druga część tego samego epizodu. Minęło parę dni, i widzi dwóch Izraelitów, którzy kłócili się między sobą, bili się między sobą. Wtedy Mojżesz zwraca się do nich z napomnieniem: „Bracia, dlaczego się kłócicie? Dlaczego się bijecie? Przecież jesteście braćmi!" I usłyszał to, co w takiej sytuacji usłyszał niejeden: „A kto cię ustanowił rozjemcą pomiędzy nami? A może chcesz mnie zabić tak, jak zabiłeś tego Egipcjanina?" Mojżesz zrozumiał, że sprawa z Egipcjaninem jest już znana, i że nie ma czego szukać nad Nilem. Schronił się na Półwysep Synajski. Wśród państwa jest co najmniej kilkadziesiąt osób, które pamiętają drogę znad Nilu, z Kairu na Synaj. To jest dobrze ok. 450 km, droga pośród pustyni, a później nad Morzem Czerwonym. Synaj był w tamtym czasie starożytnym taką ziemią zbiegów, ziemią uciekinierów, ziemią wyjętych spod prawa. Na Synaju nie było żadnej liczącej się władzy politycznej. Co prawda Egipcjanie mieli tam swoje kopalnie, m.in. wydobywali turkusy, wydobywali również złoto. Ale władza polityczna tam nie sięgała. I na Synaju, który jest potężnym terytorium, chroniło się wielu takich zbiegów. Pomiędzy nimi był również i Mojżesz.

Moglibyśmy powiedzieć tak: w tym miejscu — zaledwie streściłem dwa pierwsze rozdziały Księgi Wyjścia — całe to opowiadanie mogłoby zostać przerwane. Moglibyśmy powiedzieć, że tak dobrze zapoczątkowana kariera człowieka skazanego jako niemowlę na śmierć, przeszła przez taki etap, że sam stał się zabójcą a potem musiał być zbiegiem. Wiemy jeszcze, że schroniwszy się na Synaju spotkał przy źródle dziewczyny, które przyszły napoić swoje owce. Pomógł im, w ten sposób wpisał się w ich łaski. One zabrały go do swojego namiotu, tam poznał ich ojca. I dalszego ciągu można się już domyślać: mianowicie wszedł w tę rodzinę, ponieważ ożenił się z jedną z tych dziewcząt. Otrzymał zatem w udziale i żonę, i trzodę, i teścia, i teściową czyli otrzymał zupełnie nową rodzinę

niż ta, w której przyszedł na świat, w której się wychował.

Można by powiedzieć: dobrze, czy w tej nowej atmosferze miał jeszcze coś do zrobienia? I tu dochodzimy do tekstu, od którego chciałbym zacząć dzisiejszą lekturę. Ten tekst w języku hebrajskim brzmi tak:

umosze haja roe et-con jitro hotno kohen

haja — *był,* roe —*pasterz. A Mojżesz był pasterzem trzody Jetro, swojego teścia kapłana.* Więc proszę zwróćmy uwagę, że ta dobrze początkowo zapowiadająca się kariera egipskiego urzędnika skończyła się karierą zbiega i uciekiniera. A potem nastąpił epizod pasterzowania. Kiedy my mamy w głowie obraz pasterza, to nam się kojarzą pasterze z gór. Oczywiście życie pasterskie na Bliskim Wschodzie wyglądało pod wieloma względami inaczej. Być pasterzem na Bliskim Wschodzie to mieć spokojnie zapewniony byt. Dlatego, że owce dają pokarm — wprawdzie trzeba się o nie troszczyć, ale odwdzięczają się tym, że nikt z głodu i biedy przy owcach nie umrze.

Był więc pasterzem. Zwróćmy uwagę, że i Abraham był pasterzem, Mojżesz był pasterzem, potem Dawid był pasterzem. I ta częsta rzeczywistość pasterska spowodowała, że przeniesiono to nawet w pobożności Starego Testamentu w ogóle do religijności i do wiary. I wiedzą państwo, że jednym z najpiękniejszych psalmów jest Psalm 23: *Pan moim pasterzem.* To już nie człowiek pasie owce, ale człowiek jest pasiony, karmiony przez Boga, który się człowiekiem opiekuje.

Pan moim pasterzem
nie brak mi niczego
na zielonych pastwiskach pozwala mi leżeć

Ten słynny przepiękny psalm, bardzo często wykonywany tam, na Bliskim Wschodzie, gdzie w ogóle o zielonych pastwiskach można naprawdę marzyć, bo one są tylko w porze deszczowej, a potem wysychają. I Mojżesz stał się pasterzem trzody człowieka, który miał na imię Jetro, i który był kapłanem. Oczywiście był kapłanem pogańskim. Dlatego, że musimy zdawać sobie sprawę, że w starożytności ludzie byli bardzo religijni. Również dzisiaj są religijni, tylko dzisiaj jest więcej okazji do zabobonów, do przesądów, do sztucznej religijności, do parareligijności, do quasi-religijności, do parodiowania religijności. I niektórzy, zwłaszcza ci, którzy są bardzo wrażliwi, właśnie w takich formach religijności kończą. W starożytności — co jest przedziwne z punktu widzenia historii religii — takich zabobonów było mniej, religijność była bardziej autentyczna. I również na Synaju te plemiona koczownicze to były plemiona religijne. A wyznawane przez nie religie to były tzw. *religie astralne,* czyli religie ciał niebieskich. Dlatego, że od ciał niebieskich zależał cały rytm życia — słońce w dzień, księżyc nocą, gwiazdy nocą. I w związku z tym wystarczyło, żeby w dowolnej chwili wykonać jakieś gesty pobożne i rozpocząć modlitwy do słońca, do księżyca, do gwiazd. Tak jest po dzień dzisiejszy. Czasami widzi się takie obrazki na Synaju, u Beduinów, którzy oczywiście dzisiaj żyją zupełnie inaczej, niż dwa czy trzy tysiące lat temu. Ale czasami, zwłaszcza w początkach lat 90-tych, można było widzieć Beduina, który o określonej porze dnia, a zwłaszcza wieczorem, podobnie jak Arab, ale to nie jest religia arabska, to nie jest islam, tylko to są te formy religii astralnych, siadał, albo klękał czy skłaniał się w głębokim półukłonie w kierunku księżyca czy w kierunku gwiazd, i modlił się. I tak było również w starożytności.

Jetro tym różnił się, że był kapłanem. A funkcją, zadaniem kapłana, jest zawsze składanie ofiar. A ponieważ miał trzodę, bo to były jego owce, no to oczywiście z tych owiec składał ofiary Panu Bogu. I możemy się tu dopatrzeć jakiejś analogii do tego epizodu Kaina i Abla, z których jeden był pasterzem, a drugi był rolnikiem, i też uwielbiali Pana Boga przez ofiary.

wajjinhag ethaccon ahar hammidbar — *I zaprowadził*

ethaccon — to jest *trzoda,* ale taka mała trzoda, owce albo kozy. Gdyby autor chciał powiedzieć „same owce", to by nazwał owce owcami. Ale mówi haccon — więc to jest trzoda, owce i kozy. Między nimi były białe, i czarne, i brązowe itd. Zaprowadził te małe zwierzęta ahar hammidbar — *za pustynią.* To bardzo ciekawe wyrażenie, bo ono pokazuje, że „prowadził je tak, jak pustynia mu na to pozwoliła". Bo przecież nie wszędzie na pustyni można chodzić. Pustynia jest piaszczysta, jest kamienista. Na Synaju są także góry. Więc tam, gdzie pustynia pozwoliła mu pójść, to on poszedł. Proszę zwrócić uwagę, że kiedy czytamy Pismo Święte w oryginale, to oczywiście ono mówi nam znacznie więcej, niż po polsku. Dlatego, że po polsku nie sposób tego dokładnie przełożyć,

przetłumaczyć — bo i struktura naszego języka jest inna, i rzeczywistość nasza jest inna. My nie mamy takiego doświadczenia pustyni, jak oni mają. A oni pamiętają, że trzeba pójść „za pustynią", trzeba pustyni słuchać, trzeba być jej posłusznym.

wajjawo el har ha elohim horewa	*I doszedł do góry Boga Horew*

Doszedł do góry Bożej. Może tam składano ofiary Bogu częściej? Może dla tamtejszych pogańskich plemion koczowniczych była to góra szczególna? Ta góra nosi nazwę Horew, czasami jest nazywana Synaj. Cały ten półwysep jest nazywany Synajski, i ta jedna góra bywa nazywana Synaj. Ale też jest nazywana Horeb. To Synaj i Synaj jest nieco mylące, bo to trochę tak jak Meksyk i Meksyk. Meksyk to jest cały duży kraj, ale Meksyk to jest także stolica tego kraju. Ta góra ma ok. 2400 m wysokości, zdecydowanie wyróżnia się w swoim paśmie. Są wśród państwa osoby, które miały szczęście na niej być albo przynajmniej z daleka ją oglądać, jeśli ktoś nie był w stanie wejść. I tam u podnóża Synaju, gdzieś na wysokości 1500 m, jest dość znacząca dolina. I właśnie tam miałoby się wydarzyć to, o czym w Piśmie Świętym czytamy.

wajjara malach adonaj elaw	*Otóż ukazał mu się wysłannik Pański*

Ukazał mu się anioł Pański, pozwolił mu się zobaczyć anioł Pański. Zwróćmy uwagę — nie sam Bóg, tylko anioł Pański ukazał się Mojżeszowi. Niestety nie wiemy, nie potrafimy wyjść poza tę rzeczywistość, nie potrafimy tego anioła opowiedzieć, opisać. Musimy wyznaczyć granice naszej wyobraźni. W każdym razie Mojżesz przeżywa coś niezwykłego.

belabbatesz mittoch hassene	*w płomieniu ognia ze środka krzewu*

A więc możemy sobie wyobrazić krzew, a w środku tego krzewu płomień ognia. I ten płomień ognia gdzieś tam z krzewu się wydobywa.

wajjar wehinne hassene boer baesz wehassene enennu ukbal	*i patrzył, a oto krzew płonie ogniem* *ale krzew się nie spala, ale krzew się nie strawia, nie spłonął*

Czyli gdybyśmy próbowali to sobie wyobrazić, widzimy w środku tego krzewu płonący ogień, żywy ogień, ale krzew się nie spala. Przedziwne zjawisko. Jeden az w całej historii zbawienia ukazuje się anioł Pański czy sam Pan Bóg właśnie w taki sposób, jako ogień, jako ogień z płonącego krzewu. Ten krzew bywa nazywany *krzew płonący,* bywa nazywany *krzew gorejący.* Botanicy dochodzili co to jest za krzew, nazywano go na rozmaite sposoby. Natomiast jedna taka roślina istnieje na Synaju, dzisiaj oczywiście nie płonie, i wokół tej rośliny w połowie VI wieku wybudowano klasztor. Klasztor przetrwał do dnia dzisiejszego. I takim punktem centralnym tego klasztoru jest kaplica krzewu gorejącego, i sam ten krzew w środku. Klasztor jest pod wezwaniem św. Katarzyny. Jest to klasztor prawosławny, jeden z najbardziej znanych klasztorów na świecie, o niezwykle czcigodnej prastarej tradycji. Państwo pamiętają, że w lutym 2000 roku do tego klasztoru udał się również po raz pierwszy w dziejach Kościoła papież Jan Paweł II, który bardzo chciał przeżyć swoje spotkanie z tym krzewem gorejącym. Krzew gorejący ma swoje osobne miejsce w życiu Jana Pawła II. Otóż Ojciec Święty był w Ziemi Świętej w roku 1964. Jak łatwo obliczyć miał wtedy 44 lata, był już od kilku lat biskupem — proszę zwrócić uwagę na tę niesłychaną szybkość na drodze, którą Pan Bóg go prowadził — i był podczas obrad Soboru Watykańskiego II. I w swoim pamiętniku, który zostawił później, i w liście do kapłanów archidiecezji krakowskiej, napisał ówczesny biskup, że jego wielkim pragnieniem był wyjazd z Ziemi Świętej również na Synaj, aby doświadczyć tego krzewu gorejącego. Ale nie było mu to dane. I wspomina, że kiedy wracał samolotem z powrotem do Rzymu, to wtedy samolot przelatywał nad Synajem, a on bardzo przeżywał to, że gdzieś tam na dole jest ten krzew gorejący.

Trzeba powiedzieć, że ten krzew gorejący zawsze przyciągał tłumy pielgrzymów, turystów. Tak się dzieje po dzień dzisiejszy. I oczywiście ci z państwa, którzy mieli szczęście być na Synaju, tę przygodę z krzewem gorejącym bardzo dobrze pamiętają, bo to jest jedno z największych przeżyć w tamtym rejonie świata. Zazwyczaj jednak dzieje się tak, że oglądamy go po zejściu z góry Synaj. Więc bardzo wielu pielgrzymów jest już tak zmęczonych, że ledwo całą sprawę pamięta. Kiedy oglądamy dzisiaj ten krzew, rodzi on jakieś poczucie rozczarowania. Bo wydaje się, że będzie to jakiś krzew złoty, niezwykły, dziwny. Tymczasem widzimy najzwyczajniejszą roślinę na świecie, tym różniącą się od innych, że przez cały rok jest zielona, i jest tam w tym miejscu na pewno półtora tysiąca lat. A skoro wybudowano klasztor w tym miejscu, musiała zatem istnieć tradycja dotycząca tego płonącego krzewu. Czytamy dalej:

wajomer mosze asuranna weere et hammare haggadol hazze

Powiedział Mojżesz — powiedział do siebie oczywiście — asuranna *przybliżę się, zbliżę się, aby zobaczyć to wielkie zjawisko, tę wielką osobliwość.* A więc Mojżeszem kieruje ciekawość. Na razie nie zdaje sobie sprawy z tego, czym będzie ta największa przygoda jego życia. Chce po prostu zobaczyć, co to za zjawisko.

maddua lojiwar hassene	*dlaczego nie spala się krzew*

Płonie, ale się nie spala. Więc Mojżeszem kieruje ciekawość — taka zapewne, jaką kierowałby się każdy i każda z nas. Mojżesz chce zobaczyć, dlaczego ten krzew płonie, ale się nie spala. Otóż większość przygód naszego życia, także większość przygód duchowych, rozpoczyna się od rzeczy zwyczajnych. Największym cudem, jakiego możemy w życiu doświadczyć, to jest zwyczajność. Tylko, że przyzwyczajeni do zwyczajności nie potrafimy nieraz odczytać jaką ma ona dla nas, czy może mieć dla nas, wymowę. Mojżesz zobaczył coś, co w jego zwyczajnym życiu było niezwyczajne i to zapoczątkowało rzecz zupełnie nową.

wajjar adonaj kisar lireot wajjikra elaw	*a wtedy ujrzał Pan, że blisko podszedł*

Zbliżył się, żeby zobaczyć, podszedł zbyt blisko, i rzekł do niego:

elohim mittoch hasene	*I rzekł do niego Bóg ze środka krzewu*
wajomer	*rzekł tak:*
mosze mosze	*Mojżeszu, Mojżeszu*

Otóż to mosze to jest hebrajska forma *Mojżesz:* Mojżeszu, Mojżeszu. Bóg zwraca się do niego po imieniu! Tak było z Abrahamem, kiedy Bóg zwraca się po imieniu do Abrahama. Tak jest z Mojżeszem, kiedy dwa razy zwraca się do niego po imieniu. Tak jest z każdym powołaniem indywidualnym kiedy człowiek czuje, że Pan Bóg wymaga od niego czegoś, co tylko z nim jest związane. „Wezwałem cię po imieniu" — czytamy w niektórych psalmach. I tutaj mamy ten sam motyw wezwania głęboko osobistego, głęboko indywidualnego. Czasami bywamy pytani o to, co to znaczy być powołanym, jak człowiek doświadcza tego powołania. Na pewno każdy, kogo to dotyczy, doświadcza tej właśnie intymności, tej osobowej i osobistej strony powołania.

wajjomer hinneni	*a on odpowiada: oto jestem*

To hinneni na kartach Starego Testamentu pojawia się bardzo często. *Oto jestem.* „Oto jestem" wyraża gotowość. „Oto jestem" wyraża podatność na to, co się stanie. To nie jest tylko zwyczajna odpowiedź „Jestem", tylko „Jestem po to, żeby Ci odpowiedzieć. Jestem po to, żeby wykonać to, czego chcesz." A więc gotowość ze strony powołanego. Spotykają się dwie żywe osoby — jedna, o której niewiele możemy powiedzieć, ale to wcale nie znaczy, że nie istnieje. Bo nawet jeżeli są ludzie którzy twierdzą, że Boga nie ma, to z tego wcale nie wynika, że Bóg nie istnieje. Więc i tu, w tym przypadku mamy też tę obecność Boga i obecność człowieka, który jest gotowy, żeby Bożą wolę wypełnić.

wajjomar altikraw halom	*i rzekł do niego: nie zbliżaj się tutaj, nie podchodź tutaj*

Pomiędzy człowiekiem a Bogiem zawsze powinien być jakiś dystans, jakiś przedział. To nie jest tak, że możemy Pana Boga dotknąć, posiąść, mieć Go na swoją własność. Mojżesz też usłyszał, że jest jakaś granica, której przekroczyć nie powinien: „Nie zbliżaj się tutaj!"

szalnealeha meal raglecha ki hammakom aszer atta omed alaw admatkodesz hu

szalnealeha meal raglecha — to brzmi prawie jak wiersz. *Zdejmij sandały* meal raglecha — *ze swoich nóg.* Zdejmij sandały z nóg. To właśnie dlatego, że Mojżesz otrzymał polecenie zdjęcia sandałów z nóg, przynajmniej jedna z wielkich tradycji monoteistycznych, mianowicie islam, zachowuje tę samą tradycję. To dlatego muzułmanie przed wejściem na modlitwę zdejmują sandały z nóg, dlatego modlą się boso. To jest początek tego zwyczaju. Oni odwołują się do powołania Mojżesza, bardzo mocno podkreślają, że chcą spotykać się z Bogiem tak, jak Mojżesz. Proszę zwrócić uwagę, że w każdej religii ogromne znaczenie spełnia splot z kulturą. Ten splot z kulturą jest bardzo ważny, bo popatrzmy — w naszej religii chrześcijańskiej mężczyźni zdejmują czapki z głowy na modlitwę. W religii żydowskiej mężczyźni obowiązkowo zakładają nakrycia głowy na modlitwę. A w religii muzułmańskiej wszyscy zdejmują buty z nóg. A więc takie podstawowe uwarunkowania, gdzie mamy ten splot kultury i pobożności. I czasami jedni drugich nie rozumiemy, ale zdajemy sobie sprawę z tego, że potrzebny jest szacunek wobec tego drugiego człowieka. Ileż razy to jest tak, że kiedy widzimy meczety, albo mamy okazję być w meczecie czy też w jego pobliżu, to widok muzułmanów

zdejmujących buty natychmiast nas strasznie dziwi. Natomiast reakcja Polaków jest zawsze mniej więcej jednakowa. Nie tyle jesteśmy poruszeni tym, że oni zdejmują buty, tylko zawsze jest pytanie czy butów nikt nie ukradnie. Nasza troska idzie w tym kierunku. Otóż u nich ta tradycja jest tak mocno zaszczepiona, , że nie sposób sobie wyobrazić, żeby przyszło im do głowy, że pod meczetem będzie buszował ktoś, kto zabiera co lepsze buty tym, którzy się modlą. Muzułmaninowi to nie przyjdzie do głowy, bo to jest świętokradztwo. Ale gdyby komukolwiek przyszłoby to do głowy, to zapamiętałby to na całe życie.

Więc z całą pewnością można i trzeba spokojnie zdjąć buty. Zwróćmy uwagę — początki są tutaj, u Mojżesza. Zdejmij sandały z nóg twoich ki hammakom aszer atta omed. alaw — to jest *miejsce. Bo miejsce, na którym teraz stoisz* admat kodesz hu — *jest to ziemia święta.* Słowo admat jest bardzo ciekawe. W ogóle ten hebrajski jest bardzo ciekawy. adama znaczy *ziemia.* I na pewno państwu przypomina imię *Adam.* Otóż ponieważ rzeczowniki, czasowniki, słowa hebrajskie wywodzą się z podstawowego rdzenia, to rdzeniem w tym admat jest a-d-m, to znaczy *czerwony.* Otóż pierwszy człowiek – Adam, w ogóle człowiek i mężczyzna to jest adam, bo gdy człowiek się rodzi to rodzi się we krwi, i jest czerwony. Ziemia w Ziemi Świętej jest czerwona, mocno brunatna, a więc adama. Kraina obok, taka bardzo czerwona kiedy słońce zachodzi i rzuca promienie, nosi nazwę Edom. A więc i tu: Ziemia, na której stoisz, jest święta. Ta ziemia to jest adama.

Proszę zwrócić uwagę również na taką koncepcję świętości. *Święty* po hebrajsku nazywa się kodesz. I święty nie jest pojmowany tak, jak my pojmujemy, na wzór moralny, na podobieństwo osoby cnotliwej czy osoby dobrej. Otóż *święty* — kodesz, znaczy po hebrajsku *inny, odmienny.* Zatem ziemia, na której stoisz, jest inna, niż ziemia dalej. Dlaczego jest inna? Dlatego, że jest dotknięta obecnością Boga. Każde miejsce, na którym człowiek się modli, jest dotknięte obecnością Boga. A dlaczego? Również dlatego, że ta obecność staje się udziałem tego miejsca poprzez ludzką modlitwę. Zatem miejsce, na którym się modlimy, nabiera wartości świętości. Stąd wezwanie do tego, by uświęcać Ziemię, tzn. by na niej się modlić. Nie tylko sanktuaria, które są ze swojej natury miejscami świętymi, ale żeby jak najwięcej miejsc nabierało wartości miejsc świętych. I dalej: wajjomer — *i rzekł* (chodzi o Boga), anochi elohe awicha. anohim to jest taka długa forma *Ja* podkreślająca, przedstawiająca siebie. *Ja jestem Bogiem twojego ojca.* I czytamy:

elohe awraham	*Bogiem Abrahama*
elohe jiccak	*Bogiem Izaaka*
welohe jaakow.	*i Bogiem Jakuba*

wajjaster mosze panaw	*Wtedy zakrył Mojżesz swoją twarz*
ki jare mehabbit elha elohim	*bo bał się, bo lękał się spojrzeć na Boga*

Bóg przedstawia się Mojżeszowi jako Bóg jego ojców, Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba. Czy Mojżesz znał te imiona? Na pewno tak. Inaczej ta autoprezentacja, to samoprzedstawienie Pana Boga byłoby dla niego nieczytelne. Znał imiona swoich praojców dlatego, że były przekazywane przez jego rodzinną tradycję. Bóg ukazuje się Mojżeszowi jako ktoś, kto już go prowadził, zanim jeszcze Mojżesz przyszedł na świat — jako Bóg przodków, jako Bóg ojców. Tutaj dochodzimy do wątku, na który wczoraj zwróciłem uwagę w homilii. Mianowicie do napięcia i do wzajemnego uzupełniania się, jakie stale istnieje między wiarą a tradycją. Otóż wiara jest czymś osobistym. Nie potrafimy powiedzieć, czy Mojżesz wtedy wierzył Panu Bogu, czy wierzył w Boga bardzo głęboko, bo przecież był wyrwany z całego swojego rodzinnego kontekstu. I również w naszym życiu, i w życiu naszych bliskich, wiara może się chwiać. Albo wiara może płowieć, czy może słabnąć. Wiara wymaga impulsów, wsparcia, przekonywania, odnowy, umacniania. Ale obok wiary istnieje drugi bardzo silny kanał, który jest podstawą tożsamości każdego człowieka — mianowicie tradycja. I tam, gdzie wiara słabnie, to ocaleniem dla człowieka może być przylgnięcie do tradycji. Zwróciłem wczoraj uwagę choćby na taką możliwość, że np. ktoś może przeżywać trudności w wierze, czy wątpliwości. I z tego tytułu nie oczekuje tak mocno na święta Bożego Narodzenia. Ale święta przychodzą, widzi sianko, widzi obrus, widzi rodzinę, widzi choinkę, widzi prezenty. I cały ten kontekst w tradycji tak do niego silnie przemawia, że zaczyna się w nim ożywiać to, co wewnętrzne — wiara i tradycja.

I u Mojżesza teraz pojawia się ten czynnik, który okaże się bardzo ważny, mianowicie tradycja. Bóg przypomina Mojżeszowi to bardzo silne osadzenie w tradycji. Ja sądzę, że dzisiaj za mało mówi

się o tradycji, za mało się tradycję rozwija. Choć jest już może lepiej, niż było. Nawet w środkach masowego przekazu o tradycji, czy o tradycjach, mówi się częściej. Ale sądzę że takim najlepszym kontekstem, najlepszym środowiskiem dla tradycji jest na pewno rodzina. I na pewno warto ojczyste tradycje rozwijać po to, żeby w okresie kryzysu człowiek — niezależnie od tego czy młody, dorosły, czy starszy — miał na czym bazować, miał na czym się oprzeć. Gdy mu zabraknie wiary, to wtedy pojawi się tradycja.

I tak jest również w przypadku Mojżesza. Bóg przedstawia mu się, jako Bóg jego ojców. A reakcja Mojżesza jest taka, że zasłonił twarz, bo nie chciał patrzeć na Boga, nie mógł patrzeć na Boga. W starożytności istniało przekonanie, że jeżeli ktoś by zobaczył Boga albo bóstwo, to musi umrzeć. Otóż trzeba zasłaniać — tak sądzono — swoje oczy przed Bogiem i wobec Boga także z tego względu, że w gruncie rzeczy nie sposób Boga zobaczyć. Bóg jest, jak to się mądrze mówi, aikoniczny, czyli nie sposób Go przedstawić, nie sposób Go ujrzeć oczami, bo On przynależy do zupełnie innego porządku niż ten, który widzą oczy. I dalej:

wajjomer adonaj rao raiti etoni ammi aszer bemicrajim	*I dodał Pan: Uważnie widziałem, uważnie przyglądałem się uciskowi mojego ludu w Egipcie*

Okazuje się, że ten ucisk, którego doświadczyli Izraelici, którego doświadczyli Hebrajczycy — bo to dwie nazwy tego samego ludu — nie był nieznany Bogu, ani też Bóg wobec tego ucisku nie był nieczuły. I tutaj dochodzimy do jednego z najbardziej kluczowych, najbardziej fundamentalnych tematów, i najbardziej fundamentalnej kwestii, która w zakresie wiary religijnej jest ważna po dzień dzisiejszy. W świecie dzieją się różne rzeczy — trzęsienia ziemi, kataklizmy, powodzie, przemoc, gwałt, wojny, zabójstwa. Gdy dzieją się rzeczy dobre, to tylko niektórzy umieją dziękować Bogu, tylko niektórzy umieją Boga wielbić. Na przykład ktoś jedzie na przepiękne plaże, i tylko dla niektórych jest to okazja, żeby uwielbić Boga. Zdecydowana większość żyje tak i przeżywa to piękno tak, jakby Boga nie było. Natomiast kiedy przychodzi zło, kataklizm, to wtedy obwinia się Boga za to, co się dzieje. Obwinia się Pana Boga i czyni Mu się zarzuty. Czasami mówi się, że nie istnieje. Więc jeżeli nie istnieje, to nie ma wobec kogo zarzutów stawiać. Natomiast jeżeli istnieje, to jest to jeszcze jedna okazja do zarzutu bo mówi się, że jest dobry — ale coś takiego sprawił. Otóż proszę zwrócić uwagę, że dotykamy tutaj jednego z najtrudniejszych punktów, o których żeśmy mówili w przypadku Hioba. Na świecie istnieje cierpienie. I na świecie istnieje wiele niezawinionego cierpienia, wiele cierpienia sprawiedliwych, wiele cierpienia niewinnych. Bóg nie jest wobec tego cierpienia milczący. Bóg ceni to cierpienie, i widzi jego sens. My nie potrafimy tego odczytać dlatego, że nie jesteśmy Bogiem. Ale tutaj, choćby w tym także słowie widać że: *widziałem, patrzyłem, przypatrywałem się uciskowi mojego ludu w Egipcie.* Otóż Bóg patrzył na to wszystko, co się dzieje. Widział ten ucisk. Można by powiedzieć — przeżywał ten ucisk. Państwo pamiętają — raz jeszcze przywołam ten bardzo piękny motyw z filmu „Pasja", kiedy to po śmierci Jezusa na krzyżu z nieba spada na ziemię łza. Otóż ta łza to jest płaczący Bóg, symboliczne przedstawienie tego, że Bóg wobec śmierci swojego Syna nie jest nieczuły. Ta łza spada na ziemię i daje poznać, że Bóg to widzi.

weetcaakatam szamati mippene nogsaw ki jadati et machowaw	*I ich wołanie słyszałem* *i usłyszałem ich narzekanie, słyszałem ich jęki* *od tych, którzy ich bili, którzy w nich uderzali*

I usłyszałem ich machowaw — to są *ich jęki, ich narzekania.* A więc to wszystko, co trudne, nie tylko dochodziło do Pana Boga. Bóg widział ucisk, słyszał narzekania i słyszał cały ten jęk. Można by powiedzieć, że cały czas w świecie dokonuje się bardzo wiele zła. Także teraz, gdy my tutaj spokojnie siedzimy, to ktoś gdzieś płacze, ktoś jest poniewierany, ktoś cierpi, ktoś jest przesłuchiwany, ktoś jest być może zabijany. W każdej sekundzie na świecie umiera przeciętnie ok. dwoje ludzi. Więc w każdej sekundzie do Boga unosi się jakiś straszliwy jęk. A do tego dochodzi jeszcze jęk całego stworzenia, bo przecież cierpienie nie dotyczy wyłącznie ludzi, tylko całe stworzenie jest w bólach rodzenia, jak mówił św. Paweł. Więc całe stworzenie przeżywa to, że są głodne i cierpiące zwierzęta itd. Bóg nie jest wobec tego bezsilny. Taki jest świat dzisiaj, świat odnowiony będzie inny — zapewnia Pismo Święte. Natomiast ci, którzy są powołani przez Boga jak Mojżesz, słyszą że Bóg wobec tego wszystkiego nie jest nieczuły.

waered lehaccilo mijjad micrajim	*I zstąpiłem, i zszedłem, żeby go wybawić z ręki Egipcjan*

Lehatsilo to jest taki czasownik nasal, dosłownie *wyrwać,* jak się zabiera żywą istotę zwierzęciu, które ma ją w szponach. Tak Bóg również wyrywa Izraelitów z rąk ich prześladowców, żeby ich ocalić, żeby ich wybawić.

ulehaaloto minhaarec hawiw elerec towa urehawa	*i wyprowadzić go z tej ziemi do ziemi dobrej i szerokiej, przestronnej*
elerec zawat halaw udewasz	*do ziemi opływającej z mleko i miód*

Otóż ten naród uciskany otrzymuje perspektywę nową — do ziemi opływającej mlekiem i miodem. Ziemia Święta jest na pewno ziemią bardzo bogatą pośród innych krajów Bliskiego Wschodu.

elmeakom hakkenaani wehahitti	*do ziemi, która była ziemią Kaananejczyka i Hetyty*

Otóż ta ziemia nie była pusta, była zamieszkała. Ale Bóg rozpoczyna nową historię zbawienia.

weatta hinne caakat bene jisrael boa elaj	*a teraz oto płacz, oto wołanie synów Izraela przyszło do mnie*

Otóż to wołanie jest jak dym, który wznosi się z ziemi i dociera do Pana Boga. To wołanie ma taki ciężar fizyczny. Kiedy człowiek płacze, albo kiedy płacze całe stworzenie, albo kiedy wielu ludzi narzeka, jest uciskanych, to rodzi się jakaś niesprawiedliwość która jest tak jak ciężar, który podnosi się do Pana Boga.

wegamraiti et hallahac aszer micrajim lohacim otam	*i widziałem też ten ucisk, tę krzywdę, którą Egipcjanie im wyrządzali*

Zwróćmy uwagę — z jednej strony niesprawiedliwość, taka krzywda psychologiczna, psychiczna, kiedy człowiek skarży się do Boga. Z drugiej strony ta niesprawiedliwość społeczna, kiedy człowiek jest uciskany i wykorzystywany. Te dwie strony, te dwa obrazy niesprawiedliwości dają o sobie znać. Jeden i drugi jest jednakowo ważny. Jeden i drugi pozostaje tak samo Bogu nieobojętny. Bóg roztacza tę wizję wyjścia Izraelitów z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Tu musimy opuścić kawałek tekstu ze względu na czas. I wtedy pojawia się oczywiście — bo musiało się pojawić — wątpliwość czy podstawowe pytanie:

wajjomer mosze el ha elohim	*Wtedy rzekł Mojżesz do Boga:*
hinne anochi wa el bene jisrael	*oto ja przyjdę, oto ja przychodzę do synów Izraela*
weamarti lahem	*i powiem im*
elohe awotechem szelahani alechem	*Bóg moich ojców mnie posłał do was*
weamru	*a oni mi powiedzą*
maszemo	*Jak On ma na imię? Jakie jest Jego imię?*
ma omar alehem	*To co ja im odpowiem?*

Proszę zwróćmy uwagę, że Mojżesz zadaje jak najbardziej racjonalne pytanie. Nie odrzuca swojego powołania, nie odrzuca tego wezwania, ale powiada: Gdy pójdę do swoich rodaków, a oni mnie zapytają: A kim jest ten Bóg, jakie jest Jego imię, to co mam odpowiedzieć? Dlaczego to imię jest ważne, to objawienie imienia jest ważne? Dlatego, że znając imię Boga można będzie Go wzywać, można będzie się do Niego modlić. Można będzie czuć większe bezpieczeństwo. To tak, jak w relacjach pomiędzy ludźmi. Spotykają się dwie osoby zupełnie nieznajome sobie i najpierw się sobie przedstawiają. Otóż to przedstawienie się tworzy pewne więzi, pewne poczucie bezpieczeństwa. Wiemy, że możemy tę osobę wezwać, nazwać po imieniu, że ona obróci się, że przyjdzie z pomocą w razie potrzeby. Możemy też bardziej tego człowieka wyczuć itd. Dobrze wiemy, że w rozmaitych społeczeństwach przedstawienie się to jest sam początek wszystkiego. Ci z państwa, którzy byli na Bliskim Wschodzie, dobrze wiedzą, że arabskie dzieci biegają bez przerwy za turystami czy za pielgrzymami, którzy przyjeżdżają autobusem. I pierwsza rzecz, pierwsze pytanie: „What's your name?" „Jak masz na imię?" Tak jest wszędzie, w Egipcie, w Tunezji, w Jordanii, w Ziemi Świętej, w Syrii itd. What's your name? Nas, dorosłych ludzi pochodzących z Europy, to pytanie trochę denerwuje. Tymczasem ono doskonale odzwierciedla mentalność tamtych ludzi. Oni są przekonani, to dziecko jest przekonane od małego, że jeżeli zna moje imię, to zaczyna natychmiast mieć na mnie wpływ. Bo zaraz zacznie wymawiać to imię, i przedstawiać swoje prośby. Albo w ogóle cieszy się, że zna imię i wtedy mówi, że już ma znajomego — tak, jak gdybyśmy się znali bardzo długo.

I Mojżesz postępuje dokładnie tak, jak te arabskie dzieci wobec turystów i pielgrzymów. Mianowicie pyta Boga: „What's Your name?" Jak masz na imię? Jak mamy Cię wzywać? Jak mamy

się do Ciebie zwracać? To bardzo ważne, żeby pamiętać o tym tle. I ostatnie zdanie na dzisiaj:

wajjomer elohim el mosze ehje aszer ehje	*Wtedy odpowiedział Bóg Mojżeszowi*

Proszę państwa, to jest imię Pana Boga: ehje aszer ehje, streszczane jako Jahwe. Ale jako Jahwe nigdy przez Żydów, przez Izraelitów, i przez muzułmanów nie wymawiane. Przez chrześcijan wymawiane, ale powinno być wymawiane z wielką czcią i jak najrzadziej, żeby tego imienia nie nadużywać. Co znaczy: ehje aszer ehje? Z tym były już kłopoty w starożytności. Dlatego w takim wydaniu, które nazywa się krytyczne — gdzie mamy tekst Pisma Świętego i objaśnienia, i noty dotyczące tego, jak ten tekst był przekazywany przez ponad dwa tysiące lat — w tym miejscu mamy taki dopisek: ehje aszer ehje zostało w Septuagincie, czyli w Biblii greckiej, przetłumaczone w III wieku przed Chrystusem ego elmi hoon(?) — *Ja jestem* hoon, *Będący.* Po polsku: *Jestem, który Jestem.* Imię Boga, w przełożeniu na język polski, brzmi **Jestem**. Czyli imieniem Boga — to jest bardzo ważne — jest Jego obecność. Otóż to, co jest najbardziej specyficzne w Bogu względem człowieka, to jest jego bliskość, jego obecność wobec człowieka. Ja już ten przykład dawałem państwu dziesiątki razy, że żeby zrozumieć — na ile jest to możliwe — imię Boże, najlepiej wziąć przykład matki i dziecka. Dziecko jest chore, gorączkuje. Matka zrobiła wszystko, co mogła, był lekarz, były proszki. Jest jakieś przesilenie tej choroby, mama siedzi przy łóżku dziecka, i powtarza „Jestem". W tym „Jestem" jest wszystko. „Jestem" to znaczy „Nie bój się, nie lękaj się, nic ci nie będzie, wyzdrowiejesz! Jestem z tobą, jestem przy tobie, jestem dla ciebie!"

Również można to odnieść w ogóle do relacji pomiędzy ludźmi, do relacji pomiędzy małżonkami, pomiędzy ludźmi dorosłymi. Kiedy ktoś jest w potrzebie, to ten drugi woła choćby przez ścianę „jestem, jestem!" A więc bądź spokojny czy spokojna. I Bóg przedstawia się Mojżeszowi tym pięknym imieniem ehje aszer ehje, skróconym jako Jahwe, a wymawianym jako Adonaj — *Pan,* żeby tego imienia Jahwe nie wymawiać. *Jestem* — imię Boga to Jego obecność. I ostatnie pół zdania:

wajjomer ko tomar liwne jisrael	*I powiesz tak synom Izraela*
ehje szalahani alehem	*Jestem posłał mnie do was*

Kiedy Izraelici w czasach biblijnego Izraela będą wzywać Boga, i kiedy będą potem wzywać Go Żydzi, powinni wiedzieć, że imieniem Boga jest *Jestem.* I my również, chrześcijanie, którzy wyrośliśmy z tego samego pnia, powinniśmy pamiętać, że imię Boga jest *Jestem.* To jest ta obecność Boga przy człowieku. Proszę zwrócić uwagę — nam się wydaje, że Bóg jest daleko, że Bóg nie słyszy, Bóg nie widzi, Bóg nie reaguje, Bóg nie odpowiada. A Bóg mówi tak: Moim imieniem, moim zawołaniem dla was po wszystkie pokolenia jest *Jestem.* Zatem zwróćmy uwagę, że objawiając swoje imię Bóg również przenosi wiarę na nowy poziom. Szczytem ludzkich możliwości nie jest wierzyć w Boga. To jest pewne minimum. To, do czego jesteśmy wezwani, to jest wierzyć Bogu! Czyli zaufać Bogu! Dlatego, że ludzi, którzy wierzą w Boga, jest sporo. Ale ludzi, którzy wierzą Bogu, jest znacznie mniej. Czyli nie tylko wiara, ale ufność.

Przejście od wiary do ufności to jest też najtrudniejszy, można by powiedzieć, obszar religijności. I Mojżesz podczas swego powołania zostaje wezwany do tego, żeby ten krok wykonać. Taki jest sens tego dzisiejszego epizodu. Moje imię, mówi Bóg, jest *Jestem* — ehje aszer ehje. Czyli jest przy każdym człowieku. Jest również przy każdym z nas. Czy może być ładniejsza pointa, ładniejszy wniosek niż to przekonanie, że nigdy nie jesteśmy sami? Ono znajdzie wiele razy wyraz na kartach Pisma Świętego, i jeszcze do niego wrócimy.

Na sam koniec mam dla państwa krótkie ogłoszenia. W Radiu Józef, na fali 96.5 MHz, codziennie od 3 I czytane jest Pismo Święte po jednym rozdziale tak, jak to kiedyś sugerowałem. Nareszcie pojawiło się radio, które temu postulatowi wyszło naprzeciw. I już kilka razy słyszałem od ludzi pracujących w tym radio, że są telefony ludzi bardzo zadowolonych, bo dzień w dzień mogą wysłuchać kawałek pięknie przeczytanego Pisma Świętego. Godzina 7^{10} rano albo powtarzane wieczorem o 20^{50}. Jeśli ktoś może, to bardzo serdecznie zachęcam, bo to wciąga. Słowo Boże zupełnie inaczej brzmi, kiedy je czytamy sami i na pewno warto to robić i kontynuować. Inaczej brzmi tutaj, kiedy wiara rodzi się ze słyszenia — taki tytuł nosi ten cykl.

Bardzo serdecznie zapraszam na następne spotkanie 14 lutego. Dzisiaj bardzo dziękuję.

7.5 Pieśń nad Pieśniami (14 lutego 2005)

Zatem kolejne nasze spotkanie. Bardzo się cieszę, że państwo są dzisiaj znowu obecni. I bardzo chciałbym, żeby także ta kolejna konferencja biblijna była z duchowym pożytkiem dla każdej i dla każdego z państwa. Ponieważ w tym roku nasze konferencje różnią się od innych, bo wybieramy sobie tylko pewne teksty Pisma Świętego, zwłaszcza Starego Testamentu, i staram się je państwu najpierw przeczytać, przynajmniej fragmentami, w języku oryginalnym, żeby dać pojęcie o języku hebrajskim, o języku Pana Boga i języku narodu, który sobie wybrał. Ponieważ tak jest, to oczywiście za każdym razem staję wobec dylematu, jaki tekst wybrać na kolejne nasze spotkanie. Teraz też zastanawiałem się, jaki tekst wybrać, i przyszło mi do głowy że w związku z niezwyczajnym charakterem dzisiejszego dnia — bo to chociaż modne dopiero od kilku lat, ale jednak walentynki — postanowiłem dobrać problematykę naszej dzisiejszej konferencji do walentynek. I konsekwentnie zajmiemy się fragmentami księgi, która do walentynek najlepiej pasuje, a mianowicie *Pieśni nad Pieśniami.*

Otóż rzeczywiście jest to księga, do komentowania której komentatorzy chrześcijańscy zabierają się tak — za przeproszeniem — jak pies do jeża. Czyli ostrożnie, nie często, i jest z tą księgą ogromny kłopot. Otóż gdyby państwo systematycznie chodzili do kościoła — państwo akurat chodzą — gdyby państwo dzień w dzień brali udział we mszy świętej, to usłyszą państwo tylko dwa krótkie czytania z księgi Pieśń nad Pieśniami, a więc bardzo mało, które dają pojęcie o treści tej księgi, ale jest to pojęcie bardzo wybiórcze. My też dzisiaj w żadnym wypadku nie przeczytamy całej księgi Pieśń nad Pieśniami, bo to jest niemożliwe. Przeczytamy sobie tylko jej fragmenty i do fragmentów się odniesiemy. Ale chciałbym pokazać państwu na przykładzie Pieśni nad Pieśniami tę jakość więzi pomiędzy Bogiem a człowiekiem, do której to więzi odnosimy się z jednej strony w sposób najbardziej dyskretny i delikatny, a z drugiej strony w sposób najbardziej wstydliwy, aczkolwiek jest to bodaj najgorętsza forma, najgorętszy sposób przeżywania Pana Boga.

Otóż nasze wahania z księgą Pieśń nad Pieśniami, nasze chrześcijańskie wahania — mam nadzieję, że znacząca część państwa tę księgę przeczytała — nie są przypadkowe. W okresie przedchrześcijańskim i jeszcze potem, przez ok. półtora wieku, istniały bardzo poważne wahania, a nawet kontrowersje i spory, czy księga Pieśń nad Pieśniami może przynależeć do kanonu ksiąg świętych. Otóż ona od początku powstała jako księga stanowiąca część tradycji biblijnego Izraela, i jako taka przynależała do tego kanonu. Ale jednocześnie, jeszcze zanim pojawiło się chrześcijaństwo, rabini odbywali dysputy, i to były dysputy bardzo zażarte, czy Pieśń nad Pieśniami przystaje do Bożego Objawienia. Dwie były wtedy księgi, których kanoniczność podawano w wątpliwość. Druga księga to jest *Księga Koheleta.* A wobec jednej i drugiej księgi podnoszono jedno zastrzeżenie. Mianowicie nie chodziło o zmysłowość, jaka obecna jest w tych księgach, o ich cielesność jeżeli tak można powiedzieć, tylko i wyłącznie. Ale chodziło o coś, na co przeciętny czytelnik nie zwraca uwagi, ale w czasach przedchrześcijańskich uwagę zwrócono. Mianowicie na fakt, że w Księdze Pieśń nad Pieśniami i w Księdze Koheleta ani razu nie występuje imię Boga. Zapytywano zatem: Jak to jest możliwe, że Bóg objawia coś z siebie człowiekowi, coś o sobie człowiekowi, a zarazem sam się nie przedstawia, imię Boże nie jest używane. Oczywiście do tego dochodził ogromny ładunek cielesności, by nie powiedzieć zmysłowości, płciowości. Ja myślę, że każdy z państwa, kto zabierał się do lektury tej księgi, to właśnie na to zwrócił uwagę. I myślę, że dobrze będzie, jeżeli dzisiaj nad tym tematem się zatrzymamy, nad tą Księgą się zatrzymamy.

Chciałbym państwu bardzo podkreślić, a tradycja żydowska jest bardzo ciekawa, bo jest w tym względzie starsza niż nasza chrześcijańska tradycja czytania Pisma Świętego, że rabini mówili tak: Księgi Pieśń nad Pieśniami nie wolno jest czytać samej. Otóż jeżeli zabierasz się do lektury Pieśni nad Pieśniami, to trzeba koniecznie przeczytać początek Księgi Rodzaju. To było pierwsze wskazanie. Druga wskazówka, która obowiązywała przez wieki, była taka: Jeżeli zabierasz się do czytania Księgi Pieśń nad Pieśniami, to trzeba przeczytać również Księgę Kapłańską w tym, co dotyczy obowiązków, jakie ma człowiek wobec Boga w sferze swojej cielesności. Ponieważ w Księdze Kapłańskiej jest mnóstwo norm i regulacji, które dotyczą właśnie sfery cielesnej. Zatem czytanie Księgi Pieśń nad Pieśniami i rozważanie Pieśni nad Pieśniami powinno się łączyć z Księgą Rodzaju i z Księgą Kapłańską. Dodawali rabini jeszcze jedną wskazówkę. Że dobrze jest jeżeli ci, którzy czytać umieją — a czytać umieli wszyscy mężczyźni, chłopcy powyżej 13-ego roku życia — są w stanie

w synagodze przeczytać księgi święte. Ale z Księgą Pieśń nad Pieśniami jest inaczej. Mianowicie publicznie głośno mogą ją czytać tylko ci, którzy ukończyli 30-ty rok życia. Prywatnie, dla własnego duchowego dobra, mogą czytać i młodsi. Ale publiczne czytanie Pieśni nad Pieśniami, przed innymi wiernymi i dla innych wiernych, zastrzeżone było dla dorosłych, którzy już byli ożenieni, którzy na ogół mieli dzieci. Bo w tym wieku na ogół mieli dzieci — ludzie żyli krócej, niż my żyjemy. I w związku z tym do tego ładunku cielesności, jaki jest zawarty w Księdze Pieśń nad Pieśniami, podchodzili już, jeżeli tak można powiedzieć, z pewnym spokojem. Być może te wszystkie trzy rady są pomocne także i nam chrześcijanom: czyli wzgląd na Księgę Rodzaju, wzgląd na Księgę Kapłańską, oraz pewna dojrzałość. Na pewno nie jest może to księga dla dzieci, może nawet nie jest to księga dla młodszej młodzieży czy nawet dla młodzieży w ogóle. Dlatego, ze może mieć skojarzenia, które wobec cielesności, wobec płciowości są jeszcze ciągle — nazwijmy to — zbyt świeże, czy zbyt młode. Chociaż — i na tym polega paradoks — autorami tej księgi byli z pewnością ludzie młodzi, do czego za chwilę wrócimy. Dlatego, że ładunek uczuć, ładunek emocji, ładunek przeżyć, ja bym nawet powiedział: ładunek zmysłowości, jest tak wielki, że z całą pewnością musiało to odzwierciedlać doświadczenia ludzi młodych.

I jeszcze jedno, co jest bardzo ważne. Otóż zwykło się przyjmować, że księgi Pisma Świętego Starego Testamentu na ogół są dziełem mężczyzn. Natomiast w księdze Pieśń nad Pieśniami mamy specyficznie kobiecy, by nie powiedzieć dziewczęcy punkt widzenia. Tej księgi, przynajmniej w partiach, które dotyczą kobiet, a dokładniej dziewcząt, na pewno nie napisał mężczyzna. Na pewno mężczyzna by tego nie wymyślił, bo nie ma ani takiej wrażliwości, ani takiego sposobu odczuwania, ani takiego sposobu przeżywania tęsknoty, ani wreszcie takiego sposobu przeżywania miłości. Jeżeli uda mi się cząstkę tego państwu pokazać to myślę, że wszyscy dojdziemy do przekonania, że znajdują w tym wyraz doświadczenia dziewczęce i kobiece. To bardzo ciekawe, że też ta księga stała się przedmiotem medytacji i komentarzy zwłaszcza ze strony kobiet, a jej lektura była i w tradycji żydowskiej, i w tradycji chrześcijańskiej kobietom zalecana. W naszym wieku już mniej, dlatego mniej ją znamy. Ale nawet dzisiaj, kiedy się czyta uczone komentarze do Pieśni nad Pieśniami, to jeżeli nie są one autorstwa kobiet, to ci, którzy je napisali, muszą odwoływać się do kobiecego doświadczenia. I jest w tym doświadczenie psychologa, psychoanalityka i kogoś, kto zna bardzo dobrze wnętrze młodej kobiety, i to, co się w niej dzieje.

Dodałbym do tego jeszcze jeden wymiar. Myślę, że to pod sam koniec naszego spotkania stanie się widoczne. Otóż ta księga jest bardzo ważna z chrześcijańskiego punktu widzenia dlatego, że ona stanowi dowartościowanie cielesności. A dowartościowanie cielesności to jest jeden z bardzo ważnych aspektów tajemnicy Wcielenia. Skoro Bóg w Synu swoim stał się człowiekiem, zatem to właśnie my chrześcijanie wyznajemy, że godność człowieka, także ludzkiego ciała, musi być przeogromna. I wiążemy prawdę o Wcieleniu Syna Bożego z inną prawdą niezwykle ważną, mianowicie z prawdą o Zmartwychwstaniu — i to nie tylko duszy, tak jak chcieli starożytni Grecy, zwłaszcza w ich platońskim wydaniu, ale również o zmartwychwstaniu ciała.

Po tych uwagach możemy przejść jeszcze do pewnego wstępu — nieco dłuższego — po to, żebyśmy spokojniej do lektury tej księgi podeszli. Nie mam czasu, żeby zająć się z państwem dzisiaj Księgą Kapłańską. Może kiedyś wrócimy do Księgi Kapłańskiej, zwrócimy uwagę na niektóre przepisy np. dotyczące higieny. Są tam przepisy dotyczące higieny mężczyzn, higieny kobiet, higieny ludzkiego ciała, sposobu zachowania się w domu, wszystkich przepisów które dotyczą zasad — powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem — czystości, higieny, i mają ogromnie ważne znaczenie. Nie będziemy się tym dzisiaj zajmować. Natomiast zwrócimy uwagę na sam początek Księgi Rodzaju, bo skoro od niego zależy zrozumienie Księgi Pieśń nad Pieśniami, to musi być ten początek bardzo ważny. Wiele osób z państwa zna już tę myśl, którą chciałbym dzisiaj podkreślić, na którą chciałbym dzisiaj wskazać. Ale raz jeszcze przypomnijmy sobie tę myśl. Otóż Bóg stworzył rozmaite istoty żywe — o tym opowiada ten słynny hymn o Bogu Stworzycielu. Przygotował scenę, na której miał pojawić się człowiek. I w pewnym momencie Bóg mówi tak w biblijnym opowiadaniu:

> A wreszcie Bóg rzekł: «Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam.

Zawsze komentatorów dziwiła ta liczba mnoga — wspominałem o tym państwu przy różnych okazjach. Co to znaczy, że Bóg mówi: „Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam”? Kogo Bóg ma na myśli, mówiąc w ten sposób? I tutaj tradycja chrześcijańska, a zwłaszcza prawosławna,

bardzo mocno mówi, że już w tym starotestamentowym wyrażeniu mamy początek objawienia prawdy o bogactwie życia Bożego. Bóg jest jeden, Bóg jest jedyny — ale Bóg nie jest sam. Bóg istnieje jako Ojciec, i Syn, i Duch Święty. Zatem w tej refleksji „Uczyńmy człowieka na Nasz obraz" widać tę aluzję, bardzo zawoalowaną na poziomie Starego Testamentu, do tego właśnie bogactwa, do tego faktu, że Bóg jest jeden, ale w trzech Osobach. Nie można tego było inaczej powiedzieć, żeby nie popaść w politeizm czyli wielobóstwo. Ale ta intuicja wydaje się najwłaściwszym wytłumaczeniem tego właśnie, trudnego skądinąd, biblijnego tekstu. I za chwilę:

> Niech panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym, nad bydłem, nad ziemią, i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi!»

To słowo po polsku *niech panuje* zdaje się wyrażać taką dominację. Ale jest to panowanie na wzór króla starożytności. Powinnością króla byłą troska o swoich poddanych. I człowiek, który ma zostać stworzony, jest powołany do tego, by troszczyć się o dzieło stworzenia. Jest powołany do odpowiedzialności. Nie będziemy dzisiaj rozwijać tego wątku, bo chcemy przejść do Pieśni nad Pieśniami, o której za chwilę. Natomiast z Pieśnią nad Pieśniami wiąże się bezpośrednio taki wątek:

> Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyzną i kobietą.

Po hebrajsku te ostatnie słowa brzmią bara isz. isz to jest *mężczyzna,* we iszsza to jest *kobieta.* A więc mamy tutaj grę słów: isz — iszsza, *mężczyzna — kobieta*. Po polsku tej gry słów nie ma. Kiedy pod koniec XVI wieku ks. Jakub Wujek przekładał Stary Testament na język polski, chciał koniecznie po polsku oddać tę grę słów. I wtedy przetłumaczył, że ten nazywa się *mąż,* a ta będzie nazywała się *mężyna,* bo z męża została wzięta. Ale określenie kobiety jako mężyny w polszczyźnie się nie przyjęło. I pozostało to tylko w tym staropolskim przekładzie. Zatem po polsku ta gra słów nie jest możliwa do oddania. Po angielsku np. jest możliwa, mężczyzna to *man,* a kobieta to *woman,* więc man i woman jako dwie strony człowieczeństwa.

Otóż tutaj mamy: Stworzył więc ... jako mężczyznę i kobietę. Mężczyzna i kobieta — i to jest ważne — to dwie strony, dwa sposoby bycia człowiekiem. Żaden nie jest lepszy, żaden nie może się wyróżniać ani wywyższać nad innego. Bo jak państwo nawet widzą, mamy w tym późniejszym opowiadaniu nawet swoiste odwrócenie ról. Normalnie jest tak, że każdy człowiek rodzi się z kobiety. Ale państwo wiedzą, że w opowiadaniu o stworzeniu świata Pan Bóg pogrążył mężczyznę w głębokim śnie. I to z jego ciała, z jego żebra została zbudowana kobieta. Zatem zostały odwrócone role, żeby żadna płeć nie wywyższała się. Żeby kobieta nie mówiła, że jest wyłącznie dawczynią życia — więc u początków jest mężczyzna. Można by nazwać, że jest to taka teologia, myślenie bardzo popularne, ale innymi ludzkimi kategoriami wyrazić tego nie można. Otóż mężczyzna i kobieta to dwie strony człowieczeństwa. I natychmiast pojawia się pytanie: *A co w człowieku jest obrazem Boga?* W katechizmie mówiliśmy: rozum i wolna wola — to jest właśnie obraz Boga. Ale Pismo Święte podkreśla bardzo mocno, że cały człowiek jest obrazem Boga — człowiek jako mężczyzna, i człowiek jako kobieta. Otóż z byciem mężczyzną i byciem kobietą jest bardzo silnie związana cielesność. Nie można być mężczyzną i kobietą bez cielesności. A z cielesnością jest bardzo silnie związana płciowość.

I tak dochodzimy do bardzo ważnego punktu wyjścia. Mianowicie wbrew takiemu obiegowemu mówieniu, że obrazem Boga w człowieku jest tylko rozum i wolna wola, trzeba powiedzieć, że cały człowiek, a więc również cielesność, jest obrazem Boga w człowieku. I tutaj dochodzimy do jednej z najważniejszych i najpiękniejszych prawd. Bo już rabini, a potem komentatorzy chrześcijańscy, zastanawiali się jak to jest możliwe, że Bóg jest bezcielesny, Bóg nie ma ciała — a obrazem Boga w człowieku jest także cielesność. I Żydzi zatrzymali się w tym punkcie dlatego, że doskonale sobie zdawali sprawę, że w ten sposób Stary Testament podprowadza nas pod prawdę o Wcieleniu Syna Bożego, który stał się człowiekiem. Bo jeżeli cały człowiek jest obrazem Boga, to oczywiście i cielesność nabiera zupełnie nowego znaczenia. I kolejny jakiś paradoks w tym wszystkim polega na tym, że cały Stary Testament kładzie bardzo silny nacisk na troskę o ciało. Na to, żeby ciało utrzymywać czyste, żeby utrzymywać zdrowe. To jest troska religijna. Proszę państwa, w tradycji

wyrosłej na tej glebie biblijnego Izraela są specjalne podziękowania za zdrowie ciała. Są specjalne podziękowania Panu Bogu za zdrowie psychiczne. Są specjalne dziękczynienia Panu Bogu pod koniec dnia. Wszystkie czynności związane z ciałem mają charakter sakralny. Może to państwa zdziwi, że nie tylko takie sprawy jak np. posiłek, mają charakter sakralny, mają charakter święty. W tradycji żydowskiej, w tradycji chrześcijańskiej, w tradycji islamu jest nakaz modlitwy przed posiłkiem, nakaz modlitwy po posiłku. My dobrze wiemy, że w naszej polskiej sytuacji ten zwyczaj i ten nakaz niestety nie jest powszechny, i za rzadko się o tym mówi. Ale w ten sposób się wskazuje, że nie tylko pokarm jest darem Bożym, ale także fakt, że możemy go spożywać, że możemy go trawić. A nawet — co państwa pewnie zaskoczy — nawet zwyczajne, można by powiedzieć, czynności fizjologiczne są traktowane jako Boże błogosławieństwo. Bo uważa się i uznaje, że jednym z największych nieszczęść, jakie może przeżywać człowiek, jedną z największych chorób, jaką człowiek może mieć, są właśnie problemy z trawieniem, z żołądkiem, z nerkami itd. Otóż wiedzą o tym doskonale ci, którzy mają nieszczęście chorować. Powtarzamy wtedy w takich sytuacjach, że dopiero człowiek chory uświadamia sobie jaką radością jest, jakim szczęściem jest wykonywać proste czynności fizjologiczne, na które człowiek zdrowy nie zwraca absolutnie żadnej uwagi. Dlatego cała ta sfera życia cielesnego, oczywiście również cała sfera płciowości, jest traktowana w tradycji religijnej, w której wyrośliśmy — tylko że myśmy o tym niestety przez wieki zapomnieli, także wskutek pewnej rezerwy do ciała, względem ciała — jest traktowana jako sfera święta. Nie muszę państwu wobec tego dodawać, że także wszystko co jest związane z płciowością, już nie tylko z cielesnością i codziennymi naszymi potrzebami, ale także z płciowością, jest otoczone specjalnym znaczeniem jako coś, co stanowi współudział, współuczestnictwo w stwórczym działaniu Pana Boga. Ale nie tylko sama prokreacja, czyli poczęcie i wydanie na świat dziecka, ale również wszystkie akty małżeńskie. Więcej — to, co może łączyć dwoje ludzi, cała miłość ze sferą i duchową, i psychiczną, i cielesną, jest traktowana jako swoisty akt religijny. Otóż powtarzam raz jeszcze, że na skutek zbiegu rozmaitych okoliczności, zwłaszcza od okresu średniowiecza, w świadomości chrześcijańskiej Europy ten aspekt zszedł na plan drugi, albo nawet został zupełnie zaniedbany. Ciało traktuje się jako coś gorszego, cała ta sfera, traktowana bywała jako wstydliwa, albo też stała się przedmiotem obnoszenia, pokazywania, handlu itd. Natomiast nie przychodzi, albo bardzo rzadko przychodzi nam do głowy, że to wszystko, co łączy się z tą sferą, co w człowieku jest przecież tak silne, tak mocne, a z drugiej strony tak piękne i tak szlachetne, co łączy ludzi i wyzwala nowe życie, że to jest dzieło Boga. I że to również ma charakter święty, charakter nie religijny w znaczeniu kultu, ale charakter święty, ponieważ jest współudziałem w tym, do czego Pan Bóg nas powołał.

Jeżeli tak, to zrozumieją państwo na tym tle fundamenty księgi Pieśń nad Pieśniami. Mianowicie w biblijnym Izraelu całe ludzkie życie, od momentu poczęcia aż do śmierci, ze wszystkim, co to życie niosło, było postrzegane jako dar Boży. Gdybyśmy umieli tak patrzeć na życie, z pewnością bardzo wiele elementów, bardzo wiele spraw, by wyglądało zupełnie inaczej. Zatem wszystkim człowiek się cieszył. Tym, co związane jest z jego duchowością, ale także tym, co związane jest z jego ciałem, także z płciowością i z cielesnością. Mamy zatem w tradycji religijnej specjalne błogosławieństwa przewidziane do odmawiania przez kobiety w rozmaitych okolicznościach ich życia, specjalne błogosławieństwa odmawiane przez mężczyzn w rozmaitych okolicznościach ich życia. Mamy specjalne przepisy regulujące zachowanie młodych kobiet, starszych kobiet, zachowanie młodych mężczyzn, starszych mężczyzn. Mamy przepisy regulujące zachowanie narzeczonych, zachowanie małżonków. Nawet specjalne modlitwy przewidziane były w owej tradycji religijnej, która jest naszym podglebiem, na czas ślubu, zamążpójścia, na czas późniejszy. Na czas, kiedy miały przychodzić na świat dzieci, kiedy już dzieci były wydawane. A później obowiązek modlenia się za swoje dzieci mieli rodzice. I rodzice też mieli się modlić w sprawach, które by nam dzisiaj do głowy nie przyszły. Czy państwo zwrócili uwagę na taki szczegół, ze cała ta tradycja troski o zdrowie fizyczne i psychiczne jest wśród Żydów bardzo mocno pielęgnowana. I po dzień dzisiejszy wśród Żydów jest najwięcej lekarzy. Nie możemy podejrzewać, że mają lekarzy ponieważ profesja lekarza jest najbardziej dochodowa. Otóż nie, profesja lekarza ma charakter religijny. I być lekarzem, mieć lekarza w zasięgu swojego życia, to jest obowiązek religijny. Wobec tego zdrowie fizyczne i psychiczne jest obowiązkiem religijnym. I również to, co łączy się z cielesnością, jest obowiązkiem religijnym.

Popatrzmy teraz na Pieśń nad Pieśniami. Zadawano sobie pytanie: W jakich warunkach, w jakich okolicznościach ta niezwykła pieśń powstała. Mówiono, że być może trzeba nawiązać do jej tytułu.

Państwo posłuchają jak on brzmi w języku hebrajskim. Pierwsze słowa brzmią tak:

szir haszszirim aszer liszlomo

Słyszą państwo ten sam dźwięk sz. szir haszszirim aszer liszlomo. Ta pieśń, ten utwór jest nie do przełożenia w dobry sposób na żaden język nowożytny, również na język polski. Dlaczego? Dlatego, że Pieśń nad Pieśniami jest zbudowana na zasadzie tzw. *onomatopei.* To specjalny środek poetycki, w którym ogromne znaczenie odgrywa tzw. *dźwiękonaśladowczość.* My mamy również po polsku takie utwory, w których mamy dźwiękonaśladowczość. One powstawały zwłaszcza w okresie Młodej Polski, potem w okresie międzywojennym. Mistrzem tej dźwiękonaśladowczości był np. Julian Tuwim, był Brzechwa, którzy pisali dla dzieci. I bardzo znanym przykładem jest wiersz *Lokomotywa.* Oparty na tej zasadzie, że kiedy tam się powtarza „Uff, jak gorąco" to słychać wręcz, jak ta lokomotywa jest gorąca. W *Kwiatach polskich* to występuje — można prawie czuć tą łąkę, widzieć tą łąkę. I tutaj też: szir haszszirim aszer liszlomo — powtarza się głoska *sz.* I ta głoska *sz* naśladuje w języku hebrajskim śpiew ptaków. Ona oddaje głos ptaków tak, jak możemy go słyszeć w lesie, albo w warunkach palestyńskich: w sadzie, bo tam lasów nie ma. Ona naśladuje przyrodę. Można by powiedzieć, że Pieśń nad Pieśniami aż oddycha, aż żyje, aż pachnie. Tam słychać te rozmaite realia Ziemi Świętej.

szir znaczy *pieśń.* haszszirim — *pieśń pieśni, pieśń nad pieśniami.* aszer liszlomo — *która jest Salomona, salomonowa.* Otóż przez wieki dominował pogląd, że ta Pieśń nad Pieśniami jest salomonowa dlatego, że Salomon ją ułożył. Ale z tego zdania w języku hebrajskim w Piśmie Świętym wcale nie wynika, że Salomon tę pieśń ułożył. Z tego zdania wynika, że ta Pieśń jest salomonowa, bo naśladuje styl Salomona, albo sposób myślenia Salomona, albo sposób życia Salomona. A Salomon w tradycji Starego Testamentu jest znany z dwóch rzeczy — z mądrości, i z zamiłowania do kobiet. Rzadko obie te sprawy idą ze sobą w parze — jak mu się to udało pogodzić, to jego tajemnica. W każdym razie tradycja biblijna akcentuje obie te rzeczy: mądrość i kobiety. Liczba tych kobiet w jego życiu była niemała. Pismo Święte podaje, że miał 300 żon, ale chyba przesadza, pewnie trzeba tę liczbę znacząco zmniejszyć. Żył w X wieku przed Chr. i wydaje się, że w tej liczbie mamy raczej do czynienia ze swoistym humorem, niż z oddaniem rzeczywistego stanu rzeczy.

Nas nie obchodzi sama sytuacja — jak to było w X w. przed Chr. Nas interesuje teraz co innego. Mianowicie, że ta Pieśń chce jakby opiewać miłość na wzór Salomona, że Salomon był w tym kimś niedoścignionym. Zanim przejdziemy do szczegółów trzeba dodać, że to tłumaczenie, że „jest to pieśń powstała na wzór Salomona" musi mieć na względzie fakt, że ta pieśń pochodzi gdzieś z VII, z VI wieku przed Chr. Ta pieśń ma ponad 2600 lat. Kiedy za chwilę przeczytam jej fragmenty niech państwo mają na uwadze to, że jest to pieśń, która powstała znacznie ponad półtora tysiąca lat przed chrztem Polski. A mamy tutaj tak ogromny ładunek uczuć, emocji, i odegrała ona tak wielką rolę w interpretacji przeżywania Pana Boga — do czego jeszcze wrócimy — że można się do tego odnieść z pełnym podziwem. I ta Pieśń rozpoczyna się takimi słowami: jiszszakeni minneszikot pihu Słyszą państwo to samo *sz, sz,...*

szir haszszirim aszer liszlomo jiszszakeni minneszikot pihu

Cały czas jakby naśladowanie dźwięku ptaków. Po polsku mówimy, że ptaki *szczebiocą.* A więc to samo *sz* wraca również w naszym polskim języku. Też wyraz onomatopeiczny. Kot *mruczy,* pies *szczeka,* gęś *gęga,* kot *miauczy,* a ptaki *szczebiocą.* Więc jest to język, który odzwierciedla głosy przyrody. Myślę że to pozwala nam zrozumieć kontekst, w jakim Pieśń nad Pieśniami powstała. Otóż powstała nie na dworze królewskim, nie w jakichś bardzo niezwykłych okolicznościach, chociaż dla nas będą to okoliczności niezwykłe. Ona składa się z takich pojedynczych utworów, pojedynczych pieśni. I jedna z hipotez, którą powtarzano najdłużej, bo przez całe wieki, głosiła, że są to pieśni z winnic, pieśni śpiewane w winnicach. Muszę państwu powiedzieć, że ja bardzo długo nie wiedziałem, co to znaczy. I wydawało mi się to bardzo mało prawdopodobne. I chyba wspominałem kiedyś o takim przeżyciu, jak to byliśmy w Tunezji z pielgrzymką. W pewnym momencie widzimy: jedzie wóz, pełny młodych dziewczyn. Wóz zatrzymuje się przy winnicy, dziewczęta się rozpierzchły i zaczęły zbierać winogrona. I w pewnym momencie jedna z nich zaczęła śpiewać. Odpowiedziała jej druga z przeciwnego krańca. Tym dwóm odpowiedziała trzecia, potem czwarta. Upłynęło 20 minut i wszystkie zaczęły śpiewać, cała winnica brzmiała śpiewem. Nie można było zrozumieć, o czym śpiewają, bo śpiewały po arabsku. Ale wszystkie arabskie piosenki są o miłości. Więc do

żywego przypominało to pewnie sytuację, w jakiej powstała Pieśń nad Pieśniami. Wydaje się wielce prawdopodobne, że ona zbiera takie doświadczenia młodych dziewcząt, które podczas zbierania winogron albo podczas zbierania oliwek, czy podczas jakiejś innej pracy w sadzie, umilały swoje życie takim śpiewem. Jeżeli dzisiaj takie zjawisko ma miejsce, to daleko bardziej ono miało miejsce w starożytności.

I co one mogły śpiewać? Bo wydaje mi się, że ta hipoteza, ten pomysł, jest najbardziej przekonujący. Bo większość z tych pieśni, większość z tych utworów to są pieśni, które odzwierciedlają — ale co? Proszę posłuchać. My, jako mężczyźni, mamy ograniczone pole wyobraźni, że tak powiem, możemy się tylko domyślać. Natomiast panie spróbują się w to wczuć. Wydaje się, że jest dużo łatwiej kobiecie wczuć się w słowa, które są treścią tej pieśni. Mianowicie rozpoczyna się ona od:

jiszszakeni minneszikot pihu — *Oby mnie ucałował, oby mnie całował pocałunkami swoich ust*

Proszę zwrócić uwagę, że dla nas brzmi to dziwnie, bo nam się wydaje, że to jest wyraz pragnienia. Że dziewczyna chce, żeby ją ktoś całował. Tymczasem struktura języka hebrajskiego jest taka, że ona zaczyna marzyć. Ona mówi: „Oby ktoś mnie pocałował, oby ktoś mnie ucałował". To nie znaczy, że gdyby ktoś fizycznie by obok, to ona by mu na pewno na to pozwoliła. Otóż ona tak sobie marzy. Ponieważ musiałem i chciałem wykładać księgę Pieśń nad Pieśniami swoim studentom, czytałem niedawno komentarz jednej z zachodnio-europejskich komentatorek, która tłumaczyła — panie niech to sprawdzą, może na podstawie własnego doświadczenia — że młode dziewczęta, młode kobiety mają taką właśnie tendencję do marzeń. Że żyją w świecie, który z jednej strony jest rzeczywisty, a z drugiej strony jest to świat wyobraźni. Że wyobrażają sobie tego mężczyznę, który jest — mówiąc obiegowo — księciem z bajki. I cały dramat młodej kobiety — tłumaczyła ta komentatorka — polega na tym, że stopniowo życie zmusza ją do tego, że ten swój idealny wzorzec mężczyzny musi weryfikować. Że coraz bardziej życie zmusza ją do tego, że musi zaniechać marzeń i pogodzić się z tym, że rzeczywistość jest dużo bardziej prozaiczna. Ale zwłaszcza kiedy jest bardzo młoda, żyje w tym świecie pełnej wyobraźni. Więc: oby mnie ucałował pocałunkami swych ust:

kittowim dodecha mijajim — *bo lepsze twoje pieszczoty niż wino*

I tu znów komentatorzy się sprzeczają. Skąd młoda dziewczyna w starożytnej Palestynie mogła znać smak wina? Otóż gdybyśmy przykładali nasze polskie kategorie, to oczywiście młodzież spotyka się — takie jest przynajmniej moje pojęcie na ten temat — z winem, kiedy już dorasta. Są nawet postanowienia przy Komunii Świętej, że dziecko nie będzie piło alkoholu do 18-go roku życia itd. Tu jesteśmy w świecie śródziemnomorskim. Wino tam, w tej kulturze, jest traktowane poniekąd tak, jak u nas mleko. Zatem nie ma żadnego przedziału wiekowego. Może nam to się wydawać dziwne, ale nawet dzieci biorą chleb, biorą oliwę i daje się im po trosze wina, a dla młodzieży jest to coś normalnego. Oczywiście czasami bywa to nadużywane, ale bardzo rzadko.

Dziewczyna mówi: bo lepsze twoje pieszczoty niż wino. Tu jest takie hebrajskie słowo dodeha. Tłumacze Biblii Tysiąclecia przełożyli: *bo twoja miłość lepsza niż wino,* ale to hebrajskie daim znaczy właśnie *pieszczoty.* Dziewczyna dalej marzy. To jest sam początek tej przedziwnej księgi — ona zaczyna żyć w świecie, który nie jest tym światem, w którym ona się obraca, tylko jest światem jej marzeń. I dalej:

lereach szemanecha towim — *lepsze niż rozlana oliwa*

Otóż *oliwa* to symbol dostatku, pomyślności, również znak błogosławieństwa. *Rozlana oliwa* — nam to się niestety bardziej kojarzy z olejem samochodowym, niż z oliwą — taka nalana gdzieś na talerz, to znak błogosławieństwa. A świeża oliwa to jeden z najlepszych pokarmów, jakie człowiek może jeść. Dlatego, że jest smaczna, jest zdrowa. Oczywiście nie spożywa się samej oliwy, tylko chleb macza się w oliwie. Proszę zwrócić uwagę, w ten sposób mamy takie nawiązanie, że smaczny posiłek to jest posiłek, który się składa z chleba, z oliwy i z wina. Bardzo zdrowy. A ta dziewczyna marzy sobie i powiada, że pieszczoty tego wymarzonego chłopca są lepsze niż ten posiłek, do którego ludzie przykładają taką wartość. Marzy dalej:

szemen turak szemecha — *jak oliwa rozlana twoje imię*

Otóż ta rozlana oliwa — wiemy, że zachowuje się zupełnie inaczej, niż rozlana woda. I wobec tego aluzja do tego, że jeżeli ta młoda dziewczyna kogoś kocha, to lubi powtarzać bez przerwy jego imię. Że imię tego wybranego jest dla niej niesłychanie ważne. Że samo wypowiadanie tego imienia sprawia jej przyjemność. Zwróćmy uwagę: 2600 lat temu. Można by powiedzieć, że jest to swoiste

poetyckie studium tego, co odczuwa młoda dziewczyna. Więc: jak olej rozlany twoje imię:

alken alamot ahewucha	*dlatego dziewczęta cię kochają, dlatego dziewczęta cię lubią*

Mamy do czynienia nie z jakimś konkretnym człowiekiem, konkretnym mężczyzną, konkretnym chłopcem. Tylko mamy do czynienia z ideałem mężczyzny. I tutaj raz jeszcze wracam do tego, co panie znają na pewno lepiej. Bo dorosłe przez to pewnie przechodziły, a można to widzieć później na przykładzie córek czy wnuczek. Że ten obraz, ten wzorzec mężczyzny bardzo wiele zależy od jej doświadczenia, ale bardzo wiele zależy również od jej wyobraźni. Dlatego kochają cię dziewczęta — czyli to nie jest doświadczenie tylko tej jednej dziewczyny, tylko bardzo wielu. I dalej:

moszcheni ahareha	*pociągnij mnie za sobą*

Nam wygląda to tak, jak jakiś rodzaj prowokacji ze strony dziewczyny. Natomiast nadal pozostaje to w sferze wyobraźni: oby mnie wziął, oby mnie za sobą pociągnął, obyśmy mogli być razem. Ona tak sobie marzy. I dalej:

nnaruca	*pobiegnijmy, pobiegnijmy razem*
hewiani hammelech chadaraw	*zaprowadź mnie, królu, do swoich pałaców*

Ale to *królu* niech nas nie myli, że chodzi o Salomona czy innego króla. To jest sposób zwracania się, sposób myślenia, sposób wyobrażenia. Ona nadal wyobraża sobie, że oto pobiegnie, pójdzie razem, że trafi do jakiegoś rodzaju królewskiego pałacu. Zaczyna żyć w świecie, którego nie ma.

Ja zwracam państwu uwagę na te drobiazgi, bo zaraz będziemy próbowali zadać sobie pytanie: *Jak one się mają do życia religijnego?* Dlaczego tę Księgę, z tymi motywami tak bardzo cielesnymi, tak bardzo przepojonymi płciowością, mamy w Piśmie Świętym? I dlaczego czytają ją ci, którzy zajmują się sprawami Bożymi?

Tu jeszcze raz podkreślam — jeżeli ktoś patrzy obiegowo na cielesność, tak według naszych przyzwyczajeń, i na płciowość, to ta Księga go szokuje. Wydaje mu się, że ma do czynienia z jakimś utworem prawie na pograniczu erotyki. Natomiast jeżeli ktoś patrzy zdecydowanie głębiej — co wcale nie jest łatwe, bo wymaga daleko posuniętej dojrzałości — to oczywiście zaczyna odczuwać coś więcej. Mianowicie myśli nie tylko o tym, co ta dziewczyna wręcz wyraża, ale jest to, można by powiedzieć, swoiste studium dziewczęcości czy swoiste studium kobiecości. Swoiste studium kobiecej wyobraźni, swoiste studium kobiecej wrażliwości. Dlatego raz jeszcze powtarzam, że jednym z takich dramatów kobiet jest to, że potem te wyobrażenia czasami wręcz brutalnie przychodzi im konfrontować z rzeczywistością. Kiedy się okazuje, że mężczyzny ich marzeń nie ma. A jeżeli już któraś spotka takiego, z którym łączy się na całe życie i pozostaje szczęśliwa, no to oczywiście nie jest to doświadczenie zupełnie powszechne. I ona tutaj marzy dalej. I mówi tak:

nagila wenismeha bach	*cieszmy się, radujmy się tobą*

Cieszmy się i radujmy. Ci z państwa, którzy troszeczkę znają kulturę żydowską, to wiedzą, że jedną z najpiękniejszych pieśni żydowskich wykonywanych na weselu jest właśnie pieśń, która rozpoczyna się od słów nagila wenismeha czyli *cieszmy się i radujmy.* Ta właśnie pieśń weselna nawiązuje do Pieśni nad Pieśniami. Otóż religijność w ten sposób związana jest z weselem, z łączeniem się młodych ludzi. I religijność jest przenoszona na czas radości młodych ludzi wtedy, kiedy oni wkraczają w wiek dorosły. I dalej:

nazkira dodecha mijajin	*bo milsze, bo słodsze twoje pieszczoty od wina*
meszarim ahewucha	*słusznie cię kochają*

Popatrzmy na tę pieśń. Kiedy ją czytam po hebrajsku, brzmi dla państwa bardzo egzotycznie. Ale można sobie wyobrazić kiedy ona była śpiewana, zwłaszcza przez dziewczynę czy młodą kobietę. Musiała brzmieć bardzo pięknie. I ona w tym języku oryginału, z dodaną melodią, odzwierciedlała coś — jeżeli tak można powiedzieć — z wnętrza, z duszy, z potrzeb tej kobiety, tej dziewczyny. Odzwierciedlała jej tęsknotę za miłością, za opiekuńczością, za dobrocią. Odzwierciedlała jej ideał mężczyzny. To jest sam początek Księgi Pieśń nad Pieśniami. Teraz przeczytam państwu to, co następuje później, już według tłumaczenia Biblii Tysiąclecia, bo nie mamy czasu. Zaraz potem następują takie słowa. Proszę posłuchać, przeczytam w całości, bo to oddaje dopiero atmosferę. Chociaż oczywiście byłoby lepiej, gdyby to przeczytała kobieta, zwłaszcza z dużym aktorskim doświadczeniem. Czytamy tak:

Śniada jestem, lecz piękna,	jak namioty Kedaru,
córki jerozolimskie,	jak zasłony Szalma.

Nie patrzcie na mnie, że jestem śniada,
że mnie spaliło słońce.
Synowie mej matki rozgniewali się na mnie,
postawili mnie na straży winnic:
a ja swojej winnicy nie ustrzegłam.

Skąd ten problem ze śniadością? Dlaczego ona tak narzeka, że jest śniada? Mówi: Śniada jestem, lecz piękna. Po polsku można by też przetłumaczyć: Ciemna jestem, lecz piękna. To nawiązanie do starożytnych zwyczajów. Ci z państwa, którzy byli na Bliskim Wschodzie, czy w Egipcie, wiedzą. Otóż ideałem urody w starożytności była kobieta biała, nieopalona. Kobiety pozostawały w domu, natomiast mężczyźni pracowali na polu. Jedyny wyjątek stanowiły te młode dziewczęta, które pracowały jako pasterki, albo w winnicach, albo w sadach oliwnych. One były opalone słońcem. Dlatego je uważano za brzydsze, nawet za gorsze. Jeżeli państwo pamiętają swoje spotkania w Muzeum Egipskim w Kairze, to tam wzorem urody są kobiety zupełnie blade, inaczej niż w naszej kulturze. Bo my mamy opalanie się, olejki, przyciemnianie, barwienie itd. A ona tam tłumaczy, że jest śniada, a mimo to jest piękna. Dlaczego? Bo bracia wysłali ją do winnicy, bo bracia kazali jej pracować w winnicy. Ona ma jakby pretensje, że nie wygląda tak, jak te dziewczyny, które zostają w domu. Więc cała Pieśń nad Pieśniami to jest zbiór takich przyśpiewek, moglibyśmy powiedzieć. One — powtarzam to po raz trzeci — po hebrajsku brzmią zupełnie inaczej, niż po polsku. W nich jest ogromny ładunek emocji, ciepła, serdeczności, i oczywiście cielesności, płciowości. W pewnym momencie, proszę posłuchajmy raz jeszcze, ona wyobraża sobie chłopca. Bardzo myślała o tym, żeby w ogóle on był, ten ideał. A teraz jak ona o nim konkretnie myśli? To brzmi tak:

Jak jabłoń wśród drzew leśnych,
tak ukochany mój wśród młodzieńców.

Ten ukochany jest tak, jak jabłoń. Ona myśli w kategoriach — jeżeli tak można powiedzieć — nie tylko obrazowych, tylko wręcz fauny, flory. Tu w tym przypadku bardzo mocno przykłada wagę do wyglądu roślin, do wyglądu drzew. I dalej:

W upragnionym jego cieniu usiadłam,
a owoc jego słodki mojemu podniebieniu.
Wprowadził mnie do domu wina,
i sztandarem jego nade mną jest miłość.
Posilcie mnie plackami z rodzynek,
wzmocnijcie mnie jabłkami,
bo chora jestem z miłości.
Lewa jego ręka pod głową moją,
a prawa obejmuje mnie.

Dziewczyna marzy. Jest tak jak omdlała, jest tak jak osłabła. I proszę zwrócić uwagę na starożytne zwyczaje — kiedy ktoś był słaby albo wracał po chorobie do zdrowia, to robiono mu ciasto z rodzynkami i wzmacniano się jabłkami. Warto o tym wiedzieć. Rzeczywiście proszę pamiętać, rodzynki mają wartość bardzo wzmacniającą. Kiedy państwo jesteście osłabieni albo macie przed sobą jakąś pracę, zwłaszcza umysłową, proszę zjeść kawałek czekolady z rodzynkami, albo ciasto z rodzynkami. Takie ciasto bardzo wzmacnia. To jest na całym Bliskim Wschodzie po dzień dzisiejszy taka swoista wzmacniająca rzecz. To samo jabłka. Nawiązanie do tego, co stanowi taką naturalną pomoc. I ona tak sobie marzy. Marzy o tym chłopcu, i marzy o tym, żeby ją posilono.

Nie możemy czytać tej pieśni w całości, niech państwo ją przeczytają sobie w domu na spokojnie. Ja tylko przeczytam państwu jeden fragment, który pointuje to wszystko. I z powodu którego ta Pieśń wymaga szczególnej uwagi, i zasługuje na szczególny podziw i szacunek. Cała Pieśń to są takie marzenia. Ona sobie wyobraża chłopca, a potem chłopiec, mężczyzna, będzie wyobrażał sobie dziewczynę. I dwa sposoby wyobrażenia spotykają się ze sobą. Tam nie ma nic z tego, co moglibyśmy nazwać złe, grzeszne. Po prostu wyobraźnia. Każdy, kto ma za sobą młodość, dobrze wie, że w młodości ta wyobraźnia odgrywa ogromną rolę. A pointa tych wyobrażeń jest taka. Ona zwraca się, już pod koniec Pieśni, w tych swoich marzeniach, i mówi tak:

Połóż mię jak pieczęć na swoim sercu,
jak pieczęć na swoim ramieniu,
bo jak śmierć potężna jest miłość,
a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol,
żar jej to żar ognia,
płomień Pański.
Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości,
nie zatopią jej rzeki.
Jeśliby kto oddał za miłość całe bogactwo swego domu,
pogardzą nim tylko.

Te słowa pointują tę wyobraźnię. Znajdują się już pod sam koniec Pieśni nad Pieśniami. Te słowa powiadają, z tych słów wynika, że jedną z najpiękniejszych rzeczy, jaką człowiek może przeżyć, jaką daje życie, jest miłość drugiego człowieka. I to właśnie ta miłość związana z cielesnością, i z płciowością. Ż ta miłość jest darem, który Bóg związał, złożył — jeżeli tak można powiedzieć — w człowieku. Że ci, którzy jej nie znają, są w jakimś tego słowa znaczeniu okaleczeni. A ci, którzy ją poznali, i którzy jej doświadczyli, są szczęśliwi i wykorzystali życie. Proszę zwrócić uwagę, że mamy tutaj: „Bo jak śmierć potężna jest miłość". I oczywiście niejedna osoba tego doświadczyła. Ja musze państwu powiedzieć, że moim kluczem w życiu do Pieśni nad Pieśniami jest doświadczenie, które miałem z samego początku kapłaństwa. Dosłownie pierwsze dni, kiedy byłem księdzem. Parę dni po przyjęciu święceń zostałem skierowany do pracy parafialnej. Pierwsza posługa, którą miałem, to był pogrzeb bardzo posuniętej w latach kobiety. I nad trumną tej kobiety stał jej mąż, jeszcze 2 - 3 lata od niej starszy. Tym mężem, ojcem, opiekowała się rodzina. I patrzyłem tak, kątem oka, jak on to przeżywał. Kiedy powiedziałem mu parę słów, wtedy powiedział, że właściwie dla niego życie nie ma teraz już żadnego sensu. Bo on do tej pory żył z nią, dla niej. Dla mnie to był szok, bo ja miałem dwadzieścia parę lat, oni mieli po osiemdziesiąt parę. I nikt mnie nie uczył, ani w rodzinie, ani w seminarium, że ludzie, którzy mają ponad 80 lat, mogą tak bardzo się kochać, mogą tak za sobą tęsknić i siebie potrzebować. Inaczej zupełnie patrzyłem na starość. I nazajutrz przychodzi rodzina i powiada, że jest drugi pogrzeb. Właśnie ten człowiek, który wczoraj pochował swoją żonę, sam odszedł. „Jak śmierć potężna jest miłość". To, co tam się wydarzyło, nabrało wtedy bardzo ogromnego znaczenia. Pokazało że rzeczywiście, jeżeli ludzie połączeni są taką miłością, to nie ma wielkiego sensu być samemu. I jeszcze to:

Wody wielkie nie zdołają zagasić miłości, nie zatopią jej rzeki.	Jeśliby ktoś oddał za miłość całe bogactwo swego domu, pogardzą nim tylko.

Dlaczego tę Księgę chętnie czytano? Dlatego, że komentując tę Księgę i czytając pojawiały się takie głosy, że tylko rzadko, bardzo rzadko, zbyt rzadko człowiek w życiu może spotkać drugiego człowieka, z którym przeżyje taką miłość, która realizuje ideał, o którym mowa w Pieśni nad Pieśniami. Dlatego bardzo wcześnie tę niezwykłą Księgę odnoszono również do więzi między Bogiem a człowiekiem. Mówiono, że cała ta cielesna, ta zmysłowa strona, która tak bardzo mocno angażuje człowieka, również ukierunkowuje nas na Pana Boga. Że jeżeli człowiek nie spotkał takiej miłości w życiu, tym bardziej za nią tęskni i tym bardziej jej pragnie. Jest tak, jak ta dziewczyna, która sobie wyobraża Miłość przez duże M, i tę Miłość może spełnić tylko Pan Bóg. W swojej książce „Wstańcie, chodźmy" papież, którego kondycję wszyscy widzimy, stan zdrowia wszyscy widzimy, napisał takie słowa, na które państwu uwagę zwracałem w ubiegłym roku. „Nie ma miłości ponad Miłość" — to drugie pisane przez duże *M.* Nie ma miłości ponad Miłość. Niektórzy ludzie są tak szczęśliwi, że doświadczają tej Miłości przez duże *M* także ze strony innych ludzi. Ze strony męża, kogoś, kto staje się żoną. Innym ludziom, zapewne większości ludzi, pozostaje tylko za taką miłością tęsknić. I dlatego Pieśń nad Pieśniami staje się obrazem takiej właśnie tęsknoty.

W naszej polskiej tradycji był cały ruch wśród Żydów, który przeżywał Pana Boga w taki właśnie bardzo emocjonalny sposób, głęboki, uczuciowy. Ten ruch nazywał się chasydyzm, to byli chasydzi. Chasidim znaczy po polsku *pobożni.* Ale oni przeżywali Boga, można by powiedzieć, wręcz zmysłowo. Mówi się, że Radziwiłł zwracał się do Pana Boga, chociaż dla nas brzmi to jak swoiste obrazoburstwo, „Panie Kochanku" — tak bardzo zmysłowo Go pojmował, tak bardzo głęboko do Niego przylgnął. W tradycji chrześcijańskiej też jest ten nurt. Nurt, którego zupełnie nie znamy — mianowicie to jest *mistycyzm.* To są klasztory kontemplacyjne i mistycy, którzy przeżywają Pana Boga tak, jak człowiek przeżywa drugiego człowieka i jego bliskość. Jest to przeżywanie Pana Boga, w którym już nikt nie zadaje sobie pytania: „Czy Bóg istnieje?", tylko: „Co z Jego obecnością i bliskością zrobić?" — bo jest tak intymna, tak mocna, tak silna.

Taka właśnie jest Pieśń nad Pieśniami. Być może przeczytana dzisiaj, w święto św. Walentego, nada także głębszy sens walentynkom, które przeżywamy. Nie ma miłości ponad Miłość. Niechby każdy z nas to na swój sposób przeżył. Z całą pewnością jest to życzenie, które na dzisiejszy dzień szczególnie pasuje. Na następną konferencję bardzo serdecznie zapraszam na 21 III, Wielki Poniedziałek. I od razu zapowiem: zupełna zmiana atmosfery, zmiana klimatu. Przedmiotem naszego rozważania będzie *Pieśń Cierpiącego Sługi* z Księgi Izajasza. Na Wielki Tydzień to powinna być dobra lektura. Dziękuję państwu bardzo.

7.6 Pieśni o Słudze Pańskim (21 marca 2005)

Bardzo serdecznie państwa witam. To nasze szóste spotkanie w tym roku akademickim, szósta konferencja biblijna. Któregoś dnia przeglądając dorobek z ostatnich lat zauważyłem, że wkroczyliśmy — biorąc pod uwagę także Parafię Opatrzności Bożej, i tutaj Parafię Ofiarowania Pańskiego — w 19-ty rok konferencji biblijnych. Zatem można byłoby powiedzieć, że wyrosło całe pokolenie wychowane na naszej wspólnej biblijnej refleksji. Atmosfera naszego dzisiejszego spotkania będzie różniła się w znacznej mierze od tej, która towarzyszyła nam przed miesiącem. Bo jak pamiętamy nasza konferencja odbywała się w kontekście walentynek. I pozwoliliśmy sobie wziąć za przedmiot naszych rozważań Pieśń nad Pieśniami i wskazać wartość, wielkość człowieka, płciowości, cielesności a także wartość i wielkość ludzkiej miłości, która stała się obrazem miłości Boga do człowieka, także Chrystusa do człowieka, i o której powiedzieliśmy bardzo wiele ciepłych słów. Podziwialiśmy to, z czym mamy do czynienia w Pieśni nad Pieśniami, jej język, zwłaszcza język hebrajski, jej obrazowość, jej plastyczność, jej żywość, jej dosadność. Kiedy czyta się tę pieśń, można by powiedzieć że oddycha się Ziemią Świętą. Oddycha się jej fauną, florą. Muszę państwu powiedzieć, że 5 lat temu pod moim kierunkiem w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego powstała nawet rozprawa doktorska „Umiłowanie ziemi ojczystej w Pieśni nad Pieśniami". I autorka tej rozprawy doktorskiej zgłębiała wszystkie nawiązania do fauny i flory Ziemi Świętej, i z tego punktu widzenia przyglądała się temu niezwykłemu biblijnemu utworowi. Myślę, że udało nam się wydobyć cokolwiek z tego wielkiego bogactwa Pieśni nad Pieśniami, że państwo to pamiętają. Pamiętają również ten zachwyt nad człowiekiem, nad ludzką miłością, nad narzeczeństwem, nad tym wszystkim, co ludzi może łączyć. I to wszystko staje się obrazem również tej głębszej miłości, jeszcze bardziej duchowej, jeszcze bardziej wysublimowanej, która łączy nas z Bogiem, i którą także Bóg ku nam żywi.

Dzisiaj atmosfera się zmienia, nastrój się zmienia — zapowiedziałem to kilka tygodni temu. Jesteśmy na samym początku Wielkiego Tygodnia, i pod sam koniec Wielkiego Postu. I chciałbym, żebyśmy dzisiaj przedmiotem naszych rozważań uczynili sobie cztery Pieśni o Słudze Pańskim, wyjęte ze Starego Testamentu, które zapowiadają nam los Mesjasza, los Zbawiciela, los Bożego Wysłańca. Chciałbym, żebyśmy przyjrzeli się tym Pieśniom, i od razu muszę państwa uprzedzić, że to zadanie jest karkołomne. Dlatego, że kilka dobrych lat temu, bodajże w 1998 r., miałem jeszcze w dawnej Akademii Teologii Katolickiej wykłady przez cały semestr po dwie godziny tygodniowo, to jest razem 30 godzin, na temat tych czterech Pieśni. I ledwo zdołaliśmy zakończyć naszą refleksję na temat tych Pieśni. A dzisiaj trzeba nam cały ten materiał zebrać, tak jak w pigułce, w ciągu jednej godziny. Zatem nie chciałbym przedstawić państwu $\frac{1}{30}$ tej wiedzy, tylko chciałbym całą tę wiedzę tak mocno skondensować, żeby można było przekazać jak najwięcej z tego bogactwa Pieśni o Słudze Pańskim. Te Pieśni są dlatego ważne, ponieważ właśnie teraz, w okresie Wielkiego Tygodnia, są również czytane w liturgii Kościoła. Także dzisiaj na mszy świętej była czytana jedna z tych Pieśni. I będziemy ich słuchać dnia każdego, a przede wszystkim w Wielki Piątek. I myślę że nastrój i atmosfera tych pieśni doskonale oddaje nasze duchowe przeżywanie Wielkiego Tygodnia, oraz męki i śmierci Jezusa Chrystusa.

Wyjdźmy od pytania, które państwu stawiam bardzo często, czy przypominam bardzo często — a było to jedno z pierwszych pytań, jakie postawił mi mój ojciec, kiedy to wstąpiwszy do seminarium duchownego wróciłem któregoś dnia do domu. I wtedy ojciec uznał, że skoro rozpocząłem studia teologiczne, to na tego rodzaju pytanie powinienem znać odpowiedź. Powiedział mi mniej więcej tak. Że przez całe życie chodzi za nim to pytanie, ta kwestia, na którą nikt mu wcześniej nie dał przekonywującej odpowiedzi. Mianowicie ta: Jak to się stało, że naród Bożego wybrania, że Żydzi, że Izraelici, którzy byli tak długo przygotowani przez Boga, a przedtem zostali przez Niego wybrani, i tak długo oczekiwali Zbawiciela z pokolenia na pokolenie — wtedy, kiedy On przyszedł, to Go nie uznali, nie przyjęli, a nawet Go odrzucili. Dlaczego?

Otóż myślę, że ta dzisiejsza refleksja raz jeszcze dotyka tego bardzo kluczowego pytania. Myśmy to pytanie przy rozmaitych okazjach stawiali sobie, ale nigdy za dużo będzie powrócić do tego pytania, do tej kwestii, i naświetlić ją jeszcze od innej strony. Dlaczego Żydzi, lud Bożego wybrania, odrzucili Jezusa? Dlaczego nie zgodzili się na Niego, nie powiedzieli Mu swojego „Tak" wtedy, kiedy przyszedł, skoro byli tak długo przygotowywani na jego przyjęcie? To pytanie to jest

samo sedno relacji pomiędzy chrześcijanami a Żydami. To jest samo sedno naszych obustronnych stosunków, bo jak doskonale wiemy obarczone są one przez prawie 2000 lat wieloma zaszłościami po obu stronach zresztą. Bo obie strony bardzo skutecznie współdziałały w tym, że od siebie się wzajemnie oddalały. Otóż kiedy spróbujemy dać pod koniec naszego dzisiejszego spotkania, zbierając rozmaite wątki myślowe, odpowiedź na to kluczowe pytanie, to musimy przypomnieć sobie sprawę, którą państwo znają już doskonale. Mianowicie że wielowiekowe oczekiwania na działanie Boga w dziejach ludzkości, oczekiwania biblijnego Izraela, szły w trzech kierunkach. I te wszystkie trzy kierunki są bardzo dobrze widoczne na kartach Starego Testamentu, na kartach ksiąg Pierwszego Przymierza. Otóż oczekiwano postaci, którą nazwano Mesjaszem. Mówiliśmy na ten temat kilka lat temu, kiedy przedmiotem naszego zainteresowania były wątki mesjańskie Starego Testamentu. Mesjasz to jest spolszczona forma hebrajskiego Massijoh, tzn. *Pomazaniec, Namaszczony.* Namaszczony przez Boga, pomazany przez Boga, człowiek wyznaczony do szczególnej misji. Ale nie tylko człowiek — ktoś szczególnie od Boga posłany. I z tym Mesjaszem długo oczekiwanym, oczekiwanym przez całe stulecia, wiązano trojaką funkcję. Oczekiwano, że będzie on *królem.* Mamy na kartach Starego Testamentu psalmy królewskie, zapowiedzi królewskie, oczekiwanie królewskie, nadzieje królewskie. A ponieważ takim wzorcowym królem był król Dawid, oczekiwano nowego Dawida. I pojawiły się wątki takie, z którymi mamy do czynienia również w Ewangeliach, jak owe okrzyki z Niedzieli Palmowej: „Hosanna Synowi Dawidowemu! Błogosławiony, który przychodzi w imię Pańskie! Oto nasz król! Oto ten, na którego czekamy!" Wyśpiewano w psalmach: „Bramy podnieście swe szczyty i otwórzcie się prastare podwoje. Niech wejdzie król chwały!" I mamy na kartach Starego Testamentu takich oczekiwań królewskich bardzo wiele. Doskonale wiemy, że ten wątek wraca nawet w chrześcijańskiej pobożności wtedy, kiedy czcimy Chrystusa jak Króla — a ostatnia niedziela roku liturgicznego jest niedzielą właśnie Chrystusa Króla. To jeden wątek.

Drugi wątek, na który też zwracaliśmy uwagę, który chciałbym państwu przypomnieć, to jest wątek prorocki. Mówiono że ten, który zostanie zesłany przez Boga, to będzie *prorok.* Ale nie prorok w znaczeniu, żeby zapowiadał przyszłość, żeby odkrywał tę przyszłość, lecz żeby tę przyszłość kształtował. Prorok a więc ktoś, kto ma funkcję nauczania — nauczania ludzi, przywoływania ich do porządku, ukazywania im prawej drogi życia. I czyni to, nawet jeżeli kosztuje go to bardzo wiele, czyni to nawet za cenę jego życia. I bywało tak, że wielcy prorocy Starego Testamentu musieli swoje głoszenie dopiąć życiem, potwierdzić życiem. Tak działo się z Izajaszem, tak działo się z Jeremiaszem, tak działo się z Zachariaszem, Malachiaszem i innymi prorokami, których nauczanie było zbyt dosadne, żeby ludzie mogli je znieść. Takie było również nauczanie Jezusa. Przecież wobec Jezusa bardzo często podnoszono ten sam zarzut: „Twarda jest ta mowa, któż jej może słuchać?" Podnoszono wobec Jezusa również zarzut: A kim Ty właściwie jesteś? Nie jesteś synem cieśli? Czy nie znamy Twojego ojca i matki, Twojej rodziny? Czy oni nie mieszkają wszyscy pomiędzy nami? Kim Ty siebie czynisz?" Ten wątek jest doskonale widoczny w czwartej Ewangelii kanonicznej, Ewangelii św. Jana, której filmową wersję mogą państwo obejrzeć w tych dniach, ponieważ przedwczoraj na nasze ekrany wszedł film „Opowieść o Zbawicielu", który stanowi ekranizację Ewangelii św. Jana. Myślę, że warto go zobaczyć. Tam, w tej filmowej adaptacji Ewangelii św. Jana bardzo dobrze widać, jak nauczanie, jak słowa Jezusa wywoływały sprzeciw.

I pozostaje trzeci wymiar owego mesjaństwa — mianowicie wymiar *kapłański.* Zwracano uwagę na to w czasach Starego Testamentu że Mesjasz, który przyjdzie, to będzie Mesjasz który pójdzie drogą Abrahama, drogą Melchizedeka, drogą składania ofiar, drogą świątyni. Podkreślano konieczność czystego i prawego kultu. Znowu w psalmach mamy bardzo silny nacisk, nie tylko w psalmach — w nauczaniu proroków również, na to, żeby cześć oddawana Panu Bogu odzwierciedlała czyste serce człowieka. Zatem nauczano że ten, który przyjdzie w imię Pańskie, ten, który przyjdzie od Pana Boga, że on dokona ofiary najpiękniejszej, najważniejszej, najbardziej znaczącej. Tutaj muszę zwrócić uwagę państwa na to, że kult Starego Testamentu to był kult niesłychanie krwawy. Codziennie w świątyni jerozolimskiej ofiarowywano dziesiątki, a może nawet setki, ptaków, drobnych zwierząt: jagniąt, kozłów, a w przypadku wielkich wykroczeń: cielców, wołów. A więc codziennie przelewała się krew. Ten kult był niesłychanie krwawy, rodził sprzeciw. Ludzie buntowali się. Można by powiedzieć, że za grzechy ludzi cierpiały zwierzęta. Te zwierzęta też niejako podnosiły swój bunt, bo to wszystko nie było sprawiedliwe. Uważano, że musi przyjść kapłan, który położy kres temu krwawemu kultowi. I rzeczywiście — w Chrystusie to się spełniło.

Ale do tych trzech rysów, z których ten trzeci, zwróćmy uwagę: ma to do siebie, że Jezus umiera w pobliżu świątyni, że Jezus został skazany w twierdzy Antonia, która przylega do dziedzińca świątynnego, że dźwigał swój krzyż przy świątyni, że poniósł śmierć na Kalwarii, która znajduje się w odległości 300 - 400 m od dawnej świątyni jerozolimskiej.

Otóż obok tego wszystkiego istnieje jeszcze jeden nurt, i na ten chciałbym dzisiaj zwrócić państwu uwagę. Kiedy Jezus przyszedł, zastanawiano się co to znaczy, że jest królem. Co to znaczy, że jest prorokiem. Co to znaczy, że jest kapłanem. Te trzy funkcje były bez przerwy obok siebie. Kontestowano je, podawano w wątpliwość, potwierdzano, zachwycano się cudami Jezusa, zachwycano się Jego nauczaniem. Mówiono: Oto prawdziwy król! Oto prawdziwy prorok! Oto prawdziwy kapłan! Ale decydujące okazało się co innego. Wszystkie te trzy wymiary zeszły na plan dalszy wobec wymiaru czwartego.

Ten wymiar czwarty był też zapowiadany w Starym Testamencie — był to wymiar cierpienia. Otóż ten wymiar cierpienia, chociaż wyraźnie widoczny, nigdy nie został potraktowany — jak się wydaje — na tyle poważnie, żeby w decydującym momencie zwrócić uwagę na to, że ów Mesjasz Boży, Mesjasz zesłany przez Boga, dokona zbawienia świata przez cierpienie. Na końcu zadamy sobie pytanie, to najważniejsze: Dlaczego potrzebne było tak wielkie cierpienie? To pytanie podjął Ojciec Święty w swojej najnowszej książce „Pamięć i tożsamość". I w nawiązaniu do tej książki naszą dzisiejszą refleksję zakończymy. Ale póki co wróćmy do tych tekstów, które są najbardziej kluczowe. Otóż one zostały bardzo dobrze przetłumaczone na język polski, i dlatego poprzestaniemy tylko na przeczytaniu ich po polsku i krótkim skomentowaniu.

Z tymi czterema Pieśniami wszystko jest dziwne, wszystko jest pod znakiem zapytania. Po pierwsze: nie wiemy, kto jest autorem tych Pieśni. One są włączone do Księgi Izajasza, do jej drugiej części która nosi nazwę Deuteroizajasz, czyli powtórny, wtórny, drugi Izajasz. I o której wiemy, że jest dziełem jakiegoś anonimowego proroka. Ale gdyby państwo przejrzeli naukową, specjalistyczną literaturę na ten temat, to zobaczyliby, że bardzo wiele autorytetów naukowych mówi, że styl tych czterech Pieśni w żadnym wypadku nie pasuje do reszty Księgi Izajasza. Nie wiemy, kto jest autorem tych Pieśni. Co więcej — nie wiemy, kiedy te Pieśni powstały. Nie wiemy w jakim okresie one powstały. Wiemy, że sięgają początkami VI wieku przed Chrystusem. Ale czy powstały bliżej roku 550 czy 500 — tego absolutnie nie wiemy. Dalej: nie wiemy gdzie te Pieśni powstały. Czy powstały na terenie Palestyny, czy może na terenie Mezopotamii, zwłaszcza Babilonii? Albo może powstały na terenie Egiptu, a może w jakimś innym regionie starożytnego Bliskiego Wschodu — to jest kolejny znak zapytania. Po prostu nie wiemy. Nie wiemy w jakich okolicznościach i w jakich uwarunkowaniach te Pieśni powstały. Jednym słowem — mamy utwory, mamy Pieśni, które były czytane, recytowane, przeżywane, powtarzane, objaśniane, komentowane — ale nic nie wiemy na temat ich początków. Czyż nie jest w tym jakiś również znak Bożej Opatrzności, że owa anonimowość zwraca nam uwagę nie na okoliczności powstania, nie na autora, nie na czas, ale na treść tych Pieśni? Treść jest najważniejsza, zawartość tych Pieśni jest najważniejsza! Te Pieśni były czytane, przepisywane. Proszę popatrzeć — w języku hebrajskim Pismo Święte było przepisywane na zwojach. Co ciekawe — nie ma żadnych wahań co do tekstu tych Pieśni, co do tego, że one wchodzą w skład ksiąg świętych. Wiec były przez wieki cierpliwie przepisywane chociaż nie wiadomo, skąd się wzięły, nie wiadomo, jak trafiły do Księgi Izajasza. Ani też nigdy nie było wiadomo — i to ostatnie jest najważniejsze — kogo one tak naprawdę dotyczą. Zawsze w egzegezie, w wyjaśnianiu, w komentarzach, które pochodzą z tamtych dawnych czasów przedchrześcijańskich, zawsze było wiadomo, że te Pieśni dotyczą jakiejś tajemniczej postaci przyszłości. Że te Pieśni dotyczą kogoś, kogo zarys został zaledwie podany, kogo sylwetka została zaledwie zarysowana. Natomiast nie znamy ani imienia, ani pochodzenia, ani czasu przyjścia tej postaci.

I oto treść tych niezwykłych Pieśni. Najpierw pierwsza, która mieści się na początku 42 rozdziału Księgi Izajasza i brzmi tak:

Oto mój Sługa, którego podtrzymuję. | Wybrany mój, w którym mam upodobanie.

Niech państwo zwrócą uwagę, że tu cały czas powtarza się „Sługa mój", „wybrany mój". Ten *Sługa* po hebrajsku to jest słowo ebed. I normalnie ono oznacza *niewolnika.* Takiego niewolnika, jacy w starożytności byli w domu. My mamy nieraz w głowie wypaczony obraz niewolnika dlatego, że nam się wydaje, że niewolnik był zupełnie ubezwłasnowolniony. I u złego pana tak właśnie

było. Ale u dobrego pana niewolnik był traktowany po ludzku, i właściwie miał charakter sługi, któremu pan ufał. Bo ten ebed był dla pana i księgowym, i zarządzającym innymi niewolnikami, prowadzącym dom, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo, nadzorującym i pole i domostwo. Więc zlecano mu bardzo dużo. Można by powiedzieć, że spełniał wiele funkcji wymagających wielkiego zaufania, do których ludzie dzisiaj dochodzą po długim czasie. I właśnie w nawiązaniu do tej ludzkiej rzeczywistości sługi czytamy: „Oto mój Sługa, w którym mam upodobanie". Oto mój Sługa — mówi Bóg — którego, po ludzku mówimy, którego Ja lubię, do którego mam zaufanie. A więc istnieje jakaś przedziwna więź pomiędzy Bogiem, a tym Sługą. I Bóg ma upodobanie w swoim Słudze. Drodzy państwo — zwrócimy uwagę na ten sam początek, bo on jest niesłychanie ważny. Potem będziemy słyszeć o cierpieniach tego Sługi.

A z tych słów początkowych wynika rzecz bardzo ważna — *Bóg doświadcza tych, których miłuje.* Otóż cierpienie w tym przypadku, jak w wielu innych, jest znakiem Bożego zaufania. Cierpienie jest drogą współdziałania z Bogiem. Rzecz w tym że dobrze wiemy, że ludzie się przeciwko temu buntują. Również ci, którzy wierzą w Boga i idą drogą Chrystusa, chrześcijanie, też nie rozumieją sensu cierpienia. My nie rozumiemy sensu cierpienia! Chcemy się kłócić, wadzić z Bogiem. Uznajemy cierpienie za niesprawiedliwość podczas gdy tu, w przypadku Sługi, cierpienie to przywilej.

Oto mój Sługa, którego podtrzymuję. | Wybrany mój, w którym mam upodobanie.

Sługa i wybraniec Boga. Ale na czym ta służba, i na czym to wybranie będzie polegało? Bóg go miłuje i Bóg go podtrzymuje. Zatem ten Sługa nie cierpi sam. Nie będzie przeżywał swojego losu sam — Bóg jest zawsze z nim. Ale ten los, który przypadł w udziale Słudze, jest bardzo trudny.

Sprawiłem, że Duch mój na Nim spoczął; | On przyniesie narodom Prawo.

Mamy tutaj nawiązanie do uniwersalistycznej misji tego Sługi. Niech państwo zwrócą uwagę, że cały Stary Testament jest niesłychanie żydowski. Czasami nawet do tego stopnia żydowski, że nas to boli, dotyka, dotyczy, niepokoi, kłopocze. Buntujemy się przeciwko temu, bo w Starym Testamencie tych tekstów specyficznie żydowskich jest aż nadto wiele. Ale misja Sługi to jest misja o zasięgu powszechnym. Sługa jest posłany dla dobra wszystkich ludów i narodów, nie tylko Żydów. Ten wątek jest niesłychanie ważny. Bo i Żydzi w czasach Starego Testamentu przeciwko temu się buntowali. Uważali, że Bóg jest ich Bogiem przede wszystkim. W związku z tym ten uniwersalistyczny wymiar posłannictwa Sługi bywał zapoznawany i zaniedbywany.

Nie będzie wołał ni podnosił głosu,
nie da słyszeć krzyku swego na dworze. | Nie złamie trzciny nadłamanej,
nie zagasi knotka o nikłym płomyku.

Zwróćmy uwagę na delikatność działania tego Sługi. Trzcina nadłamana — ale on jej nie złamie. Ledwo tlący się, palący się knot — ale on go nie zgasi. Ta trzcina nadłamana to symbol słabości człowieka. Ten knot, który ledwo się pali, to też symbol słabości człowieka. Sługa zesłany przez Boga nie podepcze nikogo, nie zniszczy nikogo. Jakże to jest inne od tych sposobów uzdrawiania świata, które dominowały w ciągu wieków, i które dominowały zwłaszcza w wieku XX. Pamiętamy te totalitaryzmy – czerwony, brunatny, żółty — czyli komunistyczny, narodowo-socjalistyczny, chiński, które chciały uczynić raj na ziemi. Ale żeby uczynić raj dla jednych, posyłano setki tysięcy i miliony innych do grobów, do ciężkich robót, wywożono, by zrobić miejsce dla raju. I wiemy doskonale, czym to się kończyło. Otóż nie taką wizję mamy w przypadku tego działania Bożego. Ten Sługa ma troszczyć się o każdego człowieka.

Nie zniechęci się ani nie załamie,
aż utrwali Prawo na ziemi, | a Jego pouczenia wyczekują wyspy.

Te wyspy to nawiązanie do wysp Morza Egejskiego. Dla ludzi mieszkających na Bliskim Wschodzie, dla ludzi mieszkających na pustyni, wiedza o wyspach Morza Egejskiego to była wiedza o najdalszych krańcach ziemi. Więc ten Sługa podejmie misję, przy której się nie załamie, nie straci ducha. Podtrzymywany przez Boga będzie dawał pouczenie, które sięgnie aż po krańce ziemi.

Tak mówi Pan Bóg,
który stworzył i rozpiął niebo,
rozpostarł ziemię wraz z jej plonami,
dał ludziom na niej dech ożywczy
i tchnienie tym, co po niej chodzą.

I co mówi Pan Bóg?

«Ja, Pan, powołałem Cię słusznie,
ująłem Cię za rękę i ukształtowałem,
ustanowiłem Cię przymierzem dla ludzi,
światłością dla narodów,
abyś otworzył oczy niewidomym,
ażebyś z zamknięcia wypuścił jeńców,
z więzienia tych, co mieszkają w ciemności.

Myślę, że słuchając tych słów zaczynają państwo rozumieć i nie będą się państwo dziwić, że można było te Pieśni objaśniać przez cały semestr, a i tego było za mało. Tutaj każde słowo jest brzemienne w treść. I gdybyśmy się dobrali do niego tak bardzo dokładnie, to byśmy tak jak z cytryny wyciskali to, co najważniejsze. Otóż:

«Ja, Pan, powołałem Cię słusznie,

Mamy tu ten element powołania, wybrania. Wybrania do czegoś niezwykłego.

ująłem Cię za rękę i ukształtowałem,

Podkreśla się niezwykle intymny, jedyny w swoim rodzaju związek między Bogiem, a tym Sługą. Bóg ujął go za rękę, ale wcześniej ukształtował. Bóg jest dla Sługi swojego ojcem i matką. Wyznajemy w wyznaniu wiary: „zrodzony, a nie stworzony" o Jezusie. Czyż ta intuicja z wyznania wiary nie pokrywa się tutaj z tym przedziwnym, pełnym głębi tekstem Starego Testamentu?

ustanowiłem Cię przymierzem dla ludzi, | światłością dla narodów,

I jakie on ma zadanie? Ma zadanie, by:

abyś otworzył oczy niewidomym,
ażebyś z zamknięcia wypuścił jeńców,
z więzienia tych, co mieszkają w ciemności.

Być niewidomym, być jeńcem, być więźniem — to są obrazy ludzi pogrążonych w mrokach zła, w otchłani nieszczęścia. Tu chodzi o coś więcej, niż dolegliwość ślepoty fizycznej, albo uwięzienia czy bycia jeńcem. Tutaj chodzi o ślepotę duchową. Zadaniem tego Sługi będzie wyzwolić ludzi z mroków, w których siedzą, w których przebywają.

Ja, któremu na imię jest Pan,
chwały mojej nie odstąpię innemu
ani czci mojej bożkom.

Zatem Pan Bóg mocno podkreśla, że przez tego Sługę ukaże swoją jedyność i wielkość. Ukaże to, co zamierzył chcąc dokonać zbawienia człowieka. I ostatnie słowa tej pierwszej Pieśni:

Pierwsze wydarzenia oto już nadeszły,
nowe zaś Ja zapowiadam,
zanim się rozwiną,
[już] wam je ogłaszam».

To jest pierwsza Pieśń o Słudze Pańskim. Czy nie zauważyli państwo tej prostej, ważnej myśli, że jest to Sługa tak osobliwy, tak wielki, tak niezwykły, że ta charakterystyka nie pasuje do żadnego żyjącego człowieka? Tym, czym się on odznacza, jest niezwykle bliski, intymny związek z Bogiem, który go ukształtował, wyznaczył, uzdolnił i przeznaczył do spełnienia tego niezwykłego zadania. A to niezwykłe zadanie polega na zbawieniu świata. Na wyzwoleniu ludzi z tego, co złe.

I tutaj dotknijmy tej odpowiedzi, której chcemy sobie udzielić na końcu. Otóż na świecie istnieje, istniało zawsze i istnieje dzisiaj, bardzo wiele zła. To zło ma charakter fizyczny kiedy jest cierpieniem, kiedy jest bólem, kiedy jest chorobą. Dotyka ono nie tylko ludzi, ale całego świata żywego, także zwierząt w szczególny sposób, które pod wieloma względami cierpią tak, jak cierpi człowiek — chyba nie mając tylko naszej ludzkiej świadomości, tylko swoją świadomość. Ale do tego zła

dochodzi jeszcze szczególny wymiar, mianowicie zło moralne. A to jest wynikiem naszych świadomych wyborów, rezultatem naszego świadomego udziału. Jak przezwyciężyć to zło? Z tej pierwszej Pieśni wyłania się obraz, o którym moglibyśmy w zarysach powiedzieć tak. Żeby przezwyciężyć zło w świecie potrzebna jest szczególna interwencja Boża. I Bóg zapowiedział to w samych początkach stworzenia świata i człowieka. A potem wybrał naród, i w tym narodzie miał zrealizować dzieło zbawienia przez swojego Sługę, którego do tego wyznaczył i uzdolnił. Aby wyrwał człowieka z mroków zła. Aby wyrwał ludzkość z mroków zła.

I potem następuje druga Pieśń Sługi Pańskiego. Następuje dość nieoczekiwanie, włożona znów w tę księgę Deuteroizajasza dopiero w 49 rozdziale, ale nie ulega wątpliwości, że chodzi o tę samą postać, i tego samego Sługę, i o to samo Boże działanie. Czytamy tak:

Wyspy, posłuchajcie Mnie!
Ludy najdalsze, uważajcie!
Powołał Mnie Pan już z łona mej matki,
od jej wnętrzności wspomniał moje imię.

Zwróćmy uwagę, że w pierwszej Pieśni mówił Bóg o swoim Słudze. W drugiej Pieśni — sam Sługa, ten oczekiwany, zapowiadany, którego tożsamości nie znamy, mówi o sobie. On sam siebie przedstawia. Zatem niech państwo popatrzą – czy to nie dziwne, że na kartach Starego Testamentu, na ponad 500 lat przed Chrystusem, ten Sługa już istnieje? On już się wypowiada, on już swoją misję przyjął. On mówi do tamtych współczesnych mu ludzi, a potem do tych, którzy czytali tę Księgę, przemawia tak, jakby był pośród nich. Czyż nie dotykamy tutaj starotestamentowej intuicji o preegzystencji Sługi Pańskiego, o preegzystencji Jezusa Chrystusa, odwiecznej Mądrości Bożej? „Przed wiekami zostałam stworzona" mówi Księga Mądrości. I jeżeli chodzi o Jezusa jako prawdziwego Boga, to przecież nie narodził się z Maryi Dziewicy, bo narodził się jako człowiek — jako Bóg istniał zawsze. Bóg Ojciec wyznacza Go do tej specjalnej roli. Jezus, Syn Boży, tę rolę przyjmuje. I właśnie dlatego mamy tutaj Jego pieśń, pieśń Sługi:

Ludy najdalsze, uważajcie!
Powołał Mnie Pan już z łona mej matki,
od jej wnętrzności wspomniał moje imię.

To jest jeden z tekstów, które dotyczą biblijnej teologii powołania. Zawsze, kiedy są rekolekcje dla kleryków, dla alumnów, dla kapłanów, to próbujemy zgłębiać na czym polega istota powołania. Często nas wierni, a zwłaszcza młodzież, pyta co to znaczy być powołanym, kiedy ksiądz, albo siostra zakonna czy zakonnik, chciał być tym, kim jest. A tu powołanie jawi się jako tajemnica przeznaczenia, które jest starsze, wcześniejsze niż nasze życie. I dalej:

Ostrym mieczem uczynił me usta,
w cieniu swej ręki Mnie ukrył.
Uczynił ze mnie strzałę zaostrzoną,
utaił mnie w swoim kołczanie.
I rzekł mi: «Tyś Sługą moim,
w tobie się rozsławię».

Otóż ten zapowiadany Sługa, który tutaj sam się wypowiada, ma niezwykłą moc nauczania, oczyszczania, przemawiania, trafiania do ludzkich serc. Jest jak strzała ukryta w kołczanie, którą się wyjmuje, i która trafia do celu. Tak jego słowa nie wrócą do niego, póki nie osiągną swojego skutku, póki nie sprawią tego, co oznaczają. A więc ten Sługa ma świadomość, że jego nauczanie, jego słowa są czymś absolutnie wyjątkowym.

I rzekł mi: «Tyś Sługą moim,
w tobie się rozsławię».
Ja zaś mówiłem: Próżno się trudziłem,
na darmo i na nic zużyłem me siły.

Czyż nie zauważają państwo przedziwnego napięcia, biegunowości? Z jednej strony On, Sługa, który mówi tak skutecznie. A z drugiej strony sprzeciw i opór który sprawia, że Sługa uświadamia sobie odrzucenie. Czyż nie jest to starotestamentowa intuicja tajemnicy misterium Ogrójca? Czyż nie w Getsemani Jezus uświadomił sobie, że oto po całych latach publicznej działalności kiedy przychodzi mu podjąć jego los, to został sam? I tutaj mamy właśnie tę samotność powołanego, tę samotność Sługi, który został uzdolniony. Ma wszystkie cechy i kwalifikacje, żeby odnieść zwycięstwo, ale jednocześnie natrafia na sprzeciw.

Wsławiłem się w oczach Pana, | Bóg mój stał się moją siłą.

A jednak ostatnie słowo należy do Boga. A jednak siłą tego Sługi jest Pan Bóg. Obok tego „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił" mamy u Jezusa słowa, że „Niech się stanie ale nie tak, jak Ja chcę, lecz tak jak Ty". I dalej:

A teraz przemówił Pan,
który mnie ukształtował od urodzenia
na swego Sługę, | bym nawrócił do Niego Jakuba
i zgromadził Mu Izraela.

I dochodzimy do wątku niesłychanie ważnego. Otóż ten Sługa był zamierzony. Był postrzegany przez Izraelitów jako ktoś, kto ma przede wszystkim im pomóc, kto ma przede wszystkim pomóc narodowi Bożego wybrania. My zawsze jesteśmy zazdrośni o Boga. To może trochę tak, jak zazdrośni o miłość matki, o miłość ojca, o miłość przyjaciela. Chociaż dobrze wiemy, że miłość jest podzielna, to kiedy nas to dotyczy sądzimy, że jest inaczej. I chcielibyśmy jak najwięcej zachować dla siebie. I Żydzi czasów Starego Testamentu dobrze wiedzieli, że zostali wybrani ze względu na innych, ale te przymioty Boże i Bożą miłość łączyli przede wszystkim ze sobą. A co na to Sługa? Mówi:

A mówił: «To zbyt mało, iż jesteś Mi Sługą
dla podźwignięcia pokoleń Jakuba
i sprowadzenia ocalałych z Izraela! | Ustanowię cię światłością dla pogan,
aby moje zbawienie dotarło
aż do krańców ziemi».

Już to, te słowa, w czasach Starego Testamentu budziły sprzeciw Żydów. Chcieli, żeby Pan Bóg był przede wszystkim ich Bogiem, i tak Go wyznawali. Państwo dobrze wiedzą, że po dzień dzisiejszy — powtarzam: po dzień dzisiejszy —kiedy ortodoksyjny Żyd wstanie rano i zaczyna swoją modlitwę, którą ma obowiązek odmawiać, to mówi tak:

barucha ha adonaj elohem melechola	*Błogosławiony jesteś Panie Boże, Królu wszechświata*
szelo asidi goj	*że nie uczyniłeś mnie gojem*

Otóż pierwsze podziękowanie, pierwsze błogosławieństwo jest to, że on jest Żydem. Tak jest po dzień dzisiejszy. Tu dla ciekawości państwa — ponieważ i tak większość państwa wie — to drugie błogosławieństwo brzmi:

Błogosławiony jesteś Panie Boże, Królu wszechświata za to
że nie uczyniłeś mnie niewolnikiem.

To jeszcze wysłuchamy w miarę dobrze. Ale trzecie spowoduje reakcję państwa. Otóż ortodoksyjny Żyd modląc się wypowiada zgodnie ze swoim modlitewnikiem następujące słowa:

Błogosławiony jesteś Panie Boże, Królu wszechświata za to
że nie uczyniłeś mnie kobietą.

Proszę zwrócić uwagę — a gdzie są feministki? Wyobraźcie sobie chrześcijan, którzy by się w ten sposób modlili! A czy kobiety odmawiają to błogosławieństwo? Otóż jeżeli kobieta chce się modlić, to trzecie błogosławieństwo wypowiada tak:

Błogosławiony jesteś Panie Boże, Królu wszechświata za to
że uczyniłeś mnie zgodnie ze swoją wolą.

I w porządku! Więc do czego zmierzam? Już nie kieruję uwagi państwa w stronę dzisiejszej pobożności żydowskiej, która, jak dobrze widać, jest bardzo interesująca. Kto był z nami w Ziemi Świętej pod Ścianą Płaczu to pamięta, że zawsze pokazywałem na ten fragment modlitewnika, bo ta modlitwa znajduje się na samym początku modlitewnika. To nie jest jakiś wymysł, to nie jest anegdota — tak po prostu się modlą. Dlaczego to państwu podkreślam? Bo tak bardzo są — jeżeli tak można powiedzieć — zadowoleni ze swojego wybrańtwa. A tu co my mamy — jeszcze raz:

«To zbyt mało, iż jesteś Mi Sługą
dla podźwignięcia pokoleń Jakuba
i sprowadzenia ocalałych z Izraela! | Ustanowię cię światłością dla pogan,
aby moje zbawienie dotarło
aż do krańców ziemi».

Misja Sługi Pańskiego jest powszechna, uniwersalistyczna, jego zbawienie ma dotrzeć aż po krańce ziemi. Dlatego po zmartwychwstaniu Jezus mówił: „Weźcie Ducha Świętego, idźcie i nauczajcie wszystkie narody". I to wywoływało sprzeciw Żydów, którzy byli przyzwyczajeni, że Bóg

jest ich Bogiem, jest Bogiem Izraela. Ale i w Starym Testamencie mamy tę silną intuicję, którą nazywamy uniwersalną. I dalej:

Tak mówi Pan,
Odkupiciel Izraela, jego Święty,
do wzgardzonego w swej osobie,
do budzącego odrazę pogan,
do niewolnika przemożnych:
«Królowie zobaczą cię i powstaną,
książęta padną na twarz,
przez wzgląd na Pana, który jest wierny,
na Świętego Izraelowego, który cię wybrał».

Pan jest wierny, i dlatego dokona zbawienia. Pan wybrał Sługę, i dlatego jego wybór przyniesie powszechne rezultaty. To druga Pieśń Sługi Pańskiego. Proszę zwrócić uwagę: skoro w świecie — raz jeszcze wróćmy do naszej głównej odpowiedzi — jest tak wiele zła, jest tak wiele grzechu, skoro jest tak wiele skutków złych wyborów, to zło dotyczy wszystkich, i Żydów, i pogan. Otóż w dobrym i złym nie różnimy się od siebie, w tym jesteśmy tacy sami. Jedni i drudzy grzeszymy. Wobec tego zbawienie przyniesione przez Boga musi dotyczyć nas wszystkich, musi objąć nas wszystkich. Sługa Pański, którego Pan Bóg wyznaczył do tego dzieła, to jest Sługa, którego zbawcze dzieło obejmie każdego człowieka i całego człowieka. To bardzo ważne.

I trzecia Pieśń, znajduje się w 50-tym rozdziale. Znowu państwo zauważą: pieśni są spójne, ale są jak piękne kwiaty w ogrodzie. One są tego samego gatunku, ale jeden rośnie tu, drugi tu, trzeci tam, i dzięki nim cały ogród jest piękniejszy. Kto te pieśni tu włożył? Nikt tego nie wie po dzień dzisiejszy — może i lepiej. Trzecia Pieśń brzmi tak:

Pan Bóg Mnie obdarzył
językiem wymownym,
bym umiał przyjść z pomocą
strudzonemu, przez słowo krzepiące.

Raz jeszcze Sługa mówi o sobie, Sługa przedstawia swoją misję. Jest wymowny, i będzie krzepił słowem utrudzonych. Otóż znaczenie słowa, znaczenie nauczania jest przeogromne. Słowo potrafi odmieniać bieg życia człowieka, nauczanie potrafi przemieniać jego serce, rozum, wolę, intelekt. Słowo potrafi nas zmieniać. Czy nie taki jest sens np. rekolekcji wielkopostnych, albo dnia skupienia, albo refleksji, które na rozmaite sposoby podejmujemy? I dalej:

Pan Bóg otworzył Mi ucho,
a Ja się nie oparłem
ani się cofnąłem.

A więc Bóg otworzył ucho Sługi, aby mu mówić, aby mu powiedzieć. To, co Bóg powie, będzie trudne. Człowiek może słyszeć, ale nie słuchać. Otóż słuchanie nie oznacza posłuszeństwa. Słyszymy jedno, robimy drugie. Ale nie tak będzie ze Sługą. Sługa ani się nie cofnie, ani się nie oprze. Wykona to, czego Bóg od niego chce. A cóż to będzie?

Podałem grzbiet mój bijącym
i policzki moje rwącym Mi brodę.
Nie zasłoniłem mojej twarzy
przed zniewagami i opluciem.

Oto jest misja, którą Bóg zlecił swojemu Słudze. Na tym polega Boże wybranie, od łona matki. Na tym polega Boże wsparcie i Boża obecność, że oto Sługa będzie musiał przejść przez cierpienie. Ponieważ w świecie jest wiele zła, a to zło rodzi nieszczęście, to według Bożej miary widzenia świata wartość oczyszczającą ma cierpienie. Nie wiemy dlaczego tak jest, nie wiemy dlaczego cierpienie sprawiedliwych ma wartość szczególną. Ale Pismo Święte nie zostawia żadnej wątpliwości co do tego, że tak jest. Otóż Sługa przyjmuje ten los zgotowany mu przez Boga, odpowiada na ten los. Ale cóż to za los?

Podałem grzbiet mój bijącym

to jest biczowanie,

i policzki moje rwącym Mi brodę.

targanie za brodę,

Nie zasłoniłem mojej twarzy | przed zniewagami i opluciem.

Czyż nie jest to starotestamentowe przedstawienie męki Zbawiciela? Czy w ubiegłym roku przeżywana „Pasja" nie pokazała nam tego z surowością, która wywoływała bunt? A przecież był to tylko film, a nie rzeczywistość! Ale i tak był tak dosadny, że musieliśmy przymykać oczy. I dalej:

Pan Bóg Mnie wspomaga,
dlatego jestem nieczuły na obelgi, | dlatego uczyniłem twarz moją jak głaz
i wiem, że wstydu nie doznam.

Sługa cierpi, ale nie jest samotny. Samotność jest wrogiem człowieka, ale po stronie Sługi jest Bóg. To Bóg go wspomaga, i dlatego jest jak głaz, jak skała, jak kamień, na który można plucić, który można biczować. Ale nie można go złamać. Mówi się, że człowieka można zniszczyć, ale nie złamać. Można odebrać mu życie, ale nie pokonać. Więc ten Sługa też otrzymuje szczególne wsparcie od Boga. Dlatego:

dlatego uczyniłem twarz moją jak głaz
i wiem, że wstydu nie doznam.
Blisko jest Ten, który Mnie uniewinni.
Kto się odważy toczyć spór ze Mną? | Wystąpmy razem!
Kto jest moim oskarżycielem?
Niech się zbliży do Mnie!

Otóż ten Sługa jest potępiany jak przestępca pospolity. Plują na niego, biją go. Ale racja jest po jego stronie. W świecie jest tak, że jeżeli ktoś cierpi — taka jest przynajmniej sprawiedliwość ludzka — to cierpi za zło, którego się dopuścił. Jeżeli kogoś biczujemy, cierniem koronujemy, czy jeżeli komuś dokuczamy, to ma to być represja za zło, które popełnił. Inaczej jest ze Sługą — cierpi ale patrzy w oczy swoim oprawcom i świadkom. Mówi: czy jest ktoś, kto by mi zarzucił zło? Cierpię niewinnie, bo cierpienie niewinnego ma sens.

Oto Pan Bóg Mnie wspomaga.
Któż Mnie potępi? | Wszyscy razem pójdą w strzępy jak odzież,
mól ich zgryzie.

To jest trzecia Pieśń Sługi Pańskiego, która bardzo wyraziście kieruje nas ku temu, że losem Sługi jest cierpienie. I to cierpienie niezasłużone. I że w tym cierpieniu jest wspomagany przez Boga. Zatem los, do którego Pan Bóg go wybrał, to jest właśnie los cierpienia. Przypomnijmy, żeby nam to nie umknęło, że Mesjasz obiecany przez Boga miał być królem, miał być prorokiem, miał być kapłanem. Tego nigdy nie kojarzymy z cierpieniem. A tutaj mamy czwarty rys Mesjasza, ten, który ogarnia i obejmuje trzy pozostałe — mianowicie Mesjasz cierpiący.

Ale najbardziej przejmująca jest czwarta Pieśń Sługi Pańskiego, i najbardziej znana. Ta czwarta Pieśń znajduje się pod koniec rozdziału 52, i na początku rozdziału 53. W tej Pieśni wizerunek Mesjasza osiąga swój szczyt. I to do tego stopnia osiąga, że zaczynamy się buntować. Zaczynamy wołać: „Nie, to nie przystoi Bogu!" Ale posłuchajmy tej Pieśni. Myślę że odczytana dzisiaj, w Wielki Poniedziałek, na kilka dni przed Triduum Paschalnym, przed Świętami Wielkanocy, ukaże nam ten mesjański dynamizm Starego Testamentu. Ja przypominam — te słowa, które teraz przeczytam, zostały napisane, były czytane, komentowane, objaśniane, przeżywane, przemodlone, wspominane, przepisywane na ponad pół tysiąca lat przed Chrystusem. Kiedy więc Chrystus przyszedł czyż nie można było zestawić tych słów z Jego losem? Zostało to zrobione, ale o tym za chwilę. Jednak wywołało również protest. Bo posłuchajmy:

Oto się powiedzie mojemu Słudze, | wybije się, wywyższy i wyrośnie bardzo.

Gdybyśmy nie wiedzieli, co będzie później, to byśmy myśleli sobie: Sługę czeka kariera, czeka go awans. Oto mu się powiedzie, oto się wybije, oto się wywyższy. Na czym polega awans zamierzony przez Boga? Na czym polega wybór Sługi, do którego Pan Bóg go wyznaczył? Otóż za chwilę zobaczymy, że te słowa to nic innego jak swoista dialektyka Boża, mianowicie odwrócenie naszych wartości. Dla nas wielki jest ten, kto jest ważny. Dla nas znaczący jest ten, kto mocno dopomina się o swoje. Dla nas ważny jest ten, kto krzyczy i kto tupie. A tu? Ten, który jest ważny dla Boga, to:

Jak wielu osłupiało na Jego widok -
- tak nieludzko został oszpecony Jego wygląd
i postać Jego była niepodobna do ludzi -
tak mnogie narody się zdumieją,
królowie zamkną przed Nim usta,
bo ujrzą coś, czego im nigdy nie opowiadano,
i pojmą coś niesłychanego.
Któż uwierzy temu, cośmy usłyszeli?
na kimże się ramię Pańskie objawiło?
On wyrósł przed nami jak młode drzewo

Jak takie drzewo, do którego można podejść, wyciągnąć je z ziemi, i szybko złamać. Ale gdy przyjdziemy za lat dziesięć, to będzie bardzo trudne. Za lat dwadzieścia stanie się niemożliwe. A za lat pięćdziesiąt to jesteśmy jak kruszyna pod tym drzewem. Zatem i dzieło tego Sługi wydaje się być kruche. Ale ono rośnie — czy my tego chcemy, czy nie chcemy. Otóż to, czego Sługa dokonał jest tak, jak młode drzewo, które dopiero ma przed sobą wielką przyszłość.

i jakby korzeń z wyschniętej ziemi.
Nie miał On wdzięku ani też blasku,
aby na Niego popatrzeć,
ani wyglądu, by się nam podobał.
Wzgardzony i odepchnięty przez ludzi,
Mąż boleści, oswojony z cierpieniem,
jak ktoś, przed kim się twarze zakrywa,
wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic.
Lecz On się obarczył naszym cierpieniem,
On dźwigał nasze boleści,
a myśmy Go za skazańca uznali,
chłostanego przez Boga i zdeptanego.
Lecz On był przebity za nasze grzechy,
zdruzgotany za nasze winy.
Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas,
a w Jego ranach jest nasze zdrowie.
Wszyscyśmy pobłądzili jak owce,
każdy z nas się obrócił ku własnej drodze,
a Pan zwalił na Niego
winy nas wszystkich.
Dręczono Go, lecz sam się dał gnębić,
nawet nie otworzył ust swoich.
Jak baranek na rzeź prowadzony,
jak owca niema wobec strzygących ją,
tak On nie otworzył ust swoich.
Po udręce i sądzie został usunięty;
a kto się przejmuje Jego losem?
Tak! Zgładzono Go z krainy żyjących;
za grzechy mego ludu został zbity na śmierć.
Grób Mu wyznaczono między bezbożnymi,
i w śmierci swej był [na równi] z bogaczem,
chociaż nikomu nie wyrządził krzywdy
i w Jego ustach kłamstwo nie postało.
Spodobało się Panu zmiażdżyć Go cierpieniem.
Jeśli On wyda swe życie na ofiarę za grzechy,
ujrzy potomstwo, dni swe przedłuży,
a wola Pańska spełni się przez Niego.
Po udrękach swej duszy,
ujrzy światło i nim się nasyci.
Zacny mój Sługa usprawiedliwi wielu,
ich nieprawości On sam dźwigać będzie.
Dlatego w nagrodę przydzielę Mu tłumy,
i posiądzie możnych jako zdobycz,
za to, że Siebie na śmierć ofiarował
i policzony został pomiędzy przestępców.
A On poniósł grzechy wielu,
i oręduje za przestępcami.

Celowo przeczytałem tę Pieśń nie dodając ani słowa. Czyż nie widzimy, że to jest Ewangelia Starego Testamentu? Te słowa opisują nam los Zbawiciela, który literalnie pasuje do losu Jezusa Chrystusa. Gdzie leży problem, że nie został rozpoznany? Gdzie leży kłopot z tym, że nie został przyjęty? Otóż kłopot jest w tym, że zawsze wielkim zgorszeniem jest cierpienie. Że tak długo, jak długo o cierpieniu mówimy, jak długo nas nie dotyczy, to wydaje się to rzeczywistość do przyjęcia. Ale kiedy staje się naszym udziałem albo kiedy staje się udziałem tych, z którymi wiążemy nasze nadzieje i losy, wtedy buntujemy się przeciwko cierpieniu. W książce „Przekroczyć próg nadziei" Ojciec Święty napisał tak: Kiedy Jezus cierpiał, zaczęto się buntować: „To nie przystoi Bogu!" Bóg jest transcendentny, wielki, pełen majestatu. Ale żeby siebie dawał bić po twarzy, krępować

i biczować? Nie, to nie może być Bóg! I zaczęto protestować. Ten wielki protest nazywa się najprzód Synagogą, a potem Islamem. Mówiono: „To nie przystoi Bogu!"

Czy nie zauważają państwo paradoksu, że człowiek chce bronić Boga niejako przeciwko samemu Bogu? Chce obronić Boga przed Nim samym? Takim właśnie wielkim zgorszeniem jest cierpienie niewinnych. I właśnie dlatego kiedy Jezus cierpiał, nie został rozpoznany, nawet przez swoich najbliższych. W Ogrójcu opuścili Go uczniowie i uciekli. A potem Piotr wołał: „Nie znam tego człowieka!" A inni pouciekali. Trzeba było dopiero zmartwychwstania, żeby wrócili. Myślę, że ta dzisiejsza refleksja bardzo nas uwrażliwia na przeżywanie Wielkiego Tygodnia.

I na koniec zdanie, które nawiązuje do najnowszej książki Ojca Świętego „Pamięć i tożsamość". W tej książce Ojciec Święty napisał mniej więcej tak.

Do czego porównać dzieło odkupienia człowieka i świata? Można by to porównać do wagi, a na tej wadze są dwie szale. Po jednej stronie jest szala zła, po drugiej jest szala dobra. Żeby świat ocalić, dobro musi przeważyć. Ale ponieważ zła jest bardzo wiele, to Bóg postanowił niejako raz na zawsze poskromić zło. I wobec tego bezmiaru zła dał jeszcze większy bezmiar dobra. A ten bezmiar dobra to jest ofiara Jego Syna. Nikt nie ma większej miłości nad tę, kiedy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich. I Jezus oddał życie za nas wszystkich — to jest miłość największa. I w ten sposób Bóg postawił, wyznaczył złu tamę. Tak, że ono już nie może przeważyć w dziejach człowieka.

A nawet więcej — napisał Ojciec Święty — stało się tak, że samo zło, wbrew sobie, stało się sposobnością do dobra. I stało się okazją do czynienia dobra. Podobnie jak grzech jest sposobnością do nawrócenia, do oczyszczenia, do pojednania. Więcej jej wybaczono — mówił Jezus — bo więcej miłuje. A więc tam, gdzie jest grzech, tam jeszcze ponad miarę obfitsza jest miłość. A o tym pisał św. Paweł.

Ten wątek z nauczania Ojca Świętego podejmiemy jeszcze na następnej konferencji biblijnej, na którą zapraszam państwa 25 IV, w ostatni poniedziałek. Przedmiotem naszej refleksji uczynimy niektóre wybrane elementy najnowszej książki Jana Pawła II. Bardzo serdecznie zapraszam.

Zanim złożę życzenia wielkanocne wszystkim państwu, to jeszcze dwie rzeczy. Otóż raz jeszcze sprowadziłem książkę, która stanowi owoc konferencji sprzed kilku lat: „Oblicza kryzysu w Biblii". I jest również książeczka, która zawiera materiały z sympozjum ekumenicznego chrześcijańsko - żydowskiego, które odbyło się w Obrze. Tam jest kilka tekstów, m.in. mój „Biblia chrześcijańska a Biblia żydowska", „Jan Paweł II — papież Biblii i jedności" itd.

A wszystkim państwu życzę dobrych, radosnych, spokojnych, błogosławionych Świąt. Przeżyjmy jak najlepiej Triduum Paschalne, które jest przed nami. Zachęcam państwa do przeżycia Wielkiego Czwartku. Dodajmy do tej konferencji jeszcze jedno zdanie, może nawet dobrze, że państwo wstali. Proszę popatrzeć — czy ten dramat odrzucania cierpienia, kwestionowania cierpienia, nie powtarza się na naszych oczach w przypadku Jana Pawła II? Czyż nie jest tak, że słyszymy w TV, wczoraj w Wiadomościach itd.: „Ojciec Święty nie zawiódł i wyszedł do okna". Po pierwsze nie wyszedł tylko został przywieziony. A po drugie — gdyby nie został przywieziony, to co? To by nas zawiódł? To my jesteśmy zawiedzeni cierpieniem starego, schorowanego człowieka? To nas zawodzi wtedy, kiedy się pokazuje, czy nie pokazuje? Otóż tacy są ludzie w każdym pokoleniu. Myślę, że to zbliżające się Triduum to szczególny czas łączności z Janem Pawłem II. Musimy zdać sobie sprawę z jego wielkiego cierpienia, kiedy to przez ten najświętszy czas nie będzie mógł brać udziału publicznie w tych wszystkich celebracjach. To musi być dla niego prawdziwy krzyż. Więc jesteśmy z nim i duchem, i sercem. I pamiętajmy: był to pontyfikat działalności, był to pontyfikat nauczania, był to pontyfikat cierpienia, a teraz jest to pontyfikat milczenia. I milczenie — tak jak w ogóle w życiu — może być bardziej wymowne, niż najbardziej wyszukane słowa. Za Ojca Świętego zatem pomódlmy się wspólnie: „Pod Twoją obronę . . . "

7.7 Jan Paweł II i Benedykt XVI (25 kwietnia 2005)

W Imię Ojca ... Stolico Mądrości ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

Bardzo serdecznie jeszcze raz państwa witam. Chyba podczas wszystkich naszych konferencji, które do tej pory miały miejsce, nie mieliśmy miesiąca, który byłby tak bardzo intensywny w wydarzenia i przeżycia, jak ten czas, który właśnie teraz się skończył, jak ten czas, który właśnie wczoraj dobiegł końca. To były niezwykłe dni, na pewno każdy z państwa odczuł ich niezwykłość. Ja myślę że nie moglibyśmy posunąć się dalej w naszej refleksji, także biblijnej, gdybyśmy nie obejrzeli się i raz jeszcze nie ogarnęli naszymi myślami, naszą pamięcią „świętej pamięci" — po raz pierwszy to mówimy tutaj, w dolnym kościele — Ojca Świętego Jana Pawła II, i nie odnieśli się do jego następcy i naszego nowego papieża Benedykta XVI. Myślę że każdy z państwa odczuwa w sercu te dwa uczucia, które nami targają. Z jednej strony to jest ból, żal, smutek z powodu tego, co wydarzyło się 2 kwietnia 2005 r. Z drugiej strony to jest nadzieja, wiara, radość z powodu tego, co wydarzyło się niecały tydzień temu podczas kolejnego konklawe. Bardzo chciałbym, żebyśmy obejrzeli się, i mam nadzieję, że ta refleksja, z którą dzisiaj chciałbym się z państwem podzielić, będzie na tyle owocna i jednocześnie na tyle osobista, że w tym, o czym chciałbym mówić, rozpoznają państwo także cząstkę i swojej wiedzy, i swoich odczuć, i swoich przeżyć. I być może uda nam się raz jeszcze wydobyć to, co najważniejsze.

Pamiętają państwo, że kiedy spotkaliśmy się ostatni raz, to choćby z tonu naszej wspólnej refleksji, która była wielkopostna, widać było, że powoli przygotowujemy się na przejście Ojca Świętego Jana Pawła II do tego lepszego świata. Zwracam uwagę na to wyrażenie, bo w tym okresie, kiedy Ojciec Święty zmarł, byliśmy z dużą grupą polskich księży studiujących w Rzymie na Synaju, a potem w Ziemi Świętej, i zwłaszcza zapadło mi w pamięć wspomnienie z poniedziałku, kilkadziesiąt godzin po śmierci Ojca Świętego, z tego pierwszego poniedziałku po zgonie, kiedy poszliśmy do bazyliki w Ogrójcu, Bazyliki Konania. Była to nasza pierwsza msza święta w Jerozolimie, właśnie sprawowana w Ogrójcu. Było nas czterdziestu ośmiu księży i przygotowywaliśmy się do odprawiania tej mszy świętej przy Skale Agonii, przy skale na której Jezus przeżywał w samotności swoje ostatnie chwile ziemskiego życia. Weszliśmy do zakrystii, aby tam się przebrać. I franciszkanin, Amerykanin, który tam sprawuje pieczę nad tą bazyliką, patrząc na nas, na tę grupę polskich księży, jak bardzo byliśmy zbolali i poruszeni tym, co się stało, powiada do nas: „No, ale przecież on jest w lepszym świecie".

I oczywiście ten paradoks odczuliśmy w ostatnim okresie. Z jednej strony świadomość, która płynie wiary, że zmarły papież jest w lepszym świecie. A z drugiej strony na pewno bardzo głębokie poczucie żalu, swoistej samotności, jakiejś duchowej pustki, która w nas była, poczucie ogromnego bólu, który nas dotknął, zwłaszcza Polaków, wierzących, ale także wszystkich innych Polaków, ale także nie Polaków, bo mieliśmy możliwość obserwowania jak ludzie za granicą reagują na śmierć papieża i też były to reakcje bardzo głębokie. Zastanówmy się najpierw nad tym wymiarem. Można by powiedzieć tak. Że oto na naszych oczach, za naszego życia — bo wszyscy jesteśmy ludźmi dorosłymi, jeżeli są tu osoby młode, to ich również to dotyczy, chociaż trochę w inny sposób — za naszego życia wydarzył się ogromny cud. Ile razy mogłem, tyle razy państwu podkreślałem to, że sam wybór Jana Pawła II, dokonany 16 października 1978 roku, to był wielki cud. Przypominają sobie państwo zapewne refleksję, którą podejmowaliśmy wiele miesięcy temu ale także wcześniej, śledząc drogę życiową Jana Pawła II, Karola Wojtyły. I tam zwracaliśmy uwagę — myślę, że państwo doskonale to wiedzą — że była to droga życiowa, w której Pan Bóg prowadził go za rękę, w której Pan Bóg go wiódł. I droga życiowa, gdzie mamy jedno niezwykłe wydarzenie po drugim.

Urodzony w Wadowicach w maju 1920 r., zaledwie kilka miesięcy przed inwazją bolszewicką na Polskę. Dorastał w okresie międzywojennym. Bardzo wcześnie stracił matkę, stracił brata. Również jako nieco ponad dwudziestoletni chłopiec wrócił do domu w Krakowie przy ul. Tynieckiej, i zastał swojego ojca martwego. Bardzo to przeżył, że nie mógł być przy śmierci swojego ojca, dla młodego Karola był to ogromny wstrząs. On, który po skończeniu szkoły rozpoczął studia polonistyczne, potem przerwał tę polonistykę, pracował w kamieniołomach. Następnie w seminarium, które odbywał w ukryciu bo przecież w czasach okupacji hitlerowskiej. W 1945 roku, kiedy wojska sowieckie weszły do Krakowa, otwarto seminarium już na dobre, wtedy w tym seminarium był obecny. W 1946 roku przyjął święcenia kapłańskie, miał wtedy 26 lat. Przyjął je samotnie. Odprawił mszę świętą

w krypcie św. Leonarda, z najbliższych osób miał tylko swoją ciotkę i ministranta, którym był ks. Mieczysław Maliński, i jeszcze jedna czy dwie osoby. A potem wysłany do Rzymu. W Rzymie zaledwie dwa lata, można by powiedzieć — bardzo krótko, i to w latach niesłychanie trudnych, lata 1946 – 48. Wraca z Rzymu. I zwracałem uwagę państwu na ten szczegół, że wracając z Wiecznego Miasta zostaje wikariuszem w Niegowici. Pozostawił takie wzruszające świadectwo tego, jak to na piechotę szedł od autobusu, który go tam podwiózł w okolice Niegowici. Jak szedł pośród łanów dojrzewających zbóż. Jak pozostawił — miał wtedy zaledwie 28 lat – również i takie wspomnienie, które później bardzo długo mu towarzyszyło, papieżowi już. Mianowicie kiedy dotarł na granicę parafii ucałował tę ziemię, na której wśród ludzi miał pracować.

Potem duszpasterz akademicki w Krakowie, doktorat, habilitacja na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Dojeżdżał na KUL z Krakowa. Rozmaicie go tam na KUL-u traktowano. Dzisiaj z perspektywy to się wszyscy przyznają, bo jak jest dobrze, to jest dobrze. Ale nie zawsze tak było dobrze, miał kłopoty z zatwierdzeniem habilitacji. Nie wszyscy byli zachwyceni tym, co uczył. Wydawało się, że jest zbyt postępowy. Byli tacy którzy uważali, że może powinien uczyć rzeczy znacznie starszych. Więc też to są elementy, o których wiedzieć trzeba — że droga nie była usłana różami.

Następnie mając zaledwie 38 lat został biskupem. Trzydzieści osiem lat — mówiłem parę miesięcy temu państwu, wspominałem jego własne, papieża, wspomnienia o tym, jak to wiadomość o tym, że został biskupem, zastała go na Mazurach. Przyjeżdża do Warszawy, idzie do kardynała Stefana Wyszyńskiego, który ma mu do zakomunikowania wiadomość, że został biskupem. Kardynał Wojtyła broni się przed tym, mówi że przecież: „Jestem za młody". Na co prymas wypowiedział te piękne słowa, że „Młodość to jest choroba, z której się szybko leczymy". I tak został biskupem mając 38 lat, w Krakowie biskupem pomocniczym. Bardzo szybko został arcybiskupem krakowskim, i mając zaledwie 44 lata został również kardynałem. Brał udział w Soborze Watykańskim II. Wystarczy popatrzeć na te daty, wystarczy je zestawiać z datami z naszego własnego życia, dopiero wtedy uświadamiamy sobie co to znaczy, jak Pan Bóg go przedziwnie prowadził.

Więc bierze udział w Soborze Watykańskim II, reprezentuje Polskę na zewnątrz. Tu w Polsce działał kardynał Stefan Wyszyński, natomiast reprezentantem Kościoła katolickiego poza Polską, od Australii po Stany Zjednoczone i Niemcy, był właśnie kardynał Karol Wojtyła. Znany, bardzo ceniony, razem z Prymasem Tysiąclecia wyciągnął ręce do Niemców. To był rok 1965, obaj wypowiedzieli te słynne słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Od II wojny upłynęło zaledwie 20 lat. Zwłaszcza Prymas Tysiąclecia stał się przedmiotem nagonki. Zaczęto wołać: „Jak to! Przebaczyć Niemcom? Każdemu, ale nie Niemcowi!" Wojna była wciąż świeża, wielu Polaków było nią dotkniętych na rozmaite sposoby. Bardzo wielu opłakiwało ciągle swoich bliskich. Zniszczone miasta, zniszczone wsie, zmienione granice Polski. Dobrze wiemy, że tamte czasy były bardzo trudne. A jednak oni odważyli się postawić Ewangelię przed jakieś uczucia, a przede wszystkim postawić przebaczenie przed zemstę. W 1966 r. obchody Tysiąclecia Chrztu Polski. I potem niezłomnie kardynał Wyszyński i kardynał Wojtyła obok siebie. Ten drugi w cieniu pierwszego. Tak było do 16 października 1978 roku.

I od tej pory historia dla nas nabrała gwałtownego przyśpieszenia, bardzo się zmieniła. Natomiast tydzień po wyborze nowy papież, który przeżywał takie chwile, jakie dzisiaj papież przeżywał ze swoimi rodakami Niemcami — miał dla nich audiencję, tak w tydzień po wyborze również audiencję dla Polaków miał Jan Paweł II. I wtedy wypowiedział te słynne słowa, że „nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka gdyby nie Twoja, umiłowany Księże Prymasie wiara, gdyby nie Twoja niezłomność, i cały ten etap w długich dziejach Kościoła katolickiego w Polsce, który jest związany z twoją prymasowską i biskupią posługą". Był to największy hołd oddany Prymasowi Tysiąclecia. A mnie ciśnie się na usta taka myśl, z którą z państwem się dzielę. Mianowicie, że kiedy opłakujemy papieża, kiedy będziemy go upamiętniać — również w Warszawie powstaje Instytut Jana Pawła II — to pamiętajmy, że nie byłoby papieża Polaka bez Prymasa Tysiąclecia, bez jego cierpienia, bez jego modlitwy, bez jego wyrzeczenia. Otóż te dwie postacie są ze sobą związane na zawsze, i za życia, i po śmierci. Pamiętajmy że jeden, Prymas Tysiąclecia, pogrzebany jest tu w Warszawie, w archikatedrze św. Jana. Bardzo serdecznie zachęcam państwa aby od czasu do czasu nawiedzać jego grób, aby pomodlić się tam, aby uświadomić sobie, swoim dzieciom, swoim bliskim, swojej rodzinie. Powiedzcie to swoim dzieciom i wnukom kim był ten wielki człowiek, który

nieco pozostawał w cieniu — role jakby się zamieniły od wyboru Jana Pawła II — ale który nie może pójść w żadnym wypadku w niepamięć.

Takim najbardziej dramatycznym dla Polski rokiem był rok 1981. Otóż były już plany wprowadzania stanu wojennego, i należało wyeliminować i jednego i drugiego. O tym się bardzo rzadko i niechętnie mówi. Kardynał Wyszyński był bardzo ciężko chory. I wrogowie Kościoła dobrze wiedzieli, że jego czas jest policzony. Postanowiono zatem właśnie w tym czasie, kiedy kardynał Wyszyński już bardzo ciężko chorował, wyeliminować, tzn. po prostu zabić, Jana Pawła II. 13 maja 1981 r. na Placu św. Piotra rozległy się strzały. Były to strzały w papieża, i były to strzały w Polskę. Otóż tego też musimy być świadomi, że gdyby papież nie był Polakiem, nie byłoby tych strzałów do niego. Ktokolwiek je zorganizował, ktokolwiek je zrobił — czy to był trop bułgarski, czy rosyjski, czy turecki, czy Bóg wie jaki — nie ma to większego znaczenia. Mocodawcy tych strzałów, tego zabójstwa, ostatecznie chcieli ugodzić w naszą Ojczyznę. Kiedy Ojciec Święty przeżył szczęśliwie ten zamach, to — przypominam również państwu i ten epizod — na dzień przed śmiercią kardynała Wyszyńskiego poprosił, żeby go połączono telefonicznie z Prymasem Tysiąclecia. Ksiądz prymas Wyszyński leżał śmiertelnie chory u siebie, w Domu Prymasowskim na ul. Miodowej. Okazało się, że przy łóżku nie ma telefonu, trzeba było założyć telefon. Prymas i jego najbliższe otoczenie nie chcieli, żeby przyszedł pierwszy lepszy technik, bo bali się, że założą podsłuchy. Potem się okazało, że i tak podsłuchy były. Więc jakoś domowym sposobem przedłużono tę linię telefoniczną i odbyła się rozmowa dwóch ludzi, z których jeden umierał a drugi był bardzo ciężko chory, bardzo ciężko postrzelony. Ta rozmowa, tylko strzępy słów, jeden drugiemu wyznawał swoją wdzięczność, swoją wierność. Nazajutrz, 28 maja 1981 r. kardynał Wyszyński zmarł. Na szczęście Jan Paweł II przeżył. Ale dobrze wiadomo, że skutki tego zamachu trwały przez całe jego życie. To właśnie dlatego Ojciec Święty cierpiał tak bardzo, ponieważ także ten zamach nie pozostał bez echa, nie pozostał bez wpływu, i odezwał się zwłaszcza od początku lat 90-tych, kiedy to trzeba było zrobić jeszcze jedną operację Ojcu Świętemu. I ta operacja, mówiąc delikatnie, się nie udała. I trzeba nam wiedzieć, że od połowy lat 90-tych nasz papież bardzo cierpiał. Miał kłopoty z biodrem, kłopoty z chodzeniem, kłopoty z równowagą.

I kiedy od roku dwutysięcznego mniej więcej, stan zdrowia jeszcze bardziej się pogorszył, to Ojciec Święty cierpiał bardzo. Czasami to cierpienie było widać na jego twarzy. Czasami w jego zachowaniu. Czasami nie wytrzymywał, można by powiedzieć — czasami wręcz do pewnego stopnia tracił przytomność, ale trwał wszędzie tam, gdzie go Pan Bóg postawił. Przypomnijmy choćby takie wzruszające momenty, jak podczas audiencji w Auli Pawła VI mniej więcej półtora roku temu. Ojciec Święty czytał tekst po włosku, i w pewnym momencie tak mocno go zabolało, że wołał po polsku „Jezus, Maria". Więc zawsze cierpiał po polsku. Zawsze cierpiał w języku swojej matki, tak jak Zbawiciel. Też Watykan, te mury nasłuchały się na pewno owych skarg papieża, zanoszonych do Pana Boga wtedy, kiedy bolało za mocno. Stan zdrowia Ojca Świętego, jak dobrze wiemy, w ostatnich miesiącach stale się pogarszał. Problem polegał na tym, że może nie chcieliśmy tego dopuścić do siebie. Nie chcieliśmy się z tym w jakiś sposób pogodzić, nie chcieliśmy oswoić się z tą myślą. Może wydawało nam się, że jeszcze będzie to trwało. Ja sam muszę państwu wyznać, że kiedy w Poniedziałek Wielkanocny poleciałem do Rzymu, wylądowałem na lotnisku, i tam wyjechali po mnie i wzięli do Instytutu Polskiego, i spotkałem się z księżmi, którzy są w Rzymie na miejscu. I mówię im, że widzieliśmy wczoraj, czyli w Wielkanoc, Ojca Świętego, jak bardzo cierpi, i że odnoszę wrażenie, że to już jest człowiek, który jest jedną nogą na drugim świecie. A mieszkający w Rzymie mówią: „Ale gdzie tam! Papież raz czuje się lepiej, raz czuje się gorzej. Jeszcze niejednym świat zadziwi. Jeszcze na pewno będzie dobrze, jeszcze pojedzie do Kolonii." Otóż takie komentarze mieliśmy u siebie, i takie komentarze były w świecie. Ciągle ta nadzieja, że papież z tego wszystkiego wyjdzie. Ale kiedy przypatrywaliśmy się bardzo wnikliwie temu, co się stało, z jakimś wielkim współczuciem, to zdawaliśmy sobie sprawę, że stan zdrowia Ojca Świętego jest coraz cięższy.

Nie sposób mówić o wszystkim. Zwrócę uwagę państwa na te rzeczy, które wydają mi się szczególnie ważne. Otóż po pierwsze: pontyfikat Jana Pawła II to jest pontyfikat papieża Słowianina. Proszę zwrócić uwagę, że już w Rzymie i w Stolicy Apostolskiej zaczyna się zmieniać, bo już język polski, i języki słowiańskie nie są już tak obecne — i to jest zrozumiałe, nie możemy się na to dąsać, bo to jest naturalne — jak były obecne za pontyfikatu Jana Pawła II. Ja z tych wspomnień, które mi się nasuwają, przypominam sobie taki epizod, kiedy to pojechałem do Watykanu będąc jeszcze

prorektorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, żeby prosić Ojca Świętego o przyjęcie doktoratu honoris causa naszej uczelni. I czekając na przyjście Ojca Świętego rozmawiałem z arcybiskupem Dziwiszem. Podprowadził mnie do okna tego Pałacu Apostolskiego, który widzimy z Placu św. Piotra. I patrzyliśmy razem na plac. Dla mnie była to jedna z nielicznych możliwości, żeby popatrzeć na Plac św. Piotra z Pałacu Apostolskiego. I tak staliśmy we dwóch patrząc na to, co jest przed nami, a pewnym momencie arcybiskup Dziwisz — jeszcze wtedy biskup — powiedział: „Widzisz, nigdy te mury, w których jesteśmy, te mury Pałacu Apostolskiego nie słyszały tyle po polsku. Nigdy — od czasu, jak stoją. Dopiero teraz przez te dwadzieścia z górą lat mówi się tutaj, myśli, modli po polsku." To było bardzo wzruszające. Ten etap również się skończył. Kiedy patrzymy na Pałac Apostolski, to już tej polskiej modlitwy, polskiej obecności jest tam mniej. Więc z tego punktu widzenia jest to coś absolutnie wyjątkowego, jest to historyczne dla naszej ojczyzny.

Drugi aspekt, na który zwracam uwagę, to jest ogromna aktywność, działalność Ojca Świętego Jana Pawła II. Otóż Jan Paweł II był człowiekiem czynu. Można by powiedzieć, że działanie, działalność bez przerwy, go wręcz trawiła. On nie potrafił ot tak sobie posiedzieć, on musiał coś robić. I rzeczywiście, po ludzku biorąc, pracował ponad ludzkie siły. Wstawał bardzo wcześnie rano. W tym było dużo życia modlitwy, dużo życia kontemplacji. W tym było dużo spotkań. I oczywiście pośród tej działalności na plan pierwszy wysuwają się jego pielgrzymki apostolskie. Odbył tych pielgrzymek apostolskich 104. Dlatego na całym świecie jego twarz była znana. Na całym świecie wiedziano, kto jest papieżem. Na całym świecie wiedziano, jak wygląda. I kiedy chorował, kiedy cierpiał, a przede wszystkim kiedy umarł, ludzie szczerze płakali. Nie tylko w Polsce, nie tylko we Włoszech — czyli najbliżej — ale w odległych rejonach świata można było w rozmaitych międzynarodowych serwisach informacyjnych zobaczyć zapłakanych ludzi, którzy szczerze go kochali dlatego, że był to papież, którego działalność była blisko człowieka. On kładł mniejszy nacisk na jakieś teologiczne pogłębianie rozmaitych prawd, natomiast ogromny nacisk na żywy, bezpośredni kontakt z człowiekiem. Ci, którzy mieli szczęście być blisko papieża, wiedzą, że popatrzył na człowieka przez sekundę albo dwie, ale miało się wrażenie, że przez ten czas jest cały dla tego, z którym wchodzi w kontakt. Oczywiście ten kontakt, te miliony ludzi, zrobiły również swoje, i papież musiał z konieczności być tym zmęczony. Bo bez przerwy wystawiony na kamery telewizyjne, na mikrofony, na rozmaite najnowocześniejsze środki przekazu, i bez przerwy spotyka się z ludźmi. Można by powiedzieć, że nieustannie spalał się w tej działalności. Nie będzie papieża za naszego życia na pewno, który by powtórzył to, czego dokonał Jan Paweł II — mianowicie odbył kolejne 104 podróże apostolskie. To jest niemożliwe.

Jeden był Apostoł Paweł, w początkach chrześcijaństwa, absolutnie niedościgniony. I jeden jest Jan Paweł na przełomie XX i XXI wieku. Może kiedyś w Kościele będzie ktoś, kto mu dorówna. Ale my tego na pewno nie doczekamy.

Drugi wymiar, to nauczanie. Ojciec Święty nauczał od samego początku. Od samego początku wygłaszał ciepłe, serdeczne przemówienia w których odchodził od tekstu i dawał wyraz temu, co czuje, i temu, kim jest. Przypominamy sobie jego pierwsze wystąpienie i jego pierwsze słowa na Placu św. Piotra, które skierował do Rzymian mówiąc: „Przybyłem do was z dalekiego kraju". Wtedy Polska była daleko od Rzymu, dzisiaj już nie. Odległość geograficzna jest ta sama, ale odległość psychologiczna i duchowa jest dużo mniejsza. I to zawdzięczamy Janowi Pawłowi II. Ujmował ludzi swoim nauczaniem, bo umiał zwracać się i do małych, i do młodzieży, i do dorosłych, i do starców. Uczył wszędzie, gdziekolwiek było to możliwe. Uczył bardzo wiele. Jego przemówienia, jego nauczanie jest również wydawane po polsku. Ale do tej pory wydano zaledwie całość nauczania Jana Pawła II do roku 1985. Natomiast następne 20 lat — jeszcze tego po polsku nie mamy. To nam również pokazuje na pewne zapóźnienia, które trzeba by koniecznie przezwyciężyć. Więc jeżeli ktoś chce poznać nauczanie Jana Pawła II, to jest pół biblioteki, to jest kopalnia wiadomości.

Czytał, uczył, nauczał, dawał świadectwo wierze na rozmaitych kontynentach, w rozmaitych miejscach. Stawał wobec wielkich tego świata, wobec małych tego świata. Potrafił rozmawiać i z wielkimi, poczynając od Reagana, przez Gorbaczowa. I z małymi — kiedy przytulał do siebie małe dzieci, kiedy brał je w ramiona. Czy kiedy przytulał do siebie czy całował młodzież albo ludzi chorych, trędowatych, postawionych na marginesie itd. Kiedy był w Brazylii i nauczał o ubóstwie, w pewnym momencie zawieziono go na fawelę w Rio de Janeiro. A Jan Paweł II zdjął pierścień i podał tym biednym jako znak swojej z nimi solidarności. Nauczał więc nie tylko słowami,

ale nauczał zupełnie spontanicznie. Dobrze znamy niektóre te obrazki, które bardziej nam przemawiają do wyobraźni niż najlepsze przemówienia. Jak to, jak gdzieś tam bierze dzieciaka i ukrywa pod sutanną, i ten dzieciak radośnie wybiega. Jak to kiedy w Częstochowie Murzynka podbiega do niego przełamując ochronę, i on ją do siebie przytulił, itd. itd. Jak ludzie trędowaci w Indiach, kiedy udał się z siostrą Teresą z Kalkuty do leprozorium, i kiedy szli tam między tymi trędowatymi — to niezapomniany obrazek dla Hindusów, którzy dobrze wiedzą z jakim ryzykiem związana jest taka obecność. Nauczał bardzo wiele. Otwierał się wobec wszystkich i każdego. Można by powiedzieć, że i nam przychodzi do głowy ta myśl i to pytanie: „Skąd u niego ta mądrość?" Przecież tylko kilka lat, i to w okresie okupacji, był w seminarium. Tylko dwa lata był na studiach. A potem gdzie i jak nabywał tej mądrości, którą się dzielił? Do tego nauczania oficjalnego dodajmy jego książki, jego poezje, jego zwierzenia, jego wywiady, jego odpowiedzi udzielane najrozmaitszym ludziom — również dziennikarzom — wszystko to jest ogromne bogactwo.

Ale nad działalnością, i nad nauczaniem, w moim przekonaniu dominuje modlitwa. Ojciec Święty Jan Paweł II był człowiekiem ogromnej modlitwy. Kiedy mogliśmy na niego patrzeć, to był całkowicie w modlitwie pogrążony. Tak było od samego początku jego życia. To też jest dziwne. Dziwne bo dobrze wiemy, że zwłaszcza w naszej polskiej sytuacji modlitwa nie jest specjalnie naszym przymiotem. Nie mamy czasu na modlitwę, zwłaszcza kiedy jesteśmy młodzi. Może kiedy doroślejemy, kiedy jesteśmy starsi, to również i zapatrywania na modlitwę się zmieniają. Natomiast Karol Wojtyła, potem Jan Paweł II, wspominał, że jego pierwsza szkoła modlitwy to własny ojciec. „Ile razy wracałem w nocy, późnym wieczorem do domu, to zastawałem ojca na modlitwie" wyznawał Karol Wojtyła i Jan Paweł II. Ten przykład ojca musiał być dla niego bardzo budujący. Ojciec wziął go na Jasną Górę, ojciec brał go na ścieżki kalwaryjskie do Kalwarii Zebrzydowskiej, ojciec brał go do kościołów Krakowa. I tam, przy ojcu, uczył się szkoły modlitwy. A kiedy później był już księdzem to obok tego wszystkiego, co robił, ważne miejsce zajmowała modlitwa. A kiedy został papieżem, modlitwa była na pierwszym miejscu. Przed każdą mszą świętą rano bardzo długo był pogrążony w modlitwie. Msza — to również modlitwa i kontemplacja. Na modlitwie zyskiwał siłę. Modlitwa towarzyszyła mu we wszystkich okolicznościach jego życia. Z modlitwą kończył swój dzień. I widać było, że to jest człowiek modlitwy. Kiedy patrzymy na niego to widzimy, jak doskonałe połączenie życia czynnego i tej działalności pośród milionów ludzi, w obliczy setek i tysięcy kamer, a jednocześnie ten duch kontemplacji i modlitwy.

A to wszystko spinała klamra cierpienia — i to jest kolejny wymiar. Drodzy państwo, nie było w Kościele czasów nowożytnych pontyfikatu, który byłby tak naznaczony cierpieniem, jak pontyfikat papieża Polaka. Naznaczony cierpieniem jeszcze wtedy, kiedy papieżem nie był. Bo przecież kiedy dziecko traci matkę, kiedy dziecko traci brata, kiedy młody człowiek traci ojca, zostaje zupełnie sam — to jest to cierpienie. Kiedy później wspominał swoje życie, to był wobec siebie bardzo wymagający. Napisał w jednym ze swoich zwierzeń, że Pan Bóg mu zawsze cierpienia oszczędzał — co nie do końca było prawdą. Natomiast zawsze zastanawiał się dlaczego jest tak, że inni cierpią, a on nie. I że trudno mu było zbliżać się do chorych i cierpiących. Okazało się jednak, że nazajutrz po wyborze na papieża musiał opuścić Stolicę Apostolską, Pałac Apostolski, i udał się do kliniki Gemelli aby odwiedzić swojego przyjaciela, który był po wylewie krwi do mózgu. Żyje do dzisiaj, ksiądz kardynał Deskur. Nowo wybrany papież go odwiedził. Był bardzo przejęty tym, co zobaczył, bo kardynał Deskur był jednym z najlepiej zapowiadających się polskich kardynałów. A potem trzynastego maja — zamach życie na Ojca Świętego, cierpienie z tym związane, widok papieża na łóżku szpitalnym. Po raz pierwszy w historii papiestwa była taka fotografia. A później kilka operacji. Naliczono ich około dziesięciu. Dziesięć pobytów w szpitalu, z których każdy oczywiście coraz cięższy i coraz trudniejszy, coraz bardziej naznaczony cierpieniem. Mówiliśmy o tym parę tygodni temu odnosząc do papieża owe strofy z „Pieśni o Słudze Pańskim", tak jak gdyby Pan Bóg zlał na niego, złożył na niego winy nas wszystkich. I papież to wszystko na swoich barkach niósł. Cierpiał bardzo. Dzisiaj po śmierci możemy to powiedzieć, i mówią to również najbliżsi, że trudno spotkać człowieka, który by tak cierpiał, jak Jan Paweł II. Otóż ta nie do końca udana operacja biodra spowodowała, że Ojciec Święty przez cały czas odczuwał dotkliwy ból. Do tego pogłębiająca się choroba uniemożliwiała mu normalne oddychanie tak, że już pod koniec życia miał kłopoty. Trzeba było zrobić ten bardzo nieprzyjemny zabieg tracheotomii. Ale dużo wcześniej papież już cierpiał. I to też powinniśmy wiedzieć. Swoje cierpienie oddawał zawsze za Kościół, za

bliskich. Nikomu nie pozwalał, żeby mu współczuli. Nikomu nie pozwalał, żeby użalał się nad nim. Zawsze było tak, że był do dyspozycji, był dostępny, był otwarty, do samego końca pozostawał razem z całym Kościołem, i razem z nami.

Myślę, że nad tym wszystkim w ostatnim okresie życia Jana Pawła II dominują dwa obrazy. Te dwa również utkwiły bardzo w mojej pamięci. Jeden to jest obraz papieża z Drogi Krzyżowej sprawowanej w ostatni Wielki Piątek jego życia. Drogi Krzyżowej, której treść ułożył kardynał Ratzinger, i która odbywała się jak co roku w Koloseum w Rzymie. Już nie pokazywano jego twarzy, natomiast Ojciec Święty patrzył w ekran telewizora, na którym ta Droga Krzyżowa się posuwała, i na ostatnie dwie stacje podano papieżowi krzyż. Możemy tylko się domyślać, że brał udział w tej Drodze Krzyżowej resztkami sił, widać to było. Każdy, kto odrobinę zna ludzi chorych, to czuł to. Jeżeli się nie pokazuje twarzy papieża to wiadomo, że była to twarz pełna bólu. Powiedziano — ci, którzy byli przy śmierci Ojca Świętego Jana Pawła II, bezpośrednio po tym powiedzieli, że nigdy nie widzieli jeszcze twarzy, która by była tak napełniona bólem, jak jego twarz. Dopiero kiedy przyszła śmierć, to Ojciec Święty na twarzy się uspokoił. I widać było, że śmierć stanowiła dla niego wyraźną ulgę. A mimo to przecież się nie skarżył. Więc ten koniec jego życia był niesłychanie bolesny. Najwidoczniej Pan Bóg dla powodów, których nie znamy, a wiele razy o tym mówiliśmy także na tych konferencjach, potrzebuje cierpienia ludzi sprawiedliwych, potrzebuje cierpienia ludzi niewinnych. I taka właśnie scena, taki epizod, taki ból rozegrał się także na naszych oczach, można by powiedzieć — na oczach całego świata. I trzeba nam to mieć również w pamięci. To jest jeden obraz, ta droga wielkopiątkowa i papież, który obejmuje krzyż. Pamiętajmy, że za osiem dni już nie żył, a w Wielki Piątek ten krzyż obejmuje tak, jak gdyby chciał dopowiedzieć gestem to, czego nie mógł wypowiedzieć słowami.

I druga najbardziej dramatyczna chwila tego pontyfikatu. Kto wie, czy nie bardziej dramatyczna, niż zamach na życie papieża — to ostatnie wielkanocne błogosławieństwo *Urbi et orbi,* ostatnia Niedziela Zmartwychwstania. Państwo dobrze to pamiętają dlatego, że ten widok był niesłychanie bolesny. Kto oglądał transmisję pod koniec wielkanocnej mszy świętej to musiał sobie uświadomić, że oto jesteśmy świadkami straszliwego dramatu. Papież, który chciał coś powiedzieć, który chciał wypowiedzieć słowa wielkanocnego błogosławieństwa, który chciał skierować do świata to, czym żył przez całe swoje życie i przez ponad ćwierć wieku pontyfikatu, uświadomił sobie, że nie powie ani jednego słowa. I ta twarz pełna bólu. Ten człowiek, który chce wypowiedzieć chociaż jedno słowo dla milionów ludzi, którzy na to patrzą — to było naprawdę bardzo dramatyczne. Nawiązał również do tego kardynał Ratzinger zarówno na pogrzebie, jak potem po swoim wyborze zwracając się do kardynałów, którzy brali udział w konklawe, jak i podczas mszy świętej intronizacyjnej wczoraj. To było naprawdę bardzo poruszające. Na drugi dzień oglądałem włoskie gazety, w których pokazywano fotografię twarzy papieża — papież ciągle jeszcze żył. Można było mieć nadzieję, że być może stan jego zdrowia się poprawi. Ale widać było ten przeogromny ból. Nikt do tej pory tak na oczach świata nie odchodził!

A potem kilka dni już jego powolnego konania, powolnej agonii. Pokazano go raz jeszcze w środę, na trzy dni przed śmiercią, w oknie Pałacu Apostolskiego. I to był ostatni raz, kiedy się ukazał. Potem państwo znają z doniesień, które były w naszych środkach przekazu — ja znam z doniesień, które były w egipskich środkach przekazu, i we francuskich i włoskich. I trzeba powiedzieć, że już wtedy będąc za granicą mieliśmy świadomość, że Ojciec Święty odchodzi, że rozpoczęła się na dobre trwająca 2 - 3 dni agonia, wielkie konanie papieża. Przypomniało nam się to, co papież jako kardynał Wojtyła mówił podczas swoich rekolekcji, które miał w Watykanie dla Pawła VI. Jako temat tych rekolekcji wybrał konanie w Ogrójcu, wybrał agonię Chrystusa. Podkreślał właśnie to wielkie cierpienie Chrystusa. Tak się nam skojarzyło, że musiał potem sam przez tę samotność w odchodzeniu przejść. Musiał przejść przez ten los, który był losem Zbawiciela. I te ostatnie dni pełne napięcia, i jednocześnie pełne głębokiego zawierzenia Panu Bogu. Żegnał się z tymi wszystkimi, którzy byli najbliżej. Dopuszczony do Ojca Świętego — ponieważ stan był coraz cięższy — został tylko kardynał Ratzinger, to też jest wymowne. I kardynałowi Ratzingerowi, o czym zaświadczają ci, którzy tam byli, Ojciec Święty jeszcze po niemiecku wypowiedział swoje „Danke" — „Dziękuję" za tę posługę którą kardynał Ratzinger przy nim przez wiele lat pełnił.

Do tego dodajmy jeszcze jeden wątek. Mianowicie wątek arcybiskupa Stanisława Dziwisza. Ten człowiek pozostał od początku do samego końca papieżowi wierny. Nigdy siebie nie eksponował,

nigdy siebie nie stawiał na pierwszym miejscu. Był zawsze w cieniu, zawsze drugi, zawsze obok — i tak już pozostało. Kiedy — pamiętają to państwo – w naszej telewizji parę lat temu raz jeden udzielił wywiadu. I zapytano go jaka jest jego rola, jaki on ma wpływ. A on odpowiedział, że: „Moja rola to jest być zawsze z tyłu, i być zawsze obok". I tak pozostało, że był zawsze z tyłu i zawsze obok. I to on był przy śmierci Jana Pawła II. I on, można by powiedzieć po ludzku, wyprawił Ojca Świętego na drugi świat — za co niech Pan Bóg również dla niego będzie nagrodą. Byli ci, których Ojciec Święty uznawał za najbliższych przyjaciół: ks. Tadeusz Styczeń, a także kardynał Mirosław Jaworski, który jest arcybiskupem Lwowa, i który na kilkanaście godzin przed śmiercią przyjechał do Watykanu i tam wiernie przy papieżu do samego końca był.

Muszę państwu powiedzieć, że jeżeli chodzi o moją osobistą perspektywę, osobiste przeżycia, to były to jedne z najtrudniejszych dni w życiu. Człowiek żegna czasami, przechodzą osoby które przechodzą na drugi świat — poczynając od najbliższych. Bo już pożegnałem swoją mamę, swojego ojca, swoich bliskich, kolegów również trzeba było pochować. Również osoby z parafii, z jednej, drugiej, trzeciej, gdzie człowiek był bardzo przywiązany. I można by powiedzieć, że my księża jesteśmy nawykli do pogrzebów i nawykli do śmierci, bo dla nas jest to rzeczywistość taka, może jak poniekąd dla lekarza. Ale to, co się wydarzyło w sobotę 2 kwietnia przeżywaliśmy, i ja też przeżywałem, niesłychanie dramatycznie. Otóż 2 kwietnia — inaczej: w nocy z pierwszego na drugiego kwietnia, ta grupa kapłanów była na Synaju na Górze Dziesięciu Bożych Przykazań. Mieliśmy świadomość, że stan zdrowia Ojca Świętego pogarsza się coraz bardziej. Wiedzieliśmy, że lada moment, lada godzina może przyjść wiadomość, że Ojciec Święty nie żyje. Więc będąc na Synaju wieczorem w sobotę włączyliśmy, był tylko jeden telewizor, właśnie w moim pokoju. Ale problem polegał na tym, że była tam tylko telewizja francuska, kanał 5. Reszta to były telewizje arabskie. Ponieważ obawialiśmy się, że telewizje arabskie będą działały z pewnym opóźnieniem, bo dla nich to może nie być sprawa numer jeden — aczkolwiek była — to mieliśmy włączoną telewizję francuską. O 9 wieczorem wiadomości: stan zdrowia Ojca Świętego jest bardzo ciężki. O 10 wieczorem wiadomości: stan zdrowia Ojca Świętego jest bardzo ciężki. Natomiast parę minut później, bo wyłączyłem telewizor, najprawdopodobniej podano wiadomość o śmierci Ojca Świętego.

Dodam też państwu jeszcze jeden szczegół. Dzisiaj mówi się o tym, że prasa się znakomicie spisała, że gazety, że środki przekazu itd. Ale przed śmiercią nie było wszystko takie różowe. Trzeba nam było przełykać także dość gorzkie pigułki. Dam tylko jeden przykład. W piątek przed śmiercią papieża pokazywano w doniesieniach telewizji francuskiej, a wcześniej włoskiej, tytuły gazet. I w jednej wielki tytuł: „Ciao Karol" — „Cześć Karol". To było na 24 godziny przed śmiercią. Więc widać było, że reakcje części prasy, części gazet były, mówiąc delikatnie, brutalne i nieładne. Ale to zostawiamy na razie na boku, bo pokazuję państwu jakie uczucia nami miotały.

Więc w sobotę wieczorem żeśmy jeszcze nie wiedzieli, że Ojciec Święty zmarł, bo nie było zasięgu telefonów komórkowych, a telewizja wyłączona. I na drugi dzień, w niedzielę rano odprawialiśmy o godz. 7, a tam jest czas taki sam jak w Polsce, mszę świętą. Kiedy doszliśmy w kanonie do „Módlmy się za papieża Jana Pawła", wypowiadaliśmy te słowa z ogromną obawą, z lękiem. Jeszcze nie wiedzieliśmy, że papież nie żyje, ale bardzo chcielibyśmy, żeby żył. Potem po mszy świętej jakieś niewielkie śniadanie, wsiedliśmy w autokar, i ruszyliśmy w kierunku granicy z Izraelem. Kiedy przejechaliśmy parę kilometrów, jest lotnisko. I przy tym lotnisku na Synaju zadziałały telefony komórkowe. I w pewnym momencie jeden z tych telefonów — to był telefon rektora Papieskiego Instytutu Polskiego — sygnał, że jest sms. On wziął, przeczytał, podał mi ten telefon do ręki. Tekst: „Ojciec Święty nie żyje. Zmarł o 21.37". Przeczytałem to ze dwa - trzy razy po cichu, żeby się niejako upewnić i oswoić z myślą, czy będę coś w stanie głośno powiedzieć. I następnie do mikrofonu podałem tę wiadomość księżom. Mogą sobie państwo wyobrażać, jaka zaległa cisza, i co to dla nas oznaczało. Z jednej strony za oknami Synaj, góry Dziesięciu Bożych Przykazań, ziemia Mojżesza. Z drugiej strony byliśmy parę tysięcy kilometrów od Polski, od Rzymu. I świadomość, że oto Ojciec Święty nie żyje. Potem różaniec za papieża, i dalsza droga. Były to bardzo ciężkie chwile. Dodam jeszcze — mówię to bez jakiejś egzaltacji, ale też chcę, żeby państwo to wiedzieli, bo to bardzo ważne — spojrzałem na zegarek, była godzina za pięć dziewiąta. Pomyślałem sobie, że właśnie teraz tu, w naszym kościele, w górnym kościele gromadzą się wierni na mszę świętą. Pomyślałem sobie, że chyba najbardziej w życiu chciałem być wtedy właśnie tutaj, pośród tych ludzi, pośród wiernych, pośród państwa, z którymi co niedziela się spotykamy. Tak sobie pomyślałem nad tą przedziwną

obecnością tam na Synaju, że na pewno tego dnia byłoby bardzo trudno odprawić mszę świętą, i na pewno nie byłoby żadnej homilii. Na pewno byłby taki zwyczajny ludzki płacz, który by tę homilię zastąpił. Byliśmy jednak na Synaju.

Przyznam że kiedy patrzę na to z perspektywy trzech tygodni, to nasza obecność na Synaju, a potem w Ziemi Świętej, też była bardzo wymowna. Bo oto modliliśmy się za Ojca Świętego właśnie w miejscach świętych. Modliliśmy się tam, gdzie on był albo gdzie on chciał być, i modliliśmy się tam, gdzie był Chrystus. A więc msza święta w Getsemani w Ogrójcu, msza święta na Kalwarii w pustym Grobie, była msza święta w Nazarecie, była msza święta w Betanii, była msza święta na Górze Błogosławieństw. Ale chyba najbardziej wzruszające i najbardziej dramatyczne dla nas chwile to były chwile pogrzebu papieża. Mianowicie bardzo chcieliśmy ten pogrzeb zobaczyć. Poprosiliśmy Żyda, właściciela hotelu Eden w Tyberiadzie, żeby nam to umożliwił. I trzeba powiedzieć, że podszedł z wielką życzliwością. Zadbał o telewizor z bardzo dużym ekranem. A ponieważ w Ziemi Świętej jest godzina różnicy czasu, tam była już 11, pogrzeb zaczynał się o 10, więc mogliśmy rano odprawić mszę świętą na Górze Błogosławieństw, zobaczyć Kafarnaum. Przyjechaliśmy do hotelu i oczywiście najbardziej dramatyczny moment to był wtedy, kiedy trumna z ciałem Jana Pawła II została wyniesiona z Bazyliki Świętego Piotra na plac. I ten kontrast między placem i tą skromną trumną, i świadomością że jest to trumna z ciałem papieża. I my tam w Tyberiadzie, 46 wtedy księży, żeśmy to oglądali. Kiedy transmisja się skończyła natychmiast pojechaliśmy autokarem do Kościoła Prymatu Piotra, tego kościoła, który upamiętnia epizod nadania Piotrowi władzy pasterskiej: „Czy ty Mnie miłujesz? Czy ty Mnie miłujesz więcej, aniżeli ci?" I kiedy trumna z ciałem Jana Pawła II była składana do ziemi, i przy tym czuwał arcybiskup Dziwisz, to ta grupa polskich kapłanów modliła się tam nad Jeziorem Galilejskim. Jezioro było tego dnia bardzo rozszalałe, fale były do pół metra, bardzo wysokie. I myśmy stali nad tymi falami i przy tej skale piotrowej, i tak myśleliśmy — z jednej strony ta grupa polskich kapłanów, Tyberiada, Jezioro Galilejskie. Z drugiej strony papież gdzieś tam w podziemiach Bazyliki Świętego Piotra powierzany ziemi. Pomyśleliśmy sobie, że może to jest tak, że Pan Bóg chciał, żeby ta grupa księży w tym czasie nad Jeziorem Galilejskim była obecna, i żebyśmy to przeżyli. A kiedy później, po jakiejś dobrej godzinie modlitwy, pojechaliśmy na Jezioro Galilejskie, żeby przepłynąć statkiem po Jeziorze, to proszę sobie wyobrazić, że żydowska załoga tego statku nagle, kiedy tylko weszliśmy, zawiesiła polską flagę, podnieśli ją na maszt. I w pewnym momencie, kiedy statek ruszył, puścili z taśmy hymn polski — na Jeziorze Galilejskim! Jakaś przedziwna zbieżność tak, że mogliśmy także i w tym dopatrzeć się jakiejś Bożej obecności i jakiegoś znaku również dla nas. I to Jezioro Galilejskie, ta muzyka głośna — zagrany hymn polski, ta polska flaga, i świadomość, że tam w Wiecznym Mieście Jan Paweł II zakończył swoją ziemską wędrówkę.

Można byłoby o tym mówić bardzo wiele. Przejdę tylko do jednego wątku — być może rozwiniemy go na następnym naszym spotkaniu, mianowicie do wątku wyboru nowego papieża. Myślę, że czują państwo to samo, co ja. Mianowicie, że kardynał Joseph Ratzinger, który sprawował pogrzeb Jana Pawła II i wygłosił homilię pogrzebową, dał poznać światu, Kościołowi, także nam, swoją miłość i swoje przywiązanie do Jana Pawła II. Taką homilię może wygłosić tylko człowiek, który kocha, człowiek, który czuje, człowiek, który myśli sercem. Takiej homilii nie da się jakoś przygotować, napisać, taka homilia rodzi się gdzieś we wnętrzu człowieka. Otóż kardynał Ratzinger wypowiadając tę homilię osnuł ją wobec słów „Ty pójdź za Mną". To są słowa znad Jeziora Galilejskiego. I powtórzył je w swojej homilii siedem razy. To nie jest przypadek! Kardynał Ratzinger jest wybitnym teologiem, mądrym, głębokim człowiekiem, człowiekiem wielkiej modlitwy. Wybrał te siedem razy i powtarzał siedem razy, żeby podkreślić pełnię Bożego powołania i pełnię ludzkiej odpowiedzi Jana Pawła II. A przemawiał z taką serdecznością, że trzeba nam do tej homilii wracać zawsze. Trzeba ją gdzieś znaleźć wydrukowaną, trzeba ją sobie włożyć na co dzień. Może kiedy przyjdą jakieś chwile trudne albo bolesne, może kiedy przyjdzie jakaś choroba albo trudny czas, żeby sięgnąć po tę homilię, bo ta homilia jest prawdziwym majstersztykiem duchowości biblijnej i teologicznej. „Ty pójdź za Mną" — powtarzał kardynał Ratzinger odnosząc to do Jana Pawła II. I po kolei rozważał, jak Ojciec Święty poszedł za Chrystusem, i co to dla niego znaczyło. Również nawiązał do tego epizodu wielkanocnego, do tego epizodu wielkiego cierpienia. Otóż na kardynale Ratzingerze to cierpienie papieża zrobiło ogromne, niezatarte wrażenie. I pamiętamy, że pod koniec homilii wypowiedział słowa pełne wiary — można by powiedzieć: dziecięca ufność. Była to taka

homilia, jak modlitwa dzieci, które modlą się: „Aniele Boży, Stróżu mój, Ty zawsze przy mnie stój". I kardynał Ratzinger, człowiek 78-letni, wybitny teolog, wypowiedział z prostotą takiej prawdziwej wiary słowa, że oto teraz czuje, że Jan Paweł II patrzy na nas jak niegdyś ze swojego okna, że się uśmiecha, i że nam wszystkim błogosławi. I tymi słowami wypowiedzianymi pod koniec swojej homilii pogrzebowej oczywiście podtrzymał nadzieję. Podtrzymał przekonanie i pewność że to, co się wydarzyło, to nie jest osamotnienie. Do tego wątku nawiązał również papież Benedykt XVI wczoraj podczas swojej mszy świętej intronizacyjnej, kiedy podkreślił, że Kościół nigdy nie jest sam, i nie był sam także wtedy, kiedy umierał, a przedtem cierpiał, Jan Paweł II. Ta homilia wczorajsza jest też bardzo przejmująca i też zachęcam państwa, żeby do niej sięgnąć. Może rozważymy ją na naszej następnej konferencji, bo ona na pewno na to zasługuje.

Więc kardynał Ratzinger dał dowód swojej wielkiej miłości do papieża. Powiem państwu szczerze, że jeżeli o mnie chodzi — a myślę że i z polskiej perspektywy szerzej — to wybór, którego dokonali kardynałowie, jest najlepszy z możliwych. To znaczy paradoks polega na tym, że gdyby przed pontyfikatem Jana Pawła II powiedział ktoś, że papieżem by został Niemiec, to nie mielibyśmy powodów do radości. Powiedzmy sobie jasno, że w stosunkach polsko - niemieckich, naznaczonych zwłaszcza I, II wojną światową, milionami ofiar, zniszczeniami, ruiną, katastrofą, zagładą, Powstaniem Warszawskim, zburzeniem naszej stolicy, innych miast, zmianą granic, przemieszaniem ludności, deportacjami itd., że w tych stosunkach nagromadziło się bardzo wiele krzywdy, bardzo wiele zła. Że odczuwamy to jeszcze po dzień dzisiejszy. Że jeżeli po Janie Pawle II, Polaku, został wybrany Benedykt XVI, Niemiec, to jest to dzieło papieża Polaka, dzieło jego osoby, jego świętości, jego pontyfikatu. Bez Jana Pawła II nie byłoby Benedykta XVI. Jestem przekonany, że Benedykt XVI o tym wie jeszcze mocniej, jeszcze głębiej, jeszcze pewniej, niż my. Został wybrany człowiek w moim przekonaniu, nie tylko zresztą w moim, najlepszy z możliwych. Bo Benedykt XVI to jest człowiek niezwykle dobry, to jest człowiek modlitwy, człowiek kontemplacji, jest to człowiek wielkiego umysłu, wielkiego charakteru. Wielce stanowczy, a zarazem łagodny i pokorny. Drodzy państwo, można go było spotkać codziennie na Placu Świętego Piotra, bo mieszkał obok Via Concillazione w takiej maleńkiej uliczce przy Via Leonina. Ma tam niewielkie swoje rzymskie mieszkanie, mieszkał tam jako pracownik watykański. I ponieważ tam nie można dojechać samochodem, bo uliczka jest za wąska, a on w ogóle jest skromny i z samochodu bardzo rzadko korzysta, to chodził na piechotę. Można go było zobaczyć na Placu Świętego Piotra, można było z nim porozmawiać, można było go zapytać, zaczepić — i tak ludzie robili kiedy tylko rozpoznano, że to jest kardynał Ratzinger, bo był bardzo serdeczny, bardzo ciepły, bardzo miły. W dzisiejszym spotkaniu z Niemcami powiedział tak: że przez cały czas modlił się, żeby nie został papieżem. Ale Pan Bóg jego modlitwy nie wysłuchał, więc ten wybór przyjął.

Otóż jest to szczere wyznanie tego człowieka. On zdaje sobie sprawę z tego, gdzie są granice ludzkich ambicji, i co to znaczy być Chrystusowym Namiestnikiem. Wystarczy popatrzeć na niego, na jego sposób zachowania. To jest prostota, ale prostota połączona ze stanowczością. I już mamy na początku jego pontyfikatu przykłady takiej właśnie stanowczości. Odczuli ją m.in. przedwczoraj dziennikarze, którzy spodziewali się konferencji prasowej, a zamiast konferencji prasowej Benedykt XVI zorganizował audiencję dla dziennikarzy. I dał dziennikarzom poznać, że są tak samo częścią ludu Bożego i Kościoła, jak każdy inny stan i każdy inny zawód. Byli tacy, którym to się nie podobało bo chcieli potraktować go tak, jak się traktuje jakiegoś polityka czy kolegę, stawiając mu najrozmaitsze pytania. Otóż Benedykt XVI jest papieżem, jest tym papieżem od pierwszej chwili swojego wyboru. On o tym wie. Myślę, że gdyby szukać jakiegoś klucza do tego pontyfikatu, to myślę, a może lepiej: czuję, że nie będzie to pontyfikat działalności w takim znaczeniu, jak Jana Pawła II. Dlatego, że w momencie wyboru Benedykt XVI jest od Jana Pawła II starszy o 20 lat, ma 78 lat. Nie sposób więc, żeby to były podróże apostolskie zakrojone na szeroką skalę. Być może, jeżeli chodzi o nauczanie, również nie będzie to pontyfikat aż tak bardzo intensywny, chociaż tutaj pod tym względem nie możemy być pewni. Natomiast to, co Benedykt XVI mówi, np. jego wczorajsze przemówienie to jest przemówienie, które stanowi swoisty duchowy majstersztyk. To są najwyższe możliwości duchowości chrześcijańskiej.

Otóż jedno tylko zdanie w związku z tym przemówieniem. Benedykt XVI wczoraj wyszedł od głębokiej religijnej i chrześcijańskiej intuicji świętych obcowania. I powiada tak. Trzy razy w ostatnim okresie odmawialiśmy Litanię do Wszystkich Świętych: na śmierć papieża — mówi zawsze:

„naszego papieża", następnie na konklawe, i na mszę świętą intronizacyjną nowego papieża. Chociaż Kościół przeżywał Ukrzyżowanie, chociaż Kościół przeżywał Zmartwychwstanie, przeżywał chwile trudne i radosne, Kościół nigdy nie jest sam, bo mamy swoich orędowników i braci po drugiej stronie życia. I jednym z nich jest Jan Paweł II. Ale są ich niezliczone tysiące. A więc Kościół to jest tu, gdzie my jesteśmy — pielgrzymujący, ale Kościół jest również tam, gdzie są święci Boży — tryumfujący i będący w chwale. To jest głęboka teologiczna, głęboka chrześcijańska wizja. I na niej papież oparł swoje przemówienie, oparł swoje wystąpienie niesłychanie piękne i niesłychanie mocne. A bardzo mocne słowa to również, że *świat nie jest zbawiany przez przemoc, tylko przez miłość.* I że *świat został zbawiony przez Ukrzyżowanego — a nie tych, którzy Go krzyżują.*

Tych słów w gazetach nie ma, chociaż Ojciec Święty je wypowiedział. Bo z tych słów wynikało, że niejako wciąż, także w świecie dzisiejszym odbywa się krzyżowanie Zbawiciela. I pośród tych słów są jedne szczególnie przejmujące, na które zwracam uwagę państwa. Mianowicie:

> Módlcie się za mnie, abym się nauczył bardziej miłować Chrystusową trzodę — ciebie Kościele święty, każdego z was z osobna i wszystkich razem. Módlcie się za mnie, abym nie uciekał z obawy przed wilkami.

To bardzo głębokie, mocne, odważne słowa. Módlcie się za mnie, abym nie uciekał z obawy przed wilkami. To jest pontyfikat Benedykta XVI, zaledwie jego początek. Myślę, że do tego pontyfikatu wrócimy 16 maja — bardzo serdecznie państwa zapraszam na konferencję, której treścią chciałbym uczynić właśnie osobę i pontyfikat Benedykta XVI.

Natomiast dzisiaj chciałbym państwu dać drobiazg, dla wszystkich obecnych starczy. Mianowicie ten drobiazg ma bezpośredni związek z tym, o czym mówiliśmy. Otóż przywiozłem każdej i każdemu z państwa z Ziemi Świętej obrazek, na którym są drobne kwiatki Ziemi Świętej. O tym pomyślałem wtedy, kiedy odprawialiśmy pierwszą mszę świętą w Ziemi Świętej, w Ogrójcu właśnie i z Ogrójca pojechaliśmy prosto do Betlejem. Papież Jan Paweł II bardzo chciał być obecny w Betlejem na początku swojego pontyfikatu. I tam właśnie z Betlejem zabrałem te obrazki, dosłownie nazajutrz po śmierci Jana Pawła II, z kwiatów Ziemi Świętej. Chciałbym je państwu przekazać, żebyście je sobie wzięli do Pisma Świętego czy do modlitewnika, czy włożyli gdzieś pośród swoich drobnych rzeczy, i żeby państwo zawsze mieli wzgląd że ten kwiatek, ten obrazek, ma związek z Ziemią Świętą, i że ma związek ze śmiercią i pogrzebem naszego papieża. Że pochodzi z tego kraju, po którym stąpał Jezus. I że został przywieziony w tym czasie, kiedy pożegnaliśmy naszego papieża. Nie jest to jakaś pamiątka materialnie cenna, ale ma swoją wartość duchową. Bo wtedy, kiedy tam byliśmy w Ziemi Świętej to żeśmy, ja w szczególności, o państwu pamiętali. I pomyślałem również, że skoro mamy nasze konferencje biblijne, skoro państwo przychodzą z takim oddaniem, to taka drobna skromna pamiątka sprawi odrobinę przyjemności a być może pobudzi kogoś i zachęci do tego, żeby myślami i sercem wybiegać do tamtej Ziemi, która jest uświęcona obecnością Zbawiciela. Więc taki drobiazg, ale z serca. Za chwilę go państwu rozdam.

Zapraszam na 16 maja, czyli od dziś za trzy tygodnie. I wtedy przedmiotem naszej refleksji uczynimy Ojca Świętego Benedykta XVI. A na koniec pomódlmy się za świętej pamięci Jana Pawła II. I polećmy również Panu Bogu papieża Benedykta XVI.

Pod Twoją obronę ... Wieczny odpoczynek ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

7.8 Jan Paweł II oczami Benedykta XVI (16 maja 2005)

Cykl konferencji, który mamy, nosi nazwę „Konferencje biblijne". Jak państwo dobrze wiedzą od kilkunastu lat staramy się, żeby punktem wyjścia były księgi Pisma Świętego i teksty biblijne. W tym roku jednak życie i bieg wydarzeń zmusiły nas niejako do tego, abyśmy poczynając od ubiegłej konferencji odstąpili od tego zwyczaju i poświęcili naszą uwagę temu, co bieżące i co aktualne, i temu, co tak bardzo nas dotyka. Zarówno dotyka nas jako wierzących w Jezusa Chrystusa, jako dzieci Kościoła, ale dotyka nas również jako Polaków, jako współobywateli, jako współrodaków Ojca Świętego Jana Pawła II. Dlatego na ostatnim naszym spotkaniu zwróciliśmy uwagę właśnie na papieża tak, jak można go zobaczyć naszymi polskimi oczami. Zapowiedziałem, że na najbliższej konferencji — zatem na tej dzisiejszej — poświęcimy naszą uwagę nowemu papieżowi Benedyktowi XVI. Jednak nieco zmienimy zamiar. Dzisiaj wypada 16 dzień maja — to jest okoliczność jedna, która nam raz jeszcze przypomina o naszym papieżu, o okolicznościach jego wyboru, 26 lat i 7 miesięcy temu o tej porze już było wiadomo, że został papieżem. To ogromny szmat czasu. Dla nas dzisiaj już całe jego życie, i jego pontyfikat, to historia. Ale szesnasty dzień miesiąca to dzień, w którym pamiętamy o tym co się wydarzyło. A druga okoliczność, jaką mamy na względzie, to fakt, że pojutrze przypada 85-ta rocznica urodzin Ojca Świętego. Na tę rocznicę w Polsce przygotowywane były rozmaite okolicznościowe rzeczy. Przygotowywane były spotkania, koncerty, wydarzenia. Przygotowane było wydanie specjalnego znaczka pocztowego, wydanie medali, monet przez Narodowy Bank Polski. Na skutek tych zmienionych, dramatycznych okoliczności te plany też zostały zmienione. I co prawda bardzo wiele tych pamiątek się pojawi, ale ma już taką żałobną otokę.

Pojutrze więc — pamiętajmy, 85 lat od urodzin Ojca Świętego Jana Pawła II. Dzisiaj więc mając na względzie to, że już i nowy pontyfikat rozpoczął się na dobre, chciałbym żebyśmy dokonali pewnego eksperymentu, pewnego doświadczenia. Mianowicie żebyśmy spojrzeli na Jana Pawła II oczami Benedykta XVI. Bo 3 tygodnie temu zwróciliśmy uwagę na to jak brzmi, jak wygląda nasza wrażliwość, nasz sposób podejścia. Natomiast teraz popatrzmy na sposób podejścia tego, który został następcą naszego papieża, i który teraz jest naszym papieżem. Natomiast na następnej naszej konferencji skupimy się wyłącznie na życiu Benedykta XVI, które też zasługuje na uwagę i na poznanie, bo ma bardzo wiele ciekawych wątków, których poznanie na pewno nas przybliży także do tego papieża. Otóż pomocą nam dzisiaj, w naszej drodze spojrzenia na Jana Pawła II oczami Benedykta XVI, będzie homilia, którą wszyscy państwo dobrze znają, homilia wygłoszona 8 kwietnia br. na pogrzebie Ojca Świętego Jana Pawła II. Na pewno słuchaliśmy, pamiętamy tę homilię z przekazu telewizyjnego. Może są takie osoby, które były w Rzymie, może słuchaliśmy tej homilii w przekazach radiowych. Być może zwróciliśmy na nią uwagę we fragmentach. A mnie się wydaje, że bardzo ciekawym zajęciem dla osób zajmujących się poznawaniem i próbą przyswajania sobie i pogłębienia Pisma Świętego jest także przyjrzenie się temu niezwykłemu tekstowi. Zwróćmy uwagę, że taka egzegeza, to objaśnienie, którego sobie dzisiaj dokonamy, ma w sobie coś szczególnego. Z jednej strony bowiem człowiek, który wygłaszał tę homilię, kardynał Józef Ratzinger, był prefektem wszystkich pozostałych kardynałów i to w ich imieniu wygłaszał homilię żałobną. Jednocześnie nie był to przypadkowy wybór, ponieważ kardynał Ratzinger przez ponad 20 lat towarzyszył Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. Kardynał Ratzinger, jak to powiemy sobie później, zajmował się przygotowywaniem bardzo ważnych dokumentów, opracowywał je od strony teologicznej. Zajmował się ich wygładzaniem, zajmował się najważniejszymi problemami Kościoła. Dbał o doktrynę Kościoła, zajmował się teologami i przypominał niektórym co jest zgodne z nauczaniem Urzędu Nauczycielskiego, a co zgodne nie jest. Więc kardynał Ratzinger znał znakomicie Ojca Świętego Jana Pawła II. Spotykał się z nim bardzo często, i formalnie i nieformalnie. I nasz papież bardzo go cenił.

To jest jedna perspektywa. Mianowicie jest to homilia wygłoszona przez przyjaciela po śmierci swojego przyjaciela. W tej homilii jest tak wiele serca. I zobaczymy, że najważniejsza, ważniejsza bodaj niż intelekt, jest właśnie pamięć karmiona sercem. Uczył nas tego Ojciec Święty Jan Paweł II dając nam poznać, że sposobem dojścia do Boga jest wrażliwość, jest poezja, jest sztuka, jest modlitwa przede wszystkim i duchowość — a nie tylko rozważania, nie tylko nauczanie, nie tylko teologia — ale właśnie ta teologia serca. I po tej linii poszedł również w tej homilii kardynał Ratzinger.

Do tego dochodzi element drugi, aspekt drugi. Że wiemy już dzisiaj, po półtora miesiącu, że ten człowiek, który wygłosił homilię żałobną na pogrzebie Jana Pawła II, sam został papieżem. Sam został jego następcą. Wtedy jeszcze tego nie przewidywał aczkolwiek mógł się domyślać, że zostanie wybrany. Sam zwierzał się — i mówił z całą pewnością prawdę, kiedy zostawszy papieżem mówił w gronie swoich najbliższych współpracowników — że od momentu śmierci Jana Pawła II prosił Pana Boga, modlił się do Boga — on, kardynał Ratzinger — żeby nie został wybrany papieżem. Ale najwyraźniej ta modlitwa — jak dodał lekko z uśmiechem — nie była Bogu miła. Bóg chciał inaczej, sprawił inaczej. Więc słowa, które dzisiaj będziemy rozważali, stały się homilią papieża wypowiedzianą na pogrzebie jego poprzednika. Zwróćmy uwagę na treść tej homilii. Myślę że warto ją znać, warto ją zapamiętać, warto ją sobie wziąć głęboko do serca, bo ona mówi bardzo wiele o papieżu zmarłym. Ona mówi bardzo wiele o papieżu obecnym. Ona mówi w ogóle bardzo wiele co to znaczy być chrześcijaninem i co to znaczy przeżywać tajemnicę śmierci kogoś bliskiego sobie, a taką osobą dla nas był i pozostaje Jan Paweł II.

Ta homilia została nazwana «Pójdź za Mną». I Ojciec Święty, a wtedy jeszcze kardynał Ratzinger, rozpoczął ją tak. Przypominam: homilia żałobna, pogrzebowa, wygłoszona na placu św. Piotra. Gdyby stworzyć właściwy nastrój — dodam jeszcze tylko — to trzeba byłoby zgasić światło, trzeba byłoby pokazać plac św. Piotra, trzeba byłoby pokazać tę trumnę z drzewa cyprysowego która stała na placu św. Piotra, tę Księgę Ewangelii, którą wiatr cały czas poruszał aż w pewnym momencie definitywnie się zamknęła. Otóż kiedy mamy ten obraz przed oczami, to dopiero wtedy możemy zdać sobie sprawę z głębi słów, które wówczas zostały wypowiedziane. „Pójdź za Mną", mówi zmartwychwstały Chrystus do Piotra. Otóż to jest motto tej homilii: „Pójdź za Mną". Mianowicie spełnione powołanie. Tutaj Ojciec Święty Benedykt XVI daje poznać że kiedy odchodzi człowiek, a ten człowiek jest kimś tak wielkim i znaczącym jak papież, to pozostaje coś, co jest obowiązkiem i powinnością nas wszystkich. Mianowicie poczucie dobrze przeżytego życia, poczucie spełnionego zadania. Poczucie wypełnienia, które albo nas ogarnia, jeżeli żyjemy zgodnie z naszym powołaniem, albo też robi w człowieku pustkę i frustrację, jeżeli posuwamy się w latach, a nie dokonaliśmy tego, co zamierzyliśmy, albo czego chcieliśmy. Otóż to poczucie powołania dotyczy każdego człowieka. I oczywiście dla jednych to będzie powołanie kapłańskie, zakonne, biskupie. Dla innych powołanie do życia małżeńskiego, rodzinnego, do wypełniania wszystkich swoich zadań. To było powołanie papieża. „Pójdź za Mną" — zwrócił się do Piotra zmartwychwstały Chrystus. Popatrzmy, że w centrum wszystkiego stawia papież Benedykt XVI zmartwychwstałego Chrystusa. To jest najważniejsze, ta perspektywa jest dominująca.

Właściwie drodzy państwo, ile razy mamy swoje konferencje biblijne, to tyle razy musimy to sobie przypominać, że także w czytaniu i rozważaniu Pisma Świętego najważniejsza jest wiara w Jezusa Chrystusa i w Jego Zmartwychwstanie. Czytamy i rozważamy Pismo Święte nie dlatego, że ono zawiera wiele szczegółów historycznych, archeologicznych, obyczajowych, społecznych, że ono zawiera ciekawe wiadomości o krajach biblijnych, że zawiera referencje i odniesienia geograficzne, topograficzne, że ono jest źródłem przemyśleń psychologicznych i religijnych nawet — one są ważne ale można by je nazwać okołobiblijne. Czytamy je i rozważamy przede wszystkim dlatego, że stanowi ono zapis historii zbawienia. A w centrum tej historii zbawienia jest Jezus Chrystus, Jego męka, Jego śmierć i Jego Zmartwychwstanie. Ojcowie Kościoła mówili w pierwszych stuleciach, że na każdej karcie Pisma Świętego obecny jest Chrystus. I tylko wtedy możemy się nim karmić, kiedy czytamy Pismo Święte z tej perspektywy. I również w naszej wierze i w naszym przeżywaniu życia, i w spojrzeniu na życie także tym, które podejmujemy podczas pogrzebu, najważniejszy jest Jezus Chrystus i Jego Zmartwychwstanie. Jeżeli bierzemy do ręki Pismo Święte, musimy stale o tym pamiętać. Każda inna lektura Pisma Świętego, można by powiedzieć, jest swoistą zagadką czy zajęciem umysłowym, intelektualnym, ale nie jest jakąś przygodą duchową, czy nie jest czytaniem chrześcijańskim. Otóż powinniśmy czytać Pismo Święte mając w sercu wiarę w Jezusa Chrystusa. To jest to światło, to jest to centrum, to jest ta istota życia. I muszę państwu powiedzieć, że studiując Pismo Święte, wykładając Pismo Święte, spotykając się również z wiernymi tak, jak teraz z państwem, im dłużej to robię tym bardziej jestem przekonany, że czytanie i komentowanie Pisma Świętego ma sens tylko o tyle, o ile jest uzupełnieniem, dopowiedzeniem, rozwinięciem, ubogaceniem naszej wiary. Bez tego elementu wiary, i bez tego elementu obecności Chrystusa w naszym życiu, Pismo Święte może być tylko księgą porównywalną z innymi, może być jakimś dziełem zabytkiem

literackim, świadectwem epoki. I tak bywa czasami traktowane przez religioznawców, historyków, filmowców, artystów itd.

Nasza perspektywa, podobnie jak nasze życie, jest chrześcijańska. Co więcej — jest chrystologiczna, więc dokonywana w świetle Chrystusa. Co więcej — chrystocentryczna czyli skupiona, zogniskowana na Jezusa Chrystusa. Takie również powinno być nasze życie. Proszę zwrócić uwagę zatem, że kardynał Ratzinger w takiej decydującej chwili dziejów współczesnej ludzkości, w obecności miliona stu tysięcy zgromadzonych na placu św. Piotra, i setek milionów przy telewizorach zgromadzonych ludzi w rozmaitych krajach świata, mocno podkreśla to, że żyć i umierać to znaczy dla chrześcijanina mieć świadomość Zmartwychwstałego Chrystusa. Jest to po linii tej dewizy życiowej, którą pozostawił nam św. Paweł. „Dla mnie żyć", napisał Paweł, „to Chrystus, a umrzeć — to zysk". Jeżeli tak się patrzy na życie i na śmierć, to oczywiście i jedno i drugie nabiera zupełnie nowego znaczenia. Ojciec Święty mówił tak:

> Są to ostatnie słowa, jakie kieruje do tego ucznia, którego wybrał, aby pasł Jego owce.

Ostatnie słowa Jezusa do Piotra. A zarazem ostatnie słowa człowieka, który stał się następcą Piotra, wypowiedziane na pogrzebie tego, który był jego poprzednikiem.

Tu przypomnijmy sobie jeszcze jeden bardzo ważny szczegół. Mianowicie w Niedzielę Wielkanocną, na kilka dni przed swoją śmiercią, Jan Paweł II już nie wygłosił tylko zostało to przeczytane, bo papież nie był w stanie wygłosić tego tekstu — ale w imieniu Ojca Świętego został odczytany tekst, który został przez papieża wcześniej napisany. Był to ostatni tekst, który został wygłoszony za życia Jana Pawła II, i poprzedzał jego wielkanocne błogosławieństwo Urbi et Orbi, ostatnia Wielkanoc życia papieża. I mottem tych słów, które Ojciec Święty Jan Paweł II wypowiedział przed śmiercią, były słowa: „Potrzebujemy Ciebie, Zmartwychwstały Panie". I ta ostatnia homilia to jest jedna wielka modlitwa do Zmartwychwstałego Chrystusa. I papież wyznaje, już na progu swojej agonii, na progu swojego odejścia wyznaje, że bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje Zmartwychwstałego Pana. I temu wyznaniu wychodzi naprzeciw jego następca. I od przypomnienia prawdy o Zmartwychwstałym rozpoczyna swoją żałobną homilię. „Pójdź za Mną" — ostatnie słowa Zmartwychwstałego skierowane do Piotra.

„Pójdź za Mną" — ten lapidarny zwrot Chrystusa można uznać za klucz do zrozumienia przesłania, jakie płynie z życia naszego nieodżałowanego i ukochanego papieża Jana Pawła II. Zawsze chcemy szukać jakiegoś klucza do życia ludzi wielkich. I papież Benedykt XVI za taki klucz uznał właśnie słowa Chrystusa o powołaniu. To ostatnie powołanie Chrystusa po Zmartwychwstaniu, przed Wniebowstąpieniem, które miało tak diametralnie odmienić los Piotra. I Ojciec Święty wygłaszając tę homilię będzie śledził życie Jana Pawła II pod kątem odpowiedzi, jakie dał na życiowe powołanie.

Zwróćmy uwagę jeszcze na jeden szczegół, o którym przedtem mówiłem zaznaczając lekko. Mianowicie, że jest to homilia niemieckiego biskupa wypowiedziana nad trumną polskiego papieża. Historia potrzebowała ponad tysiąc lat, aby te dwa narody zwaśnione, zbratane bardzo rzadko, skłócone, walczące ze sobą, zantagonizowane, skonfliktowane przez całe setki lat, żeby te dwa narody spotkały się nad trumną papieża, i żeby przedstawiciel jednego prześledził życie drugiego człowieka, reprezentanta drugiego narodu. Dokonało się na placu św. Piotra tego dnia coś niesłychanie ważnego. A my możemy być pewni jednego, co jest jasne — że nie byłoby papieża Niemca, gdyby przed nim nie było papieża Polaka. Zatem kiedy Pan Bóg pisał swe losy papiestwa w 78 roku, znanym jako rok trzech papieży, to wtedy można by powiedzieć paradoksalnie — dokonano wyboru Jana Pawła II, ale 16 października 78 r. dokonano też, rozstrzygnął się, przesądził się w planach Bożych również wybór i pontyfikat Benedykta XVI. To jest przedziwne zrządzenie, którego jesteśmy świadkami. Ci dwaj ludzie połączeni są w swoich losach. I Benedykt XVI jest tego bardzo mocno świadomy.

> Jego ciało składamy dziś w ziemi jako zasiew nieśmiertelności —- z sercem przepełnionym smutkiem, ale zarazem radosną nadzieją i głęboką wdzięcznością.

Radosna nadzieja, i głęboka wdzięczność a zarazem smutek. Każde odejście postrzegane w kontekście wiary chrześcijańskiej ma w sobie tę ambiwalencję, tę dwuznaczność. To jest tak, jak ten płacz Jezusa nad śmiercią Łazarza. Także i teraz w dzień pogrzebu targały przyszłym papieżem te

uczucia: z jednej strony chrześcijańska nadzieja, ale z drugiej strony żal i smutek. Przyszły papież mówił:

> Takie uczucia przenikają nasze serca, Bracia i Siostry w Chrystusie, zgromadzeni na placu św. Piotra, na pobliskich ulicach i w wielu miejscach w Rzymie, wypełnionym w tych dniach przez niezliczoną rzeszę trwającą w milczeniu i modlitwie.

Takimi słowami rozpoczął kardynał Ratzinger swoją żałobną homilię. Pozdrowił następnie zgromadzonych tam przedstawicieli rządów i Kościołów a następnie przeszedł do takiego spojrzenia na życie Jana Pawła II. To spojrzenie przyszłego papieża wyglądało tak. Ojciec Święty powiedział:

> «Pójdź za Mną»

Proszę zwrócić uwagę, mocno podkreślam ten aspekt, że te słowa w homilii kardynała Ratzingera powtarzają się wielokrotnie, powtarzają się siedem razy. Otóż kardynał Ratzinger nieprzypadkowo wybiera te siedem razy. Siedem razy to jest siedem darów Ducha Świętego. To jest liczba oznaczająca pełnię, doskonałość. Kardynał chce powiedzieć w ten sposób, że odpowiedź Karola Wojtyły i Jana Pawła II na powołanie, którym Bóg go obdarzył, była całkowita, bezgraniczna i pełna. Proszę też państwo popatrzą — jakie to jest przedziwne, że kardynał, tak mocno zajęty w czasie przygotowania do pogrzebu, ułożył tak wspaniałą homilię, i przemyślał w niej każdy szczegół. Człowiek, który jest kopalnią wiedzy teologicznej, ale także jest — można by powiedzieć — studnią, swoistym źródłem chrześcijańskiej wrażliwości. Powtórzył więc tutaj po raz drugi owo „Pójdź za Mną":

> «Pójdź za Mną» — jako młody student Karol Wojtyła pasjonował się literaturą, teatrem, poezją. Gdy pracował w zakładach chemicznych, w czasach powszechnie panującego, zagrażającego nazistowskiego terroru, usłyszał wołanie Chrystusa: «Pójdź za Mną!»

To jest to pierwsze powołanie Karola Wojtyły. Zwróciliśmy na nie uwagę trzy tygodnie temu, znają to państwo. Ale to jest przedziwne. Otóż są ludzie, którzy od samego początku, od dzieciństwa, czują w sobie głos Boży i którzy od samego początku wiedzą, że droga zakonna czy kapłańska jest ich drogą życia. Karol Wojtyła urodził się w bardzo pobożnej religijnej rodzinie, aczkolwiek matka go wcześnie osierociła. A przecież nie od początku było w nim przynajmniej uświadomione i wyraźne pragnienie kapłaństwa. Jego powołanie nastąpiło wtedy, kiedy już miał 21 lat, a więc był człowiekiem dorosłym. I kardynał Ratzinger zwraca uwagę na to pierwsze powołanie, dokonane w mrocznych latach okupacji. Przedziwnymi drogami Pan Bóg prowadzi ludzi do siebie. I przedziwna jest droga tego młodego człowieka. Jeżeli popatrzymy w tych kategoriach, to od jego powołania do służby kapłańskiej do jego powołania na Stolicę Piotrową upłynęło zaledwie trzydzieści kilka lat, bo kiedy został papieżem miał 58 lat. Kiedy śledzimy jego życie, ileż razy to państwu podkreślam, to jest to jedno wielkie pasmo cudów. I w opinii, w tym podkreśleniu, którego dokonał przyszły papież Benedykt XVI, widać wyraźnie zadziwienie wobec Boga, że w takich okolicznościach, tak niezwykłymi drogami prowadził tego, który miał później przez ponad ćwierć wieku być na ustach świata, i być przewodnikiem ludzi w drodze do Boga.

Dodajmy tutaj, że również droga Benedykta XVI, kardynała Ratzingera, do kapłaństwa, a później w kapłaństwie, była też przedziwna. Są w niej meandry bardzo dziwne. Np. miał ogromne kłopoty, prawie nieprzezwyciężalne trudności z zatwierdzeniem mu habilitacji. Bo na drodze stanął mu ktoś, kto miał nie tylko inne poglądy, ale nie żywił specjalnej sympatii do zapowiadającego się wtedy dobrze kolegi teologa. Kardynał Ratzinger wspominał o tym, zawsze szczerze opisując te perypetie, i opisując, że gdyby to się nie powiodło, to na pewno jego droga życiowa wyglądała by zupełnie inaczej. Warto i trzeba przyglądać się własnemu życiu. Warto i trzeba przyglądać się rozmaitym życiowym zakrętom. Nie tyle po to, żeby wróżyć z kart i myśleć, co by było gdyby, ale popatrzeć na te etapy naszego życia, które okazały się przełomowe. Takim przełomem pierwszym w życiu Karola Wojtyły było to właśnie powołanie. „Pójdź za Mną" — po raz trzeci występują tutaj te słowa przypomniane przez Benedykta XVI.

> W tych bardzo szczególnych okolicznościach zaczął czytać dzieła filozoficzne i teologiczne, następnie wstąpił do podziemnego seminarium, utworzonego przez kard. Sapiehę, a po wojnie ukończył studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Widać wyraźnie osadzenie życia Karola Wojtyły w polskim kontekście. Ten przyszły papież Niemiec składa wyraźnie hołd Polsce okupowanej przez Niemców, która w tym arcytrudnym okresie, dramatycznym dla nas, krwawym okresie, umiała strzec własnej tożsamości. Bo przecież pójście do seminarium, pobieranie nauki w seminarium dokonało się w mrocznych latach okupacji. I przyszły papież o tym wie, i to podkreśla.

> W swoich listach do kapłanów i w książkach autobiograficznych wielokrotnie mówił nam o swoim kapłaństwie, które przyjął 1 listopada 1946. W tych tekstach interpretuje swoje kapłaństwo przede wszystkim w świetle trzech «słów» Chrystusa.

I teraz zwróćmy uwagę — bo naszej uwadze to umyka. Dla nas Ojciec Święty Jan Paweł II jest kimś tak bliskim, że nie potrafimy wyłowić tego, co nam chciał powiedzieć bo to, co mówi, wydaje się oczywiste. Ale jego następca, papież Niemiec, śledząc książki papieża — te, które dotyczą przede wszystkim kapłaństwa papieża i przeżywania kapłaństwa przez Jana Pawła II — uchwycił trzy takie teksty biblijne, które stanowiły sedno spojrzenia Jana Pawła II na przeżywanie kapłaństwa. Pierwszy tekst:

> Zwłaszcza tego: «Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem i przeznaczyłem was na to, abyście szli i owoc przynosili, i by owoc wasz trwał" (J 15,16).

Otóż powołanie to jest owoc wyboru dokonanego przez Boga. To Bóg przedziwnymi drogami prowadzi człowieka — trzeba ten wybór najpierw rozpoznać, potem uznać, i potem przyjąć. Może się zdarzyć, że człowiek rozpoznaje swoje powołanie, może nawet je uznać, ale go nie przyjmie. To jest dramat. Jakiekolwiek to powołanie będzie, to Pan Bóg przeznaczył nam drogą naszego życia, którą powinniśmy podjąć i wypełnić. Więc: «Nie wyście Mnie wybrali, ale Ja was wybrałem». Te słowa stanowiły często motto przemyśleń Karola Wojtyły jako księdza, biskupa, arcybiskupa i kardynała, a później Jana Pawła II. Pochodzą z Ewangelii wg. św. Jana.

> Drugie słowo brzmi: «Dobry pasterz daje życie swoje za owce» (J 10, 11).

Zwróćmy uwagę, że to drugie motto o dobrym pasterzu, który daje życie swoje za owce, pojawia się często w publikacjach i książkach Jana Pawła II. Ale przede wszystkim pojawiło się w jego życiu. I nie jest sprawą przypadku ale jest kolejnym zrządzeniem Opatrzności to, że kilka dni temu, 13 maja, kiedy nikt się tego nie spodziewał, Benedykt XVI ogłosił — i to uczynił w sposób bardzo osobisty — że oto właśnie rozpoczyna się proces beatyfikacyjny Jana Pawła II. Zaledwie miesiąc po śmierci — tego nie było! Tak można było dokonywać beatyfikacji w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, teraz są rozmaite reguły i normy prawa kanonicznego. A Benedykt XVI — nie wiem, czy państwo to zauważyli, bo nie we wszystkich przekazach telewizyjnych to pokazywano — zrobił to jako swoisty, w cudzysłowie, żarcik. Mianowicie przebywał w Bazylice św. Jana Chrzciciela na Lateranie. Tam wygłosił przemówienie na początek swego pontyfikatu w tej bazylice rzymskiej, a na końcu mówi tak: „Mamy jeszcze jedną rzecz do dodania, mamy jeszcze jedną sprawę". I uśmiechnął się. I ta sprawa to wcale nie błacha, wcale nie najmniejsza, ale najważniejsza. Mianowicie właśnie początek procesu beatyfikacyjnego Jana Pawła II. I jako klucz do beatyfikacji Benedykt XVI zaproponował męczeństwo. To męczeństwo, którego Ojciec Święty doświadczył 13 maja 1981 roku, i którego skutki dawały o sobie znać do ostatnich chwil jego życia. Teraz możemy mówić coraz bardziej otwarcie, że te ostatnie miesiące życia papieża były niesłychanie bolesne i że było to związane także z zamachem na jego życie.

To są już dwa słowa, które stanowią klucz do pontyfikatu Jana Pawła II. I wreszcie trzecie słowo:

> «Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umiłowałem. Trwajcie w miłości mojej!» (J 15,9).

Również słowo przejęte z Ewangelii św. Jana. Benedykt XVI powiada, że w tym kluczu, kluczu wybrania, kluczu ofiary z życia, i kluczu miłości braterskiej trzeba popatrzeć na życie Jana Pawła II. Że najkrótszą drogą do zrozumienia, do przyjęcia, do poznania, do zapamiętania życia papieża Polaka jest czwarta Ewangelia kanoniczna, Ewangelia Jana. A te wszystkie słowa pochodzą z tzw. *arcykapłańskiej modlitwy Jezusa.* Czyż nie jest to piękny klucz do odkrywania tej wspaniałej postaci, do której jesteśmy tak mocno przywiązani, ale potrzebujemy właśnie takich duchowych drogowskazów? Papież mówił dalej:

> W tych trzech słowach widzimy całą duszę naszego Ojca Świętego.

Proszę zwrócić uwagę: 78-letni kardynał mówi z taką miłością o swoim zmarłym poprzedniku: „widzimy całą duszę naszego Ojca Świętego". Otóż właśnie dlatego, że z takim szacunkiem, z taką miłością, z takim oddaniem, z taką czułością, z taką dobrocią mówił o papieżu Polaku, to my Polacy powinniśmy od początku wyrobić przyzwyczajenie i mieć świadomość, że Benedykt XVI jest *naszym* Ojcem Świętym. Miłość ma to do siebie, że potrzebuje wzajemności. I wzajemność względem Benedykta XVI ze strony Polaków jest szczególnie ważna, i szczególnie potrzebna. Otóż to nie jest tylko papież, to nie jest jeszcze jeden papież, to nie jest kolejny papież, to jest *nasz* papież! Dlatego, że przede wszystkim, tak emocjonalnie biorąc, uszanował tego, który pochodzi spośród nas, jednego spośród nas. Więc i my przyjmujemy go na tej samej zasadzie, i na tej samej zasadzie go uznajemy.

> On naprawdę szedł wszędzie i nie szczędził trudów, aby przynosić owoc — owoc, który trwa. «Wstańcie, chodźmy!» brzmi tytuł jego przedostatniej książki. «Wstańcie, chodźmy!» — tymi słowami rozbudzał naszą znużoną wiarę, wyrywał ze snu uczniów wczoraj i dzisiaj.

Jakie piękne i głębokie słowa! Tytuł przedostatniej książki Ojca Świętego Jana Pawła II brzmiał «Wstańcie, chodźmy!» A pisał ją papież, opublikował ją papież, który miał prawie 84 lata. 84-letni starcy to już nie są ludzie gotowi do drogi. Ale papież tak właśnie zachęcał swój Kościół — do odwagi, do dynamizmu, do życia. Umierający, cierpiący papież, który daje zachętę Jezusa z Ogrodu Oliwnego, z Getsemani. Benedykt XVI nie tylko to zauważył, ale wydobył co najważniejsze. Mianowicie powiada, że ta zachęta papieża jest skierowana tak, jak zachęta Jezusa, do jego uczniów, do jego najbliższych. Otóż w tym kluczowym momencie swojego życia, na krótko przed swoim odejściem, papież Jan Paweł II usiłował wyzwolić duchowe moce z tych, którzy Kościół stanowią. Jakże więc nie odpowiedzieć na to wołanie — i papieża zmarłego, i papieża nowego, tego, którego teraz mamy, i który to wołanie zauważył i docenił?

> rozbudzał naszą znużoną wiarę, wyrywał ze snu uczniów wczoraj i dzisiaj. «Wstańcie, chodźmy!» — mówi do nas także dzisiaj. Ojciec Święty stał się kapłanem aż do końca, ponieważ ofiarował Bogu własne życie za owce swoje i za całą ludzką rodzinę w codziennej ofiarnej służbie Kościołowi, a nade wszystko w trudnych doświadczeniach ostatnich miesięcy. W ten sposób stał się jedno z Chrystusem, dobrym pasterzem, który miłuje swoje owce. I na koniec «Trwajcie w miłości mojej!» Papież, który pragnął spotkać się ze wszystkimi, który potrafił wszystkim przebaczyć i wszystkim otworzyć swoje serce, także dzisiaj mówi do nas tymi słowami Pana: «Trwając w miłości Chrystusa uczymy się w szkole Chrystusa sztuki prawdziwej miłości»

To znów bardzo piękne słowa. Bo obejmują całe życie Jana Pawła II. Życie, w którym rozpoznał swoją misję, uznał tę misję i przyjął ją, a przyjął jako dwudziestoparoletni chłopiec. To wtedy były prapoczątki tego powołania, które potem zrealizowało się na Stolicy Piotrowej. To jest ten pierwszy etap powołania, ten wstęp do wszystkiego. Zawsze kiedy myślimy o powołaniu, także kapłańskim i zakonnym, to trzeba zdać sobie sprawę, że wielkim błogosławieństwem jest aby ci, którzy takie

powołanie czują i żywią, spotkali na drodze życia ludzi, którzy pomogą to powołanie urzeczywistnić. Czasami bowiem zdarza się i tak, że co prawda jakiś płomień powołania jest, ale brakuje tych, którzy by go rozniecili i którzy by go podtrzymywali. Karol Wojtyła takich ludzi spotkał, takich ludzi na drodze swojego życia miał. Benedykt XVI mówił dalej — to już czwarty raz występuje to nawiązanie do słów Chrystusa:

> «Pójdź za Mną!» W lipcu 1958 roku rozpoczyna się dla młodego księdza Karola Wojtyły nowy etap wędrówki z Chrystusem i za Chrystusem. Karol, jak zwykle, udał się z grupą młodych miłośników wycieczek kajakowych na Mazury, aby wraz z nimi spędzić wakacje. Miał jednak ze sobą list, wzywający Go na spotkanie z Prymasem Polski kard. Wyszyńskim, i mógł się domyślać celu tego spotkania: miał otrzymać nominację na biskupa pomocniczego w Krakowie.

Pięćdziesiąty ósmy rok! Mówiliśmy o tym trzy tygodnie temu. Trzydzieści osiem lat! Najmłodszy wtedy biskup w Polsce. Dodajmy ten przedziwny paradoks, który mnie nigdy nie przestaje zaskakiwać — pomyślmy ilu wtedy biskupów wybierało się z młodzieżą na kajaki? Chyba tylko ten jeden! Do głowy nie przychodzi księżom, którzy mają stać się biskupami, żeby tak spędzali wakacje. Tu pod tym względem kardynał Wojtyła miał zawsze ogromne poczucie humoru. Kiedy zapytali go niedługo po wyborze dziennikarze włoscy: czym wyróżnia się Episkopat Polski, to Jan Paweł II zrobił bardzo poważną minę i powiedział, że jest to Episkopat najbardziej usportowiony na świecie. Dziennikarze wytrzeszczyli oczy, słuchają, co Ojciec Święty ma powiedzieć. „A u nas połowa kardynałów jeździ na nartach." Mówią: „Jak to?" „No tak, ja jeżdżę. A drugi to kardynał Wyszyński, on się uczy!" I w ten sposób zawsze patrzył na swoje życie. Zawsze z takim humorem, i z takim realizmem, ale i z ogromnym szacunkiem dla tego wszystkiego, co robił.

I tu mamy też. Jeżeli Benedykt XVI przypomina te niezwykłe okoliczności, to nie jest sprawa przypadku. Ja nie wiem czy byli jeszcze tacy księża, którzy dowiadywali się o nominacji biskupiej w takich okolicznościach. Ten papież z Niemiec jest wyraźnie zaskoczony, że coś takiego miało miejsce. I to nie w wolnej Europie, gdzieś we Włoszech albo we Francji, gdzieś tam na plażach Bretanii, tylko w Polsce, pod koniec lat pięćdziesiątych. To jest właśnie zaskakujące, jak Pan Bóg przedziwnie tka tę tkaninę, której na imię Jan Paweł II. I teraz mamy coś, co nam mówi sporo oJanie Pawle II, ale sporo, a może nawet jeszcze więcej, mówi o kardynale Ratzingerze, Benedykcie XVI. Kardynał Ratzinger też wykładał filozofię, wykładał teologię zwłaszcza, był nauczycielem akademickim. I pewnego dnia został powołany na biskupa, na arcybiskupa nawet, Monachium. Otóż doskonale znał rozterki, jakie mógł przeżywać przyszły papież. Opisał to tak w homilii pogrzebowej:

> Porzucić nauczanie akademickie, wyrzec się bliskiego i stymulującego kontaktu z młodzieżą, zejść ze sceny wielkich zmagań intelektualnych, gdzie poznawał i interpretował tajemnicę człowieka, istoty stworzonej, ażeby uobecnić w dzisiejszym świecie chrześcijańską wykładnię naszego bytu – wszystko to musiało się wydawać jakby utratą samego siebie, utratą tego właśnie, co stało się ludzką tożsamością tego młodego kapłana.

Otóż, drodzy państwo, uprawianie nauki jest wielką wartością. Ci, którzy z powołania zajmują się nauką, dobrze wiedzą, że z nauką to jest tak jak z dobrem, i tak jak z miłością. Największą nagrodą za dobro jest dobro właśnie. Największą nagrodą za miłość jest miłość, ta - którą się przeżywa i ta, której się doznaje. Największą nagrodą za uprawianie nauki jest właśnie nauka. Otóż jeżeli ktoś jest wszczepiony w życie akademickie, to jakaś diametralna zmiana jego powołania, jego posługi, jego życia przychodzi bardzo trudno. Tak było w życiu Karola Wojtyły. Tak było w życiu kardynała Józefa Ratzingera. On również bardzo głęboko to przeżył, i dlatego dobrze rozumiał Jana Pawła II. Papież bardzo często nawiązywał do swoich doświadczeń akademickich. Zostać z wykładowcy biskupem — to są dwa różne światy, dwa odmienne powołania, dwie różne odpowiedzialności, dwie różne drogi do człowieka i do Boga.

Benedykt XVI kontynuował, i mówi tak:

> «Pójdź za Mną!»

— to piąty raz słyszymy to wezwanie, piąty raz ten kluczowy przełom.

> I Karol Wojtyła przyjął to wezwanie Kościoła, słysząc w nim głos Chrystusa. Później zdał sobie sprawę jak bardzo prawdziwe są słowa Pana: «Kto będzie się starał zachować swoje życie, straci je, a kto je straci, zachowa je» (Łk 17, 33).

Otóż na pewno było to jakieś zerwanie z przeszłością, ale otwierała się nowa przyszłość. I ta przyszłość okazywała się bardzo obiecująca. Sposób myślenia jest taki: także każde odejście, a więc i takie odejście tak radykalne jak śmierć człowieka, to jest zerwanie z czymś, co było do tej pory. Ale od nas zależy co zrobimy z przyszłością, która jawi się w nowych kształtach i z nowymi możliwościami. I słyszeliśmy dalej:

> Nasz papież —- wiemy to wszyscy —

„nasz papież" to słowa Benedykta XVI

> Nasz papież —- wiemy to wszyscy — nigdy nie pragnął ocalić swojego życia, zachować go dla siebie; chciał ofiarować samego siebie samego bez reszty, aż do ostatniej chwili, dla Chrystusa i także dla nas.

Kiedy mówił to Benedykt XVI, to mówił to po ponad dwudziestoletnim okresie codziennego prawie spotykania się z Janem Pawłem II. Spotykał się nie tylko z powodu obowiązków, które miał, ale także Jan Paweł II pragnął zjeść razem posiłek, porozmawiać, dowiedzieć się czegoś, ustalić, uzgodnić. Kardynał Ratzinger widział, jak papież cierpi, widział, jak papież siebie nie oszczędza. Od rana do późnej nocy cały czas z ludźmi i dla ludzi, uczynił z siebie samego dar dla człowieka.

> Dzięki temu właśnie mógł doświadczyć, jak to wszystko, co złożył w ręce Pana, powróciło w nowy sposób: umiłowanie słowa, poezji, literatury stało się istotną częścią Jego pasterskiej misji i nadało Jego głoszeniu Ewangelii nową świeżość, aktualność i moc przyciągania — i to właśnie w czasach, gdy jest ona znakiem sprzeciwu.

To, że papież Jan Paweł II był poetą, że był filozofem, że był tak wrażliwy na piękno przyrody, w warunkach jego pontyfikatu stało się jeszcze jedną okolicznością ewangelizacji. Oto zobaczyliśmy nową twarz papieża — twarz papieża na łonie przyrody, twarz papieża na spacerze, twarz papieża, który pisze wiersze. Zobaczyliśmy twarz papieża, który medytuje, myśli, modli się, rozmawia. Do tej pory takich doświadczeń, tak wyrazistych, w Kościele nie było. I Benedykt XVI mówi: Oto jest ta nowość, która wynikła z tej specyfiki osobowości Karola Wojtyły. To dlatego miał za sobą te wszystkie doświadczenia, aby je wykorzystać i przemienić ku dobremu.

> «Pójdź za Mną!»

to szósty raz występują te słowa.

> W październiku 1978 r. kardynał Wojtyła ponownie usłyszał głos Pana. Powtarza się dialog z Piotrem, który przytacza Ewangelia z dzisiejszej liturgii. «Szymonie, synu Jana, czy kochasz Mnie? (. . .) Paś owce moje!» (J 21, 16). Na pytanie Chrystusa: Karolu, miłujesz Mnie?, arcybiskup krakowski odpowiedział z głębi serca: «Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham» (J 21, 17).

W tych kategoriach powołania i wierności powołaniu została przedstawiona odpowiedź na powołanie kapłańskie, na drogę biskupią, wreszcie na wybór na konklawe jako papieża. Ten klucz tych słów «Pójdź za Mną!» to klucz, według którego Benedykt XVI objaśnia drogę życiową Jana Pawła II.

> Miłość do Chrystusa była najbardziej przemożną siłą w życiu naszego umiłowanego Ojca Świętego: wie o tym każdy, kto widział, jak się modlił, i słyszał, jak głosił słowo Boże.

Zwróćmy uwagę — za najważniejszą rzecz w pontyfikacie Jana Pawła II jego następca Benedykt XVI uznaje modlitwę: „wie o tym każdy, kto widział, jak papież się modlił". Oto jest klucz! Dzisiaj coraz lepiej to rozumiemy. Pamiętamy jeszcze te głosy sprzed kilku miesięcy: „Ustąp! Daj sobie spokój! Jak tak można! Trzeba kogoś młodego, silnego, prężnego, mężnego. Może już koniec?" — ale siłą pontyfikatu pozostawała zawsze modlitwa i głoszenie słowa Bożego. I na to wskazywał Benedykt XVI w dzień pogrzebu. A może — zważywszy na to, że i Benedykt XVI ma dziś 78 lat, może ten papież, nowo wybrany a przecież posunięty w latach, czuje, że to będzie również jego droga życiowa? Może to jest tak, że w naszym świecie niepotrzebne są świadectwa słów, ale świadectwo cierpienia, modlitwy, wierności wobec Pana Boga właśnie okazywanej w ten sposób. Może to Benedykt XVI czuje, że droga, którą przeszedł Jan Paweł II, nie tylko ta akademicka i biskupia, ale także ta papieska, to będzie drogą i papieża Niemca? Może w tych słowach jest także jakieś otwarcie się ku tej przyszłości? Jest przedziwna fotografia, przedziwne zdjęcie, które się zachowało. Mianowicie kiedy Jan Paweł II przekazuje podczas Drogi Krzyżowej krzyż kardynałowi Ratzingerowi. To zdjęcie zostało odebrane jak swoiste proroctwo, i krąży dzisiaj po Rzymie i w internecie. Jeżeli ktoś z państwa się nim posługuje to może zobaczyć: dwóch ludzi, papież i jego następca, i papież swojemu następcy przekazuje krzyż. Może więc — jeżeli będziemy żyć — będziemy świadkami też tego samego, mianowicie, że siłą pontyfikatu jest modlitwa i zdolność do cierpienia.

> Dzięki temu głębokiemu zakorzenieniu w Chrystusie mógł On dźwigać ciężar, który przerasta siły człowieka: mógł być Pasterzem owczarni Chrystusa, Jego Kościoła powszechnego. Nie jest to stosowny moment, aby mówić szczegółowo o tym, co składało się na treść tego pontyfikatu. Chciałbym jedynie odczytać dwa fragmenty z dzisiejszej liturgii, w których pojawiają się główne tematy Jego przepowiadania.

główne tematy przepowiadania Jana Pawła II.

> W swoim pierwszym liście św. Piotr mówi — a wraz z nim mówi Papież: «Przekonuję się, że Bóg naprawdę nie ma względu na osoby. Ale w każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje sprawiedliwie. Posłał On swe słowo synom Izraela, zwiastując im pokój przez Jezusa Chrystusa. On to jest Panem wszystkich" (Dz 10, 34-36).

Otóż jednym takim kluczem, jednymi drzwiami do nauczania papieża Jana Pawła II — mówi papież Benedykt XVI — jest uniwersalizm, powszechność. Powszechność misji Kościoła w świecie. Drogą Kościoła — napisał Jan Paweł II w swojej pierwszej encyklice — jest każdy człowiek. Dlatego widzieliśmy naszego papieża pochylonego nad każdym człowiekiem. Nad każdym, kto do niego przyszedł, i ku któremu on również wychodził. Bo bardzo często zdarzało się tak, że skinieniem ręki wzywał do siebie ludzi, by do niego podeszli, przyciągał ich jak magnes.
To jeden klucz. A drugi?

> Zaś w drugim czytaniu św. Paweł — a za św. Pawłem także nasz zmarły Papież — wzywa nas doniosłym głosem «bracia umiłowani, za którymi tęsknię — radości i chwało moja! — tak trwajcie mocno w Panu, umiłowani" (Flp 4,1)

To jest sens posługi i pontyfikatu Jana Pawła II — wezwanie do cierpliwej wytrwałości. «Pójdź za Mną!» — to ostatni siódmy raz występują słowa odniesione do Jana Pawła II.

> Polecając Piotrowi, aby pasł Jego owce, Chrystus zapowiada zarazem jego męczeństwo. Wypowiadając te słowa, które zamykają i reasumują cały dialog o miłości i o posłannictwie powszechnego pasterza, Chrystus odwołuje się do innego dialogu, jaki odbył się podczas Ostatniej Wieczerzy. Jezus powiedział wówczas: «Dokąd Ja idę, wy pójść nie możecie». Piotr zapytał: «Panie, dokąd idziesz?» Jezus mu odpowiedział: «Dokąd Ja idę, ty teraz za Mną pójść nie możesz, ale później pójdziesz" (J 13, 33. 36). Po wieczerzy Jezus idzie ku krzyżowi i ku zmartwychwstaniu — wchodzi w tajemnicę paschalną; Piotr na razie nie może podążyć za Nim. Teraz, po zmartwychwstaniu, nadszedł ów moment, owo «później». Pasąc owce Chrystusa, Piotr wchodzi w tajemnicę paschalną, zmierza ku krzyżowi i ku zmartwychwstaniu.

Tak jak zwracając się ku Ewangelii pokazuje wszystkim papież na to, co w życiu Piotra jest najważniejsze — towarzyszył Jezusowi aż do męki, śmierci, zmartwychwstania, nie zawsze wierny. Ale stał się już wierny wtedy, kiedy Chrystus zmartwychwstał. I wtedy miejsce Jezusa — jeżeli tak można powiedzieć — zajął właśnie Piotr. Przyszły papież odnosząc to do sytuacji w dniu pogrzebu mówi tak:

> Teraz, po zmartwychwstaniu, nadszedł ów moment, owo «później». Pasąc owce Chrystusa Piotr wchodzi w tajemnicę paschalną, zmierza ku krzyżowi i ku zmartwychwstaniu. Chrystus mówi o tym słowami: «Gdy byłeś młodszy, (...) chodziłeś, gdzie chciałeś. Ale gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce swoje, a inny cię opasze i poprowadzi, dokąd nie chcesz» (J 21, 18). W pierwszym okresie swego pontyfikatu

— teraz odnosi to przyszły papież do Jana Pawła II —

> Ojciec Święty, wówczas jeszcze młody i pełen sił, prowadzony przez Chrystusa, podróżował aż na krańce świata.

Tak było. O swojej pierwszej podróży, którą odbył w styczniu 1979 r. do Meksyku i Dominikany. Porwał mieszkańców Meksyku. Sytuacja w Meksyku była wtedy trochę taka, jak w Polsce. Mianowicie ludzie to w ogromnej większości, prawie 100%, katolicy, a władze tam były Kościołowi bardzo nieprzychylne dlatego, że rządy sprawowali — ale po dzień dzisiejszy mają ogromne wpływy w Meksyku — masoni, masoneria. Więc byli bardzo nieprzychylni pobytowi papieża. Papież porwał za sobą miliony ludzi. To zostało, przemieniło Meksyk. Meksyk, Dominikana. Potem ok. 140 odwiedzonych krajów, państw. Był prawie wszędzie. Wiemy o tym doskonale, to był ten pierwszy okres pontyfikatu.

> Potem jednak coraz głębiej wchodził w komunię cierpienia z Chrystusem, coraz pełniej rozumiał prawdę tych słów: «Inny cię opasze». I właśnie w tej komunii z cierpiącym Chrystusem niestrudzenie i z nową mocą głosił Ewangelię, tajemnicę miłości do końca (por. J 13, 1).

Pontyfikat działalności, pontyfikat cierpienia — dwa sposoby życia, dwa sposoby świadectwa. Jak Chrystus, który uczył, działał, dokonywał cudów, ale najwięcej dokonał wtedy, kiedy cierpiał. Taka jest droga papieża. A więc na pewno taka jest droga biskupów, taka jest droga kapłanów, taka również jest droga wiernych. *Drodzy państwo, jeżeli możemy z tego wyciągnąć jakiś niezwykle ważny wniosek dla naszego życia, to przede wszystkim ten, żebyśmy umieli z odwagą, z oddaniem, z ufnością przyjmować cierpienia. Każde cierpienie! I żebyśmy widzieli w cierpieniu, zwłaszcza w tym, które przyjdzie jako ostateczne i prowadzące ku kresowi, żebyśmy umieli widzieć wypełnienie naszego życia. To jest najtrudniejsza sztuka w życiu chrześcijanina, bo ona oznacza prawdziwe pójście za Chrystusem. To jest sens chrześcijańskiego życia. Jeżeli papież przeszedł tę drogę, to także po to, aby nas wszystkich do takiej odwagi zachęcić.*

I Benedykt XVI też dokładnie to wydobywa. Zachęca nas, byśmy nie dopuścili do tego, iżby cierpienie się zmarnowało.

> Papież ukazywał nam tajemnicę paschalną jako tajemnicę miłosierdzia Bożego. W swojej ostatniej książce pisze: Granicą wyznaczoną złu «jest ostatecznie Boże miłosierdzie» (Pamięć i tożsamość, s. 61). A rozmyślając o zamachu na swoje życie, mówi: «Chrystus, cierpiąc za nas wszystkich, nadał cierpieniu nowy sens, wprowadził je w nowy wymiar, w nowy porządek: porządek miłości (...) Jest to cierpienie, które pali i pochłania zło ogniem miłości i wyprowadza nawet z grzechu wielorakie owoce dobra» (tamże, s. 171-172). Ożywiany tą wizją, Papież cierpiał i kochał w komunii z Chrystusem, i dlatego przesłanie Jego cierpienia i Jego milczenia było tak wymowne i płodne.

Przesłanie cierpienia papieża i Jego milczenie. Pamiętamy zarówno jego pobyty w klinice Gemelli w Rzymie. Pamiętamy jego trud, kiedy chciał powiedzieć chociaż jedno słowo. Pamiętamy również te słowa pod jego adresem, które padały jak kamienie: „Zejdź z krzyża, a uwierzymy ci" — tak, jak niegdyś w Jerozolimie, tak i w Rzymie. Benedykt XVI był blisko tego wszystkiego. Pogrzebowa homilia Ojca Świętego kończy się tak:

> Miłosierdzie Boże: Ojciec Święty dostrzegł najczystszy odblask miłosierdzia Bożego w Matce Bożej. On, który utracił matkę, gdy był jeszcze dzieckiem, tym mocniej ukochał Matkę niebieską. Usłyszał słowa ukrzyżowanego Chrystusa, jak gdyby były skierowane osobiście właśnie do Niego: «Oto Matka twoja». I uczynił tak jak umiłowany uczeń: przyjął Ją w pełni swego jestestwa: (J 19, 27) — Totus Tuus. Od Matki też nauczył się upodabniać do Chrystusa.

Cała pobożność Jana Pawła II była głęboko maryjna, o tym dobrze wiemy. A kardynał Ratzinger mówi, że Ojciec Święty przeżywał tę maryjność i Maryję, i zaufanie do Maryi, tak bardzo blisko dlatego, że była Ona dla niego Matką, wcześnie stracił własną matkę. To bardzo dziwne. Kiedyś państwu mówiłem, że takie samo wyznanie złożył kiedyś kardynał Stefan Wyszyński, który też bardzo wcześnie stracił matkę. I powiedział, że dla niego matką była nie tylko jego rodzona matka, którą mało pamiętał, mało znał, tylko Matka Najświętsza. Jeden i drugi, kardynał Wyszyński i kardynał Wojtyła, jakby wyrośli w cieniu tych samych losów i tego dzieciństwa, które zostało im odebrane i przemienione.

Homilię zamykają słowa, które kiedy żeśmy słyszeli, to płakaliśmy. Są to chyba najpiękniejsze i najbardziej wzruszające słowa tej homilii Benedykta XVI. Powinniśmy wracać do tych słów. Widać w tych słowach bardzo głębokie przywiązanie. Ojciec Święty Benedykt XVI kończąc homilię po śmierci swojego przyjaciela i poprzednika powiedział tak:

> W pamięci nas wszystkich na zawsze pozostanie ta chwila, gdy w ostatnią Niedzielę Wielkanocną swojego życia Ojciec Święty, naznaczony cierpieniem, raz jeszcze ukazał się w oknie Pałacu Apostolskiego i po raz ostatni udzielił błogosławieństwa *Urbi et orbi*. Możemy być pewni, że nasz ukochany Papież stoi teraz w oknie domu Ojca, widzi nas i nam błogosławi. Tak, pobłogosław nas, Ojcze Święty. Zawierzamy Twoją duszę Matce Bożej, Twojej Matce, która prowadziła Cię każdego dnia, a teraz wprowadzi cię do wiekuistej chwały swojego Syna, naszego Pana Jezusa Chrystusa.

To jedno z najpiękniejszych wyznań wiary, jakie może złożyć człowiek na oczach całego świata. Wypowiedział nowy papież te słowa zaledwie 11 - 12 dni po tym, jak się to wszystko spełniło. „Pobłogosław nas, Ojcze Święty, z okien domu Twojego Ojca". Okno nabrało wartości symbolicznej. Okazało się, że nawet w niebie, gdzie jest mieszkań wiele, są okna. I okno Pałacu Apostolskiego stało się takim znakiem bliskości Boga, Jego błogosławieństwa. Nie może więc dziwić to, że gdy Benedykt XVI ukazał się pierwszy raz w oknie Pałacu Apostolskiego, aby udzielić pierwszego błogosławieństwa, to miał łzy w oczach. Bo przecież między tym ukazaniem się jego, a tymi poprzednimi ukazywaniami się Jana Pawła II, i tymi słowami na pogrzebie, była przeogromna więź, która tworzy taką spójną całość.

Tak więc spojrzeliśmy dziś, w dzień papieski, na dwa dni przed urodzinami Jana Pawła II, na jego osobę i na pontyfikat oczami papieża Niemca, naszego papieża. Nic mi dzisiaj innego nie przychodziło do głowy jak to, by właśnie tą homilią raz jeszcze zbliżyć się, cofnąć się, i wspomnieć naszego umiłowanego papieża.

Zapraszam państwa na ostatnią tegoroczną konferencję za dwa tygodnie, jeszcze w maju czyli 30 maja. Bo później w czerwcu są i wyjazdy i rozmaite obowiązki, które uniemożliwią. 30 maja za punkt wyjścia obierzemy sobie właśnie osobę i początek pontyfikatu Benedykta XVI. To będzie przed wakacjami takie wyposażenia nas, być może także w oczekiwaniu na pielgrzymkę papieża do naszej Ojczyzny.

I jeszcze jedno. Jedną z najpiękniejszych inicjatyw w Polskim Radiu jest ta, że codziennie w I programie Polskiego radia o 21^{37} przerywany jest program, podawany jest sygnał Radia, podawana jest godzina, a następnie nadawana jest „Barka" — pieśń papieska. Każdego dnia! Zachęcam państwa, abyście chcieli po powrocie do domu, jeżeli zdążycie, w wpół do dziesiątej włączyli radio na I program i posłuchali tej Barki jako znaku pamięci i bliskości z naszym śp. papieżem. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję, zapraszam za 2 tygodnie. A osoby, dla których ubiegłym razem zabrakło obrazków z Ziemi Świętej, zapraszam tu bliżej.

7.9 Benedykt XVI (30 maja 2005)

Bardzo serdecznie państwa witam. Dzisiaj maj zbliża się do końca. Również tegoroczne konferencje zbliżają się do końca. I dzisiaj zgodnie z zapowiedzią sprzed dwóch tygodni a także z tym rytmem, który wybraliśmy, nie sami zresztą, dwa miesiące temu, ten rytm podyktowały nam wydarzenia, odchodzimy od konferencji biblijnej na rzecz refleksji która jest osadzona w tym, co dzisiaj dzieje się w Kościele. Zatrzymaliśmy się podczas naszych dwóch poprzednich spotkań nad życiem i pontyfikatem Ojca Świętego Jana Pawła II. Wydawać by nam się mogło, że wiemy na ten temat wszystko. Ale nawet te przemyślenia, które podjęliśmy, a także wiele innych lektur i filmów, to zaledwie wstęp do naszego spotkania z Janem Pawłem II. I trzeba nam będzie bardzo wiele razy wracać do jego nauczania, starać się je przemyśleć, a jeszcze bardziej wracać do jego życia i osadzić je w kontekście i kościelnym i polskim.

Dwa tygodnie temu jako punkt refleksji, za oparcie dla refleksji nad Janem Pawłem II, wybraliśmy homilię żałobną Ojca Świętego Benedykta XVI, wygłoszoną jeszcze wtedy, kiedy był kardynałem, kiedy w imieniu kardynałów, w imieniu całego Kościoła żegnał Jana Pawła II na placu św. Piotra. To zupełnie niezapomniany czas dla nas. Mamy go wszyscy świeżo w pamięci, mamy to bardzo mocno, wyraziście w oczach. Na pewno nas to bardzo mocno kształtowało, i na pewno pozostanie jako najważniejsze wydarzenie tego roku. A na pewno dla wielu z nas również jako jedno z największych wydarzeń w całym naszym życiu.

Dzisiaj zgodnie z zapowiedzią chciałbym przybliżyć państwu sylwetkę, osobę, a także nauczanie dotychczasowe naszego nowego Ojca Świętego Benedykta XVI. Będzie to spotkanie dość osobiste, to znaczy tak jak ja widzę i postrzegam Benedykta XVI przede wszystkim na podstawie rozmaitych spotkań, krótkich i przelotnych, które z kardynałem Józefem Ratzingerem mogłem mieć. Najbardziej utkwiło mi w pamięci zwłaszcza w październiku 1997 r. przy sposobności kolokwium teologicznego, które odbywało się w Watykanie. Ale kardynał Ratzinger miał to do siebie, że jeżeli ktoś chciał go spotkać to wystarczyło, jeżeli w dzień powszedni — z wyjątkiem soboty — wyszedł między godziną 9 a 9.10 rano na początek placu św. Piotra, nieopodal uliczki, takiego małego placyku, który nazywa się Piazza Leonina, i tam regularnie w tym przedziale 10 minut kardynał Ratzinger zawsze wychodził z domu i udawał się do Watykanu. Prawie zawsze wyglądał tak samo — w sutannie, bardzo rzadko w garniturze i w koszuli kapłańskiej, i zawsze miał pod pachą teczkę, która była dość znoszona. Jednego dnia była grubsza, innego dnia była cieńsza, bo kardynał zgodnie ze swoją niemiecką dokładnością i przyzwyczajeniem poprzedniego dnia przygotowywał zawsze papiery potrzebne mu do omawiania na dany dzień. A w każdy czwartek, jeżeli Jan Paweł II był w Watykanie, kardynał Ratzinger spotykał się z naszym papieżem, i omawiał rozmaite ważne sprawy Kościoła. Gdyby wtedy było wiadomo — zawsze człowiek patrząc w przyszłość nie ma o tym pojęcia, gdyby było wiadomo że ten kardynał to jest przyszły papież, to na pewno miałby więcej chętnych do rozmowy — a zna doskonale języki nowożytne — i więcej chętnych do zrobienia wspólnej fotografii z kardynałem. Zawsze skromny, zawsze zamyślony, zawsze uśmiechnięty, zawsze życzliwy — zwłaszcza jeżeli usłyszał język niemiecki, jego język ojczysty, to chętnie rozmawiał na placu św. Piotra. Ale również chętnie pozdrawiał wszystkich, których w jakikolwiek sposób znał, i nie było już wtedy różnicy kim jest ten, kogo kardynał Ratzinger pozdrawia.

Zatrzymajmy się dzisiaj, wyjdźmy od samego początku. Pewnie jest wiele takich szczegółów z życia kardynała Ratzingera i papieża Benedykta XVI, które państwo doskonale znają. Myślę jednak że wśród tego, o czym będę dzisiaj dzisiaj mówił, są takie szczegóły, które umknęły naszej uwadze, albo być może nie są znane. A może warto obserwować biografię innych ludzi, zwłaszcza tych wielkich po to, żeby się czegoś nauczyć także dla siebie. A także aby odkryć tajemnicę Bożej obecności, i zobaczyć jakimi drogami Pan Bóg prowadzi ludzi do siebie. Nie jest bowiem rzeczą pospolitą także i to, że papieżem w naszych czasach został Niemiec, i że było to po dwóch wojnach światowych, jakie przewaliły się przez Europę, które to wojny pochłonęły grubo ponad 100 mln ludzkich istnień. I gdyby ktoś powiedział w latach 40-tych czy 50-tych, że w nieodległej przyszłości papieżem zostanie Niemiec, poczytano by go za niespełna rozumu. Otóż ten paradoks życiorysu, biografii kardynała Ratzingera polega na tym, że ona jest bardzo mocno związana z pontyfikatem Jana Pawła II. I że potrzeba nam dzisiaj powtórzyć prostą prawdę, na którą już zwróciłem państwa uwagę, a która w jakimś sensie jest kluczem do tego pontyfikatu. Mianowicie nie byłoby na Stolicy

Piotrowej tego papieża Niemca, gdyby nie pontyfikat papieża Polaka. Otóż tak Pan Bóg przedziwnie ułożył losy Kościoła i losy Europy, że w 78 roku przesądziło się w pewien sposób nie tylko to, że papieżem został Karol Wojtyła, ale również to, że w 2005 roku, po śmierci Karola Wojtyły papieżem został Niemiec, kardynał Józef Ratzinger.

Kim jest? Urodził się 16 kwietnia 1927 r. I zawsze jako dorosły człowiek podkreślał jedno — że chociaż tego nie pamięta ze zrozumiałych powodów, to dzień, w którym przyszedł na świat, to była Wielka Sobota. I kardynał Ratzinger jako ksiądz, jako biskup, jako kardynał zawsze podkreślał, że jego życie jest zanurzone w tajemnicy Wielkiego Postu, i w tajemnicy Wielkanocy. Zawsze podkreślał, że jego życie ma jakiś przedziwny wymiar paschalny i z Wielkanocą się wiąże. Proszę zwrócić uwagę, że nie wszyscy z nas przykładają znaczenie do dnia, w którym przyszliśmy na świat. Oczywiście znamy datę, bo musimy ją wpisywać do najrozmaitszych papierów, ale rzadziej przychodzi nam do głowy pytanie, co to był za dzień — jaki to był dzień tygodnia, jakiego świętego w tym czasie się czci, albo co w danym roku przypadało w roku liturgicznym — o tym myślimy rzadziej. Ratzinger już jako młody człowiek przykładał do tego wielkie znaczenie. Jak również do faktu, że został ochrzczony na drugi dzień, tzn. w Niedzielę Wielkanocną, tą samą wodą chrzcielną, która została pobłogosławiona w nocy z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę. Mówił, że jego mama i tata bardzo się spieszyli, bo mizernie wyglądał. Byli zresztą ludźmi bardzo głęboko wierzącymi. Kiedy on przyszedł na świat, to ojciec Józefa Ratzingera, również Józef, miał lat 50. Nie był więc człowiekiem pierwszej młodości. Matka była młodsza. Józef Ratzinger miał już wtedy dwoje rodzeństwa, siostrę i brata. Siostra miała na imię Maria, już nie żyje. Brat Georg, trzy lata od niego starszy, jeszcze żyje, tez jest kapłanem.

Proszę zwrócić uwagę na pewien charakterystyczny rys tej rodziny. Ojciec kardynała miał na imię Józef, matka miała na imię Maria — to jest z całą pewnością, jak zawsze w życiu, przypadek. Ale ponieważ wszystko, co jest przypadkiem, i tak jest zamierzone przez Pana Boga, więc widać tutaj jakieś przedziwne odwzorowanie, także jakiegoś losu Świętej Rodziny.

Kardynał Ratzinger przyszedł na świat w rodzinie głęboko katolickiej. Po ojcu otrzymał swoje imię, a jego siostra po matce otrzymała imię Maria. Zatem w tej rodzinie przykładano ogromną wagę do tradycji. Tutaj musimy bardzo uważać dlatego, że my Polacy mamy nasze własne stereotypy o Niemcach, i one są w dużej mierze podyktowane naszymi doświadczeniami historycznymi, i w dużej mierze mogą być nawet usprawiedliwione. I dobrze wiemy co przeciętny Polak, zwłaszcza starszy, czuje wtedy, kiedy mówi się o Niemcach. Otóż rodzina Ratzingerów, jak się wydaje, odbiegała jednak od tego schematu, który moglibyśmy przyłożyć do przeciętnej niemieckiej rodziny. Przyszedł na świat na południu, w Bawarii. A Bawaria jest krajem bardzo katolickim, porównywalnym np. z naszą Małopolską. Otóż tam przywiązanie do ojczystych zwyczajów, do katolickich zwyczajów, jest bardzo silne. Musimy wiedzieć, że współczesne oblicze Niemiec zostało w dużej mierze ukształtowane przez protestantów. Że w XVII w. Niemcy przeżyły bardzo silne wojny, z których najsilniejsza trwała aż 30 lat. Były to wojny o podłożu również religijnym, i że po reformacji, po wystąpieniu Marcina Lutra, po wystąpieniach innych reformatorów znaczne połacie Niemiec, zwłaszcza Prus i północnych Niemiec, oderwały się od jedności z Kościołem katolickim. Natomiast przy tej jedności z Kościołem katolickim trwała zawsze Bawaria postrzegana jako bastion katolickości. I to właśnie w takim środowisku przyszedł na świat Józef Ratzinger, w rodzinie głęboko katolickiej, związanej z miejscowym proboszczem, Kościołem, tym wszystkim, co oznacza katolicka tradycja.

I na tym tle musimy znów zrozumieć pewien paradoks, a jeżeli nie zrozumieć, to przyjąć go do wiadomości. Otóż ojciec Józefa Ratzingera był żandarmem, a matka pracowała w domu — po prostu „przy mężu" jak to się dawniej mówiło. A ojciec pracował jako żandarm. A więc posługa jest to co najmniej dwuznaczna. Ale miał to do siebie, że narażał się swoim przełożonym. Był bowiem człowiekiem dość niepokornym. Miał swoje zdanie, i z tego powodu również miał swoje patrzenie na ludzkie sprawy. Ratzinger przyszedł na świat w 1927 r. Pamiętać tego nie mógł, że gdy miał 2 lata rodzina musiała przenieść się do innego miasteczka, ponieważ ojciec miał kłopoty w pracy jako żandarm. A te kłopoty wzięły się stąd, że rodził się powoli ruch narodowo - socjalistyczny, nazizm, hitleryzm — jak my mówimy, chociaż jeszcze Hitler do władzy nie doszedł. Zwłaszcza od strony Austrii, ale nie tylko, nadchodziły pomruki narodowego socjalizmu. Ojciec został przeniesiony, i tam powoli mały Józef Ratzinger zaczął uzyskiwać świadomość. Do jego pierwszych wspomnień należy

to, że obok domu znajdował się staw, w którym hodowano karpie. Lubił chodzić nad ten staw, bardzo pociągała go woda. I przypomina sobie, że pewnego razu byłby to przypłacił życiem. Bo miał 4 lata, i omal w tym stawie nie utonął. Pozostało mu to tak głęboko w pamięci, w sercu, że wspominał o tym wielokrotnie jako dorosły człowiek. I ma do dzisiaj pewną awersję, niechęć do wielkiej wody, chociaż woda w stawie z karpiami nie była specjalnie wielka. Ale gdzieś tam w głowie dziecka to zostało. Bawaria leży bardzo daleko od morza, więc prawdziwe morze miał zobaczyć dopiero znacznie później. Dla niego morzem był ten staw, w którym omal żywota jako dziecko nie dopełnił.

Przyszedł rok 1933. W Niemczech do władzy doszedł Hitler, a wraz z Hitlerem narodowy socjalizm. Proszę zwrócić uwagę, że słowo „narodowy socjalizm" nie jest chętnie używane. U nas też jest słowem źle widzianym. Do 1989 roku również ja mogłem się wiele razy o tym przekonać, że kiedy próbowałem w jakimś tekście, który rozmaitych rzeczy społeczno - politycznych dotyczył, przepuścić nazwę „narodowy socjalizm", to cenzura, która wtedy istniała, cenzor zawsze to zmieniał: albo „hitleryzm" albo „nazizm", podczas gdy to „Nazismus" jest też skrótem „Nazional Sozialismus" — „narodowy socjalizm". Otóż dlaczego w naszych warunkach nie lubiano tego określenia? Dlatego, że jak dobrze wiemy każdy socjalizm jest lewicowy. Natomiast kłopot był z narodowym socjalizmem. W naszych warunkach, zwłaszcza powojennych, bardzo często przedstawiano hitleryzm jako sprawę prawicową. I chętnie przedstawiano to na antypodach wszelkiej lewicowości. Tymczasem tak, jak pamięta to również kardynał Ratzinger, Nazional Sozialismus — narodowy socjalizm krystalizował się w Niemczech jako postawa lewicowa.

I te pomruki przychodziły zarówno od strony stolicy, jak od strony Austrii. I wobec tego narastania narodowego socjalizmu najbardziej stracił jego ojciec, który znów musiał się przenieść gdzie indziej ponieważ dał wyraz swojej niechęci wobec narodowego socjalizmu. Zwróćmy na to uwagę, bo ten szczegół jest bardzo ważny. Jego ojciec był żandarmem, i po dojściu Hitlera do władzy zaczyna sprzeciwiać się tej władzy, która niby to została demokratycznie wybrana. Gdybyśmy chcieli poszukać jakiejś analogii, to byłoby coś takiego, jak sytuacja milicjanta w Polsce Ludowej. Otóż jest milicjantem, bierze państwowe pieniądze, a z drugiej strony sprzeciwia się władzy. Takich wielu nie było. I jeżeli ktokolwiek tak czynił, to oczywiście musiał się liczyć z tym że ci, dla których pracował, go wyklinali, a inni mu nie ufali. I taka sytuacja była także z ojcem Ratzingera, który przez ludzi był postrzegany jako żandarm i przedstawiciel niemieckiej władzy, natomiast przez swoich przełożonych jako nieposłuszny i niechętny nowym rządom człowiek. To, że nie wyrzucono go z roboty to tylko dlatego, ponieważ był posunięty w latach. Kiedy osiągnął lat 60, natychmiast skierowano go na emeryturę i sprawa była załatwiona. Naciski musiały być bardzo mocne w ówczesnych Niemczech, skoro i brat i siostra Józefa Ratzingera zostali przymusowo zapisani: brat do *Hitlerjugend,* a siostra do *Bund Deutscher Mädel* — Związku Niemieckich Dziewcząt. Jedno i drugie miało oczywiście proweniencje, cele narodowo - socjalistyczne, miało przygotować kadrę dla przyszłych narodowych socjalistów, których w Polsce nazywamy eufemistycznie hitlerowcami — Hitler był oczywiście jednym z nich, ale ideologia ma swoje głębsze korzenie, i głębsze przyczyny, głębsze uwarunkowania. I ci kilkunastoletni wtedy młodzi ludzie, chłopiec i dziewczyna, zostali wcieleni wtedy do tego narodowo - socjalistycznego niemieckiego systemu wychowania. Odpowiedzią Georga, brata Józefa, na te zakusy narodowo - socjalistyczne było wstąpienie do seminarium duchownego. Brat Józefa Ratzingera wstąpił do tzw. małego seminarium duchownego, do którego mogli wstępować kilkunastoletni chłopcy, którzy tam zdobywali również średnie wykształcenie, a potem przechodzili do wyższego seminarium duchownego i kończyli święceniami kapłańskimi. Otóż Georg poszedł wcześniej do seminarium. Natomiast Józef nie myślał wtedy o tym albo, nawet jeżeli myślał, to ciągle był za młody, miał tylko 12 lat. Rozpoczął naukę w gimnazjum. Powiada, że w tym okresie nic specjalnie ważnego się nie działo. To, co pozostało mu w pamięci, to fakt z lat 30-tych, że przymuszano niemieckich chłopców także do sportu, do ćwiczeń gimnastycznych rozmaitego rodzaju. A one wszystkie miały poskromić ciało po to, żeby również ukształtować ducha. Pamiętamy, ta wychowawcza funkcja sportu była znana także i w naszym rejonie świata, wychowawczo pojmowana tak bardzo drastycznie. I Ratzinger wspomina, że miał silną niechęć do tego przymuszania go do rozmaitych sportowych igrzysk, i zawodów, i występów, że nie czuł się w tym najlepiej, że wolał samotność. A najbardziej cieszyła go droga do szkoły. Bo do szkoły trzeba było w jedną stronę iść ok. pół godziny. Kiedy więc szedł do szkoły to mocno to przeżywał dlatego, że czekały go te

rozmaite sporty, które były prawie codziennie, a tego nie lubił. Natomiast kiedy wracał ze szkoły to, jak wspomina, z upodobaniem powtarzał rozmaite słówka łacińskie i greckie, dzięki czemu później nie miał żadnych problemów z tymi językami. I rzeczywiście zna łacinę doskonale. Otrzymał takie staranne bawarskie wykształcenie w zakresie języków klasycznych.

Przyszedł rok 1939. Przez całe lata 30-te, wspomina Ratzinger, życie ich rodziny było naznaczone wieloma trudnościami. Najpierw pod koniec lat 20-tych było dość dużo biedy i dużo chorób. Niemcy były po I wojnie światowej. Oczywiście my z polskiej perspektywy nie mamy powodów, żeby im współczuć, bo przegrali na własne życzenie, i nie jest to naszym specjalnym kłopotem. Ale przeciętna rodzina musiała dokonywać ogromnych wyrzeczeń. Potem w latach 30-tych było trochę lepiej, bo ojciec miał stałą pensję, a następnie stałą emeryturę. Ale mówił, że w domu nigdy się nie przelewało. Wspominał też, że matka zawsze dbała o to, żeby ubranie było schludne i czyste, a jedzenie takie, żeby można było się najeść ale nie przejeść.

I tak wyglądało jego życie jako młodego chłopaka. Kiedyś zapytano już kardynała Ratzingera w Rzymie, kiedy zamówiono u niego książkę na temat jego życia — ta książka się ukazała, to jest autobiografia, której tytuł brzmi: „Moje życie" — zapytano Ratzingera o jego młodzieńcze miłości i przyjaźnie. Uśmiechnął się wtedy i odpowiedział, że wydawca prosił go, żeby objętość książki nie przekraczała 100 stron. Zatem wolałby nie wchodzić w ten temat, bo nie spełni prośby wydawcy. I tyle na ten temat wiemy, i tyle możemy powiedzieć. Czy dał w ten sposób wyraz jakiejś wyobraźni, czy rzeczywiście w ten sposób podsumował swoje młodzieńcze wspomnienia, trudno o tym powiedzieć. W każdym razie na Wielkanoc roku 1939, pamiętnego dla nas roku, młody Ratzinger wstępuje do niższego seminarium duchownego. Kiedyś były takie, teraz już nie ma — odpowiednik naszego gimnazjum, ale z ukierunkowaniem na kapłaństwo. Dlaczego taka decyzja? Wspominał po latach, że ta decyzja wstąpienia do seminarium podyktowana była tym, co posiadali we własnym domu. Otóż w r. 1920, czyli na długo przed narodzinami Józefa Ratzingera, proboszcz podarował rodzicom duży mszał. Był to prezent na rocznicę ślubu. I ten mszał był łacińsko - niemiecki. Oczywiście ojciec żandarm nie znał języka łacińskiego, ale modlił się z tego mszału, czytał modlitwy mszalne po niemiecku. Natomiast synów, i Georga i Josepha, intrygowała właśnie łacina. Dlatego już wcześniej, jako dzieci, uczyli się łaciny.

Do seminarium wstąpił pod silną presją tego spotkania z mszałem w domu swoich rodziców. Zwróćmy uwagę także na ten szczegół. Bo takie rozmaite szczegóły, prawie że anegdoty, są jednak bardzo znaczące. Ile może dobrego, albo jaki ogromny wpływ może sprawić jakaś pamiątka, która jest w naszym domu! Czy to będzie pamiątkowe wydanie Pisma Świętego, czy to będzie jakaś dobra książka, czy to będzie jakaś rodzinna pamiątka, czy jakiś obrazek starannie oprawiony, czy obraz przekazywany z matki na córkę i z ojca na syna — jakaś rodzinna pamiątka, która integruje, fascynuje, pociąga, zastanawia. Józef Ratzinger wspominał, że ten mszał zawsze go pociągał. Kiedy więc przyszła Wielkanoc — zwróćmy uwagę, Wielkanoc 1939 roku, atmosfera w Niemczech robiła się coraz gęstsza, i groziło również to, że młody chłopak zostanie włączony do służby wojskowej — proboszcz mu doradził, aby poszedł za głosem powołania, i wstąpił do seminarium.

Opisuje, że seminarium znosił ciężko. A to dlatego, że było tam życie wspólne, trochę na kształt wojskowego. Że charaktery były plantowane, płaszczone. Że działo się to wszystko trochę wg. takiej zasady: bierny, mierny ale wierny — zasady, którą znamy z rozmaitych kontekstów. Wobec tego każdy, kto czymkolwiek się wyróżniał, choćby zainteresowaniami, i sprawiał kłopoty, nie był mile widziany. Na szczęście dla Józefa a na nieszczęście dla Europy, Niemcy i wychowawcy seminaryjni mieli od jesieni 39 r. większe kłopoty, niż plantowanie charakterów alumnów. Otóż rozpoczęła się II wojna światowa, i w Bawarii początkowo tylko o niej słyszano. Natomiast później, kiedy Niemcy uderzyły na Związek Sowiecki, wojna dotarła również do najodleglejszych rejonów Niemiec. Wtedy potrzeba było żołnierzy, potrzeba było nowej siły, potrzeba było wsparcia, potrzeba było większej produkcji wojskowej, i wojna zaglądała do każdego kąta. Zrobiło się biednie, zrobiło się również zdecydowanie bardziej rygorystycznie. I Józef Ratzinger wspomina ten czas, kiedy był kilkunastoletnim chłopcem, jako czas bardzo trudny. Dla niego najtrudniejszym było wydarzenie, które miało miejsce w 1943 r., które mu otworzyło oczy na to, czym narodowy socjalizm jest. Mianowicie miał kuzyna, 14-letniego chłopca, a więc nieco tylko młodszego, który chorował na zespół Downa, był dzieckiem upośledzonym. I pewnego dnia narodowi socjaliści weszli do domu i zdecydowali, że ten jego kuzyn zostanie przewieziony do szpitala. Kiedy Józef Ratzinger postanowił go wkrótce

odwiedzić, okazało się, że to jest niemożliwe. Natomiast niedługo potem przyszła wiadomość, że kuzyn nie żyje. Początkowo nie zdawano sobie sprawy z tego, co się stało. Natomiast dość szybko uzmysłowiono sobie, że hitlerowcy, narodowi socjaliści także w Niemczech takich ludzi kalekich, niepełnosprawnych, upośledzonych po prostu zabijają. Nazywało się to eutanazją. Słowo, które dobrze znamy także z nowszych kontekstów. Dla Ratzingera był to szok dlatego, że po pierwsze stracił kuzyna, z którym się przyjaźnił, i którego darzył szczerą sympatią. A po drugie otworzyły mu się oczy na to, co to jest ów narodowy socjalizm, do czego to prowadzi. I tak już zostało, że bardzo trudno jest z kardynałem Ratzingerem mówić w jakiś zagmatwany sposób o hitleryzmie czy o stalinizmie, to znaczy o narodowym socjalizmie i o komunizmie, bo Ratzinger jest realistą. O tym wydarzeniu, o którym teraz wspomniałem, mianowicie o śmierci swojego kuzyna, wspominał na zjeździe lekarzy w latach 80-tych, już jako kardynał w Rzymie, a także wiele razy podczas rozmaitych spotkań z politykami tłumacząc do czego może posunąć się polityka.

Parę miesięcy później on również doświadczył tego, co to znaczy wojna, i co to znaczy Hitler. Mianowicie to mniejsze seminarium duchowne, w którym przebywał, zostało zamknięte, a chłopcy zostali przymusowo wcieleni do wojska do jednostek pomocniczych Wehrmachtu. Był rok 1943, miał 16 lat. W tym wszystkim, jak twierdzi, miał ogromne szczęście, bo nie został wysłany na wschód tzn. do Polski, czy na bezkresne tereny Związku Radzieckiego, gdzie pewnie jego losy potoczyły by się zupełnie inaczej. Otóż skierowano go, być może dzięki jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, na granicę niemiecko - austriacko - czeską. I przebywał w takim kącie przygranicznym. I jego zadaniem było budowanie i wzmacnianie bunkrów, robienie jakiejś infrastruktury gospodarczej i wojskowej na wypadek gdyby wojska nieprzyjaciela – z niemieckiego punktu widzenia – zbliżyły się w tamte okolice. I znów wspomnienia Ratzingera z tego są bardzo dramatyczne. Wspomina, że przełożonymi byli Austriacy — również Hitler wywodził się z Austrii, a wcześniej wywodził się z Moraw, rodzina Hitlera pochodziła z okolic Brna na Morawach, w XIX w. przeniosła się do Austrii, tam przyjęli katolicyzm, a następnie zrobił karierę tak, że został kanclerzem III Rzeszy. Ale postrzegany był przez Niemców jako Austriak. Co dla nas Polaków może być dziwne, zaskakujące, ci Austriacy bardzo wyżywali się na Niemcach, zwłaszcza na młodzieży. I też pewna ciekawostka — dowiedziawszy się, że Józef Ratzinger jest klerykiem, jest alumnem, w szczególniejszy sposób mu dokuczali.

Na szczęście niezbyt dotkliwie tak, że z tego wszystkiego wyszedł dobrze. Wspominał, jeżeli chodzi o swój epizod kontaktów narodowo - socjalistycznych, jeszcze takie wydarzenie które miało miejsce przed wojną. Mianowicie do miasteczka, w którym mieszkał jako mniej więcej 10-letni chłopak, przyjechał aktywista narodowo - socjalistyczny który na rynku tego miasteczka nakazał wznieść majowe drzewko — taki odpowiednik choinki, tylko że w maju. I to majowe drzewko przyozdobił germańskimi swastykami i wygłosił takie kazanie narodowo - socjalistyczne na temat napięcia, jakie istnieje między ideologią narodowo - socjalistyczną a chrześcijaństwem. Mówił mianowicie, że chrześcijanie to są spadkobiercy starożytnych Rzymian i Żydów, że religia chrześcijańska to jest takie wypaczenie, które szkodzi Niemcom, a szczególnie szkodliwy jest katolicyzm dlatego, że korzenie tego katolicyzmu i głowa tego katolicyzmu mieszka w Rzymie. Zatem katolik niemiecki jest bardziej lojalny wobec papieża niż wobec władz niemieckich. Gdybyśmy to tylko zamienili miejscami, to ta sama retoryka, ta sama ideologia była w naszych polskich powojennych warunkach, i ona tak samo obowiązywała na terenie Związku Radzieckiego. Może nie tyle majowe drzewko, co Dziadek Mróz, już nie swastyka tylko sierp i młot, natomiast reszta wypisz wymaluj dokładnie to samo. Nie można ufać katolikom, bo katolicy mają swojego przełożonego i lojalność w Rzymie. A więc są zdrajcami i wyprzedają narodową sprawę. Pod takimi hasłami toczyły się procesy stalinowskie i duchownych i świeckich na przełomie lat 40-tych i 50-tych w Polsce. W Niemczech działo się to 10 lat wcześniej. Zwróćmy uwagę na te dwie ideologie, które mają tak bardzo wiele wspólnego.

Na początku 1945 roku ta okolica, w której przebywał Józef Ratzinger, została zajęta przez Amerykanów. Został zatem internowany, miał wtedy lat 18. Młodzi chłopcy zawsze przechodzili taką kwarantannę. Trzeba było dojść, czy nie mają czegoś na sumieniu, kim są, czy nie są mocno skażeni ideologią narodowo - socjalistyczną. I dokonano takiej dezynfekcji również na Józefie Ratzingerze chociaż, jak wspomina, zupełnie potrzebna nie była. Dowiedziano się, że był klerykiem w seminarium, i pozwolono mu posiadać zeszyt i długopis. I w tym zeszycie zapisywał swoje przemyślenia i uwagi. Nie spodziewał się tego co nastąpi później. Nie wiedział bowiem, że ten zeszyt

zostanie przejrzany przez jakiegoś żołnierza amerykańskiego czy kogoś, kto doskonale zna język niemiecki. I na podstawie tego zeszytu i tych notatek, które nie miały charakteru politycznego ani nie były w żaden sposób podejrzane, został w maju 1945 zwolniony do domu. Opowiadał, że wracał do domu pociągiem przez zrujnowane Niemcy. I to, co mu zostało w głowie kiedy przyjechał do domu, to że na jego widok mama zrobiła wspaniały obiad. Powiada, że po wielu miesiącach udręczeń, które tam przeżywał, to był najlepszy, najsmaczniejszy obiad, jaki zjadł kiedykolwiek w życiu. Że już nic później nie dorównywało kunsztowi matki, które zadbała o syna i która bardzo cieszyła się, że syn do domu wrócił. Wrócił również drugi syn, Georg, i obaj po wojnie powrócili do seminarium duchownego, do wyższego seminarium duchownego, i tam przygotowywali się do święceń kapłańskich.

Jak wspominał nigdy nie miał wahań co do swojej drogi życiowej. Wiedział, że chce być księdzem, że to jest jego droga. I w związku z tym miał tylko ten kłopot, żeby ktoś mu w tej drodze nie przeszkodził. Rozmaicie odnosili się do niego wychowawcy seminaryjni. Jednym z takich cierpień było to, że był człowiekiem zdolnym. Lubił bardzo czytać, umiał myśleć, nie wszystkim to się bardzo podobało. A czas był trudny, w Niemczech był to okres powojenny, bardzo wiele ludzi opłakiwało swoich bliskich, przesiedlenia ludności, deportacje, strefy wpływów. Trzeba było zapomnieć o jakiejkolwiek polityce i po prostu przygotowywać się do kapłaństwa. Święcenia kapłańskie Józef Ratzinger otrzymał 29 czerwca 1951 roku w uroczystość św. Piotra i Pawła. Bardzo to sobie cenił. Ale proszę popatrzeć do jakiego stopnia jest człowiekiem wrażliwym. Wiele razy opowiadał, że jego święcenia kapłańskie były niezwykłe. Bo katedra była jeszcze po wojnie trochę uszkodzona, i w katedrze były ptaki. I kiedy podszedł do biskupa i biskup kładł ręce na jego głowę — w tym czasie jest cisza — wtedy na ołtarzu wysoko siedział skowronek, i zaczął śpiewać. I cały kościół słyszał śpiew skowronka. I wspominał kardynał Ratzinger, że pozostało mu to w głowie jako dobry znak że droga, którą wybrał, jest właściwa, że jest dobra. Że się nie pomylił, że to nie jest jego widzimisię. Że nie poszedł tylko dlatego, że starszy brat poszedł, i że będzie dwóch księży w jednej rodzinie. Że nie poszedł dlatego, że chce mieć łatwiejsze życie. Że po prostu tego dnia z tym skowronkiem utwierdził się, że wszystko jest dobrze, że jego wybór został zauważony, jak to sam powiedział, przez Boga, uczczony.

Jego pierwsza parafia to była parafia wikariusza, w mieście, i oczywiście praca typowego wikariusza, do której się za mocno nie nadawał dlatego, że miał bardzo duży pociąg do nauki. I zaczął bardzo wcześnie przygotowywać pracę doktorską. Praca doktorska, o której wspominam, to było zawsze wahanie się pomiędzy dwoma sposobami uprawiania teologii. Mianowicie jednym sposobem, który jest zakorzeniony w św. Augustynie, i drugim sposobem, który jest zakorzeniony w św. Tomaszu. Otóż św. Augustyn idzie do Pana Boga drogą uczucia, rozpoznaje Pana Boga w swoim sercu. To jest ta słynna dewiza: „Niespokojne jest serce człowieka dopóki nie spocznie w Tobie, o Panie". Św. Augustyn to jest droga wyznań, przemyśleń, refleksji. Natomiast św. Tomasz to jest medytacja nad światem, poszukiwanie przyczyn, skutków, filozofowanie. Św. Augustyn odwołuje się do tradycji Platona, tradycji greckiej. Natomiast św. Tomasz również sięga do Greków, do Arystotelesa, ale to już jest inna tradycja, która później znajdzie jeszcze swoje najpiękniejsze owoce w Rzymie. Ksiądz Józef Ratzinger waha się — uprawia teologię, myśli o teologii, i wybierając między Augustynem a Tomaszem wybrał św. Bonawenturę. To znaczy innego chrześcijańskiego myśliciela który ma to do siebie, że niejako te dwie drogi próbuje łączyć. Bardzo szybko zrobił doktorat. A następnie — to było możliwe w Niemczech, w Niemczech jest inna droga niż u nas — przystąpił do pisania habilitacji. I okazało się, że tutaj natrafił na ogromną przeszkodę. Jednym z jego profesorów, jednym z recenzentów jego pracy był ks. prof. Schmaus. Niesłychanie wymagający człowiek i surowy, a poza tym — jak się wydaje, co i naukowcom się zdarza — przynajmniej odrobinę zazdrosny. Intrygowało go przede wszystkim to, że Ratzinger jest stosunkowo młody. Przecież był człowiekiem, który nie miał jeszcze 30 lat. I szedł do habilitacji, spotykał się z najtęższymi umysłami teologicznymi tego czasu w Niemczech. Przygotowując habilitację napisał ją. Tam dotknął — już nie będę tego omawiał, bo rzecz nie jest łatwa — relacji między Objawieniem a Kościołem, między Pismem Świętym a Tradycją. I Schmaus mu to zakwestionował. Uznał, że to jest nowatorskie, że to są nowinki, że to jest za daleko posunięte, że tak nie można. I habilitacja Józefa Ratzingera została wstrzymana. Powiedział, ze przeżył to bardzo mocno dlatego, że uważał iż powołaniem jego jest droga uprawiania teologii. I że kiedy wracał do domu po tym zakwestionowaniu, był całkowicie

załamany. I uświadomił sobie, że być człowiekiem załamanym to znaczy przegrać. Postanowił użyć fortelu. Mianowicie wiedział, że cały pierwszy rozdział Schmaus na pewno przeczytał, natomiast co do drugiego nie był pewny. Zatem postanowił przerobić rozdział pierwszy, dodał do niego drugi niezmieniony, i raz jeszcze spróbował. I w 57 roku habilitacja została przyjęta. W ten sposób przeszedł przez ten próg, który umożliwiał mu samodzielne wykłady z teologii. Przeszedłszy przez ten próg spotykał się z najwybitniejszymi ówczesnymi umysłami niemieckimi pod koniec lat 50-tych, a wśród nich był m.in. słynny jezuita Karl Rahner. Stawał się człowiekiem coraz bardziej znanym dlatego, że sporo pisał, głosił wiele konferencji, jeździł po Niemczech. Niemcy już wtedy podniosły się na dobre ze zgliszczy wojennych. I w latch 1962 - 65 stosunkowo jeszcze ciągle młody Ratzinger został zaproszony przez swojego biskupa do Rzymu do udziału w Soborze Watykańskim II jako teolog wspierający biskupa. Biskup tłumaczył mu, że biskup sam nie musi się na teologii znać. Wystarczy, że udziela sakramentów. Natomiast powinien mieć ze sobą mądrych doradców, i za takiego uznał Józefa Ratzingera.

Tutaj rozpoczyna się znajomość z Karolem Wojtyłą. Proszę zwrócić uwagę, że Karol Wojtyła był od Ratzingera siedem lat starszy, urodził się w roku 1920. I od roku 1964 Karol Wojtyła był już biskupem, a potem wkrótce kardynałem. Natomiast Józef Ratzinger był księdzem profesorem z Tübingen, która w tamtych czasach w świecie teologicznym miała taką opinię nowinek teologicznych. Pośród tych nowinkarzy był m.in. Hans Küng, którego losy potem potoczyły się bardzo rozmaicie. Oni też spotykali się, dyskutowali z teologami holenderskimi, takimi jak Kuhlewers, Skulenberg itd. Otóż to wszystko spowodowało, że patrzono na ks. prof. Ratzingera z takim pewnym dystansem. Ale schematy, które przygotowywał, oceny przygotowywanych dokumentów Soboru, były bardzo dojrzałe. I to zwróciło na niego uwagę. Wkrótce przeniósł się do innego ośrodka teologicznego bo wydawało mu się, że jest tam zbyt nowatorsko. I w roku 1977 został mianowany ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu arcybiskupem Monachium i Fryzyngi (Freising). Wspominał, że największe wrażenie zrobił na nim ingres do tej katedry, we Fryzyndze, którą zapamiętał ze święceń kapłańskich i z tego śpiewu skowronka. Objął zatem jedną z największych i najbardziej wymagających archidiecezji niemieckich. Był rok 1977. Wtedy też spotykał się z biskupami polskimi, już jako arcybiskup, a wkrótce, parę miesięcy po wyniesieniu do godności arcybiskupiej, został przez Pawła VI mianowany kardynałem. Było to ku jego ogromnemu zaskoczeniu dlatego, że nie spodziewał się takiej nominacji. Kiedy zapytał papieża Pawła VI dlaczego tak szybko zrobił go kardynałem, Paweł VI odpowiedział, że nie zawsze opłaci się czekać. I jak mówią osoby wtajemniczone, które dobrze pamiętają tamte czasy i które mają sporą wiedzę na ten temat, miał tutaj Paweł VI na myśli także siebie. Otóż w 1958 r. po śmierci Piusa XII nie mógł wziąć udziału w konklawe, bo nie był jeszcze kardynałem. Dopiero w 63 r. wziął udział w konklawe, i został wybrany papieżem. W tym z dzisiejszej perspektywy wydawać się może, że rozpoznajemy jakiś wymiar swoistego profetyzmu, jakieś wyczucie ze strony Pawła VI że kardynał, którego wtedy mianował, że jego miejsce, jego rola w Kościele będzie jeszcze ogromna. I tak się rzeczywiście stało. Zwróćmy uwagę, że kardynał Ratzinger jest jednym z dwóch kardynałów, którzy byli obecni na ostatnim konklawe, których nie mianował Jan Paweł II. Został mianowany jeszcze wcześniej przez Pawła VI. Zatem przez cały okres pontyfikatu Jana Pawła II pozostawał kardynałem.

Później wydarzenia nabrały jeszcze większego przyśpieszenia. Mianowicie dał się poznać jako człowiek wielkiej wrażliwości, silnego charakteru, wielkiej wiary, wielkiej modlitwy, a przede wszystkim jako znakomity teolog. Zwracano się do niego w rozmaitych potrzebach. Bardzo ciekawy jest jego herb biskupi, który sobie wybrał jako arcybiskup Fryzyngi i który pozostał do dnia dzisiejszego. W tym herbie biskupim są trzy elementy. Jeden to jest dwóch narysowanych Maurów. Otóż ci dwaj Maurowie wchodzili zawsze do herbu biskupa Fryzyngi. W ten sposób podkreślano, że Kościół jest uniwersalny, jest powszechny. Że do Kościoła wchodzą i biali, i czarni, i Europejczycy i Maurowie, że Kościół obejmuje wszystkich ludzi. Pod tymi dwoma Maurami w herbie biskupa Ratzingera był niedźwiedź niosący jakiś ciężar. I zapytywano go, dlaczego wybrał niedźwiedzia do herbu. A on odpowiedział, że jego matka opowiadała mu taką przypowieść, która była znana w okolicy, gdzie się urodził. Że pewien święty zmierzał do Rzymu, i jechał do Rzymu na koniu. I z lasu wypadł niedźwiedź, i mu tego konia zjadł. A koń był jeszcze obarczony dodatkowym ciężarem. I ów święty mąż schwytał tego niedźwiedzia, włożył na niedźwiedzia ciężar, który niósł do tej pory koń. I ten niedźwiedź musiał mu posłusznie ten ciężar nosić.

I biskup kontynuował: Ja też jestem takim przymuszonym przez Chrystusa misiem, który będzie nosił Jego jarzmo. Że dostałem siłą ten dar kapłaństwa, i teraz muszę go nosić do końca mojego życia — jak się okazało — również do Rzymu! I pod dwoma Maurami i pod niedźwiedziem jest muszla. I pytano kardynała co znaczy ta muszla. I powiada: ta muszla to jest nawiązanie do św. Augustyna. Kiedy to Augustyn w swoich „Wyznaniach" napisał, że postanowił napisać traktat o Trójcy Przenajświętszej — znają wszyscy tą opowieść. Traktat o Trójcy Przenajświętszej, który jest najtrudniejszym ze wszystkich. I kiedy myślał, co ma pisać, wtedy przechadzał się nad morzem. I wtedy zobaczył dziecko, które przelewa wodę z morza tą muszlą w dołek, który sobie zrobiło obok. „Co ty robisz?" „Przelewam morze, żeby było nie tu, tylko tu." „Przecież to niemożliwe!" A dziecko odpowiada: „Tak samo niemożliwe jest, żebyś zrozumiał tajemnicę Trójcy Świętej!" I Augustyn swoje pisanie zarzucił. I kardynał Ratzinger w nawiązaniu do tej muszli i do tej opowieści podkreślał, że uprawianie teologii to jest szczególny obowiązek. A jest to szczególny obowiązek w Kościele. I jest to szczególny obowiązek tych, którzy są biskupami i urzędowymi teologami, tworzącymi tzw. magisterium Kościoła. Muszę państwu tę wypowiedź przytoczyć tak, jak kardynał ją wypowiedział, dlatego że jest znamienna dla całej jego teologii, dla całego jego myślenia o Bogu. Myślę, że jest również znamienna dla jego pontyfikatu. Kardynał napisał tak:

> Magisterium Kościoła strzeże wiary ludzi prostych. Tych, którzy nie piszą książek, nie występują w telewizji i nie piszą artykułów na pierwszych stronicach gazet. To jest jego demokratyczne zadanie. Ono musi udzielić głosu tym, którzy go nie mają.

Otóż proszę zwrócić uwagę, że jest to myślenie, które jest bardzo bliskie myśleniu kardynała Stefana Wyszyńskiego, i myśleniu papieża Jana Pawła II. Kardynał Stefan Wyszyński szedł w stronę pobożności. Papież Jan Paweł II szedł także w stronę poezji. A kardynał Ratzinger utrzymuje czy podtrzymuje i jedno i drugie i powiada tak: Obowiązkiem teologów, obowiązkiem magisterium Kościoła jest stanąć po stronie ludzi prostych. Są tacy, którzy piszą artykuły, tacy, którzy występują w telewizji itd. Oni mogą sobie mówić, co chcą, i dochodzić, czego tylko im się podoba. Ale najważniejsza jest wiara prostego człowieka. Bo to właśnie dzięki wierze Kościół trwa. I te słowa to jest — można by powiedzieć — klucz do jego życia. Napisał jeszcze tak, a wygłosił to w Monachium, w grudniu 79 r.:

> To nie uczeni są od tego, aby ustalać co jest prawdą w wierze chrztu, ale wiara ma określać to, co jest ważne w uczonych interpretacjach. To nie intelektualiści są od tego, aby oceniać prostych ludzi, ale prości ludzie — by oceniać intelektualistów.

To jest kardynał Ratzinger. Proszę zwrócić uwagę, że to się nie mogło podobać. To był rok 79. Nie mogło się podobać tym, którzy uzurpowali sobie prawo do rządu dusz, tym inżynierom dusz jak ich nazywał Stalin, a także Hitler. Nie mogło im się podobać, że oto teolog przyznaje rację wierze ludzi prostych mówiąc, że intelektualiści mają się do tego dostosować. Proszę zwrócić uwagę, że po dzień dzisiejszy jest to również dylemat w Polsce. Mamy w Polsce środowiska — już nie będę nazywał po imieniu ani nawet miastami — które uzurpują sobie prawo do tego, by oddziaływać na innych i kształtować ich sumienia w imię jakiejś teologicznej mądrości, czy w imię wydumanych zasad. To była przyczyna, dla której te właśnie środowiska nasze tak nie lubiły kardynała Wyszyńskiego. Bo on powiedział, że jeżeli wiara w Polsce przetrwała, to nie dzięki intelektualistom i inteligentom, ale dzięki prostym kobietom, które zbierały się obok kapliczek i śpiewały majowe i czerwcowe. I to dzięki nim ludzie pozostali sobą. I Ratzinger idzie tą samą drogą. Mówi tak:

> To nie intelektualne wyjaśnienia są miarą wyznawania wiary chrztu. Ale raczej wyznawanie wiary w jej szczerej doskonałości jest miarą całej teologii.

Zatem wniosek jest taki: *Teologię powinni uprawiać ci, którzy głęboko wierzą.* Wiara jest fundamentem teologii. Natomiast teologia, czyli nauczanie o Bogu, pozbawione fundamentu wiary, która jest oparta na chrzcie, pozbawiona jest sensu, bo może robić więcej szkody, niż pożytku. Czy można zatem się dziwić, że arcybiskup Monachium otrzymał w roku 1981 propozycję, aby przybyć do Rzymu i objąć stanowisko prefekta Kongregacji ds. Nauczania Katolickiego? Otrzymawszy tę propozycję od Jana Pawła II odmówił. Powiedział, że jego miejsce — tak, jak on je widzi i czuje — jest w Monachium, we Fryzyndze, w Niemczech. Podziękował szczerze papieżowi ale uznał,

że to nie jest jego działka. Minęło parę miesięcy, i Jan Paweł II postawił mu drugą propozycję, mianowicie prefekta watykańskiej Kongregacji ds. Doktryny Wiary. A więc tej najważniejszej dykasterii watykańskiej, która zajmuje się określaniem, precyzowaniem, formułowaniem, wyjaśnianiem, interpretacją prawd wiary. Kardynał wzbraniał się, ale na osobistą prośbę Jana Pawła II opuścił Monachium i przyjechał do Rzymu. Napisał, i mówił o tym wielokrotnie, że była to najtrudniejsza decyzja w jego życiu. I wtedy od 82 r. przez 23 lata wiernie trwał przy Janie Pawle II.

Nie mamy już czasu żeby wyliczać, czego dokonał. Ale po ludzku mówiąc, podpadł na samym początku. Bo w 83 r., niedługo po swoim przybyciu do Rzymu, bardzo silnie przeciwstawił się masonerii. Zaczęto wtedy na nim, wg. polskiego niezbyt ładnego przysłowia, wieszać psy. Dziennikarze nazwali go Panzerkardinal — kardynał pancerny. Mówiono, że jest jak czołg, który niczego nie rozumie. Ale on rozumiał dostatecznie dużo i wiedział, co potrzeba. Kiedy ciosy obracały się przeciwko Janowi Pawłowi II on odpowiadał: Przecież to jest mój dokument. Atakujcie mnie, nie papieża! Jeszcze nie ucichła ta dyskusja, wystąpił przeciwko teologii wyzwolenia. Zwłaszcza miał spotkanie z takim teologiem latynoamerykańskim Boffem, człowiekiem w rozmowie, mówiąc delikatnie, trudnym. Próbował zrobić co może, by sprawę zażegnać. Ale okazało się to bardzo trudne. Później wyjaśnianie innych — i prawd wiary, i dogmatów, i sposobu nauczania — określanie, wpływanie. Próbowano go przedstawiać jako takiego człowieka pancernego, a on stawał pośród dziennikarzy i powiada: Popatrzcie na mnie. Czy ja wyglądam na żółwia, albo na jakiegoś pancernego kardynała? I w sposób nieraz bardzo prosty i rozbrajający dawał poznać, że wszystko, co czyni, jest podporządkowane dewizie biskupiej cooperatores veritati czyli *współpracownicy prawdy,* że we wszystkim jest współpracownikiem prawdy. Apogeum jego działalności przypadło na Wielki Jubileusz Roku 2000. Wydał wtedy deklarację „Dominus Jesus" o jedyności i powszechności dzieła zbawczego Chrystusa. Sens tej deklaracji jest taki. Jedynym Zbawicielem wszystkich ludzi jest Jezus Chrystus. Można być Żydem, muzułmaninem, buddystą, niewierzącym, człowiekiem dobrego, prawego sumienia, każdym innym — wszystkich nas zbawił Chrystus. On jest jedynym i powszechnym Pośrednikiem i Drogą do Boga. Oczywiście deklaracja wywołała falę ogromnych protestów. Dlatego, że w ten sposób kardynał Ratzinger postawił tamę tzw. teologii wielu dróg zbawienia. Dał poznać, że być chrześcijaninem to jest ogromna godność, wynikająca z uznania Chrystusa, i wierności Mu.

I na sam koniec, bo nasz czas się kończy. Kilkanaście godzin po swoim wyborze, kiedy został papieżem i udał się do kardynałów, a miało to swój kontekst niesłychanie prosty. Ten mianowicie, że na zakończenie konklawe odbywa się msza św. nowo wybranego papieża i kardynałów, podczas której ślubują mu wierność, a on dziękuje za wybór i wygłasza programowe przemówienie. W tym programowym przemówieniu, 20 kwietnia tego roku, powiedział tak:

> Najdrożsi! W moim sercu przemawia mimo wszystko głębokie poczucie wdzięczności za dar Bożego Miłosierdzia. Uważam to za szczególną łaskę, którą zyskał dla mnie mój świętej pamięci poprzednik Jan Paweł II. Czuję, jakby jego mocna ręka trzymała moją. Zdaje mi się, że widzę jego uśmiechnięte oczy i słyszę jego słowa skierowane do mnie w tej szczególnej chwili: «Nie lękaj się!»

Tak mówił 78-letni człowiek wybrany na papieża, Benedykt XVI, Niemiec, o swoim poprzedniku Janie Pawle II, Polaku. Teraz rozumiemy, że między tymi dwoma ludźmi jest głęboka więź, że to jest jakby ten sam pontyfikat. A od takiej ludzkiej strony — cały świat obiegła informacja, że po swoim wyborze Ojciec Święty Benedykt XVI wracał na Piazza Leonina do swojego mieszkania. I że przychodził do tego mieszkania tak, jak wcześniej, bo w mieszkaniu ma kota. I że ten kot za nim tęsknił. I że w Watykanie rozważano sprawę, żeby to zwierzątko do Watykanu wziąć. Był silny sprzeciw, bo nigdy tam zwierzęcia nie było — nie wiem, czym się skończyło. Przy najbliższej okazji pobytu w Rzymie postaram się to wyjaśnić. Ale to jest wzruszające — wierność człowieka przyjacielowi, z którym mieszkał. Jak widać jest wierny we wszystkim. I temu ludzkiemu przyjacielowi, dzięki któremu został papieżem, i miejmy nadzieję także we wszystkim, co dotyczy Kościoła. Ufamy, że któregoś dnia w nieodległej przyszłości Benedykt XVI przybędzie do Polski. Myślę że popatrzymy na niego trochę innymi jeszcze oczyma, będzie nam jeszcze bliższy. Dziękuję państwu bardzo.

Pomódlmy się na koniec za Ojca Świętego Benedykta XVI. Pod Twoją obronę ...

Rozdział 8

2005/2006 — Bohaterowie wiary Nowego Testamentu

8.1 Najświętsza Panna Maria — Zwiastowanie (10 października 2005)

Spotykają się państwo między sobą jak starzy znajomi. I też ze sobą spotykamy się jak znajomi. Minęło kilka miesięcy, czas wakacji się skończył. Rozpoczyna się nowy rok akademicki. Dzisiaj nawet w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego była inauguracja, w zeszłym tygodniu w czwartek na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu — więc czas na nas. „W imię Ojca . . . ". „Ojcze nasz. . . ". „Stolico Mądrości . . . ".

Bardzo, bardzo serdecznie wszystkich państwa witam i cieszę się z powodu tak licznej frekwencji. Chociaż — powtarzam to do znudzenia państwu — to jest wielkie zobowiązanie obok tej wielkiej radości, to właśnie drugi biegun, to wielkie zobowiązanie i obawa, żeby sprostać tym zainteresowaniom i tym duchowym potrzebom, które z tego rodzaju obecnością się łączą. Żeby nie przedłużać przejdziemy od razu zwracając uwagę na jeszcze jedną rzecz. Mianowicie jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystkie dotychczasowe lata tych konferencji biblijnych, które odbywają się tutaj, na warszawskiej Ochocie, prowadzonych niegdyś w Parafii Opatrzności Bożej, a od kilkunastu lat w Parafii Zwiastowania Pańskiego, to rozpoczynamy mały jubileusz. Dlatego, że jest to dwudziesty rok tych konferencji biblijnych. Dwadzieścia lat, każdego roku, z większą czy mniejszą częstotliwością — początkowo co dwa tygodnie, później co miesiąc — spotykamy się z państwem i wiem, że jest tutaj co najmniej kilka, może kilkanaście osób, które brały udział jeszcze w tamtych pierwszych konferencjach, właśnie na Dickensa, w Parafii Opatrzności Bożej. Pamiętam je doskonale. Zaczynałem je jesienią 1985 r. i tam trwały przez kilka lat. Potem były równolegle, i tam i tutaj, a później przenieśliśmy się do Parafii Zwiastowania Pańskiego. I od 1993 r. czyli już dwanaście lat, są tutaj, w Parafii Zwiastowania Pańskiego.

Proszę pozwolić, że na samym początku konferencji złożę hołd temu, który w jakiś sposób był u ich podstaw, który zachęcał do tego, żeby te konferencje podjąć, który w ogóle był dobrym duchem mojej pracy duszpasterskiej, mojego pobytu w Parafii Opatrzności Bożej. Chodzi o ś.p. ks. Romualda Kołakowskiego. Jak państwo wiedzą pod koniec lipca ks. prałat Kołakowski po bardzo długiej, ciężkiej chorobie którą bardzo mężnie, wręcz heroicznie znosił, i którą przyjął z wielkim zawierzeniem wobec Pana Boga będąc dla nas, zwłaszcza kapłanów, wielkim wzorem, zmarł, przeszedł na tę drugą, miejmy nadzieję — lepszą, stronę życia. Jego pogrzeb odbył się 1 VIII w samą rocznicę Powstania Warszawskiego. On był zawsze wielkim patriotą, głęboko przywiązanym do polskich tradycji i dobrym, wielkim, wspaniałym człowiekiem, Polakiem. I na początku tegorocznych konferencji złożyć chociażby taki krótki, wręcz symboliczny hołd wobec niego, bo był to człowiek wielkiego formatu i w moim przekonaniu, i z moich doświadczeń, to był człowiek, to był kapłan, który w naszych czasach wypełniał ideał świętości. Nie tylko uczył o Panu Bogu, ale prawdziwie żył Panem Bogiem. I wystarczy, abym przymknął oczy, żebym widział jak z różańcem w ręku chodzi dookoła kościoła Opatrzności Bożej, jak modli się za innych. Z wielką wyrozumiałością, dobrocią podchodził do rozmaitych spraw. Aczkolwiek z drugiej strony dobrze wiemy, że był bardzo

bezkompromisowy jeżeli chodzi o dobro, o budowę kościoła, który wzniósł tam w wielkim trudzie razem ze swoimi parafianami. I także istnienie tej parafii, o czym państwo dobrze wiedzą, to także jego wielka zasługa. I kiedy rozpoczynamy dwudziesty rok tych konferencji to wracam i myślami, i pamięcią, i sercem do jego osoby, do tego, czego dokonał, do jego wielkiej serdeczności, gościnności, dobroci którą okazywał różnym ludziom z nadzieją, że także po tej drugiej stronie życia będąc obecny będzie również i nam sprzyjał.

Dwudziesty rok — oczywiście za każdym razem, i przy tego rodzaju okazji również, trzeba się zastanawiać nad wyborem tematu. Trudno jest znaleźć temat, który by zaspokoił potrzeby duchowe i aspiracje państwa — także w tym, co dotyczą Pisma Świętego. Ja też długo zastanawiałem się nad wyborem tematu i postanowiłem, że przedmiotem będzie coś, czego jeszcze nie mieliśmy, ale co oczywiście w rozmaitych konnotacjach, w rozmaitych skojarzeniach„ w rozmaitych konferencjach się pojawiało. Mianowicie za przedmiot naszych refleksji bierzemy wielkich bohaterów wiary Nowego Testamentu. Być może państwo pamiętają, że mieliśmy kilkanaście lat temu wielkich bohaterów wiary Starego Testamentu. Potem przeszliśmy do omawiania ewangelii, mieliśmy konferencje poświęcone Najświętszej Marii Pannie, konferencje poświęcone św. Pawłowi, Dziejom Apostolskim, początkom Kościoła — Kościołom Apostolskim czyli Kościołom Apokalipsy. Mówiliśmy na rozmaite tematy związane z Nowym Testamentem. Chciałbym w tym roku nieco uporządkować naszą wiedzę i zwrócić uwagę na te teksty Nowego Testamentu, które dotyczą wielkich bohaterów wiary, przedstawionych na kartach tej drugiej części Biblii chrześcijańskiej. Chciałbym, żebyśmy przyjrzeli się tym wielkim bohaterom dlatego, że w ich zmaganiach odnajdujemy nasze zmagania, w ich wątpliwościach — nasze wątpliwości. Z kolei w ich zawierzeniu — nasze zawierzenie. Dlatego, że oni są u początków naszej wiary. I zapewne dobrze będzie – chociaż wiele rzeczy już słyszeliśmy – próbować to sobie uporządkować i przedstawić tych wielkich bohaterów wiary jako żywych świadków wiary, jako żywych ludzi. A poniekąd wyobrazić sobie, że żyją właśnie w naszych czasach. To tak jakby próbować napisać wielkie opowiadanie o tych, którzy dzisiaj są bohaterami wiary, albo właśnie przeszli do wieczności. W tym roku mamy takie właśnie wielkie postacie, które trwale zapisały się w historii Kościoła, świata czy ojczyzny, czy wreszcie tutaj naszego regionu.

A my wracamy do samych początków. Myślę, że sensowność, celowość i pożytki z tego naszego przedsięwzięcia staną się widoczne nie tylko dzisiaj, ale potem — wraz z upływem czasu. Bo będę chciał, niejako próbował raz jeszcze, może trochę inaczej, ożywić Pismo Święte pokazując, że bohaterami Pisma Świętego są ludzie pod wieloma względami tacy, jak my. Podobnie jak autorami są ludzie tacy, jak my. Bo jak często to powtarzamy, Pismo Święte powstało z wiary i dla wiary. Jako owoc wiary i celem budowania wiary. Zwróćmy uwagę na jeszcze jedno doprecyzowanie. Proszę zwrócić uwagę, że zapowiedziałem: „Wielcy bohaterowie wiary". Nie chodzi o to, nie będzie na tych konferencjach chodziło o to, że próbujemy udowodnić istnienie Boga, próbujemy je wykazać, próbujemy kogoś przekonać albo pozyskać dla wiary. Nie o to chodzi! Ja przyznam się państwu szczerze, że będąc prawie trzydzieści lat księdzem zawsze mam kłopoty z tymi, którzy są niewierzącymi albo takimi się deklarują. Dlatego, że zawsze wydaje mi się — tak przynajmniej to czuję — że nie ma niewierzących. Bo są tacy — powtarzałem to państwu wiele razy — którzy wierzą, że Bóg istnieje, i są tacy, którzy wierzą, że Bóg nie istnieje. Jedni i drudzy wierzą. Jedni i drudzy mają w tym jakieś argumenty, jakieś duchowe racje, jakieś przekonania, przeświadczenia, doświadczenia życiowe albo ich brak. Jedni i drudzy mają jakąś związaną z tym wrażliwość, ale jedni i drudzy stoją jak gdyby na krawędzi. Bo wiara to zawsze szukanie po omacku. To jest jakby światło, które można zauważyć w ciemnościach, ale pod jednym warunkiem — tym mianowicie, że człowiek otworzy oczy. I na tych konferencjach nie będziemy zastanawiali się jak pozyskiwać tych, którzy wierzą, że Boga nie ma. Myślę, że taka duchowa sytuacja jest wielkim kalectwem. Jest też wielką trudnością. Ja wspominałem kiedyś państwu o człowieku z którym rozmawiałem, który deklarował, że jest niewierzącym, wierzy, że Boga nie ma. I pod koniec tej rozmowy powiedział: „Jak ja księdzu zazdroszczę, że ksiądz wierzy. Że ksiądz ma taką wiarę. Jak ja zazdroszczę! Jak ja bym bardzo chciał ją mieć! Bo jednak" — dodał — „wierzącym jest znacznie łatwiej".

Pod pewnymi względami wierzącym w Boga jest rzeczywiście łatwiej. Pod innymi względami wierzącym w Boga jest trudniej, nawet bardzo trudno. Otóż są sytuacje w naszym życiu, kiedy wiara wystawiona jest na ciężką próbę. I wystawiona jest nie dlatego, że grozi nam niewiara, lecz dlatego, że mamy kłopoty, mamy problemy, mamy trudności z obrazem Boga. Nie z istnieniem Bo-

ga, ale z naszymi wyobrażeniami o Bogu. Zadajemy sobie pytanie czy rzeczywiście Bóg jest dobry, czy rzeczywiście Bóg jest miłosierny, czy rzeczywiście jest Miłością, czy rzeczywiście dzieje tego świata mają się toczyć tak, jak się toczą. Nie to, czy Bóg istnieje, bo to pytanie jest stosunkowo łatwe. Dowody na istnienie Boga są wszędzie — i w świecie, i w nas samych. I w astronomii, i w mikrobiologii, i w historii, i w przewidywaniach przyszłości. Tylko największy kłopot jest z tym: A co znaczy, że Bóg istnieje w świecie, który jest naznaczony piętnem zła, grzechu, nieszczęścia itd. Teraz, kiedy właśnie mamy naszą konferencję, w katedrze białostockiej pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Panny Marii odbywa się koncert. Koncert, który stanowi wspomnienie, jest dedykowany dziesięciorgu maturzystom oraz trojgu dorosłym, którzy zginęli kilkanaście dni temu w katastrofie drogowej. Czasami wydawałoby nam się, że gdyby jechali na dyskotekę — tak sobie po cichu myślimy, bo do tego wstydzimy się przyznać — to może byśmy specjalnie nie rozpaczali. Albo gdyby wracali z dyskoteki pijani, to wszystko byłoby jakby jasne. Ale oni jechali do Częstochowy z pielgrzymką. I wszystko rozegrało się rano — i zginęło aż dziesięcioro dziewcząt i chłopców. I pojawia się to pytanie, które z całą pewnością niejedna i niejeden z państwa miał: A co na to Pan Bóg? Gdzie jest Pan Bóg? Czy nie jest jakimś wstydem dla Pana Boga, że giną ci, którzy Go wyznają? Czy nie jest jakimś argumentem, który nam całą wiarę utrudnia a nawet uniemożliwia czasami, że musimy znosić takie z Jego strony dopusty? Czy nie byłoby łatwiej gdyby ci, którzy Go wyznają, mieli prostsze życie? Gdyby nie chorowali, nie cierpieli, nie umierali, nie ginęli? Czy nie byłoby łatwiej, prościej, gdyby za życia, już teraz, wiara się opłacała a niewiara nie przynosiła żadnych korzyści? Czy nie byłoby łatwiej i prościej, gdyby Pan Bóg bardziej przekonywał nas nie tylko o swojej obecności, a także o swojej miłości, miłosierdziu? Mówimy, wyznajemy, że Bóg za dobre wynagradza a za złe karze. A więc co? Czy każde nieszczęście, każda choroba, każde cierpienie staje się karą za zło, którego dopuściliśmy? Czy nie widzimy, że ta podstawowa zasada wiary bywa zachwiana?

Doskonale to widział biblijny Hiob, mówiliśmy o tym wiele razy. W tej chwili, w tym czasie powstaje nawet film, który nosi tytuł: „Kto nigdy nie żył". Reżyserem tego filmu jest pan Andrzej Seweryn, a treścią tego filmu jest jak gdyby Hiob na progu XXI wieku. Hiob dzisiaj, Hiob podany w naszych warunkach. Ale takich Hiobów jest dużo więcej — albo tych, którzy cierpią, albo tych, którzy opłakują swoich bliskich. Kiedy dzisiaj o tym mówimy, to też jest to również jakiś rodzaj hołdu wobec tych młodych ludzi, i dziewcząt i chłopców, wobec tych maturzystów, których Pan Bóg spośród nas zabrał. I będziemy starali się już bez nawiązywania do tej konkretnej sytuacji, do tysięcy takich konkretnych sytuacji, będziemy starali się zrozumieć, pokazać, przybliżyć sobie co znaczy wiara, co znaczy być bohaterem wiary, na czym polegają wyznania, które z wiary płyną.

Dzisiejszym bohaterem naszym jest Maryja. Robimy tak dlatego, ponieważ jest największą bohaterką wiary. Nie potrafię powiedzieć, czy uda nam się zmieścić wszystko w tej jednej konferencji, zapewne nie. Ale robimy tak również dlatego, ponieważ miesiąc październik jest Jej poświęcony. A więc rozważamy tajemnice z Jej życia w tajemnicach różańca świętego, i jeżeli szukamy jakiegoś przykładu wiary, to znajdujemy ten przykład przede wszystkim w Niej. Bo mimo wszystkich różnic, a różnice wynikają przede wszystkim z tego, że była bez grzechu pierworodnego poczęta, to przeszła przez wszystkie próby wiary, przez które może przejść człowiek. I już na wstępie musimy powiedzieć, że Ona pokazuje nam drogę wiary, pokazuje nam naturę wiary i pokazuje nam to, co stanowi już na wstępie bardzo ważny drogowskaz. A mianowicie że Bóg doświadcza tych, których miłuje. I że ci, którzy przeżywają trudności w życiu, kłopoty, cierpienia, stają wobec trudnych wyborów — to jest tak dlatego, ponieważ są dopuszczeni do tajemnicy miłości i Miłosierdzia Bożego. Są dopuszczeni tak bardzo jak niedopuszczeni są inni, którzy być może podobnych doświadczeń nie mogliby, nie byliby w stanie, znieść.

Maryja nie miała żadnego grzechu, została poczęta bez grzechu, a więc żyła w absolutnej wierności Bogu. Ale ta wierność była wiele razy wystawiana na próbę. I będziemy oglądać, będziemy czytając Pismo Święte, czytając Nowy Testament starali się tego dociekać. Chciałbym osadzić Maryję w realiach jej życia. Chciałbym żebyśmy spojrzeli na Nią nie tak, jak patrzymy na postać na obrazkach, namalowaną na podobieństwo Włoszki, Greczynki, Hiszpanki, Polki czy nawet Murzynki bo mamy i czarne Madonny, nie przez pryzmat ikonografii, ale chcielibyśmy spojrzeć na Nią w realiach jej życia, a będą to realia historyczne, geograficzne po części, społeczne, religijne a także swoiste realia psychologiczne. Nie po to, broń Boże, żeby odbarwiać wizerunek Maryi, żeby Ją w

jakikolwiek sposób sprowadzać do codzienności, ale po to by zrozumieć, że była człowiekiem — z wyjątkiem grzechu — takim samym, jak my. I że Pan Bóg pozwolił Jej przejść przez drogę, którą później poszło wielu z tych, którzy wyznawali Jej Syna jako swojego Pana i Zbawiciela. Ona była pierwsza. Jan Paweł II, również wspominałem o tym państwu kiedyś, gdy jesienią 1979 r. udał się do Turcji, była to jedna z jego pierwszych podróży apostolskich, odbyta kilka miesięcy po pierwszej pielgrzymce do ojczyzny, to bardzo chciał być w Efezie. A w Efezie udał się na miejsce, które nazywa się Meriemana czyli Domek Maryi. Wg. tradycji tam Najświętsza Maryja Panna miała przeżywać ostatnie lata czy może miesiące jej życia. Zostawmy na boku tę tradycję efezką dlatego, że tu nie jesteśmy w stanie specjalnie ją historycznie uwiarygodnić. W widzeniach niemieckiej mistyczki Katarzyny Emmerich w XIX w. opisała ona ten domek bardzo dokładnie, aczkolwiek nigdy tam nie była i nie miała pojęcia, że on istnieje. Na tej podstawie od XIX w. wzmógł się kult tego miejsca i trwa po dzień dzisiejszy. Jan Paweł II na maleńkim dziedzińcu, bardzo zielonym — są wśród państwa osoby, które tam były, i z całą pewnością zrobiło to wielkie wrażenie, to Wzgórze Słowików — nazywane tak dlatego, że z samego rana i późniejszym popołudniem jest tu mnóstwo słowików, które dają znać o sobie — na Wzgórzu Słowików obok ołtarza jest pusty plac. Tam zgromadzili się chrześcijanie tureccy i muzułmanie. Oczywiście nie było ich tysiące, ale był dostatecznie duży tłum. I Ojciec Święty powiedział wtedy, że w Maryi dokonało się przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej. To jest najgłębsza synteza życia Najświętszej Maryi Panny. Przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej. Otóż Maryja z jednej strony była osadzona w realiach, w rzeczywistości Starego Testamentu, rzeczywistości biblijnego Izraela, rzeczywistości żydowskiej. Z matki i z ojca była Żydówką urodzoną w Jerozolimie, żyła według zwyczajów tego narodu, zachowywała te zwyczaje. Słuchała, brała udział w liturgii synagogalnej, brała udział w czytaniu Pisma Świętego. Wykonywała to wszystko, co żydowska dziewczyna powinna była wtedy wykonywać. Jednym słowem była wpisana w tę rzeczywistość Starego Testamentu. Jeżeli chcemy naprawdę zrozumieć Maryję, to można by tutaj powtórzyć słowa biskupów niemieckich, które biskupi niemieccy odnieśli do Chrystusa:

> Kto spotyka Jezusa Chrystusa, to spotyka judaizm. Kto spotyka Maryję, spotyka judaizm.

Oczywiście nie judaizm dzisiejszy, nie judaizm rabiniczny. Nie ten judaizm, taki jaki mamy pod Ścianą Płaczu czy mamy w synagodze w Warszawie. Spotyka judaizm sprzed dwóch tysięcy lat, historyczny, który się potem rozwinął jako chrześcijaństwo, rozwinął się jako judaizm rabiniczny właśnie — i tam, w tym judaizmie biblijnym osadzona jest Najświętsza Maryja Panna. Jeżeli chcemy zrozumieć jej wiarę, to powinniśmy sięgnąć do ksiąg Starego Testamentu, do Pięcioksięgu nazywanego Torą, do zbioru Proroków, do zbioru Pism. I powinniśmy zdawać sobie sprawę, że to jest gleba na której Ona wyrosła. Że to jest woda duchowa, którą się poiła. Że to jest pokarm, którym się karmiła. Więc to wszystko jest podglebie — cały Stary Testament. Oczywiście nie mamy teraz czasu, żeby zajmować się tym żydowskim tłem Starego Testamentu i żeby mówić o żydowskości Maryi. Sądzę, że dla nas wszystkich jest to sprawa jasna.

Błąd jednak popełniają ci, którzy koncentrują się na tej żydowskości tak dalece, że zapominają o drugim członie papieskiej wypowiedzi. Tej mianowicie, że „w Niej dokonało się przejście od nadziei żydowskiej do nadziei chrześcijańskiej". A zatem nadzieja żydowska i nadzieja chrześcijańska różnią się między sobą! To nie jest tak, że te dwie siostrzane religie są jednocześnie tak blisko siebie, że w gruncie rzeczy z Bożego punktu widzenia jest wszystko jedno, czy ktoś jest wyznawcą judaizmu czy jest chrześcijaninem. To nie jest tak, że są dwie drogi zbawienia, obie są równoprawne i że możemy zostawić jednych na tej drodze a sami kroczyć inną, tak jak gdyby w Jezusie Chrystusie nic się nie stało. Otóż jest inaczej, wręcz przeciwnie! Mianowicie droga żydowska i droga chrześcijańska różnią się między sobą. Na czym ta różnica polega — widać najlepiej po sobie i w losie Najświętszej Maryi Panny.

Na czym polega nadzieja żydowska i nadzieja chrześcijańska widać na podstawie Ewangelii w obserwowaniu życia Maryi. Tylko Jej specyfika, specyfika Maryi na tym polega, że Ona była pierwszą, w której to przejście się dokonało. Gdybyśmy szukali jakiegoś obrazu to moglibyśmy powiedzieć, że z jednej strony jest zakorzeniona, ma nogi jak gdyby w rzeczywistości Starego Testamentu. Natomiast z drugiej strony jej głowa, jej ciało jest w rzeczywistości Testamentu Nowego. To jest tak, jak w tym słynnym arabskim przysłowiu o palmie – że palma ma swoje nogi gdzieś tam w otchłani,

w niebie skąd czerpie wodę, a swoją głowę ma w rzeczywistości przepełnionej słońcem. I z Maryją zupełnie podobnie. Karmiła się wodami Starego Testamentu, ale jednocześnie stanowiła zaczątek Testamentu Nowego. I w niej doskonale widać, na czym polega przejście od Synagogi do Kościoła. Od wiary w Boga, w której nie znamy Syna Bożego, do wiary w Boga, w której poznaliśmy Boga za pośrednictwem Syna Bożego Jezusa Chrystusa i wiemy więcej o bogactwie wewnętrznego życia Boga. To jest ten sam Bóg, który objawił Siebie bardziej, lepiej, pełniej. Objawił Siebie dlatego, że dla nas i dla naszego zbawienia stał się Człowiekiem. Ona pierwsza tej zbawczej rzeczywistości Boga doświadczyła. Co więcej — Ona pierwsza ją przyjęła.

I tutaj dotykamy jeszcze jednego aspektu, który ma związek z relacjami chrześcijańsko - żydowskimi. A o tym będą państwo słyszeli w najbliższych tygodniach więcej bo wkrótce, 28 X, przypada czterdziesta rocznica soborowej deklaracji „Nostra aetate" o stosunkach Kościoła do religii niechrześcijańskich i na pewno ten wątek będzie wiele razy przypominany. Otóż często dzisiaj jest tak, że mówi się że chrześcijaństwo jest dla Żydów zbyt trudne. Że akceptacja Jezusa Chrystusa jest na tyle trudna, że wręcz niemożliwa. Że Jezu Chrystus wykracza poza możliwości żydowskiej akceptacji Go jako Boga. A przecież — jeżeli tak mocno podkreślamy żydowskość Maryi, to Ona była Żydówką! Dla Niej nie było to za trudne! Ona pierwsza przeszła przez ten próg wiary ze Starego do Nowego Testamentu.

Dlatego właśnie Maryja nie cieszy się w religii żydowskiej specjalnym wzięciem. Dlatego nie chcą dzisiejsi rabini i dzisiejsi Żydzi o Niej mówić — bo jest niewygodna. Bo jeżeli Ona była Żydówką i uwierzyła w Jezusa, i Jezusowi, i z Jezusem całym sercem, to znaczy że to jest droga, którą może pójść każda żydowska kobieta i żydowski mężczyzna. Ale tu dotykamy już spraw, które ciągle nas dzielą.

A więc nasza refleksja nad Maryją nie jest wcale refleksją akademicką, jakąś – powiedzmy sobie – wyuczoną czy teoretyczną. Nasza refleksja nad Maryją dotyka, dosięga, dotyczy samych podstaw naszej chrześcijańskiej wiary. Jeżeli chcemy zrozumieć kim jest Maryja i co znaczy dla nas, jakie zajmuje miejsce w wierze, to musimy się nad Nią zastanawiać badając, oglądając to z różnych stron, aby tym lepiej zobaczyć na czym specyfika naszej wiary polega. I również jeżeli chcemy wejść w owocne dialogi z innymi ludźmi, przede wszystkim z wyznawcami judaizmu, to musimy poznawać to, co jest istotne dla nas i mieć świadomość bogactwa całej sytuacji, która staje się przedmiotem naszych dyskusji, polemik czy kontrowersji.

Przejdźmy zatem już do Nowego Testamentu, do Pisma Świętego, które Maryi już bezpośrednio dotyczy. I gdyby zrobić wśród państwa konkurs i zapytać, który z tekstów w Nowym Testamencie, tekstów Ewangelii, jest maryjny w swoim charakterze, to myślę, że pojawiły by się bardzo rozmaite odpowiedzi. Bardzo wiele osób ma za sobą lekturę Nowego Testamentu, lekturę całego Pisma Świętego nawet albo jego większości, i mają państwo na ten temat dobre rozeznanie. Na pewno po krótszym czy dłuższym czasie doszlibyśmy do dobrej odpowiedzi. Otóż pierwsze odniesienie do Maryi, pierwsze skupienie światła na Maryję, pierwszy ten jakby reflektor na Maryję znajduje się na samym początku Nowego Testamentu, tzn. w Ewangelii św. Mateusza, w jej pierwszym rozdziale, w rozdziale, który tę Ewangelię otwiera, który Nowy Testament otwiera, który otwiera — można by powiedzieć — księgi święte chrześcijan. I ten pierwszy rozdział jest zogniskowany na Maryi. Na pozór wydaje się, że nie! Czytamy:

> Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama.

Na początku wydaje się, że chodzi wyłącznie o męską linię. I rzeczywiście nie będziemy tutaj tego tekstu czytać, bo państwo go dobrze znają. Czytany będzie za dwa miesiące, w okresie Adwentu. Jeżeli kapłan, który sprawuje liturgię, nie przeskoczy kilku imion, to będą państwo słyszeli trzy razy po czternaście imion. Bo całe dzieje staro-testamentowego Izraela zostały podzielone na trzy części: od Abrahama do Dawida, od Dawida do przesiedlenia babilońskiego, od przesiedlenia babilońskiego do Jezusa Chrystusa. Ewangelista pokazuje nam, że Stary Testament to nie tylko zbiór opowiadań, które mogą nas zainteresować, które zostały obok siebie zestawione, lecz Ewangelia pokazuje, że Stary Testament miał swój sens, miał swój cel, miał swój kierunek. I że w osobie Jezusa Chrystusa ten kierunek został osiągnięty. A więc, że Stary Testament ma dynamizm, który można by nazwać mesjańskim. Że Stary Testament nie jest stagnacją. Że to nie chodzi o to, że Stary Testament jest księgą z zakresu historii religii, że dowiadujemy się w co wierzyli Izraelici w czasach przed

Chrystusem. Nie! Stary Testament jest jak dynamit w którym jest moc, która się wyzwoliła wraz z Chrystusem. Ojcowie Kościoła czyli ci, którzy stali u początków wiary, mówili, że ile jest słów w Starym Testamencie, to wszystkie z nich dotyczą Chrystusa, odnoszą się do Chrystusa, chociaż się o Nim nie mówi. I używali takiej przenośni, takiego obrazu: Jeżeli kochasz kogoś – mówili — to czy musisz cały czas o nim mówić? Albo czy musisz cały czas o nim myśleć? Przecież jest tak, że jeżeli pracujesz, to pracujesz z myślą o nim. Jeżeli uczysz, czy się uczysz, to robisz to z myślą o nim. Jeżeli się troszczysz o coś, to robisz to z myślą o nim czy o nich.

Więc nie jest ważne, żeby przez cały czas powtarzać słowa zapewnienia i deklaracje. I mówili: „I w Starym Testamencie jest tak samo. Aluzje do Chrystusa są rzadkie, czasami bardzo rzadkie. Ale właśnie ta mała liczba aluzji nadaje Staremu Testamentowi tym większą siłę, tym większą moc przekonywania. Bo ci, którzy kochają więcej, mniej o tym mówią." Więc w Starym Testamencie dopatrzono się tego dynamizmu miłości. I na początku Ewangelii św. Mateusza mamy właśnie o tym mowę. Proszę pamiętać, że Mateusz był Żydem. Pisze dla Żydów, dla chrześcijan nawróconych z judaizmu. Oni rozumieją wszystkie te aluzje, to jest ich język, to jest ich kultura„ ich historia, ich wiara, ich religijność, ich zwyczaje. To, czego my się uczymy jako dorośli, oni znali od dziecka. oddychali tym, karmili się tym. Zatem Mateusz nie pisze przypadkowo. To my po dwóch tysiącach lat rozważając te słowa w Warszawie jesteśmy niejako przypadkowymi słuchaczami. Ale pierwsi adresaci doskonale wiedzieli o co chodzi.

Dzieje więc zostały podzielone na trzy okresy. I w tych trzech okresach ukazuje się ich sens. Mianowicie sensem Starego Testamentu jest Jezus Chrystus. I przedstawia się ojca i syna. Ojca i syna — i tak czterdzieści dwa razy doprowadzając to — znają państwo doskonale ten tekst, ja go tylko raz jeszcze króciutko przeczytam— pod sam koniec, że:

> Jakub ojcem Józefa, męża Maryi, z której narodził się Jezus, zwany Chrystusem.

Ten ciąg zostaje nagle przerwany. Ten ciąg mężczyzn zostaje nagle, raptownie odwrócony. To tak, jakby ktoś próbował odwrócić Wisłę, żeby płynęła w drugą stronę, bo taki ma kaprys. I to samo tu. Otóż cały czas są mężczyźni, ojciec i syn, a tu w tym jednym miejscu ta linia została nie tylko zachwiana, ale zerwana. Mianowicie: „Jakub ojcem Józefa, męża Maryi, z której narodził się Jezus, zwany Chrystusem." A więc był mężem Maryi, ale nie był ojcem Jezusa Chrystusa w fizycznym tego słowa znaczeniu tak, jak wszyscy jego przodkowie. Coś zmieniło się, logika Starego Testamentu została zachwiana. Ta rzeczywistość Starego Testamentu została podważona. A została podważona dlatego, ponieważ w tą rzeczywistość męską weszła kobieta. I to z niej narodził się Jezus Chrystus. Ale nie tylko to jedno. Otóż pierwsi żydowscy czytelnicy Ewangelii św. Mateusza widzieli coś jeszcze. Mianowicie, że wcześniej w tym rodowodzie — wiedzą o tym ci z państwa, którzy brali udział kiedyś w konferencjach — mamy cztery kobiety, cztery kobiety Starego Testamentu. Kobiety niezwykłe, kobiety osobliwe. Może warto byłoby sięgnąć po ten pierwszy rozdział Ewangelii Mateusza, tam na dole są podane biblijne odniesienia, i poczytać sobie o tych kobietach. Jedna to Tamar, druga to Rahab, trzecia to Rut, czwarta to Batszeba. Gdybyśmy chcieli je bliżej przedstawiać — był kiedyś taki cykl naszych konferencji: „Kobiety w Piśmie Świętym", kobiety Starego Testamentu, i o każdej z nich mówiliśmy przez godzinę, chociaż Pismo Święte robi to krócej. Otóż gdybyśmy chcieli przedstawiać każdą z nich, zobaczylibyśmy, że w przypadku każdej mamy do czynienia z jakąś nieregularnością, z jakąś osobliwością. Czasami jest to jakaś wada jak w przypadku Rahab, która była nierządnicą. Kiedy indziej jest to pochodzenie, jak w przypadku Rut, która była Moabitką„ nie była Żydówką. Czasami mamy do czynienia z jakimś dramatem, jak w przypadku Tamar. A kiedy indziej mamy do czynienia z dramatem, w którym kobieta miała swój udział, jak w przypadku Batszeby, która związała się z Dawidem. Każda z tych kobiet została włączona w staro-testamentową historię zbawienia i można by powiedzieć dzisiejszym językiem, że każda z nich to jest kobieta po przejściach. Każda z nich zasługiwałaby na osobny obyczajowy film i osobne obyczajowe omówienie. Zwróćmy uwagę, że na końcu tego łańcucha umieszczona jest Maryja.

Co łączy Maryję z tymi kobietami? Dlaczego cztery kobiety, których życiorysy tak odbiegały od ideału wiary Starego Testamentu, zostały umieszczone przed wzmianką o Maryi, o której i Pismo Święte i tradycja chrześcijańska wie, że była bezgrzeszna? Na czym polega owa solidarność Maryi z tamtymi kobietami? Na czym polegają podobieństwa, które zbliżają Maryję do nich? Otóż

podobieństwa polegają na tym, że w przypadku Maryi mamy również do czynienia z osobliwością, i to z osobliwością wielką, która nie dotyczy innych kobiet. Która, jeżeli innych kobiet w podobny — bo nie taki sam — sposób dotyczy, to zawsze tym innym kobietom przysparza trudności. I tak było w starożytności, tak było kiedyś i tak jest po dzień dzisiejszy chociaż czasy się zmieniły. Na czym więc polega owa nieregularność, owa osobliwość, to specyficzne położenie Maryi? Z Niej narodził się Jezus Chrystus, ale Józef nie był jego ziemskim ojcem. Józef nie włącza się w ten łańcuch Starego Testamentu. Zauważmy, że już wybranie Maryi na Matkę Zbawiciela zakładało to zerwanie ze Starym Testamentem. I że Maryja musiała za to zapłacić bardzo wielką cenę. Tak oczywiście przenosimy się do epizodu, który też państwo doskonale znają i który jest związany z wezwaniem parafii, w której teraz właśnie znajdujemy się, mianowicie do epizodu Zwiastowania Pańskiego, Zwiastowania Maryi. Ten tekst znamy, bo czytaliśmy go dziesiątki, może setki razy — i w kościele, i na odpust, i przy innych okazjach. Ale warto jeszcze przypomnieć te linie, które będą nam ukazywać osobliwość Maryi.

> W szóstym miesiącu

czytamy w Ewangelii św. Łukasza a chodzi o szósty miesiąc od czasu, kiedy Elżbieta poczęła syna;

> posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja.

Samo to zdanie sprawia dzisiejszemu człowiekowi bardzo duży kłopot. Dlaczego bowiem autor tak mocno akcentuje owo słowo „dziewica", po grecku „partenos", „która jest poślubiona mężowi"? Przecież jedno i drugie siebie wyklucza! Kiedyś w średniowieczu były podobno próby tzw. białych małżeństw czyli takich, kiedy ludzie łączyli się ze sobą ale bez małżeńskich powinności. Lecz gdy się im przyglądamy z dzisiejszego punktu widzenia, to ocieramy się o małżeństwo nieważne. Bo przecież warunkiem ważności małżeństwa jest także to, by je — jak nazywamy to w języku prawniczym — skonsumować. Więc jak ma się rzecz z Maryją? Tu dotykamy rzeczywistości żydowskiej, żydowskiego życia, która w gruncie rzeczy po dzień dzisiejszy pozostaje taka sama. Mianowicie zamążpójście czy też ożenek składa się zawsze z dwóch etapów. Pierwszy etap to są zaręczyny, tak jest po dzień dzisiejszy. Zaręczyny w gruncie rzeczy odbywają się nie pomiędzy chłopcem i dziewczyną, ale pomiędzy ich rodzicami. To rodzice spotykają się ze sobą i ustalają pewne warunki. Oczywiście — trzeba do tego dodać — nie dzieje się to bez woli ani bez zgody chłopca czy dziewczyny. Przecież rodzice tam, tak samo jak rodzice nasi, kochają swoje dzieci i nie chcą ich nieszczęścia. To nie jest tak, że jeżeli młody chłopak czy dziewczyna nie chce tego wybrańca, to rodzice na siłę decydują o tym. To byłoby niemożliwe, to byłoby nieludzkie. I na to żaden ojciec czy matka nie pójdzie bo mają w pamięci także swoją młodość i swoje uczucia. Ale kiedy już rodzice przeprowadzą rozmowy ze swoimi dziećmi, to oni przejmują inicjatywę. I wtedy odbywają się zaręczyny. Z tym, że te zaręczyny są przewidzane jako czas, w którym młodzi mają się do siebie przyzwyczaić. Ale w jakimś sensie przyzwyczaić? Mają się oswoić z myślą, że będą mężem i żoną. Ona też musi przygotować odpowiednie wyprawy, które potrzebne są kobiecie. On musi przygotować odpowiednie środki tak, aby rodzina nie była na utrzymaniu rodziców. Dlatego też zdarza się np. w rodzinach arabskich, gdzie obowiązuje ten sam zwyczaj, że żenią się bardzo późno bo nie stać ich na to, żeby rozpocząć samodzielne życie. Na tamtym obszarze nie ma takiego zwyczaju, jak u nas, że młodzi się kochają, żenią, a rodzice ich utrzymują. Nie! Młodzi się żenią — i utrzymują się sami. Musi tak być również dlatego, ponieważ jest bardzo dużo dzieci w rodzinach — nieraz kilkoro, nieraz jeszcze więcej. Zatem rodziców nie stać byłoby na to, żeby mieć w swoim domu 4 czy 5 czy 7 małżeństw ludzi, którzy właśnie weszli w związek małżeński a teraz czekają na wypłatę taty czy mamy. Tego nie ma. I w starożytności było dokładnie tak samo.

Maryja jest po zaręczynach z Józefem. Oboje przygotowują się do tego następnego etapu. Ten pierwszy etap nazywał się *elzim* i tak jest po dzień dzisiejszy. Natomiast drugi etap miał nastąpić za około rok, rok kalendarzowy. W tym czasie trwały przygotowania. Młodzi nie mogli na osobności spotykać się ze sobą, aczkolwiek mogli spotykać się w towarzystwie rodziców, rodzeństwa albo innych ludzi — ale sami nie, tak jest po dzień dzisiejszy. A warunkiem tego, żeby małżeństwo było ważne, było to, że w dzień zejścia się, w dzień właściwego ślubu, nazywany po hebrajsku *nissurie*, że

ona jest panną. Ci z państwa, którzy byli w krajach arabskich gdzie bardziej otwarcie się o tym mówi, wiedzą, że po dzień dzisiejszy przykłada się ogromną wagę. Mianowicie kto widział arabskie wesele — ale u Żydów jest zupełnie podobnie tylko bardziej dyskretnie, zamknięte przed oczami innych — ale na arabskim weselu jest tak, że po formule zaślubin, po formule przyjścia panny młodej oboje młodzi udają się do specjalnego pokoju, odpowiednio przygotowanego, do pomieszczenia, gdzie jest zapewniona intymność — i po jakimś czasie dowodem na to, że małżeństwo jest ważne, jest to, że wszyscy wiedzą, że dziewczyna jest panną, dziewicą. Gdyby było inaczej — wesele się odbyło, ale małżeństwa nie ma! Tak jest po dzień dzisiejszy. Oczywiście dla rodziny, dla rodziców jest wtedy wielki wstyd, wielka hańba. Praktycznie muszą uchodzić z miejsca, gdzie mieszkają. Dla dziewczyny jest to kompletne odrzucenie. W niektórych krajach arabskich, takich zwłaszcza bardziej tradycyjnych czy konserwatywnych, los tej dziewczyny jest naprawdę nie do pozazdroszczenia.

Dlaczego tak obszernie o tym mówimy? Dlatego, żeby państwo mieli w pamięci to, że ta sytuacja Maryi jest niezwykła i że ta sytuacja Maryi będzie dla Niej źródłem przeogromnego cierpienia, stanie się źródłem przeogromnego cierpienia. Ta sytuacja Maryi to jest ogromna próba jej wiary. Wiary w Boga. To my mamy w głowach wyobrażenie Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny — i tam jest światło, i gołąbek — Duch Święty i Maryja, i spokój i błogosławieństwo, i radość. Ale dla Niej był to krzyż, początek krzyża, który przyjęła. Zdecydowała się. Aluzje do tego mamy już w Ewangelii św. Łukasza, gdzie czytamy:

> Anioł wszedł do Niej i rzekł: «Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą, ¡błogosławiona jesteś między niewiastami¿ »

Te słowa anioła stały się początkiem modlitwy, którą znamy jako Pozdrowienie Anielskie, odmawiamy codziennie. Otóż w tym Pozdrowieniu Anielskim mamy uznane i wyznaną dobroć, czystość Maryi i jej szczególny związek z Bogiem. Podkreślam to państwu — Ona jest „Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą". Po grecku jest to słowo *keharitomene*. *Hario* — łaska, *keharitomene* — przepełniona łaską, przepojona łaską tak jak przepojona światłem. Jakby prześwietlona przez Boga. Cała pełna łaski. I tu nam się ukazuje niezwykłą sytuację, niezwykłe położenie Maryi. A reakcja:

> Ona zmieszała się na te słowa i rozważała, co miałoby znaczyć to pozdrowienie.

Oczywiście mogła zareagować inaczej. I kobietom i mężczyznom się to zdarza. Do takich reakcji jesteśmy zachęcani kiedy ktoś wygra coś, zwłaszcza w telewizorze. No to teraz niech będzie „Wow". No to jest „Wow". Więc jeżeli Maryja usłyszała tak wielkie pozdrowienie, to by mogła też na wzór naszych, którym się udało czy wygrali, krzyczeć „Wow", „Cieszę się!" Ale Ona zachowała się zupełnie inaczej. Dlatego, że człowiek dobry, człowiek, który jest z Bogiem, człowiek, który żyje w łasce musi częściej niż inni korzystać z rozumu. A to z tej przyczyny, że ten rozum może mu się przydać w sytuacjach, w których inni tego rozumu tak mocno nie potrzebują. I Maryja też przyjmuje tę pochwałę, przyjmuje to wyróżnienie, ale zachowuje rozsądek. Nie ostrożność lecz rozsądek: Zmieszała się i zastanawiała się, co miałoby znaczyć to pozdrowienie. Jeżeli bowiem ktoś nas chwali — dobrze o tym wiemy — albo czyni to z dobrego serca, albo ma w tym jakiś interes, albo ma jeszcze jakieś inne intencje. I warto czasami zastanowić się skąd pochwały pochodzą. W starożytnym Rzymie znana była nawet cała taka figura i sposób postępowania — też wspominaliśmy o tym — która nosiła nazwę *Captatio benevolentiae* czyli *pozyskanie przychylności*. Jeżeli się chce czyjąś przychylność pozyskać, to mu się prawi komplementy wiążąc mu w ten sposób ręce. Pan jest taki dobry, pani jest taka miła. No i trudno być niemiłym. Otóż tu anioł zastosował wobec Maryi takie captatio benevolentiae, pozyskanie przychylności, ale Ona zachowała roztropność:

> Anioł rzekł do Niej: «Nie lękaj się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca».

To wystąpienie anioła jest trochę przydługie, bo on jakby streszcza całą logikę Starego Testamentu. On ukazuje Maryi, że oto wiara jej rodziców, jej narodu i jej samej staje wobec jakiegoś

kluczowego momentu wyboru. Że oto coś się zmienia. I że ta zmiana ma dokonać się przy jej udziale: „Oto poczniesz i porodzisz Syna". I ten Syn to będzie nowy Dawid. Oto czas Starego Testamentu z Twoim udziałem dobiega końca. Mówiłem kiedyś państwu, że kiedy sam byłem w seminarium to mieliśmy takiego profesora, który przygotowywał nas do kapłaństwa, który tłumaczył nam że oczekiwania mesjańskie w biblijnym Izraelu były tak silne, że gdy matce urodziła się dziewczynka to matka była zawiedziona, bo dziewczynka nie będzie Mesjaszem. A jak urodził się chłopiec to się bardzo cieszyła. Oczywiście ten profesor miał bardzo dużą wyobraźnię. I jak ktoś ma wyobraźnię, to może takie rzeczy mówić. Napięcie mesjańskie w biblijnym Izraelu nie było aż tak wielkie, żeby — przenosząc to na nasze czasy — matka, której urodzi się dziewczynka myślała sobie: „O szkoda! Bo nie będzie papieżem!" A kiedy urodzi się chłopiec to cieszyła się — bo takie było prawdopodobieństwo wtedy, jak mniej więcej dzisiaj. Z tym, że Mesjasz w dziejach świata był jeden, a papieży już mieliśmy ponad dwustuseśćdziesięciu. Więc to drugie jest i tak dużo łatwiejsze.

Chodzi o coś innego. Ja to państwu troszeczkę upraszczam i troszeczkę trywializuję żeby pokazać, że sytuacja Maryi była sytuacją absolutnie nową. Przecież Ona miała za sobą zaręczyny. Była dziewczyną dobrą, porządną. Dowiadujemy się coś więcej: „pełna Łaski". I czekała na ziszczenie się, na spełnienie jej powołania w małżeństwie. I oto otrzymuje tę tajemniczą wieść, że ma stać się matką Syna Bożego. Zadaje pytanie, które zadałaby każda w miarę rozsądna dziewczyna, odpowiednio przygotowana. W starożytności — nie wiem — przez matkę, przez siostry, przez ciotkę, bo wszystko to w starożytności też było przedmiotem wprowadzania i przygotowania:

> Na to Maryja rzekła do anioła: «Jakże się to stanie, skoro nie znam pożycia z mężem?»

W języku greckim tu jest dosłownie: „Jakże się to stanie, skoro męża nie znam?" I w niektórych polskich przekładach jest tak. Ale to jest w przekładzie nie do końca jasne — sam nieraz takie pytania słyszałem: To jak to? To Maryja wychodzi za mąż i nie znała męża? Nie wiedziała, kto będzie jej mężem? Nie, to nie o to chodzi! Owe greckie słowa są przekładem hebrajskiego bądź aramejskiego słowa *jada*. Czasownik *jada* oznacza *znać*, ale w kontekście relacji miedzy mężczyzną a kobietą *poznać kobietę* czy *poznać mężczyznę* oznaczało właśnie akt małżeński. Dlatego Maryja zadaje pytanie: Jakże się to stanie, skoro nie znam pożycia z mężem? Co więcej — nie wolno jej było do tego pożycia z mężem dopuścić. Otóż byłoby niedobrze, gdy kiedyś przyjdzie ślub a oto Maryja spodziewa się dziecka — bo posunęli się zbyt daleko. To nie wchodziło w rachubę. Więc Maryja zadaje pytanie, które nie tylko się nasuwa, tylko które tę ludzką rzeczywistość macierzyństwa opisuje bardzo realistycznie.

> Anioł Jej odpowiedział: «Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym. A oto również krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna i jest już w szóstym miesiącu ta, która uchodzi za niepłodną. Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego».

Zwróćmy uwagę, że sytuacja Maryi zostaje porównana z sytuacją Elżbiety. Ale podobieństwo jest ograniczone. Anioł daje porównanie ale nie tłumaczy różnicy. A różnica polegała na tym, że w tamtym przypadku mężatka, starsza kobieta spodziewa się dziecka, które poczęła w związku ze swoim mężem. Zatem odbiera to jako wielką radość i jako taką samą radość traktuje to jej mąż. Natomiast w tym przypadku młoda dziewczyna, która została zaręczona, ma stać się matką bez udziału swojego ziemskiego męża. I to jest jej dylemat. Tu jej wiara zostaje wystawiona na próbę. Otóż tu mamy do czynienia z tym jej — jeżeli tak można powiedzieć — pierwszym krzyżem na długo przed Ukrzyżowaniem. Bo teraz Ona musiała zestawić wszystkie za i wszystkie przeciw. A wśród tych „przeciw" był przede wszystkim Józef. Pamiętajmy, że Zwiastowanie dotyczyło Maryi, nie dotyczyło Józefa. Doskonale wiemy z tekstu Ewangelii św. Mateusza, który przedstawia męski punkt widzenia, że Józef miał z tym potężne kłopoty. Otóż Maryja musiała w okamgnieniu rozważyć całą tę sytuację. Bóg ją powołuje — to jedno. Bóg wybrał ją na matkę swojego Syna – to zaszczyt i godność. Ale z tym wiąże się owa specyfika jej położenia. Otóż mówiąc dosadnie i krótko, ale prawdziwie, stanie się panną z dzieckiem i jej mąż, ten z którym miała się związać, będzie pewny, że to nie jest jego dziecko. A co powiedzieć innym? Otóż wybór, ta godność, to jest krzyż. I ten krzyż jest bodaj większy niż to, co ją w tamtych warunkach spotyka. To nie jest sytuacja Polski z XXI wieku, to jest

sytuacja biblijnego Izraela sprzed dwóch tysięcy lat. A prawodawstwo mojżeszowe, które było wtedy przestrzegane tak, jak jest dzisiaj przestrzegane prawodawstwo semickie różnych ludów, zwłaszcza Arabów, głosiło że jeżeli jakaś dziewczyna stanie się narzeczoną swojego przyszłego męża, a ten stwierdzi, że była wobec niego wiarołomna, to odpowiedź jest tylko jedna. On przyprowadza ją przed zgromadzenie, oznajmia, że to nie jest jego dziecko i dziewczyna ma zostać ukamieniowana. Jakkolwiek okrutna jest ta kara, to była stosowana. Proszę sobie przypomnieć choćby sytuację kobiety skazanej za cudzołóstwo i przyprowadzonej do Jezusa. Tam szczęśliwie dla siebie uniknęła śmierci. Ale Maryja jest tu w samych początkach. Poza tym Maryja jest dziewczyną bardzo młodą. Zauważmy, że ten moment jest prawdziwie dramatyczny, to jest naprawdę próba wiary. Została wybrana do wielkiej godności i musi za to zapłacić wielką cenę. Na szczęście Pan Bóg jej pomógł to rozwiązać, ale ona w tej chwili jeszcze tego nie wiedziała. I przeżyła co to znaczy — o czym dowiemy się z Ewangelii św. Mateusza. Przypomnijmy sobie tylko:

> Mąż Jej, Józef, będąc człowiekiem sprawiedliwym

wyjaśnimy to sobie,

> i nie chcąc narazić Jej na zniesławienie,

to łagodnie powiedziane

> zamierzał Ją potajemnie oddalić.

A więc pomiędzy Józefem a Maryją na tym etapie nie było zaufania aż takiego, żeby Józef tę sytuację zaakceptował. Wiemy, że Pan Bóg odmienił jego serce, ale to trwało parę tygodni czy parę miesięcy. Ten epizod kończy się słowami:

> Na to rzekła Maryja: «Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według słowa twego!»

Ta odpowiedź jest odpowiedzią wiary. Maryja nie powiedziała: „Oto ja, zrób tak, jak uważasz", tylko odpowiedziała: „Oto Ja służebnica Pana, niech Mi się stanie według słowa twego". Czyli Bóg, który ode mnie tego żąda, który ode mnie tego chce, który ode mnie tego oczekuje, mnie nie opuści. Jestem służebnicą Pana. Skoro On zrządził to, co mi zapowiadasz, to On da również siły do tego, by się spełniło. Skoro przyszło to, co mnie spotyka, to da także moc by przezwyciężyć to, co jest w tym trudne. Oto Ja służebnica Pańska — czyli cała moja moc pochodzi nie ode mnie ale od Niego. I skoro On mnie wybrał, to ja Mu ufam, że mnie nie zostawi. Niech więc Mi się stanie według słowa twego.

Proszę zauważmy, że wiara tu, w wydaniu Maryi, to nic innego jak głębokie, do końca, zawierzenie Bogu. Myślę, że pełne napięcie, pełny dramatyzm, pełną treść tego epizodu, tych słów mogą zrozumieć tylko kobiety. Mogą zrozumieć, co to znaczy, i co to ze sobą niesie. Ile razy powtarzamy te słowa: „Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według słowa twego", choćby w modlitwie Anioł Pański, to pamiętajmy, że to jest ten pierwszy próg wiary, przez który Maryja przeszła.

> Wtedy odszedł od Niej anioł.

Czy więc została sama? W pewnym sensie tak. Anioł zniknął. W tradycji chrześcijańskiej pojawiły się i takie domniemania, że gdy Zwiastowanie ustało, Maryja zaczyna się zastanawiać: czy to, co się wydarzyło, to nie jest jakieś widzenie, duchowe przeżycie, jakaś ułuda a może oszustwo? Czy takie myśli Ją nurtowały — tego nigdy nie będziemy wiedzieć. Ale anioła nie ma, została Ona i został Bóg. Bo człowiek, który ufa Panu Bogu, nigdy nie jest sam. I okaże się to prawdziwe jak wtedy, kiedy ten sam epizod obejrzymy od strony Józefa, a potem posuniemy się dalej.

I na tę refleksję zapraszam państwa za miesiąc, w drugi poniedziałek listopada czyli 14 XI. Wtedy wrócimy do tego wątku oświetlając go jakby z drugiej strony. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Na koniec pomódlmy się krótko, również za ś.p. księdza Romualda: „Zdrowaś Mario, . . . ", „Wieczny odpoczynek. . . ".

8.2 N.M.P. — do odnalezienia Jezusa w świątyni (14 listopada 2005)

Dobry wieczór państwu. Zaczynamy od modlitwy: „Ojcze nasz ...", „Stolico Mądrości, módl się za nami!" Bardzo serdecznie państwa witam w listopadowy wieczór, już prawie połowa listopada. Pojutrze dzień papieski, dzień Jana Pawła II, który obchodzimy już po jego śmierci, zatem z nim, ale po drugiej stronie życia. Tak patrząc na państwa myślę sobie, że gdyby tu każdy z państwa stanął tutaj i popatrzył na tę grupę, na tę wspólnotę, to widok jest prawdziwie budujący.

Jeszcze tytułem pewnego wprowadzenia chciałbym powiedzieć, że trzy dni temu, w samo Święto Niepodległości, 11 XI, pożegnaliśmy na cmentarzu w Tyńcu ojca Augustyna Jankowskiego, wielkiego znawcę, miłośnika Pisma Świętego, jednego z najwybitniejszych polskich biblistów i teologów. O jego sylwetce, o jego życiu mógłbym w gruncie rzeczy mówić przez całą tę konferencję — dlatego bo tak się złożyło, że znam to życie dość dobrze z wieloma szczegółami. Rzecz jasna to będzie niemożliwe, więc tylko kilka takich szczegółów, żeby państwo zajmując się Pismem Świętym, czytając je i rozważając, mieli również rozeznanie o tych, którzy mają w tym zakresie szczególny udział i szczególne zasługi. Ojciec Jankowski urodził się jako Bogdan Jankowski dość dawno, bo w r. 1916 — zatem kiedy umierał miał lat 89 — w rodzinie polskich zesłańców. Urodził się aż za Uralem. To już chyba ostatnie pokolenie tych, którzy mogliby mieć takie właśnie pochodzenie. Ze swojego dzieciństwa wiele razy przypominał życie tam. Tam zaledwie przeżył sześć lat, ale widocznie bardzo mu to utkwiło w pamięci. Wspominał i Chińczyków, i Mongołów, i rozmaitych innych ludzi zsyłanych przez Rosjan jeszcze za cara. Następnie ze swoimi rodzicami po rewolucji bolszewickiej wrócił do Polski. Przypominał zwłaszcza taki epizod, jak to przekroczywszy granicę radziecko-polską w Stołpcach, kiedy ojciec przeprowadził go na drugą, już polską stronę, wtedy mały Bogdan wykrzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!". A ponieważ obok stali ciągle bolszewicy, to prawie go tam zwinęli, chcieli dość surowo skarcić. To było jedno z jego wspomnień z samego początku życia. Ojciec w Polsce był wojskowym, młody Bogdan mieszkał w Toruniu. Wychował się w Toruniu, w Toruniu kończył szkołę, znał Toruń, ukochał Toruń. A następnie, tuż przed wojną — do Warszawy. Wojnę spędził w Warszawie i tuż po wojnie wstąpił do seminarium duchownego i został księdzem. Był księdzem archidiecezji warszawskiej, dlatego i nam również jest dość bliski. Tak było przez siedem lat jego kapłańskiego życia. Następnie poprosił ks. kardynała Wyszyńskiego o zgodę na wstąpienie do zakonu benedyktynów i w 1955 roku wstąpił do benedyktynów w Tyńcu. I od tamtej pory pozostawał w zakonie benedyktynów. Tam miał rozmaite funkcje, m.in. w latach 80-tych był opatem tego czcigodnego opactwa tynieckiego. Wielce zasłużony dla badań biblijnych i dla refleksji nad Pismem Świętym. Bo nauczał w seminarium duchownym w Warszawie, uczył też na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Odbył studia w Rzymie w latach 1946 - 48 w tym samym okresie, w którym był w Rzymie również Karol Wojtyła. Przyjaźnił się z Karolem Wojtyłą, następnie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II. A na pogrzebie arcybiskup Dziwisz, który wygłosił homilię, przypomniał epizod z ostatniej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski kiedy to tuż przed wyjazdem na lotnisko Ojciec Święty poprosił zdając sobie sprawę z tego, że to jest pożegnalna wizyta w Polsce, jego ostatni pobyt w Polsce, żeby w drodze na lotnisko zawieziono go do opactwa tynieckiego, gdzie bardzo często przebywał odprawiając rekolekcje, udając się na takie skupienie, szukając modlitwy. Więc w drodze na lotnisko samochody wiozące Ojca Świętego i cały jego orszak udały się do opactwa. A kiedy papież stanął tam na dziedzińcu, to jego pierwsze słowa były: „A gdzie jest ojciec Jankowski?" Otóż ojciec Jankowski tam bardzo się zasłużył jeżeli chodzi o badania biblijne. Wykładał jeszcze na Papieskiej Akademii Teologicznej, i to prawie do końca swojego życia. Bardzo lubił wykładać. Natomiast jego największym dziełem życiowym jest Biblia Tysiąclecia, którą znamy zapewne wszyscy, gdyż jest to Pismo Święte w języku polskim, które zostało wydane w 1965 r. czyli 40 lat temu dla uczczenia 1000-lecia chrztu Polski. Jest to Pismo Święte wydane z inicjatywy kardynała Stefana Wyszyńskiego i właśnie benedyktynów tynieckich, którym przewodził wtedy w tych badaniach i w tym tłumaczeniu ojciec Augustyn Jankowski, bo takie imię Augustyn przyjął w życiu zakonnym. Ile razy państwo słyszą w kościele czytania biblijne, czytania Pisma Świętego, to są wg. tego właśnie przekładu. Jest autorem ponad 200 publikacji, ponad 20 książek, rozmaitych artykułów, konferencji. Chętnie posługiwał rekolekcjami i dniami skupienia, więc życie jego było bardzo pracowite. Zmarł w niedzielę 6 listopada rano w szpitalu w Krakowie. Ciało prze-

wieziono do Tyńca i właśnie w ostatni piątek po południu odbył się jego pogrzeb. Rozpoczął się o godz. 3 po południu, w Godzinie Miłosierdzia. Kiedy się kończył, kiedy ciało było składane do grobu, było już ciemno, ok. godz. 18. Msza św. bardzo uroczysta, bardzo podniosła wg. tego rytu bemedyktyńskiego.

I biorąc udział w tym pogrzebie tak myślałem sobie – jakie są przedziwne ludzkie losy. Że człowiek rodzi się gdzieś tam, za Uralem, przeżywa prawie 90 lat i jest pochowany nad samiuteńką Wisłą w opactwie tynieckim. Być może państwo będą kiedyś w Krakowie — na pewno warto do Tyńca pojechać, zobaczyć to czcigodne opactwo, i oczywiście wtedy trzeba też udać się na cmentarz. I tam wśród grobów benedyktynów, tuż przy opactwie, jest także grób ojca Augustyna Jankowskiego. W tym dniu był taki szczególny symbol, tak przychodziło mi do głowy. Otóż kilka lat temu przygotowywałem księgę pamiątkową dla ojca Augustyna Jankowskiego i dał mi swój życiorys, napisany przez niego samego. Napisany na maszynie, bo już nie posługiwał się komputerem, przez niego samego, własnoręcznie, podpisany. I czytałem ten życiorys, rozmaite wątki, rozmaite jego opowiadania, bardzo ciekawe i dające wiele do myślenia. I jeszcze jedna rzecz uderzyła mnie szczególnie. Napisał w tym życiorysie, że do klasztoru benedyktynów w Tyńcu przyjechał 7 XI 1955 r. A zmarł 6 XI 2005 r. Zatem w klasztorze benedyktynów był równe 50 lat, co do jednego dnia. Był całe pół wieku. I kiedy trumna z jego ciałem była niesiona z góry, z klasztoru na dół, na cmentarz — tą samą drogą, którą pół wieku wcześniej szedł do tego klasztoru — próbowałem sobie wtedy wyobrazić tego jeszcze wtedy młodego człowieka, księdza, który gdzieś tam wywędrowawszy zza Uralu, przez Toruń i Warszawę, wchodził po tych kamieniach, a pół wieku później jego ciało było znoszone na dół i tam, w Tyńcu, pogrzebane.

Ogromne dokonania. Człowiek wielkiego ducha, wielkiego formatu. Człowiek, który jest bardzo zasłużony dla polskiej biblistyki. Mamy w Polsce, państwo wiedzą o tym, takie Stowarzyszenia Biblistów Polskich, w tej chwili należy do niego ok. 220 osób, i ojciec Augustyn Jankowski był nestorem polskich biblistów, był najstarszy w naszym gronie. Odszedł, więc żegnaliśmy go z prawdziwym żalem. Ale jednocześnie patrząc na benedyktynów jak oni to przeżywali widzieliśmy, że traktowali to odejście jako naturalny składnik życia, jako przejście na tę drugą stronę.

To wszystko było w ubiegłym tygodniu. Ten pogrzeb zszedł trochę na dalszy plan z powodu Święta Niepodległości, z powodu rozmaitych uwikłań politycznych, także z innych zapewne powodów. Mało było na ten temat informacji. Nie zawsze jest tak, że potrafimy cenić tych, którzy są świadkami i twórcami historii na naszych oczach. I dlatego poświęciłem kilka minut temu wyjątkowemu człowiekowi by uświadomić państwu, że ktoś tak znaczący i ważny w tych dniach odszedł. Ojciec Augustyn Jankowski. Być może są tacy wśród państwa, muszą to być już osoby starsze, które pamiętają go jeszcze z czasów warszawskich. Było bowiem tak, że do Tyńca pojechało kilka osób ze środowiska warszawskiego, które pamiętały go jeszcze jako rekolekcjonistę, jako ojca duchownego, jako przewodnika duchowego z początku lat 50-tych w naszym stołecznym mieście. Tak więc: Ural, Toruń, Warszawa, Tyniec wyznaczyły szlak życia i śmierci ojca Augustyna Jankowskiego.

My miesiąc temu rozpoczęliśmy cykl tegoroczny, którego temat brzmi: „Bohaterowie wiary Nowego Testamentu". I w naszej refleksji zatrzymaliśmy się nad Maryją jako pierwszą wśród wielkich bohaterów wiary Nowego Testamentu. Wśród tych, którzy kładli podwaliny, fundamenty pod tę wiarę, w którą i my jesteśmy wszczepieni. Starałem się państwu miesiąc temu powiedzieć i podkreślić, że chcemy przedstawić Maryję od takiej ludzkiej strony, od człowieczej strony. Chcemy zobaczyć coś, co w jej osobie, w jej życiu było bardzo solidarne z naszym życiem i naszym losem. Oczywiście, że patrzymy na Nią przez pryzmat wiary, modlimy się do Niej, wyznajemy Ją, ale jednocześnie zdajemy sobie sprawę, że była w pełni człowiekiem, kobietą, córką biblijnego Izraela. I dlatego próbujemy zastanowić się nad fenomenem, nad heroizmem jej wiary. Zwróciliśmy uwagę miesiąc temu na same początki jej powołania. Na to, jak bardzo głęboko jest wszczepiona w dzieje narodu bożego wybrania. Zwróciliśmy także uwagę na okoliczności, które przesądziły o Zwiastowaniu oraz o tym, że stała się Matką Syna Bożego. Mam nadzieję, że udało mi się pokazać i że państwo uchwycili ten moment że to, co my traktujemy i postrzegamy — i słusznie — jako wielki przywilej, jako wielkie wyróżnienie Maryi, to dla niej samej było źródłem cierpienia, niepewności, rozterek, obaw, trudności a nawet nieprzyjaźni i wrogości. I zwróciliśmy na to uwagę, że Zwiastowanie i fakt, że jako młoda dziewczyna, jako panna, która zaledwie została zaręczona z Józefem, stała się matką, było dla niej powodem do wielkich niewygód które i z dzisiejszej perspektywy też bardzo

dobrze rozumiemy. Że te niewygody były bardzo duże — to zaznaczyliśmy na końcu — świadczy także Ewangelia św. Mateusza oraz przykład św. Józefa. W Ewangelii św. Mateusza, która została napisana z perspektywy męskiej, inaczej niż Ewangelia św. Łukasza, do której za chwilę wrócimy, czytamy o tym wydarzeniu, o tym Zwiastowaniu Najświętszej Maryi Pannie tak, jak to przeżywał, jak to stało się udziałem Józefa. Oczywiście ta perspektywa jest zupełnie odmienna. Właściwie znając przecież te układy pomiędzy ludźmi, te relacje które do dnia dzisiejszego istnieją, możemy się domyślać i zaznaczyliśmy miesiąc temu na czym polegał problem. Ewangelista wyjaśnia to tak (Mt, 1, 18):

> Z narodzeniem Jezusa Chrystusa było tak. Po zaślubinach Matki Jego, Maryi, z Józefem, wpierw nim zamieszkali razem, znalazła się brzemienną za sprawą Ducha Świętego.

Zatem ewangelista zna wydarzenia.Ale proszę pamiętajmy, że ewangelista przedstawia to wszystko już z perspektywy po śmierci i Zmartwychwstaniu. Ewangelia św. Mateusza została napisana mniej więcej 25 - 30 lat po Zmartwychwstaniu Jezusa. Zatem ewangeliście łatwiej jest opisywać to, co ma na myśli, to co się wydarzyło, bo zna już sens, zna już ostateczne przeznaczenie Jezusa. Wie, kim Jezus był. A my tutaj, odtwarzając niejako te wydarzenia, musimy się postawić w sytuacji i Józefa i innych ludzi, którzy mieszkali wtedy w Nazarecie, i zaczynamy czuć, że ten heroizm wiary Maryi natrafił tutaj na mur trudności, które także z dzisiejszej perspektywy są nie do pokonania:

> Mąż Jej, Józef, który był człowiekiem sprawiedliwym i nie chciał narazić Jej na zniesławienie, zamierzał Ją potajemnie opuścić. (Mt, 1, 19)

Ileż to razy powtarzamy, że kiedy słyszymy te słowa to mówimy sobie: A cóż to za sprawiedliwość, kiedy mąż chce opuścić czy oddalić potajemnie swoją żonę? Gotowi jesteśmy albo oskarżać Józefa albo też mówić, że ewangelista przykłada tutaj do niego kategorie, których byśmy nie przyłożyli. A jednak — ewangelista ma rację. Opisuje coś, co rzeczywiście wymaga naszego zastanowienia i uznania.

Wspominaliśmy o tym, teraz tylko krótko, że jesteśmy w świecie starożytnym, w świecie semickim, w świecie żydowskim. I podobnie jak dzisiaj w świecie semickim, a przejawy tego mamy wciąż w świecie arabskim, otóż mężczyzna musi uznać swoje dziecko, musi je przyjąć. Musi stwierdzić publicznie, że to jest jego dziecko, żeby wszystko było w porządku. Zwracaliśmy na to uwagę, znamy ten motyw. I tutaj domyślamy się, że Maryja stanęła wobec ogromnych trudności. Dlatego, że przecież na pewno była jakaś codzienna, zwyczajna rozmowa Maryi z Józefem. I Maryja oto przekazała swojemu przyszłemu mężowi — i w pewnym sensie już mężowi, bo to ten okres między zaręczynami a wyjściem za mąż — przekazała wiadomość, że spodziewa się dziecka i opowiedziała to, co przeżyła. Jak on to przyjął — otóż najprawdopodobniej nie uznał tego jej tłumaczenia, nie przyjął tego. I w związku z tym zamierzał odejść, zamierzał odejść po to, by oszczędzić jej życie. Bo gdyby odniósł się do Niej wg. tych zasad i praw, jakie panowały wtedy w żydowskim społeczeństwie, to musiałby powiedzieć publicznie że dziecko, które poczęła, nie jest jego. A to spowodowałoby niechybnie skazanie Maryi nawet na śmierć. I wiemy, że sam Pan Bóg rozwiązał tę sytuację (Mt, 1, 20):

> Gdy powziął tę myśl, oto anioł Pański ukazał mu się we śnie i rzekł: «Józefie, synu Dawida, nie lękaj się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło.

Tutaj kluczowe są te słowa: „Nie lękaj się". Otóż o kogo lękał się Józef? Przede wszystkim o siebie. Nawet nie dlatego, że był egoistą – był człowiekiem prawym, czy nie dlatego że chciał w czymkolwiek skrzywdzić Maryję. Ale dlatego, że nie dowierzał, nie mógł przyjąć, że ta nowość bożego działania jest tak wielka, że mamy do czynienia z dziewiczym poczęciem. I dopiero wprowadzony w tę tajemnicę dziewiczego macierzyństwa Maryi, wprowadzony przez Boga samego, przyjmuje ten dar, a także przyjmuje Ją i przyjmuje dziecko, które ma przyjść na świat.

Co czuła Maryja wtedy — to pewnie byłoby dobre zadanie dla psychologa, dla badacza człowieczego wnętrza, dla badaczy duszy i wnętrza kobiety. Bo przecież musiały nią targać najrozmaitsze

uczucia. Ale jedno nie ulega wątpliwości — że to, co z wiarą przyjęła traktowała jako dar Boży. I właśnie w kontekście tych wydarzeń, w kontekście tego wszystkiego trzeba nam także zwrócić uwagę na późniejsze wydarzenia, które mają związek z tym bardzo wczesnym okresem powołania Najświętszej Maryi Panny. Chcemy bowiem zobaczyć jej wiarę — na czym ta wiara polegała. Wiara pojmowana jako zawierzenie Panu Bogu. Widzimy, że ten początek był centralny, był kluczowy, był pod pewnymi względami najważniejszy. Raz jeszcze to powtórzmy, że to powołanie było dla Niej źródłem wielkiego utrapienia. Ale kiedy już Józef przyjął Ją do siebie, kiedy oboje zeszli się, zamieszkali razem, to wtedy wydarzenia potoczyły się szybko, ale jednocześnie nie według takich zwyczajnych kanonów. Bo proszę państwa musimy tutaj dotknąć sprawy która, jak wszystkie tego rodzaju rzeczy, jest dość subtelna, dość delikatna. Otóż Józef dowiedział się i przyjął Maryję w jakiś czas po Zwiastowaniu. Czy było to kilka dni czy kilka tygodni — tego nie jesteśmy w stanie powiedzieć. Ale z całą pewnością kiedy przyjął już Ją do siebie, kiedy oboje związali się małżeństwem według tych zwyczajnych i zwyczajowych sposobów zawierania małżeństwa, to od Zwiastowania upłynął jakiś czas. Dziewięć miesięcy później urodził się Jezus. Dobrze wiemy, a w starożytności istniało to tak samo, jak dzisiaj — łatwo było wyliczyć, że Jezus urodził się wcześniej niż można by się spodziewać.

Proszę zwrócić uwagę — dotykamy tutaj rzeczy niesłychanie subtelnej. Tej mianowicie, że Zwiastowanie nie przestało być dla Maryi — nawet wtedy, kiedy już byli małżeństwem — źródłem pewnych trudności. Ona niejako musiała się samym faktem macierzyństwa tłumaczyć, nawet jeżeli nikt ją wręcz nie pytał. Otóż dziecko, które przyszło na świat, Jezus, który przyszedł na świat, przyszedł na świat jako domniemany syn Józefa. I tak zostało. To jest jeden z najtrudniejszych aspektów, przed którymi stajemy w Ewangeliach, i którego unikamy jak możemy, bo rozważania są dość trudne nie dlatego, żebyśmy mieli kłopoty ze zrozumieniem tylko dlatego, że rozumiemy aż nadto dobrze. Otóż Ewangelie kilkakrotnie nawiązują do tego wątku, kiedy to mieszkańcy Nazaretu — wspomnimy o tym jeszcze — będą mówić: «Czyż nie jest to syn Maryi? Czy nie jest to syn Józefa? Czy Go nie znamy? Czy jego rodzina tutaj nie mieszka wśród nas?» Otóż Maryja i Józef zdecydowawszy się na to macierzyństwo i na takie ojcowstwo, zdecydowawszy się na wejście w Boży plan zbawienia, rzeczywiście poświęcili Panu Bogu bardzo wiele i coś, co powodowało stale niewygodę i co wywoływało zawsze taki swoisty uśmiech. Otóż zwracając uwagę na ten fakt musimy bardzo mocno to podkreślić, że dziewicze macierzyństwo Maryi było przez całe jej życie, aż do śmierci Jezusa, aż do Zmartwychwstania, taką najbardziej intymną stroną jej życia z którą musiała się przed Bogiem i przed ludźmi stale zmagać. Pan Bóg ją wybrał — to prawda. Powołał ją do czegoś niezwykłego — to prawda. Ale tu nasuwa się jeszcze jedno pytanie. Myślę, że jeżeli zastanawiamy się głębiej, jeżeli snujemy taką historię wirtualną, a więc możliwą, to możemy a nawet musimy to pytanie postawić. Mianowicie ktoś bardzo dociekliwy mógłby zapytać tak: «To skoro to dziewicze macierzyństwo Maryi, które doszło do skutku w okresie zanim jeszcze zeszła się ze swoim mężem, skoro wywoływało u Niej taki dyskomfort, skoro wywołało podejrzenia, skoro wywoływało trudności nawet ze strony samego Józefa — to czy Pan Bóg nie mógł zaczekać? Czy nie mogło być tak, że Maryja dostąpiła Zwiastowania już po ślubie i po zejściu się z Józefem? Czy wtedy nie byłoby Jej i Józefowi łatwiej?» Nie wiem, czy kiedykolwiek zastanawiali się państwo nad tym pytaniem. Czasami jest tak, że rzeczy najprostsze najtrudniej przychodzą nam do głowy. A to, co dotyczy początków naszej wiary, nie zawsze staje się przedmiotem aż takiego rozstrząsania jak to, na które decydujemy się dzisiaj. Myślę, że tego rodzaju pytania nigdy do tej pory nie słyszeliśmy. Być może nie przychodziło nam do głowy.

Powtórzmy raz jeszcze: «Czy żeby nie wywoływać tych wszystkich wątpliwości Bóg nie mógł jeszcze zaczekać ze Zwiastowaniem tak, aby Jezus został poczęty w owym małżeństwie?» I tu odpowiedź — skoro się postawiło pytanie, trzeba próbować jej udzielić — racjonalna i rozsądna odpowiedź brzmi: «Nie!» Nie z dwóch powodów. Z jednego powodu czysto obyczajowego, i z powodu społecznego. To mianowicie, że zejście się męża i żony w świecie semickim — żydowskim, arabskim — po dzień dzisiejszy, czyli ten moment ślubu oznaczał jednocześnie ich połączenie. Oznaczał jednocześnie konsumpcję, tak to nazwijmy dzisiejszym językiem, ich małżeństwa. Musiałby Pan Bóg wprowadzić ich oboje w swój Boży Plan odpowiednio wcześniej żeby, związawszy się małżeństwem, postanowili żyć w dziewictwie. Coś takiego w tamtych czasach, w tamtym świecie wydaje się być zupełnie niemożliwe. Druga sprawa to są względy czysto zewnętrzne. Gdybyśmy nawet założyli, że

mocą jakiejś tajemniczej bożej pedagogii Józef i Maryja zostali wprowadzeni w Boży Plan Zbawienia wcześniej, następnie zawierają małżeństwo i postanawiają żyć w absolutnej czystości od samego początku, to przecież urodzone w tym małżeństwie dziecko, czyli Jezus, byłoby tym mocniej postrzegane, i tym pewniej jako syn obojga, i to syn fizyczny. Zatem Bóg wybrał tutaj jakby mimo wszystko mniejszy kłopot. Oczywiście snujemy rozważania co by było gdyby, ale wszystko po to żebyśmy zrozumieli, że cała ta wzniosła sytuacja ma swoje głęboko ludzkie podłoże. I że w tym głęboko ludzkim podłożu sytuacja Maryi była niesłychanie trudna. Trzeba było całego życia, aby zmagała się z tym, przyjęła to, żeby to macierzyństwo które od samego początku było dla Niej źródłem cierpienia, żeby później jeszcze w krzyżu dopełniła tego cierpienia, o czym mamy zamiar jeszcze dzisiaj powiedzieć. Kiedy już spodziewała się narodzin swojego dziecka okazało się, że znów przełamała schematy. Pisze o tym ewangelista św. Łukasz (Łk, 1, 39 - 40):

> W tym czasie Maryja wybrała się i poszła z pośpiechem w góry do pewnego miasta w [pokoleniu] Judy. Weszła do domu Zachariasza i pozdrowiła Elżbietę.

O Elżbiecie wiemy, że była żoną Zachariasza, była już posunięta w latach, i że w tym czasie, pół roku wcześniej, też stała się matką, ale stała się matką w sposób zupełnie naturalny. Maryja, jej krewna, młoda dziewczyna, która stała się matką w sposób nadnaturalny, postanawia ją odwiedzić. Kiedy czytamy ten tekst w Polsce, to pytania nam jeszcze specjalnie do głowy nie przychodzą. Ale prowadząc pielgrzymki do Ziemi Świętej — nie było jeszcze ani jednej grupy, w której uczestnicy nie zadali by następującego pytania. Zazwyczaj jest tak, że jesteśmy wcześniej w Nazarecie, potem w Kanie Galilejskiej, w Galilei, następnie w Jerozolimie i przy sposobności Jerozolimy jedziemy do Ein Karem czyli miejsca narodzenia Jana Chrzciciela i miejsca nawiedzenia Elżbiety przez Najświętszą Maryję Pannę. Bywa czasami inaczej — najpierw jesteśmy w Jerozolimie, zwiedzamy Ein Karem, a potem jedziemy do Galilei, do Nazaretu, do innych miejsc. I dlatego w Ein Karem albo w Nazarecie ktoś podchodzi i powiada tak: «Proszę księdza, a jak to jest możliwe, żeby Maryja, która spodziewa się dziecka prawie od trzech miesięcy, odbyła tak długą podróż?» Ta podróż była rzeczywiście długa, bo z Nazaretu do Jerozolimy jest ok. 140 km. Jak na czasy starożytne to dość daleko. I tu znów warto wiedzieć, że starożytna Palestyna wyglądała 2000 lat temu zupełnie inaczej, niż nasze tereny w owym czasie. Na terenie Palestyny była rozbudowana sieć dróg, rozbudowane szlaki komunikacyjne, rozbudowany transport. Istniały hotele tak, jak istnieją one dzisiaj — to wymysł bliskowschodni. Na drogach były oznaczenia, tzw. kamienie milowe, wyznaczające mile. Jedna mila to było ok. 1600 m. Mniej więcej co 15 - 20 - 25 km był hotel, był zajazd i to nie jeden tylko mnóstwo takich zajazdów. Tam zatrzymywano się na odpoczynek, tam był dział dla mężczyzn, dział dla kobiet. Nie tylko kobiety podróżowały same w takich specjalnych karawanach, pod ochroną — moglibyśmy powiedzieć: niesłychanie czujnie pilnowane. Rzecz jasna za to trzeba było płacić. Ale nawet rodzice wysyłali dzieci. Przypominają sobie państwo przykład małego Saula z Tarsu, Szawła, który został przez swoich rodziców jako młody chłopak wysłany z Tarsu, na terenie Azji Mniejszej, aż do Jerozolimy by pobierać naukę u stóp Gamaliela. Więc nie tylko kobiety ale także dzieci odbywały takie podróże, bo to wszystko było odpowiednio zabezpieczone. Ten system bardzo dobrze funkcjonował. Nam czasami wydaje się, że w starożytności ludzie byli jakimiś ludźmi prymitywnymi. Absolutnie nie! Kiedy patrzymy dzisiaj na ślady archeologiczne tego życia sprzed 2000 i więcej lat, to możemy podziwiać ich pomysłowość, przemyślność, możemy zadziwiać się nad organizacją życia społecznego. Więc od tej strony patrząc podróż Maryi nie jest niczym niemożliwym. Przeciwnie, takie podróże się odbywały. Otóż kiedy mąż chciał wysłać swoją żonę do rodziny, jeżeli chciano wysłać córkę czy syna czy kogokolwiek, to powierzano specjalnym ludziom, którzy troszczyli się, przeprowadzali. Troszczyli się o jedzenie, troszczyli się o zdrowie. Byli po drodze lekarze — cały rozwinięty system. Za to opłacano coś w rodzaju naszego dzisiejszego ubezpieczenia. Płacono albo na wstępie, płacono na końcu. Zachowały się nawet takie archeologiczne dowody tego rodzaju podróży. Z tym więc problemu nie ma. Co więcej — ponieważ nie można było podróżować w szabat, to podróże z Galilei do Jerozolimy albo z Jerozolimy do Galilei rozpoczynano w pierwszy dzień po szabacie czyli w odpowiednik naszej niedzieli. Jeżeli weźmiemy pod uwagę te 140 km i mniej więcej co 20 - 25 km takie przystanki, to 5 - 6 dni w zupełności wystarczało żeby spokojnie sobie dojść. Oczywiście były też podróże szybsze, podróże powozami, podróżowano, zwłaszcza mężczyźni, na koniach albo na wielbłądach. Były też podróże rzeczywiście ekspresowe. Jeżeli ktoś opłacił,

to zaopatrywano go w konia, ten koń biegł te 15 km, tam zmieniano go na następnego, i za 6 godzin mógł spokojnie zrobić 100 km. Więc były to bardzo szybkie podróże. Żeby dać pojęcie to w starożytności podróż z Konstantynopola, ze Stambułu do Rzymu, lądowa i morska, jeżeli była bardzo szybka to trwała tydzień. Z Konstantynopola do Rzymu, a cóż dopiero z Galilei do Jerozolimy. Więc od tej strony to świadectwo Ewangelii jest jak najbardziej wiarygodne.

Co nas zastanawia jednak? Zastanawia ta niezwykła bliskość obydwu kobiet, z których jedna jest bardzo młoda, druga jest posunięta w latach, i jedna spotyka się z drugą (Łk 1, 41 - 42):

> Gdy Elżbieta usłyszała pozdrowienie Maryi, poruszyło się dzieciątko w jej łonie, a Duch Święty napełnił Elżbietę. Wydała ona okrzyk i powiedziała: «Błogosławiona jesteś między niewiastami i błogosławiony jest owoc Twojego łona.

W tym spotkaniu dwóch kobiet z których obie, każda w inny sposób, zostały doświadczone mocą bożej łaski, Elżbieta uznaje wyjątkowość Maryi. Pan Bóg daje jej pierwszej poznać, że z Maryją dokonało się coś przedziwnego. Pamiętajmy, że Elżbieta to matka Jana Chrzciciela, patrona Adwentu, patrona oczekiwania na Pana Jezusa. Zatem, jak bardzo wcześnie podkreślała to tradycja wczesnochrześcijańska, spotykają się nie tylko dwie kobiety, czyli Elżbieta i Maryja. Spotykają się również dwaj poczęci w łonie jednej i drugiej Jezus i Jan Chrzciciel, czyli dokładniej Jan Chrzciciel i Jezus. Oczywiście jest to spotkanie czysto symboliczne ale wymowne, bo dokonuje się jeszcze przed narodzinami. Spotykają się jak gdyby dwie ekonomie zbawcze, dwa etapy zbawienia. Ten Starego Testamentu, którego znakiem jest Jan Chrzciciel, i ten, który zapoczątkowuje Testament Nowy, mianowicie Jezus. Więc jest to wydarzenie rzeczywiste i symboliczne zarazem.

> A skądże mi to, że Matka mojego Pana przychodzi do mnie? Oto, skoro głos Twego pozdrowienia zabrzmiał w moich uszach, poruszyło się z radości dzieciątko w moim łonie. Błogosławiona jesteś, która uwierzyłaś, że spełnią się słowa powiedziane Ci od Pana». (Łk 1, 43 - 45)

Otóż przeczytałem ten fragment po to żebyśmy uświadomili sobie, że pierwsza pochwała wiary Maryi wychodzi od Elżbiety. Elżbieta jest pierwszą, która dostrzegła tę niezłomność Maryi, niezwykłość jej położenia, niezwykłość jej sytuacji i niezwykłość jej wiary. Trzeba by zapewne być kobietą, i to bardzo doświadczoną, która przez całe życie czekała na to, żeby być matką, żeby docenić nowość tego, co się wydarzyło. Elżbieta zostaje tutaj wprowadzona, jeżeli tak można powiedzieć, w życie Maryi i zarazem w tę radykalną nowość, która stała się początkiem Nowego Testamentu. I w tym miejscu następuje słynny hymn, który nosi nazwę *Magnificat*. Znamy ten hymn doskonale, bo go śpiewamy w polskiej wersji przy rozmaitych okazjach. Natomiast ja go przeczytam tylko po to, żeby państwo zdali sobie sprawę z jednego. Z tego mianowicie, że ten hymn stanowi w gruncie rzeczy zestawienie rozmaitych wypowiedzi, słów, cytatów, zdań ze Starego Testamentu. Otóż mamy tutaj nic innego, jak właśnie modlitwę ułożoną z innych modlitw. Posłuchajmy (Łk 1, 46 - 55):

> Wtedy Maryja rzekła: «Wielbi dusza moja Pana,
> i raduje się duch mój w Bogu, Zbawcy moim.
> Bo wejrzał na uniżenie Służebnicy swojej.
> Oto bowiem błogosławić mnie będą odtąd wszystkie pokolenia,
> gdyż wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny.
> I święte jest Jego imię -
> a swoje miłosierdzie z pokolenia na pokolenie rozciągnął nad tymi, którzy się Go boją.
> On przejawia moc ramienia swego,
> rozprasza pyszniących się zamysłami serc swoich.
> Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych.
> Głodnych nasyca dobrami, a bogatych z niczym odprawia.
> Ujął się za sługą swoim, Izraelem,
> pomny na miłosierdzie swoje -
> jak przyobiecał naszym ojcom -
> na rzecz Abrahama i jego potomstwa na wieki».

Gdybyśmy chcieli zastanowić się, dokonać analizy literackiej tego hymnu, to zobaczylibyśmy że każde słowo, każde jego zdanie ma swój odpowiednik w Starym Testamencie. Maryja w spotkaniu z Elżbietą wielbiąc Pana Boga układa jak gdyby bukiecik złożony z kwiatków. A każdy kwiatek pochodzi z innego ogródka, a to z psalmu, a to z pieśni Anny w Księdze Samuela, a to z innego psalmu, a to z tradycji mądrościowej, a to z innego nurtu tradycji modlitewnej, a to z Pięcioksięgu. W starożytności nazywano takie bukieciki *florilegium*. To jest łacińska nazwa, która znaczy po polsku *bukiecik*. Otóż był taki zwyczaj w tej odległej starożytności, w której żyła Maryja, że ludzie mieli w pamięci bardzo wiele biblijnych modlitw. Że przyswajano sobie na pamięć rozmaite fragmenty Pisma Świętego. I z tych różnych fragmentów, do których się bardzo przywiązywano i które znano na pamięć, układano nową całość. Ten zwyczaj istniał również i w późniejszych czasach. Wspominałem kiedyś państwu raz i drugi, że tak na Piśmie Świętym wychowywał się Mickiewicz, tak wychowywał się Słowacki, tak wychowywał się Sienkiewicz, tak wychowywał się kardynał Stefan Wyszyński. Otóż w dzieciństwie czy w młodości uczono się na pamięć pewnych wersetów a później, w potrzebnej chwili, zestawiano je ze sobą, komentowano itd. Dlaczego to jest ważne? Dlatego ponieważ pokazuje, że już na tym etapie swojego życia, jako młoda dziewczyna i matka, Maryja była bardzo głęboko wszczepiona w tradycję swojego narodu.

Tu już nie tylko chodzi o zwyczajny patriotyzm, ale o życie pobożnością wiary biblijnego Izraela. Ona rzeczywiście stanowiła jakiś owoc tej wiary, która rozwijała się od Abrahama przez Mojżesza przez następne pokolenia aż do jej czasów. Otóż w Niej i w ludziach, którzy tak jak Ona, jako pierwsi uwierzyli w Jezusa, ta wiara znajduje swoje spełnienie. A dlaczego znajduje swoje spełnienie? Bo Ona jest tą wiarą napełniona. Przyjęła boże plany, przyjęła bożą propozycję, stała się Matką Zbawiciela, ponieważ te różne nadzieje mesjańskie, te różne oczekiwania mesjańskie, ta cała modlitwa biblijnego Izraela w Niej żyła. Kto z państwa był w Jerozolimie czy w Ziemi Świętej, to zapewne zetknął się z takim spostrzeżeniem, że powietrze nad Jerozolimą jest przesycone modlitwą. Kiedy się siedzi na Górze Oliwnej i patrzy na Jerozolimę, to oddycha się modlitwą miliardów ludzi, Żydów, chrześcijan, muzułmanów, którzy przez 2000 lat co najmniej — Żydzi 3000 lat, od czasu, kiedy była świątynia — tam modlą się, zanoszą prośby do Boga. Można by powiedzieć, że ten paradygmat powietrza przesyconego modlitwą odnosi się do Najświętszej Maryi Panny w tym znaczeniu, że Ona jest, co widać na przykładzie tego hymnu, przesycona tą modlitwą biblijnego Izraela. Przede wszystkim mamy tutaj psalmy. Dlatego, jeżeli chcemy naprawdę Maryję zrozumieć i jeżeli chcemy Ją odtworzyć, dotrzeć do Niej, to musimy również sięgnąć do tej tradycji modlitewnej, w jakiej Ona wyrosła. Modlitwą Maryi na pewno były psalmy. I jeżeli ktoś chciałby wiedzieć jak modliła się Maryja, to trzeba byłoby wziąć do ręki Psalmy. Oczywiście nie modliła się po polsku ale po hebrajsku czy po aramejsku. Nie mamy możliwości, żebyśmy wszyscy te psalmy czytali w mowie, w jakiej one powstały, ale ich ducha, ich treści poznajemy wtedy kiedy mamy je także w tłumaczeniu i przekładzie. Do czego zmierzam? Do tego, że aby należycie zrozumieć Nowy Testament, aby go przyjąć, aby zrozumieć co to znaczy być chrześcijaninem, i aby zrozumieć swoje korzenie, to trzeba koniecznie cofnąć się do Starego Testamentu. I taki fragment jak teraz, fragment Magnificat również nam to w pełni uzmysławia.

To jest nawiedzenie Elżbiety przez Najświętszą Maryję Pannę. Następne epizody, które znamy, to są narodziny w Betlejem — ponieważ do Bożego Narodzenia jest jeszcze trochę, nie będziemy dzisiaj w szczegółach zatrzymywać się nad tym epizodem narodzin. Ale doskonale wiemy, że on też wymagał od Maryi ogromnej wiary. Że musiała udać się do Betlejem razem ze swoim mężem Józefem, bo pochodził z pokolenia dawidowego i w Betlejem odbywał się spis, więc mu towarzyszyła. Ale nie tylko spis przesądził o tym, że udała się do Betlejem. Znali oboje Stary Testament, znali zapowiedzi Izajasza, i proroka Micheasza i doskonale wiedzieli, że Mesjasz ma przyjść na świat w Betlejem. Nie tylko dlatego, że jest nowym Dawidem, a pierwszy Dawid z Betlejem pochodził. Ale także dlatego, że Betlejem w planach bożych było przewidziane na miejsce narodzin Dawida (Jezusa? (JP)) Tak więc Bóg tym wszystkim pokierował, że Maryja z Józefem do Betlejem dotarli. I dobrze wiemy, że tam jej wiara znowu została wystawiona na próbę. Że urodziła Jezusa w warunkach które odbiegają daleko od tych, w jakich przychodzi na świat nawet zwyczajny człowiek. W Jezusie Bóg stał się człowiekiem. Ale w narodzinach Jezusa w Betlejem Bóg stał się niemal ostatnim z ludzi dlatego, że przyszedł na świat w warunkach w których przychodzą prawdziwie najbiedniejsi. To ogołocenie, z jakim mamy do czynienia w Betlejem, jest niesłychanie wymowne. I na pewno

także w okresie świąt Bożego Narodzenia warto na nie zwrócić uwagę. Tym bardziej, że na ogół atmosfera przeżywania Betlejem i Bożego Narodzenia wykracza daleko poza to ubóstwo. Więc Maryja przeżyła także i tę próbę.

Zatrzymajmy się nad epizodem, który jest mniej znany czy mniej przypominany dlatego, że znowu dotyczy specyficznie żydowskiego świata. Ten świat żydowski jest nam dzisiaj obcy. Obcy dlatego, że patrzymy na niego z perspektywy 2000 lat, a po drugie dlatego, że Żydzi z którymi ewentualnie mamy dzisiaj do czynienia, to nie są wyznawcy Starego Testamentu, tylko to są wyznawcy judaizmu rabinicznego, tego, który się rozwinął w czasach pobiblijnych równolegle do chrześcijaństwa i bardzo często w opozycji do chrześcijaństwa. Zatem bardzo trudno przez pryzmat współczesnego życia żydowskiego dojść do Maryi, do Świętej Rodziny, do Jezusa, do tamtych uwarunkowań. Jednak są rzeczy, które rozważyć albo przynajmniej wziąć pod uwagę powinniśmy. Kiedy Jezus przyszedł na świat, kiedy Maryja urodziła Go w Betlejem, to — czytamy (Łk, 2, 21):

> Gdy nadszedł dzień ósmy i należało obrzezać Dziecię, nadano Mu imię Jezus, którym Je nazwał anioł, zanim się poczęło w łonie [Matki].

Tutaj raz jeszcze mamy do czynienia z wiarą Maryi. Autor, czyli św. Łukasz, nie mówi o tej wierze wprost, mówi o niej pośrednio — ale mówi bardzo dużo. Bo: „Gdy nadszedł dzień ósmy". Ósmy dzień po urodzinach dziecka był dla niemowląt płci męskiej dniem obrzezania. Otóż to obrzezanie nazywało się i nazywa się po hebrajsku *unila — znak przymierza*. Otóż nie potrafimy powiedzieć, jakie są początki tego zwyczaju, nie potrafimy wytłumaczyć go, zracjonalizować w żaden sposób. Nie ulega jednak wątpliwości, że w całej tradycji biblijnej to jest znak przymierza z Bogiem. To przymierze zawarł Abraham, potem Mojżesz, potem było wielokrotnie odnawiane. I Jezus raz jeszcze jest wszczepiony w tradycję swojego narodu. Jeszcze do niedawna, to też taka ciekawostka, ósmy dzień po narodzeniu Jezusa, po Bożym Narodzeniu przypada 1 stycznia. I być może osoby dorosłe i starsze pamiętają, że pierwszy stycznia był obchodzony w Kościele jako dzień Obrzezania. Później, od Soboru Watykańskiego II już zmieniono kalendarz liturgiczny i teraz jest to dzień poświęcony Najświętszej Pannie Maryi.

Tak czy inaczej — widać, że Maryja dochowywała zwyczajów swojego narodu. Że postępowała tak, jak postępują inni, a był to naród bożego wybrania. Tutaj dowiadujemy się również, że tego dnia nadawano dziecku imię. Tu mamy szczegół, który dość dobrze pokazuje jak są napięte, jak różnią nas te sprawy w relacjach chrześcijańsko-żydowskich. Otóż ponieważ Ewangelie mówią, że obrzezanie połączone jest z nadaniem imienia, to tradycja żydowska odstąpiła od nadawania imienia tego dnia. I dopiero w naszych czasach pojawiły się wśród Żydów tendencje, aby z powrotem to przywrócić. I rzeczywiście zostało w dużej mierze w wielu grupach przywrócone. I jest tak, że obrzezanie łączy się z tym, co byśmy nazwali dzisiaj chrzcinami, czyli także nadaniem imienia. Będąc w Ziemi Świętej jeszcze w latach 80-tych słuchałem takich specjalnych audycji religijnych dla izraelskiego wojska. I jednym z autorów audycji, odpowiednika naszych konferencji biblijnych, był taki żydowski historyk i uczony, bardzo znaczący, który nazywa się Dawid Flusser. I Dawid Flusser przekonywał — to wszystko były audycje dla wojska, taka katecheza wojskowych — że należy z powrotem połączyć obrzezanie z nadawaniem imienia, bo tak było kiedyś. Ale źródła rabiniczne o tym milczą. Wiemy to natomiast — mówił Flusser — z Nowego Testamentu. I powoływał się na ten tekst. To taki szczegół obyczajowy. Nas jako chrześcijan interesuje i zastanawia to, że mamy do czynienia z tą świętą tradycją, której Maryja pozostaje wierna. Pozostaje wierna dlatego, że pozostali tej tradycji wierni ci, którzy wyznaczali etapy tej wiary przed nią.

„Nadano Mu imię Jezus". Jezus to po hebrajsku *Jeshua*. Oznacza to po polsku *Pan zbawia*, *Ten Pan, który zbawia*. Więc imię, które ma w sobie ten pierwiastek boży. I doskonale wiemy, że to imię Jeshua, spolszczone jako Jezus, to jednoczesne wskazanie na funkcję i na przeznaczenie owego dziecięcia, które było synem Maryi, przeznaczenie Jezusa. W jego imieniu znajduje wyraz jego los. Znajduje wyraz to, kim On był i czym miał się stać dla swoich rodaków, a także dla nas.

> Gdy potem upłynęły dni ich oczyszczenia według Prawa Mojżeszowego, przynieśli Je do Jerozolimy, aby Je przedstawić Panu. (Łk, 2, 22)

Raz jeszcze wszczepienie w tę świętą tradycję. Tradycja ta dla nas jest już przebrzmiała, inna, nieznana. Ale pokazuje nam to, że inaczej było dla Maryi. Że jej wiara była zakorzeniona w wierze

tych setek pokoleń, które były przed Nią. Więc przychodzi z dziecięciem Jezus do świątyni, aby je ofiarować Panu. Tak nakazywało Prawo — aby dokonać tzw. wykupu. Każde pierworodne płci męskiej — mówiła Księga Wyjścia i Księga Kapłańska w Starym Testamencie — ma być przedstawione Panu, ma być wykupione aby przypomnieć, że Bóg wykupił, że Bóg wyprowadził Izraelitów z Egiptu. Czterdzieści dni po urodzeniu przynoszono zatem chłopców do świątyni, a przede wszystkim chłopców pierworodnych, aby niejako ich odzyskać. Bo oni byli traktowani jako własność Pana Boga. A więc by w sposób symboliczny ich od Boga odebrać, złożyć Bogu przepisane ofiary:

> Tak bowiem jest napisane w Prawie Pańskim: Każde pierworodne dziecko płci męskiej będzie poświęcone Panu. Mieli również złożyć w ofierze parę synogarlic albo dwa młode gołębie, zgodnie z przepisem Prawa Pańskiego. (Łk, 2, 23 - 24)

Synogarlice i gołębie to była ofiara, jaką składali najbiedniejsi. Ludzie zamożniejsi mieli obowiązek składania ofiar bardziej wartościowych, bardziej znaczących. Biedni poprzestawali na tych ptakach, które można było kupić dosłownie wszędzie. Tak również u początków ziemskiego życia [Jezusa ?(JP)] zachowywała się Maryja. Postępowała tak, jak wszyscy, z którymi żyła. A więc w tej wierze była bardzo solidarna. Moglibyśmy powiedzieć, że patrząc z naszej dzisiejszej perspektywy zachowywała się tak, karmiła się tymi sokami Starego Testamentu. Ale pewnie i dlatego doczekała się wybrania przez Boga.

I jeszcze jeden epizod. Mianowicie ten, który znamy i który właściwie kończy czas jezusowego dzieciństwa. Pokazuje też rolę Maryi jako matki, i pokazuje trudności czy też wyzwania, jakie stają przed każdym macierzyństwem. Taki dylemat, taką trudność, taki kłopot jak tutaj Maryja, przeżywa każda matka. Moglibyśmy, wprowadzając ten temat, powiedzieć tak. Matkom wydaje się, że mają dzieci dla siebie. Dopóki te dzieci są bardzo małe, to właściwie to dziecko jest traktowane — mówię tu przesadnie po to, aby wyrazić istotę tego, o co chodzi – niemal jak własność matki, jak zabawka, jak wielka jej radość. Matka może na dziecku poprzestać. Ale żadne niemowlę nie rodzi się po to, żeby całe życie było dzieckiem. Któregoś dnia dziecko zaczyna coraz bardziej rozluźniać swoje więzy z matką. Dla dziecka jest to proces naturalny, dla matki — niesłychanie bolesny. Bywa, że bardzo bolesny, że niektóre matki przeżywają to bardzo trudno i bardzo ciężko. Nie wchodząc dalej w temat, bo na tym się nie znam ale jakoś to przeczuwam, myślę że te panie, które są matkami mogą tu popatrzeć od strony własnych doświadczeń. Doświadczenie Maryi było takie (Łk, 2, 41):

> Rodzice Jego chodzili co roku do Jerozolimy na Święto Paschy.

Święto Paschy było jednym z tzw. świąt pielgrzymich. Wypada w marcu albo w kwietniu. I co roku udawali się z Galilei do Jerozolimy — Józef, Maryja, a wraz z nimi Jezus.

> Gdy miał lat dwanaście, udali się tam zwyczajem świątecznym. (Łk, 2, 42)

Dwunastoletni chłopiec w Palestynie starożytnej to nie jest dwunastoletni chłopiec w Polsce na progu XXI wieku. Tamten jest o wiele bardziej dojrzały. Kiedy ma lat 13 przechodzi obrzęd *Bar-Micwa*, który czyni z niego człowieka dorosłego. Do tego stopnia dorosłego, że nie tylko może w synagodze czytać księgi święte, nie tylko jest traktowany jak dorosły, ale mając 13 lat i obrzęd Bar-Micwa za sobą może się żenić. Nie jest tak oczywiście, że każdy 13-latek natychmiast się żeni, ale teoretycznie biorąc może. I praktycznie to w starożytności się zdarzało. Musimy też pamiętać, że w starożytności ludzie żyli krócej niż dzisiaj. Średnia wieku wynosiła od 45 do 55 lat. To była średnia. Zaczynano zatem wszystko szybciej i wszystko szybciej kończono. Tu mamy Jezusa, który ma lat 12. Zatem przestaje już być dzieckiem i będzie mógł samodzielnie wystąpić w synagodze, samodzielnie się modlić, nałożyć na siebie strój modlitewny. Będzie mógł wejść w dorosłe życie. Ale Jezus dokonuje czegoś więcej. Otóż znów Maryja musi przejść więcej, niż się spodziewała. Na czym polega to więcej (Łk, 2, 43):

> Kiedy wracali po skończonych uroczystościach, został Jezus w Jerozolimie, a tego nie zauważyli Jego Rodzice.

Dwunastoletni chłopiec już nie pilnował się cały czas rodziców. Poza tym rodzice zawsze szli ze swoją rodziną, znajomymi, krewnymi i zawsze sądzono, że dziecko, zwłaszcza taki dorastający chłopiec, jest gdzieś w pobliżu. Spokojnie zatem wyszli z Jerozolimy (Łk, 2, 44):

> Przypuszczając, że jest w towarzystwie pątników, uszli dzień drogi i szukali Go wśród krewnych i znajomych.

Ten dzień drogi — pokazuje się dzisiaj w Palestynie miejscowość Rama. Ona jest teraz w arabskiej części i nazywa się po arabsku Ramalla. Bardzo ładnie położona na północ od Jerozolimy, mniej więcej 12 km od centrum. I tam był pierwszy postój dla pątników, którzy wracali do Galilei, 12 km od miasta świętego.

> Gdy Go nie znaleźli, wrócili do Jerozolimy szukając Go. Dopiero po trzech dniach odnaleźli Go w świątyni, gdzie siedział między nauczycielami, przysłuchiwał się im i zadawał pytania. (Łk, 2, 45 - 46)

To jest właśnie to więcej, czego Maryja się jeszcze nie spodziewała. Jezus zachowuje się nie jak dziecko, które cicho słucha tego, co mają do powiedzenia inni, ale staje się uczestnikiem rozmowy o Bogu, dyskusji o Bogu, dysputy o Bogu, uczestnikiem rozmowy z nauczycielami. Tego się nie spodziewano. Matka może mieć u swojego boku dziecko i nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, jak ono właściwie się rozwija. Musi, czy może, wydarzyć się coś nieprzewidzianego, żeby i ona zdała sobie sprawę, że rzeczy przybierają zupełnie nowy obrót.

> Wszyscy zaś, którzy Go słuchali, byli zdumieni bystrością Jego umysłu i odpowiedziami. Na ten widok zdziwili się bardzo, a Jego Matka rzekła do Niego: «Synu, czemuś nam to uczynił? Oto ojciec Twój i ja z bólem serca szukaliśmy Ciebie». (Łk, 2, 47 - 48)

Rzeczywiście ten wyrzut z pozycji matki, w sytuacji matki, jest jak najbardziej uzasadniony. Na trzeci dzień znaleźć 12-letniego chłopca — to musiał być i niepokój, i trud, i ból, trudno to sobie wszystko razem wyobrazić. W Ewangeliach ten tekst zachował się choć prawdę mówiąc nie jest to epizod wychowawczy, nie jest to epizod do naśladowania. Pokazuje nam wyjątkowość Jezusa, która to wyjątkowość stanie się od tej pory jeszcze bardziej częścią losu Maryi. Otóż Jezus nie będzie przystawał do tych schematów, które się zwyczajnemu człowiekowi narzuca. Nie przystawał do nich wraz z poczęciem, nie przystawał do nich przy narodzeniu, nie przystawał do nich wtedy, kiedy dobiega końca jego dzieciństwo. Nie będzie przystawał do nich wtedy, kiedy dokona pierwszego cudu, potem kolejnych cudów. Będzie wreszcie źródłem napięć, trudności wtedy, kiedy stanie się dorosły. Nie będzie przystawał do tych schematów w swoim życiu, w swojej śmierci, w swoim Zmartwychwstaniu. Los matki, która jest matką kogoś wielkiego, jest naprawdę nie do pozazdroszczenia. Dlatego, że chce traktować swoje dziecko jako kogoś zwyczajnego, a jednocześnie ociera się o tajemnicę, którą przeniknąć i której sensu przeniknąć nie może. Tutaj też Maryja staje wobec próby wiary. Zwróćmy uwagę — tu nie ma krzyków, nie ma awantury, tu nie ma napominania. Tu jest skarga, tu jest próba zrozumienia: „Dlaczego żeś nam to uczynił?"

> Lecz On im odpowiedział: «Czemuście Mnie szukali? Czy nie wiedzieliście, że powinienem być w tym, co należy do mego Ojca?» Oni jednak nie zrozumieli tego, co im powiedział. (Łk, 2, 49 - 50)

Wierzyć — to jedno, rozumieć — to drugie. Maryja wierzyła chociaż część z tego, co przeżywała, była dla niej niezrozumiała. Otóż na tym polegało jej powołanie, że musiała uwierzyć w rzeczy trudniejsze i bardziej wzniosłe niż to, co była w stanie przyjąć rozumem.

Ta wiara Maryi jest przedziwna. Starałem się i dzisiaj także ukazać ją jako wiarę człowieka zwyczajnego, któremu przyszło się zmierzyć z bogactwem powołania bożego. Można by powiedzieć, że to tak jakby próbować zmieścić całą potężną rzekę do jednej małej szklanki. Maryja zdawała sobie sprawę z tego, że to, do czego została powołana, znacznie ją przerasta. A przecież to wszystko przyjęła. I dalsze Jej losy zobaczymy w Adwencie. Wtedy, kiedy już dojdziemy aż pod krzyż z Maryją.

Zapraszam na kolejne spotkanie, które odbędzie się w drugi poniedziałek grudnia, tj. 12 XII. Bardzo serdecznie dziękuję państwu. Ta wspólna refleksja uzmysłowiła nam, tak przynajmniej mam nadzieję, że na drodze wiary Maryja może być przewodniczką zwłaszcza dla tych, którym ta wiara i zrozumienie powinności przychodzą najtrudniej. A na sam koniec raz]jeszcze pomódlmy się, tym razem w intencji ojca Jankowskiego, o którym powiedzieliśmy na samym początku. „Zdrowaś Maryjo . . . Wieczny odpoczynek . . . ".

8.3 Trzej Królowie (9 stycznia 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus. Bardzo serdecznie państwa witam dzisiaj na naszym pierwszym spotkaniu w roku 2006. Zanim rozpoczniemy naszą modlitwę, naszą dzisiejszą konferencję chciałbym bardzo serdecznie przeprosić za zamieszanie, które wynikło w grudniu. Wiem, że na terenie parafii ogłosiliśmy, ale poza parafią jakby mniej. Jeżeli są wśród państwa osoby, które przyjechały w grudniu – tutaj były rekolekcje adwentowe – i czuły się zawiedzione z tego powodu, to bardzo serdecznie przepraszamy. Będziemy się starali, żeby na przyszłość tego rodzaju sytuacje się nie powtarzały. Ja po prostu zapowiadając jeszcze w listopadzie nie wiedziałem jeszcze, że rekolekcje przypadają w tym terminie. Bardzo przepraszam.

Natomiast zanim zaczniemy modlitwę chciałbym bardzo serdecznie podziękować za wszystkie dowody życzliwości, serdeczności związane z Bożym Narodzeniem, z Nowym Rokiem, za życzenia w rozmaitych formach, w rozmaity sposób. Ja też starałem się przy sposobności tych świąt pamiętać i odwzajemniać i życzliwością i modlitwą. Teraz możemy zatem rozpoczynać.

W imię Ojca, i Syna ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości, módl się za nami.

To dobrze, że państwo są. To dobrze, że jest do kogo mówić. Dobrze, że znowu się spotykamy. Bardzo to podnosi na duchu, kiedy patrzę na państwa, kiedy rozpoczynamy kolejną konferencję. To jest niezwykle miłe. Muszę państwu powiedzieć, że tuż przed Świętami zrobiłem w komputerze zestawienie konferencji, wykładów, prelekcji takich jak ta, które wygłosiłem w ciągu dwudziestu lat — bo rozpoczęliśmy te wykłady w r. 1986, zatem w tym roku na jesieni przypada 20 lat. Otóż tych wszystkich wykładów, prelekcji, odczytów wygłaszanych w różnych miejscach, nie tylko tutaj na warszawskiej Ochocie ale także w innych miejscach Warszawy, a także w innych miejscach Polski — oprócz normalnych wykładów — było tyle, że ten obecny jest z kolei 698-y. To sporo, prawie siedemset. Na szczęście prowadziłem dokumentację od początku, spisywałem tytuły, daty, miejsca — i to na koniec się przydało, pokazuje o czym w tym czasie była mowa. Ciekawą jest rzeczą przejrzeć sam spis – ile tego jest i gdzie to było. Oczywiście gros wśród tego zajmują te wykłady i konferencje, które tutaj mamy, najpierw w Parafii Opatrzności Bożej, potem tu w parafii Zwiastowania Pańskiego, prawie od 20 lat.

Tematem naszych tegorocznych konferencji są bohaterowie wiary Nowego Testamentu. Przed dwoma miesiącami za przedmiot naszej refleksji mieliśmy Tę, która jest przewodniczką wiary w Nowym Testamencie, mianowicie Maryję, Najświętszą Maryję Pannę. Zastanawiałem się co wziąć na dzień dzisiejszy. Bo na grudzień planowałem, że bliżej jeszcze przyjrzymy się postaci Jana Chrzciciela, który związany jest z okresem Adwentu. Okres Adwentu mamy za sobą i zastanawiałem się kogo wybrać na dzień dzisiejszy, na styczniową konferencję. I po długim namyśle, i po pewnym przygotowaniach – dlatego, bo temat jest bardzo trudny – postanowiłem zająć się z państwem epizodem który bardzo żyje w naszej tradycji, w polskiej tradycji, w chrześcijańskiej tradycji, aczkolwiek Ewangelia poświęca mu stosunkowo mało miejsca. Natomiast epizod jest bardzo interesujący, bardzo ciekawy. Mam nadzieję, że wystarczy nam czasu aby go poruszyć. Z drugiej strony jednak chociaż w Ewangelii jest sformułowany króciutko, to będziemy mieli dostatecznie dużo na jego temat do powiedzenia. Otóż ten epizod to jest biblijne, nowotestamentowe opowiadanie, które w naszej polskiej tradycji nosi nazwę *Trzej Królowie.*

Opowiadanie o Trzech Królach. Mówię, że tę nazwę nosi w tradycji dlatego, że przeczytamy sobie bardzo wnikliwie Ewangelię i będziemy starali się to opowiadanie biblijne poddać bardzo wnikliwej egzegezie, bardzo wnikliwemu komentowaniu, prawie że słowo po słowie. Jak państwo widzą mam przed sobą dwa teksty. To jest małe wydanie znane jako Biblia Tysiąclecia. Dotyczy oczywiście tylko Nowego Testamentu. Natomiast ta druga książka, którą państwo widzą, to jest Nowy Testament w oryginale, Nowy Testament w języku greckim czyli taki Nowy Testament, z którego dokonywane są przekłady na język polski. To jest tzw. wydanie krytyczne to znaczy, że jest tekst Nowego Testamentu, grecki tekst tak, jak został ustalony, jak jest zapisywany na podstawie wszystkich najważniejszych świadectw tego tekstu. Najstarsze świadectwa sięgają V wieku czyli mają ponad półtora tysiąca lat. To są kodeksy, rękopisy które są zgromadzone na Synaju, w Watykanie, w Petersburgu i w wielu innych miejscach. Cierpliwie zestawiane ze sobą, porównywane po to, żeby mieć tekst oryginalny Nowego Testamentu. Gdyby otworzyć ten Nowy Testament w dowolnym miejscu to wygląda to mniej więcej tak – jest to po prostu grecki zapis.

Wziąłem go nieprzypadkowo, bo będziemy musieli przynajmniej w jednym czy drugim miejscu do tekstu greckiego się odwołać, żeby pewne niuanse zrozumieć.

Ten egzemplarz, który państwo widzą, jest mi szczególnie bliski dlatego, że jest to egzemplarz kupiony w roku 1978 w Rzymie. Kiedy podjąłem wtedy studia biblijne, również z Nowego Testamentu, uczyliśmy się języka greckiego m.in. z tego egzemplarza, który jest bardzo starannie oprawiony i nie zniszczony. Z tego egzemplarza zdawałem egzaminy z greckiego, egzaminy z Ewangelii, z Listów Apostolskich. Jest to więc taki egzemplarz, który został dość dokładnie przerobiony i który kiedyś po grecku kilkakrotnie czytałem. Wszystko to opowiadam państwu także po to, abyśmy zrozumieli jeszcze jedną rzecz, na którą państwu kiedyś zwróciłem uwagę. Otóż jest jeden naród chrześcijański który wobec tego, inaczej niż my, nie potrzebuje przekładu Nowego Testamentu na swój język, nie zna w ogóle przekładów biblijnych. Oczywiście to są Grecy. Każdy Grek po dzień dzisiejszy ma egzemplarz Pisma Świętego po grecku. I dla niego język grecki, chociaż może miejscami jest trochę starożytny, jest to jego ojczysty język. I trzeba widzieć tę dumę Greków, którzy idąc do kościoła, idąc do cerkwi, czytają Pismo Święte w swoim ojczystym języku. To sam dotyczy również Starego Testamentu. Dlatego że Grecy za swoją Biblię, Biblię Kościoła prawosławnego greckiego i w ogóle wszystkich Kościołów prawosławnych, mają tzw. Sepuagintę czyli Biblię Grecką — czyli przekład Pisma Świętego, który został dokonany w III i w II w. przed Chrystusem z języka hebrajskiego na grecki. Stąd u Greków to poczucie dumy i chociaż o tym bardzo mało wiemy, mając do Grecji niedaleko, to musimy mieć świadomość że chrześcijanie greccy takie poczucie mają. Jeżeli do tego dodamy fakt, że w Grecji są miasta związane z działalnością Pawła Apostoła, takie jak Filippi, jak Saloniki, jak Berea, jak Ateny, jak Korynt, to powinniśmy zdać sobie sprawę, że tu, w Europie, mamy ziemię biblijną.

Otóż jeżeli chcemy dokonać jakiegokolwiek przekładu Pisma Świętego na język polski, to punktem wyjścia jest właśnie ten tekst w języku greckim. To jeżeli chodzi o pewną stronę formalną dzisiejszego przedsięwzięcia. Natomiast dużo ważniejsza jest strona merytoryczna. Ileż to razy powtarzaliśmy, że w kanonie Nowego Testamentu są cztery Ewangelie i że te cztery Ewangelie koncentrują się na osobie Jezusa Chrystusa: Ewangelia Mateusza, Ewangelia Marka, Ewangelia Łukasza i Ewangelia św. Jana. Cztery Ewangelie — moglibyśmy powiedzieć: cztery portrety Jezusa, cztery wizerunki Jezusa, cztery obrazy Jezusa. Bohater jest jeden ale cztery spojrzenia. Każde ze spojrzeń jest inne, bo inny jest jego autor. Te cztery spojrzenia to jakby cztery profile. Doskonale wiemy, że nawet u jednego fotografa nigdy nie zrobimy tych samych zdjęć — a co dopiero nasze zdjęcia robione przez czterech różnych fotografów. A jest to portret Jezusa malowany nie fotografią, lecz malowany słowem. Malowany opowiadaniem. Portret taki, jaki możemy usłyszeć. Wobec tego portret, który ma przemówić do wyobraźni, który ma sprawić, że jak najwięcej zapamiętamy. I kiedy się czyta Nowy Testament po grecku to jest ta płynność takiego opowiadania. I cała umiejętność przekładu polega na tym, żeby to w językach nowożytnych właściwie oddać. Powiedzieliśmy też – doskonale to państwo wiedzą – że w centrum zainteresowania wszystkich ewangelistów jest Jezus dorosły, dojrzały, nauczający, działający cuda — i nie ma w tym nic dziwnego. Jeżeli chcemy opisywać życie Jana Pawła II to interesuje nas przede wszystkim ten przedział czasu od 16 X 1978 do 2 IV 2005. Jeżeli chcemy opisywać życie kardynała Wyszyńskiego, to interesuje nas przedział od czasu kiedy został biskupem lubelskim, a dwa lata później prymasem Polski w 1948, do jego śmierci w 1981 r. Chętnie pytamy o to, co było wcześniej, ale jest to podawane bardzo zdawkowo. Ileż razy przypominaliśmy sobie, że jeżeli piszemy życiorys to piszemy: „Urodziłem się tego i tego dnia tam i tam. Szkołę podstawową ukończyłem ...” Pierwsze lata przeskakujemy. W życiorysach nie spisujemy tego, jak wyglądało nasze bardzo wczesne dzieciństwo czy niemowlęctwo, bo na ten temat możemy tylko posłuchać od naszej mamy czy od naszych rodziców. Nie inaczej było z Jezusem. Otóż Jezus – jego obraz, jego wizerunek to jest obraz dorosłego, dojrzałego człowieka, który rozpoczął swoją działalność publiczną kiedy miał 30 lat. Oczywiście, że niektórych ewangelistów interesowało to, co było przedtem. Zadawali takie pytania – o dzieciństwo Jezusa. Ale w Piśmie Świętym w ogóle zainteresowanie dzieciństwem bohaterów pojawia się bardzo rzadko: mamy w odniesieniu do Mojżesza, mamy w odniesieniu do Samuela — i właściwie to wszystko. Jeżeli chodzi o innych wielkich bohaterów wiary, znamy ich jako ludzi dorosłych. W Ewangeliach mamy jednak dwa wyjątki. Mianowicie Ewangelia Mateusza i Ewangelia Łukasza, czyli odpowiednio pierwsza i trzecia Ewangelia kanoniczna, zawierają na samym początku tzw. *Ewangelię dzieciństwa.* Zwykło

się nazywać w jednej i drugiej Ewangelii pierwsze dwa rozdziały takim właśnie określeniem, chociaż niezupełnie tam chodzi o dzieciństwo Jezusa, bo mamy tam również do czynienia, mamy taki rzut oka, mamy taki flesz na Jezusa, który ma lat 12 i na Jezusa, który ma rozpocząć swoją publiczną działalność. Nas interesuje dzisiaj pierwsza Ewangelia kanoniczna, Ewangelia św. Mateusza, w której znajduje się ten słynny epizod z mędrcami, czy też z królami, czy też — jak zobaczymy za chwilę — z magami. Zobaczymy jak to rozumieć i spróbujemy to również wytłumaczyć.

Otóż Ewangelia św. Mateusza to jest Ewangelia bardzo niezwykła. Ja już kiedyś państwu opowiadałem i dzisiaj raz jeszcze opowiem przygodę, jaką 12 lat temu, mniej więcej o tej porze, w styczniu, miałem w Chicago, w Stanach Zjednoczonych. Otóż wtedy, 12 lat temu, pojechałem do Ameryki, bo otrzymałem takie zlecenie z naszej Konferencji Episkopatu, żeby tam przeprowadzić cykl wykładów w rozmaitych uczelniach. To były uczelnie katolickie, ale także uczelnie żydowskie. I jedna z tych uczelni znajdowała się w Chicago. I miałem tam za zadanie, żeby przez intensywny semestr prowadzić zajęcia z rabinami — z tymi Żydami, którzy uczą innych Żydów. Oczywiście było to zadanie bardzo trudne. Chciałem, żeby punktem oparcia w poznawaniu ewangelicznego obrazu Jezusa była Ewangelia św. Mateusza. Dlatego po rozmaitych perypetiach, o których już kiedyś mówiłem i pewnie kiedyś osobno trzeba będzie powiedzieć, doszło do tego, że rabini wreszcie dostali Ewangelię do ręki. Mieli Ewangelię św. Mateusza. Było ich dwudziestu dwóch. I jako zadanie mieli w ciągu pierwszego tygodnia pomiędzy wykładami tę Ewangelie przeczytać nawet nie w całości, tylko pierwsze kilka rozdziałów. Przyszli za tydzień, rozmowa była bardzo żywa. I pytam ich, jak im się to podoba, a przede wszystkim co z tego zrozumieli. Oni powiadają, że zrozumieli wszystko. Natomiast są bardzo zdziwieni, że tę Ewangelię dostali bo czytali ją pierwszy raz w życiu, bo mają formalny zakaz kupowania i czytania Ewangelii — natomiast dziwi ich to, co my z tego rozumiemy. Dlatego, że ta Ewangelia jest tak bardzo żydowska, że w tej Ewangelii jest tak bardzo dużo żydowskich realiów, że oni zadają sobie pytanie co ta Ewangelia ma nam do powiedzenia. Przypomnijmy, że na samym początku rodowód Jezusa Chrystusa, potem nawiązania do rozmaitych zwyczajów. I byli szczerze zdziwieni, że my możemy z jakimś duchowym pożytkiem tę Ewangelię czytać.

Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że ta Ewangelia została napisana przez chrześcijanina – ale żydowskiego pochodzenia – św. Mateusza, Apostoła, Ewangelistę dla tych Żydów, którzy uwierzyli w Jezusa ale Go osobiście nie znali, oraz dla tych Żydów, którzy nie uwierzyli w Jezusa. I to jest Ewangelia bardzo żydowska z tego powodu. Państwo na pewno czytali tę Ewangelię, znają jej podstawowe epizody. Bo właśnie w tym kontekście trzeba umieścić to niezwykłe opowiadanie o tych trzech mędrcach, królach czy magach. Bo ono odchodzi od całej struktury Ewangelii dzieciństwa, a nawet odchodzi od struktury całej Ewangelii. Bo proszę znowu zwrócić uwagę na fakt, z którego rzadko zdajemy sobie sprawę, że ci trzej nie są Żydami, a przyszli uwielbić Jezusa Chrystusa. I w Ewangelii skierowanej do Żydów mamy ich podanych jako co? Jako wspomnienie? Jako przykład do naśladowania? A może po to, żeby zawstydzić innych Żydów? Spróbujemy się temu przyjrzeć. Przypomnijmy więc, że Ewangelista przedstawiając Jezusa robi to tak. Najpierw powiada, że jest to Ewangelia Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama. Zatem pokazuje, że Jezus jest bardzo mocno wrośnięty w tradycję biblijnego Izraela, w tradycję tego oczekiwania Mesjasza. To jest bardzo ważne bo to nam przypomina, że w czasach Starego Testamentu ludzkość była podzielona na pół. Nie była to połowa statystyczna dlatego, że jednych było stosunkowo mało, drugich było bardzo wiele, ale była to połowa – jeżeli tak można powiedzieć – logiczna. O co chodzi? Otóż ówczesną ludzkość, ludzkość do czasów Jezusa Chrystusa można by podzielić na Żydów, którzy wyznawali Boga Jedynego, oraz pogan, którzy też byli ludźmi religijnymi, ale wyznawali wielu bogów. I jedni i drudzy byli religijni. Być poganinem nie znaczyło być ateistą. W starożytności nie było ateistów. Jakieś prądy ateistyczne czy pseudo-ateistyczne pojawiały się czasami w Grecji, ale one nie znajdowały żadnego posłuchu. Natomiast Żydzi wyznawali Jedynego Boga, modlili się do Jedynego Boga — nie do Jednego Boga tylko do Jedynego Boga. Natomiast inni mieli swoich bogów. Czasami tych bogów było dwóch, trzech, czasami było ich więcej, czasami było bardzo dużo. I przypominamy sobie tę sytuację jaka istniała np. w Atenach, że każda dziedzina życia miała swojego boga. Może troszkę tak, jak u nas każda dziedzina życia ma swojego patrona. Ten od rzeczy znalezionych, ten św. Walenty to patron zakochanych, ten od bólu gardła, ten będzie od spraw niemożliwych itd. Nie jest to analogia do końca właściwa, ale pewne podobieństwo jest. Oddajemy chwałę Panu Bogu, ale chcemy się też zabezpieczyć na wypadek rozmaitych możliwych

trudności. I w Atenach było podobnie. Postawiono rozmaite ołtarze — ten ku czci Afrodyty, ten ku czci Zeusa, ten ku czci innego boga. A oprócz tych wszystkich bóstw istniał też jeden ołtarz, na którym był napis „Agnoto Theo" czyli „Nieznanemu Bogu". Gdyby się okazało, że jakiś bóg do tej pory nie był czczony a objawił się — to mu powiedziano by: „Zobacz, myśmy cię już czcili nie znając".

Żydzi wyznawali Jedynego Boga. I jaki pojawia się problem, jakie pojawia się pytanie? Mianowicie: czy nie ma w tym jakiejś niesprawiedliwości, że Bóg objawił siebie Izraelowi natomiast nie objawił siebie w taki sam sposób narodom pogańskim? Czy nie było tak, że wybierając jednych uprzywilejował ich do tego stopnia, że działo się to kosztem innych? Jaka była wartość religijności pogan? Czy poganie mogli się zbawić i dojść do poznania Pana Boga? Czy ich życie religijne, ich sposób oddawania czci bóstwom miał jakąkolwiek wartość w oczach Pana Boga? Czy też poganie byli jakby skazani na zatracenie albo też ich droga była zupełnie bez celu i bez sensu? To pytanie zaprzątało uwagę od samego początku istnienia Ewangelii. To pytanie pojawiło się we wczesnym chrześcijaństwie i to pytanie postawili już sobie tzw. Ojcowie Kościoła czyli ci, którzy w wieku II, III, IV kładli fundamenty pod naszą wiarę. I Ojcowie Kościoła wyjaśniali że tak, Bóg wybrał Izraelitów, Bóg ich uprzywilejował, oni są narodem bożego wybrania, im się objawił, ich prowadził. Dlaczego — to jest tajemnica jego miłości i miłosierdzia. Ale — dodawali Ojcowie Kościoła — także w narodach pogańskich Bóg złożył „semina verbi" nazywano to, czyli „nasiona słowa", „ziarna prawdy". Otóż poganie też oddając cześć rozmaitym bóstwom zmierzali do Boga niejako po omacku. Poruszali się jakby w ciemnościach. Ale tego Boga wyczuwali, tego Boga pragnęli, tego Boga odnajdywali. Bóg też im się pozwalał znaleźć. I to biblijne opowiadanie o trzech poszukiwaczach Jezusa Chrystusa to nic innego, jak dowartościowanie owego świata pogańskiego. To potwierdzenie tej prawdy, że w świecie pogańskim byli ludzie, którzy nie otrzymali takiego objawienia, jakie otrzymali Żydzi, a mimo to doszli do poznania Boga i doszli do uznania Jezusa Chrystusa.

Otóż po tym rodowodzie Jezusa Chrystusa następuje opowiadanie o narodzinach Jezusa. Opowiadanie, które w Ewangelii św. Mateusza podane jest z perspektywy Józefa, tak na ten temat już mówiliśmy, z perspektywy rozterek Józefa. Bo Ewangelia jest skierowana do Żydów, tam dominuje męska perspektywa. U Żydów i u Arabów religia to jest męska rzecz, i religijność to jest męska rzecz. Inaczej niż w chrześcijaństwie, co dla nas czasami jest szokiem. W Ewangelii św. Łukasza mamy perspektywę kobiecą – Maryi, z której przedstawiane są wydarzenia związane z dzieciństwem Jezusa. U Mateusza mamy perspektywę mężczyzny. I kiedy Mateusz wyjaśnił już, że Jezus przyszedł na świat w Betlejem, to wtedy mamy u niego ten epizod, na który chcemy dzisiaj zwrócić szczególną uwagę. To ewangelista napisał tak – czytam teraz przekład polski, żeby w odpowiednim miejscu wrócić, czy pokazać państwu, niuanse tego tekstu greckiego. Czytamy tak (Mat, 2,1):

> Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei za panowania króla Heroda, oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy

Przyjrzymy się po kolei każdemu z tych słów. Najpierw: „Gdy zaś Jezus narodził się w Betlejem w Judei". Otóż Ewangelista podkreśla, że narodziny Jezusa miały miejsce w Betlejem. Słowo „Betlejem" po hebrajsku brzmi „Betlehem" i znaczy po polsku „Dom chleba". Okolica, w której znajduje się Betlejem, była w starożytności bardzo urodzajna. Uprawiano tam jęczmień, pszenicę, klimat był trochę chłodniejszy niż dzisiaj. Jest to okolica na południe od Jerozolimy, mniej więcej 10 km od centrum Jerozolimy, zatem bardzo blisko według naszych standardów. I w starożytności też było to bardzo blisko. I tam przyszedł na świat Jezus. Ewangelista bardzo mocno to podkreśla dlatego, że oczekiwania mesjańskie, oczekiwania Mesjasza, były bardzo silnie z Betlejem związane. Działo się tak dlatego, ponieważ z Betlejem pochodził król Dawid, stamtąd pochodziła babcia króla Dawida czyli słynna Rut, która w Betlejem dożywała swoich lat. Tam król Dawid urodził się, tam został namaszczony na króla, stamtąd rozpoczął swoje rządy. I Betlejem pozostawało zawsze, i pozostaje po dzień dzisiejszy, jako miasto dawidowe, jako miasto króla Dawida. Również na drodze do Betlejem, miedzy Jerozolimą a Betlejem, została pochowana Rachela, umiłowana żona Jakuba. Państwo pamiętają, że Jakub miał dwie żony, Lea i Rachela. Ta młodsza Rachela bardziej mu się podobała niż starsza, ale brat obojga i rodzina obydwu dziewczyn postanowiła wydać obie za mąż. I jak opowiada Księga Rodzaju najpierw pozyskał starszą Leę, a póóźniej pracował za młodszą, bo takie było prawo pozyskiwania żony w starożytności. Takie jest zresztą dzisiaj w świecie semickim.

I miał za żonę również tę, którą bardzo miłował, Rachelę. Ona przy urodzeniu dziecka zmarła. To dziecko, które urodziła, to Benjamin — najmłodsze dziecko. Dlatego mówimy dzisiaj beniaminek ligi piłkarskiej, beniaminek w klasie, beniaminek w szkole, beniaminek w rodzinie — w nawiązaniu do tego najmłodszego, najbardziej ukochanego dziecka. I Rachela została pochowana właśnie na przedmieściach Betlejem. Tam do dzisiaj przy grobie Racheli zbierają się żydowskie kobiety, tam modlą się za swoje dzieci. Tam również modlą się o dziecko, o potomstwo. Po dzień dzisiejszy jest to bardzo ważne sanktuarium żydowskie. Zatem Betlejem miało bardzo długą tradycję w czasach Starego Testamentu. Również prorocy wskazywali na Betlejem jako na miejsce po0chodzenia Mesjasza, czyli Bożego Pomazańca.

Mateusz powiada, że „Jezus narodził się w Betlejem w Judei". Judea to kraina, na terenie której leży Jerozolima, i Betlejem. Cała Palestyna to są trzy krainy: na północy Galilea, w środku Samaria, a najbardziej na południu Judea. „Za panowania króla Heroda". To też bardzo ważna informacja. Otóż król Herod urodził się około 73 r. przed Chrystusem, a zmarł ok. 4 roku przed Chrystusem. Tutaj przypominamy sobie to, o czym również wiele razy mówiliśmy. Że kiedy mówi się, że Herod zmarł cztery lata przed Chrystusem, to brzmi to nam bardzo dziwnie skoro za jego czasów Chrystus się urodził. Ale ten błąd wziął się stąd, że kiedy ok. roku 550 przeliczano, a dokładnie papież polecił scytyjskiemu mnichowi który nazywał się Dionizy Exiguus — Dionizy Mały, przeliczyć kalendarz od założenia Rzymu. Zmienić tak, żeby od tej pory, od połowy VI wieku liczono czas od narodzin Jezusa Chrystusa, to Dionizy wszystko zrobił dobrze, tylko pomylił się o 5, 6 a może nawet o 7 lat. Pomylił się i ta pomyłka ma do dnia dzisiejszego fatalne skutki bo wychodzi na to, że Herod zmarł na cztery lata przed narodzeniem Jezusa. Jest tu kwestia tylko rachuby kalendarzowej. Herod zatem umierając miał ok. 69 lat, co w starożytności było wiekiem dość zaawansowanym. Herod miał bardzo ciekawy życiorys i to opowiadanie również nam potwierdza wiele szczegółów, które znamy np. od Józefa Flawiusza i od innych pisarzy, którzy o Herodzie pisali sporo.

Herod pochodził z rodziny idumejskiej. Idumejczycy to byli potomkowie starożytnych Edomitów. Mieszkali na terenie południa dzisiejszej Jordanii, a ich stolicą przez jakiś czas była Petra, jedno z najpiękniejszych miast Bliskiego Wschodu, przedziwne, gdzie również byli Nababejczycy i właśnie Edomici. W II w. przed Chrystusem, kiedy w Jerozolimie rządziła dynastia hasmonejska, Hasmodeusze, znana też jako dynastia machabejska — była to dynastia dość silna i udało im się podporządkować tych właśnie Idumejczyków. Mieszkali oni jakieś 200 km od Jerozolimy, może niecałe 200, poddano ich obrzezaniu i siłą przymuszono, żeby przeszli na judaizm. To nie byli czystej krwi Żydzi, ale był to lud semicki. W związku z tym wśród Żydów pozostałą pamięć o Idumejczykach, że to są tacy pół- Żydzi. Religijnie to oni wyznają judaizm. Natomiast jeżeli chodzi o pochodzenie, a pochodzenie idzie po matce, to takiego pochodzenia nie mają bo po prostu zostali siłą nawróceni na judaizm. I król Herod był z pochodzenia Idumejczykiem, pochodził z takiej właśnie idumejskiej rodziny. To był człowiek niezwykle sprytny, który wykorzystał swoje znajomości z Rzymianami. Rzymianie w tym czasie zajmowali Bliski Wschód, zajmowali również Palestynę. Herod z tego skorzystał. Wszedł z nimi w rozmaite kontakty, dawał im łapówki, pozyskiwał ich w rozmaity sposób i doprowadził do tego, że po śmierci jednego z władców hasmonejskich w r. 37 przed Chrystusem Rzymianie wyznaczyli Heroda na króla. Ponieważ Herod wiedział, że Żydzi go nie lubią, co więcej – nawet go nienawidzą, to postanowił obejść się z nimi bardzo sprytnie. Pierwszy jego podstęp polegał na tym, że ożenił się z dziewczyną, która przynależała do poprzedniej żydowskiej dynastii hasmonejskiej. Miała na imię Marianne. W ten sposób zapewnił, że dzieci urodzone z ich związku to byli Żydzi, nie można było dzieciom nic zarzucić. Skoro swojego pochodzenia nie mógł poprawić, to przynajmniej sprawił, że dzieci miały już pochodzenie takie, jakie w Jerozolimie było mile widziane. W tej dziedzinie był dość wydajny, bo miał dzieci piętnaścioro. Uznał jednak, że te piętnaścioro dzieci to jest stanowczo za dużo i w związku z tym postanowił sam zredukować ich liczbę. Odbywało się to tak, że je po prostu zabijał — najczęściej topił. Przepraszam, że mówię o tych szczegółach, ale tak to wyglądało, taki był król Herod. Na tym tle może lepiej zrozumieć również można, czy osadzić można jego „rzeź niewiniątek", bo to ten sam władca. Otóż była sadzawka zrobiona przy drodze z Jerozolimy do Jerycha, ona zresztą zachowała się do dnia dzisiejszego, oczywiście dzisiaj zasypana — wody tam nie ma ale miejsce jest. I do tej sadzawki Herod zwabiał — nie sam oczywiście, ale miał specjalne straże do tego, specjalną policję bezpieczeństwa — zwabiał swoich wrogów, prawdziwych i potencjalnych, i tam się z nimi rozprawiał. I jego ofiarami były

również jego własne dzieci. Pozostawił przy życiu tylko te o których domniemywał, że mogą objąć później schedę po nim — i tak się rzeczywiście stało.

Zatem kolaborant z Rzymianami. Druga sprawa: bardzo surowa polityka wewnątrz rodziny, posunięta do zbrodni. I wreszcie trzecia sprawa — Herod rozumiał, że jeżeli chce rządzić Żydami, to musi się im podobać. I w związku z tym podjął dwa rodzaje aktywności budowlanej. Jeden — to była budowa wielu miast i wielu twierdz na terenie Palestyny. One przetrwały do dnia dzisiejszego, słynne Herodium, Massada, Macheront – potężne twierdze, która znajdują się na południe od Jerozolimy. I druga rzecz — umocnił miasta w różnych regionach Palestyny, dał ludziom pracę, dał ludziom zarobki, zaczęto go chwalić – i podjął remont świątyni jerozolimskiej. Nawet rabini, którzy za Herodem nie przepadali, napisali pod koniec jego życia, że jeżeli ktoś nie widział świątyni jerozolimskiej tak, jak przebudował ją Herod, to niczego w życiu nie widział. I starożytni historycy umieszczają świątynię przebudowaną przez Heroda obok wielkich cudów starożytnego świata.

Więc taki był Herod. Z jednej strony splendor, z jednej strony aktywność budowlana. Z drugiej strony kampanie wojenne, łapówki, karierowiczowstwo, podlizywanie się Rzymianom. I tak trwał przy władzy. Kiedy już się starzał i kiedy już miał coraz mniej sił, stawał się coraz bardziej podejrzliwy. Był coraz bardziej wyizolowany, coraz bardziej zamknięty. Zdawał sobie sprawę, że wielu ludzi czyha na jego życie. I wystarczał byle pretekst, by Herod obszedł się niemiłosiernie z tymi, którzy wchodzili mu w drogę. Więc: „za panowania króla Heroda". To, o czym czytamy, działo się właśnie w takim kontekście — za panowania tego podstępnego, przebiegłego i sprytnego władcy. I

> ... oto Mędrcy ze Wschodu przybyli do Jerozolimy

I tu musimy sięgnąć do tekstu greckiego dlatego, że to słowo, które w języku polskim przetłumaczone jest jako *mędrcy*, w tekście greckim brzmi troszeczkę inaczej. Jeżeli państwo pozwolą, to ja to przeczytam.

> Idu magoj ago anatolon paragenoj Jerozolima.

Magoj — magowie dosłownie. Otóż ten tekst grecki jest przekładem z jakiegoś oryginału semickiego – hebrajskiego bądź aramejskiego. Ta Ewangelia była pierwotnie napisana najprawdopodobniej w języku hebrajskim. I tu w języku hebrajskim na pewno też było słowo *magoj*, które na język polski trzeba by przetłumaczyć *magowie*. Oto magowie przybyli *eiszanatolen — ze Wschodu* do Jerozolimy. Dlaczego w języku polskim nie ma *magowie* tylko jest *mędrcy*? Dlatego, że z tym określeniem *magoj — magowie* od samego początku był kłopot. Mianowicie już w starożytności mówiono, że magia, wróżbiarstwo, czarnoksięznictwo jest rzeczą złą. Jak to jest możliwe, żeby magowie przybyli i oddali chwałę Panu Bogu? Nie wszyscy znali rzeczywistość pogańską taką, jaką ona była. A moglibyśmy, streszczając bardzo wiele rzeczy, powiedzieć tak. W starożytnym Egipcie dochodzono do bóstw i do Pana Boga poprzez kontemplację głównie. W starożytnej Grecji dochodzono przez filozofię. W starożytnym Rzymie dochodzono przez prawo. Natomiast na starożytnym Bliskim Wschodzie, ale tym dalszym – w Mezopotamii – dochodzono przez uprawianie nauki. A jedną z najbardziej tam rozwiniętych dziedzin nauki była matematyka, astrologia i astronomia. Otóż na terenach gdzie dziś jest Irak, dotknięty wojną, sąsiadujący z nim Iran i Syria, bardzo rozwinięta była obserwacja gwiazd. Ta obserwacja gwiazd służyła bardzo różnym celom: przepowiadaniu wylewów rzeki, przepowiadaniu pogody, obliczeniom kalendarzowym — kalendarz był dostosowany albo do słońca, albo do księżyca, albo jedno i drugie. I w odległej starożytności bardzo wnikliwie obserwowano gwiazdy. Oczywiście zajmowano się także obserwacją gwiazd dla wróżenia ludziom, dla przepowiadania przyszłości. I sztuka takiej właśnie astrologii była w starożytnej Mezopotamii bardzo rozwinięta. Ci trzej — mówię „trzej" ale tutaj nie ma, że było ich trzech, o czym za chwilę, tylko w tradycji utarło się, że było trzech magów. Ci trzej należeli właśnie do takiej grupy magów, co dla nas ma znaczenie pejoratywne, ujemne i dlatego w przekładzie mamy „mędrcy". Otóż w pewnym sensie byli mędrcami, w pewnym sensie nimi nie byli. Bo nie była to mądrość taka, jak w Grecji — mądrość filozofii. Nie była to mądrość taka, jak w Egipcie, tylko była to mądrość związana z obserwacją gwiazd, z doświadczeniem, z obliczeniami astronomicznymi — i pod tym względem byli niedoścignieni. Otóż „... ze Wschodu przybyli do Jerozolimy". Co to znaczy: „ze Wschodu"? Chodzi na pewno o wschód od Ziemi Świętej. Ale uważny geograf zapyta najpierw tak, i to ma

również wielkie znaczenie dla rekonstrukcji tego epizodu: Czy chodzi o bliskie rejony, a więc czy oni przybyli z terenu dzisiejszej Jordanii? Czy oni przybyli trochę dalej, z terenu dzisiejszego Iraku? Czy też oni przybyli jeszcze dalej, z terenu dzisiejszego Iranu czyli dawnej Persji? Jakie to ma znaczenie? Od razu będziemy widzieć, że jeżeli przybyli z terenu dzisiejszej Jordanii, to mieli do pokonania 60, 80 czy 100 km. Mogli je pokonać w 2, 3, 4 dni. Jeżeli przybyli z terenu dzisiejszego Iraku, to mieli do pokonania 800, może nawet 1000 km. Zatem musiałoby to im zająć – 30 km dziennie – około miesiąca. Jeżeli przybyli z terenu Persji, Iranu, to mieli do pokonania ok. $1\frac{1}{2}$ tysiąca km, czyli sama podróż zajęła by im ok. $1\frac{1}{2}$ miesiąca. Skąd więc przybyli? Odpowiadamy: nie wiemy! Tego nam Ewangelista nie tłumaczy, nie mówi, nie objaśnia. Mówi szeroko, że „przybyli ze Wschodu". Czy ten Wschód był bliżej, czy ten Wschód był dalej — na zawsze pozostanie tajemnicą. Normalnie taką ojczyzną magów – niekoniecznie magii – pozostawała Mezopotamia, czyli teren dzisiejszego Iraku. I w tradycji chrześcijańskiej mowa jest, że przybyli właśnie stamtąd. Że tam w Mezopotamii rozpoczęli swoją podróż i stamtąd dotarli do Jezusa. Czy tak było — tak na prawdę nie wiemy. Otóż gdy dotarli do Jerozolimy, musiało upłynąć trochę czasu. Co kierowało nimi w tej podróży, czy co motywowało ich do podróży? Uważna obserwacja nieba. Czy była w tym astronomia, czy była w tym astrologia, czy był w tym jakiś rodzaj magii — zawsze tego dochodzono przez dwa tysiące lat istnienia Kościoła. Do tego stopnia, że mówiono: „Nie wypada nawet nazywać ich magami". Więc mówiono o „królach". W naszej polskiej tradycji pozostało „trzej królowie". Zaraz zobaczymy, skąd to się wzięło. Ale w Piśmie Świętym, w Ewangelii, o „królach" mowy nie ma.

> ... i pytali: «Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Ujrzeliśmy bowiem jego gwiazdę na Wschodzie i przybyliśmy oddać mu pokłon».

Otóż przybywają do Jerozolimy dlatego, że „ujrzeli gwiazdę na Wschodzie". Do dnia dzisiejszego uczeni, np. astronomowie, także w naszym polskim najbardziej znanym uniwersytecie, gdzie astronomia słusznie jest najbardziej rozwinięta, Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, próbują odtworzyć niebo sprzed dwóch tysięcy lat. Zastanawiają się i próbują dociec, czy 2000 lat temu objawiła się jakaś gwiazda nowa. Śledzą ostatnie dziesięć lat ery przedchrześcijańskiej. Domyślają się, że być może chodziło o koniunkcję planet. Myślą np. o koniunkcji Marsa i Saturna, która dała jaśniejsze światło. Próbują szukać jakichś innych wytłumaczeń astronomicznych i niektórym z nich wydaje się, że są bardzo bliscy. Wszystko to jest próbą racjonalizacji tajemnicy, próbą wyjaśnienia tajemnicy. Tekst ewangeliczny nie tłumaczy nam jaki miało charakter to zjawisko na niebie. Nie potrafimy tego przeniknąć, nie potrafimy tego powiedzieć. Ci przybysze powiadają: „Zobaczyliśmy jego gwiazdę na Wschodzie. Gdzie jest nowo narodzony król żydowski?" W tym jest jakaś nuta humoru, w tym jest jakaś nuta pewnego napięcia. Otóż magowie zajmujący się obserwacją nieba przybywają z daleka do Jerozolimy i pytają o narodziny króla żydowskiego miejscowych Żydów podczas gdy ci, którzy są na miejscu, się tym nie zajmują. Jezus urodził się w sąsiednim Betlejem, ale Jerozolima żyje swoimi sprawami. Trzeba, żeby ci przybyli z bardzo daleka, żeby zwrócić uwagę Heroda i uwagę mieszkańców Jerozolimy, że coś takiego dokonało się w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Ten paradoks polega na tym, że oto ci, którzy mieszkają daleko i są daleko od Boga który objawiał się Izraelowi i który ukazywał się i zapowiadał swojego Mesjasza, oto przybywają do Izraelitów i uświadamiają im prawdę o czymś, o czym oni do tej pory nie mieli pojęcia.

Więc czy nie jest to już tak, że od swojego początku, od samego przyjścia na świat Jezus niesie ze sobą pewien paradoks. To, co jest jasne dla pogan, nie jest jasne dla tych, którzy wyznają Boga Jedynego. Ten paradoks, jeżeli mu się blisko przyjrzymy, powtarza się wiele razy także w dziejach religii chrześcijańskiej. Zdarza się, że ci, którzy są na zewnątrz, mają jaśniejsze widzenie spraw Bożych niż ci, którzy są wewnątrz. Otóż okazuje się, że religia i religijność to nie jest tylko przynależność wyznaniowa, ale jest to światło, które człowiek nosi w sobie. I że tego światła Pan Bóg nie ogranicza do tych, którzy do Niego wyznaniowo przynależą, ale to światło jest dostępne także innym ludziom. Zadają więc pytanie: „Gdzie jest nowo narodzony król żydowski?" Bo „przybyliśmy oddać mu pokłon". Po grecku mamy: „Bo przybyliśmy *proskine zanauton*". Czyli nie tylko „oddać mu pokłon", ale *upaść przed nim*, *pokłonić mu się do ziemi*, *oddać mu hołd*. Przybyliśmy oddać mu hołd — czyli uznać Go, wyznać to, kim On jest.

> Skoro to usłyszał król Herod, przeraził się, a z nim cała Jerozolima.

To, że Herod się przeraził, jest zrozumiałe. Cała Jerozolima — to pewnie przesada, bo chodziło o jego dwór. Jerozolima nie była w czasach starożytnych jakimś bardzo dużym miastem, liczyła pewnie kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Trudno powiedzieć, czy cała Jerozolima wiedziała czy przeżywała ten pobyt czy przybycie owych gości ze Wschodu. Ewangelista być może podkreśla, czy chce dać poznać, że wieść o ich przybyciu zainteresowała mieszkańców Jerozolimy. Więc „Herod przeraził się" i:

> Zebrał więc wszystkich arcykapłanów i uczonych ludu i wypytywał ich, gdzie ma się narodzić Mesjasz.

Ważne jest, kogo zebrał. Zebrał najpierw kapłanów. Po hebrajsku było tutaj *kohanija*, po grecku mamy *archerejs*. Jedno i drugie jest ważne, bo o ile prorocy obwieszczają ludziom wolę Boga, o tyle kapłan reprezentuje ludzi przed Bogiem. Herod wzywa do siebie kapłanów związanych ze świątynią jerozolimską i chce od nich się dowiedzieć, co oni myślą na temat narodzin Mesjasza. Wzywa też do siebie „uczonych ludu". Tych, którzy byli pisarzami, skrybami, którzy wyjaśniali tradycję i święte prawa. Jednym słowem wzywa te autorytety religijne i chce od nich dowiedzieć się prawdy. Czyżby wcześniej nie wiedział? Czyżby wcześniej go nie uczono? Otóż istnieje duże prawdopodobieństwo, że w tym narodzie bożego wybrania byli tacy, którzy żyli bożymi sprawami, i byli tacy, dla których te rzeczy i te sprawy były dużo bardziej obojętne. Najprawdopodobniej Herod należał do tych drugich. Ta wieść go poruszyła więc wzywa specjalistów, żeby mu wytłumaczyli.

> Ci mu odpowiedzieli: «W Betlejem judzkim, bo tak napisał Prorok:
> A ty, Betlejem, ziemio Judy,
> nie jesteś zgoła najlichsze spośród głównych miast Judy,
> albowiem z ciebie wyjdzie władca,
> który będzie pasterzem ludu mego, Izraela».

Kapłani i uczeni w piśmie odwołują się do proroctwa Micheasza. Proroctwo to pochodziło z VI w. przed Chrystusem, zatem w czasach Heroda miało ponad 700 lat. Zauważmy — już wtedy było powtarzane od 700 lat! Z naszej perspektywy zatem jest to ponad 2700 lat temu. Prorok Micheasz na 700 lat przed Chrystusem zapowiedział o Betlejem jako o miejscu narodzin Mesjasza. Ta pamięć o Betlejem jako miejscu narodzin była bardzo żywa w tradycji biblijnej, potem w tradycji żydowskiej. Właściwie aż można się dziwić, że Jerozolima nie zwróciła uwagi na to, co w Betlejem się działo. To, co dokonało się z Jezusem, to przeżyli pasterze, to przeżyła Święta Rodzina, natomiast dla innych Żydów pozostał to fakt mało znaczący. Ot po prostu przyszło na świat dziecko. Nam dzisiaj wydaje się to bardzo dziwne, nawet obce, nawet nie do wiary. Ale podobne mechanizmy rządzą także dzisiejszym światem. Jeżeli usłyszymy o czymś, co wydaje się bardzo ważne — jedni się tym interesują i to zgłębiają, inni przyjmują to z niedowierzaniem, jeszcze inni kontestują. A niemało jest takich, których to w ogóle nie obchodzi. I tak było również wtedy. Kiedy nie obchodziło Żydów okazuje się, że obchodzi jakichś pogan którzy przybywają, aby oddać pokłon. I ci poganie stają się katechetami Izraelitów. Mamy tutaj sytuację, która troszeczkę przypomina sytuację w Księdze Jonasza. Mianowicie kiedy Jonasz próbuje uciec przed powołaniem ze strony Boga i chroni się na statek, i chce uciec tym statkiem na zachód aby nie udać się do Niniwy, wtedy wybucha burza. I marynarze pogańscy stają się jego katechetami. I zaczynają mu tłumaczyć o Bogu, uczyć o Bogu. I on dopiero wtedy sobie uświadamia, że role się odwróciły. I tutaj też role się odwróciły. Bo oto poganie przybywają, by rozpytywać o to, co wydarzyło się w Betlejem. A dzięki temu Żydzi, którzy byli w szczególny sposób dysponowani, żeby to znać i to uznać, zastanawiają się nad tym, do czego skłonili ich poganie.

> Wtedy Herod przywołał potajemnie Mędrców i wypytał ich dokładnie o czas ukazania się gwiazdy.

Herod postępuje z mędrcami, z tymi magami tak, jak postępował z innymi swoimi poddanymi. Jeżeli się kogoś bardzo bał, to po prostu go likwidował. Tutaj ma do czynienia z ludźmi, którzy przybyli z zewnątrz. Postanawił zatem użyć pewnego fortelu. A:

> kierując ich do Betlejem, rzekł: «Udajcie się tam i wypytujcie starannie o Dziecię, a gdy Je znajdziecie, donieście mi, abym i ja mógł pójść i oddać Mu pokłon».

Otóż Herod tutaj przedstawia się tak jak lis który deklaruje, że będzie pilnował kurnika. I też przeczuwając, że wydarzyło się coś niezwykłego, i przeczuwając, że ta niezwykłość może mu grozić, postanawia użyć wybiegu. Wybieg polega na tym, że gdy już owi przybysze zobaczą gdzie jest miejsce narodzin owego Mesjasza, owego króla żydowskiego, przyjdą i mu powiedzą a on wtedy postąpi według swojego zwyczaju.

> Oni zaś wysłuchawszy króla, ruszyli w drogę. A oto gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, szła przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię.

Teraz podróż już nie była długa. Dlatego, że z Jerozolimy do Betlejem jest ok. 10 km. Miejsce narodzenia to miejsce, które czczone jest do dzisiaj jako Bazylika Narodzenia. Znów nie potrafimy powiedzieć, jak owa gwiazda kierowała naszymi podróżnymi. Jest faktem jednak, że doszli tam dzięki specjalnemu światłu bożemu. Otóż i ta gwiazda jest niejako symbolem samego Chrystusa. Znak tego – jak tłumaczono od bardzo dawna – że jeżeli człowiek jest ukierunkowany na Boga, jeżeli człowiek bardzo Boga pragnie, to Bóg mu się objawia, objawia mu swoje światło i go prowadzi. Wtedy dzieje się tak już niezależnie od jego religii, od jego przynależności, a przede wszystkim w zależności od tego kim jest, i jak chce i jak potrafi otworzyć się na boże działanie.

> Gdy ujrzeli gwiazdę, bardzo się uradowali. Weszli do domu ...

Tu jest po grecku *ojkija*, więc już nie *grota*, nie *stajenka*, tylko *dom*. Przecież od urodzenia Jezusa upłynął już jakiś czas, tygodnie, może nawet miesiące. Maryja, Józef i Jezus mieszkają już w jakimś domu, w jakimś domostwie. Więc:

> Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon.

Te słowa są bardzo ważne, bo to jest pierwsza biblijna aluzja do oddania pokłonu Jezusowi i do oddania pokłonu Najświętszej Maryi Pannie. To jest pierwsze uzasadnienie kultu Jezusa i pierwsze uzasadnienie kultu maryjnego — uwielbili Jezusa i oddali cześć Maryi. To jest ważne, bo kiedy w XVI wieku wybuchły spory o zasadność kultu Najświętszej Maryi Panny, a wybuchły one z protestantami, to przytaczano że już w Nowym Testamencie, już od początku życia Jezusa byli tacy, którzy uwielbiali Jezusa, i którzy oddawali pokłon również Maryi. Nie ma zatem nic dziwnego w tym, żeby oddając chwałę Bogu, wielbiąc Jezusa jednocześnie czcić Maryję, bo tak było od początku. Ten drobiazg, ta drobna aluzja, to fundament kultu maryjnego.

> I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę.

Ponieważ mamy trzy dary, to w tradycji pojawiła się wieść, że chodziło o trzech mędrców albo o trzech królów. Bardzo rzadko mówiono: „trzech magów". Jeden przyniósł złoto, drugi przyniósł kadzidło, trzeci przyniósł mirrę. Ewangelia nie mówi nic na ten temat, że było ich trzech. Może szli parami — wtedy było ich sześciu. W ewangeliach apokryficznych mamy taki bardzo ciekawy motyw — że nie było ich trzech tylko było ich czterech. Ale czwarty do Betlejem nie doszedł. A nie doszedł dlatego że to, co wziął ze sobą z domu, rozdał ubogim. I w związku z tym do Betlejem nie dotarł, bo nie miał Jezusowi co dać. Ale Jezus też uszanował tę jego dobroczynność i on jest opiekunem dzieł miłosierdzia, dzieł charytatywnych. W naszej tradycji został wyparty przez Mikołaja, biskupa. I u nas w zachodniej tradycji, czyli w Europie, w tradycji polskiej, mówi się o Mikołaju. Natomiast chrześcijanie w Syrii, w Iraku, w Armenii, w Gruzji cały czas za patrona dzieł charytatywnych uznają tego czwartego maga, którego imienia nie znamy. Nie znamy zresztą imion pozostałych trzech. Wiemy dobrze że w tradycji, która jest bardzo żywa u nas, nadano im imiona Kacper, Melchior i Baltazar. Mało tego, że nadano im imiona — kiedy zaczęto ich przedstawiać w ikonografii, np. na obrazach, to Kacpra przedstawiano jako Murzyna, jest czarny. Melchior przedstawiany jest jako Europejczyk, jako Grek. Natomiast Baltazara przedstawiano jako

Azjatę, czasami ma nawet skośne oczy, albo przedstawiany jest tak jak Hindus. Murzyn, biały, i – powiedzmy sobie – rasa mieszana. Wszystkie trzy rasy — w ten sposób mówili malarze — oddały chwałę małemu Jezusowi. Kacper, Melchior i Baltazar, a imienia czwartego nie znamy i nie poznamy bo — dodawano w księgach apokryficznych, które nie weszły do kanonu Pisma Świętego — dzieła dobroczynne tylko wtedy dają wartość, kiedy są anonimowe. Zatem kiedy wyruszyli razem ale on rozdał wszystko, to on też Jezusa uczcił, ale imienia jego nie poznamy.

Jak państwo wiedzą te motywy tak bardzo weszły do tradycji, do religijności, do pobożności, do zwyczajów, że one żyją na bardzo wiele sposobów. Choćby kiedy właśnie szóstego stycznia w Uroczystość Trzech Króli, jak mówimy po polsku, czy Trzech Mędrców, piszemy na drzwiach naszych domów KMB, to nawiązujemy do tych ich odwiedzin i pragniemy, aby nasze domy, nasze mieszkania stały się takim mieszkaniem w którym mieszka Chrystus i do którego każdy człowiek, choćby z najdalej, mógł przybyć, i w którym mógłby czuć się dobrze, i Chrystusa uwielbić.

> I otworzywszy swe skarby, ofiarowali Mu dary: złoto, kadzidło i mirrę.

Złoto to symbol królewskości. Kadzidło to symbol kapłaństwa. Mirra to jest taki dodatek zapachowy albo smakowy. Jest to symbol czystości słowa, a więc nauczania. Czyli godność królewska, godność kapłańska, godność prorocka Jezusa. To symboliczne wyjaśnienie, które przez 2000 lat bez przerwy się pojawia. To, do czego Żydzi byli przygotowywani przez Boga na kartach Starego Testamentu, do tego poganie doszli własną uważną obserwacją i nauczaniem. Bóg dwoma drogami prowadzi ludzi do siebie — droga objawienia w księgach świętych, i droga objawienia kosmicznego, w świecie, w kosmosie. Można uwielbić Boga modląc się Pismem Świętym. Można też uwielbić Pana Boga i dojść do Niego patrząc na świat, podziwiając przyrodę, bogactwo tego świata, można dojść do Jego poznania i do Jego uznania.

> A otrzymawszy we śnie nakaz, żeby nie wracali do Heroda, inną drogą udali się do swojej ojczyzny.

Nie dali się zatem zwieść podstępnemu Herodowi. Wypełnili zadanie, które Pan Bóg dla nich przewidział, i wrócili do siebie, ale inną drogą. Próbowano tę drogę wytyczyć. Ponieważ z Betlejem każdy, kto wraca na Wschód, musi iść przez Jerozolimę, to tłumaczono że z Betlejem poszli na południe, do Hebronu, potem do Gazy, potem wzdłuż Morza Śródziemnego, a później zatrzymali się w Nazarecie, a potem byli w Kafarnaum — czyli wszędzie tam, gdzie Jezus później działał. Zatem chociaż jeszcze Jezusa nie poznali, chociaż jeszcze Jezus nie rozpoczął publicznej działalności, to ci trzej mędrcy, trzej magowie już przeszli Ziemię Świętą niejako zwiastując to, co miało się z Jezusem później dokonać. Tak więc do ewangelicznego tekstu dochodzi jeszcze i fantazja, i wyobraźnia, miłość do Jezusa, i uznanie dla tych magów. Uznanie to poszło tak daleko, że kiedy podjęto wyprawy krzyżowe niecałe 1000 lat temu, i kiedy rycerze chrześcijańscy doszli do Ziemi Świętej, to Arabowie postarali się o relikwie Trzech Królów. Skąd te relikwie mieli — pozostaje ich słodką tajemnicą. Faktem jest, że relikwie przybyły do Europy. I że w Europie wybudowano jedną z najpiękniejszych katedr, która jest poświęcona Trzem Królom i w której te relikwie średniowieczne są przechowywane. Ta katedra to oczywiście Katedra Trzech Króli w Kolonii, w Niemczech. Jest to miasto Trzech Króli, tam pamięć o nich jest szczególnie żywa. Nawet jeżeli relikwie byłyby niezbyt autentyczne, to katedra jest na pewno autentyczna. I na pewno cud, że w tym mieście, nad tą piękną rzeką taka wspaniała katedra powstała. Do tej katedry nawiązał również papież Benedykt XVI podczas Światowych Dni Młodzieży. Nie akcentował prawdziwości relikwii tylko akcentował wiarę owych mędrców. Czy było ich trzech, czterech, czy więcej — też nigdy nie będziemy wiedzieli. Ale stali się symbolem tych, którzy szukają Pana Boga, przychodzą do Niego z daleka podczas gdy ci, którzy są blisko, nie zawsze potrafią Go rozpoznać. Tak więc Trzej Mędrcy stali się nauczycielami tych, którzy powinni wiedzieć o Jezusie znacznie więcej.

I tyle byłoby na temat tego epizodu, bardzo barwnego. Myślę, że jeżeli państwo zobaczą raz jeszcze gdzieś wyobrażenie Trzech Króli, owego Murzyna, Azjaty i Europejczyka, to będą nam się te obrazy już żywiej kojarzyć.

Dziękuję bardzo serdecznie, a na następne spotkanie zapraszam w trzeci poniedziałek tj. 20 lutego. Chwała Ojcu ...

8.4 Nikodem (20 lutego 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu i zaczynamy. W Imię Ojca ... Ojcze Nasz ... Stolico Mądrości, módl się za nami.

Zatem jeszcze jedna sposobność do tego, żeby się z państwem spotkać. Jeszcze jedna sposobność do wspólnej refleksji nad Słowem Bożym, nad słowem Pisma Świętego. Tym razem po dość długiej przerwie, bo mamy za sobą pięć tygodni od ostatniej konferencji biblijnej, więc dość długi czas. I kolejna postać, która będzie przedmiotem naszej dzisiejszej refleksji. Kolejna osoba a wraz a nią także sposobność do tego, aby zastanowić się nad własnym życiem i odnieść je do tych prawd, które znajdujemy na kartach Ewangelii. Kiedy myślałem czas jakiś o dzisiejszej postaci, o osobie która przewidziana jest jako przedmiot naszego spotkania, a także spotkania z Jezusem, to aż sam się zdziwiłem że podczas wielu lat naszych konferencji nigdy nie przyszło nam do głowy żeby zatrzymać się nad postacią Nikodema. Otóż mamy na kartach Ewangelii św. Jana spotkanie Jezusa z Nikodemem. Mamy tę piękną rozmowę, która zachowała się w czwartej Ewangelii kanonicznej. Znamy Nikodema, tego ewangelicznego, czytamy Ewangelię przynajmniej dwa razy w roku ale nie przyszło nam do głowy dotąd, byśmy przeczytali ten tekst z Ewangelii i żebyśmy w Nikodemie starali się rozpoznać także te rozterki, te wątpliwości, te nadzieje, te potrzeby duchowe, te duchowe życzenia, które nosimy także i w sobie. Bo ten Nikodem sprzed 2000 lat okazuje się nam zdumiewająco bliski. Zatem dzisiejsza refleksja poświęcona jest jemu, jego nocnej rozmowie z Jezusem.

Zacznijmy najpierw od przypomnienia tego, co państwo dobrze wiedzą — że rozmowa z Nikodemem jest zapisana na kartach czwartej Ewangelii kanonicznej czyli Ewangelii wg. św. Jana. Jest to Ewangelia, która powstała najpóźniej, gdzieś ok 90 r, zatem od męki, śmierci i zmartwychwstania Jezusa upłynęło ok 60 lat. Jan zapewne dyktował ją albo opowiadał o swoich przeżyciach z Jezusem wtedy, kiedy był już człowiekiem posuniętym mocno w latach, zapewne starcem. Gdzieś powyżej 70-ciu lat życia, na pewno około osiemdziesiątki. Na pewno opowiadał o tym, co przeżył jako młody chłopiec wiele razy. Natomiast pod koniec I wieku, kiedy już istniały trzy pierwsze Ewangelie tzn. Ewangelia Mateusza, Marka i Łukasza, do tych Ewangelii dochodzi jeszcze jedna Ewangelia, o której tyle razy powiedzieliśmy, że różni się od tamtych dlatego, że ma zupełnie inny charakter. Mianowicie ona nie przedstawia po kolei szczegółowo życia Jezusa tak, jak znane jest z trzech pierwszych Ewangelii, które czasami obejmowane są nazwą Ewangelii synoptycznych — a więc takich, które można oglądać razem, porównywać ze sobą. Ewangelia Jana natomiast ma inną strukturę, inne przeznaczenie. Ona ukazuje tak jak gdyby reflektorem kilkanaście najważniejszych epizodów z życia Jezusa. Tymi epizodami się zajmuje, ale zajmuje się tymi wydarzeniami wspominając je już z perspektywy kolejnego pokolenia. Jan był jednym z ostatnich, którzy Jezusa pamiętali. W tym czasie chrześcijanami stawali się ci, którzy urodzili się w czasach po Jezusie, którzy nawet jeżeli urodzili się 20 lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa, to w czasie pisania Ewangelii mieli już 30, może nawet ok. czterdziestu lat. Zatem byli to już ludzie dorośli, dorośli chrześcijanie. I wspominałem państwu, że ta Ewangelia ma charakter sakramentalny, czyli patrzy na Jezusa przez pryzmat życia Kościoła. Przez pryzmat liturgii Kościoła, przez pryzmat sakramentów. A wśród tych sakramentów dwa wybijają się na plan pierwszy, które od samego początku istnienia Kościoła stały się dla Kościoła i dla wiary chrześcijańskiej fundamentem. Mianowicie sakrament chrztu i Eucharystia. Te dwa sakramenty — sakrament chrztu i Eucharystia — stanowią zworniki Ewangelii św. Jana. I autor tej ewangelii, św. Jan, zastanawia się bardzo często co to znaczy chrzest, co to znaczy odnowa życia, którą chrzest zapewnia i czym jest Eucharystia, którą karmią się wierzący w Jezusa Chrystusa. I zastanawiając się nad tą zbawczą rolą chrztu i Eucharystii Jan przypomina to z życia Jezusa, z nauczania Jezusa, z działalności Jezusa, co w jakikolwiek sposób wiązało się z chrztem i z Eucharystią. Ten dzisiejszy epizod, który mamy rozważyć, ta nocna rozmowa Nikodema i Jezusa, nocne spotkanie Nikodema z Jezusem, ogniskuje się na chrzcie, na sakramencie chrztu. Cały ten epizod jest bardzo mocno nasiąknięty taką refleksją, tłumaczeniem przez Jezusa czym jest chrzest, czym jest odrodzenie, które chrzest zapewnia. Ale popatrzmy, przyjrzyjmy się temu tekstowi od początku bo on od samego początku daje nam bardzo wiele do myślenia. Chodzi o dłuższy fragment 3 rozdziału Ewangelii św. Jana. Czytamy tak:

> Był wśród faryzeuszów pewien człowiek, imieniem Nikodem, dostojnik żydowski.

Na razie o tym Nikodemie do tej pory nie było mowy. Ale trzeba zwrócić uwagę w jakim momencie Ewangelii i przy jakiej okazji wspomniany został Nikodem. Otóż mówi ewangelista, opowiada ewangelista o tym, że Jezus po raz pierwszy przybył do Jerozolimy — jako dorosły człowiek, bo przedtem przybywał ze swoimi rodzicami, pamiętamy epizod dwunastoletniego Jezusa w świątyni. A teraz rozpocząwszy swoją działalność publiczną przybywa do Jerozolimy. Przybywa do Jerozolimy na święto Paschy, aby obejść święto Paschy. Ten kontekst jest niezwykle ważny. Święto Paschy jest obchodzone w pierwszym miesiącu wiosny. Ponieważ jest to kalendarz ruchomy, bo księżycowy, to podobnie jak nasza Wielkanoc święto Paschy może przypadać w marcu, może przypadać gdzieś do połowy kwietnia. A więc ten epizod, o którym będziemy czytali, ma miejsce wiosną. Święto Paschy to najważniejsze święto biblijnego Izraela i po dzień dzisiejszy najważniejsze święto żydowskie. *Pesah* znaczy po polsku *przejście.* Święto Paschy upamiętnia przejście Anioła Pańskiego w Egipcie, którego moc sprawiła że to, co pierworodne wśród Egipcjan, przepadło, zginęło. Natomiast Izraelici z podniesionymi głowami zostali wybawieni z ucisku, z opresji, zostali wyzwoleni do nowego życia, wezwani z domu niewoli na Synaj, gdzie otrzymali Dziesięć Bożych Przykazań, a stamtąd do Ziemi Obiecanej. Jest to wydarzenie, które zrodziło lud czy naród bożego wybrania. Najważniejsze święto w roku. A istotą tego święta są obchody rodzinne. Zabijanie baranka — tak było kiedyś, tak było w czasach Jezusa. Uczta paschalna, ubieranie się na wzór tych, którzy mają rozpoczynać podróż. Gorzkie zioła, które mają symbolizować smak niewoli. A w odpowiednim momencie jeden z chłopców, najmłodszy chłopiej który osiągnął jakie takie używanie rozumu, co dokonywało się w wieku 4 - 5 lat, zwraca się do ojca i mówi: „Tato, dlaczego my to wszystko robimy?" I wtedy ojciec odpowiadając na to snuje opowiadanie, które nosi nazwę *haggada paschalna.* Rozpoczyna się ono od słów: „Ojcowie nasi byli niewolnikami w Egipcie, ale wyzwolił nas stamtąd Pan Bóg nasz". Kto z państwa ma dobrą i bardzo uważną pamięć to przypomina sobie, że ten motyw pojawił się na początku filmu „Pasja", który był pokazywany dwa lata temu. I tam służył jako wprowadzenie, jako motto„ jako klucz do zrozumienia męki Jezusa Chrystusa i do jej przedstawienia. Że męka Jezusa Chrystusa ma charakter paschalny. Tu jesteśmy na początku działalności Jezusa. Jezus obchodzi święto Paschy w Jerozolimie, w pobliży świątyni jerozolimskiej. Na pewno spotyka się z ludźmi, na pewno przeżywa to także w swojej bliższej i dalszej rodzinie. Na pewno jest podniosły charakter, podniosły nastrój. I właśnie kiedy święto Paschy, kiedy uroczyste obchody dobiegły kresu, to wtedy czytamy że:

> Był wśród faryzeuszów pewien człowiek, imieniem Nikodem, dostojnik żydowski. Ten przyszedł do Niego nocą ...

Otóż to święto Paschy, podczas którego obchodzi się najważniejsze wydarzenie zbawcze Starego testamentu, wyzwala co roku duchową energię. Tak jak nasze święta Bożego Narodzenia, jak święta Wielkanocy, jak Wielki Post, jak Wszystkich Świętych. Zmusza to człowieka do refleksji. I na pewno pytanie, z którym przychodzi Nikodem do Jezusa — zanim jeszcze cokolwiek usłyszymy — można by sformułować tak: „Nasza wiara, nasza religia, wiara biblijnego Izraela polega na rozpamiętywaniu tego najważniejszego wyzwolenia, którego dokonał Bóg w dziejach żydowskich. Czym różni się to, z czym Ty przyszedłeś, od tego, czym żyjemy do tej pory? Na czym polega nowość Twojej nauki i na czym polega nowość Twojej osoby skoro do ludu, który od ponad tysiąca lat zaprawiony jest do obchodzenia święta Paschy przychodzisz z czymś tak nowym?"

I teraz ta ciekawość Nikodema jest o tyle interesująca, że po pierwsze dowiadujemy się, że był on faryzeuszem. Słowo *faryzeusz* nam źle się kojarzy dlatego, że patrzymy na nie przez pryzmat skojarzeń, które zostały urobione na podstawie tych ewangelicznych tekstów i tekstów w Dziejach Apostolskich, które mówią nam o sprzeciwie i wrogości wielu faryzeuszy wobec Jezusa. Ale państwo zwrócą uwagę, ja powiedziałem: „wielu faryzeuszy" a nie „wszystkich faryzeuszy". Dlatego, że faryzeusze też jako ugrupowanie, jako stronnictwo, jako wspólnota byli między sobą podzieleni. Byli tam tacy, którzy sprzeciwiali się Jezusowi, ale byli tacy, którzy byli otwarci na Jego naukę. Początki faryzeuszy sięgają połowy II w. przed Chrystusem. Otóż około roku 150 przed Chr. wśród Żydów, którzy wtedy troszczyli się o ustrzeżenie tożsamości narodowej w warunkach zagrożenia syryjskiego, hellenistycznego, pojawiło się ugrupowanie, które nazywa siebie *telszin*. *Telszin* znaczy *oddzieleni*, *odłączeni*, *odseparowani*, *inni*. Otóż oni nie chcieli ulegać obcej kulturze, obcym wpływom, obcej religii. Chcieli pozostać wierni Panu Bogu w każdych warunkach i wiedzieli, że aby taką

wierność zachować to trzeba trzymać się razem, trzeba trzymać się we wspólnocie, gdzie jedni dla drugich byliby wsparciem. Na drugim biegunie ówczesnego życia żydowskiego byli sadyceusze. Otóż sadyceusze to byli ludzie związani ze sferami zamożnymi, bogatymi, także ze sferami kapłańskimi Starego Testamentu, którym nie w głowie była separacja i którzy dość chętnie podlegali rozmaitym obcym wpływom, aby tylko pozostać przy władzy i utrzymać swoje wpływy. Dlatego między faryzeuszami i sadyceuszami stale były rozmaite napięcia, były konflikty. Jedni nie lubili drugich i ten stan rzeczy trwał do 70 r. po Chr. czyli do czasu, kiedy Rzymianie oblegli Jerozolimę i kiedy po długim oblężeniu zburzyli święte miasto, i zniszczyli świątynię jerozolimską, wymordowali niemal wszystkich sadyceuszy i ogromną większość faryzeuszy. I w ten sposób pogodzili jednych z drugimi. Po faryzeuszach pozostały jednak ślady, bo nieco ich ocalało i to oni dokonali później przebudowy życia żydowskiego. Ale my jesteśmy w czasach Jezusa.

Przybywa do Jezusa taki właśnie faryzeusz — człowiek, który dba o czystość wiary, który troszczy się o przestrzeganie przykazań, który jest człowiekiem religijnym, pobożnym, który separuje się od tych, którzy ulegają obcym wpływom. I ten właśnie człowiek ma na imię Nikodem. Po grecku — bo Ewangelia św. Jana jest napisana po grecku — to imię brzmi *Nikdamon.* I jest to imię greckiego pochodzenia. Ale w inskrypcjach grobowych z Jerozolimy i z Judy, które zachowały się z I, II i III wieku naszej ery, spotyka się napisane po hebrajsku, czy po aramejsku, imię Nikdamon. Zatem znak, że nawet w tych rodzinach, które troszczyły się o wierność prawu mojżeszowemu i o wierność religii, nawet w tych rodzinach były pewne oddziaływania kultury greckiej. A można założyć, że jego greckie imię to być może dowód wpływów biblii greckiej czyli tzw. Septuaginty. Dowód jej znajomości. Dowód tego, że już Objawienie Boże było nie tylko po hebrajsku i po aramejsku, czyli w językach semickich, ale także w języku greckim w którym zresztą przetrwało do dzisiaj. Dobrze wiemy, że biblia grecka, Septuaginta, to biblia Kościoła Prawosławnego w Grecji.

Otóż Nikodem był zatem z jednej strony daleki od tych obcych wpływów, z drugiej strony jednak musiał kulturę grecką znać. I rozmowa, którą podjął z Jezusem, dowodzi, że jego znajomość kultury greckiej była posunięta bardzo daleko.

> ... pewien człowiek, imieniem Nikodem, dostojnik żydowski.

Tutaj w tekście greckim to słowo *dostojnik* brzmi *arhon*. *Arhon* to znaczy *ktoś, kto rządzi,* ktoś, kto ma władzę. Ktoś, kto sprawuje władzę nad innymi. Trudno powiedzieć, jaka była ta władza, którą sprawował Nikodem, ale z pewnością nie była to władza świecka. Była to zapewne władza religijna. Tradycja wczesnochrześcijańska mówi, że Nikodem był członkiem Sanhedrynu, a więc najwyższej rady żydowskiej. W związku z tym jego władza miała charakter duchowy, był takim autorytetem dla swoich rodaków. I oto ów arhon, ów dostojnik żydowski przyszedł do Jezusa nocą.

Powiedzieliśmy, że to wydarzenie ma miejsce wiosną w kontekście święta Paschy, tuż po święcie Paschy, zatem w marcu albo na początku kwietnia. Noc — to niekoniecznie musiało być około północy. O tej porze roku ciemno w Ziemi Świętej robi się ok. godziny piątej – wpół do szóstej, czyli tak jak u nas — chociaż czas jest przesunięty, ale Ziemia Święta jest bardziej na wschód od nas. Więc piąta – szósta to już jest zupełnie ciemno. Trzeba się domyślać, że Nikodem przychodzi wieczorem, późnym wieczorem może. Zawsze zadawano sobie pytanie: jakie znaczenie ma ta wieczorna rozmowa Nikodema z Jezusem? Dlaczego wieczorem? O tym, jak różne były odpowiedzi, mogą się państwo przekonać kiedy zacytuję dwie albo trzy z nich. Jedni komentatorzy mówili tak. Najwyraźniej już od samego początku nauczania Jezusa to nauczanie natrafiało na sprzeciwy i na opory. I Jezus znajdował się w niebezpieczeństwie. A ci, którzy utrzymywali z Nim kontakty, byli narażeni na rozmaite trudności i komplikacje — skoro Nikodem przychodzi w nocy. Przecież gdyby było inaczej, przyszedłby za dnia. Zatem mamy do czynienia już z coraz cięższą atmosferą wokół Jezusa. Inni komentatorzy mówili: Nie, to nie musi być tak, że Jezus był już wtedy mocno zagrożony a Nikodem obawiał się Jezusa i obawiał się z Nim spotykać. Otóż jedno i drugie pokazuje — tłumaczyli ci komentatorzy — że i jeden i drugi, i Jezus i Nikodem, zajmowali się zgłębianiem Prawa Bożego tak w dzień jak i w nocy. Jak psalmista mówił: „O Prawie Twoim rozmyślam w dzień i w nocy". Ponieważ dzień był czasem do pracy, zatem późny wieczór i noc była czasem na refleksję. Inni jeszcze komentatorzy powiadają, że o sprawach poważnych trzeba i można rozmawiać przede wszystkim wieczorem i nocą. Że noc to jest dobry czas, aby zastanowić się nad tym, co najważniejsze. Ponieważ

ci dwaj, Jezus i Nikodem, rozmawiają o sprawach najważniejszych, w związku z tym ta nocna atmosfera to atmosfera zadumy, powagi, skupienia — bo wieczór i noc temu właśnie służą.

Państwo przy sposobności zobaczą w jak różnych kierunkach idzie interpretacja, objaśnienie jednego właśnie epizodu, a zwłaszcza objaśnianie tego właśnie szczegółu, jakim jest pora rozmowy. Można ją pojmować tak, można ją pojmować inaczej. A może było i tak, że wszystkie te okoliczności jakoś wchodzą w rachubę? Że trzeba było liczyć się zarówno z wrogością wobec Jezusa, jak i związaną z nią dyskrecją, jak i z tą atmosferą wieczornej samotnej rozmowy dwóch ludzi, z których jeden i drugi zajęty był zgłębianiem Prawa. Nikodem więc:

> ... przyszedł do Niego nocą i powiedział Mu: «Rabbi, wiemy, że od Boga przyszedłeś jako nauczyciel. Nikt bowiem nie mógłby czynić takich znaków, jakie Ty czynisz, gdyby Bóg nie był z Nim».

Zwróćmy uwagę na sposób, w jaki zwraca się Nikodem do Jezusa: nazywa Jezusa *Rabbi*. Otóż to słowo jest z całą pewnością słowem hebrajskim używanym po dzień dzisiejszy. *Raab* znaczy po polsku *mistrz, nauczyciel. Rabbi* znaczy po polsku *Mój Mistrzu, Mój Nauczycielu.* Jest to sposób zwracania się. Czasami tłumaczony niesłusznie jako *Mój Panie.* To nie chodzi o hebrajski odpowiednik słowa *pan* tylko *nauczyciel.* Ponieważ tak zwracano się do najwybitniejszych nauczycieli, to z czasem ten sposób zwracania się: *Rabbi* stał się tytułem. Zwrotem, który takiego człowieka opisywał, który takiego człowieka określał, spolszczony znacznie później jako *rabin.* „Rabbi" zatem etymologicznie to „Mój Nauczyciel", „Mój Pan", „Mój Mistrz". Dobrze widzimy, że Nikodem, kiedy tak zwraca się do Jezusa, to uznaje Jego autorytet, uznaje autorytet nauczyciela. Ale mamy tutaj do czynienia, jeżeli uważnie słuchamy, mamy tutaj do czynienia ze swoistym napięciem. Bo Nikodem powiada: „«Rabbi»" czyli „Mój Mistrzu," „«wiemy, że od Boga przyszedłeś jako nauczyciel." Ale dodaje: „ Nikt bowiem nie mógłby czynić takich znaków, jakie Ty czynisz, gdyby Bóg nie był z Nim»." Co podziwia Nikodem? Nauczanie Jezusa? Nie! A co zwróciło jego uwagę? Znaki, cuda, działalność Jezusa! Niech państwo popatrzą, bo w komentowaniu tekstu biblijnego każdy szczegół jest ważny, że Nikodem przyszedł sam ale powiada:

> Rabbi, wiemy, że od Boga przyszedłeś ...

Otóż mówi w liczbie mnogiej! Najwyraźniej były przedtem debaty o Jezusie, rozmowy o Jezusie, dyskusje o Jezusie wśród faryzeuszów. Najwyraźniej wśród faryzeuszów, którzy mieszkali w Jerozolimie, więcej było takich, którzy byli zainteresowani Jezusem. I to w ich imieniu przychodzi Nikodem, może nawet przez jakąś grupkę wysłany: „Idź i porozmawiaj z Nim. Wszyscy razem nie pójdziemy" — nie wiadomo dlaczego. Czy dlatego, że nam nie wypada? Czy dlatego, że to jest niebezpieczne? Czy dlatego, że nie chcemy po sobie dać poznać tego podziwu? „Idź ty!" Nikodem idzie w imieniu innych i powiada: „Wiemy, że od Boga przyszedłeś jako nauczyciel. Nikt bowiem nie mógłby czynić takich znaków, jakie Ty czynisz, gdyby Bóg nie był z Nim". Ktoś, kto dobrze zna Ewangelię, wie, że jest to swoiste wyznanie wiary. I wie również i pamięta, że nie wszyscy Żydzi i nie wszyscy faryzeusze, i nie wszyscy sadyceusze, i nie wszyscy świadkowie cudów Jezusa reagowali tak samo. Przypomnijmy sobie, że na kartach Ewangelii, Ewangelii św. Marka, św. Mateusza zwłaszcza, cuda Jezusa, te znaki Jezusa zostały także obrócone przeciwko Niemu! Państwo pamiętają, że na kartach Ewangelii jest taki szokujący epizod kiedy to przybywają do Jezusa inni faryzeusze i powiadają mu: „Te cuda, których Ty dokonujesz, te znaki, które czynisz, to dokonujesz ich mocą diabła! Dokonujesz tego mocą czarną jakąś." Otóż odwracają to, czego Jezus dokonuje, co Jezus działa, odwracają przeciwko Jezusowi! To było największe oskarżenie, jakie mogło się pojawić. Jezus nazwał je „bluźnierstwo przeciwko Duchowi Świętemu" kiedy to owoce dzieł, przynoszących dobre i błogosławione skutki, są obracane przeciwko Bogu i przeciwko Temu, kogo Pan Bóg posłał. Zatem życie Jezusa wywoływało nie tylko podziw, ale wywoływało także sprzeciw. Jedno i drugie obnażało nastawienie ludzkich serc. Tutaj Nikodem przychodzi w imieniu tych, którzy w swoich sercach żywili uznanie dla Jezusa. Powiada: „Nie mógłbyś dokonać tych cudów, gdyby Bóg nie był z Tobą". W ten sposób wprowadza rozmowę, która będzie trwała i rozwija się tak:

> W odpowiedzi rzekł do niego Jezus: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może wejść do królestwa Bożego». (oryg: ujrzeć)

Otóż Jezus, widzimy to dobrze, kieruje uwagę Nikodema natychmiast na potrzebę odrodzenia, które opisuje jako „nowe narodziny". Jezus wprowadza te swoje słowa w sposób bardzo uroczysty. One po hebrajsku brzmią:

> Amen, amen

— to jest to samo *Amen,* które pojawia się na końcu każdej modlitwy. Znaczy po polsku: *niech się tak stanie!,niech tak będzie!,oby tak było!* Ale w Ewangeliach pojawia się ono bardzo często na początku jakiejś formuły i po grecku brzmi: *Amen, amen lego himin otin — Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, że ...* Otóż te słowa *zaprawdę, zaprawdę* zapowiadają coś bardzo uroczystego, coś bardzo ważnego. Mianowicie Jezus zwraca uwagę Nikodemowi teraz, że chce mu na samym początku rozmowy powiedzieć coś bardzo, bardzo ważnego. Nikodem jest zdziwiony cudami Jezusa i uznaje, że one są dowodem boskiej mocy, boskiej obecności. A Jezus kieruje uwagę na potrzebę wewnętrznego odrodzenia, które nazywa „powtórnymi narodznami": „jeśli się ktoś nie narodzi powtórnie, nie może ujrzeć królestwa Bożego". I cała rozmowa przenosi się na inny poziom, bo oto zaraz natrafia na trudności.

> Nikodem powiedział do Niego: «Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem? Czyż może powtórnie wejść do łona swej matki i narodzić się?»

Odnoszono te słowa najpierw do sytuacji Nikodema. Kiedy Nikodem powiada: „Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem?" to wielu komentatorów mówiło, że takim starcem był Nikodem, że Nikodem pokazywał na siebie: Jakże ja mogę się powtórnie narodzić będąc starcem? Dlatego Nikodem w sztuce wczesnochrześcijańskiej przedstawiany jest jako człowiek dojrzały czy wręcz starszy. Nas tu mniej interesuje wiek Nikodema, natomiast bardziej nas interesuje trudność, o jakiej mówi Nikodem. Otóż Nikodem nie rozumie Jezusa. Nie wie, co znaczą te „powtórne narodziny". W związku z tym stawia pytanie, o którym można by powiedzieć, że było naiwnie proste czy wręcz wyrażało w jakiś sposób bezsilność czy bezradność Nikodema. Jakżeż może się człowiek narodzić będąc starcem? Czyż raz jeszcze ma wejść do łona swej matki i powtórnie narodzić się? Oczywiście nie! Nikodem sugeruje taki paradoks, żeby skłonić Jezusa do wyraźniejszej odpowiedzi. Nikodem albo nie rozumie, o co Jezusowi chodzi, albo też ten obraz powtórnych narodzin sprowadza do rzeczywistości narodzin czysto fizycznych. A ponieważ doskonale wiemy, że żaden staruszek nie może powtórnie znaleźć się z powrotem w łonie swojej matki i raz jeszcze się urodzić, to właściwie ta rozmowa – gdyby tylko o ten problem chodziło – powinna tu się skończyć.

> Jezus odpowiedział: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego.

Raz jeszcze ta uroczysta formuła. „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci ..." Czyli nadal uważaj dobrze na to, co chcę ci powiedzieć. O jakie narodziny mi chodzi? Nie o narodziny, by twoja matka raz jeszcze wydała ciebie na świat, ale chodzi o narodziny z wody i z Ducha. W ten sposób mamy nawiązanie do sakramentu chrztu. Woda jest materialnym znakiem chrztu. Ale chrzest nie dokonuje się mocą wody. Woda tylko jest swoistym uobecnieniem dla naszych oczu. Chrzest dokonuje się jako powtórne narodziny mocą Ducha. „Jeżeli ktoś nie narodzi się z wody i z Ducha, nie wejdzie do królestwa Bożego". Otóż Jezus wskazuje, że w tej nowej ekonomii zbawczej, którą On zapoczątkował, potrzebne są niejako dwukrotne czy dwojakie narodziny. Jedne — z matki, drugie — z Boga. Te z matki są fizyczne, te z Boga — z wody i z Ducha, są duchowe. Ale jedne i drugie naprawdę są narodzinami z Boga! Bo Jezus nie zajmuje się teraz poczęciem, wydaniem na świat, narodzinami dziecka. Zajmuje się odrodzeniem duchowym człowieka. I dalej tłumaczy je tak:

> To, co się z ciała narodziło, jest ciałem, a to, co się z Ducha narodziło, jest duchem. Nie dziw się, że powiedziałem ci: Trzeba wam się powtórnie narodzić.

Otóż Jezus doskonale rozumie, że jego słowa wywołały ogromne zdziwienie. Że Nikodem wie więcej, niż do tej pory, ale rozumie mniej, niż do tej pory. W gruncie rzeczy to jest fundamentalny

paradoks wiary, fundamentalny paradoks wiary religijnej. Wiemy więcej i więcej, rozumiemy coraz mniej i mniej. Otóż wiara to jest przyjęcie Boga bez dowodów. Wiara to jest pierwszy, można by powiedzieć — najbardziej podstawowy sposób poznania Pana Boga i rzeczywistości, która nas otacza. Wiara również to jest klucz do zrozumienia nas samych, do zrozumienia siebie. Jezus mówi Nikodemowi: „Nie dziw się, że powiedziałem ci: Trzeba wam się powtórnie narodzić". Trzeba! A Jezus tłumaczy to tak:

> Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża.

Tu Jezus używa gry słów niemożliwej do oddania w języku polskim. *Wiatr* po hebrajsku nazywa się *ruah,* a po grecku *pneuma.* To słowo „pneuma" przeszło do języków europejskich bo mamy je w nazewnictwie technicznym. Otóż hebrajskie *ruah* i greckie *pneuma* oznacza *wiatr* i oznacza *Ducha.* Jezus najpierw mówi o wietrze: Przyjrzyj się czy posłuchaj wiatru – bo wiatru nie można zobaczyć. Można zobaczyć jego skutki, czasami niszczycielskie. A więc: „Wiatr wieje kędy chce. Szum jego słyszysz, słyszysz wiatr, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża." Wichury na terenie Ziemi Świętej bywają bardzo porywiste, bywają bardzo ostre, bardzo mocne i rzeczywiście nie wiadomo skąd przychodzą i dokąd zmierzają. Ten wiatr, wichura staje się obrazem działania bożego. Jezus nie może tego Nikodemowi wytłumaczyć lepiej, niż przez odwołanie się do tych czynników naturalnych. I zaraz powiada:

> Tak jest z każdym, który narodził się z Ducha».

Z każdym, który narodził się z Ducha, jest tak, jak z wiatrem. Przy czym —podkreślam to trzeci raz — „wiatr" i „Duch" to jest „ruah" i „pneuma", po polsku dwa różne słowa, tam — jedno słowo. Jak więc jest z tym, który narodził się? Przekładając słowo „wiatr" na słowo „Duch" można by powiedzieć: Duch wieje tam, gdzie chce. Skutki jego słyszysz, szum jego słyszysz ale nie wiesz, skąd przychodzi ani dokąd podąża. To, że dokonują się powtórne narodziny, te narodziny, których znakiem jest woda i Duch, to jest tajemnicze dzieło Boga. Nie potrafimy wytłumaczyć, nie wiemy, dlaczego jedni dostępują tych narodzin, a inni tych narodzin nie dostępują. Pamiętajmy, że ten stan rzeczy trwa po dzień dzisiejszy. Pośród sześciu miliardów ludzi na świecie niecała $\frac{1}{3}$ jest ochrzczona w imię Jezusa Chrystusa. Pozostałe $\frac{2}{3}$, czyli prawie cztery miliardy ludzi, nie jest ochrzczona, a większość z nich o Jezusie nie słyszała! „Tak jest z Bogiem" powiada Jezus zwracając się wtedy do tego żydowskiego dostojnika „że Bóg, jego działanie, jego Duch wieje tak, jak chce. Widzisz jego skutki, nie wiesz, skąd przychodzi i nie wiesz, dokąd zdąża". Otóż te powtórne narodziny, sakrament chrztu, to jest również jakaś boża tajemnica. Po dwóch tysiącach lat pozostaje ona tajemnicą, bo cały świat nie został nią objęty. Można by powiedzieć, że ci, którzy są ochrzczeni, stanowią zawsze jakąś swoistą resztę, która ma oddziaływać na innych — ale ci inni tego nie dostąpią. Dlaczego tak jest? Nie wiemy! Zastanawiał się nad tym Nikodem i Jezus w tej nocnej rozmowie, w sytuacji ówczesnej Jerozolimy — my dzisiaj jesteśmy już znacznie bogatsi o doświadczenia, ale sakrament chrztu pozostaje nadal tajemnicą. Pozostaje nadal misterium.

> W odpowiedzi rzekł do Niego Nikodem: «Jakżeż to się może stać?»

Jakże się to może stać, że Duch wieje tam, gdzie chce? Jakże się to może stać, że słyszymy jego szum, oglądamy skutki działania bożego, ale nie wiemy, skąd przychodzi ani dokąd zmierza? Jak to jest możliwe? Nikodem chce zrozumieć Pana Boga. Otóż ta sztuka zrozumienia Pana Boga to jest sztuka uprawiania teologii. Nikodem chce być teologiem, bo chce zracjonalizować swoją wiarę. A Jezus mu pokazuje, że rzeczywistość wiary jest o wiele głębsza niż teologia. Teologia, tak jak filozofia, rodzi się ze zdumienia. Tam, gdzie człowiek jest czymś zdumiony, tam zaczyna stawiać pytania. Nikodem jest zdumiony i chce na te pytania uzyskać odpowiedź. Tak jak gdyby chce wybadać Pana Boga, chce Go poznać, chce Go zrozumieć, chce Go posiąść. W pewnym sensie jakby zapanować nad Panem Bogiem. Jezus mu odpowiedział:

> Ty jesteś nauczycielem Izraela, a tego nie wiesz?

Nie wiesz, jak Bóg działa wśród ludzi? Nie wiesz, że zawsze przedmiotem szczególniejszego działania bożego stają się jego wybrani? Przecież tajemnica wybrania istniała już w Starym Testamencie. Dlaczego Bóg wybrał Izraelitów spośród innych narodów? Byli mądrzejsi, możniejsi, potężniejsi. Byli Sumerowie, Hetyci, Akadejczycy, Asyryjczycy, Babilończycy, Persowie, Medowie, Grecy, Rzymianie, Egipcjanie i Bóg wie kto jeszcze. A wybrał jeden naród spośród wielu. Otóż Jezus zwraca uwagę Nikodema na tajemnicę wyboru, w którym znalazła wyraz równie tajemnicza miłość Boga. I przedłużeniem tej tajemnicy wyboru jest sytuacja ludzi, którzy stykają się z chrztem. Istnieje wielu innych ludzi, którzy nigdy na progu tej tajemnicy nie staną. Zatem w spotkaniu z Bogiem człowiek musi zawsze uznać swoistą porażkę. A ta porażka nabiera walorów paradoksu wtedy, kiedy to zastanawiamy się dlaczego nas wybrał jako narzędzie swojego działania w świecie.

> Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, że to mówimy, co wiemy, i o tym świadczymy, cośmy widzieli, a świadectwa naszego nie przyjmujecie.

Otóż Jezus wskazuje tu na swoją prorocką, profetyczną misję i tożsamość. Zaczyna przemawiać w liczbie mnogiej. Tak, jak na początku Nikodem mówił w imieniu tych, którzy go przysłali, tak Jezus pokazuje teraz że w tym, co mówi, nie jest sam. Że mówiąc: „to mówimy, co wiemy, i o tym świadczymy, cośmy widzieli" włącza się w cały łańcuch świadków wiary Pierwszego Przymierza jak Abraham, jak Izaak, jak Jakub, jak Mojżesz, jak Dawid, jak Salomon, jak Izajasz, jak Jeremiasz. Jezus powiada do Nikodema: „Nie mówię ci przecież nic bardzo nowego. Jesteś nauczycielem Izraela — powinieneś słuchać swoich duchowych mistrzów. I powinieneś wiedzieć, że Bóg zawsze wybiera kogoś do specjalnej misji obdarzając go niezwyczajnymi darami. I że zawsze obok tych, którzy są wybrani, są inni, którzy tego zaszczytu nie dostąpili. Dlaczego tak jest — to tajemnica Boga tak jak tajemnica tego wiatru. Bóg wieje, przychodzi skąd chce, oglądamy tego skutki, ale nad źródłami i nad celem jego działania — choćbyśmy się najdłużej zastanawiali, to musimy uznać własną porażkę.

> Jeżeli wam mówię o tym, co jest ziemskie, a nie wierzycie, to jakżeż uwierzycie temu, co wam powiem o sprawach niebieskich?

Jezus zwraca uwagę na to, że przychodzi z nauką, która ma wymiary etyczne, moralne. Mówi o tym jak żyć, jak postępować. Ale jeżeli ktoś tego nie rozumie, to nie rozumie także tego przejścia, którego Jezus dokonuje, a które dotyczy spraw Bożych, spraw niebieskich. Temu wielkiemu mędrcowi, jakim był Nikodem, Jezus zaczyna ukazywać tajemnicę życia przyszłego. Chrzest dokonuje się nie po to, żeby odmienić nasze życie tu, tylko chrzest, sakrament chrztu, to odrodzenie z wody i z Ducha to jest odrodzenie ku życiu wiecznemu. Żeby je pojąć to trzeba także wziąć sobie do serca to, co doczesne. Starać się dobrze żyć. Bo kluczem do właściwego pojmowania tych spraw jest dobre życie.

> I nikt nie wstąpił do nieba, oprócz Tego, który z nieba zstąpił - Syna Człowieczego.

Tu Jezus wskazuje na swój niezwykle intymny związek z Ojcem. Przedstawia siebie jako Syna Człowieczego w nawiązaniu do proroctw z Księgi Daniela. Obaj ci rozmówcy rozmawiają językiem Starego Testamentu, językiem biblijnym. Obaj doskonale wiedzą, o co chodzi. A Jezus zwraca uwagę na swoje szczególne synowskie więzi z Ojcem. Moc chrztu pochodzi z tego dzieła zbawczego, którego Bóg Ojciec dokonał w swoim Synu czyli w Jezusie Chrystusie. I teraz ta rozmowa osiąga swoje apogeum. Za chwilę w tej rozmowie pojawi się zdanie, które jest bodaj najczęściej cytowanym zdaniem Nowego Testamentu. Kiedyś przygotowywane były tzw. florilegia biblijne. Nazwa *florilegium* pochodzi od łacińskiego *flos* tzn *kwiat.* Florilegium — tzn. bukiecik, taki bukiecik różnych kwiatów. Jak zbieramy – czasem zwłaszcza panie – takie kwiatki polne, układamy sobie bukiecik, przynosimy go do domu, tak ci, którzy czytali Pismo Święte, wybierali sobie cytaty, uczyli się ich na pamięć i mieli w głowie takie bukieciki biblijne. Tak było z Mickiewiczem, tak było ze Słowackim, tak było z Krasińskim, tak było z Norwidem, tak było z Sienkiewiczem, tak było z Karolem Wojtyłą i dokładnie tak uczył się i zapamiętywał Pismo Święte kardynał Stefan Wyszyński. Otóż czytając Pismo Święte zapamiętywano pewne zdania. Za chwilę mamy takie zdanie, które stanowiło zawsze jeden z kwiatuszków w tym bukieciku. Czytamy tak:

> A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy, kto w Niego wierzy, miał życie wieczne.

Za chwilę nastąpi ten kwiatek. Ale na razie Jezus kieruje uwagę tego mędrca na zbawczą rzeczywistość Starego Testamentu. Przypominaliśmy sobie, że ta rozmowa odbywa się w kontekście święta Paschy. Jezus powiada tak: Był czas, że kiedy Izraelici wędrowali z Egiptu do Ziemi Obiecanej, to wybuchła wtedy wśród nich, na skutek ich niewierności, plaga węży. I otrzymał Mojżesz polecenie, by na palu wznieść miedzianego węża. Pal — możemy sobie wyobrazić: słup i taka poprzeczka, która miała wyobrażać węża. I kto spojrzy na tego węża miał być uzdrowiony. Takie wyobrażenie po dzień dzisiejszy jest na górze Nebo, po jordańskiej stronie, z widokiem pięknym na Ziemię Świętą, gdzie w marcu 2000-go roku był Jan Paweł II. Jezus powiada: „Ten widok węża, który przywracał ludziom zdrowie, to jest zapowiedź i symbol wywyższenia Syna Człowieczego." Otóż to do złudzenia przypomina krzyż. „Teraz" – powiada Jezus – „nadszedł czas, kiedy uzdrowienie będzie pochodzić z patrzenia, ze spojrzenia, z zaufania, z wierności Synowi Człowieczemu, który zostanie wywyższony na drzewie krzyża. Jezus zapowiada, że zbawcza moc chrztu pochodzi z jego śmierci. Że trzeba będzie przejść przez śmierć, On będzie musiał przejść przez śmierć, by dać życie światu. I wyjaśnia to tak — i teraz mamy to piękne zdanie:

> Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne.

Otóż zbawcza śmierć Jezusa Chrystusa zostaje przez Niego objaśniona jako największy dowód bożej miłości do świata. „Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał". Jak niegdyś Abraham i Izaak, który miał być złożony w ofierze, i Izaak w ostatniej chwili został ocalony, to Bóg — o tym mówią ewangeliści i pozostałe pisma Nowego Testamentu — własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wydał. Otóż znakiem bożej miłości jest nie tylko solidarność z cierpiącymi, ale fakt, że Syn Boży przeszedł przez cierpienie, i przez mękę, i krzyż. Jaki musi być ciężar i zło grzechu, jeżeli trzeba go było niejako okupić w taki właśnie sposób! W tej nocnej rozmowie Nikodema z Jezusem dowiadujemy się o tym, co stanowi sedno bożej miłości. Największym jej znakiem jest śmierć Jednorodzonego Syna, która stanowi nowotestamentowe wypełnienie tego znaku, który Izraelici zobaczyli na pustyni wówczas, gdy wznosili twarze aby patrzeć na słup, a na nim zawieszonego węża.

> Kto wierzy w Niego, nie podlega potępieniu; a kto nie wierzy, już został potępiony, bo nie uwierzył w imię Jednorodzonego Syna Bożego.

Otóż Jezus zapowiada podział na tych, którzy uwierzą w Niego, i tych, którzy w Niego nie uwierzą. Ten podział to jest uszanowanie człowieczej wolności. Pan Bóg stworzył człowieka wolnym i nie chce mu tej wolności odbierać. Dlatego możliwa jest akceptacja i możliwy jest sprzeciw. Śmierć Jezusa Chrystusa, śmierć krzyżowa, przez jednych zostanie przyjęta, przez innych przyjęta nie zostanie. Tajemnica bożego miłosierdzia staje wobec jednych i drugich jakąś przeogromną tajemnicą właśnie.

> A sąd polega na tym, że światło przyszło na świat, lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie potępiono jego uczynków. Kto spełnia wymagania prawdy, zbliża się do światła, aby się okazało, że jego uczynki są dokonane w Bogu».

Jezus, bilansując te słowa, powiada tak. Warunkiem dobrego życia i warunkiem zaufania Panu Bogu jest przylgnięcie do prawdy, jest dobre rozeznanie. Jest dobre rozeznanie w tym, co dotyczy Pana Boga, co dotyczy własnego życia. Tam, gdzie człowiek potrafi prawdę uznać, tam potrafi dobrze żyć. Tam, gdzie nie ma prawdy, nie ma również dobrego życia. Poleganie na prawdzie i dobre życie są ze sobą bardzo mocno powiązane. A podstawowa prawda jest taka, że człowiek powinien rozpoznać i przyjmować bożą miłość. Tę miłość, która znalazła wyraz w śmierci Syna

Bożego. Otóż śmierć Jezusa Chrystusa, męka Jezusa Chrystusa, jego przejście przez krzyż, to jest ta podstawowa prawda o Bogu. W niej Pan Bóg objawia nam samego siebie. I od nas zależy, co z tym zrobimy. W nocnej rozmowie zatem Nikodem wysłuchał najważniejszych i najwznioślejszych prawd ewangelicznych. Musiał je zapamiętać, skoro zostały utrwalone na kartach Ewangelii. Tutaj ewangelista przerywa swoją narrację i dalej mamy:

> Potem Jezus i uczniowie Jego udali się do ziemi judzkiej.

Nie wiemy, jak Nikodem zareagował na te prawdy. Ale spotykamy Nikodema w Ewangeliach raz jeszcze i to w okolicznościach które świadczą, że wziął sobie głęboko do serca to, co usłyszał od Jezusa. Mianowicie spotykamy raz jeszcze Nikodema w kontekście pogrzebu Jezusa. Czytamy wtedy tak w rozdziale 19 Ewangelii św. Jana:

> Potem Józef z Arymatei, który był uczniem Jezusa, lecz ukrytym z obawy przed Żydami, poprosił Piłata, aby mógł zabrać ciało Jezusa. A Piłat zezwolił. Poszedł więc i zabrał Jego ciało. Przybył również i Nikodem, ten, który po raz pierwszy przyszedł do Jezusa w nocy, i przyniósł około stu funtów mieszaniny mirry i aloesu. Zabrali więc ciało Jezusa i obwiązali je w płótna razem z wonnościami, stosownie do żydowskiego sposobu grzebania.

Zatem Nikodem pozostał wierny temu, co usłyszał. Nie wiemy jak zachowywał się w ciągu życia Jezusa. Ale kiedy Jezus umarł, przybył z wonnościami – i to z bardzo dużą ilością – aby ciało Jezusa namaścić. Najwyraźniej to, co usłyszał o powtórnych narodzinach, wydało ten dobry, błogosławiony posiew, dobre owoce skoro znalazł się tam, gdzie powinien, mianowicie przy pogrzebie.

> A na miejscu, gdzie Go ukrzyżowano, był ogród, w ogrodzie zaś nowy grób, w którym jeszcze nie złożono nikogo. Tam to więc, ze względu na żydowski dzień Przygotowania, złożono Jezusa, bo grób znajdował się w pobliżu.

A zrobił to Józef z Arymatei i Nikodem właśnie. Nikodem wprowadzony w tajemnicę śmierci Jezusa Chrystusa, Nikodem, któremu zapowiedziano tę tajemnicę. Nikodem znalazł się tam, gdzie ta śmierć miała miejsce, czyli na Kalwarii. Tam odszukał Jezusa raz jeszcze tak, jak wcześniej odszukał Go w nocy. Później — nie wiemy już co działo się z Nikodemem. Pewnie był jednym z pierwszych chrześcijan, pierwszych wyznawców, skoro pamięć o tym, co przeżył, została utrwalona na kartach Nowego Testamentu i skoro po prawie dwóch tysiącach lat możemy zastanawiać się tak, jak on kiedyś, nad tajemnicą powtórnych narodzin. Ta tajemnica powtórnych narodzin to tajemnica miłości Boga do człowieka, której znakiem jest krzyż. A owoce zbawczej męki są dla nas dostępne poprzez znaki wody i poprzez moce Ducha Świętego. A z Nim jest — tak mówił Jezus do Nikodema — jak z wiatrem. Nie wiemy, skąd przychodzi. Nie wiemy, dokąd idzie. Widzimy tylko Jego szum. Doświadczamy Jego pomocy, doświadczamy Jego obecności. Tak zawsze jest z Bogiem. Boga zawsze oglądamy tak jak gdyby od tyłu. Żaden człowiek nie może zobaczyć Jego twarzy. Oglądamy tak jakby Jego przejście, Jego obecność, która właśnie była. Czujemy Jego oddech. Czujemy, że Bóg przed chwilą był. Czujemy, że jest z nami ale nie potrafimy Go ująć ani posiąść. Bo jest przecież Panem Bogiem. Dopiero wtedy, kiedy da nam doświadczyć pełniej Swoje życie poznamy Go bardziej, poznamy twarzą w twarz. Św. Paweł napisał: „Poznamy Go tak, jak sami zostaliśmy poznani". Ale znowu stajemy z tym na progu tajemnicy.

Tyle byłoby na dzisiaj. Zapraszam bardzo serdecznie za 4 tyg., czyli 20 III, w trzeci poniedziałek marca. Konferencja będzie już w okresie Wielkiego Postu, podczas niej przyjrzymy się kolejnemu ewangelicznemu epizodowi i kolejnej ewangelicznej postaci. Chwała Ojcu . . . Pochwalony Jezus Chrystus.

8.5 Piłat (20 marca 2006)

Ojcze Nasz ... Stolico Mądrości, módl się za nami. Naprawdę bardzo się cieszę, że państwa znowu widzę. Bardzo się cieszę, że widzę znajome twarze, że prawie każdy na swoim miejscu — tak jak zawsze. Można do tego się przyzwyczaić: zrobić zdjęcie dzisiaj, za trzy tygodnie tu się znowu zbieramy — raz jeszcze zobaczyć — i prawie dokładnie te same twarze, te same miejsca, i tak samo jest nas sporo. Jestem za to bardzo wdzięczny.

Na samym początku trzeba zapowiedzieć, że dzisiejsza konferencja będzie najdłuższa ze wszystkich — ponieważ rozpoczynamy ją zimą, a skończymy wiosną. Otóż o 19^{27} robi się wiosna. Czyli mamy jeszcze przed sobą kilkanaście minut zimy, a potem wiosną dokończymy całości. Zatem bardzo długo, choć w czasie to jest to samo, co zawsze, ale jeżeli chodzi o porę roku, to rzeczywiście długo.

Mamy okres Wielkiego Postu i temat, który dzisiaj wziąłem, jest jakoś dostosowany do czasu wielkopostnego. Przypominam, że przedmiotem naszej refleksji są bohaterowie Nowego Testamentu. I patrząc na tematy, które mieliśmy do tej pory, zauważyłem, że pośród naszych bohaterów nie omawialiśmy nigdy osoby, której Nowy Testament, Ewangelie, poświęcają sporo miejsca, która weszła do Credo, do apostolskiego Wyznania Wiary, chociaż nie wiadomo, czy stała się wyznawcą Jezusa Chrystusa. O której wspominamy zawsze, kiedy odmawiamy pacierz, zwłaszcza ze Składem Apostolskim, i o której czytamy w okresie Wielkiego Postu, w opowieściach o Męce Pańskiej szczególnie. Chodzi oczywiście o Poncjusza Piłata. I dzisiaj przedmiotem naszej refleksji będzie Poncjusz Piłat tak, jak przedstawiają go Ewangelie. I będziemy starali się odtworzyć jego portret na podstawie Ewangelii i będziemy starali się odtworzyć także jego przygodę z Jezusem, którą przeżył. I która to przygoda tak dalece była poruszająca, tak dalece mocna, tak dobitna, że po dwóch tysiącach lat o Poncjuszu Piłacie wciąż się mówi.

Zatem temat dzisiejszy to właśnie Poncjusz Piłat. Aby jego osobę zrozumieć, musimy się najpierw troszeczkę cofnąć wstecz i powiedzieć sobie, że w okresie, którego Ewangelie dotyczą, w okresie życia Jezusa Chrystusa, Palestyna, ten niewielki skrawek ziemi położony we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego, znajdowała się pod okupacją rzymską. Stolicą imperium był Rzym. Imperium Romanum to było potężne imperium, które zrodziło się mniej więcej w III – II wieku przed Chrystusem. Zrodziło się w konfrontacji z potężną Kartaginą, która znajduje się na terenie dzisiejszej Tunezji. Tam są jej szczątki, jej pozostałości niesłychanie okazałe, a zarazem niesłychanie żałosne. Ta konfrontacja z Kartaginą wypadła na korzyść Rzymu. Kulturowa konfrontacja z kolei z Grecją — tutaj Rzym nigdy nie przewyższył Grecji jeżeli chodzi o kunszt, artyzm, o finezję, o sposób wyrażania uczuć i odczuć artystycznych. Ale ta konfrontacja z Grecją spowodowała, że Rzymianie podporządkowali sobie tereny, które do Grecji należały. I wreszcie po konfrontacji z daleką Persją — to są tereny dzisiejszego Iranu, dzisiejszej Mezopotamii, także Iraku. I w II i I wieku przed Chrystusem Rzym zdołał podporządkować sobie cały obszar Morza Śródziemnego. Kto z państwa ma wyobraźnię plastyczną, geograficzną i wyobraża sobie teraz tę mapę basenu Morza Śródziemnego, to Rzymowi podlegało wszystko poczynając — że zrobimy takie koło — od Półwyspu Apenińskiego czyli Italii, dziś Włochy, przez Galicję czyli Francję, przez południową Brytanię – tam gdzie dzisiaj jest Londyn i okolice, przez Hiszpanię, którą podbili, przez Maroko, Afrykę północną czyli Algerię, Tunezję, Libię, Egipt północny, Syropalestynę, Jordanię, Liban, także po dzisiejszy Iran, po Azję Mniejszą czyli dzisiejszą Turcję, wyspy greckie, przez Bałkany — czyli zrobiliśmy sobie taką podróż po basenie Morza Śródziemnego i uświadamiamy sobie, że te wpływy były bardzo ogromne. Dlaczego o tym trzeba wiedzieć, żeby zrozumieć Poncjusza Piłata? Dlatego, ponieważ Poncjusz Piłat był przedstawicielem prężnego, możnego, wielkiego, wpływowego i silnego imperium. Był bardzo wysokim urzędnikiem cesarskim. I w związku z tym cała ta scena ewangeliczna, o której będziemy mówili, rozgrywa się między Jezusem a Piłatem. I staje naprzeciwko siebie dwóch ludzi — będziemy o tym mówić. Jeden oskarżony przez swoich rodaków, przez Żydów, o wichrzycielstwo i o bluźnierstwo. I drugi, który jest przedstawicielem silnego, możnego, potężnego imperium, i który ma władzę ułaskawienia albo ew. skazania tego przyprowadzonego do niego człowieka. Spotykają się dwaj ludzie, z których każdy ma władzę innego rodzaju. W 63 r. przed Chrystusem imperium rzymskie przesunęło się tak daleko, że Rzymianie zajęli teren Syropalestyny, podporządkowali ją sobie i na jej obszarze ustanowili marionetkowego króla. Otóż jeżeli

byśmy szukali jakiejś analogii w świecie współczesnym, to moglibyśmy powiedzieć bez popełnienia większego błędu, że polityka starożytnego imperium rzymskiego przypomina do żywego dzisiejszą politykę amerykańską. Mówiąc dokładnie: polityka amerykańska jest wzorowana na starożytnej polityce rzymskiej. Podstawowa zasada Rzymian brzmiała: *Divide et impera* czyli *Dziel i rządź.* Można rządzić lepiej tymi, których się podzieliło, których się nawzajem na siebie napuściło. Nie będziemy oceniać i nie będziemy analizować współczesnej polityki, chociaż analogie tutaj nasuwają się w wielu rejonach świata. Ale Rzymianie opanowali to do perfekcji i później w dziejach świata wiele razy wzorowano się na rzymskim sposobie administrowania podbitymi terytoriami.

Otóż jednym z takich sposobów administrowania było ustanowienie z jednej strony kogoś lokalnego jako władcy, który był Rzymianom całkowicie podporządkowany. Z drugiej strony mianowanie na dany obszar *prefekta* czy też *prokuratora* — przy czym słowo „prokurator" nie ma tego znaczenia takiego, jak w dzisiejszym sądzie, tylko pochodzi od łacińskiego słowa *procurare* czyli „troszczyć się, zabiegać, starać". I zadaniem tego prokuratora ustanowionego przez Rzymian była niby – chociaż i rzeczywiście tak – troska o tych ludzi, którzy znajdowali się na powierzonym mu terenie. Zatem Rzymianie prowadzili politykę kija i marchewki. Z jednej strony ten kij wyciągnięty w dłoniach, na końcu kija zawieszona marchewka. I ktoś, kto tę marchewkę lubił, cały czas za nią gonił i próbował ją złapać dopóki się nie zmęczył — bo bez przerwy żył obietnicami. Albo też kij przydawał się, żeby go pogonić albo zmusić do posłuszeństwa. Taka była właśnie polityka rzymska.

W ramach tej polityki Rzymianie pozwolili, że na obszarze Palestyny był lokalny król, którym był Herod, z pochodzenia pół-Żyd, pół-Idumejczyk. Po matce — Idumejczyk, czyli potomek starożytnych Edomitów, z terenów dzisiaj należących do Jordanii, a po ojcu — Żyd. Herodowi wydawało się, że ma swoją władzę. Ale pod koniec rządów Heroda Rzymianie widzieli, że lepiej będzie, gdy dodadzą do tego swoich prokuratorów. I podzielono królestwo Heroda pomiędzy trzech jego synów i mianowano wtedy prokuratorów czy też prefektów. Wysyłano ich z Rzymu i mieli rezydować na terenie Palestyny. Na rezydencję wybrano port, który leżał nad samiutkim morzem i nazywał się Cesarea Maritima czyli Cezarea Nadmorska. Ten port wybudował Herod, tzn. król żydowski, Herod Wielki. Założył go ok 20 r. przed Chrystusem, rozbudował bardzo szybko i na cześć Cezara nazwał Cezareą. Kiedy port został przysposobiony do trwałego zamieszkania, rezydowali tam również rzymscy namiestnicy. Dlaczego przy porcie? Po pierwsze — dobry tam był klimat. Po drugie — w każdej chwili mógł się ewakuować, co w starożytności miało bardzo duże znaczenie. Po trzecie — można było wezwać posiłki rzymskie na wypadek jakichś niepokojów. Po czwarte wreszcie — prokuratorzy, prefekci na ogół nie lubili Żydów. A nie lubili z dwóch powodów. Po pierwsze nie rozumieli żydowskich zwyczajów i praw, według których Żydzi żyli w Jerozolimie. I patrząc na te żydowskie zwyczaje i prawa mieli do tego ogromny dystans wewnętrzny. Ci prokuratorzy byli poganami wychowanymi na kulturze greckiej, rzymskiej. Od Greków mieli sztukę, od Rzymian mieli prawo. Byli to ludzie wykształceni jak na owe starożytne czasy, i patrzyli na Żydów z pewną pogardą. Drugi powód, dla którego nie chcieli mieszkać w Jerozolimie, to ten, że stronili od Żydów ponieważ Żydzi mieli duże wpływy na dworze cesarskim. I wbrew pozorom mogli bardzo wiele. Zatem działo się tak, że cesarz wysyłał jakiegoś prokuratora, jakiegoś prefekta, ale — ponieważ Żydzi byli bardzo mobilni i mieli te wpływy na dworze cesarskim — to los takiego prefekta bywał dość często skomplikowany, złożony, a nawet trudny. I w Palestynie prefekci się szybko zmieniali, bo robiono na nich rozmaite donosy, prawdziwe i nieprawdziwe, snuto rozmaite intrygi. W związku z tym Palestyna była ciężkim kawałkiem chleba dla prefektów. Najdłużej byli po dwa lata, po trzy lata, po pięć lat.

A Poncjusz Piłat był tutaj absolutnym wyjątkiem dlatego, że został mianowany w 26 r. naszej ery i był prefektem przez lat dziesięć, do 36 r. naszej ery. Te daty są bardzo ważne. Skoro był prefektem przez lat dziesięć, to możemy się domyślać, że albo nie pozwolił się uwikłać w rozmaite intrygi, albo sam miał dobre notowania u cezara. Albo być może dość skutecznie odnosił się do tych rozmaitych donosów, które na niego robiono. Może prowadził politykę silną tak, że pozwoliła mu ona utrzymać się aż przez 10 lat. O jego rządach wiemy także z pism Filona Aleksandryjskiego i Józefa Flawiusza. Jeden i drugi to byli pisarze żydowscy z tym, że jeden pochodził z Aleksandrii, drugi żył na terenie Palestyny. I o Poncjuszu Piłacie wspomina także rzymski historyk Tacyt. Tak więc poza Ewangeliami mamy jeszcze te trzy źródła informacji. Jeżeli chodzi o Filona Aleksandryjskiego i o Józefa Flawiusza którzy żyli, przynajmniej Flawiusz, wkrótce po tych czasach, to napisali, że

Piłat był dość bezwzględny. Napisali, że kiedy Żydzi zaczynali buntować się przeciwko Piłatowi, to potrafił natychmiast odpowiedzieć bardzo mocno i bardzo dotkliwie, posuwając się do przelewu krwi. Mogłoby się to zgadzać ze wzmianką, którą znamy z Ewangelii kiedy to jeden z Ewangelistów, św. Łukasz, wspomina o ludziach, jakiejś grupie żydowskiej, która wznieciła powstanie przeciwko Rzymianom i „których krew przelał Piłat i zmieszał ją z ziemią". Otóż ta aluzja mogłaby się zgadzać z tymi źródłami pozabiblijnymi, że Piłat był raczej człowiekiem dość twardym i dość skutecznym. Znów to jest ważne, żebyśmy mogli Ewangelie lepiej pojąć. Że naprzeciwko Jezusa staje człowiek który wiedział, czego chce.

Dlaczego Piłat trafił do Palestyny — tego powiedzieć nie możemy. Jeżeli został prefektem w roku 26, to możemy wnosić, że był wtedy mężczyzną najprawdopodobniej w średnim wieku. Z tym, że średnia wieku w starożytności była niższa, niż dzisiaj. Dla nas pan w średnim wieku to jest ponad 40, ok. 50 lat. Dla starożytnych to był mężczyzna 35-letni mniej więcej. Tak się wydaje, że tyle miał lat. Może trochę mniej, może ok. 30 do 35 lat. Jeżeli tutaj dobrze zgadujemy, to Piłat był w pewnym sensie rówieśnikiem Jezusa. Bo jeżeli te wydarzenia rozgrywają się w roku — niezależnie od szczegółowej rachuby — 30-tym czy 31-ym, z tą pomyłką, która istnieje w kalendarzu, to Jezus miał wtedy 33 lata i Piłat był mniej więcej w wieku Jezusa. To też jest bardzo ważne, że mamy i pod tym względem pewne psychologiczne podobieństwo. To mogłoby nas naprowadzić na taki trop, że Jezus i Piłat pod wieloma względami byli do siebie jako ludzie, od tej ludzkiej strony, podobni. Że szybko znajdowali wspólny język, że zobaczyli, że są w jednakowym wieku. Obaj byli wykształceni, obaj byli elokwentni. Rozmawiali ze sobą po grecku, bo Jezus odpowiadał Piłatowi po grecku, Piłat zadawał pytania w języku greckim. Zatem obaj stając naprzeciwko siebie byli dla siebie takimi duchowymi partnerami. I to pozwala nam ich rozmowę, ich spotkanie lepiej zrozumieć. Więc do takiego to właśnie Piłata, który trafił tam, do Syropalestyny, najprawdopodobniej z terenu dzisiejszej Italii, czyli był praprzodkiem dzisiejszych Włochów, do niego został przyprowadzony Jezus, skazany dopiero co przez Sanhedryn na karę śmierci.

Piłat miał ogromną władzę. Władza Piłata to była władza namiestnika, który praktycznie mógł wszystko. Miał dwa przywileje, które są bardzo ważne żeby zrozumieć jego sytuację z Jezusem. Otóż jeden przywilej nazywał się *indulgentia* po lacinie. Indulgencja znaczy „przebaczenie". Mogło być tak, że kiedy przyprowadzano do Piłata jakiegoś zbrodniarza albo człowieka oskarżonego o przestępstwo, to Piłat jako namiestnik, jako przedstawiciel cesarza, jako prefekt rzymski, mógł zastosować wobec niego właśnie praktykę indulgentia, zasadę indulgentia, czyli przebaczenia. Mógł — widząc skruchę ze strony człowieka, albo widząc jakieś jego zalety czy sposób mówienia, czy też gdy przypadł mu do gustu w jakikolwiek sposób — mu w imieniu cesarza przebaczyć. I nawet jeżeli ktoś dopuścił się jakiejś zbrodni, czy dopuścił się jakiegoś ciężkiego przestępstwa, mógł odejść stamtąd, sprzed oblicza przedstawiciela rzymskiej władzy, z tym przebaczeniem. Drugi przywilej, który posiadał Piłat, nazywał się po łacinie *abolitio*, dzisiejsza „abolicja" od tego pochodzi. Otóż abolitio było czymś jeszcze większym, niż indulgentia. Bo abolicja polegała na tym, że zanim namiestnik wysłuchał kogokolwiek, albo wysłuchał jakiejkolwiek sprawy, mógł człowieka uniewinnić. Mógł np. uznać, że sprawa, z którą do niego przyszli oskarżyciele, nie jest aż tak wielka, żeby on się nią zajmować musiał. Albo że są jakieś okoliczności, dla których tego skazańca można ułaskawić itd.

To znów jest ważne, żebyśmy tę sytuację procesu zrozumieli dlatego, że mamy tam elementy zarówno owej procedury indulgentia, jak i tej procedury abolitio. Piłat próbuje jednego i drugiego, ale jedno i drugie mu się nie udało. Otóż Piłat stosując to ułaskawienie albo uniewinnienie, jedną z tych dwu procedur, oczywiście jawił się jako przedstawiciel cesarza, jako przedstawiciel rzymskiej władzy. Okazywał wielkoduszność, zaufanie. Liczył na aplauz tych, którzy się zgromadzili. I oczywiście liczył na to, że ta władza rzymska przestanie być aż tak nielubiana czy czasami wręcz znienawidzona, jak to w różnych częściach imperium rzymskiego bywało.

I teraz przejdźmy do tej konkretnej sytuacji, którą w okresie Wielkiego Postu chcemy poznać bardziej szczegółowo. Otóż Piłat tym razem nie rezyduje w Cezarei, tylko rezyduje w Jerozolimie. To też jest ważne dlatego, że przy sposobności większych świąt — a wiadomo z Ewangelii, że skazanie Jezusa odbyło się w kontekście wiosennego święta Paschy, takiego jak to, na które teraz czekamy. Otóż w kontekście świąt prefekt rzymski, namiestnik rzymski udawał się z Cezarei do Jerozolimy i brał ze sobą całe oddziały żołnierzy, czasami dwa albo trzy, liczące po 100 żołnierzy, a więc 200 - 300 doborowych żołnierzy. I zamieszkiwali w Jerozolimie w dwóch miejscach. Albo mógł rezydować

na terenie pałacu Heroda, albo też rezydował w twierdzy Antonia, która przylegała bezpośrednio do terenu świątynnego, do tego terenu na którym wznosiła się świątynia jerozolimska. Dlaczego co roku na święto Paschy, a także przy okazji dwóch innych świąt, na św. Namiotów i na św. Tygodni, namiestnik udawał się do Jerozolimy? Otóż dlatego, że wtedy do Jerozolimy przybywały tysiące Żydów z całego świata. Przynosili różne wiadomości. Jedni przybywali z Azji Mniejszej, drudzy z Hiszpanii, inni z Półwyspu Apenińskiego, z Grecji, z Afryki Północnej, z Libii. Tu przypomnijmy sobie tę wyliczankę w dzień Zesłania Ducha Świętego w Dziejach Apostolskich. Jeszcze inni z Mezopotamii, z Krety. Partowie, Medowie, Elamici, różne części imperium rzymskiego. I oni oczywiście przekazywali sobie rozmaite wiadomości. Wszyscy mówili po aramejsku, albo po łacinie, po grecku. Mogli się organizować. I Rzymianie bali się, że tak duże skupiska ludzi, gromadzących się z różnych stron imperium rzymskiego, będą owocowały rozruchami. I zazwyczaj takie rozruchy bywały, więc namiestnik zawsze przybywał do Jerozolimy. I Piłat też przybył do Jerozolimy i tym razem rezydował w twierdzy Antonia. W twierdzy zaopatrzonej w cztery potężne wieże, z kamiennym dziedzińcem w środku, bardzo silnie chronionej, która znajdowała się przy jednym z narożników terenu świątynnego. Gdyby cokolwiek działo się na terenie świątyni albo w jej pobliżu, wypadali doborowi rzymscy żołnierze i natychmiast przywracali porządek.

Więc i taką samą sytuację mamy teraz. Piłat przybył do Jerozolimy na święto paschy. I oto kiedy zamierzał już świętować — ma kłopot. Na czym polegał ten kłopot? Kłopot polega na tym, że w czwartek, my nazywamy: Wielki Czwartek wspominając te wydarzenia, najpierw odbyła się Ostatnia Wieczerza, na której Jezus ustanowił Eucharystię i kapłaństwo. A po Ostatniej Wieczerzy, z miejsca zwanego Wieczernikiem, który znajdował się na Górze Syjon i tam po dzień dzisiejszy się znajduje, Jezus ze swoimi Apostołami schodzi do Ogrodu Oliwnego. To jest mniej więcej w prostej linii 800 – 1000 m od Wieczernika. Tam, w Ogrodzie Oliwnym, modli się na osobności, tam zostaje zdradzony, tam zostaje pojmany. Zdradzony przez jednego ze swoich — przez Judasza. A ponieważ była już noc, wiadomo, że warunki inne niż dzisiaj — przede wszystkim kłopoty ze światłem, to Judasz umówił się z arcykapłanami, którzy zapłacili mu 30 srebrników. Trzydzieści srebrników to była miesięczna pensja robotnika, płacono srebrnika za dzień. Srebrnik — bo denar był wykonany ze srebra. Za miesięczną pensję Judasz zgodził się wskazać, który to jest Jezus. Bo Jezus był z Apostołami, było ich kilkunastu. Więc umówił się, że Ten, do którego podejdzie jako do pierwszego, z którym się przywita. Kto z państwa zna rejon Bliskiego Wschodu, i Żydów i Arabów, to widział wiele razy witających się mężczyzn. U nas witamy się przez podanie ręki, tam się witają — taki pocałunek, który przypomina nasz znak pokoju podczas mszy świętej. Umówili się więc, że Ten, z którym się przywita, Ten, którego pocałuje tym pocałunkiem pokoju, to jest Jezus. Pamiętamy te słowa, bo scena jest przejmująca:

> Judaszu, pocałunkiem wydajesz Syna Człowieczego?

Zbeszcześciłeś ten gest, który jest gestem przyjaźni, miłości, a ty zrobiłeś z niego gest zdrady — taki jest sens tych słów. Jezus zostaje pojmany i w czwartek późnym wieczorem zaprowadzony do pałacu arcykapłana Kaifasza, znajdującego się, tak jak Wieczernik, na Syjonie. Tam się odbywa przesłuchanie przed Sanhedrynem, przed żydowską Wysoką Radą. I żydowska Wysoka Rada wydaje na Jezusa wyrok śmierci. Wydaje go za bluźnierstwo, bo w kluczowym momencie arcykapłan pyta: „Powiedz nam, kim Ty jesteś? Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Błogosławionego?" Jezus odpowiada: „Tak, Ja jestem." Arcykapłan zawołał: „Zbluźnił!", rozdarł swoje szaty, jak było w żydowskim i pozostaje do dzisiaj w arabskim zwyczaju, i zapadł wyrok: „Winien jest śmierci". Ale ten wyrok nie miał mocy wiążącej, bo Żydzi nie mogli wykonywać wyroków śmierci. W jednym tylko przypadku mogli wykonywać w czasach rzymskich wyrok śmierci. A mianowicie, gdyby jakiś poganin wszedł na teren świątyni, zastrzeżony wyłącznie dla Żydów. Był taki teren w samym środku, blisko tego miejsca, gdzie składano ofiary w świątyni, gdzie mogli wchodzić tylko Żydzi, nikt inny. Ten teren był oznaczony murem, wysokim mniej więcej jak mój pulpit, i na jego górze co pewien czas były tablice: „Wstęp tylko dla Żydów. Poganin zostanie ukarany śmiercią" — tak mniej więcej co 50 m. W związku z tym Rzymianie zgodzili się, że gdyby jakiś poganin wszedł na ten teren, to mógł tam zostać ukamieniowany. Czyli po prostu rzucano w niego kamieniami, aż do śmierci. Proszę sobie wyobrazić, że jedną z takich tablic odnaleziono pod koniec XIX w., czyli z czasów, kiedy Jerozolima znajdowała się pod okupacją rzymską, i ta tablica jest przechowywana w Muzeum Starożytności

w Stambule. Można zobaczyć taką autentyczną, oryginalną tablicę z czasów Jezusa, ostrzegającą pogan przed wejściem na teren świątyni.

Jezus był oczywiście Żydem. Nikt Go nie oskarżał, że wszedł na teren świątyni. I stąd, jeżeli Sanhedryn chciał obejść się z Jezusem bez miłosierdzia, to musiał zwrócić się o zatwierdzenie wyroku śmierci do Piłata. Bo tego rodzaju wyroki podlegały akceptacji, zatwierdzeniu ze strony namiestnika rzymskiego. Zwróćmy uwagę, że starożytność — bo mamy tutaj 2000 lat temu — była pod wieloma względami bardziej sprawiedliwa, niż nasze czasy. Otóż proszę popatrzeć na to, co dzieje się np. w Iraku. Co dzieje się w różnych rejonach świata, w amerykańskiej bazie Guantanamo, gdzie ludzie są przetrzymywani bez wyroku latami całymi, naznaczani, piętnowani, przesłuchiwani ciężko i Bóg wie co jeszcze. I nasz kraj, niestety, jest w tym umaczany. Wszystko wyciszono na razie — na jak długo, sam Pan Bóg wie. Otóż w starożytności rzymskie prawo miało procedury, które nie pozwalały ludzi przetrzymywać bez wyroku, i nie pozwalały ich również męczyć. I Jezus tym procedurom również podlegał. Kiedy więc Sanhedryn skazał Go na śmierć, wrzucono Go do lochu w pałacu Kajfasza, bo była już późna noc, czwartek. A w piątek, z samego rana, zaprowadzono Go do Piłata właśnie.

Piłat, namiestnik rzymski, przyjmował rano. Dlatego rano, ponieważ rano było chłodniej. Potem było gorąco i w południe nikt tam w starożytności nie pracował, poza niewolnikami. Ludzie wolni, obywatele rzymscy, załatwiali sprawy rano. I wczesnym rankiem Jezus został przyprowadzony przed Piłata. Jeżeli teraz chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o Piłacie, to mamy do dyspozycji cztery Ewangelie. I chyba jedną z najciekawszych rzeczy w Nowym Testamencie jest porównanie czterech ewangelicznych wizerunków Piłata. Być może chcą państwo sobie takie doświadczenie zrobić. To trzeba byłoby w domu sięgnąć po Nowy Testament, znaleźć w Ewangeliach Mateusza, Marka, Łukasza i Jana odpowiednie fragmenty i zobaczyć, jak oni opisują Piłata. Wszyscy tak samo — i każdy inaczej. Otóż przedstawiają wydarzenia dość wiernie, czy bardzo wiernie, ale jednocześnie każdy z Ewangelistów ukazuje nowe aspekty. Otóż zerknijmy jakby przez dziurkę od klucza na ten ewangeliczny wizerunek Piłata. Mateusz, autor pierwszej Ewangelii, był Żydem. Pisał swoją Ewangelię dla Żydów, którzy uwierzyli w Jezusa, albo też dla Żydów, których chciał dla Jezusa pozyskać. Mówiliśmy wielokrotnie, że jego punkt widzenia jest typowo żydowski. On pisze tylko o mężczyznach. Judaizm to jest religia mężczyzn. I on patrzy właśnie z męskiej perspektywy. Tak bardzo męskiej, że czasami wręcz szowinistycznej. Dlatego tym dziwniejszym jest, że tylko w Ewangelii Mateusza mamy wzmiankę o żonie Piłata. Żadna inna Ewangelia o tej żonie nie wspomina. Mateusz, który o kobietach mówi bardzo mało, wspomina o żonie Piłata, że w pewnym momencie podchodzi do swojego męża i powiada: „Nie czyń nic złego temu człowiekowi, bo dziś w nocy nacierpiałam się z Jego powodu". Otóż żona Piłata, wprowadzona tutaj bezimiennie chociaż potem tradycja chrześcijańska nadała jej imię, przychodzi do swojego męża i powiada: „Zostaw Go w spokoju! Nie czyń Mu nic złego, bo dziś w nocy się nacierpiałam z Jego powodu. Miałam złe sny." Otóż w starożytności, tak jak dzisiaj, przykładano wagę do snów. I zdaje się, że nie bezpodstawnie. Otóż sny mogą mieć w sobie taki ładunek, taki dynamizm, który albo odzwierciedla jakieś niebezpieczeństwo, albo nas ostrzega, albo niesie jakieś inne przesłanie, czasami bardzo radosne. Zdarzają się w naszym życiu czasami sny bardzo dosadne, mocne, wyraziste, kiedy człowiek budzi się i ta granica pomiędzy snem a rzeczywistością zaczyna się zamazywać. Otóż jeżeli żona Piłata miała sny z powodu Jezusa i prosi swojego męża: „Zostaw Go w spokoju, nie czyń Mu nic złego, bo się wiele z Jego powodu nacierpiałam" — i Mateusz o tym wspomina — to widocznie sen, który miała, jakoś tutaj jest włączony w całą tę logikę procesu i działalności Piłata. Późniejsza tradycja mówi, że miała na imię Procula (Prokula ?). Czy rzeczywiście było to jej imię, tego nigdy nie będziemy wiedzieć. Ale w ewangeliach apokryficznych — istnieje także ewangelia Piłata — żona Piłata została nazwana Prokula. I te sny, które miała, były zawsze traktowane jako ostrzegawcze. Ewangelia Mateusza dodaje jeszcze jeden szczegół. Że kiedy Piłat próbował uwolnić Jezusa, czyli zastosować procedurę indulgentio, o której powiedzieliśmy, uznać Jego niewinność — a więc być może posunął się nawet do procedury abolitio, to wtedy zebrany tłum zaczął krzyczeć: „Nie, nie, ukrzyżuj Go!" „Króla waszego mam ukrzyżować?" „Nie mamy króla tylko Cezara" odpowiedział tłum. „To chcecie wziąć za niego odpowiedzialność na siebie? Ja nie jestem winien krwi tego Sprawiedliwego!" Na to tłum zebrany przed Piłatem zawołał — i ten słynny okrzyk, który mrozi krew w żyłach, brzmiał: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze". Otóż ten okrzyk bardzo dobrze pozwala się tłumaczyć na hebraj-

ski, na aramejski, i znaczy: „Bierzemy pełną odpowiedzialność za śmierć tego człowieka". Wiemy dobrze, że potem przez wieki ten okrzyk był objaśniany przeciwko Żydom, rozumiany przeciwko Żydom, i że z tego powodu nieraz musieli znosić niezwykle trudne chwile czy nawet prześladowania, bo ten okrzyk był brany także przez chrześcijan jako swoiste piętno, które przed Piłatem Żydzi na siebie wzięli.

To jest portret Ewangelisty Mateusza. Portret w Ewangelii Marka, przebieg tych wydarzeń, jest bardzo lakoniczny. Marek poświęca im mało miejsca, a to dlatego, że Marek patrzy na wszystko oczami Piotra. A Piotr przecież przez całe swoje późniejsze życie miał wyrzuty, że o ile Judasz Jezusa zdradził, to Piotr się Go wyparł. I że w związku z tym to, co zrobił Piłat, było i tak lepsze niż to, czego dopuścił się Piotr. Zatem jeżeli chodzi o Ewangelię św. Marka, to ten opis wydarzeń jest bardzo zdawkowy. Warto ze sobą porównać i jeden i drugi.

Jeżeli chodzi o Ewangelię św. Łukasza, to św. Łukasz był z pochodzenia poganinem i pisze swoją Ewangelię dla chrześcijan nawróconych z pogaństwa. I jeżeli chodzi o jego wizerunek Piłata, to jest dość przychylny. Dlatego, że w trzeciej Ewangelii kanonicznej mamy obraz Piłata jako człowieka, który może jest trochę słaby, który się wzbrania, ale który chciałby Jezusa uwolnić. Nie chce tego zrobić, ponieważ Żydzi naciskają, żeby Go ukrzyżować.

My jednak zatrzymamy się nad najdłuższym spośród opisów, mianowicie nad opisem z Ewangelii św. Jana. Dlatego, że Ewangelia św. Jana ukazując nam Piłata porusza się na dwóch płaszczyznach. Ukazuje z jednej strony wydarzenia, które mają związek z Piłatem i z Jezusem. A z drugiej strony — przeżycia, czyli co obaj czują. Przeczytanie pod tym kątem Ewangelii jest to bardzo pouczająca lektura. Bo nam z jednej strony pokazuje to, co się zdarzyło, to, co można obserwować oczami. A z drugiej strony to, co dzieje się we wnętrzu obydwu tych ludzi, których los zetknął ze sobą w centralnym punkcie historii świata, jakim był proces Jezusa. W Ewangelii św. Jana czytamy tak:

> Od Kajfasza zaprowadzili Jezusa do pretorium. A było to wczesnym rankiem.

Pretorium znajdowało się na terenie twierdzy Antonia. Wczesny ranek — to jest mniej więcej koło naszej 7 rano, wpół do ósmej, najpóźniej 8 rano. Oczywiście życie w starożytności biegło inaczej, niż dzisiaj, zwłaszcza tam, na Bliskim Wschodzie. My przyzwyczailiśmy się do tego, że szkoła, urzędy, biura, rozpoczynają pracę o 8-ej, że przed ósmą nic, czy niewiele, załatwimy. Natomiast tam, w starożytności, zaczynano pracę prawie tuż po świcie. Więc wczesnym rankiem przyprowadzają Jezusa.

> Oni sami

czyli ci, którzy Go przyprowadzili,

> jednak nie weszli do pretorium, aby się nie skalać, lecz aby móc spożywać Paschę.

Otóż tego dnia była Pascha, najważniejsze święto żydowskie, upamiętniające wybawienie z Egiptu. Pasha, Pesah — znaczy Przejście. Upamiętnienie przejścia Anioła Bożego, który okazał się dla Egipcjan aniołem śmierci, dla Izraelitów — aniołem wybawienia. Największe doroczne święto. Przepis żydowski kazał, żeby od samego rana unikać kontaktu z obcymi, z gojami, z tym, co nieczyste, ze zwłokami, z padliną. Kiedy to święto Paschy się zaczynało wraz z zachodem słońca, Żyd musiał być do tego święta absolutnie przygotowany. Tak jest po dzień dzisiejszy. Po święcie Paschy następuje święto Przaśników. To jest najważniejszy czas w roku liturgicznym. Więc ci, którzy przyprowadzili Jezusa, nie weszli do pretorium, ale pozostają na zewnątrz.

> Dlatego Piłat wyszedł do nich na zewnątrz i rzekł: «Jaką skargę wnosicie przeciwko temu człowiekowi?»

Zwróćmy uwagę że był to jego obowiązek. Pewnie robił to niechętnie dlatego, że tego rodzaju sprawy były zawsze kłopotliwe, i można je było albo krótko zbyć, albo poważnie rozważyć. Otóż jeżeli bierzemy pod uwagę wszystkie te okoliczności, które Ewangelie podają, to zapewne jeszcze zanim przyszedł Jezus, Piłat o Nim trochę wiedział. Ale chyba nie za dużo, tylko bardziej kierował się tymi doraźnymi emocjami czy też doraźnymi wrażeniami.

W odpowiedzi rzekli do niego: «Gdyby to nie był złoczyńca, nie wydalibyśmy Go tobie».

Zwróćmy uwagę, że cały dramat polega na tym, że Żydzi separują się, oddzielają od jednego spośród siebie. Powiadają: „Przyprowadziliśmy Go do ciebie, ponieważ to jest złoczyńca. Gdyby było inaczej, na pewno byśmy tu nie przyszli." Zatem od samego początku oskarżenie jest bardzo poważne. Od samego początku Piłat jest przyparty do muru ale także od samego początku sugeruje mu się, że właściwie wyrok już zapadł, a jego obowiązkiem jest tylko go potwierdzić.

Piłat więc rzekł do nich: «Weźcie Go wy i osądźcie według swojego prawa!»

Otóż w ten sposób Piłat pozwala zebranym Żydom osądzić tak, jak chcą, ale nie mogliby w tym przypadku skazać Go na śmierć. Mogliby Go skazać na jakąś izolację, ewentualnie na biczowanie, na jakąś inną karę — ale nie mogliby skazać Jezusa na śmierć, bo taki wyrok musiał być zatwierdzony przez niego. I on tego wyroku na razie nie bierze pod uwagę.

Odpowiedzieli mu Żydzi: «Nam nie wolno nikogo zabić».

Przypominają zatem Piłatowi to prawo i sugerują, jakiego rodzaju kara ma czekać tego skazańca. Zwróćmy uwagę, że atmosfera robi się coraz gęstsza. Piłat nie sądził, że przyjdzie mu tego dnia rozstrzygać o życiu albo o śmierci człowieka. Może nam się to wydawać dziwne, bo mamy bardzo mizerne pojęcie o starożytności, ale w starożytności bardzo ceniono ludzkie życie. Dlatego, że ludzi było stosunkowo mało. Oczywiście kiedy wybuchały bunty, powstania, rebelie, wojny, obchodzono się krwawo, czasami obchodzono się okrutnie. Ale w normalnej sytuacji życie było prawdziwą wartością dla Rzymian, dla Greków. Tu ci, którzy przyprowadzili Jezusa, przypierają Piłata do muru.

Tak miało się spełnić słowo Jezusa, w którym zapowiedział, jaką śmiercią miał umrzeć.
Wtedy powtórnie wszedł Piłat do pretorium, a przywoławszy Jezusa rzekł do Niego:

Zwróćmy uwagę — tamta scena działa się przed tłumem, na zewnątrz. Teraz Piłat bierze Jezusa do wnętrza. Chce Go przesłuchać. Otóż to przesłuchanie stanowiło obowiązek Piłata. I posłuchajmy, jak rozwijała się ta przedziwna rozmowa.

«Czy Ty jesteś Królem Żydowskim?» Jezus odpowiedział: «Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie?» Piłat odparł: «Czy ja jestem Żydem?

Otóż rozpoczyna się rozmowa, w której Piłat daje poznać Jezusowi to, co o Nim wie. Wie, że uważa się za Króla Żydowskiego. Próbuje więc wyjaśnić tę sprawę. Uważa, że cała sprawa to jest uzurpacja człowieka, który nie jest tym, za kogo się podaje. Ale Piłat traktuje Go poważnie.

«Czy ja jestem Żydem? Naród Twój i arcykapłani wydali mi Ciebie. Coś uczynił?»

Kiedy to czytamy, mamy zupełnie zasadnie obraz człowieka, który chce dociekać prawdy. Chce zrozumieć, skąd się wziął ten potencjał niechęci wobec Jezusa.

Odpowiedział Jezus: «Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd».

Jezus przenosi tę rozmowę na poziom, którego Piłat prawdopodobnie nie rozumiał. Ale być może w zestawieniu z tym snem jego żony zaczyna coraz bardziej chwytać, że ten dramat rozgrywa się na dwóch poziomach. Nie tylko na poziomie politycznym, uzurpacji, ale także na poziomie religijnym. Piłat na razie nie może pojąć, więc pyta dalej:

Piłat zatem powiedział do Niego: «A więc jesteś królem?» Odpowiedział Jezus: «Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu».

Jezus mówi tak, jak mędrzec, jak filozof. Daje Piłatowi do myślenia, że poza tą prawdą tłumu, i poza tą prawdą arcykapłanów, istnieje prawda, która jest Jego prawdą, i prawdą o Nim, o Jezusie, która jest inna od tamtej. Próbuje Jezus zwrócić uwagę Piłata na to, że w gruncie rzeczy oskarżenie, z jakim arcykapłani i inni podburzeni przybyli przeciwko Niemu, że to oskarżenie to jest czczy wymysł, że rzecz rozgrywa się na zupełnie innym poziomie.

Rzekł do Niego Piłat: «Cóż to jest prawda?»

Otóż Piłat myśli, zastanawia się, i bierze Jezusa najprawdopodobniej — ze swojego punktu widzenia — jako swoistego filozofa, jak greccy stoicy, cynicy, epikurejczycy. Piłat był człowiekiem wykształconym i stawia to pytanie, które po dzień dzisiejszy bywa przytaczane: „Cóż to jest prawda?" Otwórzmy telewizor, przeczytajmy gazety, posłuchajmy rozmaitych. Okazuje się, że na jeden i ten sam temat jest ich cała masa. Cóż to jest prawda? — pyta Piłat. Każdy ma swoją prawdę, sugeruje. Wobec tego chce dowiedzieć się więcej.

> To powiedziawszy wyszedł powtórnie do Żydów i rzekł do nich: «Ja nie znajduję w Nim żadnej winy. Jest zaś u was zwyczaj, że na Paschę uwalniam wam jednego [więźnia]. Czy zatem chcecie, abym wam uwolnił Króla Żydowskiego?»

Piłat próbuje zastosować procedurę indulgentio. Tzn. nie znalazł winy, to, co Jezus mówi, uważa za swoiste dziwactwo i wobec tego chce, żeby nastąpiło darowanie, ułaskawienie, żeby Jezus po prostu wyszedł stąd wolny. Spodziewał się, że ci, którzy Go przyprowadzili, ucieszą się z tego. Bądź co bądź to był ich rodak. Między Piłatem a Żydami zawsze istniała przepaść, ściana. Spodziewał się, że ta ściana ocali Jezusa. Że w grę wejdzie solidarność.

> Oni zaś powtórnie zawołali: «Nie tego, lecz Barabasza!» A Barabasz był zbrodniarzem.

Zwróćmy uwagę, że ta wola tłumu obraca się przeciwko Jezusowi na korzyść zbrodniarza. Tłumem zawsze można kierować. To są socjotechniki, które po dzień dzisiejszy są doskonale opanowane w różnych rejonach świata, na naszych oczach. Wystarczy posłuchać rozmaitych wiadomości, także tych, które dzisiaj napływają. Będziemy słyszeć o tysiącach zgromadzonych ludzi, którzy czegoś chcą. Robi się im koncert, wiec, zachęca, rozmaite sposoby manipulowania. I to samo mamy tutaj. Okazuje się, że ten tłum jest zmanipulowany. Że rzeczy muszą wziąć taki obrót, jak zostało to wyreżyserowane.

> Wówczas Piłat wziął Jezusa i kazał Go ubiczować.

Otóż Piłat był sprytny niezwykle i można by paradoksalnie powiedzieć, wrażliwy. Bo myślał sobie tak. Skoro nie udało się zastosować ułaskawienia ani uniewinnienia, ani indulgentio ani abolitio, to być może weźmie zebranych, zgromadzonych na litość. Otóż krew zawsze wzbudza litość, tak przynajmniej powinno być. Kazał Jezusa ubiczować. Rzymianie znali trzy sposoby biczowania. Jeden sposób to było biczowanie rózgami. A więc bardzo bolesny ale w gruncie rzeczy, nazwijmy to tak umownie, nieszkodliwy. Bo pobolalo, ale jakichś większych szkód nie robiło. Drugi sposób biczowania, to było okładanie kijami. To już poważniejsza sprawa. Ale najgorszy to było biczowanie rzemieniem. Był pejcz, do pejcza były przytwierdzone trzy rzemienie, a na końcu tych rzemieni były albo kości albo ołowiane kulki. I to biczowanie było już okrutne. Biczowano 39 razy — 40 bez jednego. Ale ponieważ ten pejcz miał trzy rozgałęzienia, wobec tego uderzano 13 razy, bo 13 razy 3 odgałęzienia dawało 39 razów. Stąd te skojarzenia z 13-tką sięgają czasów rzymskich właśnie. I tego biczowania bano się jak ognia. Dlatego, że te kości, te metalowe kulki, rozrywały ciało, to było najgorsze. Nieraz sięgało do wnętrzności. To była bardzo surowa i okrutna kara. Bardzo wiele zależało od kata. Jeżeli kat był w złym humorze, albo był sadystą, to biczowanie mogło kończyć się ciężkim kalectwem albo nawet śmiercią. Piłat liczy, że kiedy Jezus zostanie ubiczowany i wyprowadzony z powrotem, to wzbudzi to litość i będzie mógł Go uwolnić. Nie można było tak, to spróbuje inaczej.

> A żołnierze uplótłszy koronę z cierni, włożyli Mu ją na głowę ...

Ten „cierń" to albo gałązki akantu, albo też gałązki specjalnej rośliny, która rośnie w Palestynie i przypomina naszą dziką różę. Ma bardzo ostre ciernie i ma takie duże liście. W sumie to mogło wyglądać jak taki wieniec laurowy, ale to oczywiście była kpina, bo żeby się trzymał na głowie, to musiał mieć te kolce. I dalej:

> Potem podchodzili do Niego i mówili: «Witaj, Królu Żydowski!» I policzkowali Go. A Piłat ponownie wyszedł na zewnątrz i przemówił do nich:

A więc mamy drugie przemówienie Piłata na zewnątrz w tym pretorium. Powiedział tak:

> «Oto wyprowadzam Go do was na zewnątrz, abyście poznali, że ja nie znajduję w Nim żadnej winy». Jezus więc wyszedł na zewnątrz, w koronie cierniowej i płaszczu purpurowym.

Ubiczowany, cierniowa korona, purpura. A więc cały w kolorze krwi. Purpura ma przecież taki kolor. Możemy sobie tylko próbować wyobrazić, bo te wyobrazenia były przedstawiane wielokrotnie.

> Piłat rzekł do nich: «Oto Człowiek».

To słynne zawołanie przetłumaczone na łacinę *Ecce Homo,* po grecku: *Iduho Antropos,* Oto Człowiek. Najwyraźniej Piłat apelował do litości. Najwyraźniej liczył na to, że powiedzą: „Dość, to wystarczy". Tak wygląda człowiek umęczony, sponiewierany, zbity. Otóż to „Oto Człowiek" stało się symbolem każdego poniżenia, każdego okrucieństwa. Czasami możemy widzieć takich udręczonych, umęczonych ludzi. Mamy już za sobą ponad 60 lat od okropności wojny, ale życie dostarcza wciąż nowych przykładów. I tutaj przykład Jezusa jest też bardzo wymowny.

> Gdy Go ujrzeli arcykapłani i słudzy, zawołali: «Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!» Rzekł do nich Piłat: «Weźcie Go i sami ukrzyżujcie! Ja bowiem nie znajduję w Nim winy».

Możemy się domyślać, co działo się w sercu tego człowieka. Bardzo różnie go oceniano w dziejach chrześcijaństwa. Jedni mówili: „Tchórz! Skoro miał władzę, żeby puścić Jezusa, żeby Go uwolnić, to powinien sprzeciwić się tłumowi i pójść za sprawiedliwością". Drudzy mówili, że to, co działo się w jego wnętrzu, to była jakaś straszliwa burza. Zwraca się do tych ludzi i powiada: „Weźcie Go wy i sami ukrzyżujcie! Ja nie znajduję w Nim żadnej winy". Ewangelista Mateusz powiada, o czym Jan nie mówi, że polecił przynieść misę, miednicę z wodą, a następnie podszedł i umył ręce na znak swojej niewinności, że on nie chce mieć z tym nic wspólnego. To był gest znany wśród Rzymian. Utarło się, że umywać ręce to znaczy uciekać od odpowiedzialności. Co działo się w sercu Piłata? Czy rzeczywiście uciekł od odpowiedzialności?

> Odpowiedzieli mu Żydzi: «My mamy Prawo, a według Prawa powinien On umrzeć, bo sam siebie uczynił Synem Bożym». Gdy Piłat usłyszał te słowa, uląkł się jeszcze bardziej. Wszedł znów do pretorium i zapytał Jezusa:

To mamy trzecią rozmowę z Jezusem we wnętrzu

> «Skąd Ty jesteś?» Jezus jednak nie dał mu odpowiedzi.

Może dlatego, że nie mógł mówić? Ubiczowany, cierniem koronowany, wykpiony, wyśmiany.

> Rzekł więc Piłat do Niego: «Nie chcesz mówić ze mną? Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzą Ciebie ukrzyżować?» Jezus odpowiedział: «Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry. Dlatego większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie». Odtąd Piłat usiłował Go uwolnić. Żydzi jednak zawołali: «Jeżeli Go uwolnisz, nie jesteś przyjacielem Cezara. Każdy, kto się czyni królem, sprzeciwia się Cezarowi».

Z płaszczyzny religijnej oskarżyciele przechodzą na polityczną. I mówią Piłatowi mniej więcej tak. Skoro jesteś przedstawicielem Cezara, powinieneś pilnować interesów Cezara. Jeżeli Go uwolnisz, sprzeciwisz się Cezarowi, i Cezar się o tym dowie. Już my o to zadbamy.

> Gdy więc Piłat usłyszał te słowa, wyprowadził Jezusa na zewnątrz i zasiadł na trybunale, na miejscu zwanym Lithostrotos, po hebrajsku Gabbata. Był to dzień Przygotowania Paschy, około godziny szóstej.

Czyli nasze południe. To wszystko, o czym czytamy, trwało ok. 4 - 5 godzin. Te rozmowy, wejścia, wyjścia, refleksja. Cztery – pięć godzin trwały zmagania o los Jezusa. I około szóstej godziny dnia, czyli około południa, Piłat:

> I rzekł do Żydów: «Oto król wasz!» A oni krzyczeli: «Precz! Precz! Ukrzyżuj Go!» Piłat rzekł do nich: «Czyż króla waszego mam ukrzyżować?» Odpowiedzieli arcykapłani: «Poza Cezarem nie mamy króla». Wtedy więc wydał Go im, aby Go ukrzyżowano.

Drodzy państwo, nigdy nie będziemy wiedzieli, co działo się w sercu Piłata. Ani wtedy, kiedy Jezusa przesłuchiwał, kiedy z Nim rozmawiał. Ani wtedy, kiedy słyszał okrzyki: „Nie mamy Króla, jeno Cezara". Czuł się na tyle zastraszony i zmuszony do rezygnacji, że wydał Go im na ukrzyżowanie. Nie potrafimy tej sytuacji, tej sylwetki, tego zachowania w gruncie rzeczy nie można jednoznacznie ocenić. Tchórz, oportunista — a może człowiek, któremu się nie powiodło? W późniejszych ewangeliach apokryficznych mamy wzmianki o Piłacie. Mamy także w Ewangelii kanonicznej. Kiedy Jezus został ukrzyżowany, to przyszedł do Piłata Józef z Arymatei i Nikodem, i poprosili, żeby wydał im ciało. I Piłat się zgodził, żeby ciało skazańca zostało pochowane z honorami. Był tylko zdziwiony, że Jezus już nie żyje. Spodziewał się, że to będzie trwało dłużej, albo być może Jezus wyzwoli siebie od śmierci. W późniejszej tradycji mówiono, że Piłat, kiedy dobiegła końca jego służba w Jerozolimie, wrócił na Półwysep Apeniński, do Italii, że tam się błąkał, że oszalał, że postradał zmysły. Że ten poranek przeżyty w Jerozolimie wpłynął na jego życie tak dalece, że je całkowicie zmienił. Pojawiają się też wątki, że pod wpływem tego, co się wydarzyło, Piłat się nawrócił i stał się chrześcijaninem. Faktem jest, że wśród ewangelii apokryficznych jest również ewangelia Piłata. W niektórych natomiast kościołach wschodnich Piłat jest czczony jako święty. Mówią bowiem, że przyparty do muru został zmuszony do wydania werdyktu, ale potem stał się gorliwym wyznawcą Jezusa. Nigdy nie będziemy wiedzieli, jak było naprawdę. Tutaj historia jak gdyby zatoczyła koło, wobec której jesteśmy bezsilni.

Tyle o Piłacie w Wielkim Poście. Myślę, że w każdym z nas jest trochę z Piłata i trochę z tych dramatów, które Piłat przeżył. Jak powinien się zachować? Uwolnić? Czy tak, jak się zachował — zachował się lojalnie wobec cesarza — oto pytanie, które do końca świata pozostanie pytaniem dyskutowanym i dyskusyjnym.

Na koniec dwie rzeczy. Na nasze następne spotkanie zapraszam za 3 tygodnie, w drugi poniedziałek kwietnia, 10 IV. Będzie to poniedziałek po Niedzieli Palmowej. Na ten dzień powinna być gotowa książka, której tytuł brzmi: „Bóg, Biblia, Mesjasz". To jest zapis rozmowy, jaką przeprowadziłem z dwoma redaktorami, p. Rafałem Tichym i p. Grzegorzem Górnym. Zapis rozmowy, który obejmuje ok. 500 stron i podzielony jest na 18 rozdziałów. Pierwsze sześć rozdziałów ma charakter biograficzny. Pokazuje moją drogę z domu rodzinnego do dzisiaj. Pozostałe dwanaście mają charakter problemowy. Czyli rozmawiamy o tym, czym zajmowałem się w studiach biblijnych. Są tam oczywiście także wątki, które dotyczą państwa. Mianowicie dotyczą konferencji biblijnych, działalności itd. Ta książka powinna być gotowa za 3 tygodnie. Myślę, że nie ma lepszych czytelników tej książki, niż państwo. Tak szczerze mówiąc, kiedy rozmawialiśmy, a rozmawialiśmy wiele godzin, kilkanaście razy po kilka godzin, powstał z tego zapis. Potem ten zapis ulepszaliśmy itd. To jest taki swoisty obrachunek najpierw z tą drogą życiową, którą człowiek przeszedł. A druga sprawa to właśnie problemy, którymi się zajmujemy. Myślę, że to może być dla wielu spośród państwa bardzo ciekawa lektura. Staraliśmy się, żeby była napisana językiem przystępnym, takim, jakim tutaj mówimy ze sobą. I można się z niej sporo dowiedzieć. A ponieważ państwo biorą udział w tych konferencjach, będzie to ważne uzupełnienie tego, o czym mówiliśmy. Bóg, Biblia, Mesjasz. Jeżeli ten tom dobrze wyjdzie, to w planach mamy drugi tom, który będzie poświęcony problematyce dialogu. Tamten będzie dużo bardziej dynamiczny. Tam będzie mnóstwo z tego, co się wydarzyło w Polsce pod tym względem w latach 80-tych, 90-tych, 2000-ych itd. Ale tamto dopiero jest w przygotowaniu. Ten jest gotowy, jest w drukarni i za 3 tygodnie powinien być. Mówię to dlatego, że czułem taką wewnętrzną potrzebę, żeby ta książka była. I wcale nie przyszła mi łatwo. Mówiąc tak wewnętrznie, trzeba było jakby przyjrzeć się całemu dotychczasowemu życiu.

Dziękuję bardzo serdecznie i do zobaczenia za 3 tygodnie. Mamy dzisiaj liturgiczne święto św. Józefa —- czyli Józefa Ratzingera, kardynała a teraz papieża Benedykta XVI, Józefa Glempa, naszego arcybiskupa, i innych Józefów, których na pewno mamy. I w ich intencji pomódlmy się prosząc Boga o łaski dla nich, i o siłę. Pod twoją obronę ... Pochwalony Jezus Chrystus ... No, to mamy wiosnę!

8.6 Łazarz (10 kwietnia 2006)

W Imię Ojca i Syna ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ... A więc raz jeszcze, kolejny raz, tym razem na początku Wielkiego Tygodnia, gromadzi nas wspólne czytanie i wspólna refleksja nad Słowem Bożym, które jest zawarte na kartach Pisma Świętego. Witam państwa bardzo serdecznie, a ponieważ jest to sam początek Wielkiego Tygodnia, zatem dzisiejsza refleksja przygotowuje nas i przyspasabia także na przeżywanie świętego Triduum Paschalnego i najbliższych Świąt Wielkanocnych. Cały czas pamiętamy, że ze względu na różnicę kalendarza tegoroczne Święta Wielkanocne to będą pierwsze Święta od ponad ćwierć wieku bez widocznej obecności Jana Pawła II po tej naszej stronie życia. Będzie to zarazem pierwsza Wielkanoc papieża Benedykta XVI, który wciąż przygotowuje się do odwiedzenia Polski, do tej wizyty duszpasterskiej, którą rozpocznie w Warszawie 25 V, czyli za ok. $1\frac{1}{2}$ miesiąca. My natomiast zatrzymujemy się w ramach naszego cyklu na refleksji nad bohaterami wiary Nowego Testamentu, zatrzymujemy się nad kolejną postacią. Trzy tygodnie temu, na naszym ostatnim spotkaniu, zatrzymaliśmy się nad postacią Piłata. Zwróciliśmy uwagę na okoliczności, które towarzyszyły jego obecności w Jerozolimie, zwróciliśmy uwagę także na ewangeliczny opis tego, co dokonało się między Piłatem a Jezusem. I w sumie to wszystko doprowadziło nas do lepszego zdania sobie sprawy z tego zadziwienia które towarzyszy przysłowiu, jakie istnieje we wszystkich językach europejskich i także w języku polskim. Mianowicie takie przysłowie, które zapewne państwo znają: „Znalazł się" albo „Trafił", „jak Piłat w Credo". Otóż proszę zwrócić uwagę, że w naszym Wyznaniu Wiary, w tym Credo, które składamy, właśnie wzmiankujemy Piłata: „Umęczony pod Poncjuszem Piłatem". Otóż to spotkanie Piłata z Jezusem zaowocowało tym, że Piłat na stałe wszedł do historii chrześcijaństwa, a przez to samo także do człowieczej historii. Mówiliśmy więc o Piłacie.

Dzisiaj, na progu Wielkiego Tygodnia, chciałbym wziąć z państwem tekst o bohaterze, o którym mówi Ewangelia dość dużo. Natomiast który ma to do siebie, że nie wypowiedział ani jednego słowa. W Ewangelii nie zachowało się nic z tego, co on mógłby powiedzieć do Jezusa, chociaż z Jezusem się spotykał, ani żadne jego słowo, które moglibyśmy rozbudować w jakąś szerszą rozmowę choćby po to, by poznać jego charakter. Znamy tego człowieka tylko z opisu, jak gdyby z trzeciej ręki. Występuje on cały czas w Ewangeliach biernie. Mowa jest o nim przede wszystkim w Ewangelii św. Jana, tam jest wspomniany. Znamy go bardzo dobrze i zapewne zwróciliśmy uwagę na to, że to jest taki bohater, który nic nie powiedział, a mimo to go znamy. Otóż przedmiotem naszej refleksji dzisiaj będzie więc Łazarz i wskrzeszenie Łazarza.

Myślę, że bardzo dobry to tekst na dzisiejszy dzień dlatego, że wskrzeszenie Łazarza nastąpiło na krótko przed pojmaniem, przed męką i przed śmiercią Jezusa Chrystusa. Wskrzeszenie Łazarza stanowiło jeden z najważniejszych cudów, jeden z najważniejszych znaków, jakich dokonał Zbawiciel. I wskrzeszeniu Łazarza święty Jan Ewangelista poświęca większość jedenastego rozdziału swojej Ewangelii. Do tego stopnia, że kiedy słuchamy ewangelicznego epizodu, ewangelicznego opisu wskrzeszenia Łazarza, to on czytany w kościele jest jednym z najdłuższych tekstów ewangelicznych, które tak integralnie biorąc od początku do końca są czytane. I trwa to trochę czasu zanim lektor, czytający kapłan dobrnie do końca tego tekstu i zanim usłyszymy o rozwiązaniu się tej akcji, zapoczątkowanej na początku 11 rozdziału. Zatem przejdźmy do tego tekstu, jest bowiem niezwykły tak, jak niezwykły wyłania się z niego obraz Łazarza, i dojdziemy do konkluzji, która zawsze mi się nasuwa. A szczególnie wtedy, kiedy mając możliwość przebywania w Ziemi Świętej udajemy się do Betanii. A w Betanii, na wschodnich przedmieściach Jerozolimy, jest sanktuarium Wskrzeszenia Łazarza. I podczas każdej pielgrzymki właśnie w tym sanktuarium rozważamy ten tekst i przychodzi mi do głowy refleksja, którą pod koniec chciałbym także z państwem się podzielić. Ewangelista mówi tak:

> Był pewien chory, Łazarz z Betanii, z miejscowości Marii i jej siostry Marty.

Otóż to jedno zdanie mówi bardzo wiele. Ono przede wszystkim wzmiankuje dwie siostry Łazarza, Marię i Martę, o których przedtem w Ewangelii św. Jana nie było w ogóle ani słowa. Z tego wniosek, że autor czwartej Ewangelii kanonicznej, św. Jan, zna pozostałe Ewangelie, które powstały jako wcześniejsze. Na pewno zna Ewangelię św. Łukasza, w której wzmiankowana była

Maria i Marta. Daje zatem poznać swoim czytelnikom i słuchaczom, pisząc tę Ewangelię w ostatnich dziesięcioleciach I wieku, że całe orędzie o Jezusie Chrystusie czerpiemy, czy pochodzi ono, ze wszystkich czterech Ewangelii kanonicznych. Zakłada, że czytelnicy czy słuchacze tego właśnie fragmentu znają już Marię i Martę, a teraz dowiedzą się o ich bracie Łazarzu. Ta trójka to bardzo interesująca rodzina. Zwróćmy uwagę na to, że wszyscy troje są bezżenni i nieżonaci. Ponieważ mamy bardzo często taką pokusę, żeby pojmować starożytne rodziny żydowskie na nasz dzisiejszy sposób, to być może przychodzi nam do głowy, że Maria, Marta i Łazarz to były osoby dorosłe. Nic z tych rzeczy! Otóż w starożytności w rodzinach żydowskich był obowiązek zamążpójścia dziewcząt i żenienia się mężczyzn. Taką granicą, mówiliśmy o tym kilkakrotnie przy innych okazjach, dla mężczyzn był 30-ty rok życia. Do 30-go roku życia mężczyzna musiał się ożenić. Jeżeli był oporny albo nie chciał, to obowiązkiem najbliższej rodziny było zadbać, aby go do tego przymusić. Nawet jeżeli specjalnie do kobiet pociągu nie czuł, to musiał być związany z jakąś kobietą i nie pytano go o zdanie w tej materii. Można by się domyślać z rozmaitych tekstów starożytnych nawet tego, że jeżeli sam — bo zdarzały się i takie sytuacje, życie jest bogate w rozmaite niespodzianki — nie chciał mieć dzieci, to obowiązkiem najbliższej rodziny było zadbać, żeby je jednak miał. I wtedy, kiedy one przychodziły na świat, nikt go nie pytał czy jest ich ojcem. Dlatego, że dziecko zrodzone z jego żony było traktowane jako jego dziecko. Zatem pod tym względem w starożytności nie było takich zwyczajów czy takiego nastawienia, jakie bywa w dzisiejszym świecie. Z tego wniosek, że Łazarz był mężczyzną gdzieś dwudziestoparoletnim. Czy bliżej lat 20, czy bliżej lat 30, tego nigdy nie będziemy wiedzieli. Od ożenku w wieku 30 lat był zwolniona tylko jedna, bardzo wąska kategoria ludzi. Mianowicie ci, którzy zajmowali się wyjaśnianiem Prawa, to znaczy najznakomitsi nauczyciele Tory. Takim również był Jezus. Proszę zwrócić uwagę, że kiedy Jezus osiągnął lat 30, to wtedy wystąpił i rozpoczął publiczne nauczanie. Był to ten ostateczny termin w którym, gdyby było inaczej, to musiałby po prostu zgodnie ze zwyczajami swojego narodu założyć rodzinę. Nie zrobił tego i poszedł w tym kierunku tej bardzo wąskiej grupy mężczyzn, którzy zajęci studiowaniem Prawa, wykładaniem Praw dBożych i objaśnianiem tych Prawd, byli zwolnieni od ożenku.

Zatem i obie dziewczyny, o których tutaj mowa, Maria i Marta, to są właśnie dziewczyny. Dziewczyna miała obowiązek wyjść za mąż do 18 - 20 roku życia. Jeżeli była starsza i nie wychodziła za mąż, wtedy czyniono wszystko, żeby stało się to jak najszybciej. Zazwyczaj do 24 roku życia wszystkie dziewczyny były już mężatkami. Oczywiście jesteśmy w krajach śródziemnomorskich, gdzie rozwijanie się i dojrzewanie wygląda trochę inaczej niż u nas. Możemy zatem wnioskować, że Maria i Marta miały po kilkanaście lat. Kto wie, 16, 17, 18, do dwudziestu. Mamy zatem do czynienia z sytuacją, w której jest kawaler i dwie panny. Taki dom, który i w starożytności, i dzisiaj, zdarza się. Wszyscy są ludźmi młodymi. Proszę zwróćmy uwagę, że Łazarz, o którym tutaj mowa, był chory. Nie potrafimy powiedzieć na co Łazarz chorował. Musiała to jednak być choroba bardzo ciężka, skoro wkrótce umarł. Dodajmy do tego jeszcze również i to, że hebrajskim odpowiednikiem polskiego imienia Łazarz jest imię *El Azar*. Gdybyśmy chcieli zastosować kanony hebrajskiej mowy, to on miał na imię El Azar. Potem przez grekę i łacinę jako *Lazaros,* a później po polsku jako *Łazarz.*

Mamy więc troje rodzeństwa. Tych troje rodzeństwa powinno być znane czytelnikom Pisma Świętego, zakłada św. Jan dlatego, że już wcześniej zostali wspomniani w Ewangelii św. Łukasza. Ewangelista dodaje tak:

> Maria zaś była tą, która namaściła Pana olejkiem i włosami swoimi otarła Jego nogi.

Otóż o Marii rzeczywiście czytamy w Ewangelii św. Łukasza, trzeciej Ewangelii kanonicznej, tej, która kobietom poświęca najwięcej uwagi, że Maria będąc tam w Betanii na uczcie, na której był także Jezus, na przyjęciu, na takiej uroczystej kolacji, przebywała tam razem ze swoją siostrą i ze swoim bratem. Ewangelista wyraźnie mówi, że na przyjęciu był także Łazarz — ale nie wiemy co powiedział, ani jednego słowa. Nie wiemy, czy w ogóle rozmawiał. A może Łazarz był niemową? Może na tym polegała jego choroba, i nie tylko na tym, nie potrafimy tego rozstrzygnąć. Otóż Maria miała ze sobą flakonik drogocennego olejku nardowego. To był olejek pozyskiwany ze specjalnej rośliny, nardu, którą sprowadzano do Ziemi Świętej aż z okolicy dzisiejszego Pakistanu i Indii. Później mamy ten epizod z Judaszem, który powiada: „Dlaczego ona to wylała na Jezusa? Czy nie lepiej było sprzedać to i wziąć 300 denarów?" Otóż 300 denarów to była roczna pensja, bo płacono

denara za dzień. Więc mogą państwo wyliczyć, jak drogie są te olejki, skoro potrzeba było pracować na nie dwanaście miesięcy. Gdybyśmy przerzucali na dzisiejsze czasy, to byłoby dobre parę tysięcy złotych, mając na uwadze zupełnie średnie zarobki. Maria wylała ten olejek na głowę i nogi Jezusa i własnym włosami wycierała ten olejek z nóg Zbawiciela. A kiedy inni byli zgorszeni i pytali: „Czy On nie wie, kim ona jest?" to odpowiedział, że „Biednych zawsze mieć będziecie wśród siebie, ale Mnie nie zawsze. Bo ona namaszcza Mnie na pogrzeb." Otóż to taki bardzo wzruszający epizod i Ewangelista zakłada, że my ten epizod znamy.

Wiemy też, że Maria i Marta to były dwa różne charaktery. Jedna bardziej czynna, druga znacznie spokojniejsza i wsłuchana w słowa Zbawiciela. Tą czynną, pracującą, krzątającą się, była Marta. Tą spokojną, bardziej kontemplacyjną, była Maria. Czytamy dalej:

> Jej to brat Łazarz chorował.

A więc ów Eleazar chorował.

> Siostry zatem posłały do Niego wiadomość: «Panie, oto choruje ten, którego Ty kochasz».

Jezus przebywa z daleka od Betanii, o której tutaj czytamy. Betania leży na wschodnich przedmieściach Jerozolimy. Dzisiaj po arabsku nazywa się *Al Lazarija.* Lazarija — rozpoznajemy tutaj rdzeń od Łazarza, *Łazarzowo* po polsku. Dzisiejsza nazwa arabska Betanii brzmi Łazarzowo. Otóż ciągle w Betanii, po nasze czasy, żywa jest pamięć tego wskrzeszenia Łazarza. Nazwa została urobiona od tego epizodu. W czasach Jezusa osada nosiła nazwę Betania, po hebrajsku *Bet Ananija* czyli *Dom Ananiasza.* Gdybyśmy chcieli to streścić po polsku, to było by *Ananiaszowo,* tak jak mamy Józefowo, Wiktorowo, Józefów, Ignaców, Izabelin czy inne nazwy urobione od imion. Najprawdopodobniej to była posiadłość jakiegoś Ananiasza, ten ród Ananiasza tam dominował, i być może do tego rodu należał również Łazarz. Siostry posyłają po Jezusa, proszą, żeby przybył do Betanii, bo przebywa bardziej na wschód, mniej więcej 25 - 30 km na wschód, w okolicy Jerycha. I proszą, żeby przybył, bo ich brat choruje. Nazywają go „przyjacielem Jezusa", nawet więcej: „choruje ten, którego Ty miłujesz". Słowo „miłujesz" można również przetłumaczyć: „choruje ten, z którym Ty się przyjaźnisz", „choruje Twój przyjaciel", „choruje ktoś Ci bliski". Skoro wysyłają do Jezusa taką wiadomość, to oczywiście liczą się z tym, że Jezus może w tej sytuacji coś zdziałać. Jesteśmy już pod sam koniec publicznej działalności Jezusa. Jezus znany był z tego, że dokonywał wielu cudów. Zatem obie siostry spodziewają się, że i w tej dramatycznej sytuacji Jezus przyjdzie z pomocą i wybawi Łazarza – Eleazara z choroby.

> Jezus usłyszawszy to rzekł: «Choroba ta nie zmierza ku śmierci, ale ku chwale Bożej, aby dzięki niej Syn Boży został otoczony chwałą».

Otóż Jezus już wie i przewiduje więcej, niż dwie siostry sobie życzą. One proszą, żeby Łazarza uzdrowił. Jezus wie, że ostatecznym celem Jego interwencji będzie życie Łazarza, ale w inny sposób, niż to one sobie wyobrażają. Jezus daje poznać, że to, co się będzie działo z Łazarzem, to jest wielki znak mocy Bożej, która zostanie ujawniona dzięki Jezusowi, w Jezusie, i przez Jezusa. Pamiętajmy, że to będzie ostatni cud Jezusa przed Jego pojmaniem, przed Jego męką i przed Jego śmiercią. Jezus pokaże – a my zwrócimy uwagę na czym polega różnica między uzdrowieniem Łazarza, a jego wskrzeszeniem – Jezus okaże swą moc i pokaże, że Bóg jest Panem Życia.

> A Jezus miłował Martę i jej siostrę, i Łazarza.

W języku hebrajskim słowa „miłować", „nienawidzieć" to bardzo mocne słowa. Natomiast po polsku, kiedy to tłumaczymy, to znaczy „przyjaźń", to znaczy „niechęć". Mamy przecież takie powiedzenie: „Kto nienawidzi swojego życia traci(? JP) je itd." Otóż język hebrajski jest bardzo dosadny, bardzo mocny, bardzo konkretny. I tu na pewno między Jezusem a tą trójką rodzeństwa były bardzo silne więzi, które dzisiaj nazwalibyśmy więziami przyjaźni, więzami zaufania. Przecież Jezus zmierzając do Jerozolimy wiele razy zatrzymywał się w Betanii.

Mimo jednak że słyszał o jego chorobie, zatrzymał się przez dwa dni w miejscu pobytu.

Oczywiście to zachowanie jest niezwykłe. Jezus dowiaduje się, że przyjaciel jest ciężko chory, ale nie rusza się z miejsca. Zwróćmy uwagę, że najbardziej dawało to do myślenia Apostołom. Przecież oni byli z Jezusem i na pewno zdawali sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego. Może dla niejednego z nich był to powód do zwątpienia? Może inny sądził, że tak przyjaźń zostaje wystawiona na próbę? Może jeszcze inny przynaglał Jezusa, aby jednak poszedł, udał się do Betanii? O tych dwóch dniach nic nie wiemy, a przecież dwa dni to bardzo dużo.

Dopiero potem powiedział do swoich uczniów: «Chodźmy znów do Judei!»

Przebywali bowiem za Jordanem, na terenie dzisiejszej Jordanii. bardzo blisko Jerycha, 25 - 28 km od Jerozolimy, ale to już nie była Judea.

Rzekli do Niego uczniowie: «Rabbi, dopiero co Żydzi usiłowali Cię ukamienować i znów tam idziesz?»

Otóż rzeczywiście parę dni wcześniej, kiedy Jezus był na terenie świątyni jerozolimskiej i kiedy patrząc na te kamienie, na świetność tej świątyni, powiedział: „«Zburzcie tę świątynię, a ja w trzy dni ją odbuduję» — ale miał na myśli Świątynię Swojego Ciała", to porwano na Niego kamienie i mówiono: „Za kogo Ty się masz?" A On mówił: „Jestem większy niż Abraham". A oni do Niego: „Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś?" Otóż był bardzo silny konflikt. Tak nawiasem mówiąc to Żydzi ówcześni, patrzący na Jezusa, mieli powody do tego, aby w takiej krytycznej sytuacji wątpić. Jezus czyni znaki, naucza. Ale jednocześnie Jego nauka jest czymś bardzo osobliwym. Chciano Go ukamienować — Jezus bezpiecznie z Jerozolimy wyszedł. I teraz Apostołowie mówią: „Znów tam wracasz? Przecież dopiero co chciano Cię ukamienować?" To słowo *Żydzi* występuje tu w Ewangelii, która jest napisana po grecku, w formie *Judajom.* Można je przetłumaczyć na język polski także *Judejczycy* czyli *mieszkańcy Judei* — Jerozolima była stolicą Judei. A więc: „Chcieli Cię ukamienować, a Ty znowu tam idziesz?"

Jezus im odpowiedział: «Czyż dzień nie liczy dwunastu godzin?

Otóż dzień w Ziemi Świętej rozpoczyna się mniej więcej o 6 rano i kończy się koło 6 wieczór. Nie ma takich dużych wahań długości dnia, jak u nas — zimą robi się ciemno już o 3, a widno dopiero o 8 rano, czyli dzień trwa właściwie $6\frac{1}{2}, 7$ godzin. W Ziemi Świętej nie ma aż tak ogromnych wahań. One są, dzień jest dłuższy i krótszy, ale średnio to jest mniej więcej 12 godzin. Jezus powiada im tak: „Czyż w życiu nie ma spraw oczywistych? Tak jak dzień liczy 12 godzin, tak i dla was pewne rzeczy powinne być oczywiste." Otóż to, co się stanie — sugeruje Jezus — jest jakąś oczywistością, którą Apostołowie powinni dostrzegać, rozumieć i przyjąć. Nie mogą się dziwić, że teraz wracają do Jerozolimy. Nie mogą się dziwić, że Jezus wraca tam, gdzie grozi Mu niebezpieczeństwo. Bo On tego niebezpieczeństwa nie uniknie, od tego niebezpieczeństwa nie ucieknie. I Jezus w nawiązaniu do tego przysłowia „Czyż dzień nie liczy dwunastu godzin?" dodaje:

Jeżeli ktoś chodzi za dnia, nie potknie się, ponieważ widzi światło tego świata. Jeżeli jednak ktoś chodzi w nocy, potknie się, ponieważ brak mu światła».

Jezus mówi jak gdyby: Są rzeczy, które rozumiemy. I skoro rozumiemy, to powinniśmy za nimi pójść, je wykonywać. Są inne rzeczy, których nie chcemy zrozumieć, dostrzec. I wtedy jesteśmy tak jak ci, którzy chodzą w mroku. Otóż trzeba starać się rozpoznawać to, co wokół nas się dzieje, i należycie oceniać to, żeby mieć jasne rozeznanie, jasną ocenę o tym, co nas otacza, i o nas samych. Jezus daje poznać, że wkrótce wydarzy się coś bardzo ważnego. Że Apostołowie będą świadkami tego wydarzenia, i że powinni z tego wyciągnąć wnioski.

To powiedział, a następnie rzekł do nich: «Łazarz, przyjaciel nasz, zasnął, lecz idę, aby go obudzić». Uczniowie rzekli do Niego: «Panie, jeżeli zasnął, to wyzdrowieje».

Otóż sen jest zawsze znakiem albo zdrowia, albo zdrowienia. Człowiek bardzo ciężko chory nie śpi. Może popadać w letarg, w gorączkę, jakieś urojenia, majaczenia. Ale człowiek bardzo ciężko chory spać nie może. Powiadają do Jezusa: „Skoro usnął, to wyzdrowieje".

Jezus jednak mówił o jego śmierci, a im się wydawało, że mówi o zwyczajnym śnie.

Otóż sen jest obrazem śmierci. Tak było w starożytności, tak również jest dzisiaj. Jezus mówi: „Łazarz zasnął" tak samo, jak my piszemy w nekrologach że „ktoś zasnął w Panu", „świętej pamięci zasnął w Panu". Jezus też posłużył się tą właśnie symboliką snu. A Apostołowie rozumieją to jako zwyczajny sen. Następuje pewne nieporozumienie między Jezusem a Apostołami, ale nieporozumienie z którego jedno widać. To mianowicie, że Łazarz naprawdę umarł. I Jezus o tym wie. Wie zanim przybył do Betanii. Otóż Jezus ma wiedzę o tym, co wydarzyło się w Betanii z jego przyjacielem i udaje się do Betanii dopiero wtedy, kiedy wie — nie na skutek tego, że się dowiedział od kogoś, bo nikt Mu jeszcze nie powiedział — ale wie, że Łazarz nie żyje. Daje poznać Apostołom, że już wie o tym, co się wydarzyło w Betanii, chociaż Apostołowie na razie tego nie pojmują.

> Wtedy Jezus powiedział im otwarcie: «Łazarz umarł, ale raduję się, że Mnie tam nie było, ze względu na was, abyście uwierzyli.

Zwróćmy uwagę — bo to bardzo ważne, żeby ten epizod zrozumieć. Wskrzeszenie Łazarza odbyło się ze względu na uczniów Jezusa. Ze względu na tych, którzy byli najbliżej Niego. Ileż to cudów, ileż znaków Jezus dokonał tylko z myślą o nich. Jeden z najbardziej znanych to oczywiście Przemienienie na górze Tabor. Wziął ze sobą Piotra, Jakuba i Jana i ukazał im się, odmienił się, ukazał im rąbek swojej chwały. A kiedy zeszli na dół, to mówił: „Przyjdzie czas, że Syn Człowieczy zostanie wydany w ręce ludzi, zostanie pojmany, będzie wyszydzony, wykpiony, umrze." Piotr wtedy zwraca się do Niego i powiada: „Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!" I teraz też, na kilka dni przed swoim pojmaniem, Jezus bierze swoich uczniów i już wcześniej daje im poznać niezwykłość całej sytuacji. Robi to po to, żeby pamiętali. Zwróćmy uwagę, że doraźnie ta pedagogia nie powiodła się. Oni pouciekali, oni zdradzili, oni się Go wyparli. Nie było ich pod krzyżem, z wyjątkiem Jana, który to opisuje. Ale w dłuższej perspektywie pamięć o tym wydarzeniu została zapisana na kartach Ewangelii. Otóż tak jest z rzeczami ważnymi. One nieraz bywają dla nas bardzo dolegliwe, to, co przeżywamy w życiu. Ale z czasowej perspektywy poznajemy w nich obecność Pana Boga który sprawił, że to, co było trudne, staje się znakiem Jego bliskości i miłosierdzia. Jezus mówi:

> . . . raduję się, że Mnie tam nie było, ze względu na was, abyście uwierzyli. Lecz chodźmy do niego!» Na to Tomasz, zwany Didymos, rzekł do współuczniów: «Chodźmy także i my, aby razem z Nim umrzeć».

Zaczynamy coraz bardziej odczuwać atmosferę Wielkiego Tygodnia. Widać, że zwłaszcza po ostatnim pobycie w Jerozolimie, podczas którego Jezus miał być ukamienowany za bluźnierstwo. Otóż po tym nastroje zradykalizowały się tak dalece, że Apostołowie zaczynają się bać. Jeden z nich, Tomasz, powiada: „Chodźmy i my, aby razem z Nim umrzeć". Otóż zdają sobie sprawę, że atmosfera robi się coraz gęstsza wokół Jezusa. Rzeczywiście także inne Ewangelie wskazują nam, że te ostatnie dni to dni nieustannych intryg, plotek, obmowy, knucia rozmaitych podstępów, których celem ma być po prostu zabicie Jezusa. Możemy zatem wyobrazić sobie, w jakich nastrojach wracają, udają się w stronę Jerozolimy. Idą do Betanii, i zadają sobie pytanie: „Po co, skoro Łazarz umarł?"

Kiedy Jezus tam przybył, zastał Łazarza już do czterech dni spoczywającego w grobie.

Nam te cztery dni nie mówią nic. Natomiast one, czytane z żydowskiego punktu widzenia, są bardzo ważne. Niestety pod wieczór muszę dotknąć spraw, które nie są specjalnie miłe czy przyjemne. Ale dla pełnego zrozumienia tekstu musimy o nich powiedzieć. W starożytności, podobnie jak aż do czasów współczesnych, w rozmaitych miejscach zdarzało się, i to wcale nie rzadko, że człowiek robił wrażenie zmarłego, a mimo to żył. Albo popadał a jakiś rodzaj — nie wiem jak to z medycznego punktu widzenia nazwać — odrętwienia, letargu. I w krajach śródziemnomorskich nie

były to przypadki jakieś bardzo rzadkie, nie były to przypadki sporadyczne. Wiemy, że dzisiaj, zanim kogokolwiek pochowamy, musimy mieć świadectwo zgonu. To dokładnie temu służy. Nie tylko są aktem metrykalnym, ale lekarz ma obowiązek stwierdzić zgon człowieka. A więc być pewnym, że nie grzebiemy kogoś żywego. Mamy także w historii Polski znane, słynne przypadki — jeden czy dwa — o których się mówi i mówią historycy, osób znanych i sławnych, które zostały pogrzebane wcale nie po swojej śmierci. Dlatego w kulturze żydowskiej było tak, że przez pierwsze trzy dni po złożeniu do grobu najbliżsi mieli obowiązek udawać się do grobu, najbliżsi mężczyźni, i doświadczyć, zobaczyć, przekonać się, że na pewno człowiek złożony do grobu nie żyje. Przepraszam, że o tym mówię, bo nie są to na wieczór sprawy specjalnie widowiskowe i miłe, ale ta wzmianka o czterech dniach jest bardzo ważna. Pamiętajmy też, że nie grzebano tak, jak w naszych czasach to się robi, w naszym klimacie i w naszej ojczyźnie — do ziemi. Tylko groby były w specjalnych skałach, były pieczary. Tam robiono takie jak gdyby siedzenia, jak nasze ławki, i na nich układano ciała zmarłych. Nie było oczywiście również trumien, tylko owijano ciało prześcieradłami, zwłaszcza lnianymi tkaninami, i tak ono do grobu było składane. I przez pierwsze trzy dni najbliższa rodzina, mężczyźni, mieli obowiązek zajrzeć do grobu. Czy przypadkiem nie dzieje się coś, co by cały pogrzeb odwróciło. W Talmudzie, który jest świętą księgą Żydów, jest taki traktat *Sikkot*, po polsku to brzmi *Radości* — ale nazwa jest po to, żeby nie przerażać. Bo w gruncie rzeczy w tym traktacie Sikkot są określone rozmaite zwyczaje grzebalne, rozmaite obowiązki związane z pogrzebem. I dopiero po trzech dniach tak na dobre tego nieboszczyka już traktowano jako absolutnie zmarłego. Dlatego mamy tutaj cztery dni. Podkreślone, że na czwarty dzień Jezus przybywa do Betanii, żeby nam wykluczyć — proszę zauważyć, że dla chrześcijańskiego czytelnika jest to niewidoczne, natomiast dla żydowskiego czytelnika jest to jasne, a realia są przecież żydowskie — że z całą pewnością nie mamy do czynienia z jakimś rodzajem letargu, odrętwienia, śmierci klinicznej i tym podobnymi zjawiskami. Że na pewno Łazarz umarł. Na to jest mocny nacisk w tych „czterech dniach". Ten nacisk pojawi się jeszcze za chwilę, w innym kontekście, o czym za moment. Ale tutaj też jest bardzo ważny.

Betania była oddalona od Jerozolimy około piętnastu stadiów

Piętnaście stadiów to jest ok. 3.5 – 4 km. I to się doskonale zgadza, bo tak Betania jest oddalona od Jerozolimy, i oczywiście po dzień dzisiejszy.

i wielu Żydów przybyło przedtem do Marty i Marii, aby je pocieszyć po bracie.

Raz jeszcze nawiązujemy do zwyczajów żydowskich. U Żydów po dzień dzisiejszy obowiązkiem człowieka, któremu zmarł ktoś bliski, jest tzw. *Sziwa.* Nazwa Sziwa pochodzi od hebrajskiego *szewa* to znaczy *siedem.* Sziwa można przetłumaczyć na polski jako *siedmiodniówka, tygodniówka.* Otóż ta Sziwa dotyczy zwłaszcza kobiet. Jeżeli umrze ojciec, matka, mąż, syn, brat, córka – ktoś bliski, najbliższy – to kobiety, do dzisiaj tak jest w ortodoksyjnych rodzinach żydowskich, mają zakaz wychodzenia z domu. W ogóle na podwórko to mogą wyjść, ale nie mogą chodzić po mieście, czy po osiedlu. Mają przebywać w domu. Mają specjalnie określone przepisy typu np. że mają siedzieć na bardzo niskich stołkach. Mają tylko do minimum się myć, tyle, co jest konieczne. Nie mogą zabiegać o urodę w tym czasie. Nie mogą jakoś wykwintnie jeść. Muszą wstrzymywać się przed śmiechem, przed żartami i przed objawami okazywania w jakikolwiek sposób frywolności, i przez te siedem dni jest czas żałoby. Mężczyźni, pamiętajmy, przez trzy dni chodzą do grobu, potem zwolnieni są z tego obowiązku. Natomiast do kobiet przychodzą żałobnicy, którzy – powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem – składają kondolencje i wspominają zmarłego czy zmarłą. Opowiadają o niej, wspominają o życiu, o tym, czego dobrego dokonała. Tylko o dobrych rzeczach można mówić, o złych — wcale. Chwalą. Wszystko to ma ogromną wartość terapeutyczną. Ponieważ utrata kogoś bliskiego to jest zawsze bardzo ciężka rzecz, ciężka sprawa, to trzeba tego bliskiego opłakać, trzeba go pożegnać, trzeba go wspominać. Do tego stopnia, że po tygodniu człowiek już jakoś odreagował i wchodzi do tego zwyczajnego świata. To dotyczy, proszę zwrócić uwagę, zwłaszcza kobiet dlatego, że kobiety są dużo bardziej wrażliwe. Oni to doskonale wiedzą. Mężczyźni jakoś to tłumią w sobie, gaszą. Kobieta musi się wypowiedzieć, ma charakter bardziej społeczny. To znaczy potrzebuje obecności innych ludzi. Ci inni przychodzą, pocieszają, podtrzymują na duchu, wspominają — to jest ta tzw. Sziwa.

To samo odbywa się w rodzinach arabskich. To jest bardzo znaczący zwyczaj i dlatego, ponieważ mają takie zwyczaje, to nie muszą korzystać z porad psychologów ani psychiatrów. Bo te wszystkie zwyczaje mają to do siebie, że pozwalają człowiekowi wylać swój żal, swoje przywiązanie, swoją tęsknotę, swoją miłość. Pozwalają również na odczucie solidarności, braterstwa, miłości innych ludzi. I tutaj mamy do czynienia z tą sytuacją, o której właśnie opowiadamy. Mianowicie „wielu Żydów przybyło przedtem do Marty i Marii, aby je pocieszyć po bracie". To były dwie młode dziewczyny. Nie potrafimy powiedzieć, czy ich rodzice żyli. Być może rodzice już na tym etapie nie żyli, skoro o rodzicach nie ma ani jednego słowa. Było więc takie młode rodzeństwo, młoda rodzina — i z tego zostały tylko dwie siostry. I te dwie siostry doznają wsparcia ze strony bliskich. Dzisiaj wiemy, że tworzone są całe zespoły takiego wsparcia psychologicznego, duchowego. I tu mamy dokładnie te same mechanizmy.

> Kiedy zaś Marta dowiedziała się, że Jezus nadchodzi, wyszła Mu na spotkanie. Maria zaś siedziała w domu.

A więc ta bardziej czynna wychodzi z domu. Nam wydaje się to sprawą oczywistą. Ale czy państwo pamiętają o czym mówiliśmy przed chwilą? Że przez siedem dni kobieta, dziewczyna również, nie powinna wychodzić z domu. Powinna siedzieć w domu albo być w najbliższym otoczeniu tego domu, tylko tyle mogła. Marta przełamuje te konwencje, ten zwyczaj, ten obyczaj. Dokonuje czegoś, co było niezwykłe — mianowicie wychodzi z domu na spotkanie Jezusa. Nie czeka, aż Jezus przyjdzie do niej, ale wychodzi, wręcz wybiega. Zatem, można by powiedzieć, łamie ten uświęcony tradycją żałobny zwyczaj. Naraża się w ten sposób na rozmaite plotki, domysły. Doskonale wiemy, że część z tych plotek mogła wiązać ją np. z nadmiernym przywiązaniem do Jezusa itd. Doskonale wiemy, że w tak małej miejscowości mówiono: Zobaczcie, brat umarł. Dopiero czwarty dzień, a ta wyszła z domu! Popatrzmy, jeżeli znamy realia to nawet najprostszy szczegół, o którym mówi ewangelista, nabiera zupełnie innego znaczenia. My nie jesteśmy w takim świecie, jak nasz. W starożytności dziewczęta nie chodziły same — nie wolno było. W świecie semickim po dzień dzisiejszy dziewczyna nie może chodzić sama. U Żydów czy u Arabów musi mieć zawsze koleżankę, albo brata, albo ojca, albo matkę, albo ciotkę. A więc zawsze musi być w czyimś towarzystwie, nie może być sama. Marta wychodzi sama! Pamiętamy, że ona byłą tą czynną, która się krzątała. Najprawdopodobniej miała taki żywy charakter. Ale najwidoczniej też była bardziej wyzwolona od tych zwyczajów, które obowiązywały ówczesne kobiety.

> Marta rzekła do Jezusa: «Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł.

W tych słowach jest jakiś żal, jakiś wyrzut, a może nadzieja? Stwierdza to, co było. Mianowicie: gdybyś tu przyszedł, to by żył. A więc dlaczego nie przyszedłeś? Dlaczego Cię tu nie było? Czy na tym polega przyjaźń, żeby w chwili próby być nieobecnym? I dodaje Marta natychmiast:

> Lecz i teraz wiem, że Bóg da Ci wszystko, o cokolwiek byś prosił Boga».

Zwróćmy uwagę na te dwie dziewczyny, Marię i Martę. Pamiętajmy, że nieco wcześniej Marta krzątała się wokół rozmaitych posług, a Maria siedziała i słuchała Jezusa. I Jezus pochwalił Marię, a do Marty powiedział: Marto, Marto, troszczysz się i niepokoisz, a potrzeba mało albo tylko jednego. Maria obrała lepszą cząstkę". Ale to teraz ta, która jest — powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem obiegowym — kręcona, to ona wychodzi do Jezusa i to ona wyznaje swoją wiarę. Podczas gdy tamta, która kontemplowała, pozostała nadal w domu. Zwróćmy uwagę na te rozmaite ludzkie charaktery. Czasami oceniamy ludzi po zachowaniu i zawsze wiadomo, że ci, którzy są spokojniejsi, są traktowani również z pewnym spokojem, bo nie przysparzają kłopotów. A ci, którzy są bardziej ruchliwi, mają to do siebie, że mają też więcej kłopotów bo są zawsze postrzegani inaczej. Ale tu, ten epizod nam wykazuje, że Marta, ta ruchliwa, zapracowana, potrafi jednocześnie wyznać w tym krytycznym momencie wiarę w niezwykłą moc Jezusa. Kiedy patrzymy na ludzi czasami w naszych rodzinach, czasami na naszych domowników, to przecież te sytuacje mogą się powtarzać. Mamy do czynienia z takimi Mariami i Martami, które są zupełnie podobne, a są to cechy, które dotyczą i dziewcząt i chłopców.

> Rzekł do niej Jezus: «Brat twój zmartwychwstanie». Rzekła Marta do Niego: «Wiem, że zmartwychwstanie w czasie zmartwychwstania w dniu ostatecznym». Rzekł do niej Jezus: «Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie.

To słowo „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem" jest niesłychanie ważne. Ja musiałem sobie na karteczce zrobić małą notatkę, która jest bardzo istotna dla zrozumienia Ewangelii św. Jana. W Ewangelii św. Jana występuje siedem razy zdanie *Ja jestem,* a po nim — dopowiedzenie. Zaraz podam te dopowiedzenia. Otóż to słowo *Ja jestem* po grecku, bo Ewangelia św. Jana jest napisana po grecku, brzmi *Ego ejmi.* I ono jest odpowiednikiem hebrajskiego *Jahwe — Etje asze Elohim* . . . , Jahwe — Imię Pana, Boga. Przypomnijmy sobie epizod z Mojżeszem na Synaju. Mojżesz powołany do tego, by wyprowadzić Izraelitów, pyta Boga: „Jakie jest Twoje Imię?" W odpowiedzi słyszy: „Moje Imię jest: Elo ??? — Jahwe", po polsku: „Ja Jestem". Mówiliśmy o tym kilka razy — Imieniem Boga jest Jego obecność: „Jestem z tobą", „Jestem dla ciebie", „Jestem przy tobie". Podczas tego spotkania z Martą Jezus jeszcze raz objaśnia jej swoją tożsamość. Mówi „Ja jestem" w nawiązaniu do tego objawienia się Boga na Synaju. „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem". Wskazuje, że Jego tożsamość jest boska, i że przymiotem tej boskości jest zmartwychwstanie i życie. Wspominałem, że siedem razy na kartach Ewangelii Jezus mówi o sobie. Mówi tak:

- Ja jestem chlebem życia — to w mowie eucharystycznej w Kafarnaum,
- Ja jestem światłością świata — to w mowie arcykapłańskiej do swoich uczniów,
- Ja jestem bramą — tak zwraca się do słuchaczy żydowskich ukazując im, że jest jedynym pośrednikiem i drogą do Boga,
- Ja jestem dobrym pasterzem — zwraca się tak do uczniów,
- Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem — to właśnie w tym miejscu, piąty raz,
- Ja jestem drogą, prawdą i życiem,
- Ja jestem krzewem winnym.

Można by zrobić cykl rocznych konferencji comiesięcznych zatrzymując się nad każdym „Ja jestem" i rozwinąć na ich podstawie to, co moglibyśmy uznać za fundamenty chrystologii św. Jana czyli jego pojmowania Jezusa. A jednocześnie jako znaki samoświadomości Jezusa, kim On jest. Raz jeszcze to przeczytam, bo to nie tylko piękne, ale dla dojrzałego chrześcijanina bardzo ważne.

1. Ja jestem chlebem życia
2. Ja jestem światłością świata
3. Ja jestem bramą
4. Ja jestem dobrym pasterzem
5. Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem
6. Ja jestem drogą, prawdą i życiem,
7. Ja jestem krzewem winnym.

W tych siedmiu określeniach Zbawiciel przedstawia siebie. Siedem — to jest znak pełni, doskonałości. Pamiętają państwo nasze spotkanie kilka dobrych miesięcy temu, podczas którego rozważaliśmy homilie Ojca Świętego Benedykta XVI nad trumną Jana Pawła II. Powiedzieliśmy, że w homilii pogrzebowej papież Benedykt użył siedem razy słów „Pójdź za Mną" na wzór tych siedmiu razy w Ewangelii św. Jana. Papież Benedykt żyje bardzo głęboko Pismem Świętym. To człowiek, którego rozumienie Biblii jest zupełnie niezwykłe. A my słuchajmy dalej:

> Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz w to?»

zwraca się tak do Marty. A Marta:

> Odpowiedziała Mu: «Tak, Panie! Ja mocno wierzę, żeś Ty jest Mesjasz, Syn Boży, który miał przyjść na świat».

Ta dziewczyna, która cztery dni wcześniej straciła brata, wyznaje wiarę w mesjańską godność Jezusa. Pomiędzy nimi nawiązuje się dialog, który moglibyśmy nazwać dialogiem najgłębszego zawierzenia. Jezus słyszy od niej słowa, które do tej pory wypowiedział o Nim tylko Piotr. Ale Piotr na co dzień oglądał życie Jezusa, a Marta jeszcze nie widziała cudu. Zwróćmy uwagę, że wiara Marty jest silniejsza niż wiara Piotra, bo jest bardziej spontaniczna, pochodzi z serca.

> Gdy to powiedziała, odeszła i przywołała po kryjomu swoją siostrę, mówiąc: «Nauczyciel jest i woła cię». Skoro zaś tamta to usłyszała, wstała szybko i udała się do Niego.

Nie wiemy jak daleko przebywał od domu. Ale pamiętamy, że ciągle była ta Siwa, ta siedmiodniówka, ta żałoba.

> Jezus zaś nie przybył jeszcze do wsi, lecz był wciąż w tym miejscu, gdzie Marta wyszła Mu na spotkanie. Żydzi, którzy byli z nią w domu i pocieszali ją, widząc, że Maria szybko wstała i wyszła, udali się za nią, przekonani, że idzie do grobu, aby tam płakać.

Wejść do grobu już nie mogła, bo po trzech dniach grób był definitywnie zastawiany kamieniem. Ale że poszła tam płakac po starcie brata.

> A gdy Maria przyszła do miejsca, gdzie był Jezus, ujrzawszy Go upadła Mu do nóg i rzekła do Niego: «Panie, gdybyś tu był, mój brat by nie umarł».

Wcześniej to samo powiedziała Marta. Teraz powtarza to Maria. Jedna i druga daje poznać Jezusowi, że powinien był odpowiedzieć na ich prośbę i przyjść, by uzdrowić Łazarza.

> Gdy więc Jezus ujrzał jak płakała ona i Żydzi, którzy razem z nią przyszli, wzruszył się w duchu, rozrzewnił i zapytał: «Gdzieście go położyli?» Odpowiedzieli Mu: «Panie, chodź i zobacz!». Jezus zapłakał.

Dwa razy w Ewangeliach Jezus płacze. Raz po śmierci Łazarza, i raz nad Jerozolimą, nad jej losem, zapowiadając jej zburzenie. Dlaczego Jezus zapłakał, skoro za kilka chwil miał wskrzesić Łazarza? Dlatego, że śmierć, kiedy już nastąpiła, jest czymś tak silnym, tak nieodwracalnym, zerwaniem więzi z człowiekiem, że płacz wydaje się jedynym rozsądnym wyjściem, które pozwala człowiekowi się wypowiedzieć. Śmierć, odejście kogoś bliskiego, rozrywa wszystkie więzi. Najgorsze w śmierci jest uświadomienie sobie, że człowiek, którego to dotknęło, już nigdy nie wróci. Ja myślę, że każdy z państwa dorosłych ma za sobą to doświadczenie, kiedy któregoś dnia uświadamiamy sobie, że ta tęsknota czy nasze oczekiwanie nigdy się nie spełni. Otóż najbardziej znamienna dla śmierci jest jej nieodwracalność. I to właśnie ta nieodwracalność jest powodem, że Jezus płacze po śmierci swojego przyjaciela.

> A Żydzi rzekli: «Oto jak go miłował!» Niektórzy z nich powiedzieli: «Czy Ten, który otworzył oczy niewidomemu, nie mógł sprawić, by on nie umarł?» A Jezus ponownie, okazując głębokie wzruszenie, przyszedł do grobu. Była to pieczara, a na niej spoczywał kamień.

Kamień był taki okrągły, jak żarna młyńskie. I kamień był zataczany. Przychodzili silni mężczyźni, odtaczali go i zataczali. Do dzisiaj w Jerozolimie, w okolicy Jerozolimy, zachowało się wiele takich grobów z czasów Chrystusa, z takimi zataczanymi kamieniami. Nie inny był również grób, do którego wkrótce złożono ciało Jezusa.

> Jezus rzekł:«Usuńcie kamień!»

Dosłownie trzeba było by: «Odtoczcie kamień!»

> Siostra zmarłego, Marta, rzekła do Niego: «Panie, już cuchnie.

Marta zawsze jest dużo praktyczniejsza — nazywa rzeczy po imieniu, nazywa rzeczy takimi, jakie są. Drugi raz mamy silne podkreślenie, że Łazarz na pewno umarł. To nie jest śmierć kliniczna, to nie jest letarg, to nie jest coś, co mogło się wydarzyć raz na pięć milionów — to jest śmierć, potwierdzona przez te trzy dni, które minęły, i potwierdzona przez to, co mówi Marta. Otóż na Bliskim Wschodzie rozkład ciała następuje bardzo szybko. Jest obowiązek, żeby je pogrzebać w dniu śmierci.

> Leży bowiem od czterech dni w grobie». Jezus rzekł do niej: «Czyż nie powiedziałem ci, że jeśli uwierzysz, ujrzysz chwałę Bożą?» Usunięto więc kamień. Jezus wzniósł oczy do góry i rzekł:

To wzniesienie oczu do góry też jest ważne. Kiedy Żydzi modlą się prosząc Boga, otwierają szeroko oczy i patrzą w niebo. Kiedy chrześcijanie modlą się prosząc Boga, przymykają oczy, żeby się skupić. Chrześcijanin szuka Boga jakby w sobie, Żyd szuka Boga jakby w niebie, z szeroko otwartymi oczami. A więc i tu mamy taką modlitwę żydowską.

> Jezus wzniósł oczy do góry i rzekł: «Ojcze, dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał. Ja wiedziałem, że mnie zawsze wysłuchujesz. Ale ze względu na otaczający Mnie lud to powiedziałem, aby uwierzyli, żeś Ty Mnie posłał».

Ten cud, który ma się dokonać, ma objawić mesjańską i boską godność Jezusa. Jezus dziękuje swojemu Ojcu, że oto dokona się to, co się stanie po to, aby pobudzić wiarę.

> To powiedziawszy zawołał donośnym głosem: «Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!» I wyszedł zmarły, mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była zawinięta chustą. Rzekł do nich Jezus: «Rozwiążcie go i pozwólcie mu chodzić!».

Nie wiemy, kto był tym śmiałkiem, który podszedł do Łazarza by go rozwiązywać. Nie wiemy jaka była reakcja tłumu. Możemy sobie tylko próbować wyobrazić to, co się stało. Ale skutek był taki, że wielu spośród Żydów przybyłych do Marty ujrzawszy to, czego Jezus dokonał, uwierzyło w Niego. Odpowiedzią była wiara.

Co w tym wszystkim jest dziwne? Oczywiście dziwne jest samo wskrzeszenie, przedziwne. Ale co jeszcze jest dziwne? Nie znamy w ogóle reakcji Łazarza! Nie potrafimy powiedzieć, czy się ucieszył, że wrócił do tego życia. Czy dziękował Jezusowi? A może przestał się z Nim przyjaźnić? Przecież Łazarz musiał w jakiejś przyszłości, mniej czy bardziej odległej, umrzeć jeszcze raz. On został przywołany do tego życia, wrócił do tego życia, został wskrzeszony. Wiedział co znaczy lęk przed śmiercią, obawa śmierci, przechodzenie przez śmierć — i miał żyć. Czy państwo zauważyli, że nie ma go na drodze krzyżowej, nie ma go pod krzyżem Jezusa, nie ma go w Wieczerniku, gdzie zbierali się pierwsi wyznawcy Jezusa, nie ma go wśród pierwszych chrześcijan. Nie ma go w Jerozolimie nigdy później, nie słyszymy o Łazarzu. W jednym tylko miejscu Ewangelista zaznacza, że kiedy żydowscy arcykapłani postanowili zabić Jezusa, to chcieli również zabić Łazarza, który był świadkiem, uczestnikiem tego cudu. Ale najwyraźniej chyba tak się nie stało. Czy Łazarz wyszedł z Betanii? Może już nie mógł mieszkać z tymi, którzy znali go jako żywego, opłakali, przeżyli pogrzeb? Może musiał wynieść się ze swojej miejscowości gdzie indziej? W tradycji prawosławnej przedstawia się Łazarza zawsze jako chudego, bladego i smutnego. Przedstawia się go jako takiego już po wskrzeszeniu. A jest tak dlatego, ponieważ prawosławni uważają, że człowiek, który przeszedł przez śmierć, już nie ma czego szukać w tym życiu. Że to, czego doświadczył, sprawia, że to życie doczesne przestaje mieć dla niego jakiekolwiek znaczenie. To trochę tak, jak człowiek dotknięty ciężką chorobą raptem swoje życie ogląda w zupełnie nowym świetle. Łazarz więc jest i pozostaje tajemnicą, zagadka. Nie wiemy, jakie było jego dalsze życie. Powstało wiele apokryfów, w których próbowano je rekonstruować, ale to wszystko bajki, to wszystko legendy. Nowy Testament na ten temat milczy. Jedno jest pewne. To mianowicie, że Łazarz wrócił do tego życia, a kilka dni później umęczony i zamordowany Jezus zmartwychwstał do nowego życia. Zmartwychwstanie to coś zupełnie innego niż wskrzeszenie.

Za kilka dni mamy święta Zmartwychwstania Pańskiego. Na te święta życzę wszystkim państwu wszystkiego co dobre, co błogosławione, co święte, co wzniosłe. Życzę, żeby święta były radosne, pogodne, dobre, w rodzinach i także dla państwa. Zgodnie z tym, co mówiłem 3 tygodnie temu, dzisiaj mogą państwo nabyć książkę której tytuł brzmi „Bóg, Biblia, Mesjasz". Pierwsze egzemplarze dojechały dosłownie godzinę temu. Dobrych, radosnych, błogosławionych Świąt! Chwała Ojcu ... Na następne spotkanie zapraszam na trzeci poniedziałek maja, 15 V, czyli Zofii.

8.7 Kardynał Stefan Wyszyński jako ojciec dwóch papieży (15 maja 2006)

W imię Ojca, ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości ... Bardzo serdecznie państwa witam majowo, bo to miesiąc zupełnie wyjątkowy i powoli zbliżamy się do końca tegorocznego cyklu naszych konferencji. Ta dzisiejsza będzie miała szczególny charakter ze względu na szczególny czas w jakim jesteśmy właśnie teraz, w jakim się znajdujemy. Myślę że większość z państwa domyśla się, że ten szczególny czas wymaga od nas wyjątkowej refleksji. Dlatego od postaci biblijnych przeniesiemy się w czasy nam współczesne po to, aby powiązać naszą refleksję, naszą obecność tutaj na tych katechezach biblijnych z tym, czego jesteśmy świadkami i uczestnikami. Domyślamy się, że oczywiście najważniejszym wydarzeniem jest zbliżająca się pielgrzymka Ojca Świętego Benedykta XVI, która nastąpi za $1\frac{1}{2}$ tygodnia. Jest też tegoroczny maj miesiącem, w którym obchodzimy 25 lat od śmierci Sługi Bożego Stefana kardynała Wyszyńskiego. Ta rocznica będzie przypadała za niecałe dwa tygodnie. W tym roku to wypada w niedzielę, 28 maja. I chciałbym zwrócić uwagę na tę rocznicę, także na postać kardynała Stefana Wyszyńskiego, dlatego, że 28 maja będziemy żegnać na naszej ziemi Benedykta XVI, i oczywiście oczy wszystkich będą zwrócone na papieża. I te 25 lat od śmierci kardynała Wyszyńskiego może tak czy inaczej przejść trochę niezauważone.

Otóż chciałbym nadać dzisiejszej naszej refleksji tytuł, który później w trakcie tej godziny, która nas czeka, bardzo chciałbym uzasadnić, mianowicie: *Kardynał Stefan Wyszyński jako ojciec dwóch papieży.* Chciałbym żebyśmy wspólnie zastanowili się, oddając hołd wielkiemu Prymasowi Tysiąclecia, najpierw nad sensem, nad znaczeniem, nad okolicznościami słów Jana Pawła II, że „nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka, gdyby nie kardynał Stefan Wyszyński". I drugi człon tej samej refleksji ma związek z tym. Mianowicie: nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Niemca, gdyby nie Jan Paweł II. Więc pontyfikat Benedykta XVI jest możliwy dzięki pontyfikatowi Jana Pawła II. Pontyfikat Jana Pawła II stał się możliwy dzięki ofierze życia, bohaterstwu, heroiczności, wierze, nadziei, kardynała Stefana Wyszyńskiego. Tak więc ten jeden człowiek, wielki Prymas Tysiąclecia, zrodził niejako dwóch kolejnych papieży. Ci z państwa, którzy mieli czas i siły zajrzeć do książki, którą państwo nabyli pięć tygodni temu, dobrze wiedzą, że mój stosunek do kardynała Stefana Wyszyńskiego jest absolutnie wyjątkowy. Wyjątkowy z bardzo wielu powodów. Dlatego uważam, że spośród różnych okoliczności są także osobiste powody, by w 25 lat po jego śmierci raz jeszcze przypomnieć jego sylwetkę, i raz jeszcze wskazać na człowieka, bez którego dzieje Polski potoczyłyby się zupełnie inaczej. Chciałbym, żeby to był również hołd od nas wszystkich wobec tej wielkiej postaci — zwłaszcza teraz w tych dniach i w przyszłym tygodniu, kiedy oczy całego świata będą zwrócone na Polskę, i będą też zwrócone na obecność tutaj u nas Benedykta XVI. Myślę też, że kiedy za $1\frac{1}{2}$ tygodnia papież z Niemiec uklęknie w Warszawie przy grobie prymasa Wyszyńskiego, to z całą pewnością będzie miał także i te myśli, część tych myśli, które dzisiaj chcielibyśmy wyrazić. Niech państwo bowiem zwrócą uwagę na ten symboliczny znak, swoisty cud, który jakoś był obecny w życiu kardynała Stefana Wyszyńskiego, a dzisiaj spełnia się przez to, że do Warszawy, tak mocno udręczonej i umęczonej przez Niemców, tak mocno przez nich upokorzonej, wyniszczonej i dotkniętej śmiercią, przybywa papież Niemiec, którego będziemy witać i z wdzięcznością, i ze czcią, jaka przystoi Namiestnikowi Chrystusowemu. To, co się stało między II wojną światową a tą wizytą Benedykta XVI, to wszystko było możliwe dzięki posłudze biskupiej i prymasowskiej kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Spróbujmy go zatem jakby wydobyć nieco z niepamięci. Wiem, że znaczna część państwa zna rozmaite daty, fakty, wydarzenia dlatego, że już kiedyś mówiliśmy na temat kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ostatnio też były rozmaite sposobności, by o nim parę słów powiedzieć. I muszę państwu również dodać, że tam, gdzie jestem, gdzie obracam się, także wśród biskupów czy wobec księdza prymasa, tam bardzo mocno podkreślam aby w tej sytuacji, jaka jest obecnie, postać, osoba kardynała Stefana Wyszyńskiego były głośniej przypominane.

Kardynał Wyszyński urodził się w r. 1901. Urodził się jako syn organisty, urodził się w Zuzeli. Kilka lat temu zorganizowaliśmy taką małą pielgrzymkę, pielgrzymkę stąd, z Parafii Zwiastowania Pańskiego, do Zuzeli. Być może są osoby, które wtedy były. Państwo pamiętają, że to było bardzo wzruszające, zachowała się bowiem jeszcze do dzisiejszego dnia organistówka, dom rodzinny, w którym Stefan Wyszyński się urodził. Oczywiście kościół naprzeciwko, tam ojciec był organistą.

To był jeszcze czas zaborów. To nie jest daleko od Warszawy, ale jednak już na granicy Mazowsza i Podlasia. Być może są wśród państwa osoby, które tam się udadzą. Można tam sobie pojechać samochodem, np. w weekend, poprosić kogoś z rodziny, zobaczyć te miejsce naznaczone urodzeniem i dzieciństwem małego Stefana. Miejscowość położona jest nad Bugiem, w pobliżu rzeki. I bardzo często wspominał Stefan, później już biskup i kardynał, że ten widok rzeki, którą przepływały rozmaite barki, którą spławiano drewno, zawsze wywoływały w nim takie ogromne wrażenie jakichś dalekich podróży i przybyszów z dalekich stron. I ta rzeka zawsze go porywała.

Ale tam było tylko jego dzieciństwo. Wkrótce matka go osierociła, ojciec ożenił się drugi raz. Oczywiście więzy z tą drugą matką nie były bardzo silne, aczkolwiek zawsze był bardzo lojalny. Natomiast trzeba było zmienić posadę organisty – ojciec wyprowadził się z Zuzeli i dla Stefana nastały dość trudne czasy. Pamiętamy, że w 1914 r. wybuchła I wojna światowa i właśnie jego dorastanie przypadło na czas wojny. Nie ma wśród nas nikogo, kto by I wojnę światową pamiętał, znamy ją tylko z historii, z podręczników. I wtedy, podobnie jak podczas II wojny światowej, przez Polskę kolejno przewalały się rozmaite wojska. I w tym okresie doświadczył wrogości zarówno od strony Rosjan – mówił dobrze po rosyjsku, jak i później, będąc już w gimnazjum w Łomży, doświadczył podobnej wrogości ze strony Niemców. Pośród wspomnień, które zachowały się z życia kardynała Wyszyńskiego jako dorastającego chłopca, jest wspomnienie o jego obecności w Drozdowie, to jest miejscowość pod Łomżą. Tam ćwiczyli się nie tylko sportowo, ale po części paramilitarnie. I tam przy jakiejś okazji doświadczył bardzo silnej wrogości ze strony Niemców.

Zdecydowany był zostać kapłanem, wstąpił więc do seminarium duchownego we Włocławku. Tam przygotowywał się do święceń kapłańskich, i pierwszym poważnym wstrząsem, który wydarzył się w jego życiu a który trzeba opowiedzieć jego własnym słowami, to był wstrząs związany ze święceniami kapłańskimi. Mianowicie święcenia kapłańskie diakona Stefana Wyszyńskiego były przewidziane na 3 VII 1924 r. Przygotowywał się do nich bardzo solidnie ale okazało się, że w jego życiu nastąpiło coś, czego w ogóle nie przewidywał. Mianowicie znacznie później, w 1964 r., przebywając u sióstr zakonnych w Stryszawie, powiedział do sióstr takie słowa:

> Święcenia kapłańskie otrzymałem z rąk biskupa Owczarka, gruźlika, w kaplicy M. B. Częstochowskiej w bazylice katedralnej włocławskiej. Byłem święcony sam. Moi koledzy 29 czerwca poszli na święcenia, a ja — do szpitala. Tam ledwo uszedłem śmierci. W czasie moich święceń modliłem się, bym mógł być kapłanem przynajmniej jeden rok. Gdy przyszedłem do katedry po święcenia, stary zakrystianin powiedział do mnie: «Proszę księdza, z takim zdrowiem to chyba raczej trzeba iść na cmentarz, a nie po święcenia».Tak wszystko się układało, że tylko miłosierne oczy Matki Najświętszej patrzyły na ten dziwny obrzęd, który miał miejsce, gdy wygodnie mi było leżeć i bałem się chwili, kiedy już będę musiał wstać — bo nie wiedziałem, czy utrzymam się na nogach.

Oto własne słowa późniejszego kardynała i Prymasa Tysiąclecia. Święcenia przyjął sam, bo 29 VI grupa jego kolegów przyjęła je wspólnie, natomiast on musiał czekać. Dodajmy do tego jeszcze jeden tragiczny moment. Z tych kolegów, wyświęconych razem ze Stefanem Wyszyńskim, połowa została zamordowana przez Niemców. Połowa z nich w okresie II wojny światowej zginęła. Taka była danina krwi, jaką płacili polscy duchowni, zwłaszcza na tamtych terenach diecezji płockiej, włocławskiej, pelplińskiej, czyli dawnym pograniczu polsko - niemieckim czy polsko - pruskim. Połowa przypłaciła wojnę życiem. On otrzymał święcenia 3 VIII zupełnie sam. Dwa dni później sprawował mszę świętą prymicyjną na Jasnej Górze, w Częstochowie, dokąd udał się ze swoją ciotką. Dlatego, że nie miał już bliższej rodziny. Żył jeszcze ojciec, ale miał swoje obowiązki. Zachowały się do dzisiaj — znajdą się w Muzeum Jana Pawła II, które powstaje w Warszawie — dwa obrazki prymicyjne z prymicji, które nigdy się nie odbyły. Mianowicie obrazki z datą 6 VII i mszą św., która miała byś sprawowana we Wrociszewie. Ale do tej mszy św. prymicyjnej nie doszło. Po prostu obrazki się zachowały szczęśliwie, natomiast nic z tych świętych obrzędów nie było.

Tak młody ksiądz Stefan Wyszyński trafił do katedry włocławskiej. Był przy katedrze dlatego, że sądzono że jest bardzo słabego zdrowia, i właściwie czekano na jego śmierć. Przez kilka miesięcy doszedł do siebie — chorował na gruźlicę — wydobrzał, i wkrótce otrzymał skierowanie na studia do Lublina na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Studiował katolicką naukę społeczną, która wtedy była bardzo potrzebna, ale była także ryzykowna. To był koniec lat dwudziestych, początek lat

trzydziestych, w sąsiedniej Rosji bolszewickiej rozwijał się komunizm. Zatem wszelkie życie społeczne było traktowane jako komunizowanie. Uważano, że bogaci powinni trzymać się razem i nie pozwolić biednym na jakiekolwiek rewolucyjne ruchy, bo to by do Polski przeszczepiło rewolucję bolszewicką, która działa się w sąsiednim Związku Radzieckim. Ksiądz Wyszyński był człowiekiem o ogromnej społecznej wrażliwości. Zapamiętano go z tego do naszych czasów, gdzie na terenie diecezji włocławskiej zachowuje się żywa pamięć o tym, do jakiego stopnia potrafił współczuć ludziom, pomagać ludziom, pomagać młodzieży, pomagać na wsi. I zachowało się też wspomnienie, o którym kiedyś państwu mówiłem, które jest bardzo znaczące. Mianowicie odbywało się takie przyjęcie na plebanii – wszystko to przed wojną – kiedy to proboszcz zaprosił miejscowego dziedzica. Ten dziedzic zaprosił jeszcze innych swoich przyjaciół i a znany był z tego, że bardzo surowo odnosił się do miejscowej ludności, bardzo ich wykorzystywał. I przy obiedzie po niedzielnej mszy św. nawiązała się rozmowa na temat studiów, które odbywał właśnie ksiądz Stefan Wyszyński. Dość zgryźliwie dogryzano mu, że studiuje rzeczy, które są niebezpieczne. Bo jeżeli biedni, czyli chłopi, wezmą sobie do serca takie nauki, to skończy się tym, że bogaci będą musieli pozostawić swoje dwory i uciekać. I wtedy ksiądz Stefan Wyszyński, słuchając tych wszystkich uszczypliwych słów, zwrócił się do dziedzica: „Przyjdzie niedługo czas, że sami je zostawicie i stąd pójdziecie. Jeżeli tego nie zrobicie, to inni wam pomogą. Jak najszybciej trzeba okazywać dobroć i miłosierdzie tym, którzy tego potrzebują." Zatem taka postawa nie przysparzała mu wyłącznie przyjaciół. Jednak był bardzo ceniony i mianowano go redaktorem naczelnym takiego pisma dla kapłanów, które wychodzi po dzień dzisiejszy i nazywa się „Ateneum kapłańskie". Zachował się zbiór artykułów z tego czasopisma, drukowany w latach trzydziestych, który poświadcza ogromną wrażliwość na sprawy społeczne. Właściwie kiedy się czyta te artykuły dzisiaj, po 70 latach, to one nie straciły nic z aktualności, gdy tylko ma się na względzie nowy kontekst.

Zrobił więc doktorat z katolickiej nauki społecznej, był doktorem tej dyscypliny, i wybuchła II wojna światowa. Księża na terenach nadwiślańskich byli bardzo prześladowani. On również otrzymał poufną wiadomość, że musi się chronić dlatego, że interesują się nim hitlerowcy. Wyłapywano wszystkich kapłanów, którzy byli wykształceni, i gromadzono ich początkowo w obozach przejściowych a potem przewożono do Dachau. W Dachau znalazło się wielu kolegów, bliskich, znajomych księdza Wyszyńskiego. M.in. ksiądz Franciszek Mączyński który później, przez całe lata, był rektorem Papieskiego Instytutu Polskiego w Rzymie i oczywiście bliskim przyjacielem, kolegą kardynała Stefana Wyszyńskiego. Stefanowi Wyszyńskiemu udało się uniknąć tego losu, ukrył się gdzieś na plebanii, pracował na parafii jako niepozorny ksiądz. Natomiast kiedy wojna zaczęła przechylać się na korzyść aliantów, i kiedy coraz bardziej było widać, że jej kres się zbliża, to ksiądz dr Stefan Wyszyński przyjechał do Puszczy Kampinoskiej i tutaj został zaprzysiężony jako kapelan Armii Krajowej. Otrzymał stopień wojskowy podporucznika i posługiwał na skraju Puszczy Kampinoskiej zarówno partyzantom jak i ludności cywilnej, a także siostrom w Laskach, pełniąc swoje obowiązki tak, jak winien je pełnić kapelan wojskowy. Właśnie wtedy, w 1944 r., gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, on bardzo je przeżywał. Wśród pierwszych myśli było to, żeby udać się do Warszawy. Ale to się okazało i niemożliwe, i niepotrzebne, i bezcelowe. Dlatego to mordowanie Warszawy przeżywał z Lasek. Dwa wspomnienia zachowały się w pamięci tych, którzy go dobrze znali i często z nim rozmawiali. Otóż pewnego dnia Warszawa płonęła. Płonęła już we wrześniu, i z początkiem października 1944 przez wiele dni. Były dość silne wiatry, wspominał ks. Stefan Wyszyński. I pewnego dnia te wiatry znad Warszawy przynosiły do Lasek swąd pożarów, kiedy to się czuło, że miasto ginie. I on wyszedł i patrzył w stronę Warszawy pod wieczór, były takie łuny pożarów, i modlił się. I patrząc na to wszystko myślał o tym co się dzieje, o Panu Bogu, o ludziach, o Niemcach, o Polakach. Dochodziły wiadomości o rannych, na przykład opatrywał rannego żołnierza, którego do niego przyniesiono, bardzo ciężko rannego powstańca warszawskiego. To był młody chłopak — wiele razy o tym wspominał — który miał dziewczynę, z którą miał się pobrać i bardzo chciał żyć. Do tego stopnia chciał żyć, że rany, które otrzymał, były śmiertelne, lekarze nie dawali mu żadnych szans — ale on siłą woli, siłą życia, nie dopuszczał do siebie myśli o jakiejkolwiek śmierci. Kiedy coraz bardziej słabł, to przyniesiono go do Stefana Wyszyńskiego żeby udzielił mu rozgrzeszenia i ostatnich sakramentów. Chłopak zaczął się skarżyć i prosił, że chce żyć. I prymas Wyszyński zapewniał go, że Pan Bóg zwróci mu wszystko, i dziewczynę, i życie, musi Mu tylko zaufać. I ten młody chłopak przełamał się w tym znaczeniu, że przygotował się do tej śmierci, która nastąpiła

tego samego dnia w obecności księdza Stefana Wyszyńskiego. Zawsze bardzo mocno wspominał tego chłopaka i zawsze dodawał: ilu było takich, którzy podobnie odchodzili, w podobnych mękach, i z podobną siłą życia.

Wtedy to bardzo ukochał Warszawę. Nie był jeszcze jej mieszkańcem, ale widział jej martyrologię. Gdy pewnego dnia stał i patrzył w stronę Warszawy, spośród rozmaitych przynoszonych przez wiatr rzeczy zobaczył kartki, jakieś resztki palonej biblioteki czy domu mieszkalnego. Wiatr niósł to wszystko, to było popalone, resztki tylko, strzępy kartek. I jedna z takich kartek upadła mu pod nogami. On podniósł tę kartkę i przeczytał jej treść. Rozpoznał na niej słowa:

Będziesz miłował

Te słowa stały się od tej pory dewizą jego posługi, powracały bardzo często w jego nauczaniu, w jego skojarzeniach, w jego myśleniu, owo „Będziesz miłował". To przykazanie miłości wobec tych aktów nienawiści, tej niechęci — i to właśnie umocniło w nim tę patriotyczną postawę, która od tej pory była w kardynale Stefanie Wyszyńskim stale.

I jeszcze jedno wspomnienie z tamtego okresu, także bardzo ważne. Bardzo ważne teraz, kiedy będzie tam Benedykt XVI. Kiedy Powstanie się skończyło, mniej więcej w początkach października 1944 r. można było przedostać się do Warszawy, żeby obsłużyć najbardziej potrzebujących. Trwały deportacje ludności, niszczenie, pożary, palenia, rabunek. Ukraińcy już zrobili swoje, przeczesana została Ochota, cała reszta miasto. I Stefan Wyszyński szedł Krakowskim Przedmieściem, doszedł do kościoła Św. Krzyża. I widział zwaloną figurę Chrystusa z tym krzyżem — zachowało się zdjęcie tego momentu — i stanął naprzeciwko kościoła Św. Krzyża, i patrzył na ten kościół, na ten krzyż, i na te wymarłe ulice. I w pewnym momencie szli Niemcy, było ich trzech. I wśród nich był niemiecki oficer, prawdopodobnie Ślązak. I kiedy tamci dwaj przeszli ten zawrócił, podszedł do księdza Wyszyńskiego, i powiedział do niego dostatecznie głośno i dostatecznie powoli:

Ist noch Polen nicht verloren — Jeszcze Polska nie zginęła

Otóż to bardzo poruszyło Stefana Wyszyńskiego, ten Niemiec, który podtrzymuje polskiego księdza. Niemcy już wiedzą, że wojna przegrana, ale jednocześnie niszczą miasto systematycznie bo zdają sobie sprawę, że niszcząc Warszawę niszczą polską pamięć. Państwo dobrze wiedzą że gdy wojna się skończyła to wśród rozmaitych projektów był także i ten, Stalin tego chciał, aby stolicę Polski przenieść do Łodzi. Twierdzono, że w Warszawie już nie ma czego szukać. Dobrze się stało, że Warszawa została więc odbudowana, bo Polska ze stolicą w Łodzi to nie jest to samo, co Polska ze stolicą w Warszawie. Więc to również wspomnienie, które Stefana Wyszyńskiego dotyczy.

Po wojnie jego życie nabrało przyśpieszenia. Na początku 1946 r., a więc zaledwie pół roku po wojnie, otrzymał propozycję zostanie biskupem, biskupem lubelskim. Ta propozycja przyszła do niego bardzo nieoczekiwanie, nie spodziewał się jej dlatego, że nie widział siebie na drodze biskupiej. Dodatkowo wyzwaniem dla niego był fakt, że miał być biskupem lubelskim, a on bardzo przywiązał się do Warszawy. Jednak, jak mówiło się wtedy: „Ojcu Świętemu się nie odmawia" i Stefan Wyszyński przyjął tę nominację. 12 maja — państwo zwrócą uwagę, trzy dni temu była rocznica — przyjął konsekrację biskupią. Może trochę szkoda, że nawet w Warszawie, w archidiecezji Prymasa Wyszyńskiego, mało się o tym mówi i mało kto o tym wie. Bo takie rocznice są jednak ważne, bo one są zwornikami pamięci. Przyjął więc konsekrację biskupią i za motto swojego posługiwania obrał słowa *Soli Deo.* Te słowa „Soli Deo" mogą być tłumaczone na język polski na pięć sposobów. Najważniejsze to: *Tylko Bogu, Jedynie Bogu, Wyłącznie Bogu, Bogu samemu, Bogu tylko.* Otóż mocne podkreślenie Boga i wyłączności Pana Boga w naszym życiu. Bezwzględne zawierzenie Panu Bogu. Czas był trudny, państwo wiedzą o tym doskonale, bo był to okres powojenny. Atmosfera robiła się coraz gęstsza, coraz groźniejsza. A w Lublinie nieco wcześniej, w 44 r, przedtem w Chełmnie Lubelskim, usadowiły się na jakiś czas także władze komunistyczne, tak że Lublin był dość silnie obsadzony. Lublin miał poza tym wielką historię prześladowań niemieckich. Zamek w Lublinie przerobiono przecież na hitlerowską katownię. Potem w tej katowni cierpieli Polacy z rąk Sowietów. Biskup Stefan Wyszyński doskonale o tym wszystkim wiedział. Udał się do Lublina, związał się z ludźmi, którzy tam byli, i rozpoczął posługę biskupa diecezji lubelskiej. Kiedy zmarł kardynał August Hlond przedstawiono biskupowi lubelskiemu propozycję przyjścia do Warszawy,

do Gniezna. Wtedy te dwie diecezje były połączone tzw. unią personalną, tzn. diecezje były dwie, ale miały jednego biskupa. Biskup Stefan Wyszyński nie wahał się tego wyboru przyjąć, aczkolwiek dla bardzo wielu ludzi ten wybór był ogromnym zdumieniem. Uważali przede wszystkim, że biskup lubelski Stefan Wyszyński jest za młody — miał wtedy 47 lat. Nie jest to pierwsza młodość, ale po wojnie wydawało się, że jest za młody, że nie ma doświadczenia, że Warszawa i Gniezno wymagają ogromnego doświadczenia. Poza tym to, co było przed wojną, okazało mu się dość paradoksalnie przydatne. Mianowicie komuniści uznali, że skoro przed wojną był społecznikiem, a więc jest bliski idei społecznych —jeżeli takie były w komunizmie, i sądzili, że uda im się mieć go po swojej stronie. Więc mieli nadzieję na to, że łatwiej będzie rozmawiać z biskupem Wyszyńskim niż z jakimkolwiek innym dlatego, że przed wojną był już, w ich ocenie, „światły". Otóż kiedy biskup Wyszyński wiedział już, że przyjedzie do Warszawy, wystosował do mieszkańców Warszawy 6 I 1949 r. list. Ja przeczytam państwu fragment tego listu. Ten list jest napisany w uroczystość Trzech Króli w Lublinie. Biskup wie, że przyjdzie do Warszawy. I napisał tak:

> Wsłuchani dziś we wstrząsające głosy pulsujących krwią wylaną sił ducha ojczystego, na uświęconym fundamencie pragniemy budować miasto światłości, miasto mocy, miasto pokoju które, jak było przedziwne w bohaterstwie, tak też będzie porywające i w odrodzeńczej pracy. Krew wylana zobowiązuje wszystkich mieszkańców stolicy do wierności uświęconym prawom ojczyzny, do obrony godności narodowej, oblicza chrześcijańskiego, ducha sprawiedliwości, pokoju i wolności. W tym duchu będziemy ostrzyć myśli, wytężać mowę i wolę, hartować ramiona, by rozum, wola, serce i dłonie uświęcone Bożą miłością krzepły nam, trwały z rąk domu ojczystego.

Kto z państwa pamięta retorykę czasów powojennych, to rozpoznaje tutaj dwa elementy. Z jednej strony jest to polszczyzna przedwojenna. Z drugiej strony biskup Stefan Wyszyński używa słów, których używała komunistyczna propaganda. Daje w ten sposób poznać, że chce ochrzcić tę rzeczywistość. Że odbudowa Warszawy to nie jest tylko kwestia jakiegoś świeckiego zrywu, ale jest to obowiązek patriotyczny i obowiązek chrześcijański. Kiedy więc przybył do Warszawy jako biskup, to poświęcił całe swoje siły na włączenie się w odbudowę stolicy. To, że ta odbudowa została podjęta, że postępowała tak bardzo szybko, że zabrano się za odbudowę Starego Miasta, innych miejsc, które miały charakter symboliczny — a Warszawa była w 90% zburzona — w dużej mierze zawdzięczamy nowemu arcybiskupowi warszawskiemu.

Dwie jeszcze rzeczy zasługują na uwagę. 2 II 1949 r. odbył się jego ingres do Gniezna. Tam został przywitany bardzo uroczyście. I tam po raz pierwszy, zwracając się do wiernych, którzy byli zgromadzeni na Wzgórzu Lecha, na tym samym, nas którym w 79 r. był Jan Paweł II, zwracając się do uczestników arcybiskup Stefan Wyszyński powiedział:

> Umiłowane dzieci Boże, dzieci moje!

Po raz pierwszy użył formuły, wyrażenia, zwrotu, która później stała się jego aż do śmierci. Mianowicie zrozumiał, uznał, przyjął i rozwijał szczególny związek z tymi, którzy go słuchali, traktując ich jako tych, którzy zostali przez Boga powierzeni jego ojcowskiej trosce. Czuł się ojcem narodu, ojcem wierzących. Tę odpowiedzialność podjął, tej odpowiedzialności był świadomy. Ale równie wymowne słowa wypowiedział cztery dni później, 6 II 1949 r. w Warszawie, kiedy katedra podnosiła się z gruzów, bo była przecież zburzona, kiedy tłumy ludzi zebrały się, żeby powitać nowego arcybiskupa, Stefan Wyszyński powiedział do zebranych wiernych tak:

> Nie jestem ci ja politykiem, ani dyplomatą, ani działaczem, ani reformatorem. Jestem waszym duchowym ojcem, pasterzem i biskupem dusz waszych. Jestem Apostołem Jezusa Chrystusa. Posłannictwo moje jest kapłańskie, pasterskie, apostolskie, wyrosłe z odwiecznych myśli Bożych.

Kto tak potrafi mówić znaczy, że żyje bardzo głęboko Bogiem i Jego sprawami. Stefan Wyszyński, arcybiskup warszawski, mówił językiem Sienkiewicza. Moglibyśmy tu rozpoznać wręcz powtórki z Sienkiewicza. Ale mówi jednocześnie językiem dojrzałego chrześcijanina i biskupa, który zdaje sobie sprawę, że w trudnych warunkach powojennych jego obowiązkiem jest ojcowska, pasterska troska

nad ludźmi. Innym zostawia dyplomację, innym zostawia politykę, a sam zajmuje się tym, do czego został powołany — mianowicie idzie w ślady Dobrego Pasterza. Czasy są coraz trudniejsze. Władza komunistyczna spacyfikowała znaczne połacie Polski. Uporano się z partyzantkami — gdzieniegdzie one jeszcze były, przygotowywano rozmaite reformy. Nie wszystko było oczywiście złe, podobnie jak nie wszystko było dobre. Pozostał Kościół, z którym trzeba było się rozprawić. Biskup Stefan Wyszyński uświadomił sobie jedno, co wtedy nie wszyscy rozumieli. Mianowicie że w tej sytuacji, w jakiej Polska znalazła się po wojnie, zostaliśmy po prostu zdradzeni i opuszczeni przez naszych sojuszników. Zrozumiał, że nie będzie żadnego białego konia, że nikt nie przyjedzie nas wyzwalać, że nikt nie przybędzie, żeby nam pomagać. Że zostaliśmy po prostu podstępnie sprzedani w orbitę wpływów dawnego Związku Radzieckiego. Zawsze to wiedział, że nie ma co żyć mrzonkami, tylko trzeba ratować duchową, religijną, ekonomiczną, społeczną tkankę narodu. Wiedział, że ten naród jest okaleczony i obolały. Rozpoczął podróże na tzw. Ziemie Odzyskane, ziemie północne i zachodnie i zobaczył, do jakiego stopnia ludzie są zrozpaczeni. Wyrzuceni z Wileńszczyzny, wyrzuceni z Kresów Wschodnich, przerzuceni siłą do poniemieckich budynków, na poniemieckie terytorium, czuli się tam bardzo obco. Pojawiły się ogromne zagrożenia, samobójstwa, depresja, desperacja. Jednym słowem trzeba było brać się za odbudowę tego, co Prymas nazywał duchem narodu. W tych warunkach postanowił dogadywać się z władzami komunistycznymi na tyle, żeby Kościół w nowej sytuacji mógł egzystować. W 1950 r., 14 IV 1950 zostało zawarte porozumienie między rządem a episkopatem. To porozumienie spowodowało wtedy ogromną falę z jednej strony uznania, z drugiej strony krytyki. Uznanie ze strony władz komunistycznych, które twierdziły, że biskup Stefan Wyszyński jest ich sprzymierzeńcem, aczkolwiek przeczuwały, że jest zupełnie inaczej. Krytyka, zwłaszcza ze strony Zachodu i społeczeństw zachodnich,także Polonii na Zachodzie, która uważała, że wszelkie dogadywanie się z komunistami nie wchodzi w rachubę. Zarzucano, że dogadał się z diabłem. Kiedy już te oskarżenia dokuczały już bardzo mocno, Stefan Wyszyński powiedział, że z diabłem się nie dogaduje, ale z człowiekiem – tak. Otóż cena, jaką płacił, była bardzo duża. Bądź co bądź życie w Paryżu, w Londynie, czy w Nowym Jorku wyglądało zupełnie inaczej i oskarżenia tam formułowane też wyglądały zupełnie inaczej, niż ta rzeczywistość w Polsce. Próbował znaleźć miejsce dla Kościoła katolickiego w tej nowej rzeczywistości. Były kraje, gdzie bunt, albo gdzie sprzeciw albo nacisk komunistyczny posunął się znacznie dalej, i tam kościoły były zamykane. W Polsce do takiego zamykania kościołów nie doszło, ale komuniści zaczęli uzurpować sobie coraz większe roszczenia. Jednym z nich było żądanie, żeby władze komunistyczne mianowały biskupów i proboszczów. Każda nominacja miała być nie tylko uzgadniana z władzami państwowymi, ale wręcz władze państwowe miały taką nominację robić. Kiedy atmosfera gęstła coraz bardziej, robiła się coraz trudniejsza – co trwało 2 - 3 lata. Proszę zauważyć, że pod koniec tego okresu umarł Stalin. Wydawało się, że będzie odwilż, ale w Polsce jej nie było. W tym czasie papież Pius XII wyniósł go do godności kardynalskiej. Był to dowód zaufania do prymasa Polski, że w tej sytuacji, w jakiej jest, on podejmuje wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące Kościoła w Polsce. Papież Pius XII wyszedł tutaj bardzo daleko, ale kardynał Wyszyński nigdy tego zaufania nie nadużył. Komuniści nie pozwolili mu udać się do Rzymu po kapelusz kardynalski. Zawsze udawał się pociągiem jeżeli wcześniej jeździł, sporadycznie – ale był, natomiast tym razem powiedziano mu „Nie!" 8 V 1953 r., a więc znowu niedawna rocznica, podczas obchodów ku czci św. Stanisława biskupa i męczennika w Krakowie, prymas Polski wypowiedział słynne „Non possumus" — „Nie możemy", „Dalej nie możemy". Nie możemy ufać tym, którzy łamią wszelkie obietnice, nie możemy polegać na porozumieniach, z których druga strona się nie wywiązuje. Ale nie możemy również zgodzić się na to, by władza państwowa ingerowała w sprawy Kościoła tak głęboko, jak tego chce.

Od tej pory jego aresztowanie stawało się kwestią czasu. Otóż próbowano wbić klin pomiędzy prymasa i biskupów. Do jego otoczenia przenikali rozmaici ludzie, czasami także duchowni. Szukano sposobu, żeby się go pozbyć. Chętnie zgodzono by się na jego wyjazd za granicę, nawet po kapelusz kardynalski, ale pod warunkiem, że nie wróci do Polski. Przeczuwał to, że nie zostanie do Polski wpuszczony. Kiedy więc to powietrze stawało się coraz trudniejsze, 18 IX 1953 r. prymas powiedział tak:

> Wolę więzienie, niż przywileje. Gdyż cierpiąc w więzieniu będę po stronie tych najbardziej uciemiężonych.

Dokładnie tydzień później, późnym wieczorem 25 IX, został aresztowany. W jego obronie, jak wspominają uczestnicy tego aresztowania, stanął tylko pies, który miał na imię Baca, i który ubowca, który chciał dotknąć prymasa, złapał za rękaw – był w takim skórzanym płaszczu – i prymas martwił się, czy go aby nie pokaleczył. Na szczęście nie, ale płaszcz nieco ucierpiał. Tylko pies stanął przy prymasie dlatego że, jeżeli chodzi o resztę Kościoła, było bardzo rozmaicie. Jest to jeden z najboleśniejszych fragmentów w powojennej historii Polski. Bardzo niechętnie się o tym mówi. Ale skutkiem uwięzienia było i to, że biskupi za prymasem w stopniu, który byłby wystarczający, się nie wstawili. Udało się zastraszyć to wszystko, co się wtedy w Polsce działo, i prymas został przewieziony do miejsca internowania, do miejsca odosobnienia. Był w czterech miejscach odosobnienia — najpierw w Rywałdzie, na północy Polski — tam bardzo krótko we wrześniu, październiku. Stamtąd przewieziony do Stoczka Warmińskiego. Stamtąd przewieziony do Prudnika Śląskiego, a potem przewieziony do Komańczy. Jeżeli państwo mają w głowie mapę Polski, to przekonamy się, że wszystkie te miejscowości: Rywałd, Stoczek Warmiński, Prudnik, Komańcza są przy granicy. Jedne przy dawnej granicy polsko - sowieckiej, druga przy dawnej granicy polsko - czechosłowackiej, i Komańcza — granica polsko - czechosłowacka i polsko - radziecka. Wszystko to było starannie przemyślane dlatego, że w grę wchodziły rozmaite scenariusze. Pierwszy scenariusz, który brano poważnie pod uwagę, polegał na tym, żeby po prostu prymasa zgładzić. Bano się jednak tego zrobić. Sądzono, że być może odrodzi się choroba — wiedziano o jego gruźlicy. Byc może po jakimś długim czasie sam osłabnie, i zejdzie z tego świata. Kiedy te nadzieje stały się płonne — bo prymas nie chorował, przysłano mu nawet lekaarza, nawet dwóch lekarzy, którzy mieli go zbadać. Zachował się wobec nich bardzo dzielnie — zażądał, żeby wykazali , że są lekarzami. Rychło okazało się, że jeden z lekarzy był podstawiony, drugi rzeczywiście był lekarzem — taki starszy człowiek, który uświadomił sobie w obecności prymasa swój polski rodowód i swój patriotyzm – tak, że wyjechał z tego spotkania z prymasem odmieniony. Razem z prymasem w wwięzieniu osadzono księdza i siostrę zakonną, która miała się nim opiekować, miała mu pomagać na co dzień. Z późniejszej perspektywy okazało się prawdziwe to, co prymas przypuszczał, czego się domyślał — mianowicie, że siostra zakonna została zwerbowana do współpracy ze służbą bezpieczeństwa i że przez okres pobytu w więzieniu stale na niego donosiła. Informowała co mówi, czym się zajmuje, co robi. Ta prawda wyszła na jaw znacznie później. Prymas nigdy nie miał do niej pretensji, nigdy nie robił z tego powodu jakiś zarzutów. On po prostu stwierdzał, że udało się człowieka złamać i dodawał, że łatwiej jest złamać kobietę niż mężczyznę, bo kobieta jest bardziej delikatna. A ponieważ nie miał żadnych tajemnic, to i nie było co specjalnie donosić. Ale taki właśnie epozod.

Tam, w tym więzieniu, dokonał bardzo wiele. W więzieniu przygotował naród do aktu oddania w macierzyńską niewolę NMP. Zanim ten akt dokonał się w odniesieniu do całego społeczeństwa, co miało miejsce dopiero w r. 1966 podczas obchodów milenijnych, to podczas pierwszego święta Niepokalanego Poczęcia NMP, 8 XII 1953 r. prymas złożył ten akt sam, w odniesieniu do siebie, poświęcił się NMP. Tam przygotował wielką nowennę, która miała przygotować całą Polskę do obchodów millenium chrztu Polski. Tam pisał „Listy do moich kapłanów" — tak zatytułowana została później ta książka, bardzo wzruszająca, bardzo piękna, bardzo poruszająca. Mianowicie są to listy biskupa do jego kapłanów. Myślę, że każdy z nas tę książkę przeczytał, rozważył ją, bo to był taki swoisty podręcznik przeżywania kapłaństwa.

W 1956 r. podczas wydarzeń czerwcowych w Poznaniu jedno z żądań robotników brzmiało: wypuścić Prymasa. Sprawa wypuszczenia prymasa, uwolnienia prymasa, była już wtedy właściwie przesądzona. Jeszcze zwlekano z tą sprawą do września 56 r, ale pod koniec września do Komańczy przybyli przedstawiciele rządowi i oznajmili prymasowi, że za kilka dni będzie mógł wrócić do Warszawy. Rzeczywiście zgodzono się na jego powrót, był to powrót tryumfalny, i z powrotem objął swoje urzędy jako arcybiskup warszawski i arcybiskup gnieźnieński. Tu warto podkreślić jedno.Mianowicie wiele osób z jego bliskiego otoczenia, wielu jego współpracowników, i to wysoko postawionych, po prostu sprzeniewierzyło się mu w okresie, kiedy był w więzieniu. Kiedy wrócił, żadnego nie upominał, żadnego nie skarcił. A tym, którzy upokorzyli się najbardziej, przebaczył im wyraźnie i jednego z nich uczynił swoim bliskim współpracownikiem. Był on potem do śmierci oddany mu do samego końca. Wiedział, że jakiekolwiek roszczenia mogłoby tylko dalej wprowadzić podziały do Kościoła, a tego w żadnym wypadku nie chciał. Zwrócił całą uwagę na przygotowanie ojczyzny do tysiąclecia chrztu Polski. Jego dziełem była tzw. wielka nowenna. Ponieważ tysiąclecie

przypadało w r. 1996, to poprzedzające je 9 lat, od r. 1957, otrzymały bardzo wyrazisty program duszpasterski. W żadnym innym kraju bloku komunistycznego takiego programu duszpasterskiego nie było. A prymas Wyszyński sam, własnoręcznie opracował program i poszczególne hasła. Warto, żebyśmy tych haseł posłuchali dlatego, że one nawet po prawie pół wieku, jaki upłynął od tamtej pory, dają sporo do myślenia. W pierwszym roku: *Wierność Bogu, krzyżowi, Ewangelii Chrystusowej i Kościołowi,* w drugim: *Żyć w stanie łaski uświęcającej,* rok 59: *W obronie życia, duszy i ciała,* rok 60: *Świętość małżeństwa,* rok 61: *Rodzina Bogiem silna,* rok 62: *Młodzież wierna Chrystusowi,* następny: *Walka z wadami narodowymi i zdobywanie cnót chrześcijańskich,* i tuż przed tysiącleciem chrztu Polski: *Pod opiekę Bogurodzicy, Królowej Polski.* Zwróćmy uwagę — najważniejsze wymiary chrześcijańskiej i polskiej pobożności i wiary, najważniejsze wymiary moralności podjęte przez prymasa. On wytyczał szlak, wyznaczał drogi. Właśnie w tym okresie biskupem krakowskim został Karol Wojtyła. Stało się to za wiedzą i aprobatą kardynała Stefana Wyszyńskiego. Za jego wiedzą i aprobatą został również kardynałem krakowskim, i obaj uczestniczyli w Soborze Watykańskim II w latch 1962 - 65.

Ogromny wkład Prymasa Tysiąclecia to odbudowa kościołów warszawskich, odbudowa Warszawy, odbudowa świątyń na Ziemiach Zachodnich i północnych. Jeżeli państwo przyjadą kiedykolwiek do tego pasa ziemi od Gdańska przez Koszalin, Kołobrzeg, Szczecin, Gorzów aż po Wrocław i Opole, górę św. Anny i po Katowice, to znajdą tam państwo w każdej parafii tablicę, która upamiętnia obecność Stefana Wyszyńskiego. To, czego później dokonał papież w Polsce podczas swoich pielgrzymek, przebywając we wszystkich diecezjach, wcześniej dokonał także kardynał Stefan Wyszyński wszędzie dbając niezłomnie o to, żeby wierni podnosili się z kolan, odbudowywali co trzeba i żyli po bożemu.

W 1966 r. zorganizował wielkie obchody tysiąclecia chrztu Polski. Nie miały one w Europie sobie równych. Na Zachodzie dziwiono się — z jednej strony żelazna kurtyna, a z drugiej strony uroczyste obchody, których częścią stała się peregrynacja kopii obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej w diecezjach, w parafiach i w rodzinach. Na pewno są wśród państwa tacy, którzy pamiętają tamtą peregrynację. To miało ogromne znaczenie dla obudzenia ducha pobożności, dla integracji społeczeństwa, dla siły wiary. To wszystko są lata 60-te, które były dość trudne dla Kościoła, ale z których i Kościół i wierni wyszli bardzo zwycięsko.

Otóż wtedy, w tym czasie, postawił przede wszystkim na pobożność masową, na zwyczajnych ludzi. Bo zdawał sobie sprawę, że elity intelektualne zwłaszcza w dużej części nie zdały egzaminu z tej lojalności wobec ojczyzny. Bardzo wielu różnych ludzi nauki, kultury, sztuki związało się z nową władzą, nieraz bardzo służalczo. Czasami obracali się przeciwko prymasowi przeprowadzając, realizując swoje własne plany. Jedno z najtrudniejszych doświadczeń, które przeżył prymas w latach 60-tych to była próba podjęta przez tzw. katolików otwartych, istniejących zresztą do dzisiaj, skupionych w środowiskach warszawskich i krakowskich, którzy w Rzymie napisali na Prymasa Tysiąclecia paszkwil żądając, żeby Stolica Apostolska ustanowiła nuncjaturę i nuncjusza, który by miał niezależne od prymasa Wyszyńskiego stosunki z polskim rządem i polskim Kościołem. Ponieważ prymas Wyszyński nie dawał się ponieść żadnej agitacji i ich ideologizacji, stawał się niewygodny. Chciano, żeby była inna struktura, w której on byłby na boku. Wiadomo z imienia i nazwiska kt to zrobił. I wiadomo, że robiono to w sposób, który ubliżał godności chrześcijanina i katolika. Prymas o tym oczywiście dowiedział się z watykańskiego sekretariatu stanu, przedstawił swoje stanowisko. A w rok czy dwa później główny sygnatariusz tego właśnie apelu, który pisał na niego donosy, przyjechał do Warszawy, przeprosił prymasa, prymas go przyjął i mu wybaczył. To też fragment tej historii, o której wiedzieć powinniśmy.

W latch 60-tych i 70-tych prymas skupił całe swoje i życie i działalność na wdrażaniu nauczania Soboru Watykańskiego II. Dobrze wiemy, że Sobór Watykański II pod wieloma względami wprowadził nowości, zwłaszcza jeżeli chodzi o liturgię. Języki narodowe – przedtem łaciński, sposób sprawowania liturgii, rozmaite elementy które teraz dzisiaj uznajemy za oczywiste, a które w latch 60-tych oczywistymi nie były. W wielu krajach Europy zachodniej Kościół przeżył w związku z tym poważny wstrząs. Dlatego, że dokonano zmian z dnia na dzień. Kardynał John Król, z pochodzenia Polak, arcybiskup Filadelfii, już nieżyjący, mówiąc o prymasie Wyszyńskim powiedział tak, że:

> Dokonał on, przeprowadził on spokojne, dojrzałe i mężne urzeczywistnienie soborowej odnowy.

To, że nauczanie Soboru Watykańskiego II przeszło w Polsce właśnie tak łagodnie, i reformy liturgiczne również, to wielka zasługa kardynała Wyszyńskiego. Bo nie brakowało takich, którzy chcieli to zrobić na wzór belgijski, francuski. Jakie są skutki tego, to widzimy do dzisiaj — dopiero teraz, po latach, tam Kościół się powoli podnosi.

W tym czasie, w latch 70-tych, wielkim zagrożeniem było zawłaszczanie kultury przez ateistyczne władze państwowe, i sojusz ludzi kultury z władzą. Kardynał Wyszyński temu się bardzo przeciwstawił. Położył nacisk na pobożność, która związana jest z naszą polską i katolicką tradycją. Kiedyś powiedział dość gorzko, że to, że wiara w Polsce przetrwała, to zawdzięczamy nie intelektualistom, tylko prostym kobietom, które w najtrudniejszym okresie zbierały się pod kapliczkami i śpiewały majowe nabożeństwa. I to dzięki ich ofierze, dzięki ich odwadze mamy wiarę i Kościół taki, jaki mamy. Stąd bardzo to cenił. Nie muszę dowodzić, nie muszę potwierdzać, że kładł bardzo silny nacisk na pobożność maryjną. Maryja zawsze nu była bardzo bliska. Do swojego zawołania „Soli Deo" dodał słowa „per Maria" czyli „Tylko Bogu przez Maryję". W takiej atmosferze, w takim klimacie nastąpił później wybór kardynała Wojtyły na papieża. Chciałbym państwu na sam koniec przypomnieć słowa, które Jan Paweł II wypowiedział w tydzień po konklawe, na którym został na papieża wybrany. Miałem szczęście być wtedy w Rzymie, być na tej sali, słyszeć te słowa i przeżywać je razem z kilkoma tysiącami obecnych tam Polaków. Papież powiedział tak:

> Czcigodny i umiłowany Księże Prymasie. Pozwól, że powiem po prostu co myślę. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego Papieża - Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie było Twojej wiary, nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu w dziejach Kościoła w Ojczyźnie naszej, które związane są z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem.

W opiniach gazetowych, radiowych, telewizyjnych możemy słyszeć wielu ojców chrzestnych pontyfikatu papieża Polaka. Przyznają się do tego najrozmaitsi ludzie i środowiska, twierdząc, że to z nich wyszedł Karol Wojtyła, Jan Paweł II. Sam Jan Paweł II wyraźnie stwierdził, że nie byłoby papieża Polaka bez kardynała Stefana Wyszyńskiego. Żadna środowiskowość, żadne kluby, żadne lokalne poparcia, o którym zresztą i tak nikt nie wiedział, nie miały żadnego znaczenia w porównaniu z tym, czego dokonał kardynał Stefan Wyszyński. To on doprowadził do tego, że z Polski wyszedł papież. Jan Paweł II w tym przemówieniu dodał jeszcze następujące słowa. Powiedział tak:

> I oto rzecz znamienna. Po ludzku trudna do wytłumaczenia. Właśnie w tych ostatnich dziesięcioleciach Kościół w Polsce nabrał szczególnego przeznaczenia w wymiarach Kościoła powszechnego i w wymiarach chrześcijańskich. Stał się również przedmiotem wielkiego zainteresowania z uwagi na szczególny układ stosunków który dla poszukiwań, jakie wwspółczesna ludzkość, różne narody i państwa podejmują w dziedzinie społecznej, ekonomicznej, cywilizacyjnej, ma doniosłe znaczenie. Kościół w Polsce nabrał nowego wyrazu. Stał się Kościołem szczególnego świadectwa, na który zwrócone są oczy całego świata. W tym Kościele żyje i wypowiada się nasz naród, współczesne pokolenie Polaków.

To powiedział papież w tydzień po wyborze. Kościół szczególnego świadectwa, na który zwrócone są oczy całego świata. Tak było przez prawie 27 lat pontyfikatu papieża Polaka. Wszędzie wiedzą o Polsce. I teraz domyślamy się, z jak wielkim zainteresowaniem będzie obserwowana papieska wizyta następcy Jana Pawła II w naszej ojczyźnie. Również Benedykt XVI przybywa do Polski widząc w Kościele naszym Kościół szczególnego świadectwa. Dla niego jest to przede wszystkim Kościół Jana Pawła II. Ale starajmy się uczynić jak najwięcej, my tutaj z perspektywy warszawskiej, żeby nie była to wyłącznie pielgrzymka śladami Jana Pawła II. Nie da się zrozumieć Jana Pawła II i uzasadnić jego pontyfikatu bez kardynała Stefana Wyszyńskiego. Dlatego papież będzie w Częstochowie, która jest wspólna nam wszystkim, będzie w Krakowie, będzie w Wadowicach, w Kalwarii Zebrzydowskiej, będzie wreszcie na terenie byłego obozu zagłady Auschwitz - Birkenau w Oświęcimiu, ale rozpocznie swoje odwiedziny od Warszawy — miasta, które jest miastem kardynała

Stefana Wyszyńskiego, gdzie „wszystko miało swój początek". I ta obecnośc papieża tu, w Warszawie, ma szczególne znaczenie. Bardzo serdecznie państwa zachęcam, żebyście wsłuchali się w to, co papież powie na Placu Piłsudskiego – Pl. Zwycięstwa w piątek, od tego za tydzień, kiedy będzie miał rano mszę świętą. Może nie wszyscy znajdziemy się na placu, ale na pewno można być będzie obserwować w telewizji, patrzeć, bo będzie to również kolejny dzień tryumfu Sługi Bożego kardynała Stefana Wyszyńskiego. I ten papież, obecny przy grobie kardynała Stefana Wyszyńskiego, odda hołd człowiekowi o którym można słusznie powiedzieć, że jest ojcem dwóch papieży.

Myślę, że udało się, przynajmniej nieco, tę prawdę przybliżyć. Musimy o tym pamiętać nie tylko po to, żeby oddać świadectwo prawdzie, ale także po to, by na tak rozumianej i przeżywanej historii budować to, co będzie. W przeciwnym przypadku naszą historię i naszą przyszłość będą za nas pisać inni. A właśnie tu tym świadkiem najgłębszego patriotyzmu, najlepiej pojmowanego i przeżywanego, bo posuniętego aż do ceny uwięzienia, takim świadkiem był kardynał Stefan Wyszyński. Zachęcam, żeby państwo o tym pamiętali także w rocznicę jego śmierci.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Zapraszam na ostatnią w tym roku konferencję, która będzie miała miejsce za 4 tygodnie, w poniedziałek 12 VI. Pomódlmy się na koniec. Pod Twoją obronę ... I za duszę kardynała Stefana Wyszyńskiego, Jana Pawła II, i za wszystkich, którzy naszej modlitwy potrzebują, i tych, którzy w tej modlitwie wstawiają się i za nami, i za zmarłymi: Wieczny odpoczynek ... Pochwalony Jezus Chrystus.

8.8 Jezus i Samarytanka (12 czerwca 2006)

Pochwalony Jezus Chrystus. W Imię Ojca ... Ojcze nasz ... Stolico Mądrości, módl się za nami! Rozpoczynamy zatem nasze tegoroczne ostatnie spotkanie, ostatnie przed przerwą wakacyjną. Potem, po wakacjach, wznowimy następny cykl roczny. Teraz natomiast kończymy powoli tę refleksję, którą rozpoczęliśmy w październiku ub. roku. Dzisiaj ten wyjątkowy dzień, bardzo długie dni w roku. Zatem i zaczynamy i kończymy przed zachodem słońca. Stąd pewna wygoda, komfort niemal. Ale przypominają sobie państwo dni – listopadowe, grudniowe, styczniowe, lutowe – kiedy o tej porze ludzie prawie kładzą się spać, a my dopiero zaczynamy refleksję. I zarówno wtedy, jak i dzisiaj, witam państwa bardzo serdecznie i cieszę się, że nadal jesteśmy tak bardzo liczni, i że nadal te nasze konferencje biblijne pomagają nam poznawać Słowo Boże i Jego meandry, Jego bogactwo, Jego treści. Pomagają nam być może umocnić naszą wiarę, pogłębić tę wiarę, i w tej wierze zbliżyć się do Pana Boga.

Po drodze od ostatniej konferencji mieliśmy pielgrzymkę Ojca Świętego Benedykta XVI, bardzo poruszającą, bardzo pogłębiającą naszą wiarę. Byliśmy do tej pielgrzymki przygotowani być może lepiej, niż przeciętny katolik w naszej Ojczyźnie. Dlatego, że i wcześniej mówiliśmy o dziedzictwie Jana Pawła II i Benedykta XVI. I potem, kiedy patrzyliśmy na papieża poczynając od jego przybycia do Warszawy, po jego odlot z Krakowa, to wszystkie te etapy papieskiego pielgrzymowania bardzo utkwiły nam w pamięci. I wiele razy rozpoznawaliśmy ten sam ton, tę samą miłość, tę samą otwartość, z jaką niegdyś przybywał Jan Paweł II, a teraz przybył Benedykt XVI.

Rozpoczynając dzisiaj naszą konferencję chciałbym również państwu bardzo serdecznie podziękować za wszystkie dowody życzliwości i świadectwa serdeczności, których doświadczyłem teraz, w tych dniach, kiedy 6 czerwca obchodziłem trzydzieści lat kapłaństwa. Pewnie i lektura książki spowodowała, że ta rocznica – również i dla mnie – stała się bardziej wymowna, niż inne rocznice. Także i fakt, że powoli człowiek zaczyna sobie powoli uświadamiać, że każda kolejna rocznica ma również inny charakter niż te poprzednie. 30 lat to szmat czasu. Państwo też mają swoje jubileusze: jubileusze małżeńskie, jubileusze w pracy, jubileusze rozmaite inne — i zdajemy sobie sprawę z tego, że 30 lat to kawał czasu. Potem będą już te następne rocznice, z których każda wymaga coraz więcej wysiłku. A mniej więcej do tego jeszcze wieku to jakoś wszystko idzie. Chciałbym więc państwu bardzo serdecznie podziękować. Doznałem bardzo wiele ciepła, życzliwości. Zarówno wtedy, także poprzez telefony, i w następnych dniach, zwłaszcza wczoraj na mszy świętej, po mszy świętej. Chciałbym za te życzenia i za wszystko, co otrzymałem od państwa, bardzo, bardzo gorąco podziękować. To dla nas jest, i dla mnie osobiście też, bardzo zobowiązujące i bardzo krzepiące, bo pokazuje cały sens tej posługi, którą podjąłem się pełnić.

Dzisiaj przed wakacjami mamy temat, który może do końca tak wakacyjny nie jest. Ale wiąże się, nie na zasadzie tylko skojarzenia, z czymś bardzo gorącym, z ciepłym klimatem, spiekotą południa, potrzebą wody. I bohaterką naszego dzisiejszego opowiadania — Jezus będzie bohaterem, ale mamy także bohaterkę o której, tak się złożyło, że do tej pory podczas naszych konferencji biblijnych nie mówiliśmy. Mianowicie chciałbym, żebyśmy dzisiaj przeczytali i zastanowili się nad rozmową Jezusa z Samarytanką. Otóż rozmowę tę, zapisana w Ewangelii św. Jana, znamy dobrze, bo czytana jest przynajmniej raz czy dwa razy w roku. Natomiast dzisiaj zabierzemy się do niej od strony egzegetycznej, a więc od strony szczególnego wyjaśniania zarówno okoliczności tej rozmowy, jak i jej przebiegu, jej treści, a także jej znaczenia dla nas dzisiaj. Bo przecież to, co wydarzyło się niegdyś w Samarii, podczas tej niezwykłej rozmowy Jezusa z Samarytanką, ważne jest także dla każdej i dla każdego z nas.

Muszę wyznać, że kiedy podróżujemy do Ziemi Świętej, kiedy pielgrzymujemy do Ziemi Świętej, to każdy z nas, ja również, ma swoje ulubione miejsca. Zwłaszcza ci, którzy oprowadzają po Ziemi Świętej i mają szczęście wracać tam wiele, wiele razy, nieraz zdarza się, że w roku dwa, trzy, cztery razy nawet — tak przynajmniej było do niedawna. Teraz jest troszeczkę rzadziej, ale też te pielgrzymki się odbywają. Więc każdy z nas jadąc ma w głowie, w sercu, w pamięci, w myśli jakieś miejsce, które chce jeszcze raz zobaczyć. I nawet jeżeli było się tam wiele, wiele razy, to do tego miejsca w szczególny sposób ciągnie. Otóż jednym z takich moich ulubionych miejsc w Ziemi Świętej to jest studnie Jakubowa, która znajduje się w Sychem — starożytne Sykar, a dzisiaj miasteczko to nosi arabską nazwę Nablus. To słowo *Nablus* to jest zarabizowana forma greckiej

nazwy *Neapolis* czyli *Nowe Miasto,* bo tak Grecy nazwali starożytne Sychem, które było nazwą hebrajską. Grecy woleli nadać temu miastu nową nazwę, nazwali Neapolis, i to Neapolis zostało przez Arabów ściągnięte w Nablus, i tak już zostało. Otóż ile razy jedziemy do Ziemi Świętej, a można tam pojechać — dlatego, że niestety nie zawsze można, to ja cały czas czekam na to spotkanie przy tej studni, o której za chwilę będziemy czytać. Bo tam ten prawdziwy cud piątej Ewangelii, czyli Ziemi Świętej, na tym polega, że czytamy tekst biblijny i widzimy to miejsce z dokładnością do jednego centymetra. O ile są miejsca w Ziemi Świętej, gdzie takiej dokładności i precyzji nie ma, to jeżeli chodzi o studnię Jakubową, a więc miejsce rozmowy Jezusa z Samarytanką, ta precyzja jest absolutna. Ale niestety nie ma takiego dobrego, żeby można było się tym zawsze cieszyć — i jeżeli chodzi o studnię Jakubową to ostatni raz byłem tam sześć lat temu, w roku 2000. I od roku 2000 do studni Jakubowej niestety pojechać nie można, bo granica jest zamknięta przez Izraelczyków, wjazdu tam nie ma. I ostatnia grupa, z którą mogłem tam być, to była właśnie w roku 2000. Kiedy dzisiaj będziemy czytać ten tekst i będę państwu starał się go objaśniać, to raz jeszcze mam w oczach, w pamięci, to właśnie niezwykłe miejsce. A zapewne także w tej naszej kilkusetosobowej grupie są tacy spośród państwa, którym również te wspomnienia przyjdą na myśl, kiedy zaczniemy tekst święty czytać i zaczniemy go rozważać.

Otóż epizod jest bardzo interesujący nie tylko ze względów religijnych, teologicznych, moralnych, etycznych, ale także ze względów obyczajowych. Otóż jeżeli chodzi o obyczajową stronę tego epizodu, musimy zwrócić uwagę na sytuację, której osobliwość być może nam nie przychodzi do głowy, na którą nie zwracamy uwagi. Ale trzeba na to zwrócić uwagę koniecznie już na początku. Mianowicie ta osobliwość polega na tym, że jest to rozmowa Jezusa z przypadkowo spotkaną kobietą. W świecie semickim, żydowskim i arabskim, po dzień dzisiejszy nie jest to sytuacja zwyczajna. Można by powiedzieć, że jest to nawet sytuacja do pewnego stopnia zakazana, a w każdym razie źle widziana. Kto zna odrobinę kraje arabskie albo zna odrobinę Izrael, nawet Jerozolimę – dzielnicę ortodoksyjną, to doskonale wie, że nikomu, żadnemu przybyszowi nie przychodzi do głowy, żeby tam zaczepić kobietę, albo porozmawiać z przypadkowo spotkaną kobietą — dlatego, że jest to obyczajowo zakazane nie od wczoraj, nie od setek lat, tylko od zawsze. Jest po prostu separacja płci. Kobiety mają swoje miejsca, mają w domu swoje miejsca. Np. jak wesele się odbywa — mężczyźni osobno, kobiety osobno. Kiedy odbywają się rodzinne uroczystości — tak samo. Kiedy odbywa się pogrzeb, to w ogóle kobiety nie biorą udziału w pogrzebie, tylko sami mężczyźni mogą brać udział w pogrzebie. Kobieta może iść na cmentarz dopiero trzy dni po pochowaniu kogoś, a wcześniej absolutnie nie, itd. itd. Te przykłady można mnożyć.

I nikomu nie przychodzi do głowy taka właśnie przypadkowa rozmowa. Dlatego to, czego dokonał Jezus, było wyłomem w ówczesnej obyczajowości. I zwrócimy uwagę także na ten aspekt — do jakiego stopnia Jezus pokonywał te rozmaite bariery, które ludzi dzieliły. Zacznijmy zatem od początku. W czwartym rozdziale Ewangelii św. Jana czytamy tak:

> A kiedy Pan dowiedział się, że faryzeusze usłyszeli, iż Jezus pozyskuje sobie więcej uczniów i chrzci więcej niż Jan

To zdanie jest trochę skomplikowane, więc trzeba je powiedzieć prostszym językiem. Otóż faryzeusze, którzy od początku publicznej działalności Jezusa są nieprzychylni Jezusowi, dowiedzieli się, że Jezus zyskuje coraz większą popularność. Faryzeusze to było żydowskie stronnictwo, jedno z dwóch wielkich. Takim drugim było stronnictwo sadyceuszy. Faryzeusze grupowali głównie – powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem – inteligencję, także ludzi bardziej zamożnych, i skupiali się na tym, co moglibyśmy dzisiaj nazwać socjotechniką, zabiegami o popularność, pragnieniem popularności, oddziaływaniem na opinię publiczną itd. Dowiedzieli się, że Jezus cieszy się coraz większym uznaniem, i że Jezus, Jego uczniowie, chrzczą. I teraz Jezus dowiedział się, że oni to wiedzą. I że to, co jest przyczyną popularności Jezusa, w oczach faryzeuszy staje się powodem do zarzutów przeciwko Niemu. Dlatego, że szukali każdego powodu, który mógłby Jezusa przedstawić w krzywym świetle. I wiemy, że w końcu doprowadził do wrogości, a potem do pojmania, i wreszcie do śmierci Zbawiciela.

> chociaż w rzeczywistości

wyjaśnia św. Jan Ewangelista:

sam Jezus nie chrzcił, lecz Jego uczniowie
więc kiedy się dowiedzieli
opuścił Judeę i odszedł znów do Galilei.

Trzeba by było mieć pojęcie o topografii i geografii Ziemi Świętej. Zawsze jest tak, że jeżeli chcemy coś dobrze zrozumieć, dobrze zrozumieć jakiegoś człowieka, to musimy najpierw starać się zrozumieć kraj, z którego pochodzi, miejsca, które go dotyczą. Tak jak Goethe powiedział w XIX w.: „Jeżeli chcesz zrozumieć poetę to musisz się udać do kraju poety". Jezus myślał bardzo poetycko, osadzony był w życiu swojego narodu i musimy mieć pojęcie o ziemi, w której żył. Gdybyśmy myśleli w kategoriach bardzo geograficznych i topograficznych, to możemy to sobie wyobrazić tak. Cała Ziemia Święta to jest kraina wielkości mniej więcej na tej linii północ - południe ok. 200 km. Zatem mała, to jest mniej więcej odległość z Warszawy do Częstochowy. Na tej odległości z Warszawy do Częstochowy Ziemia Święta dzieli się na trzy części. Na dole, najbardziej na południe, kraina nazywa się Judea. W środku, wyżej i bardziej na północ, ta kraina nazywa się Samaria. Natomiast najbardziej na północ, czyli u góry mapy, ta kraina nazywa się Galilea. Akcja na razie dzieje się na terenie Judei, której stolicą była Jerozolima. Jezus jest w Judei i postanawia wrócić do Galilei, czyli tam, gdzie dokonywał swojej publicznej działalności. Wydawać by się zatem mogło, że powinien wracać najkrótszą drogą. W ogóle powinien podróżować z Galilei do Judei najkrótszą drogą, i zarówno udając się do Jerozolimy, jak i wracając później do Nazaretu. Ale stawało się tak bardzo rzadko. Bardzo rzadko Jezus udawał się najkrótszą drogą, czyli przez tę krainę, która nosiła nazwę Samaria. Dlaczego tak było? W gruncie rzeczy ci z państwa, którzy czytali książkę „Bóg, Biblia, Mesjasz" wiedzą teraz bardzo dużo na temat asyryjskiej diaspory Izraelitów. Żeby bowiem zrozumieć ten fragment Ewangelii, trzeba się cofnąć kilkaset lat. Mianowicie kilkaset lat wcześniej, mniej więcej 900 - 800 lat przed Chrystusem, Ziemia Święta, zamieszkiwana wtedy przez Izraelitów, była podzielona na dwa państwa. Może trochę tak, jak np. do niedawna Niemcy Wschodnie i Niemcy Zachodnie, jak Korea Północna i Korea Południowa, tak samo Ziemia Święta była podzielona na część północną, i ta nazywała się Izrael, ze stolicą w Samarii, i na część południową, i ta nazywała się Juda, ze stolicą w Jerozolimie. Państwo pamiętają, po lekturze tej książki na pewno, że ta sytuacja skończyła się w roku 722 przed Chrystusem, kiedy to ta część północna, ze stolicą w Samarii, stała się przedmiotem inwazji ze strony Asyryjczyków. Asyryjczycy przybyli w te strony z terenów dzisiejszego Iraku. Dokładnie tam, gdzie dzisiaj toczą się te zaciekłe walki, to w starożytności była Asyria. Asyryjczycy podbili Samarię, zajęli Samarię, i państwo pamiętają – już nie będę tego streszczał we wszystkich szczegółach – uprowadzili z tej krainy ok. 50 tysięcy ludzi. To było w VIII wieku przed Chrystusem! 50 tysięcy to jest ogromna liczba ludzi, to jest rzeczywiście mnóstwo. Więc uprowadzili tych ludzi do Asyrii, deportowali ich ok. 1000 km na północny - wschód. Potrzebowali ludzi, nie wyniszczali ludzi, bo ludzie wtedy byli bardzo w cenie. Oczywiście nie z jakiś pobudek wzniosłych, ale przede wszystkim jako siła robocza. A ponieważ bali się, że ta depopulacja czyli zmniejszenie liczby ludności na terenie Ziemi Świętej będzie miała katastrofalne skutki, to na teren państwa północnego sprowadzili ludność rozmaitego pochodzenia, ludność pogańską: asyryjską, hetycką, kto im się trafił, kto był gdzieś tam w zasięgu ręki Asyryjczyków, to został sprowadzony tu, do północnego Izraela. I ci ludzie przemieszali się z niedobitkami miejscowej ludności i dali, ok. roku 700 - 650 przed Chrystusem, początek tzw. Samarytanom. Otóż Samarytanie to byli mieszańcy — z tej krwi lokalnej, miejscowej, izraelskiej i z krwi napływowej, z tych sprowadzonych rozmaitych niewolników. Razem ze sobą się wymieszali, dali początek takiej populacji bardzo mieszanej. I ta ludność samarytańska i Samarytanie przetrwali do dnia dzisiejszego. Otóż oni do dnia dzisiejszego istnieją jako osobna grupa etniczna i grupa religijna. Do tej pory żyje ich na terenie Izraela, odseparowanych od innych, ok. 600 osób. Natomiast drugie tyle, a może nawet więcej, mieszka na terenie Stanów Zjednoczonych, na terenie Kanady, na terenie Egiptu, i utrzymują bardzo ścisłe więzi ze swoimi rodakami, którzy tam mieszkają na miejscu. Ja miałem nawet kiedyś szczęście, chyba o tym wspominam w książce, brać udział w święcie Paschy przeżywanym przez Samarytan. Do dzisiaj mam zdjęcia, które wtedy robiłem, przezrocza. Może kiedyś w przyszłym roku zrobimy sobie jakiś pokaz Ziemi Świętej, jak ona wyglądała dawniej. I tam jest pokazane przeżywanie Paschy przez Samarytan.

Więc oni do tej pory tam mieszkają. I wracamy do czasów Jezusa. Otóż w czasach Jezusa na południu, w okolicach Jerozolimy, w Judei żyli Żydzi. W Samarii żyli ci Samarytanie, a potem dalej

na północy, w Galilei znowu żyli Żydzi. A więc północ i południe — żyli Żydzi, a Samaria w środku zamieszkiwana przez tych Samarytan. Jaki był skutek tego? Pomiędzy Żydami a Samarytanami była nieprzyjaźń, wrogość. Jeżeli byśmy szukali jakiegoś odniesienia i porównania, to mniej więcej tak, jak dzisiaj między Żydami a Arabami. Tam bez przerwy coś się dzieje. A dzieje się dlatego, ponieważ oni są do siebie bardzo bliscy i jedni drugich dobrze znają. Kto mówi po hebrajsku, tego zrozumie każdy Arab. Kto mówi po arabsku, to Żyd też go również zrozumie, chociaż arabski jest trudniejszy, niż hebrajski. Ale potrafią się zrozumieć. Wiedzą, że są do siebie bardzo podobni i w związku z tym mają tę samą mentalność i tak samo reagują. I w związku z tym jest taka sama niechęć, czasami taka sama wrogość. I słyszymy, jak to na rozmaite sposoby tam odżywa. W starożytności było to pomiędzy Żydami a Samarytanami. Dlatego, i teraz już pointujemy ten przydługi wywód, kiedy Jezus udawał się z Galilei do Jerozolimy, to szedł wzdłuż Jordanu czyli przy dzisiejszej granicy izraelsko - jordańskiej, i wstępował do Jerozolimy od strony Jerycha, czyli od strony wschodniej. Wiele mamy wzmianek w Nowym Testamencie o Jerychu, i Jezus zawsze tamtędy chodził, żeby nie chodzić przez Samarię, bo między jednymi a drugimi była daleko posunięta wrogość. Ale teraz, tym razem, wracając do Galilei Jezus wybiera drogę przez Samarię. Zatem wybiera drogę, którą Żydzi nie uczęszczali, którą nie chodzili, której się bali. I to niekoniecznie dlatego, że była bardzo niebezpieczna, tylko dlatego, że był taki stereotyp wrogości między jednymi a drugimi. Bo proszę zwrócić uwagę, że koniec końców Jezus przechodzi, przechodzi bezpiecznie, a nawet został przez tych ludzi przyjęty, został przez nich ugoszczony — przeczytamy na końcu, że pozostał tam dwa dni. A więc potraktowali Go bardzo dobrze, jednak nie było to do końca normalne. Unikano takich bliskich kontaktów. I tu jeszcze jedno porównanie. My na szczęście nie mamy w Polsce tak, że mamy jakieś dzielnice zamknięte, albo okolice zamknięte, albo rejony, w które się nie udajemy, bo tam mieszkają ludzie, których się obawiamy. Ale w Stanach Zjednoczonych po dzień dzisiejszy tak jest. Kto z państwa zna odrobinę Amerykę dobrze wie, że w gruncie rzeczy tam jest daleko posunięta gettoizacja. Całe wielkie miasta są podzielone na strefy. Tu mieszkają Polacy, tu mieszkają Litwini, tu mieszkają Meksykańczycy, tutaj mieszkają czarni, tu mieszkają Azjaci, tu mieszkają Żydzi. I są takie dzielnice, do których tzw. biały człowiek, zwłaszcza wieczorem, nie wejdzie ani nie pojedzie. Bywają dzielnice, które są pilnowane po zęby, np. dzielnice żydowskie. I bywają dzielnice bardzo biedne, murzyńskie, przez które przejazd wieczorem nawet w autobusie kończy się przynajmniej okradzeniem albo pobiciem. Myślę, że na tym tle możemy dopiero zrozumieć nowość tego, co się tutaj wydarzyło. Mianowicie Jezus udaje się do Galilei, ale udaje się drogą, z której zazwyczaj nie korzystano.

I posłuchajmy dalej, bo już sama ta sytuacja wskazuje, że Jezus burzy pewne mury niechęci, mury nienawiści, burzy podziały między ludźmi. A więc że postępuje w sposób nie tylko odważny, ale też w sposób, który tych ludzi, do tej pory zwaśnionych, ma do siebie zbliżać.

> Trzeba Mu było przejść przez Samarię.

Proszę zwrócić uwagę, że Ewangelia jest napisana po grecku i tutaj mamy takie słówko greckie edejde. To po polsku zostało przetłumaczone *Trzeba Mu było,* ale autor, św. Jan, chciał powiedzieć tak: „Skoro chciał iść tą drogą, musiał przechodzić właśnie przez Samarię. I w tym jest coś osobliwego."

> Przybył więc do miasteczka samarytańskiego, zwanego Sychar, w pobliżu pola, które [niegdyś] dał Jakub synowi swemu, Józefowi.

Otóż cofamy się znów w czasy Starego Testamentu. Tamta cała okolica, środkowa Palestyna, to jest ziemia patriarchów. To jest ziemia Abrahama, Izaaka i Jakuba, którzy żyli tam ok. 1800 - 1700 lat przed Chrystusem. Kiedy tam podróżujemy, po dzień dzisiejszy jest to okolica obsadzona drzewami oliwkowymi, bardzo mało winnic, pola uprawne – na których od czasu do czasu można zobaczyć jęczmień czy pszenicę. I kiedy dzisiaj tam podróżujemy, to ta ziemia od czasów patriarchów i od czasów Jezusa zmieniła się bardzo niewiele. I mamy wspomnienie o miejscu związanym z Jakubem: „patriarcha Jakub darował pole synowi swemu, Józefowi".

> Było tam źródło Jakuba. Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny.

My mówimy „studnia Jakuba". Ale chodzi o to, że woda, która tam była, to była woda źródlana. Być może są wśród państwa osoby, które tam były, to przypominają sobie, że zawsze jest tak, że przy tej studni, gdzie dziś jest prawosławny kościół, jest wiadro na długim sznurze. Zakonnik, który tam jest na miejscu, pozwala, żeby tym wiadrem zaczerpnąć wody. To wiadro schodzi głęboko, hen hen, tę wodę podnosimy. Potem bierzemy kubki, pijemy tę niezwykłą wodę. Ale pierwszy ruch na tym polega, że odrobinę tej wody wlewa się do studni. Prosimy, żeby wszyscy byli bardzo cicho, i wtedy na trzy - cztery wylewa się wodę i czeka się, kiedy usłyszymy plusk tej wody. Wyliczono, że głębokość studni wynosi ok. 40 m. To bardzo dużo jak na starożytność, bo studnia pochodzi z tamtych czasów. I to bardzo osobliwe miejsce, że ta woda po dzień dzisiejszy tam jest. I czytamy dalej:

Jezus zmęczony drogą siedział sobie przy studni. Było to około szóstej godziny dnia.

Otóż Jezus zmęczony drogą siedział przy studni. Ta studnia ma kamienne ocembrowanie. Można sobie usiąść, oprzeć się na tym kamieniu. Można sobie usiąść obok, bo na pewno w starożytności były tam po prostu rozmaite kamienie. Mamy szóstą godzinę dnia — czyli mamy samo południe. Bo dzień rozpoczyna się koło 6 rano, i szósta godzina dnia to jest koło południa, a więc w porze największego upału. A ponieważ Jezus wraca z jednego ze świąt żydowskich, to musiało być w maju albo na początku czerwca. Czyli dokładnie o tej porze, jaką my teraz mamy. Z tym, że oczywiście w Ziemi Świętej o tej porze roku jest dużo goręcej. Koło południa nikt nie podróżuje. Każdy się zatrzymuje, szuka cienia. I oczywiście odpoczywa. To samo dotyczy i ludzi, i zwierząt. Zwierzęta się nie wypasają, ludzie nie pracują — czekają gdzieś do godziny 4 po południu, i ew. wtedy wznawiają pracę. Natomiast w maju i czerwcu praca polega na tym, że wstają przed wschodem słońca, pracują mniej więcej do jedenastej, potem odpoczywają, i później po południu już nie wybierają się na pole, bo ok. szóstej, wpół do siódmej – tam dzień jest krótszy – znów robi się ciemno. Więc pracują tylko w ciągu dnia.

Jezus więc jest zmęczony. Dodajmy — jest zmęczony jako człowiek. Bo był prawdziwym Człowiekiem. Syn Boży — prawdziwy Bóg i prawdziwy Człowiek. Pod tym względem podobny do każdego i każdej z nas. Usiadł przy studni i zmęczony, w samo południe, odpoczywa. Taki jest kontekst tego wydarzenia, o którym czytamy.

Nadeszła [tam] kobieta z Samarii, aby zaczerpnąć wody.

Otóż czerpanie wody i noszenie wody było, można by powiedzieć z dzisiejszej perspektywy – niestety – zajęciem kobiet. Tym się zajmowały kobiety i głównie kobiety. Musiały dostarczać wodę do domu. Taka studnia w Sychar, dawnym Sychem, była jedna –najwyżej dwie w danej miejscowości, ale zazwyczaj jedna. Przychodziły tam kobiety. Natomiast było wydzielone specjalne miejsce, do którego pod wieczór pasterze przyprowadzali zwierzęta: zwłaszcza owce, ale także kozy, inne zwierzęta. I trzeba było tej wody nanosić do domu. Oczywiście nie tylko do picia. Ale należało ją mieć do mycia, do rozmaitych obmyć rytualnych, do codziennej higieny, do gotowania. Zatem tej wody potrzeba było bardzo dużo. Państwo muszą wiedzieć, że w Ziemi Świętej od końca kwietnia do października nie spadnie żadna kropla deszczu, w tym czasie nie ma tam deszczu. Zatem o wszystko, co ma związek z wodą, trzeba zadbać. I woda to jest prawdziwy skarb. My też zaczynamy wodę coraz bardziej cenić. Ale woda w języku hebrajskim nazywa się braha. I tak samo nazywa się w języku arabskim: braha. „Braha" znaczy po polsku *błogosławieństwo*. Człowiek może żyć bez jedzenia, za długo nie pożyje bez snu – będzie wymęczony, wyniszczony. Ale człowiek nie może żyć bez wody. W klimacie palestyńskim bez wody można przetrwać kilka godzin tylko. Zatem woda musi być stale pod ręką, tak jak zawsze musi być dostępny cień. Przychodzi więc kobieta, koło południa, by zaczerpnąć wody.

Jezus rzekł do niej: «Daj Mi pić!»

I teraz zaczynamy się zastanawiać. Czy dlatego ją prosi, że nie było tego czerpaka, tego wiadra, które można było na sznurze spuścić, że każdy przychodził ze swoim? Ale to mało prawdopodobne, bo na pewno było takie społeczne – że tak powiem – wiadro. Czy też Jezus próbuje nawiązać kontakt z kobietą, której do tej pory nie zna? Wszystko do tej pory odbywało się bez słów. Gdybyśmy chcieli zrobić mały film z tego, to wyglądałoby to tak. Jezus siedzi, kobieta przychodzi. Zauważyła obcego mężczyznę, co w tamtej sytuacji niemal normalne. I ona bez słowa, albo może tylko z jakimś

tradycyjnym żydowskim pozdrowieniem, czy pozdrowieniem samarytańskim, czerpie wodę. Kiedy tej wody naczerpała, Jezus mówi do niej: «Daj Mi pić!» Jak ona reaguje?

> Jego uczniowie bowiem udali się przedtem do miasta dla zakupienia żywności.

Poszli, by kupić coś do jedzenia. Chleba, coś do chleba – jakiś humus, jakieś warzywa, bo mięso w starożytności było spożywane bardzo rzadko. Jezus pozostał zupełnie sam.

> Na to rzekła do Niego Samarytanka: «Jakżeż Ty będąc Żydem, prosisz mnie, Samarytankę, bym Ci dała się napić?»

Ona jest straszliwie zdziwiona, bo tak się nie zachowywano. Żydzi nie utrzymywali — za chwilę to będziemy słyszeli — kontaktów z Samarytanami. Mężczyźni nie rozmawiali z kobietami, kobiety nie zaczepiały mężczyzn. Czyli po prostu była separacja, żyli obok siebie. A raptem tutaj dokonuje się coś nowego. Św. Jan wyjaśnia, wyraźnie mówi tak:

> Żydzi bowiem nie utrzymują kontaktów z Samarytanami.

Zaznaczył dla tych wszystkich czytających Ewangelię, którzy by o tym nie wiedzieli. I dalej:

> Jezus odpowiedział jej na to: «O, gdybyś znała dar Boży i [wiedziała], kim jest Ten, kto ci mówi: "Daj Mi się napić" - prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej».

Okazuje się, że prośba o podanie wody była ze strony Jezusa próbą nawiązania rozmowy z nieznajomą kobietą. I okazuje się, że potrzebujący Jezus ma stać się tym, który chce obdarować. Otóż że w tej rozmowie są dwie płaszczyzny, dwie warstwy. Jedna — to jest ta zwyczajna woda, która w sytuacji Ziemi Świętej jest prawdziwym skarbem. Ale druga warstwa — to Jezus wskazuje na dar znacznie głębszy, niż tylko woda. I powiada: „Gdybyś wiedziała, kim jest Ten, kto z tobą rozmawia, to prosiłabyś, żeby dał ci wody żywej". Otóż to słowo *woda żywa* jest używane w języku hebrajskim po dzień dzisiejszy i nazywa się to po hebrajsku maim haim. Maim — *woda,* haim — *życie.* Woda życia, woda żywa. Tak nazywa się wodę, która płynie w strumieniu, w rzece, wodę bieżącą. Tak nazywa się wodę ze źródła w odróżnieniu od wody, która jest stojąca, w jakiś zbiornikach. Woda w strumieniu, woda w rzece, woda ze źródła jest uważana słusznie za najlepszą. Jezus powiada: „Gdybyś wiedziała, kim jestem, to prosiłabyś Mnie o maim haim — prosiłabyś Mnie o wodę żywą, o wodę źródlaną, o wodę najczystszą". Oczywiście Jezus porusza się tutaj w warstwie, gdzie ta woda symbolizuje rzeczywistość inną, ale kobieta jeszcze tego nie wie. Ona jeszcze ciągle myśli — ma do tego pełne prawo, trudno, żeby było inaczej — w kategoriach tej zwyczajnej wody. I mówi do Jezusa tak

> Powiedziała do Niego kobieta: «Panie, nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej?

Państwo zwrócą uwagę na sam początek. Mamy słowo *Panie.* Otóż język hebrajski ma taką strukturę, że kiedy kobieta zwraca się do mężczyzny, to nazywa go adomi czyli *mój panie.* Kto wie — myślę, że trzeba by zapytać językoznawców — że ten hebrajski zwyczaj, żydowski automatycznie, mówienia per „panie" przeszedł do języka polskiego? Państwo bowiem zwrócą uwagę, że w języku polskim mamy to słowo „pan, pani", które dla obcokrajowców jest zupełnie niezrozumiałe. Bo oni mówią do siebie per „ty". Czy to będzie po angielsku, czy będzie po francusku, czy po włosku, mogą mówić w liczbie mnogiej, „vous" na przykład. Natomiast kiedy słyszą nasze „pan, pani", to ich to dziwi. My też z tym mamy rozmaitego rodzaju problemy: kiedy zaczynamy mówić do chłopca „pan", a do dziewczyny „pani" itd. Wiemy doskonale, ile z tym jest rozmaitych trudności. Ta kobieta zwraca się do Jezusa, mówiąc do Niego: „Panie, nie masz czerpaka", bo tak zwracała się każda kobieta do mężczyzny. Niestety po hebrajsku nie było tak, jak po polsku, czyli nie obowiązywało w drugą stronę. Mężczyzna mówił do kobiety, i po dzień dzisiejszy mówi: „ty", albo w języku hebrajskim przez gewereb – to jest odpowiednik „pani" – ale w Piśmie Świętym to nie występuje. Więc kobieta zachowuje się zgodnie ze swoją obyczajowością semicką. Samrytanie bowiem, chociaż mieszańcy, byli tak samo Semitami, jak Żydzi. Więc:

> nie masz czerpaka, a studnia jest głęboka. Skądże więc weźmiesz wody żywej? Czy Ty jesteś większy od ojca naszego Jakuba, który dał nam tę studnię, z której pił i on sam, i jego synowie i jego bydło?»

Wszystko dzieje się w odniesieniu do tej właśnie studni, przy której oboje siedzą. Ona pojmuje tę obietnicę, zapowiedź, że „dam ci wody żywej", jako zapowiedź dania źródlanej wody z jakiegoś innego miejsca niż to, przy którym siedzą.

> W odpowiedzi na to rzekł do niej Jezus: «Każdy, kto pije tę wodę, znów będzie pragnął. Kto zaś będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu».

Jezus przenosi rozmowę na inny, duchowy poziom. Jeszcze ona tego też dalej nie rozumie. Ale naturalne pragnienie człowieka, pragnienie wody, staje się tutaj symbolem pragnienia duchowego, które każdy człowiek w sobie ma. Niech państwo zwrócą uwagę na ten wątek dlatego, że za chwilę zostaniemy zaszokowani tym, co już wiemy i czego dowiemy się o tej kobiecie. Otóż Jezus rozmawiając z tą kobietą wyczuwa, że jest w niej prawdziwy głód głębszych spraw. Że jest w niej większa tęsknota i większe pragnienie niż to tylko, które może zaspokoić woda. Że, gdyby chciała otworzyć się na Niego, to On jest w stanie tej tęsknocie, temu głębszemu pragnieniu sprostać. Być może ona sama jeszcze sobie tego samego nie uświadamiała. Bo z każdym z nas jest tak, że każdy nosi w sobie jakiś głód, jakieś pragnienie, jakąś tęsknotę, która może się odezwać przy jakiejś okazji, dać o sobie znać i wyrazić się, czasami aż do bólu. Albo też czujemy jakieś niespełnienie, jakąś głębszą potrzebę, która czeka na swoje zadośćuczynienie. Na to, żeby znalazł się ktoś, kto tej potrzebie wyjdzie naprzeciw. I tu mamy do czynienia z czymś takim. Jezus zna bardzo dobrze wnętrze człowieka i wnętrze tej kobiety, z którą rozmawia.

> Rzekła do Niego kobieta: «Daj mi tej wody, abym już nie pragnęła i nie przychodziła tu czerpać».

Wydaje jej się, że nadal chodzi o wodę, która jest potrzebna na co dzień, do codziennego użytku. Skoro Jezus deklaruje, że ma taką main hain, taką wodę źródlaną, wodę czystą — niechże jej da! Nie musiałaby wtedy tak ciężko każdego dnia pracować, nie musiałaby tej wody nosić. W dalszym ciągu rozmawiają na dwóch poziomach.

> A On jej odpowiedział: «Idź, zawołaj swego męża i wróć tutaj!» A kobieta odrzekła Mu na to: «Nie mam męża». Rzekł do niej Jezus: «Dobrze powiedziałaś: Nie mam męża. Miałaś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem. To powiedziałaś zgodnie z prawdą».

I to jest chyba jeden z najbardziej poruszających fragmentów tego epizodu. Oto bowiem Jezus najpierw idzie przez Samarię, przełamuje jeden schemat. Rozmawia z kobietą, której nie zna — drugi schemat. I rozmawia z kobietą, która nawet według ówczesnej obyczajowości i moralności nie podpadała pod zwyczajne oceny. Ale rozmawia z nią, bo czuje, że w tej kobiecie jest jakiś przedziwny głód, przedziwne niespełnienie, przedziwna tęsknota. Próbuje wydobyć świadomość tej tęsknoty przez nawiązanie do wody. I kobieta ta nadal myśli, że chodzi o wodę po którą już nie będzie musiała przychodzić. Ale Jezus jej uzmysławia, że jest w niej coś głębszego, niż tylko potrzeba wody. Że jest w niej właśnie pragnienie, z którego musi sobie zdać sprawę. Ale zauważmy, że gdybyśmy nawet nie myśleli starożytnymi kategoriami, lecz dzisiejszymi, to bylibyśmy chętni, czy skłanialibyśmy się ku temu, by ją potępiać. Z kim On rozmawia? Kogo On zaczepił? O czym rozmawia? Przecież o życiu tej kobiety wiedzieli ci, którzy tam w starożytności żyli. Państwo też popatrzą na jeszcze jedną rzecz, że starożytne standardy etyczne, moralne, obyczajowe niewiele różniły się od naszych. To, co w naszych czasach sprawia trudności, i w starożytności sprawiało je tak samo. Ludzie mieli te same problemy, to samo życie. Tak samo je prowadzili. Byli tacy, co nie mieli takich trudności. Byli inni, którzy tak je przeżywali, jak tutaj słyszymy — w sposób bardzo złożony. Jezus ją pochwalił. Pochwalił nie za to, co robiła, pochwalił ją za szczerość. Otóż tam, gdzie człowiek ma jakieś problemy w życiu, gdzie człowiek ma jakieś kłopoty, zwłaszcza te najtrudniejsze, musimy szukać jakiejś nici do tego, aby tego człowieka zrozumieć, aby go przyjąć, go zaakceptować, żeby trafić do niego. Otóż nie ma ludzi, którzy są do końca zepsuci, do końca źli. W każdym człowieku jest jakaś iskierka, którą można rozniecić. Otóż Jezus rozniecił iskierkę, którą byśmy nazwali szczerością. Nie łatwo przyznać się czy powiedzieć o swoim życiu, zwłaszcza jeżeli ono jest tak złożone, tak skomplikowane, jak było życie tej kobiety. Ona to jednak prostodusznie powiedziała. Powiedziała tak, jak było. On zauważył, że już na tej szczerości można zbudować coś nowego. Czytamy dalej:

Rzekła do Niego kobieta: «Panie, widzę, że jesteś prorokiem.

I tu my znów tego zdania nie rozumiemy. Bo dla nas prorok to człowiek, który zapowiada przyszłość. A więc to ten, który zapowiada to, co będzie. I myślimy sobie: dlaczego ta kobieta mówi, że Jezus jest prorokiem? Przecież nic o przyszłości nie było! Ale w biblijnym tego słowa znaczeniu „prorok" to jest człowiek, który uczy swoich współczesnych dobrego życia, prawego życia, szlachetnego życia. który wskazuje na to, co grzeszne, co występne, i który prowadzi ludzi do Boga. Który prostuje ludzkie ścieżki, który sprawia nawrócenie. Otóż kiedy Jezus słyszy tę kobietę i pochwala jej szczerość, i mówi jednocześnie o jej życiu: „Miałaś pięciu mężów" to ona dostrzega, że ma do czynienia z kimś, kto rozpoczyna oceniać jej życie, kto skłania ją do podjęcia rachunku sumienia. Może było tak, że ona uważała siebie już za przegraną. Prawdę mówiąc w starożytności nie wszystkie kobiety nosiły wodę. Nosiły albo młode dziewczyny, albo kobiety gorzej traktowane. Ta zalicza się do tych drugich. Gorzej traktowana — może dlatego, że z jej opinią, z jej życiorysem patrzono na nią jako na tę, której przeznaczeniem będzie nosić wodę. Może nie cieszyła się jakimś szacunkiem, respektem. Nie potrafimy powiedzieć nic więcej o jej rodzinie, ale z całą pewnością była osobą wrażliwą. I czytamy dalej:

> «Panie, widzę, że jesteś prorokiem. Ojcowie nasi oddawali cześć Bogu na tej górze, a wy mówicie, że w Jerozolimie jest miejsce, gdzie należy czcić Boga».

Cała ta akcja dzieje się u podnóża gór. Jedna góra, po prawej stronie – tak, jak bym ją widział, nazywa się Garizim. Druga góra, po lewej stronie, nazywa się Ebal. Jedna i druga ma ok. 700 m wysokości. I ta kobieta w relacji, którą przytacza św. Jan, przechodzi teraz na poziom jeszcze głębszy. I mówi: „Wy oddajecie cześć Bogu w Jerozolimie, a my oddajemy cześć Bogu na tej górze". Jaki ona ma problem? Ma problem z Bogiem! Ma problem ze sobą, bo żyje tak, jak żyje, ale ma także problem z Bogiem. Jedni czczą tak, drudzy czczą tak — myśli sobie ta kobieta. A właściwie może to jest tak, że człowiek jest zostawiony samemu sobie? Czy nie mieliśmy takich dylematów? Otóż to są dylematy religijności wystawionej na pewien kryzys. Kiedy człowiekowi jest dobrze, czy powodzi się pomyślnie, to i religia jest sprawą łatwiejszą. Wielu pytań w ogóle sobie nie zadajemy. Ale kiedy ktoś w życiu ma ogromne trudności, kiedy ktoś w życiu przeszedł bardzo dużo, to zadaje sobie pytanie: „I ci czczą Boga, i ci czczą Boga. Ci tu, ci — tam. Jak to właściwie jest z tym Bogiem? Wymaga Bóg takiego życia rygorystycznego, a skoro już w życiu nic naprawić nie można — tak, jak w jej przypadku nie sposób cofnąć się do dzieciństwa — to jak to jest z tym Bogiem? Może lepiej o Nim zapomnieć, może lepiej o Nim nie pamiętać? Może lepiej żyć tak, jak gdyby Pana Boga nie było? Gdzie jest ta prawda wiary? Gdzie jest ta prawda wyznawania Pana Boga? Skoro jest tak ciężko, tak skomplikowanie, tak złożenie, tak trudno żyć, to może lepiej mniej myśleć o Panu Bogu? I ona też idzie tym tropem. Tym tropem, którym pewnie przed nią a potem po niej, i w naszych czasach, idą tysiące ludzi.

> Odpowiedział jej Jezus: «Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. Wy czcicie to, czego nie znacie, my czcimy to, co znamy,

Jezus zapowiada rzeczywistość nową. Powiada do kobiety tak – gdybyśmy chcieli przełożyć mniej więcej na nasz codzienny język: „Słuchaj, my czcimy Boga w Jerozolimie, wy czcicie Bogu na tej górze. Twoje wahania, twoje rozterki są uzasadnione. Przychodzi dzień, kiedy nie będzie się Go czciło tu, ani tam. Gdy będzie się Go czciło we wnętrzu, kiedy ludzie zrozumieją, że najważniejszym jest to, co się dzieje w sumieniu człowieka, to, co się dzieje we wnętrzu człowieka. Że właśnie to jest istotą religijności. Że nie jest tak ważne, czy to będzie na tej górze, czy w Jerozolimie. Religia — tę myśl jeszcze pogłębimy — i religijność ma to do siebie, że może ludzi dzielić. Wiele razy żeśmy się przekonali w dziejach ludzkości, że jedni w imię Boga powstawali przeciwko drugim. Choćby najbardziej brutalne przykłady, które nam ciągle sprawiają trudności i natrafiają na nasz sprzeciw, to napisy na niemieckich pasach: „Gott mit uns!" I ten Bóg źle się kojarzył tym, którzy mieli z tymi ludźmi do czynienia. A więc Bóg ludzi łączy, ale rozmaite religie, rozmaite sposoby oddawania Mu czci mogą ludzi dzielić. Trzeba więc bardzo uważać, żeby religii nie zamienić w znak podziału pomiędzy ludźmi. Że najważniejsze jest to, co dokonuje się w człowieczym wnętrzu. I Jezus mówi do niej jeszcze tak:

Wy czcicie to, czego nie znacie,

A więc ten samarytański obraz Boga nie jest pełny – powiada Jezus. Może dlatego, że była też tam ta obca krew, obce wyobrażenia. Natomiast:

my czcimy to, co znamy, ponieważ zbawienie bierze początek od Żydów.

Tutaj w tym miejscu — wziąłem specjalnie grecki tekst Nowego Testamentu, czyli tekst oryginalny, z którego są dokonywane przekłady na język polski — czytamy po grecku tak: Hoti soterija et non Judajon est in. Ponieważ soterija – *zbawienie*, et non Judajon – *z Żydów*, est in – *jest.* Zbawienie przychodzi od Żydów. Jezus pokazuje, że cała Boża ekonomia Starego Testamentu zmierzała właśnie ku temu wypełnieniu, kiedy już świątynia, czy w Jerozolimie, czy na górze Garizim, nie będzie ważna. Kiedy nastanie czas wyznawania Pana Boga przede wszystkim we własnym sumieniu, dostępny dla każdego człowieka. Jeżeli dla każdego — to i dla tej Samarytanki również. Otwiera jej oczy, że jej sytuacja nie jest stracona. Że to nie jest tak, że ona musi sobie zadawać pytania o Boga. Bo ten głód, który w niej jest, też nie jest przypadkowy. Ta tęsknota, z którą się zmaga, musi zostać zaspokojona. Zbawienie pochodzi od Żydów — czyli Bóg objawiał się narodowi Bożego wybrania, cierpliwie go prowadził. Z tego narodu wywodzi się również Jezus. Ale wraz z Jezusem religia i wyznawanie Boga nabiera nowego charakteru, nabiera nowej jakości. Nie będzie ważne już miejsce, nie będą ważne te zróżnicowania pomiędzy ludźmi, te podziały, te granice. Każdy człowiek będzie miał przystęp do Pana Boga bezpośrednio, poprzez to bogactwo duchowego życia, które w sobie nosi. A więc nie będą już potrzebne te zewnętrzne znaki — ofiary, kult, pielgrzymowanie w tym staro-testamentowym znaczeniu. Zaczyna się czas nowego sposobu wyrażania swojej wiary. Państwo popatrzą, że tą, która to przesłanie wysłuchała, była kobieta, Samarytanka, i kobieta – nazwalibyśmy ją dzisiejszym językiem – po przejściach. Jej pierwszej ukazuje Jezus perspektywę zbawienia. Może to właśnie jest tak, że ci, którzy doświadczyli rozmaitych trudów życia, mają jednocześnie w sobie głębszy głód tych wartości, o których sądzą, że dla nich są niedostępne? Jezus ją przedziwnie przenika i przedziwnie tę rozmowę prowadzi. I czytamy dalej:

> Nadchodzi jednak godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w Duchu i prawdzie, a takich to czcicieli chce mieć Ojciec.

Zatem każdy człowiek będzie mógł wyznawać Boga. Każdy człowiek, niezależnie od swojej sytuacji, od swojego położenia, od swoich życiowych uwikłań, będzie mógł do Boga wrócić. Będzie mógł się z Nim pojednać, będzie mógł Go znaleźć, bo dzieje się to „w Duchu i prawdzie". Sprawcą jest Duch, a ze strony człowieka potrzebna jest szczerość. Szczerość w patrzeniu na siebie, aby się otworzyć na Pana Boga. Ona pierwsza słyszy orędzie zbawienia, którego narzędziem stanie się krzyż i męka Jezusa Chrystusa. Ona jeszcze o tym nie wie, jeszcze tego nie przeczuwa, ale stało się coś, co moglibyśmy nazwać *preparatio Evangelica* czyli *przygotowaniem do Ewangelii, wstępem do Ewangelii.* Ponieważ Jezus nie raz takie rozmowy przeprowadzał, i przeprowadzał je w tak niezwykłych okolicznościach, to przypominają sobie państwo później, że robiono Mu wyrzuty, że jada z celnikami i grzesznikami. Miano Mu to za złe, że zachowuje się, rozmawia i postępuje w ten sposób. Otóż Jezus przeciera tutaj szlaki tej pobożności prawdziwej, która nie chce przekreślić każdego człowieka. Bo ile razy już o tym mówiliśmy, że dla każdego człowieka Bóg zesłał Swojego Syna, i Syn przelał swoją krew. Otóż godność każdego człowieka wynika z dzieła stworzenia. I każdy, nawet ten najbardziej zabłąkany, jest tym, którego Pan Bóg potrzebuje i szuka. Tę kobietę też.

Bóg jest duchem:

mówi dalej Jezus,

potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w Duchu i prawdzie».

Zwróćmy uwagę — z poziomu pobożności Starego Testamentu, tej pobożności kultowej, tej pobożności, która wymagała ofiar: owiec, kozłów, cielców, baranów, Jezus przenosi na poziom tej pobożności w Duchu. Pobożności, której drogowskazem jest szczerość. Powiedzieliśmy już kiedyś, że świątynia jerozolimska nie była specjalnie atrakcyjnym miejscem. Nad tą świątynią codziennie unosił się krzyk zwierząt, które składane były w ofierze. Codziennie lała się krew. Jezus kładzie

kres tego rodzaju kultowi Pana Boga. Wraz z Jego męką i śmiercią nie trzeba będzie już składać żadnych zwierzęcych ofiar. Nie trzeba ani w Jerozolimie, ani na górze Garizim, tylko w Duchu i prawdzie. I raz jeszcze podkreślam — przy tamtych ofiarach zwierzęcych wydawało się, że ten jest pobożniejszy, kto ma większego wołu, większego cielca, kto prowadzi ze sobą dwie owce a nie jedną, kto składa bogatszą ofiarę do skarbony. Przy tym kulcie, który zaproponował i który wprowadził Jezus, najważniejsze rozgrywa się w sumieniu. Czciciele Boga oddają Mu cześć w Duchu i prawdzie. Tam mogli składać ofiary ci, których jest na to materialnie stać. Tu, u Jezusa, mogą do Boga mieć śmiały przystęp ci, którzy tego bardzo pragną. I dla nikogo nie jest to zamknięte, także dla tej kobiety.

> Rzekła do Niego kobieta: «Wiem, że przyjdzie Mesjasz, zwany Chrystusem. A kiedy On przyjdzie, objawi nam wszystko». Powiedział do niej Jezus: «Jestem nim Ja, który z tobą mówię».

Te ostatnie słowa w gruncie rzeczy kończą pierwszą, najważniejszą część tego epizodu, który dzisiaj mieliśmy przeczytać. Te ostatnie słowa są niesłychanie ważne, bo one nawiązują do Księgi Wyjścia, w której Mojżesz pyta Boga o imię. A Bóg odpowiada: „Moje imię jest Ehji Aszer Ehje – *Jestem, Który Jestem.* Moim imieniem jest Obecność. Życzliwa, wspomagająca, cierpliwa, dobra. Kiedy tłumaczono, a stało się to w Aleksandrii, na terenie Egiptu, Pismo Święte Starego Testamentu na język grecki, to tę hebrajską formułę przetłumaczono na Ego Ejmi Hohon – *Ja Jestem Będący, Istniejący, Ten, Który Zawsze Jest.* Państwo posłuchają, jak brzmią te słowa w ustach Jezusa, te, które przeczytaliśmy po polsku. Jezus powiedział tak: Ego ejmi kolalonsoj. To Ego Ejmi jest najważniejsze – „Ja Jestem, który z tobą rozmawiam". Po raz pierwszy w Ewangelii św. Jana Jezus zwraca uwagę tej przypadkowej rozmówczyni na swoją mesjańską i boską godność. Mówi o sobie: „Ja Jestem" – „Ego Ejmi". Takimi samymi słowami, jak Bóg przedstawił się w płonącym krzewie Mojżeszowi. Kiedy się czyta po grecku Ewangelię św. Jana, te słowa występują w Ewangelii dziewięć razy, jak nowenna. W dziewięciu sytuacjach Jezus mówi o sobie: Ego Ejmi – *Ja Jestem.* Ostatnia z tych sytuacji ma miejsce w 18 rozdziale Ewangelii św. Jana, podczas przesłuchania Jezusa przed Piłatem, a wcześniej przed arcykapłanem. W tej najbardziej krytycznej sytuacji Jezus mówi: *Ja Jestem.* Tutaj objawia siebie kobiecie, i to Samarytance, którą poznaliśmy. Przesłanie zatem tego fragmentu Ewangelii jest niezwykle pocieszające, chociaż może brzmieć dla nas dziwnie. Mianowicie monopolu na prawdę o Bogu nie mają ci, którzy dobrze żyją wg. ludzkich standardów. Ewangelia pokazuje nam, że także w spotkaniu z tymi, którzy prowadzą grzeszne życie, dochodzi do głosu prawdziwe, dobre, szczere rozpoznanie Boga. I że ci ludzie wstępują wtedy na drogę nawrócenia. I że ta droga nawrócenia jest Bogu tak samo miła, jak droga niewinności. Jezus wiele razy rozmawiał z ludźmi dobrymi, bardzo dobrymi. I bardzo ich chwalił za to, że są dobrzy. Ale jeżeli chodzi o tych, którzy mieli trudności, zawsze próbował szukać jakiejś drogi, aby do nich trafić i obudzić w nich nadzieję. Dać im nadzieję na obecność Boga, na życzliwość Boga, na dobroć Boga, który jest w stanie odmienić ich serca. I tak samo tutaj — objawia siebie, po raz pierwszy, samarytańskiej kobiecie.

Wiemy, jaki był dalszy ciąg. Ona natychmiast pobiegła do wsi. Powiedziała tam, w osadzie: „Spotkałam Tego, na którego tak długo czekaliśmy". I Samarytanie, uważani do tej pory za wrogów, przybyli do Jezusa i uprosili u niego, by pozostał u nich dwa dni. I pozostał tam dwa dni, a miał być tylko przez czas jakiś. Kiedy Jezus umarł i zmartwychwstał, Dzieje Apostolskie opowiadają, że do Samarii udał się Apostoł Filip. A kiedy przybył do Samarii, został tam tych, którzy już uwierzyli w Jezusa. Pewnie był to posiew tej rozmowy. Tak więc i Samarytanie, którzy nie byli Żydami, dostąpili owego udziału w zbawieniu. A nośnikiem i narzędziem stała się właśnie ta kobieta. Tyle byłoby, jeżeli chodzi o czytanie epizodu Jezusa z Samarytanką.

Chciałbym państwu bardzo gorąco podziękować za cały ten rok, za wszystko, co wspólnie przeżyliśmy, i za tę biblijną medytację. Otóż za kilka miesięcy, jeżeli spokojnie dożyjemy, w październiku podejmiemy znów refleksję.